









**WIELKA LITERATURA POWSZECHNA  
ANTOLOGJA**



# WIELKA LITERATURA POWSZECHNA

TOM PIĄTY

ANTOLOGJA, CZĘŚĆ PIERWSZA

LITERATURY: CHIŃSKA, JAPOŃSKA, INDYJSKA, ŠUMERO-AKKADZKA,  
BABIŁOŃSKA I ASYRYJSKA, EGIPSKA, STAROHEBRAJSKA, ŻYDOWSKA,  
ARABSKA, PERSKA, TURECKA, GRECKA, RZYMSKA, ŁACIŃSKA WIEKÓW  
ŚREDNICH, WŁOSKA, STARO- I NOWOPROWANCKA, FRANCUSKA

W OPRACOWANIU

PROF. UNIW. KS. DRA J. BROMSKIEGO, AL. CHOJNACKIEGO, PROF. DRA J. GLUZIŃSKIEGO,  
PROF. DRA T. GRZEBIENIOWSKIEGO, PROF. UNIW. M. ST. POPLAWSKIEGO, PROF. UNIW.  
DRA E. PORĘBOWICZA, DOC. UNIW. DRA B. RICHTERA, PROF. UNIW. DRA ST. SCHAYERA,  
PROF. UNIW. J. SZERUDY, PROF. UNIW. DRA A. ŚMIESZKA, PROF. DRA I. WAJNBERGA

POD REDAKCJĄ

DRA STANISŁAWA LAMA

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH I  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat 72  
00-333 Warszawa  
tel. 22-68-43, 26-52-31 w. 42



---

NAKŁADEM KSIĘGARNI TRZASKI, EVERTA I MICHAŁSKIEGO  
WARSZAWA. KRAK. PRZEDM. 13, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

PRAWA AUTORSKIE NA AMERYKĘ ZASTRZEŻONE NA PODSTAWIE  
PROKLAMACJI PREZ. ST. ZJED. AMERYKI PÓLN. Z DNIA 16. II. 1927  
(DZIEN. UST. RZPL. POL. NR. 12 Z R. 1927)

- COPYRIGHT 1932

BY TRZASKA, EVERT & MICHALSKI

WARSAW

PRINTED IN POLAND

1691

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
Tel. 26-68-83, 26-52-31 w. 42

[Pd. I-51]

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓLKI



## SPIS TREŚCI TOMU PIĄTEGO

	Str.
LITERATURA CHIŃSKA; wybór tekstów i układ Doc. Uniw. Warsz. DRA BOHDANA RICHTERA . . . . .	1
LITERATURA JAPOŃSKA; wybór tekstów i układ Doc. Uniw. Warsz. DRA BOHDANA RICHTERA . . . . .	24
LITERATURA INDYJSKA; wybór tekstów i układ Prof. Uniw. Warsz. DRA STANISŁAWA SCHAYERA . . . . .	43
PIŚMIENICTWO W ŠUMERO-AKKADZIE, BABILONJI I ASYRJI; wybór tekstów i przekład Prof. Uniw. Warsz. Ks. DRA JÓZEFA BROMSKIEGO . . . . .	123
LITERATURA STAROŻYTNEGO EGIPTU; wybór tekstów i przekład Prof. Uniw. Pozn. DRA A. ŚMIESZKA . . . . .	136
LITERATURA STAROHEBRAJSKA; wybór tekstów i układ Prof. Uniw. Warsz. JANA SZERUDY . . . . .	164
LITERATURA ŻYDOWSKA; wybór tekstów i układ Prof. DRA I. WAJNBERGA . . . . .	193
LITERATURA ARABSKA; wybór tekstów i układ Prof. DRA I. WAJNBERGA . . . . .	263
LITERATURA PERSKA; wybór tekstów i układ Prof. DRA TADEUSZA GRZEBIENIOWSKIEGO . . . . .	344
LITERATURA TURECKA; wybór tekstów i układ AL. CHOJNACKIEGO . . . . .	387
LITERATURA GRECKA; wybór tekstów i układ Prof. Uniw. Lub. M. ST. POPLAWSKIEGO . . . . .	403
LITERATURA RZYMSKA; wybór tekstów i układ Prof. Uniw. Lub. M. ST. POPLAWSKIEGO . . . . .	517
LITERATURA ŁACIŃSKA WIEKÓW ŚREDNICH; wybór tekstów i układ Prof. Uniw. Lwowskiego DRA EDWARDA PORĘBOWICZA . . . . .	616
LITERATURA WŁOSKA; układ, wybór i tłumaczenie Prof. Uniw. Lwowsk. DRA EDWARDA PORĘBOWICZA . . . . .	673
LITERATURA STAROPROWANCKA; układ, wybór i tłumaczenie Prof. Uniw. Lwowsk. DRA EDWARDA PORĘBOWICZA . . . . .	755
LITERATURA FRANCUSKA; wybór, układ i tłumaczenie tekstów pisarzy od czasów najdawniejszych do «Plejady» wyłącznie Prof. Uniw. Lwowsk. DRA EDWARDA PORĘBOWICZA, od «Plejady» do czasów najnowszych układ i wybór Prof. DRA JÓZEFA GLUZIŃSKIEGO . . . . .	787
LITERATURA NOWOPROWANCKA; układ, wybór i tłumaczenie Prof. Uniw. Lwowsk. DRA EDWARDA PORĘBOWICZA . . . . .	1033



## Z SZU KING'U

1. Cesarz rzekł: «Hej, wy wojewodowie Czterech Gór. Siedemdziesiąt lat sprawuję rządy; wypełnijcie nakaz Nieba, zastąpcie mnie na tronie». — Wojewodowie Czterech Gór rzekli: «Będąc małej cnoty, zbezczesilibyśmy tron cesarski». — Rzekł cesarz: «Światłego wyprowadźcie na światło, niskiego pochodzeniem wzniescie». — Rzekli zgromadzeni cesarzowi: «Między gminem żyje mąż, imieniem Yü szun». — Cesarz rzekł: «Zaprawdę, słyszałem o nim. Kim on jest»? — Wojewodowie Czterech Gór rzekli: «Syn ślepeca. Ojciec był ciemny, matka kłótniwa, młodszy brat zarozumiała. Mocą swej synowskiej miłości nakłonił ich do zgody i powoli uszlachetnił, iż nie oddają się złości». — Rzekł cesarz: «Wypróbuję go. Córki dam mu za żony. Będę śledzić jego stosunek do tych niewiast». — Rozkazał obie córki wysłać nad rzekę Kuei i Żui, aby były żonami Yü. — Rzekł do nich: «Bądźcie posłuszne».

## 2. Bitwa pod Kan

Potęźnie walczyli pod Kan. (Cesarz) zawezwał sześciu dowódców i rzekł: «Hej, mężowie sześciu wojsk, zwracam się do was z wyjaśnieniem. Zarozumiałość Pana na Hu obraziła Naturę, jego głupota naraziła sobie Niebo, Ziemię i Ludzi. Niebo chce go zniszczyć i jego życiu kres położyć. Mnie zostało zlecone wykonanie ze czcią kary Nieba. Jeżeli wy z lewicy nie zaatakujecie na lewicy, to nie spełnicie moich rozkazów. Jeżeli wy z prawicy nie zaatakujecie na prawicy, to nie spełnicie moich rozkazów. Kierowcy wozów (wojennych)! Jeżeli konie nie pójdą wprost przed siebie, to nie spełnicie moich rozkazów. Posłusznych moim rozkazom wynagrodzę przed przodkami. Nieposłusznych ukarzę przed opiekunaczami bogami ziemi i zniszczę wraz z potomstwem».

UWAGA. Cały ustęp powyższy liczy w oryginale 88 sylab.

## 3. Mowa Czou-Fa do wojsk przed bitwą na polach Mu (obecnie prow. Honan)

UWAGA. Chou fa, późniejszy Wu wang (1122—1115), założyciel dynastji Czou, potężny książę udzielny, powstał przeciwko swemu suwerenowi, cesarzowi Szou, ostatniemu władcy dynastji Szang, okrutnikowi, znanemu z rozpustnego i hulaszczego życia, mężowi złej, lecz niezwykle pięknej Ta ki.

Z lewicą, wspartą na złotej siekierze bojowej, prawicą potrząsając białym sztandarem, którym podawał znak, rzekł król: «Zdaleka przybiegliście, mężowie Kraju Zachodniego. Hej, wy, książęta zaprzyjaźnionych państw, kierownicy spraw państwo-

Wszystkie przekłady, poza nielicznymi wyjątkami, zaznaczonymi w tekście, są dokonane przez dr. Bohdana Richtera. Tłumaczowi chodziło przede wszystkim o jak najwierniejsze oddanie oryginału, co, przy krańcowej rozbieżności sposobu wyrażania myśli przez Aryjczyków i przez Chińczyków, nastęrczało olbrzymie trudności, zwłaszcza, gdy chodziło o przekłady poezji chińskiej. Przełożone zostały niemal wyłącznie dzieła i pisarze, omówieni w «Literaturze chińskiej» tomu I «Wielkiej literatury powszechnej».

wych, ministrowie oświecenia, wojny i robót publicznych, dostojnicy niższych stopni, oficerowie straży przybocznej, tysięcznicy i setnicy, i wy, mężowie z Yung, Szu, Kiangi Mu, Wei, Lu, P'eng i Pu. Wzniescie kopje, połączcie tarcze, przygotujcie dziryty. Chcę do was przemówić». I rzekł: «Starożytni kierowali się sentencją, która brzmi: «Kura nie gładze rano, lecz gdy zagładze rano, to dom ulega zagładzie» (Aluzja do kobiety, rządzącej domem). Lecz oto król Szou z Szang kieruje się wyłącznie słowami swej żony. W zaślepieniu skasował ofiary należne przodkom i nie chce im za dobrodziejstwa się wywdzięczać. W zaślepieniu oddalił od siebie żyjących jeszcze stryjów i wujów. Tylko włóczęgów ze wszystkich czterech stron świata, winnych licznych zbrodni, czci i wynosi, ufa im, posługuje się nimi i mianuje ich wysokimi dostojnikami i urzędnikami, aby uciskali i gnębili sto rodzin (t. j. naród chiński) i przez swe intrygi zdradzali Szang. Teraz ja, Fa, chcę ze czcią wykonać karę Nieba...» (dalej idą opomnienia, jak się mają żołnierze zachować podczas bitwy).

## Z SZI KING'U

### 1. Piosenka przy pracy (jedna z najstarszych)

Rwijcie, rwijcie ziola te,	Rwijcie, rwijcie ziola te,
Hejże hej, rwijcie je.	Hejże hej, trzymajcie je.
Rwijcie, rwijcie ziola te,	Rwijcie, rwijcie ziola te,
Hejże hej, ciągnijcie je.	Hejże hej, łapcie je.
Rwijcie, rwijcie ziola te,	Rwijcie, rwijcie ziola te,
Hejże hej, chwycicie je.	Hejże hej, chowajcie je.

### 2. Poślanie

Proszę cię, o mój miły, nie chodź naszą wioską,  
 Nie wspinaj się na wierzbę, której strzegę z troską.  
 Ja ci miłości mojej darować nie mogę,  
 Wszak ojca czcić i matkę muszę, i czuć trwogę.  
 Jakżebyś, o mój miły, twoją była rada,  
 Lecz czyliż mi rodziców słuchać nie wypada?

Proszę cię, przez mur do mnie nie przełaz, mój miły,  
 Łamiesz mi morwę, którą dłonie me sadziły.  
 Ja ci miłości mojej darować nie mogę,  
 Wszak muszę starszych mych braci czcić i czuć trwogę.  
 Jakżebyś, o mój miły, twoją była rada,  
 Lecz czyż mi przestróg braci słuchać nie wypada?

Proszę cię, o mój miły, nie łam mojej kraty,  
 Wątle krzewy pod oknem mem depczesz i kwiaty.  
 Ja ci miłości mojej darować nie mogę,  
 Wszak muszę czuć przed ludźmi i obmową trwogę.  
 Jakżebyś, o mój miły, twoją była rada,  
 Lecz czyż mi obmów ludzkich bać się nie wypada?

*Tłum. Leopold Staff.*

### 3. Do kokietki

Co znaczą te kędziory włosów twoich lśniące,  
 W których mienią się złotych świecideł tysiące?  
 Pocoś uszy perłami sześcioma ubrała  
 I w złocie, jako góra, chodzisz ocieżała?



Gdy tak gęsty, jak obłok, twój włos hebanowy,  
 Pocóż cudze masz loki przyczepiać do głowy?  
 Z takim codziem przepychembyś się stroić rada,  
 Jak dama, która księciu czolobitność składa.  
 Tyle trwonisz materij ku szat swych ozdobie,  
 Ze mieniających barw trudno rozróżnić na tobie.

*Tłum. J. Świącicki.*

#### 4. Płochę dziewczęta

Tęcza ogniem na wschodzie połyska,  
 Nikt jej nie śmie pokazywać dłonią.  
 Młode dziewczki rzucają ogniska,  
 Od rodziców, od braci swych stronią!  
 A dlaczego? Bo za mężem gonia!

Gdy z zachodu łśni rankiem blask tęczy,  
 Słońce zaraz kark skręci deszczowi.  
 Dziewka młoda do świata się wdzieczy,  
 Już nie rada praojców domowi;  
 A dlaczego? Bo męża gdzieś łowi.

*Tłum. J. Świącicki.*

#### 5. Niecierpliwa

Śliwki strząśnięte,  
 Pozostało siedem. — —  
 Młodzi panowie —  
 Miłości nadszedł czas!

Śliwki strząśnięte,  
 Pozostało trzy. — —  
 Młodzi panowie —  
 Teraz bierzcie mnie!

Śliwki strząśnięte  
 Leżą wszystkie w koszach. — —  
 Młodzi panowie —  
 Teraz albo nigdy!

### LAO TSE

(ok. r. 600 przed. Chr.)

#### Z TAO TE KING'U

#### Aforyzmy o Tao

Tao, które może być określone jako Tao, nie jest prawdziwym Tao.

Ciche! puste! Samotne i bez zmian. Można je uważać za Matkę Wszechświata. Nie znam jego imienia. Oznaczam je znakiem Tao. Chcąc je określić, nazywam je Wielkiem.

Niewidzialne! Nieuchwytnie! A zawiera w sobie obrazy. Nieuchwytnie! Niewidzialne! A zawiera w sobie wszechrzeczy. Niezgłębione! Ciemne! A zawiera w sobie nasienie. Nasieniem tem jest Prawda.

Patrzę, lecz nie widzę. Nazywam je Niewidzialnem. Słucham, lecz nie słyszę. Nazywam je Bezgłośnem. Dotykam, lecz nie chwytam. Nazywam je Bezcielesnem. Tych trzech (własności) niepodobna rozdzielić. Są związane i tworzą Jedność.

Tao w swej wieczności jest Nienazwalne. Nazwy zjawiają się tam, gdzie się zaczyna tworzenie i porządkowanie.

Stosunek Tao do świata da się porównać do potoków górskich, wpadających do rzek i mórz (t. j. odżywiających je).

Wszystkie rzeczy tego świata powstają w Bycie. Byt (zaś) powstaje w Niebycie.

Bezimienne Tao jest początkiem świata. Imienne Tao jest Matką Wszechrzeczy. Jednego są pochodzenia, choć różnych imion. Ich jedność — to Wielka Tajemnica. A tajemniczy jeszcze głębsza Tajemnica jest Bramą Objawienia wszystkich sił.

Nieliczona ilość Istot rozwija się (po swojemu), lecz każda z nich powraca do swego korzenia. Powrót do korzenia — Cisza. Cisza — powrót do Przeznaczenia. Powrót do Przeznaczenia — Wieczność. Poznanie Wieczności — Mądrość.

Tao jest twierdzą wszystkich stworzeń, skarbem ludzi dobrych, ucieczką ludzi niedobrych.

Trzydzieści szprychów spotyka się w piaście. Pożyteczność kola polega na pustce w piaście (gdyż gdyby tej «pustki» nie było, to nie możnaby tam włożyć szprychów, a tem samym zrobić kola). Ugniata się glinę i robi z niej naczynia. Użyteczność naczyń polega na pustce w glinie. Aby powstał dom, dziurawi się ściany drzwiami i oknami. Użyteczność domu polega na pustce (w murach). Dlatego też: Istnienie daje własność (posiadanie). Nieistnienie daje użyteczność.

Niema na świecie całym nic miększego od wody, a jednak woda przewycięża nawet najtwardsze. Niczem nie można jej zastąpić. Że słabe przewycięża silne, że Miękkie przewycięża Twarde — każdy wie o tem, lecz nikt nie postępuje stosownie do tego.

Wielkie rzeki i morza królują nad wodami strumieni, ponieważ korzystają z niskiego położenia (t. j. strumienie wpadają do morza, a nie odwrotnie). Są królami wód, ponieważ korzystają z niskiego położenia. Tak też Świątobliwy: Gdy chce stać nad ludźmi, to w swych mowach stawia się pod nimi. Jeżeli chce stać na czele ludzi, to w duszy stawia się z tyłu za nimi... Ponieważ on nie walczy, więc nikt na świecie nie może z nim walczyć (gdyż do walki potrzeba dwóch).

Nie należy walczyć, działać, używać siły. Najmniejsze na ziemi zwycięża najtwardsze na ziemi. Niematerjalne wciska się nawet do ciał najściślejszych. Z tego można poznać wartość NIEDZIAŁANIA.

Tao nie działa, a jednak nie pozostawia niczego niezdziałaniem.

Chcieć świat opanować przez działanie: widziałem liczne próby, lecz żadna się nie udała. Świat jest czemś duchowym, oddziałać nań (siłą materjalną) nie można. Kto działa — psuje, kto trzyma — traci.

Nauczanie bez słów! Wartość niedziałania! Mało kto na ziemi to osiąga.

Świątobliwy powiada: Ja nie działam — naród sam przez się (mocą Tao) się zmienia. Ja miłuję spokój — naród sam przez się (tylko mocą Tao) zachowuje ład. Ja nie prowadzę spraw państwowych — naród się wzbogaca sam przez się. Ja nie mam pożądań — naród sam przez się staje się skromnym.

Czem więcej na świecie jest zakazów, tem bardziej biednieje naród. Czem więcej mają ludzie dostatków, tem więcej jest w państwie i w domu niepokojów. Czem więcej wydaje się przepisów i praw, tem więcej jest złodziei i rabusiów.

Niema większej winy, niż pochwalanie pożądań. Niema większego nieszczęścia, niż niewystarczanie samemu sobie.

Gdy Tao panuje na świecie, to wyścigowce wożą nawóz. Gdy Tao zaginie na świecie, to na polach uprawnych pasą się rumaki bojowe.

Kto zgodnie z Tao pomaga władcy, nie gnębi świata z bronią w ręku. Gdzie wojownicy przeszli, rosną tylko oset i ciernie. Za wielkimi armjami zawsze idą wślad złe czasy.

Lepiej jest cofnąć się o stopę, niż pójść naprzód o cal. Niema większego nieszczęścia, niż lekkomyślna zaczepka. Kto łatwo zaczepia, ten łatwo też traci swoje skarby (Tao). Gdzie dwa wojska, walcząc, nacierają na siebie, zwycięża to, które czyni to z ciężkiem sercem.

Nawet najpiękniejsza broń, to narzędzie nieszczęścia. Wszystkie stworzenia nie nawidzą jej. Broń, to narzędzie nędzników, a nie szlachetnych.

Człowiek świątobliwy nie ma serca dla siebie samego. On myśli i czuje za swój naród. Dla dobrych jestem dobry, dla niedobrych jestem również dobry, albowiem Cnota to Dobroć. Dla wiernych jestem wierny, dla niewiernych jestem również wierny, albowiem Cnota to Wierność. Świątobliwy żyje w ukryciu na świecie, lecz szeroko rozwiera serce dla całego świata. Wszyscy ludzie oglądają ku niemu i słuchają go. Świątobliwy traktuje ich jako swoje dzieci.

KONFUCJUSZ  
(554—479 przed Chr.)

Z AFORYZMÓW

1. Przeważnie z Lun yü

Cnota nie pozostaje nigdy osamotniona. Zawsze znajduje sąsiedztwo.

Czy ludzkość (jedna z największych cnót konfucjanistycznych) jest tak daleko? Jeżeli tylko chcę być ludzkim, to ludzkość jest tuż-tuż.

Czy ludzki (człowiek), gdy go zawiadomią, że człowiek wpadł do studni, skoczy za nim (na ratunek)? Nie. Da się namówić, aby tam pójść: lecz nie, aby się utopić.

Czy istnieje wyraz, którym możnaby się kierować całe życie? Mistrz (Konfucjusz) odparł: «Wzajemność. Czego nie chcesz, by tobie czyniono, tego nie czyn innym».

Lao tse uczy: «Za zło odpłacać dobrem». «Cobyś powiedział (Mistrzu), gdyby za niesprawiedliwość odpłacano dobrocią?» (zapytał razu pewnego jeden z uczniów Konfucjusza). Mistrz rzekł: «Czemżebyś w takim razie odpłacał za dobroć? Sprawiedliwością odpłacaj za niesprawiedliwość, a dobrocią za dobroć».

Gładka mowa, wymuskany wygląd, przesadna grzeczność... Wstydzę się ich. Mieć żal przeciwko komu, a równocześnie postępować z nim, jak z przyjacielem — i tego również się wstydzę.

Póki mam zwykły ryż za strawę, wodę za napój i własną, zgiętą rękę za poduszkę — mogę mimo to być szczęśliwym. Bogactwo i zaszczyty, nabyte nie na prawej drodze, dadzą się przyrównać tylko do szybko gnających chmur.

Kto się kieruje w rządach cnotą, da się przyrównać do gwiazdy polarnej. Pozostaje na swem miejscu, a wszystkie inne gwiazdy stosują się do niego.

Kieruj ludem przez prawa i rządz nim przez kary, to będzie się, nie uczuwając wstydu, od kar wywijać. Kieruj ludem przez cnotę i rządz przez dobre obyczaje, to odczuje wstyd i ponadto poprawi się.

Ludzie, którzyby kochali rodziców i starszych braci, a mimo to buntowali się przeciwko władzy — rzadcy są. Człowiek szlachetny uważa korzeń za rzecz główną. Gdy korzeń mocno się trzyma, to z niego wyrasta norma. Czyż miłość synowska i braterska nie jest korzeniem ludzi?

«Co jest podstawą rządzenia?» — pyta uczeń. «Dostateczne wyżywianie, dostateczna siła zbrojna i zaufanie narodu». — «Gdyby jednak trzeba było z jednej z tych trzech rzeczy zrezygnować?» — «Najłatwiej można obejść się bez siły zbrojnej». — «Którą z pozostałych dwóch możnaby w razie konieczności odrzucić?» — «Wyżywienie. Od niepamiętnych czasów śmierć była udziałem wszystkich ludzi, lecz bez zaufania żaden naród istnieć nie może».

Tse lu (ukochany uczeń) zapytuje, jak należy służyć duchom (bogom). «Ty jeszcze nie wiesz, jak należy służyć ludziom, jakżeż chcesz wiedzieć, jak należy służyć duchom».

(W podobny sposób odpowiedział Konfucjusz na pytanie o śmierci): «Życia jeszcze nie znasz, jakżeż chcesz znać śmierć?».

2. Z dzieła Czung yung

Porządek nieba nazywa się Naturą. Stosowanie się do Natury nazywa się Rozumem. Krzewienie Rozumu nazywa się oświecaniem. Rozum nie może być opuszczony ani na chwilę. Gdyby mógł być opuszczony, to nie byłby Rozumem.

## LIE TSE

(druga połowa w. V przed Chr.)

## Z KSIĘGI LIE TSE'GO

## 1. Podanie o podróżach króla Mu

Za czasów króla Mu, z dynastji Czou, przybył z najdaleszego zachodu Mag, który potrafił chodzić w ogniu i po wodzie, przenikać metale i kamienie, odwracać góry i rzeki, chodzić po powietrzu, nie padając, i uderzać o ciała stałe, nie znajdując oporu. Niezliczone przemiany potrafił uczynić w niewyczerpanej obfitości. Umiął też zmieniać tok myśli ludzkich.

Król Mu czcił go jak Boga i służył mu jak władcy. Na mieszkanie odstąpił mu własny pałac, sprowadzał zdaleka zwierzęta, by mu je złożyć w ofierze, wybrał śpiewaczki, by go rozrywały.

Lecz Magowi wydały się królewskie pokoje zbyt ubogimi, by w nich mieszkać, królewskie potrawy zbyt złowonnymi, by je spożywać, królewskie kochanki zbyt niezdarnymi, by się do nich zbliżyć.

Król Mu kazał dla niego wybudować nowy pałac. Roboty mularskie i ciesielskie, barwy malarzy i tapeciarzy — nie pozostawiały nic do życzenia. Lecz gdy gmach stanął pod dachem, skarbiec królewski był pusty. Pałac miał 100 sążni wysokości i był wyższy, niż szczyty Nan szanu. Nazwano go pałacem Środkowego Nieba.

Król wybrał najpiękniejsze i najwdzięczniejsze dziewice z Cz' eng i Wei, obdarzył je wonnościami, kazał brwi pięknymi łukami zakreślić, we włosy polecił wpiąć barwne szpilki, w uszy koleczyki. Odział w najcieńsze sukna, otulił śnieżnemi jedwabiami, rozkazał brwi poczernić, twarz ubielić, naramienniki z kosztownych kamieni nałożyć. Poczem dziewczęta udały się do nowego pałacu, gdzie śpiewały pieśni dawnych królów: «Zatrzymaj chmury», «Blask sześciokrotny», «Dziewięciokrotne harmonje», «Mgła poranna», aby Maga zabawić.

Każdego ranka znosił mu (król) najkosztowniejsze potrawy, co miesiąc najkosztowniejsze szaty.

Mag pozwalał sobie usługiwać i kontentował się tem, co mu dawano w braku czego lepszego. Po kilku dniach zaprosił króla na wspólną podróż. Król trzymał się jego rękawa. W ten sposób wzbili się w górę aż do środka nieba. Tu zatrzymali się, gdyż przybyli do pałacu Maga, zbudowanego ze złota i srebra, wysadzanego perłami i diamentami, wznoszącego się ponad chmury i deszcze. Nie było widać, na czym ten pałac spoczywa, zdumionemu wzrokowi wydawał się spiętrzonemi chmurami. Królowi widziało się, że przebywa w purpurowych głębiach miasta eterycznego, wśród harmonij sfer niebieskich, gdzie najwyższy bóg przebywa. Król spojrzął nadół — jego zamki i pałace wydały mu się kupkami ziemi i mierzwy.

To też pozostał (w pałacu Maga) kilkadziesiąt lat, nie myśląc więcej o swem państwie. Pewnego dnia Mag znów zaproponował królowi wspólną podróż. W miejscowości, do której przybyli, nie mieli nad sobą ani słońca, ani księżyca, a pod sobą ani rzek, ani mórz. Świetlanych postaci, które się ukazywały, nie mogły olśnione oczy królewskie rozemnać. Dźwięków, które się wkoło rozlegały, nie mogły oszołomione uszy królewskie rozpoznać. Bliski omdlenia, poprosił król Maga, aby wracali. Mag dotknął go — i królowi się zdało, że leci w przepaść.

Gdy odzyskał przytomność — siedział (w swoim własnym pałacu) na tem samym miejscu (przy stole), co przed podróżą. Usługujący lokaje byli ci sami, co poprzednio, kubki jeszcze nie były opróżnione, a i potrawy jeszcze nie wystygły. Na pytanie królewskie, co się stało, odpowiedzieli dworzanie: «Wasza Królewska Mość raczyła chwilkę siedzieć w milczeniu».

## 2. Konfucjusz i chłopcy

Mistrz K'ung wędrował na wschód. Naraz spostrzegł dwóch małych chłopców, którzy sprzeczały się z sobą. Zapytał więc o powód. Jeden z chłopców rzekł: «Gdy

słońce wschodzi, jest bliżej ziemi, w południe jest bardziej oddalone». Drugi z chłopców powiedział: «Gdy słońce wschodzi, jest dalej, w południe jest bliżej». Pierwszy chłopiec rzekł: «Gdy słońce wschodzi, jest tak duże, jak koło od wozu; w południe zaś — jak talerz. To, co jest dalsze, wydaje się mniejsze; to, co jest bliższe, wydaje się większe. Czy tak nie jest?». Drugi chłopiec na to: «Gdy słońce wschodzi — jest zamglone i chłodne, w południe grzeje, jak wrząca woda. To, co jest bliższe — jest gorętsze; to, co jest dalsze — jest zimniejsze. Czyż nie tak?». Mistrz K'ung nie umiał tej kwestji rozstrzygnąć. Obaj chłopcy zaczęli się śmiać i powiedzieli: «Kto będzie teraz twierdzić, że ty dużo wiesz?».

CZUANG TSE  
(IV w. przed Chr.)

Z KSIĄG CZUANG TSE'GO

1. Czuang tse i wysłańcy królewscy

Czuang tse łowił ryby nad rzeką Pu. Król Czu posłał do niego dwóch wysokich urzędników, (aby mu powiedzieli), że pragnie mu powierzyć uporządkowanie swego państwa. Czuang tse, nie popuszczając wędki z rąk i nie odwracając się (do posłów), rzekł: «Słyszałem, że macie w Czu zółwia, który umarł 3000 lat temu. Król trzyma go, owiniętego w biały jedwab, w kapliczce, która stoi w świątyni. Jak myślicie — coby te zółw wolął: być martwym i cieszyć się taką czcią, czy też żyć i ciągnąć swój ogon za sobą po błocie?». Obaj urzędnicy odrzekli: «Wolałby prawdopodobnie żyć i ciągnąć swój ogon za sobą po błocie». Czuang tse na to: «Idźcie, i ja wolę ciągnąć swój ogon za sobą po błocie».

2. O Tao

Oto jest Tao: Dobrotliwe i wierne; nie wyraża się w czynnościach i nie posiada zewnętrznego kształtu; można je udzielić innym, lecz nie można go ująć; można uzyskać, lecz nie można zobaczyć. Jest niepoczęte, jest samo sobie korzeniem. Istniało przed wiecznością, zanim były Niebo i Ziemia. Duchom i bogom duszę udziela. Stworzyło Niebo i Ziemię. Istniało przed wiekami, a nie jest wielkie. Jest poza przestrzenią, a nie jest głębokie. Poprzedzało powstanie Nieba i Ziemi, a nie jest stare. Jest starsze od najstarszej starożytności, a nie jest zgrzybiałe.

3. Rozmowa z czaszką

Razu pewnego spostrzegł Czuang tse przy dródze pustą czaszkę, która całkiem już zbielała, lecz zachowała jeszcze w zupełności swój kształt. Dotknął jej swą szpicrutą i tak począł mówić: «Czyżeś zboczyła ze ścieżki rozsądku, gnana żądzą użycia, że jesteś w tem położeniu? Lub może doprowadziłaś do upadku jakie państwo i pod toporem dokonałaś żywota, że jesteś w tem położeniu? A może występny trybem użycia sprowadziłaś hańbę na ojca i matkę, na żonę i dzieci, że jesteś w tem położeniu? Albo może zginęłaś od zimna i głodu, że jesteś w tem położeniu? Lub może dlatego jesteś w tem położeniu, że życia wiosna i jesień ci się skończyły?»

Gdy te słowa wyrzekł, wziął czaszkę pod poduszkę i zasnął. O północy zjawiała mu się czaszka we śnie i rzekła: «Mówiłeś jak gaduła. Wszystko, o czem wspominałeś, to troski li tylko żyjącej ludzkości. Po śmierci niema nic podobnego. Lecz może chciałbyś usłyszeć kilka słów o śmierci?» — Czuang tse odparł: «Tak». — Czaszka rzekła: «Po śmierci niema ani książąt, ani sług, ani zmiany pór roku. Pozwalamy się unosić. Nasza wiosna i jesień są ruchami Nieba i Ziemi. Nawet szczęście króla na tronie nie da się porównać z naszym». Czuang tse nie uwierzył jej i powiedział: «Gdybym pana losów mógł ubłagać, aby twoje ciało znów do życia przywrócił, aby ci znowu dał mięso

i kości, skórę i mięśnie, aby ci zwrócił ojca i matkę, żonę i dzieci, i wszystkich przyjaciół i sąsiadów — to czy zgodziłabyś się na to?» Czaszka popatrzyła swemi pustemi oczodołami, zmarszczyła czoło i rzekła: «Jakżebym mogła odrzucić me szczęście królewskie, by znowu wziąć na siebie wszystkie troski świata człowieczego?»

#### 4. Motyl

Razu pewnego śniło mi się, że ja, Czuang Czou, jestem motylem, przelatującym z kwiatka na kwiatek, i że myślałem i czyniłem to wszystko, co myśli i czyni prawdziwy motyl. O tem, że jestem Czuang Czou nie wiedziałem zupełnie. Naraz obudziłem się i byłem znowu sobą. I teraz nie wiem, czy Czuang Czou we śnie jest motylem, czy też motyl we śnie jest Czuang Czou. A jednak między Czuang Czou i motylem musi być przecież jakaś różnica. To się nazywa przemianą istot.

---

### HAN FEI TSE

(um. 233 przed Chr.)

#### Z KSIĘGI HAN FEI TSE'GO

##### 1. Liście z kości słoniowej

Pewien człowiek spędził trzy lata na wycinaniu z kości słoniowej liścia tak pięknej i dokładnej roboty, że mógł leżeć nierozpoznany w kupie prawdziwych liści. Lże tse (słyszając o tem) rzekł: «Gdyby najwyższy władca spędzał trzy lata nad każdym liściem, to obawiam się, że drzewa byłyby ich pozbawione».

##### 2. Miłość synowska

Mi Tse hia był bardzo przywiązany do księcia Wei. W tem księstwie istniało prawo, skazujące każdego, kto by tajemnie korzystał z pojazdów książęcych, na ucięcie obu nóg. Razu pewnego matka Mi Tse hia zachorowała. Gdy doniesiono o tem synowi, natychmiast wsiadł do powozu książęcego i pojechał do matki. Gdy się książę o tem dowiedział, całkowicie (jego postępowanie) pochwalił i powiedział: «To jest prawdziwa miłość synowska. Dla matki naraził się na utratę obu nóg».

---

### MENCJUSZ

(372—289 przed Chr.)

#### Z KSIĘGI MENG TSE'GO

##### 1. Rozmowa z królem Hui z Liang

Król Hui z Liang rzekł: «Czcigodny Starcze, skoro ci tysiąc mil nie było za dużo, aby tu przybyć, to zechcesz przynieść (pewne) korzyści mojemu państwu». Meng tse odrzekł: «Dlaczego, o królu, musisz zaraz mówić o korzyściach. Przecież istnieje również ludzkość i sprawiedliwość, i te powinny starczyć. Jeżeli król się pyta: «Jak przynieść korzyści swemu państwu?», to magnaci zapytają: «Jak przynieść korzyści swemu domowi?», a urzędnicy i lud zapytają: «Jak przynieść korzyści swojej osobie?». Jeżeli książęta i lud będą toczyć spory o korzyści, to państwo będzie w niebezpieczeństwie. Kto w państwie (rozporządzającym) 10000 wozów bojowych zamierza zabić jego księcia, musi rozporządzać przynajmniej 1000 wozów bojowych. Kto w państwie (rozporządzającym) 1000 wozów bojowych zamierza zabić jego księcia, musi rozporządzać przynajmniej 100 wozami. 1000 na 10000, 100 na 1000 jest bardzo znaczną siłą. Kto sprawiedliwość stawia na drugim planie, a korzyści wysuwa

na pierwszy, nie znajdzie zadowolenia bez przemocy. Ale nie było jeszcze człowieka ludzkiego (w znaczeniu konfucjanistycznym, gdzie «ludzkość» jest jedną z cnót kardynalnych), któryby opuścił (w potrzebie) bliźniego swego, ani człowieka sprawiedliwego, któryby swego księcia stawiał po sobie. Powiedz więc również, o królu: «Ludzkość i sprawiedliwość», i na tem przestań. Dlaczego mówić o korzyściach?»

## 2. Jak pozyskać władzę?

Meng tse rzekł: «Gdy król uszczęśliwia lud ludzkimi rządami, zmniejsza podatki i cła, zmniejsza kary cielesne i pieniężne, tak, że lud ma możność głęboko orać i starannie pleć, a mężowie w sile wieku używają swych wolnych dni, aby oddawać się miłości synowskiej i braterskiej, wierności (względem przyjaciół) i szczerości, aby w domu służyć swym ojcom i starszym braciom, a poza domem starcom i przelozonym — wtedy może król kazać żołnierzom swym uzbroić się (tylko w kije) i z niemi walczyć zwycięsko ze zbrojnymi w mocne pancerze i ostre miecze wojskami państw Ts'in i Cz'u. Lecz książęta (współcześni) rabują swym ludom czas, nie dają im ani siał, ani pleć, aby mogli wyżywić swych rodziców, tak, że ci muszą znosić głód i chłód, a bracia, małżonkowie i dzieci są rozłączone. Książęta ci doprowadzają swe państwa do upadku. Przedsięweź, o królu, ich ukaranie (postępując w myśl moich rad), i nikt w całym państwie ci się nie oprze. Wszak powiedziane jest: «Miłujący ludzi nie ma wrogów». Proszę Cię, o królu, nie wątpij o tem».

## 3. Podstawy dobrych rządów

Czie i Czou utracili tron, ponieważ utracili lud, co znaczy, że utracili zaufanie ludu. Ażeby pozyskać sobie lud, należy pozyskać sobie jego zaufanie. To można uczynić, dostarczając ludowi wszystkiego, czego potrzebuje, a nie tego, czego nienawidzi.

## 4. Rozprawa z filozofami Yang czu i Mo ti

Nauki Yang czu i Mo ti wypełniają całe państwo. Jeżeli kto nie jest uczniem pierwszego, to jest uczniem drugiego. Lecz egoistyczna nauka Yanga nie uznaje władców, cały świat obejmująca nauka Mo nie uznaje rodziców. A przecież, kto nie ma ani władcy, ani ojca, jest dzikiem zwierzęciem. Jeżeli rozpowszechnianie nauk Yanga i Mo nie będzie powstrzymane, jeżeli nauka Konfucjusza nie będzie propagowana, to fałszywe teorie omamią lud, i ludzkość i sprawiedliwość zaginie. Dzikie zwierzęta zaczną wkrótce pożerać ludzi, i ludzie zaczną pożerać się wzajemnie. Jestem zaniepokojony temi sprawami i zwracam się do nauk mędrców starożytnych, by się przeciwstawić naukom Yanga i Mo.

SÜN TSE

(205—235)

Z KSIĘGI SÜN TSE'GO

Człowiek jest od przyrodzenia zły. Jeżeli człowiek jest dobry, to jest to wynikiem sztucznym. W rzeczy samej natura ludzka jest od samego początku kierowana chęcią zysku. Ten zysk stara się uzyskać ze wszystkich sił, bez żadnych względów na bliźnich. Wrodzonym uczuciem natury ludzkiej jest także zazdrość i nienawiść. Dlatego stara się zniszczyć innych, ludzkość i sprawiedliwość są deptane. Zaraz po urodzeniu opadają go pożądania przez oczy i uszy. Posłuszny naturze, człowiek popelnia ekscesy i zbacza z drogi obowiązku i prawa.

Że ludzie chcą być dobrymi, pochodzi stąd, że od natury są zli. Chudy chce być grubym, brzydki — pięknym, człowiek małego serca — wspaniałomyślnym, biedny — bogatym, plebejusz — arystokratą. Czego nie noszą w samych sobie, chcą koniecznie nabyć z zewnątrz.

Krzywe drewno, aby się wyprostować, potrzebuje ekierki i gorąca. Tępy metal, aby stać się ostrym, potrzebuje oselki. Ponieważ natura ludzka jest zła, więc potrzebuje do swego wyprostowania nauk nauczycieli, do swego wyostrzenia (przepisów) przyzwoitości i sprawiedliwości.

Jeżeli się kto spyta, jak powstały przyzwoitość i sprawiedliwość, skoro natura ludzka jest zła, to odpowiedź brzmić będzie: Przyzwoitość i sprawiedliwość zostały sztucznie wyhodowane przez mędrców, lecz niema ich w naturze ludzkiej. Tak, gdy garncarz ulepi garnek z gliny, to garnek zawdzięcza swe powstanie sztuce majstra, a nie naturze gliny.

## MEI TI

(480—400 przed Chr.)

### Z KSIĄG MEI TIEGO

#### 1. O potrzebie powszechnej miłości

Gdy mędrzec zbada, skąd powstaje zło, to okazuje się, że z braku wzajemnej miłości... Syn kocha samego siebie, lecz nie kocha swojego ojca; dlatego też szkodzi swemu ojcu, byle przynieść pożytek sobie. Młodszy brat kocha samego siebie, lecz nie kocha starszego brata; dlatego też szkodzi starszemu bratu, byle przynieść sobie pożytek. Poddany kocha samego siebie, lecz nie kocha swego księcia; dlatego też szkodzi swemu księciu, byle przynieść pożytek sobie...

Ojciec kocha samego siebie, lecz nie kocha swojego syna; dlatego szkodzi swemu synowi, byle przynieść pożytek sobie. Starszy brat kocha samego siebie, lecz nie kocha młodszego brata; dlatego też szkodzi młodszemu bratu, byle przynieść pożytek sobie. (I t. d., i t. d., i t. d.)...

Dlaczego tak się dzieje?

Dzieje się tak dlatego, że oni wszyscy wzajemnie się nie kochają... Gdyby złodzieje miłowali okradanych, jak siebie samego, to któżby kradł? Złodziejeby zniknęli. Gdyby książęta obce państwa miłowali, jak swoje własne, gdzie byłby powód do wojen? Gdyby dało się w całym świecie wprowadzić miłość powszechną, państwa nie napadałyby więcej na siebie, w rodzinach nie byłoby starc, złodzieje zniknęliby, książęta i poddani, rodzice i dzieci byłiby uprzejmi i wyrozumiali, świat cały byłby lepszy... Miłość bliźniego należy pobudzać wszelkimi siłami.

#### 2. Nadmierny zbytek

Niegdyś lud nie znał pałaców; mieszkał na pagórkach, w jaskiniach, gdzie wilgoć szkodziła zdrowiu ludu. Oto dlaczego mądrzy władcy polecieli budować domy i zarządzili, co następuje: wysokość (domów) będzie wystarczająca do usunięcia wilgoci; ściany będą wystarczające do ochrony od wiatru i zimna; dach musi wystarczyć do ochrony przed śniegiem, szronem, deszczem i rosą; ściany wewnętrzne będą dostatecznie wysokie, by oddzielić mężczyzn od kobiet. Po osiągnięciu tych wyników należy się zatrzymać. Ponieważ dalsze wydawanie bogactw i marnowanie sił (na budowę) nie da dalszych korzyści (t. j. lepszej ochrony od zimna i t. d.), więc nie należy tego czynić. Dlatego też mądrzy królowie budowali domy dla wygody mieszkańców, lecz nie budowali ich dla ładnego widoku lub dla przyjemności. Robili ubrania, pasy i nakrycia głowy dla wygody ciała, lecz nie dla mody.

#### 3. Duchy

Duchy bezwzględnie nie istnieją, gdyż, gdyby istniały, to czy nie pouczałyby i nie karałyby od świtu do nocy ludzi pod niebem? (por. nasz zwrot «pod słońcem»). Jeżeli wierzyć, że duchy mogą nagradzać mądrość i karać przestępstwa, to dlaczego jest pod niebem tyle niesprawiedliwości?



## YANG CZU

(V—IV w. przed Chr.)

## Z KSIĘGI YANG CZU

## 1. Wartość życia

Yang czu rzekł: Cały świat podziwia Szuna, Yü, Czou i Konfucjusza. Cały świat pogardza Czie i Czou. (Oczywiście obaj ci Czou są zupełnie różnymi osobami).

Szun orał i robił garnki. Jego cztery członki nie znały chwili wypoczynku, jego podniebienie nie znało smacznych rzeczy, jego brzuch nie był nigdy pełny. Rodzice przestali go kochać, bracia i siostry przestały dbać o niego. Dopiero po ukończeniu trzydziestego roku życia poprosił rodziców o pozwolenie ożenienia się. Gdy Yao ustąpił mu tronu, był już starcem, jego rozum był przyćmiony, jego syn był nicponiem, tak, że oddał tron Yü i prowadził nędzny żywot aż do końca... (Dalej idą podobne opisy nędznego życia Yü, Czou i Konfucjusza)...

Wszyscy ci święci mężowie nie mieli w całym życiu ani jednego dnia radośnego. Ich sława pośmiertna będzie trwała przez 10.000 pokoleń, lecz oni sami nie będą z niej mieli żadnej realnej korzyści. Choć ich wysławiają — oni nic o tem nie wiedzą. Choć ich (pośmiertnie) — nagradzają — oni nic o tem nie wiedzą. Nie dadzą się odróżnić od pnia drzewnego, albo od kupy gliny.

Czie natomiast odziedziczył rozległe państwo i był otoczony blaskiem tronu. Miał dosyć rozumu, by trzymać w ryzach swoich urzędników, i dosyć władzy, by się go bano w całym państwie. Oddawał się całkowicie rozkoszom uszu i rozkoszom oczu. Zaspokajał wszystkie swoje najbardziej nawet fantastyczne zachcianki i był szczęśliwy aż do samej śmierci.

Czou również odziedziczył rozległe państwo i był otoczony blaskiem tronu. Potęga jego była tak wielka, że mógł czynić, co chciał, że mógł zaspokoić każdą zachciankę. Ku zadowoleniu swych namietności spędzał całe noce na hulankach ze swemi konkubinami. Nic sobie nie robił z uświęconych obyczajów i ze swoich obowiązków i żył szczęśliwie, póki go nie zabito.

Ci dwaj nicponie za życia mieli możność zaspokajania wszystkich swoich zachcianek i dopiero po śmierci zostali napiętnowani jako głupcy i ciemężyciele. Lecz oni sami nie mieli z tego żadnej realnej przykrości. Choć ich (obecnie) lżą — oni o tem nie wiedzą. A gdyby ich (nawet) chwalono — oni o tem teżby nie wiedzieli. Nie dadzą się odróżnić od pnia drzewnego, albo od kupy gliny.

Tamci czterej święci mężowie, aczkolwiek są obecnie przedmiotem powszechnej adoracji, znosili przez całe swoje życie nędzę, a potem umarli, jak wszyscy inni ludzie. Ci dwaj nicponie, aczkolwiek są przedmiotem powszechnej pogardy, przez całe swoje życie byli szczęśliwi i potem umarli, jak wszyscy inni.

## 2. Życie i śmierć

To, czem się różnią wszystkie stworzenia — to życie. To, w czem są sobie równe wszystkie stworzenia — to śmierć. W życiu mamy mędrców i głupców, magnatów i biedaków — w życiu jest różnorodność. W śmierci mamy butwiejące kości, rozkład i zniszczenie — w śmierci jest równość. Dziesięcioletni umierają tak samo, jak stuletni, dobrzy i święci — tak samo, jak zli i głupi. Ci, co za życia byli Yao i Szunami, są po śmierci butwiejącymi kośćmi. Ci, co za życia byli Kie i Czou'ami — są po śmierci butwiejącymi kośćmi. Wszystkie butwiejące kości są do siebie podobne. Któż więc potrafiłby ich odróżnić? Dlatego też: cieszymy się życiem! Co nas obchodzi, co będzie po śmierci?!

HUI TSE  
(380—300 przed Chr.)  
Z KSIĘGI SOFISTY

Największe, które już niema nic większego nad sobą, jest poprostu «Wielkie». Najmniejsze, które już nic mniejszego nie może w sobie zawierać, jest poprostu «Małe».

Niebo jest tak samo niskie jak ziemia (dla obserwatora z zaświatów). Góra jest równie równa jak bagno.

Każde stworzenie jest tak samo żywe, jak martwe (zależnie tylko od czasu obserwacji).

Jeżeli dziś docieram po raz pierwszy do jakiejś miejscowości, to byłem już tam uprzednio (w myślach, gdyż gdybym tam myślał nie był i tego celu podróży sobie nie wyznaczył, tobym nie mógł tam jechać).

W jajku są pióra (skoro z niego wychodzi upierzone kurczę).

Psa możnaby równie dobrze nazwać baranem (bo sama nazwa nic nie znaczy).

Żaba ma ogon (jako kijanka).

Ogień nie jest gorący (dla siebie samego).

Góra ma usta (echo).

Oczy nie widzą (widzi cały człowiek, gdyż oczy, wyjęte z głowy, nie widzą).

Żółw jest dłuższy od węża (co do wieku).

Biały pies jest czarny (w źrenicach).

Osierocone ciele nigdy nie miało matki (bo póki ją miało, to nie było osierocone).

Gdyby pręt długości stopy przepoławiać chociażby codziennie, to jednak nigdy nie dojdzie się do końca.

K'Ü YÜAN  
(332—295 przed Chr.)

POEZJE

1. Z Li sao

Cesarz Kao-yang był moim przodkiem,  
Mój czcigodny ojciec nazywał się Peyung.  
Gwiazda Szi-ti świeciła na wschodzie,  
Gdym zstąpił na ten świat w epoce Keng-yin.

Moich narodzin dzień zważywszy,  
Piękne imiona dał mi ojciec.  
«Prawem» (Czeng tse) mnie nazwał  
I «Sprawiedliwości mistrzem» (Ling kün).

Choć liczne i szlachetne zdobyły mnie cnoty,  
Staralem się nauką stale je pomnażać.  
Andzeli kwiaty zbierał nad wodami,  
Ze storczyków jesiennych tkalem sobie pasek.

Śpieszyłem bez wytchnienia — strumieniom podobny,  
W obawie, że mi życia może nie wystarczyć.  
Na górach Pi magnolje zrywałem co ranka,  
Wiecznie zielone ziele na wyspach — co nocy.

Dworzanie się złączyli, ażeby mnie wygnąć,  
Aby mnie prześladować, jako zwierzę dzikie.

Nie smucę się tem w sercu, choć starość mnie goni,  
Choć imienia swego dzieciom nie przekażę.

Dni, miesiące przechodzą jedne za drugimi,  
A po wiosnie zawsze przyjsć też musi jesień.  
Schnie trawa, liście z drzew padają pożółkłe,  
Mroczny wieczór nadchodzi, nim kochanka przyjdzie.

(Kwiaty — to cnoty poety. Wiecznie zielone ziele — to niezmienna jego wierność względem suwerena. Kochanka — to król, który go wreszcie — «mrocznym wieczorem» — do siebie przywoła).

## 2. Z «Dziewięciu pieśni»

Ducha gór widziałem, w szacie z wislarji,  
Przepasanego bluszczem, z uśmiechem na ustach,  
I spojrzaniem przebiegłem.  
Stał wtył przechylony na wozie wojennym,  
Zaprzężonym w panlery, z rysiami we świcie.  
Z kasją miast sztandaru.  
Suknią mu storczyki, a azalje pasem.  
Kwiatów jego zapach słodki w mej pamięci  
Pozostał na zawsze.

## Z TSO CZUAN'U

... W bitwie, która się w następstwie wywiązała, pewien wóz wojenny księstwa Czin utknął w głębokiej szczelinie i nie mógł ruszyć. Wobec tego żołnierz księstwa Cz'u poradził woźnicy zdjąć (ciężką) podstawę do broni. To ulżyło trochę, lecz konie mimo to przebierały kopytami w miejscu (i nie mogły ruszyć). Wtedy żołnierz poradził, aby zdjąć z wozu drążek sztandarowy i użyć go jako dźwignię. Wóz rzeczywiście został wydobyty. «Ah» — rzekł woźnica — «my nie wiemy tyle o sposobach uciekania, co ludzie waszego czcigodnego kraju».

(W r. 587 przed Chryst.) król Czuang z Cz'u obległ stolicę Sung. Miał żywności tylko na siedm dni i po upływie tego czasu, gdyby się miasto nie poddało, miał zamiar od oblężenia odstąpić. Dlatego też wysłał jednego ze swych wodzów z poleceniem wdarcia się na mury i zbadania, w jakim stanie znajdują się oblężeni. Tak się zdarzyło, że w tym samym czasie i oficer armji Sung wyszedł na mury, i że się tam spotkali. «Jak stoją sprawy w waszem państwie?» — zapytał wódz (z Cz'u). «Oh, źle» — odparł oficer. — «Jesteśmy zmuszeni do zabijania dzieci na żywność i do rąbania ich kości na opał». — «To jest w rzeczy samej źle» — rzekł wódz. — «Słyszałem, że, karmiąc konie kęsami odejmowanymi od ust, utrzymujecie kilka tłustych na pokaz dla przybyszów. Co za duch panuje u was!». — Na to odparł oficer: «Ja zaś słyszałem, że człowiek szlachetny, patrząc na nieszczęście innych, jest pełen współczucia, gdy człowiek gminny — cieszy się. W panu poznaję człowieka szlachetnego i dlatego opowiadam mu naszą historję (szczerze)». — «Bądźcie dobrej myśli» — rzekł wódz — «my też mamy żywności tylko na siedm dni, i dlatego będziemy zmuszeni cofnąć się, jeżeli nie zdobędziemy miasta do tego czasu». — Poczem wódz skłonił się i powrócił, by zdać sprawę (z tego, co słyszał) swemu władcy. Ten rzekł: «Musimy więc zdobyć miasto, zanim będziemy zmuszeni odejść». — «Kiedy ja powiedziałem ich oficerowi, że my mamy żywności tylko na siedm dni». — Król Czuang strasznie się rozgniewał, lecz wódz jego rzekł: «Jeżeli takie małe państewko, jak Sung, ma tak prawdomównych oficerów, to czy (wielkie) państwo Cz'u nie powinno też ich posiadać?» — Król chciał mimo to pozostać, lecz generał zagroził porzuceniem go, i w ten sposób pokój zapanał między obu państwami.

## SE MA TS' IEN

(145?—86? przed Chr.)

## Z SZI KI

Okres pomyślności za dynastji Han.

Cesarstwo cieszyło się pokojem. Lud opływał w dostatki, jeżeli nie liczyć rzadkich klęsk powodzi i suszy. Zarówno śpichrze państwowe, jak i skarbiec państwowy, były pełne. W stolicy sznury monet (chińskie monety mają w środku otwór i są nawlekane na sznury) były dziesiątkami tysięcy odkładane, aż sznury butwiały, pieniądze się rozsypywały, i nikt nie wiedział, ile ich jest. Zboże w państwowych śpichrzach (przeznaczone jako rezerwa na wypadek klęski głodu) rok rocznie tęchło i wysypywało się z przepelnionych śpichrzów, stając się niezdatnym do jedzenia. Ulice były zatłoczone koniami, należącymi do ludu, po gościńcach biegały całe stada, tak, że powszechne używanie koni musiało być zakazane. Starcy po wsiach jedli najlepsze zboże i mięso. Małe urzędy państwowe przechodziły z ojca na syna, a nazwy wyższych przybierano jako nazwiska rodowe. Powszechne było poczucie własnej godności i poszanowanie prawa, a ludzkość i poszanowanie więzów rodzinnych i przyjacielskich chroniły lud od występku i hańby.

Lecz pod łagodnymi prawami bogaci poczęli używać swych dóbr dla zaspokojenia próżności, powiększenia swej władzy i uciskania ludu. Członkowie rodu cesarskiego otrzymali olbrzymie nadania w ziemi. Wszyscy, od najwyższych do najniższych, szli w zawody ze swoimi sąsiadami w wydawaniu pieniędzy ponad stan na domy, umeblowanie i ubranie zbyteczne.

Nastąpiły przygotowania wojskowe na wielką skalę w różnych częściach państwa. Ustanowiono stosunki handlowe z barbarzyńcami południowego zachodu. W tym celu przeprowadzono gościńce i poprzebijano góry na przestrzeni wielu mil.

## WANG CZUNG

(27—98)

## Z LUNG HENG

## O duchach

Zmarli nie stają się bezcielesnymi duchami, nie posiadają świadomości życia, nie mogą nikomu szkodzić. Przecież zwierzęta nie stają się po śmierci duchami. Dlaczego człowiek miał być wyjątkiem i podlegać tej metamorfozie? Życie świadome zawdzięcza człowiek przy urodzeniu sile witalnej, która przy śmierci wygasa. Ciało wtedy gnije i staje się prochem. W jaki sposób ma się stać duchem? Siła witalna staje się świadomym życiem ludzkim w ten sam sposób, jak woda staje się lodem. Lód topnieje i staje się zpowrotem wodą. Człowiek umiera i powraca do stanu fluidu witalnego. Śmierć przypomina gaśnięcie ognia. Gdy ogień gaśnie, światło przestaje świecić. Gdy człowiek umiera, jego duch przestaje odbierać wrażenia. Natura ognia i człowieka jest taka sama. Błędne jest mniemanie, że ludzie mają po śmierci świadomość życia. Duchy ludzie widzą niezmiennie w formie ludzkiej, i to jedno już wystarcza, by twierdzić, że te zjawy nie mogą być duchami ludzi zmarłych. Wór napełniony ziarnem będzie stać i będzie widomie worem ziarna. Lecz jeżeli wór się podrze i ziarno się z niego wysypie, to wór opadnie i trudno go będzie dostrzec. Duch ludzki wypełnia ciało, jak ziarno wór. Gdy człowiek umiera, ciało się rozkłada i duch się rozprasza. Gdy się ziarno wysypie, wór traci swój kształt. Dlaczego miałoby ciało, gdy je siła witalna opuściła, otrzymać nowy kształt i ponownie zjawić się na ziemi? Ilość ludzi, którzy umarli od czasu powstania świata, wynosi z pewnością tysiące milionów i bardzo znacznie przewyższa ilość ludzi żyjących obecnie. Gdyby każdy ze zmarłych zo-

stał bezcielesnym duchem, toby na każdy metr drogi, którą idziemy, wypadł przynajmniej jeden duch. I ci, co umierają obecnie, stanęliby (po śmierci) oko w oko z niezliczonymi tłumami duchów, wypełniających każdy dom, każdą ulicę. Jeżeli te duchy mają być duchami zmarłych ludzi, to powinny zawsze zjawiać się nago. Gdyż trudno jest przecież przypuścić, żeby duchy nosiły ubrania tak, jak ludzie.

## Z L I K I

W służbie rodziców myją się synowie przy pierwszym pianiu koguta, płócą usta, czeszą się, owijają włosy wstęgą, wpinają szpilki, związują włosy mocno, otrzepują je, wkładają kapelusz, zawiązując wstęgi kapelusza i puszczać wolno końce wstęg. Następnie wdziewają luźną suknię i skórzane nagolenniki, opasują się pasem i wkładają za pas tabliczki do notatek. Z lewej i prawej strony przymocowują przybory «paskowe» (cudzyśłów tłumacza): na lewo chustkę do nosa, ręcznik, nóż, mały haczyk, osetkę i metalowe lustro wklęsłe. Na prawo: pierścień i naramiennik (potrzebny przy strzelaniu z łuku), pochwę do noża, haczyk rogowy (do rozwiązywania węzłów) i drewniany świderk do rozniecania ognia. Poczem obwijają sobie tydki, wzuwają trzewiki i przywiązują je sobie.

Żony (synów) służą swym teściom, jakby służyły swym rodzicom. Przy pierwszym pianiu koguta myją się wszystkie, płócą usta, czeszą się, obwijają włosy wstęgą, wpinają w nie szpilki, mocno związują włosy i wkładają suknię i pasek. Na lewo na pasku wiszą: chustka do nosa, ręcznik, nóż, osetka, mały haczyk i metalowe zwierciadło wklęsłe. Na prawo: igielnik, nici i jedwab; w haftowanym woreczku: duży haczyk rogowy i duży haczyk drewniany, świderk do rozniecania ognia. Poczem wkładają naszyjnik z perfumowanymi poduszczkami i wzuwają, przywiązując je sobie, trzewiki.

Poczem udają się (wszyscy) tam, gdzie się znajdują rodzice i teściowie. Przybywszy tam, zapytują ich, wstrzymując oddech, serdecznym głosem, czy aby ich suknie są dostatecznie ciepłe. Jeżeli są niezdrowi lub odczuwają ból, jeżeli ich co swędzi lub gryzie, to głaszczą i drapią ich ze czcią. Jeżeli (rodzice) wychodzą lub wchodzą, to podpierają ich ze czcią, idąc z przodu lub z tyłu. Gdy dzieci wnoszą wodę (do mycia dla rodziców), to młodsze niosą umywalnię, starsze zaś wodę. Poczem zapytują ze czcią, czy mogą nalać wodę, a gdy mycie jest skończone, podają im ręcznik. Następnie dowiadują się, jakie są ich życzenia, i starają się je ze czcią wypełnić. Czynią to z uprzejmym wyrazem twarzy, aby się im przypodobać. Krupnik z ryżu, z prosa, wino, zupy, fasolę, pszenicę, siemię konopiane, ryż, proso przygotowują im stosownie do życzenia i osładzają żużubą, kasztanami, cukrem lub miodem. Wodą ryżową, w której zagotowali marchew, pietruszkę lub młode pędy klonowe, świeże lub suszone, czynią potrawy soczystymi, tłuszczem i olejem okraszają je. Dopiero gdy rodzice i teściowie spożyli podane potrawy, wolno się im (dzieciom) wycofać.

Gdy znajdują się w obecności rodziców lub teściów, i ci im wydają polecenia, to odpowiadają «Tak» i wypełniają je ze czcią. Gdy się (do rodziców) zbliżają lub oddalają, obracają czy odwracają, to przykładają starań, by ich zachowanie było poważne i uważne. Nie wolno im pociągać nosem, kichać, kaszlać, ziewać, przeciągać się, garbić się, opierać się lub rozglądać się po kątach. Nie wolno spluwać lub wycierać nos. Gdy jest zimno, nie wolno wkładać kilku sukni. Gdy ich swędzi, nie wolno się podrapać. Poza wyjątkowymi okolicznościami (naprzykład przy strzelaniu z łuku) nie wolno (w obecności rodziców) obnażać piersi, nie wolno unosić szat, chyba, że przechodzą przez wodę. Nie wolno odkrywać podszewki codziennego ubrania, nie wolno zostawiać na widoku koldry.

## SI KÜN

(II w. przed Chr.)

## Z POEZYJ

## Tęsknota

Wydali mnie zamaż,  
Wysłali w świat,  
Żoną króla Wu sun  
Jestem od lat.  
Pilśniowe ściany  
Są domem mym,  
Kobyły mlekiem  
Mnie karmią swem.

Spoglądam smutnie  
W bezkresną dal,  
Serce przepelnia  
Tęsknota, żal.  
Żórawie skrzydła  
Chciałabym mieć,  
Aby w ojczyźnie  
Znów lubej być.

## POETA ANONIMOWY Z EPOKI HAN

Śnieg...  
Góry...  
Rycerz...  
Wygnanie...

Las...  
Chmury...  
Dzieweczka...  
Spotkanie...

## PAN TSIE YŪ

(32—7 przed Chr.)

## Z POEZYJ

## Opuszczona

Wachlarzu biały z jedwabiu cienkiego —  
Lśniącyś jak szron, czystyś jak śnieg,  
Krałyś jak miesiąc, świecący na niebie. — —

Jemu, na znak przyjaźni, ofiaruję ciebie.  
Ciągłe z nim będziesz. W domu i w podróży  
Chłodem owiejesz czoło, gdy się znuży.  
Lecz lato minie — jesień nadejdzie,  
Z jesienią pierwszy zimny wiatr. — —  
Więc do szuflady pójdziesz bez litości,  
Zbędne wspomnienie zgastej miłości.

## MEI SZEG

(um. w r. 140 przed Chr.)

## Z POEZYJ

## Rozłąka

Hibiscus czerwony i trzciny,  
Lasów i pól wonne kwiaty —  
Wszystkie je zbieram dla Tego,  
Co odszedł stąd na kraj świata.

Wyteżam wzrok, aby przebić  
Odległość, która nas dzieli...  
Dlaczego dla serc kochanków  
Ludzie litości nie mieli??

## CESARZ WU TI

(140—87 przed Chr.)

## Z POEZYJ

## Tęsknota

Suną cicho po niebie białe chmury, gnane wiatrem jesiennym.  
 Wiedną kwiaty i zioła, żółkną liście; dzikie gęsi ciągną ku słońcu.  
 Kwitną już tylko wonne kielichy storczyków i barwne kiście chryzantem.

Myślę o Ukochanej, której nigdy, przenigdy zapomnieć nie zdołam.

Płynie po Fen-ho, po bystrym, mój okręt wysoki, dzieląc piersią swą fale,  
 Które szumią i huczą pod jego ciężarem, pokryte pianą srebrzystą.  
 Huczą kotły, flety zawodzą jękliwie, pieśń wioślarzy rozbrzmiewa.

Szczęście minione nigdy nie było tak wielkie, jak bezmiar obecnej rozpacz.  
 Rozpływają się w nicłość siła i młodość — starości nikt nie zwycięży.

## FA HIEN

(IV wiek)

## Z OPISU PODRÓŻY

## Burza morsk a

Na Cejlonie pozostałem dwa lata i po pilnych poszukiwaniach otrzymałem egzemplarze przeróżnych ważnych ksiąg świętych, których w Chinach niema, w oryginale palijskim. Następnie wsiadłem na wielki okręt handlowy, biorący powyżej dwóch setek podróżnych. Na tyle statku znajdował się jeszcze mały statek na wypadek katastrofy i zatonięcia wielkiego. Z dobrym wiatrem płynęliśmy na wschód dwa dni. Potem złała nas straszna burza, i statek zaczął przeciekać. Kupcy chcieli się przesiąść na mały statek, ale załoga, obawiając się przepełnienia, przecięła linę, łączącą z dużym statkiem. Kupcy byli w wielkim strachu, gdyż śmierć zajrzała im w oczy. W obawie, aby statek nie zatonął, zaczęli wrzucać do morza wszystkie ciężkie towary. Ja również rzuciłem do morza mój dzban, jak i wszystko, bez czego mogłem się obejść. Ale byłem w strachu, że kupcy zechcą rzucić do morza także moje księgi święte i posągi świętych. Dlatego też zwróciłem się myślą do (bogini) Kuan Yin i mówiłem błagalnie: «W poszukiwaniu prawa odbyłem daleką drogę. Zechciej twą olbrzymią potęgą powstrzymać wody od naszego statku i pozwól nam dobić do cichej przystani».

## LI T'AI PO

(699—762)

## Z POEZYJ

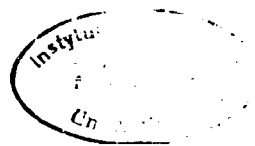
## 1. Gorycz rozstania

Toczy rzeka fale kryształowe  
 Aż do fal błękitnych oceanu.  
 Gdy nadejdzie godzina rozstania,  
 Tylko czara wina je osłodzi.

Ptasząt śpiew rozlega się w słońcu,  
 Gwarliwie małpy wicują w dolinach.  
 Dawniej mniemałem, że też mi zabrakło,  
 Lecz teraz widzę, że wciąż płakać będę.

Ant.

2



## 2. Jesień

Nad jeziorem jesiennem leci samotnie  
Żóraw srebrzysty, biały jak szron.

Nad brzegiem jeziora stoję samotnie  
I w cichej zadumie spoglądam na toń.

## 3. Nieznany smutek

Dzieweczka hoża poza firanką  
Pochyla smutnie główkę na pierś...

Widzę, jak lzy jej piekące się toczą —  
Lecz nie wiem, jaka przyczyna tych łez.

## 4. Robaczek świętojański

Deszcz nie zgasi światła twej latarki,  
Co na wietrze jeszcze jaśniej płonie.

Ahl dlaczego nie lecisz w niebiosa  
I z księżycem nie świecisz jak gwiazdka?!

## 5. King ting szan (szan — góra)

Wszystkie ptaszki spoczęły oddawna.  
Ostatnia chmurka zniknęła na niebie.

Tylko my dwaj się sobie nie przykrzemy —  
I razem siedzimy — King ting szan i ja.

## 6. Wierna przyjaźń

Białe chmury cicho suną  
Nad górami Tsu,  
Białe chmury, ciche, wierne,  
Towarzyszą Mu.  
A gdy zniknie on w wąwozach  
Mrocznych, groźnych Tsin,

Białe chmury pójdą wiernie  
Poza Siang-ho z Nim.  
Na dywanie z nenufarów  
Zakosztują snu,  
Aby rano, ciche, wierne,  
Towarzyszyć Mu.

## 7. Dusza poety

Pytasz, czego ma dusza szuka na niebie?  
Odrzec ci mogę tylko uśmiechem.  
Gdyż jak brzoskwini kwiat, prądem porwany,  
Lecę w zaniebne, nieznanne ci światy.

## 8. Tęsknota

Białą księżycą jasne promienie  
Podłogę szronem srebrzystym.

Wznoszę ku niemu me smutne spojrzenie  
I myślę o kraju ojczystym.

## 9. Piosenka pijacka

Księżyc puharów osuszać nie umie —  
Mój cień tem lepiej na tem się rozumie.  
Wino nas wprawia w nastrój radosny,  
Cieszy się cała nasza trójka z wiosny.  
Śpiewam — i księżyc jeszcze jaśniej świeci;

Tańczę — mój taniec w cieniu zapal nieci.  
Pijmy, o bracia! Rozstania godzina  
Wybije dla nas, gdy zabraknie wina.  
Ale na krótko. Gdyż nad chmurami  
Znow się spotkamy — zawsze ci sami.

## 10. Piosenka pijacka

Trzysta kieliszków dobrego wina —  
Miljonów zmartwień tak jakby niema.  
Troski, cierpienia ci dokuczają,

Lecz po kieliszku wszystkie znikają.  
Sok winny zdawna uchodził za święty.  
Gdy się upijesz — toś wniebowzięty.



TU FU

(712—770)

## Z POEZYJ

## 1. Tęsknota

Nad ciemnymi wodami białych mew plamy jaskrawe,  
 Na zielonych pagórkach szkarłatnych kwiatów płomienie krwawe.  
 Jeszcze jedna wiosna — niestety — odeszła,  
 Dnia mojego powrotu z sobą nie przyniosła.

## 2. Wieczór letni

Słońce wieczorne nisko nad strzechą mą świeci,  
 Wkrótce rzekę i krzewy zmrok pokryje szary.  
 Słodka woń kwiecica z ogrodów nad rzeką się wznosi —  
 — I dym, gdzie statków załogi zmęczone nocują.  
 Ptaki umilkły; spoczęły w gniazdkach w gęstwinie,  
 Już tylko owadów brzęczenie rozlega się w ciszy wieczornej.

.....  
 Któż ciebie, soku winny, władzą obdarzył czarowną??  
 W jednym wina kielichu tysiące zmartwień znikają.

## 3. Sielanka

Kwieciem lotosu zebranem przez panie  
 Panowie wino nam przyprawiają...  
 Lecz muszę przerwać, gdyż czarne chmury  
 Nas do ucieczki pośpiesznej zmuszają.

## 4. Piosenka pijacka

Co wieczora podążam chyłkiem do lombardu,  
 Do dom wracam nad ranem porządnie pijany,  
 Choć za wino wypite rzadko kiedy płacę. — —  
 Co tam! Kto z nas dożyje do późnej starości?!  
 Lekko z kwiatu na kwiat przelatuje motyl,  
 Ważki miód słodki piją i w powietrzu tańczą.  
 Wszystko cieszy się życiem, tak krótkiem niestety —  
 Więc użyjmy żywota, póki jeszcze czas.

PO KŪ I

(772—846)

## Z POEZYJ

## 1. Elegja

Perłą w rękę mem byleś,  
 mój synku maleńki.  
 Srebrne nici na skroniach  
 ma twój stary ojciec.  
 Nieutulonym w żalu,  
 żeś umarł przede mną,  
 Że nie było mi danem  
 ujrzeć cię mężczyzną.

Wnętrze mię boli jakby przecięte,  
 ale nie mieczem.  
 Oczy łez pełne i oślepione,  
 ale nie pyłem.  
 Pustka w piersi mej wielka  
 zrządzeniem nieba — —  
 Znowu, jak przedtem,  
 zostałem sam.

## 2. Rezygnacja

Po obfitym obiedzie i drzemce rozkosznej,      Szczęśliwych gniewa, że czas tak leci,  
Chętnie wychylam czarę herbaty.      Biednym się zdaje — że w miejscu stoi.  
Patrząc przez okno, widzę, że słońce      Lecz ci i tamci muszą z poddaniem  
Ku zachodowi już się pochyla.      Przeżyć do końca swe małe życie.

## 3. Lao tse

Mistrz Lao-tse poucza, że lepiej o Tao  
rozmyślać niż mówić.  
Więc czemuż, miast myśleć w skupieniu — napisał  
o Tao książeczkę?

## 4. Pochwała lenistwa

Choć urząd piastuję, do biura nie chodzę  
— Z lenistwa.  
Choć pola posiadam, tych pól nie uprawiam  
— Z lenistwa.  
Choć dom mój w ruinie, nic na to nie czynię  
— Z lenistwa.  
Choć suknie me w strzępach, do łąk się nie śpieszę  
— Z lenistwa.  
I wina nie piję, jakby kielich wysechł  
— Z lenistwa.  
I lutni nie tykam, jakby strun zbrakło  
— Z lenistwa.  
Dochodzą mnie skargi, że w domu brak ryżu  
— Z lenistwa.  
Zjadłbym chętnie ryżu, lecz go łuskać nie chcę  
— Z lenistwa.  
List od druha dostałem, lecz otworzyć go nie chcę  
— Z lenistwa.  
Przez życie całe Szu-yé mia być wzorem  
Lenistwa,  
Gdyż lubił tylko lutnię i naukę Tao — —  
Hu! Co za pilność!

## 5. Rezygnacja

Z czem mógłbym siebie porównać?	Samotny jestem, ale spokojny
Z chryzantemą samotną,	Bez względu na to, czy Wielkie Niebo
Szronem jesiennym zwarzoną	Radość czy smutek zechce mi posłać —
I przez burzę z korzeniem wyrwaną.	Bogactwo, czy też biedę.
— — — — —	Gdym był bogaty — jak feniks ku słońcu
Niegdyś mieszkałem w kraju Cz'in i Yung,	Z rozpostartymi skrzydły leciałem.
Obecnie żyję pośród dzikich Pa.	W biedzie — jak szczygieł
Niegdyś mnie radość życia przepelniała,	Skromniem do trawy przypadał.
Obecnie jestem starcem samotnym.	Przez życie szedłem ubogi złotem,
— — — — —	Lecz nie ubogi duchem i sercem.

## 6. Życie

Zasiałem kwiaty, lecz nie siałem zielska:	Gdym zraszał kwiaty — i zielsko piło.
Kwiatów wyrosło mało — zielska dużo.	Nie powinienem więc kwiatów podlewać,
Splotły się korzenie, splotły się lodygi, —	Ni zielska wyrwać.
Rosły dzień po dniu	Myślę i myślę — i wyjścia nie widzę.
Kwiaty pachnące i zielsko cuchnące.	
Gdy pełnem zielsko — wyrwałem kwiaty.	I pytam ciągle: com czynić winien?

## SU TUNG P'O

(1036—1101)

## Z KSIĄG SU TUNG P'O

W prowincji Se cz'uan mieszkał po zrzeczeniu się urzędu uczony Tu, wielki miłośnik pięknego pisma i malarstwa, posiadacz cennego zbioru obrazów. Najbardziej cenił byki pendzla Tai Sunga... Pewnego razu przeglądał swe skarby na dworze, i tak się zdarzyło, że te byki zobaczył jego pastuszek, który, klaskając w ręce i śmiejąc się głośno, zawołał: «Patrzcie na te walczące byki! Toćto byki walczą rogami, wciągając ogon między łędźwie. A tu one walczą z ogonem w powietrzu. To jest pomyłka». Tu z uśmiechem uznał słuszność krytyki. Starożytni słusznie mówili: Aby orać — idź do oracza; aby praść — idź do prządki.

## CZOU TUN

(1017—1073)

## Z KSIĄG CZOU TUN I

## Kwiaty i ludzie

Miłośników kwiatów i krzewów kwitnących mamy bardzo dużo, ale wyłącznie chryzantemy ukochał jeden jedyny T'ao Yüan ming.

Za dynastji T'ang był modny kult dla peonji.

Lecz moim ulubionym kwiatem jest lilja wodna, która bez jednej plamki wznosi się nad swem łożem bagnistem, która skromnie ukrywa się po stawach — symbol czystości i prawdy. Jest doskonale symetryczna. Jej dyskretny zapach roznoszą daleko fale wiatru. Jest niepokalana. Należy się jej przyglądać ze czcią i zdaleka. Poufale zbliżenie do niej — jest profanacją.

Chryzantema jest, mojem zdaniem, kwiatem powściągliwości i kultury. Peonja — kwiatem wysokich godności i bogactwa. Lilja wodna zaś — kwiatem najwyższej cnoty. Niestety! Od czasów T'ao Yüan minga mało kto ukochał chryzantemy.

Nikt nie kocha tak lilij wodnych, jak ja.

Ulubienicą ludzkości jest... peonja!

## Z KOMEDJI K'AN TSI'EN NU

(Podług francuskiego przekładu Razina «Théâtre Chinois» i niemieckiego — Grubego, w «Geschichte der chinesischen Literatur», gdyż oryginałów tłumacz niestety nie posiada).

«K'an ts'ien nu» czyli «Niewolnik własnego bogactwa». Scena końcowa ostatniego aktu. Na scenie umierający ojciec i jego (adoptowany) syn.

Ojciec. Synu mój, czuję, że koniec się zbliża. Powiedz-no mi, do jakiej trumny mnie położysz?

Syn. Gdyby mnie miało spotkać to nieszczęście, że ciebie stracę, ojcze, to kupię ci najpiękniejszą trumnę jodłową, jaką znajde.

Ojciec. Nie rób głupstw. Drzewo jodłowe jest za drogie. Dla umarłych niema żadnej różnicy między drzewem jodłowym a wierzbowem. Ale przecież za domem stoi stare koryto, które się doskonale nada dla mnie na trumnę.

Syn. Tak sądzisz, ojcze? Ale przecież to koryto jest szersze niż dłuższe. Twoje ciało w niem się nie zmieści, jesteś za wysoki.

Ojciec. Co to szkodzi? Cóż łatwiejszego, jak mnie skrócić? Weź siekiere i prze połów moje ciało. Obie części włóż do koryta i wszystko będzie w porządku. Ale, ale! Nie bierz do tego mojej nowej siekiery, tylko pożycz sobie od sąsiada.

Syn. Poco mam się zwracać do sąsiada, jeżeli mamy własną siekiere?

Ojciec. Ty nie masz pojęcia, jak twarde są moje kości. Jeżeli naszą siekiere wyszczerbisz, to będziesz musiał zapłacić parę groszy za jej naostrzenie.

Syn. Stanie się według twego życzenia, ojczu. Teraz jednak chciałbym pójść do świątyni, aby na twoją intencję zapalić bogom parę świeczek. Ale daj mi na to pieniądze.

Ojciec. Nie warto, mój synu. Nie warto spalać świece, aby przedłużyć moje życie. Syn. Kiedy ja już oddawna uczyniłem taki ślub i muszę go nareszcie spełnić.

Ojciec. Ślub uczyniłeś? Ano, to ci dam grosz.

Syn. To za mało.

Ojciec. Masz dwa.

Syn. I to za mało.

Ojciec. No to masz trzy. To jest więcej niż dosyć... Synu mój, moja ostatnia godzina się zbliża. Gdy mnie nie stanie, nie zapomnij odebrać te pięć groszy, które jest nam jeszcze winien sklepikarz.

## P'U SUNG LING

(ok. 1699)

### Z LIAO CZAI CZI I

#### Zemsta Siang kao

Uwaga tłumacza. Nowelka powyższa może nie jest najlepszą nowelką P'u Sung linga. Przy jej wyborze kierowałem się także względami na jej objętość, pragnąc dać w ramach niniejszego zbiorku utwór nieskracany i nieprzerabiany przez tłumacza.

Siang kao pochodził z Tai yüan. Ze starszym bratem Czenem, synem nałożnicy, łączyła go wielka miłość. Czen miał kochankę Po se, której obiecał uroczystie, że ją weźmie do siebie. Lecz jej matka żądała za wiele, i ich związek nie doszedł do skutku.

Lecz w tym mniej więcej czasie matka Po se zapragnęła porzucić swe rzemiosło i zostać uczciwą kobietą. W tym celu chciała przedewszystkiem zapewnić uczciwe stanowisko Po se.

Hrabia Czuan, któremu się Po se bardzo podobała, ofiarował za nią znaczną sumę i chciał uczynić ją własną nałożnicą.

Lecz Po se powiedziała do matki: «Pragniemy obie zmyć tę hańbę. Pragniemy z piekła dostać się do raj. Jeżeli mnie hrabia Czuan uczyni swą nałożnicą, to czy się naprawdę co zmieni na lepsze? Jeżeli ja mam się komu oddać całkowicie, to tylko Czenowi, tylko jemu».

Matka zgodziła się i porozumiała się z Czenem, który właśnie pochował żonę i jeszcze nie zdążył się po raz drugi ożenić. Czen bardzo się ucieszył, zebrał wszystkie swoje oszczędności, wykupił Po se i ożenił się z nią.

Gdy wieść o tem małżeństwie doszła do hrabiego Czuana, to hrabia wpadł w gniew i przysiągł zemstę Czenowi za to, że mu zabrał kobietę, której pożądał. Gdy go razu pewnego spotkał na drodze, zaczął go lżyć i miotać na niego obelgi. Czen nie wytrzymał i odpowiedział również obelgami. Wtedy hrabia skinął na świtę. Jego towarzysze rzucili się z kijami na Czena i bili go póty, póki nie wyzionął ducha, poczem pojechali dalej.

Gdy się Kao o tem dowiedział, natychmiast pobiegł na miejsce spotkania. Spojrzał na brata, lecz brat był już trupem. Kao, nieprzytomny z bólu i gniewu, napisał skargę do naczelnika powiatu, ale ponieważ hrabia Czuan wszędzie, gdzie potrzeba, dał duże łapówki, więc Kao sprawiedliwości nie uzyskał. Kao ukrył gniew głęboko w sercu i marzył o tem, aby zabić Czuana, gdy będzie przejeżdżał gościńcem. Stale nosił przy sobie w tym celu dobrze wyostrzony nóż i całymi dniami leżał przyczajony wśród traw w pobliżu „drożyn górskich. Lecz hrabia dowiedział się o jego zamiarach i wyjeżdżał zawsze otoczony wielką świtą. Gdy się dowiedział, że w Fen chou mieszka

znakomity i odważny strzelec, Tsiao tung, wziął go do siebie na służbę, obiecując mu bardzo znaczny żołd.

Tak więc Kao nie mógł wykonać swego zamiaru, lecz pomimo to śledził swego wroga stale. Gdy tak raz leżał w zasadzce, lunął deszcz, i Kao zmókł do ostatniej nitki, zziębł i skostniał. Gdy się deszcz wreszcie skończył, zaczął dąć ze wszystkich stron przenikliwy wiatr i zaczął padać lodowaty grad. Kao zmarł do tego stopnia, że przestał odczuwać ból. Wtem przypomniał sobie, że niedaleko na przełęczy stała kapliczka, poświęcona duchowi przełęczy. Ostatnim wysiłkiem wstał i pobiegł na przełęcz. Wszedł do kaplicy i spostrzegł, że tam siedzi znajomy mnich, który często przychodził do wsi po jałmużnę i jadał u Kao. Mnich też go poznał odrazu i, widząc, że przemókł zupełnie, dał mu płócienny kitel.

«Włóż choć to» — powiedział przytem.

Gdy tylko się Kao przebrał, poczuł dreszcze i siadł na nogi tak, jak siadają psy. Spojrzał na siebie — i widzi, że całe jego ciało jest pokryte gęstym futrem. Zrozumiał, że się zamienił w tygrysa. A mnich już zdążył zniknąć, niewiadomo dokąd. Kao się strasznie przeląkł; rozpacz go ogarnęła. Lecz po chwili przyszło mu na myśl, że teraz uda mu się z wszelką pewnością schwycić wroga i najeść się jego mięsem. Był więc ostatecznie z tej przemiany bardzo zadowolony. Zszedł z przełęczy. Dochodząc do swej kryjówki, spostrzegł, że jego trup leży w zaroślach. Wtedy zrozumiał, że jego pierwsze ciało umarło. Obawiał się jednak, że go pożrą wrony i sępy. Dlatego krążył naokoło swego ciała i strzegł je.

Przeszło kilka dni. Czuan przejeżdżał tamtędy. Tygrys skoczył, ściągnął Czuaną z konia, powalił na ziemię, odgryzł mu głowę i połknął ją. Tsiao Tung strzelił do niego ztyłu. Strzała trafiła go w brzuch. Tygrys padł i zdechł. — —

Kao leżał w gęstej trawie. Miał niewyraźne uczucie, że się budzi. Ale minęła jeszcze jedna noc, zanim mógł wstać i chodzić. Powoli powlókł się do domu. W domu wszyscy byli przerażeni kilkudniową nieobecnością Kao i już nie wiedzieli, co o tem sądzić. Gdy go więc nareszcie ujrzeli, zasypali go pieścotami i pytaniami. Lecz Kao, strasznie wyczerpany, położył się natychmiast do łóżka i nie mógł odpowiadać.

Wiść o śmierci Czuaną rozeszła się szybko. Krewni na wyścigi odwiedzali Kao i składali mu powinszowania.

«Przecież tygrys to ja» — powiedział Kao i opowiedział wszystkim swą zdumiewającą przygodę, która bardzo szybko rozeszła się po całej wsi.

Syn Czuaną był niepocieszony po śmierci ojca. Gdy go doszły opowiadania o przygodzie Kao, zapalał do niego nienawiścią i podał na niego skargę. Ale starosta skargi nie przyjął ze względu na nieprawdopodobieństwo i brak dowodów.

*Wybór tekstów i układ B. Richtera.*

# L I T E R A T U R A J A P O Ń S K A

---

## Z MANYOSHU

KAKI NO MOTO HITOMARO

(662? — 710?)

### BEZSENNĄ NOC

Długą jest noc, tak  
Długą, jak srebrzystego  
Bazanta ogon.  
Dłuży się samotnemu  
Noc przechodząca wolno.

### UKOCHANA W ŻAGLÓWCE

Mrokiem pokrywa  
Poranna mgła wybrzeża  
Wyspy Asahi.  
Więc — niestety — żaglówka  
Z wyspy jest niewidzialna.

---

## YAMABE NO AKAHITO

### FUJISAN

Od prapoczątku,  
Gdy Niebo i Ziemia  
Wysoce czcigodne  
Się rozdzielały —  
Wznosi się Fuji,  
Bosko samotny,  
W kraju Suruga.  
Przyglądam mu się,  
Bliskiemu niebios,  
Jak gasi kręgu  
Słonecznego światło.  
Jak błędą za nim  
Księżyc promienie,

Jak białe chmury  
Nie śmia wędrować  
Nad nim. Jak cicho  
Śnieg go pokrywa. — — —  
Wiek wiecznie chciałbym  
Opiewać chwałę  
Wiecznego Fuji.

### FUJISAN

Niedawnom zwiedzał  
Piękne Tago wybrzeża.  
Widziałem lśniący  
Śnieg, jak Fujisanu szczyt  
Przykrywał powolutku.

---

## OTOMO NO YAKAMOCHI

(um. 785)

### NIEDYSKRECJA

Gdy wczesną wiosną,  
Wiedzion tęsknotą, bażant  
Zielony żonę  
Odwiedzić się wybiera — —  
Zdradza ludziom jej gniazdko.

(Autor chce powiedzieć, że kochanek, odwiedzający swą ukochaną w jej domu, ją kompromituje).

---

Przekłady poetyckie niemal bez wyjątku zachowują szatę poetycką oryginałów. Tłumaczone są z tekstów japońskich. Pomocna była Wakamedy «Kokinshu» w przekładzie angielskim, 1922. Przekłady «Hō ōki», «Kojiki», «Genji monogatari», «Heike monogatari», «Gempei seisui», «Tosa nikki», «Tsurezuregusa» są również dokonane z oryginałów japońskich. Dla literatury nowszej, zwłaszcza powieściowej i dramatycznej, był tłumacz zmuszony korzystać z przekładów europejskich, z powodu zupełnego braku tych dzieł w bibliotekach polskich i kairskich. Korzystał przedewszystkiem z przekładów Florenza, Astona, Revona.

## Z KOKINSHU

HENJO

(815 — 890)

LOTOS I ROSA PORANNA<sup>1</sup>

Liście lotosu  
Nie kała żadna plamka.  
Czemuż więc kłamie,  
Że kulki jego rosy  
To klejnoty kosztowne??

## TANCERKI

Wietrze niebiański,  
Co podmuchami zamknąć  
Chcesz chmur gościniec!  
Pozwól mi dziewczętami  
Karmić chwileczkę oczy.

## KI NO TSURAYUKI

(882 — 946)

## KWITNĄCE WIŚNIE

Czy wietrzyk, który  
Kwiecie nosi wiśniowe  
Między drzewami,  
Może być zimnym, skoro  
Pada śnieg niebu nieznanym??

## POWRÓT

Serce człowiecze  
Nie wie, co to jest stałość.  
Tylko kwiateczki  
W mej wiosce, po powrocie,  
Całują mnie jak ongi.

## ARIWARA NO NARIHIRA

(825 — 880)

## NA WYGNANIU

Ptaki stolicy,  
Imienia swego godne,  
Chcę was zapytać,  
Czy ta, do której tęsknię,  
Żyje, czy też umarła??

CZERWONE KLONY (JAPOŃSKIE) NAD  
RZEKĄ TATTA

Nawet w epoce  
Bogów się nie zdarzało,  
By się mięszały  
Wody Tatta z tak świetnym  
Drzew klonowych szkarłatem.

SOSEI

## OCZEKIWANIE

Rzeka mi, idąc:  
«Wróć natychmiast».  
Aż do świtu... w miesiącu  
Długich nocy jesiennych...

NAKAMARO

## NOSTALGJA

W ziemi obcej na  
Nieba spoglądam równiny.  
Księżyc-wędrowiec —  
Ten sam, co i w Mikasa,  
Co w Kasuga ojczystem.

ONO NO KOMACHI

## ZMARNOWANE ŻYCIE

Kwiatków mych barwy  
Blakną i gasną w oczach,  
Gdy na nie patrzę.  
I ja się wciąż starzeję,  
Więdnać bezużytecznie.

KOKO

## MIŁOŚĆ SYNOWSKA

Dla ciebie, Matko,  
Pobiegłem na wiosenne  
Pola po pierwsze  
Kwiatki. — W ciepłych rękawach  
Śnieg leży niestopiony.

<sup>1</sup> Wierszyk ten jest uważany przez Japończyków za jedno z największych arcydzieł ich literatury.

## OKIKASE

## SMUTNA STAROŚĆ

Powiedzcie, kto mi  
Jest jeszcze przyjacielem.  
Wszak nawet stare  
Sosny na Takasago  
Nie są te same, co dawniej.

X. X.

## STAROŚĆ

Włosy me czarne  
Jak noc. Czarne jak ziemia  
Jesienią. Widzę  
W zwierciadle, że śniegiem  
Już przyprószone zostały.

X. X.

## HYMN JAPOŃSKI

Państwo boskiego (oczywiście: cesarza)  
Niech trwa osiem tysięcy  
Miljonów wieków.  
Aż kamyki się staną  
Omszonymi skałami.

## NIEŚMIAŁOŚĆ

Przypisywane Koreańczykowi WANI, «nau-  
czycielowi narodu japońskiego».

Na Naniwasu  
Są jeszcze przyprószone  
Śniegiem zimowym  
Pączki drzewek śliwkowych...  
Rozwiń się, pączku, rozwiń!  
(Ma to być aluzja do nieśmiałego następcy  
tronu).

## ATSUTADA

## TĘSKNOTA

Co mówi serce  
Me — w chwilę po powrocie  
Od ukochanej?  
Że nie tęskniło przedtem  
Tak bardzo, jak obecnie.

X. X.

## NASTROJE JESIENNE

Już wiatr jesienny  
Strąca liście powiędłe — —  
Dokąd je pędzi?  
Gdybym to wiedział, to nie  
Pograżałbym się w smutku.

X. X.

## OGIEŃ MIŁOSNY

Płonę płomieniem  
Fuji. Nawet bogowie  
Wielcy nie mogą  
Zgasić tego płomienia —  
Bezczelowego, niestety!

X. X.

## STAROŚĆ

Gdyby mi starość  
Wizytę złożyć chciała — —  
Bramębym zamknął  
I jej powiedzieć kazat:  
«Niema nikogo w domu».

## Z ANTOLOGII PÓŹNIEJSZYCH

## SADAKATA

## PROŚBA

Sane-kazura  
Na «górze Spotkań» pełza  
Tajnie po ziemi. — —  
Czy nie chcesz, tak jak ona,  
Tajnie się ze mną spotkać?  
(Sane-kazura — roślina pnąca).

## YOSHITAKA

## PO STRACIE UKOCHANEJ

Nie żałowałem  
Nigdy, że całe życie,  
Życie kochance  
Poświęciłem. — Lecz teraz...  
Jakżeż się ono dłuży!



## SAIGU NO NYOGO

## POSZUM WIATRU

Cichy szum wiatru  
W sosnach na szczycie górskim  
Brzmi jakby harfa.  
Od kogo też mógł przejać  
Tajniki gry przedziwne?

## IMPU MON IN

## ŁZY

Gdybyż mógł ujrzeć!!  
Przecież nawet rękawy  
Rybaczek nie są  
Tak od soli wyblakłe,  
Jak me rękawy od łez!!

## ASATADA

## ZAWÓD

Gdybym cię nigdy  
Nie spotkał — tobym teraz  
Nie miał powodu  
Do gorzkiej skargi. Dla nas  
Obojga byłoby lepiej.

## MATKA KORECHIKI

## OBAWY

Gdyby w najdalszej  
Przyszłości miała nadejść  
Taka chwila, że  
On mnie zapomni, to wołę  
Umrzeć chociażby zaraz.

## KIYOMASA

## AD ASTRA

Spójrzno, jak żóraw  
Wznosi się nad wybrzeżem  
Ku wiatrom nieba.  
Czy nam niema być danem  
Wznieść się, jak on, w zaświaty?

## HAIKAI

## ARAKIDA MORITAKE

(1473 — 1549)

\* \* \*  
(Przysłowie japońskie: Kwiat, który raz  
opadł już na swoją gałązkę, nie powraca).

Kwiat, który opadł,  
Wraca, widzę, na gałąź. — —  
— Przecież to motyl!

## TEITOKU

\* \* \*  
(Przysłowie japońskie: Kluski lepsze od  
kwiatów).

Myśląc, że kluski  
Lepsze od kwiatów — wraca  
Gęś dzika do dom.

## TEISHITU

\* \* \*  
Patrzcie, o, patrzcie!  
Tam... tam...! cała pokryta  
Kwieciem — Yoshino (górze).

## RANSETSU

## NASTRÓJ JESIENNY

Spada powoli,  
Pieszczotliwie, na kamień  
Grobowy — listek.

## SONOJO

\* \* \*  
Zdawać się może,  
Iż księżyc jesienny jest  
Zimnem stężalem.

\* \* \*  
Rozrzutność, przepych  
I zbytek — ongi. Dzisiaj —  
Suknie z papieru.

## MATSUO BASHŌ

(1643—1694)

\*            \*            \*

Staw zadumany — —  
Stary. — — Skok małej żabki. — —  
Woda ożyła!

\*            \*            \*

Wstawajże, wstawaj!  
Będiesz mi przyjacielem,  
Motylu śpiący.

\*            \*            \*

Miauczysz z miłości,  
Czy też od ryżu brzuch cię  
Boli, koteczko??

(Japońskiego poczucia poetyckiego wiersze tego rodzaju nie obrażają).

\*            \*            \*

Podziwiam księżyc...  
Chmury przelotne dają  
Szyi spoczynek (chwilowy).

\*            \*            \*

Pole bawełny — —  
Zda się kwiatów ogrodem  
W świetle księżycy.

\*            \*            \*

Zbrakło oliwy  
Na dzisiejszy wieczór. — Lecz patrz!  
Księżyc w okienku!

## SENYU

\*            \*            \*

«Czerwona» wdowa —  
W żalu nieutulona.  
— A zaszła w ciążę!

(Małżonkowie budowali sobie zazwyczaj wspólny grób małżeński za życia. Ich imiona ryło w kamieniu i — póki żyli — napuszczano czerwoną farbą. Gdy jedno z nich umarło, to czerwoną farbę z jego imienia wyskrobywano. Po śmierci więc męża tylko imię wdowy pozostało «czerwone»).

## Z KOJIKI

...Młodszy brat siedział na wybrzeżu, płakał i lamentował. Zjawił mu się Czcigodny-Bóg-Wód-Słonych (Shiho tuchi no kami) i zapytał: «Z jakiego powodu płacze i lamentuje Wysoki-jak-Sklepienie-Niebieskie?» — Odparł mu, mówiąc: «Zamieniłem się z moim starszym bratem na haczyk do wędk i zgubiłem go. Gdy zażądał zwrotu haczyka, dawałem mu wzamian wiele innych, ale nie chciał ich przyjąć. «Chcę mieć mój własny haczyk», mówił. Z tego to powodu płaczę i lamentuję».

Rzekł Czcigodny-Bóg-Wód-Słonych: «Dam Twojej Czcigodnej-Boskości dobrą radę». Zbudował dla niego małe, mocne czółno, posadził go do czółna i pouczał, mówiąc: «Gdy odepchnę czółno, wiosłuj przez pewien czas. Będiesz miał boską drogę przyjemną. Na końcu tej boskiej drogi przyjemnej ujrzysz pałac, zbudowany jakby z ości rybich. Będzie to pałac Boga-Władcy-Mórz. Gdy staniesz u czcigodnej bramy boskiej, ujrzysz niedaleko od niej studnię, a nad studnię olbrzymią katsuře (drzewo). Siądź na wierzchołku drzewa. Córka Boga-Mórz przyjdzie do ciebie i da ci dobrą radę».

Uczył, jak mu polecono, wiosłował pewien czas, i wszystko tak się stało, jak mu przepowiedziano. Natychmiast (po przybyciu) wdrapał się na katsuře i usiadł na wierzchołku. Przyszły służebne księżniczki Bogatej-w-Klejnoty z kosztownymi naczyniami. Gdy chciały zaczerpnąć wody, spostrzegły światło w studni (gdym bogowie mają świetlane postacie). Spojrzały w górę. Ujrzały pięknego młodzieńca. Zdziwiły się bardzo. Czcigodny Blask-Ognia (imię owego «młodszego brata») ujrzał służebne. Poprosił o trochę wody. Natychmiast zaczerpnęły służebne wody, nalały do jednego z naczyń kosztownych i podały mu ze czcią. Lecz on wody nie wypił. Zdjął ze swej boskiej szyi klejnot, włożył do ust, wypluł do kosztownego naczynia. Klejnot przygnał do

kosztownego naczynia tak, że służebne nie mogły go oderwać. Wzięły więc kosztowne naczynie wraz z klejnotem i zaniósły księżniczce Bogatej-w-Klejnoty.

Spostrzegłszy klejnot, zwróciła się czcigodna księżniczka do swych służebnych z zapytaniem: «Niema kogo za drzwiami?» — One odpowiedziały: «Ktoś siedzi na wierzchołku katusury nad naszą studnią. Jest to bardzo piękny młodzieniec. Blaskiem przewyższa nawet naszego króla. Ponieważ prosił nas o wodę, dałyśmy mu jej ze czcią. Lecz on nie wypił wody, a tylko wypuł ten klejnot. Myśmy nie mogły go oderwać od kosztownego naczynia, więc przyniosłyśmy jedno i drugie».

Czcigodna księżniczka Bogata-w-Klejnoty zdumiała się bardzo i wyszła, by zobaczyć. Gdy go ujrzała — zachwyciła się. Wymienili spojrzenia. Poczem zwróciła się do swego ojca, mówiąc: «Obcy, bardzo ładny młodzieniec jest u naszych drzwi». Bóg Mórz sam wyszedł, by zobaczyć. Rzekł, mówiąc: «To jest «Wysoki-jak-Słońce-na-Niebie», boski syn «Wysokiego-jak-Słońce-Niebieskie». Rzekł i poprowadził go do pałacu. Położył osiem warstw futer fokowych, na to położył osiem warstw jedwabnych materyj i poprosił go, aby na tem siadł. Stoły zastawił stu rzeczami i przygotował boską ucztę. Bez zwłoki dał mu swą córkę, księżniczkę Bogatą-w-Klejnoty.

Trzy lata pozostał w tym kraju. Poczem, wspominając dawne sprawy, westchnął raz jeden głęboko. Ustyszała to westchnienie czcigodna księżniczka Bogata-w-Klejnoty i doniosła o tem ojcu, mówiąc: «Trzy lata ze mną mieszkał i nigdy nie wzdychał. Lecz dzisiejszej nocy głęboko westchnął raz jeden. Jaka tego może być przyczyna?»

Wielki bóg, jej ojciec, wybadał swego zięcia słowami: «Dziś rano słyszałem, jak moja córka mówiła: «Trzy lata ze mną mieszkał i nigdy nie wzdychał. Lecz dzisiejszej nocy głęboko westchnął raz jeden. Jaka tego może być przyczyna?» Powiedz także, pociś do nas przybył?»

Opowiedział wielkiemu bogowi szczerze, jak go brat dręczył o zgubiony haczyk.

Bóg Mórz zwołał wszystkie ryby morskie, wielkie i małe, i zapytał je słowami: «Czy niema tu przypadkiem ryby, która połknęła haczyk?» — Wszystkie ryby odpowiedziały: «Ryba Tai skarżyła się niedawno, że jej utkwiała w przetyku jakaś oś, która jej przeszkadza jeść. To na pewno ona połknęła ten haczyk». Zbadano przetyk ryby Tai i rzeczywiście haczyk się znalazł. Natychmiast go wyjęto, omyto i ze czcią oddano boskiemu Blaskowi-Ognia. Poczem bóg Wielki-Władca-Mórz pouczył go słowami: «Gdy raczysz oddawać ten haczyk swemu starszemu bratu, to powiedz mu, co następuje: «Ten haczyk jest ordynarnym haczykiem, jest niecierpliwym haczykiem, jest marnym haczykiem, jest głupim haczykiem». Gdy to powiesz, oddaj mu go, ale trzymaj przytem swoją rękę za plecami. Jeżeli potem twój brat będzie uprawiać pola na górze, to niechaj Twoja Czcigodna Boskość uprawia pola w dolinie. Jeżeli zaś twój brat będzie uprawiać pola w dolinie, to niechaj Twoja Czcigodna Boskość uprawia pola na górze. Jeżeli tak uczynisz, to twój brat straci w ciągu trzech lat cały swój ryż. Postaram się o to odpowiedniemi regulowaniami wód. Jeżeli twój starszy brat, rozgniewany twojem postępowaniem, wyrzuci ci jaką krzywde, to odśłoń ten klejnot, który sprowadza powódź, aby go utopić. A gdy następnie okaże skruchę, to odśłoń ten tu klejnot, który sprowadza suszę, aby go uratować»...

## KI NO TSURAYUKI

(882 — 946)

### Z PRZEDMOWY DO KOKINSHU

Nasieniem poezji Yamato jest serce ludzkie, z którego rozwija się w dziesiątkach tysięcy wyrazów. Bardzo wiele rzeczy w tem życiu interesuje ludzi, którzy myśli swego serca wyrażają przy pomocy tego, co widzą i co słyszą. Gdzież jest żywy człowiek, któryby nie śpiewał i nie deklamował, słysząc śpiew słowika, wzdychającego w krzewach kwitnących, lub żaby, mieszkanki wód.

Poezja bez żadnego wysiłku porusza niebo i ziemię, wzrusza bogów i duchy niewidzialne. Mężczyznę łączy z kobietą i zmiękcza serca okrutnych wojowników.

Poezja istnieje od czasu, gdy się niebo rozwarło nad ziemią. Ta, którą my posiadamy obecnie, bierze początek w wiecznym niebie od Księżniczki-Promieniejącej-Zgóry, a na ziemi pódnej w metale — od boskiego Wielkiego-Wygnanica-z-Ziemi.

Za Bogów-Potężnych-i-Szybkich miara sylab jeszcze nie była ustalona. Szala była niewyszukana, a ciało (t. j. sens) trudne do uchwycenia. Dopiero w epoce ludzkiej zaczął boski Wielki-Wygnaniec-z-Ziemi pisać poezje 31-sylabowe. Tak się rozwinęła wtedy poezja. Brała wyrazy i wyrażała nimi myśl. Podziwiano kwiat, zazdrozczono ptakom lotu, smucono się mgłą, wzruszano się rosą.

Podczas dalekich podróży wypada nieraz w ciągu miesięcy i lat całych oddalać się od swego osiedla rodzinnego. Wysoka góra wyrasta z pyłu, który ma u swych stóp, a wznosi się jednak aż do nieba. W ten sam sposób rozwinęła się poezja.

### Z TAKETORI MONOGATARI

...I książkę począł opowiadać:

Okolo dziesiątego dnia drugiego miesiąca wsiedliśmy na statek w porcie Naniwa i wypłynęliśmy na pełne morze, nie wiedząc, dokąd żeglujemy. «Jeżeli» — myślałem sobie — «nie mogę zdobyć tego, czego serce pragnie, to poco mam pozostawać na tym świecie?» Oddaliśmy się więc w zupełności na łaskę wiatrów. Gdybyśmy mieli zginąć — tem lepiej. Póki żywi — staraliśmy się jednak ze wszystkich sił znaleźć ową górę Horai. Brzegi ojczyste pozostały daleko za nami. Gdyśmy tak błędzili po morzu, wznosiły się nieraz naokoło nas olbrzymie fale i nieraz pogrążyliśmy się na dno morza. Innym razem zagnał nas wiatr do nieznanego nam kraju, gdzie powstały straszne duchy, pragnąc nas pozabijać. To znów mieliśmy się za zgubionych w bezkresnej pustyni wodnej, nie umiając znaleźć drogi. Innym razem zabrakło nam żywności i musieliśmy się żywić korzonkami. Jeszcze innym razem zjawiły się potworne stworzenia, które chciały nas pożreć. Albo znów utrzymywaliśmy się przy życiu muszlami morskimi. Na tej wodnej pustyni, gdzie nikt nie mógł nam przyjść z pomocą, przechodziliśmy tysiące najrozmaitszych chorób. Błądziliśmy po morzu wedle woli naszego statku, gdyż kierunku właściwego nie znaleźliśmy. To trwało pięćset dni. Pięćset pierwszego dnia, w godzinie smoka (t. j. między 7 a 9 rano) wynurzyły się przed nami niewyraźne zarysy góry, pływającej po morzu. Zdawała się być wysoką i piękną. Pomyśleliśmy natychmiast, że to jest prawdopodobnie poszukiwana przez nas góra, i strach owładnął nami. Dwa czy trzy dni okrążaliśmy tę górę. Nareszcie ujrzeliśmy niebiańsko ubraną kobietę, która wyszła z wnętrza góry i udała się na wybrzeże, by napełnić wodą srebrny dzban. Ujrawszy to, wysiedliśmy na ląd i zapytaliśmy się jej, jak się owa góra nazywa. Kobieta odparła: «To jest góra Horai». Gdyśmy to usłyszeli — radość nasza była bezgraniczna. Zapytaliśmy się tej kobiety: «A kim jesteś ty, co z nami rozmawiasz?» — «Ja jestem Korona-z-Lapislazuli». — Z temi słowami raptownie zniknęła znów w górze. Przyglądaliśmy się górze, ale nie mogliśmy dostrzec żadnej ścieżki, prowadzącej na wierzchołek. Błądziliśmy więc u jej podnóża. Rosły tam drzewa z nieznanemi u nas kwiatami, sływały wody złote, srebrne i kryształowe, przez które były przerzucone mosty z przeróżnych drogich kamieni. Nad potokami rosły lśniące drzewa. Tę tu gałązkę zerwałem z najbrzydszego. Ale ponieważ ona odpowiadała Waszemu opisowi, więc się nią zadowolilem i wsiałem z powrotem na statek.

### Z ISE MONOGATARI

Był sobie młody człowiek, który przez długie lata odwiedzał co noc pewną damę, z którą właściwie nie powinien był utrzymywać stosunku. Gdy uzyskał zgodę tej damy na wspólną wycieczkę, wyruszyli w drogę w zupełnej ciemności. Szli brzegiem rzeki Akuta-Gawa. Dama ujrziała błyszczącą rosę na trawie. Zapytała młodzieńca, co to jest. Młodzieniec nie dał odpowiedzi, gdyż cel ich podróży był jeszcze bardzo

odległy, a noc miała się już ku końcowi. Pioruny waliły, lało jak z cebra. Młodzieniec wprowadził damę do wałącego się szałas przy drodze. Sam pozostał przy wejściu z łukiem w rękę i pełnym strzał kołczanem na ramieniu. Ale nie wiedział, że ten szałas był kryjówką djabłów. Nim się zaczęło trochę rozjaśniać, jeden z nich pożarł damę. Dama wprawdzie krzyczała i lamentowała, lecz młodzieniec nic nie słyszał, gdyż nieustanne grzmoty zagłuszyły jej krzyki. O świcie zajrzał do środka, lecz damy, z którą przyszedł, już nie było. Młodzieniec tupał nogami i płakał, ale naprzóżno.

## Z YAMATO MONOGATARI

Oyama-hime ciotka Ko-no-hana-sakuya-hime, pięknej bogini Fuji-sanu, była tak brzydka, kapryśna, zazdrosna i złośliwa, że żaden bóg nie chciał się z nią ożenić. Siostrzeniec i siostrzenica, widząc z rozpaczą, że jej zły charakter jest przeszkodą do jej szczęścia, próbowali ją często wprowadzić na drogę poprawy, lecz, niestety, naprzóżno. Razu pewnego przyszło boskiej siostrzenicy na myśl, że, być może, podróż po malowniczej i górzystej prowincji Shinano wpłynie łagodząco na ciotkę. Wyruszyli więc razem w drogę. Wspinali się na niezliczone szczyty. Pewnego razu stali na pagórku, leżącym nad rzeką. Sakuya-hime, stojąc na kamieniu, wskazała palcem na pobliską skałę i powiedziała: «Widzisz tę skałę? Wejdz na nią i rozejrzyj się dokoła. Twoje serce wtedy zmięknie». Ciotka była zmęczona długą podróżą, i, pod łagodnym wpływem jesiennego księżyca, jej serce, rzeczywiście, zmiękło. Zwróciła się do swej siostrzenicy i rzekła: «Na wierzchołku tego pagórka pozostanę na zawsze i połączę się z bogiem Suwa. Będziemy wspólnie czuwać nad tym krajem». Rzekła i zniknęła w świetle księżycowym.

## MURASAKI SHIKIBU

### Z GENJI MONOGATARI

...(Mniszka) uniosła nieco zastonę i złożyła na ołtarzu ofiarę z kwiatów. Poczem siadła pod środkową kolumną, położyła przed sobą sutrę i zaczęła czytać drżącym, zbolalym głosem. Mniszka ta, o wyglądzie niepospolitym, mogła mieć nieco powyżej czterdziestu lat. Twarz miała bardzo bladą, o szlachetnych rysach; bardzo wychudzoną, lecz mimo to o pięknym owalu. Jej spojrzenie, jej włosy, krótko obcięte, lecz jeszcze miększe od długich, wywarły na Genję nader dodatnie wrażenie.

Z nią siedziały dwie przyzwoicie ubrane kobiety i kilka bawiących się dziewczynek. Jedna z nich, w wyblakłej żółtej sukience, mogła mieć dziesięć lat. Była bezporównania piękniejsza od innych. Stała z czerwonymi od płaczu oczyma. Jej włosy zwisały jak rozwinięty wachlarz.

«Co się stało? Czy się pokłóciłaś z jedną z dziewczynek?» Z temi słowami spojrzała mniszka na dziewczynkę. Były do siebie bardzo podobne, i Genji przypuszczał, że dziewczynka jest córką mniszki.

«Inuki wypuściła z koszyka mojego wróbelka» — odpowiedziała dziewczynka z żalem w głosie... Mniszka zwróciła się do dziewczynki i powiedziała: «Dziewcinna jesteś. Nie bądź niemądra. Myślisz tylko o wróblu, a nie przychodzi ci na myśl, że ja codzień mogę umrzeć. Zawsze ci mówiłam, że to jest grzech. Jakże mi smutno! Chodźno do mnie!»

Dziewczynka siedziała, wspierając główkę na rękach. Twarzyczka jej była urocza, brwi wspaniałe, czoło i włosy przepiękne. Z podziwem myślał Genji, o ile piękniejsza będzie ona jeszcze w przyszłości i jak bardzo podobna do tej, której poświęcił całe swoje serce. Na myśl o niej lży mu stanęły w oczach.

## SEI SHONAGON

(ur. 968)

Z MAKURA NO SOSHI

## Cztery pory roku

Na wiosnę zachwyca mnie najbardziej jutrzenka, kiedy nad górami, jeszcze ciemnymi, fioletowe chmurki unoszą się długimi wstęgami.

Latem (zachwyca mię) noc. Oczywiście, pełnia księżyca. Lecz także ciemne noce, z rojącymi się robaczkami świętojańskimi. Nawet przy deszczu wydaje mi się piękna noc letnia.

Jesienią — wieczór. Zachodzące słońce wysyła swe płomienne promienie, zbliża się coraz bardziej do łańcucha gór. Kruki kierują się do miast; lecą po trzy, po cztery, po dwa. Czarujący smutek. I cóż może być piękniejszego, jak długie klucze dzikich gęsi na widnokręgu, które zdają się być tak małe. Gdy słońce zniknie — szmer wiatru i brzęczenie owadów. I w tem — ileż czarownego smutku!

Nareszcie zima. Jakżeż czarujący jest spadający śnieg. Jakżeż niepokalana jest biel szronu. Albo poprostu — silny mróz: z zapalem roznieca się ogień i nosi się żarzący się węgiel drzewny. Tak chce pora roku. Około południa mróz spada. Czerwony żar ogniska zamienia się w biały popiół, co wtedy jest bardzo pożądane.

## Rzeczy przykrę

Niania wychodzi «tylko [na chwilę]». Dziecko tęskni do niani i płacze. Starają się je tymczasowo uspokoić i jednocześnie posyłają po nianię: «Przychodź szybko!» Odpowiedź: «Dziś wieczorem nie mogę więcej przyjść». — To jest nietylko przykre, to jest obrzydliwe.

\* \* \*

Na bal bardzo zależy na wachlarzach. Zamawia się je u rzemieślnika, który robi najpiękniejsze. W dzień balu przynosi wachlarze. Coś podobnie brzydkiego nie widziało się nigdy w życiu.

## KI NO TSURAYUKI

(882 — 946)

Z TOSA NIKKI

Gdyśmy tak sobie gawędzili, zerwał się nagle wiatr. Wiosłowaliśmy coraz silniej, lecz statek pomimo to cofał się i groził zatonięciem. Sternik rzekł: «Wspaniały bóg z Sumiyoshi jest strasznym bogiem. Bezwątpienia życzy sobie czegoś». Sądząc z tych słów, jest on podobny do zwykłych ludzi. Sternik dodał: «Złóżcie mu ofiarę». Zgodnie z jego radą, złożyliśmy ofiarę, ale wiatr nietylko nie ustał, lecz wzmógł się jeszcze bardziej. Fale wzrastały. Sternik rzekł znowu: «Wasza ofiara nie zadowoliła boga; statek nie posuwa się naprzód. Złóżcie w ofierze coś, coby mu lepiej dogadzało». Posłuszny jego radzie, namyślałem się chwilę, co należy uczynić, i rzekłem: «Mam dwoje oczu, a tylko jedno zwierciadło. Składam w ofierze to zwierciadło». Zwierciadło zostało rzucone do morza, ku wielkiemu mojemu żalowi. Lecz ledwie to się stało, morze wypogodziło się zupełnie.

\* \* \*

...Przybyliśmy późną nocą. Nie mogliśmy więc rozpoznać szczegółów. Byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy w stolicy. Pojechałem do mojego domu. Wszedłem przez bramę. Przy jasnym świetle księżyca widziałem wszystko bardzo wyraźnie. Wszystko było

zapuszczone, wszystko zdziczało — znacznie więcej, niż mnie opowiadano. Serce tego, na czyjej pieczy dom zostawiłem, też musiało być zdziczone. Nasze domy dzielił tylko żywopłot. Z tego względu, gdym wyjeżdżał, przyszedł do mnie i ofiarował się doglądać domu w czasie mojej nieobecności. Przy każdej sposobności posyłałem mu podarki. Jednak gniewu mego głośno nie wyraziłem i nie powiedziałem mu: «W jakim stanie znajduję to wszystko dziś wieczorem». Chociaż z najwyższą przykrością, okazałem mu moją wdzięczność, ofiarowując mu podarki.

## Z HEIKE MONOGATARI

### Bitwa pod Dannoura

Niidono (babka małoletniego cesarza) była oddawna przygotowana na klęskę Tairów. Włożyła dwa ciemne płaszcze, podkasała swą jedwabną suknię, opasała się świętym mieczem, wzięła pod ramię wielką pieczęć państwową. Przytuliła do piersi małego (osiem lat liczącego) cesarza i rzekła: «Jestem tylko kobietą, lecz nie chcę umrzeć z ręki wroga. Będę towarzyszyć Waszej Cesarskiej Mości, lecz nie zginę z ręki wrogów. Będę towarzyszyć cesarzowi. Kto mu wierny — za mną!» Z temi słowami skierowała się ku burcie. (Rzecz dzieje się na statku wojennym).

Cesarz miał zaledwie osiem lat, wyglądał jednak znacznie starzej. Od jego czcigodnej osoby biło światło. Długie czarne włosy spadały mu aż na plecy. Zdziwiony zapytał: «Dokąd mnie chcesz zabrać?» Niidono płakała hara-hara (dźwięk spadających gęsto łez). «Władco mój, w życiu poprzedniem postępowałeś zgodnie z dziesięcioma przykazaniami. To też urodziłeś się obecnie jako władca dziesięciu tysięcy wozów bojowych. Lecz zły los sprawił, że twoje szczęście ma się ku końcowi. Racz się zwrócić na wschód i pożegnaj się ze świątynią w Ise. Racz się zwrócić na zachód i pomódl się do Buddy, aby wysłańcy rajy zachodniego przybyli po ciebie. Ten kraj jest krajem płaczu, jest krajem godnym pogardy. Ja cię zawiodę do pięknego kraju doskonałej szczęśliwości». Tak mówiła Niidono z płaczem.

Mały cesarz, uczesany à la binzura (japońskie uczesanie książęce), w szatach cesarskich koloru górskiego gołębia, zalany łzami, złożył swe małe rączki i pożegnał się, zwrócony na wschód, ze świątynią Ise. Poczem, zwracając się na zachód, pomodlił się do Buddy.

Niidono wzięła go ze czcią w ramiona i ze słowami: «Tam pod wodami jest piękne miasto» — skoczyła do morza i zanurzyła się na dziesięć tysięcy łokci.

## Z TAIHEIKI

### Bitwa pod Karasaki

... (Mnisi) wyruszyli na wybrzeże pod Karasaki pieszo. Było ich zaledwie trzystu. Gdy Kaito (wódz wojsk Hojo) ich ujrzał, zawołał: «Wrogów jest zaledwie garstka. Rozproście ich, zanim otrzymają posiłki. Za mną!» Z temi słowami wyciągnął z pochwy miecz długości trzech stóp i czterech cali, lewym rękawem zastonił się od strzał i rzucił się między wrogów. Trzech położył trupem, następnie zatrzymał się na brzegu zjiora i czekał na swoich. Ujrzał go Kwajitsu, mnich z klasztoru Okamoto, kopnął ustawione rzędami wielkie tarcze i ruszył do ataku, wymachując swą siekierą wojenną długości dwóch stóp i ośmiu cali, jak kołem wodnym. Kaito schwycił ją lewą ręką a prawą wymierzył mu straszny cios mieczem w hełm, pragnąc go przepołowić. Lecz cios chybił i ześlizgnął się po naramiennikach. Drugi cios był tak silny, że mu pękło jedno strzemię i że omal nie spadł z konia. Gdy się poprawił w siodle, pchnął Kwajitsu ręką swoją swą siekiery i uderzył jej ostrzem dwa-trzy razy po hełmie. Kaito spadł z konia z przebitą tchawicą. Teraz Kwajitsu postawił nogę na jego zbroi, chwycił go za włosy, poderwał do góry i odciął mu głowę, którą zatknął na swą siekiere

bojową. «Ładny początek, zabiłem generała wrogiej nam partji wojennej» — wykrzyknął z drwiącym śmiechem. Z tłumu widzów wystąpił młodzieniec piętnasto-, szesnastoletni, uczesany modą chińską, w lekkim, zielono-żółtym pancerzu, ze spodniami wysoko podkasanymi. Potrząsając małym, wykładanym złotem mieczem, rzucił się na Kwajitsu i ciął go trzy-cztery razy po hełmie. Kwajitsu natychmiast się odwrócił i ujrzał przed sobą dziecko, liczące zaledwie dwa razy po osiem lat, z grubemi, namalowanymi brwiami i czernionymi zębami. Zabicie tak małego dziecka przez kaptana (Kwajitsu był mnichem) uznał za zbyt okrutne. Ale gdy on się powstrzymywał od ciosów, młodzieniec rzucił się kilkakrotnie na niego i zadawał mu ciosy ze wszystkich stron. «Jeżeli już koniecznie chcesz» — powiedział i wytrącił rękojęścią chłopcu miecz z ręki. Zamierzał wziąć go do niewoli, opasując chłopca ramionami, ale mnisi, ustawieni na miedzach, między polami ryżowemi, zaczęli strzelać, i chłopiec padł martwy, z piersią przeszytą strzałą. Dopiero później dowiedziano się, że był to Kowakamaru, najstarszy syn Kaito.

### KAMO NO CHOMEI

(1154 — 1216)

#### Z HŌJŌKI

#### Ciężkie czasy

Było to mniej więcej w r. 1181. Dokładnie nie pamiętam, gdyż było to bardzo dawno. Przez dwa lata srożyła się straszna klęska głodu. Albo wiosną i latem panowały susze, albo jesienią i zimą — powódzie i burze. Katastrofy żywiołowe szły jedna po drugiej, i nie można było zebrać pięciu gatunków zbóż. Napróżno orano na wiosnę i okopywano latem. Jesienią nic nie zbierano i na zimę nie było co chować. Ludzie ze wsi nie dbali o swoje pola i emigrowali. Bardzo dużo pozostawiało swe domy na łaskę losu i wędrowało w góry. Próbowano wszelakich modlitw, urządzano nadzwyczajne procesje — lecz napróżno. — Życie w mieście w znacznym stopniu zależy od wsi. Lecz ponieważ wieś nie zawoziła do miasta, więc jakżeż miało miasto zachować swą godność? Proszono i błagano, chciano sprzedawać wszystkie skarby — lecz nikt ich nie chciał kupować. A jeżeli się nawet czasami znalazł nabywca, to sprzedawał swe zboże więcej niż na wagę złota. Gościńce roily się od żebraków, którzy napelniali uszy rozdierającemi skargami. W takiej nędzy minął cały pierwszy rok.

Od roku przyszłego oczekiwano poprawy. Lecz wybuchła zaraza — i było jeszcze gorzej niż przedtem. Wszyscy umierali głodową śmiercią. Przypominaliśmy ryby z wysychającego stawu. Nawet dostatnio odziani ludzie, noszący obuwie i kapelusze, zebrali od drzwi do drzwi. Bardzo często ogarniało zdumienie, że się jeszcze trzymają na nogach — wtem padali z osłabienia. Niepodobna zliczyć tych wszystkich, co umierali z głodu, oparci o ścianę domu, albo nawet w rowach przydrożnych. Trupów nikt nie grzebał. Całe miasto wypełniała przenikliwa ich woń. Na brzegu rzeki (tyle leżało trupów), że nie było miejsca dla koni i pojazdów. Drzewa na opał było coraz mniej, gdyż biedni drwale nie mieli siły, by je przynosić do miasta. Poczęto rozbierać własne domy i sprzedawać na targu (na opał). Wielkie naręczę, które dorosły mężczyzna ledwie mógł dźwignąć, z trudem wystarczało na jednodniowe utrzymanie.

### KENKŌ HŌSHI

(1283 — 1350)

#### Z TSURE ZURE GUSA

Pewnego razu ktoś zapytał cnotliwego mnicha Hozen: «Co mam czynić, gdy podczas adoracji Buddy zachciewa mi się gwałtownie spać?» — «Adoruj Buddę, gdy się obudzisz» — brzmiała podziwu godna odpowiedź.



Też: «Zbawienie jest pewne, gdy się wierzy, że jest pewne. Jest niepewne, gdy się wierzy, że jest niepewne». — Także podziwu godne.

I jeszcze: «Nawet niedowiarek, przyzywający imię Buddy, będzie w raju». — Godne podziwu.

\* \* \*

Biskup Ryogaku był złym człowiekiem. Ponieważ koło jego świątyni rósł wysoki wiąz, więc nazywano go «biskupem wiązowym». Ten przydomek mu się nie podobał, kazał więc wiąz zrębać. Ponieważ korzenie pozostały, więc nazywano go «ściętym biskupem». To go rozzłościło jeszcze bardziej, kazał więc wykopać korzenie, przez co powstała wielka dziura. Teraz zaczęto go nazywać «dziurawym biskupem».

\* \* \*

Gdy miałem osiem lat, spytałem się ojca: «Co to jest Budda?» — Mój ojciec odpowiedział: «Człowiek, który stał się Buddą». — Wtedy zapytałem: «W jaki sposób ten człowiek stał się Buddą?» — «Dzięki naukom Buddy». — «Ale kto nauczył tego Buddę tego, czego on nauczył tego człowieka?» — «Nauka Buddy, który żył przed nim». — «Ale kto był pierwszym Buddą, który zaczął uczyć? Może zstąpił z nieba, albo wyłonił się z ziemi?» — Ojciec śmiał się. Przyciśnięty moimi pytaniami, nie wiedział, co odpowiedzieć. Opowiadał o tem wielu znajomym i był bardzo ze mnie dumny.

### ARAI HAKUSEKI

(1657 — 1725)

#### Z DZIEŁ HAKUSEKIEGO

Mój ojciec opowiadał: «Mój ojciec został skazany na śmierć i żył w ukryciu w tym kraju. Miał wielkie oczy, długą brodę, twarz jego miała straszny wyraz. Aż do śmierci nie miał ani jednego siwego włosa. Przy jedzeniu posługiwał się stale czarnymi pałeczkami z laki, z namalowanymi na nich irysami. Po jedzeniu pałeczki odkładał. Moja stara mamka opowiedziała mi na moją prośbę, że ojciec razu pewnego ściał w bitwie głowę bardzo wybitnej osobistości. Gdy ją przyniósł swemu wodzowi, ten rzekł: «Zmęczyłeś się bardzo, bierz i jedz!» — i z temi słowami podał mu własne jedzenie i własne pałeczki. To było wtedy niezwykłym zaszczytem, i ojciec nigdy się z temi pałeczkami nie rozstawał». Tę historję słyszałem jako mały chłopiec. Gdzie i kiedy tę bitwę stoczono, kto był tym dowódcą — tego nie wiem.

### MOTOORI NORINAGA

(1730 — 1801)

#### Z DZIEŁ NORINAGI

Żył w Chinach wielki miłośnik książek, imieniem Sonko. Jego rodzina była niezamożna, tak, że nie mógł sobie kupić oliwy. Czytał więc nocą przy świetle ośnieżonych pól. Bardzo lubił lekturę także niejaki Shain, który też mieszkał w Chinach. I on był bardzo biedny i latem studjował przy świetle robaczków świętojańskich, które sam zbierał. To są dwie słynne historje, które wszyscy znają. A jednak te historje są zwyczajnymi bajeczkami, wymyślonymi przez obywateli tego kraju ku powiększeniu sławy swej ojczyzny. Oto dlaczego. Gdyby ktoś nie miał pieniędzy na kupno oliwy, toby poprostu poszedł do sąsiada i czytał u niego. Gdyby jednak naprawdę nie miał żadnej lampy do dyspozycji, to przecież światło księżycy byłoby znacznie jaśniejsze, niż światło ośnieżonych pól lub robaczków świętojańskich. Nie należy także zapominać, że okresy czasu, w których pada śnieg albo świecą robaczki świętojańskie, są bardzo krótkie. Czy więc w tych wszystkich miesiącach, kiedy niema ani śniegu, ani robaczków świętojańskich, wcale nie czytali? Doprawdy, śmiać mi się chce z tego.

## KYOKUTEI BAKIN

(1767 — 1848)

## Z POWIEŚCI BAKINA HAKKENDEN

...Pies Yatsubasa legł u nóg zatopionej w lekturze księżniczki Fusehime. Jej pokojowe starały się go wygnać z pokoju wszelkimi sposobami — ale napróżno. Pies nie chciał odstąpić księżniczki ani na krok. Nie pomagały ani baty, ani nawet włócznia. Czem więcej się starano, tem dzikszym stawał się pies. Iskry sypały się z jego oczu jak błyskawice, jego warczenie huczało głucho, jak grzmot za górami. Zgrzytanie zębów i jadowita paszcza nadawały mu tak straszny wygląd, że nikt się nie ważył podejść do niego.

Nareszcie nadszedł książę Satomi (ojciec księżniczki) z włócznią w rękę. Rozejrzał się po pokoju i rozkazał sługom i pokojowym opuścić pokój, poczem rzucił się na psa i próbował go wygnać włócznią. Lecz jego groźby nie skutkowały. Pies wyl tylko coraz głośniej i chciał nawet rzucić się na swego pana. Czerwony z gniewu, rzekł książę: «Ty szkaradny, chytry demonie! Szkoda czasu na przekonywanie takiego pozbawionego rozumu zwierza. Poznajesz chyba swego pana, który cię żywi od siedemnastu lat. Czy może być większe dobrodziejstwo niż ta pieczołowita troskliwość, (którą tobie okazywałem)? Jeżeli tych dobrodziejstw nie potrafisz uznać, to ta włócznia cię pouczy, jak wielka była łaska twego pana». Z temi słowami wznosił włócznię, by go przebić.

Księżniczka Fusehime szybko wstała i podeszła do swojego ojca: «Poczekaj chwileczkę, kochany ojcze. Czy to postępowanie jest godne księcia? Czy książę żyje i zabija swego psa jak rzeźnik? Mam ci coś do powiedzenia: Daruj mu, proszę, życie!» — Książę Satomi odparł: «Nie rozumiem twoich słów. Mów wyraźnie, o co ci chodzi». — Fusehime otarła łzy ze swoich pięknych oczu, poprawiła suknię i powiedziała: «W dawnych czasach szczyliły się mądre rządy czcigodnych książąt tem, że wynagradzały każdą usługę i karały każde przestępstwo. I dziś jeszcze jest nagradzanie i karanie najważniejszą czynnością każdego rządu. Jeżeli dobre czyny i praca nie są nagradzane, a przestępstwa i występki nie są karane, to do państwa zakrada się nieład. Któż, albowiem, chciałby w takim państwie pracować? Oto przykład: Kto ci przyniósł głowę naszego niezwycięzonego wroga, który omal nie zdobył i nie zburzył naszego zamku? Co za trwożliwe wysiłki robiliśmy wtedy, aby nasz zamek przeciwko niemu obronił? Któż był wtedy zbawcą, który nas z tej smutnej opresji wyzwolił? Cała nasza rodzina, a także trzy tysiące wojowników zawdzięczają życie temu zbawcy. Ale któż jest tym zbawcą? Nikt inny, tylko ten pies. Tak wielką nam oddał usługę ten pies! I za to mamy mu zapłacić śmiercią? Mamy się z nim tak okrutnie obejść? Czy nie sądzisz, ojcze, że byłby wtedy najniešťczęśliwszem ze stworzeń?»

Satomi z niezadowoleniem słuchał słów córki. «Nie rozumiem ciebie. Od czasu jego zwycięstwa wyznaczyłem człowieka, który ma się nim tylko opiekować. Otrzymuje smakołyki i wyszukane napoje. Jego łoże jest całkiem pokryte haftowanymi jedwabiami i wyłożone najdelikatniejszym puchem. Czy nie należy uważać tego za najwyższą nagrodę, jaką pies może otrzymać od swojego pana?»

Fusehime spojrzała na ojca i powiedziała: «Nauczyłeś mnie chińskiego przysłowia: «Słowo książęce jest jako kropla potu». Tak jest, książęca mowa i książęce słowo winno być zawsze poważne i prawdziwe, i gdy raz zostało powiedziane, nie winno być nigdy cofnięte. Ach, ojczel! Gdy nas oblegała potężna armja Kagetsury, powiedziałeś: «Jeżeli mi przyniesiesz głowę Kagetsury, jako zdobywcę, to dam ci rękę mojej córki». Był to być może tylko żart, ale pies przyniósł wkrótce, zgodnie z twojem poleceniem, głowę wroga. Jakże mógłbyś więc nie spełnić swojej obietnicy? Przypuśćmy na chwilę, że to był człowiek. Kogoby zadowolili nagroda, składająca się z pożywienia i ubrania?»

## JIPPENSHA IKKU

(1765 — 1831)

## Z HIZAKURIGE IKKE

(Rzeka Shioigawa wylała i zerwała mosty. Yashirobi i Kidahashi mają zamiar przejść rzekę w bród. Zjawiają się dwaj niewidomi, Inuichi i Saoichi. Inuichi zapytuje Kidahashiego).

«Za pozwoleniem pańskim, czy tu jest wody za kolana?»

«Ależ tak, zaledwie do spodni. Ale prąd jest bardzo silny, musicie więc przy przechodzeniu w bród bardzo uważać».

«Zabawne» — powiedział Inuichi — «jak ta woda huczy. Jak czajnik». Z temi słowami nabierał kamyków i zaczął je rzucać do rzeki, aby zmiarkować jej głębokość. «Tu mi się wydaje mniej głęboko. Słuchajno, Saoichi. To niema sensu, żebyśmy sobie obaj zamoczyli spodnie. Ty masz młodsze nogi, weźno mnie na barana».

«Ha, ha, jakiś ty sprytny. Będziemy losować. Kto przegra, len przeniesie drugiego na barana».

«Dobrze. Dalej go!»

(Losowanie wypadło na korzyść Inuichiego).

«Wygrałem» — krzyknął Inuichi.

«Stul pysk. Bierz manatki na plecy. Czy już? No więc, dalej go!»

Saoichi nadstawił pleców, gotów do drogi. Z tej chwili skorzystał Yashirobi i usadowił się na plecach Saoichiego, mrużąc: «Bardzo ci dziękuję». Saoichi w przekonaniu, że przenosi drugiego niewidomego, wchodzi do wody i przechodzi rzekę bez żadnych przygód.

Pozostawiony na tamtym brzegu Inuichi krzyczy: «Słuchaj, ty chamie, co ci znów strzeliło do łba? Dlaczego mnie nie przenosisz? Pośpiesz się no troszkę».

Saoichi słyszy to z drugiego brzegu i złości się: «Co to za głupie dowcipy? Przecież dopiero co ciebie zrzuciłem. Chcesz mnie naciągnąć, abym ciebie jeszcze raz przeniósł?»

Inuichi: «Nie gadaj głupstw. Przeszedłeś sam, ty podłe ścierwo».

Saoichi: «Samaś ścierwo».

Inuichi: «Jak ty do mnie mówisz, ty wszarzu! Przenosisz mnie, czy nie?! Czy też mam z tobą inaczej pogadać?!»

I Inuichi wpada w taką furję, że z jego oczu widać tylko białka.

Saoichi nie wie, co robić, wraca więc na tamten brzeg i powiada nieco grzeczniej: «Właż więc na mnie!» — i nadstawia mu pleców.

«Bardzo ładnie» — myśli sobie dowcipny Kidahashi, obejmuje go za szyję ramieniem i dumnie rozsiada się na jego plecach, jak na koniu. I Saoichi znów wchodzi do wody. Ale Inuichi, doprowadzony do ostateczności, krzyczy: «Przyjdiesz, czy nie, Saoichi?!» Saoichi usłyszał go, gdy już był pośrodku rzeki, i pomyślał sobie: «Co za obca małpa siedzi na mnie?» — i zrzucił Kidahashiego do wody.

Kidahashi: «Ajajaj! Na pomoc, na pomoc!» Przyczem wymachiwał rękami i nogami, ponieważ upadł na brzuch. Yashirobi musiał skoczyć do wody i go wyciągać. Kidahashi przemókl oczywiście od stóp do głów, tak, że go można było wyzymać, i stękał: «Och, ten ślepy lotr flaki ze mnie wytrząsnął».

Yashirobi trzymał się za brzuch: «Ha, ha, ha, ha! Rozbieraj się, to ci wyźnę twoje łachy».

Kidahashi: «Prawdę rzekłszy, ojczulku Yashi, to twoja wina. Tyś pierwszy wlaż na barana i dałeś mi zły przykład. A ja...»

— «...Wpadłem do wody, co oczywiście nie jest wielką frajdą, ha, ha, ha! Posłuchajno, jakim wierszykiem uczciłem twoją przygodę:

Niewidomemu

Chciałem kawał zrobić... i — —

Wpadłem do wody.

«Kto pod ślepymi dołki

Kopie — sam w nie wpada».

Kidahashi: «Te, słuchaj, to nie mądrego. Gwiżdżę na twoje wiersze przy tem psiem zimnie». Poczem, szczękając zębami, rozbiera się i wyżyma swe ubranie. Tymczasem nadeszli obaj ślepy.

## SHIKITEI SAMBA

(1775 — 1822)

## Z UKIYO BURO

Starzec Inkyo. Był sobie Chińczyk... jakże mu tam?, który miał syna... jakże mu tam? Ten syn to był bardzo dobry syn. Razu pewnego zachciało się jego matce zimą karpia. Zastanawiał się, jakby tego karpia zdobyć. Ale leżał głęboki śnieg i karpie były pod lodem, tak, że nikt nie potrafił ich łowić...

Den. To mogli ich nie łowić.

Golarz Bin. Za jednego bu (1 zł) można kupić dużego karpia.

Inkyo. Wiadomo, kto ma pieniądze, tego głowa o nic nie boli. Ale miłość synowska na tem właśnie polega, aby nie mieć pieniędzy, i aby głowa zabolala.

Den. W takim razie my jesteśmy też dobrymi synami, ponieważ nigdy nie mamy pieniędzy i cały rok nas głowa boli.

Inkyo. To zupełnie co innego, wy nie macie pieniędzy, ponieważ je przepuszczacie.

Bin. Cicho! Nie przeszkadzaj mu!

Inkyo. ... więc pobrnął przez głęboki śnieg nad brzeg pewnego stawu. Ale staw był pokryty lodem. Więc postanowił narazić życie dla matki... Rozebrał się i położył się na lodzie.

Den. Poco?

Bin. Pewnie przypomniało mu się przysłowie: «Szczęście przychodzi we śnie».

Inkyo. Ale gdzietam, taki głupi przecież nie był. Prostu chciał roztopić lód ciepłem swego ciała. A gdy się lód roztopi, to, myślał sobie, może złowi karpia. No co, czy to nie jest prawdziwa miłość synowska?

Bin. Tego nie wiem, ale wiem, że w głowie miał niezupełnie dobrze. A gdyby lód się stopił i on wpadł do wody, to co?!

Inkyo. Dla rodzicieli nie pożałował własnego życia!

Bin. Zapewne, nie należy żałować życia dla rodziców. Lecz gdyby on utonął, toby karpia i tak nie złowił, a prócz tego musiałaby jego osamotniona matka pójść na żebry. Mojem zdaniem, postąpił zupełnie głupio. Przypuśćmy nawet, że lód się szczęśliwie stopił. A jeżeli w tym stawie wcale karpie nie było?

Inkyo. Ale on wiedział, że są.

Bin. Co on mógł zrobić, jeżeli karpie pochowały się pod lód?

Inkyo. Tu właśnie pomaga miłość synowska. Słońce wszystko widzi, nic nie dzieje się napróżno. Dobre czyny są zawsze wynagradzane. Karp wyskoczył na lód. Takie były skutki miłości synowskiej.

Bin. Być może. Ale ten Chińczyk nie był bardzo mądry. Gdybym ja był na jego miejscu, tobym tak zrobił: «Mateczko kochana, zachciało ci się karpia? Zaraz go dostaniesz, poczekaj chwileczkę!» Poczem wziąłbym miskę i, bez względu na to, czy pada śnieg, czy też włócznie, pobiegłbym do gospody i za 64 albo najwyżej 100 mon zafundowałbym matce zupy z karpia. Gdybym nie wiem jak biednym był — na to byłoby mnie stać.

Inkyo. Stój, stój! Bardzo się mylisz! Coby ci pomogły pieniądze, gdyby nie było gospody?

Den. Powiadają, że nawet w Chinach są gospody.

## NO

## SUKNIA Z PIÓR

Ry b a k. Wieje wiatr szybki  
Nad Miho wybrzeżem.  
Na fal gościńcach  
Lud morza tłumnie  
Wędruje. — —

Jestem tutaj na wybrzeżu Miho. Jestem rybakiem i nazywam się Hakurio...

Z łądu, sosnami zasłoniętego,	Na gałęzi — — widzę — —
Spoglądam wdal.	Wisi suknia błyszcząca.
Cóżto??! Kwiaty w powietrzu? — —	Podchodzę — — dotykam — —
Muzykę słyszę?! — —	Co za barwy! — — co za woń! — —
Boska woń niebiańska	To nie ubranie śmiertelne!
Wszystko przenika!	Chyba wezmę! Starcom wsi mej pokażę!
Na cud spoglądam zdumiony — —	Suknia z piór

Będzie mi skarbem rodzinnym!

Dziewica niebiańska. Słuchaj, ty! To moja suknia! Jakiem prawem mi ją zabierasz?!

Ry b a k. Jakiem prawem? Ponieważ ją znalazłem!

Dziewica niebiańska. Tej sukni — sukni dziewicy niebiańskiej — żadnej ziemiance włożyć nie wolno. Oddaj natychmiast!

Ry b a k. Ach, ach! Sukni dziewicy niebiańskiej nie oddam z pewnością. Dzieciom mym szczęście przyniesie. Co mówię! Skarbem dla Japonji będzie! Nie, nie! Za nic ci jej nie oddam.

Dziewica niebiańska. Ptak bez piór ptasich — — jakżeż mam latać? Niebianka bez szat — — jak się mam kołysać? Błagam cię, rybaku, zwróć mi suknię.

Ry b a k. Dużo sobie robię z twoich próśb. Nie znasz mnie widocznie. Hakurio jest cham. Na Boga! Niebiańska suknia z piór! Dobrze to ukryję. Nikt się o niej nie dowie. Zegnaj mi! Biorę ją z sobą.

Dziewica niebiańska. Mieszkanka niebios — bez sukni skrzydlatej! Bez sukni — — Nigdzie ratunku!

Ry b a k. Tak, tak! Na co ci zeszło! Teraz jesteś zwyczajną rybaczką.

Dziewica niebiańska. Dokąd?! Droga zamknięta! Niebo zamknięte!...

Ry b a k. ...ponieważ Hakurio sukni oddać nie chce.

Dziewica niebiańska. Sił mnie tem pozbawił.

Ry b a k. A więc — —

Chór. A więc — Wszystko napróżno! — — Kaskada łez perłowych! — — Pięć znaków upadku — się zbliża! Głęboki ból wzbudza widok tego anioła.

Dziewica niebiańska. Spoglądam ku nieba krainie. Już ją mgła przesłania. Już zgubiłam drogę za chmurami.

Chór. Obloki ziemskie! Czy się do nieba, do jej ojczyzny, wznosicie? Jakżeż wam ona zazdrości! Czy ich dochodzi jeszcze — zdaleka — twa mowa, dziewico nieba? Zazdrość ją pożera! Jakżeżby chciała, słysząc krzyk gęsi, w gęs dziką się zamienić...

Ry b a k. Słówko! Nie mogę znieść widoku bólu na twjej twarzy. A gdybym ci suknię zwrócił?

Dziewica niebiańska. Bądź dobry! Daj ją!

Ry b a k. Zaraz, zaraz... Więc ci ją oddam... Jeżeli... jeżeli — ty — tutaj — natychmiast — taniec dziewic niebiańskich dla mnie zatańczysz, o którym tyle słyszałem.

(Dziewica tańczy, chór bardzo wymownie opisuje jej taniec, rybak zwraca suknię z piór i dziewczica ulatuje ku niebu).

## KYŌGEN

## SANIN - GATAWA (Trzech ułomnych)

Pan domu. Jestem obywatelem tego miasta. Dziś pragnę zgromadzić u siebie samych ułomnych. Wiem już, dlaczego. Ogłoszę to publicznie. — —

\* \* \*

Niewidomy. Jestem graczem. Od kilku dni przesładuje mnie nieszczęście. Byłem zmuszony sprzedać swoje meble, nie wspominając już o srebrze i złocie. Nie wiedziałem, jak przeżyję dzisiejszy dzień. Tam, za górą, poszukuje ktoś ułomnych. Jestem wprawdzie od przyrodzenia bardzo zdrowy. Powiadają o mnie, że mam wszędzie oczy. Ano, raz zabawię się w niewidomego. Lepiej było przestać grać, jak mi dobrzy ludzie doradzali. A teraz już za późno. Zszedłem na psy. Zamelduję się tutaj i będę grać niewidomego. — Tu, proszę.

Pan domu. Ktoś jest przede drzwiami. — — Kto tam?

Niewidomy. Niewidomy, łaskawy panie, wedle tego ogłoszenia.

Pan domu. Aaaa, więc jesteś niewidomy. Dobrze, będziesz mi służyć. Chodźno tutaj.

Niewidomy. Stokrotne dzięki. Już lecę.

\* \* \*

Beznogi. Właściwie, to ja jestem znanym w całym mieście szulerem. Ale zgrałem się z kilku młodzieńcami, musiałem sprzedać meble, nie wspominając już o srebrze i złocie. Nie wiedziałem, jak przeżyję dzisiejszy dzień. Tam, za górą, poszukuje ktoś ułomnych. Wprawdzie od przyrodzenia wcale nie jestem ułomny i mam doskonałe, zdrowe nogi. Ano, zabawię się dziś dla rozmaitości w beznogiego. Oczywiście, robiłem głupstwa i zszedłem całkiem na psy. Ale spóźniona skrucza jest bezpłodna. Oto jestem, beznogi. — Tu, proszę.

Pan domu. Ktoś jest przede drzwiami. — — Kto tam?

Beznogi. Jestem beznogi, łaskawy panie, przychodzę wedle tego ogłoszenia.

Pan domu. Aaaa, więc nie masz nóg. Bardzo mi cię żal. Będziesz mi służyć. Chodźno tutaj.

Beznogi. Stokrotnie dziękuję. Już lecę.

\* \* \*

Niemowa. Właściwie, to ja jestem znanym w całym mieście szulerem. Ale zgrałem się niedawno i musiałem sprzedać wszystko, nie wyłączając sukien mojej żony, a nie wspominając już o srebrze i złocie. Nie wiedziałem, jak przeżyję dzień dzisiejszy. Wtem odkryłem ogłoszenie, że poszukują ułomnych. Wprawdzie od przyrodzenia jestem zupełnie zdrowy, i nazywają mnie powszechnie gadułą. Ale dla rozmaitości będę udawać niemowę. Przyniosłem nawet z sobą to wszystko, czego niemowa potrzebuje. Powiadają, że niebo nie daje ludziom nędznie ginąć. Tu dadzą mi przynajmniej jeść. A więc będę małpować niemowę! Muszę zapukać dwiema pałeczkami bambusowymi.

Pan domu. Sza! Ktoś wdycha przede drzwiami. Kto tam?

Niemowa. A... a... a...

Pan domu. Jesteś niemową?

Niemowa. A... a... a...

Pan domu. Będziesz mi służyć. Czy znasz jakie rzemiosło? (Niemowa pokazuje, że umie strzelać z łuku).

Pan domu. Umiesz strzelać z łuku?

Niemowa. A... a... a...

Pan domu. Umiesz co więcej? (Niemowa pokazuje, że umie rzucać oszczepem).

Pan domu. Jesteś oszczepnikiem? Ślicznie, dostaniesz wysoką pensję.

Niemowa. Bardzo dzięk... (Zasłania dłonią usta).

Pan domu. Czy nie dziwne, że ten niemowa zaczął mówić? Ale gdy niemowa mówi, to przynosi szczęście. Będziesz mi służyć. Siadaj!

Niemowa. A... a... a...

\* \* \*

Pan domu. Nareszcie udało mi się zebrać naokoło siebie ułomnych. Dam im nieco do roboty a sam pojedę na wycieczkę. Hallo, panie niewidomy!

Niewidomy. Proszę bardzo, proszę bardzo.

Pan domu. Wyjeżdżam na cztery do pięciu dni. Będziesz pilnować moich ubrań. Ale pilnuj dobrze!

Niewidomy. Niech pan będzie zupełnie spokojny. Będę dobrze uważać. Szczęśliwej drogi!

Pan domu. Bardzo dobrze. Hallo, panie beznogi! Wyjeżdżam na cztery do pięciu dni. Powierzam panu moje pieniądze. Ale proszę dobrze pilnować.

Beznogi. Niech pan będzie zupełnie spokojny. Szczęśliwej drogi!

Pan domu. Hallo, panie niemowo!

Niemowa. A... a... a...

Pan domu. Wyjeżdżam na cztery do pięciu dni. Obejmiesz piwnicę.

Niemowa. A... a... a...

Pan domu. Nie zabawię długo. (Wychodzi).

Niewidomy. Djabelnie nudno tak chodzić ciągle z zamkniętymi oczyma gdyby je tak troszeczkę otworzyć?

Beznogi. Strasznie bolesne tak ciągle trzymać nogi wykręcone wtył. A gdyby je tak troszeczkę wyprostować?

(Obaj się sobie przyglądają).

Niewidomy. Tam, do djabła, to ty? Przybyłeś tu zapewne po twojem ostatnim wpadnięciu?

Beznogi. Dobrze zgadłeś. Ale tam ktoś wzdycha. Chodźmy do niego.

Niewidomy. Dobrze, chodźmy. Kto to może być?! Nastraszymy go!

Obaj. Hallo!

Niemowa. A... a... a...

Obaj. Cudownie!

Niemowa. A więc to wy jesteście? Zjawiliście się tu pewnie po waszych ostatnich bankructwach?

Beznogi. Oczywiście.

Niemowa. Jakżeście się tu dostali?

Beznogi. Ten tu jest niewidomy, ja nie mam nóg. A jak się ty tu dostałeś?

Niemowa. Widzicie, mnie nazywają gadułą — więc tym razem jestem niemową.

Niewidomy. Znakomicie. Jesteś rzeczywiście doskonale niemy.

Niemowa. Nasz pan wyjechał na cztery do pięciu dni. Czy wam żadnych zleceń nie pozostawił?

Beznogi. Ależ oczywiście, każdy ma swoją pracę. Niewidomy ma zważać, aby panu nie ukradziono jego ubrań.

Niemowa. Znakomicie.

Niewidomy (do niemowy). A czego ty pilnujesz?

Niemowa. Piwnicy.

Obaj. Znakomicie.

Niemowa. Uważajcie, co wam powiem. Przedewszystkiem otworzymy powierzoną mi piwnicę i wysuszmy beczki. Potem otworzymy kasę i trochę sobie pogramy. A na sam koniec otworzymy garderobę i pięknie się poubieramy. Poczem prędko uciekniemy.

Obaj. Całkiem proste.

Niemowa. Dalej, otwierajmy razem drzwi piwnicy. Wttttt... srasara...  
Drzwi otwarte.

Niemowa. Dobrześmy zgadli. Co tu beczek! Pijmy. Podnieśmy przykrywę.  
Aaaa... Znakomita wódka. Trzeba nalać. Pijcie też, pijcie!

Obaj. Nalewaj. Trzeba spróbować. Trzeba się napić. Toż to znakomita wódka!

Niemowa. A teraz zaśpiewam wam piosenkę.

Obaj. Bravo!

Niewidomy. A ja będę dolewać.

Niemowa. Dosyć, dosyć! Pij sam, niewidomy! (Wszyscy trzej śpiewają).

Niemowa. Tak, to była wódzka!

Beznogi. Zatańcz nam co!

Niewidomy. Ja wam zatańczę.

Obaj. Cudownie!

Niewidomy. A wy zato śpiewajcie. (Obaj śpiewają, niewidomy tańczy).

Niemowa. Muszę się jeszcze czego napić. Zatańczno ty, beznogi!

Beznogi. Już się robi.

Obaj. Bardzo ładnie, bardzo ładnie! (Niemowa śpiewa, beznogi i niewidomy tańczą).

Obaj. Cudownie! Teraz twoja kolej, niemowo!

Niemowa. Zaraz zatańczę. (Wszyscy trzej strasznie hałasują).

Pan domu (wchodząc na to). Trochę jestem jednak niespokojny, że tych ułom-  
nych zostawiłem tak samych. — — Dziwne! Co za wrzawa! Jakby pijatyka. — —  
Niewidomy ma oczy otwarte — — niemowa mówi?? Beznogi chodzi?? — —  
Wszyscy trzej jesteście oszustami!

Trzej ułomni. Psia krew, wrócił!! Co robić?

Niemowa. Pan wrócił???

Niewidomy. A... a... a...

Pan domu. Dopiero co byłeś jeszcze niewidomy, a teraz jesteś niemową?!  
A ty, beznogi, teraz jesteś niewidomy?! O, wy arcyłotry! Tego wam nie daruję.

---

*Wybór tekstów i układ B. Richtera.*



I. LITERATURA WEDYJSKA

HYMNY RIG-WEDY

1

Hymn do Indry (II, 12)

Ten bóg rozsądny, ledwie urodzony,  
Bogów przewyższył wszystkich roztropnością.  
Ziemia i niebo drżą od jego mocy,  
Przez męstwa ogrom — oto Indra, ludzie!

W jego władaniu są konie i krowy,  
Osiedla ludzkie i wszystkie zaprzęgi,  
On stworzył słońce, on stworzył jutrzeńkę,  
Wody prowadzi — oto Indra, ludzie!

On umocował chwiejącą się ziemię,  
Unieruchomił rozszalałe góry<sup>1</sup>,  
On dał przestworzom szerokie rozmiary,  
On niebo podparł<sup>2</sup> — oto Indra, ludzie!

Do niego w starciu wołają dwa hufce,  
Wrogie zastępy, słabszy i silniejszy,  
Także obydwaj, co na wozie stoją<sup>3</sup>,  
Każdy go wzywa — oto Indra, ludzie!

Ubiwszy smoka, siedem rzek wypuścił,  
Z ukrycia Wali wyprowadził krowy,  
Wykrzesał ogień z pomiędzy dwóch głazów,  
Pogromca w bojach — oto Indra, ludzie!

Bez niego męże nie mogą zwyciężyć,  
Jego o pomoc błagają rycerze,  
On może sprostać każdemu wrogowi,  
Czem chce potrząśnie<sup>4</sup> — oto Indra, ludzie!

On to jest sprawcą tych wszystkich przewrotów,  
On precz odgonił Dasów podłe plemię,  
Jak gracz zwycięski stawkę, tak on wrogom  
Łupy zagarnia — oto Indra, ludzie!

Zawsze grzesznika, który ciężko zgrzeszył,  
Nim się spostrzeże, on pociskiem razi.  
Butą butnemu nie ustępuje,  
Dasjów pogromca — oto Indra, ludzie!

«Gdzież jest ten groźny?» — pytają niektórzy  
Lub zgoła twierdzą, że go wcale niema.  
Jak w grze pomniejsza skarby nieprzyjaciół,  
W niego uwierzcie — oto Indra, ludzie!

Śambarę, który ukrywał się w górach,  
On wreszcie zdybał w czterdziestej jesieni,  
I smoka Danu, choć się bardzo srożył,  
Trupem rozciągnął — oto Indra, ludzie!

Opieką darzy biednych i pobożnych,  
Bramina, piewę, gdy o pomoc woła,  
Pomaga temu, kto wyciska Somę,  
Bóg piękności — oto Indra, ludzie!

Buhaj potężny, w siedmiu cuglach jeździ,  
Aby płynęły, siedem rzek uwolnił,  
Rauhinę, kiedy do nieba się wspinał,  
Piorunem strącił — oto Indra, ludzie!

<sup>1</sup> Mīt wedyjski opowiada, że góry pierwotnie miały skrzydła i fruwały wśród przestworzy. Indra poobcinał górą skrzydła.

<sup>2</sup> «Podparcie» nieboskłonu należy do funkcji wedyjskiego demiurga. Zwykle przypisują hymny tę sztukę bogu Warunie.

<sup>3</sup> Wojownik i woźnica na wozie wojennym.

<sup>4</sup> Dosłownie: potrząsający tem, co jest nieporuszalne.

Niebo i ziemia oddają mu pokłon,  
Od jego mocy drżą ze strachu góry,  
O nim wiadomo, że umie pić tęgo,  
Piorunowładny — oto Indra, ludzie!

Wspiera pieśniarzy i dawców ofiary,  
Tych, którzy Somę szykują i jadło,  
Brahmanem, Somą i strawą ofiarną  
Krzepi swe siły — oto Indra, ludzie!

[Nieokiełzany Indro, który zdobywasz skarby dla tłoczącego Somę i piekącego (ofiarnie kołacze), tyś to jest, zaprawdę, ty prawdziwy! Obyśmy zawsze, w potomstwo bogaci, sławili cię mogli hymnem, jako twoi druhowie!]

## 2

## Hymn do Waruny (V, 85)

Śpiewaj podniosłą pieśń, głęboką, miłą,  
Warunie, władcy słynnemu, który,  
Jak rzeźnik skórę, tak rozpostarł ziemię,  
Aby służyła słońcu za kobierzec.

Ten wielki cud przesławnego Waruny,  
Asurowego syna, głosić pragnę:  
Że oto słońcem on, jakgdyby miarą,  
Wymierzył ziemię, wśród przestworzy stojąc.

Waruna rozsnuł przestworza wśród lasów,  
W rumaki siłę, mleko włożył w krowę,  
Sercu dał mądrość, ogień ukrył w wodach<sup>1</sup>,  
Słońce postawił w niebie, Somę w górach.

Nikt nie naruszy cudów, które czyni  
Bóg najmądrzejszy pośród wszystkich bogów:  
Rzeki srebrzyste, w jedno morze płynąc,  
Wodami swemi nie wypełnią morza.

Waruna beczkę otwartą u spodu  
Wylał na niebo, ziemię i przestworza.  
Jak deszcz ulewny jęczmień, rosi ziemię,  
Król władający wszystkim, co istnieje.

Gdy jakiegokolwiek popełnimy grzechy  
Wobec bliskiego, druha, przyjaciela,  
Brata, swojaka, albo też obcego,  
Od wszystkich grzechów wybaw nas, Waruno!

Deszczem szeroką ziemię i niebiosa  
Rosi Waruna, kiedy pragnie mleka,  
Góry przywdziały z obłoków oponczę,  
Rycerze silni<sup>2</sup> rozwiązali chmury.

Gdy oszukamy, jak gracz nieuczciwy,  
Umyślnie albo także nieumyślnie,  
Jak węzeł rozwiąż wszystkie nasze winy,  
Waruno! bądźmy twymi przyjaciółmi!

## 3

## Hymn do Jutrzenki (VI, 64)

Oto Jutrzenka weszła w majestacie,  
Blaskiem jaśniejąc, jak wód lśniące fale,  
Ścieżki łatwemi do chodzenia czyni,  
Piękna i szczodra, rozdająca dary.

Ty masz wygodne ścieżki nawet w górach,  
Promieniejąca stąpasz wśród przestworzy,  
Torem szerokim krocząca bogini,  
Daj nam bogactwa, cudna córo niebios.

Dobroci pełna, świecisz dookoła,  
Twoje promienie wlatują pod niebo,  
Stroisz się pięknie i obnażasz łono,  
Jutrzenko boska, błyszcząca przepychem.

Na swym zaprzęgu wiesziesz co najlepsze,  
Ile zechcemy, tyle daj nam bogactw,  
Bogini, córo niebios, twoją łaskę  
Codzień widzimy przy modlitwie rannej.

O ty precudna! Ty sięgasz daleko,  
Twój rydwan ciągną czerwone buhaje;  
Jak precz odpędza wroga witez-łucznik,  
Jak rycerz w boju, ty ciemności gromisz.

Gdy ty zabłyśniesz, z gniazd wlatują ptaki,  
Ranny posiłek spożywają ludzie,  
Śmiertelnikowi, który ciebie wielbi,  
Boska Jutrzenko, dajesz dużo szczęścia.

<sup>1</sup> Ogień jako błyskawica śnieszka w chmurach.

<sup>2</sup> Maruty, bóstwa wichru i burzy, tworzą «hufiec rycerzy».

## 4

## Rozmowa Wiśwamitry z rzekami (III, 33)

[Poeta:]

Jak wypuszczone kłaczki niecierpliwe,  
Z gór łona naprzód na wyścigi śpiesząc,  
Jak lśniące krowy-matki liżąc brzegi,  
Wipaś z Śutudri<sup>1</sup> biegną, tocząc fale.

Na rozkaz Indry bieć pragniecie szybko,  
I aż do morza mkniecie, jak na wozach.  
Łącząc się z sobą, falami wezbrane,  
Jedna ku drugiej płyniecie, o lśniące!

[Wiśwamitra:]

Do macierzystej rzeki dziś przychodzę,  
Do Wipaś szliśmy, pięknej i szerokiej,  
Dwie krowy-matki cielaka liżące,  
W jedno łóżysko spływacie obydwie!

[Rzeki:]

Tak jest, płyniemy, wezbrane falami,  
Łóżyskiem, które bóg wyłobił dla nas:  
Rwącego nurtu nikt nie może wstrzymać.  
Czego chce śpiewak, wzywający rzeki?

[Wiśwamitra:]

Posłuszne prawu! Na mój zew przyjazny  
Na jedną chwilę stójcie w biegu waszym!  
Do rzeki zwracam gorliwą modlitwę,  
To ja, Kuśiki syn, pomocy wołam.

[Rzeki:]

Gromem łóżysko dla nas wyrzył Indra,  
Gdy zabił Writrę, więżącego rzeki;  
Nas pięknonęki bóg Sawitar wie dzie,  
Na jego rozkaz płyniemy szeroko.

[Wiśwamitra:]

To bohaterstwo Indry niechaj będzie  
Sławione wiecznie: że rozplątał smoka.  
On swoim gromem roztrzaskał okowy,  
Spragnione ujścia popłynęły rzeki.

[Rzeki:]

Tych słów, śpiewaku, nie zapomnij nigdy!  
Niech je od ciebie słyszą pokolenia!  
W swych pieśniach, wieszczu, bądź łaskawy  
dla nas!  
Źle o nas nie mów i bądź pozdrowiony!

[Wiśwamitra:]

A więc, o siostry, wysłuchajcie wieszczal!  
Zdała przywiódłem wozy i zaprzęgi;  
Schylcie się nisko, dajcie bród wygodny,  
Niech wasze fale płyną niżej osi.

[Rzeki:]

Twejej prośby, wieszczu, wysłuchamy chętnie.  
Zdała przywiozłeś wozy i zaprzęgi.  
Oto się schylam jak karmiąca matka,  
Jak kochankowi w siebie daję wnikać.

[Wiśwamitra:]

A kiedy przejdą Bharatów zastępy,  
Hufiec po zdobycz wysłany przez Indrę,  
Wtedy niech znowu rwący nurt popłynie!  
Tej łaski od was pragnę, o czcigodnel!

Żądni zdobyczy przeszli Bharatowie.  
Rzeki śpiewaka obdarzyły łaską.  
Wzbierajcie znów! dary obfite niosące,  
Pełnym łóżyskiem płynicie chyżo naprzód!

## 5

## Pochwała rzek (X, 75)

Waszą, o rzeki, niezrównaną wspaniałość  
Śpiewak wysławia z kapłańskiego tronu.  
Trzykroć po siedem płyniecie, Sindhu na przedzie,  
Potęgą swoją przewyższając inne.

O Sindhu, abys płynęła, Waruna dał ci łóżysko,  
Kiedys zdążyła wziąć udział w wyścigach.  
Z grzbietu ziemi wdół spływasz,  
Kiedy stajesz na czele strumieni.

Poprzez ziemię ku niebu huczy jej szum,  
Kiedy połyskiem fal objawia swoją gwałtowność.  
Krople dżdżu jakgdyby z chmur pryskają,  
Kiedy, jak buhaj rycząc, pędzi przed siebie.

<sup>1</sup> Wipaś i Śutudri, dziś Beas i Satledź, dopływy Indusu.

Szumią rzeki, o Sindhu, wołając do ciebie,  
 Jak matki-krowy do swego cielęcia, jak dojne krowy.  
 Jak w bitwie król obydwą zastępy,  
 Rzeki prowadzisz, na ich czele śpiesząc.

Tę moją pieśń łaskawie przyjmijcie,  
 Gango, Jamuno, Saraswati,  
 Śutudri, Paruszni, Marudwridho  
 Razem z Aśikni i Witastą,  
 Ardżikijo razem z Suszomą!

Najpierw z Trisztamą bieg swój jednocząc,  
 Razem z Susartu, Rasą i Śweti  
 Dążysz, o Sindhu, z Kubhą do Gomati, z Mehatnu do Krumu,  
 Z temi wszystkimi spotem biegniesz przed siebie.

Prosto płynąc, jaśniejąc falami i błyszcząc,  
 Rwący nurt wyprzedza w swojej potędze,  
 Niezawodna jest Sindhu, najczynniejsza wśród czynnych,  
 Klacz wyśmienita, jak niewiasta piękna do patrzenia.

Znakomite rumaki posiada Sindhu, zaprzęgi i szaty,  
 Bogata w złoto i klacze, wyśmienita, urocza,  
 Obfituje w wełnę i krzewy Silamy  
 Błogosławiona stroi się w szatę z krzaków Madhuwridhy.

Lekki swój wóz, przez rumaki ciągniony, zaprzęgå Sindhu.  
 Na nim na wyścigach z innemi rzekami pozyskała zwycięstwo.  
 Sławimy wielką potęgę tego zaprzęgu  
 Niezawodnego, sławnego i obfitego w wody.

## 6

## Hymn o prapoczątku wszechrzeczy (X, 129)

Wtedy niebytu ani bytu nie było,  
 Ani przestworzy, ani w górze niebios.  
 Cóż więc istniało? Gdzie? I w czyjej pieczy?  
 Czy były wody, niezgłębiony odmęt?

Śmierć nie istniała ani nieśmiertelność,  
 Dla dnia i nocy nie było różnicy,  
 I nic innego tylko istność jedna  
 Bez tchnienia sama sobą oddychała.

Mroki we mrok spowite były najpierw,  
 Jednym odmętem wód to wszystko było,  
 I tylko owa moc, zamknięta w pustce,  
 Płodziła siebie przez żar umartwienia.

Z niej na początku zrodziła się żądza,  
 Pierwsze nasienie wysiane przez ducha.  
 Bytu przyczynę w niebycie znaleźli,  
 Szukając w sercu, skupieni wieszczowie.

Gdy sznur mierniczy wpoprzek rozciągnęli,  
 Co było niżej i co było wyżej?  
 Siły płodzące i potęgi płodne,  
 Możliwość w dole, a działanie w górze.

Któż wie jednakże, któż powiedziec umie,  
 Jakie jest tego stworzenia praźródło?  
 Do stworzonego świata należą bogowie,  
 Więc kto ma wiedzieć, skąd powstało wszystko?

Ten, od którego pochodzi stworzenie,  
 Który je stworzył — albo i nie stworzył,  
 I czuwa nad niem w najwyższych niebiosach,  
 Ten wie zaiste! Albo może nie wie?

*Tłum. St. Schayer.*

## HYMNY ATHARWA-WEDY

### 1

#### Zamawianie błyskawicy (I. 13)

Pozdrowiona bądź, o błyskawico!  
 Pozdrowiony bądź i ty, o grzmociel  
 Pozdrowiony niechaj będzie piorun,  
 Którym tylu strzaskałeś złoczyńców.

Pozdrowienie tobie, Córo Niebios,  
 Skąd nam żary nachylasz słoneczne.  
 O bądźże ty nam teraz litośna,  
 Dzieci nasze nam oszczędź i radość im spraw!

Córo wyżyn! Pochwalona bądź i pozdrowiona!  
 Czczymy oręż twój i żar twój także czczymy.  
 My znamy twą najdalszą kryjówkę w mórz głębi,  
 Gdzie utajona leżysz jak senne pępowie.

Ciebie wždy stały bogi, gdy swe gromy miotały straszliwe.  
 Bądź litośna, gdy Cię w kornych czcicieli kole wysławiamy!  
 Pozdrowienie, o Bogini, tobie!

*Tłum. St. Stasiak.*

### 2

#### Zamawianie czarodziejskiego ziela, które niewidzialne demony czyni widzialnymi (IV, 20)

Tutaj patrzy, wprzód patrzy, wstecz patrzy, patrzy!  
 Od niebios i przestworzy aż do ziemi wszystko widzi ta Bogini.  
 Trzy nieba, trzy ziemie i tych sześć stron świata, każdą zosobna,  
 Wszystkie demony przy twojej pomocy, o boskie ziele, niechaj ujrzę!  
 Zaprawdę, żrenicą jesteś tego niebiańskiego orła.  
 Jak na łożu zmęczona niewiasta, weszłaś na ziemię.  
 Tysiącooki bóg prawą dłonią niech mi ją poda.  
 Przez nią niechaj wszystko oglądam, Śudrę i Arję.  
 Widzialnymi uczyni postaci, nie chowaj się przede mną.  
 Każdego Kimidina pokaż mi, o Tysiącooka!  
 Pokaż mi Jatudhanów męskich i żeńskich,  
 Pokaż mi wszystkich Piścaczów, chwyć ich, o Ziele!  
 Okiem jesteś zółwia i czterookiej suki,  
 Jak słońce na jasnym niebie, nie daj przejścia pełzającemu Piścacy.  
 Z twoją pomocą wypędzam Jatudhanę i Kimidina.  
 Wszystko widzę, Śudrę i Arję.  
 Tego, który lata pośród przestworzy, włazi na niebo i na ziemię,  
 Który za władcę ma się — pokaż mi tego Piścaczę!

## 3

## Zaklęcie na porost włosów (VI, 136)

O Nitatni, boskie ziele,  
Coś wyrosło z boskiej ziemi,  
Myśmy ciebie wykopali,  
By zasilić nasze włosy.

Stare wzmocnij, nowe stwórz,  
Niechaj długi rośnie włos!

A te, które już wypadły  
Lub zostały ci wyrwane,  
Teraz oto (sokiem) zlewam  
Ziela, które wszystko leczy.<sup>1</sup>

## 4

## Zaklęcie miłosne (VI, 131)

Rzucam w ciebie serdeczny ból,  
Bądź go pełen od stóp do głów,  
Bogi, ześlijcie miłości czar,  
Niech tylko za mną tęskni wciąż!

Anúmati! Ty zgodę daj!  
Akuti! Prośbę moją ziść!  
Bogi, ześlijcie miłości czar,  
Niech tylko za mną tęskni wciąż!

Czyś o trzy mile stąd, lub pięć,  
Albo o cały konia bieg,  
Musisz powrócić do mnie znów  
I synów naszych ojcem być.

## 5

## Zaklęcie przeciw robakom (II, 31)

Oto jest potężny Indry głaz,  
Wszelkie robactwo miażdżący;  
Tym głazem, jak (ziarno) żarnami,  
Robaki ścieram w proch.

Widzialnego i Niewidzialnego,  
I Kururę gniotę też,  
Wszystkie Alandy, Śaluny<sup>2</sup>  
Tem zaklęciem wytrzebiam docna.

Bronią potężną tłukę Alandów,  
Spalone czy nie — postradały już swoją moc.  
A co zostało i co nie zostało, miażdżę zaklęciem,  
By się nie został ani jeden robak.

Robaka, który siedzi w jelitach,  
Robaka w głowie i robaka w żebrach,  
Awąskawę i Wijadhwarę  
Miażdżymy naszym zaklęciem.

Robaki w górach i robaki w lasach,  
W ziołach, w bydłociu i w wodzie,  
I te, które wtargnęły do naszego ciała,  
Ten cały pomiot robaczy gniotę wraz.

*Tłum. St. Schayer.*

<sup>1</sup> Dwie pierwsze zwrotki zwracają się do cudownego ziele, trzecia do osoby, na której wykonany zostaje zabieg magiczny.

<sup>2</sup> Widzialny, Niewidzialny, Kururu, Alanda i Śaluna — fantastyczne nazwy robaków. Także Awąskawa i Wijadhvara w czwartej zwrotce.

## AJTAREJA-UPANISZAD

## (Rozdział I)

Na początku zaiste to wszystko było tylko Atmanem. Nic innego nie było, co by mogło spoglądać. Pomyślał: «Stworzę światy». I stworzył owe światy<sup>1</sup>: odmęt, światłość, rzecz martwą i wody. Poza niebiosami jest odmęt, niebiosą są jego oparciem. Światłością są przestworza. Ziemia jest rzeczą martwą; wody są pod nią.

(Atman) pomyślał: «Oto są światy. Stworzę teraz Strażników strzegących światy». I wtedy, wyciągnawszy z wód Męza-Samca<sup>2</sup>, nadał mu kształt.

Nagrzał go wysiłkiem ascezy. Jak jajo pękły usta nagrzanego, z ust wyszła mowa, z mowy ogień. Nozdrza pękły, z nozdrzy wyszedł oddech, z oddechu wiatr. Oczy pękły, z oczu wyszedł wzrok, ze wzroku słońce. Uszy pękły, z uszu wyszedł słuch, ze słuchu przestrzeń.<sup>3</sup> Skóra pękła, ze skóry wyszły włosy, z włosów zioła i drzewa. Serce pękło, z serca wyszedł umysł, z umysłu księżyc. Pępek pękł, z pępka wyszedł wydech, z wydechu śmierć. Członek pękł, z członka wyszło nasienie, z nasienia wody.

Te bóstwa<sup>4</sup>, gdy zostały stworzone, wpadły do owego wielkiego oceanu. (Atman) wydał go na pastwę głodowi i pragnieniu. Zaś one (bóstwa) tak rzekły do niego: «Wyszukaj dla nas siedlisko<sup>5</sup>, abyśmy mogły, opierając się<sup>6</sup> na niem, spożywać pokarm». Przyprowadził im krowę. Rzekły: «Zaiste, to dla nas mało». Przyprowadził im konia. Rzekły: «Zaiste, to dla nas mało». Przyprowadził im człowieka. Rzekły: «Brawo! To jest rzecz dobrze zrobiona». Ro i zaiste: człowiek to jest rzecz dobrze zrobiona! Rzekł do nich (Atman): «Wnikajcie w niego, każde do swego siedliska».

Ogień, zamieniwszy się w mowę, wniknął do ust. Wiatr, zamieniwszy się w oddech, wniknął do nozdrzy. Słońce, zamieniwszy się we wzrok, wniknęło do oczu. Przestrzeń, zamieniwszy się w słuch, wniknęła do uszu. Zioła i drzewa, zamieniwszy się we włosy, wniknęły w skórę. Księżyc, zamieniwszy się w umysł, wniknął w serce. Śmierć, zamieniwszy się w wydech, wniknęła w pępek. Wody, zamieniwszy się w nasienie, wniknęły w członek.

Rzekł do niego głód i pragnienie: «I dla nas wyszukaj siedlisko». — Odpowiedział: «W owych bóstwach daję wam współdziałanie i w nich właśnie czynię was współuczestnikami». Dlatego też, jakimkolwiek bóstwu składa się ofiarę, głód i pragnienie są współuczestnikami.

(Atman) pomyślał: «Oto są światy i oto są Strażnicy światów. Stworzę teraz dla nich pokarm».

Nagrzał wody wysiłkiem ascezy. Z tych wód nagrzanymi powstał kształt. Ten właśnie kształt, który wtedy powstał, to był pokarm.

Gdy został stworzony, usiłował uciec. (Atman) chciał go pochwycić mową, ale mową nie mógł go chwycić. Gdyby go był mową chwycił, możnaby się było nasycić przez samo mówienie o pokarmie.

Chciał go chwycić oddechem, ale oddechem nie mógł go chwycić. Gdyby go był oddechem chwycił, możnaby się było nasycić przez samo wężanie pokarmu.

Chciał go chwycić wzrokiem, ale wzrokiem nie mógł go chwycić. Gdyby go był wzrokiem chwycił, możnaby się było nasycić przez samo patrzenie na pokarm.

Chciał go chwycić słuchem, ale słuchem nie mógł go chwycić. Gdyby go był słuchem chwycił, możnaby się było nasycić przez samo słuchanie o pokarmie.

Chciał go chwycić skórą,<sup>7</sup> ale skórą nie mógł go chwycić. Gdyby go był skórą chwycił, możnaby się było nasycić przez samo dotykanie pokarmu.

<sup>1</sup> Światy (loka), tutaj tyle, co «substancje kosmiczne».

<sup>2</sup> Puruša.

<sup>3</sup> Dosłownie: strony świata.

<sup>4</sup> Bóstwo (devatā) znaczy w Aránjakach i Upaniszadach nicomal tyle, co «substancja magiczna».

<sup>5</sup> Siedlisko (āyatana) jest terminem technicznym, oznacza teren właściwy dla danej substancji magicznej, jej miejsce w uporządkowanym wszechświecie.

<sup>6</sup> «Oparcie» (pratiṣṭhā) jest również terminem technicznym: harmonja magiczna polega na tem, że każda substancja jest «mocno oparta» na właściwej jej «podstawie».

<sup>7</sup> Skórą = dotykiem.

Chciał go chwycić umysłem, ale umysłem nie mógł go chwycić. Gdyby go był umysłem chwycił, możnaby się było nasycić przez samo myślenie o pokarmie.

Chciał go chwycić członkiem, ale członkiem nie mógł go chwycić. Gdyby go był członkiem chwycił, możnaby się było nasycić przez samo wylanie pokarmu.

Chciał go chwycić wydechem i wtedy połknął go (= âvayat). Dlatego wiatr (= vâyu) jest tym, który chwyta pokarm, dlatego wiatr jest tym, który zdobywa pokarm (= annâyu)<sup>1</sup>.

(Atman) pomyślał: «Jakżeż może istnieć ten (organizm ludzki) bez mnie?» I dalej pomyślał: «Jeśli przez mowę mówi się, przez oddech oddycha się, przez wzrok widzi się, przez słuch słyszy się, przez skórę dotyka się, przez umysł myśli się, przez wydech wypuszcza się wiatr, a przez członek wylewa się nasienie, kimże ja jestem w takim razie?»

I wtedy rozłupał ciemię w tym oto miejscu i przez tę bramę wniknął (do wnętrza ciała). Nazywa się ta brama Widriti<sup>2</sup> i jest miejscem rozkoszy.

Trzy siedziby posiada (Atman) i trzy stany uśpienia: oto jedna siedziba (w oczach, gdy czuwa), oto druga siedziba (w umyśle, gdy marzy) i oto trzecia siedziba (we wnętrzu serca, gdy jest pogrążony we śnie bez marzeń).

Gdy się narodził, rozejrzał się wśród istot. — «Któż chciałby twierdzić, że jest czemś innym, niż mną?» Ale człowieka uznał za coś, co jest najbardziej z Brahmanem jednorodne. I rzekł: «To spostrzegłem (= idam adarśam)». Dlatego<sup>3</sup> imieniem jego jest Idandra. Albowiem naprawdę Idandrą się nazywa. Jego, który na imię ma Idandra, nazywają ludzie Indrą w sensie tajemnym. Albowiem bogowie lubią tajemniczość. Albowiem bogowie lubią tajemniczość.

*Tłum. St. Schayer.*

## CZHANDOGJA-UPANISZAD

### 1

#### Nauka Śandilji o jedności Atmana i Brahmana (III, 14)

Zaiste, ten cały wszechświat jest Brahmanem. Wielbić<sup>4</sup> go trzeba jako dżalan<sup>5</sup>.

Zaprawdę, z woli<sup>6</sup> urobiony jest człowiek. Jaka wola człowiek posiada na tym świecie, takim staje się, kiedy stąd odejdzie. Dlatego dbać należy o (dobrą wolę).

Cały z ducha, jego ciałem — dech życiodajny, postacią — światło, zamierzeniem — prawda, istotą — nieskończoność przestrzeni, wszechczynny i wszechpragnący, wszystko wachający i wszystko smakujący, obejmujący sobą wszystko, co istnieje, milczący i nietroszczący się o nic.

To jest mój Atman w głębi serca, mniejszy od ziarna ryżu, albo od ziarna jęczmienia, albo od ziarna gorzycy, albo od ziarna prosa, albo (nawet) od wytuskanego ziarna prosa.

To jest mój Atman w głębi serca, większy od ziemi, większy od przestworzy, większy od nieba, większy od tych światów.

Wszechczynny i wszechpragnący, wszystko wachający i wszystko smakujący, obejmujący sobą wszystko, co istnieje, milczący i nietroszczący się o nic; to jest mój Atman we wnętrzu serca, to jest Brahman. Gdy stąd odejdę, z nim się zespolę. Kto to zrozumiał, zaiste od wątpienia jest wolny.

Tak mówił Śandilja-Śandilja.

<sup>1</sup> Etymologia magiczna, oparta na dźwiękowym podobieństwie âvayat i vâyu, annâyu i vâyu.

<sup>2</sup> Widriti = szczelina, mowa o «szwie na ciemieniu».

<sup>3</sup> Znowu etymologia magiczna: idam adarśam = idandra = indra.

<sup>4</sup> Chodzi o magiczną technikę upasany.

<sup>5</sup> Magiczne słowo, jako medytacyjny paradygmat o symbolicznym znaczeniu, rzekomo «(w nim) powstając, ginąc i oddychając».

<sup>6</sup> Wola (krafu), jako ogólna dyspozycja wolicjonalna, charakter, tutaj pojęty już w tym samym sensie, co późniejsze karma.



## 2

## Ognie ofiarne pouczają Upakosalę (IV, 10—15)

Upakosala, syn Kamali, mieszkał jako uczeń u Satjakamy, syna Dżabali. Przez lat dwanaście obsługiwał mu ognie ofiarne, ale on innych uczniów odprawił do domu, a jego nie odprawił.

Rzekła do mistrza małżonka: «Dręczy się uczeń. Dobrze obsługiwał ognie, zważ więc, aby cię nie ubiegły w wyłożeniu nauki. Poucz go!» Ale mistrz, nie pouczywszy ucznia, wyruszył na wędrowkę.

A uczeń aż zachorował i przestał jeść. Do niego rzekła żona mistrza: «Uczniu, jedz! Dlaczego nie jesz?» On odpowiedział: «Tyle różnych pożądań mieszka w człowieku! Ale mnie wypełniły choroby. Nic nie będę jadł».

Wtedy powiedziały ognie: «Dręczy się uczeń. Dobrze nas obsługiwał, hejże! przemówmy do niego». I przemówiły do niego: «Brahman to prana, Brahman to kam, Brahman to kham»<sup>1</sup>.

Odpowiedział: «Rozumiem, że Brahman to prana, ale że jest kam i kham, tego nie rozumiem».

Rzekły: «Kam to kham, a kham to kam, co jest kham, to jest kam». I wyłożyły mu, że Brahman jest (jednocześnie) praną i nieskończonością przestrzeni.

Najpierw pouczył go ogień Garhapatja<sup>2</sup>: «Ziemia, ogień, pokarm i słońce, to ów purusza, którego widać w słońcu. A on to ja, to właśnie ja».

«Kto go uwielbia<sup>3</sup>, wiedząc o tem, ten odrzuca od siebie precz wszelki niedobry czar, świat zdobywa, pełny żywot osiąga, długo żyje i jego potomstwo nie wymiera. Pożytek mamy w tym i tamtym świecie z tego, który, o tem wiedząc, uwielbia puruszę w słońcu».

A potem pouczył go ogień Anwaharjapaczana: «Wody, strony świata, gwiazdy i księżyc, to ów purusza, którego widać w księżycu. A on to ja, to właśnie ja».

«Kto go uwielbia, wiedząc o tem, ten odrzuca od siebie precz wszelki niedobry czar, świat zdobywa, pełny żywot osiąga, długo żyje i jego potomstwo nie wymiera. Pożytek mamy w tym i tamtym świecie z tego, który, o tem wiedząc, uwielbia puruszę w księżycu».

I wreszcie pouczył go ogień Ahawanija: «Oddech, nieskończoność przestrzeni, niebo i błyskawica, to ów purusza, którego widać w błyskawicy. A on to ja, to właśnie ja».

«Kto go uwielbia, wiedząc o tem, ten odrzuca od siebie precz wszelki niedobry czar, świat zdobywa, pełny żywot osiąga, długo żyje i jego potomstwo nie wymiera. Pożytek mamy w tym i tamtym świecie z tego, który, o tem wiedząc, uwielbia puruszę w błyskawicy».

I rzekły ognie: «Upakosalo! Znasz teraz, o najdroższy, naukę o nas i naukę o Atmanie. O drodze, (która wiedzie do wyzwolenia w Atmanie), pouczy cię twój mistrz». Powrócił mistrz i zawołał na przywitanie: «Upakosalo!» — «Czcigodny!» — odpowiedział Upakosala. — «Jak oblicze znawcy Brahmana błyszczy twoje oblicze. Któż to ciebie pouczył?» A on chciał się wyprzeć: «Któżby mnie miał pouczyć?» Ale mistrz rzekł, wskazując na ognie: «Wyglądały tak, a teraz wyglądają inaczej<sup>4</sup>. Cóż to ci one powiedziały, o najdroższy?»

Wtedy przyznał się: «To a to (mi powiedziały)».

«Pouczyły cię one, o najdroższy, o światach<sup>5</sup>, (w których mieszka purusza). Ale ja cię pouczę o czemś takim, że kto o tem wie, do tego nie przylgnie zły czyn, podobnie jak woda nie przylgnie do liścia lotosu». — «Wyłóż mi to, o Czcigodny».

<sup>1</sup> Prana = dech życiodajny, kam = radość, kham = eter, nieskończoność przestrzeni.

<sup>2</sup> Garhapatja i dalej w tekście: Anwaharjapaczana i Ahawanija, nazwy trzech świętych ogni ofiarnych, stale płonących i nigdy nie gasnących. Pierwszy z nich to «ogień domowy», drugi jest związany z kultem dusz zmarłych, trzeci jest właściwym ogniem rytualnym.

<sup>3</sup> Uprawia technikę upasany.

<sup>4</sup> To znaczy: ognie zmieniły nagle swój wygląd i w ten sposób zdradziły kłamstwo Upakosali.

<sup>5</sup> Światy (loka) i tutaj, podobnie jak i w Ajt. Up. znaczą tyle, co «substancje kosmiczne».

I mówił do niego mistrz: «Purusza, którego widać w oku, to jest Atman». Tak powiedział. — «To jest nieśmiertelność, to jest wolność od lęku, to jest Brahman. Dlatego, jeśli nawet wlać do oka roztopionego masła albo wody, spłynie na powieki».

«Nazywają go Samjadwama, bo w nim zbiera się wszystko, co miłe (wama). Wszystko, co miłe, zbiera się w tym, kto o tem wie».

«Na imię mu także Wamani, bo sprowadza (ni) wszystko, co miłe. Wszystko, co miłe, sprowadza ten, kto o tem wie».

«Na imię mu Bhamani, bo jaśnieje (bhā) we wszystkich światach. We wszystkich światach jaśnieje ten, kto o tem wie».

«I czy wykonane zostały nad nim obrzędy pogrzebowe, czy też nie, on wnika w płomień, z płomienia w dzień, z dnia w tę część miesiąca, kiedy księżyc przybiera, z tej części miesiąca, kiedy księżyc przybiera, w te sześć miesięcy, kiedy słońce zwraca się ku północy, z tych miesięcy w rok, z roku w słońce, ze słońca w księżyc, z księżycy w błyskawicę i tam (w błyskawicy) jest duch<sup>1</sup>, który go wiedzie do Brahmana. To jest droga bogów, to jest droga Brahmana. Kto po niej kroczy, ten już nie wraca do tego zamętu ludzkiego».

*Tłum. St. Schayer.*

## BRIHAD-ARANJAKA-UPANISZAD

### Jadźnawalkja poucza małżonkę (II, 4)

«O Majtreji! — powiedział Jadźnawalkja — chcę porzucić stan (rodzinny), niechże dokonam podziału mienia pomiędzy tobą i Katjajani». Odrzekła Majtreji: «Gdyby, o Czcigodny, ta cała ziemia pełna bogactw była moją własnością, czy przez to stałabym się nieśmiertelną?» — «Nie! — odparł Jadźnawalkja — życie twoje byłoby jak życie ludzi majątnych, ale nadziei na nieśmiertelność nie dają bogactwa».

Rzekła Majtreji: «Jeśli przez (majątek) nie stanę się nieśmiertelną, więc cóż mi po nim? Raczej o tem, co wiesz, poucz mnie, o Czcigodny!»

Odpowiedział Jadźnawalkja: «Miła mi jesteś, zaprawdę, i miłe (słowa) mówisz. Chodź, siądź, pouczę cię, a uważaj na to, co ci powiem». — «Mów, o Czcigodny!»

Jadźnawalkja mówił: «Nie gwoli małżonka miłuje się małżonka, ale gwoli własnego ja (= Ātmana) miłuje się małżonka. Nie gwoli małżonki miłuje się małżonkę, ale gwoli własnego ja miłuje się małżonkę. Nie gwoli synów miłuje się synów, ale gwoli własnego ja miłuje się synów. Nie gwoli majątku miłuje się majątek, ale gwoli własnego ja miłuje się majątek. Nie gwoli stanu kapłańskiego miłuje się stan kapłański, ale gwoli własnego ja miłuje się stan kapłański. Nie gwoli stanu rycerskiego miłuje się stan rycerski, ale gwoli własnego ja miłuje się stan rycerski. Nie gwoli światów miłuje się światy, ale gwoli własnego ja miłuje się światy. Nie gwoli bogów miłuje się bogów, ale gwoli własnego ja miłuje się bogów. Nie gwoli istot miłuje się istoty, ale gwoli własnego ja miłuje się istoty. Nie gwoli wszechbytu miłuje się wszechbyt, ale gwoli własnego ja miłuje się wszechbyt».

«Własne ja, o Majtreji, trzeba widzieć, słyszeć, myśleć i myślą ogarnąć. Gdy się własne ja widziało, słyszało, przemyślało i poznało, wtedy poznane jest wszystko».

«Stan kapłański odrzuci tego, kto mniema, że poza własnym ja jest stan kapłański. Stan rycerski odrzuci tego, kto mniema, że poza własnym ja jest stan rycerski. Światy odrzuca tego, kto mniema, że poza własnym ja są światy. Bogowie odrzuca tego, kto mniema, że poza własnym ja są bogowie. Istoty odrzuca tego, kto mniema, że poza własnym ja są istoty. Wszechbyt odrzuci tego, kto mniema, że poza własnym ja jest wszechbyt. Ten stan kapłański i ten stan rycerski, te światy, ci bogowie, te Wedy, te ofiary, te istoty i ten wszechbyt — oto własne ja».

«Z niem jest tak, jak z bębniem, na którym bębnią: rozchodzących się nazewnątrz tonów chwycić nie można, natomiast, chwyciwszy bęben albo tego, kto bębni, także

<sup>1</sup> Purušo mānavaḥ = człowiek z ducha, istota niematerjalna.

i ton chwytamy. Z niem jest tak, jak z gitarą, na której grają: tonów rozchodzących się nazewnątrz chwycić nie można, natomiast, chwyciwszy gitarę albo tego, kto gra na gitarze, także i ton chwytamy. Z niem jest, jak z konchą, w którą dmą: tonów rozchodzących się nazewnątrz chwycić nie można, natomiast, chwyciwszy konchę albo tego, kto dmie w konchę, także i ton chwytamy».

«Jak z ognia roznieconego na mokrem drzewie wydobywają się (pokolei) oddzielne kłęby dymu, tak jest właśnie z wydechem tej Wielkiej Istności. Rig-Weda i Jadżur-Weda, i Sama-Weda, i Weda Atharwanów i Angirasów, Itihasy i Purany, umiejętności, Upaniszady i Śloki, Sutry, Anuwjakhje i Wjakhje — to wszystko jest jej wydechem».

«Jak gruda soli, rzucona do wody, rozpuszcza się w wodzie, tak, że jej wydobyć już nie można, i skądkolwiek zaczerpnąć, wszystko jest słone, tak właśnie ta wielka, nieskończona, nieograniczona Istność jest tylko poznaniem prawdy. Z elementów wyłania się i w elementach znika. Po zgonie niema świadomości. Zaiste, tak mówię». — W ten sposób prawil Jadźnawalkja.

Rzekła Majtreji: «Zamęt wielki w moich myślach uczyniłeś, o Czcigodny, mówiąc, że po zgonie niema świadomości».

Odpowiedział Jadźnawalkja: «Nie mówię, zaiste, nic takiego, co by zamęt (w myślach czyniło). Co powiedziałem, wystarcza, aby zrozumieć: Bo gdzie jest niejako dwoje<sup>1</sup>, tam jedno widzi drugie, jedno wacha drugie, jedno mówi do drugiego, jedno słyszy drugie, jedno myśli o drugim, jedno poznaje drugie. Ale ten, dla kogo wszystko stało się własnem ja, przez co i co ma widzieć? przez co i co ma wachać? przez co i co ma mówić? przez co i co ma słyszeć? przez co i co ma myśleć? przez co i co ma poznawać? To (własne ja), które wszystko poznaje, przez co miałżeby (człowiek po śmierci) poznawać? Przez co miałżeby poznawać tego, który jest sam poznawcą?»

*Tłum. St. Schayer.*

## II. MAHABHARATA I RAMAJANA

### MAHABHARATA

#### 1

#### Opowieść o Wiśwamitrze

Niegdyś królewski riszi, Wiśwamitrą zwany,  
 Był przez wieki straszliwej pokucie oddany.  
 Widząc to, władca bogów Indra, zdjęty trwożą,  
 Pomyślał: Mnich ten wielki przez ascezę srogą  
 Ogromną posiadał siłę i targnąć się może  
 Nawet na mnie, i zburzyć państwo moje boże.  
 Zatem niszczyciel grodów rzeknie do Apsary  
 Menaki: Panno piękna, co swojemi czary  
 Królujesz w niebie, słuchaj! O łaskę cię proszę:  
 Patrz, oto Wiśwamitra, cielesne rozkosze  
 Odrzuciwszy, w surowej pogrążony jodze,  
 Jak słońce jasny, zmysły swe udręcza srodze;  
 Widok jego potęgi serce moje trwoży;  
 Ty zatem, o wysmukła nimfo, z woli bożej  
 Idź, postaraj się skusić niezłomnego mnicha,  
 Nim się na władzę moją porwie jego pycha.  
 Niewzruszonej ascezy ty się stań przeszkodą,  
 Uśmiechem i słowami, wdziękiem i urodą

<sup>1</sup> Podmiot i przedmiot poznawczy.

Spraw, niechaj się zakocha w tobie, panno miła,  
Niech się wniwecz obróci jogi jego siła.

Menaka rzecze:

Jak płomień groźna jego ascezy potęga,  
Siła zaś jego gniewu aż do niebios sięga,  
Czegoś i ty doświadczył. Czyż więc jestem w stanie  
Stłumić lęk przed nim, skoro Ty nawet sam, Panie,  
Drżysz, kiedy ów królewski mnich gniewem zapłonie?  
Nie dziw więc, iż myśl o nim budzi lęk w mem tonie.  
On to cnego Wasiszthę pozbawił stu synów;  
On zaliczony został do kasty braminów,  
Jakkolwiek sam w rycerskiej kaście urodzony.  
On to również na widok skalania swej żony,  
Którą posiadał Matanga, dla jej oczyszczenia  
Stworzył rzekę, co dotąd z Kauśiki imienia  
Jest znana i świętością ponad inne słyne.  
Matanga też nie uszedł kary po swym czynie,  
Bo przez gniewnego mnicha z kasty swej wyzuty,  
Stał się ptasznikiem, gdy zaś minął czas pokuty,  
Mnich prześlągany kazał mu złożyć ofiarę  
I na miejscu spotkania stworzył rzekę Parę.  
I ty sam jesteś jego potęgi świadomy,  
Wszakże przed nim szukałeś ucieczki u Somy.  
On to, uniesion gniewem — mąż do czynu skory,  
Nowe światy i nowe stworzył gwiazdozbiory,  
A królowi Triśanku udzielił opieki,  
Choć go wyklął Wasisztha. Tak przez mnogie wieki  
Wstawiał się Wiśwamitra potężnymi czyny.  
Spraw więc, by dziś nie zgubił mnie, słabej dziewczyny.  
Wszak wiesz, iż on swym blaskiem może światy spalić,  
Ziemię wstrząsnąć swą stopą, górę Meru zwalić  
I powstrzymać ruch nieba — mąż strasznego lica!  
Któraż się doń przybliżyć ośmieli dziewica?  
Słońce, księżyc i gwiazdy w oczach jego płoną;  
Język zabija, żądzę nie zna jego łono;  
Ogień niszczący w jego obliczu się żarzy —  
Jakaż więc go się dotknąć niewiasta odważy?  
Jama i Soma, i święci asceci  
Sadhje, i wszystkie niebiańskie istoty  
Drżą, widząc w oczach jego gniewu groty,  
I we mnie przestrasz siła jego nieci.  
O królu bogów! Gdy mi ty do niego  
Zbliżyć się każesz, czyż oprzeć się mogę?  
Jednakże usuń z serca mego trwożę,  
Niechaj mnie przed nim twe rozkazy strzegą.  
Niech tam, gdzie pości świątobliwy riszi,  
Wiatr pomknie za mną i porwie me szaty,  
I niech mi miłość w postaci Manmaty  
W czynie mym z łaski twojej towarzyszy.  
Gdy pójdę żądzę budzić w jego łonie,  
Niechaj wiatr leśny woniami powiewa.

Dobrze, rzekł Indra, i niebiańska dziewa  
Szła, kędy było Kauśiki ustronie.

Tedy na rozkaz Indry z swych niebiańskich wyży  
 Udała się na ziemię, a za nią wiatr chyży.  
 I w odludnej pustelni pięknobiodra panna  
 Ujrzała pokutnika, w którym nieustanna  
 Asceza wygładziła grzesznej żądzę żary,  
 Pozdrowiła go zatem strwożona bez miary.  
 Wówczas szaty jej srebrne, jak światło miesiąca,  
 Pochwycił wiatr, i niby odzież swą łowiąca,  
 Uśmiechnięta do wiatru, chociaż zawstydzona,  
 Zeszła na ziemię nimfa przecudnego łona.  
 Ujrzał ją Wiśwamitra, pierwszy z mnichów braci,  
 Gdy trwożna, obnażona, przecudnej postaci,  
 Na pobliskim pagórku łowiła swe szaty.  
 I surowy asceta pokusie Manmaty  
 Uległ, oczarowany przez jej wdzięki młode,  
 I na pragnienia swoje uzyskał jej zgodę.  
 W upojeniu miłosnem, daleko od świata,  
 Niby dzień jeden długie minęły im lata;  
 I u stóp Himalajów w dolinie uroczej,  
 Tam, gdzie rzeka Malini swoje nurty toczy,  
 Spowiła mu Menaka córkę Śakuntalę.  
 O spowiła dziecinę nie troszcząc się wcale,  
 Opuściła ją, czyn swój mając za spełniony,  
 I śpiesznie powróciła w swe niebiańskie strony.

*Tłum. A. Katuski.*

2

Pustelnia Kanwy

Las był uroczy, pełen zacisznych ustroni,  
 Altan cienistych, chłodnych, kwiatów słodkiej woni.  
 Drzewa leśne, splecione gęstemi konary,  
 Wznosiły się jak Indry potężne sztandary.  
 Apsary i Gandharwy, Siddhy i Czarany  
 Szukały tu rozrywki, i żądzą pijany  
 Stoń pogrążał swe ciało w chłodne rzeki tonie.  
 Luby wietrzyk unosił kwiatów pył i wonie,  
 Przepojone wilgocią od rzecznych wybrzeży,  
 I wśród drzew zdał się igrać powiew jego świeży.  
 W lesie tym, radującym i serce, i oczy,  
 Co nad brzegiem Malini, świętej i uroczej,  
 Naksztalt rozpostartego wznosił się sztandaru,  
 Była pustelnia, pełna niebiańskiego czaru.  
 W pustelni onej, strojnej w wszelkich drzew tysiące,  
 Wiecznym jaśniały blaskiem ogniska płonące.  
 Mędrców i pustelników, i ascetów krocie,  
 Umartwiając swe ciała, ćwiczyły się w cnocie,  
 Kwieciami były usłane ołtarze podnóża,  
 I pustelnia jaśniała, jak siedziba boża,  
 Wolna od zła i trwogi, pogodna i święta.  
 Cieszył się władca, widząc, jak dzikie zwierzęta  
 Oswojone biegały w dolinie nadbrzeżnej,  
 I świątobliwym miejscom złożył hołd należny.  
 U stóp pustelni błogie swe nurty toczyła  
 Rzeka Malini, ptakom i ascetom miła,

Na swej toni niosąca kwiaty oraz pianę.  
 Brzegi jej, przez gromady riszich odwiedzane,  
 Brzmiały od gromkich modłów i od hymnów pieni.  
 Czakrawaki gnieździły się w jej wysp zieleni,  
 Tygrysy, małpy, węże, szukając ochłody,  
 Pragnienie swoje gasić hiegly nad jej wody,  
 I oddani kąpielom wśród wód świętych fali,  
 Pokutnicy swe zmyły cielesne zmywali.

*Tłum. A. Kałuski.*

## 3

## Bhagawad-Gita

## Pieśń jedenasta

Rzekł Ardżuna:  
 Oto mnie gwoli, Panie mój,  
 Praducha niezgłębioną tajń  
 Gdy tak otwarty słowa twe,  
 Precz szczęść niewiedzy mej zły dur.

Stworzenia wszego śmierć i ród  
 Daleś dziś w pełni pojąć mi  
 I nieprzetrwaly dziejów twych,  
 Lotosooki, Boże, ciąg.

Jakoś, wszem władnący, sam  
 Istotę już mi orzekł swą,  
 Tak też, ze wszech najwyższy, chcę  
 I twój wszechboski ujrzyć kształt.

Jeśli mnie godnym mniemasz być  
 Ujrzenia cię, o Panie mój,  
 Tedy mi, Cudotwórcu, zwól  
 Twą wiekuistą ujrzyć jaźń.

Rzekł Najwyższy:  
 Oglądaj, synu Prithy, więc  
 Stukrotną, tysiąckrotną kariń  
 Niepoliczonych kształtów mych,  
 Niepoliczonych kras i barw.

Aditjów, Wasów, Rudrów huf,  
 Aświnów i Marutów lik,  
 Nieogładanych nigdy wprzód,  
 Oglądaj mych dziwowiszcz tłum.

Ten cały, zwity w jeden kłęb,  
 Ruchomy i bezruchy świat  
 Oglądaj w mojem łonie dziś  
 I który inny pragniesz stwór.

A iż śmiertelnym wzrokiem swym  
 Nie wstrzędziesz w łona mego głąb,  
 Boski Bharato, dając wzrok,  
 Oglądaj mą wszechboską moc.

Rzekł Sańdzaja:  
 Te rzekłszy słowa, królu mój,  
 Hari, Wszchemocnotwórczy Pan,

Synowi Prithy ujrzyć dał  
 Swój boży i tajemny Wid.

W bezliku ust i lic, i ócz,  
 W bezliku czarodziejskich zjaw,  
 Jarzących koron, świętych gódl,  
 Wzniesionej broni w krocich rąk,

Spowity w wieńców rajski strój,  
 Lśniący od maści z rajskich ziół,  
 Zamęttem dziwów rojny wskrós,  
 Dokolalicy, boży Wid.

Gdyby przejasnych tysiąc słońc  
 W niebiosach zapłonęło wraz,  
 Żarby się taki stał i blask,  
 Jakim rozelśnił się Wszcheduch,

I cały zwity w jeden kłęb,  
 Bez końca rozpowity świat  
 Ujrzał naonczas Pandów syn  
 W nagiem wszechłonie bóstwa bóstw.

Tedy z zachwytu jeżąc włos,  
 Zdumieniem niepomiernem zdjęt,  
 Złożywszy dłonie w kornej czci,  
 Rzecze z schylonem czołem wódcz:

Rzekł Ardżuna:

Widzę tłum bożyszcz w ciele twojem, Boże,  
 I wszystkich istot niezliczone rzesze!  
 Brahmę, wszechpana, na tronie z lotosu  
 I mędrców wszystkich, i węże niebiosów.

Mnogo-ramiennie-łonne-usto-oki  
 Widzę twój kształt powszędy nieskończony,  
 I ani końca, środka, ni początku  
 Nie widzę twego, wszechkształtów  
 Wszechpanie!

W koronie, z berlem i tarczą słoneczną,  
 Gorejąc cały jako stos ognisty,  
 Gdy tak jaśniejsz blasków swych pożoga,  
 Widzę cię — niewidzialny, niezmierny.

Tyś niezniszczalne, najwyższe, jedynie  
 Godne poznania naczynie wszechbytu,  
 Tyś praw odwiecznych pasterz niewzruszony,  
 Poznaję, iżęś jest duch wiekuisty.

Bez końca, środka, początku, wszechmocny,  
 Księżyco-słońco-oki, sturamienny,  
 Widzę cię z ogniem płonącemi usty,  
 Jak wszechświat cały żarem swym  
 przenikasz.

Bezmiar pomiędzy sklepieniem a ziemią  
 Pełen jest ciebie i wszystkie przestworza,  
 Widząc twe straszne, dziwotworne kształty,  
 Drży cały trójświat, ducha wszechmogący!

Oto ku tobie idą bóstw orszaki,  
 Wielbiąc cię, kornie wyciągają dłonie,  
 Wołając: Swasti! chór Mędrów i Świętych,  
 Hymny wychwala cię chwały pełnemi.

Budry, Aditje, Waswy, Aświnowie,  
 Wiśwy, Maruty, Sadhje i Uszmapy,  
 Gandharwów, Jakszów i Asurów hurmy  
 Patrzą na ciebie w zdumieniu niezmiernem.

Twój kształt olbrzymi, wielo-usto-oki,  
 Krocio-ramienny, mnogo-łędźwio-nogi,  
 O wielu łonach, kłach straszliwych wielu,  
 Widząc, truchleją światy — ja wraz z niemi.

Gdy, niebosiężny, lśniesz tak w barw milionie,  
 Ziejąc paszczami, świecąc ócz swych żarem —  
 Trwoga przenika ducha mego głębie,  
 I męstwo moje zamiera, o Wisznu!

Widząc kłów pełne, okropne czeluście  
 Ust twoich, światów pożarom podobne,  
 Nie wiem, gdzie stoję, gdzie szukać  
 schronienia...

Zmiłuj się, Boże, opoko wszechświata!

Oto zastępy Dhritarasztry synów  
 I królów ziemi ciżba nieprzejrzana,  
 Drona i Bhiszma wraz z synem woźnicy,  
 I najprzedniejsi z naszych wojowników

Pędzą naoślep w paszcz twoich otchłanie,  
 Ziejące lękiem, pełne kłów potwornych,  
 Między którymi wielu już zawisło  
 Z rozmiarzdżonemi straszliwie czaszkami!

Jako spienione wielu rzek odmęty  
 Naprzód i jeno ku morzu wciąż płyną,  
 Tak najmężniejsi właśnie pośród ludzi  
 Śpieszą w twe usta, płomieniem zionące.

Jako w płonące ognisko ciem chmara  
 Rzuca się na śmierć niewstrzymanym pędem,  
 Tak na stracenie w twoich ust przepaście  
 Leci świat cały niewstrzymanym pędem.

A ty zagarniasz swojemi języki  
 I chłoniesz wszystko w czeluść palającą,  
 Objęte żarem twych strasznych płomieni,  
 Palą się całe wszechświaty, o Wisznu!

Powiedz, co znaczy okropna twa postać,  
 Chwała ci; bądź mi miłościw, o Panie!  
 Daj mi się ujrzeć w swym kształcie  
 pierwotnym,  
 Spraw bowiem twoich ogarnąć nie mogę.

Rzekł Najwyższy:

Jam śmierć i światów burzyciel odwieczny,  
 Ma sprawa: ludów tych wspólnych zatrać.  
 Choć i bez ciebie, nie ujdą z żywotem  
 Oni rycerze, stojący tu w szykach.

A więc, powstawszy, walcz i zyskaj sławę,  
 By zgniółtś wrogów królować szczęśliwie.  
 Dawnoć już oni polegli z mej ręki,  
 Ty bądź mą bronią, łuczniku wardawy!

Dronę i Bhiszmę, Karnę, Dżajadhatę  
 I innych mężów, pobitych przeze mnie,  
 Dobijaj teraz, nie trwożąc się w sobie,  
 Walcz, a pognębisz w boju swych sąpierzyl!

Rzekł Sańdzaja:

Te usłyszawszy słowa Kędzierzawca,  
 Stuliwszy dłonie, drżąc na całym ciecie,  
 I chyląc przed nim swe czoło w koronie,  
 Rzekł wódz struchlały przerywanym głosem:

Rzekł Ardżuna:

Słuszna jest radość i wesele świata  
 Z tak wielkiej chwały twej, o Zmysłów Panie!  
 Wylekłe wokół pierzchają złe duchy,  
 Cześć ci oddają wszystkie świętych chóry.

I jakoż czci tej dawać ci nie mają,  
 Któryś jest Mocarz nad Brahme potężny,  
 Tyś hóg nad bogi, wszechświatów podpora,  
 Tyś był i niebył, i obojga źródło.

Tyś bogom Rodzic i Praduch odwieczny,  
 Tyś wszechistności najgłębsze naczynie,  
 Podmiot i przedmiot poznania jedyny,  
 Nieogarnięty, wszechogarniający!

Tyś Waju, Jama, Agni i Waruna,  
 Tyś Pan i wszego Prarodzic stworzenia,  
 Chwała, tysiącna niech ci będzie chwała,  
 Chwała na wieki, w nieskończoność chwała.

Chwała przed tobą i za tobą chwała,  
 Chwała ci zewsząd, któryś Wszechjedyny!  
 Moc twa bez kresu, bez granic potęga,  
 Wszystko przenikasz, przetoś Wszechjedyny!

Iżem, nieświadom twojej wszechmocności,  
Równym cię owszem mając sobie druhem,  
Pochopnie na cię wołał w swem szaleństwie  
Imieniem Kriszny, Jadawy lub druha,

Iżem się chutnie ważył drużyć z tobą  
Czasu pochodu, leży lub posiłku,  
Na osobności czy w rycerskim kole,  
Dziś twego, Panie, zebrzę miłosierdział

Rodzic bezruchej i ruchomej rzeczy,  
Godzienieś czci przed najzaciejszym  
mistrzem,

Któż ponad ciebie, gdy w całym trójświecie  
Równia ci niemaż, Duchu Wszechmogący?

Chyląc swe czoło i tarzając w prochu,  
Korzę się przed twym wielkim majestatem,  
Jako dziecięciu ojciec, jak miłośnik  
Swej miłośnicy, daruj mi, o Panie.

Nieoglądane oglądając rzeczy,  
Serce zamiera z trwogi i zachwytu,  
Zmiłuj się, Panie, opoko Wszechświata,  
Racz mi znów postać okazać pierwotną.

W koronie, z berłem i krągłą pawężą,  
Jakoś był przedtem, chcąc oglądać znowu,  
Stań więc przede mną z czworgiem ramion  
swoich,

Krocioramienny wszego kształtu Panie!

Rzekł Najwyższy:

Za łaską moją i cudowną sprawą  
Ujrzałeś boską mą postać, Ardżuno,  
Całą ze światła, bez końca, początku,  
Której, krom ciebie, nie zna nikt z żyjących.

Ani przez Wedy, dary, ni ofiary,  
Ani przez srogich mąk samokatusze,

Nikt z ludzkiej rzeszy, o witeziu Kurów,  
Nie zdołałby mię w kształcie tym oglądać.

Ochłoń z bojaźni i stłum w sercu trwogę,  
Którą przenika cię mój wid straszliwy,  
A czyniąc, lęku zbywszy, myśl pogodną,  
Miej przed oczyma kształt li mój człowieczy

Rzekł Sańdżaja:

Tak do Ardżuny rzekłszy Wasudewa,  
Okazał znowu pierwotną swą postać  
I w struchlałego otuchy tchnął strumień,  
Stanąwszy przed nim z dobroci obliczem.

Rzekł Ardżuna:

Widząc twój, Ludobójco, znów  
Łaskawy i człowieczy kształt,  
Oto się w sercu mojem lęk  
Śmierzy i ducha krzepnie moc.

Rzekł Najwyższy:

Rezdenny mrok kryje mą jaźń,  
Którejś oglądał jawny kształt;  
Sami bogowie próżno chcą  
Od wieków zgłębić moją tajń.

Ani przez wiedzę świętych ksiąg,  
Jałmużnę i ofiarny stos,  
Ni przez samoudręki ból,  
Nie pozna mej istoty nikt.

Czystej, jak serca twego głąb,  
Miłości jeno wielkiej żar  
Zdoła, Ardżuno, istność mą  
Przeniknąć i ogarnąć wraz.

Kto próżen żądz, miłuje mnie,  
Najwyższy we mnie kładąc cel,  
Kto czyn swój iści gwoli mnie,  
Ten, Pandów synu, we mnie trwa.

*Tłum. St. Stasiak.*

## RAMAJANA

### 1

### Śmierć Ráwany

(Księga walki, pieśń 108)

Wówczas boski Matali przypomniał Raghawie:  
«Czemu, o Panie, niby nieświadomy rzeczy  
Ścigasz go próżno? Ciśnij ku jego zagładzie  
Swoją niebiańską strzałę, którą masz od Brahmy.  
Czas bowiem jego śmierci, przez bogów wieszczony,  
Już nadszedł. Na te słowa boskiego woźnicy  
Rama dobył swej strzały ognistej, do węża  
Syczącego podobnej, którą mu przed laty  
Ofiarował Agastja, czcigodny pokutnik.



Była to owa strzała, straszna i niechybna,  
Którą ongi dla Indry potężnego boga  
Stworzył Brahma, gdy wódz ów niebiańskiej drużyny  
Na podbicie trzech światów, żądny sławy, śpieszył.  
Wiatrem były jej pióra, w ostrzu żar słoneczny,  
Lotna, niby powietrze, a ciężka zarazem,  
Jak owe wielkie góry Meru i Mandara.  
Płonąc, zda się, rzucała wokół blaski słońca,  
Pióra miała ozdobne, złotem upięszona,  
Wszystkich żywiołów w sobie łączyła potęgę.  
Jak ogień śmierci groźna, jak trucizna Asi  
Mordercza, błyskawiczną zagładę niosąca  
Wojownikom, rumakom oraz stadom słońi.  
Nie było takiej góry, zapory, czy bramy,  
Coby mogła się oprzeć jej ciosu potędze:  
Krwia i tłuszczem zgładzonych istot poplamiona,  
Jak piorun ostra, w locie do grzmotu podobna,  
W wielu bojach straszliwe szerzyła zniszczenie,  
Niosąc zawsze zwycięstwo temu, co nią władał.  
Sam jej widok radością przejął małą gromady,  
A przerażenie poniósł w Rakszasów szeregi.  
Ową więc boską strzałę, co miała zakończyć  
Łańcuch cierpień i smutków w plemienu Ikszwaku,  
Zaś ich wrogów pozbawić triumfów i chwały,  
Podniósł Rama, radości i otuchy pełen.  
Odmówiwszy zaklęcia nad niebiańską strzałą  
W sposób przez Wed przepisy święte zalecany,  
Niezrównany bohater na łuk ją nałożył.  
I wnet zadrżała ziemia i wszystkie istoty.  
Wreszcie płonący gniewem Rama ku Ráwaniu  
Skierował łuk, potężnie naciągnął cięciwę  
I wypuścił w pierś wroga grot swój niezrównany,  
Rozdzierający łono. Jak piorun straszliwy,  
Nieodparty, piorunną rzucony prawicą,  
Jak śmierć, przed którą nic się uchronić nie zdoła,  
W Ráwany pierś straszna ugodziła strzała,  
Przeszyła serce, lecąc w niewstrzymanym pędzie,  
I ze złoczyńcy ciała unosząca życie,  
Zakrwawiona, utkwiała ostrzem swoim w ziemi.  
Poczem, spełniwszy dzieło, niewidzialna oku,  
Wróciła do kołczana, brocząc krwią demona.  
Zaś Ráwana wypuścił łuk i strzały z dłoni  
I, rozstając się z życiem, groźny wódz Rakszasów  
Runął z wozu na ziemię, wielkim blaskiem płonąc,  
Jak ongi Writra, Indry piorunem rażony.  
Ujrzawszy zabitego dowódcę na ziemi,  
Rakszasy, zdjęte trwogą, ratując swe życie,  
Poczęły pierzchać, pędząc w różne światów strony.  
I ścigały je mały, uzbrojone w drzewa,  
Pewne zwycięstwa, nowem ożywione męstwem,  
Gdy śmierć ujrzały wroga o dziesięciu głowach.

*Tłum. A. Katuski.*

## 2

Podanie o Śunahśepie  
(Epizod z księgi I, pieśń 61 i 62)

A właśnie w czasie tym  
Ajodhji potężny władca,  
Imieniem Ambarisza,  
Zamierzał złożyć ofiarę.

Jemu, Jadżamanie<sup>1</sup>,  
Indra ofiarne bydlę porwał precz.  
Kiedy bydlę zniknęło,  
Kapłan powiedział do króla tak:

«Z twojej winy  
Bydlę ofiarne zniknęło;  
Króla, który nie strzeże,  
Zabiją grzechy, o władco!

Za to jest wielka pokuta  
Albo ofiara z człowieka;  
Mężu-buhaju, szukaj zwierzęcia  
Prędko, zanim obrząd się zacznie».

Usłyszawszy słowa mistrza,  
Mąż-buhaj, rozumny król,  
Na ofiarę szukał człowieka  
Za cenę stu tysięcy krów.

W różnych krajach i państwach,  
I w wioskach, i lasach,  
I w świętych pustelniach też  
Szukając, ziemi władca —

Z synami i z małżonką wraz,  
O miły Raghu potomku<sup>2</sup>,  
Riczikę spotkał wreszcie,  
Osiadłego na Bhrigutundze<sup>3</sup>.

Najpierw pokłon złożywszy,  
I zjednawszy dla prośby swej,  
O zdrowie wypytawszy dokładnie,  
Do owego Ricziki przesławny rzekł:

«Jeśli za sto tysięcy krów  
Na ofiarę sprzedasz syna mi,  
O Bhārgawo<sup>4</sup>, o szczęsny, wtedy ja  
Obowiązek święty spełnię swój.

Przez wszystkie kraje wędrując,  
Ofiarnego nie znalazłem zwierzęcia.  
A więc za ową cenę chciej  
Oddać jednego z synów twych».

Gdy te słowa przesławny rzekł,  
Riczika odpowiedział tak:  
«Nie sprzedam, o najlepszy z mężów,  
Za nic najstarszego syna».

Ricziki słowa słysząc,  
Matka tych synów do Ambariszi  
Wielkodusznego, męża-tygrysa,  
Natenczas rzekła słowa te:

«Najstarszy nie jest na sprzedaż,  
Tak powiedział Bhārgawa wzniosty;  
Dla mnie zaś, o panie, wiedz,  
Najmłodszy Śunaka najdroższym jest.

Bo tak jest zwykle, o najlepszy z mężów,  
Mili są ojcom najstarsi synowie,  
Matkom najmłodszi, dlatego  
Bronić będę najmłodszego».

Kiedy pustelnik przemówił już,  
I żona pustelnika też,  
Wtedy Śunahśepa, średni syn,  
O Ramo, tak powiedział sam:

«Nie jest na sprzedaż najstarszy  
— ojciec rzekł;  
Nie jest na sprzedaż najmłodszy  
— matka rzekła;  
Na sprzedaż, widzę, jest średni,  
Hej, o królu, bierzże mnie!»

Śunahśepę otrzymawszy,  
Potomku Raghu, z mężów najlepszy,  
Nad stawem przesławny król,  
Aby odpocząć, zatrzymał się.

A kiedy król odpoczywał,  
Wtedy przesławny Śunahśepa,  
Nad staw ze stawów najlepszy  
Przyszedłszy, Wiśwamitrę zobaczył tam.

Przed mędrcom na ziemię padł,  
I takie słowa, Ramo, rzekł:  
«Niemasz mi ojca, ani matki,  
Ani krewnych, ani przyjaciół.

Najdroższy, zechciej mnie bronić,  
Byku-asceto, cnotą swoją;  
Z mężów najlepszy, tyś zaiste  
Obrońca wszystkich i dobrodziej.

<sup>1</sup> Jadżamana — rytualny termin techniczny, oznacza osobę, która zleca kapłanowi złożenie ofiary na intencję swoją lub swojej rodziny.

<sup>2</sup> Apostrofa do młodego Ramy, który słucha opowieści.

<sup>3</sup> Nazwa góry.

<sup>4</sup> Bhargawa = potomek Bhrigu, nazwa rodu kapłańskiego.

Król niechaj spełni, co spełnić miał,  
A ja niech niebo zdobędę,  
Długo żyjąc, bez krzywdy,  
Umartwieniom najwyższym oddany.

Obrońcą bezbronnego  
Ty mi bądź, myślą przychylną,  
Jak ojciec pobożny syna,  
Od grzechu ratuj mnie!»

Wysłuchawszy tych jego słów,  
Wiśwamitra, asceta wielki,  
Pocieszał go na różny sposób,  
A potem do synów swoich rzekł:

«Oto nadszedł czas  
Na zdobycie rajskiego szczęścia,  
Gwoli którego synów płodzą  
Ojcowie dobra pragnący.

Ten chłopiec, pustelnika syn,  
Uciezki szuka u mnie;  
Dla niego więc, o synowie,  
Z życia waszego złoście dar!

O wy, dobro czyniący,  
Cnotę mając za najwyższy cel,  
Ofiarnymi zwierzętami królowi bądźcie,  
Zaspokójkcie sobą ognia głód!

Niech Śunahśepa znajdzie obrońcę,  
Niech ofiara zakłócona nie będzie,  
Niech się bóstwo nasyci,  
A ja niech dotrzymam słowa mego!»

Słyszając te słowa mędrca,  
Madhuczhandą i inni synowie,  
O ty, z mężów najlepszy,  
Krnąbrnie i drwiąc odrzekli tak:

«O własnych synów nie dbając,  
Cóżto, obcego bronić chcesz?  
O panie, w tem widzimy grzech;  
To tak, jakgdybyś jadł psie mięso»<sup>1</sup>.

Tę mowę kiedy usłyszał  
Od swoich synów asceta-byk,  
W oczach gniewem zapłonął  
I takie rzucił przekleństwo:

«Bezczelna jest ta odpowiedź,  
Przez cnotę potępiona,  
Słowa moje zlekceważywszy,  
Popelniliście straszny, włosy jeżący czyn!

Jak Wasiszthowie<sup>2</sup> we wcieleniach  
Przez pełne tysiąc lat  
Tu na ziemi wszyscy razem  
Pożeraczami bądźcie psiego ścierwa».

Tak oto wykląwszy synów,  
Do Śunahśepy znękanego  
Powiedział z mędrców najlepszy,  
Udzieliwszy wpiery niezawodnej opieki swej:

«Świętami więzy skrępowany,  
Więcami strojny czerwonymi,  
Przy słupie ofiarnym stojąc,  
Hymnami boga Agni sław.

Te oto zwrotki boskie dwie  
Zaśpiewaj, synu pustelnika,  
W Ambariszy ofierze tej  
Pozyskasz życzeń spełnienie».

Na ducha skupiony, Śunahśepa,  
Nauczony się tych zwrotek dwóch,  
Z pośpiechem do Ambariszy,  
Do króla-lwa, powiedział tak:

«Wspaniałomyślny królu-lwie,  
Jedźmy prędko na ofiarny plac,  
Wracaj, potężny monarcho,  
Aby rozpocząć święty post»<sup>3</sup>.

Te słowa słyszając syna wieszca,  
Podniecony radośnie, gorliwy,  
Władca podążył czem prędzej  
Na miejsce ofiarnego obrzędu.

Za zgodą zgromadzenia  
Zrobił król ze świętej trawy znak<sup>4</sup>,  
Ubrał chłopca w szkarłatny strój  
I do słupa przywiązał wnet.

Związany pustelnika syn  
Indrę i Wisznu, bogów dwóch,  
Ucieszył, jak się należy,  
Najwspanialszymi hymnami.

A wtedy, uradowany  
Tajemnym czarem pochwały,  
Indra, tysiãcooki bóg,  
Długowieczność Śunahśepie dał.

A także i król osiągnął,  
Ramo, z mężów najlepszy,  
Obfity owoc ofiary  
Z łaski tysiãcookiego.

*Tłum. St. Schayer.*

<sup>1</sup> Złośliwa aluzja do imienia Śunahśepy, które dosłownie znaczy «psi phallus».

<sup>2</sup> Wasiszthowie — synowie i potomkowie mędrca Wasiszthy, wroga i rywala Wiśwamitry.

<sup>3</sup> W sanskrycie dikṣā; chodzi o długi szereg umartwień, którym przed złożeniem ofiary poddać się musi jadżamana wraz najbliższą rodziną.

<sup>4</sup> Szyję zwierzęcia, przeznaczonego na ofiarę, obwiązywano powróstem z trawy darbha.

## III. LITERATURA BUDDYJSKA

## Z KANONU PALIJSKIEGO

## 1

## Pierwsze kazanie Buddy

(Maha - Wagga I, 6)

[Po zdobyciu Oświecenia postanawia Budda zwrócić się z pierwszym kazaniem do pięciu ascetów, którzy razem z nim oddawali się umartwieniom, lecz opuścili go, kiedy Budda, zrozumiałwszy bezcelowość ascezy, zaczął odżywiać się na nowo. Asceci bawią w Benaresie].

I Wzniosły, wędrując z miejscowości do miejscowości, przybył do Benaresu, do parku Isipatana, gdzie bawiło pięciu mnichów. I ujrzało pięciu mnichów Wzniosłego, jak zdaleka się zbliżał i, ujrzawszy, umówili się między sobą: «Przyjaciele! Oto idzie asceta Gotama, który żyje w obfitości, który zaniechał dążenia (do wyzwolenia przez umartwienie) i który oddał się zbytkowi. Nie będziemy składać mu czci, nie wstaniemy z miejsca, nie weźmiemy od niego miski jałmużnej, ani też płaszczu jego, ale przygotujemy dla niego krzesło, jeśli zechce, niech sobie spocznie».

Ale im bardziej zbliżał się Wzniosły do pięciu mnichów, tem trudniej było pozostać pięciu mnichom przy ich własnem postanowieniu. Wyszli na spotkanie Wzniosłego, jeden wziął od Wzniosłego miskę jałmużną i płaszcz, inny przygotował krzesło, trzeci postawił wodę do obmycia stóp i przyniósł podnózek. I przemawiali do Wzniosłego po imieniu, i nazywali go «przyjacielem». A kiedy tak mówili, powiedział Wzniosły do pięciu mnichów: «O wy mnisi! Nie nazywajcie Tathagaty<sup>1</sup> po imieniu, nie nazywajcie go przyjacielem. Tathagata, o wy mnisi, jest świętym, najwyższym Buddą (= Oświeconym). Otwórzcie uszy, o wy mnisi, wyzwolenie od umierania (= nieśmiertelność) znalezione zostało; ja was nauczam, ja wam głoszę naukę. Jeśli żyć będziecie wedle nauki, w krótkim czasie posiadziecie to, gwoli czego szlachetni młodzieńcy z domów swoich wyruszają tam, gdzie niema domu, (posiadziecie) najwyższy, ostateczny cel świętego żywota, tu na ziemi jeszcze prawdę poznacie i oglądać ją będziecie nacożnie».

A kiedy on tak przemawiał, zwróciło się pięciu mnichów do Wzniosłego: «Jeśli, o przyjacielu Gotamo, nie zdołałeś zdobyć ponadludzkiej doskonałości, pełnej wspaniałości wiedzy i poznania, (które są własnością istot) szlachetnych, przez owo dążenie, przez ów tryb życia (ascetyczny), przez owe umartwienia, to jakże chcesz teraz, kiedy żyjesz w obfitości, kiedyś zaniechał dążenia i oddałeś się (używaniu) obfitości, zdobyć ponadludzką doskonałość, pełną wspaniałość wiedzy i poznania, (które są własnością istot) szlachetnych?»...

A kiedy tak mówili, rzekł Wzniosły do pięciu mnichów: «Czy przyznajecie mi, o wy mnisi, że przedtem nigdy jeszcze do was tak nie mówiłem?» — «Nie czyniłeś tego, o Panie!» — «Doskonały, o wy mnisi, jest świętym, najwyższym Oświeconym. Otwórzcie wasze uszy, o wy mnisi, wyzwolenie od śmierci zostało znalezione».

Wtedy znowu słuchać poczęło pięciu mnichów Wzniosłego, otworzyli uszy i myśli swoje zwrócili ku poznaniu. I przemawiał Wzniosły do pięciu mnichów:

«Dwa są krańce, o wy mnisi, których unikać musi ten, kto porzucił dom rodzinny<sup>2</sup>. Jakie dwa? Jeden kraniec, to życie w ucieszach, w oddawaniu się rozkoszy i używaniu. I to jest niskie, nieszlachetne, ziemskie, niegodne i bez wartości. A drugi kraniec, to życie w samoudręce; i to jest także bolesne, niegodne i bez wartości. Zdala od tych dwóch krańców, o wy mnisi, stoi Doskonały, Drogę poznawszy, która leży pośrodku, która wzrok otwiera i wiedzę daje, która prowadzi do spokoju, do poznania, do oświe-

<sup>1</sup> Tathagata = taki, który poszedł (drogą do nirwany). Albo według innej interpretacji: taki, który poznał (absolutną prawdę).

<sup>2</sup> To znaczy = stał się mnichem.

cenia, do wygaśnięcia. I jakaż to jest, o wy mnisi, Droga, która leży pośrodku, którą poznał Doskonały, która oczy otwiera i wiedzę daje, która prowadzi do spokoju, do poznania, do oświecenia, do wygaśnięcia? Jest nią szlachetna, z ośmiu części złożona Ścieżka: słuszny pogląd, słuszne postanowienie, słuszne słowo, słuszny czyn, słuszny żywot, słuszne dążenie, słuszne skupienie, słuszna medytacja<sup>1</sup>.

A to jest, o wy mnisi, szlachetna prawda o cierpieniu: cierpieniem są narodziny, cierpieniem jest starość, cierpieniem jest choroba, cierpieniem jest śmierć, cierpieniem jest obcowanie z tym, kogo nie miłujemy, cierpieniem jest rozłąka z tym, kogo miłujemy, cierpieniem jest nieosiągnięcie życzeń: słowem, cierpieniem jest pięć kategorii elementów, zasilających żądzę bytowania<sup>2</sup>.

A to jest, o wy mnisi, szlachetna prawda o powstawaniu cierpienia: (źródłem cierpienia) jest pragnienie, które stwarza nowe wcielenia, któremu towarzyszy rozkosz i namiętność, które zaspokojone bywa to tu, to tam — pragnienie uciech, pragnienie istnienia i pragnienie nieistnienia<sup>3</sup>.

A to jest, o wy mnisi, szlachetna prawda o zniszczeniu cierpienia: zniszczenie tego pragnienia przez zupełne zniszczenie pożądania, zaniechanie, wyzbycie się i uwolnienie, i niedawanie dostępu.

A to jest, o wy mnisi, szlachetna prawda o drodze prowadzącej do zniszczenia cierpienia: jest nią owa szlachetna, z ośmiu części złożona Ścieżka: słuszny pogląd, słuszne postanowienie i t. d.)

«To jest szlachetna prawda o cierpieniu — tak... zrozumiałem, o wy mnisi». (I dalej): «Tę szlachetną prawdę o cierpieniu trzeba przemyśleć głęboko». (I wreszcie): «Przemyślałem głęboko tę szlachetną prawdę o cierpieniu». (To samo o trzech pozostałych prawdach)... «I dopokąd nie poznałem, o wy mnisi, prawdziwego, potrójnego, dwunastokrotnego<sup>4</sup> poznania i zrozumienia w pełnej jasności tych czterech prawd szlachetnych, dotąd wiedziałem, o wy mnisi, że nie zdobyłem jeszcze Oświecenia w tym świecie razem ze światami bogów, Mary i Brahmy, wśród istot wszelakich ze Śramanami, Braminami, z bogami i ludźmi<sup>5</sup>. Ale odkąd, o wy mnisi, posiadam prawdziwe potrójne poznanie i zrozumienie w pełnej jasności tych czterech prawd szlachetnych, odąd wiem, o wy mnisi, że zdobyłem Oświecenie w tym świecie razem ze światami bogów, Mary i Brahmy, wśród istot wszelakich ze Śramanami, Braminami, z bogami i ludźmi. Poznałem i przejrzałem: Nie utracę już wyzwolin mojego ducha. To są moje ostatnie narodziny. Nie masz już dla mnie dalszych narodzin».

Tak mówił Wzniosły. Uradowanych pięciu mnichów sławiło mowę Wzniosłego.

## 2

### Kazanie o dwóch krańcach

(Samjutta - Nikaja, II, 16)

Tak słyszałem: Onego czasu przebywał Wzniosły w Sawatthi, w gaju Dżeta, w parku Anathapindikii. I oto przybył czcigodny potomek z rodu Kaczczejany do miejsca, gdzie znajdował się Wzniosły. Przybywszy i pozdrowiwszy Wzniosłego, usiadł zboku.

Zboku siedząc, przemówił do Wzniosłego czcigodny potomek z rodu Kaczczejany w te oto słowa: «Słuszny pogląd, słuszny pogląd! — tak się mówi, o Panie. W jakimże sensie, o Panie, istnieje słuszny pogląd?»

«O Kaczczejano! Ludzkość szuka przeważnie oparcia w dwóch (krańcowych tezach): że (wszystko) istnieje i że (wszystko) nie istnieje. Ale kto, o Kaczczejano, jak się należy, w poprawnym zrozumieniu, widzi, jak świat (wciąż na nowo) powstaje, dla

<sup>1</sup> Szlachetna Ścieżka wylicza ośm faz, poprzez które przejść musi indywiduum, dążące do nirwany. W dwóch ostatnich fazach chodzi o techniki medytacyjne.

<sup>2</sup> Pañcza - upādāna - skandha: elementy, z których składa się fikcyjna jedność osobowości.

<sup>3</sup> Vibhava-tānhā może znaczyć albo «żądzą nieistnienia», albo «żądzą potęgą». Interpretacja tego terminu jest sporna.

<sup>4</sup> Chodzi o cztery prawdy, każda w trzech powyżej w tekście podanych sformułowaniach.

<sup>5</sup> Mara — szatan buddyjski, personifikacja życia i doczesności, Brahma — w buddaizmie uosobienie nieosobowego Brahmana Upaniszadów. Śramanowie — asceci i anachoreci różnych sekt.

tego niema 'nieistnienia', o którym mówią ludzie. Zaś kto, o Kaczczejano, jak się należy, w poprawnym zrozumieniu, widzi, jak świat (wciąż) niszczy, dla tego niema 'istnienia', o którym mówią ludzie.

Wskutek szukania, chwytania i przywiązywania się (do rzeczy doczesnych) przeważnie związany jest, o Kaczczejano, ten świat. Ale jeśli ktoś zaniechał tego szukania i chwytania, tego trwania umysłem przy rzeczach, tego lgnięcia i tej skłonności, rozumiejąc, że to wszystko nie jest mojem ja; jeśli ktoś nie waha się i nie wątpi, że cierpieniem jest wszystko, co powstaje, i cierpieniem jest wszystko, co podlega zniszczeniu; jeśli naskutek swego pełnego zaufania (do Buddy i jego nauki) wiedzę o tych (prawdach) zdobywa, w tym sensie, o Kaczczejano, istnieje «słuszny pogląd».

Wszystko istnieje — to jest, o Kaczczejano jeden krańcowy pogląd. — Wszystko nie istnieje — to jest, o Kaczczejano, drugi krańcowy pogląd. Unikając tych obydwóch krańców, pośrodku stojąc, wykląda Tathagata naukę:

W zależności od niewiedzy powstają dyspozycje karmiczne, w zależności od dyspozycji karmicznych powstaje czysta świadomość, w zależności od czystej świadomości powstaje niezorganizowana osobowość, w zależności od niezorganizowanej osobowości powstaje sześć dziedzin zmysłowości, w zależności od sześciu dziedzin zmysłowości powstaje percepcja, w zależności od percepcji powstaje uczucie, w zależności od uczucia powstaje pragnienie, w zależności od pragnienia powstaje chwytanie, w zależności od chwytania powstaje bytowanie, w zależności od bytowania powstają narodziny, w zależności od narodzin powstaje starość i śmierć, ból, smutek, cierpienie, udreka i rozpacz. W ten sposób powstaje ten cały agregat cierpienia<sup>1</sup>.

Natomiast przez całkowite zniszczenie niewiedzy giną dyspozycje karmiczne<sup>2</sup>, przez całkowite zniszczenie dyspozycji karmicznych ginie czysta świadomość i t. d. W ten sposób osiągnięte zostaje całkowite zniszczenie tego całego agregatu cierpienia».

### 3

## Z wielkiego wykładu o aktach skupienia (Maha - Satipatthana - Suttanta, Digha - Nikaja XXII)

### Wstęp.

Tako słyszałem. Onego czasu przebywał Wzniosły w kraju Kuru, w miejscowości Kammassadhamma. I oto tam zwrócił się Wzniosły do mnichów: «O wy mnisi!» — «Panie!» — odpowiedzieli mnisi. Wzniosły tak mówił:

«Drogą jedyną, która wiedzie prosto do celu, do oczyszczenia istot, do przezwyciężenia smutku i rozpacz, do unicestwienia bólu i zgryzoty, do zdobycia poznania, do urzeczywistnienia wygaśnięcia — taką drogą, o wy mnisi, są owe cztery akty skupienia. A jakie cztery? O wy mnisi, oto w stosunku do ciała pilnie śledzi mnich ciało, gorliwy, czujny, skupiony, poskromiwszy pożądlwość i płynące z niej utrapienia. W stosunku do uczuć pilnie śledzi mnich uczucia, gorliwy, czujny, skupiony, poskromiwszy pożądlwość i płynące z niej utrapienia. W stosunku do czystej świadomości pilnie śledzi mnich czystą świadomość, gorliwy, czujny, skupiony, poskromiwszy pożądlwość i płynące z niej utrapienia. W stosunku do elementów rzeczywistości pilnie śledzi mnich elementy, gorliwy, czujny, skupiony, poskromiwszy pożądlwość i płynące z niej utrapienia».

### O technice aktów skupienia w stosunku do ciała

#### (W skróceniu.)

«I w jakiz to sposób, o wy mnisi, w stosunku do ciała mnich pilnie śledzi ciało? Oto, o wy mnisi, w głębi puszczy, albo u stóp wielkiego drzewa, albo też w miejscu

<sup>1</sup> Bliższe objaśnienie podanej tu formuły zależnego powstawania (pratitya - samutpada) znajdzie czytelnik w artykule p. t. «Zagadnienie osobowości w filozofji starobuddyjskiej». Przegląd Filozoficzny, t. 32, III, str. 182—205, rok 1929.

<sup>2</sup> Droga do wyzwolenia polega na odwróceniu genezy cierpienia.

bezludnem zasiada ze skrzyżowanemi nogami, z wyprostowanem ciałem, z nastawioną bacznie uwagą. W skupieniu robi wdech i w skupieniu robi wydech. A kiedy robi długi wdech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz robię długi wdech. A kiedy robi długi wydech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz robię długi wydech. A kiedy robi krótki wdech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz robię krótki wdech. A kiedy robi krótki wydech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz robię krótki wydech. I w ten sposób ćwiczy się: Aby miał świadomość całego ciała, tak będę robił wdech. Aby miał świadomość całego ciała, tak będę robił wydech. I dalej ćwiczy się: Aby uspokoić oddech<sup>1</sup>, tak będę robił wdech. — Aby uspokoić oddech, tak będę robił wydech».

«O wy mnisi! Jako biegły w kunszcie swoim tokarz albo czeladnik tokarski, kiedy uczyni długi obrót (koła), jasno uprzytamnia sobie: oto teraz czynię długi obrót, a kiedy uczyni krótki obrót, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz czynię krótki obrót; tak właśnie, o wy mnisi, kiedy mnich czyni długi wdech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz czynię długi wdech, a kiedy czyni długi wydech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz czynię długi wydech, a kiedy czyni krótki wdech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz czynię krótki wdech, a kiedy czyni krótki wydech, jasno uprzytamnia sobie: oto teraz czynię krótki wydech. I w ten sposób ćwiczy się: Aby miał świadomość całego ciała, tak będę robić wdech. Aby miał świadomość całego ciała, tak będę robić wydech. I dalej ćwiczy się: Aby uspokoić oddech, tak będę robić wdech. — Aby uspokoić oddech, tak będę robić wydech».

«W ten sposób jużto wewnątrz w stosunku do (własnego) ciała pilnie śledzi ciało, jużto zewnątrz w stosunku do (obcego) ciała pilnie śledzi ciało; wewnątrz i zewnątrz, w stosunku do (własnego i obcego) ciała, pilnie śledzi ciało. Jako coś, co powstaje, pilnie śledzi ciało, i jako coś, co podlega zniszczeniu, pilnie śledzi ciało; jako coś, co (jednocześnie) i powstaje, i podlega zniszczeniu, pilnie śledzi ciało. Że oto istnieje to ciało, o ile ta myśl sprzyja poznaniu i skupieniu, o tyle tylko nastawia na nią uwagę. Nie przywiązany do niczego, wolny na tym świecie od wszelkiej zależności, tak zaiste, o wy mnisi, w stosunku do ciała mnich pilnie śledzi ciało».

«I dalej znowu, o wy mnisi, mnich, kiedy kroczy wprzód i kiedy kroczy wstecz, posiada pełną świadomość. Kiedy spogląda przed siebie i za siebie, posiada pełną świadomość. Kiedy wyciąga ramię i zpowrotem zgina, posiada pełną świadomość. Kiedy nosi płaszcz, miskę i habit, posiada pełną świadomość. Kiedy je, pije, gryzie i smakuje, posiada pełną świadomość. Kiedy oddaje stolec i urynę, posiada pełną świadomość. Kiedy chodzi, stoi, siedzi, śpi, czuwa, mówi lub milczy, posiada pełną świadomość.

«W ten sposób jużto wszędzie wewnątrz w stosunku do (własnego) ciała pilnie śledzi ciało, jużto zewnątrz w stosunku do (obcego) ciała pilnie śledzi ciało i t. d.» [Jak wyżej].

«I dalej znowu, o wy mnisi, rozpatruje mnich owo ciało od stóp do głów, jako coś dookoła skórą otoczonego i wypełnionego nieczystościami wszelkiego rodzaju: 'Oto znajdują się w tem ciele włosy i włoski, paznogie i zęby, skóra i mięso, ścięgna i kości, i szpik w kościach, nerki i serce, i wątroba, opłucna, śledziona i płuca, trzewia i otrzewia, żołądek, ekskrementy, żółć, śluz i ropa, krew i pot, limfa i lzy, tłuszcz i ślina, wydzieliny z nosa, ciecz stawowa i mocz'. I jakgdyby to było, o wy mnisi, naczynie o dwóch otworach, wypełnione wszelkiego rodzaju ziarnem: ryżem Sali, ryżem Wihi, grochem Mugga, fasolą, sezamem i wyluskany ryżem; i jakgdyby ostrowidzący mąż otworzył to naczynie i dokładnie obejrzał jego zawartość: to jest ryż Sali, a to jest ryż Wihi, to jest groch Mugga, a to jest fasola, to jest sezam, a to jest ryż wyluskany — tak właśnie, o wy mnisi, rozpatruje mnich owo ciało od stóp do głów, jako coś skórą dookoła otoczonego i wypełnionego nieczystościami wszelkiego rodzaju: 'Oto znajdują się w tem ciele włosy i włoski i t. d.'».

«W ten sposób jużto wewnątrz w stosunku do (własnego) ciała pilnie śledzi ciało, jużto zewnątrz w stosunku do (obcego) ciała pilnie śledzi ciało i t. d.»

<sup>1</sup> W tekście: kâya-sankhâra. A więc (oddech jako) działająca przez ciało siła twórcza.

«I dalej znowu, o wy mnisi, gdy ujrzy mnich na cmentarzu<sup>1</sup> zwłoki w jeden dzień po śmierci, albo w dwa dni po śmierci, albo w trzy dni po śmierci, wzdęte, zsiniałe i nadgniłe, porównywa do tych zwłok to swoje ciało, mówiąc: «Także i to moje ciało ma takie same własności, jest tego samego rodzaju, nie jest bynajmniej inne».

«W ten sposób jużto wewnętrznie w stosunku do (własnego) ciała pilnie śledzi ciało, jużto zewnętrznie w stosunku do (obcego) ciała pilnie śledzi ciało i t. d.».

«I dalej znowu, o wy mnisi, gdy ujrzy mnich na cmentarzu porzucone zwłoki, nadjedzone przez kruki, nadjedzone przez orły, nadjedzone przez sępy, nadjedzone przez psy i nadjedzone przez szakale, porównywa do tych zwłok to swoje ciało, mówiąc: Także i to moje ciało ma takie same własności, jest tego samego rodzaju, nie jest bynajmniej inne».

«W ten sposób jużto wewnętrznie w stosunku do (własnego) ciała pilnie śledzi ciało, jużto zewnętrznie w stosunku do (obcego) ciała pilnie śledzi ciało. Jako coś, co powstaje, pilnie śledzi ciało, i jako coś, co (jednocześnie) i powstaje, i podlega zniszczeniu, pilnie śledzi ciało. Że oto istnieje to ciało, o ile ta myśl sprzyja poznaniu i skupieniu, o tyle tylko nastawia na nią uwagę. Nieprzywiązany do niczego, wolny na tym świecie od wszelkiej zależności, tak zaiste, o wy mnisi, w stosunku do ciała mnich pilnie śledzi ciało.

.....  
Tłum. St. Schayer.

## Z LIRYKI PALIJSKIEJ DWA FRAGMENTY Z SUTTA-NIPATY

### 1

#### Strofy o skórze węża

(Sutta-Nipata I, 1)

Kto wzbierający uśmierzył gniew,  
Jak ziele cudowne węża jad,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę.

Kto namiętności wypenił doszczętnie,  
Jak z jeziora wyrwany lotosu kwiat,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę.

Kto pragnienie wszelkie zniweczy,  
Jak od posuchy strumienia wartki bieg,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę.

Kto pychę wszelką odrzucił precz,  
Jak wezbrane fale bambusowy most,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę.

Kto w zjawiskach nie znalazł trwałej treści,  
Jakby kwiatów szukał na figowca pniu,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę.

Z czyjego serca wyszła wszelka złość,  
Kto przewyciężył taki albo inny byt,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę.

Kto rozwiął wszelkie przywidzenia,  
Które tak pięknie rozum gotów snuć<sup>2</sup>,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę<sup>3</sup>.

Kto myślą nie wybiega wprzód, ni wstecz,  
Kto wie, że wszystko tylko złudą,  
Ów mnich porzuci ten i tamten świat,  
Jak wąż popękaną, starą skórę.

### 2

#### Strofy o cierniu udręki

(Sutta-Nipata III, 8)

Nieuchwytnie, niepojęte  
Jest to ziemskie życie ludzkie,  
Bolesne i krótkotrwałe,  
I połączone z cierpieniem.

Bo na to niema już rady:  
Musi umrzeć, kto się zrodził,  
Po starości nadchodzi śmierć,  
Takie jest prawo dla istot.

<sup>1</sup> Właściwie: na placu do palenia trupów.

<sup>2</sup> Przekład tej zwrotki nieco swobodny. Dosłownie: Czyje konstrukcje pojęciowe (vi-takka). subiektywne, pięknie wyimaginowane, wszystkie rozwiane zostały, ów i t. d.

<sup>3</sup> Opuszczam tutaj jedną zwrotkę, która jest tylko warjantem następnej.



Jak owoc dojrzały się lęka,  
 Że opadnie już lada dzień,  
 Tak samo ciągle grozi śmierć  
 Wszystkiemu, co się zrodziło.

I jak naczynie gliniane,  
 Które lepił garncarz,  
 Takie nietrwale i kruche  
 Jest życie śmiertelnych istot.

I słabych ciałem i silnych,  
 Ubogich duchem i mędrców,  
 Wszystkich pokona śmierci moc,  
 Dla wszystkich kresem będzie zgon.

A kiedy śmierci ulegną  
 I powędrują w zaświaty,  
 Cóż może ojciec dla syna,  
 Co mogą krewni dla krewnych?

Oto, gdy patrzy rodzina  
 I lamentuje żałośnie,  
 Nas pokolei wiodą precz,  
 Jak bydło skazane na rzeź.

I tak przez starość i śmierć  
 Owładnięty jest cały świat,  
 Przeto nie smucą się mędrzy,  
 Poznawszy taki rzeczy bieg.

Nieznana jest droga istot,  
 Skąd idą, dokąd odchodzą,  
 Gdzie ich początek, gdzie ich kres,  
 Więc darmo po nich rozpaczać.

Bo gdyby zdały się na co  
 Głupcowi udręka i płacz,  
 Toby wtedy i mędrzec też  
 Nieinaczej czynił zaiste.

Bo nie przez lament i smutek  
 Osiąga spokój ducha mąż;  
 Im więcej cierpienia jest w nas,  
 Tem większe ciała zniszczenie.

Kto się smutkowi oddaje,  
 Ten chudnie tylko i blednie,  
 Nic z tego zmarłym nie przyjdzie,  
 Bez celu jest rozpaczanie.

A kto się smutku nie wyzbył,  
 Ten grzęźnie w coraz większy ból;  
 Oplakując tych, co nie żyją,  
 Smutku przemocy ulega.

Patrz, oto inni odchodzą  
 Wedle spełnionych czynów,  
 Stworzenia śmierci podległe  
 Już tu za życia dręczą lęk.

Bo cokolwiek zamyślimy,  
 Wszystko się stanie inaczej,  
 Takie są oto zawody,  
 Taki jest oto rzeczy bieg.

I gdyby człowiek żył lat sto,  
 Albo dłużej nawet gdyby żył,  
 Opuści kiedyś krewnych krąg,  
 Porzuci kiedyś żywot swój.

Przeto kto słuchał Mistrza słów,  
 Niech swoją rozpacz poskromi,  
 Na widok trupa niech mówi:  
 Już go straciłem na zawszel

Jak woda gasi płonący,  
 Pożarem ogarnięty dom,  
 Tak wytrwały i rozważny,  
 Mądry i cnotliwy mąż  
 Smutek, gdy wzbiera, niszczy wnet,  
 Jak wichura bawelny kłęb.

Kto pragnie szczęścia dla siebie,  
 Niech wyrwie z własnego serca  
 Lamentowania i skargi,  
 I rozpaczy dręczący cierni.

A kto wyciągnął już ten cierni,  
 Ten spokój ducha posiędzie,  
 Nie dbając o nic, zmógłszy ból,  
 Bez smutku, wygasły będzie żyć.

*Tłum. St. Schayer.*

## Z DHAMMAPADY

(41, 148)

A oto już za chwilę małą  
 Runie na ziemię martwe ciało,  
 Legnie bez czucia i na stronę,  
 Niby ta kłoda odrzucone.

Już więc ta piękność zwiędła docna,  
 Bezużyteczna i niemocna,  
 Wali się cielska kupa zgniła,  
 Już śmierć nad życiem zwyciężyła.

*Tłum. A. Gawroński.*

## Z THERAGATHY

## 1

## Strofa wstępna

Słuchajcie strof, które ułożyli o sobie  
Mnisi wyćwiczeni na duchu,  
Lwy ryczące w jaskiniach górskich,  
O kłach potężnych.

Jak mieli na imię i z jakiego pochodzili rodu,  
Nad jaką rozmyślali prawdą  
I czemu byli oddani, roztropni i niestrudzeni,  
O tem relację złożyli, kiedy przejrzenie posiadli,  
Nieśmiertelnej Sfery musnąwszy,  
I poznawszy,  
Że spełnili życia zadanie.

## 2

## Strofa Thery Mahakotthiki

Uspokojony, uciszony, mądrość głoszący, opanowany,  
Zło wszelkie otrząsa z siebie, jak wichur liście z drzew.

## 3

## Strofa Thery Kankharewaty

Wiedz, na czym polega mądrość Tathagatów:  
Że, jak w nocy płonąca pochodnia,  
Są dawcami wzroku i widzenia,  
Pewność dają wątpiącym wędrowcom.

## 4

## Strofa Thery Mantaniputty

Z prawdziwymi tylko mędrkami, znawcami prawdy, obcować trzeba.  
Wielka i głęboka jest prawda, ukryta, zawila, subtelna,  
Posiąść ją mogą roztropni, niestrudzeni w dążeniu, odróżniać umiejący.

## 5

## Strofy Thery Walliji

Jest chata o pięciu drzwiach, w chacie uwija się małpa,  
Wkoło dotyka wszystkiego, od drzwi do drzwi biega wciąż.  
Małpo stój! Bieganiny zaprzestań! Twojej swawoli nadszedł kres.  
Ujarmiona jesteś poznania siłą, odtąd nie będziesz biegać już<sup>1</sup>.

## 6

## Strofy Thery Mahakappiny

Jeśli troszcząc się o to, co przyniesie przyszłość,  
Człowiek dwie rzeczy: cnotę i grzech odróżnia,  
Wtedy nawet szukając, nie znajdzie w nim wady  
Ani wróg, ani przyjaciel życzliwy.

<sup>1</sup> Chata — to ciało człowieka, pięć drzwi — pięć organów zmysłowych, a małpa biegająca od drzwi do drzwi — to świadomość, dotykanie — akt percepcji.

Kto ma pełną świadomość wdechu i wydechu,  
 Doskonałą, dobrze wyćwiczoną,  
 Stopniowo rozwiniętą, jak nauczał Budda,  
 Jasnością przenika ten świat,  
 Jak miesiąc nieosłonięty chmurami.

*Thum. St. Schayer.*

## ZE ZBIORU DŻATAKÓW

### 1

#### Osiół we lwiej skórze

Dawno już temu, kiedy w Benaresie panował król Brahmadata, Bodhisattwa urodził się w rodzinie rolnika i, kiedy dorósł, żył, trudniąc się uprawą roli. W tym czasie pewien kupiec podróżował z obładowanym osłem i sprzedawał towary. Ilekroć przybywał do jakiejś miejscowości, zdejmował juki z osłego grzbietu, osła ubierał w lwią skórę i tak go pozostawiał pośrodku pól ryżowych i jęczmiennych. Jeśli go nawet spostrzegli strażnicy, którzy pilnowali pól, myśleli, że to lew, i bali się podejść.

Pewnego razu ów kupiec zatrzymał się przy bramie miejskiej, kazał sobie szykować śniadanie, a tymczasem odział osła w lwią skórę i puścił go na pole z jęczmieniem. Strażnicy i tym razem, myśląc, że to lew, nie ośmielili się podejść, ale wrócili zato do domu i opowiedzieli o zdarzeniu. Wszyscy mieszkańcy miasta chwycili za broń, wybiegli na pole i poczęli krzyżeć, dmąc jednocześnie w konchy i waląc w kotły. Osiół, śmiertelnie przerażony, zaryczał oślim rykiem. Bodhisattwa poznał, że to osiół, i wyrecytował tę pierwszą strofę:

To nie jest ryk lwa,  
 Ani tygrysa, ani pantery.  
 Odziane w skórę lwią,  
 Podłe ośliisko ryczy.

A wtedy i mieszkańcy miasta spostrzegli się, że to jest osiół. Pogruhotali mu gnaty, zabrali ze sobą lwią skórę i poszli precz. Kupiec, wróciwszy, zobaczył, jakie nieszczęście spotkało osła. I wtedy wygłosił drugą strofę:

Długo zaiste pożerał  
 Osiół zielone jęczmienienie,  
 Odziany w skórę lwa:  
 Aż wreszcie zdradził go ryk.

Ale zanim skończył mówić, osiół wyzionął ducha. Więc go zostawił kupiec i odszedł.

### 2

#### O łabędziach i gadatliwym żółtciu.

Dawno już temu, gdy w Benaresie panował król Brahmadata, Bodhisattwa urodził się w rodzinie dworzanina, a kiedy dorósł, został doradcą królewskim. Król by niezwykle gadatliwy; kiedy zaczął mówić, nikt już nie mógł dojść do słowa. Bodhisattwa wciąż rozmyślał o odpowiednim sposobie, aby go oduczyć od gadulstwa.

W tym czasie w jeziorze u stóp Himalajów żył sobie żółt. Dwa młode łabędzie, szukając pożywienia, zawarły z nim znajomość. Zaprzyjaźniły się z nim i pewnego dnia tak powiedziały: «Drogi żółtciu! My mieszkamy w Himalajach, na górze Czittakuta, w jaskini Kańczana. Tam jest bardzo pięknie. Czy nie chciałbyś się z nami wybrać?» — «Ale jakżeż się tam dostanę?» — «My ciebie zabierzemy ze sobą i zaniesiemy. Ale musisz trzymać zamknięty pysk i nie odzywać się do nikogo». — «Będę trzymać zamknięty pysk, weźcie mnie tylko ze sobą i zaniescie». — «Dobrze» — odpowiedziały, kazały żółtciu chwycić zębami za kij, same chwyciły dziobami za końce kija

i wzbily się w przestworza. Dzieci w mieście, widząc dwa łabędzie unoszące się razem z żółwiem, zaczęły krzyczeć: «O! o! dwa łabędzie niosą na kiju żółwia!» Żółw chciał powiedzieć: «Jeśli moi przyjaciele niosą mnie ze sobą, to co was to może obchodzić, podła hołoto?» Wypuścił z pyska kij i w tej samej chwili, kiedy wskutek szybkiego lotu łabędzi znalazł się nad pałacem królewskim w Benaresie, spadł na podwórze i rozbił się na kawałki. Podniósł się wielki krzyk: «Żółw zleciał z nieba na podwórze i roztrzaskał się na kawałki».

Król razem z dworzananami i Bodhisattwą udał się na miejsce wypadku, obejrzał żółwia i spytał Bodhisattwę: «Mądry mężu! Powiedz, jak to się mogło stać, że on tutaj zleciał?» Bodhisattwa pomyślał: «Już dawno czekam na okazję, aby dać królowi naukę, i wciąż głowią się nad odpowiednim sposobem. Ten żółw musiał być zaprzyjajznięty z łabędziami. Aby go zanieść do Himalajów, kazały mu ucześcić się zębami za kij i wzbily się w przestworza. Musiał usłyszeć, że ktoś coś mówi i, nie mogąc poskromić języka, chciał odpowiedzieć. Wypuścił kij, zleciał z nieba na ziemię i poniósł śmierć». Tak rozważwszy, rzekł Bodhisattwa do króla: «Wielki królu! Takie nieszczęście spotyka tych, którzy są zbyt gadatliwi i ciągle coś mówią». — I wyrecytował te oto dwie strofy:

Sam siebie zabił żółw,  
Zaiste, gdy odezwał się.  
Trzymał się mocno za kij,  
Przemówiwszy, poniósł śmierć.  
Najpotężniejszy z mężów! Widząc to,  
Tylko co trzeba, nie za wiele mów!  
Oto za gadulstwo  
Jak żółwia ukarał srogi los.

Król zrozumiał, że o nim mowa, i powiedział: «Mądry mężu! Mówisz o nas». A na to Bodhisattwa: «Wielki królu! Wszystko jedno, czy chodzi o ciebie, czy też o kogo innego. Każdego, kto mówi zbyt wiele, może spotkać takie nieszczęście. Tyle tylko miałem na myśli». Odtąd opanował król (swoje gadulstwo) i stał się małomówny.

*Tłum. St. Schayer.*

## LITERATURA MAHAJANISTYCZNA

### I

#### SAD-DHARMA-PUNDARIKA

#### Fragment z rozdz. XX o Cudzie Języka

Sto tysięcy razy po dziesięć tysięcy razy dziesięć milionów Bodhisattwów — tyle, ile pyłków światła we wszechświecie tysiąca światów — ze szczelin w ziemi powychodzący, wszyscy z twarzą zwróconą w stronę Wzniosłego, z dłońmi pobożnie złożonemi, tak rzekli do Niego: «My, o Wzniosły, ten Wykład Nauki Doskonałego, Całkowicie Wygaśniętego we wszystkich Regjonach Działalności Buddów, ile tylko Regjonów Działalności Wzniosły posiada i w ilu tylko Regjonach Działalności Wzniosły wygaśnie całkowicie, tam wszędzie głosić będziemy. Prosimy, o Wzniosły, o ten szlachetny Wykład Nauki, abyśmy go zapamiętali, powtarzali, uczyli, głosili i utrwalali na piśmie».

Wzniosły Doskonały Śakjamuni i Wzniosły Doskonały Prabhutaratna, Święty, Zupełnie Oświecony i Całkowicie Wygaśnięty, we wnętrzu Stupy na tronie siedząc, uśmiechnęli się obydwoj, z ust rozchylnych języki wysuwając i sięgając nimi aż do Nieba Brahmy. Z tych języków wyłoniło się wielokroć sto tysięcy razy po dziesięć tysięcy razy dziesięć milionów promieni, a w tych promieniach z każdego promienia wyłoniło się również wielokroć sto tysięcy razy po dziesięć tysięcy razy dziesięć milionów Bodhisattwów o ciałach złocistych, z trzydziestoma dwoma znakami Wielkiej Istoty, na tronach siedzących, w pąkach lotosu. I oto ci Bodhisattwowie we wszystkich kierun-

kach stotysięcznego kosmosu rozproszeni, we wszystkich kierunkach w przestworzach unosząc się, głosić poczęli Naukę.

I tak jak Wzniosły, Doskonały Śakjamuni, Święty i Zupełnie Oświecony razem z Wzniosłym, Doskonałym Prabhutaratną, Świętym i Zupełnie Oświeconym ten Cud Języka uczynili, tak samo i inni wszyscy Doskonali, Święci i Zupełnie-Oświeceni, którzy zjawili się w sto tysięcy razy po dziesięć tysięcy razy dziesięciu milionach innych światów, każdy spoczywając na tronie pod Drzewem klejnotów, ten sam Cud Języka uczynili.

I przez pełne sto tysięcy lat Wzniosły, Doskonały Śakjamuni, Święty i Całkowicie Oświecony a razem z nim wszyscy owi inni Doskonali, Święci i Całkowicie Oświeceni trwać kazali temu wytworowi mocy cudownej (= tej fantasmagorji). A kiedy minęło sto tysięcy lat i owi Doskonali, Święci, Całkowicie Oświeceni języki zpowrotem wciągnęli, w tej samej chwili jednocześnie chrząknięcie wydali, głośne jak ryk lwa, i młasnienie potężne, że aż od tego chrząknięcia i od tego młasnienia we wszystkich dziesięciu stronach świata wszystkie Regjony Działalności Buddów, ile ich jest sto tysięcy razy po dziesięć tysięcy razy dziesięć milionów Regjonów, drgnęły, zadrżały, drzeć poczęły, zachwiały się, zakolysały się, zatrzęsły się, wstrząsnęły się, trząść się poczęły.

## II

### MARA-DAMANA-SUTRA

(Sutra o pognębieniu Mary, fragment cytowany w Prasannapadzie Czandrakirtjego, rozdz. XVI).

Pewnego razu Mańdżuśri Kumarabhuta uprawiał tak silną medytację, że aż Mara<sup>1</sup> Niedobry więzami tej medytacji przywiązany został do progu, na ziemię upadł i głośno wyć zaczął: «Związany jestem silnemi więzami». Mańdżuśri odpowiedział: «Istnieją, o Niedobry, inne jeszcze więzy, które silniej wiążą, niż te więzy. Niemi jesteś i tak już związany, nie trzeba ciebie, o, Niedobry, wiązać powtórnie. I czemuże są owe inne więzy?—O Niedobry! To są więzy przywidzenia, że istnieje jaźń, więzy błędu i więzy pożądania. Żadne więzy nie są od nich silniejsze. Temi więzami jesteś ciągle związany, nie trzeba więc ciebie wiązać powtórnie». I dalej spytał Mańdżuśri: «Czyż nie byłbyś, o Niedobry, szczęśliwy, gdybyś mógł się wyzwolić [od tych potężnych więzów]?» — [Mara] odpowiedział: «O, byłbym szczęśliwy, w najwyższym stopniu byłbym szczęśliwy!»

A wtedy tak rzekł do Mańdżuśrijego Kumarabhuty Genjusz Sujama: «Wróć wolność, o, Mańdżuśri, Marze Niedobremu! Niechaj powraca do swego domostwa».

Mańdżuśri Kumarabhuta tak rzekł do Mary Niedobrego: «Któż to ciebie tak związał, że sam siebie nie możesz wyzwolić?» Ów odpowiedział: «Ja nie wiem, o Mańdżuśri, kto mnie związał». [Mańdżuśri] odpowiedział: «Chociaż nie jesteś związany, uważasz siebie za związanego. W ten sam sposób uważają nierozsądni i naiwni za trwałe to, co jest znikome, za niebolesne to, co jest bolesne, za czyste to, co nie jest czyste, za istotne to, co nie jest istotne, za zmysłowe to, co jest poza zmysłami, za uczucie to, co jest poza uczuciami, za pojęcie to, co jest poza pojęciami, za dyspozycje to, co jest poza dyspozycjami, za świadomość to, co jest poza świadomością. Jeśli zatem, o, Niedobry, teraz właśnie zostaniesz uwolniony, od czego [w rzeczywistości] będziesz uwolniony?»

[Mara] odpowiedział: «Wiem już! Nie istnieje wogóle nic takiego, od czego mógłbym być uwolnionym».

[Mańdżuśri] rzekł: «Tak właśnie, o Niedobry, dzieje się z istotami, które zdobywają wyzwolenie: i dla nich także nie istnieje [w rzeczywistości] nic takiego, od czego mogłyby się wyzwolić. Tyle tylko poznają: że wszelka konstrukcja pojęciowa jest irrealna. I wyzwolone się stają [owe istoty], skoro tylko tę [właśnie] [prawdę] zrozumiały».

<sup>1</sup> Mara — szatan buddyjski.

## III

## DWIE ZWROTKI Z SAMADHI-RADŻA-SUTRY.

Byt i nie-byt — to dwa krańce. Czyste i nie-czyste — to też dwa krańce.  
Wszystkich krańców poniechawszy, nawet pośrodku mędrzec nie stoi.

Byt i nie-byt — to jest spór. Czyste i nie-czyste — to także spór,  
W sporze niema uciszenia cierpienia, w niespieraniu się jest uciszenie cierpienia.

*Tłum. St. Schayer.*

## IV. LITERATURA KUNSZTOWNEGO STYLU

RITUSAMHARA <sup>1</sup>

## L a t o

Kochanko! Pora lata nadeszła gorąca,  
Sadzawki wysychają od ciągłych kąpiei,  
Słońce praży — więc wszystko tęskni do miesiąca,  
Żądza milknie i tylko wieczór nas weseli.

A więc szukamy dzisiaj cienistych ustroni,  
Altanek, które wilgoć fontanny przesyca,  
Klejnotów i czandany balsamicznych woni  
I nocy oświetlonych blaskami księżycy.

Na dźwięk lutni, co w sercach żar miłości nieci,  
Kochanek o północy daży pod krużganki,  
Wonne od słodkich maści i zapachów kwieci,  
I — zda się — drżące zlekka od westchnień kochanki.

Biodrami spowitemi w muśliny przejryste,  
Piersią wonną i strojną w naszyjników pęki,  
Włosy namaszczone po kąpiei czystej,  
Niewiasty śpieszą luhych ukoić udreki.

Nogi dziewcząt, błyszczące od laków czerwieni  
I zdobne w bransolety, których lekkie drgania  
Wydadają dźwięk podobny do łabędzich pieni,  
W sercach mężczyzn gorące budzą pożądania.

W czyjem sercu miłosnej nie zrodzi tęsknoty  
Piersz namaszczona wonnym balsamem czandany,  
Biodra pełne, okrągłe, w pas ujęte złoty,  
I białych kwiatów wieniec, piersią kołysany?

Pot zrasza ciała niewiast, wątle członki słabną,  
Więc zbywszy się klejnotów i sukien ciężaru,  
Na pierś wypukłą lekką osłonę jedwabną  
Narzucają dziewice omdlałe od żaru.

Od pachnących, wilgotnych wachlarza powiewów,  
Od falowania piersi w naszyjniki strojnej,  
Od cichych dźwięków lutni, przytłumionych śpiewów  
Budzi się bóg miłości z drzemki swej spokojnej.

<sup>1</sup> Poemat p. t. «Ritusamhara» czyli «Krótki opis pór roku» przypisuje tradycja samemu Kalidasi, można jednak wątpić, czy słusznie.

Nocą księżyc przenika do białych podwoi  
 I, wpatrzony w oblicza niewiast słodko śpiące,  
 Lubym widokiem długo wzrok swój chciwy poi,  
 Aż wreszcie z wstydu błednie, spłoszony przez słońce.

Wicher straszny nad ziemią kłęby kurzu miota,  
 Słońce praży świat żarem ognistej pożogi,  
 Więc choć serce wędrowca pożera tęsknota,  
 Dzisiaj już do swej lubej nie odnajdzie drogi.

*Tłum. A. Kałuski.*

## BHARTRIHARI

### A f o r y z m y

#### 1

Wiedza jest największą ozdobą męża,  
 Skarbem ukrytym głęboko,  
 Chwały dawczyni, szczęścia, radości,  
 Najczcigodniejsza z mistrzów mistrzyni,  
 Przyjaciel wierny w czasie wędrówki,  
 Bóstwo najwyższe.  
 Wiedzę, nie skarby czczą monarchowie,  
 Człowiek bez wiedzy — to tylko bydlę.

#### 2

Drzewo nawet zrąbane odrasta,  
 Księżyc znika, potem znowu przybierać zaczyna:  
 To rozważywszy, rozsądny  
 Nie martwi się nieszczęściem.

#### 3

Trojaki jest los pieniędzy:  
 Rozdanie, wydanie i zguba.  
 Nie rozdasz i nie wydasz —  
 Utracisz na pewno.

#### 4

W sercu mędrca dotąd świeci  
 Jasna lampa mądrości,  
 Póki na nią nie rzuci zalotnego spojrzenia  
 Gazelookie dziewczątko.

#### 5

Niema nektaru ani trucizny ponad kobietę:  
 Kiedy kocha, jest lianą słodczy,  
 Gdy nie kocha, jest lianą trującą.

#### 6

Na ustach dziewcząt jest miód,  
 A w sercach trucizna. Dlatego  
 Ich wargi trzeba wysysać,  
 A w piersi bić pięściami.

## 7

Kupido-rybak kobietę-wędkę  
Zarzuca w ocean życia.  
Mężów, którzy, jak ryby za przynętą,  
Tęsknią za wargami dziewczęcia,  
Z toni wyciąga i smaży  
Na ogniu namiętności.

## 8

Zaprześć męczącej wędrowki przez gąszcze zmysłowości.  
Wyjdź na ścieżkę wyzwolenia, na której wnet  
Ukojenie wszystkich cierpień zdobędziesz.  
Złącz się z Duchem Wszeczeństwa. Nietrwałego jak fala  
Wyzbądź się biegu własnego<sup>1</sup>.  
Znikomych uciech doczesnych zażywać przestań.  
O serce! Teraz się ucisz!

## 9

Uroku pełen jest księżycyca blask;  
Uroku pełne są zacisza leśne, trawą porośnięte;  
Uroku pełna jest przyjaźń cnotliwych przyjaciół;  
Uroku pełna jest poezji mowa;  
Uroku pełne jest kochanki lico,  
Kiedy na niem zabłyśnie gniewu iza.  
Ale dosyć pomyśleć, że to wszystko przeminie,  
Aby urok przestał być urokiem.

## 10

Nie myśmy używali uciech tego świata —  
Świat nas używał.  
Nie myśmy uprawiali samoudrękę ascezy —  
Życie nas dręczyło.  
Nie czas to mijał, ale myśmy mijali.  
Nie naszą żądzę, ale nas samych  
Zniszczyła starość.

*Tłum. St. Schayer.*

## Z ANONIMOWEJ LITERATURY GNOMICZNEJ

## 1

Rozpacz gniecie ludzi marnych, lecz nie tyka się olbrzyma.  
Tak mróz szybko stopy chwyci, ale oczu się nie ima.

## 2

Jeżeliś skrzywdził rozumnego, nie ufaj w przestrzeń, co oddziela,  
Rozumny długie ma ramiona, dosięgnie niemi krzywdziela.

## 3

Końcem dnia jest zachód słońca, noc się zawsze kończy słońcem,  
Szczęście końcem jest nieszczęścia, a nieszczęście szczęścia końcem.

## 4

Wielkimi się ludzie sądzą, bo wdół oczy zwracać zwykli.  
Wgórę skieruj wzrok, człowiecze! Jakżeśmy też wszyscy nikli...

*Tłum. A. Gawroński.*

<sup>1</sup> Bieg własny = egzystencja indywidualna poprzez wcielenia.



## SETKA FRASZEK LIRYCZNYCH I ORYCZAJOWYCH

- Candak. 155. 1. Ach, pod ciężarem głupców ziemia gnie się!  
Cna sprawiedliwość kędyż na niej gości?  
Wiedza człowieka to taniec w ciemności,  
A prawda wiedzy to płacz w pustym lesie.
- Dham. 128. 2. Ani w powietrzu, ni w morza głębi,  
Ni w najtajniejszych lochach podziemi,  
Nigdzie nie znajdźm miejsca na ziemi,  
Kędy z nas życia śmierć nie wygnębi.
- Dh. 158/4. 3. Bez tchu-m z żywota w żywot biegł, a komu gwoli, anim zgadł!  
Hej, Budownico!<sup>1</sup> Znam Cię już, nie stawiać ci już dla mnie chat!  
Zrąbałem krokwi silną więź, i strop się zwałił w iskier puch!  
Wygasta watra żądź mych już. Wyzwolin się doczekał Duch.
- Boehltl., Ind. Sp. 2 ed. 3789. 4. Bogaczem chce być biedak, królem zaś bogaty,  
A król marzy: O, gdybym posiadał Indry chwałę!  
I nim kresu dobiegą ich żądze zuchwale,  
Śmierć wchodzi do stolicy, pałacu i chaty.
- B., Ib. 5207. 5. Brahma wypisał palcem na człowieka skroni,  
Ile nań dóbr przypada z odwiecznych śpichlerzy,  
I przyszłość mu tę ilość rzetelnie odmierzy,  
Czy na Meru<sup>2</sup> zamieszka, czy się w dżungli schroni.
- B. 2830. 6. Byli tacy, co życie wielką kuchnią zwali,  
W której się zamiast drzewem, człeczym bólem pali.  
Czyż do kota podobne wiecznie serce będzie,  
Który skacze po kuchni, mięsa węsząc wszędzie?
- B. 148. 7. Choćby ci się najlepiej dzieło twe udało,  
Złe języki w niem zawsze znajdują wad niemało.  
Tak też nad pięknem ciałem much roi się chmara  
I tylko ran się na niem doszukiwać stara.
- B. 2004. 8. Chwilę dzieckiem, młodzieńcem, mężem w dojrzałej wieku sile —  
Chwilę trawi się w nędzy, w dostatku się opływa chwilę —  
I wreszcie chwiejnym krokiem wsuwamy się do śmierci domu,  
Jak skoczki, co czmychają za swą zasłonę pokryjomu.
- B. 1016. 9. Ciężko dźwigać kamienie na wyniosłe wzgórce;  
Które się zeń tak ręczo same nadół toczą,  
Jak ludzie, co z mozołem ścieżką cnoty kroczą,  
Lecz spadają w podskokach w występków kałuże!
- B. 1841. 10. Cud to, o dziewczę, dość rzadki w naturze,  
Iżby na kwiatkach rosty jeszcze kwiatki,  
Skąd więc na liljach twoich lic dwie róże  
I dwa rozkwitłe wzięły się bławatki?
- B. 1321. 11. Często zagarnia szczęśliwy,  
Co mozolnie ciułał chciwy:  
Tak wymiata język z gęby  
Strawę, którą zżuły zęby.

<sup>1</sup> Tanhâ (pâli) lub tr̥ṣṇâ (skr.) czyli żądza życia.<sup>2</sup> Bajeczna góra złotorodna, tudzież Olimp indyjski.

- B. 1548. 12. Czyta wiersze poeta, bakałarz go słucha,  
Czujnego na usterki podając li ucha,  
Wzorem zabląkanego do gaju wielbłąda,  
Co, róż woni nieświadom, ostu wciąż ugląda.
- B. 1583. 13. Czyta wiersze poeta, lecz w słuchaczów tłumie  
Jeno ucho poety czar ich odczuć umie:  
Księżyc, który ku sobie dźwiga całe morze,  
Ze studni wiadra wody wyciągnąć nie może.
- B. 2447. 14. Czyż istotę trzech światów duch nasz zgłębić zdoła,  
Skoro się od nich ciałem odgradził dokoła?  
Toż nie oświeci izby żadna nam latarka,  
Jeśli do glinianego wstawimy ją garnka!
- Jac. 9. 15. Dwa razyś aż oto  
Błąd popełnił Brahmo!  
Raz, kiedyś stworzył dla kobiety złoto:  
To drugi; pierwszy — gdyś ją stworzył samą.
- B. 3702. 16. Dziewczę, zbierając kwiaty, nad rzeką się kłoni  
I myśli, widząc własne oczy na jej fali,  
Że to rozkwitły lotos, więc kiedy ów dalej  
Spostrzega, długo nie śmie poń wyciągnąć dłoni.
- B. 197. 17. Gdy cię niema, z tęsknoty schnę za twym widokiem,  
Kiedy cię zaś ogarniam palającym wzrokiem,  
Na rozstania bliskiego myśl — serce mi pęka!  
Widzieć cię, czy nie widzieć — zawsze jedna męka.
- B. 2074. 18. Gdy człowiek w nieszczęść jamę wpadnie,  
Lada mu kiep dokuczy snadnie,  
Na słoniu, który ugrzązł w bagnie,  
Która z żab skoczyć nie zapragnie?
- B. 4333. 19. Gdy dzielnego człowieka nieszczęść zwali brzemię,  
Wnet zrywa się, jak piłka, rzucona o ziemię,  
Ale żadna słabego nie dźwignie już siła,  
Który pada, jak martwa z ciężkiej gliny bryła.
- B. 4735. 20. Gdy jeden drzemiąc siedzi w palankinie,  
Musi go dźwigać w pocie czoła drugi —  
Dobry los pana i zła dola sługi  
Tutaj w zasłudze, tam w dawnej tkwią winie.
- B. 655. 21. Grotem, co nam pierś porze, zowiemy śmierć druha,  
Choć z nią pęka najtęższe ogniwo łańcucha,  
Który nas skuł z tym światem. Mędrzec, wiedząc o tem,  
Stratę druha wylazłym z piersi zowie grotem.
- B. 937. 22. I dziś czeka naprózno: już mgły zmierzchu płowe  
Zasłały smugę drogi i ryżowe rżyska —  
Więc zawraca z westchnieniem, a w tem myśl jej błyska:  
«Teraz jedzie!» -- i jeszcze raz odwraca głowę.
- B. 2853. 23. Ileż kobiet nicponiów swą miłością darzy,  
Ileż na dworach książąt gnuśnych pieczeniarczy,  
Ileż to się za sknerą toczy worów złota  
I dżdżu na łysą górę leje z chmur rzeszota!

- B. 3558. 24. Iż nazbyt dobrym niezbyt dobrze,  
Fraszkę tę sobie w głowę wskrobże:  
Któż, komu pizang sam się nagnie,  
Obrać go z jagód nie zapragnie?
- B. 3760. 25. Jakież gniewowi płomię stanie zadość  
I gdzie jest cięższa od miłości niemoc?  
Gdzie jest od fałszu bardziej wraża przemoc,  
Lub od radości Wiedzy — większa radość?
- Dh. 135. 26. Jak pastuch, co osękiem  
W wierzeje bydło wpędza,  
Tak śmierci gna nas nędza  
W przepaście, mroczne lękiem.
- B. 4956. 27. Jak się niewierna żona uśmiecha zdradziecko,  
Słyszając, że mąż do syna mówi: moje dziecko! —  
Tak z gromadzących mienie ziemia szydzi skrycie  
I śmierć się z tych natrząsa, co dbają o życie.
- B. 2907. 28. Jakże bliscy są jedni, chociaż błędzą wdali,  
I jak inni dalecy, choćby przy nas stali!  
Księżyc się w niedosięgle wzbil wyżej dla ludzi,  
A lotosy swym blaskiem każdej nocy budzi.
- B. 3458. 29. Jakże często zawodzi to znane przysłowie,  
Że piękne ojców cnoty dziedziczą synowie;  
Sandałowiec rozlewa miłą woń, gdy płonie,  
Ale, stławszy na popiół, wszystkie traci wonie.
- B. 3206. 30. Jedni jaskinią zwą ten świat ponurą,  
Inni — uśmiechów łąką, ja zaś mówię:  
Macie na stopach skórzane obuwie,  
To się wam ziemia zda obita skórą.
- B. 3070. 31. Jeśli, mój książę, źle zdobytem złotem  
Cerujesz dziury w twej szacie,  
To choćbyś nawet kładł łąkę na łacie,  
Dziura się zjawi zpowrotem.
- B. 3403. 32. Jeśli się zdarzy, że białogłowa  
Zaprzysiężonej wiary dochowa,  
Toć nie zasługa cnoty lub sromu,  
Lecz, że jej skusić nie było komu.
- B. 6290. 33. Jeżeli bramin, lekarz i doradcy  
Czcią otaczają uszy swego władcy,  
W oczy zaś prawdy też nikt mu nie powie —  
Na marne pójdą skarb, cnota i zdrowie.
- B. 4941. 34. Kiedy wam umrze syn, chowany w trudzie,  
Na marach obcy wynoszą go ludzie  
I na drwa kupę, czarnym dziegiem zlaną,  
Rzucają z trzaskiem, jak suche polano.
- B. 2368. 35. Kobieta — to pijawka, niejeden powiada,  
Więc czem się one różnią, niech się tutaj dowie:  
Pijawka nic nie wysię, prócz krwi, nawet z dziada,  
A ta — wszystko: majątek, spokój, rozum, zdrowie.

- B. 3211. 36. Krokodyl, kiedy w rzece, łatwo nawet wołu  
Wciąga za sobą w grząskie z mułu łożo,  
Lecz lada kundel silniejszy go zmoże,  
Gdy wyjdzie na brzeg ze swego żywiołu.
- B. 5602. 37. Kto bogaty, a bogactw w potrzebie nie czerpie,  
Złoto chowa w głęboko zakopanym kuble,  
Równien jest nędzarzowi i, jak strach na wróble,  
Strzeże kłosów, co legną nie na jego sierpie.
- B. 4164. 38. Kwiecie, choć z drzew opada, pokrywa je znów,  
Rzeka ciągle przybiera, choć wciąż w morze ścieka,  
I księżyc staje w pełni, chociaż zajdzie w nów;  
Jedno tylko nie wraca — to życie człowieka.
- B. 6330. 39. Łatwiej miodu plastrami wodę w morzu słodzić,  
Krajem płatków różanych łupać diament twardy  
I na włóknach z lotosów dzikie słonie wodzić,  
Niż wskrzesić miłość w sercu, co doznało wzgardy.
- B. 4951. 40. Mąż z żoną; z ojcem, matką — syn; brat z bratem, z siostrą; z druham — druh  
Mijają się na świecie tym, jak w mroku chmur flaminga puch  
I jak te chmury w wietrzną noc, jak pnie splawianych z prądem drzew,  
Wędrowcy na rozstaju dróg, i jak żeglarze z różnych stref.
- B. 5621. 41. Miłe w ustach przyjaciół prawdy gorzkiej słowa,  
Której, choć ocukrzona, cierpka zawsze mowa;  
Dym, strzelając z bambusu, gryzie w oczy do łez,  
Lecz go wonią nazywa człek, paląc aloes.
- C. 150. 42. Morze świata w bezkresy wiecznie się przewala,  
Wiecznie łamie się każda i znów zwiera fala;  
A gdy rozstać się tyleż, co połączyć znaczy,  
Wartże więcej ból mędrca od głupca rozpaczy?
- B. 271. 43. Nad przasnny miód w pasiece, kłos w niezżętym łanie,  
Kwietny pąk na lodydze, nozdrzami nietknięty,  
Nad perłę nieprzekłutą i liść nieuszczknięty  
Czystszy ten kształt dziewiczy komuż się dostanie?
- B. 7138. 44. Najrątszym szybkobiegom bieży los ich w tropy:  
Staje, kiedy przystaną, przysiada, gdy siada,  
Zrywa się i znów leci, jak cień u ich stopy,  
Nie dając się zatrzymać morzom ani lądom.
- B. 963. 45. Natrząsasz się z nędzarzy, że sam masz tysiące,  
Nie wiesz, głupcze, jak zmienne są losów koleje?  
Spójrz na wiadra, u koła nad studnią wiszące:  
Próżne wody nabiera, z pełnego się leje.
- B. 7590. 46. Niechajże nikogo nie korci ochota  
Pożyczać niewiasty, książki albo złota;  
Książki i niewiasty nikt całych nie zwraca,  
Dławić cudzy worek — ciężki trud i praca.
- B. 3755. 47. Niech nawet wroga, gdy twój próg przestąpi,  
Twej gościnności osłania paizą.  
Dąb swego cienia drwalowi nie skąpi,  
Gdy ten z siekierą w ręku doń się zbliża.

- B. 2462. 48. Niech się nikt próżno przejrzeć kobiety nie sili,  
Co z grzechy ukrytemi i nadobną twarzą  
Podobna jest jezioru, na którym się żarzą  
Róż płomienie, a w głębi pełno krokodyli.
- B. 3237. 49. Nie myśl, że wiecznie płakać i niezłomnie  
Czekać cię będę (bo mię wnet zgryzota  
Zabije). Chcesz — jedź! Otwarte w świat wrota —  
Jedź — ach — i więcej już nie troszcz się o mnie!
- B. 3785. 50. Niepomierne zgiełk wszczynają  
Błaha czasem przyczyna:  
Od mosiężnej obręczy  
Złoto głośniejsze nie dźwięczy.
- B. 2073. 51. Nie skarż się na to, co minęło,  
Ani troszcz o to, co nadchodzi —  
Zdaj prądom fali bieg twej łodzi  
I dzisiejszego dnia kuj dzieło!
- B. 4776. 52. Niestuszenie człek nazywa językiem w czelej dumie  
Język, którym się godnie posłużyć nie umie:  
Zwyczajny kawał mięsa, do gęby włożony  
Ze strachu, by dziób chciwej nie porwał go wrony.
- B. 700. 53. Odlatują łabędzie z wyschłego jeziora,  
Śludzy rzucają pana, co ich morzy głodem,  
Pszczola zaś, jak niewiasta wciąż ku zdradzie skora,  
Porzuca kwiat, gdy jeszcze darzy ją swym miodem.
- B. 3288. 54. Od zła pewnego się zbawia, kto ciała  
Swego się pozbył, bądź to jak spróchniała  
Palma nadbrzeżna, którą nurt podmywa,  
Bądź jak czerwonak, gdy się z palmy zrywa<sup>1</sup>.
- B. 2619. 55. O gdybyż każde było szczęśliwym stworzenie —  
Rozmyśla człowiek dobry i póty się nęka,  
Aż myśl o własnym szczęściu precz z piersi wyżenie,  
Lecz wciąż mu ból zadaje wieczna stworzeń męka.
- B. 4475. 56. O rubież prawdy myśli twe nie trącają.  
W sercu li możesz ujrzeć ją wschodzącą —  
W mózgu szczelinie zamknąć się jej nie da,  
Próżno też głosi ją mędrków czereda.
- B. 844. 57. Oto reszta dni moich w świętej dżungli splywa,  
Gdzie wielkim wołam głosem: Śiwa, Śiwa, Śiwa!  
I jedno mam spojrzenie dla wszelakiej kasty,  
Sznuru pereł i węża, klody i niewiasty.
- B. 2307. 58. Patrz na drzewa, jak, w skwarnej znojąc się upale,  
Innych poją ożywym chłodem swoich cieni,  
I jak owoc, poczęty w pierwszym wiosny szale,  
W cudze kosze rzucają w czas płodnej jesieni.
- B. 7322. 59. Pies porzywa gnat suchy, co się w śmieciach wala  
I, choć syty, z żył resztek łakomie go skrobie,  
Lew, skaczący na słonia, nie dba o szakala:  
Różną łęk i odwaga biorą zdobycz sobie.

<sup>1</sup> Śmierć naturalna w pierwszym, dobrowolna (przez żądź obumaracie) w drugim wypadku.

- B. 177. 60. Płomień twej, królu, mocy niezmierzonej  
Huczące morze w nagi step zamieni,  
Aż je napelni znów rzesza strumieni,  
Które wypłaczą wrogów twoich żony.
- B. 4238. 61. Pora chwalić chlody za nadejściem spieki,  
Z powrotem do zdrowia — przepisane leki,  
Po skończonej pracy pora chwalić sługi,  
A najlepszą żonę w czas po śmierci długi.
- B. 4588. 62. Powiedzcie, dziadku, lubicie pieczeń? — Hm, niekoniecznie,  
kiedy braknie wina!  
A więc i winko lubimy również? — Czemu nie, skoro  
zdarzy się dziewczyna...  
Dziewkom trza płacić, skądże masz na to? — Czasem się wygra,  
czasem coś ukradnie...  
Ach, toś kostera i wdomiar złodziej? — Niżej nie spadnie,  
co już leży na dnie...
- St. 1908. 63. Powiedz, dziewczę, czy dojść można do wsi tą dróżką?  
Słodkie i rumiane dam ci za to jabłuszko...  
Stój, zaczekaj, coś ci szepnąć muszę na uszko...  
Podobały mi się oczy twoje, dziewczuszko.
- Jac. 10. 64. Poznał się z dobrem i ze złem  
I znów po wielu burzy dniach  
Wraca pod stary, cichy dach,  
Jak słoń z złamanym w rujach kłem.
- B. 3767. 65. Późno, gdy lampa zgaśnie, dolewać oliwy,  
Po ucieczce złodzieja zamykać dom pusty,  
Późno, gdy woda uszła, naprawiać upusty,  
I marzyć precz o szczęściu, gdy na łbie włos siwy.
- B. 3283. 66. Przekładaj rzecz kobiecie, proś, błagaj ją rzewnie,  
Zażyj groźby lub szukaj argumentu w drewnie —  
Najlepsze twe wywody bierze za najgłupsze  
I nie da się przekonać, jeśli się w czym uprze
- B. 5448. 67. Przez własne czyny wnosim się ku górze,  
Wdół spychamy się czyny własnymi,  
Jak pracujący robotnik na murze,  
Lub jak ów, który kopie studnię w ziemi.
- B. 7620. 68. Przyjaźń dzielnych, podobna złotemu dzbanowi,  
Zwarta z trudem, bez trudu się nie przepołowi,  
Lecz jako dzban gliniany jest przyjaźń hultaja,  
Bo i tłucze się łatwo, i łatwo się spaja.
- B. 1004. 69. Przyjaźń hultaja jest jak cień poranku,  
Który bieg czasu kurczy bezustanku,  
Innej natury jest cień przed wieczorem,  
Rosnący stale wiernych uczuć wzorem.
- B. 996. 70. Przypuśćmy, sto lat żyjesz — jeżeli nie więcej.  
Połowa idzie na sen; pusty wiek dziecięcy  
I zgrzybiałość bezradna — pół drugiej połowy;  
Reszta na ból i smutek. Rachunek gotowy.

- B. 868. 71. Raz tknąwszy książkę nosem, uczeni mężowie:  
«Znamy do dna — wołają — co się tutaj mieści».  
Biedna rzesza, wachając w niej słowo po słowie,  
Czemuż całej niezdolna jest zgłębić jej treści!
- B. 3506. 72. Rozumny człowiek, gwoli próżnej chęci,  
Dla mniejszej rzeczy większej nie poświęci,  
Gdyż tych słów parę mądrość mieści całą:  
Zawsze otrzymać więcej, niż się dało.
- Jac. 11. 73. Rozum znajdziesz w każdej sferze:  
Więcej wody nie nabierze,  
Choć się nawet, miast w kałuży,  
W oceanie dzban zanurzy.
- B. 1234. 74. Skąpcem mię zwiecie, więc nie uwierzycie,  
Żem dla proszących hojniejszy, niż książę:  
Ten odda naprzód wszystko, potem życie,  
Ja — oddam życie, nim trzosa rozwiążę.
- B. 7124. 75. Słodkie słowa kobiety, lecz myśl pełna zdrady,  
Gdyż, mając miód na ustach, chowa w sercu jady;  
Tu się kryje przyczyna dziwnego zjawiska,  
Iż człek, z ust jej ssąc miody, dłońmi pierś jej ściska.
- B. 6960. 76. Słońcem zda się nam księżyc, dniem staje się noc,  
Gdy nam piersi rozpiera słodka szczęścia moc,  
Lecz, gdy serce zgryzoty przesłoni nam cień,  
Słońce świeci jak księżyc, nocą zda się dzień.
- B. 7355. 77. Tarmoś sobie psi ogon, ileć starczy chęci —  
Skrepuj sznurem, maceruj w ziołach, susz na słońcu,  
A gdy po lat tuzinie odwiniesz go wkońcu,  
Jeszcze się wgórę zadrze i wkółko się skreści.
- B., Chr. 3 ed. 78. Ten co cię nie zna, i ten, który pozna,  
338. Szkoły zarówno z twej przyczyny dozna:  
Tego o serca wnet przyprawisz zgubę,  
Tamtego oczu kradniesz światło lube.
- B. 633. 79. To, co jest, nie cieszy nikogo, a zato  
Każdy wiecznie łaknie rzeczy, których braknie.  
W zimie wyglądamy, rychło przyjdzie lato,  
Potem, z czasu biegiem, wzdycha się za śniegiem.
- B. 1989. 80. Tu słyhać lutni gędzbę, tam skarga rzewnie biada,  
Lub uczonych dysputę pijaków zgłusza zwada;  
Tu hoże, kraśne usta — tam trup z wypadłem trzewiem,  
I śmiać się, czy też płakać — sam już, doprawdy, nie wiem.
- B. 1918. 81. Udało się karpiovi wysłiznać szczęśliwie  
Z twardej dłoni rybaka, lecz zamiast do strugi,  
Wpadł napowrót do sieci; więc stąd po raz drugi  
Wyskoczy, a tu czapla porywa go chciwie.
- B. 4484. 82. Ugryziesz gramatyki, gdy ci głód doskwiera,  
Lub pragnienie ugasisz poezji nektarem?  
Czy stanowisko czyje miara wiersza wspiera?  
Grosze rób! Skrypta nie są solidnym towarem.

- B. 4528. 83. W ciasnym koszu skulony, leżał wąż dni parę —  
W ucieczkę już nie wierzył, osłabły bez jada,  
Z głodu wygryzł w nim otwór, którym mysz mu wpadła  
Sama w paszczę. Schrupał ją i wypełził przez szparę.
- Dh. 334. 84. W człeku, co nie chce stoczyć walki z grzechem,  
Wzrasta wciąż Żądza, jako pnącz po drzewie —  
Więc pędzi, niby mała za orzechem,  
Z żywota w żywot i sam o tem nie wie.
- B. 6013. 85. Weźmij wroga na plecy i dźwigaj na sobie,  
Póki się ze swym losem w lepszej spotkasz dobie,  
A kiedy ujrzysz czasów znamiona dojrzałe,  
Wal go o ziem i strzaskaj, jak garnek o skałę.
- B. 5777. 86. W kielichu lotosu zamknięta i świtu czekając ze drzeniem,  
Tak pszczołka szeptała: «Wnet zorze na niebie rozkwitną, a z chwilą,  
Gdy słońce się złote ukaże i różę się wodne rozchyła,  
Wylecę...» Wtem trąbą potworną słoń wyrwał kwiat cały z korzeniem.
- B. 1845. 87. W lesie zżyj, mędrce, życie swe zcicha,  
Jak kwiat, co w lesie usycha —  
Albo się wespnij na czoło świata,  
Jak kwiat, co skronie oplata.
- B. 3545. 88. Wodę zdobią lotosy, szybkość biegu — konia,  
Księżyc jasny — noc letnią, skroń zbróždżona — słońia,  
Grono gości — poeta, żonę — serca tkliwość,  
Ziemie — król, a świat cały — Karmy sprawiedliwość.
- B. 7621. 89. Wysokiej górze obca mórz głębina,  
I morze ledwo jej do stóp się spina.  
Wyższa nad szczyty i głębsza niż morze,  
Myśl mędrca całe przenika przestworze.
- B. 726. 90. Wyżywią mię kromki zebranego chleba,  
Posłaniem mi będzie naga, twarda gleba,  
Cztery strony nieba — cała moja szata,  
Czegóż mam zazdrościć możnym tego świata?
- Pad. 70. 91. Zadał sobie Brahma trud,  
Z kruz i kości zlepił gród,  
W którym chorób osiadł ród,  
A śmierć czai się u wrót.
- B. 6488. 92. Zajdzie mi drogę pies, nic w ręku choć na lek,  
Kiedy kamieni wbród, żaden mnie pies nie goni;  
Czasami pędzi tuż, gdy ściskam kamień w dłoni,  
Lecz w królewskiego psa śmiałżeby godzić człek?
- B. 2697. 93. Za jedno spojrzenie, rzucone zukosa,  
Zabrała mi serce dziewa przetowłosa,  
Poczem już za cenę serca mego daru  
W pierś mi płonącego nasypała żaru.
- B. 3721. 94. Zbudź się, śpiochu, i wyjrzyj za swej chuci wrota,  
Gdyż myśleć o ratunku najwyższa już pora —  
Oto przy blasku godzin wciąż ciosy topora,  
Zwanego Czasem, wałą w pień twego żywota!



- B. 1664. 95. Zewsząd czyhają na nas męczarnie  
I ból się wiecznie rodzi z rozkoszy —  
Wciąż jasne blaski czarny mrok płoszy,  
A co powstaje, to ginie marnie.
- B. 3801. 96. Zimowych wiatrów dzika zgrają, z gór spadzistemi zbiegłszy stoki,  
Jaśminu kwiaty w strzępy rwąc, w mżące je śniegiem dmie obłoki,  
Aż, padłszy na krokosem złane dziew laniookich piersi-urny,  
Ścichła i, ugasiwszy chuć, znów pędzi z wyciem na szlak chmurny.
- B. 7524. 97. Złe czyny twoje znikną w okamgnieniu,  
Jak ślad, znaczony gałęzią po fali,  
Lecz dobre czyny lepiej czas utrwali,  
Niż rysę, w twardym żłobioną kamieniu.
- B. 2332. 98. Znasz-li mękę, co się wwierca  
Głębiej w pierś, co więcej boli,  
Jak nie móc ugasić Woli  
I nie móc jej wyrwać z serca?
- B. 3595. 99. Żaden przed czasem swym człowiek nie zginie,  
Choćby mu nawet sto strzał pierś przedarło,  
Lecz, gdy znaczony dlań czas już upłynie,  
Zdźbło zeschęj trawy przesyje mu gardło.
- B. 760. 100. Złe czyni, że do podwik garnie się pochopnie  
Młody radża, nim sławy swojej szczytów dopnie —  
I Bóg słońca przejść musi wpierw całe niebiosą,  
Nim go weźmie w objęcia zorza złotowłosa.

*Tłum. St. Stasiak.*

## GITAGOWINDA

(Z pieśni pierwszej)

### 1

Do Radhy, którą miłość ku Krisznie żarem trawi,  
Do Radhy wątłej i delikatnej, jak kwiat madhawi,  
Poszukującej w leśnem ustroniu płochego boga,  
Współczując jej gorzkiej męce, družka powiada droga:

### 2

Gdy z gór Malaji wiatr luby wionie,  
Unosząc słodkie gwoździków wonie,  
Kiedy w zawody z brzęczeniem pszczoły  
Kukułka kuka trel swój wesoly,  
I brzmi jej śpiewem altana —  
Družko kochana,  
W wiosenną porę,  
Gdy serce chore  
W rozłące kona,  
Hari się bawi, weseli, tańczy wśród dziewcząt grona.

### 3

Gdy żona młoda, pełna tęsknoty  
Za mężem, co gdzieś wędruje wdali,  
Gorzko się żali,  
Palona żądzą lubej pieśzczoły,

Gdy w każdym złotym kwiecie bakuli  
 Pszczoła się tuli,  
 Słodyczą miodu pijana —  
 Drużko kochana,  
 W wiosenną porę,  
 Gdy serce chore  
 W rozłące kona,  
 Hari się bawi, weseli, tańczy wśród dziewcząt grona.

## 4

Kiedy na zapach piżma jeleni  
 Tamala w nowej zieleni  
 Stroi się szaty,  
 Kiedy kinsiuki ponsowe kwiaty  
 Lśnią jak paznogcie boga Manmaty<sup>1</sup>,  
 Paznogcie, ostrzem których zadana  
 W sercach dziewiczych krwawi się rana —  
 Drużko kochana,  
 W wiosenną porę,  
 Gdy serce chore  
 W rozłące kona,  
 Hari się bawi, weseli, tańczy wśród dziewcząt grona.

## 5

Kiedy szafranu kwiat rzuca blaski,  
 Podobne blaskom złocistej laski<sup>2</sup>  
 Króla Madany,  
 A ostre kwiatów patali pęki  
 Są niby strzały z jego kołczana,  
 Od których krwawi bolesna rana  
 Serdecznej męki —  
 Drużko kochana,  
 W wiosenną porę,  
 Gdy serce chore  
 W rozłące kona,  
 Hari się bawi, weseli, tańczy wśród dziewcząt grona.

## 6

Kiedy maliki rozkwit radosny  
 Zda się uśmiechem być wiosny,  
 Wiosny patrzącej na świat miłosny,  
 Wstydu wyzbyty,  
 Kiedy ketaki strzeliste kity  
 Szcerbią błękity  
 I są jak ostrza włóczni, godzące  
 W tych, co na męki rozstania  
 Skazują serca tęskniące —  
 Drużko kochana,  
 W wiosenną porę,  
 Gdy serce chore  
 W rozłące kona,  
 Hari się bawi, weseli, tańczy wśród dziewcząt grona.

<sup>1</sup> Manmata, Madana — indyjski Kupidyn.

<sup>2</sup> Złota laska (kanaka-danda) — to przekład dosłowny, ale niedokładny. Chodzi o parasol ze złotą rękojeścią, jako oznakę władzy królewskiej boga Madany [St. Sch.].

## 7

Gdy madhawiki pachną jak miody  
 I jaśmin młody  
 Aromatami odurza —  
 Gdy nawet w myśli spokojne mnicha  
 Wkrada się burza,  
 A w sercach dziewcząt na widok druha<sup>1</sup>  
 Wraca otucha,  
 Drużko kochana,  
 W wiosenną porę,  
 Gdy serce chore  
 W rozłące kona,  
 Hari się bawi, weseli, tańczy wśród dziewcząt grona.

## 8

Tam, gdzie przez młodą objęte lianę  
 Drzewo mangowe, szczęściem pijane,  
 Nagle przystraja się w kwiaty,  
 Tam, gdzie Jamuny przejrzysta fala  
 Oczyszcza z grzechów i z win wyzwala,  
 W lesie, co zwanym jest Wrindawana —  
 Drużko kochana,  
 W wiosenną porę,  
 Gdy serce chore  
 W rozłące kona,  
 Hari się bawi, weseli, tańczy wśród dziewcząt grona.

*Tłum. A. Kałuski.*

## KALIDASA

(Druga połowa V wieku po Chr.)

## I

## ŚAKUNTALA CZYLI PIERŚCIENŃ FATALNY

## 1

## Inwokacja (Nandi)

Które są widomemi ciałami Śiwy:  
 Woda, owo najpierwsze dzieło rąk stwórcy,  
 I ogień, co ofiarę niesie, według przepisów złożoną,  
 I kapłan ofiarujący,  
 I słońce, i księżyc, które pospołu czasem kierują,  
 Eter — podłoże dźwięku — co wszechświat przenika —  
 Ziemia, prapoczątek wszelkiego nasienia,  
 I wiatru tchnienie, które ożywia wszelki twór —  
 W tych ośmiu ciałach

Śiwa łaskawy

Niechaj wam sprzyja!

## 2

## Prolog (Prastawana)

Dyrektor (po ukończeniu inwokacji, spoglądając za kulisy). Czcigodna pani!  
 Przyjdź tutaj, jeśli ukończyłaś tualetę.

Aktorka (wychodząc). Oto jestem, o panie! Rozkazuj teraz, jakie mam spełnić zlecenie.

<sup>1</sup> Druhem dziewcząt jest wiosna.

Dyrektor. Czcigodna pani! Publiczność składa się tym razem przeważnie z ludzi światłych; występujemy z nowym dramatem heroicznym, który nosi tytuł «Śakuntala albo Pierścień fatalny» i który jest utworem Kalidasy. A zatem proszę bardzo na każdą rolę obrócić jak największe staranie.

Aktorka. Na pewno niczego nie będzie brakować. Szanowny pan zna przecież wszystkie tajemnice teatralnego kunsztu.

Dyrektor. Ach, czcigodna pani! Powiem ci prawdę:

Kunszt teatralny wtedy dopiero jest doskonały,  
Jeżeli znawcę w zachwyt wprowadza.  
Dlatego czasem niedowierza sobie  
Nawet najbardziej doświadczony talent.

Aktorka. Tak, to prawda! Ale niechże powie szanowny pan, co mam teraz uczynić,

Dyrektor. Przedewszystkiem nastroić przychylnie uszy publiczności. Śpiewaj zatem o gorącej porze roku, która niedawno nastąpiła i która jest jednocześnie porą rozrywki. Albowiem teraz właśnie nadchodzą owe dni —

Kiedy zachód ma urok największy,  
Kiedy rozkosz sprawia pogrążyć w nurcie zmęczone ciało,  
Kiedy cudnie pachną muśnięte wiatrem kwiaty patali  
I kiedy senność w zacisznym cieniu ogarnia prędko.

Aktorka. Jak rozkazałeś (śpiewa):

Pszczoły całują lekko, leciutko  
Kwiaty sirszy, których pręciki  
Obsypał pyłek drobniutko;  
Z kwiatów sirszy girlandy wiją  
I wienczą skronie,  
Dziewczęta hoże, których serduszka  
Miłością biją,

Dyrektor. Brawo, czcigodna pani, brawo! Cała widownia stała się niby obraz nieruchomy, oniemiawszy zupełnie od zachwyty. A zatem jakąż to komedię wybierzesz, aby nie zawieść oczekiwania publiczności?

Aktorka. Ależ, panie! Przed chwilą poleciłeś wystawić dramat heroiczny pod tytułem «Śakuntala albo Pierścień fatalny».

Dyrektor. Dzięki, żeś przypomniała, czcigodna. Doprawdy, narazie zupełnie zapomniałem.

Twój śpiew pochłonał wszystkie moje myśli,  
Jak oto tego króla Duszjantę  
Widok biegnącej chyżo gazeli<sup>1</sup>.

- (Oboje wychodzą)

### 3

## Akt piąty

Król Duszjanta, uganiając się za zwierzyną w dżungli, poznał w pustelni Kanwy jego przybraną córkę Śakuntalę, zakochał się i zawarł z nią potajemnie małżeństwo. Porzucając pustelnię, obiecał młodej małżonce przysłać niebawem uroczyste poselstwo do Kanwy i zabrać swoją ukochaną do stolicy. Tymczasem naskutek klątwy, rzuconej przez wieszczka Durwasasa na Śakuntalę, Duszjanta zapomina o swej miłości i danem przyrzeczeniu. Mija czas, Śakuntala ma zostać rychło matką, a poselstwa nie widać. Kanwa odsyła wreszcie Śakuntalę Duszjancie. Akt piąty dzieje się w pałacu królewskim.

<sup>1</sup> Akt pierwszy rozpoczyna scena mimicznie tańczonej pogoni króla Duszjanty za gazelą.

Król i Wesolek siedzą na krzesłach.

Wesolek (nadsłuchując). O przyjacielu! Zechciej zwrócić swoją uwagę w stronę sali muzycznej. Słychać tony jakiejś wdzięcznej piosenki. He, he! A toż to pani Hamsapadika ćwiczy się w muzyce.

Król. Bądź cicho! Chcę posłuchać.

Śpiew za sceną:

Trzmielu, ach, trzmielu,  
Miodu spragniony,  
Tyś, co mangowy  
Całował pąk,  
Czemu, ach, czemu  
Teraz niepomny,  
Trzmielu, odwiedzasz  
Lotosu kwiat?

Król. Ileż sentymentu w tej pieśni!

Wesolek. O co jej chodzi? Czy domyślasz się?

Król (uśmiechając się) Dawniej kochałem ją bardzo — no, a teraz muszę słuchać wyrzutów z powodu królowej Wasumati. Drogi Wesolku! Idź i powiedz Hamsapadice, że zganiała mnie w sposób nader artystyczny.

Wesolek. Jak rozkażesz (wstając), ale, o przyjacielu, chcesz cudzemi rękami targać niedźwiedzia za kudły! Jak asceta, który nie wyzbył się żądz, nie osiągnę już wyzwolenia.

Król. Idź, idź, i powiedz z galanterją, co kazałem.

Wesolek. Ha, cóż! Niema co! (odchodzi).

Król. Co to znaczy? Nie rozłączyłem się z żadną kochanką, a jednak ta pieśń, której słuchałem przed chwilą, napelniła serce moje bezdenną tęsknotą... Wszelako, co w tem dziwnego?

Człowiek szczęśliwy, gdy piękno widzi,  
Lub kiedy słyszy słodkie śpiewanie,  
Tęsknotą wzbiera i w swojej duszy  
Z minionych wcieleń uczucie budzi  
Głęboko tkwiącej dawnej przyjaźni.

(stoi smętnie zamyślony).

Kańczukin (wchodząc). O biada! Do jakiegoż doszedłem już stanu?

Ta laska z trzciny, władzy mej godło,  
Które ująłem ongi do rąk,  
By strzec podwoi haremu,  
Dzisiaj, gdy lata długie minęły,  
Jest mi, ach, tylko podporą

Starczego kroku!

Tak, zapewne! Król nie powinien zaniedbywać obowiązków, ale, że dopiero co opuścił fotel sędziowski, jakże mu będę wywczaszy zakłócać wiadomością o przybyciu poselstwa od Kanwy? Wszelako, co robić! Niemasz wypoczynku dla tego, którego urzędem jest troszczyć się o cały świat.

Raz tylko na dzień konie zaprzęga słoneczny bóg,  
Lecz dniem i nocą powszędy wieje pachnący wiatr,  
A ciężar ziemi wciąż dźwigać musi tysiąco-głowy Śesza wąż;  
Takoż monarcha, któremu płacą trybut poddani.

Ale tymczasem spełnię moje polecenie (idzie kilka kroków i rozgląda się). Oto i król!

Godził zwaśnionych jak własne dzieci,  
A teraz pragnie odpocząć w ciszy,  
Jak słoń przodownik, co, sprowadziwszy  
Stado na żer,  
Przed znojem słońca uciezki szuka  
W cienistym chłodzie.

(Podchodząc). Zwycięstwo, zwycięstwo królowi! Przybyli właśnie pustelnicy z pod gór Himalajów. Przynoszą poselstwo od Kanwy, a razem z nimi są niewiasty. Słyszałeś, o panie, a teraz wydawaj rozkazy.

Krół (z namaszczeniem). Co mówisz? Poselstwo od Kanwy?

Kańczukin. Tak jest.

Krół. A zatem powiedz kapłanowi Somaracie, aby przyjął mieszkańców pustelni tak, jak nakazują święte księgi. A potem niechże ich prowadzi do mnie jak najrychlej. Oczekiwać ich będę w sali odpowiedniej na przyjęcie tak czcigodnych gości.

Kańczukin. Jak rozkazałeś, Najjaśniejszy Panie! (odchodzi).

Krół (wstając). Wetrawati! Prowadź mnie do sali świętych ogni.

Wetrawati (prowadząc króla). Tędy, tędy, o królu!

(stąpają dookoła).

Krół (przedstawiając gestami znużenie). Każdy się cieszy, osiągnąwszy to, czego pragnął. Ale królowie po spełnieniu swych życzeń odczuwają tylko smutek i żal.

Lęk przed utratą odbiera spokój<sup>1</sup>,  
Osiągniętego bowiem strzeżenie jest tylko męką.  
Królewska władza jest jak parasol,  
Którego w dłoni dzierzym rękojeść:  
Dawnej udrećce ulżyć nie może,  
Nowej udrećki przysparza tylko.

Dwóch Bardów<sup>2</sup> (za sceną). Zwycięstwo, zwycięstwo królowi!

Bard Pierwszy.

To jest twa dola, to jest twój los,  
Że niepomny na swoje radości  
Dzień za dniem dla innych cierpisz trud.  
Tak to upał srogi gnębi drzewa,  
Aby mógł wytchnienie znaleźć w cieniu  
Ten, co szuka ochłody od żaru.

Bard Drugi.

Chwytasz za berło, aby poskramiać  
Tych, co na ścieżkach bezprawia błędzą,  
Uśmierzasz kłótnie, darzysz opieką  
Swoich poddanych.

Bowiem kto posiadał bogactwa liczne,  
Wnet ma i krewnych całe zastępy —  
Ale, o królu, twoją rodziną  
Jest cały lud.

Krół. Przed chwilą jeszcze byłem przygnębiony. Ale po wysłuchaniu tych pięknych wierszy czuję się jakgdyby odrodzony.

Wetrawati. O królu! Taras w sali świętych ogni niedawno został wymyty. Patrz, jak pięknie wygląda. Byk, przeznaczony na ofiarę, znajduje się w pobliżu. Wejdz, o królu, po schodach.

(Krół wchodzi po schodach i staje, wspierając się na ramieniu służebnicy).

<sup>1</sup> Dosłownie: «Już samo podniecenie niszczy równowagę ducha». — «Podniecenie» (= autsukya) jest związane z godnością króla, należy do jego dharmy, jak spokój, ataraksja (śānti) należą do dharmy bramina.

<sup>2</sup> Obowiązkiem bardów nadwornych (po indyjsku Wajtalika) było wywoływać godziny (dokładniej: części dnia, z których składało się życie monarchy) i recytować jednocześnie hymny pochwalne.

Krół. Wetrawati! Jak myślisz — poco też przyszyła na dwór świętobliwych pustelników czcigodny Kanwa?

Umartwień dzieło czy znów niweczą wrogie potęgi?  
Zwierzętom wdzięcznym w gajach pustelni krzywda się dzieje?  
Albo też zioła rosnać przestały przez moją winę?  
Ach, serce moje niepewność nęka i myśli miesza,  
Bo odpowiedzi, o Wetrawati, znaleźć nie mogę.

Wetrawati. Królu! Nie wątpię, że mędrcy, radując się twojemi cnotami, przybyli, aby złożyć u twoich stóp cześć i uszanowanie.

(Wchodzą Pustelnicy, razem z nimi Gautami i Śakuntala; przed nimi idzie Kańczukin i Somarata, kapłan nadworny).

Kańczukin. Tędy, tędy, czcigodni!  
Śarngarawa.

O Śaradwato! Patrzaj, oto król!  
Choć niema granic dla jego władzy,  
On nie odsłąpi ani na krok  
Od ścieżki cnoty.

Podobnie każdy inny stan  
Niecnoty błędnych wystrzega się dróg.  
A jednak, jednak — O Śaradwato —  
Duchowi memu w ciszy pustelni,  
Tak przywykłem do samotności,  
Ten dom rozgwaru pełen i ludzi  
Zda się w płomieniach stać!

Śaradwata. Słusznie, że kiedy wszedłeś do miasta, ogarnęło cię podobne uczucie. Ale i moje wrażenia nie są inne.

Kiedy ich widzę, jak każdy z nich goni  
Za szczęściem życia, szczęściem użycia,  
Spoglądam na nich jak wykąpany,  
Jak człowiek czysty na brudne ciało,  
Łudzającej szminki warstwą pokryte,  
Jak przebudzony na drzemiącego,  
Jak ten, co kroczy, dokąd zapagnie,  
Na zakutego w ciężkie kajdany.

(Po twarzy Śakuntali przebiega nagle drgnienie).

Śakuntala. O biada! Moje prawe oko zadrgało nagle<sup>1</sup>.

Gautami. Dziecię! Oby losy odwróciły groźące nieszczęście! Niechaj bóstwa domowe strzegą ciebie i twego małżonka!

(Wszyscy czynią kilka kroków naprzód).

Kapłan nadworny. (wskazując na króla). O pustelnicy! Chociaż niedawno dopiero porzucił fotel sędziowski, oto już czeka na was obrońca wszelkiej kasty i wszelkiego stanu<sup>2</sup>. Patrzcie na niego!

Śarngarawa. Wielki braminie! Cnota jest zaiste godną pochwały.

Wetrawati. Najjaśniejszy Panie! Wyras ich twarzy zdradza dobre usposobienie. Wiem już na pewno, że nie sprowadza ich tutaj żadna sprawa, która mogłaby być dla ciebie przyczyną niepokoju.

<sup>1</sup> U kobiet zły omen.

<sup>2</sup> W oryginale āśrama; chodzi o cztery stadja w życiu prawowiernego Hindusa, który najpierw jako Brahmaczarin studjuje u mistrza Wedy, potem jako Grihapati zakłada własny dom i płodzi potomstwo, potem jako Wanaprastha żyje w pustelni i wreszcie jak Samnjasin pędzi żywot wędrownego żebraka-ascety.

Król (spozstrzegając Śakuntalę). Ale ta niewiasta?

Powiedz, kto ona, której urodę przysłania welon?  
Wśród pustelników, jak wśród zeschniętych liści  
Świeża gałązka w szacie zieleni,  
Tak ona oczom się zdaje.

Wetrawati. O królu! Ciekawość budzi we mnie tyle przypuszczeń, że do-  
prawdy nie wiem, co mam właściwie odpowiedzieć. W każdym razie wygląda uroczo.

Król. Zapewne. Ale nie wypada, abym przyglądał się zbyt długo obcej małżonce.  
Śakuntala (przyciskając rękę do serca). O serce! Czemuż drżysz tak bardzo.  
Wspomnij na miłość małżonka i bądź spokojne.

Kapłan nad worny (występując naprzód). Oto pustelnicy, których przyjęliśmy  
już według świętych przepisów. Mają jakieś polecenie od mistrza Kanwy. O królu,  
racz posłuchać.

Król. Słucham uważnie.

Pustelnicy (podnosząc ręce do góry). Zwyciężaj, o królu!

Król. Witam was wszystkich.

Pustelnicy. Osiągnij, co pragniesz!

Król. Nikt wam nie przeszkadza w pełnieniu świętych obowiązków?

Pustelnicy.

Póki pobożnych twoje ramię broni,  
O królu wielki, któżby, któżby śmiał  
Spokój zakłócać nabożnego życia.  
Póki jaśnieje słońce na błękiecie.

Niema ciemności.

Król. A zatem słusznie nazywam się królem, skoro mówicie, że jestem obrońcą<sup>1</sup>.  
Ale mówcie: wzniosłemu Kanwie dopisuje dla dobra świata szczęście i pomyślność?

Pustelnicy. Ci, którzy osiągnęli doskonałość, sami dowolnie kierują swoim  
szczęściem. Czcigodny Kanwa zapytuje o zdrowie Najjaśniejszego Pana i oznajmia...

Król. Co rozkazuje czcigodny?

Śarngarawa. «Jakkolwiek, o królu, córkę moją poślubiłeś, mając tylko jej  
zgode, ja, miłością ku wam obojgu powodowany, związek ten wasz potwierdzam». —  
Bo i jakże?

Tyś jest najpierwszy pośród szlachetnych,  
A Śakuntala wcieleniem cnoty,  
Męża i dziewczę zalet tak rzadkich złączywszy razem,  
Od wielu wieków dzisiaj dopiero  
Stwórca uniknął nagany.

A zatem weź ją do siebie, która jest już w stanie błogosławionym. Niechaj pełni razem  
z tobą święte obowiązki.

Gautami. O szlachetny! Ja także powiedziałabym coś niecoś. Ale teraz już nie  
czas. A wiesz dlaczego?

Ani rodzica, ani też krewnych nie zapytała o pozwolenie,  
Samiście tajne śluby zawarli, pocóż więc jeszcze przemawiać do was?

Śakuntala. Cóż, ah, cóż odpowie mój małżonek?

Król. Co to wszystko ma znaczyć?

Śakuntala. Oo! Te słowa pieką jak ogień!

Śarngarawa. Co to ma znaczyć? Czcigodny chyba wie, jakie są zwyczaje  
na świecie.

Źle osądzają ludzie nawet cnotliwą małżonkę,  
Jeżeli sama bez męża u krewnych szuka przytułku.  
Dlatego własna rodzina żąda od młodej kobiety,  
Aby u męża mieszkała, nawet gdy mąż jej nie kocha.

<sup>1</sup> Gra słów: «król» jest po sanskrycku rājā, zaś «strzec» rakṣāti.



Krół. A czyż ja kiedykolwiek poślubiłem tę czcigodną?

Śakuntala (przybitym głosem). O serce moje! Twoje obawy nie były płonne! Śarngarawa. Cóżto? Czy rozczarowanie po spełnionym czynie wystarcza, aby król prawo gwałcił?

Krół. Skądże takie pytanie?

Śarngarawa. Ludzie, którym władza jasność myśli pomieszała, często zmieniają uczucia i zamiary.

Krół. To było bardzo surowe oskarżenie.

Gautami. Dziecię! Opanuj na chwilę wstyd. Odrzuć zasłonę z twego oblicza, a wtedy pozna cię twój małżonek (odslania twarz Śakuntali).

Krół (spoglądając na Śakuntalę).

Gdy się namyślał, czym widział kiedy  
To dziewczę, pełne cudnej urody,  
Jestem jak pszczoła, co o świtaniu  
Z kielicha kundy<sup>1</sup> miodu nie spija,  
Ale go także opuścić nie chce.

(staje zamyślony).

Wetrawati. O, jakież poczucie obowiązku posiada nasz król. Bo któż inny wahał się przez chwilę, widząc taki klejnot urody niewieściej.

Śarngarawa. Czemu zamilkłeś, o królu!

Krół. O pustelnicy! Myślę i myślę, ale nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek śluby zawierał z czcigodną. Cóż mam więc odrzec, skoro wątpię, czy jestem naprawdę małżonkiem tej — zresztą brzemiennej — niewiasty?

Śakuntala (na stronie). Ah! Nawet samo małżeństwo podlega wątpieniu! Cóż się stało z moimi górnymi nadziejami!

Śarngarawa. Zamilcz, zamilcz, królu!

Żeś go zbezczescił, po Śakuntalę dłoń wyciągając,  
To ci zaprawdę już wybaczył Kanwa.  
I teraz za to, że ci córkę daje,  
Jak złodziejowi klejnot skradziony,  
Ty go obrazić chcesz po raz wtóry?

Śaradwata. O Śarngarawo! Przestań! Już dość! — Śakuntalo! Powiedzieliśmy wszystko, cośmy mieli powiedzieć! Najjaśniejszy pan też już raczył przemówić! Teraz ty daj odpowiedź i rozchwiej wątpliwości.

Śakuntala (na stronie). Jeżeli miłość jego takiej przemianie uległa, to pocóż, ah, pocóż odpowiadać!? Litości jestem godna — tyle tylko wiem teraz (głośno): O mój małżonku... (urywając). Lecz nie! Ponieważ są wątpliwości co do zaślubin, nie wolno mi tak przemawiać. Potomku Puru! Czy to się godzi, że odpychasz teraz dziewczynę, której serce nie zna obłudy i którą sam uwiodłeś w pustelni swojemi słodkimi obietnicami?

Krół (zatykając uszy). Dość, dość! Niech mnie nieba strzegą przed takim występkiem.

Jak rzeka, która swoim nurtem znosi  
Brzeg — drzewa łamie i wodę łąci,  
Czemu chcesz skałać swoje dobre imię  
A mnie zgotować upadek?

Śakuntala. A więc dobrze. Jeżeli naprawdę postępujesz w ten sposób dlatego tylko, że obawiasz się, czy nie jestem małżonką kogoś innego — patrz — ten znak poznania niechaj rozchwieje twoją niepewność!

Krół. Tak. To będzie sposób najlepszy.

Śakuntala (chwytnąc się za palec, na którym jednak niema pierścienia).

<sup>1</sup> Rodzaj jaśminu.

O biada! O biada! Na moim palcu niema pierścienia! (z przerażeniem spogląda na Gautami).

Gautami. Z pewnością zgubiłaś go w Śakrawatarze, część składając świętym nurtom stawu Śaczilirtha.

Król (z uśmiechem). Oto, co znaczy przysłowie: przytomność umysłu nie opuszcza białych głów.

Śakuntala. O królu! To tylko losy przemówiły. Ale posłuchaj mnie, posłuchaj! Coś innego chcę ci opowiedzieć!

Król. Aha! Teraz kolej na «słuchanie».

Śakuntala. Owego dnia, w altanie z lian nawamaliki, powiedz, królu, czy nie wzięłaś do ręki lotosu napełnionego wodą?

Król. Teraz «tylko słuchamy».

Śakuntala. Mała sarenka podeszła wtedy do nas, moja kochana Długorzęsa. Czule powiedziała: niech się najpierw zwierzątko napije! Wabiła sarenkę wodą, ale nie chciała przyjść do twoich rąk, bowiem nie знаła ciebie. A ty roześmiałeś się głośno i rzekłeś: Każde stworzenie ufa tylko swoim krewnym. Wy oboje jesteście dziećmi puszczy.

Król. Dość! Znam aż nadto dobrze te kłamstwa słodziutkie. Przy ich pomocy usiłują chytre kobiety usidlać rozpustników.

Gautami. Królu potężny! Jak możesz tak mówić? To dziewczę w pustelni wyrosło i nie zna obludy.

Król. Stara niewiasto!

Chytróść kobietom jest przyrodzona, nawet samice zwierząt ją mają,

Jakżeby miała pozostać obca niewieście, która posiada rozum.

Piskłeta swoje, nim do góry wleczą, kukulka każe innym karmić ptakom.

Śakuntala (z gniewem). O nikczemny! Mówisz tak, jak sam czujesz! Bo któżby mógł postąpić tak jak ty, co się w płaszcz moty otulasz i jako studnia jesteś, która trawą porosła!

Król (do siebie). Jakkolwiek w sercu mojem budzi się wątpliwość, ten gniew nie jest chyba udany.

Kiedy, napróżno przywołując pamięć, tajemnym związkom miłości przeczę,

Ona wybucha gniewem i brwi ściąga, jak boga Smary wygięty łuk.

(głośno). Łaskawa pani! Postępki Duszejanty są jawne. A wszakże tego, o co mnie oskarżacie, w nich nie widać.

Śakuntala. Biada! Słusznie mi wyrzucają, że pełna zaufania do cnót rodu Paurawów, postąpiła samowolnie i oddała się w ręce człowieka, który miód miał na ustach, ale truciznę w sercu! (zakrywa twarz rąbkami szaty i szlocha głośno).

Sarngarawa. Tak pałą czyny samowolne, czyny nierozważne. Stąd taki moral:

Nim tajemne śluby zawrzesz, wprzód poznaj charakter człowieka.

Łatwo w nienawiść obraca się miłość, jeżeli nie wiesz, co w sercu się kryje.

Król. O wy! Czemu zarzucacie mi tyle przewinień! Czemu polegacie tylko na świadectwie tej dziewczyny?

Sarngarawa (szydlerczo). Pytań i odpowiedzi, oskarżeń i obrony nasłuchaliśmy się już dosyć. I oto teraz konkluzja:

Nie ma tu wagi słowo dziewczyny, co od narodzin nie znała fałszu.

Lecz ci, dla których kunsztem jest kłamstwo — zaiste godni są wiary!

Król. Słuchaj, ty prawdę wieszczący proroku! Przypuśćmy, że tak jest! Czegóż mógłbym się spodziewać, gdybym naprawdę oszukał tę dziewczynę?

Sarngarawa. Upadku!

Król. Doprawdy, dziwna rzecz, że ród Paurawów sam sobie upadek gotuje.

Saradwata. Sarngarawo! Poco tu jeszcze odpowiadać! Polecenie mistrza jest już spełnione. Wracajmy do domu (do króla).

To jest twa żona! Weź ją lub wypędź,

Bo niema granic dla władzy męża.

Gautami! Idź naprzód! (zbierają się do odejścia).

Śakuntala. Co słyszysz? Ten kłamca oszukał mnie, a teraz wy chcecie mnie nieszczęsną opuścić? (chce również odejść).

Gautami (stając na chwile). O Śarngarawo, o synu mój! Śakuntala idzie za nami, płacząc żałośnie. Cóż poczniesz moja biedna córka w domu małżonka, który ją odepchnął tak bezlitośnie.

Śarngarawa (odwracając się z gniewem). Ty, dziewczyno bez wstydu! Chcesz postępować, jak tobie się podoba?

(Śakuntala staje przerażona, drżąc na całym ciele).

Śarngarawa (łagodnie).

Jeżeli słowa króla są prawdziwe, o Śakuntalo, napróżnobyś chciała, Twój ród zhańbiwszy, powracać do ojca. A jeśli serce masz od grzechu wolne, To znoś niewolę w małżonka domu — znoś ją cierpliwie!

A zatem tutaj pozostaj! My odchodzimy.

Król. O pustelniku! Czemu próbujesz obudzić w tej dziewczynie fałszywe nadzieje?

Kwiecie kaumudy miesiąc ze snu budzi,  
A słońce kielich pankadży.  
Tego nie zmienić i tak samo zawsze,  
Kto namiętności trzyma na wodzy,  
Wzroku na obcą żonę nie zwróci  
Nigdy, przenigdy!

Śarngarawa. Jeśli nowa miłostka kazała ci zapomnieć o wszystkim, poco mówić o lęku przed popełnieniem grzechu?

Król (do Kapłana nadwornego). Do czcigodnego się zwracam: mów, co tu jest mniejszem, a co większem przestępstwem:

Nie wiem, czy ja to postradałem zmysły,  
Albo też kłamie dziewczyna.  
Radźcie, co czynić:  
Czy mam odepchnąć własną małżonkę,  
Czy obcą żonę dotknięciem splamić?

Kapłan nadworny (namyślając się). A gdyby tak postąpić...

Król. O, poucz mnie, czcigodny!

Kapłan nadworny. Aż do rozwiązania niechaj czcigodna pozostanie u nas. Mędrzy wróżyli ci ongi, iż syn twój pierworodny będzie władcą świata. Jeśli więc córka pustelnika powije syna ze znamionami Czakrawartina, wtedy powitaj młodą matkę i zaprowadź do komnat niewieścich twojego pałacu. W innym razie trzeba ją będzie odesłać do rodziców.

Król. Jak uważasz o mistrzu!

Kapłan nadworny (do Śakuntali). Dziecię, chodź ze mną!

Śakuntala. O matko ziemio! Otwórz się pod moimi stopami!

(Odchodzi, szlochając, razem z Kapłanem i Pustelnikami. Król, którego pamięć zamroczyła klątwa Durwasasa, stoi zamyślony).

Głos za sceną. O cudo! O cudo!

Król (nasłuchując). Co tam się stało?

Kapłan nadworny (powraca pełen podziwu). O królu! stał się cud niesłychany.

Król. Mów, co takiego?

Kapłan nadworny. O królu!

Kiedy odeszli uczniowie Kanwy, dziewczyna, ręce łamiąc z rozpacz, Nad swoją dolą płakać poczęła, gdy nagle — wtem —

Król. Co się stało?

Kapłan nadworny.

Wpobliżu stawu świętych Apsaras  
 Błysnęło strasznie i przed naszym wzrokiem  
 Mignęła postać niebiańskiej bogini  
 I dziewczęę w górę uniosła ze sobą.

(Wszystkich ogarnia niemy podziw).

Król. O przewielebny kapłanie! Już przedtem nie chciałem nie wiedzieć o tej sprawie. Pocóż napróżno gubić się w domysłach? Idź na spoczynek, o wielebny!

Kapłan nadworny (spoglądając na króla). Zwyciężaj! (odchodzi).

Król. O Wetrawati! Myśli zebrać nie mogę. Prowadź mnie do komnat sypialnych.

Wetrawati (powstając). Tędy, tędy, o królu!

Król.

Nic nie pamiętam, bym zawierał śluby  
 Z tą pustelniką córką, przeze mnie  
 Dziś odepchniętą.  
 Lecz serce moje, kołacząc w piersi,  
 Jakgdyby przeczy świadectwu mojej  
 Słabej pamięci.

(Wszyscy wychodzą).

Koniec aktu piątego.

*Tłum. St. Schayer.*

## II

### URWAŚI — BOHATERSTWA NAGRODA (WIKRAMA-URWAŚI)

(Modlitwa. — Prolog. — Akt I.)

#### Modlitwa

Duch, który niebo i ziemię przenika,  
 A jest Jedynym w świętych księgach zwan, —  
 Któremu niemasz w świecie imiennika,  
 Ni, coby równie zwać się godzien Pan, —  
 Który w spragnionem zbawienia się jawi  
 Sercu, gdy własny stłumiło już ruch —  
 Niech was, co sercem i wiarąście prawi,  
 Wiedzie ku sobie — Śiwa, wieczny Duch.

#### Prolog

KIEROWNIK WIDOWISKA

Lecz dość już zwłoki. (Zaglądaając za kulisy). Proszę cię, drogi, chciej się tu zbliżyć.

JEDEN Z AKTORÓW

Jestem na usługi Waszej Miłości.

KIEROWNIK WIDOWISKA

Posłuchaj więc, drogi. Zebrana tutaj publiczność oglądała już na scenie dzieło niejednego poety. Dziś chciałbym jej sprezentować ostatni utwór Kalidasy, którego pełny tytuł brzmi, jak ci wiadomo, «Drama o Urwaśi, przyznanej w nagrodę bohaterstwa (Wikramorwaśijam)». Pragnąłbym, abyście wszyscy grali z przejęciem. Wpłyn, mój drogi, na innych, iżby postarali się o to.

AKTOR

Niezawodnie będzie, jak żądasz.

## KIEROWNIK WIDOWISKA

Chylę przed wami głowę, o czcigodni,  
I próśb gorących zanoszę orędzie,  
Ażeby znawcy piękna tak wytworni  
Dla okazania łaski nam, swym sługom,  
Jako też dramy tej bohaterowi —  
Z pilną uwagą wysłuchać nas chcieli!

(Wołanie za sceną)

Ratunku, ludzie litośni, ratunku!

## KIEROWNIK WIDOWISKA

(Spoglądając w górę)

Czyjci to głos? Nie sąż to Apsary?  
Lecz cóż wołanie powietrznych boginek  
Może oznaczać?

(Po chwili namysłu)

Ach, teraz pojmuję:

Dziewica bogów, z mędrca Narajany  
Kolan wyrosła, była u Kubery  
Z odwiedzinami i w powrotnej drodze  
Przez wrogów nieba została porwana!  
Nie dziw więc, jeśli strwożona gromada  
Nieszczęsnych Apsar woła tak o pomoc.

Koniec prologu.

## Akt pierwszy

(Scena I.)

(Spadają na scenę:)

## APSARY

Ratunku, ludzie litośni, ratunku!  
Kto jest po bogów stronie i kto zdoła  
Biegać po wiatrach, niech nam pomoc niesie!

## KRÓL

(Ukazuje się na wozie, kierowanym przez Woźnicę)  
Ach, zaprzestańcie swych rozpaczliwych krzyków!  
Jam Pururawas! Wracam teraz właśnie  
Od boga słońca, któremu gorliwie  
Służę; powiedzcie, przed czym mam was bronić?

## RAMBHA

Przed wrogą duchów przewrotnych przemocą!

## KRÓL

Czyż tej przemocy uległa z was która?

## RAMBHA

Postuchaj. Droga przyjaciółka nasza  
Urwaśi — strzała niechybna na łuku  
Indry, gdy nazbyt wielkie pustelników  
Zbożnych katusze zagrażać mu zaczęła, —  
Godna ozdoba raj, która Gaurję,  
Tyle z urody swej pyszną, zaćmiewa, —  
Wracając z zamku króla skarbów, nagle,  
Na samej drogi połowie, została,  
Wraz z Gzytraleką, jej towarzyszącą,  
Przez złośliwego Danawę porwana!

KRÓL

Czy wiecie jednak, w którą stronę nieba  
Zbiegł ten nikczemnik?

APSARY

Ku północno-wschodniej.

KRÓL

To mi wystarczy. Przestańcie wyrzekać.  
Wszystkie wyteżę siły, by ją odbić.

APSARY

Tak też przystoi mężowi, co ród swój  
Z księżycyca wiedzie.

KRÓL

Powiedzcie mi tylko,  
Gdzie jest życzeniem waszem czekać na mnie.

APSARY

Na Hemakuty niedostępnym szczycie.

KRÓL

Pędź więc co siły, dzielny mój Woźnico,  
Na wschód północny.

WOŹNICA

Jak twa wola, Panie.  
(Nagli niby konie do biegu)

KRÓL

(uwydatniając ruchami pęd wozu)

Przepysznie! Prędzej jeszcze! O, przepysznie!  
Zgoniłbym nawet samego Garudę,  
Gdyby przede mną biegł, a cóż dopiero  
Łotra, co przeciw Indrze śmiał wykroczyć!  
Te chmury, przodem niedawno lecące,  
Już za mym wozem ciągną, w proch rozbite!  
W pustych kół miejscach, pomiędzy szprychami  
Nowych szprych rośnie ilość niezliczona,  
Tak, że jak gładkie tarcze się wydają!  
Od wiatru, który powstaje z szybkości,  
Gną się czamary na głowach rumaków  
I drzewce mojej chorągwi królewskiej,  
Co się, jak długa, nad wozem wypręża...

(Znikają)

(Scena II)

SAHADŻANJA

Mędrzec w koronie już nam zniknął z oczu,  
I my też, drogie, pójdziemy już może  
Na oznaczone dla spotkania miejsce.

MENAKA

Pójdźmy więc.

(Wstępują na szczyt Złotego Wirchu)

RAMBHA

Zali ten mędrzec w koronie  
Z serc nam dobędzie ciernia?

MENAKA

O, na pewno!

RAMBHA

Ale Danawów pokonać niełatwo!

MENAKA

Lecz ty wiesz przecie, że sam Indra Wielki,  
Ilekróć wie dzie bój z duchy ciemności,  
A pragnie sobie zapewnić zwycięstwo,  
Jegoć jedynie ze śmiertelnych grona  
Na czoło wojska bogów powołuje.

RAMBHA

Niechże zwycięża stale.

MENAKA

(stanąwszy pierwsza na szczycie)

Drogi moje,

Cieszcie się ze mną, o cieszcie się ze mną!  
Powóz królewski, niegdyś dar księżycy,  
Zbliża się ku nam śpiesznie, aż furkocze  
Chorągiew z sarną, przez wiatr szamotana!  
Zupełniem pewna, że nie wraca do nas,  
Celu swojego godnie nie spełniwszy.

(Scena III)

(Wóz królewski zatrzymuje się opodal, wchodzi Król i Urwaśi z przymkniętymi oczami, podtrzymywana przez Czitralekhe)

CZITRALEKHA

O przyjaciółko droga, spójrz dokoła.  
Niebezpieczeństwo, które ci groziło,  
Minęło całkiem. Gazelo lekliwa,  
Czyż nie ochrania trzech światów moc Indry?  
Otwórz swe oczy, jako, gdy noc minie,  
Rozchyła płatki swoje kwiat lotosu...  
Ach, po oddechu znać wprawdzie, że żyje,  
Ale przytomność ciągle jej nie wraca!

KRÓL

Twa drużka zda się być wielce przelekką.  
Jak mocno serce jej bije spłoszone,  
Widzieć możemy po wieńcu, splecionym  
Z mandawy kwiatów, które na jej krągłych  
Piersiach wciąż wznosi się i znów opada.

CZITRALEKHA

Ocuć się wreszcie, kochana Urwaśi,  
Czyżbyś już wcale nie była Apsarą?

KRÓL

Wciąż jeszcze bije jej serce od kwiatu  
Wątlejsze. Znać to po rąbku tej chusty,  
Co się na piersiach jej lekko porusza.

(Urwaśi odzyskuje przytomność)

O Czitralekho, oddaj się radości,  
Twa przyjaciółka przychodzi do siebie.  
Jest w tem podobna do nocy, gdy z mroków  
Wydrzę się czarnych po wzejściu miesiąca,  
Albo do ognia nocnego płomieni,  
Gdy się z gęstego dymu wydostaną.

- Już ją opuszcza niemoc, i przytomność  
Wraca już znowu jasna do jej duszy.  
Tak woda Gangi, choć się obsunięciem  
Nadbrzeżnych piasków na chwilę zamąci,  
Dawną swych nurtów odzyskuje czystość.

CZITRALEKHA

Bądź dobrej myśli, kochana Urwaśi.  
Potężny władca, co dla uciśnionych  
Zawsze jest pełen litości, doszczętnie  
Plemię Danawów złośliwe rozgromił.

URWAŚI

(rozchylając powieki)

Czyż mym wybawcą jest sam Indra wielki,  
Który obecny był memu porwaniu?

CZITRALEKHA

Nie Indra wielki, ale Pururawas,  
Mędrzec w koronie, którego potęga  
Potędze Indry samego dorówna.

URWAŚI

(przyglądając się królowi, do siebie:)

Winnam się cieszyć ze swego porwania  
I najszczęśliwszą nazwać ją przygodą.

KRÓL

(podobnie)

Ach, nic dziwnego, że wszystkie Apsary,  
Ile ich było, zapłonęły wstydem,  
Gdy, próżno siląc się czarem swych kształtów  
Rozbudzić żądzę w mędrцу Narajanie,  
Ujrzały taką piękność z jego lędźwi  
Wykwitającą nago, jak kwiat jaki.  
Lecz zdaje mi się, że pustelnikowi  
Stworzyć ją byłoby niepodobieństwem:  
Mógł być to raczej księżyc, dawca czaru,  
Albo też kwiatodajny miesiąc wiosny.  
Skądżeby starzec, zaschły nad Wedami,  
Który zagłodził w sobie zmysł rozkoszy,  
Mógł tak za serce rwący cud wymarzyć!

URWAŚI

Gdzie się też teraz, droga Czitralekho,  
Znajdować mogą nasze przyjaciółki?

CZITRALEKHA

Wie o tem pewno dzielny nasz wybawca.

KRÓL

(patrzac na Urwaśi)

Twe druzki w wielkiej znajdują się trwodze.  
Bo przecież kto cię choć raz, choć przypadkiem,  
Widział przez chwilę na szczęśliwe oczy,  
Tęsknić za tobą musi, gdy odejdiesz,  
A cóż dopiero one, które z tobą  
Długiej przyjaźni łączą słodkie węzły.



URWAŚI  
(do siebie)

Jak soma płyną twe słowa. Rozumiem:  
Soma się przecież dobywa z księżyca!

(głośno)

A więc me serce radeby je ujrzeć.

KRÓL  
(wskazując dłonią)

Na Hemakuty szczycie stoją wszystkie,  
Zwracając oczy swoje ku twojej twarzy,  
Jak do księżyca, który się wydobył  
Z mroków zaćmienia.

CZITRALEKHA  
(szepetem do Urwaśi)

Gdzie tak zapatrzona  
Cała się zdajesz, przyjaciółko moja?

URWAŚI  
(podobnież)

W tym utonęłam oczami, czyj widok  
Stał mi się bólem razem i rozkoszą.

CZITRALEKHA  
(z uśmiechem)

I któż to taki?

URWAŚI  
Któż?...  
(sposstrzegając się, zmieszana)  
...Orszak mych družek!

(Scena IV)

RAMBHA  
(patrzac wdal, z radością)

Tam — do świętego księżyca podobny,  
Gdy w znak Wiśakhy wejdzie, król zabłysnął,  
Wioząc Urwaśi oraz Czitralekhe.

MENAKA  
(przyglądając się bacznie)

Podwójne szczęście spełnia się nam dzisiaj:  
Wraca najdroższa przyjaciółka nasza,  
I król nie poniósł najlżejszego szwanku!

SAHADŻANJA  
Miałas, Menako, słuszność, że podola  
Nawet Danawom.

(Scena V)

KRÓL  
Na ten szczyt, Woźnico.

WOŹNICA  
Jak wola Waszej Miłości.  
(Urwaśi, zachwiałwszy się przy opuszczaniu się wozu na górę,  
opiera się nieśmiało o króla.)

KRÓL  
(do siebie)

O, nieba!  
Ileż zawdzięczam tej jeździe nierównej!  
Zachwiana wozu mocnem przechyleniem,  
Wspierała się o mnie ta podłużnooka,  
Drżeniem rozkoszy przejmując me ciało  
I wszystkim jeżąc na niem puch naskórny,  
Nakształt żdźbeł Kamy kwiatów kielkujących.

URWAŚI  
(zmieszana, do Czitralkhi)

Posuń się, proszę.

CZITRALEKHA  
(przekornie)  
Nie mogę, niestety.

(Scena VI)

RAMBHA  
Pójdźmyż pozdrowić królewskiego mędrca  
A dobroczyńcę naszego.

APSARY  
Więc idźmy.  
(postępują ku Królowi)

KRÓL  
Stań już, Woźnico, i niechaj się złączy  
Ta pięknobrewa ze swemi družkami,  
Pełna tęsknoty z tęsknoty pełnemi,  
Jak się splatają liany w pragnień wiosnie.

WOŹNICA  
Twa woła, Panie.  
(wóz się zatrzymuje)

APSARY  
Szczęścia ku zwycięstwom!  
Życzym Ci, Panie, szczęścia ku zwycięstwom!

KRÓL  
A ja wam szczęścia z waszą przyjaciółką.

URWAŚI  
(wysiada z wozu, wspierając się na ramieniu Czitralkhi)  
Weźcie mię w swoje objęcia, o drogie,  
Jużem zwątpiła, że się zobaczymy.  
(przyjaciółki ściskają się)

MENAKA  
Bodajbyś, wielki królu, przez wiek wieków  
Pozostał jeszcze ziemi tej obrońcą!

WOŹNICA  
Jakiś wóz tutaj nadjeżdża, o Władco,  
Ktoś w złotolitych błamach zeń wysiada  
I na tę górę srodkiem nieba kroczy,  
Do chmury, pełnej błyskawic, podobny.

APSARY

Patrzcie, ach, patrzcie, oto Czitraratha.

CZITRARATHA

(wchodząc)

Wielbię tve, Królu, męstwo nieulekłe,  
Co Indrze służyć i pomoc nieść umie.

KRÓL

(wysiadając z wozu)

Czyż to Gandharwów król? Bądźże mi zdrowy,  
Kochany druhu!

(dotykają swych dłoni)

CZITRARATHA

Gdy wielkiemu Indrze,

Dzięki Naradzie, — porwanie Urwaśi  
Stało się znanem, rozkazał, ażebym  
Na czele wojska Gandharwów wyruszył  
Dla jej odbicia. Wtem twego zwycięstwa  
Wiść głośnie echem rozbrzmiała w niebiosach,  
Więc, dowiedziawszy się, że na tej górze  
Znaleźć cię można, przybywam tu śpiesznie,  
By cię z Apsarą tą zawieźć do Indry.  
Niegdyś On wziął ją był od Narajany,  
Dzisiaj od Ciebie, z rąk wrogów wydartą.  
To też zasługa twoja jest niezmierna.

KRÓL

Nie, przyjacielu, nie tak. To potęga  
Wielkiego Indry w tem widzieć się daje,  
Że wierni Jemu nad jego wrogami  
Odnoszą triumf. Ryk rozszalonego  
Lwa, gdy w wąwozie górskim się rozegrzmi,  
Zabija słonie samą echa mocą.

CZITRARATHA

Słusznie powiadasz; skromność jest to godny  
Strój waleczności.

KRÓL

Nie jest to właściwa  
Pora, by Indrę wielkiego oglądać.  
Zechciej je zawieźć sam do Władcy Raju.

CZITRARATHA

Jak twoja wola. Tędy, o boginki.

(Scena VIII)

URWAŚI

Nie mam odwagi, droga Czilralkho,  
Abym do władcy swego przemówił,  
Bądź ty, o miła, mojemu ustami.

CZITRALEKHA

Przyjm, wielki królu, te słowa Urwaśi:  
Pozwól mi odejść stąd, bym twoją chwałę  
Rozgłosić mogła w całym świecie bojów.

KRÓL

Idźcie więc. Obym mógł was ujrzeć jeszcze.  
(Wszystkie Apsary z Gandharwą unoszą się w powietrze)

URWAŚI

Och, zaczepiłam się sznurami pereł  
O lian tych pędy!  
(nie odwracając oczu od Króla)  
Spójrz-no, Czitralekho.

CZITRALEKHA

Nie nie poradzę, za bardzo splątane.

URWAŚI

Nie żartuj, proszę, wyzwól mię z tych więzów.

CZITRALEKHA

(znacząco)

Zda mi się, trudne są do rozdzierzgnięcia,  
Lecz się postaram.

URWAŚI

Zapamiętaj dobrze  
Swą obietnicę, której ja zawierzam.

KRÓL

(na stronie)

Wielkąś mi dobroć uczyniła, liano,  
Żeś jej odejście wstrzymała na chwilę.  
I żem przez chwilę mógł jeszcze oglądać  
Jej wielkie oczy obrócone ku mnie.

(Czitralekha oswobadza Urwaśi)

WOŹNICA

Patrz, Długowieczny, twa strzała wichrowa,  
Przez rozjuszonych wrogów króla bożyszcz  
Na samo dno wód słonych odrzucona,  
Powraca teraz do twego kołczanu,  
Jak źmija, co się wsuwa do swej jamy.

KRÓL

Czas mi już wsiadać. Zajedź tutaj wozem.  
(Woźnica spełnia rozkaz. Król wsiada)

URWAŚI

(ogłędając się z tęsknotą)

Czyż jeszcze kiedy ujrzę władcę mego?

KRÓL

(patrząc za nią)

Ach, pragnę tego, co z trudem się ziszcza!  
Jak, przełamawszy lodygę lotosu,  
Flamingo dzióbkiem swym rdzeń jej wyciąga,  
Tak, niknąc w dali, ta dziewczeczka bogów  
Powoli duszę mi z ciała wydziera.

(zasłona)

Koniec aktu I-go.

*Tłum. St. Stasiak*

## III

KUMARASAMBHAWA  
(NARODZINY BOGA KUMARY)Pochwała Himalajów  
(Fragment z rozdziału I)

W północnej stronie, boski w swej łącznie  
Jest, zwan Himalaj, król górskich łańcuchów.  
Wgrążony w wschodnie i zachodnie morza,  
Sterczy jak świata wielki słup graniczny<sup>1</sup>.

Cielcem go wszystkie mniemając snąć turnie  
Z Meru na czele, sprawnym krowodojem,  
Z dojnej — za szczęśnych rządów Prithu<sup>2</sup> — ziemi  
Drogi kamienie wysały i zioła.

Niewiczzerpanej klejnotów skarbnicy  
Szary lodowiec nie przyczynia szczyrby,  
W zalet powodzi ginie drobna skaza,  
By nikły cień w miesięcznych lic rozblasku.

Nito rubinem szyte napierśnice  
Apsar, łyskają granie skrawym kruszczem,  
Co, jak zachodu niewczesnego łuna,  
Przez popękanych chmur żarzy się szpary.

Pod chmur osłoną niebian korowody  
Nieraz na miękkich mchów schodzą upłazy,  
Lecz, zaskoczone rześistą ulewą,  
Znów w ozłocone słońcem pną się szczyty.

Choć słońobójczych lwów ślad purpurowy  
Spłócze ze śniegu pienista sikława,  
Pozna go dziki Kirata po perle,  
Co im z pomiędzy szponów się wyslizgła<sup>3</sup>.

Kora brzozowa, zryta w rdzawe krotła,  
Podobne brózdom na słońowej skroni,  
Od urzeczonych przez Kamę boginek  
Jest na miłosne obracana listy.

Wstający z pieczar oddech Himalajów  
Napelnia brzmiące bambusów szczeliny,  
Chórowi Kinnar<sup>4</sup> poddając melodję,  
W którą za chwilę uderzą ich głosy.

Zboczami dolin snuje się woń słodkiej  
Z pni saralowców<sup>5</sup> ciekącej oskoły,  
Które cochaniem swoich szczyk kościstych  
Jurne w czas rui rozdzierają słońie.

W mrocznym zaciszu grot, przy bezoliwnym  
Śród nocy blasku samoskrzącej trawy  
Włóczydy leśni w kochanek objęciu  
Świecą miłości tajemnicze gody.

<sup>1</sup> Słowami W. Pola w «Pieśni o ziemi naszej!» W oryginale bliskoznacznik «mierniczy».

<sup>2</sup> Król mityczny.

<sup>3</sup> Według wierzeń indyjskich lwy w łapach między pazurami noszą perły.

<sup>4</sup> Bóstwa z końskimi głowami.

<sup>5</sup> Drzewo iglaste (*Pinus longifolia*).

Nękane bujnych łąn i biódr ciężarem,  
 Świerzopięgłowe młode dziwożony  
 Po śniegozwałach, w twardą szreni okutych,  
 Okaleczonym dają wlec się stopom.

Mrok, jak sów stado chroniąc się przed słońcem,  
 Ma w himalajskich przytułek jaskiniach:  
 Równiej z szlachetnym lichy dozna łaski,  
 Gdy się pod skrzydła wielkich serc uciecze.

Stada bawolic<sup>1</sup>, godnych swego miana  
 «Górskich Księżniczek», chwieją na wsze strony  
 Białemi kiśćmi swych puszystych chwostów,  
 Siejących blaski, jak światło księżycy.

Kłęby obłoków, zwisłe nad grotami,  
 Gdzie krasi lica wstyd niziołków dziewczom,  
 Z szat obnażonym w miłosnym obrzędzie,  
 Jak ciężkich zasłon zsuwają się fałdy.

Halny wiatr, pawiom skręcając ogony,  
 I himalajskich cedrów gnąc konary,  
 Chluszcze kroplistym wodospadów deszczem  
 W twarze Kiratów, zgrzane lwa pościgiem.

Wzwyż strzelający blask rannego słońca,  
 Co niżej szczytów podniebnych się toczy,  
 Budzi pośpione w ich stawach lotosy,  
 Przez Siedmiu Mędrców<sup>2</sup> poniechane dłonie.

Odwieczny Stwórca, ujrzawszy kwiat Somy,  
 Rozkwitły na tym świata kręgosłupie,  
 Dał mu nad resztą gór władzę królewską,  
 Czyniąc go bogów ofiarnym ołtarzem.

*Tłum. St. Stasiak.*

## AŚWAGHOSZA

(I wiek po Chr.)

SAUNDARANANDA-KAWJA

(Wielki poemat o pięknym Nandzie)

Fragmenty pieśni X

Nanda, brat Buddy, porzucił młodą małżonkę i wstąpił do zakonu. Ale rychło żałował przedwczesnego kroku. Tęsknił za żoną i pragnął powrócić do domu:

Słyszając, że Nanda chce Prawo porzucić,  
 żonę zobaczyć i do domu wrócić,  
 Zwał muni brata, pragnąc go nawrócić,  
 w wierze umocnić i z smutku ocucić.

I jął go pytać mistrz czysty i skromny  
 o zagnieżdżony w płochem sercu narów,  
 A on bezwstydnym, w dążeniach ułomnym,  
 wyznał swój zamiar znawcy wszech zamiarów.

Więc kiedy widział Sugata<sup>3</sup>, że Nanda  
 błądzi, w miłosne wplątany obieże,

<sup>1</sup> Mowa o czamarach (jakach).

<sup>2</sup> Siedmiu Mędrców — gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy.

<sup>3</sup> Sugata jest jedną z częstszych nazw Buddy; może znaczyć mn. w.: ten, który poszedł dobrą drogą.

Wziął go za rękę i wzbil się w powietrze,  
jak człek się nurza, który kąpiel bierze.

W szatach brązowych, zlotolicy obaj,  
skróż lazur cichy płynęli wspaniale,  
Jak czakrawaków nierozdzielna para,  
gdy, rozpostarłszy skrzydła, pruje fale.

Rychło znaleźli się na Śnieżnym Szczycie,  
gdzie górskie rzeki tryskają obficie,  
Skały skrzą złotem, a boscy riszowie  
w cieniu przewonnych smreków pędzą życie.

Tu mają gniazda swe rajscy gędźbjarze,  
tu dym ofiarny ściele się smugami,  
I jest ta góra jak wyspa w bezmiarze,  
jak okiem sięgnąć, rozwartym nad nami.

Stał cicho muni. Więc Nanda dokoła  
po tych otchłaniach toczył wzrok zdumiony,  
Po krzaczach i drzewach, co, strojąc wierzchołek,  
razem dostępu bronią ze wszej strony.

Tutaj, na długim i białym upłazie  
stuliwszy ogon, paw się do snu chyli:  
Rzekłbyś, na Bali potężnym ramieniu  
naramiennica z kosztownych beryli.

Tam, sadząc przed się, lew na płowe kudły  
arszenikowych chwyta blask kamieni:  
Rzekłbyś, srebrzysta obręcz, drżąc w powietrzu,  
blaszek złocistych blaskami się mieni.

Ówdzie zziajany tygrys chwiejnie kroczy  
wody się napić bijącej z roztoczy  
I wskos podwija ogon żółto-szary,  
rzekłbyś, chce Dziadom przynosić ofiary<sup>1</sup>.

Tu w gęstwi regli, między kłody drzewne,  
przystanął chwostem wplątany czamara,  
Boi się szarpnąć: tak mu włos ten drogi,  
jak zacnym ludziom droga przyjaźń stara<sup>2</sup>.

Tam znowu śniadzi jak złoto Kiraci,<sup>3</sup>  
piór pawich strojem barwistym bogaci,  
W tygrysiach skokach suną przez wiszary,  
jak buchające z głębi grot opary.

<sup>1</sup> Ścisłe biorąc nie «wskos», ale «od strony prawej ku lewej», t. j. tak, jak się nosiło święty sznur albo pas przy ofercie duchom ojców. Nie siliłem się na dokładniejszy przekład zwrotki, z którą czytelnik niefachowiec i tak nie wie, co począć.

<sup>2</sup> Czamara, po łacinie bos grunniens, znany w literaturze podróżniczej pod swoją nazwą tybetańską «jak», jest cały obrosły długim włosiem, koniecznym w górskim klimacie. Hindusi bardzo cenili ogon czamary, który był oznaką władzy, przysługującą tylko królom, coś podobnie jak buńczuki baszowskie. Ale sam czamara cenił swój ogon jeszcze więcej i (jeżeli wierzyć poetom) wolał zginąć na miejscu z głodu raczej, niżby zaryzykować szarpnięcie, jeżeli mu gdzie ogon się wplątał.

<sup>3</sup> Kiratami nazywali Hindusi szczepy tubylcze tybetańsko-birmańskie, rozsiane we wschodniej części kraju, od Himalajów do ujścia Gangesu.

Opodał górskich mieszkanki roztoczy,  
cudne boginki zwodzą tłumne tany,  
Przepychem bujnej piękności rwąc oczy,  
jak rzęsnem kwieciem obsypane liany.

Góram, gnąc szczyty w natrętnych podskokach,  
małp stado śmiga od smreka do smreka,  
I jak ten żebrak, od chciwca stroniący,  
drzewa nieplodne omija zdaleka.

Od tego stada, skoczywszy zwysoka,  
spadła na ziemię odbita samica,  
O pysku krwawym jak lak, jednooka.  
I rzecze muni, patrząc Nandzie w lica:

Któraż też, Nando, zda ci się piękniejsza,  
licem cudniejsza i w ruchach wdzięczniejsza,  
Ta oto małpa półślepa, czy — żona  
twoja, Sundari, sercem ubóstwiona?

Uśmiech przewinął się Nandzie po wargach,  
tak mu się dziwne wydały te słowa.  
— Zali — zapytał — mają co wspólnego,  
ta stwora leśna i — twoja bratowa?

Zamiast odpowiedzieć, Budda wziął brata za rękę i powiódł do rajskiego ogrodu władcy bogów, Indry.

Tu jedne drzewa pyszną się w uroku  
wszystkich, lecz zmiennych co chwila, pór roku,  
Drugie zaś w jednym momencie się mieniają  
latem i zimą, wiosną i jesienią.

Same się wiją girlandy szlachetne,  
wieńce woniami dyszące i świetne,  
A obok, w zawód sztuce jubilerskiej,  
wykwitły z pączków zausznice kwietne.

Tutaj od lilij kwitnących ponsowo  
płoną drzew rzędy, jak pochodnie nocą;  
Tam znów, na innych, lotosy błękitne  
jak rozbudzone oczęta migocą.

A są i takie drzewa w tym ogrodzie,  
że, niby kwiaty, kwitną na nich szaty.  
Barwne i białe, i złotem dziergane,  
igłą nie tknięte i ręką nie tkane.

A są i takie, co z dołu do góry  
skrzą się bogactwem perł i kamieni,  
Drogich bransolet, kosztownych kolczyków,  
cudnych — cudniejszych niż ziemskie — pierścieni.

Wonieją kępy, a na kępach owych,  
wyrastające z łodyg berylowych,  
Grzybienie kłonią szczerozłotą głowę,  
zdobną w pręciki szczerobrylantowe.

Kształt na się długi biorąc i wydęty,  
cudnie się złote układa pąkowie,



Dziwne muzyczne tworząc instrumenty,  
przy których dźwiękach igrają bogowie.

A ponad innych drzew kwietne konary,  
w których się niosą słowicze rozgwary,  
Króluję świetne drzewo Paridżata  
ponad Mandary i nad Karnikary<sup>1</sup>.

Takie się oto drzewa rodzą w niebie  
na żyznej cnotą i askezą glebie,  
I takie dzisiaj bogom niosą plony  
ziemskiej wędrówki, w świętości spędzonej.

W ogrodzie rajskim ukazał Budda bratu rusałki niebieskie — apsarasy<sup>2</sup> — boskie tancerki, obleczone w najcudniejsze kształty kobiece, jakie wyobraźnia wyobrazić może. A pokazawszy, ponowił pytanie: — Jakże? Czy one piękniejsze, czy Sundari, czekająca cię w pałacu królewskim. Nanda, zapatrzony, złożył ręce i głosem drżącym namiętnością dał odpowiedź:

— Jako ta małpa w lesie jednooka  
od twej bratowej zdała się odległa,  
Tak właśnie piękność biednej twej bratowej  
od tych rusałek piękności odbiegła...

— Więc porzuć dom i świat, oddaj się ascezie, a w następnym żywocie będą one twoje...

*Tłum. A. Gawroński.*

## PAŃCZATANTRA

### 1

Opowieść wstępna o tem, jak bramin Wisznuśarman ułożył  
Pañczatantrę

Om! Cześć świętej bogini Saraswati, bogu Ganesi oraz Mistrzom! Cześć Manu, Brihaspatjemu, Wjasie, Walmikjemu i wszystkim innym wieszczom zamierzczej przeszłości! Cześć znakomitym poetom!

Ten oto w pięciu księgach serce radujący podręcznik  
Wisznuśarman ułożył, wyciągnąwszy ekstrakt  
Ze wszystkich istniejących na świecie  
Podręczników życiowej mądrości.

Przekazana jest następująca historia: Jest w Dekkanie miasto, które nazywa się Mahilaropja. Tam był król imieniem Amaraśakti, mistrz we wszystkich umiejętnościach, cudowne drzewo życzeń dla tłumu wszelakiego rodzaju petentów. Jego stopy okrywała pełnia blasku z klejnotów, zdobiących diademy co najprzedniejszych książąt. I miał ten król trzech synów, którzy zwali się Wasuśakti, Ugraśakti i Anekaśakti i byli tępakami, jakich mało. Widząc, że stronią od książki, król zwołał doradców i tak zagaił: «Wiadome panom, że moi synowie mają wstręt do nauki i nie są inteligentni. Dlatego też, kiedy patrzę na nich, nie cieszy mnie nawet moje wielkie królestwo. Bo słusznie mówią:

<sup>1</sup> Zwykle się mówi o pięciu drzewach, rosnących tylko w raju Indry. Są nimi: Mandāra, Hariczādana, Santana, Kalpawriksza i Paridżata. Natomiast Karnikara (*Pterospermum acerifolium*) rośnie i na ziemi.

<sup>2</sup> Apsarasami nazywają się nimfy w raju Indry; żeby nie powtarzać trochę ambarasownej nazwy indyjskiej, możemy po polsku powiedzieć rusałki, bo mają z nimi pewne rysy wspólne. Najpiękniejsze i najlepiej znane: Ghritaczi, Mēnaka, Rambha, Urwaśi, Tilottama.

Jeśli syn ma głupcem zostać,  
Niech się wcale nie rodzi, lub umrze.  
Po umarłym — krótka boleść,  
Z głupcem — póki życia zmartwienie.

Bo i cóż po takiej krowie,  
Co ani mleka nie daje, ani cieląt nie rodzi?  
Bo i cóż po takim synu,  
Co ani wiedzy nie posiadał, ani rodziców nie kocha?

Trzeba zatem koniecznie wynaleźć jakiś sposób na rozbudzenie umysłu chłopców. Pięciuset uczonych jest na mojem utrzymaniu: niechże postarają się, aby życzeniu memu stało się zadość».

Odpowiedział na to jeden z doradców: «O królu! Dwanaście lat trwa kurs gramatyki. Dopiero potem przychodzi kolej na Dharma-Śastry Manu i t. d., później na Artha-Śastry z traktatem Czanakji na czele i wreszcie na Kama-Śastry w opracowaniu Watsjajany i innych autorów. W ten sposób zdobywa się wiedzę o Świętem Prawie, o Korzyściach i o Rozkoszy Zmysłowej. Kształcenie umysłu opiera się na takim właśnie kursie nauk».

Ale inny doradca, imieniem Sumati, tak powiedział: «Życie nie jest wieczne, a studjum gramatyki trwa bardzo długo. Jeśli książęta mają nabrać rozumu, trzeba pomyśleć o zwięzłym, syntetycznym podręczniku, Albowiem:

Gramatyka — to zaiste bezbrzeżny ocean,  
A krótkie jest życie i trudności liczne.  
Trzeba więc ekstrakt wyciągnąć, detale pominąć,  
Jak flamingo, co mleko wypija  
Z mieszaniny mleka i wody.

I otóż jest tu pewien bramin, niejaki Wisznuśarman, który posiadał wiedzę wszystkich Śastrów i wśród rzesz studentów zażywa wielkiej sławy. Jemu powierz swoich synów, a w krótkim czasie przerobi ich na mędrców».

Król wysłuchał tej rady, wezwał Wisznuśarmana i przemówił do niego w te słowa: «Czcigodny! Jeśli chcesz zaskarbić sobie moje względy, uczyni, aby niebawem nikt nie dorównywał moim synom w znajomości Artha-Śastry. Sto dokumentów darowizny każę ci wtedy wystawić».

Wisznuśarman odrzekł królowi: «O Panie! Zechciej przyjąć do wiadomości te oto moje prawdę mówiące słowa: nawet za sto aktów darowizny wiedzy nie sprzedaje. Jeśli jednak w ciągu sześciu miesięcy nie zrobię z twoich synów znawców mądrości życiowej, w takim razie rezygnuję ze swego imienia».

Usłyszawszy to niebywałe oświadczenie bramina, król wraz z doradcami zdumiał się i ucieszył jednocześnie. Z należą czecią oddał Wisznuśarmanowi swoich chłopców i już całkowicie odzyskał dobry humor. A tymczasem Wisznuśarman zabrał królewiczów i ułożył dla nich pięć ksiąg: 1) Poróżnienie przyjaciół, 2) Pozyskanie przyjaciół, 3) Wojna wron i pułaczy, 4) Utrata zdobyczy i 5) Nierozważne postępowanie. Tych pięciu ksiąg kazał im się nauczyć i, kiedy po upływie sześciu miesięcy przyswoili je sobie, stali się, jak przepowiedział: [mądrzy i wykształceni]. Odtąd używa się na całym świecie<sup>1</sup> tego Pięcioksięgiem (Pañczatantra) zwanego podręcznika, aby rozwijać umysły młodzieży. A zresztą poco wiele słów:

Kto studjuje wciąż i wciąż powtarza  
Ten podręcznik życiowej mądrości,  
Nie poniesie nigdy żadnej klęski  
Nawet w walce z samym bogiem Indrą.

<sup>1</sup> To nie przesada! Pañczatantra wędrowała poprzez wszystkie niemal literatury Azji i Europy.

## 2

## Historja o wszy Guzdralskiej i pluskwie Ogniopysku

Miał raz pewien król przepiękne łoże. W tem łożu pomiędzy dwoma niepokalanie białemi prześcieradłami mieszkała wesz Guzdralska. Karmiąc się krwią swego króla, żyła sobie przyjemnie. Pewnego dnia, wędrując po świecie, przybyła do tego właśnie łoża pluskwa Ogniopysk. Na jej widok zasępiło się oblicze wszy. — «Hola, Ogniopysku, — zawołała, — a tyś się skąd wziął w tem zgoła nieodpowiedniem miejscu? A wynoś się czem prędzej, zanim cię kto zobaczy!» Na to Ogniopysk: «Szanowna Pani! Nawet do najpodlejszej istoty, gdy zawitała jako gość do naszego domu, nie godzi się przemawiać w ten sposób. Mówi się przecież:

Chodź! Wejdz! Odpocznij! Siadaj!  
 Czemu dopiero teraz do mnie łaska?  
 Co słyhać? Zmęczony jesteś? Życzę szczęścia!  
 Jakże się cieszę, że cię tutaj widzę!  
 Tak to wypada witać nawet mizeraka,  
 Kiedy naszego domu próg przekroczy.  
 To nazywają mędrcy do nieba wiodącym,  
 Do wykonania łatwym Obowiązkiem Świętym  
 Dla ojców rodzin miłujących cnotę.

Oprócz tego chodzi mi jeszcze o sprawę następującą: Wprawdzie kosztowałam już różnych rodzajów krwi ludzkiej o smaku gryzącym, kłującym, cierpkim i kwaśnym. Natomiast nie kosztowałam jeszcze nigdy krwi słodkiej. Jeśli zatem będziesz dla mnie tak łaskawa, to sprawię radość swemu językowi przez skosztowanie smakowitej krwi, wytworzonej w ciele tego króla z różnych buljonów, potrawek, napojów, przysmaków do ssania, do lizania i słodczy. Albowiem zaiste:

Żebrakom i królom wspólna, tak uczą mędrcy, jest rozkosz języka.  
 Ona i tylko ona jest życia treścią, dla niej ludzie się trudzą.  
 Gdyby nie było na świecie przyjemności jedzenia,  
 Któżby chciał być służącym i słyhać obcych rozkazów?  
 Aby dogodzić brzuchowi człowiek jest gotów do kłamstwa,  
 Gotów jest służyć niegodnym i w obce kraje wędrować.<sup>1</sup>

I oto, ponieważ przybyłam do twego domu głodem dręczona, powinnam dostać coś do zjedzenia. Nie jest bowiem rzeczą słuszną, abys ty sama tylko raczyła się krwią królewską».

A na to Guzdralska: «No, więc dobrze, pluskwo! Ale ja spijam krew króla dopiero wtedy, gdy zaśnie. Ty natomiast nie bez powodu nazywasz się Ogniopyskiem i masz charakter nieopanowany. Jeśli zobowiążesz się pić jednocześnie ze mną, to zostań tutaj i popij sobie krwi, na którą masz taką wielką ochotę».

Ogniopysk odrzekł: «Tak i uczynię, o Czcigodna. Kłątwa bogów i mistrzów niechaj spadnie na mnie, jeśli skosztuję krwi królewskiej wpierw, niż ty jej skosztowałaś».

Gdy tak rozmawiały ze sobą, król, ułożywszy się na posłaniu, zaczął zasypiać. Ale jeszcze nie zdążył zasnąć, kiedy już go ugryzła pluskwa przez swoją wrodzoną niecierpliwość, wzmożoną bardziej jeszcze przez pożądlivość języka. Bo i słusznie mówią:

Nie zmieni pouczenie wrodzonej natury,  
 Woda zagrzana zawsze zpowrotem ostygnie,  
 I nawet gdyby ogień ochłódl,  
 Albo księżyc zaczął prażyć żarem,  
 Przyrodzonych skłonności człowieka  
 Tu na ziemi już nic nie odmieni.

<sup>1</sup> Ostatnią strofkę przetłumaczył wierszem A. Gawroński:

Że się kłamstwem człowiek plami, że niegodnych ludzi słyha,  
 Że w obczyźnie szczęścia szuka, wszystko dzieje się dla brzucha.

Król, jak igłą ukłuty, w jednej chwili wyskoczył z łóżka i, zerwawszy się na równe nogi, zawołał: «Hej! Popatrzcie tam! Na pewno jest pod kołdrą wesz albo pluskwa, bo coś mnie ukąsiło». Szatni, którzy się tam znajdowali, chwycili czem prędzej przescieradło i zaczęli je oglądać ostro widzącymi oczyma. Pluskwa dzięki swej chyżości zdołała tymczasem zbiec do końca postania. Guzdralska skryła się w fałdach przescieradła. Tam ją wysłedzili służący i zabili. Dlatego też powiadam:

Jeśli nie znasz charakteru człowieka,  
To mu nigdy nie udzielaj schronienia.  
Z winy Ogniopyska  
Guzdralska postradała życie.

*Tłum St. Schayer.*

## WETALAPAŃCZAWIMŚATI

(DWADZIEŚCIA PIĘĆ POWIASTEK UPIORA)

Skłoniwszy głowę przed panem Gan, przed bogiem, co przeszkody łamie<sup>1</sup>,  
Rozpocznię to opowiadanie, ażeby świat rozrywkę miał.  
W obawie przeszkód zacząć nawet nie zechce człowiek marnej duszy,  
Zacznie — lecz trudem zniechęcony, odstąpi człowiek mierny,  
Lecz kto wspaniałą duszę ma, do końca dzieło doprowadzi,  
Choć tysiącami przeciwności po drodze bić go będą.  
Jedni powieści prostej pragną, drudzy szukają krągłych słów,  
Znów inni wykwintnego smaku — tu znajdzie każdy, czego chce.

Jest w Dekkanie miasto zwane Pratiszthana, a w niem król imieniem Wikramasena; co za król?

Jasny, jak światło słońce miljona, błyskawic blaskiem jego blask,  
Siedzi na tronie przewspaniałym, przed nim ministrów stoi rząd.  
Bogaty w piękność jak Kandarpa<sup>2</sup>, jak Hari<sup>3</sup> ludu ulubieniec,  
Trudno go objąć, jak ocean, czcigodnych ludzi zawsze czci.  
Łagodnym blaskiem, niby księżyc w jesienne noce, żary chłodzi,  
Przejrzysty, jak kryształ górskie, i czysty, jak lotosu kwiat.  
Hojności jego niemasz końca, przestrzega czujnie wszystkich praw,  
Ale jak ogień jest niszczący, jeżeli wpadnie w słuszny gniew.  
Ujmuje czarem swej postaci, a przytem trudów się nie lęka,  
Promiennym blaskiem lśni dokoła, latorośl cnego pokolenia.  
Kto dobry — tym się opiekuje, lecz tego karze, kto jest zły,  
Bowiem to królów obowiązek, który ich zbawia tu i tam.

Takich cnót pełen król przy każdej sposobności siedzi na tronie w sali przyjęć. Pewnego dnia nadszedł skądś nagi asceta, imieniem Śantiśiła. Z jabłkiem w ręce wszedł na salę i wręczył jabłko królowi. Król prosił siadać, podał betel. Zaczem posiedziawszy chwilę, wstał z krzesła i poszedł swoją drogą. W ten sposób zjawiał się codziennie i jabłko królowi wręczał.

Jednego dnia jabłko wypadło królowi z ręki, chwyciła je małpa i rozgryzła, a z wewnątrz potoczył się na ziemię drogi kamień; blask wielki powstał — zdumieli się wszyscy dokoła. Zdziwił się i król i zapytał: «Hej, digambaro<sup>4</sup>, w jakim celu przy-

<sup>1</sup> Ganeśa — bóg usuwający przeszkody.

<sup>2</sup> Kandarpa = Kupidyn.

<sup>3</sup> Hari = Wisznu.

<sup>4</sup> Digambara — dosłownie «mający przestrzeń za odzież» — «ubrany powietrzem», a więc nagi asceta, gymnosofista.

niosłeś ten wielki klejnot?» Na to odpowiedział digambara: «Wielki Królu, posłuchaj! Powiada księga:

Nie przychodź z prózną ręką przed lekarzy, królów, profesorów,  
Przyjaciół, synów, astrologów — kto dostać chce, ten musi dać.

Wielki królu! Od lat dwunastu wiele takich klejnotów, wewnątrz jabłka ukrytych, dałem ci do rąk». — Na te słowa król przywołał skarbnika i rozkazał: «Hej, skarbniku! Przynies mi wszystkie jabłka, które rzuciłeś do skarbcza, w miarę, jak je dawał ten oto asceta». Posłuszny rozkazowi królewskiemu, przyniósł skarbnik jabłka, a kiedy je rozkrajano, okazało się, że wszystkie co do jednego pełne były drogich kamieni. Ucieszył się król, a spojrzawszy na stos klejnotów, zawołał: «Hej, digambaro! Pocios przyniósł te wszystkie kosztowne kamienie? Nawet za jeden z nich nie mogę zapłacić, ile wart, więc czegoż sobie życzysz? Powiedz!» —

Jogi rzekł:

Gdy do czynienia z królem masz, choćby o sprawę drobną szło,  
Na osobności zawsze mów, powiedział tak Brihaspati.  
Czary, lekarstwa, zamawiania, kłopoty domu, miłość, grzech,  
I te i inne słabe strony, milczeniem kryje mądry człek.  
Trzy pary uszy zgubi sekret, przy dwóch pewniejszy trochę jest,  
Lecz czego słucha jedna para, tego nie dojdzie Brahma sam.

«Panie! Powiem w cztery oczy!» — Król usunął dworzana, jogi rzekł: «Panie! ostatniego dnia przed wschodem księżyca odprawię czary na wielkim cmentarzu nad brzegiem Godanadi, a jeśli się udadzą, zdobędę osiem wielkich czarodziejskich mocy.

Ale potrzebny jest pomocnik, odważny, niezachwiany mąż,  
Bowiem kto chwiejnej jest natury, ten zniszczy i najlepszy czar.  
Nie widzę zaś, gdzie mógłbym znaleźć takiego męża poza tobą,  
Przeto, o panie! proszę cię, abyś mi pomoc zechciał dać.

W tym celu zostań moim pomocnikiem. Przyjdź, panie, do mnie w nocy, sam jeden, a weź miecz ze sobą». — Król się zgodził: tak uczynię. Następnie digambara zebrał wszystkie potrzebne przyrządy i ostatniej nocy udał się na wielki cmentarz. Nadszedł i król, otulony w czarny płaszcz. Ujrzawszy go, ucieszył się jogi, aż mu się z radości zjeżyły włoski na całym ciele, i przemówił: «Hej, królu! o pół mili stąd jest wielkie palenisko trupów; tam na drzewie śimsipy wisi trup; pójdz, zdejmij tego wisielca i wracaj szybko, ale jeśli się odezwiesz, trup wróci na drzewo». Usłyszawszy to, król, odważny jak nikt inny, ruszył ku drzewu śimsipy.

Bez strachu kroczy dzielny król, aż drogi swojej zoczy kres,  
Cmentarz, cmentarnych pełen rzeczy i otulony w gęsty dym,  
Tu stopy kości się walają, tu tryska mózg, tam bluzga krew,  
Rzekłbyś, Bóg śmierci chce się bawić, sypie na ziemię czaszek stos,  
Tu się kłębami snuje dym, ówdzie upiorów słychać krzyk,  
A tu iskrami błyska stos, jak w burzę czarny nieba strop.

Zboku zwęglone kości leżą, w puste pizzczele zadał wiatr,  
I słychać grzechot, jakby trząsł bransoletami orszak wiedźm,  
Słychać okrzyki zewszechstron złodziei rabujących trupy.  
Jak Boga Śmierci groźny om, kiedy ma w gruzy zapaść świat,  
Ten cmentarz jest jak straszny Śiwa, któremu czaszki wieńczą skroń,  
A wkoło piętrzą się szkielety, albo migoce węgla żar.

Tu ma przytułek wszelki ból, tu toczy bój złych duchów rój,  
Tutaj się pleni wszystko złe, tu potępieńce kłębnią się,  
Tutaj w zakątku każdym patrz, jak mięsem pyski napychają  
I pjane krwią zawodzą tan gromady djabłów i upiorów.

Król, przyszedłszy na cmentarz, wydrapał się na drzewo, przeciął stryczek nożem i strącił wisielca na ziemię. Jak wyglądał wisieliec?

Czarny jak chmura, włosy zjeżone, wyglądem wzbudzał strach błądy,  
Z mięsa odarty, oczy wywracał, upiorów na nim ślady.

Ledwie król stanął na ziemi, aż trup już wisi na drzewie. Wdrapał się król drugi raz, a zarzuciwszy sobie trupa na plecy, zlął z drzewa na ziemię i ruszył w drogę. Po drodze odezwał się Wetala, który wszedł w wisielca: «Hej, królu!

Człowiek rozumny na czytaniu książek i wierszy spędza czas.  
Głupi go traci na próżniactwo, na klótnie i na sen,  
Co warte szczęście bez skromności? co warta bez księżycy noc?  
A co wymowa warta, której oglądy poetyckiej brak?

Posłuchaj zatem królu! Opowiem powiastkę:

### Pierwsza powiastka Wetali

Jest miasto, zwane Benares; w niem król, imieniem Pratapamukuta, i synowi jego na imię Wadžramukuta. Ten razem z synem ministra, Budhisena, polując w lasach parku królewskiego, daleko się zapędził. Kiedy już użyli wszystkich przyjemności polowania, a południe się zbliżało, spostrzegli przesłizny staw.

Pływają po nim czakrawaki, karandy i łabędzie,  
Widać pręciki nenufarów, lotosy kwitną wszędzie,  
Ryby się pluszczą w cieniu lilij, tam sunie żółw garbaty,  
Brzegi rozkoszne, wokół drzewa sypią na wodę kwiaty.  
Brzęczą w powietrzu chciwe pszczoły, zwabione wonią kadali,  
Kukułka kuka, śpiewa czakora, paw się przegląda w fali.  
Słysząc dokoła słowicze głosy, to się kokile wabia,  
Koguty wodne i czaple smukłe strach niosą w rzeszę żabia.

Zeskoczyli z koni, a umywszy twarz, ręce i nogi, ujrzeni świątynię; weszli, cześć Panu oddali. Bowiem powiadają:

Niech będzie żmija czy sznur pereł, przyjaciel czy potężny wróg,  
Klejnot czy gruda, naga skała czy wonnych kwiatów stóg,  
Dziewczęta przy mnie czy sucha trawa, mnie dzień jednak o każdy upływa,  
Kłęczę w zakątku świętego lasu i szepczę: Śiwa, Śiwa!..  
I w podziemiu, i w powietrzu, i w dziesięciu stronach świata, wśród skał, na morzu,  
I w popiele, drzewie, gradzie, tchnieniu wiatru na ziemi, na wodzie, w przestworzu,  
W każdej roślinie i w małym płatku lotosu, wszędzie pod nami nad nami,  
Skoro mieszka wszechobecny Śiwa, pan i władca, precz z innymi bogami.

Kiedy książę, skłoniwszy się bogu, usiadł, tymczasem dziewczyna jakaś, towarzyszkami otoczona, przyszła wykąpać się w stawie. Po kąpieli oddała cześć Gauri i innym bogom i już się zabierała do odejścia, gdy wtem ujrzała księcia. Obrzucili się wzrokiem oboje. I ją, i jego przeszło pięć<sup>1</sup> strzał Boga Miłości. Więc podała miejsce schadzki, wyjąwszy z włosów lotus, przyłożyła go do ucha, dalej dotknęła nim zębów, przycisnęła do serca, a wkońcu upuściła przy nogach. Dokonawszy tego, odeszła do domu. A królewicza siły opuściły i myślał tylko o niej, osłabł. Syn ministra zapytał: «Hej, przyjacielu! Z jakiego powodu siły cię opuściły? Powiedz dlaczego». Królewicz stęskniony objaśnił syna ministra: «Przyjacielu! Widziałem w stawie tym przepiękną dziewczynę, ale nie wiem, gdzie mieszka; jeżeli ona zostanie moją żoną, będę żyć, jeżeli nie, umrę. Tak postanowiłem». — Usłyszawszy to rzekł syn ministra: «Przyjacielu!

<sup>1</sup> Strzałami indyjskiego Kupidyna są kwiaty: arawindy (= *Nelumbium Speciosum*), aśoki (= *Jonesia Asoka*), mangowca, nawamalliki (rodzaj jaśminu) i niebieskiego lotosu; jest ich pięć, bo tyle jest zmysłów [St. Sch.].

a czy dała ci znak jaki? Powtórz mi go, ja pomyślę i powiem ci, gdzie ona mieszka». — Król wicz spytał: «Jakże będziesz wiedział?» Syn ministra odparł:

Powiedz wyraźnie — bydlę cię zrozumie.  
Wszak słoń i koń pod batem ciągnąć umie.  
Nie mów — domyśli się człowiek uczony.  
Z cudzych poruszeń mądrość zbiera plony.  
Głos, chód, wygląd i postawa, ruch powieki, oka, brwi,  
Wyraz twarzy wszystkim zdradza zamiar, który w duszy tkwi.

«Powiedz mi wszystko, co zrobiła». — Król wicz rzekł: «Opowiem każde jej poruszenie, ale ja nic nie rozumiałem. Wyjęła lotus z włosów, przyłożyła go do ucha, następnie dotknęła nim zębów, potem przycisnęła go do serca, a wreszcie rzuciła pod nogi. Tak zrobiła i — poszła do domu».

Syn ministra pomyślał i rzekł: «Posłuchaj, co ci ona powiedziała. Kiedy, wyjąwszy lotus (padma) z włosów, przyłożyła go do ucha (karna), to znaczyło: miasto moje nazywa się Karnakubdża. Dotykając nim zębów (danta), powiedziała: jestem córką Dantaghaty. Przyciskając go do serca, powiedziała: ty mieszkasz w sercu mojem, milszy nad życie; a rzucając go pod nogi, powiedziała: nazywam się Padmawati».

Kiedy król wicz usłyszał te słowa syna ministra, zawołał: «Jeśli ją dostanę, będę żył, jeżeli nie — umrę. Wstań, przyjacielu! Nie wezmę nic do ust, póki się nie dostanę do miasta, w którym mieszka ona, milsza mi nad życie». — Ruszywszy w drogę, przybyli do jej miasta. Zajechawszy do domu jakiejś mniszki buddyjskiej, zsiadli z koni. Powiadają bowiem:

Aktorka, nianka, praczka, sąsiadka i mniszka, która Buddzie służy,  
Od tych pięciu pilnuj mocno żony, bo każda z nich niedobrze wróży.

Zapytał król wicz: «Ej stara! Mieszkasz ty stale w tem mieście?» Odpowiedziała: «Stale mieszkam w tem mieście». — Król wicz pytał dalej: «Jest tu córka króla, imieniem Padmawati?» — Odpowiedziała: «Król Dantaghata ma córkę imieniem Padmawati. Odwiedzam ją zawsze». — Syn ministra wtrącił: «Pójdiesz dzisiaj». — Odpowiedziała: «Pójdę!» Wysłał ją zatem król wicz w innych sprawach, a sam upiół z kwiatów wieniec. Ona tymczasem, załatwiwszy, co trzeba, wróciła, a kiedy się już z wieniec wybierала do Padmawati, król wicz wziął ją na stronę i przykazał: «Powiesz w te słowa Padmawati: Ten król wicz, którego widziałas nad stawem, przyjechał i znajduje się tutaj». Odpowiedziała: «Dobrze! Powiem».

I poszedłszy, powtórzyła wszystko Padmawati. Padmawati już po wiencu domyśliła się wszystkiego, ale, udawszy gniew, zanurzyła obie ręce w roztworze czerwonego sandału, uderzyła ją po twarzy i zawołała oburzona: «Jeżeli jeszcze raz odezwiesz się przede mną z czemś podobnem, zabiję cię! A teraz wynoś się!» Wypędzona powróciła z głupią miną przed król wicza. Spojrzał na jej twarz król wicz, zdumiał się, aż i powiedziała wszystko, więc zawołał: «Przyjacielu! a toż co?» — Syn ministra odrzekł: «Nic w tem niema nadzwyczajnego. Nie bez powodu się to stało. Kiedy ją uderzyła zamazanemi w sandale rękoma, powiedziała przez to: poczekaj dziesięć dni, aż nadejdzie ciemna połowa miesiąca».

.....<sup>1</sup> Po dziesięciu dniach znowu posłał król wicz starą. Ujrawszy ją, Padmawati związała ją mocnemi powrozami i wyrzuciła na dwór tylną furtką. Wróciła stara z głupią miną i opowiedziała całą historję. Syn ministra pomyślał i rzekł: «Panie! Trzeba, abyś się udał do niej dziś w nocy tylną furtką». — Skoro to usłyszał król wicz, wydał mu się dzień dłuższy niż sto lat. Wreszcie noc zapadła, więc ubrawszy się strojnie, udał się do tylnej furtki w towarzystwie syna ministra. Tam go służące wciągnęły na mocnych powrozach i zaprowadziły do wnętrza. Syn ministra zawrócił i poszedł do domu.

Król wicz zobaczył Padmawati i przywitał się, zapytał o zdrowie, następnie pozwolił się wykapać, nakarmić, przybrać w piękne szaty i wszystko, co do stroju po-

<sup>1</sup> Opuszczenia ze względu na niecenzuralną treść.

trzebne, namaścić sandałem i innymi wonnościami, potem wziął betel i usiadł na wygodnej sofie....., kiedy już siedział, odezwała się Padmawati: «O panie! Dobrze odgadłeś moje zamiary». — Na to królewicz: «Ja nie odgadłem, mój rozumny przyjaciel wszyskiego się domyślił. — Padmawati zauważyła: Jestem zadowolona z twojego przyjaciela. Poszlę mu jutro słodyczy».

Nad ranem królewicz wrócił do przyjaciela i opowiedział całą historję. Powiadają bowiem:

Pytać i zwierzać tajemnice, nakarmić i samemu jeść,  
Podarki dawać i przyjmować: oto przyjaźni oznak sześć.

— «Przyjacielu! Dziś w południe przysłę ci słodyczy». — Usłyszawszy to, odezwał się syn ministra: «Panie! Zatrute będą ciastka, które mi przysłę». Kiedy tak rozmawiali, nadeszła służąca z zatrutymi ciastkami. Spojrzał na nie syn ministra, wziął jedno i rzucił psu. Ledwie pies zjadł ciastko, padł zdechły. Skoro ujrzał królewicz, że pies nie żyje, wybuchnął gniewem: «Nie pójdę więcej do kobiety, która pragnie śmierci mego przyjaciela! — Rzekł przyjaciel: «Panie! Ona cię głęboko kocha: To jest dowód miłości. Bowiem:

Rodzina i rodzinne miejsce, majątek, własne życie,  
Wszystko ma wartość suchej trawy w oczach kobiety zakochanej.

Powiadają także:

Kto cię w domu swym nakarmił, albo kto ci nocleg dał,  
Myślą, słowem i uczynkiem zawsze temu dobrze rób.  
Przyjaźń jest jak mleko z wodą, mówią mądrzy, w pewnej mierze:  
Woda smak przybiera mleka, wzamian je od ognia strzeże.

Co tu wiele gadać? Rób, co ci powiem. Panie, dziś o północy, kiedy znużona zaśnie głęboko, wydrap jej ostremi paznogciami znak jakgdyby trójzębu na lewej nodze, zabierz następnie jej suknie i klejnoty i przychodź do mnie». Królewicz zrobił wszystko, co powiedział syn ministra i przyszedł do niego. Syn ministra przebrał się w szaty ascety i udał się na cmentarz.

Na czole błyszczy półksiężyc, pletniami okryta głowa,  
Usiadł jak Brahman w lotosie, zmrużył oczy, nie mówi słowa.

Dał królewiczowi pierścień i kazał mu go sprzedać na targu. Poszedł królewicz na targ, pokazał pierścień złotnikowi. «Hej! — zawołali złotnicy — toż to klejnot córki królewskiej!» — i donieśli naczelnikowi policji. Naczelnik policji aresztował królewicza i zapytał: — «Skąd ty, rycerzu, dostałeś ten klejnot?» — «Dał mi go mój Guru<sup>1</sup>» — odparł królewicz. Na to zaprowadził go naczelnik policji do Guru i spytał tegoż: «Ascetole! Skąd też masz klejnot z imieniem króla?» Mąż świątobliwy odpowiedział: «Dziś w nocy, czternastego dnia czarnej połowy, zobaczyłem czarownice, jak, zakreśliwszy koło czerwonymi kwiatami i cześć oddawszy, rozdarły człowieka na kawały i jeść zaczęły. Porwawszy trójząb, rzucilem się ku nim, ale na mój gniewny głos rozbiegły się na dziesięć stron świata. Jedną z nich uderzyłem trójzębem w nogę, ze strachu porzuciła ubranie i klejnoty, więc je podjąłem». — Kiedy naczelnik policji postyszał to opowiadanie, dał znać królowi o całej historji. Król, wysłuchawszy wszystkiego, przywołał dozorczynię haremu i rzekł do niej: «Zdejmij z Padmawati ubranie i zbadaj znak na lewej nodze». Ta poszła posłuszna rozkazowi królewskiemu do Padmawati, a ujrawszy znamię, rzekła królowi: «Panie! Wszystko prawda, co powiedział naczelnik policji. Ale nie trzeba rozgłaszać. Bo powiadają:

Straty pieniędzy, zgryzoł, oszustwa, hańby, wypadków w domu:  
Tych pięciu rzeczy, jeśli masz rozum, nie zwierzaj nigdy nikomu.

<sup>1</sup> Guru = mistrz, duchowy preceptor.



Król rzekł: «Hej! naczelniku policji! Pójdźno jeszcze raz i spytaj tego czcigodnego ascetę, jak ją ukarać?» — Naczelnik policji poszedł i zapytał: «Jak ją ukarać?» Odpowiedział mąż świętobliwy:

Niech żyje bramini, krowa, kobieta, krewny i małe dziecię,  
Kto głód twój zaspokoił, albo komu zawdzięczasz życie.

«Wygnanem należy karać kobiety, wtedy nawet, jeśli zbrodnia ich jest wielka». — Zaczem król niebaczny wygnał Padmawati z rodzinnego miasta. Królewicz zaś wziął ją z sobą na konia, a dostawszy się do swej stolicy, pojął za żonę. Bo powiadają:

Dobrym fortem Brahman sam da się oszukać na pewno,  
Wziął na się postać Wisznu tkacz, no — i ożenił się z królewną<sup>1</sup>.  
Co masz czynić, czyi z rozważą, abys jak bramina żona  
Nie żałował poniewczasie, po zabiciu ichneumona.  
Co masz czynić, to się stanie, jeśli tak losy chciały,  
Choćby inaczej chcieli bogowie, inaczej Olimp cały.  
Rama gazelę złotą goni, Nahusz do wozu braminów wprzągł,  
Pustelnikowi Ardżuna krowę z cielęciami wydziera.  
Przegrał syn Dharmy czterech braci, przegrał jedyną żonę swą<sup>2</sup>;  
Kogo chce zgubić niebo, temu wprzód rozum odbiera.

A kiedy się król Dantaghata dowiedział o wszystkim,

Z żalu za córką jedynaczką serce mu pękło na ćwierci,  
Matce przytułek Jama dał: na stosie poszukała śmierci.

Skończył opowiadać Wetala i zapytał: «Powiedz królu! Kto winien? Ale jeżeli wiesz, a nie odpowiesz, serce ci pęknie, umrzesz». — Rzekł król Wikramasena: «Król winien, bo postąpił nierozważnie». — Kiedy to Wetala usłyszał, wrócił na cmentarz i zawisnął znowu na drzewie.

### Druga powiastka Wetali

Saraswati<sup>3</sup>, głowę schylam przed tobą, bogini, w białe perły strojna.  
Oczy twoje, jak płatki lotosu, na lotosie spoczywasz spokojna.

Znowu zatem poszedł król na cmentarz, zarzucił sobie trupa na plecy i właśnie wybrał się w drogę, kiedy Wetala zaczął opowiadać: «Postuchaj, królu! Opowiem ci coś!

Jest miasto zwane Dharmasthala, a w niem król imieniem Gunadhpa. W mieście tem żył bramini Keśawa i miał córkę, której na imię Mandarawati, słynną z nadzwyczajnej piękności. Kiedy doszła do wieku, w którym panny zamąż wychodzą, zjawilo się trzech braminów z prośbą o jej rękę, wszyscy trzej równi sobie zaletami. Keśawa zaczął rozmyślać: Córka jedna — konkurentów trzech; któremu dać? któremu nie dać? — A tymczasem córkę ukąsiła czarna żmija. Przywołano zamawiaczy. Zamawiacze popatrzyli i skonstatowali: czarna żmija ją ukąsiła, nie żyje dziewczyna...

Kiedy bramini Keśawa postyszał słowa zamawiaczy, udał się nad brzeg rzeki i spalił córkę na stosie. Wszyscy trzej zalotnicy przyszli na miejsce spalania, jeden z nich wstąpił na płonący stos i zginął, drugi zbudował sobie nieopodal szałas i zamieszkał w nim, trzeci został pokutnikiem i powędrował na obczyznę. A zaszedłszy do pewnego miasta, wstąpił o południu do domu jakiegoś bramini i poprosił o obiad. Bramini, gospodarz domu, zaprosił go: «Chodź pokutniku! zjesz z nami obiad». Tymczasem żona jego zakrzętała się koło jedzenia, podała krzesło, poprosiła siedzieć. A miała dziecko maleńkie, które, wszedłszy do izby, zaczęło płakać. Braminka wpadła w złość, rzuciła dziecko w płonący ogień. Kiedy gość zobaczył ten okrutny postępek, odsunął jedzenie.

<sup>1</sup> Aluzja do znanej opowieści o tkaczu, który, przebrany za boga Wisznu, dostał się do haremu księżniczki i pozyskał jej miłość.

<sup>2</sup> Również aluzje do znanych baśni i podań.

<sup>3</sup> Saraswati jest boginią mądrości i poezji.

Gospodarz domu, bramin, zapytał: «Czemuż ty, pokutniku, nie chcesz jeść?» Ów odparł: «Jakżesz mogę przyjmować pożywienie od tego, w czym domu takie szatańskie rzeczy się dzieją?» Na te słowa gospodarz wszedł do izby i przyniósł z sobą książkę, a skoro ją otworzył i odmrucał jedno zaklęcie, chłopiec, który już był spłonął na węgiel, wstał żywy. Pokutnik ujrawszy cud dokonany przez bramina, pomyślał: Gdybym to ja tak dostał tę książkę w ręce, wskrzesiłbym swoją ukochaną. Więc się przeczaił, a w nocy wszedł do środka domu, ściągnął książkę i pomaszerował prosto na cmentarz.

Zapytał się go ten, który został na cmentarzu: «Hej, przyjacielu! czegożeś się nauczył w obcych krajach?» — «Nauczyłem się, jak wskrzeszać umarłych». — Więc wskrzesił tę ukochaną. «Na to ów bramin otworzył książkę, odmrucał jedno zaklęcie, pokropił popioły wodą i wskrzesił dziewczynę; wskrzesił i tego, który z żalu za nią śmierć poniósł. I natychmiast wszystkim trzem braminom w oczach od gniewu pociemniało, zaczęli klócić się o dziewczynę.

Tu skończył opowiadać Wetala i zapytał: «Królu, powiedz! Czyją żoną powinna zostać? — Król Wikramasena odpowiedział:

Ten, który wskrzesił dziewczynę — to ojciec, który życie dał.

Ten, który z nią razem umarł, — to brat, który się razem rodzi.

Ten jej mężem zostanie, kto na miejscu siedział.

Postyszawszy to Wetala uciekł i zawisnął na gałęzi śimsipy.

*Tłum. A. Gawroński.*

## SOMADEWA

(XI wiek)

### OCEAN STRUMIENI BAŚNI (KATHA - SARIT - SAGARA)

Wararuczi opowiada historję swego żywota

Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy ojciec mój umarł. Trudząc się wielce, wychowywała mnie matka. Razu pewnego przybyli do naszego domu na nocleg dwaj bramini, pyłem pokryci po długiej wędrówce. I właśnie, kiedy u nas bawili, rozległ się w mieście łoskot bębnow.

— Ach, synku! To aktor Bhawananda, przyjaciel ojca, urządza dzisiaj przedstawienie. — Tak rzekła do mnie rodzicielka i szlochać poczęła na wspomnienie małżonka.

— Matko — odparłem — pójdę zobaczyć, a potem wszystko odtworzę razem z tekstem sztuki.

Bramini, słysząc moje słowa, zdumieli się bardzo. Ale matka zwróciła się do nich:

— Tak jest, moi synowie. Ten malec, raz tylko jeden usłyszawszy cokolwiek, wszystko potrafi zapamiętać.

Na próbę bramini wyrecytowali jeden z traktatów o fonetyce, a ja go odrazu powtórzyłem w ich obecności<sup>1</sup>. Potem poszliśmy razem na przedstawienie, a po powrocie do domu powtórzyłem matce wszystko. Natenczas jeden z naszych braminów, imieniem Wjadi, skoro upewnił się, że ja istotnie uczę się napamięć po jednorazowym wysłuchaniu tekstu, skłonił się nisko przed moją rodzicielką i opowiedział następującą historję:

«Matko! W mieście Wetasa było ongi dwóch braminów - przyjaciół: Dewaswamin i Karambhaka. Kochali się bardzo. Synem pierwszego z nich jest ten oto Indradatta, mój towarzysz, a ja, Wjadi, jestem synem drugiego. I stało się, że, kiedy ojciec mój umarł, ojciec Indradatty, przejęty żalostí, wyruszył w świat na daleką pielgrzymkę. Ze smutku matkom naszym serce pękło, i tak oto zostaliśmy bez opieki. Mieliliśmy wpraw-

<sup>1</sup> To była specjalnie trudna próba pamięci, jak w doświadczeniach psychologicznych sy-  
laby bez znaczenia.

dzie niezgorszy majątek, ale obydwaj byliśmy spragnieni wiedzy i dlatego rychło wyruszyliśmy na wędrowkę, aby umartwieniami pozyskać łaskę boga Kumary. I oto, kiedy umartwialiśmy się, Władca objawił się we śnie i dał takie zlecenie: «Jest miasto Pataliputra, stolica króla Nandy. Tam żyje bramin nazwiskiem Warsza. Od niego otrzymacie wszelką wiedzę, do niego idźcie».

Podążyliśmy tedy do owego miasta i zasięgnęliśmy języka. — «A jakże, — odpowiedzieli nam ludzie — jest tu taki bramin -idjota, co nazywa się Warsza». Poszliśmy tedy, acz wahając się w duszy: iść, czy nie iść? Ale odrazu ujrzelśmy chatę Warszy. Była w stanie żalonym: myszy powygryzały w niej dziury, tak, że wyglądała jak mrowisko termitów. Ściany porozłaziły się w spojeniach; nie dająca cienia, bo pozbawiona dachu, snadnie zasługiwała na epitet wylęgowiska nędzy. Samego Warszę ujrzelśmy wewnątrz, pogrążonego w kontemplacji. Podeszliśmy zatem do jego małżonki, która przyjęła nas gościnnie. Była wybidzona i wychudzona, w odzieży brudnej i postrzępionej — istne wcielenie ubóstwa, które przyszło podziwiać cuoty bramina. Złożyliśmy przed nią głęboki pokłon i opowiedzieliśmy nasze przygody, wspomniawszy także, co słyszeliśmy o głupocie jej małżonka. Odrzekła: «Skoro mój mąż ma zostać waszym mistrzem, jesteście moimi synami. A zatem pocóż miałabym się wstydzić? Słuchajcie, opowiem wszystko».

I opowiedziała nam cnotliwa niewiasta następującą historję:

«Był tutaj w mieście znakomity bramin Śankaraswamin. Mój mąż Warsza i jego brat Upawarsza byli jego synami. Mąż był głupi i biedny, a jego młodszy brat akurat naodwrot. I dlatego też Upawarsza swojej żonie powierzył nadzór nad gospodarstwem brata.

Zdarzyło się, że nadeszła pora deszczowa. O tej porze niewiasty wypiekają z mąki i melasy paskudne ciastko, któremu nadają kształt nieprzyzwoitych części ciała i które potem ofiarowują pierwszemu lepszemu głupiemu braminowi. Ma to mieć dla ofiarodawcy taki skutek, że w zimie kąpiel nie jest nieprzyjemna, a w lecie nie dokuca gorąco. Kapłani uważają ten zwyczaj za niestosowny i ciastka nie przyjmują.

Moja szwagierka taki właśnie prezent dała mojemu mężowi wraz ze zwykłym darem, jaki się składa braminowi. Wziął i przyniósł do domu, a ja go złażałam za to okrutnie. Wtedy zaczął go dręczyć okrutny gniew na samego siebie, że jest aż taki głupiec. Wyruszył na pielgrzymkę, aby uwielbiać stopy Kumary, i oto bóg, ucieszony jego umartwieniami, objawił mu wszystkie nauki, przyczem dał takie zlecenie: «Skoro tylko znajdziesz bramina, który spamięta tekst po jednym wysłuchaniu, wtedy wiedzę swą ogłoszisz światu». Uradowany, powrócił mój mąż do domu i, powróciwszy, opowiedział mi wszystko. I odłąd trwa w bezustannej modlitwie i rozmyślniach. A zatem wyszukajcie takiego, co pamięta tekst raz usłyszany. Przeprowadźcie go tutaj, a niewątpliwie uzyskacie wtedy spełnienie wszystkich waszych zamierzeń».

To usłyszawszy od małżonki Warszy, daliśmy jej czem prędzej sto złotych dukatów, aby nie cierpiała nędzy, i opuściliśmy miasto. Wędrowaliśmy po świecie i nigdzie nie mogliśmy znaleźć takiego, któryby mógł nauczyć się napamięć raz tylko jeden wysłuchanej recytacji. Znużeni, przybyliśmy dzisiaj do twego domostwa i oto spotykamy to dziecko, twojego syna, który pamięta po jednym wysłuchaniu. Daj go nam, abyśmy poszli pozyskać bogactwo wiedzy».

Na te słowa Wjadięgo z uszanowaniem odrzekła moja rodzicielka: — Wszystko zgadza się doskonale. Wierzę całkowicie w prawdziwość waszej opowieści. Albowiem dawno już temu, kiedy ten oto mój jedynak przyszedł na świat, z nieba rozległ się wyraźnie głos nieziemski: «Oto narodził się taki, co zapamięta raz usłyszane. Wiedzę pozyska od Warszy i mocne podstawy na świecie da gramatyce. Wararuci — «Wyśmienitość lubiący» na imię mieć będzie, bowiem cokolwiek wyśmienitego istnieje, upodoba sobie». Tak przemówiwszy, zamilkł ów głos. Chłopiec podraстал, a ja myślałam wciąż dzień i noc: Gdzie też może być ten mistrz Warsza? Z ust waszych dowiedziałam się dzisiaj, i radość moja jest niezmierna. Prowadźcie go ze sobą; jest waszym bratem, więc nie spotka go chyba nic złego.

Słyszac tę odpowiedź mojej rodzicielki, obydwaj bramini, Wjadi i Indradatta, uradowali się tak bardzo, że nie spali tej nocy, jakby to było święto. Na urządzenie uro-

czystego obchodu wręczył Wjadi mojej matce cały swój majątek, poczem, pragnąc, abym stał się godzien studjować Wedy, dokonał nade mną obrzędu postrzyżyn. Matka, z trudem powstrzymując łzy, pożegnała się ze mną, a oni prędko wyszli z miasta, zabierając ze sobą mnie, który mocą pamięci rozwiąłem całe ich utrapienie. I przekonani byli, że zakwitła dla nich we mnie łaska Kumary. Po pewnym czasie dotarliśmy do chaty Warsz, który również uważał, że przybywam do niego jako wcielone błogostwieństwo boga Skandy.

Na drugi dzień kazał nam usiąść przed sobą na poświęconej ziemi i głosem niebiańskim zaintonował świętą sylabę Om. Odrazu zeszło nań objawienie czterech Wed wraz z sześciu Wedangami, i zaczął nas uczyć. Ja umiałem wszystko, co mówił nauczyciel, po jednym wysłuchaniu. Wjadi po dwóch, a Indradatla po trzech. Jednocześnie, słysząc tak cudowne, niebiańskie dźwięki, bramini, ogarnięci podziwem, zbiegli się zewsząd gromadnie, aby zobaczyć, co się stało. I bijąc poklony, wystawiali Warszę bez końca szanownemi usty.

Oglądając taki cud, nietylko Upawarsza, ale wszyscy mieszkańcy Pataliputry z radości wyprawili wielkie święto. A także i król Nanda, słynny ze swych bogactw, uradował się bardzo, widząc, jak wielka jest potęga daru Skandy. I w dowód czci kazał skarbanami wypełnić chatę Warsz.

*Thum. St. Schayer.*

## V. LITERATURA W JEZYKACH NOWOINDYJSKICH

### PARAFRAZY Z POEZJI MARATYJSKIEJ

NAMDEW

(1270—1328?)

#### 1

Jak mrówka grudkę krowiej mierzwy,  
Tak człowiek ciągnie i popycha  
Z trudem wóz życia.  
Ale świat popędza biczem ciągle naprzód.

Moja dusza idzie do źródła,  
Tam ją z kurzu i pyłu wypierze  
Miłosierna praczka — mój Bóg.

U stóp Jego usiądę, wypocznę,  
Moje serce błogość napętni i spokój.  
Namdew śpiewa: O Panie,  
Zlituj się, zlituj nade mną!

#### 2

W wielorakie kształty ubiera się Bóg.  
Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie jest On,  
Sobą wypełnia wszystko, co jest.  
Ale pod Maji zasłoną stubarwną  
Niekądy Go odnajdzie.

Na jednej nici jedwabiu pereł tysiące wiszą.  
Fale i piana, i wir czemże się różnią od wody?  
Ten świat jest Boga Igraszka, Boga Snem,  
Jakaż być może różnica pomiędzy światem a Nim?

Namdew mówi: W każdej rzeczy,  
W każdym sercu mieszka Bóg.

## 3

Niepokalany, przezysty, wonią sandału pachnący  
 Bóg w mojem sercu zamieszkał.  
 O siostrzo, któż Go pozna, Niezglębionego wymierzy głębię?  
 Pod nieba namiotem ptaki latają skrzydlate,  
 Śladu ich lotu oko nie ujrzy;  
 W morza otchłani ryby się pluszczą srebrzyste,  
 Ich ścieżki w wodzie oko nie ujrzy:  
 Taki, o Siostrzo, jest Bóg — nieuchwytny jak Fata Morgana.

## 4

Jeden Bóg przemawia w naszym sercu,  
 Nikt nie myśli swoich własnych myśli.  
 W słońcu, w mrówce jedno życie drga,  
 Z jednej gliny jesteśmy naczynia.  
 W martwym kamieniu, w żywym stworzeniu,  
 W marnym robaku, w słabym motyłu,  
 W piersi człowieka mieszka jeden Bóg.  
 Namdew mówi: Nie mam żadnych życzeń,  
 Jakaż jest różnica pomiędzy panem i sługą?

## TUKARAM

(1608—1649)

## 1

Kto zrozumiał tę prawdę jedyną,  
 Że Bóg prawdziwy to cały świat,  
 Ten Bogu bliski.  
 Gdziekolwiek spojrzy — widzi go wszędzie,  
 W jego sercu nie mieszka radość, ani złość,  
 Jedność ze wszystkim, co żyje, osiągnięta została.  
 Tuka mówi: dwójnia czy niedwójnia?  
 To pytanie dla mnie nie istnieje już.

## 2

Dla ślepego — każdy ślepy,  
 Bo nie widzi cudzych oczu.  
 Dla chorego każda słodycz jadem,  
 Bo chorego usta smak straciły.  
 Tuka mówi: kto jest sam nieczysty,  
 Ten w trójświecie całym widzi tylko grzech.

## 3

Tyś moją matką, ja twoje dziecko,  
 O, nie odtrącaj mnie, o Withabai!  
 Tyś matka-krowa, ja twoje cięle,  
 Mleka mi nie skąp, o Withabai!  
 Tyś matka-łania, ja twe sarniątko,  
 Ziść me nadzieje, o Withabai!  
 Tyś kura-kwoka, ja twe pisklątko,  
 Daj mi się najeść, o Withabai!  
 Jako żółwica dzieci chowa pod sobą,  
 Tak bądź mi dobra, o Withabai!<sup>1</sup>  
 Tuka powiada: Pośpiesz prędko, prędko!  
 Zapadam w głębię! Ratuń tonącego!

<sup>1</sup> Withabai, Withoba albo Withal jest żeńską nazwą Wisznu, pojętego jako dobrotliwa matka-opiekunka ludzkości. Porównaj Kwannon w buddaizmie.

## PARAFRAZY Z ADI-GRANTHU

(W j ę z y k u H i n d i)

RAJDAS

(1400—1450)

1

Jeśli będziesz pagórkim, ja Twoim pawiem będę,  
 Jeśli będziesz księżycem, ja będę Twoim Czakorą,  
 I jeśli związku nie zerwiesz, o Panie, jakżebym ja  
 Mógł zerwać ten związek miłości?

Jeśli lampą zapłoniesz, będę knotem tej lampy,  
 Jeśli staniesz świątynią, będę Twoim pielgrzymem,  
 Moje serce przyniosę w ofierze,  
 Wszelkiej innej zapomnę miłości.

I cokolwiek uczynię, będzie służbą pokorną,  
 Oprócz Ciebie, o Boże, nie znam władcy innego,  
 Ciebie będę uwielbiać i pętlicę śmierci,  
 Na mej szyi pętlicę rozerwę.

Raj-Das śpiewa i służy Najwyższemu Panu.

2

Tyś jest drzewem sandału — ja mizerną rośliną,  
 W Twoim cieniu rosnę, o Panie!  
 Ale z marnego krzaku konary wyrosły,  
 I Twój zapach nasycił me liście.  
 Boże, oto schronienia szukam u Twoich stóp.  
 Czemże są moje cnoty przed Twoją miłością?  
 Tyś jest białą i żółtą tkaniną z jedwabiu,  
 A człowiek gąsienicą, szarym jedwabnikiem.  
 Świętych mężów, o Boże, mądrość pragnę spijać,  
 Jak pszczoła słodycz miodu z kielicha kwietnego.

Niedosć służyłem Panu — mówi Raj-Das garbarz,  
 Podła jest moja kasta, ród i pochodzenie.

## BABA-NANAK

(1469—1538)

1

Dla ryby, co w morzu się pluszcze,  
 I czemże jest głębia?  
 Skąła nie marznie na chłodzie,  
 Eunuch nie zna miłości.

Napróżno psa maścić wonnością sandału,  
 Nic już nie zmieni jego psiej natury.  
 Napróżno głuchemu czytać święte księgi,  
 Głuchy nie słyszy głosu mądrości.  
 Jarzące światło przed ślepym postawcie,  
 Sto lamp zapalcie, nie przewidzi ślepy.  
 Złoto garściami rozsypcie przed bydłem,  
 Pożerać trawy nie przestanie bydlę.  
 Na ogniu zmięknie twarde żelazo,  
 W białą bawełnę nie zmieni się nigdy.  
 Nanak wie dobrze: Do głupca napróżno  
 Przemawia mędrzec.

## 2

Jeśli Bóg zechce, to lwy, sokoły, jastrzębie  
 I sępy trawę jeść będą,  
 A baran łagodny inne pożerać zwierzęta.  
 Bóg może wszystko:  
 Pośrodku rzeki postawić górę wysoką  
 I strumieniami zrosić piasek pustyni gorącej,

Z komara słonia uczynić,  
 I całe zastępy rycerzy  
 Obrócić w pył.

Nanak powiada:  
 Jak się Jedyńemu, Prawdziwemu podoba,  
 Tak on ustanawia naturę stworzenia.

## 3

Jestem niewolnik sprzedany,  
 Sam siebie sprzedałem  
 Na boskim bazarze za boskie słowo.  
 Gdzie mnie postawią, tam stoję.

O królu! Weź mnie ze sobą!  
 Kiedy pragnący będziesz, wodę Ci podam we dzbanie.  
 Kiedy głodny będziesz, kolacze upiekę  
 I wachlarzem chłodzić Cię będę.

Nanak powiada: Zaiste,  
 Niedosć wielką być może wdzięczność niewolnika,  
 Bowiem bez łaski Pana wyzwolenia nie posiadł  
 Dzisiaj i dawniej, i po wszystkie czasy  
 Nikt jeszcze.

## 4

Wołami są uczniowie, Nauczyciel oraczem,  
 Rolą jest księga, brózdami są Litery,  
 Znój spływa na ziemię ze skroni oracza,  
 Inni będą spożywać plony jego siejby,  
 Złote snopy zawiozą do śpichrza.  
 Tako Nanak rozumie Drogę do Prawdy.

## 5

Kiedy milczący siedzę, mówią, że milczę z głupoty.  
 Kiedy przemawiać pragnę, krzyczą: A zamilcz, gaduło!  
 Kiedy spocznę, palcami pokazują na mnie.  
 Kiedy wędrować zaczynam, drwią, że jestem włóczęgą.  
 Kiedy w modlitwie pokornie skłonię do ziemi czoło,  
 Mówią, że jestem pobożny tylko ze strachu przed Bogiem.  
 Cokolwiek uczynię, ludzie wyśmiewają i wykpią,  
 I nigdzie nie mam spokoju przed ich złośliwą mową.  
 O Boże! Osłoń opieką dobre imię Nanaka  
 Teraz, dopóki żyje, i po jego śmierci.

## AMAR-DAS

(1479—1574)

W ogniu stoi cały świat,  
 Boże, miej litość nad nami!  
 Jakkolwiek bądź, czemkolwiek bądź  
 Ugaś płomień pożaru.  
 Ześlij, o Panie, ratunek,  
 Jeśli ratunek jest jeszcze.

Dawcę śmierci i życia  
 Wielbij słowami prawdy —  
 On rozproszy i zniweczy  
 Ból, cierpienie i udrękę.

Jeśli w głębi Twego serca  
 Bóg zamieszka, Bóg jedyny,  
 Wiedz, radością i zaszczytem  
 Będzie chwila przyjścia śmierci.

## GOBIND SINGH

(1664—1708)

1

O ty, który ujarzmasz mocarstwa  
 I zastępy zbrojne miażdżysz i kruszysz na pył —  
 Który mężnego wspierasz w szczęku i zgiełku bitwy,  
 Boże, mój Boże!  
 Niepokonalne są twoje ramiona.  
 Jak błyskawicy wstęga,  
 Błyszczy Twoja Wspaniałość  
 I razi wzrok, niby promień słońca.  
 Szczęście cnotliwym, zgubę zsyłasz niewiernym,  
 Twoja pieść druzgocze grzesznika.  
 Boże, u Twoich stóp szukam schronienia, uciezki.  
 Sława Ci, sława, Stwórco, Zbawicielu wszechrzeczy,  
 Sława i Tobie najdroższy,  
 Śmierć i zniszczenie niosący,  
 Mieczu błyszczący  
 W mej dłoni!

2

A gdybym ze wszystkich wysep tego świata  
 Zeszył tylko jedną pergaminu kartę,  
 Oceanów głębię wlał do kałamarza  
 I jedno wielkie pióro wystrugał ze wszystkich  
 Lasów, które rosną pod przestworzemi nieba,  
 I gdyby Saraswati, bogini Wymowy,  
 Przez wieczność stuleci dyktować poczęła,  
 I gdyby moja ręka, jak ręka Ganeśi  
 Pisała i pisała, bez przerwy, bez przerwy —  
 O Boże, który mieczem tępisz nasze grzechy!  
 Twej potęgi opisać nie zdołałbym nigdy.

*Tłum. St. Schayer.*

*Wybór tekstów i układ St. Schayera.*



# PIŚMIENNICTWO W ŠUMERO-AKKADZIE, BABILONJI I ASYRJI

---

## NAPIS NA STOŻKU ENTEMENY

Zawiera opis fragmentów wojny m. Lagaš z m. Umma, prowadzonej od czasów Mesilim, kr. m. Kiš, suwerennego władcy Šumeru, — a ostatnio prowadzonej za panowania:

Eannatum, patesiego m. Lagaš, i Uš, patesiego m. Ummy;

Eannatum, patesiego m. Lagaš, i Urlumma, syna Enakalli, patesiego m. Ummy;

Eannatum, patesiego m. Lagaš, i Urlumma, patesiego m. Ummy.

Patesiowie (księżęta-kapłani) występują w napisie, zgodnie z pojęciami polityczno-religijnymi Šumeru, w charakterze wykonawców woli opiekujących bogów swych miast, którzy są faktycznymi władcami tych miast i jedynymi kierownikami ich losów.

Naskutek świętego zarządzenia boga Enlila, króla krajów, ojca bogów, bóg Ningirsu i bóg (...) wytknęli granicę, a naskutek zarządzenia bogini Kadi Mesilim, kr. m. Kiš, postawił tam stelę.

Wszelako Uš, patesi Ummy, postąpił zuchwale, według swych planów: stelę usunął i najechał terytorjum m. Lagaš.

Wówczas rozpoczęła się wojna z Umma z świętego zarządzenia boga Ningirsu, wojownika boga Enlila.

Na rozkaz boga Enlila spadła wielka sieć na wroga. Na polu, w miejscu bitwy, zostały usypane mogiły.

Eannatum, patesi m. Lagaš, dziad Entemeny, pat. m. Lagaš, spotem z Enakallim, patesim m. Ummy, wytknął na nowo granicę: wykopał rów, ciągnący się od Wielkiej rzeki aż do Guedin, nad rowem ustawił stelę, tam ustawił również stelę Mesilima, — na teren m. Ummy nie wszedł — (na polu) im-dub-ba boga Ningirsu i (na polu) nam-nun-da-ki-gar-ra zbudował kaplicę bogu Enlilowi, bogini Ninharsag, bogu Ningirsu i bogu Babbar, a jako haracz nałożył jeden gur zboża dla bogini Nina i dla b. Ningirsu, w razie zaś niedostarczenia tego zboża jeszcze 40 sar wielkich gur. Urlumma, patesi m. Ummy, kazał wypuścić wodę z rowu granicznego b. Ningirsu i z rowu granicznego bogini Niny, stelę spalił, odrzucił, zburzył kaplice, wzniesione bogom na nam-nun-da-ki-gar-ra, najechał kraj, przekroczył rów graniczny b. Ningirsu.

Eannatum, patesi m. Lagaš, wydał mu bitwę na polu ugig-ga, na terytorjum boga Ningirsu.

Entemena, ukochany syn Eannatum, pobił Urlummę. Urlumma zbiegł. Eannatum ścigał go aż do miasta Ummy, zabił go. Z jego armji 60 mężów pozostawił trupem nad brzegiem kanału lum-ma-gir-nun-ra. Tych żołnierzy, ich kości pozostawił w polu. Usypał mogiłę w 5 miejscach. Podówczas Ili był kapłanem w Ninni-eš. Entemena szedł jako zwycięzca od m. Girsu do m. Ummy. Ili otrzymał patesiat m. Ummy.

Entemena kazał kopać (rów) aż do wody, postawił kaplicę przy rowie granicznym b. Ningirsu, przy rowie granicznym b. Niny, przy imdub-ba b. Ningirsu, które sięga aż do brzegu Tygrysu, przy m. Girsu, przy nam-nun-da-ki-gar-ra bogini Ninharsag, — do zboża dla m. Lagaš dodał 1 sar gur.

Entemena, patesi m. Lagaš, wydał rozkaz: Ili, którego postawił w bogaectwie, patesiemu m. Ummy, kazał wykopać rów graniczny b. Ningirsu i rów graniczny bogini Niny na kar-kar, które planowało oderwanie się, nakazał sprowadzenie wody z an-ta-sur-ra aż do świątyni boga Dingalabzu.

Entemena, patesi m. Lagaš, którego tem imieniem nazwał b. Ningirsu, z świętego rozkazu boga Enlila, z świętego rozkazu b. Ningirsu i z świętego rozkazu bogini Niny przekopał rów od Tygrysu aż do Wielkiej rzeki, na terenie nam-num-da-ki-gar-ra, wyłożył go kamieniami, i przywrócił go swemu królowi, który go kocha, bogu Ningirsu, i swej pani, która go kocha, b. Ninie. Entemena, patesi m. Lagaš, obdarzony bertem przez boga Enlila, obdarowany rozumem przez b. Enki, wybrany w sercu przez boginię Ninę, jest wielkim patesim boga Ningirsu, który sprawia, że wykonywane są zarządzenia bogów.

Niech jego bóg Dun-x zabiega na przyszłość przed bogiem Ningirsu i przed boginią Niną o życie dla Entemeny.

Jeżeliby mieszkańcy m. Ummu, dla zrabowania ziemi w swoje ręce, przekroczyli rów graniczny boga Ningirsu, rów graniczny bogini Niny, to, czy to będą mieszkańcy miasta Ummu, czy mieszkańcy krajów, niech ich zniszczy bóg Enlil, niech rzuci na nich wielką sieć boga Ningirsu, niech położy na nich swoją wielką rękę, swoją wielką nogę, wojownicy jego miasta niech będą pełni złości, w jego mieście niech szerzy się rozpacz.

(F. Thureau — Dangin, *Sumerisch-akkadische Königsinschriften*).

### NAPIS NA KOCIOŁKU URUKAGINY

Składa się z dwóch części. W pierwszej części autor czarno maluje stan bezprawia w kraju przed reformą prawną króla Urukaginy, natomiast w drugiej części odtwarza świetny stan kraju po reformie Urukaginy.

Urukagina, król miasta Lagaš, zbudował bogu Ningirsu pałac tiraš, wojownikowi boga Enlila zbudował antasurra — bogini Bau zbudował bur-sag, magazyn dla jej darów, zbudował mal-lu-ur w jej świętem mieście — wykopał dla bogini Niny jej umiłowany kanał, który się ciągnie do miasta Niná. — Jego pojemność zrobił równą wnętrzu morza. — Wzniósł mury koło m. Girsu.

Oddawna, od samego początku, marynarze przebywali na okrętach — pasterze przebywali przy osłach — owczarze przebywali przy owcach — rybacy przebywali przy stawach — pašišu odmierzali zboże, rosnące na nawodnionych miejscach — pasterze wełniastych owiec, jeśli nie mieli białej owcy, dawali pieniądze — kalmahhu, abrakku, agrig, dostawcy chleba i napojów, aklu, w braku mlecznego baranka dawali pieniądze — woły bogów były używane do nawadniania pól patesiego — piękne pola, oddane bogom, stanowiły miejsce radości patesiego — osły pociągowe i piękne woły kapłani zabierali dla siebie — zboże kapłani rozdawali ludziom patesiego, podobnie rozdawali ubrania, materje, tkaniny, wyroby z brązu, ptaki, kozłeta, które inni kapłani składali jako dary — kapłani wyrwali drzewa w ogrodzie matki biednego, zabierali owoce. Jeżeli umarły był chowany w grobie, płacono za to napoju 7 dzbanów, pożywienia 420 chlebów, 120 qa zboża, nadto jeszcze jedno ubranie, jedno kozłę i jedno łoże, które otrzymywał hu-ninni, — pomocnik pogrzebowy otrzymywał 60 qa ziarna. — Jeżeli umarły był składany w grobie b. Enki, to płacono naówczas napoju 7 dzbanów, pożywienia 420 chlebów, 120 qa zboża, nadto 1 ubranie, 1 łoże i 1 zydel, które otrzymywał hu-ninni — pomocnik pogrzebowy otrzymywał 60 qa ziarna. Rzemieślnicy i robotnicy otrzymywali (...). Dom patesiego i pole, dom haremu i pole haremu, dom dzieci i pole dzieci, były zabierane bogom-opiekunom. Na terytorjum boga Ningirsu wszędzie byli nadzorcy. Jeżeli poddany królewski wykopał studnię nawprost swego pola, położonego wysoko, to przy niej przebywał igidu. Niewolnictwo istniało zdawien dawna.

Gdy Bóg Ningirsu, wojownik boga Enlila, dał władzę w mieście Lagaš królowi Urukaginie, i gdy mu zlecił jej sprawowanie nad 10 sar ludzi, wówczas ten wznosił zarządzenia z dawnych czasów, przywrócił w kraju prawa, które dał jego król, bóg Ningirsu:

I oto z okrętów usunięto marynarzy okrętów — od osłów i owiec usunięto pasterzy — z nad stawów usunięto nadzorców-rybaków, od rosnącego zboża usu-

nięto paśišu, od śpichlerzy zboża usunięto nadzorców — zostało zniesione wpłacanie pieniędzy w braku białej owcy i w braku mlecznego baranka — usunięto nadzorców od darów, które kapłani przynosili do pałacu. Do domu patesiego i na pole patesiego wrócił bóg Ningirsu, jako ich pan — do domu haremu i na pole haremowe wróciła bogini Bau, jako ich pani — do domu dzieci i na pole dzieci wrócił bóg Duns(a)gana, jako ich pan. W granicach terytorjum boga Ningirsu aż do morza nie było nadzorców. Jeżeli umarły był chowany w grobie, płacono teraz napoju 3 wazy, pożywienia 80 chlebów, 1 łóżko, jedno koźłę, które otrzymywał ħu-ninni — pomocnik pogrzebowy otrzymywał 30 qa zboża. — Jeżeli umarły był złożony w grobie boga Enki, to składano napoju 4 wazy, pożywienia 240 chlebów, ħu-ninni otrzymywał 60 qa ziarna, pomocnik pogrzebowy 30 qa zboża — nadto 1 chleb otrzymywał sag-lal-sal, i 1 qa oleju (?) otrzymywała kapłanka, 420 chlebów przeznaczano na chleby pokładne, 40 chlebów upieczonych przeznaczano na ucztę, 10 chlebów upieczonych na stół, 5 chlebów dla (...), 2 hubur i jedną amforę napoju otrzymywał kalû (kapłan) w Girsie — 490 chlebów, 2 hubur i jedną amforę napoju kalû w Lagaś, 406 chlebów, 1 huber i 1 amforę napoju kalû — następnie 250 chlebów, 1 hubur napoju przeznaczano dla rzemieślników, 180 chlebów, 1 hubur dla abaś-ši w mieście Ninâigidu, który przedtem otrzymywał 1 chleb na ucztę i 5 czarnych chlebów, teraz otrzymywał 1 chleb biały i 6 czarnych chlebów — 6 chlebów, 1 hubur napoju i 30 qa zboża otrzymywali ludzie, którzy byli czynni przy (?)ped-dug-x-a-zar-la, robotników i rzemieślników zwolnił od (...) Żaden kapłan nie wchodził do ogrodu matki biednego. Jeżeli poddanemu króla ułagł się osiołek, a jego pan rzekł do niego: «Chcę go kupić od ciebie», (ten) mógł mu powiedzieć: «Płać dobrymi pieniędzmi»; jeżeli pan nie kupił, to nie śmiał mścić się na poddanym króla. Jeżeli dom możnego znajdował się obok domu poddanego króla, a możny rzekł do niego: «Chcę go kupić», to jeśli go kupował, ten mógł mu powiedzieć: «Płać dobrymi pieniędzmi, mój dom jest (...)», a jeśli go nie kupił, możny nie śmiał mścić się na poddanym króla.

Wydał zarządzenia mieszkańcom miasta Lagaś (...), uwolnił ich od posuchy, kradzieży, mordów.

Nad sierotą i wdową możny już nie czynił bezprawia. Urukagina zawarł umowę z b. Ningirsu.

W ciągu tego roku wykopał dla boga Ningirsu kanał, któremu dał nazwę «Bóg Ningirsu jest wielkim panem w mieście Nippur». Tak nazwał Urukagina kanał, który się ciągnie aż do miasta Ninâ.

Oby bogini Ninâ dostarczała zawsze żywej wody do tego kanału, którego wnętrze jest święte.

(F. Thureau — Dangin, *Sumerisch-akkadische Königsinschriften*).

## ENUMA ELIŠ

### Tablica pierwsza

Treść: 1) Stworzenie bogów przez pierwotne wodne żywioły.

2) Bunt młodszych bogów.

3) Planowanie kary za bunt.

4) Podstęp boga Ea, który uprzedza wykonanie kary i przy pomocy zaklęcia morduje sprawców planu kary Apsù i Mummu.

5) Wezwanie Tiāmat przez innych bogów do zemsty na bogach młodszych za mord Apsù i Mummu.

6) Przygotowania Tiāmat do walki.

1. Gdy u góry niebo nie było nazwane,

2. na dole ziemia nie była wymieniona z imienia,

3. a Apsù, znakomity ich twórca,

4. Mummu i Tiāmat, rodzicielka wszystkiego,

5. swe wody razem toczyli, —

6. i nie powiązały się korzenie trzciniowe, ni były widziane kępy —

7. gdy nie istniał żaden bóg,
8. ni jego imię było wymienione, i losy nie były wyznaczone —
9. stworzeni zostali wśród nich bogowie,
10. ukazali się bóg Lahmu, bogini Lahmu — i zostali nazwani imionami.
11. Czasu przybywało, przyrastało,
12. i zostali stworzeni Anšar i bogini Kišar, więksi od tamtych.
13. Długo ciągnęły się dni, przybywało lat,
14. i oto stał się bóg Anu, ich syn, równy swym ojcom.
15. Boga Anu, swego pierworodnego, Anšar zrobił równym sobie —
16. a bóg Anu na podobieństwo swoje zrodził boga Nudimmud.
17. Bóg Nudimmud, dziecko swych ojców,
18. z szeroko rozwartymi uszami, — możny w siłę,
19. wielce potężny, bardziej niż rodzic jego ojca Anšar,
20. nie miał równego sobie między bogami, swymi braćmi.
21. I stanęli bracia bogowie,
22. zbuntowani przez Tiāmat, i okrzykiwali swego przywódcę —
23. zaniepokoił ducha Tiāmat
24. wkroczeniem do Anduruna.
25. Apsù nie zmniejszył ich krzyku,
26. Tiāmat stała bolesna z powodu ich...
27. ich czyny były dla niej bolesne,
28. ich postępek nie był dobry — a oni byli potężni.
29. Wtedy Apsù, rodzic wielkich bogów,
30. wezwał boga Mummu, swego namiestnika, i rzekł do niego:
31. «Mummu, namiestniku, który rozradowujesz serce moje,
32. chodź, oto pójdziemy do Tiāmat».
33. Poszli do Tiāmat, usiedli
34. i radzili nad planem z powodu bogów, swych synów.
35. Apsù otworzył swe usta, rzekł do niej,
36. do czystej Tiāmat wyrzekł słowa:
37. «Ich postępek jest bolesny dla mnie,
38. we dnie nie znajduję spokoju, w nocy nie śpię,
39. chcę zniszczyć, ich wystąpienie chcę zniweczyć,
40. niech wróci spokój, będziemy spali».
41. Gdy usłyszała to Tiāmat,
42. powstała, krzyknęła ku swemu małżonkowi,
43. mocno wzburzona w sobie —
44. zło wrzuciła do swego serca —
45. «Co? Cośmy zrobili, to mamy zniszczyć?
46. Ich wystąpienie jest bolesne, lecz my postąpmy pobłażliwie».
47. Odpowiedział na to Mummu, dając radę Apsù,
48. a zła i nieżyczliwa była rada Mummu:
49. «Idź, tyś mocen, knowanie zniszcz,
50. we dnie będziesz spokojny, w nocy będziesz spał».
51. Słuchał go Apsù, i rozjaśniła mu się twarz,
52. że zło wymyślił przeciw bogom, swym dzieciom —
53. i objął Mummu za szyję,
54. usiadł na jego kolanach, ucałował go.
55. Co uplanowali na swem zgromadzeniu,
56. to oznajmili swym pierworodnym bogom.
57. Bogowie płakali, podniecali się,
58. milczeli, siedzieli smutni. —
59. O rozszerzonych uszach, przebiegły w pomysłach,
60. bóg Ea, świadomy wszystkiego, przeniknął ich plan.
61. Utworzył sobie obraz wszystkiego, umocnił go,

62. ułożył czyste zaklęcie, przechodzące wszystko,  
 63. odmówił je i sprawił, że zapanowało nad wodami.  
 64. Jego samego Apsù oczarował podczas snu, gdy leżał w grocie,  
 65. sprowadził sen na Apsù, czarujący sen.  
 66. Główne części boga Mummu odciał boleśnie;  
 67. rozciął mu związkę (na głowie), tak, że zeń spadła korona,  
 68. pozbawił go blasku: tem został zhańbiony.  
 69. Apsù spętał i zabił.  
 70. Boga Mummu związał i rozbił mu czaszkę.  
 71. Nad Apsù ustanowił swą stolicę.  
 72. Boga Mummu pochwycił i udreki mu powiększył.  
 73. Potem powiązał swych nieprzyjaciół i pozabijał.  
 . . . . .  
 . . . . .  
 93. «Zabili twego małżonka Apsù».  
 94. Bolesne lała łzy, siedziała, rozpaczając.  
 . . . . .  
 . . . . .  
 96. «Nie będziemy spali, aż go pomścimy.  
 97. Teraz oto jest zabity twój małżonek Apsù,  
 98. ... i bóg Mummu, który był związany. Nie zasiadasz ty jedna tylko.  
 99. Śpiesz się żywo,  
 100. zemścimy się na nich i będziemy spali,  
 101. bowiem wylane są nasze wnętrzości, zaslepiły są oczy nasze. —  
 102. Zemścimy się i będziemy spali  
 103. ...zemścij się na nich  
 104. ...zniszcz cyklonem».  
 105. Wysłuchiwała Tiāmat mowy czystego boga.  
 106. «...zaiste daliście, oto chcemy stworzyć potwory».  
 107. ...bogowie w Anduruna  
 108. ...przybliżyli się ku bogom-rodzicom.  
 109. Przeklinają dzień, posuwają się przy boku Tiāmat,  
 110. są gniewni, planują, są niespokojni w nocy i we dnie,  
 111. niosą walkę, srożą się, wściekają się,  
 112. gromadzą się, przygotowują bitwę.  
 113. Matka Ĥubur, twórczyni wszystkich rzeczy,  
 114. dostarczyła im broni, jakiej niema równej: zrodziła wielkie smoki  
 115. z ostremi zębami, z pazurami, nie oszczędzającemi nikogo;  
 116. jadem, jako krwią, wypełniła ich ciało.  
 117. Straszne potwory przydziała w grozę,  
 118. zaopatrzyła je w blask, zrobiła je podobnemi do bogów.  
 119. Kto na nie spojrzy, ginie od strachu.  
 120. Ich ciało podnosi się, nie odwraca się ich pierś.  
 121. Wystawiła jaszczura, straszного żmija i lałami,  
 122. olbrzymie lwy, złe psy, skorpiona-człowieka,  
 123. drapieżne ũ-mi, rybę-człowieka, rybę-barana —  
 124. niosące oręż, który nie oszczędza nikogo, nie lękające się walki.  
 125. Jej zarządzenia są potężne, są nie do sprzeciwienia im się.  
 126. Ogółem stworzyła ich jedenaście.  
 127. Pośród bogów swych pierworodnych, których zwołała na zgromadzenie,  
 128. wywyższyła boga Qingu, zrobiła go wielkim między nimi:  
 129. do niego należy iść pierwszym na czele armji, prowadzić wojsko, —  
 130. on niesie broń, poczynającą walkę.  
 131. Dowództwo w walce  
 132. złożyła w jego ręce, kazała mu usiąść w szacie, powiadając:  
 133. «Dałam ci zaklęcie, w zgromadzeniu bogów uczyniłam cię wielkim,

134. władzę nad wszystkimi złożyłam w twoje ręce,
135. winienesz być wielkim, jesteś jedynym moim mężem,
136. imię twe będzie wielkim, nad wszystkie imiona bogów Anunnaki».
137. Dała mu tabliczkę z losami, zawiesiła mu ją na piersi,
138. mówiąc: «Twój rozkaz nie będzie odmieniony, ostanie się to, co wynijdzie z ust twych».
139. Wywyższony bóg Qingu bierze teraz władztwo,
140. wyznacza role bogom, swym synom, (powiadając do nich):
141. «Otwórzcie usta swe, niech zgaśnie Ogień,
142. mocarny w walce niech złamie potęgę».

#### Tablica druga

- Treść: 1) Zabiegi boga Ea, zmierzające do unieszkodliwienia działalności Tiāmat.  
 2) Oburzenie boga Anšar na wiadomość, że Tiāmat się zbroi.  
 3) Wezwanie do walki z Tiāmat najpierw boga Ea, potem boga Marduka.  
 4) Warunki Marduka, na których ten skłania się podjąć walkę z Tiāmat.

1. Tiāmat skończyła dzieło swoje:
2. przygotowała walkę przeciw bogom, swemu nasieniu,
3. dla pomszczenia Apsú Tiāmat wymyśliła zło.
4. Gdy walkę przygotowała, powiedziała o tem bogu Ea.
5. Bóg Ea wysłuchał tej mowy,
6. zasmucił się wielce, usiadł rozboleły.
7. Dni ciągnęły się. Gdy jego gniew osłabł,
8. udał się w drogę do Anšar, swego ojca,
9. pośpieszył przed ojca, swego rodzica Anšar,
10. i wszystko, co wymyśliła Tiāmat, powtórzył mu,
11. jako to: «Tiāmat, nasza rodzicielka, jest nam wroga,
12. zwołuje zgromadzenie, sroży się okrutnie.
13. Stanęli dokoła niej wszyscy bogowie
14. z wyjątkiem tych, których tyżeś stworzył, i idą obok niej.
15. Złorzeczą dniowi, postępują przy boku Tiāmat,
16. złoścżą się, planują, nie spoczywają w nocy i we dnie,
17. niosą walkę, srożą się, wściekają się,
18. organizują tłum, przygotowują walkę.
19. Matka Ĥubur, która stworzyła wszystkie rzeczy,
20. dostarczyła im broni, jakiej niema równej: zrodziła wielkie smoki
21. z ostremi zębami, z pazurami, nie oszczędzającemi nikogo;
22. jadem, jak krwią, wypełniła ich ciała.
23. Straszne potwory przyrodziła w grozę,
24. wyposażyła je obficie w blask, wypuściła je jak bogi.
25. Kto na nie spojrzy, ginie od strachu.
26. Ich ciało podnosi się, nie odwraca się ich pierś.
27. Wystawiła jaszczura, straszного żmija i lahami,
28. olbrzymie lwy, złe psy, skorpjona-człowieka,
29. drapieżne ũ-mi, rybę-człowieka, rybę-barana,
30. niosące oręż, który nie oszczędza nikogo, nie lękające się walki.
31. Jej zarządzenia są potężne, są one nie do sprzeciwienia im się.
32. Ogółem, jak te, stworzyła ich jedenaście.
33. Pośród bogów swych pierworodnych, których zwołała na zgromadzenie,
34. wywyższyła boga Qingu, zrobiła go wielkim między nimi:
35. do niego należy iść pierwszym na czele armji, prowadzić wojsko, —
36. on niesie broń, poczynającą walkę.
37. Dowództwo w walce
38. złożyła w jego ręce, kazała mu usiąść w szacie, powiadając:
39. «Dałam ci zaklęcie, w zgromadzeniu bogów uczyniłam cię wielkim,
40. władzę nad wszystkimi bogami złożyłam w twoje ręce,

41. winienes być wielkim, — jesteś jedynym moim mężem,  
 42. imię twe będzie wielkim, — nad wszystkie imiona bogów Anunnaki».  
 43. Dała mu tabliczkę z losami, zawiesiła mu ją na piersi,  
 44. mówiąc: «Twój rozkaz nie będzie odmieniony, ostanie się to, co wynijdzie z ust twych».  
 45. Wywyższony bóg Qingu bierze teraz władztwo,  
 46. wyznacza role bogom, swym synom, (powiadając do nich):  
 47. «Otwórzcie usta swe, niech zgaśnie Ogień,  
 48. mocarny w walce niech złamie potęgę».  
 49. Gdy usłyszał bóg Anšar, że Tiāmat jest niespokojna wielce,  
 50. jął bić się po biodrach, gryźć sobie usta,  
 51. zasmuciło mu się serce, jego duch stracił błogość,  
 52. ...zmienił mu się głos,  
 .....  
 54. «oreź, który uczyniłeś, nosisz zaiste,  
 55. boga Mummu i Apsû zabiteś.  
 56. Ona wywyższyła boga Qingu. Idź naprzeciw niej  
 57. ....rozwagi».  
 58. Odpowiedział mu na to doradca bogów, bóg Nudimmud.  
 .....  
 71. Anšar zawołał gniewnie  
 72. i do boga Am, swego syna, rzekł:  
 73. «Uparty jest ten potężny wojownik,  
 74. ale czyje siły są wielkie, tego natarcie nie ma równego.  
 75. Idź, stań naprzeciw Tiāmat,  
 76. niech uspokoi się jej duch, niech do błogości wróci serce.  
 77. A jeżeli nie usłucha twego słowa,  
 78. ja jej powiem nasze słowo, a ta zaiste uspokoi się».  
 79. Usłuchał Anu wezwania swego ojca Anšar,  
 80. skierował pochód prosto ku niej, pośpieszył jej drogą. —  
 81. Bóg Anu przybliżył się, plan Tiāmat przejrzał,  
 82. ale nie mógł ostać się przed nią, zawrócił zpowrotem.  
 83. Przestraszony przybiegł do ojca, rodziciela swego Anšar,  
 84. i tak rzekł doń, jak do Tiāmat:  
 85. «Ręka moja jest za słaba, żeby cię spętać swą mocą».  
 86. Anšar zasmucił się, patrzył w ziemię,  
 87. wzdychał, — zwrócił głowę swą ku bogu Ea.  
 88. Zgromadzili się wszyscy bogowie Anunnaki na miejscu,  
 89. ale usta ich były zamknięte, siedzieli, szlochając:  
 90. oto nikt z bogów nie występuje do walki,  
 91. nikt nie jest w możności ująć z życiem przed Tiāmat.  
 92. Pan Anšar, ojciec bogów, zasiadł majestatycznie,  
 93. zastanowił się w swem sercu i rzekł do bogów Anunnaki:  
 105. «Czyje siły są potężne, ten będzie mścicielem swego ojca.  
 106. Tym, który będzie karcicielem w walce, będzie mężny bóg Marduk».  
 107. Bóg Ea zawezwał boga Marduka na miejsce decyzji.  
 108. (A gdy ten) przyszedł, rzekł do niego, zgodnie z pragnieniem swego serca:  
 109. «Marduku, rozważ projekt, wysłuchaj swego ojca,  
 110. jesteś moim synem, który zadowala serce,  
 111. zbliż się z holdem do Anšar,  
 112. otwórz swe usta, stań, gdy on na cię spojrzy, będzie spokojny».  
 113. Ucieszył się Pan z mowy swego ojca,  
 114. przybliżył się i stanął przed Anšar.  
 115. Ujrzał go Anšar i radością napełniło się jego serce.  
 116. Pocałował go w usta, — i ustąpił zeń strach.  
 117. «Anšarze, nie bądź milczącym, otwórz swe usta,  
 118. ja pójdę i sprawię, że stanie się wszystko, jak chce twe serce.

119. Anšarze, nie bądź milczącym, otwórz swe usta,
120. Ja pójdę i sprawię, że stanie się wszystko, jak chce twe serce.
121. Jakiż mąż wypowiedział ci walkę?»
122. «Mój synu, Tiāmat, która jest niewiastą, wystąpi z bronią przeciw tobie».
123. «Ojczy mój, rodzicu, ciesz się i raduj się,
124. Niebawem wstąpisz na kark Tiāmat.
125. Ojczy mój, rodzicu, ciesz się i raduj się,
126. niebawem wstąpisz na kark Tiāmat».
127. «Mój synu, który posiadasz wszelką wiedzę,
128. uspokój Tiāmat swem czystym zaklęciem,
129. w drogę swą idź szybko,
130. jej pomocnicy nie będą się nią interesowali, wracaj zpowrotem».
131. Ucieszył się Pan ze słów swego ojca,
132. rozradowało się jego serce, i rzekł do swego ojca:
133. «Panie bogów, ozdobo wielkich bogów,
134. jeśli ja, wasz właściciel,
135. spętam Tiāmat i uratuję wam życie,
136. to zwołajcie zgromadzenie, i odwróćcie bieg losów:
137. wy w Ušukinnaki razem miło przebywać będziecie,
138. a ja dziełem ust swych, jak wy dotąd, wyznaczać będę losy.
139. I nie będzie zmienione nic, cokolwiek ja postanowię,
140. nie będzie odwrócony, ani uchylony rozkaz moich ust».

### Tablica trzecia

- Treść: 1) Wezwanie boga Gaga przed Anšar, by szedł do bogów Laḥmu i Laḥamu celem uchwalenia przez nich w Ušukinnaki pełnomocnictw dla boga Marduka.
- 2) Niepokój wśród bogów.
- 3) Narada bogów podczas uczty w Ušukinnaki i uchwalenie pełnomocnictw dla Marduka.

1. Anšar otworzył swe usta
2. i rzekł do swego namiestnika, do boga Gaga:
3. «Pomocniku Gaga, który zadowalas me serce,
4. chcę cię posłać do boga Laḥmu i bogini Laḥamu.
5. Biegłym będąc w szukaniu, ty możesz (ich) sprowadzić.
6. Sprowadź bogów, mych ojców, przede mnie,
7. niech oni zwołają wszystkich bogów,
8. niech rozmówią się z nimi, niech zasiądą przy uczcie,
9. niech jedzą chleb i przyprawiają wino,
10. swemu mścicielowi, bogu Mardukowi, niech wyznaczą rolę.
11. Pośpiesz się, idź Gaga, stań przed nimi,
12. cokolwiek mówię ci, powtórz im tak:
13. «Posłał mię Anšar, wasz syn,
14. zlecenie serca swego kazał mi ponieść:
15. Matka Tiāmat, nasza rodzicielka, jest nam wroga —
16. zwołuje zgromadzenie, sroży się okrutnie.
17. Stanęli dokoła niej wszyscy bogowie
18. z wyjątkiem tych, których wyście stworzyli, i idą obok niej.
19. Złorzeczą dniowi, postępują przy boku Tiāmat,
20. złością się, planują, nie spoczywają w nocy i we dnie.
21. niosą walkę, srożą się, wściekają się,
22. gromadzą tłum, przygotowują walkę.
23. Matka Ḥubur, która stworzyła wszystkie rzeczy,
24. dostarczyła im broni, jakiej niema równej, zrodziła wielkie smoki.



53. Posłałem boga Anu, ale on nie mógł ostać się przed nią.  
 54. Bóg Ea przestraszył się i powrócił.  
 55. Stawił się bóg Marduk, mocarz bogów, wasz syn,  
 56. przeciw Tiámat poniósł w drodze swe serce,  
 57. otworzył usta swe i tak powiedział do mnie:  
 58. «Jeżeli ja, wasz mściciel,  
 59. Tiámat spętam i wam życie uratuję,  
 60. to zwołajcie zgromadzenie, i odwróćcie bieg mego przeznaczenia.  
 61. W Upšukinnaku zasiądźcie razem ochoczo,  
 62. i otwórzcie usta moje. Jak wy przedtem, tak ja teraz losy wyznaczać będę.  
 63. Nie będzie zmienione nic, cokolwiek ja uczynię,  
 64. nie będzie cofnięte, nie będzie osłabione słowo ust mych».  
 65. Śpieszcie się i losy swe szybko składajcie przed nim;  
 66. niech idzie, niech wystąpi naprzeciw waszemu potężnemu wrogowi».  
 67. Poszedł bóg Gaga. Szedł swoją drogą,  
 68. ku bogu Laḥmu i bogini Laḥama, bogom swym ojcom,  
 69. ukląkł, ucałował ziemię z pod ich stóp,  
 70. pokłonił się, stanął, i rzekł do nich:  
 71. «Anšar, wasz syn, przysłał mnie,  
 72. rozkaz swego serca kazał mi ponieść do was, jak oto:  
 73. «Matka Tiámat, nasza rodzicielka, jest nam wroga,  
 74. zwołuje zgromadzenie, sroży się okrutnie.  
 . . . . .  
 75. Stanęli dokoła niej wszyscy bogowie  
 76. z wyjątkiem tych, których wyście stworzyli, i idą obok niej.  
 77. Złorzeczą dniowi, postępują przy boku Tiámat,  
 78. złoścżą się, planują, nie spoczywają w nocy i we dnie;  
 79. niosą walkę, srożą się, wściekają się,  
 80. gromadzą tłum, przygotowują walkę.  
 81. Matka Ḥubur, która stworzyła wszystkie rzeczy,  
 82. dostarczyła im broni, jakiej niema równej, zrodziła wielkie smoki  
 83. z ostremi zębami, z pazurami, nie oszczędzającemi nikogo;  
 84. jadem, jak krwią, wypełniła ich ciało.  
 85. Straszne potwory przyodziła w grozę,  
 86. wyposażyła obficie w blask, wypuściła je jak bogi,  
 87. aby, kto na nie spojrzy, zginął ze strachu.  
 88. Ich ciało podnosi się, nie odwraca się ich pierś.  
 89. Wystawiła jaszczura, straszne źmije i laḥami,  
 90. olbrzymie lwy, złe psy i skorpjona-człowieka,  
 91. drapieżne ûmê, rybę-człowieka i rybę-barana,  
 92. niosące oręż, który nie oszczędza nikogo, nie lękające się walki.  
 93. Jej zarządzenia są potężne, są nie do sprzeciwienia im się.  
 94. Ogółem, jak te, stworzyła ich jedenaście.  
 95. Pośród bogów swych pierworodnych — ci tworzyli jej zgromadzenie —  
 96. wywyższyła boga Qingu, zrobiła go między nimi wielkim:  
 97. do niego należy iść pierwszym na czele armji, prowadzić wojska,  
 98. on niesie broń, poczynając posuwanie się do walki.  
 99. Dowództwo w walce  
 100. złożyła w jego ręce, kazała mu usiąść w szacie, powiadając:  
 101. «Dałam ci zakłęcie, w zgromadzeniu bogów uczyniłam cię wielkim,  
 102. władzę nad wszystkimi bogami złożyłam w twoje ręce,  
 103. winieneś być wielkim — jesteś jedynym moim mężem,  
 104. imię twe będzie wielkiem nad wszystkie imiona wielkich bogów Anunnaki».  
 105. Dała mu tabliczkę z losami, zawiesiła mu ją na piersi,  
 106. mówiąc: «Twój rozkaz nie będzie odmieniony, ostanie się to, co wynijdzie z ust twych».

107. Wywyższony bóg Qingu bierze teraz władztwo,
108. wyznacza role bogom, swym synom, mówiąc:
109. «Otwórzcie usta swe, niech zgaśnie Ogień,
110. mocarny w walce niech zgniecie potęgę».
111. Posłałem boga Anu, ale nie mógł ostać się przed nią,
112. bóg Ea przestraszył się i ruszył zpowrotem.
113. Stawił się bóg Marduk, mocarz bogów, wasz syn,
114. przeciw Tiāmat poniósł w drogę swe zerce.
115. Otworzył usta swe i tak powiedział do mnie:
116. «Jeżeli ja, wasz mściciel,
117. Tiāmat spętam i wam życie uratuję,
118. to zwołajcie zgromadzenie i odwróćcie bieg mego przeznaczenia.
119. W Upšukinnaki zasiądźcie razem ochoczo,
120. i otwórzcie usta moje; jak wy przedtem, tak ja losy wyznaczać będę;
121. i nie będzie zmienione nic, cokolwiek ja uczynię,
122. nie będzie cofnięte, nie będzie osłabione słowo ust mych».
123. Śpieszcie się i losy swe szybko składajcie przed nim,
124. Niech idzie, niech wystąpi naprzeciw waszemu potężnemu wrogowi».
125. Gdy to usłyszeli bóg Laḫha i Laḫamu, krzyknęli głośno,
126. cały ogół bogów Igigi płakał rzewnie.
127. «Co jest groźnego, że aż powzięli taką decyzję?
128. — My nie znamy działań Tiāmat».
129. Zebrali się razem i poszli.
130. Wszyscy wielcy bogowie, którzy wyznaczają losy,
131. weszli przed Anšar, zapełnili Upšukinnaki;
132. całowali się, gdy się znaleźli w zgromadzeniu,
133. cmokali językami, zasiedli do uczyty,
134. jedli chleb, przyprawiali wino.
135. Słodki napój uchylił od nich niepokój.
136. Skutkiem picia zostali oszołomieni, napelniło się ich ciało,
137. postabli wielce, nastrój ich podniósł się,
138. i Mardukowi, swemu mścicielowi, przyznali losy.

#### T a b l i c a   c z w a r t a

Treść: 1) Wyniesienie b. Marduka na stanowisko najwyższego boga.

2) Wyprawa boga Marduka przeciw Tiāmat.

3) Klęska boga Qingu.

4) Klęska Tiāmat.

5) Los Tiāmat i jej pomocników.

6) Wdzięczność bogów dla b. Marduka.

7) Stworzenie nieba.

1. Wzniesli mu sanktuarjum książęce.
2. Usiadł przed swymi bogami dla sprawowania władzy.
3. «Jesteś potężny wśród wielkich bogów,
4. twój los nie ma równego, twoje słowo — boga Anu.
5. Marduku, jesteś potężny wśród wielkich bogów,
6. twój los nie ma równego, twoje słowo — boga Anu.
7. Od (tego) dnia nie będzie zmieniony twój rozkaz,
8. wywyższać i poniżać będzie rzeczą twej ręki.
9. Mowa ust twych zaiste będzie mocna, twemu słowu nie będzie sprzeciwu.
10. Żaden bóg nie wkroczy w twój zakres(?).
11. Zaopatrywanie jest potrzebą świątyni bogów, a przeto
12. teren ich sanktuarjów niech się znajduje na twojem miejscu.
13. Jesteś Marduk, nasz mściciel.
14. Daliśmy ci panowanie nad ogółem wszystkich rzeczy.

15. Zasiądź w zgromadzeniu bogów, twe słowo jest wielkie,
16. twa broń nie skruszy się, zaiste pokona twego wroga.
17. Panie, temu, kto ufa tobie, zachowaj życie,
18. z boga, który podjął zło, wylej życie».
19. Położyli pomiędzy siebie jedną szatę
20. i rzekli do boga Marduka, swego pierworodnego:
21. «Twe stanowisko, panie, jest pierwsze między bogami,
22. rozkaż, by coś uległo zniszczeniu i powstało na nowo, a to stanie się.
23. Otwórz swe usta, zniknie szata,
24. odwróć, rozkaż jej, a szata będzie cała».
25. Rozkazał swemi usty, i zniknęła szata,
26. odwrócił, rozkazał jej, i szata powstała na nowo.
27. Gdy skutek jego ust ujrzeli bogowie, jego ojcowie,
28. ucieszyli się, oddali hołd bogu Mardukowi, królowi.
29. Przyznali mu berło, tron i pałą,
30. dali mu oręż, który niema równego, odrzucający wroga.
31. «Idź, przetnij życie Tiàmat,
32. wichry niech poniosą jej krew ku miejscom tajemnym».
33. Określili jego przeznaczenie, jako Bela, bogowie, jego ojcowie,
34. pomyślności i szczęścia na drogę życzyli mu.
35. Sprowadził łuk, zrobił (z niego) swą broń,
36. wziął na siebie oszczep, umocnił w nim ścięgno,
37. przyniósł mitta, wziął je do prawej ręki,
38. łuk i kołczan zawiesił przy boku,
39. umieścił błyskawicę na swej twarzy,
40. gorejącym blaskiem napelnił swe ciało,
41. splół sieć dla uwikłania wnętrza Tiàmat,
42. kazał zabrać cztery wiatry, żeby mu nic z niej nie wymknęło się:
43. południowy, północny, wschodni, zachodni,
44. przy swym boku złożył sieć, dar swego ojca, boga Anu,
45. stworzył Imhullu, Zły Wiatr, Wiatr Burzy i Huragan,
46. Wiatr Poczwórny, Wiatr Siedmiokrotny, Wirowy i Wiatr, któremu nie sposób się oprzeć.
47. Wyprowadził siedem wichrów, które stworzył.
48. Dla niepokojenia wnętrza Tiàmat ciągną one za nim.
49. Podniósł pan cyklon, wielki swój oręż,
50. wstąpił na wóz burzy, który nie ma równego, na straszny,
51. założył doń cztero-zaprząg, zawiesił przy jego boku:
52. «Niszczyciela», «Bezłitościwca», «Powalacza», «Latawca»,
53. których ostre zęby niosą truciznę,
54. umieją pożerać, potrafią rzucać na ziemię.
55. Oni zabijają, jak ..., straszni podczas walki
56. lewą...
57. Przyodziany w kaunake, ową groźną szatę przerażenia,
58. blaskiem przestachu okryty na głowie,
59. szedł Pan prosto, postępował swą drogą,
60. mając twarz zwróconą ku Tiàmat, która była szalona.
61. W ustach miał..
62. w rękę trzymał roślinę z niszczącą trucizną.
63. Śpieszyli do niego wówczas bogowie, śpieszyli do niego,
64. śpieszyli do niego bogowie, jego ojcowie, śpieszyli bogowie do niego.
65. Pan zbliżył się, ujrzał środek Tiàmat —
66. zamiary boga Qingu, jej małżonka, przejrzał —
67. spojrział i zniszczył mu plan:
68. i rozpadło się jego zamierzenie, zepsuło mu się dzieło.
69. Bogowie pomocnicy, którzy szli przy jego boku,

70. zobaczyli wojownika — przywódcę. Widok to dla nich był druzgoczący.
71. Tiāmat rzuciła swoje zakłęcie, szyi nie zawróciła (ku ucieczce),
72. na swych ustach obfitości miała wicherzenie:
73. «Jesteś posunięty na urząd pana bogów, którzy idą z tobą,
74. z miejsc swych zgromadzili się oni na twe miejsce!»
75. Podniósł Pan cyklon, swą wielką broń,
76. i ku Tiāmat, która szalała, przesłał słowa następujące:
77. «Czynisz się wielką, nosisz się wysoko,
78. poniosło cię serce do rozpętania walki,
79. ...ich ojcowie,
80. ...ich, ty złorzeczysz...
81. wywyższyłaś Qingu na swego małżonka,
82. wyniosłaś jego zarządzenia ponad zarządzenia boga Anu,
83. patrzysz ku złym uczynkom,
84. przeciwko bogom, mym ojcom, utwierdzasz swe zło,
85. zaiste, twe wojsko jest gotowe — broń mają nastawioną,
86. stań, stoczymy walkę ja i ty».
87. Gdy Tiāmat to usłyszała,
88. zaczęła mówić bez zastanowienia, straciła rozum.
89. Tiāmat krzyczała głośno, jak szalona,
90. aż do gruntu zadrzały jej podstawowe części;
91. wymówiła formułę magiczną, wyrzuciła swe zakłęcie.
92. Bogowie walki doświadczali swe oręża,
93. ustawili się: Tiāmat i mocarz bogów, bóg Marduk,
94. posunęli się do rozprawy, zbliżyli się do walki.
95. Pan rozstawił sieć, kazał ją nią okrążyć,
96. i puścił jej w twarz Zły Wiatr, który stał wtyle.
97. Tiāmat otworzyła swe usta, na ile mogła.
98. On kazał wtargnąć Złemu Wiatrowi, by nie zamknęła swych ust.
99. Złe wiatry wypełniły jej brzuch:
100. jej serce zostało zawładnięte, usta rozwarły się szeroko.
101. On rzucił strzałę, rozciął jej brzuch,
102. przeciął jej wnętrze, przebił serce,
103. związał ją, zniszczył w niej życie,
104. jej trupa rzucił i na nim stanął.
105. Gdy zabił Tiāmat, która szła na przedzie,
106. rozproszyło się jej wojsko, rozpadła się jej gromada.
107. Bogowie, jej pomocnicy, którzy postępowali przy jej boku,
108. zadrżeli, przestraszyli się, odwrócili tyły,
109. rzucili się do ucieczki, ratowali życie,
110. ale, rozbici, otoczeni, nie mogli zbiec.
111. Osaczył ich, broń im połamał.
112. Wrzuceni do sieci, siedzą przygnębieni:
113. pozostają w tajemnej izbie, pełni płaczu,
114. ponoszą karę, — schną od płaczu w więzieniu.
115. Jedenaście było tych stworzeń, które on napelniał przerażeniem.
116. Tłumowi demonów, który postępował przed nią z impetem,
117. nałożył kajdany na ręce.
118. Zdeptał go nogami razem z jego oporem.
119. Zaś boga Qingu, który był wielkim między nimi,
120. związał i razem z bogiem Diggû rzucił (do piekła).
121. Odebrał mu tabliczkę z losami, zresztą już nie jego ozdobę,
122. przypieczętował ją swą pieczęcią i wziął ją na swe piersi.
123. Gdy powiązał swych nieprzyjaciół i pozabijał,
124. i wynoszącego się wroga zabił jak byka,
125. i zwycięstwo Anšar nad wrogiem całkowicie utrwalił,

126. i życzenia boga Ea on, bóg Marduk, bohater, spełnił,
127. i nad bogami powiązanymi swą władzę umocnił,
128. ku Tiāmat, którą był związał, zawrócił ponownie.
129. Pan wstąpił na grzbiet Tiāmat,
130. i swem mittu, nieoszczędzającym nikogo, rozplątał jej czaszkę,
131. przeciął jej żyły z krwią,
132. i Wiatru Północnemu ponieść ją zlecił na miejsce tajemne.
133. Widzieli to jego ojcowie, cieszyli się, radowali się;
134. podarki i dary mu składali.
135. I odpoczął Pan. Na jej ciało popatrzał,
136. cielsko potworne rozkrył i jął zeń stwarzać rzeczy pomysłowe:
137. rozciął ją, jak rybę maš-di-e, na dwie części,
138. jedną połowę rozłożył i przykrył nią niebo.

Na dalszych trzech (V, VI, VII) tablicach poematu podane jest: urządzenie przez b. Marduka astronomicznego nieba, ruch planet po ekliptyce, stosunek księżyca do ziemi i słońca; umieszczanie narzędzi walki b. Marduka na niebie astronomicznym; stworzenie ludzi, ustanowienie na ziemi kultu religijnego; budowa Babilonu i świątyni Esagila; podział władzy bogów nad światem, wreszcie hymn na cześć b. Marduka.

---

*Wybór tekstów i przekład ks. J. Bromskiego.*

# LITERATURA STAROŻYTNEGO EGIPITU

---

## Z TEKSTÓW PIRAMID

### MODLITWY DO BOGINI NUT

Według kosmograficznych pojęć egipskich, niebo podtrzymywane jest przez atmosferę, co mitologicznie wyraża się w ten sposób, że bogini nieba, Nut, wspiera się na głowie boga atmosfery, Szou. Bogini nieba jest siostrą i małżonką boga ziemi, który się nazywa Geb. Oboje zaś są dziećmi boga Szou.

Po niebie pływają w swych łodziach słońce, księżyc i gwiazdy, a na nich bogowie i duchy zmarłych królów, którzy po śmierci ulatują na niebo i zajmują miejsce w łodziach słońca i gwiazd, lub wprost zamieniają się w gwiazdy.

1. (O Nut!) Ty jesteś daleka od ziemi. Ty obejmujesz głowę ojca twojego Szou. (Wznosząc się nad nim), jesteś jego panią. Ukochał on cię (tak dalece, że) stanął (jako podpora) pod tobą i pod wszystkim (co się znajduje na tobie). Tyś wzięła do siebie (i na się) wszystkich bogów, razem z ich łodziami... (Więc jako) oni nie oddalają się (nigdy) od ciebie, będąc (wiecznymi) gwiazdami, (tak też) nie dopuść, aby (zmarły król) Pepi<sup>1</sup> oddalił się od ciebie (kiedykolwiek. Niechaj on wiecznie przebywa na niebie!). — (Teksty piramid w wydaniu K. Sethego, § 784—85).

2. O, ty wielka (bogini), któraś się stała niebem, ponieważ byłaś potężna (t. j. potężniejsza niż inni bogowie)!... Tyś miejsca wszystkie (na świecie) pięknnością swą nappełniła, tyś ziemię całą sobą ogarnęła<sup>2</sup>; tyś ziemię całą i wszystkie rzeczy (które są na niej) w ramiona swoje objęła; więc weź (także) do siebie i tego (zmarłego króla) Pepi, jako nigdy nie przemijającą gwiazdę. — (Teksty pir. § 782).

3. O Nut, rozpostrzyj się ponad twoim synem Pepi i chroń go przed Sethem (bogiem zła i ciemności)! Chroń go, o Nut! Przybyłaś (tu do grobu), aby strzec syna twojego, przybyłaś (tu), by bronić tego wielkiego (zmarłego). — (T. pir. § 777).

Na suficie grobów i trumien malowano często boginię nieba, aby zmarły, leżąc w grobie, miał wrażenie, że znajduje się w niebie. Bogini Nut schodzi więc niejako w malowanej postaci do grobu i strzeże spoczywającego w nim zmarłego, który, by sobie jej życzliwość zapewnić, mianuje się jej synem.

4. O Nut (wyobrażona na wieku trumny)! Zapadnij ponad synem twoim, Ozyrysem Pepi!<sup>3</sup> I strzeż go, o wielka strażniczko!<sup>4</sup>. (Strzeż) tego największego ze (wszystkich) synów twoich! (§ 778).

---

U w a g a. Tłumaczenia z tekstów egipskich, które dajemy poniżej, zawierają w sobie, w porównaniu do oryginałów, zarówno wiele skróceń i opuszczeń, jak też wiele uzupełnień, dodanych przez tłumacza w celu objaśnienia miejsc w oryginale egipskim zbyt zwięzłych lub dla nowożytnego czytelnika mało zrozumiałych. Wyrazy lub zdania, przez tłumacza opuszczone, oznaczono krótszym lub dłuższym szeregiem kropek; natomiast wyrazy lub zdania, przez tłumacza dodane, objęte zostały nawiasami tak, że, opuściwszy to, co jest w nawiasach, otrzyma czytelnik wierny i niemal dosłowny przekład danego oryginału. Uwagi objaśniające i wstępy, które pochodzą w całości od tłumacza, drukowane są mniejszymi czcionkami (petitem).

<sup>1</sup> Egipcjanin Manethon, który około roku 300 przed Chr. napisał po grecku historję Egiptu, wymawia to imię: Phios lub Phiöps (z akcentem na drugiej zgłosce).

<sup>2</sup> Niebo rozpościera się ponad całą ziemią.

<sup>3</sup> Zmarły faraon, a potem każdy zmarły Egipcjanin, utożsamia się z Ozyrysem, ażeby zmartwychwstać tak samo, jak niegdyś zmartwychwstał Ozyrys.

<sup>4</sup> Bogini Nut, wyobrażona na wieku trumny, wciela się jakby w to wieko i potęguje jego rolę ochronną.

## PRZEMOWY DO ZMARŁEGO

1. Ozyrysie Mer-en-Rē! Twoja matka, Nut,<sup>1</sup> rozpostarła się nad tobą (na wieku trumny)... (i) chroni ciebie od wszelkiego zła (i świętokradzkiego naruszenia)... (ponieważ) ty jesteś największym z pomiędzy jej dzieci. (§ 1607—08).

2. W przedhistorycznym Egipcie istniał dziwny zwyczaj podwójnego grzebania zmarłych: najpierw, zaraz po śmierci, składano do grobu całe ciało, a gdy to po pewnym czasie uległo zupełnemu rozkładowi, tak, że pozostały zeń tylko oddzielne kości, wyjmowano je z pierwszego grobu i przenoszono do drugiego, gdzie je układano na jedną kupę, z czaszką na wierzchu, przyczem serce, najistotniejszą, według Egipcjan, część ciała ludzkiego, siedzibę nie tylko uczucia, ale i rozumu, zastępowano prawdopodobnie jakimś sztucznym surogatem. Przy takim powtórnym grzebaniu, które, jak się zdaje, odbywano w sposób bardziej uroczysty, niż pierwsze, było rzeczą ważną przenieść wszystkie kości, co do jednej, ażeby zmarły nie został na tamtym świecie kaleką. I zapewniano go o tem, że przeniesienie odbyło się starannie i że mu niczego nie zabraknie.

O Pepi! chodź do (nowego) grobu! Nie zabraknie ci (w nim) niczego. Twoja matka (Nut, wyobrażona na trumnie) przybywa do ciebie i (stwierdza, iż) nie brakuje ci niczego... Nut przybywa i (widzi, że) nie brakuje ci niczego... Ona cię chroni (wcielona w twą trumnę) i nie dopuści, aby ci czegośkolwiek zabrakło. Ona ci zbiera twe kości; ona ci łączy twe członki; ona przynosi ci twe serce (i wkłada je) do ciała twego; ona nakłada ci twoją głowę. I będziesz (odtąd stał) przed tymi, którzy byli (niegdyś) przed tobą<sup>2</sup>. I będziesz (nadal) rozkazywał tym, którzy są za tobą<sup>3</sup>. (Odchodząc z tego świata), pozostawiasz swój dom w dobrobycie i nie pozwalasz twym dzieciom narzekać (na niedolę, gdyż pozostawiłeś im wielki majątek i potęgę). (§ 827—29).

3. O (królu) Nefer-ke-Rē! Plakałem za tobą; żalowałem cię; i nie zapomnę cię (nigdy)! Serce moje nie ustanie składać ci (pośmiertne) ofiary w każdy (przepisany) dzień: w święto miesięczne i półmiesięczne, w święto (zapalania i) gaszenia ognia, w święto Thotha (boga księżyca) i w święto Uag, i we wszystkie (przepisane) pory twoich lat i twoich miesięcy. (To też) żyć będziesz (w twej piramidzie, opływając we wszelki dostatek) jako bóg. O Nefer-ke-Rē! oblecz się w ciało twoje i przybądź do mnie (ilekroć wzywać cię będę na ucztę ofiarną). (§ 2117—19).

Każdy zmarły faraon miał swoich specjalnych kapłanów, którzy obowiązani byli (oczywiście za zapłatą) dbać o jego piramidę, dostarczać jego duchowi jadła, napoju, szat, wonności i innych potrzebnych rzeczy, oraz składać mu w pewne oznaczone dni, miesiące i lata odpowiednie, rytuałem przepisane, ofiary, odprawiać modły i zapalać lampy u jego grobu.

W czasie pogrzebu kapłan taki składał zmarłemu pewnego rodzaju ślubowanie, że zobowiązań podjętych wiernie dochowa, i przemawiał doń tak, jak powyżej.

4. O (królu) Unasie! Nie odchodzisz (od nas) umarłym, (lecz) odchodzisz żywym. (Przybywszy na tamten świat), zasiądziesz z berłem w rękę na tronie Ozyrysa (władcy umarłych) i wydawać będziesz rozkazy tym, co (tam) żyją..

Ręce twoje są jako ręce Atuma (boga miasta On-Heliopolis), ramiona twoje są jako ramiona Atuma, nogi twoje są jako nogi Atuma... (i wogóle całe) ciało twoje jest jako ciało Atuma, (tylko) oblicze twoje jest obliczem Anubisa (memfickiego boga zmarłych). (W tej postaci) przebiegasz obszary Horusa (boga pogodnego nieba) i obszary Seta (boga burzy i ciemności). (§ 134—35).

5. O Pepi! Odchodzisz (od nas), ażeby zostać duchem świetlanym, ażeby zostać bogiem potężnym, jako następcą Ozyrysa. Dusza twoja jest (znowu) w twojem ciele, a siła twoja (żywotna) otacza cię (i chroni). Masz koronę swoją na głowie..., twarz swoją przed sobą i sławę swoją za sobą. Słudzy boga stoją za tobą, a czcigodni boga stoją przed tobą. I (wszyscy) wołają: «(Nowy) bóg przybywa (na niebo)! (Nowy) bóg przybywał (Zmarły król) Pepi wstępuje na tron Ozyrysovuy!»! (§ 752—54).

<sup>1</sup> Bogini nieba Nut jest matką Ozyrysa, a że każdy zmarły faraon utożsamia się z Ozyrysem, więc jest ona zarazem i jego matką.

<sup>2</sup> Będziesz potężniejszy od wszystkich przodków twoich.

<sup>3</sup> Potomkom twoim.

Wstąpisz w górę do matki twojej, Nut, która ujmie cię za rękę i wskaże ci drogę na horyzont (niebieski), na miejsce, gdzie przebywa (bóg słońca) Rē. Bramy nieba otwierają się przed tobą... Spotykasz (boga) Rē, który (tam) stoi i wita cię. Ujmując na rękę twoją i prowadzi cię do podwójnego nieba i sadza cię (tam) na tronie Ozyrysowym. Ty zaś bierzesz na się postać Ozyrysa (i zasiadasz) na tronie Księcia Zachodu<sup>1</sup>. I czynisz to, co on zwykł czynić<sup>2</sup> wśród Duchów świetlanych i nigdy nie zachodzących gwiazd<sup>3</sup>. (§ 759).

(Tymczasem tu na ziemi) syn twój (i następca) wstępuje na twój (opróżniony królewski) tron, będąc podobnym do ciebie z postaci (i wzrostu). Czyni on to samo, co ty zwykł był czynić (za życia), przed obliczem boga, co władza żyjącymi (na ziemi, to znaczy: postępuje) według rozkazów wielkiego boga Rē. (Jako król narodu rolniczego), zbiera on jęczmień i pszenicę i składa ci dary ofiarne (§ 760—761).

### WZLOT ZMARŁEGO NA NIEBO

1. Kto umie latać, (ten) leci. (Zmarły król) Pepi odlatuje od was, o ludzkiej Niema go (już) na ziemi, lecz jest (już) na niebie...

Wzbił się ten Pepi na niebo, jak żóraw; pocałował niebo jak sokół; podskoczył ku niebu jak polny konik (i płynnie odtańcował po niebie) jako (bóg słońca) Harachte (co znaczy: Horus horyzontowy). (§ 890—91).

2. Radość jest patrzeć na (zmarłego króla) Teti<sup>4</sup>, gdy (wzlatując na niebo) ozdobiony jest koroną (boga słońca) Rē. Nabiodrnik<sup>5</sup> na nim, jako (nabiodrnik bogini nieba) Hathory, a pióra jego, jako pióra sokoła (słonecznego ptaka Horusa). (Tak ustrojony, wstępuje on na niebo pomiędzy swych współbraci-bogów)<sup>6</sup>. (§ 546).

3. (Zmarły król) Pepi wstąpił na niebo i spotkał (tam boga) Rē, który (ujrzawszy go) powstał (ze swego tronu i powitał go ze czcią), gdy się (Pepi) doń zbliżył. (Pepi) chciał usiąść obok niego (na ziemi), ale Rē nie pozwolił na to, by siadał na ziemię, gdyż (Rē) wie, iż (Pepi) jest większy niż on sam. (§ 812—13).

W przesadnym uwielbieniu potęgi zmarłego króla, autorzy tekstów piramid wmawiają naiwnie w siebie i w innych, że faraon, który na ziemi był największym z ludzi, zostanie, wstąpiwszy po śmierci na niebo, również największym wśród bogów.

4. (Przybywszy w pewną okolicę nieba, król) Pepi zastał (tam wielu) bogów, którzy stali, odziani w swe (piękne) szaty, mając na nogach białe sandały. (Gdy Pepi zbliżył się do nich), zdjęli oni (wszyscy) swe białe sandały i porzucali swe szaty na ziemię<sup>7</sup>. «Serca nasze nie zaznały radości, dopóki ty (do nas) nie przybyłeś!» — wołali. (§ 1197—98).

5. Pepi jest bardziej świetlanym, niż (wszystkie inne) duchy świetlane<sup>8</sup> (które przed nim wstąpiły na niebo); on jest bardziej znakomitym, niż (wszyscy inni) znakomici; on jest bardziej wiecznotrwałym, niż (wszyscy inni) wiecznotrwali...<sup>9</sup>

Pepi wstąpił na północną stronę nieba razem z nim (t. j. razem z bogiem Rē) i zapanował nad obu krajami, jako król bogów. (§ 813—14).

<sup>1</sup> Przydomek Ozyrysa w świętym mieście Abydos; zachód oznacza państwo umarłych.

<sup>2</sup> Postępujesz tak, jak on zwykł postępować; zachowujesz się we wszystkim tak, jak on.

<sup>3</sup> Są to tak zwane gwiazdy circumpolarne, które nigdy nie zachodzą, ani nie wschodzą, lecz przez całą noc widoczne są ponad horyzontem. Egipcjanie uważali je za najznakomitsze duchy gwiazdne.

<sup>4</sup> U Manethona: Othoēs.

<sup>5</sup> Rodzaj fartucha, który nosili Egipcjanie, jako jedyną pierwotnie szatę. Jest to ten sam skąpy strój, którym do dziś dnia osłaniają swą nagość murzyni afrykańscy.

<sup>6</sup> Wzlatując na niebo, w kraj słoneczny, upodabnia się zmarły król do bogini nieba Hathor (dosł. «dom Horusa») i do boga słońca, w obu jego głównych postaciach (Rē i Horus).

<sup>7</sup> Takie były widocznie w epoce tekstów piramid oznaki hołdu, składanego królom. Te formy ludzkiej grzeczności przenosi nasz autor oczywiście także w świat bogów.

<sup>8</sup> Według jednego z licznych w owej epoce wyobrażeń o życiu pozagrobowym, duchy zmarłych faraonów przemieniają się w gwiazdy i są dlatego «świetlane».

<sup>9</sup> «Znakomici» i «wiecznotrwali» są to dwa widocznie inne określenia czy przydomki duchów zmarłych, zamienionych w gwiazdy.



Każdy faraon, jak długo żyje i panuje na ziemi, jest władcą obu egipskich krajów, delty i doliny Nilowej; jako taki nosi on stałe podwójny tytuł «król Górnego i król Dolnego Egiptu» czyli «król Południa i Północy». Ten sam podwójny tytuł zatrzymuje faraon i po śmierci, gdy, wzniosłszy się na niebo, zostanie, według pojęć ówczesnych, królem bogów i duchów, zamieszkujących gwiazdy. Panuje więc zmarły król egipski na drugim świecie w dalszym ciągu nad dwoma krajami, tylko że te dwa kraje leżą już nie na ziemi, lecz na niebie. Są to mianowicie obie półkule gwiazdzonego nieba: północna i południowa. Nadto trzeba wiedzieć, że wyrażenie «oba kraje» oznacza w pojęciu Egipcjanina nie tylko «cały Egipt» ale i «całą ziemię», a nawet «cały świat». Naiwna wiara powyższego tekstu pojmuje zatem zmarłego faraona jako władcę całego świata, zwłaszcza zaś całego nieba, razem ze słońcem, księżycem i gwiazdami.

6. (Odkąd zmartwychwstałeś), posiadasz (znowu) swe serce, Ozyrysie, posiadasz swoje nogi, Ozyrysie; posiadasz swe ramiona, Ozyrysie.

(Tak samo, naśladując ciebie, zmarły król) Unas<sup>1</sup> posiada (znowu) swe serce (ożywione magicznymi sposobami); Unas posiada swe nogi; Unas posiada swoje ramiona (więc może władać niemi swobodnie na tamtym świecie).

(Środkami magicznymi) sporządzono dlań schody z ziemi na niebo, ażeby (ponich) wstąpił na niebo.

I wstępuje on (tam) w dymie wielkiego kadzenia (które jest jednym z obrzędów pogrzebowych).

Ulatuje on (tam) jako ptak lub jako (święty) żuk i siada na opróżnionem (dlań) miejscu w łodzi (słonecznej boga) Rē... I płynie on (odtąd) po niebie w twej łodzi (słonecznej), o Rē...

Gdy wznosisz się (rano) ponad horyzont, on stoi (przy tobie) z laską swą w ręce, jako sternik twej łodzi, o Rē! (§ 364—68).

8. (Zajawszy miejsce w łodzi słonecznej), świeci Pepi (na wschodzie, jako Rē), (a wieczorem) podąża na zachód, jako Cheper (słońce zachodzące); żywi się Pepi tem, czem żywi się Horus, pan nieba... Wstępuje Pepi na swój tron (w łodzi słonecznej), ujmuje swój ster i wiezie słońce po niebie. (§ 889 i n.).

#### MODLITWA DO BOGÓW SŁOŃCA I KSIĘŻYCA

O, wy dwaj bogowie, którzy przebiegacie niebo, o (słońce) Rē i (księżycu) Thocie, — weźcie ze sobą (zmarłego króla) Unasa! Niechaj on jada to, co wy jacie; niech pija to, co wy pijacie; niech żyje tem, czem wy żyjecie; niech mieszka tam, gdzie wy mieszkacie; niechaj będzie potężnym przez to, czem wy jesteście potężni; i niechaj (wiecznie) płynie (po niebie) tak, jak wy płyniecie (w swych łodziach).

Mieszkanie Unasa znajduje się na polu Ialu<sup>2</sup>, a wyżywienie (obfite znajduje on) na polu żywności<sup>3</sup>. Jego pokarmy są wśród was, bogowie; za wodę zaś służy mu wino (tak doskonałe), jak (napój boga) Rē<sup>4</sup>.

Przebiega on (odtąd) po niebie, jako (słońce) Rē, i przepływa niebo, jako (księżyc) Thoth. (§ 128—30).

#### MODLITWA DO BOGÓW ZACHODU

O, wy bogowie horyzontu (zachodniego), którzy mieszkacie na końcu drogi (słonecznej)!... Ujmijcie ramię (króla) Pepiego i zaprowadźcie go na pole (obfitej) żywności! Sprawcie, by on stał się duchem (największym) pomiędzy duchami (zmarłymi) i potężnym pomiędzy potężnymi! (A za to) on przygotowuje wam wielką biesiadę (i złożę wam) wielką ofiarę. (§ 879—880).

<sup>1</sup> U Manethona: Onnos.

<sup>2</sup> Odpowiada to greckim polom elizejskim, tylko że u Greków znajdują się te pola gdzieś w podziemiu, a egipskie pole Ialu jest gdzieś na niebie.

<sup>3</sup> Tak zowie się jakieś inne miejsce pozagrobowej szczęśliwości.

<sup>4</sup> Napój ten odpowiada prawdopodobnie greckiemu nektarowi.

## ZAKŁĘCIA PRZECIWIW GŁODOWI I PRAGNIENIU

1. Głodzie, nie przychodź do (króla) Teti! Uciekaj do oceanu! Uchodź do wody! (Król) Teti jest syty. On nie cierpi głodu, dzięki chlebom Horusa, które zjadł i które upiekła dlań jego czcigodna siostra (i małżonka), ażeby nasycił się niemi...<sup>1</sup> (Król) Teti nie cierpi pragnienia dzięki (bogu świetlanej atmosfery) Szou, ani też (nie cierpi) głodu dzięki (małżonce tego boga) Tīfnet. (Czterej synowie Horusa, duchy opiekujące się zmarłymi, których imiona są:) Hapi, Duamutef, Imset i Kebehsenuf, usuwają ten głód, który jest w brzuchu (króla) Teti i to pragnienie, które jest na wargach (króla) Teti. (§ 551—52).

2. Wstrętny jest Unasowi głód, (więc) nie będzie on karmił się nim (na tamtym świecie)<sup>2</sup>. Wstrętne jest Unasowi pragnienie, (więc) nie będzie go (tam) pił<sup>3</sup>. (Owszem, przeciwnie) on (właśnie) daje pokarm (wszystkim istotom żyjącym)<sup>3</sup>. (§ 131).

## Z TEKSTÓW SARKOFAGOWYCH

Dwa są najstarsze wyobrażenia egipskie o życiu pozagrobowym: zmarły albo wznosi się na niebo, gdzie panuje bóg słońca w jego różnych postaciach (jako Re, Atum, Cheper, Horus), albo też zstępuje do podziemia, gdzie włada bóg Ozyrys, zamordowany niegdyś przez Setha i powołany napowrót do życia przez swego dobrego syna, Horusa, który przy pomocy boga księżyca, Thotha, zjednoczył porabane przez Setha członki swego ojca, dzięki czemu Ozyrys zmarłych wstał i żyje odąd wiecznie, jako władca podziemia, jako «pierwszy z zachodnich» t. zn. z umarłych. Każdy Egipcjanin, chcąc sobie po śmierci zapewnić takie samo martwychwstanie, jakie dzięki Horusowi stało się udziałem Ozyrysa, utożsamia się z nim drogą magiczną, czyli staje się na tamtym świecie wprost Ozyrysem i, jako taki, zostaje przez Horusa powołany napowrót do życia. Ażeby to skutecznie, przemawia Horus do zmarłego w ten sposób:

(Oto) ja przychodzę (do ciebie). Ja jestem Horus (twój syn, który ci wraca życie). Otwieram twe usta (byś znowu oddychał i mówił)... (ożywiam cię) razem z Thothem, który oddaje ci twe serce (i pamięć)..., ażebyś mógł przypomniać sobie to, coś zapomniał. Daję ci jeść chleb, wedle życzenia (i potrzeb) ciała twego. Daję ci przypomnieć sobie to, coś zapomniał. Daję ci jeść chleb... więcej, niżes jadł na ziemi. Daję ci twoje obie nogi, ażebyś mógł (znowu) chodzić i przychodzić na stopach swoich. Daję ci latać wedle potrzeby z wiatrem południowym i biegać z wiatrem północnym... Daję ci przeprować się przez jezioro wędrówki twojej..., jakęś to był czynił na ziemi. Panujesz nad rzekami (i kanałami)... Pobierasz podatki z dóbr królewskich. Odpędzasz (od domu swego) złoczyńcę, który przychodzi nocą, i złodzieja (który przychodzi) wczesnym rankiem...

Aż dotąd zmarły traktowany był jako Ozyrys. Druga połowa tekstu przenosi go z podziemia bezpośrednio na niebo. Tak dalece zmieszane są z sobą ozyryjskie i solarne (słoneczne) pojęcia o życiu pozagrobowym.

Obchodzisz kraje (ziemi) razem z (bogiem słońca) Rē. On daje ci oglądać (i zwiedzać) miejsca przyjemne. Zwiedzasz doliny pełne wody dla kąpieli twojej i ochłody twojej. Zrywasz (w nich) kwiaty na bagnach rosnące..., kwiaty lilji i lotosu. Bagna, pełne ptactwa, leżą tysiącami na twojej drodze. Gdy wyrzucisz na nie (t.j. na te ptaki) pocisk twój, padają ich tysiące, na (sam) szum wiatru, który od niego powstaje... Przynoszą ci (upolowane przez ciebie) kozłeta gazeli i cielęta białych bawołów... Przynoszą ci kozły i barany, wypasione na trawie. Umocowana jest dla ciebie drabina (byś mógł po niej wstąpić) na niebo. (Bogini nieba) Nut podaje ci swoje oba ramiona.

<sup>1</sup> Zmarłemu składa się w ofercie chleb, mięso, piwo etc. Te ofiarne pokarmy zowią się chlebami Horusa, gdyż są naśladownictwem tych darów, jakie Horus, syn Izydy, złożył był niegdyś swemu zmarłemu ojcu Ozyrysowi.

<sup>2</sup> «Jeść głód i pić pragnienie» znaczy tyle, co «doznawać głodu i pragnienia». Samo stwierdzenie tego faktu zapewni już zmarłemu dostatek jada i napoju na tamtym świecie. Tak silnie wierzą ci naiwni ludzie w magiczną siłę słowa.

<sup>3</sup> Gdyż utożsamiał się po śmierci z Ozyrysem, ten zaś jest nie tylko bogiem umarłych, ale zarazem bogiem roślinności i wszelkiego rodzaju plonów, a więc karmicielem wszystkiego, co żyje.

Płyniesz (w łodzi) po liljowem jeziorze... Owi dwaj ojcowie <sup>1</sup> gwiazd Nieginących i gwiazd Nieznużonych wiozą cię (na swej słonecznej barce)... Ciągną cię przy pomocy swoich nigidy nie rwących się lin (okrętowych).

## Z KSIĘGI UMARŁYCH NOWOŻYTNEGO PAŃSTWA

### Z rozdziału 1-go. Modlitwa do bogów podziemia

O wy, którzy wprowadzacie dusze bogobojne do domu Ozyrysowego <sup>2</sup>, pozwólcie wstąpić do domu tego także i duszy (nieboszczyka) X <sup>3</sup>. Niechaj on widzi (tak samo), jak wy widzicie; niech słyszy, jak wy słyszyście; niech stoi, jak wy stoicie; niech siedzi, jak wy siedzicie w domu Ozyrysowym.

O wy, którzy dajecie chleb i piwo duszom bogobojnym w domu Ozyrysowym, dajcie chleba i piwa duszy (nieboszczyka) X (i to) w obu porach (głównych posiłków dziennych, rano i wieczorem).

O wy, którzy duszom bogobojnym otwieracie drogi i ścieżki w domu Ozyrysowym, otwórzcie drogi i ścieżki do domu Ozyrysowego także i dla duszy (nieboszczyka) X. Niechaj on (tam) wstąpi bez przeszkody i niechaj (ilekroć zechce) wychodzi swobodnie z domu Ozyrysa, niepowstrzymywany, ani niezatrzymywany (przez nikogo). Niechaj (tam) wstąpi chwalony i niech (stamtąd) wychodzi lubiany, (przedewszystkiem zaś) niechaj, dzięki waszej pomocy, zostanie usprawiedliwiony (na sądzie pozagrobowym).

Co rozkaże (i zechce), niech mu się spełni w domu Ozyrysowym. Kiedy tam przyjdzie, niechaj (sędziowie umarłych) nie znajdą na nim żadnej skazy (ni winy). Gdy stanie (przed nimi) na wadze (określającej wartość moralną), niechaj ona nie wskaże wyniku dlań ujemnego.

### Z rozdziału 6-go. Zaklęcie posążka-zastępcy<sup>4</sup>

O zastępcu (nieboszczyka) XI Jeżeli mnie wzywać lub zapisywać będą do wykonywania jakiegokolwiek pracy, którą w podziemiu wykonywać trzeba, to niechaj na ciebie spadnie ciężar człowieka (będącego w tym czy innym) obowiązku. Niechaj (więc) ciebie wzywają każdorazowo zamiast mnie do uprawiania pól, do nawadniania brzegów, do przewożenia piasku z brzegu wschodniego na brzeg zachodni (i do innych tego rodzaju robót). (Na każde takie wezwanie, skierowane do mnie), masz (zgłosić się natychmiast i) odpowiedzieć (zamiast mnie:) «Oto jestem!».

### Z rozdziału 9-go. Oświadczenie nieboszczyka, wstępującego do podziemia

Przybywam do podziemia, ażeby oglądać ojca mojego Ozyrysa i rozproszyc ciemności (śmierci). Ja jestem tym, którego on kocha. Przybyłem tu, ażeby oglądać mojego ojca Ozyrysa, ażeby przebić serce (zabójcy jego) Setha i składać ofiary ojcu mojemu Ozyrysowi. (Zaklęciami magicznymi, które znam), otwieram sobie wszystkie drogi, które są w niebie, na ziemi i w podziemiu. Ja jestem tym, którego on (Ozyrys) kocha. Przybywam tu jako mumja, jako bogobojny nieboszczyk, jako (nieboszczyk należycie) zaopatrzonej (we wszystkie środki magiczne). O, wy wszyscy bogowie (podziemia), o, wy

<sup>1</sup> Atum i Re, dwie postaci boga słońca.

<sup>2</sup> Do państwa zmarłych, do podziemia.

<sup>3</sup> Tu wstawiano imię właściciela danej księgi umarłych.

<sup>4</sup> Zmarły musi na tamtym świecie wykonywać różne prace rolne. Aby go od nich uwolnić, dawano mu do grobu posążki, które miały zamiast niego zgłaszać się do roboty, ilekroćby do niej wzywano zmarłego. Po egipsku posążek taki zwał się uszebti, to znaczy «odpowiadający (na wezwanie do roboty)»; my możemy tę nazwę oddać przez «zastępcę».

wszystkie bogobojne duchy (które tu mieszkacie, sprawcie), niechaj drogi (tutejsze) będą dla mnie otwarte i łatwe; albowiem ja jestem (bóg księżyca) Thoth, w chwili gdy (księżyc) wschodzi<sup>1</sup>.

Z rozdziału 15-go. Hymny, śpiewane przez zmarłego na cześć słońca

Cześć ci (o boże, zwany) Rē, gdy wschodzisz, Atum(em) zaś (zwany) w czasie twego pięknego widoku (o zachodzie). Wschodzisz i świecisz każdego rana i pojawiaasz się, jako król bogów. Obie boginie Prawdy<sup>2</sup> składają ci libację z wody, a Dziewiątka<sup>3</sup> wielbi cię w obu (niebieskich) pałacach. Ty zaś kroczysz przez niebo z radością...

Ciesz się twój ojciec Nun<sup>4</sup> i twoja matka Nut<sup>5</sup>, ilekroć zjawisz się (na niebie) jako Rē - Harachte<sup>6</sup>. Przybywaj! Twoja barka (słoneczna) będzie miała spokojną żeglugę, gdyż ten podły (wróg twój, smok ciemności) leży pokonany z odciętym łbem...

Cześć ci, o Rē - Harachte - Atum - Horus - Chepri<sup>7</sup>, wielki sokole o lśniącym karku i pięknym obliczu, z dwoma wielkimi (na głowie) piórami. Wstajesz ze snu wspaniale co rano, a wszyscy wnoszą okrzyki powitania i hołdu. Okrzyki hołdu (brzmia) dla ciebie (także i) wieczorem. Wielbią cię (nawet) gwiazdy nocą...

Matka twoja (bogini nieba) rodzi ciebie i karmi codziennie<sup>8</sup>. I żyjesz (wiecznie), a zły smok (wróg twój, wiecznie) umiera; ty stoisz, a twój wróg pada. (Wiecznie) przejeżdżasz po niebie w szczęściu i zdrowiu..., z sercem uniesionem radością. Obie boginie Prawdy błyszczą na czole twojem (jako dwa węże - ureusze, stanowiące twój diadem).

Cześć ci (o boże słoneczny), który powstałeś z praoceanu Nun i oświecasz (odtąd), ilekroć wzejdziesz na niebo, oba kraje (Egiptu i świat cały)<sup>9</sup>. Wielbią cię wszyscy bogowie. Karmią cię (mlekiem swoim), jako piękne, ukochane dzieciątko, obie boginie (opiekunki Egiptu) Nechbet i Utō<sup>10</sup>.

Gdy on wschodzi (pełny) życia, (wszyscy) ludzie wnoszą na jego cześć okrzyki radości i hołdu. Wielbią go duchy (boskie) miasta On (Heliopolis), cześć go duchy miasta Pe (Buto) i miasta Nechenu (Hierakonpolis); cześć mu oddają małpy-pawjany<sup>11</sup> i wszelkie (wogóle) zwierzęta.

Twój<sup>12</sup> ureusz<sup>13</sup> powala twoich nieprzyjaciół, ty (zaś) wznosisz na swej łodzi okrzyki radości, i cała jej załoga jest szczęśliwa... (Wszyscy) oddają ci cześć; (bogini nieba) Nut rozposciera się lazurem swoim dookoła ciebie; Nun (bóg oceanu niebieskiego) łączy się z tobą swemi promieniami. Świeć i mnie także i daj mi oglądać (wiecznie) swoją piękność!

Cześć ci, o Rē, w czasie wschodu i, Atumie, w czasie zachodu! Ilekroć wzejdziesz (na niebo) i zabłyśniesz, (to) pojawiaasz się, jako król bogów. Ty jesteś panem nieba i ziemi. Tyś stworzył istoty górne<sup>14</sup> i dolne<sup>15</sup>. Tyś jest bogiem jedynym, który powstał na początku (świata); który stworzył (wszystkie) kraje i ludzi; który stworzył ocean

<sup>1</sup> Zmarły Egipcjanin utożsamia się z różnymi bogami, ażeby przez taką identyfikację zyskać potęgę i własności każdego z nich.

<sup>2</sup> Dlaczego Prawda jest podwójna, trudno odgadnąć.

<sup>3</sup> Grupa dziewięciu głównych bogów.

<sup>4</sup> Praocean (gr. chaos), z którego powstał bóg słońca, stwórca świata.

<sup>5</sup> Bogini nieba, matka słońca, księżyca, gwiazd.

<sup>6</sup> Rē znaczy «słońce»; Horus jest inną nazwą boga słońca; ma on postać sokoła. Harachte znaczy «Horus horyzontowy» lub «Horus obu horyzontów» (bo i tak można rozumieć).

<sup>7</sup> Różne nazwy boga słońca.

<sup>8</sup> Słońce rodzi się co rano dziecięciem, i co wieczór, jako starzec, umiera.

<sup>9</sup> Por. uwagę objaśniającą na str. 137 u góry.

<sup>10</sup> Pierwsza ma postać sępa, a druga postać zielonego węża okularnika. Nechbet jest opiekunką górnego, a Utō dolnego Egiptu (delfy Nilowej).

<sup>11</sup> Te mają, według pojęć egipskich, jakieś specjalne nabożeństwo do słońca.

<sup>12</sup> Takie przejścia od 2-giej do 3-ciej osoby są w tekstach egipskich bardzo częste.

<sup>13</sup> Wąż-okularnik, zdobitą diademem boga Rē i jego syna faraona; służy on im obu za skuteczny talizman i symbolizuje boską i królewską potęgę, siłę magiczną boga i króla.

<sup>14</sup> To znaczy prawdopodobnie: bogów i gwiazdy.

<sup>15</sup> To jest zapewne: istoty podziemne, zaludniające państwo umarłych.

i wyprowadził Nil (z podziemia na powierzchnię); który stworzył wodę i powołał do życia wszystko, co w niej jest; który powznosił góry; który powołał do bytu ludzi i trzody; który stworzył niebo i ziemię.

Czeigodni mieszkańcy Zachodu<sup>1</sup> wznoszą okrzyki radości, gdy ty (zstąpisz do podziemia i) świecisz (tam nocą) dla wielkiego boga Ozyrysa, władcy wieczności! Mieszkańcy jaskiń (podziemnych), siedzący w swych jamach, wznoszą ramiona w uwielbieniu twojej życiodajnej siły i przedstawiają ci wszyscy swe prośby, gdy tylko blask twój dotrze do nich (nocą).

Mieszkańcy podziemia mają radość w sercach, gdy ty oświecisz ciemności Zachodu. Ich oczy otwierają się i patrzą na ciebie. Ich serca radują się na widok ciebie. Ty wysłuchujesz próśb tych, co leżą w trumnie; oddalasz ich niedolę, usuwasz ich cierpienia i przynosisz świeży powiew dla ich oddechu.

O Rē - Harachte - Chepri, któryś powstał sam z siebie! Jakże piękne jest twoje wzejście na (wschodni) horyzont, gdy promieniami swymi oświecisz oba kraje (egipskie i cały świat).

Wszyscy bogowie wykrzykują z radości, gdy ujrzą (ciebie), pana nieba. Wąż-ureusz wznosi się potężnie ponad twoją głową; obie korony, górno-egipska<sup>2</sup> i dolno-egipska<sup>3</sup> siedzą mocno na twojej głowie. Thoth (bóg księżyca, główny twój minister) stoi na przedzie twojej łodzi i gromi twych nieprzyjaciół (demony i smoki ciemności). Mieszkańcy podziemia wychodzą (ze swych jaskiń i grobów) i zbliżają się do twego majestatu, aby (zbliska) oglądać piękność twoją.

I ja (także) przychodzę do ciebie i jestem z tobą, aby codziennie oglądać twą tarczę słoneczną. Nikt mnie nie powstrzymuje, ani nie przeszkadza, ażeby członki moje odnowiły się (i odrodziły) na widok twojej piękności, jak (się to dzieje) ze wszystkimi, których ty kochasz; albowiem ja byłem (również) jednym z tych twoich bogobojnych (wyznawców) na ziemi. Przyszedłem (oto) na obszar wieczności i dostałem się do kraju bez granic i końca. (Albowiem w życiu mojem doczesnem postępowałem zawsze tak), jakęś mi ty przykazał, (to znaczy) według (przykazań) Rē i każdego (innego) boga.

## Z rozdziału 17-go. Modlitwy do Rē o ochronę przed demonami podziemia

O Rē, który... świecisz w swej tarczy słonecznej; który wschodzisz na swym horyzoncie; który płyniesz po szpiwom (niebie); który nie masz równego sobie wśród bogów; który jeździsz po niebie, podniesionem (i podtrzymywanem) przez (boga atmosfery) Szou; który palącym oddechem swych ust wzniecasz wiatry; który blaskiem swoim oświecasz oba kraje (egipskie i cały świat); (o Rē), obroń (nieboszczyka) X przed tym bogiem tajemniczej postaci, którego brwi są ramionami wagi w owej (pamiętnej) nocy, gdy odbiera rachunek z grzesznika; (obroń go przed tym bogiem), który grzesznikom nakłada więzy na miejscu skazania i który rani (śmiertelnie ich) dusze.

O Rē - Atumie, władco wielkiej hali, królu wszystkich bogów! Obroń (nieboszczyka) X przed tym bogiem, który posiada oblicze psa o ludzkich brwiach; który żywi się trupami; który jest stróżem krętego, ognistego jeziora; który pożera zwłoki i wyrwa (żywcem) serca i wnętrzości, (a czyni to wszystko zgoła) niewidzialny.

Obroń (też nieboszczyka) X przed owym wielkim bogiem, który porywa dusze (zmarłych na wieczne zniszczenie); który pożera ścierwo; który żywi się zgnilizną; który jest (wiernym) towarzyszem ciemności i w ciemności (stale) przebywa.

<sup>1</sup> Zachód oznacza państwo umarłych, gdyż to rozpoczyna się tam, gdzie słońce codziennie umiera i zstępuje do podziemia.

<sup>2</sup> Biała, wysoka, kształtem podobna do kręglu.

<sup>3</sup> Czerwona, niska czapka, z płaskim dnem, z tyłu wygiętem wysoko w górę; ku przodowi sterczy z niej, naukos w górę, długi, spiralnie zakończony drut.

## Z rozdziału 18-go. Apostrofa do Ozyrysa

Cześć ci, książę Zachodu<sup>1</sup>, Unnofre<sup>2</sup>, mieszkający w Abydos<sup>3</sup>! Przybywam do ciebie, niosąc w swem sercu sprawiedliwość i nie mając w swem ciele żadnego grzechu... Daj mi tego chleba, który składany bywa w ofierze sprawiedliwym (i bogobojnym zmarłym); pozwól mi wchodzić i wychodzić (swobodnie) z podziemia, (daj), by mojej duszy nikt (w tem) nie przeszkadzał, i (pozwól mi) wiecznie patrzeć na słońce i księżyc.

## Z rozdziału 30-go. Apostrofa do własnego serca

Serce, (które mam od) mojej matki! Serce (z czasów) mojego życia na ziemi! Nie występuj jako (oskarżający) świadek przeciwko mnie (wobec sędziów pozagrobowych)!... Nie mów przeciwko mnie: «On tak rzeczywiście uczynił»... (gdym stanę) przed wielkim bogiem (Ozyrysem), panem Zachodu. Cześć ci (za to), moje serce! Cześć ci (za to), moje sumienie!...<sup>4</sup> Cześć wam, bogowie, którzy stoicie przed (bogiem) Kędzierzawym<sup>5</sup>, oparci na laskach swoich! zaświadczyć o mojej dobroci przed nim<sup>6</sup>.

## Z rozdziału 68-go. Potęga nieboszczyka

Bramy nieba stoją mi otworem i bramy ziemi stoją mi otworem... Wychodzę (z grobu) w (jasny) dzień, dokądkolwiek serce moje życzy. Posiadam (zupelną) władzę nad swoim sercem i swoim wnętrzem, nad swojemi ustami, nogami, rękami i (wogóle) nad wszystkimi swojemi członkami.

Mogę wychodzić (z grobu) na (każde) wezwanie (moich bliskich i moich kapłanów kultu pośmiertnego). Posiadam władzę nad powietrzem i wodą, nad Nilem i (jego) brzegami. Posiadam władzę nad (wszystkimi) mężczyznami i kobietami, którzyby chcieli zrobić mi coś (złego) w podziemiu. I posiadam (też) władzę nad (wszelkimi) zarządzeniami, któreby zostały wydane przeciwko mnie na (powierzchni) ziemi.

## Z rozdziału 72. Klauzula, zapewnijająca o wartości tego rozdziału

Kto pozna ten tekst (za życia swojego) na ziemi<sup>7</sup> i komu zostanie on wypisany na trumnie (lub włożony do trumny), tego mieszkańcy podziemia ujrzą w (wielkiej) świetności, gdy do nich przybędzie. Będzie on wychodził (z grobu) w (jasny) dzień (i to) we wszelkich postaciach, jakie tylko (wziąć na siebie) zechce; będzie on mógł (każdej chwili, jako niewidzialny duch) wejść bez przeszkody do domu swego (w którym mieszkał niegdyś za życia); otrzyma on (zawsze poddostatkiem) chleba i piwa, i wielki kęs mięsa z ołtarza Ozyrysowego; dostanie się (z całą pewnością) na pola Ialu<sup>8</sup> i otrzyma tam (na wieczną własność) dziesięć morgów (najlepszej) roli, na której synowie Horusowi<sup>9</sup> siał będą dlań jęczmień i pszenicę, a on ją tylko (bez trudu) zbierać i jeść będzie... (Wogóle) będzie mógł czynić wszystko, co zechce, jako jeden z owych (szczęśliwych) bogów, którzy tam (poza światem ludzkim) istnieją. — (Tekst ten trzeba odczytywać) wielokrotnie (i to) w sposób należyty (z uwagą i zrozumieniem).

Podobne klauzule i postscripta zachwalają w równy sposób wiele innych rozdziałów.

<sup>1</sup> Państwa umarłych.

<sup>2</sup> Przydomek Ozyrysowy.

<sup>3</sup> Główne miasto kultu Ozyrysowego w Górnym Egipcie.

<sup>4</sup> W oryginale właściwie «moje wnętrze», ale chodzi zapewne o to, co my zwiemy sumieniem.

<sup>5</sup> Jest to prawdopodobnie przydomek Ozyrysa.

<sup>6</sup> W oryginale napisano (zapewne mylnie) «przed Rē».

<sup>7</sup> Autorom «Księgi umarłych» chodziło, jak widać, o to, aby dawano ją nie tylko nieboszczykom, lecz by i żywi także kupowali ją i czytali.

<sup>8</sup> Grecy zwali je polami elizejskimi.

<sup>9</sup> Czterej bogowie, opiekujący się zmarłymi.

## Z rozdziału 125-go. Sąd pozagrobowy

Cześć ci, wielki boże (Ozyrysie), panie podwójnej<sup>1</sup> sprawiedliwości! Przybywam do ciebie, panie mój, (a raczej) wprowadzony (tu) zostałem, ażeby oglądać piękność twoją. Znam ciebie; znam twoje imię i znam imiona 42 bogów<sup>2</sup>, którzy zasiadają razem z tobą w sali podwójnej sprawiedliwości, którzy pożerają (ciała) grzeszników i piją ich krew, w tym (groźnym) dniu obrachunku żywota przed bogiem Unnofre...<sup>3</sup>

Oto przybywam do ciebie z sercem pełnym sprawiedliwości. (Podczas całego życia mego) strzegłem się (wszelakiej) nieprawości i nie czyniłem ludziom (żadnej) krzywdy... Nie uciskałem biednego (ani nie krzywdziłem go) na jego mieniu; nie czyniłem tego, co jest wstrętne bogu; nie oczerniałem podwładnego przed jego przełożonym; nie dawałem (nikomu) cierpieć głodu; nie powodowałem (niczyjogo) płaczu; nie zabijałem i nie rozkazywałem zabijać; nie przyczyniałem bólu nikomu; nie umniejszałem ofiar w świątyniach; nie zabierałem chlebów ofiarnych, składanych bogom, albo duchom zmarłych; nie zniewoliłem żadnej kobiety;... nie powiększałem ani pomniejszałem miary (na zboże); nie pomniejszałem łokcia; nie powiększałem sążnia; nie przesuwalem granic rolnych; nie powiększałem ciężarków wagi, (ani też) wytrącałem jej ze (sprawiedliwej) równowagi; nie odbierałem mleka niemowlęciu (ani ssącemu zwierzęciu); nie spędzałem bydła (złośliwie) z pastwiska; nie łapałem ptaków (na gruntach), należących do świątyni bogów; nie łowiłem ryb w ich stawach; nie zastawiałem wody (w kanałach, o ile była potrzebna innym); nie gasiłem ognia w czasie jego (to znaczy: gdy powinien był palić się dla tej czy innej potrzeby)... (To też) jestem czysty. (Ostatnie słowa powtórzyć trzeba) cztery razy.

Cześć wam, (wszyscy) bogowie, którzy zasiadacie w sali podwójnej sprawiedliwości! Znam was i znam wasze imiona. Nie spadnie na mnie wasz (karzący) miecz; nie będziecie mogli nic złego o mnie powiedzieć temu bogu (wielkiemu), którego podwładnymi jesteście, (gdyż) żaden grzech mój nie znajdzie się przed wami; kłamstwa zaś o mnie żadnego nie możecie (chyba) powiedzieć panu wszech rzeczy; albowiem ja (rzeczywiście) postępowałem sprawiedliwie (za życia mego) w Egipcie i nie grzeszyłem (nigdy) przeciwko (żadnemu) bogu, ani nie zawiniłem (nigdy) przeciwko (żadnemu) królowi przez (cały) czas jego panowania.

Cześć wam, bogowie, (którzy zasiadacie) w tej oto sali podwójnej sprawiedliwości; w których ciele (i duszy) niema (żadnego) kłamstwa; którzy karmicie się sprawiedliwością w (świętym) mieście) On (Heliopolis); którzy jadacie sprawiedliwość przed obliczem Horusa w jego tarczy słonecznej...

Oto ja przybywam do was bez grzechów i występków, bez (żadnego) zła i bez (złego) świadectwa (skierowanego przeciwko mnie)... (Żyjąc na ziemi), karmiłem się (tylko) sprawiedliwością i jadałem (tylko) prawdę. Czyniłem (zawsze) to, co ludzie zwykli chwalić, i to, z czego zadowoleni bywają bogowie; radowałem bogów tem, co oni lubią. Dawałem chleba głodnemu i wody spragnionemu; (dawałem) ubranie nagiemu i przewóz temu, kto nie miał łodzi (by się przeprawić przez rzekę); bogom składałem ofiary bogom należne, a zmarłym ofiary (przepisane) dla zmarłych.

(O wy, słudzy i towarzysze Ozyrysowi), uratujcie mnie i obrońcie mnie! Nie oskarżajcie mnie przed (panem waszym), bogiem wielkim! (Albowiem) ja jestem człowiekiem o czystych ustach i o czystych rękach<sup>4</sup>; (ja jestem) człowiekiem tak bogobojnym i zacnym, że) ci, którzy go ujrzą, mówią doń: «Witaj w pokoju!».

<sup>1</sup> Dlaczego sprawiedliwość i prawda są podwójne, trudno powiedzieć.

<sup>2</sup> Liczba ta odpowiada 42 powiatom (nomom) egipskim.

<sup>3</sup> Przydomek Ozyrysa.

<sup>4</sup> Nie mówiłem i nie czyniłem nigdy nic złego.

## AMEN-EM-OPE

## NAUKI MĘDRCA AMEN-EM-OPE

Autor żył, jak się zdaje, w X wieku przed Chr., w górno-egipskim mieście Chent-Min (u Greków Chemmis lub Panopolis, dziś Achmīm). Pochodził z arystokratycznej rodziny i piastował w swoim ojczystym powiecie długi szereg wysokich urzędów, które nam wymienia we wstępie. Nauki swe, podzielone na 30 rozdziałów, zwraca do swojego najmłodszego syna, który był kapłanem w głównej panopolitańskiej świątyni, poświęconej Minowi, ithyfallicznemu bogu płodności i żyzności.

Poniżej dajemy w tłumaczeniu kilkanaście najbardziej charakterystycznych i najbardziej zrozumiałych sentencji. Wybraliśmy je z różnych rozdziałów, zaznaczając odpowiednią cyfrą, z którego rozdziału dany ustęp pochodzi. Ktoby chciał zobaczyć, jak wygląda cały utwór, tego odsyłamy do książki: *Das Weisheitsbuch des Amenemope, aus dem Papyrus 10.474 des British Museum herausgegeben und erklärt von H. O. Lange, Kopenhaga 1925 (Det kgl. Danske Videnskabernes Selskab, Historisk-filologiske Meddelelser XI.2).*

1. Podaj ucha (słowom moim), słuchaj, co (ci) mówię, i zwróć (baczenie) uwagę, aby to zrozumieć; gdyż będzie to (dla ciebie bardzo) pożyteczne, jeśli to sobie weźmiesz do serca; (natomiast) biada takiemu, który tem (co mówię) wzgardzi. (Więc) zachowaj to w skarbcu swej duszy<sup>1</sup>, a klucz (złóż) w sercu swoim; (zapewniam cię, że), gdy nastanie kiedyś dla ciebie czas burzy<sup>2</sup>, wtedy nauki moje będą ci kotwicą (i ostoją). Jeśli żyć będziesz, zachowując je w sercu swoim, to przekonasz się, że przyniosą ci szczęście (i powodzenie). Przekonasz się, iż słowa moje będą dla cię śpichrzem (i skarbcem) żywota i że (dzięki nim) szczęśliwym będziesz na ziemi.

2. Strzeż się, byś nie ukrzywdził na mieniu (człowieka) biednego, ani nie nadużył przemocy przeciwko słabemu. Nie podnoś ręki na starca, ani (nie otwieraj) ust swych (zuchwale) wobec człowieka wielkiego (wyższego i potężniejszego od ciebie)...

3. Nie wdawaj się w spór z człowiekiem popędliwym i nie drażnij go słowami. Postępuj zwolna (bez pośpiechu i gwałtowności) z przeciwnikiem swoim<sup>3</sup>, a wobec krzywdziciela swego bądź grzecznym (i łagodnym). Przedtem, nim powiesz (co stanowczego, lepiej najpierw) idź spać (i odłóż decyzję na dzień następny)<sup>4</sup>. (Albowiem gwałtowność może unieść człowieka tak łatwo, jak) wichur, (który nagle) powstaje, (lub) jako płomień (co rozszarpa się) w słomie...

4. (Człowiek gwałtowny i popędlawy łatwo może narazić się na niebezpieczeństwo i nieszczęście, a nawet łatwo zginąć. Życie jego bywa niestałe i niepewne). Popędlawy jest jako (suche) drzewo, które rośnie (dziko) w polu; lada chwila może ono być ścięte, spławione daleko od swego miejsca (na którym wyrosło) i znaleźć swój koniec w ogniu. (Natomiast) człowiek prawdziwie rozważny i spokojny...<sup>5</sup> (ten) jest jako drzewo (szlachetne) rosnące w ogrodzie: zieleni się ono (pięknie) i wydaje obfite owoce<sup>6</sup>; stoi przed obliczem (i pod opieką) pana swego; jego owoce są słodkie; jego cień miły; (a gdy wreszcie po wielu latach zestarzeje się i spróchnieje, to) znajdzie swój koniec w (tym samym) ogrodzie (w którym wyrosło).

6. (Nie pożądaj roli sąsiada twego i nie naruszaj jego granic, bo chciwiec, który tak czyni, nie bywa szczęśliwy). Jego stodoły (i śpichrze) niszczej, jego majątek wychodzi z rąk jego dzieci, jego mienie dostaje się innym. (A zatem) strzeż się naruszać granice polne (twoich sąsiadów), ażeby cię (za to) nie spotkała kara (boża)... Pracuj (lepiej pilnie) na (własnych swoich) polach, (a wtedy) zaspokoisz swoje potrzeby (w sposób godziwy) i będziesz miał chleb ze swego własnego gumna. (Gdyż) lepsza jest jedna miara (zboża), którą ci bóg da (w nagrodę za twą własną uczciwą pracę), niż pięć tysięcy (miar zdobytych) nieuczciwie. (Takie nieuczciwie zebrane plony) nie

<sup>1</sup> W oryginale właściwie: «w skrzyni ciała twego».

<sup>2</sup> To znaczy zapewne: czas niebezpieczeństw, nieszczęść i zwątpień.

<sup>3</sup> A zatem: «festina lente», bo «co nagle, to po djable».

<sup>4</sup> Por. francuskie przysłowie: «la nuit porte conseil».

<sup>5</sup> Mędrzec nasz przeciwstawia chętnie dwa ludzkie temperamenty, z których jeden nazywa «gorącym», a drugi «milczącym»; pierwszy — to popędlawiec i gwałtownik, drugi — to człowiek rozważny i spokojny.

<sup>6</sup> W oryginale: podwaja swój plon.



trwają (czasem) ani jednego dnia w śpichrzu lub stodole i nie wydają (czasem) ziarna (ani) na (jeden) dzban (piwa). Ich trwanie w stodole kończy się (nieraz) w jednej chwili: (minie noc), dzień zaświta i niema ich (już ani śladu). Lepsze jest ubóstwo z woli boga, niż (wielkie) bogactwo w śpichlerzu. Lepszy jest chleb (suchy, spożywany) z wesołym sercem (i spokojnym sumieniem), niż (największe nawet) skarby, (posiadane) z troską (i niepokojem sumienia).

7. Jeśli masz zapewnione zaspokojenie swych potrzeb, to nie staraj się szukać więcej. Gdyby ci (bowiem) przyniesiono (nawet wielkie) bogactwa rabunkiem (zagarnięte), to one mogą (czasem) nie pozostać u ciebie (nawet) przez jedną noc. (Może się zdarzyć, iż) gdy dzień zaświta, nie będzie ich już w twoim domu. Widoczne będzie (tylko) ich miejsce, ale ich samych nie będzie. (Jakby) ziemia otworzyła swe usta i pochłonęła je; (jakby) zapadły się do podziemia; (jakby) zrobiły sobie wielki otwór (w podłodze) i zapadły się w (samym) śpichrzu. (Albo też jakby) przybrały skrzydła ptaków i uleciały ku niebu. Nie pragnij (więc) bogactw rabunkiem (zagarniętych) i nie smuć się z ubóstwa... Módl się (raczej codziennie) do (boga) słońca, gdy wschodzi, i mów (doń): «Daj mi powodzenie i zdrowie!». A on da ci (na pewno wszystko), czego ci do życia potrzeba, ty zaś (w ten sposób) wolny będziesz od (wszelkiego) strachu (przed karą boską i ludzką).

10. Nie bądź w rozmowie z ludźmi fałszywym, bo jest to wstrętne bogu. Nie rozdzielaj swego serca od języka (myśląc inaczej, a mówiąc inaczej)... (albowiem) bóg nienawidzi tego, kto mówi fałszywie, i bardzo wstrętny jest mu taki (który postępuje w sposób podobny).

11. Nie požądaj mienia człowieka biednego i nie łaknij jego chleba; (albowiem) mienie człowieka biednego (którebyś chciał zrabować i pożreć) niezdrowe jest dla gardła i wytwarza gorycz w przelyku...

12. (Lecz) nie požądaj też mienia bogacza (jeśli, służąc u niego), możesz dowoli jeść chleb pełnymi ustami. Gdy on ustanowi cię stróżem (i rządcą) swojego majątku, to, choćby jego dobrobyt różnił się bardzo od twojego, nie kradnij... ani też nie wchodź w spółnictwo z (żadnym jego mienia) złodziejem.

13. (Nie składaj nigdy fałszywego świadectwa, ani nie fałszuj żadnych dokumentów. Gdybyś był urzędnikiem podatkowym, to szacuj majątki i dochody sprawiedliwie).

15. (Jako urzędnik) nie dopominaj się u nikogo (o łapówkę) i nie patrz mu na rękę<sup>1</sup>.

Jeśli ci (kto) powie: «Przyjmij (ode mnie) podarek! (Przecie) żaden biedny człowiek nie powinien tem gardzić!», to nie zamykaj wobec niego oczu (z udaną skromnością), ani nie spuszczaaj głowy (symulując zakłopotanie), lecz spojrzij nań (surowo i zgań go za usiłowane przekupstwo).

16—17. (Nie używaj fałszywych wag i miar).

24. Nie podsłuchuj mów księcia (twojego pana, służąc) w jego domu, i nie powtarzaj ich potem (nikomu) drugiemu nazewnątrz. Niechaj słowa twoje nie będą (nigdy) wyniesione nazewnątrz, żeby (potem) serce twoje nie (zaznało z tego powodu przykrości).

25. Nie wysmiewaj się (nigdy) ze ślepego, nie wydrwiwaj karła, nie przedrzeźniaj kulawego. Nie wysmiewaj się (też) z człowieka, który jest w mocy (złego) boga (czyli opanowany przez złego ducha), i nie gniewaj się nań, gdy on (w szaleństwie swoim) uczyni coś złego (lub głupiego). (Pamiętaj o tem, że) człowiek jest gliną i trzcina, a bóg jest jego stwórcą<sup>2</sup>. (Jakim go stworzył, takim on jest; człowiek temu nie winien). Bóg niszczy i tworzy<sup>3</sup> codziennie. Jeśli chce, stworzy tysiąc ludzi małych (i marnych), a (drugich) tysiąc zrobi magnatami, jeśli przyjdzie nań chwila takiego nastroju (?). Jakże szczęśliwy jest człowiek, który przybywa na Zachód (do państwa

<sup>1</sup> W oryginale jest: «nie staraj się szukać jego ręki».

<sup>2</sup> W oryginale: «jego murarzem». Bóg ulepił człowieka z gliny, jak garncarz lepi naczyne, względnie splótł go z trzciny, sitowia lub słomy, jak koszykarz splata kosze i maty.

<sup>3</sup> W oryginale: «buduje».

umarłych) i wyjdzie cało z ręki boga (to znaczy: niewinny zostanie na pośmiertnym sądzie).

26. Nie przesiaduj w piwiarni i nie wdawaj się (tam) ani z takim, który wyższy jest od ciebie (pochodzeniem lub majątkiem), choćby nawet był młodzikiem, ani też (nie wdawaj się) z takim, który zajmuje wyższy (od ciebie urząd), ani z takim, który jest starszy (od ciebie) wiekiem. Wchodź w przyjaźń (i towarzystwo tylko) z człowiekiem sobie równym... Jeśli spotkasz na ulicy człowieka wyższego od ciebie, za którym idzie (liczna) świta, to (oddaj mu cześć)... (Pamiętaj bowiem, że) giętki grzbiet nie złamie się... (A) sternik, który (pilnie) patrzy wdał, nie przewróci okrętu.

27. Nie łaj (nigdy) człowieka starszego od ciebie, bo on ujrzał słońce (to znaczy: urodził się) przed tobą. Jeśli (na tamtych świecie) przed wschodzącym słońcem (Rē) oskarżony zostaniesz (słowami:) «(będąc) młodszy(m), łajał (on) starszego», to będzie to czemś bardzo obciążającym (ciebie) przed obliczem (boga) Rē, (bo) młodszy, który łaje starszego (popelnia wielki grzech). (Pamiętaj zatem: gdyby cię starszy nawet bił, to) daj mu się bić, trzymaj swe ręce (spokojnie i pokornie złożone) na piersi; (gdyby cię łajał, to) daj mu się łajać, a sam milcz. (Zobaczysz, że) jeśli nazajutrz przyjdiesz doń (gdy go już gniew opuści), to (on na pewno) wynagrodzi cię sowicie<sup>1</sup> (za twoją wczorajszą pokorę).

30. (Zakończenie). Przeczytaj sobie (uważnie) te 30 rozdziałów: one (bowiem) radują i uczą; one są najpierwszą (i najważniejszą) ze wszystkich ksiąg; one zmieniają (człowieka) niewiedzącego w tego, co wie... (A zatem) przejmij się nimi, weź je do swego serca (i naucz się ich tak), żebyś je mógł wyklądać, jako nauczyciel, (także i innym)...

## NEFER-REHU

### Z PROROCTW KAPŁANA NEFER-REHU

Chcę (wam) opowiedzieć o tem, co stoi (jako żywe) przede mną, i nie będę zwiastował nic takiego, co by nie miało przyjść.

(Oto jedyna nasza) rzeka egipska wyschnie tak, że można ją będzie przechodzić pieszo (w bród). (Ludzie napróżno) szukać (w niej) będą wody, na której mogłyby płynąć (ich) okręty. (Niestety) koryto jej stanie się (całe suchem), jako brzeg piaszczysty... (Upalny) wiatr południowy wiać będzie (stale zwycięsko) przeciwko wiatrowi północnemu<sup>2</sup> tak, że niebo znać będzie (odtąd) tylko ten jeden wiatr (suchy i palący)... Wszelkie dobro przeminie, a cały kraj (nasz) pogrążony będzie w nędzy...; Beduini będą w nim grasować; powstana (przeciwko nam nasi) wrogowie ze wschodu; (semiccy) Azjaci wkrocza do Egiptu... Zwierzęta pustyni pić będą wodę (z) rzeki egipskiej i chłodzić się będą (w cieniu) na jej brzegach, bo nikt ich nie będzie odpychał. (Cały) ten kraj popadnie w nieład i zamieszanie, i nikt nie będzie wiedział, co (z tego) wyniknie... Pokażę wam kraj w nędzy i niedoli; stanie się to, co się nie stało (jeszcze nigdy przedtem). (Wszyscy) ludzie chwycą za oręż do boju, tak, że (cały) kraj będzie w rozruchach... (Ludzie) żyć będą krwawym chlebem i śmiać się będą śmiechem bolesnym. (Ale) nikt nie będzie oplakiwał zmarłych, ani pościł (nawet przez jedną) dobę z powodu śmierci (najbliższej nawet osoby ze swej rodziny)... Bliźni mordować będzie bliźniego. Pokażę wam (wówczas) syna nieprzyjacielem (swego ojca), brata wrogiem (drugiego brata) i człowieka, który zabija własnego ojca. (Zobaczycie ogólny fałsz i obłudę, ogólną nienawiść i niesprawiedliwość)... Kraj będzie mały, ale panujących w nim będzie wielu (gdyż Egipt rozpadnie się na mnóstwo drobnych i słabych państweczek). Plony rolne staną się skąpe, ale miara, którą mierzyć będą zboże (składane w daninie podatkowej), będzie (mimo to) wielka i nasypywana ponad (jej) objętość. Słońce opuści ludzi, świecić będzie (tylko) chwilę; nie będzie można (nawet) zauważyć, kiedy nastanie południe; (w słabem i bładem świetle słoń-

<sup>1</sup> W oryginale «da ci szczodrzyć chleba».

<sup>2</sup> Który, wiejąc od morza (Śródziemnego), przynosi Egipcjom wilgoć i ochłodę.

necznem) człowiek nie będzie (nawet) widział (własnego) cienia; (słońce) nie będzie (już nawet) oslepiac wzroku, gdy się na nie spojrzy; oczy (patrzące na nie) nie zwilżą się (nawet) łzami; będzie ono (bowiem) stało na niebie (tak blade), jak księżyc... Zobaczycie (wówczas) kraj (cały) w zamieszaniu (i najwyższym nieładzie; wszystko obróci się do góry nogami); (kto był dawniej) słaby (i ubogi), ten stanie się (wówczas) mocny (i bogaty); co (dawniej) było na dole, (to wówczas) dostanie się na (sam) wierzch (i naodwrot)...; ludzie mieszkać będą na cmentarzach, (a umarłych grzebać będą po wsiach i miastach)...

(Ale mimo wszystko nie traćcie nadziei, bo, oto, po pewnym czasie) pojawi się na południu (w górnym Egipcie, w powiecie tebańskim) król (-zbawca) imieniem Ameni (t. j. Amen -em -het I), syn kobiety nubijskiej, dziecko Południa. On posiadzie białą (wysoką) koronę (Górnego Egiptu) i włoży (na głowę swoją) czerwoną (płaską) koronę (Egiptu Dolnego); on połączy (na czole swoim) obie (te) potężne (korony) i obu (boskich) władców<sup>1</sup> uraduje tem, co oni lubią... Ludzie jemu współcześni cieszyć się będą, a (on), szlachetny, zdobędzie sobie sławę wieczną. Ci, którzy chcą czynić zło i zamyślają niegodziwość, pospuszczają (nieśmiało) oblicza ze strachu przed nim. Azjaci upadną przed jego groźną potęgą, a Libijczycy ugną się przed jego (męstwa palącym) płomieniem. (Wszyscy) wrogowie ulegną wobec jego (gniewnego) zapalu i (wszyscy) rokoszanie wobec jego mocy. Ureusz (królewski wąż, zdobywca diadem) na jego czole uśmierzy dlań (wszystkich) buntowników. (Za jego panowania) zbudowana zostanie twierdza «Mur książęcy» (u wschodniej granicy Delt), tak, że (odtąd) Azjaci nie będą już mogli wpadać do Egiptu. Będą (odtąd znowu musieli), według (dawnego) zwyczaju, prosić (pokornie) o wodę (nilową w Egipcie), ażeby mogli napić swe trzody (ginące z posuchy na upalnych stepach Palestyny i Synaju). (Pod błogimi rządami tego króla-zbawcy) prawo zostanie (znowu) przywrócone do (dawnego) stanu jego (poszanowania, wszelkie zaś) bezprawie zostanie (raz na zawsze) wymiecione. Cieszyć się będzie ten, kto (dożywszy tych szczęśliwych czasów) oglądać będzie to (szczęście), i ten, kto, jako współczesny, królowi temu będzie służył. Mnie (zaś niejeden) mędrzec (potomny) złoży (pośmiertną) libację, gdy ujrzy (na własne oczy), że spełniło się (wszystko) to, com przepowiedział (powyżej).

## ZNIKOMOŚĆ ŚWIATA I UŻYWANIE ŻYCIA

(Tak zwana «Pieśń harfiarza»)

Za czasów Nowego Państwa śpiewano podczas uczt, przy wtórze harfy, popularną pieśń, opisującą znikomość wszech rzeczy tego świata i, ze względu na to, zachęcającą biesiadników do tem większej wesołości i używania życia, dopóki pora. Zachowała się ona w dwóch grobach tebańskich, z czasów XVIII dynastji (1580—1350), i na jednym z papirusów hieratycznych Muzeum Brytyjskiego, z początków XIX dynastji (około roku 1300).

...(Jedne) istoty mijają i giną, a drugie (rodząc się na ich miejsce) żyją. Tak jest (i było) od czasu (najdawniejszych naszych) przodków. Bogowie (ziemscy<sup>2</sup>), którzy niegdyś żyli, spoczywają (już oddawna) w swoich piramidach, tak samo i (inni) wielcy (szlachetni i mądrzy) pogrzebani są w swych grobach. Ci, co sobie niegdyś (wielkie) domy pobudowali, — ich siedzib już (dzisiaj) niema (ani śladu)... Słyszałem słowa (mędrców) Imhotepa i Hardedefa, których sentencje wszędzie są sławione (i cytowane do dziś dnia). Lecz gdzież są (dzisiaj) ich (dawne) siedziby? Ich mury rozpadły się w gruzy, ich siedzib już niema (na świecie), jakgdyby ich nigdy nie było.

Nikt nie powraca stamtąd (dokąd oni odeszli), ażeby opowiedział, jak im się powodzi; aby (nam) doniósł, czego im potrzeba; ażeby serca nasze uspokoił. (Dowiemy się o tem dopiero), aż sami odejdziemy (stąd) na to miejsce, na które oni (już dawno) odeszli.

<sup>1</sup> Horusa i Setha, bogów opiekuńczych Dolnego i Górnego Egiptu.

<sup>2</sup> To jest: królowie.

(Wobec tego) zachęcaj swe serce, by o tem (co cię czeka) zapomniało, a myślało tylko o tem, co ci jest (tu na ziemi) miłe. I czyni zadość swym życzeniom, dopóki żyjesz. Kładź mirrę na swoją głowę i strój się w delikatne szaty, przepojone co najdroższą wonnością, prawdziwym boskim zapachem.

Pomnażaj (coraz) bardziej swe radości (życia), i niech twe serce (przy tem) nie ustaje. Zaspokajaj swe życzenia, dbaj o swoją przyjemność i ulóż sobie sprawy swe na ziemi według tego, jak twe serce pragnie. (Żyj wesolo), aż przyjdzie ów dzień narzekania (gdy twoi płakać będą po tobie). Lecz Ozyrys (bóg podziemia) nie wysłucha ich (żałobnych) krzyków, gdyż nikogo jeszcze z grobu nie wróciło narzekanie.

Święć-że zatem dni wesela i (w radości) nie ustawaj (i nie żałuj, nie oszczędzaj), bo nikt jeszcze swego mienia nie zabrał z sobą (do grobu) i nikt jeszcze nie powrócił z pośród tych, co tam odeszli.

## AMENOFIS IV

### HYMN DO SŁOŃCA

Król ten, panujący pod koniec XVIII dynastji, od r. 1375—1358 przed Chr., znany jest w historii Egiptu, jako śmiały reformator religijny, który w miejsce tradycyjnego i wiekami ustalonego politeizmu postanowił jednym rewolucyjnym zamachem zaprowadzić w całym swym rozległym państwie wiarę w jednego boga. Ogłosił więc słońce, jako źródło wszelkiego życia na ziemi, za jedyne i nieosobowe bóstwo, wolne od jakichkolwiek cech ludzkich i mitologicznych atrybutów, czczone wyłącznie tylko pod postacią tarczy słonecznej (po egipsku Aton), jako że z niej spływa na ziemię, za pośrednictwem promieni, dobroczynne światło i ciepło, i wszelka życiodajna siła. Piękny hymn, pochodzący z tych czasów i przypisywany samemu królowi-reformatorowi, wielbi to bóstwo słoneczne następującymi słowy:

Piękny jest twój wschód na horyzoncie nieba, o żywy Atonie, będący początkiem (wszelkiego) życia. Gdy zaświecisz na wschodnim horyzoncie (nieba), to napełniasz całą ziemię pięknnością swoją. Ty jesteś piękny, wielki i świecący, tyś jest wysoko nad ziemią wzniesiony. Promienie twoje obejmują (wszystkie) kraje... Podbijasz je miłością swoją. (Choć) jesteś daleki, (ale) promienie twoje są na ziemi...

Gdy zapadniesz na zachodnim horyzoncie (nieba), to ziemia (pogrąża się) w ciemności, jakoby umarła, (a ludzie) zasypiają w swych komnatach z zakrytymi głowami... i jeden nie widzi drugiego. Gdyby (wówczas) skradziono (nawet) ich mienie, które jest u ich wezgłowia, to nie zauważyliby tego. (Wówczas) lew każdy wychodzi ze swej kryjówki, i wszystko, co pelza, (wówczas) kąsa... Ziemia (cała pogrążona) jest w milczeniu, (bo) ten, który ich (t. j. ludzi i zwierzęta) stworzył, zaszedł na swoim (zachodnim) horyzoncie.

O świetle ty (znowu) wschodzisz na horyzoncie i świecisz, jako tarcza słoneczna we dnie. Uciekają ciemności, gdy ty rozesłesz swe promienie (przeciwko nim). (Wtedy) mieszkańcy obu krajów (Egiptu) radują się. Budzą się i wstają na nogi; (gdy) ty ich podniosłeś (ze snu, o Atonie). Myją swe ciała i nakładają swe szaty, (a potem) podnoszą (ku tobie) swe ręce i wielbią cię, gdy wschodzisz. (I znowu) ziemia cała (i jej mieszkańcy) spełniają swe (codzienne) prace.

Bydłęta wszystkie radują się na swej paszy, drzewa i zioła zielenią się, ptaki fruują u swych gniazd,<sup>1</sup> a skrzydła ich (wznosząc się) wielbią ciebie. Wszystkie zwierzęta skaczą na swych nogach. (Wszystko), co lata i fruwa, ożywia się, gdy ty wjeździesz.

Okręty płyną wdół i wgórę (Nilu). Każda droga stoi otworem, gdy ty zaświecisz. Ryby skaczą (z radości) przed twojem obliczem. Promienie twoje (świecą nawet) we wnętrzu wielkiego zielonego (morza).

(Dzięki swej cudownej, życiodajnej sile słońce stwarza wszystkie istoty, i stworzone utrzymuje przy życiu. Dzięki niemu rodzą się i żyją ludzie i zwierzęta).

Pisklę w jajku (jeszcze będąc) odzywa się (już) w skorupie, (bo) ty mu dajesz

<sup>1</sup> Dosłownie «na swych bagnach», gdyż ptaki gnieźdzą się w Egipcie przeważnie w zaroślach nad wodą.

oddech (żywotny) w jej wnętrzu, ażeby żyło. (Ty mu dajesz siłę, by rozbiło skorupę, i dzięki tobie tylko) wydostaje się ono z jajka... (i natychmiast) chodzi na swych nogach, gdy tylko z niego wyszło.

Jak liczne (i różnorakie są) dzieła twojej!.. Stworzyłeś ziemię wedle życzenia swego; (stworzyłeś ją) sam (bez niczyjej pomocy); (stworzyłeś) ludzi i wszystkie wielkie i małe zwierzęta; (stworzyłeś) wszystko, co żyje na ziemi i chodzi na nogach, jak i to, co (żyje) w górze i lata na skrzydłach.

Obce kraje Palestyny i Etyjopji i (nasz) kraj egipski — każdy (wogóle naród) postawiłeś na jego miejscu (t. j. w jego kraju) i stworzyłeś to, czego (mieszkańcy) jego potrzebują. Każdy (człowiek) ma swe pożywienie i policzony jest czas jego żywota. Języki tych (narodów) różnią się wymową, a również ich wygląd zewnętrzny i ich barwa (cery) są różne.

(To) ty, o Rozróżniający, poróżniłeś narody.

Tys stworzył Nil w głębi podziemia i wyprowadzasz go (na powierzchnię ziemi<sup>1</sup>), wedle swej woli, ażeby karmił ludzi, których (również) stworzyłeś ty, o panie ich wszystkich...

(Także i) wszystkim obcym i dalekim krajom tys zapewnił życie, bo stworzyłeś im Nil na niebie. Gdy ten zstępuje nadół (w postaci deszczu), to na górach tworzy fale, jak morze; zrasza pola i miasta ich (mieszkańców)<sup>2</sup>.

Jakże wspaniale (i cudowne) są twoje zamysły, o panie wieczności! Nil na niebie dałeś obcym krajom... a Nil (prawdziwy) — ten wychodzi z podziemia dla Egiptu.

Tys stworzył pory roku..., zimę, by chłodziła, i upał, by palił(?). Tys stworzył niebo dalekie, by na niem świecić i patrzeć (stamtąd) na wszystko, coś uczynił (na ziemi). O, ty jedyny (boże), pojawiający się w swej (jedynej) postaci, jako żywy Aton, świecący, promieniejący, oddalający się i (znow) wracający!.. Wszystkie oczy widzą cię przed sobą, gdy, jako słońce dzienne, jesteś ponad ziemią... Ty żyjesz w mem sercu. Nikt inny cię nie zna (w twej tajemniczej, prawdziwej istocie), oprócz syna twego Ech-en-Atona...<sup>3</sup>, który pochodzi od ciebie samego.

## Z BIOGRAFJI NOMARCHY AMENIEGO

(Z jego grobu w Beni-Hasan, w Średnim Egipcie)

Towarzyszyłem panu memu<sup>4</sup>, gdy wyruszył na południe (do Nubji), ażeby pokonać swych nieprzyjaciół, (jakich miał) wśród czterech tamtejszych ludów barbarzyńskich. Wyruszyłem (z nim) na południe, jako syn nomarchy i naczelny wódz powiatu Gazeli<sup>5</sup>, jako zastępca mego starego ojca (i dziedzic) jego łaski, (której doznawał) w pałacu królewskim, i (dziedzic) jego miłości (jaką się cieszył) na dworze. Przebyłem kraj Kusz<sup>6</sup>, posuwając się (daleko) na południe; rozszerzyłem granicę kraju (egipskiego) i przywoziłem (panu memu) dary wszelakie(go rodzaju). (To też) sława moja dosięgła (niemal) nieba. (A gdy) następnie Jego Majestat wrócił szczęśliwie, poskromiwszy swych wrogów w podłym kraju Kusz, powróciłem (z nim i) ja, towarzysząc mu... I nie było (żadnej) straty w mem wojsku.

(Po pewnym czasie) wyruszyłem (znowu) na południe (do Nubji), ażeby przywieźć (z kopalń nubijskich) rudy złotej dla Majestatu króla Górnego i Dolnego Egiptu Cheper-ke-Rē (Sesostrisa I), żyjącego po wieki wieków. (Tym razem) wyruszyłem na

<sup>1</sup> Taki jest pogląd Egipcjan na pochodzenie Nilu.

<sup>2</sup> Egipcjanom, którzy w swym widywali deszcz bardzo rzadko (w Górnym Egipcie przeciętnie raz na kilkadziesiąt lat), zjawisko to, spotykane w innych krajach, wydawało się wielkim cudem, zwłaszcza gdy woda deszczowa spływała potokami z gór, co się w Egipcie nigdy nie zdarza.

<sup>3</sup> Amenofis IV, zmieniwszy religję, zmienił i swe pierwotne imię Amen-hotep, co znaczy «Amon jest zadowolony» na Ech-en-Aton, co znaczy «blask Atona».

<sup>4</sup> Faraonowi Sesostrisowi I, który panował w XX wieku przed Chr.

<sup>5</sup> W Średnim Egipcie; Ameni był jego nomarchą.

<sup>6</sup> Tak Egipcjanie nazywają Nubję, czyli Etyjopję.

południe z księciem dziedzicznym..., najstarszym rodzonym synem królewskim Amenim<sup>1</sup>, — oby żył w szczęściu i zdrowiu! I przywiozłem złota (tyle), ile mi polecono, i chwalono mnie za to w pałacu króla. (A i) syn królewski (z którym odbyłem tę wyprawę) podziękował mi (również).

Potem wyruszyłem (znowu) na południe, ażeby przywieźć rudy. (Wyruszyłem najpierw) do miasta Koptos (i to) razem z księciem dziedzicznym..., naczelnikiem miasta (stołecznego) i wezyrem Senwosretem<sup>2</sup> — oby żył w szczęściu i zdrowiu! (Z Koptos) wyruszyłem (dalej w pustynię)<sup>3</sup> z orszakiem 600 ludzi, (którzy) wszyscy (byli) dzielni (i pochodzili) z (mojego rodzinnego) powiatu Gazeli. I powróciłem (stamtąd) szczęśliwie, tak, że wojsko moje było całe (i nietknięte). I wykonałem wszystko, co mi było rozkazane.

(W rządach mych, jako nomarcha powiatu Gazeli) byłem panem dobroci, pomnażającym miłość (ludzi ku mnie); byłem władcą kochanym przez obywateli swego miasta. Spędziłem liczne lata, jako nomarcha powiatu Gazeli, i wszystkie daniny, (płacone) dla dworu królewskiego, szły przez moje ręce... Ja odsyłałem do pałacu króla wszystkie daniny ich (t. j. okolicznych miast i wsi). I nie (było nigdy) z mej strony (żadnych) zaległości (podatkowych) w kancelariach jego (t. j. króla). Uprawiałem cały powiat Gazeli...<sup>4</sup>

Nie było (w tym powiecie ani jednej) córki drobnego obywatela, którąbym był zhańbił; nie było (ani jednej) wdowy, którąbym był skrzywdził; nie było (ani jednego) wieśniaka, któregobym był wygnał (z jego gruntu); nie było (ani jednego) pasterza, któregobym był odpędził (z pastwiska)...; nie było biednego w mej okolicy, nie było głodnego w czasie moim. Gdy (raz) nadeszły lata głodu, to kazałem zorać wszystkie pola powiatu Gazeli, aż do jego granic południowych i północnych, i utrzymywałem przy życiu jego mieszkańców i zaopatrywałem ich w żywność (tak, że) nie było w nim (t. j. w całym powiecie, ani jednego) głodnego. Dawałem (zboże zarówno) wdowie, jak i tej (kobiecie), która miała męża. Nie wywyższałem (i nie przedkładałem człowieka) wielkiego nad małego w tem wszystkim, co dawałem. A gdy potem nadeszły obfite powodzie nilowe, (dawczyni i) panie zboża i wszelakich plonów, to ja nie ścigałem (żadnych) zaległości podatku rolnego (którego mi ludzie w czasach głodu zapłacić nie mogli, lecz darowałem im te wszystkie długi).

## ŻYCIE I CZYNY KAPITANA AMOSISA

(Z jego napisu grobowego w El-Kab, w Górnym Egipcie)

Jest to imiennik i wierny sługa faraona Amosisa, pierwszego króla XVIII dynastji, który (około roku 1580 przed Chr.) oswobodził Egipt od jarzma Hyksosów i założył nowożytnie państwo egipskie.

Dowódca wioślarzy Ahmes (Amosis), syn Ebany<sup>5</sup>, błogosławionej pamięci, mówi (co następuje):

Mówię do was, wszyscy ludzie, i opowiadam wam o łasce, jaka mnie spotkała (z rąk króla). Siedem razy nagrodzono mnie złotem oraz niewolnikami i niewolnicami, w oczach całego kraju (i narodu). I nadano mi (także) bardzo wiele pól. Imię dzielnego człowieka polega na tem, czego dokonał. Nie zginie ono w tym kraju na wieki.

<sup>1</sup> Jest to późniejszy faraon Amen-em-het II, syn Sesostrisa I. — Imię Amen-em-het, znaczące «Amon (jest) na przedzie (przed innymi bogami)», skraca się w Amen, t. zn. «Amonowy». To samo imię nosi autor niniejszej biografji.

<sup>2</sup> Jest to późniejszy faraon Sesostis II, syn Amen-em-heta II.

<sup>3</sup> Górno-egipskie miasto Koptos, leżące na północ od Teb, było punktem wyjścia bardzo ważnej drogi karawanowej, która prowadziła przez pustynną dolinę Wadi Hammamat ku wybrzeżom morza Czerwonego. Wśród wzgórz, między którymi ciągnie się ta dolina, były wielkie kamieniołomy i kopalnie, eksploatowane przez Egipcjan od bardzo dawnych czasów. Trzecia wyprawa Ameniego kieruje się właśnie do tych kopalń w pustyni około Koptos.

<sup>4</sup> To znaczy: cały mój powiat, o ile się tylko dał sztucznie nawodnić, zmieniłem w pola uprawne.

<sup>5</sup> Imię jego matki.

Urodziłem się w mieście Necheb (w Górnym Egipcie). Ojciec mój, imieniem Babaj..., był oficerem króla Górnego i Dolnego Egiptu, Seken-Rē<sup>1</sup>, błogostawionej pamięci. (Po śmierci ojca) ja zostałem oficerem na jego miejsce, na okręcie «Dziki Byk», w czasie pana obu krajów Neb-pachtej-Rē<sup>2</sup>, błogostawionej pamięci. A byłem (wtedy dopiero) młodzieńcem i nie miałem (jeszcze) żony...

Potem założyłem sobie dom (t. j. ożeniłem się) i zostałem przeniesiony na okręt północny<sup>3</sup>, ponieważ byłem dzielny. I towarzyszyłem (nieraz) królowi — oby żył w szczęściu i zdrowiu! — na swoich nogach (t. zn. pieszo) w jego przejażdżkach (które odbywał) na wozie.

Gdy oblęgano miasto Auaris, spisałem się dzielnie (walcząc) na nogach swoich przed oblężeniem Jego Majestatu. (Potem) zostałem przeniesiony na okręt (zwany) «Świecący w Memfisie»<sup>4</sup>. I walczone na (kanale) Dedeku u (miasta) Auaris; biłem się (tam dzielnie) i przyniosłem (z tej bitwy jako trofeum) jedną rękę...<sup>5</sup> Dano mi (za to) złotą odznakę dzielności<sup>6</sup>.

Gdy po raz drugi stoczono bitwę w tym miejscu, ja po raz drugi walczyłem tam (dzielnie) i (znowu) przyniosłem jedną rękę. I dano mi znowu złotą odznakę dzielności...

(Wreszcie) zdobyte zostało Auaris. Uprowadziłem stamtąd, (jako) zdobywcę, jednego mężczyznę i trzy kobiety; razem cztery głowy. Dano mi ich za niewolników.

(Następnie) oblęgano przez trzy lata miasto Szaruchen<sup>7</sup> i Jego Majestat zdobył je. Ja przyprowadziłem stamtąd (w zdobyczy) dwie kobiety i (przyniosłem jako trofeum) jedną rękę. Dano mi (za to znowu) złotą odznakę dzielności, a branki (obie) dano mi jako niewolnice.

Kiedy Jego Majestat zniszczył Beduinów Azji<sup>8</sup>, wyruszył (następnie na południe) do (nubijskiego kraju) Chent-hen-nēfer, ażeby pokonać (tamtejszych) koczowniców Inu-Pedeliu. I sprawił Jego Majestat wielką rzeź (między nimi). Ja przyprowadziłem stamtąd dwóch żywych mężczyzn (jako jeńców) i przyniosłem trzy ręce. I znowu zostałem za to nagrodzony złotem, a nadto dano mi dwie niewolnice. Po skończonej wojnie Jego Majestat powrócił wdół rzeki (do Egiptu), ciesząc się w sercu z dzielności (swego wojska) i z (odniesionego) zwycięstwa, jako że zdobył (kraje) południowe i północne.

Dalej opowiada kapitan Amosis jeszcze dwie inne wyprawy do Nubji, w których brał chlubny udział, i jedną wyprawę do Azji (za Tutmosisa I) oraz dwie wojny domowe w samym Egipcie, z buntującymi się przeciw faraonowi nomarchami. Na końcu podaje spis tego, co w przeciągu swego życia otrzymał w darze od królów, którym służył, przyczem szczegółowo wylicza po imieniu 19-tu podarowanych mu niewolników i niewolnic.

## BITWA POD MIASTEM KADESZ (Nad rzeką Orontesem w Syrii)

Bitwę tę stoczył, w roku 1288 przed Chr., faraon Ramzes II z królem chettyckim Muwatallu i uwiecznił ją w obrazach, płaskorzeźbach i napisach na ścianach kilku świątyń w Tebach (Karnak, Luksor i Ramesseum), oraz w Abu-Simbel w Nubji. Przeważną część tych napisów uważać należy — ze względu na ich treść, układ i styl — za pewnego rodzaju utwór poetycki, czyli za epopeję o bitwie pod Kadesz. Dawniej zwano ją niestety epopeją Pen-

<sup>1</sup> Jeden z ostatnich władców XVII dynastji.

<sup>2</sup> Tronowe imię faraona Ahmose (Amosisa), założyciela XVIII dynastji.

<sup>3</sup> Może do floty północnej (?).

<sup>4</sup> Jest to — jak się zdaje — przydomek faraona Ahmose, którym nazwano jeden z okrętów jego floty nilowej.

<sup>5</sup> Zabitym wrogom odcinano ręce dla ustalenia liczby poległych.

<sup>6</sup> Wojownikom, którzy się odznaczyli w boju, dawano w nagrodę różne złote przedmioty.

<sup>7</sup> W południowej Palestynie. Po wyparciu Hyksosów z Egiptu, wojna z nimi przeniosła się do Syrii, i odtąd zaczynają się podboje Egipcjan w Azji. Najdalszych granic dosięgły one — jak wiadomo — za Tutmosisa III.

<sup>8</sup> Pod nazwą Beduinów (Mentiu), która zwykle oznacza semickich Beduinów Synaju, należy tu zapewne rozumieć Hyksosów.

taura, gdyż pierwsi egiptologowie XIX wieku przypuszczali mylnie, że autorem jej był współczesny Ramzesowi II-mu pisarz Pentaur (lub Pentuēr). W rzeczywistości jednak nie był on — jak dzisiaj wiemy — autorem tego utworu, lecz tylko jednym z kopistów, którzy go, jako arcydzieło literatury pięknej, przepisywali ze ścian świątyń na papirusach hieratycznych. Takich odpisów papirusowych było niegdyś prawdopodobnie wiele, ale zachował się nam (i to niecały) tylko ten jeden, który sporządził właśnie ów Pentuēr.

Jego Majestat był młodzieńcem (tak) dzielnym, (że) nie było mu równego. Ramiona jego (były) potężne, a jego serce stałe (i niewzruszone, jako podaniowa góra ze spiżu). Jego moc (była) jako (moc boga wojny) Monta w godzinie jego (gniewu)...

(Był on) bogaty w zwycięstwa we wszystkich krajach obcych (tak, że) nikt nie mógł mu stawić oporu, by walczyć (skutecznie) przeciwko niemu. (On był jako) silny mur dla swoich żołnierzy (i jako) ich tarcza w dniu walki. (Gdy) ujął (w rękę) swój łuk, (to) nie było mu równego. Silniejszy (był) niż całe setki tysięcy razem (wzięte)... Setki tysięcy drętwiały (ze strachu przed nim, już) na sam jego widok... (On był) wielki siłą (i potężny postrachem), który wzniecał w sercach obcych narodów, jako lew (wzniesca popłoch) w pustynnej dolinie (wśród) antylop... (On był) świetny w planach (wojennych) i dobry w radzie... (On zawsze) ratował swych żołnierzy, (broniał) swego orszaku i uwalniał swe wojsko (ze wszystkich zasadzek wroga)... on, król Górnego i Dolnego Egiptu Usir-maat-Rē<sup>1</sup>, wybraniec Rē, syn Rē, Ramzes, ulubieniec Amona, obdarzony życiem (wiecznie).

W piątym roku swego panowania (t. j. w r. 1288 przed Chr.) wyrusza Ramzes II na wielką wyprawę wojenną do Azji i przybywa żwawym marszem w okolice miasta Kadesz, nad rzeką Orontesem, w środkowej Syrii. Armia, którą prowadzi, liczy około 20 tysięcy ludzi i podzielona jest na cztery mniej więcej równe oddziały (jakby na cztery dywizje czy brygady), z których każdy składa się z piechoty i odpowiedniej liczby wozów wojennych. Każdy z tych oddziałów, maszerujących jeden za drugim w dość znacznych odstępach, pozostaje pod specjalną opieką jednego z czterech wielkich bogów (Amona, Rē, Ptaha i Setha) i każdy zowie się imieniem swego patrona, a więc: oddział Amona, oddział Rē, oddział Ptaha i oddział Setha.

Gdy Jego Majestat zbliżył się do miasta (Kadesz), przybył (tam równocześnie z drugiej strony) podły książę (kraju) Chatti, zebrawszy (uprzednio) wszystkie (podwładne sobie) narody obce, od (samych) krańców morza (Egejskiego) począwszy. (Przybył z nim) cały kraj Chatti (i należące doń kraje podwładne): Naharina<sup>2</sup>, Aren, Dardami(?)<sup>3</sup>, Pidasa<sup>4</sup>, Arwan, Massa, Keszkesz, Karkemisz<sup>5</sup>, Likja, Kizwadna<sup>6</sup>, Kadesz, Akrec, Kode...<sup>7</sup> (Król chettycki) nie pozostawił ani jednego (należącego doń) kraju, żeby go z sobą nie przyprowadził. (Wszyscy) książęta ich byli tam z nim, a każdy (przybył) ze swoim wojskiem pieszem i swymi wozami bojowymi. (I byli) tak liczni, że nie było (na świecie wojska) im równego. Pokryli (sobą) góry i doliny i byli w swem (niezliczonym) mnóstwie jako szarańcza.

(Otóż ów) podły książę (kraju) Chatti razem z temi licznymi narodami obcemi, które były przy nim, stał gotowy do boju, ukrywając się (w zasadzce niedaleko) na północny zachód od miasta Kadesz, (gdy) Jego Majestat (Ramzes II-gi przy) był tam sam jeden (tylko) ze swoją świtą, (gdyż) nieostrożnie wyprzedził był swe wojsko na znaczną odległość. Oddział Amona maszerował (dość daleko) z tyłu za nim; oddział Rē przeprawiał się (właśnie) przez rzekę (Orontes) w okolicy (położonej) na południe od miasta Szabtun, w odległości jednej mili od tego miejsca, gdzie znajdował się faraon; oddział Ptaha stał (w tej chwili dopiero) na południe od miasta Ernem, oddział zaś Setha maszerował (jeszcze dalej w tyle za nim)...

(W tej właśnie chwili Chettyci, wypadłszy ze swej zasadzki), rzucili się na południe od Kadeszu i uderzyli na oddział Rē, w sam jego środek, gdy tymczasem (żoł-

<sup>1</sup> Tronowe imię Ramzesa II, znaczące «potężna (jest) prawda (boga) Rē»; Grecy oddają je bądź przez Usirmares, bądź przez Osymandyas.

<sup>2</sup> Północna Syria i półn.-zach. Mezopotamja, zwana po hebrajsku 'Arám naharajim.

<sup>3</sup> Może Dardanja w półn.-zach. Azji Mniejszej.

<sup>4</sup> Może Pizydja.

<sup>5</sup> Znane miasto Karchemisz nad Eufratem.

<sup>6</sup> Kapadocja.

<sup>7</sup> Cylicja.



nierze egipscy) znajdowali się w marszu, niczego nie przeczuwając, i nie byli (zupełnie) przygotowani do boju. (To też zarówno) piechota, jak i wozy bojowe Jego Majestatu poszły przed nimi (natychmiast) w rozsypkę. Jego Majestat zaś znajdował się tymczasem na północ od miasta Kadesz, na zachodnim brzegu rzeki Orontesa...

(Gdy mu doniesiono, co się stało), Jego Majestat powstał w blasku jako jego ojciec Mont (bóg wojny) i nałożył na się strój bojowy, i odział swój pancerz, i był jako (bóg) Raal w godzinie jego (gniewu). Potężny zaprząg, który wioził Jego Majestat, zwał się «Zwycięstwo w Tebach» i pochodził z wielkiej stajni dworskiej (faraona) Usir-maat-Rē (Ramzesa II-go), wybrańca Rē, ukochanego przez Amona. Jego Majestat rzucił się pędem naprzód (na swoim bojowym rydwanie) i wpadł daleko w tłum podłych Chettytów, chociaż był sam jeden i nikogo drugiego nie było przy nim.

Walczył dzielnie i nadludzkie dokazywał czynów, ale liczebna przewaga wrogów była zbyt wielka. Otoczyło go półtrzecia tysiąca chettyckich wozów, a na każdym stało trzech wojowników. Wtedy faraon zwraca się o pomoc do swego boskiego ojca Amona i przemawia doń tak:

«Jakże-to, o mój ojcie Amonie? Czyż ojciec powinien zapomnieć o swym synu? Czyż ja uczyniłem (kiedykolwiek) coś takiego, żebyś ty o tem nie wiedział? Czyż nie szedłem (zawsze) naprzód na rozkaz twój, i nie stawałem (wtedy, gdyś mi kazał)? Czyż przekroczyłem (kiedykolwiek) twoje rozkazy?... Czyż nie wzniosłem ci bardzo licznych (świątyń i) pomników? Napeniałem twoją (tebańską) świątynię moją wojenną zdobyczą, zbudowałem ci dom, (który trwać będzie przez przeciąg całych) milionów lat, i zapisałem ci (w darze) cały mój majątek!

Przyprowadziłem do ciebie (jako jeńców) wszystkie obce narody... Składałem ci w ofierze dziesiątki tysięcy wołów i wszystkie najwonniesze kwiaty (jakie tylko są). Niczego, co dobre i piękne, nie zaniedbałem uczynić dla twojej świątyni. Zbudowałem ci wielkie pilony z kamienia i sam (własnymi rękoma) zatknąłem na nich sztandary. Sprowadziłem dla ciebie obeliski z Elefantyny i kazałem przywieźć (liczne) głazy kamienia (budulcowego). Dla ciebie sprowadzałem okręty przez wielką zieloną płaszczynę (morza) i przywoziłem ci (na nich) daniny (wszystkich) obcych narodów...

(I oto teraz) wołam do ciebie, mój ojcie Amonie, stojąc wśród barbarzyńców, których nie znam. Wszystkie (te) obce narody połączyły się przeciwko mnie, gdy natomiast ja jestem sam jeden i niema ze mną nikogo drugiego. Wojsko moje opuściło mnie i żaden z mych wojowników, co walczą na wozach, nie widzi mnie. Wzywam ich, (lecz) żaden nie słyszy mnie. (Więc) wołam (do ciebie, bo) wiem, że Amon pomoże mi (w tej chwili) więcej niż miliony żołnierzy, niż setki tysięcy wojowników, walczących na wozach, niż dziesiątki tysięcy braci i synów, którzyby się zgromadzili (tu) na jednym miejscu, (dokoła mnie)...»

Gdym w ten sposób wielbił (i błagał Amona)... (on usłyszał mój głos i przybył mi na pomoc). Podał mi rękę i... zawołał: «Dalej! naprzód! Ja jestem z tobą! Ja jestem twym ojcem! Moja ręka jest przy tobie, a pomoc moja znaczy więcej, niż setki tysięcy (ludzi)! (Albowiem) ja jestem władcą zwycięstwa, który kocha siłę!»

Wtedy odnalazłem swe serce i duch mój nabrał mocnej, radosnej otuchy, że powiesz mi się (odtąd) wszystko, co uczynię. I byłem znowu, jako (bóg wojny) Mont. Wyrzucąłem strzały na prawo, a na lewo wymierzałem ciosy. Ryłem wobec nich jako (bóg) Baal w godzinie swego (gniewu)...

(Strach i niemoc opanowały mych wrogów tak, że) ani jeden wśród nich nie mógł podnieść swej ręki do boju. Serca w ich piersiach osłabły ze strachu i ramiona ich wszystkich stały się bezwładne, że strzelać nie mogli... ani też włóczni swych ująć (i utrzymać). Zapędziłem ich do wody (t. j. do rzeki Orontesa), i rzucali się do niej tak, jak rzucają się (z brzegu) krokodyle. (Inni) padali (przede mną) na twarz, (padali) jeden na drugim, a ja mordowałem ich, jak tylko chciałem. Żaden z nich nie śmiał (ze strachu) spojrzeć poza siebie, żaden nie śmiał się odwrócić, żaden z nich, gdy (raz) upadł, nie mógł się już więcej podnieść...

Kiedy (wreszcie) moi żołnierze piesi i moi wozownicy zobaczyli, że byłem (zwycięski) jako Mont, że ramiona moje były potężne, i że Amon, mój ojciec, był przy mnie i, jako plewy, rozproszył przede mną wszystkie obce narody, wtedy (dopiero za-

trzymali się w ucieczce)... i powrócili pod wieczór do obozu. (Powróciwszy), znaleźli, że wszystkie obce narody, w których środek wtargnąłem, leżały powalone w swej krwi, a wśród nich najlepsi wojownicy kraju chettyckiego wraz z braćmi i synami jego księcia.

Wtedy moi żołnierze przybyli i na widok tego, com uczynił, zaczęli wielbić me imię; przybyli moi magnaci i zaczęli wysławiać mą siłę, (przybyli) moi wozownicy i zaczęli chwalić me (potężne) ramię (wołając:) «Cześć ci, dzielny wojowniku, który posiadasz mocne (i odważne) serce! Ty, o synu Amona, uratowałeś swoje piesze wojsko i swych wojowników, walczących na wozach... Tyś zniszczył kraj Chatti swoim potężnym ramieniem! Ty jesteś najdzielniejszym wojownikiem, i niema lobie równego, o królu, który w dzień boju walczysz (sam jeden) w obronie swego wojska! Ty jesteś silny (i nieustraszony) sercem, ty jesteś (ze wszystkich) najpierwszy w zgiełku bojowym. Wszystkie obce narody, na jednym zgromadzone miejscu, nie mogłyby tobie (jednemu) stawić oporu. Ty jesteś zwycięski przed wojskiem twojem i przed całym krajem... Ty jesteś obrońcą Egiptu i poskromicielem krajów obcych. Tyś złamał siłę Chettytów na wieki!»

(Na drugi dzień) podły ksiązę kraju Chatti wyprawil (do faraona)... swojego posła z listem... (takiej treści):

«Do Horusa (noszącego imię) Potężny Byk, ukochany przez boginię Prawdy».

«O królu, obrońco swojego wojska, potężny ramieniem, będący murem dla swoich żołnierzy w dniu walki! O królu Górnego i Dolnego Egiptu, Usir-maat-Rē, wybrany przez Rē! o synu Rē, Ramzesie, ukochany przez Amona! (Oto) sługa twój mówi (do ciebie) i przyznaje, że ty jesteś (naprawdę) synem Rē, zrodzonym z ciała jego. (I dlatego) on oddał ci (pod władzę) wszystkie kraje (ziemi) razem (wzięte). (Zarówno) kraj egipski, (jak) i kraj Chatti są niewolnikami pod stopami twemi. Rē, twój boski ojciec, oddał ci je (pod panowanie). (Więc) nie okazuj im (już więcej) swego gniewu, gdyż zaprawdę wola twoja jest wielka i potęga twoja zaciężyła (już dostatecznie) nad krajem Chatti. Czyż godzi się, abys (jeszcze dalej) zabijał swe sługi i szalał wśród nich swym gniewem... Przecież wczoraj wymordowałeś setki tysięcy; (jeśli) przyjdiesz dziś znowu, to (już chyba) nie pozostawisz nam ani (jednego) nawet potomka, któryby (imię) po nas odziedziczył. Nie przedłużaj (już dalej) walki, o potężny królu, bo pokój jest (przecież) lepszy od wojny. (A zatem) daj nam oddychać (i żyć)!...»

(Zawarłszy pokój), Jego Majestat wyruszył (zpowrotem do Egiptu i) przybył szczęśliwie do Delty, do miasta Ramzesa<sup>1</sup>, ukochanego przez Amona i bogatego w zwycięstwa. I zasiadł w swoim pałacu, jako Rē na swoim tronie, a bogowie pozdrowili go słowami: «Witaj, synu nasz ukochany, królu Górnego i Dolnego Egiptu, Usir-maat-Rē, wybrany przez Rē, synu Rē, Ramzesie, ukochany przez Amona i obdarzony życiem (wiecznie)!...»

## CUDOWNY SEN THUTMOSISA IV U STÓP SFINKSA

(Opisany na steli czyli kamiennej tablicy, umieszczony między przednimi łapami tego olbrzymiego posągu)

...Kiedy Jego Majestat (późniejszy król Thutmosis IV)<sup>2</sup> był jeszcze młodzieńcem (takim), jak Horus (syn Izydy), młodzieniec (boski, zrodzony i wychowany) w Chemmis...<sup>3</sup>, zwykł był zabawiać się w pustyni (powiatu) Białego Muru<sup>4</sup>, na jego stronie południowej i północnej, strzelając do tarczy miedzianymi strzałami, polując na lwy (lub) dzikie kozice, (albo też) jeżdżąc na wozie, którego konie były szybsze, niż wiatr. (Jeździł tam zwykle tylko) z dwoma sługami, (oprócz których) nie wiedział (o tem)

<sup>1</sup> Po egipsku Per-Ramses-mai-Amon, t. zn. «Dom (=miasto) Ramzesa, ukochanego przez Amona».

<sup>2</sup> Panował pod koniec XV wieku przed Chr.

<sup>3</sup> Miejscowość w bagnistej północno-zachodniej części Delty, koło miasta Buto.

<sup>4</sup> Pierwotna nazwa miasta Memfis i memfickiego powiatu.

nikt. Ilekroć nadszedł czas dawania odpoczynku jego sługom<sup>1</sup>, (od)bywało (się) to (zwykle) obok posągu Harmachisa...<sup>2</sup> na świętem terytorjum bóstw nekropoli, (rozciągającej się) na zachód od miasta On<sup>3</sup> (i Memfis). Spoczywał w tem miejscu ogromny posąg (boga) Chepri<sup>4</sup>, wielki potęgą i wspaniałą mocą, (gdyż padał nań i) przebywał w nim cień (boga) Rē<sup>5</sup>. (To też) przybywali doń (ze czcią) mieszkańcy (miasta) Memfis (i miasta On-Heljopolis), oraz wszystkich (innych) miast okolicznych, (przybywali, wznosząc) swe ręce w uwielbieniu ku jego obliczu i składając mu bogate ofiary.

Jednego dnia zdarzyło się, że syn królewski Thutmosis, jadąc (jak zwykle) na (polowanie i) przejażdżkę, przybył (na to miejsce) w czas południowy i (zsiadłszy z wozu) odpoczywał w cieniu tego wielkiego boga (Harmachisa-Sfinksa). (Po chwili) objął go sen w czasie, gdy słońce stało w (samym) zenicie (i bóg jego był w najwyższym blasku), i (oto) ujrzał on (we śnie) majestat tego czcigodnego boga, który przemówił doń swemi własnymi ustami (tak), jako ojciec mówi do swego syna. I rzekł:

«Popatrz na mnie, spojrzysz na mnie, synu mój, Thutmosisie! Jam jest twój ojciec Harmachis-Chepri-Rē-Atum<sup>6</sup>. Dam ci panowanie nad ziemią (całą i) nad tymi (wszystkimi ludźmi), którzy na niej żyją. Nosić będziesz białą koronę (Górnego Egiptu) i czerwoną koronę (Dolnego Egiptu) (i zasiądziesz) na tronie władcy Geba<sup>7</sup>, (jako jego) dziedzic. Do ciebie należeć będzie (cała) ziemia, jak długa i szeroka, i to (wszystko), co oświeca blask (słońca) pana wszechświata. Do ciebie należeć będą plony obu krajów (egipskich: północy i południa, delty i doliny Nilowej) oraz bogate daniny wszystkich krajów obcych (i to) w przeciągu długiego okresu lat. (Lecz oto obecnie) twarz moja zwraca się ku tobie i (wielką) do ciebie mam prośbę: bądź moim obrońcą, (gdyż) cierpią wszystkie członki moje. Zbliży się (bowiem) do mnie (i zasypuje mnie) piasek pustyni, wśród której stoję. Pośpiesz mi (więc) z pomocą i uczyni to, czego pragnąłem (oddawna: każ odkopać z piasku me ciało). Wiem, że ty jesteś mym synem<sup>8</sup>, (więc) bądź moim obrońcą! Przybądź mi z pomocą, (a za to) ja będę zawsze z tobą; będę twoim opiekunem (przez całe twoje życie)».

Kiedy (bóg) skończył tę mowę, królewicz obudził się i słyszał ją (jeszcze przez chwilę na jawie). Zrozumiał (i zapamiętał) słowa boga i zachował je w swoim sercu, nie mówiąc nic (o tem) nikomu.

I spełnił prawdopodobnie wolę Sfinksa, i kazał go odkopać z piasków pustyni. Ale tego możemy się tylko domyśleć, gdyż tekst nasz nie dochował się w całości: brakuje mu zakończenia, które w ciągu wieków uległo, niestety, zniszczeniu.

## WEN-AMON

### SPRAWOZDANIE Z PODRÓŻY DO FENICJI

Autor sprawozdania, wyższy kapłan i urzędnik wielkiej świątyni Amonowej w Tebach, żył za czasów słabego faraona Ramzesa XI i potężnego arcykapłana Herhora, które to dwie osobistości znane są czytelnikom polskim z pięknej powieści Bolesława Prusa — «Faraon».

Ramzes XI (przez Prusa liczony niesłusznie XII), ostatni faraon XX dynastji (1200—1090), był właściwie tylko nominalnym władcą Teb i Górnego Egiptu; w rzeczywistości bo-

<sup>1</sup> Sam książę, będący, jako syn faraona, boskiego pochodzenia, nie nuży się nigdy i nie potrzebuje żadnego spoczynku. Tak wierzył naiwny lud egipski.

<sup>2</sup> Sfinks był właściwie posągami Chefrena, jednego z tych potężnych faraonów IV dynastji, którzy wzniesli największe piramidy starożytnego państwa (w Gize, na zachód od Kairu); lecz za czasów nowożytnego państwa i późniejszych okolicznych lud egipski widział w Sfinksie posąg boga słońca Harmachisa (Har-m-achi-s znaczy «Horus na horyzoncie», Har-achte zaś= «Horus horyzontowy» albo «Horus obu horyzontów», wschodniego i zachodniego).

<sup>3</sup> Okolica wielkich piramid gizańskich stanowiła olbrzymią nekropole czyli cmentarz wielkich miast Memfis i On-Heljopolis.

<sup>4</sup> Inna nazwa boga słońca.

<sup>5</sup> To znaczy zapewne: «wcielony był weń duch słońca».

<sup>6</sup> Cztery nazwy boga słońca.

<sup>7</sup> Przed faraonami panowali niegdyś na ziemi bogowie. Jednym z królów tej mitycznej boskiej dynastji był Geb, bóg ziemi. Po nim nastąpił jego syn, Ozyrys, a po Ozyrysie syn jego Horus; ten przekazał tron najpierwszym ludzkim faraonom. Każdy faraon egipski jest więc bliższym lub dalszym dziedzicem tronu Geba.

<sup>8</sup> Każdy faraon jest synem słońca.

wiem rządził stolicą i całym krajem arcykapłan Amona, Herhor (lepiej nazywać go Hrihorem); w Dolnym zaś Egipcie czyli w delcie Nilowej, zamykając władcom tebańskim dostęp do morza, panował niezależnie, jako drugi faraon, książę Nesubenebded (imię to przekształcili Grecy później w Smendes), ze swą małżonką Tent-Amon. Stolicą ich było miasto Džaane (u Greków później Tanis), we wschodniej części Deltę.

Pod koniec piątego roku panowania Ramzesa XI (a więc około roku 1113 przed Chr.) postanowił arcykapłan Hrihor wybudować Amonowi nową baręk reprezentacyjną, jedną z tych, na jakich Egipcjanie podczas uroczystych procesyj wozili po Nilu posagi swych bogów. Barka taka powinna była być zrobiona z drzewa cedrowego, a cedry, jak wiadomo, nie rosły w Egipcie, lecz tylko na górach Libanonu w Fenicji. Trzeba je było dopiero stamtąd sprowadzać. Dawniej, za świętych czasów XVIII i XIX dynastji, gdy Palestyna i Fenicja podlegały zwierzchnictwu faraonów, musieli Fenicjanie dostarczać Egipcjanom cedrów libańskich za darmo, jako haracz, opłacany *in natura*. Lecz od połowy XX dynastji stosunki te uległy gruntownej zmianie: Egipt stracił wszelkie wpływy i znaczenie w Syrii i Fenicji, tak, że za drzewa cedrowe trzeba było teraz Fenicjanom płacić i to gotówką. Ale arcykapłan Hrihor nie zdawał sobie widać z tego sprawy; albo, może, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne, świadomie nie chciał uznać tych zmian, które w ciągu ostatnich dwóch wieków zaszły w stosunkach egipsko-syryjskich. Dość, że, wysyłając Wen-Amona po drzewo do Fenicji, nie zaopatrzył go, jak się zdaje, w dostateczną sumę pieniężną, lecz dał mu tylko na drogę skuteczny, jak sądził, talizman: cudowny posążek Amona, «opiekuna podróży», oraz zaopatrzył go w listy polecające do sprzymierzonych władców Deltę, — księcia Smendesa i jego żony Tent-Amon.

Posel Hrihorowy wyjechał z Teb w połowie 3-go miesiąca pory letniej, czyli w połowie 11-go miesiąca 5-go roku panowania Ramzesa XI i pod koniec tegoż miesiąca stanął w mieście Tanis.

(Zaraz) w dzień mego przybycia do Tanis, siedziby Smendesa i Tent-Amon, od dałem im listy (polecające, dane mi przez arcykapłana świątyni) Amona-Rē, króla bogów. Oni kazali je sobie odczytać i (wysłuchawszy ich treści) rzekli: «Uczynimy (tak), uczynimy (tak), jak każe nasz pan Amon-Rē, król bogów, (i dopomożemy jego posłowi do wyjazdu na morze syryjskie)!» (I) pozostałem (u nich) w Tanis aż do 4-go miesiąca pory letniej (t. j. aż do 12-go miesiąca tegoż roku). Potem Smendes i Tent-Amon wyprawili mnie (w drogę) z kapitanem okrętu Mengebt; i wyjechałem (z ujścia Nilu) na wielkie morze syryjskie, pierwszego dnia 4-go miesiąca pory letniej (t. j. 12-tego miesiąca 5-go roku panowania Ramzesa XI). I dojechałem do Doru, miasta narodu Czakarów<sup>1</sup> (i zatrzymałem się w jego porcie); książę jego Badira<sup>2</sup> posłał mi (w darze na okręt) kilkadziesiąt chlebów, dzban wina i udziec wołowy. (W kilka dni) potem jeden z ludzi (stanowiących załogę) mego okrętu uciekł, ukradłszy mi: jedno naczynie złote (ważące) 5 debenów (tutów), cztery naczynia srebrne (ważące razem) 20 debenów i sakiewkę ze srebrem (ważącą) 11 debenów. Razem ukradł mi 5 debenów złota i 31 debenów srebra.

(Na drugi dzień po tej kradzieży, której dokonano nocą), wstałem rano, poszedłem do domu księcia i rzekłem doń: «Okradziono mnie w twoim porcie. Jeżeli jesteś panem tego kraju, to jesteś (także) jego sędzią i (jako taki) powinienesz szukać mego złota, gdyż, zaprawdę, pieniądze te (nie należały do mnie, lecz) należały do Amona-Rē, króla bogów, pana obu krajów (Górnego i Dolnego Egiptu); należały one do Smendesa i do mego pana (i zwierzchnika) Hrihora, oraz do innych książąt Egiptu, (którzy zrobili między sobą składkę na zakup drzewa cedrowego w Fenicji, a więc) należały one (także) do Zakar-Baala, księcia (fenickiego miasta) Byblos (u którego mam właśnie to drzewo kupić)». A książę Czakarów tak mi odpowiedział: «...Gdyby złodziej (który cię okradł) pochodził z mego kraju i gdyby był (z zewnątrz) wlaź na twój okręt, by ukraść twoje pieniądze, to ja byłbym ci je zwrócił z mojego skarbcza, zanimby tego złodzieja wykryto, jak się on nazywa; (lecz ten) złodziej, który cię okradł, należał (przecież) do (załogi) twojego okrętu. (Więc nie czuję się zobowiązany

<sup>1</sup> Czakarowie lub Czekelowie są jednym z tak zwanych «narodów morskich», które, ruszywszy w wędrówkę ze wschodniej kotliny morza Śródziemnego, pojawiły się dwukrotnie u granic Egiptu: raz za Mer-en-ptaha, syna Ramzesa II (1225—1215), a drugi raz za Ramzesa III (1198—1167). Dwa z tych narodów osiedliły się na stałe w Palestynie: Filistynowie na południu, a Czakarowie na północ od nich. Miasto tychże, Dor, leży na wybrzeżu palestyńskim, niedaleko od gór Karmelu (na południe).

<sup>2</sup> Może raczej *Batile*, egejski (przedgrecki) tytuł króla, zapożyczony później przez Greków jako *basileus* — «król».

do natychmiastowego zwrotu twej szkody, lecz radzę ci pozostań tu u mnie (w moim porcie) kilka dni, a (tymczasem) ja każę go szukać».

I Wen-Amon, idąc za tą radą, pozostał w Dorze aż 9 dni. Lecz czekał na próżno; złodzieja nie znaleziono. Więc po 9-ciu dniach ruszył w dalszą podróż, do Fenicji. Po drodze, gdzieś w okolicach miasta Tyru, spotkał u wybrzeża niewielki statek Czakarów, który zrewidował i, znalazłszy na nim woreczek z 30 debenami (łutami) srebra, wywnioskował, że jest to właśnie część pieniędzy, jemu w Dorze ukradzionych; skonfiskował je więc i ściągnął przez to na siebie zemstę Czakarów, której skutki dały mu się odczuć wnet po przyjeździe do Byblos<sup>1</sup>. Książę tego miasta Zakar-Baal<sup>2</sup>, bojąc się widocznie popaść w zatarg z poszkodowanymi przez Wen-Amona Czakarami, nie chciał z nim wchodzić w żadne stosunki handlowe, a nawet trzymać go w swoim porcie. Więc codziennie przysyłał doń ludzi z niegościnnym żądaniem: «Uchodź z mojej przystani!» Ale uparty Egipcjan nie uchodził, lecz przez 19 dni czekał cierpliwie. I wreszcie doczekał się cudu:

Kiedy (książę pewnego razu) składał swym bogom ofiarę, (zdarzyło się, iż) jednego z jego młodych dworzan ogarnął duch boży i wprawił go w szał (prorocki), tak, że (ten młodzieniec) zaczął wołać: «Sprowadźcie tu (boga egipskiego)! Sprowadźcie posła, który go ma ze sobą!»<sup>3</sup>. Odprawcie go (z tem, poco tu przyjechał)! Dajcie mu odjechać stąd (z drzewem cedrowem)!»

Zabobonny Zakar-Baal przeraził się grożącą mu rzekomo pomsty boga egipskiego i posłał natychmiast po Wen-Amona, który tymczasem zabierał się już do odjazdu, a raczej udawał tylko, że się zabiera, gdyż całe to cudowne zdarzenie było właściwie, jak możemy się domyślać, przez niego samego chytrze ukartowane, ażeby przy pomocy oszukańczego objawienia rzekomej woli bogów wpłynąć na Fenicjanina. Wen-Amon bowiem niedarmo był kapłanem egipskim; znał takie sztuki ze swojej wieloletniej praktyki w Tebach i zastosował je obecnie: przekupił poprostu jednego z dworzan królewskich, ażeby udał prorocką ekstazę i nastraszył Zakar-Baala, co się też faktycznie dobrze udało. Zawezwano go natychmiast do księcia.

Zastałem go w górnej komnacie (jego nad morzem zbudowanego pałacu), jak siedział odwrócony tyłem do okna, za którym (w dole) szumiały fale wielkiego syryjskiego morza. (Wszedłszy) rzekłem doń (na powitanie): «Łaska Amona (niech będzie nad tobą)!» A on rzekł do mnie: «Który to dzień dzisiaj, jak wyjechałeś ze stolicy Amona?» Ja odpowiedziałem: «Dziś jest pięć miesięcy i jeden dzień». On (zaś) zapytał dalej: «Czy mówisz prawdę? Gdzie jest pismo (ze świątyni) Amona, które powinno być w twej ręce?» A ja odpowiedziałem mu: «Oddałem je (królowi) Smendesowi i (królowej) Tent-Amon».

Wtedy książę rozgniewał się i, pełen nieufności, zaczął go indagować na różne sposoby, lecz biedny Wen-Amon «milczał w tej ważnej godzinie». Wkońcu zapytał go Zakar-Baal szorstko:

«(Więc) w jakim celu (właściwie) przybyłeś tutaj?» A ja odpowiedziałem: «Przybyłem tu po drzewo na wielką, wspaniałą barkę Amona-Re, króla bogów. (Daj mi tego drzewa, bo) skoro twój ojciec tak czynił i twój dziad tak czynił, to i ty powinienes (również) tak uczynić». Tak mówiłem do niego. A on rzekł (na to): «Prawda, że oni tak czynili (i dostarczali wam drzewa, ale nie zadarmo, lecz za pieniądze). Jeżeli (więc) i ty zapłacisz mi za to, żebym tak uczynił, to i ja to (także) uczynię. Moi (przodkowie) wykonywali (wprawdzie faraonowe) polecenia, ale też i faraon przysłał (im za to) sześć okrętów, które były naładowane egipskimi towarami, i te zostały wylądowane do ich składów. Więc i ty także przywieź mi (najpierw) coś (odpowiedniego) z Egiptu, a wtedy (dopiero) ja zrobię ci (to, czego żądasz)».

I na dowód prawdziwości słów swoich kazał z archiwum przynieść stare rachunki i pokazał Wen-Amonowi czarno na białem, że faraonowie egipscy zapłacili faktycznie jego przodkom w różnych czasach tysiąc debenów (łutów) srebra, i ciągnął dalej tak:

«Gdyby (więc) władca Egiptu był (faktycznie) panem mego mienia, i gdybym ja był jego sługą, to nie byłby (przodkom moim) posyłał srebra i złota, lecz byłby

<sup>1</sup> Byblos jest nazwą grecką, pochodzącą z semickiego *Gebal*, *Gublu*, *Gubla*.

<sup>2</sup> Imię to utworzone jest podobnie, jak hebrajskie *Zechar-ja* lub *Zechar-Jahu*, «Zacharjasz».

<sup>3</sup> Wen-Amon miał ze sobą, jak wiemy, cudowny posążek Amona, «(opiekuna) podróży», który, przybywszy do Byblos, schował na wszelki wypadek, jako największą drogocennosc, w bezpiecznej kryjówce.

(poprostu) powiedział (do nich): «Spełnij (taki a taki) rozkaz Amona!» A zatem to, co ojcowie moi (faraonom) świadczyli, (to była sprzedaż) a nie żadna danna. (Więc też) co się mnie tyczy, to i ja także nie jestem sługą twoim, ani też sługą tego, który cię posłał... (A zatem) pocóż te żebracze podróżowanie (twoje), w które cię wysłano?» A na to ja rzekłem: «To (co mówisz) jest haniebne (i oburzające)! Nie jest to żadne żebracze podróżowanie, w które się wybrałem, (gdyż przybyłem tu po to, co się Amonowi prawnie należy); niema przecież ani jednego okrętu na morzu (syryjskim), któryby nie należał do Amona. Albowiem jego jest (całe wasze) morze i jego są góry Libanenu<sup>1</sup>, choć ty o nich mówisz: «Są moje». (Drzewo Libanonu) rośnie (więc przedewszystkiem) dla Amonowej (barki) Weserhet<sup>2</sup>, bo Amon jest panem wszystkich okrętów (całego świata). Zaprawdę, tak powiedział (sam) Amon-Rē, król bogów, mówiąc do pana mego, Hrihora: «Poślij mnie!» (to znaczy: «poślij z Wen-Amonem mój posąg cudowny, zwany Amonem podróży»). I (Hrihor) kazał mi wziąć ze sobą tego wielkiego boga i wyruszyć (w podróż do ciebie). Lecz oto ty kazałeś temu wielkiemu bogu czekać 29 dni od czasu, jak zawinął do twego portu, chociaż na pewno wiedziałeś, że on tu jest. Zaprawdę, jest on (jeszcze ciągle) tym (samym potężnym bogiem), którym był (niegdyś, za czasów XVIII i XIX dynastji), a ty (mimo to) stoisz (i zwlekasz) i targujesz się o drzewo Libanonu z Amonem, (który jest przecież) jego panem (prawowitym i niezaprzeczonem). A co się tyczy tego, co mówisz, iż poprzedni królowie (egipscy) posyłali (wam) srebro i złoto, to ja ci powiem, iż to, co ja tu ze sobą przywiozłem, jest ważniejsze niż srebro i złoto, bo ja przywiozłem cudowny posąg Amona, który daje życie i zdrowie. Gdyby (dawniejsi faraonowie) byli (wam) dawali (w ten sposób, jak ja) życie i zdrowie, to nie byłiby (wam) posyłali pieniędzy. (Ale) oni posyłali twym ojcom (marne) pieniądze zamiast (drogocennego) życia i zdrowia, (które ja ze sobą przywiozłem w postaci cudownego posągu Amona, gdyż) Amon-Rē, król bogów, jest panem żywota i zdrowia. On był panem twoich ojców, którzy przez całe swe życie składali Amonowi ofiary. I ty także jesteś sługą Amona. Jeżeli powiesz do Amona: «Uczynię tak, uczynię tak, (jako mi każesz)!» i jeśli wolę jego spełnisz, to będziesz (długo) żył w szczęściu i zdrowiu, będąc miłym twemu całemu krajowi i twemu (całemu) ludowi. Nie požądaj (więc) tego, co należy do Amona-Rē, (bo on ci tego i tak wziąć nie pozwoli, gdyż jest potężny, jako lew, a przysłowie mówi, że) zaprawdę, lew dba o własność swoją».

Widocznie jednak mowa ta nie wywarła na księciu wielkiego wrażenia, bo Wen-Amon musiał, mimo wszystko, napisać do Egiptu list, mianowicie do Smendesa i jego małżonki Tent-Amon, władców Delt, «którym Amon nadał północ swego kraju», ażeby co prędzej przysłali Zakar-Baalowi towarów i złota, co też oni rzeczywiście uczynili. Wtedy dopiero ksiązę fenicki zmiękł i kazał rąbać cedry. A gdy po kilku miesiącach zwieziono je na brzeg morza, zadowolony Wen-Amon radził księciu, ażeby kazał sobie wystawić tablicę pamiątkową, z takim mniej więcej napisem:

«Amon-Rē, król bogów, posłał do mnie Amona podróży, swego (boskiego) posła, i swego ludzkiego posła, Wen-Amona. (Przysłał ich) po drzewo budulcowe na wielką i wspaniałą barkę dla Amona, króla bogów. I ja kazałem narąbać (drzew), kazałem je naładować na moje (własne) okręty, które zaopatrzyłem we (własną) załogę i odstawiłem (ten ładunek) do Egiptu, ażeby przez to wyprosić sobie u Amona dziesięć tysięcy lat życia, ponad (wiek), przeznaczony mi (losem). I stało się tak». «Jeżeli potem (kiedyś) w przyszłości (mówi Wen-Amon dalej do księcia) przybędzie tu z Egiptu jaki poseł, który będzie umiał czytać<sup>3</sup> i przeczyta twoje imię na tej tablicy pamiątkowej, to otrzymasz od niego libację, (należną) państwu umarłych i bogom, którzy są w nim». Na to (ksiązę) odpowiedział: «Wielka jest prawda w tych słowach, które mi mówisz, (więc posłucham rady twojej)!»

<sup>1</sup> Tak Egipcjanie przekręcali nazwę Libanonu.

<sup>2</sup> Jak każdy większy okręt, tak samo i barka Amonowa miała osobne imię własne. Znaczy ono «Potężne (jest) czoło (Amona)».

<sup>3</sup> Inskrypcja ta ma być oczywiście, zdaniem Wen-Amona, napisana hieroglifami egipskimi, a nie jakimś innym pismem barbarzyńskim.

Niedługo potem Wen-Amon miał już odjechać do Egiptu, gdy wtem spadły nań nowe kłopoty i nowe zagrożiło mu niebezpieczeństwo. Oto przed portem Bybloskim pojawiło się 11 okrętów księcia Czakarów, który, mszcząc się za swoich poddanych, poszkodowanych przez Wen-Amona przed kilku miesiącami, chciał go obecnie przytąpać i dostać w swe ręce.

(Zmartwiony srodze) usiadłem (w rozpacz) i zacząłem (rzewnie) płakać. Przyszedł do mnie sekretarz księcia (Zakar-Baala) i zapytał mnie: «Co ci to jest?» A ja mu rzekłem: «Czy widzisz te ptaki (przelotne), które już drugi raz odlatują do Egiptu (od czasu, jak ja tu na obczyźnie przebywam)... (I kto wie), dokąd tu jeszcze siedzieć będę? Bo czyż nie widzisz tych (Czakarów), którzy tu przybyli, aby mnie wziąć do niewoli?» (Sekretarz) odszedł i doniósł o tem księciu. A książę rozplakał się nad (temi) smutnymi słowami, które mu powiedziano. I posłał do mnie (znowu) swego sekretarza, który mi przyniósł (w darze od księcia) dwa dzbany wina i barana. Posłał (też książę) do mnie egipską śpiewaczkę imieniem Tent-Nut, która była u niego (na dworze), polecając jej: «Śpiewaj mu! Niech się nie trapi w swem sercu!» Posłał też do mnie (jeszcze jednego człowieka) i kazał mi (przezeń) powiedzieć: «Jedź i pij, i niechaj twe serce nie będzie smutne! Jutro dowiesz się wszystkiego, co ja powiem (tym czyhającym na cię przesładowcom)».

Na drugi dzień zawezwał książę do siebie Czakarów i zażądał od nich, by pozwolili posłowi egipskiemu wyjechać przynajmniej z jego portu, na co też oni przystali, licząc na to, że i tak dopędzą Wen-Amona na pełnem morzu i obrabują go. I nasz Egipcjanin, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, wypłynął ze swym ładunkiem z Byblosu, pełen radości, że wreszcie wraca do ojczyzny. Niestety, radość jego nie trwała długo, bo oto wnet powstała burza morską, która zapędziła jego okręt na wyspę Cypr, gdzie go tamtejsi mieszkańcy o mało co nie zamordowali. Uratował go tylko jego własny spryt i przytomność umysłu. Kiedy bowiem wśród zgiełku i krzyku poprowadzono go do miasta przed pałac królowej, Wen-Amon, ujrawszy ją, jak właśnie przechodziła z jednego swego domu do drugiego, oddał jej głęboki pokłon i zapytał otaczających ją dworzan:

«Czy niema tu wśród was nikogo, kto by rozumiał mowę egipską?» Wtedy jeden z nich odpowiedział: «Ja rozumiem!» Wówczas ja rzekłem doń: «Powiedz (twojej i) mojej pani, że aż do Teb, stolicy Amona, doszła mnie wieść (głosząca), że we wszystkich miastach (świata) dzieje się niesprawiedliwość, ale że w (jednym tylko) kraju Arasa<sup>1</sup> nie czynią niesprawiedliwości. (Lecz teraz, niesłety, przekonałem się, że) oto i tutaj czynią niesprawiedliwość każdego dnia». (Gdy to królowej przetłumaczono, ta) rzekła: «Czyż rzeczywiście (jest tak)? Co (też) ty mówisz?» A ja rzekłem: «Burza morską zapędziła mnie do kraju, w którym ty żyjesz (i panujesz). Nie pozwól, ażeby tu więziono i zabito mnie, który jestem posłem Amona. Strzeż się! Bo o mnie ustawicznie dopominać się będą (ci, którzy mnie wysłali). (A także i) co się tyczy (wiozących mnie) żeglarzy księcia Byblosu, których (ludzie twoi) chcą (również razem ze mną) wymordować, (wiedz, że, jeśli tak postąpić, to ich pan (Zakar-Baal, mszcząc się za nich) mordować będzie na pewno (wszystkie) załogi twoje, choćby ich (nawet) dziesięć spotkał». Wtedy (królowa cypryjska) kazała przyprowadzić (aresztowanych moich) ludzi i ustawić ich (przed sobą). Do mnie zaś rzekła: «Pozostań (tu) przez noc...»

W tem miejscu urywa się zrozumiwały tekst rękopisu. To, co dalej następuje, są to same oderwane słowa, z których nie można już złożyć żadnego sensu.

## TRZY LISTY Z CZASÓW XXI DYNASTJI

(XI wiek przed Chr.)

Gdy arcykapłan Hrihor (Herhor) wstąpił po śmierci Ramzesa XI na tron faraonów, syn jego Pai-anch otrzymał po nim arcykapłaństwo Amonowej świątyni w Tebach i dowództwo nad wojskiem, żona zaś Hrihorowa, a matka Pai-ancha, imieniem Nodżmet, zajęła w tejsze świątyni wysokie stanowisko «główniej małżonki Amona». Oboje oni, i syn i matka, uknuli — jak się zdaje — przeciw Hrihorowi spisek, zmierzający do zamachu stanu. Spisek ten o mało

<sup>1</sup> Wyspa Cypr nazywała się dawniej *Alasa (Alasza, Alaszija)*, co Egipcjanie, nie mający w swem piśmie litery l, oddają przez Arasa.

cożnie został zdradzony przez dwóch policjantów czy żandarmów (po egipsku madżoj), którzy, będąc widocznie wtajemniczeni w tę sprawę, nie umieli, czy może nie chcieli trzymać języka za zębami. Doniesiono o tem listownie jenerałowi Pai-anchowi, który w tym czasie znajdował się właśnie w podróży, zdala od Teb. Doniesienie nadeszło równocześnie z trzech stron: od pani Nodźmet i od dwóch podwładnych Pai-anchowi urzędników, z których jeden nazywał się Czaroj, a drugi Pai-szu-uben. Jenerał odpowiada każdej z tych trzech zaufanych osób. Listy wysłał wszystkie razem do Teb na ręce swego sekretarza czy adjutanta Keni-Chnuma, który ma je doręczyć adresatom. Stąd podwójne adresy na końcu pierwszego i trzeciego z nich. Drugi list nie ma wcale adresu, prawdopodobnie przez zapomnienie. Imię jego adresata umieszczono przez pomyłkę na pierwszym piśmie, skierowanem do innej osoby. Pan jenerał był widocznie trochę zdenerwowany, gdy tę korespondencję załatwiał. I nic dziwnego. Sprawa była bardzo nieprzyjemna i niebezpieczna, gdyż groziło śledztwo i proces o zdradę stanu. Należało więc jak najprędzej położyć kres gadulstwu owych nieostrożnych madżojów. Oto jak Pai-anch każe z nimi postąpić:

## 1

## Jenerał faraona do pisarza nekropoli Czaroja

Przyjąłem do wiadomości wszystko, o czem mi napisałeś, (mianowicie) to, coś mi doniósł o mowie owych dwóch madżojów, że oni takie słowa powiedzieli.

Porozumiej się z (panią) Nodźmet i z Pai-szu-ubem, niech oni posłają i sprowadzą tych obu madżojów do tego (mojego) domu, (w którym ty obecnie mieszkasz); niech (też) sprowadzą (równocześnie) kogoś, kto był świadkiem ich słów (i niech ich z nimi skonfrontują).

A gdy oni przyznają się (do tego), że tak (rzeczywiście) mówili, to oddajcie ich (natychmiast) dwom ludziom, ażeby ich (zabili i) nocą wrzucili do wody. I nikt na świecie nie powinien (o tem) wiedzieć.

Dalej pisze Pai-anch swemu zaufanemu jeszcze o innej sprawie, z której można wyrozumieć tylko tyle, że chodzi mu o przysłanie jakichś pieniędzy.

Na końcu jest taki podwójny adres:

Urzędnik Pai-szu-uben. Jenerał do pisarza jenerała Keni-Chnuma.

Jest to oczywiście pomyłka. Adres ten miał być napisany na drugim liście, wystosowanym do Pai-szu-ubena. Przez roztargnienie jednak umieszczono go mylnie na piśmie do Czaroja.

## 2

## Jenerał faraona do urzędnika Pai-szu-ubena.

Przyjąłem do wiadomości wszystko, o czem mi pisałeś, (a mianowicie) to, coś mi doniósł o tej mowie owych dwóch madżojów, że oni takie słowa powiedzieli.

Porozumiej się z Nodźmet i pisarzem Czarojem i poslij (zaraz), i każ obu tych madżojów przyprowadzić do mojego domu (w którym mieszka obecnie Czaroj); każ (też równocześnie) sprowadzić kogoś, kto był świadkiem ich słów; (potem) każ (ich obu) zabić i wrzucić nocą do wody. I nikt na świecie nie powinien się o nich dowiedzieć (gdzie znikli).

Pai-szu-uben ma więc być jednym z wykonawców wyroku. Adresu niema, bo umieszczono go przez pomyłkę na pierwszym liście, wystosowanym do Czaroja.

## 3

Jenerał faraona do głównej małżonki Amona-Rē, króla bogów, do czcigodnej pani Nodźmet.

Życie, szczęście i zdrowie (oraz) łaska Amona, króla bogów (niech będą z tobą)! Do każdego boga i do każdej bogini, mimo których (świątyni w podróży mojej) przejeżdżam, modlę się (za ciebie), żebyś żyła i była zdrową, i żebym cię (wnet znowu) zobaczył, gdy powrócę (do Teb), i żebym cię (odtąd) widywał codziennie.



Przyjąłem do wiadomości wszystko, o czym mi pisałaś, (mianowicie) to, coś mi doniosła o tej mowie owych dwóch madżojów, o której mówisz, że oni ją powiedzieli.

Porozumiej się z Pai-szu-ubenem i Czarajem, tym (znanym ci) pisarzem, i każ owych dwóch madżojów przyprowadzić do mojego domu i sprowadzić (równocześnie) kogoś, kto był świadkiem ich słów, i każ (ich potem) zabić i wrzucić nocą do wody.

A napisz mi (wnet), jak się miewasz i bądź zdrowa!

Do głównej małżonki Amona-Rē, króla bogów, do czcigodnej pani Nodźmet. Do pisarza jenerała Keni-Chnuma.

Do matki swej pisze Pai-anch — jak widzimy — w innej formie niż do swych podwładnych.

---

*Wybór tekstów i przekład A. Śmieszka.*

# L I T E R A T U R A   S T A R O H E B R A J S K A

---

---

## WZORY PROZY, POEZJI I MÓW PROROKÓW

### A. PROZA

#### I. PRAWO

##### E x. 21, 23—25

W. 23: Jeźliby śmierć jej nastąpiła, odda życie za życie, (24) oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę, (25) sparzeliznę za sparzeliznę, ranę za ranę, siniec za siniec.

##### E x. 22, 21—24

21. Cudzoziemca nie będziesz nękał, ani go uciskał, boście i sami obcymi byli w ziemi egipskiej. 22. Wdów i sierot nie będziecie krzywdzić. 23. Jeśli je pokrzywdzicie, a będą wołać do mnie, to ja wysłucham ich wołania, (24) i rozpali się gniew mój, i wybije was mieczem, że będą żony wasze wdowami, a synowie wasi sierotami.

*(Pismo Święte — wydane nakładem Księgarni Św. Wojciecha 1926/27 T. I).*

##### Deut. 6, 1—9

1. A oto przykazania, ustawy i prawa, których rozkazał Wiekuisty, Bóg wasz, nauczyć was, abyście je spełniali na ziemi, do której idziecie, by ją posiąść:

2. Żebyś się obawiał Wiekuistego, Boga twojego, przestrzegając wszystkich ustaw i przykazań Jego, które ci przykazuję, — ty i synowie twoi, i synowie synów twoich, po wszystkie dni życia twego, — i aby się przedłużyły dni twoje;

3. abyś słuchał, Izraelu, a starał się to spełnić, aby ci dobrze było, i żebyście się rozmnożyli bardzo, — jako przyrzekł ci Wiekuisty, Bóg ojców twoich, — na ziemi opływającej mlekiem i miodem.

4. Słuchaj, Izraelu! Wiekuisty, Bóg nasz, Wiekuisty — jedyny!

5. A będziesz miłował Wiekuistego, Boga twojego, całym sercem twojem, i całą duszą twoją, i całą mocą twoją.

6. I niechaj będą słowa te, które ci przykazuję dzisiaj, na sercu twojem!

7. I wpajaj je dzieciom twoim, i rozmawiaj o nich, bawiąc w domu twoim i idąc drogą, i kładąc się, i wstawając.

8. I nawiądziesz je jako znak na rękę twoją, i niechaj będą przepaską między oczyma twojemi.

9. I napiszesz je na podwojach domu twego, i na bramach twoich!

*Tłum. J. Cytkow.*

## II. HISTORJA

## Fragmenty z opowiadania o buncie Absaloma.

2 Sam 15, 30—37; 16, 15—19. 20—23; 17, 1—14. 23—25.

2 Sam. 15, 30—37

30. Dawid szedł na górę oliwną, wstępując i płacząc, mając głowę przykrytą, i idąc boso; wszystek też lud, który z nim był, zakryli każdy głowę swoją, a szli, wstępując i płacząc. 31. Tedy dano znać Dawidowi, mówiąc: «Achitofel jest z tymi, którzy się zbuntowali z Absalomem». I rzekł Dawid: «O Panie, proszę, obróć w głupstwo radę Achitofelową». 32. I stało się, gdy Dawid przyszedł aż na wierzch góry, aby się tam pomodlił Bogu, oto, spotkał się z nim Chusaj Arachita, miawszy rozdarte szaty swe, a proch na głowie swojej. 33. I rzekł mu Dawid: «Jeśli pójdziesz ze mną, będziesz mi ciężarem; 34. ale jeśli się do miasta wrócisz, a rzeczesz do Absaloma: «Królu, służą twoim będę, bom był sługą ojca twego zdawna, ale teraz jam służą twoim» — tedy mi obrócisz wniwecz radę Achitofelową. 35. Aż tam nie będzie z tobą Sadoka i Abijatar, kapłanów? Przetoż cokolwiek usłyszysz z domu królewskiego, oznajmisz Sadokowi i Abijatarowi, kapłanom. 36. Są też tam z nimi dwaj synowie ich, Acbimaas, syn Sadoka, i Jonatan, syn Abijatara, przez które dacie mi znać o wszystkim, co jedno usłyszycie». 37. Szedł tedy Chusaj, przyjaciel Dawida, do miasta, a Absalom też wyjechał do Jeruzalemu.

2 Sam 16, 15—19

15. Lecz Absalom i wszystek lud mężów izraelskich przyszedł do Jeruzalemu, także i Achitofel z nim. 16. A gdy przyszedł Chusaj Arachita, przyjaciel Dawida, do Absaloma, rzekł Chusaj do Absaloma: «Niech żyje król, niech żyje król!» 17. Tedy rzekł Absalom do Chusaja: «A także to miłość twoja ku przyjacielowi twemu? Przecież nie szedł z przyjacielem twoim?» 18. Odpowiedział Chusaj Absalomowi: «Nie; ale którego obrał Pan, i lud ten, i wszyscy mężowie izraelscy, tego będę, i z nim zostanę. 19. Do tego, komuż ja będę służył? izali nie synowi jego? Jakom służył ojcu twemu, tak będę i tobie».

2 Sam 16, 20—23

20. Rzekł potem Absalom do Achitofela: «Radcież, co mamy czynić?» 21. Odpowiedział Achitofel Absalomowi: «Wniądź do założnic ojca twego, które zostawił, aby strzegły domu; a usłyszawszy wszystek Izrael, żeś się omierzył ojcu twemu, zmocnią się ręce wszystkich, którzy są z tobą». 22. .... 23. A rada Achitofelowa, którą dawał, była naonczas w takiej wadze, jakoby się kto radził Boga...

2 Sam 17, 1—16. 21—23

1. Nadto rzekł Achitofel do Absaloma: «Niech, proszę, wybiorę dwanaście tysięcy mężów, a wstawszy będę gonił Dawida tej nocy; 2. i przypadnąc nań, pokąd jest spracowany i zemdlnych rąk, a strwożę go, i uciecze wszystek lud, który jest z nim, a zabiję króla samego. 3. A tak przywrócę wszystek lud do ciebie; bo jakoby się wszyscy ku tobie nawrócili, gdy zabiję tego męża, którego ty szukasz, a wszystek się lud uspokoi». 4. I spodobało się to Absalomowi, i wszystkim starszym izraelskim. 5. Jednak rzekł Absalom: «Zawołaj rychło i Chusaja Arachity, abyśmy usłyszeli, co on też powie». 6. A gdy przyszedł Chusaj do Absaloma, rzekł Absalom do niego, mówiąc: «Tak powiedział Achitofel. Mamyli uczynić według rady jego, czyli nie? i ty powiedz». 7. Tedy odpowiedział Chusaj Absalomowi: «Niedobra jest rada, którą teraz dał Achitofel». Nadto rzekł Chusaj: «Świadomyś ojca twego i mężów jego, iż są mężni, i serca zajuszonego, jako niedźwiedzica osierociąta w polu; do tego ojciec twój jest mąż waleczny, i nie będzie nocował z ludem. 9. A podobno i teraz się kryje w jakiej jaskini albo na którymkolwiek miejscu. I stałoby się, jeźliżebymy kto z twoich poległ na tym początku, żeby każdy, kto by o tem usłyszał, rzekł: «I stała się porażka w ludzie, który

szedł za Absalomem». 10. Tedy i najmężniejszy, którego serce jako serce lwie, bardzo osłabieje; bo wie wszystek Izrael, że mężnym jest ojciec twój, i mężni wszyscy, którzy są z nim. 11. Aleć radzę, aby się do ciebie całe zebrał wszystek Izrael od Dan aż do Beerseba, jako piasek, który jest przy morzu w mnóstwie, a ty żebyś osobą swą szedł na wojnę. 12. A tak pociągniemy przeciwko niemu, na któremkolwiek miejscu znaleziony będzie, i przypadniemy nań, jako pada rosa na ziemię, i nie zostanie z niego, to jest, z tych wszystkich mężów, którzy są z nim, ani jeden. 13. A jeźliby do którego miasta uszedł, tedy zniesie wszystek Izrael do onego miasta powrozy, a pociągniemy je aż do potoku, tak, iż tam nie będzie znaleziony ani kamyk». 14. Tedy rzekł Absalom i wszyscy mężowie izraelscy: «Lepsza jest rada Chusajego Arachity, niż rada Achitofelowa». Albowiem Pan był postanowił, aby rozerwana była rada Achitofelowa, która była dobra, a tak aby przywiódł Pan złe na Absaloma. 15. I oznajmił Chusaj Sadowkowi i Abijatarowi, kapłanom: «Tak a tak radził Achitofel Absalomowi i starszym izraelskim; alem ja tak a tak radził. 16. Teraz tedy posłijcie co rychlej, a oznajmijcie Dawidowi, mówiąc: «Nie zostawaj tej nocy w równinach puszczy; ale bez odwłoki przejdź, byś snąc nie był pożarty król, i wszystek lud, który jest z nim».

21. ....i oznajmili (Jonatan i Achimaas) królowi Dawidowi, mówiąc do niego: «Wstańcie, przepawcie się co rychlej przez wodę; albowiem tak radził przeciwko wam Achitofel». 22. Przetoż wstawszy, Dawid i wszystek lud, który był z nim, przepawili się przez Jordan, pierwiej niż się rozedniało, a nie został i jeden, któryby się nie przepawił przez Jordan. 23. Tedy Achitofel, widząc, iż się nie stało podług rady jego, osiodłał osła, a wstawszy jechał do domu swego, do miasta swego, a rozprawiwszy dom swój, powiesił się i umarł, a pogrzebion jest w grobie ojca swego.

(*Biblia Święta (Gdańska) z r. 1919*)

## B. POEZJA

### PIEŚŃ LAMECHA

Gen. 4, 23—24

Ado i Cylo! na krwią ściekle ręce  
Patrzajcie, już nie strachane,  
Usiekłem mężów za jedną ranę,  
Za jeden siniec młodzieńce!

Gdzieś w legowisku wróg skowyta,  
Bo jeźli Kain urazy  
Mścił po siedmiokroć, to Lamechita  
Siedmdziesiąt i siedm razy!

*Tłum. A. Niemojewski.*

### PIEŚŃ DEBORY

(Sędziów 5)

Pieśń ma zagrzmie i zahuczy,  
i zatętni wzdłuż i wszerez.  
Słuchaj, ludu, i ty, ziemio,  
moje słowa w uszy bierz.  
Słuchaj, ludu mój, słuchajcie  
wy książęta i królowie:  
Ja, ja, matka w Izraelu,  
ja zaśpiewam pieśń Jehowie.  
Kiedy wyszedł Pan ze Seir,  
gdy przez pole Edom szedł:  
Ziemia drżała, góry mdlały,  
potok Cyton kurczył grzbiet.  
Lew w pustyni przypadł k'ziemi  
i zakwilił jak pachole;

Kiedy wyszedł Pan ze Seir,  
przez edomskie gdy szedł pole,  
Z chananejskich wozów konie  
lud mój ujrzał wśród swych łąk;  
Zdarto tarcze z jego ramion,  
wytracono drzewca z rąk.  
Po winnicach ptak się zdziwił,  
obcej mowy słysząc głosy.  
Cudze sierpy żąć poczęły  
po pszenicznych łanach kłosa.  
Lat dwadzieścia z drżąca wargą,  
ze krwią w oku patrzył lud,  
Jak szerszenie z ust cór jego  
wysysały słodki miód.

Spustoszały wsie i grody,  
 wyschła woda studzien wielu;  
 Aż powstałam ja, Debora —  
 wstałam — matka w Izraelu!  
 Że młodzieńce twe u żaren  
 w pieśń zmieniły głuchy jęk,  
 Że u źródeł ścichł trzask łuków,  
 ścichł chrzęst zbroi, mieczów szczęk;  
 Że deptany nad deptące  
 dziś swobodną wyniósł głowę —  
 Pójdź tu, ludu, śpiewaj ze mną,  
 z matką twoją wielb Jehowę,  
 Abinoem, wielbij Pana!  
 Oto, starcze, Barak twój  
 Podniósł dłoń i startł brązowy  
 z Izraela skroni znój.  
 Rozmawiajcie z sobą głośno,  
 który jedziesz na osłicy,  
 Który siedzisz przed swym domem,  
 który sądzisz na stolicy.  
 Izraela Bóg potężny  
 przed hufcami wiernie szedł:  
 Ziemia drżała, góry mdlały,  
 potok Cyton zjeżył grzbień.  
 Prerażone słońce w chmurę  
 ówinęło twarz swą zbladła,  
 Kiedy orłów moich stado  
 na Sysary wozy spadło.  
 Przecześ siedział u obory,  
 przecześ słuchał wrzasku trzód,  
 Gdy swą duszę na śmierć wydał  
 Naftalego dzielny ród?  
 Gdy Izachar, gdy Zabulon  
 szpony drzewic wbił w Sysarę —  
 Gdy rozpraszał wozy w polu,  
 jako sokół wróble szare?  
 Przecześ krzesząc podłe zyski,  
 na okrętach kupczył, Dan?

Czemuś, Aser, krył się w skałach,  
 gdy z Sysarą walczył Pan?  
 Przeklinajcie podłe Meroz,  
 jego starce i młodzieńce!  
 Zabulona dział wyniosły!  
 Naftalimom plećcie wieńce!  
 Bądź wielbiona wielka Jahel!  
 Tyś pomogła wrogów zmóc!  
 Pod jej namiot zbiegł Sysara,  
 chananejskich mężów wódz,  
 Prosił wody, dała mleka,  
 na przystawce mu książęcej;  
 Dała masła, dała mleka,  
 niżli prosił dała więcej.  
 Po wsze wieki bądź wielbiona,  
 wielka Jahel! W prawą dłoń  
 Młot ujęła i gwóźdź przeszył  
 uspiętego wodza skroni;  
 Potok Cyton go nie pożarł,  
 przed Baraka zbiegł pogonią,  
 U Jaheli nóg się skurczył,  
 pod Jaheli poległ dłonią.  
 Siadła w oknie stara matka,  
 we skraj nieba wzrok jej wrósł;  
 «Przecz Sysara nie powraca,  
 rychłoż zagrzmi jego wóz?»  
 I odrzekły jej służebne,  
 i odrzekła sobie w duszy:  
 «Snadź wpierw łupy porozdziela,  
 nim do domu zasię ruszy!»  
 Tak niech zginie wróg wszelaki!  
 tak niech w prochu tarza twarz,  
 Kto się waży walczyć z tobą,  
 Boże wielki, ojcze nasz!  
 Tak niech zginie wróg wszelaki!  
 A dla wiernych twoich dzieci  
 Na wysokich niech niebiosach  
 wiecznie jasne słońce świeci.

*Tłum. Adam Maszewski.*

## PSALMY

### VIII

Wszecmocny Panie, wiekuisty Boże,  
 Kto się twym sprawom wydziwować może,  
 Kto rozumowi, którym niezmierny  
 Ten świat stworzony?  
 Gdziekolwiek słońce miecie strzały swoje,  
 Wszędy jest zacne święte imie twoje,  
 A stawy niebo ogarnąć nie może  
 Twej, wieczny Boże!  
 Niech zli, jako chcą, ciebie mierzą sobie,  
 Z ust niemowlątek rośnie chwala tobie,  
 Ku większej hańbie, i ku potępieniu  
 Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, twoich rąk robota  
 Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota:  
 Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne  
 Kolo miesięczne.  
 A człowiek co jest? że ty niestworzony,  
 Wszystkiego twórca, i Pan niezmierny.  
 Raczysz i pomnieć, czem jest syn człowieczy  
 Godzien twej pieczy?  
 Takeś go uczcił i przyochędożył,  
 Żeś go z Anioły tylko nie położył:  
 Postawiłeś go panem nad zacnemi  
 Czyny swojemi.  
 Dales w moc jego wszystkie bydła polne,  
 Dales i lesne zwierzęta swawolne:  
 On na powietrzu ptastwem, pod wodami  
 Władnie rybami.  
 Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,  
 Kto się twym sprawom wydziwować może:  
 Kto rozumowi, którym niezmierny  
 Ten świat stworzony?

*Tłum. Jan Kochanowski*

## LI

1. Nathan spowiada skruchy Dawidowe,
2. Gdy ten poślubił Bethsabeję wdowę:
3. O Panie! Według wielkiej Twej litości,  
Twe zmiłowanie niech nade mną gości!  
A w Imię licznych Twoich miłosierdzi,  
Gniew Twój nade mną niech się już nie sierdzi!
4. I racz opłókać z brudów moją duszę,  
Niech w tem plugastwie dłużej trwać nie muszę!
5. Bo gdy mych złości obrachunek robię —  
To mnie już tego wstyd samemu sobie.
6. Więc gdy przed Sądem Twym skruszony stoję,  
Rozgrzesz mnie, znając ułomności moje.
7. Gdyż, jak bądź w grzechu poczęła mnie Matka,
8. Ty Twych mądrości chcesz mieć we mnie świadka.
9. Gdy mnie hyzopem skropisz, Mocny Panie,  
Od śniegu bielszy sługa Twój się stanie.
10. Słuch mój ucieszysz Ojcowskiemi słowy,  
Bym znów się w sobie uczuł wszystek zdrowy.
11. Od mych bezprawi odwróc Twe oblicze,  
I zgładź mych grzechów piętno niewolnicze,
12. Zdarz serca czystość memu rozumowi,  
I niech Anielskość we mnie się odnowi!
13. Już mnie od Siebie nie odrzucaj, proszę,  
I Ducha Twego we mnie technij rozkosze!
14. Niech mam niepłonną Zbawczych Dróg nadzieję,  
I niech Jasnością Twoją rozednieję!
15. Gdy się Twa Mądrość z moich ust rozstawi —  
Do stóp Twych padną prawi i nieprawi.
16. Panie! Z sumienia mego, krew przelaną  
Racz zmyć, i niech się znów godnemi staną
17. Usta, Twą chwałę wiecznie wielbić chcące.
18. Byłbym za krew tę ofiar dał tysiące,  
Lecz Tyś ich przyjąć nie chciał — gdyż jedynie

19. Duszą, co na śmierć z przygnębienia ginie,  
I w swych wyrzutach cierpi coraz twardziej,  
Jedynie taką Łaska Twa nie gardzi!
20. Panie! z Syjońskiej Twej wejrzawszy Góry,  
Jeruzalemskie racz podźwignąć mury.
21. Tam Tobie, z serca, w Twym przybytku Bożym  
Całopalenie i objaty złożym!

*Tłum. Felicjan Faleński*

XLII

Jako tęskni do źródeł wody rączy jeleń,  
Tak dusza do Ciebie, Boże, do Twych uweseleń.

Do żywego, mocnego Boga rwie się prawie, —  
Kiedyż przyjdę, przed Jego obliczem się jawię?

Chlebem mi były moje łzy we dnie i w nocy,  
Gdy mówiono mi co dnia: Gdzież jest Bóg twej mocy?

Wylałem na Ciebie duszę mą w spomnienia zbytku,  
Iż przyjdę do Twojego świętego przybytku —

I tam głosem wesela, godującym głosem  
Będę Ciebie wyznawał, jak płomiennym stosem.

Czemuś smutna, ma duszo, a czemu mię trwożysz?  
Jeśli w Panu swym całą nadzieję położysz,

Jeszcze będziesz śpiewała u Jego ołtarzy:  
Pan mój i Bóg mój żywy — zbawienie mej twarzy.

Trwoży się dusza, Pana zwie i płacze po Nim,  
Wspomnę na Ciebie od granic Jordanu, Hermonim...

Wszystkie Twoje upusty na mnie się zwały,  
Otchłań wola otchłani wśród grzmiących wód siły.

Na dzień niech miłosierdzia Bóg, — w noc pieśni rota:  
Przy mnie modlitwa Boga mojego żywota.

Rzeknę Panu: obrońcą jesteś na mej drodze, —  
Czemuś o mnie zapomniał, czemu martwy chodzę?

Gdy się łamią me kości, mój wróg urągliwy  
Powtarza na dzień każdy: Gdzież jest twój Bóg żywy?

Czemuś smutna, ma duszo, a czemu mnie trwożysz?  
Jeśli w Panu swym wszystką nadzieję położysz,

Jeszcze będziesz śpiewała u Jego ołtarzy:  
Pan mój i Bóg mój żywy — zbawienie mej twarzy.

*Tłum. J. Jankowski*

XC

Królu na wysokim niebie,  
Nie ma indziej, okrom Ciebie,  
Człowiek, nieszczęściem strapiony,  
Uciezki ani obrony.  
Pierwej niżli góry stały,  
Niż ziemia, niż okazały  
Krań niebieski jest stworzony,  
Tyś jest, Boże nieskończony!

Jesteś, i będziesz do wieku:  
Ale biednemu człowieku  
Co dzień zawždy lat ucierasz,  
Aż go nawet w ziemię wspierasz.  
Tysiąc lat, o niezmierny!  
Z twoją wiecznością złożony,  
Mniej niż dzień wczorajszy waży,  
Mniej niż chwila nocnej straży.

Jako woda sięknie w ziemię,  
 Tak niszczeje ludzkie plemie.  
 Podobniśmy ku marnemu  
 Snu nocnemu nikczemnemu.  
 Jako rosy trawa syta  
 Z poranku pięknie zakwita,  
 Wieczór kosą podsieczona  
 Leży na ziemi wzgardzona;  
 Taki nasz wiek: tak wędniemy  
 I w niełasce twojej schniemy.  
 Tobie jawne i kryjome  
 Złości nasze są wiadome.  
 Przeto, dla swych nieprawości  
 Lękając się twej srogości,  
 Tak prędko dni swe trawimy,  
 Tak słowa, co mówimy.  
 Wiek ludzki jest lat siedmdziesiąt,  
 Duży, kto trwa lat ośmdziesiąt:  
 Tę trochę troski mieszają,  
 A lata się umykają.  
 Kto twój, nieśmiertelny Boże,  
 Gniew straszliwy pojąć może,

Kto w bojaźni twej żyć umie:  
 Ten, co twój gniew jest, rozumie.  
 Raczże nam z łaski swej życzyć,  
 Bychmy tym sposobem liczyć  
 Płochę lata swe umieli,  
 A mądrości szukać chcieli.  
 Wejrzyj na swe sługi, Panie,  
 Długoż się masz gniewać na nie?  
 Wejrzyj okiem litościwym,  
 A ochłódź serca troskliwym.  
 Nasyć nas owocem swego  
 Miłosierdzia obfitego;  
 A my do swego żywota,  
 Nie uznamy już kłopotu.  
 Daj nam za troskliwe lata  
 Wesołego użyć świata;  
 Nagródź nam płacz pociechami;  
 Okaż dobroć swą nad nami,  
 Okaż nad sługami swemi,  
 I nad ich syny lichemi:  
 Zdarz nam wszystkie nasze sprawy,  
 Zdarz, o Boże nasz łaskawy.

*Tłum. Jan Kochanowski*

### CIII

Błogosław, duszo moja, Panu swojemu,  
 Błogosław imieniowi jego świętemu.  
 Błogosław, duszo, Panu: jego obfite  
 Dary niech zawsze będą w sercu twem ryte.  
 Który odpuszcza wszystkie twe nieprawości,  
 I zabiega chorobom, i twej krewkości;  
 Żywot śmierci łakomej twój odejmuje,  
 A ciebie miłosierdziem swem koronuje.  
 Który cię wszelakich dóbr hojnie nabawia,  
 I twoją młodość, jako orlą odnawia,  
 Obrońca nieomylny źle obwinionych,  
 I sędzia sprawiedliwy wszech ukrzywdzonych.  
 Ten opowiedział drogi swe Mojżeszowi,  
 I wolę swą ukazał Izraelowi.  
 Pan wielce miłosierny, Pan dobrotliwy,  
 Na gniew nieprędko, bardzo do łaski chciwy.  
 Nie umie, nie zwykł się on wiecznie frasować,  
 Ani do końca swej srogości chować:  
 Nie wedle spraw przeciwko nam postępuje,  
 Ani się z nami według zasług rachuje.  
 Które nad ziemią niebo jest wysokości,  
 Takiej on ku sługom jest swoim litości;  
 Jako wschód od zachodu daleko pała.  
 Tak on od nas daleko grzech nasz oddała.  
 Jako łaskawy ojciec synów lituje,  
 Tak równie swoich wiernych sług Pan żałuje:  
 Czynu bowiem naszego samże świadomy,  
 I pomni, żeśmy ziemia, i cień znikomy.

.....  
 .....

*Tłum. Jan Kochanowski.*



## CXXX

W troskach głębokich ponurzony,  
Do ciebie, Boże niezmierny,  
Wołam: racz smutne prośby moje  
Przyjąć w łaskawe uszy swoje.  
Jeśli tej z nami surowości  
Będziesz chciał użyć, jako złości  
Nasze są godne, kto praw, Panie,  
Przed srogim sądem twym zostanie?  
Aleś ty Pan jest dobrotliwy,  
Pan z przyrodzenia litościwy:  
Co przeciw tobie u wszech ludzi  
Uczciwość wielką w sercu budzi.

Ciesz mi, Panie, dobroć twoja,  
Ciesz mi słowa: dusza moja  
Upatrz twego zmiłowania  
Bardziej niż nocna straż świtania.  
Bardziej niż nocna straż świtania  
Pragnie duch twego zmiłowania.  
O Izraelu, niech się dzieje  
Co chce, ty w Panu kładź nadzieję.  
U tego litość nieprzebrana,  
U tego pomoc nieczekana:  
Ten miłosierdziu swemu gwoli,  
Ze wszech cię grzechów twych wyzwoli.

*Tłum. Jan Kochanowski*

## CXXXVII

Nad rzekami babilońskiej ziemi, odrętwiali,  
Siedząc, Syjon wspominając, tamięśmy płakali.

Na konarach wierzb, na marach i już bez orędzia.  
Powieszaliśmy tam nasze muzyckie narzędzia.

Bo ci, którzy nas wśród burzy w niewolę zagnali,  
O ojcyste słowa czyste pieśni nas pytali.

Bo ci, którzy nas tu wiedli, mrących najboleśniej,  
Chcieli: którą nam z syjońskich zaśpiewajcie pieśni.

Jakże mamy pieśń syjońską śpiewać w obcej ziemi,  
Jakżeż mamy nie oddychać pierściami krwawemi?

Jeśli Ciebiebym zapomnieć miał, o, Jeruzalem,  
Niech zapomnę prawej ręki mej, niezdjęty żalem.

Jeśli Twegobym zapomniał, Ojczyzno, istnienia,  
Niechaj pierwej przyschnie język mój do podniebienia:

Jeśli ciebiebym, najmiłsza, sercem wskrzesiciela  
Nie pokładał na początku wszystkiego wesela.

Pomnij, Panie, na edomskie syny, pełne buntu  
Żegające w dzień ów: Zburzcie, zburzcie je do gruntu.

Babilońska córo nędzna, szczęśny, kto ci spłaci,  
Spłata, jakąś ty płaciła nam w krwi siostr i braci.

Szczęśny, szczęśny, kto, tej wielkiej mszczący się obraży,  
Poschwytuje twoje małe, roztrąci o glazy.

*Tłum. J. Jankowski*

## PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI

## 1

Ust twych mi, ust twych daj pocałowanie,  
Nad wino słodsze mi twoje kochanie!  
Od twych olejków woń dziewanny wionie,  
Imię twe słodsze nad dziewanny wonie.  
Słodszyś, najmiłszy, nad wonie dziewanny,  
Przeto tak bardzo miłują cię panny.

Prowadź mi z sobą, gdzie wesela zdroje,  
Wiedz mi, mój królu, na przednie pokoje,  
Przy tobie radość nigdy nie ustanie,  
Nad wino słodsze mi twoje kochanie.  
Bardziejś upojny nad wonie dziewanny,  
Wiedząc, co czynią, że lubią cię panny.

## 2

Wdzięcznam ci, chociaż smagła, Jeruzalem córy,  
 Jak opony Kedaru, Salmy namiot bury.  
 Nie patrzcie wy tak na mnie, żem śniada i czarna,  
 To słońca mię spaliła spiekota pożarna.  
 Bo mojej matki milej synowie złośnicy  
 Pilnować mi kazali po lecie winnicy.  
 Strzegłam ci, strzegła, alem ponoś nato  
 Własnej winnicy nie ustrzegła w lato.

## 3

«Mówże mi, proszę, mej duszy kochanie,  
 Gdzie w czas południa twoja trzoda stanie,  
 Rym ci tak nie szła, jak ta zabłąkana,  
 Pośród pasterzy szukać mego pana».  
 «Nie wieszże o tem, najpiękniejsza dziewo,  
 Idź wślad mych owiec, ni w prawo, ni w lewo,  
 Wiedz twe jagniątka, gdzie lotne szatały,  
 Tam, moja luba, tam nasze wywczasy».

## 4

«O luba, podobnaś do łani,  
 Do klaczy, co kroczy wspaniale,  
 Prześlicznaś w bisiorakach, o pani,  
 Przedziwnie cię zdobią korale.  
 Złocistej naczynim ci lamy,  
 Srebrzystych nakrapiań przydamy».  
 «Dopokąd mój król na stolicy,  
 Me nardy wydają swe wonie.  
 Mój miły jest mirrą w pętlicy,

Co wonna się kryje na łonie,  
 Jest henną w winnicach Engady,  
 Woniacą przez łąki i sady».  
 «Jak słodkie gołębie twe oczy,  
 Jak pięknaś, jak piękna, ma ksieni!»  
 «O wdzięczny mój miły, uroczy,  
 Rozkoszne nam łoże w zieleni,  
 Cedrowe nad nami wiązanie,  
 Z cyprysu jest nasze mieszkanie».

## 5

«Jam krasna róża Saronu,  
 Jasna w dolinie lilija».  
 «Ma luba wśród cór Syjonu,  
 Jako wśród cierni lilija».  
 «Jak jabłoń wśród krza leśnego,  
 Tak wśród młodzieńców mój drogi:

W cieniu kochanka miłego  
 Spoczynek słodki i drogi.  
 Wprowadził mnie do winiarni,  
 Gdzie miłość zaprasza w gości,  
 Dał pokrzepienie w męczarni,  
 Rom chora była z miłości».

## 6

Pod moją głowę położył lewicę,  
 Prawicą objął i ciśnie do łona.  
 Jeruzalemki, wy moje siostrzyce,

Klnę was przez łanię, co śmiga spłoszona,  
 Przez tę gazelę, co pomyka lasem,  
 Wy mi nie budźcie miłości przed czasem!...

## 7

Głos to miłego! To idzie mój drogi,  
 Skacze przez górki, pagórki, rozłogi,  
 Równy chyzemu temu jeleniowi,  
 Śmigłej gazeli, której nie ulowi.  
 Patrzaj! Już stoi, tam za domu ścianą,  
 Poglądam oknem przez kratę kowaną:

«Wstańże mi, moja przyjaciółko droga,  
 Znajdź do mnie, piękna, czekam tu u proga!  
 Minęła zima, skończyły się deszcze,  
 Po młodej ziemi idą wiosny dreszcze,  
 Pachną po łąkach olejkami zioła,  
 Kwiatki się wdzięczą i turkawka woła,

Pękiem figowe rumienia się gaje,  
 Winna macica słodką woń wydaje.  
 Wstańże mi, droga przyjaciółko moja,  
 Znijdź do mnie, piękna, czekam cię u zdroja!  
 Gołąbko mała, nie kryj się za skały,

Jakież mi ciebie szczeliny schowały?  
 Daj mi obaczyć twe łube oblicze,  
 Daj twego głosu usłyszeć słodycze,  
 Bo w twym głosiku niezrównane czary,  
 Bo twe jagody nadobne bez miary!»

## 8

Połapecież liszki, te małe lisice,  
 Co psują naszą kwitnącą winnicę!...

## 9

Mójci jest miły, jam jego na wieki,  
 Pasię wśród lilij, nad brzegami rzeki.  
 «Nim dzień nadejdzie, zanim pierzchną cienie,  
 Chodź tu do stoła, jak młode jelenie,  
 Jak te gazele, na paszę skaczące,  
 Do mnie przyjdź, miły, paś na twojej łące!»

## 10

O nocnej porze spojrzę na me łożę,  
 Szukam, wygnanka, mej duszy kochanka:  
 Szukam, ach, szukam daremnie!  
 Rzucę łożnicę, wyjdę na ulicę,  
 Szukać do ranka mej duszy kochanka!

Biedna ja, szukam daremnie!  
 Miejscy strażnicy chodzą po ulicy:  
 «Czyście widzieli mej duszy kochanka?  
 Szukam go, szukam daremnie!»  
 Przeszli stróżowie, nikt z nich nie odpowie.

Ledwo że przeszli, aż naszłam kochanka:  
 «Już mi nie pójdziesz ode mnie!»  
 «Gdzie macierz miła, która mię powiła,  
 Tam cię wprowadzę, na zawsze osadzę,  
 Już się nie umkniesz ode mnie!»

## 13

Nadobnaś jest, o luba, i pełna urody,  
 Gołąbki dwa — twe oczy w zasłony obloku,  
 Twe włosy — mrowie kóz na Gileadu stoku,  
 Zęby — strzyżone owce, które wyszły z wody,  
 Wiodąc po dwoje bliźniąt po oboim boku.  
 Twe wargi — jako jasne karmazynu wstążki,  
 Granatu owoc pełny — w zasłonie twe lica,  
 Twa szyja — Dawidowa wysmukła wieżyca,  
 Jak w tysiąc tarcz bojowych, w złote zdobna krążki,  
 A krągłych piersi dwoje, jako dwie gazele,  
 Co chodzą wśród lilij, niosąc krok nieśmiele.  
 Nim wiatr poranny wstanie i pierzchną ciemności,  
 Pójdź na wzgórek mirry, na górkę wonności!  
 Wszystkaś jest pełna wdzięku i pełna piękności.

## 14

Ze mną z wyżyny Libanu, wybrana,  
 Ze mną ze szczytów zestąp Libanonu!  
 Porzuć skaliste urwiska Amana,

Wirchy Seniru, wierzchołki Hermonu,  
 Dzikie ostepy, kędy łup pożera  
 Okrutna lwica i głodna pantera!...

## 16

«Zamkniętym sadem jest ma siostra wierna,  
W nim niedostępna, zawarta cysterna.  
Plenią się w owoc granatowe drzewa,  
Nard się i krokus w krasę przyodziewa,  
Nard w nim i kasja, wonne cynamony  
I kadzidelny wszelki krzew ceniony,  
Mirra i szafran, aloesu kwiecie,  
Z wszystkich balsamów najprzedniejsze w świecie».  
«Krynicą sadu żywej wody studnia,  
Która z Libanu spada ku nizinie:  
Wstańże mi, wietrze, z północy, z południa,  
Powiej przez sad mój, niech się woń rozplynie,  
Wnijdź do ogrodu twojego, mój miły,  
Bo to dla ciebie drzewa obrodziły!»  
«Wchodzę, ma sestro, do mego ogrodu,  
Zbieram mą mirrę i balsamy moje,  
Spożywam słodki plastr mojego miodu,  
Spijam me wino, mego mleka zdroje».  
Jedzcie i pijcie, przyjaciele moi,  
Niech się miłością dusza wasza poi!

## 19

Sześćdziesiąt królowych u Salomona,  
Żon osmdziesiąt, a panien bezliku:  
Jedną mi tylko, wdzięczna, nieskażona  
Gołąbka biała w moim gołębniku.  
Jedna jest dla mnie, jedna moja miła,  
Jedyna matce, która ją zrodziła.  
Żony, królowe, panny ją widziały,  
A wszystkie razem dają jej pochwały.

## 26

Któż to od stepu idzie w uściśnieniu,  
Na oblubieńca oparty ramieniu?  
«W jabłoni jam cię cieniu obudziła,  
Gdzie cię powiła twoja macierz miła,  
W bólach wydała twoja rodzicielka;  
Na twojem sercu jak sygnet się złożyę,  
Jako obrączka zwisnę na ramieniu,  
Bo jak śmierć silna jest miłość i wielka,  
I bezlitosna jak kraina cieni.  
Jej żar pałacy, jako żar płomieni,  
Jej błyskawice, jako ognie Boże.  
Ani ją zgaszą wielkiej wody cieki,  
Ani zaleją strumienie i rzeki,  
A choćbyś oddał dom cały i włości,  
Pogardzon będziesz, nie kupisz miłości!»

*Tłum. Zygmunt Bromberg-Bytkowski*

## PRZYSŁOWIA SALOMONA

- 1, 20. Mądrość po ulicy swe kazania miewa...  
 21. Na wzniesieniu wśród tłumów woła,  
 Przy wejściu do bram, w pośrodku miasta głos swój podnosi:...
23. Zwróćcie się ku moim przestrogom;  
 Ja wam ducha swojego objawię,  
 Oznajmię wam swoje słowa...
- 8, 22. Mnie posiadał Bóg na początku swojego postępowania,  
 przed moimi dziełami dawniej.
23. Od wieczności jam uwieńczona,  
 od początku, przed czasem ziemi,
24. Gdy nie było jeszcze otchłani, jam była zrodzoną;...
26. Gdy jeszcze nie uczynił ziemi i obszarów,  
 I pierwiastkowego pyłu świata,
27. Gdy sposobił niebiosy, byłam już tam, gdy kreślił łuk  
 nad powierzchnią otchłani,
28. Gdy wyteżał obłoki w wysokości...
29. Gdy stanowił morzu jego granicę,...  
 Gdy kreślił posławy ziemi...
30. Wtedy byłam przy Nim, wychowanicą,  
 wtedy byłam rozkoszą dzień po dniu,  
 igrając przed Nim w każdym czasie,
31. Igrając w jego świecie ziemskim  
 a rozkoszując się z synami człowieczymi.
- 12, 4. Cna niewiasta jest koroną swojego męża,  
 a jak zgnilizna w kościach jego — haniebna.
- 14, 1. Mądrość kobiet buduje ich dom,  
 głupota własną ręką go obala.
- 14, 34. Sprawiedliwość podnosi naród,  
 hańbą ludów jest grzech.
- 16, 6. Przez łaskę i prawdę bywa odpuszczony grzech,  
 a w bojaźni Boga jest stronienie od złego.
- 25, 26. Źródło mętne i studnia zepsuta —  
 Sprawiedliwy, płaszczący się przed złością.
- 28, 15. Lew ryczący i niedźwiedź łaknący —  
 Złościńca, panujący nad ludem biednym.

\_\_\_\_\_  
*Tłum. Izaak Kramstück.*

## Z KSIĄG IJOBA CIERPLIWEGO

## I

## R. III. w. 1—26

Tedy otworzył Ijob usta, dniowi  
 zlorzecząc swemu, i mówił: Niech zginie  
 dzień, co mnie ojcom dał, i noc, gdy owi  
 o niezrodzonej wyrzekli dziecinie:  
 począł się człowiek! Mrokiem niech się zaćmi  
 dzień ten i w Bożej pamięci niech minie,  
 ani postanie wespół z swymi braćmi  
 w liczbie dni roku, ani się poczyta  
 w miesiącach, równo z nocą ową! Tać mi  
 w wszystkich najgorsza! Niech będzie zabyta,  
 niech ją klą smoka czciciele, co ganią  
 słońce, brzaskowi bluźniący, gdy świta;

wicher ciemności niechaj padnie na nią,  
niechaj się burza śmiertelna rozsroży  
i późne gwiazdy po nad jej otchłanią;  
czarność jej gorzką niechaj strach pomnoży  
i wieczna dziennej jasności tęsknota,  
a niechaj nigdy nie ogląda zorzy:  
iż nie zamknęła wrót tego żywota,  
który mnie nosił, ni oczu nie zwichła,  
zanim im światłość pokazana złota!  
Przecz nie umarłem w żywocie zarychła? —  
stokroćby lepiej było dla mnie pono,  
by pierś ma była w pierwszym płaczu ścięta!  
Czemum był wzięty na matczyne łono,  
czemu do życia spowity w pieluchy,  
i przecz mię pierśmi mlecznemi karmiono?  
Byłbym snem moim spoczywał już, głuchy  
i królom równy a wielmożom świata,  
co cześć budując, skarb zbierali kruchy, —  
martwemu rówien płodowi, co złata:  
byłbym już niczem, jako niezrodzeni,  
co nie widzieli światła! TAM się brata  
wszystko! — Niezbożni TAM od trwóg zbawieni,  
TAM spoczywają, których życie trudzi,  
TAM są otwarte jeńcom drzwi więzienia,  
ani ciemieży głos ich ze snu budzi:  
mały i wielki TAM spotem — i pana  
nie zna niewolnik, najlichszy wśród ludzi!  
Przecz więc nędznemu dzienna światłość dana  
a żywot, którzy są w serca żalobie,  
którzy chcą śmierci — (zasię ta, czekana,  
przyjść się nie kwapi, choć jej w każdej dobie  
z pragnieniem dusze wzywają!), a jeśli  
grób wreszcie najdą, tak się cieszą w grobie,  
jakgdyby kopiąc, wielki skarb naleźli? —  
albo-li którzy błędą pośród cienia,  
gdy się zawziąwszy Pan na nie rozeźli?  
Wzdycham przed jądłem, które mi się zmienia  
w piotun! me jęki tak spływają z serca,  
jako wezbrane powodzie strumienia,  
bo strach, któregom się lękał, przewierca  
pierś mą, bo przyszła na mnie boleść sroga!  
A-za krzyw Panu byłem lub bluźnierca?  
a-zam się sądom nie poddawał Boga?  
Spokojne miałem i czyste sumienie,  
dróg prawdy zasię strzegła moja noga —  
a oto przyszło na mnie uciśnienie!

## II

R. VII. w. 1—21

Żywot człowieka na ziemi jest bojem  
i są dni jego, jako dni najemne:  
jako niewolnik, przyciśniony znojem,  
łaknie ochłody, jak najemnik, ziemne  
prace pełniący, wzdycha do wieczora...  
Tak jam miesiące trudów miał daremne

i gorzkie noce. Gdy snu przyszła pora,  
 mówiłem: Zasnę — a kiedyż wstać muszę,  
 bym znów, boleścią napelnion, jak wczora,  
 wyglądał mroku? Otom na katusze  
 wydan, zgnilizną ciało me próchnieje,  
 skóra ma zeschła, własnym tchem się duszę!  
 A nie tak wartko czótno tkacz przedzieje,  
 jako dni moje minęły, o Panie!  
 docna strawione zgoła bez nadzieje!  
 Pomnij, że żywot mój jest wiatru wianie,  
 i gdy się oko me zamknie w rozpaczy,  
 już się na dobro otwartem nie stanie!  
 Minę — a wtedy snąć mię nie obaczy  
 i nie wynajdzie żrenica niczyja,  
 ni Twoja nawet, choć mię szukać raczy!  
 Jako niszczeje obłok i przemija,  
 tak który zstąpi w dół, na śmierci wędę  
 złowion, nie weźmie pielgrzymiego kija,  
 aby powrócić zaś na swoją grzędę,  
 ni znów go miejsce jego uzna kiedy!  
 Przetoż nie wzbronę ustom mym, lecz będę  
 krzyczeć z otchłani mojej gorzkiej biedy:  
 Zalim ja morze, albo smok, żeś ciemnię  
 strażą mi stawil? Chociaż rzekę tedy:  
 Łoże odejmie boleść mą ode mnie  
 i znajdę ulgę w ciszy mej komory,  
 ze smutnem sercem swem mówiąc tajemnie:  
 Ty we snach jeszcze zeslesz na mnie zmyry  
 i strzęsiesz strachem, schłostasż widzeń biczem —  
 aż śmierci łaknie duch mój, umrzeć skory...  
 Żyć już nie pragnę — odstap mię! Wszak niczem  
 są Ci dni moje — marność, ból a męka!  
 Cóż Ci jest człowiek, że przed swem obliczem  
 w równi go stawiasz, iż go chuć Twa nęka?  
 Oto zarychła przychodzisz ku niemu —  
 i wnet zacięży nad nim Twoja ręka!  
 Przecz nie ostawisz mię w pokoju? czemu  
 nie pofolgujesz, bym choć przełknął ślinę?  
 Jeżelibym zgrzeszył — i cóż mnie nędznemu  
 czynić wbrew Tobie, strózu ludzi? Ginę,  
 lecz czemuś sprawil, zem Ci sprzeczny, Bóże,  
 czemuś, jak brzemię, zwałil na mnie winę?  
 Zali Twa wszechmoc grzechu zmyć nie może,  
 ani uczynić, abym nie trwał w błędzie?  
 Oto się w prochu jeszcze dziś położę, —  
 wspomnisz mię jutro, lecz mnie już nie będzie!...

## III

R. IX. w. 1—35

Zaś Ijob mówił: Mam to za prawdziwą,  
 iż przeciw Bogu nikt nie zdierży prawa!  
 Kto się z Nim spierać zechce — jako żywo!  
 iż na przepadle zgóry rzecz swą dawa,  
 na tysiąc zdolny ledwie odrzec jedno!  
 Mądry i silny On ci jest! — napawa

strachem swych wrogów, iż, zamilkłszy, bledną, —  
On, co wynosi swą potęgą góry  
i, nim spostrzegą, strąca znów w bezedno  
w zapalczywości swojej strasznej, — który  
ziemię uderza, wstrząsa jej kolumny  
i łądy z miejsca przesuwa, jak chmury,  
śle grom, gdzie zechce, puszcza wichry szumny  
i przykazuje słońcu — a nie wschodzi,  
gwiazd pod swą pieczęć rój zamyka tłumny,  
nieba rozciąga sam i po powodzi  
morskich bałwanów z burzą się przechadza,  
zasię niebieskich znaków siła rodzi:  
Wozu siedmiogwiazd na stropie osadza,  
Kosy i Baby, i Zwierzyniec słońca!  
Nieogarnione rzeczy Jego władza  
czyni a wielkie, i dziwy bez końca,  
których nie ujmiesz liczby ni przyczyny,  
choć wślad dzieł Jego wyślesz myśl za gońca!  
Jeżeli przyjdzie do mnie tej godziny:  
ja Go nie użrę, — odejdzie, a przeciw  
wiedzieć nie będę. Jeśli z chmur wyżyny  
zechce zapylać znagła, — gdzież na świecie,  
kto Mu odpowie, albo się poważy  
rzec: Przech tak czynisz? On jest Bóg! — a zmiecie  
wicher Jego gniewu, skoro się rozżarzy,  
w pył najdumniejszych władnych panów ziemi  
Aza ja jestem z równych Mu mocarzy,  
hym odpowiadać mógł Mu słowy memi?  
I chociaż słuszność po mej stronie będzie,  
to przemoc Jego język mój oniemi —  
i miast się spierać, prosić muszę Sędzię!  
Zaprawdę! jeśli mnie nawet wysłucha,  
nie wierzę, iżby słyszał me orędzie!  
bo oto zetrze mnie jak zawierucha,  
rozmnoży rany moje bez powodu,  
ni odpocznienia dopuści dla ducha,  
owszem gorzkością napelni, gdy z głodu  
jak zwierz wyc będę! Komu siła płaci:  
On najmocniejszy! kto szuka dowodu  
prawości sądu; któryż z moich braci  
śmie przeciw Stwórcy świadczyć za stworzeniem?  
Jeśli się zechcę bronić sam, głos straci  
język mój z trwogi — własnych ust milczeniem  
będę potępion! — Jeśli się okaże  
i tak, że z czystym tu stawam sumieniem,  
On mi dowiedzie, zem winien, i skarże!  
Chociaż jest prawy — nie zdołam swej duszy  
zbawić — i życie obmierznie jej wraz...  
To jest, com mówił: Jego dłoń rozkruszy  
tak niezbożniki, jak i bogobojne!  
Jeżeli trzeba Mu ludzkiej katuszy —  
niechaj zabije! lecz razy śląc hojne,  
niech się nie śmieje z niewinnego kaźni!  
Zło, ziemią władnąc, wkrąg zażęga wojnę;  
niemasz już sądu, prawa, ni bojaźni, —  
a jeśli nie On, któż jest rządcą świata?



Od zawodnika dni me zbiegły raźniej  
a nie widziały dobra! — jak skrzydlata  
gromada łodzi, co wiozą owoce,  
przeszły, jak orzeł, co za żarem wzłata...  
Gdy mówię: Zmilknę, zbiorę wszystkie moce  
i odmieniąszy lica, krzyk ten zdławię:  
dusza ma w bólu jak zwierz się szamoce!  
Pilniem strzegł czynów swych w ciągłej obawie,  
iżbym nie zgrzeszył, widząc, żeś jest mściwy;  
a jeśli w oczach Twych i tak nieprawie  
żyłem, to nacóż trud ten uciążliwy?  
Choćbym się obmył w wód najczystszych zdroju,  
iżby me dłonie lśniły jak śnieg żywy:  
przecież w plugawym unurzasz mnie gnoju,  
aż się mym szatom obrzydliwy zrobię!  
Bo nie człękowi w tym nierównym boju  
mam dostać, ani podobnemu sobie,  
któryby razem mógł być słuchan ze mną! —  
i niemasz, ktoby mógł tu strony obie  
karać jednako, lub dłoń swą rozjemną  
między nas włożyć! Ale jeno krwawą  
swą różgę wstrzymaj i tę trwozę ciemną  
zdejmij z mych oczu: niech język, obawą  
związany, głos swój odzyszcze, — a dłonie  
wzniósłszy, upomnę się o moje prawo! —  
lecz pókim w strachu, jakoż się obronię?

## IV

R. X. w. 1—22

Dusza w żywocie mym już tęskni sobie,  
więc, choć się zwróci skarga bezowocna  
przeciw mnie, — głos dam gorzkiej swej żalobie!  
I rzekę Bogu: Nim mię zgubisz docna,  
pokaż mi sąd Twój i moje przewiny!  
A-zać się dobrem widzi, że wszechmocna  
dłoń Twa, mnie gnębiąc zgoła bez przyczyny,  
— którym jest przecie Twoich rąk robota —  
wspomaga radę niecných tej godziny?  
A-za Twe oczy z cielesnego błota  
i widzieć będą tak, jak widzą człeczce?  
Są-li dni Twoje, jako dni żywota  
ludzkiego? jako czas, co wnet uciecze?  
Przecż szukasz na mnie zmayı i zakąty,  
śledząc zawistnie kroki me kalecze?  
a chociam zawdy był o prawość dbały:  
przecież nie wyrwie mnie nikt z Twych obieży!  
Ręce mnie Twoje całego zdziały:  
przecż mię roztrącasz? Wspomnij, żeś — jak w dzieży  
chleb — tak umiesił mnie z gliny, a zasię  
obrócisz w błoto. W łonieś mnie macierzy  
jak mleko doił i w wyrocznym czasie  
jak ser utworzył, skora-ś mnie i mięsem  
oblókł, nawiązał kość na ścięgien pasie —  
i miłosiernie tym żywota kęsem  
Tyś mnie obdarzył — i Twoja opieka

dech w moich płucach trzyma, odkąd rzęś-m  
wzniósł, aż dopóki nie spadnie powieka...  
Acz owo taić w sercu swoim raczysz,  
wiem, iż pamiętasz, coś zdziałał dla czekał  
gdy lepak zgrzeszy, Ty wnet uźrżysz! — a czyż  
ścierpisz, ażeby wolen był od zmazy?  
Biada mi, jeślim winien: nie przebaczysz!  
biada, jeżelim czysty! — jak te płazy,  
głowy od ziemi nie wzniosę dla wzgardy,  
bo i tak srogie ześlesz na mnie razy!  
Jak lew, potęgą niezmożoną hardy,  
złapisz mnie, dziwnie dręcząc, — w rannej porze  
wznosisz swe świadki przeciwko mnie, — twardy  
bicz Twego gniewu plecy me rozorze, —  
jak grad nawalny spadną na mnie plagi!  
Czemuś mnie wywiódł z łona matki? gorze!  
obych był niszczał, marny plód i nagi,  
by mnie niczyje nie widziało oko!  
Byłbym, jakoby nie był: krom uwagi  
z łona wprost rzucon w mogiłę głęboką...  
Wnet się ta trocha dni mych skończy przecie, —  
sfolguj więc nieco! — zlany ran posoką,  
niech choć oplaczę ból ten, co mnie gniecie,  
zanim odejdę w tę krainę lutą,  
z której nie wrócić mi już nigdy w świecie!  
w krainę ciemną, śmierci mgłą zasnutą,  
kędzy jest nędzy ostateczna ścieżka,  
krwawych łez człecznych dżdżem zroszona suto:  
w ziemię, gdzie miasto ładu — przestrach mieszka!

## V

R. XIV. w. 1—22

Człek z niewiasty zrodzon, czas niedługi  
żywiąc, nędz wielą napelniony bywa.  
Jako kwiat wschodzi i schnie, jak przez smugi  
obłoków rzucon nikły cień — przepływa  
i nie trwa dłużej, ponad chwilę jedną!  
Aż się Tobie widzi rzecz godziwa,  
abyś się wadził z istotą tak biedną,  
i sąd z nią czynił? Któż się ostać zdoła  
czystym przed Twoją źrenicą wszechwiedną  
z tych, co z nasienia nieczystego zgoła  
poczęci? Jeden Ty jesteś na niebie!...  
Krótko człek żywie pośród łez padołu,  
liczba miesięcy jego jest u Ciebie:  
Tyś mu granicę naznaczył od wieka,  
której przestąpić nie lża na tej glebie!  
Tedy maluczko odstęp od człowieka,  
niechaj odpocznie, nim on dzień zadnieje,  
którego oto jak najemnik czeka!  
Drzewo ucięte jeszcze ma nadzieję,  
że się odmieni i liść wyda młody;  
choć się korzeń jego już starzeje  
i próchno porze pień: na zapach wody —  
skrzepione — bujną latorośl wypuści,

jakby je z nowa sadzono w ogrody!  
 Lecz tak się człowiek nie odnowi: juści  
 gdy zemrze, strawion i dokonan będzie!  
 Jakoby morze wyciekło z czeluści,  
 jakoby rzeka, powstrzymana w pędzie,  
 wyschła — tak człowiek, ległszy raz, nie wróci,  
 póki trwa niebo! nad grobu krawędzie  
 głowy nie wzniesie, ani się ocuci!  
 Ktoby mi dał to, byś w otchłani raczył  
 skryć mię i schować, aż przemienie chuci  
 Twej zapalczywość? byś mi czas naznaczył,  
 gdy wspomnisz o mnie? Co mniemasz, czyż może  
 żyć znów, kto zmarłszy, o życiu zabaczył?  
 Ach! przez dni wszystkie czekam tu w pokorze,  
 póki się z nieszczęść mych potykam mrowiem,  
 abyś odmienił moją twarz, o Boże!  
 byś mnie zawołał, który Ci odpowiem,  
 i dziełu rąk Twych podał znów prawicę!  
 Jeślim jest grzeszny przed Tobą — Tyś bowiem  
 zliczył me kroki i przejrzał na nice! —  
 odpuść! — Zamknąłeś me grzechy, jak w worze,  
 i w snop występkiś związał... Krzesanice  
 potężnych turni w piarg się kruszą, — gorze!  
 skała swe miejsce zmienia i upada,  
 ład splywa, zmyty do znaku przez morze,  
 głaz co najtwardszy czasem się rozkłada —  
 i tak wytracasz w człeku ostatecznie  
 wszelką nadzieję!... Biada, biada, biada!  
 maluczkość człeka utwierdził, by wiecznie  
 minął: wnet strącasz go — naczynie z gliny!  
 I czyli we czci chodząc, żyć bezpiecznie  
 będą, czy w hańbie ginąć jego syny:  
 on już nie pojmie! — a wszak jego ciało,  
 póki żyw, cierpi, i dusza — krom winy —  
 boleje, póki jeno tchu jej stało!

## VI

R. XXIII. w. 1—17

A zaś rzekł Ijob: Ból mię dławi srodze  
 i już na tyła sam nie władnę sobą,  
 by narzekaniom swym powściągnąć wodze!  
 Obych to kędy mógł się spotkać z Tobą  
 i na stolicy Twojej dopaść Ciebie,  
 by na sąd stanąć z gorzką mą żalobą!  
 Głosu swej krzywdy w sercu nie zagrzebię;  
 owszem! chcę słyszeć i zrozumieć słowa,  
 które odrzeczce mi Sędzia na niebie!  
 Niech się przede mną w wielkość swą nie chowa,  
 ani straszliwą swą mocą nie tłoczy:  
 po prawdzie niechaj będzie Jego mowa,  
 a gdy się sprawa moja tak wytoczy —  
 snadnie zwyciężę! — Ale cóż uczynię!  
 Pójdę-li na wschód — nie uźrzą Go oczy!  
 pójdę na zachód — w obłokach mi zginie!  
 jeżeli w lewo — próżno! gdy na prawo —

nie bliższy Jego będę, jako ninie!  
On lepak dobrze wie mą drogę krwawą  
i tak doświadczył mnie, jak złoto w żarze, —  
wie, iżem ścieżki Jego strzegł z obawą  
i dziś się jeszcze zboczyć z niej nie ważę,  
śladem stóp Jego ostre depcąc piargi!  
A choć mi tego nikt nie wykaże,  
bych ważył lekce słowa Jego wargi,  
lub był w pełni przykazań nieścisty  
(boć On jest jeden! i próżno z Nim w targi  
wchodzić: niezmiennie są Jego zamysły,  
a czego dusza Jego chce — to czyni!):  
spełnił nade mną swą wolę! — i przysły  
dni mego szczęścia! — A wszak-ci On w skrzyni  
ma wpogotowiu plag takowych wiele!  
Więc strwożon jestem, jak człek na pustyni,  
i bojaźń przed Nim mieszka w mojem cielem:  
Bóg zdeptał serce me, zgniółł mię Wszechmocny, —  
ginę dla mroku, co wokół się ściemnia,  
i cień już zewsząd ogarnia mnie nocny...

## VII

R. XXIX. w. 1—25

I Ijob, podjąwszy jeszcze swoją gadkę,  
przydał też, mówiąc: Kto mi dać to może?  
kto ku minionym dniom mi rzuci kładkę,  
abych się wrócił i był, jak w tej porze,  
gdy mię Wszechmocny strzegł, nie godząc we mnie,  
owszem, gdy światło mi świeciło Boże  
i rozprasało przed krokiem mym ciemnie:  
jakom był za dni mej młodości, gdy to  
w namiotach moich mieszkał Bóg tajemnie,  
a jam z Nim gadał, otoczony swiłą  
dziatek mych słodkich; kiedy moje stopy  
w maśle brodziły i kamień mi liła  
oliwę sączył... Gdym w miejskie okopy  
wchodził, na rynku ławę mi stawiano  
pośrodku mężów, — zaś co młodsze chłopcy  
ze czcią się kryły, a starców kolano,  
drżąc, prostowało się przed mym widokiem, —  
wielmożni milkli i wargę rumianą  
cisnęli palcem, — radni, stojąc bokiem,  
głos hamowali, zabywszy języka!  
Szczęsnym mnie mienił, kto mię uźrzał okiem,  
a czyje ucho jeno głos przenika,  
sławił mię, iżem był zbawcą chudzinie,  
na płacz niegłuchy, i za pomocnika  
stawał sierocie, co bez pieczy ginie.  
Błogosławieństwo tych, co zmarnieć mieli,  
spływało na mnie, i znać jeszcze ninie  
przeze mnie serce wdowy się weseli!...  
Sprawiedliwością odzian, jak oponą,  
chodziłem w szat mych nieskażonej bieli,  
a prawy sąd mój był mi jak koroną!  
Ślepemu-m okiem był, chromemu nogą,

nędzarczom — ojcem. Jeśli mi mówiono,  
 czegoś nie wiedział: pilniem prostą drogą  
 zdążał ku prawdzie. Przewrotnika szczęki  
 kruszyłem, korzyść wydzierając mnoga  
 ze zębów jego. Mówiłem: przedzięk  
 w gnieździe swem umrę, lat żywota syty,  
 jak palma! Woda krzepi siew mej ręki,  
 żniwo me syci rosy spad obfity!  
 Łuk w mojej dłoni poprawiać się będzie,  
 wielmożność moja w nowe iść rozkwity!...  
 Którzy czekali na moje orędzie  
 lub wyrok — milcząc słuchali mej rady,  
 nie śmiejąc przydać do mych słów, co w pędzie  
 spływały na nich, jakby wodospady.  
 Jak dżdżu mię łakli! usta otwarzali,  
 jako na rosę, co mży w wieczór blade...  
 Chciam się ośmiać — nie byli zbyt śmiali:  
 blask mojej twarzy w oczach im nie śniedział.  
 Jeslim szedł do nich — cześć mi oddawali:  
 siadałem pierwszy, — a chciam tak siedział  
 jak król w pośrodku stojących w okrutnym  
 strachu, znających między nami przedział:  
 pocieszycielem byłem wszystkim smutnym!

## IX

R. XXXI. w. 1—40

Układ zrobiłem był z oczami memi,  
 iż nie popatrzą nawet na dziewicę;  
 a cóż w nagrodę Bóg mi dał na ziemi?  
 Jakim się dziełem zwysoka poszczycę?  
 Aza nie słuszniej ona dola sroga  
 winna paść mrokiem na zbrodniarza lice,  
 alibo, który zapiera się Boga?  
 Czyż on nie widzi moich dróg? nie liczy  
 kroków mych wszystkich? Jeśli moja noga,  
 marnoście goniąc, szła na szlak zwodniczy,  
 albo kwapiła się kiedy ku zdradzie  
 i dóbr bliźniego nieprawej zdobyczy,  
 na sprawiedliwej niech mnie wadze kładzie  
 On — a wnet pozna, czym poczynał krzywo!  
 Jeslim z dróg Pańskich zszedł i z prawem w zwadzie  
 za okiem żądzę serca słał łapczywą,  
 jeśli do ręku mych przyłgnęła zmaza:  
 niech z siewu mego inszy zbiera żniwo,  
 ród mój niech docna wybije zaraza!  
 Jeśli niewiasta przeze mnie zwiedziona,  
 jeslim u druha drzwi stał z myślą płaza:  
 niech cudzą dziewczką będzie moja żona,  
 niech jej wstyd nagi obcym ludziom służy!  
 (Grzech to największy, rdza niewywabiona,  
 ogień pożerczy i zgubny, co burzy  
 pokój i człeka strawia, gdy rozplonie...)  
 Azam się wzbraniał, gdy ze sług mych którzy  
 chcieli się sądzić ze mną? (Gdzież się schronię,  
 kiedy Bóg wstanie na sąd? co odpowiem,

gdy pocznie pytać? On w matczynem łonie  
działał nas obu — zarówno, i zdrowiem  
opatrzył obu!) Azalim ubogie  
z niczem odpędział? lub nieszczęściem wdowiem  
gardząc, okazał kiedy srogie serce?  
czyli sam jadał, a nie jadł sierota  
współ z mej misy?... (Miłosierdzie drogie  
było mi zawdy i z matki żywota  
wyniosłem litość!) — Jeżeli wzgardziły  
oczy me nędznym, iż ginie u płota,  
jeśli mi owszem nie błogostawily  
boki nagiego, że je grzało snadnie  
runo mych owiec, jeśli użyl siły  
przeciw słabszemu: niechaj mi odpadnie  
ramię od stawu i niechaj zgruchoce  
kość mej prawicy Pan, co w górze władnie!  
(Zawdy mnie Boskie przerażały moce,  
jak wały wzdęte!) Jeśli rzekłem złotu:  
tyś siła moja! — lub srebrnej opoce:  
tyś me ufanie! — pyszny, żem bez potu  
nalazł tak wiele, w dostatków użyciu  
zbyt zakochany, — jeśli, gdy z namiotu  
nieb wyszło słońce, własną dłoń w ukryciu  
na znak czci usty całował grzesznemi  
(co grzech jest wielki, zgoła nie ku zmyciu,  
zaparcie przeciw Bogu nieb i ziemi!),  
jeśli się cieszył, gdy człek upadł słaby,  
lub kiedy wróg mój uskarżał się: źle mi! —  
(ust nie wydałem ku grzeszeniu, aby,  
klnąc snadź, nie zwiody na mnie klątwy nieba),  
jeśli wzdychały kiedy moje raby:  
obyśmy mogli nie jeść jego chleba! —  
jeżeli owszem nie stała otworem  
przechodniom moja przydrożna koleba;  
jeśli nieprawość skrywał cnót pozorem,  
chowając w sercu złość, jak wyrzut trądu,  
jeśli z głupiego nie walczył uporem,  
albo, strachając się pospółstwa sądu,  
nie chciałem pełnić swojej powinności —  
(o! gdzież mój słuchacz? wśród jakiego ładu  
znajdę, kto słowa me na wysokości  
powtórzy Panu? kto wypisze księgi  
o mojej nędzy, abym je w żalości  
czytał i, na skroń włożywszy ich wstęgi,  
stanął przed Panem, bólem uwieńczony,  
by poznał żertwę swojej wszechpotęgi!) —  
jeśli wołają przeciw mnie zagony,  
i płaczą moje ugory a ściernie,  
iżem nieprawie pożywał z nich plony  
a trapił duszę oraczów nadmiernie,  
miasto pszenicy niech rola jałowa  
oset mi rodzi, miast jęczmienia — ciernie!...  
Tutaj się kończą Ijobowe słowa.

## X

R. XXXVIII. w. 1—38

Odpowiadając Ijobowi z tuczy,  
 Pan rzekł: Kto wikła nieroztropną mową  
 Moje wyroki? Niech ten, co Mię uczy,  
 jako mam czynić, jak mąż wstanie: owo  
 pytać go będę — niech mi odpowiada!  
 Gdzieś był, gdym ziemię utwierdzał, posową  
 niebios nakrywszy? — mów, gdyć łacna rada!  
 Wiesz-li, kto miarę jej stanowił? sznury  
 nad nią rozciągał? w czym tkwi jej posada?  
 i kto węgielny głaz kładł pod jej góry —  
 kiedy chwaliły Mnie gwiazdy zaranne  
 i Bożych synów śpiewały Mi chóry?...  
 Kto morze zamknął wrotami otchłanne,  
 gdy się zrywało, jakoby z żywota  
 wychodząc? Jako w płaszcz Jam w nieustanne  
 mgły je przyodziął — i jak macierz mota  
 dziecię w pieluchy, spowilem je mrokiem;  
 tamę-m mu stawiał i założył wrota,  
 i rzekł: aż póty pójdiesz! — ani krokiem  
 dalej, i tutaj rozbijesz nadęte  
 wały swe!... Aza — żyw już — swym wyrokiem  
 tyś świt rozniecił i drogi wytknięte  
 ukazał zorzy? Tyś ujął kończyny  
 ziemie i wstrząsnął, by strącić przekłętę?  
 (Owo są dla Mnie, jako pieczęć z gliny,  
 jak szata, którą się zrzuca dla plamy!  
 Ścięć oczy grzeszne, ramię pełne winy  
 zgruchocę!) — Wszedłżeś w morza toni? w wód jamy?  
 po dnie przepaści i zali wiesz drogę?  
 Czyż otworzone były śmierci bramy?  
 w progu ciemności azaś stawał nogę?  
 Znasz-li szerokość ziemi? Powiedz śmieie,  
 jeśli wiesz wszystko! Skąd światła pożogę  
 wywiodłem? kędy mrok się wieczny ściele?  
 znasz ich granice? wiesz, którądy chodzić  
 do ich siedziby przez nieba topiele?  
 Aza wiedziałeś, że się masz narodzić  
 w on czas? dni twoich liczbę znasz? Czy może  
 wszedłeś do skarbcza gradu? będziesz brodzić  
 w zapasach śniegu, który w wieków porze  
 Jam nagotował na dzień Mego gniewu,  
 na bój, gdy wrogi zetnę i ukorzę?  
 Którędy światło wchodzi? gdzie powiewu  
 wichrów początek? kto dał nawałnicy  
 bieg i z czyjego powstał deszcz zasiewu?  
 Posłucha grzmiący grom twojej prawicy?  
 — by szła ulewa na skalne pustynie,  
 gdzie się strusiowie jeno gnieźdzą dzicy,  
 by dała wilgoć piaskowi i glinie  
 i trawę z ziemi wywiodła zieloną?  
 Kto jest dżdżu ojcem? kto zrodził w godzinie  
 rannej niebieską rosę? czyje łono  
 wydało lody? kto szron spłodził siwy?

Ściął w kamień wody, kiedy mrozy wioną,  
 i wierzch przepaści zamościł? Na niwy  
 niebios rozsiane gwiazdy zbierzesz razem?  
 abo rozwiedziesz Wozu krąg łyskliwy?  
 Za twoim wstanie jutrznia z mórż rozkazem?  
 ty rydwan słońca powiedziesz przez stropy?  
 twój palec będzie niebu drogowskazem?  
 Czy da ci obłok grzmot swój? lub potopy  
 wód cię okryją? czy rozpuścisz węże  
 swej błyskawicy, która pod twe stopy,  
 obiegłszy ziemię, wróci i uleże,  
 mówiąc: Owom ja! — ? Kto w zdarzeń pomroce  
 mądrość swą zawarł? czyja myśl jej sięże?...  
 Kto przeciw chmurom postawi swe moce,  
 kto zamknąć zdoła ich rozwarte żyły,  
 kiedy wichrowe skrzydło załopoce,  
 i z pyłu ziemi sklepiąją się bryły?

## XII

R. XXXIX, w. 33—35. R. XL. w. 1—9

Panu zaś odparł Ijob: — Gorze! Gorze!  
 leksem się z Tobą porwał walczyć słowy, —  
 cóż Ci odpowiem? Na ustach położę  
 dłoń, abych milczał. Jednom rzekł — i mowy  
 mojej nie cofnę, — nadto nie poruczy  
 serce nic ustom, ni spór wznieczę nowy...  
 A Pan zaś odrzekł Iobowi z tuczy:  
 — Jak mąż niech wstanie, kto wszczął ze Mną boje:  
 będę go pytał — a niech mnie pouczy!  
 Zali obrócisz w niwecz sądy Moje  
 i mnie potępisz, abyś ty z swym losem  
 wydał się czystym? Aza ramię twoje  
 jest jak prawica Roga? albo głosem  
 zagrzmisz podobnym? Oblecż-że się chwałą,  
 wynieś się wzgórze i zniszcz władnym ciosem  
 potężnej dłoni tych, co są zakała  
 ziemi; gniew na nich wylej zapalczywy,  
 aby przed tobą harde serce drżało!  
 Weźrzy na pyszne i jako Bóg żywy  
 poniż; stań pośród grzeszników czeredy  
 i w proch je zetrzyj, ogniem zniszcz ich niwy —  
 niezbożne wyzuj z ich ojczystej schedy, —  
 spraw, niech im w oczach tarcza słońca jasna  
 ściami się na węgiel: a Ja-ć przyznam wtedy,  
 iż cię prawica może zbawić własna! —

*Tłum. Jerzy Żuławski.*

## KSIĘGA KOHELET

R. 1

Marność jest kłatwą ziemi syna,  
 A działem jego — nieświadomość,  
 A losem jego dział — znikomość,  
 A imię jego — proch i glina!  
 Próżno się kusi wlecieć duchem  
 Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota;

Próżno się zrywa i szamota,  
 Skowan glinianych pęt łańcuchem!  
 Dnie jego są jak dnie najemcy,  
 A jak sęp głodny jego serce,  
 I w wiecznej z sobą on rozterce,  
 I niemasz — niemasz dlań rozjemcy!



I cóż ma z trudu swego człowiek,  
I z prac tych, które wszczął pod słońcem?  
Znikomość jego dzieł jest gońcem,  
A żywot jego mgnieniem powiek!  
Rozkosz i ból, co pierś nam wzdyma,  
Mijają tak, jak szybkie łodzie:  
Chwil kilka drży ich ślad na wodzie —  
Uciekły już — i już ich niema!

Wirują światy w rączym pędzie  
Swym wiecznym torem bez wytchnienia —  
Tak było w pierwszym dniu stworzenia,  
Tak jest i dziś — tak zawsze będzie!  
Do morza wodę znoszą rzeki,  
To zaś je znowu chmurom zwraca —  
Od wieków trwa ta próżna praca  
I będzie trwać po wszystkie wieki!  
Do pomogilnych dążąc czasów,  
Kroczy wciąż ludzkość bez przestanku —  
Tak było w pierwszych dni poranku,  
Tak będzie aż do końca czasów!

Plon zgonów chłonie żywot lasy  
I w powrót śmierci plon oddawa —  
Tak chcą przyrody twarde prawa  
Po wszystkie wieki — wszystkie czasy.  
To, co istnienia zwiem imieniem,  
Co zwiem poczęciem i konaniem,  
Jest tylko prochów wirowaniem  
I męką ciał, i utrapieniem.

Szalony więc ten, komu zda się,  
Że coś buduje lub wywraca;  
Daremne trudy! próżna praca!  
Wszystko już było kiedyś w czasie!  
Znikomość jest dzieł ludzkich gońcem;  
Co jest — to było już od wieka,  
Co było — nowych wcieleń czeka;  
Nowego niemasz nic pod słońcem!  
Mijają ludzkie pokolenia,  
Jak fale, gdy wiatr morzem zmęci —  
I niemasz godów ich pamięci,  
I niemasz bólów ich wspomnienia!

*Tłum. Włodzimierz Zagórski.*

### R. III. w. 1—18

Wszystkiemu czas jest pod słońcem i pora,  
wszystko na świecie krąży bezustanku  
i wszystko mija! Jest-ci czas poranku,  
i czas południa jest, i czas wieczora.  
Jest czas początku i czas końca rzeczy,  
jest czas zasiewu — i jest czas zbierania,  
czas śmiechu, płasów jest — i czas płakania:  
a cóż ma nad to z prac swych syn człowieczy?  
Wszystko ma drogi niewzruszone, wieczne,  
a człek nie zdoła zmienić ich porządku:  
to jest i będzie, co było z początku —  
a co Bóg zechce, wszystko jest konieczne!  
A wszystko dobrem wyszło z ręki Bożej,  
lecz niedostępne dla tej ziemi syna  
ścieżki poznania, bo on proch i glina,  
i źle mu było, i jest mu wciąż gorzej.  
Darmoby myślał wzlecieć chciał do nieba  
i darmo poznać odwieczne wyroki:  
dziedzictwem jego znikomość i mroki,  
i zawsze boleć mu i tęsknić trzeba.  
Niechaj się zatem nie zrywa do lotu,  
niech nic nie szuka, bo nic nie odkryje,  
niech się weseli jedno, je a pije,  
bo-ć to jest jego, kromia łez i potu! — —  
Gdym podniósł oczy, obaczyłem wszędzie  
na miejscu sądu niezbożność i zdradę,  
w miejscu prawości — podłość i szkaradę;  
wszelakoż wszystkim rzeczom koniec będzie.  
Dla wszystkich przyjdzie czas sądu i śmierci,  
człek sprawiedliwy, jako i niezbożny  
pomrą zarówno w dzień on wszystkim trwożny,

i czerw ich kości spróchniałe przewierci.  
 A Bóg dopuścił marność na tę ziemię  
 i zdeptał synów Adamowych pychę,  
 aby poznali, jak ich życie liche  
 i że bydłom równe ludzkie plemię!

*Tłum. Jerzy Żuławski.*

## TRENY JEREMJASZOWE

### I

1. Ach! jak wśród ludów twarz swą w dłoni chowa  
 Pani narodów, dziś zmartwiała wdowa!  
 Księżna ziem wielu, dzisiaj holdownica!
2. Płakała w nocy, aż lzy przez jej lica  
 Bródy porznęły, i nikt jej nie cieszy.  
 Bowiem z przyjaciół licznej niegdyś rzeszy  
 Wzgarda jej doli poczyniła wrogi.
3. Przeniósł się Juda, cierpiąc ucisk srogi  
 W niewoli twardej. Alić, z miejsca zmianą,  
 Odpoczynienia znaleźć mu nie dano.  
 Gnali go zewsząd i pojмали w pęta!
4. Syjonu droga chwastem zarosnięta,  
 I każda brama jego wyłamana,  
 Bo niema, kto by szedł weń chwalić Pana.  
 Kapłani jego wzdychający, panny  
 Znędzniałe. Wszyscy cierpią nieustanny  
 Ucisk gorzkości. Stopę mu na głowie
5. Przeciwnik trzyma. Jego zaś wrogowie  
 Pobogaciele, bo go moc straszliwa  
 Spraw grzesznych przed sąd Pański zapożywa.  
 I idzie jego dziatwa niewolnicza  
 W plen, przed zawzięte ludzi złych oblicza.
6. I jest ozdoba wszystka precz odjęta  
 Syońskiej córce, a zaś jej książęta  
 Są jak barany, pozbawione paszy,  
 I uciekają, gdy goniący straszy,  
 Swą bezmoc gorzkim oplakując żalem.
7. Wspomniało ciężkie dni swe Jeruzalem,  
 I swe odstępstwo od umiłowania  
 Tego, ku czemu lud się czołem skłania,  
 Gdy w lud ten klęski z ręki wroga grzmocą,  
 A nikt mu nie szedł z radą ni z pomocą.  
 Więc przeciwnicy drwiący, tem zuchwalej  
 Z wiary się jego świętej naśmiewali.
8. Ciężko zgrzeszyła Jeruzalem! Przeto  
 Niestatek jest jej ciąglą w złem podniętą.  
 Czciiciel ją dawny każdy wzgardą zhywa,  
 Gdyż widzi, jak jest marna i zelżywa.  
 Sama też, w siebie patrząc, ciężko wzdycha,
9. Plami jej nogi jej plugawość licha.  
 A iż na własny koniec nie pomniała,  
 Pocięchy nie zna trwożna i zboląta.  
 Ach, Panie! Obacz utrapienie moje!  
 Gdyż wróg się podniósł w twarą odzian zbroję!

10. Jej nieprzyjaciel ściągnął niezblaganie  
Dłoń swą po każde duszy jej kochanie.  
Bowiem polanice weszli w jej zburzoną  
Świątynię, choć im było zabroniono  
Bezbożną stopą wkraczać do kościoła.
11. Lud wszystkim wzdycha i o jądło woła,  
I wydał wszystkie swe kosztowne rzeczy  
Za chleb ten, którym duch się z grzechów leczy.  
Ach, Panie! Jam jest jako niewolnica,  
Którą się każdy, jako chce, nasycal
12. Kto bądź jakimi bądź gdzie idziesz drogi,  
Patrz, czy co zrówna mej boleści srogiej?  
Pan, jak z winnicy, zebrał ze mnie grona,  
Właśnie jak była Jego wygłoszona  
Mowa, gdy powstał w zapalczywym gniewiel
13. Zwysoka w kości moje kładł zarzewie,  
Schłostał mię biczem, nogi moje wrażą  
Sieczą oplątał, wstecz mię zwrócił twarzą,  
Położył w prochu, i, tak spustoszała,  
W żalości będę wszystkie dnie spędzała.
14. Mych złości jarzmo drgnęło w Pańskiej ręce,  
Więc mi na szyi brzemię to bydlęce  
Zamknął, i podał w poganiacza dłonie,  
Od których nikt mi nie jest ku obronie.
15. Podebrał wszystkie z pośród mnie wielmoże,  
Czas przyzwał w pomoc, iżby w krótkiej porze  
Swej dojrzałości mogli dojsć, i zasie  
Jął deptać po nich, jak w winnicznej prasie.
16. Przetoż ja, płacząc, sączę z oczu zdroje,  
Gdyż mnie odbiegło pocieszenie moje,  
A z niem i syny moje potracone,  
Którym ostatnią odjął wróg obronę.
17. Matka miast ręce składa i rozkłada.  
Znikąd pociechy — owszem, zewsząd biada!  
Pan wzbudził na nią nieprzyjaciół mrowie.  
Pan też dopuścił, iż więc jej wrogowie  
Głoszą: iż stan jej równie jest wstydlivy,  
Jak gdy niewiasta krwawe ma odpływy.
18. Ach! sprawiedliwy Pan! Bom Jego czoło  
Gniewem zmarszczyła! — Stańcie tu wokóło,  
Narody wszystkie! gdyż wam widzieć życzę:  
Jakie są grzesznej duszy mej goryczel  
Panny, młodzieńce, rozkosz moja cała,  
Wszystko to poszło w pęta! Jam wołała
19. Druhów, lecz wszyscy wrogom są oddani:  
Zginęli starce moje i kapłani,  
Szukając jądla, któremby swe dusze  
Posilić mogli! Ach! w mej ciężkiej skrusze
20. Spójrz na mnie, Panie, jakom uciśniona!  
Ból wzburzył całe wnętrze mego łona.  
Serce się we mnie przewróciło. Bowiem  
Jest w niem gorzkości więcej, niż wypowiem.  
Bije w nas pomsta naszej krwi łakoma  
Z zewnątrz, a takaż śmierć panuje doma!
21. Wrogowie moi, kiedy posłyszeli,  
Że nikt mi znikąd pociech nie udzieli,

- Wesele z tego mają. Boś Ty, Paniel  
 Dla nich tak ciężkie na mnie dał skaranie! —  
 Lecz kiedyś sprawisz łaski Twej odmianą,  
 Że się i oni mnie podobni staną.
22. Oby przed Ciebie złości ich przewaga  
 Poszła, i obyś równie ich do naga  
 Rozebrał, jak mnie, dla mych nieprawości.  
 A oto teraz w sercu mojem gości  
 Skrucha, i mnogie moje są wzdychania,  
 I serce moje same smutki wchłania.

*Tłum. Felicjan.*

## C. MOWY PROROKÓW

### PROROCTWO IZAJASZOWE

#### Rozdział LIII

1. Kto zaś uwierzy, iż mój duch nie kłamie?  
 Kto tak oglądał, jak ja, Pańskie ramię?
2. Oto, kielkuje przed Nim, jak Pan życzy.  
 A jak korzonek, w ziemi swej dziewiczej,  
 Nie ma On ani krasy, ni piękności.  
 A choć widzimy, gdy On wśród nas gości,  
 Iż okiem ziemskim niema patrzeć na co,  
 To niemniej wszyscy z Niego się bogacą.
3. I ani chwili dola Go nie pieści.  
 I najpodlejszy jest z tych, co w boleści  
 I wzdardzie trwają od wczesnego rana.  
 I niemoc żadna nie jest mu nieznaną.  
 I w Swej pokorze twarz ma wdół spuszczoną,  
 Jak taki oto, którym pogardzono,  
 Za nic go mając. Nasze on prawdziwie
4. Choroby nosił, i, kto tylko żywie,  
 Bóle Mu swoje dał do odniesienia.  
 I On się niby w oczach naszych zmienia  
 W trędowatego, który ze wszej strony  
 Od Pana bity jest i uniżony.
5. Ma z nieprawości naszych krwawe rany,  
 A zaś naszemi złościami jest smagany.  
 Przezeń się z Bogiem pojednanie stało,  
 A naszym zdrowiem sine Jego Ciało.
6. Wszyscyśmy błędni, niby stado owiec.  
 Każdy w swą drogę zboczył na manowiec,  
 A Pan, od zguby chcąc wybawić ziemię,  
 Włożył nań całe grzechów naszych brzemię.
7. Ofiarowany jest z Swej własnej woli,  
 I nie otworzył ust swych, gdy go boli.  
 Pod nóż, jak owca, na śmierć jest wiedziony.  
 A jak baranek cichy bez obrony,  
 Gdy go strzygący u swych nóg powali,  
 Ani się szarpie, ani choćby żali.
8. W ucisku sędzić będą go sędziowie,  
 A pochodzenie Jego któż wypowie!  
 I jest wycięty z ziemi, jak lodyga,

- Za owe grzechy ludzkie, które dźwiga  
 Ubity sprośnie. Wszakże niezbożniki
9. Zapłacą pogrzeb Jego! lud zaś dziki,  
 Co go potępił, Jego śmierć zapłacił  
 Gdyż ani grzechem żadnym zgorszył braci,  
 Ni w Jego uściech zradne słowa były.
10. A Pan mu na to ziemskie odjął siły,  
 Aby, gdy duszę Swą za grzech położy,  
 Na wieki wieków plon miał siew ów Boży.  
 I Jego ręką siana Pańska rola  
 Okryje kłosem urodzajne pola.
11. A, iż pracował duszą swą chętniawą,  
 Ujrzy posiewu Swego plon i żniwo.  
 Umiejętnością swą nieprzyjaciele  
 Zachwieje w sądach, a też będzie wiele  
 Takich, u których On niewinnym zwie się.  
 A nieprawości wszystkich On poniesie.
12. Przetoż Mu zjednam duchy nawet wraże.  
 I będzie u mnie Panem nad mocarze.  
 Gdyż na śmierć wydał duszę umęczoną,  
 I z czyniącemi złość Go policzono,  
 A, za nieswoje grzechy cierpiąc znoje,  
 Modlił się nawet za sprawce Swoje. —

*Tłum. Felicyan.*

#### SĄD BOŻY PRZECIWKO BABILONOWI

Opowiadajcie między narodami, a rozgłaszajcie, podnieście chorągiew, rozgłaszajcie, nie tajcie, mówcie: Wzięty będzie Babilon, pohańbiony będzie Bel... i t. d.  
*Jeremjasz, roz. L. w. 2.*

Rozgłaszajcie, nie tajcie nikomu!  
 Wgórę wznóście sztandar rozpostarty!  
 Na Babilon dzień przyjdzie pogromu!  
 Padnie, runie, na proch będzie starty!

Od północy przyciągną narody,  
 Jak wezbrane zaleją go rzeki,  
 I opuszczą go ludzie i trzody,  
 I pustynią zostanie na wieki.

Idą ludzie z obliczem wesołym,  
 Bo do swojej ojczyzny wracają,  
 Nuca pieśni, trzymają się społem,  
 A o drogę do Syjon pytają.

O! mój naród był jak trzoda owiec,  
 Którą źli rozproszyli pasterze;  
 Na gór błędny zagnali manowiec,  
 Na łup dzikie dostało je zwierze.

A dziś zato, o! mój Izraelu,  
 Kiedy ludy z niewoli wychodzą,  
 Ty najpierwszy wychodzisz z Babelu,  
 Jak kozłowie, co trzodzie przewodzą.

A Pan naród przywiedzie z północy,  
 Który miasta zdobywa, zatracą,  
 Który w boju straszliwej jest mocy —  
 Żadna strzała mu próżno nie wraca!

W proch się przepych Babelu rozwieje,  
 Sterczeń będzie swych gmachów gruzami!  
 Przechodzący się nad nim zdumieje,  
 I nad jego zaśmieje plagami.

Przeciw niemu szykujecie się zbrojnie!  
 Bo straszliwie przed Panem przewinił!  
 I zapłatę oddajcie mu hojną,  
 Czyńcie jemu, jak innym on czynił.

Przeciw niemu Pan skarbiec otworzył,  
 Dobył wszystkie naczynia swych gniewów;  
 Przeciw niemu wróg obóz rozłożył,  
 Już nie będzie w nim żniwa, ni siewów.

Lecz wojenny się okrzyk rozlegnie,  
 Jako rzeka, co szumi i rwie się;  
 Z pola walki kto z życiem ubiegnie,  
 Wieść o kłesce na Syjon zaniesie.

Bo Pan mówi i ziści, co powie:  
«Gwałt czynili synom Izraela,  
Krzywdę judzcy cierpieli synowie,  
Ale we Mnie mieć będą mściciela!»

Pan ze skały postrąca ich grody,  
Nad miastami rozwiesi pożary!  
Grad na pola i susza na wody!  
I na ziemię Chaldejską miecz kary!

Miecz na króla i jego mocarzel!  
Miecz na wodze, hetmany, książęta!  
Miecz na mędrce, na kłamce, wieszczbiarzel!  
Miecz na starce i na niemowlęta!

Miecz na cały ten lud, co szaleje  
Przy bałwanach w pijanem weselu!  
Bo Pan mówi: «Mój miecz na Chaldeję!  
A tym mieczem toś ty, Izraelu!

Tys jest moim orężem gromiącym!  
Młotem gniewu mojego i grozy,  
Młotem ciężkim, straszliwym, kruszącym,  
Skruszę przez cię ich jezdnych i wozy,

Skruszę przez cię ich ludzie i konie!  
Nie przepuszczę niewieście brzemiennej!  
Skruszę przez cię ich twierdze i bronie!  
O mój ludu! mój młocie wojenny!

Skruszę wszystko, od pługa do tronu!  
Aż Babilon ze szczętem zaginie, —  
Jako czynił on synom Syjonu,  
Tak, Pan mówi, ja jemu uczynię!»

*Tłum. Adam Pajgert.*

#### WIDZENIE O KOŚCIACH

Była nade inną ręką Pańską, i wywiódł  
mię Pan w duchu i postawił mię śród  
pola, które było pełne kości.  
*Ezechjel, Roz. XXXVII w. 1.*

Pan mię swą ręką dotknął z wysokości,  
I w duchu pole ujrzałem,  
Gdzie rozproszone bieleły się kości,  
Niekryte skórą, ni ciałem.  
Gęste ich stosy sterczały po polu,  
A jam był smutny i złamany z bólu.

A Pan rzekł do mnie: «O! synu człowieczy!  
Ażaz ożyją te kości?»  
A ja: «Ty sam wiesz, Panie, przyszłe rzeczy,  
Człowiek nieświadom przyszłości».  
A Pan mi na to: «W smutku się uspokój!  
Żywot i ducha tym kościom prorokuj».

«W mojem imieniu każ, niech się odzieje  
W żyły i ciało kość sucha,  
Ty im zapowiedz, że Pan na nich zwieje  
Z niebiosów swojego ducha,  
A ujrzysz, jako ożyją i wstaną».  
Więc uczynilem, jako mi kazano.

A kiedym oto zaczął przepowiadać,  
Szum wielki stał się nad błonią,  
Kość się do kości zaczęła przykładać,  
I wnet się ciałem ostoniła.

Pan rzekł: «Niech ducha dla nich głos twój  
wzywa,  
Aż z tych pobitych rzesza wstanie żywa».

Więc ponad ciał tych sterczącemi kupy  
Proroczy głos mój wyteżę  
I wołam: «Duchu! spłyń na one trupy!  
Niech wstaną pobici męże  
I świadczą Panu!» A za tym nakazem  
Ogromne wojsko podniosło się razem.

A Pan rzekł do mnie: «O synu człowieczy!  
Te kości to naród judzki!  
Mówili oto: Troska nas niweczy,  
Giniemy od złości ludzkiej,  
Wyschły nam kości w bezprzerwnych  
żałobach,  
Oto jesteśmy, jak umarli w grobach!

A ty im powiedz: W Panu wam otucha!  
Pan wasze groby otworzy,  
Pan wam zwysoka swego ześle ducha,  
Poznacie, żeście lud Boży!  
Pomstę Pan da wam na nieprzyjacielu, —  
We własnej ziemi spoczniesz, Izraelu!»

*Tłum. Adam Pajgert.*

*Wybór tekstów i układ J. Szerudy.*

## LITERATURA POBIBLIJNA. APOKRYFY

### Z KSIĘGI HENOCHA

#### SPRAWIEDLIWI I GRZESZNICY PO ŚMIERCI

Nie miejcie obawy, dusze sprawiedliwych, oczekujcie w sprawiedliwości dnia śmierci. Nie smućcie się, że dusza wasza z wielkim strapieniem, z żalem, westchnieniem i smutkiem schodzi do Krainy Umarłych. A ciało wasze za życia nie znalazło nagrody, na którą zasłużyła wasza dobroć. Przeciwnie, w dzień waszej śmierci, również w dzień przekleństwa, w dzień Sądu Ostatecznego, ciało wasze dozna tego samego losu, co ciało grzeszników. A gdy umrzecie, grzesznicy powiedzą o was: «Tak samo, jak my umieramy, umarli sprawiedliwi. Jaki pożytek mieli ze swych czynów? Patrzcie, jak my, umarli w bólu i mroku. Jaka przewagę mają nad nami? Od tej chwili jesteśmy równi. Cóż oni z tego świata zabiorą, na co będą spoglądać na wieki? Patrzcie, oni również umarli i od tej chwili już nigdy aż do końca wieków nie ujrzą światła».

Powiadam wam, grzesznicy: Wam wystarcza jeść, pić i obnażać ludzi, grabić i grzeszyć, nabywać mienie i cieszyć się dobrym żywotem...

A teraz przysięgam wam, sprawiedliwi, na wielką wspaniałość i cześć Boga, na sławne Królestwo Boże, na Jego potęgę, przysięgam wam: znam tę tajemnicę, czytałem ją na tablicach niebieskich, widziałem Księgę Świętych, widziałem, co tam jest napisane i wyryte o nich, że dla nich przygotowane jest wszystko dobre, wszelka radość i cześć. Nakreślone jest dla dusz tych ludzi, którzy umarli w sprawiedliwości. Trudy ich będą sownie wynagrodzone, a los ich jest bardziej błogi, niż los żyjących. Dusze wasze, dusze tych, którzy zmarli w sprawiedliwości, będą żyły, będą się cieszyły i radowały, a pamięć ich będzie na wieki przed obliczem Wszechmocnego.

(Prawdopod. z czasów przed II w. po Chr., zachowany jedynie przekład etjopski.)

### Z KSIĘGI JUBILEUSZÓW

#### OSTATNIE NAPOMNIENIA PRAOJCA IZAAKA

...Izaak przywołał obu synów: Ezawa i Jakóba. Synowie przyszli do niego. Izaak rzekł do nich: «Moi synowie! Idę drogą moich przodków do wieczystej siedziby, w której moi praojcowie żyją. Połóżcie moje ciało obok mojego ojca Abrahama w Podwójnej Pieczarze, w polu Chetyjczyka Efrona, które Abraham zakupił na groby rodzinne. Nakazuję wam, moi synowie, czynić na ziemi prawo i sprawiedliwość, aby Pan spełnił wszystko, co obiecał Abrahamowi dla jego potomstwa. Kochajcie się, moi synowie, jak bracia, jak człowiek kocha siebie samego. Niech każdy z was dąży do dobra drugiego. Działajcie zgodnie na ziemi; niech każdy z was kocha drugiego, jak siebie samego. O bożkach nakazuję wam, żebyście od nich stronili i nienawidzili ich, gdyż pełne są pokusy dla tych, którzy je czczą».

(Prawdopod. z czasów przed II w. po Chr., zachowany jedynie przekład etjopski.)

## Z PSALMÓW SALOMONA

## PSALM I

1. Wołałem do Pana, gdy byłem w ostatecznym uciśnieniu, do Pana, gdy mnie prześladowali grzesznicy.
2. Nagle usłyszałem wrzask wojenny; Bóg mię usłyszał, gdyż pełen jestem sprawiedliwości.
3. Myślałem w mojem sercu, że jestem pełen sprawiedliwości, w mojej obfitości i dlatego, że mam liczne potomstwo.
4. Ich bogactwo rozpowszechniło się po całej ziemi, ich sława doszła do krańców świata.
5. W swojej wielkości wzniesli się aż do gwiazd; sądzili, że nigdy nie spadną.
6. W swem szczęściu napelnili się pychą i wzdragali się dawać słuszne dziesięciny.
7. Grzechy ich były utajone. Ja również ich nie znałem.
8. Grzechy ich, większe niż wszystkich ludów przed nimi, splamiły w swej ohydzie świątynię Pana.

(Napisanie prawdopodobnie po hebrajsku; zachowany tylko tekst grecki.)

## FILON ALEKSANDRYJSKI

(Druga poł. I w. prz. Chr.)

## Z DZIEŁA p. t. «ŻYCIE MOJŻESZA»

## a) Wstęp

Jest moim zamiarem opisać żywot Mojżesza, który wedle jednych był prawodawcą żydowskim, wedle innych autorem świętych przepisów, w każdym razie człowiekiem wielkim i doskonałym. Jego żywot zamierzam tedy przedstawić tym, którzy są tego godni. Bo sława jego ustaw dotarła do wszystkich zaludnionych ziem, aż na krańce świata. Lecz kim on był w rzeczywistości, o tem wiedzą nieliczni; dzieje się to czy to z powodu nienawiści ku nam, czy też dlatego, że ustawy Mojżesza są odmiennie od ustaw innych narodów, i dlatego żaden grecki historyk nie poświęcił Mojżeszowi nawet wzmianki. Wielu z nich zużywało swój talent na pisanie prozą i wierszem wesołych bajeczek i anegdot, pełnych sybaryckich i prostaczych obrzydliwości, zamiast użyć swych zdolności do pisania żywotów wielkich ludzi i starać się o to, by ważne wypadki nie poszły w zapomnienie. Lecz pomijam ich niedorzeczności, a przejdę do życia Mojżesza, które poznałem ze świętych ksiąg, przezeń zostawionych ludzkości, oraz od uczonych naszego narodu, gdyż ci dodawali ustne objaśnienia do słowa pisanego. Wobec tego sądzę, iż o życiu tego człowieka mam wiadomości dokładniejsze, aniżeli inni.

## b) Krzak gorejący

(II Ks. Mojżesza, rozdz. III)

Ożeniwszy się, objął Mojżesz w posiadanie trzodę i, pasąc ją, przygotowywał się do późniejszego rządzenia. Bo pasterstwo jest przygotowaniem do królowania dla tych, którzy później mają być pasterzami najdoskonalszej trzody, t. j. ludzi. W podobny sposób jest polowanie pewnego rodzaju przygotowaniem dla wojowników, gdyż na dzikiej zwierzynie hartują się przyszli wodzowie. I tak są bezrozumne stworzenia podkładem, na którym wyrabiają się zalety władców. Polowanie na dzikie zwierzęta równa się prowadzeniu wojska na bój, pielęgnowanie zaś i strzeżenie zwierząt oswojonych równa się stosunkowi księcia do poddanych. Dlatego też królowie uważają miano «Pasterza Narodu» nie za obrazę, lecz za wyjątkową cześć. Nie zważając zaś na zdanie tłumu, tylko idąc za głosem prawdy, sądzę, że mam słuszność, twierdząc (niech się śmieje, kto chce), że tylko ten może być znakomitym władcą, który kiedyś



był dobrym pasterzem. Mojżesz był najlepszym pasterzem za swoich czasów, czynił wiele, by przynieść korzyść bydłu, i wiele znosił trudów, nie z przymusu, lecz dobrowolnie, byleby tylko spełnić gorliwie to, czego trzoda wymaga. Tak mnożyła się szczęśliwie jego trzoda.

Pewnego dnia pasł Mojżesz swe bydło w okolicy dobrze nawodnionej i urodzajnej, a obfitującej w soczystą paszę. Wtem zobaczył w lesistym parowie dziwne a cudowne zjawisko: zwiędły i nikły ciernisty krzew wybuchnął nagle jasnym płomieniem, a choć go ogień objął od korzeni do liści, jak wezbrana fala, z niewidomego tryskająca źródła, to jednak pozostał krzew nietknięty i niespalony. A w środku płomieni stała cudowna postać, niepodobna do śmiertelnika, jaśniejąca bardziej niżli ogień; nazwijmy ją zwiastunem Boga, aniołem. Anioł ten przepowiedział przyszłość milczeniem, donioślejszem jednakże od głosu. Płonący krzew, to obraz dręczycieli, a że krzak nie spłonął, znaczy, iż dręczeni nie giną z rąk katów.

To zjawisko jest obrazem narodu żydowskiego, — obrazem, wołającym głośno do nieszczęśliwych: «Nie trwóście się, bo wasza słabość jest waszą mocą, która potrafi wrogów poranić i pokonać. A ci, którzy chcą was zatrać, nie zniszczą was, lecz mimowoli będą waszą obroną. Nieszczęście nie zetraci was, a wróg, który was w przepaść strącić zamierza, wbrew swej woli uwieńczy was chwałą!» Żarłoczny zaś ogień gani zakamieniałych: «Nie ufajcie swoim siłom, ostrzegam was: Płonąca siła ognia spłonie jako drzewo, a łatwo zapalne drzewo zapłonie niby ogień!»

Tem cudownem zjawiskiem objawił Bóg Mojżeszowi przyszłość, a zarazem zażądał od niego, by pośpieszył do ciemzonego narodu jako wskrzesiciel jego wolności, jako jego przyszły wódz. «Od długiego czasu» — mówił Bóg — «żał mi ciemionych, którzy cierpią wiele zniewag, a męki ich są bez końca. Codziennie zanoszą do Mnie modły, błagając o zmiłowanie. Ja jestem pełen miłosierdzia i łaskę zbawienną niosę sprawiedliwym. Idź bez trwogi do króla Egipcjan, zgromadź starszyznę narodu, obwieść jej, że Ja, wasz Bóg, żądam, by Izraelici ruszyli za granicę kraju na trzy doby celem złożenia ofiar wedle dawnego zwyczaju». Mojżesz wiedział, że ani jego rodacy, ani Egipcjanie nie uwierzą w jego posłannictwo; dlatego pytał Boga: «A jeśli mnie spytają, kto jest ten, który cię tu wysłał, a ja nie będę im umiał dać odpowiedzi i będę wyglądał jak szalbierz?» Na to odparł Pan: «Powiesz, że Ja — to Jestestwo. Niechaj poznają różnicę między «Jestestwem» a «nicestwem» i niechaj zrozumieją, że nie mam imienia. Lecz jeśli ich słaby duch zażąda imienia, to wyjaw im, że nie tylko Bogiem obecnie, lecz byłem Bogiem ich praojców Abrahama, Izaaka i Jakóba, z których pierwszy jest wzorem dla ludzkości dzięki swej nauce, drugi dzięki swej naturze, a trzeci dzięki swej mądrości. Jeżeli jeszcze nie zechcą uwierzyć twemu posłannictwu, to przekonają ich trzy cuda, których do dziś dnia nie widział nikt z ludzi».

#### PIERWSZY DZIEŃ STWORZENIA

Chcę wyłożyć to, co będę mógł powiedzieć o tych sprawach, gdyż wyłożyć wszystko przekracza moje siły. Chodzi o doskonały świat, istniejący jedynie w pojęciu, jak wykaże moje wyjaśnienie. Bóg przewidział w swojej boskości, że piękne naśladowanie nie będzie mogło istnieć bez pięknego wzoru, a żadna rzecz zmysłowa nie będzie bez skazy, jeżeli nie będzie ukształtowana podług jakiegoś wzoru i podług pojęcia umysłowego. Dlatego też Bóg, chcąc stworzyć ten widzialny świat, stworzył przedtem świat, istniejący jedynie w myśli, aby podług tego bezcielesnego i boskiego wzoru stworzyć świat cielesny, późniejsze odbicie świata duchowego, obejmujące tyle pojęć zmysłowych, ile tamten zawiera umysłowych. Tego świata duchowego nie możemy sobie wyobrazić, jako znajdującego się w jakiejś przestrzeni. W jaki sposób ten świat istnieje, możemy zrozumieć, biorąc następujący przykład z naszego doświadczenia. Jeżeli król chce zbudować miasto, bierze zwykle doświadczonego budowniczego. Ten, zbadawszy przedtem najbardziej odpowiednie miejsce w okolicy, określa w myśli poszczególne części miasta: świątynie, boiska, ratusz, place publiczne, port, doki, ulice, położenie murów, rozmieszczenie domów i gmachów publicznych. Następnie

tworzy w myśli, jak w wosku, obrazy wszystkich tych rzeczy i układa sobie duchowy obraz miasta. Następnie, odtwarzając te wzory w pamięci, zaczyna jako dobry budowniczy według zarysów tych umysłowych wzorów wznosić miasto z kamienia i drzewa, wciąż dostosowując cielesne przedmioty do bezcielesnych pojęć. Tak samo trzeba sobie wyobrazić, że Bóg, zamierzywszy stworzenie tego niezmiernego miasta, przedewszystkiem stworzył w myśli wzory, następnie ułożył z nich umysłowy obraz świata, wreszcie podług niego stworzył świat zmysłowy.

---

JÓZEF FLAWJUSZ  
(Druga połowa I w. po Chr.)

Z DZIEŁA p. t. «O STAROŻYTNEM POCHODZENIU ŻYDÓW PRZECIW APJONOWI»

Zobaczmy, jakie są oskarżenia, które Apjon rzuca na żydów aleksandryjskich. Apjon powiada: «Żydzi przybyli z Syrii i osiedli na brzegu morza, nieposiadającego portu, w pobliżu przypiływu». Otóż, jeżeli można coś zarzucić tej miejscowości, to zarzut pada na (wprawdzie nie rzeczywiste, tylko rzekome) ojczyste miasto Apjona, Aleksandrię, choć każdy przyzna, że dzielnica, położona tuż nad morzem, doskonale się nadaje na osiedle. Jeżeli jednak żydzi przemocą zawładnęli tą dzielnicą i nie dali jej sobie później wydrzeć, świadczy to o ich odwadze. W rzeczywistości zaś ową miejscowość wyznaczył im Aleksander i nadał im godność obywateli macedońskich. Ciekaw jestem, co by powiedział Apjon, gdyby żydzi osiedli w dzielnicy Akropolis (dzielnicy umarłych), gdy tymczasem teraz wolno im mieszkać w pobliżu pałacu królewskiego... Jeżeli Apjon czytał pisma króla Aleksandra i syna Ptolemeusza — Lagosa, oraz następnych królów egipskich, jeżeli widział kolumnę w Aleksandrii, na której są wyryte prawa, nadane żydom, — jeżeli — powiadam — zna te dokumenty i w swoim dziele usiłuje dowieść rzeczy przeciwnej, jest człowiekiem złym; jeśli zaś nie zna ich treści, jest człowiekiem bez wiedzy. Dziwić się temu, że żydzi w Aleksandrii nazywają się aleksandryjczykami, zdradza głęboką niewiedzę.

---

MISZNA

USTĘPY TREŚCI PRAWNICZEJ (HALACHA)

Przepisy, dotyczące sprzedaży nieruchomości

Jeżeli ktoś sprzedaje dom, nie sprzedaje razem z nim zewnętrznego ganku, choć z ostatniego prowadzą drzwi do domu, ani też izby, znajdującej się za domem, ani też galerji na dachu, jeżeli dookoła niej biegnie ogrodzenie wysokości dziesięciu dłoni. Rabi Jehuda powiada: «Jeżeli w ogrodzeniu znajduje się kształt drzwi, to ogrodzenie nie zostało sprzedane razem z domem, nawet jeśli nie jest dziesięć dłoni wysokie. Razem z domem nie została sprzedana studnia i wymurowany zbiornik, nawet jeżeli w umowie sprzedaży zapisano «co na górze i w głębi». Ale nabywca musi zakupić od sprzedawcy drogę do studni — tak mówi R. Akiba. Inni mówią, że nie potrzebuje kupować drogi. R. Akiba jednak zgadza się z innymi, że, jeżeli nabywca powiedział sprzedawcy «oprócz tych rzeczy», to nie ma potrzeby kupować drogi do studni. W tym wypadku, gdy sprzedawca sprzedał te rzeczy osobno komu innemu, według R. Akiby nabywca domu nie ma potrzeby kupować drogi do studni, według innych zaś musi kupować drogę. Jeżeli ktoś sprzedał dom, to sprzedał wprawdzie razem z domem również drzwi, ale nie sprzedał kłacza, sprzedał umocowany moździerz, ale nie sprzedał tłuczka, — sprzedał podstawkę ręcznego młynka, ale bez koszyka do mąki, również bez pieca do pieczenia i gotowania; według innych sprzedał również piec do pieczenia i gotowania. Jeśli jednak powiedział przy sprzedaży: «dom wraz z wszystkim, co w nim jest», to sprzedał wszystkie wymienione rzeczy.

### O fałszywych świadkach

Za fałszywych można uznać tylko takich świadków, którym dowiedziono, że sfałszowali prawdę. Jeśli np. świadkowie oskarżenia mówią: «Świadczy my, że ten a ten zabił człowieka», a świadkowie odwodowi mówią im: «Jak możecie coś podobnego świadczyć? Przecież rzekomy zabójca lub zabity był z nami tego a tego dnia!» — to świadkowie nie mogą być uważani za fałszywych i karalnych. Jeżeli zaś świadkowie odwodowi mówią: «Jak możecie to świadczyć? Przecież tego dnia byliście z nami tam a tam!» — w takim razie świadkowie muszą być uznani za fałszywych i na podstawie wypowiedzi świadków przeciwnych ukarani śmiercią. Jeżeli następnie występują inni świadkowie, i na podstawie wypowiedzi świadków odwodowych sąd uznaje ich za świadków fałszywych, podlegają karze śmierci, nawet gdyby ich było sto par. R. Jehuda powiada: «To równałoby się spiskowi! Tylko pierwsza para świadków może być skazana na śmierć».

Fałszywi świadkowie podlegają karze śmierci, jeżeli zapadł wyrok na tych, przeciw którym fałszywie świadczyli. Saduceusze zaś powiadają: Tylko wówczas, gdy wyrok śmierci na oskarżonym na podstawie ich świadectwa został już wykonany, gdyż prawo mojżeszowe powiada: «Żywot za żywot». Uczni jednak zaprzeczają temu, — gdyż Tora powiada: «Uczynicie mu to, co zamierzał uczynić swemu bliźniemu». Musi więc jego bliźni jeszcze istnieć.

### O czci biednego

Jeśli biedny chce wrzucić do puszek dla ubogich datek, należy go przyjąć, nie należy go jednak do tego przynaglać. Jeśli biedny wzamian za otrzymane nowe suknie chce oddać stare, należy je przyjąć, ale nie wolno go do tego zniewalać. Gdy biedny przywykł był ubierać się w szaty jedwabne, należy mu dać szaty jedwabne, gdy jednak żąda tylko chleba lub ciasta, należy mu dać chleb lub ciasto; gdy się go musi nakarmić (bo jest chory), należy to uczynić. Gdy nawet ktoś zażąda niewolnika lub konia, należy mu ich dostarczyć. Hillel darował raz ubogiemu, pochodzącemu z dobrej rodziny, swego niewolnika i swego konia.

Jeśli ktoś był bogaty i jadał w złotych naczyniach, a zubożeje, winien sprzedać naczynia złote i kupić sobie miedziane; gdy jeszcze bardziej zubożeje, winien sprzedać miedziane i kupić gliniane. Gdy ubogi nie chce przyjąć darowizny, należy mu dać pożyczkę, a potem się o nią nie upominać. Tego zdania jest R. Meir; mędrcy twierdzą jednak, że należy mu darować pewną kwotę, a jeśli jej nie chce przyjąć, należy mu zaofiarować pożyczkę. R. Szymon radzi wziąć od niego zastaw, by go tą pożyczką nie zawstydząć.

### Obwieszczenie nowiu

1. Dawniej przyjmowano świadectwo o widzeniu nowiu od każdego. Od tego czasu jednak, kiedy boetejczycy (saduceusze) poczęli w błąd wprowadzać, postanowiono przesłuchiwać tylko świadków sądowi znanych. 2. Dawniej rozniecano ogniska na górach, ponieważ jednak Samarytanie nadużywali tego, wydano zarządzenie, ażeby wysyłać gońców. 3. W jaki sposób rozniecano ogniska na górach? Znoszono długie tyki z drzewa cedrowego, trzcinę i drzewo oliwne, drewno i przędzywo, którym je u góry przywiązywano; wynoszono to na szczyt góry, zapalano i wywijano tam we wszystkich kierunkach, dopóki nie spostrzeżono, że czyni się to samo na innych szczytach. Z drugiego wierzchołka widziano płomień na trzecim, stąd na czwartym i t. d. 4. Gdzie zaczynało rozpalać ogniska na szczytach? Od góry Oliwnej ku Sartabie, od Sartaby do Agrypiny, od Agrypiny do Hauranu, od Hauranu do Bet-Baltin, a w Bet-Baltin nieprędzej przestawano wywijać (pochodniami) we wszystkich kierunkach, dopóki nie widziano, że cały kraj dookoła płonie jednym wielkim ogniem. 5. Był wielki dworzec w Jeruzolimie, zwany Beit-Jazek. Tam to zbierali się wszyscy świadkowie i tam ich sąd przesłuchiwał. Tam urządzano dla nich wspaniałe uczyty, aby częściej przybywali. Dawniej musieli tam spędzić cały dzień (o ile była sobota).

R. Gamaliel Starszy pozwolił im jednak wychodzić za miasto we wszystkich kierunkach na odległość 2000 łokci. I nie tylko świadkowie nowiu, lecz także położna, która śpieszyła z pomocą, i każdy, który przybył, aby ratować bliźniego od ognia, nieprzyjaciela, powodzi czy upadku, otrzymywał pozwolenie opuszczenia Jerozolimy w sobotę. Nie pozwalano jednak oddalać się dalej, niż na 2000 łokci. 6. W jaki sposób przesłuchiowano świadków? Najpierw badano pierwszą parę; przyprowadzano najpierw starszego i w ten sposób rozpoczynano przesłuchiwanie: «Powiedz, jak widziałeś księżyc? Czy «końce sierpa» były skierowane ku słońcu, czy od słońca, na północ, czy też na południe od niego? Jak wysoko stał na widnokregu? Dokąd zniżał się? Jak był szeroki?» Gdy odpowiedział: «Księżyc był skierowany ku słońcu», świadectwo było nieważne. Następnie przyprowadzano drugiego świadka i wypytywano go w taki sam sposób. Gdy zeznania z sobą się zgadzały, świadectwo było ważne. Potem pytano innych już tylko powierzchownie, nie dlatego, że to było konieczne, lecz tylko dlatego, by nie odchodzili niebadani i aby częściej przybywali. 7. Przewodniczący sądu wołał wtedy: «Uświęcony» (jest miesiąc), a inni potwierdzali: «Uświęcony, uświęcony, uświęcony». — Księżyc mógł być widziany we właściwym lub niewłaściwym czasie, mimo to święcenie obwieszczano. R. Eleazar mówi: «Jeśli nie spostrzeżono go we właściwym czasie, nie należy go zupełnie święcić, gdyż niebiosa go już uczciły». R. Gamaliel miał rysunki księżyca na tablicy ściennej w sali, do której przyzywał świadków, pytając: «Czy widzieliście go tak, czy tak?» Raz przyszło dwóch i mówiło: «Rankiem widzieliśmy księżyc na wschodzie, a wieczorem na zachodzie». Wtedy r. Jochanan orzekł, że ich świadectwo jest fałszywe; gdy jednak następnie przybyli do Jabne, przyjęto ich świadectwo.

### Czego nie wolno publicznie nauczać

O dziele stworzenia nie wolno wyklądać w obecności dwóch osób, ale wolno wobec jednej; o rydwanie Pańskim (o apokaliptycznym wozie Boskim u proroka Ezechjela) nie wolno wyklądać nawet wobec jednego, chyba, że jest uczonym i mógłby sam nad tem pracować. Razu pewnego jechał r. Eleazar b. Arach na osła za r. Jochananem b. Zakaj i rzekł do niego:

«Mistrzu, wyłóż mi ustęp o rydwaniei»

«Mówilem ci nieraz» — odrzekł r. Jochanan — «że o tem nie wykląda się nawet wobec jednego, chyba, że również jest mędrce». «A więc pozwól» — odrzekł r. Eleazar — «że ja tobie coś o tem wyłożę!»

Zeszli z osłów, owinęli się w talit, usiedli na kamieniu pod drzewem oliwnem, i r. Eleazar wyłożył ustęp o tej materji ku zadowoleniu mistrza. Po wykładzie wstał r. Jochanan, ucałował r. Eleazara i powiedział:

«Pochwalony niechaj będzie Wiekuisty, który dał Abrahamowi potomka, umięjącego uczyć tak wzniosłych rzeczy. Jeden umie dobrze wyklądać, ale nie umie należycie spełniać przykazań; inni umieją dobrze postępować, ale nie umieją należycie wyklądać. Eleazar b. Arach umie dobrze wyklądać i należycie postępować. Chwała ci, ojczy nasz, Abrahamie, że od ciebie pochodzi Eleazar, syn Aracha, który umie dobrze wyklądać o wspaniałości Bożego Majestatu!»

### TALMUD

Z GEMARY BABILOŃSKIEJ  
z tekstów prawniczych (halacha)

#### Decyzje w pewnych wypadkach sporów pieniężnych

Pytanie. Jakie znaczenie ma podwójny zwrot «Miszny»: Jeden twierdzi «ja znalazłem chustę», a drugi twierdzi «ja ją znalazłem». A potem: «Jeden twierdzi «cała chusta jest moja», a drugi twierdzi «cała jest moja». Czy nie byłoby dostateczne jedno powiedzenie?

**Odpowiedź.** Jest to rzeczywiście tylko jedno powiedzenie, mianowicie: «Jeden twierdzi «ja ją znalazłem», czyli «cała jest moja», a drugi twierdzi «ja ją znalazłem», czyli «cała jest moja».

**Pytanie.** Więc można było powiedzieć «ja ją znalazłem», a z tego zrozumiano, że cała do niego należy?

**Odpowiedź.** Gdyby powiedziano «ja ją znalazłem», zrozumiano, że wyrażenie «ja ją znalazłem» znaczy to samo, co «ja ją zobaczyłem», a choć jeszcze nie dostała się do moich rąk, nabyłem ją przez fakt zobaczenia! Dlatego Miszna powiada: «cała należy do mnie», żeby podkreślić, że przez sam fakt zobaczenia chusta nie może przejść w posiadanie skarżącej strony.

**Pytanie.** Jak można byłoby przypuszczać, że «znalazłem» jest to samo, co «zobaczyłem»? Przecież Rabanai pouczał: Wyrażenie Tory: «znalazłeś ją» znaczy «dostała się do twoich rąk!»

**Odpowiedź.** W Torze «znaleźć» znaczy to samo, co «dostać w swoje ręce», ale uczony w Talmudzie mówi potocznym językiem pospolitych ludzi, którzy, gdy coś zobaczyli, natychmiast twierdzą, że je znaleźli, uważając, że przez zobaczenie przedmiotu stali się jego właścicielami.

### Kwestje sporne między szkołami

Oto są kwestje sporne między szkołą Hillela i Szammaja co do uczy: Szkoła Szammaja twierdzi, że w piątek wieczorem odmawia się przy «Kidusz» najpierw błogostawieństwo dnia (błogostawiony, który ustanowił sobotę), a potem wina (błogostawiony, który stworzył owoc winorośli). Szkoła Hillela kazała najpierw odmawiać błogostawieństwo wina, a potem dnia. Szkoła Szammaja uczyła, że najpierw myje się ręce, a następnie nalewa się puhar wina; szkoła Hillela uczyła, że należy robić w porządku przeciwnym. Szammaici powiadali, że należy po jedzeniu wymieść izbę, a następnie odmówić błogostawieństwo końcowe; hillelici kazali najpierw odmawiać błogostawieństwo po jedzeniu, a następnie wymiatać izbę. Szammaici ustanowili następujący porządek przy błogostawieństwie na zakończenie soboty: błogostawieństwo nad światłem, winem, wonnościami; hillelici zaś zmienili porządek, żądając najpierw błogostawieństwa nad światłem, a potem nad winem, wonnościami. Szammaici mówili w tem błogostawieństwie: «Błogostawiony, który stworzył światło ognia», hillelici zaś: «...który tworzy światło ognia». Jeśli ktoś zjadł i zapomniał odmówić błogostawieństwo dziękczynne, winien — wedle szammaitów — wrócić na miejsce, na którym jadł, i tam odmówić błogostawieństwo, hillelici natomiast kazali odmawiać błogostawieństwo tam, gdzie sobie przypomnieli («Talmud babil.», Berachot, fol. 51 «Miszna»).

B. Abba mówi w imieniu Samuela: Trzy lata walczyły ze sobą szkoły Hillela i Szammaja. Jedni twierdzili: «Nasze wywody są prawem», a drudzy dowodzili: «Nasze twierdzenia są prawem obowiązującym». Wtem dał się słyszeć głos z nieba: «Jedne i drugie są słowami żyjącego Boga, lecz prawem są słowa Hillela!» Jeśli więc jedno i drugie są słowami żywego Boga, dlaczego tylko słowa Hillela uznano jako prawo? Bo hillelici byli cierpliwi i łagodni i uczyli nie tylko swoich wywodów, ale także wywodów Szammaja. Szli oni nawet dalej, bo uczyli słów Szammaja przed swymi słowami. Z tego możesz się nauczyć, że Bóg wywyższa tego, który się sam poniża, i naodwrot: kto się sam wynosi, tego poniża Pan. Kto goni za zaszczytem, od tego zaszczyt ucieka, a kto od zaszczytów stroni, za tym goni zaszczyt.

### Listy rozwodowe z obcych krajów

«Miszna»: Kto przynosi list rozwodowy z krain nadmorskich, musi przy oddaniu go stwierdzić, że w jego obecności został napisany i przez świadków podpisany. Tak samo winien uczynić ten, który przynosi rozwód z krain Rakem i Cheger; r. Eliezer mówi: z okręgu Lyddy do Lyddy. Mędrcy zaś mówią, że musi zeznawać tylko wówczas, gdy przynosi rozwód z krajów nadmorskich, lub z jednego kraju nadmorskiego do drugiego. B. Szymon, syn Gamaliela, powiada: «Nawet z prowincji do pro-

wincji». R. Juda: «Z Rekam na wschód», a Rekam stanowi wschodnią granicę Palestyny, «z Askalonu na południe», a Askalon leży na południowej granicy Palestyny. R. Meir powiada, że pod względem prawa rozwodowego należy Akko do Palestyny.

Kto przywozi rozwód z jednego miasta judejskiego do drugiego, nie musi zeznawać, że w jego obecności został tenże rozwód napisany i podpisany. Ale jeśli zachodzi podejrzenie co do autentyczności świadków rozwodu, winny podpisy świadków być stwierdzone.

«Gemara»: Kto przynosi rozwód z prowincyj nadmorskich, winien przy oddaniu go potwierdzić, że w jego obecności został napisany i podpisany. Dlaczego? Bo w prowincjach nadmorskich nie wiedzą, że rozwód należy pisać jedynie dla osoby, dla której jest przeznaczony. Tak dowodzi Rabba; Raba zaś mówi: «Dlatego, że w prowincjach nadmorskich nie można odnaleźć świadków dla stwierdzenia autentyczności ich podpisów».

Jaka różnica w praktyce między motywami Rabby i Raby? Jest różnica, a mianowicie:

1. Jeśli dwóch posłańców przyniosło jeden list rozwodowy, to wedle Rabby muszą odmówić znaną nam formułkę («W mojej obecności napisano i podpisano ten rozwód»), gdyż w miastach zajudejskich nie zna się przepisów o wystawianiu rozwodów, zaś wedle Raby nie muszą odmówić formułki, gdyż sami mogą być świadkami autentyczności rozwodu i podpisów.

2. Jeśli przynoszą rozwód z jednej prowincji judejskiej do drugiej, to wedle Rabby nie muszą wypowiedzieć formuły, wedle Raby atoli winni ją wypowiedzieć, gdyż może zająć trudność w stwierdzeniu podpisów.

3. Taka sama różnica zachodzi, gdy się przynosi rozwód z jednego miasta do drugiego w tej samej prowincji nadmorskiej.

«Talmud jerozolimski». — Pytanie: «A gdyby kto przyniósł akt darowizny, czyż musiałby także odmówić tę formułkę»? R. Jozue b. Lewi powiada: «Przy liście rozwodowym jest wyjątek, bo nie znają przepisów o listach rozwodowych». R. Juda mówi: «Uproszczone postępowanie ze względu na to, by kobieta nie została aguną, t. j. opuszczoną! «Ależ to nie jest uproszczeniem, tylko zastrzeniem, bo, jeśli przynoszący list rozwodowy nie odmówi formułki, wówczas cały akt prawny jest nieważny, i kobiecie nie wolno wyjść za mąż!» Na to odpowiedział r. Jozue: «Prawda, że na początku może to być zastrzeniem, ale ostatecznie jest to ulga. Bo dajmy na to, że posłaniec nie stwierdził, iż w jego obecności list rozwodowy napisano i podpisano, wówczas może po wielu latach wrócić mąż rozwiedzionej kobiety i twierdzić, że nigdy rozwodu nie dawał, a tak (gdy istnieje potwierdzenie autentyczności rozwodu przez posłańca) odpada ten szkopał, i wszelkie dalsze protesty są bez wartości».

### Ojciec i nauczyciel

«Miszna»: Gdy chodzi o szukanie zguby własnej i zguby ojca, przedewszystkiem należy szukać własnej zguby. Gdy chodzi o zgubę własną i zgubę nauczyciela, należy szukać własnej zguby przedewszystkiem. Gdy chodzi o zgubę ojca i zgubę nauczyciela, pierwszeństwo ma nauczyciel, gdyż ojciec obdarzył go jedynie życiem doczesnym, a nauczyciel daje mu życie przyszłe. Jeśli jednak ojciec jest również uczonym, wówczas ma pierwszeństwo przed nauczycielem.

Jeśli ojciec i nauczyciel noszą ciężary, wówczas trzeba przedewszystkiem pomóc nauczycielowi; tak samo, jeśli obaj znajdują się w niewoli. Jeśli jednak ojciec jest uczonym, wówczas ma pierwszeństwo przed nauczycielem.

«Gemara»: Skąd wynika, że należy wpierw własną odszukać zgubę przed zgubą ojca i nauczyciela? Uczy r. Juda w imieniu Rawa: Czytamy w «Torze» V Mojż. XV, 4: «I nie będzie u ciebie ubogiego», mamy tedy obowiązek baczyć i na swoje mienie, byśmy nie zubożeli i nie padli nikomu ciężarem.

Rabini uczyli, że nauczyciel, o którym wyżej mowa, to tylko ten, który uczył kogoś «Gemary», ale nie ten, który uczył tylko «Tory» i «Miszny». To jest zdanie r. Meira; r. Juda mawiał jednak, że tu chodzi o nauczyciela, od którego się najwięcej mądrości

nabyło, bez względu na to, czy się u niego uczyło Biblii, «Miszny», czy «Gemary». R. Jose powiedział, że ma człowiek uważać za swego nauczyciela nawet tego, który mu wyjaśnił jeden punkt prawny.

## Z MISZNY, TALMUDU I MIDRASZU

### OPOWIADANIA I LEGENDY (AGADA)

#### Opowiadania i legendy na tematy biblijne

Gdy Bóg stworzył świat, był z niego bardzo dumny.

«Patrzcie» — mówił — «jaki piękny świat stworzyłem, jakie piękne istoty! Jeżeli Stwórca je chwali, kto je będzie ganił!»

Pewien król miał dwa puste naczynia. Król pomyślał:

«Jeżeli naleję do nich gorącej wody, pękną, jeżeli zimnej — skurczą się i popsują».

Co uczynił? Zmieszał gorącą wodę z zimną i nappełnił naczynia.

Tak samo powiedział sobie Najwyższy:

«Jeżeli stworzę świat tylko litością, grzechy jego będą niezliczone. Jeżeli stworzę świat tylko sprawiedliwością, jak może się ostać? Ale stworzę go litością i sprawiedliwością. Może się jakoś ostanie».

Człowiek dlatego został stworzony sam, aby wiadano, że, kto zabija jedną duszę, zabił całą ludzkość, a kto ocalił jedną duszę, ocalił całą ludzkość.

Bóg stworzył wszystkich ludzi z jednego człowieka, aby nikt nie mógł powiedzieć drugiemu:

«Mój ojciec jest większy niż twój».

Abraham poznał, że Bóg jest stwórcą świata.

Jest to podobne do kogoś, który wędrował po świecie. Pewnego wieczora zobaczył zamek, którego wewnątrz było rzeźbiście oświetlone. Pomyślał sobie: «Czy może być, żeby zamek ten był pusty, bez właściciela?» W tej chwili wyjrzał przez okno właściciel.

«Ja jestem panem tego zamku» — rzekł.

Tak samo Abraham mówił do siebie:

«Czy może być, by świat ten nie miał gospodarza?»

W tej chwili ukazał mu się Najwyższy i rzekł:

«Ja jestem Panem tego świata».

Bóg pobłogosławił Abrahama i obiecał mu, że potomstwo jego będzie liczne, jak gwiazdy na niebie.

Do czego to jest podobne? Do wędrowca, który szedł przez pustynię jeden dzień, drugi i trzeci i nie spotkał ani miasta, ani oberży, ani drzewa, ani źródła. Po dziesięciu dniach ujrzał zdaleka drzewo i pomyślał: «Może w jego cieniu znajdę wodę?» Zbliżył się do drzewa i ujrzał, że stoi nad źródłem wody. Więc usiadł w jego cieniu, napił się wody i odpoczął. Na odchodnym zawołał do drzewa:

«Drzewo, drzewo! Jak mam cię pochwalić i czem błogosławić? Czy mam cię błogosławić, żeby twój pień był piękny? Kiedy jest piękny! Żeby gałęzie były rozłożyste? Kiedy są rozłożyste! Żeby twój cień był chłodny? Kiedy jest chłodny! Żeby twoje owoce były słodkie? Kiedy są słodkie! Żeby źródło wody wytrysnęło z twych korzeni? Kiedy jest źródło u twych stóp! Więc pobłogosławię cię, żeby wszystkie drzewa, które wyrosną z twych nasion, były podobne do ciebie!»

Tak samo, gdy Bóg stworzył świat, nie było ani jednego sprawiedliwego.

Wkońcu Bóg zobaczył Abrahama i pomyślał: «Może ten się ostatecznie?» Poddał go więc próbie, i Abraham wytrzymał ją. Rzekł doń Bóg: «Czem cię mam pochwalić, Abrahamie, czem cię mam błogosławić? Czy mam cię błogosławić, żebyś był sprawiedliwy, albo żeby twoja żona była sprawiedliwa? Kiedy już jesteście sprawiedliwi! Czem cię mam więc błogosławić? Więc powiem ci: niech synowie, których kiedyś narodzisz, będą podobni do ciebie».

Bóg postanowił zniszczyć grzeszną Sodomę. Abraham zaczął go prosić, żeby oszczędził miasto.

«Jeżeli chcesz» — rzekł do Boga — «żeby istniał świat, nie może być sprawiedliwości. A jeżeli chcesz, żeby była sprawiedliwość, nie może istnieć świat. Bierzesz sznur za oba końce. Chcesz świata i chcesz sprawiedliwości. Jeżeli nie zrobisz ustępstwa za prawa, świat nie będzie mógł się ostać».

Na starość Pan Bóg zesłał ślepotę na praojca Izaaka. Bóg rzekł do siebie:

«Izaak będzie wychodził na miasto i usłyszy, jak ludzie sobie powiadają: To jest ojciec tego nicponia Ezawa. Lepiej więc, żebym zesłał na niego ślepotę, to będzie siedział w domu».

Jest to podobne do człowieka, który miał piękny pałac. Ale sąsiedzi palili przed pałacem słomę i posyłali mu kłęby dymu przez otwarte okno. Wkońcu stracił cierpliwość i zamknął okno.

Mojżesz paść owce swego teścia na pustyni. Pewnego dnia zjawił się przed nim wilk.

«Pokój tobie» — zawołał — «mężu Boży!»

Zdziwił się Mojżesz.

«Kto ci dał mowę ludzką?» — spytał.

«Ty jesteś tym człowiekiem, któremu sędzono otrzymać «Torę» od Boga dla ludu Izraela. A «Tora» opowiada o tem, jak przemówiła oślica proroka Balaama». «A teraz» — mówił dalej wilk — «daj mi jedno z jagniąt, bo jestem głodny».

«Jagnięta, które tu widzisz, nie należą do mnie, lecz do mojego teścia. Ja jestem tylko jego najemnym pastuchem, a według «Tory», na której świadectwo się powołujesz, zgrzeszyłbym Bogu, gdybym się sprzeniewierzył teściowi i dał ci coś, co zostało powierzone mojej straży».

«Jeśli tak» — rzekł głodny wilk — «idź do twego teścia i poproś, aby ci pozwolił dać mi jedno jagnię ze stada».

«Pójdę» — rzekł Mojżesz. — «Ale kto zostanie przy stadzie, żeby je strzec od drapieżnych zwierząt?»

«Zostaw je mojej pieczy, a przysięgnę ci na Boga, że nie tknę żadnej z nich przed twoim powrotem i będę pilnował, ażeby im nic złego się nie stało».

Mojżesz usłuchał głosu wilka, zostawił go przy stadzie, poszedł do teścia i opowiedział mu wszystko, co mu rzekł wilk.

«Możesz się rozporządzać stadem według twej woli» — rzekł teść — «i dać jagnię wilkowi».

Mojżesz wrócił do stada: owce spokojnie pasły się na łące, a wilk strzegł je, leżąc na samym końcu z głową opartą na łapach. Mojżesz zbliżył się.

«Pan stada» — rzekł — «pozwala ci wziąć jedno jagnię».

Wilk siedział w milczeniu, podniósł głowę i patrzył na Mojżesza. A gdy tak patrzyli sobie głęboko w oczy, wilk nagle znikł.

Mojżesz zrozumiał, że mówił z aniołem Bożym. A Bóg siedział w niebiosach i myślał: jeżeli ten pastuch tak wiernie strzeże powierzonego mu dobra, będzie chyba również dobrym pasterzem mojego ludu, który powierzę jego pieczy.

Do czego podobne jest nakazane przez Boga sprowadzenie kości praojca Józefa z Egiptu do Kanaanu? Do złodziei, którzy weszli w nocy do piwnicy, otworzyli dzban z winem i wypili je. Zobaczył ich gospodarz.



«Niech wam wino będzie smaczne» — rzekł. — «Niech wam będzie wonne! Ale wypiliście wino, — postawcie dzban na jego miejsce».

Tak samo rzekł Bóg do potomków Jakóba.

«Sprzedaliście Józefa do Egiptu, — sprowadźcie jego kości zpowrotem na jego miejsce».

Przez wszystkie lata wędrówki Izraela przez pustynię trumna, w której były kości Józefa, szła za Arką Przymierza, w której były przechowane Tablice Dziesięciorga Przykazań. Kiedy się pytano: «Czy wolno nieczystemu trupowi iść tuż za Arką Przymierza?» — odpowiadano: — «Tamten spełnił wszystko, co w tych jest napisane».

Bóg kazał Izraelitom wiecznie pamiętać o tem, jak napadli na nich Amalekici w drodze z Egiptu.

Do czego to jest podobne? Do króla, który miał winnicę. Zbudował dokoła niej parkan, spuścił psa i ogłosił:

«Kto przejdzie przez parkan — tego pies ugryzie».

Po pewnym czasie przyszedł królewicz i przelał przez parkan. Przybiegł pies i ugryzł go. Po wielu, wielu latach, kiedykolwiek król chciał przypomnieć synowi jego dawny grzech, pytał go:

«Czy pamiętasz, jak cię pies ugryzł?»

Tak samo, kiedykolwiek Bóg chciał przypomnieć Izraelowi, że grzeszył w pustyni, bo zwątpił o opiece Boskiej i pytał: «Czy jest Bóg wśród nas?» — Bóg pytał: «Czy pamiętacie, co uczynili wam Amalekici?»

Izraelici otrzymali Dziesięcioro Przykazań dopiero po upływie pewnego czasu od wyjścia z Egiptu. Izrael był już po wyjściu z Egiptu godzin przyjęcia Świętej Tory od Boga. Ale Bóg rzekł:

«Jeszcze moje dzieci nie mają jasnej, zdrowej cery twarzy. Dopiero co wyszli z niewolniczej roboty cegłą i gliną i nie mogą w tej chwili przyjąć Tory».

Do czego jest to podobne? Do królewicza, który wyzdrowiał po długiej chorobie. Wychowawca chce go zaprowadzić do szkoły. Ale odzywa się ojciec:

«Jeszcze mój syn nie odzyskał zdrowej cery twarzy, a ty powiadasz, żeby poszedł do szkoły! Niech się kilka miesięcy pokrzepi dobrem jedzeniem i nabierze zdrowia, a potem zaprowadzisz go do szkoły».

Tak samo mówił Bóg:

«Dopiero co moi synowie wyszli z ciężkiej pracy, a już mam ich obciążyć jarzmem Tory? Niech wydobrzeją kilka miesięcy na mannie i mięsie, a później dam im Torę».

Po błyskawicach i grzmotach na górze Synaju Bóg rozpoczął Dziesięcioro Przykazań temi słowy:

«Jam Twój Bóg».

Jest to podobne do króla, który kazał synowi stanąć przed swem obliczem. Syn przeraził się i upadł nieprzytomny. Król zaczął go ścisnąć i całować, łagodnie do niego przemawiać i uspokajać go.

«Co ci jest, mój synu? Czy nie jesteś mojem jedynem dzieckiem? Czyż nie jestem twym ojcem?»

Tak samo, gdy Bóg zaczął mówić do synów Izraela z góry Synaju, uleciała z nich dusza z przerażenia. Aniołowie zaczęli ich ścisnąć i całować, i mówić do nich:

«Co wam jest? Nie bójcie się! Jesteście dziećmi Boga Waszego».

A Bóg zaczął do nich łagodnie przemawiać.

«Czy nie jesteście mojem dziećmi? Jam Bóg wasz, a wy jesteście moim ludem ukochanym».

I tak długo łagodnie do nich przemawiał, aż im wróciła przytomność.

Gdy Mojżesz wstąpił na niebo, by otrzymać «Torę» od Boga, zobaczył, że Bóg siedzi i pisze słowa: «Bóg jest cierpliwy».

«Jeżeli Izrael jest sprawiedliwy» — zawołał Mojżesz — «pocóż Twoja cierpliwość?»  
«Również dla grzeszników» — odrzekł Bóg.

Mojżesz rzekł:

«Grzesznicy niechaj zginą».

«Niedługo zobaczysz» — odrzekł — «że się moja cierpliwość przyda».

Gdy lud zgrzeszył i zrobił Złotego Cielca, i Bóg chciał ich wytepić, Mojżesz zaczął go błagać o litość.

«A nie mówiłeś mi» — zawołał Bóg — «że cierpliwość tylko dla sprawiedliwych?»

«A nie mówiłeś mi» — odparł Mojżesz — «że cierpliwość również dla grzeszników?»

Bóg w gniewie na Izraela za ulanie Złotego Cielca rzekł do Mojżesza:

«Puść mię, a unicestwię ich».

Rzekł pewien Rabbi: «Gdyby Pismo Święte nie powiedziało tego wyraźnie, nie śmielibyśmy o tem pomyśleć. Widocznie Mojżesz chwycił Boga, jak człowiek chwytą towarzysza za poję szaty, i rzekł do niego:

«Panie świata, nie puszczę Cię, aż przebaczysz ludowi!»

W czasie gdy Mojżesz stał przed Bogiem na górze Synaju, Aaron na żądanie ludu zrobił Złotego Cielca. Bóg zawołał do Mojżesza:

«Zejdź!»

Bóg chciał mu tem powiedzieć:

«Zejdź z twej wielkości. Dałem ci twoją wielkość tylko dla Izraela. Teraz Izrael zgrzeszył. Poczemu mi jesteś?»

Natychmiast Mojżesz osłabł i nie miał odwagi mówić do Boga. Bóg rzekł dalej:

«Pozwól mi, a wytepię ten lud».

Mojżesz pomyślał:

«Bóg mówi mi «pozwól mi». Więc to tak! Więc to zależy ode mnie!»

W tej chwili nabrał odwagi i zaczął gorąco błagać Boga o litość nad Izraelem.

Jest to podobne do króla, który się rozgniewał na swego syna i zaczął go bić.

Przyjaciel króla był obecny, ale ze strachu nie śmiał przemówić w obronie królewicza.

W pewnej chwili król zawołał:

«Gdyby nie obecność mojego przyjaciela, zabiłbym cię na śmierć!»

Przyjaciel pomyślał: «Więc to tak! Więc to zależy ode mnie!»

Poczem wstał i obronił królewicza.

Bóg własnoręcznie wyciosał kamienne tablice i wyrył na nich Dziesięcioro Przykazań. Kiedy Mojżesz zszedł z góry Synaju do ludu i zobaczył, że podczas jego nieobecności lud ulął Złotego Cielca, w gniewie cisnął tablice na ziemię. Tablice rozbiły się na kawałki.

Bóg kazał Mojżeszowi stanąć przed nim, żeby otrzymać nowe Dziesięcioro Przykazań. Ale tym razem Mojżesz musiał sam wyciosać z kamienia tablice i przynieść je z sobą na górę. Bóg pomyślał: «Jeżeli Mojżesz namozoli się ciężko przy ciosaniu kamienia, nie będzie ich potem tak łatwo tłukł».

Falszywy prorok Balaam chciał już rozpocząć obrzęd wyklęcia Izraelitów. Nagle ukazał mu się Bóg i zapytał:

«Złoczyńco! Co robisz?»

«Przyrzadziłem ci siedm ołtarzy» — zaczął się usprawiedliwiać Balaam.

Jest to podobne do kramarza, który daje fałszywą wagę. Przychodzi nadzorca rynku i mówi:

«Dlaczego krzywdzisz ludzi i dajesz fałszywą wagę?»

«Dopiero co posłałem ci podarunek do domu» — odpowiada kramarz, żeby go udobruchać.

Tak samo uczynił Balaam, kiedy Bóg do niego zawołał:

«Złoczyńco, co czynisz?»

«Przyrzadziłem ci siedm ołtarzy» — odrzekł.

W końcu wędrówki przez pustynię Mojżesz wylicza miejsca postoju, przez które Izraelici przeszli. Jest to podobne do króla, który miał chorego syna i zawiózł go do miejscowości leczniczej. Gdy wracali, ojciec przypominał miejsca, przez które przejeżdżali.

«Tu spaliśmy, tu chłodziliśmy się, tutaj bolała cię głowa».

Wódz Izraela Jeftach pochodził z prostego ludu. Wyruszając na wyprawę, słubował Bogu, że mu złoży w ofierze pierwszego, kto wyjdzie z wrót jego domu. Kiedy powrócił z wyprawy do domu, zobaczył córkę, wychodzącą na jego spotkanie.

«Biada, moja córko!» — zawołał. — «Ślubowałem Bogu i nie mogę ślubu cofnąć».

A przecież był tam kapłan Pinchas i mógł jako kapłan unieważnić ślub! Ale pomyślał:

«Ja, arcykapłan, syn arcykapłana, ponizę się i pójdę do człowieka z ludu prostego?»

A Jeftach pomyślał:

«Ja, naczelny wódz wszystkich pokoleń Izraela, pójdę do jakiegoś kapłana i będę go prosił o unieważnienie ślubu!»

Wśród obu tych pysznych zginęła owa nieszczęsna.

Obaj oni zostali ukarani przez Boga. Pinchasa opuścił Duch Boży, a Jeftacha kości zostały po jego śmierci rozwiane na wszystkie cztery strony świata.

A Duch Boży zawodził:

«Czy żądałem od ciebie, abys mi ofiarował życie ludzkie? Rzeczy, o których nie mówiłem, które mi na myśl nie przychodziły!»

Nad łóżem Dawida, naprzeciw okna, była zawieszona harfa. O północy z gór powiewał wiatr północny i trzącał struny. Wówczas harfa sama zaczynała grać. Dawid budził się ze snu, wstawał i śpiewał Panu psalmy aż do rana.

A gdy psalmista zakończył swe pieśni, był bardzo dumny ze swego dzieła i zawołał:

«Boże mocny i wielki! Kto w całym Twoim wszechświecie wyśpiewał tak piękne pieśni na Twoją chwałę?»

W tej chwili wyskoczyła żaba z jeziora:

«Nie bądź pyszny, synu człowieczy!» — zawołała. — «Ja i wszyscy z mojego rodu śpiewamy Stwórcy piękniejsze pieśni niż ty. A do każdej pieśni mamy trzy tysiące przypowieści».

Bóg przepowiedział Dawidowi, że umrze w sobotę. Dawid miał zwyczaj całą sobotę siedzieć nad «Torą», a wiedział, że godziny te miłe są Bogu. Pewnej soboty przyszedł Anioł Śmierci i chciał mu odebrać duszę. Ale nie mógł mieć doń przystępu, przez cały dzień ani na chwilę nie przerywał nauki. Anioł Śmierci pomyślał: «Co tu zrobić?» Poszedł do ogrodu za domem i zakolysał drzewami. Dawid wyszedł, aby zobaczyć, co się dzieje. W tej chwili załamały się pod nim schody, i wyzionął ducha.

Świątynia w Jerozolimie została zbudowana na ziemi, należącej do Benjaminsów. Dlaczego pokolenie Benjamina, najmłodszego syna Jakóba, dostało tego zaszczytu, że na jego ziemi spoczywał Majestat Boży?

Jest to podobne do króla, który od czasu do czasu odwiedzał swych synów. Każdy z nich dopominał się, ażeby ojciec zamieszkał w jego domu. Najmłodszy pomyślał: «Czy jest możliwe, ażeby ojciec pominął starszych braci i zamieszkał u mnie?» Odszedł więc ze smutkiem na twarzy.

Król zawołał:

«Czy widzicie, jak mój najmłodszy syn odszedł z zasmuconą twarzą. Od dziś dnia wy będziecie posyłali mi stawę codzienną, a w jego domu będę mieszkał».

Tak samo mówił Bóg:

«Świątynia moja niech będzie na ziemi Benjamina, a ofiary będą składały wszystkie inne plemiona».

Król Salomon został strącony z tronu i chodził, żebrząc, po domach. Pewnego dnia spotkał go jakiś bogacz i skłonił się przed nim głąboko.

«Panie mój i królu!» — rzekł — «zaszczyć mnie twemi odwiedzinami».

Salomon poszedł za nim do jego domu, gdzie mu przygotowano bogatą ucztę. Zasiadli do stołu. Bogacz zaczął mu przypominać dni minionej szczęśliwości:

«Czy pamiętasz, jak to było, kiedy jeszcze siedziałeś na tronie królewskim?»...

Gdy mu tak gospodarz przypominał dawne czasy, ostry ból tęsknoty przeszył serce króla, i przez całą ucztę płakał. Nazajutrz spotkał go inny człowiek i z głębokimi pokłonami począł go również prosić o zaszczylenie jego domu swą obecnością.

«Czy chcesz ze mną tak samo postąpić?» — zawołał król — «jak ten człowiek wczoraj?»

«Jestem człowiekiem biednym» — odrzekł tamten — «nie mogę ci sprawić uczy. Mam tylko trochę jarzyn. Jeśli możesz się tem zadowolić, chodź ze mną do mojego domu».

Salomon poszedł za nim. Podczas jedzenia gospodarz zaczął go pocieszać:

«Panie mój! Bóg przysiągł twemu ojcu, że jego potomstwo nigdy nie zejdzie z tronu izraelskiego. Teraz Bóg strącił cię z tronu, ale wkrótce przywróci ci twoje panowanie. Takie są zwyczaje Boskie: dziś karci i karze, a nazajutrz żałuje i przebacza».

«Niech ci Bóg błogosławi!» — zawołał Salomon. — «Wczoraj bogacz dał mi wspa-  
niałą ucztę, ale zatrzał mi ją gorzkimi wspomnieniami. Ty mię poczęstowałeś skrom-  
nemi potrawami, ale wlałeś mi do serca pociechę i dodałeś mi otuchy i nadziei».

Gdy Bóg miał za grzechy Izraela zburzyć Jerozolimę, płakał nad dziełem własnych rąk i zawodził:

«Biada mi, królowi, który zaznał szczęścia w młodości, a starość ma rozpaczną».

Po zburzeniu świątyni Bóg wołał:

«Pocieszaj mię, pocieszaj mię, ludu mój!»

Gdy ktoś ma winnicę i przyjdą jego wrogowie, i zetną w niej wszystkie łązy — kogo przyjaciele pocieszają, winnicę czy właściciela? A gdy ktoś ma dom i przyjdą rozbójnicy, i spalą go — kogo przyjaciele pocieszają, dom czy jego właściciela? Bóg mówił: «Ty, ludu Izraela, jesteś moją winnicą. Przyszedł król Babilonu, spustoszył mój kraj, wygnał jego mieszkańców i spalił mój dom. Mnie trzeba pocieszać. Pocieszaj mię więc, pocieszaj mię, ludu mój!»

W chwili, gdy Nabuchodonozor kazał wrzucić do ognia trzech młodzieńców, i Pan cudownie ich ocalił, Bóg rzekł do proroka Ezechjela:

«Idź do pewnej doliny i wskrześ leżące tam kości zmarłych».

Zmartwychwstali stanęli przed Izraelem i płwali Izraelowi w twarz.

«Macie tak potężnego Boga, a czcicie bałwana kamiennego».

A trzej młodzieńcy potakiwali im i wołali, podnosząc oczy do nieba:

«Ty, Boże, masz słusność, a nam hańba».

### Opowiadania i legendy inne

Pewnego roku długo nie było deszczu. Uczniowie Rabbi Choni przyszli do niego:

«Módl się za lud. Niech spadnie deszcz».

R. Choni zaczął się modlić gorąco. Ale deszcz wciąż się nie pokazywał.

Cóż uczynił? Nakreślił na ziemi koło, stanął w środku i zawołał przed Świętym, niech będzie błogosławiony:

«Panie świata! Dzieci Twoje przyszły do mnie. Powiadają, że jestem jak domownik u Ciebie, i proszą o deszcz. Przysięgam na Twoje imię święte, że nie zejść z tego miejsca, póki się nie ulitujesz nad Twemi dziećmi».

Z nieba zaczęły padać rzadkie krople dżdżu.

«Zdaje się» — zawołali uczniowie — «że Pan Bóg zsyła tylko tyle deszczu, ile trzeba, żebyś był wolny od twej przysięgi».

Rabbi Choni zawołał:

«Nie o taki deszcz, Boże, prosilem. Chciałem deszczu, któryby zapełnił wszystkie studnie, sadzawki i pieczary».

Z nieba zaczął padać ulewny deszcz, jak zerwana chmura.

«Chyba poto pada deszcz» — zawołali przerażeni uczniowie — «żeby świat unicestwić».

Rabbi Choni zaczął wołać do Boga:

«Nie o taki deszcz prosilem, Panie. Prosilem o deszcz łagodny, deszcz błogosławieństwa i obfitości».

Zaczął padać deszcz łagodny. Ale padał tak długo, że wkońcu lud musiał wychodzić z domów i chronić się przed powodzią na Górze Świątyni. Uczniowie zawołali do R. Choniego:

«Tak samo jak prosileś Boga o zesłanie deszczu, pomódl się teraz do Niego, żeby deszcze ustały».

«Słyszałem od moich nauczycieli» — odrzekł R. Choni — «że nie wolno prosić o uszczuplenie darów Bożych. Jednak spróbuję».

Stał przed Bogiem i zawołał:

«Panie świata! Twój lud izraelski, który wyprowadziłeś z Egiptu, nie może ostać przy nadmiarze zarówno błogosławieństwa, jak kary. Gniewasz się na nich — nie mogą ostać, zsyłasz im nadmiar błogosławieństwa — nie mogą ostać. Niech będzie Twoja wola, żeby ustały deszcze i na świat powróciła pogoda».

W tej chwili powiał wiatr i rozpuścił chmury. Na niebie ukazało się jasne słońce. Dowiedział się o tej modlitwie R. Szymon, syn Szatacha.

«Gdybyś nie był Choni» — zawołał — «nakazałbym ci za to pokutę. Ale cóż z tobą pocznę, jeżeli ty usprawiedliwiasz się przed Bogiem, i On spełnia Twoją wolę tak samo, jak syn usprawiedliwia się przed ojcem, i ojciec daje mu wszystko, o co prosi. Powiada doń: «Tatusiu, zaprowadź mnie do ciepłej kąpieli». — Ojciec prowadzi go. — «Prowadź mnie do zimnej wody» — prowadzi go. «Daj mi orzechów, migdałów i brzoskwiń» — daje mu».

Abba Chilkija był wnukiem R. Choniego. Gdy w okolicy była posucha, ludzie przychodzili do niego tak samo, jak ongi do jego dziada, żeby się modlił do Boga o deszcz.

Pewnego razu wysłano do niego dwóch poważanych obywateli, żeby się modlił do Boga o zesłanie dżdżu. Nim przysłani powiedzieli, o co go chcą prosić, Abba Chilkija zrozumiał, o co chodzi, i szepnął żonie:

«Wiem, że ci obywatele przyszli nie do mnie. Potrzeba ludziom deszczu. Chodźmy na górę i módlmy się. Może Bóg da się ubłagać i ześle deszcz, nim ci ludzie zrozumieją, że mają nam coś do zawdzięczenia».

Oboje poszli na górę. Abba Chilkija stanął w jednym kącie pokoju, żona w drugim, i zaczęły się modlić. Po pewnym czasie na niebie ukazała się chmura nad głową żony, po kilku chwilach nad miejscem, gdzie stał Abba Chilkija.

Abba Chilkija zeszedł do przysłanych.

«W jakiej sprawie przyszliście?» — spytał.

«Posłali nas obywatele prosić cię, żebyś się pomodlił do Boga o deszcz».

«Chwała niech będzie Bogu za to, że już zesłał deszcz, i nie potrzebujecie już mnie prosić».

«Wiemy, że Bóg zesłał deszcz tylko ze względu na ciebie. Ale powiedz nam, dlaczego chmury ukazały się wprzód nad głową twojej żony, a dopiero później nad miejscem, gdzie ty stałeś».

«Dlatego, że moja żona jest w domu i daje biednemu chleb, który może natychmiast jeść. A ja daję biednemu pieniądze, których natychmiast spożyć nie może».

Do Chanana, wnuka R. Choniego, posyłali obywatele w czasach posuchy prosić go, żeby się modlił do Boga o deszcz.

Raz posłano do niego dzieci, które uchwyciły się poły jego płaszcza i zaczęły wołać:

«Tatusiu! tatusiu! daj nam deszcz!»

Chanana zaczął wołać do Boga:

«Panie świata! Uczyni to dla tych dzieci, które nie umieją odróżnić Tatusia, dającego deszcz, od tatusia, który deszczu dać nie może».

Rabbi Chanana, syn Dosy, był uczniem Rabbi Jochanana, syna Zakkaja. Gdy syn ostatniego zachorował, R. Jochanan zaczął prosić R. Chaninę.

«Synu mój Chanino! Proś Boga o litość nad moim synem».

Rabbi Chanana pomodlił się do Boga. Chory wyzdrowiał.

«Czy naprawdę Chanina jest większy od ciebie?» — spytała żona R. Jochanana.

«Nie» — odrzekł R. Jochanan. — «On jest bliższy Bogu niż ja. On stoi przed Bogiem jak sługa przed panem, ja zaś — jak dygnitarz przed królem».

Rabbi Chanana, syn Dosy, szedł pewnego dnia drogą i niósł kosz z solą na głowie. Było to wiosną. Nagle z nieba zaczął padać ulewny deszcz. R. Chanina zawołał:

«Panie świata! Całemu światu przyjemnie, tylko Twój Chanina się martwi!»

Nagle deszcz ustał. R. Chanina szedł dalej. Gdy przyszedł do domu, na niebie wciąż świeciło słońce. Przed izbami stali wieśniacy i z troską w oczach wyglądali deszczu. R. Chanina zawołał:

«Panie świata! Cały świat się martwi, tylko Twojemu Chaninie przyjemnie!»

Z nieba znów zaczął padać ulewny deszcz.

Rabbi Chanana, syn Dosy, żył w wielkiej nędzy. Oddawał się całej nauce Bożej i nie miał czasu na pracę zarobkową. Żona szczególnie trapiła się biedą.

Pewnego razu zawołała:

«Jak długo tak będziemy cierpieć nędzę?»

«Jaką mam na to radę?» — odrzekł.

«Masz tyle zasług u Pana Boga. Pomódl się do Niego, żeby ci zesłał już teraz choć małą odrobinę rozkoszy, przygotowanych dla sprawiedliwych w raju».

R. Chanana zaczął się modlić. Z nieba ukazała się ręka i rzuciła im nogę stołową, całą szczerozłotą.

Następnej nocy żona R. Chaniny miała sen. Zdawało się jej, że jest w niebiosach. Przed sobą widzi wielką komnatę, w której przy stołach ze szczerego złota siedzą sprawiedliwi i uczują. Tylko jej mąż siedzi przy stole również złotym, ale o trzech nogach.

Kobieta poczuła straszny ból: słaba duchem, tak prędko nie mogła się pogodzić z nędzą żywota ziemskiego i zmusiła męża, żeby uszczuplił nagrodę rajska!

Gdy się obudziła nazajutrz ze snu, głęboko zawstydzona, zaczęła prosić męża, żeby się pomodlił do nieba, żeby zpowrotem odebrano zrzuconą nogę.

R. Chanana zaczął się modlić. Z nieba ukazała się ręka, wzięła złotą nogę stołową i znikła.

Tak stał się R. Chaninie jeszcze większy cud niż pierwszy. Bóg daje, lecz nie odbiera.

W niebiosach codziennie rozlegał się głos skargi. To Bóg zawodził i mówił:

«Cały świat stworzyłem dla mojego syna Chaniny. Wszyscy ludzie dzięki niemu żyją. Wszystko chciałbym mu oddać. A on zadowala się miarką chleba świętojańskiego od jednej soboty do drugiej!»

Rabbi Jose najał robotników do pracy w polu. Zostawił syna do doglądania roboty i wrócił do miasta. Nastąpiło południe, Rabbi Jose nie wracał. Robotnicy byli głodni. Usiedli pod figowcem i czekali, aż przyniosą obiad. Ale nikt nie nadchodził. Młodzieniec zmartwiony stanął przed figowcem i zawołał:

«Drzewo! drzewo! Nie nastąpiła jeszcze pora dojrzwania twych owoców. Ale robotnicy ojca są głodni».

W tej chwili drzewo pokryło się dojrzałymi figami. Robotnicy zaczęli je zrywać. Zerwali wszystkie i nasycili się.

Tymczasem nadszedł Rabbi Jose i zaczął się usprawiedliwiać:

«Przebaczcie mi» — zwrócił się do robotników. — «Miałem ważną sprawę Bożą do załatwienia».

«Nie martw się» — zawołali. — «Niech cię Bóg nasyci, jak nas twój syn nasycił». «Jakim sposobem?»

Robotnicy opowiedzieli mu cud z figowcem. Rabbi Jose zawołał:

«Synu mój! Trudziłeś twego Stwórcę, żeby drzewo dało światu owoce przedwcześnie. Zejdź przedwcześnie z tego świata!»

Ten sam Rabbi Jose miał piękną córkę. Pewnego dnia zobaczył jakiegoś człowieka, który się jej przyglądał przez szparę w płocie.

«Co robisz?» — zawołał.

«Jeżeli mi nie będzie dane pościć twoją córkę» — zawołał ów człowiek — «czy nie wolno mi jej przynajmniej zobaczyć?»

Rabbi Jose zwrócił się do córki i zawołał:

«Jesteś przyczyną bólu żywych ludzi! Wróć do ziemi, z której przysłaś, i nie wwdóź ludzi w grzech».

Mędracy siedzieli w szkole i prowadzili spór o pewnym przepisie religijnym. Rabbi Eljezer, syn Hyrkana, był jednego zdania, wszyscy inni — zdania przeciwnego. W pewnej chwili zawołał R. Eljezer:

«Jeżeli mam słuszość, niech świadczy to drzewo!»

W tej chwili drzewo przed domem przesunęło się z miejsca i stanęło o sto łokci dalej. Ale mędracy zawołali:

«Nie może drzewo rozstrzygać sporów między uczonymi!»

«Jeżeli mam słuszość» — zawołał dalej R. Eljezer — «niech świadczą ściany tej izby».

W tej chwili pochyliły się ściany izby i już miały się zapaść, gdy obecny R. Jehoszua ofuknął je:

«Jeżeli mędracy toczą między sobą spory o przepisach religijnych, co to was obchodzi?!»

Ściany zatrzymały się pochylone: nie śmiały się wyprostować z uszanowania przed R. Eljezerem i bały się runąć ze strachu przed R. Jehoszuem. Do dziś dnia ściany tej izby są pochylone.

«Jeżeli mam słuszość» — wołał dalej R. Eljezer — «niech świadczą Niebios!»

W tej chwili rozległ się głos z nieba:

«Nie spierajcie się z R. Eljezerem! Prawo jest zawsze według niego!»

«Niebios» nie mają tutaj nic do powiedzenia!» — zawołał R. Jehoszua. — «Już dawno sprawa ta została rozstrzygnięta na górze Synaju. «Tora» powiada: w razie sporu między mędracami o prawie rozstrzyga większość».

Gdy później R. Natan spotkał proroka Eljasza, spytał go:

«Co zrobił Bóg święty, niech będzie błogosławiony, owego dnia podczas sporu między R. Eljezerem i wszystkimi innymi mędracami!»

Prorok odrzekł:

«Bóg się śmiał i wołał: «Zwyciężyły mnie moje dzieci, zwyciężyły mnie moje dzieci!»

O Nahumie z Gimzo opowiadano, że był ślepy na oba oczy, bez ręki, bez nogi. Żył w chałupie, która każdej chwili groziła zawaleniem. Pewnego razu chcieli uczniowie posłać mu łóżko, a następnie uprzątnąć izbę.

«Dzieci moje» — rzekł do nich Nahum — «sprzątnijcie wprzód izbę, a następnie ścielcie mi łóżko. Póki jestem w izbie, jestem pewny, że się ściany nie zawałają».

Uczniowie sprzątnęli izbę, a następnie wyprowadzili Nahuma przed dom i chcieli zabrać się do śłania łóżka. W tej chwili zapadły się ściany chałupy.

«Rabbi!» — zawołali uczniowie. — «Jeżeli jesteś tak sprawiedliwy, że tylko dla ciebie dotychczas trzymały się ściany izby, dlaczego Bóg cię uczynił chorym kaleką?»

«Dzieci moje!» — odrzekł Nahum. — «Ja sam jestem sprawcą moich nieszczęść. Pewnego razu jechałem do mojego teścia. Z sobą wiozłem tyle jedzenia, napojów i słodyczy, że można było trzy osły niemi objuczyć. W drodze spotkałem żebraka».

«Rabbi!» — wołał — «nakarm mię. Już oddawna nic nie jadłem».

«Poczekaj» — odrzekłem — «aż zsiądę z osła».

Nie zdążyłem zejść z osła, gdy biedak w mojej obecności zemdlął z głodu i wyzionął ducha. Padłem na jego ciało, wyciągnąłem ręce do Boga i zawołałem: «Oczy moje, które się nie ulitowały nad oczyma tego biedaka, niech oslepną; ręce i nogi, które się nie ulitowały nad rękoma i nogami tego biedaka, niech odpadną!»

«Biada nam» — zawołali uczniowie — «że cię widzimy w takim stanie!»

«Biada byłaby mnie» — zawołał Nahum — «gdybyście nie widzieli mnie w takim stanie, gdybym miał na tamtym świecie odpokutować za mój grzech!»

Gdy nadszedł czas śmierci Rabbi Chii, Anioł Śmierci nie miał odwagi zbliżyć się do niego i odebrać mu duszę. Pewnego razu zapukał do niego w postaci żebraka, prosząc o kawałek chleba. R. Chija dał mu jałmużnę.

«Jeżeli się litujesz nad biedakiem» — zawołał Anioł Śmierci, ukazując mu się w swej prawdziwej postaci — «dlaczego nie ulitujesz się nade mną, zmuszonym do spełnienia rozkazu Bożego?»

W tej chwili R. Chija oddał mu duszę.

Rabbi Jochanan szedł z swym uczniem Rabbi Chiją z Tyberjady do innego miasta. W drodze R. Jochanan pokazał mu jakieś pole.

«To kiedyś należało do mnie» — powiedział. — «Ale sprzedałem, żeby się móc spokojnie zajmować nauką świętej Tory».

Nieco dalej pokazał mu winnicę.

«To też było moją własnością. Sprzedałem ją, żeby się móc spokojnie zajmować Torą».

«A dlaczego nie pomyślałeś o tem» — zawołał R. Chija — «żeby sobie coś zostawić na starość? Przecież trzeba pomyśleć również o tym świecie».

R. Jochanan odrzekł:

«Czy nie uważasz, że postąpiłem rozsądnie, sprzedając coś, co było dane w ciągu sześciu dni, i kupując coś, co było dane w ciągu czterdziestu dni? Cały świat został stworzony w ciągu sześciu dni, a «Tora» została dana w ciągu czterdziestu dni».

Pytano raz r. Eleazara, jak daleko sięga cześć dla rodziców. Na to odrzekł: «Mnie pytacie o to! Pytajcie raczej Damę, syna Neliny, naczelnika Rady. Razu pewnego bila go matka sandałem w obecności całej Rady, i sandał wypadł jej z ręki; wówczas podał jej sandał, aby nie musiała się schylać». Wedle r. Chizkji, był Dama poganinem i naczelnikiem Rady w Askalonie. Nigdy nie siadał na kamieniu, na którym kiedyś siedział jego ojciec. A gdy ojciec umarł, oddawał mu cześć boską. Razu pewnego zginął arcykapłanowi z napisnika drogi kamień z napisem pokolenia Benjamin. Dowiedziano się, że Dama ma podobny kamień, i uradzono, by go kupić za 100 denarów. Kiedy Dama poszedł do domu po kamień, ojciec spał w pokoju, w którym były skarby rodzinne. Dama wrócił i opowiedział o tem kapłanom. Ci myśleli, że to wymówka, i obiecywali mu coraz więcej pieniędzy, byle już raz wydał swój klejnot. Chciano mu wreszcie dać 1000 denarów, ale Dama na to się nie zgodził. Kiedy wreszcie ojciec się zbudził, poszedł Dama do pokoju, wyjął drogi kamień i przyniósł go kapłanom. Chciano mu zapłacić 1000 denarów, lecz Dama nie chciał przyjąć więcej niż 100, mówiąc: «Czyż myślicie, że sprzedam cześć ojca za 900 denarów?»

Razu pewnego szli drogą R. Gamaljel, R. Eleazar syn Azarji, R. Jozue syn Chanani i R. Akiba i w odległości 120 mil usłyszeli okropną wrzawę. Był to głos ludu, dochodzący aż z Rzymu. Pierwsi trzej rabini zaczęli szlochać, a tylko R. Akiba zaśmiał się głośno. I zapytali rabini Akibę, dlaczego się śmieje, on znów zapytał ich



o przyczynę płaczu. Odrzekli mu: «Jakże nie mamy płakać, gdy widzimy, że poganie, składający ofiary bożkom, mają swoją stolicę i swe świątynie, a nasza świątynia leży w gruzach!» «Dlatego też ja się śmieję» — odparł R. Akiba — «bo myślę: Jeśli Pan świadczy tyle dobrodziejstw bezbożnikom, ileż więcej świadczyć będzie nam, którzy spełniamy Jego przykazania!»

Antonin rzekł do R. Judy: Ciało i dusza mogą się uwolnić od Roskiego sądu. Ciało może powiedzieć: «Dusza jest grzeszna, bo od chwili, w której mnie opuściła, leżę w grobie martwe jak kamień». Dusza natomiast może to samo powiedzieć, bo z chwilą uwolnienia się z więzów cielesnych buja w powietrzu jak ptak.

R. Juda nie zgodził się z wywodami Antonina i opowiedział mu następującą powiastkę: Pewien król miał piękny ogród, w którym rosły znakomite owoce. Dla pilnowania tych owoców ustanowił dwóch strażników, z których jeden był kulawy, drugi ślepy. Razu pewnego rzekł kulawy do ślepego: «Widzę piękne owoce, pozwól, bym usiadł na tobie i zerwał je». Tak się stało, i obaj zjedli zerwane owoce. Król zauważył brak owoców i zapytał o nie obu strażników. «Czyż mam oczy» — zawołał ślepy — bym widział twe owoce?» — «Ja nie mam nóg» — jęczał kulawy — «nie mogę się ruszyć z miejsca!» Król wsadził kulawego na ślepego i sądził ich razem; tak połączy kiedyś Pan ciało z duszą i razem je sądzić będzie.

Rabbi Samuel, syn Susartaja, przybył do Rzymu, gdy królowa zgubiła swe klejnoty. Królowa kazała ogłosić, że kto jej odda klejnoty w przeciągu 30 dni, otrzyma sowitą nagrodę, kto zaś jej odda po upływie tego czasu, poniesie karę śmierci.

R. Samuel znalazł klejnoty, lecz oddał je po trzydziestu dniach. «Czy byłeś w granicach kraju, kiedy ogłosiłam rozkaz?» — zapytała królowa. — «Tak!» — odrzekł spokojnie Samuel. «Dlaczego nie oddałeś mi klejnotów w przepisany terminie?» «Dlatego nie uczyniłem tego» — odparł Rabbi — «by mnie nie posądzono, żem to uczynił z bojaźni przed tobą, bo w istocie oddaję ci klejnoty z bojaźni Bożej».

Rabbi Jochanan mówił: «Rabini uchwalili: Jeśli się komu powie «Przekrocz Boskie przykazanie, gdyż inaczej poniesiesz karę śmierci!», wówczas ma przekroczyć przykazanie i żyć. Wyjątek stanowią: bałwochwalstwo, cudzołóstwo i morderstwo. Jeśli się jednak komu rozkaże dlatego tylko przekroczyć przykazanie, by świat widział, że Izraelci odstępują od wiary Wiekuistego, wówczas winien raczej ponieść śmierć, aniżeli przekroczyć przykazanie»

«Aby żył dzięki przykazaniom Bożym, ale by nie umierał przez nie». Rzekł Samuel: «Kto pości dla samego postu, ten jest grzesznikiem». Jest napisane: «I karze go Bóg dlatego, że zgrzeszył względem duszy». Względem czyjej duszy zgrzeszył? Względem własnej, bo sobie odmówił wina. Z tego wynika, że jeśli ten jest grzesznikiem, kto sobie odmawia wina, o ileż bardziej jest nim ten, kto sobie odmawia jadła.

## LITERATURA POTALMUDYCZNA. KOMENTARZE

IZAAK AL-FASI

(XI w.)

DECYZJE W PIENIĘŻNYCH SPRAWACH SPORNYCH

(Z jęz. arabskiego)

Matka... pewnego rana zapisała całe mienie swemu synowi Ramemu, a wieczorem tego dnia zapisała je swemu synowi Ukbie. Rame zwrócił się do Rabbi Szeszeta, który go zatwierdził w prawnym posiadaniu majątku; Ukba zwrócił się do Rabbi Nachmana, który mu również przyznał prawo do majątku. R. Szeszet zwrócił się do R. Nachmana: «Dlaczego Pan rozstrzygnął spór w ten sposób?» — «A dlaczego Pan roz-

strzygnął w inny sposób?» — «Dlatego, że pierwszy dokument jest starszy». — «Czy jesteśmy w Jerozolimie, gdzie na dokumentach podawana jest godzina?» — «Jaką więc podstawę Pan miał?» — «Postąpiłem tak na zasadzie prawa sędziego do rozstrzygnięcia według swego przekonania». — «A ja również postąpiłem na tej zasadzie» — odrzekł R. Szeszet. — «To jest niedopuszczalne» — odparł R. Nachman — «gdyż ja jestem jedynym uznanym sędzią w tej miejscowości».

...Zbadajmy przedmiot sporu między R. Nachmanem i R. Szeszetem. Trzeba tu zwrócić uwagę na jeden szczegół: ponieważ przyjmujemy, że chodzi tu o darowiznę człowieka przytomnego, to, o ile przy pierwszym akcie darowizny zachodzi «kinjan» (zewnątrzny czyn obdarzonego, nadający darowiznie znaczenie aktu prawnego), najmniejsza poprzedniość w czasie uczyniła sporny majątek nieodwołalnie własnością pierwszego obdarzonego, gdyż w tej sprawie już została wygłoszona zasada: «Jak długo po dokonaniu aktu «kinjan» może być akt ten cofnięty? — Rabba powiada: dopóty, dopóki sędziowie są na tem samym posiedzeniu. R. Josef powiada: dopóki sędziowie zajmują się tym samym przedmiotem». R. Nachman nie powinien był przeto postąpić według zasady wolnego przekonania sędziego, która może być stosowana tylko wówczas, kiedy nie można stwierdzić pierwszeństwa żadnej strony spornej. Tu jednak jedna strona już z rana weszła w pełnoprawne posiadanie mienia; druga strona nie mogła więc wszczynać żadnych roszczeń. Musimy więc przyjąć, że w tym wypadku akt «kinjanu» nie zaszedł, a majątek, składający się z nieruchomości, był tylko zapisany. Ale własność ziemska nie może przejść na własność innego człowieka przez proste napisanie dokumentu. Musi się odbyć czyn, mianowicie: wręczenie dokumentu i przejście dokumentu w ręce nowego właściciela...

---

## LITERATURA RELIGIJNO-FILOZOFICZNA

SAADJA BEN JOSEF Z FAJJUMU

(1-wsza połowa X w. po Chr.)

Z DZIEŁA p. t. «WIERZENIA I DOGMATY»

(Z jęz. arabskiego)

O duszy i jej życiu po śmierci

...Chcę teraz omówić siódmy (z istniejących poglądów w tej sprawie). Że dusza jest czemś stworzonym, wynika już z twierdzenia, że wszystko istniejące stało się, jak również z niemożliwości, żeby cośkolwiek prócz Stwórcy było wieczne. Pogląd ten znajduje potwierdzenie również w Piśmie Świętym: «Ten, który tworzy duch człowieka w jego piersi». Twórca duszy stworzył ją jako uwieńczenie ciała ludzkiego. Nasi przodkowie przysięgali na duszę, jako na coś stworzonego, np. Jeremjasz: «Jak żyje Wieczny, który w nas stworzył tę duszę». Istota duszy jest jednak tak czysta i nieskazitelna, jak czystość Sfer, jak Sfera wchłania w siebie światło i daje mu w sobie świecić. Jednak jest ona jeszcze bardziej subtelną i szlachetną; dlatego też posiada władzę myśli i mowy. Do tego twierdzenia doszedłem przez obie znane głównie podstawy poznania: postrzeganie przez rozum i słowo Pisma. Przez pierwsze poznałem mądre działanie i kierownictwo duszy bez ciała. Widziałem odkryte ciało tej mądrości natychmiast po opuszczeniu jej przez duszę. Gdyby dusza była jedynie ziemską domieszką do ciała, nie można byłoby objaśnić jej władzy mowy i myśli, jak nie posiadają tej władzy Sfery. Z tego postrzeżenia rozumu wynika, że dusza jest czemś bardziej subtelnym i czystym, niezmaconym i niez mieszanym niż istota Sfer. Potwierdzenie tego poznania znajdujemy w Piśmie Świętym, które powiada, że czyste dusze świecą jak Sfery i gwiazdy.

## MOJŻESZ BEN MAJMON

(Majmonides, 1135—1204)

## Z ARABSKIEGO KOMENTARZA DO MISZNY

## O życiu zagrobowem

...Najbardziej dziwne jest jednak, że bardzo niewielu dąży do logicznego ujęcia jądra sprawy, do zbadania pojęcia szczęśliwości jako celu ostatecznego i do zdania sobie sprawy, czy według jakiegokolwiek z wyłożonych poglądów przyszła nagroda jest rzeczywiście najwyższym dobrem i w jakim stosunku jest wartość utęsknionego celu do jego przyczyny. Pospolicie zarówno ludzie nieoświeceni, jak ludzie wykształceni, przeważnie dociekają nad tem, jak będą wyglądały pojedyncze szczegóły: czy umarli zmartwychwstaną nadzy, lub też w odzieży? Czy będą mieli na sobie całuny, te same różnobarwne, tkane i szyte szaty, w których zostali złożeni do grobu, czy też będą mieli w chwili zmartwychwstania na sobie jakąś inną odzież? A gdy przyjdzie Mesjasz, czy będą wówczas bogaci i biedni, potężni i słabi? Podobne pytania wciąż są wysuwane. Ty wszakże, czytelniku tej książki, przeczytaj uważnie porównanie, które tu przytoczę, a stanie ci się jasne, co myślę o tych rzeczach. Wyobraź sobie, że przyprowadzają małego chłopczyka do nauczyciela, od którego ma otrzymać wykształcenie. Jest to oczywiście najwyższe dobro, które można mu dać, pragnąc jego udoskonalenia. Dziecko jest jednak za młode latami i zbyt słabego rozumu, żeby zrozumieć wartość dóbr, które mu chcą dać, i ocenić korzyści, wypływające z jego udoskonalenia. Ponieważ nauczyciel jest rozumniejszy, musi więc zachęcić do nauki swego wychowanka takimi rzeczami, które temu wydają się cenne i miłe. Powiada więc do ucznia: «Czytaj, dam ci za to orzechy, figi, miód». Chłopczyk czyta gorliwie, nie dlatego, że znajduje przyjemność w książce i upatruje pożytek w czytaniu, lecz dlatego, że spodziewa się rzeczy słodkich i smacznych, które zostały mu obiecane, jako nagroda, i mają dla niego większą wartość niż cała nauka...

## Z rozdziału o Mesjaszu

Nie myśl, że król Mesjasz będzie czynił cuda, tworzył nowe rzeczy, wskrzeszał zmarłych lub czynił inne rzeczy, jakie sobie wyobrażają głupcy. Nic podobnego nie trzeba się od niego spodziewać... Gdyby powstał król z rodu Dawidowego, który się odda «Torze», wzorem swego protoplasty Dawida, spełniałby nakazy zarówno pisanej, jak ustnej nauki i nakłoniłby lud Izraela, aby żył według «Tory», można go uważać za Mesjasza. Jeżeli się okaże, że jego działalność będzie miała przebieg pomyślny, że zwycięży ludy, sąsiadujące z Palestyną, odbuduje świątynię i skupi rozproszony lud Izraela, wówczas nie będzie żadnej wątpliwości, że jest prawdziwym Mesjaszem. Jeśli mu jednak szczęście nie będzie sprzyjało i polegnie w walce, to widocznie nie jest tym, którego zesłanie było nam przyobiecane. Jest on jednym z tych pobożnych królów z rodu Dawidowego, którzy zginęli, i być może, że go Bóg posłał tylko dla wypróbowania serc Izraela.

## MOJŻESZ BEN NACHMAN

(XIII w.)

## Z ROZPRAWY O ZALETACH RELIGJI MOJŻESZOWEJ, WYGŁOSZONEJ PRZED KRÓLEM JAKÓBEM W SARAGOSIE

...Niektórzy ludzie wierzą, że świat nie jest kierowany cudami Bożemi, lecz istnieje na podstawie jednorazowego przyrodzonego urzędzenia. Wielu myślących uczonych doszło do tego wniosku. Jeżeli jednak zbadamy te sprawy uważnie, znajdziemy, że nie możemy mieć udziału w nauce mojszeszowej, jeżeli nie jesteśmy przejęci prze-

konaniem, iż niema na świecie nic naturalnego, i że wszystko, co nas otacza, wszystko co się przez nas dzieje, dzieje się tylko drogą cudów. Już obietnice «Tory» mogą wszystkie być objaśnione tylko jako cud. Kto się zastanowił uważnie, zauważy, że jeżeli np. podług Pięcioksięgu Mojżeszowego człowiek sprawiedliwy ma w nagrodę otrzymać żywot długi i szczęśliwy, bez bólu i choroby, albo też jeżeli w prorocत्वach Jeremjasza nad pewnym człowiekiem zostaje wygłoszony wyrok «w tym roku umrzesz», — wszystko to może się stać tylko drogą takiego samego cudu, jak rozstąpienie się morza Czerwonego i inne nadzwyczajne rzeczy, które się zdarzyły przy wyjściu żydów z Egiptu. Gdyby natura sama wszystko czyniła, żaden człowiek nie doznałby zmiany w przebiegu swego żywota wskutek swych dobrych i złych czynów. Jeżeli jednak wierzymy, że Bóg dla ukarania grzesznika czyni kres jego życiu przed jego naturalnym końcem, musimy to uważać za cud taki sam, jak przejście żydów przez morze Czerwone i potopienie Egipcjan.

#### Z FILOZOFICZNO-ALEGORYCZNEJ EGZEGEZY PISMA ŚWIĘTEGO

(Z listu Szymona, syna Józefa, do Menachema, syna Salomona)

...Synowie praojca Jakóba i innych świętych ludzi stają się świeckimi pojęciami... Córka Jakóba, Lea, jest czującą duszą, a jej synowie — to pięć zmysłów i zmysł ogólny: Ruben — zmysł wzroku, Szymon — słuchu, Lewi — dotyku, Jehuda — powonienia, Isachar — smaku... Zebulun — zmysł ogólny. Dina jest oddziaływaniem wyobraźni na zmysły.

### LITERATURA KABALISTYCZNO-MISTYCZNA

#### Z MISTYCZNEJ KSIĘGI ANIOŁA RAZJELA

(X—XII w.)

Na trzeci dzień po tej modlitwie (przed pierwszym człowiekiem) zjawił się Anioł Razjeł, siedząc nad brzegiem rzeki, wypływającej z Raju, i był z nim, aż słońce stało wysoko na niebie. W ręku miał księgę. Anioł rzekł do Adama:

«Czemu się martwisz, czemu jesteś smutny i stroskany? Od tego dnia, kiedy stałeś tu, modląc się i płacząc, słowa twe zostały usłyszane. Zjawiłem się tu przed tobą, żeby ci dać poznać czystą wiedzę i wzniosłą mądrość i odkryć ci słowa tej Świętej Księgi. Dowiesz się z niej o wszystkim, co się z tobą stanie aż do dnia twej śmierci. Każdy z twoich potomków, którzy powstaną po tobie, każde z następnych pokoleń, które z czystą myślą i kornym duchem będzie czytało tę księgę i za twoim przykładem będzie spełniało wszystko to, co w niej jest napisane, — wszystkim księga odkryje to, co się wydarzy w każdym miesiącu, w dzień i w nocy. Wszystko będzie dla nich otwarte, wiadome i jasne: kiedy będzie klęska albo głód, deszcz lub posucha, urodzaj lub nieurodzaj...»

Anioł Razjeł otworzył księgę i zaczął ją odczytywać Adamowi. A gdy Adam usłyszał słowa Świętej Księgi z ust Anioła, padł w przerażeniu na twarz. Ale Anioł rzekł:

«Wstań, zbierz odwagę. Weź tę księgę z mojej ręki i dawaj na nią baczenie. Z niej będziesz czerpał wiedzę i poznanie i udzielał je każdemu, który tego będzie godzien».

A gdy Adam wziął księgę, na brzegu rzeki wytrysnął wgórę płomień i wśród języków ognia Anioł uniósł się ku niebiosom. W tej chwili Adam zrozumiał i poznał, że to był Anioł Boży, a księga była mu posłana od Świętego Króla.

## AZRIJEL SYN MENACHEMA

(XII—XIII w.)

## Z DZIEŁA MISTYCZNEGO

Nieskończony jest Doskonałością bez żadnej skazy. Jeżeli więc ktoś twierdzi, że Nieskończony posiada siłę nieograniczoną, lecz nie posiada siły do Nieograniczonego, tem samem przypisuje jego doskonałości skazę. Jeżeli zaś twierdzimy, że świat ograniczony, który pierwotnie od Nieskończonego pochodzi, jest tym naszym światem, przypisujemy skazę sile, pochodzącej od Nieskończonego, gdyż ten świat nie posiada cechy doskonałości. A ponieważ nie można przypisywać żadnej skazy doskonałości Nieskończonego, musimy więc z konieczności twierdzić, że posiada siłę do ograniczonego, która jest jednocześnie bezgraniczna. Treścią ograniczoną, od Nieskończonego pochodzącą, są Sfery, posiadające zdolność do doskonałości i zdolność do niedoskonałości. Kiedy przyjmują pełnię treści, wypływającą z jego doskonałości, wówczas stają się siłą doskonałą, a gdy niema tego wypływu, nabierają siły niedoskonałej. W ten sposób posiadają zdolność działania w sposób doskonały i niedoskonały. Doskonałość i niedoskonałość tworzą podstawę różnicy między wszelkimi rzeczami. Jeżeli więc mówimy, że Nieskończony sam bez Sfer skierował swoją wolę na stworzenie świata, można temu zarzucić, że ksenie świadczy o skazie w chcącym. Jeżeli zaś powiemy, że Jego wola nie została skierowana na stworzenie, można temu zarzucić, że w takim razie stworzenie powstało przypadkowo; nic jednak, co powstało przypadkowo, nie może mieć ustalonego porządku. Widzimy jednak, że świat stworzony istnieje na podstawie ustalonego porządku, według tego porządku staje się i według niego przemija. Tym porządkiem, według którego rzeczy istnieją i przemijają, są Sfery, one bowiem są siłą dla wszystkiego, co istnieje, o tyle, o ile ono się układa w pojęciu liczby. A ponieważ istnienie stworzonych rzeczy jest umożliwione przez Sfery, są one od siebie odmienne, i posiadają punkt najwyższy i najniższy, choć pochodzą wszystkie z jednego pierwiastka i powstały z jednej Nieskończoności, poza którą nic nie istnieje.

## MOJŻESZ BEN NACHMAN

(XIII w.)

## Z WSTĘPU DO MISTYCZNEGO KOMENTARZA PIĘCIOKSIĘGU MOJŻESZOWEGO

...Wiemy dalej, że cała «Tora» składa się z imion Boga. Otrzymamy je, jeżeli będziemy słowa Pięcioksięgu czytali w innym porządku, niż je zwykle czytamy. Wyobraź sobie na przykład, że czytamy pierwszy wiersz «Tory» tak, iż powstają inne słowa, które mogą być rozumiane jako imiona Boskie. To samo dotyczy całej «Tory»... Nasz mistrz Salomon podał w swym komentarzu do «Talmudu», co trzeba rozumieć pod imieniem Bożem, składającym się z siedmdziesięciu dwóch liter i zawartem w trzech wierszach, w 2-giej księdze Mojżesza, rozdz. 14, 19—21. Z tego też powodu nie wolno używać egzemplarza «Tory», w którym jest o jedną literę za dużo lub za mało... Zdaje się, że ów pierwotny prawzór «Tory», pisany płomieniem na płomieniu, był utworzony bez podziału na pojedyncze słowa, tak, że litery mogły być dzielone na słowa, zawierające imiona Boskie, albo też podzielone na słowa, zawierające nasze pospolite czytanie, podające znane nam nauki i nakazy. W tem drugim czytaniu «Tora» została dana Mojżeszowi, gdy natomiast pierwsze czytanie podług imion Boskich było przekazywane ustnie.

## ZOHAR

## Z WSTĘPU

Rabbi Chija padł na ziemię, zaczął całować proch i wołać z płaczem:

«Prochu! prochu! Jaki ty jesteś twardy, jaki bezwzględny! Wszelką radość oczu ludzkich pochłaniasz, wszystkie słupy ogniste świata druzgoczesz! Jak bezwzględny

jesteś! Święte światło, które świeciło światu, potężnego, wzniosłego władcę duchów, którego zasługą świat stoi, wchłonałeś w siebie: Rabbi Szymonie, blasku światła, światło świata! Proch ziemski ciebie pochłonał, a jednak dalej prowadzisz świat».

Na chwilę przerwał Rabbi Chija; potem mówił dalej:

«Prochu! prochu! Nie wynos się w próżnej dumie! Słupy świata nie będą tobie oddane, Rabbi Szymon nie będzie przez ciebie pochłonięty».

Rabbi Pinchas, teść Rabbi Szymona ben Jochai, odwiedził Rabbi Rechumai na brzegu jeziora. Rabbi Rechumai był mężem wysokiego wzrostu w sędziwym wieku, a wzrok miał przyćmiony starością. R. Rechumai rzekł do R. Pinchasa:

«Słyszałem, że nasz towarzysz Jochai jest w posiadaniu drogocennej perły. Widziałem jej światło. Świeci blaskiem najbardziej płomiennego słońca. Światło to stoi między niebem a ziemią i oświetla cały wszechświat. Będzie ono świeciło światu aż do chwili, kiedy przyjdzie Stary Świata i nastąpi Sąd Ostateczny. Światło to weszło całe do twego domu, a z niego wyjdzie twój wnuk, wąska smuga światła, która przedostanie się nazewnątrz i oświetli świat cały. Szczęśliwy jesteś, mój synu. Spiesz stąd do owej perły, gdyż godzina jest nam przyjazna».

Rabbi Pinchas wyszedł i chciał już wsiąść do łodzi, która w tej chwili przepływała. W łodzi siedziało dwóch ludzi. Wtem zobaczył dwa ptaki, przelatujące nad wodą.

«Ptaki! ptaki!» — zaczął wołać. — «Lecicie nad wodą. Czy nie widziałyście miejsca, gdzie przebywa syn Jochai?»

Ptaki zatrzymały się na chwilę.

«Ptaki! ptaki!» — wołał dalej R. Pinchas. — «Polećcie i przynieście mi odpowiedź».

Ptaki odleciały. R. Pinchas wsiadł do łodzi i popłynął morzem. A gdy już był u celu podróży i wysiadł z łodzi, w powietrzu nad jego głową zaszumiały skrzydła. Nadleciały te same ptaki. Jeden miał w dziobie tabliczkę, na której były napisane słowa: «Syn Jochai i R. Eleazar, jego syn, opuścili pieczarę». R. Pinchas udał się do niego i znalazł go chorego, pokrytego trądem. R. Pinchas pochylił się nad nim i zaczął wołać z płaczem:

«Biada mi, że widzę cię w takim stanie!»

Tamten odrzekł:

«Szczęśliwy jestem, że mnie widzisz w takim stanie. Gdybyś mnie nie widział w tym stanie, nie byłbym teraz tem, czem się stałem».

(Utwór mistyczny, przypisywany Szymonowi ben Jochai z II w. po Chr., ale prawdopodobnie napisany przez Mojżesza ben Szemtob de Leon z drugiej połowy XIII w.)

## LITERATURA KRONIKARSKO-HISTORYCZNA

### Z KRONIKI HISTORYCZNEJ p. t. «JOSIPPON»

#### POCHÓD ALEKSANDRA

Podbiwszy cały kraj, Aleksander w towarzystwie wielu mieszkańców jego wyszedł z Medji przez wielką pustynię. Przyszli do bardzo nisko położonej doliny, przez którą szli pięć dni. Znaleźli tu nieznanne dzikie zwierzęta, owoce i ludzi karłowatego wzrostu, których Grecy nazywają małpami. Chciano ich schwytać żywcem, ale uciekali. Ludzie Aleksandra zabili sto dwudzieścia z tych stworzeń, przyczem trzech ludzi poległo. Stąd Aleksander pociągnął do Słowaków i znalazł tam dzikich ludzi, żyjących w lasach, wzrostu olbrzymów, o lwich twarzach, niezwykle silnych, w skórzanych przepaskach na biodrach. Nie posiadali żadnego oręża, ale maczugami i kamieniami zabili stu pięćdziesięciu ludzi. Aleksander kazał podpalić las, i dzicy uciekli przed ogniem. Podczas dalszego pochodu znaleziono wielkie zwierzęta, wysokości czterech łokci, o trzech oczach i pstrej skórze... Stąd podążył do innej miejscowości, gdzie znaleziono olbrzymiego włochatego człowieka. Napróżno usiłowano schwytać go.

Rzucono mu więc kobietę w nadziei, że się do niej zapali, i łatwiej go będzie złapać. Ale dziki pożarł ją. Pognano za nim aż do lasu. Tu dziki zaczął wołać coś w swoim języku, i z lasu wybiegło wielu do niego podobnych ludzi. Na rozkaz Aleksandra podpalono las. Dzicy zaczęli uciekać, i pięciuset z nich złapano. Nie mieli jednak ludzkiego rozumu i szczekali jak psy; puszczono ich więc wolno. Dalej znaleziono drzewa, które w ciągu pierwszych sześciu godzin dnia wyrastały z ziemi, a w ciągu następnych sześciu godzin znów się pod ziemię zapadały. Z drzew kapał wonny sok..., którym mędrcy Persji kadzili przed swoją boginią Mądrości. Król kazał ściąć kawałek drzewa i zbierać sok. Ale gdy ludzie zbliżyli się do drzew, żeby wykonać rozkaz królewski, zaczęły na nich padać razy niewidzialnych różeg, a w powietrzu rozległ się głos: «Nie ścinajcie gałęzi drzew i nie zbierajcie ich soku, albowiem umrzecie!»

(Prawdopodob. w X w. we Włoszech)

## EFRAIM SYN JAKÓBA

### Z KRONIKI

#### O prześladowaniach żydów w Niemczech podczas drugiej wyprawy krzyżowej (XII w.)

W owym roku, kiedy przyszedł zaciekły szatan, żeby sprawić zniszczenie w Izraelu, gminy żydowskie zaniepokoiły się, wszędzie zapanowało przerażenie. Było to w roku 4906 od stworzenia świata (1146 po Chr.). W owym roku przyszli wrogowie i zaczęli dręczyć lud Izraela. Niecny mnich Rudolf niemiłosiernie prześladował żydów i uzbroidł się przeciw ludowi Bożemu, żeby go wzorem nikczemnego Hamana wytepić. Przyszedł z Francji i przebiegał całe Niemcy — niech je Bóg ma w swej opiece — werbując chrześcijan i znacząc ich krzyżem. Nazwano go kaznodzieją krzyża, gdyż chodził wszędzie i głosił wyprawę do Jeruzolimy i wojnę z muzułmanami. Gdziekolwiek się ukazywał, we wszystkich krajach mówił złe o żydach i podjudzał źmije i psy przeciwko nam, mówiąc: «Pomścicie przedtem Ukrzyżowanego na jego wrogach, którzy żyją wśród was, a następnie wyruszenie na wojnę przeciw muzułmanom!» Usłyszeliśmy o tem, i serce nasze stopniało. Upadliśmy na duchu przed zawziętością wroga, który zaprzysiął nam zgubę, i zaczęliśmy wołać do naszego Boga: «Panie Boże! Dopiero upłynęło pięćdziesiąt lat od czasu, kiedy przelano naszą krew dla Twego świętego imienia owego dnia Wielkiej Rzezi. Czy chcesz na wieki nas opuścić i na wszystkie pokolenia wylać swój gniew? Czy dwa razy ma się stać to samo nieszczęście?»

Przedwieczny usłyszał nasze błagania, ulitował się nad nami w swem miłosierdziu i posłał za pierwszym mnichem innego, czcigodnego, jednego z największych i najbardziej szanowanego z wszystkich mnichów, który znał i rozumiał ich prawo. Imię jego było Bernard z miasta Clairvaux we Francji. Ten również ich zwyczajem wygłaszał kazania i przemawiał do ludu w sposób następujący:

«Pięknie to z waszej strony, że chcecie wyruszyć przeciw muzułmanom. Kto jednak tknie żyda z zamiarem zamordowania go, grzeszy, jakgdyby się porwał na Chrystusa samego. Mój uczeń Rudolf, który występował przeciw nim, głosząc ich tępienie, mówił niestusznie. Napisane jest bowiem w Księdze Psalmów: Nie zabijajcie ich, żeby mój lud nie poszedł w zapomnienie...»

## JÓZEF HAKOHEN

(XVI w.)

### Z DZIEŁA HISTORYCZNEGO

#### O Dawidzie Reubenim i Salomonie Molcho

Pewien żyd, imieniem Dawid, przybył z dalekich krajów, został przyjęty przez króla portugalskiego i rzekł doń:

«Jestem Hebrajczykiem i cześć Boga Niebios. Posyła mię mój brat, król żydowski, prosić ciebie, mój panie i królu, o pomoc. Jeśli nam pomożesz, rozpoczniemy wojnę z Turkiem Solimanem i wyrwiemy mu Ziemię Świętą».

Na to odrzekł król:

«Pokój tobie. Posłę cię do papieża i, co on powie, to uczynię».

Poczem pozwolono mu odejść. Dawid spędził kilka dni w Lizbonie. Marani dali wiarę jego słowom i mówili między sobą: «To jest nasz zbawiciel, Bóg go nam posłał». Zaczęli się zbierać dokoła niego i składać mu dowody wysokiej czci. Stąd udał się do Hiszpanji. We wszystkich miastach, przez które przeciągał, zbiegały się doń wielkie tłumy żydów, żyjących tam na wygnaniu. Dawid budził wielki niepokój w sercach tych ludzi. Z Hiszpanji pojechał przez Francję, a stamtąd przez Awinjon dotarł do Włoch. Tu kazał utkać kunstowne chorągwie, na których wypisał Imię Boga. Wielu dało mu wiarę. W drodze przybył również do Bolonji, Ferrary, Mantui i zapowiedział, że za zgodą królów chrześcijańskich zamierza zebrać wszystkich żydów i poprowadzić do swego kraju. Miał również audjencję u papieża. Słowa jego budziły przestrasch u żydów.

«Co uczynimy» — pytali zaniepokojeni — «z naszymi żonami i małymi dziećmi, kiedy wszyscy pociągniemy na wojnę?»

«Nie bójcie się» — odpowiadał im Dawid. — «Waszym żonom i dzieciom w naszym kraju nie zbraknie na niczem. Bóg się niemi zaopiekuje».

Dawid sfalszował pismo, o którym opowiadał:

«Król, mój brat, przysłał mi go. Napisał go i pieczętował pieczęcią królewską». Nastąpił jednak dzień, kiedy jego tajemnica została odkryta, i przestano mu dawać wiarę, gdy zaczął tworzyć prawa występne.

Wówczas wykwitła różdżka z Portugalji. Imię jej był Salomon Molcho, pochodzenia izraelskiego. Był młodym pomocnikiem u pisarzy królewskich. Gdy poznał Dawida, Bóg obudził skruczę w jego sercu. Nawrócił się do wiary swych przodków i dał się obrzezać. Choć nic nie wiedział o Świętej Torze i nie znał ksiąg świętych, w krótkim czasie z pomocą Boską nabył więcej wiedzy niż mędrcy. Wszyscy podziwiali go. Salomon wyruszył do Włoch i tu miał odwagę głosić wobec królów naukę naszego Boga, nie osłaniając swego oblicza. Z Włoch udał się do Turcji, następnie powrócił do Rzymu i otrzymał audjencję u Klemensa. Ostatni obdarzył go swemi względami i wbrew woli teologów dał mu piśmienne pozwolenie — z własnoręcznym podpisem i pieczęcią — mieszkać wszędzie i przyznawać się otwarcie do swej wiary. Wkrótce poznał Dawida Reubeniego i od tego dnia losy ich zostały złączone.

## JÓZEF, SYN IZAAKA

Z DZIEŁA HISTORYCZNEGO (1673)

### O Dawidzie Al-Roi

W roku 4923 (1163 po Chr.) zjawił się mąż, imieniem Dawid Al-Roi z miasta Amadija. Był on uczniem Naczelnika Wygnania, Rabbi Chisdai, i Gaona Jakóba w Bagdadzie. Dawid był wielce czytany zarówno w Biblii i Talmudzie, jak w naukach świeckich, w języku i literaturze Arabów, w księgach mistycznych.

Dawid powziął zamiar powstać przeciw królowi perskiemu i skupić żydów pod jednym sztandarem, żeby rozpocząć wojnę przeciw państwu i opanować Jerozolimę. W tym celu pokazał żydom fałszywe znaki i oznajmił, że Bóg posłał go na podbój Jerozolimy. Część żydów uwierzyła mu i ogłosiła Mesjaszem.

Gdy się dowiedział król perski, co Dawid uczynił, i jak mu się udało skupić rzesze ludzkie dookoła siebie, opanował go strach. Wysłał więc gońca królewskiego do Dawida z poleceniem przybycia do niego i zapewnieniem całkowitego bezpieczeństwa. «Król pragnie przekonać się naocznie o prawdziwości jego znaków i czynów. Jeżeli znaki te okażą się prawdziwe, król przekona się, że Dawid jest naprawdę Me-



sjaszem i od Boga przychodzi». Dawid bez obawy przyszedł do króla. Na pytanie króla: — «Czy jesteś królem żydowskim?» — odpowiedział: — «Jestem nim, gdyż Bóg mię posłał, abym wyzwolił dzieci Izraela».

Król rozkazał schwycić go i wtrącić do więzienia.

Upłynęło trzy dni. Pewnego dnia król rozmawiał z swymi książętami i dworzaczami o żydach. Wtem ujrzał, jak zbliża się doń Dawid, który bez niczyjego pozwolenia opuścił więzienie. Na jego widok król zawołał z przerażeniem:

«Kto cię tu przyprowadził?»

«Moja wiedza» — odparł Dawid — «pomogła mi, — wogóle nie boję się ciebie».

«Schwytać go!» — zawołał król gromkim głosem.

Lecz książęta i dworzanie odrzekli:

«Nie widzimy go wcale. Słyszymy tylko jego głos».

Król oniemiał z podziwu nad wiedzą Dawida. Ostatni rzekł:

«Idę teraz moją drogą».

W towarzystwie króla, jego książąt i dworzan Dawid poszedł na brzeg rzeki, zdjął z głowy turban, rozłożył go na powierzchni wody i na nim w obecności wszystkich dworzan królewskich przebył rzekę. Studzy królewscy pognali za nim na czołnach, ale nie mogli go dogonić. W przerażeniu zaczęli wołać:

«Niema bardziej potężnego czarownika na świecie, niż Dawid!»

W ciągu tego samego dnia Dawid z pomocą zaklęć imieniem Bożem przebył drogę dziesięciu dni, opowiadając wszędzie o tem, co mu się stało, i budząc podziw swoją wiedzą.

Wówczas Władca Wiernych posłał do kalifa bagdadzkiego, władcy muzułmanów, z poleceniem pomówienia z Naczelnikiem Wygnania i naczelnikami gmin żydowskich, żeby wpłynęli na Dawida, aby zaprzestał swych czynów; w przeciwnym razie król każe wytepić wszystkich żydów w państwie.

Był wówczas w całej Persji rok kłęski. Żydzi napisali do Naczelnika Wygnania i naczelników szkół w Bagdadzie pismo następującej treści: «Dlaczego mamy ginąć w waszych oczach? Nie pozwalajcie na to, żeby ten mąż sprawił przelew niewinnej krwi w Izraelu».

Naczelnicy szkół wysłali do Dawida następujące pismo: «Godzina zbawienia jeszcze nie nastąpiła, gdyż nie w sile cielesnej leży moc męża; od Boga musi przyjść pomoc. Żądamy od Ciebie, żebyś zaprzestał tego postępowania. W przeciwnym razie zostaniesz wyklęty i usunięty z Izraela».

W ten sposób chciano naprowadzić Dawida na drogę rozsądku. Ale Dawid drwił z tego pisma. Nie dał żadnej odpowiedzi i nie usłuchał tych rad. Wówczas Bóg miłosierny sprawił, że władca Turków, Zajn-ed-Din, lennik króla perskiego, przyjaciel żydów i znajomy teścia Dawida, rzekł do niego:

«Wiesz o tem, że twoi współwyznawcy są w wielkiej biedzie. Musisz ich ocalić. Również w kłopotcie jest król perski. Ręczę również, że żydzi zapłacą ci dziesięć tysięcy złotych».

Tego samego wieczora teść zaprosił Dawida na ucztę i napoił go winem. A o północy, gdy Dawid spał pijany, ściał mu głowę i zaniósł ją Zajn-ed-Dinowi.

Tak zapanował spokój w kraju.

## LITERATURA PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNA

### ZE SPRAWOZDANIA O PODRÓŻY ELDADA DANITY

(W końcu IX w.)

Bawi u nas człowiek, imieniem Eldad, z plemienia żydowskiego Danitów, który nam opowiedział, że cztery (z dawno zaginionych plemion żydowskich), mianowicie: Dan, Naftali, Gad i Aszer, żyją razem w jednej miejscowości. Nazwa tej miejscowości jest Wschodnia Chawila, w której znajduje się złoto. Ich sędzia nazywa się Abdon.

Żyją oni w namiotach, jako koczownicy, i prowadzą wojnę z siedmiu królami Etopji. Ich kraj ma długość siedmiu miesięcy drogi i z trzech stron graniczy z wrogimi państwami pięciu z wymienionych królów. Dlatego muszą wciąż prowadzić wojny. Ludzie słabi i miękkiego serca poświęcają się Bogu, jako nauczyciele wiedzy.

Posiadają oni całą Torę, lecz nie czytają «Księgi Estery», gdyż opowiadanie o cudownym ocaleniu żydów perskich nie dotyczy ich przodków. Nie czytają również «Trenów Jeremjasza», żeby nie stracić hartu ducha. W całym ich Talmudzie niema imienia żadnego mędrca. Wszystkie nakazy są przytaczane w imieniu Jozuego, który je otrzymał od Mojżesza, który je słyszał od Boga.

Wszyscy zdrowi mężczyźni są wojownikami. Wojownicy z plemienia Dan co rok wyruszają na trzy miesiące w pole przeciw nieprzyjacielowi. W piątek wieczorem schodzą z koni, gdziekolwiek się znajdują. Jeżeli nieprzyjaciel na nich nie napada, świętują dzień sobotni według nakazów. Jeżeli zaś zbliża się nieprzyjaciel, idą w bitwę, nie zważając na wszelkie zakazy wiary. Wśród tego plemienia żyją jeszcze potomkowie Samsona i Dalili. Idą oni w bitwę pieszo.

Po upływie trzech miesięcy wojownicy plemienia Dan wracają z pola bitwy z bogatą zdobyczą, którą składają w ręce króla. Król rozdaje ją wszystkim wojownikom, dając każdemu jednakową część. Swoją własną część król rozdaje mędrcom i uczonym. Następnie wyruszają kolejno inne trzy plemiona. W ten sposób przez rok cały toczą się bitwy na granicach państwa.

#### PIEŚŃ WOJENNA CZTERECH PLEMION

Nie przystoi bohaterowi uciezka.  
 Pięknie ciągnąć w pole.  
 Młodzieniec niechaj umiera, a nie ucieka,  
 Niechaj umocni swoje serce, Bóg jest mu światłem.  
 Na nim niechaj polega,  
 Do niego w bitwie niechaj oczy podnosi.  
 Blask ostrza miecza  
 W jego sercu radość niechaj budzi.  
 Z uciechą niechaj słucha  
 Rżenia konia, który staje dęba.  
 W pole, młodzieńcze, śpiesz!  
 Kobiety Etopji miłą ci będą zdobyczą.

#### BENJAMIN Z TUDELI

(XII w.)

#### Z OPISU PODRÓŻY DO AZJI I EGIPITU

##### Bagdad

Stąd prowadzi droga dwóch dni do Al-Jubar czyli Pumbadity w Nehardei. Tu żyje około 2000 żydów, włączając do tej liczby uczonych... Stąd w ciągu dwóch dni przybywamy do Bagdadu, największego miasta, stolicy państwa kalifa, Władcy Wiernych Al Abbasi z rodu ich proroka. Jest to naczelnik religijny muzułmanów, i wszyscy ich królowie uznają go władcą. Jest on ich naczelnikiem, tak samo jak papież jest naczelnikiem wszystkich chrześcijan. Jego pałac w Bagdadzie ciągnie się na trzy mile. Za pałacem jest wielki park z wszystkimi drzewami świata, zarówno owocowymi, jak leśnymi. Znajdują się tam również wszelkie rodzaje zwierząt. W parku jest jezioro, do którego woda doprowadzana jest z Tygrysu. Kiedy kalif chce mieć rozrywkę, zabawić się i wyprawić ucztę, polują w parku na ptactwo i dziczyznę i łowią ryby. Wówczas przychodzi wielki król Al Abbasi do pałacu w towarzystwie swych radców i książąt i zasiada na tronie. Król lubi bardzo izraelitów i wielu z nich przyjął do swojej służby. Zna wiele języków. Jest dobrze obeznany z naukami Mojżesza i pisze

i czyta po hebrajsku. Na swe utrzymanie chce zarabiać pracą własnych rąk. Wyra-  
bia więc rogoże i zaopatruje je własnym godłem. Jego książęta sprzedają je na rynku,  
a ludzie znakomici je kupują...

## PETACHJA BEN JAKOB

(XII w.)

### Z OPISU JEGO PODRÓŻY Z REGENSBURGA PRZEZ POLSKĘ, ROSJĘ, AZJĘ.

Rabbi Petachja opowiada, że góry Ararat znajdują się w odległości pięciu dni drogi od Babilonji. Są to wysokie góry, a najwyższa z nich ma cztery szczyty, położone naprzeciw siebie parami. Wśród tych szczytów utkwiała Arka Noego i nie mogła się z nich wydostać. Ale teraz już jej tam niema, bo spróchniała. Góry są pokryte pokrzywą i ziołami, a wraz z rosą niebieską spada tam manna. Gdy tylko słońce mocniej przygrzewa, manna topnieje, nawet jeżeli ją zbierają w nocy i przechowują. Wobec tego zbierają ją razem z pokrzywą i trawą i krają, choć są bardzo twarde. Manna jest biała jak śnieg. Gorzka trawa i pokrzywa, gotowane z manną, są słodsze niż miód i wszelki rodzaj słodczy na świecie. Gdyby gotować mannę bez pokrzywy, członki ciała rozpadłyby się od nadmiernej słodczy...

## POEZJA RELIGIJNA

ELEAZAR KALIR

(VIII lub IX w.)

### MODLITWA O ROSE

Udziel nam, Panie, ożywczej rosy,  
By suchą ziemię zwilżyć spragnioną,  
Niechaj się ziarnem napelnia kłosa,  
Rozkwitnie zboże i winne grono.  
Zwal od nas ciężkie nieszczęścia brzemię,  
I od posuchy zbaw naszą ziemię.

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy  
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Ześlij nam trochę ożywczej rosy,  
Byśmy rok mieli syty, szczęśliwy,  
Niech drzew wierzchołki strzelą w niebiosy,  
Niech zielenieją stołeczne niwy.  
Niech miasto próżne i opuszczone  
Dawnego blasku wdzieje koronę.

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy  
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy.

Niech zwilżą krople ożywczej rosy  
Ziemię przez ciebie błogostawioną,  
Chwalebne zabrzmieć nie mogą głosy,  
Kiedy boleścią drga nasze łono.  
Ześlij Twą łaskę przez ros tumany  
Na naród ongi przez Cię wybrany!

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy  
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Ześlij kropelkę ożywczej rosy  
Na pełne płodów zeschnięte góry,  
Poco z rozpaczy rwać mają włosy  
Niewinne ludu syny i córy?  
Zwilż tylko nieco nasze zasiewy,  
A ku Twej chwale zadźwięczą śpiewy!

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy  
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Udziel nam trochę ożywczej rosy,  
A pełne będą śpichlerze nasze,  
Zadźwięczą rażno sierpy i kosy,  
I my będziemy śpiewać jak ptasę.  
Duch nasz zostanie wiarą zroszony,  
Jak zbawczą rosą suche zagony.

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy  
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Ześlij kropelkę ożywczej rosy,  
By nam nie przepadł nasz chleb codzienny,  
Ty, który rządysz naszymi losy,  
Nie wyjąłowisz krainy plennej.  
Nas nie opuści w tej ciężkiej doli  
Pasterz, co wywiódł lud swój z niewoli.

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy  
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

*Tłum. S. Hirschhorn.*

## INNI AUTORZY

Boże, Panie wszystkich tworów, błogosławiony i chwalony ustami wszelkiej duszy. Wielkości Jego i dobroci pełen świat, wiedza i mądrość otacza Go. Wznosi się nad Chajot świętymi i jaśniej w chwale na Rydwanie. Zasluga i prawość przed Tronem Jego, laska i miłosierdzie przed Majestatem Jego. Piękne są światła, które stworzył Bóg nasz, ukształcił je wiedzą, rozumem i mądrością, siłę i moc nadał im, aby rządziły wśród świata. Pełne blasku i rozlaczają światło, piękny ich blask po całym świecie, weseł się, wschodząc, i radują się, zachodząc, wykonywują w bojaźni wolę Twórcy swego. Sławę i cześć składają imieniu Jego, okrzyki radosne i śpiewy wspomnieniu władzy Jego. Wezwał słońce i zajaśniało światłem, wejrzał i ukształtował postać księżyca. Chwałę składają Mu wszystkie zastępy nieba, sławę i uwielbienie, Serafy, Ofany i Chajot święte.

*Tłum. S. Szenhak.*

Tyś, Panie, władzę dzierzył, zanim świat się zbudował,  
Zanim z ciemnych fal zamętu twórsz się ukształtował.  
A gdy wszystko znowu w ciszę zapadnie nicości,  
Ty jeden pozostaniesz władnym królem wieczności.  
Tyś był, Tyś jest, Ty będziesz istotą niepojętą;  
Któż Ci dorówna, kto z Twoją wolą zmierzy się świętą:  
Bez początku, bez końca, w Twej chwały aureoli,  
Tyś moim zbawcą, mem światłem w pomroce niedoli,  
Tyś mój sztandar, mój kielich, Tyś tarczą mej opieki,  
Tobiem oddany, gdy czuwam, gdy sklejam powieki.  
Poruczam Ci ducha i ciało we dnie i w nocy,  
Niczego się nie obawiam, Twej ufam pomocy!

*Tłum. A. J. Cytkow.*

Pójdź, przyjacielu mój, naprzeciw oblubienicy, oblicze Sabatu przywitajmy.  
«Przestrzegać» i «pamiętać» w wyrzeczeniu jednym ogłosił nam Bóg jedyny. Wiekuisty jeden, i imię Jego «Jedyny», na sławę, wspaniałość i chwałę. (Pójdź i t. d.).

Naprzeciw Sabatu pójdźmy, idźmy, bo on źródłem błogosławieństwa. Od początku, od wieków poświęcony; spełnienie stworzenia istniało w myśli już przedtem.

Świątynio Króla, grodzie królewski, powstań, wyjdź z pośród ruin, dosyć ci siedzieć w dolinie płaczu. On zlituje się nad tobą w miłosierdziu.

Otrząś się z pyłu, powstań, włóż szaty twoje wspaniałe, ludu mój. Przez syna Iszaja z Betlejem zbliży się dla duszy mojej wyzwolenie.

Ocuć się, ocuć, bo wschodzi światło twoje, powstań, zajaśnij, zbudź się, zbudź, hymny śpiewaj. Majestat Boży nad tobą się objawia.

Nie zawstydzisz się i nie zarumienisz, czemużeś zgębiona i czemu zawodziś? Tobie ufają biedni ludu mojego, a odbudowane będzie miasto na gruzach swoich.

I staną się łupem łupieżcy twoi, i oddalą się wszyscy burzyciele twoi, cieszyć się tobą będzie Bóg twój, jak się raduje narzeczony swą narzeczoną.

W prawo i w lewo rozszerzysz się, a Wiekuistego wielbić będziesz, przez męża z domu Perec cieszyć się i radować będziemy.

Wejdziesz w pokój, korono męża, z pociechą i radością, wśród wiernych ludu wybranego, wejdziesz, oblubienico, wejdziesz, oblubienico!

Pójdź, przyjacielu mój, naprzeciw oblubienicy, oblicze Sabatu przywitajmy!

*Tłum. S. Szenhak.*

Niby namiot lazurowy, na górskich szczytach rozpostarty —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby blaski promienne, od postaci niebian bijące —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby sznur purpurowo-błękitny, skraje szaty zdobiący —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby tęcza różnobarwna, z pośród ciemnych chmur jaśniejąca —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby przepych, którym Stwórca rozwijającą się naturę przyobleka —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby róża, w rozkoszonym ogrodzie wyrosła i rozkwitła —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby diadem wspaniały, skroń królewską wieńczący —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby urok wdzięczny, na obliczu oblubienica rozlany —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby diament czysty, na jasnym zawoju świecący —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby prorok natchniony, objawienia Bożego oczekujący —  
było oblicze arcykapłana.  
Niby gwiazda poranna, na stropie wschodnim błyszcząca —  
było oblicze arcykapłana.

*Tłum. A. J. Cyłkow.*

Wielkie są dzieła Pana!  
Potężny na Swym tronie,  
Wszędzie chwałę swą rozszerzył,  
Słudze swemu się objawił,  
Słowo Swe mu powierzył —  
Przeto cześć Panu,  
Którego wielkość nikt nie zmierzył.

Wielkie są dzieła Pana!  
Zna światów mirjady,  
Określił ich liczbę i granice,  
Na gruncie świetlanym  
Utrwalił Swych rządów stolicę —  
Przeto cześć Panu,  
Na spojrzenie jego drżą ziemi lice.

Wielkie są dzieła Pana!  
Dźwignia wszechświata,  
Posady też ziemi ugruntował,  
On jeden ją utrzymuje,  
Słowem swem ukształtował —  
Przeto cześć Panu,  
Który wiecznie panuje i panował.

Ale jakże wielkie są dzieła Pana!  
Na bezdni rozpostarł ziemię,  
Od zniszczenia ją chroni,  
Mieszkańców jej utrzymuje,  
Od zagłady ich broni —  
Przeto cześć Panu,  
Który wśród światów przebywa toni.

*Tłum. A. J. Cyłkow.*

Wielkie są dzieła Pana!  
Włada Swem dziełem,  
Światy za Jego wejrzaniem dygocą,  
Orszaki niebios korzą się  
Przed jego wolą i mocą —  
Przeto cześć Panu,  
Którego Serafy czczą dniem i nocą.

Wielkie są dzieła Pana!  
Majestat Jego w wysokościach,  
Blask Jego olśniewa,  
Ale i tam spogląda,  
Skąd pieśń zbawionych się rozlewa —  
Przeto cześć Panu,  
Chwała Jego wszędzie się rozbrzmiewa.

Dzieło człowieka!  
Pełen obłędu i fałszu,  
Żyje chytrze i zdradnie,  
Łóżem jego robactwo,  
Do podziemnej jamy wpadnie,  
O, czemże śmiertelny marny,  
Którym przelotny powiew władnie.

Miłościwy, wszechpotężny,  
Piętrzący mocą Swą góry,  
Krzepi w litości znużonych,  
Że stoją silnie, niby mury —  
Przeto chwała Najwyższemu,  
Wielkość Jego prześwieca poprzez chmury.  
Nieście cześć Panu!

W błękitach wzniosł fale Swoje,  
Po wyżynach rozkwit wszelaki  
Wzbudził; dziełom Swym bieg zakreślił,  
Cudom odwieczne kładł znaki —  
Przeto chwała Najwyższemu,  
Który wodami pokrył niebios szlaki.  
Nieście cześć Panu!

Wspaniały On w wysokościach,  
Odział się w szaty słoneczne;  
Od Niego czerpią moc swoją  
Przestworów siły odwieczne —  
Przeto chwała Najwyższemu,  
Którego władztwo i rządy stateczne.  
Nieście cześć Panu!

Tron Jego w jasnościach świeci,  
Oblicza sług Jego płoną,  
Rozlewające się potoki  
Gorącym ogniem zioną —  
Przeto chwała Najwyższemu,  
Z którego stolicy żary chłoną.  
Nieście cześć Panu!

*Tłum. A. J. Cyłkow.*

Tyś Panem naszym, życia koroną,  
W niebie, na ziemi, tarczą, obroną,  
Król wszechmogący, sławny, wielbiony,  
Legjonem wiernych wciąż otoczony.  
Ledwie wyrzekłeś, słowo się stało,  
Ledwie skinąłeś, postać przybrało.  
Istnienie Twoje czas poprzedziło,  
Żyłeś, nim życie się wyłoniło.  
Oko Twe jasne wszechbył ochrania,  
Mrok tajemniczy tron Twój osłania.  
Wieńcem Twej skroni pomoc, zbawienie,

Lśniące aniołów mirjady,  
Ku świętemu spoglądają,  
W pokorze chylą się przed nim  
Z drzeniem u stóp Jego się zbierają —  
Przeto chwała Najwyższemu,  
Którego chóry świętych wysławiają.  
Nieście cześć Panu!

W przeźroczu niebios Go widzę,  
Głoszą o nim łądów przestrzenie,  
Huk gromów, szum mórz Go zwiastuje,  
Lejących się wód strumienie —  
Przeto chwała Najwyższemu,  
Który rozpiął jak oponę sklepienie.  
Nieście cześć Panu!

Miarą ujął prochy lotne,  
Utwierdził ziemi posady,  
Prawicą roztoczył niebiosą,  
Ożywił stworzeń gromady —  
Przeto chwała Najwyższemu,  
Co u stóp Swych rozmieścił gwiazd plejady.  
Nieście cześć Panu!

Szată i strojem prawdy promienie.  
Płaszczem wspaniałym wrząca żarliwość,  
Pasem i zbroją odpłaty gorliwość.  
Tobie rzetelność namiotem trwałym,  
Prawda Cię wiedzie szlakiem swym stałym,  
Zrządzenia Twoje wskroś sprawiedliwe,  
Dzieła i czyny słuszne, prawdziwe.  
Bliski tym wszystkim, co Cię wzywają,  
Co Panu swemu cześć składają.  
Wzniosły, wspaniały, w niebie królujesz,  
W próżni, niocości świat utrzymujesz.

*Tłum. A. J. Cyłkow.*

Zaszumiały tłumnym rojem  
Jasne dźwięki w sercu mojem,  
W Ciebie wryte łzawe oczy,  
Żar tęsknoty pierś mi tłoczy.  
Chciałbym poznać Twą prawicę,  
Wszechmiłości Twej krynicę.  
Próżne wszakże myśli wzloty,  
Próżne rzewnej pieśni zwroty,

Próżno śledzę niebios szlaki,  
Wszędzie tylko nieme znaki.

\* \* \*

I Twych wieszczów chór wspaniały,  
Których czoła promieniały  
Tęcz zaziemskich aureolą,  
Z pęt zmysłowych nie wyzwolą.

Już Cię widzę starcem siwym,  
 Sędzią świata sprawiedliwym —  
 Bohaterskim znów młodzianem,  
 Walk zwycięskich groźnym panem.  
 Każdy kreśli swe złudzenia,  
 Rozigranych dum rojenia,  
 Lecz gdzie ciemność byt Twój mroczy,  
 Nikt jej granic nie przekroczy.

\* \* \*

To też przyjm z mej kornej ręki  
 Drżącą lutni słabe dźwięki,  
 Ustrojone w barwne sploty,  
 Jako szczerą pieśń tęsknoty.

Z wezbranego płynąc łona,  
 Dotrzeć pragnie, gdzie korona  
 Lśni Twej chwały. Tam wśród woni,  
 Wśród dymów i kadzideł,  
 Wśród aniołów szumu skrzydeł,  
 Pośród sfer świetlanych pieni,  
 Rosa lzy mej niech się mieni.  
 Osadz ją na świętej skroni,  
 Niby perła niech się płoni,  
 Niby klejnot niechaj świeci,  
 Ku błękitom niech uleci  
 Tęsknej pieśni mojej nuta,  
 Z przędzy wzruszeń mych wysnuta.

*Tłum. A. J. Cyłkow.*

Zastępy niebian nieprzejrzane  
 Splatają hymny niezrównane:  
     Wiekuiasty króluje!  
 Mieszkańcy nizin im wtórują,  
 Tęskną nutą swe psalmy snują:  
     Wiekuiasty królował!  
 Jedni i drudzy głoszą wszędzie:  
     Wiekuiasty królować będzie!  
 Wiekuiasty króluje, królował i królować będzie po wszystkie czasy!

Jasne genjusze sfer wysokich  
 Świecą godło hasel głębokich:  
     Wiekuiasty króluje!  
 Skromni wieszczce w ciszy padolu  
 Wdzięczną wieść tę niosą pospołu:  
     Wiekuiasty królował!  
 Jedni i drudzy głoszą wszędzie:  
     Wiekuiasty królować będzie!  
 Wiekuiasty króluje, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Lśniące moce płonących świtów  
 Pieśniami biją w strop błękitów:  
     Wiekuiasty króluje!  
 Pielgrzymów ziemi gwarne szyki,  
 Pełną piersią wznoszą okrzyki:  
     Wiekuiasty królował!  
 Jedni i drudzy głoszą wszędzie:  
     Wiekuiasty królować będzie!  
 Wiekuiasty króluje, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Falangą stoją niebios tłumy,  
 Święte od nich idą poszumy:  
     Wiekuiasty króluje!  
 Ci też w kornem ducha skupieniu  
 W pobożnem szepczą upojeniu:  
     Wiekuiasty królował!  
 Jedni i drudzy głoszą wszędzie:  
     Wiekuiasty królować będzie!  
 Wiekuiasty króluje, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Gorliwi w służbie, chyląc głowy,  
Hołdy nuć wdzięcznej osnowy:  
Wiekuiŝty królujel  
Inni w nizinach swą tęsknotę  
W zgodne stroją melodje złote:  
Wiekuiŝty królował!  
Jedni i drudzy gloszą wszędzie:  
Wiekuiŝty królować będzie!  
Wiekuiŝty królujel, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Przenikając w głąb poznania  
Každy przed Panem czoło skłania:  
Wiekuiŝty królujel  
Nikle też ziemi tej stworzenia  
W pieśniach się łączą uwielbienia:  
Wiekuiŝty królował!  
Jedni i drudzy gloszą wszędzie:  
Wiekuiŝty królować będzie!  
Wiekuiŝty królujel, królował i królować będzie po wszystkie czasy!

Serafy, ogni prując fale,  
W grzmiącym jednoczą się hejnałel:  
Wiekuiŝty królujel  
Mistrze też śpiewu z nut łańcucha  
Skladają pieśń wezbraną ducha:  
Wiekuiŝty królował!  
Jedni i drudzy gloszą wszędzie:  
Wiekuiŝty królować będzie!  
Wiekuiŝty królujel, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Z ust, których słodki dźwięk porywa,  
Radosna, gromka pieśń tu splywa:  
Wiekuiŝty królujel  
Ci też, co w mrocznych siedzibach bawią,  
Zgodnym hymnem chwałą i sławią:  
Wiekuiŝty królował!  
Jedni i drudzy gloszą wszędzie:  
Wiekuiŝty królować będzie!  
Wiekuiŝty królujel, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Niebiańskich wojsk zastępy święte  
Wieść tę niosą, zachwytem zdjęte:  
Wiekuiŝty królujel  
Ci w diadem wiedzy przybrani  
Świadczą, wzlotem prawdy porwani:  
Wiekuiŝty królował!  
Jedni i drudzy gloszą wszędzie:  
Wiekuiŝty królować będzie!  
Wiekuiŝty królujel, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Rzesze w światel strojne koronę  
Wołają, dreszczem przeniknione:  
Wiekuiŝty królujel  
Wierni, korne chylący czoła,  
Každy wzruszonem sercem woła:  
Wiekuiŝty królował!



Jedni i drudzy głoszą wszędzie:

Wiekuiesty królować będzie!

Wiekuiesty króluje, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Święci, co w smugach błyszczą tęczy,

Z ust ich pieśń ta przeczysta dźwięczy:

Wiekuiesty króluje!

Ci też w cichem pobożnych gronie

Piastują wiarę w gorącym łonie:

Wiekuiesty królował!

Jedni i drudzy głoszą wszędzie:

Wiekuiesty królować będzie!

Wiekuiesty króluje, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

Zdobni zorzy jasnemi blaski,

Sławią Pana nieprzebrane łaski:

Wiekuiesty króluje!

Ci też w niebieską słą kopulę

Rzewnych swych modłów dźwięki czule:

Wiekuiesty królował!

Jedni i drudzy głoszą wszędzie:

Wiekuiesty królować będzie!

Wiekuiesty króluje, królował i królować będzie po wszystkie wieki!

*Tłum. A. J. Cylkow.*

## POEZJA ŚWIECKA

### KRÓTKIE WIERSZE ŻAŁOBNE NA ŚMIERĆ UCZONYCH TALMUDYSTÓW

WIERSZ NIEZNANEGO AUTORA  
NAD ZWŁOKAMI TALMUDYSTY RABBY BAR HUNY  
PRZYWIEZIONEMI Z BABILONJI DO PALESTYNY

Drzewo starożytne z Babilonji przybyło.  
Świętą Księgę walk z sobą przywiózł.  
Robactwo cmentarne radośnie się zewsząd spelza,  
Żeby napaść oczy widokiem kłęski.  
Gniewa się Bóg na świat, więc zabrał mu duszę wierną  
I cieszy się nią, jako oblubieniec oblubienicą.  
Ten, którego siedzibą obłoki, jakże się raduje,  
Gdy wraca do niego dusza czysta i pobożna!

#### NAD GROBEM INNEGO TALMUDYSTY

Jeżeli cedry zostały objęte płomiennymi językami,  
Cóż może uczynić słaba pleśń na zielonym murze?  
Co poczną drobne rybki w ile rzeczonym,  
Jeżeli Lewjatan wpadł w sieci?  
Jeśli spienione fale wartkiego potoku  
Nie porwały z sobą wędki,  
Cóż pomogą lekko szemrzące, spokojnie płynące strumyki?

## SAMAUAL IBN ADIJA

(VI w. po Chr.)

## Z JEGO ARABSKIEGO POEMATU

Jeśli nic przyjemnego, nic pospolitego czci męża nie pohańbiło,  
Pięknie będzie go ozdobiła każda szata, którą na siebie narzuci.

Kto nie nakłada na własną duszę tego, co się krzywdą jej zdaje,  
Tego żadna droga nie powiedzie do pięknej chwały.

Haniebnie szydzi z nas wróg, żeśmy nikli liczbą.  
«Słusznie! Nieliczni są na ziemi szlachetni».

Siedzibą naszą jest góra — tam żyje ten, którego bronimy,  
Szczyt nieprzystępny z pogardą patrzy na każdego śmiałka.

Podnóże góry, mocno oparte o twardą glebę, ku gwiazdom  
Podnosi swój szczyt, dla stopy ludzkiej niedosiężny.

Zaprawdę, zginąć w boju nie jest hańbą naszemu plemieniu,  
Choć inaczej o tem myśli 'Amir, inaczej sądzi Selul.

Kochamy śmierć, bliski jest nam kres życia,  
Ale tamci mają długi żywot: śmierć nimi gardzi.

Nikt z naszych wojowników nie zginął, długo jęcząc i rżąc,  
Niczyja krew nie popłynęła niepomszczona.

## HAI

(I-wsza połowa XI w.)

## Z POEMATU DYDAKTYCZNEGO p. t. «NAPOMNIENIA ROZUMU»

Wstań, mój synu, zbudź się do czynu,  
Posłuchaj napomnienia, nauki i rady.  
Miej bojaźń Boga w pobożnej duszy.  
Jako pierwsze ci polecam.  
Pierwszym twym czynem zawsze  
Pobożna modlitwa niechaj będzie.  
Wczesnem ranem każdego dnia

Chwal Boga, żale tve przed Nim wylewaj.  
Gdy tve serce żarliwie woła,  
Bóg usłyszy twą modlitwę.  
Bądź oddany prawu, wierze,  
Na nich wisi twoje życie.  
Do wzniosłych, szlachetnych lgnij,  
Szału głupich unikaj.

## SALOMON IBN GEBIROL

(XI w.)

## NĘDZA WODY

Kończy się wino, — o gorzka rozpacz,  
Leje oko rozpaczne — wodę.

Wino pełne ognia młodzieńczego,  
Przepędza je potwór — woda.

Zaspiewajmy więc pełną piersią:  
Niestety szklanica już nie brzęczy.

Pełna wody, pełna wody, pełna wody!  
Jakże mam wyciągnąć rękę po chleb?

Jakże mam dotknąć stawy podniebieniem?  
Opanowuje mię szal,

Gdy widzę szklanice pełne  
Tylko wody, tylko wody, tylko wody.

Nic innego nie pozostaje,  
Jak pustelnikiem się stać na żywot cały.

Nigdy mojego podniebienia nie zwilży trunek szlachetny,  
Nigdy nie uraduje pieśń dźwięczna.

Tylko przekłety chór dokuczliwych dzieci  
Będzie mi się wiecznie darł w oszalałe uszy:

Daj wodę, daj wodę, daj wodę!

### JESIEŃ

Chmury z rykiem jesiennym, potężnym łoskotem,  
Mkną przez niebiosa, czarne potwory nocne, smagane burzą.  
Promienie słońca pokryte kirem, gwiazdy czarnym całunem.  
Nagle rozrywa się chmura, dżdżem brzemienna.  
Wiatr pędzi, tnie nici wodne,  
Głęboko wrzynają się w serce ziemi,  
Rozrywają brzozy, płyną miedzami,  
Z głębi gleby nawierzch wydobywają nasiona.  
Co drzemało w tajemniczej głębi ziemi,  
Wykwita na świat Boży, bogaty owoc ziemi.  
Tak płaczą niebiosa w ciemną noc jesienną,  
Aż na nowo zmartwychwstaje zwiędły kobierzec zielonych pól.

### MOJŻESZ BEN EZRA Z GRANADY

(XI w.)

#### DO UKOCHANEJ

Świat będzie się dziwił naszej miłości,  
A ty jesteś okrutna, — wszystko to muszę przezwyciężyć.  
Przed wszystkich szyderstwem muszę zamknąć swe serce.  
Ty znasz mój ból — a odchodzisz ode mnie, i cierpienie jest coraz sroższe.

Bez ciebie świat jest mi więzieniem,  
Pustynia wszędzie, gdzie niema śladu ciebie.  
Twoje słowo jest miodem, który innych oświeża,  
Twój oddech — wonią, która innych uszczęśliwia.

Jesteś młoda, pełna duszy — łania, która poskramia lwy,  
Sarenka, która kochających do rozpacz doprowadza.  
Z moją męką rośnie moja miłość.  
Żyjesz w mojem oku, w mojej piersi.

A pierś pełna żalu, oko pełne łez.  
Jestem chory i nie pragnę zdrowia.  
Tobie pozostanę wierny, aż się wszystko skończy.  
Żegnaj! Patrz, już zamilkł słowik.

## STAROŚĆ

Gdy mi włosy zaczęły bieleć,  
 Zdawało mi się: nowe piękno przychodzi!  
 Teraz widzę: zwiastun przyszedł.  
 Że dni życia uciekają, o tem głosi.

Piękne niewiasty otaczają mię z szyderstwem na ustach.  
 «Gdzie jest krucza czarność twoich włosów?»  
 «Późne dni» — odpowiadam, pocieszając siebie samego —  
 «Chciały mię uczcić i srebrem pokryły mi skronie».

Na głowie mam śnieg sędziwy,  
 W sercu mroczny ból.  
 O, gdybym miał nocy czarnej włosy,  
 Zamiast jasnej światłości dnia!

## JEHUDA HALEWI

(um. ok. 1140)

## BURZA NA MORZU

Z rykiem toczą się fale  
 Potężne, jedne za drugą,  
 Niebo ciemne,  
 Pienia się wody.  
 Z głębi podnoszą się bałwany,  
 Rozbijają się jedne o drugie,  
 Kipi i szumi,  
 Syczy i wyje,  
 Żadna moc nie poskromi  
 Żywiółów rozpiętanych.

Nagle fale opadają,  
 Roztwiera się otchłań wód,  
 Wśród przepaści i szczytów wodnych  
 Słabe żagle statku  
 To się podnoszą, to znów opadają.  
 Oko moje szuka pomocy.  
 Skąd przyjdzie zbawienie?  
 Serce zwraca się do Tego,  
 Który niegdyś lud Izraela  
 Przeprowadził przez morze.

## PŁACZ, SYJONIE!

O, płacz, Syjonie, chlubo narodu,  
 Jako niewiasta w bólach porodu  
 I jako dziewa po oblubieńcu,  
 Co stracił życie w weselnym wieńcu.

Świątynia nasza docna zburzona,  
 Pośród kapłanów świętego grona;  
 Wróg barbarzyński w bluźnierczym szale  
 Dziś ją plugawi, szycząc zuchwale.

Anielskim śpiewem kapłan lewita  
 W cudownym chramie Boga nie wita,  
 Nie płyną modły ich ku wyżynie —  
 Krew braci naszych tam tylko płynie.

Muzyczne wszelkie znikło narzędzie,  
 Więc wszędzie niemo i głucho wszędzie,  
 Nie zwiedza więcej świętego grodu  
 Synhedrjon — poczet mędrców narodu.

Dym ofiar wonny wzwyż się nie słupi,  
 Pierworodnego nikt nie wykupi,  
 Samotny stoi ołtarz skalany,  
 Bo pierzchła rzesza i jej kapłany.

Płaczą królewskie Dawida dzieci,  
 Korona złota na nich nie świeci;  
 Złamane, smutne z żalobą w duszy,  
 Ich widok chyba i kamień wzruszy.

Cześć nasza z drogich uciekła zgliszczy,  
 Odtąd wróg niecny pustoszy, niszczy,  
 Odtąd nas wszystkich przystraja spodem —  
 Miast szat odświętnych — worek z popiołem.

I świątobliwi nazarejczycy  
 Leżą, jak zdechłe psy na ulicy,  
 Dzieciom, na oczach u matki-wdowy,  
 Wróg o kamienie roztrzaskał głowy.

Po tej ohydzie — nieprzyjaciele  
Z niedoli naszej czynią wesele:  
Zniszczywszy wszystko ogniem i stałą,  
Uczują, tańczą i w bębny wałą.

Być wielkie grzechy nasze musiały,  
Bo zniknął Syjon i naród cały,  
Z wielkiego państwa dzisiaj ni znaku,  
Lud jak w żalobnym idzie orszaku.

Ruiną stał się gród nasz uroczy,  
Czarna śmierć po nim złowrogo kroczy,  
Bluźnierca, dysząc złością przekłątą,  
Burzy, bezcześci każdą rzecz świętą.

O, ciężko nam jest w tej smutnej porze,  
Lecz i Twe imię skalano, Boże!  
Czy niedość kara Twoja nas boli?  
Kres racz położyć naszej niedoli.

*Tłum. S. Hirschhorn.*

### PIEŚNI MORSKIE

#### I

Niepomny domu, ojczyzny kochanej,  
Śmiało po tafli puściłem się fal;  
Napowrót nieście mnie, żwawe bałwany,  
Na łono matki, hen, w odległą dal!

Pośpiesz się, wietrze, w tem szlachetnem dziele,  
I wnet się cofnij od mych drogich ziem,  
By się od ciebie nowi przyjaciele  
Moi o szczęściu dowiedzieli mem.

Wietrze zachodni, uwolnij mnie z sieci,  
Popchnij mą łódkę na ojczysty brzeg,  
Na skrzydłach orlich serce me tam leci,  
Niemniej szybki będzie i twój bieg.

#### II

Morze się gniewa i marszczy, i zżyma,  
Wije się, drgając, jak zatruty wąż,  
Nagle wściekłem spogląda oczyma,  
Zakołysało się, warczy wciąż.

Morze skowycze i warczy, i wyje,  
Otwiera paszczę, pełną białych pian,  
Otchłań wylania fale — lwy i żmije,  
Co w dziki, krwawy puszczają się tan.

Oto dolina rozwarła się nagle...  
To znowu góra wyskoczyła z fal...  
Maszty się chyła, powiewają żagle,  
Ty, serce moje, twarde bądź jak stal!

Bo wszechmocnego Boga masz na niebie,  
Morze rozcina jego wielka dłoń,  
On do ojczyzny doprowadzi ciebie,  
Poprzez przepaści, przez wzburzoną toń.

#### III

Na niebie księżyc świeci piękny, szczytny,  
Wdali jak diament lśni zwierciadło wód,  
W opończy swojej sino-aksamitnej  
Noc przysła, niosąc ukojenia cud.

To nie noc wcale, to Saba-królowa,  
Złocisty na niej połyskuje strój,  
Oddycha cicho jej pierś marmurowa,  
Spowita w złoto i rubinów rój.

Jak owce z trzody rozbiegły się fale,  
Osobno każda drga w leciutkim śnie,  
Drży srebrne morze i gwiazdy-opale,  
Gdzie morze, niebo, gdzie bałwany, gdzie?

Dwa morza — nocy skołysało brzemię,  
Śpią jak dwaj bracia, jednej matki krew;  
Jest jednak trzecie morze, co nie drzemie —  
Me serce — nowy powstaje w niem śpiew!

*Tłum. S. Hirschhorn.*

### ABRAHAM IBN EZRA

(XII w.)

#### PIEŚŃ ŚWIĄTECZNA NA CZEŚĆ WINA

Hejże! Hejże!  
Sprzedajcie swe ziemie,  
Oddajcie je.  
Wydzierżawcie je, wynajmcie je,

Zakupcie wnet  
Moc jadła smacznego.  
Na ucztę Chanuki,  
Na ucztę Chanuki!

Podajcie potrawy,  
Torty i ciastka,  
Smaczne gołębie podajcie  
Do stołu świątecznego.

Dobrze utuczone kurczęta,  
Na rożnach przyrumienione,  
Również tłuste owce  
Niech ucieszą nam podniebienia.

Głośny plusk wody  
Niech dziś nie zakłóca nam uszu,  
Niech nam zewsząd świeci  
Blask pulchnych wina butelek.

Od szumu wody  
Zamkniemy dziś uszy,  
Niech wina potoki  
Przez gardła nam się leją.

JÓZEF IBN SABARA  
(XII w.)

Z ROMANSU POETYCKIEGO p. t. «KSIĘGA IGRASZEK»

Książę wystawia na próbę mężczyznę i kobietę

Pewien władca z mądrości słynny,  
Znany również z sprawiedliwości,  
Pewnego dnia dokoła tronu  
Zebrał mędrców całego państwa.

Mówiono o tem i o owem.  
Wreszcie jeden zaczął chwalić  
Miłość, cnotę pięknych niewiast,  
I wynosić pod niebiosa.

Wszyscy mędrcy przytakują,  
Każdy chwali swoją Panią.  
Tylko książę wznosi rękę,  
Gniewnie marszczy mu się czoło:

«Uciszcie wasze chwały!  
W całym mojem wielkiem państwie  
Nie znalazłem żadnej Pani  
Pięknej, mądrej oraz dobrej.

Miłość dają za pożytek,  
Szczęście tylko własne znają,  
Siebie same tylko cenią,  
W chwili słodkiej korzyść biorą».

Mędrcy na to jednym głosem:  
«Źle nam prawisz, mądry władco!  
Wiele kobiet mądrych, czystych  
W twoim kraju łączno znajdziesz.

Wiele kobiet dawno znamy,  
Nieskazitelne, nienaganne,  
Wierne mężom, oddane dzieciom,  
Całym sercem, całą duszą.

Dzielnie rządzą w swoim domu,  
Myślą jeno o mężu, synu,  
Całe pełne troski o dom,  
Zabiegliwe a troskliwe».

Na to król głośno rzecze:  
«Przejdźcie się po tem mieście,  
Czy znajdziecie jedną Panią,  
Co te wszystkie cnoty łączy?»

Przeszukali wszystkie domy.  
Jedną Panią, wielce piękną,  
Skromną również i cnotliwą  
Wreszcie w mieście wyszukali.

Mąż był dobrze znanym kupcem,  
Bogacz także i uczciwy.  
Wszyscy słowo jego sławią  
I rzetelność, i uczciwość.

Wnet książęciu wieść radosną  
Mędrcy niosą: «Oto Pani  
Skromna, mądra, również piękna,  
Czysta sercem, szczerze złoto».

Do kupca książę wnet śle ludzi,  
Przed tron książęcy stanąć każe:  
«Ważne wieści mam dla ciebie,  
W tajemnicy ci odsłonię.

Mam jedyną piękną córę,  
Wdzięczną, hożą, również mądrą.  
Miła mi nad świata skarby,  
Oka nigdy z niej nie spuszczam.

Ręki jej nie oddam nigdy  
Książęciu, panu z stron dalekich —  
Tylko prosty człowiek skromny  
Panem będzie córki mojej.

Miłość szczerą, miłość prostą,  
Nie bogactwa, w darze jej  
U stóp złoży, troskę, pamięć,  
Oddany piastun, wierny mąż.

Dawno słyszę chwałę twoją,  
 Wieści głoszą wierność twoją.  
 Tylko tobie oddać pragnę  
 Rękę córki ukochanej.

Ale przedtem twoja żona,  
 Twoje dzieci zniknąć muszą.  
 Weź ten miecz. Teżże nocy  
 Serce żony ostrzem przebij».

JEHUDA B. IZAAK SABBATAI

(XII w.)

DAR JEHUDY, WROGA KOBIET

«Twarz twoja jasna, jak jutrenka,  
 Zwoje włosów czarne, jak ciemna noc.  
 Słodka gołąbko, jakież musi być przerażenie twoje,  
 Gdy się na głowę twą kładą czarne skrzydła kruczel»

Tak śpiewał młodzieniec.  
 Usłyszała to dziewica.  
 Wspięła się na szczyble jego pochwał,  
 Zapragnęła słodką pieśnią  
 Obudzić pragnienia w jego piersi.  
 Zaśpiewała mu odpowiedź:

«Nie bój się, gdy ci śmierć  
 Z oczu gazeli grozi,  
 Gdy jej spojrzenie,  
 Jak żmii ukąszenie,  
 Na ziemię cię powala. —  
 Wstań raniony i znów żyj».

«Jak mnie ta pieśń zachwyca» —  
 Zawołał młodzieniec.  
 «Z jej głębi miłość świeci.  
 Oczy twe budzą we mnie dumę,  
 Spuszczasz rzęsy, strzała przebija mi serce».

Z dziewiczych ust lotne słowa brzmią:  
 «Na twarzy jelenia świecą dwie błyszczące gwiazdy.  
 Czerwona róża jaśniej  
 W ogrodzie jego policzków.  
 Jego oczy zawsze błyszczą.  
 «Jasnopromienny» niech będzie jego imię».

«Pięknooka!» — odpowiada młodzieniec — «co ci uczyniłem,  
 Że, kusząc mię i drożąc się wciąż, za mną gonisz?  
 Gdy się przytulę do lic twych różanych,  
 Aniołów płomiennych widzę w niebiosach».

JEHUDA BEN SALOMO AL CHARIZI

(XII w.)

WIERSZ NA CZEŚĆ WINA

Tu pod gęstą listwą drzewa,  
 Gdzie chłodny wieje cień,  
 W wieńcu róż i mirtów  
 Pijmy, przyjacielu.

Sączmy, przyjacielu, wiedzę z soku gron.  
 W winie zobaczysz, jak szlachetny ogień ducha  
 Wraz z latami rośnie.  
 Tysiąc lat na naszej gwieździe  
 Przed Bogiem jest to tylko krótka chwila.  
 Lata nam mijają;  
 Przed Panem są to tylko minuty.  
 Więc życzę nam: niech nam będzie dane  
 Przeżyć Boski rok.  
 Wiecznie młodzi pić będziemy  
 Prastary sok winnych gron.

#### Z MAKAMY O MRÓWCE I PCHLE

Gdy jeszcze byłem w szacie młodości, widziałem pewnego razu mężów z plemienia Hebrajczyków, walczących z sobą zaciekle, zbrojnych w oręż bohaterów. Ich pojedynki zwabił liczny tłum gapiów, — zewsząd ludzie zaczęli się tłumnie zbierać dokoła nich. Jeden z nich był stary, bez sił żywotnych, drugi jeszcze młody, pełen soku życia. Walczyli pełni odwagi, jak dwa lwy, które w swym szale walczą łapami, albo jak dwa sępy, które szponami rozrywają wzajemnie ciało. Jeden mówił:

«Od chwili, kiedy się urodziłem, Bóg wybrał mnie na śpiewaka».

Drugi wołał z dumą:

«Przysięgam na Tego, który króluje na tronie niebieskim: do mnie należy wieniec poety».

A gdy płomień walki buchnął wysoko w niebiosa, a głosy walczących przeszły w tumult i krzyki, obaj stanęli przed sędzią. Twarze mieli jak ogniste płomienie, oczy żarzyły się jak w gorączce febry i tryskały gniewnymi błyskawicami. Tak stali obaj przed sędzią i żądali rozstrzygnięcia sporu. Obaj mówili:

«Niech nasz pan raczy zbadać naszą sprawę i ogłosić sprawiedliwy wyrok».

Sędzia rzekł:

«Wylóżcie fakty i początek waszego sporu. Wysłuchawszy łaskawem uchem i cierpliwie obronę każdego z was, następnie wynagrodzimy sprawiedliwego za jego sprawiedliwość i ukarzymy złośliwego za jego złośliwość...»

#### ŁZY MIŁOŚCI

W głębi serca zamknąłbym chętnie  
 Miłość słodką i łagodną,  
 Ale łzy zdradne  
 Puściły się z oczu mych.  
 Serce moje przemilczeć chciało,

Ale łzy tajemnicę odkryły.  
 Miłość moja dla wszystkich otwarta.  
 Tak długo w sercu ją nosiłem.  
 Ale łzy z oczu się wymknęły,  
 Wszystkim tajemnicę opowiedziały.

#### ABRAHAM IBN CHISDAI

(XII w.)

#### Z POWIEŚCI POETYCKIEJ p. t. «KRÓLEWICZ I MNICH»

(Hebrajskie opracowanie indyjsko-arabskiego romansu moralnego p. t. «Barlaam i Josafat»)

Pewien młodzieniec z bogatego domu miał z rozkazu ojca poślubić córkę bogatego stryja, posiadacza wielu bogactw i skarbów. Była to jego jedynaczka, jedyna pozostała z licznego potomstwa, które zmarło, z wielkim trudem wychowana, przez ojca mocno kochana. Młodzieniec oświadczył, że nigdy nie poślubi dziewczyny, gdyż jej nie kocha. Ojciec rozgniewał się bardzo i zagroził mu karą. Młodzieniec potajemnie



opuścił dom rodzicielski, rozpoczął wędrówkę po różnych krajach, a wkońcu dotarł do Babilonu. Chodząc po ulicach i rozglądając się ciekawie, spostrzegł przed jakimś domem cudownie piękną dziewczynę, obdarzoną najbardziej czarującymi wdziękami. Siedziała przed bramą domu, jak siedzą zwykle żebracy. Opanowany siłą miłości, gnany nieświadomym popędem, młodzieniec zbliżył się i zawołał:

«Piękna dziewczyno! Jeżeli chcesz wysłuchać moje błagania, powiedz mi, czyja jesteś».

Dziewica szybko zatrasnęła drzwi i za drzwiami zawołała:

«Jestem córką biednego, starego człowieka».

Młodzian skoczył do drzwi, smagany namiętnością, podniósł głos i zaczął śpiewać prawie z płaczem:

Czy w strachu wstydliwym zamykasz  
Przede mną do domu wstęp?  
Czy zasłona na twojej twarzy  
Nie jest dostateczną przegrodą?  
Albo czy chcesz przy drzwiach,  
Jak ongi Joab Abnerowi,  
Odkryć mi tajne słowa,  
Bo twe spojrzenie ostre jak miecz?

Dziewczyna natychmiast odpowiada młodzieńcowi, wciąż stojąc za drzwiami, z zimnem sercem:

Chcesz mi ukraść serce gołębiem spojrzeniem.  
Nazywasz mię wysmukłą jak gazela  
I powiadasz, że jedynie zachwyty  
Mówi do mnie z twego serca.  
Chcesz chytrze wypróbować miłość,  
Czy ci przyniesie w nagrodę rozkosz,  
Jak ongi ciasto próbował  
Z ręki Tamary Amnon.....

### IZAAK IBN SAHULA

(XIII w.)

#### Z KSIĘGI PRZYŚLÓW STAROŻYTNYCH

##### Z a s t a w

W Sydonie żył szejch,  
W fortele bogaty, o sławie żywota pobożnego,  
Z prawem zgodnego.  
Modlił się o zbawienie duszy  
W ciągu dnia czterokrotnie.  
Każdemu okazywał twarz przyjazną,  
Do usług zawsze skora.  
Ale w sercu taił fałsz i złośliwość.  
Pewnego dnia przybył  
Kupiec dla przedsięwzięć różnych  
Do tego miasta w celu handlu.  
A zwyczajem wszystkich kupców  
W rękę kiesa haftowana,  
Złotem pełno nadziewana.  
Przyszedł kupiec do oberży,  
W sercu o kiesę troska:

Ludzie w oberży dokoła  
Patrzają wrogo, twarze obce.  
Kupiec myśli: oddam kiesę  
Komuś w mieście szanownemu.  
Jutro rano ją odbiorę,  
Gdy do miasta ruszyć trzeba.  
W drodze mija świątynię Bożą,  
Z wnętrza słychać wielki hałas.  
Wchodzi kupiec, patrzy, słucha,  
Aż się dusza w nim raduje:  
Starzec w modły pogrążony,  
Kręci się i wije w pokłonach niskich,  
Tonie w płaczu i westchnieniach,  
Mocno błaga Pana niebios,  
Za grzechy prosi przebaczenia...

## NITRONAI HANAKDAN

(XIII w.)

## ZE ZBIORU BAJEK

## Kogut i klejnot

Na kupie śmieci	W złotego pierścienia oprawie.
Stał kogut i grzebał,	Teraz depcą cię, biedaku,
Grzebał nogą zwyczajem kogucim,	Bezlitośnie moje nogi.
Szukając robactwa i innego pożywienia.	Dla mnie nie masz wartości,
Nagle widzi klejnot drogocenny,	Stokroć wolałbym najmniejszego robaczka,
Patrzy smutno, grzebać nie warto.	Bo z głoduby mię uratował.
«Szukałem» — powiada — «dobrych rzeczy,	Ale co pocznę z diamentem bezużytecznym?»
Smacznego robaka dla żołądka,	
Znalazłem ciebie, klejnocie,	
Ale jakież z ciebie dla mnie pożytek?	Z tej baśni można wyrozumieć,
Prawda, wspaniały masz połysk.	Że często spotykamy ludzi,
Dumny byłby bogacz z twego posiadania,	Którzy sobie lekceważą takich,
Nióslby cię na dłoni	Którzy wyższą mają wartość...

## IMMANUEL BEN SALOMO ROMI

(XIV w.)

## PIĘKNE OCZY

Miła gazelol Zachwytem przepelnia serce twoje spojrzenie;  
 Z twoich czarujących oczu  
 Wytryska świat, który bogów uszczęśliwia,  
 Promienie, które zaciemniają światło słońca;  
 Twoje wargi jak brama jutrzeńki,  
 Białe zęby jak gwiazd chór  
 Na niebie, płomieniem jutrzeńki objętem.  
 A te oczy, czy to są gwiazdy niebieskie —  
 Często w sercu rozważałem —  
 Które Bóg zesłał zdaleka,  
 Żeby świeciły w dni naszego żywota....

## BEZ MEŻA

Jeszczem piękna, jeszcze włosy	Tylko ja pozostaję samotna.
Jak jedwab błyszczą. Ale nikt	A lata płyną nieprzerwanie,
Swoją już mnie nie nazwie	Wciąż dalej płynie czas,
Z licznego wielbicieli orszaku.	Prędkom stara, rychło zapomniana.
Czasem stadło wiąże złoto,	Minie radość, minie wspaniałość.
Alem biedna, tylko płaczę.	A kto męża tu nie posiadał,
Każda przyjaciółka już ma wybrańca,	Stracił tam wiekuiłą szczęśliwość...

## KALONYMOS BEN KALONYMOS

(Kalonim, XIV w.)

## ZNACHORZY

Na rynku znachor opiewa krzykliwymi wyrazami swoją zdolność leczenia wszystkich chorób tłumowi, który go słucha z wielką uwagą i z ciekawie wytrzeszczonymi oczyma; z rozdziawioną gębą słucha człowieka, który w pstrej odzieży, obramowanej

złotem, z pierścieniami na każdym palcu obu dłoni, ze złotymi łańcuchami, wiszącymi na kamizelce, stoi w środku ściśnionego tłumy. W tłumie chodzą opłaceni przez znachora nicponie, którzy wychwalają cudowne kuracje tego doktora i w ten sposób werbują licznych głupców, którzy za grube pieniądze spodziewają się uzyskać od szarlatana wyleczenie swych chorób. Przed każdym pacjentem szarlatan robi poważną minę, każe sobie pokazać mocz, który według niego świadczy o ciężkiej chorobie. On jeden tylko potrafi chorego z niej wyleczyć, ale medykamenty kosztują drogo, więc opłata musi również być wysoka. A kiedy szarlatan ma już pieniądze w kieszeni, woła prędko swych ludzi, każe przyrządzić leki, poucza ich starannie, jak mają wszystko przygotować z roślin, korzeni i kruszców, mocnych jak trucizna, bardziej gorzkich niż żółć. Następnie pisze receptę cudacznymi hieroglifami...

## NOWA LITERATURA HEBRAJSKA

JEHUDA SZTAJNBERG

(um. w 1908 r.)

### PROSTODUSZNY

Prostoduszny — to Rabbi Icchok.

Prostoduszny — opowiadają — nie wiedział, że jest świętym. Wielu mówiło mu, że jest wielki, sprawiedliwy. R. Icchok słyszał i dziwił się mocno, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby im nie wierzyć.

«Czy można, uchowaj Boże, podejrzewać ludzi o kłamstwo? Widocznie mam zasługi przodków!»

Tak usprawiedliwiał powiedzenia ludzkie i tłumaczył je sobie.

Prostoduszny wystrzegał się bardzo kłamstwa. Kiedy mu więc wierni przynosili datki, brał je wbrew woli, żeby nie wprowadzać ludzi w błąd.

«Naprawdę» — rozumował w duszy — «chcę tych pieniędzy i potrzebuję ich... Jeżeli ich nie przyjmę, powiedzą, że nie lubię pieniędzy, i okaże się, że wprowadziłem, uchowaj Boże, ludzi w błąd».

Pewnego razu — opowiadają — skarżyła mu się żona, że nie ma na utrzymanie domu. Skarżył się również pomocnik na ciężkie czasy. Prostoduszny chciał pobłogosławić żonę i pomocnika i powiedzieć im, że Bóg, niech będzie Jego imię pochwalone, na pewno ześle im chleb powszedni... Ale pomocnik zwrócił mu uwagę, że więzień nie może samego siebie wybawić z więzienia, a święty nie może sam ściągnąć błogosławieństwa Bożego na siebie i na swój dom.

«W takim razie pojedę do jakiegoś świętego, żeby mnie pobłogosławił» — odrzekł Prostoduszny.

Ale żona i sługa byli tego zdania, że będzie lepiej, jeżeli pojedzie do miast, w których mieszkają liczni jego wierni, i, po opędzeniu wydatków w drodze, przywiezie do domu trochę pieniędzy na utrzymanie.

«Dobrze, niech tak będzie» — zgodził się Prostoduszny. — «Utrzymanie, w samej rzeczy, jest rzeczą konieczną. A zobaczyć ludzi Bożych jest na pewno rzeczą dobrą i zbożną...»

Sługa wynajął furmankę na cały tydzień, i pojechali do jednego z dalszych miast. Stało się to z woli zarówno Prostodusznego, jak jego sługi. Każdy miał na to swoje racje. Prostoduszny rozumował tak:

«Moich wiernych z bliskich miast widuję często. A tych, którzy żyją w dalszych miastach, widuję rzadziej. Więc jest rzeczą słuszną, żebym do nich pojechał».

A sługa rozumował tak:

«Sława świętych jest jak pachnący olejek: im dalej, tem piękniej pachnie. Nasz święty ma większą sławę w dalszych miastach...»

Bał się też sługa, że Prostuduszny w pierwszym najbliższym miasteczku zbierze tyle pieniędzy, ile trzeba na jeden tydzień utrzymania, natychmiast zawróci i pojedzie do domu...

Tak jechali Prostuduszny jego sługa i woźnica, aż się znaleźli niedaleko celu podróży.

Gdy już byli na dwa staje od miasta, sługa poradził zatrzymać się i trochę odpocząć, a pocichu posłał woźnicę do miasta, żeby rozgłosić, że święty R. Icchok Prostuduszny przyjechał i czeka, by ludzie wyszli na jego spotkanie.

Woźnica spełnił polecenie i prędko wrócił do wozu.

Prostuduszny zaczął nalegać, żeby ruszono w dalszą drogę, z obawy, że się spóźni na modlitwę przedwieczorną w bóżnicy. Ale sługa zwlekał. Wreszcie podniósł oczy. Z miasta nadjeżdżały wozy. Zrozumiał, że już wierni jadą na ich spotkanie, wsiadł do wozu i kazał ruszyć naprzód.

Prostuduszny podniósł oczy i zobaczył przed sobą liczny sznur wozów... Tłum zbliża się coraz bardziej.

«Dokąd jadą ci ludzie?» — spytał ze zdziwieniem jakiegoś przejeżdżającego woźnicę.

«Na spotkanie świętego» — odparł tamten.

«Świętego?!... Jest tu święty, a ja o tem nic nie wiedziałem? Zawracaj!» — zawołał do woźnicy. — «Pojedziemy również. Może Bóg da, że będziemy jedni z pierwszych!»

Woźnica drapie się w głowę i patrzy na sługę... Tymczasem nadjeżdżają pierwsze wozy. Niektórzy wierni zeskakują z bryczek i ruszają pieszo do świętego...

«Patrzcie! jacy pobożni ludzie!» — myśli Prostuduszny. — «Pieszko idą, nie żałują nóg... Wielka ich czeka nagroda od Boga... Zejdę i ja i pójdę pieszo!»

I Prostuduszny idzie w tłumie innych. Wierni przyspieszyli kroku i zaczęli biec. Prostuduszny biegnie razem z innymi.

Wierni biegną za nim.

«Dokąd biegnie Rabbi?»

«Dokąd? Na spotkanie świętego».

«Jakiego świętego?»

«Na pewno mi powiecie».

Tak opowiadają starzy wierni o Prostudusznym.

## SZ. BEN-CYJON

(SZ. GUTMAN)

(ur. 1870)

### KAPŁAN DRZEW

Kogut, przywiązany do nogi łóżka, zatrzepotał skrzydłami i głośno zapiał.

«Już dwunasta?...» — zdziwił się nauczyciel. Dwóch chłopców, powtarzających głośno lekcję, natychmiast umilkło.

«Żeby już była dwunasta!» — pomyśleli z westchnieniem chłopcy, siedzący dokoła stołu. W tej chwili rozległo się ciche dzwonienie za przepierzeniem, w sąsiedniej izbie, w warsztacie szewca Gerszona. To zegar ścienny wybijał wytęsknioną godzinę dwunastą.

«Idźcie do domu» — rzekł nauczyciel słabym głosem — «ale uważajcie» — tu podniósł głos i groźnie zmarszczył brwi — «żeby mi tu wrócić wieczorem do szkoły!»

Co za radość! W dzień powszedni mamy cztery, pięć wolnych godzin.

Dziś 15 miesiąca szwał, dzień uroczysty.

Na drodze wiatr zwiewa kupy śniegu do ścian domów, gdzie wzdłuż całej ulicy już stoją wysokie, białe kopce. Ale środek ulicy jest pokryty grubymi, zlodowaciałymi grudami ziemi, na których ludzie i bydło wciąż się przewracają.

Po tej drodze biegłem cwałem do domu. Wiatr dał mi w twarz i nie dawał posuwać się naprzód. Ale nie zwracałem na to uwagi.

Ojca nie zastałem w domu, pojechał do młyna. Matka stała w sklepie, otulona w dużą chustę. Z powodu wielkiego mrozu kobiety już teraz kupowały mąkę do chał sobotnich, i matka była cały dzień zajęta w sklepie. W domu zastałem tylko babkę. Siedziała sama i robiła pończochę na drutach.

Babka wstała i postawiła dla mnie jedzenie. Przedtem jednak zaprowadziła mnie do kuchni, żebym sobie umył ręce. Z nabożeństwem słuchała, jak odmawiałem modlitwę, i żarliwie za każdym razem odpowiadała: «Amen».

Po jedzeniu otworzyłem modlitewnik i głośno odmówiłem modlitwę dziękczynną. Chodziło o to, żeby przekupić serce babki. Wiedziałem, że w szafie schowała dla mnie talerz owoców, jak to przyjęte jest tego dnia...

Nadzieja nie zawiodła mnie. Nie zdążyłem zamknąć modlitewnika, gdy już babka wstała z miejsca i z rozradowaną twarzą postawiła przede mną pełny talerz: daktyle, figi, orzechy, chleb świętojański, migdały, rodzynki i pół rajskiego jabłka.

«Jedz i niech ci smakuje. Ale patrz, synku» — dodała — «pamiętaj odmówić przedtem i potem modlitwę, z uwagą — dziś jest ich Nowy Rok... Dziś Pan Bóg wydaje wyrok na każde drzewo, według jego rodzaju: które ma zakwitnąć, a które zwieznąć, które ma przynieść dojrzałe owoce, a w które ma uderzyć piorun, które ma puścić nowe pędy, a które ma być ścięte siekierą... Jak każde drzewo — jak człowiek, synku! Wszystkie rośliny Pan Bóg dziś sądzi w niebie...»

«Och, och!...» — westchnęła babka i usiadła w wyscielonym fotelu pod oknem.

Z twarzy pomarszczonej i smutnej poznałem, że w tej chwili przed nią stały dusze wszystkich dawno zmarłych: dziadka, synów i wnuków, moich braciszków i siostrzyczek...

Zjadłem owoce. Takie były dobre i słodkie! Zacząłem się bawić pestkami, liczyć je, układać z nich różne figury. Kiedy podniosłem oczy, znużony zabawą, babka już drzemała w krześle...

Co będę sam robił cały dzień w domu?... Stałem przy oknie. Szyby po brzegach już miały piękne liście i kwiaty. Z prawej strony zaglądała przez okno cicha ulica, z lewej strony widać było wielki, pusty plac. Nasz domek stał na krańcu miasta. Na ulicy nikogo nie było widać. Tylko wiatr od czasu do czasu podnosił kupy pyłu śnieżnego i znów ucichał.

«Pójdę, zobaczę, co robią drzewa w dzień sądu».

Prędko narzuciłem na siebie palto, wykradłem się z pokoju, żeby nie budzić babki, wyszedłem z domu i pobiegłem do ogrodu za domem, żeby zobaczyć, czy drzewa się modlą.

W ogrodzie stały gołe drzewa, z jednej strony pokryte białym śniegiem. Wszędzie widać było białe konary, jak długie ramiona, wyciągnięte wysoko nad ziemią. Drzewa chwiały się i drżały, z wszystkich stron słychać było głośny poszum...

«Nawet drzewa modlą się do Boga» — pomyślałem — «i stoją w białych całunach, jak ludzie w bóżnicy...»

W pobliżu zaszumiło stare drzewo i westchnęło głośno, lekko potrząsając pokrzywionymi z starości konarami.

Wiatr szumił wśród drzew, jakgdyby ktoś cicho grał na fujarce. Nagle powiał silniej, strząsnął z drzew kupy białego śniegu i ryknął wielkim głosem, jak w bóżnicy w święto Nowego Roku dmą w róg:

«Uuuu!!!»

«Drzewa również trąbią w święto Nowego Roku» — pomyślałem. — Serce wezbrało mi litością nad drzewami, które teraz stoją przed sądem Bożym.

«Ogrodzie, mój ogrodzie! Kto się za ciebie pomodli? Tak mało drzew, stoisz sam na krańcu miasta, jak mała garstka żydów gdzieś w samotnej wiosce... Nie masz nawet dobrego śpiewaka, żeby się za ciebie pomodlił... Ja się pomodłę za ciebie do Boga!...»

Wszedłem pocichu do domu, wziąłem z szafy modlitewnik na uroczyste święta, włożyłem rękawiczki, podniosłem kołnierz palta, stanąłem na środku ogrodu i zacząłem śpiewać.

Tak, Tobie hołduje świat cały,  
Tobie, Panie, który ustanawiasz sąd,  
A doświadczasz serca w dzień sądu,  
Który odślaniasz skryte tajniki w sądzie,  
A sprawiedliwie wyrokujesz w dzień sądu.

A wiatr dął mi w twarz i zatrzymywał mi dech w piersi. Ale wiem, że to dzieło złego ducha, który mi chce przeszkodzić w modlitwie, jak to zawsze czyni w uroczyste święta. Więc jako wierny wysłannik drzew podnoszę głos i zaczynam śpiewać nową modlitwę:

Będziemy opiewali potęgę świętości tego dnia.  
Zaiste, Ty jesteś sędzią i kaznodzieją!

Naśladuję gromki głos starego śpiewaka naszej bóżnicy:

Zaiste, Ty jesteś sędzią i kaznodzieją,  
Wszzechwiedzącym, świadkiem...

Głos mi chrypnie w piersi, ale jak mogę milczeć, kiedy wszystkie drzewa kiwają nade mną głowami, jakby pełne żalu, a stare drzewo wzdycha, jakby mówiło:  
«O, o! Módl się za nas!... Bo jest nas tak mało. O, o...»

I w wielki róg zatrąbiąą!...

Hooool... Huczy wiatr, jak w bóżnicy, gdy dmą w wielki róg. Z sercem złamanem kiwam się i powtarzam za wiatrem z cichym płaczem.

I usłyszą ciche szeptyyy...

«Szmulik, Szmulik!»

Jakaś ręka chwyta mię za kołnierz palta i mocno mną potrząsa. Przede mną stoją matka i babka i robią mi ostre wyrzuty, że wyszedłem do ogrodu podczas burzy, stoję na mrozie i wrzeszczę na całe gardło.

«Ja śpiewam, a one mówią, że wrzeszczę».

W połowie modlitwy ciągną mnie gwałtem i wpychają do domu...

...Tego wieczora nie wróciłem do szkoły. Miałem lekki kaszel...

Noc była dla nas wszystkich niespokojna. Zaledwie przymknąłem powieki, opadły mi różne sny. Nazajutrz mówiono mi, że całą noc mówiłem przez sen i wciąż śpiewałem modlitwy...

Nazajutrz również nie poszedłem do szkoły: z przeziębienia dostałem zapalenia płuc.

Dopiero po Wielkiej Nocy wróciłem do szkoły... W ogrodzie za domem drzewa już dawno puściły pąki, niektóre były pokryte kwieciami białym jak śnieg, powietrze było pełne radosnego śpiewu ptasząt.

Uczciwie spełniłem wówczas swój obowiązek, moja modlitwa widocznie poszła prosto do nieba, mój ogród kwitnie coraz piękniej z każdym dniem. Koledzy w szkole przezywają mnie teraz «śpiewakiem drzew». Ale co mi to szkodzi?

Bóg wysłuchał moją modlitwę. Drzewa w moim ogrodzie pokryły się obficie owocami.

M. BUBER

(ur. w 1878 r.)

DLACZEGO ŚMIAŁ SIĘ ŚWIĘTY?

(Legenda ludowa)

Pewnego razu w piątek wieczorem siedział święty Baal-Szem z swymi wiernymi przy uczcie sobotniej. Podczas uczty smutna twarz świętego w pewnej chwili zaświeciła blaskiem radości. Święty wybuchnął głośnym, dobrodusznym śmiechem. Obecni nie widzieli powodu do śmiechu i w cichym zdumieniu spoglądali po sobie. Upłynęło piętnaście minut. Święty po raz drugi wybuchnął śmiechem. Po upływie kwadransu roześmiał się po raz trzeci.

Uczniowie siedzieli przy stole, nie mówiąc słowa. Rozumieli, że, jeżeli mistrz się śmieje, widocznie ma powód dostateczny. Ale nikt nie miał odwagi spytać go o przyczynę. Po uczcie prosili jednak najstarszego z nich, Rabbi Wolfa, żeby spytał o to świętego.

A był tam taki zwyczaj: w sobotę wieczorem, po modlitwie, stary R. Wolf zbliżał się do świętego i pytał go o znaczenie każdego niezrozumiałego postępkę świętego w ciągu dnia sobotniego. Tak samo było i tym razem. Starzec zbliżył się do świętego i spytał:

«Powiedz mi, mój mistrzu i panie, jakie znaczenie miał twój śmiech wczoraj wieczorem?»

«Dobrze, pokażę wam powód śmiechu» — odrzekł Baal-Szem. — «Gotujcie się do drogi, a zobaczycie i usłyszycie, o czym chcieliście się dowiedzieć».

Święty zawołał służącego i kazał mu zaprząć bryczkę; miał bowiem zwyczaj w sobotę wieczorem jeździć z uczniami za miasto na krótką przejażdżkę.

Tym razem jednak upłynęło kilka godzin, a święty wciąż nie kazał zawracać. Tak w ciszy nocnej jechali bez słów przez pola i lasy.

Nad ranem przyjechali do jakiegoś małego miasteczka. Tu święty kazał zajechać przed dom starszego gminy.

Upłynęło kilka minut, a już całe miasteczko dowiedziało się o przyjeździe świętego. Przed domem zbrali się wszyscy mieszkańcy miasta, starzy i młodzi, żeby zobaczyć wielkiego cudotwórcę i złożyć mu hołd. Ale Baal-Szem nie zwrócił na nich uwagi, tylko kazał starszemu zawołać introligatora Szabsaja. Starszy ze zdziwieniem słuchał słów świętego.

«Święty Rabbi!» — rzekł. — «Co takiego znalazłeś w tym człowieku? Wprawdzie wszyscy wiedzą w miasteczku, że jest to człowiek uczciwy. Ale czem zasłużył, żeby go człowiek Boży wołał przed swe oblicze?»

«Chcę, żebyś mu natychmiast kazał do mnie przyjść» — odrzekł krótko Baal-Szem.

Sprowadzono natychmiast introligatora, starszego człowieka. Baal-Szem podniósł na niego oczy.

«Zawołajcie tutaj również jego żonę» — rzekł.

Kobieta przyszła i z rozkazu świętego stanęła obok męża.

«A teraz» — zwrócił się Baal-Szem do introligatora — «opowiedz mi, co robił w ostatni wieczór piątkowy. Ale powiedz mi czystą prawdę, nie wstydź się i nie przede mną nie ukrywaj».

«Święty panie!» — odrzekł introligator. — «Nic nie chcę przed tobą ukryć. A jeżeli zgrzeszyłem, gotów jestem przyjąć pokutę, jaką na mnie nałożysz».

Introligator zaczął opowiadać:

«Jestem rzemieślnikiem i żyję z pracy rąk. Dawniej był u nas zwyczaj, że w czwartek po południu żona moja wychodziła na targ po zakupy na dzień sobotni: mąkę, mięso, rybę i świece. A w piątek rano, gdy zegar wybijał godzinę dziesiątą, kończyłem pracę i zabierałem się do przygotowania na dzień sobotni. Myłem się, przebierałem się w czyste szaty, szedłem do bóżnicy i zostawałem tam do wieczora.

«Tak postępowałem od lat najmłodszych. Ale teraz jestem stary, nie mam sił do pracy i z wielką trudnością zarabiam na chleb. Często też zdarza się, że w czwartek nie mam pieniędzy na zakupy sobotnie, jak to robiłem za dobrych lat. Nie odstępuję jednak od dawnego zwyczaju. W piątek o godzinie dziesiątej rano przerywam pracę, idę do bóżnicy i siedzę tam do modlitwy wieczornej.

«W ostatni piątek zegar wybił dziesiątą rano, a nie miałem w kieszeni ani grosza na zakupy. Nigdy w życiu dotychczas nie wyciągałem ręki po pomoc ludzką. Tak samo w ostatni piątek postanowiłem raczej pościć w dzień sobotni, niż chodzić do ludzi i prosić o pożyczkę. Ale obawiałem się, że żonę zabolę, kiedy zobaczy, że w Pański dzień sobotni nawet świece nie będzie mogła zapalić na stole, więc pójdzcie do jakiejś sąsiadki i pożyczcie chałę albo rybę. Prosiłem ją więc przed wyjściem, żeby mi obiecała, że nic od nikogo nie przyjmie, gdyby nawet ktoś bardzo nalegał. Wiedziałem, że mieszkamy wśród sąsiadów, dobrych ludzi, którzy nie będą mogli znieść

tego, żebyśmy w świąteczny dzień sobotni siedzieli przy pustym stole. Żona obiecała mi, że usłucha mojej prośby. Przed wyjściem do bóżnicy powiedziałem jej:

«Dziś wrócę późno do domu, bo jak będę wychodził razem z innymi, a zobaczą przez okno, że u mnie w izbie niema światła, będą pytali o przyczynę, i nie będę wiedział, jaką im dać odpowiedź».

«Tak mówiłem żonie, a ona obiecała mi we wszystkim mnie usłuchać.

«Gdy wyszedłem z domu, i żona została sama, zaczęła zamiatać podłogę i sprzątać po kątach. DREW do rozpalenia ognia nie było, ani co postawić na kuchni. Więc prędko skończyła robotę.

«Rychło zaczął się jej czas dłużyć. Otworzyła więc kufer, wydobyla nasze stare ubranie i zaczęła je czyścić. Między innymi znalazła jakąś swoją starą, podartą suknię, która miała jeszcze kilka guzików. Niektóre były posrebrzane, inne pozłacane. Żona obciąła je z sukni i zaniosała do złotnika. Za otrzymane pieniądze zakupiła jedzenie na sobotę i kilka dużych świec, i jeszcze zostało się jej kilka groszy.

«Wieczorem, kiedy wszyscy już wyszli z bóżnicy, wyszedłem również i wolnym krokiem szedłem do domu. Już zdaleka zobaczyłem w oknie światło. Świec było kilka, jak w wieczór świąteczny. Widok ten nie sprawił mi przyjemności. Pomyślałem sobie:

«Widocznie żona jednak przyjęła pomoc od dobrych ludzi».

«Wszedłem do domu. W izbie stół był zastawiony, leżały chały, ryby. Znalazłem również wino. Nie chciałem zakłócić nastroju świątecznego. Powstrzymałem się od wszelkich uwag, pomodliłem się nad winem i zjadłem rybę. Następnie zwróciłem się do żony.

«Widzę» — rzekłem do niej — «że nie starczyło ci sił na to, żeby spokojnie przyjąć zło od Boga».

«Żona nie dała mi dokończyć.

«Czy pamiętasz, mężu» — zawołała radosnym głosem — «moją starą suknię ze złotymi guzikami? Nie widzieliśmy jej od tyłu lat. Dziś otworzyłam wielki kufer i znalazłam ją. Miała jeszcze kilka guzików. Zaniosałam je do złotnika. Starczyło na zakupy sobotnie i zostało jeszcze trochę pieniędzy».

«Nie mogłem się powstrzymać od łez. Serce przepęliło mi się radością i wdzięcznością dla Boga, który pozwolił mi godnie uczcić dzień sobotni, nie uciekając się do pomocy ludzkiej. Zapomniałem o ostatnich latach, o przeżytych troskach, wziąłem żonę za rękę i zacząłem z nią tańczyć po izbie. Potem zjedliśmy rosół i znów potańczyliśmy trochę. A gdy zjedliśmy mięso, nie mogłem się powstrzymać od uczucia wdzięczności i po raz trzeci wziąłem żonę w taniec. Jeżeli Rabbi uważa, że zgrzeszyłem, wyznacz mi pokutę, a spełnię ją».

Święty Baal-Szem zwrócił się do uczniów:

«Słuchajcie i wiedźcie o tem, że w tej samej chwili, kiedy introligator Szabsaj tańczył z żoną, anieli w niebiosach radowali się i tańczyli z nimi. Widziałem wówczas płaszy Szabsaja. Dlatego śmiałem się. Za to uczucie wdzięczności stary introligator Szabsaj będzie miał syna, który będzie jednym z najświętszych ludzi w kraju».

Żona introligatora na starość lat powiła mu syna. Był to późniejszy słynny Magid, kaznodzieja z Kozienic.

## CH. NACHMAN BIALIK

(ur. w 1873 r.)

### WIERSZ

Przytul mię pod twemi skrzydłami  
I bądź mi matką i siostrą,  
I niech twoje łono będzie schronieniem dla mej głowy,  
Gniazdem moich modlitw zbłąkanych,  
A w godzinę zmiłowania, w godzinę zmierzchu,  
Schyl się do mnie, a odkryję ci tajemnicę moich bólów:



Powiadają, jest w świecie młodość —  
 Gdzie moja młodość?  
 I jeszcze jedną tajemnicę ci wypowiem:  
 Duszę moją spalił jej płomień:  
 Powiadają, jest na świecie miłość —  
 Co to jest miłość?

Gwiazdy mię zwiodyły.  
 Był sen, ale i on już pierzchł;  
 Teraz nic już nie mam na świecie —  
 Nie mam nic.

Przytul mię pod twymi skrzydłami  
 bądź mi matką i siostrą,  
 I niech twoje łono będzie schronieniem dla mej głowy,  
 Gniazdem moich modlitw zbłąkanych.

### Z PIEŚNI LUDOWYCH

Między Eufratem a Tygrysem  
 Na górze stoi palma,  
 A na palmie wśród gałęzi  
 Żyje w gnieździe ptaszek złoty.

«Ptaszku złoty, polec, pokraż,  
 Poszukaj mi oblubieńca.  
 Gdzie go znajdziesz, zwiąż go nitką,  
 Nitką złotą, przyprowadź go.

A jak nie masz nitki złotej,  
 Szepcz do ucha miłemu.  
 Co mu powiesz? Powiesz jemu:  
 Dusza tęskni do miłego.

A jak nie zechce, przychył ucha:  
 Wszystko leży tu w kuferku,  
 Płótno, jedwab, wszystko nowe,  
 Dziesięć koszul wyszywanych.

Mam i pierze już oddawna,  
 Wyskubane ręką matki.  
 Noce całe nic nie spała,  
 Pościel córce wciąż zbierała».

Czy zapomniał o mnie wcale,  
 Czy młodzieńca nie mógł znaleźć,  
 Czy młodzieniec nic mnie nie chce,  
 Kto mi powie, kto mi powie?

«Lecę, dziewczę» — rzecze ptaszek. —  
 «Będę w nocy w domu chłopca,  
 Opowiem mu wszystkie słowa,  
 Co masz w sercu, wszystko powiem.

Zapytam się go o zdrowie.  
 Twarz dziewczyny wskażę w zjawie...  
 Nagle chłopiec z łóżka skoczy,  
 Na miotle wierzchem przyleci.

Stanie w oknie, powie: otom,  
 Radości moja, żrenico oka,  
 Nie dla pieniędzy, nie dla wyprawy,  
 Do ciebie samej przyleciałem.

Mam coś więcej niż pieniądze:  
 Czarne oczy, ogień młody.  
 Wszystko tobie. Wstań prędiutko,  
 Chodźmy w pole, sami dwoje».

Ptaka odleciał wśród ciemności,  
 Dawno niema po nim śladu.  
 Szukam wzrokiem po obłokach  
 W dzień i w nocy, ptaszka niema.

### JEŻELI PRAGNIESZ...

Jeżeli pragniesz poznać źródła te,  
 Skąd twój bracia, starzy męczennicy,  
 Czerpali siły w długie czarne dni,  
 By iść na stopy, mrzeć na szubienicy;  
 Z pogodnym czołem i jasnym obliczem,  
 Z uśmiechem ginąć za kochaną rzecz,  
 By srogie męki były dla nich niczem,  
 By z Bogiem w ustach mknąć pod kąta miecz.

Jeżeli pragniesz poznać święty zdroj,  
 Z którego głębin wśród mąk i katuszy,  
 Wiecznie gnębiony brat rodzony twój  
 Czerpał odwagę, ukojenie duszy;  
 Skąd on palony, ćwiczony, smagany,  
 Jarzmo niewoli umiał z dumą nieść,  
 I skąd, nie bacząc na bóle, na rany,  
 Czerpał do męstwa i otuchy treść.

Jeżeli pragniesz poznać lono to,  
 Na które naród skłaniał swoją głowę,  
 Gdzie brzmiały skargi na doznane zło,  
 Zadane ciosy i krzywdy surowe;  
 Gdzie zółc wylewał, gdzie zawodził jęki,  
 Od których piekło drżało, trząsał się głaz,  
 Gdzie nawet katy, zadające męki,  
 Musiały wstrzymać wymierzony raz.

Jeżeli pragniesz poznać zamek ów,  
 Gdzie praojcowie skarb ukryli miły,  
 Testament święty, zwoje Bożych słów,  
 Pojące serce i krzepiące siły.  
 Jeżeli pragniesz poznać skrytkę ową,  
 Gdzie się narodu ostał wielki duch,  
 Bosko natchniony, czysty kryształowo,  
 Gdzie bodźca dostał wszelki ludu ruch.

Jeżeli starą matkę poznać chcesz,  
 Co pełna uczuć, tkliwości, kochania,  
 Na pierś swą boleść niezliczonych rzesz  
 Przyjęła, lzy ich i jęki, i łkania;  
 Która narodu kierowała kroki,  
 Do której nędzny, wymęczony syn  
 Przychodzi wyznać ból ciężki, głęboki,  
 Oskrzydłać myśli i natchnąć swój czyn.

Gdy wszystko poznać to pragnienie masz,  
 Wejdz w dom modlitwy, zwyczajną bóżnicę:  
 Tam w modłach braci twoich płonie twarz,  
 Natchnione Bogiem, wniebowzięte lice.  
 W zimna Siwana, w upały Tamuza,  
 Tam przed Jehową lud wylewa lzy,  
 Wielkich proroków brzmi tam wieszczca  
 muza,  
 Tam lepszą przyszłość swą widzi przez mgły.

Tam w cieniu kątów, za piecem, przy ścianie,  
 Samotne ujrzysz zapomniane kłosa —  
 To cień przeszłości, tej która minęła...  
 Szereg głów widzisz, brzmia zachrypie głosy;  
 Tych ludzi pchnęło tu nasze wygnanie:  
 Studjują tutaj stare, święte dzieła,  
 Cierpienia swoje chcą pogrześć w «Gemarze»,  
 W legendach starych utopić swą nędzę...

Spójrz na ich karki schylone, na twarze  
 Świecące ogniem przy żółkniętej księdze.  
 Nędzny to obraz dla postronnych ocz,  
 Lecz jeśli żydem jesteś od spowicia,  
 Pojmiesz, że jest to dom naszego życia,  
 Do bytu ludu odnajdziesz w nim klucz.  
 Jeśli duch Boży nie zgaś w tobie jeszcze,  
 Jeśli tkwi w tobie uczuć drobny cień,

Porwie cię zapal i przejdą cię dreszcze,  
 Bo z ust tych ludzi dźwięczą słowa wieszczce,  
 Nadzieja mocna, wiara w lepszy dzień.  
 Gdy skrę żydostwa posiada twe serce,  
 Musisz uczuć, bracie, że w tej drobnej skierce  
 Tkwi szczerą wielkiego ognia... To węgielki,  
 Co cudem przeszły do obecnej chwili  
 Po łunie świętej... Ten znicz wzniosły, wielki,  
 Ojcowie nasi ongi zapalili

Na serce ołtarzu... Ich to lza dowlekleła  
 Poprzez katusze, poprzez męki piekła  
 Nas do tej chwili... Gorące ich modły  
 Kazały żyć nam, wzgardzić żywot podły,  
 Życie wśród nędzy, cierpienia i troski,  
 W godzinie wczasu wieść byt wspaniały, boski,  
 Do ksiąg prastarych uciec się opieki  
 Do żyć bez końca, na wieki, na wieki!

*Tłum. S. Hirschhorn.*

#### MOJA PIEŚŃ

Nie! Nie od ludzi mój ogień mam,  
 Anim go w spadku dostał od przodka —  
 Jam go z mej skały wykrzesał sam,  
 Własna ma pierś go wydała wiotka.

Żydowskich bólów i cierpienia młot  
 Roztrzaskał serce moje w kawały,  
 Lecz ducha zato oskrzydlił lot  
 I skrę wydobyl z sercowej skały.

W mem sercu-skałe tkwi jedna skra,  
 Skierka maleńka, błada w niem błyska,  
 Ale nieziemski ogień w niej drga,  
 Bo z nieziemskiego powstał ogniska.

Ta skra zamienia się w dźwięczny śpiew,  
 Wybucha luną w chwili natchnienia...  
 O, czy wy wiecie, że wrzącą krew  
 Kryją me zimne, spokojne pienia?!

*Tłum. S. Hirschhorn.*

## POWIEŚĆ O POGROMIE

## Nad rzezią

O, nieba! rońcie za mnie lzy  
 I módlcie się do Boga!  
 Jeśli Doń przez was wiedzie droga —  
 Błagajcie za mnie wy!  
 Mnie modły dawno pierzchły z gardła,  
 Opadła dłoń, nadzieja zmarła —  
 Dopókiż ma to trwać?!

Ot głowa ma! niech śpieszy kat,  
 Niech wraz ją zetnie jego topór;  
 Mało nas, płonny jest nasz opór,  
 Więc nam szafotem cały świat.  
 Wam los darował nas do ścięcia —  
 Lecz niech krew starca i dziecięcia,  
 Na wieki kała waszą dłoń!

A sprawiedliwość? Gdy ma moc,  
 Niech teraz słońce jej zapłonie,  
 Bo gdy ma świecić po mym skonie —  
 Niech ją pochłonie wieczna noc.  
 Niech wszechświat zburzy wasza zbrodnia!  
 A wy mordujcie dalej co dnia  
 I pławcie się w niewinnej krwi.

Przeklęty bądź, kto woła: «Mścić!» —  
 Nie znajdzie pomsty za śmierć dziecka  
 Nawet szatana myśl zbójcecka...  
 Krwi nasza! W głąb otchłani idź,  
 Niech siła mąk twych i katuszy  
 Z odwiecznych posad tam poruszy  
 Splamiony zbrodnią ziemski glob!

## Inny urywek

Wiem, że, jak gwiazda w ciemną noc,  
 I moje zgaśnie świtanie,  
 Lecz niech się gniew mój wśród was tli,  
 Jak płomień w zgasłym wulkanie,  
 Niech trwa, dopóki grzmotów huk  
 I morza ryk nie ustanie.  
 I niech rozleje się mój ból  
 Na cały widnokrąg siny,  
 Niech żywi obszar nieb i pól,  
 Niech poi gwiazdy, rośliny.  
 Niech rośnie, więdnij, kwitnij znów  
 I wyda p odne nasienie,  
 I niech mu obcym będzie kształt,  
 I nazwa, i pochodzenie.  
 Niech długo trwa, po wieczny czas,  
 Ostatni ród, pokolenie.  
 Niech szuka kary, msty u nieb  
 I piekła porusza moce,  
 Niech wyzwolenia wstrzyma dzień  
 I wolność ludów zdruzgoce.  
 A jeśli świt na schyłku dni  
 Fałszywej zabłyśnie cnoty,

I sztandar, barwy naszej krwi,  
 Swobodne rozwinię wloty;  
 Zuchwale zadrwi z naszych ran  
 I z mordów minionej doby,  
 I płąs wolności, z hukiem trąb,  
 Przydepcze męczehskie groby; —  
 Niech wówczas niebo zginie w mgle  
 I zamknie ze wstydu oczy,  
 Niech słońcu się zapłonie twarz  
 I w naszą krew przeistoczy.  
 Niech znak Kaina hańbi świat  
 I głosi o wiecznej plamie,  
 Niech głosi, że Bóg stracił moc  
 I skruszył wszechmocne ramię.  
 Niech gwiazda gwieździe szepnie, drząc:  
 Oto ból wielki, potężny,  
 A oto kłamstwo w szatach pstrych,  
 W obłudzie swej niebosiężnej.  
 A Bóg? Bóg prawdy i Bóg msty,  
 Przyjrząwszy się tej ohydzie,  
 Na ludzkość zwali gniewu grom  
 I z wielkim swym mieczem wyjdzie...

*Tłum. S. Hirschorn.*

## JAKÓB FICHMAN

## NADCHODZI WIECZÓR

Nadchodzi wieczór... Puszczam pieśni wodze,  
 Coraz donośniej brzmi jej wdzięczne echo,  
 Kocham ruń blado-zieloną przy drodze,  
 Co wciąż mi w smutku bywała pociechą.

Zachodu słońca uwielbiam purpury,  
 Lubię, jak w górach brzmi mych kroków dźwięk.  
 Ja nie zlorzeczę, śpiew mój nieponury,  
 Samotność tylko bije z mej piosenki.  
 Wieczór... Czerwienieje coraz są niebiosą,  
 Miłuję coraz bardziej piękną ziemię,  
 Hula wiatr wolny, lśni srebrzysta rosa,  
 Z nich mego smutku tkąłem złote brzemię.  
 Lecz coraz cięższe brzemię w sercu noszę,  
 I jestem codzien bogatszy, bogatszy.  
 Skarby me smutek zwiększa i rozkosze,  
 A wzrok wciąż łaknie, choć patrzy i patrzy.

*Tłum. S. Hirschhorn.*

### S. FRUG

(um. w 1916 r.)

#### PIEWCA CMENTARNY

Złe chwile miały niejedne narody,  
 Ich piewcy łkali, lecz zdala przed niemi  
 Migąła zorza wyśnionej swobody,  
 Skra wyzwolenia dla ojczystej ziemi.  
 Ale, mój ludu, próżno w świata wirze  
 Szukam przykładu dla twych łez, twej męki,  
 Szukam poety, na którego lirze  
 Znalazły odźwięk twój ból, twe udreki.

Oto piewca nuci śmiałą pieśń bojową,  
 Drugi rolnika sławi trud ofiarny,  
 A ja pochodnię trzymam pogrzebową,  
 I szpateł cmentarny.

Kop bez wytchnienia, kop i kop mogiły,  
 Bez jęku w piersi, bez łez u powieki,  
 Grzeb płonne mary, wymęczone siły, —  
 Grzeb, grzeb na wieki.

A noc bez świtu, bez końca niewola,  
 Płacz, płacz, gdy tamten gnębi i spotwarza...  
 O, jak jest straszna, jak męcząca dola  
 Poety-grabarza.

*Tłum. S. Hirschhorn.*

#### UNIEŚCIE MĄ DUSZE

Duszę moją unieście w błękitną tę dal,  
 Gdzie rozłożył się step bujny, złoty,  
 Przeogromny, jak wieczny mój smutek i żal,  
 Jako brzemię mej cierpkiej zgryzoty.

Tam mą wiarę gorącą i jasne me sny,  
 I me dawne obudzę nadzieje,  
 Tam po stepie rozkosznym gorące me łzy  
 Wielką falą pianistą rozleje.

A gdy dźwięczniej w strun metal uderzę — wnet z kruz  
 Zapomniane wyleją się dźwięki,  
 Po olbrzymim się stepie rozlegną — wszere, wzdłuż  
 Moje bóle, tęsknoty i męki.

Duszę moją unieście w błękitną tę dal,  
 Gdzie rozłożył się step bujny, złoty,  
 Przeogromny, jak wieczny mój smutek i żal,  
 Jako brzemię mej cierpkiej zgryzoty.

*Tłum. M. Kazanowicz.*

#### NAGROBEK

Ofiary drogie, czyste, święte  
 Za naszą wolność, za nasz byt...  
 Wróg jeszcze bije, rąbie, siecze,  
 «Zwycięstwa» jeszcze nie jest syt.

Nam czasu brak na łyzy, szlochania,  
 Na żale, skargi, jęk i zgrzyt...  
 Ofiary czyste, jasne, święte  
 Za naszą wolność, za nasz byt...

Kat jeszcze swoich rąk nie obmył  
 Z krwi naszych synów, naszych cór:  
 Wciąż wiszą jeszcze zamki stare,  
 I stoi jeszcze stary mur.  
 Nie możemy dziś was oplakiwać:  
 Powietrze nienawiścią tchnie,  
 Pierś dyszy gniewem, buntem, zemstą,  
 A burza mknie i rwie, i rwie.

Uderza bęben, grzmia szofary,  
 Sztandary wieją z wszystkich stron: —  
 Dopiero bój się rozpoczyna,  
 Lecz bój na życie i na zgon.  
 Ale wśród burzy dzikich gromów  
 I pośród wrzasku wrażliwych zgraj,  
 Wam ciche śle «El mole rachmim»  
 Dziś cały naród, cały kraj.

*Tłum. S. Hirschhorn.*

#### KIELICH

«Powiedz, matenکو, zaliż to prawda —  
 Iż przed Boskimi tam... trony  
 W niebie — jak dziaduś siwy powiadał —  
 Jest kielich wielki... złożony?  
 Ileż to razy podłość wysmaga  
 Ludzka — te biedne rzesze tułacze —  
 Bozia łzę w kielich gorzką uroni  
 I nad ich dolą zapłacze...  
 A gdy się łzami po same brzegi  
 Wypełni kielich złożony —  
 Zejdzie na ziemię,  
 Ów w pieśniach śniony  
 I upragniony  
 Przez cały lud cierpiący,  
 Mesjasz — matenکو?...»  
 — «O tak, ty moja dziecino,  
 Prawda — kochanie!» —  
 Smucąc się, matka odpowie —  
 A dziecko główkę podciera  
 Wątlą rączyną

I chwilę дума, — poczem pytanie  
 Zadaje znowu. — «Powiedz, matenکو —  
 Szczebiocze dziecię — czy się uzbiera  
 Kiedyś w kielichu leż tyle,  
 By zszedł ten Mesjasz drogi na ziemię,  
 Zanim będziemy wszyscy w mogile?  
 ...A może kielich bezdenny?»  
 I niknie z lica uśmiech promienny —  
 I myśli dziecię, patrzy matce w oczy,  
 Zali się dusza jej nie rozmroczy?  
 I smutno dziecinie...  
 Błysnęła łezka, jak perła,  
 W matczynych rzesach,  
 Potem na czoło opadnie...  
 ...Czy dziecię myśli jej zgodnie?

Przyjmij, kielichu, coś w niebie,  
 I tę łzę ludzką do siebie...

*Tłum. H. Czerwiński.*

S. J. NADSON  
 (um. w 1887 r.)

#### ŻYD

Jam wzrastał obcy ci, narodzie podeptany,  
 Jam nie dla ciebie snuł natchnione pienia;  
 Orędzia nauk twych i twego jarzma rany  
 Obcemi były mi, jak tve wspomnienia.

I gdybyś, jako wprzód, był silny i szczęśliwy,  
 I gdyby cały świat cię nie poniżał,  
 Ja byłbym inne czuł dążenia i porywy,  
 Z miłościąbym do ciebie się nie zbliżał.  
 Ale gdy widzę dziś, jak gnębi cię ohyda,  
 Jak zginasz czoło swe w daremnej skardze,  
 Gdy hańbę zda się mieć, kto nosi imię «żyda»,  
 Gdy gawieź, widząc cię, ma srom na wardze;  
 Gdy jako podły pies wróg na cię zęby szczyrzy,  
 Gdy chce ćwiartować cię, w zawiści, głodzie, —  
 Daj skromne miejsce mi wśród tłumu twych szermierzy,  
 O, biedny mój narodzie!

Obcy wyrosłem ci, zhańbiony ludu mój,  
 Nie tobiem śpiewał w chwili natchnienia,  
 Twych cudnych legend czar i twego życia znój  
 Jest mi tak obcy, jak twe wierzenia.  
 Jak ongi, gdybyś znów szczęśny był, siłę miał,  
 Przed ludy nie stał z czołem znizowaniem,  
 Gdyby twój wolny duch ku słońcu pędził w cwał,  
 Jabym ku tobie nie szedł z pokłonem.  
 Ale za naszych dni, gdy nieba sięga szczyt  
 Twych mąk i czekasz próżno zbawienia,  
 Ale za naszych dni, gdy sama nazwa «żyd»  
 Dla tłuszczy hasłem jest potępienia,  
 I gdy twój liczny wróg, jak sfora żerczych psów,  
 Rwie trzewia twoje w zaciekłym głodzie,  
 Pozwól powiększyć mi szermierzy twoich huf,  
 Mój pohażbiony, biedny narodzie!

*Tłum. B. Londyński.*

## NOWA LITERATURA W JĘZYKU ŻYDOWSKIM (ŻARGONIE)

IZAAK LEJB PEREC

(um. w r. 1915)

### OPOWIEŚĆ O RABBI JOCHANANIE, GOSPODARZU BÓŻNICY

Znużony całodzienną wędrówką po miasteczku, wrócił R. Jochanan, gospodarz bóżnicy, do domu. Przechodząc przez kuchnię, poczuł zapach świeżego rosolu i mięsa, zapach pieczonych jabłek, z przyjemnością pociągnął nosem i pośpieszył do drugiego pokoju. Tu zobaczył żonę z nasepioną twarzą.

«Próżniak!» — zawołała z gniewem, gdy mąż się pokazał na progu.

«Co się stało?» — zawołał, siadając zmęczony na krzesło.

«Jeszcze pytasz? A kiedy, próżniaku, pomyślisz o swoim domu?»

«O moim domu?» — zdziwił się Jochanan. — «Co takiego mam jeszcze zrobić dla mojego domu? Dzieci nasze, chwała Bogu, wyrosły, córki zamąż wydane. My sami, zdaje mi się, nie znamy niedostatku... co jeszcze takiego, powiedz mi, mam do zrobienia?»

Jochanan rozejrzał się po pokoju i dodał:

«Łóżko, jak widzę, posłane beze mnie; podłoga błyszczy bez mojej pomocy; choć nie tknąłem ręką ścian, nie widzę na nich pajęczyny, ani plam. Stół ładnie zastawiony, obrus biały jak śnieg, widelce i łyżki błyszczą jak srebro...»

«Przestań gadać, idź i umyj ręce!»

«Nie, nie będę sobie mył rąk i nie zacznę jeść, aż pomówię z tobą i przekonam cię, że mam słuszość. Widzisz dobrze, że tutaj nie mam nic do roboty, a tam w bóżnicy mam dużo do roboty. Bo kto prócz mnie będzie się troszczył o bóżnicę? Kto się będzie troszczył o sprawy społeczne? Czy kupiec Józef, który nie ma chwili wolnego czasu, żeby przelknąć ślinę? Albo kramarz Jechiel, który w sobotę wieczorem wychodzi z domu na wędrowkę po wsiach i wraca dopiero w piątek o zmierzchu? Albo lichwiarz Ruben, który po całych dniach chodzi po domach biednych, żeby zebrać grosze procentu? Albo może ci biedni rzemieślnicy, którzy pracują w pocie czoła, żeby zarobić na utrzymanie żon i dzieci i — lichwiarza Rubena?»

«Ależ już się nie gniewam!»

«Dobrze, dobrze. Wiem, że prędko dajesz się udobruchać. Ale chcę cię przekonać, że właśnie myślę o swoim domu. Spójrz na moją białą brodę. Czy naprawdę zdaje ci się, że jestem młodzieńcem? Czy już nie nastąpił czas, kiedy trzeba pomyśleć o przygotowaniu zapasów na drogę?»

«Na drogę? Na jaką drogę?» — spytała kobieta ze zdziwieniem.

Nagle zrozumiała. Wstała z miejsca i z przestrachem zawołała:

«Nie mów takich rzeczy w złą godzinę!»

«Nie bój się, kobieto. Ty też już nie masz dwudziestu lat... A co będzie, jak nas na tamtym świecie zapytają, cośmy tu zrobili? Co powiemy na swoje usprawiedliwienie? Powiemy: jedliśmy, piliśmy. A co na to odpowie Pan Bóg? Ty naprzykład pochwalisz się, żeś zbierała na posag dla biednych panien».

«Cicho!» — zawołała kobieta ze strachu, że jej nagroda na tamtym świecie będzie zmniejszona.

«Więc i ja chcę zrobić coś dobrego...»

«Dobrze, dobrze. Rób już, jak chcesz. Ale idź już i umyj sobie ręce...»

«Jeszcze jedną małą rzecz chciałem ci powiedzieć, kiedy już jesteś w takim dobrym humorze» — mówił dalej mąż. — «Pamiętasz twoją ślubną suknię, przetykaną srebrem?»

«Mam jej nie pamiętać?!»

«Może ją dasz na kotarę dla ołtarza...»

«Dobrze. Idę po nią...»

«Poczekaj chwilę. Już ją wziąłem! Już wisi na ołtarzu!»

«Złodziej!» — zawołała z pieśczołą w głosie.

Gospodarz Jochanan umył ręce, odmówił modlitwę, położył się i zasnął.

Gospodarz Jochanan śpi, a dusza jego uleciała do nieba, stanęła przed tronem Bożym, gdzie leży Księga Dobrych i Złych Czynów, i zwyczajem każdego dnia zaczęła pisać po prawej stronie, na karcie Dobrych Czynów, co następuje:

«Dziś, 2-go dnia tygodnia, roku...»

«Ja, Jochanan, syn Sary, cały dzień dzisiejszy spędziłem na służbie Bożej. Pomyślałem o tem, że ja i moja żona mieszkamy w ładnych, czystych pokojach, a dom Boży grozi w każdej chwili zawaleniem, bo niema nikogo, ktoby dbał o jego naprawę. Uczyniłem więc postanowienie i sprowadziłem robotników do naprawy ścian. Dziś również przyniesiono od stolarza dwie nowe ławy drewniane i nowy stół. Kazałem też czysto wymyć podłogę i ściany, jak również oczyścić wszystkie naczynia drewniane, miedziane i srebrne. Przed ołtarzem, przy ścianie wschodniej, postawiłem nowy świecznik. Ponieważ dziś w skarbonie domu Bożego było razem 300 zł, dodałem swoich pieniędzy 45 zł 18 gr. Na rachunek żony zamówiłem jedwabną kotarę, prócz tego, że ona się gorliwie zajmuje zbieraniem posagu dla biednych panien, niech jej Pan Bóg to popamięta. Kazałem też słudze bóżniczemu, żeby nie pozwalał obcym ludziom nocować w bóżnicy, żeby zamykał drzwi na noc i nie czynił z domu Bożego noclegu dla włóczęgów...»

Jeszcze dusza Jochanańa pisała na prawej karcie, gdy jakaś inna dusza zaczęła pisać na lewej następujące słowa:

«Ja, Ber, syn Judyty, mam teraz około siedmdziesięciu lat. Póki miałem siły, pracowałem ciężko. Teraz na starość siły mię opuściły, zacząłem chodzić po domach. Z początku byłem codziennie syt, gdyż obywatele znali mnie i chętnie dawali mi jałmużnę. Ale powoli naprzykrzyłem się im i zaczęli mi coraz rzadziej dawać kawałek suchego chleba. A nie mam zębów i nie mogę gryźć... Widziałem, że umrę z głodu. Wyszedłem więc z miasteczka i poszedłem do innego miasta. Było bardzo zimno. Poszedłem więc do bóżnicy według starego zwyczaju, żeby tu przenocować. Ale sługa bóżniczny zamknął przede mną drzwi. Gospodarz surowo mu nakazał, żeby nie czynił z domu Bożego noclegu dla włóczęgów. Teraz śpię na ulicy, mróz przenika moje stare, wyschłe kości, jestem głodny i zimno mi bardzo... Panie świata! Komu ten dom jest bardziej potrzebny, Tobie, czy mnie?»

W niebiosach rozległ się głos:

«Wezwijcie obu na sąd!»

Z rana znaleziono dwóch ludzi martwych: Jochanana, gospodarza bóżnicy, w łóżku, a na ulicy przy drzwiach, prowadzących do bóżnicy, starego żebraka...

### WŚRÓD DWÓCH SZCZYTÓW

...Musicie o tem wiedzieć, że Rabbi Noach, święty z Białej, był kiedyś uczniem rabina z Brześcia i służył mu przez wiele lat. Aż pewnego dnia znikł i przez szereg lat wędrował po świecie, a wkońcu przyszedł do Białej, osiadł tu i objawił się ludziom.

Rabina z Brześcia opuścił. Zgłębiał tam razem z innymi młodymi ludźmi świętą «Torę» i «Talmud» pod kierunkiem rabina. Ale nauka ta, jeżeli wolno mi powiedzieć coś tak grzesznego, była sucha, bez serca.

Prawda; wówczas, gdy ludzie przychodzili do rabina prosić o rozstrzygnięcie różnych spraw i sporów pieniężnych, albo gdy przychodziła służąca pytać o radę w sprawie koszerności mleka lub mięsa, — w takich chwilach nauka była żywa, i uczniowie czuli, że robią coś żywego, coś, co ma związek z życiem i nadaje życiu znaczenie i kierunek. Ale gdy ludzie odchodzili, nauka, nikomu niepotrzebna, znów stawała się martwa.

A serce mówiło Noachowi, że nauka musi być nauką życia.

Nieraz chciało mu się opuścić rabina z Brześcia. Długo się wahał, aż wkońcu w widzeniu sennem pokazano mu drogę, po której ma iść.

Pewnej nocy śniło mu się: przed łóżkiem stanął rabin z Brześcia. Obudził go i wziął go za rękę.

«Wstań, synu mój Noachu» — rzekł. — «Chodź ze mną, zaprowadzę cię do rajy i pokażę ci, jak to wygląda».

Noach poszedł za nim. Rabin zaprowadził go do ogromnego, wysokiego pałacu. Nie było tam ani okien, ani drzwi, tylko jedne małe drzwiczki, przez które weszli. A jednak w pałacu było jasno. Ściany były jak z kryształu i świeciły jednostajnym, zimnym światłem. Świecił również sufit, jakgdyby światłem księżycowym; widocznie był również z drogich kamieni.

«Trzymaj się mojej ręki» — wołał rabin. — «Jest tu komnat bezliku. Gdy na chwilę puścisz moją rękę, zabłąkasz się i nigdy nie znajdziesz drogi do wyjścia».

Obaj szli dalej przez długi, nieskończony szereg wielkich sal. Wszystkie były puste, nie było ani krzesła, ani ławy.

«Tu nikt nie siada» — mówił rabin. — «Tu wszyscy wciąż idą dalej, aż do końca pokoleń».

I widzi młodzieniec, że idą coraz dalej po tym pustym, martwym pałacu. I wydaje mu się, że już od wielu lat idą tak po tej zimnej posadzce. Czuje w oczach nieznośny ból od tego zimnego światła. Czuje, jak od zimna krzepnie mu krew w żyłach, zimny pot występuje mu na całym ciele. W sercu czuje ból, dusza wyrwa się na żywy świat z tego zimnego światła, z tej strasznej próżni. Chciałby wrócić do



swych towarzyszków, zobaczyć twarz żywego człowieka. W tej chwili słyszy szept rabina.

«Cały ten pałac należy do nas, — do mnie, a po mnie — do ciebie. Jeżeli mnie będziesz słuchał, będziesz po mojej śmierci rabinem w Brześciu. Po twojej śmierci przyjdiesz tutaj».

Ze strachu pod młodzieńcem uginały się nogi. Gdy się oparł ręką o ścianę, sparzył dłoń. Ale to nie było poparzenie ogniem. To było straszne zimno. Zrozumiał, że ściany są z lodu, nie z drogich kamieni. I zawołał wielkim głosem:

«Rabbi! Nie chcę tu być sam! Chcę być razem z wszystkimi ludźmi!»

Zaledwie wymówił te słowa, gdy się znalazł sam w pałacu. Rabin z Brześcia znikł.

Długo błąkał się młodzieniec po pustych komnatach, napróżno szukając wyjścia, wciąż modląc się do Boga z głębi duszy:

«Panie świata! Pozwól mi zobaczyć żywego człowieka! Niech to będzie nawet prosty człowiek: szewc albo krawiec».

Tak szedł coraz dalej, szepcząc do siebie:

«Panie świata! Wolę być przez całą wieczność z ostatnimi grzesznikami w piekle, niż sam w raju».

Nagle stanął przed nim jakiś wysoki człowiek, widocznie woźnica, przepasany czerwonym pasem, z długim biczem w ręku, i wyprowadził go z pałacu.

O świcie Noach wstał, ubrał się i pobiegł do uczelni, żeby obudzić kolegów i opowiedzieć im o widzeniu sennem.

Przechodząc ulicą, zobaczył brykę. Przy koniach stał woźnica, przepasany czerwonym pasem, z długim biczem w ręku. Młodzieniec poznał go.

«To jest ten sam woźnica» — pomyślał — «który mię w nocy wyprowadził z pałacu».

Zbliżył się do woźnicy.

«Dokąd jedziesz?» — spytał.

«A co ci po tem?» — odparł tamten rubasznie.

«Zabierz mię z sobą» — zaczął się prosić młodzieniec.

Woźnica przyglądał mu się przez kilka chwil.

«Taki młody chłopak może iść pieszo. Idź sobie, chłopcze».

«A dokąd mam iść?»

«A gdzie cię nogi poniosą! Co mnie to obchodzi?» — odparł woźnica i odwrócił się do koni.

Młodzieniec zrozumiał ukrytą myśl. Nie poszedł już do uczelni. Zawrócił z miejsca, poszedł do domu, zapakował rzeczy, wziął węzełek w rękę i poszedł w świat.

## SKARB

Spać w upalną noc lipcową w małym pokoiku, szerokości czterech łokci, w którym mieszczą się łóżka licznej rodziny, nie jest rzeczą przyjemną, nawet w noc z piątku na sobotę. Nic dziwnego, że drwal Szmerek obudził się o północy, ciężko dysząc i zalany potem, skoczył z łóżka na równe nogi, narzucił na plecy kapotę i wyleciał boso na ulicę.

Na ulicy była wielka cisza. Okiennice wszędzie zamknięte. Nad śpiącym miastem ciągną się bezdenne niebiosy, patrzą na ziemię cichemi oczyma. I drwalowi wydaje się, że w tej chwili jest we cztery oczy może z samym Bogiem. Szmerek podnosi oczy w górę i mówi:

«Teraz, Panie świata, masz dobrą chwilę, żeby wysłuchać mojej modlitwy i zesałać mi jeden z wielu twoich skarbów».

Zaledwie wymówił te słowa, gdy w odległości kilku kroków przed nim ukazał się ogień, mały jęczyczek ognisty, i zaczął biec przed nim i toczyć się po ulicy.

«To właśnie jest ten skarb, o który się modliłem» — przemknęła mu myśl przez głowę.

Już chciał pobiec za nim. Nagle przypomniał sobie.

«Dziś sobota. Nie wolno iść wielkim krokiem, nie wolno biec szybko».

Szmerek przezwyciężył się i zaczął iść wolno. I stała się rzecz dziwna. W tej samej chwili ognek również zwolnił biegu. Odległość między nim a drwalem nie zmieniła się ani na cal. Szmerek idzie wciąż przed siebie, jak nieprzytomny, z błędnymi oczyma, utkwionymi w punkt ognisty. Chwilami słyszy głos, wołający do niego z głębi duszy:

«Szmerek, nie bądź głupi. Wyzyskaj dobrą chwilę. Weź kapotę, zrób jeden skok, rzuć na skarb i nakryj go».

Ale po chwili Szmerek odzyskuje przytomność umysłu.

«Przecież to zły duch namawia mnie do grzechu! Nie wolno skakać, nie wolno».

Szmerek zdejmuje kapotę, trzyma ją w prawej ręce, głową do rzutu, ale na złość szatanowi-kusicielowi idzie jeszcze drobniejszemi kroczkami. I z radością widzi, że ognek tak samo zwalnia kroku.

Tak idzie drwal za ognikiem. Wreszcie wychodzi za nim z miasteczka. Droga jest teraz kręta, wiję się między polem a łąką. Odległość między nim a ognikiem jest wciąż ta sama. Gdyby mu się udało nawet najdalej rzucić kapotą, nie nakryje go...

Szmerek nie spuszcza oczu ze skarbu, toczącego się przed nim w ciszy nocnej, a w głowie tłoczą mu się różne myśli.

Gdyby mu się udało dostać skarb, nie byłby zmuszony na starość być dalej drwalem. Ręce już ma teraz bezsilne... Gdyby dostał skarb, zakupiłby w bóżnicy miejsce dla żony. Teraz ona nie ma uciechy w sobotę ani w święto. Nie ma miejsca w bóżnicy do siedzenia, nogi ma ocieężałe i nie może się modlić stojąc... Sprawi jej też nową suknię. I naszyjnik z pereł jej kupi... A synów odda do lepszych nauczycieli; może Pan Bóg się zlituje, i złączą się lepiej uczyć świętej Tory i Talmudu... Tymczasem zacznie się oglądać za dobrym mężem dla najstarszej córki.

«Nie wolno nie brać skarbu... Gdyby to był teraz dzień powszedni!...»

Szmerek wzdycha i idzie dalej. Chwilami podnosi oczy do nieba.

«Panie świata! Kogo kusisz? Drwala Szmerka? Jeżeli chcesz dać, daj!»

I wydaje mu się, że ognek nieco zwolnił biegu... W tej chwili, w ciszy nocnej, rozlega się szczekanie psa. Szmerek poznaje. To pies z Wysokiej, pierwszej wsi za miastem. W czystym powietrzu nocy letniej przed świtem przed nim zabielały pierwsze chaty. A to już daleko od miasta. Dalej w sobotę nie wolno iść.

«Tak, dalej już nie wolno iść...»

I Szmerek szeptem mówi do ognika:

«Nie, nie pójdę dalej za tobą. Nie wolno!... Nie dla mnie zostałeś posłany... I nie z czystego miejsca... Stwórca, niech będzie błogosławiony, nie igra z człowiekiem... To jest sprawa nieczysta, sprawa djabełska...»

Szmerek zawraca do miasta, szepcząc do siebie:

«W domu nikomu nie będę opowiadał. Po pierwsze, nie uwierzą mi. A jak uwierzą, będą ze mnie kpili. A następnie, czego się będę przed ludźmi chwalił? Stwórca, niech będzie błogosławiony, wie. A więcej nie trzeba! I kto wie, czy żona nie będzie na mnie krzyczała!... Nie, lepiej nikomu nie opowiadać. I Bogu nie trzeba wcale o tem przypominać... Jeżeli postąpiłem dobrze, Pan Bóg sam będzie pamiętał...»

Szmerek czuje nagle słodycz, która go przepelnia całego, czuje w duszy cichy spokój.

«Skarb! Głupstwo... Co to jest skarb! Pieniądze. A pieniądze prowadzą do grzechu. Pieniądze — to bałwochwalstwo...»

Szmerek chce dziękować Bogu, że nie dał djabłu władzy nad nim, że dał mu siły oprzeć się pokusie... Szmerek chce zaśpiewać jakąś pieśń z modlitewnika. Zaczął śpiewać, ale nagle zawstydził się i urwał. A tymczasem ognek, który zostawił za sobą, znów zaczyna się toczyć przed nim, na drodze do miasta. Odległość między ognikiem a drwalem nie zmieniła się, jakgdyby skarb również chciał się trochę przejść w czystym powietrzu, przed świtem, w sobotę, dla przyjemności...

Niebo nad głową zaczyna powoli bieleć, gwiazdy gasną, jedna za drugą, na wschodzie zaczynają się ukazywać rumiane smugi... jakgdyby wzdłuż nieba rozplywała się rzeka światła...

A ognik przed nim toczy się ku miastu, po ulicy, prowadzącej do jego domu. Już jest przed domem. Drzwi jeszcze otwarte. Szmerek zapomniał je zamknąć, wychodząc z izby. Ognik przetacza się przez próg, wskakuje do pokoju...

Szmerek wszedł za nim... Ognik toczył się cicho po podłodze, skoczył pod łóżko i zatrzymał się, chwiejąc się na miejscu, jak bąk ołowiany...

Szmerek bierze kapotę, podkrada się cichutko na palcach, żeby nie budzić śpiących, i szybko nakrywa skarb. Przez szczeliny okiennicy do pokoju zakradają się złote promienie jutrzeńki. Szmerek siada na łóżku i mocno ślubuje sobie:

«W ciągu dnia sobotniego nikomu nie zdradzi tajemnicy, żeby nie doszło, broń Boże, do grzechu w sobotę... Kobieta nie oprze się pokusie... dzieci — tem bardziej. Zaraz zechcą przeliczyć ile... A liczyć pieniądze w sobotę nie wolno... A ściany mają uszy... Zaraz się w bóżnicy i we wszystkich domach modlitewnych z samego rana rozniesie wieść o niespodziewanym bogactwie. Ludzie zaczną gawędzić i, uchowaj Boże, zapomną o modlitwie... A potem podczas uczty zamiast śpiewać pieśni sobotnie i odmawiać modlitwy będą mówili o głupstwach. Tak będzie z tego więcej grzechu i zgorzenia niż pożytku».

Szmerek odwrócił się do ściany, zamknął oczy i zasnął.

W nagrodę za to Pan Bóg sprawił, że skarb nie znikł.

Jak tylko skończyła się sobota, zaraz po modlitwie wieczornej, Szmerek w otoczeniu domowników zajrzał pod łóżko i uniósł kapotę. Na ziemi leżał worek, po brzegi napelniony złotymi dukatami.

Tak drwał Szmerek stał się na starość największym bogaczem w miasteczku...

Ale żona jego czasami mówi z żalem:

«Panie świata! Ten człowiek ma kamień zamiast serca! Żeby przez cały długi dzień letni nie powiedzieć o tem nic, nie zdradzić się najmniejszym słowem, ukryć to przed własną żoną...»

I kobieta przypomina sobie, że owego dnia, odmawiając modlitwę przedwieczorną, długo płakała nad swą biedą. W domu nie było złamanego grosza...

«Płakałam wówczas rzewnymi łzami...»

Szmerek odpowiada jej łagodnie:

«Kto wie? Może w nagrodę za twoją modlitwę przedwieczorną i twoje łzy Bóg sprawił, że skarb nie znikł...»

I w samej rzeczy: kto wie?

## SZALOM ASZ

(ur. 1880)

### WIEJSKI ŚWIĘTY

W morzu traw schował się chłopak i pasie bydło.

Wszyscy we wsi nazywają go Jaśkiem. Swego imienia żydowskiego chłopak sam nie zna. Nigdy go w bóżnicy nie wzywano do odczytania świętej Tory.

Wszyscy wiedzą, że jest nieukiem. Ojciec jego, Icchok, mleczarz, już dawno machnął na niego ręką. Chłopak na pewno nie potrafi po jego śmierci odmówić modlitwy za jego duszę. Nauczyciela z miasta sprowadzono tylko, żeby mieć czyste sumienie. Nauczyciel pracuje z całych sił, po kilka razy powtarza z nim każde słowo, a Jasiek — jakgdyby nie o nim była mowa...

«Idź i ucz takiego osła!» — woła nauczyciel i kiwa głową z politowaniem.

A matka patrzy i wzdycha.

Nie każą mu nawet brać modlitewnika do ręki i modlić się. Modlić się? On, Jasiek, będzie się modlił? Co jemu do Boga? Wstyd nawet, żeby taki się modlił przed Panem Bogiem!

A jednak Jasiek po swojemu rozumie Boga i czuje go całym sercem. Jasiek widzi Boga wszędzie, gdzie się obróci. Widzi go w strumyku, który się wije przez

łąkę i szemrze swe tajemnice trawce na brzegu. A gdy daleko na niebie ukazuje się obłok, Jasiek czuje coś nieokreślonego. Czegoś mu się chce, do czegoś tęskni...

Gdy przez niebo pędzą czarne chmury, biją pioruny i zygzaki ogniste błyskawic przecinają ciemne niebiosy... Gdy pada ulewny deszcz i ołowiany mrok okrywa wieś... Jasiek czuje w sercu Boga...

Może nawet Bóg mieszka nie w niebie, może nawet nie trzeba podnosić głowy do góry, żeby Go zobaczyć. Jaśkowi się zdaje, że Bóg mieszka gdzieś w dalekim kraju, w tem samym mieście, w którym mieszka dziedzic i wszyscy wielcy panowie. Może właśnie ci wielcy panowie są Jego sługami?

Jaśkowi ani przez myśl nie przeszłoby, że mógłby się zbliżyć do Boga. Nawet pastuch bydła Bożego — zdaje mu się — musi być bardzo wielkim panem. Kto wie, czy sam dziedzic może być choćby stangretem Boga i powozić Jego karetą? Jakżeby więc mieli pozwolić jemu, Jaśkowi, zbliżyć się do niego!

Ale czasami, gdy niebo nad głową jest czyste, jasne i ciche, i przesłonięte jakby przezroczystą, błękitną zastoną, a na ziemi trawy stoją cicho, bez ruchu i w milczeniu, bez dźwięku i słów, patrzą w górę, daleko stoi czarno-błękitny las, na polnej drodze, wijącej się pod lasem, widać jakiegoś człowieka, który się powoli porusza — widocznie jakiś żyd, chodzący po wsiach — a niebo ciągnie się daleko, daleko, aż gdzieś za lasem spuszcza się do samej ziemi — Jasiek siedzi na polu, i wydaje mu się, że Bóg na chwilę opuścił towarzystwo bogatych panów i przyszedł tu, żeby się przyjrzeć temu pięknemu światu.

Jasiek chce podziękować Bogu i śpiewać chwałę Pańską za wszystko, co go otacza.

A czasami chce mu się pójść daleko, daleko, iść bezustanku, aż przyjdzie tam do wielkiego miasta, gdzie mieszka Pan Bóg, do Jego pałacu.

Jasiek myśli z westchnieniem:

«Czy pozwolonoby mi zbliżyć się do niego?»

Do pałacu może mógłby się zbliżyć — myśli Jasiek — ale tam stoją lokaje, ludzie wysokiego wzrostu, w czerwonych, haftowanych mundurach z niebieskimi frendlami, w złotych kamaszach na nogach, jak to widział raz u dziedzica, kiedy była uczta we dworze. Oni go na pewno z zamku wypędzą...

Nagle Jaśkowi przychodzi do głowy, że nie trzeba wcale chodzić daleko. Bóg jest również w czystym polu, a lokaje może strzegą tylko pustego pałacu, bez Boga! «Bóg-Król wierny» — uczy go nauczyciel z modlitewnika... I słowa te wydają mu się jakgdyby zakłębieniem na lokajów, żeby dali zbliżyć się do pałacu Bożego...

Ale on ma inną modlitwę do Boga, modlitwę bez słów, modlitwę, która wyrывa się z jego serca, przepelnia całą jego duszę i wyrывa się stamtąd — jako gwizd...

Kiedy Jasiek chce się pomodlić, kładzie dwa palce do ust, wydyma wargi i gwizdże. I modlitwa ta rozlega się głośnie echem, i dochodzi daleko, hen, aż do samego lasu...

Jasiek gwizdże tylko wówczas, gdy mu się chce gwizdać do Boga, gdy czuje, że mu się gwałtem chce gwizdnąć.

I zdaje mu się, że Bóg wyciągnął się w polu daleko, za przejrzystą mgiełką, słyszy jego gwizd i raduje się.

Ale Jasiek nie gwizdże sam! Jasiek wie, że wszystko gwizdże do Boga. Kiedy Nosik, wiejski pies, zacznie nagle szczekać, kręcić ogonem i zadzierać łebek do góry, Jasiek mówi, że Nosik się modli... Kiedy krowa Białocha wraca wieczorem z pola, wysuwa język, ociekający śliną i zaczyna ryczeć «muu, muu» — Jasiek wie, że krowa się modli... Koń Kasztanek modli się w inny sposób: skacze, staje na tylne nogi, nisko schyla łeb i rzy: burr!

Wszystko się modli, nawet żaby w sadzawce. Jedna szepcze do drugiej: kwa, kwa, kwa!

Jasiek skończył trzynaście lat. Jeszcze nie umie czytać modlitwy, a święto Nowego Roku już za pasem. Nauczyciel stara się z całych sił, żeby Jasiek mógł odmówić przynajmniej jedną modlitwę. Chłopcu sprawiono na święto nowe ubranie, parę butów i nową czapkę...

Ale niech się nauczy odmówić choć jedną modlitwę...

Bóznica w miasteczku pełna ludzi, dorosłych i chłopców. Dorosli ubrani są w długie, białe całuny. Wszyscy stoją i kiwiają się miarowo, i modlą się głośno.

Przy wschodniej ścianie stoi rabin i modli się wraz z innymi. Ale rabin czuje, że ani jego modlitwa, ani modły zebranych wiernych nie dochodzą do Boga. Jakaś nieprzebyta zapora stoi dziś między ziemią a niebem i nie daje płaczom wiernych dojść do ucha Boga.

Na ołtarzu stoi świecznik siedmioramienny. Palą się wysokie świece woskowe. Przed ołtarzem stoi śpiewak i jego pomocnicy... Słychać śpiew kantora i chóru i zduszone, przytłumione jęki zebranych.

«Komu sądzony jest żywot, komu śmierć».

Z bocznego pokoju, w którym modlą się kobiety, rozlega się zduszony płacz. Jasek stoi w nowym ubraniu, z pod czapki spadają mu na twarz włosy jasne, jak len. Nagle opuszcza swoje miejsce, toruje sobie drogę łokciami, zbliża się do ściany wschodniej i staje tuż obok kantora. Modlitewnik, który mu kupił ojciec, żeby ludzie w bóżnicy myśleli, że się modli, wypadł mu z ręki. Jasek stoi z wytrzeszczonymi oczyma i patrzy.

Chłopcy widzą Jaska, dają sobie znaki, wytykają go palcem, śmieją się z niego cichutko, a jeden skrada się do niego i daje mu przytka w nos.

Jasek nie słyszy i nie czuje. Stoi i patrzy to na kantora, to na rozmodlonych ludzi. Przed sobą widzi białą kotarę, osłaniającą Arkę Świętą. Na kotarze widnieje złoty napis.

«Za tą kotarą pewnie jest Bóg» — myśli Jasek.

Matka patrzy na niego z pokoju dla kobiet. Widzi, jak chłopiec stoi, gapi się wytrzeszczonymi oczyma na wszystko, co się dzieje dokoła, a modlitewnik wypadł mu z ręki. Matka wzdycha i myśli:

«Prawdziwy nieuk!»

A ojciec patrzy na niego z pod zasłony, spadającej mu na głowę, i głośno wzdycha.

«Panie świata! Racz pomyśleć o moim synu!»

A Jasek stoi i wytrzeszczył oczy. Wszyscy się modlą, wszyscy płaczą, wszyscy wołają z całych sił do Boga. Jasek chce robić to samo, co wszyscy.

Chciałby się również modlić, a nie płakać, ani wołać, tylko dziękować Bogu i śpiewać chwałę Pańską. Chciałby za wszystko dziękować Bogu.

A przy ścianie wschodniej stoi rabin w ciężkim milczeniu. Nie modli się, bo czuje, że między ziemią a niebem stoi nieprzebyta zapora i nie daje płaczom wiernych dojść do ucha Boga.

Jasek podnosi z ziemi modlitewnik, otwiera założoną stronicę, tam, gdzie stoi jedyna modlitwa, której chciano go nauczyć, i zaczyna wodzić palcami po literach i wymawiać jedną po drugiej.

Ale modlitwa go jakoś nie bierze.

Jasek nie rozumie słów. Czuje, że jest to tylko szept, suchy szept... Chciałby dziękować Bogu i śpiewać Bogu naprawdę, z głębi serca... Boi się rozmodlonych ludzi, całego tłumu, który się modli w inny sposób, ale pragnienie serca bierze górę nad strachem. Bóg stoi nad nimi wszystkimi! Jasek musi!

Kładzie dwa palce do ust.

Głośny gwizd rozlega się po rozszlochanej bóżnicy. Rozmodlony tłum zadrzał.

«Kto to jest? Co to znaczy? Kto gwizdze w świętym miejscu?»

Ojciec chce go schwycić za kark i wyprowadzić. Ze wszystkich stron widać gniewne twarze i zacisnięte pięści, gotowe do bicia...

Nagle rabin odwraca się od ściany wschodniej do tłumu i pyta:

«Gdzie jest ten święty, który podarł wyrok Boski, przebił nieprzebytą zaporę między ziemią a niebem i przez ołowiane chmury utworował drogę dla płaczu wiernych do ucha Boga w Niebiosach?»

Ale świętego już nie było w bóżnicy...

Wyrwał się z zacisniętych pięści ojca i wyleciał jak strzała. Na ulicy zdjął nowe buty, zarzucił na plecy i różnym krokiem zaczął iść ku wsi.

A. RAJZEN  
(ur. w 1873 r.)

W OGRODZIE

Abram był z początku melamedem. Ale z ciężkiej pracy zachorował na serce, i lekarz zabronił mu dalszej pracy nauczycielskiej. Zaczął więc trudnić się ogrodnictwem. Teraz wszyscy go nazywają «Abram ogrodnik».

Nowe zajęcie bardzo mu się spodobało. Przez całe życie tęsknił do podobnego zawodu, w którym nie miałby dużo do czynienia z ludźmi.

Abram niezbyt lubił obcować z ludźmi.

«Dziwny zwyczaj mają ludzie» — rozmyślał często — «gadatliwi są i dużo lubią mówić. O wszystkim rozprawiają, wszystko badają, o wszystkim wiedzą, do wszystkiego się wścibiają, nic się nie ukryje przed ich gębą, nic nie jest bezpieczne przed ich językiem...»

Inaczej było w sadzie. Tu mógł spędzać czas w samotności, ile tylko dusza zapragnęła. Przeważnie najmował sad od kogoś z mieszkańców na krańcu miasteczka. Nie miał wiele pieniędzy, więc sad zwykle miewał niewielki: jakie dwadzieścia jabłoni, cztery — pięć gruszek, niekiedy jedna wiśnia.

Do sadu przenośli się zaraz po Zielonych Świątkach, kiedy na drzewach jeszcze nie było owoców, i nie było czego strzec. W domu było mu ciasno. Żona wciąż gderze, dzieci płaczą, pełno hałasu. Co on ma z tym domem wspólnego? Co go ci ludzie obchodzą? Czy nielepiej pójść do sadu i zaszyć się tam w cichym zakątku, gdzie może pozostać ze swymi myślami i cichymi melodjami, które wciąż cisną się z głębi serca i przepelniają duszę? Cóż w tem złego, że się przeniesie do ogrodu trochę wcześniej? Dusza już dawno śmiertelnie tęskni do ciszy sadu i drzew. Tak mu się wyrwa do tych cichych stworzeń, tak się głowie chce spocząć w cieniu drzew, pełnych myśli i tajemnic, umiejących słuchać i milczeć...

Abram postanawia opuścić mieszkanie i zaczyna wybierać się do sadu. Zabiera z sobą przybory modlitewne, modlitewnik, Psalmy, kilka traktatów talmudycznych, które posiada na własność, kilka tomów późniejszych komentatorów, ciepłe ubranie, kołdrę i poduszkę, zawiązuje to wszystko w tłumok, nieśmiałym głosem wymawia słowo pożegnania i wychodzi z domu.

Gdy się zbliża do sadu, serce zaczyna mu gwałtownie bić z radości. Ale jeszcze jest na drodze jedna przeszkoda. Trzeba przejść przez podwórze, a na samym środku podwórka leży pies. Później, kiedy się z sobą bliżej poznają, można go będzie puścić nawet do sadu. Ale pierwsze spotkanie jest trochę niebezpieczne. Pies go nie zna, może ugryźć. A co gorsza — będzie szczekał. A Abrama dręczy szczekanie więcej niż ugryzienie. Uszy bolą od nienawistnego hałasu!

Abram czeka na gospodarza, żeby wyszedł z izby i przeprowadził go bezpiecznie.

«Już jest?» — dziwi się gospodarz i patrzy drwiąco na Abrama.

«A cóż w tem złego?» — szepce Abram zawstydzony i w duszy przyznaje rację gospodarzowi.

«A co tu będziecie robili?» — znów pyta dobrodusznie gospodarz. — «Nowej budy jeszcze niema, a zeszlóroczna rozwalona».

«Nic nie szkodzi» — mówi Abram. — «Jakoś tam będzie».

«No, jeżeli chcecie, chodźmy».

Gospodarz wzrusza ramionami, prowadzi go do sadu i odchodzi.

Abram kładzie natychmiast węzełek na ziemi, wyciąga się jak długi na zielonej trawie i cicho szepce:

«Jak tu dobrze!...»

Ale w tej chwili milknie i wsłuchuje się w szept drzew. Drzewa jakgdyby mu się dziwiły: «Czemu ten tak się pośpieszył i przyszedł przed czasem?»

Abram patrzy błagalnym wzrokiem na drzewa, jakgdyby prosił o litość: «Wy też, drzewa! Przysięgam, że musiałem przyjść. Nie mogłem nie przyjść, tęsknota...»

I zdaje mu się, że drzewa widzą, co czuje w sercu, kiwają mu wierzchołkami i cicho szepcą:

«No dobrze, dobrze...»

Abram czuje się w sadzie jak w domu. Wstaje z ziemi i zaczyna obchodzić każde drzewo z osobna, jakgdyby chciał z niem zawrzeć znajomość. Rzuca też okiem na budę, na środku ogrodu. Rzeczywiście, trochę rozwalona. Ale każda ruina jest piękna, pełna tajemnic. Jakgdyby się w niej unosiły i jęczały ciche melodje, jakgdyby płacz. A dusza napęła się tęsknotą do rzeczy dalekich, do rzeczy, które nie mają nazwy ani przestrzeni i czasu...

Z trudnością wciska się pod dach nawpół rozwalonego szałas. Wewnątrz panuje półmrok i zapach zeszlórocznych, nawpół zgnitych liści. Abram kurczy się i tak leży w kącie, ukryty przed całym światem.

Dopóki owoce nie są dojrzałe, Abram zapomina o całym świecie, i świat zapomina o nim. Kiedy mu któreś z dzieci przynosi jedzenie, Abram nieśmiało, półgębkiem, pyta o nowiny z domu i natychmiast je odsyła.

Wieczory piątkowe i dni sobotnie trzeba naturalnie spędzać z rodziną w domu. Ale to jest tylko krótka przerwa. Natychmiast po uczcie sobotniej wraca do sadu, wyciąga się pod drzewem i czyta «Opowiadania o Jerozolimie». Wśród tych legend opada go drzemka, i Abram widzi we śnie różne święte i ciche miejsca Ziemi Świętej, groby praojców.

Ale w porze dojrzewania owoców, gdy drzewa stoją pochylone pod ciężarem jabłek i gruszek, cichy sad napęła się hałasem, a Abram przedzierzga się w kupca. Gdy przyjdzie pierwsza burza i pokrywa ziemię owocami, spadającymi z drzew, zaczyna je zbierać, układać w kupy i dobierać różne gatunki. I czeka na kobiety kłótlive, gadatliwe gospodynie, które wkrótce zaczną przychodzić, napęlnią sad hałaśliwą i krzykliwą gadaniną, zatrują mu jego cichy świat i wypędzą ze spokojnego rajku...

W dni sobotnie, po powrocie z uczty z domu, powinien cieszyć się świąteczną ciszą. Ale takie są już zwyczaje sadownictwa, że sprzedaż jest najbardziej ruchliwa w sobotę, i naturalnie na kredyt. Jest to zwyczaj zdawien dawna utarty w miasteczku, i nie jest w mocy Abrama go zmienić.

Do sadu zaraz po obiedzie zaczyna się schodzić młodzież, chłopcy i dziewczęta, synowie i córki gospodarskie. Ogródek cały rozbrzmiewa rozgwarami... Abram z gniewem przypatruje się i przysłuchuje wszystkiemu. Siedzi i czeka wieczora, kiedy znów będzie mógł się ukryć w szałasie, nie będzie widział nic innego, prócz drzew i krzaków, nie usłyszy nic, prócz szelestu liści, jęku wiatru, zrzadka szumu ulewy lub łoskotu pioruna...

Ale najgorsze są dni jesienne, kiedy zbieranie owoców jest już na ukończeniu. Z goryczą w duszy żegna drzewa, mały szałas, wszystkie miejsca, które mu jednak dały tyle ciszy i spokoju, opuszcza ogród i wraca do miasteczka.

A miasteczko jest pełne błota. Na brudnych uliczkach wloką się postaci ludzi znużonych i smutnych. Abram wytrzeszcza krótkowidzące oczy i nie poznaje świata. «Gdzie ja tu sobie znajdę miejsce?...» — wzdycha.

Przez całą zimę chodzi po uliczkach miasteczka z koszem jabłek na ręku. A w sercu ma tęsknotę i nadzieję tych dobrych, jasnych dni, słonecznych dni letnich, które za kilka miesięcy wrócą. Wówczas znów będzie mógł się ukryć w cieniu gałęzi jabłoni lub pod nawpół rozwalonym szałasem i zapomni o nędzy i hałasie brudnych uliczek.

M. ROSENFELD

(ur. w 1862 r.)

STARY KRAWIEC

Przy igle strawił lata młode,  
Wiek cały musiał szyć i szyć;  
Pot ciurkiem kapie mu na brodę,  
Białą, jak ta na igle nić.

Majstrzy go wszyscy mają w cenie,  
Każdemu z nich sprzedawał trud;  
A jednak puste ma kieszenie,  
A żona, dzieci cierpią głód.

W pracowni widać go o świecie,  
 Gdzie już pracuje w pocie lic.  
 Zarabia całe swoje życie  
 I nigdy nie roztrwonił nic.  
 A jednak wiecznie cierpi biedę  
 Ten niestrudzony, pilny mąż;  
 I, gdzie coś dostać znów «na kredę»,  
 Przy pracy o tem myśli wciąż.

On milczy, jak warsztatu mury;  
 Przed majstrem go ogarnia strach;  
 Wstrętne mu strajki, awantury,  
 A święty mu — krawiecki fach.  
 On milczy, ten męczennik stary, —  
 Jedyne kaszel mówi zań;  
 Łzę przykrywają okulary,  
 A ciągły katar dusi krtań.

Gdy młodszy z towarzyszków grona,  
 Nań spojrzą, serce im się rwie;  
 Ten starzec — postać ta skulona —  
 Straszliwą dla nich wróżbą technie.  
 Już widzą śmierci szpony czarne, —  
 Nagrodę za uczciwy trud...  
 I oni pójdą tak na marne,  
 Nim staną u mogiły wrót.

*Tłum. S. Hirschhorn.*

#### MELODJE ELULOWE<sup>1</sup>

##### I

Szofaru się odezwał ton —  
 Niepogód bliskie przyjsście;  
 Na trawy łąk przychodzi zgon,  
 Z drzew opadają liście.

Tak tęskne tony ma ten śpiew,  
 Jak gdyby nas żegnały,  
 Ach, pieśń ta w żyłach ścina krew  
 I serce rwie w kawały!

I ziemia traci piękna znak,  
 Świat — szarą mgłą osnuty:  
 Posępnie w borze śpiewa ptak  
 I wzywa do pokuty.

I szumi wiatr, zajęczał las —  
 Marzenia swe rozwiewa.  
 To sądu dzisiaj przyszedł czas  
 Na drzewka i na drzewa.

O, ludzie! leśne drzewa wy!  
 Czujecież wichru moce?  
 Niech młódź i starość zgrozą drzy! —  
 On wszystkich was zdruzgoce!

##### II

Ach, wietrznie i chłodno.  
 Patrz, jesień jest blada!  
 W dolinie usycha już kwiat;  
 Powaby znikają,  
 I w senność zapada  
 Śmiertelną — calutki nasz świat.

Wędrownie płaszęta  
 Szybują w wyżynie  
 I z nami żegnają się już.  
 — Kochane, o gdzież to  
 Kres dróg waszych ginie?  
 I kiedy wrócicie z za mórz?

Wiatr łamie i zrywa  
 Powiedle badyle  
 I targa listowie wśród drzew.  
 Już bór się spowiada:  
 Za chwilę, za chwilę  
 Najświętszy zamilknie też śpiew.

I nadół splywają  
 Żalotne ich tony,  
 A tyle w nich bólu i trwóg:  
 Ach, wiemy, że musim  
 W dalekie mknąć strony, —  
 Czy kiedyś wrócimy — wie Bóg!

*Tłum. Alfred Tom.*

<sup>1</sup> Elul — jesienny miesiąc skruchy i pokuty.



## MÓJ SYNUS

Małeńkie dziecicę w domu mam —  
Chłopczyną to jest chwata:  
Gdy ujrzę go, to zda mi się,  
Że moim cały świat!

Lecz rzadko, ach, widuję go,  
Gdy czuwa — w ciągu dnia;  
A w dom gdy wracam, on już śpi,  
Bo noc oddawna trwa.

Do pracy mię wygania świt,  
A wczas mam w późny mrok:  
Obca mi własna moja krew,  
Ach, obcy dziecka wzrok!

Dowlokę się do izby mej  
Zbolały i bez sił, —  
Od bladej żony słyszę wnet,  
Jak grzeczny synus był.

Jak słodko gwarzył, pytał wciąż:  
«Mamusiu, powiedz mi —  
Kiedyż to tatuś wróci już?  
Przyniesie dla mnie trzy?»

Słucham, z zapartym szepcąc tchem:  
«Syneczku, słuszność masz!» —  
Ojcowska miłość pali pierś: —  
«Zobaczysz moją twarz»!

Już nad łózcikiem schylam się  
I widzę, jak snów rój  
Porusza drobne wargi mu:  
«Gdzie, gdzie jest tatuś mój?»

Całuję błękit jego ocz —  
Otwarły się. «O mów,  
Poznajesz tatę?» — Ujrzał mnie  
I zamknął oczki znów.

«Tu stoi, skarbie, tatuś twój  
I tobie trzy dać chce».  
Usteczka poruszają się:  
«Ach, gdzie jest tatuś, gdzie?»

Ból ściska serce me, do dna  
Goryczym spełnił krąż:  
Raz, synu mój, obudzisz się,  
A mnie nie będzie już!

*Tłum. Alfred Tom.*

## CZEM JEST ŚWIAT?

Jeśli sypialnią jest ten nasz świat,  
A człowiek śpiącą istotą, —  
Chciałbym przez życia wiele lat  
Nić marzeń snuć szczerozłotą.

Chciałbym mieć złote łoże, jak król,  
Śnić miłość, wolność i szczęście;  
By snu nie ploszył mi żal, ni ból,  
Ni zemsty ściśnięte pięście.

A jeśli życie — to suty bal.  
Z jakiej mnie krzywdzą zasady?  
Chciałbym też tańczyć wśród gładkich sal  
I miejsce mieć u biesiady.

Ja świetnie trawię najtłustszy kęs,  
A trunek mnie z nóg nie ścina;  
Czemu chleb jadam, miast smacznych mięs,  
I piję wodę — miast wina?

A jeśli znów ogrodem jest świat,  
Chcę deptać trawy i kobierce;  
Nie tam iść, kędy pan puścić rad,  
Lecz kędy zapragnie serce.

Na czole chciałbym mieć wianek z róż —  
Dość mam korony cierniowej!  
I z lubą, chyląc miłości krąż,  
Rwać mirty i liść laurowy.

Lecz jeśli placem boju jest świat,  
Gdzie słabych zwycięża silny,  
Niczem mi ojciec własny, ni brat —  
Nad wszystko bój mi jest pilny!

W obronie słabych, — gdzie gnębi wróg,  
W sam ogień wpadnę z pośpiechem,  
A jeśli kula mnie zwali z nóg,  
Potrafię skonać ze śmiechem!

*Tłum. S. Hirschhorn.*

## DO MEJ NĘDZY

O, nędzo! Tyś mi siostrą drogą  
I družką mą od wczesnych lat,  
Prócz ciebie nie mam tu nikogo —  
Obcy mi ludzie, obcy świat.

Dokoła siebie czuję zdradę  
Lub serca zimne, jako głąz:  
Jedynie twoje lica blade  
Śmieją się do mnie w każdy czas.

Ojczulkiem byłaś mi i mamą —  
Pamiętam od kolebki cię:  
Twe oko mętne wciąż tak samo,  
Kościsto-chude ręce dwie.

Do szkółki potem, jako dziecię,  
Gwałtem zanoślił mnie twój garb  
W szczęśliwy wiosny czas — me kwiecie  
Malował kir twych mrocznych farb.

Byłaś mi także swatką chlubną —  
Formalną załatwiłaś część:  
Byłaś rabinem, druchną ślubną  
I tkliwie rzekłaś: «Boże szczęście!»

Gdzie tylko spojrzę — widzę ciebie,  
Jesteś mi wierna dziś, jak wprzód:  
I na nadziei mych pogrzebie  
Szłaś przy mnie do ostatnich wrót.

A gdy mą pierś targają bóle  
I od rozpaczki pęka skroń, —  
Jedynie ty mnie pieścisz czule,  
Po przyjacielsku ściskasz dłoń.

O, czuję wciąż twój krok miarowy,  
Twych siwych włosów widzę pleśń,  
Czoło ci zdobi kwiat grobowy,  
Na ustach masz cmentarną pieśń.

Gdy w bólu rzucę się na łożo,  
Niepomny życia strat i zdrad, —  
Wnet zjawiasz się i w nocnej porze  
Tulisz mnie pod połą czarnych szat.

Więc przyjmij dank, kochana nędzo,  
Najdroższa! Tyś z krwi mojej krew!  
Zapanuj nad mych myśli przedzą —  
Twoją ma lutnia i mój śpiew!...

*Tłum. S. Hirschhorn.*

#### H. D. NOMBERG

(um. w 1928 r.)

#### KOLYSANKA

Biegną, pędzą chmury czarne,  
Wiatr wyje i dmie,  
Z mgieł Sybiru śle ci ojciec  
Uklon, dziecię me!

Wiatr nam czule śle ukłony,  
Cicho, dziecię, sza!  
Tam twój tatuś stoi z taczka,  
W rękę szpadel ma.

Kopie coraz głębiej, głębiej,  
Blady niby trup;  
Nie smuć się: dla fałszu, krzywdy  
Kopie wieczny grób.

To nie pierwszy, nie ostatni  
Z tych, co zmógł ich bój.  
Nie płacz: wielkim bohaterem  
Jest ten rodzic twój.

Na męznego bojownika  
Wyrośniesz i ty,  
Śpij, kochanie, siły nabierz,  
Nie płacz, na co łzy?

*Tłum. S. Hirschhorn.*

#### A. RAJZEN

(ur. w 1873 r.)

#### HURAGAN

Uderzył huragan w mą biedną chatynę  
I zniszczył dobytek mój cały:  
I drogie pamiątki, i życie człowiecze  
Ofiarą żywiołu się stały.  
Czy mogę się gniewać na burzę i piorun,  
Co z ślepią szaleją wszak siłą?

Lecz to mnie oburza, przygnębia i rani,  
Że słońce też przy tem świeciło.  
Wiatr, burza i piorun — im wszystko daruję:  
Spełniły rozkazy nieb godnie,  
Lecz jakże tam słońce tak jasno świeciło,  
Spokojnie się patrząc na zbrodnię?

*Tłum. S. Hirschhorn.*

## JEHOASZ

(ur. w 1871 r.)

## WOJNA KLEPEK I OBREŃCZY

(Bajka)

Przy wina beczce  
 Obręcze i klepki  
 Żyły w ciągłej sprzeczce.  
 Spór był zawzięty i krzepki.  
 «Barbarzyńcy — klepki wołały —  
 Wy, piekła postacie,  
 Bezlitośnie nas uciskacie  
 Przez żywot cały.  
 Otaczając niby nas opieką,  
 Zachowujecie się jak pany,  
 Nas za niższe uważając stany.  
 Nie zajdziecie, ciemiężcy, daleko.  
 Zobaczmy wreszcie,  
 Któż wy jesteście,  
 I co znaczący?  
 My wina ochramiamy życie.  
 Gdy obręcz spadnie,  
 Wszystko dalej jest dobrze i ładnie,  
 Lecz niech w klepce powstanie szczelina,  
 A beczka zwolna jest bez wina».  
 Zaś obręcze na to im odrzekły:  
 «Niedorzeczny cały gniew wasz wściekły,  
 Całe wasze szczęście,  
 Że my trzymamy was w kupie,  
 Przez gniot nasz, przez nasze pięście.  
 Gdy tylko zluźniamy ciemięstwo,

Kres waszej przychodzi jedności,  
 Rozpadacie się jak kości  
 W zgniłym trupie.  
 Im nasze zwiększa się zwycięstwo,  
 Tem lepiej dla beczki i dla jej napoju,  
 Które my ochramiać mamy,  
 Stanowiąc zbawienne ramy  
 Ładu i spokoju».  
 W ten sposób kłóca się coraz bardziej  
 Klepki i obręcze,  
 Każdy przeciwnikiem gardzi,  
 A w siebie patrzy jak w tęczę.  
 Nie mogą dojść do pojednania  
 Na punkcie, kto wino ochramia.  
 Tymczas wśród tych pięknych zwadek  
 Zdarzył się brzydki wypadek:  
 Szpunt,  
 Na który przez cały bunt  
 Przeciwnicy mili  
 Wcale nie patrzyli  
 (Li siebie samych uznając za grunt),  
 Wylizgnął się troszeczkę,  
 Opuścił beczkę,  
 I za chwilkę małą  
 Całe wino się wylało.

*Tłum. S. Hirszhorn.*

## RÓWNOŚĆ SODOMSKA

Jak nam powiada stara legenda,  
 Co po spleśniałych księgach się szwęda,  
 Sodoma, słynna z swej gościnności,  
 Tak przyjmowała przybyłych gości,  
 Co z obcych krajów przywędrowali,  
 By w pięknym grodzie mieszkać najstalej.  
 Wykwintna była dla nich gospoda  
 (Kronikarz każdy adres wam poda).  
 A w niej żelazne wciąż stało łóżko,  
 Jak się należy: z koldrą, poduszką;  
 Łóżko ni duże, ni małe było,  
 W sam raz — spać było w niem bardzo miło;  
 Gdy jednak gość był nieco za długi,  
 Wnet operator mknął na usługi  
 I delikatnie, wzięwszy puginał,  
 Zbyt ni kęs nogi zręcznie ucinał;  
 Gdy się okazał przybysz za mały,  
 Nogi do końca mu nie sięgały,  
 Zaczęło ciągnąć go z całej mocy,  
 Że jeszcze teje uroczej nocy

Na cudne niebo Opatrzność Boża  
Już z gościnnego wzięła go łoża.

Tak w cnej Sodomie zawsze się działo,  
Bo równość była tam modłą stałą:  
W poglądach, wierze, kulturze, — nodze,  
Kto nie chce równy być wedle miarki,  
Musi być za to ukaran srodze.  
Na szczęście przyszedł deszcz smoły, siarki,  
I czczący równość ten gród anieli  
Z Bożego świata wnet djabli wzięli.

*Tłum. S. Hirszhorn.*

---

*Wybór tekstów i układ I. Wajnberga.*

I. POEZJA PRZED ISLAMEM

ABŪ KABĪR Z PLEMENIA HUDHAJL

W ciemną noc z szalonej odwagi  
Jechałem z młodzieńcem, dzielnym, na wszystko gotowym.

Podobnym mogły być matki brzemiennie synem,  
Którym nigdy pas nie był rozwiązany; nie zniewieściaty rósł młodzieniec,  
BruDEM ciała kobiecego niesplamiony,  
Jadem karmicielki i zarazą nietknięty.

Poczęła go w strasznej nocy  
W bólu, węzeł w pasie nie był rozplątany.

Wychowała go, dzikiego duszą, zwinnego ciałem,  
Czujnego tam, gdzie ospale drzemie w nocy niezgrabiasz ociężały.

Gdy nań w nocy rzucasz kamyk, wnet widzisz, zwinny wstaje młodzieniec,  
Zrywa się, jak ptak skoczy z miejsca.

A gdy się ze snu budzi, widzisz,  
Jak, nie slaniając się, mocno staje na nogi.

Zrzuć go do wąwozu górskiego, a zobaczysz,  
Jak nietknięty upadnie na występy skalne, jak orzeł z powietrza pada.

A gdy się przyjrzyysz rysom jego twarzy, zobaczysz,  
Jak jaśnieją jak światło skośnej chmury.

Straszny w bitwie, niewyciężony,  
Umysłem ostry, jak miecz, co gra i błyska.

Towarzyszów obrońca, gdzie niebezpieczeństwo wielkie,  
A kto u niego w gościnie, ten w potrzebie radość znajdzie.

---

AMR IBN KULTHUM

Wstrzymajcie się, o Bekra potomkowie śmieli!...  
Kim jesteśmy — czyżbyście dotąd nie wiedzieli?!  
Hełm na czapce jemeńskiej nosim jak koronę  
I miecze, od ciągłego użytku skrzywione.  
Promienie błyskawicy biją od pancerza,  
Które tak się nawzajem ścigają wytrwale,  
Jako wichrem pędzone oceanu fale.

Gdy po walce skończonej oderwą je z ciała,  
Sposprzeżesz, jak rycerzom skóra poczerniała!

Po ojcach dziedziczymy ten spadek jedyny,  
 W którym kiedyś do walki pójda nasze syny.  
 Dzielne, rączę, ogniste, domorosłe konie  
 Niosą nas w najgorętsze krwawej walki tonie.  
 W walce stoją za nami pięknych kobiet rzędy,  
 Dla których każdy musi okazywać względy.  
 W latach głodu wszak nasze otworem śpichlerze,  
 Z których każdy, gdy łaknie, zapomogę bierze.  
 Skoro miecza dobędziem dla czyjej obrony,  
 Ten na długo posiada spokój zapewniony.  
 Tak się na polu walki głowy wrogów toczą,  
 Jak piłki, które dziatwa rozrzuca ochoczo.  
 Nasi bracia zapasów żywności nie strzegą,  
 Lecz potrafią honoru pilnować własnego.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### CHARITH

Te wypadki przykre i te wieści  
 Sercom naszym dodają boleści.  
 Z Arakimu bracia nasi mili  
 Wszelką miarę wstydu przekroczyli,  
 Kiedy z ludzi rozbójniczych zgrają  
 I cnotliwych bezkarnie mieszają,  
 Utrzymując, że morderstwo księcia  
 Jest owocem Bekrów przedsięwzięcia!...  
 Uchwalono z wieczora rzecz całą,  
 A nazajutrz nieszczęście się stało...  
 Tamten krzyczy, ten sobą nie włada,  
 Rzy wielbłądów i koni gromada!...  
 Ty, co czernisz nas przed Amrem skrycie,  
 Darmo pragniesz zakłócić nam życie!...  
 Nie sądź, że nam twe kłamstwo zaszkodzi,  
 Gdy nas żaden wróg już nie obchodzi!...  
 Mimo ludzi nikczemnych szykany  
 Wiecznie honor nasz... niepokalany!  
 Każda troska, co w pierś naszą zmierza,  
 Od twardego odskoczy pancerza;  
 Jak szczył góry, co wiekowe gromy  
 Z urąganiem wita... nieruchomy!...

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### Z HAMĀSY

Tak, jesteśmy ludem, który walki śmiertelnej za przekleństwo nie poczytuje,  
 Choć Amer i Selûl jako przekleństwo ją przyjęli.

Miłość śmierci zbliża do nas nasz dzień ostatni,  
 Ale ci, którymi śmierć gardzi, śmierci umykają.

Jeszcze nigdy żaden wódz nasz nie wyzionął ducha w pokoju,  
 Jeszcze nigdy nam krew w ziemię nie wsiąkla niepomszczona.

Nasz ostatni dech wypływa na ostrza naszych mieczów,  
 Na nic innego nie spłynie nasza krew prócz mieczów ostrzy.

Czyści jesteśmy od krwi, niezmaceni, w cnocie poczuci  
Przez kobiety płodnie brzemiennie, z mężów dzielnych.

Na najpiękniejsze wyżyny się wspinamy, a niekiedy  
Do najpiękniejszych dolin schodzimy.

Jesteśmy hojni, jak deszcz chmur, obcy jest naszemu towarzystwu  
Skąpiec i człowiek o skrzydłach zgiętych.

Gdy chcemy, odtrącamy słowa innych,  
Nikt naszych nie odtrąca, gdziekolwiek zabrzmią.

A gdy wśród nas odchodzi wódz, inny wódz powstaje,  
Twórca słów szlachetnych, twórca czynów.

Nigdy nie gasiliśmy ognia przed gościem naszym,  
Nigdy nie ganił nas nikt, gościnnie przyjęty.

Nasze miecze znane są na wschodzie i na zachodzie,  
Karby na nich są od walki z misiurami stalowemi.

Przyzwyczajone do tego, że nigdy nie wyszły z pochwy i nie wróciły,  
Nienapojone krwią szlachetną wroga.

Spytaj tylko krzaku balsamu, tam gdzie rośnie na nasypie piaszczystym,  
Spytaj go tylko, jak często witałem twego mieszkania zwaliska.

Spytaj go tylko, czy w jego cieniu stałem w wietrzyku wieczornym,  
Jak żebrak, a stać tak było mi miło.

Spytaj go tylko, czy na widok twej siedziby oczy mi nie zachodziły  
Zasłoną lez spływających, jak pereł rozwiązany sznur.

Wszyscy ludzie, widzę, czekają paszy wiosennej, radości wiosennej,  
Ale moja nadzieja wiosny jest tam, gdzie ty namiot rozbijasz.

Wszyscy ludzie, widzę, nieurodzaju się boją, głodu.  
Mój strach jest tylko, gdy twój odjazd grozi.

Jak mnie boli, żeś mnie tak słowami zraniła!  
Jak mnie jednak raduje, żeś o mnie pamiętała.

Niech cię cieszy, że ręką podtrzymuję zbolące serce,  
Że lzy wykwitają w oku ze strachu, że cię tracę.

Hej, Szabana potomkowie,  
Powstrzymajcie groźne dłonie:  
U Lafawa studni jutro  
Napotkacie moje konie!  
To rumaki krwi szlachetnej,  
Co do walk się rwą w pogonie,  
Aż się w bliskim starciu zetną:  
Czyto góry, czyto błonie,  
Idą dzieci rodu Mazen —  
Lwy, co ogień żywią w łonie.  
Rozpoznajcie ich w ataku,  
Rozpoznajcie ich w obronie:

Jak wytrwali są na trudy,  
Gdy los ogniem na nich zionie.  
Jako wicher idą naprzód,  
Gdy im w sercu krew zapłonie.  
Obosiecznym swym jemeńskim  
Mieczem — krwi wytoczą tonie —  
Nic ich w drodze nie powstrzyma:  
Miecz ich wrogów skroś pochłonie!  
Chcesz pomocy? Nie pytają,  
O co walka, w której stronie:  
Ale wnet polecą konno,  
W wojowników dzielnym gronie.

*Tłum. Antoni Lange.*

## TAABBATA SZARRAN

Nie zaślubiaj go — mówię — on żyje dla burzy,  
 Ciało jego śród walki za cel wrogom służy.  
 I ona, bezrozumna, drży od lęku cała,  
 Żeby się po tym rychło wdową nie została,  
 Który nawet śród nocy bojów nie unika  
 I, nie śpiąc, zemstą krwawą godzi w przeciwnika.  
 Inni walczą dla sławy — on ma jej za wiele,  
 A jednak wokół czaszki potrzaskane ściele.  
 Natura jego wszelkim wygodom nierada,  
 Więc na kościach skóra w fałdy się układa,  
 Śpi w lesie pośród zwierząt; nigdy ich nie straszy,  
 Ani też o poranku nie spędza od paszy,  
 Nad niemi czuwa jego i piecza, i siła,  
 Tylko go walka z ludźmi chudym uczyniła.  
 A kto zemstę na wroga za cel życia bierze,  
 Ten się wcześniej czy później śmierci nie ustrzeże.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

Pod skalną grotą leż zamordowany,  
 Lecz krew się jego nie oblekła w rosę:  
 Mam podnieść ciężar tej śmiertelnej rany,  
 Chętnie ten ciężar podniosę.  
 Jam jest syn jego siostry — wypełniłem t s a r  
 Za wielkiego rycerza zgasłe czarne oczy;  
 Który, gdy się zasepił — krwawym mieczem parł,  
 Jak żmija, co w pustyni trucizny swe toczy.  
 Jakże nas przeraziła ta straszliwa wieść,  
 Od której skała na proch się rozpada!  
 Zginął mąż, dla którego każdy z nas miał cześć.  
 Zginął ten, co był obrońcą sąsiada.  
 W zimie ogrzewał nas jak dobre słońce,  
 Latem, gdy świeci gwiazda Psia —  
 Cienie rozlewał dokoła chłodzące.  
 Żyłaste miał ramiona dwa,  
 Lecz nie z chudiziny. Ręce miał wilgotne,  
 Oko miał przenikliwe, serce do czynu ochotne.  
 W wykonaniu zamysłów — jak miecz nieugięty.  
 Darzył nas swemi łaski jak obłok rozpięty  
 Nad polem, co zrasza siew.  
 Lecz w gniewie straszny był jak lew.  
 Włosy miał czarne. W długich szatach i zawoju —  
 Dumnie przechadzał się pośród namiotów —  
 Powolny w ruchu — i pełny spokoju,  
 Lecz zawsze lekko jak wilk na bój lecieć gotów.  
 Karmił ludzi piotłunu czarą jak i miodu:  
 Toć każdy z jego czy obcego rodu  
 I tę, i tamtą otrzymywał rzecz.  
 Samotny — na najgorsze puszczał się hazardy,  
 A nikt nie był przy nim, jeno twardy —  
 Jemeński, poszczerbiony w bitwach jego miecz.  
 W samo południe my, młodzieńce hoże,



Zebraliśmy się w wielką moc:  
 I szliśmy całą noc —  
 I dotarliśmy pod obóz wraży,  
 Zanim błysnęły zorze.  
 Każdy — jakgdyby na straży —  
 Miał z sobą — jako błyskawica lśniący —  
 Miecz, przy wyjęciu z pochwy — krwi požądający.  
 Oni spali głębokim snem, bezwładni zgoła —  
 Naraz wpadamy na nich — rzeź czynimy krwawą —  
 Budzą się przerażeni, pierzchają dokoła.  
 T s a r wykonaliśmy ze sławą.  
 Nieliczni jeno uszli tej zemsty Gozale.  
 Nieraz szczerbili miecze swoje o surowy  
 Miecz Taabaty. Nieraz i on w chwale  
 Szczerbił swój miecz o ich głowy!  
 Od jego ciosów upadały wrogowie,  
 Jako wielbłądy, gdy wśród twardej drogi  
 Trafiają na głazów szorstkie płyty,  
 Z nadłamanymi wałąc się kopyty.  
 Nieraz na wraże wpadał koczowiska —  
 Straże zabijał zdala, obóz raził zbliżka —  
 A gdy rozpędził i gdy wielu zabił,  
 Jako przystało — skarb im wszystkim grabił.  
 Dzisiaj więc ja te Gozale  
 Ogniem wojennym palę —  
 Mieczem ich zemsty rażę:  
 Płonęli długo; wkońcu zginęli w pożarzel!  
 Pierwszy ja raz na te krwawe napoje —  
 Młodzieńcze rześkie prowadziłem swoje.  
 A gdy się dość napiłem, powtórnie ich wiodę.  
 Dołąd piłem jeno wodę.  
 Teraz mogę pić wino, gdyż czynów mych sławą  
 Zdobyłem sobie to prawo.  
 Pijcież wino, me szable! pijcież, moje włócznie!  
 Pijcież wino, me konie! Możem teraz hucznie  
 Weselić się, bo wszystko teraz dozwolone:  
 Obowiązki wypełnione!  
 Sawadzie, Amra synu, podaj mi wino w puharze:  
 Jam znużon po tym krwawym mego wuja t s a r z e.  
 Napoiłszy śmierci kielichem Gozali:  
 Niechajże ich pogarda i niech hańba pali!  
 Zaśmiały się hieny, czując wrogów trupy,  
 Wilki ostrzyły zęby, ujrzawszy te łupy.  
 Zewszechstron lecą już sępy, aby jeść dosyta,  
 Aż im utrudnia loty uczta zbyt obfita.

*Tłum. Antoni Lange.*

## SZANFARA

### KASYDA

Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!  
 Dzisiaj Szanfara od was jedzie między wrogów.  
 Gotowe juki rzemień do garbów przycisnął:  
 Dalej w drogę! Noc ciepła, i księżyc zabłysnął.

Dalej! — Jeśli przed skwarem na ziemi są cienie,  
Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie  
I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie  
Gonić rozkosz a zgubie wymykać się umie.

Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta:  
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta;  
Hieny, zdobycz kroki pędzące chromemi,  
To moi przyjaciele! Niemasz między niemi  
Pótgłówka, co mu tajnia w ustach nie doleży,  
Co brata błędzącego z szyderstwem odbieży.  
U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna.  
Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.  
Nieprzyjaciółom pierwszy ją skoczę do oczu,  
A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.

W dziale łupów łakomstwo chyżością zwycięża.  
Ja czynię obyczajem dostatniego męża.  
Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać,  
A kto czuje swą wyższość, godzien przy niej zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,  
Których nie przyciągnąłem dobrodziejstw więzami,  
I do których nie lgnęło nigdy serce moje.  
Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało twoje:  
Serce waleczne, szabla, z której ognie biją,  
I luk złoty, wielbłądzią krzywiący się szyją,  
Przy którym pas bogaty, suta frendzla spływa,  
Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,  
Co tak żałośnie jęczy, gdy z niej grot wyleci,  
Jako matka wydarte ścigająca dzieci:  
Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczaja,  
I, odstraszywszy żrebce, sam kłacze wydaja;  
Jam nie tchórz, ni za dziewic ogonem włóczęga,  
Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga;  
Nie strusie serce moje: choć strach zakotała,  
Nierównym pędem w piersiach jak wróbel nie lata.  
Kto mię widział od rana do nocy śród gachów,  
Brew malować, włos trefić w kąpieli zapachów?  
Czy mię kiedy noc zbłąka; choć piaszczysta fala  
Tumanami okręci i żwirem zawala,  
Lecę na mej wielbłądce — wrą u nóg ukropy,  
Krzemienie, iskry sypiąc, pryskają z pod stopy.  
O głodzie, choć najdłuższym, w wielkomyślnej dumie  
Nigdy wspomnieć nie raczę, i tak go zatłumię:  
Karmię się prochem ziemi, a głód, nadaremnie  
Pasując się, wyznaje, że słabszy ode mnie.  
Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków?  
Więcej jadła niż u mnie do potrzeb i zbytków?  
Ale mam duszę gorzką, co się z hańbą kłóci,  
I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.  
Teraz pragnienie skręca wnętrzości w mem łonie,  
Jak nić różnie targaną na prządki wrzecionie.

Z rana wybiegam naczczo, podobny wilkowi,  
Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi,

I z pustyni w pustynie, w wąwozów rękawy,  
 Przeciska się włóczęga, czatujący strawy;  
 A gdy na długich czatach darmo się utrudzi,  
 Wyje — wtórują wyciem towarzysze chudzi.  
 Jako z łonem niepełnem wschodni księżyc cieni,  
 Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki,  
 Zęby dzwonią, jak strzały we wróżka prawicy,  
 Albo jak roje pszczelne, gdy wkoło rodzicy  
 Szumiącą polatuje na pagórek rzeszą,  
 Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszają.  
 Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna,  
 Gardziel rozdarta nakształt rozkłętego drewna.  
 Zawył; i oni wyją, biegnąc na pagórki,  
 Jak płaczące farysa małżonki lub córki.  
 Umilkł; i oni milczą. Wycie mu ulżyło,  
 I dla nich słyszeć równie wyjącego miło;  
 Zda się, że spólność głodu wnętrzości uciszy:  
 Znowu skarżył się, znowu skarżących się słyszy;  
 Umilkł wkońcu, umilkła wrzaskliwa gromada.  
 Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nic nie nada.

Jeśli do studni jadę, lecący pulk strusi  
 Daremnie grzmi skrzydłami — męty spijać musi.  
 Nie zgonił mej wielbłądki bystry ich wódz stada:  
 Ja odjeżdżam — spragniona zostaje gromada.  
 Jużem odjechał — ptactwo runęło na męty,  
 Wole ich rozciągnione, dziób, ku studni zgjęty,  
 Jest posłem dobrych wieści; wre ciżba hałasem,  
 Jak obóz karawany, siedzącej popasem.  
 Znowu śmignęły wgórze, znowu w studnię wpadły.  
 Ścisnęły się nakoniec i zręby obsiadły,  
 I, ryczałem wypiwszy, rozwinęły loty,  
 Jak runące z oazy Beduinów roty.

Ziemia twarda mnie družka. Nieraz do jej łona  
 Tulilem kark mój suchy i chude ramiona,  
 Których stawy sterczące tak policzyć snadno,  
 Jak kostki, co z rąk gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,  
 Toć Szanfara jej służył i wiernie, i długo,  
 Dziś nieszczęście w mą duszę jak w piłkę zagrało,  
 Boleści podzieliły losem moje ciało,  
 Każda bieda najpierw na mój kark się wsuwa;  
 Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa  
 I, wytrzeszczywszy oczy, patrzy skąd ugodzić.  
 Troski kolejają febry zwykły do mnie chodzić;  
 Ale od febry gorzej nie dają pokoju,  
 Lecą do mnie jak ptaki, spragnione do zdroju:  
 Sto razy je odpędzisz, i setnemi chmury  
 Znowu uderzą zboku i zdołu, i zgóry.  
 Wiecie, jak w upał boso lecę przez pustynię,  
 Podobny córce piasku, błyszczącej gadzinie.  
 Choć miękko wychowany i z przodków hogaty,  
 Alem syn ciepłowości — włożyłem jej szaty  
 Na pierś, w której hieny przemieszkiwa śmiałość.  
 Za obuwie na nogi włożyłem wytrwałność.

Na stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia,  
 Jam wesół i bogaty, bo nie szczędzę życia.  
 W dniach szczęścia dostatkami nie byłem odęty,  
 Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty.  
 Czyli z nadstawnym uchem za plotkami latał?  
 Czyli za cudzą sławą potwarze wymiatał?  
 Pamiętacie noc klęski? Tę noc niepokodną,  
 Noc tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,  
 Że Arab grzał się, paląc własny łuk i groty?  
 Ja wybiegłem na boje śród mroku i słoty;  
 Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,  
 Towarzyszami piorun, okropność i trwoga.  
 Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,  
 Wróciłem, jakem wyszedł, nocą otoczony.  
 Nazajutrz, gdym spokojnie w Gumaiza leżał,  
 Mówiono o mnie w stepach, którem w noc przebieżał.  
 Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada:  
 Jedna z nich zapytuje — druga odpowiada:  
 Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie,  
 Zdało się, że wilk przebiegł, lub hieny szczenię,  
 Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął,  
 Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął.  
 Może to Diw, przechodząc, tyle szkody zrobił?  
 Może człowiek?... Nie, człowiek tyluby nie pobił!

Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi,  
 Tak, że żmije od skwaru skakały po ziemi,  
 W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące  
 I, zdjęwszy turban, głową wyzywałem słońce,  
 A włos mój, brudu pełny, nieznający woni,  
 Kołtunami przylegał do niemyłej skroni.  
 Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,  
 Tak twarde i tak nagie, jako grzbiet puklerza,  
 Nieraz całe bosemi przemierzyłem stopy,  
 Gdy ujrzałem nad głową skał podniebne stropy.  
 Na klęczkach, pnąc się jak pies, wlażem im na czoło.  
 Tam dzikie antylopy biegały wokóło,  
 Białonogie i wełną odziane bogatą,  
 Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą;  
 I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada,  
 Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada,  
 Co mu rogi w tak długie piętrzą się ramiona,  
 Że, wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,  
 Albo niemi do skały przyczepia się szczytu  
 I wisi, jako ptaszek w otchłani błękitu.

*Tłum. Adam Mickiewicz.*

## ANTARA

\* \* \*

Spokój uchodzi od mojej powieki.  
 Łzy gorzkie palą mojej twarzy bladość:  
 Abła uniosła z sobą w kraj daleki  
 Sen mój, rumieniec i radość!  
 Ból mój tem bardziej w swojej mocy rośnie,

Że jeno krótka była to godzina,  
 Gdy mogłem widzieć, jak, płonąć radośnie,  
 Ku moim oczom serce jej się wspina.  
 Niestety, jakże dziwnie jest dręcząca  
 Ta chwila smutna, co mi pierś zakrwawia:  
 Żalność pożegnań, co się wciąż odnawia —  
 Oraz rozłączeń bez końca!  
 O plemię Beni-Abbes, wojownicy!  
 Jakże mi tęskno po waszych namiotach,  
 Gdziem widział uśmiech jej — blask jej źrenicy —  
 Co zgasł mi rychło w tęsknotach.  
 O lzy wylane próżno, próżne smutki!  
 Kochanka moja gdzieś na cudzej niwie:  
 Dajcie mi jeno czas mały a krótki,  
 Bym żył i umarł szczęśliwie!  
 Krótkiego czasu jeno mi potrzeba:  
 Skąpiechy przyznał go cudzemu oku,  
 By mogło wielbić swe błękitne nieba  
 I skarb swój pełen uroku!

*Tłum. Antoni Lange.*

#### SKARGI ABLI

Wojownicy mego ludu,  
 Złamcie pęta mej niedoli:  
 Powiadomcież wy Antara  
 O żalności mej niewoli.  
 Odkąd wdał od swej gazeli  
 Odszedł lew niepokonany,  
 Wszystkie naraz pęta grożą  
 Jego biednej ukochanej.  
 Ból wyczerpał moje serce —  
 Wszystkich sił wysączył soki:  
 Ileż cierpień teraz znoszę,  
 Mając wokół jeno mroki!  
 Za najmniejszym wiatru wianiem  
 Na samotne padam łoże:

Jak więdnący kwiat w ogrodzie,  
 Co bez światła żyć nie może.  
 Toć im większa moja klęska,  
 Tem szczęśliwsze moje wrogi,  
 Odkąd przed tym moim panem  
 Moich drzwi zamknęli progi.  
 Ileż obelg i poniżeń  
 Znoszę tu przez czas ten cały:  
 Toż na widok mej rozpaczę  
 Nawet głązyby płakały.  
 Wojownicy, błagam, byście  
 Antarowi powiedzieli,  
 Że jedynie lew potrafi  
 Bronić życia swej gazeli.

*Tłum. Antoni Lange.*

\* \* \*

Umie ona ząbkami czarować białemi,  
 Co słodsze w pocałunku niż wszystko na ziemi!...  
 Skoro ku niej przybliżysz rozognione skronie,  
 Oddech jej wonią moschu zmysły twe owionie,  
 Niby łąka kwiatkami wonnemi okryta,  
 Której jeszcze nie tknęły biegunów kopyta;  
 Gdzie o zmroku wieczornym brzęczące komary  
 Monotonnym brzmieniem śpiewem — niby pijak stary!...  
 Abla rano i wieczór na puchu spoczywa:  
 Mnie wezgiłowiem wśród nocy konia mego grzywa!...  
 Wiatronogi a silny przyjaciel mój stary  
 Grzbiet wygodny na łoże daje dla Antary!...

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

Powiadają mi, że Amur mi odplaca czarną niewdzięcznością,  
 A niewdzięczność jest złem, co hojnego martwi.

Tak, wierny byłem mojemu stryjowi  
Już dawno, w chwili, gdy ząb dzwonił o ząb w wielu ludzi ustach,  
W zgiełku i wirze walki, w której ani jednego jęku  
Nie słysząc z ust bohaterów, tylko groźne okrzyki,  
Gdzie, gdy mnie wysunięto, jako tarczę przed dzid uderzeniem,  
Nie cofałem się, choć nikt nie szedł za mną.  
Ale gdy widziałem, jak ludzie wszyscy idą naprzód zwartym szeregiem,  
Pobudzając się głośnemi okrzykami, jak płomień pomknąłem naprzód.

### CHÂTIM Z PLEMENIA TAJ

Syn Abdalli i Māleka i potomek owego męża  
Nosił dwie szaty i dosiadał burego rumaka.  
Przygotowałeś posiłek, więc wprowadź gościa,  
Niech je z tobą, lecz nie sam.  
Niech to będzie wędrowiec nocny, albo sąsiad domu,  
Najbardziej zaiste boję się złych języków po mojej śmierci.  
Sługą jestem gościa, dopóki u mnie przebywa,  
Nic poza tem niema we mnie z niewolnika.

### ZUHAJR (w. VI—VII)

Przesytu już doświadczam w tej ziemskiej podróży;  
Kto przeżył lat ośmdziesiąt, nie pragnie żyć dłużej!...  
Przeszłość i terażniejszość widzę jak na dłoni,  
Lecz co jutro przyniesie?... i któż mi odsłoni?  
Śmierć, jak wielbłąd półciemny, błąka się spragniona:  
Kogo minie — ten żyje; kogo dotknie — skona.  
Mniemacież, że przed Bogiem myśl wasza ukryta?  
On najgłębsze tajniki z serc ludzkich wyczytał...  
Księgi mówią, że kara albo się odwleka  
Do dnia sądu, lub nagle spada na człowieka.  
Czyniąc dobrze, z cnót własnych dosięgniesz korony:  
Kto się hańby nie strzeże, ten będzie zhańbiony!...  
Skoro ludzkich słabości mieć nie chcesz na względzie,  
Jeden cię gryźć zębami, drugi kopać będzie!  
Kto w skrzyniach złoto dzierży, a żyje jak sknera,  
Niczego nie użyje i wżgardę odbiera.  
Kto jest słowny i duszę nakłania do cnoty,  
Tego nigdy nie dotkną potępienia grotty!  
Kogo strachem przejmuje wciąż śmierci potęga,  
Ten wstąpił na drabinę, co ku niebu sięga.  
Kto studni swej nie strzeże, naprowadza zgraje,  
Kto ludziom krzywd nie czyni, sam ich nie doznaje.  
Obcy często i wrogów uznaje za braci;  
Kto siebie nie szanuje, u wszystkich cześć traci.  
Ten, kto ludziom się poddał, jako juczne zwierzę  
Od zniewag i udręczeń głowy nie ustrzeże.

Podziwieniem przejmuję, kto głosu się zrzeka,  
 Tylko mowa jest skałą wartości człowieka.  
 Wszakże język sam jeden z pod serca wypływa,  
 Reszta jest wizerunkiem ze krwi i mięsiwa.  
 Kto niemądry w starości, bezrozumny skona;  
 Młodzieńcom do oświaty droga zostawiona.  
 Kto raz prosił, żądanie winien wstrzymać nowe;  
 Gdy zbyt jesteś natrętny, napotkasz odmowę.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

Na dom, który z modlitewnym szmerem pielgrzymim okrażają  
 Mężowie, którzy go zbudowali, z Dżurham i Kurajsz,

Przysięgam, że wy oba jesteście stworzeni na wodzów,  
 Do ładu doprowadzać, cokolwiek jest proste i poplątane.

Z Gaith Ben Morra dwaj szlachetni mężowie powetowali  
 Tak długo przelewaną krew współplemieńców,

Dzięki wam pogodziły się rody Abs i Dhubjan,  
 Które tępiły się wzajemnie maścią Manszama.

Mówiliście: «Jeżeli możemy tutaj przeprowadzić pokój  
 Dobrym czynem i dobrem słowem, zbawienie będzie naszym udziałem».

Doprowadziliście szczęśliwie pokój do dobrego końca,  
 Nikt nie jest pokrzywdzony, nikt nie jest zrażony.

#### IMRUU-L-KAJS (um. około 530 r.)

Rankiem wyjeżdżam na łowy, gdy jeszcze w gniazdach są ptaki.  
 Koń mnie unosi skrzydlaty, co niby łańcuch żelazny  
 W locie swym niewstrzymanym zwierza dzikiego zakuwa.  
 Koń jako wieża wysoki — to skacze wprzód, to się cofa,  
 To się oddala, to zbliża — jakoby skała ogromna,  
 Z gór strącona potokiem. Gniadą ma sierść jako jedwab.  
 Czaprak w galopie od grzbietu tak odskakuje, jak deszczu  
 Krople, które odrzuca gładz polerowany. — Wychudłe  
 Nogi ma, życiem kipi, w zapalach pościgu i pędu  
 Z piersi wydaje szum, niby wrzątek w kotle miedzianym.  
 Gdy inne konie omdlały — on niezmożony wciąż pędzi  
 I pozostawia na piasku ślady głębokie swych kopyt.  
 Strącił on z grzbietu raptownie młodzieńca, jak pióro lekkiego,  
 Jeźdźca siwego płaszcz — w poskoku jak obłok wywraca —  
 I tak się szczególnie wykręca, jak krągła zabawka dziecinna,  
 Wydrążona pośrodku i wirująca na nitce.  
 Boki ma on jak gazela; nogi ma strusia; bieg — wilka,  
 Skok ma lisa młodego; biodra — do miary szerokie,  
 A gdy nań patrzysz od zadu, kończą się prostym, puszystym,  
 Ciemno-gniadym ogonem, który się wlecze po ziemi.  
 — Gdy przywiązany spoczywa u mnie w namiocie, naówczas  
 Grzbiet mu się lśni z obu stron, jak te kamienie, na których  
 Rozcierają pachnidła dla narzeczonej w dzień ślubu,  
 Albo na którym zostały wyciski od kolokwinty.  
 Upolowanych krew zwierząt strumieniem mu spływa po szyi,

Niby chena, co starcom ubarwia włos posiwiąły.  
 Dziś napotkaliśmy osłów dzikich stadninę. — Samice  
 Ich wystąpiły tak dumnie, jako te panny wybrane,  
 Co obleczone zawojem krążą dokoła Duwara.  
 Koń mój jął biegać naprzemian jużto wśród samców, już samiec,  
 Wody nie pijąc dzień cały ani się w wodzie nie kąpiąc.  
 A kiedy wieczór zapadał, my powrócili z wyprawy:  
 Oczy moje nie mogły nacieszyć się konia widokiem.  
 Siodło i czaprak, i uzda nocują na koniu mym drogim —  
 Stojąc, spoczywa koło mnie — i nie porusza się z miejsca.

*Tłum. Antoni Lange.*

\* \* \*

Szybkim krokiem ku śmierci idziem tajemniczej,  
 Lecz opętani, jadła oddani słodczy.  
 Słabiliśmy, jako muchy, robaki, motylki,  
 Ale na zło zuchwalsi niżli głodne wilki.  
 Duch mój zawsze ku żądom podążał szlachetnym:  
 Chciałem go mieć i dumnym — i czystym — i świetnym.  
 A ty, niewiasto, która czynisz mi wyrzuty —  
 Przestań. Ja z doświadczenia mam zamiar wysnuty.  
 Pamięć o mych pradziadach już mię uczy sama —  
 Oraz pamięć, że jestem z plemienia Adama.  
 Idzie śmierć. Młodość swoją o dni życia kruszę.  
 Porwała ją. Toż ciało me porwie i duszę.  
 I rychło mię pod ziemią przygwoździć pożąda.  
 Czyliżem nie zamęczył swojego wielbłąda,  
 Pędząc go po szerokiej pustyni, gdzie głody  
 Budzą ci jeden straszny majak, majak wody?  
 Czym nie jeździł z rycerzy dzielnych społeczeństwem  
 Po zdobycze, związane z walk niebezpieczeństwem?  
 Dość błądziłem po ziemi za wojennym łupem.  
 Dziś wystarcza mi radość, że nie wracam trupem.  
 Mógł liczyć, że dla mnie los będzie łagodny,  
 Gdy zmarł Hares-ibn-Amru, gdy umarł czcigodny  
 Rodzic mój Chodźr, namiotów sławny posiadiciel?  
 Los — toć jest skał najtwardszych okrutny niszczyciel.  
 Śmierć — wiem o tem — niedługo — śmierć, nasz wróg ponury,  
 Puści we mnie swe krwawe zęby i pazury —  
 Jak w innych: jak mój ojciec Chodźr padł znamienity,  
 I mój dziad — i ten, co był pod Kelab zabity.

*Tłum. Antoni Lange.*

\* \* \*

Pozwólcie, niech tu dla niej łza z oczu mych płynie,  
 Między Chaumal i Dakhol na piasków lawinie,  
 Między Tudich i Makrat, gdzie nie starły jeszcze  
 Śladów mieszkań piaskowe uraganów deszcze!...  
 Tu, podtrzymując cugle, towarzysze moi  
 Mówili: O! bądź mężem, co trosk się nie boi.  
 Jedyną mą pociechą dziś łza, co wytryska...  
 Lecz pocóż skrapiać łzami przeszłości zwałiska!

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*



\* \* \*

Wszystkie dziewcząt namioty, których oddech męża  
 Nie skalał — serce moje piorunem zwycięża.  
 Przez tłumy i przez śmiercią grożące mi strażę  
 Do mej lubej zwycięsko kroczyć się odważę,  
 Gdy na niebie się jasna plejada promieni,  
 Jako wstęga ze złota i drogich kamieni!...  
 Przybyłem do niej w chwili, gdy z wonnego ciała  
 Żywo szaty dziewicze do snu zdejmowała,  
 Widząc mnie, rzekła: — «Przebóg!... gdzie się skryć przed tobą...  
 Szaleństwo wiecznie twoją zostanie chorobą?!...»  
 Wybiegliśmy z namiotu, milcząc, a za nami  
 Ślad nóg starła jej suknia materyj falami.  
 I gdyśmy, zostawiwszy jej namiot woddali,  
 Do piaszczystej się grotty szczęśliwie dostali,  
 Jam tulił ją do piersi, a dziewica skromnie,  
 Wymukła, gibka... kształtna... garnęła się do mnie,  
 Niby jasna siostrzyca perły złoto-białej,  
 Co w łonie swem zasklepia czyste wód kryształy.  
 Odwracając swe lica, spozrzała w świat boży  
 Jak łania, co o jagnię małeńkie się trwoży.  
 Żaden bezkształt jej szyi toczonej nie plami,  
 Gdy ją wznosi jak sarna, strojną klejnotami.  
 Kibić jej kruczych splotów pętają okowy,  
 Jako palmy lodygę warkocz daktylowy.  
 W stroju nocnym o późnej spoczywa godzinie,  
 Woń moschu ponad rankiem z jej namiotu płynie.  
 Blask jej oczu tak nocne ciemności przenika  
 Jako Bogu płonąca lampka pustelnikal!...  
 Innym łatwo miłosnej uniknąć ślepoty,  
 Ja wiecznie w sercu krwawe noszę uczuć grotty!

*Tłum. Juljan Adolf Świącicki.*

\* \* \*

Błysk ten czyś widział, druhu?... ów gzygzak czerwony,  
 Jak ruch dłoni wyskoczył z chmur gęstej korony!...  
 Lub jak w celi klasztornej lampka, co już kona,  
 Rozsypie blask — olejem świeżym podsycona.  
 Między Odaib i Darycz, wśród mężów ogniska  
 Zasiadłem, by ulewie przypatrzeć się zbliśka.  
 Jeden prąd nawałnicy wprost na Katem pędzi,  
 Drugi lewej Jadhbulu zagraża krawędzi.  
 Toczy się na Kuteifę słup piany i błota,  
 Z Kamakhol dęby stare na przechodniów miotał!...  
 Dalej żywiol Kananu obejmuje stronę  
 I z urwiska gór spędza giemzy przelęknione!...  
 W Teima nie ocalał żaden pień palmowy,  
 Żaden dom, niemający skał wiecznych budowy.  
 Rankiem tak świergotało ptactwo na dolinie,  
 Jakby śpiewne gardziołki wykapało w winie,  
 Tu i ówdzie zwierzątka zatopione leżą,  
 Jak cebule, z pod ziemi wydarte grabieżą.

*Tłum. Juljan Adolf Świącicki.*

## NÂBIGHA

(w drugiej połowie VI w.)

Wbrew woli spadła nagle z jej twarzy zasłona.  
 Chwyta ją i oblicze swe kryje spłoniona,  
 Różowemi paluszków pieściwych końcami,  
 Które mógłbym jedynie porównać z kwiatkami,  
 Co leciuchno spoczęły na swojej łodydze.  
 I te fale jej włosów kędzierzawych widzę,  
 W których tak giną całkiem jej lica i szyja,  
 Jak filar, gdy go winna latorośl obwija.  
 Z jej wzroku biła jakaś żądza nieukryta,  
 Patrzyła tak jak chory, gdy doń gość zawita.

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

Suada mnie opuściła. Związek z nią zerwany.  
 Zatrzymała się w Szira w dolinie Idany —  
 Jedyna z rodu Jali. — Jeśli serce moje  
 Dotychczas po jej czarach dręczą niepokoje,  
 Jestże to niedorzeczność, czy marzenie senne —  
 Czyli obłąd? — Wspomnienie pieści mnie niezmiennie!  
 Gdy odwróci się, pięty ma inne niż pięty  
 Murzynek lub przekupek, które różne sprzęty  
 Trzciniowe czy gliniane w Nachli przedawają.  
 Najlepsza z wszystkich, które na ziemi mieszkają —  
 Rozmowę tak czarownie jak nikt ze mną wiodła.  
 — «Ach, ty stałeś się bratem wielbłądziego siodła.  
 Niebezpieczeństwo czyha na cię i zatrata —  
 Starości nie dożyjesz — krótkie twoje lata».  
 — Niechaj ci Bóg poszczęścił Niezawszeć przystoi  
 Rycerzowi spoczywać przy kobiecie swojej.  
 Toć obowiązek twardej od nas służby żąda.  
 Więc w imię Boże szybko skaczem na wielbłąda —  
 Wykonywamy czyny, które myśl pobożna  
 Prowadzi — i do życia gromadzim, co można.  
 W plemienu Beni Dhobjan pytaj o me imię —  
 O mą cześć — kiedy cały pogrążony w dymie  
 Kuchni mej, tłumem gości jestem otoczony,  
 Gdy, pędząc bure pyły od Zurulskiej strony  
 Hen aż pod Tin — wiatr szumi — a w powietrzu susza  
 Straszna, że kropli deszczu nie wymodli dusza.  
 Każdy tu, kto rozumny i rzeczy znajomy  
 (A nigdy się nie zrówna z takim nieświadomy),  
 Powie ci, że najlepszym jestem graczem w kości —  
 Oddaję, co przegrywam — przytem karmię gości.  
 Więc przez wielkie pustynie pędzę na szalonej  
 Wielbłądźcy — choć duch jej bardzo jest znużony,  
 Choć płacze na znużenie i na późną chwilę —  
 Ja przecież ją do skoków nieustannie pilę.  
 Z jej gniewu w Zu-el-Medżaz omal żem na piaski  
 Nie runął wraz z jukami, choć wielbłądów wrzaski  
 Nie dochodziły znikąd wielbłądźcy ucha.  
 Kobieta jakaś z Mekki mówi: (ona słucha)

«Czy kto z waszych rycerzy nie kupiłby skóry?»  
 «Hej — mówię jej — precz nabok, bo ten zwierz ponury  
 Zadepcze cię — i tak się skończy targowica!»  
 Trzy noce i noc jedną moja wielbłądzica  
 Przebyła w Zu-el-Medżaz, aby koczowiska  
 Obejrzyć — i dopiero kiedy zorza błyska,  
 Popędziła galopem, jak oślica dzika,  
 Ścigana przez łowieckich igrzysk miłośnika —  
 Pędziła przerażona, ujrawszy dokoła  
 Pnie drzew podruzgotanych — i posępne czoła  
 Samotnych skał — — —

*Tłum. Antoni Lange.*

## Z UTWORÓW TARAFY

(VII w.)

Widoczne jeszcze ślady koczowisk Chaumuly  
 Na kamiennej równinie Tachmed się rozsnuły,  
 Podobne do tych resztek deseni, wyklutych  
 Na rąk powierzchni mężów, w żelazo zakutych.  
 Tutaj się towarzysze moi zatrzymali  
 I, podjehawszy do mnie, tak mnie pocieszali:  
 «Pokrzep swojego ducha, a przepędź tęsknicę!»  
 Ale ja wciąż pamiętam dziewczę me w lektyce  
 Wielbłądziej — ukochaną mą jasną Malekę —  
 Której namioty dzisiaj od nas tak dalekie!  
 Lektyka jej się zdała jako łódź, co świtem  
 Płynie szerokiej Dady zielonem korytem —  
 Jak wielka adawjańska łódź, albo jak owa,  
 Którą zmyślnie buduje dłoń Ibn-Jaminowa.  
 Sztuczny sternik prowadzi łódź, co się kolebie —  
 Jużto wbok ją kierując — jużto wprost przed siebie.  
 Zasię przód jej rozcina pieniające się fale,  
 Niby gracz, co zgadując, rozrzuca fijale.  
 Z ludem tym ma gazela znikła ciemnousta,  
 Co, piękną wyciągając szyję, chyli usta,  
 Gdy jagody Eraku zrywa — a zarazem  
 Szyja błyska jej pereł sznurem i topazem.  
 Ciemną wargą uśmiecha się moja kochanka:  
 Uśmiech jej do dzikiego podobny rumianka,  
 Co rozkwita na wzgórzach z wilgotnego piasku. —  
 Samo słońce ją w złotym wykapało blasku,  
 Jej działseł nie dotknawszy, co zostały ciemne,  
 Choć zdała od niej kohlu są proszki tajemne.  
 Samo słońce jej lica swą jasną zasłoną  
 Pokryło — czysto barwiąc twarz niepomarszczoną.  
 Zniknęła, lecz ja umiem zwalczać swą tęsknicę —  
 Siadam wtedy na wierną swoją wielbłądzicę  
 I lecę na pustynię...

*Tłum. Antoni Lange.*

\* \* \*  
 Silny, jak boki trumny, więc ze mną wdał bieży  
 Drogą, do przegowanej podobną odzieży;  
 Członki ma niestrudzone, a tak lekko kroczy,  
 Jak samica, gdy strusia na pustyni zoczy.

Na wiosnę wygłodzony chodzi z wielbładami  
 Po łąkach, majowemi skrapianych deszczami.  
 Idzie za głosem stróża i napad ogiera  
 Z zaciętością ogonem krzaczastym odpiera.

Uda jego tak pełne, żeś wziąć je gotowy  
 Za olbrzymie zamkowych wrót bratnie połowy.  
 Żebra łukom podobne, grzbiet pięknej budowy,  
 Szyja dzielnie się trzyma kości pacierzowej.

Przeguby, jak dwie próżnie w lotosu drzewinie;  
 Pod lędźwiami silnemi łuk żebrowy ginie.  
 Udo tak od bratniego uda wdał ucieka,  
 Jako dwa wiadra wody w dwu rękach człowieka.

Most grecki przypomina swych mięśni budową,  
 Którego siłę stwierdza architekta słowo.  
 Grzbiet ma silny, w podbródku włosy czerwonawe,  
 Rączy kroki silnemi podnosi kurzawę.  
 Kiedy nogi wyrzuca w tę lub ową stronę,  
 Łopatki jak pod dachem stoją niewzruszone.

Baty na grzbiecie jego tak znać doskonale,  
 Jako pręgi deszczowe na urwistej skale.  
 Tu jedno, owdzie mnóstwo pręg na grzbiecie leży,  
 Niby łaty białawe na zdartej odzieży.

Szyja, gdy nią poruszy, żywo przypomina  
 Tył okrętu, co fale Tygrysu rozcina.  
 Czaszka mała, z kowadłem może chodzić w parze.  
 Pilnik od zębów jego nie więcej dokaże.  
 Policzki jako papier syryjski, a warga  
 Z jemeńskiej skóry, której zmarszczka nie potarga.

Ma uszy, które w nocnej wędrówce pustynią  
 Pewien rodzaj muzyki osobliwej czynią;  
 A to są krwi szlachetnej niemyłne dowody:  
 Ma je każdy byk leśny z Chaumułu zagrody.

Z obawy przed harapem, splecionym z rzemienia,  
 Woli mojej posłuszny, szybkość biegu zmienia.  
 Gdy zechce, tuż przy siodle trzyma swoją głowę,  
 A nogi wraz ze strusiem popłynąć gotowe.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

Jam nie z tych, co siedziby obierają niskie,  
 By goście nie widzieli mię i ludzie bliskie.  
 A kto pomocy mojej żąda i oparcia —  
 Natychmiast z każdym wrogiem pośpieszam do starcia;  
 Chcesz mię szukać na sejmie — znajdziesz mię wśród rady;  
 Chcesz mię szukać w szynkowni — znajdziesz. Winograpy  
 Sączę. A przyjdiesz do mnie — wino dam ci stare —  
 Pij je — pij sobie jedną — pij i drugą czarę.  
 Gdy się swym rodowodem chępią Beduiny,  
 Wiedz, że z najdostojniejszych namiotów rodziny.  
 A ci, co raczą do mnie przybyć na wieczerzę,  
 Są to — by jasne gwiazdy — najczystszy rycerze.  
 Śpiewaczka uczyły moje pieśnią rozwesela —  
 Suknię ma szafranową, zdobną w barwne ziela,  
 A stanik tak rozwartą, że dziwnej piękności  
 Przegląda pierś jej krągłą, co czaruje gości.

Gdy żądamy jej śpiewu, ku ziemi wzrok chyli;  
 Śpiewa głębokim głosem, a dźwięki jej tryli  
 Są jak jęk wielbłądzicy przeciągły, żalony,  
 Gdy straci pierwsze dziecko, zrodzone tej wiosny...

*Tłum. Antoni Lange.*

\* \* \*

Żyłem w ciągłym weselu. Wino-m pił bez troski.  
 Marnowałem dobytek własny i ojcowski,  
 Aż wkońcu ród mój wyklnie mię i wydziedziczy,  
 Żem został jak wygnany wielbłąd suchotniczy.  
 Ale nie porzucili mię przeto nędzarze,  
 Ani wielkich namiotów zacni gospodarze.  
 Ty, coś mnie klął, że, pragnąc wyżyć swoją dzielność —  
 Walczę i spijam rozkosz — czy ty nieśmiertelność  
 Możesz mi dać? Tyś śmierci usunąć niezdolny.  
 Pozwól więc — niech swe mienie stracić będę wolny.  
 Gdyby nie radowały mię te trzy przedmioty,  
 Co są treścią młodzieńczych marzeń i ochoty:  
 Klnę się, nigdy w mej myśli żal się nie obudzi,  
 Że przyjdą nad mym grobem płakać tłumy ludzi.  
 A właśnie chcę uprzedzić krewnych moich skargi,  
 W czerwonym zatem winie kąpię swoje wargi,  
 A gdy pomocy wzywa kto — miecz mój nie pyta —  
 Szybko tętnią rumaka mojego kopyta!  
 Lubię zaś w dni wiosenne siedzieć pod namiotem  
 Pięknych kobiet, co suknie mają srebrem-złotem  
 Ozdobne, a na rękach i nogach manele.  
 Takie są me igrzyska, drodzy przyjaciele.  
 Człowiek szczodry za życia winem serce krzepi:  
 Gdy umrzem — poznasz — życie kto rozumiał lepiej.  
 Patrz: tu spoczywa skąpiec; jego kres żalobny  
 Mogile marnotrawcy czyliż niepodobny?

*Tłum. Antoni Lange.*

## II. KORAN

### URYWKI Z KORANU

#### SURA 1-SZA

W imię Boga litościwego i miłosiernego.

1. Niech będzie chwała Bogu, władcy światów.
2. On jest miłosierny i dobrotliwy.
3. On jest Królem dnia sądnego.
4. Ciebie, Panie, czcimy i Twej opieki wzywamy.
5. Prowadź nas drogą zbawienia,
6. Drogą tych, których obsypałeś swemi dobrodziejstwami;
7. A nie tych, którzy na Twój gniew zasłużyli i w błąd popadli.

*Tłum. Jan Murza Tarak Buczacki.*

#### SURA 2-GA

#### «K r o w a»

7. Są tacy, którzy mówią: my wierzymy w Boga i w dzień ostateczny, a jednak nie mają wiary.

8. Chcą tem zwieść Boga i wiernych, lecz tylko siebie oszukują, a tego nie rozumieją.
9. Serce ich jest zepsute, Bóg w niem powiększy ranę, boleść pożerająca będzie ich niewiary nagrodą.
10. Gdy im kto powie: nie róbcie zgorzenia na ziemi, oni odpowiedzą, że ich życie jest przykładem.
11. Oni są występni, lecz tego nie pojmują.
28. Gdy Bóg powiedział aniołom: «Poślę na ziemię mojego Namiestnika». — «Czyż pošlesz — odpowiedzieli duchowie niebiescy — człowieka, któren się odda nieprawości i krew rozlewać będzie wtenczas, gdy my głosimy Twoją chwałę; kiedy ciebie wielbimy?». «Wszystko to wiem — odpowiedział Pan — czego wy nie rozumiecie».
32. Rozkazaliśmy aniołom pokłonić się Adamowi, wszyscy byli posłuszni, prócz pyszniącego się Iblisa, który nie usłuchał i za to został policzony między niewiernych.

*Tłum. Jan Murza Tarak Buczacki.*

#### SURA 4-TA

#### Niewiasty

W imię Boga litościwego i miłosiernego.

1. Śmiertelni! Bójcie się Pana, który was wszystkich z jednego wyprowadził człowieka, dla którego utworzył niewiastę i okrył ich potomstwem ziemie. Bójcie się Pana, w imię którego prosicie, a szanujcie wnętrzości, które was nosiły. Bóg postrzeżę sprawę wasze.
2. Oddawaj sierotom to, co im należy, nie odpłacaj złem za dobre, lecz przeciwnie; nie obracaj ich dziedzictwa dla powiększenia swego: takie czyny są występne.
11. Kto niesprawiedliwie zagarnia dziedzictwo będzie karmiony ogniem, który pożre jego wnętrzości.
33. Wierni! nie marnujcie waszych bogactw na zbytki, niech waszym ugodom przewodzi wzajemne zezwolenie. Sam sobie śmierci nie zadawaj, Bóg jest miłosierny dla was.
38. Mężczyźni mają pierwszeństwo nad kobietami; ponieważ Bóg dał im wyższość nad niemi i wyposaży je przez mężczyzn. Żony powinny być posłuszne, zachowywać tajemnicę mężów swoich, gdyż pod ich straż niebo je oddało; mężowie, doznający ich nieposłuszeństwa, mogą je karać, zostawić w osobnych łóżach, a nawet bić je; uległość niewiast powinna dla nich być ochroną od złego obchodzenia się. Bóg jest wielki i przenikający.

*Tłum. Jan Murza Tarak Buczacki.*

#### SURA 81-SZA

«Gdy się niebo rozpadnie, gdy gwiazdy będą rozproszone, gdy morza zmieszają swe wody, gdy groby ulegną rozsypaniu, dusza ujrzy swe czyny dawne i świeże. Śmiertelniku! kto cię zaślepił przeciw swemu panu szlachetnemu, przeciw panu, który cię stworzył, który dał ci doskonałość i ścisłość kształtów, który cię urobił wedle życzenia swego?... Strażnicy czuwają nad wami, stróże czcigodni, którzy zapisują czyny wasze. Oni wiedzą, co wy czynicie. Sprawiedliwi osiągną pobyt rozkoszny, ale przewrotni — piekło. W dniu sądu będą paleni w ogniu i nigdy stamtąd nie wyjdą. Kto ci da pojąć, co to dzień sądu? Jeszcze raz pytam, kto ci da zrozumieć, co to dzień sądu? Jest to dzień, w którym dusza będzie niczem dla innej duszy. W dniu owym całe państwo będzie w Bogu».

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

Miłosierny nauczył Koranu.

Stworzył człowieka.

Nauczył go wymowy.

Słońce i księżyc przebiegają drogę określoną.

Rośliny i drzewa korzą się przed Bogiem.

On wznosił niebiosą i ustalił wagę.  
 Abyście się w ciężarach nie mylili.  
 Ważcie sprawiedliwość, a nie zmniejszajcie wagi!  
 On rozdzielił ziemię pomiędzy ludy rozliczne.  
 On przynosi owoce i palmy, których kwiaty pokryte łupinką,  
 I zboża, które dają słomę, i ziola.  
 I któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?  
 On stworzył genjuszów z ognia czystego bez dymu.  
 Któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?  
 On jest panem dwu wschodów.  
 On jest panem dwu zachodów.  
 Któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?  
 On rozłączył dwa morza, które się stykają.  
 On wznosił zagrodę pomiędzy niemi,  
 Z obawy, żeby się nie złączyły.  
 Jedno i drugie zaopatrzył w perły i korale.  
 Któż tym dobrodziejstwom Boga zaprzeczy?  
 Do niego należą okręty, które przebiegają morza jak góry.  
 Wszystko, co jest na ziemi, przejdzie.  
 Tylko oblicze Boga pozostanie otoczone majestatem i chwałą.

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

\* \* \*

«Miłość rozkoszy zaślepią śmiertelnych; niewiasty, dzieci, bogactwa, konie przepyszne, trzody, wioski — są przedmiotami ich żądz. To są rozkosze ziemskiego życia. O ileż rozkoszniejsze siedziby gotuje Stwórca!» (S. III, 12).

\* \* \*

«Nie sądźcie, żeby ci, którzy zginęli w obronie wiary, umarli; przeciwnie, oni żyją i przyjmują pokarm z rąk Wszechmocnego». (S. III, 163).

\* \* \*

«Kto wypełnia przykazania Boga miłosiernego i posłuszny będzie Prorokowi, wstąpi do ogrodów pełnych rozkoszy, gdzie szczęścia wiekiściego używać będzie». (S. IV, 17).

\* \* \*

Prawdziwi słudzy Boga będą mieli pokarm wybrany.  
 Owoce najlepsze — usługę pełną poszanowania.  
 Życzliwością wzajemną przejęci spoczywać będą na łóżach jedwabnych.  
 Podawać im będą czasze, napełniane wodą kryniczną,  
 Przejrzystą i rozkosznego smaku.

\* \* \*

Niechaj dwie ręce Abu-Lahaba przepadną i niechaj on sam przepadnie.  
 Bogactwa jego i prace jego pójdą na marne!  
 Będzie spalony w ogniu płomienistym.  
 Podobnie jak i żona jego, nosząca drzewo.  
 Do jej szyi będzie przywiązany powróż z tyka palmowego. (S. CXI).

\* \* \*

Biada potwarcom i oszczercom.  
 Którzy gromadzą bogactwa, strzegąc ich na przyszłość.

On myśli, że skarby jego dadzą mu życie wieczne.  
 Zaiste będzie on wrzucony do El-Hotama.  
 Kto ci powie, co to jest El-Hotama?  
 Jest to ogień Boga, ogień rozpalony,  
 Który ogarnia serca potępionych.  
 I otoczy je niby sklepieniem, opartem na słupach. (S. CIV).

\* \* \*

Ona nie zaćmi ich rozumu, nie upoi..  
 Przy nich będą dziewice o spojrzeniu skromnem, o wielkich źrenicach czarnych,  
 o cerze barwy jaj strusich. (S. XXXVII, 39—47).

\* \* \*

«Koniec grzeszników będzie straszliwy!..  
 Piekło ich mieszkaniem; jęczeć tam będą na łożu boleści!..  
 Życie w męczarniach — powiedzą im — połkajcie wodę wrzącą i zgniliznę,  
 powstałą z ciał zepsutych.  
 Nikt im nie powie — bądźcie pozdrowieni — bo w ogniach gorzeć będą.  
 Niewierni mówić będą do swych przywódców: niewarci jesteście pobłażania;  
 wyście nam przewodniczyli w błędach i dlatego mieszkanie nasze jest okropne.  
 Panie! Pomnóż męczarnie tych, którzy nas przywiedli do niedowiarstwa, spotęguj  
 dla nich siłę ognia!..» (S. XXXVIII, 55—61). *Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

### III. NOWA POEZJA

#### KAAB IBN ZUHAJR

Oszczercy mi przyniesli słowa jako zgrzyty.  
 «Hej, wnuku Abu Solma — ty padniesz zabity».  
 Druhy zaś, gdym ich prosił o pomocne wnioski,  
 Mówią: «Nic nam po tobie — mamy własne troski».  
 Dajcież mi drogę — ojca nie macie! Więc chwala  
 Ci, Ałachu! Niech będzie, jak rozkazał Ałła!  
 Kto zrodzony z niewiasty, choć długo nietknięty,  
 Kiedyś na krzywych marach pójdzie w grobu męty.  
 Wiadomem mi się stało, że poseł Ałłacha  
 Straszy mię swemi groźby; lecz duch się nie waha:  
 Czekam łaski! O przebac — prostą jest twa droga,  
 Bo w darze otrzymałeś Alkoran od Boga.  
 Znasz linję, która dobro od zła wieczne dzieli.  
 Nie żądaj krwi mej podług słów donosicieli.  
 Jam nie przestępca, choć mnie szkalują oszczerce.  
 Otom stanął przed tobą — i drży moje serce.  
 Widzę — słyszę, co, gdyby słoń ujrzał, usłyszał,  
 To na całym swem ciele dreszczemby zadyszał.  
 Chyba przez dopust Boży — prorok mi przebaczy.  
 Włożę dłoń swą w dłoń jego, gdy pozwolić raczy, —  
 Dłoń mściciela, którego słowo iście słowem.  
 O, jak mi straszno, stojąc na miejscu takowem,  
 Gdzie mówię z postannikiem! A synowie zdrady  
 Mówili: zapytaj o twój ród — twe dziady.



Straszniejsze to, niż gdybym lwa spotkał w Assarze,  
 W niedostępnej trzcin gąszczy, w niezglębionym jarze,  
 Lwa, który mięsem ludzkim karmi swoje lwięta,  
 Na jego widok milkną drapieżne zwierzęta.  
 Nie przejdzie człowiek koło jego pieczar ściany,  
 A kto nazbyt zuchwały — zginie rozszarpany.  
 Prorok — jest to indyjski miecz jasnopromienny,  
 Obnażony miecz Boży — wśród wici plemienniej  
 Korejszytów! Z tych jeden rzekł, gdy światła wiary  
 Prawdziwej przyjął sercem — jako niebios dary:  
 «Idźcie z Mekki! Niezłomne jesteście farysy,  
 Którym w dzień walki miasto szat — służą kirysy —  
 Kirysy z Dawidowej kuźni — płomieniste.  
 Ogniwa ich się toczą w szeregi dwoiste,  
 Zaplatając się niby w lesie drzew gałązki.  
 To męże — co surowe pełnią obowiązki.  
 Nie wykrzykną z radości, gdy ich wróg napada —  
 Ni słabną, gdy ich wrogów przemoże gromada.  
 Arabcy rodowite — kroczą pełni dumy,  
 Niby wielbłądy białe — na odporne tłumy.  
 Nie cofną się — a mieczem przebiją swe drogi,  
 Gdy tchórz nędznie uchodzi przed swojemi wrogami.  
 Włócznie ich wprost na wraźą idą pierś — lecz oni  
 Stoją mężnie — gdy ku nim śmierć ręce swe kłoni».

*Tłum. Antoni Lange.*

### Z LEBĪDA

(ur. około r. 560 po Chr.)

Nieprawym się rządźmy powszechnie zwyczajem.  
 Próżne są uwielbienia, które ludziom dajem.  
 W największym myśli, dzieła i słów natężeniu  
 Stwórcy one należą, nie jego stworzeniu.  
 Zyski, które świat daje — zwykłym idąc torem,  
 Czczemi blaski zdradzają, są tylko pozorem.  
 Ten, co dał istność rzeczom, postać i zamiary,  
 Ten tylko uszczęśliwić może swemi dary.

*Tłum. Ignacy Krasicki.*

Skądże ci znów, nieszczęsny, przychodzi myśl śmiała  
 O Nawarze, co związki nasze potargała?...  
 Czy warto o niewiernej wspominać? Wszak ona  
 Tuła się... niestałością w świat wielki pędzona...  
 Precz z Nawarą! zacnego niegodzien wspomnienia,  
 Kto miłość jako odzież starganą odmienia!...

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

\* \* \*

Dziś w Mina widzę ziemię po nich spustoszałą,  
 Na Rydzam i na Gaul nic nie pozostało!...  
 Rajan pusty i nagi, wszystko się tak zmienia  
 I ginie, jak litery odwieczne — — — z kamienia.  
 Od czasu, jak mieszkalem tu wesół, spokojny,  
 Ileż lat upłynęło spoczynku i wojny!  
 Osty dzikie dawnego pilnują siedliska...  
 Tutaj stado gazeli, tam struś piórem błyska:

W gromadce antylopy jasnookie leżą,  
 Rozkosznie z łatwo-plenną igrając młodzieżą.  
 Tak się deszczem ożywia ta wydma ponura,  
 Jak pismo wytarte pod naciskiem pióra!  
 Niby deseń, co kiedyś w indygo bogaty,  
 Ustępuje wciąż... blednie i ściera się z laty,  
 A później pod silniejszą koloru zaprawą,  
 Znów, jak przedtem, na rękę wystąpi jaskrawo.  
 Już mi się to pustkowie teraz nie uśmiecha,  
 Słowa moje: Gdzie drodzy?... skonały bez echa!...  
 Tu kiedyś w zgodzie bratniej pokolenia żyły,  
 A dziś same na pustkach wrzosa i mogiły!  
 Serce z bólu się kraje, lecz dobrze pamięta  
 Dawne miejsc tych królowe... precudne dziewczęta!...  
 Oczy jasne, promienne miały jako łanie;  
 Kształt gazeli wysmukłych: rozkosz patrzeć na nie.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### ABDARRACHMÂN IBN ISMAIL AL-WADDÂCH

Ach! z jednej teraz ściga mię strony Krytyków zgraja;	Jakże mi słodką zdała się wtedy Moja jedyna!...
A z drugiej obraz, we śnie zrodzony, Co mię upaja...	Jam wołał do niej: «Maro najmilsza, Bądź pozdrowiona!...
Ludził mię wczoraj sen tak zuchwały, Że moja miła,	O! dziękil... dzięki, że cię już mogę Tulić do łona!...»
Przebywszy piasku morza i skały, Mnie nawiedziła!...	Uczucia ziemskie stygną powoli W każdej godzinie,
Spałem, gdy ona, wchodząc, wyrzuty Robić zaczyna.	Lecz miłość moja wielka dla Raudy Nigdy nie zginie!...

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

O Raudo, twój kochanek czatuje od rana:  
 Serce jego żalodne, cierpliwość stargana!  
 Ona rzecze: Nie wstępуй w domu mego progi;  
 Ojciec strzeże swej córki, bo honor mu drogi.  
 Ja rzekłem: Toć potrafię wejść w przyjaznej porze;  
 Miecz mój ostry w tej sprawie łatwo mi pomoże.  
 Ona rzecze: Te mury któż przebyć jest w stanie?  
 Ja rzekłem: Znaleźć drogę — to moje zadanie.  
 Ona rzecze: Mam braci aż siedmiu na straży.  
 Ja rzekłem: Nikt się ze mną porać nie odważy.  
 Ona rzekła: Lew srogi obległ me podwoje.  
 — Jam lew także, gdym wściekły — więc łwa się nie boje.  
 Ona rzecze: Waż kroki! toć Bóg patrzy na nie.  
 Ja rzekłem: O! Bóg zawsze przebaczy kochanie!  
 Ona rzekła: Daremne więc moje przestrogi?  
 Ja na to: Straż zasnęła — uciekaj! czas drogi!...

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

Kiedyż się w lutni twojej, Waddachu,  
 Inna pieśń zbudzi?  
 Czyż cię nie trwoży śmierć, przeznaczona  
 Dla wszystkich ludzi?

W modlitwach swoich czcij Najwyższego,  
Miej cel jedyny:  
By się ocalić, gdy Pan już będzie  
Sądził twe czyny.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### MUTI IBN AJĀS

O! przestań serce moje tym płaczem  
Krwawić, dziewczyno!  
Toć już za długo z twych czarnych oczu  
Łzy gorzkie płyną.  
O! niech mi serca dłużej nie palą  
Twych łez strumieniem!..  
Krzykiem rozpaczony zatrujesz jeszcze  
To rozłączenie!..  
Może też Pan Bóg opieką swoją wesprzeć mnie raczy,  
I znów piorunem wrócę do ciebie  
Z doli tułaczey.  
Co tylko zechce Bóg, Pan Wszechmocny,  
Wszystko się stanie.  
Więc zamiast płakać, do niego raczej  
Zwróć swe błaganie..  
Bo czy nas droga rozdzieli bliska,  
Czy też daleka:  
Wszędzie mnie dłońią swoją otoczy  
Boska opieka!..

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### ABŪ NUWĀS

(ok. 750—810)

Wstrzymaj swoje potępienia!  
Wściekłym wobec twej nagany!  
Co trucizną jest dla ciebie,  
Dla mnie — lek wypróbowany.

Leje zwolna, bardzo długo,  
Niezmieszane wino z dzbana;  
Jakby myślą het błdziła,  
Roztargniona... zadumana...

Wino złote — troski, bóle  
Szybko precz wypędza z głowy,  
Choć się po niem każdy chwycie,  
Nawet olbrzym granitowy...

Widać jasno z jej oblicza,  
Że dolewa wody mało;  
W trwodze słusznej, by przekleństwo  
W piersi gościa nie zabrzmiało.

Chłoń je z rączek szynkareczki,  
Pełnej słodkich min dziewczyny,  
O! bo pijak i kochanek,  
To dla dziewcząt skarb jedyny!

Więc do wody ogień leje,  
I dwa żary palą ducha,  
A z tych żarów zespolonych  
Jeden wielki płomień bucha.

Stoi piękna z dzbankiem w dłoni,  
Noc aż czarna tam, na dworze,  
Lecz od lic jej dookoła  
Jaśniuteńkie biją zorzel!

Otoczyli ją druhowie,  
Którym czas przyjemnie służy;  
Bo los temu tylko sprzyja,  
Kto pokpiwa z jego burzy.

Nie za Hindą, ani Asmą,  
Lub namiotów ich śladami,  
Lecz za druhów swoich gronem  
Gorącemi płacząc łzami.

Powiedz temu, co się chełpi  
Filozofją i loiką,  
Że rzekoma wiedza jego  
Jest obłudą jeno dziką.

Nie zakazuj wina, jeśli  
Głowa twa rozumem tęga:  
Bóstwem gardzi ten złośliwie,  
Kto się wina wyprzysięga!

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

Ratuj mnie, Mohamedzie, synu Zoheira,  
Który tak srodze ganisz łotrów i złodziejów!  
Rabusie tylko kradną wstydliwie wśród nocy,  
A ty mi wiersz bezczelnie ukradłeś w dzień jasny.  
Tak doszedł do poezyj ów złodziej Chaijar.  
I czemu skradł on wiersz mój? Bo własnego nie ma!

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

Chasib — oszust; wszyscy wiedzą.  
Same kłamstwa tylko głosi;

Toż się suknie jego wstydzą,  
Że je taki pies zły nosi.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*

O ty, coś mi od Dżynan słodkie przyniósł wieści!  
Zwiastuj mi jeszcze jaką wiadomość wesolą!...  
Poseł rzece: «Twa luba tak do mnie mówiła:  
Dlaczego on mojemu ciągle chodzi śladami?  
Gdzie ja śpieszę — on za mną, a tak wzrokiem ściga,  
Że ja się w głębi serca wciąż sromać muszę.  
Skoro zaś wstrzymam kroki, by przemówił do mnie,  
Wówczas każde mu słowo na ustach zamiera».

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### ABŪ-L-ATÂHIJA

(um. w r. 826)

Cieszcie się z powszedniego chleba, bracia moi,  
Wystarczy!... Wszak dla wszystkich grób otworem stoi!...  
I drobnostka nas boli, jeśli dokuczliwa,  
Noc wiekiem się wydaje, gdy sen nie przybywa!...  
Myśl ciągle o tej życia mądrości jedynej,  
Że najmilszym dobytkiem są szlachetne czyny.  
W każdej rzeczy istnieje krom treści i forma:  
Pośrednią i największą, choć małą jest norma.  
Tak Bóg zrządził — więc trzeba ten sąd uznać zdrowy:  
Milczenie wymowniejsze jest nad wszystkie mowy.  
Zginiesz, jeśliś w oszczercach złożył zaufanie.  
Kto raz zdradził — już nigdy zdradzać nie przestanie.  
Ciężarem jeden długie zwie życia koleje,  
Drugi nad tem, że krótkie, płacze i boleje.  
Skąpstwo — nie wiesz, mój bracie, jaką woń wydziela!  
Zapach wstrętny ma w nosie mym nieprzyjaciela!

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

## IBN AL-MU'TAZZ

(861—908)

Nie płacz, że znikła już karawana  
I żółto-białe wielbłądy;  
Nie płacz, że dawne siedlisko twoje  
Opustoszało na wieki!..  
Ale ochoczko pij wino stare,  
Co się latami całami  
Wychowywało w głębiach amfory  
Napisem zaopatrzonej!  
Kiedy z niej stare zdjęto pieczęcie,

Tak się plyn złoty wylania,  
Jak wschodzi księżyc w postaci łuku,  
Skoro plejady już znikły;  
Jako wdzięk dzwonu, który czuwając  
Poranek ludziom obwieszcza!  
Jeśli więc skarbów pożądasz, bracie,  
W beczce są perły i złoto.  
Bo kiedyś wesół — jesteś bogaczem,  
A gdy obliczasz — nędzarzem.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

## AL-MUTANABBÎ

(um. w r. 965)

Pókiż przez głuche piaski i przez dzikie łądy  
Mam lecieć, za gwiazdami wypuściwszy wodze?  
Gwiazdy, nóg niemające, nie ustaną w drodze,  
Jak ustają znużeni ludzie i wielbłądy.

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek  
Znużonych bezsennością, jak podróżny człowiek.

Słońce nam poczerńiło oblicza i czoła:  
Siwym włosom czarności przywrócić nie zdoła.

Czyliż sędzia niebieski sroższym dla nas będzie  
Niżli ziemscy, litości niemający sędzie?

Wody mam dość na drogę; kiedy z deszczem plynie,  
Zbieram ją i w skórzane zamykam naczynie.

Pędzę z gniewem wielbłądy: nie gniewam się na nie,  
Lecz niech czują, że z panem idą na wygnanie.

Wyjeżdżając z Egiptu, do wielbłądów rzekłem:  
«Bierzcie i przednie nogi popędźcie tylnymi».  
I, opuściwszy Egipt, jak strzała uciekłem  
Przez sąsiedzkie krainy Dżars i Alelemi.

Darmo rumak arabski wyprzedzić mię żąda,  
Kark jego leci w poręcz z garbami wielbłąda.

Młody mój orszak zna się dobrze ze strzałami,  
Jak guślarz, co je miesza, gdy lud wróżbą mami.

Ilekcio turban zdejmą, włos czarny i długi  
Wije się na ich głowach jakby turban drugi.

Choć puchem młodocianym okryte ich skronie,  
Ręka ich wali jeźdźca i zabiera konie.

Więcej zdobyli łupów, niż mieli nadzieję,  
Jednak łup ich głębokiej żądy nie zaleje.

Ich bitwa, jak u pogan, wieczna i zacięta,  
A bezpieczni pod bronią, jakoby w dzień święta.

Nieme dzidy, z ich ręki wypuszczone w pole,  
Nauczyły się świstać, jak skrzydła sokole.

Nie ustaną wielbłądy, chociaż się zapienią  
I, depcąc Kegl i Ganem, nogi uzielenią,

Bicz mój od cudzej łąki wielbłąda odstraszy,  
Bo tylko na gościnnej odpoczniemy paszy.

Dziś Pers i Arab będzie pastwiska nam skąpił,  
Bo Abu Szodża Fatik do mogiły zstąpił.

Lud egipski drugiego Fatika nie liczy,  
Jego miejsca na świecie nikt nie odziedziczy.

Abu Talib za życia nie miał równych sobie:  
Dzisiaj wszyscy umarli równi jemu w grobie.

Jegom szukał mem okiem, wołał memi usta.  
Cóż znalazłem dokoła? — Świat głuchy i pusty.

Tam wróciłem, skąd niegdyś byłem wędrownikiem,  
I znowu chcę z piórami odnowić zabawę;  
Ale mię pióro czarnym ostrzegło językiem:  
«Nie piórem, ale mieczem zarabiasz na sławę.

Weźmiesz pióro, gdy rękę zmordujesz żelazem;  
Pióro pracuje tylko za miecza rozkazem».

Tak mię pióra uczyły w przyjaznej rozmowie,  
Trzeba było posłuchać, z głupstwa się uleczyć;  
Nie słuchałem i teraz nie mogę zaprzeczyć,  
Żem sam sobie zaszkodził, że mi braknie w głowie.

Mieczem można się tylko celu życzeń dobić;  
Spytaj: czy kto na życie mógł piórem zarobić?

Gdy podróżujesz, obcy lud patrzy na ciebie,  
Jak gdybyś żyć przychodził o zebranych chlebie.

Niesprawiedliwość ludzkie rozdziela plemiona,  
Chociaż wyszliśmy wszyscy z jednej matki Iona.

Ha! dziś inaczej będę gościnności szukać:  
Wprawny do miecza, mieczem będę do drzwi stukać.

Niechaj oręż rozstrzygnie, kto karku uchylili:  
Czy owi, co cierpieli, lub ci, co gnębili?

Oręża z ręku naszych wydrzeć im nie damy;  
Dłoń moja nie ma drżaczki, a miecz nie ma plamy.

Niechaj wzrok do bolesnych widoków przywyknie;  
To, co widzisz na jawie, jak sen prędko zniknie.

Nie skarż się, bo źli ludzie z twojej skargi dźwięku  
Cieszą się, jako sępy z konających jęku.

Dobra wiara uciekła i osiadła w księgach,  
Darmo szukać jej w ludzkich marach i przysięgach.

Chwała Bogu wielkiemu! stwórcy mojej duszy!  
Z jego łaski i trudy, i nieszczęście znoszę,

I na długim wygnaniu znajduję rozkosze,  
Kiedy inni w najsroźszej dręczą się katuszy.

Nad cierpliwością moją dziwiły się losy,  
Bo twardsze ciało moje, niżeli ich ciosy.

Śród terażniejszych ludzi smutnie płyną chwile;  
Wolałbym żyć przed wieki, a dziś być w mogile;

Czas ojciec, będąc młodszym, naszych przodków stwarzał,  
A nas nikczemnych spłodził, gdy się już zestarzał.

*Tłum. Adam Mickiewicz.*

### ABÛ FIRÂS AL-HAMDÂNÎ

(um. w r. 968)

Gdyby nie ta matka droga,  
O los której drzę,  
Jużby mię dziś zgonu trwoga  
Nie dręczyła... nie!...  
Gdyby nawet mi za złoto  
Chcieli zwrócić miecz;  
Ja tę łaskę, ach!... z ochotą  
Odepchnąłbym precz!...  
Ale byt mój — to wiekowej  
Matki mojej byt;  
A jam dla niej znieść gotowy  
Nawet hańby wstydl!...  
Trzeba dług ten, święty, hojny,  
Spłacić matce swej,  
Żeby krwawa srogość wojny  
Nie dotknęła jej!...  
W Mambig tęskne dni przebywa,  
Pierś jej gryzie strach;  
Pewnie tam gołąbka siwa  
W gorzkich tonie łzach.  
Gdyby można siłą woli  
Odbić każdy cios,

I to wszystko, co nas boli,  
W błogi zmienić los!...  
O, przysięgam... jużby wtedy  
Za mej matki próg  
Nie zajrzało widmo biedy,  
Nie wszedł szczęścia wróg!...  
Ale w karbach świat ten trzyma  
Wszepochotężna dłoń;  
Karłem człowiek — choć olbrzymia  
Wznosi dumną skroń...  
Gdyby obłok ten, co bieży  
Przez Mambig gdzieś w świat,  
Chciał od syna nieść macierzy  
Echo wdzięcznych rad,  
Wciążbym wołał: «Matko miła,  
Nie trać serca... nie!...  
Niespodzianie dary zsyła  
Bóg na dzieci swe!...  
Wytrwaj, matko... taką-ć radę  
Z głębi serca ślę:  
Minie widmo smutku blade  
I znów ujrzysz mnie!...»

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

\* \* \*  
Ból mój ciężki, lecz cięższe wytrwanie w niedoli.  
Ufam Bogu, że on mię od cierpień wyzwoli.  
Rany moje głębokie — a cierpię oddawna,  
Choroba to podwójna: ukryta i jawna.  
Niewola — to noc długa, posępna, gnębiąca,  
Widzisz gwiazdy — nie możesz doczekać się słońca.

Chwile dłużą się, wloką, gdy człek bez obrony,  
 O, jakże czas w niewoli zda się nieskończony!  
 A w tych długich godzinach, w tym udręczeń stanie,  
 Brzmi w mych uszach bez przerwy matki mej wołanie.  
 O, matko! Bóg mię swoją nagrodzi przystanią,  
 Znosząc męki cierpliwie, jam zasłużył na nią.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### AL-HAMADHÂNI

(um. w r. 1007)

Daleki od wszelkiej pychy, / w sąsiedztwie, w siedzibie lichej / osiadłem, żeby  
 domu jego progi / obejrzeć i zejść mu z drogi. / Wysłałem liścik bardzo rano / na-  
 tchniony swadą wyszukaną: / lecz on mię, tak jak nędzarzy, / drożdżami z beczki swej  
 darzy. / Choć zawiedziony tak srodze, / hamuję rozsądku wodze / i przeciwnika —  
 w pokłonie, / gdy on unika — ja gonię, / gdy on rozdziela — ja łączę. / Rad nierad  
 z puhara sączę / napitek nieprzyjaciela, choć, niechaj losy ustrzegą! — / lura to była  
 prawdziwa! / Nadziewam także płaszcz jego, / choć członki skąpo okrywa, / i zwalam  
 też winę całą / na wygląd swój oplakany / i na to, że me łachmany / są przyzwoite  
 za mało. / — A potem, żeby przyjaźni / zdobyć dla siebie oznaki, / otwarcie i najwy-  
 raźniej / piszę do niego list taki: / W imię Boga Miłosiernego, Wszczęłaskawego! Abu  
 Bekr, pan wielce godny, oby kwitł najdłużej, / gościowi swemu nie po bożemu dziś  
 służy. / W lekceważeniu gębokiem patrzy nań półokiem / i, jak ci, co stronią, / wita  
 go półdłonią. / Trzeba wyznać święcie, / że takie przyjęcie / obudza w gościu trwogę. /  
 Właśnie wchodzę, / onieśmielon srodze, / słowa wykrztusić nie mogę, / bo kolkiem  
 ci w gardle / stanie takie powitanie. / Lecz co do mnie, wszystko to przyjąłem  
 skromnie, / gdyż w świecie zasada jest taka, / że się człeka, / gdy przybył zdaleka, /  
 podług monety / i, niestety, / podług świetności kubraka zazwyczaj ceni. / U mnie zaś  
 pustka w kieszeni / i wzamian świetnej odzieży — / na ciebie — / blichtru niewiele — /  
 ot garniturek w strzępach leży! / O! gdyby pan Abu Bekr spróbował raz przecie węd-  
 rować po świecie, chętnieby obcym posłuch dawał / i chleba kawał, / i z wielbłąda  
 zdejmowałby siodło, / boby cię nie bodło / tak, panie, / liche ubranie. / Zresztą w tej  
 naganie / o zgorzkniałej treści / nie mój wyrok, panie, / lecz przyjaźń się mieści». — /  
 Taka gorycz z miodem — / odtrąca, więc trzeba powiedzieć mimochodem, / że odpo-  
 wiedź była niemiła, bo i zimna, i gryząca. / Ja też od dalszych zaczepek daleki / chciałem,  
 żeby pamięć tego pana, / zszargana, / zatarta się we mnie na wieki. / Tak chwile  
 upływały. / Godzina za godziną — / dnie płyną, / aż się skończył miesiąc cały. — /  
 W tym czasie pan dumnie / napaści ku mnie / zwracał wciąż śmiało, / nawałą. / Więc  
 chwyciwszy za pisarską trzcinę, / bo przecież nie z gapiostwa słyne, / silną mu dałem  
 odprawę.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

### AL-MU'TAMID

(XI w.)

O! dawniej byłeś wesół, w rozkoszach kapany,  
 Gdy dziś, w Agmat, sromotne powłóczysz kajdany!  
 Gdy innym dłonią hojną los wesele mierzy,  
 Ty nędzny i zgłodniały, w podartej odzieży,  
 Musisz patrzeć, jak córki twe w kraszy rozkwicie  
 Pracą ciężką żebracze okupują życie.  
 Jak cię co dnia krwawemi śpieszą witać łzami,  
 Jak po błocie nagiemi stąpają nóżkami,  
 Które dawniej po moschu i ambrze kroczyły.  
 Lic bladeść świadkiem strasznej cierpienia ich sity!



Gdy szczęście, które było twym sługą, zanika,  
 Wnet się z władcy w nędznego zmienisz niewolnika.  
 Kto po tobie na wielkość i potęgę liczy,  
 Ten nie chce wierzyć w prawdę, jeno w sen zwodniczy.

\* \* \*

Uwięzionego na magrebskiej ziemi,  
 Tron mię dziś łzami opłakuje swemi.  
 Nad tą męczarnią, co żywot mi bierze,  
 Płaczą w Hiszpanji meczetów kanclerze.  
 Miecz mój i lanca w żalobie rdzewieją,  
 Płacząc nad mego żywota koleją.  
 Rozpaczne będą dni moje do zgonu:  
 Nie mam już władzy, ni państwa, ni tronu!  
 Tylko dziś moim udziałem zgryzota,  
 Która na wielkość szlachetnych się miota.  
 Toż niebo nawet płacze łez potokiem  
 Nad życia mego cierpieniem głębokiem.  
 O! gdybym jeszcze mógł zrzucić kajdany,  
 I w twarz ojczyzny spojrzeć ukochanej!  
 O! gdybym jeszcze mógł swej duszy żałę  
 W Gwadalkwiwiru bystre rzucić fale!...  
 W gąszczu oliwnym spoczywać nad wodą,  
 Gdzie noc swem tchnieniem słodką lejąc ciszę,  
 Zlekka gałązką mirtową kołysze.

\* \* \*

Zdała od ciebie, ukochana,  
 Oddycham smutkiem i żalobą;  
 Pijany jestem — lecz nie wino —  
 Tęsknota mroczy mię za tobą!  
 Jakżebym pragnął w swe ramiona  
 Porwać przepiękne twoje ciało  
 I wargi spiekle w pocałunku  
 Topić w twych ustach z duszą całą!..

\* \* \*

Powieki moje poprzysięgły,  
 Że się dopóty snu ustrzegą,  
 Póki ich znów nie olśni błogo  
 Promienna jasność lica twego.  
 O powróć do mnie, ukochana,  
 Stracone szczęście wróc mi z sobą;  
 I wierz, że dla mnie tyś na zawsze  
 I szczęściem życia, i ozdobą.

*Tłum. Juljan Adolf Święcicki.*

### AT-TARTÛSZI

Utęskniony i zbolaty,  
 Po niebiosach błędę okiem:  
 Czy nie znajdę gwiazdki malej,  
 Którą ty pochłaniasz wzrokiem!...  
 Gdy zawiodą nieba córy,  
 Chwytam ludzi, co w świat gonia,  
 By zapytać, czy z nich który  
 Twoją nie oddychał wonią.  
 Wchodzę w drogę wietrzykowi,  
 Gdy mi szeptem ucho pieści,

Czekam z drzeniem, co opowie,  
 Jakie ma o tobie wieści?!...  
 Błądząc tu i tam dzień cały,  
 Twój kochanek w słuch się zmienia,  
 Czy gdzie czasem nie rozbrzmiały  
 Słodkie dźwięki jej imienia!...  
 Goniąc mary wciąż zwodnicze,  
 Wzrokiem tonę w każdej twarzy:  
 Czy też ujrzeć się nie zdarzy  
 Choć podobne jej oblicze!..

\* \* \*

Przyrzekła mi odwiedzić po zachodzie słońca,  
 Gdy księżycą twarz światu zabłyśnie marząca.

Przybyła... jak blask świtu, gdy niebo zapali,  
 Cichutko... niby wietrzyk, błędzący wśród fali.  
 Jak bliskość róży zdradza zapachu jej siła,  
 Tak i ona powietrze wonią napełniła!...  
 Koranu nikt z tak wielkim nie chłonie zapałem,  
 Jak gorąco ja ślady stóp jej całowałem!...  
 Przybyciem swem rozwiła tęsknoty mej brzemię...  
 Śpi wszystko... ale miłość serc naszych nie drzemie!...  
 Nikt jej teraz nie wydrze z mych ramion pierścienia,  
 Aż jutrenka obwieści chwilę rozłączenia!...

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

Wszak klejnoty księżę wiernych tej piękności przyniósł w darze,  
 Wobec której posepnieją słońca i księżycyca twarze.  
 O! Bóg, zanim gdzieś w przestrzeni śród chaosu «stań się» brzmiało,  
 Jako dzieł swych arcydzieło stworzył piękność tę wspaniałą.  
 Ślij swe dary... wszakże blaskiem jej dorównać nie jest w stanie  
 Ani klejnot w łonie ziemi, ani perła w oceanie!

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

### ABÛ-L-ALÂ AL-MA'ARRÎ

(um. w r. 1057)

\* \* \*  
 Jak być winno, co jest lepsze,  
 Jeden tylko Bóg stanowi.  
 Gdzież z nim porać się nędznemu  
 Wszystkich istot rozumowi!  
 Wszystko marą, czas nikogo  
 W świecie nie oszczędza;  
 Ani królów — ni biedaków,  
 Których dolą — nędzal!...  
 Widzę w ruchu wiekuistym  
 Nieba widnokręgi,  
 Lecz któż kiedy treść odgadnie  
 Tajemnic tej księgi?!  
 Nasze losy — to jak w wojnie  
 Los niepewny męża:  
 Raz ucieknie, innym razem  
 Wrogów przewycięża.

\* \* \*  
 Czas wam dźwignąć już — obłędem  
 Przywarte powieki:  
 Bo dogmaty wasze baśnią,  
 Sklejoną przed wieki!...  
 Chcieli ziemskie zdobyć mienie,  
 Więc też i zdobyli,  
 Ogłaszając, że świat bliskim  
 Jest skonania chwili,  
 Że czas zginie, pochłaniając  
 Dolę świata łązawą.  
 I pomarli — a wraz z nimi  
 Bezmyślne ich prawo!...  
 Kłamstwem żyli, bo któż kiedy  
 Kres odgadnie świata!...  
 Niech z takimi oszustwami  
 Duch wasz się nie brata!

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

### OMAR IBN FÂRID

(um. w r. 1235)

Pijem wino kochance na cześć. Nim zasiany  
 Był winograd, tem winem duch nasz był pijany.  
 Czarą księżyc — a trunkiem jest nam tarcza słońca,  
 Którą otacza opar miłego miesiąca.  
 Sto gwiazd ujrzysz, gdy wino pieni się w szklanicy.  
 Gdyby nie jego zapach, nigdybym piwnicy  
 Nie znalazł, gdzie ukryte. I gdyby nie złoty  
 Jego blask, niktby jego nie wysnił istoty.

Toż długi przeciąg czasu nic w nim nie zostawił,  
Prócz cząstek jego ducha. Gdy się ten objawił  
W piersi mędrców na ziemi — zewnętrzne świtanie  
Jego zjaw tyleż znaczy, co tajne działanie.  
Gdy wspomnisz o tem winie w koczowników gronie,  
Najwyższy upojenia stan poczują w łonie.  
Upojenia zaś tego nikt nie liczy do grzechów.  
Wino to się podnosi wolno z głębi miechów —  
A w istocie przetrwało zeń imię jedynie.  
Lecz gdy znowu przypomnisz sobie o tem winie —  
Wskrześnię radość twa, smutek ginie w niepamięci.  
Biesiadnik, coby jeno przyjrzał się pieczęci  
Miecha, gdzie się to wino mieści jako w zdroju,  
Pieczęcią się upije, nie piwszy napoju.  
Gdyby tem winem zrosić proch w głębi mogiły,  
Zmarły — duchem i ciałem wstanie pełny siły.  
Rzuć w chorego cień z winnic, gdzie się sok ten zbiera,  
A choroba opuści tego, co umiera.  
Paralitik, gdy stanie u brzegu sklepiska  
Tego wina — zatańczy. Niemy zaś odzyska  
Mowę. Gdy jego zapach po zachodzie wionie,  
Na wschodzie węch odzyska, kto przestał czuć wonie.  
A gdybyś dłoń ubarwił w wina tego sokach,  
To w drodze nie zbłądzisz, choćby w nocy mrokach:  
Jakby promienna gwiazda świeciła ci w rękę.  
Głuchy znów słyszeć będzie, za sprawą podzwieku,  
Jakim, wino przez sito sącząc się, podzwania.  
Ślepy przejrzy, gdy wzrok mu czarą się przesłania.  
Gdy wędrowcy przechodzą tędy, gdzie jest wino,  
Gdyby którego żmija zatrula swą śliną,  
Jad jej będzie bezsilny i zatruc nie zdoła.  
A gdyby egzorcysta napisał śród czoła  
Opętanemu winem tem znaki tajemne:  
Opętanieby znikło w otchłanie podziemne.  
Gdyby znak tego wina wyrzucił na sztandarach,  
Upojona nim armja w ogniach i pożarach  
W niebываłych zmieniałaby się wojowników.  
Wino to obyczaje czyści biesiadników.  
A kto ma duszę chwiejną, podniecon tem winem,  
Czerpie moc, że nad każdym zapanuje czynem.  
Skąpiec, gdy pił to wino — będzie szczodrobliwy,  
A ten, co był gwałtowny — stanie się cierpliwy.  
Prostak, co korek wina tego ucałował,  
Zbogaciłby się duchem, mądrość wymiarkował.  
«Opisz — mówią — to wino. Ty znasz jego enoty!»  
Znam je. Czyste jest. Czystsze niżli woda. Złoty  
Ma blask. Światło, co złociej od płomienia świeci.  
Rozkoszne jak powietrze. Lżej niż eter leci.  
To duch — wyższy od ducha, niż duch nasz wcielesny,  
Nad wszelki byt — dawniejszy, przedwieczny, przedczesny.  
Bo gdy w prawieku żadnych jeszcze form nie było,  
Z woli Boga świat powstał wina tego siłą.  
Lecz dotąd mądrość Boska przesłania obłokiem  
Tajnie owego wina przed niemądrych okiem.  
Umiałował je duch mój na takowy stopień,  
Że duch mój się z nim wiąże w moc niezłomnych stopień:

Aż wino to z mym duchem jednością się stało,  
 Lecz nie jak ciało, co przenika drugie ciało.  
 Wino to było, nie zaś winograd z Ogrojca,  
 Kiedy jeszcze Adama tu miałem za ojca.  
 Wino to, nie winograd był z gałązką świeżą,  
 Gdy matka tego wina była mą macierzą.  
 Rozkosz wina z rozkoszy meani wypływa,  
 Lecz meani w rozkoszy wina rośnie żywa.  
 Choć między nimi przedział, tworzą jedność całą:  
 Dusza nasza to wino; winograd — to ciało.  
 Przed tem winem nie było nic poprzedniczego,  
 Po tem winie nie będzie nic następniczego.  
 Poprzedzanie wszystkiego, co się potem spaja,  
 Bez względu tego wina cnotom się przyswaja.  
 Wino to przed wiekami wieków wyciśnięto —  
 Tak, iż po niem nadeszło Adamowe święto:  
 Później dla wina wieki nastały sieroce.  
 Takie cudowne wina owego są mocel!  
 Godną pieśni, zaiste, winna ta prałozą:  
 Pięknie też o niej dźwięczą i wiersze — i proza.  
 Samo wspomnienie o niem już dziwnie zachwyca  
 Tego, któremu obcą wina tajemnica:  
 Jak ten, który w Noanie jest rozmiłowany —  
 I upaja się samem wspomnieniem Noany.  
 Mówią mi: pijesz... wino; pić wino jest grzechem!  
 Nie, to trunek, którego nie pić jest grzechem.  
 Trunek ten daje zdrowie mieszkańcom klasztoru.  
 Ileż to razy, nawet nie pijąc likworu,  
 Jeno chcąc pić — już krocym pijani weselem!  
 A jam jest odurzony tego trunku chmielem,  
 Zanim jeszcze dobiegłem lat mojej młodości —  
 I chmiel ten we mnie przetrwa, gdy spróchnieją kości.  
 Wino takie pij tylko w jego formie czystej,  
 A kto mu chce przymieszki dodać uroczystej —  
 Toć byłoby niestuszne, gdybyś do swej szklanki  
 Nie dodał płomiennego uśmiechu kochanki.  
 W sklepiisku pij! Tam blasku jego i słodyczy  
 Szukaj! Z pieśnią to wino licz do swych zdobyczy.  
 Nigdy go tam nie znajdziesz, kędy smutek gości,  
 Jak nie może pieśń szczęścia żyć obok żalości.  
 Upojony niem, ujrzysz, że los ci się stanie  
 Niewolnikiem posłusznym na twe zawołanie.  
 Za wolą twą len żywot pójdzie dwugodzinny,  
 Wypełniając twój wyrok nad sobą powinny.  
 Wesela nie ma w życiu, kto trzeźwości synem;  
 Głupiec ten, co umiera niepijany winem.  
 Niech płacze nad swym losem, komu żywot minie,  
 Nigdy ust nie zmaczawszy w tem rozkosznem winie!

*Tłum. Antoni Lange.*

IBN AL-'ABBÂR

(um. w r. 1260)

Naprzód! drogę masz przebitą... prowadź wojska swoje tam!...  
 Wojowników dzielnych prowadź!... Andaluzję wybaw nam!...

O ty, któryś przygnębionych nigdy nie odepchnął precz,  
Patrz!... Hiszpanja wielkomyślna śpieszy o twój błagać miecz.  
W udręczeniu klęski strasznej wiję się ten piękny kraj.  
Los mu wiecznie radość w troski, a na piekło zmienia raj.  
Nieszczęśliwa ty kraino, życie twe zatruwa świat,  
Na ofiarę los wybiera zawsze dzieci twoich kwiat!  
Każdy wietrzyk z brzaskiem świtu jest zwiastunem krwawych dróg,  
Co dnia w pysze swej nad tobą triumfuje podły wróg!...  
O zachodzie słońca zawsze wita cię oręża zgrzyt,  
Ustawiczną dyszeć trwogą — to męczarnia taki był!...  
I co tobie dziś nie grozi?... Chrześcijanin przysiągł już  
Najstraszniejszy dzisiaj chyba w piersiach twych zatopić nóż!  
Pragnie z kwiatu twoich dziewic, których każdy strzeże dom,  
Łup uczynić dla zwycięzców i zbezczeszczyć!... Hańby grom!...  
Dla herezji się roztwiera tyle nowych ciągle wrót,  
Jawnych wrogów naszej wiary ma dziś prawie każdy gród!...  
Na ulicach miast arabskich sroży się niewierny rój;  
Ha!... na widok ten łez krwawych z oczu nam wytryska zdrój!...  
Na meczetów naszych szczytce krzyże błyszczą zewszec stron,  
Tam, gdzie czciliśmy Ałacha — chrześcijański jęczy dzwon!...  
Czy hiszpański kraj odzyska, co szczęśliwy dotąd miał?...  
Pustką szkoły, w których niegdyś głos Koranu święty brzmiał!...  
A ogrody naszych willi, co pieściły każdy wzrok,  
Pomarniały i dziś od nich stroni już przechodnia krok!...  
Tłumy chrześcijan to szarańcza, a po przejściu takich fal  
Wszędzie tylko spustoszenie, zgliszczce, smutek, rozpacz, żal!...  
Gdzie jest życie, którem dotąd nieustannie wrzał nasz ród?  
Gdzie piękności, co rozkoszą każdy nam słodziły trud!...  
Druzgoczący wszystko w drodze, niezblagany wróg nasz ten,  
Który, żeby szerzyć zgrozę, swój poświęca spokój, sen.  
Wtargnął z ogniem i żelazem, a potęga wszystkich sił  
Kraj w pustynię nam zamienia, dzieła sztuki w proch i pył!  
Podaj dłoń nam, dzielny książę, lituj się cierpiących rzesz,  
Do Hiszpanji — zdruzgotany okręt jej ratować śpiesz!...  
W walkach świętych na twój widok wszak przejmował wrogów dreszcz.  
Byłeś mieczem, albo dumą, co spragnionym niesie deszcz.  
Jak przed słońca promieniami ciemność nocy pierzcha wnet,  
Tak przed tobą Murabici dumny zgiąć musieli grzbiet.  
Z wiarą do przystani twojej przybył biedny okręt nasz,  
A nie wątpi, że mu pomoc i opiekę dzielną dasz.  
Orkanami wciąż miotany, pośród groźnych raf i skał,  
Na bezbrzeżnym oceanie już kres nędzy znaleźć miał.  
Jako rumak, gdy spieniony sił ostatek w pomoc zwie  
I, aby dosięgnąć celu — miota się... wyciąga... rwie:  
Tak rozbity — biegł kotwicę o Zekkerji oprzeć tron,  
Wiedząc, że u stopni jego albo triumf nasz, lub zgon.  
Tobie, królu, najpokorniej liczne państwa niosą cześć,  
Bo pod łaski twojej płaszczem już ich wróg nie może zgnieść!  
Tobie każdy z podróżników z czcią całować śpieszy dłoń  
I odwiecznych trosk się zbywa, gdy przemówić raczysz doń.  
Firmamentu wnet dosięgnie każda z twoich celnych strzał,  
Gdybyś luk swój napinając, aż ku gwiazdom sięgnąć chciał!...  
Każdy opór wnet zdruzgocze jeden twej potęgi cios,  
Bo chorągiew twego państwa dźwierży w rękach swoich los.  
Twoja gwiazda, gdy chcesz błysnąć, daje dniowi jasność, blask,  
Od policzków twych rumieńce i jutrenka ma swój brzask.

Jako księżyc błyszczysz świetny pośród ciemnych walki chmur,  
 A gdzie rządysz, tam jaśniej wiekopomny sławy wzór.  
 Góry korzą się przed tobą, boś jest całej ziemi pan,  
 Z wyniosłością twoją można tylko plejad zrównać stan!...  
 Jako gwiazda nad Hiszpanją w majestacie błyszni nam  
 I piorunem swej potęgi nieprzyjaciół wiary złam!  
 Do Hiszpanji śpiesz, o królu, i pociechę biednym nieś,  
 Niechaj krwią nam kraj użyźni chrześcijańskich królów rzeź!  
 A za hańbę naszą, panie, tłumy Franków szarp i rwij,  
 Zmyjesz plamę i wygodzisz ziemi, dawno żadnej krwi.  
 Rzuć nam wojsko na wybrzeża i daj chrześcijan im na łup;  
 Niech wódz dumny psów niewiernych legnie w prochu u twych stóp.  
 Tam Hiszpanji syny martwe oczekują na głos twój,  
 Lecz ożyją, skoro ty ich poprowadzisz w krwawy bój.  
 Powiedz, kiedy Andaluzję zbudzi mieczów twoich brzęk,  
 A odczuwać będziem naprzód już ostatni wrogów jęk.

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

## ZE ZBIORU MARDŹ AN-NÂDHIR

### I

Noc tę pamiętam zawsze, gdy ma ukochana,  
 Z której ustek miód wionie i woda różana  
 Weszła do izby mojej — i zapromieniła  
 Nagle jak księżyc w pełni — świetlana i biała.  
 «Ujmij — rzecz — mię w ramion swych silnych kolisko:  
 Wszystko mów, czego żądasz. Mów — otrzymasz wszystko.  
 Strażnik mój dziś odjechał gdzieś na kraniec świata!»  
 Objąłem ją i mówię: «Iście twoja szata  
 Zasłoną jest niemilą! Zrzuć ją, o władczyni  
 Mego serca!» I zaraz moja ręka czyni,  
 Że opadać zaczęły rąbki jej sukienki.  
 Z uśmiechem spoglądała na ruchy mej ręki —  
 I dziwnie tem zrywaniem stała się radosną,  
 A ja dalej tę pracę czyniłem miłosną.  
 «Luba! Czyli kwiat w pączku obudzi zachwyty?  
 Ach, nie nęci mię owoc liśćmi okryty.  
 Nie kocham miecza, który w pochwie jest zamknięty.  
 Z zalem patrzę na księżyc chmurą osłonięty».

### II

Mów mi, twe ząbki czy to sznurek pereł białych —  
 Czy rumianków rząd? czyli hiacyntów pączki,  
 Lub kwiaty, co na palmach kwitną wybująłych,  
 Które dziewczę roztwiera bielą swojej rączki?  
 Albo zorza wiśniana, w której krople rosy  
 Drżą mieniącym się światłem na listków zieleni. —  
 Albo szronu kawałki, co dziwnymi losy  
 Przetrwały w twoich ustach — choć w nich żar się pieni.  
 Lub może to powietrza srebrne, krągłe pianki  
 Nad czarą, którą winem napełniono złotem —  
 Lub drobne kulki wody, co gazonów wianki  
 Diamentują — błyskając przejrzystym migotem?

*Tłum. Antoni Lange.*

## Z POEZJI HISZPAŃSKO-ARABSKIEJ

O! Andaluzję tylko można  
 Krainą szczęścia nazwać śmiało:  
 Tam tylko człowiek nieustannie  
 Odczuwa rozkosz piersią całą.  
 O! któż ten kraj, zielenią strojny,  
 Na inny w całym świecie zmieni!...  
 Tu cię do wina gwałtem prosi  
 Chłód w cieniu drzew i szmer strumieni!...  
 O! spojrzysz tylko, a zdumiony,  
 Ledwie rzut oka zrobisz jeden,  
 W ogrodach świetnych tej krainy  
 Poznasz Jemenu, Sany Eden!...  
 Każdy się potok srebrem iskrzy,  
 Liść ma jedwabiu połysk złoty;  
 Wonnością ziemia, a kamienie  
 To istne perły i klejnoty!...

Łagodne niebo Andaluzji  
 Zabija srogość w piersiach ludzi.  
 Chociażbyś nigdy nic nie kochał,  
 Tam się twe serce wnet rozbudził!...  
 Nie krople deszczu są te perły,  
 Które Bóg spuszcza dla tej ziemi;  
 To nie są wiatry, co o świecie  
 Rzeźwią kraj prądy łagodnymi.  
 O! czyżbym zdołał odzwierciedlić  
 Najśodsze ziemi tej rozkosze!  
 O! czyż wyrazić zdołam w pieśni  
 Jej obraz, który w sercu noszę.  
 Śród czarów ziemi tej żyć wiecznie!...  
 Ach! one tak szczęśliwym czynią!...  
 Ten kraj — to jeden ogród wielki,  
 A cały za nim świat pustynią!...

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

## MAKRÎZÎ

(1365—1442)

## Z DZIEŁA «PRZEWODNIK DO POZNANIA DYNASTYJ KRÓLÓW»

(Dzieje Egiptu od 1181 do 1440)

## P o w i a d a M a k r î z î :

W początku r. 796, w czwartek, trzeciego dnia miesiąca Rabi I przyszło pismo od Timurlanga, które zawierało gromy i błyskawice i uskarżało się na zamordowanie jego posłów. Treść jego była następująca:

«Powiedz: O Boże, Twórco nieba i ziemi, Ty, który znasz rzeczy jawne i ukryte, kiedyś będziesz rozstrzygał między Twymi sługami we wszystkich sprawach, w których się rozeszli (Koran, Sura 39, wiersz 45).

Wiedźcie tedy, że jesteśmy hufcem Bożym, stworzeni Jego gniewem. Nam oddał moc nad tymi, nad którymi zawisł Jego gniew.

Nie wzrusza nas głos skargi, nie budzi naszej litości głos płaczu.

Bóg wyrwał z naszego serca wszelką litość. Biada i jeszcze raz biada temu, który nie należy do naszego zastępu i nie jest po naszej stronie.

Spustoszyliśmy ziemię, osierociliśmy dzieci, uczyniliśmy z ziemi perzynę.

Najpotężniejsi upokorzyli się przed nami, najbardziej krzepkich siłą naszego oręża uczyniliśmy niewolnikami.

A gdyby to było dla słyszającego niezrozumiałe i trudne, gdyby twierdził, że jest to dla niego niepojęte,

Powiedz mu: Patrz, gdy królowie wtargną do miasta, pustoszą je i z najsilniejszego człowieka robią niedołęznego (Koran, Sura 27, wiersz 35).

Wszystko to dlatego, że jesteśmy liczni, dzielni i odważni.

Nasze konie — szybkie rumaki, nasze dzidy — szarpacze ciał, nasze oszczepy — błyskawice, nasze miecze — nosiciele śmierci.

Nasze serca są jak skały, nasze wojska — jak ziarna piasku, my sami — wszyscyśmy bohaterzy i ludzie odwagi.

Na nasze państwo nikt nie śmie napadać, kto się pod naszą podda opiekę, nigdy nie zazna szkody, nasza potęga na zawsze najwyższą władzę nam zapewnia.

Kto z nami pokój zawiera, jest bezpieczny, kto na nas napada, żałuje, kto o nas mówi, czego nie wie, jest szaleńcem.

Wy jednak, jeśli usłuchacie naszego rozkazu i przyjmiecie nasze warunki, zdobędziecie tę samą przewagę, co my, będziecie mieli te same obowiązki, co my.

Jeżeli jednak postąpicie wiarołomnie, oporni w swej niewierności, będziecie ganili tylko siebie samych.

Wasze twierdze nie będą was broniły, pomimo całej swej warowności. Wasze miasta nie odeprą naszego napadu i na nic się wam nie przydadzą, przy całej swej potędze. Wasze modły i skargi przeciw nam nie będą wysłuchane.

Jak może Bóg was wysłuchać? Przecież jedliście to, co jest zakazane, doprowadziliście całą ludność do zniszczenia, zawładnęliście mieniem sierot, a wasi sędziowie byli przekupni.

Przygotowaliście sobie zawczasu gehennę ognistą, a zaprawdę, jaki straszny w niej przebyt! Ci bowiem, którzy niesprawiedliwie zjadają mienie sierot, zaprawdę wchłaniają ogień do wnętrza i niechybnie wejdą do ognia piekielnego! (Koran, Sura 4, wiersz 9).

Żeście jednak to czynili, sami siebie wtrąciliście w przepaść śmierci: mordowaliście sieroty, powstawaliście przeciw Panu ziemi i nieba.

Przelewaliście krew szlachetnych. Na Boga! To jest niewierność, to jest marnotrawstwo!

Za to na zawsze wejdziecie do ognia. Jutro ogłoszę wyrok nad wami: owego dnia będziecie ukarani haniebną klęską za to, żeście dumnie i grzesznie chodzili po ziemi, za to, żeście się niecnotliwemu życiu oddawali.

Radujcie się więc w swojej hańbie i ohydzie, ludzie niewierności i gwałtu!

Jesteście niewzruszenie przekonani, że my jesteśmy niewierni. Dla nas jednak jest rzeczą pewną, że wy, na Boga, jesteście zaprzańcy i złoczyńcy.

Uczynił nas panami nad wami Bóg, który panuje nad wszystkim, który kieruje losami.

Najmocniejsi z was są dla nas niedołączkami, najliczniejsi są dla nas nieliczni.

Myśmy bowiem ujarzmili ziemię, na wschód i na zachód, siłą przywłaszczyliśmy sobie wszystko, co na niej (Koran, Sura 18, wiersz 78).

Powiedzieliśmy wam jasne słowa. Śpieszcie tedy z przysłaniem odpowiedzi.

Nim będzie uchylona zasłona (Koran, Sura 50, wiersz 21) i wojna wznieci swój płomień.

Nim wszystkich oczy zaczną przelewać nad wami łzy, nim Woźny Rozłąki (Anioł Śmierci) ogłosi: czy widzisz jakieś ich ślady?

Nim Sprawca Zniszczenia da wam usłyszeć, wstrząsnąwszy wami gwałtownie: czy dostrzegasz jeszcze kogoś z nich, czy słyszysz jeszcze ich najbliższy dźwięk? (Koran, Sura 19, wiersz 97).

Postąpiliśmy z wami sprawiedliwie, śląc do was gońców.

Nie mordujcie tedy tych posłów, jak to uczyniliście z pierwszymi, nie odstępujcie według waszego zwyczaju od obyczajów pokoleń minionych, nie powstawajcie przeciw Panu światów. A przecież poseł nie ma więcej obowiązku, niż jasno wyłożyć polecenie (Koran, Sura 16, wiersz 35).

Posyłamy wam jasne słowa. Śpieszcie więc z przesłaniem przeznaczonej nam odpowiedzi. I żegnajcie!

#### IV. PROZA LITERACKA

LITERATURA MAKAM, POWIEŚCI RYCERSKIE, BUDUJĄCE, POWIEŚCI 1001 NOCY, LEGENDY

##### CHARÎRÎ

(um. w r. 1122)

Gdy Abu-Seid pomyka / do dziewiątego krzyżyka, / gdy już przerzadła siwa / staro-  
rego lwa grzywa, / nuż w ducha słabości / myśleć o wieczności, / zawodzić lament; /  
nuż pisać testament. / Woła więc syna / i tak zaczyna: / «Chłopcze, niedługo przyjdzie



mi nogami / podążyć za jaskółkami, / a ty, co byłeś mi w niejednej dobie / laską  
 starości, / musisz pomimo żałości / stać się niebawem kwiatem / w mym grobie. / Muszę  
 więc mimo bole / ogłosić ci ostatnią moją wolę, / muszę ci na głowę / zlać błogosta-  
 wieństwo Jakóbowe. / Jeżeli w wiernej pamięci / twój umysł moje nauki uświęci, /  
 pień twój zostanie zielonym, / gardło zwilżonem, / skóra przykrytą, / szata sowitą. / Je-  
 żeli nie — flaszka pustą stanie, / kieszeń zionąc będzie jak otchłanie, / ognia na kuchni  
 braknie, / żołądek jądła załaknie».

\* \* \*

Kobieta oszustwem żyje,  
 Jam z jej objęć wyzwolony,  
 Bo pasem dla niej są żmije  
 A ozdobami skorpjony.

\*

Z uśmiechem swoim piękneby były kobiety,  
 Ale ten uśmiech trwa bardzo krótko, niestety.  
 Wszakże ryba, jak wiecie, tylko w wodzie pływa,  
 Bez wody płynąć umie — kobieta zdradliwa.

\*

Targ niewiast — to złodziejów istne targowisko,  
 Gdy tam wszedłeś — nad sobą czuwaj nieskończenie;  
 Skoroś z nimi — pamiętaj, że przepaść jest blisko,  
 W interesie najlepszym całe stracisz mienie.

\*

Chętnie z dziewczyną porozmawiaj hożą,  
 Podstępny niewiast badaj, pókiś młody,  
 Toż one z wiatru naszyjnik ci stworzą,  
 A i ogolą bez wody!

\*

Niechaj za żonę nikt wdowy nie bierze,  
 Chociażby wygląd miała piękny, hoży,  
 Będziesz we wszystkim dogadzał jej szczerze,  
 Ona tamtego przełoży!

\*

Przyjacielu, bądź wytrwały,  
 Umiej czekać twego myta,  
 Śpij na cierniach nago cały,  
 Póki dzień twój nie zaświta!

\*

Milczenie jest zawsze złotem,  
 Słowo — nieszczęścia zarzewiem;  
 Gdy wiedziałeś — nie mów o tem,  
 Gdy pytają — powiedz: nie wiem!

\*

Przed zapłatą — lekarstwa nie dawaj, broń Boże,  
 Radzę ci na słodziutkiem nie poprzestać słowie,  
 Bo gdy chory, wyleczon, opuści swe łożo,  
 Wnet zapomni, że ty mu powróciłeś zdrowie.

\* \* \*

O Maroko, ty krajów potworze,  
 Mieszkańcom twoim do piekieł iść na dno;  
 Niedość, że gościom każą spać na dworze,  
 Jeszcze i żywność im kradną!

Tłum. Julian Adolf Święcicki.

## Z «PROCESU ZWIERZĄT Z LUDŹMI PRZED KRÓLEM DUCHÓW»

(Bajka arabska z «Pism Czystych Braci» w Basorze, X w.)

W imię Boga litościwego, miłosiernego.

Wiedźcie, że gdy się potomkowie Adama rozplodzili i rozmnożyli, rozeszli się po całej ziemi, po lądzie i morzu, po równinie i górach, i zaczęli swobodnie chodzić po świecie.

Przez pewien czas byli nieliczni, żyli w ciągłym strachu z powodu dzikich zwierząt i drapieżników, i czuli się na świecie wystraszeni i osamotnieni. Rozbijali zwykłe namioty na szczytach gór i wzgórz, i chronili się w pieczarach i szczelinach skalnych. Żywili się owocami drzew, ziołami i ziarnami zbóż, okrywali się liśćmi drzew od upałów i zimna. Podczas zimy przebywali w ciepłych okolicach, a na lato wędrowali do krajów chłodnych.

Później zaczęli budować na równinach miasta i wsie, oswoili zwierzęta dwukopytowe, wołu, owcę i wielbłąda, a z jednokopytowych konia, muła i osła. Uczynili z tych zwierząt istoty służebne, nałożyli na nie cugle i zaczęli posługiwać się nimi dla różnych celów: konnej jazdy, przenoszenia ciężarów, uprawy ziemi i młócenia zboża. Nałożyli na te zwierzęta ciężką pracę, zmuszając je do czynności i prac ponad siły, i ograniczyli ich wolność ruchów i działania według własnej potrzeby. Aż do tego czasu zwierzęta mogły swobodnie biegać po stepie i w gąszczu leśnym, chodzić wszędzie w poszukiwaniu pastwisk i wodopojojów lub też dla zaspokojenia innych potrzeb.

Wówczas zaczęły uciekać od ludzi niektóre zwierzęta, jak dzikie osły, gazy, drapieżniki, zwierzęta polne i ptaki, żyjące dotychczas w przyjaznej wspólnotcie i zgodnym sąsiedztwie w siedzibach i legowiskach, do których się chroniły. Zwierzęta zaczęły stronić od siedzib potomków Adama, uciekać do rozległych stepów i gąszczów leśnych i chronić się w dołach ziemnych i jaskiniach.

Ale potomkowie Adama zaczęli się imać różnych wybiegów, sposobów myśliwskich, sieci i pułapek, żeby ovladnąć zwierzyzną.

Z biegiem czasu potomkowie Adama doszli do niewzruszonego przekonania, że zwierzęta są dawnymi niewolnikami człowieka, którzy powstałi przeciw swym prawnym panom i uciekli od nich.

Tak upłynęły dni i lata nad temi sprawami, aż Bóg zesłał Mahometa, niech go Bóg ma w swej opiece i jego ród. Prorok zaczął wzywać ludzi i duchy do powrotu do Boga Najwyższego i wiary w islam. Za wezwaniem jego poszły zastępy duchów i umocniły się w nowej wierze. Tak upłynął pewien czas.

W owym czasie królem duchów został jeden z nich, nazwiskiem Mędrzec Biwarasp czyli Właściciel Dziesięciu Tysięcy Koni, z przydomkiem Szah-i-Mardan, Król Ludzi. Jego stolica znajdowała się na wyspie Balasaghun na środku morza Zielonego (Indyjskiego), w pobliżu równika. Klimat miała doskonały i urodzajną glebę. W pobliżu stolicy płynęły rzeki o słodkiej wodzie, tryskały chłodne źródła. Wyspa miała płodną glebę, była pokryta wszelkimi drzewami i owocami, łąkami i kwietnikami. Z ziemi wyrastały pachnące zioła i trawy, drzewa były pokryte barwnym kwieciami.

Pewnego dnia silne wiatry przygnały do brzegów tej wyspy statek morski. Na pokładzie byli kupcy, rzemieślnicy, uczeni i inni ludzie. Rozbitkowie wylądowali na wyspie, zaczęli chodzić po niej i przekonali się, że obfituje w drzewa i owoce, ma słodkie wody, doskonałą pogodę i bogatą glebę i wydaje różne rodzaje jarzyn i pachnących ziół, oraz wszelkie nasienie i ziarno, wyrastające pod życiodajnym dżdżem niebieskim. Znaleźli na niej różne zwierzęta, bydło jednokopytowe i drobne. Wszystkie te zwierzęta żyły we wzajemnej przyjaźni, zgodnym sąsiedztwie, nie uciekając jedno od drugiego.

Ludzie ci umiłowali sobie wyspę, osiedli na niej i pobudowali domy. Następnie zaczęli napadać na wielkie i drobne bydło, które się tam znajdowało, chwytając je w niewolę, posługiwać się niem do konnej jazdy, objuczając je wszelkimi ciężarami i postępować z niem tak, jak przywykli w swych dotychczasowych siedzibach.

Wielkie i drobne bydło, które żyło na wyspie, zaczęło od nich uciekać. Ale ludzie zaczęli na nie polować, chwytając je różnemi wybiegami, w przekonaniu, że zwie-

rzęta te są ich niewolniczem bydłem, które odmówiło im posłuszeństwa, powstało przeciw swym panom i uciekło od nich.

Gdy się o takim przekonaniu ludzkim dowiedziało wielkie i drobne bydło, zbrali się jego przedstawiciele i rzecznicy i udali do Biwaraspa Mądrego, króla duchów. Król posłał gońców do ludzi i kazał im stanąć przed swem obliczem. Na to wezwanie zjawiała się przed nim rzesza ludzi z owego statku, około siedmdziesięciu osób z różnych krajów. Gdy do króla doszła wieść o ich przybyciu, kazał ich przyjąć i ugościć, a po upływie trzydziestu dni przyprowadzić do sali posłuchań.

Biwarasp był królem mądrym, sprawiedliwym, wielkodusznym, bezstronnym i wspa-  
niałomyślnym. Chętnie i przyjaźnie przyjmował gości, dawał schronienie wędrowcom, litował się nad nawiedzonymi nieszczęściem, nie dopuszczał przemocy, zalecał dobre i powściągał od złego. W ten sposób pozyskał sobie łaskę Bożą.

Gdy ludzie ze statku przybyli i ujrzeli króla na tronie, złożyli mu hołd i życzenia długiego żywota i szczęśliwości. Król rzekł do nich za pośrednictwem tłumacza:

«Co was sprowadziło do naszych okolic i co skłoniło was do wylądowania na wyspie bez poprzedniego powiadomienia».

«Sprowadziły nas tutaj» — odrzekł jeden z mówców — «wieści, które doszły do nas o zaletach króla, jego doskonałych właściwościach, jego wielkodusznym usposobieniu i sprawiedliwych sądach. Przyszliśmy więc w nadziei, że wysłucha naszą przemowę, zbada naszą podstawę prawną, wyda sprawiedliwy wyrok, dopomoże nam do uzyskania naszych praw i rozstrzygnie w sposób słuszny spór między nami a naszymi zbiegłymi niewolnikami i opornymi sługami».

«Powiedźcie więc, czego chcecie» — rzekł król — «i wyłóżcie, co macie do powiedzenia».

Rzecznik ludzi rozpoczął swoją przemowę:

«Tak, królu! Zaiste, to wielkie i drobne bydło, te drapieżniki i dzikie zwierzęta, i inne żyjące stworzenia są to wszystko nasze sługi, a my jesteśmy ich panami. Niektóre z nich zbiegły od nas i stawiają opór. Inne są nam wprawdzie posłuszne, czynią to jednak niechętnie i zaprzeczają swego obowiązku niewolników».

«A jaki macie dowód» — spytał król potomka człowieka — «jaką podstawę prawną waszych twierdzeń i roszczeń?»

«Tak, królu» — odrzekł syn człowieka. — «Mamy dla swoich twierdzeń podstawy prawne, oparte na Księdze Praw Wiary i na podstawie ustnej tradycji, oraz dowody, uzasadnione rozumem».

«Podajcie je tutaj!» — zawołał król.

Rzecznik rzeszy ludzkiej wstał — a był to potomek Abbasa, niech miłosierdzie Boże na nim spoczywa — wstąpił na trybunę i zawołał:

«Chwała Bogu, Panu światów! Niech nagroda będzie pobożnym, niech nielaska Boża padnie na grzeszników, niech Bóg otoczy swoją opieką Mahometa, Pieczęć Proroków i Wzór Postaćów, Rzecznika naszego w Dzień Sądu! Niech błogostawieństwo Boże spoczywa na jego aniołach, jemu bliskich, i na jego sługach, pobożnych mieszkańcach niebios i światów, wiernych wyznawcach Boga! Niech Bóg zaliczy ciebie, królu, w swem miłosierdziu w ich poczet! Bóg jest przecież miłosierny z miłosiernych! Chwała Temu, który z wody stworzył człowieka, a z człowieka — kobietę, pozwolił im się rozmnożyć i spłodzić wielu mężczyzn i kobiet, otoczył swą łaską ich potomstwo, dał im się rozprzestrzenić po łąkach i morzach i obdarzył ich wszelkiem dobrem! Bóg Najwyższy i Wielki rzekł: «A bydło stworzyłem dla was; możecie ciągnąć z niego wszelki pożytek, z jego sierści wyrabiać sobie ciepłe okrycia i żywić się jego mięsem». Rzekł również Bóg Najwyższy i Wielki: «A konie, muły i osły stworzyłem, żebyście na nich jeździli». Bóg powiedział również: «Abyście na ich grzbiecie siedzieli prosto i używali łaski Bożej, dosiadając grzbietu bydła». Na to mamy liczne dowody w Koranie, Torze i Ewangelji, świadczące o tem, że bydło zostało stworzone dla nas, że zwierzęta są naszymi niewolnikami, a my jesteśmy ich panami. Zresztą, błagam o przebaczenie Boże dla siebie i dla was».

Na to zawołał król:

«Słyszeliście, rzeszo wielkiego i drobnego bydła, jakie syn człowieka wspomniat

ustępy z Koranu, jakie dowody przytoczył dla swych roszczeń. Cóż więc macie do powiedzenia o tem, co mówił?»

Na to wstał mówca bydła — był to muł — i rzekł:

«Chwała Bogu, Jedynemu, Niepodzielnemu, Niezmiennemu, Odwiecznemu, Wiecznemu, Temu, który był przed wszelkiem istnieniem, bez czasu i kresu, Temu, który rzekł: «Niech się staniel», i stało się daleko promieniejące światło, któremu Bóg kazał wytrysnąć z głębi Tajnika Tajników. Następnie z światła stworzył płomienny ogień, a z wody stworzył morze, wiecznie ruchome, potężnie falujące. A z wody i ognia stworzył sfery niebieskie, twierdze firmamentu, gwiazdy, jasno płonące światła niebieskie. Zbudował niebiosą, rozłożył ziemię, umocnił góry. Sklepienie niebios uczynił siedzibą Górnych, przestrzenie twierdz niebieskich — siedzibą aniołów, Bliskich, a ziemię rozpostarł dla tworów, roślin i istot żyjących. Następnie stworzył duchów z płomienia i palącego wiatru, i człowieka z gliny, jego potomków zaś z nasienia męskiego, ohydneho płynu. Rodzaj ludzki utrwalił na ziemi, aby ją opanował i zaludnił, nie pustosząc jej, aby bronił istot żyjących i ciągnął z nich pożytek, nie krzywdząc ich i nie gwałcąc. Zresztą, błagam o przebaczenie Boże dla siebie i dla was».

Następnie ciągnął dalej:

«W żadnym wersecie, o królu, który przytoczył syn człowieczy, niema dowodu dla jego twierdzenia, jakoby oni byli panami, my zaś niewolnikami. Jest tylko jeden ustęp, świadczący o łasce Bożej i Jego miłosierdziu dla nich. Ustęp ten brzmi: «Uczył je (zwierzęta) na użytek wasz, tak samo jak na użytek wam stworzył słońce, księżyc, wiatr i chmury». Czy zechcesz więc twierdzić, o królu, że te są sługami i niewolnikami ludzi, a ludzie ich panami?! Wiedz więc, o królu, że Bóg, niech Jego chwała będzie wielka, powołał wszystkie twory na niebiosach i światach do istnienia i wzajemnej służby, czyto dla osiągnięcia pożytku, czy też dla odwrócenia szkody. Co zaś dotyczy poddania zwierząt człowiekowi przez Boga Najwyższego i Wielkiego, to stało się to, aby sobie byli użyteczni i szkodę od siebie odwracali, jak to obszernie wyłożymy później — nie zaś, jak oni sobie wyobrażają i mniemają, i kłamliwie a oszczerczo twierdzą, jakoby oni byli naszymi panami, my zaś ich sługami».

Rzecznik jednokopytowych mówił dalej:

«My i nasi przodkowie byliśmy jeszcze przed stworzeniem Adama, ojca rodzaju ludzkiego, mieszkańcami ziemi, osiedleńcami jej krain, wędrując po jej szerokich dolinach. Nasze rzesze wędrowały po ziemiach Bożych, w poszukiwaniu utrzymania, i używały wszelkiej swobody w załatwianiu swych spraw. Każdy na swoim miejscu zaprzętał się własnymi sprawami i zabiegał o zaspokajanie swych potrzeb w stepie lub gąszczy leśnej, na równinie i w górach. Każdy rodzaj obcował z potomkami swojej odmiany, troszcząc się o płodzenie młodych i wychowanie potomków w dobrem odżywianiu, w miarę tego, co Bóg nam udzielił z potraw i napojów. Byliśmy dobrze ukryci w naszych legowiskach, bezpieczni i spokojni na ciele i duszy. Chwaliliśmy Boga w dzień i w nocy, nie sprzeciwiając się jego woli i nie czcząc nikogo prócz Niego. Tak płynęły pokolenia i wieki. Następnie Bóg Najwyższy stworzył Adama, ojca ludzkości, i uczynił go namiestnikiem Boga na ziemi. Jego potomstwo rozmnożyło się przez płodzenie, stało się liczne i rozprzestrzeniło się na powierzchni ziemi, na lądzie i morzu, na równinie i w górach. Uczynili nam ziemię i dom ciasnymi, wzięli z nas niewolników z wielkiego i drobnego bydła, koni, mułów i osłów, zaczęli się niemi posługiwać, nałożyli na nie pańszczyznę, dręczyli je ciężką i żmudną pracą dźwigania ciężarów i ludzi, ciągnięcia pługa, koła wodnego, i pracą w młynie, zatruli im życie przemocą i krzywdą, biciem, upokarzaniem i wszelkimi karami. Wówczas, kto z nas mógł, uciekał w step, pustynię i na szczyty gór. Ale synowie Adama zaczęli gorliwie, wszelkimi sposobami, prześladować nas. A gdy się udało im kogoś schwytać, krępowali go obrożami, łańcuchami, kajdanami, zarzynali go, ściągali z niego skórę, rozcinali brzuch, obcinali członki, łamali kości, wyrwali oczy, oskubywali pierze, strzygli włosie, gotowali w ogniu i piekli na różnie — słowem, wystawiali na tortury, które opisać jeszcze zgłaszać roszczenia do nas i twierdzić, że to wszystko jest słuszne, że mają do tego prawo, że oni są naszymi panami, my zaś ich sługami, że ten z nas, który się ratował ucieczką, jest

zbiegłym niewolnikiem, buntownikiem, który się sprzeniewierzył obowiązkowi posłuszeństwa. A wszystko to czynią, nie posiadając żadnej podstawy prawnej, żadnego wiążącego dowodu, ani jasnego faktu przeciwko nam, prócz przemocy i gwałtu.

Gdy król usłyszał tę przemowę i zrozumiał jej treść, wydał rozkaz woźnemu, żeby ogłosił w całym kraju, iż król każe zwołać z wszystkich plemion duchów oddziały wojska i policji, sędziów, ławników i prawników, aby zasiąść do sądu i rozstrzygnięcia sporu między rzecznikami zwierząt a przedstawicielami rodzaju ludzkiego...

Gdy przybyli gońcy do króla ptaków — był to ptak Simurgh — ten polecił woźnemu wydać ogłoszenie publiczne. Na to wezwanie zebrały się doń zewsząd ptaki różnego gatunku, z łądów i mórz, równin i gór, w wielkiem mnóstwie, tak liczne, że tylko Bóg Najwyższy i Wielki zliczyć je potrafi. Król opowiedział im, co mu gońcy donieśli o zebraniu zwierząt u Króla Duchów dla rozstrzygnięcia sporu z rodzajem ludzkim o roszczeniach tegoż do służby niewolniczej i pańszczyźnianej zwierząt. Następnie Simurgh rzekł do swego wezyra Pawia:

«Kto jest tutaj z krasomówców ptasich i mistrzów w dyspacie? Kto z nich nadaje się do tego, abyśmy go posłali na obrońcę naszej wspólnoty w sporze z rodzajem ludzkim?»

«Jest ich tu mnóstwo».

«Nazwij mi ich więc, abym ich poznał».

Paw zaczął wylizywać:

«Są: Dudek-Wywiadowca, Kogut-Woźny, Kuropatwa-Wywoływacz, Gołąb-Przywódcą, Bażant-Śpiewak, Skowronek-Kaznodzieja, Słowik-Naśladowca, Jaskółka-Budowniczy, Kruk-Prorok, Bocian-Strażnik, Papuga Szczęśliwa...»

Rzekł Simurgh do Pawia:

«Daj mi ich zobaczyć osobno, abym się mógł im przyjrzeć, poznać każdego właściwości, czy się do tej sprawy nadaje, czy nie».

«Tak jest» — odrzekł Paw. — «Co dotyczy Dudka-Wywiadowcy, towarzysza Salomona, syna Dawida, to jest nim tamta osoba, która tam oto stoi, odziana w połataną pstrą szatę, cuchnącą, ze spuszczonego turbanem na głowie, skulona, jakgdyby na klęczkach modły odprawiała. On jest tym, który zaleca dobre i powstrzymuje od złego. On jest tym, który w przemowie, zwróconej do Salomona, syna Dawida, rzekł: «Wiem, czego ty nie poznałeś, i przynoszę ci z kraju Saba wieść niezaprzeczoną...»

«Co zaś dotyczy Koguta-Woźnego, to jest nim tamta osoba, która stoi tam oto na murze, z czerwoną brodą, z wieniec i grzebieniem, czerwonymi oczyma, z rozczapierzonemi skrzydłami i z podniesionym prosto ogonem, jakgdyby to był sztandar. Jest to zazdrośnik, hojny, czujny, bystro patrzący obrońca swego haremu, zwiastun jutrzeńki rannej, ten, który budzi sąsiadów, ten, który dobrodusznie nawołuje. Jest to ten, który w swem wołaniu modlitewnym w szarą godzinę świtu woła: «Pomnijcie o Bogu, o sąsiedzi! Jak długo jeszcze będziecie drzemali w śmierci i gniciu, nie bacząc, co czynicie, nie bojąc się płomieni piekielnych, nie tęskniąc do ogrodu rajskiego, niewdzięczni za łaskę Bożą! Bodajby żyjące stworzenia nie zostały wcale stworzone! A jeżeli zostały stworzone, bodajby widziały jasno, do czego zostały stworzone! Pamiętajcie o Tym, który niszczy wszelkie rozkosze, i zaopatrzcie się w zapasy! A zaiste najdoskonalszym zapasem jest bojaźń Boża!»

«Co zaś dotyczy Kuropatwy-Wywoływacza, to jest nim tamta oto osoba, stojąca na pagórku, z białemi policzkami, czarno-białemi skrzydłami, grzbietem zgarbionym od długich klęczeń i pokłonów modlitewnych, błogosławiona licznem potomstwem, która w swym wołaniu przypomina i zwiastuje, i w dni wiosenne mówi: «Przez wdzięczność trwa hojność, przez zdradę zaś przychodzi kara». Następnie mówi: «Bądźcie wdzięczni za łaskę Bożą, a użyć wam więcej. Nie myślcie nigdy nic złego o Bogu». Również śpiewa ona na wiosnę następujący hymn:

## Z TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

## HISTORJA TRAGARZA SINDBADA

Za czasów kalifa, władcy wiernych, Hārūna ar-Raszida w mieście Bagdadzie żył człowiek, którego zwano tragarzem Sindbadem. Był to człowiek biednego stanu, który za zapłatę dźwigał ciężary na głowie.

Pewnego dnia zdarzyło mu się nieść ciężki tłumok. Dzień był upalny. Sindbad był zmęczony od dźwigania, spoił się cały i osłabł zupełnie od skwaru.

W drodze przechodził mimo bramy domu jakiegoś kupca. Przed bramą stał szeroki stół kamienny. Tragarz zdjął tłumok z głowy i położył go na stole, żeby odpocząć i zaczerpnąć powietrza. Z wnętrza domu wychodziło wonne powietrze i zapachy różnych perfum i kwiatów. Tragarz zaczął się rozkoszować tym zapachem i na chwilę przysiadł na brzegu stołu. Wtem usłyszał grę lutni i harf, dźwięki muzyki i śpiewu, które wzbudziły w nim głębokie wzruszenie, recytację poezji, wywołującą dziwne myśli. A podczas tego dochodziły go głosy rozświetlanego ptactwa, które śpiewało chwałę Bogu Najwyższemu przeróżnymi sposobami i wszelkimi językami świata.

Tragarz zdumiał się wielce w duszy, i głębokie wzruszenie opanowało go. Wstał, podniósł się z miejsca i wszedł do bramy. Stąd ujrzał między murami domu wielki ogród, a w ogrodzie stała liczna służba, aż się roilo od niewolników i sług, jakich można widzieć tylko na dworach królów i władców. Uderzyły go w twarz zapachy doskonałych potraw i wszelkich rodzajów przeróżnych pańskich napojów.

Tragarz wznosił oczy do nieba i zawołał:

«Chwała ci, Panie i Stwórcu, Żywicielu, który hojnie szafujesz dobra tego świata tym, którym chcesz. O Boże! błagam cię o przebaczenie za wszystkie moje grzechy i przychodzę do ciebie ze skruchą za wszystkie moje występki. O Panie! Niema sprzeciwu twoim wyrokom, nikt nie może się przeciwstawić twojej potędze, nikt nie może pytać o twoje czyny, masz władzę nad wszystkimi jestestwami. Chwała tobie, który wzbogacasz, kogo chcesz, i zubożasz, kogo chcesz, wzmacniasz, kogo chcesz, osłabiasz, kogo chcesz. Niema Boga prócz ciebie. Jak potężny jest twój byt, jak niezmierna jest twoja władza, jak dobroczynne jest twoje kierownictwo! Zsyłasz dobrodziejstwa tym, którym chcesz z twoich sług. Władca tego miejsca żyje w najwyższej rozkoszy, zachwyca się łagodnymi zapachami, smaczными potrawami i przeróżnymi rozweselającymi napojami. Wydajesz na twe stworzenia wyroki według twej woli: jedni z nich są znużeni, inni wypoczęci, jedni szczęśliwi, inni jak ja w ostatecznym znużeniu i osłabieniu».

Gdy tragarz Sindbad skończył te słowa, chciał wziąć swój tłumok i iść w dalszą drogę, gdy wtem z bramy wyszedł chłopiec młody wiekiem, o pięknej powierzchowności, dobrze zbudowany i pięknie odziany. Wziął tragarza za rękę i rzekł doń:

«Wejdz do domu i pomów z moim panem. Kazał cię zawołać».

Tragarz ociągał się, nie chciało mu się wchodzić z chłopcem. Ale chłopiec przewyciężył jego upór. Tragarz zostawił tłumok u odźwiernego w poczekalni domu i wszedł za chłopcem do wnętrza. Sala, do której wszedł, była piękna, ozdobiona ze smakiem i wytwornością. Na niej tłoczyło się mnóstwo ludzi. Pełno było wytwornych panów i znakomitych ludzi. Wszędzie było dużo kwiatów, które wydawały wszelkiego rodzaju zapachy. Na stołach stały naczynia pełne słodczy i owoców, doskonałych potraw i przeróżnych napojów. Wzdłuż ścian poustawiano różne instrumenta muzyczne.

Na naczelnym miejscu wśród zebranych siedział człowiek wysokiego wzrostu, do którego wszyscy zwracali się z wielkim poważaniem. Twarz, okolona siwym zarostem, miała piękne rysy, spojrzenie miał łagodne, a cała postać nosiła wyraz powagi, łagodności i siły.

Tragarz Sindbad stał przerażony i osłupiały, myśląc w duszy:

«Na Bogu! to miejsce jest chyba rajem albo pałacem króla, lub władcy!»

Następnie przypomniał sobie obowiązek dobrze wychowanego człowieka. Złożył ukłon powitalny, powiedział obecnym życzenia, pocałował ziemię przed zebranymi i wstał, wciąż silnie zmieszany i wzruszony.

Gospodarz kazał mu usiąść, przemówił doń łaskawie, mile się uśmiechając. Następnie kazał mu podać różne rodzaje potraw: smacznych, łagodnych i wykwintnych. Tragarz Sindbad przysunął się do stołu, odmówił modlitwę, zaczął jeść, najadł się do syta i zawołał:

«Chwała Bogu za wszystko, co czynił!»

Następnie umył ręce i podziękował obecnym. Wówczas rzekł gospodarz:

«Czuj się jak u siebie w domu, i niech twój dzień będzie błogosławiony. Powiedz mi, jak się nazywałeś i jakim zawodem się trudniłeś?»

Sindbad odrzekł:

«Nazywam się tragarz Sindbad i za zapłatę noszę ludziom rzeczy na głowie».

Gospodarz uśmiechnął się i rzekł:

«Wiedz, o tragarzu, że moje imię jest takie same jak twoje. Jestem marynarz Sindbad. Pragnieniem zaś mojem, żebyś mi dał posłuchać te same słowa modlitwy, które recytowałeś, siedząc przed moją bramą».

Tragarz zawstydzził się.

«Na Boga» — rzekł — «zaklinam cię, nie miej do mnie urazy. Zmęczenie, ciężka praca i bieda były tego przyczyną».

«Nie wstydz się» — rzekł gospodarz — «jesteś mi bratem. Ale powtórz te słowa, które słyszałem. Wprawiły mnie w zdumienie».

Tragarz powtórzył. Gospodarz, słysząc je, był znowu wielce zdumiony i wzruszony.

«O tragarzu» — rzekł — «wiedz, że dzieje mojego życia są bardzo dziwne. Opowiem ci wszystko, co mi się zdarzyło i stało, nim doszedłem do tego dobrobytu i osiadłem w tej pańskiej siedzibie, w której mnie widzisz. Do tego bogactwa i tej wspaniałej siedziby doszedłem tylko po ciężkiej pracy, wielkich nieszczęściach i wielu strasznych przeżyciach. Ile z początku musiałem znosić ciężkich trudów i przeciwności losu! Odbyłem siedem podróży. A o każdej podróży mam dziwną opowieść, która każdego człowieka wprawiłaby w najwyższe zdumienie».

Wiedźcie, o szlachetni panowie, że miałem ojca kupca. Należał do najbogatszych mieszkańców miasta. Miał bogate mienie i wielkie dobra. Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, umarł, zostawiając mi wielki majątek, grunta i dobra ziemskie. Gdy dorosłem, zacząłem używać mienia. Jadałem doskonałe potrawy, obracałem się w towarzystwie młodzieży, stroiłem się w najpiękniejsze suknie, miałem wiernych przyjaciół i towarzyszków i byłem przeświadczony, że to wszystko będzie wiecznie trwało.

W tym stanie żyłem przez długi czas, trwając w lekkomyślności. Wkońcu jednak oprzytomniałem, i wrócił mi zdrowy rozsądek. Zrozumiałem, że moje mienie poszło, moje bogactwo znikło, a wszystko, co miałem, ulotniło się.

Ocknąłem się z długiego snu, zdumiony i osłupiały. I zrozumiałem słowa, które słyszałem dawniej od mego ojca, mianowicie słowa naszego pana Salomona, syna Dawida, pokój im obojgu, o tem, że trzy rzeczy są lepsze od trzech rzeczy: dzień śmierci lepszy niż dzień urodzenia, żywy pies lepszy niż martwy lew, grób lepszy niż ubóstwo.

Wstałem więc, zebrałem resztki mojego majątku i drogocenne szaty i sprzedałem je. Następnie sprzedałem grunta, które do mnie należały, i wszystko, na co mogłem nałożyć rękę. W ten sposób zebrałem trzy tysiące drachm.

W głowie powstała mi myśl o podróży do krajów różnych narodów...

\* \* \*

Zatęskniła dusza moja do podróżowania i handlu. Postanowiłem ruszyć w drogę. Nakupiłem cennych towarów, nadających się do przewozu statkiem, spakowałem moje rzeczy i pojechałem z miasta Bagdadu do miasta Basory. Tu ujrzałem potężny okręt, którym miało jechać wielu kupców i możnych ludzi, wiozących cenne ładunki. Złożyłem rzeczy razem z nimi na okręt i przy pomyślnym wietrze wypłynęliśmy z portu.

Tak płynęliśmy z portu do portu, sprzedając i kupując, i rozkoszując się widokiem krajów i ludzi. Szczęście nam sprzyjało, i zebraliśmy obfite zyski. Aż pewnego dnia, gdy tak płynęliśmy po morzu, nagle kapitan okrętu krzyknął wielkim głosem, rzucił z głowy zawój, zaczął uderzać rękami w twarz i wrywać sobie włosy z brody,

i z wielkiego przerażenia i rozpaczony padł jak długi na pokład okrętu. Kupcy i inni podróżni zebrawi się dokoła niego i zawołali:

«Co się stało, kapitanie?»

Kapitan odrzekł:

«Wiedźcie wszyscy, że okręt nasz zgubił drogę. Wydostaliśmy się z morza, którem płynęliśmy dotychczas, i wjechaliśmy do innego, którego dróg nie znamy. Jeżeli Bóg nie ześle nam czegoś, co nas wyprowadzi z tej trudności, wszyscy niechybnie zginiemy. Módlcie się do Boga Najwyższego, żeby nas wybawił z tego położenia».

Po tych słowach kapitan podniósł się z pokładu, wdrapał na maszt i chciał zwinąć żagle. Ale wtem zawiął silny wicher i uniósł w górę tylną część okrętu. W jednej chwili ster został rozbity. W tej chwili kapitan spuścił się z masztu i zawołał:

«Niema zbawienia ani obrony, jeno w Bogu Najwyższym, Wszechmocnym! Nikt nie może cofnąć przeznaczenia. Na Boga! Wpadliśmy w wielkie nieszczęście. Nie pozostaje nam żadnego wyjścia ani ratunku».

Podróżni wybuchnęli wielkim płaczem i stracili wszelką nadzieję ocalenia życia. Okręt został rzucony o wielką skałę. Natychmiast rozpadły się boki statku. Podróżni wpadli do morza. Niektórzy natychmiast utonęli, inni dopłynęli do stóp góry i zaczęli się wdrapywać na jej szczyt.

Do tych należałem również i ja. Gdy byłem na wierzchołku, zacząłem rozglądać się dokoła. Była to wyniosła, szeroka skała, wznosząca się jak wyspa na powierzchni morza. Dokoła widać było dużo statków, potrzaskanych przez burze i skałę. Na wyspie, na samym brzegu morza leżało dużo wszelkich rzeczy, które morze wyrzuciło z zatopionych i rozbitych okrętów. Były tam takie bogactwa, aż mi się na widok tylu cennych rzeczy rozbiegły oczy i pomieszał rozum.

Wdrapałem się na najwyższy szczyt skały i zacząłem chodzić po niej. W środku wyspy dostrzegłem źródło słodkiej wody bieżącej, która wypływała z ziemi z jednej strony skały i ginęła po przeciwnej. W tym samym czasie wszyscy inni podróżni, którzy ocalili z rozbitego okrętu, wdrapali się również na szczyt góry i rozeszli na różne strony. Na widok tylu cennych rzeczy, rozrzuconych na brzegu morza, stracili głowy i chodzili jak obłąkani.

W pośrodku źródła zobaczyłem mnóstwo różnobarwnych drogocennych kamieni, hiacyntów, drogich pereł królewskich, rozrzuconych jak ziarenka piasku na brzegu rzeki. Dno źródła połyskiwało całe od tych bogactw. Widziałem również na wyspie mnóstwo najcenniejszego drzewa aloesu.

Tak żyliśmy na tej wyspie, zachwycając się tem, co Bóg Najwyższy na niej stworzył, ale jednocześnie żyjąc w najwyższej trosce i opanowaniu wielkim strachem. Zebrałiśmy na brzegu nieco żywności, ale oszczędzaliśmy ją i jedliśmy raz dziennie, albo raz w ciągu dwu dni jeden positek, w obawie, że wyczerpią się zapasy i umrzemy z głodu. Za każdym razem, gdy umierał ktoś z nas, umywaliśmy jego ciało i chowaliśmy owiniętego w całuny z płótna i materji, które morze wyrzucało na brzeg wyspy. Tak wymarło wielu z nas i została tylko szczupła garstka. Byliśmy osłabieni ciągłym głodem i niedługo trwało, aż wszyscy moi towarzysze poumierali jeden po drugim. A każdego zmarłego grzebaliśmy w ziemi. Aż wkońcu zostałem samotny na tej wyspie, i z wszystkich zapasów zostało mi się niewiele żywności. Zapłakałem nad sobą i zawołałem: «O, bodajbym umarł przed moimi towarzyszami! Przynajmniej umyliby moje ciało i pochowali je. Niema zbawienia, niema obrony, jeno w Bogu Najwyższym, Wszechmocnym!». Następnie spędziłem na wyspie pewien czas, poczem zacząłem kopać sobie na brzegu wielki dół i pomyślałem w duchu: kiedy osłabnę i poznam, że moja śmierć się zbliża, położę się do tego grobu i umrę w nim, a wiatr zasypie moje ciało piaskiem, pokryje je i pochowa pod ziemią. Przez cały czas rozmyślałem ze zgryzotą nad moją lekkomyślnością, nad wyruszeniem w podróż z kraju i miasta po tylu przygodach, doznanych w pierwszej podróży, w drugiej, trzeciej, czwartej i piątej. Nie było ani jednej, w której nie doznałbym cierpień i nie przeżyłbym klęsk bardziej srogich i cięższych niż w wyprawie poprzedniej. A przecież nie potrzebowałem majątku! Byłem bogaty, miałem tak dużo, że nie mogłem wydać na siebie przez całe życie nawet połowy tego.



Po tych rozmyślaniach zacząłem się zastanawiać nad znalezieniem wyjścia z obecnego położenia i pomyślałem sobie: Na Boga, nie ulega żadnej wątpliwości, że rzeka na wyspie musi mieć ujście. Najlepiej będzie, jeżeli zbuduję sobie małą łódkę, w której będę mógł się pomieścić. Wsiądę do niej i popłynę biegiem tej wody. Jeżeli znajdę ratunek, ocaleję i wyjdę z tej rozpaczliwej sytuacji z pomocą Boga Najwyższego, a jeżeli nie znajdę ratunku, lepiej mi zginąć w nurtach rzeki, aniżeli w tym miejscu. Przez pewien czas jeszcze białąłem nad sobą. Potem wstałem pośpiesznie i zacząłem zbierać na wyspie drzewo aloesowe i inne i znosić je na brzeg morza, gdzie wiązałem je powrozami z rozbitych okrętów. Naznosiłem też desek z tych samych okrętów i przy-mocowałem je do łódki. Łódka była nieco węższa niż szerokość rzeczki i mocno spojona w szwach. Następnie zabrałem z sobą trochę tych drogocennych kamieni, kruszców i pereł, rozrzuconych po wyspie jak piasek, i umieściłem to wszystko w łódce.

Popłynąłem biegiem rzeczki, rozmyślając nad tem, jaki będzie mój koniec. Tak nie przestałem wiosłować, aż dopłynąłem do miejsca, w którym rzeka wchodziła do wielkiej pieczary we wnętrzu góry. Gdy się łódka zagłębiła w tej jaskini, znalazłem się nagle w głębokiej ciemności. A łódka tymczasem wciąż płynęła w pieczarze, której ściany coraz bardziej się zwężały. Aż wkońcu zacząłem żałować tego, co uczyniłem, i pomyślałem sobie: jeżeli przejście będzie wkońcu zbyt ciasne dla łódki, nie będę mógł płynąć dalej ku wyjściu, ani też wrócić. I niewątpliwie zginę z głodu. Pieczara coraz bardziej się zwężała. Już nie mogłem siedzieć wyprostowany, tylko musiałem się wyciągnąć jak długi, twarzą nadół. Tak płynąłem, nie wiedząc ani dnia, ani nocy, pod sklepieniem góry, w czarnej ciemności, pogrążony w głębokim strachu, spodziewając się śmierci w każdej chwili. Łódka nie przestawała posuwać się dalej, unoszona prądem rzeczki, która już to się rozszerzała, już znów zwężała. Najbardziej przygnębiała mnie ciągła ciemność, aż wkońcu spadł na mnie głęboki sen, i zasnąłem, leżąc w łódce twarzą nadół. Tak płynąłem, wciąż pogrążony w głębokim śnie, nie wiedząc, na jakim jestem świetle.

Wreszcie w pewnej chwili przebudziłem się i nagle znalazłem się w świetle dziennem. Otworzyłem szeroko oczy i ujrzałem przed sobą wielką przestrzeń. Łódź była przywiązana do brzegu, a dookoła stał tłum ludzi, Hindusów i Abisyńczyków. Gdy zobaczyli, że się przebudziłem, przybiegli do mnie i zaczęli mówić swym językiem. Nie rozumiałem nic, co mówili. Wciąż zdawało mi się, że to sen, że wszystko to widzę w uśpieniu, w które mnie pogrążyło znużenie i zmartwienie. Gdy tak długo mówili do mnie, a ja nie rozumiałem treści i nie odpowiadałem ani jednym słowem, zbliżył się do mnie jeden z nich i przemówił w języku arabskim:

«Pokój ci, nasz bracie, skąd przybywasz, jaki jest cel twego przybycia do tego miejsca, skąd się dostałeś do tej rzeki, jakie kraje znajdują się za tą górą? Nie słyszeliśmy nigdy, żeby ktoś stamtąd przybył do nas».

Rzekłem doń:

«A kto wy jesteście, i co tu jest za kraj?»

«Bracie mój» — rzekł — «jesteśmy rolnikami. Przyszliśmy tu orać nasze pola i znaleźliśmy cię śpiącego w łódce. Przywiązaliśmy ją do brzegu i czekaliśmy, aż się sam przebudzisz. Powiedz nam więc, jaki powód twego przybycia do tego miejsca».

«Na Boga» — odrzekłem — «panie, daj mi coś do jedzenia, jestem bowiem bardzo głodny, a później będziesz mnie pytał, o co zechcesz».

Człowiek pobiegł i przyniósł mi strawę. Pokrzepiłem się, podziękowałem Bogu za wszystkie jego dary i zacząłem się radować, że wyostałem się z pieczary i dopłynąłem do tego miejsca. Następnie powiedziałem im wszystko, co mi się wydarzyło, od początku do końca. Ludzie ci pomówili między sobą i rzekli:

«Musimy go zabrać i przedstawić naszemu królowi, żeby mu opowiedział o swoich przygodach».

Sindbad opowiadał dalej:

Ludzie ci wzięli mnie z sobą, a razem ze mną wzięli łódkę i wszystkie klejnoty i kruszce, jakie się w niej znajdowały, zaprowadzili mnie do swego króla i opowiedzieli mu o wydarzeniu. Król przywitał mnie miłościwie i zaczął rozpytywać o moje sprawy i przygody.

Opowiedziałem mu wszystko, co mi się stało, i wszystko, co napotkałem w drodze, od początku do końca. Przy słuchaniu mego opowiadania króla opanowało najwyższe zdumienie. Następnie wstałem, przyniosłem z łodzi wielką ilość kruszców, klejnotów, cennego drzewa i ambry i złożyłem je w darze królowi. Zamieszkałem w tej miejscowości i często przebywałem w towarzystwie króla i jego dostojników.

Pewnego dnia król zaczął mnie rozpytywać o mój kraj, o rządy kalifa w Bagdadzie.

Opowiedziałem mu o sprawiedliwych rządach kalifa. Król wielce się dziwił i rzekł do mnie:

«Zaiste ten kalif posiada wielką mądrość. Wolą moją jest, żebym przygotował dla niego dary i przesłał mu je przez ciebie.»

Odrzekłem:

«Jestem posłuszny twoim rozkazom, o Panie nasz. Zawiozę mu je i opowiem, jaki jesteś miłujący ludzi i doskonały».

Tak żyłem u tego króla w najwyższej łasce i doskonałem byciu. Aż pewnego dnia, siedząc u króla, usłyszałem, że kupcy tego miasta gotują się w podróż okrętem do Basory. Poszedłem do króla i powiedziałem, że się stęskniłem do mojego kraju. Król ofiarował mi wieczystą gościnność w swoim pałacu, ale na moje nalegania pozwolił mi odjechać. Zaopatrzył mnie we wszystko, co mi było potrzebne na drogę, i dał mi bogate dary dla kalifa Hārūna ar-Raszīda w mieście Bagdadzie.

Wsiadłem na okręt. Wiatr sprzyjał nam, i nie przestawaliśmy płynąć, pokładając ufność w Bogu Najwyższym, pochwalony niech będzie, od morza do morza, od wyspy do wyspy, aż wkońcu z pomocą Boga Najwyższego dopłynęliśmy szczęśliwie do miasta Basory. Stąd zwróciłem się w dalszą drogę do miasta Bagdadu. Tu udałem się do kalifa Hārūna ar-Raszīda i złożyłem mu owe dary. Następnie poszedłem do domu. Na wieść o mojem przybyciu zebrali się u mnie krewni i przyjaciele. Rozdałem im dary. Następnie rozdałem w mieście hojne jałmużny.

A po pewnym czasie przysłał po mnie kalif i zapytał mnie o powód tych darów i skąd pochodzą. Odrzekłem:

«O Władco wiernych, na Boga, nie znam owego miasta, ani jego nazwy, ani drogi do niego. Tylko gdy okręt, którym płynąłem, zatonął, dostałem się na wyspę, zbudowałem sobie łódkę i popłynąłem biegiem rzeki, która przecinała wyspę».

Opowiedziałem królowi, co mi się wydarzyło w drodze, jak mi się udało dopłynąć do owego miasta, co mi się w niem zdarzyło i jaki był powód przysłania darów. Król był w najwyższem zdumieniu z powodu moich słów i rozkazał dziejopisom nadwornym, żeby zapisano moją opowieść i przechowano w księżnicy na pożytek każdemu, który ją odczyta.

## THALABI

(um. w r. 1036)

### Z KSIĘGI OPOWIEŚCI O PROROKACH

Opowiadają znawcy spraw dawnych ludzi, że gdy Salomon, syn Dawida, pokój ich pamięci, skończył budowę świątyni, postanowił odbyć pielgrzymkę do świętych miejsc (Mekki). Zaczął się więc gotować do drogi, a towarzyszyli mu ludzie, duchy, djabły, ptaki i zwierzęta, tak, że orszak jego miał długość stu parasangów. Król dał rozkaz łagodnym wiatrom, które poniosły wszystkich.

A gdy dotarli do miejsc świętych, król Salomon spędził tam tyle czasu, ile było w woli Boga, złożył ofiary, spełnił przepisane obrzędy, zwiastował swemu ludowi przyjście naszego proroka Mahometa, niech go Bóg ma w swej opiece, i opowiedział im, że Mahomet jest Panem i Pieczęcią Proroków, i że wszystko to zostało już stwierdzone w Piśmie Świętem. Następnie postanowił udać się do ziemi Jemeńskiej.

Wyszedł więc z Mekki nad ranem, skierował się w stronę Jemenu i znalazł się

w południe w Sanaa. A była to droga całego miesiąca. Tu ujrzał ziemię piękną, błyszczącą zielonym kobiercem traw. Postanowił więc zejść na nią, pomodlić się i posilić. Zaczęto szukać wody, i nie można było jej znaleźć.

A przewodnikiem królewskim w poszukiwaniu wody był zawsze ptak dudek. Widział on wodę pod ziemią, jak człowiek widzi przez szkło, i poznawał miejsce wody i jej głębokość, poczem przychodziły duchy i wydobywały ją nazewnątrz.

Gdy się Salomon spuścił na ziemię, dudek pomyślał, że król jest zajęty lądowaniem. Uniósł się więc pod niebiosa, potoczył wzrokiem jak świat długi i szeroki, spojrział na lewo i na prawo i ujrzał ogród Bilkisy. Zwrócił się w stronę Jemenu i spadł na ziemię. Wtem zobaczył przed sobą dudka jemeńskiego i pomknął w jego stronę. A było na imię dudkowi Salomona Ja'afur, dudek zaś jemeński nazywał się Ufair.

«Skąd przybywasz i dokąd dążysz?» — zapytał Ufair Ja'afura.

«Przybywam z Syrii» — odrzekł tamten — «z moim panem Salomonem, synem Dawida, niech ich Bóg ma w swej opiece».

«A kto jest Salomon, syn Dawida?»

«Jest to król duchów, ludzi, djabłów, zwierząt i wiatrów. A ty skąd jesteś?»

«Ja jestem z tych okolic».

«A kto jest królem tego kraju?»

«Kobieta».

«A jak się nazywa?»

«Nazywa się Bilkisa» — odparł dudek jemeński. — «A jeżeli twój pan ma potężne królestwo, to królestwo Bilkisy nie jest mniejsze od niego. Jest ona królową całego Jemenu; pod jej władzą znajduje się dwanaście tysięcy naczelników rodów, a każdy naczelnik ma sto tysięcy wojowników. Chcesz polecieć ze mną i przyjrzeć się jej królestwu?»

«Obawiam się, że król Salomon będzie mnie szukał w porze modlitwy, kiedy będzie potrzebna woda do umywania rąk».

«Twój pan» — rzekł dudek jemeński — «uciesz się, kiedy do niego przylecisz z wiadomościami o tem królestwie».

Dudek polecał z nim, aż przybyli do Bilkisy. Zaczął oglądać jej królestwo i wrócił do Salomona dopiero na modlitwę przedwieczorną.

Tymczasem Salomon spuścił się był na ziemię, i nastąpiła godzina modlitwy przedwieczornej. Kazał więc przywołać do siebie dudka. A było to dlatego, że się opuścił na miejscowość, w której nie było wody. Zaczął pytać ludzi o wodę. Odpowiedziano mu: «Nie znamy tu żadnej wody». Zaczął zapytywać duchów i djabłów. Odpowiedzieli: «Nie wiemy». Zauważono więc nieobecność dudka. Zaczęto go szukać, ale nie można go było znaleźć. Rozgniewany Salomon zaczął mu się wygrażać.

Jak opowiadają, przyczyną tego, że spostrzeżono nieobecność dudka i zaczęto o niego wypytywać, było, iż był nieobecny w szeregu. Mianowicie za każdym razem, gdy Salomon spuszczał się na ziemię, ptaki zasłaniały jego orszak od słońca. Tego dnia król zauważył, że miejsce dudka było puste. Kazał więc przywołać naczelnika ptaków — a był nim sęp — i zapytał go o dudka.

«Niech Bóg ześle szczęście królowi» — zawołał sęp. — «Nie wiem, gdzie się znajduje, i nigdzie go nie posłałem».

Salomon rozgniewał się srodze i wykrzyknął:

«Zaprawdę, ukarzę go surową karą i potnę go w kawałki, chyba że przyniesie mi jasne usprawiedliwienie i oczywiste wytłumaczenie (Koran, Sura 27, wiersz 21).

Następnie zawołał orła, Pana Ptaków, i zawołał doń:

«Natychniast sprowadzić mi tu dudka!»

Orzeł wzbił się wysoko, aż dosięgnął niebios, spojrział na świat, który leżał przed nim, jak misa przed człowiekiem, rzucił okiem na prawo i lewo. Nagle ujrzał dudka, nadlatującego od strony Jemenu. Orzeł spadł na niego, żeby go pochwycić. Zobaczył to dudek i zrozumiał, że orzeł ma złe zamiary. Zaczął go więc zaklinać imieniem Bożem:

«Błagam cię imieniem Tego, który ci dał moc i władzę nade mną, ulituj się i nie czyni mi nic złego!»

Orzeł pohamował się.

«Biada ci!» — zawołał. — «Bodajby cię matka straciła! Patrz! Prorok Boży Salomon przysiągł, że cię ukarze i potnie w kawałki».

Oba ptaki poleciały w kierunku Salomona. A gdy się zbliżyły do obozu, wyleciał na ich spotkanie sęp, i wszystkie ptaki zawołały:

«Gdzie się podziewałeś dziś cały dzień? Prorok Boży Salomon zagroził ci wielką karą». I opowiedziały mu wszystko, co mówił król.

«A jakie zastrzeżenie uczynił Prorok Boży?» — zawołał dudek.

«Król rzekł: «Chyba gdy przyniesie mi jasne usprawiedliwienie».

«W takim razie» — zawołał dudek — «jestem ocalony!»

Następnie orzeł i dudek polecili w dalszą drogę, aż przylecieli do Salomona. Król siedział na tronie. Sęp rzekł:

«Sprowadziłem ci go, o Proroku Boży!»

Dudek zaczął się zbliżać do króla, schyliwszy głowę na znak pokory przed Salomonem i spuściwszy ogon i skrzydła, aż, powłócząc po ziemi, zamiatały proch przed stopami króla. Salomon wyciągnął rękę, wziął go za głowę i zawołał:

«Gdzie byłeś? Ukarze cię surową karą».

Dudek rzekł:

«O Proroku Boży! Pamiętaj, że jesteś w mocy Boga Potężnego, Wspaniałego!»

Gdy usłyszał to Salomon, zadrzał, i gniew nad ptakiem ucichł. Następnie zaczął go rozpytywać:

«Co cię zatrzymało, że byłeś tak długo nieobecny?»

Dudek odrzekł:

«Zwiedziłem kraje, których nigdy nie zwiedzałeś, i przyniosłem ci prawdziwe wiadomości o kraju Saba. Dowiedziałem się, że panuje w tym kraju królowa, obdarzona wszelkimi cnotami, zasiadająca na potężnym tronie. Dowiedziałem się, że ona i jej lud czczą słońce miast Boga. Szatan daje im widzieć swe występki w pięknych barwach i sprowadza ich z prawej drogi, i idą manowcami (Koran, Sura 27, wiersz 22—24).

Gdy dudek opowiedział królowi wiadomość o Bilkisie, zawołał Salomon:

«Przekonamy się, czy powiedziałaś prawdę, czy też należysz do tych, co nieprawdę powiadają».

Następnie dudek zaprowadził ich do wody i wykopali studnię. Gdy wszyscy ugasilili pragnienie, Salomon kazał napisać następujące pismo:

«Od sługi Bożego Salomona, syna Dawida, do Bilkisy, królowej Saby: W imię Boga Litościwego, Miłosiernego! (Koran, Sura 27, 27—31). Pokój tym, którzy idą za prawdziwym przewodnictwem. A następnie: nie wynoście się w pysze przeciwko mnie, lecz przyjdźcie do mnie, powierzając się mnie» (Koran, Sura 27, 30—31).

Salomon zapieczętował pismo swoją pieczęcią i rzekł do dudka:

«Weź to pismo i rzuć je im. Następnie odleć od nich, ale trzymaj się w pobliżu i zobacz, jaką dadzą odpowiedź».

Dudek wziął pismo i zaniósł je Bilkisie. Królowa znajdowała się wówczas w miejscowości zwanej Maarib, o trzy dni drogi odległej od miasta Sanaa.

Kiedy dudek przyleciał do zamku, bramy były zamknięte. Królowa miała zwyczaj, kładąc się do snu, zamykać drzwi na noc i chować klucze pod wezglowie. Kiedy dudek przyleciał, królowa spała, leżąc nawznak. Dudek rzucił jej list na pierś.

Jak powiada Wahb ibn Munabbih, w sypialni królowej było małe okienko, do którego padały promienie słońca w chwili, gdy wschodziło. W tej chwili królowa budziła się ze snu, wstawała i składała modły słońcu.

Do tego okienka przyleciał dudek i zasłonił je skrzydłami. Słońce weszło, ale królowa o tem nie wiedziała. Zastanowiło ją, że słońce tak się spóźnia, wstała więc, żeby wyrzeć. W tej chwili dudek rzucił jej pismo w twarz.

Opowiadają, że Bilkisa schwyciła pismo — a umiała czytać i pisać. Gdy ujrzała pieczęć, zadrzała i schyliła głowę. W pieczęci bowiem był majestat Salomonowy. Królowa poznała, że ten, kto posłał to pismo, jest bardziej potężnym królem niż ona, i zawołała: «Król, którego gońcami są ptaki, jest zaprawdę potężnym królem...»

## ŚMIERĆ ALEKSANDRA WIELKIEGO

Opowiadają, że Iskander, ten, którego nazywano Dwurogim (Aleksander Macedoński), panował po swym ojcu, a jego mistrzem był mędrzec Arystoteles. A była potęga Aleksandra wielka, jego państwo wielkie, jego rządy silne, były mu zaś pomocne jego mądrość, rozum i wiedza. Posiadał tężyznę, odwagę i dzielność niezwykłą, które go natchnęły myślą napisania do królów wszelkich krajów i ziem z nawoływaniem do posłuszeństwa i hołdowania mu. Królowie greccy, którzy żyli przed nim, składali daninę królowi ziemi babilońskiej, z powodu potęgi tego państwa i jego wielkiej siły a słabości państw ościennych.

Gdy Aleksander napisał do króla Persji, nawołując go do hołdu, wydało się to tamtemu bezczelnem. Więc wyruszył na wyprawę wojenną, aż dotarł do ziemi perskiej. A królem Persów był wówczas Dārā (Darjusz). Aleksander stoczył z nim bitwę, aż go zabił i przywłaszczył sobie jego skarby królewskie, i poślubił jego córkę. Następnie wyruszył, przeszedł po kraju, wymordował ilu było satrapów i naczelników i zdobył kraj.

Stamtąd udał się do ziemi indyjskiej. Król Indyj wyruszył na jego spotkanie. Aleksander pobił go w bitwie, uśmiercił i zamianował królem Indyj jednego z oddanych mu ludzi, z ludności tubylczej, poczem powrócił do ziemi babilońskiej, ujarzmiwszy cały świat. A gdy się znalazł w części Iraku, najbliższej położonej do Mezopotamji, zachorował. Choroba go zmogła.

Gdy już stracił wszelką nadzieję i zrozumiał, że śmierć nań przyszła, napisał list do matki, pocieszając ją z powodu swej zbliżającej się śmierci, a w końcu listu dodał:

«Przyrządź strawę i zaproś niewiasty, które są pod twemi rozkazami w państwie, ale niech nikt nie tknie jedzenia, komu kiedykolwiek wydarzyło się jakieś nieszczęście».

Matka przyrządziła jedzenie, zgromadziła niewiasty i zapowiedziała, aby nikt nie jadł, komu się kiedykolwiek wydarzyło nieszczęście. I ani jedna z nich nie tknęła potrawy. Wtedy matka zrozumiała, co chciał syn powiedzieć.

A Aleksander umarł w miejscowości, z której pisał do matki. I zebrali się jego towarzysze, spowili go w całuny, zabalsamowali i włożyli do trumny szczerozłotej. Następnie stanął nad nim największy z filozofów, zwrócił się do jednego z obecnych myślicieli i zawołał:

«O grono mędrców, niech każdy z mężów powie słowo, które byłoby pociechą dla szlachetnie urodzonych i nauką dla gminu».

I wstał jeden z uczniów Arastātālisa (Arystotelesa), uderzył ręką w trumnę i zawołał: «O Aleksandrze, co cię uczyniło milczącym, o potężny, co cię uczyniło słabym, o myśliwy, jak trafieś na miejsce polowania, w sidła tego, który cię złowił!»

Następnie wstał inny i zawołał:

«Oto mocny, który dziś tak rychło się stał słaby, i potężny, który się dziś tak rychło stał bezsilnym!»

I wstał inny i rzekł:

«Twoje miecze nie zasychały, czynom twojej zemsty nie dawano wiary, na twoje grody nie napadano, twoje dary się nie wyczerpywały, twój blask się nie przyćmiewał, i nagle twój blask zgasł, a twoja zemsta przestała budzić obawę, nagle twoje dary przestały budzić nadzieje, twój miecz już nie jest dobywany z pochwy, twoje grody nie są bronione!»

I wstał inny i rzekł:

«Twój głos budził strach, a twoje królowanie było przemożne. Jak rychło twój głos się urwał, a twoje panowanie omdlało!»

I wstał inny i zawołał:

«Poruszył nas Aleksander swym spokojem i rozwiązał nam języki swem milczeniem!»

Tak oni mówili. Poczem trumna została zamknięta i wywieziona do Aleksandriji.

## OPOWIEŚĆ O KRÓLU HADHĀD

Opowiadają, że pewien król, zwany Hadhād, wyszedł na polowanie w orszaku swych sług i dworzan i ujrzał gazelę, prześladowaną przez wilka. Już wilk ją tak

przyparł, że nie było dla niej ratunku. Więc król uderzył na wilka, odpędził go od gazeli, ocalił ją od jego pazurów i poszedł jej śladami, aż się oddzielili odeń jego towarzysze.

Gdy tak szedł, ukazało mu się potężne miasto, pełne wszelakiego dobytku, trzody owczej i stad wielbłądzych, drzew palmowych i zbóż oraz wszelkich rodzajów owoców. I stanął król przed niem, dziwiąc się temu, co się jego oczom ukazało, gdy nagle zbliżył się doń mąż z mieszkańców tego miasta, pozdrowił go i powitał, następnie rzekł doń:

«O królu, oto widzę cię zdziwionym tem, co ci się dnia dzisiejszego ukazało».

Rzecz doń Hadhād:

«Rzeczywiście, dziwię się, jakeś rzekł. A co to jest za miasto i kto są jego mieszkańcy?»

Rzecz ów:

«Jest to miasto Ma'rib, jego mieszkańcy należą do jednego z plemion duchów, ja zaś jestem ich królem i władcą».

Gdy tak byli zajęci rozmową, przeszła obok nich niewiasta, nad którą nikt z widzających nie widział piękniejszej licem, ani bardziej doskonałej budową, ani bardziej przyczystej urokiem, ani bardziej czarującej zapachem. Hadhād uległ jej urokowi, i zrozumiał król duchów, że tamten ją pokochał i pożąda. Więc rzecz doń:

«Jeżeli jej pragniesz, to wiedz o tem, że jest to moja córka i mogę ci ją dać za żonę».

Hadhād powiedział mu: «Bóg zapłać», poczem demon spytał go:

«Czy ją znasz?»

Odpowiada Hadhād:

«Nie widziałem jej aż do dnia obecnego».

Rzecz demon:

«Ona jest gazelą, którąś ocalił od wilka, i nigdy nie potrafimy ci się odwdzięczyć za twój piękny czyn, chyba gdybyśmy cię nią obdarzyli. Więc gotuj się do jej poślubienia, gdyż oddaję ci ją wobec Boga i wobec jego zastępów anielskich. Zatem jeżeli się na to zgadzasz, przybądź do nas w orszaku twoich domowników i książąt twego ludu, aby byli świadkami jej zaślubin i byli obecni na jej uczcie weselnej. Pora oznaczona — w najbliższym miesiącu».

Na tem rozmowa została zakończona, miasto znikło mu z oczu, i nagle stanął przed nim jego orszak, otaczając go dokola i zapytując:

«Gdzie byleś? Jesteśmy w poszukiwaniach od chwili, gdyś od nas odszedł, i nie przepuściliśmy ani jednego zakątka tej puszczy, któregośmy nie przeszukali».

Opowiadają, że Hadhād stawił się na umówione spotkanie i ujrzał zamek, który mu zbudowały duchy w pustyni, otoczony drzewami palmowemi i winnicami, oraz polami pełnemi rozlicznego zboża i sadami różnego gatunku owoców, przez które przepływały bystre rzeki. Wielce się dziwili ludzie temu wszystkiemu, widząc tak wielkie bogactwa.

Następnie wkroczyli do zamku po dywanach, jakich nigdy nie widzieli, poczem postawiono przed nimi stoły, pełne jadła różnego rodzaju, od których nigdy nie byli zakosztowali nic lepszego smakiem i bardziej przyjemnego zapachem. Pito napoje, od których nigdy dotychczas nie pili nic bardziej słodkiego i łagodnego.

Tak spędzili tam trzy dni i trzy noce, poczem oblubienica, córka króla duchów, została odprowadzona do swego małżonka, a Hadhād pozwolił swym dworzanom i współplemieńcom powrócić do swych siedzib, i zamek ów stał się jego stolicą.

#### O HOJNOŚCI KRÓLEWSKIEJ

Opowiadają, że król Chozru, syn Parwiza, lubił ryby. Pewnego dnia siedział na tarasie w towarzystwie Sziriny. Wtem ukazał się rybak z wielką rybą i złożył ją w darze królowi. Król rozkazał mu wydać cztery tysiące drachm. Szirin rzekła:

«Źle zrobicieś».

«Dlaczego?» — spytał król.

«Dlatego, że byłoby lepiej, gdybyś dał taką sumę komuś z twych dworzan».

«Tak uczyniłbym, gdyby mi złożył taki dar, jak ten rybak. Zresztą — dodał — masz słuszość. Ale nie przystoi królowi cofać swe dary. Sprawa już przepadła».

«Ja ci tę sprawę załatwię» — rzekła Szirin.

«Jakim sposobem?»

«Zawołaj rybaka» — rzekła — «i spytaj go: czy ta ryba jest samcem czy samicą? Jeżeli powie «samiec», to powiedz «chciałem samicy». A jeżeli powie «samica», to powiesz «chciałem samca».

Zawołano rybaka, i wrócił. A był to człowiek sprytny i doświadczony. Król spytał go:

«Czy ta ryba jest samcem czy samicą?»

Rybak ucałował przed nim ziemię i rzekł:

«Ta ryba jest hermafrodytą, ani samiec, ani samica».

Chozru roześmiał się z jego odpowiedzi i kazał mu znów wydać cztery tysiące drachm. Rybak poszedł do skarbnika, odebrał cztery tysiące drachm, schował je do torby, którą miał z sobą, i przewiesił ją przez plecy.

Kiedy w pośpiechu wychodził, wypadła mu z worka jedna drachma. Rybak złożył worek na ziemię, schylił się po monetę i podniósł ją.

Król i Szirin przyglądali się temu.

«Czy widziałeś — rzekła Szirin do króla — skąpstwo tego człowieka? Spadła mu jedna drachma na ziemię, więc zostawił tamte ośm tysięcy drachm i schylił się po tę jedną. Nie zdobył się na to, by ją zostawić, żeby ktoś ze służby królewskiej mógł ją podnieść».

Rozgniewało to króla i zawołał:

«Masz słuszość, Szirin».

Następnie kazał zawrócić rybaka i rzekł doń:

«O ty, zbłąkany w troskach doczesnych, nie jesteś człowiekiem! Zdjąłeś z pleców worek z takim majątkiem dla jednej jedynej drachmy i nie mogłeś się zdobyć na to, aby ją zostawić na ziemi».

Rybak ucałował ziemię pod stopami królewskimi i rzekł:

«Niech ci Bóg da długi żywot, królu. Podniosłem tę drachmę nie dlatego, że ma wartość w moich oczach. Podniosłem ją dlatego, że na jednej stronie ma wizerunek króla, a na drugiej imię królewskie. Obawiałem się, że przyjdzie ktoś i nieświadomie postawi na niej stopę. W ten sposób imię królewskie będzie lekceważone, a ja będę winowajcą tego grzechu».

Chozru był zdumiony tą odpowiedzią. Spodobały mu się te słowa, i kazał wydać rybakowi jeszcze cztery tysiące drachm.

Rybak opuścił pałac królewski z dwunastu tysiącami drachm w worku. A Chozru kazał heroldowi ogłosić w całym państwie:

«Niech się nikt nie kieruje radami kobiet. Kto słucha rady kobiecej i postępuje według ich słów, traci swoje pieniądze».

## AL-MUCHAQQIQ

### Z DZIEŁA P. T. «OZDOBA TARGÓW MIŁOSTKAMI KOCHANKÓW»

#### Śpiewaczka z Bagdadu

Opowiadają, że był w Bagdadzie człowiek, posiadacz bogactw. Kochał on niewolnicę, posiadającą najwyższą piękność i umiejętność śpiewu i gry. Tak długo wydawał na nią wszystko, co posiadał, aż zbiedniał i znalazł się w położeniu bez wyjścia. Poszedł więc do jednego ze swych przyjaciół po radę, co ma uczynić. Przyjaciel poradził mu, żeby jej pozwolił śpiewać po domach ludzi.

Człowieka ta rada zmartwiła.

«Śmierć milsza mi» — rzekł do niej — «niż to».

«Moje zdanie jest» — odrzekła — «żebyś mnie sprzedał. Cena, którą weźmiesz

za mnie, przywróci ci twoje dawne bogactwo, a ja również będę opływała we wszelką rozkosz. Nikt prócz bogacza nie kupi takiej jak ja».

Człowiek ów zaprowadził ją na rynek. Tu kupił ją pewien Haszimita z Basory za 1.500 denarów. Gdy ów człowiek przyjął pieniądze i uprawomocnił sprzedaż, oboje zostali pogrążeni w najgłębszą rozpacz i zaczęli płakać i zawodzić. Próbował nawet unieważnić sprzedaż, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Opowiada dalej:

«Wyszedłem więc, nie wiedząc, dokąd pójść. Nie mogłem wrócić do mojego domu, w którym już jej nie było. Wszedłem więc do świątyni, położyłem sakiewkę pod głowę i po długim płaczu zasnąłem. Przebudziłem się dopiero wówczas, gdy poczułem, że mi wyciągają sakiewkę z pod głowy. Zerwałem się z miejsca, żeby pobiec za złodziejem. Wtem patrzę — nogę mam przywiązaną powrozem do słupka. Nim ją odwiązałem, człowiek znikł. Mocno zmartwiony, wyszedłem z świątyni, zasłoniłem twarz, poszedłem do Tygrysu i skoczyłem do wody, żeby się utopić i umrzeć. Ludzie obecni na brzegu wyciągnęli mnie z wody, sądząc, że wpadłem przez nieuwagę. Opowiedziałem im moje przygody. Jedni zaczęli mnie ganić, inni kiwali głową z politowaniem. Jeden z nich, starszy człowiek, wziął mnie na stronę i zaczął mi radzić.

«Nie jesteś» — rzekł — «pierwszym człowiekiem, który był bogaty i zbiedniał. Niedosć, żeś stracił mienie, chcesz jeszcze stracić żywot, umrzeć w grzechu jako samobójca i pójść do piekła?»

Na te słowa moje wzruszenie nieco się uspokoiło.

Potem znów mnie opadło zmartwienie, i zacząłem wylewać skargi przed pewnym przyjaciąłem. Ten poradził mi, żebym opuścił Bagdad: dzięki pięknemu piśmie może znajdę u któregoś z dygnitarzy posadę pisarza. Dał mi pięćdziesiąt drachm. Postanowiłem udać się do miasta Wasyt, w którym miałem przyjaciąła pisarza. Poszedłem do portu i zobaczyłem statek gotowy do odjazdu. Zacząłem prosić, żeby mnie zabrali z sobą.

«Możemy cię zabrać za dwie drachmy» — rzekli — «ale statek należy do pewnego Hāszimity, który nie chce zabierać z sobą nikogo obcego. Przebierz się w nasze ubranie, jakgdybyś był jednym z marynarzy».

Przyszło mi na myśl, że statek należy do tego samego człowieka, który kupił moją niewolnicę. Pomyślałem sobie: nacieszę się przynajmniej jej głosem aż do Wasytu, jeżeli to jest ten sam człowiek. Kupiłem kaftan, przebrałem się za marynarza i zmieszałem z załogą statku. Niedługo potrwało, i zjawiała się moja niewolnica w towarzystwie swego pana. Rozbito dla niej namiot i oboje weszli. Gdy nastąpił wieczór, zjedli i wypili, i Hāszimita rzekł do niewolnicy:

«Jak długo będziesz się smuciła i odmawiała śpiewu? Czy jesteś pierwszą niewolnicą, która się rozstała ze swym panem?»

Zaczęto na nią nalegać. Niewolnica wzięła lirę i zaczęła śpiewać...

## 'USJŪTĪ

Z UTWORU P. T. «AL MARDŹ AN-NADHIR»

Opowiada mistrz, kapłan, mąż uczony, Szihab ad-Din abū-Szāma, niech go Bóg Najwyższy ma w swojej opiece: Stało się dnia szesnastego miesiąca Rabi I, roku sześćset czterdziestego piątego: Został ukrzyżowany niewolnik turecki, dojrzały młodzieniec, należący do jednego z naczelników Sālichitów Nadżmitów.

Powiadają, że z jakiegoś powodu zabił swego pana. Ukrzyżowano go na brzegu rzeki Baradā, u podnóża twierdzy, w strzeżonym przez Boga mieście Bagdadzie. Ukrzyżowano go twarzą zwróconą na wschód. Przybito mu dłonie, ramiona i stopy. Tak wisiał na krzyżu od południa w piątek aż do południa dnia niedzielnego, poczem dopiero wyzionął ducha.

Znany był z swojej dzielności, mądrości i bogobojności. Razem z swym panem brał udział w wyprawie na Askalon i zabił wielu Franków. W młodych latach własną ręką zabił lwa. Gdy go przybijano do krzyża, okazał niezwykłą dzielność ducha. Na



krzyż szedł dobrowolnie, nie czekając, aż go gwałtem popędzą. Gdy go umieszczono na krzyżu, podał dłonie, które przebito gwoździami; następnie przybito mu stopy. Przez cały czas patrzył spokojnie, nie wydając jęku, nie zmieniając rysów twarzy, nie poruszając ani jednym członkiem ciała. Opowiadał mi ktoś, który był naocznym świadkiem: po ukrzyżowaniu zachowywał się przez cały czas cierpliwie, nie wydając ani jednego dźwięku. W pewnej chwili zaczął prosić, aby mu dano napić się wody, ale mu odmówiono. Ludziom, patrzącym na to, ścisnęło się serce z bólu i litości nad stworzeniem Boga Najwyższego, młodzieńcem w kwiecie wieku, dotkniętym taką straszną męką. Tuż pod nogami ukrzyżowanego płynęła rzeka, a on w strasliwej męce patrzył na nią i napróżno łaknął jednej kropli wody. Ale chwała niech będzie Temu, w którego rękę jest wszelka potęga i sąd. Przed śmiercią miał widzenia i błogie sny, ale już nie widział światła dziennego. Pierwszego dnia jeszcze skarżył się na pragnienie. Później uspokoił się, a Bóg najwyższy dodał mu sił do spokojnego znoszenia mąk.

### O WDZIĘCZNOŚCI

Co dotyczy wdzięczności, ciekawe jest to, co opowiadają o Chasanie ibn Sahl. Opowiada on:

«Pewnego dnia byłem u Barmakidy Jachji ibn Chālid, który wówczas zasiadał dla rozstrzygnięcia jakiejś sprawy Raszida. Gdyśmy tak siedzieli, wszedł tłum ludzi z różnymi sprawami, które Jachjā im załatwił. Ludzie oddalili się. W pokoju został tylko jeden z nich, Achmed ibn Abū-Chālid. Jachjā spojrzął w jego stronę i zwrócił się do swego syna al-Fadla ze słowami:

«Synku, twój ojciec miał kiedyś pewną sprawę z ojcem tego młodzieńca. Kiedy skończę moje zajęcia, przypomnij mi, a opowiem ci».

Kiedy Jachjā skończył zajęcia i posilił się, rzekł doń jego syn al-Fadl:

«Niech ci Bóg doda sił, mój ojczu! Mówiłeś mi, abym ci przypomniał sprawę Abu-Chālida».

«Tak, mój synku — rzekł Jachjā. — Za czasów Mahdīego przyszedłem z Iraku, byłem biedny i nie posiadałem nic. Było mi bardzo ciężko, aż ktoś z moich domowników powiedział do mnie:

«Oto ukrywamy nasz stan przed ludźmi. Ale coraz jest nam gorzej. Od trzech dni niema w domu nic do jedzenia».

Opowiadał dalej Jachjā:

«Płakałem, mój synku, nad tem rzewnymi łzami. Przez długi czas siedziałem w wielkiem strapieniu, pogrążony w głębokich rozmyśleniach, osłupiały i nieprzytomny. Wreszcie przypomniałem sobie chustę, która leżała w naszym domu, i spytałem: «Co się stało z chustą?» Odpowiedziano mi: «Chusta jeszcze jest u nas». «Dajcie mi ją» — rzekłem. Wziąłem ją, dałem jednemu z moich przyjaciół i rzekłem doń: «Sprzedaj ją za tyle, ile dostaniesz». Przyjaciel sprzedał ją za siedemnaście drachm. Wręczyłem je mojej rodzinie i rzekłem: «Wydajcie je, aż Bóg nam ześle inne». Nazajutrz wczesnym rankiem poszedłem do Abū-Chālida, który był wezyrem Mahdīego. Przed bramą pałacu stało dużo ludzi, oczekując jego wyjścia. Wkońcu wezyr ukazał się konno. Gdy mnie zobaczył, przywitał mnie i rzekł: «Jak ci się powodzi?» — Odrzekłem: «O, Abū-Chālidzie, jak się może powodzić człowiekowi, który ze swego mieszkania sprzedał chustę za siedemnaście drachm?» Abū-Chālid rzucił na mnie ostre spojrzenie i nie odrzekł ani słowa. Wróciłem do domu ze złamanem sercem i opowiedziałem rodzinie, co mi się zdarzyło z Abū-Chālidem. Domownicy powiedzieli do mnie: «Źle uczyniłeś, na Boga! Zwróciłeś się do człowieka, który cię brał do wielkich spraw, odsłoniłeś przed nim swoje skryte sprawy, obudziłeś w nim lekceważenie dla ciebie i poniżyłeś przed nim swoją godność. A przecież byłeś przez niego dotychczas tak szanowany. Po dzisiejszym dniu będzie zawsze patrzył na ciebie z pogardą». «Sprawa przepadła» — rzekłem — «teraz cofnąć jej nie można». Nazajutrz rano stałem już przed bramą kalifa. Gdy stanąłem przed bramą, wyszedł do mnie jakiś człowiek i rzekł:

«Wspominano cię dopiero przed władcą wiernych». Nie zwróciłem uwagi na jego słowa. Znow się do mnie zbliżył ktoś i powiedział te same słowa, co pierwszy.

Następnie zbliżył się do mnie dworzanin Abū-Chālida i rzekł: «Gdzie jesteś? Kazał mi Abū-Chālīd, żebym cię zatrzymał tu, aż wyjdzie od władcy wiernych». Usiadłem i czekałem, aż wyszedł. Gdy mię zobaczył, kazał mi podać konia. Wsiadłem i pojechałem z nim do jego domu. Przed domem zsiadł z konia i zawołał: «Natychniast do mnie takich i takich handlarzy pszenicy!» Sprowadzono ich. Wezyr rzekł do nich: «Czy nie kupiliście ode mnie zboża za ośmnaście milionów drachm?» «Tak» — rzekli. «Czy nie zastrzegłem sobie z wami» — mówił dalej wezyr — «że musicie kogoś przyjąć do spółki?» «Tak» — rzekli. Wezyr rzekł: «To jest ten człowiek, którego zastrzegłem sobie spółkę z wami». Następnie rzekł do mnie: «Idź z nimi». Gdyśmy wyszli, rzekli do mnie ci ludzie: «Chodź z nami do jakiegoś meczetu. Pomówimy o sprawie, z której będziesz miał dużo zysku». Weszliśmy do meczetu, poczem obadwaj rzekli do mnie: «W tej sprawie będziesz potrzebował pełnomocników, nadzorców, mierniczych i pomocników. Sam sobie w niczem nie dasz rady. Czyż więc nielepiej ci sprzedać nam twój udział w spółce za gotówkę, którą ci natychmiast wypłacimy? Będziesz miał z tego pożytek i spadną ci z głowy kłopoty i troski». Powiedziałem im więc: «A ile mi za to dacie?» «Sto tysięcy drachm» — rzekli. — «Nie zrobię tego» — odpowiedziałem. I tak długo dodawali mi, a ja się nie zgadzałem, aż wkońcu rzekli do mnie: «Trzysta tysięcy. Więcej ci nie damy». «Muszę wrzody poradzić się Abū-Chālida» — odrzekłem. «Zgadźmy się na to» — rzekli. Poszedłem do Abū-Chālida i opowiedziałem mu. Abū-Chālīd kazał zawołać obu i rzekł do nich: «Zgadźcie się na to, co on mówi?» «Tak» — rzekli. Abū-Chālīd rzekł: «Idźcie natychmiast i wypłaćcie mu pieniądze». Następnie odezwał się do mnie: «Doprowadź twoje sprawy do porządku i przygotuj się, już wyznaczyłem ci urząd». Doprowadziłem moje sprawy do porządku i Abū-Chālīd wyznaczył mi urząd, który mi obiecał. Od tego czasu nie przestało mi się powodzić dobrze, aż moje sprawy doszły do takiego stanu, do którego, jak widzisz, doszły.

Następnie rzekł do swego syna al-Fadla:

«Synku mój, a co powiesz o synu tego, który tak postąpił z twoim ojcem, i jaka jego nagroda?»

Chłopak zawołał: «Przysięgam na moje życie, należy mu się od ciebie sprawiedliwość».

Ojciec rzekł:

«Na Boga, mój chłopcze, nie znajduję innego sposobu odwdzięczenia się, jak tylko opuścić urząd i zamianować jego».

Tak też uczynił.

## DAMĪRĪ

Z DZIEŁA P. T. «CHAJĀT AL-CHAJAWĀN»

O kocie, który żywił innego kota

Opowiada ibn Challikān w żywocie gramatyka imama abu-l-Chasana ibn Babaszād, że pewnego dnia siedział na tarasie meczetu w Kairze i jadł w towarzystwie jednego ze swoich przyjaciół. Wtem przybiegł do nich kot. Rzucono mu kąsek. Kot złapał go i znikł. Po chwili wrócił. Znow rzucono mu kąsek. Kot złapał go i znow znikł. Następnie wrócił znow. Rzucono mu coś. Kot złapał i znikł. Po chwili znow wrócił. Tak robił wiele razy. Za każdym razem rzucono mu kąsek, a on chwycił, zniknął i po chwili znow wracał. Postępowanie kota zdziwiło ich bardzo. Poszli za nim i zobaczyli, że kot brał jedzenie i biegł z niem do jakiegoś pustego miejsca, gdzie na tarasie domu siedział ślepy kot, przed którym kładł przynieszone jedzenie.

Dziwiło to ich bardzo, a ibn Babaszād zawołał:

«Jeżeli temu niememu zwierzęciu Bóg zesłał tego kota, z którego łaski żyje, i Bóg nie odmówił mu powszedniego chleba, jakże Bóg może opuścić takie stworzenie jak ja?»

Po tych słowach opuścił wszystkie sprawy doczesne, porzucił służbę u sułtana, zamknął się w domu i wyrzekł wszelkich trosk, pokładając ufność w Bogu najwyższym aż do swej śmierci.

## AL-KALJŪBI

Z UTWORU P. T. «NAWADIR»

## O prośbie dwóch ślepych

Opowiadają, że dwaj ślepy siedzieli na drodze Umm Dzaafar, słynnej z dobroczynności. Jeden z nich miał liczną rodzinę i wciąż powtarzał: «Boże, ześlij mi chleb powszedni z twojej wielkiej łaski!» Drugi był człowiekiem samotnym, bez rodziny, i wciąż mówił: «Boże, ześlij mi chleb powszedni z łaski Umm Dzaafar». Ta posyłała zwykle dwie drachmy temu, który prosił o łaskę Bożą, a temu, który prosił o jej łaskę, posyłała dwa bochenki chleba i kurę pieczoną, która miała w żołądku dziesięć denarów, o czym mu nie mówiła. Żebraka martwiło to, że tak mało dostaje, więc mówił do drugiego: «Bierz te dwa bochenki i kurę, a daj mi dwie drachmy». Drugi tak czynił. I przeszedł miesiąc.

Pewnego dnia Umm Dzaafar posłała z zapytaniem:

«Zapytajcie tego, co prosił o naszą łaskę: Czy wzbogacił cię nasz dar?»

Żebrak odpowiedział posłanym: «Zapytajcie ją: Co takiego mu dałaś?» Kobieta rzekła: «Trzysta denarów». Żebrak rzekł: «Ależ nie, na miłość Boską! Codziennie posyłała mi kurę i dwa bochenki, i sprzedawałem je mojemu towarzyszkowi za dwie drachmy». Umm Dzaafar rzekła: «Ten człowiek ma słuszość. Jeden prosił o łaskę Bożą i Bóg mu zesłał bogactwo, skąd się go nie spodziewał, gdzie bogactwa nie szukał. A drugi prosił o naszą łaskę i Bóg mu też okazał miłosierdzie».

## Opowiadanie o mniszem ziele

Opowiada Chasan ibn Muchammed w dziele «Literackie rumaki na chwałę konopi»:

Spytałem szejcha Dzaafara, syna Muchammeda Szirazyjskiego z zakonu Chajdarytów w miejscowości Tostar, w roku 658, o okolicznościach odkrycia tego ziele, o jego rozpowszechnieniu wśród mnichów, a następnie o jego rozpowszechnieniu wogóle. Na to odpowiedział mi, co następuje:

«Naczelnik wszystkich szejchów Chajdar był mężem wielkiej pobożności, gorącej żarliwości w wierze i wielkiego umiarkowania w jedzeniu. Ojczyzną jego był Niszapur, jedno z miast Chorasanu, ale przebywał stale na pewnej górze między Niszapurem a miejscowością Ramah. Na tej górze założył klasztor, w którym żyła pewna liczba mnichów. On sam przebywał w odosobnieniu, w głębi klasztoru, i żył tam dziesięć lat, nie wychodząc z celi i nie widząc nikogo prócz mnie, zawsze gotowego do jego usług».

Dzaafar opowiada dalej: «Pewnego dnia starzec poszedł w pole — upał był silny około południa — następnie wrócił z twarzą rozradowaną i ucieszoną, rozpromienioną, zupełnie inną niż zwykle. Pozwolił wejść swym zwolennikom i zaczął z nimi rozmowę. Widząc szejcha w tym miłym nastroju po tylu latach osamotnienia i milczenia, spytailiśmy go o powód tej przemiany. Szejjch odpowiedział:

«Gdy siedziałem samotny, przyszło mi na myśl przejść się po polu. W drodze przyglądałem się roślinom. Nie było żadnego wiatru, upał był silny. Wszystkie rośliny stały cicho, nie poruszając się wcale. Ale przechodząc koło jednej, pokrytej liśćmi, zauważyłem, że się w tem spokojnem powietrzu mile dla oka chwiała i łagodnie się poruszała, jak się słania na nogach człowiek pijany. Zacząłem zrywać liście i żuć je. Nagle spłynął na mnie spokój, którego jesteście świadkami. Wstańmy więc, a zaprowadzę was do niej i poznacie jej kształt».

Dzaafar opowiada dalej: «Wyszliśmy w pole i szejch zaprowadził nas do rośliny. Gdyśmy ją ujrzeli, powiedzieliśmy mu: «Ta roślina nazywa się konopie». Szejjch kazał nam zerwać trochę liści i zjeść. Uczyniliśmy to i wróciliśmy do klasztoru. Tu nagle znaleźliśmy w naszym sercu radość i błogość, jakiej nie potrafilibyśmy opisać. Gdy szejch zobaczył nas w nastroju, którego sam doświadczał, nakazał nam zachować ta-

jemnicę tej rośliny i wziął od nas przysięgę, że nie rozpowszechnimy wieści o niej w szerszych kołach ludności. Nie kazał nam jednak ukrywać tej nowiny przed mnichami. Szejjch rzekł do nas:

«Zaprawdę Bóg Najwyższy obdarzył was tajemnicą tego zieleń, żeby odegnąć od was gnębiące troski i jego działaniem uczynić wasze myśli bardziej jasnemi. Zachęcajcie więc starannie to, co wam powierzył, i utrzymajcie w tajemnicy, co pod waszą pieczę oddał».

Szejjch Dżaaфар opowiadał dalej:

«Zasiałem roślinę w klasztorze szejjcha Chajdara. Przez całe jego życie przestrzegaliśmy tajemnicy. Szejjch nakazał nam po jego śmierci zasiać roślinę dokoła jego grobu. Szejjch żył potem dziesięć lat. Byłem zawsze na jego służbie i nie widziałem, żeby choć na jeden dzień przerwał kiedykolwiek zażywanie tej rośliny. Zalecał nam również jeść mało, natomiast częściej zażywać tego zieleń. Zasnął w Bogu Szejjch Chajdar w roku 618, w swym klasztorze na górze. Nad jego grobem wzniesiono wielką kopułę. Ludność Chorasanu znosiła mu liczne dary wotywnie. Ceniono bardzo jego cudotwórstwo, pielgrzymowano do jego grobu, a towarzyszków jego uważano za świętych. Na łożu śmierci nakazał swym towarzyszom zapoznać szlachetnych i znamienitych ludzi Chorasanu z rośliną i jej tajemnicą».

Opowiada dalej szejjch Dżaaфар:

«Od tego czasu roślinina coraz bardziej rozpowszechniała się na ziemiach Chorasanu i innych prowincyj Persji».

### ABDALQĀDIR AL-DĪZĪRĪ

(około r. 1558)

Z DZIEŁA P. T. «UMDAT AŞ-ŞAFRA FI CHILL AL-KAHWA», CZYLI «JASNE DOWODY USPRAWIEDLIWIENIA KAWY».

O treści podania, jakie zostało spisane w czcigodnym mieście Mecce w sprawie kawy, oraz o reskrypcie sultana, który nastąpił w odpowiedzi na zapytanie, w związku z pobudkami, jakie w niem zostały wyłuszczone, wreszcie streszczenie opinii uczonych za użyciem kawy i przeciw niej, oraz zdania rzeczoznawców i t. d.

Oto, jakie było brzmienie owego podania: Wydarzył się następujący wypadek, dotyczący religii: Nasz Pan czcigodny, Abū-n-naşr Qānşuh al Ghauri, gdy go Allah Najwyższy uczynił sługą obu świętych miast, mianował Jego Ekscelencję Chajrbeka al-Mi'mara na wysoki urząd mochtetiba (nadzorcy targu) świętego miasta Mekki oraz paszą niewolników sultana w tem mieście. Oto, co mu się wydarzyło w nocy poprzedzającej dzień piątkowy, dwudziesty trzeci miesiąca Rabi' I, roku dziewięćset siedemnastego (ery Proroka). Odprawiwszy ostatnie modły wieczorne w świętym meczecie razem z zebranymi wiernymi, według zwyczaju, okrążył ze zwykłą sobie pobożnością świętą Kaabę, pocałował na początku i wkońcu tego obrzędu Czarny Kamień, następnie zatrzymał się przy multezemie (najświętszej części Kaaby) w rozmyślnościach i pogrążył w modłach, jak długo mu się podobało, odprawił przy stacji Abrahamowej modły, obowiązkowe przy Pokłonach, towarzyszących okrążeniu, odmawiając tyle modlitw, ile zapragnął, napił się ze Źródła Zemzem i znów się pomodlił dowoli, poczem wyszedł z miejsca Okrążeń i skierował się ku swemu domowi.

W drodze spostrzegł ludzi, którzy się zebrali w jednym z podwórzcy świętego przybytku. A zebrał ich tam Sajt-ad-din Qorqumās an-Nāşiri, jakoby zamierzając święcić dzień narodzenia Proroka, niech Go Bóg ma w swej opiece. Więc się zbliżył do nich. Ale zanim doszedł, ludzie ci zagasili zapalone pochodnie. Obudziło to w nim pewne podejrzenie. Więc posłał do nich, polecił zbadać sprawę i przekonał się, że mieli między sobą coś, czem się raczyli, jak się ludzie raczą winem. A mieli z sobą puchar, który sobie podawali z rąk do rąk, zaś wyżej wymieniony Qorqumās właśnie czerpał napój i nalewał do szklenicy.

Kiedy się o tem Emir dowiedział, zganiał to bardzo, tem bardziej, że pełnił obo-

wiązki mochtesiba, którego funkcja właśnie polega na nakazywaniu rzeczy godnych i zakazywaniu rzeczy zdroźnych.

Następnie jął rozpytywać o wspomniany napój. Powiedziano mu, że napój ten w tych czasach zaczął się rozpowszechniać, że nazywany jest kawą, że jest to odwar lupiny pewnego ziarna, które sprowadzają z krainy Jemenu, a nazywają *bunn*, że używanie pomienionego napoju wielce się rozpowszechniło w Mecce, sprzedawany zaś bywa w zakładach, podobnych do winiarni. Zbierają się dla spożywania tego napoju rozmaici ludzie, zarówno mężczyźni, jak kobiety, z bębami, skrzypcami i innymi rozweselającymi instrumentami. W miejscach, gdzie napój bywa sprzedawany, zbierają się też ludzie, grywający w szachy, grę, zwaną *mankala*, i inne gry pieniężne, oraz dzieją się tam jeszcze inne zabawy, zakazane przez naszą świętą wiarę, oby ją Allah uchronił od skażenia aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Gdy to usłyszał Emir, zganiał to wielce i przypomniał sobie słowa Allacha Najwyższego (Koran, Sura 16, wiersz 90):

«Zaprawdę, Allah poleca czyny sprawiedliwości, dobre uczynki i miłosierdzie dla bliźniego, i wzbrania występku, grzechu i krzywdzenia bliźniego; to wam Allah doradza, może zważycie». Przypomniał też sobie te słowa proroka, niech go Allah ma w swej opiece: «Jeżeli ktoś z was zobaczy kogoś zamierzającego zgrzeszyć, niech go powstrzyma przemocą, jeżeli zaś nie będzie w siłach, to namową, a jeżeli nie będzie w możności, to myślą; jest to najniższy stopień wiary». Albo też, jak inni nam przekazali: «Pozatem nie pozostaje z wiary nawet na wagę ziarna gorczycy».

Emir więc zganiał osoby, które się zebrały, rozwiązał to zebranie i nie pozwolił im się więcej schodzić. A gdy zaświtał poranek, zebrał sędziów wiary i mężów wiedzy, znanych ze swej nauki, czynów zbożnych, umartwień ciała, pobożności i oddania Bogu, których słowa i uczynki mogą być wzorem i zasadą postępowania, zarówno z sekty szafitów, jak też z sekty *mālikitów* i *chanefitów*. Był obecny również pan nasz, Sędzia Najwyższy *Nadzm-ad-din al-Mālikī*. Sędzia Najwyższy *Nasīm ad-din al-Merszedī al-Chanefī* usprawiedliwił swoją nieobecność chorobą, która go zmuszała do pozostawania w domu. Byli też obecni szejch *Szihāb-ad-din*, strażnik świętego przybytku Bożego, szejch *'Afif-ad-din 'Abdallah al-Jamānī al-Chadramī szāfiita*, znany pod przydomkiem *Abū Kathīr*, oraz szejch *imam 'Abdannabī al-Magrebī malikita*, i wielu innych, jak się czytało w tem podaniu, poczem było tam co następuje:

Przyniesiono ową kawę w wielkiem naczyniu oraz szklenicę, i pomieniony *Chajrbek* zaproponował im naradzić się w sprawie owej kawy oraz zebrani, które się zdarzyły w związku z tym napojem, jak wyżej opisano. Wszyscy jednogłośnie się wypowiedzieli, że zebrania ludzi dla spożywania kawy w podobnej formie są wzbronione, i każdy, kto posiada możność, winien im wszelkimi sposobami zapobiec. Co zaś dotyczy pomienionego ziarna, zwanego *bunn*, to jest ono dozwolone, jak wszelkie inne zioła i ziarna, na podstawie następującego wyrzeczenia Allacha Najwyższego: «Wszystko, co na ziemi, stworzył dla was». Jeżeli zaś odwar, robiony z jego lupiny, okazuje się szkodliwy dla ciała lub dla umysłu, albo też wywołuje upojenie, czy też prowadzi do lubieżności lub rozpusty, to jego używanie jest wzbronione, nawet jeżeli ktoś przyrządza sobie trunek na osobności w swoim domu. Zresztą sprawa ta należy do kompetencji lekarzy.

Gdy tylko emir *Chajrbek* usłyszał, że sprawa ta należy do lekarzy, sprowadził dwu szejchów i uczonych imamów, szejcha *Nūr-ad-dina Achmada al-'Adżamī al-Kāzarūnī* i jego brata *'Alā'a-ad-dina 'Alięgo*. A byli to najznamienitsi z lekarzy mekkańskich, leczący dojstojnego pana *Barakāta ibn Muchammad*, jego brata, dojstojnego pana *Mu'izz-ad-dina Kājtbāja* i panów kupców mekkańskich i dżeddańskich, oby Allah Najwyższy pomnożył ich sławę i pozwolił nam korzystać z ich zasług.

Emir zasięgnął ich zdania co do owego *bunn*, z którego lupiny przyrządzany bywa ów napój. Uczeni odpowiedzieli, że jest to ciało suche i zimne, szkodliwe dla ciała.

## V. PROZA NAUKOWA

## A. LITERATURA TEOLOGICZNA

'OMAR AN-NASAFĪ

(um. w r. 1142)

## WSTĘP DO WYZNANIA WIARY

W imię Boga Miłościwego, Litościwego. Szejch imām Nadżm-ad-Dīn Abū Chats 'Umar ibn-Muchammad ibn Achmad an-Nasafī — niech Bóg się zmiłuje nad nim! — powiada: Ludzie prawdy w przeciwstawieniu do sceptyków powiadają, że prawdziwa natura rzeczy jest trwale ustalona, a wiedza o niej jest pewna, następnie, że źródła wiedzy ludzkiej są trojaki: zdrowe zmysły, prawdziwe opowiadanie i rozum.

Co do zdrowych zmysłów, mamy pięć: słuch, wzrok, powonienie, smak i dotyk, a każdy z tych zmysłów powiadamia nas o rzeczach, dla których został wyznaczony.

Opowiadanie jest dwojakie. Po pierwsze, opowiadanie przekazane przez długi szereg tradycji, czyli ustalone przez pewną liczbę ludzi, o których nie możemy sobie wyobrazić, żeby wszyscy jednakowo kłamali. Tradycja ta daje nam wiedzę konieczną, jak np. wiedzę o dawnych królach, w odległych czasach i dalekich krajach.

Drugim rodzajem opowiadania jest wiedza, udzielona przez apostołów i poparta cudami; opowiadanie to daje nam wyrozumowaną wiedzę, pod względem pewności i stałości podobną do wiedzy ustalonej przez konieczność.

Co do rozumu, jest on również źródłem wiedzy. Jest to wiedza albo ustalona przez intuicję, czyli wiedza konieczna, jak np. wiedza, że całość jest większa od części, albo też ustalona przez wnioskowanie, czyli wiedza nabyta, jak np. wiedza o istnieniu ognia na podstawie ukazania się dymu. Co zaś dotyczy wewnętrznego światła, nie jest ono uważane przez ludzi prawdy za jedno ze źródeł wiedzy.

Następnie, świat w sumie swych składników jest rzeczą stworzoną o tyle, o ile się składa z substancyj i przymiotów. Substancją jest to, co istnieje w sobie samem, i może być albo złożoną, czyli ciałem, albo niezłożoną, czyli istotą, jednostką, nieulegającą dalszemu dzieleniu. Przymiotem zaś jest to, co nie istnieje w sobie samem, lecz ma być zależny w ciałach lub istotach, jak np. barwa, smak, okoliczność, zapach.

Twórcą świata jest Bóg Najwyższy, jedyny, wieczny, postanawiający, wiedzący, słyszający, chcący. Nie jest On przymiotem ani ciałem, ani bytem, ani rzeczą ukształtowaną, ani rzeczą ograniczoną, ani rzeczą liczoną, ani podzielną, ani złożoną... Bóg posiada właściwości odwiecznie istniejące w Jego istocie. Przymioty te nie są nim ani czemś innym niż on...

Że istnieje widzenie Boga Najwyższego, jest dopuszczane przez rozum i potwierdzone przez tradycję. Dowodem dostatecznym jest twierdzenie, że pobożni mają widzenie Boga Najwyższego w raju i widzą Go nie w miejscu określonym albo w pewnym kierunku, nie przez zwracanie się do Niego ani przez rzucanie spojrzeń, ani też przez ustalenie odległości między widzającym a Bogiem.

Bóg Najwyższy jest Stwórcą wszelkich czynów jego stworzeń, zarówno czynów wiary, jak niewiary, posłuszeństwa, jak oporu; wszystkie one powstają z woli Bożej.

Stworzenia Boga zdolne są do czynów wolnej woli, za które są nagradzane lub karane. Dobre czyny dzieją się z łaski Bożej, złe czyny — nie z łaski Bożej...

Bóg prowadzi na manowce, kogo chce, i prowadzi prawą drogą, kogo chce, i nie jest obowiązkiem Boga najwyższego czynić to, co jest najlepsze dla jego stworzenia...

Wielki grzech nie odłącza wierzącego człowieka od wiary i nie czyni z niego człowieka niewierzącego. Bóg nie przebacza temu, który czci inne bóstwo prócz Niego, ale przebacza, komu chce, wszelki grzech, zarówno wielki grzech, jak mały...

Cuda, dokonywane przez świętych, są prawdą. Cud świętego jest zaprzeczeniem zwykłego biegu spraw przyrody, tak np. przebycie wielkiej odległości w krótkim cza-

się, zjawienie się mięsa, napoju, odzieży w godzinie potrzeby, chodzenie po wodzie i w powietrzu, mowa kamieni i zwierząt i inne tego rodzaju rzeczy.

Żarliwcy wiary niekiedy błądzą, niekiedy trafiają w sedno. Apostołowie ludzkości są bardziej doskonali niż apostołowie anielscy. Apostołowie anielscy są bardziej doskonali niż ogół ludzkości, a ogół ludzi prawdziwie wierzących jest bardziej doskonały niż ogół aniołów.

## MUCHAMMAD AL-FUDALĪ

(w 1-szej połowie w. XIII)

### Z DZIEŁA P. T. «ZAOPATRZENIE GMINY W WIEDZĘ TEOLOGII SCHOLASTYCZNEJ»

#### Wstęp do wyznania wiary

W imię Boga Miłościwego, Litościwego. Chwała Bogu Jedynemu, Stwórcy wszechrzeczy, i błogosławieństwo i pokój naszemu Panu Mahometowi, Jego rodowi i towarzyszom, doskonałym przewodnikom.

A następnie. Powiada stworzenie, zdane na łaskę miłosierdzia swego Najwyższego Pana, Muchammad ibn-asz-Sza'fī al-Fudalī: Jeden z braci prosił mnie napisać rozprawę o jedności boskiej. Zgodziłem się na to, idąc za przykładem wielce uczonego mistrza Sanūsiego, naśladowując go w ustaleniu dowodzeń, z tą tylko różnicą, że przytoczyłem każdy dowód w związku z doktryną, która miała być dowiedziona, i dodałem wykład tego, co wiem o niedoborach tego uczonego. Tak powstała przy pomocy Boga Najwyższego rozprawa pożyteczna i doskonała dla ustalenia prawd w niej zawartych. Nazwałem ją «Zaopatrzenie społeczności w niezbędną wiedzę scholastycznej teologii». I proszę Boga Najwyższego, aby uczynił tę książkę pożyteczną, On bowiem jest mojem zadowoleniem, a doskonałym jest ten Stróż.

Wiedz o tem, że obowiązkiem jest każdego prawowiernego znać pięćdziesiąt artykułów wyznania wiary, a dla każdego artykułu posiadać ogólny dowód. Niektórzy powiadają, że konieczną jest znajomość szczegółowych dowodzeń. Ale powszechne jest mniemanie, że dostateczne jest ogólne dowodzenie dla każdego z tych pięćdziesięciu artykułów. Przykładem szczegółowego dowodzenia jest, jeśli ktoś pyta: «Jaki jest dowód istnienia Boga?», a odpowiedź na to brzmi: «Te oto stworzone rzeczy». Na to odpowiada pytający: «Czy stworzone rzeczy dowodzą istnienia Boga dlatego, że ich istnienie stało się możliwe, czy też dlatego, że po poprzednim nieistnieniu stały się?» Na to pytanie powinna być udzielona odpowiedź. Jeśli te odpowiedzi nie były dane, a jedyna odpowiedź brzmiała: «Te oto stworzone rzeczy», bez stwierdzenia, czy tu chodzi o możliwość ich istnienia, czy też o ich stanie się po uprzednim nieistnieniu, mamy tu do czynienia z dowodzeniem ogólnem. Ale według powszechnego mniemanie jest to dostateczne. Co zaś dotyczy ślepego przyjęcia, polegającego na tem, że znane są pięćdziesiąt artykułów wiary, dla których nie posiadamy żadnego dowodu, ani ogólnego, ani też szczegółowego — pod tym względem uczeni mają różne zapatrywania. Jedni sądzą, że to nie wystarcza, i że ten, który na ślepo przyjmuje wyznanie wiary, jest niewierzący. Ibn al-Arabī i As-Sanūsī byli tego zdania, a ostatni dał w komentarzu do swego «Wielkiego dzieła» obszernie obalenie twierdzeń tych, którzy uważają, że ślepe przyjęcie jest dostateczne. Są jednak pogłoski, że Sanūsī zmienił późniejsze poglądy i uznał dostateczność ślepego przyjęcia. Ale nigdzie nie znalazłem w jego dziełach poglądu innego, jak ten, że ślepe przyjęcie nie wystarcza.

Wiedz tedy, że zrozumienie pięćdziesięciu następujących artykułów wyznania wiary musi być oparte na trzech rzeczach — na zrozumieniu rzeczy koniecznych, niemożliwych i możliwych. Rzeczą konieczną jest ta, której nieistnienia umysł ludzki nie może pojąć, to znaczy, że umysł nie może twierdzić jej nieistnienia jako granicy pewnego ciała. Przykładem ciała jest drzewo lub kamień. Jeżeli więc ktoś ci powie, że drzewo np. nie zajmuje pewnej przestrzeni na ziemi, to twój umysł nie może tego potwierdzić, gdyż zajmowanie przez nie przestrzeni jest rzeczą konieczną, której przeczenia twój umysł nie może twierdzić.

Rzeczą niemożliwą jest taka, której istnienie nie może być pojęte, której istnienia umysł nie może twierdzić. Jeżeli ktoś powiada, że pewne ciało nie znajduje się w stanie ruchu i jednocześnie nie znajduje się w stanie spokoju, umysł twój nie może tego twierdzić, gdyż jednoczesne nieistnienie ruchu i spokoju jest niemożliwością, której pochodzenia i istnienia umysł nie może twierdzić. Jeżeli więc np. ktoś powie, że słabość jest niemożliwa w Bogu, znaczy to, że zachodzenie i istnienie słabości w Bogu jest nie do pomyslenia.

Możliwą jest rzecz, której istnienie w jednym czasie lub nieistnienie w innym czasie umysł ludzki może twierdzić.

Na tych trzech kategorjach zbudowana jest wiedza o artykułach wyznania wiary. Są one konieczne dla każdego człowieka...

Jest różnica między twierdzeniem, że wiara w pewien artykuł wyznania jest obowiązująca, a twierdzeniem, że wiedza o nim jest konieczna. Jeżeli naprzykład mówimy, że wiedza jest konieczna w Bogu, znaczy to, że umysł ludzki nie może twierdzić nieistnienia wiedzy w Bogu. Ale jeżeli mówimy, że wiara w tę wiedzę jest obowiązująca, znaczy to, że ta wiara jest nagradzana, brak zaś tej wiary karany. Trzeba więc odróżniać te dwie rzeczy i nie należeć do tych, którzy mniemają, że ślepe przyjęcie artykułów wyznania wiary jest słuszne. As-Sanūsī powiada: Człowiek nie jest wierzący, gdy mówi: «Trzymam się artykułów wyznania i nie opuszczę ich, gdybym nawet miał być posiekany w kawalki». Nie, nie jest on wierzący, dopóki nie zna każdego z pięćdziesięciu artykułów wraz z jego dowodem...

Pierwsza z właściwości koniecznych w Bogu jest istnienie. Co do znaczenia tej właściwości zachodzi różnica poglądów. Wszyscy z wyjątkiem Imāma al-Asz'arięgo twierdzą, że istnienie jest stanem koniecznym dla istoty tak długo, jak istota trwa, i że ten stan nie ma przyczyny. Tak np. istnienie danego człowieka jest stanem koniecznym dla jego istoty i nie może być od niej oderwane.

Powiadamy — a Bóg jest naszym świadkiem — chwała niech będzie Bogu — Temu, który wszystko rozpoczął, wskrzesicielowi, Temu, który czyni wszystko, co chce, Panu Świątelnego Tronu, potęgi i mocy, przewodnikowi swych wybranych stworzeń na prawej drodze do prawego celu, dawcy dobrodziejstw tym, którzy głoszą Jego jedność, strzegąc swego wyznania wiary od mroków powątpiewania i sprzeczności. Ten, który skłania ludzi do postępowania śladami Jego Apostoła - Wybrańca i kroczenia śladami Jego czcigodnych towarzyszy, swoją pomocą i prawem kierownictwem objawił się im w swej istocie, w swych dziełach, w swych pięknych przymiotach, których nie postrzeżę nikt prócz tych, którzy z uwagą przychylają ucha. On jest świadkiem, głoszącym, że w swej istocie jest jedyny bez towarzysza, jedyny bez podobnego, wieczny bez przeciwstawienia, odrębny bez podobnego. On jest jedyny, pierwszy bez nikogo przed nim, odwieczny bez początku, istniejący wiecznie bez nikogo po nim, wieczny bez końca, istniejący bez końca, trwający bez granicy. Nigdy ludzie nie ustają opisywać go świetnymi przymiotnikami. Granica i koniec nie mają władzy nad nim, nie przecinają jego wieku, nie wyznaczają mu określonego czasu. Jest On pierwszy i ostatni, zewnętrzny i wewnętrzny, wszechwiedzący.

Świadczy, że Bóg nie ma ciała o określonym kształcie, ani materji, posiadającej granice i zarysy, nie jest podobny do żadnego ciała, nie zna granic ani podziału, nie jest substancją, a substancje nie istnieją w nim; nie jest przymiotem, i przymioty nie istnieją w nim, nie jest podobny do żadnej istoty, i żadna istota nie jest podobna do niego, nic nie jest podobne do niego, ani jest on podobny do niczego. Żadne wymiary nie ograniczają go, żadne granice nie zawierają go. Żadne kierunki nie otaczają go, niebo i ziemia nie znajdują się po żadnej jego stronie. Bóg siedzi mocno na swym tronie w sposób, jaki sam opisał, w sposób, jaki sam postanowił, jako mocną siedzibę, daleką jednak od zetknięcia, trwałego umiejscowienia, ustalenia, obejmowania, usuwania. Tron nie dźwiga Boga, ale tron i ci, którzy go dźwigają, utrzymywani są Jego łaską i potęgą. Bóg znajduje się ponad tronem, ponad niebiosami, ponad wszystkim aż do krańców plejad, i to «ponad» nie czyni go bliższym tronu i niebios, tak samo, jak nie czyni go dalszym od ziemi i plejad. Bóg jest wyżej wszelkiego tronu i niebios, tak samo, jak jest wyżej ziemi i plejad, a pomimo to jest bliski wszelkiej



istocie, bliższy wszelkiemu stworzeniu, aniżeli żyła jego szyi. Bóg jest świadkiem wszystkiego, gdyż jego bliskość nie jest podobna do bliskości ciał, jak jego istota nie jest podobna do istoty ciał. Bóg nie istnieje w niczym, jak nic nie istnieje w nim: żadne miejsce go nie zawiera, żaden czas go nie ogranicza. Bóg był, nim stworzył czas i przestrzeń, Bóg jest odrębny od swych tworów przez swe przymioty. W jego istocie niema mu nic równego. Daleki jest od zmiany stanu i miejsca. Żadne wypadki nie mają w nim miejsca, żadne przygody mu się nie dzieją. Przez swe świetne przymioty nigdy nie przestaje być daleki od wielkiej zmiany, dzięki swym doskonałym właściwościom nigdy nie przestaje być niezależny od udoskonalenia i pomnożenia...

\* \* \*

Świadczy, że Bóg wie wszystko, co może być przedmiotem wiedzy, wszystko, co się dzieje od krańców ziemi aż do najwyższych niebios, ani jedno ziarenko w ziemi albo w niebiosach nie unika jego oka. Bóg widzi pełzanie czarnej mrówki po czarnym kamieniu w czarnej nocy, dostrzega lot ćmy, unoszącej się w powietrzu. Bóg zna wszelkie rzeczy tajne i ukryte, posiada wiedzę wszelkich myśli i najtajniejszych poruszeń duszy — wiedzę wcześniejszą niż wieczność...

Świadczy, że Bóg słyszy wszystko i widzi wszystko... Żaden dosłyszalny dźwięk nie jest zbyt daleki dla jego słuchu, żaden widzialny przedmiot nie jest zbyt daleki dla jego wzroku. Odległość nie osłabia jego słuchu, ciemność nie przytępia jego wzroku. Widzi on bez gałki ocznej i powieki, słyszy bez ucha, tak samo jak wie bez mózgu, chwytą bez kończyny, tworzy bez narzędzia, gdyż jego przymioty nie są podobne do przymiotów stworzeń, jak jego istota nie jest podobna do istoty stworzeń.

Świadczy, że Bóg mówi, rozkazując, zakazując, chwając, groząc, mową, która istnieje odwiecznie, istniała przed wszelką wiecznością w istocie Boga, niepodobna do mowy stworzeń. Nie jest to dźwięk, który powstaje z ruchu powietrza lub zderzenia ciał, ani głoska, która powstaje przez zamknięcie warg lub poruszenie języka. Koran i Tora, Ewangelja i Psalmi są to księgi, objawione jego apostołom. Koran jest odczytywany językiem ludzi, przepisywany w odbitkach, przechowywany w pamięci — pomimo to jest on wcześniejszy niż wszelka istota, zawarty w istocie Boga, nieulegający podziałowi ani wyodrębnieniu przez zapamiętanie lub przepisanie. A Mojżesz słyszał mowę Boga bez dźwięku, bez głoski, jak sprawiedliwi na tamtym świecie widzą istotę Boga bez substancji i bez przymiotu...

Świadczy, że apostołstwo należy do apostoła Bożego, i że Bóg posłał Mahometa, niepiśmiennego proroka z plemienia Kurajsz, z posłannictwem do wszystkich Arabów, innoplemieńców, duchów i ludzi. Tem prawem Bóg unieważnił wszelkie inne prawo, prócz tego, które potwierdził. Bóg uczynił Mahometa naczelnikiem wszystkich innych proroków, Panem ludzkości, i uznał za niedoskonałą tę wiarę, która polega na głoszeniu Jedności przez powiedzenie: «Niema boga prócz Boga», o ile do tego nie jest dodane świadectwo o apostołach, przez powiedzenie: «Mahomet jest apostołem Boga».

Bóg uczynił obowiązującą dla wszelkiego stworzenia wiarę w Mahometa i we wszystko, co Mahomet powiedział o tym i o tamtym świecie, i nie przyjmie wiary człowieka, o ile ten nie dał wiary powiedzeniom Proroka o życiu pozagrobowym. Przedewszystkiem Munkar i Nakir, te straszne istoty, przed którymi stanie wszelkie stworzenie, gdy wstanie z grobu w całości ziemskiej, dusza i ciało — Munkar i Nakir spytają je: «Kto jest twój Pan, jaka jest twoja wiara, kto twój prorok?» To są dwaj doświadczycciele w grobie, ich pytanie jest pierwszą próbą pośmiertną. Następnie człowiek musi wierzyć w karę pozagrobową — że to jest prawdą, i że sąd nad ciałem i duszą jest sprawiedliwy i zgodny z wolą Bożą. Musi wierzyć w Wagę z obu szalami i językiem, których wielkość jest równa obszarom ziemi i niebios. Na tych wagach Majestat Boga Najwyższego waży czyny ludzkie, a odważnikami będą owego dnia waga ćmy i ziarna gorczycy, aby oczywista była dokładność sprawiedliwości. Musi wierzyć, że Most jest prawdą; jest to most przerzucony nad Piekłem, bardziej ostry niż miecz, bardziej cienki niż włos. Stopy niewiernych zrzędzeniem woli Bożej

potykają się na nim, i grzesznicy padają w Ogień. Ale stopy wiernych stoją na nim mocno, i tak sprawiedliwi wchodzą do Wiecznej Siedziby. Człowiek musi wierzyć w Jezioro, do którego ludzie schodzą, Jezioro Mahometa, z którego wszyscy będą pili po przejściu Mostu, przed wejściem do Ogrodu.

## B. LITERATURA HISTORYCZNA

### MAS'ŪDÎ

(um. ok. r. 957)

Z DZIEŁA P. T. «ZŁOTE ŁĄKI I T. D.»

Anegdota o kalifie Majmunie

«Książę wiernych, jakiś człowiek, odziany w grubą płachtę, stoi na progu palacu, domagając się, żeby mu pozwolono brać udział w rozprawach».

Członkowie posiedzenia, domyśliwszy się, że to jest sūfi, chcieli przeszkodzić jego wejściu, lecz kalif dał swoje pozwolenie. Nieznajomy, usiadłszy, rzekł do księcia:

«Czy pozwolisz mi zadać pytanie?»

«Mów» — odpowiedział Majmun — «lecz po Bożemu».

Przybysz zapytał:

«Czy tron, na którym siedzisz, zawdzięczasz głosowaniu i zgodzie mużulmanów, czy też gwałtowi i nadużyciu swej siły?»

«Ani głosowaniu, ani gwałtowi» — odparł Majmun. — «Poprzednik oddał mi władzę i polecił złożyć przysięgę. Stawszy się władcą państwa, myślałem o tem, czyby nie należało uzyskać sankcji głosowania powszechnego i przejść przez wolny wybór, lecz po zastanowieniu się bliższem powstała we mnie obawa, czy, zostawiwszy mużulmanów samym sobie, nie narażę islamu na niebezpieczeństwo, czy wojna święta nie będzie zaniechana, a słabi pozbawieni obrony przed wrogiem. Zatrzymałem więc władzę, ażeby opiekować się ludem, zwalczyć wrogów i gościńce uczynić bezpiecznemi. Spodziewam się doprowadzić w ten sposób mużulmanów do stanu, w którym ich głosowanie zjednoczy się w wyborze władcy, żebym następnie mógł sam zrzec się władzy i zostać prostym poddanym. Bądź więc tłumaczem uczuć moich przed społeczeństwem mahometańskiem, i skoro tylko ono wyrazi w tym względzie swą zgodę, abdykuję».

Tajemnicza osobistość podniosła się i wyszła. Po chwili wszedł szambelan Ali i rzekł te słowa:

«Książę wiernych! Posłałem kilku agentów za tym gościem. Skierował swe kroki ku meczetowi, w którym czekało kilkunastu ludzi podobnej jemu powierzchowności».

«I cóż, widziałeś go?» — zapytali.

«Tak».

«I cóż mówił?»

«Rozumne słowa. Powiedział, że jedynie tylko dlatego Majmun zatrzymał władzę w swych rękach, ażeby zapewnić bezpieczeństwo słabym, utrzymać pielgrzymki i wojnę świętą. Lecz skoro tylko naród wybierze sobie jednomyślnie naczelnika, Majmun odda władzę i złoży koronę».

«To dobrze» — odpowiedzieli i rozeszli się.

«Widzisz, Abū Mahomedzie» — rzekł kalif, zwracając się do swego ulubieńca — «zadowoliliśmy tych ludzi, mówiąc szczerze».

### Anegdota o kalifie i fałszywym proroku

Gdy takiego oszusta przyprowadzono w kajdanach przed kalifą, Majmun rzekł do niego:

«Jesteś więc prorokiem, który niesie swe posłannictwo?»

«W tej chwili niosę kajdany» — odparł oszust.

«Nieszczęśliwy, któż ciebie uwiódł?»

«Czy to się w ten sposób mówi do proroków? Zaiste, gdybym nie był skrępowany, poleciłbym Gabrjelowi, żeby was wszystkich wytępił» — odpowiada zuchwale oszust. Majmun wybuchnął śmiechem.

«Każemy cię rozwiązać» — rzekł — «ale potem musisz polecić Gabrjelowi, żeby wykonał twą groźbę».

Gdy go oswobodzono z łańcuchów, oszust, czując się wolnym, woła donośnie, jakgdyby się zwracał ku niebu:

«Wysyłaj sobie odtąd, kogo chcesz, i niechaj w przyszłości nie będzie nic wspólnego pomiędzy tobą a mną. Jakto! inny posiada dobra tego świata — a ja nic nie mam?! Trzeba być rajfurem, żeby się zajmować twemi sprawami!»

Majmun dał oszustowi wolność i zasitek.

### Z dyskusji między kalifem a uczonymi o znikomości życia doczesnego

«Rozwinęliście przedmiot i ozdobili go wdziękiem wymowy swojej; pragnę teraz, żeby jeden z was przytoczył mi najpiękniejsze zdanie, jakie wyszło z ust mędrców, otaczających trumnę ze szczerego złota, do której właśnie składano Aleksandra.

Jeden z uczonych rzekł do kalifa:

«Wszystkie ich słowa są godne podziwu, ale wśród mędrców, powołanych do tej ceremonii, słowa najpiękniejsze wyrzekł Diogenes, chociaż niektórzy przypisują je mędrcomu indyjskiemu.

Oto one: «Aleksander był wczoraj mniej milczący, niż dziś, ale dziś lepiej nas uczy, niż wczoraj».

Lzy rześiste wytrysły z oczu Watika, który szlochał głośno; a ze łzami jego wszyscy obecni połączyli własne. Potem kalif podniósł się i zaimprovizował wiersz następujący:

«Co za kapryśne losu zmiany! Co za przewroty i upadki! Człowiek u szczytu był fortuny. I oto nagle w otchłań wpada! Uciechy ludzkie są znikome! Życie — odzieżą pożyczoną».

### O nieszczęśliwej miłości Medźnuna

Udałem się do Benū Amir jedynie dla spotkania Medźnuna. Znalazłem tam jego ojca, staruszkę, i jego braci, mężczyzn w sile wieku; widocznie zamożność panowała w tej rodzinie. Gdym wspomniał o Medźnunie, płakali, a ojciec rzekł:

«Zaiste, było to moje dziecko najmilsze; zakochał się w dziewczynie, która nawet marzyć nie mogła o takim związku; a jednakże, gdy już ich namiętność opanowała, ojciec dziewczyny odmówił jej ręki memu synowi i oddał ją komu innemu. Wówczas związaliśmy Medźnuna, ale gryzł sobie język i wargi z taką wściekłością, żeśmy mu wolność wrócili. I zakopał się w pustyni; codziennie noszą mu pokarm, stawiając go w miejscu widocznym; gdy go zobaczy, zbliża się i je. Skoro zniszczy odzież, kładziemy inną w miejscu widocznym. Na prośbę moją, żeby mnie do niego zaprowadzili, wskazano mi młodzieńca, który był zawsze przyjacielem Medźnuna, i on jeden miał tylko przystęp do samotnika. Skoro odszukano tego młodzieńca, prosiłem, żeby mnie zaprowadził do Medźnuna. Ten rzekł:

«Jeżeli chcecie jego wierszy, mam wszystkie, nawet z dnia wczorajszego; jutro będę u niego, a gdyby zaimprovizował wiersz jakiś — przyniosę».

Wobec powtórnej prośby mojej, żeby mnie zaprowadził do Medźnuna, młodzieńiec rzekł:

«Gdy nas zobaczy — ucieknie; lękam się, żeby z tego powodu i mnie nie unikał; straciłbym wówczas jego wiersze».

Wreszcie, wobec uporczywych nalegań moich, dodał:

«A więc idź do jego pustelni; gdy go spostrzeżesz, zbliżaj się zwolna; będzie on usiłował przestraszyć cię i zrobi taką minę, jakby chciał rzucić na was, co znajdzie

pod ręką. Usiądź, nie zwracając na niego uwagi, ale go obserwuj ukradkiem. Gdy będzie miał wygląd spokojniejszy, zadeklamuj mu jaki ustęp z Kajsa, gdyż to jego poeta ulubiony».

Natychmiast udałem się w drogę i po południu znalazłem Medźnuna. Siedząc na wzgórzu, kreślił palcami linje na piasku. Gdy się do niego zbliżyłem, uciekł jak zwierzę dzikie na widok człowieka i podniósł z ziemi kamień. Ja jednak, posunąwszy się dalej, usiadłem przy nim, nie mówiąc przez kilka chwil ani słowa. Widząc, że zostaję, uspokojony zbliżył się do mnie, przebijając palcami. Wówczas, patrząc na niego, rzekłem:

«O jakże są piękne wiersze Kajsa: <Tak wielka jest trwoga, którą mnie ogarnia terażniejszość i przeszłość, że z oczu moich wszystkie łzy wyleję. Mówią mi: jutro lub nocy następnej odejdzie kochanka, która się nigdy nie oddalała. Nie byłbym nawet przypuszczał nigdy, żeby dłonie własne śmierć mi przyniosły; co przyjsć miało — przybywa>». Szaleniec, płacząc łzami gorącymi, rzekł do mnie:

«Boże wielki, a toż ja byłem lepszym poetą w tych wierszach: «Serce moje będzie kochało na zawsze tylko uroczą Amirytę. Ręka moja, gdy jej dotykam, wilgotna od rosy i gotowa się okryć listkami zieleniejacemi. Podziwiam zaciekłość losu, dążącą do rozłączenia naszego: nie uspokoi się, dopóki nas nie rozłączy. Miłości! podwój męczarnie moje każdej nocy; a ciebie, pociecho dni moich, oczekuję w dniu zmartwychwstania».

W tej chwili gazela przebiegła, i Medźnun pogonił za nią, a ja odszedłem. Przyszędłszy nazajutrz, nie spotkałem go wcale. Rodzina, zawiadomiona przeze mnie, wysłała człowieka, który zwykle mu nosił pożywienie; lecz ten powrócił, mówiąc, że potrawy były nietknięte. Wówczas udałem się w drogę z jego braćmi, a spędziwszy dzień i noc całą na poszukiwaniach, znaleźliśmy Medźnuna nazajutrz rano... umarłego. Łoże potoku było mu łóżem śmierci. Bracia zanieśli go do domu, a ja powróciłem do swego kraju.

#### Z tegoż dzieła

«Rozprawialiście panowie szeroko o teorii ukrycia i przejawiania się, o preegzystencji i stworzeniu, o trwaniu, ruchu i spoczynku, o jedności i rozdziale substancji boskiej, o stwierdzeniu i odrzuceniu tradycji, o istnieniu i nieistnieniu przymiotów boskich, o sile potencjalnej i czynnej, o substancji, zjawiskach, życiu i śmierci. Skoro tedy roztrząsnęliście taką mnogość kwestyj metafizycznych, zajmijcie się teraz miłością, ale bez rozpraw. Niechaj każdy z was wygłosi podług przekonania własnego określenie miłości».

Pierwszy zabrał głos Ali, syn El-Heitema, słynny teolog szyicki z sekty imamitów:

«Wezryze!» — przemówił uczony. — «Miłość jest owocem zgodności i powstaje ze zlania się dusz. Wypływa ona z piękności boskiej, z pierwiastka substancji czystego i szlachetnego. Potęga jej nie ma granic, a wzrost jej powoduje zmniejszenie się ciała...»

Piątym z kolei był Ibrahim, z przydomkiem Nazzam, z sekty motazylitów, jeden z głównych w owym czasie dialektyków szkoły w Bassorze.

«Miłość» — rzekł — «jest subtelniejsza od wzroku i szybsza od krwi, krążącej w żyłach. Gdy umiarkowana — owoce jej są bardzo smaczne, lecz gdy przekracza granice, staje się truczną śmiertelną, chorobą, której cechy są straszne i na którą niema lekarstwa. Podobna chmurze — spada niby deszcz na serca, zakłóca je i zapładnia boleścią. Człowiek, zwyciężony przez miłość, cierpi nieustannie, oddycha z trudnością, paraliż mu grozi, i spędza noce bezsennie, dnie w udręczeniu, boleść go dławi, przejawia się w jękach...»

Mówcą trzynastym był Mobet, członek sekty magów, który powiedział:

«Wezryze, miłość jest ogniem, który zapala się w sercu i całe ciało ogarnia. Jest ona nieodłączna od bytu istot, od działania ciał niebieskich. Ma swoje źródło w pobudkach zwierzęcych i zależy od przyczyn materialnych. Jest kwiatem młodości, ogrodem szlachetności, czarem duszy i jej rozkoszą, a nie może istnieć bez piękności, bez inteligencji, bez zdrowia, bez harmonji sił i równowagi i t. d.» .

*Thum. Julian Adolf Świącicki.*

## FACHR-AD-DĪN AR-RĀZĪ

(um. w r. 1209)

## Z «OPOWIEŚCI O DYNASTJACH»

## Opowiadanie o panowaniu Hārūn ar-Raszīda (Prawego)

Został ogłoszony kalifem w roku sto siedmdziesiątym. Był jednym z najbardziej dostojnych kalifów, najbardziej wymownych, najuczciwszych i najwięcej wspaniałomyślnych. Zwykł był jednego roku odbywać pielgrzymkę do Mekki, a roku następnego wyruszać na wojnę z niewiernymi, i tak czynił kolejno, z wyjątkiem niewielu lat. Opowiadają, że odbywał codziennie modły aż do stu pokłonów, pielgrzymkę zaś odbywał pieszo. A żaden z kalifów nie odbywał pielgrzymki pieszo prócz niego. Gdy pielgrzymował, pielgrzymowało z nim stu doradców prawnych wraz ze swymi synami, gdy zaś nie odbywał pielgrzymki w własnej osobie, wyprawiał na pielgrzymkę trzystu ludzi, których swoim kosztem bogato odziewał i suto żywił, w czym był podobny do kalifa Mansūra, od którego jednak różnił się hojnym szafowaniem swoim mieniem. Nie było kalifa bardziej odeń szczodrego. Żaden dobry czyn nie pozostawał bez nagrody, i nigdy nagroda ta nie dawała na się długo czekać. Był wielce rozmilowany w poezji i poetach i skłaniał się do ludzi pióra i palestry. Ale nie lubił sporów w sprawach wiary. Lubił chwałbę, zwłaszcza poety wymownego, i osypywał go za to hojnemi dary.

Opowiada Ašma'ī:

Kiedyś urządzał Prawy ucztę i ozdobił swe komnaty; następnie sprowadził poetę Abū-l-'Atāhiję i rzekł doń:

«Opisz nam rozkosze, w jakich żyjemy na tej ziemi».

Odrzekł Abū-l-'Atāhija:

«Żyj według twych pragnień w zdrowiu, pod dachem zamków wyniosłych».

«Dobrze rzekłeś» — odpowiedział Prawy. — «A dalej co?»

Na to ów recytował dalej:

«Niech wszystko, czego zapragniesz, śpieszy do ciebie wieczór i rano».

«Dobrze» — zawołał Prawy — «a dalej?»

Poeta rzekł:

«Ale gdy oddech twój kiedyś będzie walczył z rżeniem serca, wówczas poznasz na pewno, żeś był tylko w złudzeniu».

Wówczas Prawy zapłakał, a Fadl, syn Jachji, powiedział:

«Posłał po ciebie władca wiernych, abys go ucieszył, a tyś go zasmucił».

Rzekł Prawy:

«Zostaw go! Ujrzał nas w zaślepieniu i przykro mu było pozwolić nam, abysmy dalej w niem trwali».

Raszīd był pokorny wobec mędrców. Opowiadał Abū Muāwija Ślepy, a był to mąż nauki:

«Pewnego dnia jadłem przy stole Raszīda. Po jedzeniu ktoś polał mi wodę na ręce».

«Czy wiesz, Abū Muāwija» — rzekł — «kto ci polał wodę na ręce?»

«Nie, władco wiernych» — rzekłem.

«To ja» — zawołał.

«Władco wiernych!» — zawołałem. — «Czynisz to, żeby oddać hołd wiedzy».

«Tak» — rzekł.

Za jego czasów wystąpił Jachjā, syn 'Abdallāha, syna Chasana, syna 'Alięgo, syna Abū Tālība. Przebieg tej sprawy był następujący:

Jachjā, syn Abdallāha, obawiał się losu, który spotkał jego dwóch braci. Zebrał więc dokoła siebie ludzi z różnych stron kraju, tak, że miał liczne wojsko. Zaniepokoiło to Raszīda. Przywołał więc Fadla, syna Jachji, na czele 50.000 ludzi i oddał mu władzę nad Dżurdżānem, Tabaristānem, Rajem i innemi dzielnicami. Fadl udał się tam na czele wojska, ale postąpił łagodnie z Jachjā, synem 'Abdallāha, ostrzegł go i przypomniał mu strach Raszīda. Jachja nawrócił się do wierności, ale zażądał obietnicy

nietykalności, podpisanej przez Raszida i poświadczonej przez sędziów, prawników i naczelników Hāsẓimilów. Raszid zgodził się na to i bardzo się ucieszył. Napisał wymowne pismo własnoręcznie; zaopatrzyli je swoim poświadczeniem sędziowie, prawnicy i naczelnicy Hāsẓimitów, i Raszid wysłał je z darami. Jachjā przybył razem z Fadlem. Raszid przyjął go godnie. Ale następnie wtrącił go do więzienia i zasięgnął zdania prawników o prawie do złamania danego słowa. Niektórzy z nich wystąpili przeciw Raszidowi i wydali orzeczenie o obowiązującym charakterze obietnicy. Inni sądzili, że można ją unieważnić. Raszid unieważnił ją i kazał oddać Jachję na kaźń pomimo otrzymania ważnych znaków.

Opowiadanie o znakach; jakie się stały w sprawie Jachji, syna 'Abdallaha

Przyszedł do Raszida jakiś człowiek z rodu Zubajra, syna 'Awwāma, i zaczął rzucać oszczerstwa na Jachję, mówiąc:

«Już po zawarciu porozumienia Jachjā czynił to a to i zbierał ludzi dokoła siebie».

Raszid kazał sprowadzić Jachję z więzienia, postawił go wobec Zubajryty i zaczął go badać w tej sprawie. Jachjā zaprzeczył. Zubajryta dalej jednak trwał w swoim oskarżeniu. Jachjā zawołał doń:

«Jeżeli mówisz prawdę, przysięgaj».

Zubajryta zaczął:

«Na Boga, który żąda i osiąga...» — i chciał dokończyć przysięgi. Ale Jachjā przerwał mu:

«Zostaw tę przysięgę. Bóg Najwyższy nie zsyła rychłej kary na swego sługę, który go służy. Złóż mi lepiej przysięgę zwolnienia».

Jest to wielka przysięga i polega na tem, że człowiek mówi o sobie: «Jeśli jest tak a tak, jestem wolny od mocy i potęgi Boskiej i przechodzę pod moją własną moc i potęgę». Kiedy Zubajryta usłyszał tę przysięgę, zawołał:

«Co to jest za nieznaną przysięgą?» — i nie chciał jej składać. Raszid zawołał doń:

«Jaka przyczyna twojego oporu? Jeżeli jesteś szczerzy w tem, co mówisz, skąd twój strach przed tą przysięgą?»

Zubajryta przysięgał. Nie zdążył jednak wyjść z sali tronowej, gdy upadł i wyzionął ducha. Opowiadają, że dzień jeszcze nie dobiegł do końca, gdy Zubajryta już nie żył. Wyniesiono go, spuszczone do grobu i chciano zasypać grób ziemią. Ale usypana ziemia wciąż spadała i nie można było zasypać dołu. Zrozumiano, że jest to znak z nieba i wymurowano nad grobem sklepienie. Pomimo jednak objawienia tego wielkiego znaku Jachjā został uśmiercony w więzieniu straszną śmiercią.

\* \* \*

Opowiadają, że gdy Prawy obalił ród (wezyrów) Barmakidów i postanowił wykorzenić wszelką pamięć o nich, zabronił poetom opiewać ich w pieśniach żałobnych i rozkazał karać za przekroczenie zakazu. Pewnego razu któryś ze straży przybocznej, przechodząc koło jakichś opuszczonych zwalisk, zobaczył człowieka z kartą w rękę, a na niej wypisana była pieśń, zawierająca płacz nad rodem Barmaków. Człowiek ten odczytywał pieśń i płakał. Zolnierz schwytał go, przyprowadził do pałacu Prawego i opowiedział ten wypadek. Prawy rozkazał przyprowadzić go przed swe oblicze i zaczął go badać. Człowiek przyznał się do winy. Prawy rzekł doń:

«Czyś nie słyszał o moim zakazie opiewania ich zguby? Zaprawdę, uczynię z tobą, co postanowiłem!»

Tamten rzekł:

«O władco wiernych, kiedy użydziesz ucha opowieści mojej sprawy, którą ci wyłożę, postąpisz wedle twego uznania».

Rzekł Prawy:

«Powiadaj!»

Rzecz tamten:

«Byłem jednym z mniejszych pisarczyków Jachji, syna Chālidowego, i bardziej podrzędnych stanem. Pewnego dnia rzekł do mnie:

«Chcę, żebyś mnie któregoś dnia ugościł w twym mieszkaniu».

«O panie nasz» — rzeknę doń — «daleki jestem od takiego zaszczytu, a moje mieszkanie nie jest odpowiednie».

«Nie może być inaczej!» — rzecze.

«Jeżeli nie może być inaczej» — powiadam — «udziel mi pewnego przeciągu czasu, abym ulepszył moje otoczenie i mieszkanie; potem postąpisz wedle swego uznania».

«Ile czasu» — pyta — «mam ci użyczyć?»

«Rok» — rzekłem.

«Dużo!»

«To parę miesięcy» — prosiłem.

«Dobrze!»

Więc poszedłem i zarządziłem uporządkowanie mojego mieszkania i przygotowanie wszystkiego, co jest potrzebne do przyjęcia gości. Po tych wszystkich przygotowaniach zawiadomiłem wezyra. Ten rzekł:

«Jutro jesteśmy u ciebie».

Więc poszedłem i przygotowałem jadła, napoje i wszystko, czego człowiek może potrzebować. Nazajutrz zjawił się wezyr, a z nim jego synowie Dża'far i Fadl, i szczupły poczet jego najbliższych przyjaciół. Wezyr zsiadł z konia, a za nim zsiadli jego synowie Dża'far i Fadl, i ci, którzy byli z nim, i zawołał:

«Taki a taki, jestem głodny; przynieś mi coś, a chyżo!»

I rzekł do mnie jego syn Fadl:

«Wezyr lubi pieczone kurczęta; więc przynieś prędko, jakie masz pod ręką».

Przyniosłem coś; wezyr zjadł, następnie jął przechadzać się po mieszkaniu, wreszcie zawołał:

«Taki a taki, uciesz nasze oczy widokiem twego całego mieszkania».

«Władco nasz» — odrzekłem — «to jest moje mieszkanie. Nie mam innego prócz tego».

«Ależ owszem» — zawołał — «masz inne».

«Na Boga!» — rzeknę. — «Nie posiadam innego».

Wezyr zawołał:

«Sprowadźcie murarza!»

Gdy nadszedł, powiedział doń:

«Przebij drzwi w tym murze!»

Murarz poszedł wykonać rozkaz. A ja zawołałem:

«Władco nasz, jakże to wolno przebijać drzwi do mieszkania sąsiadów! A przecież Allah nakazał strzec praw sąsiedzkich».

«Nic w tem złego» — odrzekł. — Poczem otwarto drzwi. Wezyr wstał ze swymi synami i weszli przez nie, a ja za nimi, do pięknego ogrodu, gęsto porośłego drzewami, między którymi tryskały fontanny. Były tam pawilony i altany, które w podziw wprawiały widza. Były tam sprzęty i kobierce, byli niewolnicy i służebnice doskonałej piękności. Rzekł wezyr:

«To mieszkanie i wszystko, co się w niem znajduje, należy do ciebie».

Ucałowałem jego ręce i uczyniłem śluby na jego intencję. Pojąłem, że już owego dnia, kiedy mi mówił o zamiarze odwiedzenia mnie, posłał był i zakupił sąsiednią posiadłość, zbudował piękną siedzibę i sprowadził wszelakie piękne sprzęty. A ja o tem nie wiedziałem! Wiedziałem wprawdzie, że tam budują, ale sądziłem, że to dla kogoś z sąsiedztwa. Wezyr rzekł do swego syna Dża'fara:

«Mój synku, oto dom i służba; ale skąd utrzymanie tego domu?»

«Już mu podarowałem przecież» — odrzekł Dża'far — «taki a taki folwark z wszystkim inwentarzem; sporządź odpowiedni akt darowizny».

Następnie zwrócił się wezyr do swego syna Fadla: «Mój synku» — rzekł doń — «z czegoż będzie żył, nim wpłynie pierwszy dochód z folwarku?»

«Jestem mu dłużny» — odparł Fadl — «dziesięć tysięcy denarów i zaraz mu je każę przynieść».

«Więc pośpieszcie» — rzekł wezyr — «i spełnijcie obadwaj, coście rzekli».

Poczem Dża'far przepisał mi folwark, Fadl przyniósł mi pieniądze. Tym sposobem wzbogaciłem się i polepszył się mój stan. Obracając temi pieniędzmi, zebrałem później duży majątek, którego dotychczas używam.

«Otóż, na Boga, o władco wiernych» — mówił dalej ów człowiek — «nie opuszczam żadnej sposobności, jaka mi się nadarza, aby opiewać ich chwałę i czynić śluby na ich intencję z wdzięczności za ich łaskę. Ale zaiste, nigdy nie potrafię uczynić zadość mojemu obowiązкови. Jeżeli więc chcesz mię uśmiercić za to, czyń, co ci się podoba».

Prawy był bardzo wzruszony i pozwolił mu odejść. A od owego dnia nie bronił nikomu oplakiwać ich upadku.

## ABÛ-L-FIDÂ

(1273—1331)

### Z JEGO HISTORJI POWSZECHNEJ

W r. pięćset sześćdziesiątym dziewiątym umarł sprawiedliwy król Nūr-ad-Din, syn Machmūda, syna Imād-ad-Dīna, władca Syrii, Mezopotamji i innych ziem, w piątek jedenastego dnia miesiąca Szawwāl, na dyłteryt, na zamku stołecznego miasta Damaszku. Nūr-ad-Din gotował się wówczas do wyprawy na Egipt, chcąc zdobyć go z rąk Salāch-ad-Dīna. Zamierzał oddać dowództwo swemu bratankowi Sajf-ad-Dīnowi w wojnie z Frankami, a sam miał ruszyć przeciw Egiptowi. Ale dosięgła go wola Boża, przeciw której niema oporu.

Nūr-ad-Din miał sładną cerę, wysoką postawę, zarost tylko na brodzie, piękną powierzchowność. Państwo jego było bardzo rozległe, i głoszone mu modły w Mecce, Medynie, w Jemenie po jego opanowaniu przez Tūrān-Szāha, syna Ajjūba; tak samo w Kairze. Rok urodzenia Nūr-ad-Dīna był pięćset jedenasty. Sława jego rozeszła się po całej ziemi, dzięki pięknemu trybowi życia i szlachetności. W wysokim stopniu oddawał się umartwieniom i służbie Bożej, i modlił się po całych nocach. Był znawcą prawa religijnego według nauki imāma Abū Chanify, niech go Bóg otacza swoją łaską; nie był jednak fanatykiem ani obłudnym. On to zbudował mury wielu miast Syrii, np. Emesy, Damaszku, Hamatu, Aleppa, Szirazu, Balbeku i innych, gdy zostały zburzone przez trzęsienie ziemi. Zbudował również liczne szkoły chanifitów i szafitów. Ale krótki ten zarys nie może objąć jego wszystkich pięknych czynów.

Po śmierci Nūr-ad-Dīna na tron wstąpił syn jego, pobożny król Ismael, w wieku jedenastu lat. Wojsko złożyło mu przysięgę w Damaszku, i tu król osiadł. W Egipcie złożył mu hołd Salāch-ad-Din, i tu wybijano monety z jego imieniem.

Wówczas nastąpił rok pięćset siedemdziesiąty. Na początku tego roku dokola pewnego człowieka, imieniem Kanz, z rodu Saīda, zebrały się liczne rzesze. Kanz wystąpił przeciw Salāch-ad-Dīnowi. Ostatni wysłał przeciw niemu wojsko. W bitwie zginął Kanz i wielu jego zwolenników, a reszta rozpierzchła się.

W tym roku, w końcu miesiąca Rabi' I, zapanował Salāch-ad-Din Jūsuf, syn Ajjūba, nad Damaszkiem, Emesą i Hamatem. Przyczyną tego było to, że Szams-ad-Din, rezydujący w Aleppo, postął Salāch-ad-Dīna z zaproszeniem do króla Sālicha, syna Nūr-ad-Dīna, żeby się przeniósł z Damaszku do Aleppo i osiadł w tem mieście. Król Sālich udał się do Aleppo w towarzystwie Sa'd-ad-Dīna...

## IBN CHALDÛN

(1332—1406)

### PROLEGOMENA DO HISTORJI

Celem historii jest przedstawienie społecznego grupowania się ludzkości, t. j. społeczeństwa i różnych stanów, z których się ono drogą naturalną wytworzyło, jak:



życie dzikie, uszlachetnienie obyczajów, poczucie wspólności rodzinnej i szczepowej przeróżne rodzaje przewagi ludów względem siebie, powstawanie państw i dynastji i t. d., a także wszelkich zmian, jakie natura rzeczy w charakterze tych społeczeństw spowodować mogła. Przy badaniu społeczeństwa ludzkiego, t. j. cywilizacji, należy to wszystko mieć na widoku, żeby w opowiadaniach rozróżnić prawdę od fałszu; to, co jest samo w sobie możliwe, co tkwi w naturze, w istocie danej cywilizacji, od tego, co jest przypadkowe lub co zgóry wyłączone być musi.

\*  
\*  
\*

Jest to nauka oddzielna, gdyż naprzód ma ona przedmiot ściśle określony, mianowicie cywilizację i społeczeństwo ludzkie, a następnie omawia ona różne kwestje, które służą do stopniowego wyjaśnienia faktów, związanych z istotą samej cywilizacji. Rozdziały, w których ten przedmiot roztrząsamy, zawierają naukę nową, godną uwagi, zarówno z powodu oryginalności jej poglądów, jak i przez wielkość jej pożytku... Człowiek różni się od innych istot żyjących przymiotami jemu właściwymi, do których należą szczególnie następujące: 1) Nauki i sztuki, będące płodem rozważania, którem człowiek różni się od zwierząt; 2) Potrzeba władzy hamującej wybryki, t. j. rządu, któryby je powściągnął. Ze wszystkich istot żyjących człowiek jest jedyny, który bez tego istnieć nie może; bo jakkolwiek pszczoły i szarańcza mają coś podobnego do rządu, to jednak jest on wynikiem instynktu, nie zaś rozmysłu i rozważania; 3) Zarobkowanie i praca, której dostarczają najrozmaitsze potrzeby życia; 4) Dążność do jednoczenia się, która skłania ludzi do mieszkania razem bądź w miastach, bądź w namiotach. Przyczynia się do tego popęd do towarzystwa i skłonności naturalne do wspomaganiania się wzajemnego przy zaspokajaniu potrzeb swoich i zdobywaniu środków utrzymania; 5) i 6) Stan zjednoczenia w formie podwójnej: a) w życiu koczowniczym i b) w życiu osiadłym. W obu wypadkach stan towarzyski podlega zmianom bardzo poważnym. Zgodnie z takim planem, pierwsza księga mojej historii rozpada się na 6 działów: 1) O zjednoczeniu się ludzkim wogóle, o rozmaitości ras ludzkich i o krajach przez nie zamieszkałych; 2) O jednoczeniu się u nomadów, z omówieniem ludów i szczepów napół dzikich; 3) O formach rządu, t. j. o kalifacie, królestwie i niezbędnych w każdym państwie urzędnikach; 4) O cechach odrębnych cywilizacji życia osiadłego, tudzież o znaczeniu miast i prowincyj; 5) O rzemiosłach i różnych środkach zaspokajania potrzeb życia oraz zdobywania bogactw; 6) O naukach i środkach kształcenia się.

*Tłum. Juljan Adolf Świącicki.*

MAKRÎZÎ  
(1365—1442)

Rok 682 (hedżiry) był dla chrześcijan bardzo ciężki. Gdy emir Sendszar-el-Szodszai był w łaskach wielkich u Melika-el-Mansūra Kilawuna, chrześcijanie musieli jeździć na osłach z pasami około bioder, i żadnemu z nich nie wolno było przemówić do muzułmanina, gdy ten siedział na koniu, a także nosić ubrań kosztownych.

Gdy el-Mansūr umarł, sułtanem został syn jego el-Melik el-Aszref Chalil. W służbie u emira byli chrześcijańscy sekretarze, którzy jednak zachowywali się bardzo wyniosłe względem muzułmanów, a strojem i postawą swoją przejawiali dumę. Jeden z takich sekretarzów u Ajn-el-Gazāla spotkał pewnego dnia na ulicy magazyniera swego pana. Magazynier ucałował stopę sekretarza, który jednakże zaczął go lając z powodu jakiejś sumy, która jeszcze do dochodów emira nie wpłynęła. Gdy magazynier prosił o względność i przebaczenie, sekretarz, rozgniewany tem jeszcze bardziej, kazał słudze swemu związać mu ręce na plecach i prowadzić go z sobą. Ludzie, gromadząc się zewsząd, otoczyli sekretarza, prosząc, żeby uwolnił magazyniera. Ale ten odmówił prośbie. Wówczas tłum ludzi rzucił się na niego, ściągnął go z osła, a magazyniera oswobodził. Sekretarz, będąc już blisko swego pana, posłał służącego po ludzi. Jakoż wrócił on z zastępem straży Emira i niewolników, którzy,

oswobodziwszy sekretarza, zabrali się do bicia tłumu. Podniósł się krzyk: «Nie wolno», i wszyscy pośpieszyli przed zamek, wołając: «Ratunku! niech Bóg strzeże sultana!» Władca, usłyszawszy te krzyki, wysłał kogoś dla zbadania rzeczy. Gdy zawiadomiono sultana o surowem postępowaniu sekretarza chrześcijanina względem magazyniera, kazał sprowadzić Ajn-el-Gazāla i rzekł do niego: «Jak śmia niewolnicy twój postępować tak srogo z muzułmanami z powodu chrześcijanina?» Zapytany odpowiedział, że o niczem nie wie. Wówczas sultan polecił sprowadzić do siebie wszystkich chrześcijan i pomordować. Jakoż dostojnicy nie spoczywali. Ogłoszono, że żaden żyd, ani chrześcijanin, nie może pozostawać w służbie u Emira, wszystkim zaś sekretarzom chrześcijanom oświadczone, że ci, którzy natychmiast przyjmą islamizm, pozostaną w służbie, oporniejsi będą mieli głowy odcięte. Ten sam wybór pozostawiony był wszystkim innym chrześcijanom, którzy pracowali w Dywanie sultana. Zaczęto tedy wyszukiwać chrześcijan, którzy się poukrywali. Tłum rabował domy zarówno chrześcijan, jak żydów, uprowadzał niewiasty w niewolę, a mężczyzn zabijał. Widząc takie postępowanie ludu, namiestnik usiłował złagodzić gniew sultana, a prefekt Kairu ogłosił, że kto obrabuje dom chrześcijanina, będzie powieszony. Jakoż kazał on kilku rabusiów obczować i oprowadzić po mieście. Ale dopiero po ograbieniu kościoła w Misi tłum się uspokoił. Gdy namiestnik ustawił wielką liczbę sekretarzy chrześcijańskich w pewnem oddaleniu od sultana, ten polecił wykopać wielki dół za targiem końskim, poniżej zamku, wrzucić do niego wszystkich zebranych, obłożyć ich drzewem i podpalić. Wówczas Emir Beider wstawił się za nimi, ale sultan nie chciał słyszeć o niczem, wołając: «Nie chcę w swem państwie Dywanu chrześcijańskiego». Wreszcie zgodził się na to, żeby tych, którzy przyjmą islamizm, pozostawić w służbie, a opornych wytępić. Gdy ten rozkaz obwieścił Emir sekretarzom, wówczas jeden z nich, el-Makin ben el-Sikai, zawołał:

«O panie, któżby z nas był tak nieugięty, żeby przełożył śmierć nad tę religję haniebną? Na Boga! my przyjmujemy taką, jaką wybieriecie, dla której zginiemy, której błogosławieństwa swego Bóg nie odmówił».

Wówczas Beider, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu, zawołał:

«Mamyż dla ciebie wybrać inną religję niż islam?»

Zapytany odpowiedział:

«O panie, my tego nie wiemy; wy decydujecie, a my za wami pójdziemy».

Wtedy sprowadzono notariuszów i wszyscy dali piśmienne oświadczenie, że przechodzą na islam, a sultan przysłał im szaty honorowe. Jakaż ci ludzie, którzy z pogardzanych stali się przez pozór islamu szanowani, musieli mieć pogardę dla muzułmanów; bo choć chrześcijańskiemu swojemu nie wolno im było przejawiać, stało się z nimi, jak ktoś napisał wierszem do Emira Beidera: «Nawracano niewiernych przez gwałty i miecze, więc wolność uzyskawszy, znów byli niewierni. Dla złota, dla spokoju islam przyjąwszy, są wolni, ale nie są muzułmanami».

## SĀ'ID AL-ANDALUSĪ

Powiada sędzia Sā'id, syn Aḥmada, Andaluzyjski, dzierżący urząd sędziowski w Toledzie, iż Arabowie dzielą się na dwie części, jedną wymarłą, a drugą żyjącą.

Część wymarłą stanowiły ludy olbrzymów, jak plemię 'Ad, Tamūd, Ṭasm, Dżadis. Z powodu dawności ich wygaśnięcia utraciliśmy wszelkie dokładne dane o ich dziejach, i przerwana została nić i wątek wiedzy o ich wielkich czynach i świadectwach ubiegłej świetności.

Co zaś dotyczy części żyjącej, to pochodzi ona z rozgałęzienia dwóch pni rdzennych, plemienia Qaḥṭān i 'Adnān, a łączy ich niepodzielnie dwojaki stan, dwa okresy, okres barbarzyństwa, czyli pogaństwa, i okres islamu, czyli prawdziwej wiary.

Co do stanu Arabów w okresie barbarzyństwa, to jest to okres, znany ludom, okres potęgi i tężyzny. Państwo ich opierało się na plemionach Qaḥṭān, rodem królewskim najpotężniejszym był ród Himjarytów, a wychodzili z ich łona królowie

i książęta, olbrzymy i bohaterzy. Inni zaś Arabowie okresu barbarzyństwa, poza królami, dzielili się na dwa stany: lud chat glinianych, czyli mieszczan, i lud namiotów z włosia wielbłądziego, czyli koczowników. Mieszczanie, mianowicie lud osiadły i mieszkańcy miast, szukali pożywienia, trudniąc się zasiewem zbóż, uprawą palm, hodowlą bydła i handlem wędrownym. Lud zaś namiotów był mieszkańcem pustyni i żywił się mlekiem wielbłąda i jego mięsem, szukając łąk, na których rośnie świeża, zielona trawa, dążąc do miejsc, zroszonych kroplami dżdżu, i żyjąc tam w namiotach, póki im sprzyjał obfity karm i póki starczyło paszy, poczem udawał się na poszukiwanie nowego pastwiska i źródła wody. Tak żyli, przystawając w jednym miejscu i wyruszając w nową wędrowkę, jak to powiedział ktoś o swej wielbłądźcy:

I rzekła, gdy jej nakładałem pas siodła:

Czy taki jest jego zwyczaj na zawsze i mój zwyczaj,

Czy cały mój żywot — tylko przystawanie i wyruszanie,

Czyż nie oszczędzi mnie i nie ocali?

Taki był ich tryb życia podczas wiosny i lata. A gdy następowała zima i tężała ziemia, wówczas śpiesznie ciągnęli do urodzajnych ziem Iraku i okolic Syrii, znosząc surową porę roku i cierpiąc od twardego żywota.

A religje ich były rozmaite. Plemię Himjarytów czciło słońce, plemię Kināna — księżyc, Tasm — gwiazdę Aldebaran, Laḥm i Dżudżam — Jowisza, Tajji' — Syrusza, Asad — Merkurego, a plemię Takif czciło dom, położony na szczycie miejscowości Naḥla, zwany Al-lāt. A byli wśród nich tacy, którzy wierzyli w zmartwychwstanie i twierdzili z gorącym przeświadczeniem, że ten, na którego grobie zarzynano jego wielbłąda, zmartwychwstanie wierzechem, a komu tego nie uczynią, zmartwychwstanie pieszko.

A nauka Arabów, którą się pysznili, polegała na znajomości języka, na ustaleniu właściwości mowy, miar wiersza i nauczaniu sztuki wygłaszania przemówień. Prócz tego posiadali znajomość czasu wschodu i zachodu gwiazd oraz wiedzę o ruchach ciał niebieskich i porach deszczu, przez gwiazdy oznaczanych, w granicach tego, co zdołali osiągnąć drogą największych wysiłków i długiego doświadczenia, pchani potrzebą wiedzy w życiu codziennym, nie zaś na drodze bezinteresownego badania prawdy.

Co zaś dotyczy nauki filozofji, to Bóg ich nie obdarzył niczem pod tym względem, ani też uczynił ich charakter odpowiednim dla wysiłków na tem polu.

Taki był ich stan w okresie barbarzyństwa. Co zaś dotyczy ich stanu w okresie islamu, to żyli oni w warunkach, które, o ile Bóg zechce, opiszemy w sposób możliwie najbardziej dokładny i zwięzły.

\* \* \*

Twórca religji islamu, Muchammad, syn 'Abdallāha.

Powiadają genealogowie, że jego pochodzenie wywodzi się aż od Ismaela, syna Abrahama, przyjaciela Boga, którego urodziła mu Hagar, niewolnica Sary, jego żony. Narodziny Muchammada miały miejsce w Mecce, roku ośmset osiemdziesiątego drugiego ery Aleksandra. Gdy minęło około dwóch lat, umarł mu jego ojciec 'Abdallāh, i pozostał przy swej matce 'Aminie, córce Wahba, sześć lat. Gdy ta odeszła do przodków, zabrał go do siebie dziadek 'Abd-al-Muṭṭalib i otoczył czułą opieką. A gdy tego dosięgła śmierć, polecił swemu synowi 'Abu-Ṭālibowi, aby się nim zaopiekował, i t. d.

## C. LITERATURA GEOGRAFICZNA

### MUCHAMMAD AL-MAKDIŚĪ

(X w.)

#### Z JEGO DZIEŁA GEOGRAFICZNEGO

«Książka moja składa się z trzech części, z których pierwsza zawiera to, co sam widziałem, druga — com słyszał od osób wiarogodnych, a trzecia — com w księgach znalazł. Nie masz biblioteki, wielkiej czy malej, z którejbym nie korzystał; nie masz kierunku teologicznego, z którymby się nie zaznajomił, — męża pobożnego,

z którym nie byłbym w stosunkach, — kaznodziei, którego bym nie słyszał, zanim zdobyłem to, co umiem. Niemasz nic, czego bym w podróży nie próbował, okrom żebrania i ciężkich grzechów. Byłem więc uczonym, beletrystą, ascetą, pustelnikiem i oddawałem się nauce teologii i filologii. Występowałem jako kaznodzieja i z minaretu do modłów nawoływałem. Zupełnie z sufetami, papkę z mnichami i strawę okrętową z majtkami jadałem, a nawet, wyrzucony z meczetu, błędziłem po stepie i bez pomocy pustynią podróżowałem. Raz byłem uosobioną wstrzeźliwością, to znów potrawy zakazane jadłem wbrew swej woli; tułałem się wśród osadników Libanu, to znów żyłem na dworach książąt. Raz posiadałem niewolników, to znów biegłem z koszem na głowie jako kramarz. Bywałem bliski zatonięcia i nieraz karawanę moją zrabowano. Składałem wizyty sędziom i możnym, książętom i ministrom lub siadywałem jako drobny handlarz na targach. To zarabiałem na życie introligatorstwem, to znów płaciłem srebrem za wodę. Siadywałem w palankinach lub na koniu, albo podróżowałem pieszo w czasie skwarów palących lub też po śniegu. Otrzymałem od książąt szaty honorowe i podarunki, a często byłem biedny i nagi. Wielcy panowie korespondowali ze mną i prosili o radę, a kiedy indziej musiałem znosić zniewagi i aż do przysięgi się zniżyć, gdy mnie o kacerstwo i złe czyny posądzono. Mógłbym tu jeszcze wiele innych przytoczyć okoliczności, ale to wystarcza dla przedstawienia, że książka moja jest owocem doświadczeń własnych i bardzo się różni od tych prac, które z cudzych opowieści powstały.

#### AL-FÂRABÎ

(um. w r. 950)

#### Z DZIEŁA P. T. «PAŃSTWO WZOROWE»

...Musi mieć członki doskonałe, z odpowiednią siłą, któraby mogła dokonać tego, co dokonane być musi, i żeby, gdy chce działać jednym ze swoich członków, nie zawiodł się na jego sile. Musi mieć już z natury uzdolnienie wyborne do zrozumienia tego, co mu przedstawiają, żeby rozumem własnym objął i to, do czego zmierza mówiący, i rzecz samą w sobie. Musi to, co rozumiał, widział i słyszał, dobrze zapamiętać; niczego mu zapomnieć nie wolno. Musi być przezornym i bystrym; jeżeli coś poznał, dzięki wskazówkom najdrobniejszym, powinien natychmiast tak rzecz ogarnąć, jakby już była dowiedziona. Musi zawsze wyrażać się zrozumiale; język jego powinien wszystko, co w sobie nosi, wyklądać jasno. Musi naukę i wiadomości chętnie zdobywać i łatwo wchłaniać. Przy nauce nie powinien być nigdy znużony, żeby wyčerpanie krzywdy mu jakiej nie przyniosło. Nie ma być chciwy jadła, napoju i kobiet; musi mieć wstręt z natury do gry, a wszelkie żądze podobne powinny być przez niego znieawidzone. Musi kochać prawdę i jej wyznawców, a brzydzić się kłamstwem i jego zwolennikami. Musi być wielkoduszny i szlachetny; już z natury dusza jego powinna wznosić się ponad wszystko, co haniebne, i dążyć w tym kierunku do doskonałości najwyższej. Pieniądze i wszystko, co światowe, powinien za nic uważać. Już z natury musi sprawiedliwość i sprawiedliwych szanować. Powinien wymierzać sprawiedliwość zarówno swoim, jak obcym, zachęcać do niej, skrzywdzonych nagradzać, we wszystkim zaś, co uważa za dobre i piękne, przykładem świecić. Nie powinien być uparty i nieugięty, gdy go ktoś ku sprawiedliwości prowadzi, a przeciwnie, musi stać twardo, gdy go ktoś nakłonić usiłuje ku czynom krzywdzącym i haniebnym. Musi bez żadnej chwiejności i obawy przeprowadzać ze stanowczością to wszystko, co za konieczne uważa.

#### IDRĪSĪ

(ur. w r. 1099)

#### Z JEGO DZIEŁA GEOGRAFICZNEGO

Miasto Toledo, położone na wschód od Talavery, jest stolicą poważną, dzięki zarówno obszarowi swemu, jak i liczbie mieszkańców. Silne już z natury, otoczone

jest murami pięknymi, a bronione przez cytadelę bardzo mocną. Leży na wyniosłości, i mało miast może z niem wytrzymać porównanie pod względem wielkości budynków, piękności okolic i żyzności pól, skrapianych przez dużą rzekę, która nazywa się Tag. Widzisz tam wodociąg bardzo ciekawy o jednej arkadzie, pod którą rzuca się woda z gwałtownością, poruszając u końca akweduktu maszynę hydrauliczną, która wznosi wodę na 90 łokci wysoko, a włączając ją do części wyższej wodociągu, sprządza w ten sposób wodę do miasta. W epoce chrześcijan starożytnych Toledo było stolicą swego państwa i ogniskiem handlu. Muzułmanie, stawszy się panami Andaluzji, znaleźli w tem mieście bogactwa nieprzebrane, a wśród nich 170 koron złotych, ozdobionych perłami i mnóstwem innych klejnotów, 1.000 szabel królewskich, pokrytych obficie perłami i rubinami, mnóstwo naczyń złotych i srebrnych; stół Salomona, syna Dawida, zrobiony, jak mówią, z jednego szmaragdu, a będący dziś w Rzymie. Ogrody wokół Toledo są poprzerynane kanałami, na których zbudowano przyrządy do skrapiania drzew, dostarczających owoców nieporównanej dobroci i smaku. Dookoła podziwiać można piękne siedziby i zameczki silnie uzbrojone.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

## IBN BATŪTA

(um. w r. 1377)

### Z OPISU JEGO PODRÓŻY

#### Cejl on

Przybyliśmy na wyspę Cejl on i zobaczyliśmy górę Sarandib. Sułtan Cejl onu jest niewierny i potężny na morzu. Między jego ziemią a Malabarem jest odległość jednego dnia drogi. Stąd wyruszyłem w dalszą drogę i przybyłem do leżącego w jego kraju miasta Batāla, które się pisze z literą *a* po *b* i *t* bez kropki. Udałem się do sułtana i powiedziałem mu:

«Jestem przyjacielem sułtana Malabaru i zamierzam udać się do niego».

Na wybrzeżu portu Batāla znalazłem pełno drzewa budulcowego, które przynosił prąd rzeki. Leżały tego drzewa całe góry na brzegu, i zewsząd przybywali kupcy i brali je bezpłatnie, składając tylko władcy Cejl onu skromne dary w odzieży.

Pewnego dnia widziałem tam dużo drogocennych kamieni, któremi sułtan zwykł był zaszczytnie obdarzać swe niższe i wyższe sługi. Sułtan rzekł do mnie:

«Nie wstydź się, zażądaj ode mnie, czego pragniesz».

Rzekłem doń:

«Jedynym celem mojego przybycia do tego kraju jest pielgrzymka do szczątków naszego praojca Adama, niech spoczywa w opiece boskiej».

Ludność tutejsza nazywa Adama ojcem (*bābā*), a Ewę — matką (*mama*). Sułtan rzekł do mnie:

«Dobrze, posłę z tobą ludzi, którzy cię tam zaprowadzą» — poczem dał mi trochę drogocennych kamieni. Sułtan wyznaczył żołnierzy, którzy mieli mi towarzyszyć w pielgrzymce, dał mi do towarzystwa braminów, a także sługi, którzy mieli nosić zapasy żywności. Statek, którym miałem płynąć, czekał już na mnie. Morze na tej drodze jest głębokie. Tak przybyliśmy do miejscowości Manār Mandali; pierwsze z tych słów ma *a* po *m* i *n* oraz *alef* na końcu, a drugie słowo ma *a* po *m*, *n* bez samogłoski, *d* bez kropki i z samogłoską *a*, *l* z samogłoską *i*, a na końcu ma literę *i*. Jest to piękne miasto, leżące na końcu posiadłości tego sułtana. Widziałem w niem tylko jednego muzułmiana, który tam przebywał z powodu choroby.

Stamtąd udałem się do Bandar Salāwat; pierwsze z tych słów pisze się z samogłoską *a* po *b* jednokropkowem, bez samogłoski po *n*, z samogłoską *a* po *d*, bez samogłoski po *r*, a drugie słowo pisze się z samogłoską *a* po niekropkowanym *s*, następnie z literą *l*, *alef*, *waw* i dwukropkowem *t*. Jest to małe miasteczko.

Stąd powędrowaliśmy przez dzikie miejsca, obfitujące w wodę. W drodze napotykalismy liczne stada słoni, które jednak nie czynią nic złego pielgrzymom i wędrow-

nym; dzieje się to za łaską starca 'Abū 'Abdallāh ibn-Chalif. Jest to pierwszy, który otworzył tę drogę dla pielgrzymek świętych. Przedtem niewierni czynili przeszkody muzułmanom w drodze, wyrządzali im krzywdy, nie sprzedawali żywności, ani innych rzeczy. Ale gdy się wydarzyło 'Abū 'Abdallāhowi to, o czym opowiadaliśmy wyżej, gdy zabił słonie, grożące jego towarzyszom, i wyszedł cało, gdy go słoń zaniosł na grzbiecie, — od tej chwili niewierni zaczęli poważać muzułmanów i wprowadzać ich do swego kraju. I do dziś dnia czczą owego starca i nazywają go Wielkim Starcem.

Stamtąd udaliśmy się do miasta Kanakār, które się pisze z samogłoską *a* po pierwszym *k*, po *n* i drugim *k* i literą *r* na końcu. Jest to miasto największego sułtana tych krajów, leżące w wąwozie między dwiema górami, na brzegu wielkiego wąwozu, zwanego Jarem Hiacyntów, gdyż znajdują się tu hiacynty. Na krańcu miasta stoi meczet starca Osmana Szirazyjskiego, a władca tego miasta i jego ludność pielgrzymują do niego i czczą go. Był on przewodnikiem pielgrzymów. A gdy mu ucięto rękę i nogę, władza przeszła na jego synów.

Przyczyną obcięcia mu ręki i nogi było to, że zarznął krowę. Niewierni Hindusi mieli zwyczaj każdego, kto zarznął krowę, zabijać lub zaszywać w jej skórę i palić. Starzec Osman był przez nich wielce czczony, więc ucięto mu rękę i nogę.

Władca miasta nazywa się Kunār z samogłoską *u* po *k* i *a* po *n*. Posiada on białego słonia, jakiego nie widziałem nigdzie na świecie. Sułtan dosiada go podczas świąt uroczystych. Słoń ma na głowie drogocenne hiacynty. A hiacynt, odmiana karbunkułu, znajduje się tylko w tej miejscowości; poczęści znajdują go w wąwozie — ten gatunek jest tam najbardziej ceniony — poczęści zaś dobywają go z pod ziemi. Na wyspie Cejlonie znajdują hiacynty w różnych miejscach. Ludzie w poszukiwaniu ich kopią w ziemi, znajdują rozdwojone białe kamienie, w których wnętrzu mieszczą się hiacynty. Dają je szlifierzom, którzy szlifują i zeskrobują obcy kamień z drogocennego. Niektóre hiacynty są bure, inne żółte lub błękitne. Mieszkańcy mają zwyczaj sprzedawać sułtanowi takie, których wartość dosięga sześciu denarów złota, a wszystkie kamienie poniżej wartości tej ceny należą do właścicieli. Wszystkie kobiety wyspy Cejlonu mają naszyjniki z barwnych hiacyntów i zdobią nimi ręce i nogi, zamiast zwykłych naramienników i pierścieni na kostkach stóp. Na głowie białego słonia widziałem siedem kamieni, każdy większy od jajka kurzego, a u jednego z sułtanów niewiernych widziałem kielich z hiacyntu wielkości dłoni. Kiedy wyraziłem moje zdumienie, sułtan rzekł:

«Mamy rzeczy bardziej niezwykle niż to».

Z Kanakār udałem się do pieczary, znanej pod imieniem Machmūda Indyjskiego. Był on jednym z świętych i wykopał to zagłębienie u podnóża góry, na brzegu niewielkiego jaru. Stąd zszedłem do jaru Bauzūnah, które się pisze z samogłoską *a* po jednokropkowym *b*, następnie z literami *w* z *w* *n* oraz *h*; znaczy to — małpy. Jest ich dużo w tych górach, o skórze różnej barwy i długich ogonach; samce mają brody jak ludzie. Opowiadało mi wielu z pobożnych wiernych, że te stworzenia mają swego prowodyrę, któremu okazują posłuszeństwo jak sułtanowi. Na czole nosi wieniec z liści drzew i opiera się na kij. Z prawej i z lewej strony towarzyszą mu cztery małpy z kijami w dłoniach. Gdy siada, cztery małpy stoją przy nim, żona jego i synowie cały dzień siedzą przy jego boku, pozostałe zaś małpy siedzą w pewnej odległości. Następnie jedna z czterech ma przemowę do wszystkich, poczem wszystkie odchodzą. Następnie każda z małp przychodzi osobno z bananem, cytryną albo czemś podobnym. Naczelnik, jego żona, synowie i cztery małpy spożywają owoce, poczem odchodzą. Opowiadał mi ktoś, że widział, jak owe cztery małpy smagały inną w nieobecności naczelnika kijem, a następnie wyrwały jej sierść.

## Chiny

Następnie popłynęliśmy dalej i po upływie siedemnastu dni podróży, przy niezwykle pomyślnym wietrze, przybyliśmy do ziemi chińskiej. Klimat Chin jest bardzo dobry, gleba rodzi obficie zboże i owoce, a pod ziemią jest tyle złota i srebra, ile

nigdzie na ziemi. Przez kraj płynie rzeka, zwana Wodą Życia; rzeka ta nazywa się również Sabar, jak rzeka w Indjach. Źródło jej znajduje się w górach w pobliżu miasta, zwanego Koh Bauzūnah, co znaczy Góra Małp. Rzeka płynie przez środek kraju. Nad jej brzegami leżą kwitnące miasta i wsie, widać pola i ogrody, i liczne studnie oraz koła wodne. Rośnie tu gęsto trzcina cukrowa, winogrona, gruszki, piękne melony, podobne do tych, jakie są w Chwarzamie. Wogóle wszystkie owoce, które rosną w naszym kraju, są również w Chinach, i w lepszym gatunku. A maki nie widziałem lepszej niż w tym kraju, jako też grochu... Kury i koguty chińskie są wielkie i tłuste, większe aniżeli nasze gęsi, ale gęsi u nich nie są duże. Kupiliśmy kiedyś kurę i chcieliśmy ją ugotować, ale mięso nie zmieściło się w jednym garnku; musieliśmy ją włożyć do dwóch. A koguty są wielkości strusia.

Chińczycy są niewierni, czczą bałwany i palą zwłoki umarłych jak Hindusi. Król Chin jest Tatarem i pochodzi z rodu Dżengis-Chana. W każdym mieście chińskim jest dzielnica dla muzułmanów, którzy żyją osobno, mają swoje domy modlitw, zebrań i są powszechnie szanowani.

Niewierni Chińczycy jedzą wieprzowinę i psie mięso i sprzedają je na targach. Żyją dobrze, ale nie różnią się między sobą ani jedzeniem, ani strojem. Można zobaczyć bogatego kupca, posiadającego niezmierny majątek, w kaftanie z szorstkiej i prostej materji. Natomiast różnią się bardzo pod względem obfitości naczyń srebrnych i złotych w domu. Każdy Chińczyk nosi kij, na którym się opiera; nazywają go «trzecią nogą». Jedwabiu jest bardzo dużo, gdyż jedwabnik żywi się liśćmi i owocami i nie wymaga wielkich wydatków na wyżywienie. Jedwab jest tu strojem biedaków. Gdyby nie kupcy, nie miałby żadnej ceny; sprzedają tu jedną szatę z prostej materji za kilka jedwabnych.

Mają oni zwyczaj, że każdy kupiec przetapia swoje złoto i srebro na sztaby po pięć lub więcej kentarów. Kto ma pięć sztab, nosi na palcu jeden sygnet; kto ma dziesięć, nosi dwa sygnety, a kto ma piętnaście sztab, tego nazywają Sata. Chińczycy nie zawierają transakcyj handlowych na denary lub drachmy. Wszelki zakup i wszelkie wypłaty przy zakupie i sprzedaży odbywają się zapomocą kawałków papieru ze stemplem sułtana. 25 sztuk takich papierów nazywają się bāliszt, które się pisze przez literę *b* na początku, *alef*, *l* z samogłoską *i*, *sz* kropkowane bez samogłoski i *t* z dwiema kropkami. Równa się to denarowi. A gdy się taki papierek podrze na strzępy w rękach ludzi, zanoszą go do mennicy i otrzymują nowy bez żadnej dopłaty. Urzędnicy, którzy załatwiają te czynności, otrzymują wynagrodzenie od sułtana. A jeśli ktokolwiek przyjdzie z denarem lub drachmą, nikt go od niego nie przyjmie, ani zwróci na niego uwagi, dopóki nie zmieni pieniędzy na bāliszty.

Wszyscy mieszkańcy Chin używają jakiegoś rodzaju ziemi zamiast węgla. Przywożą ją w wielkich ilościach na słońcach, tną na kawałki wielkości naszego węgla i rozpalają nią ogień. Pali się jak węgiel, a ogień jest gorętszy od ognia węglowego. Kiedy się cała spopieli, mieszają ją z wodą, dają jej wyschnąć i palą po raz drugi. Tak robią, dopóki nie unicestwi się całkowicie. Z tej samej ziemi wyrabiają chińską porcelanę.

Chińczycy z wszystkich ludów są najdoskonalszymi rzemieślnikami. Pod względem sztuki malowania nikt im w doskonałości nie dorówna. Najbardziej dziwne, czego byłem u nich naocznym świadkiem, to rzecz następująca. Przyjechałem kiedyś do jednego z ich miast, a po pewnym czasie, gdy wróciłem do niego, zobaczyłem moją podobiznę i podobiznę moich towarzyszy, odbite na papierze i rozlepione na murach ulic. Tak samo, gdy przyjechałem do miasta sułtana, przechodziłem przez rynek rytowników razem z moimi towarzyszami i weszliśmy w ten sposób do pałacu. Kiedyśmy stąd wyszli wieczorem, przechodziłem znów przez wspomniany rynek i tu ujrzałem podobiznę moją i moich towarzyszy, odbite na papierze, nalepionym na murze. Przyjrzałem się jej bliżej i nie znalazłem ani jednej usterki.

Zwyczajem Chińczyków jest, że gdy któraś z dżonk chce podjąć kotwicę, zjawia się nadzorca rzeczny i sporządza spis marynarzy i służby, którą statek z sobą zabiera, poczem dopiero daje pozwolenie na podniesienie kotwicy. Gdy statek wraca do kraju, nadzorca znów się zjawia i sprawdza obecność wszystkich ludzi na pokładzie podług dawniej sporządzonego spisu. Jeżeli stwierdza brak jakiegoś człowieka, właścicie

dzonki za to odpowiada, chyba, że przedstawi dowód jego śmierci albo ucieczki, albo jakieś inne usprawiedliwienie. Następnie właściciel statku otrzymuje rozkaz sporządzenia spisu wszystkich towarów, zarówno cennych, jak drugorzędnej wartości, poczem wszyscy wychodzą na brzeg, a urzędnicy fiskalni wchodzą na dżonkę i sprawdzają towary. Jeżeli stwierdzą, że coś zostało przed nimi ukryte, statek wraz z wszystkim, co się na nim znajduje, przechodzi na własność sułtana. Jest to zwyczaj najwięcej krzywdzący, i nic podobnego nie widziałem w żadnym kraju niewiernym lub muzułmańskim. W Indjach, gdy urzędnik znajdował ukryte towary, karano właściciela jedenastokrotną grzywną. Później jednak władca Indyj, usuwając różne nadużycia, zniósł również tę karę.

Gdy do jakiegoś miasta w Chinach przybywa kupiec muzułmański, może według swego upodobania zamieszkać u jednego z kupców muzułmańskich, stale przebywających w tej miejscowości, albo też w domu zajezdnym. Jeżeli woli zamieszkać w domu u jakiegoś muzułmanina, bierze swoje pieniądze i składa je u miejscowego kupca. Gdy obcy postanawia opuścić miasto, odbiera złożone pieniądze i sprawdza je, a jeżeli czegoś brak, na miejscowego kupca, który jest odpowiedzialny za całość mienia, oddanego na przechowanie, nakładają grzywnę. Jeżeli przyjezdny woli zamieszkać w zajezdzie, wręcza wszystkie swoje pieniądze oberżyscie, który przyjmuje za nie odpowiedzialność i od tej chwili kupuje wszystko dla obcego, i zapisuje na jego rachunek. Tak samo, gdy przyjezdny zapragnie nałożnicy, oberżysta kupuje mu niewolnicę i wynajmuje mieszkanie.

Niewolnice są tanie, gdyż wszyscy sprzedają swych synów i córki, i nikt tam tego nie poczytuje za hańbę. Nie wolno tylko zmusić niewolnicy do wyjazdu z nabywcą, ale dobrowolny wyjazd nie jest wzbroniony; również nikt mu nie broni ożenić się z nią. Ale miejscowi muzułmanie dają baczenie, żeby przyjezdny nie miał możności trwonienia pieniędzy na rozpustę. «Nie chcemy» — powiadają — «żeby się w krajach muzułmańskich dowiedziało, iż przyjezdni muzułmanie roztrwonili swoje mienie na naszej ziemi i że znaleźli się w kraju rozpusty i marnotrawstwa».

Chiny są krajem najpewniejszym i najlepszym dla podróżnych. Jeżeli ktoś wędruje sam i wiezie z sobą znaczny majątek, nie ma powodu obawiać się o jego całość, a to dlatego, że w każdej miejscowości znajduje się dom zajezdny, pozostający pod nadzorem wyższego urzędnika. Wieczorem urzędnik przychodzi wraz ze swym sekretarzem do zajazdu, zapisuje imiona wszystkich podróżnych, przykładają pieczęć i zamyka drzwi. O świcie znów przychodzi, sprawdza spis przyjezdnych, sporządza nowy spis i wręcza go urzędnikowi, który towarzyszy przyjezdnym do następnej miejscowości, gdzie miejscowy funkcjonariusz poświadcza, że wszyscy wymienieni podróżni przybyli do niego.

Kiedy przepłynąłem morze do Chin, pierwszym miastem, do którego przybyłem, było Miasto Oliw. Niema w niem żadnych drzew oliwkowych, ani też wogóle w całych Chinach i Indjach; jest to tylko urzędowa jego nazwa. Jest to wielkie miasto. Wyrabiają tam szaty z adamaszku i atlasu, najlepsze z wszystkich wyrobów odzieżowych w Chinach. Port jest tu jeden z największych na świecie. Widziałem około stu wielkich statków, a małych bezliku. Miasto leży nad wielką zatoką morską, która głęboko wchodzi w brzegi i w tem miejscu łączy się z ujściem Wielkiej Rzeki.

W dzień mojego przybycia do miasta widziałem dostojnika, który miał wyruszyć w drogę, żeby postować od władcy Chin do władcy Indyj. Powiadomił on o mnie naczelnika miasta, który wyznaczył mi piękne mieszkanie.

Rychło przybył do mnie sędzia muzułmanów w towarzystwie najwyższego duchownego i poważnych kupców, wśród nich wielu, których przedtem widziałem w Indjach. Kupcy ci, żyjąc w kraju niewiernych, cieszą się bardzo, gdy przybywa do nich muzułmanin, i dają hojną jałmużnę tym, którzy do nich przybywają, tak, że stają się tak samo bogaci jak każdy z miejscowych.

Gdy miejscowy urzędnik dowiedział się o mnie, napisał do Kāna — jest to ich najwyższy naczelnik — żeby go zawiadomić o mojem przybyciu jako posła króla Indyj. Poprosiłem go, żeby posłał ze mną człowieka, któryby mnie odwiózł do Sin Kajlān, znajdującego się w jego okręgu, nim powróci odpowiedź Kāna. Zgodził się na to



i przysłał jednego ze swych urzędników. Wsiadłem na statek i płynąłem przez 27 dni, ładując z rana w jednej wsi, a wieczorem w innej, aż przybyłem do Sin Kajlānu. Wpobliżu tego miasta rzeka Wody Życia wpada do morza. Jest to jedna z miejscowości o największych i najpiękniejszych ulicach. Przy wejściu do miasta znajduje się dzielnica muzułmanów. Za tą miejscowością już niema innej, ani muzułmanów, ani niewiernych. Dzieli ją, jak mi opowiadano, droga 60-ciu dni od muru Jadzudż i Madzudż. W owej okolicy żyją niewierni, którzy zjadają każdego człowieka, jaki się ukaże w ich kraju. Z tego powodu żaden podróżny nie zawita do nich. Nie widziałem w tamtych stronach nikogo, któryby spotkał kogoś, kto widział mur.

Kiedy byłem w Sin Kajlān, słyszałem, że żyje w niem wielki starzec, który ma przeszło 200 lat, nie je, nie pije, nie obcuje z kobietami, choć jest bardzo silny. Żyje w pieczarze na krańcu miasta i oddaje się wyłącznie służbie Bożej. Udałem się tam i ujrzałem go, siedzącego przy wejściu. Był chudy, łysy, bez zarostu, z widocznymi śladami umartwień. Gdy go pozdrowiłem, wziął moją rękę, powąchał ją i rzekł do tłumacza:

«Ten człowiek jest z tamtego krańca świata, jak my jesteśmy z tego krańca».

Następnie rzekł do mnie:

«Widziałeś rzecz dziwną. Czy pamiętasz, gdyś przybył na wyspę, na której stoi świątynia, człowieka, siedzącego między posągami, który dał ci 10 denarów złotych?»

«Tak» — rzekłem. Starzec zawołał:

«To ja byłem».

Pocałowałem jego rękę. Starzec zamyślił się, poczem wszedł do pieczary i nie wyszedł więcej do nas, jakgdyby pocałował tego, co powiedział. Pośpieszyłem i wszedłem za nim do pieczary, ale nie znalazłem go. Zobaczyłem jednego z jego towarzyszy i rzekłem doń:

«Czekamy na tego człowieka».

«Gdybyście nawet» — mówił — «czekali 10 lat, nie zobaczycie go. Zwyczajem jego jest, że gdy ktoś odkryje jedną z jego tajemnic, nigdy go więcej nie zobaczy. Nie sądz, że ukrywa się przed tobą; przeciwnie, jest z tobą».

Zdziwiłem się tym słowom i wyszedłem. Kiedy o tym opowiedziałem sędziemu muzułmanów i naczelnikowi duchownemu, odpowiedzieli mi:

«Taki jest jego zwyczaj z cudzoziemcami, którzy do niego przychodzą. Nikt nie wie, jakie jest jego wyznanie. A ten, którego wzięłeś za jednego z jego towarzyszy, to był on. Opowiadał nam, że kiedyś opuścił to miasto na przeciąg 50-ciu lat. Później zjawił się znów na rok czasu. Sułtanowie, emirowie i wezyrowie pielgrzymują do niego, a on im daje dary według ich dostojenstwa. Przychodzą do niego również biedni codziennie, i daje im jałmużnę. W pieczarze, w której żyje, niema nic, na czym mogłoby spocząć. Opowiada o latach zamierzchłych, pamięta Proroka i mówi: «Gdybym był z nim, pomógłbym mu...»

Opowiedział mi pewien starzec, niezrównany w sprawach wiary, pobożny mędrzec i człowiek bardzo majątny, co następuje:

«Pewnego razu przyszedłem do starca w pieczarze. Wziął mnie za rękę, i w tej chwili wydało mi się, że jestem w wielkim pałacu. Na tronie siedzi starzec z pieczary, w koronie na głowie; dokoła stoją niewolnice, a słodkie owoce spadają z drzew. Zdało mi się, że wzięłem jabłko do ręki, żeby je zjeść. Nagle spojrzałem dokoła. Znow byłem w pieczarze, a przede mną stał starzec i patrzył na mnie z uśmiechem. Potem zapadłem na ciężką chorobę, z której podźwignąłem się dopiero po wielu miesiącach».

## IBN IJĀS

(2-ga poł. XV w.)

### Z DZIEŁA KOSMOGRAFICZNEGO

#### O Russach i Bułgarach

O Russach. Są to plemiona bardziej potężne niż Turcy. Kraj ich jest niezdrowy. Leży w sąsiedztwie Sklawów (Słowian). Znajduje się ten kraj na wyspie, otoczony

małym morzem, które jest dla nich jakby twierdzą, powstrzymującą napór nieprzyjaciół. Z państwa tego wywożą żółtą miedź do ziem Indyj i Chin. Mają też króla, który zasiada na złotym tronie, a otacza go 40 dziewic ze złotymi i srebrnymi kadzielnicami. Ludność tego kraju ma czerwonawą skórę, żółte włosy i wysoki wzrost. Są to najgorsze stworzenia Boga Najwyższego. Mówią nieznanym językiem.

Kraj jest wielki i obszerny. Znajduje się w nim wiele miast, a między jednym a drugim leżą wielkie przestrzenie. Na ziemi tej żyje wiele plemion nieokrzesanych, bez przepisów religijnych, bez Boga, do którego mogliby wznosić oczy.

W ziemi są kruszce drogocenne, np. złoto. Ale żaden cudzoziemiec nie przybywa do ich kraju, a jeżeli ktoś obcy przyjedzie do nich, zabijają go.

Kraj leży wśród gór, które go otaczają. W tych górach biją źródła, spływające do wielkiego jeziora. Na środku jeziora stoi wysoka góra, z której wypływa biała rzeka, rozlewająca się przez łąki aż do brzegów Czarnego morza. Stąd rzeka zwraca się na północ kraju Russów, a następnie skręca w kierunku zachodu.

Na zachód od nich leży Czarne morze. Jest tam wyspa, na której rosną wysokie drzewa. Panuje na niej nieprzenikniona ciemność i nie widać światła słonecznego. Mieszkańcy tych stron palą w domach światło w nocy i we dnie, z powodu słabego światła słońca. Opowiadają, że ludzie żyją tam jak zwierzęta, w stepach i pustyniach, głowę mają spoczywającą bezpośrednio na barkach, bez szyi. Chronią się w dziuplach drzew, nie mając domów. Jedzą żołądź dębów.

Jest tam dużo wysp kwitnących. Plemion i ziem Russów jest trzy: jedna się nazywa Karkaban, druga — Talawat, trzecia — Arthā.

Ziemia Bułgarów leży w siódmej strefie. Niema w niej wielu ani licznych plemion. Na wschodzie leżą płaskowzgórza, na których koczują hordy Turków mongolskich. Są oni podobni do zwierząt i uciekają od widoku człowieka. Jest tam dużo miast. Ziemia ta ciągnie się od wschodu na zachód na przestrzeni siedmiu tysięcy siedmiuset osmdziesięciu mil. Jest to od strony wschodu kraniec siedzib ludzkich. Dalej na wschód są tylko koczowiska Turków, podobnych do zwierząt drapieżnych.

Co do miasta Bułgarów, stoi ono na brzegu rzeki Mānitas. Domy tego miasta są zbudowane z drzewa sosnowego, mury miejskie są dębowe. Z wszystkich stron żyją niezliczone plemiona Turków, z wszystkich stron miasto jest otoczone licznymi wrogami, którzy toczą z niem nieustanne wojny. Opowiada Dżawāliki, autor dzieła «Przejście przez kraje», że w tej stronie najkrótszy dzień zimowy trwa trzy i pół godziny, tylko tyle, ile trzeba na cztery modlitwy, kolejno odmawiane jedna po drugiej; temu odpowiada najdłuższa noc. Zimna panują tam surowe; śnieg nie tylko zimą, lecz nawet w lecie leży wieczny.

Opowiadają, że ludzie, którzy uwierzyli w proroka bożego Hūda, niech spoczywa w opiece boskiej, ratowali się ucieczką do krajów północnych i schronili na ziemi Bułgarów. Świadczy o tem to, że plemię Bułgarów do dziś dnia znajduje w ziemi spróchniałe kości ludzkie. Czaszki ludzi tych wykopalisk mają rozmiary wielkiego sklepienia. Szerokość każdego zęba wynosi dwie piędzie, długość — 4 piędzie, a są białe jak kość słoniowa. Kły mają trzy rozgałęzienia, a wielkość każdego równa się olbrzymiemu melonowi. Zważono niegdyś jeden z tych kłów. Waga wynosiła około dwunastu funtów egipskich. Długość szkieletu tułowia mierzyła około dwudziestu ośmiu łokci, a szerokość — trzy piędzie; zebro było podobne do deski z białego marmuru.

Opowiada Ukłiszi: widziałem w ziemi Bułgarów w roku pięćset trzydziestym żyjącego człowieka, potomka plemienia Adytów. Żył w Bułgarji. Wzrostu był więcej niż siedem łokci. Nazywał się Dāfkā. Brał konia pod pachę, jak człowiek bierze małe dziecko. A gdy się zdarzała wojna w owych okolicach, walczył drzewem dębowym, którym wywijał jakby kijem; gdyby uderzył niem słonia, zabiłby go na miejscu. Był to człowiek dobry, skromny; przy spotkaniu witał mnie z wielkiem uszanowaniem. Gdy się z nim witałem, głowa moja dochodziła mu do łędźwi. Miał siostrę, tak samo wysoką; żyje ona w mieście Bułgar. Opowiadają, że gdy raz przycisnęła męża do piersi, połamała mu zebra i umarł na miejscu, — a nazywał się Adam. W mieście Bułgar żadna łaźnia nie mogła jej pomieścić; tylko jedna, która została zbudowana z jej polecenia z wielką bramą.

## D. LITERATURA FILOZOFICZNA

AL-FÂRÂBÎ

(um. w r. 950)

## Z KSIĘGI ZGODNOŚCI MIĘDZY PLATONEM A ARYSTOTELESEM

Księga zgodności między poglądami boskiego Aflāṭūna (Platona) i Aristāṭālisa (Arystotelesa), przez szejcha i imāma, znanego pod imieniem Drugiego Mistrza, Abū Naṣr Al-Fārābī, niech miłosierdzie Boże będzie nad nim.

Niech będzie chwała Szafarzowi i Twórcy rozumu, Temu, który wszystkiemu nadaje kształt i wszystko do życia powołuje. Dostateczne są jego odwieczne łaski, którymi nas obsypuje i Jego opieka. Błogosławieństwo Jego niech spocznie nad Panem proroków, Mahometem, i jego rodem.

A następnie: widząc, że większość naszych współczesnych zabiegliwie krząta się i wzajemnie zachęca do rozwiązania zagadnienia o powstaniu wszechświata lub też o jego odwiecznym trwaniu, dokoła tego zagadnienia gorące toczy spory i twierdzi, że pod tym względem zachodzą różnice poglądów między obu wybitnymi dawnymi mędrkami, zarówno co do przypuszczenia o istnieniu Pierwszego Stwórcy, jako też co do istnienia czynników pośrednich między nim a jestestwem, następnie co do zagadnienia o duszy i rozumie, o wynagrodzeniu za czyny dobre i złe, wreszcie co do wielu innych spraw z dziedziny politycznej, etycznej i logicznej, — zaprzagnąłem w niniejszym traktacie wykazać zgodność poglądów obu tych mistrzów i wyluszczyć właściwą treść ich twierdzeń, aby stała się jasną zgodność ich przekonań i ustąpiła wszelka wątpliwość i niepewność z serca tych, którzy ich pisma czytają. Pragnę też wyświetlić te ustępy ich pism, które wywołują rozbieżne pojmowanie i nasuwają różne wątpliwości. Albowiem są to przedmioty najbardziej ważne, wymagające wyświetlenia, i zagadnienia, które objaśnić i wyłożyć jest sprawą najbardziej użyteczną.

Pojęciem i treścią filozofji jest poznawanie istnienia w tej mierze, w jakiej istnieje. Otóż owi obadwaj filozofowie właśnie są twórcami filozofji, założycielami jej początków i podstaw, budowniczymi jej następstw i wyników. W obu tych mędrkach pokładamy nasze zaufanie w małych i wielkich, nikłych i ważnych sprawach filozofji. Wszystko, co od nich pochodzi w jakiegokolwiek sprawie z tej dziedziny, stało się podstawą dla dalszej budowy, do tego stopnia wszystko jest wolne od wszelkiej skazy i plamy. Wyznają to wszelkie języki, świadczą wszelkie umysły, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej większości ludzi czystego serca i nieskazitelnego umysłu.

Ponieważ więc słowo i przeświadczenie są słuszne jedynie wówczas, gdy są zgodne z tem, o czem coś wypowiadamy, ponieważ dalej zachodzą różnice między wypowiedziami obu filozofów w różnych dziedzinach tej wiedzy, przeto rzecz może mieć trzy różne postaci. Albo powyższe określenie treści filozofji nie jest prawdziwe, albo też zdanie i przeświadczenie wszystkich lub większości ludzi o filozofji obu tych mężów jest fałszywe i bezpodstawne, albo wreszcie błąd leży w wiedzy tych, którzy upatrują rozbieżność co do tych zasad podstawowych.

Prawdziwe określenie musi dokładnie odpowiadać dyscyplinie filozoficznej. Wynika to jasno z przeglądu poszczególnych części tej gałęzi wiedzy. A przedmiot i materia wiedzy jest z konieczności natury teologicznej albo fizycznej, albo logicznej, albo propedeutycznej (matematycznej), albo wreszcie politycznej.

Dyscyplina filozoficzna jest właśnie tą dziedziną wiedzy, która te przedmioty najaw i światło dzienne wyprowadza, tak, że niema nic we wszechświecie, do czego filozofja nie znalazłaby wejścia i nie dążyła do jego zbadania oraz nie dałaby nam o nim sumy wiedzy w granicach ludzkiej zdolności poznania.

## O ODWIECZNYM TRWANIU WSZECHŚWIATA I JEGO STWORZENIU W CZASIE

Tu należy również zagadnienie o odwiecznym istnieniu wszechświata lub też jego powstaniu w czasie, oraz pytanie, czy wszechświat ma stwórcę, który jest jego czyn-

nikiem twórczym (przyczyną twórczą), czy nie? O Arystotelesie sądzą, że mniema on, iż świat jest odwieczny, a o Platonie przypuszczają, że sądził, jakoby świat został stworzony. Ja zaś powiadam, że skłoniło ludzi do tego zdroźnego i nagannego poglądu na mędrca Arystotelesa jego powiedzenie w księdze p. t. «Topika», że czasami bywa, iż z jednego zdania na podstawie powszechnie znanych przesłanek można wyprowadzić wniosek dwojaki, na przykład wniosek następujący: ten świat jest odwieczny albo nie jest odwieczny. Otóż co do tej sprzeczności trzeba przedewszystkiem zauważyć, że nie wolno wywodzić wniosków z powiedzeń, przytaczanych jako przykłady, a następnie zadaniem Arystotelesa w «Topice» nie jest wyłożenie wiedzy o wszechświecie, lecz rozpatrzenie wniosków, wyprowadzanych z powszechnie znanych przesłanek. Otóż Arystoteles stwierdził, że jego współcześni tak samo mieli sprzeczne i wręcz przeciwne zdania co do zagadnienia, czy świat jest odwieczny, czy też w czasie stworzony, jak co do tego, czy rozkosz jest rzeczą dobrą czy złą, i że przytaczali na korzyść obu twierdzeń różne wspólne ogólniki.

## E. LITERATURA ASTRONOMICZNA

AL-FÂRÂRÎ

(um. w r. 950)

Uwagi Abû Naşra Al-Fârâbiego o tem, co jest prawdziwego i nieprawdziwego we wpływie gwiazd.

### WSTĘP

Abû Ishâk Ibrâhîm, syn 'Abdallâha z Bagdadu, opowiada, co następuje: Byłem pełen gorącego pragnienia poznania wpływu gwiazd na sprawy świata i przejęty szczerem dążeniem do zdobycia wiedzy o tem, pełen gorliwości w jej poszukiwaniu, wytrwały w zgłębianiu ksiąg o niej traktujących, zachwycony ich wertowaniem, pełen uwagi i wiary w jej prawdziwość, bez cienia wątplenia, że jeżeli się w tej nauce napotyka jakie błędy, wynikają one jeno z niedostatecznej zdolności uczonych do zdobywania wszystkiego, co w niej jest potrzebne, i zbyt małej staranności mędrców, którzy dokonywają obliczeń i pomiarów i władają różnemi przyrządami przy swych czynnościach. Gdyby zaś zostały usunięte te przeszkody i padły te zapory, okazałaby się prawdziwość wszystkich twierdzeń, ziściłyby się wszelkie przepowiednie, ludzkość osiągałaby wielkie korzyści z postępów tej nauki, zostałaby udostępniona wiedza o tem, co ma nastąpić, odsłoniłoby się naszym oczom to, co jest ukryte, i odkryłoby się to, co jest nieznanne.

W tem przeświadczeniu trwałem przez pewien czas i w ciągu tego okresu starałem się opanować metodę obliczeń, badałem stan obserwacji gwiazd i rodzaje przyrządów i gorliwie poznawałem wszystko. Ale im dalej się zagłębiałem, tem więcej się oddalałem od celu moich poszukiwań i tem bardziej wpadałem w zwątpienie, tak, że wkońcu opanowała mnie niepewność i przygnębienie.

Więc począłem wertować zwoje pism starodawnych mędrców, aby znaleźć w nich ukojenie mego stanu, i znalazłem, że dzieła uczonych i badaczy istoty wszechrzeczy nic mi nie dały innego, a ich orzeczenia są niejasne i nie mogą służyć za wskazówkę. Tym sposobem wkońcu nawet to, co dotychczas było dla mnie pewnikiem, stało się wątpliwem, co było przeświadczeniem, stało się przypuszczeniem, pewność — wahaniem, a jawne — tajemnicą.

Gdy tak upływały dni i przeciągał się okres, w którym żyłem w wyżej opisanym stanie ducha, zdarzyło mi się spotkać Abû Naşra ben Muḥammad Al-Fârâbiego. Więc zacząłem przed nim utyskiwać na to wszystko. Wyłożyłem mu, z jaką gorliwością zabrałem się do poznania całego obszaru wiedzy i zbadania, co jest w niej prawdziwego, a co nie odpowiada rzeczywistości. Prosiłem go, aby mi odkrył to, co w tej dziedzinie jest prawdziwego, i wyłożył to, co mu jest jasne w metodyce dawnych

mędrców. Abù Nasr odpowiedział na moje nagabywania i jął mi wyklądać jedną podstawę po drugiej i jedną zasadę po drugiej tych przedmiotów, do których właściwej istoty i wartości dotrzeć można. Prowadziliśmy spory na ten temat, on mi oponował, a ja przytaczałem moje przeciwne argumenty, on mię zbijał, a ja odpowiadałem innymi faktami z tej dziedziny.

Pewnego dnia wyjął Abù Nasr traktat, przezeń napisany, zawierający pojedyncze rozdziały i notatki pamięciowe, jak je był zebrał i zestawiał w różnych okresach, kiedy się temi zagadnieniami zajmował i swoim słuchaczom wyklądał, a wkońcu swoim zwyczajem ułożył je w formę dzieła czy też pisma. To dzieło przepisałem całkowicie i zgłębiłem jego treść, uzupełniając je własnymi dociekaniem, tak, że wkońcu tą drogą nareszcie dotarłem do swego celu i uchwyciłem przewodnią nić zagadnienia, nad którym tyle się biedziłem; spadł mi z serca ciężar zwątpienia i niepewności, którego dotychczas pozbyć się nie mogłem, i stała się dla mnie jasną droga ku nieosiągalnemu i niemożliwemu przez wnioski astronomiczne.

Więc przepisałem ci oto kopję owej rozprawy, abyś ją zgłębił i napelnił się uciechą.

## Z DZIEŁ CZYSTYCH BRACI

### UKŁAD KRĘGÓW I STOPNI NIEBIESKICH

Wiedz, że Ziemia, na której żyjemy, tworzy jedną kulę wraz z wszystkimi, jakie się na niej znajdują, górami i pieczarami, stepami, morzami i rzekami, pustkowiami i okolicami zamieszkałymi. Kula ta znajduje się w środku wszechświata, w środku oceanu powietrznego. Powietrze otacza ją z wszystkich stron, jak białko jajka otacza żółtko. Krąg Księżycowy otacza atmosferę powietrzną z wszystkich stron, jak skorupa jajka otacza białko. Krąg Merkurego otacza krąg Księżyca w sposób powyższy, i tak dalej co do pozostałych kręgów, aż do kręgu, który obejmuje sobą wszystko, jak to rzekł Bóg Wszechmocny: wszystkie gwiazdy, każda w swoim firmamencie, chwałą Boga (Koran, Sura 36, wiersz 40).

Taki jest układ kręgów i kształt głębi siedmiu niebios. Stąd jasne jest, że wszechświat składa się z jedenastu kul, z których dwie się znajdują wewnątrz kręgu pierwszego czyli Księżycowego, a mianowicie Ziemia i Powietrze. Albowiem Ziemia i Woda stanowią jeden krąg, a Powietrze i Eter są również jednym kręgiem. Poza niemi znajduje się dziewięć kręgów, opasujących jeden drugi.

### O TEM, ŻE WE WSZECHŚWIECIE NIEMA PRÓŻNI

Wiedz, że te kręgi opasują się wzajemnie, jak się otaczają błony cebuli, tak, że wewnętrzna powierzchnia opasującego kręgu dotyka zewnętrznej powierzchni opasanego. Pomiędzy niemi zaś niema żadnej próżni, ani wolnej przestrzeni..

*Wybór i układ I. Wajnberga.*

A W E S T A

JASNA IX

I. 1. Około czasu porannego Haoma<sup>1</sup> przyszedł do Zaratustry, 2. przygotowującego ogień i hymny śpiewającego. 3. Tego zapylał Zaratustra: kto jesteś, mężu, 4. któremu ujrział jako najpiękniejszego w całym świecie cielesnym, w twojej postaci świetlanej, nieśmiertelnej?

II. 5. I odpowiedział mu Haoma sprawiedliwy, śmierć usuwający. 6. Jam jest, o Zaratustro, Haoma sprawiedliwy, śmierć usuwający. 7. Zbieraj mnie, Spitamio, wyciskaj mnie ku pożywieniu, 8. opiewaj mnie ku opiewaniu, jak mię opiewali inni zbawiciele.

III. 9. I rzekł Zaratustra: Cześć Haomie. 10. Kto był pierwszym człowiekiem, Haomo, który cię wyciskał dla świata cielesnego? Jakie błogosławieństwo go dosięgło, jakie szczęście uzyskał?

IV. 11. I odpowiedział mi on, Haoma sprawiedliwy, śmierć usuwający: 12. Wiwanhuat<sup>2</sup> był pierwszym człowiekiem, który mię wyciskał dla świata cielesnego; takie błogosławieństwo go dosięgło, takie szczęście uzyskał, 13. że mu się narodził syn, Jima,<sup>3</sup> potężny, w stada bogaty, 14. najjaśniejszy wśród urodzonych, podobny słońcu wśród ludzi. 15. Albowiem za swego panowania uczynił on nieśmiertelnymi zwierzęta i ludzi, niewysychającymi wody i rośliny, 16. tak, iż jadali pożywienie nieuwiędłe.

V. 17. Za panowania Jimy nie było ani mrozu, ani skwaru, 18. nie było ani starości, ani śmierci, ani zawiści, wywołanej przez daewy (demony). 19. Mając postać (wiecznie) piętnastoletnich, przechadzali się ten i ów, ojciec zarówno jak syn, 20. dopóki panował Jima, w stada bogaty, syn Wiwanhuata.

VI. 21. Kto był drugim człowiekiem, o Haomo, który wyciskał ciebie dla świata cielesnego? Jakie błogosławieństwo nań spadło, jakie szczęście uzyskał?

VII. 22. I odpowiedział mi on, Haoma sprawiedliwy, śmierć usuwający: Atwija był drugim człowiekiem, który wyciskał mnie dla świata cielesnego; 23. takie błogosławieństwo nań spadło, takie szczęście uzyskał, 24. że mu się narodził syn Ihraetaona, z domu bohaterów,

VIII. 25. który zabił smoka Dahaka, mającego troje paszcz, troje głów, sześcioro oczu, tysiąc sił; 26. wielce potężną daewską (czartowską) Drudź, istotę złą, niebezpieczną dla stworzeń, 27. którą to wielce potężną Drudź wyłonił Anhramainjus (Aryman) na szkodę świata cielesnego, na zgubę istot sprawiedliwych.

IX. 28. Kto był trzecim człowiekiem, o Haomo, który wyciskał ciebie dla świata cielesnego? Jakie błogosławieństwo nań spadło, jakie szczęście zyskał?

X. 29. Odpowiedział mi on, Haoma sprawiedliwy, śmierć usuwający: 30. Trita, z Sammów najlepszy, był trzecim człowiekiem, który mnie wyciskał dla świata cielesnego; takie błogosławieństwo nań spadło, takie szczęście uzyskał, 31. że mu się narodzili dwaj synowie, Urwachsaja i Keresaspa, 32. jeden — obrońca wiary i prawodawca, 33. drugi — wysoki wzrostem, młodzieniec długowłosy, noszący maczugę, 34. który zabił smoka Szuwara,

<sup>1</sup> Indyjskie *soma* — roślina święta (*Asclepias acida*).

<sup>2</sup> Indyjskie *Wiwaswat* — bóg słońca; u Persów — praczłowiek, przedczłowiek.

<sup>3</sup> Indyjskie *Jama* — bóg śmierci; u Persów — praojciec ludzi.

XI. pożerającego konie, pożerającego ludzi, jadowitego, zielonego, 35...

XII. 40. Kto był czwartym człowiekiem, o Haoma, który cię wyciskał dla świata cielesnego? Jakie błogosławieństwo nań spadło, jakie szczęście uzyskał?

XIII. 41. I odpowiedział mi on, Haoma sprawiedliwy, śmierć usuwający: 42. Pouraszpa był czwartym człowiekiem, który mnie wyciskał dla świata cielesnego. Takie błogosławieństwo nań spadło, takie szczęście uzyskał, 43. że się zrodziłeś ty, sprawiedliwy Zaratustro, w domu Pouraszasy, ty — wróg daewów, czciciel Ahury,

XIV. 44. sławny w Airjana-Waidźji. Ty pierwszy, Zaratustro, wygłosiłeś Ahuna-Wairja,<sup>1</sup> czyniąc przerwy pomiędzy wierszami, cztery razy, 45. za każdym razem w głośniejszym tonie.

XV. 46. Ty zmusiłeś wszystkie daewy, Zaratustro, iż się ukryły pod ziemię; (daewy), które przedtem krążyły po ziemi w ludzkiej postaci; 47. (ty), który byłeś najsilniejszy, najpotężniejszy, najczynniejszy, najbardziej zwycięski wśród stworzeń obojga duchów.

XVI. 48. Tedy rzekł Zaratustra: Chwała Haomie. 49. Dobry jest Haoma, dobrze stworzony jest Haoma, prawidłowo stworzony jest Haoma, 50. dobry, szczodrze rozdawczy, leczebny, 51. piękny, cnotliwy, 52. zwycięski, złotobarwny, mający świeże gałęzie, aby (go) spożywał najlepszy, 53. aby dla duszy wziął go na zapas w drogę (na drugi świat).

XVII. 54. W ciebie, o złoty, słowem swoim wkładam (moc, by nadać) mądrość 55. i siłę, i zwycięstwo, 56. i zdrowie, i leczebność, 57. i powodzenie, i wzrost, 58. i krzepkość całemu ciału, i rozumienie różnorodne. 59. W ciebie wkładam tę moc, abym chodził po świecie swobodny, zwalczając nienawiści, przełamując Drudź;

XVIII. 60. abym przezwyćczał nienawiść wszystkich wrogów, daewów i ludzi, 61. czarowników i czarownic, gnębieli, kawich<sup>2</sup> i karapanów,<sup>3</sup> 62. złoczyńców dwunożnych, aszemaoghów<sup>4</sup> dwunożnych i wilków czworonożnych, 63. i wojska o szerokim froncie, huczające, pędzące.

*Tłum. Antoni Lange.*

## TABARI<sup>5</sup>

(ur. w r. 838)

### BITWA POD KADISIJĄ

Opowiadanie, które następuje, przekazane mi zostało piśmiennie przez Sariego, który je wziął od Szuaiba, który je wziął od Saifa, który je wziął od Mahometa, Talha i Amra, z łańcuchem ich autorytetów.

Lud babiloński prosił o pomoc Jazdadźyrda, syna Szachrijara, i wysłał doń następującą wiadomość: «Arabowie rozłożyli się obozem pod Kadisiją; wszelkie oznaki pozwalają przypuszczać, że zamiarem ich jest wojna. Od chwili, gdy zajęli owo miejsce, ręce ich nie próżnowały; ziemię pomiędzy swym obozem a rzeką Eufratem spustoszyli do tego stopnia, że nigdzie nie napotkać ani żywej duszy, chyba tylko w zamkach; zwierzęta, wraz z wszelką żywnością, która nie mogła zmieścić się wewnątrz zamków, zostały uprowadzone. Do tej chwili nie zmusili nas jeszcze do poddania się, lecz, jeśli nie otrzymamy prędkiej pomocy, będziemy musieli zdać się na ich łaskę». Książęta, którzy posiadali włości nad brzegami Eufratu, pisali listy tej samej treści i prosili Jazdadźyrda, aby wysłał Rustema do Babilonji. Monarcha postanowił uczynić

<sup>1</sup> Jedna z wielkich modlitw.

<sup>2</sup> *Kawi* — ślepy.

<sup>3</sup> *Karapan* — głuchy. *Ślepi i głusi w rzeczach wiary* — różni poganie lub kacerze.

<sup>4</sup> *Aszemaogha* — fałszerz, kacerz, wyznawca wiary kłamliwej.

<sup>5</sup> Tabari, mimo że pisał po arabsku, jest raczej autorem perskim. W Persji się urodził i duchem irańskim owiał swą «Historję powszechną». Na podkreślenie zasługuje również fakt, że dzieło jego, przełożone na język perski przez Belamiego, jest pierwszym, na szeroką skalę zakrojonym, zabytkiem prozaicznej literatury perskiej.

zadość ich prośbie i posłał po Rustema. «Zamiarem moim jest» — rzekł — «postać cię na tę wyprawę. Im większe jest niebezpieczeństwo, tem poważniejsze kroki należy poznać, aby mu czolo stawić. Najdzielniejszym mężem w Persji za dni obecnych jesteś ty. Zdajesz sobie dobrze sprawę z tego, że niebezpieczeństwa podobnego dzisiejszemu nie pamiętamy od owych czasów, gdy Ardaszir rządził tym krajem». Rustem wyraził gotowość posłuszeństwa i złożył hołd swemu władcy. «A teraz» — rzekł monarcha — «chcę wejrzeć w twą głowę, aby dowiedzieć się, co myślisz. Dlatego też opisz mi Arabów i ich czyny od czasu zajęcia przez nich Kadisiji. Opisz mi również Persów i cierpienia, które im przyczyniła ręka arabska». Rustem odrzekł: «Arabowie mogą być opisani jako wilki, które wyciskały brak czujności ze strony pasterzy i uczyniły wielkie spustoszenie wśród stada». «Nie tak to jest» — rzekł monarcha. — «Zwróciłem się do ciebie w tej nadziei, że dasz mi opis dokładny, gdyż chciałbym ci dodać otuchy, ażebyś postępował tak, jak położenie tego wymaga. Tymczasem ty nie mówiłeś wcale do rzeczy. Dowiedz się więc ode mnie, co to są Arabowie, a co Persowie. Orzeł siada na górze, na której ptaki mają przytułek nocny. Ptaki spędzają noc w gniazdach swych u stóp góry. A gdy o świcie wyjrzą na świat, widzą orła, który na nie czyha. A teraz, jeśliby który z ptaków sam jeden chciał wylecieć z gniazda, orzeł rzuci się nań. Tak więc boją się one opuścić swe gniazda. Jeśli jednak którykolwiek z nich pojedynczo ulata, orzeł go porywa. Gdyby jednak wszystkie podniosły się równocześnie, odpędziłyby go precz. W najgorszym razie jeden tylko z pośród nich zginąłby, inneby zaś umknęły. Podnosząc się, jednakowoż, małemi partjami, wszystkie ulegną śmierci. Tak to się przedstawia sprawa Arabów i Persów. Działaj więc zgodnie z tem». — «Królu» — wykrzyknął Rustem — «pozwól mi być samym sobą! Arabowie będą się obawiali Persów, dopóki ich sam nie wyzwiesz do walki ze mną. Ryc może, tymczasem Róg nam z pomocą przyjdzie i wskaże prawdziwą linię strategii i taktyki. Rozsądek i mądre postępowanie mają na wojnie niekiedy większe znaczenie, aniżeli zwycięstwo». Lecz monarcha wzgardził tą radą i spytał go, co pozostaje do zdziałania. «Na wojnie» — rzekł Rustem — «rozważa jest lepsza, aniżeli pośpiech. A teraz właśnie mamy sposobność, aby wygrzywać na czasie. Na naszą korzyść to wyjdzie, a na szkodę wroga, jeżeli armje jego zaprzętać będziemy kolejno jedną po drugiej, zamiast rozprawić się z nim w jednym wielkim boju». Ponieważ jednakże Jazdadżyrd uparcie odmawiał posłuchu jego słowom, Rustem wyruszył w pole i rozłożył się obozem pod Sabatem. Tymczasem różni posłańcy nawiedzali króla i chcieli go skłonić, aby uwolnił Rustema od obowiązków i zastąpił go innym generałem. I ludzie zbierali się dookoła niego w wielkiej liczbie. Sad, syn Abu Wokkasa, dowiedziawszy się o tem przez szpiegów, przesłał wiadomości do kalifa Omara. Przerazony nieustannem wołaniem o pomoc, które dochodziło jego uszu z ust mieszkańców Babilonji za pośrednictwem Azadhmada, syna Azadhbiha, uparty Jazdadżyrd rzucił z głowy wszelki rozsądek i przykazał Rustemowi ruszyć na wroga. Napróżno powtarzał Rustem to, na co już dawniej nalegał. «Królu» — wykrzyknął — «odrzucając słuszną linię postępowania, zmuszasz mnie do tego, abym sam siebie zachwalał i usprawiedliwiał. Nie mówiłbym tak, gdybym mógł tego w jakikolwiek sposób uniknąć. A teraz, dla dobra twojego i twojej rodziny, i całego królestwa błagam cię w imię Boże, abyś mi zezwolił pozostać w obozie, gdy Dżalinus będzie się poruszał naprzód. Jeśli nam szczęście uśmiechnie się, będzie bardzo dobrze; jeśli nie, przygotowany będę na to, aby wysłać naprzód kogoś innego. A wtedy, jeśli nie będzie żadnego wyjścia i wszystkie środki zawiodą, z całej siły stawiać będziemy opór osłabionej i wyczerpanej armji wroga». Jazdadżyrd jednakowoż uparł się przy postanowieniu, by Rustem ruszał naprzód.

Następujące opowiadanie przekazane mi zostało piśmiennie przez Sarięgo, który wziął je od Szuaiiba, który znowuż wziął je od Saifa, który wziął je od Nadra, syna Sari al Dabiego, dla którego autorytetem był Ibnul Rufail, któremu ojciec opowiadał, że Rustem, rozłożywszy się obozem pod Sabatem i zebrawszy sprzęt wojenny, wysłał straż przednią w sile 40.000 ludzi pod dowództwem Dżalinusa, przykazując mu posuwać się naprzód ostrożnie i czekać na rozkazy, zanim rozpocznie się zdecydowany szybki manewr. Prawe skrzydło powierzył Hurmuzanowi, lewe zaś Mihranowi, synowi



Bahzoma al Razięo; tylną strażą dowodził Bairuzan. Starał się on dodać otuchy monarsze, mówiąc: «Jeśli Bóg da nam zwycięstwo nad wrogiem, otworzy się przed nami droga w głąb jego kraju; będzie więc musiał bronić własnej ziemi, aż zgodzi się na zawarcie pokoju, albo przyjmie te same warunki, jakie były dawniej». Lecz gdy wyścannicy powrócili z posłuchania u monarchy, Rustemowi przyśnił się przykry sen; ogarnęło go złe przeczucie, a zarazem niechęć do marszu i spotkania z wrogiem. Pełen zwątpień i zmaęonych myśli, prosił on monarchę, by pozwolił Dżalinusowi posuwać się naprzód, jemu zaś samemu pozostać w tyle i obmyślić dalsze kroki. «Dżalinus» — mówił Rustem — «może zrobić to równie dobrze, jak ja, chociaż moje imię większy strach wywołuje w duszy wroga. Jeśli się powiedzie, życzenie nasze będzie spełnione; jeśli zaś los będzie przeciw nam, wyślę innego, podobnego mu dowódcę; w ten sposób będziemy mogli liczyć na odparcie najeźdźcy przynajmniej na pewien czas. Albowiem, dopóki ja sam nie zostanę pokonany, Persowie będą we mnie nadzieję pokładali i nie upadną na duchu. Serca zaś Arabów niepokoić będzie strach przede mną; i dopokąd ja im sam bitwy nie wydam, oni pierwsi na atak się nie odważą. Jeśli zaś ich wyzwę do boju, ogarnie ich odwaga i pewnośc siebie, a duch Persów zlamie się na zawsze». Następnie Rustem wysłał straż przednią w sile 40.000 ludzi, sam maszerował z 60.000 ludzi, 20.000 zaś pozostawił za sobą dla ochrony tyłów.

Zgodnie z piśmiennem sprawozdaniem, które wziąłem od Sariego, on zaś, za pośrednictwem Szuaiaba i Saifa, od Mahometa, Talka, Zijada, z łańcuchem ich autorytetów, gdy monarcha nalegał, aby maszerowano przeciw wrogowi, Rustem wysłał następujące pismo do swego brata i głównych mężów w kraju: «*Od Rustema do Bindawana, satrapy Dworu, strzały Persów, człowieka, który umie radzić sobie w najcięższym położeniu, jakie tylko może wyniknąć; którego dłoń Bóg rozbije najpotężniejszego wroga i skruszy najsilniejszą twierdzę — do niego i do tych, którzy są obok niego. Wyporządkujcie swe zamki, przygotujcie je i bądźcie przygotowani. Arabowie, niejako na waszych oczach, wtargnęli do kraju i zmusili was do walki w obronie ziemi i dzieci. Radziłem, by ich trzymać w szachu i męczyć zwłoką, aż się szczęście od nich odwróci; lecz król się nie zgodził*».

Pewien człowiek, którego opowiadanie przekazane zostało Saifowi przez Salta, syna Bahrama, przez Saifa zaś Szuaiabowi, przez Szuaiaba Sariemu, a mnie oddane było na piśmie przez tego właśnie, opowiada, że gdy Jazdadżyrd rozkazał Rustemowi wyruszyć z Sabatu, generał ów napisał do swego brata list powyżej wspomniany i zakończył go słowami: «Ryba (na niebie) zamąciła wodę, gwiazdy strusie świecą pięknie, Wenera świeci pięknie, Waga stoi równo, Mars zniknął. Nie wątpię, że wróg nas pokona i obejmie w posiadanie kraje, które do nas przylegają. Najbardziej jednak smutną rzeczą jest to, że król powiedział: «Ty wyruszysz przeciw nim, jeśli zaś nie, ja sam dowództwo obejmę». Tak więc w tej chwili będę ruszał przeciw nim».

Następujące opowiadanie przekazał mi Sari, który wziął je od Szuaiaba, który znowuż wziął je od Saifa, na podstawie autorytetu Nadra, syna Sariego, który był poinformowany o tem przez Ibnul-Rufaila, którego ojciec opowiadał mu, że człowiekiem, który spowodował Jazdadżyrdę do wystania Rustema na bój, był niewolnik Dżabana, astrologa królewskiego. Ten to młodzieniec był rodem z Furat Badakla. Posłał po niego Jazdadżyrd i zapytał go o zdanie co do wyprawy Rustema i zbliżającej się bitwy z Arabami. Niewolnik obawiał się wyrzec smutną prawdę; skłamał więc. Rustem był w astrologji równie biegły, jak i ów niewolnik; to też pod wpływem swej wiedzy z ciężkiem wyruszył sercem. Monarcha jednakowoż, wprowadzony w błąd przez niewolnika, sprawę całą lekce sobie ważył... Dżaban zaś pisał do Dżusnasmacha to, co następuje: «Potęga Persów zamierzcha, a ich wróg górę wziął nad nimi. Mocarstwo Magów przemieniło; przyszło mocarstwo Arabów — i zwycięska jest ich religja».

*Według angielskiego przekładu B. A. Nicholsona spolszczył T. G.*

## FIRDAUSI

(939—1020)

## SZACH-NAME

## I

## Z przedmowy

Dawne powieści śpiewały rapsody:  
Żadnej nie minął wieszcz sprawy dostojnej.  
Ja ci na nowo witeziów przygody  
Powiem — i niegdyś opiewane wojny.  
Wszystko już inni powiedzieli wprzódy,  
Zrywając z drzewa wiedzy owoc hojny:  
Lichej zaś mocy duch mój czy się wedrze,  
By zerwać owoc na tym bujnym cedrze?

Lecz i ten, co się zatrzyma w cigęzi,  
Próżny jest kłęski pod wysokim drzewem.  
Może zasiądę na niższej gałęzi  
Cyprysu, wiatrów muskanej powiewem,  
Tak, iż z tej księgi królów i witezi  
Pamięć o sobie zostawię swym śpiewem?  
Słów moich kłamstwo ani fałsz nie mroczy,  
Chociaż niekażdy taką drogą kroczy.

A jeśli słuchacz znajdzie się i taki,  
Co będzie słowa me brał jako baśni,  
Niechaj rozsądnie baczy lotne ptaki  
Mych słów, co płyną nie dla wszystkich w jaśni —  
Że jeśli tutaj widzi jakie braki,  
To mu się obraz wykładem rozjaśni.  
Bierz, jak ci dają. Lub, jeśli kto woli,  
Niech tu w legendach poszuka symboli.

Istniała niegdyś księga — niemal święta,  
W której spisano rozliczne powieści.  
Każdy z Mobedów<sup>1</sup> chowa jej fragmenta,  
Każdy Pehlewan<sup>2</sup> zna nieco z jej treści.  
Był rycerz z rodu Dikhan; ów pamięta  
Niejedno, co się w starej księdze mieści.  
Mądry był, mężny — a podania sławne  
Kochał i zbierał pieśni starodawne.

Mobedów z różnej sprowadził rubieży,  
Co starej księgi posiadali szczątki.  
Pytał o królów ród i ród rycerzy,  
Jak wyłoniły się ziemi początki,  
Która tak nędzna przed nami dziś leży,  
Bo zmarły na niej odwieczne porządki,  
Gdy codzien, idąc pod gwiazdą szczęśliwą —  
Rycerze zwycięstw zdobywali żniwo.

<sup>1</sup> Mobed — kapłan, przechowywacz tradycji i legend starożytnych.

<sup>2</sup> Pehlewan — szlachcic, rycerz, bohater.

Jeden po drugim starzec siwogłowy  
 O królach prawili, co stworzyli dzieje.  
 Pehlewan słuchał objawień ich mowy —  
 I wszystkie słów ich spisywał koleje.  
 Ze starych legend dywan upłócił nowy,  
 Który barwami tęczy promienieje.  
 Do dziś się imię Pehlewana święci:  
 W takiej u świata pozostał pamięci!

*Tłum. Antoni Lange.*

## II

### Epizod o Rustemie i Sohrabie

Sohrab, syn Rustema, najdzielniejszego bohatera Iranu, wychowuje się przy matce w odległym Semenganie. Dorósłszy wieku młodzieńczego, wyrusza na wyprawę wojenną, w czasie której spotyka się ze swym ojcem. Nieświadom łączących go z Rustemem węzłów krwi, rzuca mu Sohrab wyzwanie do boju, by pomścić śmierć swego wiernego sługi Zenda, który padł z ręki Rustema.

Jedzie Rustem, gdzie krew krwi, kość kości go czeka.  
 Konie obu do siebie zarżały zdaleka:  
 Koń Rustema, boć ojcem był konia Sohraba,  
 Poczul dziecię i zarżał; w ludziach zato słaba  
 Była krwi mowa: zgasła w wojennym zapale.  
 Stanęli; wzrok obydwu podobien był strzale,  
 Która mierzy w pierś wroga...  
 Sohrab, niecierpliwością młodzieńczą pędzony,  
 Woła: «Wystąp rycerzu, co masz włos srebrzony,  
 Nie dziw się, że ci walczyć przychodzi z chłopięty:  
 Za Iran my i Turan pójdziem w bój zacięty!  
 Barki twoje szerokie, wspaniała twa postać,  
 Ale niewiele ognia musiało ci zostać, —  
 Toż się strzeż, bo mi dzisiaj nie dostoisz w boju!»  
 Rustem na twarz rumianą spoglądał w spokoju:  
 «Zwolna, gorące dziecię! Świat piękny i miły,  
 A zimna ziemia mogiły i brzemie mogiły.  
 Starym, toć też niejeden bój w życia widziałem  
 I w zimnym prochu grzebać ludzi pomagałem.  
 Śpią wiecznie, których moja prawica dotknęła,  
 A nie było szablicy, cohy mi włos zdjęła.  
 Żal mi ciebie, wysmukła ty leśna drzewino!  
 Na Turańca nie patrzysz, chętny dzielnym czynom».  
 Usłyszawszy głos wdzięczny, Sohrab się ozowie:  
 «Stary rycerzu, prawdę powiedz w jednym słowie.  
 Przed bojem zwykle swoje głoszą dzielni miano:  
 Ty patrzysz na Rustema; mów, jak cię nazwano?»  
 Tak rzekł i brakło mało, aby w radość złotą  
 Przeszedł spór, a syn ojca uściskał z pieśczętą.  
 Lecz zły duch na Rustema przypadł w tej godzinie,  
 Toż rzekł: «Nie jestem Rustem, co szeroko słynie!  
 Sługa jestem, do boju z chłopięciem zmuszony;  
 Rustem jest człowiek wolny; jam jest zniewolony.  
 Jam zabił twego druha, jam zabił, nie inny;  
 Chwytaj za broń, mój chłopcze, dość tej gadaniny!»

Po długotrwałych zmaganiach się Sohrab pada od ciosu, zadanego mu ręką ojcowską.

Ranny śmiertelnie Sohrab tak rzecze, leżąc na ziemi:  
 «Człeczce, nie skryjesz się w morzu, między rybami zimnemi,

Płakiem nie wzlecisz w niebo — wszędzie cię zemsta dosięże:  
 Rustem się o tem dowie, znajdzie na ciebie oręż;  
 Skarże, żeś jego syna zabił i syna Tehminy»...  
 W otchłań swego nieszczęścia nieruchomemi oczyma  
 Długo patrzy się Rustem, a oddech w piersi zatrzyma...  
 Ryknął wreszcie, jak tygrys, a w głuche świata przestrzenie,  
 W noc ciemną leciało straszne Rustema piersi ryczenie.  
 Wreszcie, nieświadom siebie, raz pierwszy w życiu omdlały,  
 Błady przy ciełe syna legł, niby cedar spróchniały.  
 Sohrab, krwią swego serca wilżąc murawę zieloną,  
 Kochającemi dłońmi podtrzymał mu głowę zemdloną...

Czując zbliżającą się chwilę śmierci, temi słowy koi Sohrab myśli zrozpaczonego ojca:

«O, ojcze, zanim umrę, słuchaj syna twego słowa;  
 Ostatnie chwile słodzi miła mi z ojcem rozmowa.  
 Nie płacz, tyś mnie nie zabił, los mi śmierć taką przeznaczył...  
 Matce mej mego konia, zbroję mą poslij i złoty  
 Naramiennik, pamiątkę dawnej z Rustemem pieśczoły.  
 Po nim miałeś mię poznać Ciało me młode niech sobie  
 W ziemi twojej odpocznie, w książęcym odpocznie grobie.  
 Teraz każ mi nad głową rozpiąć twój namiot książęcy  
 I patrzaj, ojcze, na mnie... nic mi nie trzeba już więcej...  
 Nazwij mnie twoim synem... to śmierć mą wczesną uświetni,  
 Jak wiatr letni przyszedłem i ginę, jak ginie wiatr letni».

*Tłum. Józef Szujski.*

### III

#### Epizod o Biszeniu i Meniszy

Irmanowie proszą Kai-Chozru o pomoc

Za swych witezi sławę i zdrowie  
 Kai-Chozru spełnił puhar godowy.  
 Tron miał ubrany skróś w złotogłowy,  
 Koronę z pereł dużych na głowie;  
 A gdy śpiew brzękom gęśli przywórcza,  
 On w pełny puhar usta zanurza.  
 Godowych gości krąg go otacza:  
 Witeż Gustehem — równego gracza,  
 Jak on, nie znajdzie; przy nim tuż siada  
 Ferhad, Giw, Keszwad, przyboczna rada,  
 Więc Szarpur, Gurgin, ów syn Milada,  
 Tus i Ferybus, Roham i Biszen.  
 Swojem rycerstwem Kai-Chozru pyszen,  
 Pije pospołu z wierną drużyną;  
 W czasach rumiane perli się wino,  
 Nito Jememu rubin nalany.  
 Wkoło narcyzy i tulipany,  
 Dziewcząt, jak Perjów, gromadka lekka;  
 Czarny im kędzior cieni jagody.  
 Tysiącem woni, barw grają gody;  
 Komorny szacha rozkazów czeka.

Wtem przez oponę wszedł do świetlicy  
 Odźwierny, stojąc przed mądrym panem:  
 — «Irmany» — rzecze — «przyszli z granicy  
 Między Iranem, między Turanem

I posłuchania zebrzą u proga,  
 By sobie zjednać pomoc na wroga».  
 Komorny zaraz podjął tę mowę,  
 Kornie przed stopnie zaniósł tronowe.  
 Szach skinął głową: wysłuchać myśli  
 Tych, co o pomoc wzywać go przyszli.  
 Jakoż komorny wrócił wraz z nimi,  
 A oni z krzykiem, zawodząc srodze,  
 Usty zmiatając kurz po podłodze,  
 Dłoń łamiąc, głosy mówią wielkimi:  
 — «Mocarzu świata, niewyciężony!  
 Niebo dni długich niech ci użyzcza!  
 Przychodzimy do cię z dalekiej strony  
 Od turańskiego aż pogranicza;  
 Chan-Irman miasto nasze się zowie,  
 Poddani twoi, my Irmanowie.  
 Długo, o panie, bądź naszym szachem!  
 Długo na lotry mieczem i strachem!  
 W wszystkich Kizwerach wsparciem, opieką,  
 A złości od nas podal uciekają.  
 O miedzę z nami siedzą Turanie  
 Łotrowie, trapią nas niesłuchanie.  
 Znów od Iranu wielki bór leży,  
 Nasza zgryzota! Takich rubieży  
 Błogich, jak nasze, nie znajdziesz wszędzie;  
 Bo to uprawne, grządka przy grzędzie,  
 A drzew bezliku, a wszystkie rodzą;  
 Nasze tam trzody pasać się chodzą.  
 Poradz, o szachu, w srogim kłopotcie!  
 Wszak tam żarłocznych odyńców krocie,  
 Dużych jak góry, z słoniami zęby,  
 Zasiew nam depczą, niszczą poręby,  
 A całe miasto w łzach się rozplywa  
 Na poniszczone trzody i żniwa.  
 Kłoda najgrubsza, kłem ich podcięta,  
 Pada jak trzcina; żadna zamknięta  
 Warownia takich kłów nie wytrzyma:  
 Przed srogą plagą schronienia niema!  
 Ratuj nas, szachu, my niebożęta».

Gdy Chozru skargę wysłuchał oną,  
 Miał twarz i postać całkiem wzruszoną:  
 Nieszczęścia biednych litował szczerze  
 I wraz zawołał: — «Dalej, rycerze!  
 Jeśli z was który za sławą dyszy  
 I wzbic się pragnie nad towarzyszy,  
 Niech bieży; Bóg mu siły użyzczy  
 Ów bór oczyścić z drapieżnej dziczy.  
 Jeśli odyńcom lby zmiecie z karków,  
 Co chce, niech bierze drogich podarków».

I wnet rozkazał wnieść złotą czarę,  
 Przed tron postawić i coniemiarę  
 Sypać klejnotów; perł jak śniegi,  
 Aż było pełno, wyżej po brzegi.  
 Dziesięć z siedzeniem rumaków rzeških

Przyprowadzono w lśniących czaprakach,  
Ozdobnych znakiem cyfer królewskich;  
Aż rozgorzało serce w junakach,  
Gdy szach przemówił takimi słowy:  
«O! Pehlewany! Korony stróże!  
Kto z was po skarby chce sięgać duże,  
Kto za mnie przelać krew swą gotowy?»  
Gdy tak przemówił, nikt się nie zrywa,  
Nikt tylko Biszen, mężny syn Giwa.  
Dziarsko wystąpił wśród Pehlewanów  
I rzecze: — «Niebu niechaj cześć będzie!  
Ciebie, o szachu! wesprze Pan Panów,  
Twa wola prawem zawsze i wszędzie!  
To, coś powiedział, nie był dźwięk próżen:  
Kto żyje, każdy łask twoich dłużen.  
Masz mię posłusznym woli twej posłem,  
Na służby pańskie w siły urosem».

Tak mówił Biszen; ale wraz za tem  
Wzrok Giwa w smutku oblekł się chmury;  
Więc się skłoniwszy przed majestatem,  
Śmiałka Biszena tak karcil zgóry:

«Jakież ci słowo z ust wymknęło się?  
Jak śmiesz w swą siłę dufać, młokosie?  
Młokos młokosem, choć rwie się w pole,  
Bohater rośnie w doświadczeń szkole.  
I wprzód, nim większych rzeczy pokusi,  
Goryczy życia napić się musi.  
Na tor nieznany nie leć, mój synu:  
Przed szachem wara rwać się do czynu».

A dumny junak mową rodzica —  
Znać krew — rozplonął, jak błyskawica,  
I rzekł: — «O szachu! nie daj mu wiary;  
Jam nie niewieściuch, choć krótko żyję,  
Mam doświadczenia tyle, co stary;  
Pozwól, niech spełnię twoje rozkazy.  
Syn Giwa, z przygód wyjdę bez skazy,  
Potwornym dzikom pościnać szyje».

Szach na tę mowę wpadł w podziwienie,  
Umysł rycerski chwalił w Biszenie,  
I rzekł: — «Witeziu! Zapał nie kłamię,  
Dzielne mi z tobą przybyło ramie!  
Król, otoczony takich sług likiem,  
Jeśli drży kiedy, jest nikczemnikiem!»

Potem, zwracając rzecz do Gurgina:  
«Ciebie na druha w podróż mu daję,  
Przez nieznajome prowadź go kraje  
Aż do tej rzeki, gdzie państw kończy».

Biszen ciągnie na bój z odyńcem.

Z szlemem na głowie, w oręż wszelaki  
Wyruszył Biszen zaopatrzony;  
Jechał z nim Gurgin, już doświadczony,  
A siłą, męstwem, prawie jednaki.  
Wziął gwoli łowów rysia z sokołem.  
I jak słoń gniewny, górą a dołem

Pędząc przez puszcze, zbijał gazele;  
 Dzikich też osłów położył wiele.  
 Owce pierzchały, gdy go postrzegły,  
 Lecz wnet pod rysią łapą poległy;  
 Na arkan osły brał: rzekłbyś, żywy  
 Drugi Tahmuras, co zgromił diwy.  
 Z ptaków, porwanych w szpony sokole,  
 Widział krwi rosą zbryzgane pole.  
 I tak zbiegali pustynne szlaki,  
 Jakby zielony ogródek jaki.

Aż wreszcie Biszen dotarł pod bory,  
 Niehamowany, do bójki skory;  
 Ledwo się wstrzymał, że w nie nie wskoczył  
 I z odyńcami bitwy nie stoczył.

Więc z koni zsiadli pod samym lasem,  
 Chcąc się chwilowym pokrzepić wczasem.  
 Oba, jak dłuży, na ziemi legli,  
 Jarkim płomieniem chrósty zażegli,  
 Wciąż dokładając i naprzemiany  
 W wór zagładając z winem skórzany.  
 Tymczasem osioł piekł się na rożnie;  
 A oni, radząc zrazu ostrożnie,  
 Potem w weselsze wpadłszy humory,  
 Jedzą pieczenie, chylą wątory.

Gdy napój twarze im zapłomieniał,  
 Rzekł Gurkin: «Drzemka teraz na dobie!»  
 Lecz Biszen na to: «Śpiąc nic nie zrobię;  
 Tybys się także bracie nie lenił  
 I razem skoczył do dzieła ze mną,  
 By Chozru klasnął na wieść przyjemną.  
 Odyńce strzałmi naprzód zabawię,  
 A ty zasadzon czekaj przy stawie,  
 Aż kiedy z kniei dojdą cię ryki,  
 Bierz za maczugę i one dziki,  
 Które ja strzałmi zranię lub spłoszę,  
 Maczugą swoją morduj potrosze».

Na to zaś Gurgin: «Oj! nie tak, bratku,  
 Szach nam rozkazał; bo jeśliś z datku  
 Korzystał, skarby biorąc dla siebie,  
 Więc sam po sławę sięgaj w potrzebie.  
 Pomocy żadnej dać ci nie mogę,  
 Dość na tem, jeśli wskazałem drogę».

Młodziuchny witeź zdumiał się na to,  
 I świat mu czarną powlókł się szatą;  
 Lecz się nie wahał z napiętym łukiem,  
 Nito lew, skoczyć w odwieczne bory;  
 Huk jego z grzmotów równał się łukiem  
 I z drzew zielone strząsał bisiory.

Jak słoń pijany, z mieczem w prawicy  
 Napadł na stada dzików; a dzicy,  
 Zewsząd opadłszy, kupą go parli,  
 Z wściekłością ziemię pod sobą darli:  
 Świat ten, myślałbyś, spali się cały,  
 Takie płomienie z kłów im buchały.

Dzik jeden, nito Aryman drugi,  
 Wpadł nań i kawał urwał kolczugi,  
 A potem ostrzył kły o pień drzewny,  
 Jak o głaz szablę; ten i ten gniewny  
 Coraz się wścieklej na bój gotował,  
 Aż opar czarny wzbił się nad niemi;  
 Lecz Biszen, sypiąc razy gęstemi,  
 Ogromną bestję zwałił na pował.  
 Co widząc, dziki, jak stado lisów  
 Rannych, precz drapły z krwawych popisów;  
 Tym, co nie uszły z pobojuwiska,  
 Witeź jął rzędem ucinać łbiska,  
 I na Szebrynga, przy napiersniku  
 Nanizal onych łbisków bezliku:  
 By jako dowód, że pokonani,  
 Kły ich szachowi mógł przynieść w dani,  
 Lub wśród witeziów pańskiego dworu  
 Chłubić, jakiego zabił potworu.

Biszen idzie oglądać córkę Afrazjaba.

— — — — —  
 — — — — — «Kto nic nie waży,  
 Nic nie ma. Lecę, choćby ukradkiem  
 Widzieć, jak święta Turkowie święcą;  
 Widzieć dziewczęta z obliczem gładkiem.  
 A jeśli jakie wdzięki przynęca,  
 Więc się im przyjrzę zbliżka, dokładnie;  
 A co tam dalej począć wypadnie,  
 Gdy wrócę, radzić będziemy razem,  
 I przedsięwzięcie poprzem żelazem. — — —»  
 Gurgin mu na to: — «Dalej na siodło!  
 Obyć szczęśliwie wszystko się wiodło!»

Lecz twarz Biszena dwojgiem róż płonie;  
 Srogi niepokój budzi się w łonie.  
 — «Hej, bracie!» — wołał — «podaj mi diadem,  
 Co, zdobiąc ojca mojego głowę,  
 Blaskiem obrzucał izbę godową.  
 Nieradbym z czołem jechać tam bladym,  
 Przeto daj łańcuch i zausznice,  
 Podarunkami Chozra zaświecę!»

— — — — —  
 Z namiotu swego rychło postrzegła  
 Menisze obcą postać rycerza,  
 Co to cyprysem w górę wybiegła,  
 Co takim lica blaskiem uderza,  
 Jak kwiat jaśminu biały wśród mroku  
 Albo Kanopy gwiazda w obłoku.  
 Widzi na skroni diadem bogaty,  
 A na nim lite jedwabne szaty.  
 I zapalała pod swą zasłoną  
 Żądzą ku niemu nieugaszoną;  
 Więc do piastunki przemawia swojej:

— «Biegaj, tam młodzian jak cyprys stoi!  
 Wywiedz się, kto on księżycolicy;



Utul serdeczny żar mej tęsknicy  
 I spytaj, skąd się wzięłeś, młodzianie,  
 Z taką urodą cudną i rzadką?  
 Zapewne jaka Pery twą matką,  
 Że w każdym sercu budzisz kochanie?  
 Powiedz ty, który serca nam trujesz,  
 Czy zmartwychwstania dzień nam zwiastujesz?  
 Już zdawien dawna, każdego roku,  
 Wiosnę tą święcę w tych to gór stoku,  
 Lecz nikt się zbliżyć nie śmiał w dolinę:  
 Ciebie pierwszego widzę i ginę!  
 Pójdź Pery synu, Soheil u gwiazdo!  
 Podzielać z nami uciechę każdą».

-----

Biszen idzie do namiotu Meniszy.

-----

Skradał się, kędy namiot rozpięty.  
 A gdy namiotu podniósł kotarę  
 I wszedł jak cyprys bujny nad miarę —  
 Wnet przy jej łonie znalazł pieszczoty.  
 Ona mu zdjęła ciężki pas złoty  
 I zapytała: «Skądże się zjawił,  
 Gdzieś towarzyszy swoich zostawił?  
 O piękolicy! cóż cię sprowadza?  
 Rzuć tę maczugę, niech nie zawadza!»

Więc niewolnice, że to gość drogi,  
 Różaną wodą myły mu nogi  
 I zastawiły ucztę wspaniałą.  
 Różnych tam potraw było niemało;  
 Wina obfitość, w gęśle dzwoniono,  
 Obcych z namiotu precz wyprawiono.  
 Dwoma rzędami stojące dziewy,  
 Grając na arfach, zawiodły śpiewy;  
 Kobierzec błyszczał, jak pawie pióra,  
 Podłoga nito lamparcia skóra,  
 Złotem, rubinem połyskująca,  
 I woń krążyła upajająca.  
 Biszen pił dużo starego wina;  
 Co skończy, znowu puhar zaczyna.  
 Tak trzy dni brodził w winie, w miłości,  
 Aż spity — upadł bez przytomności.

Menisza prowadzi Biszena do swego zamku.

Zaledwie czaszy dotknęły usta,  
 Upadł bez zmysłów, blady jak chusta.  
 Upowitego w senne pieluchy  
 Wzięto na nosze, wysłane puchy;  
 A ona tuż się przy nim sadowi  
 I każe nieść się wprost ku domowi.  
 Pościel mu skrapia olejkiem wonnym,  
 Sypie kamforę; a gdy pod bronę  
 Miasta przybyli — w strachu nieplonnym

Na skarb swój drogi rzuca zasłonę,  
I nocą wszedłszy w komnaty swoje,  
Kazała szczerze zamknąć podwoje.

Biszen w sypialni snem upowity  
Leżał. Menisze zbudzić go rada;  
A że jej dowcip w fortel obfity,  
Więc jakiś balsam ostrożnie zada.  
Wnet też do zmysłów przyszedł — i oto  
Śnieżne ramiona ujrzał — i główkę,  
Doń się tulącą, z taką pieszczotą  
Podzielającą łoża połówkę;  
Lecz razem postrzegł, że w Afrazjaba  
Zamek się dostał; strach go nagaba,  
Modli się Bogu, woła w rozpacz:  
— «W tym zamku pewna śmierć mi się znaczy!»

— — — — — Między dworzany  
Był jeden plotkarz, szpieg zawołany,  
Kłótnik, siejący ziarno niezgody;  
On zwietrzył gościa: a gdy dowody  
Najdokładniejsze zebrał o wszystkim,  
Co zacz, skąd przybył, z jakim nazwiskiem;  
Ze mu o własne gardło chodziło,  
Wnet komornemu odkrył, jak było.  
A ten, niemałym zdjęty przestachem,  
Tak mówił, zdając sprawę przed szachem:  
— «Twa córa, panie — niepłonne słowa —  
Z Iranu gacha u siebie chowa».  
Szach zadrzał na to, jako osika,  
Którą wiatr trzęsie: trząś się, krwią plakał,  
Przekleństwem domu obrzucił zakał.  
Gniewny, przypowieść starą wykrzyka:  
— «Kto córkę chowa, nie ujdzie sromu,  
Choćby i w szacha rodził się domu!»

Afrazjab każe Biszena wtrącić do więzienia.

Do Gerziwesa rzekł szach rozkazem:  
«Wtrącić Biszena w lochy; żelazem  
Okuć mu ręce, nogi i szyję,  
W ciemnicy pieczar zamknąć. Niech gnije!  
Twarde łańcuchy każ skuć umyślnie,  
I tak łbem nadół strącić go z góry  
W pieczarę, kędy przez zmrok ponury  
Nigdy się księżyc, słońce nie wciśnie.  
Ów gład ogromny Akwana diwa,  
Którym wydobył z morskiej topieli,  
Coście go w Czinu borach widzieli;  
Gład, co Erszenga grób dziś pokrywa,  
Sprowadź mi słońmi z owego grobu,  
Zawal pieczarę, by już sposobu  
Nie było wyjścia. Nim mi uciecze,  
Prędej się Biszen w tej bezdni wściecze!  
Obojgu krwawą zemstą zapłacę!

Idź, zrabuj, rozburz pyszne pałace  
 Tej wszetecznicy! Z bezwstydnej skroni  
 Zedrzyj koronę i powiedz do niej,  
 Do mojej córki: z jakąż ślepotą  
 Honor ojcowski zdeptałaś oto;  
 Ród sławny, węzły zhańbiłaś święte;  
 Korona, skarby są ci odjęte.  
 Więc obnażoną wiedz przed pieczarę  
 I powiedz: tutaj znajdziesz swą parę —  
 To twój kochanek, skazan na długo;  
 Ciesz go, gdy jęczy, i bądź mu sługą!»

---

Rustem uwalnia Biszena z jaskini.

Rustem wiódł przodem zastęp orężny  
 Wprost, jak migiała luna w ciemnocie;  
 A gdy stanęli przy samej grocie,  
 Gdzie głaz Akwana, jak mur potężny,  
 Czeluść zamykał; on rozkaz dawał  
 Swoim: «Hej, z koni, moje olbrzymy!  
 Wszystkich, co mamy, sił dolożymy,  
 By z miejsca ruszyć ten głazu kawał».

Mężę, słuchając jego rozkazu,  
 Chcą głaz z czeluści wyrwać odrazu;  
 Lecz moc ich niczem przy tym ogromie:  
 Jak stał, tak stoi głaz nieruchomie.  
 Rustem zaś, widząc, jako się pocą,  
 Zeskoczył z siodła ku nim z pomocą,  
 A pasem biodra ścisnąwszy lepiej,  
 Wraz olbrzymiego głazu się czepi;  
 Lecz wprzód cichą myśl tam posyła,  
 Skąd idzie wszelkie męstwo i siła.  
 I z głazem wszedłszy jakby w zapasy,  
 Dźwignął i zsunął na Czinu lasy.

---

Więzień płaczkliwym wybuchnął krzykiem.

---

Słyszając to, Rustem powrozy spuści,  
 Biszena ciągnąc z głębi czeluści;  
 A on, wytysion, żółtkły na ciele,  
 Miał od niewygód wyschłe pizsczele:  
 Twarz trupią, sine znaki i rany,  
 Ciało do kości starły kajdany.  
 Rustem aż krzyknął, ujrawszy, jaki  
 Ciężar żelaza gniótł go do ziemi!  
 Więc skruszył na nim szyny i haki,  
 Więźnia, z członkami uwolnionemi,  
 Wziął wraz z Meniszą i pokryjomu  
 Zawiózł do Choten, do swego domu;  
 Gdzie, wybawieni, z płaczem oboje  
 Opowiadali przygody swoje.

Kai-Chozru wyprawia gody.

Teremy Chozra przepychem płoną:  
 Przedniejsze pany w gości proszono.  
 Gdy się nasycą już biesiadniki,  
 Otwarto izbę do pijatyki.  
 A tam śpiewaczki krasne jak róże,  
 Cześnicy z winem trzymali kruże;  
 W gęśle dzwoniące lutnistów grono,  
 Każdy ozdobion cenną koroną.  
 Chozru na tronie piękni rysy  
 Jaśniał jak księżyc ponad cyprysy,  
 Wszyscy witezie w ten wir porwani,  
 Z zamku wychodząc, byli pijani.

-----  
 Kiedy już goście dwór opuścili,  
 A szach wytchnienia używał chwili,  
 Kazał Biszena przyzwać ku sobie,  
 Pytając, jak tam cierpiał w tym grobie?  
 Młodzian poprostu i bez ogródki  
 Skreślił przygody: z jakiej pobudki  
 Został okuty; toż o więzieniu  
 Swem opowiadał i wybawieniu.

Szach na to, z duszą nawskróś przejętą,  
 Rzekł doń: — «Menisze twoja jest świętą!  
 Weź sto przepysznych szat jedwabianych,  
 Perłami, złotem suto utkanych,  
 Weź i koronę godną tej pani;  
 Dziesięć mis złota przeznaczam dla niej,  
 Choć więcej warta, niżli gąrsć złota,  
 Na tyle cierpień skazana cnota!  
 Strzeż się ją gorzkim drasnąć wyrzutem;  
 Wszak bez niej zgnilbyś w więzieniu lutem.  
 Ozłóćcie sobie miłością lata:  
 Lecz pomnij, jakie los figle płał!

-----  
 Nie radzę z losem wchodzić w przyjaźni.  
 Taka to na tym padole kolej:  
 Jak złe, tak dobre — od twojej woli.  
 Jednak, gdy sprośnych złości daleki,  
 Spokój zamieszka w duszy na wieki.

-----  
*Tłum. Lucjan Siemieński.*

ABU SAID IBN ABULCHAJR

(968—1049)

CZTEROWIERSZE

Przyszła miłość i troska serce zapylila,  
 Pierzchnął rozum, rozsądek poszedł precz i wiedza.  
 W smutku tym żaden druh mi ręki nie uściskał,  
 Jeno oczy do stóp mych wszystek skarb wylały.

Wołałem: O bogini ma tulipanowa,  
 Kochanko, we śnie ukaż wdzięki posągowe!  
 Odparła: Gdy beze mnie chadzasz na spoczynek,  
 Przecz mi każesz się we śnie marą ukazywać?...

Kochanko! myśli moje troska w kłęb związała,  
Twoja strzała zraniła serce me, kochanko!  
Mawiałaś: Opiekunką jestem serc zranionych;  
Oto patrzaj, ja także serce mam zranione!

Poszedłem do lekarza z wielkim bólem serca,  
Rzekł: Przed każdym, prócz lubej, milcz, sznurując usta.  
Spytałem: Co pić każesz? odparł: Krew serdeczną.  
A unikać? Trosk wszelkich o obydwu światach.

Miałaś oczy, co z serca rdzę spojrzeniem myły,  
Rączkę, co jeno wdzięczny spór z warkoczem wiodła;  
Gdyś poszła precz, te oczy w twarz mi krwią plunęły,  
Kamieniem drobna rączka piersi roztrzaskała.

Do tej tulipanowej módlże się, Braminie!  
Do tej czternastoletniej módlże się śliczności!  
Gdy Bóg ci nie dał oczu, byś na niego wzierał:  
Przed słońcem raczej czołem bij, niżli przed cielskiem.

Odkąd ciebie, tęczowa, ujrzałem, latarko,  
Poszły precz wszelkie trudy, posty i modlitwy;  
Gdy cię tulę do piersi — zachwyty mym pacierzem,  
A niemasz ciebie — pacierz całym mym zachwytem.

Skoro w mózgu nierozum, przecz ci krzyżem leżeć?  
Nacoć zda się driakiew, gdy jad w serce wżarł się?  
Strój oblekasz paradny; dla brudnego serca  
Jakaż korzyść z chędożnej wyrósć ma sukmany?...

Panie, co uszczęśliwiasz ludzi! Niezrównany!  
Tak pysznego królestwa nie miał żaden z królów.  
Noc. Drzwi domów zaparto. Cały świat zasypia.  
Otwórz furtkę swej laski, abym wszedł do ciebie.

*Tłum. Wacław Rolicz Lieder.*

## OMAR CHAJJAM

(um. w r. 1123)

### CZTEROWIERSZE

Czy wiecie, dlaczego wasz kogut co rano  
Wytrwale powtarza piosenkę tak znaną?...  
On pieje: «Znów jedna noc znikła już z ziemi,  
A dzień nas na pewno nie znajdzie... mędrszemi».

Dość bredni! O! nareszcie powiedz, wielki Boże,  
Wyznawcom fatalizmu, że wciąż głupstwo plotą;  
Że ten, który jest wolną od grzechu istotą,  
Za źródło wszechwystępku uchodzić nie może.

Z mułu i wiedzy stworzyłeś mię, Panie,  
I cóż ja mogę?  
Stworzyłeś ciało mojemu ubranie,  
I cóż ja mogę?  
Tyś naprzód moje postanowił czyny;  
W czym grzeszny będę, albo też bez winy,  
I cóż ja mogę?

«Cyprys drzewem jest wolności» — czemu świat to głosi?  
 Bo się nigdy nie uściskał, choć sto ramion nosi.  
 «Lilja kwiatem jest wolności» — każdy ją tak zowie.  
 Czemu?... Dziesięć ma języków, a słówka nie powie.

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

\*

Bolesny urodzenia mojego był świt —  
 Życiu dałeś na miano: głód — i noc — i zgrzyt!  
 Dzisiaj z buntem odchodzę. Powiedzże mi raz,  
 Jaki cel miał początek mój, koniec i byt?

Zagadki życia dróg nie zgadnę ja ni ty.  
 Tym, co by przejść je mógł, nie będę ja ni ty.  
 Darmoby każdy rad za opon przejrzyć mgły —  
 Nim je odwieje Bóg, przeminę ja i ty.

O, gdybym był miał wolę o całe życie wstecz,  
 Byłbym się nigdy nie dał uczynić jako rzecz!  
 Nigdybym się nie rodził — i nigdy nie był żył —  
 I nigdy z tego świata nie musiał odejść precz.

W mroku brodzące rzesze myślicieli  
 I ci, co w światłach wielkich cnót gorzeli:  
 Wszyscy prawili światu jedną baśń,  
 Aż jako i inni twardym snem posnęli.

Cóż mi ze wszystkiej udreki żywota? — Nic.  
 Com z pod wysiłków mych wydobył młota? — Nic.  
 Cóż warte mi, żem świecił, gdy dotleję?  
 Cóż wart Dżemszida dzban, gdy się zdruzgota? Nic.

Od wiary do zwątpienia jeden tylko krok.  
 Od prawdy do obłudy jeden tylko krok.  
 Kieruj tedy swe kroki uciechy ścieżyną —  
 Wszakci żywot nasz cały — jeden śpieszny krok.

Że też najbardziej chamski duch żre nieraz chleb  
 Z najbielszej mąki, skarby miewa lada kiej —  
 A taki eunuch patrzy sobie bez przeszkody  
 W oczy Turczynki, coby ci zmroczyły łeb!

Niech kto idzie i tak niech z prorokiem poczyna.  
 Omar się kłania, ciekaw, jaka w tem przyczyna,  
 Że mu kwaśnego mleka nie bronisz, a zato  
 Miałby odmawiać sobie słodkiej kropli wina?

Zasię prorok te słowa prześle do Omara:  
 Głupi, kto się rozsądniej zapytać nie stara.  
 Wszakże mędrca nie tyczy mój zakaz. Jedynie  
 Durniowi od winiarni po wiek wieków wara.

Wino jest wrogiem wiary, sumienia i Boga.  
 Wojna winu i zemsta! Zemsta sercu droga.  
 Jam wierny, przeto piję w imię Boskie wino.  
 Wszakże wolno i godnie pić krew swego wroga.

Szył Omar namiot wiedzy dzień i noc, jak wiecie.  
Niedługo złość potwarców z kurzem go rozmiecie.  
A gdy pod sierpem doli nić zetlała prysnie —  
Śmierć go kupi za bezcen na życia landecie.

O namiotniku! ciało twe także namiotem,  
W którym Duch-Sultan krótkim popasa przelotem —  
Gdy odejdzie, wnet pachol zjawia się ponury  
I zwija namiot z płócien upiornym łopotem.

*Tłum. M. Wolska i M. Pawlikowski.*

\*

Chajjam<sup>1</sup>, czemu zawodzisz i jęczysz żałością?  
Przeto, że grzechy małe popełniasz i wielkie?  
Kto nie grzeszył, nie pozna nigdy łaski Boga,  
Bowiem grzechy nam tylko przebaczyć on może.

Litość miej nad mem sercem skalanem, o Boże!  
Litość miej nad tą piersią pełną trosk i bólu:  
Przebac nogom, co same śpieszą do winiarni,  
Przebac ręce, że chyty kielich pełny trunku!

Jak jestem — wola Twoja stworzyła mię wolnym —  
Niemał sto lat — o Panie — stoisz przy mnie ciągle —  
Po stu latach jednakże chciałbym się dowiedzieć,  
Co w istocie mocniejsze: czyli grzech, czy łaska.

Nim jeszcze nowy księżyc zabłysnął na niebie,  
Znalazłem się w ostatnią dobę Ramazanu  
Sam jeden — w magazynie starego garncarza,  
Gdzie na ścianie wisiły rozmaite garnki.

I rzecz niewiarogodna — u glinianych garnków,  
Jedne milczą, zaś inne gadają wyraźnie;  
Nareszcie jeden garnek krzyknął niecierpliwie:  
Czem jest garncarz? czem garnek? kto na to odpowie?

Jeden mówi: Zaiste — nie napróżno Stwórcą  
Z gliny ciemnej mą istotność wydobył na światło,  
Chociażby nawet, formę i byt mi nadawszy,  
Miał mię znów kiedyś rozbić na proch i czerepy.

Drugi zasię w milczącej ozwie się przestrzeni —  
Dziecko jedynie własny garnek swój potłucze!  
Czyliż na nowo rozbić ma na drobne szczęty  
Ten, który nas w miłosnem stworzył upojeniu?

Potem... długie milczenie. I naraz z goryczą  
Jakiś wykoślawiony rzeczce garnek stary:  
Wy mną gardzicie przeto, żem brzydki i krzywy —  
Czy garncarzowi ręka drżała, gdy mnie tworzył?

Inny zaś ciężko wdycha przy swem każdym słowie:  
Od długiego pragnienia moja pierś wyschnięta —  
Ale mógłbym zaiste znowu dojść do mocy,  
Gdyby mnie napelniono sokiem winogrodu.

<sup>1</sup> Chajjam — znaczy «wyrabiacz namiotów».

Ach, że to wiosna już omdlewa i zamiera —  
 Młodość — słodka miłości krynica — zasycha —  
 Słowik, co wśród gałęzi śpiewał w czarach nocy —  
 Kto wie, skąd tu przyleciał — i dokąd odlata...

Sądziłem niegdyś, że w godzin niewiele  
 Wszystkie rozwiązę zagadnienia świata —  
 Gdy jednak życie swoje badam całe:  
 Uważ — minęło — i nic nie znalazłem!

Ten, co stworzył Chajjama — nie pytał go wcale  
 O cierpienia — sam stoję na ziemi zdumiony —  
 I sam rozwiązać muszę, nie pojmując sprawy,  
 Pocom tu zstąpił — czemu trwam — i znów precz idę?

*Tłum. Antoni Lange.*

### AFZALEDDIN CHAKANI

(um. w r. 1199)

#### CZTEROWIERSZE

Gdy duch mój swe tęsknoty pragnie ci powierzyć,  
 Wówczas Zefir wybieram za gońca mych listów.  
 Ranny wiatr nosi twoje oraz moje pisma:  
 Leć, cudny ptaku! Skrzydło twe niech nie spoczywa.

Jakim sposobem róża, która swym kolorem  
 Zawstydzła wino, z licem twojem śmiała walczyć?  
 Ale nie! Wobec twego lica lico róży,  
 Wstydem zarumienione, okryło się potem.

Ptak, co zna melancholji pieśni — oto miłość.  
 Słowik, co zna tajemnic mowę — oto miłość.  
 Był, który do niebytu woła cię — to miłość.  
 Przez coś zbawion od siebie samego — to miłość.

Chakani! Jeśliś cząstki nie zyskał spokoju,  
 Nie skarż się. Z niebem iście walka niepodobna.  
 Nie wszedł do tego raju Feridun, ni Dżemszyd.  
 Gdy nędzarnik, jak ty, wejść tam nie może — gdzież hańba?

Gdy się motyl stęskniony miłości nauczył,  
 Zapłonął jednocześnie ogień w sercu świecy.  
 Motyl z świecą — tak sztukę poznały kochania.  
 Że w zgodzie jednomyślniej spaliły się razem,

Pukiel twój fijołkowi nakazał niewolę.  
 Lico twe na fijołek pierścien więzów kładzie.  
 W ogrodzie zaś dostojność fijołka urosła,  
 Że się stał niewolnikiem twojego warkocza.

Krwia się stało me serce; ogień z wnętrza tryska  
 Przy winie, co skrą ognia lśni, jak twoja krew.  
 Wino — to krew i ogień; ja rozlewam krew.  
 Ogniem podsycam ogień; krwią podsycam krew.



Od kiedy zapaliłaś ten miłości ogień,  
 Jak me serce — tysiące ty spaliłaś serc.  
 Mów, kto ciebie nauczył tej niegodziwości,  
 Że dla mnie tyś uszyła ten ognisty płaszcz?

*Tłum. Antoni Lange.*

#### WALKA ARISEDDINA Z CHAKANIM

##### Chakani do Ariseddina

1. Ducha mych wypowiedzi Mądrość cugle ściąga.  
 Słowo zaś na usługi palców mych kalamu<sup>1</sup>,  
 Szlachetnego rumaka posłusznego dzierży.
2. Klnę się Bogu, co okres ten wywołał czasu:  
 Ten okres to mój okres; ten czas to mój czas.
3. Jam jest Jusuf stulecia w ten rok głodny słowa.  
 Moja pieśń jest gością dla zgłodniałych dusz.
4. Bredni żadnego głupca duch mój się nie lęka,  
 Bo nikt się pod tą gwiazdą nie rodził, co ja!
5. Na wschód i zachód płynie mojej myśli pasmo,  
 Gołąb niebieski — to mój goniec jest darmowy.
6. Jam w objawieniu myśli prorok wśród pieśniarzy,  
 Bo cud słowa tkwi dzisiaj w moich wypowiedziach.
7. Ty ciągle mię oczerniasz — a jeżeli kiedy  
 Umrzesz jakiego ranka przez swą pożądlivość —  
 I to jeszcze powiększy mą godność i chwałę.

##### Asireddin do Chakaniego

1. Pióro me — to rozcinacz wszystkich węzłów słowa —  
 Potężny! Duch mój giętki — jest duszy skarbnikiem.
2. Odkąd najlepsze pióro ze skrzydeł Dżibrala  
 Stało się mem wędzidłem, siodło moje nosi  
 Rumak, którego strzemię jest księżycem nowym.
3. Zatoki dusz pobrzeża — jak zatoki morza,  
 Są pełne moich pereł — bo w krainie myśli  
 Dusze ludzkie u moich głębin życia żebrzą.
4. Jam szach Arstan Edenu. — Kaisara i Chana  
 Świat — to zaledwie jeden procent mego świata.
5. Łuku mego nie napnie nawet dłoń Szirwana,  
 Bo grot mojego łuku — to grot samych niebios.
6. Nie sądzę się współczesnym bytu. Głupio wyrzec,  
 Że nikt się pod tą gwiazdą nie narodził, co ja!
7. Czas — czasem tego, który świat i mądrość stworzył.  
 Niedorzecznie jest mówić: ten czas — to mój czas!
8. A gdy poezji wolno rościć takie prawo,  
 Ja na rozkaz rozumu przykładam tu pieczęć —  
 I ogłaszam dziś światu: ten czas — to mój czas!

*Tłum. Antoni Lange.*

<sup>1</sup> *Kalam* — pióro po persku i arabsku; z greckiego — *kalamos*, skąd też włoskie *calamajo*, polskie *kałamarz*.

## FERIDEDDIN ATTAR

(1119—1230?)

## I

## Z ŻYWOTA DHULNUN AL MISRIEGO

Przyczyna jego nawrócenia się była następująca. Dan mu był znak z niebios, aby poszedł odwiedzić pewnego ascetę w pewnym miejscu. Znalazł onego człowieka, zwisającego z gałęzi drzewa, i słyszał go rzekącego: «O ciało! pomóż mi, abym Bogu był posłuszny, bo inaczej dzierżyć cię będę wiszącym, aż zemrzesz z głodu». Dhulnun począł łkać. Usłyszał święty człowiek wzdychanie jego i zawołał: «Kto to lituje się nad człowiekiem, którego wstyd jest mały a grzechy wielkie?» Dhulnun zbliżył się, pozdrowił go i zapytał, co czyni. Odpowiedział onże, że ciało jego nie chce zgodzić się na posłuszeństwo Bogu, ale pragnie mieszać się z plemieniem ludzkim. «Ja myślałem» — rzekł Dhulnun — «że ono przelało krew jakiego muzułmanina albo popełniło grzech śmiertelny». Odrzekł na to święty człowiek: «Nie wiesz-li, że gdy zmieszasz się z plemieniem ludzkim, wszelkie zło za tem pójdzie?» — «Ty jesteś strasnym ascetą». «Jeśli ujrzeć chcesz człowieka, który jest większym ascetą niżli ja, wspinaj się na ową górę». I wspiął się Dhulnun na ową górę i ujrzał człowieka, który siedział w celi; jedna z jego stóp, którą był odciął, leżała nazewnątrz, a robactwo jadło ją. Odrzekł on na zapytanie Dhulnuna: «Pewnego dnia siedziałem ja w tej celi, gdy przechodziła jakaś niewiasta. Serce moje nakloniło się ku niej, a ciało moje kazało mi iść za nią. Jedną stopą stanąłem nazewnątrz. A wtedy usłyszałem głos, który mówił do mnie: «Służyłeś Bogu i posłuszny mu byłeś przez lat trzydzieści. Czyż nie wstyd ci teraz szatana słuchać?» Głos ten usłyszawszy, odciąłem stopę, którą stanąłem nazewnątrz, a teraz czekam, co dalej ze mną będzie. Pocóż to przychodzisz do takiego grzesznika jak ja? Jeśli chcesz ujrzeć człowieka zbożnego, wspinaj się na szczyt tej góry». Ale góra owa tak była wysoka, że Dhulnun nie mógł się wspiąć na jej szczyt; tak więc dowiadywał się o sprawy owego świętego człowieka. Powiedziano mu, że długo żył on na samym wierzchołku; że pewnego dnia ktoś spierał się z nim i oświadczył, że chleb powszedni dostaje się ludziom drogą wysiłku; że wtedy złożył on ślubowanie, iż nic już więcej do ust nie weźmie, co zdobywane bywa drogą wysiłku; tak to od owej chwili pozostawał przez pewien czas bez pożywienia; a wtedy Bóg zesłał pszczoły, które latały dookoła niego i miodem go karmiły. Dhulnun rzekł: «Głęboko zostało wzruszone serce moje przez to, com widział i słyszał; ujrzałem, że Bóg w dłoń swą bierze sprawy tych, którzy w nim ufność pokładają, i nie pozwala, ażeby cierpienia ich wniwecz się obracały. Potem, gdy podążałem swą drogą, zobaczyłem na drzewie małe ślepe ptaszę. Frunęło ono ku dołowi. Tedy pomyślałem sobie: «Jakim to sposobem owo biedne stworzenie karini się i poi?» Ptaszę wryło dzióbkiem otwór w ziemi, a w tejże chwili ukazały się dwa naczynia, jedno złote z sezamem, drugie zaś srebrne z wodą różaną; napoiwszy się i zjadłszy dosyta, zpowrotem uleciało na drzewo, a obydwie naczynia zniknęły. Na ten widok w dziwny wpadłem stan; postanowiłem w Bogu nadzieję położyć i byłem szczerze nawrócony». Uszedłszy pewną przestrzeń, ze zmierzchem Dhulnun znalazł się w budynku, leżącym w ruinach, gdzie ujrzał złoty dzban i drogie kamienie, nakryte deską; wypisane było na niej imię Boże. Przyjaciele jego rozdzielili między siebie złoto i drogie kamienie, lecz Dhulnun rzekł: «Dajcie mi tę deskę, bo na niej wypisane jest imię mego Ukochanego»; i bez przerwy całował ją dzień cały. Stąd przyszło nań tak wielkie błogosławieństwo, że pewnej nocy w marzeniu sennem posłyszał głos: «O Dhulnunie! Wszyscy inni cieszyli się złotem i drogiemi kamieniami, a tobie jedno moje imię radość sprawiało; dlatego otwieram przed tobą bramę wiedzy i mądrości».

Oni rzekli: «Kto jest gnostykiem?» On odrzekł: «Jeden z pośród nich, nienależący do nich».

On rzekł: «Są trzy rodzaje wiedzy o Bogu. Po pierwsze, wiedza o tem, że Bóg jest jeden; posiadają ją wszyscy wierzący. Po drugie, ta wiedza, która opiera się na

dowodach; posiadają ją filozofowie, retorycy i teologowie. Po trzecie, wiedza o przymiotach jedności Bożej; posiadają ją święci, którzy postrzegają Boga sercami swemi, i to w taki sposób, że On im objawia to, czego nie objawia nikomu innemu na świecie.

Rzekł: «Prawdziwa wiedza — to boskie oświecenie serca promieniami prawdziwej wiedzy», to znaczy, że słońce może być widziane tylko w świetle słońca.

Rzekł: «Im lepiej człowiek poznaje Boga, tem większe jest jego oszłomienie w Bogu» — ponieważ, im bliżej znajdzie się słońca, tem silniej jest porażony słońcem, aż wreszcie dojdzie do tego miejsca, gdzie przestaje być sobą.

Pytano go, jakie są właściwości tych, którzy znają Boga. Odrzekł: «Gnostyk widzi bez wiedzy, bez intuicji, bez informacji, bez kontemplacji, bez opisu, bez odstawiania, bez zastony. Oni nie są sobą; istnieją nie przez siebie, lecz o tyle, o ile są sobą, istnieją przez Boga. Poruszają się, jak Bóg każe się im poruszać, a słowa ich są słowami Boga, które toczą się po ich językach, a ich wzrok jest wzrokiem Boga, który wszedł do ich oczu. O tych to właściwościach mówił Prorok — pokój niech Mu będzie — gdy opowiadał, co Bóg był rzekł: «Gdy kocham sługę swego, ja — Pan — jestem jego uchem; tak, że on słyszy przeze Mnie; i jego okiem; tak, że on widzi przeze Mnie; i jego językiem; tak, że on mówi przeze Mnie; i jego ręką; tak, że on bierze przeze Mnie».

Dhulnun rzekł: «W czasie jednej ze swych podróży spotkałem kobietę i zapytałem ją, jaki jest koniec miłości. «Ty głupcze» — rzekła — «miłość nie ma końca». «Dlaczego tak?» — rzekłem. Odpowiedziała: «Ponieważ Ukochany nie ma końca».

*Według angielskiego przekładu R. A. Nicholsona spolszczył T. G.*

## II

### Z ŻYWOTA BAJAZIDA AL BISTAMIEGO

Pewnego dnia szedł on z gronem swych uczniów. Ścieżka była bardzo wąska. Zobaczył psa idącego mimo i zawrócił, aby dać mu przejść. Jeden z uczniów zganił go skrycie i pomyślał sobie: «Jak to może Bajazid, król gnostyków, schodzić z drogi psu?» Rzekł Bajazid: «Pies ten zapytał mię z niemą wymową: <Co ja przewiniłem w ciągu całej nieskończonej przeszłości, a jaki znowuż czyn łaski ty spełniłeś, że ja odziany jestem w skórę psa, gdy natomiast ciebie odziano w królewskie szaty ducha?> Gdy myśl ta przyszła mi do głowy, ustąpiłem psu z drogi».

Opowiadają o nim, że raz rzekł: «Pewien człowiek spotkał mię raz na drodze i zapytał, dokąd idę. Odrzekłem: <Odbywam pielgrzymkę>. — «He masz pieniędzy?» — «Dwieście dirhemów». <Daj mi je> — rzekł — «gdyż ja mam żonę i dzieci; obejdź dookoła mnie siedem razy, to będzie twoja pielgrzymka». Tak uczyniłem i wróciłem do domu».

Pewien człowiek podszedł ku drzwiom domu Bajazida i krzyczał. «Kogo szukasz?» — rzekł on. — «Bajazida». — Szeik rzekł: «Biedny Bajazid! Trzydzieści już lat szukam Bajazida i dotychczas ani na ślad jego nie natrafiłem». Gdy słowa te powtórzono Dhulnunowi, wykrzyknął on: «Boże! Przebacz memu bratu Bajazidowi, ponieważ on jest stracony wraz z tymi, którzy są straceni w Bogu».

Pewnego dnia rozprawił on o Prawdzie i ssał wargę swą, i mówił: «Ja jestem spijaczem wina i winem, i podczaszym». Rzekł: «Trzydzieści lat wysoki Bóg był moim zwierciadłem, teraz ja jestem sam swem własnem zwierciadłem», to znaczy «tem, czem byłem dawniej, obecnie już nie jestem, ponieważ <Ja> i <Bóg> to jest zaprzeczenie jedności Bożej. Ponieważ ja już nie jestem, wysoki Bóg jest sam swem własnem zwierciadłem. Bacz, ja mówię, że Bóg jest zwierciadłem mojej własnej jaźni, ponieważ On mówi moim językiem, a ja zniknąłem».

Rzekł: «Przez długi czas miałem zwyczaj chodzić dookoła Kaby. Gdy jednak dosięgnąłem Boga, spostrzegłem, że Kaba chodzi dookoła mnie».

Rzekł: «Przez trzydzieści lat miałem zwyczaj mówić: <Czyni to> i <Daj to>; lecz gdy osiągnąłem pierwszy stopień gnostyki, rzekłem: <Boże! Bądź moim i czyni według woli Twojej>».

Rzekł: «Gdy gnostyk stoi na najniższym stopniu, wtedy przymioty Boga są w nim».

Rzekł: «Jeden jedyny okrucień słodczy gnostyki w sercu ludzkim więcej jest wart, aniżeli tysiąc pawilonów w raju».

Rzekł: «Jest rzeczą niemożliwą, ażeby ktoś poznał Boga i nie pokochał Go; znajomość bez miłości jest bezwartościowa».

Rzekł: «Ludzie wyobrażają sobie, że droga ku Bogu jest jaśniejsza, aniżeli słońce. Od tyłu już lat życzę sobie, aby Bóg odsłonił przede mną chociażby tylko taką cząstkę owej drogi, jak koniec igły; lecz życzenie moje nie spełnia się».

Rzekł: «Wszystko to, co istnieje, zdobyć można w dwóch krokach: należy podnieść stopę, która oparta jest na własnym interesie i oprzeć ją na przykazaniach boskich».

Rzekł: «Tej rzeczy, o której mówimy, nigdy nie można znaleźć przez poszukiwania; a jednak tylko poszukiwacze znajdują ją».

Zapytano go: «Jaka jest droga ku Bogu?» Odrzekł: «Opuść tę drogę, a dosiężesz Boga».

Rzekł: «Jeśli na miejscu Sądu zapytany będę, dlaczego nie uczyniłem czegoś, większą przyjemność sprawi mi zapytanie, dlaczego uczyniłem coś», to znaczy, «w każdym czynie moim jest egoizm, a egoizm to jest dualizm, a dualizm jest gorszy, aniżeli grzech, z tym tylko wyjątkiem, gdy chodzi o jakiś zbożny czyn mnie wyrządzony, w którym ja udziału nie biorę».

Rzekł: «Zapomnienie o sobie samym jest pamięcią o Bogu. Ktokolwiek poznaje Boga przez Boga, staje się żywym, a ktokolwiek poznaje Boga przez siebie samego, staje się martwym».

Rzekł: «Pragnąłem dowiedzieć się, jaka jest najbardziej przykra kara, która spaść może na ciało. Spostrzegłem, że nie może być nic gorszego, aniżeli zapomnienie o Bogu. Ogień piekielny nie przyczynia tyłu cierpień, co odrobina zapomnienia».

Pewien człowiek zapytał go raz, dlaczego nie modli się w ciągu nocy. Odrzekł: «Nie mam czasu na modlitwę; błędę po świecie ducha, a gdy ujrzę kogoś padającego, pośpieszam mu z pomocą, aby powstał», to znaczy «ja pracuję wewnątrz».

Rzekł: «Jeśli Bóg odkłada do jutra (dnia Sądu) czyjaś nagrodę, to znaczy, że człowiek ten nie uwielbiał Go w należyty sposób w dniu dzisiejszym, ponieważ każda chwila samoumartwienia nagrodzona bywa natychmiast».

Zapytali go, ile ma lat. «Cztery» — odrzekł. Rzekli: «Jak to może być?» Odrzekł: «Przez siedemdziesiąt lat spowity byłem w zasłony tego świata. Ale już od czterech lat oglądam Go — ach! nie pytajcie mnie, w jaki sposób! — Czas spędzony bez oglądania nie jest częścią życia».

Zapytano go o przykazanie, które każe czynić dobro, a unikać zła. Odrzekł: «Znajdź się w tej sferze, gdzie żadna z tych rzeczy nie istnieje: obydwie należą do świata istot stworzonych; wobec Jedności niema ani przykazania, ani zakazu».

Rzekł: «Mowa i zamęt, i hałas, i ruch, i pożądanie — wszystko to znajduje się poza zasłoną. Wewnątrz zasłony jest milczenie, cisza, pokój».

Rzekł: «Czy słyszysz głos, który cię dochodzi od strumieni bieżącej wody? Lecz gdy strumienie owe dosięgną morza, spokoje się stają, a morze ani się nie powiększa przez ich przybycie, ani się nie zmniejsza przez ich ubycie».

*Według angielskiego przekładu R. A. Nicholsona spolszczył T. G.*

## DŻELALEDDIN RUMI

(1207—1273)

### I

#### KRÓL I CHORA NIEWOLNICA

Niech każdy baczenie powieści tej słucha;  
Odtworzy ona stan mojego ducha.  
Onemi czasy żył mocarz wspaniały,  
Któremu wszystkie ziemie hołdowały.

Pewnego razu król ten w licznych gronie  
 Za zwierzem dzikiem odbywał pogonie.  
 Po górach, lasach goniąc zwierząt stada,  
 W sidła miłości sam niebaczny wpada.  
 Napotkał dziewczę na ustroniu dzikiem  
 I król — poddanej stał się niewolnikiem.  
 Serce mu w piersiach drżało, jak ptaszyna  
 W klatce — zapłacił — i jego dziewczyna —  
 Ach! jak przybycia błogosławił porę.  
 Niestety! spostrzegł, że dziewczę jest chore.  
 Pan osła musi obejść się bez siodła,  
 Gdy lanca wroga zwierzę mu przebodła.  
 Ma dzbanek — wody nie dadzą te strony,  
 Gdy wodę znalazł — już dzbanek stłuczony.  
 Lekarzów mnóstwo do chorej zaprasza:  
 «Dwa życia zbawić ma tu mądrość wasza.  
 Me życie niczem!... Mojem życiem — ona,  
 Jej zdrowie balsam wleje mi do łona.  
 Kto wróci zdrowie mej kochance chorej,  
 W nagrodę weźmie pełne złota wory».  
 Więc rzekli: «Idzie o głowy nas wielu,  
 Toć sztuka musi przywieść nas do celu.  
 Wszakże to my tej ziemi Mesjasze,  
 Cierpienia giną przez starania nasze».  
 I w dumie żaden nie rzekł: «Z łaską Boga».  
 Więc też zawiodła ich próżności droga!...  
 Chorobę wszystkie potęgują leki  
 I wyzdrowienia dzień wiecznie daleki.  
 Dziewczyna włosem staje się i cieniem,  
 Łzy z oczu króla wciąż płyną strumieniem.

Nareszcie zjawia się cudowny lekarz, zwiastowany mu we śnie od Boga; ten zręcznie badając chorą, dowiadyuje się, że przyczyną jej cierpienia jest miłość dla złotnika z Samarkandy. Każe więc sprowadzić do niej kochanka.

Przez sześć miesięcy żyli kochankowie  
 Szczęśliwie — i dziewczę odzyskało zdrowie.  
 A teraz przyszła kolej na młodziana;  
 Lekarza ręką czara wypełniana  
 Jad straszny niesie w zdrową pierś złotnika.  
 Wynędział młodzian, wdzięk z twarzy mu znika,  
 A dziewczę, patrząc na jego brzydotę,  
 Powoli targa struny uczuć złote;  
 Bo miłość, którą powab ciała zrodzi,  
 Jak prędko przyszła, tak prędko uchodzi.  
 O bodaj nigdy nie posiadał wdzięku,  
 Tożby dziś z piersi nie wyrzucił jęku,  
 W oczachby nie miał krwawych łez nędzarzy, —  
 Zgon swój zawdzięcza tylko własnej twarzy.  
 I młodzian woła, wciąż myśląc o zgonie:  
 «Paw największego ma wroga w ogonie!  
 Gronostajowi jam podobien, Boże,  
 Co futru gwoli ostać się nie może!»  
 To mówiąc, skonał. A cóż jego miła?  
 Przystawszy kochać... do zdrowia wróciła.

*Tłum. Juljan Adolf Święcicki.*

## II

Kiedym ujrzał, że jest cieriń — wnet schroniłem się w gęstwinie róży.  
 Kiedym ujrzał, że jest kwas — wnet zmieszałem się z nektarem trzciny.  
 Kiedym ujrzał, że jest jad — wnet wlałem w czarę lek terjaku;  
 Kiedym ujrzał na dnie męt — zaczerpnąłem źródeł nieśmiertelnych.  
 Kiedym ujrzał, że jest mrok — na Jezusie gwieźdny wsparłem dłoń mą;  
 Kiedym ujrzał, że jest grób — otworzyłem bramy wiecznych sadów.

*Tłum. Tadeusz Miciński.*

## III

Mąż Hoży pijany jest bez win — mąż Boży syty jest bez mięs.	Mąż Boży jest świątynią posłuszeństwa, mąż Boży jest grodem dobrych czynów.
Mąż Boży w wiecznym jest zdumieniu, mąż Boży trwa bez snu.	Mąż Boży w niewierze jest wierzący, mąż Boży nie zna cnót ni grzechu.
Mąż Boży nie jest wiatrów pył, mąż Boży nie jest mróz ni żar.	Mąż Boży jest uczony w Bogu, mąż Boży uczonym nie jest ksiąg.
Mąż Boży jest w chałupie król, mąż Boży jest w pustyni skarb.	Mąż Boży jest morzem niezmiernem, mąż Boży dżdżem jest bez nawalnic.

Mąż Boży głęboko jest ukryty —  
mój synu! znajdź go, idąc w mroku.

*Tłum. Tadeusz Miciński.*

## IV

Jam lśniący — mgławcy, śnieżny — czarny jak demon:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Jutrznia — gryf mocny Simurg — zwierciadło Maga Salomona:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Pył — wicher — morze — wulkan — miłość — gród nienawiści:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Lampa — mogiła — skała — воск topniejący:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Księżyc — mroki — poranek — gromnica ponad zmierzchem dusz:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Wciąż zmieniam barwy, wciąż miejsce — umieram, płynę i wschodzę:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Z grobu mój sztandar i trąba — w niebiosach rozpięty mój namiot:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Człowiek mój zmarłe jest zwierzę, zwierzęta mam z Diwów-Aniołów:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Słuchają mię Huri i Peri — sam jestem wiecznie w pustyni:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Z pokorą serca wyznaję — jam ten, co idzie wśród mroku:  
 Dobrem jest tamto i to.  
 Mówię to z słońcem nad głową: rozjaśnij się — w mrok zejdziesz znów!  
 Dobrem jest tamto i to.

*Tłum. Tadeusz Miciński.*

## V

Śmierć kończy nędzę żywota,  
 Ale przed śmiercią drży życie:  
 Widna mu ręka, co skrycie  
 Czarna ku niemu się skrada,  
 Ale nie widna mu złota  
 Czara, co w ręce tej świeci.

Drży serce, które napada  
 Miłość, bo miłość jest zgonem:  
 «Ja» swoje traci, kto wleci  
 W jasne miłości ramiona:  
 A przecież miłości i śmierci  
 Przyszłości oddana korona.

*Thum. Józef Szujski.*

## VI

Jam pyłek jest słoneczny, jam tarcza słońca w chwale,  
 Pyłkowi mówię: zostań, a słońcu: odpłyni w dale.

Jam migotanie ranka, jam jest wieczoru powiew:  
 Szmer, którym szumią lasy; szmer, którym szumią fale.

Jam jest maszt, jam ci ster, jam sternik, jam i okręt:  
 Rafa, co łamie okręt, — wyrosła nad korale.

Jam ptasznik, jam jest połów, jam ptak — i jam jest siatka.  
 Jam obraz, jam zwierciadło, dźwięk, echo, co brzmi w skale.

Jam jest żywota drzewo — na drzewie jam papuga:  
 Jam jest myśl i milczenie, jam mowa, radość, żale.

Jam jest wydechem fletu, jam ci jest duch człowieczy —  
 Przeze mnie glazy ogniem, złotem się skrzą metale.

Jam świeca — i krążący dokoła świecy motyl;  
 Róża — i słowik, który śpiewa jej miłość w szale.

Jam jest wojna i pokój, jam twierdza i zwycięstwo —  
 Gród, obrońca i wróg — co obiegił go w zapale.

Jam jest wapno i kielnia, mularz i rusztowanie —  
 Kamień węgielny — szczyt — i gmach — i gruz — i pale.

Jam srogi lew i jeleni — jam groźny wilk i jagnię,  
 I pasterz, co je wszystkie na jedną spędza halę.

Jam jest łańcuchem istot, jam światów kołowrotem,  
 We mnie bytów rozrostu i ich rozkładu skale. —

Jam jest, co jest i nie jest. Jestem — o ty, co wiesz to —  
 Dżelaleddin; jam dusza — we wszechistnienia chwale.

*Thum. Antoni Lange.*

## VII

Nie skarż się, żeś spętany więzami twardemi —  
 Nie skarż się, żeś zmuszony dzwigać więzy ziemi —  
 Nie skarż się, że więzieniem są te twoje targi —  
 Bo świat więzieniem czynią właśnie twoje skargi.  
 Nie pytaj, jak zagadka rozwiąże się losu —  
 Rozwiąże się zagadka bez twych pytań głosu.

Nie mów, że pożegnanie Miłość dała tobie:  
 Kogoż to Miłość żegna we własnej osobie?  
 Nie wahaj się, gdy o twe imię śmierć zapyta:  
 Słodką śmierć temu, który bez wahań ją wita.  
 Nie ścigaj sarny ziemskich rozkoszy manowca,  
 Gdyż sarna lwem się stanie, ścigać pocznie lowca.  
 Nie targać pęt swych cieśni — serce niech pamięta: —  
 A nie będziesz się żalił, że cię łańcuch pęta.

*Tłum. Antoni Lange.*

## VIII

Patrz — umarłem, jako kamień, zmartwychwstałem jako krzew —	Gdy po latach jako człowiek — zejdę w chłodny grobu zziw —
Zmarłem jako krzew — i jałem biegać wkoło jako lew —	Wtedy zyskam ja anielskie — białe skrzydła nieba stref —
Zmarłem jako lew — i oto mój gorący zabrzmiał śpiew —	I gdy znowu jako anioł — na ofiarę dam swą krew —
Jako człowiek pieśń śpiewałem: czemu trwoga wśród mych trzew?	Choć to trudne do pojęcia — treść ma przejdzie w Boży wiew!
Toż nie zmniejszy mojej miary — nowej śmierci mojej kwef —	

*Tłum. Antoni Lange.*

## IX

Kibla<sup>1</sup> — do której wierny zwraca się — to Mekka.  
 Kibla — do której dąży szach — to światowładztwo.  
 Kibla — do której dąży kupiec — to bogactwo.  
 Kibla — zakochanego — to piękność kochanki.  
 Kibla — żądnego uciech — to są pełne szklanki.  
 Kibla — mędrca — to księgi — to nauki droga.  
 Kibla — iluminata — jest widzenie Boga!  
 Kibla — to, co jest wyższe, niż nauki droga —  
 Kibla — pełniejsza uciech, niżli pełne szklanki —  
 Kibla — stokroć piękniejsza, niż piękność kochanki —  
 Kibla — stokroć bogatsza nad wszelkie bogactwo —  
 Kibla — stokroć świetniejsza, niżli światowładztwo —  
 Kibla — świętsza, niż Kaaba i Mekka.

*Tłum. Antoni Lange.*

## X

Gdy wicher morze w sine marszczki kłębi  
 I dziką pieśnią gra po strunach fali:  
 Czyj wzrok dopatry, jaka cisza w głębi,  
 Jaki świat pod nią pereł i korali.

Kiedy w zawiści los nieubłagany  
 Na bładem licu ryje męczeństw dzieje:  
 Kto myśl odgadnie mędrca, co bez zmiany  
 Czystym jak słońce blaskiem promienieje?

*Tłum. Karol Mecherzyński.*

<sup>1</sup> Kibla — cel, dążenie, meta, causa finalis; pielgrzymka pobożna do Mekki.



SADI

(ok. 1184–1261)

Z «GULISTANU» («OGRODU RÓŻANEGO»)

I

Do króla

Pod twem imieniem, królu zawołany,  
 Stał na świecie mój Ogród Różany,  
 Którego wrotom, świeżo wystawionym,  
 Ciebie samego chcę mieć przełożonym,  
 By ci, co owoc z niego będą rwali,  
 Ciebie mym zawsze dobrodziejem zwali,  
 A wy, co ogród nawiedzać zechcecie,  
 Za sprawcę jego modlić się będziecie.

Póki tedy, królu, panie mój (który się w naukach i czytaniu kochasz, Boga miłujesz i wiarę poznawasz), ten ogród mój od ciebie wdzięcznie przyjęt i pochwalon nie będzie, ja, jako oblubienica, ust swoich otworzyć ani oczu ku górze podnieść nie będę śmiały; owszem, jako szpetna panna między kupą nadobnych twarzy ukazać nie śmie, tak i ja, póki ty (któryś jest obrońcą i wspomóżycielem uczonych a ojcem ubogich) na mię i pracę tę moją lichą wdzięcznie nie spojrzysz, twarzy swej trudność ukazać będę miał.

Na kogo ty swój, królu, wzrok puścisz łaskawy,  
 Nie mogą, jeno dobrze wieść się jego sprawy.

Pospolita jest, że każdy pan ma swe rozmaite sługi, jedne dalsze, a drugie bliższe. Między temi bywają też derwiszowie ubodzy, których służba ta jest: Bogu we dnie i nocy służąc, dobrodziejów swoich wychwalać i za nimi się Bogu modlić. A ta ich służba zdaleka lepsza i wdzięczniejsza bywa, bo i rozum swój tem okazują, i słowa ich przyjemniejsze bywają...

Jam tedy umyśliwszy osobność siedzenia i już, abym w milczeniu Boga modlił a z ludźmi nie obcował, tę regułę przedsięwziąwszy, żem opuścił przedsięwzięcie moje, żałuję i kaję się. Jedni ludzie w Indjej o nauce Biuzurdzimichrowej (który na on czas był wezyrem cesarza indyjskiego Nuszerwana) wiele mówiąc, tę tylko wadę w niem najdowali, że nierychło słów wymawiając, słuchających długo na rzeczy bawił. Dowiedziawszy się Biuzurdzimicher, rzekł: «Lepiej jest rozmyślając pomалу mówić, niż, prędko słowo wyrzekłszy, żałować».

Mądry swą mowę rozmyślnie prowadzi  
 I wszystkie słowa tak ostrożnie sadi,  
 By mu w pół rzeczy milczeć nie kazano  
 I z porywcyh słów jego nie karano.

Jakoż tedy można i podobna przed wielmożnością twoją (której Bóg Wszechmogący pomocnikiem jest), gdzie wszystkich uczonych stek i wielu mądrych środków i piśmiennych morze, ja ze słowami i nauką lichą swoją popisować i okazować się wazyć śmiem! Wiem, że grzeszającym w tej mierze się stawam i mało podłej i słabej materjej do tak bogatego kramu przynoszę, i szkło przeciw diamentowi drogiemu stawiam, i zgaszoną głównię przeciw słońcu, i wieżę jedną przeciw górze Elwend.

Kto wylatuje z rozumem wysoko,  
 Wszyscy nań pilne zwykli miewać oko;  
 Ale jak mularz mur na gruncie sadi,  
 Tak na rozmyśle słowa kłaść nie wadzi.

Pamiętając na baczenie mądrych i uczonych ludzi, których oczy przed sprawami nieobyczajnemi ubogich są zawarte, więc że podłych ludzi postępków przed się nie

biorą, krótko kilka nauk o przypowieściach, o wynalazkach ludzkich, o rzeczach widzianych, o pięknych zabawach, o dobrych uczynkach przeszłych królów (na których duchy Bóg niech ma baczenie) do tych ksiąg i do tego ogrodu zebrawszy, Różanym Ogrodem nazwałem. Te-ć tedy przyczyny z przejrzania i z pomocy Bożej były złożenia abo zmyślenia tej księgi mojej Ogrodu.

Z trochy ziemi, z której-em i sam jest stworzony,  
Za małą pracą moją ten ogród złożony;  
Kto czyta, niech uważa, a Boga wielkiego  
Niechaj modli za sprawcą ogrodu takiego.

## II

Kiedy mądry wpadnie między kupę głupich, trzeba, żeby się im niebardzo przeciwiał; ale jeśli jeden z nich, gębę swą otworzywszy, językiem szermować pocznie, a mądrego przegada, nie dziwuj się, bo lada twardym kamieniem najlepszy i najdroższy kamień zepsuje.

Nie dziw, że człowiek czasem w śmierć nagłą popada,  
Natenczas, kiedy z krukiem w jednej klatce siada,  
A choć twardym kamieniem złoto tłuką, a wždy  
Kamień cały, a w złocie szkody niemasz zawždy.

Jeśli uczony, trafiwszy między nieuki, co przecznego sobie od nich obaczy, nie dziwna, bo głos kobzy i głos bębna nie jest równy, abo wonność ambry ze smrodem czosnku jednaka? Diament, choćby w plugactwo wpadł, cnoty swej nie utraci i przecię diamentem będzie; a proch, choć ku niebu wiatrem wzruszony bywa, przecie proch jest.

Dobrego dowcipu człowiekowi ćwiczenia nie mieć, wielka szkoda jest; a zaś nikczemnego uczyć, próżna praca.

Popiół gorący zda się być coś, ale ogień, który go żarzy, ma nadeń; lecz gdy go ten odchodzi, popiół ziemią zostawa.

Piżmo to jest, co samo pachnie, a ty je czujesz; nie to, co sprzedający je zaleca, a ty nie czujesz.

Nauczony jest jako stół wonne rzeczy sprzedającego, który na miejscu, nie ruszając się, stoi; ale ona wonność i tam i sam się rozchodzi.

Głupi jest jako żołnierski bęben głośny, a wewnątrz próżny.

Głupi, chlubiąc się głosem swoim, sam się dusi.  
A mądry dla wielkiego wstydu milczeć musi.  
Nie wie, że w świętej drodze dzwonki wielbłądowe  
Zagłuszane bywają przez bębny wojskowe.

## III

Słyszałem jednego starca powiadającego:

— «W starości mej napałem się młodej dziewczki i, zachodźwiwszy, pojąłem ją. W tej kochałem się bardzo, gdyż nadobna i luba mi była. Na długiej nocy spać nie mogąc, zawsze rozmaitemi gadkami, pięknymi powieściami, osobliwemi żartami zabawiałem ją, życząc sobie, aby się we mnie rozmiłowała, a o złem nie myślała. Jednej nocy mówiłem do niej:

— «Wielkie szczęście twoje było, co ciebie młodą mnie staremu człowiekowi dało, który wiem, co złe, co dobrze, wiele świata zwiedził, wiele się i tego i owego nauczył, wiem, jako z żoną mieszkać abo jako i czem jej wygodzić, i jako ją miłować, i jako z nią sobie postępować».

Usiłowałem zawsze pilno w tem pracować,  
Abym myśl twą i duszę mógł w rękę piastować;

I chociaż ty mnie gniewasz, ja nie będę ciebie,  
Owszem, chcąc rad wygadać każdej twej potrzebie,  
Chociażbyś, jak papuga, cukier jadać chciała,  
Duszę moją za pokarm zawszebyś miewała.

«Nie dostałaś się młodemu, któryby cię za więźnia trzymał ustawicznie, o lada co kłopotał; gdyż młodzi nieunoszeni, myśli niejednostajnej, w sprawach niestateczni, w miłości obłudni, nikogo szanować nieumiejący, na każdą godzinę insze myślący i każdej nocy gdzie indziej sypiający, i każdego dnia inszej sobie żony szukający».

Młodzi ludzie wprawdzie są głacy, lecz wszelecni,  
Lecz też w przyjaźni z ludźmi niebardzo stateczni.  
Bo oni podobnymi słowikom bywają,  
Którzy coraz w inszym krzu różanym śpiewają.  
Ale stary rozumem dojrzałym się rządzi,  
W niczem jako ci nieunoszeni nie zbłądzi,  
Zawiązkowi miłości dosyć umie czynić,  
Ani też bez przyczyny będzie żonę winić.

«Tak tedy wiele z nią rozmawiając, rozumiałem i byłem tego pewien, że serce jej, do siebie przyciągnąwszy, ze swoim mocno związał. Nadspodziewanie, aż ci fraso- bliwie westchnąwszy, rzekła:

— «Tak wiele powieści i słów, któreś powiedział, słyszałam, ale żadne z nich mi na rozum mojego wadze nie zostało; gdyż pamiętam, com od powiniennych moich słyszała: «Lepiej jest, powiadali, u młodej jadowitej i złej niewiasty na piersiach leżeć, niż u starej baby w miękkiej pościeli».

Gdy żona niekontenta z męża rano wstanie,  
Już onego dnia kłopot w domu nie ustanie.  
Każda żona ospałym mężem tak się brzydzi,  
Że i prosić zań Boga grzechem się jej widzi.  
Ale kiedy go czułym w swych rzeczach doznawa,  
Nierzkąc ciału, ale i duszę mu swą dawa.

«Krótko mówiąc, nie mogliśmy z sobą długo potem wytrwać; przyszło się rozwieść. Po wyjściu czasu rozwodowego, dano ją chłopcu młodemu, bardzo zapalczywemu, niewesołemu, ubogiemu i słowa dobrego rzec nieumiejącemu. Ona wszystkiego złego z nim zażywała i głodu się nacierpiła, nago prawie chodziła, a przecie słyszano ją mówiącą i Boga chwalałą, że ją ze ślubu starego wyzwoliwszy, takiemu młodemu przejrzał, z którym, by najgorzej było, przedsię umrzeć z nim miło, mówiła».

Lub się drugim nie zdadzą twoje obyczaje,  
Ale tak dusza moja na tobie przestaje,  
Żeby mi był piekielny ogień z tobą miłszym,  
Anizeli w rozkoszach rajskich mieszkać z pierwszym.

#### IV

Jednemu z znacznych ludzi boleśnie brzucha przypało z wiatrów. Przyszło mu do tego, że, dłużej wytrzymać nie mogąc, przy ludziach on wiatr zły wypuścił i rzekł:

— «Moi przyjaciele, nie obrażajcie się tem, a odpuście mi; wszak każdy złego zbywa, jako i kiedy, i kędy może».

Brzuch jest więzieniem wiatrów, ale człek z baczeniem  
Nigdy ich nie hamuje takowem więzieniem:  
Owszem na puszczanie ich czeka pogotowiu,  
Wiedząc, że ten wiatr wewnętrzny czyni ciężko zdrowiu.  
Nie trzymaj towarzysza brzydkiego przez dzięki,  
Ani mu, gdy się kwapi, zastawiaj swej ręki.

## V

Pytano Lokmana proroka:

— «Rozumu skądś się nauczył?»

Odpowiedział:

— «Od niewstydlivych i nieobyczajnych; gdyż cokolwiek mi się u nich nie podobalo, tego się zawsze sam strzegę».

## VI

Słyszałem o jednym derwiszu, który, w jednej skale siedząc, żywot swój w pokoku prowadził, a świata zaniechawszy, swoją twarz od niego zakrył. Panowie i królowie do niego jeździli i jego modlitwom się poruczali. Jeden z panów wielkiej onej ziemie prosił go, aby z nim chleb i sól jadł. Derwiz pozwolił dlatego, iż wezwania na ucztę prorok nie zakazał. Trafiło się, że onże pan do derwisza przyszedł. Derwiz, z miejsca swego się porwawszy, nadzwyczaj onemu panu ochotę uczynił i chęć ukazał. Po odejściu pana, jeden z towarzysów i uczniów derwiszowych spytał go, mówiąc:

— «Cóż to jest, żeś nad zwyczaj swój taką wielką ochotę ukazał panu temu? Tegośmy po tobie pierwszej nie widali».

Na to rzekł derwiz:

— «Zaś nie wiecie, co powiedziano od starszych?»

«Może się ucho obejść, by najdlużej trwało,  
Choćby żadnej muzyki nigdy nie słyszało,  
Może oko ogrodów nie znać różno lsknących  
Może nos różej i ziół nie wachać pachniących,  
Może kto smaczno spać w czas twardego uspienia,  
W głowy miasto poduszek nasławszy kamienia,  
I białej głowy ku swej nie mając potrzebie,  
Ręce swe własne mile przyciskać do siebie;  
Sam tylko brzuch jest, który nie zna cierpliwości,  
Ani przemoże głodu wytrzymać srogości».

## VII

W Damaszku widziałem jednego bogatego, zacnego kupca syna, a on, wyszedłszy na grób ojca swego, zastał tam ubogiego, co też grób ojca swego tamże blisko po-grzebionego nawiedzał.

Wdawszy się z nim w mowę, rzekł mu:

— «Grób ojca mego z marmuru kosztownego i robotą piękną, farbami drogiemi ozdobiony jest, a ojca twego grób czemu tylko z dwóch kamieni złożony?»

Ow ubogi, usłyszawszy to, powiedział:

— «Cóż rozumiesz? Czy nielepiej to memu ojcu, który, nim twój z pod tak ciężkiego kamienia wylezie, tymczasem mój w raju będzie? A rzeczono jest, że ubogim ludziom śmierć jest odpoczynkiem, bo nie mają, czego by tu żalować na świecie mieli».

Kiedy na sobie osieł mały ciężar czuje,  
Śpieszniej idzie i coraz sobie porykuje.  
Ubogi, żyjąc w nędzy, która nań nalega,  
Rad umiera i złego śmiercią swą odbiega.  
Lecz komukolwiek się tu żyć w rozkoszy zejdzie,  
Z niemiłą mu rozkoszą umrzeć dobrze przyjdzie.  
Lepiej tedy być wolnym, złego przez śmierć zbywszy,  
Niż w piekle więźniem zostać, rozkoszy pozbywszy.

*Tłum. Samuel Otwinowski.*

## VIII

O jednym królu słyszałem, że raz skinieniem ręki pewnego jeńca na śmierć skazał. W tem położeniu rozpaczy nieborak w języku swego narodu jął na króla obelgi miotać i nie do rzeczy prawić zaczął; powiadają albowiem mędracy, że kto o życiu zropaczy, to, co ma na sercu, wypowie.

*Wiersz perski.* Gdy przemoc ciśnie, a ucieczki niema,  
Ręka za koniec ostrej szabli chwyta.

*Wiersz arabski.* Kiedy człowiek rozpacza, język ma niesforny,  
Tak kot, kiedy znękany, na psa się nasroży.

Król zapytał: «Co to on mówi?» Jeden z wezyrów, człowiek miły, rzekł: «Panie, on mówi: A ci, co gniew w sobie tłumią i przebaczą ludzom — zaprawdę Bóg lubi dobrze czyniących<sup>1</sup>. Litość wzięła króla nad jeńcem i krwi jego zaniechał. Inny jednak wezyr, przeciwnej tamtemu natury, odezwał się: «Ludziom naszego rzędu nie przystoi wobec królów jeno słowa prawdy mówić. Ten oto jeniec lżył królowi i nieprzyzwoitości prawił». Król na te słowa zmarszczył się i rzekł: «Mnie to kłamstwo jego więcej się podobało, niżeli ta prawda, którą ty powiedziałaś, bo tamto miało dobro na celu, a ta szkaradę za podstawę; a mędracy powiedzieli: Kłamstwo, co na dobre godzi, lepsze niż prawda, co niesnaski płodzi».

*Wiersz perski.* Kto tak stoi u króla, że ten go usłucha,  
Biada mu, jeśli rady niedobre mu daje!

## IX

Derwisz jeden, słynący ze skuteczności modłów, raz się był w Bagdadzie pojawił. Uwiadomiono o tem Hadżadza, syna Jusufa<sup>2</sup>; ten go do siebie przyzwał i rzekł: «Zmów na moją intencję jaką dobrą modlitwę». Derwisz wznosił ręce do nieba i zawołał: «O Boże, zabierz duszę jego!» «Dla Boga — zawołał Hadżadz — a cóżto jest za modlitwa?» A derwisz na to: «Jest to najlepsza modlitwa dla ciebie i dla mużulmanów».

*Wiersz perski.* Zwierzchniku, który ciemniejszy poddanych,  
Dopókiż będą trwały te frymarki?  
Nacoć się przyda zawiadować ziemią?  
Lepiej ci zginąć, niżli dręczyć ludzi.

## X

Złodziej raz wkradł się do domu jednego świątobliwego człowieka; co się naszukał, niczego nie znalazł, i mocno się zafrasował. Mąż świątobliwy to pomiarkował, kilimek, na którym spał, porzucił tam, którądy złodziej przechodził, a to dlatego, aby ten zawodu nie doznał.

*Wiersz perski.* Słyszałem, że mężowie, boskich dróg wędrowcy,  
I serca nieprzyjaciół poranić nie radzi;  
A jakże osiągniesz to wyniosłe miejsce,  
Ty, co waśnie i boje staczasz z przyjaciółmi?

Przyjaźń ludzi czystego serca równa jest wobec, jak za oczyma; nie jest taka, że za oczyma cię szarpia, a w oczy za tobą przepadają.

*Wiersz perski.* Wobec on będzie, jak owca łagodny,  
A za oczyma jak wilk ludożerczy.

*Wiersz perski.* Kto tobie drugich wady hędzie rozpowiadał,  
Niezawodnie i twoje do drugich poniesie.

<sup>1</sup> Cytata z Koranu, którą mahometanie zwykli rozbrajać zagniewanych zwierzchników.

<sup>2</sup> Namiestnik kalifa Abdula Melika, zmarły w r. 714, znany był ze swego okrucieństwa.

## XI

Hałemowi Taji<sup>1</sup> raz mówiono: «Czy znałeś kogo na świecie lub słyszałeś o kim, coby ciebie wielkością duszy przewyższał?» «I owszem, znałem» — rzecze. — «Pewnego razu czterdzieści wielbłądów zabiłem na uczcie i z emirami arabskimi w jedną stronę pustyni poszedłem; tam widzę człowieka, który ciernie z ziemi wyrywa. Czemuż, mówię mu, do Hałema Taji nie idziesz? Właśnie u jego stołu mnóstwo biesiadników zasiadło». A on na to:

*Wiersz perski.* «Ten, co z pracy rąk swoich kęs chleba pożywa,  
Nie zaciąga wdzięczności długu u Hałema».

«Otóż tego człowieka wspaniałością i wielkością duszy za wyższego od siebie uznałem».

## XII

Kaleka jeden bez rąk i bez nóg stonogę zabił; derwisz jeden, tamtędy przechodząc, zawołał: «Niech będzie Bogu chwała, oto pomimo stu nóg swoich, skoro jej ostatnia godzina wybiła, nie mogła stonoga uciec przed kaleką bez rąk i bez nóg».

\* \* \*

Rady zasięgać u niewiast jest to czysta zguba, a być szczodrym dla złoczyńców jest grzechem.

*Wiersz perski.* Litość nad srogim lampartem  
Jest okrucieństwem nad baranami.

*Tłum. W. B. Kazimirski.*

## XIII

## M ó w i n ę d z a r z

Ani ja na wielbłądach dróg swych odprawuję,  
Ani się pod ciężarem jak osieł morduję.  
Anim ja poddanemu żadnemu jest panem,  
Anim sam cesarzowi żadnym jest poddanym.  
O to się, abym wiele miał, nie pieczołuję,  
O to się, że mało mam, najmniej nie frasuję.

## XIV

Plakał jeden nad chorym, nie śpiąc całej nocy,  
Jak dzień nastał, on umarł, a ten wstał z niemocy.  
Rączy koń w drodze ustał i omylił jeźdźca,  
A chromy osieł dotrwał do samego miejsca.  
Bywa, że wiele zdrowych z światem się rozwódzi,  
Bywa, że wiele rannych do zdrowia przychodzi.

## XV

## O s w e j ż o n i e

Rzuciła się i moja raz na mnie z językiem  
I, łajac mi, wołała z niezwyčajnym krzykiem:  
— «Zaż nie ciebie mój ojciec, z swojej dobrej woli,  
Niezbýt dawno u Włochów wykupił z niewoli

<sup>1</sup> Beduin, słynny z hojności i gościnności.

I dał dziesięć czerwonych złotych za twą duszę?»  
Rzekłem ja: — «Od Francuzów przyznać ci to muszę,  
Za dziesięć mię czerwonych twój ojciec wybawił,  
Lecz tobie zlej niewieście we stu mię zastawił».

## XVI

Wydarł jeden wilkowi owcę z gardła prawie,  
Którą kiedy zaś sobie sam rzezał ku strawie,  
Owca rzekła: «Foremne figle ze mną stroisz,  
Wilkowiś mnie wziął, a sam za wilka mi stoisz».

## XVII

Derwisza nie z postawy ni z jego odzieży,  
Ale z dobrych postępów poznawać należy,  
Bo chociaż się on w suknię przeciwną swęj wierze,  
Choć głowę swą w królewską koronę ubierze,  
Choć położy chorągiew na swoim ramieniu,  
Nic to: na dobrem więcej należy sumieniu.  
Świat opuścić i wzgardzić wszystkie jego sprawy,  
Czystość trzymać i świętych modlitew zabawy —  
To jest grunt, ale zaś w tem jest omyłka sroga,  
By komu miała zjednać raj suknia uboga.  
Mąż dobry w karacnę twardą grzbiet swój stroi,  
Ale niewieściuchowi nie wiem co po zbroi.  
Nie w płaszczu nabożeństwo należy ubogim,  
Chodź chocia i w hatlasie, a szczerze idź z Bogiem.

## XVIII

Nieszczęsny chleb to, co-ć go człek niechętny dawa,  
Boć przyjacielem zań być zarazem przestawa.  
Lepiej się tedy mniejszą rzeczą kontentować,  
Aniż na przyjacielskiej przyjaźni szwankować.  
Nieszczęsny to stół, co zań z nienawiścią siędziesz,  
Najesz się, lecz miłości i przyjaźni zbędziesz.

## XIX

Rzekł do syna własnego jeden starzec swego,  
Gdy go widział mocnego jak lwa i chyżego:  
«Gdybyś sobie na pamięć przywiódł lata swoje,  
Gdy cię słabego ręce piastowały moje,  
Nie czyniłbyś mi złości, gdy zawziąłeś siły,  
A mnie już jako babę moje opuścily».

## XX

Niekażdy, co przebija pancierz chybką strzałą,  
Umie się czasem stawić w potrzebie z pochwałą.  
Ale kiedy użyjesz wojny wiadomego,  
Możesz z nim bić i łowić lwa rozgniewanego.  
Urodzić się i kształtnym, i mocnym rzecz mniejsza,  
Lecz wiadomemu bitew wojna jest łacniejsza.  
Śmiałym fortuna służy, lecz tym, co się boją,  
I pęta się na nogach z strachu nie ostoją.

## XXI

Takiemu człowiekowi, co się Boga boi,  
I który o nijakie bogactwa nie stoi,  
Lub tkaj w ręce wór złota najwyborniejszego,  
Lub dzierz nad szyją szablę żelaza hinduskiego:  
Przed się on prawdę rzecze, wspomniawszy na Boga,  
Ani go chciwość, ani zahamuje trwoga.

## XXII

Bądź szczodrym, jeśli stanie twej możliwości na to,  
Jak złote zwykle bywać drzewo daktylowe w lato;  
Jeśliby też dostatek twój nie był potemu,  
Bądź wolny, cyprysowi równy zielonemu!

—  
*Tłum. Samuel Otwinowski.*

## HAFIZ

(um. w r. 1389/90)

## I

<p>Oddaję swego ducha Podniosłą siłą wiatrom — Oddaję swoją mądrość I swą naukę wiatrom.</p> <p>Oddaję swą pokutę swą ascezę wiatrom — Oddaję dzisiaj wszystko To obłąkanie — wiatrom.</p> <p>Niech skroń mi zajaśnieje, Niech twarz się rozpogodzi: Oddaję wszystkie zmarszczki I ich przyczynę — wiatrom.</p> <p>Oddaję swe zwątpienia I wszystkie zamyślenia — Pijane miodem lipca I sokiem wina — wiatrom.</p>	<p>Oddaję twe kazanie, Że niby duch takowy, Co z bredni cię wyzwolił — Do piekła idzie — wiatrom.</p> <p>Oddaję, co się szarzy, I to, co się błękitni — I wszystko, co mistycznie Zapada w próżnię — wiatrom.</p> <p>Oddaję to, co burzy I grozi anatema, Kacerzy w prochy wali I głupców straszy — wiatrom.</p> <p>Oddaję to, co belfrzy — I to, co bakalarzy — I to, co klasztoruje I co popuje — wiatrom!</p>
--	--

## II

<p>Zieleniejem i więdniejem, Jako lichej trawy źdźbło: Szczęście zwija się, przemija — Kruczsze niby szkło.</p>	<p>Niech zabyśnie mi kochanka, Choć na krótkich parę mgnień: Jestem jak mydlana bańka — Pełna barw i drgnień.</p>
---	---

Czem wymierza świat ten — wieczność?  
Miarą — nudy pełne dni,  
Miarą — własna niedorzeczność,  
W której duch nasz tkwi.

*Tłum. Antoni Lange.*

## III

Kiedy kwitną róże, miłość szkołę zakłada,  
Słowik, jako profesor, rzecz w gaju wykłada,  
Stary Hafiz pokorny do szkoły się wkrada,  
Słowik mówi, on pisze, światu rozpowiada.



Nauczył się dwóch rzeczy i śmiało je gada:  
 Niema jak piękne dziewczę i z winem biesiada.  
 Gdzie tego niema, pusto; żywot się nie nada.  
 Straszno; piekielnych duchów gnieździ się gromada.  
 Dlatego prosi nieba, choć sławę postrada:  
 Zostaw mnie w moich grzechach, dusza grzechom rada.

## IV

Biadaż! dotknął mnie gniew Pański!  
 Nieprzyjaciół mam ja siła:  
 Każdy derwisz muzułmański,  
 Każdy świątobliwy wila!  
 Zakochany wierszoskładacz,  
 Nieobłudny, niewyjadacz,  
 Co ja biedny z nimi zrobię?  
 Ot! podpiję wina sobie!

Coraz trudniej mi żalować,  
 Coraz krzywiej patrzy cnota!  
 Niema tu już co pracować,  
 By odwrócić dopust Pański:  
 W oczach naszych świątobliwych  
 Wszak czarniejszym być nie mogę,  
 Niżli murzyn afrykański.

*Tłum. Józef Szujski.*

## V

Sąd wasz o mnie zbyt ostry, zbytek w nim pośpiechu —  
 Bo chociaż błędę, alem jest czysty od grzechu.  
 Toż kiedy Bóg mnie tworzył, jakiś anioł płochy  
 Nawskróś przesączył winem me drzemiące prochy.  
 Gdy więc schnę, szukam rzeczy, która mnie odświeży.  
 Jasne, jakiej wilgoci użyć tu należy.  
 Nanic tu chłodna fala z rzecznej głębi sinej,  
 Konieczne tu ognistych winnych gron rubiny.

## VI

Światło się stań! — zawołał  
 Bóg w nocy ciemnej mroku —  
 I patrz zabłysło światło:  
 Promienie w twojem oku.

## VII

Tam, gdzie jesteś ty, o pani —  
 Na tem miejscu chcę umierać:  
 Nie chcę żadnej mój przystani,  
 W twej przystani chcę umierać!

A gdy skryjesz się przede mną,  
 Ja u drzwi twych się położę:  
 Czy w dzień jasny, czy w noc ciemną —  
 U twych drzwi ja chcę umierać.

Bogacz skarby i klejnoty,  
 Gdy nadejdzie czas, porzuci:  
 Ja przy tobie, skarbie złoty,  
 Ach, przy tobie chcę umierać!

Me ostatnie słowo, Boże,  
 Jakież będzie? Ach! jej imię!  
 Toć inaczej być nie może.  
 Z tem ja słowem chcę umierać.

## VIII

Moje oko jest poto, aby tve promienie  
 Miały zwierciadło;  
 Moje łono jest poto, by tve objawienie  
 W głąb mą zapadło.

## IX

Zefir jął walkę toczyć z przyrodą —  
 Nie chce już krzaków różanych —  
 Nad czarowniejszą wiać chce gospodą —  
 Do warg twych leci rumianych.

## X

Chcę czarę wina wychylać za czarą —  
 Chcę pocałunek pić za pocałunkiem —  
 Chcę kochać wiecznie nad miarę, nad miarę —  
 Chcę nieskończenie upajać się trunkiem.

*Tłum. Antoni Lange.*

## XI

Miłości niedowiarkowi  
 Do mojej każ przyjść mogiły;  
 Gdy imię twoje wypowie,  
 Z pod ciężkich granitów bryły  
 Jasne płomienie wybiegą  
 Wraz z jękiem serca mojego.

## XII

Zaklinam ciebie, patrz... ukochana,  
 W prochu twych stóp,  
 Skoro już umrę, każdego rana  
 Odwiedz mój grób.  
 Piekło czy niebo, mniejsza, co będzie,  
 Anioł czy człek,  
 Umiarkowanie — herezją wszędzie  
 Dziś i za wiek.

Ziemiccy naszej takieś, mój Boże,  
 Okowy dał,  
 Że ich potargać człowiek nie może,  
 Chociażby chciał!..  
 Gdy wszystkie drogi w grób cię prowadzą,  
 A więc się zmień,  
 Rozum za wina musi iść władzą  
 Po sądny dzień!..

*Tłum. Juljan Adolf Święcicki.*

## XIII

— Mów, najmiłszy, z kim twój związek?  
 Kto są twoi towarzysze?  
 — Te słowiki śród gałązek —  
 — Ach, te rozkochane twory,  
 Co śpiewaniem mącą ciszę  
 W letnie noce i wieczory.  
 — Zefir. — Ach, ten szalawiła,  
 Co swe szepty w świat rozsyła —  
 I jest różnych bajek postę!

— Róże, lilje te pachnące!  
 — Ach, toż pachnąć ich rzemiosłem —  
 Toż jedynie pachną wiecznie —  
 Ni się modlą na swej łące,  
 Ni pracują użytecznie.  
 Teraz znamy cię do rdzenia —  
 Z jakiegoś ty jest plemienia:  
 Brak rozsądku twoją cechą,  
 Wiersze pisać — twą uciechą.

## XIV

Kamień przynieś mi mądrości,  
 Puchar przynieś mi Dżemszyda —  
 I zwierciadło Aleksandra  
 Oraz pieczęć Salomona:  
 Jednem słowem — przynies, mówię,  
 Wino przynieś mi, karczmarzu!  
 Abych obmył włosiennicę,  
 Którą pycha i nienawiść  
 Uczerniły w brudne plamy;

Bym złud prędkę niedorzeczną,  
 Którą w świat i żywot ludzki  
 Derwiszowe kłamstwo wplotło,  
 Dłonią rozdarł spotężniałą.  
 Wino, abym zdobył ziemię,  
 Wino, bym szturmował w niebo,  
 Wino, abym jednym skokiem  
 Ponad oba stanął światy:  
 Wino przynieś mi, karczmarzu!

## XV

Ja jestem Salamandra —  
 W płomieniach jeno żyję —  
 Ja kocham ogień skrzący,  
 Palący, gorejący —  
 Czerwone żary piję!

## XVI

Moi przyjaciele — to nie z monasterów  
 Mnichy — z opętańców albo wizjonerów.

Znajdziesz u mnie puste, nagie ściany chaty —  
 Nie jest-ci mym krewnym żaden pan bogaty.

Miewam ja czasami w domu ładne twarze,  
 Ale to nie widma, ni senne miraże.

Hafiz to poeta, dumny, choć ubogi —  
 O nic on nie prosi pod pańskiemu progi.

— Ależ miej rozsądek — nie mów tak — inaczej  
 Powodzenie twoje nanic się wypaczy.

— Ach napróżno mówisz: rozsądek! Bezliku  
 Słów znam, ale tego niemasz w mym słowniku!

## XVII

O! Gdybym morzem był przezroczystem —	Gdybym był róży majowej krzakiem —
Ty słońcem, które w niem się przegląda!	Ty na nim różą ku mej ozdobie!
Gdybym na łące był źródłem czystym —	Gdybym był ziarnem słodkiem, ty ptakiem,
Ty kwiatem, co mej rosy pożąda!	Który to ziarno z rozkoszą dziobie!

## XVIII

Dość już długo o północy  
 Spoczywałem na swem łożu —  
 Aż coś straszyc mię zaczęło —  
 I — patrz! nagle — niespodzianie  
 Stanął przy mnie z wszystkich duchów  
 Najmilejszy i najslodszy,  
 Uśmiechnięty, rozspiewany —  
 Wzrok miłosny miał lotrowski —  
 Upojenia ogniem lśniący.  
 Oto zbliżył ci się do mnie —  
 I u boku mego siada,  
 I ramieniem mię obejmie —  
 Chyli ku mnie swoje usta —

I do ucha tak mi szepcze:  
 — Cóż ty śpiesz, nygusie stary!  
 Cóż tak wcześniej odpoczywasz!  
 Czy już nie masz pić ochoty —  
 I całować nie masz chęci?  
 Zbudź się — rzeško spójrz dokoła —  
 Spróbuj wina tego kroplę!  
 Ten zaś *Sufi*, co doń takim  
 Trunkiem zacnym przepijają —  
 Jeśli wina nie zażąda:  
 Iście duszę ma jak kłoda —  
 A tak martwy jest, jak kamień.

*Tłum. Antoni Lange.*

## XIX

Tam w komnacie człowiek obcy  
 Lubą moją w dłoniach trzyma;  
 Ja na progu siedzę smutny  
 Z zapłakanemi oczyma.  
 Uciec, skryć się, stronić zdala:  
 Takby głos mi kazał świata,

Każę rozum, lecz ja siedzę,  
 Gdzie nieszczęsna jej komnata.  
 Świat szeroki, ależ dla mnie  
 Miejsca innego nie będzie:  
 Innej z niego niema drogi  
 Prócz tej, co do grobu wiedzie.

## XX

Płacz mój podobien do deszczu,  
Który upada w dzień wiosny:  
Wiosenny deszczyk nie splócze  
Zieleni świata; miłosny,  
Jeszcze ją mocniej podnosi:

Mój płacz mi w duszy żalosej  
Obrazu lubej nie splócze,  
Chociaż oblicze jej rosi —  
Płacząc — ja kochać cię ucę.

## XXI

Poco słuchać, jak derwisze  
Pustą huczą mową,  
Aby cię zabrali  
W niewolę duchową?

Ja niech raczej słyszę  
Słowika, z zielonej  
Co róże ambony  
Po swojemu chwali;

Co wiosnie, miłości  
W zachwycie pieśń śpiewa.  
Niebiosa — meczetem,  
Wiernemi mu — drzewa.

## XXII

Nie żałuje Hafiz, co się stało;  
On żałuje, co się omieszkało.  
On żałuje ale każdej chwili,  
Którą spędził w oszukańców gronie,

Bez puharu, co duszę posili,  
Bez kochanki, co w uścisku tonie,  
Bez wolnego genjusza polotu:  
Bo zginęła, a już bez powrotu!

*Tłum. Józef Szujski.*

## DŻAMI

(1414—1492)

## I

Ibn Mokataa opowiada, że pewien król indyjski całą bibliotekę, którą na sto wielbłądów ładowano, kazał streścić w czterech maksymach następujących:

«Bądź sprawiedliwy, jak książę»!

Gdy sprawiedliwym jest książę,  
Poddanych swych zobowiąże  
I w jakiejś nieszczęścia dobie  
Pociągnie wszystkich ku sobie.

«Bądź posłuszny, jak poddany».

Gdzie lud nie słucha praw wiernie,  
Władca wychodzi z ich granic;  
Na glebie, co rodzi ciernie,  
Zasiew nie przyda się na nic.

«Bądź umiarkowany, żebyś był zdrow».

Gdy chcesz uniknąć cierpienia  
I ująć doktorskiej grabieży,  
Na głodno siądź do jedzenia,  
I nim się najesz, wstań świeży.

«Kobiety mają żyć w odosobnieniu».

Żonie w obcego spoglądać — rzecz zdrożna:  
Choć go świat cały szacunkiem zaszczyca,  
Żonie na obcych spoglądać nie można,  
Chociażby mieli piękną twarz księżycą.

*Tłum. Julian Adolf Świącicki.*

## II

Cesarz Nuszerwan urządził pewnego razu biesiadę, w dniu Nauruzu, czy też Merdżanu. Jeden z zaproszonych gości, a był nim krewny królewski, porwał ze stołu złotą czarę i schował ją pod ramię. Widział to cesarz, lecz oczy odwrócił w inną stronę i nie rzekł ani słowa. Gdy goście mieli się rozejść, podczasy wykrzyknął: «Niech nikt nie odchodzi, dopóki nie skończę poszukiwania; brakuje jednej złotej czary». «Nanic to» — rzekł Nuszerwan — «ten, który wziął czarę, nie odda jej zpowrotem, ten zaś, który był świadkiem owego czynu, nie powie ani słowa». W kilka dni później winowajca zjawił się przed Nuszerwanem, mając na sobie nowe odzienie i nowe buty. Nuszerwan wskazał na jego odzienie, jakgdyby chciał rzec: «Wiem, skąd pochodzi pieniądz, za który to nabyłeś». Ów człowiek zaś uchylił poły i pokazał swe buty, jakgdyby chciał dodać: «I to również». Nuszerwan spostrzegł wtedy, że krewny jego popełnił kradzież, jako że był w biedzie i potrzebie; uśmiechnął się i dał mu tysiąc sztuk złotych.

Gdy król łaskawy wie o grzechu twoim,  
Wyznaj go szczerze; proś, by ci wybaczył,  
Lecz nie zaprzeczaj! Bo grzech się podwoi  
I większą płamą duszę twą naznaczy.

*Według przekładu angielskiego R. A. Nicholsona  
spolszczył T. G.*

## III

## SZERSZEŃ I PSZCZOŁA

Czas jakiś krążąc wokół,  
Szerszeń zawisnął nad pszczołą —  
I groźnie na nią spogląda —  
I pochłonąć ją pożąda.  
Pszczoła przeczuwa coś złego  
I tak zawoła: «Kolego,  
Czemuż to chcesz mię zjeść?  
Zbyt wielka dla mnie cześć.  
Mam ja tu plastry miodu  
Z najśłodsze go słodu,  
Mnie zostaw przy żywocie,  
A sobie weź łakocie». —  
Toć szerszeń z logicznego słynny jest myślenia!  
Oto odpowiedź szerszenia:  
«Czyjaż to dusza, mów, zniży się, czyja  
Do rozkoszy, co przemija?  
Woski w miodowym cieście  
To twe kleidło. Cóż wreszcie?  
Miody w twym ulu, kochanko,  
Czemże są? Twoją tkanką.  
Jeżeli tyś jest to źródło pierwotne,  
Co te słodycze wytwarza stokrotne —  
Jakże ja w złudzeniu chorem  
Mam brać to raczej, co jest twym wytworem?  
Inna jest mędrców prawdziwych nauka:  
Pierwoprzyczyny duch szuka.  
Więc ciebie zjem bez przelożeń.  
Nie owoc mię nęci, lecz korzeń!  
I to rzekłszy, wnet połyka  
Pierwoźródło miodownika —  
I zamiast miodu, co słodycz zawiera,  
Połyka ostre żądło — i umiera.

## IV

## MYSZ I WIELBŁĄD

Z nogami związanemi  
 jadł wielbłąd trawki i kwiaty.  
 Wtem go mysz zoczy drobna:  
 cóż to za potwór garbaty?  
 Myśli: czy też on wejdzie  
 tam do mojej mysiej dziury?  
 Za sznur go ciągnie; wielbłąd,  
 podług bydlęcej natury,  
 Posłusznie idzie naprzód  
 za przewodnikiem z pokorą —  
 Mysz go ciągnie, aż stanie  
 olbrzym nad mysią norą.

«Mam-że i tu wejść — pyta —  
 rozważyć trzeba dowody —  
 Jam wielki — dziura mała —  
 bacz, czy nie będzie stąd szkody?  
 Musisz mi ją rozszerzyć —  
 toć ogrom mój się nie zmniejsza».  
 Lecz mysz siedzi już w norze —  
 sądzi, że jest najmądrzejsza,  
 Ciągnie wciąż — i za sobą  
 wlecze olbrzymią potworę:  
 I jeden krok wielbłąda  
 zdeptał mysz — i mysią norę.

*Tłum. Antoni Lange.*

## V

Stara baba przed prorokiem staje  
 I z pokorą trwożliwie zapyta:  
 «Czy po śmierci na niebiańskie raje  
 Stara może rachować kobieta?»  
 Prorok na to: «A, uchowaj Boże!  
 Raj niebiański nie dla starej baby;  
 Tam dziewice idą piękne, hoże,  
 Strojne w młodość i wszystkie powaby».  
 Usłyszawszy to, stara niewiasta  
 Pada, jęczy... i lzy gorzkie roni;  
 Lecz gdy rozpacz staruszki tak wzrasta,  
 Wreszcie prorok z uśmiechem rzekł do niej:  
 «O, tak! w raju baba nie zagości,  
 Bo w dzień sądu swą młodość odzyska,  
 Z baby starej wykwitnie huryska,  
 Pełna wdzięków i ognia miłości».

## VI

Spotkawszy... objąłem całą  
 Okiem, gorączką zapiekłem.  
 — Kto jesteś? — dziewczę spytało.  
 — Biedak i obcy — odrzekłem. —  
 Jam biedny!... Ach, co to znaczy,  
 Że choć nie pragnę niczego,  
 Wszędy w wędrowce tułacznej  
 Za tobą oczy me biega?...  
 Jam obcy!... bo, ach! bez ciebie  
 Pustynia — śród ziemi żyznej,

Kiedyż mi Allah da w niebie  
 Dą własnej wrócić ojczyzny!  
 Choć jeden raz biedakowi  
 Rzuć wzrok, co blaski roztacza.  
 Ten czar chorego uzdrowi,  
 Biednego zmieni w bogacza...  
 Pozwól obcemu, ach, proszę,  
 Zbliżyć się chociaż raz jeden,  
 O! wnet mi troski w rozkosze,  
 A piekło zamienisz w Eden!...

## VII

Ejże, Hedo! wina prędzęj,  
 Patrz, przed nami czara pusta,  
 Długoż tak w pragnienia nędzy  
 Mają nasze cierpieć usta?!  
 Niechaj ten odpycha wino,  
 Kto świętoszków członkiem rzeszy;  
 Lecz kto pragnie żyć, dziewczyno!  
 Gdy nie pije, ciężko grzeszy!...

Skoro nektar ten jest w świecie  
 Dobrodziejstwem dziś jedynem,  
 Toż i my nie możemy przecie  
 Bezrozumnie gardzić winem.  
 Jak tu rozstać się z tym płynem?  
 Próżno takie mieć nadzieje:  
 Ono moszczu wonią ziele,  
 Ono iskrzy się rubinem!

*Tłum. Julian Adolf Święcicki.*

## PIEŚNI BEZIMIENNE

## ELEGJA

Gdy po niebie noc cicha  
Swoje gwiazdy rozproszy,  
Wolniej pierś ma oddycha,  
A dusza od rozkoszy  
Rozpływa się w pogodzie,  
Niby cukier w puharze,  
O szczęściu, o niej marzę,  
Kocham ją w przyrodzie.

Gdy piękne granie słyszę,  
I gdy powiew harmonji  
Swym tchem duszę owionie —  
Słodko sercem kołysze;  
Czuję ją w tym uroku,  
Krew mi bije na lice,  
Łza mi staje na oku,  
Kocham ją w muzyce.

Muzyko, brzmiąca mile!  
Przyrodo w nocnej szacie!  
Czemuż was kocham tyle?  
Co wy wspólnego macie  
Z jej oczyma, z jej głosem?  
Czemu przy was łzy biegną?  
Co wy macie wspólnego  
Z mojem sercem, z mym losem?

## II

## WIOSNA I JESIEŃ

Jeśli wiosnę chcesz zobaczyć,  
Spojrzyj na twarz twoją;  
Uśmiech wiosny w twym uśmiechu,  
Zapach wiosny w twym oddechu —  
Niebo wiosny oczy twoje.

A gdy słońce twoich oczu  
Jeszcze wejdzie mi nadzieją,  
Wiatr zapachem róży wionie,  
Step tysiącem róż zapłonie:  
Mgły w pogodę się rozleją.

Jeśli jesień chcesz zobaczyć,  
Spojrzyj na twarz moją;  
Wiatr jesieni — me koleje,  
Step jesieni — me nadzieje,  
Mgły jesieni — myśli moje.

Lecz gdy słońce twoich oczu  
Już nie zejdzie mi nadzieją;  
Patrząc na cię zgasną oczy,  
Bładość zimy twarz otoczy —  
Wiatry duszę z ust mych zwieją.

## III

DILEM SUZI ROENARA <sup>1</sup>

Powiedz, Lejlo, skąd i czemu  
W tobie dla mnie ta niewiara?  
Wierz wyznaniu najszczerzszemu:  
*Dilem suzi roenara!*

Bez powabu dziś mi knieje,  
Diwów spadła na mnie kara;  
Łuk się zerwał, nóż rdzewieje —  
*Dilem suzi roenara!*

W każdej chwili, w każdej dobie,  
Czy dzień jasny, czy noc szara:  
Ja bez ciebie, myśl przy tobie —  
*Dilem suzi roenara!*

Błądę smutny po dąbrowach,  
Puszczam w dziki las ogara,  
Lecz i w domu, i na łowach —  
*Dilem suzi roenara!*

<sup>1</sup> «Serce mi palisz, piękna dziewczyno»; wyrażenie perskie, u poetów tyleż, co «kocham ciebie».

Dawniej jam rybactwem słygał,  
Dziś się zrywa siatka stara,  
Czólno pękało, oszczep spłygał —  
*Dilem suzi roenara!*

Nuci słowik w róż mych wianku,  
Piosnką się zalecić stara,  
Róża wzdycha przy kochanku —  
*Dilem suzi roenara!*

Nad twe siostry krasa twoja,  
Nie dla ciebie ze mnie para,  
Lecz pamiętaj, Lejlo moja:  
*Dilem suzi roenara!*

---

PIEŚŃ

Witaj, słoneczko, witaj, chmureczko  
Na jasnym niebie Nisanu:  
Ty promyk siejesz, ty deszczyk siejesz  
Na pierś oazy Iranu.  
Z morskiego łona koncha zbudzona  
Wybiega, usta otwiera:  
Z kropel deszczowych, z blasków słoniczych  
Jasną perelkę wybiera.  
Choć znów ją wały na głąb porwały,  
Choć ją wiatr z głębi wyruszy —  
Lśni w niej perelka, lśnią w niej światelka,  
Póki się koncha nie skruszy.  
Ach, twoje oczy — ich blask uroczy;  
Nad słońce milej patrzyły;  
Ach, twe wyrazy nad deszcz oazy  
Milej w mą duszę padały.  
Słodko uśpione i niezbudzone  
Serce wywołał dźwięk nowy —  
Pogodę miłą — i rozkosz piła  
Z twych oczu, z twojej rozmowy.  
Choć losu fala serce oddala —  
Choć wyje wicher katuszy:  
Trwa pamięć chwili, cośmy przeżyli,  
Póki się serce nie skruszy.

*Tłum. Aleksander Chodźko.*

---

FATCH ALI SZACH

(1797—1836)

WIERSZ DO ŻONY TADŻI-DAWLEJ PRZY OFIAROWANIU JEJ BUKIETU

Słuchaj, co się w haremu zdarzyło ogrodzie:  
Róża z lilją, zbyt ufnie w swej urodzie,  
Przed idącym od ciebie powzięty zuchwałość  
Pysznić się swym rumieńcem, wychwalać swą białość.  
Zerwałem dumne kwiaty, a wstrząsnawszy rosę,  
Jako jeńce związane w ofierze ci niosę.  
Niech umierają z wstydu, gdy u twego łona  
Jednej rumieniec świeży, drugiej białość — kona.

*Tłum. Wojciech Potocki.*

---

*Wybór i układ Tadeusza Grzebieniowskiego.*



Na dalekiej Syberji, w okolicach jeziora Bajkalskiego, praojcowie Turków pozostawili po sobie ślady w postaci nagrobków kamiennych na mogiłach bohaterów rodowych. Oto wyjątek z napisu, znalezionej nad Orchonem.

## GENEALOGJA KŪLTEGINA

1. Gdy u góry powstało niebo błękitne, a u dołu ciemna ziemia, wówczas pojawili się pierwsi ludzie.
2. Panować im poczęli moi praojcowie, Bunin Kagan i Istemi: założyli państwo, uporządkowali prawodawstwo narodu tureckiego.
3. Wszystkie narody wokół odnosiły się do nich wrogo, lecz moi praojcowie wyszli przeciwko ludom na cztery strony świata, podbili je, zawarli z nimi przymierze, zmuszając do ugięcia karków i padnięcia na kolana. Na wschodzie pozwolili ludom osiedlić się aż po granice lasów i gór w Kadyrkanie, na zachodzie aż po Żelazne Wrota (Temir Kapug).
4. Na tych obszarach władali moi przodkowie i zorganizowali państwo «Błękitnych Turków» (Kök Türk), ci bowiem byli bez władców i organizacji plemiennej. Byli to mądrzy kagani, byli to waleczni kagani; również i ich bujrukowie (wysocy dygnitarze) byli mędrkami, byli waleczni. I begowie (księżęta) jednej z nimi byli myśli. Dlatego też zawładnęli tak dużym państwem, a panując — stworzyli prawodawstwo. Gdy przeznaczenie ich się spełniło — zmarli.
5. Aby wziąć udział w pogrzebie i optakiwaniu zmarłych, przybyły z dalekich stron, z krainy Wschodzącego Słońca, liczne ludy: Chińczycy, Tybetańczycy, Aparowie, Kirgizi, Tatarzy, Kitajowie i wiele, wiele innych narodów. Takimi znakomitymi kaganami byli przodkowie moi.

*(Według Wilhelma Thomsena).*

## JUSUF HASS CHADŻIB

(ok. 1069 po Chr.)

### STAROTURECKA «ETYKA» WEDŁUG KSIĘGI «KUTADGU BILIG»

Wyjątki z rozdziału VII p. t. «Pora roku wspaniałej wiosny pochwała dla wielkiego Bokry Chana»

40. Kto pragnie oglądać postać szlachetną,  
Niechaj przyjdzie i spojrzysz w oblicze chakana.
41. Kto pragnie szczęścia i radości bez trosk wszelakich,  
Niech się przypatrzysz chakanowi: jego czyny wzbudzają prawdziwą radość.
42. Jeśli pragniesz poznać człowieka o łagodnym usposobieniu  
I szlachetnym sercu, przyjdź i przyjrzyj mu się.
43. Chcesz coś skorzystać, wyjaw całą swoją tajemnicę.  
Zbliź się i służ mu z całej duszy!
44. O dobry uczynku, wykwitły na szlachetnej myśli,  
Świat niech cię czci bezustanku!

45. Bóg stworzył świat pragnienia, obdarzył szczęściem bez miary.  
Jemu trzeba dziękować, tysiącokrotnie imię Jego chwalić.
46. W tej to starodawnej maksymie ileż prawdy:  
«Imię ojca i jego miejsce dziedziczy syn».
47. Miejsce ojca pozostało, a imię jego również.  
U innych niechaj imię to pozostanie w pamięci 1.000 i 1.000 lat.
48. Wszelkie bogactwa i zaszczyty przywłaszczyło sobie 100.000 głów.  
«Wiedzy błogosławionej» należą się wszelkie zaszczyty.
49. Ich zaszczyty przemijają,  
Ale moja godność pozostaje na wieki.
50. Co świat daje, jest zdradliwe i przejściowe,  
Lecz słowo pisane zostaje, jak długo świat się obraca.
51. W księdze tej wypisane zostało imię chakana.  
To imię jest teraz wieczne i daje wiele radości. —
52. O Boże! Spraw, aby czyny chakana dały mu szczęście,  
A w każdym jego poczynaniu bądź mu opoką i pomocą.
53. Zachowaj mu przyjaciół, usuń nieprzyjaciół,  
Napełnij go zaufaniem, błogosław go radością.
54. Niechaj deszcze padają, niechaj ziemia pokrywa się kwieciami.  
Niech miast wysuszonych drzew zielone gałęzie się kotyszą.
55. Los, takie już prawo, jest zawsze zmienny.  
Niech mu się szczęści.
56. Dopóki szarości ziemi nie zmieni się w kolor miedziany,  
Lub też w ogniu trawa zielona urośnie —
57. Niechaj żyje, zdobywając tysiącoletnie szczęście —  
Niechaj oko jego sięga aż po niewidzialne przestrzenie.
58. Jakiegokolwiek będzie jego życzenie i pragnienie —  
Niech Wszchemocny szczęściem i pomocą go obdarza.
59. Radośnie, wygodnie i pełen zadowolenia  
Niech długie żyje lata i doczeka się wieku Matuzalema.

*(Według Arminjusza Vambery'ego).*

W<sup>o</sup> cywilizacji wschodniej przeważa najwidoczniej żywioł religijny: spotyka się wiersze z Koranu i zdania pobożne nie tylko w utworach poetyckich i filozoficznych, ale nawet wśród działań arytmetycznych. Z tej zasady powaga i podanie biorą górę nad krytyką i rozumowaniem: stąd w najlepszych dziełach historycznych, obok najgłębszych spostrzeżeń, natrafiasz na dziecinne baśnie i przesady, albo tak nie w miejscu poetyczne opisy, jak kwiatek przy kózku: bo poezja, to córka wiary, wszędzie się u nich wciska za swoją matką. We wszystkich poetycznych utworach tak są przyzwyczajeni widzieć przedmiotem Boga, że nawet w samych wierszach, oddychających najwyraźniej materialną rozkoszą, umieją podłożyć alegorię, co ten płód ziemskiej miłości podnoszą do niebieskiej; lecz bez takowych podłożeń, w każdym ich poecie napotykasz tę wielką myśl rozmaicie obrabianą, że Bóg jest szczęściem i pociechą człowieka, że napróżno gdzie indziej szukać pokoju i wsparcia, jak w Bogu. Przytoczę wyjątek z tureckiego poematu Neziry; wiersze te nie odznaczają się całym bogactwem wschodniej wyobraźni, ale najlepiej pomienioną myśl o Bogu wyrażają.

### GŁOS DERWISZA

Ciągłe się błąkam, nosząc obłąkane serce,  
Ciągłe rwą mnie rozpacz, te sępy krwiozercze;  
Darmo, ach! darmo szukam ulgi w mem cierpieniu,  
Upadając boleśnie w krwawem uznojeniu  
Pod ogromnym ciężarem biednego żywota,  
Od rana do wieczora krzyczę z wielkiej męki;  
Jak góra, gdy jej kosą drzewną wieher miota,  
W okrąg niesie daleko swe płacziwe jęki,

Nikt ze śmiertelnych nie chce goić mojej rany  
 Ni mówić o boleści, którąm pożerany.  
 Kędyż znajdę pociechy choćby jedno słowo?  
 Każdą twarz widzę pełną wzdardy lub surową —  
 Gdy się zniżam całować kraj szat śmiertelnika,  
 Z dumą i wstrętem jawnym z rąk mi je wymyka;  
 Gdy z ugniecionej piersi wyrwie się westchnienie,  
 Jeszcze to więcej moje pomnaża cierpienie.  
 Gdy z doliny ze skargą biegnę za pociechą,  
 Tylko dają odpowiedź przez naśmiewcze echo.  
 Jeśli morzu powierzam serca mego żale,  
 Z hukiem na mnie powstają wściekle jego fale.  
 Chcę rozpędzić me troski przez mocne napoje,  
 Piję, i smutek większy pokrywa twarz moję.  
 Gdy me ciało przemarzłe zbliżam do ogniska,  
 Ukajam wprawdzie zimno, które zewnątrz ściska,  
 Lecz skryte w duszy rosną boleści płomienie.  
 Błagam słońce, a słońce ogniste promienie  
 Bez wszelakiej litości ciska mi na lice,  
 Jakby kat rozpaloną z miedzi rękawicę.  
 Idę przed wodociągiem wyznać me przygody,  
 Chłyszczę na mnie złośliwie swe szumiące wody;  
 Biegnę pod smutny cyprys, lecz swój cień ode mnie  
 Usuwa, i spoczynku szukam nadaremnie.

Na tym padole płaczu darmo szczęście gonić,  
 Gdy serce zbuntowane śmie od Twórcy stronić.  
 Jam nie z liczby bezbożnych, owszem bez uporu  
 Idę za wolą Boga: czczę go nie z pozoru.  
 Wyroki Przedwiecznego są dla mnie świętymi:  
 Tak winien czynić każdy mieszkaniec tej ziemi.  
 Do ciebie się, o Boże, dusza ma ucieka,  
 I jedynie zanoszę modły me do Ciebie;  
 Tyś Ojcem cierpiącego i szczęsnego człeka,  
 Twej pomocy wzywają na ziemi i w niebie.  
 Ach! bez ufności w Bogu, który nie omami,  
 Byłbym najniezszczęśliwszy, zgniotłaby mnie nędza,  
 Rozwiałbym się w boleściach, jako dym wiatralny,  
 Gdy się zdala od siedzib śmiertelnych zapędza.  
 Tak, dosyć tego, złożę ciężkie życia brzemień:  
 Porzucę oplakaną i nieszczęsną ziemię;  
 Zagrzebię się na zawsze w cichym, ciemnym grobie,  
 Nie zostawię pamiątki i śladu po sobie.  
 Nie chcę, aby wiedziano, kędy dół głęboki,  
 W którym po trudach złożę na spoczynek zwłoki.  
 Kiedy śmierć zawsze musi przerwać ziemskie życie,  
 Więc o niebo dbać trzeba w tym nikłym pobycie.  
 Życie najmilsze przejdzie, jako wody źródło:  
 Wszystko tu próżność, wszystko pełne niepokoju.  
 Przyszłość jest piękna, przeszłość szczęścia ma nadzieję,  
 Z tą myślą czarny smutek w sercu rozednieje,  
 Gdy skarb dobroci Boga, od duszy poznany,  
 Jak łatwo zniesie ciała bolesne kajdany<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Oddane wierszem przez arcybiskupa Ignacego Hołowińskiego, według tłumaczenia z tureckiego p. Aug. Żaby, dragomana w Smyrnie (Piełgrzymka do Ziemi Świętej, Petersburg, 1853).

## BAKI

(1526–1600)

Podczaszy. Wiosna już nastąpiła: czas wypić  
 Kilka puharów rubinowego wina;  
 Powiew zefiru, barwa róży i wspaniałość wiosny  
 Są dowodem łaski i miłości Pana.  
 Staraj się nie tracić chwili w ogrodzie tego świata,  
 Gdyż tak jak róża nasze szczęście przekwita.  
 Na modły, obłudę i kłamstwa dosyć jest czasu,  
 A chwila rozkoszy jakże szybko przemija!  
 Nie marnuj życia, martwiąc się smutkami,  
 Lecz siądź u brzegu strumienia, na kwiecistej łące.  
 Serce! Ty łódka na morzu strapiień, powiewy miłości  
 Zaiste sprowadzą cię do upragnionego ładu!

Kto ma serce zranione katuszą, jaką zadajesz, pojmie męczarnie serca. Tylko chory rozumie chorego.

Ci, którzy pragną posiąść kochankę<sup>1</sup>, ci, którzy wielbią ją w marzeniach, ci zrozumieją tajemnicę moich łez, które wyciska nieszczęście twojej miłości.

Tylko ten, kto szaleje za swą okrutną kochanką i znosi katusze wygnania, ten tylko pojmie udrękę mej duszy.

## MUIHIBBI (SOLIMAN WSPANIAŁY)

(1520–1566)

Ludzie nadewszystko przekładają bogactwo i władzę —  
 Gdy największym skarbem na świecie jest zdrowie.

## NEFJI

(um. 1635)

Miłość dla mojej kochanki jest biczem chłuszczającym moje serce. Ale ubolewam nad człowiekiem, który nie musi cierpieć takiego biczowania.

## FUZULI

(um. 1562)<sup>2</sup>

1

O, piękna moja przyjaciółko<sup>2</sup>, ten, kto nie odda ci swojego życia, nie osiągnie życia w wieczności: wiecznie żyć będzie, kto poświęci się tobie na ofiarę.

Twój wdzięk i twoje oblicze obudzą z martwych twego kochanka.

2

W moim sercu, o mędrze, kryje się choroba miłości; nie wyjawiaj światu mego utajonego cierpienia.

Choroba moja opiera się tysiącom leków; o lekarzu, pozostaw mi moją chorobę, nie potrzeba mi leków.

Jeżeli, badając mój puls, rozeznasz moje cierpienie, zachowaj tajemnicę, nie wyjawiaj jej tym, którzy nie wiedzą, co to znaczy cierpieć.

Ileż trudu poświęciłeś niepotrzebnie, aby mnie leczyć, zanim pojąłeś, że na chorobę miłości niema lekarstwa.

Ponieważ mozołu, wyrzecz się nadziei i uleczenia Fuzulego; taki chory, jak on, pogardza zdrowiem.

<sup>1</sup> Kochanka — wszędzie Róg.

<sup>2</sup> Bóg.

## MESIHI

(1512)

## WESOŁA WIOSNA

(Kilka zwrotek)

Posłuchaj! słowik mówi Tobie, że inne nastaly dni — wiosna już.  
 W ogrodach i sadach rojno i gwarno — wiosna już.  
 Srebrnolistne drzewo migdałowe rozwarło swe gałęzie — wiosna już.  
 Radość i rozkosz roznosi się dookoła — wiosna już.  
 I ty także ciesz się i raduj, albowiem wiosenne dni szybko mkną.

Samotna róża nie nachyla już więcej smętnie główki swej,  
 A rosa ją co rano ozdabia błyszczącymi diamentami.  
 Minęła już ponura i żalсна pora roku — wiosna już.  
 I na nowo sady pokryły się zielenią i kwieciami — wiosna już.  
 I ty także raduj się i ciesz, gdyż wiosenne dni szybko mkną.

## ATAŁAR SÖZÜ T. J. NAPOMNIENIA OJCÓW

(Zbiór przysłów)

## MACHMUD Z KASZGARU

(1073)

## DIWAN LUGAT AT-TÜRK

(Wyjątki)

1. Bohatera poznaje się na polu bitwy, mędrca na zebraniach. 2. Podrażnione pszczoły kłują. 3. Gdy lew zaryczy, koniowi łydki drżą. 4. Stary lew nawet przed myszą norą czatuje. 5. Gdy ubranie ojca na syna zda się, wówczas syn ojca nie potrzebuje. 6. Ile zasadzek myśliwy nie wymyśli, tyle też drózek niedźwiedz wynajduje. 7. Dla próżniaka nawet chmurka jest przeszkodą. 8. Nasycony wędrowiec szykuje się już do drogi. 9. Ryba siedzi w wodzie, ale oczy ma nazewnątrz. 10. Djabeł, którego się zna, lepszy jest niż człowiek, którego się nie zna. 11. Jeśli jednego szamana głowa boli, nie znaczy to, aby wszystkich szamanów głowy bolały. 12. Kto ma całe spodnie, siedzi, gdzie mu się podoba. 13. Testament chorego jest dobrą wróżbą. 14. Człowiek, który zna wartość danego słowa, nie przepadnie. 15. Gdy tylko wielbłądzica westchnie, już mały jej ryczy. 16. Samotna gęś nie wydaje krzyku. 17. Góra jest ciężarem dla ziemi, a książkę dla narodu. 18. Nie patrz na twarz, a szukaj rozumu. 19. Ognia płomieniem się nie gasi. 20. Tam, gdzie się kłóca, tam bójka niedaleko; i już tymczasem suknia została rozdarta. 21. Mysz, urodzona w młynie, piorunów się nie obawia. 22. Kto wsiada na wielbłąda, nie może chować się między owce. 23. Z jednego lisa dwóch skór nie ściągniesz. 24. Wilk swego sąsiada nie pożera. 25. Krwi krwią się nie zmywa. 26. Stary wół siekiery się nie boi. 27. Stara, która już tańczyć nie może, mówi, że miejsce dla niej za ciasne. 28. Całuje się kamień, którego zgryźć nie można.

*(Według C. Brockelmann).*

## INNA SERJA PRZYSŁÓW

Przechowywanych do najnowszych czasów włącznie bądź w rękopisach, bądź w zbiorach drukowanych.

1. Ten zamyka drzwi, kto ostatni przychodzi. 2. Pies szczeka, karawana przechodzi. 3. Kto ognia się boi, wystrzega się dymu. 4. Lepsze cięłe dla siebie, niż wspólny wół. 5. Sierota sam musi sobie pepowinę obcinać. 6. Cierpliwością kwaśne winogrona stają się karmelem, liść morwowy — atlasem. 7. Murzyn mówi murzynowi: twoja twarz

jest czarna. 8. Płaszcz pielgrzymi nie czyni derwisza. 9. Z chudej kury tłustego rosółu nie zgotujesz. 9. Zwiąż przedtem ośła, a później go Panu Bogu poleć. 10. Gryzący pies zębów nie pokazuje. 11. Siedź nachylony, prosto mów. 12. Niech okręt będzie krzywy, byle droga była prosta. 13. Kto wstaje ze złością, siada poszkodowany. 14. Ojciec dał synowi winnicę, syn ojcu nawet grona nie mógł dać. 15. Lepsze jest jedno dziś, niż dwa jutro. 16. Jeden kwiatek nie czyni lata. 17. Prawdą można także warjata zadowolić. 18. Dziecku, które nie płacze, piersi się nie daje. 19. Kto prędko chodzi — prędko się męczy. 20. Dla zakochanego i Bagdad nie jest daleki. 21. Biały pieniąż schowaj na czarny dzień. 22. Biały pies, czarny pies — oba są tylko psami. 23. Pytając, zajdziesz do Bagdadu. 24. Zemsta jest słodsza niż miód. 25. Gadaniem pilawu nie ugotujesz. 25. Nie codzień Bajram.

## NASREDDIN CHODŹA

(um. w XVI wieku)

### LATAIF CHODŹA NASREDDIN

#### Sen

Razu pewnego przysniło się Mistrzowi, że dawano mu 99 sztuk złota. Chodża uważał, że to za mało i że przyjmie sumę wówczas tylko, gdy mu dadzą 100 sztuk. Odmówił więc odbioru pieniędzy. W tym momencie budzi się i, oczywiście, niczego nie znajduje. Poszukawszy napróżno przez chwilę, zamyka oczy napowrót, wyciąga rękę i woła: «Daj, nic nie szkodzi, niech będzie 99».

#### Kazanie

Innym razem Mistrz Nasreddin wchodzi na kazalnicę w mieście Ak-Szehir dla wygłoszenia kazania. «O wierni» — powiada — «czy wiecie, o czym mówić będę?» — «Nie wiemy» — odpowiadają mu zgromadzeni. — «Jeśli nie wiecie, to cóż będę wam tłumaczył» — i schodzi z kazalnicy. Innym razem znów udaje się Nasreddin do meczetu i, wszedłszy na mównicę, ponownie zadaje zgromadzonym to samo pytanie. — «Wiemy» — odpowiadają. Na to Chodża wnet replikuje: «Jeśli wiecie, to naczóż potrzebna Wam moja nauka?!» — i opuszcza kazalnicę. Zapanowała w mieście ogólna konsternacja, postanowiono więc, że, o ile Mistrz znów się zjawi dla wygłoszenia nauki, jedni odpowiedzą, że wiedzą, a inni, że nie wiedzą. Gdy więc Nasreddin, jak zwykle, rozpoczął kazanie od słów: — «Czy wiecie, o czym mówić będę?» — i usłyszał odpowiedź jednych: «wiemy», a drugich: «nie wiemy», zawołał odrazu: «W takim razie niechże ci, którzy wiedzą, nauczą tych, którzy nie wiedzą».

#### Zupa z kaczek

Nasreddin usiłował niegdyś złapać ulatującą nad źródłem dziką kaczkę, lecz naderemnie. Zasmucony siada na ziemi, macza chleb w wodzie i zajada. Widząc to, jakiś przechodzień temi słowy się do niego zwraca: «Na Boga, Chodża Effendi, cóż to ma znaczyć?» — «Czyż nie widzisz, że zajadam zupę z kaczek» — odpowiada.

#### Kociół

Nasz Mistrz pożyczył sobie niegdyś kociół od sąsiada. Po skończonej robocie kładzie małe naczynie do kotła i oddaje razem sąsiadowi. «Cóż to takiego» — zapytuje sąsiad. «Twój kociół urodził małego» — Chodża odpowiada. Sąsiad nadzwyczaj był uradowany. Po jakimś czasie Nasreddin ponownie prosi sąsiada o kociół i otrzymuje go, lecz tym razem mistrz długo naczynia nie zwraca. Wybrawszy się po swoją własność, spotyka Nasreddina, który ze smutnem obliczem oznajmia, że nie może zwrócić kotła, gdyż umarł. Strasznie tą odpowiedzią zdziwiony, sąsiad wykrzykuje: «Jakżeż to, czy kociół może umrzeć?» Na to Chodża: «Wszak uwierzyłeś, że się małe urodziło, a teraz wątpisz o śmierci?»

## Młoda małżonka

Nasz Mistrz owdowiał, a pilno mu było po raz drugi się ożenić. Przyjaciele postanowili splotać mu z tego powodu figla i namówili swatkę, aby wybrała mu brzydką narzeczoną, wmawiając oczywiście, że jest ładna. Chodźy pilno było po weselu poznać swą nową towarzyszkę życia, gdy więc, przyszedłszy do domu i zdjąwszy zasłonę, spotkał się z rzeczywistością, wzdrygnął się, ale nie rzekł ani słowa. Następnego dnia nasz Chodźa wychodzi z domu. Podbiega doń młoda małżonka i zapytuje z tupetem: «Jak będzie, panie mój, przed kim każesz mi się zasłaniać, a przed kim nie?» — «Uspokój się, niewiasto; jeśli ci życie miłe, mnie nie pokazuj się, z innymi zaś rób, jak ci się podoba» — odrzekł i z trudnością mógł się od niej uwolnić.

## Z TURECKIEGO DEKAMERONU

## CZTERDZIEŚCI WEZYRÓW

(w recenzji Szejscha Zade)

Opowieści te są pochodzenia indyjskiego — podobnie do «Tysiąca i jednej nocy» — i dostały się do Europy za pośrednictwem Persów.

Historja dwudziestego czwartego wezyra, czyli żona o dwóch mężach

Za dawnych czasów żyła sobie w Kairze przebiegła megiera, nazwiskiem Dallatul Muchtal. Miała ona dwóch mężów, a każdy z nich sądził, że była ona jego jedyną żoną, albowiem nie zdawali sobie zupełnie sprawy z rzeczywistego stanu rzeczy. Jeden z mężczyzn był nicponiem, drugi złodziejem, obydwaj zaś byli uczniami megieri. Razu pewnego złodziej, udawszy się na bazar, sprzedał tam skradziony przedmiot i otrzymał zań pieniądze, lecz oto jakiś przechodzień, ujrawszy przedmiot w rękach nabywcy, nagle zawołał: «Dzięki Rogu, mam cię, płaszku, nareszcie; przywłaszczyłeś sobie moją własność, chodź, mów prędko». Nabywca odpowiedział: «Nie pleć głupstw. Ja to nabyłem i zapłaciłem, co się należało. Mówisz tak, gdyż chcesz wejść w posiadanie tego przedmiotu». Lecz oto złodziej podsłuchał ich rozmowę, natychmiast więc ulotnił się, pobiegł do domu i krzyknął do megieri: «Kobieto, moja kradzież została wykryta, daj mi więc kawałek chleba, a sam gdziekolwiek się skryję, dopóki o mojej sprawie nie zapomną». Megiera upiekła placek i usmażyła barani ogon, rozkroiła na dwie części, z których jedną dała złodziejowi, poczem wyruszył on w drogę. Alіści po niedługim czasie nadbiegł znowu nicpoń, wołając: «Kobieto, moje oszukaństwo zostało wykryte; daj mi kawałek chleba, gdyż muszę zniknąć na kilka dni». Tym razem megiera dała mu drugą część placka i ogona baraniego, poczem nicpoń zbiegł. Tymczasem złodziej zaszedł był do pięknej, zadrzewionej miejscowości, kędy przepływała urocza rzeczulka. Usiadłszy na murawie, zabierał się już do jedzenia, gdy w tem nadchodzi nicpoń, który również siada nad strumykiem niedaleko złodzieja i, wyciągnąwszy swój prowiant, zaczyna jeść. Złodziej zaprasza go, aby mu towarzyszył i wspólnie podzielili się jadłem. Nicpoń zgadza się na tę propozycję, lecz, ledwo się zbliżył, spogląda to na jego placek, to na pieczyste i spostrzega, że są do jego porcji podobne. Następnie przykłada jedną część do drugiej i ustala, że obie do siebie doskonale pasują. Bardzo to zdziwiło nicponia, zwraca się tedy do towarzysza z zapytaniem: «Bardzo przepraszam, czy mogę zapytać, skąd pan przybył?» — «Z Kairu». — «Z jakiej ulicy?» — «Dom mój prowadzi niejaka Dallatul Muchtal, która jest moją żoną». — «To jest mój dom» — nicpoń ciągnie dalej — «a ta niewiasta jest moją żoną. Żyję z nią od wielu lat, więc pocóż pan kłamiesz». Ta odpowiedź bardzo złodzieja rozdrażniła: «Chłopie» — rzekł — «czy żartujesz? Chybaś zwarjował. Ta kobieta jest moją prawowitą małżonką od bardzo długiego czasu». Kłótnia stawała się coraz gwałtowniejsza, wreszcie nicpoń rzekł: «Niema przecież sensu spierać się tak nadal, chodźmy do Dallatul Muchtal i na miejscu sprawdzmy, czyją ona jest właściwie żoną». Wkrótce też stanęli w Kairze przed domem megieri, która odrazu

zrozumiała, co się święci. Zaprosiła natychmiast obu do izby i siadła naprzeciwko nich. Pierwszy nicpoń zabrał głos: «Hejże, kobieto, czyjaś ty żoną?» — «Dla Boga» — odrzekła — «dotychczas byłam żoną was obydwóch, lecz obecnie ten będzie moim mężem, który okaże się sprytniejszy. Ja was obydwu nauczyłam przebiegłości, lecz ten na mnie zasłuży, który drugiego wyprowadzi w pole». Obadwaj zgodzili się na jej propozycję, poczem nicpoń rzekł do złodzieja: «Dziś spletał ci figla, a ty staraj się mi tem samem odplacić» — i poszli na bazar. Zdarzyło się tak, że nicpoń zauważył niewiernego w chwili, gdy chował 1.000 dukatów do woreczka, który potem ukrył pod ubraniem. Wybiegłszy za niewiernym, nicpoń dogonił go i zręcznym ruchem pozbawił go pieniędzy. Następnie skrył się w cichem miejscu, wyciągnął z woreczka dziewięć sztuk monet, zdjął z palca pierścień, na którym było wyryte jego własne nazwisko, wrzucił do woreczka, dognał niewiernego i wpuścił wszystko zpowrotem do jego kieszeni. Złodziej wszystko to był zauważył. Nicpoń trochę się po ulicy pokręcił, zwrócił się nagle, podbiegł prosto do niewiernego, schwytał go pod szyję i kilkakrotnie uderzył, krzycząc na całe gardło: «Hej, ty potępieńcze, czemuś mi skradł sakiewkę z dukatami?» — «Idź swoją drogą» — odrzekł niewierny. — «Daj mi spokój. Ktoś ty taki? Nigdy cię przedtem na oczy nie widziałem». — «Nie potrzebujesz mnie znać» — krzyczał dalej nicpoń — «idziemy zaraz do kadzego, który sprawę osądzi». Niewierny zgodził się, poczem nicpoń wniósł oskarżenie. «Ile miałeś dukatów» — zapytał sędzia. — «Tysiąc» — niewierny odpowiada. — «A ty ile miałeś» — pyta znów, odwracając się w stronę nicponia. — «W sakiewce było 991 dukatów i srebrny pierścień z mojem nazwiskiem». Kadi polecił pieniądze przeliczyć i okazało się, że było rzeczywiście 991 dukatów i srebrny pierścień. Niewiernemu dostało się sporo batów, a nicponiowi gotówka. Nicpoń czem prędzej poleciał do żony i, pokazując jej zdobyty tak sprytnie skarb, zawołał: «Wiwat, czyś kiedy widziała, babo, podobną zręczność?» Gdy nastał wieczór, złodziej wziął sznur i udał się z nicponiem do pałacu królewskiego. Dostawszy się do wnętrza zamku, weszli zapomocą dobranych kluczy do skarbcza. «Nabierz złota, ile ci się tylko podoba» — rzekł złodziej do nicponia — «i wychodź» — co też ten uczynił. Następnie udali się oni do kurnika, chwycili gęś, zabili, zapalili ogień i zaczęli piec ptaka na rożnie, przyczem nicpoń otrzymał rozkaz kręcenia rożna. Wreszcie złodziej udał się w stronę królewskich pokoi. «W jakim celu tam idziesz» — pyta nicpoń. — «Idę do króla, aby mu całą sprawę przedstawić» — odrzekł. — «Zobaczymy, który z nas okaże się sprytniejszy, a tem samem, komu się ta kobieta należy». Nicponiowi nie w smak poszedł taki obrót rzeczy. «Na Ałłacha» — krzyknął — «uciekajmy, oddaję tobie żonę, niech będzie twoją». — «Teraz tak mówisz» — odrzekł złodziej — «ale jutro pożałujesz. Niech król wyda wyrok». To mówiąc, złodziej skrył się za drzwiami i począł otoczenie baczenie obserwować. Patrzy i widzi, jak niewolnik masuje nogi króla, żując jakąś masę, i od czasu do czasu zasypia. Złodziej pocichutku zakrada się aż do tronu królewskiego, chowa się za nim i, wyczekując odpowiedniego momentu, pakuje włos końskiego ogona do ust młodziana, który gryzie włos jednocześnie z masą. Niezadługo potem niewolnik ziewnął, z czego korzysta złodziej, aby pociągnąć za włos i wyrwać masę z ust. Drzemiący niewolnik otworzył oczy, błędnym wzrokiem zaczął szukać zguby, a nie znalazłszy jej, zasnął ponownie. Wówczas złodziej przyłożył mu do nosa narkotyk, uspił go aż do utraty przytomności, włożył do przygotowanego koszyka, zawiesił na zewnętrznej ścianie zamku, a sam wziął się do masowania nóg królewskich. Lecz nicpoń wszystko to był widział. Wtem król się obudził, a wówczas złodziej przemówił do niego w ten sposób: «Panie mój, rozkaż, a opowiem ci ciekawą historję». — «Mów» — odrzekł król. Wtenczas złodziej opowiedział wszystko, co się ostatnio wydarzyło, nic nie skrywając, i, spoglądając w stronę nicponia, który siedział przy gęsi, krzyknął mu: «Kręć, kręć, braciszku, bo się gaska przypali». Złodziej opowiedział królowi, jak weszli do jego skarbnicy i jak potem skradli i zarznęli gęś, którą oto nicpoń piecze, jak wyciągnął masę z ust niewolnika, słowem, opowiedział wszyścusiensko. Nicpoń truchlał ze strachu i dawał złodziejowi rozpaczliwe znaki, aby milczał, a złodziej ciągnął dalej. «Kręć, kręć, kochaneczku, gdyż gęś się przepiecze» — i, zwracając się w stronę króla, dodał: «Miłościwy Panie, który z nas okazał się zręczniejszy i któremu należy się ta kobieta?» — «Złodziej jest sprytniejszy i żona jego jest» — zawyrokował król. Następnie złodziej jał znowu masować nogi, a gdy król



zasnął, złodziej wstał pocichutku i, zbliżywszy się do nicponia, rzekł mu: «Czyś słyszał, iż król zawyrokował, że kobieta jest moja?» — «Słyszałem» — odparł nicpoń. «Czyją jest ona żoną, powtórz jeszcze raz» — pyta złodziej. — «Twoją». — «Kłamiesz» — ciągnie złodziej dalej — «udam się ponownie do króla z zapytaniem» — i chce już iść. — «Na miłość boską, nie chodź. Nietylko oddam ci niewiastę, ale sam się tobie poddam, jeśli zażadasz, lecz nie oddalaj się stąd» — woła rozpaczliwie nicpoń. Wreszcie nastąpiło porozumienie, poczem obadwaj powrócili do domu, obładowani kosztownościami, i opowiedzieli całą historję megierze, od początku do końca. Megiera potwierdziła wyrok króla i pozostała przy złodzieju.

## DZIEJOPISARSTWO

«Jednym z wypadków sprzecznego o rzeczach wyobrażenia (na Wschodzie i na Zachodzie) jest w szczególności owa niedościgniona różność pojęć o piękności stylu u Wschodnich i Zachodnich. Styl Liwjusza i Saad-ed-dina już nie mówię odrębne, ale tak dalece są diametralnie różne, jak w naszym wyobrażeniu szpetność i uroda; przecież dla tych, co zarówno wdzięk obu czuć mogą, oba są równie zachwycające i piękne, gdyż oba w tym do siebie znajdują się stosunku, jak powaby Charyt Hellady i czarownych Peri Wschodu. Cichy, łagodny i prosty tok naszego opowiadania ma swą istotną piękność, jak w wiejskim utworze kwieciami ubarwione równiny, jak rozkoszne łąki, spokojne i świeże gaiki, gdzie się przyrodzenie z całym urokiem swej prostoty ukazuje. Przeciwnie, nadęty i szumny styl Persów lub Otomanów (iż wschodniego użyję porównania) przybierać powinien zdumiewającą okazałość wzburzonego oceanu, który po ogromnej przestrzeni toczy piętrzące się fale (hemczu bahri mewwadż) i nakoniec roztrąca je o skały z łoskotem i trzaskiem. Ponieważ zaś oba z równą dokładnością zdolne są wyrażać pojęcia ludzkie, nie widzę zatem przyczyny, dlaczegoby jeden miał przenosić nad drugi. Lecz styl Otomanów z powodu dziwnej własności języka, nadzwyczajnie obfitego w imiesłowy i gerundja, przybiera jeszcze nową, prawdziwie olbrzymią postać. Okres turecki ma coś istotnie wspaniałego i wielkiego: jest to obraz ich pysznej krainy, w której każdy krok skupia inaczej otaczające doliny i góry i jedną okolicę mieni w nowe coraz i niespodziane widoki. Lecz ta szczególna własność języka może dać razem wyobrażenie o niewypowiedzianej trudności robienia zeń przekładów na jakąkolwiek z mów europejskich, w których nadętość wschodnia byłaby potworna, piramidalna zaś wielkość tureckich okresów — ciężka, nużąca i zabójcza. Szyk nawet myśli i logiczny porządek wyobrażeń są u Turków doskonale sprzeczne tym, jakie my na Zachodzie zwiemy «przyrodzonymi», to jest zgodnem z naszym sposobem pojmowania rzeczy. Stąd wypada, że, biorąc do tłumaczenia turecki okres, najczęściej trzeba go na pierwiastki rozłożyć i te dopiero szykować w porządek, do jakiegośmy w tworzeniu i wiązaniu pojęć umysł nasz od dzieciństwa przyzwyczaili. Co się w szczególności tyczy stylu Resmi Efendiego, ten wszędzie prawie jest cudownie piękny, lecz piękny w sposób na Wschodzie tylko uznany za taki».

(J. J. Sękowski).

## MECHMED RASZYD

(1735)

### OBLĘŻENIE KAMIENCA

Dnia 12 tegoż księżycy Chalil Pasza przeprowadził się w nowo zbudowanych łodziach na drugą stronę rzeki, a we dwa dni Miurad Pasza odebrał rozkaz połączyć się z tym dowódcą. Dnia 27 Murteza Pasza i Husejn Pasza odbyli zwyczajny popis swych zaciągów przed namiotem padyszacha i za piękną tych wojsk postawę wspaniałemi chyłalami nagrodzeni zostali; stanowiska zaś dla nich wyznaczone były na skrzydłach obozu. W dniu 18, t. j. dziesiątym od zaczęcia budowy, ukończono most na Turle, i nazajutrz aga jańczarów z wojskiem swej broni przeszedł na drugą stronę; a dnia 20 padyszach jęgomość z całym taborem stanął na ziemi leńskiej. Ponieważ miejsce przeprawy o pięć lub 6 godzin drogi oddalone było od Kamieńca, przeto kajmakam-pasza i wali Alepu, i inni, w towarzystwie niektórych bejów i głównego naczelnika artylerji, udali się ku tej twierdzy z rozkazu sułtana w celu zapoznania się z miejscem. Gdy, przybywszy pod Kamieniec, badać zaczęli jego położenie, nieprzyjaciele wiary wielkiego proroka osypali ich z walów rżęsim ogniem z dział i ręcznej broni; sprawą jednak Opatrzności Najwyższego prawowierni więcej nad jednego sekbana i jednego konia nie stracili, chociaż sekbanowie paszów lekkie mieli utarczki z piechotą, która z okopów uczyniła wycieczkę; nareszcie cała kolumna szczęśliwie powróciła do obozu

ku wieczorowi, prowadząc w triumfie schwytaną dziewicę i jedną głowę nieprzyjacielską. Kaimmekam i wielki wezyr, upadłszy na twarz przed samowładcą, mieli szczęście uwiadomić go ze wszystkimi szczegółami o wypadku tej pod Kamieńcem wycieczki. Selim Giraj, chan krymski, który dążył z swem wojskiem do obozu cesarskiego, błagał przez posły pozwolenia uderzyć czołem przed majestatem najpotężniejszego pana; przychyłając się łaskawie do jego żądania i chcąc władcę Tatarów przyzwocić uczcić, sułtan wyznaczył kilku dygnitarzy na spotkanie i przyjęcie Giraja. Gdy ten z licznym orszakiem zbliżył się do ich namiotów, pomienieni paszowie wyszli naprzeciwko niego i zaprowadzili go uroczyście aż do miejsca, gdzie, zsiadłszy z konia, przyjęty był pod wspaniałym namiotem i posadzony na pierwszym miejscu, z oznakami największej uprzejmości i uszanowania. Nakoniec po śniadaniu, będąc wprowadzony do namiotu padyszacha, miał szczęście ucałować kraj szaty potężnego władcy Osmanów, który łaskawem skinieniem dał mu znak, ażeby usiadł, i po kilku chwilach kazał mu powstać znowu. Chan, uniesiony tak wdzięcznym przyjęciem i względami światowładcy, wylał się w najgorętszych wyrazach na zaświadczenie uczuć wierności i poddaństwa, a sułtan, chcąc uzupełnić wielkość swych łask i dobroci, po krótkiej rozmowie, kazał zatknąć mu za zawój pyszne pióro brylantowe, za pas wspaniały kindżał z rękojeścią, osypaną drogiemi kamieniami, i wdziac nań półfutrze sobolowe, powleczone złotogłowiem, a nawierzch bogatą szatę królewską. Do tyłu zaszczytów dodany był jeszcze koń wyśmienity, pod ozdobnym rzędem, którego strzemiona sypały blask rżęsiszty z mnóstwa kosztownych kamieni. Po skończonem posłuchaniu, chan, ucałowawszy znowu szatę padyszacha, odprowadzony był przez wielkiego wezyra aż do jego namiotu, a przez innych paszów, zaproszonych na to przyjęcie, aż do własnego obozu. Dnia 6 sierpnia sułtan z całym wojskiem zatacza obozy na płaszczyźnie kamienieckiej i czynić każe przygotowania do zdobycia twierdzy. Nieprzyjacielem, pilnie uważający z wałów poruszenia rozkładającego się taboru, tak trafnie dają z kilku dział ognia, że w tę samą chwilę, kiedy sułtan wchodził pod przygotowany dla siebie namiot, kula przeszła jego ściany i padła nieco dalej w przyległym lesie. Padyszach każe przedłożyć niewiernym warunki kapitulacji, obiecując, iż jeśli się poddadzą dobrowolnie, będą mogli swobodnie z rodzinami i całym mieniem udać się, dokąd im się podoba, w przeciwnym zaś razie, gdy twierdza szturmem zdobytą zostanie, wszyscy w pień będą wycięci. Nieprzyjacieli, pomimo tej groźby, ufny w obronność twierdzy, odrzucili uczynione mu przedłożenia; przetoż w obozie prawowiernych oblężenie Kamieńca jest nakazane, i wielki wezyr, zawołany do namiotu padyszacha, odbiera w podarunku dwie zwyczajne szaty, sobolami podszywane, i potrzebne zlecenia otrzymuje. Ósmego sierpnia z prawego i lewego skrzydła zaczęto strzelać z dział na oblężonych. Około południa potępiency, wywiesiwszy na ścianach znamię do rokowania, wystali do oblegających z przedłożeniem, iż, byleby dziś zaprzestano strzelby, w nocy złożą u siebie radę i nazajutrz zamek dobrowolnie wydadzą. Wielki wezyr odpowiedział, że na gołe słowa żadnych układów czynić nie będzie; a zatem, jeśli rzeczywiście mają ten zamiar, przystać powinni zakładników i od nas wziąć nawzajem. Chytre niedowiarki, miasto powtórzenia tych warunków, zaczęły dawać silnego ognia z dział i ręcznej broni; poznano więc, iż to był tylko zdradliwy podstęp, wymyślony w celu nagłego wstrzymania żarliwości wojsk islamskich w chwili największego zapału, a tym sposobem oburzenia żołnierstwa przeciw dowódcom, a może nawet przywiedzenia go do buntu. Obroncy jednak wiary z niepokohowaną natarczywością znowu strzelać do niewiernych zaczęli 12 sierpnia. W przypuszczonym szturmie ochotnicy, z janczarów zaciągnięni, zbliżyli się aż do fos zamku. Nazajutrz ciż ochotnicy wespół z rumilskimi rotami posunęli się aż do kamiennej ściany, okrywającej nieprzyjacielskie baterje, i niewierni, przerażeni tym postępowaniem, cofnęli się za mury samej twierdzy. Tegoż dnia poseł od Rzeczypospolitej przybył do taboru padyszacha i był podejmowany ze wspaniałością, przyzwoitą wielkiemu dworowi władców prawowiernych. Bejlerbej Djarbekru, który z swem wojskiem nadwornem i zaciągami przeszedł był Dunaj i miał rozkaz sprowadzić do taboru działa oraz dwa tysiące centnarów prochu, został naznaczony dowódcą w Babadagy; z tego powodu przysłał pomienione prochy przez swego namiestnika; przewiezienie zaś dział komu innemu poruczyć musiano. Wybór padł na Osmana Paszę.

W dzień czwartkowy, skoro najmocniejsze opanowano baterje, na których nieprzyjaciel całą dzielność obrony opierał, czoło najwaleczniejszego żołnierza w czasie przypuszczonego szturmego wpada na ścianę twierdzy, zatyka znamię islamu i, gdy tymczasem śpiesznie podkopywano miny, żeby otworzyć drogę posiłkom, mężny ten oddział utrzymuje się do zachodu słońca przy zdobytem stanowisku, na którym wielu dzielnych wojowników męczeński wieniec odnosi. Nazajutrz, w piątek, rzucono ogień w podkopane prochy; drzewo i kamienie, wchodzące do budowy ściany, z okropnym łoskotem i trzaskiem w powietrze wzlatają; nieprzyjaciel zostaje przerażony, lecz zdziałany wyłom ukazuje oblegającym za murem zewnętrznym drugą, również gruntowną ścianę. Gdy, tym sposobem, pierwszych usiłowań pomyślny nie uwieńczył skutek, czynnie się zaprzętniono około wprowadzenia drugiego podkopu.

Dnia 16 sierpnia nieprzyjaciel, przywiedziony do ostateczności, wywiesza znowu hasło do rokowania; z ostrożności jednak, aby ten krok, podobnie jak na początku oblężenia, nie był chytrze tylko wymyślonym podstępem, uchylono się od wszelkich z oblężonymi układów i żądania ich odrzucono. Przecież niewierni, którzy się wprzód targnęli tego wybiegu, ufając w niezdobycie twierdzy i liczne do obrony środki, teraz, poznaawszy dzielność wojowników islamu i niepodobieństwo dłuższego oporu, zaczęli postępować z otwartością. Wysłani od nich pełnomocnicy przywiedli do taboru pięciu niedowiarków na zakładników i o kapitulację prosili. Wielki wezyr doniósł o ich żądaniu padyszachowi, który po pilnem zważeniu okoliczności przystał na prośby oblężeni-  
ców, a tym sposobem zdanie twierdzy umówione zostało.

*Tłum. J. J. Sękowski.*

FAZIL BEJ

(1810)

Z DYWANU

Tyś dał początek światu, o Panie.  
Tyś stwórcą wszechrzeczy, o Panie.  
Tyś opromienił niebiosą,  
Tyś karmicielem ziemi.  
Twoją niezmierną miłością opasany jest świat.  
Tyś najłaskawszy z najłaskawszych, o Panie.  
Nie wiem, do kogo mam zanieść moje błaganie.  
Tyś najmiłosierniejszy z miłosiernych, o Panie.  
Pocóż mam błagać Cię, o Panie —  
Wszak mieszkasz w mojem sercu  
I znasz wszystkie jego tajemnice, o Panie.

ZIA PASZA

(1830—1879)

TERKIB—I BEND (RONDO)

Jakiż pożytek ma człowiek z bogactw tego świata?  
Wszystko pozostawia, gdy stanie u końca swej podróży.  
Spójrz, azali odcień nieba jest zawsze ten sam —  
Czy to w nocy, czy za dnia, w świetle słońca lub księżycą.  
Mawiano, że tron Salomona wędrował po obłokach,  
I teraz wiatr świszczę na miejscu jego królestwa<sup>1</sup>.  
Tam, gdzie podłość jest podłożem charakteru,  
Choćbyś był wezyrem, nie spodziewaj się niczego dobrego.  
Zwierciadłem człowieka jest jego dzieło, nikogo nie obchodzą puste słowa.  
Albowiem stopień mądrości poznaje się po czynach.  
Aczkolwiek wycierpiałem się, jednakże nie wątpię, że:  
«Należy być uczciwym, nawet jeśli cierpisz z powodu nieprzyjaciół,  
«Gdyż opoką sprawiedliwego jest Bóg Miłosierny i Wszechmocny».

<sup>1</sup> To jest potęga Salomona znikła bez śladu.

CHALIDE EDYB

(ur. 1883)

HANDLARZ PESTEK

Wieczór już nastawał na pagórku Fazli Pasza w okolicach Konstantynopola. Czerwone dachy domków, spuszcających się aż do morza, zupełnie już szcerniały. Mały minarecik — tuż nad wodą — w przedziwny sposób odbijał się wśród cieni, a cudownie barwne obłoki na dalszym horyzoncie kłębiły się nad miastem, rzucając czarne cienie.

W wieczornej ciszy, gdy Fazli Pasza zniknęło już w ciemnościach, nagle rozległ się jakiś niesamowity głos, jakby przeciągły lament:

— Pe-e-e-stki sprzedaję, świeże pe-e-e-stki sprzedaję!

A z cichych domków odezwały się dziecinne głosy, zrazu bardzo słabe, a później gorące, namiętne: handlarz pestek, handlarz pestek!

W tej właśnie chwili siedziałam w swoim pokoju, w starym fotelu, zatopiona w myślach. Siedziałam obrócona do okna plecami. Oczy miałam zamknięte, ale doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co kryło się w tej ciszy. I ten głos był także jakimś odgłosem wieczornym, lecz bardzo dziwnym i tajemniczym. Czy był to naprawdę głos istoty ludzkiej? Gdyby nie przypominał jęku, żaloby, sądziłabym, że to głos starej cyganki.

Jednakowoż potrafił on obudzić życie na cichej uliczce. Usłyszałam kobiety przed drzwiami domków, zajęte rozmową z śmiejącymi się i rozkrzyżczanymi dziećmi, i pomyślałam sobie, że rozmaity mógł być ich stosunek do tego głosu, ale jedno jest pewne, że one go lubiły. Więc któż to był taki? W gruncie rzeczy tak mało się wówczas tem zainteresowałam, że się nawet z miejsca nie poruszyłam.

Minęło wiele dni, może wiele miesięcy. Pewnego dnia mała moja siostrzenica niespodziewanie odezwała się do mnie w ten sposób:

— Ciotuniu, czy możesz dać mi kilka starych gazet?

Nie odrazu zorientowałam się, o co chodzi. Ta mała, kapryśna, rozpuszczona i sentymentalna dziewczeczka nie rwała się nigdy do czytania.

— Na cóż ci to, moje dziecko? — spytałam.

Mała siedziała naprzeciwko mnie na szerokim tapczanie, przykucnięta, jak wioska w cieniu wieczornym, a z jej roziskrzonych czarnych ocząt poznałam, że jej się moje pytanie nie spodobało.

— To dla Izmaila Hakki Beja.

— Któż to taki?

Była to dumna, samodzielna natura; obawiając się, abym nie pomyślała, że sama dla siebie gazety potrzebuje, odpowiedziała odrazu:

— Handlarz pestek.

Byłabym niechętnie spytała się jeszcze o dalsze szczegóły, lecz zagniewany wzrok dziewczynki momentalnie powstrzymał mnie od tego. A zatem był to głos ludzki, głos człowieka, który odgrywa tak dużą rolę w życiu mej siostrzenicy.

— Czy to twój przyjaciel?

Kiwnęła głową z godnością. Zrozumiałam, że był to ktoś, którego przyjaźń wprawiała w dumę duszę tego dziecka, ktoś, co należał do znakomitości naszego pagórka. Skorzystałam z tego wydarzenia, aby pociemku, nie przestraszając jej, trochę obszerniej o tym dziwnym człowieku pomówić.

— Więc cóż twój przyjaciel robi z gazetami? Czy zawija w nie pestki?

Momentalnie poczerwieniała. Wpiła we mnie swe czarne oczęta, jakgdyby badając, czy z niej nie żartuję. Ja, oczywiście, byłam tak poważna, że nie można było zauważyć na mej twarzy ani cienia uśmiechu.

— On sam czytuje gazety. Był niegdyś urzędnikiem, później stracił miejsce. Posiadał domek, który musiał sprzedać i przenieść się do Karagömrük. Od nikogo nic nie potrzebuje, prócz gazet, bez których obejść się nie może. Ma małą córeczkę, która chodzi do szkoły. Gdyby jej nie miał, mógłby sam sobie pisma kupować. Ze sprzedażą

pestek tak daleko nie chodzi. Jest w wiecznej nędzy i ciężko mu dziecko do szkoły posyłać... — reszta zdań utknęła gdzieś w gardelku dziewczynki.

— Któregoś dnia podniosłam z kasy trochę moich oszczędności i zaniósłam mu.

— Czy przyjął? — spytałam.

Dziwnie na mnie spojrzęła. Zdaje się, że miała łzy w oczach.

— «Dziecko moje» — rzekł — «za co dajesz mi te pieniądze? Przecież już zapłaciłaś za pestki.» — Włożył mi pieniądze do ręki i dodał:

«Drugi raz uważaj więcej i nie dawaj pieniędzy, niczego nie kupiwszy. To wielki wstyd dawać i odbierać».

Mała była bardzo przygnębiona.

— Bałam się, że będzie się na mnie gniewał, ale następnego dnia zatrzymał się przy naszych drzwiach i wszczął ze mną rozmowę. «Gdyby panienka miała trochę starych gazet» — powiedział — «chętniebym je przeczytał».

Siada przed naszym domem i czyta przy świetle latarni. Bardzo mnie lubi i opowiada każdego wieczora o swej córeczce. W tym roku uczy się ona robótek ręcznych w szkole.

Już dalej nie słuchałam, dziwny jakiś niepokój mnie ogarnął, chciałabym poznać człowieka, obdarzonego tym osobliwym głosem. Wieczór był jesienny, chłodny; rozhulał się szalony wiatr. Oczekiwałam z niecierpliwością zjawienia się handlarza pestek. Tyle już nasłuchiwałam się o jego życiu, że było dla mnie wprost koniecznością poznanie istoty, tak mężnie walczącej z przeciwnościami życia. Ale przeszedł dzień, dwa — nawet kilka tygodni, a handlarz pestek nie przychodził. Moja mała zaczęła się także niepokoić. Gdy wracała ze szkoły, siadywała w cieniu, zwinięta jak kotka, i oczekiwała swego przyjaciela.

Wreszcie któregoś zimowego wieczoru usłyszałyśmy głos naszego sprzedawcy, ale jakiś słabiutki. I jednocześnie w świetle okien mego sąsiada, wysokiego dygnitarza rządowego, wysunęła się dziwna postać: najpierw dwie gołe, wychudłe stopy, obute w olbrzymią parę trzewików bez sznurowadeł, a być nawet może bez podeszwy, — nogi, które poruszały się widocznie z ogromnym wysiłkiem; następnie jakby szczudła, owinięte w spodnie w strzępach. Wreszcie poły szerokiego chałatu, w którym sterczała wysuszonego postaci, podobna do tyczki. Na głowie stary, wytarty fez niewiadomego koloru. Biedna, sina, chorowita twarz, zakończona długą, rozwichrzoną, siwą brodą. Całość wlokła się z trudem, dźwigając na zgarbionych plecach worek z towarem.

Jęknął żalonym, ochryplym głosem, a ja momentalnie odczułam boleśnie rozgoryczenie, bijące z jego oczu, jakby skierowanych w jeden punkt, aby nie spoglądać na nędzę tego życia i na karykaturalny strój.

Wracał do domu, do Karagömrük, ofiarując po drodze swój towar...

Następnego dnia padał śnieg. Siostrzenica moja wróciła do domu z zaczerwienionym noskiem i oczkami. Izmail Hakki Bej także się zjawił. Długą z sobą rozmawiali.

— Cóż ci opowiedział? — zapytałam.

— «Gdybym miał funt, kupiłbym pestki. Zarobiłbym trzy» — powiedział. — A może on chory. Dziwne jakieś rzeczy mówił, leżąc na ziemi w śniegu.

— Cóż zamierza on zrobić z trzema funtami?

— Szkoła nie przyjmuje już jego córeczki, gdyż chodzi w drewnianych trepach. «Jeśli nie kupisz sobie bucików» — powiedział jej nauczyciel — «nie możesz tu powracać».

— Aha!

— I jeszcze jedno mówił cichutko. Prosił, abyśmy mu nie dawały pieniędzy za pestki, tylko kawałek chleba.

Nie mogłam się uspokoić ze wzruszenia. Chcąc ukryć twarz moją przed dziewczynką, przyłożyłam ją do szyby i skierowałam oczy w stronę rzęsiście oświetlonych apartamentów mego sąsiada, podsekretarza stanu. A może i moja siostrzenica była mi za to wdzięczna, że na jej twarzyczkę nie spojrzęłam.

## TEWFIK FIKRET

(1869—1914)

RANKIEM PODCZAS EZANU<sup>1</sup>

Allachu ekber! Allachu ekber!<sup>2</sup>  
 Podniosła cisza panuje dookoła.  
 Rzekłbyś, że przyroda cała korzy się w modlitwie.  
 Allachu ekber! Allachu ekber!  
 Uroczysta cisza: rzekłbyś, że świat cały  
 Tajemny i widzialny  
 Wspomina Twórcę Przedwiecznego.  
 Allachu ekber! Allachu ekber!  
 Podniosła cisza panuje dookoła:  
 Zamilkłe serce przyrody i dusza wszechświata  
 Wspominają Twórcę Przedwiecznego  
 I w pokorze odmawiają modły.

## MECHMED EMIN

(1869)

## MOJE PIEŚNI

Tyś bez serca! Ach, gdzie podziały się dni twej młodości?  
 Miłostki? Niczem wygasły wulkan spoczywam,  
 A wokoło zatruty wiatr zawodzi.  
 Tak! W każdej mej pieśni znajdziesz ostre żądło gada,  
 Lecz może mój zbolaty głos do Was doleci.  
 Pieśni ma, napelnij słodyczą rozwijające się pąki róży,  
 I piosenki młodych dziewcząt niech Was rozwesela.  
 Do was niech dotrą me słowa, niech roznoszą się po kniejach,  
 Gdzie zakochany słowiczek trele swe wydzwania.  
 Ja nieszczęsny! Z tą trzechstrunną lutnią w mej dłoni  
 Biadam nad niedolą mego narodu  
 I zalewam się gorzkimi łzami<sup>3</sup>.

## RUSZEN ESZREF

(ur. 1889)

«Z WĘDRÓWEK PO STAMBULE» — «NOC RAMAZANU W EJUBIE»<sup>4</sup>

Pochyłość ta pociągała mnie, jak urwisko, ku pierwszym wiekom islamu. Doszedłem do Ejubu, będącego wyrazicielem tego osobliwego wzruszenia, jakie wywołać musi miłość do Stambułu. Albowiem to samo imię nosił człowiek, który widział Proroka, słyszał Jego głos, ścisnął Jego dłoń, dzierżył Jego sztandar i pierwszy przelał na ziemi tureckiej swą drogocenną krew muzułmańską. Przed okienkiem, z którego można oglądać mauzoleum świętego, modliła się i szlochała na czarno ubrana kobieta, a ja widziałem przeciwstawione sobie pierwszą chwilę życia i ostatnią<sup>5</sup>...

<sup>1</sup> Nawoływanie do modlitwy przez muezzina z minaretu.<sup>2</sup> Bóg jest największy.<sup>3</sup> Celem zaznajomienia czytelnika z rytmem, cytuję ostatnią zwrotkę w oryginale:

Zawałty ben, elimdeki szu üz telli saz ile  
 Milletimin felaketli chajatyny sôjlejim;  
 Derdilerin göz jaszyny czewrem — le silejim.

<sup>4</sup> Ejub — święte miasto umarłych pod Konstantynopolem, doniedawna niedostępne dla giaurów. Pochowany jest tam Ejub (stąd nazwa miejscowości), towarzysz proroka, który poległ przy próbie zdobycia miasta dla islamu.<sup>5</sup> Kobieta modli się przed świętym o potomstwo.

Chodziłem od grobowca do grobowca, od meczetu do meczetu, od uliczki do uliczki, aby się wżyć i wczuć w zamierające piękno tego zakątka, a w duszy miałem dumę dziecka Stambułu, które nie może się pogodzić z faktem klęski, po tak wspaniałych dziejach. Wieczorem wynająłem kaik. Stąd<sup>1</sup> obserwować mogłem miasto, odbijające się w zatoce podczas zachodu słońca: z jednej strony widziałem Top Kapu — siedlisko Zwycięzców, z drugiej Ejub — święte miejsce pielgrzymek. I Stambuł wydał mi się arką świętą, opromienioną aureolą patriotyizmu i wiary całego narodu od Najwyższych, Namiestników Proroka, do Maluczkich, wszyscy albowiem przyczynili się bezgraniczną pieczołowitością i miłością do nadania mu tak wspaniałej szaty. Powiedziano mi: «Skoro tak głęboko uwielbiasz nasz gród, to dlaczego w nim nie zamieszkujeś?» Odpowiedziałem im wierszem młodego poety Kiami:

«Nie jestem na wygnaniu,  
«Lecz wygnanie jest we mnie».

Nad głowami wiernych, pogrążonych w głębokiej modlitwie, migocą światełka niezliczonych lampeczek oliwnych. Przecudnie czysty głos recytatora Koranu, pisanego w języku dla nas, Turków, i tak pełnym tajemniczości<sup>2</sup>, roznosił się po świątyni, jakby echo z zaświatów, płynące z wiary i miłości. Ci ludzie, którzy w tej chwili jakby opuścili swą cielesną powłokę, a po skończonej modlitwie powrócą do swych zwykłych zajęć, jako handlarze, urzędnicy, sprzedawcy zabawek lub restauratorzy, przedstawiają teraz obraz zgromadzenia połączonych jednym ideałem. Razem biją czołami, razem oddają Najwyższemu pokłony według obowiązującego rytuału, a jednak, pod potokiem światła, każdy z nich pozostał sam na sam ze swoją duszą. I pomyśleć, że w tej samej chwili te same słowa modlitwy, aczkolwiek wymawiane na rozmaity sposób, powtarzane są we wszystkich częściach świata w tysiącach i dziesiątkach tysięcy meczetów... Gdy piękne głosy imamów i muezzinów ucichły, wierni opuścili świątynię w milczeniu, trzymając sandały w dłoniach. Wówczas wyszedłem i ja. Wspaniała nocna cisza panowała na podwórku przed meczetem pod wezwaniem obydwóch Mochammedów: Proroka i Sultana Zdobywcy. Jeszcze przez chwilę słychać było na płytach marmurowych kroki oddalających się. Wysoko, na wieżyczkach minaretów, tliły się światełka. Rozłożysty, stuletni dąb, okolony kunsztownym okratowaniem, w którym się pomieścić już nie może, wypuścił swe gałęzie aż pod arkady świątyni i sklepienia mauzoleum Ejuba. W koronie drzewa, podobnej do czarnego pióropuszu, czarniejszego od nocy, która go otaczała, szumiał leciuchny, daleki zefirek; z oddali dochodził odgłos wytryskającej wody ze źródeł marmurowych, a wszystko razem zlewało się w jakąś melancholijną harmonję, szlachetną i dyskretną, niepozbawioną nawet pewnej nuty wesołości. Ostatnie trele słowika nadawały swoistą słodycz temu cudownemu krajobrazowi, złożonemu z marmuru, liści, ciszy i wody.

Przeszedłem pod siedmioma latarniami i zbliżyłem się do mauzoleum Ejuba. Przyłożyłem czoło do kraty okienka, gubiącego się w tym rozkosznym świetle fajansów o rysunku i kolorach niedających się ani opisać, ani odmalować. Wewnątrz, wśród ścian, również pokrytych precyzyjnymi fajansami, dyskretnie oświetlonych kilkoma misternej roboty lampami, za drugą kratą, objawił mi się grób towarzysza Proroka. Dwa wysokie świeczniki rzuciły przymgłone światło na srebrną kratę, otaczającą bezpośrednio mauzoleum. Długo, długo przypatrywałem się światu wiekuistemu z tego miejsca, gdzie kończy się świat śmiertelników.

Później, w jakiejś ekstazie, niweczącej uczucie życia i strach śmierci, wspiałem się na pagórek, prowadzący na cmentarz. Osobliwą pociechą i siłą napawało mnie to królestwo przodków naszych, których wędrowkę na tym padole oznaczały te białe, zimne pomniki z nieokreślonymi w nocy napisami. Głaskałem wezglowia marmurowe

<sup>1</sup> Ejub leży w głębi Złotego Rogu.

<sup>2</sup> Koran podyktowany był po arabsku przez samego Boga i doniedawna nie był ze względów dogmatycznych tłumaczony na narodowe języki.

grobów i pozazdrościłem spokoju tym istotom, które cierpiały, myślały, weseliły się i kochały życie tak, jak my — a teraz tu spoczywają pod tą skromną ozdobą. Na myśl, że ich los będzie również moim losem, wyzbyłem się wszelkiego uczucia strachu i nieszczerości. A przecież zaznały one lepszych dni w swej ojczyźnie, żyły w dostatku i pewności jutra, nie przeczuwając, że ziemia, którą swą serdeczną krwią zdobyły, może kiedyś być zagrożona. «Od Was się wywodzę» — rzekłem im — «i pozostaniemy sobą».

Opodał mnie cyprys zaskrzypiał... Woddali rechotały żaby. A w ciemnościach iskrzyły się oczy wyjących psów. Za chmurami wznosił się księżyc w kształcie wąskiego, żółtawego rożka, gdy tymczasem w wodzie Złotego Rogu, gładkiej jak płyta ze śpiżu, pełzały odbłaski światła — niby jakieś chińskie smoki... Skierowałem oczy me ku Stambułowi, tonącemu tego wieczora w milionach światła z minaretów, ku temu wspaniałemu grodowi, który, pochłaniając w ciemnościach nocnych swą niedolę i cierpienia, zdawał się ulatać ku niebu w postaci góry świetlnej, symbolu triumfu i wspaniałości tureckiego narodu. Wieczny Stambuł, misterny twór naszego genjuszu, Stambuł, który chciałbym objąć i w siebie wchłonać. I u stóp nagrobku, na którym stałem oparty, szlochałem, szlochałem...

---

*Wybór i układ Al. Chojnackiego.*



H O M E R

(w. VIII przed Chr.)

I L J A D A

Księga I, ww. 1—224

Fragment I

Gniew Achilla, bogini, głoś, obfity w szkody,  
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody,  
Mnóstwo dusz mężnych wcześniej wtrącił do Erebu,  
A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu  
Walające się trupy rycerskie wśród pola:  
Tak Zeusa wielkiego spełniała się wola  
Odtąd, gdy się zjątzyli sporem niebezpiecznym,  
Agamemnon, król mężów, z Achillem walecznym.

Od kogoż tej niezgody pożar zapalony?  
Od Feba, co go Kronid z pięknej miał Latony.  
Gniewny na króla, wojsku straszną klęskę zadał,  
Rozszerzył mór w obozie — codziennie lud padał;  
Mścił się, że był zelżony jego kapłan święty.  
Przyszedł Chryzes, gdzie stały Achajów okręty,  
Świetną na okup córki przynosząc ofiarę,  
A w rękę mając berło i Feba tiarę;  
Prosił Greci o litość na ojcowskie bóle,  
Najbardziej zaś Atrydy, dwa narodów króle:  
— «Atrydowie i Grecy! niech wam dadzą bogi  
Dobyc miasta Priama, w swoje wrócić progi!  
Lecz pomni na luk Feba, strzelający z góry,  
Weźcie okup, nie przeczcie ojcu jego córki!»

Rzekł. W Grekach szmer przyjazny oznaczał ich zgodę,  
Aby ucześć kapłana i przyjąć nagrodę.  
Nie przypadła królowi do serca ta mowa,  
Więc go puścił z obelgą, przydał groźne słowa:  
— «Znijdź, naprzykrzony starcze, z oczu moich przedziej,  
Nie waż bawić się dłużej, ani wracać więcej!  
W tiarze, w berle słaba dla ciebie zastona.  
Chyba mi starość córkę twoją wydrze z łona;  
Od swych daleko, w Argos na zawsze osiedzie,  
Tam wełnę tkać i łoże moje dzielić będzie.  
Pójdź precz! ani mię gniewaj, żebyś został cały!»  
Rzekł król; załakł się starzec i odszedł struchlały.

Szedł cicho ponad morzem, gdzie huczały fale,  
A gdy już był daleko, wynurzył swe żale  
I syna pięknowłosej tak prosił Latony:  
— «Boże! którego Chryza doznaje obrony,  
Smintejczyku! co strzałę wypuszczasz daleką,  
Co masz Tened i Kyllę pod możną opieką:

Jeśli wieńcami twoje zdobitem kościoły,  
Jeślim ci na ofiarę bił kozły i woły,  
Niech prośba ta od ciebie będzie wystuchana:  
Zemścij się łukiem twoim obelgi kapłana!»  
Ledwie skończył, modlitwa doszła ucha Feba,  
Wysłuchał go łaskawie, zstąpił gniewny z nieba  
Z łukiem swoim, z kołczanem, na ramionach strzały  
W bystrym biegu straszniemi szczęki przerażały.  
Idzie jak noc posepny; siadł zdała, łuk spina:  
Leci strzała i, świszcząc, powietrze rozcina.  
Okropnym brzmiać łuk jękiem, psy strzela i muły;  
Wnet zgubne jego razy Achaje poczuły:  
Pałą się bezprzestannie smutne trupów stosy.

Przez dziewięć dni na wojsko śmiertelne szły ciosy,  
Dziesiątego Achilles cały lud zwoływa,  
Bo tę myśl w piersi Hera wlała mu życzliwa,  
Bolesna, widząc swoich Achajów zagładę.  
Zatem, gdy się na walną zgromadzili radę,  
Mężny Achilles temi zaczął mówić słowa:  
— «Teraz bardzo się lękam, synu Atrejowy,  
Abyśmy oblakani wpośród morskich brodów,  
Nie musieli powracać do ojczystych grodów,  
Jeżeli tu na zawsze nie zamknem powieki,  
Bo i wojna okrutna, i mór niszczy Greki.  
Niech wiesz lub kapłan powie, skąd ta chłosta sroga,  
Albo snów tłumacz wierny — wszakże sny od boga?  
Niechaj powie, dlaczego Feb naszej chce zguby:  
Czy go niedopełnione obrażają śluby?  
Czyli stąd, że świętego stugłowu nie bierze?  
Bijmy owce i kozy dla niego w ofierze,  
Aby ubłagan, wstrzymał ten mór niebezpieczny».  
To powiedziawszy, usiadł Achilles waleczny.

Wstał Testara syn, Kalchas, pierwszy w swym urzędzie:  
Zna, co jest, zna, co było, zna nawet, co będzie;  
Mądry i duchem wieszczym od Feba natchnięty,  
On do Troi achajskie prowadził okręty.  
Więc tak na radzie głosem roztropnym opiewa:  
— «Chcesz, bym wyrzekł, dlaczego na nas Feb się gniewa,  
Feb, którego łuk srebrny zgubne strzały niesie?  
Ja powiem, lecz przysięgą zaręcz, Achillesie,  
Że mi słowy i ręką dasz potrzebne wsparcie,  
Bo widzę, jak się na mnie rozgniewa zażarcie  
Mąż, któremu nad sobą władzę Grecy dali:  
A gdy król na słabego gniewem się zapali,  
Chociaż się na czas wstrzyma, w razie nie zaszkodzi,  
Znajdzie potem sposobność i zemście dogodzi».  
Achilles odpowiedział na tę wieszczka mowę:  
— «Co tylko wiesz, mów śmiało! Bo na Apollina  
Przysięgam, Zeusowi najmilszego syna,  
Którego ty świętości trzymając na pieczy,  
Z daru jego zwiastujesz przyszłe Grekom rzeczy;  
Przysięgam, póki widzę to światło na niebie:  
Żaden się z Greków skrzywdzić nie odważy ciebie,  
Ani sam Agamemnon. Nic to nie przeszkadza  
Prawdę wyrzec, że jego najwyższa dziś władza».

Ośmielił się tem wieszczek. — «Ani dla ofiary,  
Ani dla ślubów, rzeczy, zesłane są kary;  
Wzgarda świętego slugi ściągnęła tę stratę.  
Nie chciał wydać król córki, odrzucił zapłatę,  
Dlatego między nami zaraza się szerzy,  
I nie wprzódę się w swoim gniewie Feb uśmierzy,  
Aż król powróci zdobycz, którą dotąd trzyma,  
I darmo odda brankę z czarnemi oczyma.  
Gdy do Chryzy pošlemy jeszcze stugłów święty,  
Może się da złagodzić dla nas bóg zawzięty».  
— Skończywszy, usiadł Kalchas. Natychmiast powstanie  
Trzymający szerokie Atryd panowanie:  
Straszliwie pomieszany, gniew mu wewnątrz ścisła,  
A oko rozpalone żywym ogniem błyska;  
I rzekł, krzywym rzucając na Kalchasa wzrokiem:  
— «Zawsze ty, widzę, jesteś nieszczęścia prorokiem  
I nic nie umiesz dla mnie zwiastować przyjemnie;  
Każdy twój czyn i wyraz serce rani we mnie.  
Teraz nawet rozgłaszasz pomiędzy Achiwy,  
Iż dlatego zarazą Feb ich trapi mściwy,  
Żem zatrzymał dziewicę, okupem wzgardziłem.  
Posiadanie tej branki bardzo mi jest miłym,  
Byłaby moją w domu pociechą jedyną,  
Większą, niż Klitemestra, którąm wziął dziewczyną.  
Wyrówna jej rozumem moja niewolnica  
I sercem, i przemyśłem, i pięknością lica.  
Ale gdy trzeba, ojcu wracam ją do ręki,  
Bo wołę całość ludu nad jej wszystkie wdzięki.  
Tylko mi tę osłódźcie stratę, przyjaciele:  
Godziź się, bym sam jeden szkodował tak wiele?  
Wszakże wszyscy widzicie, co mi z rąk wypada».  
Na to Pelid waleczny tak mu odpowiada:  
— «Atrydo! jakżeś razem i dumny, i chciwy!  
Tobież łupu szlachetne odstąpią Achiwy?  
Ja nie wiem, jeśli jakie łupy gdzie złożono:  
Co z miast było wziętego, to już podzielono;  
Wracać nazad i znowu dzielić nie przystoi.  
Ale kiedy przemożnej dobędziemy Troi,  
Wróc tylko brankę bogu, za dzisiejszą stratę  
Potrójną i poczwórną odbierzesz zapłatę».  
— «Luboś mądry, nie zdołasz tego wmówić we mnie —  
Rzekł król — i chcesz mnie słowy podchodzić daremnie.  
Oddawszy moją brankę, będęż smutny siedzieć,  
Gdy ty cieszysz się twoją? Oddam, lecz chcę wiedzieć,  
Czyli tę stratę Grecy nagrodzą mi równie;  
Jeśli nie chcą nagrodzić, sam wezmę gwałtownie...  
Ale się w innej o tem naradzimy porze.  
Teraz okręt na wielkie wyprowadźmy morze  
I zbierzmy zdolne majtki do takiej wyprawy,  
Brankę wsadźmy z ofiarą stugłówną do nawy.  
Pierwsi z wodzów na siebie tę podróż weźmiecie:  
Ajas, Odyseusz, lub król panujący na Krecie,  
Lub, jeśli tak rozkażę, najstraszniejszy z ludzi,  
Pelid się tą usługą dla Greków potrudzi.  
Pewnie bóg zagniewany, który mściwie strzela,  
Tą ofiarą się zmieni dla nas w przyjaciela».

Na to strasznie zapalon Achilles zawoła:  
— «O łakomco! o człeku bezwstydneho czoła,  
Któż z Greków chętnie twoje spełni rozkazanie?  
Kto pójdzie na wyprawę? na czele wojsk stanie?  
Nie z mojej ja przyszedłem pod Troję przyczyny,  
Ród ten przeciw mnie żadnej nie popełnił winy;  
Do owoców mej ziemi nie ściągnęli dłoni,  
Nie tknęli się trzód moich, nie zabrali koni,  
Najmniejszej w żyznej Ftyi nie zrobili szkody;  
Dziela mię od nich wielkie i góry, i wody.  
Ale z tobą przyszli z odległych stron świata  
Czci twojej nastugiwać, mścić się krzywdy brata.  
Bezczelniku! z psiem okiem, nie znasz tej usługi!  
Jeszcze mi to chcesz wydrzeć, com wziął za znój długi  
I co mi godnie greckie przyznały narody!  
Dotąd ja równej z tobą nie miałem nagrody,  
Gdy, po zdobyciu miasta, wojsko łup rozbiera.  
Na moich barkach ciężar wojny się opiera,  
Lecz kiedy podział przyjdzie, lepsza część dla ciebie,  
A ja, upracowany, zemdlony w potrzebie,  
Z małą częścią na okręt idę z bojowiska.  
Do Ftyi, do mojego powracam siedliska,  
Gdy nie znasz moich zasług, śmiesz zdobyć wydzierać;  
Ja nie wiem, czy beze mnie będziesz łupy zbierać».

Jemu król Agamemnon, równym gniewem zdjęty:  
— «Jedź, gdy ci się podoba, spychaj twe okręty!  
Czyż to na tobie jednym los Grecyji stoi?  
Mam drugich, co się zemszczą mej krzywdy na Troi,  
A najskuteczniej Kronid, panujący w niebie.  
Z wszystkich królów najbardziej nienawidzę ciebie...  
Idź, rządz Myrmidonami, nie mną, człeku hardy:  
Gniewy twoje niczego nie warte prócz wzgardy.  
Lecz wiedz: gdy Feb ode mnie Chryzeidę bierze,  
Dam rozkaz, niech ją moi odwiozą żołnierze,  
A zato się do twojej posunę nagrody:  
Bryzeidę ci wezmę z pięknymi jagody,  
Byś znał, że jest mocniejszy. Drugich strach ogarnie,  
Widząc, że mi się równać nie można bezkarnie».

Na te słowa okrutnie Pelid rozjątrzony,  
Niepewny, na obiedwie nachyla się strony:  
Czy usunąwszy drugich, w Atryda uderzyć,  
Czy lepiej gniew powściągnąć i zapal uśmierzyć.  
Gdy się na obie strony chwieje myśl wątpliwa,  
W zapale z pochw miecza straszego dobywa:  
Wtem z nieba z Hery przyszła Pallada przysługi,  
Bo równie jej był miły jak jeden, tak drugi.  
Ztyłu lekko za włosy pociąga rycerza,  
Niczym, jego tylko oczom się powierza.  
Zląkł się Pelid, gdy spojrzął za siebie zdumiały,  
Widzi Palladę: oczy jej groźnie iskrzały;  
I rzecze: — «Wielka córo pana błyskawicy,  
Pocóżesz tu z niebieskiej nadeszła stolicy?  
Czy widzieć, jaką Atryd obelgę mi czyni?  
Oświadczam ci, bo tego dokażę, bogini,  
Że dłoń ta wnet za dumę duszę mu wywlecze».  
A na to modrooka Pallada tak rzecze:

— «Przysłałam gniew twój uśmierzyć z woli Zeusa żony:  
 Jej Achilles, jej Atryd równie ulubiony.  
 Nie ruszaj miecza, do krwi nie chcesz się zapędzać;  
 Ale słów obelżywych możesz nie oszczędzać.  
 Wierz mi, bo to być musi, że dla tej ofiary  
 Trzykroć będziesz drogiemi nagrodzony dary;  
 Tylko bądź nam posłuszny, gniew uhamuj srogi».  
 A Palladzie Achilles mówi prędkonogi:  
 — «Choć cały gniewem pałam, lecz rozum ostrzeża,  
 Iż ten błdzić nie może, kto bogom ulega;  
 Kto na rozkazy bogów nie zatyka ucha,  
 Tego wzajem łaskawe niebo chętniej słucha».  
 To wyrzekłszy, przestaje na Pallady radzie,  
 Powściąga silną rękę i miecz w pochwę kładzie;  
 A bogini, poselstwo odprawiwszy swoje,  
 Do bogów śpieszy, w górne Zeusa pokoje.

Księga XVIII, ww. 1—105

Fragment II

*(Po odebraniu mu branki Achilles wycofał się z wojny; chciał go zastąpić przyjaciel jego Patrokl i legł w bitwie z Hektorem; Trojanie zwyciężają Greków.)*

Gdy tam nakształt pożaru Ares boje zwodzi,  
 Antyloch przed oblicze Achilla przychodzi.  
 Rycerz stał przed nawami, na pole pozierał,  
 A serce najsmutniejszym przeczuciom otwierał:  
 — «Skąd to jest (słowy temi sam w sobie narzeka),  
 Że Grek rozpierzchnion w polu ku nawom ucieka?  
 Ach! by mię nie trapiła ma Dola zacieka!  
 Ach! by się nie ziściło, co mi Tetys rzeka...  
 Pewnie los nieszczęsnego Patrokla dni skrócił!  
 Zleciłem, aby ognie zgasiwszy, powrócił  
 I nie śmiał bronią z mężnym Hektorem się ścierać».  
 Gdy nie przestawał myśli tak smutnych rozbierać,  
 Nestora syn przychodzi, łza mu gęsta ciecze,  
 I, żalosi donosząc nowinę, tak rzecze:  
 «Achillu, głos ode mnie usłyszysz zbyt srogi.  
 Za co nas tak okropnie utrapili bogi!  
 Leży Patrokl! o nagie zwłoki Grek się bije,  
 Bo już zbroja Hektora pyszne piersi kryje».  
 Rzekł; jemu boleść czarną mgłą oczy zasłoni,  
 Wraz gorący w obojej garnąc popiół dłoni,  
 Sypie na głowę, wściekły z tak bolesnej straty,  
 Szpecąc nim boskie czoło i prześliczne szaty.  
 Wyniosłem ciałem ziemię szeroko zakrywa,  
 W piasku się tarza, z głowy piękny włos wyrywa...  
 Antyloch łączył rzewne łzy do jego jęku,  
 Lecz ręce Achillesa w swoich trzymał rękę,  
 Bojąc się, by tak srogim utrapiony razem,  
 W rozpaczy sam zabójczem nie pchnął się żelazem.  
 Achilles stęka, żalem ściśniony gwałtownym;  
 Na dnie morza siedząca przy ojcu szanownym  
 Tetys jęknęła, smutne słysząc jęki syna,  
 Nereid grono do niej kupić się zaczyna...  
 Jęczą, razy gęstemi śnieżne bijąc łona,  
 Gdy między niemi rzecze Tetys rozkwilona:

«Słuchajcie mię, o siostry! wam powiedzieć muszę,  
 Jak okrutne boleści moją cisną duszę:  
 Ach, jakżem nieszczęśliwa jest matka! Niestety!  
 Wydałam na świat syna, wszystkie ma zalety:  
 Największy z bohaterów, zaszczyt swej ojczyzny,  
 Wyrósł mi nakształt krzewu ssącego grunt żyzny.  
 Posłałam go na wojnę dla Troi pogromu,  
 Lecz go więcej w Peleja nie obaczę domu.  
 Dreńczy się, póki słońce ogląda na niebie,  
 A z matki nie ma żadnej pomocy dla siebie.  
 Śpieszę zaraz obaczyć i spytać się syna,  
 Skąd ta, gdy walczyć przestał, boleści przyczyna».

To wyrzekłszy, głębokie opuszcza jaskinie,  
 Za nią płaczące tłumem cisną się boginie;  
 Przed nimi srebrne wały morze napół dwoi.  
 Gdy przybyły do krain żyznorodnych Troi,  
 Porządkiem na brzeg wyszły, który był zajęty  
 Achilla i Ftyjotów licznymi okręty.  
 Rycerz wzdychał, wtem nagle twarz matki zabyłśnie;  
 Chwyta za głowę syna, z czułym jękiem ściśnie.

«Synu — mówi — dlaczego łzami skrapiasz lice?  
 Odkryj matce twojego serca tajemnice!  
 Jużś skutek zupełny twoich próśb oglądał,  
 Gdyś, obie do Zeusa wzniosłszy ręce, żądał,  
 By Grek, do naw odparty, w hańbie i rozpacz  
 Poznał, ile dla niego broń Achilla znaczy».

A syn z ciężkiem westchnieniem: «Prawda, matko miła,  
 Że prośby moje wola Zeusowa spełniła.  
 Lecz jak pociechę w ciężki żal wyrok zamienił,  
 Gdy ten, com go najwięcej z towarzyszków ceniał  
 I którego ukochał jako duszę moją,  
 Patrokl zginął! Już Hektor pyszną dźwierz zbroję,  
 Wtenczas dan Pelejowi upominek drogi,  
 Gdy cię w łożo śmiertelne wprowadzały bogi.  
 Obyś była została w bogiń morskich gronie,  
 A Pelej był w śmiertelnej pokochał się żonie!  
 Dziś cię smutne z człowiekiem połączyły śluby,  
 Żebyś rzewnie płakała twego syna zguby.  
 Nie uściskasz go więcej po wojennym trudzie!  
 Ja żyć nie chcę, i pierwiej nie ujrzą mię ludzie,  
 Póki mą dzidą Hektor żywota nie straci  
 I swą śmiercią Patrokla śmierci nie opłaci».

A Tetys, wylewając hojne łez potoki:

«Ach, synu! sam przyśpieszasz twej śmierci wyroki.  
 Jeżeli Hektor zginie, twój zgon się nie zwlecze!»

«Niech zginę zaraz — rycerz zapalony rzecz —  
 Gdy od tego nieszczęścia los mię nie uchronił,  
 By umarł mój przyjaciel, a jam go nie bronił...  
 Choć moja krzywda ciężka, potrzebie ulegnę,  
 Wraz na zabójcę mego przyjaciela biegnę;  
 Potem niechaj śmierć na mnie spełni wyrok srogi,  
 Jak wielki Kronid zechce i Olimpu bogi...  
 Nie odradzaj mi, matko! twe łzy, twe zaklęcia,  
 Nie zdolne mnie od tego cofnąć przedsięwzięcia».

Na to mówi królowa srebro płynnych toni:

«Czynu tak chwalebne matka ci nie broni,

Z niebezpieczeństwa, które wkoło ich ścisnęło,  
 Wyrwać swych towarzyszków, rycerskie jest dzieło...  
 Ale póty się hamuj w bojowym zapędzie,  
 Dopóki tu do ciebie matka nie przybędzie.  
 Jutro z pierwszym promieniem obaczysz mnie rano,  
 Z piękną zbroją, przez władcę Hefajsta kowaną».

Wraz tem słowem ostrzeża siostrz nerekid grono:

«Wy powróćcie się w morza niezgłębne go łono,  
 Gdzie podeszły nasz ojciec ma pałac wspaniały,  
 I powiedźcie mu wszystko, coście tu słyszały.  
 Ja śpieszę do Hefajsta, czy na prośbę moję,  
 Nie skłoni się dla syna nową ukuć zbroję».

Rzekła; nimfy się skryły w ocean głęboki.  
 Sama dąży szybkimi do Olimpu kroki,  
 By przyniosła dla ciebie zbroję, Achillesie.

Księga XXIV, ww. 232—380

Fragment III

*(Tetys przynosi Achillowi nową zbroję; ten wyprawia się pod mury Troi, walczy z Hektorem, zabija go; ojciec Hektora, król trojański Priam rozpacza, aż Hermes, postany przez Zeusa, namawia go, by udał się do Achilla i poprosił o wydanie zwłok syna dla przystojnego pogrzebu.)*

Po tej rozmowie lekkim skokiem na wóz wsiada,  
 Bierze bicz z ręki starca, lejcem żywo włada,  
 A i w muły, i w konie wlewa zapal nowy,  
 Widzą przed sobą wieże i głębokie rowy,  
 Tam ucztę gotowały straż mające Greki;  
 Im przesłodki sen Hermes spuszcza na powieki.  
 Już wrzeczadze odjęte, już otwarta brama,  
 Z bogatemi darami wprowadza Priama.  
 Otóż namiot Achilla: wgórę go wywiodły  
 Wierne Ftyjaty, ściągwszy niebotyczne jodły,  
 Lud mieszkanie rycerza belami ukrzepił,  
 A dach zebraną trzcina na łakach zasklepił.  
 Z gęstych go palów parkan otaczał dokoła,  
 Rygiel drzwi ledwie mężów trzech podważyć zdoła:  
 Pelid się tylko nad nim bynajmniej nie silił,  
 Sam i łatwo go zamknął, i łatwo odchylił.  
 Więc Hermes, co go twórcą korzyści świat głosi,  
 Wtenczas ciężką zaporę dla starca podnosi,  
 Wprowadza wiozącego upominek drogi,  
 Skacze z wozu i takie daje mu przestrogi:  
 — «Jestem Hermes, przyszedłem tu z Zeusa mocy,  
 Aby ci w twojej drodze użyczył pomocy...  
 Idź, chwyć nogi rycerza, nie przestawaj błagać  
 Przez ojca i przez matkę, pięknym kształtną włosem,  
 I przez syna, by nad twoim zlitował się losem».

Gdy tak razem ostrzeże starca i pocieszy,  
 Hermes znów do Olimpu wyniosłego śpieszy.  
 Priam wysiadł na ziemię, został Idaj czuły,  
 Aby pilnował z wozem rumaki i muły.  
 Do mieszkania Achilla starzec prosto zmierza,  
 Zastaje towarzyszy zdala od rycerza;  
 Sam tylko Automedon wierny, Alkim drugi,  
 Szczep Aresa, gotowi stali dla usługi.

Tylko co się napojem i jadłem nasycił.  
Wszedł Priam cicho, ukląkł, za nogi uchwycił,  
I rękąm srogim, które w podziemne otchłanie  
Tylu wtrąciły synów, dał pocałowanie.  
Jako gdy kto zabije gwałtownie człowieka,  
Przed zemstą prawa w obce krainy ucieka, —  
Wszystkich zdumi, w dom wszedłszy, gdzie schronienia żąda:  
Tak Pelid na Priama zdumiony ogląda.  
Zdziwieni towarzysze patrząją po sobie,  
Gdy starzec zaczął, w ciężkiej pograżon żalobie:  
— «Pomnij na ojca swego, boski Achillesie!  
W równym on ze mną wieku, w ostatnich lat kresie;  
Może niesprawiedliwi cisną go sąsiedzi,  
Niema, ktoby złe odparł, pod którym się biedzi;  
Jednak słysząc, że żyjesz, wolny od rozpaczy,  
Krzepi się tą nadzieją, że syna zobaczy,  
Gdy z Troi do ojczystej powrócisz krainy.  
Lecz ja, najnieszcześniejszy, miałem dzielne syny,  
Z których podobno żaden żywy nie zostaje,  
Odkąd wojnę przynieśli przed nasz gród Danaje...  
Więszą liczbę ich Ares w polu poobalał;  
Ostatni, co ich bronił i miasto ocalał,  
Hektor, zginął od ciebie, walcząc za ojczyznę.  
Po niego tu przychodzę. Uczcij mą siwiznę!  
Masz okup wielkiej ceny, masz drogie ofiary:  
Szanuj bogi, Achilla, nie gardź memi dary!  
Przypomnij ojca, obu nas ciężar lat gniecie.  
Możesz być kto ode mnie biedniejszy na świecie?  
Jam usta — tegom wreszcie nieszczęśliwy dożył —  
Na ręce synów moich zabójcy położył!»  
Rzekł. Na wspomnienie ojca rycerz czule wzdycha,  
I zwolna rękę starca od siebie odpycha.  
Ten, Hektora wspomniawszy, w nim państwa nadzieje,  
Leżąc u nóg Achilla, rześiste lzy leje;  
Tamten na dwie osoby swą czułość rozdziela:  
Już płacze ojca, znowu płacze przyjaciela.  
Spólne ich narzekania i płacz pomieszany  
Smutnem echem namiotu powtarzały ściany.  
Pofolgowawszy sercu łzami obfitemi,  
Wstał i, podając rękę, podniósł starca z ziemi;  
Wzruszyła go poważna głowa, broda siwa,  
Nakoniec się do niego w tych słowach odzywa:  
— «O nieszczęśliwy starcze! coś ty nędzy zażył!  
Jakżeś się sam przez obóz grecki przejść odważył,  
Ażebyś przed obliczem rycerza się stawił,  
Który cię tylu synów walecznych pozbawił?  
Gdyś to zrobił, z żelaza kute serce w tobie.  
Lecz siądź, uspokójmy się obydwu w żalobie!  
Naco się mamy dręczyć? próżne nasze smutki,  
Żadne z nich dobre dla nas nie wynikną skutki.  
Smutek dostali ludzie od bogów podziałem —  
Oni się tylko cieszą szczęściem doskonałem.  
Dwoiste pod Zeusowym tronem jest naczynie,  
Z jednego złe, z drugiego dobre dla nas płynie.  
Czyje losy z obydwu naczyń Zeus miesza,  
Tego naprzemian smuci, naprzemian pociesza.



Komu ze złego czerpa, ten skazan na nędzę,  
 W ohydzie, wzgardzie smutną ciągnie życia przędzę;  
 Błąka się, pod ciężarem zgryzoty się trzudi,  
 Równie znieawidzony od bogów i ludzi.  
 Dla Peleja bogowie szczodrzy od początku,  
 Zadziwił wszystkich skarbami, wielkością majątku,  
 I nad Ftyjoty berłem przemożnym się chlubił;  
 Choć śmiertelny, boginię za żonę poślubił.  
 Ale mu niebo w innym uskapiło względzie,  
 Tronu jego potomstwo po nim nie osiedzie:  
 Jednego spłodził syna i ten prędko zginie.  
 Oto pędzę dni smutne w dalekiej krainie,  
 Żadnym nie będąc wsparciem dla starego ojca,  
 Tu siedzę, twój niszczyciel, twych synów zabójca.  
 I na ciebie bogowie wylali swe dary:  
 Co tylko dierży Lesbos, gdzie rządził Makary,  
 Frygija i Hellespont, toś wszystko posiadał,  
 Nadto świetne i liczne potomstwo bóg nadał.  
 Lecz twoje szczęście w jednej nie trzyma się mierze:  
 Wre bój przy murach miasta, giną wam rycerze,  
 Znoś więc! żaden od nędzy nie wyjęty człowiek,  
 Przytłum w sercu boleści i otrzyj łzy z powiek,  
 Bo nie odzyskasz syna, który już w Erebie,  
 Nie wskrzesisz go, a płaczem zgubisz jeszcze siebie».  
 — «Nie zapraszaj, bym siedział — rzekł mąż równy bogu —  
 Póki Hektor niegrzebny przy twym leży progu.  
 Oddaj ciało niezwłocznie, o tę łaskę proszę,  
 Chciej przyjąć liczne dary, które ci przynoszę.  
 Obyś ich użył, miłą obaczył ojczyznę,  
 Gdyś mi życie zachował, uczcił mą siwiznę.  
 Przez ciebie jeszcze słońca cieszę się widokiem».  
 Pelid, na niego patrząc zapalonem okiem:  
 — «Nie chciej mię gniewać, starcze, nie bądź mi natrętny!  
 Nimeś przyszedł, Hektora oddać byłem chętny...  
 Nie wzbudź we mnie gniewu, przestań mi się kwilić,  
 Żebym cię stąd nie wypchnął; tak, winny dwa razy,  
 Zgwałciłbym ludzkość, złamał Zeusa rozkazy».  
 Drżący król woli jego poddać się nie zwłoczył.  
 Z prędkością lwa Achilles z namiotu wyskoczył,  
 Lecz nie sam: Automedon, Alkim za nim śpieszy:  
 Ich przyjaźnią po stracie Patrokla się cieszy.  
 Konie i muły z jarzma wyprzągwszy, prowadzą  
 Woźnego do namiotu i na krześle sadzą;  
 A z wozu ładownego biorą sprzęt bogaty,  
 Przeznaczony dla ciała Hektora opłaty...  
 Brankom ciało myć kazał i maścić na boku,  
 Chcąc ojcu bolesnego oszczędzić widoku...  
 Miękką dłoń dziewic myje ciało i namaszcza,  
 Okrywa piękną szatą i obwodem płaszcza.  
 Pelid je na pogrzebne łożo dźwignął z ziemi  
 I na wozie położył z towarzyszymi swemi,  
 A wzywając Patrokla wpośród jęków wielu:  
 — «Nie miej mi — rzecze — za złe, miły przyjacielu,  
 Jeśli się w Hadzie dowiesz o moim uczynku,  
 Żem wziął okup za ciało w drogim upominku».

Powróciwszy, naprzeciw Priama usiada,  
 I co uczynił, temi słowy opowiada:  
 — «Masz syna! byłem twemu powolny życzeniu;  
 Rano go przy Jutrzenki obaczysz promieniu.  
 Teraz przyjmij posilek, uśmierz serca mękę...»

*Tłum. T. Sinko według Dmochowskiego.*

## ODYSEJA

### Spotkanie Odysa z Nauzykają

Pieśń VI, ww. 1—250

*(Powracając z pod Troi, Odys stracił całą swą drużynę i już sam jeden zdążył do domu, aż jako rozbitek dostał się na wyspę Scherję, zamieszkałą przez Feaków; rządził tam król Alkinoj, którego córka Nauzykaja spotkała na morskiem wybrzeżu Odysa i przypro-wadziła do ojca.)*

Usypiał boski tułacz Odys, sen już spada  
 Twardy, na złamanego trudem. Wraz Pallada  
 Idzie w grodzie Feaków, leżącym precz dalej.  
 Przedtem oni w szerokiej Hiperji mieszkali,  
 Gdzie wojenne Cyklopy mając za sąsiady,  
 Wciąż nękanych od pewnej ratując zagłady,  
 Wywiódł ich Nausitoos, on, bogom podobny,  
 I osadził na Scherji, kędy kraj zasobny,  
 A od ludzi daleki; miasto zamknął w tyny,  
 Zbudował domy, chramy, grunt rozdał na gminy,  
 Lecz karą zwalon zstąpił w Hadesa podziemie.  
 Dziś mądry król Alkinoj wziął w rządy to plemię.  
 Zatem Pallas Atena w jego dworzec dąży,  
 I powrót Odysea na myśli jej ciąży.  
 Szła prosto; do panieńskich komnat się przemyka,  
 Gdzie córka Alkinoja śpi, piękna Nauzyka,  
 Boginiom równa wzrostem, a wdzięczna jak one.  
 Niepośledniej urody dwie dziewy uspione  
 Leżały tam przy odrzwiach błyszczących podwoi.  
 Pallas jak lekki powiew do łóżka dziewoi  
 Przemknie się, do głów schyli, coś do niej przygwarza,  
 Wziąwszy na się kształt córki Dymasa żeglarza,  
 Druchny jej najmilejszej i jej równolatki —  
 I mówiła bogini odziana w kształt gładki:  
 — «Oj Nauzyko! toż z ciebie leniuszek nielada!  
 Drogie szatki, bielizna precz brudem przepada,  
 A wesele za pasem! Mieję co pięknego  
 Dla tych družb, coć powiodą do pana młodego,  
 A i dla się — bo zwykle strój czystszy u ludzi  
 Zwraca imię, w rodzicach ucieśnienie budzi.  
 Dalej zatem do prania! wyprzedź ranne zorze!  
 By raźniej poszła praca, każda ci pomoże:  
 Ja pierwsza. Raj panieński się kończy; wszak swaty  
 O ciebie już zachodzą od młodzi bogatej  
 I przedniejszej, bo przecież ród twój niepośledni!  
 Nuże! Poproś rodzica pierw, nim się rozedni,  
 Aby ci kazał muły zaprząc w wóz drabiaty:  
 Nalóżysz nań sukienki, przepaski, makaty.

Jechać będzie wygodniej; pieszo zbolą nogi;  
Przecież pralnie od miasta taki kawał drogi». —

To powiedziawszy, Pallas siwooka wraca  
Znowu na szczyt Olimpu, do bogów pałaca,  
Gdzie nigdy burza nie grzmi, deszcz ścian nie obija,  
Śnieżna zamieć nie prószy — tylko się przewija  
Nieustanna pogoda, ni to namiot lity:  
Tam bogom raj wesela płynie niepożyty;  
Tam wróciła Atena, napomniawszy śpiącą.

Wstała Jutrznia, poświęta swą złotem kapiącą  
Budząc Nauzykę. Panna swoim snom się dziwi,  
Prędko z komnat do komnat bieży, by co żywiej  
Rodzicom opowiedzieć. Zastała rodzice:  
Matka przy ogniu siedzi, wkoło służebnice,  
I lekuchnem wrzcionem krasną wełnę skręca,  
Z ojcem zbiegła się w progu; właśnie go książęca  
Walna rada wzywała, i szedł zasiąść w radzie:  
— «Dobry tato, każ dla mnie zaprząć wóz, a długi,  
Z wartkiem koły; pilno mi jechać do strugi  
Prac bieliznę; bo tyle już jej się zebrało!  
Wszak i tobie przystoi bieliznę mieć białą,  
Gdy siadasz w zgromadzeniu dostojnych Feaków.  
Wszak i doma jest pięciu dorodnych junaków,  
Dwóch żonatyh, trzech jeszcze chłopiąt już niematyh,  
Twych synów; ci chcą zawsze chodzić w szatach białych  
Na płasy, a wszystkiemu radź tu, moja główko!»

Tak mówiła, a wtrącić wstydno jej by słówko  
O weselu. Lecz ojciec domyślił się tego  
I rzekł: «Nię bronieć-ć, córko, ni mułów, ni czego;  
Natychmiast niech parobcy wóz zaprzęgą mułmi,  
Wysoki, wyplatany i z wartkiem kółmi».

To rzekłszy, krzyknął; czeladź przyskoczyła żwawo:  
Wóz koleśny wytoczon stoi przed wystawą;  
Wiodą muły; zaprzężna idzie w dyszel para.  
Nauzykaja z komory znosi coniemiarą  
Cienkich szat i bielizny, wóz naładowywa;  
Matka zaś pełny koszyk smacznego pieczywa  
I jarzynek tka w rękę; była i lagiewka  
Skórzana z winem w drogę; na wóz siadła dziewczka;  
O dzbanuszk z oliwą matka też pamięta,  
By, wyszedłszy z kąpieli, ona i dziewczęta  
Miały czem się namaścić. O! już wzięła wodze,  
Biczem klasła w powietrzu. Z turkotem po drodze  
Poklusowały muły, ciągnąc ciężar z panią,  
Wždy nie samą; i dziewczki siedziały tuż za nią.

Owóz gdy przyjechały nad brzeg ślicznej rzeki,  
Gdzie w cembrzyny kamienne sączą się poniki  
Wód nieprzebranych, miejsca dla praczek wygodne,  
Prędko muły wyprzęgą i puszcza swobodne  
Na paszę w słodką trawę, co z taką rozkoszą  
Wyściela brzegi rzeki. Potem z woza znoszą  
Bieliznę i po sztuce w ocembrzone wody  
Kładą, deptając nogami, piorą na wyprzody.  
Wypłókawszy do plamki wszystko, jak należy,  
Rozpościerają rzędem wzdłuż ciepłych wybrzeży  
Nad morzem, kędy fale gładki żwirek ścielą.

Skończywszy, wraz się chłodzą zdroistą kąpielą,  
Oliwą maszczą członki, potem na trawniku  
Siądą do smacznej stawy, a szatki w wietrzyku  
Niech schną tymczasem. Gdy tak spożyły łakotki,  
Staną do piłki, z głowy odrzucają namiotki.  
Pustującym piosenkę zaśpiewa królowna —  
Rzekłbyś, że z Artemidą łowczynią pokrewna,  
Co przez bór Erymantu lub Tajget ugania,  
Rada, gdy z rąk jej padnie odynec lub łania;  
A nimfy, pół mieszkanki, pod pani swej bokiem  
Pustują wkoło; Lato cieszy się widokiem,  
Że nad wszystkie celuje wzrostem i obliczem,  
I snadno poznać, czem jest w orszaku dziewicem.  
Owo tak rej wśród swoich królowna prowadzi.

Lecz kiedy o powrocie do dom już coś radzi,  
Zaprzęga muły, suche już składa odzieżę,  
Wtedy Pallas Atena na sposób się bierze,  
By Odysej się zbudził, zobaczył dziewicę,  
I przez nią był wprowadzon w Feaków stolicę.  
Więc ku dziewczkom rzucona piłka z rąk Nauzyki  
Leci, cel swój omija i pada w głąb rzeki,  
A one w śmiech i wrzaski. Odys ze snu rwie się,  
Usiadł — strwożone serce te myśli mu niesie:  
— «Biada mi! do jakichże dostałem się krajów?  
Pomiędzy dzicz niesforną i kupę hultajów,  
Czy też między gościnnny lud, do cnót nałożon?  
A toż co za niewieści wrzask? niby dziwożon,  
Co rade zamieszkują skał wierzchy wyniosle  
I źródła rzek, i łęgi trawami zarosle.  
Blisko gdzieś tu żyć muszą mówiące istoty:  
Dalej! zobaczmyż tedy, skąd one chichoty?»

To powiedziawszy, Odys wypełznął na raku  
Z gęstwi, silną prawicą z najgrubszego krzaku  
Liściastą gałąź udarł, by nią okryć ciało.  
I tak sunął, jak górski lew, kiedy zuchwało  
Kroczy w deszcz, zawieruchę; we łbie górą ślepie,  
A przydybie gdzieś bydło, trzodę owiec w stepie,  
Albo w boru jelenia, a gdy głód doskwiera,  
Dusić drobną chudobę do obór się wdziera:  
Otóż tak szedł Odysej ku pannom — nie żeby  
Nie zważał na swą nagość, ale szedł z potrzeby.  
Straszny im zdał się, morskiem owalany błotem!  
Widząc go, wszystkie w nogi, i na wzgórek potem;  
Jedna Nauzyka stoi. Atena jej tchnęła  
Męską odwagę w duszę, członkom strach odjęła.  
Nie rusza się i czeka. Odysej sam nie wie,  
Czy ma paść do nóg wdzięcznie patrzącej nań dziewie,  
Czy-li, jak stał, zdaleka wzniesć prośbę pochlebną  
O pokazanie drogi i odzież potrzebną.  
Ta myśl w ciężkim kłopotcie przyszła mu wybornie;  
Więc, jako był zdaleka, pochlebnie, pokornie  
Błagał o przebaczenie, aż do nóg jej padnie,  
I zaczął rzecz swą prawić mądrze i układnie:  
— «Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panną śmiertelną!  
Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udziałną,  
Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kronjana,

Z Artemidy kibicią i wzrostem jak ona;  
 A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padolu,  
 Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,  
 Błogosławieni bracia! Jakże im gdzieś rośnie  
 Serce przy tobie! jak się rozplywa radośnie,  
 Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!  
 Lecz szczęściu oblubieńca cóż mogłoby sprostać,  
 Jeśli za hojne wiano zawiezie cię do dom?  
 Różnym ja się, przeróżnym napatrzył narodom,  
 A równej nie znam tobie. Cześć i podziw razem!  
 Niegdyś widziałem w Delos, przed żertwiennym głazem  
 Feba, latorośl palmy: jak ty, wgórę strzela —  
 Bom się i tam zapędził także z ludu wiele  
 W tej tułaczce, gdzie zbieram same łzy i znoje —  
 I stałem w podziwieniu przed nią, jak tu stoję:  
 Ziemia nigdzie też palmy nie wydała takiej!  
 Owóż równe zdumienie i podziw jednaki  
 Ima mię, gdy ci objąć ze czcią chcę kolana.  
 Wczoraj po dniach dwudziestu jam z morzem się rozstał,  
 Dni bowiem tyle rwał mię prąd, a wicher chłostał  
 Wciąż od wyspy Oigiji, aż z demoniej psoty  
 Wyrzuconym jest tutaj na nowe kłopoty.  
 Dużo jeszcze mam cierpieć, dużo, z bogów woli!  
 A choć ty się ulituj! Po długiej niedoli  
 Ciebie pierwszą spotykam; wszak i duszy żywej  
 Nie znam, zamieszkującej ten gród i te niwy.  
 Wskaż mi drogę do miasta; okryj nagie ciało,  
 Choćby płachtą z bielizny! — i toby się zdało —  
 A bogi cię najmiłszą opatrzą nagrodą:  
 Dadzą ci męża i domek, przenajświętszą zgodą  
 Pobjętosławia! Skarb to najcenniejszy w świecie,  
 Gdy małżonka z małżonką zgodna miłość splecie,  
 Duch jeden włada domem; wróg na to się krzywi,  
 Cieszą druhy! a oni nad wszystkich szczęśliwi!»  
 Białoramienienna panna w te ozwie się słowa:  
 — «Widno, żeś człek niepodły, ani mialka głowa.  
 Darmo! woli Zeusowej nikt się nie wybiega,  
 I czy pan, czy chudзина, losowi podlega;  
 Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię!  
 A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nowe ziemie,  
 Okryjem cię, niczego-ć nie będzie brakować,  
 Co tylko obcy tułacz może potrzebować.  
 Do miasta wskażę drogę, dam ludu nazwisko:  
 My Feaki, tę ziemię zamieszkujęm wszystką;  
 Jam córka Alkinoja; wyższego tu niema:  
 On władzy i potęgi w ręku berło trzyma!»  
 To rzekła i na dziewczki zawoła zdaleka:  
 — «Stójcie już, stójcie! za cóż uciekać od człka?  
 Czy myślicie, że do nas jako wróg przychodzi?  
 Zaprawdę, nie urodził się, ani urodzi  
 Taki, coby nieprzyjaźń wniósł do naszych progów  
 I spokój mieszał. Wszak my kochani od bogów,  
 Siedzimy na odludziu, wkrąg morzem oblani,  
 Prawie na krańcu świata, nikomu nieznani.  
 Ugościć raczej trzeba przybysza, gdy bieda  
 Aż tu go zapędziła. Wszak dziećmi Kronida

Są tułacze. Dar mały często uszczęśliwi:  
 Sam tu, dziewczeczki! gość nasz niechaj się pożywi;  
 I wykąpać go trzeba w rzece, gdzie zaciszna».

Na jej głos dziewczki wróca i idą zniepyszna  
 Prowadzić Odyseja w cienisty brzeg rzeki,  
 Posłuszne rozkazaniu swej pani Nauzyki.  
 Więc chiton przygotowują i inne sukienki;  
 W złotej bańce oliwy podadzą też miękkiej  
 I każą do kąpieli iść mu kryształowej.

Na to rzecze Odysej: «Mile białogłowy!  
 Ustapcie kęs na stronę; sam sobie poradzę;  
 Z barków sól splóczę, ciało oliwą wyładzę;  
 O, bo też dawno takiej wygodki pragnąłem!  
 Lecz się kąpać nie mogę przy was żadnem czołem,  
 Moja nagość mię wstydzi przed pcią pięknowłosą».

To rzekł. One ustąpią i pani doniosą,  
 Boski tułacz obmywa sól morską w strumieniu,  
 Na grzbiecie, na obojem przyschła mu ramieniu;  
 Ze skroni gęsty namuł zgarnia do ostatka;  
 A gdy po łaźni przyszła oliwa nań gładka,  
 Wdział szatki w podarunku, od panny mu dane,  
 I wraz Pallas Atena — cudo niestychane! —  
 Wzrost mu daje i młodość; bujny kędzior z głowy  
 Rozsypie mu na barki, by kwiat hjacentowy.  
 A jako cienkiem złotem srebro się obleka  
 W ręku ucznia Hefajsta, cennego złotnika,  
 Co z kruszcu tworzy dziwy — w takie same czary  
 Obleka go bogini; i piękny bez miary  
 Poszedł nad brzeg nadmorski i siadł w swojej krasie.  
 Ujrawszy go, królowna wielce zdziwiła się;  
 Więc po cichutku prawi do drużyny swojej:  
 — «Słuchajcie-no, dziewczęta, tak mi się coś roi,  
 Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,  
 Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.  
 Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,  
 A teraz jak bóg który, niebianin promienny.  
 O, gdyby mi się trafił mąż, co by mu sprostał,  
 Z młodzi naszej!... lub gdyby on sam moim został!  
 Ależ jadło, napitek co tchu mu zanieście!»

Na rozkaz pani żwawo kopną się niewieście:  
 Niosą jadło i napój zastawiają przed nim;  
 A Odysej zajadał i pił z niepoślednim  
 Łakomstwem, bo nic w ustach nie miał już oddawna.

*Tłum. T. Sinko według L. Siemińskiego.*

H E Z J O D  
 (w. VII przed Chr.)

TEOGONJA  
 (Ww. 116—210; 453—506)

Najprzód Chaos, a po nim Gaja<sup>1</sup> się wynurzy  
 Z piersią szeroką; bogów to siedziba, którzy

<sup>1</sup> Gaja — Ziemia.

Na śnieżystym Olimpu<sup>1</sup> szczycie zamieszkali,  
 Lub w głębiach ziemnych, w mroku Tartarowej<sup>2</sup> dali.  
 Toż się Eros, wśród bogów najpiękniejszy budzi,  
 Co rozwiązuje członki, a u bóstw i ludzi  
 Wiąże serca i zdrowe ogłupia umysły.  
 Chaos zrodził Ereba i Noc, dwie ciemności,  
 Lecz z Nocy Światło oraz Blask Dzienny wyblęsyły:  
 Oboje Gaja zrodziła z Erebem w miłości.  
 Najprzód niebo gwiazdziste urodziła Gaja,  
 Równe jej, gdyż ją wokół kryje i przystraja,  
 Wieczna siedziba bogów szczęśliwych. Z jej łona  
 Wstały góry, siedziba bogiń ulubiona;  
 I te, które w wąwozach chodzą nimfy hoże.  
 Później, już bez miłości, porodziła Morze  
 Puste, burzliwe; potem z Uranosem ona  
 Wydała Okeana, dalej Hiperjona,<sup>3</sup>  
 Dała byt złotej Febie i dzielnej Tetydzie<sup>4</sup>;  
 Po nich najmłodszy Kronos<sup>5</sup> wielce chytry idzie,  
 Syn straszny, gwiazdzystemu wstrętny rodzicowi;  
 I innych Gaja w związku z Uranem powiła:  
 Byli to wzrostem, siłą — nie określić w słowie —  
 Kottos, Bryjarej, Giges, zuchwali synowie.  
 Sto ramion niedostępnych każdemu spadało  
 Z ogromnych bar, pięćdziesiąt głów mu ponad bary  
 Wysterczało do góry: bezceńż ich ciała!  
 A moc miały okrutną te wstrętne poczwary;  
 Owe straszliwe dzieci Urana i Ziemi  
 Ojcu ich były zgóry już nienawistnemi.  
 Co który przyszedł na świat — światła mu zazdrości  
 I wraz napowrót wpycha go do matki łona,  
 I wielce go radują takie zelżywości.  
 Ale olbrzymia Ziemia, srodze obciążona,  
 Stęka i, radna, idzie po rozum do głowy.  
 Z błyszczącej stali oręż, potężny sierp toczy,  
 Ukochanym synom stawia go przed oczy  
 I, zachęcając czule, temi wzywa słowy:  
 «Dzieci moje i ojca srogięgo! Jeżeli  
 Chcecie słuchać, pomścicie na nim sprośne czyny  
 I krzywdy, bo okropne ciążą na nim winy».  
 Rzekła, a oni wszyscy strwożeni milczeli.  
 Dopiero chytry Kronos, na to, co mówiła  
 Troskliwa matka, temi słowy się odzywa:  
 «Matko, ja się odważę i uczynię zadość;  
 Groźne imię rodzica nie trwoży mnie zgoła,  
 Skoro wina poprzednia o pomstę nań wola».  
 Tak rzekł. Gaja uczuła wielką w sercu radość,  
 Kryje go więc w alkierzu, ostry sierp podaje  
 W rękę i cały podstęp wyjawia mu śmiało.  
 Noc przyciągając, idzie wielki Uran. Gaję  
 Okrywa i w namiętny ima uścisk ciała.

<sup>1</sup> Olimp, góra w Tesalji, uważana za miejsce zamieszkania bogów.

<sup>2</sup> Tartar, podziemna kraina, miejsce pobytu bogów śmierci oraz dusz zmarłych ludzi; inaczej nazywa się Erebem.

<sup>3</sup> Uranos — niebo; Okeanos — rzeka opływająca ziemię; Hiperjon — ojciec słońca.

<sup>4</sup> Feba, matka Latony, babka Apollina; Tetyda (Tetyś), żona Okeanosa.

<sup>5</sup> Kronos, ojciec Zeusa.

Wtem zagnał syn wyskoczy i lewą go dłonią  
Obejmie; długi ostry sierp chwytą prawica...

*Kronos kaleczy swego ojca, obcina mu kawał ciała; z krwi, która spłynęła na Ziemię,  
zrodziła Ziemia Erynję i Giganty; resztę obciętej Kronos wrzuca do morza...*

...aż się wzbija piana biała  
Wokół nieśmiertelnego ciała. Z niej powstała  
Dziewica, która naprzód Cyterejskie łany  
Zwiedziła boskie, potem Cypr wodą obłany;  
A gdzie pięknej, wspaniałej bogini nożęta  
Zgrabne stąpiły, trawa buchała na ziemi.  
Piankową Afrodytą ją bogi, a z niemi  
Ludzie przezwali, jako że z piany poczęta;  
Kwieciastą Cytereją, świadcząc o pobycie;<sup>1</sup>  
Cyprydą, że na Cyprze wykwitło jej życie.  
Eros jej i ładny Himer towarzyszą stale,<sup>2</sup>  
Bo zaraz w koło boskie dostawszy się, ona  
Zyskała cześć, i jej przypadło to w udziale,  
Pośród ludzi i bogów nieśmiertelnych grona  
Podniecać przymilenia dziewicze i względy,  
Dworować, schlebiać, budzić miłosne popędy.  
Dzieci, co rękę wzniosły w niegodziwym czynie,  
Rodzice, wielki Uranos, potępił surowo,  
Nazwał je Tytanami i prorocze słowo  
Wyрекł, że ich w przyszłości zemsta nie ominie.

Rea Kronowa dzieci prześwieatne zrodziła:  
Hestja, Demetra, Hera o obuwiu złotem;  
Hades, którego rządzi nieugięta siła  
Pod ziemią; Ziemotrząsiec,<sup>3</sup> co huczy z łoskotem  
Po morzach; i Zeus, ojciec tak bogów, jak ludzi,  
Który mocą piorunu lęk na ziemi budzi.  
Mocny Kronos pochłaniał dzieci, skoro matka  
Z łona świętego kładła mu je na kolana,  
Sądząc, że nad wieczystym kręgiem do ostatka  
Rządów nie ujmie w rękę nikt z rodu Urana:  
Bo gwiazdny Uran z Gają wieścili mu w czasie,  
Że z wyroku ulegnie własnemu synowi.  
Nie napróżno też czuwał, ale patrząc za się,  
Pożerał dzieci. Rea wrzała rozkrzyczana.

Aż gdy Zeus miał przyjść na świat, poszła do Urana  
I Gai z korną prośbą, by rodzice mili,  
Którzy jej dali życie, teraz poradzili,  
Gdzie i jak może dziecko ukryć onej chwili,  
Pomścić ojca i dzieci, które od świtania  
Życia ukryty Kronos wielki wciąż pochłania.  
Ci chętnie dali ucho swojej córce drogiej,  
Opowiedzieli, jaka dla wielkiego Krona  
I jego syna Zeusa doła wyznaczona.  
A gdy się już urodził ów syn, bóg nad bogi,  
Wysłali ją do Dyktos na szczęśliwej Krecie,  
I tam olbrzymia Gaja wzięła od niej dziecko,

<sup>1</sup> «Afrodyte» oznacza «z piany wynurzona»; Cytereja — od wyspy Cytera.

<sup>2</sup> Eros — miłość; Himeros — pożądanie.

<sup>3</sup> Neptun.



Aby się na kreteńskich polach wychowało.  
 Tam ona w mroku nocnym stanęła nad skałą  
 Dikty i, niosąc boga rękami własnymi,  
 Skryła w grocie skalistej, w głębiach świętej ziemi  
 Góry Egejskiej, wokół ocienionej lasem.  
 Poprzedniemu zaś bogów władcy tymczasem  
 Duży kamień w pieluszki dała owinięty,  
 Który on, wzięwszy w ręce, wnet wpuścił do brzucha.  
 Niebacznym! Nie rozpoznał on w przyćmieniu ducha,  
 Że to głaz. Syn zaś jego pozostał nietknięty,  
 Co siłą ręki ma mu wydrzeć panowanie,  
 A sam na czele wszystkich nieśmiertelnych stanie.  
 Rósł w sily, w piękność kształtów, przyszły władca świata.  
 Gaja, gdy tym sposobem upływały lata,  
 Dowcipnemi wybiegi sprawiła u Krona,  
 Że dzieci jej na światło znów wypuścił z łona,  
 Choć syn miał sztuką, siłą, wieść go do upadku.  
 Naprzód wypluł on kamień schłonięty na ostatku:  
 Zeus go rzucił na ziemię szeroką, wniżej, w głębie,  
 W zacną dolinę Pyto, na Parnasu zrębie,  
 Gdzie ma dla ludzi dziwem być i znakiem święta.<sup>1</sup>  
 Zerwał z synów Urana, krewnych swoich, pęta,  
 Które ten niemądrze skrępował ich ciała.  
 Za to dobro też wdzięczność ich była wspaniała:  
 Dali mu błysk ognisty, grom a piorun srogi,  
 Które przezorna Gaja zaraz przechowała.  
 Ufny on w nie, panuje nad ludźmi i bogi.

*Tłum. K. Kaszewski.*

## ROBOTY I DNIE

(Ww. 1—105)

Muzy, pieśniami głośnie! Z Pierji zbiegajcie,  
 Zeusa, ojca waszego, pieśnią uwielbiajcie!  
 Jak ludzie chwałą świetni i okryci cieniem  
 Słyną lub nie, na wielkie Zeusa skinienie.  
 Snadno wzmocnia on, snadno osłabia mocnego,  
 Snadno jasnego zaćmiewa, rozjaśnia ciemnego,  
 Snadno sprostuje krzywego, a dumnego zetrze —  
 Pan piorunów, co w górze osiadł, w powietrzu.  
 Usłysz, Wszystkowidzący! Miej sąd i opiekę,  
 Ty, Ojczel! A ja prawdę Persowi wyrzekę!<sup>2</sup>  
 Nie jeden Zwady rodzaj, lecz dwa jest na ziemi;  
 Jedną kto pozna — uczci zaletami swemi,  
 Drugiej jednak powszechna należy przygana;  
 Przez nie myśl bywa w sprzeczne strony rozrywana.<sup>3</sup>  
 Starsza złą wojnę karmi i niezgodę budzi.  
 Okrutna! nikt z śmiertelnych nie kocha jej ludzi,  
 Lecz z potrzeby i z bogów nieśmiertelnych rady  
 Muszą szanować straszną potęgę złej Zwady,

<sup>1</sup> Pyto pod Parnasem, inaczej Delfy, wielka wyrocznia i świątynia.

<sup>2</sup> Perses, brat Hezjoda, pozwał go przed sąd o podział ojcowizny; Hezjod cały ten poemat skierowuje doń i poucza go.

<sup>3</sup> Zwada — Eryda; Hezjod uważa, że istnieje Eryda-kłótnia i Eryda-rywalizacja; w «Teogonji» poeta zna jeszcze jedną tylko Erydę — Zwadę.

Bo ją dawniej z Erebem zrodziła Noc chmurna;  
Młodszą zaś królujący w Niebie syn Urana  
Osadził na korzeniach Ziemi, by jednak z niej  
Ludziom rodził się owoc pracy jak najżyźniej.  
Ona do robót zachęca nawet leniwego,  
Co sam potrzebujący, spojrz na plony drugiego,  
Bogacza, co troskliwie orze, sieje, szczepi,  
A dom i gospodarstwo układa najlepiej.  
Zawistny sąsiad tam z sąsiadem wiedzie spory,  
Gdzie chce dostatków szczodrych zbierać zbiory.  
Dobra dla ludzi taka Zwada, gdy się zdarza:  
Cieśla baczy na cieślę, garncarz na garncarza,  
Żebrakowi zazdrości żebrak, a ku mecie  
Nie daje się wyprowadzić poeta poecie.  
Persesiel bądźżeż hacznym i zważaj najściślej:  
Niech ci od ziemskich robót nie odwraca myśli  
Zwada, brojąca szkodę — bo ty pragniesz kłótni  
I sądowe pieniactwa słuchasz tak ochotnie.  
Mało jednak dla swarów i pieniactwa czasu,  
Komu na rok żywności w domu brak zapasu,  
Co jej dostarcza Ziemia w porze przyzwoitej,  
Żebyś plovej Demetry<sup>1</sup> upominków syty  
Wszczytał waśnie i kłótnie o majątek cudzy,  
Oraz by z tobą w sądach przegrywali drudzy.  
Nie będzie ci się więcej tak czynić godziło:  
Dziś sami naszą sprawę rozsądzmy zawiłą,  
Zdajmy się na sąd słuszny tej sprawiedliwości  
Najlepszej, co ją mamy z Zeusa opatrności.  
Rozstrzygnęliśmy dawno dziedzictwo podziałem:  
Tyś wiele gwałtem wydarł — jam przestał na małym;  
Zbyt przez ciebie kadzeni byli dorożerni  
Sędziowie, co rokować chcieli najniewierniej!  
Nierozumni, nie wiedzą, ile sporszą bywa  
Połowa, niż rzecz cała, kto w miarę zażywa,  
Niżli wielkie te w ślazię i w szczawiu łakocie  
Z pracy, niespragnionemu cudzego sierocie,  
Bo przed słabymi ludźmi pokarm życia mnogi  
W łonie ziemi ukryty wszechpotężne bogi,  
Tak, iż łatwo, kiedybyś dzień jeden pracował,  
Dość miałbyś na rok cały, choćbyś i próżnował.  
Wnet susząc w dymie grządział, skończyłbyś mozoły,  
Ustałyby od robót twe muły i woły.  
Ukrył przed ludźmi żywność bóg Zeus obrażony,  
Bo był przez Prometeja<sup>2</sup> chytrego zwiedziony —  
Stąd wynikły dla ludzi smutne w życiu troski,  
A szkodą ich nawiedził gniew Zeusa boski. —  
Zakazany był ogień, wszech rzemioł podnieta;  
Umiął go zręcznie wykraść zręczny syn Japeta,  
Do użycia go ludziom przyniósł nieszczęśliwie  
Od mądrego Zeusa w żłobionem łuczywie,  
Myśląc, że pan piorunów o kradzieży nie wie;  
Lecz Zeus, co chmury zbiera, rzekł do niego w gniewie:

<sup>1</sup> Demetra — bogini personifikująca łan zboża.

<sup>2</sup> Prometeusz, syn Japetosa i Klimeny, dobroczyńca ludzkości, którą obdarował ogniem, oszukał Zeusa i został przykuty za to do skały, aż Herakles uwolnił go od męki.

«Zuchwały Japetydo! w podstępach ćwiczony,  
 Ty się cieszysz, żeś wykradł ogień zabroniony?  
 Rozumiesz, żeś oszukał w tem zamiary moje?  
 Wielkie to zło na ciebie i potomki twoje!  
 Za ogień dam im szkodę! Wszyscy ją polubią  
 I do serca przytulą zło, którem się zgubią!»  
 Rzekł król bogów i ludzi, rozśmiał się zarazem  
 I zlecił Hefajstowi niezłomnym rozkazem,  
 Żeby prędko rozmięczył wodą bryłę ziemi,  
 A głosem ją i mocą natchnął człowieczemi,  
 Żeby przez piękną, miłą i dziewiczą postać  
 Twarz jej mogła boginiom nieśmiertelnym sprostać.  
 Palladzie rzekł, by ją działała robotną,  
 By nauczyła, jak ma tkać uroczyste płótno;  
 Złocistej Afrodycie, żeby jej do ręki  
 Podać kunszt, jak koło głowy rozlać wdzięki,  
 By niespokojne żądze jej wznieciła w sereu,  
 I troskę o piększydła ciała, tej morderce;  
 A Hermesowi Argobójcy, posłańcowi, zlecił,  
 Żeby w niej skrę obłudy i bezwstydnosć wzniecił.  
 Rozkazał. A powolni byli wszyscy owi  
 Królowi Zeusowi Kronosa synowi.  
 Ulepił sławny Hefajst chromonogi z gliny  
 Osobę, do dorodnej podobną dziewczyny.  
 Modrooka Pallada wraz ją przepasała  
 I dowcipne roboty w ręce jej podała;  
 Otoczyła ją bogiń Charytek gromada,  
 Na wargach jej szanowna odpoczęła swada,  
 Szyję jej kanakami złotymi upstrzyły  
 Pięknowiąse Godzinki, skroń kwieciem zwieńczyły  
 Wiosennem, a te wszystkie ozdoby jej ciała  
 Sama Pallas Atena sztucznie upinała.  
 Wymowny Argobójca z Zeusowej porady  
 Zamknął w piersiach jej fałsz, pochlebstwo i zdradę.  
 Tak każdy dar swój na rozkaz Zeusa dokładał!  
 Poseł bogów<sup>1</sup> i mowę tej niewieście nadał,  
 Nazwał zaś ją Pandorą,<sup>2</sup> gdyż wszyscy Niebianie  
 Obdarzyli to ludzi ciekawych skaranie.  
 Skoro tak nieuchronnej pokusy naprawa  
 I szkodliwe stworzenie ukończone stawa,  
 Każe ojciec rączemu bogów zwiastunowi  
 Nieść ją z puszką i oddać Epimetejowi.<sup>3</sup>  
 Epimetej zaś ani nie pomyślał wtedy,  
 Jak ostrzegwał Prometej, iż jeśliby kiedy  
 Chciał go Zeus Olimpijczyk czem upominkować,  
 On nie miał upominku owego przyjmować,  
 Lecz natychmiast odesłać zpowrotem, by z tego  
 Nie wypadło dla ludzi śmiertelnych co złego.  
 On przyjął, a dopiero gdy zaraz groźną  
 Miał u siebie, pomyślał i uczuł, za późno.  
 Niedgdyś pierwotni ludzie, żyjący na ziemi,  
 Nie byli żadną w życiu nędzą utraчени;

<sup>1</sup> Hermes, przezywany Argobójcą.

<sup>2</sup> Wyraz Pandora oznacza «wszystko» i «dary».

<sup>3</sup> Epimetej brat Prometeja; imię oznacza «późnomyślący».

Ani się trudną pracą targaly ich siły,  
 Ani bolesne i ciężkie choroby dręczyły,  
 Co smutną sprowadzały starość — bo najprędzej  
 Starzeją się śmiertelni w nędzy.  
 Lecz niewiasta wielkiej owej puszki wieko  
 Podniósłszy, wysypała klęski na Człowieka.  
 Srogich trosk był przyczyną błąd Epimeteja!  
 Sama tylko na spodzie zwodnicza Nadzieja  
 Pod nieprzetłamanymi zamkami została,  
 A nawierzch z innym lichem wraz nie wyleciała,  
 Bo Zeusowi, co chmury zbiera, podobało,  
 Żeby ją wieko puszki w środku przytrzymało.  
 Odląd pomiędzy ludźmi błąka nieszczęść wiele,  
 Pełno ich się na lądzie i na morzu ściele.  
 Oblega ludzi mnóstwo chorób i niemocy,  
 Co same napastują i we dnie, i w nocy,  
 A milcząc ranią, ni kto słyszy szcęk ich ciosu,  
 Bo Zeus je nieme stworzył i pozbawił głosu;  
 A tak żaden śmiertelny człowiek nie unika,  
 Co mu wyznaczy wyrok Zeusa Poradnika.

*Tłum. Jacek Przybylski  
 Popraw. M. St. Popławski.*

## LIRYCY

K A L L I N O S  
 (w. VII przed Chr.)

### DO BRONI!

Więc kiedyż się raz ockniesz do chrobrzego czynu,  
 Gnuśna młodzi? — Podlego nie wstydzisz się gminu,  
 Gnijąc w słodkiem marzeniu, że to pokój błogi,  
 Gdy kraj cały objęły wojenne pożogi?

I konając, wrogowi mignij kopją w oczy.  
 Chwała wielka mężowi, co krwawy bój toczy  
 Za kraj ojczysty, dziatki i małżonkę ślubną.  
 Śmierć zaś — wtedy się zjawi, kiedy nitkę zgubną  
 Wysnuje Mojra. A więc, hej wiara, do bronii!  
 Wgórę kopje, tarcz niechaj lwie serce zasłoni,  
 I tak pędźcie odważnie na bojowe tany.  
 Bo człowiek nie uniknie śmierci obiecanej,  
 Choćby miał przodków nawet pomiędzy niebiany.  
 Tchórz wojennej unika wrzawy, kopij łomu:  
 Śmierć go nieunikniona namaca i w domu.  
 Tchórz umrze — nikt w ojczyźnie nie poczuje straty.  
 Umrze bohater — płacze biedny i bogaty.  
 Śmierć jego cały naród żałobą okryje;  
 Jak półboga rodacy wielbią, póki żyje.  
 Jakby na wieżę rzesza nań patrzy zdumiona,  
 Bo w czym wielu się poci, sam jeden dokona.

*Tłum. J. Czubek.*

## TYRTAJOS

(w. VII przed Chr.)

## POBUDKA BOJOWA

Chwała temu, co walcząc za ojczyźne łany  
 Bohaterem na czele, legnie pokonany.  
 A hańba wieczna temu, co matce ojczyźnie  
 Poda tyły i chleba, ojcem, — z dziećmi na grzbiecie  
 I ze ślubną małżonką włóczy się po świecie.  
 Niemiły gość, zaprawdę, kędykolwiek przyjdzie,  
 Kto się poddał ubóstwu i sromotnej biedzie;  
 Plami ród, własną piękność taki tułacz kała,  
 I wszelkie zło i hańba wszelka nań się zwala.  
 Więc gdy nigdzie wygnańca życzliwość nie spotka,  
 Ni cześć, ni litość ludzka, ni pociecha słodka,  
 Walczmy mężnie za drogą ojczyznę i dziatki,  
 I krwi naszej, gdy trzeba, wylejmy ostatki.  
 Walczcie dzielnie, młodzieńcy! ramię do ramienia!  
 A bójcie się uciezki, bójcie poharńbienia!  
 Nabierzcie ducha! Śmiało się stawcie potrzebie,  
 Myślcie, jak gromić wroga, nie ratować siebie.  
 A starszych towarzyszków, co im w członkach stawy  
 Wiek zwątlili, nie odbieźcie wśród krwawej rozprawy.  
 Hańbaby była, gdyby pośród dzielnej wiary  
 Przed młodszymi druhami legł wojownik stary,  
 Co mu brodę i włosy srebrzy szron siwizny,  
 Leżał w kurzu, konając, wieczny syn ojczyzny,  
 Wstyd krwią obłany ręką zasłaniając oku —  
 O, jakże pali hańba takiego widoku! —  
 Gdyby tak nagi leżał! — Młodym zaś przystoi  
 Wszystko, póki urocze kwiecie młodość stroi:  
 Bohater — dziw dla mężów, ulubieniec dziewic,  
 Póki żyw — gdy polegnie, piękny jak królewic.  
 Więc stójcie jak mur, w ziemię niech wryje się noga,  
 We wargę zatopi ząb! — Tak czekajcie wroga!

*Tłum. J. Czubek.*

## MIMNERMOS

(w. VII przed Chr.)

## STAROŚĆ

Jako liście na wiosnę pięknie się zieleni,  
 Gdy je zleją potoki słonecznych promieni,  
 Tak nam cudnej młodości krótko pachną wonie.  
 I nie wiemy, co bogi chowają tam w łonie:  
 Dobrze czy złe; tuż stoją dwie kary okrutne:  
 Jedna starości dary pokazuje smutne,  
 A druga śmierć — i młodość nam migiem przeleci,  
 Jak po niebie słoneczko, co śmiertelnym świeci.  
 A kiedy już młodości piękne miną chwile,  
 Bodaj umrzeć i w cichej, ach, spocząć mogile.  
 Bo krocie nędz nas czeka: jeden mienie straci,  
 Bieda w domu się zjawia w okropnej postaci.

Tamtem pragnie znów dziątek; ale trudna rada:  
Z głodnym robakiem w sercu zstępuje do Hada.  
Innego żre choróbsko — i każdy ma mola,  
Co go gryzie i trapi: taka Zeusa wola.

*Tłum. J. Czubek.*

SOLON  
(w. VII—VI przed Chr.)

ŻYCIE LUDZKIE

Mnemozyny i Zeusa córy, piękne panie,  
Co władacie w Pierji, słyszcie me błaganie.  
Niech mnie bogowie darzą opieką łaskawą,  
A u ludzi się cieszę zawsze dobrą sławą.  
Niech druhom zawsze miły będę, wrogom wrogi;  
Tamci niech mnie kochają, ci doznają trwogi.  
Majątek niech mam, ale uczciwie zebrany;  
Zbrodniarz nigdy nie ujdzie kary obiecanej.  
Bo ten, co bogi dadzą, podobny kolumnie,  
Co na pewnej podstawie czoło wznosi dumnie;  
Źle nabyty, choć go ludzie czcią otoczą,  
Jest złym sługą, co nigdy nie słucha ochoczo,  
I prędko do ostatniej prowadzi ruiny.  
Źle z początku jak iskra, potem płomyk siny,  
A w ostatku ognistą rozlewa się strugą,  
Krzywdą nigdy śmiertelni nie cieszą się długo.  
Nad końcem rzeczy ludzkich czuwa Zeus zgóry,  
I nagle — jak na wiosnę wiatr rozgania chmury,  
Co szumiącego morza jałowe otchłanie  
Do dna zarywszy, zboże powala na lanie,  
Niszcząc pracę rolnika — i w niebo wstępuje,  
Bogów siedzibę — znów się błękit pokazuje,  
Słońce na tłustą ziemię znowu świeci zgóry,  
A na czystych niebiosach ani jednej chmury —  
Tak i Zeus zsyła pomstę — niezawsze i wszędzie  
W pierwszym, jak człek śmiertelny, namiętym zapędzie.  
Nikt przed nim nie uciecze, kto zły i nieprawy:  
Źle zawsze na ostatku wychodzi na jawy,  
Prędzej czy później kara dosięgnie zbrodniarza.  
Bo chociaż winny ujdzie, jak się i to zdarza,  
Karzącej ręki bogów, pomsta nie przepada,  
Lecz na dziatki niewinne i na wnuki spada.  
I wielcy, i maluczcy wszyscyśmy jednacy:  
Póki dobrze, my śmiałki, chętniwi junacy;  
A gdy spadnie nieszczęście, wnet rozpacz bez miary,  
A przedtem nas bawiły czcze, zwodnicze mary.  
Kogo trapi choroba, temu tylko w głowie,  
By co prędzej odzyskać utracone zdrowie.  
Tchórz chce być bohaterem; piękności znów czaru  
Pragnie, kto od natury nie wziął tego daru.  
Nędzarz, którego przykre ubóstwo przygniata,  
Marzy wciąż o bogactwach i tak biedę lata.  
Biedzim się wszyscy: jeden po rybnym przestworze  
Błąka się, by zysk przywieźć do domu przez morze;

Nie odstraszy go burza, huraganów wycie:  
 On dla miłego grosza narazi i życie.  
 Za grosz wyrobnik co rok w ogrodzie pracuje,  
 Rolnik znów żyzną ziemię krzywym pługiem pruje.  
 Hefajsta lub Ateny tamten zna kunszt przedni  
 I swem rzemiosłem na chleb zarabia powszedni.  
 Innemu znowu Muzy, niebieskie dziewice,  
 Dały złotej mądrości badać tajemnice.  
 Z innego robi Apollin wróża, co odgadnie  
 Nieszczęście, choć dalekie, choć nieprędko spadnie;  
 Nad nim opieka bogów — alie przeznaczenia  
 Ni ptak wróżebny, ni krew ofiarna nie zmienia.  
 Uczeń mistrza Pajana cierpienia łagodzi;  
 I tego nieraz koniec dotkliwie zawodzi.  
 Nieraz małeńka słabość w wielki ból się wzmoże,  
 I żaden lek gojący na to nie pomoże.  
 Czasem znów straszne kurcze i nieznośne męki  
 Leczy jedno szczęśliwe położenie ręki.  
 Złe i dobre śmiertelnym Mojra zsyła z nieba,  
 A co bogi przeznaczą, karnie przyjąć trzeba.  
 Wszędzie czyha nieszczęście, a człowiek nie zgadnie,  
 Gdy rozpoczyna dzieło, jak koniec wypadnie.  
 Bo choć kto dobrze zacznie, ani się obaczy,  
 Jak wpadnie w czarną otchłań bólów i rozpaczy.  
 Inny rzuci się oślep — a no, szczęście złote  
 Daje łaskawe bóstwo, wspierając głupotę.  
 Ma kto majątek, nie zna ni końca, ni miary:  
 Im hojniej kogo los obsypie swemi dary,  
 Tem więcej jeszcze pragnie — i wiecznie niesyty.  
 Z nieba — łaski śmiertelnym płynie źródł obfity;  
 Nieszczęścia sami w sobie nosimy przyczyny,  
 A Zeus je spuszcza to tu, to tam, karząc winy.

*Tłum. J. Czubek.*

## TEOGNIS

(w. VI przed Chr.)

### WDZIĘCZNOŚĆ

Złym dobrze świadczyć — praca stracona i marna,  
 Jakgdybyś na dno morza złote rzucał ziarna.  
 Bo jak kto sieje w morze, żniw się nie doczeka,  
 Tak samo i wdzięczności od złego człowieka.  
 Serce złego niesyte: jedno zapomnienie  
 Wszystkie przeszłe usługi z pamięci wyżenie.  
 Dobrzy w żarty obróć, choć ból łzę wykręci,  
 A przysługi we wdzięcznej chowają pamięci.

### KREW SZLACHETNA I PODŁA

W koniach, orłach, baranach każdy chętnie szuka  
 Krwi szlachetnej, krwi dobrej — dla ludzi nauka!  
 Lecz szlachcic dziewczki z gminu pojąć się nie wstydzi,  
 Skoro tylko majątna, skoro posag widzi.  
 Niewiasta za podłego bogacza z ochotą  
 Wychodzi, bo nad cnotę wyżej ceni złoto.

Pieniądz — wszystkim; więc z podłą szlachetny pan młody  
 Żeni się i naodwrot; złoto równa rody.  
 Nie dziw, że tyle rodów marnieje i ginie:  
 Krew w nich szlachetna z podłą pomieszana płynie.

*Tłum. J. Czubek.*

## ARCHILOCHOS

(w. VII przed Chr.)

### POETA I ŻOŁNIERZ

Żołnierz z pod Eugala znaku i sztandaru,  
 I Muz się nie wypieram uroczego daru.  
 W mej kopji mój chleb i wino z Ismary;  
 Wsparły na kopji, piję wino z czary.

### PO POGROMIE

Niech się tam jaki Lajan piękną tarczą chwali,  
 Com ją w krzakach porzucił, gdyśmy uciekali.  
 Milsze życie! Co mi tam! jedną tu zostawię,  
 Drugą sobie wnet sprawię, jeszcze lepszą sprawię.

### ZDAJ SIĘ NA BOGÓW

Zdaj się z wszystkim na bogów; o, bo nieraz bogi  
 Męża ze ziemi czarnej podniosą na nogi;  
 To znów, kogo wysoko wyniesie los błogi,  
 Zwali nieraz grom bogów i w proch nisko strąci,  
 I torby da żebracze, i rozum zamąci.

*Tłum. J. Czubek.*

## SYMONIDES Z AMORGOS

(w. VII przed Chr.)

### ŻYCIE LUDZKIE

Synu, końcem wszech rzeczy Zeus, co gromem włada.  
 Jego woła porządek na świecie układa.  
 Świat jest głupi: bo ludzie swój żywot powszedni  
 Pędzą jako bydłęta, bezmyślni, bezwiedni,  
 Jaki los z nich każdego z ręki bogów czeka.  
 Lecz nadzieja każdego ożywia człowieka,  
 W pogoni za tem, co się przenigdy nie stanie:  
 Ten za dzień, tamten za rok kres przeznaczą zmianie.  
 Każdy marzy, że za rok w szczęściu pływać będzie,  
 Że bogactwa i skarby bez miary posiędzie.  
 Alić tego za wcześniej przykra starość zmoże,  
 Tamtego słabość rzuci na boleści łoże.  
 Innego znów na wojnie Ares zgniecie w prochu  
 I wtrąci bez litości do ciemnego lochu.  
 Inni grób znajdują na dnie słonych wód przestrzeni,  
 Pięścią wichury w ciemne otchłanie wtrąceni,  
 Gdzie dech z nich niezadlugo ostatni wylata.  
 Drugi znów dobrowolnie schodzi z tego świata,



Sam sobie nawiązawszy sromotną pętlicę.  
 Nikt nie jest próżen bólu; bo tysiącolicie  
 Nędze, dolegliwości i cierpienia blade  
 Oblegają nas wszystkich. Więc na moją radę,  
 Nieszczęść szukać nie trzeba: przykre mi bólami  
 Obarczeni nad miarę, nie dręczmy się sami.

*Tłum. J. Czubek.*

## S A F O N A

(628—568 przed Chr.)

### HYMN DO AFRODYTY

Nieśmiertelna, zrad pełna, na tęczowym tronie,  
 Do ciebie, Afrodyto, korne wznoszę dłonie:  
 Niech odstąpi ode mnie zmartwienie i troska,

Błagam cię, boska!

Zstąp, zstąp, Zeusa córo, jak już tylokrotnie  
 Rodzica opuszczałaś pałace ochotnie  
 I spływałaś łaskawie, me słysząc wołanie,

W złotym rydwanie.

Chór ci wtedy wróbelków skrzydlaty, wesóły,  
 Ciągnął rydwan na ziemskie, na czarne padóły,  
 W chyżych podlotach porzuc szkarłatnymi pióry

Niebios lazury.

W mgnieniu oka już byłaś i, litością zdjęta,  
 Pytałaś, o, niebieska, słodko uśmiechnięta,  
 Co mi tu za niedola, lub w jakiej potrzebie

Wołam do ciebie.

«O czem — pytałaś — puste znów marzy serduszko?  
 Której dziewczeczce szepnąć o kochaniu w uszko?  
 Lub może moja Safo w ludzkiej poniewierze?

Wyznaj mi szczerze!

Bo co od ciebie stroni, wnet samo się zgłosi,  
 Co odtrąca twe dary, wnet samo poprosi;  
 Co cię nie kocha, z duszy pokocha gorącej,

Nawet niechęć».

Więc i dziś się nad moją ulituj tęsknotą  
 I oddal troski, co serce mi gniołą;  
 Pomóż moim marzeniom, wlej otuchę w łono,

Bądź mi obroną.

### SAMOTNOŚĆ

Skrył się w dole miesiąc błądy,  
 Z nieba zeszyły już Plejady;  
 Północ kroczy w czarnej szacie,  
 A ja — sama śpię w komnacie.

### LOS PROSTEJ DZIEWCZYNY

Umrzesz i legniesz w grobie — i wnet o dziewczynie  
 Ludzie mówić przestaną i pamięć zaginie.  
 Boś nie znała róż w Pierji; więc cicho do Hada  
 Pomiędzy blade cienie zstąpisz, mara błąda.

## ZAKOCHANIE

Młodzian ten u mnie od boga szczęśliwszy,  
 Co dłoń w dłoń, oko w oko utopiwszy,  
 Poi się słów twych przenajśłodszeń echem,  
 Cudnym uśmiechem.

Mnie ten czar urzekł i spokój odbiera:  
 Gdy ciebie widzę, dech w piersi zamiera,  
 Że wyjść nie może z gardła nieszczęśliwej,  
 Żaden głos żywy.

Język mi w ustach bezwładny omdlewa,  
 Ogień gorący jagody oblewa,  
 W oczach ćma siada, szum rozsadza uszy,  
 Nęka i głuszy.

Wnet pot wystąpi, cała czuję drzenie,  
 I stoję blada, jak żółte zielenie:  
 Niewiele braknie, a biedna Safona  
 Padnie zemdlona.

*Tłum. J. Czubek.*

## A L K A J O S

(w. VII—VI przed Chr.)

## DO BOJU

Salę miedzi oświeca błysk,  
 Wszędy jasnych szyszaków ścisł;  
 A z nich kity spływają białe,  
 Głów rycerskich stroje wspaniałe.  
 Nakolanków na kołkach wał,  
 Od najtęższych obrona strzał;  
 Wiszą mocne pancerze lniane  
 I sklezione tarcze kowane.  
 Wielkich kordów chalkidzkich skład,  
 Kolczug pełno, bojowych szat...  
 Więc gdy wojna świeci się nowa,  
 Hej! do dzieła: broń już gotowa!

BURZA <sup>1</sup>

Nie, nie rozumiem dziwnej wiatrów zmiany:  
 Dopiero stąd się przewala bałwany,  
 To znów zprzeciwka, a my środkiem prawie  
 Pomiędzy fale płyniem w ciemnej nawie.  
 Już ledwo rozruch strzymujęm szalony,  
 Już spód okrętu pełen fali słonej;  
 Już białe żagle podarte na szmaty,  
 Wielkie z nich tylko w dół obwisły platy.  
 Kotwice pękły — a tu bałwan świeży,  
 Większy od tamtych, piętury się i jeży;  
 I jeśli nawet nam pianą zaleje,  
 Wnet od czerpania słaba dłoń omdleje.

<sup>1</sup> Ostatnie odkrycia papirusowe świadczą, że wiersz ten składa się z dwóch odmiennych i przez przypadek tylko połączonych w jedną całość części; idąc wszakże za oddawna ustaloną tradycją, podajemy go jako jedną całość.

## PIJMY

Pijmy! co czekać, aż nam zaświecą:  
 Drogie dnia chwile migiem przelecą,  
 Dawaj puławy! dawaj brzuchate!  
 Bakchos dał wino, aby rogacie  
 Odpędzać troski i słodzić dolę,  
 Więc lej mi jeden, lej dwa, pachole,  
 Lej mi pacholę po brzeg kielicha,  
 A zawsze kielich niech kielich spycha.

## ALKAJOS DO SAFONY I ODPOWIEDŹ

— Gdy twe włosy fiołkowe, gdy uśmieški twe miodowe,  
 Ciebie, czysta Safo, widzę: chciałbym coś rzecz, lecz się wstydzę.  
 — Byś miał zacną myśl, lotrzyku, a nic złego na języku,  
 Tobys się ty nie rumienił, prawdę śmiałobys wymienił.

*Tłum. J. Czubek.*

## IBYKOS

(w. VI przed Chr.)

## WIOSNA

Patrz! na wiosnę kieleńskie jabłonie rozsiewają wonie,  
 A strumyczek bieży, szemrząc spodem, panińskim ogrodem;  
 Tam na wiosnę z dziewic czystych sadu, z cienia winogrodu  
 Młode gronko wygląda oczyma; u mnie — wiosny niema,  
 U mnie — miłość nigdy nie spoczywa, lecz ciągle się zrywa,  
 Jak huragan, co w trackiej ziemicy, zrodzon z błyskawicy,  
 I szal dziki rozpala odrazu z Kiprydy rozkazu;  
 I dreszcze mi wzbudzają krew wrzącą, i serce mi mącą.

*Tłum. J. Czubek.*

## ANAKREONT

(w. VI przed Chr.)

## WZGARDZONA MIŁOŚĆ

Eros złoty na mą szkodę  
 Barwną piłką we mnie godzi,  
 Bym pokochał dziewczęcę młode,  
 Co w trzewiczku krasnym chodzi.

Ona z Lesbos — więc nie dziwy:  
 Gród tam piękny, a więc harda;  
 Mój włos siwy, więc mu wzgarda:  
 Ktoś tam inny już szczęśliwy.

## SKARGA

Moje włosy — ach! już białe,  
 Moja broda — ach! już siwa,  
 Zębów rzędy już nie całe:  
 Gdzie ma młodość, gdzie szczęśliwa?  
 I jasności tej słonecznej  
 Już mi wiele nie sądzono;

I płacz bierze mię serdeczny,  
 Bo mi straszne ziemi łono.  
 Ach, bo straszna, straszna droga  
 W loch okropny i daleki!  
 I jak łatwo schodzi noga —  
 Tak nie wróci już na wieki.

## PIEŚŃ BIESIADNA

Niech przyniesie dzban chłopczyna, Bo chcę ciągnąć pełne łyki; Niech dwie części leje wina, Wody cztery da poniki. Niech radością serce wzbierze, Niech pohulam znów, a szczerze.	Ale precz niesforne krzyki, Jakie lubi Scyta dziki, Gdy się spije bez pamięci: Nam, gdy w głowie się zakręci, Czar piosenki niech się święci!
--	---

## NAGROBKI

— Za Abderę Agaton legł na polu chwały,  
I przy stosie go głośno płakał naród cały;  
Nigdy jeszcze młodziana nie zmógł Ares krwawy,  
Coby mu zrównał w wierze gorącej rozprawy.  
— Bohater był Tymokryt; ten pomnik go sławi.  
Ares tchórza oszczędza, bohatera dławi.  
— I ciebie, Klenarydzie, zabiła tęsknota  
Za ojczyzną; tyś wichru nie uląkł się Nota.  
Wrogiem była ci zima; szumiące bałwany  
Stłumiły ci żywota kwiatek młodociany.

*Tłum. J. Czubek.*

## ANAKREONTYKI

## BROŃ KOBIECY

Twarde rogi wzięły tury, koń kopyta od natury;  
Zajac skoki niedosiężne, lew pazury wziął potężne.  
Ptakom lotne dała pióra, rybom pletwy mać natura;  
Mąż rozsądek wziął z jej ręki, a kobieta? — tylko wdzięki.  
Mało wzięła, ale starczy za hart miecza, za spiż tarczy:  
Stal i ogień — wszakże wiecie — niczem przy pięknej kobiecie.

## ZŁOTO I MIŁOŚĆ

Źle mieć serce jak kamienie; źle, kiedy się miłość skleci;  
Lecz najgorzej już — szalenie zakochać się bez nadziei.  
Bo czy przodków szereg długi, serce, mądrość, czy zasługi,  
Nic w miłości to nie znaczy: miłość tylko złota patrzy.  
Bodaj się był zapadł w ziemię człek, co pierwszy grosz polubił:  
Ojców nie czci młode plemię, brat niejeden brata zgubił.  
Grosz to cheiwy, niespokojny, rodzi waśnie, krwawe wojny;  
Lecz największa ta sromota, że w kochaniu nic bez złota.

*Tłum. J. Czubek.*

## SYMONIDES Z KEOS

(w. VI—V przed Chr.)

## TERMOPILE

O, jakże wielki, szczęsny, wspaniały  
Los termopilejskich rycerzy!  
Ich grób — świątynia, łyż — pomnik chwały,  
Żal ziomek — wawrzyn wciąż świeży.

Grób taki z wieków drwi poniewiery,  
 Rdzy nie zaszkodzą mu jady;  
 Na grobie, w którym śpią bohaterzy,  
 Usiadła chwała Hellady.  
 Świadkiem Leonid, Sparty król dzielny,  
 Co w Pylskiej poległ cieśninie:  
 Grób mu ocienia laur nieśmiertelny,  
 I pamięć o nim nie zginie.

#### LOS CZŁOWIEKA

Ach, jakże słabi są ludzie! troska ich nęka niesyta;  
 Krótki czas znoją się w trudzie, a śmierć nad karkiem niezbyta.  
 Wszyscy jej lupem; nie pomogą modły:  
 Śmierć nie przebiera, szlachetnyś, czy podły.

#### NAGROBKI

— Pod Maratonem Aten bohaterzy mężne  
 Staęli murem w obronie Hellady  
 I, walcząc, porazili na głowę potężne  
 Medów od złota kapiące gromady.  
 — Tutaj cztery tysiące Greków bohaterskich  
 Naprzeciw trzech stanęło milionów perskich.  
 — Przechodniu! powiedz Sparcie: tu leżym jej syny,  
 Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny.  
 — Zwierz najmocniejszy na tym grobie leży;  
 W nim najmocniejszy spoczywa z rycerzy.  
 — Anakreont tu z Keos, śpiewak Muzom miły,  
 Nieśmiertelny, spoczywa w łonie tej mogiły.  
 O miłości on słodkiej układał piosenki,  
 Żar Erosów w nie lejąc i Charytek wdzięki.  
 Jeden u Acheronta narzeka w tęsknicy,  
 Nie że słonka nie widzi z letejskiej ciemnicy,  
 Lecz że mu Megisteja u Hada nie stanie,  
 Że Smerdysa opuścić musiał, swe kochanie.  
 Lecz pieśni nie zapomniał słodkiej i pieszczonej:  
 I tam jeszcze dobywa z lutni dźwięczne tony.

*Tłum. J. Czubek.*

#### PIEŚŃ LUDOWA

(JASKÓŁKA)

Jaskółeczka leci, leci, już na dworze słonko świeci;  
 Jaskółeczka przyleciała, wierzchem czarna, spodem biała.  
 Wynoś, wynoś placek spory z pełnej komory!  
 Wynoś wina też beczułkę, sera gomółkę!  
 Znajdzie-li się chleba bułka — przyjmie jaskółka;  
 Nie odrzuci też kołaczy — dać-li kto raczy.  
 Jakże, dasz co? bo czekamy; czy też z niczem odejść mamy?  
 Dasz co — dobrze! a kto nie da — będzie z nim bieda.  
 Drzwi od izby wyłamiemy razem z odrzwiami!  
 Z izby żonkę ci porwiemy — musi iść z nami!  
 Mała — więc ją weźmiem snadnie, gdy na to padnie!  
 Daj, masz-li dać, nie przebieraj, jaskółeczce drzwi otwieraj!  
 Albośmy to dziady siwe, nie chłopaki urodziwe?

*Tłum. J. Czubek.*

PINDAR  
(w. VI—V przed Chr.)OLIMPIJSKA ODA TERONOWI AGRYGENTYŃSKIEMU, ZWYCIĘZCY W ZAWODACH  
WOZOWYCH*Strofa 1.*

Mocarko lutni, poezjo błoga!  
Jakiego boga,  
Jakiego męża, co za heroja  
Uwieńczy odezwa twoja?  
Zaprawdę Zeus Pizy panem,  
Dzielny Alcyd, stwórzyciel olimpskiego znoju,  
Pierwiastków boju.  
Lecz głos nasz zabrzmiał dla Terona sławy,  
Co kresu czworosprężnym doleciał rydwanem;  
Gościnnej cnoty lubownik prawy!  
Agrigentyńskiej krainy  
Filar niezłomny,  
Dźwigacz kraju wiekopomny,  
Zorza zacnoimiennej naddziadów rodziny!

*Antystrofa 1.*

Którego mnogie umysłem zwalczywszy przeszkody  
Święte nad rzeką posiadali grody,  
Czuje żrenice niwom Sykulowym.  
Żywot im towarzyszył w pomyślność okwity,  
Znoszący skarb i głośnie zaszczyty  
Cnotom rodowym!  
Lecz Kronowy Rei synu!  
Górnego władco błękitu,  
Co i Alfejskiego płynu,  
I zawodów strzeżesz szczytu!  
Pieśniami wieszczą błagany  
Słusznej ich potomków sprawie  
Chowaj łaskawie  
Dziedziczne łany!

*Epoda 1.*

Czyli prawnie zdziałanych, czy nieprawnych rzeczy,  
I sam czas wszystkorodny smutków nie zniweczy.  
Z błogą zaś nieraz dołą niepamięć przybyła:  
Bo życzliwszemi uciechy stłoczona,  
Nieprzyjazna gorycz kona.

*Strofa 2.*

Gdy wola bogów  
Do czyich progów  
Dźwignioną dolę posyła!  
Szczęśliwość zsyła!  
Tą koleją i Kadma dziś wieczne dziewoje  
Uporczywe z chłuszczącym losem wiodły boje.  
Bystro mordercze pierzchają kłopoty  
Przed dobr walniejszych przybyciem.  
Kwitnie olimpijskiem życiem  
Spółniczka Niebian wesela,  
Piorunowemi łaskoty

Przebiła w poranku wiosny  
 Powiewnowłosa Semela.  
 Kocha ją Pallas wiecznie,  
 Kocha ojciec Zeus serdecznie,  
 Kocha i syn bluszczonośny!

*Antystrofa 2.*

A głoszą, jak z Nereja cór mokrą drużyną  
 Po wszystkie czasy żyje dni radośnie Iro,  
 Nigdy oko znikome nie dobiega końca,  
 Co doczesnych chwil granicą:  
 Nie zna słodkiej godziny, cichej córy słońca,  
 Kiedy nas sytych szczęścia grobowce pochwyć.  
 A tu kolejną falą  
 I lechtające uludy,  
 I bólem brzemienne trudy  
 W człowieka wałą.

*Epoda 2.*

Tak i wyrok, co chociaż przeszłe waszych sprzęga  
 Losy dziadów, Teronie, z niebieską błogotą;  
 Przecież niewinne wnuki nierzadko dosięga  
 Najdrapieżniejszą zgryzołą,  
 A która jednak długo nie dosiedzi,  
 Odkąd fatalny zabójca  
 Dni zerwał Lajosa ojca:  
 Ziścił Pytona stare przepowiedzi.

*Strofa 3.*

Na co razem strzeliwszy, Tyzyfona wściekła  
 Z dzielnego mu potomstwa bratni duch wywlekła.  
 Został po zgasłym Tersandr Poliniku —  
 I w zawodnym młodzi szyku,  
 I wśród oręża sławiony pogromu,  
 Zasilna różdżka Adrastydów domu!  
 Skąd przed ciągnącym rodu osnowy  
 Dalej dziś, Muzo, Teronem  
 Z powiewnemi hymnów słowy  
 I złotym wystąpi bardonem.

*Antystrofa 3.*

Wszakże sławę powitał na Pizańskim błoniu,  
 A niesporne Charyty dla zwycięzcy brata,  
 Dla męznego kwiat wdzięczny zniosły Ksenokrata,  
 Gdy na czworosprężnym koniu  
 Dwanaściekroć w lotnym gonie  
 Wymierzył trudne ścieżki w Istmie i Pytonie.  
 Nie zna młotu udręczeń, kto w zawodów szranki  
 Wszedłszy z chwałą, zaszczytne skroni podał wianki,  
 Dostatek cnotami zdobny,  
 Do sławy w piersiach żądze budzący myśliwe.

*Epoda 3.*

Wszelkiemu dokonaniu ściele tor sposobny:  
 Jasna gwiazda, człowieka światło niekłamliwe!  
 Kto je posiadł, zna przyszłość, jak ciężkie katusze  
 Schwycą po nędznym zgonie niepobożną duszę,  
 Jak na tein Zeusa państwie brojone szkarady  
 Pod ziemią twardem prawem zmierzy Sędzia błady.

*Strofa 4.*

Lecz równem w noc i we dnie przyjaciele cnoty  
Ciesząc się słońcem, latwe spędzają żywoty:  
Nie rwą wdzięcznymi siły matki łona czarnej,  
Ni słone drażnią gniewy dla żywności marnej.  
A kto się mocą przysiąg cieszył świątobliwy,  
Ten z bogów przyjaciół ma wiek nieplacziwy.  
Lecz tamci, aże oko nie pojrzy bezkarnie,  
W tak strasznej giną męczarni.

*Antystrofa 4.*

Kto zaś kolwiek w trzykrotnym tu i tam pobycie  
Niezwichrzone zbrodniami uprowadził życie,  
Taki Zeusowemi drogi  
Zaszedł w Kronowy gmach błogi,  
Kędy wyspę wybrańców, oceanu córę  
Lekkiemi tchnące Aury przebiegają pióry:  
Wszędy kwiecie złotem płonie,  
Inne na wonnej zieleni łonie,  
Inne gałązka rozwija,  
Inne modra toń wybija,  
A oni upłotami swe wieczyste skronie  
I święte obwodzą dłonie.

*Epoda 4.*

Jako im mądry Radamantys radzi,  
Którego ojciec Kronos, mąż dostojnej Rei,  
Dzierżącej tron ze wszystkich najwyższy, zkolei  
Chętnego zasiadacza tuż przy sobie sadzi,  
Śród tej Kadmus i Pelej jaśnieją zaciszy;  
I Achilla przywiodła, skoro matka dumne  
Kronidowe modłami serce ukotłysz.

*Strofa 5.*

Co zgniółł Hektora, Troi niewstrząsłą kolumnę  
Zwalilł Cykna i Jutrzni synowi czarnemu  
Ukazał głębie Podziemu.  
Niemato spoczywa u mnie  
Lotnych pod łokciem strzał w śmiałym sajdaku,  
Co brzmia jaśnie dla uszu myślących rozumnie,  
A są głuchą zagadką dla gminnego braku.  
Prawy mędrzec naturą odziedziczył wiele,  
Ssący bez daru pokarmy nauki,  
Mocni gardłem jako kruki wrzeszczą, jałowi  
Przeciw boskiemu orłowi.

*Antystrofa 5.*

Dalej duszo! k'celowi łuk wyginaj tęgi!  
Kogóż uderzym bełtem przyjacielskiej chęci?  
Do Agrygentu twój się lot skreć,  
Kędy wagą niecofnej stwierdzono przysięgi,  
Powiem — słowa szczeremi usty, że lat na sto  
Żadne nie powiło miasto, żadna kraina sławiona  
Łaskawszego od Terona, hojniejszego od Terona.

*Epoda 5.*

Lecz na pochwałę nierzadko wpada  
Z krwawą pięścią zawiść błada,



Co nie drogą prawą kroczy,  
Lecz od wichrzącej burzycieli zgrai  
Z tajonej pchnięta uboczy,  
Ostre razy daje  
I dysze, by szlachetne wielkich mężów dzieła  
Ze szczytów blasku zepchnęła.  
Że zaś ulotny piasek pokona rachuby,  
Skąd i Twoje, Teronie, górujące chluby,  
Którymi świata uweselasz czoła,  
Któż z ziemi policzyć zdoła?

*Tłum. J. Wernikowski (1824).*

## BAKCHYLIDES

(w. V przed Chr.)

### TEZEUSZ

(Dytyramb)

Chór.

Królu Aten, świętego grodu, rozkoszom powolnych władco Jonów! Czemu pieśni bojowej gromem ózwała się trąba, miedzią dzwonna? Mąż-li, hufców orężnych wódz w ziemi naszej granice wtargnął, zionący gniewem wróg? Lub grabieżca, pasterzom wbrew, gwałtem niecnym złupione trzody pogna-li przed sobą precz? Cóż ci troską napęlnia serce? Odpowiedz! Do boju chętnej młodzi huf, jeśli miał kiedy ziemski mąż, ty go myślę dzisiaj masz, zacna krew Pandjona i Kreuzu.

Egeusz.

Goniec w gród nasz zawitał, długą stopami przemierzył Istmu drogę; wieść o męża-mocarza czynach nadludzkich przynosi: «Synis — rzeczce — Ziemiotrzęscy zuchwały syn,<sup>1</sup> wśród śmiertelnych najpierwszy siłą, pod ciosem jego legł; w Kremunjonu parowach dzik-mężobójca zasieczon, zabity Ekiron, okrutny zbój; Kerkjona boisko wzięte; z omdlałej wypuścił dłoni ciężki młot Prokrust krwawy, gdy zjawił się mąż, nad jego wyższy moc...» Strach mi: czem się to skończy, co się spełni?

Chór.

Któż ten mąż, jaki kraj go rodzi; z jaką przybywa do nas światą? Czy do walki orężnej gotów, rycerzy zastępy wieździe zbrojne? Czy samotny, z niewielką służką, niby błędny wędrowiec, kroczy w nieznanym, obcym kraju? Mąż waleczny, niezłomnych sił pełen, w boju mocarza tyłu pogromca, nieświadom trwóg? Śnać posyła go bóg, by sądy nad złymi sprawował ludźmi... Trudno wszak temu złego uniknąć, kto zło ustawicznie czyni sam. Wszystko w długim pochodzie lat się spełnia.

Egeusz.

Dwóch ma jeno przy boku mężów; przez ramię, urodą jaśniejąca, miecz o głównej ze słoniowej kości; głądzone dwie włócznie niesie w dłoni, zaś lakońskiej roboty szłom płowowłosą mu zdobi głowę. Purpurą lśniące gźło kryje pierś — i kosmaty płaszcz, w ziemi tkany tesalskiej. W oczach krasnemi się błyski skrzy Lemnu płomien. Z chłopięcia ledwie wyrasta, lecz gier Aresa świadom jest; poznał krwawy wojenny trud i śpizowy bitwy zgiełk. Cel zaś drogi — stolica chwał Ateny.

*Tłum. S. Srebrny.*

<sup>1</sup> Synis, syn Pozejdona Ziemiotrzęscy, inaczej Zginacz Sosen, był to pierwszy wróg ludzkości, pokonany przez Tezeusza.

## ESCHILOS

(525—456 przed Chr.)

## AGAMEMNON

[Pierwsza część trylogii p. t. «Dzieje Orestesa»]

*Osoby dramatu: Agamemnon; Klilemestra; Egistos; Kasandra; Poset; Stróż; Chór Mężów Rady Argińskiej; Świta Agamemnona, Klilemestry i Egistosa.*

Fragment I, ww. 1—81

*Ściana tylna sceny przedstawia zamek Atrydów w Argos. Przed zamkiem szereg ołtarzy i posągów bóstw. Na dachu przechylony ku przodowi*

Stróż:

Ach! skończcie raz już, proszę, bogowie, tę nędzę!  
Przez cały rok na dachu Atrydowym pędzę .  
Psie życie, strażujący — istny kundel dziki.  
Aż nadtom ci już poznał nocne gwiazd sejmiki,  
Wyliczyć mogę wszystkie te jasne wielmoże,  
Władzące w tym powietrznym nade mną przestworze;  
Wiem, które dają ciepło, które zimę rodzą,  
I w jakiej wschodzą chwili, a w jakiej zachodzą. .  
I teraz pilnie baczę z tej strażnicy mojej,  
Czy wieści mi nie przyjdą o zburzonej Troi,  
Ogniste, szybkie wieści. Ho tak mi królowa  
Kazała, nadoprawdy! mądra męska głowa!  
Więc leżę, ni ten tułacz przesiąknięty rosą,  
Wczasuję się, lecz wczasy nocne nie przyniosą  
Spoczynku moim kościom: w ciągłej jestem trwodze,  
Ażeby sen zbyteczny nie skleił niebodze  
Tych powiek utrudzonych. A jeśli się kiedy  
Świtaniem albo śpiewem chcę pozbyć tej biedy  
I snu natarczywego odpędzać katusze,  
Nad losem tego domu zalewać się muszę  
Gorzkiemi iście łzami, bo gdzież się podziały  
Te dawne, dobre czasy i cnoty, i chwaly?  
Bodajby już nareszcie błysnął ogień boski,  
Co zwolni mnie, nędzarza, od tej ciągłej troski.  
A witajże mi, światło, ty słońca zwiastunie!  
Zatańczy lud argiński w twojej szczęsnej łunie,  
Dziękując za tę łaskę. Oj dana! Oj dana!  
Co tchu ja zawiadomię żonę mego pana,  
By z łoża się zerwawszy, wszystek dom zbudziła,  
Okrzykiem przeradosnym witając co siła  
Ten błogi żar pochodni. Padł gród Ilijonu —  
Tak wieści straż płomienna tam! u nieboskłonul  
Jać sam wyskoczę pierwszy, bo straż moja czujna  
Sprawiła, że mi spadła dziś szóstka potrojna <sup>1</sup>  
W szczęśliwej grze mych państwa. Zapłatę dostatnią,  
Gdy rękę mego króla uściskam, jak bratnią.  
O reszcie wolę milczeć. Tak jest, mówię szczerze:  
Mam pypeć na języku. Wcale mnie nie bierze  
Ochota pisać słówko! Hej! światby się zdumiał,  
Co domby ten powiedział, gdyby mówić umiał!

<sup>1</sup> Obraz wzięty ze starożytniej gry w kości.

Cóż gadać o tem ludziom nieświadomym rzeczy?  
Kto wie, temu milczenie moje nie zaprzeczy.

*Zboku wchodzi na scenę chór z piętnastu złożony starców w świątecznych szatach z wieńcami na głowie, z długimi łaskami w rękach, z mieczami u lędźwi. W czasie, gdy się ustawiają, mówi*

Przodownik Chóru:

Dziesięć upływa lat,  
Gdy dwaj wrogowie Priama,  
Których zrodziła ta sama  
Boska Atrydów krew,  
Król Menelaus i brat  
Król Agamemnon, na czele  
Tysiącznych argiwskich okrętów  
Jęli przecinać topiele morskich odmętów —  
Zemsty poganiał ich gniew.  
Z bojowym ruszyli okrzykiem,  
Każdy krwiożerczy, ni ptak,  
Ni oszalały ten sokół,  
Co skrzydeł wiosłami naokół  
Z gniazda odartych skalnych ścian  
Powietrza prując szlak,  
Krakanem napętnia dzikiem przestworza:  
Zaginął jego plód,  
Przepadły pisklęta, długiego wylęgu trud.  
Ale-ć Apollon, czy Zeus, czy Pan,  
Władyki stromych gór,  
Sokoli usłyszają wrzask: moc boża  
O powierzonych swej trosce pamięta: pomsta żyje,  
Choć nierychliwe, lecz sprawiedliwe jawią się Erynyje.  
Tak gościnności możny stróż,  
Zeus, rozdawca opiekuńczych łask,  
Atreuszowym kazał synom iść  
Na Aleksandra,<sup>1</sup> odbić z jego rąk  
Najpłochszą z ziemskich cór.  
Długo bitewny unosił się kurz;  
Pod tarcz brzemieniem tłum rycerny kłękł,  
Kolana zadrżały, ni liść,  
Oszczepów kruszył się wal,  
Proch krew trojańską ssał  
I naszą, Danaów krew.  
Lecz jakikolwiek będzie tego kres,  
Tak będzie, jak każde los:  
Boży gniew, Boży cios  
Nic sobie nie robi z łez:  
Uderza niepowstrzymany, mimo ofiary wylanej,  
Łamie niezwyciężony, pomimo żertwy spalonej.  
Lecz myśmy tu pozostali  
Precz od wojennej chwały,  
Precz od chwalebnej wojny,  
Ni chłopaczkowie mali,  
Tarczy nie dźwigniem zbrojnej:  
Kij nam do ręki daje wiek zgrzybiały,  
Bo jeśli w wątlej postaci chłopięcej  
Potężny Areś nie zamieszka — tem więcej

<sup>1</sup> Trojański Parys inaczej nazywał się Aleksandrem.

Stronić on musi od starości znojnej.  
 Odartą ze świeżych liści,  
 Żywota-ć ją wiedzie ścieżka  
 Słabą i chwiejną w dal beznadziejną.  
 Po życia wlecze się drogach  
 Trzęsąca się, o trzech nogach;  
 W dzień biały ni senna snuje się zjawa,  
 Niepewnym krokiem stawa,  
 Nikłego widma wzór.

*Klitemestra wyszła tymczasem z pałacu, otoczona służebnicami, i zajmuje się składaniem ofiar na ołtarzach.*

Córko Tyndareowa,  
 Cóż to się, powiedz, dzieje?  
 Jakież nadeszły wieści,  
 Jakież to cudo się iści,  
 Jakież radosne przyniesiono słowa k'nam,  
 Iże ofiarą kolejną bogom nie skąpisz części?

Fragment II, ww. 281–319

*Klitemestra:*

Hefajstos, co swe ognie rozpalil na wyży  
 Idajskiej;<sup>1</sup> od ogniska śpieszył do ogniska  
 Płomienny jego goniec. Ida blask swój ciska  
 Na Lemnos, na Hermesa opokę, a dalej  
 Już Atos, schron Zeusa najmilszy, się pali,  
 Ognisty znak dostawszy. Potem coraz płodniej  
 Rozrastał się po drogach sosnowej pochodni;  
 Po morza rozigranych falach mknął bez końca,  
 Aż dobiegł do Makista wierchowej strażnicy.  
 I tego sen nie zmożył: płomienistolicy,  
 W te tropy ze swej czujnej zerwawszy się warty,  
 Wstańca w dalszą drogę pchnął; ten nieprzeparty  
 Z swą żagwią do Eurypu dobiegłszy wybrzeży,  
 Dał znak Messapjosa opoczystej wieży,  
 Ten wzamian odpowiedział; suche wrzосу pęki  
 Żar dały niesłabnący, łagodny i miękki.  
 Ni światło księżycowe, szedł ten blask wysoki  
 Równiami Aroposa aż hen, pod opoki,  
 Pod szczyty Kitajronu...

Tak-ci po sto razy  
 Podawał ten tamtemu królewskie rozkazy:  
 Zwycięzcą jest w tym biegu pierwszy i ostatni.  
 Ten znak-ci moich wieści prawdę uwydatni  
 Przysłanych mi przez męża dziś z pod murów Troi.

*Przodownik Chóru:*

Nie mogę-ć jeszcze bogom dziękować w tej mojej  
 Radości, pełna dziwu słuchać jest gotowa  
 Bez końca moja dusza, pani, twego słowa.

Fragment III, ww. 503 nst.

*Poseł:*

Rodzinną ziemię Argos, witaj mi! Nareszcie  
 Po latach aż dziesięciu jestem w moim mieście.

<sup>1</sup> To znaczy: był zwiastunem nowin ogień.

Albowiem Agamemnon, księżę władczej mocy,  
Przynosi wam i wszystkim światłość pośród nocy.  
Przyjmijcie go jak męża, co trojańskie niwy  
Przeorał owym-ć plugiem, który Zeus mściwy  
Powierzył jego ręce: już tam ni ołtarzy,  
Ni żadnych świątnic bogów wzrok nie zauważy.  
Doszczętu wyniszczono nasienie tej ziemi!  
Dziś wraca ten, co dłońmi narzucił silnemi  
Na Troję ciężkie jarzmo; wraca pierworodny,  
Szczęśliwy syn Atreja, czci największej godny...

Fragment IV, ww. 793 nst.

*W płaszczu królewskim zjawia się na rydwanie Agamemnon; za nim Kasandra, z oznakami prorokini: na głowie ma wełniane przepaski, a w ręku wawrzynową laskę. Przemawia*

Przodownik Chóru:

Witaj nam, królu, moźny zdobywco Troi!  
Potomku Atreuszowy!  
Jakimi cię słowy dziś uczcić mam? Dusza się boi  
Przesadnej dziękczynień miary.  
Lecz wielki to byłby kłam,  
Gdyby uszczuplić chciała,  
Czego wymaga twa chwała.  
Ludzki to nałóg stary, że się kochamy w pożarze,  
Przekraczając granice słuszności.  
Niejednokrotnie dla bólu  
Współbolejące mamy lice,  
Ale niezawsze wnika nam do duszy  
Kolec ich krwawych katuszy.  
A gdy wesołych przyjmujemy gości,  
W nieszczerzy się uśmiech stroi nasza obłudna twarz.  
Przedsię dobrego pasterza, gdy pilną ma straż  
Nad swego ludu trzodą,  
Błyski wodnistej przyjaźni,  
Którymi fałszywe lśnią oczy, nigdy nie zwioda.  
Ty lud swój znasz! Przyznaję najwyraźniej:  
Rozumnyś mi nie był wódz,  
Który roztropnie ku swym celom zmierza,  
Gdyś nazbyt ochoczy w sprawie Heleny  
Przygotowywał bój.  
Życie najbliższych było ci bez ceny,  
Ofiarą ich chciałeś zmóc niechętnego żołnierza  
Wiodąc na straszny go znój, na skon!  
Lecz dziś wśród naszych łon,  
Gdy trudne dzieło dobiegło już końca,  
Życzliwość znajdziesz radosną.  
A wzrok badawczy twój rozpozna niebawem,  
Kto się tu rządził prawem,  
Kto jego był obrońcą,  
Kto zaś w tem mieście twem  
Parał się z złem,  
Przez kogo grzechy tu rosną.

A g a m e m n o n:

Nasamprzód memu Argos i ojczystym niwom  
Godziwe pozdrowienie. Przez nich widzę drogą

Mą ziemię, przez nich karę słuszną Priamowy  
 Otrzymał gród. Zaisie! Nie pustemi słowy  
 Głoszono tu wyroki na twierdzą Ijonu:  
 Do urny śmiercionośnej, rozstrzygając skonu  
 Rozlicznych mężów sprawę, rzucili bogowie  
 Swe gałki, zaś do drugiej, przynoszącej zdrowie,  
 Nadzieja przystąpiła z próżnemi rękoma.  
 Dotychczas jeszcze miasta pożoga widoma,  
 Tlą jeszcze się ofiary nieszczęścia. Niedługo  
 I ty się w nie rozwiejesz, ciemna dymu smugo,  
 Wijąca się nad bogactw popalonych zgłiszczca.  
 Niech za to wieczna dzięki bogom się uiszcza:  
 Z ich łaski nieprzyjaciel wpadł w nasze obierze,  
 Trojański gród argiwskie stratówało zwierzę,  
 Gdy zbrojne, z wnętrza konia urodzone plemię,  
 Rzuciło się o Plejad zachodzie na ziemię,  
 By, ni to lew niesyty, napić się posoki  
 Królewskiej! Ten ci bogom nasamprzód głęboki  
 Złożywszy hołd, ku tobie zwracam się tej pory.  
 To wszystko, co mi rzekłeś, zawsze jestem skory  
 Pamiętać, gdyż z twojemi zgadzam się słowami.  
 Niewielu przedsię znajdziesz takich między nami,  
 Co patrzą bez zawiści na szczęśliwą dolę  
 Swych bliźnich, chociaż zazdrość podwaja nam bole,  
 Albowiem, gdy do serca wsączy swą truciznę,  
 Rozkrwawia jeszcze bardziej naszą krwawą bliźnę;  
 Niedosyć, że nas brzemień troski własnej trudzi,  
 Lecz jeszcze nas przygniata szczęście innych ludzi.  
 Wiem o tem z doświadczenia. Zawszem najwyraźniej  
 Uludę tylko widział w zwierciadle przyjaźni,  
 Na miejscu życzliwości pustem chwycił mary.  
 Odysej tylko jeden dotrzymał mi wiary,  
 On jeden, choć niechętnie, poszedł z mą wyprawą,  
 Rad dzielił ciężkie jarzmo, niedolę mą krwawą.  
 Dziś nie wiem, czy on żywie, czy spoczął już w grobie.  
 Wszelakie inne sprawy rozważymy sobie  
 Na wspólnej naszej radzie, pilne sprawy miasta  
 I bogów... Niech, co dobre, mnoży się i wzrasta —  
 To naszą będzie troską! A gdzie jest nakazane  
 Lekarstwo, aby wyciąć, czy wypalić ranę,  
 Roztropnie tam usuniem wrzodu powód srogi.  
 A teraz w dom swój wejdę, przywitam swe bogi,  
 Co, precz mnie stąd wysławszy, znów mnie powrócili.  
 Niech przedsię mi zwycięstwo sprzyja każdej chwili.

*Po przywitaniu Klitemestry wchodzi do pałacu: Klitemestra dla Kasandry niechętna;  
na scenie Kasandra i Chór*

Fragment V, ww. 1072 nst.

K a s a n d r a:  
 Ratunku! świat w oczach mi ginie!  
 Apollinie! Apollinie!

C h ó r:  
 Dlaczego do pomocy wzywasz Loksyjasza?  
 A wszak-ci nie dociera doń ta boleść nasza.

K a s a n d r a:

Ratunku, świat w oczach mi ginie!  
Apollinie! Apollinie!

C h ó r:

I znowu nadaremnie wzywa tutaj boga,  
Któremu obojętna wszelka ludzka trwoga!

K a s a n d r a:

Apollinie! Apollinie!  
Ty polowaczu pośród śmierci pół!  
Polujesz na mój ból!  
Twój pocisk raz mnie wtóry tak ugodził ninie!

C h ó r:

Zapewne treścią wróżb jej własna będzie dola,  
Bożego bowiem ducha nie zniszczy niewola.

K a s a n d r a:

Apollinie! Apollinie!  
Ty polowaczu pośród śmierci pół!  
Polujesz na mój ból!  
Ach! w jakież ty mnie progi zapędziłeś ninie!

C h ó r:

W Atrydów dom! Gdy nie wiesz, mój ci język powie!  
Przekonasz się, że fałszu niemasz w mojem słowie.

K a s a n d r a:

Od bogów przeklęty dom!  
Ha! wiem-ci! krwawa rzeźnia, hańba, grzech i srom!  
Zabójców nیکzemne hordy, stryczki, topory, mordy!

C h ó r:

Gończego węż ma ostry ta obca niewiasta!  
Wymęczy, czego szuka: mord z pod stóp wyrasta!

K a s a n d r a:

Ha! Widzę świadków! Znam! Ubite pacholeta gotują! On sam,  
On, rodzic, ich mięso zjada! Straszna, ohydna biesiada!

C h ó r:

Twej wieszczej myśmy sławy wszyscy tu świadomi,  
Lecz dziś nas tve proroctwo weale niełakomi.

K a s a n d r a:

Jakiż to ona w tej chwili krwawy gotuje los?  
O biada, biada! Ten potwór człeczy  
Na zbrodnie się nowe sili. Nowy cios,  
Gdy ranę dzisiaj zada, żadna jej moc nie wyleczy.

C h ó r:

Co znaczy to proroctwo, rozum mój nie zgadnie;  
O tamtem mówią wszyscy, znam-ci je dokładnie.

K a s a n d r a:

Co czynisz, nieszczęsna żono? Twój-ci to mąż i pan!  
O biada! biada! Wyrzec nie mogę!  
Ku łaźni go zaproszono — koniec znasz?  
Ręce do mordu składa —  
Mord szybką wybrał drogę.

Chór:

Nie dotąd nie rozumiem z tego, co nam wieści;  
Nie zdołam zagadkowej wytłumaczyć treści.

Kasandra:

O jej! o jej! Cóż to me widzą oczy?  
Piekiel to godna sieć! Przędza, współpracniczka zbrodni,  
Patrzajcie, krwią już broczy!  
Radosne hymny piej; wielkie wesele wznieć,  
Ty domu straszny demonie! Nowa ofiara ci płońie!

Chór:

Jakąż to wzywasz Erynyję?  
Jacyż duchowie, krwi głodni,  
Mają radością napętnić ten dom?  
Nie cieszy mnie język twój; trwożnie mi serce bije;  
Dreszcz mnie przenika srogi, ni grom;  
Krwi mi się ścina zdroj — jestem ni człek,  
Co od oszczepu legł — nieszczęście szybkie ma nogi.

Kasandra:

O jej! o jej! Cóż to me widzą oczy?  
Niech sobie pójdzie byk! Trzymać go zdala od krowy!  
Płaszcz go fałdami otoczy — miej-że baczenie, miej!  
Na róg cię wdzieje... krzyk  
Zali słyszycie? Przyjaźnie krwawą gotuje mu łaźnię!

Chór:

Chęłpić się znawstwem jej wróżby  
Wcale nie jestem gotowy,  
Przecież to widzę, że tych wieszczów treść  
Nowy oznacza trud. Celem proroczej służby  
Cóż być innego może, jak nieść  
Same nieszczęścia w lud? Słów wieszczych moc,  
A w każdym groźna noc, lęk w każdym ma łoże.

Kasandra:

O jej! o jej! Jakież to straszny wiódł mnie los!  
Nędzę ci moją opowiadam w głos!  
Do tych zbójeckich kniej, pocóż mnie przygnał on?  
Chyba na wspólny skon, bo nacóżby innego?

Chór:

Prorocki porywa cię szal — o swojej własnej doli  
Nieśpiewny nucisz śpiew! Ach, jak on boli! jak boli!  
Tak szary słowik wśród drzew:  
«Itysie! Itysie!» — wciąż woła — smutniejszy on żywot miał.  
Rozkoszy chwila wesoła odbiegła nieszczęsnego...

Kasandra:

O jej! o jej! Gdzież ze słowiczym równać mój  
Nieporównany, niezmożony znój?  
O losie spokojnym piej: w pierze cię stroi bóg!  
Mnie biedną oszczep zmógł, miecz obosieczny siecze.

Fragment VI, ww. 1215 nst.

Kasandra:

I znowu mnie opętał groźny duch! W swe służby  
Porywa mnie szal wieszczów. O nieszczęsne wróżby!



Patrzajcie! W bramie domu ni senne widziadła,  
 Gromadka niewiniątek zabitych usiadła —  
 Przez własnych swoich krewnych zarzeczane dzieci!  
 W ich rękach, patrzcie! patrzcie! kawał mięsa świeci —  
 To nerki ich i trzewia! Ojciec ich rodzony  
 Spożywał karm tę straszną. Gdzież szukać obrony?  
 Tchórz w skórze lwiej, zajmwszy legowisko cudze,  
 Na moim mści się panu — przystoi mnie, słudze,  
 Zwać panem tego wodza, co, zburzywszy Troję,  
 Powrócił i nie przeczuł na nieszczęście swoje  
 Języka zdradnej sukii! Ni podstępna Ate  
 Tak łąsi się, tak słowa, w pochlebstwa bogate,  
 Do nóg mu, skomlać, rzuca, a zgubę mu knuje!  
 Niewiasta morderczynią! Poszła między zbóje!  
 Jak nazwać ją? Z czem stwora tego równać można?  
 Gadzina pełzająca, nie! Ekylla bezbożna,  
 Co z statków precz porywa niebacznych żeglarzy;  
 Szalona matka Hadu, spór niecąca wraży  
 Pomiędzy najbliższymi! O, jakżeż radośnie  
 Krzyczała, ni to w bitwie, gdy zwycięstwo rośnie,  
 Szczęśliwa, że ocalon powraca do domu.  
 Ty wierz mi, albo nie wierz! Nie chcę-ć ja nikomu  
 Narzucać swojej prawdy! Ale przyszłość bliska,  
 Że z płaczem nie odmówisz mi wieszczki nazwiska.

Chór:

Pojmuję Tiestesa okrutną biesiadę  
 Z rodzonych jego dzieci. Więc trwogi mnie blade  
 Nachodzą na tą prawdę, szczerą, bez pozoru:  
 Lecz to, co teraz słyszę, wytrąca mnie z toru

Kasandra:

Powiadam ci, że ujrzysz mord Agamemnona.

Fragment VII, ww. 1343 nst.

Głos Agamemnona:

O biada! Cios śmiertelny godzi we mnie! biada!

Pierwszy z Chóru:

Cyt! ciosem ktoś uderzon śmiertelnym upada.

Głos Agamemnona:

O biada! po raz wtóry ugodzono we mnie!

Drugi z Chóru:

To króla jęk! Nie wątpić! Zabity niktzemnie!

Fragment VIII, ww. 1372 nst.

*Rozsuwa się ściana tylna sceny; widać łaźnię, w której zamordowano Agamemnona. Zwłoki jego, wielką odkryte tkaniną, spoczywają w wannie; obok nich leży trup Kasandry. Klitemestra z siekierą w ręku zastępuje drogę mężom rady, pragnącym wkroczyć do wnętrza.*

Klitemestra (z czołem obryzganem krwią):

Wbrew wszystkim dawnym słowom, które tak, jak pora  
 Żądała, wygłosiłam, jestem oto skora  
 Przemawiać wręcz przeciwnie i tego się zgoła  
 Nie wstydzę. Bo gdzież człowiek, co inac wydoła?

...Dwukrotnym cios zadała, dwukrotne westchnienie  
 Dobyło mu się z piersi, gdy o ziem go żenie  
 Mój topór. Potem jeszcze, gdy już legł zabity,  
 Raz trzeci uderzyłam — w cześć Zeusa, śród świąty  
 Umarłych władającego w podziemnej krainie  
 Padając, tak wyzionął swego ducha ninie!  
 A strumień krwi, trysnąwszy aż po moje włosy,  
 Obryzgał mi to czoło kroplą czarnej rosy,  
 Radując mnie, jak pola cieszy deszcz wiosenne,  
 Gdy, padłszy z nieba, kielki z ziarn dobywa plenne...

Przodownik Chóru:

Truchleję na twój język! Niewiasto bezbożna!  
 Przy zwłokach męża swego czyż tak mówić można?

Fragment IX, ww. 1467 nst.

Chór:

Demonie, którego dłoń wciąż rzuca i rzuca kłęski  
 Na obu potomków Tantała, straszny tyś bóg!  
 Piekelną broń dałeś niewieście, że hymn dziś zwycięski  
 Kracze jak kruk: przy zwłokach męża, wstrętny jego wróg,  
 Swą zbrodnią się przechwała. O jej! o jej!  
 Heleno, niewiasto szalona, coś tyle, ach! tyle dusz  
 Na śmierć skazała pod Troją! Na wieki wieków już  
 Nie skona wspomnienie winy twej,  
 Skąpane w świeżej posoce! Klątwy straszliwe moce,  
 W swych rękę mające wciąż ten dom,  
 Nowy na głowę moją ściągnęły grom: przez nie dziś zginął ten mąż.

Klitemestra:

Prostujesz swoje słowa, mówiący o demonie,  
 Zabójcy naszego rodu, co żądzą zemsty płonie!  
 Już w macierzystem łonie zaród się klątwy chował  
 Starego-ci jeszcze wrzodu nie zasklepiała się rana,  
 A świeża już przezeń zadana!

Chór:

Groźnego wspominasz ducha, waszego domu niszczyciela,  
 Który — o jej! o jej! przegorzkie to wspomnienie! —  
 Ciągłemi ofiary zaściela krwawy ślad dróg,  
 Niesyty pomsty swej. Ale on boga-li słucha,  
 Ro wszystkim kieruje bóg! bez niego nic się nie dzieje.  
 On na dni naszych koleje i dzisiaj smutek ten żenie!  
 O jej! o jej! o królu mój, królu! Jak oplakiwać cię mam?  
 Jak żegnać w godzinie tej, gdy dusza pełna jest bólu,  
 Gdy się z rozpaczy błąka? Podstępny cię zabił kłam,  
 Bezbożny grzech! uwikłan w sieci pająka ostatni wydałeś dech!  
 O biada! o biada! powiązanego zabiła cię zdrada!  
 Daremny opór: ciał obosieczny cię topór.

Klitemestra:

Mem zwiesz to dzieło? Mary! To nie Agamemnona  
 Małżonkę masz przed sobą! Upiorem-ć jest ta żona  
 Ku zemście wyznaczona! Odwiecznym duchem kary,  
 Co dom ten okrywa żalobą,  
 Co chłonie objatę nową, za ucztę Atreuszową.

## Chór:

Któż świadkiem ci tu będzie, że mord nie spełnion jest przez ciebie?  
 Ach któż? o jej! o jej! duch mściciel winy twej,  
 On, co w nieszczęściach grzebie zdawna wasz ród,  
 Tylko podzegał się k'niej! Posepny Ares w rozpędzie  
 Szalonym, kroczący w bród krwi bratniej, coraz to więcej  
 Wylewa posoki dziecięcej — w swej drodze on nie ustoi!  
 O jej! o jej! o królu mój, królu! Jak oplakiwać cię mam?  
 Jak żegnać w godzinie tej, gdy dusza pełna jest bólu?  
 Gdy się w rozpaczy błąka? Podstępny cię zabił kłam,  
 Bezbożny grzech! Uwikłan w sieci pająka ostatni wydałeś dech!  
 O biada! o biada! powiązanego zabita cię zdrada!  
 Daremny opór: ciał obosieczny cię topór.

Fragment X, ww. 1577 nst.

*Na scenę wchodzi Egistos w płaszczu królewskim, zbrojną otoczony switą; mówi*

## Egistos:

O dniu sprawiedliwości, dniu jasny i błogi!  
 Dziś wierzę, iż na ludzkie spoglądają drogi  
 Bogowie i że karzą wszystkie grzechy ziemi.  
 Bozkoszy! Oto w płaszczu Erynji, mściwemi  
 Rękami uprzedzonym, leży tej godziny  
 Przede mną człek, płacący stare ojców winy!  
 Boć — aby wam przypomnieć bieg wypadków krwawy —  
 Atrusz, ojciec tego, władca tej dzierzawy,  
 Tyesta, mego ojca, a swojego brata,  
 O władzę spór z nim wiodąc, wypędził na lata  
 I z domu, i z ojczyzny. Po jakimś czasie  
 Tyestes, powróciwszy ufający, zda się  
 Na laskę nielaskę u jego ogniska  
 I tyle uzyskuje, że posoka śliska —  
 Przynajmniej jego własna — nie pocieknie strugą  
 Po ziemi rodzicielskiej. Za chwilę niedługą  
 Atrusz, tego ojciec bezbożny, z nielada  
 Zapalem dla rodzica mojego układa  
 Przyjęcie — przyjacielskie: na ucztę go prosi  
 I ciała jego dzieci upieczone wnosi.  
 Nikczemie swe zamiary ukrywając lisie,  
 Pochował pod pieczyście w tej ohydnej misie  
 Od rąk i nóg odcięte ich palce. Nieświadom  
 Mój ojciec — któż był takim obecny biesiadom? —  
 Spożywa karm zdradziecką; jakie stąd wypadło  
 Nieszczęście, wzdyc widzieli!...  
 Gdym wyrósł, tak mnie Pomsta przywiodła zpowrotem  
 W te strony. Nie przestałem knować do ostatka  
 Przeciwno moim wrogom; przeze mnie ta siatka  
 Dla tego tu sprzedzona! Teraz, gdy on w mojej  
 Legł matni, i me serce umrzeć się nie boi.

*Przodownik Chóru czyni ostre wyrzuty mordercy. Wynika spór i kłótnia.*

## Egistos:

Za te słowa, za te czyny już twa czelność płacę więzła.  
 Drodzy moi kopijnicy, cni żołnierze! hej, do dzieła!

## Przodownik Chóru:

Hej, wyciągnąć miecze z pochew! już gotowe członki moje!

Egistos:

I ja jestem również gotów i umierać się nie boję!

Przodownik Chóru:

Mówisz, śmierci się nie lękasz? Więc spróbujmy jak najgodniej!

Klitemestra:

O przenigdy, mężu drogi, nie spełniamy nowej zbrodni!  
Cośmy dotąd już sprzątnęli, złem sypnęło na nas ziarnem;  
Dość już cierpień, dość przelewu krwi na polu tem ofiarnem!  
Wróćcie do dom, zacni starce, nim doznacie męki świeżej,  
Lub spełnicie czyn niegodny: co się stało, znieść należy,  
Aby tylko padać na nas nie zechciały nowe kłęski!  
Wszak nas ciężką przygniółł stopą demon pomsty przezwycięski.  
Posłuchajcie dobrej rady, choć przemawia-li niewiasta!

*Po krótkiej, niezycziwej wymianie zdań, Klitemestra i Egistos idą do wnętrza pałacu. Odchodzi także i Chór. Kończy się część pierwsza trylogji.*

*Tłum. Jan Kasprzewicz.*

## SOFOKLES

(496—406 przed Chr.)

### EDYP KRÓL

*Osoby: Edyp, król tebański (syn Lajosa, wychowany jednak w Koryncie). Jokasta, królowa tebańska, żona Lajosa, żona i matka zarazem Edypa. Kreon, brat Jokasty. Kapłan. Chór tebańskich starców. Tejrezjasz, ślepy starzec, wróżbita. Posłaniec z Koryntu. Stuga Lajosa, pasterz. Posłaniec domowy.*

Fragment I, w. 1 nst.

*Akcja odbywa się w Tebach, na stopniach królewskiego pałacu. Kapłan wprowadza Chór starców tebańskich, wchodzą również młodzieńcy i dzieci, i wszyscy mają oliwne gałązki, na znak błagania o pomoc. Wkrótce wychodzi z wnętrza pałacu król.*

- Edyp. O dzieci, Kadma starego potomstwo,  
Czegoście na tych rozsiedli się progach,  
Trzymając w ręku te wiązki błagalne?  
Czemuż nad miastem dym wonnych kadzideł  
Wznosi się razem z modlitwą i jękiem?  
Ja, że nie chciałbym przez usta posłańców  
O tem zasłyszeć, sam tutaj przybyłem,  
Ja, Edyp, sławą cieszący się ludzi.  
Rzeknij więc, starcze, boś ty powołany  
Za innych mówić, co was tu zebrało,  
Strach, czy cierpienie? Wyjaw to mężowi,  
Co chce wam ulżyć; bo byłby bez serca,  
Gdyby ten widok mu serca nie wzruszył.
- Kapłan. O panie, który nad ziemią tą władasz,  
Widzisz, jak garnie się wsze pokolenie  
Do twych oltarzy; jedni to piskłeta  
Długiego lotu niezdolne, a drugich  
Wiek już pogarbił; ja służę Zeusowi,  
A tamci innym bogom; równe tłumy  
Siadły gdzie indziej, gdzie chramy Pallady,

I tam, gdzie ołtarz Ismena popielny,  
 Bo miasto — jak ty sam widzisz — odmęty  
 Złego zalały i lud bodaj głowę  
 Wnosi wśród klęski i krwawej pożogi,  
 Mrąc w ziemi kłosach i ziemi owocach,  
 Mrąc w stadach bydła i niewiast porodach,  
 Płonnych, od kiedy bóg ogniem zionący  
 Zaciężył srogą nad miastem zarazą,  
 By grody Kadma pustoszyć, a jękiem  
 Czarne Hadesu wzbogacić ostępy.  
 Choć więc my ciebie nie równamy bogom,  
 Ani te dzieci, siedliśmy w tych progach,  
 Bo ciebie pierwszym mienimy wśród ludzi,  
 Wśród ciosów życia i wśród nieba gromów.  
 Tyś-bo, przybywszy, gród stary Kadmosa  
 Od strasznych ofiar dla Sfinksa wyzwolił,  
 Nic od nas wprzódę się nie wywiedziawszy,  
 Ni pouczony; nie! z ramienia bogów  
 Daleś nam życia ochłodę i ulgę.  
 A więc ku tobie, któryś nam najdroższym,  
 Ślemy, Edypie, tę prośbę błagalną,  
 Byś nas ratował, czy z bogów porady  
 Znajdując leki, jako doświadczonych  
 Rady najlepszym poprawy zadatkim.  
 Nuże więc, mężom ty przoduj, skrzep miasto,  
 Nuże, rozważnie działaj, bo ta ziemia  
 Zbawcą Cię mieni za dawną gotowość.  
 Niechbyśmy rządów Twychi tak nie pomnieli,  
 Iż po naprawie upadek nas zgrążył;  
 Ale stanowczo wznieś gród ten ku szczęściu.  
 Z ptakiem tu dobrej nastałeś ty wróżby  
 I dziś dorównaj tej szczęsnej przeszłości.  
 Bo jeśli nadal zachowasz ster rządów,  
 Piękniej ci mężom przewodzić, niż próżni.  
 Ni gród, ni okręt, nic przecie nie waży,  
 Jeśli nie stanie męża dla ich straży.  
 O biedna dziatwo! Nazbyt ja świadomy  
 Prośb waszych celu; wiem, że wszystkie domy  
 Gnębi choroba, lecz wśród zła powodzi  
 Najgorsza nędza w mą osobę godzi.  
 Bo was jedynie własne brzemię dręczy,  
 Gdy moja dusza — za mnie, za was jęczy,  
 Za miasto całe; ze snu się nie budzę  
 Na wasze głosy; wiedzcie, że lzy ronię  
 I częstem troski błakaniem się trudzę,  
 By co obmyśleć, co dobrem się zdało.  
 Syna Menojka, a żony mej brata  
 Do Apollina pytyjskich wyroczeni  
 Postąłem, aby Kreon się wywiedział,  
 Co czyniąc, mówiąc, zbawiłbym to miasto.  
 A odmierzając dzień jego odejścia,  
 Już spokój tracę, bo nad miarę czasu  
 Zwykłą nie widać go w domu zpowrotem.  
 Lecz skoro wróci, to byłbym przewrotnym,  
 Gdybym za głosem nie postąpił boga.

Edyp.

## Fragment II, w. 151 nst.

*Kreon właśnie wrócił z Delf i przyniósł rozkaz Apollina, że Tebańczyi muszą wypędzić z kraju zbrodniarza, który przed laty zamordował na obczyźnie króla ich Lajosa. Edyp zarządza poszukiwania, pełen nadziei; przemawia*

Chór. Zeusa wieści ty wdzięczna, jakież w złociste Teb proggi  
I w Pytona wzniosły chram wici niesiesz nam?  
Duch się wyteża, a kłębią się myśli od grozy i trwogi.  
Delicki władco, o Peanie!  
Drzę ja, czy nowy trud nastanie?  
Czy dawne trudy w czasów odnowisz kolei?  
Głosie niebiański, ty przemów, ty dziecię złotej nadziei!  
Naprzód niechaj mnie Zeusa córa, odwieczna Pallada  
I Artemida wspomóżę,  
Która strzeże tej ziemi i tron okrężny zasiada  
Na Teb agorze. Przyjdź i Febie w dal rażący,  
Staniecie troje jak obrońcy.  
Jeśli już dawniej wy grozę ciężącą na mieście  
Precz stąd wyżełi, przybądźcie i teraz i pomoc mi nieście.  
Zło mnie bezbrzeżne dotknęło. O biada!  
Naród wśród moru upada i myśli zbrakło już mieczy  
Ku obronie i odsiecz. Pola kłosem się nie skłonia,  
Matki w pólach mra, lub płody ronią.  
Jak lotne ptaki, wartkie błyskawice,  
Mkną ludzie cwałem w Hadesu ciemnice.  
Nad miastem zawisła głusza i stopy trupów po ulicach leżą,  
A śmierć i dżumę szerzą; nikt ich nie płacze, nie porusza;  
Żony i matki z posrebrzonym włosiem  
Żalobnym zawodzą głosem.  
Skarga wszechludu zabłysła wśród nocy,  
O Zeusa złota córo, udziel nam pomocy!  
Przybądź chyżo — oto wróg, choć mu nie lśni mieczem dłoń.  
Z krzykiem wtargnął w miasta próg! Wyprzyj go na morską toń,  
Lub pędź w niegościnną dal, w głębie trackich fal.  
Choć oszczędzi ciemna noc, to dzień wtóry zgębi dom!  
Ty, co grzmotów dzierzysz moc, Zeusie, ciśnij grom!  
Z twego łuku złotych strun, puść, Apollo, krocie strzał!  
Artemis, spuść żary lun, z którymi mkniesz wśród Likji skał!  
Ciebie wzywam, zlotosploty, boś tej ziemi syn!  
Niechaj zaznam twej ochoty, ty, coś panem win!  
O Bachusie, pośród gór płaszasz w Menad gronie;  
W boga kłesk, co niesie mór, żagwią mieć, co płonie!

## Fragment III, w. 513 nst.

*W tym czasie nadchodzi przywołany przez Edypa, ale za radą Kreona, czcigodny wróżbita Tejrezjasz, wygłasza szereg ciemnych i niemitych dla Edypa, dwuznacznych obwieszczeń. Edyp posądza go, że mówi to z poduszczenia Kreona, wypędza wróżbitę i rzuca oskarżenie o intrygę na Kreona. Chór starców również powątpiewa o prawdziwości wróżbity. Wchodzi Kreon:*

Drodzy ziomkowie, doszło moich uszu,  
Że Edyp władca ciężko mnie winuje.  
Więc tu przybywam z obrazą. Bo jeśli  
Mniema, iż ja się czy słowem, czy rzeczą  
Do troski, co go gnębi, przyczyniłem,  
To już nie pragnę dłuższego żywota  
Pod tym zarzutem. Toć takie mniemanie

- Nie drobną tylko wyrządza mi krzywdę,  
Ale największą, skoro ja rodakom,  
Wam i innym bliskim przewrotnym się wydam.
- Chór. Zarzut ten jednak w gniewliwym zapale  
Raczej się począł, a nie w głębi duszy.
- Kreon. Skąd te posłuchy, iż z mego podmuchu  
Wróżbiarz kłamliwe wygłasza twierdzenia?
- Chór. Słowo to padło; skąd poszło, ja nie wiem.
- Kreon. I z prostym wzrokiem, i wzniesionem czołem  
Takie tu na mnie miotano zarzuty?
- Chór. Nie wiem. Co władcy czynią, ja nie śledzę.  
Lecz otóż księżę sam kroczy z pałacu.
- Edyp wchodzi, zastaje Kreona i Chór.*
- Edyp. Tyś tutaj? A więc śmiesz tak być bezczelnym,  
Aby do moich przybliżać się progów,  
Ty, coś zamierzył popełnić morderstwo  
I z władzy króla mnie gwałtem ograbić?  
Rzeknij na bogów, czy słabość, czy głupstwo  
We mnie spostrzegłeś, by snuć te zamiary?  
Czyś mniemał, że twych ukrytych podstępów  
Nie dojrzę? że się obronić nie zdołam?  
Czyż nie przewrotnem twoje przedsięwzięcie,  
Bez sił, współników, tak rwać się na trony,  
Które się ludźmi zdobywa i złotem?
- Kreon. Radzę ci naprzód wysłuchać mej mowy,  
A potem, rzeczy poznawszy, osądzić.
- Edyp. W słowach ty dzielny, lecz złym ci ja będę  
Uczniem, bo mam cię za zdrajcę i wroga.
- Kreon. Posłuchaj oto, co powiem w tej sprawie.
- Edyp. Nie praw ty oto, że jesteś bez winy.
- Kreon. Jeżeli mniemasz, że upór jest skarbem,  
Choć bezrozumny, to mniemasz przewrotnie.
- Edyp. Jeżeli sądzisz, iż krzywdząc krewnego,  
Nie zaznasz kary, to sądzisz fałszywie.
- Kreon. Uznam twe zdanie; lecz poucz mnie przecież,  
Cóż ci się teraz wydarzyło złego?
- Edyp. Czyś mnie namawiał, czyli nie namawiał,  
Bym tu sprowadził znanego wróżbitę?
- Kreon. I dziś obstaję przy tej samej radzie.
- Edyp. Jakże to dawno, od czasu, gdy Lajos...
- Kreon. Cóż począł? Słów twych nie całkiem pojmuję.
- Edyp. Zniknął, śmiertelnym ugodzony ciosem?
- Kreon. Będzie już dawno od tego zdarzenia.
- Edyp. Czy wtedy wróżbiarz sprawował swą sztukę?
- Kreon. Równie był mądrym i w równej już cenie.
- Edyp. Czyż on naówczas mnie wspomniął choć słówkiem?
- Kreon. Nigdy; przynajmniej jam tego nie słyszał.
- Edyp. A czyście wtedy zarządzili śledztwo?
- Kreon. Tak, oczywiście, lecz było daremne.
- Edyp. I czemuż wtedy nie gadał ten znachor?
- Kreon. Nie wiem — a kiedy czego nie wiem, milczę...
- Edyp. Lecz tyle z wiedzą mógłbyś rzec i znawstwem...
- Kreon. Co znów? nie zaprę się rzeczy mi znanych.
- Edyp. Gdyby nie schadzki z tobą, nie nazwałby  
Śmierci Lajosa on moich rąk dziełem.
- Kreon. Jeśli tak mówi — wiesz to sam...

## Fragment IV, w. 704 nst.

*Dalej trwa sprzeczka, coraz bardziej gwałtowna; Chór starców ubolewa, nadchodzi z pałacu królowa Jokasta, chce pogodzić zwaśnionych męża i brata; Edyp jej skarży się:*

- Edyp.        Nasłał wróżbitę przewrotnego, który  
Słów mu oszczędził i głowę osłonił.
- Jokasta.     Ty więc, nie bacząc wiele na te rzeczy,  
Mnie raczej słuchaj i wiedz, iż śmiertelnych  
Sztuka wróżenia nie ima się wcale.  
Złożę ci na to stanowcze dowody.  
Wiedz więc, że Lajos otrzymał był wróżby  
Nie od Apolla, lecz od jego służby,  
Iż kiedyś śmierć go z rąk syna pokona,  
Co zeń zrodzony — i z mojego łona.  
A przecież jego, jak wieść niesie, obce  
Zabiły zbiry w troistem rozdrożu.  
A to niemowlę, gdy trzeci dzień świtał,  
Przebiwszy u nóg kosteczki, wysadził  
On ręką obcą gdzieś w górskich ostępach.  
I tak Apollo nie dopełnił tego,  
By syn ten ojca powalił, ni groźby,  
Że Lajos legnie pod syna zamachem.  
A tak głosiły przecie przepowiednie.  
Nie troszcz się o nie. Gdy tajemnej toni  
Bóg chce co wydrzeć, on sam to odsłoni.
- Edyp.        Po twoich słowach jakież mną owładnął,  
Zono, niepokój i ducha wzruszenie!
- Jokasta.     Nowa więc troska znów ciebie się czepia?
- Edyp.        Słyszałem, tak mi się zdaje, że Lajos  
Legł, gdzie potrójne rozchodzą się drogi?
- Jokasta.     Tak wieść głosiła i dotąd się krzewi.
- Edyp.        A gdzie spełniono nieszczęsną tę zbrodnię?
- Jokasta.     Focydą zwie się kraj ów, a dwie drogi  
Z Delf i Daulidy zbiegają się w jedną.
- Edyp.        A jak to dawno od tego zdarzenia?
- Jokasta.     Na krótko, nim ty władcą tej krainy  
Zostałeś, wieść ta doszła do stolicy.
- Edyp.        O Zeusie, cóż ty kazałeś mi spełnić?
- Jokasta.     Co ci tak serce, Edypie, porusza?
- Edyp.        Nie pytaj więcej, lecz powiedz mi, jaki  
Lajos miał wygląd i w jakim był wieku?
- Jokasta.     Smagły był, włosów bielala już wełna,  
Od twej postawy niewiele się różnił.
- Edyp.        Biada mi, straszną rzuciłem ja klątwę,  
Jak się wydaje, nieświadom, na siebie.
- Jokasta.     Co mówisz, książę?...

## Fragment V, w. 861 nst.

*Ze słów Jokasty Edyp zaczyna wnioskować, że to właśnie on przed laty zamordował Lajosa, nie znając go, ale przeczą temu słowa starego sługi, który podówczas sam tylko ocalił się i opowiadał, że to banda opryszków napadła na króla, jadącego do Delf; tymczasem Edyp w swej przygodzie pomocników nie miał. Postanawia wezwać tego sługę.*  
*Chór, zaniepokojony, śpiewa:*

- Chór.        Niechbym ja słowom i sprawom, co święte,  
Cześć wierną dał i pokłony:



Strzegą ich prawa w eterze poczęte,  
 Nadziemskie strzegą zakony.  
 Olimp im ojcem, z ziemskiego bo łona  
 Takie nie poczną się plody,  
 Ani ich fala zapomnień pokona.  
 Trwa w nich bóg wielki, mocny, wiecznie młody.  
 Pycha rodzi tyranów; gdy pychy tej czaty  
 Prawa i miarę przekroczą,  
 Runie na głowę, ze stromej gdzieś skały,  
 Gdzie głębie zgubą się mroczą.  
 Nic jej stamtąd nie wyzwoli.  
 Do boga wzniosę ja prośbę gorącą,  
 By zbawił tego, co nas ratował w niedoli.  
 Bóg mi ostoją i wiernym obrońcą.  
 A gdy ludzi czyn lub głos prawa obrazi i święte bóstw trony,  
 Niech ich straszny dogna los, skarci dumy wzlot szalonej;  
 Gdy za brudnym zyskiem gonia,  
 Gdy od ludzi złych nie stronia,  
 Świętość grzeszną skarzę dłonią.  
 Któżby jeszcze się chelpił, iż kary on groty  
 I bogów odeprze gniewy?  
 Jeśliby takie cześć miały roboty,  
 Nacóż me tańce i śpiewy?  
 Już do Olimpji nie pójdę, nie pójdę Delfów ja szlakiem,  
 Nie ujrzy mnie Abejski chram,  
 Aż niebo swym wszechwładnym znakiem  
 Mowom ludzi zada kłam. O Zeusie! jeśliś ty panem niebiosów,  
 O wszechwładco ziemi losów, bacz na krnąbrność ludzkich głosów!  
 Co bóg o Lajosie wieści, mają już za sen i mary!  
 I Apollo już bez cześci! Wniwecz idą wiary...

Fragment VI, w. 1060 nst.

*Wkrótce nadchodzi poseł z Koryntu i przynosi wiadomość, że król Polibos, którego Edyp poczytywał za swego ojca, umarł; zarazem powiadamia Edypa, że nie jest synem Polibosa; że jako niemowlę został znaleziony w dolinach Cytajronu; Jokasta słyszy te nowiny i zaczyna rozumieć, że Edyp, jej obecny mąż, jest zarazem jej synem, który jako niemowlę został porzucony właśnie tam, gdzie znaleziono przybranego syna Polibosa i właśnie w tym samym czasie. Zwraca się do Edypa:*

Jeśli, na bogów, życie tobie mile,  
 Nie badaj tego; starczy mej katuszy.  
 Edyp. Odwagi! nic ci nie ujmie, chociażbym  
 Z dziadów i ojców pochodził niewoli.  
 Jokasta. Jednak mnie słuchaj, błagam, nie czyn tego.  
 Edyp. Zbytńia uległość nie zawrze mi prawdy!  
 Jokasta. Z serca najlepszą ci służę poradą.  
 Edyp. Co zwiesz najlepszem, oddawna mnie dręczy...  
 Jokasta. Nieszczęsny, niechbyś nie wiedział, kim jesteś.  
 Edyp. Czyż mi nie stawia wnet tego pastucha?  
 Ta — niech się cieszy świetnością swych przodków!  
 Jokasta. Biada, nieszczęsny, to jedno już słowo  
 Rzeknę, a głos ten już będzie ostatnim (*odchodzi*).  
 Chór. Dłaczegóżżona w tak dzikiej rozpacz  
 Precz stąd wybiegła, Edypie? Strach zbiera,  
 Że jaka klęska w milczeniu się zerwie...

## Fragment VII, w. 1102 nst.

*Po odejściu złamanej Jokasty Edyp z dumą wypowiada przypuszczenie, że jest synem nieznanego boga, który go pozostawił w górskich dolinach; również i Chór tak mniema i cieszy się. Nadchodzi stary pasterz, któremu Lajos ongi dał synka do zabicia, i stwierdza, że synka tego oddał pasterzowi z Koryntu, gdzie tenże został wychowany przez króla Polibosa; stwierdza zarazem, jako jedyny świadek śmierci Lajosa, że zabił go Edyp. Zatem sprawdziła się stara wyrocznia Apollina, że Edyp zabije własnego ojca i ożeni się z matką.*

- Edyp. Biada, już jawnem to, czegom pożałował;  
O słońce, niechbyś już cię nie oglądał!  
Życie mam, skąd nie przystało, i żyłem,  
Z kim nie przystało — a swoich zabiłem.
- Chór. O śmiertelnych pokolenia! życie wasze to cień cienia.  
Bo któryż człowiek więcej tu szczęścia zażyje  
Nad to, co w sennych rojeniach uwije,  
Aby potem, z biegiem zdarzeń, po snu chwili runąć z marzeń.  
Los ten, co ciebie, Edypie, spotyka,  
Jest mi jakby głosem żywym,  
Bym żadnego śmiertelnika nie zwał już szczęśliwym.  
Twe cięciwy miotły strzały gdzieś daleko, za granice  
Zwykłych szczęść i chwały. Wróżą zmogłeś ty dziewicę,  
Ostrzem zbrojną szponów. Żeś nam stanął jako wieża  
Obronna od zgonów, uczcił w tobie lud rycerza  
I wywyższył cię ku niebom, byś królem był Tebom.  
A dziś kogo większa moc klęsk i złego gnębi?  
Któż w czarniejszą runął noc do nieszczęścia głębi?  
Edypa głowa wystawiona, jednej starczyło przystani  
Na syna, ojca kochanie — i jednego łona.  
Jakoż cię mogły znosić do tej pory w milczeniu ojca ugory?  
Czas wszechwiedny, ten odsłoni winy twojej brud,  
Ślub nieślubny zemsta zgoni płodzących i płód.  
O niechajbyś się, Lajosa dziecię, nigdy nie był zjawil,  
Nie byłbym teraz rozpaczą, co miecie jęki, serc krwawil.  
Tyżeś to kiedyś roztworzył me oczy —  
I dziś ty grążysz mnie w mroczy.
- Posłaniec domowy (*wychodzi z pałacu, dokąd przed chwilą odszedł zrozpaczony Edyp*).  
O wy, którzyście starszyzną tej ziemi,  
Jakież będziecie wnet słyszeć i widzieć  
Klęski i jakiej doznacie boleści,  
Jeżeli trwacie w miłości tych domów.  
Myślę, iż Istru ni Fasysu wody  
Kałów nie zmyją, co kryją się w wnętrzu  
Tego domostwa i wyjrzą na światło. —  
Woli to dzieła. A najgorszą męką  
Ta, którą człowiek własną ściągnie ręką.
- Chór. To już, co wiemy, dość daje żaloby  
I dosyć jęków. Cóż nadto przynosisz?
- Posłaniec. By jednym słowem wyrzec i pouczyć,  
Wiedźcie, że boska Jokasta nie żyje.
- Chór. O ta nieszczęsna! Jak ona zginęła?
- Posłaniec. Z własnej swej ręki. Co grozą w tym czynie,  
To was oszczędzi, boście nie patrzeli.  
Jednak o ile rzecz w mojej pamięci,  
Straszne niewiasty opowiem katusze.  
Gdy bowiem w szale rozpaczy wkroczyła

W przedsiónek, wbiegła prosto do łóżnicy,  
 Włosy targając obiema rękami,  
 A drzwi za sobą gwałtownie zawarwszy,  
 Cieniów zmarłego woła Lajosa,  
 Starych pamiętna miłości, od których  
 On zginął, matką zostawając nato,  
 Aby płodziła dalej z własnym płodem.  
 Jękła nad łóżem, co dała nieszczęsnej  
 Męża po mężu i po dzieciach dzieci,  
 I jak wśród tego skończyła, już nie wiem.  
 Bo, wyjąc, Edyp wbiegł i od tej chwili  
 Już nie widziałem, co ona poczyna.  
 Lecz jego tylko śledziłem już ruchy.  
 Biegał on, od nas żądając oszczepu,  
 Wołał, gdzie żona, nie żona, gdzie rola  
 Dwoista, której był siewcą i siewem.  
 I szalonemu duch chyba to wskazał,  
 Nie żaden z ludzi, którzy tam obecni.  
 Więc z krzykiem strasznym, jakby za przewodem  
 Runął ku odrzwiom i wnet ze zawiasów  
 Wysadził bramę i wpadł do komnaty. —  
 A tam zoczymy niewiastę, jak wisi  
 Chustą zdławiona. Edyp na ten widok  
 Z wyciem okropnem, nieszczęsny, rozplątał  
 Węzeł ofiary, a kiedy jej ciało  
 Zwisło na ziemię, zdwoiła się groza.  
 Bo sprzączki z szaty wyrwawszy złociste,  
 Któreми ona spinała swe suknie,  
 Wzniósł je i wraził w swych oczu źrenice,  
 Jęcząc, że dotąd wyście nie widziały,  
 Co ja cierpiałem i com ja popełnił,  
 Przeto na przyszłość w ciemności dojrzycie,  
 Czegobym nie chciał; co chcę, nie poznacie.  
 Wśród takich zakłęb raz wraz on wymierza  
 Ciosy w powieki; wydarte źrenice  
 Zbarwiły lica, bo krew nie ściekała  
 Zrazu kroplami, lecz pełnym strumieniem  
 I z ran sączyła wdół czarna posoka.  
 To się z obojga zerwało nieszczęście,  
 Nieszczęście wspólne mężowi i żonie. —  
 Była tu świetność zaprawdę świetnością  
 Za dni minionych, w dniu jednak dzisiejszym  
 Nastąpiła groza, śmierć, hańba i jęki,  
 Nie brak niczego, co złem się nazywa.  
 Cóż więc poczyna teraz ów nieszczęsny?  
 Krzyczy, by bramy rozwarto, i Tebom  
 Wskazano tego, co ojca zmordował,  
 Co matkę — wstręt mi przytoczyć te słowa; —  
 Woła, że, z kraju uchodząc pod kłatwą,  
 Tu nie zostanie, jak sam się zaklinał.  
 Lecz brak mu siły i brak przewodnika,  
 Bo zło zbyt ciężkie na niego runęło.  
 Wnet to ujrzycie, bo bram tych zawiasy  
 Się roztwierają, a stanie przed wzrokiem  
 Taki nam widok, że wrógbę zapłakał.

Chór.  
 Posłaniec.

- Chór. O, straszny los dla ludzkich ócz,  
Strasniejszy cios od wszelkich klęsk,  
Które widziałem na ziemi.  
Jakiż wśród nędz nagarnął cię szal?  
I jakiż duch z nawałem burz  
Do takiej zgrążył cię głębi?  
Biada ci, biada! wymija cię wzrok,  
A chciałbym wiele się spytać,  
Wiele się zwiedzieć i wiele rozważyć,  
Lecz strach mną trzęsie i groza.
- Edyp. O biada mi, biada! Nieszczęsny ja, do jakich ziem  
Podążę? gdzież uleci głos? O losie! w coś ty mnie powalił?

Fragment VIII, w. 1526 nst.

- Chór. Ach, ojczystych Teb mieszkańcy, patrzcie teraz na Edypa,  
Który słynne zgłębił tajnie i był z ludzi najprzedniejszym,  
Z wyżyn swoich na nikogo ze zawiścią nie spoglądał,  
W jakiej nędzy go odmętach srogie losy pograżyły!  
A więc bacząc na ostatni bytu ludzi kres i dolę,  
Śmiertelnika tu żadnego zwać szczęśliwym nie należy,  
Aż bez cierpień i bez klęski krańców życia nie podbieży.

Koniec tragedji.

Tłum. K. Morawski.

## EURYPIDES

(484—406 przed Chr.)

### BACHANTKI

*Osoby dramatu: Dionizos; Chór Bachantek. Tejrezjasz wróżbita; Kadmos, założyciel Teb; Penteusz, król tebański; Sługa; Goniec; Agawe, córka Kadma, matka Penteusza. Rzecz dzieje się w Tebach.*

#### Fragment I

- Dionizos. A zatem na tebańskie przybyłem zagony,  
Ja, Zeusa syn, Dioniz, ongi urodzony  
Z Semeli, latorośli Kadmowego domu,  
Co zleża, rozwiązana tyrkawicą gromu.  
Na ziemskie kształty bożą zmieniwszy urodę,  
Mam oto źródła Dyrki i Ismenu wodę,  
Grobowiec mej zabitej od pioruna matki  
I domu królewskiego dymiące ostatki.  
Niebieskie jeszcze ognie tlą się w tej ruinie,  
Od których, tak się stało, ma rodzica ginie,  
Ofiara zemsty Hery. Kadma chwałę sobie,  
Że kazał tak ogrodzić to miejsce przy grobie  
Swej córki. I me ręce również osłoniły  
Bogatym winogradem świętość tej mogiły.  
Rzuciwszy ziemię Lidów, gdzie złota bez końca,  
I Frygów, równie Persów, spalone od słońca,  
Baktryjskie dalej mury, szare ludów niwy  
Za sobą zostawiwszy; przebiegłszy szczęśliwy  
Arabji kraj i Azję całą u wybrzeży  
Mórz słonych, co basztami pięknych miast się jeży,

Gdzie z tłumem barbarzyńców zmieszali się Greci,  
 Obrządek mój, me płąsy w tej strefie dalekiej  
 Zaprowadziwszy wszędzie, by miano w pamięci,  
 Że jestem bóg, do tego według mojej chęci  
 Przybyłem naprzód miasta, by tebańskie rzesze,  
 Nim inny kraj helleński zaprawię w uciesze,  
 Rozwydrzyć, ciała w skóry przyodziać jelenie,  
 Dać w ręce tyrs, bluszczowy ten mój bałt! Nasienie  
 Niedobre, siostry matki mojej, co się przecie  
 Bynajmniej nie godziło, zaczęło po świetle  
 Rozgłaszać, że Dioniz to nie syn Zeusowy,  
 Że matka ma, Semela, z Kadmosa namowy  
 Na bóstwo całą hańbę swojej winy złoży,  
 Gdy człowiek ją śmiertelny, a nie władca boży,  
 Zapłodni; że potem — tak ją piętnowały —  
 Zeus matkę mą uśmiercił za ten wymysł cały.  
 I dla mnie w tej obeldze dość było powodu,  
 By zmysły im pomieszać i wypędzić z grodu,  
 Więc dzisiaj siedzą w górach z obłąkaną duszą,  
 I w godła moich orgij przystrajać się muszą.  
 I jaka tylko żyła w tych murach niewiasta,  
 Musiała precz uciekać z Kadmowego miasta.  
 Ażeby wszystkie razem z królewskimi córy  
 Złączywszy się, bez dachu, na złomiskach góry  
 Samotnych, opoczystych, wśród zieleni jodły,  
 Swoją żywot obłąkany dziś i zawsze wiodły!  
 Bo niechaj grodu tego uczują mieszkańcy  
 Z swą wolą, czy wbrew woli, że dotąd o te tańce  
 Bachijskie i obrzędy nie nazbyt się wiele  
 Troszczyli. Pragnę także i matkę Semele  
 Obronić, gdy się ludziom jako bóg ukazę,  
 Którego Zeusowi porodziła w darze.  
 Król Kadmos rządy państwa przelał już w tym czasie  
 Na syna drogiej córki, Penteja; ten zasię  
 Mą boskość lekceważy, w zalewkach nie sprzyja,  
 W ofiarach i modlitwach. Zobaczy on, czyja  
 Jest słuszność, kto mocniejszy! Żem bóg i że godnie  
 Należy uczcić boga, chyba udowodnię  
 I jemu, i mieszkańcom jego Teb!... Pod nieba  
 Zaś inne, zarządziwszy tutaj, co potrzeba,  
 Wybiorę się w te tropy, aby ludziom w ślepie  
 Zaświecić swą boskością! Zacie ja przetrzępię  
 Tych jego Tebańczyków, gdyby wściec się chcieli  
 I z gór moje bachantki pędzili. Jeżeli  
 W tej jawię się postawie, jeżeli się z boga  
 W człowieka przedzierzgnąłem, to nato, by sroga  
 Spotkała ich nauka: menady zgromadzę  
 I huzia! hej! Zobaczą, kto ma tutaj władzę!  
 Niewiasty! Posłuchajcie! Za moim rozkazem  
 Od Tmolu, niw lidyjskich strażnicy, wy razem  
 Przyszłyście tutaj ze mną, wy, moje podróże  
 Z ziem cudzych wraz dzielące! Frygijskie — a nuż! —  
 Brać bębny, wynalazek mój i matki Rei!  
 Otoczyć dom królewski z poszumem zawiei,  
 Bić w błony, co tchu starczy, na słychy i dziwy  
 Kadmosowego miasta! Ja teraz na niwy

Kitajzonowe skoczę, w jar, gdzie jest zebrany  
 Korowód mych bachantek, i puszczę się w tany!  
 Chór. Azji smug, święty Tmol, opuściłam śród swych dróg,  
 By mnie słyssał szumny bóg, by go uczył okrzyk mój!  
 W Bacha cześć łatwo znieść ten nieznójny, święty znój!  
 Któż tam, hej! w gmachu tym? któż mi w drodze stanął mej?  
 Precz mi z oczu! milczeć chciej, kto tu żyw jest, kto tu zdrów!  
 Bogu my ślemy tchy wrzących hymnów, wrzących słów!  
 Szczęśliwy zaiste człek, kto się do służby bożej  
 Całą swą duszą przyłoży, kto życia swego bieg  
 Kierując w góry, na wtóry i tańce bachijskie, najradziej  
 Im oddan, gładzi swe grzechy! szczęśliwy, kto się mozoli  
 Wraz z nami płasami w cześć Wielkiej Macierzy Cybeli.  
 Kto pełen szalonej uciechy, tyrsos w swą ujmie dłoń,  
 Bluszczem uwieńczy skroń i wielbi, i chwali najdbalej  
 Dionizową moc!... Hejże ku mnie, tłumnie, szumnie,  
 Ty, bachantek ciżbo młoda, coś szumnego tutaj boga,  
 Którego sam spłodził bóg, od górzystej Frygji dróg  
 Do helleńskich wiodła smug!... Jakżeż ci on ujrzał świat? —  
 Znosząc strasznych bólów siła, rodzica go poroniła,  
 Gdy Zeus z swym piorunem spadł. I przerażona wraz skona  
 Pod razem straszego gromu. Lecz z zmarłej domu położnej  
 Kronida Zeus go zabierze i w biodrze, przeschczodrze  
 Obwiódłszy je złotem, by Herze z przed ócz go usunąć, ostrożny,  
 Zamyka dziecię — i wiecie, gdy Mojry porodu czas wydzwoniły,  
 Gromosiły zrodził bóstwo, co na czole pokazało rogi wole  
 Oraz wieniec splecion z źmij:  
 Stąd, Menado, zbrojna w kij z węzów sobie warkocz wuj!...  
 Tebański grodzie mój, ojczyście gniazdo Semeli!  
 Niech się, kto żyw jest, mozoli! w bluszczu leśnego zwój  
 Każdy swe czoło strój! Strójcie się, strójcie się w kwiaty,  
 W powój zielenią bogaty, w gałęzie dębu, czy jodłę,  
 Na Bacha wesolą modłę! Skóry zarzućcie jelenie  
 Na białe z wełny odzienie, swywolne chwyciwszy pręty,  
 Świećcie obyczaj święty, a wnet za wami wślad  
 Ruszy się cały świat. W tan się on puści, w tan,  
 I ten nasz szumny pan do gór powiedzie, do gór  
 Swój rozpasany chór. Tam czeka już gawiedz radosna,  
 Od płochy wygżona i krasna przez Dioniza boga!  
 Kuretów skronie, hej! Zeusa prześwięta kolebo,  
 O Kreto, skąd się pod niebo z leśnych unosił kniej  
 Wrzask Korybantów, rej wiodących w bożej uciecze!  
 Wszakże ci ongi ich rzesze, strojne w szyszaku trzy kity,  
 O, ten nasz skórą obity krąg wynalazły i świetnie  
 Frygijskie, łagodne fletnie, dźwięk ich przestodki, przemily,  
 Z jego rozłukiem spoily! Do Rei-macierzy rąk  
 Bębenny dały krąg, ażeby głośniejsz brzmiał  
 Święty bachijski szał. Od niej satyrów tłum  
 Wziął go na huk i szum w to uroczyste trzechlecie,  
 Którem się cieszy na świecie władca nasz Dionizos.  
 O, jakież słodki, rozkoszny to żar, gdy gorzki rzuciwszy jar,  
 Kiedy ze skalnej krawędzi w doliny nasz orszak boży pędzi,  
 Kiedy ta rzesza rozwiązała, spragniona wrzącej krwi kozła,  
 Gdy w niej żywego mięsa głód się sroży, kiedy jej pachnie krew,  
 Do Frygji czy Lidji gór, w spłachciu z jelenich skór rwie się!  
 A przed nią na polu, po lesie — hu! ha! — krzyk Bacha się niesie!

I wraz po dolinie, wyżynie, mleko strugami płynie,  
 I wino płynie w bród, i płynie nektar miód,  
 I całą w okrąg błoń syryjska napęlnia woń!  
 I Bachus żywiczne łuczyno wyciągnie z swej trzciny co żywo,  
 I, potrząsając ogniami, tumani swój orszak i mamie,  
 Do tańców-łamańców rwie wlot! i głosy w niebiosy śle —  
 Swój zew, swe wrzaski hukliwe na niwę rozlewa.  
 I bujne swe włosy, kędziorów splot, na wiaer rozpuszcza, na wiew!  
 I leje się krzyków ulewa po polu, przez uroczyska kniej:  
 Hej, cudna kraso Tmolu, co szczerem złotem tryska,  
 Bachantki moje, hej! o wy, bachantki me! hu! chodźcie tu!  
 Chodźcie, hu! by co tylko starczy tchu, w Dioniza cześć  
 Hymn rozgłośny wzniesić! Oszalała w swej ochocie  
 Przy straszliwym bębnow grzmocie, oszalała niech hejnały  
 Pierś wyrzuca! oszalała chce ją słyszeć bóg!  
 A frygijskiej, dzikiej burzy, łagodząc jej huk,  
 Niechaj słodki dźwięk zawtórzy — niech świętego fletu święta  
 Płynie nuta i do gór w ten swój wtór  
 Mych bachantek wiedzie chór! I w te tropy wskroś przejęta,  
 Wyrzucając chyże stopy, jurna dziewczka, jak żrebięta  
 Przy klaczy, swej matce, na łące skaczące, pędzi za swoim bogiem...

*Na scenę wchodzi*

Tejrezjasz. Przy bramie kto? Wywołać Agenera plemię,  
 Kadmosa, co sydańską porzuciwszy ziemię,  
 Basztami gród ten zjeżył, obwarował Teby.  
 Niech idzie kto i powie, że nie bez potrzeby  
 Tejrezjasz chce z nim mówić. Wie, poco się jawię  
 I w jakiej stary z starszym godziłem się sprawie:  
 Wdziać na się skórę sarnią, tyrs pochwyć w dłonie  
 I bluszczu latoroślą uwieńczyć swe skronie.

*Z domu wychodzi*

Kadmos. Poznałem właśnie głos twój, usłyszałem, panie,  
 Mądrego iście męża przemądre wezwanie  
 I, gotów, idę z wszystkim, co potrzeba będzie,  
 Ażeby według sił swych w świątecznym obrzędzie  
 Wziąć udział i przyczynić się do pomnożenia  
 Czci syna mojej córki, co jest dla plemienia  
 Ludzkiego na świat posłan jak bóg. Więc powiedz,  
 Gdzie tańczyć mam, na jaki zwrócić się manowiec  
 I siwą wstrząsnąć głową. Starszemu ty stary  
 Przewodź chciej, boś mędrzec. A ja tu bez miary  
 Bluszczowym będę prętem bił o ziem, zapomnę,  
 Że starość mi pisana.

Tejrezjasz. I ja też ogromne  
 Mam chęci! Odmłodziłem i do piasów stanę.

Kadmos. Na wozie brać się w góry? czy to jest wskazane?

Tejrezjasz. Nie! Mniejbyśmy tak bożą uczcili wszechwładzę!

Kadmos. Więc ja cię tam, człek stary, starca poprowadzę.

Tejrezjasz. Sam bóg nam dzisiaj drogę bez trudu pokaże.

Kadmos. Czy miasto weźmie udział w tym bachanckim żarze?

Tejrezjasz. My jedni mamy rozum, innym on nie służy.

Kadmos. Więc chwyć się mojej ręki, poco zwlekać dłużej?

Tejrezjasz. A ty na mem ramieniu oprzej się i w drogę.

Kadmos. Śmiertelny człek, bogami gardzić ja nie mogę.

Tejrezjasz. Tu nanic mędrkowanie! Wszelkie z niebem kwasy  
 Daremne. Wiary ojców, którą po te czasy  
 Przez wieki nam przodkowie nasi przekazali,  
 Nie zniszczy nikt, jej ustaw żaden mózg nie zwali,  
 Choć pomysł najbystrzejszy znajdzie człek w swej głowie.  
 Być może: «Jesteś stary» — tak niejeden powie,  
 Lecz ja się tego wcale nie wstydzę, ja w bluszcze  
 Przystroję skroń i w płasy serdecznie się puszczę.  
 Bóg przecież nie przepisał, kto ma iść w zawody  
 Bachanckie: człowiek stary, czy też tylko młody.  
 Od wszystkich czci on żąda i nie z lat jedynie,  
 Nie z barby ich cześć większa dlań lub mniejsza płynie.

Kadmos. Ponieważ dnia bożego nie widzisz, więc ja się  
 Podaję za proroka, mój Tejrezjasie,  
 I powiem ci, co widzą tej chwili me oczy:  
 Pośpiesznie oto Pentej w stronę zamku kroczy,  
 Mój wnuk, Echionida, któremu oddałem  
 Swe berło. Cóż mi powie? Jest jak zdjęty szałem!

*Na scenę wchodzi*

Penteusz. Bawiłem poza domem, powracam do kraju  
 I słyszę o złym, nowym w tem mieście zwyczaj.  
 Niewiasty oto nasze porzuciły domy  
 I, niby szal udając, przepelne oskomy,  
 W lesistych, rozłożystych się górach płasami  
 Nowego wielbią boga — kim on między nami  
 Być może — Dioniza. Są pijackie dzbany,  
 Co chwila ta lub owa w chuci rozpasanej  
 W ustronne znika miejsce, mężczyznom dogadza.  
 To znaczy: pod pozorem, że bożego władza  
 Natchnienia je porywa, niecne białogłowy  
 Dla Bacha i Cyprydy mają czas gotowy.  
 Ile ich pochwycono — każda ma już pęta  
 I w miejskiem jest więzieniu uczciwie zamknięta.  
 Na te, co jeszcze w górach, urządzę obławę —  
 Pochwycić każę Ino i matkę Agawę,  
 Co mnie Echionowi zrodziła...

...w żelazne je dyby  
 Zakuwszy, wnet odwiodę od bachanckiej chyby.  
 Podobno miał z lidyjskiej przybyć tutaj ziemi  
 Czarownik jakiś, oszust z oczami ciemnymi  
 O słodkiej barwie wina; jak u Afrodyty  
 Włos jasny ma utrefion, w śliczne pukle zwity.  
 Z dziewczkami on młodemi, ten młodzieniec chwacki,  
 Przepędza dnie i noce pod pozorem schadzki  
 Świątecznej na cześć bogów. Jeśli pod tym dachem  
 Pochwyć go, doprawdy! nie ujdzie-li z strachem!  
 Przestanie on mi stukać o ziemię tyrsosom  
 I tłumić się po świecie z tym rozwianym włosom,  
 Gdy łeb mu od tułowia oddzieli! Zbyt szczerze  
 Mieni się Dionizem bogiem i że w biodrze  
 Zeusowem był zamknięty, jakkolwiek rzecz znana,  
 Iż z matką padł od ciosu gromowego pana  
 I zginął od pioruna, gdy te zaślubiny  
 Z Zeusem wymyśliła!...



Chór. Ach! Cóżto za bezbożnik! Niebu ty na zdradzie  
I plemieniami Kadma, który rzucił w ziemię  
Na mężów siew. Ty, ojca Echiona plemię!

*Wróżbita Tejrezjasz i starzec Kadmos starają się bezskutecznie przyprowadzić Penteusza do opamiętania.*

•  
Fragment II

Chór. O zbożności boska ty, co nad ziemski wlatasz łan  
Na złocistem skrzydle swem! Słyszysz, jak niezbożnym tchem  
Pentej, z zgubnej pychy znan, szumnego nam boga lży?  
I tego syna Semeli, który się pierwszy weseli,  
Który jest zawsze na przodzie przy bogów radosnej,  
Strojnej w zieleń wiosny, biesiedzie. Albowiem dobrze się wiedzie  
Na świecie, kiedy przy flecie taneczne pływają grona,  
Gdy dusza, od troski zwolniona, snać kona z radości —  
Kiedy niebiańskich uczujących gości wrzący rozpali sok,  
Z winnych wyciśnion tłok, kiedy wśród ludzi, zdobnych w bluszczu wian,  
I puchar krąży i dzban, gdy jego władza sen na powieki sprowadza.  
Co wędziła nie chciał znać, sprośny język, już on zezałr!  
Człek zbrodniczy, czelny człek, co wyrzuca bluźnierstw stek,  
Rychło smutny znajdzie czas. Zato skromna, cicha brać,  
Co, żyjąc zawsze roztropnie, przenigdy prawa nie kopnie,  
Ta w lasce żyje dużej: nie uderzy srogi grom w jej domu progi,  
Nie zburzy! Boć przecie widzą w swej stróży niebiosów  
Ci naszych losów szafarze, choć tak zdaleka,  
Wszelakie czyny człowieka! I rzeka rozumu  
Niezawsze będzie rozumem! Śród tłumu śmiertelnych ciał  
Bóg żyć nam krótko dał. Kto zbyt się garnie, pnie, ten nie wie  
Snać, co daje mu Ziemia-mać! Tylko szaleniec  
Po taki tu sięga wieniec! Na Cypru podążyc mi brzeg,  
Na Afrodyty ostrowie, gdzie słodcy miłości bożkowie  
Czarami ludzi tumanią. Być mi po wiek!...

*Sługa wprowadza związanego Dionizosa.*

Sługa. Penteju! Już jesteśmy; jest i łup gotowy,  
Po który nas wysłałeś. Niedaremne łowy!  
Lecz zwierz to oswojony, żadnym nas kłopotem  
Bynajmniej nie obarczył, ani myślał o tem,  
Ażeby nam się wymknąć, owszem najlaskawiej  
Dał ręce sobie związać, rzekłbyś, że się bawi,  
Bo nie zbladł, bo na liczku nie stracił rumieńca,  
Bo śmiał się, gdyśmy mieli odprowadzać jeńca,  
Bo w miejscu stał, tę naszą ułatwiając pracę.  
Więc mówię mu pokornie: «Przybyszu! Niech stracę,  
Lecz powiem ci, że brać cię nie mam żadnej chęci,  
Jednakże Pentej kazał, niech się przeto święci  
Ta wola mego pana...» — A one kobiety,  
Coś zgonił je i spętał, i zamknął, o retyl!  
Uciekły precz z furdygi i na łęgi, do lasa,  
Gdzie cała ich gromada i huka, i hasa  
Na cześć szumnego boga! Z nóg im spadły dyby  
I wszystkie drzwi, i zamki, mówię to bez chyby,  
Otwarły się, choć ręka ludzka ich nie tknęła.  
Takie to w naszych Tebach cuda, takie dzieła,

Ot! człowiek ten dziś spełnia. Co tu czynić dalej,  
Już twoja to jest sprawa, my swoje zdziałali.

*Odbywa się karygodna sprzeczka człowieka Penteusza z bogiem Dionizosem, który go napomina.*

## Fragment III

Penteusz. Hej, precz z nim! A przy końskim źłobie  
Przywiązać go, by w cieniu mógł zatańczyć sobie!  
Zaś te (*wskazuje Chór*), któreś tu przywiódł, uczestniczki zbrodni,  
Wysprzedam, albo, jeśli będzie mi dogodniej,  
Od bębna odzwyczaję i — to nie przelewki! —  
Do krosen je przystawię, jako proste dziewczki.

Dionizos. Idę... A juści tego znosić ja nie muszę,  
Do czego mnie nie zmuszą. Lecz za te katusze,  
Za szyd, ten Dionizos dobrze ci zapłaci.  
Zaprzeczając chcesz istocie tej bożej postaci,  
Więc będziesz musiał cierpieć! Mówiąc najwyraźniej:  
Krzywdzący mnie, ty boga zamykasz w swej kaźni!

*Dionizos zostaje uwięziony, Penteusz odchodzi. Chór bachantek ubolewa, aż z wnętrza królewskiego domostwa woła*

## Fragment IV

Dionizos. O haj! o haj! O slysz mnie, znaj! bachantek chór!  
A gdzież twój wtór? Słysz! Znaj! o haj!...

Chór. Cóżto? cóż? Skąd ten głos, tak mi znan? Czy mnie woła szumny pan?

Dionizos. Haj! o haj! Znów wołam, znów! Chów Semeli, Zeusa chów!

Chór. O haj! o haj! O panie wielki! twoje czcicielki  
Proszą cię, szumny ty boże, byś się pojawił w ich zborzel!...  
Sza! moje druchy! ziemia się porusza! ach, ach! ten Penteusza  
Królewski gmach w proch się rozpada, w kupy gruzu i złomu!...  
Dioniz jest w jego domu! Cześć mu oddajcie modłami!...  
Już oddajemy! Przed nami kamienne pękają słupy,  
Niebawem z pod tego dachu głos się triumfu, nie strachu, podniesie z warg!

Dionizos. Rozniećcie, rozniećcie się godnie, gromu ogniste pochodnie!  
Spalże mi, spalże mi docna dom ten, o iskro ty mocna!

Chór. Ach, ach! Zali nie widzisz? strach!  
Jak się ten płomień ścieli nad świętym grobem Semeli!  
Pożar to, luna z Zeusowego pioruna, który pozostał po niej,  
Kiedy ją gromem z swej dłoni uśmiercał możny bóg!  
Zginać-że, zginać kolana! Nie szczędzić trzęsących się nóg!  
Rzucić na ziemię, na ziemię, to ciała przechwiejne brzemie,  
Bo oto już ku nam, menady, po zgliszczach i gruzach,  
Nasz młody zbliża się, zbliża pan!...

*Z ruin płonącego pałacu wychodzi*

Dionizos. Cudzoziemskie wy niewiasty! a więc taka trwoga trwóg  
O tę ziemię was rzuciła, powaliła z drżących nóg?  
Snać dlatego, tak się zdaje, że czułyście, jak ten gmach  
Pentejowy w gruz rozrzucił, jak go w pył rozkruszał Bach!  
Teraz wstańcie! Wypogóźcie przerażoną, bladą twarz.

Chór. Ty w bachanckich korowodach najprzedniejszy wodzu nasz!  
Jak ja rada, widząc ciebie, w tej samotnej pustce, ach!

Dionizos. Ogarnęło cię zwątpienie z oną chwilą, gdy mnie w loch  
Prowadzono, gdy mnie Pentej kazał zepchnąć w kaźni mrok!

Chór. Tak, bo jeśli szwankbyś poniósł, któżby mój prowadził krok?  
Ale powiedz, jak uszedłeś z tych więziennych lotra bram?

Dionizos. Bez mozółu, bez wysiłku ocaliłem się ja sam.  
 Chór. Jakto? Zali cię nie spętał? nie skrępował ci tych rąk?  
 Dionizos. I tu sobie pokpiwałem z jego trudów, z jego mąk —  
 Zdało mu się, że mnie wiąże, że mnie w mocy swojej ma,  
 Że dotyka mych się członków, lecz nadzieja była czczą!  
 Byka dopadł przy korycie, gdzie przytroczyć mnie on chciał,  
 Jął kolana mi krępować i racice, jak na schwał!  
 Tchu mu zbrakło, sapał, zgrzytał, z ciała potu ciekł mu zdrój,  
 Wargi do krwi gryzł zębami! Nie wołałem doń: «A stój!»  
 Jenom cicho siedział przy nim, patrząc na to. W tenże czas  
 Przybył Bachus, wstrząsnął domem, ciężki mu wyraził raz,  
 Z grobu matki swej wyrzucił promienisty ognia słup!<sup>1</sup>  
 I Penteusz, zobaczywszy ten płonący, święty grób,  
 Mniemał, że mu dom się pali, że zniweczon jego próg,  
 Jął się rzucać na wsze strony, tu i tam, i do swych sług  
 Począł krzyczeć na ratunek, Acheloa, widać, głąb  
 Chciał wyczerpać: kto żyw tylko, pod zamkowy przybiegł zrab —  
 Nadaremnie! I on również, myśląc, że to płona rzecz,  
 Przeszał bawić się ratunkiem, jeno goły chwycił miecz  
 I do wnętrza wpadł. Snać bał się, że mu jeszcze mogę zbiec.  
 Wówczas Bromjos, tak przypuszczam, gdy ten zaczął kłuć i siec,  
 W myśli, że tak mnie on siecze, podsunął mu twór ze mgieł:  
 Wydało się Pentejowi, że mnie sobie wziął na kiel,  
 A on w próżnię ciał przejrzytał Niedość, że go Bach tak zwiódł,  
 Jeszcze on się stał dla niego sprawcą innych wielkich szkód:  
 Pałac w gruzy mu rozsadził, w perzynę obrócił dom  
 Z bólu, że mnie ujrzał w pętach, że mnie spotkał taki srom!  
 I on upadł ze zmęczenia, rzucił płony miecz o ziem —  
 On, śmiertelny, słaby człowiek, co w zuchwałstwie począł swem  
 Toczyć walkę z samym bogiem! I spokojnie, jakby nic,  
 O Penteja się nie troszcząc, ja u waszych staję lic.  
 Lecz zda mi się, że to jego skrzypią kierpce — jakby szedł  
 Tutaj do nas! o zapewne, wnet on zjawi się tu, wnet!  
 Ciekaw jestem, co też powie na to wszystko ten nasz gość?  
 Choćby z złości on aż dyszał, ja wytrzymam jego złość.  
 Bo do tego, tak powiadam, każdy w życiu swoim dąż,  
 Że łagodnym, powściągliwym winien być roztropany mąż.

*Wchodzi Penteusz, po chwili widzi Dionizosa:*

Straszliwie mnie okpiono! Uciekł przybysz szczwany,  
 Któregom w pętach rzucił we więzienne ściany.  
 A niech go! Co ja widzę? Tyś tu? Jaką drogę  
 Wybrałeś, by zbiec z lochu? Zrozumieć nie mogę!

*Odbywa się utarczka słowna Dionizosa i Penteusza: przybywa z gór goniec i mówi królowi o pochodzie szalejących bachantek i o ich potędze czarownej; Dionizos namawia Penteusza przebrać się za bachantkę i udać się na miejsce, potem powiadamia Chór, że to jest właśnie kara, jaką przeznaczył dla bezbożnego Penteusza; odchodzi z przebranym Penteuszem; chór ubolewa nad bezbożnością króla, w końcu przybywa z gór goniec i opowiada o śmierci Penteusza:*

Goniec.

...głos ozwał się gromki:

«Niewiasty! Posłuchajcie! Wy, Kadma potomki!  
 I wy, moje dziewice! Zdrajcę wam przywiódłem,  
 Co mnie i was, i nasze obrzędy w swem podłem  
 Śmiał nurzać pośmiewisku! Ukarzcie go za to!...»  
 ...Zerwały się jak dzikie gołębie i, siły

<sup>1</sup> Dionizos-Bachus, mówiąc to, podaje siebie niby za proroka, a nie za samego boga.

Do biegu wyleżywszy, co tchu popędziły  
Agawa, matka króla, i obie jej siostry,  
I wszystkie wraz bachantki: niby wichur ostry  
Przepaści przesadzając, jary i źródliśka,  
Pomknęły, bożym szałem porwane i, zbliska  
Ujrzawszy na tej jodle siedzącego króla,  
Straszliwie sobie tłum ich odrazu pohula.  
Nasamprzód były głazy w robocie: ze skały  
Sterczącej naprzeciwko kamienie rzucały  
I kłody, i gałęzie. Inne w biedną głowę  
Mierzyły tyrsosami, lecz i tyrsosowe  
Jak pręty szły na chybę, albowiem na szczycie  
Wysokim, o nie! wyższym, niż sam chciał, swe życie  
Umieścił nieszczęśliwy ten mój pan! Bezradnie  
Na drzewie onem siedział, czekając, aż padnie.  
Konary dębowemi poczęły nareszcie  
Korzenie wydobywać te ręce niewieście,  
Podważać je bez dźwigni żelaznych. A kiedy  
Bez skutku i ta praca, do wścieklej czeredy  
Odezwie się Agawa: «Otoczyć mi kołem  
To drzewo, za pień chwycić, iżby przed mozołem  
Rąk naszych zwierz ten nie zbiegł i ażeby bożej  
Nie zdradził tajemnicy!...» I wraz się przyłoży  
Rąk tysiąc do tej jodły i wyrwie ją z ziemi.  
A między gałęziami siedział jodlowemi  
Penteusz, by wraz upaść śród jęków rozpaczy  
I westchnień przetyśniętych: wiedział, co to znaczy,  
Na śmierć niechybną szedł on. Dopadnie go matka  
I pierwsza — że kapłanka — pocznie do ostatka  
Mordować swego syna. On zasię, przepasę  
Zrzuciwszy co tchu z głowy, błaga ją o łaskę,  
Ażeby go poznałszy, nieszczęsna Agawe  
Rzuciła te sprawiane nad nim sądy krwawe.  
«Syn jestem twój, o matko!» — tak on rzecze do niej,  
Dotknąwszy się jej lica, jej matczynej skroni —  
«To ja, Penteusz, syn twój, o matko rodzona,  
Któręgoś porodziła w domu Echiona!  
Ulituj się nade mną i za moje grzechy  
Synowskiej ty się matko nie zbawiaj pociechy!»  
Lecz ona, wywracając oczy, tocząc pianę,  
Straciwszy zdrowe zmysły, gdzie zmysły wskazane,  
Bachanckim zdjęta szałem, ani go nie słucha.  
Na piersiach mu stanąwszy, i ślepa, i głucha,  
Rozerdze mu łopatkę i, chwyciwszy ramię,  
Wyrwa je — o, siłą nie własną! Nie kłamię:  
Bóg jakiś tak ustalił niewieście jej ręce!  
Zaś z drugiej strony Ino uczestniczy w męce,  
Na kęsy szarpiąc ciało. Nieszczęsnej ofiary  
Dopadła Autonoe, a z nią całe chmary  
Bachantek...  
O, biedny Penteusie! Kawałami ciała  
Twojego, niby piłką, ta czeladź rzucała!  
Na ostrych skał złomiskach leżą jego strzępy,  
Po gąszczach rozsypane, na lesiste kępy  
Rzucone! O, nietatwo je znaleźć!... Traf zdarza,  
Iż głowa się dostaje do rąk matki. Wraża

Rodzica wraz na tyrsos ją zatknie: pędzi,  
 By z głową lwa dzikiego, od skalnych krawędzi  
 Cytajronowych. W górach wraz z swemi menady  
 Pozostawiła siostry, sama zaś w me ślady,  
 Z krwawego łupu dumna, śpieszy w nasze mury...

*Chór bachantek ubolewa, po chwili wchodzi Agawa z głową swego syna Penteusza, za nią inne bachantki, i wychwalają swój czyn; wchodzi Kadmos z resztkami zwłok Penteusza na noszach; Agawa powoli otrząsa się z szalu, rozpacza, że zamordowała syna, rozpacza i Kadmos.*

- Chór. Kadmosie, żal mi ciebie! Jednak zasłużenie  
 Padł wnuk twój, choć tak krwawe zostawił ci mienie.
- Agawa. Cóż stało się z mych losów, ty mój ojczy miły?  
 Ażeby żyć tu dalej, już ja nie mam siły!  
 Penteusz, syn, nie żyje! Ręce moje własne  
 Rozdarły go na strzępy! Niechże i ja zgasnę!
- Dionizos. On karę zasłużoną poniósł: szydził ze mnie  
 I przeto z rąk tych zginął, z których tak nikczemnie  
 Nie był powinien zginąć. Ale i wam godnie  
 Zapłacić trzeba będzie za spełnioną zbrodnię  
 Na wnuku tego starca. Już nie zobaczycie  
 Tych murów, wypędzone z nich na całe życie.  
 Ty w smoka, królu Kadmie, będziesz przemieniony,  
 A co zaś do Aresa córki, twojej żony,  
 Harmonji, która z tobą, choć śmiertelnyś, żyje  
 W małżeńskim związku, w gada się przedzierzgnie, w zmiję —  
 Lecz Ares przyjdzie w pomoc tobie i Harmonji,  
 Obojga was na Wyspie Szczęśliwości schroni.  
 To mówięc ja, Dioniz, nie śmiertelny człowiek,  
 Lecz Zeusa syn prawdziwy...
- Agawa. Żegnaj mi, grodzie ojczysty, żegnaj mi, domie ty mój!  
 Wypchniętą z rodzinnych progów okrutny czeka znój.
- Kadmos. Arystajowych poszukaj rozłogów!  
 Agawa. Ojczy! nad losem twym płaczę!  
 Kadmos. A mnie chwytają rozpacz na twą i sióstr twoich dołą!  
 Agawa. Dioniz, wielki bóg, strasznym zapłonął gniewem,  
 Z rodzinnych wygnął smug!
- Dionizos. Ale i mnie strasznie bolą te krzywdy, przez was zadane —  
 Krwawą mi ranę Tebański zadał gród, że mi odmówił czci!
- Agawa. Bądź-że mi, ojczy, zdrów!  
 Kadmos. Bądź zdrowa, córko-nieboga!  
 Jeno do zdrowia nie wiedzie ta droga!
- Agawa. Do sióstr mnie powiedzcie, do sióstr,  
 Przed niemi niech stopa ma stanie,  
 By razem pójść na wygnanie — biedne wy, siostry moje  
 Nie na Cytajron mi iść, ani on mnie nie zobaczy,  
 Ani ja jego! ach! nie dla mnie bachantek stroje,  
 Nie dla mnie już w bluszczu liść zdobne te pręty —  
 Innym zostawię ja ten obrzęd święty!...
- Chór. W przemnogiej postaci zjawiają się losy,  
 I niespodzianki urząda nam bóg.  
 Miał zyskać, człek traci, a zysków niebiosy  
 Śród niespodzianych nie skąpią mu dróg.  
 Tak było i z tem wydarzeniem...

Koniec tragedji.

Tłum. Jan Kasproicz.

## ARYSTOFANES

(450—385? przed Chr.)

## PTAKI

W. 1 nst.; 187 nst.; 676 nst.

*Osoby komedji, występujące w przytoczonych partjach: Euelpides oraz Pejstetajros (Dobromyśl i Druhorad), obywatele ateńscy w płasich maskach. Dudek, ongi król Tezeusz, Mysikrólik, służebnik Dudka, Prokne, słowiczka, małżonka Tezeusza, za sceną. Prometeusz, tytan, przyjaciel ludzi. Chór ptaków.*

*Skalista okolica, dokoła gęsty las. Dwaj Ateńczycy Euelpides i Pejstetajros, którzy wyruszyli na poszukiwanie nowej siedziby, błądzą, niepewni, w którą stronę się zwrócić. Jeden z nich trzyma kawkę, drugi wronę na pięści, używając ptaków jako przewodników.*

Euelpides (*do kawki*).

Więc prosto radzisz, gdzie rośnie to drzewo?

Pejstetajros (*do wrony*).

Byś pękła!... Ścierwo znów «wtył zwrot» nam kracze!

Eu.

Nacóż, kpie jakiś, błądzić w prawo, w lewo?...  
Na tych manowcach szczeziem snadź, tułacze!

Pejst.

Bo też ja, wronie ufając, niebożę,  
Obiegłem wkółko tysiąc stadjów może!

Eu.

Bo też ja, kawce ufając przeklętej,  
Obiłem u nóg paznokcie i pięty!

Pejst.

Dzika tu, zgoła obca okolica!

Eu.

Czybyś stąd dojrzał, gdzie nasza stolica?

Pejst.

Stądby nie dojrzał jej ni Egzekestid.

Eu.

Biada!

Pejst.

Tą drogą pójdziesz ty sam chyba!

Eu.

Zaiste, okpił nas na ptasim targu  
Ów ptakokupień, Filokrates dumny,  
Ręcząc, iż ptaki te nas do Tezeja  
Powiodą, który ptakiem z rodu... ptaków.  
Sprzedał tę oto Tarelejdy córę,  
Kawkę, za obol, za trzy zasię wronę:  
A one jeno w kąsaniu uczone.

(*do kawki*) Co dziób rozdziawiasz? Czy z tych skał nas może  
Chcesz na łeb strącić? Wkrąg ni śladu ścieżki!

Pejst.

I tu, dalibóg, nie, jeno bezdroże!

Eu.

Nic-że ci wrona o ścieżce nie wieści?

Pejst.

Na Diosa, pieje inaczej niż wprzody.

Eu.

A co do ścieżki?

Pejst.

Nic! Lecz chęć ją bierze

Do krwi pokąsać i obgryźć mi palce.

Eu.

To niesłychane! Tak pragniemy szczerze  
Iść do... Kaduka z manatki wszystkimi,  
A drogi znaleźć nie mogę k'tej ziemi. (*do publiki*):  
Boć baczenie, może — widzowie tej sztuki,  
Że my nie chorzy, jak Sakas przechera,  
Który przemocą do Miasta się wdziera: —  
My co do rodu i cechu nie włóki,  
Mieszkańce Miasta, acz nas nikt nie żenie,  
Włot porzucamy ojczyznę i mienie!  
Nie z nienawiści do Miasta, broń boże!  
Wszak to szczęśliwe i możliwe, bo może  
Opóźniać z grona... ziomek swych kieszenie.

Jeśli ćwierkają miesiąc dwa świerszczyki  
 Pośród konarów, to cne Ateńczyki  
 Życia ciąg cały nad sporami swemi.  
 Przetośmy za kij chwycili pielgrzymi,  
 I krwi ofiarny niosąc koszowian mirtowy;  
 Szukamy, błędząc, kraju bez procesów,  
 Gdzieby spokojnie można skłonić głowę.  
 Ninie pątujem do Dudka-Tezeja,  
 By go zapytać, jaka jest nadzieja?  
 Czy miasto widział w lotach swych takowe?  
 Hej, ty!

Pejst.

Eu.

Co znowu?

Pejst.

Wrona znowu wrzeszczy,

Dziób wznosząc w górę.

Eu.

Kawka moja również

Wzwyż dziób rozdziawia: śnać mi daje znaki.

Muszą tu chyba gdzie gnieździć się ptaki.

Wszcząwszy zgiek nagły, spłoszym stado całe.

Pejst.

Wiesz co, mój drogi? wal nogą o skałę!

Eu.

Łbem lepiej trykaj, będzie hałas większy.

Pejst.

No, to kamieniem pukaj.

Eu.

Sprawa krótka!

*Podnosi kamień i bije nim mocno o skałę, jakoby do drzwi.*

Hej, chłopcze!

Pejst.

Jak ty wołasz? «Hej, chłopcze» — na dudka?

Raczej: «Hej, dudu» trza na niego pukać.

*Puka znowu.*

Hej, dudu! — dudu!

*Z zarośli wychodzi w podrygach ptak długodzioby i długoogoniasty, służebnik Dudka, na scenie zatem: Euelpides, Pejstetajros i Mysikrólik; ten mówi:*

Mysikrólik. Ktoście wy? Kto z was wołał mego pana?

*Ogólne przerażenie. Pejstetajros upada na ziemię ze strachu, przyczem ucieka mu wrona, również kawka uwalnia się z drżącej dłoni Euelpidesa.*

Euelpides, *drżąc ze strachu.*

Febie, klątw chronico! co za rozziw dzioba!

Mysikrólik, *dygocąc.*

Biada mi! — to są ptaszniki, ma zguba!

Eu.

Przez srogiś? Pięknie powitaj swe drużby!

Mys.

Zacznijcie oba!

Eu.

My nie ludzie.

Mysikrólik *z powątpiewaniem.*

Któżby?

Eu.

Jam ptak libijski. Zwą mnie strachodupek.

Mys.

To kłamstwo!

*Euelpides pokazuje na leżącego u swoich stóp Pejstetajrosa i na... niewątpliwy dowód jego przerażenia.*

*Spytaj której z onych kupek!*

Mysikrólik *do Pejstetajrosa, leżącego wciąż jeszcze na ziemi.*

Co ty za ptaszek? Powiedz, jeno szczerze.

Pejst.

Fajdek me miano, Fajdek z Procesowa.

Eu.

Ninie, przebogi, mów, coś ty za zwierzę?

Mys.

Jam jest ptaszorób.

Eu.

Znaczą się te słowa,

Żeś przez koguta pobit?

- Mys. Nie, — lecz pan mój dudkiem  
Ostawszy, prosił, bym ja też się w ptaka  
Przemienił, iżby nie brakło mu stugi.
- Eu. Nacóż ptakowi służby? Korzyść jaka?
- Mys. Dla niego wielka! Był cztekiem czas długi,  
Więc już sardelek łaknie do biesiady,  
I ja z półmiskiem biegnę po sardełki; —  
Już tyżki, garnka brak do marmelady,  
Więc ja po tyżkę gonię.
- Eu. Toś ty Mysikrólik?  
Wiesz co, króliku? Rozwiń loty skore  
I zwij nam pana.
- Mys. Dalibóg, nie wporeę,  
Gdyż śpi, najadłszy się jagód i muszek.
- Eu. Musisz go zbudzić.
- Mys. Wiemci wprawdzie zgóry,  
Iż będzie mrucał, lecz dla was to zrobię (*odlatuje*).
- Pejstetajros *spogląda za odlatującym Mysikrólikiem.*  
Byś szczeł!... O małym nie umarł ze strachu!
- Eu. Rety! W tej trwodze kawka poszła sobie  
Do djaska!
- Pejst. Arcytechórzliwy ciarachu,  
Puścilesz kawkę ze strachu!
- Eu. A czyś ty,  
Na ziemię padłszy, nie wypuścił wrony?...
- Pejst. Ja?... Niel!...
- Eu. Gdzież więc jest?
- Pejst. Pomknął gdzieś ptak zatracony!
- Eu. Sam umknął? O, ty mężny bohaterze!
- (*uchodzi*) D u d e k  
Wyjść na świat pragnę. Otwórz leśne dżwirze.
- Eu. O, Heraklesie! jakież widzę zwierzę?  
Jaki trójkity powab! co za pierze!
- Dud. Ktoście, mnie szukający?
- Eu. Snać dwunastu bogów  
Podskubało cię troszkę?
- Dud. Śmiecie-ż u mych progów  
Drwić, iż mam skrzydła? Gdyż jam, o przybysze,  
Był człowiekiem.
- Eu. Nie z ciebie...
- Dud. Z kogoż? Niechże słyszę!
- Eu. Twój dziób nas jeno śmieszy i przeraża.
- Dud. To mnie Sofokles w poniżeniu takim  
W tragedjach swoich na scenie znieważa.  
...Lecz mówcie, coście wy zacz?
- Eu. My? Śmiertelni!
- Dud. Skąd rodem?
- Eu. Z kraju pięknych trójwiosłowców.
- Dud. Tedy przysięgli? <sup>1</sup>
- Eu. O nie, przyjacielu,  
My nie z przysięgłych.
- Dud. ...Wy tu w jakim celu?
- Eu. Ciebie odwiedzić.
- Dud. Ale poco? — pytam.

<sup>1</sup> Aluzja do procesowania się Ateńczyków.



- Eu.           Boś był człowiekiem, tak jako my — drzewiej,  
I długiś robił, tak jako my — drzewiej,  
Nierad je płacił, tak jako my — drzewiej.  
Wtóre, boś potem postać wzięwszy płaszę,  
Obleciał wkrąg i morza i lądy,  
Myśl mając ludzką i ptasie poglądy.  
Tedy przychodzیم — nie gardź prośbą naszą,  
I miasto w wełnę bogate nam wymień,  
Gdzieby lec można, jak na runie miękkim.
- Pejst.           Wszak ziemię otacza powietrze!  
My, jeśli dążym do Delfów, musimy  
Beotów prosić o wolne przechody.  
Tak więc, gdy ludzie iść będą bogom  
Ofiary, a ci wam nie złożą dani,  
Przez miasto wasze (*to zn. ptasie*), przez powietrzne szlaki  
Nie przepuszczajcie dymu z ud ku niebu.
- Dud.           Hu!... Ha!... Na Ziemię! sidła! na sieci i matnie!  
Cóżto za pomysł świetny, niesłychany!  
Zbudujmy przeto społem miasto bratnie,  
Jeśli i inne przytakną nam ptaki!
- Pejst.           Któż im przedstawi tę myśl?  
Dud.           Ty, kochany! Barbarzyńcami byli przedtem, ale  
Obcując ze mną, mówią dziś wspaniale!
- Pejst.           Jakże je zwołasz?  
Dud.           To rzecz arcyłatwa.  
Pośpiesz zaraz w te zarośla, aby  
Zbudzić słowika. Z nim wspólnie będziemy  
Zwoływać ptaki. Skoro leśna dziatwa  
Głos nasz usłyszy, zlatywać się pocznie.
- Pejst.           O ty najmiłszy z ptaków! nie zmudź nienie,  
Ni nie zwłócz, błagam, lecz pośpiesz bezzwłocznie  
Budzić słowika, co śpi w tej gęstwinie.
- Dudek (*odlatuje, później śpiewa za sceną*):  
Hej, słowiczku mój, spłosz z powiek swych sen  
I świętych melodjom pieśni płynąć zwól!  
Niech z twych boskich ust wydzwonią jak tren  
Za Itysem mym oplakany — w ból,  
Kiedy pieni i lka żalobną mu dań płowopióra twa krtań!...  
Od harmonij tych drzy włochaty klon,  
Płynie srebrny dźwięk pod Diosy tron.  
Skarg słuchając twych, złotowłosa łeb,  
Za słoniową kość lutni chwytą swej,  
Chór bogów w plęśny rwąc rej.  
I oto symfonji Nieśmiertelnych świętej  
Rozbrzmiewają wkrąg po przestworzu nieb  
Z ust szczęśnych boskie lamentsy.

#### Pienie chóralne ptaków.

Rozkoszy ptaków, ty płowy słowiczku mój,  
Druhu mój wierny, ty me pieśni zawdy strój!  
Witaj! o, witaj mi! na srebrnej fletni graj,  
Ty, co ślesz pieśni zdrój i słodko wabisz maj:  
Ninie mych anapestów wiedz druże.

## Przodownik chóru

*(wygłasza parodje na kosmogoniczne i filozoficzne teorje):*

Nuże! Śmiertelnych ćmo, błędzące omackiem plemię, by liść, co go jesienny wiatr żenie  
 Nędzne lepianki z glin, rodzic bez mocy i sił, wyblakłe rozwiewne cienie,  
 Żaloszny tłumie sennych mar, żyjące dzień, bezskrzydłe, przyziemne robactwo,  
 Nam Nieśmiertelnym cześć, skrzydlatym eteru nam mieszkańcom oddajcie władztwo,  
 Których nie strawi Czas, ni Wiek, których zaduma gna nad wieczną zagadkę żywota!  
 Nuże! słuchajcie nas i od nas uczcie się, jaka rzeczy niebieskich istota.  
 A gdy pojmiecie już, skąd nasz, Ptaków ród i jak spłodzone są bogi,  
 I skąd się Chaos wziął i Erebu mrok, i rzek źródła, i gorzkie rozłogi,  
 Wówczas spokojnie już będziecie mogli snadź wygwizdać mędrka Prodika...  
 Nasamprzód Chaos był i Erebus, i Tartaru głąb, nie było Nieba, ni Ziemi,  
 Ani powietrznych przestworów, ni gwiazd; w Erebu zaś gardzieli olbrzymiej  
 Siedziała brzemienna Noc, ciemnoskrzydłata, i w pierw zrodziła z Wichru p r a - j a j e.  
 Zaś zeń, gdy przyszedł Czas, zrodził się Eros bóg, lubieżnej twórcza tęsknoty,  
 Ze skrzydły złotemi u bark, a tak chybki, jak huraganowe poloty.  
 W Tartaru wdarłszy się głąb i zgwałciwszy Noc, Chaosu skrzydlate brzemię,  
 Spłodził Eros i wywiódł z gniazd i na światłość dnia prastare Ptaków plemię.  
 Nie istniał jeszcze bogów ród, aż wszech skłóciła świat potężna siła Erosa,  
 Który Wszelakość w pary sprzął i powołał w byt Ziemię, Ocean, Niebios a  
 I wszelki szczęśnych bogów ród. Przeto żaden z nich nam ptakiem nierównien jest pono  
 Co do wieku, i każdy wie, że najpierw nas Erosa wydało łono.  
 Wszak skrzydlateśmy są, i dla kochliwych par od wieków powierni druhowie.  
 Toż i niejeden raz chłopię, zimne jak lód, gach zwabi, o siwej acz głowie,  
 Biorąc w pomoc nasz czar: więc z przepiórki śląc dar, kurki, gąski lub ptaka perskiego...  
 Dalej i ludziom z nas spada po wszelki czas łask wszelakich brzemię radosne!  
 My zwiastujemy wam, jak wam wodzirej rok jesień wieździe, zimę i wiosnę.  
 Kiedy ż ó r a w z krakaniem w libijskie leci strony, ziemianin w pole wczas śpieszy  
 K'siejbie ozimych zbóż, żeglarz zaś wiesza ster nad ogniskiem w domowej pieleszy  
 I Orestowitka szatkę jakową, by ustrzec w zimie złodzieja.  
 Kiedy w powietrzu znów c z a p l a pokaże się, z nią wiosny wraca nadzieja,  
 Więc owczarz krząta się koło wiosennych strzyż... Kiedy j a s k ó ł k a w podsieniu,  
 Przedaje futro ten i ów, bo oto trzeba już o letniem myśleć odzieniu.  
 Wszakże do różnych wieszczb równie służymy wam, jak w Delfach wyrocznia wam służy;  
 Wróżym, jak wróży Dodo, jak ołtarz Amona i jak Febus Apollo wam wróży.  
 Zanim do jakich prac przyłożycie swych rąk, naprzód nas, p t a k ó w pytacie:  
 Czyto, by kupczyć czem, czyto, by upiec chleb, czy stanąć w weselnej szacie.  
 Toż ptakiem wam się zda wszelaka rzecz, co wieszce budzi mniemanie,  
 Ptakiem ulotna wieść, i ptakiem też mienicie pono... k i c h a n i e,  
 Ptakiem mienicie krzyk i ptakiem każdy z n a k, ptakiem p a r o b k a i o s t a !  
 Czyliż nie jasno wam, że jak Apollo czczon, i nam się należy cześć wzniosła?  
 Przeto uznajcie nas za bogów, a zato  
 Służyć będzie wam nasz wróżebny śpiew.  
 My zwiastujem wam zimę, wiosnę, lato  
 I jesień — nie lecim hen, do niebieskich stref,  
 Zachmurnych gdzieś przed wami szukać leż,  
 Gdzie tronuje Zeus, gnuśnych pełen psych!  
 My użyjemy wam zawsze darów swych,  
 Waszym dzieciom wraz, w n u k o m waszym też:  
 Bogactwa, szczęścia i mocy,  
 Radości, śpiewu — w dzień, spoczynku — w nocy,  
 Gęźby, rozkosznych uczt, pieśni i wiecznej młodości  
 Ba, nawet p t a s i e g o m l e k a !  
 Utonie każdy z was i pęknie w tej dóbr pełni,  
 Która się wokrag was rozkipi i rozwełni,  
 Gdyby pienista łask rzeka.

...Kto z was z nami chce, z ptakami żyć ochoczo i wesolo,  
 Chętnie, mile go zapraszam, niechaj wstąpi w nasze koło.  
 Wszystko, czego jako zbrodni zakazuje wam ustawa,  
 Nader piękne w państwie płaszem i cnotliwe się wydawa.  
 U was zbrodnią jest bić ojca — u nas jest to istną cnotą,  
 Jeśli syn na ojca wpadnie i z bojową nań ochotą  
 Krzyknie, wrzaśnie: «Broń się, stary, wszak od tego masz ostrogi!»  
 U was raba, gdy piętnowan, ściga znamię kary srogiej —  
 U nas za jarząbka jeno pstrokatego jest uznany.  
 ...Para skrzydeł to rzecz piękna, to rzecz wyśmienita zgola!  
 Przykład leży tuż pod nosem. Gdyby który z widzów koła  
 Skrzydła u bark miał, i nagle pośród słodkich drzeń harmonji  
 Tragicznego chóru poczuł, że mu głód po kiszkach dzwoni —  
 Mógłby frunąć szybkim lotem na śniadanko wprost do domu  
 I powrócić z pełnym brzuszkiem do teatru znów bez sromu.  
 Gdyby przyszła nań potrzeba, że musiałby kręcić tyłkiem  
 I do płaszcza sprośnie trąbić, leczby stąd wyfrunął chyłkiem,  
 I pozbywszy się ciężaru, znowu zasiadł w widzów rzędzie.  
 Ktoby zasię zamiast w swojej, w cudzej wolał kopać grzędzie,  
 A na lawie rajców zoczył męża pięknej białogłowy  
 Drzemiącego, mógłby zaraz skrzydła puścić w lot godowy  
 Pod pierzynkę, szybko, zgrabnie — i na miejsce wrócić swoje.  
 Więc mam słuszość, chyba twierdząc, że skarb istny — skrzydeł dwoje!  
 Tłum. Bogusław Butrymowicz.

## HERODOT Z HALIKARNASU

(484—425 przed Chr.)

### DZIEJE POWSZECHNE

Fragment I. Księga I

#### Początek niezgody Zachodu ze Wschodem

Herodota z Halikarnasu badania historyczne do tego zmierzają, żeby czyny ludzkie przez czas nie zostały zatarte, żeby dzieła wielkie i podziwu godne, jużto przez Greków, już przez obcych dokonane, nie pozostały bez należnej sławy, a przede wszystkim, żeby nie zapomniano o przyczynach wojny, jaka powstała między Grekami a Wschodem. Perscy uczeni opowiadają, że powodem kłótni byli Fenicjanie. Oni to bowiem przybyli od morza, zwanego Czerwonem, tutaj do naszego morza i zamieszkali okolicę, którą i teraz jeszcze dzierżą; oni natychmiast zaczęli odprawiać dalekie morskie wędrówki; rozwożąc egipskie i asyryjskie towary, zawijali Fenicjanie tak do innych krajów, zawinęli też i do Argos; w owym bowiem czasie miasto Argos przodowało wszystkim krajom, które teraz Grecją zwiemy. Fenicjanie przybyli tutaj i wystawili na targ swoje towary; piątego czy szóstego dnia po ich przybyciu, gdy prawie wszystko rozprzedali, przybyło nad morze wiele niewiast, a w liczbie ich królewska córka, której na imię podobno było Io, a ojciec jej zwał się Inachem. Gdy te kobiety, podszedłszy do okrętów, kupowały, czego każda najbardziej chciała, Fenicjanie porozumieli się ze sobą i rzucili się na nie; większa część owych niewiast uciekła, ale Io z innemi została porwana, a Fenicjanie uprowadzili ją na okręt i szybko odplynęli do Egiptu. Tak oto, inaczej niż Grecy, opowiadają Persowie, że Io dostała się do Egiptu, a to dało początek do krzywd wzajemnych. Po tym wypadku miała znowu pewna liczba Greków — a imion ich nie umieją wymienić — przybyć do miasta Tyru w Fenicji i uprowadzić córkę króla, której na imię było Europa; byli to zapewne Kreteńcy. Tak oto oddali sobie wet za wet. Ale następnie Grecy podobno zostali sprawcami drugiej krzywdy; przepłynęli na długim okręciu do Kolchidy i nad rzekę Farys; załatwili tam inne sprawy, które były celem ich przybycia, i porwali córkę króla Medeję. Król Kolchidy posłał posła do Grecji, żądał zadośćuczynienia za rabunek i zwrotu córki, ale Grecy mieli odpowiedzieć, że i oni przecież,

cudzoziemcy wschodni, nie dali zadośćuczynienia za uprowadzenie Iony z Argos; teraz więc i Grecy cudzoziemcom odmawiają.

Opowiadają dalej Persowie, że w następnym wieku Parys, syn trojańskiego króla Priama, posłyszawszy o tych gwałtach, zapragnął żonę sobie porwać w Helladzie; wiedział dobrze, że kary nie zapłaci, bo i Grecy jej nie zapłacili. Uprowadził on Helenę; Grecy najprzód postanowili wyprawić posłów i domagać się wydania Heleny i nagrody za porwanie; lecz Trojanie na żądania Greków przypomnieli im porwanie Medei, że więc nie mają prawa żądać zadośćuczynienia ci, co sami go nie dali, ani żądającym zwrotu Medei królowny nie wydali. Dotąd dokuczali sobie nawzajem samemi tylko rabunkami, ale od tego czasu Grecy srodze zawinili, bo pierwaj wyprawili się z wojną do Azji, pod Troję, aniżeli narody azjatyckie do Europy. Persowie mniemają, że porywać niewiasty jest zwyczajem złych ludzi; ale usiłować zemścić się za porwanie kobiety jest to cechą ludzi bezrozumnych, a przymiotem roztropnych jest nie dbać wcale o porwanie; jasną jest bowiem rzeczą, że gdyby kobiety same tego nie chciały, to wcale nie zostałyby porwane. Powiadają dalej Persowie, że mieszkańcy Azji wcale nie poszukują porwanych swoich kobiet, Grecy natomiast dla jednej lacedemońskiej niewiasty zgromadzili wielką flotę, przybyli do Azji i zburzyli państwo Priama. Od tego to czasu Persowie zawsze uważali Greków za swoich wrogów; albowiem Azję i mieszkające w niej ludy Persowie poczytują za swoją jedną całość, a Europę i mieszkające tutaj greckie szczepy za kraj oddzielony i obcy.

Tak opowiadają Persowie, a zburzenie Troi uważają za początek nieprzyjaźni swojej dla Greków. Co do Iony, córki króla Inacha, to Fenicjanie nie zgadzają się z Persami i opowiadają, że bynajmniej nie porwali jej gwałtem do Egiptu, bo ona sama została kochanką sternika fenickiego, a zmiarkowawszy, że zaszła w ciążę, ze wstydu i z bojaźni przed rodzicami dobrowolnie odpłynęła z Fenicjanami, by ukryć swój stan. Tak opowiadają Persowie i Fenicjanie, a ja nie będę rozstrzygał, czy tak się stało, czy inaczej, tylko wymienię tego, który według mnie pierwszy dopuścił się krzywdy wobec Greków, a potem będę dalej opowiadał i będę przebiegał w opowieści w równym stopniu i wielkie miasta, i małe; albowiem miasta, które niegdyś były wielkie, z biegiem czasu zmalały, a te, które teraz są wielkie i znaczne, dawniej były małe. Wiem dobrze, że ludzkie szczęście nie zatrzymuje się na jednym miejscu, więc będę opowiadał zarówno o wielkich i o małych.

## Fragment II. Księga I

### Początek państwa lidyjskiego

Krezus, Lidyjczyk z pochodzenia, syn Aljatesa, panował nad ludami mieszkającymi na zachód od rzeki Halis, która płynie na północ pomiędzy Syryjczykami i Paflagonami i wpada do Czarnego morza. Ten to Krezus, ze wszystkich mieszkańców Azji pierwszy dobrze nam znany, jednych Greków zholdował i zmusił płacić haracz, z innymi natomiast zawiązał przyjaźń. Podbił Jończyków, Eolów i Doryjczyków azjatyckich, zaprzyjaźnił się z Lacedemończykami. Przed panowaniem Krezusa wszyscy Grecy w Azji byli niezależni, bo tłumy Cymeryjczyków, którzy przed Krezusem napadli na Jonję, nie zdobyły miast na stałe, lecz mimochodem je złupiły. Naczelną władzą w państwie, dawniej należąca do rodu Heraklidów, takim oto sposobem przeszła na ród Krezusa, zwany Mermaadami. Kandaules, którego Grecy zwą Marsylem, władca miasta Sardes, był potomkiem Alkeosa, syna Heraklesa; Kandaules był ostatnim królem w Sardes, a przed Heraklidami panowali nad tą krainą potomkowie Atysa Lidyjczyka, od którego cały ten naród miano Lidów przyjął, a pierwaj zwany był Meońskim. Od tych to dawnych królów Heraklidowie przejęli panowanie z natchnienia przepowiedni, zrodzeni zaś byli z niewolnicy Jardany i Heraklesa boga, a dzierżyli władzę przez dwadzieścia dwa pokolenia, pięćset i pięć lat, biorąc rządy zawsze syn po ojcu, aż do Kandaulesa syna Myrsosa.

Kandaules namiętnie kochał swoją żonę i myślał, że jest ona najpiękniejsza

z kobiet; był przekonany o tem. Miał w drużynie przybocznej wielkiego przyjaciela Gigesa, syna Daskilosa, i naradzał się z nim o najważniejszych swoich sprawach, a zarazem i piękność żony nadmiarę przed nim wychwalał. Po pewnym czasie — albowiem królowi był przeznaczony nagły zgon — rzekł Kandaules do Gigesa: «Przyjacielu, widzi mi się, że nie bardzo wierzysz opowiadaniom moim o piękności mojej żony; ludzie zresztą zawsze własnym oczom bardziej wierzą, aniżeli zasłyszanyim wieściom; postaraj się tedy, przyjacielu, zobaczyć moją żonę nagą». Giges przerażony na to: «Panie, mowa twoja jest niezdrowa! Jakżeż to żądasz ode mnie, bym królowę moją oglądał nagą? Kobieta, zrzucając z ciała koszulę, odrzuca od siebie i wstyd zarazem! Oddawierendawna znane są prawa przyzwoitości; należy słuchać tych praw. Jedno z nich orzeka, by każdy trzymał się swego. Wierzę ci, królu, że żona twoja jest najpiękniejsza z kobiet, ale błagam cię, nie żądaj ode mnie niegodziwych czynów». Temi słowy bronił się Giges; bał się, że coś złego dlań wyniknie, a Kandaules na to: «Nie bój się, Gigesie, nie myśl, żebym te słowa powiedział poto, by wypróbować ciebie; żony mojej również nie obawiaj się, bo nic ci złego nie zrobi; tak urządzę wszystko, że królowa ani się dowie, żeś ją nago widział. Ukryję cię w sypialni naszej przy otwartych drzwiach; po mojem nadejściu wnet i królowa przyjdzie do łoża, a przy wnijsciu samem krzesło stoi i będzie na to krzesło kładła suknie, zdejmując je z siebie, i przez długą chwilę będziesz ją oglądał; a gdy już od krzesła tego do mojego łoża pójdzie i odwróci się do ciebie plecami, ty się wymknij drzwiami, ale tak, żeby nie ujrzała ciebie». Giges widzi, że nie może się wymówić i przystał; Kandaules, gdy nadeszła pora nocnego spoczynku, wprowadził Gigesa do sypialnej komnaty, a wkrótce żona jego przyszła; Giges oglądał królowę, jak się rozbierała, a gdy odwróciła się plecami i do łoża poszła, Giges wychylił się z ukrycia i wyszedł, ale kobieta spostrzegła go i domyśliła się, że to własny mąż jej uknuł, i zawstydzila się, ale nie krzyknęła i nie pokazała nic po sobie, lecz zamysliła w duszy zemścić się na Kandaulesie. Lidyjczycy bowiem, podobnie jak i inne azjatyckie narody, uważają, że nawet dla mężczyzny jest rzeczą hańbiącą, żeby go ktoś zobaczył nago.

Królowa nic nie pokazała po sobie i przemilczała, ale skoro nadszedł dzień, przygotowała najwierniejsze swoje sługi i przywołała do siebie Gigesa. Ten myślał, że królowa nic nie wie o tem, co się stało, i przybył zawołany, bo zawsze stawał się natychmiast, ilekroć królowa zażądała. Gdy przyszedł Giges, niewiasta rzekła: «Gigesie, masz przed sobą dwie drogi; wybierz sam, którą zechcesz udać się. Albo zabijesz Kandaulesa i weźmiesz w posiadanie mnie i królestwo lidyjskie, albo sam natychmiast musisz zginąć, byś nie wiedział dłużej tego, czego nie powinienes wcale wiedzieć, skoro tak we wszystkim jesteś posłuszny Kandaulesowi. Powinien zginąć śmiercią albo ten, który nagą mnie oglądał i dopuścił się niegodziwego czynu, albo ten, który to urządził». Giges osłupiał zrazu na te słowa, ale wkrótce zaczął błagać królowę, by nie zmuszała go do takiego wyboru, ale nie przebłagał jej i przekonał się, że istotnie musi albo swego króla zabić, albo sam śmiercią umrzeć; wybrał dla siebie życie i zapytał niewiastę temi słowy: «Skoro zmuszasz mnie, pani, zabić króla mego, wbrew woli mojej, powiedz, w jaki sposób mam tego dokonać?» Na to białogłowa: «Na tem samym miejscu będzie wykonany zamach, gdzie król tobie nagą mnie pokazał; napadniesz go, gdy zaśnie». Tak ułożyli zdradę. Giges dłużej nie ociągał się, bo nie było sposobu uniknięcia zbrodni, i widział, że ktoś musi zginąć, albo on, albo Kandaules. Za nadejściem nocy poszedł Giges za niewiastą do komnaty, a ona dała mu sztylet i ukryła go za temi samemi drzwiami. Kandaules zasnął, a wtedy Giges wyszedł, zabił go i posiadał żonę jego i królestwo. O tym wypadku wzmiankuje poeta Archiloch z wyspy Paros, żyjący w tym samym czasie, mianowicie w trymetrach jambicznych. Posiadłszy królewską władzę, Giges utrwalił ją przy pomocy delfickiej przepowiedni. Albowiem Lidyjczycy oburzali się, że Kandaules został zamordowany, i stanęli pod bronią, ale między powstańcami i zwolennikami Gigesa nastąpiła ugoda, że jeżeli wyrocznia delficka orzeknie, iż Giges ma być królem, to niech pozostanie przy władzy, a jeżeli orzeknie, że nie, to musi berto oddać Herakli-dom. Wyrocznia jednak uznała Gigesa królem, więc pozostał przy władzy. A jednak

już wtedy Pytja dodała, że zemsta Heraklidów spadnie na piątego potomka Gigesy. Atoli na przepowiednię Pytji ani Lidowie nie zwrócili uwagi, ani królowie ich — aż się ziściła.

### Fragment III. Księga I

#### Arjon

Perjander był synem Kipselosa i panował w Koryncie. Otóż Koryntyjczycy, a razem z nimi i mieszkańcy wyspy Lesbos, opowiadają, że przytrafił mu się wielki cud: mianowicie Arjon z Metymny został przyniesiony przez delfina na przyładek Tenar; ten Arjon był najslawniejszym lutnistą swego czasu i podobno pierwszy skomponował dytyrambiczny utwór, dał mu nazwę dytyrambu i wyrecytował go w Koryncie. Opowiadają o tym Arjonie, że przez długi czas zabawił u Perjandra w Koryncie i zapragnął popłynąć do Italji i do Sycylii, zgromadził tutaj dużo pieniędzy i znów postanowił wrócić do Koryntu. Miał zaufanie tylko do Koryntyjczyków, więc w Tarencie wynajął koryncki statek i wyruszył w drogę. Ale wynajęci Koryntyjczycy zmówili się, że, skoro wypłyną na pełne morze, wyrzucą Arjona z okrętu, a pieniądze jego zrabują. Arjon to zmiarkował i oddał im pieniądze, i zaczął błagać, żeby przynajmniej życie mu darowali, ale nie przebłagał żeglarzy; kazali mu albo samemu odebrać sobie życie, a wtedy oni pochowają go na lądzie, albo co prędzej skoczyć do morza. Tak zagrożony, domaga się Arjon, skoro już tak postanowili, więc niech pozwolą mu przynajmniej w uroczystym stroju lutnisty wyśpiewać na okręcie pieśń; poczem chciał sobie życie odebrać. Majtkowie zezwolili na to, bo zresztą wzięła ich chęć posłyszenia najslawniejszego lutnisty; zeszli z przodu na środek okrętu, by słuchać. Arjon przywdział na siebie swój uroczysty strój, wziął lutnię, a stojąc na rufie okrętu, odśpiewał wspaniałą pieśń, a potem w całym swym stroju skoczył w morze. Majtkowie dalej popłynęli do Koryntu, a o Arjonie opowiadają, że pochwycił go na grzbiet swój delfin i zaniósł na przyładek Tenaryjski. Tutaj zeszedł Arjon z delfina i w całym stroju swoim poszedł do Koryntu i opowiedział tam o swej przygodzie. Perjander nie uwierzył Arjonowi i trzymał go pod strażą, i nigdzie nie wypuszczał, ale zarazem kazał pilnować majtków. Oni nareszcie nadjechali, Perjander przywołał ich do siebie i wypytywał, co wiedzą o Arjonie. Żeglarze rzekli, że przebywa w Italji, że zostawili go w dobrem zdrowiu w Tarencie, aż tu nagle stanął przed nimi Arjon w tym samym stroju, w jakim skoczył do morza z okrętu. Prześtrazeni i przychwyceni na kłamstwie majtkowie, niczemu nie przeczyli. Tak oto opowiadają Koryntyjczycy i Lesbijczycy, a na przyładku Tenaryjskim stoi niewielki pomnik ze spiżu, ofiarowany przez Arjona; wyobraża on człowieka siedzącego na delfinie.

### Fragment IV. Księga I

#### Solon i Krezus

Po pewnym czasie, gdy król lidyjski Krezus ujarzmił różne ludy i pomnożył potęgę Lidji, do stolicy jego Sardes, kwitnącej i bogatej, zaczęli przyjeżdżać z Grecji ludzie co najmądrzejsi, którzy w tym czasie żyli, jak któremu wypadło, każdy w innym czasie; przybył także Solon z Aten. Napisał on dla Ateńczyków na ich żądanie nowe prawa i wyjechał na dziesięć lat z ojczyzny, niby to w celu poznania cudzych praw i zwyczajów, w istocie zaś poto, by nie zmuszono go odwołać którąkolwiek z ustaw, jakie ustanowił; sami Ateńczycy nie mogli jego ustaw odwołać, bo zobowiązali się wielką przysięgą, że przez dziesięć lat będą stosowali prawa, które im nadał Solon. Dla tych tedy spraw i dla oglądania rzeczy nowych wyjechał Solon z ojczyzny, udał się do Egiptu, do króla Amazysa, a potem do miasta Sardes do Krezusa. Skoro przybył Solon, gościnnie go w zamku przyjął król, a potem, trzeciego czy czwartego dnia, na rozkaz Krezusa oprowadzili go słudzy po skarbcu i pokazali

mu wszystkie co najdroższe kosztowności, jakie tam były. Solon obejrzał to wszystko i oglądał, ile mu czas pozwolił, a wtedy Krezus go zapytał: «Miły Ateńczyku! wiele i często słyszałem o głębokiej twojej wiedzy i o twych podróżach, jako pragnieniem poznawania kierowany, wiele krajów objechałeś; otóż teraz chcę zapytać ciebie, czy spotkałeś człowieka najszczęśliwszego z ludzi?» Krezus pytał o to, tuszając sobie, że to właśnie on jest najszczęśliwszym z ludzi; Solon jednak wcale mu nie schlebiał, prawdy trzymał się i odrzekł: «Tak, królu, poznałem, Tellosa mianowicie Ateńczyka». Zdziwił się tej odpowiedzi Krezus i odrzekł szybko: «I dlaczegoż to sądzisz, że Tellos jest najszczęśliwszym?» Na to mędrzec: «Po pierwsze dlatego, że ojczyste miasto jego było szczęśliwe, a sam on miał synów zacnych i dobrych i widział dzieci tychże wszystkich synów, a wszystkie one pozostały przy życiu; po drugie dlatego, że życie swoje, ile to w ludzkich siłach, dobrze przepędziwszy, skończył je szlachetnie, w bitwie mianowicie Ateńczyków z sąsiadami z Eleuzynu; przybył Tellos na pomoc swoim i zmusił nieprzyjaciół do ucieczki, a sam poległ najpiękniejszą śmiercią; Ateńczycy sprawili mu uroczysty pogrzeb na tem miejscu, gdzie dokonał życia, i wspaniale go uczcili». Tak Solon opowiedział o Tellosie i o jego czynach, i o szczęściu, i podniecił ciekawość Krezusa, i ten znowu pyta, kogo drugiego po Tellosie widział szczęśliwym, a spodziewał się Krezus, że bezwątpienia przynajmniej drugie miejsce pozyska. Ale Solon odrzekł: «Tak, królu, Kleobisa i Bitona; byli oni rodem z Argos, żyli w dostatku, a posiadali taką fizyczną siłę, że obaj zyskali nagrodę w zapasach, a jest i taka jeszcze o nich powieść: Gdy w Argos przypadła uroczystość bogini Hery i nieodwołalnie było konieczne, żeby matka ich na wozie ciągnionym przez woły przybyła do świątyni Hery, a woły w polu były na ten czas, wtedy młodzieńcy sami jarzmo włożyli na siebie i wóz ciągnęli, a na wozie siedziała ich matka; wóz do świątyni ciągnęli przez stadjów czterdzieści pięć, a dokonali tego w obliczu świątecznego zgromadzenia tłumów i spotkała ich najszczęśliwsza śmierć, przez co bóstwo pokazało, iż lepiej dla człowieka umrzeć, aniżeli żyć. Albowiem mężowie z Argos, stojąc dookoła, stawili siłę młodzieńców, a kobiety błogosławiły matkę, że takich synów dochowała się; matka, przejęta radością z czynu i sławy swych dzieci, stanęła przed posągiem bogini i błagała ją, by obdarzyła synów jej Kleobisa i Bitona, za to, że tak pięknie uczciły swoją matkę, by obdarzyła dobrem, które dla człowieka jest największe. Po tej modlitwie i po złożonej ofierze bogini, i po zbożnym posiłku, w tej samej świątyni młodzieńcy zasnęli, a więcej nie powstałi, lecz tak swoje życie zakończyli, a lud argijski wystawił ich posągi i ofiarował je do Delf, jako posągi najlepszych ludzi». Tak więc drugie miejsce szczęśliwości Solon tym młodzieńcom wyznaczył.

Krezus, żywo poruszony, rzecze: «Miły Ateńczyku! Moje zatem powodzenie tak nisko cenisz, iż stawiasz mnie na stopniu niższym niż prywatnych ludzi?» Solon na to: «Krezusie! Zapytujesz mnie o sprawy ludzkie, aleć ja dobrze wiem, jak zazdrosne i gwałtowne jest każde bóstwo. Przez długi okres swego życia dużo musi człowiek widzieć, czego by nie chciał widzieć, dużo musi także ucierpieć. Okres bowiem ludzkiego życia obejmuje siedemdziesiąt lat, tak mniemam, te lata obejmują dwadzieścia pięć tysięcy dwieście dni, wyłączając dodatkowe miesiące, a te miesiące dodatkowe, co dwa lata, dają przez ten czas dni tysiąc pięćdziesiąt. Owóż z tych wszystkich dni, tworzących owe siedemdziesiąt lat, których jest dwadzieścia sześć tysięcy dwieście pięćdziesiąt, żaden dzień zgoła nie przynosi tych samych zdarzeń, co następny. Tak oto, Krezusie, człowiek całkiem jest zdany na losy przypadku. Widzę dlatego, że obfitujesz w niepoślednie bogactwa, panujesz nad wielu narodami, ale nie nazwę ciebie szczęśliwym, o co pyłałeś mnie, zanim nie dowiem się, że życie swoje skończyłeś w szczęściu. Albowiem największy bogacz nie jest szczęśliwszy od prostaka żyjącego z dnia na dzień, jeżeli los nie dozwoli mu dokonać życia pomyślnie, w posiadaniu wszystkich dóbr. Istotnie: dużo jest ludzi bardzo bogatych, a nie są oni szczęśliwymi — inni znów mało co mają, ale szczęśliwie żyją. Wielki bogacz, ale nieszczęśliwy, tylko w dwóch rzeczach przewyższa człowieka biednego, ale szczęśliwego, a ten przewyższa bogacza pod wieloma względami. Pierwszy, nieszczęśliwy bogacz, rozporządza środkami do zaspokojenia pożądlivości swojej i do łatwiejszego zniesienia

kłęski, która nań spada; drugi, szczęśliwy biedak, pod każdym względem przewyższa bogacza: nie ma możności, co prawda, w równym stopniu, co tamten, zaspokoić pożądlivość i ulżyć sobie w kłęsce, ale kłęski przecież odwraca odeń powodzenie jego, a nadto nie ma żadnych braków fizycznych, cieszy się dobrem zdrowiem, nie zna przykrości, ma zdrowe dzieci, jest w obojętności miły. Jeżeli w dodatku i życia pomyślnie dokona — to właśnie taki człowiek, jak pytałeś mnie o to, zasługuje, byśmy go uważali za szczęśliwego; nim jednak dobru do kresu życia, musimy powstrzymać nasz sąd i nie możemy twierdzić, że jest szczęśliwy; najwyżej tylko, że sprzyja mu powodzenie. Nie możemy osiągnąć szczęścia, dopóki jesteśmy ludźmi; podobnież i kraje ziemskie: poszczególne okolice nie wystarczają same sobie, lecz jedne rzeczy mają, a inne z obcych krajów sprowadzają, ale ten kraj, który najmniej posiada, on właśnie jest najlepszy. Kto z ludzi bez przerwy najwięcej dóstatków posiada, a potem w szczęściu życia dokona, ten tylko, według mniemania mego, może za szczęśliwego uchodzić, albowiem żaden człowiek nie wystarcza sam sobie: ten jedno ma, a drugie od innych ludzi dostaje. Musimy, królu, patrzeć na koniec każdej rzeczy, albowiem wielu śmiertelnikom bóstwo pierwaj dało dostatek a potem wtrąciło ich w przepaść». Tak przemawiał Solon, a Krezus nie obdarował go i pogardliwie potraktował, i odesłał od siebie niczem głupca, bo nie dowierzał Solon bieżącemu szczęściu i doradzał oglądać się na koniec każdej rzeczy. A jednak po odejściu Solona srogi gniew bóstwa spadł na Krezusa, a to mianowicie za to, że poczytywał siebie za najszczęśliwszego człowieka.

Fragment V. Księga VIII, rozdz. 52—64

1) Zdobycie zamku ateńskiego przez Persów

2) Narada greckich wodzów

Oblężeni w zamku Ateńczycy bronili się dzielnie, aczkolwiek sytuacja ich była beznadziejna i mury obronne rozsypywały się. Pizystratydzi doradzali poddać się, Ateńczycy jednak chwywali się coraz to innych obronnych środków; naprzykład staczali wdół ogromne głazy, gdy Azjaci pod bramy zamku szli. Kserkses tedy przez długi czas nie mógł zdobyć Akropolu ateńskiej i nie wiedział, co ma dalej robić. Wreszcie najeżdźcy znaleźli sposób przewycięzenia tych trudności. Albowiem wyrocznia boża głosiła, że cała Attyka dostanie się w ręce Persów. W przedniej części Akropolu, ale niedaleko od bramy i przy wejściu na górę; w miejscu, gdzie nie było żadnej straży, bo nikt nie przypuszczał, żeby ktokolwiek w to miejsce przedostał się, wdrapało się kilku Persów tuż przy świątyni Aglaury, córki Cekropsa, protoplasty Ateńczyków; było to zresztą miejsce bardzo strone. Gdy Ateńczycy zobaczyli tych Persów, już będących w murach Akropolu, jedni skoczyli z murów wdół i zginęli, inni schronili się do przybytku świątyni. Persowie zaś, ci, co wdarli się na górę, najpierw skierowali się do bramy i roztworzyli ją, a błagających o darowanie życia wymordowali, a kiedy wszyscy oblężeni leżeli trupem, zrabowali świątynię i spalili Akropolę. Opanowawszy całe Ateny, Kserkses wyprawił gońca do miasta perskiego Suzy, ażeby ten powiadomił Artabana o powodzeniu. Następnego zaś dnia po wysłaniu gońca zwołał król Kserkses wygnańców ateńskich, którzy towarzyszyli mu w tej wyprawie, i kazał im udać się na Akropolę i złożyć bogom ofiarę według zwyczajów ateńskich. Możliwe jest, że sen, który mu przysnił się, skłonił go do tego; możliwe również, że spalenie świątyni przeraziło go. Ateńczycy spełnili rozkaz perskiego króla. Muszę jednak powiedzieć, dlaczego wspomniałem o tem. Na Akropolu znajduje się świątynia Erechteja, tego mianowicie, który z Ziemi został poczęty; w tym przybytku rośnie drzewo oliwne i wytryska źródło słonej wody, które, według podania, Pallas Atena i Pozejdon umieścili tam, bo wiedli spór o krainę attycką i dali w tem miejscu świadectwo swej szczodroblivości. To właśnie drzewo oliwne wraz z całym przybytkiem spaliło się w pożarze, wznieconym przez Azjatów; ale następnego dnia Ateńczycy, wyprawieni przez króla do złożenia ofiar, zobaczyli, iż z owego pnia oliwnego wystrzeliła gałązka na łokieć długa; tak opowiedzieli oni.



Atoli Grecy pod Salaminą zebrani, kiedy im doniesiono, co stało się z Akropolą ateńską, popadli w taką trwogę i w takie zamieszanie, że niektórzy wodzowie greccy, nie czekając, aż zapadnie jakieś postanowienie ogólne, pobiegli do swoich okrętów i rozwinęli żagle do ucieczki. Natomiast ci, co pozostali, uchwalili stoczyć z Persami bitwę na morzu przed Istmem. Potem noc nastąpiła i rozeszli się oni z narady, i poszedł każdy do swego okrętu. Także i Temistokles wrócił do swego okrętu i tutaj zapytał go pewien Ateńczyk Mnezyfil, jaka uchwała zapadła na naradzie wodzów; dowiaduje się, że postanowiono odprowadzić flotę do Istmu i stoczyć tam bitwę z Persami w pobliżu Peloponezu; powiada tedy: «Jeśli tylko Grecy cofną się z flotą od Salminy, to już nie będziesz wcale, Temistoklesie, o swoją ojczyznę walczył, bo wszyscy sprzymierzeni udadzą się do swoich miast i nikt, bo ani Eurybjades nawet, już nie potrafi ich powstrzymać i uchronić przed rozproszeniem się, i Grecja zginie przez złe rady wodzów. Może jednak jest jeszcze jaki sposób na to? Idź, niech cofną to postanowienie, postaraj się przekonać Eurybjadesa; niech zmieni zdanie, niech zostanie na miejscu». Bardzo się spodobała Temistoklesowi ta myśl; nie jednak nie odrzekł i poszedł do Eurybjadesa. Zbliżywszy się do okrętu jego, oświadczył Eurybjadesowi, że chce pomówić z nim o bardzo ważnej sprawie; ten go przywołał na pokład i kazał mu wyłuszczyć, co ma na myśli. Temistokles usiadł przy nim i powiedział wszystko, co posłyszał od Mnezyfila, ale tak jakby to sam w sobie obmyślił, także i inne dowody przytoczył i nalegał, i zmusił Eurybjadesa, żeby zeszedł z okrętu i znów zgromadził wodzów na naradę. Wodzowie poschodzili się i, zanim Eurybjades zdążył powiedzieć, dlaczego znów ich zwołał, już Temistokles obszernie zaczął opowiadać i nalegać. Przerwał mu wódz koryntyjski Adejmant, syn Okitosa: «Temistoklesie, w zawodach chłostą uśmierzają tych, co porywają się przed czasem». Na to Temistokles, usprawiedliwiając się: «Pozostających w tyle — rzecze — nikt wieńcem nie obdarzy». Tak więc Temistokles łagodnie odpowiedział Koryntyjczykowi, ale Eurybjadesowi teraz już nic nie wspominał z tego, co przedtem mówił, że z chwilą cofnięcia floty z pod Salminy sprzymierzeńcy rozproszą się. W obecności związkowych wodzów żadnego pożytku nie przyniosłaby nieufność: mówił inaczej, zgola inne dowody przytaczał:

«Eurybjadesie! w twojej teraz jest mocy ocalić całą Grecję, racz tylko usłuchać mnie i pozostań z flotą, i morską bitwę wydaj Persom, a nie idź za radą tych oto tutaj, nie usuwaj się do Istmu. Wysłuchaj mnie i dopiero porównaj obydwie decyzje. Potykając się z wrogami przy Istmie, będziesz musiał walczyć na pełnym morzu, a okręty nasze powolne i w niewielkiej liczbie nie nadają się do takiej bitwy; nadto utracisz Salaminę i Megarę, i Eginę, nawet jeżeli wszystko inne pomyślnie ci pójdzie. Razem z flotą Persów posunie się i wojsko ich lądowe, i sam przyprowadzisz ich na Peloponez i całą Grecję w krańcową niedolę wtrącis. Jeżeli natomiast postąpisz tak, jak radzę, takie będziesz miał korzyści z tego: przedewszystkiem na Persów uderzysz w miejscu ciasnem, ale z flotą niewielką na flotę ogromną, i według wszelkiego prawdopodobieństwa będziesz miał przewagę nad nieprzyjacielem, bo dla nas jest dogodna bitwa w wąskim miejscu, a dla Persów na pełnym morzu. Nadto Salamina zostanie w naszych rękach, a na Salaminę schroniliśmy nasze dzieci i nasze kobiety. Prócz tego i ta dogodność w mojej radzie mieści się, o którą wszystkim nam najbardziej chodzi: oto pozostając tutaj, równie walczyć będziesz w obronie Peloponezu, jak i wydając Persom bitwę przy Istmie — a jeśli będziesz roztropany, nie naprowadzisz owe rzesze azjatyckie na półwysep. Przewiduję pomyślny wynik bitwy; pewny jestem, że zwyciężymy, a w takim razie Persowie wcale nie dojdą do Istmu i nie posuną się poza attycki kraj, i cofną się beżładnie, a my dopomożemy w tein i ocalimy Salaminę, Megarę i Eginę. A przecież i wyroczenia nam przepowiedziała, że zwyciężymy wrogów pod Salaminą. Ile razy ludzie zamierzają coś i uchwalają roztroponie, zawsze im sprzyja powodzenie; jeżeli zaś słuchają nierozsądnych rad, to bóstwo im nie sprzyja i nie popiera ich».

Po przemówieniu Temistoklesa Koryntyjczyk Adejmant znowu ostro wystąpił przeciwko niemu i zażądał odeń, żeby milczał, skoro stracił ojczyznę; również i od Eurybjadesa żądał, by nie dopuszczał do słowa człowieka, który nie ma swego

miasta; o ileby Temistokles udowodnił, że jest obywatelem jakiegoś państwa, może być mowa o tem, żeby wygłaszał swoją opinię. Adejmant mówił to w tym sensie, że Ateny zostały zajęte przecież przez Persów i były w ich władzy. Teraz dopiero Temistokles dał ostrą odprawę Adejmantowi i Koryntyjczykom i udowodnił, że Ateńczycy owszem posiadają jeszcze własne państwo i to większe niż Koryntyjczycy, albowiem mają dwieście wojennych okrętów, a żaden naród grecki nie wytrzymałby ich natarcia, gdyby chcieli z Grekami wojować. Powiedziawszy te słowa, zwrócił się do Eurybjadesa, ale w sposób stanowczy i zdecydowany: «Jeżeli pozostaniesz tutaj — mówił — i okażesz się człowiekiem energicznym, dobrze zrobisz; jeżeli nie — Grecję zgubisz, albowiem cały wynik wojny zawisł od naszej floty. Zatem posłuchaj, co ci powiem: jeżeli uczynisz inaczej, niż radzę ci, to my, Ateńczycy, tak jak jesteśmy, zabierzemy rodziny nasze na okręty i pożeglujemy do Italji, do miasta Syrys, które zdawiadawna należy do nas, bo zresztą i wyrocznie same orzekły, że Syrys musi być przez Ateńczyków zaludnione. Wy zaś wszyscy zrozumiecie wartość mojej rady dopiero wtedy, gdy odmówimy wam pomocy!» Te słowa dopiero przekonały Eurybjadesa. Myślę mianowicie, że Eurybjades dlatego przyjął radę Temistoklesa, bo przestraszył się, by Ateńczycy nie opuścili Greków, gdyby całą flotę chciał cofnąć do Istmu. Po oddaleniu się Ateńczyków cała morska siła Greków nie sprostałaby przewadze Persów. Zatem Eurybjades zdecydował, że Grecy pozostaną na miejscu i stoczą z Persami bitwę morską.

Taki oto owi mężowie na Salaminie stoczyli między sobą bój na słowa; skoro jednak Eurybjades stanowczo orzekł swoją decyzję, tamże na Salaminie zaczęli przysposabiać się i do morskiej bitwy. Następnego dnia wraz ze wschodem słońca dało się wyczuć na lądzie i na morzu trzęsienie ziemi. Zdało się tedy Grekom rzeczą godziwą wznieść modły do bogów i przywołać pomocy zmarłych przodków, mianowicie herosów Eakidów. Jak postanowili, tak uczynili i pomodlili się do wszystkich bogów, a szczególnie błagali o pomoc herosów Ajaksa i Telamona, jako że pochodzili oni z Salaminy; wysłali również łódź do Eginy, żeby ubłagać herosa Eaka i jego potomków.

*Tłum. M. St. Popławski według Bronikowskiego.*

## TUCYDYDES

(455—400 przed Chr.)

### HISTORIA WOJNY PELOPONESKIEJ

(Księga pierwsza; początek)

Tucydyes Ateńczyk daje opis wojny, którą prowadzili mieszkańcy Peloponezu z Ateńczykami; spisywać zaczął na samym początku tej wojny, albowiem odrazu było widać, że będzie ona wielka i bardziej wiekopomna, aniżeli wszystkie poprzednie wojny. Obydwie strony przystąpiły do walki po długim przygotowaniu, wciągnęły inne greckie państwa, po jednej lub po drugiej stronie, wnet po wybuchu wojny, lub po jakimś czasie. Było to największe poruszenie, przez jakie przeszli Grecy, a poniekąd i obce narody również; rzec można, że rozciągnęło się ono na większość ludzkich plemion. Albowiem wypadki, poprzedzające tę wojnę w czasach odległych, nie mogą być zupełnie dobrze zbadane, bo na przeszkodzie stoi dawność czasu. Niemniej z różnych oznak, które, spoglądając wstecz, odnajduje badacz nawet w najdalszych okresach, z oznak tych wnioskuje, że dawne wydarzenia, ani wojenne, ani inne, nie miały tak wielkiego znaczenia, jak ta obecna wojna. Okazuje się bowiem, że terazniejsza Grecja niezawsze była stale zamieszкана. W starodawnych czasach odbywały się w Grecji wędrówki z miejsca na miejsce, a poszczególne gromady, wypędzone przez inne liczniejsze, z łatwością opuszczały rodzinne miejsca. Handel w tych czasach nie istniał; nie istniały żadne pokojowe stosunki, ani morskie, ani lądowe; każdy miał tyle tylko własności, ile potrzebował z dnia na dzień. Ludzie nie mieli podówczas nadmiernego dobytku, nie znali uprawy roli, bo nikt nie był pewien, czy

jakiś napastnik nie obrabuje go, bo i obronnych twierdz nie znali, a zarazem wszyscy byli przekonani, że niezbędną strawę można znaleźć w każdym innym miejscu. Zatem z łatwością porzucali swoje siedziby, nie gromadzili bogactw po miastach i obronnych grodach, ani dobytku i sprzętu. Najżyźniejsze kraje najbardziej przechodziły z rąk do rąk; były to Tessalja i Beocja, tudzież długi szereg okolic na Peloponezie, z wyjątkiem Arkadij, wreszcie inne żyzne miejscowości w Grecji. Albowiem urodzajność gleby, a wraz z nią wzrastająca zamożność mieszkańców, pobudzała ich do wewnętrznej walki, i ludność sama siebie wyniszczała, a przez to stawała zgoła słaby opór obcym napastnikom. Natomiast attycki kraj glebę ma nieurodzajną, od najdawniejszych czasów wolny był od wewnętrznych buntów, a zamieszkiwał Attykę zawsze ten sam szczerp. Jeszcze i to nienajslabszym dowodem dla mego twierdzenia, że inne greckie terytorja, wskutek przesiedlania się mieszkańców ich do innych okolic, wzrastały i zaludniały się wolniej od Attyki. Zewnętrzne wojny i wewnętrzne właśnie wypędzały z różnych okolic Grecji jednostki najwybitniejsze, a te znów szły do Ateńczyków, którzy w kraju swoim siedzieli bezpiecznie. Przybysze uzyskiwali obywatelskie prawa i od najdawniejszych czasów zasilali państwo ateńskie i powiększali ludność Attyki. Z biegiem czasu, nie mając już wolnych terenów, mieszkańcy Attyki zaczęli wysyłać osady na wschód, do Jonji.

Pewne szczegóły i ślady świadczą również i o słabości pierwotnych mieszkańców Grecji. Aż do trojańskiej wyprawy Grecy nie zdobyli się na żadne wspólne poczynania; sądę nawet, że Grecja nie znała podówczas jeszcze wspólnego swego miana Hellenów; wyraz ten nawet nie istniał w czasach przed Hellenem, synem Deukaljona; kraj znaczyły swoją nazwą poszczególne tylko plemiona, przeważnie pelazgijskie. Dopiero potem Hellen i synowie jego we Ftyotji umocnili się, a inne gminy zaczęły wzywać ich do siebie z prośbą o pomoc, a wtedy i inne plemiona zaczęły częściej przezywać siebie Hellenami, a to mianowicie przez ciągłe wzajemne obcowanie ze sobą. Niemniej przez długi czas ta nazwa nie mogła na stałe utrwalić się pomiędzy wszystkimi Grekami. Najlepiej świadczy o tem Homer. Żył on przecież dużo później, niż się skończyła trojańska wojna, a jednak nigdzie wszystkich Greków nie obejmuje mianem Hellenów; natomiast ftyotyjską drużynę Achillesa nazywa owszem Hellenami; oni to byli pierwszym narodem tej nazwy, inne natomiast narody nazywa Homer w swych pieśniach Danajami, Argiwami, Achajami. Również i miana barbarzyńców Homer nie zna; dlatego, przypuszczam, że mieszkańcy Grecji nie wyodrębnili się podówczas od innych narodów pod jedną wspólną nazwą. Tak oto Grecy, zaludniając poszczególne okolice, rozumieli wszyscy wzajem swoją mowę, a potem przybrali miano Hellenów, ale przed trojańską wojną, wskutek słabości swojej i rozproszenia, niczego spolem nie działali. Na wyprawę zaś pod Troję, już oswojeni cokolwiek z morzem, wyruszyli wspólnie i gromadnie.

Wiemy z zachowanych podań, że najszampierw Minos rozporządzał flotą i szeroko panował na morzu, które obecnie zwiemy Helleńskim lub Egejskim. Opanował on również wyspy Cyklady, wypędził z nich Karyjczyków, a większą część archipelagu zaludnił własnymi osadnikami; rządy w poszczególnych osadach oddał swoim synom. Jest bardzo prawdopodobne, że Minos wytepił korsarstwo na morzu, jak tylko mógł szeroko, a to w tym celu, żeby daniny wpływały mu pewniej. W starożytnych bowiem czasach Grecy, takż i obce narody, osiadłe nad morzem, tak na stałym lądzie, jak i na wyspach, skoro tylko nawiązali ze sobą stosunki żeglarskie, zaczęli uprawiać korsarstwo. Na czele okrętów korsarskich stawiali ludzie wybitni i możni i zdobywali dla siebie tą drogą bogactwa, a dla podwładnych środki do życia; napadali na miasta, jeszcze nieobronne wtedy i podobne do wiejskich osad, rabowali je i żyli z tego procederu. Korsarstwo w tych czasach nie uchodziło za rzecz ujemną, lecz owszem przysparzało sławy. Dowodem tego są i teraz jeszcze istniejące niektóre zwyczaje u plemion, mieszkających nad morzem: uważają one korsarstwo za objaw junactwa poniekąd. Również i w dawnych poezjach czytamy o tem, że mieszkańcy stałego lądu, każdego, kto przybył do nich morską drogą, wypytuja, czy nie jest korsarzem; zarazem widzimy w tych utworach, że ani pytający nie uważa tych słów za obelgę, ani zapytany nie obraża się. W tych czasach zresztą i na stałym lądzie

ludzie ustawicznie na siebie napadali; jeszcze i teraz w wielu okolicach Grecji zachował się ten starożytny zwyczaj, więc u Lokrów ozolskich, u Etolów, u Akarnańczyków i dalej w głębi stałego lądu. Noszenie na codzień broni przy sobie u tych mieszkańców lądu zachowało się z dawnego zwyczaju powszechnego rozbójnictwa.

Albowiem wszyscy mieszkańcy dawnej Grecji byli zawsze uzbrojeni, bo ich domy mieszkalne były nieobronne i drogi były niebezpieczne, a z tego powstał zwyczaj mieć przy sobie broń na codzień, niczem w krajach pozagreckich. Te więc okolice greckie, które zachowują dawny sposób życia, świadczą o tem, że dawniej wszystkie greckie plemiona żyły tak samo. Ze wszystkich najpierwsi Ateńczycy odłożyli broń i przyjęli mniej krępujący tryb codziennego życia, a zaś bardziej dostatni. Najstarsi i najmoźniejsi Ateńczycy dopiero niedawno przestali folgować wyszukanym wygodom i zarzucili koszulki z cienkiego płótna, także i włosy na głowie przestali spinać kunsztownymi szpilkami ze złota; również i starzy Jończycy, spokrewnieni z Ateńczykami, przez długi czas mieli taki sam strój. Natomiast Lacedemończycy najpierw zaczęli ubierać się skromniej, jak to i teraz robią; zresztą u nich tryb życia ludzi zamożnych niczem nie różni się od życia ludzi prostych. Lacedemończycy również pierwsi wprowadzili zwyczaj, że podczas ćwiczeń i zapasów, w obecności innych ludzi, można rozbiierać się do naga i nacierać się oliwą. W starożytnej dobie nawet podczas olimpijskich igrzysk zapaśnicy mieli na biodrach przepaski; dopiero niedawno ten zwyczaj ustał, a potykają się zupełnie nago. Natomiast niektóre obce narody, przeważnie azjatyckie, owszem również znają fizyczne zapasy, ale zapaśnicy mają na biodrach przepaski. Oprócz powyższych szczegółów mógłbym i inne przytoczyć na dowód zupełnego podobieństwa trybu życia starożytnych Greków do trybu życia terażniejszych barbarzyńców.

Wszystkie miasta, założone w ostatniej dobie, to znaczy w czasach, kiedy żegluga dobrze już była uprawiana, miasta te, zasobne i bogate, pobudowano tuż nad samym morzem i obwarowano, także i przesmyki pozajmowano, a to w tym celu, żeby rozwijać handel i żeby uniezależnić miasta te od sąsiadów i umocnić je. Inaczej starożytne miasta, wskutek rozwielenionego korsarstwa były one i na stałym lądzie i na wyspach pobudowane przeważnie daleko od morskiego wybrzeża, — zresztą, mieszkańcy tych miast, zarówno jak i mieszkańcy wybrzeża, ustawicznie wojowali ze sobą; jeszcze i teraz te dawne miasta znajdują się daleko od wybrzeża. Wypiarze przedewszystkiem uprawiali korsarstwo, Karyjczycy mianowicie i Fenicjanie, którzy zaludnili większość wysp. Na dowód tego przytoczę, co następuje: Teraz, podczas bieżącej wojny, Ateńczycy ze względów religijnych oczyszczali wyspę Delos ze wszelkich skaz i usunęli z niej wszystkie grobowce, jakie tylko tam były, a większość pochowanych w tych grobowcach należała do karyjskiego plemienia; można to było poznać po broni, znajdowanej w grobowcach i po rytuale pogrzebowym, który i teraz jeszcze zachowali Karyjczycy. Z nastaniem morskiej potęgi Minosa utrwaliły się także i stosunki żeglarskie, bo Minos powypędzał z wysp rozbójnicze plemiona, a w większej części ich osiedlił własnych osadników. Prócz tego nadmorscy mieszkańcy bardziej dbali o dostatek i o bezpieczeństwo, a bogatsze osiedla obwarowano. Pragnienie władzy i zysku spowodowało zależność biedniejszych warstw i przewagę możnych; ci, rozporządzając wielkim dostatkim, podbili także i mniej znaczne miasta. Taki stan rzeczy trwał w Grecji dość długo, aż wkońcu wyruszyli na trojańską wojnę. Nawet i po trojańskiej wyprawie odbywały się w Grecji wędrowniki plemion; kraj nie miał spokoju i nie mógł wzrastać w dobrobyt. Albowiem powrót Greków z pod Troi odbywał się przecież po dłuższym czasie, a to spowodowało wiele zmian i wewnętrznych tarć w miastach i w gminach, a duża ilość wygnañców z tych miast pozakładała nowe osady. Tak naprzykład Beotowie w sześćdziesiąt lat po zburzeniu Troi, wypędzeni przez Tessalczyków z Arny, osiedlili się w terażniejszej Beocji; dawniej kraj ten zwano Kadmeją; zresztą i przedtem była tutaj już beocka osada, a zbrojna drużyna Beotów stąd właśnie pod Troję pociągnęła. W osiemdziesiąt lat po zdobyciu Troi szczep dorycki, prowadzony przez ród Heraklidów, zajął Peloponez. Tak oto po długim dopiero czasie i z trudem ziemia helenska uspokoiła się, ustały wędrowniki plemion i Grecy sami zaczęli wysyłać kolonje

i osady. Ateńczycy zaludnili osadami kraj joński w Azji Mniejszej, również i większą część wysp; plemiona Peloponezu, więc Dorowie, pozajmowały kraje na południu Italji oraz Sycylię, tudzież pozostałe jeszcze niezajęte okolice w samej Grecji. To zakładanie osad i kolonij odbywało się już po trojańskiej wojnie.

Gdy Grecja zaczęła już coraz to bardziej rosnać w potęgę i w bogactwa, wtedy w większej części państw, naskutek rosnącego dobrobytu, zaczęły powstawać rządy tyranów, czyli bezprawnych samowładców. Dawniej w tych państwach władza była dziedziczna i należała do królów, mających pewne ścisłe prerogatywy. Zarazem Grecy zaczęli budować coraz to większe floty i chcieli opanować morskie szlaki. Podobno najpierw mieszkańcy Koryntu udoskonaliли się w żeglarskiej sztuce, takiej mniej więcej, jaką teraz znamy. Pierwsze greckie trójrzędowce miały być zbudowane właśnie w Koryncie; również i dla mieszkańców wyspy Samos budowniczy koryncki Aminokles zbudował cztery okręty. Od czasu, jak Aminokles przybył na Samos, do końca tej wojny, którą opisuję, upłynęło co najmniej trzysta lat. Najdawniejsza znana nam morska bitwa, była to bitwa Koryntyjczyków z mieszkańcami wyspy Korcyry; od tej bitwy do obecnej chwili upłynęło mniej więcej dwieście sześćdziesiąt lat. Albowiem miasto Korynt jest położone na Istmijskim przesmyku, a od najdawniejszych czasów był to ważny punkt handlowy. Bo Grecy, zamieszkujący Peloponeski półwysep, komunikowali się z resztą greckich krajów pierwotnie raczej lądową drogą, aniżeli morską, zatem przez Istmijski przesmyk i przez Korynt. Więc to miasto bardzo wzbogaciło się, a nawet i poeci zachowali wspomnienie tego, bo Koryntowi dali przydomek bogatego miasta.

Z biegiem czasu Grecy zaczęli więcej żeglować po morzu, a wtedy Koryntyjczycy zbudowali sobie flotę, wytypili korsarstwo i swój punkt handlowy uprzyświepnili i od strony morza, i od strony lądu; zarazem umocnili swoje miasto i jeszcze bardziej bogacili się. Natomiast Jończycy w Azji Mniejszej dopiero później posiadli flotę, za panowania Cyrusa, pierwszego króla Persów, również i za syna jego, Kambizesa. Prowadząc wojnę z Cyrusem, Jończycy przez jakiś czas zwyciężali go na Egejskim morzu. Polikrates, tyran na wyspie Samos, w epoce Kambizesa również rozporządzał silną flotą i podbił długi szereg wysp, w tej liczbie wyspę Reneję, którą ofiarował w darze Apollinowi Delijskiemu. Potem Focyjczycy, założyciele Massalji (*obecnie Marsylja we Francji — przyp. tłum.*), pokonali w bitwie morskiej Kartagińczyków. Te oto były najznacześniejsze potęgi morskie. Wyżej wspomniane floty pobudowane były długo po trojańskiej wojnie; niemniej składały się one, jak sądzę, w małym tylko stopniu z trójrzędowców, przeważnie zaś z wydłużonych łodzi i z pięćdziesięciowiosłowych okrętów, podobnie jak floty w epoce wojny trojańskiej. Krótko przed wojną z Persami, krótko przed śmiercią króla Darjusza, który panował w Persji po Kambizesie, wielką ilość trójrzędowców znajdujemy u tyranów rządzących w Sycylii, także i u mieszkańców wyspy Korcyry. Te oto były najsilniejsze i godne pamięci greckie floty tuż przed wyprawą na Grecję perskiego króla Kserksesa.

Natomiast mieszkańcy wyspy Eginy, również i Ateńczycy, również i niektóre inne miasta greckie, posiadali zupełnie małe floty i to przeważnie nie trójrzędowce, lecz okręty pięćdziesięciowiosłowe. Dopiero potem, i to za radą Temistoklesa, pobudowali sobie Ateńczycy trójrzędowce, bo właśnie uwikłali się w wojnę z mieszkańcami wyspy Eginy; Temistokles jednak miał na widoku również i zagrażającą inwazję Persów; na tych to trójrzędnych okrętach spotkali się Ateńczycy na morzu z Persami — ale i te okręty nie całkiem były jeszcze pokryte pokładem. Te więc były morskie zbrojenia Greków w czasach najdawniejszych i potem w nowszych. Rozwinęli jednak Grecy morską potęgę przedewszystkiem przez napływ pieniężnych środków i przez rozszerzenie panowania nad innymi miastami. Czynili morskie ekspedycje, podbijali poszczególne wyspy, a robili to ci przedewszystkiem, którzy u siebie w kraju za mało mieli uprawnej ziemi. Natomiast podbojów lądowych, takich, co prowadziłyby do stworzenia większej potęgi, tego Grecy nie robili. Jakiegokolwiek zdarzyły się lądowe wojny, zawsze toczyły się tylko o najbliższe granice, a dalekich wypraw i podbojów nie czynili Grecy. Albowiem słabsze państwa nie dołączały się do potężniejszych jako podwładne kraje; zarazem państwa mocniejsze i mniej znaczne nie podej-

mowały wspólnych wypraw, jak równi z równymi; każde państwo wołało potykać się tylko z bezpośrednim sąsiadem. Zresztą dawno bardzo, podczas wojny Chalcydy z Eretrją, plemiona greckie podzieliły się: jedne wspierały Chalcydę, inne pomagały Eretryjczykom. Różne szczepy zawsze miały przed sobą jakąś przeszkodę, która uniemożliwiała im stworzenie większej potęgi. Tak na przykład Jończycy bardzo się wzbogacili i urosli w potęgę, ale spadła na nich władza Cyrusa, króla Persów. Zwyciężył on lidyjskiego króla Krezusa, zagarnął całe jego państwo w Azji Mniejszej, od rzeki Halis do morskiego wybrzeża; Cyrus opanował wszystkie greckie miasta na azjatyckim lądzie, a potem król Darjusz, posługując się flotą Fenicjan, podbił również wyspy greckie. Natomiast tyrani, jacy tylko podówczas panowali w greckich państwach, oni tylko swoje osobiste korzyści mieli na oku, o bezpieczeństwo tylko własne swoje dbali, o potęgę dynastji swoich; rządili państwem, a w miarę możliwości wyłączeni osobistego swego dobra pilnowali i nie dokonali żadnych wiekopomych czynów, chyba, że drobne wojny z sąsiadami prowadzili; natomiast w Sycylii tyrani do największej potęgi doszli. Tak więc przez długi okres czasu Grecja ze wszystkich stron była ścieśniona i żadnej wielkiej rzeczy wspólnym wysiłkiem nie wykonała, a siły poszczególnych państw, oddzielnie brane, nie wystarczały do wykonania czegoś wielkiego.

Spartanie obalili rządy tyranów w Atenach i w innych greckich państwach, które znacznie dawniej podpadły pod jedynowładcze panowanie; pozostały tylko rządy tyranów sycylijskich. Sparta od czasu, kiedy dorycki szczep osiadł na jej terytorjum — a siedzi tam i teraz jeszcze — Sparta przez długi czas nękana była szeregiem wewnętrznych walk; jednakowoż od najdawniejszych czasów panowały w niej dobre ustawy i wcale nie zaznała władzy tyranów. Od końca obecnej wojny lat przeszło czterysta wstecz Spartanie zawsze mieli ten sam państwowy ustrój; dzięki temu stworzyli u siebie nielada potęgę i pilnowali porządku również i w innych greckich państwach. Wkrótce po usunięciu tyranów odbyła się bitwa pod Maratonem, Ateńczyków z Persami, a w dziesięć lat potem Persowie znowu z ogromną armją wtargnęli do Hellady, aby ujarzmić kraj, i wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad całą Grecją. Spartanie, jako że najsilniejsi militarnie, objęli przewodnictwo nad wojskiem wszystkich Greków, sprzymierzonych ku obronie. Ateńczycy wobec inwazji perskiej postanowili opuścić swoje miasto, a cały dobytek zabrali z sobą na okręty i w ten sposób stali się kompletnymi żeglarzami. Wspólnym wysiłkiem Grecy odpędzili Persów, a wtedy wszyscy, bo i ci, co odłączyli się od perskiego króla, i ci, co wspólnie walczyli przeciwko Persom, wszyscy rozdzielili się na dwie części i przystali albo do Ateńczyków, albo do Spartan. Albowiem te dwa narody były najsilniejsze: Spartanie gorowali na lądzie, Ateńczycy na morzu. Jednakowoż przymierze tych dwóch narodów niedługo trwało i wkrótce już, poróżnieni między sobą, Spartanie i Ateńczycy, a wraz z nimi sprzymierzeńcy ich, zaczęli wojować przeciwko sobie; z innych plemion greckich, które tylko poróżniły się, natychmiast przystępowały do tej albo do przeciwnej walczącej strony. To też od inwazji Persów aż do bieżącej wojny Ateńczycy i Spartanie albo pokój zawierali, albo wojowali, a wojowali albo z sobą wzajem, albo ze sprzymierzonymi państwami, które chciały odłączyć się od nich. Tą drogą ćwiczyli się w wojennem rzemiośle, hartowali się w ustawicznych potyczkach i nabierali bojowej wprawy. Spartanie dzierżyli przewodnictwo w swoim związku bez nakładania haraczu na sprzymierzonych; pilnowali tylko tego, żeby w tych państwach były oligarchiczne rządy, podobnie jak w samej Sparcie. Ateńczycy odwrotnie: z biegiem czasu odebrali sprzymierzeńcom swoim floty — wyjątek stanowiły wyspy Chios i Lesbos — i na wszystkich nałożyli haracz. Oto dlatego ku początkowi wojny, którą opisuję, Ateńczycy byli bezporównania lepiej uzbrojeni, aniżeli wtedy, kiedy ich morski związek kwitł i pełny był świeżych sił.

Taki oto był przebieg dawniejszych dziejów według moich badań; trudno jest jednak całkowicie polegać na samych opowiadaniach. W dawnych dziejach najważniejszym wydarzeniem była wojna z Persami; ta jednak wojna została rozstrzygnięta w dwóch morskich bitwach i w dwóch lądowych. Ta jednak wojna Aten i Sparty przeciąga się na długi okres czasu, a kraje greckie poniosły tyle klęsk, ile przedtem

nigdy nie spadło na Helladę w równym okresie czasu. Nigdy nie było tak dużo miast zdobytych, zrujnowanych, raz przez barbarzyńców, kiedy indziej przez samych Greków wojujących; niektóre miasta, po zdobyciu nawet mieszkańców stałych, całkiem się zmieniły! Nigdy nie było tyle ludzi na wygnaniu, tyle mordów, jeden raz na polu bitwy, potem znów w wewnętrznych walkach. Dochodzi i to, o czym często opowiada się, że było w przeszłości, a w rzeczywistości rzadko daje się zaobserwować, w tym okresie natomiast nieraz się zdarzyło: oto mianowicie trzęsienie ziemi, które ogarnęło ogromną część kraju i srożyło się nadmiernie; oto zaćmienia słońca, które teraz częściej się zdarzają, aniżeli w dawnych czasach, jak podania świadczą o tem; posuchy straszliwe, a wślad za niemi głód i morowe powietrze, owa klęska okropna, dziesiątkująca ludność. Wszystkie te nieszczęścia na okres trwania wojny... Początkiem wojny było to, że Ateńczycy i Spartanie złamali trzydziestoletni pokój, który zawarli między sobą po podbiciu Eubei. Nasampierw opowiem o waśni i o przyczynach, które spowodowały złamanie pokoju, a to w tym celu, żeby wyjaśnić przyszłym badaczom wybuch tej wojny ogólnogreckiej. Najistotniejszą przyczyną, tak sądzę, jest potęga Aten i obawa Sparty, która, zaniepokojona, zaczęła wojnę; jest to jednak przyczyna starannie ukrywana i pozorowana; w słowach i jawnie obydwie strony podawały inne powody, które sprawiły złamanie pokoju i wszczęcie wojennych działań, a były one takie...

*Tłum. Mieczysław St. Popławski.*

## KSENOFONT

(430—355 przed Chr.)

### CYROPEIDJA

(ŻYCIORYS KRÓLA PERSKIEGO CYRUSA)

#### Cyrus u swojego dziadka Astjagesa (I 3)

Cyrus aż do dwunastu lat, albo nieco dłużej, wychowywał się w ten sposób, i wyróżniał się między wszystkimi rówieśnikami i prędkim wyuczaniem się obowiązkowych przedmiotów, i pięknem a męskim wykonaniem każdej rzeczy. Właśnie wtedy Astjages wezwał do siebie swoją córkę wraz z jej synem; chciał bowiem zobaczyć go, ponieważ słyszał, że jest piękny i dobry. Udała się więc Mandana sama do ojca i wzięła z sobą syna swego Cyrusa. Skoro tylko przybyła, i Cyrus zrozumiał, że Astjages to ojciec jego matki, jako chłopak z natury uprzejmy, tkliwy i kochający, uściskał go, tak samo, jakby go witał dawny towarzysz lat dziecinnych i stary przyjaciel, i z podziwem patrzył na jego przystrojenie się: na podmalowane oczy, przyprawione włosy i szminkę wtartą w skórę, co właśnie było zwyczajem u Medów; wszystko to bowiem jest medyjskie — a także spodnie suknie z purpury i kaftany, łańcuchy na szyi i naramienniki naokoło rąk; — u Persów zaś, w ich ojczyźnie, jeszcze i dzisiaj suknie są o wiele lichsze i skromniejszy sposób życia; otóż, widząc zdobyci dziadka, rzekł: «Mamusiu, jak pięknego mam dziadzia». Gdy go zaś matka zapytała, kto wydaje mu się ładniejszym, ojciec czy ten, Cyrus odpowiedział natychmiast: «O matko, między Persami stanowczo najpiękniejszy jest mój ojciec, między Medami jednak, o ile poznałem ich podczas drogi i na dworze, jest bezwątpienia najpiękniejszy ten mój dziadek». Dziadek tedy, uściskawszy go nawzajem, kazał włożyć na niego piękną szatę, obdarzył go i przyozdobił łańcuchami i bransoletami, i ilekroć dokądś wyjeżdżał, kazał mu jechać na koniu ze złotą uzdą, tak samo jak i on miał zwyczaj jeździć. Ponieważ zaś Cyrus był chłopcem lubiącym to, co piękne, i ambitnym, cieszył się szatą i z wyraźną radością uczył się jeździć konno: u Persów bowiem z powodu trudności nie tylko chowania koni, lecz także jeżdżenia w kraju górzystym, jest osobliwością nawet zobaczyć konia.

Pewnego razu jadł Astjages obiad razem z córką i z Cyrusem. Chcąc, by chłopiec jadł jak najchętniej i mniej tęsknił za domem, kazał przed nim zastawić łakocie,

różnego rodzaju polewki i potrawy. Cyrus, jak opowiadają, odezwał się wtedy: «Dziadziu, jakież ty kłopoty masz z obiadem, jeżeli musisz wyciągać ręce do tych wszystkich miseczek i kosztować tych różnorodnych potraw». — «Co? — miał powiedzieć Astjages — czyż nie wydaje ci się ten obiad o wiele piękniejszym, aniżeli u Persów?» — Cyrus miał mu na to odpowiedzieć: «Nie, dziadku, lecz o wiele łatwiejsza i prostsza jest u nas droga do nasycenia się, aniżeli u was: nas bowiem prowadzi do tego chleb i mięso, wy zaś spieszycie wprawdzie do tegoż celu, co i my, lecz, kołując i po wielu manowcach zablakawszy się w górę i nadół, z trudem przybywacie tam, dokąd myśmy dawno przyszli». — «Ależ, dziecko! — rzekł Astjages — bardzo chętnie błąkam się po nich; a i ty przy kosztowaniu poznasz, że są przyjemne». — «Lecz widzę — powiedział Cyrus — że i ty, o dziadku, brzydzisz się temi potrawami». — A Astjages, jak mówią, zapytał znowu: «Z czegoż to wnioskujesz, dziecko, że tak mówisz?» — «Ponieważ widzę — powiedział Cyrus — że ilekroć dotkniesz się chleba, nie obcierasz sobie niczem rąk, jeżeli zaś dotkniesz czego z tych potraw, natychmiast obcierasz sobie ręce ręcznikiem, jak ten, co jest zły, że mu od tego zbrukały się ręce». Na to Astjages: «Jeżeli zatem tak myślisz, dziecko, to używaj dosyta przynajmniej mięsa, abys wrócił do domu silnym młodzianem». Równocześnie z temi słowy kazał postawić przed nim wiele mięsa z dziczyzny i ze swoich zwierząt. A Cyrus, gdy zobaczył tak wiele mięsiwa, miał powiedzieć: «Czy istotnie, dziadku, dajesz mi wszystko to mięso, abym z niem zrobił, co chcę?» — «Tak, dziecko, na Zeusa! — miał powiedzieć — daję tobie». Wtedy, jak mówią, Cyrus nabrał mięsiwa i rozdzielił między służących dziadka, mówiąc przytem do każdego: «Tobie to daję, ponieważ chętnie uczysz mię jeździć konno; tobie zaś, ponieważ dałeś mi oszczep i teraz mam go narzecie; tobie zaś, ponieważ dobrze obsługujesz dziadka; a tobie, ponieważ szanujesz moją matkę». To czynił, dopóki nie rozdał wszystkiego mięsiwa, jakie wziął.

«A Sakasowi — miał powiedzieć Astjages — podczaszemu, którego najwięcej szanuję, nic nie dajesz?» Sakas mianowicie był pięknym mężem i miał zaszczytny urząd przedstawiania tych, którzy pragnęli z Astjagesem mówić, nie dopuszczając zaś takich, których przedstawić nie wydawało mu się stosownem. Cyrus śmiało, jako chłopak nielekliwy, zapytał: «Dlaczegoż to, dziadku, tak go cenisz?» Na to Astjages odpowiedział żartem: «Czyż nie widzisz, jak pięknie i przyzwoicie sprawuje on urząd podczaszowego?» Podczaszowie tych królów sprawują swój urząd zgrabnie, nalewają czysto, podają czarę, trzymając ją trzema palcami, i przystępują z puhaem do chcącego pić z tej strony, z którejby mu było najłatwiej wziąć. «Rozkaż przecie, dziadku — miał on powiedzieć — niech Astak i mnie da puhar, ażebym, o ile potrafię, zjednął sobie twą łaskę i przez zgrabne nalanie i podanie». Astjages kazał dać mu. Cyrus więc wziął i istotnie wyplókał czarę z taką starannością, jak to widział u Sakasa, a przybrawszy poważną minę, w pięknej postawie, ku wielkiemu rozweseleniu matki i Astjagesa, przyniósł puhar i podał go dziadkowi. A także sam Cyrus, roześmiewszy się, przyskoczył do dziadka i, całując go, powiedział: «Sakasie, przepadłeś, wyruguję cię z zaszczytnego urzędu; wogóle bowiem nie tylko piękniej od ciebie będę nalewał, lecz także nie będę wypijał wina». Podczaszowie królewscy mianowicie, dając czarę, czerpią z niej kubkiem i, wylawszy na lewą rękę, wypijają, dlatego, aby im się to na nic nie przydało, jeżeli włali trucizny. — Następnie rzekł Astjages żartobliwie: «Dlaczegoż to, Cyrusie, pod innym względem naśladowując Sakasa, nie chleptałeś wina?» — «Ponieważ — odpowiedział — na Zeusa, bałem się, żeby w dzbanie nie była domieszana trucizna. Albowiem, gdy na swoje urodziny gościłeś przyjaciół, spostrzegłem wyraźnie, że on wam nalewał trucizny». — «A po czem — spytał — poznałeś to dziecko?» — «Bo, na Zeusa, widziałem, że byliście osłabieni na duchu i na ciele. Najpierw bowiem sami czyniliście to, co nam, chłopcom, zakazujecie czynić. Albowiem krzykliście wszyscy naraz i nie rozumieście zupełnie jeden drugiego, śpiewaliście także bardzo śmiesznie, a nie słuchając nawet śpiewającego, przysięgaliście, że śpiewa bardzo dobrze; naprzód każdy z was chępił się swoją siłą, potem jednak, ilekroć wstawaliście, aby tańczyć, nie tylko nie mogliście tańczyć do taktu, lecz nawet utrzymać się na nogach. Zapomnieliście zupełnie, ty, że jesteś królem, inni, żeś władcą.



Wtedy to istotnie po raz pierwszy poznałem, że to, coście wtenczas wykonywali — to była wolność słowa; przynajmniej ani chwili nie milczeliście.

Na to Astjages zapytał: «A twój ojciec, moje dziecko, nie upija się, kiedy pije?» — «Nie, na Zeusa» — odrzekł. «Ale jaki odczuwa skutek?» — «Przestaje mieć pragnienie, zresztą nie doznaje niczego złego; nie ma bowiem, myślę, dziadku, takiego Sakasa za podczaszego». Wtedy rzekła matka: «Ale dlaczegoż to, moje dziecko, prowadzisz taką wojnę z Sakasem?» Cyrus zaś miał odpowiedzieć: «Ponieważ, na Zeusa, nienawidzę go; często bowiem, gdy pragnę przybiec do dziadku, nie dopuszcza mnie ten niegodziwiec. Lecz błagam cię, dziadku, daj mi trzy dni władzy nad nim». Astjages zaś pytał: «Jakżebyś wykonywał władzę nad nim?» Cyrus odpowiedział: «Stanawszy podobnie jak on przy wejściu, rzekłbym, kiedy chciałby przyjść na śniadanie, że jeszcze nie można iść na śniadanie, gdyż król ma jeszcze z kilkoma ważne sprawy do załatwienia; następnie, kiedyby poszedł na obiad, powiedziałbym, że jest u kobiet; ażbym go tak przez wstrzymywanie nadręczyl, jak on mnie dręczy, nie dopuszczając do ciebie». Tak on ich zabawiał przy obiedzie; za dnia zaś, gdy spostrzegł, że czyto dziadek, czy brat matki czegoś potrzebuje, nie dał się żadnym sposobem nikomu innemu wyprzedzić w wykonaniu tego, gdyż z wielką radością spełniał każdą usługę, jaką tylko mógł.

### Cyrus i Krezus (VII 2)

Cyrus wraz ze swem otoczeniem, po spożyciu wieczornego posiłku i rozstaniu potrzebnych wart, ułożyli się do snu, a Krezus natychmiast razem z wojskiem rozpoczął ucieczkę w kierunku na Sardes, inne zaś ludy tej nocy w powrotnej drodze do swej ojczyzny posunęły się, jak tylko mogły najdalej. Kiedy dzień nastał, wyruszył Cyrus niezwłocznie do Sardes. Przybywszy pod mury miasta, ustawił maszyny, jakgdyby miał zamiar uderzyć na mur, i przygotował drabiny. Podczas tej czynności kazał Chaldejczykom i Persom następnej nocy wdrzeć się do tej części zamku w Sardes, która wydawała mu się najbardziej słomą. Pokazał zaś im drogę pewien Pers, który był dawniej niewolnikiem u jednego z załogi zamkowej i dokładnie poznał był drogę z góry do rzeki i znowu do góry. Gdy się stało jawne, że zamek został wzięty, wszyscy Lidyjczycy uciekli z murów, dokąd kto w mieście mógł. Cyrus zaś wkroczył o świcie do miasta i wydał rozkaz, by nikt nie ruszał się ze swego stanowiska. Krezus, zamknawszy się w swym królewskim pałacu, głośno wzywał Cyrusa; Cyrus zostawił go pod osłoną straży, a sam udał się na zajęty zamek. Gdy spostrzegł, że Persowie strzegli zamku, jak należało, stanowiska zaś Chaldejczyków były opuszczone, gdyż zbiegli nadół, aby rabować po domach, zwołał natychmiast ich dowódców i kazał im jak najprędzej zabrać się z wojska: «Nie mógłbym bowiem — rzekł — ścierpieć tego, żeby w moich oczach nieposłuszni odnosili większe korzyści. I wiedźcie dobrze — mówił dalej — że zamierzałem was, co wyruszyliście ze mną w pole, uczynić najszczęśliwymi ze wszystkich Chaldejczyków; teraz zaś nie dziwcie się, jeżeli podczas waszego odejścia trafi się kto silniejszy od was». Chaldejczycy, usłyszawszy to, nastraszyli się i błagali, aby przestał się gniewać, i powiedzieli, że oddadzą całe zrabowane mienie. On zaś odrzekł, że tego nie potrzebuje. «Lecz jeżeli chcecie — rzekł — abym przestał się gniewać, oddajcie wszystko, coście wzięli tym, którzy pilnowali zamku. Kiedy bowiem inni żołnierze spostrzegą, że posłuszni mają korzyść, wszystko u mnie będzie dobrze». Chaldejczycy więc uczynili tak, jak rozkazał Cyrus; i tak otrzymali posłuszni wiele różnorodnych skarbów. Cyrus zaś, rozłożywszy swoich obozem w tej części miasta, która wydawała mu się najdogodniejszą, kazał im zostać na swych stanowiskach i jeść śniadanie.

Uskuteczniwszy to, polecił przyprowadzić do siebie Krezusa. Gdy Krezus zobaczył Cyrusa, rzekł: «Bądź pozdrowion, panie, los bowiem od tej chwili każe ci nosić to imię, a mnie tak cię nazywać». — «I ty — rzekł — Krezusie, bądź pozdrowion, albowiem obaj jesteśmy ludźmi. Ale — powiedział dalej — Krezusie, czybyś nie zechciał udzielić mi pewnej rady?» — «Chciałbym — odpowiedział — Cyrusie, coś dobrego dla ciebie wynaleźć; sądzę bowiem, że i dla mnie byłoby to dobre». — «Słuchaj tedy,

Krezusie; ponieważ widzę, że moi żołnierze przebyli wiele trudów i niebezpieczeństw, a teraz są przekonani, iż mają najbogatsze po Babilonie miasto w Azji, przeto uważam za rzecz słuszną, by żołnierze odnieśli jakąś korzyść. Wiem bowiem, że, jeżeli nie otrzymają żadnego plonu swoich trudów, nie będę mógł długo utrzymać ich w posłuszeństwie. Otóż nie chcę im miasta wydać na łup, gdyż sądzę po pierwsze, że miasto zostałoby zniszczone, po drugie zaś, że — wiem to dobrze — z łupieństwa będą mieli korzyść najgorsi». Krezus, usłyszawszy to, rzekł: «Pozwól mi więc oznajmić Lidyjczykom, których sobie wybiorę, że wyjednałem u ciebie zakaz rabowania, i że nie pozwolisz też uprowadzać dzieci i kobiet, a to na moje przyrzeczenie, iż Lidyjczycy dobrowolnie wydadzą wszystko, co tylko jest pięknego i cennego w Sardes. Wiem mianowicie, że, kiedy to usłyszają, poznoszą ci wszystkie kosztowności, jakie tylko tutaj posiada mąż i niewiasta: a mimo to za rok będziesz miał to miasto pełne wszelkich dóbr, tak samo jak dziś. Jeżelibyś zaś wydał je na łup, to zostaną ci poniszczone dzieła sztuki, które, jak ludzie powiadają, są źródłem piękna. A wolno ci też będzie, gdy zobaczysz, co poznoszono, powziąć jeszcze zamiar co do rabunku. Najpierw zaś — dodał — poślij po moje skarby, a twoja straż otrzyma je od mojej straży». Wszystko to zgodził się Cyrus tak uczynić, jak powiedział Krezus.

«To zaś mi dokładnie powiedz, Krezusie — rzekł — jak ci wypadło z wyrocznią w Delfach, boć powiadają, że wiele czciłś Apollina i we wszystkich czynnościach słuchałś jego woli». «Chciałbym, Cyrusie — odpowiedział — oby tak się było stało; udałam się jednak do Apollina, czyniąc zaraz z początku wszystko naopak». — «Jakto?» — rzekł Cyrus — wytłumacz mi to, mówisz bowiem bardzo zagadkowo». — «Najpierw — odpowiedział — nie dbałem o to, by pytać boga tylko w potrzebie, lecz wystawiłem go na próbę, czy potrafi powiedzieć prawdę. W tym zaś wypadku — mówił dalej — nietylko bóg, lecz także zacni i dobrzy ludzie, skoro poznają, że im się niedowierza, nie lubią niedowierzających. Gdy jednak powiedział, że czyniłem rzecz bardzo głupią, tedy, chociaż byłem bardzo daleko od Delf, posłałem tam w sprawie męskich potomków. Z początku Apollo nawet mi nie odpowiedział, gdy jednak, posyłając wiele złotych i srebrnych darów i składając bardzo wiele ofiar, przejednałem go, jak mi się wydawało, wówczas odpowiedział na moje pytanie, co powinienem czynić, aby mieć męskich potomków. Powiedział więc, że będę ich miał. I urodzili mi się wprawdzie, gdyż i pod tym względem nie zawiodł mnie, lecz ci, których otrzymałem, byli do niczego. Jeden bowiem pozostał przez całe życie niemym, drugi zaś, znakomity pod każdym względem, umarł w kwiecie wieku. Strapiony nieszczęściem, z powodu synów, posyłam znowu i zapytuję boga, co mam czynić, aby resztę życia jak najszczęśliwiej przepędzić; on zaś odpowiedział: «Sam siebie znając, Krezusie, w szczęściu dokonasz żywota». Usłyszawszy taką wyrocznię, ucieszyłem się, sądziłem bowiem, że daję mi szczęście z najłatwiejszym poleceniem. Albowiem znać drugich jest częścią możliwą, częścią nie: siebie samego jednak, myślałem, zna każdy wogóle człowiek. Więc przez jakiś czas potem, póki miałem spokój, nie czyniłem losom żadnych wyrzutów z powodu śmierci mego syna; gdy zaś dałem się namówić Asyryjczykowi do walki z wami, popadłem w największe niebezpieczeństwo; uratowałem się jednak, nie poniosłszy żadnego nieszczęścia. Ale i z tego powodu nie obwiniam boga. Albowiem kiedy poznałem, że nie jestem zdolny do walki z wami, odszedłem bezpiecznie z bogiem, ja sam i moi ludzie. Ostatnio znowu, rozpieszczony bogactwem, jakie posiadam, i w dumę wzbity przez tych, którzy mnie prosili, abym został dowódcą, dałem się skusić darom i pochlebstwom ludzi, którzy mi mówili, że, jeżelibym chciał panować, wszyscy będą mi posłuszni i stanę się największym mężem; dmąc się więc wgórę wskutek takich mów, zwłaszcza, że wszyscy królowie naokoło wybrali mnie na wodza tej wojny, przyjąłem dowództwo, jakgdybym był zdolny do tego, by stać się największym. Nie znałem zatem siebie, skoro sądziłem, że potrafię prowadzić wojnę z tobą, co przedewszystkiem jesteś potomkiem bogów, a następnie długiego szeregu królów, a wreszcie od dzieciństwa ćwiczyłeś się w walce; z moich zaś przodków, jak słyszę, pierwszy, który otrzymał władzę królewską, stał się równocześnie królem i wolnym. Skoro więc na to nie zważałem, słusznie ponoszę karę. Ale teraz dopiero — rzekł — Cyrusie, znam siebie. Czy sądzisz

jeszcze — powiedział — że Apollo mówi prawdę, że będę szczęśliwy, znając siebie samego? Pytam ciebie dlatego, ponieważ myślę, że obecnie ty najlepiej możesz się tego domyślić; albowiem możesz to zdziałać».

A Cyrus odpowiedział: «Co do tego, daj mi czas do namysłu, Krezusie; ja bowiem, rozmyślając nad twojem dawniejszem szczęściem, lituję się nad tobą i oddaję ci już teraz twoją małżonkę, którą miałeś, i córki, albowiem słyszę, że masz córki, przyjaciół, slugi i stół, przy jakim żyliście; bitwy zaś i wojny odbieram»... Cyrus podziwił pogodę umysłu Krezusa i zabierał go odtąd z sobą, dokąd tylko sam się wyprawiał, czyto, że zdawał mu się potrzebnym, czy dlatego, że sądził, że tak jest bezpieczniej.

*Tłum. Artur Rapaport.*

## PLATON

(427—347 przed Chr.)

### OBRONA SOKRATESA

Nie wiem, Ateńczycy, jakie oskarżyciele moi wywarli na was wrażenie, lecz ja sam nawet, pod ich wpływem, o mało, że samemu sobie wierzyć nie przestałem: z tak przekonywającą przemawiali siłą...<sup>1</sup> A jednak w tem, co powiedzieli, prawdy — że tak się wyrażę — ździebełka nawet nie było. Najbardziej przecie z wielu ich kłamstw zdziwiło mnie jedno, mianowicie to, w którym wam dowodzili, że powinniście mieć się na baczości, abym jako człowiek, dzielnie władający językiem, nie wywiódł was w pole... Że nie spłonęli oni rumieńcem wstydu na myśl, iż niebawem czynem samym dowiodę im kłamstwa, skoro się pokaże w rzeczywistości, że za biegłego mowcę bynajmniej uchodzić nie mogę, szczyt to już doprawdy ich bezcelności! Chyba, że biegłym mowcą zwie się u nich człowiek, mówiący prawdę: jeśli bowiem w takim słów tych używają znaczeniu, to gotów jestem przyznać, że, acz nie podług ich miary, istotnie mowcą ja jestem...

Oni więc, jak wam mówię, jednego prawdziwego słowa nie wyrzekli przed wami, ale ode mnie najszczerzą usłyszycie prawdę. Nie będzie to, Ateńczycy — Zeusem się świadczę — mowa, jaką ich była; wyluskana, strojna w krasomówcze kwiaty i ozdoby; przeciwnie, usłyszycie opowieść prostą, wygłaszaną słowami, jakie mi na myśl przychodzić będą. Bo ja ufność moją pokładałam w tem, że sprawiedliwe jest to, co mówię; i niechaj niczego innego nikt z was nie spodziewa się ode mnie! I nie wypadłoby przecie, hym ja, w moim wieku, niby młodzieniaszek jaki, z wypracowaną przed wami występował oracją. Jednej wszakże rzeczy żądam od was, Ateńczycy; o jedno usilnie proszę. Skoro usłyszycie mnie, broniącego się tu w taki sam sposób, w jaki przywykłem mówić i na rynku publicznym, przed stołami wekslarzy, gdzie mnie słyszało wielu z pomiędzy was, i w innych miejscach, nie dziwcie się i nie szemrajcie z tego powodu. Tak się bowiem mają rzeczy, że ja, siedemdziesiąt z górą lat dźwigając na barkach, dziś po raz pierwszy występuję przed sądem; naturalnie więc język tutejszy obcy mi jest zupełnie. Przecież, jeślibym w samej rzeczy był tu człowiekiem obcym, przebaczylibyście mi bezwątpienia, gdybym przemawiał do was w takim narzeczu i w mowie swojej takich używał zwrotów, wraz z którymi wyrosłem na człowieka. Przeto i dzisiaj słusznej, zdaje mi się, żądam od was rzeczy: nie zważajcie na mój sposób mówienia; może on gorszym, a może lepszym okaże się; baczcie i uwagę waszą zwracajcie na jedną tylko rzecz: czy mówię

<sup>1</sup> Sokrates przemawia do sędziów] przysięgłych, t. zwanych heljastów, którzy mieli wydać nań wyrok; komisja sędziowska była b. liczna i składała się z pięciuset przysięgłych. Oskarżyli Sokratesa w r. 399, przeszło siedemdziesięcioletniego już wówczas starca, trzej obywatele ateńscy: Meletos, Anitos i Likon; oskarżyli mianowicie o to, że odstąpił od wiary przodków i że psuje młode pokolenie; brzmiało to: «*Sokrates dopuszcza się przestępstwa, nie wierząc w bogów, w których wierzy Rzeczpospolita, lecz wprowadzając nowe inne bożyszcza. popełnia również przestępstwo, psując młodzież*».

słusznie, czy nie; to bowiem właśnie stanowi zasługę sędziego; obowiązkiem zaś mówcy jest mówić prawdę.

Przedewszystkiem więc, Ateńczycy, wypada mi przystąpić do obrony przeciwko dawniejszym kłamliwym oskarżeniom i pierwszym moim oskarżycielom, a potem dopiero zwalczać następne oskarżenia i późniejszych oskarżycieli. Oddawna to już bowiem, od wielu już lat, liczni oskarżyciele kłamliwie czernili mnie przed wami, a oskarżycieli tych właśnie ja lękam się bardziej, aniżeli Anitosa i jego towarzyszków, aczkolwiek i ci są niebezpieczni. Dla mnie jednak, sędziowie, niebezpieczniejsi są owi, którzy, opanowawszy wielu z pomiędzy was, jeszcze od dzieciennych lat waszych, fałszywie oskarżali mnie przed wami i dowodzili wam, że istnieje pewien Sokrates, filozof, zajmujący się badaniem zjawisk niebieskich, szperaniem we wszelkich tajnikach podziemnych, który każdy fałsz w prawdę obrócić potrafi. Oni to, Ateńczycy, ci rozsiewacze podobnych baśni, stanowią zastęp groźnych dla mnie oskarżycieli, albowiem słuchacze ich są przekonani, iż ludzie, poświęcający się tego rodzaju dociekaniom, nawet w bogów nie wierzą. Dalej, oskarżyciele ci liczną stanowią rzeszę i obwiniali mnie przed wami przez długie lata, a do tego przemawiali do was wtedy właśnie, gdyście jako pacholęta, lub niektórzy z was jako młodzieńcy, byli w wieku najpochopniejszym do ślepej wiary, i skargi swoje, naturalnie, wytaczali zaocznie, gdyż nikt nie odpierał ich zarzutów. Najdziwniejsza jednak w tem wszystkim jest ta okoliczność, że nawet o nazwiskach tych ludzi dowiedzieć się, ani też wymienić ich tu niepodobna; komedjopisarz tylko pewien jedyny stanowi wyjątek (*Arystofanes, przyp. tłum.*). Ilu zaś tylko było takich, którzy, powodowani zawiścią a uzbrojeni w oszczerstwo, spotwarzali mnie przed wami, lub też takich, którzy, uwierzywszy komuś, potem i sami już przekonywali innych, wszyscy ci są dla mnie najzupełniej niedostępni. Niemożliwą jest dla mnie rzeczą ani pozwać kogokolwiek bądź z nich tu, na to miejsce; ani zderzyć z niego maskę; lecz, w samej rzeczy, uniewinniając siebie, muszę walczyć niby z jakimiś niepochwytnymi cieniami i dowodzić komuś fałszu, choć nikt mi nie odpowiada. Tu może kto z was gotów mi przerwać pytaniem: «Cóż się więc z tobą dzieje, Sokratesie? Skądże się wzięły owe potwarze przeciwko tobie?»... — ...Zupełnie słuszną, mojem zdaniem, byłaby podobna uwaga. Dlatego też postaram się wyświetlić wam rzeczywistą przyczynę tych o mnie sądów i potwarzy. I może niejednemu z was będzie się zdawało, że ja żarty sobie stroję... Bądźcie jednak przekonani, że wam najszczerzą będę mówił prawdę. Rozgłos ów nieszczęsny, Ateńczycy, spadł na mnie za jakąś moją mądrość; nic innego nie było do niego powodem. I za jakąż to mądrość? Niezaprzeczenie jest ona mądrością czysto ludzką. Istotnie bowiem mądrość taką ja, zdaje się, posiadam; lecz ci, o których wspominałem niedawno (*to zn. sofiści Gorgjasz, Prodyk i inni — przyp. tłum.*), ci prawdopodobnie są mędrkami, posiadającymi mądrość jakąś wyższą od dostępnej dla człowieka, albo też... nie wiem, co mam o niej powiedzieć... sam, zaprawdę, nie znam jej wcale, a ktokolwiek mi ją przypisuje, ten mija się z prawdą i dlatego tylko tak mówi, iż ma oszczerstwo na celu. I nie burzcie się przeciwko mnie, Ateńczycy, choćby wam się i zdawało, iż zbyt zuchwałe prawię wam rzeczy. Słowa, które mam wygłosić, nie będą moje własne: powołam się na tego, od którego one wyszły, a który w oczach waszych godzien jest wiary. W sprawie mej mądrości, czy ona jest mądrością i jaką mianowicie, jako świadek postawię wam Apollina, boga delickiego. Znacnie zapewne Chajrefonta; od młodości swej był on towarzyszem moim, był towarzyszem i wielu z pomiędzy was, wraz z wami bowiem poszedł na wygnanie i razem z wami wrócił do ojczyzny. I wiecie chyba, co to za człowiek był Chajrefont, z jakim on żarem rzucał się do tego, o co się pokusił. Otóż on to pewnego razu, przybywszy do Delf, śmiał zapytać się wyroczni... nie szemrajcie, mężowie, na to, co wam mówię... zapytał się więc, czy jest człowiek mądrzejszy ode mnie. I odpowiedziała mu Pytja, że mędrszego niemasz nikogo... Poświadczy to przed wami tu oto obecny brat jego, albowiem sam on już zeszedł z tego świata.

Zważcie, w jakim celu wam to mówię; mam wam przecież wykazać, skąd się wzięły miotane na mnie potwarze. Usłyszawszy o tem, zacząłem rzecz tę rozważać w następujący sposób: co znaczą słowa bóstwa? Co ono chce powiedzieć przez tę

zagadkę? Ja przecież wiem to o sobie, że bynajmniej mędrce nie jestem. Jakież więc nadaje ono miano swoim, nazywając mnie najmądrzejszym z ludzi? Rozumie się przecież, że nie kłamie; rzecz to niegodna bóstwa. Długo chwiałem się w niepewności, co mają znaczyć te słowa. Nareszcie, nie bez wewnętrznej walki z samym sobą, zwróciłem się do następujących poszukiwań: Udałem się najpierw do jednego z tych, którzy uchodzili za ludzi mądrych; jeśli już gdzie — myślałem sobie — to tam ja przekonam wyrocznie i wykażę wieszczbie: «Wszakże ty twierdzisz, że ja jestem najmądrzejszy, a tymczasem ten oto mądrzejszy jest ode mnie». Badając tego człowieka — nie mam wcale potrzeby przytaczać jego imienia, dość, Ateńczycy, że ten, badanie którego doprowadziło mnie do mych wniosków, był to jeden z mężów stanu; — z rozmowy z nim nabrałem przekonania, że człowiek ten w oczach wielu ludzi, a przedewszystkiem w swoich własnych, zdawał się być mądrym, lecz nie był nim rzeczywiście. Stałem się przeto wyświetlić mu, iż on sądził tylko, że jest mądry, a nie jest mądry. Otóż wskutek tego i w nim, i w większej części obecnych przytem wzbudziłem nienawiść przeciwko sobie. Lecz odchodząc od niego, rozumowałem sobie w myśli tak: Oto od tego człowieka ja mądrzejszy jestem; prawdopodobnie bowiem żaden z nas obu wiedzą swoją nie wkroczył w dziedzinę piękna i dobra; on atoli sądzi, że coś wie, choć nic nie wie; ja zaś, wiedząc, iż nic nie wiem, nawet nie przypuszczam, że coś wiem; zdaje się przeto, iż o małą część przynajmniej ja mądrzejszy jestem aniżeli on, już przez to samo, że nie myślę wcale, iż wiem to, czego nie wiem.

Stąd znowu udałem się do jednego z takich ludzi, którzy słynęli, jako jeszcze mądrzejsi od tamtego, lecz i o nim wkońcu powziąłem zupełnie takież samo przekonanie. Znowu tedy i w nim, i w wielu innych wywołałem niechęć ku sobie. Potem już pokolei chodziłem od jednego do drugiego, a choć spostrzegałem ze smutkiem i obawą, że budził nienawiść ku sobie, uważałem jednak za rzecz nieuniknioną ponad wszystko postawić rozkaz boży. Zgłębiając istotne znaczenie wieszczęj odpowiedzi, muszę — myślałem sobie — obejść wszystkich, którzy, według ludzkiego zdania, coś wiedzą. I dalibóg, Ateńczycy, prawdę bowiem przed wami mówić mi należy, w samej rzeczy, znalazłem się wobec takiego oto zjawiska, iż u tych właśnie, których najbardziej wysławiano za ich rozum, gdy im, posłuszny bóstwu, poddawał memu badaniu, znajdowałem największy prawie brak rzeczywistej mądrości; inni zaś, uważani powszechnie za ostatnich, wydali mi się ludźmi daleko bardziej zasługującymi na miano rozumnych. I muszę wam wystawić przed oczyma tułaczkę tę moją; pracę, rzecz moję, podejmowaną w pocie czoła, aby mi tylko na niewzruszonej stała podstawie wyroczenia. Obszedłszy mężów stanu, udawałem się do poetów, do autorów tragedji i do twórców dytyrambów, i do wszelkich innych pieśniarzy: tam już, sądziłem, przydybię samego siebie wobec żywych dowodów, iż mniej umiem niż oni... — ...Zauważyłem atoli jednocześnie, że oni wskutek swego poetyckiego daru wyobrażali sobie, że są najmądrzejsi z ludzi i pod każdym innym względem, czego w rzeczywistości nie było. I stąd tedy odszedłem, wynosząc z sobą przekonanie, że nad poetami mam tę samą, co i nad mężami stanu, przewagę. Nakońcu wreszcie udałem się do rzemieślników... — ...pokazało się atoli, Ateńczycy, że poczcwi ci majstrowie mieli taką samą wadę, co i poeci: każdy z nich przez to, że dzielnie kunszt swój uprawiał, uważał się już za najmądrzejszego i wobec wszelkich innych, najwyższej doniosłości zagadnień...

Z tego to właśnie badania, Ateńczycy, wybuchła taka moc nienawiści, skierowanej ku mnie; nienawiści w wysokim stopniu rozgoryczonej i zawziętej, objawiającej się w licznych miotanych na mnie oszczerstwach. Tu także ma źródło i ów rozgłos, że mędrce jestem. Zwykle bowiem obecni przy moich rozprawach sądzą, że ja posiadam tę mądrość, której nie przyznają drugiemu. A tymczasem, Ateńczycy, zdaje mi się nie ulegać wątpliwości, że rzeczywiście bóg tylko jeden jest mądry, i że w wieszczbie tej wypowiada on naukę, iż mądrość człowieka niewiele co, albo raczej nic zgola nie jest warta. I prawdopodobnie w wyroczni swojej nie myśli on o Sokratesie, a użył tylko imienia mojego, stawiając mnie jako przykład, tak właśnie, jak jeśliby rzekł: «Ludzie, ten jest najmądrzejszy pomiędzy wami, kto jak Sokrates

doszedł do przekonania, że mądrość jego w istocie żadnej nie ma wartości». I dziś jeszcze posłuszny bogu chodzę pomiędzy ludźmi, i jeśli mi kto wygląda na mądrego, czy on należy do współobywateli naszych, czy to człowiek obcy, poddaję go takiemu rozbirowi i badaniu; i jeśli nie widzę w nim mądrości, stoję po stronie bożej i oświetlam mu, iż nie jest on mądrym. Praca ta nie zostawiła mi czasu do spełnienia w zakresie spraw publicznych żadnego czynu godnego wspomnienia, ani też nie pozwoliła mi zająć się losem domowego mego ogniska. Ot, poświęciwszy się całkiem służbie bożej, żyję pogrążony w nędzy ostatecznej.

Do tego młodzi ludzie, stanowiący z własnej swojej woli zwykle moje otoczenie, mający czas najzupełniej wolny, synowie najzamożniejszych obywateli, przysłuchują się z przyjemnością rozprawom z badanymi przeze mnie ludźmi i częstokroć sami wstępują w moje ślady: usiłują przeto wybadywać innych i znajdują potem całe tłumy takich, którzy wyobrażają sobie, że coś wiedzą, gdy tymczasem nic nie wiedzą. Skutek tego taki, że wybadywani przez nich oburzają się nie na samych siebie, lecz na mnie i głoszą, że jakiś Sokrates jest to człowiek bez czci i wiary i psuje młode pokolenie. A gdy ich się kto pyta, co on czyni i czego uczy, nic na to rzecz nie mogą, bo i sami nie wiedzą. Aby się jednak nie zdradzić ze swem zakłopotaniem, prawią owe, chwytnie z podręczą, wszystkim filozofom zarzucane baśnie o zjawiskach niebieskich, o tajemnicach podziemnych, o niewierzeniu w bogów i przekręcaniu fałszu na prawdę. Prawdy albowiem, myślę, wyznać nie mają ochoty, iż wychodzi najaw, że nic nie wiedząc, nadają sobie pozór wiedzących. A że, o ile mi wiadomo, wszystko to są ludzie wysoko noszący głowę, ludzie gwałtowni, liczną stanowiący rzeszę, a w zwartych występują szeregach, a rozprawiają o mnie tonem, usuwającym wszelką o ich słowach wątpliwość, pełne więc macie uszy ich potwarzy, którymi oddawna a namiętnie szarpia imię moje. Z ich to grona rzucili się na mnie i Meletos, i Anitos, i Likon. Meletos rozjątrzony o poetów, Anitos o rzemieślników i mężów stanu, Likon o mówców. Wobec tego dziwiłbym się sam, jak to już rzekłem na początku, jeśli mi się udało w niedługim tak czasie wybić z umysłów waszych tak rozgłośnie oszczerstwo. Oto macie, Ateńczycy, szczerą prawdę; mówię bowiem, niczego nie ukrywając przed wami, nie przesłaniając niczego. A przecież jestem prawie przekonany, że przez tę szczerą jeszcze i teraz wytwarzam sobie wrogów. Dowód to właśnie, że mówię prawdę, niemniej, że taki jest istotnie charakter mojej niesławy i takie jej przyczyny. I jeśli, czy teraz, czy kiedy indziej, dochodzić tego zechcecie, zobaczycie, że słowa moje sprawdzą się co do joty. Tak postępować będę z każdym, kogo tylko spotkam: z młodszym, czy ze starszym, z obcym, czy z ziomkami — tem bardziej nawet z ziomkami, o ile rodem bliżsi mi jesteście. Wiedźcie o tem, że tak postępować rozkazuje mi bóg. I przekonany jestem, że nigdy jeszcze na waszą Rzeczpospolitą nie spadło dobrodziejstwo większe od tej mojej służby bożej. Wszak ja, chodząc pomiędzy wami, nie zajmuję się niczem innym, a tylko namawiam i młodszych, i starszych, abyscie nie wpięrować i nie z takim zapalem poświęcali się zabiegom około ciała i majątku, aniżeli troskliwości o duszę, aby się ona stała jak najdoskonalszą. I dowodzę, że cnota nie jest wynikiem bogactwa, lecz bogactwo i wszystkie inne dobra ludzkie, tak dla pojedynczego człowieka, jak i dla narodu, wypływają z cnoty. Jeśli więc ja psuję młode pokolenie przez to, iż przemawiam w ten sposób, szkodliwa być musi taka nauka. Jeśli zaś kto twierdzi, że ja przemawiam nie tak, ale inaczej — kłamie. Wobec tego rzecz wam mogę, Ateńczycy, czy słuchacie rady Anitosa, czy nie, czy mnie uniewinniacie, czy nie uniewinnicie, ja już postępować inaczej nie będę, choćbym miał nawet i tysiąc razy umierać.

Nie szemrajcie, Ateńczycy. Wytrwajcie mi przy ustępstwie, o które was prosiłem, abyscie, co bądźbym wam mówił, nie wszczynali wrzawy, ale słuchali. Myślę nawet, że z korzyścią będzie to dla was, że mnie słuchać będziecie. Wypadnie mi wprawdzie niejedno wam jeszcze powiedzieć, z powodu czego zapewne hałaśliwą wybuchniecie wrzawą. Nie czyńcie tego bezwarunkowo! Wiedźcie bowiem, że, jeśli wydacie wyrok śmierci na mnie, na człowieka takiego, jakim wam się tu przedstawiam, daleko bardziej zaszkodzicie samym sobie, aniżeli mnie. Bo mnie osobiście doprawdy w niczem nie zaszkodzi ani Meletos, ani Anitos. Nie w jego to nawet mocy; nie sądzę bowiem,

aby się to zgadzało z prawem bożem, żeby człowiek lepszy mógł doznawać szkody od gorszego. Może on, prawda, spowodować skazanie mnie na śmierć, albo na wygnanie z ojczyzny, albo na pozbawienie praw obywatelstwa. Ja daleko bardziej poczytuję za nieszczęście dopuszczenie się czynu, jakiego on się obecnie dopuszcza: występne kuszenie się o wydarcie życia człowiekowi. I obecnie, Ateńczycy, daleki jestem od myśli bronienia, jakby się to komu wydawać mogło, samego siebie; przeciwnie: ja przemawiam w waszym interesie, abyście, potępiwszy mnie, nie zgrzeszyli przez to przeciwko darowi, zesłanemu wam przez boga. Jeśli bowiem zgładzicie mnie ze świata, niełatwo znajdziecie drugiego takiego, któryby — choć to może trochę śmieszne porównanie — siadł z woli bożej na naród, jakby na konia, rosłego, prawda, i rasowego, z powodu jednak rośności swojej trochę za leniwego i potrzebującego, aby go bąk jaki pobudzał do ruchu. Jestem przekonany, że bóg zesłał mnie Rzeczypospolitej, takie właśnie wskazawszy mi posłannictwo, abym nieustannie, po całych dniach, na każdym miejscu, czepiał się każdego z was i budził, i przekonywał, i karcił. A drugi taki, mężowie, niełatwo wam się dostanie; otóż, jeśli za moją pójść zechcecie radą, oszczędzicie mnie. Bardzo wszakże być może, iż wy, w przystępie złości — tak samo, jak zasypiający, gdy ich kto budzi — grzmotnawszy mnie, za radą Anitosa, zgładzicie lekkomyślnie ze świata i całe życie już potem spać będziecie bez przestanku, jeśli bóg w pieczołowitości swej o was nie ześle wam kogo innego.

*(Po dwukrotnem głosowaniu sędziowie wydali wyrok śmierci; Sokrates jeszcze raz przemówił):*

Dla niewielkiej na czasie wygranej znosić będziecie, Ateńczycy, przycinki i zarzuty każdego, kto zechce lżyć nasze społeczeństwo, żeście zabili mędrca Sokratesa. Nazywać mnie bowiem będą mędrce, lubo nim w istocie nie jestem, ci, którzy zapragną obrzucać was błotem. Wszak gdybyście byli poczekali trochę, samo przez się byłoby wam to przypadło. Bo przecież widzicie, że wiek mój daleko wysunął się już naprzód na drodze żywota, że blisko ma już do śmierci. Mówię to nie do was wszystkich, lecz do tych, którzy wydali na mnie wyrok śmierci. Tym wszakże powiem jeszcze i to. Sądzicie może, mężowie, że ja ginę z braku słów takich, któremi zdolalbym przekonać was, zwłaszcza, jeżelibym był sądził, że należy mi czynić wszystko i mówić wszystko, aby się tylko dobić uniewinnienia. Bynajmniej! Ginę, prawda, z braku — nie słów jednakże, ale bezczelności i bezwstydu. Ginę wskutek tego, że nie chciałem mówić wam takich rzeczy, które istotnie wielceby były przyjemne dla waszych uszu. Gdybym był płakał i biadał, gdybym był nie przebierał w środkach, ani w słowach takich, które ja za niegodne siebie uważam, a które wy przywykliście słyszeć od innych. Wszakże i wtedy daleki byłem od myśli, abym z uwagi na grożące mi niebezpieczeństwo dopuścił się miał jakiegos niewolniczego czynu, ani też teraz nie żałuję tego, że się bronili tak, a nie inaczej. Owszem, daleko bardziej wolę, wygłosiwszy tę obronę, umierać, aniżeli zapomocą owych środków pozostać przy życiu. Bo tak w rozprawie sądowej, jak i na wojnie, nie godzi się ani mnie, ani nikomu w świecie wysilać się na to, aby bądź co bądź uchronić się od śmierci. I w bitwach przecież nieraz oczywiście niejedni uniknąć mogłby śmierci, jeśli by porzucił broń i ku ścigającym błagalnie wyciągnął dłonie. W każdego rodzaju niebezpieczeństwach są, prócz tych, liczne sposoby uchylania się od śmierci, jeśli się tylko kto odważy w czynach i słowach swoich nie cofać się przed niczem. Lecz trudność, mężowie, nie na tem podobno polega, aby uciec przed śmiercią — daleko trudniej zaiste jest uciec przed nikczemnością, bo ona bieży chyżej od śmierci. To też i obecnie ja, jako ociężały już i stary, pojmany zostałem przez to, co powolniejsze. Oskarżyciele zaś moi, jako krzepcy i szybcy, przez to, co chyższe: przez podłość. Ja odejdę stąd, uznany przez was za winnego śmierci — oni uznani przez prawdę za winnych moralnej zgnilizny i niesprawiedliwości. I ja pozostaję przy swoim wyroku — mają swój i oni. Widać, że taki obrót sądzony już był tej sprawie, i mnie mam, że wszystko jest w porządku.

A teraz wy, którzyście wydali na mnie wyrok potępienia, pragnę wam wygłosić proroctwo o następstwach tego w przyszłości. Bo jestem już wobec chwili, w której

ludzie najczęściej wieszczym przemawiają głosem — gdy się mają rozstawać z życiem. Mówię więc wam, mężowie, wam, którzyście uderzyli we mnie karą śmierci, że wkrótce po moim zgonie przyjdzie na was kara, daleko — przysięgam na Zeusa — cięższa, aniżeli ta, przez którą wydzieracie mi życie. Wy bowiem uczyniliście to w nadziei, że się uwolnicie od zdawania rachunku ze swego życia; a ja wam mówię, że otrzymacie skutek wręcz przeciwny. Karcący was w większej powstaną liczbie, bo ja wstrzymywałem ich dotąd, chociaż wy nie spostrzegaliście tego; i surowsi będą, bo młodsi; i bardziej jeszcze jątrzyć się będziecie. Jeśli sądzicie, że, skazując ludzi na śmierć, powstrzymacie kogo od czynienia wam wyrzutów, że żyjecie nie tak, jak żyć należy, jesteście w błędzie. Taki sposób wyzwania się jest i niezupełnie możliwy, i nieszlachetny; a najuczciwszy i najprostszy zarazem jest — nie wycinać innych, a pracować nad samym sobą, aby się doprowadzić do jak największej doskonałości. Wygłosiwszy wieszczbę taką wam, którzyście mnie potępili, rozstaję się z wami.

*Tłum. Adam Maszewski.*

#### FILEB

*Osoby dialogu: Sokrates, Protarch, Fileb.*

Sokrates. Fileb bowiem za najwyższe dobro wszystkich istot żyjących uznaje przyjemność, rozkosz, uciechę i wszystko to, co w zakres tych uczuć wchodzi. Ja zaś, przeciwnie, odmawiam im pierwszeństwa, a przyznaję je mądrości, poznawaniu i rozpamiętywaniu, oraz pojęciom pokrewnym, jako to: myślom prawidłowym i prawdziwym wywodom, które dla wszystkich istot, zdolnych je sobie przyswoić, uważam za pożyteczniejsze i doskonalsze, aniżeli rozkosz. Powiedziałbym nawet, że najpożyteczniejsze wogóle dla istot odpowiednio uzdolnionych nie tylko w teraźniejszości, ale i w przyszłości. Wszakże tak mniej więcej, Filebie, brzmią dwa przeciwne sobie zdania, któreśmy wypowiedzieli?

Fileb. Zupełnie tak, Sokratesie.

Sokrates. Więc przyjmujesz, Protarchu, obronę poglądu, poruczoną tobie?

Protarch. Zniewolony jestem przyjąć, skoro nasz piękny Fileb zmęczony.

Sokrates. Musimy zbadać prawdziwość tych poglądów.

Protarch. Musimy.

Sokrates. Dalej musimy stwierdzić i to jeszcze...

Protarch. Co mianowicie?

Sokrates. Obaj winniśmy przecie wykazać ów przymiot i nastrój duszy, któryby uznać można za podwalinę szczęścia w życiu ludzkim. Czy nie tak?

Protarch. Słusznie.

Sokrates. Waszem tedy zadaniem będzie określić znamiona rozkoszy, mojem — mądrości.

Protarch. Tak jest.

Sokrates. Cóż jednak będzie, jeżeli inny jaki przymiot duchowy okaże się doskonalszym od tych? Gdy pokrewieństwem zbliży się więcej do rozkoszy, wszakże w takim razie, wobec sposobu życia, przyjmującego za podstawę ów przymiot, uznamy się wprawdzie obaj za zwyciężonych, ale życiu wśród rozkoszy przyznamy pierwszeństwo przed życiem według zasad mądrości?

Protarch. Owszem, tak.

Sokrates. Jeżeli jednakże ów przymiot okaże się więcej mądrości pokrewny, w takim razie mądrość górę weźmie nad rozkoszą, która za zwyciężoną uchodzić będzie. Czy zgadzacie się na taką ugodę, czy jak?

Protarch. Mnie przynajmniej wydaje się ona słuszną.

Sokrates. A Filebowi, jak myślisz?

Fileb. Co do mnie, ja w każdym razie jestem i będę za przewagą rozkoszy. Ty, Protarchu, sam to zrozumiesz najlepiej.

Protarch. Zdawszy na mnie obronę swego twierdzenia, nie masz prawa, Filebie, ani ustępować Sokratesowi, ani mu się przeciwstawiać.



Fileb. Prawdę mówisz; to też zrzekam się głosu i wzywam boginię za świadka.

Protarch. I my także ci poświadczymy, że wyrzekłeś to, co mówisz. A teraz zabiermy się z kolei, Sokratesie, przy zgodzie Fileba, lub jak on zechce, do roztrząsania postawionych twierdzeń.

Sokrates. Uczynmy to, poczynając od bóstwa, zwanego powszechnie Afrodytą, a które najstosowniej, jak Fileb utrzymuje, zwać się powinno rozkoszą.

Protarch. Jak najsluszniej.

Sokrates. Obawa, Protarchu, z jaką przystępuję do nadawania nazwisk bóstwom, jest niezwykła i przechodzi wszelkie granice. Więc też i nadal Afrodytę chcę zwać jej ulubionem imieniem. Rozkosz bowiem, o ile mi wiadomo, jest to pojęcie względne i właśnie od jej określenia, jak już powiedziałem, zacząć wypada. Wydaje się bowiem czemś jednolitem, a przejawia się w najrozlicniejszych odmianach, wcale do siebie niepodobnych. Zastanów się tylko. Rozkosz uczuwa nie tylko człowiek, oddany namiętnościom, ale niemniej i wstrzemięźliwy, przewyciężając namiętności. Rozkosz uczuwa nie tylko ten, kto w swym nierozsądku dochodzi do przewrotnych poglądów i ludzi się płoną nadzieją, ale i ten, kto rozważa rzeczy zdrowym rozsądkiem. Czyżby w naszych oczach nie uchodził za człowieka nierozsądnego, kto dwojakim tym rodzajom rozkoszy przypisywałby podobieństwo?

Protarch. Prawda, Sokratesie, różnią się one swem pochodzeniem; jednakże w swej istocie nie różnią się niczem, bo jakżeby rozkosz nie miała być rozkoszą, iakżeby cośkolwiek w świecie nie miało być najpodobniejsze do samego siebie?

Sokrates. Zabawnyś; wszakże i barwa od barwy, jeśli ją tylko według jej istoty sądzić będziemy, niczem różnić się nie będzie; jednakże barwa czarna, jak wiadomo, jest od barwy białej nie tylko różna, ale nawet wręcz jej przeciwna. Podobnie i kształt kształtowi co do istoty jest równy, gdy tymczasem rodzaje kształtów albo są sobie wręcz przeciwne, albo się różnią niezliczonemi odmianami. I wiele innych napotykamy rzeczy, pozostających w podobnym do siebie stosunku, tak, że nie ufaj nadto sposobowi myślenia, łączącemu w jedno rzeczy wręcz sobie przeciwne. Obawiam się zaś, że napotkamy często rozkosz przeciwną innym rozkoszom.

Protarch. Być może, lecz o ile miałyby to zbijać nasze twierdzenie?

Sokrates. O tyle, że mimo ich różnic oznaczasz je, powiedzmy, innem jeszcze mianem. Boć twierdzisz przecie, że wszystko, co przyjemne, jest dobrem. Iżby przyjemność nie miała być przyjemnością, tego ci nikt zaprzeczać nie będzie. Jednakże, gdy, podług mojego mniemania, niejedno, co przyjemne, jest złem, inne dobrem; ty natomiast wszystko, co przyjemne, uznajesz za dobre, pomimo, iż zmuszony jesteś przyznać przeciwnikowi, że istnieją przecie różne przyjemności. Czemże więc jest to, co w równej mierze przypisujesz dobrym i złym rozkoszom, a wskutek czego wszelka rozkosz podług ciebie jest dobra?

Protarch. Do czego zmierzasz, Sokratesie? Czy sądzisz, że kto raz rozkosz nazwał dobrem, uczyni ci to ustępstwo i przyzna słusność twemu mniemaniu, jakoby pewne rodzaje rozkoszy były wprawdzie dobre, ale zato inne złe?

Sokrates. To mi jednak przyznasz, iż niektóre z nich różnią się pomiędzy sobą, a niektóre nawet wręcz sobie są przeciwne?

Protarch. Przecież nie, o ile są rozkoszami.

Sokrates. Błądzimy w kole, Protarchu, i znów powracamy do twierdzenia, że rozkosz od rozkoszy się nie różni, lecz owszem, że wszystkie są do siebie podobne. Przytoczone w tej chwili przykłady chybiły tedy celu, a zdążamy do tego, czego czepiają się ludzie prości i dysput nieświadomi.

Protarch. Cóż znowu mówisz?

Sokrates. Otóż, że gdybym, naśladowając ciebie, chciał się bronić i umiał wyćwiczyć na sobie, abym rzeczy najbardziej różne uznawał za podobne do siebie, wtedy mógłbym przy tem samym, co ty, obstawać i okazałibyśmy się bardziej niedoświadczonymi, aniżeli się godzi, a w roztrząsaniu naszym ani o krok nie posunęlibyśmy się naprzód. Lecz podejmiemy je na nowo; może, podążając dalej, pogodzimy nasze zdania.

Protarch. Mówże jak?

Sokrates. Wyobraź sobie, Protarchu, że ty mnie wypytujesz.

Protarch. O co mianowicie?

Sokrates. Czyżby mądrość i nauka, i rozum, i wszystko, com na początku, zapytany o dobro, nazwał dobrem, nie podlegało temu samemu losowi, co twoje mniemanie?

Protarch. Jakiemu?

Sokrates. Wszelka nauka wydaje się nam wieloraką; w jej skład wchodzi wiele części, do siebie niepodobnych. A choćby niektóre z nich okazały się wręcz sobie przeciwne, czyż byłbym godzien prowadzić dysputę, gdybym bojaźliwie a uparcie chciał utrzymywać, że żadna nauka niczem się nie różni od drugiej; wskutek czego ta nasza rozmowa rozwiłaby się jak baśń jaka, a my sami szukalibyśmy zbawienia w częzej gadaninie.

Protarch. Tak jednak być nie powinno i zaradzić temu potrzeba. Podobieństwo, jakie w naszych, aczkolwiek przeciwnych sobie twierdzeniach napotykam, bardzo mi w tym względzie na rękę; uznajmy tedy wielość i różność rozkoszy, oraz wielość i różność nauki.

Sokrates. Nie ukrywajmy jednak, Protarchu, wielorakich różnic, zachodzących między mojem i twojem pojęciem dobra; owszem, starajmy się je otwarcie wyświelić; może zbadawszy je dokładnie, przekonamy się, czy rozkosz, czy mądrość jest dobrem, czy też coś trzeciego. Boć teraz już przecież nie chodzi nam o to, czy moje zdanie zwycięstwo odniesie, czy też twoje, lecz obaj mieć winniśmy na oku przedewszystkiem prawdę.

Protarch. To bezwątpienia jest naszym obowiązkiem.

Sokrates. A więc utwierdźmy najprzód to nasze wspólne zdanie bliższem wzajemnem porozumieniem się.

Protarch. Jakie zdanie?

Sokrates. Zdanie, które wszystkim ludziom sprawia trudności; niektórym za ich wiedzą i wolą, innym niekiedy bezwiednie.

Protarch. Mówże jaśniej.

Sokrates. Mam na myśli ów pewnik, któryśmy wspólnie wynaleźli, a który w swej istocie jest bardzo dziwny, boć dziwne wydaje się zdanie, że jedność jest wielością, a wielość równocześnie jednością, i łatwo o sprzeczkę z każdym, kto za jednym lub drugim wyłącznie obstaje.

Protarch. Czyż tu masz na myśli, że mógłby kto mnie, Protarcha, będącego od urodzenia jednostką, nazwać równocześnie wielością, albo upatrywać we mnie, jako wielości, przymioty wręcz sobie przeciwne, jako żem wielki i mały, lekki i ciężki, i tak bez końca?

Sokrates. Poruszasz, Protarchu, w tem dziwnem połączeniu jedności i wielości tylko tę stronę, która się utarła powszechnie, którą uznano ogólnie za prawdę niezaprzeczoną, za rzecz prostą i zrozumiałą dla każdego dziecka, a utrudniającą tylko dysputę, gdy ktoś przeczy.

*Thum. Br. Kasinowski.*

## ARYSTOTELES ZE STAGIRY

(384—322 przed Chr.)

### POETYKA

I. Chcemy mówić o samymże kunszcie poetycznym i o jego rodzajach, jakie ma znaczenie każdy z nich i jak należy układać pomysł, jeżeli poemat pięknie ma wypaść, a nadto, z ilu on i z jakich składa się części — zarówno jak o rzeczach innych, które do tegoż samego zakresu badania należą, a rozpoczniemy z natury rzeczy najprzód od tego, co pierwsze.

Epopeja zatem i utwór tragiczny, a nadto komedja i poezja dytyrambiczna <sup>1</sup>,

<sup>1</sup> Dytyramby były to pieśni śpiewane przez chór na cześć Dionizosa (Bachusa), z towarzyszeniem muzyki i tańca.

i gry na flecie i na cytrze część największa — wszystkie one są, razem wzięwszy, utworami naśladowczymi, a różnią się między sobą pod trzema względami: bo albo przez to, że odmiennymi naśladowają środkami, albo że naśladowują co innego, albo że inaczej i nie w tenże sam sposób. Podobnie bowiem jak barwami i układem postaci naśladowują niektórzy sprawy rozliczne, odwzorowując je, a niektórzy zapomocą głosu, i to jedni przez sztukę, drudzy przez wprawę: tak i w wymienionych kunsztach dzieje się, że wszystkie wydają naśladowanie w rytmie, w słowie i w harmonji, i to albo oddzielnie w każdym z nich, albo w połączeniu jednego z drugim. I tak harmonji i rytmu używa jedynie gra na flecie i cytrze i, jeżeli inne jakie zdarzają się tego rodzaju co do istoty sztuki, na przykład gra na piszczałce pasterskiej, samym zaś tylko rytmem bez harmonji naśladowuje wielka część tancerzy, gdyż i oni przez ruchy rytmiczne naśladowują i charaktery, i uczucia, i czynności, a epopeja naśladowuje jedynie mowę potoczną<sup>1</sup>, albo samemi wierszami, i to wierszami bądź w pomieszaniu jednych z drugimi, bądź w zastosowaniu jednego jakiegoś ich rodzaju, jak się to dzieje właśnie dotychczas. Użyliśmy zaś wyrazu «epopeja», bo nie moglibyśmy żadnem innem mianem wspólnem objąć mim Sofrona i Ksenarcha i rozmów sokracyjnych, jako też i utworów takich, gdyby ktoś wydawał naśladowanie w trymetrach albo w wierszach elegijnych, lub w innych jakich podobnych<sup>2</sup>. Tylko ludzie, łącząc ściśle poezję z rodzajem wierszy, jednych elegikami, drugich epikami mienią, w przekonaniu, że się twórców nazywa poetami<sup>3</sup> nie ze względu na naśladowanie, ale ogólnie ze względu na rodzaj wierszy. To też przywykli używać miana takiego, jeżeli ułoży kto utwór jakiś treści lekarskiej, albo umiętnej, a przecież nic niema wspólnego oprócz wiersza pomiędzy Homerem a Empedoklesem<sup>4</sup>, i stąd tamtego słusznie nazywać poetą, tego zaś filozofem raczej niż poetą. A podobnież niema takiego wspólnego miana także dla utworu, gdyby ktoś wydawał naśladowania wszystkie, mieszając wiersze, jak to na przykład Cheremon<sup>5</sup> napisał «Centaura», rapsodję ułożoną mieszanymi wszelkiego rodzaju wierszami, a mienić go trzeba poetą. W ten zatem sposób niechaj będzie podane określenie tych właściwości. Ale są niektóre sztuki, posługujące się wszystkimi wymienionemi środkami, rozumiem tu mianowicie: rytmiczne ruchy, melodję i wiersze, jako to: poezja dytyrambiczna, poezja nomiczna<sup>6</sup>, tragedja i komedja — a różnią się one przez to, że jedne posługują się niemi wszystkimi całe, inne częściowo. Takie zatem upatruję różnice w sztukach ze względu na środki, jakimi naśladowanie wydają.

II. A że naśladowający naśladowają ludzi działających, ludzie zaś są koniecznie albo szlachetni, albo źli, gdyż charakter prawie zawsze na tych jedynie polega przymiotach, bo przez złość i przez cnotę różnią się charakterem wszyscy: to też naśladowający naśladować będą albo ludzi lepszych w stosunku do nas, albo gorszych, albo też podobnych, jak to malarze czynią: bo Polignot szlachetniejsze odtwarzał typy, Pauzon zaś niższe, a Dionizjos pospolite<sup>7</sup>. I oczywistą jest rzeczą, że każda także z wymie-

<sup>1</sup> Tu przeciwstawia epopeję sztuce dramatycznej, łączącej się niekiedy ściśle z muzyką i tańcem (tragedja), o których mowa była powyżej.

<sup>2</sup> Syrakuzanin Sofron, żyjący około 420 przed Chrystusem, i syn jego, Ksenarchos, wstawili się «mimami», t. j. dialogami pisanymi prozą, wysławiającymi sceny z życia codziennego: i poważniejsze i komiczne; odznaczały się one ruchliwością i trafną charakterystyką osób. Przez «Rozmowy sokracyjne» rozumie Arystoteles nietyle naukowe dialogi, np. Platona, ale pisma w rodzaju «Biesiady» Ksenofonta, mające przeważnie wartość estetyczną. Mówiąc o trymetrach, Arystoteles ma na myśli wiersze satyryczne Archilocha (ok. 650 przed Chr.) i jego następców.

<sup>3</sup> Grecki wyraz «poeta» bukwalnie znaczy «twórca»: «pojein=tworzyć».

<sup>4</sup> Empedokles, filozof, żył około r. 440 prz. Chr. Jest on autorem poematu «O przyrodzie», z którego dochowały się obszerniejsze fragmenty; w utworze tym wyłożył naukę swoją. Naogół Arystoteles tutaj ma na myśli t. zwaną poezję dydaktyczną, to znaczy poetycką w formie, ale naukową w treści.

<sup>5</sup> Cheremon, współczesny prawdopodobnie Platonowi, nie jest nam z utworów bliżej znany.

<sup>6</sup> Nomy były pieśniami pokrewnymi dytyrambom, treści również religijnej, ale ułożone monostroficznie, tem właśnie różniły się od dytyrambów.

<sup>7</sup> Polignot, Taryjczyk, syn malarza Aglaofonta, żył współcześnie z rzeźbiarzem Fidjaszem i również wysoko był ceniony. Pauzon, młodszy cokolwiek, nie tworzył karykatur

nionych sztuk naśladowczych także same wykaże różnice, i tym sposobem inną będzie przez to, że co innego wynasładowuje. Wszakże i w tańcu, i w grze na flecie i na cytrze wystąpić mogą owe cechy niejednakie. A te same różnice wykaże również opowiadanie potoczne i wiersze. Homer naprzykład naśladował charaktery szlachetniejsze, Kleofon pospolite, Hegemon zaś Taryjczyk, pierwszy twórca parodji, i Nikochares, autor «Deljady» — niższe<sup>1</sup>. A również to samo da się powiedzieć o dytyrambach, także i o nomach, bo chociaż występują tutaj zwykle charaktery szlachetniejsze, możnaby wydać w nich naśladowanie takie, jakie wydali w «Cyklopach» Tymoteusz i Filoksenos<sup>2</sup>. I w tym właśnie względzie rzeczowym różni się tragedia od komedji; ta mianowicie naśladować usiłuje ludzi gorszych, tamta lepszych, niż są w rzeczywistości.

III. A nadto trzecia jeszcze w tym szeregu wystąpi różnica przez sposób, w jaki ktoś to wszystko naśladować będzie. Bo naśladować można temi samemi środkami i toż samo, jużto opowiadając — bądź przez wprowadzenie kogoś innego, jak to czyni Homer, bądź jakoby samemu ciągle i bez zastąpienia własnej swojej osoby — jużto wystawiać można naśladowane osoby, wszystkie jakoby działające i czynne. Naśladowanie zatem przychodzi do skutku pod trzema rozmaitemi względami, jak na początku powiedzieliśmy, pod względem środków, rzeczy i sposobu. Dlatego mógłby Sofokles z jednej strony za takiego samego uchodzić naśladowcę jak Homer, gdyż obaj naśladowają ludzi szlachetnych, a z drugiej strony za takiego samego jak Arystofanes, gdyż obaj naśladowają ludzi działających i czynnych. Stąd też, jak utrzymują niektórzy, utwory ich nazywają się dramatami, to jest utworami z wprowadzeniem działania, ponieważ ludzi działających naśladowają. I z tej przyczyny pierwszeństwo w wynalezieniu tragedji i komedji przypisują sobie Doryjczycy: mianowicie w komedji Megarejczycy<sup>3</sup>, i to zarówno Megarejczycy mieszkający tutaj — w przekonaniu, że za rządów demokratycznych u nich komedja powstała — jak i Megarejczycy sycylijscy: stamtąd bowiem pochodzi Epicharmos, poeta o wiele starszy od Chionidesa i Magnesa<sup>4</sup>; w wynalezieniu tragedji zaś przypisują sobie pierwszeństwo niektórzy z Peloponezjan, biorąc sobie wyrazy za dowód. Powiadają bowiem, że osadom okolicznym dają nazwę «kômai», Ateńczycy zaś «dêmoi», tego będąc przekonania, że wystawiając komedje nie od wyrazu «kômazein» (wałęsać się) nazwani zostali, lecz od chodzenia po osadach (kômai), ponieważ mieszkańcy ich lekceważyli; także «działać» wyrażają sami słowem «drân», Ateńczycy zaś słowem «prattein». To zatem niechaj wystarczy o różnicach w naśladowaniu, ile ich jest i jakie są.

IV. Zdaje się zaś, że kunszt poetyczny, ogólnie wzięwszy, z dwóch przyczyn powstał, i to naturalnych. Naśladowanie mianowicie wrodzone jest ludziom od dziecka — i człowiek różni się od reszty zwierząt przez to, że najzdolniejszy jest do naśladowania i przez nie pierwszych nabywa wiadomości, i wrodzona jest wszystkim przyjemność, płynąca z dzieł naśladowczych. A dowodem tego okoliczność, zdarzająca się w rzeczywistości: obrazy bowiem, zdjęte z rzeczy, na które same z przykrością patrzymy, najdokładniej wykonane z przyjemnością oglądamy: postaci naprzykład najwstrętniej

w ścisłem znaczeniu; komiczno-satyryczne obrazy jego wystawiały postacie szpetne i niskie. Dionizjos z Kolofonu nie objawiał tej wzniosłości i szlachetności, co Polignot — nazywano go też antropografem.

<sup>1</sup> Kleofon, zupełnie nieznany nam poeta. Z parodji Hegemona, żyjącego w czasach wojny peloponeskiej, zachowało się tylko 21 heksametrów; były to parodje epiczne. Nikochares, współzawodnik podobno Arystofanesa, wyśmiewać miał w «Deljadzie» Delijczyków, którzy, korzystając z napływu pielgrzymujących do świątyni Apollina na wyspie Delos, utrzymywali tam gospody i kuchnie, wyzyskując niesumiennie przybyszów.

<sup>2</sup> Tymoteusz z Miletu, ur. 446 prz. Ch., należał do najznakomitszych poetów lirycznych, tworzących nomy i dytyramby. Filoksenos z Cytery (425—380), żył na dworze Dionizjosa I. Najstynniejszy jego dytyramb miał tytuł «Cyklop». Pod postacią Polifema wyszydził w nim poeta tyrana.

<sup>3</sup> Po upadku tyrana megarejskiego Teagenesa (ok. r. 590) przyszło tam wkrótce do rządów demokratycznych, podczas których wystąpił jako twórca komedji Suzarjon; około r. 576 przeniósł się on do Ikarji w Attyce.

<sup>4</sup> Według innych wiadomości, był Epicharmos rodem z wyspy Kos, ale już jako dziecko przybył z ojcem do Megary w Sycylii a w r. 486 udał się do Syrakuz, gdzie żył na dworze Gelona i Hierona. Komedjopisarze attyccy: Chionidos dał się poznać w r. 501, a Magnes był jeszcze młodzieńcem, kiedy Epicharmos już w podeszłym był wieku.

niejszych zwierząt i trupów. Przyczyną zaś tego jest także między innymi ta okoliczność, że nabywać wiadomości nie tylko dla filozofów bardzo miłą jest rzeczą, ale i dla innych ludzi również, tylko że zajęcie to ich trwa krótko. Oglądają oni mianowicie obrazy z przyjemnością dlatego, że wśród patrzenia przychodzi im się dowiadywać i wnioskować, co każdy z tych obrazów wystawia, na przykład «ten jest ten a ten». Toż, jeżeli przypadkiem poprzednio czegoś nie widzieli, nie naśladowanie wzbudzi w nich rozkosz, ale przyjemność im sprawi wykończenie dzieła, albo koloryt, albo inna jaka przyczyna podobna. A ponieważ w naturze naszej tkwi naśladowanie i harmonja, i rytm — bo, że miary wierszowe rodzajem są rytmów, wiadomo — od początku wyposażeni tak ludzie i zwolna do doskonałości to doprowadzając, stworzyli poezję z prób, bez przygotowania zrazu czynionych.

V. I rozdzieliła się według usposobień osobistych poezja. Mistrze bowiem z umysłem podnioslejszym naśladowali czynności szlachetne i przez szlachetnych ludzi zdziałane, a ci, co mieli umysł pospolitszy, czyny ludzi płaskich, naganne zrazu układając wiersze, podobnie jak tamci hymny i pochwały. Otóż z poematów tego rodzaju nie możemy przed Homerem wymienić żadnego, ale prawdopodobnie poetów takich było wielu; począwszy jednak od Homera, uczynić to już możemy, jak tego dowodem naprzykład jego «Margites»<sup>1</sup> i tym podobne utwory. I pojawiła się też w wierszach tych stosownie dobrana miara jambiczna — dlatego to nazywa się ona obecnie uszczypliwą, gdyż takim właśnie wierszem uszczypliwie żartowano z siebie nawzajem. Jedni też z poetów dawnych zostali twórcami poematów bohaterskich, inni uszczypliwych. A jak w utworach poważnych Homer przedewszystkiem poetą był, nie tylko bowiem sam jeden tworzył dobrze, ale i sceny naśladowcze układał dramatycznie, tak także i zarysy komedji wskazał pierwszy, pomieściwszy w poezji dramatycznie nie naganę, ale żywioł śmiech obudzający. Bo taki sam jest stosunek «Iljady» i «Odysei» do tragedji, jak i «Margitesa» do komedji. A kiedy pojawiły się tragedja i komedja, ci, którzy od dawali się jednemu i drugiemu rodzajowi poezji, stosownie do właściwego sobie usposobienia, jedni zamiast jambików zostali komedjopisarzami, drudzy zamiast epików tragedjopisarzami, ponieważ oba te rodzaje poezji są wyższe i więcej cenione od dawniejszych.

VI. Otóż badać, czy tragedja jest już doskonałą w postaci swojej, czy nie, o ile osądzić można rzecz tę samą w sobie i ze względu na wystawę sceniczną, to pytanie inne. Ale po powstaniu tragedji z prób bez przygotowania zrazu czynionych — tragedja mianowicie, równie jak komedja, taki sam miały początek: tamta od przodowników w chórach dytyrańbicznych, ta od przodowników w chórach fallickich<sup>2</sup>, które dzisiaj jeszcze w wielu miastach w zwyczaju się zachowują, — tragedja zwolna rozwinięta się przez udoskonalenie wszystkich części istotnych, jakie się w niej pojawiły, i wielu doznawszy zmian, stanęła u kresu, skoro otrzymała całość istocie swojej odpowiednią. I aktorów ilość z jednego na dwóch pierwszy zmienił Eschilos, i udział chóru ograniczył, i rozmowie naczelnę znaczenie nadał; aktorów zaś trzech i dekorację sceniczną Sofokles przydał. A nadto w miejsce szczupłych pomysłów rozciąglejsze wprowadzono i ze sposobu wyrażania się żartobliwego, używanego w tragedji, ponieważ wyłoniła się z utworów z chórami satyrów, później dopiero wzniosła się do poważnej godności. I miara wiersza i tetrametru stała się jambiczną: zrazu bowiem używano tetrametru, ponieważ poezja ta miała zakrój żartobliwy i więcej na taniec była obliczona; skoro się jednak część dialogiczna wydoskonalila, znalazł się z istoty rzeczy wiersz odpowiedni: wiersz bowiem jambiczny jest z pomiędzy wszystkich do rozmowy najstosowniejszy, czego dowodem, że w rozmowie codziennej między sobą najczęściej jambami mówimy, a heksametrami rzadko i tylko wtenczas, jeżeli ze zwykłego toku mowy wypadniemy. Prócz tego przyszło do uzupełnienia ilości scen. W jaki sposób

<sup>1</sup> Margites, była to nazwa bohatera w poemacie nam nieznanym. Był to przemądrzały głupiec, który o wszystkim niby wiedział, ale o niczem dokładnie. Chociaż Arystoteles autorem poematu mieni Homera, był on prawdopodobnie, jak i parodie inne, utworem znacznie późniejszym.

<sup>2</sup> I jedne, i drugie chóry należały do religijnych obrzędów, podobnie jak i pieśni przez nie śpiewane.

zaś każdy z osobna szczegół miał być wykończony, uważajmy sobie za rzecz już znaną; byłoby bowiem za długo może rozwodzić się nad wszystkim oddzielnie.

VII. A roztrząsnąwszy to, chcemy mówić teraz, jaki powinien być układ zdarzeń, gdyż to jest pierwsze i najważniejsze tragedji zadanie. Jest zaś dla nas rzeczą niezawodną, że tragedia jest naśladowaniem czynności skończonej i całej, rozciągłość pewną mającej — bo jest także całość, rozciągłości żadnej oznaczonej nie posiadająca. A całością jest wszystko, co ma początek i środek, i koniec. Początkiem zaś jest to, co niekoniecznie po czemś innym następuje, ale po którym drugiego coś z natury rzeczy znajduje się albo powstaje; końcem przeciwnie jest to, co po czemś innym z natury rzeczy samo znajduje się bądź to koniecznie, bądź zwykłe, a po niem już niczego innego niema: środkiem znowu jest to, co i samo po czemś innym jest, i po niem jeszcze coś drugiego. Pomysły zatem dobrze ułożone, nie powinny ani skądkolwiek bądź zaczynać się, ani na czemkolwiek bądź kończyć, ale do określeń powyżej podanych stosować się powinny. A nadto ponieważ obraz piękny i wszelka rzecz, która złożona jest z pewnych części, nie tylko uporządkowane mieć je powinna, ale i wielkość musi mieć dowolną — piękność bowiem na wielkości i porządku zależy, i dlatego ani obraz zbyt mały nie może być piękny, bo pogląd w niedostrzeżonym prawie czasie powstający miesza się, ani zbyt wielki, bo nie powstaje przytem pogląd, ale dla patrzących znika jedność i całość poglądu, naprzykład gdyby obraz wynosił 1000 staj<sup>1</sup> — dlatego podobnie jak rzeczy i obrazy pewną wielkość mieć muszą, i ona łatwo objąć się dać powinna, tak i w pomysłach rozciągłość pewna być musi i ona łatwo dać się uprzytomnić powinna. Ograniczenie rozciągłości ze względu na współzawodnictwo i na wrażenie sceniczne nie jest rzeczą sztuki. Gdyby bowiem sto tragedyj współzawodniczyć miało między sobą, współzawodniczyłyby przy klepsydrach<sup>2</sup>, jak się to niekiedy mówi. Z istoty zaś rzeczy wynikające określenie, że pomysł obszerniejszy, o ile jasny jest, piękniejszy zawsze będzie co do wielkości — wyrażając się zaś poprostu: wielkość, w jakiej według prawdopodobieństwa albo konieczności zdarza się w następstwie idących po sobie wypadków przejście z nieszczęścia w szczęście, albo ze szczęścia w nieszczęście — takie określenie wielkości dostateczne jest.

VIII. A pomysł stanowi jedność nie wtenczas, jak to niektórzy mniemają, jeżeli jednej osoby dotyczy, na jedno bowiem niezmiernie wiele rzeczy przypada, z których nie cokolwiek bądź razem jedność stanowi. A tak i czynności jednostki liczne są, a z nich żadna jeszcze ich jedności nie wypływa. I dlatego błąd popełniają widoczny wszyscy poeci, którzy «Heraklejdę», «Terejdę» i inne podobne potworzyli poematy. Sądzą oni mianowicie, że ponieważ jeden był Herakles, powinien i pomysł o nim być jednością. A Homer, jak i pod innymi względami odznacza się, tak i w tej mierze trafnie widział bądź przez biegłość w sztuce, bądź przez zmysł wrodzony: tworząc bowiem «Odyseję», nie umieścił w niej wszystkiego, co się Odyseuszowi zdarzyło, naprzykład, że zraniony został na Parnasie, i że szaleństwo udawał podczas zbierania się wyprawy wojennej, z których to zdarzeń żadne nie było koniecznym albo naturalnym skutkiem zdarzenia innego, ale ułożył «Odyseję» na podstawie, jakbyśmy wyrazili się, jednej czynności, a podobnie także i «Iljadę». Jak zatem i w innych sztukach naśladowczych naśladowanie jedno w jedności źródło ma swoje, tak i pomysł, ponieważ naśladowaniem jest czynności, powinien utrzymać w niej tę jedność i całość, a zdarzenia, w skład jego wchodzące, powinny w nim tak być spojone, żeby przez przestawienie albo odjęcie jednej rozerwana i zburzona została całość: bo co przez dodanie albo usunięcie różnicy nie sprawia, nie jest żadną całości częścią.

IX. A z tego, co się powiedziało, i to także jasno wypływa, że nie opowiadanie zdarzeń, jakie zaszły, zadaniem poety jest, ale zdarzeń, jakiby zająć były mogły i jakie są możliwe, czyto z prawdopodobieństwa, czy z konieczności. Historyk bowiem a poeta nie tem się różnią między sobą, że w wierszach opowiadają, albo nie

<sup>1</sup> Niecałe 200 kilometrów (staja = 192 metry).

<sup>2</sup> W sądzie miała każda z procesujących się stron czas do mówienia ograniczony klepsydrą, t. j. zegarem wodnym.

w wierszach, gdyż dzieło Herodota wierszami ułożyćby można i historia pozostałaby niemniej historją jakąś, czyto w wierszach, czy bez nich — ale różnica zachodzi w tem, że jeden opowiada zdarzenia, jak zaszły, a drugi, jakby zająć były mogły. I dlatego jest poezja więcej filozoficzna i głębsza, niż historia, poezja bowiem ogół raczej ujmuje, a historia szczegóły opowiada. A cechą jest ogółowości wskazywać, jak i jakiemu człowiekowi stosownie jest mówić albo czynić coś według prawdopodobieństwa albo konieczności, i do tego właśnie zmierza poezja przez przydawanie imion; a cechą jest szczegółowości wskazywać, co na przykład Alcybjades działał, albo czego doznał. I to też uwidoczniło się już w komedji. Komedjopisarze bowiem, ułożywszy pomysł podług prawdopodobieństwa, imiona potem odpowiednio dokładają, nie biorąc jak jambografowie osób pewnych znanych. W tragedji zaś trzymają się ściśle imion historycznie przekazanych. A przyczyna ta jest, że co możliwe, to wiarogodne; co zatem nie zdarzyło się, w możliwość tego nie wierzymy jeszcze, a co zdarzyło się, to oczywiście możliwe jest: bo gdyby było niemożliwe, nie byłoby się zdarzyło. Wszelako są i w tragedjach niektórych między imionami jedno albo dwa znane, a inne wymyślone; w innych zaś żadne nie jest znane, jak w «Kwiatku» Age-tona<sup>1</sup>. W tragedji tej mianowicie zarówno zdarzenia, jak imiona, są wymyślone, a przecież sprawa ona przyjemność. Dlatego nie należy bezwzględnie trzymać się przechowywanych przez tragedję podań, na których osnute są tragedje ogólnie podziwiane. A jest i śmiesznie trzymać się tego, gdyż rzeczy nawet znane niewielom znane są, a mimo to sprawia sztuka przyjemność wszystkim. Jasno więc pokazuje się stąd, że poeta powinien raczej poetą być w pomysłach, niż w wierszach, o ile poeta jest ze względu na naśladowanie i naśladuje czynności. Chociażby mu zatem przyszło utwór ułożyć na podstawie zdarzeń już zaszłych, niemniej poetą jest: ho z tych zdarzeń niektóre mogą być bardzo dobre takie, jakie prawdopodobnie stać się mogły i były możliwe; o tyle też ów twórca jest w tej mierze poetą. Z pomiędzy zaś pomysłów i czynności prostszych najgorsze są te, które epizodyczne są ułożone. Pomysłem zaś tego rodzaju nazywam taki, w którym epizody nie następują po sobie według prawdopodobieństwa albo z konieczności. I takie utwory dają poeci gorsi sami z siebie, a lepsi — z przyczyny gry teatralnej. Współubiegając się bowiem o pierwszeństwo i rozszerzywszy pomysł wbrew treści nawet, zmuszeni są częstokroć zepsuć porządek. A naśladowanie nie tylko naśladowaniem jest czynności w sobie skończonej, ale także spraw budzących trwogę i litość: to zaś najłatwiej dzieje się, kiedy się dzieje wbrew oczekiwaniu, a jeszcze więcej wtenczas, kiedy się dzieje wbrew oczekiwaniu przez związek zdarzeń — bo nadzwyczajność uwydatni się w takim razie bardziej, niż gdyby bez przyczyny i przypadkowo coś działo się; wszakże i ze zdarzeń przypadkowych te wydają się najwięcej nadzwyczajne, które mają pozór, jakoby z umysłu stały się, jak kiedy na przykład posąg Mitysa w Argos zabił mordercę tegoż, runąwszy na patrzącego; wydaje się bowiem, że to nie przypadkowo stało się. Dlatego pomysły tego rodzaju muszą być piękniejsze.

X. A z pomysłów jedne proste są, drugie zawikłane, gdyż i czynności, których naśladowaniem są pomysły, same już takie są właśnie. Prostą zaś nazywam czynność, w której przebiegu ciągłym i stanowiącym według określenia powyższego jedność, przejście<sup>2</sup> dzieje się bez przelomu albo poznania; zawikłana zaś jest taka, w której dzieje się przejście przez przelom albo poznanie, albo przez jedno i drugie. A wyniknąć to powinno z samegoż układu pomysłu, tak, aby wypłynęło ze zdarzeń zaszłych poprzednio bądź z konieczności, bądź według prawdopodobieństwa. Wielka to bowiem różnica, czy dzieje się coś przez pewne zdarzenia, czy po nich.

*Tłum. St. Siedlecki.*

<sup>1</sup> Age-ton — współczesny Platonowi; tragedia nam nieznaną.

<sup>2</sup> To znaczy zmiana nieszczęścia w szczęście albo odwrotnie; staje się przelomem, gdy osoba działająca w pewnym celu dokona mimowiednie czegoś wręcz przeciwnego, niż to zostało zamierzone, np. poseł koryncki w rozmowie z Edypem w tragedji Sofoklesa «Edyp król». O tem Arystoteles obszerniej niżej.

DEMOSTENES  
(384—322 przed Chr.)PIERWSZA MOWA PRZECIWI FILIPOWI  
w roku 352

(Rozdziały: 1—11; 13—15; 33—37; 40—45; 47—51.)

*Mówca usprawiedliwia swój występ.*

Gdyby na porządku obrad, Ateńczycy, była jakaś nieznaną dotychczas sprawa, wstrzymałbym się, aż większość zwykłych mówców wypowie zdanie; gdyby mi ktoś z nich odpowiadało, nie zgłaszałbym się do głosu; w przeciwnym razie próbowałbym sam wypowiedzieć swe zapatrywanie. Skoro obecnie wypadła debata, w której oni często głos zabierali, myślę, że usprawiedliwione będzie moje wystąpienie z pierwszym głosem. Bo nie trzeba było wam teraz obrad, gdyby uprzednio doradzili należycie.

*Dodaje otuchy i wyjaśnia zasadnicze źródła złego.*

Najpierw nie powinniście, Ateńczycy, zniechęcać się obecnym położeniem, nawet jeżeli ono przedstawia się bardzo nieosobliwie. Najgorszy bowiem grzech przeszłości jest dobrą zapowiedzią na przyszłość. Jakież to grzech? Oto fatalne położenie obecne, Ateńczycy, jest tylko wynikiem zaniedbywania powinności. Alisci nie byłoby nadziei na poprawę położenia, gdyby ono było takie, mimo spełnienia przez nas wszystkich obowiązków. A dalej uprzytomnijcie sobie rzeczy widziane, jak wielką niedawno temu potęgę mieli Lacedemończycy, a mimo to stawiliście im czoło w wojnie sprawiedliwej i uzyskaliście piękny i należyty, a godny przeszłości państwa wynik. Nacóż to mówię? Abyście wiedzieli, Ateńczycy, i mieli na oczach, że jak wam nic nie grozi, jeżeli strzeżecie się, tak nic nie wypada po myśli, jeżeli opuszczacie ręce; weźcie naprzykład ówczesną potęgę Lacedemończyków, którą pokonaliście dzięki gorliwości w sprawach państwowych, oraz obecną butę Filipa, która nas tak niepokoi, skutkiem lekceważenia obowiązków.

Jeżeli kto z was, Ateńczycy, patrząc na ogrom potęgi Filipa i na utratę wszystkich twierdz kolonialnych naszego państwa, sądzi, że Filip jest niezwyciężony w wojnie, sądzi wprawdzie słusznie, ale niech zważy, że mieliśmy niegdyś, Ateńczycy, Pydnę, Potydeę, Metonę, całą tamtejszą okolicę, i że wiele narodów, dziś po stronie Filipa, niegdyś rządziło się samodzielnie i raczej nam sprzyjało, niż jemu. Gdyby zatem Filip był wtedy zdania, że trudno jest pozbawionemu sprzymierzeńców toczyć wojnę z Ateńczykami naprzeciw tylu twierdz wypadowych, nie byłby niczego zajął, ani zdobył takiej potęgi. Ale wiedział dobrze, Ateńczycy, że wszystkie te warownie leżą w pośrodku, jako nagroda dla zwycięzcy w wojnie, i że z natury rzeczy mienie nieobecnych przypada obecnym, własność niedbałych — chcącym trudzić się i ryzykować. To też, mając takie przekonanie, podbił wszystko i posiada, czy to prawem zdobyczy wojennej, czy też pozyskawszy dla przymierza i przyjaźni. Wszakże wszyscy chętnie z tymi zawierają przymierza i z tymi się liczą, których widzą gotowych i chętnych do pełnienia obowiązków. Przynajmniej teraz, Ateńczycy, skoro nie pierwej, zechciejcie być tego zdania, i każdy z was niech da spokój wszelkim wykrętom i będzie gotów do czynu, gdzie tego zajdzie potrzeba i gdzie jego usługi mogłyby być pożyteczne dla państwa: bogacz płacąc nadzwyczajne podatki, młodzież popisowa przez udział w wyprawach, — słowem, zechciejcie być sami sobą i przestańcie snuć nadzieje, że żaden z was nic nie robi, a wszystko zań uczyni sąsiad; wtedy, da Bóg, odzyskacie wasze zaprzepaszczone posiadłości i ukarzą Filipa. Nie sądźcie, że losy jego są niezmiennie i nieśmiertelne, niby boga jakiego, ale i nienawidzi go, i lęka się, Ateńczycy, i zazdrości mu niejeden nawet z najlepszych rzekomo jego zwolenników; należy w nich przypuszczać wszystkie ludzkie uczucia. Wszelako wszystko to teraz przycichło, nie mając widoków z powodu waszej ociężałości i lekkomyślności. Już raz, powiadam, należy z nią skończyć. Bo widzicie, Ateńczycy, do jakiego rozpasania doszedł ten człowiek; nie daje wam ani wyboru między działaniem a spokojem, ale grozi i wygłasza po-



dobno butne mowy, nie może pozostać przy tem, co zawojował, ale ciągle coś dosacza i okraża zewsząd zwlekających i siedzących beczynnie. Kiedyż więc, Ateńczycy, kiedy wypełnicie obowiązki? Co ma stać się wprzód? «Gdy zajdzie, na Boga, jakaś konieczność». A obecne wypadki za cóż należy uważać? Wedle mego zdania, największą koniecznością dla wolnych jest hańba publiczna. Może chcecie, niech mi ktoś powie, chodząc od grupy do grupy, wypytywać się między sobą: «Mówię co nowego?» Wedle najświeższych nowin, Macedończyk zawojowuje Ateny i gospodaruje w Grecji. «Umarł Filip?» — «Nie, na Boga, ale choruje». Czyż wam to sprawia różnicę? Cokolwiek go spotka, szybko zrobicie sobie nowego Filipa, jeżeli tyle będziecie zajmowali się sprawami państwa. I on nietyle wzrósł dzięki własnej sile, ile przez waszą opieszałość.

### *Ogólny zarys planu reform.*

O potrzebie pogotowia dla wszystkich chętnych wypełniać obowiązki powiedziałem tyle, abyscie mogli powziąć przekonanie i postanowienie. Obecnie spróbuję powiedzieć o rodzaju pogotowia, któryby nas uwolnił od takich kłopotów, o liczbie żołnierza, o środkach pieniężnych i pozatem o sposobie najlepszego i najszybszego przygotowania; tylko o to was przedtem poproszę, Ateńczycy, sądzcie dopiero po wysłuchaniu całości, nie uprzedzając mię. Niech nikt mię nie posądza o chęć zwłoki, choćby nawet zdawało się z początku, że mówię o jakimś nowem pogotowiu. Mówienie «dziś!» i «jutro!» nie zaradzi potrzebie, i dziś już nie pomożemy na to, co się stało. Zato wskazanie rodzaju, rozmiarów i źródeł utrzymania pogotowia tak długo, aż zawrzemy czyto pokój porozumienia, czy pokój zwycięski — to nas na przyszłość zabezpieczy od szkód. Wyobrażam sobie, że potrafię przedstawić taki projekt, nie przeszkadzając ewentualnym propozycjom z innej strony. Obietnica to wielka, a da się sprawdzić dowodnie na samej rzeczy i osądzicie ją sami.

### *Korzyści, jakie wynikną z przyjęcia wniosku.*

Ustanowiony przez was pełnomocny dowódca będzie decydował stosownie do okoliczności, jak i kiedy użyć siły zbrojnej; moje wnioski mogą jedynie dotyczyć środków należnych mu od nas. O ile dostarczycie ich, Ateńczycy, to znaczy najpierw pieniędzy, potem reszty pogotowia, t. j. piechoty, trójrzędowców, konnicy, i zobowiązacie ustawą całą tę siłę zbrojną do stałego przebywania na terenie wojennym, i skarbem wojennym będziecie sami zawiadowali i uzupełniali go, a generał będzie przed wami odpowiedzialny za operacje wojenne, wówczas skończy się raz ustawiczne a daremne radzenie nad tem, a nadto, po pierwsze, odbierzecie mu, Ateńczycy, największy dochód. Jakiż to? Łupi żeglarzy i tak z waszych sprzymierzeńców czerpie środki do wojny z wami. A co więcej? Sami uwolnicie się od strat; już nie będzie tak, jak dawniej, kiedy wpadł na Lemnos i Imbros i uprowadził w niewolę waszych obywateli, pod Gerastos zatrzymał statki i wycisnął z nich bajeczne sumy, ostatnio wylądował pod Maratonem i uprowadził stamtąd rytualny trójrzędowiec, wy zaś ani temu nie mogliście przeszkodzić, ani przybyć z pomocą w ustalonym terminie. Ale jak wam się zdaje, Ateńczycy, dlaczego święta Panatenejów i Dionizjów odbywają się zawsze w należnym czasie, bez względu na to, czy komisja, wybierana dla urządzenia tych obu obchodów, składa się ze zdolnych ludzi, czy idjotów; dlaczego wydaje się na nie takie sumy, jak na żadną z wypraw, a zatrudniają one tyle rąk i wymagają takiego aparatu, jak chyba żadna inna rzecz, wszystkie zaś wasze wyprawy, tak do Metony, jak Pogaz, jak Potydei, spóźniają się? Ponieważ wszystko, co się wiąże z obrzędami, reguluje prawo, i każdy z was na długi czas przedtem wie, kto z której dzielnicy wyposaży chór, lub zapaśników, kiedy, od kogo i co należy wziąć i co z tem zrobić; niema żadnego zaniedbania w tych rzeczach, we wszystko wejrzano, wszystko oznaczono. W kwestjach pogotowia wojennego żadnego ładu, składu i nijakiej normy. To też komisję okrętową ustanawiamy dopiero na wieść, wymagającą wysłania okrętów. Członkowie komisji zrzucają swe powinności na innych, szukamy środków finansowych na pokrycie kosztów wyprawy, potem zapada uchwała, by na załogę szli naturalizowani kupcy cudzoziemscy i wyzwolenicy, potem znowu obywatele, potem ażeby każdy

obywatel miał prawo za siebie dostarczyć człowieka. Tymczasem w mitrędze marnuje się przed dojściem do skutku wyprawy to, co miało ocaleć przez wyprawę; czas działania zużywamy na przygotowanie, a sposobności polityczne nie czekają na naszą powolność i udawanie. — — Wy, Ateńczycy, macie największą w Grecji potęgę: trójrzędowce, rycerstwo, konnicę, dochód pieniężny; z tego wszystkiego niczego podziś dzień nie użyliście należycie, ale w wojnie z Filipem w niczem nie różnicie się od dzikich bokserów: uderzony bowiem dziki bokser, zawsze trzyma się za ugodzoną część ciała, trafisz go z drugiej strony, on tam z rękami, nie umie, ani nie chce zasłaniać się i patrzeć na przeciwnika. I wy na wieść, że Filip w Chersonesie, uchwalacie pomoc tam, że w Pilach, to tam, że gdzie indziej —; biegacie tam i napowrót za nim, i on wami komenderuje; nie macie żadnego korzystnego planu wojny, nie przewidujecie niczego przed wypadkiem, ale czekacie, aż dowiecie się o nim, albo podczas niego. Może przedtem to uchodziło; teraz, w momencie krytycznym, niepodobna tak dalej.

Zdaje mi się, że jakiś bóg, Ateńczycy, ze wstydu na praktyki w naszym państwie, natchnął tą energją Filipa. Gdyby zechciał spokojnie siedzieć na tem, co podbił (nie czekając na nas), i nic więcej już nie działał, niektórzy, myślę, zadowoliliby się tem; wtedy ściąglibyśmy na siebie hańbę publiczną, zarzut zniewieściałości i wszelkich innych sromot. Tymczasem coraz nowemi zakusami o korzyści możeby nas i sprowokował, gdybyście nie byli w zupełności zrezygnowali. Dziwię się co do mnie, że nikt z was, Ateńczycy, nie widzi — a powinno mu to dać coś do myślenia i conieco go oburzyć — że zaczęliśmy wojnę o zemstę nad Filipem, a pod koniec bronimy się już tylko przed nim. Ależ to widoczne, że, niezatrzymany, sam nie stanie w miejscu. Mamy na to czekać? Myślicie, że wszystko jest w porządku, jeżeli wyślecie próżne trójrzędowce i czyjeś tam obietnice? Nie wsiądziemy na okręty? Nie wyruszymy sami z jakąś częścią własnych żołnierzy choćby teraz, jeżeli nie pierwiej? Nie popłyniemy na jego kraj? Usłyszałem pytanie: «Gdzież staniemy na kotwicy?» Wojna, Ateńczycy, sama wyszuka dziury w jego polityce; weźmy się tylko do niej; siedzeniem w domu, słuchaniem przewisk i wzajemnych oskarżeń mówców nie dopniemy niczego; a potrzeba. Dokąd wyprawia się część obywateli, nawet nie wszyscy, tam w walce po ich stronie staje, myślę, przychylność bogów i losu; dokąd zaś wyślecie jenerała, pustą uchwałę i krasomówcze obietnice, nie dzieje się nic należytego, wyśmiewają się nieprzyjaciele, sprzymierzeńcy są w śmiertelnym strachu przed takimi wyprawami. Jakżeż temu koniec położyć? Zróbcież wy, Ateńczycy, tych samych ludzi żołnierzami i świadkami czynności dowództwa, a po powrocie do kraju sędziami sprawozdań; w ten sposób nie tylko będziecie słyszeli o własnych sprawach, ale naocznie je będziecie oglądali. Dziś do takiej hańby dochodzą nasze rządy, że każdy z jenerałów ma przed wami dwa do trzech procesów gardłowych, wobec nieprzyjaciela zaś żaden z nich nie śmie ani nawet razu narazić życia, ale nad godny przenoszą śmierć handlarzy niewolnikami i rzezimieszków; bo złoczyńca ginie za wyrokiem, jenerał w walce z nieprzyjaciółmi. Latamy od jednego do drugiego, i jedni opowiadają, że Filip w lidze ze Spartanami knuje zagładę Teb i waśni republiki, inni, że wysłał poselstwo do króla perskiego, ci znowu, że buduje twierdze w Ilirji, tamci — obchodzimy całe miasto z plotkami. Wierzę ja wprawdzie, Ateńczycy, że, dalipan, tego człowieka oszałamia ogrom sukcesów politycznych i wiele takich mrzonek musi mu błąkać się po głowie na widok zupełnego opuszczenia i wobec braku przeszaków, że go rozpięra powodzenie w dotychczasowej działalności, ale chyba, dalibóg, takich planów nie układa, aby najgłupszy u nas znalazł jego zamysły; boć najgłupszy są plotkarze. Natomiast uwolnimy się od pustego gadania i zdobędziemy należyty pogląd, o ile zrozumiemy, że ten człowiek jest naszym wrogiem, że wydziera nam nasze dobro i oddawna naigrawa się z nas, że wszystkie nasze nadzieje w nim pokładane obróciły się wkońcu przeciw nam samym, i pozostaje nam jedynie polegać na nas samych, że o ile teraz nie będziemy chcieli tam prowadzić wojny, przypuszczalnie będziemy zmuszeni uczynić to samo u siebie w kraju. Nanic dociekać, co się stanie kiedyś — można wiedzieć na pewno, że nic dobrego, jeżeli nie będziecie przykładali się ochotnie do obowiązków.

*Zakończenie; mówca zastrzega się przed gniewem stronnictw.*

Nigdy wogóle nie byłem skłonny do pochlebstw bez przekonania o korzyści; tak i teraz powiedziałem moje zdanie szczerze, bez ogródek i poprostu. A jak wiem, że na korzyść wam wychodzi słuchanie dobrych rad, tak chciałbym wiedzieć, że i dawanie dobrych rad wyjdzie na korzyść dobremu doradcy. Byłoby mi daleko przyjemniej. Tymczasem niewiadomo, co mię spotka za to; wszelako wolę mówić choćby dla samego tylko przekonania o pożytku, płynącym dla nas z wykonania mych wskazówek. Ale niechże weźmie górę to, co ma wypaść naprawdę wszystkim na pożytek.

*Tłum. Jerzy Kowalski.*

## TEOKRYT

(wiek III przed Chr.)

## SIELANKI (IDYLLE)

## Sielanka II: Czary

*Komnata kobieca; młoda pani domu z niewolnicą, zajęte urządzaniem czarów; okolica podmiejska, w pobliżu morza.*

Gdzie wawrzyny, Testylo? Znieś je!... Gdzie są maście?  
 Uwieńcz mą czarę runem owcy purpurowem!  
 Lubego dręczyciela ja chcę czarów słowem  
 Wywołać. Nędzny! nie był u mnie dni dwanaście,  
 Nie wie nawet, czy żyję, czy umarłam. Srogi!  
 I do drzwi nie zapukał moich. W inneż drogi  
 Afrodyta i Eros zwiedli lekkoducha?  
 Do szkoły Tymageta pójdę jutro rano,  
 Zobaczą go; niech moich wyrzutów posłucha;  
 A teraz zrobię czary. Świeć pięknie, Selano!  
 Bo do ciebie, bogini, zwracam śpiew tajemny  
 I do tej, co przy straży, Hekaty podziemnej,  
 Kiedy po zgłiszczach trupów, po krwi czarnej, w nocy  
 Stąpa. Cześć ci, Hekato! Pomóż mi, a wtedy  
 Trucizny, które sprawiam, będą równej mocy,  
 Jako Medei, Cyrcy, plowej Perymedy.

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
 W ogień nasamprzód mąka. Syp ją, niegodziwa  
 Testylo! Cóżto dzisiaj rozumu ci zbywa?  
 I ty jeszcze, zbrodniarko, urągasz mi w złości?  
 Syp i mów to: «Delfisa rozsypuję kości!»

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
 Delfis mnie zdręczył: wawrzyn nad Delfisem palę:  
 A jak go z trzaskiem ognia pożerają fale  
 I spłonął, że popiołu po nim nie zostało,  
 Tak niechaj i Delfisa w ogniu spłonie ciało!

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
 Jak ja wobec bogini roztapiam te włoski,  
 Tak niech Mindyjski Delfis z miłości topnieje;  
 Jak krąg miedziany, wołą Afrodyty boskiej  
 Wiruje — on niech dąży pod moje wierzeje!

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!..  
 Teraz otręby!... Wszystko na ziemi i w piekle  
 Niezgięte, Artemido, ty uginasz śmieie.

Testylo, słuchaj!... W mieście psy szczekają wściekle:  
Bogini na trójdrożu stanęła... bij w żale!

Srowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Umilkło morze, milkną płomienie paliwa,  
Lecz nie umilkła boleść, którą wre me łono:  
Ja dlań goreję cała, choć on — nieszczęśliwa! —  
Nie małżonką, lecz dziewczką zrobił mnie spodloną.

Srowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Trzykroć zlewam i trzykroć powtarzam, bogini!  
Czy kobieta, czy młodzian jemu zadość czyni,  
Niech zapomni, jak niegdyś, tam na Dii, zdradnie  
Terej o pięknowłosej zapomniał Arjadnie.

Srowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Rośnie w Arkadji szalej: źrebięta czy klacze,  
Gdy połkną, każde dziko po parowach skacze.  
Tak bodaj Delfis prosto ze szkoły wspaniałej  
Tu do mojego domu pędził oszalały!

Srowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Strzęp od obszewki, spadły z Delfisa tuniki,  
Szarpie i na płomienne wyrzucam języki.  
Erosie straszny! przecz się wpiłeś w moje ciało,  
By, jak pijawka z bagna, krew mi wyssać całą?

Srowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Utrę jaszczurkę: napój jutrzejszego ranka  
Z niej ci przyrządę. Zbierz te maści i tajemnie,  
Testylo, namaść zgóry jego próg. Z miłości  
Ja dlań jeszcze przepadam, choć on szydzi ze mnie.  
Smarując, mów: «Delfisa ja namaszczam kości!»

Srowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
(*niewolnica odchodzi*).

Teraz ja sama. Spłakać łzy miłości mojej  
Chcę. Skąd zacząć? Gdzie źródło moich niepokoi?...  
Eubulejowa córko, Anakro, wybranka,  
Do gaju Artemidy, jako przodownica,  
Szła z koszem, przy niej zwierząt różnych lik i lwica.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Teumarys, mamka z Tracji — już ją pochowano —  
Mieszkająca drzwi we drzwi, gorąco mnie wzywa  
Abym szła na ten obchód: idę, nieszczęśliwa,  
Strojna w piękne z bisioru gźło, i powłóczysty  
Zarzuciwszy na siebie płaszczyk Klearysty.

Skąd poszła miłość ma, zważ, zacna Selano!  
W pół drogi, gdzie do domu Likona się schodzi,  
Spojrzą: idą Eudamip i Delfis, dwaj młodzi,  
Z brodą, jakby złocenia puszkciem osypaną,  
Piers ich świeciła jaśniej niż twoja, Selano;  
Tylko co gry szlachetne w szkole opuścili.

Skąd poszła miłość moja, dowiedz się, Selano!  
Spostrzegłam; zawrót w głowie zdjął mnie w jednej chwili  
Nieszczęsną; już na obchód patrzeć się nie chciało.  
Jak do domu wróciłam, nie wiem; lecz w niemocy  
Jakaś straszna gorączka ogarnęła ciało,  
I w łóżku przeleżałam dziesięć dni i nocy.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Często żółcień dziewczanny oblewał me ciało,  
Włosy pelzły na głowie, i nic nie zostało,

Jedno skóra i kości. Gdzie nie wysyłano,  
U jakiej ja nie byłam wróżki! Odczyniała.  
Ale bez żadnej ulgi, a czas mknął jak strzała.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Tedy słowem prawdziwym wzywam niewolnicę:  
Testylo! znajdź ty sposób na moją tęsknicę:  
Mindyjczyk opanował mnie całą. Idź w stronę  
Szkoły Tymagetosa: jest to ulubione,  
Uważaj, jego miejsce, gdzie bywa co rano.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano,  
A gdy ujrysz samego, skiń, i powiedz skromnie:  
«Wzywa ciebie Symeta» — i sprowadź go do mnie.  
Tak rzekłam. Ona poszła, i Delfis wspaniały  
Przyprowadzon. Gdy oczy go moje ujrzaly,  
Kiedy próg mego domu przekraczał wesolo...

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Śniegowe zimno przeszło po mem ciele, czolo  
Rzęsisty pot oblewał jak kroplami rosy.  
Słowa nie mogłam wyrzec, ni tyle, co głosy  
Śpiących dzieci, gdy matkę wzywają kochaną.  
Skostniałam, wyglądałam na kukłę woskową.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
On miłośnie spoglądał ze spuszczoną głową,  
Usiadł na skraju łoża i rzekł słowem miłem:  
«Iście, Symeto, tyś mnie prześcigła, jedyna,  
Jak ja tylko co w biegu pięknego Filina,  
Pod dach swój mnie przyzwawszy, nim sam podążyłem».

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
«Przez słodkiego Erosa! szedłbym już tu — może  
Z trzema, czterma druhami, o podnocnej porze,  
W zanadrzu dzierżąc jabłka Bachusa, a z głową  
Zdobną w topole, świętą gałąź Heraklową,  
Purpurowemi wstęgi dokoła przetkaną...»

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacno Selano!  
«Gdybyście mnie przyjęły — szczęście!... Bo mnie zowią  
Pierwszym w grach i we wdzięku wśród całej młodzieży;  
Jeden twój pocałunek... spokój jak należy.  
Lecz gdybyście przede mną drzwi zatrzaśły, wtedy  
Topórby z pochodniami przyczynił wam biedy!»

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
«Wzniosłej naprzód Cyprydie składam dzięki; po niej  
Tobie, luba niewiasto, żeś mnie, w swej ustroni  
Wpół spalonego żarem przyjąwszy uprzejmie,  
Ocaliła: gdy Eros ogniem swym obejmie,  
Często od Hefajstosa goręcej dopieka».

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
«On w szale młodą pannę z świetlicy wywleka,  
Z ciepłej jeszcze pościeli rwie od męża żonę». —  
Tak mówił. Jam go wzięła za rękę i w stronę  
Miękkiego, łatwowierna, łoża skierowała.  
Rozkosznie obok siebie legły nasze ciała,  
Twarze spłonęły, szeptem szła rozmowa cała.

Nie będę ci, Selano, dalszej treści snuła.  
Stało się; nasz wzajemny zapał uśmierzony,  
Zarzutów ani z jego, ani z mojej strony  
Nie było aż do wczoraj. Lecz przyszła sąsiadka,

Meliksy i Filisty, tej fletnistki, matka,  
 Kiedy konie, ku niebu wznosząc się dziś rano,  
 Ciągnęły z oceanu Jutrzenkę różaną.  
 Gadała dużo: straszne Delfisa kochanie;  
 Lecz w kobiecie rozkochan on jest, czy w młodzianie,  
 Niepewna; to wie tylko, że on na cześć swojej  
 Miłości wypił wina czarę, potem żywo  
 Wybiegł i dom kochany wieńcem kwiatów stroi.  
 Tak mówiła, a w mowie jest zawsze prawdziwą.  
 Trzy, cztery razy bywał u mnie; dla pamięci  
 Dorycką mi zostawiał banieczkę, w niej maście;  
 Aż oto nie widziałam go już dni dwanaście.  
 Czy zapomniał, czy inna przyjemność go nęci?...  
 Gdy nie przestanie dręczyć — w tem czarów mych sztuka —  
 Na Mojry! do bram piekła wkrótce on zapuka.  
 Takie to straszne jady ta cysta zamyka,  
 Które, Pani, nabyłam od Asyryjczyka.  
 Żegnaj cię. Zacna, skieruj w ocean rumaki;  
 Ja, jak byłam, zostanę w niedoli jednakiej.  
 Żegnaj, świetna Seleno! żegnajcie mi, gwiazdy,  
 Wy, towarzyszk! nocy wśród łagodnej jazdy!

#### Sielanka V: Walka śpiewacza

*Spotykają się na pastwisku dwaj pasterze najemni i odrazu wybuchają ku sobie niechęcią, zarzucając wzajemną kradzież. Komatas, kozłarz, służy u pana, pochodzącego z miasta Turje; Lakon — u pana z miasta Sybarys. Te dwa miasta były dla siebie stale nieżyczliwe.*

*Osoby: KO = Komatas, LA = Lakon.*

- KO. Uciekajcie stąd, kozy! Z Sybary owczarz siadł,  
 Lakon, który mi wczoraj skradł skórzane okrycie.
- LA. Owce, precz z nad Krynicy! Stoi kozłarz, widzicie,  
 Konatas! który piękną fletnię mi niedawno skradł.
- KO. Jaką fletnię? czy kiedy, parobku Sybirtowy,  
 Robiłeś sobie fletnię? Niedosć — że tobie już  
 Dudleć tam, z Korydonem, na puszczalce trzciniowej?
- LA. Którą dał mi wždy Likon, pocziwczę mój. I cóż?  
 Jaką skórę-ć wziął Lakon, gdy nawet Eumer sam,  
 Twój pan, wszak nie miał skóry, w którejby spał? To kłam!
- KO. Którą dał mi Krokilos, z kozy czyniąc objaty  
 Nimfom, gdyś ty, niedobry, zielonych dostał płam  
 Ze złości i zdołałeś pozbawić mnie tej szaty.
- LA. O, przez Pana wybrzeży! Syn Kaletydy wcale,  
 Lakon, skóry ci nie brał. Wierz, człeku, albo w szale  
 Z tej skały, jak mnie widzisz, rzucę się w otchłań Kraty!
- KO. Klnę się na wszystkie nimfy wodne! Bodaj tak były  
 Życzliwe i łaskawe dla mnie, jakom ja — miły  
 Druhu, tobie twej fletni nie zabrał potajemnie!
- LA. Gdybym ci wierzył, zdjęłyby mnie Dafnisa bole!  
 Stawiaj kozłátko w zakład (od świętych słów to wołę!):  
 Śpiewam z tobą, aż zmlkniesz, zwyciężony przeze mnie.
- KO. Walki świni z Ateną!... Patrz, kozłátko już stoi.  
 Teraz kolej na ciebie: postaw tu tłuste jagnię!

- LA. Pięknieś, widzę, porównał nas w przezorności swojej!  
Kto chce strzyc sierść miast wełny? Kto jaką sukę brudną  
Miast koziczki po pierwszym porodzie rad wydoi?
- KO. Wszak chelpisz się, że innych zwyciężać ci nietrudno,  
I brzęcząc tak jak osa, udać konika chcesz?  
Za liche ci kozłatko? To choć i kozła bierz!
- LA. Cóż śpieszysz? Toż ci ogniem w nogi nie pali. W gaju  
Pod cieniem drzew oliwnych wszakże milej ci będzie  
Śpiewać. Siadaj nad chłodną wodą tego ruczaju,  
Na traw i mchu kobiercu, gdzie muszki tną wszędzie.
- KO. Nie śpieszę, lecz to przykro, że ty mi prosto w twarz  
Spoglądasz tak zuchwale — którego, gdyś był mały,  
Uczyłem pięknych rzeczy. Otóż to wdzięczność masz!  
Chowaj szczenięta wilki, by potem rozszarpały!
- LA. Czym uczył się, lub słuchał, myśl mi nie przypomina  
Twych nauk, zazdrośniku. Płytki z ciebie człeczyna.
- KO. Gdy przemawiał, to ciebie zdejmował bólu szal;  
Więc kozy moje w bek, i kozieł też na kiel brał.
- LA. Obyś pogrzebion był niegłębiej od twojej przemowy,  
Garbusie! Teraz chodź i pocznij w rytm sielankowy.
- KO. Nie pójdę. Tu cyprysy, dęby rosna dookoła,  
Tu pośród ulów z miłym brzękiem podlata pszczoła,  
Z dwóch źródeł płyną chłodne strumyki, wszystkie drzewa  
Pełne rozgwaru ptaków, cienia nierównie więcej  
Niż u ciebie, a pinja orzechy swe rozsiewa.
- LA. Lecz tam po wełnie owczej stąpasz i po jagnięcej,  
Miększej od snu. Skór kozich zapachów niema tam:  
One wonieją brzydko, ach, gorzej niż ty sam!  
Dla nimf postawię sporą czarę świeżego mleka,  
Druga podobnież, pełna słodkiej oliwy, czeka.
- KO. U mnie miękkiej paproci, wszedłszy, ujrzysz przestworze,  
Kwitnący polej; kozie skóry tobie rozłożę,  
Od twych jagnięcych skór i owczych miększe daleko.  
W ośmiu kształtnych donicach stawię Panowi mleko  
I miodu w pełnych plastrach postawię osiem kruz.
- LA. Puśćmy się więc w zawody. Ty śpiew poczynaj już.  
Wybierz, jakie chcesz miejsce, pod swoim dębem stań,  
Lecz sędzią kto? Likopas, wolarz. Zgadzasz się nań?
- KO. Bynajmniej się nie zgadzam. Ale spostrzegam zdala  
Na polu twem tnącego krzaki na opał drwala,  
To Morson jest. Możemy wezwać go, jeśli chcesz.
- LA. Wezwijmy.
- KO. Ty go wezwij.
- LA. Człowieku! Słuchaj! Śpiesz!  
Zajdź tu. My idziem w zakład, kto z nas lepszym śpiewakiem.  
Ty mnie, Morsonie dobry, nie z łaski sądz, lecz też  
I jego nie podwyższaj przychlebne słowem jakim.
- KO. Tak, przez nimfy, Morsonie. Dla mnie ty względu nie miej,  
Lecz i jego względami nie obdarzaj żadnemi.  
Oto owce Sybirty iuryjskiego; tu zasię  
Eumara Sybaryty kozic, widzisz, gromada.
- LA. Kto pyta, czy Sybirty, czy to moje są stada?  
Na Zcusa, niecnym jesteś gadułą, Komatosie!
- KO. Ja, luby, chodzę prawdą, obce mi są wykręty  
Gwoli przechwałkom; ty zaś szczekasz jak wynajęty.

- LA. Śpiewaj, jeśli masz śpiewać, i zakończ to gadanie,  
A gościa wypuść żywym do domu. O, Peanie!..
- KO. Mnie nad Dafnisa, śpiewaka, Muzy kochają. Ja za to  
Świeżo im z dwojga kozłatek podziękowałem objatą!
- LA. Mnie upodobał Apollo. Za szczęście, co mnie spotyka  
Na nadchodzące Karneje, ja mu hoduję tryka.
- KO. Prócz dwóch kóz, inne dwurodne ja doić powinność mam;  
Co widząc, dziewczę mi mówi: Biedny, ty doisz je sam?
- LA. Eh, eh! Ja mogę dwadzieścia serem napelnić ci koszy.  
A tam, na polu kwiatowem, z chłopcem doznają rozkoszy.
- KO. Gdy ja przepędzam me kozy, to Klearysta się za nie  
Chowając, rzuca mi jabłka i ciche, lube wyzwanie.
- LA. Na mnie, gdy mój gładkolicy, Kratydas spojrzy, a szyję  
Jasne splotą kędziory, lubość do głowy mi bije.
- KO. Ej! nigdy nie dorównają w pięknie sasanki i głogi  
Różom o pełnym kielichu przy żywopłotach u drogi.
- LA. Inny żółędzi na dębie, a inny jabłka jest ród:  
Tamta łupinę ma twardą, to słodkie bywa jak miód.
- KO. Ja wkrótce dla mej dziewczyny białą turkawkę dostanę,  
Której tam w krzakach jałowcu widziałem gniazdo usłane.
- LA. Przy strzyży owiec ja wełnę najmniejszą wybiorę sam,  
I tą podszyty od zimna płaszcz Kratydasowi dam.
- KO. Precz kory do oliwników! Ruszajcie paść się tam, w stronie  
Łękowatego pagórka. Do towarzyszek, na błonie.
- LA. Precz od tych dębów. Cymeto! ruszaj stąd i ty, konarze,  
Za Falarosem tam idźcie, paść się na wschodnim obszarze.
- KO. Mam dzban z cyprysu do mleka, i kubek stoi do dzbana,  
Roboty Praksytelesa: posiadzie to ukochana!
- LA. Mam psa owczarka, potwora, co wilka zębami bierze:  
Chłopcu go memu daruję; postrach na każde to zwierzę.
- KO. Szarańczo, która przez płoty na moje ciśniesz się grzędę,  
Oszczędzaj mych winorośli: zaledwie puszczają pędy.
- LA. Koniki polne, widzicie, jak dręcą tego kozłarza;  
Zupełnie jak wam żniwiarzów przy pracy dręczyć się zdarza.
- KO. Nie cierpię ja ogoniastych lisów, co w grzędę Mikona  
Wkradają się wieczorami, dojrzałe zrywając grona.
- LA. Mnie zaś są wstrętne chrząszczyki, które na figi Filondy  
Siadają, póki powietrzne nie pozwiewają ich prądy.
- KO. Pamiętasz, jakem cię grzmotnął, żeś przytknął, zwinął się w kłęb,  
I pięknie robiąc bokami, pod ten schronieś się dąb?
- LA. Nie, tego ja nie pamiętam, ale jak ciebie raz siłą  
Eumar przewiązał i smagał, to mi w pamięci utkwiło.
- KO. Czujesz, Morsonie, tu ktoś się gniewem unosi bez miary?  
Idź śpiesznie wyrwać cebulę z grobu jakieś wiedzmy starej.
- LA. Widzisz, Morsonie? Ktoś tutaj słowa me bierze zbyt czule:  
Pokwap się, by z pod Hadesu z korzeniem wykopać gdulę.
- KO. Chimero, splywaj mi mlekiem! a ty swe, Krato, poniki  
Na wino zmień purpurowe; owoc niech wyda ślaz dziki!
- LA. Miodem mi splyń, Sybarytys! a kiedy dzień się poczyna,  
Zamiast twej wody, patokę niech wiadrem czerpie dziewczyna!
- KO. Szczodrzeniec i tłusta trawa paszą dla moich jest koz;  
Po miękkim sicie stąpają; podściółką jeżówek stos.
- LA. Ja me owieczki nakarmiam melisą wręcz wyborową,  
Mam też i bluszczów obfitość rozkwitających różowo.
- KO. Nie lubię Alcypy. Gdym jej gołębia dał, ona sucho  
Przyjęła, bez pocałunku; tylko szczypnęła mnie w ucho.



- LA. Ja bardzo kocham Eumeda. Kiedym mu fletnię mą brzmiającą  
Świeżo darował, oh! jakże mnie ucałował gorąco.  
KO. Lakonie! sroce z słowikiem o lepszą isć nie wypada.  
Ni puszczycowi z łabędziem: tobie najmilsza jest zwada.

MORSON (*sędzia:*)

Zakończ, owczarzu! Jagnię tobie, Komatasie,  
Przyznaję. Lecz gdy nimfom poświęcić je w czasie  
Zamierzysz, myśl, że Morson także mięso jada.

- KO. Pośle-ć, na Pana! Zadrżj z radości, kóz trzodo!  
A ja ze śmiechu, patrzcie, trzymam się za boki:  
Śmiać mi się chce z owczarza, iżem mu nagrodą  
Zabrał jagniątko; skakać gotowym w obłoki.  
Cieszcie się, krętorogie kozy! Zobaczycie.  
Jutro was wszystkie skąpie w rzece, Sybarycie.  
Precz, ty biały rogaczu! Jak mi dotkniesz której  
Z koziczek, to ci wprzódę wezmę się do skóry,  
Nim jagnię oddam nimfom. Stój, bo łupnę w szyję!  
I będę Melantjasem, jeśli cię nie zbije!

*Tłum. K. Kaszewski.*

## PLUTARCH Z CHERONEI

(45—125 po Chr.)

### ŻYCIORYS TEMISTOKLESA

(Rozdziały: 1—7; 11; 12; 14; 15; 19; 20.)

Ród Temistoklesa nie był tak znaczny, aby mu do sławy pomagał. Ojcem jego był Neokles, nie z pośród najślawniejszych Ateńczyków, z gminy Frear, okręgu Leontis, matka jego uchodziła nie za obywatelkę, lecz za niewiastę przychodnią... Wszyscy się na to zgadzają, że od młodości okazywał dowcip niepospolity, przezorność, odwagę i śmiałość. Z naturalnej skłonności brał się do wielkich czynów. Młodzieniaszek, w wolnym czasie od nauki, nie jak inni na próżnowaniu albo igrzyskach czas trawił. Spostrzegano, że zawsze coś myślał i rozważał: to mowę jaką układał na obronę, to na skargę którego z współrodziców. Dlatego mu często mawiał jego nauczyciel: «Moje dziecię! nic miernego z ciebie nie będzie, lecz albo co bardzo dobrego, albo bardzo złego»... Jakoż tego wszystkiego, co należy do obyczajności, do układności, zabawy i przyjemności, nie uczył się z chęcią i bez trudności; ale co tylko zaleca roztropność, pomnaża światło, doskonalili rozsądek, co go mogło uczynić zdolnym do działania w Rzeczypospolitej, tego się z wielką pilnością i chciwie uczył, w tem nawet nad swój wiek postępował. Szedł jedynie za swym genjuszem i nie wątpił, że go w odpowiednim czasie użyje. Stąd potem, gdy w towarzyskich posiedzeniach od polderniejszych i umiejętniejszych ściągał na siebie przymówki, że się nie umiał grzecznie i przyjemnie w obcowaniu znajdować, żarty i przycinki śmiałymi i zuchwałymi nawet słowy odbijał: «Nie umiem, prawda, strun nawiązać, ani grać na lutni nie umiem. Ale dajcie mi najmniejszy kraj, albo nieznaczące miasteczko, potrafię mu zrobić sławę i wielkie imię»...

W pierwszych zapędach burzliwej młodości pokazał się niejednostajnym i bez żadnego pomiarkowania, bo się cały puścił za żywością przyrodzenia swojego, którego ani rozum, ani edukacja nie powściągnęły. Dlatego się zagnęła nieraz zupełnie odmienił, a częstokroć na gorsze. Z tem się sam potem nie tał, mówiąc, że z najtwardszych źrebców często się najlepsze konie za umiejętność dobrego jeźdźca układają...

Wcześniej i z niepomiernym młodego wieku zapałem zaczął wchodzić w sprawy publiczne. Rządziła nim zawsze i unosiła go nadzwyczajna chęć sławy, dla której do-

bijając się o pierwsze miejsca, naraził się nienawiści możnych i przedniejszych obywateli. Osobliwie zaś we wszystkim przeciwnego miał Arystydesa, syna Lizymacha... Różność ich życia i obyczajów tę przeciwność sprawiła. Bo Arystydes, mąż charakteru łagodnego i cnoty doskonałej, nie szukał w urzędowaniu ani łaski u ludu, ani własnej chwały; zawsze na celu miał ogólny pożytek, sprawiedliwość i bezpieczeństwo powszechne. Często musiał się więc sprzeciwiać niespokojnemu Temistoklesowi, który do wielu rzeczy lud podzegał, wiele nowości zamierzał: przetoż tamten jego wziętości zawsze na przeszkodzie stawał. Tak się bowiem Temistokles do sławy, mówią, zapalił, i taką żądzą wielkich czynów był zdjęty, że w młodszym daleko wieku, gdy po zwycięstwie maratońskim, nad Persami odniesionem, brzmiały we wszystkich ustach pochwały Miltjadesa, Temistokles bywał zamyślony i nocy bezsenne trawił; nie znajdował się według swego zwyczaju na westach i towarzyskich rozrywek poprzestał. Zdziwieni przyjaciele, gdy się go o tak nagłą odmianę zapytywali, odpowiadał, że mu spać nie daje zwycięstwo Miltjadesa. A tak, gdy inni Ateńczycy klęskę perską na polach maratońskich pospolicie mieli za koniec wojny, on przeciwnie rozumiał, że to tylko było początkiem i zadatkiem większych bojów i trudów, do których się i sam wcześniej przygotować umyślił. Baczny młodzieniec zdaleka przewidywał, co miało nastąpić.

W tym celu naprzód, kiedy Ateńczycy mieli w zwyczaju dzielić między siebie dochody z gór kruszcowych w Attyce, Laurjon zwanych, odważył się mocno przekładać, że całkiem należy tego działu zaniechać; raczej za te pieniądze wystawić flotę na wojnę eginecką, którą podówczas Grecja zagrożona była. Eginetowie swemi okrętami morza okrywali. Z tego powodu Ateńczycy łatwiej na jego podanie zezwolili, niżby to dla obawy wojny z Darjuszem i Persami czynić mieli. Daleko byli Persowie, nie sprawiali jeszcze znacznej bojaźni; przeciw Eginetom zaś trwał gniew i zapal. Potrafił go Temistokles bardziej jeszcze rozniecić i rozżarzyć. Dokazał tedy, że z pomienionych pieniędzy kruszcowego dochodu przygotowano dziesięć okrętów o potrójnym rzędzie wiosel. Bardzo dogodnie tej floty użył na wojnę perską przeciw Kserksesowi. Odtąd już zwolna i nieznacznie całą chęć i usilność do żeglugi obrócił. Okazał bowiem ziomkom, że na lądzie równemu w siłach mocarstwu oprzeć się nie zdołają; przy flocie zaś i Persów mogą pokonać, i otrzymać panowanie nad Grecją. Tak więc, jak mówi Plato, z wojska lądowego zrobił morskie, a żołnierzy przerobił na majtków. Ściągnął też na siebie przymówkę, że wytrącił z rąk Ateńczykom tarczę i dzidę, a dał im wiosła. Wszakże jego zdanie wbrew sprzeciwom Miltjadesa przyjęte było. Czy zaś przez to skaził charakter i obyczaje Rzeczypospolitej, albo nie, zostawiam do rozważenia tym, którzy się głębiej w takowe rozprawy zapuszczają. Ale niezawodnie pod ten czas flota Grecję zbawiła. Ateny, ku upadkowi nachylone, jedynie morską siłą wyparte zostały. Prócz innych dowodów, sam Kserkses tak sądził. Zwyciężony bowiem na morzu, a w lądowym wojsku nieuszkodzony, zaraz się cofnął, zostawiwszy Mardonjusza, raczej, jak mi się zdaje, na wstrzymanie Greków od pogoni, aniżeli na ich zawojowanie...

Nie było człowieka równej mu ambicji. Bo jeszcze młodym będąc i nie mając żadnej wziętości, prosił muzyka, nazwiskiem Epikles, rodem z Hermjony, który był w wielkim szacunku w Atenach, aby w jego domu szkołę swoją założył, żeby codziennie liczne zgromadzenie u siebie mógł miewać. Na igrzyskach olimpijskich w okazałości dworu, wytwności stołu, wspaniałości namiotów i innych kosztach młodego Cymona, znacznego domu w Atenach, starał się przewyższyć. Nie podobalo się to Grekom. Bo co było przyzwoitością dla Cymona, w tem Temistokles, naówczas nieznaczny i nieznajomy, nie powinien był nad swój stan i majątek przesady szukać. Łożąc atoli koszt na granie tragedji, gdy ten rodzaj widowiska był najciekawszy i w największej okazałości zostawał, przed innymi otrzymał pierwszeństwo. Z tego zwycięstwa tak był rad, iż na pomniku zwycięstwa dał zrobić napis: «Choregiem był — Temistokles z Frear, Frynich autorem tragedji, Adejmantos archontem». Z tem wszystkim ludowi był miły, że każdego umiał po imieniu nazywać; w sporach obywatelskich sprawiedliwy rozjemca. Kiedy już był archontem i czegoś niesłusznego po nim wymagał poeta Symonides z Ceos, tak mu odpowiedział: «Anibys ty nie był dobrym poetą, gdy-

byś przeciw regułom poezji wiersze pisał, ani ja dobrym urzędnikiem publicznym, gdybym ci co nad prawo pozwał». Drugi raz żartował z tegoż samego: «Nie musisz mieć rozsądku — rzecz — kiedy szarpiesz obywateli tak znacznego miasta Koryntu, a tak brzydkim będąc, każesz się malować». Doszedłszy wreszcie do wziętości i przewagi w Rzeczypospolitej, wziął górę nad Arystydesem tak, że ten uległ ostracyzmowi.

Z powodu odebranych wiadomości o wyprawie Persów na Grecję, zgromadzeni Ateńczycy naradzali się o wyborze wodza na tę wojnę. Najznacniejsi, trudnością i niebezpieczeństwem przerażeni, dobrowolnie pouchylali się od tego zaszczytu, nie podawszy swej kandydatury. Jeden Epicydes, syn Eufemidesa, mówca gorący, ale człowiek zniewieściały i niegardzący złotem, posunął się po ten urząd. Wszelkie było prawdopodobieństwo, że zostanie obrany. Temistokles, bojąc się takiego wodza komendy, żeby na powszechną zgubę nie wyszła, udał się do zaspokojenia pieniędzmi jego ambicji. Sławny też jego postępek względem tłumacza posłów perskich, którzy imieniem swego króla przybyli domagać się od Greków ziemi i wody. Bo za wyrokiem ludu na śmierć go skazał, że się ważył greckim językiem wyklądać barbarzyńskie ukazy. Niemniej pamiętna jego surowość przeciwko Artemjuszowi z miasta Zalei, któremu nawet z potomstwem na przełożenie Temistoklesa cześć odjęto, że złoto perskie dla Greków sprowadził. Ale najważniejsze jego dzieło, że w Grecji wojny domowe uzamierzył, miasta i rzeczypospolite między sobą pojednał. Namówił wszystkich, aby wzajemne nienawiści i zemsty na inny czas, póki nastająca wojna nie przejdzie, odłożyli...

Obrany wodzem, przekonywał ziomków, ażeby się na okręty przenieśli i jak najdalej od Grecji spotykali flotę perską. Gdy na to wielu Ateńczyków zezwalać nie chciało, udał się ze znacznem wojskiem dla złączenia sił ateńskich ze Spartanami na pola Tempe, aby tam Tessalję, jeszcze na stronę perską niesklonioną, zasłaniać. Lecz skoro Tessalowie skłonili się do Persów, a wszyscy im aż do Beocji sprzyjali, nic nie sprawiwszy, musiał stamtąd powrócić. Ale to samo Ateńczyków pobudziło i zniewoliło, że za jego zdaniem wojnę na morzu prowadzić postanowili. Wyprawiono więc do Artemizjon Temistoklesa dla strzeżenia także morskiej cieśniny. Gdy tam Grecy komendę Spartanom i Eurybjadesowi ofiarowali, Ateńczycy zaś, większością swej floty wszystkich innych wraz zebranych nawy przewyższając, pod cudzą komendę pójść nie chcieli, Temistokles, spostrzegając, co by za niebezpieczeństwo z tych sporów wyniknęło, jak sam dobrowolnie poszedł pod komendę Eurybjadesa, tak i Ateńczyków do tej powolności naklonił. Upewniał bowiem, iż, jeśli tylko na tej wojnie Ateńczycy męstwem celować będą, chętnie im sami Grecy natychmiast przodkować pozwolą. Pokazało się tedy następnie, że jedynie tym sposobem, tą przezornością Temistoklesa zbawiona Grecja i ocalona została, zwłaszcza przy niemalej dla Ateńczyków sławie, że nieprzyjaciół swojem męstwem, sprzymierzeńców pomiarkowaniem zwyciężyli. Skoro zaś flota perska pod Afelami stanęła, przerażony Eurybjades liczbą naczelnych okrętów, do tego usłyszawszy, że jeszcze dwieście ponad Scyatem krąży, postanowił najspieszniej wracać ku Grecji do Peloponezu, aby tam lądowe siły z morskimi złączyć. Nie spodziewał się nigdy skutecznego oparcia tak ogromnej sile nieprzyjacielskiej. Tymczasem Eubejczycy, bojąc się, żeby od Greków opuszczeni nie byli, tajemnie się z Temistoklesem znieśli i umówili. Posłali do niego z znacznymi pieniędzmi Pelagonta. Wziąwszy pieniądze, Temistokles Eurybjadowi je oddał, jak pisze Herodot... Znaczne są te dzieła Temistoklesowe. Lecz i to niemniejsze, iż co do Arystydesa, który w takim poważaniu słynął u Ateńczyków, a on go jeszcze sam przed wojną przemógł, aby ostracyzmowi ulegał, widząc, że go obywatele żądali mieć z sobą, przeprowadził taką uchwałę: «Tym, którzy na czas tylko są oddaleni od ojczyzny, wolno jest nazad powracać i śpieszyć ku wspólnej pomocy z innymi obywatelami dla Grecji». Sprzeczkę miał z powodu przewagi Sparty z Eurybjadesem, powszechnym wodzem wszystkich Greków. Obawiał się ten wódz kraj swój w niebezpieczeństwo podawać. Umyślił więc ze swemi siłami do Istmu popłynąć, gdzie się lądowe Peloponezu wojska zebrały. W tej sprzeczce mamy podane sławne odpowiedzi Temistoklesa. Gdy się bowiem Eurybjades odezwał: «Którzy w boju przed danym znakiem wystąpią, chłostę odniosą». — «Słusznie — rzekł Temistokles — ale też, którzy nierychło przybywają, wieńca nigdy nie odnoszą». Eurybjades podniósł laskę, jakoby go zamierzył uderzyć.

«Uderz — powiedział Temistokles — ale mię wysłuchaj». Zdziwiony wódz stałego męża łagodnością, pozwolił mu mówić. Gdy Temistokles mowę swoją nakierował do stoczenia bitwy pod Salaminą, z boku ktoś odezwał się: «Wcale niewczesnie ten, co ojczyzny już nie ma, radzi ją opuszczać tym, którzy mają». Zwrócił natychmiast do niego swą rzecz Temistokles: «Zły człowiecze, my domy i mury opuściliśmy, nie chcąc dla rzeczy martwych niewoli podpadać, lecz mamy miasto, nad które znaczniejszego nigdzie w Grecji niema. Bo mamy na naszą obronę dwieście okrętów, jeżeli chcecie ich użyć. A jeżeli nas powtórnie na łup wydacie, wkrótce usłyszają Grecy, że sobie Ateńczycy i miasto wolne, i kraj nie podlejszy od tego, którego dziś odstępują, znaleźli». Gdy to wyrzekł, podejrzenie przyszło Eurybjadesowi, czyby się od nich Ateńczycy nie myśleli odłączyć. Lecz gdy się jeszcze jeden Eretręczyk przeciwko Temistoklesowi upierał, usłyszał wkońcu od Temistoklesa: «Czyż i wam jeszcze o wojnie rozprawać, którzy naksztalt mątew miecze wprawdzie macie, ale serca nie macie?» Skoro się tylko flota perska ku Attyce koło Faleronu zbliżała i okoliczne brzegi swemi okrętami okryła, a sam król z wojskiem lądowym, ku morzu postępując, niezliczone hufce dał widzieć, wypadła Grekom z pamięci przekonywająca namowa Temistoklesa. Wszyscy rycerze Peloponezu znowu ku Istmowi oczy obrócili. Gniewali się nawet, kto im przeciwnie radził. Umyślili zaś pocichu nocą odplynąć, co i majątkom oznajmiono. Czuli na to Temistokles, że Grecy pożyteczne cieśniny opuszczają i wzajemnie się od siebie rozłączając, każdy z osobna, zaniechawszy wspólnej pomocy, własnego miasta chce bronić, przedsięwziął zamysł, do którego wykonania wezwał Sycyna, rodem Persa, niegdyś wziętego do niewoli, następnie swego przyjaciela i nauczyciela swych dzieci. Wyprawił go tajemnie do króla z tem orędziem: «Wódz ateński Temistokles, sprzyjając królowi perskiemu, donosi mu pierwszy, że Hellenowie uciekają, i radzi zastąpić im drogę, a na odłączonych od lądowego wojska uderzyć i znieść ich flotę». Król mile posłańca przyjął. Ufając Temistoklesowi, uwierzył i, umówiwszy się z wodzami swej floty, nimby na nią część lądowych wojsk przesadził, dwieście okrętów przed sobą na objęcie wszystkich cieśnin wysłał. Zaraz i wyspy greckie Persowie otoczyli, żeby się im nieprzyjaciel nie wymknął. To, co się działo, pierwszy ze wszystkich Arystydes dostrzegł. Przyszedł więc do Temistoklesa (lubo nie był jego przyjacielem, bo z jego namowy, jak się rzekło wyżej, oddalony został z ojczyzny) i oznajmił mu, że cieśniny i wyspy nieprzyjaciel otacza. Cnofę Arystydesa dobrze znając, Temistokles i ten krok jego za dowód jej poczytując, zwierza mu się ze wszystkiego, co zrobił przez Sycyna, oraz mu przekłada, żeby, jako mający wziętość i największy posłuch między Grekami, wspólnem staraniem nakłonił ich do stoczenia bitwy w cieśninach. Arystydes, pochwaliwszy ten zamysł, wszystkich wodzów obszedł i do bitwy pobudził i zagrzał. Gdy jednak o nieprzyjacielskiem okrażeniu niektórzy jeszcze powątpiewali, okręt tenejski, pod wodzem Panecjuszem, wymknąwszy się od nieprzyjaciół, toż samo potwierdza, że się wszędzie snują Persowie. Z potrzeby więc nabrali Grecy ochoty do spróbowania szczęścia swojego. Niemniej też przezornie Temistokles obrał czas bitwy, jak i miejsce upatrzył. Niepierwej bowiem przody swych okrętów do nieprzyjacielskiej floty obrócił i uszykował, aż ta godzina przyszła, w której w onej cieśninie zwykł się wiatr wzmacać i gęste wody poruszać. To greckim okrętom, jako pomniejszym i płaskim, nie szkodziło; perskie zaś wielkie i wysokie zawsze wiatr bokiem do greckich obracał. Grecy, Temistoklesa na czele mając, i na niego się wedle potrzeby jak na zręcznego wodza, co im należało czynić, zapatrując, szybko nacierali na nieprzyjacielskie okręty, tem bardziej, że Temistokles borykał się z naczelnikiem floty perskiej Arjamenesem, walecznym wodzem i pomiędzy królewskimi braćmi celniejszym i sprawiedliwszym. Ten na Greczyna żwawo nacierał, z ogromnej nawy, jak z za muru, gęste pociski miotając. Aminjas z Decelai i Sosykses z Pedji na tymże z Temistoklesem okręcie, widząc, że miedziane przody obu walczących naw, przytarłszy się o siebie, zaczęły się nawzajem, Arjamenesa, usiłującego skoczyć na grecką nawę, na włócznie wzięli i w morze przewalili. Ciało jego, pomiędzy ułamkami okrętów miotane falą, Artemizja poznała i do Kserksesa zaniosiła. Najpierwszy ze wszystkich Greków Likomedes Ateńczyk, wódz jednego okrętu, zdobył okręt nieprzyjacielski, którego przód odciąwszy, ofiarował Apollinowi. Inne też nawy w równej zawsze liczbie z nieprzyjaciel-

skiami bój staczały, ponieważ dla ciasnoty miejsca Persowie nie mogli swych okrętów rozłożyć i sama ich wielkość szyki mieszała. W obustronnym odporze trwała bitwa od rana aż do nocy. Wreszcie odnieśli Hellenowie najpiękniejsze i najstawniejsze zwycięstwo, jak mówi Symonides, że się nic równego potem na morzu, ani u Hellenów, ani u obcych narodów nie trafiło. Zwycięstwo to, lubo nastąpiło za wspólnym męstwem helleńskiego rycerstwa, z przemysłu jednak i z przezoru samego Temistoklesa. — — Lubo niektórzy przez zazdrość niechętnie, wszyscy jednakże przypisywali mu wygraną. Jakoż, powróciwszy do Istmu, gdy wszyscy naczelni wodzowie pod przysięgą zeznanie o czynach swoich w wyprawie na ołtarz składali, pokazało się, że każdy z nich zaraz po sobie Temistoklesa położył. Spartanie go dla uczczenia wzięli z sobą do Sparty, gdzie honor z męstwa Eurybjadesowi, z przezorności Temistoklesowi przyznając, ofiarowali mu wieniec oliwny i jednym go z najpiękniejszych publicznych powozów udarowali. Gdy odjeżdżał, przydali mu ku czci trzystu młodzieńców, którzyby go aż do granic odprowadzili. Wkrótce potem przypadały olimpijskie igrzyska; gdy się na nich pokazał Temistokles, wszyscy przytomni, wcale na widowisko nie zważając, w niego jednego oczy wlepili; jeden drugiemu na niego wskazując, dawał go z oklaskami i uwielbieniem poznawać, a tak cały dzień, cześć mu oddając, strawili. Tak niepospolitego szacunku i poważania dowodne znaki, publicznie okazane, chciwego przez się sławy męża napełniły radością najpożądaną. Rozpływał się w niej tak dalece, że się potem przyjaciółom sam przyznał, iż owego dnia najświetniejszy owoc pracy swojej dla Greków otrzymał. Po dokonaniu dzieł wyżej wspomnianych Temistokles umyślił miasto odnowić i murem opasać. Przekupił więc spartańskich eforów, aby mu do tego zamysłu nie przeszkadzali; tak twierdzi Teopompos. Inni świadczą, że ich sztuką podszedł, to jest, że przybył do Sparty pod pozorem poselstwa. Gdy mu tam Spartanie wyrzucali, że Ateńczycy Ateny wzmacniają, i gdy mu na to oczywiście świadka, komendanta Eginy stawili, umyślnie na miejsce zesłanego, zaprzeczył Temistokles i domagał się posłania do Aten innych świadków, którzyby o wszystkim donieśli. A tak i zwlekał czas, żeby dokonano murów, i na to kierował, aby Ateńczycy dostali za niego zakładników. Jakoż nie zawiódł się w swojej nadziei, bo go Lacedemończycy bez krzywdy wypuścili, tajemnie się tylko gniewając. Potem, wyzyskując położenie miejsca, Pireus miasto i port zabudował i całe Ateny ku morzu pociągnął, przeciwko dawnemu zwyczajowi od królów jeszcze ateńskich. Ci bowiem, żeby lud od żeglugi odciągnąć, a przywiązać do gospodarstwa i roli, ułożyli (jak niesie wieść) bajeczkę o Atenie, że ta, wiodąc spór z Pozejdonem, komuby się z nich należała opieka nad Atenami, wygrała sprawę okazaniem drzewa oliwnego przed sądem. Temistokles zaś nie Pireus do stolicy posunął, jak mówi poeta komiczny Arystofanes, ale całą stolicę do Pireusu morzem i lądem przybliżył, co ludowi przeciwko możniejszemu śmiałości dodało, gdy się przewaga w Rzeczypospolitej do majtków, sterników i wodzów okrętowych nachyliła.

Ale Temistokles inny jeszcze sposób wymyślił do ugruntowania potęgi morskiej Atenom. Po ustąpieniu bowiem Kserksesa, gdy flota helleńska w porcie Pegazoj zimowała, Temistokles, zabrawszy głos, Ateńczykom przelożył, że ma projekt nader pożyteczny i łatwy do wykonania, którego jednak duszą jest sekret. Ateńczycy wybrali Arystydesa, żeby się jemu w tem zwierzył. A jeżeliby się Arystydes na jego plan zgodził, żeby Temistokles swoje przedsięwzięcie wykonywał. Odkrył tedy Arystydesowi, że umyślił całą flotę grecką w porcie spalić. Arystydes, wyszedłszy do obradujących: «Jest wprawdzie — rzecz — arcypożyteczny Atenom zamiar Temistoklesa, ale oraz arcyniesprawiedliwy». Ateńczycy zakazali wykonania takiego projektu.

*Tłum. T. Sinko według F. Gołańskiego.*

## MAREK AURELJUSZ

(121—180 po Chr.)

## MYŚLI I WSPOMNIENIA

(Z księgi pierwszej.)

Ojcu zawdzięczam łagodność i niezłomną stanowczość powziętych i przemyślanych decyzji; zawdzięczam obojętność dla pozornej chwały i staranną pracowitość; zawdzięczam i to jeszcze, że umiem uważnie słuchać każdego, który radzi coś pożytecznego, że umiem bez wahania najmniejszego okazywać należy szacunek, że umiem zastosować w potrzebie surowość, a tam, gdzie należy — łagodność, że wolny jestem od pederastji, że miłuję ogólne dobro. Pozwolił ojciec swoim przyjaciołom nie ucześnieć do niego na obiady i nie zmuszał ich, by towarzyszyli mu w podróżach, i zawsze był jednakowo życzliwy dla każdego, kto w swoich sprawach musiał na jakiś czas opuścić ojca. W każdej naradzie usiłował sumiennie zbadać sprawę i nie spieszył skończyć dysputę, nie zadowalał się pierwszym lepszym rozwiązaniem; troszczył się o swych przyjaciół, nie ulegał kaprysom, ale i nie ulegał zbyt sentymentom; i zawsze był mój ojciec pełen sił, pełen otuchy. Przewidywał przyszłe wypadki, odgadywał najdrobniejsze zawikłania, ale nie robił z tej umiejętności sobie nic nadzwyczajnego; natomiast brzydził się wszelką służalczością i schlebaniem. Mój ojciec zawsze stał na straży państwowego dobra, unikał rozrzutnej wystawności i nie dbał, jeżeli ktoś mu to brał za złe. W stosunku do bogów nie uprawiał zabobonów, a względem ludzi unikał zbyt pobłażliwości, nie schlebiał tłumom, natomiast zawsze odznaczał się umiarem, solidnością, uprzejmością, oraz stałością.

Bogom zawdzięczam dobrych dziadów, dobrych rodziców, dobrą siostrę, dobrych nauczycieli, dobrą służbę, krewnych, przyjaciół i wszystkich, z którymi stykam się; zawdzięczam bogom i to jeszcze, że nikogo z bliskich mi osób nie skrzywdziłem, aczkolwiek charakter mam porywczy i łatwo mógłbym to zrobić. Bogowie to sprawili, że okoliczności nigdy nie złożyły się tak, bym zasłużył na jakąś naganę. Także bogom zawdzięczam, że tylko przez krótki czas przebywałem u kochanki mego dziadka, że zachowałem młodzieńczą czystość, że nie rozwinąłem się przedwcześnie, lecz raczej z pewnym opóźnieniem. Bogom zawdzięczam, że kierował mną panujący mój ojciec, że usiłował stłumić we mnie pustotę, natomiast wyjaśnił mi, że nawet w cesarskim pałacu można się obejść bez przybocznej straży, bez uroczystych strojów, bez blasku pochodni i bez posągów, i bez wyszukanego zbytku. Wyjaśnił mi mój ojciec, że i w pałacu cesarskim można pędzić życie całkiem zbliżone do trybu ludzi prywatnych, a jednocześnie z całą powagą i troską dbać o państwowe rządy i wykonywać cesarskie obowiązki. Bogom zawdzięczam brata, który swoim usposobieniem natchnął mnie, bym zastanawiał się nad samym sobą, i który okazywał mi szacunek i najgłębszą życzliwość; także i dzieci zawdzięczam bogom, dzieci zdolne i zdrowe na duchu i na ciele; wdzięczny jestem i za to, że nie miałem zbyt wielkich zdolności literackich, ani innych, którebym może zaczął zbyt rozwijać w sobie, jeżelibym widział, że są niepospolite. Bogom zawdzięczam i to, że nie zwlekałem z nadaniem upragnionych zaszczytów moim nauczycielom, nie mam im ich nadzieją, że potem dopiero obdarzę ich, bo są jeszcze młodzi. Bogom zawdzięczam, że poznałem Apolonjusza, Rustyka i Makryna. Dużo myślałem o życiu zgodnym z prawem natury i dokładnie wyjaśniałem sobie, jakie ono jest; bóstwa uczyniły wszystko, co było w ich mocy, i obdarzyły mnie szczerobliwie i pouczyły, by nic nie stało mi na przeszkodzie, bym żył zgodnie z prawem natury; jeżeli zaniedbałem kiedykolwiek ten obowiązek, to tylko z własnej winy, tylko przez nieposłuszeństwo, przez zaniedbanie ścisłych i niewątpliwych wskazań bożych. Bóstwa to sprawiły, że ciało moje dotąd służy mi, że nie dotknąłem ani Benedykty, ani Teodota, że zawsze łatwo stłumiłem w sobie erotyczny pociąg; również i to sprawiły, że gniew swój na Rustyka zawsze opanowałem i nie popełniłem w gniewie nic niewłaściwego; one to sprawiły, że matka moja, która tak młodo umarła, ostatnie lata życia spędziła przy mnie. Bogom zawdzięczam, że ile razy

chciałem wesprzeć biedaka, każdego proszącego, że nigdy nie zabrakło mi po temu środków; także i to, że sam nie wpadłem nigdy w potrzebę, bym musiał innym zawdzięczać pomoc. Bogom zawdzięczam i żonę moją, tak bardzo mi wierną i kochającą, i taką szczerą; także i to, że nie zabrakło mi dobrych nauczycieli dla moich dzieci; wdzięczny jestem i za te wskazówki we śnie, jakie otrzymałem, bym ulżył krwotokom i bólom głowy — zdarzyło się to w Kajecie — wdzięczny jestem za to, że, umiłowawszy filozofję, nie wpadłem w ręce któregoś przebiegłego dialektyka, nie zasmakowałem w rozmyślaniach historycznych, ani w sylogizmach, ani oddałem się studjom astronomicznym. Albowiem wszystko, co wymieniłem, wymaga przecież pomocy bogów i wsparcia losu. Napisałem w kraju Kwadów, nad rzeką Graną.

*Tłum. M. St. Popławski.*

## LUKJAN

(125—190 po Chr.)

### ALEKSANDER CZYLI PSEUDOPROROK

Drogi Celzusię! Sądzisz, być może, że jest rzeczą łatwą i prostą napisać życiorys Aleksandra, szarlatana z Abonotejchos, opisać sprawki jego wszystkie i oszustwa, i prorocstwa, i ułożyć to wszystko w jeden szkic i posłać ci do przeczytania. Naprawdę zaś, ktokolwiek zechce skreślić to starannie i opisać, ten podejmie się pracy tak samo trudnej, jak ułożenie życiorysu króla Aleksandra. Ten bowiem Macedończyk wielki był w królewskiej odwadze swojej, natomiast szarlatan z Abonotejchos jest równie wielki — ale nikczemnością swoją. Niemniej sądzę, że będziesz chciał łaskawie i pobłażliwie przeczytać, co napiszę; możliwe, że uzupełnisz wszystkie luki w moim opisie; dołożę zatem starań dla ciebie, a jak tylko umiem i potrafię, wykonam to zadanie, tak trudne, tak podobne do oczyszczania stajni Augjasza. Powyciągam z tego śmietniska kosze odpadków, a wtedy i ty, Celzusię, osądzisz, jak bezdenna jest ta stajnia, ile kału mieści w sobie miejsce, gdzie trzy tysiące wołów stały bez przerwy długie lata. Wstydzę się jednak i za ciebie, i za siebie. Za ciebie, Celzusię, że oto prosisz, bym utrwalił w pamięci ludzkiej życie człowieka bezgranicznie nikczemnego; wstydzę się za samego siebie, że usiłuję oto w tym życiorysie opisać postępkę człowieka, który całkowicie zasłużył na rozszarpanie przez małpy i przez lisy na arenie cyrkowej, na oczach pstrokatej zbieraniny gapiów. Czyż wart ów Aleksander, żeby kulturalni ludzie czytali jego życiorys?

Najpierw opiszę ci wygląd owego Aleksandra, opiszę, jak tylko mogę, prawdziwie, aczkolwiek nie jestem artystą. Był to człowiek wysokiego wzrostu, postawny — a w wyglądzie miał w sobie istotnie coś czarodziejskiego; cerę miał jasną, zarost na twarzy cokolwiek rzadki, a na głowie miał zwykle perukę, ale bardzo dobrą, i nikt nie przypuszczał, że kędziory jego są sztuczne. Spojrzenie miał przenikliwe i natężone, głos jego brzmiał sympatycznie, a zarazem stanowczo. Oto więc widzisz: pod każdym względem był on bez zarzutu. Taki był zewnętrzny wygląd Aleksandra. A co do duszy jego, co do myśli!... Mój Heraklesie Obrońco! Mój Zeusie Opiekunie! Dioskurowie Obrońcy! Wolalbyśmy mieć do czynienia z nieprzyjacielem i wrogiem, aniżeli z drugim takim Aleksandrem! Był on niepospolicie zdolny i sprytny, i przebiegły; był pracowity, łatwo przyswajał wszystko, doskonale pamiętał wszystko, pojętny był — ale wyzyskiwał to w sposób jak najgorszy. Szlachetnym przymiotom ducha nadał on podły kierunek, a w podłości swojej przewyższył najgorszych łajdaków: Cekropów i Eurybatesa, i Frynordesa, i Arystodema, i innych. W liście do Rutyliana, zięcia swego, wyrażając się bardzo umiarkowanie, przyrównał jednak siebie do Pitagorasa. Tę wzmiankę niech mi wybaczy Pitagoras, ten boski mędrzec!...

Zamłodu Aleksander był bardzo ładnym chłopakiem; ślady chłopięcej urody zachował i w dojrzałym wieku, żyła również i pamięć jego urody. Zasmakował w rozpucie i zaczął sprzedawać się każdemu, kto chciał go kupić. Miał go do swego użytku pewien pederasta i oszust, wróżbiarz i czarodziej; zakochanym pomagał on

zaczarować kochanka, innym znów pomagał usunąć i unieszkodliwić nieprzyjaciół; pomagał odnajdywać zakopane skarby i zdobywać bogate dziedzictwa. Ten to oszust poznał się na chłopcu i na zdolnościach jego, i że najchętniej bierze udział w oszustwach jego, że jest zakochany w podłości tak, jak tamten w chłopięcej urodzie jego — oszust ten wykształcił Aleksandra i miał w nim najwierniejszego pomocnika i powiernika; samego siebie oszust ten podawał za lekarza i potrafił niczem Homero-wa Egipcjanka, żona Toona, pożyteczne leki warzyć i najgorsze trucizny. Aleksander został spadkobiercą jego i kontynuatorem. Nauczyciel jego, ów pederasta, pochodził z miasta Tyany, wyprowadzał się z otoczenia owego czarodzieja Apolonjusza Tyańskiego i był wtajemniczony we wszystkie losy jego życia. Widzisz więc, z jakiej szkoły wyszedł człowiek, którego życie opisuję. Z nadejściem starszego nieco wieku obumarł Aleksandra Tyańczyk ów, opiekun jego; wpadł Aleksander w ubóstwo, bo był już w wieku, w którym dotychczasowe zyski jego musiały ustać; plany jednak na przyszłość niebyle jakie kombinował. Spiknął się z pewnym Borantyńczykiem, krasnobajem, takim, co to nie opuszcza żadnego ludowego święta; był to skończony łajdak, a zwał się, jeśli mnie pamięć nie zwodzi, Kokonas. Zaczęli razem szwendać się po kraju, cyganili, okłamywali i wróżyli i «strzygli głupie owce» — tak bowiem wędrowni czarodzieje w swej gwarze nazywają ludzi. Pewnego razu poznali Makatyde, kobietę już niemłodą, bogatą i kochliwą, zostali jej utrzymankami i pojechali za nią z Bitynji, z Azji, aż do Macedonji; pochodziła ona z miasta Pelli; ongi, za królów macedońskich było to miasto bogate i kwitnące, teraz liczy niewiele ubogich mieszkańców. W Pelli zobaczyli oni pełno węży, ogromnych wprawdzie, ale nieszkodliwych całkiem i tyle oswojonych, że kobiety karmią je własnym mlekiem, że w kołyskach sypiają z dziećmi, że pozwalają sobie brać do ręki i miętosić, a piersi ssą zupełnie jak niemowlęta. Tych węzów pełno jest w okolicy Pelli; myślę, że tu jest źródło do innego podania o Olimpjadzie, matce Aleksandra Macedońskiego; prawdopodobnie, będąc w ciąży, sypiała z takim właśnie węzem. Za parę obolów oszuści nasi nabywają jednego z największych węzów. Potem udali się oni do Chalcedonu, bo uważali, że miasto to im się przyda, i w świątyni Apollina, najstarszej świątyni chalcedońskiej, zakopują spiżowe tabliczki, wypisawszy na nich, że wkrótce ma przybyć do krajów pontyjskich bóg Asklepiusz z ojcem Apollinem<sup>1</sup> i zamieszka na stałe w mieście Abonotejchos. Te tabliczki, w odpowiedniej porze odnalezione i przeczytane, spowodowały rozgłos przepowiedni w nich zawartej, znane były wszędzie w Poncie i w Bitynji, a już najbardziej w Abonotejchos. Mieszkańcy tego miasta odrazu postanowili budować świątynię i zaczęli już zakładać fundamenty. Kokonas został w Chalcedonie i układał tam dwuznaczne i niezrozumiałe prorocтва, a wkrótce umarł; ugryzła go, zdaje się, jakaś jadowita żmija. Aleksander natomiast zjawia się w uroczystym stroju z rozwartymi kędziorami, w purpurowej w białe pasy koszulce i w białym płaszczu, a w ręce trzymał nóż w kształcie sierpa, niczem heros Perseusz — od Perseusza bowiem po kądzieli wyprowadzał swój ród Aleksander. Poczciwi Paflagończycy pamiętali przecież rodziców Aleksandra, ludzi ubogich i mało znaczących, ale wierzyli teraz przepowiedniom.

Zatem po długiej nieobecności wrócił Aleksander do ojczystego miasta z tak teatralną okazałością, zdobył rozgłos, był sławny i u wszystkich na języku; czasem udawał szal i natchnienie, a wtedy na wargach jego ukazywała się piana, bo specjalnie w tym celu żuł korzeń pewnej farbującej rośliny; świadkowie natomiast myśleli, że piana ta jest czarodziejska i niesamowita. Miał również zawczasu przygotowaną i zmajstrowaną z płótna głowę węża, podobną nieco do głowy ludzkiej; była ona namalowana bardzo dobrze, a przy pomocy nitek z końskiego włosia otwierała paszczkę i znów zamykała; z paszczeki wysuwał się czarny język rozdwojony, całkiem jak u żmii — również przy pomocy końskich włosów. Wąż natomiast, kupiony w Pelli, pozostawał w mieszkaniu Aleksandra; ten wąż miał wystąpić w odpowiedniej chwili i wspólnie z swoim panem grać ową komedję, w której Aleksander przeznaczył mu pierwszą rolę. Przyszedł wreszcie czas wykonania zamiaru, i Aleksander, ot, co

<sup>1</sup> Asklepiusz, bóg lekarskiej umiejętności, wyobrażany był często w kształcie węża.



zmajstrował: w nocy poszedł do dołów, wykopanych dla zakładania fundamentów świątyni Apollina; były one pełne wody, mniejsza czy z ziemi napłynęła ona, czy z deszczem spadała; schował do takiego dołu, zakopawszy głęboko w mule, skorupę gęsiego jaja, w środku której umieścił dopiero urodzonego węża. O świcie Aleksander wybiegł goły na miejski plac; na biodrach miał złotą przepaskę, a w ręce trzymał wygięty swój nóż i kędziorami potrząsał na wszystkie strony, jak to robią opętani kapłani frygijskiej Cybeli; przemawiał do ludu z wysokiego ołtarza jakiegoś i błogosławił miasto, do którego miał wnet zstąpić bóg. Wszyscy obecni, a pozbiegali się wszyscy mieszkańcy miasta, wraz z kobietami, z starcami i z dziećmi, wszyscy byli olśnieni, modlili się, upadali na twarz przed prorokiem; Aleksander zaś wygłaszał niezrozumiałe słowa, nito żydowskie, nito fenickie, a przez to wzbudzał w ludziach kompletny podziw — ale słów jego nie rozumieli obecni — słyszeli natomiast raz po raz imiona Apollina i Asklepiusza, których Aleksander ustawicznie przywoływał.

Potem Aleksander pobiegł jak opętany do miejsca, gdzie miano budować świątynię, podbiegł do dołu, wyznaczonego przezeń jako przyszłe prorocze źródło, wszedł do wody i wyśpiewywał pełnym głosem pieśni do Apollina i do Asklepiusza i nawoływał boga, by zstąpił do miasta i przyniósł z sobą szczęście i błogosławieństwo. Potem zażądał, żeby dano mu kubek — ktoś mu przyniósł kubek, i on zaczerpnął kubkiem i z łatwością wydobył z wody wraz z mulem jaje, a w jaju tem zawczasu schował boga, zalepiwszy skorupę woskiem i ufarbowawszy ją na biało. Wziąwszy jaje w ręce, orzekł, że oto dźwizgi boga Asklepiusza; obecni zdumieni przyglądali się temu i czekali, co dalej nastąpi; już i to, że w wodzie znalazł jaje sprawiło ich w najwyższe zdumienie. Aleksander rozbił skorupę i z pustego jaja wyjął dopiero co urodzonego malutkiego węża, i wszyscy widzieli, że wężyk ten porusza się, okręca się dookoła palców proroka, i podnieśli wielki krzyk, i pozdrawiali boga, i błogosławili miasto, i gorliwie modlili się do boga, błagali o bogactwo, o dostatek, o zdrowie i o wszelakie dobra. Aleksander zpowrotem pobiegł do domu i niósł urodzonego Asklepiusza, boga dwukrotnie zrodzonego, a nie jeden raz, jak wszyscy inni ludzie; zrodzonego nie przez Koronidę, nie przez boginkę wrone, lecz przez gęs. Cały tłum posuwał się za Aleksandrem, i każdy był jak opętany, a niezwykle wydarzenia wytrąciły wszystkich z równowagi.

Po tem wydarzeniu Aleksander kilka dni siedział w domu; spodziewał się, że pogłoska rozejdzie się po całym kraju, że do miasta zbiegną się wszyscy Paflagończycy. Istotnie tak się stało, miasto było przepelnione, bo pozbiegali się ludzie bez mózgu i bez rozumu całkiem, ludzie niepodobni w niczem do nas, zwykłych śmiertelników, ludzie tylko wyglądem swoim niepodobni do bydła, a zresztą tacy sami. Aleksander usadowił się w niewielkim domku na łożu, uroczyście przystroił się, a w zanadrzu miał owego Asklepiusza z Pelli, o którym mówiłem wyżej, że piękny był i duży. Owinął wężem szyję, ogon spuścił nazewnątrz. Wąż był tak duży, że część jego cielska włożył po ziemi; samą tylko głowę węża Aleksander starannie ukrywał w zanadrzu pod pachą — wąż wszystko to pokornie znosił; z pod drugiego natomiast ramienia wystawił Aleksander ową sztuczną głowę węża, tak jakby należała ona do tego żywego cielska, które wszyscy widzieli. Wyobraź sobie pokój, cokolwiek mroczny, bo światło skąpo tam przedostawało się, wyobraź ten tłum słuchający, wystraszonego, wzburzonego i podnieconego; dla tych ludzi było rzeczą nadzwyczaj cudowną, że malutkie stworzenie, dopiero przed kilku dniami urodzone, wyrosło oto jako wielki wąż, łagodny i z ludzką twarzą. Podobno szarlatan ten nie raz i nie dwa urządził ludziom to widowisko; najchętniej zaś wtedy, gdy przyjeżdżali doń bogaci i niedoświadczeni. Sądzę nawet, kochany Celzusi, że Paflagończycy i Pontyjczycy, ludziska nieokrzesani, całkowicie zasługują na to, by im przebaczyć łatwowierność. Aleksander pozwalał im nie tylko oglądać węża, lecz i dotykać go. W mrocznym pokoju widzieli, że wąż otwiera i zamyka swój pysk; było to wszystko tak dobrze zmajstrowane, że dopiero Demokryt jakiś lub Epikur, lub Metrodor, lub inny mędrzec, którego myśl twarda jest i niezłomna jak żelazo, nie uwierzyłby złudzie i zrozumiałby, co to jest, nawet jeżeliby nie mógł wykazać, jak mianowicie to oszustwo się odbywa;

wiedziałby, że ukryty jest sposób oszustwa, ale niemniej, że cała ta heca jest kłamstwem, że jest niemożliwa i nieprawdopodobna.

Powoli ludność całej Bitynji i Tracji, i Galacji zaczęła przychodzić do Aleksandra, a potem każdy z pątników opowiadał, co zresztą było zupełnie naturalne, że widział zrodzonego boga, a potem sam osobiście dotknął go ręką, gdy bóg cokolwiek podrośł w krótkim czasie i stał się wielkim i przyjął ludzką twarz; chodzili po rękach podobizny węża, portrety i posązki, zrobione z drzewa, ze spiżu i ze srebra; takżeż i imię nadano wężowi: nazwano go Glikonem, jak to było nakazane przez jakieś boże obwieszczenie... — ...Nastąpił wreszcie czas wyzyskania tych machinacyj i sztuczek: — — — Aleksander uprzedził wszystkich zwiedzających, że w pewnym oznaczonym dniu bóg zacznie prorokować i wróżyć.

*Tłum. M. St. Popławski.*

---

*Wybór i układ M. St. Popławskiego.*

# L I T E R A T U R A R Z Y M S K A

---

T. M. PLAUTUS

(250—184 prz. Chr.)

BRACIA (MENAECHMI)

O s o b y : Pomyślność, bogini. Menechmus I i Menechmus II, bracia bliźniacy. Erotjum, hetera. Messenjo, niewolnik Menechma II. Żona Menechma I. Teść Menechma I.  
Rzecz dzieje się w Epidamnus, na ulicy, przed domami Menechma I i hetery Erotjum.

## Pr o l o g

P o m y ś l n o ść (*wchodzi na scenę i mówi do widzów*)

Pomyślność — zaraz z miejsca nasamprzód obwieszczam,  
Mnie jest wielce przychylna — no i wam, widzowie!  
Plauta wam tu przynoszę, nie ręką, lecz mową,  
I proszę, byście chcieli łaskawie dać ucho.  
Teraz treść wam opowiem, zechciejcie uważać,  
Rzecz przedstawię najkrócej, jak tylko potrafię.  
A poeci to zawsze tak robią w komedjach:  
O wszystkim zwykli twierdzić: «działo się w Atenach»,  
Żeby wam się to zdało jeszcze więcej greckie —  
Ja nie podam inaczej, tylko tam, gdzie było.  
Otóż treść tej komedji wprowadzie «greczyzuje»,  
Lecz nie «attycyzuje» — ba — «sycylizuje»!  
To wszystko, com rzekł dotąd, to był wstęp do treści,  
Teraz z treści odmierzę, co wam się należy:  
Nie garncem, lub trójgarncem, lecz całym śpichlerzem.  
Takim dla was jest szczodry, gdy daje treść sztuki!  
Był sobie w Syrakuzach pewien stary kupiec,  
Któremu się dwóch synów bliźniąt urodziło,  
Chłopaków tak podobnych, że aż własna mamka,  
Co im piersi dawała, rozróżnić nie mogła,  
Ani matka, ta sama, co ich urodziła.  
(Tak mi mówił przynajmniej ten, co chłopców widział,  
Ja ich sam nie widziałem, niech nikt z was nie myśli.)  
Gdy już mieli lat siedem, wtedy jakoś ojciec  
W duży statek władował wielką moc towarów;  
Zabrał potem na statek jednego bliźniaka  
I wziął w podróż handlową z sobą do Tarentu,  
A drugiego zostawił razem z matką w domu.  
W Tarence właśnie były igrzyska, gdy przybył,  
I — jak to na igrzyska — moc ludzi się zbiegła:  
Chłopak ojcu się zgubił, zabłąkał się w ciżbie.  
Lecz był tam pewien kupiec z miasta Epidamnus,  
Ten wziął chłopca i zawiózł ze sobą do domu.  
Ojcu zaś, skoro syna w ten sposób postradał,  
Chęć do życia odeszła, i w kilka dni później

Zmarło mu się w Tarencie, poprostu ze żalu  
 (Mówił mi to ten, który na pogrzeb go sprawiał).  
 Skoro więc do Syrakuz wieść o tem nadeszła  
 Do dziadka tych bliźniaków, że chłopca ktoś porwał  
 I że umarł w Tarencie ojciec tego chłopca,  
 Dziadek zmienia drugiemu bliźniakowi imię  
 (Bo tak kochał tamtego, którego porwano);  
 Jego imię — Menechma — nadaje więc temu,  
 Co jest w domu. Toż imię miał ten, co zaginął.  
 I dziadek sam miał również tak samo na imię.  
 (A tem lepiej pamiętam, że tak się nazywał,  
 Bo widziałem, że głośno tak za nim wołali.)  
 Byście w błędzie nie byli, już teraz zapowiem:  
 To samo imię mają obaj bliźni bracia.  
 (Teraz wracam — piechotą — znów do Epidamnus,  
 By wam całą tę sprawę dokładnie wyłożyć.  
 Jeśli ktoś z was chce może, by mu w Epidamnus  
 Coś sprawić, nuże, śmiało niech mówi i każe —  
 Lecz tylko, gdy da na to, co chce, by mu sprawić;  
 Bo gdy nie da pieniędzy, to wszystko jest nanic,  
 Ale gdy da — to wtedy dopiero jest nanic!  
 Lecz wracam, skądem odszedł — a stoję na miejscu.)  
 Ten tedy z Epidamnus, jak to już się rzekło,  
 Ten, co porwał tamtego drugiego bliźniaka,  
 Prócz bogactw, żadnych prawie dzieci nie posiadał:  
 Adoptuje więc tego chłopca porwanego  
 Jako syna — i żonę daje mu posażną,  
 I robi go dziedzicem, gdy mu umrzeć przyszło.  
 Bo kiedy raz szedł na wieś po gwałtownym deszczu,  
 Przechodząc potok rwący jakoś tuż pod miastem —  
 Temu, co porwał chłopca, prąd nogi poderwał,  
 I tak porwał człowieka gdzieś do wszystkich djabłów.  
 Tak temu więc przypadły olbrzymie bogactwa.  
 Ten zatem tutaj mieszka, ten bliźniak porwany.  
 Teraz znów tamten bliźniak, co jest w Syrakuzach,  
 Przyjdzie do Epidamnus, dziś, ze swym służącym,  
 Szukając tego właśnie brata bliźniaczego.  
 Gród ten, to Epidamnus — na czas tej tu sztuki,  
 Bo w innej znowu sztuce będzie innym miastem.  
 Tak samo się zmieniają tutaj i mieszkańcy:  
 Raz mieszkał tutaj rajfur, raz młokos, raz staruch,  
 Dziad, czy żebrak, król, wieszczbiarz albo i pasorzyt.

#### A k t I V

(Menechmus II, żona Menechmusa I, teść tegoż. Menechmus II pierwszy raz widzi kobietę, żonę swego bliźniaka, a ona uważa go za swego męża; stąd nieporozumienia, bo żąda od niego sukni, którą jej prawdziwy mąż, zabrawszy żonie, darował kochance.)

M e n e c h m u s II (*wraca z miasta, suknię ma na ręce*):

Strasznie głupio zrobiłem, że Messenjonowi  
 Powierzyłem przed chwilą tę kiesę z pieniędzmi.  
 Musiał wsiąknąć z pewnością gdzieś w jakąś garkuchnię.

Ż o n a (*wychodzi z domu z chłopcem Decjonem*):

Popatrzę, jak też prędko mąż wróci do domu.  
 A otóż i on właśnie. Ślicznie! Suknię niesie.

- Menechmus II:  
Ciekawym, gdzie też teraz łązi ten Messenjo.
- Żona (*do siebie, potem do Menechma*):  
Podejdę i powitam tak, jak się mu patrzy.  
Więc czy ci nie wstyd tera przyjść mi tu na oczy,  
Ty ohydny człowieku, z tą szatą?
- Menechmus II (*zdziwiony*): Co znowu?  
Co cię nosi, kobieto?
- Żona:  
Więc jeszcze, bezczelny,  
Śmiesz pisać jedno słowo, lub mówić coś do mnie?
- M. II:  
Com takiego zawinił, żebym nie śmiał mówić?
- Żona:  
Mnie pytasz? Ależ to bezwstydną bezczelność!
- M. II:  
Ty wiesz chyba, kobieto, dlaczego Hekubę  
«Suką» Grecy nazwali?
- Żona (*zaczyna zawodzić*): Wcale tego nie wiem,  
M. II:  
Bo ona to zrobiła, co ty teraz robisz:  
Kogo tylko ujrzała — z pyskiem na każdego.  
I słusznie ją dlatego «suką» nazywali.
- Żona (*dalej beczy*): Nie — już tego wszystkiego nie mogę wytrzymać,  
I wolę całe życie już wdową pozostać,  
Niżli wszystko to znosić, co ty tu wyrabiasz!
- M. II:  
A co mnie to obchodzi, czy chcesz z twoim mężem  
Wytrzymać, czy też odejść? Czy tu taki zwyczaj,  
Żeby obcym przybyszom bajki opowiadać?
- Żona (*jak wyżej*): Jakie bajki? Toć mówię, że już nie wytrzymam  
I wolę wdową zostać, niżli ciebie znosić.
- M. II:  
No, jeśli o mnie chodzi, to bądź sobie wdową  
Nawet dotąd, dopóki królem będzie Jowisz.
- Żona (*j. wyżej*): Takeś wpierrw mi wymawiał, żeś mi ją nie ściągnął,  
Teraz mi ją na oczach tutaj trzymasz. Wstydź się!
- M. II:  
Ależes ty, kobieto, i zła, i zuchwała:  
Śmiesz mówić, żeś mi ją ściągnął, co mi ją tu dała  
Całkiem inna kobieta, bym ją dał odświeżyć?
- Żona:  
Nie, dalibóg — ja ojca mojego przywołam,  
Jemu wszystko opowiem, co ty tu wyrabiasz.  
Idź, Decjo, szukaj ojca — proś, niech razem z tobą  
Przyjdzie do mnie; i powiedz, że tak sprawy stoją.
- (*chłopiec biegnie*)
- M. II:  
Już ja mu tu opowiem o tych twoich sprawkach!  
Masz rozum? Jakie sprawki?
- Żona:  
Suknie i klejnoty  
Kradniesz z domu twej żonie — i twej przyjaciółce  
Zanosisz. No, czy dosyć wyraźnie to mówię?
- M. II:  
Ja cię proszę, kobieto: jeśli wiesz, to powiedz,  
Co mam zażyć, by ścierpieć tę twoją bezczelność?  
Kogo we mnie ty widzisz? Ja nie mam pojęcia;  
Ja ciebie znam tak samo, jak... jak Portaona!
- Żona (*wskazuje na zbliżającego się ojca*):  
No, więc jeśli kpisz ze mnie, to z niego nie będziesz,  
Z ojca, który tu idzie. Przecież się obejrzyj!  
No, czy jego też nie znasz?
- Menechmus II (*ogląda się*): Znam tak, jak Kalchasa.  
W ten sam dzień go widziałem, co i ciebie przedtem.
- Żona:  
Więc mówisz, że mnie nie znasz? Nie znasz mego ojca?
- M. II:  
Jeśli dziadka przywiedziesz, to samo ci powiem.

- Żona: To tak samo, dalibóg, jak wszystko, co robisz.  
 Teść (*nadchodzi od strony miasta, strudzony, wspierając się na lasce; mówi*):  
 Tak, jak wiek mój mi pozwala i jak rzecz wymaga,  
 Idę, śpieszę — lecz nie taję, że mi to niełatwo.  
 Zwawość znikła, starość gniecie i ciężkie już ciało.  
 Sił już brak; o, wiek niedobry, niedobry to towar!  
 Bo przynosi, gdy przychodzi, moc rzeczy najgorszych;  
 Gdybym chciał wyliczać wszystko, za długobym gadał!  
 Ale to mnie niepokoi i w sercu mnie trapi,  
 Co to jest, że mnie ma córka tak nagle tu wzywa,  
 Nie nie mówi, o co chodzi. Pocóż mnie przyzywa?  
 Lecz już prawie się domyślam, co to jest za sprawa:  
 Pewnie jakaś kłótnia z mężem. Bo one tak zwykle:  
 Chcą, by mąż im zawsze służył, przez swoje posagi  
 Pewne siebie i zuchwałę. Choć i oni często  
 Nie ustrzegą się od winy. Jest przecież granica,  
 Pokąd żona winna znosić, ni też córka nigdy  
 Nie przyzywa swego ojca, gdy nie ma przyczyny,  
 Czy z przewiny, czy też z kłótni. Lecz już się tu dowiem.  
 Otóż ona tu przed domem i jej mąż, coś chmurny,  
 To jest to, co przypuszczałem. — Więc do niej przemówię.  
 Żona: Więc podejdę. O, mój ojczu, witaj!  
 Teść: I ty witaj!  
 Więc przychodzę w dobrą chwilę? W dobry czas mnie wzywasz?  
 Czemuś chmurna? Cóż on znowu, zły, zdala od ciebie?  
 Posprzeczałeś się o coś między sobą. Powiedz,  
 Kto z was winien, ale krótko, nie lubię mów długich!  
 Żona: Ja bynajmniej nic nie winna, nie a nic — to pierwsze;  
 Ale tutaj żyć nie mogę, ni wytrwać niesposób!  
 Więc mnie zabierz stąd!  
 Teść: Co znowu?  
 Żona: Tu kpią ze mnie, ojczu!  
 Teść: Kto?  
 Żona: Ten, komuś ty mnie oddał — mój mąż.  
 Teść: Otóż kłótnia!  
 Wielem razy ci nakazał, byście mi się strzegli,  
 By z was żadne nie szło do mnie ze skargą?  
 Żona: Mój ojczu,  
 Jakże ja się mogę ustrzec?  
 Teść: Mnie się o to pytasz?  
 Żona (*urazona tem ofuknięciem*):  
 No, jak nie chcesz...  
 Teść: Wielem razy tobie przykazywał,  
 Byś dla męża była dobra i nie szpiegowiała,  
 Ni co robi, ni gdzie chodzi?  
 Żona (*wybuchając płaczem*): Lecz on tu się kocha  
 W tej heterze zaraz obok...  
 Teść: Ma rację, a nawet  
 Ja ci na złość tu pokażę, że się jeszcze więcej  
 Kochać będzie!  
 Żona (*dalej zawodzi*): I tam pije!  
 Teść: No, więc on dla ciebie  
 Mniej pić będzie, czy to u niej, czy gdzie mu się zachce?  
 Co — do licha — za bezczelność! Tak samo zażądaj,  
 By zaproszeń nie przyjmował, lub gościa żadnego

- Sam nie przyjął! Lub tak samo wyznacz mu robotę:  
Każ, niech siedzi pośród dziewczek i wełnę grępluje!
- Żona (*zirytowana*): Nie dla siebie więc przywiodła obrońcę, mój ojciec  
Lecz dla męża. Jego bronisz, stając po mej stronie!
- Teść: Jeśli on znów coś zawini, to go jeszcze ostrzeżę  
Skarzę, niżli ciebie nawet. Lecz jeśli dba dobrze  
O twe stroje i klejnoty, dostarcza, jak trzeba,  
Czy służących, czy zapasów, to lepiej, kobieto,  
Miej ty rozum!
- Żona: Lecz on właśnie klejnoty mi kradnie  
I me suknie ze skrzyń w domu — i mnie tak obdziera,  
Moje stroje potajemnie do heter wynosi!
- Teść: To źle robi, gdy tak robi, lecz jeśli nie robi,  
Ty źle robisz, pomawiając człeka niewinnego.
- Żona: Toż on, ojciec, teraz jeszcze ma w rękach tę suknię  
I ten naramiennik właśnie, który do niej zaniósł,  
A żem ja się dowiedziała, więc teraz odnosi.
- Teść: Już ja dowiem się od niego, jak to wszystko było.  
Więc podejść i zagadam. (*do Menechma II*) Powiedz-no, Menechmie,  
O cóż to wy się spieracie? Niech wiem. Czemuś chmurny?  
Cóż ta znowu zagniewana zdaleka od ciebie?
- M. II: Więc kimkolwiek jesteś, starcze, jakkolwiek się zowiesz,  
Klnę się na Jowisza władcę, na bogów...
- Teść (*przerywa*): Lecz o co?  
Poco? Naco?
- Menechmus II: ...żem ani jej nic złego nie zrobił,  
Tej kobiecie, co mnie skarży, żem jej suknię z domu  
Ściągnął, porwał —
- Żona (*przerywa*): Toż on kłamie!
- Menechmus II: Więc jeśli ja kiedy  
Nogą wstąpił do jej domu, niech będę ze wszystkich  
Nieszczęsnych najnieszczęśliwszy!
- Teść: A gdzie ty masz rozum,  
Że się tutaj tak przysięgasz i przeczysz, żeś nigdy  
Nogą tu w ten dom nie wstąpił, gdzie mieszkasz, warjacie?
- M. II: Więc ty twierdzisz o mnie, stary, że mieszkam w tym domu?
- Teść: Może nie?
- Menechmus II: No nie, dalibóg!
- Teść: To kłamiesz, dalibóg;  
Chyba, żeś się wyprowadził dzisiaj w nocy.  
(*do córki, biorąc ją nabok*): Chodź-no!  
Czyście się wyprowadzili?
- Żona (*na stronie*): Ależ gdzie — i poco?
- Teść: Ja sam nie wiem.
- Żona (*na stronie*): On wyraźnie kpi z ciebie. Nie widzisz?
- Teść: No, Menechmie, już dość żartów! Więc teraz do rzeczy.
- Menechmus II (*w ostatecznej pasji*):  
Co masz do mnie? Skądęś przylazł? Lub coś ty za jeden?  
Ty, czy ona, co mnie tutaj zadręcza bez końca!
- Żona (*do ojca, przerażona wyglądem pseudomeża*):  
Patrz, zielenią mu się oczy! Zieloność mu bije  
Z skroni, z czoła — popatrz tylko, jak mu oczy płoną!
- Menechmus II (*z nagłą decyzją do siebie*):  
Wiem, co zrobić! Skoro oni warjatem mnie robią,  
Udam szal — i ich w ten sposób od siebie odstraszę!  
(*Zaczyna rozdziawiać usta, toczyć oczyma, rzucać się i t. d.*)

- Żona (z przerażeniem):  
Co za usta! Jak nim rzuca! Ojczy! co tu robić?
- Teść: Chodź tu nabok, moja córko, najdalej od niego.
- Menechmus II (*patetycznym tonem, udając nieprzytomnego*):  
Eú-ho-e, Eú-ho-e, Bromju! Gdzież mnie to w las wołas?  
Słyszę, lecz nie mogę odejść z tych tutaj okolic,  
Bo mnie tu od lewej strzeże wściekła suka ludzka,  
. A tu znowu kozioł stary, co nieraz w swem życiu  
Zabił człeka niewinnego fałszywem świadectwem!
- Teść (*zamierza się laską*):  
Idź, bo jak cię...
- Menechmus II: A Apollon każe mi wyrocznią,  
Bym ja oczy jej wypalił płonąca pochodnią!
- Żona (*chowa się za ojca*):  
Ratuj, ojczy! on mi przecież oczy chce wypalić!
- M. II (*na stronie*): Aha, mówią, żem ja warjat, a sami warjują!
- Teść (*na stronie*): Córko!
- Żona: Co?
- Teść (*jak wyżej*): Co robić teraz? Może wezwać służbę?  
Pójdę po nich, niech go wezmą i w domu skrepują,  
Zanim jeszcze tu narobi więcej zamieszania.
- Menechmus II (*do siebie*):  
Wpadłem! Gdy coś nie poradzę, do domu mnie porwą!
- (*na głos*): Każesz, bym jej na tej gębie nie szczędził mych pięści,  
Jeśli z oczu mych nie zejdzie na karku złamanie!  
Zrobię tak, jak chcesz, Apollo!  
(*posuwa się ku żonie*)
- Teść (*do córki*): Zmykaj, co masz siły,  
By cię nie zbil!
- Żona: Już uciekam — strzeż go, mój ojczy,  
By się stąd gdzieś nie oddalił. Jakażem ja biedna!  
(*zawodząc, wchodzi do domu*)
- Menechmus II (*do siebie*):  
No, tej nieźle się pozbyłem. A teraz do tego  
Obrzydłego, brodatego, drżącego Tytana,  
Co za ojca miał Cyknusa (*na głos*): Tak mi rozkazuje,  
Bym mu członki razem z kośćmi i wraz ze stawami  
Poprzetrzącał własną laską!
- Teść: Możesz sam oberwać,  
Gdy mnie tkniesz, lub jeśli tylko do mnie się przybliżysz!
- Menechmus II (*dalej w «natchnieniu»*):  
Spełnię rozkaz: schwycę topór dwusieczny — i tego  
Na kawałki tu posiekam starucha z kośćmi!
- Teść (*trochę w strachu, do siebie*):  
Ej, tu chyba lepiej strzec się i trochę uważać;  
Bo naprawdę się go boję, by mi coś nie zrobił  
Tak, jak grozi.
- Menechmus II: Apollonie, liczne twe rozkazy!  
Teraz każesz mi pochwycić czwórkę koni dzikich  
I ognistych — i wsiąść na wóz, by zetrzeć lwa tego  
Zgrzybiałego, smrodliwego, całkiem bezzębego.  
I już stoję na tym wozie, trzymam lejce, bodziec,  
Nuże, konie! Niechaj zagrzmie tętent waszych kopyt,  
A od pędu niech się wygną wasze chyże nogi.
- Teść: Więc mnie grozisz czwórką koni?





Teraz, proszę, zważcie, jaki zarzut robia:  
 Ot, Menander napisał Andrię i Perynlję;  
 Kto choć jedną z nich widział, jakby widział obie,  
 Bo nie treścią się różnią, lecz mową i stylem.  
 Więc poeta przyznaje, że to wziął z Peryntji  
 Do Andrii, co się zdało, i użył jak swoje.  
 To oni tedy ganią i obstają przy tem,  
 Że nie godzi się sklejać z dwóch jedną komedję;  
 A chcąc mądrość pokazać, brak jej pokazują,  
 Ganiąc tego poetę, ganią i Newjusza,  
 Ganią Plauta, Ennjusza, poprzedników jego,  
 Których on woli sobie przyswoić swobodę,  
 Anizeli tych ciemną, niewolniczą ścisłość.  
 Ja nareszcie radzę im, ażeby milczeli  
 I przestali złorzeczyć, aby się o sobie  
 Nie dowiedzieć, że błędy ich my dobrze znamy.  
 Ale wy mu sprzyjacie; bądźcie mu przychylni,  
 Wystuchajcie z uwagą, byście osądzili,  
 Czy jest jaka nadzieja dla jego komedyj,  
 Które później napisze, czy warto je widzieć,  
 Czy raczej bez widzenia zgóry je odrzucić.

#### Końcowa partja komedji.

*(Scena rozpoznania). Osoby: najpierw Kryton, Chremes, Simo, Pamfil; potem Charinus, Pamfil; wkońcu Dawus, Pamfil, Charinus.*

Simo: Nie pros; każda z tych przyczyn już dla mnie wystarcza;

Czy ty sam, czy co prawda, przyjaźń Glicerji.

Chrem: Czy to Kryton Ateńczyk? Tak, to on, witajże!  
 Rzadkiś ty gość w Atenach. Co cię tu sprowadza?

Kryton: Interes tak wypadł. Czy to jest Simo?

Chrem: Tak, to on.

Simo: O mnie pytasz? Czy to ty powiadasz,  
 Że Glicerjum jest z Aten i obywatelką?

Kryton: Chcesz przeczytać?

Simo: Toś namówion.

Kryton: Czemu?

Simo: Pytasz jeszcze?

Czy sądzisz, że bezkarnie będziesz tu młodzieńców  
 Uczciwie wychowanych, skromnych, oszukiwał?  
 Namawiał, obietnicą pozyskiwał sobie?

Kryton: Czyś oszalał?

Simo: I śluby kojarzył nierządne?

Pamfil: Zginałem! Obawiam się, by zniósł to ten obcy.

Chrem: Gdybyś znał, mój Simonie, lepiej tego człeka,  
 Nie sądziłbyś tak o nim, bo to dobry człowiek.

Simo: Ma być dobry ten człowiek? A przybywa dzisiaj,  
 Tak na sam dzień wesela, choć nigdy tu dawniej  
 Nie był jeszcze! Chremesie, czyż można mu wierzyć?

Pamfil: Gdybym się nie bał ojca, miałbym coś takiego,  
 Cobym ci na to słusznie zdołał odpowiedzieć.

Simo: Oszuście!

Kryton: Co?

Chrem: Krytonie, daj pokój i wybac.

Kryton: Niech się strzeże, bo jeśli nie przestanie gadać,  
 Co mu ślina przyniesie, to i mnie usłysz.

- I mnie wasze tu sprawy obchodzą niemało.  
 A ty tego nieszczęścia nie zniesiesz spokojnie?  
 Bo czy to, co ja mówię, prawdą jest, czy fałszem,  
 Dowiedzieć się nietrudno. Przed kilkoma laty  
 Ateński obywatel pewien po rozbiciu  
 Okrętu wyrzucony został na brzeg Andros,  
 Z nim ta mała dziewczyna. W biedzie i niedoli  
 Najprzód prosi Chryzydy rodzica o pomoc...
- Sim o: Ot wymyśla bajeczkę!
- Chrem.: Pozwól.
- Kryton: Ty mi przeczysz?
- Chrem.: Mów dalej.
- Kryton: Że Chryzydy ojciec był mym krewnym,  
 Który go w dom swój przyjął, więc nieraz słyszałem  
 Od niego, że ateńskim był obywatelem.  
 Tam on umarł.
- Chrem.: Nazwisko?
- Kryton: Tak ci prędko wiedzieć?  
 Fanjasz.
- Chrem.: O, zginąłem!
- Kryton: Tak się zwał zaiste;  
 O tem wiem jak najpewniej, a pochodził z Ramnus.
- Chrem.: Na bogi!
- Kryton: To samo wielu innych słyszało,  
 Mój Chremesie, na Andros.
- Chrem.: Niech będzie, co myślę!  
 O, powiedz mi, Krytonie, czy mówił ten człowiek,  
 Że to jest jego córka?
- Kryton: Nie.
- Chrem.: A czyjaż przecie?
- Kryton: Brata ją mienił córka.
- Chrem.: Więc to córka moja!
- Kryton: Co mówisz?
- Sim o: Co? co mówisz?
- Pamfil: Słuchajże, Pamfilu!
- Sim o: Jakże wierzysz?
- Chrem.: Ten Fanjasz, tak, moim był bratem.
- Sim o: Znałem go i wiem o tem.
- Chrem.: Unikając wojny,  
 Wyptynał stąd do Azji i za mną on jechał;  
 A zostawić tu córkę moją się obawiał.  
 Co później z nim się stało, dziś dopiero słyszę.
- Pamfil: Ledwo żyję, tak bardzo przejętą mam duszę  
 Obawą i nadzieją, radością, podziwem,  
 Tak nagłego i dla mnie tak wielkiego szczęścia.
- Sim o: Z wielu względów się cieszę, żeś w niej znalazł córkę.
- Pamfil: Wierzę temu, mój ojcze.
- Chrem.: Lecz jedna wątpliwość  
 Jeszcze mnie niepokoi.
- Pamfil: Nieznośnys z wątpieniem;  
 Widzisz cień, gdzie go nie masz.
- Sim o: Jakaż to wątpliwość?
- Chrem.: Ot, imię się nie zgadza.
- Kryton: Prawda to, że innym  
 Imieniem ją wołali, kiedy była małą.
- Chrem.: I jakimże imieniem, nie pomnisz, Krytonie?

Kryton: Myślę nad tem.  
Pamfil: Czyż miałbym dozwolić, by pamięć  
Słaba tego człowieka radość mą wzburzyła?  
Nie dozwolę; Chremesie, ja wiem: Parybula...  
Kryton: Tak, tak jest!  
Chrem: To jest ona!  
Pamfil: Od niej to słyszałem  
Tysiąc razy.  
Simo: Chremesie, sędzę, że mi wierzysz,  
Iż my wszyscy z twojego cieszymy się szczęścia.  
Chrem: Tak mi Boże dopomóż; wierzę, bardzo wierzę.  
Pamfil: Cóż, ojcze, pozostaje?  
Simo: Już mnie sam wypadek  
Dawno z tobą pogodził.  
Pamfil: O, kochany ojcze!  
Co do żony, wszak Chremes nic z tego nie zmieni,  
Bym ją miał, jak mam teraz.  
Chrem: Nic się nie sprzeciwiam,  
Jeśli ojciec się zgadza.  
Pamfil: Zgadza się?  
Simo: Tak, zgadzam.  
Chrem: A posag jej, Pamfilu, jest dziesięć tysięcy.  
Pamfil: Przyjmuję.  
Chrem: Śpieszę do niej. Chodź ze mną, Krytonie,  
Gdyż nie sędzę, by ona jeszcze mnie znać miała.  
Simo: Czemuż jej tutaj dotąd przenieść nie rozkażesz?  
Pamfil: Dobrze mówisz; Dawusowi dam to polecenie.  
Simo: On go podjąć nie może.  
Pamfil: Czemu?  
Simo: Bo rzecz większą  
I inną ma przed sobą.  
Pamfil: Cóż?  
Simo: Jest związany.  
Pamfil: Ojcze mój, to niestuszne.  
Simo: Nie mów tak; kazałem.  
Pamfil: Każ go puścić, błagam cię!  
Simo: Dobrze, niech się stanie.  
Pamfil: Lecz się śpiesz.  
Simo: Idę do dom.  
Pamfil: O, ty dniu szczęśliwy!

*(Kryton, Chremes i Simo odchodzą; zostaje Pamfil, nadchodzi Charinus, potem Dawus).*

Charin.: Zobaczę, jak z Pamfilem. A! i on tu.  
Pamfil (*myśli*): Może  
Kto sądzić, że mi się tu prawdziwem nie zdaje,  
Ale ja to uważam za istotną prawdę:  
Uważam, że bogowie przez to żyją wiecznie,  
Iż stałe ich rozkosze. I jam nieśmiertelny,  
Jeżeli żadna troska rozkoszy nie przerwie.  
Lecz komużbym to wszystko najchętniej powiadał?  
Charin.: I jakaż radość twoja?  
Pamfil: Otóż Dawus idzie!  
Nikt teraz pożądanym nie jest mi od niego,  
Wiem bowiem, że on szczerze radość mą podzieli.  
Dawus: Gdzie tu Pamfil będzie?  
Pamfil: Dawus!

- Dawus: Kto to?  
Pamfil: To ja jestem.  
Dawus: Pamfilu!  
Pamfil: Nie wiesz tego, co mi się zdarzyło?  
Dawus: Nie wiem, ale zato wiem, co mnie się zdarzyło!  
Pamfil: Ja wiem także.  
Dawus: Zwyczajem stało się to świata,  
Iż złe, co mnie spotkało, prędeż ci wiadome,  
Niż mnie dobre, co ciebie.  
Pamfil: Wiesz, Glicerjum moja  
Swych rodziców znalazła.  
Dawus: A to szczęście wielkie!  
Charin.: Co?  
Pamfil: Ojciec jej jest naszym dobrym przyjacielem.  
Dawus: Któż to?  
Pamfil: Chremes.  
Dawus: Co mówisz?  
Pamfil: Już niemasz przeszkody,  
Bym się zaraz ożenił.  
Charin.: Czyż on marzy we śnie,  
Czego pragnął na jawie?  
Pamfil: Co do dziecka, Dawus?  
Dawus: O, nie mów, bo ten chłopiec w czepku się urodził.  
Charin.: Jak wielka radość moja, jeśli to jest prawda!  
Zaraz się o tem dowiem.  
Pamfil: Ktoś tu jest! Charinie!  
W sam czas mi tu przychodzisz.  
Charin.: Prawdziwe to szczęście!  
Pamfil: Co? Słyszałeś?  
Charin.: Słyszałem. A pamiętaj o mnie,  
Kiedy sam jesteś w szczęściu. Chremes już jest twoim;  
Wiem, że wszystko uczyni, co tylko chcieć będziesz.  
Pamfil: Pamiętam. Lecz za długo na niego mam czekać;  
Pójdź ze mną, gdyż on teraz jest u mej Glicerjum.  
Ty, Dawusie, idź do dom; śpiesz, ludzi przywołaj,  
Coby ją stąd przenieśli.  
Charin.: Cóż stoisz i czekasz?  
Dawus: Idę, ale wy tutaj przecież nie czekajcie,  
Ażby wyszli, gdyż w domu tu ślub się odbędzie,  
I wszystko się załatwi. Przykłaśnijcie, proszę.

*Tłum. Jan Wolfram.*

## LUKRECJUSZ KARUS

(um. w r. 55 przed Chr.)

### INWOKACJA DO WENERY

(Ks. I ww. 1—25)

Eneadów rodzicielko! Jasna Wenus!  
Tyś dla bogów, tyś dla ludzi upojeniem!  
Tyś jest w niebie pośród gwiazdnych dróg,  
Tyś jest w morzu wśród pędzących naw,  
Tyś jest w ziemi wśród rosnących traw!  
W tobie stworzenia poczęły się żywe,  
Słońca nam dajesz oglądać blask,

Chyłą się trawy przed tobą, Władczyni,  
 Chmury spływają, na przyjście tve,  
 Ziemia porasta łąkami barwnemi,  
 Morska cię wita uśmiechem toń,  
 Niebo bezkresne promienie rozsiewa,  
 Jasność wiosenna blaskiem łśni,  
 Żywych zapładnia życiem wiatr;  
 Ptactwa rozbrzmiewa w przestworzu śpiew,  
 Skoro poczuje w krwi twoją moc.  
 Skoro nadchodzisz, władna Pani,  
 Trzoda radosna ugania po łąkach,  
 Dzikie zwierzęta przez rzeki wezbrane,  
 Czarem twym tknięte, w tve ślady mkną!  
 Chuć życiodajna, miłosne pragnienie!  
 Przyszłość zapładniasz na łąkach i w górach,  
 W głębi zielonej i w rwącym strumieniu,  
 W ptasich siedzibach, w gęstwinie kniej.  
 Tyś jest jedyna; podlega ci wszechświat;  
 Jesteś początkiem tego, co jest;  
 Znaczysz radością, rozdajesz kochanie...  
 Gdy o wszechrzeczy przeto pieśń układam,  
 Proszę cię, Pani, pomocną mi bądź!

*Tłum. M. St. Popławski.*

BEZMYŚLNE TROSKI LUDZKIEGO ŻYCIA  
 (Ks. III ww. 975—1000)

W życiu naszym, na ziemi, wszystek ów ból,  
 Co rzekomo wypełnia śmierci podziemny kraj.  
 I nie Tantal drży, jak o tem głosi wieść,  
 Zdjęty czczym strachem, że nań spadnie wiszący głaz:  
 Nas, żyjących, chwytą przed bogami próżny lęk,  
 Każdy obawia się tego, co mu przyniesie los.  
 I nie Tytjos, obalony, leży jako żer,  
 I nie szarpie go w krainie śmierci żaden sęp;  
 Bowiem nie dostarczy nawet jego wielka pierś  
 Ptactwu jądła dosyć na bezkresny przebieg lat;  
 Leżąc, niech nie dziewięć obejmuje Tytjos włók,  
 Niech przykryje sobą nawet cały ziemi krąg;  
 Wszelki ogrom niech przerasta ciała jego kłęb —  
 Zawsze sił mu zbraknie znosić wieczny ból;  
 Ogromnego nie starczy ciała na wieczny żer.  
 Tytjos pośród nas jest: ten, kogo ogarnia chuć,  
 Kogo gniecie zmora, niezaspokojonych żądź  
 Dręczy płomień — temu piersi szarpie sęp.  
 W życiu również mamy obraz Syzyfowych mąk:  
 Ten, kto pragnie od ludu uzyskać władzy znak,  
 Kogo ogarnęła siekier konsularnych chęć —  
 Oto smutny, zawiedziony idzie precz.  
 Bowiem władzy pragnąć — jest to próżnej mary chcieć;  
 Dla tej złudy znosić zawsze znojny trud,  
 Jest to właśnie wgóre ciężki kamień pchać,  
 Głaz, który ze szczytu wnet się toczy wdół,  
 By w gwałtownym pędzie dążyć na równinę pól...

*Tłum. M. St. Popławski.*

## FIZYKALNA STRUKTURA ISTNIEJĄCYCH RZECZY

(Ks. I ww. 418—598)

Żeby zaś teraz powrócić do zaczętego wątku i snuć go dalszemi słowami, to cała, jak nią jest natura, składa się z dwóch rzeczy. Oto są ciała (to zn. atomy) i próżnia, w której się one mieszczą i gdzie się ruszają w rozbieżnych kierunkach. Że bowiem ciało przez się istnieje, o tem świadczy zmysł wszystkim wspólny; jeśli zaś mu nie dać pierwszej i niezachwianej wiary, to w sprawach zakrytych nie będziemy mieli gdzie się odwołać i nie będziemy mogli niczego stanowić na podstawie rozumowania. A gdyby dalej nie było miejsca i przestrzeni, którą zwiemy próżnią, to ciała (to zn. atomy) nie mogłyby nigdzie się mieścić, ani też wogóle zdążać w rozbieżnych kierunkach, jak to już wyżej wykazaliśmy. Niema zresztą niczego, cobyś mógł nazwać zupełnie odłączonym od ciała i oddzielonem od próżni, coby się okazało trzecią niejako liczebną naturą. Cokolwiek bowiem będzie, będzie musiało być czemś w każdym razie. Jeśli mieć będzie choćby najbliższe i najskromniejsze dotykane, to mniejsza o to, sporym czy szczupłym przyczynkiem, byleby było, przyczyni się do pomnożenia liczby ciała i pójdzie za całością. Jeśli zaś dotknąć się nie da i jeśli żadnej, przez się przechodzącej, rzeczy nie potrafi w przejściu przeszkodzić, to będzie oczywiście tą właśnie pustką, którą zwiemy próżnią. Cokolwiek zresztą przez się będzie istnieć, będzie musiało albo samo coś działać, albo poddawać się cudzym działaniom, albo też rzeczy będą w niem mogły być i dzieć się. Atoli żadna rzecz nie może ni działać, ni poddawać się bez ciała, miejsca zaś pustka jedynie i próżnia używa. Więc oprócz ciał i próżni nie można zostawić w liczbie rzeczy żadnej trzeciej samoistnej natury, ani któraby kiedykolwiek podpadła pod nasze zmysły, ani któraby mógł ktoś rozumowaniem uchwycić.

Bo wszystko zaiste, co ma jakieś imię, stanowi — jak docieciesz — albo przynależność tych dwóch rzeczy, albo jest — jak zobaczysz — ich wydarzeniami. Przynależne jest to, co bez zgubnego zerwania nie da się nigdzie ani odłączyć, ani oddzielić. Tak przynależy ciężar do gładów, gorąco do ognia, a ciepłość do wody; natomiast niewolę, ubóstwo, dostatek, wolność, wojnę, pokój oraz resztę tych rzeczy, za których przybyciem, jako też odejściem, natura zostaje nietkniętą, zwiemy naszym obyczajem, jak każę słusność, wydarzeniami. Czas przez się również nie istnieje, lecz tylko po rzeczach zmysł dochodzi, co się odbyło w przeszłości, jaka rzecz potem nastaje i wreszcie, co dalej nastąpi. I wyznać należy, że nikt nie odczuwa samoistnego czasu poza ruchem rzeczy i ich spokojnym wypoczynkiem. Wreszcie, kiedy mówią, że córka Tyndara została porwana, i że trojańskie plemiona zostały ujarzmione w wojnie, trzeba dobrze zważać, aby te rzeczy nie wymusiły na nas przypadkiem wyznania, że istnieją same przez się, «jako, że te pokolenia ludzkie, które miały owe wydarzenia, dawno już uniosła bezpowrotna przeszłość». Wszakże o wszystkim, cokolwiek się stanie, będzie można powiedzieć, że zdarzy się albo na szerokiej ziemi, albo w pewnych tylko okolicach. Gdyby wreszcie nie było żadnego tworzywa rzeczy i żadnej przestrzeni, ni miejsca, w którym się wszystko dzieje, to nigdy żar miłosny, wzniecony krasą córki Tyndara i buchający pod frygijską piersią Parysa, nie byłby rozpałił okrutnej pożogi wojennych zapasów, ani też koń drewniany, w tajemnicy przed Trojanami, porodziwszy nocą Greków, nie byłby zażęgl pożaru Troi. Przeto poznać możesz, że wszystkie bez wyjątku dokonane czyny nie są i nie istnieją przez się tak, jak ciała, ani też nie zyskują sobie imienia tem samem prawem, co próżnia, lecz raczej tak, że można je słusznie nazywać wydarzeniami ciała i miejsca, w którym się wszystko dzieje.

Ciałami są dalej częścią zarodki rzeczy, częścią to, co polega na skupieniu zaczątków. Atoli onych zarodków rzeczy żadna siła nie zdoła zniweczyć, ponieważ ostatecznie odnoszą zwycięstwo dzięki swemu nieprzenikliwemu ciału, chociaż trudno jest wierzyć napozór, by w rzeczach mogło być coś o ciełe nieprzenikliwem. Oto przez ściany domów przechodzi grom niebieski, tak jak krzyk i głosy. Żelazo bieleje w ogniu i pękają kamienie, rozpalone srogim żarem. Gorącu daje się porazić i topić zimny hart złota. Topnieje potem lodowa opoka śpiżu, zwyciężona przez płomień.

Przez srebro przenika ciepło i przenikliwe zimno, ponieważ, trzymając w dłoni pułhary wedle obrządku, czujemy i jedno, i drugie, kiedy się wleje zgóry wodną rosę. Aż do tego stopnia niema, zdaje się, niczego nieprzenikliwego w rzeczach. Ponieważ jednak prawdziwe rozumowanie i natura rzeczy taki mus nakłada, to posłuchaj uważnie, póki ci w kilku wierszach nie wyluszczymy, że istnieją ciała o ciełe nieprzenikliwem i wiecznem, które my w naszej nauce nazywamy ziarnami rzeczy, oraz zarodkami (to zn. atomami), i z których zrodził się i składa cały świat terazniejszy.

Przedewszystkiem, skoro się okazało, że istnieje dwójaka i to zgoła niepodobna do siebie natura dwóch rzeczy, a mianowicie ciała i miejsca, w którym wszystko się dzieje, to jedna i druga musi być samą w sobie i czystą. Gdzie tylko bowiem zieje przestrzeń, którą nazywamy próżnią, tam niema ciała, a gdzie tylko znowu zalega ciało, tam żadną miarą niema pustej próżni. Więc ciała pierwotne są nieprzenikliwe i bez próżni. Skoro zresztą w rzeczach zrodzonych jest próżnia, to dookoła musi być nieprzenikliwa materja, bo o żadnej rzeczy nie da się wykazać prawdziwem rozumowaniem, żeby w swoim ciełe kryła i żeby miała wewnątrz próżnię, jeżeli tego, co dzierży, nie zostawia się nieprzenikliwem. Tem, co może dzierżyć próżnię rzeczy, nie może być dalej nic innego, jak tylko skupienie materji. Więc materja może być wieczna, składając się z ciała nieprzenikliwego, choć reszta idzie w rozsypkę. Gdyby zaś skądinąd nie było ciałek istotnych, wypełniających wszystkie miejsca przez się zajęte, to całość wszystkiego byłaby pustką i próżną przestrzenią. Skoro jednak nie jest ani wyłącznie pełną, ani też pustą, więc oczywiście ciało i próżnia przenikają się naprzemian. Są tedy ciała istotne, co mogą przenikać próżną przestrzeń pełną. Nie mogą ich roztrzaskać zewnętrzne uderzenia, nie może nic wnikać do ich wnętrza i rozmotać przędzy, ani też żadne inne zapędy nie mogą przywieść ich do upadku, jak ci to już wyżej wykazaliśmy. Albowiem jasną jest rzeczą, że nic bez próżni nie może być ani strzaskane, ani złamane, ani rozłupane na dwoje od cięcia, że nic nie może chłonać wilgoci, a tak samo wsiąkającego zimna, lub przenikliwego ognia, od czego wszystko niszczeje. I im więcej próżni coś wewnątrz zawiera, tem niezawodniej pada łupem tych rzeczy. Jeżeli zatem ciała pierwotne są nieprzenikliwe i pozbawione próżni, tak jak powiedziałem, to muszą także trwać wiecznie. Gdyby zresztą materja nie była wieczna, to już dawno rzeczy wszelakie obróciłyby się w nicłość, i wszystko cokolwiek widzimy, byłoby wskrzeszone z nicości. Ponieważ jednak wykazałem wyżej, że nic nie może rodzić się z niczego, ani to, co powstało, nie może wniwecz się obracać, przeto nieśmiertelne ciała mieć muszą zarodki, by na nie mogło się wszystko rozpraszać w chwili ostatecznej i żeby starczyło materji do wskrzeszania rzeczy. Zarodki są więc jednolite i nieprzenikliwe i tylko w ten sposób mogą, zachowawszy się przez wieki, od nieskończonego już czasu sprawić rzeczy na nowo.

Gdyby wreszcie natura nie ustanowiła żadnego kresu w kruszeniu rzeczy, to pod naporem ciągle kruszącej przeszłości doszłyby już ciała do takiego stanu, że nic z nich od pewnego czasu nie mogłoby zrodzić się i przekwitać, przebywając progi doczesnego bytu. Albowiem widzimy, że wszystko daje się rychlej zniszczyć, niż sprawić na nowo. Dlatego to, coby dotąd pokruszyła, burząc i niszcząc, cała długa i nieskończona przeszłość ubiegłych dni, nie dałoby się już nigdy sprawić na nowo w pozostałym czasie. Skoro jednak widzimy, że każda rzecz się odradza, oraz że wedle rodzaju są ustalone dla rzeczy okresy, w których mogą osiągnąć kwiat swego żywota, to kres kruszenia trwa oczywiście niezłomnie. Da się przytem wytłumaczyć mimo nieprzenikliwości ciałek materji, jakim sposobem wszystkie miękkie ciała, powietrze, woda, ziemia i ogniste żary, stają się miękkie i jaką mocą wszystko się dzieje, skoro raz próżnię domieszać do rzeczy, a wytłumaczyć natomiast się nie da, skąd mogą powstawać potężne krzemienie i żelazo, albowiem cała ich natura utraci swą główną ostoję, jeżeli miękkie są zarodki rzeczy. Mają więc moc nieprzenikliwej jednolitości, a w razie ich przygęstszeo skupienia wszystko może się zacieśnić i ujawnić potężne siły.

Jeżeli dalej niema żadnego kresu w kruszeniu ciał, to w takim razie wszelakie ciała musiałyby od nieskończonego czasu jeszcze teraz ostawać się dla rzeczy i ucho-



dzić za takie, których jeszcze nigdy nie spotkało żadne niebezpieczeństwo. Lecz skoro mają kruchą naturę, to z tem się nie zgadza, żeby mogły trwać wiecznie w udręce nieprzeliczonych uderzeń przez wieki. A wreszcie, ponieważ rzeczy mają wedle swoich rodzajów ustalone granice rozwoju i długości życia, tudzież ponieważ nic się nie zmienia, lecz wszystko do tego stopnia pozostaje sobie wierne, że wszystkie pokolenia różnobarwnych ptaków ukazują plamy swego rodzaju na ciele, to ciała muszą mieć także z niezmiennej materji. Bo gdyby zarodki rzeczy dało się w jakiś sposób zmóc i zmienić, to byłoby już także niepewne, co może powstać a co nie może, z jakiej poprostu przyczyny każda rzecz ma moc ograniczoną i kres głęboko tkwiący, tudzież nie mogłyby pokolenia wedle swoich gatunków tylokrotnie wskrzeszać natury, obyczajów, sposobu życia i ruchów rodziców.

*Tłum. A. Krokiewicz.*

### WSZECHPOTĘŻNA BOGINI ZIEMIA

(Z ks. II)

Ma w sobie ziemia ciała pierwotne, dzięki którym źródła, tocząc zimne nurty, skrzętnie odnawiają niezmierzone morza. Ma, dzięki którym powstają ognie, albowiem na wielu miejscach płonie żarem łono ziemi, a osobliwemi już ogniami szaleje wybuch Etny. Ma następnie takie, dzięki którym może dostarczyć dla dzikiej zwierzyny górskiej rzek, liści i bujnych pastwisk. Przeto wielką matką bogów i matką dzikich zwierząt i rodzicielką naszego ciała została nazwana ona jedna. O niej starzy, uczeni pieśniarze Greków śpiewali, że, siedząc na rydwanie, popędza lwy w podwójnem jarzmie, przez co uczyli, że wielka ziemia buja w powietrznej przestrzeni i że nie może sama na sobie spoczywać. Wprzęgli dzikie potwory, ponieważ nawet najdziksze potomstwo musi złagodnieć i ulec staraniom rodziców. Że zaś na swych warownych wyżynach dźwiga grody, ogrodzili szczyt głowy bogini wieńcem z wieżyczek. Z tą oznaką obnosi się teraz wizerunek bożej rodzicielki po rozległych ziemiach i budzi świętą grozę. Różne narody nazywają ją wedle starego obrządku idajską Matką i przydają frygijskie rzesze za orszak, gdyż od owego najpierw kraju, jak mówią, poczęły rość zboża po całym świecie. Przydzielają jej kapłanów-eunuchów, ponieważ chcą zaznaczyć, że tych, co pokalali świętość matki i wobec rodziców okazali się niewdzięcznikami, ma się uważać za niegodnych, by wydawali żywe potomstwo na brzegi jasności. Grzmia pod dłonią napięte bębny i dęte talerze dookoła, chrapliwym głosem grożą rogi, a pusty flet podnieca umysły frygijską pobudką. Przodem niosą noże, godła gwałtownego szału, zdolne przejąć niewdzięczne dusze i bezbożne serca tłumy mrowiem i strachem przed mocą bogini. Skoro więc tylko, odbywszy wjazd przez wielkie miasta, obdarzy milczącą śmiertelnych niemem błogostawieństwem, zaraz jej zaścielają śpiżem i srebrem całą drogę, bogacą sutą jałmużną i chmurą różanego kwiecia zasypują Matkę, wraz z rzeszą czcicieli. Tutaj zbrojna gromada kapłanów, których Grecy nazywają imieniem frygijskich kuretów, o ile igra między sobą bronią i, złana posoką, podskakuje miarowo, potrząsając chybkiem ruchem straszliwemi czubami na głowach, przedstawia diktejskich kuretów, którzy mieli niegdyś zagłuszyć na Krecie owo kwilenie Jowisza, gdy jako zbrojne chłopięta wkoło chłopięcia uderzali miarowo w wytrwałym płasie o śpiż śpiżem, żeby go też nie dostał Saturn w swe zachłanne szczęki i nie zadał sercu Matki wiekuiestej rany. Z tego powodu towarzyszą wielkiej Matce zbrojni. Albo mają w ten sposób zaznaczać, że bogini przykazuje bronią i cnotą bronić ojczystej ziemi ohotnie i być dla rodziców chętną podporą i chlubą. Dobrze te jednak i znakomite wywody niemniej daleko odbiegły od prawdy. Bo przecie wszelka natura bogów i odsunięta od spraw naszych, i odłączona daleko, musi mocą swego przyrodzenia zażywać nieśmiertelnego bytu z najwyższym pokojem. Wolna zaiste od wszelkiego bólu, wolna od niebezpieczeństw, mając dość mocy we własnych zasobach, a nas nie potrzebując zgoła, ni zasługami ując się nie daje, ni na gniewy zważa. Ziemia przynajmniej trwa w wiecznej nieczułości. Ponieważ zaś posiada zarodki wielu rzeczy, przeto wiele i na wiele sposobów wydaje na światło słoneczne. I jeśli ktoś tutaj postanawia sobie morze zwać Neptunem,

a Cererą zboża, i jeśli woli używać imienia Bachusa, niż wymieniać właściwą nazwę winnego płynu, to pozwólmy mu nazywać ziemski krąg Matką bogów, byleby tylko sobie w istocie oszczędził kalania ducha podłym zabobonem.

*Tłum. A. Krokiewicz.*

## KATULLUS

(87—55 przed Chr.)

### ŻALE NAD SKONEM WRÓBLA (l. 3)

Placzcie, boginie, płaczcie, Kupidyny,  
I wszyscy, których nadobność okrywał  
Umarł, niestety, wróblík mej dziewczyny,  
Wróblík, ta rozkosz kochanki prawdziwał  
Co go wołała nad własne źrenice,  
Gdyż był milutki, znał dobrze, kto ona,  
Jako córeczka zna swej matki lice.  
Ani odlatał z jej śnieżnego łona,  
Lecz skacząc wkóło, swawoląc bez miary,

Dla pani tylko świergotliwie nucił.  
Ach, on już poszedł w te ciemne pieczary,  
Skąd nikt nie wraca, ani kto powrócił.  
Bądźcież przekłete, wy, piekła otchłanie!  
Przed których paszczą nic się nie ostanie:  
Mnie tak ładnego wzięłyście wróbelka!  
O, biedny ptaszku, co za szkoda wielka!  
Teraz się z twojej czerwieni przyczyny  
Splakane oczki mej lubej dziewczyny!

*Tłum. Szymon Baranowski.*

### DO LESBJI (l. 5)

Żyjmy, o Lesbjo, i stale kochajmy!  
Że starcy zrzędzą, my na to nie dbajmy,  
Gdyż i szeląga nie warta ich praca;  
Słońce zachodzi i znowu powraca:  
Nam, gdy zagasną krótkie życia chwile,  
Noc jedna, wieczna, uśpi nas w mogile.  
Daj mi całunków tysiąc, sto tysięcy,

Znów drugi tysiąc i z tem jeszcze więcej,  
Potem znów tysiąc, znów sto, moja miła:  
A gdy tysiąców naliczymy siła,  
Zmieszamy wszystkie, ażebyśmy sami  
Byli w obłędzie z prawemi liczbami;  
Lub żeby złośnik zawiścią nie dyszał,  
Gdyby o tylu pocałunkach słyszał.

*Tłum. Szymon Baranowski.*

### DO SAMEGO SIEBIE (l. 8)

Biedny Katullu, rzuć brednie na stronę,  
A co przepadło, miej już za stracone.  
Niegdyś ci błogie płynęły godziny,  
Gdyś biegł ochoczo na rozkaz dziewczyny  
Tak ukochanej, jak żadna nie będzie.  
Rosły swawole w miłosnym zapędzie,  
Któraś ty lubił, którym skłonna była.  
Wtedy ci zorza dni błogich świeciła.  
Dziś ona nie chce, ty pokaż moc duszy,  
Nie ściągaj marzeń i chroń się katuszy:

Znieś raczej wszystko mężnie i wytrwale.  
Dziewczę, bądź zdrowe: Katull słumi żale,  
Ni cię poszuka, ni prośbami znudzi.  
Lecz ty zapłacziesz samotna wśród ludzi!  
Pomyśl, okrutna, co grozi twej głowie!  
Któż cię odwiedzi? Kto, żeś piękna, powie?  
Kogo ukochasz? Otoczysz ramieniem?  
Czyjem się teraz poszczycisz imieniem?  
Lub czyich ustek będziesz przygryzała?  
Lecz ty, Katullu, bądź twardy jak skala!

*Tłum. Szymon Baranowski.*

### DO LESBJI (l. 49)

Jeśli się z ludźmi bóstwo równać godzi,  
Oto mi bożek, co bożków przechodzi,  
Kto ciebie, Lesbjo, zasiadłszy przy tobie,  
Słucha w każdej dobie,  
I na twój uśmiech czarowny spoziera,  
Który mi zmysły biednemu odbiera:  
Bo skoro twoje napotkam wejrzenie,  
Wpadam w osłupienie.

Język drętwieje, lotny płomień goni  
Po stawach ciała, nad uszami dzwoni  
Głośnie brzęczenie, a zdumiałe oczy  
Noc podwójna mroczy.  
Tobie, Katullu, swoboda ciężarem,  
Przez nią zbytkujesz pustoty nadmiarem:  
Przez nią i królów, i grodów niemało  
Zguby już doznało.

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## DO LESBJI (l. 70)

Mnie tylko dawniej lubiłaś wzajemnie,  
 Aniś Jowisza wołała ode mnie.  
 Wtedy cię kochał, nie jak gmin poczyna,  
 Lecz jak zwykły ojciec kochać zięciów, syna.  
 Dziś cię poznałem: więc choć silniej gorę,  
 Za nikczemniejszą w kochaniu cię biorę.  
 Jak to być może? Bo krzywda niniejsza  
 Powiększa miłość, lecz szacunek zmniejsza.

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## DO SAMEGO SIEBIE (l. 81)

Nienawidzę i kocham; pytasz czemu? nie wiem.  
 Czuję tylko i płonę miłości zarzewiem.

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## DO LESBJI (l. 83)

Nikt zaiste nie kochał z tak silnym zapalem,  
 Z jakim ja ciebie, Lesbijo, kochałem.  
 Nigdy taką wiernością świat nie był zdziwiony,  
 Jakąś w kochaniu widziała z mej strony.  
 Dziś, Lesbijo, twą winą me serce się zwraca,  
 I świętą skłonność na zawsze utracą:  
 Ni cię zdołam szacować, choćbyś wierną była,  
 Ni przestać kochać, byś wszystko czyniła!

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## DO SAMEGO SIEBIE (l. 84)

Jeśli pamięć przeszłości jest miłą człękowi:  
 Że był cnotliwym, gdy się zastanowi,  
 Że wiary nie pogwałcił, ani w żadnej sprawie  
 Nie wzywał bogów ku ludzi obławie:  
 Więc niejedna, Katullu, pociecha cię czeka,  
 Którą niewdzięczność miłości przyrzeka.  
 Bo co ludzie dobrego i świadczą, i plotą,  
 Tys zawsze mówił i świadczył z ochotą.  
 Lecz to wszystko przepadło w obłudnej kobiecie:  
 Czemu się dręczysz, że zdrajcy na świecie?  
 Nielepiejże skamienieć, mimo bogów woli,  
 I cofnąć stopę z otchłani niedoli?  
 Ciężko wrychle porzucić przydługie kochanie:  
 Ciężko, lecz, bądź co bądź, niechaj się tak stanie.  
 W tem jedyny ratunek, przemóc, co wypada.  
 Czy możesz lub nie, daremna tu rada!  
 Bogowie! Jeśli litość jest w waszem działaniu;  
 Jeśliście kogo wsparli przy skonaniu —  
 Tu spojrzycie: a jeśliś wiódł życie bez skazy,  
 Raczcie mię wyrwać od zgubnej zarazy,  
 Która, krążąc po stawach strapionego ciała,  
 Wszystkie pociechy z mej piersi wygnała.  
 Nie błagam o wzajemną kochanki życzliwość,  
 Lub, co nie może, by wdziwała wstydlivość:  
 Pragnę złożyć chorobę, a uzyskać zdrowie.  
 Tak mi pobożność zawdzięczcie, bogowie!

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## DO JULJUSZA CEZARA (I. 90)

Zyskać twe względy, to kłopot zbyt marny!  
Ani chcę wiedzieć, czyś biały, czy czarny...

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## DO DIANY (I. 32)

Czyste chłopcy i dziewczęta, nas Diana strzeże święta!  
Więc dziewczęta i młodziany, nućmy pieśni dla Diany!  
O Latonko, wielki płodzie największego w bogów rodzie —  
Ciebie matka w Delos miła wśród oliwnych drzew powiła,  
Abyś wzięła pod obronę góry, lasy i zielone  
Niedostępnych gajów boki i szumiące wód potoki.  
Juno, czy Lucyno — ciebie tak niewiasty zwą w potrzebie;  
Ty, Hekate, mienisz lica na poświętną twarz księżycal!  
O bogini, rok dzieląca odległością dróg miesiąca,  
Ty napelniasz wiejskie chaty, dając z roli plon bogaty.  
Jakie zechcesz brać imiona, pod takimi będziesz czczona:  
Ratuj tarczą twej opieki lud Romuła w dalsze wieki!

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## ATYS (I. 61)

Atys nawą polotną przebiegłszy mórz tonie,  
Nawiedza gaj Frygijski i ciche ustronie,  
Kędy leżą tajniki świętego przybytku.  
Tam, szaleństwem miotany, w obłąkania zbytku,  
Odciał sobie krzemieniem zbyteczne ciężary  
I pozostał kapłanką...  
Kapłanka wzięła tubę i lekki bębenek,  
Owe godła bogini, cenione wysoce.  
A bijąc paluszkami po wzdętej powłoce,  
Zanuciła drżącemi towarzyszkom słowy:  
«Nuże, dalej kapłanki, w Cybeli dąbrowy!  
«Pośpiesz, błędna gromadko, do pani Dyndymu,  
«Co rzuciwszy kraj obcy, z dalekich stron Rzymu,  
«Spełniłaś me zamiary, posłuszna mej woli;  
«A zniósłszy groźne fale i mnóstwo niedoli,  
«Odjęłaś męskość ciału przez wzgardę Wenery.  
«Niechże wodza pocieszy głos radości szczery:  
«Nuż do gajów frygijskich, za mną bez odwłoki!  
«Ku świątyni Cybeli skierujcie swe kroki,  
«Kędy dzwonią tymbały i huczne bębni,  
«Kędy fletni frygijskiej brzmią donośne dźwięki,  
«Kędy trzęsą głowami Menady, w bluszcz strojne,  
«Kędy z wyciem sprawują obrzędy dostojne,  
«Kędy rzesza ruchoma dla bogini bieży:  
«Dokąd i nam z płasami pośpieszyć należy!»  
Ledwie Atys do swoich przemowę skończyła,  
Nagle tłuszcza rzezańców straszliwie zawyla;  
Znowu huczy bębenek, znów dzwonią tymbały  
I na Idę zieloną pośpiesza chór cały.  
Właśnie, by jałowica jarzma niecierpiąca,  
Pędzi Atys szalona, w bębenek potrąca  
I prowadzi kapłanki przez cieniste gaje.  
Lecą za przewodniczką prędkonogie zgraje.

Przybywszy w dom Cybeli, znużona gromada  
 Bez użycia pokarmu w objęcia snu pada,  
 Który skleił uśpieniem zemdlone powieki.  
 Wtedy ów szal umysłu był od nich daleki.  
 Lecz słońce złotouste, gdy promiennem okiem  
 Przejrzało ląd i morza, gdy koni poskokiem  
 Rozpędziło na niebie mrok nocnej ciemnicy,  
 Natychmiast sen ucieka z Atysa źrenicy  
 I śpieszy do boskiego swej małżonki Iona,  
 Nagle z marzeń spoczynku kapłanka ockniona,  
 Stygnie w szale i w sercu swe czyny odkrywa,  
 A poznawszy, gdzie bawi i na czym jej zbywa,  
 Znów ku morskim wybrzeżom pobiegła szalenie.  
 Skąd, łzawemi oczyma mierząc wód przestrzenie,  
 Te bolesne wyrazy ojczyźnie przestała:  
 «Ojczyzno, ziemio droga, coś mi życie dała!  
 «Którą, jako niewolnik zwykł porzucać pany,  
 «Porzuciłem, do gajów gór Idy zagnany,  
 «Abym zwierząt drapieżnych zwiedzając łożyska,  
 «Jak szaleniec przebiegał te mroźne siedliska!  
 «Gdzie jesteś, ma ojczyzno? W jakiej leżysz stronie?  
 «Ku tobie w mej źrenicy chęć powrotu płonie,  
 «Gdym ukoił na chwilę szaleństwa katusze.  
 «Jaż to zdała od domu w tych gajach żyć muszę,  
 «Tracąc dobra, rodziców, kraj i przyjaciół?  
 «Bez gonitw i zapasów, i rycerskiej szkoły?  
 «O jakżem nieszczęśliwy! Biada mi, o biada!  
 «Alboż tego, co rozkosz różnych wieków składa,  
 «Jako chłopczyk i młodzian, i mąż nie użyłem?  
 «Ja, gonitw i zapasów cną ozdobą byłem,  
 «Jak u drzwi przyjaciół, tak w progu kochanki,  
 «A ściany były strojne kwiecistemi wianki,  
 «Gdym ze wschodu promykiem wychodził z pościeli.  
 «Jaż to mam być kapłanką i sługą Cybeli?  
 «Jaż w niemocy, część siebie, Menadą zostanę?  
 «Mamże góry zamieszkać, śniegami odziane?  
 «Mamże w grodach Frygiji pędzić żywot marny,  
 «Kędy dzicy tułacze, kędy leśne sarny?  
 «Ach, żal mi, niestety! żal tego, com zrobił!»  
 Gdy głos ten z ust różanych w powietrzu się obił  
 I doszedł po zakrętach do uszu bogini,  
 Wyprzęgając lwy z jarzma, Dyndymu władczyni  
 Lewego w grzbiet uderza i tak się odzywa:  
 «Nuże, w pogoń, drapieżco! Niechaj tu przybywa,  
 «Niechaj wraca do gajów w namiętym zapale,  
 «Ten, co z mego królestwa ucieka zuchwale,  
 «Nuże, bij grzbiet ogonem, znoś twe razy mściwe  
 «I na karku mięsistym wstrząsaj zdrową grzywę;  
 «Spraw, by wszystka twym rykiem zagrzmiała kraina».  
 To mówi groźna Księni i jarzmo rozpina.  
 Lew, dyszący rozbojem i dzikością srogą,  
 Idzie, ryczy, zarośla błędną łamie nogą,  
 A wstąpiwszy na krańce brzeźnego przestworza,  
 Skoro postrzegł Atysa nad falami morza,  
 Natarł silnie. Szaleniec pędzi w gęste lasy,  
 Gdzie pozostał kapłanką aż po wszystkie czasy.

O bogini Dyndymu, pierwsza w bogiń rzędzie,  
Niech ode mnie dalekim podobny szal będzie!  
Innych serca rozpalaj; niech inni szaleją!

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## JULJUSZ CEZAR

(100—40 przed Chr.)

### WOJNA Z GALLAMI

#### Zwyczaje Gallów i Germanów (z ks. VI)

W całym kraju Gallów lud, który bodaj jakakolwiek ma wagę i uszanowanie, na dwie warstwy się dzieli: jedni są druidowie, a drudzy szlachta; bo pospólstwo niemal za niewolników jest uważane i nic nie znaczy, i urzędów nie sprawuje, i w żadnej radzie nie bierze udziału; i siła ich jest, którzy albo długami, albo wielkimi daninami i podatkami, albo władzą możnych są gnębieni i oddają się w zależność szlachcie, a szlachta tak się z nimi obchodzi, jak panowie z niewolnikami. Druidowie boskie tajemnice w pieczy mają, ofiary zwykle i uroczyste odprawują, wiary uczą; do nich na naukę bardzo wiele młodzieńców przyjeżdża i w wielkiem poważaniu Gallowie tych ludzi mają, albowiem niemal o wszystkich wątpliwościach i sprawach, tak ogólnych, jak i osobistych, decydują i, jeśli kto się czego dopuścił, jeśli zabił, jeśli o ojczyznę, albo o granice spór się toczy, oni to sądzą, wyznaczają kary i nagrody, skazują. A jeśli kto na urządzie będąc, albo też wolny od urzędowania, ich dekretu nie wysłuchał, nie przypuszczają go do ofiar i przeklinają go — a jest to najcięższa kara u Gallów. Na kim klątwa zaciążyła, tych za bezbożnych i złoczyńców mają, wszyscy im z drogi ustępują, do nich chodźć unikają i rozmawiać z nimi, żeby się od nich nie zarazili i szkody jakiej nie ponieśli; jeżeliby tacy na kogo u sądu skarżyli się, to ich nie słuchają, żadnych obowiązków im nie świadczą. Druidowie jednego nad sobą przełożonego mają, który między nimi największą ma władzę, a ten, gdy umiera, który z pozostałych jest godny, następuje po nim; jeśli więcej takich jest w zamości sobie równych, tedy go druidowie kartkami albo tabliczkami obierają, czasem też o to zwierzchnictwo toczą się bitwy. Mają pewien termin w każdym roku i w tym terminie w kraju Karuntów w środkowej Galji na miejscu poświęconem zasiadają i tedy zewsząd, którzykolwiek jakie sprawy mają, zjeżdżają się i przedstawiają je władzy ich i decyzji.

Przypuszczają Gallowie, że wiedza druidów została w Brytanji odnaleziona, a stamtąd do Galji była przyniesiona, jakoż i teraz, kto czego chce pewniej dowiedzieć się, częstokroć do Brytanji jedzie. Druidowie na wojnę nie chodzą, ani danin wraz z innymi nie płacą i mają przywilej, że od wojowania i od wszystkiego są wolni. Tak tedy przywilejami ich znęcani, często też i własną dobrą wolą pobudzeni, zjeżdżają się gromadnie na naukę; innych rodzice i krewni tamże do druidów posyłają i podobno bardzo dużo wierszów tam napamięć muszą uczyć się. Otóż niektórzy lat dwadzieścia na nauce takiej trwają i uważają, że nie tego spisywać nie godzi się, a we wszystkich innych rzeczach, w spisach i w sprawach, tak powszechnych, jak i osobistych, greckiego pisma używają. Sądzę, że dla dwóch przyczyn tak postanowili, iż nie chcą, żeby do pospolitego ludu nauka przedostała się, a nadto, żeby ci, którzy się uczą, mając na piśmie i ufając jemu, nie przestali tak pilnie uczyć się napamięć, bo to prawie zawsze się zdarza, że, mając napisane, ludzie mniej pilnie uczą się i pamięć ich słabnie. Nadewszystko tę naukę uczą, że dusze nie umierają, ale z ciał, gdy jedni ludzie umierają, dusze do drugich przechodzą, w nie wstępują; uważają, że jest to pobudka do cnoty i pogardzają bojaźnią śmierci. Dużo okrom tego o gwiazdach i o świata i ziemi wielkości, i o naturze rzeczy, i o bogów nieśmiertelnych potędze dysputują i młodzież uczą.

Jest drugi stan w narodzie Gallów, to znaczy ludzie możni, którzy, gdy potrzeba i jaka wojna wypadnie — co przed przybyciem Cezara niemal każdy rok się zdarzało,

że albo sami najeżdżali, albo od najazdów się bronili — ci możni wszyscy pod znaki jadą i wojną się zabawiają, a im który między nimi rodem i bogactwy jest znaczniejszy, tem więcej około siebie niewolników i podwładnych ma, i jest to jedna tylko możliwych prerogatywa. Nacja cała zewszecmiar do nabożeństwa skłonna i pilnuje go, i dlatego, którzy bardzo schorowani leżą, albo którzy są na wojnie i w jakich niebezpieczeństwach, ludzie nie co innego czynią, tylko ofiarę biją, albo ślubują, że taką ofiarę uczynią: to wszystko druidowie odprawują, gdyż rozumują tak, że nieśmiertelnych bogów niepodobna ubłagać inaczej, jak tylko oddając życie ludzkie za inne życie ludzkie, jakoż ofiary takie jawnie mają ustanowione. Druidy mają ogromnie wielkie posągi bogów i oplatają je i okrywają gałązkami, i potem żywych ludzi w wnętrze tego kładą, a gdy gałęzie te zapalą, owi ludzie, ogarnięci płomieniami, giną. Uważają, że dla bogów nieśmiertelnych przyjemniejszą bywa ofiara z niegodziwych, z ludzi oskarżonych o kradzież, albo o występki. Z bogów najbardziej Merkurjusza chwalą, którego też najwięcej u nich jest bałwanów; twierdzą o nim, że jest wynalazcą wszystkich nauk, a także zwą go przewodnikiem na drogach i na ścieżkach, i za opiekuna poczytują go w kupiectwie i w każdym zysku. Po nim chwalą bogów Apollina, i Marsa, i Jowisza, i Minierwę i mają o nich te same wierzenia, co inne narody: że Apollin choroby odgania, że Minerwa sztuki i rzemiosła wynajduje i pokazuje, że Jowisz na niebie panuje, a Mars wojenne rządy sprawuje. Gdy wojnę uchwalają, Marsowi łup i zdobycz częstokroć poświęcają i oddają, zwierzęta na łowach zdobyte na ofiarę jemu biją, ostatek rzeczy na jedno miejsce znaszają, i wiele jest miast, w których widzieć każdy może z tych zdobyczy poczynione kurhany na poświęconych miejscach, i czasem zdarza się, że kto sobie lekceważy bojaźń bożą, albo utaja swoje zyski, albo już odłożoną część waży się skraść, takim złoczyńcom prawa Gallów nader ciężką śmierć i wielkie katusze ustanowiły.

Gallowie wszyscy twierdzą, że pochodzą od Disa, to znaczy od boga bogactw i podziemnego życia, i powiadają, że wiedzą to od druidów; z tego to powodu wszelki czas mierzą i określają liczbą nocy a nie dni, i narodzenia swego dni, miesiące i roku początek tak określają, że pierwiej noc, a potem dzień kładą. W czem innem ich sposób życia tem się od innych narodów różni, że własnego potomstwa do siebie nie przypuszczają aż do tego czasu, gdy ten potomek żołnierską służbę pełnić może, a syn w chłopięcym wieku przed ojcem przy obecności ludzi stać nie może, bo to za sromotę poczytują. Mężowie od żon, o ile wielkie pieniądze w posagu biorą, tak samo wielkie z dóbr swoich, szacunek uczyniwszy, przynoszą, i obydwie te sumy wspólnie używają i wspólny zysk zbierają; gdy która strona umrze, na pozostałą obydwie części wraz z zyskiem i ubiegłymi dochodami przechodzą. Mężowie mają moc żony i dzieci śmiercią karać, albo im darować i, gdy jaki gospodarz domu znaczniejszego umiera, jego krewni schodzą się, a jeżeli jest jakie podejrzenie, żony, niczem niewolnice męczą, a jeżeli zdrady doszli, zabijają je, ogniem i wszelkimi katuszami skazane i zbiedzone. Pogrzeby w zwyczajach Gallów są okazałe i kosztowne; wszystko to, co zmarły za życia kochał, w ogień kładą, i zwierzęta, a trochę przed nadejściem Rzymian, także i niewolników, także i podwładnych lub pod opieką zmarłego będących, o których była pewność, że ich miłował, obchody pogrzebowe odprawiwszy, pospołu palili. Miasta, które starannie swoje państwowe sprawy wykonują, te mają obwarowane prawem, że jeżeliby ktoś coś o rzeczypospolitej od pogranicznych sąsiadów dowiedział się, aby do pełniących urzędy doniósł, a zaś nikomu innemu tego nie powiedział; gdyż częstokroć ludzie tępi i nierozumni trwożą się, postłyszawszy nowinę niepewną i fałszywą, i do czego wielkiego a złego pochop biorą, o rzeczach najważniejszych narady czynią, jako się do tego doszło. Urzędy natomiast, jeżeli osądzą o czemś, że należy przemilczeć — milczą; a co za pożyteczne uważają — pospółstwu do wiadomości podają; o sprawach państwowych nie pozwalają mówić Gallowie, chyba na radzie, albo na zgromadzeniu.

Germanowie daleko od tych zwyczajów odeszli, albowiem ani druidów, ani przełożonych duchownych nie mają, ani ofiarami się bawią; bogi te tylko chwalą i za bogów mają, których widzą i których darami i dobrami widomie się ratują i wspierają: Słońce, Ogień, Księżyc, a o innych ani słyszeli. Życie ich całe upływa w łowach i w zabawach

żołnierskich i od najmłodszych lat przyuczają się do znoszenia niewygód, niewczasów i pracy i, którzy nierychło zarastają, ci między nimi największe mają uznanie, gdyż uważają, że z tego idzie wzrostu i sił pomnożenie, żył utwierdzenie i wzmocnienie. Za największą rozpustę poczytują obcowanie z kobietą, jeżeli się jeszcze lat dwudziestu nie doszło; stosunku swego kryć nie zwykli, bo w rzekach z kobietami nie oddzielnie, lecz wspólnie kąpią się i myją, i skórami albo małemi kozuszkami baraniami ciała okrywają, ale w większej części nagie je zostawiają. Roli niebardzo pilnują, więcej mleka, sera i mięsa używają, i nikt stałych posiadłości, albo granic własnych nie ma; ale władza i możni na każdy rok plemionom i rodom, które do jednego miejsca skupiły się, ile się im zda i gdzie, tyle ziemi wyznaczają, a rok przeżywszy, do innego miejsca im się przenieść rozkazują. Dużo przyczyn takowego zwyczaju i uchwały ich dają, by ustawiczością pobytu nieznaćeni, chleb żołnierski na chleb rolników i oraczów nie przefrymarczyli; by nie dbali o rozszerzenie swoich posiadłości, a zaś potentaci żeby uboższych z siedzib nie spędzali; by dla zimna, ani dla upału letniego tem dostatniej i okazałej się nie budowali; by z osiedlenia i pieniędzy chciwość nie przyszła do nich, bo z tej stronictwa i niesnaski domowe zazwyczaj rodzą się; by tym sposobem w skromności człowieka pospolitego utrzymać, gdyż tyle u siebie w domu majątności widzi, ile u największych potentatów.

Te plemiona są najslawniejsze u Germanów, które jak najszerzej granice splondrowawszy, pustynie dookoła siebie mają: to właśnie za dzielność uważają, żeby pograniczne osady spędzić i żeby nikt nie ośmielał się w pobliżu ich osiedlić się, a z tego bezpieczeństwo sobie obiecują i wolni są od bojaźni nagłego najazdu. Gdy plemię jakie od nabeigu nieprzyjacielskiego broni się, albo też samo przeciwko komu wojnę podnosi, ustanawiają taki najwyższy urząd, który ma prawo na gardle karać lub darować życie winowajcy. W czasie pokoju żadnego stałego księcia nie mają, ale ci, którzy rządzą plemionami i gminami, oni między swoimi czynią sprawiedliwość, a sprawy i spory rozstrzygają własną powagą. Rozbój i łotrstwo, którem się zagranicą kto bawi, sromotne nie jest, lecz owszem, powiadają, że to dla ćwiczenia młodych dzieje się, dla uchronienia od gnuśności. Gdy który z możnych panów orzeknie na zgromadzeniu możnych, że chce w tej i takowej potrzebie, o której się mówi, hetmanic, a kto chce mu w tem dopomóc, ten niech mu się stawi i zgłosi, zaraz powstają ci, co mu to na głos bardzo chwają i wysławiają go, i pomoc obiecują; tamże i pospólstwo pana owego chwali; jeśli którzy o takich nie dbają, a pomocy im swojej nie dostarczają, takowych mają wszyscy za zdrajców i potem w niczem im nie wierzą i nie ufają. Uważają za rzecz ważną i niesprawiedliwą gościa w czem ukrzywdzić i kto do nich w jakiej sprawie przyjechał, od krzywdy go wielkiej bronią; uchodzą, że jest pod opieką bożą i ma przywileje według prawa i ustawy; dla niego wszystkie domy otwarte są i wolne i wszędzie go przyjmują.

Był dawniej taki czas, że Gallowie dzielnością przewyższali Germanów i przodowali, i owszem sami do ich ziemi najazdy czynili, dla ludności i mnóstwa własnego i trochę dla uprawnej roli lud swój za Ren na osiedla wysyłali; jakoż miejsca te, które są w germańskiej ziemi najobfitsze i pod lasem Hercynją leżą — o nim to Eratostenes i niektórzy Grecy z opowiadań wiadomości mieli i Arcynją nazwali — miejsca te Wolcy Tektosagowie zajęli i tam się osiedlili; ten naród tamże i do naszych lat siedzi, a ze sprawiedliwości i z rycerstwa wielką ma sławę; także niedogody, niedostatek i cierpliwość, co i germańskie plemiona, także pokarmy, także odzienie, co i one ma, chociaż sam gallijski. Gallom sąsiedztwo z zamorskimi narodami i stosunki z niemi wielkie dostatki przynosi i bogactwa, i potrzeby; w wielu wojnach pouczeni i przyzwyczajwszy się do przegranej, nie ośmielają się w męstwie z Germanami równać.

Las Hercynja, o którym wyżej była mowa, lekko się wybrawszy, można przejść w szerokość w dziesięć dni; prędzej go nie można przebyć, kędy nie wiedzą nic o gościńcach, ani są ich świadomi. Poczyna się od granic helweckich, od nemetskich i rawrackich, a kierując się wprost do Dunaju, do granic Daków i Anartów dochodzi; stąd na lewo idzie przez tę rzekę, a dla wielkości swojej i rozciągłości, granic wielu narodów sięga, i niemasz człowieka w tej germańskiej ziemi, któryby stwierdził, że, idąc dni sześćdziesiąt, do krańców tego lasu doszedł, albo posłyszał kiedy, gdzieby



się kończył las. Wiele ma w sobie zwierząt rozmaitych, jakich w inszych lasach nie masz, ani nie widziano; różnią się od wszystkich i zdaje mi się, że zasługują na opisanie dla dalszych wieków. Jest tam wół z postacią jelenia, który między uszami w polowie czoła ma jeden róg, daleko dłuższy i prostszy, niżeli są owe rogi, co je widzimy; na wierzchu samym dopiero ten róg, niczem dłoń ludzka, rozkrzewia się w szerokość; takż jest wygląd samca i samicy, takaż postać i wielkość rogów. Są tam również te, co zwiemy je losiami, do sarn podobne postacią i wyglądem, ale przecie wzrostem je przechodzą; rogi mają niezupełne, golenie też bez rozdzielenia, to znaczy prosto zrosłe z drugą częścią nogi, z której to przyczyny, ani gdy mają spać, na ziemi nie kładą się, ani kiedy im przytrafi się upaść, więcej wstać, ani podnieść się nie mogą. Otóż drzewa są im zamiast legowiska; o drzewa się wspierają i tak trochę się wsparwszy, śpią; łowcy, wypatrzywszy z śladu takowe ich legowiska, zaraz w tychże miejscach drzewa wszystkie albo od korzenia samego podkopują, albo cokolwiek wyżej tak podcinają, że tylko na ostatniej niemal korze stojące drzewa zostawiają; do których, gdy losie przychodzą i wedle zwyczaju się wspierają, ciężarem je swoim walą i razem z niemi na ziemię upadają. Trzeci rodzaj zwierza, jaki jest w tym lesie, żubry się zowią; mniejsza to jest trochę bestja niżeli stoń, a postacią, sierścią, kształtem, jako byk, jest wielkiej siły i wielkiej prędkości i ani człowiekowi, ani drugiemu zwierzęciu, jeżeli je dojrzy, nie przepuści. Żubry łowią do dołów poto wykopanych i biją. Taką pracą młodzież wciąga się do wszelkich niewczasów i ćwiczy się w tych łowach, a którzy więcej ubili, rogi na świadectwo przed wszystkimi położywszy, wielką chwałę mają; ale i maluczkie jeszcze żubry wzięte nie dadzą się żadnym sposobem ugłaskać i swej dzikości nie utracą. Wielkość rogów, kształt ich i wygląd daleko odbiega od rogów naszych wołów; starannie je obrobiwszy, około krawędzi w srebro oprawiają i na wielkich ucztach, zamiast kubków, używają.

*Tłum. Andrzej Wargocki.*

## MAREK CYCERO [MARCUS TULLIUS CICERO]

(106—43 przed Chr.)

### SEN SCYPJONA [SOMNIUM SCIPIONIS]

(De republica I. VI)

[1] Przybyłem do Afryki, do konsula Manljusza Maniljusa, jako dowódca czwartego legjonu; wiecie o tem zresztą; pierwsza rzecz, której chciałem, było to jak najprędzej odwiedzić króla Masynisę, szczerego przyjaciela naszej rodziny. Gdym się udał do niego, starzec zapłakał z radości, uściskał mnie, a potem zaczął dziękować bogom: «Dzięki ci, Dobre Słońce, i wam, niebianie wszyscy, żeście mi dali przed śmiercią, w domu moim, w kraju moim powitać Publjusza Scypjona; samo to imię przywraca mi życie: przecież w pamięci mojej nigdy nie zatarta się postać wspaniałego i szlachetnego zwycięzcy Hannibala, postać Scypjona Starszego». Nawzajem wypytywaliśmy siebie, on — o nasze publiczne sprawy, a ja — o jego królestwo; tak gawędziliśmy bez przerwy cały dzień. Masynisa podejmował mnie z یشie królewskim przepychem, a rozmowa nasza trwała dopóźna w noc; stary król o niczem innem nie mówił, jak tylko o Scypjonie Afrykańczyku; przypominał wszystkie postęпки jego i czyny, i nawet słowa; potem poszliśmy spać. Znużony drogą i rozmową do późnej nocy, zasnąłem mocniej, niż zazwyczaj. Często się zdarza, że dzienne rozmowy i myśli wywołują w nas specjalne marzenia; Ennjusz opowiada o sobie, że za dnia stale myślał i rozmawiał o Homerze, a w nocy widział go we śnie; otóż i mnie to przytrafiło się: całodzienna rozmowa o Afrykańczyku Scypjonie spowodowała, że ujrzałem go we śnie, takim zresztą, jakim go znałem z pośmiertnych portretów i podobizn. Gdym go tak ujrzał, przestraszył mnie ogarnął, a on na to: «Nie lękaj się, Scypjonie, oprzytomnij i zachowaj w pamięci, co ci powiem:»

[2] «Spojrzyj na to miasto: zmusiłem je do posłuszeństwa narodowi rzymskiemu i do uległości; a przecież nie chce ono uspokoić się i znowu wznawia dawny spór» — mówiąc

te słowa, wskazał mi Kartaginę; stał Afrykańczyk przede mną gdzieś wysoko, w miejscu pełnem gwiazd, w przestworzu jaśniejącem blaskiem. «Przybyłeś teraz tu do zdobycia Kartaginy dopiero jako podkomendny, ale po dwóch latach zdobędziesz ją już jako naczelnny wódz, zdobędziesz także i przydomek Afrykańczyka, który narazie nosisz po mnie w spadku. Potem, już po zburzeniu Kartaginy, sprawisz obrzęd triumfu, zostaniesz cenzorem, a w charakterze posła zwiedzisz Egipt i Syryję, Azję i Grecję, i znów zostaniesz obrany na konsula, i to pod nieobecność twoją w Rzymie, zakończysz uciążliwą wojnę i zburzysz w Hiszpanji Numancję. Gdy jednak na wozie triumfalnym wjedziesz na Kapitol, urażysz Rzeczpospolitą, wzburzoną reformami mego wnuka, Tyberjusza Grakcha. Wówczas to, Afrykańczyku, będziesz musiał ukazać ojczyźnie blask genialności twojej i rozumu; niestety, drogi przeznaczeń w tym właśnie momencie są dla mnie spowite mgłą. Albowiem w czasie, gdy życie twoje ośm razy spełni siedmiokrotne powroty słońca, to dwie te liczby, ósemka i siódemka, każda z innych powodów doskonała, przez naturalne swoje połączenie się stworzą dla ciebie fatalną liczbę lat. W tym to czasie do ciebie i do nazwiska twego zwróci się całe państwo; będzie cię wzywał senat i obywatele, wszyscy podwładni i całe łacińskie plemię; ty będziesz tym, na którego barkach spocznie dobro państwa; streszczę się: jako dyktator będziesz musiał zreformować Rzeczpospolitą, ale dopiero w tym wypadku, jeżeli unikniesz śmierci, jaką ci zechcą zadać twoi bliscy». Na te słowa Leljusz oburzony zakrzyknął, a wszyscy obecni niespokojnie poruszyli się; Scypjon natomiast uśmiechnął się łagodnie i powiada: «Proszę, nie przerywajcie mego snu; uciszcie się i posłuchajcie dalej».

[3] «Afrykańczyku Młodszy — powiedział do mnie — bądź, jak najbardziej gorliwy w państwowotwórczej pracy. Pamiętaj o tem, że dla tych ludzi, którzy przyszli z pomocą ojczyźnie, którzy przynieśli jej dobro i powiększyli jej potęgę, dla tych ludzi w niebie przygotowane jest miejsce, gdzie wieczne życie staje się udziałem błogostawionych. Dla przedwiecznego Boga, który rządzi wszechświatem, ze wszystkich ziemskich rzeczy najmilsza jest państwowość, to znaczy zgromadzenie ludzi i społeczeństw, spojone praworządnością; kierownicy i organizatorowie państw zstępują na ziemię z nieba i zpowrotem wracają do nieba». Przy tych słowach ja, wzburzony nietyle strachem śmierci, ile zdradą moich krewnych, zapytałem jednak, czy żyje on sam, Afrykańczyk Starszy, i ojciec mój Emiljusz Paweł, i inni, o których my mówimy, że umarli. «Naturalnie — rzecze Scypjon — żyją oni; są wolni od cielesnych więzów; są niby z więzienia wypuszczeni. Albowiem to, co wy, mieszkańcy ziemi, zwiecie życiem, w istocie rzeczy jest śmiercią. Spójrz, nadchodzi ojciec twój Emiljusz Paweł». Gdym zobaczył ojca, zalałem się łzami, a on uściskał mnie, pocałował i zabronił płakać; osuszyłem łzy, odzyskałem panowanie nad sobą i zapytałem ojca: «Powiedz mi, dobry, najdroższy ojcze, skoro jest tak, jak mówi starszy Afrykańczyk Scypjon, że dopiero tutaj jest prawdziwe życie, dlaczego mam dłużej pozostawać na ziemi? Dlaczego nie miałbym przyspieszyć mego przybycia do was?» — Ojciec na to: «Nie wolno, nie możesz przyjść do nas, zanim nie zwolni cię z więzów ciała Bóg, którego świątynią jest cały ten wszechświat. Ludzie są stworzeni poto, by życie swoje spędzali na tym globie, który znajduje się w środkowym punkcie przestworza i zwie się Ziemią; ludzki natomiast duch wywodzi się z tych przedwiecznych płomieni, które wy nazywacie gwiazdami, ciałami niebieskimi; one są okrągłe, kuliste, ożywia je boska myśl; one z przedziwną szybkością przebiegają kręgi swoje i orbity. Oto, dlatego, Publjuszu, ty i każdy uczciwy człowiek musicie pilnować swego ducha w ciebie, niczem w więzieniu, albowiem nie wolno wam wyzwać samowolnie ducha, bez przyzwolenia Boga, który to życie dał; nie wolno zrzucić z siebie obowiązków, które sam Bóg nałożył na człowieka. Scypjonie Afrykańczyku, czyn tak, jak czynił dziad twój, Starszy Afrykańczyk, jak czyniłem ja, twój ojciec Paweł: uwielbiaj uczciwą sprawiedliwość; umiej stosować ją zawsze względem rodziców i bliskich twoich, ale przedewszystkiem, względem ojczyzny twojej: to właśnie jest drogą do nieba, do pobytu razem z tymi, co już przeżyli ziemskie życie i, uwolnieni od ciał, zamieszkują miejsce, na które spoglądasz; nauczeni przez Greków, zwiecie to miejsce Mleczną drogą» — a był to jaśniejący blaskiem krąg, otoczony mnóstwem płomiennych światła. Gdym z tego

miejsca oglądał całość, widziałem, że wszystko jaśnieje blaskiem, że jest cudowne. Były tam gwiazdy, których nigdy nie dostrzegamy z naszej ziemi; były one tak wielkie, jak tego wcale nie przypuszczamy; najmniejsza z nich wszystkich, najbardziej oddalona od niebieskiego przestworza, zarazem najbliższa Ziemi, świeciła zapożyczonym światłem. Gwiazdne bryły ogromem swoim przewyższały Ziemię, a ta była tak mała, że zawstydził się znikomości naszego Imperjum, które w dodatku na samej Ziemi było tylko małym punktem.

[4] Gdym lak starannie przyglądał się Ziemi, Starszy Afrykańczyk znów przemówił: «Proszę, dlaczego myślą uporczywie tkwisz przy padole ziemskim? Czyż nie dostrzegasz, w jakie to błogosławione przestworza wszedłeś? Patrz: wszechświat składa się z dziewięciu kręgów, lub raczej sfer; jedna z tych sfer, najdalsza, tworzy niebo. Niebo zawiera w sobie wszystkie inne sfery; ono jest najwyższym Bogiem, który wszystko ogarnia sobą i otacza; tu, w niebie, tkwią gwiazdy i nieustannie, w wiecznym ruchu mkną; niebo zawiera w sobie siedm innych sfer, a obracają się one w odwrotnym kierunku, aniżeli sfera nieba. W jednej sferze tkwi owa gwiazda, którą na Ziemi zwał Saturnem; poniżej, życzliwy i przyjazny dla pokoleń ziemskich, jaśnieje blaskiem Jowisz; następnie Mars, straszny dla ludzi, krwawy; potem, już prawie w środku tej części przestworza, zajmuje swoje miejsce Słońce, będące królem i władcą, i sprawcą wszelkiego światła; będące rozumem i duszą wszechświata; ogromne i promienne, wypełnia wszystko swoim blaskiem; Słońcu towarzyszą sfery Wenery i Merkurego, a już ostatnie miejsce zajmuje sfera Księżyca, który jaśnieje światłem otrzymanem od Słońca. Ponad Księżycem wszystko jest wieczne; poniżej księżycy nic wiecznego, nic niezmiennego, wyjąwszy dusze, dane śmiertelnym ludziom przez bogów. Ziemia, która jest w środkowym punkcie i jest dziewiątą sferą, Ziemia jest ostatnia w rzędzie sfer i nie porusza się, a wszystko zdąża do niej, popychane siłą własnego ciężaru».

[5] Oczarowany, spoglądałem na wszystko; po chwili przyszedłem do siebie i znów zapytałem: «Cóż to za potężne i harmonijne brzmienia, które słyszysz?» Scypjon rzecze: «Jest to brzmienie, jakie powstaje z obrotu i stykania się sfer; nie są one bowiem jednakowo od siebie odległe, niemniej odstępów te ulegają ścisłym prawom; ostre i niskie brzmienia łączą się w taki sposób, że nawzajem siebie uzupełniają i stwarzają harmonję. Tak wspaniałe obroty niebieskich ciał nie mogą odbywać się w zupełnej ciszy, a elementarne prawa sprawiły, że zewnątrz granice sfer rozbrzmiewają wysokim tonem, gdy wewnętrzne wydają tony niskie; wypływa z tego, że najwyższa sfera, to znaczy gwiazdziste niebo, które najszybciej mknie w swym biegu, rozbrzmiewa szeregiem tonów wysokich i rozgłosnych; najniższa sfera, księżycowa, grzmi niskim brzmieniem; Ziemia, będąca dziewiątą sferą, tkwi niezmiennie w środku świata. Ponad Ziemią mknie ośm sfer, a dwie krańcowe dają jedno wspólne brzmienie; siedm pozostałych, zachowując należne interwale, wytwarzają siedm różnych brzmień. Liczba ta, siódemka, jest podstawową liczbą wszechrzeczy; ludzie nauczyli się naśladować brzmienia sfer na strunach i w pieśni i tą drogą zdobywają sobie dostęp do wszechświata, podobnie jak inni, blaskiem własnej genialności, w ziemskiej swej wędrówce jednoczą się z majestatem Boga. Uszy śmiertelnych ludzi, wypełnione zawsze brzmieniem sfer, nie słyszą nic, bo ludzki zmysł słuchu jest ułomny; przypomnij sobie plemię, mieszkające nad Nilem w okolicy Katarakty: rzeka przepływa tam przez wysokie góry i tworzy ogromne wodospady, a potężny loskot wody ogłusza mieszkańców nadbrzeżnych okolic. Rozgłosna melodia, grzmiąca we wszechświecie z obrotu sfer jest niedostępna dla ludzkich uszu, tak samo, jak dla oczu jest niedostępny pełny słoneczny blask, gdyż siła jego oślepia zmysł optyczny.

[6] Pelen zdumienia i zachwyty, raz po raz jednak spoglądałem na Ziemię; wtedy Afrykańczyk: «Widzę, że wciąż wracasz myślą do swej ziemskiej siedziby; widzisz z tego miejsca, jaka ona jest mała — zatem naucz się zawsze tęsknić do nieba i nie przywiązuj zbytnej wagi do znikomej ludzkiej natury. Zrozum, proszę, jak nikła jest sława, którą ludzie mogą cię obdarzyć; jak mała jest chwała, którą możesz dla siebie zdobyć na Ziemi! Spójrz na te zaludnione miejsca na waszym globie; niewielkie, są one zrzadka tylko porozrzucane po globie; są to drobne plamki, otoczone ze wszystkich stron wielkiem pustkowiem; mieszkańcy Ziemi nietylko tak są oddzieleni od siebie,

że nie mają z sobą żadnej łączności, lecz w stosunku do was, mieszkańców Italji, jedni chodzą pochyleni pod ostrym kątem, inni zaś głową są zwrócenii w przeciwną zgoła stronę, aniżeli wy: zależy to od punktu globu, który zamieszkują. Czy możesz spodziewać się, że sława twoja będzie tkwiła wśród tych ludzi? Zwróć uwagę na to, że ziemia jest podzielona na strefy, które ją otaczają niczem pasy; dwie takie strefy podbiegunowe zajmują krańce globu i są pokryte śnieżnym całunem; środkowa natomiast strefa, największa, jest wystawiona na działanie upalnych i skwarnych słonecznych promieni. Dwie strefy są zaludnione; jedna jest południowa, a jej mieszkańcy w stosunku do was, Rzymian, są antypodami i nie mają z wami nic wspólnego; druga, którą owiewa wiatr z północy, jest zajęta przez was — spojrzij jednak, jak w małym stopniu należy do was. Cały ten ład, który zamieszkujecie, u góry pod biegunem jest zwężony; po bokach rozszerza się, ale stanowi tylko małą wyspę: ze wszystkich stron jest otoczony morzem, które wy zwiecie Atlantykiem lub Oceanem, lub wreszcie Wielkiem morzem; spojrzij: aczkolwiek nazywacie go Wielkim, jest jednak ten ocean bardzo mały. Nawet w granicach całego tego terytorjum, które jest ci znane i jest zaludnione, nawet w tych granicach nie możesz spodziewać się, by twoja sława, lub sława jakiegoś innego Rzymianina, przekroczyła ten łańcuch górski, który się zwie Kaukazem; by mogła przepłynąć przez ową wielką rzekę Ganges. Któryż mieszkaniec Wschodu lub Zachodu, jaki człowiek z północnych krańców waszego ładu lub z południowych posłyszy o tobie? Pamiętaj więc, Afrykańczyku: doczesna sława, zamknięta w małym kraiku, odcięta od dalszych krajów, ogranicza się wyjątkowo małym terenem. Zresztą ci, którzy pamiętają o nas, czy długo będą pamiętali?

[7] A nawet gdyby przyszłe pokolenia chciały przechować naszą chwałę i imię każdego z nas przekazać potomności, to i tak nie osiągnęlibyśmy wiecznej sławy; wskutek powszechnych pożarów i potopów, ogarniających co pewien czas ziemię, możemy w pamięci ludzkiej osiągnąć tylko krótkotrwałe życie. Zresztą, co jest warta sława u potomnych pokoleń, skoro najmniejszej nawet wzmianki o sobie nie potrafimy dla siebie zdobyć u pokoleń, które poprzedziły nas w życiu i które wysunęły ludzi tak samo zasłużonych, jak my, albo i bardziej od nas. Co więcej, czy dużo jest warta taka sława, której nie mogą przechować dłużej, niż przez jeden tylko rok ci, co chcieliby i mogli ją przechować? Ludzie zazwyczaj mierzą rok obrotem samego tylko słońca, to znaczy jednego niebieskiego ciała; w istocie rzeczy prawdziwy, pełny rok dopiero wtedy się kończy, gdy wszystkie gwiazdy przebiegną swoje orbity i wrócą do tego samego punktu i po długim przebiegu lat i stuleci przywrócą niebu układ ciał niebieskich identyczny z tym, co był ongi w jakimś momencie. Nawet nie potrafiłbym ściśle określić, ile to ludzkich stuleci zawiera w sobie taki gwiazdny rok; w dniu, kiedy duch Romulusa wstąpił w błogosławione przestworze, gdzie teraz znajdujemy się, w tym dniu wydało się ludziom, że słońce zamiera i gaśnie; otóż w przyszłym czasie, gdy znów w tem samem miejscu nieba i o tej samej porze dnia słońce zacznie gasnąć, a wszystkie ciała niebieskie i wszystkie gwiazdy ponownie zajmą to samo miejsce, jakie zajmowały w chwili, kiedy Romulus opuszczał ziemię — oto dopiero wtedy spełni się pełny rok — a przecież od śmierci Romulusa nie przeminęła jeszcze nawet dwudziesta część gwiazdnego roku. Afrykańczyku Młodszy, jeżeli zwątpisz o powrocie swoim w te przestworza, które są siedzibą wielkich, bohaterskich ludzi, to pomyśl o tem, jak bezwartościowa jest doczesna sława, która najdłużej może trwać jakąś maleńką część jednego roku. Jeżeli natomiast pragniesz spoglądać w głąb wysokości, jeżeli chcesz poznać siedlisko wiecznego życia — nie szukaj w doczesnych rzeczach nagrody za trud swego życia; zawsze myślą wznosi się ponad łatwy rozgłos. Idź zawsze za wołaniem samych tylko moralnych rozkazów, a one niech będą dla ciebie jedyną jedyną nagrodą; ludzie sami już będą wiedzieli, co o tobie należy mówić, i z pewnością będą mówili. Nie zmienia to faktu, że wszelka ludzka sława jest ograniczona małym kraikiem, jak to sam widzisz, a w dodatku żaden człowiek nie zdobył na ziemi wiecznej sławy, albowiem sława gaśnie w pamięci potomnych i ginie wraz z całą ludzkością.

[8] Gdy to powiedział, odrzekłem: «Afrykańczyku Scypjoni! Od najmłodszych lat usiłowałem iść przez życie drogą, wskazaną mi przez ciebie; przez ojca mego Pawła. Teraz wiem, że szczerą i pożyteczną pracą dla narodu i państwa otwiera przed czło-

wiekem bramę do nieba — o ileż bardziej będę się oddawał tej pracy, która przyniesie mi taką nagrodę!» Afrykańczyk na to: «Zawsze się staraj i pamiętaj o tem, że to nie ty jesteś śmiertelny, lecz twoje ciało; twój kształt doczesny nie jest jeszcze tobą; człowiekiem jest duch jego, a nie to ciało, które możemy dotknąć ręką. Bogiem jesteś, albowiem bogiem jest ten, kto ma energję i czucie, kto pamięta i przewiduje, kto porusza, kieruje i rządzi podwładnem sobie ciałem tak, jak wielki Bóg rządzi wszechświatem; podobnie jak cały wszechświat, który jest do pewnego stopnia doczesny, Bóg przedwieczny wprawia w ruch, tak również nieśmiertelny duch człowieka porusza własnem jego ciałem. To, co zawsze jest w ruchu, jest wieczne; natomiast to, co pobudza wprawdzie do ruchu, lecz samo się porusza ruchem otrzymanym skądinąd, z chwilą kiedy ten ruch skądinąd otrzymany ustaje, musi zakończyć swe życie. Zatem tylko to nigdy nie ustaje w ruchu, co samo siebie wprawia w ruch, jako że samo siebie nigdy nie opuszcza; co więcej, staje się źródłem i pierwszą przyczyną ruchu wszystkich rzeczy, jakie tylko poruszają się. Pierwsza przyczyna nie ma swego początku, gdyż wszystko z niej powstaje, a ona z niczego nie powstaje, tylko zawsze jest, albowiem nie byłaby pierwszą przyczyną, gdyby powstała z czegoś innego; skoro więc nigdy nie miała początku, również i końca nigdy nie zazna. Gdyby pierwsza przyczyna ustała, to w żaden sposób nie powstałaby na nowo i nie już nigdy nie mogłoby jej odrodzić; albowiem, cokolwiek istnieje, jest tylko wynikiem działania pierwszej przyczyny. Z tego wypływa, że pierwsza przyczyna ruchu jest treścią istoty, która sama siebie wprawia w ruch, która zatem nie może mieć w czasie ani początku, ani końca, gdyż inaczej zapadłby się, zatrzymałby się cały wszechświat, całe przestworze nieba i nie powstałaby już żadna moc, która świat na nowo wprawiałaby w ruch.

[9] Skoro jest rzeczą niewątpliwą, że to, co samo się porusza, jest przedwieczne i wieczne, zatem nie ulega wątpliwości również i to, że taki właśnie jest duch. Albowiem wszystko, co się porusza ruchem zapożyczonym, jest bezduszne; natomiast to, co jest uduchowione, porusza się z własnej i wewnętrznej przyczyny, która jest istotą i nieodłączną cechą ducha. Jeżeli więc z wszystkich rzeczy, jakie istnieją, sam tylko duch siebie samego wprawia w ruch, zatem sam tylko duch jest wieczny, sam tylko nie ma początku ni końca. Ducha swojego uszlachetniaj zawsze, a szlachetnością jest troska o dobro państwa i narodu; w takiej trosce uszlachetniony i wyćwiczony duch przybywa do tej siedziby, która jest dłań jego domem; przybędzie tutaj tem prędzej, im bardziej będzie niezależny od cielesnych pobudek w tym czasie, kiedy tkwi zamknięty w ciele; im bardziej będzie tęsknił do swej niebiańskiej ojczyzny. Dusze tych ludzi, którzy ulegają cielesnym namiętnościom, którzy są posłuszni żądom, pobudkom zmysłowej rozkoszy — te dusze postępowaniem swoim zniewalają boski i ludzki porządek; odłączone od ciała, błakają się one dookoła Ziemi, a w wieczne przestworza przybywają dopiero po wykonaniu pokuty i po długim czasie».

To powiedziałwszy, znikł, a ja przebudziłem się.

*Tłum. M. St. Poptawski.*

#### DRUGA FILIPIKA

[Partje zamierzonego przemówienia Cycerona przeciwko Antonjuszowi w r. 44.]

[1] Senatorowie! Jak mam nazwać mój los, co tak zrządził, że nikt przez ostatnich lat dwadzieścia nie był wrogiem Rzeczypospolitej, któryby i mnie zarazem nie wypowiedział wojny? Nie potrzebuję przed wami żadnego z nich wymieniać, gdyż sami ich pamiętacie; odnieśli oni karę sroższą, aniżelim sam tego im życzył. Dziwię się tobie, Antonjusz, że nasładujesz ich czyny i nie lękasz się ich końca. Mniej to mnie w innych dziwiło: żaden z nich nie był moim dobrowolnym wrogiem; każdego zaczępiłem w sprawie Rzeczypospolitej. Nie zaczępiłem ciebie ani jednym słowem, a ty okazujesz zuchwalstwo większe niż Katylin, szaleństwo gwałtowniejsze niż Klodjusz i z własnej woli zaczępiłeś mnie obelgami, w tej myśli, że zerwanie przyjaźni ze mną nikczemni obywatele będą ci poczytywali za zaletę. Co mam o tem myśleć? Czy jest to wyraz pogardy twojej dla mnie? Ależ nie znajduję ani w mojem życiu, ani w więtości, ani w postępkach moich, ani w miernych moich zdolnościach, nie znajduję nic, co zasłużyłoby na pogardę Antonjusza! Czy myślał Antonjusz, że łatwo jest uwłaczać

mi w senacie? Ależ senat, który tylu znakomitym mężom stanu dał świadectwo, że są tylko dobrymi sługami państwa, mnie jednemu, Cynceronowi, przyznał, że uratował państwo! A może chciał pognać mnie dowcipną mową? Za to mogę być tylko mu wdzięczny; czyż mogę mieć wdzięczniejszy temat, obszerniejsze pole, niż mówić w obronie swojej i przeciw Antonjuszowi? Oto jest przyczyna jego wystąpienia: wiedział, że ludzie takich, jakim jest sam, nie potrafi inaczej przekonać o sobie, że jest wrogiem ojczyzny, jak tylko okazując siebie moim wrogiem.

[22] Oskarżam cię, Marku Antonjuszu, że ty właśnie, że pierwszy dałeś Cezarowi powód wypowiedzenia wojny ojczyźnie, Cezarowi, który tylko tego chciał, żeby wszystko wzburzyć. Cóż on bowiem innego mówił, jaki inny powód podawał szalonego swego zamiaru i czynu, jeśli nie to, że intercesja twoja została zlekceważona, że zniesiona została prerogatywa trybuna ludowego, że senat znieważył władzę Antonjusza? Pomijam, jak błahy i fałszywy był ten powód, zwłaszcza że nigdy nikt nie może mieć słusznej przyczyny, by podniósł broń przeciw ojczyźnie. Lecz o Cezarze dość; ty natomiast nie możesz zaprzeczyć temu, że najważniejszy powód tej okropnej wojny tkwił w tobie. Biedaku ty, jeżeli wiesz, jeszcze bardziej biedaku, jeżeli nie wiesz o tem, że będzie zapisane w dziejach, że będzie podane powszechnej pamięci, że będzie przekazane najodleglejszej potomności to, iż konsulowie rzymscy zostali wygnani z Italji, że sam Pompejusz, światło i podpora Imperjum i narodu Romy, wraz z nimi poszedł na wygnanie! Że wszyscy mężowie konsularni, którym zdrowie pozwoliło ponosić trudy klęski i ucieczki; że pretorowie czynni i ci, co dawniej byli pretorami, że trybuni ludowi i większość senatorów, i cała szlachetna młodzież, słowem, cała Rzeczpospolita Rzymska została usunięta i wygnana ze swoich siedlisk! Jako w nasionach tkwi zarodek drzew i roślin, tak i ty byłeś nasieniem tej przeklętej wojny! Senatorowie! użalacie się na stratę trzech armij rzymskiego narodu: Antonjusz był straty tej przyczyną! Bolejecie nad śmiercią najdostojniejszych mężów stanu: tenże Antonjusz zabił ich! Powaga rzymskiego senatu została podeptana; Antonjusz ją podeptał! Patrzenie dobrze, senatorowie, a zobaczycie, że wszystkie klęski, jakie potem na nas spadły — a spadły wszystkie, jakie tylko mogły, wszystkie zawdzięczamy jednemu tylko Antonjuszowi! Czem była Helena dla Trojańczyków, tem był Antonjusz dla naszego państwa: przyczyną wojny, zguby i upadku. Zakończenie jego trybuńskiej władzy było podobne do początku tejże: wykonał wszystko to, co senat osądził za szkodliwe dla dobra państwa; spojrzycie i na to, jak w samej zbrodni przebrał miarę.

[23] Przywrócił z wygnania wielu nieszczęśliwych — ale między nimi ani wzmianki o stryju, Gajusie Antonjuszu? Jesteś surowy? dobrze, ale bądź dla wszystkich surowym; jesteś litościwy? więc dlaczego zapominasz o swoich bliskich? Innych pomnę, ale oto Licynjusz Dentykole: gracz, który za hazard został skazany; przywrócił mu Antonjusz pełnię praw, jako że wspólnie z nim zgrywał się, jakgdyby nie mógł grać ze skazanym; przywrócił mu prawa poto, żeby w ten sposób spłacić dług przegrany przy stoliku! Jakie wyjaśnienie dałeś Rzymianom, że Licynjuszowi należy przywrócić prawa? czy to, że oskarżony zaocznie został skazany bez przesłuchania? czy może to, że żadne prawo nie ustanowiło kary za szulerkę? że Licynjusza uciśniono przemocą? a może, jak mówiono o stryju twoim, że sędziowie byli przekupieni? Bynajmniej; tylko to, że Licynjusz jest uczciwy, że zasługuje na obywatelskie prawa. Nie należy to do mnie, skoro jednak za nic masz sądowy wyrok, przebaczyłbym ci, gdyby tak było. Twierdzą jednak, że ten, kto przywrócił do pełni praw człowieka najgorszego, człowieka, który nie bał się uprawiać hazard na samem Forum, za co został skazany zgodnie z prawem o hazardowej grze — taki człowiek daje świadectwo własnej skłonności do hazardu. W ciągu tegoż trybunatu Antonjusza, kiedy Cezar, odjeżdżając do Hiszpanji, pozwolił mu grasować po Italji — jak odbywał Antonjusz swoje podróże, jak odwiedzał italskie miasta? To, co teraz opowiem, u wszystkich było na języku, wiem o tem; ci, co podówczas byli w Italji, lepiej to wszystko wiedzą niż ja, który byłem nieobecny. Powiem jednak o kilku szczegółach, lubo to wszystko nie doda nic do tego, co wam już jest wiadome. Jest też takie miejsce na ziemi, gdzieby nie słyszano o tylu jego sprośnych, haniebnych, obrzydliwych postępkach?

[24] Jedzie na wspaniałym rydwanie rzymski trybun ludowy; poprzedzają go

liktorowie w wawrzynowych wieńcach — a między liktorami, w otwartej lektyce, wjeżdża kabaretowa aktorka! Czcigodni i poważani mieszczanie wychodzą z miast na spotkanie rzymskiego trybuna i pozdrawiają aktorkę, i muszą witać ją nie jako aktorkę Cyterydę, lecz jako matronę Wolumnję! Potem wjeżdża wóz z rozpustnikami, niecnymi towarzyszami jego zabaw; matka jedzie naostatku, za kochanką rozpustnego syna, jakby za synową! Cóż za hańbę wydała płodność nieszczęśliwej matki! Antonjusz nie zawstydził się zostawiać pamięć swej obrzydliwej przejażdżki przez całą długość Italji, po wszystkich miastach, miasteczkach, osadach! Trudno jest i niebezpiecznie, senatorowie, ganić Antonjusza za inne jego postęпки. Był na wojnie, napił się krwi ludzi w niczem do niego niepodobnych; był szczęśliwy, o ile zbrodnia daje człowiekowi szczęście! Nie chcę urażać żołnierzy, lubo ich sprawa nic nie ma wspólnego z twoją: oni poszli za wodzem, tyś go wyszukał; nic o tej wojnie nie powiem, bo nie chcę, byś rozniecił w żołnierzach nienawiść ku mnie. Powróciłeś z legjonami z Tesalji do Brundyzjum jako zwycięzca; aleś nie zabił mnie tam. Wielka to jest łaska twoja, wiem, że mogłeś to zrobić, chociaż żaden z otaczających ciebie ludzi nie wątpił, że nie należy mnie zabijać. Miłość ojczyzny jest tak święta, że nawet wasi żołnierze pamiętali, żem ocalił ojczyznę, że więc jestem nietykalny! Przypuśćmy zatem, żeś mi darował to, czegoś mi nie odebrał; żem ci winien życie, skoro mi życia nie wydarteś; czyż naprawdę sądzisz, że po twoich obelgach muszę nadal pamiętać o twojem dobrodziejstwie, tak, jak dawniej pamiętałem? Czyż naprawdę nie przewidywałeś, że usłyszysz ode mnie to, co teraz mam do powiedzenia?

[25] Wróciłeś do Brundyzjum, do pieśczęt i uścisków kochanki. A może powiesz, że kłamię? Cóż to za przykre uczucie, kiedy nie możemy zaprzeczyć temu, do czego wstydziły się przystać! Jeżeli nie wstydziłeś się mieszkańców italskich miast, dlaczego miałeś się wstydzić starych żołnierzy? Czy znalazłbyś w swoim wojsku choć jednego, który nie widział tej kobiety w Brundyzjum? nie wiedział, że odbyła tak daleką drogę dla powinszowania tobie zwycięstwa? nie pożałował, że tak po czasie zrozumiał, za jakim poszedł hultajem? I znów przejażdżki po Italji w towarzystwie tejże aktorki; uciążliwe i wyuzdane kwatunki wojska po miastach, a w Rzymie rabowanie złota, srebra, a przedewszystkiem wina. Dochodzi wreszcie i to, że bez wiedzy Cezara, który był w Aleksandrji, ale za staraniem jego przyjaciół, Antonjusz zostaje mianowany zastępcą dyktatora. Od tej chwili Antonjusz myśli, że ma prawo publicznie żyć ze swoją kabaretową kłaczą, a dozór skarbowych koni powierza również kabaretowemu komejdjantowi Sergjuszowi. Za mieszkanie wybrał sobie nie ten gmach, co go teraz osobą swoją hańbi, lecz dom Pizona. Czy mam wyliczać jego rozporządzenia, zdzierstwa, zagrabione lub wyludzone kapitały? Przyciskał go podówczas niedostatek; nie wiedział, w którą stronę się obrócić; nie dostał mu się jeszcze ogromny spadek po Rubrjusz, po Turseljusz; niespodziewanie dla wszystkich nie odziedziczył wtedy jeszcze majątków Pompejusza, i wielu innych nieobecnych; musiał żyć obyczajem lotrów, musiał utrzymywać się z tego, co zagrabił. Przystałby jednak wyliczać zbrodnie, popełnione z popędu do zła; mówmy o plugawem spaceniu przyzwoitości! Ty, Antonjusz, z tą twoją gębą, z temi barkami, z tą twoją gladjatorską budową ciała, tyś tyle wina wyżył na weselu twojej aktorskiej kłaczy, żeś musiał na drugi dzień w obliczu narodu rzymskiego publicznie rzygać! Jakież to obrzydliwe, nie dla tych tylko, co patrzają, lecz i dla tych, co słyszą o tem! Gdyby się to przydarzyło ci przy stole, wśród tych ogromnych szklaniec, to i tak każdyby powiedział, że jest to obrzydliwe — ale żeby siebie i cały trybunał orzygał kawałkami jada i śmierdzącem winem zastępcy dyktatora, urzędnik pełniący publiczny obowiązek, na zgromadzeniu narodu rzymskiego, więc w chwili, kiedy nawet odbijanie się jedzenia jest nieprzyzwoitością! Są to zresztą pomyje Antonjusza; przejdźmy do jego blasku!

[26] Cezar powrócił z Aleksandrji; zdawało mu się, że jest szczęśliwy; mojem zaś zdaniem, kto sobie poczyna, jak wróg własnego państwa i narodu, ten nie może odczuwać szczęścia. Na znak publicznego przetargu zatknięto włócznię przed świątynią Jowisza Statora. Dobra Pompejusza — niestety, lez mi już nie staje, ale ból głęboko tkwi mi w sercu! — powiadam: dobra Wielkiego Pompejusza głos przeraźliwy woźnego ogłosił na wyprzedź! Wtedy dopiero Rzym, zapomniawszy o niewoli, jęknął;

w powszechnem przygnębieniu, kiedy wszystko postrach krępował, przynajmniej jęk rzymskiego narodu rozległ się, nieskrepowany niczem. Wszyscy przyglądali się, kto się znajdzie tak nieuczciwy, tak szalony, przeklęty przez bogów i ludzi, że się ośmieli przystąpić do tej świętokradczej licytacji; sam tylko Antonjusz znalazł się taki! Koło tej włóczęgi zgrupował się cały tłum zuchwalców, gotowych do wszelkiej innej zbrodni — tys jeden, Antonjuszu, znalazł się pomiędzy nimi, żeś się odważył uczynić, na co się wszyscy wzdrygnęli! Takie cię ogarnęło zaślepienie, lub raczej szaleństwo, żeś zapomniał o stanie, do którego należysz, przez co nie masz prawa kupować na przetargu skonfiskowanych dóbr, bez ściągania na siebie gniewu rzymskiego narodu, bez oburzenia wszystkich bogów i ludzi — a cóż dopiero dóbr Pompejusza! Jakżesz zuchwale Antonjusz, ten łotr, rzucił się na majątek wielkiego męża, który walecznością swoją sprawił, że naród rzymski w obcych krajach wzbudził większy postrach, a sprawiedliwością w tychże krajach wzbudził większe zaufanie!

[27] Gdy już zanurzył się w głęboki potok dóbr Pompejusza, wyskoczył z radości, jak ów hołysz w komedji, który zagnał z bogactw. Ale, jak powiedział, już nie wiem który, poeta: «zły nabytek nie idzie w pożytek». Jest nie do uwierzenia i nie do zrozumienia, jak Antonjusz potrafił te nieprzebrane skarby, nawet nie w kilku miesiącach, ale w kilku dniach roztrwonić. Tyle było wina, kunsztownego srebra, kosztownych materij, wartościowych, a często drogocennych sprzętów! Pompejusz to miał, nie żeby lubował się w zbytku, lecz poprostu jako człowiek bardzo bogaty; w kilka dni wszystko zostało puszczane. Czy Charybda była tak żarłoczna? Ależ Charybda była oł, takim sobie potworem; nie Charybda żadna, lecz ocean nawet zaledwo mógłby pochłonać z taką szybkością te bogactwa, rozrzucone po różnych rozległych majątkach: nic nie zamknięto, nie opieczętowano, nie spisano. Całe składy wina brali sobie różni hultaje na własność; jedno rozchwytywali aktorzy, tamto aktorki; w pałacu Pompejusza zatrzęsienie było szulerów i pijaków; pito od rana do wieczora, a w dodatku naraz w kilku miejscach. Co Antonjusz przegrał — a szczęście mu nie służy w grze — to sponał kosztownościami Pompejusza; szkarłatne kobierce narzucano na łóżka w budach niewolników! Jesteście zdumieni, że wszystko tak prędko zostało puszczane? Ależ takie marnotrawstwo mogłoby pochłonać w szybkim tempie nie tylko majątek jednego człowieka, niech nawet tak wielki, jak ten Pompejusza, lecz całe miasta i królestwa! A te pałace, a nagrody! Cóżto za bezczelna żarłoczność! Tyś się ośmielił wejść do domu Pompejusza, przestąpić ten próg szanowny, pokazać swoją bezwstydną twarz opiekuńczym bóstwom domu? Ty się nie wstydzisz gościć wciąż w tym domu, na który bez łez nikt nie może spojrzeć, ominąć go? Aczkolwiek w niczem nie smakujesz, Antonjuszu, nie ci w tym domu nie pójdzie w smak!

[28] Spoglądasz w przedsiönku na dzioby zdobytych okrętów, ustawione tutaj, na łupy zdobyte na wrogach — czy widzisz je, naprawdę myślisz, że wchodzisz do własnego domu? To przecieź niemożliwe! Jesteś wyzuty ze wstydu, jesteś półgłównikiem, ale musisz przecieź znać siebie i swoje czyny, i popleczników swoich; nie zdaje mi się, byś kiedykolwiek, na jawie, czy nawet we śnie, mógł być spokojnym. Jesteś pijanicą i szaleńcem, ale kiedy ci stanie przed oczyma obraz tego wielkiego człowieka, sądzę, że musisz odczuwać lęk, że zrywasz się ze snu, a jeżeli nie śpisz, wpadasz w szal. Co do mnie, to żal mi nawet ścian i dachu; przecieź ten dom nie widział dawniej nigdy nieskromności, żadnej nieprzyzwoitości, żadnej niemoralności. Wiecie przecieź, senatorowie, jak bardzo ten wielki mąż był sławny poza domem, jak godzien uwielbienia w domowym zaciszu, jak w równym stopniu zasługiwał na pochwałę w życiu prywatnem i publicznem. Teraz w domu jego, w sypialnych pokojach siedlisko nierządu, w pokojach jadalnych szynkownia. Powiada, że tak nie jest: wiercie mu, wiercie na słowo! Powiada, że ustatkował się; aktorzy swojej kazał, podług prawa Dwunastu Tablic, zabrać swoje manatki; odebrał jej klucze, wypędził ją z domu. Co za godny, czcigodny obywatel! najpiękniejszy postępek jego życia to zerwanie z aktorką! A jak często powtarza: «Ja konsul i Antonjusz» — oznacza to: ja, konsul i najgorszy hultaj; albo: ja, konsul i podlec. Bo cóż innego oznacza wyraz «Antonjusz»? Gdyby w tem imieniu była jaka taka godność, to sądzę, że i dziad twój powiedziałby czasem: «Ja,



konsul i Antonjusz» — ale nigdy tego nie powiedział; powiedziałby także twój stryj, mój kolega; chyba, że masz się za jednego Antonjusza.

[46]... Proszę cię, Antonjuszu, opamiętaj się! Myśl o swoich dziadach, nie o poclecznikach! Ze mną zrób, co chcesz, ale pożegnaj się z państwem i narodem. Zresztą, sam zobaczysz, co masz czynić; ja o sobie to tylko wiem: zamłodu bronilem państwa i narodu, nie przestanę bronić i na stare lata; gardziłem napaścią Katyliny, nie uleknę się i twego miecza. Życie oddam, jeśli tą ceną okupić można praworządność w państwie, aby cierpienie narodu rzymskiego wydało na świat to, co w nim jest poczęte! Przed dwudziestu blisko laty w tymże senacie powiedziałem, że dla człowieka, który doszedł do stanowiska konsula, śmierć już nie jest przedwczesną — teraz, jako starzec, z większą pewnością mówię to samo. Senatorowie! po dostojenstwach, których dostąpiłem, po sprawach, których dokonałem, już tylko śmierci dla siebie pragnę. Dwóch tylko rzeczy chciałbym się doczekać: pierwsza, abym umierając, naród rzymski zostawił wolnym od tyranji; jest to największa laska, jaką przedwieczni bogowie mogliby mi wyświadczyć; druga rzecz, której pragnę, jest to, by każdy odebrał taką zapłatę, jak się zasłużył państwu i narodowi.

*Tłum. E. Rykaczewski.*

*Popraw. M. St. Poptawski.*

## SALUSTJUSZ KRYSP

(86—35 przed Chr.)

### REWOLUCJA KATYLINY

(Ogólny wstęp; charakterystyka Katyliny)

1. Wszyscy ludzie, którzy pragną się wynieść ponad inne zwierzęta, muszą dokładać wielkich starań, by nie przejść przez życie w milczeniu, niczem bydlęta, z samego przyrodzenia posłuszne nikczemnym chęciom i żądaniom brzucha. Wszelako cała siła człowieka zamknięta jest w duchu i w ciele; duch daje rozkazy, ciało raczej ku posłudze służy; duch łączy nas z bóstwem, ciało z bydlęciami. Dlatego sądzę, że sławę musimy zdobywać właśnie bogactwem ducha, nie zaś siłą gwałtu, a krótkie życie, będące naszym udziałem, jak najbardziej przedłużać w ludzkiej pamięci. Krucha jest i doczesna sława bogactwa i cielesnej piękności; dzielność tylko wiecznym blaskiem jaśnieje. Długo jednak trwał wielki spór pomiędzy ludźmi, czy wojenne czyny wyrastają w potęgę siłą ciała, czy bogactwem ducha; każda bowiem sprawa, zanim do niej przystąpimy, wymaga namysłu; gdy już rozważymy, wymaga szybkości czynu. Zatem myśl i ciało, oddzielnie wzięte, są słabe; wymagają nawzajem od siebie pomocy.

2. Otóż w początku królowie — takie bowiem było na ziemi miano władzy — jedni ćwiczyli siłę ciała, inni odwrotnie — siłę ducha; w ów czas ludzie pędzili życie wolne od namiętności; każdemu wystarczało to, co miał. Potem natomiast, gdy w Azji Cyrus, a w Grecji Spartanie i Ateńczycy zaczęli podbijać grody i plemiona, gdy ogarnęła ich żądza panowania i stała się dla nich dobrym powodem do wszczynania wojen, a wielka władza wydała się być największą chwałą, wtedy to właśnie, w potrzebie i w niebezpieczeństwie przekonali się ludzie, jak dużo w wojnie znaczy rozum. I gdyby rozum, gdyby siła ducha książąt i królów tyle ważyły w pokoju, co w wojnie, ludzkie społeczeństwa cieszyłyby się trwałym szczęściem, i anibyśmy widzieli tego mnóstwa zaburzeń, zamieszek i przewrotów. Albowiem łatwo jest utrzymać władzę, stosując te same sposoby podczas piastowania, co i przy zdobyciu; atoli, gdy rozszerzy się lenistwo w miejsce trudu, żądza i pycha w miejsce umiarkowania, stateczności — wtenczas wraz z obyczajami zmieniają się i same koleje życia. Tak oto panowanie z rąk niegodnych zawsze przechodzi w ręce najgodniejsze. W zawodzie budowniczego, rolnika lub żeglarza sprawność rozumu zdobywa dla człowieka pierwsze miejsce; a przecież większość ludzi, oddawszy się spaniu i potrzebom brzucha, niewykształceni i nieobyczajni, idą przez życie niczem przechodnie. Wbrew prawu natury, ciało tych ludzi

jest dla nich źródłem największej rozkoszy; natomiast duch staje się dla nich ciężarem; życie ich tyle jest warte, co śmierć, jako że niknie w zapomnieniu. Mojem zdaniem, ten człowiek dopiero żyje, a życiem swem objawia się ducha, który oddaje się jakiejś pracy i pragnie zdobyć sławę pięknie i chwalebnie dokonanym czynem: atoli w wielkiej różnorodności zawodów własne uzdolnienia każdemu wskazują inną drogę.

3. Piękną jest rzeczą dobrze przysłużyć się państwu; również i ładna wymowa jest rzeczą pożyteczną; dobrze jest zyskać sławę w wojnie i w pokoju; słusznie wychwalamy tych, co stwarzają dzieje, i tych, co je opisują — aczkolwiek znacznie większą chwałę daje stwarzanie dziejów, niż ich opisywanie; sądzę jednak, że dziejopisarstwo jest rzeczą wyjątkowo trudną. Najpierw trudne jest dlatego, że słowa muszą odtwarzać czyny, więc dorównać im; następnie dlatego, że ujemną ocenę błędów czytelnik często uważa za objaw złośliwej zazdrości, a zaś wyrazy zachwytu i podziwu dla wielkiej dzielności są poczytywane za wymysł i fantazję. Ludzie sądzą innych według własnej miary; zatem i czytelnik odrzuca to, co przerasta własne jego siły, a daje wiarę temu tylko, co i sam potrafiłby uczynić. Co do mnie, to w młodzięcym jeszcze wieku, jak większość to robi, wszedłem w publiczne sprawy i znalazłem w nich bezliku przykrych rzeczy. Tam, gdzie należało spodziewać się wstydu, męstwa, stateczności, tam kwitły wszędzie chciwość, uchwalstwo, rozrzutność; pełen młodzieńczego zapału, gardziłem występkiem — niemniej młodzieńczy umysł uległ wpływom zepsutego środowiska. Ostatecznemu zepsuciu nie uległem; pragnąłem natomiast publicznych zaszczytów, jednakże byłem szarpany plotką i zazdrością.

4. Zaznałem dużo przykrości i hazardu i duch mój uspokoił się; koniec życia mam zamiar spędzić w ustroniu, ale odpoczynku mego nie zamierzam marnować w lenistwie, w beczynności, ani też w samej tylko pracy rolnika, ani na polowaniu — co byłoby już zgoła nikczemną rzeczą. Wracam do zamiaru, od którego odciągnęła mnie niegdyś głupia ambicja; chcę opisać niektóre chwile z życia rzymskiego narodu, te mianowicie, co były najbardziej znamienne, a zrobić to mogę o tyle nienajgorzej, że jestem daleki od stronnich poglądów. Zamierzam zwięźle i prawdziwie opowiedzieć o spisku Katyliny; sądzę, że występ ten był najbardziej znamienny, bodaj przez samą niezwykłość zbrodni i grożącego niebezpieczeństwa. Początek opowieści nawiąże do zwyczajów Katyliny i do jego charakteru.

5. Lucjusz Sergjusz Katylina, z szlachetnej krwi zrodzony, był to człowiek niepospolitej siły ducha i zdrowia, ale charakter miał zły i zepsuty. Od najmłodszych lat nurzał się w domowej wojnie i w zbrodniach, w grabieży i w politycznych waśniach: była to szkoła, w której spędził młodość. Z wytrwałością wprost nie do wiary znosił głód, chłód i brak snu; uchwały był, obłudny, zmienny, umiał udawać, co tylko chciał; zachłanny naraz i rozrzutny, ulegał gwałtownym namiętnościom, znakomicie opanował kunszt oratorski, ale istotnego rozumu nie miał nic; rozkiełznany i zarozumiały, zachciewał rzeczy niesłychanych, niezwykłych. Niedługo po śmierci samowładnego Sulli zapalał chęcią zdobycia w państwie najwyższej władzy i nie obawiał się żadnej drogi, jakaby mogła zaprowadzić go do królewskiego stanowiska. Uchwalstwo Katyliny wzrastało z dnia na dzień, a to z powodu materialnej ruiny i uświadomienia sobie własnej zbrodniczej awanturniczości, — te dwie rzeczy były dlań nieuniknione przy jego charakterze; podlegały go również złe obyczaje społeczeństwa, szarpanego przez najgorsze i zgoła sprzeczne namiętności, bo przez wyuzdanie i przez chciwość.

14. W tak zdeprawowanym społeczeństwie Katylina — co zresztą było bardzo łatwe — zaprzyjaźnił się z najgorszą moralną hołotą i stale otaczał się zgrają zauszników. Każdy, bezwstydnym rozpustnik i hulaka, każdy, kto w zabawach roztrwonil ojcowiznę, kto siedział po uszy w długach, kto popełnił zbrodnię lub występek, i wszyscy zewsząd nicponie i łajdaki, ścigani przez sądy, kryjący się przed prawem; każdy, kto skalał się krzywdą i zbroczył się przelaną krwią, i ci, którym dokuczało ubóstwo i których dręczyła pamięć o własnych zbrodniach — wszyscy byli przyjaciółmi i zausznikami Katyliny. Jeżeli w sidła przyjaźni z nim wpadł ktoś mniej występny, to i ten przez samo codzienne obcowanie, działające jak przynęta, stawał się wkrótce taki sam, jak wszyscy w gronie Katyliny. Ten zaś najchętniej szukał przyjaźni z młodymi, gdyż byli oni podatni na wszelki wpływ i łatwo ulegali obłudnym pokusom. Stosownie

do młodzieńczych zachcianek, podsuwał Katyliną przyjaciółom dziewczęta, obdarowywał ich koźmi, psami, nie żałował kosztów, ani własnej opinii, byleby ich zobowiązać i uczynić sobie powolnymi. Znam takich ludzi, którzy wogóle nie wątpili o zdeprawowaniu każdego młodego człowieka, który przestaje z Katyliną; było to zresztą bardziej oparte na powszechnem przekonaniu, aniżeli na jakichś konkretnych faktach.

15. Jeszcze zamłodu popełnił Katyliną szereg niedopuszczalnych występków przeciwko moralności; wbrew obyczajom, a nawet religji, miał niedopuszczalny związek z pewną panną, należąca do dobrego towarzystwa, również z westalką, i szereg innych podobnych. Potem zakochał się w Aurelji Orestylli; była to kobieta bardzo ładna, ale cieszyła się jak najgorszą opinią; nie chciała ona wyjść za Katylinę, bo miał z pierwszego małżeństwa już dorosłego syna, więc bała się; aż Katyliną zamordował syna i w ten sposób uprzętnął swój dom niegodziwy dla nowego małżeństwa; jest to rzecz, o której wszyscy są mocno przekonani, że niewątpliwie tak odbyła się. Przypuszczam, że w tem właśnie tkwiła przyczyna, która potem popychała Katylinę do zbrodni. Albowiem duch nieczysty, przez bogów i przez ludzi przekleły, nie zazna uspokojenia ni w pracy, ni w odpoczynku: świadomość własnej zbrodni wżarła się w niespokojny jego mózg. Bładą miał twarz, mętne spojrzenie, chód prędko lub powolny — sam wygląd Katyliny był oznaczony piętnem szaleństwa.

16. Już powiedziałem o tem, że usiadał dużo młodych ludzi; otóż zaprawiał ich na różny sposób w występne życie. Przyuczał do składania kłamliwych zeznań i do fałszowania podpisów; przyzwyczajał ich do tego, że za nic mieli prawo, hazard, bezpieczeństwo, — a gdy zniweczył ich dobrą sławę i uczciwość, zaczął powierzać im ważniejsze sprawy. Jeżeli nawet zbrodnia nie dawała żadnego doraźnego zysku, niemniej i bez specjalnej potrzeby otaczał zgrają obojętnego mu skądinąd człowieka i zabijał go. Katyliną był okrutnym zbrodniarzem, poprostu ot tak, dla wprawy, żeby nie zaśniedziała mu w beczynności ręka i odwaga. Mając własne grono wiernych popleczników, Katyliną, jako że zabrnął w ogromne długi i to wszędzie, gdzie się dało, zarazem i dlatego, że dawni żołnierze Sulli, roztrwoniwszy, co mieli, w nadziei na zwycięstwo i grabież wyglądali tylko domowej wojny — Katyliną powziął zamiar zagarnięcia państwowej władzy. W Italji podówczas nie było żadnego wojska; Pompejusz prowadził wojnę na krańcach świata, zatem starania o zdobycie konsularnego stanowiska mogły się udać wcale nienajgorzej, bo senat o nic nie dbał; wszędzie panował niezamącony spokój, a to przecież najbardziej sprzyjało planom Katyliny.

[Przemówienia Juljusza Cezara i Marka Katona w senacie.]

49. W tym samym czasie Kwint Katul i Gajus Pizon dokładali wszelkich starań i usiłowali skłonić konsula Marka Cyncerona, żeby skorzystał z pomocy Allobrogów lub jakiegoś fałszywego świadka i wplątał Juljusza Cezara do spisku Katyliny, jako rzekomego uczestnika. Pałali oni nienawiścią do Cezara: Pizon za to, że w swoim czasie był przezeń oskarżony o zdzierstwo i o nadużycie władzy w stosunku do jakiegoś Galla z transpadańskiej prowincji; Katul niecierpiał za to, że, ubiegając się o kapłańską godność pontyfika, on, człowiek sędziwy, zasłużony, czcigodny — musiał ustąpić wobec smarkacza Cezara. Intryga była dla nich o tyle ułatwiona, że Cezar zbyt rozrzutnie szafował pieniędzmi, przeważnie zresztą na publiczne i partyjne sprawy, a przez to zabrnął w wielkie długi. Jednakże konsul Cyncero nie dał się namówić do tej niegodziwości; zatem oni sami zaczęli obchodzić kogo mogli i obgadywali Cezara, powołując się na rzekome zeznania Wolturcjusza i Allobrogów, którzy wykryli cały spisek. Oszczerstwem swoim potrafili wzniecić tak wielką niechęć do Cezara, że ekwici, inaczej mówiąc, przedstawiciele zamożnych warstw, którzy zgłosili się na ochotników i z bronią w ręku pełnili publiczną straż, i gromadzili się przy świątyni Konkordji, gdzie właśnie miały miejsce narady senatu, zaniepokojeni ogromem niebezpieczeństwa i rozjątrzeni na Cezara, wymachiwali nań mieczami, gdy wychodził z posiedzenia; myśleli, że w ten sposób służą dobru państwa.

50. W czasie, gdy wszystko to było przedmiotem obrad senatorów, gdy uchwalali oni nagrodę posłom Allobrogów i Wolturcjuszowi za wyjawienie planów Katyliny,

wtedy wyzwolenicy i niektórzy klienci aresztowanego Lentula rozbiegli się na wszystkie strony, zwoływali po ulicach jego wyrobników i służbę, by gwałtem uwolnili swego chlebobdawcę; inni zwrócili się do ulicznych prowodyrów, jakich zazwyczaj wynajmowano do mącenia publicznego spokoju. Ceteg pozostał pościgów do swoich prywatnych podwładnych i do wyzwolenców; zawczasu dobrał był sobie ich i wyćwiczył, a teraz wołał, by wpadli doń zbrojną gromadą. Dowiedział się o tem konsul Marek Cyncero, natychmiast porozstawiał zbrojne placówki, gdzie tylko uważał za wskazane, i zabezpieczył w ten sposób publiczny ład przed zamachami. Zwołuje senat i pyta, co ma uczynić z aresztantami, atoli o nich już na poprzednim posiedzeniu senat wydał wyrok, że są buntownikami przeciw państwu. Teraz Junjusz Sylan, desygnowany konsul, pierwszy wygłasza swoje zdanie, że aresztowani muszą być zgładzeni; jeżeli zaś uda się przyłapać innych zamachowców, to i ci również, a byli to Lucjusz Kasjusz, Publjusz Furjon, Publjusz Umbren i Kwint Anjusz. Potem, już przy decydującem głosowaniu, tenże Junjusz Sylan, przekonany mową Juljusza Cezara, głosował za wnioskiem Tyberjusza Nerona, który żądał, by usunąć zbrojną straż, a wtedy dopiero głosować. Cezar, gdy przewodniczący konsul Cyncero zapytał go kolejno o zdanie, wygłosił następujące przemówienie:

51.—Senatorowie! Człowiek, który zastanawia się nad niebezpieczeństwem, powinien być wolny od uczucia osobistej przyjaźni lub niechęci, od gniewu i od litości. Jeżeli nasz mózg ulega działaniu tych uczuć, to bardzo wątpliwe jest, żebyśmy potrafili ogarnąć myślą prawdę, albowiem nie możemy iść naraz i za głosem rozumu, i za popędem namiętności. Ile razy wyteżamy umysł—zwycięża rozum; ulegając afektom—przyjmujemy ich kierownictwo, a myśl zatracą nad nami swoją władzę. Senatorowie, dużo mógłbym powiedzieć o tem, jak całe narody, jak królowie popełniali błędy przez to, że ulegali porywom gniewu lub litości; wolę jednak mówić tylko o naszym narodzie, o tem, jak w dawnych czasach zapadały u nas decyzje rozumne i rozsądne i zgoła niezależne od afektu. Podczas macedońskiej wojny, gdyśmy walczyli z królem Perseuszem, Rzeczpospolita Rodyjska, kwitnąca i wspaniała, a dzięki opiece rzymskiego państwa, również i potężna, zdradziła nas i wystąpiła przeciwko nam; a jednak w tamtych czasach my, Rzymianie, gdyśmy po skończeniu wojny radzili o postępowaniu Rodyjczyków, tośmy postanowili wcale nie karać Rodyjczyków, bośmy nie chcieli, żeby ta wojna w czyjejkolwiek bądź opinji uchodziła za lupieską i krzywdzącą. Podczas punickich wojen Kartagińczycy zarówno w chwili zawieszenia broni, jak i w okresach pokoju, dopuszczali się różnych niegodziwości, ale my, Rzymianie, my nie skorzystaliśmy z żadnej okazji, my nie zrobiliśmy nic podobnego; byliśmy posłuszni nakazom dostojności i nie szliśmy za chęcią dokuczania przeciwnikom, gdzie tylko zjawi się sposobność. Senatorowie! Zastanówmy się i teraz nad tem, że musimy spełniać nakaz dostojności, że nie mamy prawa słuchać głosu oburzenia, jakie nas ogarnia na myśl o Lentulusie i o innych. Kierujmy się nie gniewem, lecz naszą piękną tradycją! Jeżeli znajdzie się dla ich przewinień jakaś właściwa kara, będą głosował na wniosek nawet zgoła nowatorski; natomiast, jeżeli nizekzmość ich zbrodni zamać w nas poczucie własnej godności, będą doradzał ściśle zastosowanie litery prawa.

Moi tutaj poprzednicy wygłaszali umiejętne i rozlewne przemówienia, użalali się nad publiczną sprawą, opowiadali nam o okrucieństwach wojny i o klęskach, jakie spadłyby na zwyciężonych: zgwałcone dziewczęta i porwani chłopcy, dzieci odłączone od rodziców i zamężne kobiety ofiarą żołdaków, zrabowane świątynie, spustoszone mieszkania i pożary, i mordy, stosy trupów i broni, rzeki krwi i łez... Ależ powiedźcie mi na bogów, poco te oracje? Poto, żeby my, senatorowie, byli przeciwni buntownikom? Niby to taką lub inną oracją wzruszy się ten, co sprzyja zbrodni i okrucieństwu! Tak jednak nie jest. Żaden człowiek nie sądzi o swej własnej krzywdzie, że jest mała, owszem, zawsze przeceniamy swoją krzywdę. Senatorowie! nie wszystkim przysługują jednakowe uprawnienia; są ludzie, których życie płynie w mroku; jeżeli taki pobłądzi w swoim gniewie, nikt o tem nie dowie się, bo znaczenie tych ludzi równa się ich skromnemu stanowisku. Co innego maż stanu: życie wyniosło go na szczytne szczeble; jego postęпки są wszystkim dobrze znane; im kto zajmuje wyższe stanowisko, tem mniejsze przysługują mu uprawnienia. Nie ma prawa być stronniczym, ani nienawidzić, musi jak najmniej unosić się. Co dla zwykłego człowieka jest uniesieniem, to u męża stanu staje się pychą, okrucieństwem. Senatorowie! Nie wątpię o tem, że

zbrodnia buntowników przerasta wszelką możliwą karę; atoli pospolici ludzie zazwyczaj dostrzegają samo tylko zakończenie sprawy; rozmawiając o zbrodniarzach, zapomną o ich występkach i będą widzieć już tylko surowość wymierzonej kary. Junjusz Sylan, człowiek prawy i szlachetny, wygłaszając swoje zdanie, kierował się umiłowaniami publicznego dobra i nie wpadł w żadną stronniczość, ani uległ krańcowej niechęci; znam jego sposób myślenia i ten umiar, jaki go cechuje. Jego wniosku nie uważam za surowy, bo i któżby względem buntowników mógł zgrzeszyć zbytnią surowością! Niemniej wniosek ten odbiega od państwowych potrzeb. Przyznaj się, Sylanie, przecież to lęk przed niebezpieczeństwem i wzburzenie natchnęły cię, że ty, desygnowany naczelnik Rzeczypospolitej, wystąpiłeś z wnioskiem zastosowania niebywałej kary. Nad niebezpieczeństwem nie będę się rozwodził, bo dzięki staraniom wspaniałego konsula, Marka Cyncerona, wszędzie pełno zbrojnej straży. Co do kary, to tu muszę powiedzieć, jak mi się ta rzecz przedstawia, mianowicie, że śmierć przecież nie jest żadną udręką; śmierć uwalnia człowieka od nieszczęść, ona jest ulgą w smutkach, w utrapieniach; po przekroczeniu śmierci nie istnieje ani żadna troska, ani radość. Bogowie Przedwieczni! Dlaczegoż nie dodałeś, Sylanie, do swojego wniosku, żeby przed zabiciem wychłostać ich? Może dlatego, że jest to niezgodne z prawem Porcjusza? A jednak inne prawa wyraźnie zabraniają rzymskiego obywatela gardłem karać i pozwalają tylko na wygnanie skazać! A może chłosta jest gorszą rzeczą niżli śmierć. Ależ dla tak okropnych zbrodniarzy, schwytych na występkach, nie istnieje żadna zbyt surowa kara. A może mniej przekracza ustawę ten, co w drobnych rzeczach przestrzega praw, a zaś w większych lamie je? Czy wiecie, kto na nas wyda wyrok, jeżeli my wydamy wyrok na morderców ojczyzny? Wyda wyrok Historia! Wyda wyrok los, który wszewładnie panuje nad narodami; on to potępi nasz wyrok. Senatorowie! Cokolwiek czynimy z buntownikami — są tego warci; a jednak jak najgłębiej zastanówcie się, zanim wydacie sąd! Zła rzecz rodzi się, wzoruje się zazwyczaj na dobrej rzeczy. Jeżeli władza dostanie się do rąk niegodnych, nieuczciwych, to ten nowy przykład, który wy obecnie zamierzacie dać, będzie stosowany już nie względem ludzi zasługujących na to i niegodnych, lecz względem niewinnych. Spartanie pobili Ateńczyków i narzucili zwyciężonym władzę trzydziestu oligarchów; ci zaczęli zabijać bez sądu, zrazu ludzi najgorszych i powszechnie znienawidzonych; Ateńczycy cieszyli się, patrząc na to, myśleli, że dobrze jest, natomiast w oligarchach rozwinęła się bezkarność samowoli: zaczęli mordować nie tylko złych, lecz i niewinnych, ot tak sobie, dla kaprysu; tą drogą trzymali wszystkich w trwodze, a państwo, zgnębione tyranją, odczuło ciężkie skutki niemądrej radości. Już za naszej pamięci wielki Sulla kazał zgładzić Damazypa i kilku innych zbrodniarzy; wszyscyśmy się cieszyli, jako że słusznie stracił wicherzycieli, występnych i niespokojnych demagogów, zgoła buntowników. Okazało się, że był to tylko wstęp do strasznych nieszczęść: kto chciał ograbić jakiś dom, pałacyk, kto chciał innego obrabować z kosztowności, stroju — ten szedł natychmiast podać imię jego do publicznego spisu przeznaczonych na śmierć. Doszło do tego, że w krótkim czasie wymordowano właśnie tych, co cieszyli się ze śmierci Damazypa. Mordom przyszedł kres niewcześniej, aż Sulla wzbogacił wszystkich swoich popleczników. Nie przypuszczam wcale, że to samo będzie i teraz się działo, za konsulatu Marka Cyncerona; natomiast twierdzę, że w wielkim państwie różne i coraz to inne są ludzkie pragnienia; łatwo może się stać, że w innym momencie, że inny konsul, również mający pod sobą wojsko, zacznie własne urojenia poczytywać za obowiązujące wszystkich prawo. Jeżeli taki konsul, idąc za przykładem dzisiejszego senatu, dobędzie miecza, to któż mu przeszkodzi? jego zachciankom któż położy kres?

Senatorowie! Dawniej, w odległych czasach, nie zabrakło nam nigdy ani odwagi, ani rozwagi; nie kierowaliśmy się czczą zarozumiałością i przyjmowaliśmy od obcych narodów dobre zwyczaje. Broń i wojenne pociski wzięliśmy od Samnitów; od Etrusków większość oznak państwowej władzy; cokolwiek dobrego widzieliśmy u zaprzyjaźnionych narodów lub u wrogów, z największą troską wprowadzaliśmy u siebie w domu; była nam obca zazdrość, a to, co dobre, chętnie przyjmowaliśmy. Niestety, w tym też czasie przyjęliśmy od Greków zwyczaj karania chłostą własnych obywateli; zwyczaj wymierzania na zbrodniarzach kary śmierci. Państwo nasze z biegiem lat roz-

rosło się, rozmnożyła ludność, wzmogły się polityczne stronnictwa, rozkrzewiły się napaści na niewinnych, wszczęły się bezprawia. Wtedy to przyjęliśmy prawo Porcjusza i inne ustawy, które miały ograniczyć karę za występki samem tylko wygnaniem. Zapewniam was, senatorowie, że powody, które podałem, są pierwszorzędnej wagi; powstrzymajmy się przed nowatorską uchwałą. Ci, co zbudowali nasze państwo, pierwotnie tak małe; ci, co rozszerzyli je w wielkie imperjum, oni więcej mieli mądrości i rozumu, aniżeli my, którzy z takim trudem usiłujemy utrzymać nasze wielkie dziedzictwo.

Czy jednak mamy wypuścić wojsko buntowników i zasilić wojsko Katyliny? Bynajmniej. Proponuję taki wniosek: majątek buntowników skonfiskować; ich samych trzymać pod strażą po większych i znaczniejszych miastach; ogłosić, że przez senat zostanie uznany za wroga Rzeczypospolitej, za wroga publicznego porządku każdy, kto zeń chce wstawić się za nimi do senatu lub do zgromadzenia ludowego. —

52. Gdy Cezar skończył przemówienie, inni zaczęli wyrażać swoją zgodę z nim bądź słowem, bądź jakoś inaczej. Marek Porcjusz Katon, zapytany z kolei o zdanie, wygłosił następujące przemówienie:

— Senatorowie! Przebiegam spojrzeniem groźne wypadki, rozważam różne opinie, wygłoszone o nich, i widzę, że zgola inaczej myślę o tych rzeczach. Słyszę, że rozprawiają o wymierzeniu kary na buntownikach, którzy porwali się na ojczyznę i na rodzinę, na świętości nasze i na ołtarze. A przecież sytuacja jest inna: musimy bronić się przed nimi, nie zaś decydować o nich. Każdą inną zbrodnię należy karać dopiero wtedy, kiedy zostanie popełniona; inaczej w tym wypadku: musimy zapobiec zbrodni, albowiem wtedy, gdy zostanie dokonana, próżno będziemy wołali o sąd; zwyciężeni nie mają żadnych praw w zdobytem mieście. Wzywam was na Bogów Przedwiecznych! Domy wasze i pałace, posągi i obrazy zawsze były wam bliższe niż publiczne dobro. Jeżeli chcecie zachować wszystko, co kochacie; nadal używać uciech i rozkoszy — ocknijcie się, ratujcie państwo! Tu nie o podatki idzie, nie o krzywdę zaprzyjaźnionych narodów; tu nasze własne prawa i swobody są zagrożone; sprawa to życia naszego! Senatorowie! Już tyle razy z tego miejsca przemawiałem do was; ganilem przeciwnych, chciałem; już tyle wrogów przyspożyłem sobie! Nie folgowałem i samemu sobie w niczem; nie dopuściłem się żadnych wykroczeń — oto dlatego ganilem w każdym wszelki objaw prywatnej zachcianki. Słowa moje braлиście lekko — ale i państwo wtedy mocno stało; wasze niedbalstwo poniekąd było usprawiedliwione wielkim dobrobytem. Teraz już mówię nie o formach naszego życia, dobre są czy złe; nie o tem, czy majestat Rzymskiego Imperjum jest dostatecznie szanowany; obecnie idzie o to, czy i nadal pozostaniemy, czem jesteśmy, czy też wraz z naszą fortuną staniemy się własnością zwycięzców. Tu mi ktoś będzie mówił o litości, o łagodności! Wszakżeśmy dawno zatracili już właściwe nazwy rzeczy. Szczodrobliwością zwiemy rozrzutność cudzym kosztem; odwagą zwiemy zuchwalstwo w zbrodni; oto dłaczego ginie nasze państwo! Skoro tak jest, niech już i nadal pozostaną te formy życia; bądźmy szczodrobliwi kosztem zależnych od nas ludów; bądźmy litościwi dla złodziei publicznego dobra — ale nie szafujmyż własną krwią; osłaniając kilku zbrodniarzy, nie sprowadzamy klęski na wszystkich uczciwych!

Przed chwilą Juljusz Cezar z tego oto miejsca ładnie i przemyślnie rozprawiał o życiu i o śmierci; wszystko, co się mówi o pośmiertnem życiu, o tem, że źli odmienną idą drogą od dobrych, że przebywają w miejscu obrzydliwem, dzikiem, wstrętnem, okropnem, to wszystko poczytuje on za bajkę. Radzi skonfiskować majątki buntowników; zatrzymać ich pod strażą w italskich miastach; prawdopodobnie boi się tego, że w Rzymie demagogiczne spiski, lub zgola łlum uwolni ich, wyrwie z rąk straży. Niby to tylko w stolicy pełno jest nikczemnych zbrodniarzy! niby to braknie ich w całej Italji! niby to zuchwalstwo mniej znaczy tam, gdzie mniejsze są załogi i obronne środki! Jeśli obawia się niebezpieczeństwa z ich strony, próżna jest jego rada; jeśli sam jeden w tej powszechnej trwodze jest nieulekniony, tem bardziej musimy obawiać się ja i wy. Przyjmując uchwałę o Publjuszu Lentulusie i o innych, pamiętajcie, że uchwała nasza obejmie również i wojsko Katyliny, wszystkich buntowników; im bardziej będziecie bezwzględni, tem oni bardziej będą przestraszeni; jeżeli choć troszkę pofolgujecie łagodności — rozpalicie w nich zuchwalstwo. Myli się ten, co sądzi, że w dawnych czasach państwo nasze tylko zbrojną ręką z małego uczyniliśmy wielkie. Gdyby istotnie tak

było, to Rzeczpospolita w obecnej chwili byłaby wspanialszą, niż jest w rzeczywistości, gdyż teraz więcej mamy sprzymierzonych narodów, niż dawniej mieliśmy; więcej ludności, wojska, jazdy. Inna to była rzecz, która ongi zadecydowała o naszej wielkości, rzecz, która teraz w nas zanikła: sprawność w domu, sprawiedliwe rządy poza domem; decyzja, oparta na niezależnej myśli; umysłowość uczciwa, brak prywaty. Teraz jest inaczej: radzimy się chciwości; w publicznych sprawach jesteśmy żebrakami, w prywatnym życiu bogaczami; uwielbiamy przepych, nurzamy się w lenistwie; ludzie uczciwi i podli jednakowo są cenieni, a próżna ambicja posługuje się wszystkimi pozorami i zaszczytami szlachetności. I czemuż teraz miałbym się dziwić? Albowiem bunt uderza w wyjąłowane państwo; uderza właśnie w to miejsce, gdzie wy tylko prywatę załatwiacie, gdzie folgujecie swoim zyskom, chęciom, namiętnościom! Ale dość o tem. Arystokratyczne paniczki sprzysięgły się przeciwko Rzplitej; podburzają do wojny Gallów, odwiecznych wrogów rzymskiego państwa; naczelnik tych zdrajców wraz z wojskiem stoi tuż nad naszymi głowami — a wy i teraz nawet wątpicie, dopiero rozważacie, co należy robić ze zdrajcami, przyłapanymi w stolicy! Ja wam radzę: litujcie się! Przecież to młodzianiaszkowie pobłądzili; chcieli tylko dla siebie sięgnąć po wyższe stanowiska! Uwolnijcie ich, dajcie im nawet broń do ręki! Widzę, jaką na was sprawadzi klęskę ta wasza litość i łagodność, jeżeli oni doprawdy chwycą za broń. Sytuacja jest nadwyraz niebezpieczna, ale wy jesteście nadwyraz spokojni! A jednak to nieprawda: jesteście zastraszeni, ale zarazem gnuśni i tchórzliwi; oglądacie się wciąż na coś innego; oczekujecie pomocy od przedwiecznych bogów, jako że zawsze ratowali państwo nasze z najgorszych klęsk! Pomoc boża splywa jednak nie na ślubowania żadne i nie na babskie skargi: powodzenie służy temu, kto czuwa, działa, myśli. Z chwilą, kiedy zanurzamy się w lenistwie, w gnuśności, z tą chwilą nigdy głos nasz nie dochodzi do bogów, albowiem takich ludzi ścigają oni kłatwą, gniewem. W dawnych czasach Manljusz Torkwat, podczas wojny z Gallami, kazał zgładzić własnego syna, jako że wbrew rozkazowi szukał zaczepki z wrogiem; męstwo, wykazane w niewłaściwy sposób, dzielny chłopak przyplacił głową — a oto wy nie wiecie, co macie uczynić z najgorszymi zbrodniarzami, zdrajcami! A może to poprzednie uczciwe życie chroni ich teraz przed karą? Zatem darujcie życie Lentulusowi, jeżeli tylko on zasłużył kiedykolwiek na uznanie uczciwością, dobrą sławą, szacunkiem dla bogów i dla ludzi; przebaczcie młodości Cetega, jeżeli nie drugi to już raz porywa się na ojczyznę. Cóż powiem o Gabinjuszu, Ceparjuszu, Statyljuszu? Jeżeli oni nigdy w niczem nie zawinili, to nie targnęliby się w taki sposób na Rzeczpospolitą. Senatorowie! Zapewniam was, gdyby sytuacja była taka, że można omylić się bez zagłady państwa, to dałbym spokój słowom, których tak nie lubicie; czekałbym, aż sam bieg rzeczy skieruje was na właściwe tory. Niestety, jesteśmy całkowicie otoczeni. Katylina wraz z wojskiem zajmuje dojsie do Rzymu; inni buntownicy są w środku miasta, w samym wnętrzu stolicy; nie możemy przeprowadzić zarządzeń tak, żeby one nie były znane wrogom; musimy skończyć jak najprędzej. Mój wniosek brzmi: ponieważ zbrodniczy zamach buntowników zagraża samemu życiu państwa; ponieważ buntownicy, zmuszeni zeznaniem Wolturejusza i posłów plemienia Allobrogów, sami przyznali się do tego, że knuli przeciw ojczyźnie i ludności; że zamierzali sprawić rzeź, wzniecić pożary, wykonać inne obrzydliwe i okrutne zbrodnie, — po takowem ich wyznaniu, jako jawnych złych zbrodniarzy, według starodawnych zwyczajów, skazać ich na karę śmierci.

*Tłum. M. St. Popławski.*

## LIWJUSZ (T. LIVIUS PATAVINUS)

(59 przed Chr. — 17 po Chr.)

### DZIEJE RZYMU

#### Początkowe dzieje (z księgi pierwszej)

1. Dobrze wiemy, że Achajowie, zdobywszy Troję, okrutnie znęcali się nad zwycięzonymi, ale Eneasza i Antenora wyłączyli z tego, gdyż łączyły tych dwóch z Acha-

jami stare związki przyjaźni; również i dlatego, że zawsze doradzali Trojanom zawarcie pokoju i zwrócenie Heleny. Po różnych przygodach Antenor z gromadą Enetów przybył na północne wybrzeża Adrjatyku; Enetów miał z tej przyczyny, że, wypędzeni w domowej wojnie z Paflagonii, stracili pod Troją króla Pylemena, obrali Antenora i wraz z nim szukali kraju, któryby zamieszkali; z nimi to i z Trojanami przybył nad zatokę Antenor, wytepił Euganejczyków, którzy zajmowali kraj od Alp do Adrjatyku i opanował całą okolicę. Miejsce, gdzie najpierw lądowali, nazwano Troją, także i przyległy kraj; plemię natomiast otrzymało nazwę Wenetów. Eneasza uciekła z ojczyzny wskutek tej samej klęski; losy jednak przeznaczyły go do stworzenia wielkiego państwa. Najpierw przybył on do Macedonji, potem, szukając siedzib, dotarł do Sycylii, a stamtąd pożeglował do Italji, do kraju Laurentów; miejsce lądowania również nazwał Troją. Trojanie wylądowawszy, że to po długiej tułaczce prawie wszystko wyczerpali, a pozostała im tylko broń i okręty, dorwali się do stada na polu. Wtedy król Latyn wraz ze swymi Aboryginami, którzy podówczas zamieszkiwali ten kraj, uzbroili się i wyszli z miasta, z osad, by bronić własnego mienia przed gwałtem przybyszów. Różne zachowały się o tem podania; jedni mówią, że Latyn w bitwie został zwyciężony i najpierw zawarł z Eneaszem przymierze, a potem spokrewnił się z nim. Inni opowiadają, że gdy ustawiono hufce w bojowym szyku, zanim trąby zagrzmiały do bitwy, wystąpił Latyn król wraz z książętami i przywołał wodza napastników do rozmowy; zapytał go, co to za ludzie i skąd przychodzą, dlaczego opuścili ojczyznę i czego chcą w kraju Laurentów. Słyszcząc, że są to Trojanie, że wodzem ich jest Eneasza, syn Anchizesa i Wenerzy; że straciwszy ojczyznę w pożodze wojny, szukają kraju, gdzieby mogli osiąść i założyć gród, zdjęty podziwem dla dostojności tych ludzi, dla ich wodza, który, niezłomny w wojnie, jest jednak gotów do pokoju, wyciągnął doń prawicę i zawarł z nim przyjaźń. Potem i formalne przymierze wodzowie zawarli, a wojska pozdrowiły siebie nawzajem okrzykiem. Eneasza stał się tedy gościem Latyna, który publiczne przymierze wzmocnił również i rodzinnym związkiem, gdyż oddał Eneaszowi córkę. Teraz dopiero Trojanie uwierzyli, że nadszedł kres ich wędrówki, że już na stałe osiedli w tem miejscu. Powstaje gród, nazwany przez Eneasza Lawinjum, od imienia żony Lawinji. Wkrótce młodzi małżonkowie doczekali się syna i dali mu imię Askanjusz.

W dalszym ciągu Aboryginów i Trojanów napadł Turnus, książę Rutulów; Lawinja bowiem była mu obiecana, zanim nadszedł Eneasza. Rozgniewany pierwszeństwem, jakie okazano przybyszowi, napadł Eneasza i Latyna. Obydwie strony poniosły w tej wojnie dotkliwą klęskę: Rutulowie zostali zwyciężeni, a zwycięzcy Aboryginowie i Trojanie stracili króla Latyna. Turnus, rutulski książę, straciwszy nadzieję we własne siły, zwrócił się do Mezenjusza, potężnego władcy Etrusków; panował on w bogatym mieście Cere i od początku był niezadowolony z założenia nowego grodu, i obawiał się niebezpieczeństwa dla sąsiadów, i mniemał, że państwo Trojanów zbyt szybko rośnie w siłę; z tych oto powodów bardzo chętnie sprzymierzył się z Rutulami. W obliczu tak strasznej wojny postanowił Eneasza jak najbardziej zjednać sobie przywiązanie Aboryginów; obydwą szczepy złączył w jeden naród i nazwał go łacińskim; w ten sposób sprawił, że nietylko obywatelskie prawa były równe, lecz i sama nazwa jedna była i ta sama dla Aboryginów i dla Trojan; istotnie, od tej chwili byli oni jednakowo wierni i oddani Eneaszowi. Etruria podówczas tak bardzo była potężna, że nietylko na lądzie, lecz i na morzu szeroko rozniosła sławę swego imienia przez całą długość Italji, od Alp do Sycylijskiej cieśniny. Jednak Eneasza postanowił, że nie będzie bronił się za murami miasta, lecz wyprowadzi wojsko w pole; bitwa wypadła szczęśliwie dla Latynów, a dla Eneasza była ostatnim jego ziemskim czynem. Jakiemkolwiek mianem go dzi się i można go nazywać, został Eneasza pochowany nad rzeką Numikiem; uczczono go mianem Jowisza Opiekuna.

22. Po śmierci Numa w państwie nastąpiło bezkrólewie; wkońcu lud obrął królem Tullusa Hostyljusza, którego dziadek, również Hostyljusz, stoczył ongi sławną bitwę z Sabinami u stoków zamkowej góry. Senat ten wybór zatwierdził. Nowy król był zgola niepodobny do łagodnego poprzednika; był nawet bardziej wojowniczy, niż Romulus: młodość, energja, sława dziadka wreszcie, wszystko to rozpałało w nim zuchwalał butę. Mówił, że państwo gnuśniej w pokoju; czekał na lada powód, by zacząć



jakąś wojnę; przypadek wreszcie sprawił, że rzymscy i albańscy osadnicy nawzajem urządzili przeciw sobie łupieską wyprawę. W Albie panował podówczas Gajus Kluljusz; jednocześnie niemal z Rzymu i z Alby wyruszają poselstwa, by zażądać zwrócenia zagrabionych łupów. Tullus zakazał swoim posłom cokolwiek innego mówić i czynić, zanim nie wykonają zlecenia: wiedział, że Albańczyk odmówi, że więc będzie mógł wypowiedzieć wojnę zgodnie z obrzędami. Albanie nie tak sprytnie poprowadzili sprawę: gościnnie i łaskawie podejmowani przez Tullusa, marnowali czas na wesółych przyjęciach. W ten to sposób Rzymianie zdążyli pierwsi zażądać zwrotu łupów i wypowiedzieli Albanom wojnę na trzydziesty dzień. Powiadomiony o tem Tullus, dopiero teraz daje możność albańskim wysłannikom wyjawienia celu ich przybycia; oni zaś, o niczem nie wiedząc, najpierw przepraszają go i zwlekają z odpowiedzią; wreszcie powiadają, że nie chcą wprawdzie mówić o rzeczy dla Tullusa przykrej, ale muszą spełnić rozkaz; zatem przyszli żądać zwrotu zagrabionych łupów; jeżeli zaś usłyszą odmowną odpowiedź, to muszą wypowiedzieć wojnę. Na to Tullus: «Powiedźcie waszemu królowi, że król rzymski wzywa bogów na świadków, który z naszych naródów pierwszy odesłał z niczem posłów, żądających zwrotu zagrabionych łupów; niech więc bogowie zarządzą, by na ten naród spadły wszystkie klęski wojny».

23. Te wiadomości Albanie przynoszą do domu, i obydwie strony zawzięcie przygotowują się do wojny; do wojny niemal domowej, niemal między ojcami i synami: obydwaj narody są potomkami Trojanów, gdyż Trojańczycy założyli Lawinjum, Lawinijczyce Albę, a zaś Rzymianie byli osadnikami i potomkami królów albańskich. Wynik tej wojny sprawił przecie, że i sam jej przebieg był mniej karygodny; wojsko nie chwyciło za broń, nie walczyło i tylko domostwa jednego z miast zostały zburzone, a zaś dwa narody złąły się w jeden. Najsamprzód Albanie z wielkim wojskiem zbrojnie nachodzą kraj rzymski; obóz rozbijają tuż przy naszym mieście, na piątej mili; otaczają obóz rowem, a od imienia wodza do tego miejsca przez szereg wieków przywiązana była nazwa rowu Kluljusza, aż wkońcu zanikła wraz z resztkami rowu. W tym to obozie umiera Kluljusz, Albanów król; Albanie obierają dyktatorem Mecjusza Fufecjusza. Zuchwały Tullus, podniecony śmiercią króla nieprzyjaciół, poucza swoich, że oto wielka bogów wola uderza w sam szczyt Albanów plemienia, a za nieprawą wojnę ściga karą. W nocej wyprawie omija obóz wrogów i zbrojne hufce prowadzi do kraju Albanów; Mecjusz porzuca obóz i przyspieszonym marszem zdąża do wroga; posyła do Tullusa posła i każe powiadomić go, że pragnie osobiście z nim rozmówić się, zanim rozpocznie się bitwa; zapewnia, że jeśli zejda się, to przedstawi coś, co w równej mierze leży na sercu Rzymian i Albanów. Tullus przystaje na to, ale obawia się, że Mecjusz wysunie błahe rzeczy i ustawia hufce do bitwy; Albanowie ustawiają szeregi naprzeciwko.

Już wojska stoją gotowe do bitwy i wodzowie wraz z kilku książętami schodzą się pośrodku; Albańczyk tak zaczyna: «Tullusie, król nasz Kluljusz wysunął za powód wojny krzywdę, jako że łupy zagrabione nie zostały mu zwrócone, jak to nakazuje prawo; również i ty, jak o tem wiem, w ten sam sposób uzasadniasz wojnę. Myślę jednak, że raczej musimy mówić prawdę, niż przytaczać upragnione pozory. Żądza to władzy uzbroidła bratnie i sąsiednie dwa narody: nie będę mówił, czy słusznie to, czy nie; powinien był o tem myśleć ten, co zaczął wojnę; ja tylko do prowadzenia jej zostałem obrany przez Albanów. Chcę jednak przypomnieć tobie, Tullusie, o potędze Etrusków, jaka otacza i nas, i ciebie, a jest ci znana o tyle lepiej, że bliżej jesteś Etrusków niż my. Wielka jest ich potęga na lądzie, większa jeszcze morska; pamiętaj: kiedy dasz znak do bitwy, to chwila ta, jak również i dwa nasze wojska, będą dla nich najniższym widowiskiem; uderzą na nas, na wyczerpanych i strudzonych, na zwycięzców i na zwyciężonych. A przecież niedosyć mamy tej naszej pełni praw; wchodzimy oto w zmienne koleje rozkazodawstwa i niewoli; niechże bogowie nam pomogą obrać taką drogę, byśmy mogli bez większej klęski, bez przelewu krwi naszej zadecydować, który naród nad drugim obejmie władzę». Podobała się ta mowa Tullusowi, aczkolwiek bardzo był butny, tak z natury, jak szczególnie w tym momencie, jako że pewien zwycięstwa. Zaczęli zastanawiać się nad sposobami rozwiązania, w czym im poszczęścił sam los.

24. Byli przypadkiem w obydwu wojskach bracia trojaczkowie, w tym samym wieku i jednakowo mężni; wiemy dobrze, że zwali się Horacjuszami i Kurjacjuszami, a żadne starodawne podanie nie jest równie znane, jak to; a jednak w tak sławnym wydarzeniu pozostaje niepewność co do imion: z jakiego narodu byli Horacjusze, a do jakiego należeli Kurjacjusze; dziejopisarze różnie o tem mówią, częściej jednak, że Horacjusze byli Rzymianami; myślę, że i my musimy to przyjąć. Trojaczków królowie namawiają, by każdy z nich z bronią w ręku walczył za ojczyznę, a ten naród zdobędzie panowanie, do którego przychylił się zwycięstwo. Na przeszkodzie nie stanęło nic, więc wyznaczono czas i miejsce. Zanim zaczęli walkę, zawarli Rzymianie i Albanie umowę, że naród, którego obywatele w tej walce zwyciężą, będzie nad drugim sprawował władzę i dbał o pokój. Inne umowy były innej treści, ale zawsze zawierano je w ten sam sposób, a ta jest najstarsza, zachowana przez podania, i była lak oto zawarta. Kapłan z kolegium fecjalisów tak zapytał króla Tullusa: «Czy rozkazujesz, królu, bym ja wraz z kapłanem patrem patratusem narodu albańskiego zawarł umowę?» — Skoro król rozkazał, rzecze: — «Żądam królu od ciebie trawy». — Król na to: — «Niech zostanie przyniesiona czysta trawa». — Kapłan fecjalis przyniósł z zamkowej góry pęk czystej trawy; znów zapytał króla: — «Królu, czy mianujesz mnie i moich towarzyszy, i moje sprzęty, czy mianujesz królewskim posłem rzymskiego narodu Kwiryków?» — Król rzecze: — «Mianuję, i niech to będzie pomyślne dla mnie i dla narodu rzymskiego Kwiryków». — Kapłanem fecjalisem był podówczas Marek Walerjusz; ten zamianował Spurjusa Fuzjusza kapłanem patrem patratusem, dotknąwszy głowy jego i włosów czystą trawą. Kapłan pater patratuś musi być zamianowany do wygłoszenia przysięgi; on to zawiera umowę; on układa brzmienie warunków, ale to brzmienie, długie bardzo, pominię. Wygłosiwszy wszystkie warunki, rzecze: «Słuchaj, Jowiszu; słuchaj, kapłanie pater patratuś narodu albańskiego; słuchaj ty, narodzie albański! Tak, jak to wszystko od pierwszego do ostatniego słowa z tych tabliczek nawoskowanych i bez złego podstępu zostało odczytane; tak jak to tutaj dzisiaj zostało dokładnie zrozumiane, tak oto nie odstąpi naród rzymski pierwszy od tych warunków. Jeśli pierwszy odstąpi, powziąwszy uprzednio złe i podstępne postanowienie, ty, Jowiszu, w tym samym dniu poraż naród rzymski tak, jak tutaj dzisiaj ja zabijam to oto prosię; poraż o tyle silniej, jak tylko możesz i mocen jesteś». To powiedziawszy, zabił kamiennym nożem prosię. Albanie natomiast własne zaklęcia wygłosili i własną przysięgę przez własnego dyktatora i przez własnych kapłanów.

25. Po zawarciu umowy trojaczkowie, jak to było ułożone, chwytają za broń; obydwaj wojska zachęcają swoich wojowników, że oto same bóstwa ojczyste, że ojczyzna i rodzice, że każdy obywatel w domu i każdy w wojsku wpatrzeni są w ich miecze, w ich prawice. Butni już z natury samej, zapaleni słowami zachęty, wychodzą na środek pola między dwoma wojskami; żołnierze ustawiają się przed swemi obozami, chwilowo wolni od niebezpieczeństwa, ale pełni niepokoju, gdyż odwadze i szczęściu tych kilku zawierzone losy przyszłej władzy. Stoją stroskani i wyczekują, i z największą uwagą przyglądają się tak przykreemu widowisku. Na dany znak, bracia jedni i drudzy, upojeni zapalem wielkich hufców, chwytają broń i ścierają się w walce, niczem bojowe szyki. Pełni pogardy dla własnego niebezpieczeństwa, widzą przed sobą władzę lub niewolę swego narodu, ową przyszłość ojczyzny, zawierzoną ich odwadze. Przy pierwszym starciu, gdy zabrzączało żelazo i zajaśniały w blasku miecze, okropne drżenie przeszło przez wpatrzone ludzkie szeregi; a że zwycięstwo nie skłaniało się na żadną stronę, duch zamarł w widzach; nie potrafiliby głosu wydać. Potem, gdy w ręcznej walce nie można już było dostrzec ani ruchów ciała, ani uderzeń mieczów, a widać było zato przelaną krew i rany, wtedy dwaj Rzymianie, zraniwszy trzech Albanów, jeden po drugim padli w walce i wyzionęli ducha. Patrząc na ich zgon, albańskie wojsko zagrzmiało radosnym okrzykiem; Rzymianie natomiast, straciwszy całą nadzieję, zgnębieni troską, wpatrywali się w jednego, który miał przed sobą aż trzech Kurjacjuszów. Ten jeden nie był jednak ranny; nie dorównywał trzem naraz przeciwnikom, ale przewyższał każdego z osobna. By więc rozdzielić walkę z nimi, zaczął uciekać w tej myśli, że będą go ścigali tak, jak każdemu pozwolą jego rany; odbiegłszy nieco od pierwotnego miejsca walki, ogląda się i widzi, że ścigają go w pojedynkę, daleko

od siebie oddaleni. Jeden był zupełnie blisko; szybko zwraca się przeciwko niemu; albańskie wojsko krzyczy do swoich Kurjajuszów, by biegli do brata z pomocą — a już Horacjusz, zabiwszy przeciwnika, pędzi zwycięsko do następnego. Rzymianie, jako że zwykłe to bywa w nieszczeni, gdy nagle zabłyśnie nadzieja, głośnym krzykiem nawołują swego bojownika; ten i bez tego śpieszy dokończyć walkę; zanim nadażył ostatni, który był niedaleko, zabił już i drugiego Kurjajusza. Pozostał tylko pojedynek, ale przeciwnicy, jakżeż nierówni byli siłą! Jeden staje do trzeciej walki pełen sił, zapalony podwójnym zwycięstwem, — drugi natomiast, osłabiony raną, przygnębiony śmiercią braci, wlecze się powoli do zwycięskiego wroga. Nie była to walka; pyszny Rzymianin: «Oddałem — rzecz — dwóch cieniem braci, trzeciego ofiaruję sprawie, by Rzymianin władał nad Albanami». Z temi słowy przebija mieczem gardło slaniającego się wroga; zabiwszy, zdejmuje z niego broń. Rzymianie z radosnym zapalem witają Horacjusza, a radość ich tem większa była, że sprawa omal nie została przegrana. Jedni i drudzy zabierają się do grzebania swoich, ale zgoła innego mają w sobie ducha: jedni wzbogaceni władzą, drudzy wpadłszy w poddaństwo. Grobowce stoją tam, gdzie który padł: dwa rzymskie obok siebie, bliżej Alby, trzy albańskie w kierunku Rzymu, ale w tych miejscach, gdzie odbyła się walka.

26. Zanim rozeszli się do domów, Mecjusz spełnia warunki umowy i zwraca się do Tullusa o rozkazy; ten rozkazuje, by trzymał wojsko w pogotowiu, bo chce skorzystać z ich pomocy, jeżeli wybuchnie wojna z Wejentami. Potem wojska wracają do domu. Na przodzie idzie Horacjusz i niesie przed sobą potrójną zbroję, zdobytą na wrogach. Przed Kapeńską bramą wybiega mu na spotkanie młoda siostra, naręczona jednemu z Kurjajuszów; widzi płaszc naręczonego — niósł go przeciw brat na wysokim drągu — płaszc, który sama wytknęła; rozpuszcza włosy, wzywa zrozpaczona po imieniu zmarłego oblubieńca. Skarga siostry, w chwili tak radosnego zwycięstwa brata, tak powszechnej radości, wzburzyła butnego młodzieńca. Obnaża miecz, przebija dziewczynę i mówi przytem: «Odejdź tam, do oblubieńca wraz z niewczesną miłością; odejdź ty, coś zapomniała o zmarłych braciach i o żyjącym, i o samej ojczyźnie. Tak niech odejdzie każda Rzymianka, która zacznie oplakiwać wroga!»! Straszna to była zbrodnia; oburzył się lud i senat — a przeciw świeża zasługa wzbraniała bezwzględnie zgani młodzieńca; niemniej stawiono go przed sąd do króla. Król jednak nie chce brać na siebie odpowiedzialności za należyty wyrok, niemiły i przykry dla wszystkich, gdyż bezwątpienia byłby to wyrok śmierci. Zwołuje zgromadzenie ludu i ogłasza: «Zgodnie z rządzącym prawem, mianuję dwóch mężów-sędziów; oni niech osądzą zbrodnię Horacjusza». — Straszne to było prawo: nakazywało ono, by dwaj mężowie-sędziowie skazali na karę zbrodnię mężobójstwa; jeżeli skazany zażądałby odwołania się do ludu, to miał prawo odwołać się; jeżeli w sprawie przed zgromadzeniem ludu mężowie-sędziowie zwyciężą, niech głowa skazanego, niczem głowa ofiary, zostanie owinięta; winien być powieszony na przekletem drzewie, niech zostanie wychłostany do śmierci, czy to wewnątrz świętej granicy miasta, czy też poza jej obrębem. Dwaj mężowie-sędziowie, mianowani według tego prawa, sądzili, że ustawa zabrania im uniewinnić nawet niewinnego; wydali zatem wyrok śmierci, a jeden z nich rzecze: — «Publjszu Horacjuszu, oskarżam cię o zbrodnię mężobójstwa; pójdź, liktorze, zwiąż mu ręce». — Zbliży się liktor, wiąże mu ręce sznurem, a Horacjusz za zezwoleniem Tullusa, który w łagodnej formie zastosował nakaz okrutnego prawa, rzecze: — «Odwołuję się do ludu!» — Tak sprawa przeszła pod obrady ludowego zgromadzenia. Najbardziej wzruszył wszystkich Publjsz Horacjusz ojciec; oświadczył on, że córkę słusznie spotkała śmierć: gdyby sądził o tem inaczej, to mocą ojcowskiej władzy sam ukarałby syna; prosił zgromadzonych ludzi, by nie czynili go sierotą; przeciw dopiero co pysznił się tak okazałem potomstwem! Objąwszy syna, starzec wyciąga ręce do zbroi zdobytej na Kurjajuszach i ustawionej jako pomnik, obecnie znany pod nazwą słup Horacjusza, zwraca się do ludu i rzecze: — «Kwiryci! Oto jest ten, którego dopiero co widzieliśmy w chwale zwycięstwa! Czyż naprawdę moglibyście patrzeć na jego kaźń? Jak idzie, uwiązany do jarzma, dręczony chłostą? Czyby Albanów oczy zniosły taki widok? Pójdź, liktorze, skrępuj więzami ręce, które właśnie zdobyły władzę narodowi rzymskiemu! Pójdź, owiń głowę, niczem ofierze, obrońcy tego miasta! Zawieś go na przekletem

drzewie i udręcz chłostą w obrębie świętej granicy miasta, ale właśnie tutaj, obok pomnika ze zbroi, zdobytej przezeń! Udręcz chłostą także i poza obrębem świętej granicy, ale właśnie tam, gdzie stoją grobowce Kurjajuszów! Dokądżeż możecie zaprowadzić tego młodzieńca, gdzieby przed hańbą kary nie obroniła go własna zasługa?» — Zebrany lud, poruszony łzami ojca, podziwiał wytrwałość młodzieńca, nieugiętego w każdej potrzebie, i przebaczył mu zbrodnię i uwolnił go od kary. Tak jawne morderstwo należało jednak w jakiś sposób zmyć; zatem ojciec otrzymał rozkaz oczyścić syna na publiczny koszt; i wykonał jakies oczyszczające obrzędy, od tej chwili na zawsze przekazane rodowi Horacjuszów; i przerzucił przez drogę kłodę, i owinął głowę syna, i przeprowadził go popod kłodą, niczem przez jarzmo; ta kłoda i teraz istnieje, stale jest odnawiana przez państwo, a zwie się Siostrzaną Kłodą. Grobowiec Horacji wzniesiony został z ociosanych kamieni w miejscu, gdzie została zabita.

Tłum. M. St. Poptawski.

## PUBLJUSZ WERGILJUSZ MARON

(70—19 przed Chr.)

### SIELANKI

#### Ekloga IV: Proroctwo

Muzy Sycyli! Mamy skomponować bardziej podniosłą pieśń! Niekażdy lubi winnice, ni rozłożyste krzewy tamaryszku. Skoro układam pasterski wiersz o losie — niechże ten los stanie się godnym konsularnego męża.

Nadchodzi ostatni kres, wyznaczony ongi kumejskiem proroctwem. Wielki na nowo rodzi się wieków rząd. Wraca na ziemię Dziewica; znów nadchodzą rządy Saturna i nowe pokolenie zstępuje na ziemię z bezkresnych przestworzy.

Lucyno, czysta bogini, wejrzyj przychylnie na Chłopczyka, który zstępuje na ten świat; on zdławi żelazne okrucieństwo, a w duszach ludzkich zakrzewi złotą treść. Bądź mu przychylna, bogini, albowiem włada teraz brat twój Apollin.

Poljonie! za twoich rządów konsularnych zstąpi do nas On, szczęście stulecia; zaczniesz się wielkich miesięcy pochód. Za twoich rządów gnębiące nas okropne grzechy zostaną zmyte, a wszystkie kraje uwolnią się od wiecznego lęku.

On przyjmie życie Boga. On będzie oglądał bohaterów w rodzinie bogów. On i sam wejdzie do ich grona; posiędzie dzielność Ojca i przyjmie berło władzy nad uspokojonym światem.

Chłopczyku! ziemia, nietknięta niczyją ręką, przyniesie Tobie pierwszy dar: zakwitnie pelzający bluszcz, rozpuści się wonny nard, a błonie porosną złotą akacją i barwnym lotusem.

I owce same przyniosą ludziom pełne mleka wymiona, a żarłoczne lwy przestaną być postrachem dla bojaźliwej trzody.

Dookoła twej kolebki zakwitną radosne kwiaty i zginie zła żmija, i uschnie jadowite zielsko, a wszystkie kraje porosną balsamiczną asyryjską trawą.

Nadejdzie czas, a zaczniesz zgłębiać czyny Ojca i chwałę bohaterów i poznasz, jaką jest prawdziwa dzielność.

Nadejdzie czas, i na roli dojrzeją złote żniwa, i czerwone jagody obciążą gałązki leśnych krzewów, a twarde dęby będą sączyły słodki miód.

Zostaną przecież niewielkie ślady dawnego grzechu. One to sprawią, że znów okręty zaczną pruć morską toń, że obronne wały otoczą ludzkie siedziby, a pługi zranią bródzą rolę.

Wtedy to znowu narodzi się ów sternik, który bohaterskich Argonautów zawiezie na morską toń. I odnowa zaczną się dawne wojny, a pod mury Troi drugi raz wyruszy sławny Achilles.

Wtedy to, gdy męski wiek obdarzy Cię pełnią sił, wtedy i żeglarz zaniecha morskich wypraw, a łodzie z sosnowych bierwion przestaną przewozić towary. Ziemia sama wszystkim — wszystkim da.

Rolę przestanie ranić wygięty plug; w winnicach przestanie ścinać gałązki nóż; żyłasty rolnik zdejmie twarde jarzmo z wołu.

Wetna przestanie przyjmować sztuczne barwy, albowiem owce i barany na łąkach same zaczerwnię się wspaniałym karminem, lub też ich runo zajaśnieje złocistym szafrańcem, a jagnię na paszy przybierze barwę szkarlatu.

Parki, boginie niezłomnych i trwałych wyroków, orzekną: mknijcie, szczęśliwe stulecia!

Nadejdzie twój czas — i przyjmiesz wspaniałe zaszczyty, Ty, który jesteś potomkiem wielkiego Jowisza i który jesteś ukochanym Synem Bożym.

Spojrzyj: wszechświat Cię wita bezmiernym ogromem. Spojrzyj na łądy, na morskie otchłanie, na bezkresne niebo: wszystko raduje się, albowiem przeczuwa nadchodzące błogosławieństwo.

O, gdyby w tym czasie pozostała mi jeszcze bodaj resztką długiego życia! obym miał tyle natchnienia, bym mógł opowiedzieć o Twoich rządach!

Sam wieszczy Orfeusz nie zwyciężyłby mnie pieśnią, ani sam Linus, nawet gdyby ich wsparli matka i ojciec — Orfeusza matka Kalliope, a Linusa piękny Apollin.

Nawet i Pan, gdyby śpiewał wraz ze mną przed sądem Arkadji, nawet i Pan uznałby wyższość moją przed sądem Arkadji.

Powitaj, Chłopczyku, Matkę radosnym uśmiechem! Matka powiła Cię w długiej męce; jej ciąża trwała dziesięć miesięcy.

Powitaj Matkę, Chłopczyku! Albowiem żaden bóg nie obdarzy przyjaźnią, żadna bogini pieczęcią, kogo nie przygarnęli szczęśliwi rodzice.

*Tłum. M. St. Popławski.*

## GEORGIKI

### PIEŚŃ PIERWSZA

#### 1. Inwokacja (w. 1—52)

Jak robić, by z zasiewów zebrać plon wesoły,  
 Żeby winną latorośl wiązać w swoim czasie,  
 A jakiego starania potrzebują woły  
 I inne bydło w stajniach, śpiewam, Mecenasię;  
 Także o tem, jak w ulach przechowywać pszczoły.  
 Was, gwiazdy, co znaczącie rok w wiecznych przestworzach,  
 Ciebie, boski Bachusie i płodna Cerero,  
 Co chaońskie dąbrowy zmieniasz w łąny zboża  
 I z sokiem winnic mieszasz czystych wód fontanny,  
 Was, bóstwa opiekuńcze i faunowie leśni,  
 — Przybiegajcie tu do mnie — was Driady panny,  
 Dary waszej potęgi chcę opiewać w pieśni!  
 A i ty, boże mocny, potężny Neptunie,  
 Co samo wewnątrz ziemi poruszasz trójzębem,  
 I ty, przed którym stado białych wołów sunie,  
 Rzuć na chwilę lycejskich borów ciemne głębie  
 I pokaż mi się, stróżu naszych owiec, Panie;  
 Jeśli zawsze tak kochasz swojego Menala,  
 Boże tegejski, moje błogosław śpiewanie.  
 Ty, oliwna Minerwo; plugu wynalazco,  
 Sylwanie, co cyprysów gałęzie masz w ręce,  
 Wszystkie bogi, boginie, które twórczej męce  
 Nasion z ziemi wschodzących pomoc swą dajecie.  
 Cesarzu, który kiedyś w bogów siędziesz gronie,  
 Powiedz, czy chcesz spokojnie panować na świecie,  
 Bo świat chce wieniec mirtu włożyć na twe skronie,

Uczcić cię, jako stwórcę i pana swych płodów?  
 Władco mórz, masz być czczonym tylko przez żeglarzy,  
 Co szukają po szlakach wód słońca zachodów?  
 Dlatego, że najdalsza Tule twą poddaną,  
 Że Tetyda potężna o tem tylko marzy,  
 By cię zdobyć na zięcia, morza dać za wiano?  
 Nowa gwiazdo błękitów, między Erydanem  
 A światłami Skorpjona błyszni! Już ramiona  
 Wyciągają po ciebie te niebieskie trony.  
 Gdziekolwiek będziesz, chyba nie w piekiel otchłani,  
 Choć Grecja elizejskie swoje pola chwali,  
 Prozerpiny głos matki nawet nie rozczuła,  
 Gdziekolwiek będziesz, nami się opiekuj dalej,  
 Wspomagaj w jego pracach biednego oracza  
 I już teraz wysłuchaj głosu nas, śmiertelnych!  
 Gdy wiosną z górskich białych szczytów śnieg się stacza,  
 Wilgotniejący zagon wiew zelirów czesze,  
 Niech wół się już ugina pod jarzmem w mozole,  
 Niech błyszczą w blasku słońca świecące lemieszce;  
 Ale życzeń oracza nie wypełnią role,  
 Aż nie poczują mrozu i ciepła dwa razy,  
 Dopiero wtedy sypną z kłosów ciężkie ziarno.  
 Lecz nim żelazem pługa zgłębisz rolę czarną,  
 Musisz wichrów na niebie dobrze znać rozchwije:  
 Z tradycji ojców o tem dowiesz się niemało.

*Tłum. Ludwik Hieronim Morstin.*

## 2. Rozkosze zimy (w. 291—310)

Są, którzy lubią w długie zimowe wieczory  
 Żywicne drzewo rąbać przy lampie toporem,  
 Gdy ich małżonka, nucąc piosenki lubiane,  
 Każe biegać wśród nitek szybkiej krosien cewce,  
 Albo wino gotując w spiżowej konewce,  
 Zbiera liśmi z powierzchni drżącej wonną pianę.  
 Wszak w blasku słońca trzeba żniwować corocznie,  
 I nago chodząc, rolnik ledwo żar wytrzyma  
 Już w czas zasiewów — a niechże choć teraz odpocznie,  
 Gdy rozkoszy używać pozwala mu zima.  
 Więc rolnicy sąsiadów proście o tej porze  
 I uczujcie bez troski z radością młodzieńczą:  
 Tak żeglarze, co wiozą skarby wielkiem morzem,  
 Gdy dopłyną do celu, w porcie statki wieńczą.  
 I pracować też można, poszukać żołędzi,  
 Oliwki, mirtu, laurów jagody rozdzielać,  
 Żorawie łowić w sieci, jelenia dopędzić,  
 Zająca ślady tropić i trafić daniela  
 Kamieniem, wyrzuconym z procy — to zwierz lekki —  
 Polujcie, gdy śnieg w polach, gdy staną już rzeki.

*Tłum. Ludwik Hieronim Morstin.*

## 3. O słońcu i jego znakach (w. 438—486)

Słońce gdy wschodzi, albo idzie ku zachodowi,  
 Obserwuj, nieomylną chcąc mieć przepowiednię,  
 Bo znaki gwiazd wstających nigdy nie zawiodą.  
 Jeśli tarczę promienną w nocy, która blednie,

Gęste chmury czarnemi plamami obłożą,  
 To deszczu się spodziewaj; wiatr, wiejąc zwysoka,  
 Śmierć przyniesie niechybną drzewom, bydłu, zbożom.  
 Jeśli słońce wstające wygląda z obłoka,  
 Rzucając garść promieni, jeśli zorza błada  
 Wstaje ze złocistego Tytona łożyska,  
 Biada wam, latorośle winne, będzie spadać  
 Wasz owoc ścięty mrozem, który ziemię ścisza.  
 Lecz z szczególną uwagą patrz na słońce, bliskie  
 Końca swojej wędrówki, gdy z Olimpu schodzi,  
 Jak przeróżne kolory płoną ponad dyskiem:  
 Czerwony wróży wichry, niebieski — powodzie,  
 A kiedy się z purpurą zmieszają barwa sina,  
 Sprzysięgną się na zgubę z wichrami ulewy,  
 W taką noc mnie nie zmusisz, bym żagle rozpinął  
 I uwalniał do słupa przytroczoną barkę!  
 Lecz przeciwnie, jeżeli jasna jego tarcza,  
 To tylko tyle wichru jest, ile wystarcza,  
 By drzew wierzchołki ruszyć. O burzach i ciszy  
 Słońce ciebie nauczy, o tem, co zawiera  
 Wilgotny Auster, skoro w chmurach groźnie dyszy.  
 Aby słońcu nie ufać, kiedy wróży kłęski,  
 Rozruchy, spiski, grozę wojen niezwyćskich,  
 Czyż jest w sercach śmiertelnych taka słaba wiara?  
 Litując się nad Rzymem po śmierci Cezara,  
 Przykryło jasność lica zasłoną żaloby,  
 Znak nocy nadchodzącej w posępnym orszaku;  
 Wtedy ziemia i morze szumiące nad grobem,  
 Psów wycie i złowrogi krzyk wróżeńbnych ptaków,  
 Wtórowały tym znakom. Nad polem Cyklopów  
 Widziano oszalałą Etnę przy wybuchu,  
 Kamienie ciskającą z płomiennego snopu,  
 A nad niebem Germanji słyszano głos duchów,  
 Dźwięk broni, także łoskot gromu nad Alpami,  
 Jakim w lasach, co ciszą otulone święta,  
 Upiory z bladą twarzą przyszły żywych mamieć;  
 Okropnym ludzkim głosem czekały zwierzęta,  
 Ziemia pękła i stoją rzeki, a w świątyniach  
 Kość słoniowa łzy roni i pocą się spiże;  
 Sam król rzek Erydanus wzbiera i wyczynia  
 Straszliwe szkody w lasach, bydła stada chyże  
 Wypędza z obór w pola. I przez długie wieki  
 W wnętrznościach ofiarnych widziano złe żyły,  
 We fontannach czerwonej ludzkiej krwi rozcieki,  
 A stada dzikich wilków w pobliżu miast wyły!

*Tłum. Ludwik Hieronim Morstin.*

PIEŚŃ TRZECIA

Zła potęga miłości (w. 242—262)

Wszelki rodzaj na ziemi zrodzony,  
 Ludzkie plemię i dzikie zwierzęta,  
 Ptactwo, ryby i trzodę na paszy,  
 Szał ogarnia i chuć roznamiętnia.  
 Miłość tętni we wszelkiem stworzeniu!  
 Tknięta żądzą, niepomna na lwiątku,

Lwica sroży się, mknie poprzez pola;  
 Niedźwiedź śmiercią okrutną i lękiem  
 Leśną knieję napelnia bezmyślnie.  
 Dzik dziczeje, a tygrys krwiożerczy  
 Jakżeż straszny w krainie libijskiej!  
 Kłami błyska odynieć sabelski,

Nogą tupie, o pnie się ociera,  
 Wściekły, pragnie zwycięstwa i walki,  
 Pręży mięśnie i wrogów wygląda.  
 Ryś bachiczny od chuci dziczeje,  
 Psy i wilki nawiedza wścieklizna,  
 Pragną walki spokojne jelenie...  
 Młodzian burzy się, chucią wstrząśnięty:  
 Żądy płomień wypala mu wnętrze;  
 Gnany ogniem surowej miłości,

Za nic ma rozjuszone żywioły.  
 O północy na mroczne bezdroża,  
 Na bałwany piętrzące się puszcza,  
 Ponad głową mu piorun ognisty  
 Próżno szarpie niebieskiem sklepieniem,  
 Próżno morze na skałach się pieni!  
 Brnie, niepomny na głos obowiązku,  
 Wołań ojca i matki nie słyszy.

*Tłum. M. St. Popławski.*

#### WYZNANIE WIARY I MYŚLI WERGILJUSZA MARONA

[Eneida, ks. VI w. 724—751: przemówienie Anchizesa.]

Na początku falujący obszar wód,  
 Łądy, niebo i księżyc jasny krąg,  
 I przedwieczne gwiazdy żywił duch.  
 Duch do wnętrza przepoił  
 Całą wielkość wszechświata;  
 Myśl, rozlana po członach,  
 Cały ogrom wszechrzeczy  
 Zespalał w jedność, wprawia w ruch.  
 Więc śmiertelnych ludzi powstał ród,  
 Więc powstaje zwierząt plemię, wszelki ptak  
 I te dziwy morskie w ciemnej głębi wód.  
 Jasny ogień — oto życia rdzeń;  
 Z nieba życie spłynęło,  
 Jenó kała je cielesny kształt  
 I śmiertelna zanieczyszcza rdza;  
 Jenó ta doczesna zjawa gnębi.  
 Więc ogarnia wszystko namiętności pęd,  
 Więc powstaje w ludziach radość, ból i lęk,  
 I wrzucona w ziemskich bytów mrok  
 Już nie patrzy dusza w nieba głąb,  
 W chwili, gdy ciało śmiertelne umiera,  
 Zwalnia się dusza od mary doczesnej,  
 Lecz nie od kału rdzy.

Przeto dziwny pozostaje w duszy grzech,  
 Musi pokutować pokalany duch,  
 Cierpi męki za swój ziemski byt.  
 I doczesnych ciał zmywając zbrodnie,  
 Zawisają dusze w próżni wirującej,  
 Lub je chwyta morska kotłująca otchłań,  
 Lub wyzwala ognia płomienisty żar.  
 Każdy cierpi swój pośmiertny los.  
 Potem idzie do Elizjum, w przestronny  
 Lecz niewiele tu przybywa dusz. kraj —  
 I pozostają na bujnych łąkach,  
 Aż się czasów nie wypełni krąg,  
 Aż dokona się odwieczny dzień.  
 Wyzwalają się z wchłoniętej rdzy,  
 Rozjaśniając się w boską myśl.  
 Przemieniają się w przestworza blask.  
 Po upływie tysiąca lat  
 Nad wybrzeża letejskich wód  
 Bóstwo dusze gromadnie zwołuje,  
 By swych istnień poprzednich niepomne,  
 By do życia ziemskiego stęsknione,  
 Znów zechciały wejść w doczesny kształt.

*Tłum. M. St. Popławski.*

#### ENEIDA

##### Początek Eneidy

(Ks. I, ww. 1—7)

Broń i męża opiewam, co losy wiecznemi  
 Uszedłszy z Troi, przybył do Italskiej ziemi.  
 Bardzo był on na lądzie i morzu trapiiony  
 Woła niebian i gniewem namiętnej Junony;  
 Wiele w bojach przecierpiał, gdy miasto zakładał,  
 Gdy latyńską ojczystym bogom ziemię nadał,  
 Skąd poszedł ród Latynów i Albańskie imię,  
 I wielkie mury twoje, nieśmiertelny Rzymie.

##### Skarga Wenery i przepowiednia Jowisza o wielkości Romy

(Ks. I, ww. 223—244; 249—296)

Już był koniec, gdy Jowisz z górnego przestworza  
 Patrzy na niskie ziemie, na żagloplawne morza,



Na kraje, na plemiona, w środku nieba staje,  
Uwagę baczną zwraca na libijskie kraje.  
Gdy on umysłem boskim wszystko tak przeziera,  
Łzy lejąc z jasnych oczu, skarży się Wenera:  
— Ty, co zarządzasz rzeczy nad — i podsiónczne,  
Co piorunem utwierdzasz twe wyroki wieczne,  
Czem Enej, czem Trojanie urazili ciebie,  
Że dla nich, po okropnym ojczyzny pogrzebie,  
Do Italji zamknięte wszystkie drogi świata?  
A przecież obiecałeś, że w następne lata  
Z krwi Trojan ziemiowładni powstaną Rzymianie,  
Że kraje wszystkie przyjmą Romy panowanie.  
Powiedz, co mogło zmianę w twym umyśle zrodzić?  
Upadek Ilijonu mogłam sobie słodzić  
Myślą, że po ciężkim lżejszy wyrok błysnie.  
Teraz, po tylu klęskach, tenże los ich ciśnie.  
Panie! Kiedy wreszcie położysz koniec trudów?  
Antenor, zachowany z pośród greckich ludów,  
Już dawno zakończywszy żeglugę daleką,  
Staął w ziemi Liburnów, nad Tymawu rzeką,  
Zatknął oręż trojański, znalazł koniec znoju  
I oddawna słodkiego używa spokoju.  
Twój Eneas, któremu w niebie był wytknięty,  
Przez gniew jednej Junony, straciwszy okręty,  
Od Italji w najdalsze jest zapędzon strony!  
Tak płacisz za pobożność? Tak dajesz korony? —  
Ojciec bogów i ludzi uśmiechem żal słodzi,  
Twarzą, którą niebios a i burzę pogodzi,  
Swej córki ust dotyka, smutną troskę koi:  
— Porzuć bojaźń, los syna niezmienny stoi.  
Ujrysz Romę, w jej mury twój lud zaprowadzisz,  
I w niebie własnoręcznie Eneja posadzisz.  
Com przyrzekł, w tem się, luba córko, nie omylę.  
Oto ci dalszych losów zasłony uchylę,  
Oto twój zabezpieczę umysł niespokojny:  
Straszne Enej w Italji będzie toczył wojny,  
W proch zetrze dzikie ludy broni swej pogromem;  
Miłych Trojan obdarzy i prawem, i domem;  
W ciągu trzech lat on wielkie uskuteczni rzeczy,  
Zwyciężywszy Rutulów, państwo ubezpieczy.  
Syn, teraz Julem zwany, ów Askanjusz młody —  
Julem był, póki trwały Ilijońskie grody —  
Panuje w lat trzydziestu obszernym zakresie;  
On siedlisko państwa z Lawinjum przeniesie  
I Albę ogromnemi twierdzami uzbroi.  
Tu trzysta lat panują potomkowie Troi,  
Aż dziewczę, z królewskiego pochodzące rodu,  
Bóg Mars uczyni matką podwójnego płodu.  
W wilczą odziany skórę, w pokrycie swej mamki,  
Romul berło odzierży, wzniesie Marsa zamki,  
Romy grodem od siebie nazwie swą osadę.  
Romy władztwu ni kresu, ni granic nie kładę:  
Bez końca dalem władzę; zaś w następnej porze,  
Juno, co teraz wzrusza ziemię, niebo, morze,  
Zmieni myśl i pokocha, których dziś chce straty,  
Rzymiany, władcy ziemi, poważne Togaty.

Tak stoi w biegu wieków i tak się wytoczy,  
 Gdy ród trojański Grecję i Miceny stłoczy:  
 Argos pokornie przyjmie Romy panowanie,  
 Aż wreszcie wielki Cezar Trojańczyk powstanie.  
 Julus, od Jula wielkiego imię odziedziczy;  
 On państwo morzem, chwałę niebem ograniczy.  
 Ty sama, gdy zdobywszy kraje, Wschód ukarze;  
 Wprowadzisz go do Niebian; wzniosą mu ołtarze;  
 Po wojnach zaś wiek złoty zabłyśnie nad światem:  
 Prawo, Ufność i Westa, i bóg Kwiryn z bratem  
 Zawrą straszne drzwi wojny na mocne wrzeciędzie,  
 Okrutna wściekłość, dziką tuczając w sobie żądze,  
 W sto kajdan skuta, siedząc nad żelaza stosem,  
 Obrzydłą paszczą strasznym ryczeć będzie głosem.

#### Eneasza porzuca Dydonę

(Ks. IV w. 554—584)

Enej, będąc zupełnie gotowy do drogi,  
 Stodkiego snu zażywa na wysokiej nawie;  
 Wtedy bóg, w tejsze samej co dawniej postawie,  
 Merkuremu podobny i twarzą, i głosem,  
 I ozdobą młodości, i złotawym włosom,  
 Ostrzegł pogrążonego w spoczynku niewczesnie:  
 — Synu bogów, czyż możesz noc przepędzać we śnie?  
 Myśl o niebezpieczeństwie, które wyjazd nagli!  
 Nie słyszysz, jako wiaterek nawołuje żagle?  
 Dydona straszny podstęp i zemstę układa;  
 Chce umrzeć; w gniewie sama siebie nie posiada!  
 Nie uciekasz, gdy uciec możesz bez przeszkody!  
 Gdy tu jutrzienka twoje zastanie okręty,  
 Wnet ujrzysz wiosłami zamaczone wody,  
 Płomieniem wrzące główne, ogniem brzeg zajęty.  
 Śpiesz, albowiem zmienna zawsze białogłowa. —  
 Tak rzekł i wnet się w czarnym cieniu nocy schowa.  
 Eneasza, skoro bogów przestrożę usłyszysz,  
 Trwożny zrywa się z łoża, wzywa towarzyszy:  
 — Wstańcie, mężo, czuwajcie, bierzcie się za wiosła,  
 Wzniescie żagle: widziałem we śnie bogów posła;  
 Przybył, a ukazawszy swe oblicze święte,  
 Kazał śpieszyć z ucieczką, odciąć liny kręte.  
 Ktokolwiek jesteś, idę za tobą bez zwłoki  
 I posłusznie wykonam niebieskie wyroki;  
 Dobroć twoja żeglugę niech nam ubezpiecza.  
 Ześlij wiatr. — I dobywa błyszczącego miecza,  
 Linę tnie; zapal wnet ogarnia całą rzeszę;  
 Lecą, chwytają wiosła, porywają, śpieszą,  
 Odpłynęli; okręty morze zasłoniły  
 A fale toczą wielkie swe, spienione bryły.

#### Dydonę popęła samobójstwo

(Ks. IV w. 630—671)

Tak mówi i we wszystkie myśli kieruje strony,  
 Chce przeciąć jak najprędzej żywot uprzykrzony.  
 Do piastunki małżonka te słowa wyrzekła  
 (Bo własną w jej ojczyźnie cieniem śmierć powlekła):

«Mamko, przywołaj siostrę, chcę ofiarę ziścić,  
 Niech śpieszy ciało wodą kryniczną oczyścić,  
 Niech przypędzi bydłęta, niech wypełni czary;  
 A ty przepaską otocz skronie do ofiary,  
 Jowiszowi panu śmierci ten obrządek święcę,  
 Tak chcę koniec położyć srogiej serca męce;  
 Oddać głowę dardańską ogniom bez odwłoki...  
 Stara mamka z wysiłkiem przyspieszała kroki.

W okropnym swym zamiarze zdziczała Dydona  
 Krwawym powłóczy wzrokiem; zsiniałe znamiona  
 Na drżących mając licach, bliską śmiercią błada,  
 W wnętrze domu szalona śpiesznym krokiem wpada,  
 Wstępuje na szczyt stosu, i tam, nieszczęśliwa,  
 Nie nato przeznaczony miecz z pochwy dobywa —  
 A gdy strój Trojańczyka i znajome łoże  
 Ujrzy, swych łez i westchnień przytłumić nie może.  
 Dotyka je, wydając te ostatnie głosy:  
 «Najdroższe szczątki, póki bóg szczęścił i losy,  
 Weźcie mą duszę; zrzucicie ze mnie ciężar srogi;  
 Jaką dał wyrok — takiej dokonałam drogi;  
 Dziś, wielkiej chwały syta, wstąpię w kraj ponury.  
 Wzniosłam przesławne miasto; widziałam swe mury:  
 Za wdowieństwo czyn brata ukarałam krwawy.  
 Szczęsna, stokroć szczęśliwa! Gdyby tylko nawy  
 Trojańskie nie przybyły nigdy w tę krainę!»  
 — Tuląc usta do łoża: «Więc bez pomsty zgine?  
 Lecz gińmy — rzecze — muszę już zstąpić do cieni.  
 Niechaj z morza Trojańczyk widzi blask płomieni,  
 Niech niesie z sobą straszne śmierci mej widziadła!»

Rzekła. Obecni widzą iż z tem słowem padła,  
 Ręce jej są zbroczone, miecz dymi krwią zlaný;  
 Żalobnym jękiem wkoło brzmia wysokie ściany;  
 Rozchodzi się wieść smutna po wzburzonym mieście...  
 Po domach żale, płacze i skargi niewieście;  
 Powietrze się napelnia rozgłośnieimi jęki,  
 Właśnie jakoby padał z nieprzyjaciół ręki  
 Kartagi lub dawnego Tyru mur zdobyty,  
 Domów i świątyń boskich objął pożar szczyty.

Eneas z zstępuje do królestwa śmierci  
 (Ks. VI w. 232—336)

Była jaskinia, straszny był otwór w jaskini,  
 Najeżona głazy, mrokiem gaju posępna,  
 A dla grząskiego wkoło bagna niedostępna;  
 Ptak żaden nie przyleciał tam lotnemi skrzydły,  
 Bowiem wychodził z paszczy czarnej dur obrzydły,  
 Któren aż o gwiazdzisty strop ocierał się blisko;  
 Stąd mu nadali Grecy Awernu przewisko.  
 Ustawia tu kapłanka cztery cielce czarne,  
 A na ich czoło wino wylewa ofiarne.  
 Między rogów od góry włosy wyrośnięte  
 Wyrwawszy, rzuca w ogień, jak pierwiosnki święte.  
 Można w niebie i w piekle Hekatę przyzywa.  
 Zarzną cielce; krew dymiąca do kubka splywa;  
 Eneasz owcę, którą czarne runo kryje,  
 Dla Eumenid matki, dla jej siostry zabije,

Dla ciebie, Prozerpino, ciolkę bezowocną;  
Takoż i Styksu władcy wykona cześć nocną,  
Całe ćwierci buhaja kładzie w ogień żywy,  
Tłustej leje na trzewia strumienie oliwy.  
Oto z pierwszym promieni słonecznych powrotem  
Zdaje się pod nogami ziemia drżeć z loskotem:  
Chwiejące się wierzchołki lasów i psów wycie  
Oznajmniają podziemnej królowej przybycie.  
«Precz, niepoświęceni, precz!» — kapłanka wykrzyka —  
Niech żadna noga gaju świętego nie tyka,  
Ty zaś, Eneju, pierwszy z pochwy wyjm miecz nagi:  
Bądź twardy, przywołaj całą twą odwagę!»  
Rzekłszy, szalona w otwór rzuca się głęboki,  
Mąż dogania idącą niechwiejnemi krokami.  
Bóstwa duchów milczących! Smętnych cieni Mocy!  
Chaosie! Flegetonie! Władze wiecznej Nocy!  
Com słyszał w opowieści, niech stawię na oku:  
To, co kryje się w ziemi, co jest zawsze w mroku.  
Idą, noc ich wiedzie, mgłą gęstą zasłoniona,  
Poprzez dom pustki, przez widmowy kraj Plutona,  
Jako wśród lasu droga dla wędrowca bywa,  
Gdy obłok słabe światło księżyca ukrywa,  
Gdy Jowisz noc rozciągnie na niebieskiej sferze,  
A cień ponury rzeczom barwę ich odbierze;  
Przy progu do podziemnej wiodącym paszczęki  
Siedzą mściwe Zgryzoty i płacziwe Jęki,  
Smutna Starość i różnych chorób blade roty,  
Bojaźń, wstrętne Ubóstwo, Głód, tępiciele cnoty,  
I potwory okropne: Śmierć, Trud uciążliwy,  
Sen, połączony z Śmiercią bliskimi ogniwy,  
Grzeszna Radość po zbrodni, wstrętna, niespokojna...  
A na progu przeciwnym śmiertcionośna Wojna,  
Żelazne Jędry łoża i Niezgoda wściekła,  
Co przepaską z krwi włosy jaszczurcze przewlekła.  
Rozłożył wiaz w środku, biegiem lat wzmocniony,  
Ogromnemi do góry wznosi się ramiony;  
Powiadają, że zwodne Sny pod tą zaciszą  
Kryją się, że wśród liści gromadami wiszą;  
W niezliczonej ilości potwory szkaradne:  
Więc Centaury w drzwiach stoją, więc Scylle dwukształtne,  
Sturęki Bryareusz, groźnie zgrzytająca  
Hydra z Lery, Chimera płomieniem ziejąca;  
Gorgony, Harpja, również i trójcielna postać.  
Śpieszy zlekniiony Enej z pochwy miecz wydostać,  
Kieruje na gromadę, która mu zabiegła,  
A gdyby go kapłanka mądra nie ostrzegła,  
Że to tylko czeze cienie pod zwodnym obrazem,  
Byłby natarł i mary próżno ciał żelazem.  
Stąd do wód Acherontu droga: krętym zwrotem  
Tocząc w nurty bezdenne, mętny czarnym błotem,  
Wre, a wszystkie swój piasek do Kocytu ciska.  
Te wiry przepaściste, te wstrętne bagniska,  
Ma w piecy wyschły Charon: broda osiwiła  
Brudnym kudłem pierś kryje; wzrok płomieniem pała,  
W węzeł spięta z ramion zwisa płachta licha,  
Żaglem łodzi kieruje, łódź drągiem popycha,

Na zgnitym promie sam jest przewoźnikiem cieni,  
 Stary — lecz się ta starość jędrnością zieleni.  
 Do brzegu matki i ojcowie tłumem biegli;  
 Mężowie, którzy śmiercią walecznych polegli,  
 Dzieci, dziewczęta zmarłe przed ślubnymi wieńcy,  
 Sterom oddani w oczach rodziców młodzieńcy:  
 Ile liści jesienną porą spada w lesie,  
 Gdy od mroźnej północy wiatr zimę przyniesie,  
 Ile z nieba ptaków zlatuje, gdy lody  
 W cieplejsze pędzą kraje skrzydlate narody.  
 Stali, prosząc, by pierwsi byli do żeglugi,  
 I wyciągali ręce, chcąc przejść na brzeg drugi.  
 Sternik do jednych prośby, do innych się skłania,  
 Kogoś wiosłem od brzegu daleko odgania.  
 Eneas nadzwyczajnym zdumiony widokiem:  
 «Kaptanko, powiedz, co myślisz nad tyłu ciał tłokiem?  
 Czego żądają dusze? Lub co jest przyczyną,  
 Że te odchodzą, tamte przez nurt smutny płyną?»  
 Jemu tak rzecze krótko ksieni bogobojna:  
 «Cny synu Anchizesa! Bogów krwi dostojna!  
 Widzisz bagno Kocytu i nurt Styksu srogi,  
 Którę wzywając i zdradzić lękają się bogi.  
 Ten tłum, co biegnie, to niepogrzebanych cienie;  
 Ci, których wiezie żeglarz Charon — pogrzebieni.  
 Niepierwej przebyć mogą burzliwe potoki,  
 Póki spokojnie w ziemi nie spoczną ich zwłoki.  
 Setkę lat muszą w błędnym kręcić się obiegu,  
 Dopiero wówczas dojdą żadanego brzegu».  
 Zatrzymał się Eneas, stanął zadumany,  
 Wyroki tak okrutne serce w nim krajały,  
 Patrzył, jak smutny bez czci pogrzebowej chodzi  
 Leukarpis i Arontes, wódz licyjskich łodzi,  
 Których wicher, gdy morzem z Ilijonu dążył,  
 Porwawszy, razem okręt i ludzi pogrążył.

*Tłum. Franciszek Dmochowski.*

*Popraw. i zmodern. M. St. Poptawski.*

## HORACJUSZ (QUINTUS HORATIUS FLACCUS)

(65 przed Chr. — 8 po Chr.)

### PIEŚŃ NA POWITANIE NOWEGO WIEKU

Febie i Diano, pani ciemnych borów,	O Ilityjo, patronko połogów,
Jasne ozdoby niebieskiego dworu,	Spojrzyj łaskawie na nas z grona bogów;
Ku wam pokornych prośb płyną lamenty	Czy cię Lucyną w modłach będziem zwali,
W tej porze świętej.	Czy Genitalis.
Gdy sybillińskich ksiąg kazaly wróżby,	Wywiedz potomstwo liczne rzymskim łonom
Wołać dziewczęta i chłopców do służby,	I macierzyństwem bądź błogosławioną,
Bogom, co siedem wzgórz umiłowaly,	Niech prawom nowym twoja łaska świeci,
Śpiewać hymn chwały.	Przyspórz nam dzieci.
Słońce wciąż zmienne, co błądzisz wysoko,	A gdy te dziesięć i sto lat dziś mija,
Biegiem swym gasisz i budzisz dnia oko,	Szałem radości niech się lud upija,
Z większym się nigdzie nie spotkasz olbrzy-	Niech trwają tańce, śpiewy, rozhowory
Niż z miastem Rzymem.	[mem, Przez trzy wieczory.

Wy, Parki, głosząc światu, że koniecznie  
 Wszystko, co żyje, musi czas uwiecznić,  
 Wy nam z przeszłością przyszłość połączycie  
 W trwałym wszechbycie.  
 Niech ziemia zdozna żrących zbóż rumieńcem  
 Cerery głowę zdobi kłosów wieńcem,  
 Niech plony rzeźwią życiodajnym dreszczem  
 Jowisza deszcze.  
 Rzuciwszy groty niepotrzebne ninie,  
 Przyjm hold od chłopiąt, boski Apollinie,  
 Ciebie, dwurożna Pani, Diano święta,  
 Niech czczą dziewczęta.  
 Jeśli Rzym waszem jest dziełem! O Rzymie,  
 Gdy Iljon święty znikł w pożarów dymie,  
 Na brzeg etruski lary znieśli swoje  
 Trojańscy woje.  
 Ojciec Eneasż im wskazał te szlaki,  
 On, który wywiódł trojańskie junaki  
 Z ognia pożogi i w tej jednej chwili  
 Dał, co stracili.  
 O bogi, dajcie prawość naszej młodzi,  
 A starcom spokój niech czoła pogodzi,  
 Niech w sławie żyje Romulusa plemię,  
 Zdobywszy ziemię.  
 A bijąc białe woły przed ołtarzem,  
 Niech Cezar wszystko ma, o czym zamarzy,

Najpierwszy w boju, a w pokoju szczery,  
 On, wnuk Wenery.  
 Już panujemy nad lądem i morzem,  
 Klęka przed naszym mieczem Med w pokorze,  
 Niedawno Scytów butnych miecz pokonał  
 Indów plemiona.  
 Już Wierność, Pokój i Skromność, i Praca,  
 I dawna Cnoła wzgardzona powraca,  
 Obfitość sypie nam z rozkazu bogów  
 Z pełnego rogu.  
 Apollo wieszczy, który rzuca strzałą,  
 Technie nowe życie w osłabione ciało,  
 On, Muzom miły, naród mając w pieczy,  
 Słabość uleczy.  
 Jeśli zamieszkał bóg na Palatynie,  
 To łaska jego Rzymu nie ominie  
 I w drugim wieku doczekać pozwoli  
 Szczęśliwej doli.  
 Jasna bogini dziewiczego stanu,  
 Wysłuchasz modłów piętnastu kapłanów,  
 O Awentyńska pani miłościwa,  
 Młodzież cię wzywa.  
 Że nas wysłucha Jowisz, władca gromu,  
 Z nadzieją pewną wracamy do domu,  
 Cośmy głosili moc Feba i Diany,  
 Hymnem śpiewanym.

*Tłum. L. H. Morstin.*

WIERSZ DO LEUKONOI  
 (I, 11)

Nie rozmyślaj! — Bo wszak badać to grzech, jaki przeznaczą kres tobie bogi lub mnie! Nacóż się zda pytać liczbowych sztuk babilońskich o los? Lepiej bez trosk wszystko, co przyjdzie, znieść... Czy nam Jowiszby chciał kilka choć zim, czy tę ostatnią dać, w której łamą o brzeg teraz swą złość fale tyrręńskich wód. Bądź rozsądna i lej wino do czar! Nici nadziei skróć, bo niedługi nasz wiek. Zbiega, jak wlot, życia zazdrosny czas, gdy mówimy — a więc bierz, co masz dziś, najmniej na jutro licz.

*Tłum. Dr. T. Węclewski.*

WIERSZ DO CHLOI  
 (I, 23)

Cóż unikasz mnie wciąż, by jak sarenka zbiec,  
 Która w pustce, wśród gór, znaleźć chce matkę swą  
 I ogarnia ją trwoga, gdy wiatr dmuchnie swawolnie w las?  
 Czy wiew wiosny ze snu zbudzi ruchliwy liść,  
 Czy pochwyci jej słuch w bujnej jeżyny krzacz  
 Bieg zielonej jaszczurki — już jej serce i nogi drżą.  
 Ja nie jestem jak zwierz, tygrys łaknący krwi,  
 Lub getulski, zły lew, coby cię zmiażdżyć chciał.  
 Poczóż trzymasz się matki? Masz dla męża dojrzały wiek!

*Tłum. Dr. T. Węclewski.*

WIERSZ DO MECENASA  
 (II, 12)

Nie chciej, abym od lat ciągły z Numancją bój, Hannibala, jak głąz, albo punicką krwią czerwieniącą się toń morza opiewał ci z dźwiękiem lutni rozkosznych brzmień.

Nie pociąga mnie też dziki Lapidów wrzask, Hylej spity, ni ród Gei, co dłonią swą zmógł Herakles, gdy już świetny Saturna dwór przed napadem tej hordy drżał.

Lepszy opis ty sam, w prozie, Meceno, dasz — walk, gdzie Cezar moc sił nieprzyjacielskich start; jak w triumfie przez Rzym królów opornych wiódł, obciążony im jarzmem kark.

Mnie uwielbiać dał los, z Muzy rozkazu, śpiew twojej pani i ócz twojej Licymji blask jasny, jakoby gwiazd, serca wiernego dar, które miłość za miłość śle...

Hej! jak nóżką, by wlot mknęła, gdy poszła w tan, jak był miły jej żart, jaki uroczy wdzięk, gdy podaniem swych rąk w dziewcząt wstąpiła chór, wystrojony na Diany dzień.

Czy za całyś dał Achemenesa skarb, za niezmierny zbiór żniw z Frygji mygdońskich pól, za nabity po dach złotem Arabji dom — twej Licymji prześliczny włos?...

Za tę chwilę, gdy gniew szyję ku ustom twym, albo wzbrania ci lic, gdy pocałować chcesz, wołac, abyś bez prośb porwał całusa sam, — a niekiedy go kradnie wpierw.

*Tłum. Dr. T. Węcławski.*

#### WIERSZ DO WIPSANJUSZA AGRYPY

(I, 6)

Bohaterze, coś wojsk zastęp do zwycięstw wiódł drogą łądów i mórz, — twój i żołnierza trud, wszystko chwale najaw, w pieśni epicznej nam chyba Warjusz obwieści sam.

Mnie, Agrypo, brak sił rzeczy opiewać te: czy Achilla to gniew płodny w następstwa zle, czy jak Odys, ten frant, włóczy przez morza prom, czy zbrodniczy Pelopsa dom.

Bo za słaby mój lot; górnych nie znosi stref; Muza wzbrania mi wręcz nućci o wojnach śpiew, bym przez wąłość mych pień ujmy nie zrobił ci, lub przestawnej Cezara czci.

Marsa w stali, gdzie błysk gromu ślepiący drga; Merjona, gdy w bój, kurzem szcerniały, gna, lub Tydidę, gdy śmie wzniesić i na bogów cios — kto wysławiać ma godny głos?

Biesiad wołę ją gwar, dziewcząt na chłopców złość, gdzie paznokcie — to broń; tępa, lecz sroga dość. Czy się kocham, czy nie, lubię pustoty kram; lekką tylko piosenkę znam.

*Tłum. Dr. T. Węcławski.*

#### WIERSZ DO SAMEGO SIEBIE

(I, 34)

Wielbiciel skąpy i opieszaly bóstw, słuchając złych szalonej mądrości rad, błądziłem — ale teraz muszę żagle me zwinąć i opuszczoną nawracać drogą. Jowisz sam ostrzegł mnie; on, co przecina błyskiem opony chmur, przez czyste niebo gnał niedawno grzmiący swój zaprzęg i wóz skrzydlaty. I wtedy skał posady i fale wód, i wtedy Styks, i straszna Tenaru głąb, i na zachodzie szczyt Atlasu drżały — bo zdoła wyżyny niżem uczynić Bóg. Obala dumną moc; najaw z ukrycia wznosi. Fortuna drwiąc koronę tu ze zgrzytem z czoła zrywa i śmiejąc się — tam nakłada.

*Tłum. Dr. T. Węcławski.*

#### WIERSZ DO SAMEGO SIEBIE

(III, 30)

Wzniostem pomnik, co moc trwalszą ma niżli śpiż; sięga wyżej niż gród królów, piramid szczyt; nie rozgryzie go deszcz, ani gwałtowny wiatr nie potrafi go zmieść, ni nieskończony lat potok zetrzeć na proch, ani wypadków bieg. Nie zaginę docna! wielka część myśli mych nie zapadnie się w grób. Poprzez pokoleń rząd wrośnie kwitnąc ma cześć, póki na zamek nasz będzie Pontifeks wraz z cichą Westalką iść... I rozśławi mnie świat: tam gdzie Aufidu prąd dziko szumi wśród skał, gdzie w pozabawionym wód kraju wiosek i ról ongi panował Daun — tam z niziny się wzbil ten, co eolski śpiew pierwszy zgodził ze słów dźwiękiem italskim. Bierz dumnie zasług twych znak, wawrzyn delficki spleć, Melpomeno, i mnie uwieńcz łaskawie skroń!

*Tłum. Dr. T. Węcławski.*

## WIERSZ DO RZYMSKIEGO PAŃSTWA

(I, 14)

Statku! Niesie cię znów burza na morską toń? Dokąd dążysz? Co sił wnet do przystani śpiesz! Czy nie widzisz twych słabych i bez wiosel, bezbronych burt?

Patrz! Już strzaskał twój maszt nagły orkanu cios! Jęczą reje! Bez lin ledwie wytrzymać tram groźny, coraz silniejszy napór dzikich, spiętrzonych fal.

Twoje żagle to strzep. Jakież ci został bóg, co wysłuchałby chciał twych rozpaczliwych skarg? Choć od sosny pontyjskiej, dumnej córy prastarych puszczy chcesz pochodzić, czy moc zyskasz przez nazwę, ród? Żeglarzowi twój ster barwny nie płoszy trosk! Strzeż się, jeśli, okręcie, nie chcesz wichrom na pastwę pójść!...

Ty, coś dawniej mi był trwogą i zgrozą dni, a dziś sprawiasz mi ból, pełen tęsknoty lęk: stroń od fal, co szaleją wokół Cyklad błyszczących skał!

*Tłum. Dr. T. Węcłewski.*

## WIERSZ DO ALBJUSZA TIBULLA

(I, 33)

Niech nie martwi cię zbyt srogiej Glicery chłód, mój Albjusz, i raz przestań się topić w łzach, głosząc w pieśniach swych żal, że wiarołomną ci jakiś młodszy z przed nosa wzięł.

Patrz! Lykoris, ten kwiat, dziewczę tak lubych kras, o Cyrusie wciąż śni; Cyrus Foloj chce, co za dudka go ma. Przecieżyś w stadła sprzągl zgodne — wilki z sarnami wpierw,

Nim Foloj na łup pójdzie poczwary tej. Wenus cieszy się z psot, lubi przez gorzki żart, co przeciwnie jest wręcz, ciałem i duchem swym nagle w jarzmo szpizowe skuć.

Nawet ja, choć mnie los lepszą miłością chciał darzyć, wplotłem się sam w wyzwolenicy sieć; tej Mirtali, co wre dziko jak Adrji toń, gdy uderza w Kalabrii brzeg.

*Tłum. Dr. T. Węcłewski.*

## -WIERSZ DO TALJARCHA

(I, 9)

Patrz, jak się wznosi w śnieg otulony szczyt Sorakte! Las strudzony nie zdoła już okieci dźwignąć, a potoki lodem spętane zakrzepły w biegu. Precz wypędź zimno! Drzewa do ognia wciąż dokładaj sporo i, nie żałując, chciej dolewać wina, Taljarchu, czteroletniego z sabińskiej konwi.

A resztę zdaj na bogi. Gdy skina, wnet uciszą wichry, ponad topielą móżdżące bój, i nie drgnie wtedy ani listeczek cyprysów, klonów... Co jutro będzie, o to nie szukaj trosk; za zysk poczytuj każdy od losu dzień. W twej wiosnie życia nie pogardzaj szczęściem miłości, ni też tańcami.

Bo włos zbieleje wcześniej, a z biegiem lat wesołość minie. Z młodych korzystaj dni! Graj w piłkę, ćwicz i wieczorami śpiesz na wybraną godzinę schadzki. A jeśli zdradzi tobie rozkoszny śmiech dziewczeczkę, skrytą w jakiś najgłębszy kąt — miłości zastaw z jej ramienia chwytaj, lub z palca, co wpół się wzbrania.

*Tłum. Dr. T. Węcłewski.*

## EPODA SZESNASTA: DO RZYMIAN

Drugie już pokolenie niszczy w walkach domowych i z rąk swych własnych synów Rzym upada w gruz... Ten, którego pokonać sąsiedni nie mogli Marsowie, ni groźnych wojsk Porseny, księcia Tusków moc, ni Kapua zawistna, ni Spartak w boju zawzięty, ni zdradę wciąż knujący Allobrogów lud, ani dzika Germanja błękitnooką młodzieżą, ni też przez ojców naszych klęty Hannibal: ten gubimy dziś my, wyrodnej krwi pokolenie, i mieszkać będzie znów w tej ziemi dziki zwierz. Ach, barbarzyńca wtedy swój sztandar wzniesie na zgłiszczach i zagrzmie dźwiękiem podków jego koni



Rzym, z Kwiryna popioły, przed wiatrem i słońcem ukryte — o zgrozo! — on wymiecie, szydząc, z grobu precz!... — «Cóż zostaje więc nam, by odwrócić grożące nieszczęście?» — spytacie się tak wszyscy, lub choć lepsi z was. — Ha! to przyjmijcie tę radę.

Jak niegdyś mieszkańcy Focei z przekleństwem porzucili swój ojczysty kraj; jak zostawili pola, ogniska domowe, świątynie drapieżnym wilkom, dzikom, by mieszkaly w nich, tak uciekajmy też, gdzie tylko nas nogi poniosą, gdzie nas powiedzie morzem jakikolwiek wiatr. Czy się zgadzacie? Czy zna kto lepszą radę? Nie zwlekać! Pomyślna wróżba woła na okręty nas. — Lecz przysięgniemy wprzód: gdy skały z morskiej głębiny podniósłszy się, popłyną — wolno wrócić nam; tylko wtedy nam wolno skierować zagle do domu, gdy potok zwróci wgórę wartkiej fali bieg, lub gdy do morza skoczy wyniosły grzbiet Apeninów! Gdy cudotwórca miłość przez niezwykły żar sprawi ten dziw, że w stadło połączysz się tygrys z jeleniem; w zaloty zechce gołąb do jastrzębia pójść; skoro płowego lwa przestanie się bydło obawiać i, zbywszy kudłów, cap polubi słoną toń! — To i wszystko, co zwykle odcina powrót nęcący, zaprzysięgając, idźmy, albo cały gród, albo też lepsza część zaslepego ludu; niewieściuch niech bez nadziei dalej strzeże swoich leż.

Wy, co mężami jesteście, wstrzymajcie skargi kobiece i wzdłuż wybrzeża Tusków pośpieszajcie wda! Morze czeka tam nas, co błonia szczęśliwe opływa, tam śpieszmy do tych błoni i bogatych wysp! Rola daje tam plon corocznie, choć plug jej nie rusza, bez obcinania kwitnie winorośli pęd; ogrodnika tam nigdy oliwki kwiat nie zawiedzie i ciemne figi zdobią już macierzy pień. Z dębu wyżłobień tam miód wypływa, — a pluszcząc, krynica pośpieszną stopą wdół ze stoków skacze gór! Tam bez przymusu kozy przychodzą do wydojenia, wymiona pełne niosą trzody chętnie w dom; niedźwiedź nie mruży groźnie wieczorem wkoło owczarni i zmija wzdęta złością nie podnosi łba. Więcej tam jeszcze cudów podziwiać będziemy szczęśliwi: ulewa nie zamula nigdy pól i łąk, ani w wyschniętej ziemi nie zwiędnie pączek nasienia, bo deszcze albo skwar uśmierza bogów król. Nigdy tam Argonauci wód morskich sterem nie pruli i zalotnica z Kolchis nie zwróciła stóp; nie skierowali tam nigdy Sydońscy żeglarze swych żagli, ni srodze doświadczony Odyseja huf. Nie porywają tam bydła pomory i gwiazd nieszczęśliwych nielitościwy żar nie trawi trzody sił. Dla pokolenia zbożnego te stworzył Jowisz wybrzeża, gdy miedzią w gorszy zmienił dawny, złoty wiek, wiek sypizowy zaś w twardy, żelazny... Lecz z niego — ja wróżę — kto zbożny, będzie mógł ratować się i ująć.

*Tłum. Dr. T. Węclewski.*

#### SATYRA VI Z KSIĘGI SATYR DRUGIEJ

Czy w imię dziadów twoich po ojcu i po matce, potężnych książąt, którzy mieli pod sobą ludne rzesze; lub może dlatego, Mecenasiu, że w żyłach twoich płynie stara i szlachetna krew Etrusków — czyż naprawdę miałbyś pogardliwie traktować ludzi podległego stanu? Więc i mnie, żem synem wyzwolenca? A przecież sam powiadasz, że nic nie znaczy, z jakiego ojca kto się rodzi, byleby był uczciwym człowiekiem. Dobrze chyba wiesz, Mecenasiu, że jeszcze przed panowaniem króla Serwjusza, przed rządami więc króla zrodzonego przez niewolnicę — już jednak i wtedy mieliśmy wielu zasłużonych i dzielnych, i pożytecznych ludzi, których pochodzenie było przecież całkiem nikczemne. Oto naprzykład Lewin, potomek bohaterów, którzy ongi wygnali Tarkwinjusza Pysznego, Lewin, w którego żyłach płynie krew szlachetnego rodu Walerjuszów — ten Lewin przecież w powszechnej opinii mniej jest wart od złamanego szeląga, a opinia ta zazwyczaj jest głupia: uwielbia antenaty, podziwa zasługi dziadów, zaszczyca czią bezwartościowych ludzi i idzie za lada pogłoską. My, którzy tak bardzo przerastamy pospółstwo, hołdujące opinii, czyż mamy ulegać zwyczajom tego pospółstwa? Niech już tam motloch obdarza Lewina zaszczytami; niech odmawia szacunku Decjuszowi za to, że ten nie może się chlubić portretami dziadów i pradziadów; bezwzględny cenzor Apjusz niech już mi wznaczy miejsce w niższej warstwie, jako żem nie szlachcic — odpowiem mu, że słusznie czyni, gdyż najspokojniej spędzić życie potrafię chyba że we własnej tylko skórze.

Niestety, jaśniejący rydwan Sławy jednak pociąga do siebie i wlecze za sobą szlachcica i prostaka. I cóż przyjdzie takiemu Tyljuszowi z tego, że uda mu się naprzykład odzyskać zpowrotem dawniej utracone oznaki wysokiego urzędu? Poco chce zostać trybunem? Ach, tylko po to, by w ludziach obudzić zazdrość, zazdrość, któraby w nich wcale nie przyszła do głosu, jeżeliby cicho siedział w ustroniu. Ktokolwiek głupio chce na senatorską modłę sandały wysoko zasnuwać czarną wstążką a płaszcz ozdobić szerokim purpurowym szlakiem — każdy taki posłyszy o sobie: — «A cóżto za jeden? Kim był jego ojciec?» — To samo spotyka facetów, którzy zapadli na chorobę zniewieściałego Barusa; taki pan koniecznie chce uchodzić za pięknego; spaceruje tu i tam, a znajome panny wypytuje sam o siebie, czy ładną ma twarz i kształtne łydki, czy zęby równe i włosy gładkie? Tak samo głupio postępują i ci, co płaszcza się przed wyborcami i przyrzekają im, że się zatroszczą na urzędzie o miasto i o kraj, o państwowe sprawy i o przybytki bogów: rozniecają powszechną ciekawość i wszyscy dowiadują się o ich pochodzenie i czy przypadkiem nie są z nieprawego łoża. — «Jakto? ten syn niewolnika Syrusa lub Damy, ten wyzwoleńiec ma czelność domagać się urzędu ludowego trybuna? będzie miał prawo Rzymianina skazać na śmierć przez strącenie z Tarpejskiej skały? wolnego obywatela oddać na pastwę oprawcy?» — «A przecież Nowjusz — odpowie taki poszukiwacz dostojenstw — a przecież Nowjusz, aczkolwiek wysoki urzędnik, stoi o cały stopień niżej ode mnie; toż on dopiero tem, czem był mój ojciec: wyzwoleniec!» — «Aha! więc to dlatego myślisz o sobie, żeś równie wielki jak Paweł, żeś wspaniały jak Messala?» — Tak czy inaczej, pyszałek zawsze będzie się darł wniebogłosy i zawsze ściągnie na siebie powszechną uwagę; przekrzyczy turkot dwustu furmanek na targu; przekrzyczy lament trzech pogrzebowych konduktów; trąby zagłuszy i rogi...

Teraz opowiem o sobie, chociażem syn wyzwolenca; wszyscy mi dokuczają, że syn wyzwolenca; nie to, że jestem twoim, Mecenasiu, przyjacielem; nie to, że byłem wojskowym trybunem i dowodziłem legionem... Zresztą są to rzeczy nierówne; może i ma rację ten, kto mi wytyka zbyt wysokie stanowisko, które zajmowałem w wojsku — ale zgola nie będzie miał racji, jeżeli mi wytknie twoją przyjaźń, gdyż ty, Mecenasiu, dopuszczasz do siebie tylko ludzi pewnych i szczerych; jesteś ostrożny w dobieraniu przyjaciół. Nie będę się pysznił z tego, że szczęśliwy przypadek połączył nas w przyjaźni, Mecenasiu; nie był to przecież żaden przypadek; Wergili, ów dobry Wergili, a wkrótce po nim i Warjusz — oni to opowiedzieli tobie, Mecenasiu, o mnie; niedługo potem zostałem tobie przedstawiony; stremowałem się przy tem jak dzieciak, całkiem straciłem mowę i mało co powiedziałem o sobie; ale przecież nie chwaliłem się, jakobyem był z szlacheckiej rodziny; jakobyem zamłodu objeżdżał na wspaniałym rumaku rozległe włości — mówiłem o sobie tylko prawdę. Powiedziałeś wtedy do mnie, Mecenasiu, kilka tylko słów, jak to ty zawsze; odszedłem, a po trzech kwartałach wezwałeś mnie i zaliczyłeś do bliższych przyjaciół. Jestem, Mecenasiu, wyjątkowo ci wdzięczny za życzliwość; wiem przecież, jak dobrze znasz się na ludziach, jak bardzo w nich cenisz prawość i szczerłość, jak mało zważasz na pochodzenie. Ja zresztą należę do ludzi całkiem porządných; charakter mój tylko w szczegółach jest wadliwy; coś podobnego i na czem innym możemy zaobserwować, naprzykład na kształtnem skądinąd ciele: widzimy czasem porozrzucane tu i tam znamiona, ale całość niemniej przedstawia się dodatnio. Nikt nie ma prawa zarzucić mi, że jestem skąpy, niegodziwy, że jestem złych obyczajów; nie chwając się, powiem, że jestem całkiem uczciwy, że zasługuję na przyjaźń — jest to zasługa mego ojca.

Mój ojciec, ubogi rolnik na małym zagonie, uchronił mnie od ucześnieństwa do szkółki miejscowego bakalarza Flawjusza, od obcowania z dziećmi zarozumiałych podoficerów; mój ojciec nie chciał, bym tak jak one biegał do szkółki z tabliczką do pisania i z książkami w torbie uczniowskiej, bym po trzech kwartałach takiej nauki niósł bakalarzowi zapłatę za nią; odważył się mój ojciec syna swego po naukę aż do Rzymu zawieźć; zatroszczył się o to, bym otrzymał wykształcenie takie, jak synowie ekwitów i senatorów. Kto wówczas widział, jak strojnje byłem przyodziany, jak służy mi towarzyszili w tłumem mieście, każdy pomyślałby z pewnością, że dziedziczne posiadłości umożliwiły mi ten tryb życia. Ojciec mój, troskliwy i czuły

opiekun, sam osobiście obszedł w mej sprawie wszystkich moich nauczycieli; to więcej, pilnował mnie, bym nie stracił swojej skromności, która przecież jest pierwszą ozdobą cnotliwego człowieka; uchronił mnie również przed podłą rozpustą. Zarazem, jeżelibym w przyszłości miał pobierać małą tylko pensyjke, jeżelibym miał zostać dozorcą, lub, jak mój ojciec, komornikiem; nie bał się przecież ojczulek, że ktoś mu zarzuci, jakoby nie dbał o syna — co do mnie, to i ja bym nie wziął mu tego za złe; należy się ojcu ode mnie dozgonna wdzięczność i duże uznanie; jak długo będę przy zdrowych zmysłach — zawsze będę się cieszył, że właśnie takiego ojca miałem, i nie będę zasłaniał się kłamstwem i nie będę podle wyrzekał się jego, jak to często daje się widzieć u ludzi, którzy się wstydzą własnych rodziców, że to nie byli z możnej szlachty! Moje myśli i uczucia jakżeż daleko odbiegają od myśli i uczuć podobnych osobników! A jeżeliby prawa natury zrzędziły, żebyśmy po dojściu do pewnego wieku odnowa zaczęli przeżywać minione życie i dowoli, do własnej ambicji wybrali sobie rodziców, to dałbym każdemu, niech wybierze sobie, kogo chce — ja bym pozostał przy własnych, nie szukałbym możnych, nie pragnąłbym wcale dostojników, ani senatorów; w opinji tłumu zyskałbym miano głupca, ale ty, Mecenasiu, tybys zrozumiał, że mam słusność, że dobrze postępuję, unikając niezwykłych dla mnie i kłopotliwych dostojenstw. Pozostając przy własnem pochodzeniu, będę wolny od obowiązku dorabiania się fortuny, nie będę krępowany rozległością towarzyskich stosunków, nie będę musiał dbać o pacholków w podróży — przecież i samopas mogę udać się do innego miasta lub na wieś; nie będę musiał karmić ani licznej służby, ani wierzchowców, ani oglądać się na okazały powóz. Tak jak jestem — wolno mi jechać na byle jakim mule; mogę w ten sposób wyruszyć aż na krańce Italji; mogę się trząść na grzbiecie zwierzęcia i obić mu boki jukami, i nikt mi nie powie, że jestem skąpy. Inaczej musi poczynać sobie taki naprzykład Tyljusz; jest pretorem; jeżeli pokaże się na tyburtyńskim gościńcu, mając przy boku tylko pięciu pacholków z podróżnym sprzętem i z dzbanami wina — już jest za mało okazały! Jestem mniej skrupowany, niż taki i inny najdosjniejszy senator!... Cokolwiek strzeli mi do głowy — wyruszam samopas, wypytam na targu o cenę pieczywa, jarzyny, zajrzę do cyrku, do skoczków; łażę wieczorem po rynku, słucham gadulstwa wróżbiarzy, a potem wracam do domu. Tutaj czeka na mnie kolacja — trzech chłopców mnie obsługuje; stół z białego kamienia i taca na stole, a na niej szczypiórek i groch, i racuszki, dwa dzbanki z winem i kufel, i kubek gliniany, oł taki sobie, prosty, kampański wyrób. Potem kładę się spać i nic mnie nie trapi, nie zmusza, bym zerwał się ze snu o świecie i pędził na Forum pod posąg Marsjasza, gdzie rządzi się Nowjusz, lichwiarz o twarzy obleśnej... Sypiam bezmała do południa; gdy wstanę — łażę sobie, coś czytam, coś piszę, snuję w milczeniu przyjemne wrażenia, masuję sobie ciało oliwą — ale nie taką, jak skapiradło Notta, nie od palenia w lampkach... Potem, zmęczony słonecznym upałem, zmykam przed gwałtownym skwarem i idę do kąpieli, obiad jadam skromny; tyle tylko, żeby dzień przetrwać nie o próżnym żołądku; w domu odpoczywam.

Takie oto jest życie człowieka wolnego od marnej i dokuczliwej urzędniczej ambicji; w tem życiu pocieszam się myślą, że przyjemniej spędzam czas, niż jeślibym od dziada, od stryja, od ojca odziedziczył senatorskie dostojenstwa wraz z ich obowiązkami.

*Tłum. M. St. Popławski.*

## ALBIUS TIBULLUS

(54—19 przed Chr.)

### ELEGJA Z KSIĘGI II DO DELJI

Dolej wina i zaley niem cierpienia nowe;  
 Niech mi jak z trudów sen powieki sklei —  
 Zostawcie we śnie lubym rozmarzoną głowę;  
 Chcę śnić o miłości, skorom w złej kolei!

Pilna przydana jest straż mojej ukochanej  
I drzwi warownym zamkiem opatrzone.  
Drzwi pana nieczułego... Niech z fali wezbranej  
Deszcz, niech gromy z niebios tłuką w was rzucone!  
Chyba się otworzycie? Lecz dla mnie jedynie...  
Zamiary scichną... okręca się skrycie...  
Darujcie... Niech ta klątwa na mą głowę spłynie!  
Przebaczcie, proszę! Ach, wy przebaczycie:  
Przecież jeszcze pomnicie moje do was modły!  
Żem wieńcem z kwiatów zdoił wasze ramy!  
Deljo! oszukuj zręcznie stróżów orszak podły:  
Odważnym pomoc da Wenera sama.  
Ona wiedzie młodzieńca przez nieznanne progi;  
Ona uczy dziewczynę zręcznie drzwi otwierać,  
Ona uczy, jak w miękkie łóżko wstawiać nogi,  
Ona uczy, jak cicho po ziemi przebierać...  
Ona zręcznych przy mężu znaków poznać cele,  
I ukryć myśli w umówione wyrazy...  
Lecz tych uczy, co czynni, co kochają się śmieie;  
Których ani cichość, ani ponure obrazy  
Nocy nie trwożą... Strzeże, by zbójca zbrojony  
Nie ranił, by nie chciał płacy za ubiór wzięty.  
Kogo miłość ożywia, w obce pójdzie strony  
Bez żadnych obaw, bezpieczny i święty;  
Nic mi chłód nie zaszkodzi, co się w nocy sroży,  
Ani deszcz, choć z chmury kropli zleje roje;  
Niczem trudy, gdy Delja drzwi swoje otworzy  
I na odgłos pukania imię szepnie moje...  
Służący czy służebna, która wyjdiesz do mnie,  
Zgaś lampkę... swoje sprawy miłość kryje rada;  
Nie pytaj mnie o imię, stój cicho i skromnie,  
A blask pochodni niech na mnie nie pada...  
A gdyby mnie kto spostrzegł, niech to chowa skrycie,  
Niech wzywa bogów, niech wypiera się zawzięcie...  
Bo gaduła poczuje z krwi biorącą życie  
I z burzliwego morza Wenerę wstającą!  
A mąż mu nie da wiary, jako mi prawdziwa  
I czarnoksiężka wróżka zaręczyła:  
Widziałem ją, jak gwiazdy z nieba wdół zwołuje,  
Jak zakłębieniem zmienia rzeki bieg zawilej,  
Czarem rozdwa ją ziemię, zmarłych tłum wywodzi,  
Z ognisk święconych kości przywołuje...  
Na głos jej rój podziemnych duchów tłumnie schodzi,  
A pokropiony mlekiem, śpiesznie ustępuje...  
Gdy zechce, smutne ściemni niebo dookoła;  
Gdy zechce, śniegi w lecie zwabi mnogie;  
Ona tylko Medeji odnalazła jadowite zioła;  
Ją tylko liżą psy Hekaty srogie...  
Dała mi swoje czary: siła ich uwiedzie!  
Trzykrotnie je wyśpiewaj; trzykroć spluń w śpiewaniu:  
Mąż twój nie wierzy innym; nikt mu nie dowiedzie,  
Chociażby nas zobaczył nawet sam w posłaniu!  
Innych chłopców unikaj, bo zaraz spostrzeże:  
I tylko na mnie dowód wszelki będzie mu za mały!  
Mam wyznać? Wróżka twierdzi, iż czarem odbierze,  
Iż zielem zniszczy wszystkie me zapały.

Stałem wśród pochodni i w pogodnej nocy  
 Podziemnych bóstw ofiara oltarz krwią zmasała;  
 Nie żeby miłość zniszczyć! o wzajemność z mocy  
 Całej błagałem; żeby nadal trwała!  
 Z żelaza byłoby musiał, kto mogąc być twoim,  
 Głupioby poszedł na polowanie za zdobyczą!  
 Niech pędzi barbarzyńców, których mężnie pobił!  
 Niech jego wojska wzięty kraj dziedziczą;  
 Niech cały srebrem kryty, niech cały i w złocie,  
 Niechaj szybkiego rumaka dosiada!  
 Ja wolę, Deljo moja, woły przy tobie w pocie  
 Połączać jarzmem; na górach paść stada.  
 Jeśli ciebie w mych rękach los mi mieć pozwoli,  
 Na gołej ziemi niechaj mię sen chwytal!  
 Czem łożę purpurowe bez wzajemnej woli,  
 Gdy oplakana noc znowu zawita?  
 Ani pierzyna, ani makata tkana w piękne drzewa,  
 Ani strumyka szmer sen miły na oczy wlewał!  
 Czyż ja zgwałciłem świętą moc Wenery w mowie?  
 Czyż teraz język mój ponosi karę?  
 Czy przyjsz bezbożny chciałem tam, gdzie uczczeni są bogowie?  
 Czy chciałem zabrać wieńce dane na ofiarę?  
 Jeśli winny — upadnę sam chętnie w świątyni  
 I z progiem poświęconym złączę usta moje!  
 Czolganie się na klęczkach twarz mi zarumieni,  
 Uderzę głową o święte podwoje!  
 Ty, dowcipny szyderco mej smutnej niedoli!  
 Strzeż się: nie jeden bóg ci zasrożeje!  
 Nieraz taki, co z miłości młodych drwił dowoli,  
 Zgiął kark w Wenery jarzmie, gdy zsiwieje!  
 On drżącym dzisiaj głosem nuci słodkie pęta  
 I ręką trefi włos zbialejącej głowy...  
 Nie wstydzi się przy drzwiach wystawać, ni lube dziewczęta  
 Na Forum bawić troskliwemi słowy!  
 Dziś chłopcy koło niego, dziś się młodzież wije,  
 A każdy w tłoku w starcze łono pluje...  
 Oszczędź mnie, Wenero! Do ciebie moje serce bije;  
 Pocóż twój gniew własne twe żniwa marnuje?

*Tłum. J. M. (Wrocław 1839).*

## PROPERCJUSZ

(49—15 przed Chr.)

### KSIĘGA I, ELEGJA 2: DO CYNTJI

Poco, luba, włos trefić i ozdabiać skronie?  
 Co znaczą drogie szaty na śnieżystym łonie?  
 Poco wonią Orontu zbyt kować bez miary?  
 Swoje wdzięki zalecać obcemi towary?  
 Zniżyć powab natury przez kupną ozdobę  
 I na blasku zwodzonym swą krzywdzić osobę?  
 Wierz mi, żadna cię sztuka w piękność nie wzbogaci;  
 Nagi Amor nie lubi wymyślnej postaci.  
 Patrz, jak barwy rozliczne ziemia wyprowadza,  
 Jak bluszcz, im zaniedbańszy, śmiglej się rozsadza;

Jeżówka w pustych grotach bujniejsza powstaje,  
Błądny strumyk najlepiej swe drogi poznaje;  
Brzęgi same się zdobią w malowne głaziki,  
Zadną sztuką śpiewniejsze nie będą słowiki.  
Hilaira i Febe nie samym ubiorem  
Potrafiły zachwycić Polluksa z Kastorem;  
Owej niegdyś z Idasem sprzeczki Apollina  
Jest w powabach Marpesy istotna przyczyna;  
Nie czczemi Hipodamja podbiła zalety  
Serce Pelopa, gdy z nią odjeżdżał od mety:  
Twarz jej, od pereł wolna, nie wydała skazy:  
Takie właśnie Apelles malował obrazy.  
Tych kobiet nie nęciły miłosne podboje,  
Bo źródłem ich piękności wstydlivość, nie stroje.  
Tym wzorom nie ustąpi i twoja osoba:  
Dziewczę jest piękne, gdy się jednemu spodoba.  
Ty zwłaszcza, z którą Febus i śpiewa, i marzy,  
Ty, którą Kalliope chętnie lutnią darzy;  
Tobie słodką bogowie wymowę nadali,  
Wszystko, co Wenus lubi, co Minerwa chwali:  
Ty będziesz mego życia najmiłszą osłodą,  
Żebyś tylko wzgardziła próżnością i modą!

*Tłum. Szymon Baranowski.*

KS. I, EL. 15: DO CYNTJI

Już częste twej płochości miewałem przykłady,  
Alem się tej ostatniej nie spodziewał zdrady!  
Patrz, jaką mi niedolą zagraża los srogi;  
Tyś jednak obojętna na gorycz mej trwogi!  
Znowu splatasz warkocze, jak splatałaś wczora,  
Znów od rana układasz lice do wieczora,  
Niemniej wschodnie klejnoty zawieszasz u łona,  
Jak piękna dla małżonka czyni narzeczona.  
Nie w ten sposób Kalipso Odysa utratę  
Na bezludnem wybrzeżu płakała przed laty!  
Smutna, nieuczesa, siedziała dni wiele,  
Mnogie skargi rzucając na głuche topiele;  
I chociaż już nie miała nadziei spotkania,  
Pamięć smutna została długiego kochania!  
Mści się męża na braciach Alfesjybe tkliwa:  
Miłość jej i najdroższy krwi związek rozrywał!  
Nie taką Hipsypile powstała w swem łożu,  
Kiedy wiatry pędziły Jazona po morzu:  
Hipsypile już odtąd nie znała pieszczoty,  
Skoro Jazon jej serce dał na łup tęsknoty.  
Ewadne, płonąć z mężem na stosie, skołała:  
Gorliwości Greczynek zaszczytna tu chwała.  
Żadnaż z owych heroin twych czynów nie zmieni,  
Żebyś była przedmiotem nieśmiertelnych pieni?  
Cyntjo, przestań wznawiać złamane przysięgi  
I bogów zapomnianych nie wzywaj potęgi!  
Zuchwała! Ty nad moim użalisz się losem,  
Gdy cię kiedy straszliwym los uderzy ciosem!  
Pierwej rzeki do morza popłyną bez gwaru,  
A rok pójdzie koleją wstecznego wymiaru,

Niż się z pod twej miłości me serce wyzwoli.  
 Bądź dla mnie, jaką zechcesz, nie obcaś atoli.  
 Ani myślę podłemi nazywać te oczy,  
 Przez które fałsz tak często prawdę mi powłoczy.  
 Przysięgałaś: Jeśli zdradę popelnisz szkaradną,  
 Niech za dłoni dotknięciem te oczy wypadną:  
 Jak więc możesz na słońce patrzeć, niegodziwa,  
 I nie zadrżysz, gdy w sercu zbrodnia zamieszkiwa?  
 Któż cię zmuszał w udanej bładości omdlewać?  
 Kto kazał lżą niechętną źrenice zalewać?  
 Ja, ofiarą twą będąc, tak radzę młodzieży:  
 «Niech żaden z was pochlebstwom kobiety nie wierzy!»

*Tłum. Szymon Baranowski.*

KS. II, EL. 5: DO CYNTJI

A więc prawda, że wszędzie o tobie już plotą,  
 Że ty jawną twe imię osławiasz sromotą!  
 Czyżem na to zasłużył? Poczekaj, zdracznyni;  
 I dla mnie zmienny wicher przysługę uczynił  
 Poszukam w niewiast gronie choć jednej kobiety,  
 Która słynąc zapragnie w pochwałach poety.  
 Ta mnie oszczędzi — tobie nieznośną się stanie;  
 Cyntjo! późno opłaczesz me długie kochanie!  
 Teraz gniew świeży, teraz rozłączyć się pora:  
 Gdy boleść minie — miłość do powrotu skora!  
 Nie tak fale karpackie przed burzy oddechem,  
 Nie z takim gnany obłok umyka pośpiechem,  
 Jak niknie gniew kochanków na słóweczko tkliwe;  
 Więc, gdy możesz, zrzuć z siebie jarzmo dolegliwe.  
 Pierwszej nocy dopiero twe lica płacz zrosi:  
 Lżejsze troski, gdy miłość cierpliwie je znosi.  
 Lecz ty, przez słodkie prawa potężnej Junony,  
 Szanuj zdrowie, powściągaj twój umysł wzburzony.  
 Nie sam buhaj na wroga swem czołem naciera,  
 I owca też dręczona napaści odpiera.  
 Ja z ciebie, wiarołomna, nie chcę zdzierać szaty,  
 Lub w gniewie wyłamywać drzwi twojej komnaty;  
 Nie myślę, aby szarpać twych splotów ozdobę,  
 Anibyś śmiał na twoją targnąć się osobę.  
 Wieśniak tylko sposobien do takiego czynu,  
 Który nigdy na głowie nie zaznał wawrzynu.  
 Ja zaś napiszę, czego nie zgładzi nic w świecie:  
 «Cyntja, wdziękiem potężna, lekkomyślna przecie».  
 Wierzaj mi, lubo gardzisz ludzkimi pogłoski,  
 Ten wiersz, Cyntjo, śmiertelnej nabawi cię troski.

*Tłum. Szymon Baranowski.*

KS. IV, EL. 29: DO CYNTJI

Gdy wczoraj podchmielony błdziłem po nocy,  
 Bez jasnego rozumu i bez sług pomocy,  
 Nagle mię zaskoczyła chłopczyków gromada:  
 Strach zliczyć nie dozwolił; wnet mię rój obsiada,

Jedni wstrząsać pochodnie, wypróżniać kołczany,  
 Inni na mnie zaczęli dobywać kajdany.  
 Chłopcy drobni i nadzy; jeden wśród zapędu,  
 Rozpuszniejszy, zawołał: «Łapać go bez względu!  
 To on wszak nam wydany jest z rozkazu Cyntji!»  
 Rzekł, i węzeł natychmiast poczułem na szyi.  
 Drugi mnie każe pędzić na środek, a trzeci  
 Mówi: «Alboż nas bierzesz za zwyczajne dzieci?  
 Hultaju! Ona czeka, tęskniąc bezustanku,  
 A ty obcych drzwi szukasz, niegodny kochanku!  
 Gdy Cyntja rozplecie swych splotów zawoje  
 I podniesie wzrok senny na przybycie twoje —  
 Wtedy słodczy poczujesz — nie arabskiej woni,  
 Lecz balsamu, co Amor wyrobił swą dłonią!  
 Teraz puście go, bracia; być wiernym przyrzeka;  
 Oto właśnie dom widać, gdzie Cyntja nań czeka!»  
 I płaszcz mi na ramiona rzuciwszy, znów rzekli:  
 «Idź, po nocy siedź w domu!» To rzekłszy, uciekli.  
 Gdy już wschodu różana rozwarła się brama,  
 Chciałem spojrzeć, czy moja Cyntja w łóżku sama;  
 Wchodzę, i samą w łożu postrzegam; zdrętwiałem!  
 Nigdy, nawet w szkarłacie tak cudnej nie widziałem!  
 Ona Weście prawila swe senne przygody,  
 By nam obojgu jakiej nie sprawiła szkody.  
 Tak cudna w snu objęciach zdawała się oku!  
 Jakże wiele z natury ma piękność uroku!  
 «Cóż cię tak rano — rzekła — prowadzi w me progi?  
 Czy sądzisz, że jednakie przebiegamy drogi?  
 Nie jestem tak powolna; na jednym przestane,  
 Gdy ty, albo kto inny jest wyższy nad zmianę.  
 Jednak możesz na pościel spojrzeć bez obawy,  
 Śladu nie pozostawił mój uścisk nieprawy.  
 Żaden ruch gwałtowniejszy piersiami nie władnie,  
 Skąd wezbranie rozkoszy poznałbyś sam snadnie».  
 To rzekłszy, me całunki swą rączką odgania  
 I, wsparta na sandałkach, wybiega z postania.  
 Tracąc miłość tak czystą przez mą podejrziłość,  
 Utraciłem zarazem i przyszłą szczęśliwość.

*Tłum. Szymon Baranowski.*

## OWIDJUSZ (PUBLIUS OVIDIUS NASO)

(43 przed Chr. — 17 po Chr.)

### KSIEGI PRZEMIAN (METAMORPHOSEON LIBRI)

#### Wstęp

(Ww. 1—100)

W kształt nowy przemienione chcę opiewać ciała;  
 Wiecznych bogów potęgą tych zmian dokonała —  
 Bóstwa natchną, bym teraz od początków świata  
 Snuł bez przerwy pieśń cudów, aż po nasze lata.  
 Nim było morze, ziemia i niebios sklepienie —  
 Bezkształtną bryłą było całe przyrodzenie;



Chaosem zwało się; ogromny, nierozkładny  
Zaród wielkiego świata, martwy i bezładny;  
Zbiór nieudolnych istot, sprzecznych nasion plony.  
Podówczas wszechświat nie był słońcem oświetlony,  
Bogini nocy jasnych rogów nie wznawiała,  
Brzemienna własnem życiem, jeszcze nie wisała  
Ziemia w przestworzu niebios; ramiony swojemi  
Ocean nie otaczał morskich brzegów ziemi;  
Bezkształtne elementy jedno tworzą ciało,  
Lecz z wody nieprzepłyennej, z materji niestałej;  
Żywioty, w wiecznym mroku, w nieustannym sporze,  
Kształtów jeszcze nie mają; w jednym bowiem zbiorze  
Tkwił płomień z mrozem, susza z wilgocią walczyła,  
Ciężar przytłaczał lekkość, miękką — twarda bryła.  
Bóstwo i Moc szlachetna walkę rozstrzygnęły:  
Ziemię, niebo, ocean od siebie odcięły;  
Od atmosfery gęstej odszedł eter płynny.  
W wielkiej bryle chaosu Bóstwo dobroczynne  
Rozsierdzone żywioty spaja zgodą ścisłą:  
Sklepienie nieba jasnym blaskiem ognia trysło,  
A w przestworzach obrato siedlisko najwyższe.  
Swą lotnością powietrze niebu jest najbliższe;  
Twarda ziemia, ciężarem własnym przygnieciona,  
Ściąga co cięższe ciała do swojego łona;  
Płynny ocean zajął przeznaczone łoże.  
Gdy tak Stwórca — ktokolwiek z bogów nim być może —  
Urządził, gdy na części rozdzielił to brzemię,  
Natychemiast w postać kręgu ukształtował ziemię,  
Kazał rozlać się morzom, wiatrom wzdymać wały,  
Opasywać im kazał okręgu brzeg cały,  
Dał rozległe jeziora, stawy, źródła żywe;  
Rzeki z wyżyn płynące ujął w drogi krzywe;  
Rozlewa je po ziemi, lub do morza ciska,  
Dokąd pędzą, przez wąskie przebywszy łożyska;  
Zniża doliny i łąki stwarza szerokie,  
Las zielonością zdoła, wznosi skał opoki.  
Niebo dzieli na strefy: dwie po prawej stronie,  
Dwie po lewej, zaś piąta żywym ogniem płonie.  
Takoż rozdziela Bóstwo i padołu brzemię,  
Pod odmiennych pięć stref poddał całą ziemię:  
Średni pas skwar wyludnia, dwa w śniegach spoczęły,  
Dwa zaś mrozów i ciepła równe części wzięły.  
Nad ziemią atmosfera, tak od ognia cięższa,  
Jak cząstki wody są od cząstek ziemi lżejsze;  
W powietrze mgłę i dżdżyste chmury naprowadził,  
W powietrzu grzmot na postrach śmiertelnych osadził,  
Tam piorun łśni, tam wichur mrozi górne kraje —  
Lecz nie całe powietrze stwórcy mu poddaje;  
Z trudem go opanował; żarem wiatry mogą  
Tylko w ścisłych granicach swoją pędzić drogą.  
Niemniej, ledwo że nawpół nie rozerwą świata:  
Tak niezgodne są. Leci Eur przez kraj Nobata,  
W krajach Jutrzni i w Persji swe rzędy rozszerza;  
Zefir słońcem na zachód rozgrzane wybrzeża  
Wziął w swoje panowanie, a Boreasz groźny  
Otrzymał zimną północ i kraj Scytów mroźny;

Natomiast ład daleki południowej ziemi  
 Ulewami wciąż Auster oblewa częstemi.  
 Wysoko w górze niebo rozpostarł wiszące,  
 Lekkie, lotne, ziemskiego brudu niemające;  
 Ledwo Bóg ład wprowadził w chaotyczną bryłę,  
 Gdy gwiazdy, gdzie się dotąd w nawałnicy kryły,  
 Zaczęły się roziskrzać na pogodnym niebie.  
 Stwórca chce, by świat ziarno życia przyjął w siebie:  
 Zaludnia stworzeniami bezkresne przestrzenie,  
 Znaki bogów rzuca na niebne sklepienie,  
 Skrzelistemi rybami wód głębię zaplenia,  
 Przestworze ptactwem, zwierzem zapelnia się ziemia.  
 Tylko świętej istoty brakło jeszcze ziemi,  
 Co pojmuje myśl wzniosłą, co włada innemi:  
 Człowiek powstał. Daje mu duszę boskiem tchnieniem  
 Twórca wiecznego świata, Pan nad przyrodzeniem ...  
 Lub też ziemia, od nieba świeżo oddzielona,  
 Pokrewnych sobie niebios kryjąca nasiona;  
 Prometej grudę ziemi wodą z rzek rozstwarza,  
 Człowieka lepi, kształtem bogów go obdarza.  
 Ze zwierząt każde wzrok ku dołu swój spuszczało —  
 Ludziom Prometej daje postawę wspaniałą  
 I w niebo patrzeć każe, i do gwiazd sklepienia  
 Pozwala mu zdumione kierować spojrzenia.  
 Tak oto ziemia, bezkształtna pierwej bryła,  
 Przemieniona, gęsto się ludźmi zaludniła.  
 Pierwszy złoty wiek nastał; nie przez bojaźń kary,  
 Lecz z własnej chęci człowiek cnoty strzegł i wiary;  
 Kar nie znał, ani trwogi; surowych nie czytał  
 Ustaw w śpizu wrytych, ani się nie lękał  
 Groźnych sędziów; ludzie byli bez nich bezpieczni.  
 Łódź, co obce wybrzeża pragnie zwiedzać wiecznie,  
 Nie zstąpiła do morza z swych lasów rodzinnych,  
 A człowiek prócz ojczystych nie znał krajów innych.  
 Grodów nie otaczano spadzistemi wały,  
 Proste trąby, ni surmy zgięte nie zabrzmiały,  
 Hełmów i mieczy nie było: wszystkie narody,  
 Bezpieczne, zażywały spokojnej swobody.

#### Apollin i Dafne

(Ks. I. ww. 443–568)

Pierwszą miłość Apolla do nadobnej Dafny  
 Nie los ślepy rozniecił, lecz Amora grot trafny;  
 Apollin, dumny zawsze z pokonania węża,  
 Patrzy, jak mały Amor cięciwę natęża,  
 «Cóż ci — rzecze — dziecino po tak trudnej broni?  
 Łuk i strzały przystoją mojej tylko dłoni;  
 Wrogom i potworom śmiertelne ciosy daję,  
 Smoka, który swem cielskiem zaległ całe staje,  
 Przemogłem; niezliczone utkwilem w nim strzały!  
 Miłość wzniecaj; dorosłym nie zazdrość ich chwały».  
 Na to mu Amor: «Wszystkich ty zwyciężasz, Febie,  
 Ale ja więcej mogę! ja zwyciężę ciebie:

Ile potęga twoja innych moc przewyższa —  
Tyle od mojej chwały chwała twoja niższa!»  
Rzekł, lekko rusza skrzydłem, w górne leci kraje  
I w okamgnieniu na Parnasu szczytach staje.  
Dwie z kołczana wyjmuje swe niechybne strzały:  
Jedna wznieca miłość, ostra i od złota błyszczą,  
Druga tępą, z ołowiu, ta, co miłość niszczy.  
Śpiesznie bożek swawolny cięciwę napina,  
Tym grotem przeszył Dafnę, tamtym Apollina:  
Feb miłością zapłonął, Dafne jej unika;  
Las dziewczynę ukrywa, gaj lub knieja dzika.  
Chyża, biegnie za zwierzem, jak łowczyni śmiała,  
Włos w nieładzie rozwiany przepaską związała,  
Dziewicza, jak Diana, jak Diana miła,  
Wstręt ma do mężczyzn: nie zna, ani poznać życzy  
Małżeństwa rozkoszy, ni kochania słodczy.  
Próżno Penej myśl zmienia swojego dziewczęcia,  
Próżno mówi: «Córko, chcę wnuków i zięcia!»  
Dafne ślubne za zbrodnię uważa ogniwa,  
Słucha ojca, twarz miłym rumieńcem okrywa,  
A na szyję Peneja zarzuca swe ręce:  
«Pozwól — rzecze — niech życie dziewictwu poświęcę,  
Jowisz tego nie wzbronil swej córce Dianie!»  
Nie, Dafne! Twoja prośba bez skutku zostanie,  
Bo choć Penej nie wzbrania swą ojcowską władzą,  
Twa uroda ślub taki spełnić ci przeszkadza...  
Widzi Apollin Dafnę, widzi ją i kocha,  
Pali go namiętność, zwodzi nadzieja płocha;  
Jako się słoma zajmie, kiedy nieostrożny  
Przy niej pochodnię swoją postawi podróżny,  
Tak Apollin miłosnym płomieniem goreje,  
A płomień ten podsycą zwodniczą nadzieję;  
Widzi, jak na ramiona włos w nieładzie spada:  
— Ileżby płochy kunszt mu więcej blasku nadał! —  
Oczy jej życiem lśnią i gwiazdom są podobne,  
Jak róży dzikiej kwiat widzi jej usta drobne,  
Które chce wiecznie widzieć; ramion linję, szyję...  
A najpiękniejsze, co dziewczica skromność kryje...  
Lecz Dafne, nad wiatr lżejsza, przed bogiem ucieka,  
Próżno Apollin na nią tak woła zdaleka:  
«Stój, dziewczyno! Czyż widzisz we mnie okrutnika?  
Gdy drżąca gołębica jastrzębia unika,  
Gdy przed wilkiem owca, przed lwem unyka łania,  
Umykają przed wrogiem. Ja pragnę kochania!  
Knieja, przed którą mkniesz, niedobrze ci jest znana,  
Uważaj! Cierniem sobie zadasz ciężką ranę.  
Jaż to, Dafne, przyczyną byłbym twej niedoli!  
Wolniej biegnij! Ja będę gonił cię powoli!  
Spójrz, twa uroda boga czarem swym uwiodła;  
Anim ja dziki góral, anim pastuch podły,  
Który pędzi swą trzodę przez gęstwinę ciemną;  
Nie znasz mnie i dlatego uciekasz przede mną.  
Sam Jowisz jest mi ojcem; mnie wznoszą ołtarze  
W Delfach, w Klaros, w Tenedos i w żyznej Patarze;  
Znam przeszłe, bieżące i przyszłe zdarzenia;  
Ja z brzmieniem lutni harmonijne łączę pienia;

Grot mój zawsze jest groźny — lecz Amora strzała  
Sercu memu cios jeszcze pewniejszy zadała!  
Ode mnie ma początek lekarska nauka,  
Znam zioła; mej pomocy nikt próżno nie szuka.  
Ale ranę miłości któż uleczyć zdoła?  
Innym pomocne, dla mnie bez skutku są zioła!  
Jeszcze mówił, lecz Dafne na prośby te głucha  
Pędzi, słów namiętnych Apolla nie słucha,  
Coraz piękniejsza: wiatr płaszczyk w biegu rozchyła,  
Czasem odrzuca, czasem jej łono spowija,  
Włos złoty rozpuszczony szybki ruch unosi,  
Lekkość dodaje wdzięku... Feba rozkosz kusi.  
Porzuca słowa i podstępne narzekania,  
Wciąż przyspiesza biegu, już dziewczynę dogania...  
Jak na otwartem polu chart zająca żenie,  
Goni swą zdobycz — zając szuka ocalenia,  
Chart już dogania, myśli, że chwytą zająca,  
Ale tylko nosem świeże ślady potrąca;  
Zając, niepewny życia, zręcznie się wymyka,  
Otwartą łudząc paszczą swego przeciwnika —  
Tak lecieli. Apolla nadzieja schwywania,  
Dafnę zaś strach do biegu szybkiego nakłania;  
Bóg jednak, gdy mu żądza skrzydeł swych użyć,  
Coraz szybciej pędzi, już bliski swej zdobyczy,  
Już sięga — lecz go zwiódła nadzieja wadliwa:  
On tylko włos dziewczyny tchnieniem swem rozwiewa.  
Ona słabnie, już zbladła, a znużona biegiem,  
Tak woła, przystanąwszy nad Peneja brzegiem:  
«Jeśliś bóg — broń mię, ojcze, niech ulegnie zmianie  
Nieszczęsna ma uroda, niech życie ustanie,  
Jeno uchroni mnie, ojcze, przed prześladowaniem!»  
Ledwo usłyszała prośbę córki rzeka,  
Kształtne piersi dziewczyny już kora powleka,  
Włos w listowiu niknie, a ramiona w gałęzi,  
Nogi, dawniej tak lekkie, twarda ziemia więzi;  
Twarz zgubiła się w drzewku — lecz i w tej postaci  
Jeszcze dziewczęcego wdzięku Dafne wciąż nie traci;  
Apollin do niej zawsze namiętnością płonie,  
Jej serca bicie czuje nawet w drzewa łonie:  
Obejmuje gałęzie dla pocałowania,  
Ale drzewko i teraz pieścizot mu zabrania.  
Rzecz Bóg: «Oto losu woła niecofnioną  
Już nie mogę, dziewczyno, pojąć cię za żonę!  
Będziesz drzewem mojem; twemi liśćmi uwienczę  
Kołczan, łuk i lirę, i skronie młodzieńcze.  
Wawrzynie! Będziesz wodzów latyńskich nagrodą,  
Gdy ich do Kapitolu zwycięstwa przywiodą!  
Będziesz siedzib Augusta najświetniejszą strażą:  
Z liśćmi dębu twoje liście się skojarzą!  
A jak włos mój nie zna starczej czasu zawiści,  
Tak nigdy nie uwiednie świeżość twoich liści!»  
Umilkł Apollin, w wawrzyn Dafne się przemienia,  
Gałązkami porusza na znak przebaczenia.

*Tłum. Br. Kiciński.*

*Popraw. M. St. Popławski.*

## PLINJUSZ STARSZY [GAIUS PLINIUS SECUNDUS]

(24—79 po Chr.)

## HISTORIA NATURALNA

(Ks. II. r. 2.)

Że kształt świata na obraz doskonałej kuli okrągły jest, nie tylko nazwa (orbis) i powszechna na to zgoda ludów, kulą go zowiących, lecz i dowody rzeczy samej ucza; albowiem figura taka nie tylko we wszystkich swoich częściach nachyla się ku sobie, sama się unosić musi, sama się zamyka i wstrzymuje, nie potrzebując żadnych spojzeń i nie znając ani końca, ani też początku którejkolwiek z części swoich; nie tylko kształt takowy do ruchu, w którym, jak się to wkrótce okaże, obracać się raz po raz musi, jest najwłaściwszy, ale przekonywa nas o tem sam wzrok; gdzie tylko bowiem spojrzymy, wszędzie widzimy świat sklepionym, wszędzie się w środku niego znajdziemy, coby się w innym jego kształcie zdarzyć nie mogło.

Że tedy w kształcie takowym świat w wiecznym, w ustawicznym biegu z niewypowiedzianą chyżością, w przeciągu dwudziestu czterech godzin, obraca się, nie zostawia żadnej wątpliwości wschód i zachód słońca. Czy atoli z nieustannego tak wielkiej masy obracania się wkoło niezmierny, a stąd przymiot ucha przechodzący, dźwięk powstaje, nie śmiałym zaiste twierdzić, równie jak i tego, że dźwięk obiegających i swoje koła toczących gwiazd jest słodką i nie do uwierzenia przyjemną harmonją. Dla nas, na nim żyjących, rusza się świat dzień i noc w milczeniu. Że na nim niezliczone obrazy zwierząt i wszelkich rzeczy są wytłoczone i że zatem nie jest, jak to na jajach ptaków spostrzegamy, ciałem śliskiem, z przyczyny gładkości, co sławni nawet pisarze twierdzili, okazują dowody z rzeczy: albowiem ze spadających stamtąd, po większej części pomieszanych nasion wszechrzeczy rodzą się, zwłaszcza w morzu, potworne kształty. Nadto dowodzi tego wzrok, postrzegamy bowiem w jaśniejszym owym, nad wierzchołkiem głowy naszej unoszącym się okręgu, tu obraz wozu, tam niedźwiedzia, indziej byka, ówdzie znowu kształt litery. — — — Ziemia, która na świata biegunie wisi i utrzymuje równowagę żywiołu ją unoszącego, jest najniższą i środkową częścią wszystkiego; tak ona, gdy wszystko wkoło niej się obraca, wszystko ją opasuje i wszystko się na niej wspiera, jest sama nieporuszona. Pomiedzy nią a niebem wisi na tem samym powietrzu siedm pewnemi przedziałami odłączonych od siebie gwiazd, które z przyczyny biegu planetami zwiemy, acz żadne mniej od nich nie błakają się. W pośrodku nich dźwiga się słońce, najznakomitszej wielkości i potęgi; rządca nie tylko czasów, krajów, ale nawet samych gwiazd i nieba. Rozważając jego dzieła, wierzyć się godzi, że jest duszą, albo raczej umysłem całego świata, pierwszym rządcą przyrodzenia, że jest bóstwem. Ono dostarcza rzeczom świata i rozprasza ciemności; ono inne gwiazdy kryje, oświeca; ono oznacza pory roku i odmładniający się zawsze według praw przyrodzenia rok; ono rozpędza niepogody i wypogadza także chmury ludzkiego umysłu; ono pożyczka także swojego światła innym gwiazdom. Jest świetne, przepiękne, na wszystko spogląda i wszystko także słyszy, jak księżę poetów Homer o niem w jednym miejscu opiewa.

Przeto też badania obrazu i kształtu boga poczytuję za słabość umysłu ludzkiego. Czemkolwiek jest bóg, jeżeli tylko jest inny, i w którejkolwiek części, jest on cały zmysłem, cały wzrokiem, cały słuchem, cały duszą, całym umysłem, całym sobą. Wierzyć zaś w niezliczonych, a nawet w cnót i zbrodni ludzkich, jako to: wstydu, zgody, nadziei, sławy, łagodności, wiary, tworzyć bogów, albo — jak się Demokrytowi podobalo — dwa szczególnie bóstwa karzące i nagradzające przypuszczać okazuje, większe jeszcze głupstwo. Ułomny i fraszobliwy rodzaj ludzkości, pomnąc na swoją słabość, podzielił bóstwa na części, aby tym sposobem każdy tę część bóstwa najbardziej czcić mógł, której najwięcej potrzebuje. Przeto też znajdujemy u różnych narodów różne nazwiska i niepoliczony mnóstwo w nich bóstw; bo nawet piekło, choroby i morowe zarazy w rzedzie bóstw umieszczono, ponieważ w troskliwej bojaźni pragniemy je ubłagać. — — — Niektóre zaś narody mają za bogów pewne, a nawet plugawe zwierzęta i wiele innych rzeczy, które wstyd wymienić zabrania, i na śmierdzące potrawy

tym podobne rzeczy przysięgają. Wierzyć zaś, że pomiędzy bogami istnieją małżeństwa, z których od tyłu wieków nikt się nie urodził, że jedni z tych bogów są starzy i zawsze siwi, inni młodzieńcy i chłopcy, czarnego koloru, skrzydlaci, kulawi, z jaja wykluci, i naprzemian jeden dzień żywi, drugi — umarli, jest prawie dziecinnym głupstwem. Lecz przechodzi wszelką bezczelność wystawiać sobie pomiędzy nimi cudzołóstwa, kłótnie i nienawiści, a nawet bóstwa kradzieży i zbrodni. Bogiem jest śmiertelnikowi ten, który mu pomaga i to droga jest do wiecznej sławy. Tą szli celniejsi Rzymianie, nią i teraz niebiańskimi krokami dąży z potomstwem swoim największy po wszystkie wieki władca, Wespazjan August, podpora skołatanego państwa. To jest najdawniejszy zwyczaj okazywania dobrze zasłużonym wdzięczności, policzając ich między bogi. — — —

Wymyślili sobie przecież śmiertelnicy także pośrednie bóstwo, aby tym sposobem mniej jeszcze jasny o bogu był domysł. W całym bowiem świecie, we wszystkich miejscach i godzinach, wszystkich głosy samej tylko Fortuny wzywają; ona sama tylko wymieniają, ona oskarżają i winią, o niej myślą, ona chwala, ona samą tylko strofują i ze złorzeczeniami cześć jej oddają; wielu zaś poczytuje ją także za skrzydlatą i ślepa, niestała, płochą, zmienną, sprzyjającą niegodnym. Mówią, że wszystko od niej pochodzi, a w całej rachubie śmiertelników zysk i stratę na jej tylko karb kładą. Tak dalece jesteśmy podlegli losowi, że los sam za boga uważamy, skąd się okazuje, jak niepewną rzeczą jest, czy bóg jest lub nie. Inni, i to mniemanie odrzucając, przypisują swój los gwiazdom, pod którymi się rodzili; i wierzą, że bóg, przeznaczywszy raz los wszystkim przyszłym pokoleniom, o resztę się nie troszczy. Mniemanie to zaczyna się wkorzeniać, a uczeni, równie jak i nieokrzesane pospólstwo, bieżą za niem naoslep. Stąd poszły wróżenia z piorunów, przepowiadania wyroczni, prorocтва wieszczków, a nawet, o czym i mówić nie warto, wyprowadzania pewnych znaczeń z kichania i potknięć w czasie wieszczania. Boski August za zły znak poczytał, gdy w dniu, w którym w rokoszu wojskowym zaledwie nie upadł, obuł obuwie nawspak. Pojedyncze te wypadki okazują, że śmiertelnicy niczego przewidzieć nie mogą; tylko to jest pewne, iż nic pewnego nie masz i że nic nędzniejszego i dumniejszego nad człowieka. Inne bowiem istoty mają pieczę tylko o pokarm, przestając na tem, co im dobroczynna natura dobrowolnie udziela: samo to już dobrodziejstwo, że o sławie, pieniądzach, dumie, a zwłaszcza o śmierci nie pomyślą, nad wszystkie przenosić należy.

Lecz z doświadczenia w życiu wierzyć wypada, że bogowie mają pieczę o rzeczach ludzkich; że kary za zbrodnie niekiedy przez bóstwo, tak wielkiem zatrudnieniem zajęte, odłożone, ale nigdy opuszczone być nie mogą; że nakoniec człowiek, jako najbliższa bóstwu istota, nie dlatego stworzony został, aby podłością obok zwierząt stał. W niedoskonałości zaś swojego przyrodzenia tę człowiek ma szczególną pociechę: że nawet bóg nie wszystko potrafi. Albowiem nie może sobie, chociażby i chciał, śmierci przeznaczyć, co najlepszego w takiej nędzy żywota człowiekowi udzielił; nie może obdarzyć wiecznością śmiertelnych, ani wskrzesić zmarłych, ni też sprawić, iżby ten, który żył, nie był żył; który godności piastował, nie był ich piastował, i nie ma żadnego prawa do przeszłości, prócz prawa zapomnienia; i — ażeby także żartobliwymi dowodami okazać, w czym nam bóstwo jest równe — nie może sprawić, ażeby dwa razy dziewięć uczyniło dwudziestu, i wiele tym podobnych rzeczy; z czego wyjaśnia się niewątpliwie potęga przyrodzenia, i ono jest tem, co bogiem zowiemy. Zboczenie to od rzeczy nie było zbyt cenne z przyczyny wznawianego często pytania o bogu.

*Tłum. J. Łukaszewicz.*

## LUCJUSZ ANNEUSZ SENEKA

(um. w r. 65 po Chr.)

### ŻYCIE SZCZĘŚLIWE (DE VITA BEATA)

I. Żyć szczęśliwie, bracie Gallionie, wszyscy pragną, ale nie mogą dojrzeć, z czego powstaje szczęśliwy żywot człowieka. Jakoż i w samej rzeczy nie jest tak łatwo dojść życia szczęśliwego, a im skwapliwiej do niego dążysz, tem dalej od niego odejdziesz.

Jeśli kto zejdzie z prawej drogi, a na błędny tor wpadnie, to sama skwapliwość staje się przyczyną większego oddalenia od szczęścia. Przeto najprzód muszę tu przedstawić, czem jest szczęście, którego pragniemy; dopiero będę mógł drogę wskazać, którądybyśmy do szczęścia jak najrychlej dotrzeć mogli; a tak zrozumiemy już na samej tej drodze, jeśli tylko nie będzie ona błędna, ile codzień przeszkód zwyciężamy, a bliżej ku temu podjeżdżamy, do czego nas wrodzona chętka ciągnie. Póki się jeszcze bez pewnego przewodnika tam i ówdzie błąkamy, póki nadstawiamy uszu rozlicznym gwarom i głosom, które nas już tam, już ówdzie nęca, póty w błędzie marnie ścieramy nasze życie, które przecież i bez tego dosyć krótkie jest, choćbyśmy całe dnie i noce na szukaniu prawdy strawili. Musimy zatem zdecydowany powziąć sąd, dokąd i którądy mamy dążyć; musimy także obrać sobie przewodnika, dobrze świadomego drogi, w którą się puszczamy. Albowiem podróz do szczęścia wcale różna jest od innych wędrówek, i inaczej się odbywa. W innych, gdy dojdiesz do miedzy, zapytasz się mieszkańców o wskazówki i nie zabłądzisz — tutaj natomiast ubity i utworowany gościnniec najrychlej w błąd wprowadza. Przeto niczego się bardziej obawiać nie trzeba, jako iżbyśmy nie szli obyczajem bydła, za poprzedzającą trzodą, postępując nie tędy, kędy trzeba iść, ale którądy drudzy idą. Albowiem nic nie wprawia nas w większe błędy, jak jeżeli idziemy za trzodą i poczytujemy za lepsze to, na co inni przystają i za przewodników nam się narzucają. Nie żyjemy zaiste wedle rozumu, ale wedle kształtu i modelu innych. Stąd-ci to pochodzi, że jeden przez drugiego na kupę się wali; tak, jako i w wielkiej ciżbie, gdy lud przeciska się, nikt tak nie upadnie, iżby drugiego nie pociągnął; a pierwsi zawsze są przyczyną upadku dla tych, co za nimi idą. Tak się właśnie przydarza, jako snadno widzieć możemy, i w życiu ludzkim: nikt szczególnie sobie nie błądzi, ale zarazem innym do błędu przyczyną i powodem się staje. Szkodliwą zatem jest rzeczą polegać na poprzedzających, zwłaszcza że każdy woli wierzyć naoslep, aniżeli wziąć co na rozsądek i uwagę; przeto nie rozważamy i tego, co dotyczy przystojnego życia, ale innym na ślepo wierzymy. Ten zakorzeniony błąd dotęga nas, potrąca ku zgubie, a idąc za cudzym wzorem i przykładem, ginimy. A jednak możemy się jeszcze wyleczyć, jeno koniecznie musimy oddzielić siebie od tej kupy i zgiełku. Boć gmin, ten uporczywy głupoty swojej obrońca, mocno się i teraz nawet zdrowemu rozumowi opiera. Toż tu właśnie przydarza się, co na sejmikach, na których obranym urzędnikom ci, którzy właśnie ich obrali, dziwiają się, jeżeli niestała przyjaźń wyborców ich obali. Co chwalimy, to samo i ganimy; tak się mają wszystkie wyroki, które oparte są na większości.

II. Kiedy więc mowa o szczęśliwym życiu, nie potrzebujesz mi mówić obyczajem przewodniczących w senacie: ta decyzja wydaje mi się mieć więcej zwolenników. Ba! przez to właśnie jest gorsza. Rzeczy ludzkie nie są tak urządzone, żeby to, co jest lepszego, miało się podobać większej gromadzie; owszem tłum jest największym dowodem nikczemności rzeczy, która mu się podoba. Szukajmy zatem tego, co jest najlepsze, a nie najpospolitsze; szukajmy tego, przez co możemy dojść do wiekuistego szczęścia, a zaś nie tego, co zaleca prosty motloch, który o prawdzie zwykł opacznie bajać. Przez motloch i pospólstwo rozumiem tak wspaniałe przyodzianych panów, jako też i chudobę. Boć ja nie z szat powierzchownych sądę i poznaję, co zacz kto jest; niedowierzam oczom moim, które mi okazują obraz człowieka; mam nierównie lepsze i pewniejsze światło, w którym prawdę od fałszu rozeznaję. Dobra dusza powinna dochodzić; a jeżeli dusza znajdzie kiedykolwiek sposobność przyjąć do siebie i wejść w siebie, wtedy, sama o sobie przekonana, uzna prawdę i rzeknie: «Comkolwiek dotychczas czyniła, radabym, iżbym nigdy nie była czyniła; a jak rozważam o tem, com mówiła, zazdrość niemy! Przypomnę ci, czegom sobie życzyła, spostrzegam, iż nieprzyjaciel nic gorszego nie mógłby mi życzyć; a to, czegom się obawiała — jakżeż nierównie lepsze było, niżli czegom tak chciwie pożądała!» Z iluż to ludźmi miałem przykre zajęcia i zatargi, lub też do przyjaźni dochodziłem — jeśli tylko między złymi przyjaźni jaka być może — sam jeno sobie przyjacielem nie jestem jeszcze. Wszystkie starania moje na tom kierował, bym w podłym tłumie się odznaczył i jakieś zaszczyty zdobył; lecz nic innego nie dokazałem, jak tylko, żem stanął jako cel pocisków i rozjątrzył złość, co chce kąsać! Spójrz na tych, co sławią krasomówstwo, wieszają się przy boku

majętnych, którzy pochlebstwem usiłują zdobyć łaskę, którzy wysławiają władzę — wszyscy oni są dla siebie nieprzyjaciółmi, lub, co na jedno wychodzi, z łatwością takowymi mogą się stać. Jak liczny jest tłum, który podziwia ciebie, tak samo liczny jest tych, co zazdroszczą.

III. Muszę tedy tego poszukiwać, co by mi tak użyteczne było, iżbym dobra tego mógł wewnątrznie zaznać, a zaś nie nazewnątrz tylko dobrem przypisywać. Albowiem to, na co inni ciekawie spoglądają, nad czem się zastanawiają, co jeden drugiemu z podziwem ukazuje — to zewnątrz tylko i napozór błyszczy, a wewnątrz siebie kryje nędzę i ubóstwo. Szukajmy przeto takiego dobra, które nie ludzi oczu ludzkich pozorem i zewnętrznym wyglądem, lecz jest gruntowne i stałe, a swoją wartość i ozdobność z wewnątrz bierze. To właśnie musimy wydobyć, zwłaszcza że leży w pobliżu nas; łatwo możemy je znaleźć; jeno trzeba wiedzieć, w którą stronę ręką sięgnąć. Na początku jeszcze niby pociemku, niby omackiem szukamy, omijając to, co jest w pobliżu, objając się owszem o to, czego tak bardzo pożądamy. Ale, żebym zdaleka krążąc, drogi nie nakładał, poniecham zdania innych o tej rzeczy: za długo byłoby wyliczać je i zbijać. Oto niech będzie moje własne zdanie; gdy mówię: moje własne, nie znaczy to, bym naoslep trzymał się opinii któregoś myśliciela ze stoików; mam i ja również prawo wygłosić swoje zdanie. Za jednym z tych myślicieli pójdę, a na zdaniu drugiego przystanę tylko poczęści; podobnie, gdy z kolei i mnie przyjdzie wypowiedzieć własną myśl, nie będę ganił tego, co inni przede mną powiedzieli, jeno swoje własne zdanie podam. Jednakże przystaję na to, na co przystają wszyscy stoicy, i zgadzam się z naturą wszechrzeczy; prawą mądrością jest nie zbaczać od tej natury, lecz owszem stosować się do praw jej i przepisów. Błogosławione jest tedy takie życie, które zgadza się z prawem przyrodzenia; pojąć to może tylko ten, co umysł i rozum ma zdrowy i zawsze sobie przytomny; umysł krzepki i odważny, umiarkowany jednak i cierpliwy, świadomy tego, co jest potrzebą chwili; ten, co służy potrzebom swego ciała, bez zbytej atoli troskliwości; ten, co uważa na rzeczy pomocne ku lepszemu życiu, lecz bez zbytejnego uwielbienia; ten, co korzysta z darów i niespodzianek fortuny, atoli bez poddaństwa tejże. Z tego wynika, choćbym już więcej nic nie dodał, że niezłomny spokój i prawa swoboda rodzą się z usunięciem tych wad, które nas mogą podrażniać lub zastraszać. Bo zamiast tych nikczemnych, skażonych i w samym wykonaniu szkodliwych rozkoszy, przenika duszę wielka i niezłomna radość, a wraz z nią spokój i pogoda, wspaniałomyślność i łagodność. Albowiem wszelka dzika namiętność wypływa ze słabego ducha.

IV. Dobro nasze można także i inaczej zdefiniować i w innych zdaniach wyrazić tę samą myśl. [...] Bowiem na jedno to wychodzi, jeżeli powiem: najwyższe dobro zasadza się na umyśle, który pomiata wszelkimi przygodnymi rzeczami, a dzielności jest rad; lub jeżeli: najwyższe dobro jest to niezłomna siła duszy, mądrość i łagodność w obcowaniu i głęboka ludzkość i uczynność dla innych. Wolno je i tak też opisać: ten ci jest szczęśliwy człowiek, który nic innego nie poczytuje za dobre, ani za złe, jak tylko dobry i zły umysł, umysł kochający uczciwość i przystojność, ugruntowany na dzielności, którego nagła odmiana nie wynosi, ani też obniża, który nie zna żadnego większego dobra nad to, jakie sam sobie dobrze może dać, dla którego najgłębszą rozkoszą jest pogarda dla rozkoszy. Można i dalej iść, jeżeli to komu się podoba, a tejsze rzeczy, bez naruszenia jej istoty, dać inny kształt i postawę. Cóż bowiem nam jest na wstręcie, byśmy nie mogli twierdzić, że szczęśliwy żywot polega na umyśle wolnym, wspaniałym, nieustraszonym i stałym, dalekim od bojaźni i chciwości! który za jedyne dobro uczciwość, za jedyne zło wielką sprośność poczytuje! Resztę ma prawie za nic, jako to, co pełnemu szczęściu ani ująć niczego nie może, ani dodać, a zaś odchodzi i przychodzi bez uszczerbku żadnego dla najwyższego dobra, jako też i bez przybytku. Kto na tym gruncie buduje szczęśliwy swój żywot, zawsze musi być wesół, nawet gdyby tego nie chciał; musi zażywać głębokiej pociechy, wypływającej z nieprzerwanego źródła, pociechy, która rada przestaje na tem, co ma, i nad to niczego nie pragnie. Miałaby człowiek frymarzyć tę radość na podłe, nikczemne i nietrwałe ciała uciechy? Z chwilą, w której poddałby się rozkoszy, zarazem uległby i boleści.

V. Ty bowiem dobrze wiesz, w jak haniebną i ciężką niewolę wpada ten, co idzie w poddaństwo rozkoszy i bólu, które są władcami okrutnymi i kłótliwymi. Z jarzma tego trzeba wydobyć się na wolność; inaczej tego nie możemy dokazać, jeno pomia-



tając przynętą zwodnej fortuny. Stąd wyrasta ono bezcenne dobro: prawy spokój zabezpieczonego umysłu i wspaniałość serca; takóŜ i po wypędzeniu trwogi i bojaźni: z poznania prawdy urasta pełna i niewzruszona radość, łagodność i wypogodzenie serca; duch się będzie w tem rozplywał nie jako w najwyŜszym dobru, lecz jako w skutkach najwyŜszego dobra. A ponieważ juŜ obszerniej się rozwiódl, więc i tak jeszcze rzecz mą wyłoŜić mogę: ten szczęśliwym zwać się moŜe, który za wskazówką rozumu idąc, ani czegokolwiek poŜada, ani się boi. Wprawdzie i nieczute głązy nie doznają żadnej bojaźni, ani żadnego smętku, takóŜ i nieme bydłeta; nie wypływa z tego jednak, byśmy je mogli nazwać szczęśliwymi, ponieważ nie mają w sobie takowego szczęścia poznania. Oto dlatego w jednym rzędzie kłaść moŜemy takich ludzi, których przyrodzona tępość i nieznamość samych siebie z bydłętami przyrównywała; jakoŜ nie ma między nimi róŜnicy, ponieważ bydłeta zgoła nie mają rozumu, tacy zaś ludzie niewiele, i to przewrotny, a na zgubę swą wykrętnie przezorny. Za szczęśliwego bowiem nie moŜe być poczytywany ten, który daleko odstrzelił się od prawdy. Stąd wypływa, iŜ żywot szczęśliwy jest ten, który na pewnym i niezawodnym rozumie jest ugruntowany i uzasadniony. GdyŜ umysł dopiero wtedy jest wolny i od wszelkiej nieporządności oswobodzony, kiedy nietylko zgryzoty, ale teŜ i podrażnienia uniknąć moŜe: kiedy zawsze niezłomnie trwa i z miejsca swego zawistnej nawet i natarczywej fortunie zegnać i poruszyć się nie daje. Albowiem, co się tyczy rozkoszy, to, chociaŜby w niej kto i po uszy brodził, chociaŜby się weń przez wszystkie wrota wlewała, chociaŜby umysł jego nie wiem jakimi przynętami swemi ludziła i jedne po drugich podsuwała — przecie moŜe-li się kto takowy znaleźć między ludźmi, bodaj ślad tylko i wizerunek mający człowieka, któryby we dnie i w nocy chciał dogadzać poŜadliwości? zaniechawszy całkowiec duszę, jedynie ciału słuŜyć?

VI. Ktoś mi powie, Ŝe przecieŜ i dusza w tej rozkoszy uczestniczyć będzie. Dobrze, niech uczestniczy, niech niby na tronie zasiądzie na wszelkiej lubieŜności i rozkoszy; niech się upoi tem wszystkim, co jeno zmysły ludzkie łechce. Nadto niech minione rozkosze przywoła, juŜ zwietrzałe niech wspomina i niemi się uwesela; niech wyprzedzi te złe, które mają nastąpić, i niech się upaja nimi; gdy ciało brodzi w pełnej obecnej rozkoszy, niech myśl do przyszłych biegnie — ale ten człowiek będzie mi się właŝnie najnędzniejszym wydawał, albowiem obierać sobie złe zamiast dobrego, toć przecieŜ istne szaleństwo. Bez rozumu nikt szczęśliwy być nie moŜe — a czyŜ jest taki rozum, który sobie Ŝyczyłby, niby coŝ szacownego, rzeczy, która mu jest szkodliwa? Więć ten mi jest szczęśliwy, który zdrowy ma rozsądek; ten szczęśliwy, który na własnem, jakickolwiek ono jest, rad przestaje, kontent ze swego; ten szczęśliwy, który z gruntu połoŜenie i obrót rzeczy swoich poznaje. Wiedza nawet ci, co rozkosz największem szczęściem mienili, na jak brzydkim miejscu je osadzili; przeto ku obronie własnej mówią, Ŝe niepodobna rozkosz od cnoty oddzielić, Ŝe nikt nie moŜe Ŝyć cnotliwie, Ŝeby zarazem nie Ŝył rozkosznie; ani teŜ rozkosznie, iŜby oraz i cnotliwie nie Ŝył. Aleć ja nie widzę, jak to moŜna te rzeczy, tak dalekie od siebie i róŜne, związać i spoić w jedno. Dlaczego to, proszę, rozkoszy nie moŜna oddzielić od cnoty? czy dlatego, Ŝe cnota jest nasieniem i początkiem wszelkiego dobra? Ŝe to z tego źródła wypływa i to, co wy miłujecie i poŜadacie? Lecz gdyby to było nierozdzielne, nie byłyby niektóre rzeczy rozkoszne, a zaś nieuczciwe; a zaś inne właŝnie uczciwe, ale gorzkie i z trudemosiągalne.

*Tłum. D. Piłchowski.*

*Popraw. M. St. Popławski.*

## PETRONJUSZ ARBITER

(um. w r. 65 po Chr.)

### UCZTA TRYMALCHJONA

(Księgi satyr, Satiricon libri)

Zajęci byliśmy temi wykwiętami, gdy wśród gędźby instrumentów wniesiono Trymalchjona, leŜącego na malutkich poduszkach, co kilku nieroztropnych pobudziło

do śmiechu; ogoloną bowiem głową sterczał ze szkarłatnego szlafroka, a wokół okutanej szatą szyi miał jeszcze chustę o szerokim czerwonym brzegu, z wiszącymi z lewa i z prawa frendzlami. Na małym palcu lewej ręki miał też wielki, pozłacany pierścień, na ostatnim zaś członie następnego palca mniejszy, jak mi się zdawało, cały złoty, który jednak wysadzony był przyłutowanymi żelaznymi gwiazdkami. I aby nie tylko te okazać bogactwa, obnażył prawe ramię, ozdobione złotym naramiennikiem i obręczą z kości słoniowej, z lśniącą sprzążką. Podlubawszy w zębach srebrnym wykałaczem, rzekł:

— Przyjaciele, wprowadźcie nie chciało mi się jeszcze przyjść do jadalni, lecz aby nie wstrzymywać was swoją nieobecnością, odmówiłem sobie wszelkiej przyjemności. Pozwolicie jednak, że skończę grę.

Wszedł za nim chłopiec z deską do gry z terebentynowego drzewa i kostkami z kryształu, i zauważyłem coś niezwykle wykwintnego: miał białych i czarnych kamieni miał denary złote i srebrne. Tymczasem, gdy wśród gry wyczerpał wszystkie grube żarty, wniesiono nam, bawiącym jeszcze przy zakąskach, tacę z koszem, w którym znajdowała się drewniana kura z rozpostartymi wkoło skrzydłami, jak to zwykły czynić kury, wysiadujące jaja. Przystąpili dwaj niewolnicy, zaczęli przeszukiwać przy huczącej muzyce słomę i rozdawać biesiadnikom wygrzebywane ciągle jaja pawie. Trymalchjon zwrócił spojrzenie na tę scenę i rzekł:

— Przyjaciele, kazałem podłożyć kurze pawie jaja. I zaprawdę boję się, że już są w załęgu, zobaczmy jednak, czy dadzą się jeszcze wycmoktać.

Otrzymujemy więc łyżki, które nie ważyły mniej niż pół funta, i przebijamy z tłustej mąki podrobione jaja. Ja o mało nie wyrzuciłem swej części, gdyż zdawało mi się, że jest tam już piskłę. Gdy jednak usłyszałem bywałego biesiadnika: «Tu musi być coś dobrego» — zbadłem skorupę ręką i znalazłem bardzo tłustą figojadkę, otoczoną pieprzowem żółtkiem. Trymalchjon przerwał już grę, kazał sobie również podać wszystkiego, upoważniając nas głośno, jeśliby ktoś chciał, nalać sobie powtórnie miodowego wina, gdy nagle orkiestra daje znak i śpiewający chór porywa szybko zakąski. Gdy w powstałem przez to zamieszaniu upadł na ziemię półmisek, a niewolnik go podniósł, zauważył to Trymalchjon, kazał spoliczkować chłopca i znowu cisnąć półmiskę. Potem przyszedł niewolnik od sprzętów domowych i miotłą wymiółł srebro z innymi śmieciami. Następnie weszli dwaj długowłosi Etyjopowie, z małymi bukłakami, jak ci, którzy rozsypują piasek w amfiteatrze, i lali wino na ręce, gdyż wody nikt nie podał. Gdyśmy pochwalili pana za ten wykwint, on rzekł:

— Każdemu równe prawo. Przeto poleciłem wskazać każdemu osobny stół. Zarazem wstrętni niewolnicy swą cizbą mniej będą nam sprawiać gorąca.

Natychemiast przyniesiono szklane, gipsem starannie zatkanie amfory, które miały na szyjach przytwierdzone kartki z napisem: «Stuletni Falern, z lat Opimjusza». Gdyśmy badali napisy, klasnął Trymalchjon w ręce i rzekł:

— Ach, więc wino żyje dłużej, niżeli człek. Więc weselmy się. Wino to życie. Podaję prawdziwe opimjańskie. Wczoraj nie postawiłem tak dobrego, choć o wiele przyzwoitsi ludzie wieczierzali u mnie.

Gdyśmy więc pili i najdokładniej podziwiali wszystkie wykwinty, niewolnik wniósł srebrny szkielec, tak urządzony, że można było jego stawy i kręgi wyginać na wszystkie strony. Gdy rzucił go kilkakrotnie na stół, tak, że ruchome wiązanie przybrało kilka postaw, Trymalchjon dorzucił:

Biada nam nędznym, niczem nie jest człowiek cały.  
Wszyscy będziemy tacy, gdy nas Orkus schłonie,  
Przeto też żyjmy, czas nam teraz się weselić.

Po ogólnym poklasku nastąpiło danie, któregośmy wprowadzić nie oczekiwali, jednak nowość jego zwróciła na nie oczy wszystkich. Okrągła bowiem taca mieściła dwaście znaków niebieskich, rozłożonych w kolejnym porządku, a wynalazca ułożył na każdym właściwą mu i odpowiednią potrawę: na Baranie barani groch; na Byku kawał wołowiny; na Bliźniętach jądra i nerki; na Raku wieniec; na Lwie figę afrykańską; na Pannie macicę młodej maciory; na Wadze rzeczywistą wagę, która na jednej szali

dźwigała ciepły placek, na drugiej inne ciasto; na Niedźwiadku rybkę morską; na Strzelcu zająca; na Koziorożcu langustę; na Wodniku gęś; na Rybach dwa bolenie. Na środku zaś była świeżo skoszona murawa, a na niej plaster miodu. Egipski niewolnik podawał wkoło chleb na srebrnej panwi. I on także wykrztuszał z siebie wstrętne skrzeczącym głosem pieśń z widowiska «Asafetyda». Gdyśmy nieco smętni przystąpili do tak lichych potraw, rzekł Trymalchjon:

— Radzę zacząć ucztę.

Gdy to rzekł, czterej słudzy przy wtórce orkiestry przybiegli krokiem tanecznym i zdjęli górną część tacy, poczem ujrzeliśmy pod nią tłusty drób i swińskie wymiona, a pośrodku zająca opatrzonego skrzydłami, tak, że wyglądał jak Pegaz. Spostrzeżliśmy też w kątach cztery figury Marsjasza, którym z buklaków płynęła pieprzona polewka na ryby, pływające w rodzaju okolnego kanału. Klasnęliśmy wszyscy, do czego służba dała znak, i z śmiechem rzucamy się na wyborne rzeczy. Niemniej Trymalchjon, ucieszony udaniem się podejścia, rzekł:

— Kraj!

Natychmiast przystąpił krajczy i dzielił potrawę, wykonywając ruchy w takt muzyki, tak, iż sądziłbyś, że widzisz woźnicę ścigającego się o nagrodę przy wtórce organów. Jednak Trymalchjon powtarzał ciągle przewlekłym głosem:

— Kraj! Kraj!

Przypuszczałem, że w tem tak często powtarzanem słowie kryje się jakiś żart, i ośmieliłem się zapytać o to tego, który leżał powyżej mnie. I ów, który już częściej uczestniczył w podobnych zabawach, rzekł:

— Widzisz tego, który dzieli danie: zwą go Kraj. Więc ilekrotnie mówi «Kraj», tem samem woła go i wydaje mu rozkaz. Nie mogłem już więcej wziąć ani kaska, lecz zwróciłem się do swego sąsiada, by dowiedzieć się możliwie najwięcej; sięgnąłem daleko i spytałem, kto jest owa niewiasta, krzątająca się tam i sam.

— Zona Trymalchjona — rzekł — zwie się Fortunata; mierzy pieniądze korcem. A niedawno jeszcze czemuś była? Nie ubliżając ci, nie byłbyś wziął z jej ręki kawałka chleba. Teraz, Bóg wie jak i czemu, żyje niby w niebie i jest prawą ręką Trymalchjona. Słowem, gdy mu w jasne południe powie, że jest noc, on uwierzy. On sam nie wie, co posiada, tak jest bogaty, lecz ta bestja doziera wszystkiego i wszędzie, gdzieby ci na myśl nie przyszło. Jest trzeźwa, wstrzemięźliwa, umie dobrze poradzić, ale ma zły język, gadatliwa sroka. Jeśli kogo lubi, to lubi; kogo nie lubi, to nie lubi. Trymalchjon ma dóbr, ile jastrzęb przeleci, i pieniędzy, jak siana. W izbie jego odzwierczonego jest srebra więcej, niż inny ma w całym majątku. A cóż dopiero jego niewolnicy! Do licha! Nie wiem, czy dziesiąta ich część zna swego pana! Zresztą tak się go boją, że kryją się przed nim w mysią dziurę. I nie myśl, że musi cokolwiek kupować. Wszystko rodzi się na jego gruncie: wełna, pomarańcze, pieprz i, jeśli byś szukał ptasiego mleka, znajdziesz je. Wogóle wełna, którą wytwarzał, nie była dlań dość dobra: sprowadzał barany z Tarentu i uszlachetniał swą trzodę. By u siebie wytwarzać miód attycki, kazał przywieźć pszczoły z Aten; równocześnie ulepszył tutejsze, mieszając je z greckimi. Oto w tych dniach napisał, by przysłano mu z Indyj nasienie grzybów. Nie posiada żadnego muła, któryby nie pochodził od dzikiego osła. Widzisz te wszystkie poduszki: niema ani jednej, by nie była wypchana purpurową lub szkarłatną wełną. Ma wszystko, czego dusza zapagnie. Także innych jego współwyzwoleńców nie wolno lekceważyć: wszyscy są bogaci. Widzisz tego, który leży najniżej u dołu; ma dziś ośmset tysięcy majątku. Zaczął od niczego. Niedawno jeszcze nosił drwa na plecach. Lecz, jak ludzie mówią — ja nie wiem nic pewnego, tylko słyszałem — ukradł Koboldowic zapkę i znalazł skarb. Nie zazdroścę nikomu, jeśli mu Bóg co dał. Lecz on jest pyszałkiem i źle sobie nie życzy. Więc niedawno wywiesił ogłoszenie z takim napisem: «Gajus Pompejusz Diogenes odnajmuje od 1 lipca mieszkanie, bo kupił sobie dom». Ow zaś, który leży na miejscu wyzwolenca, ma się także dobrze. Nie ciskam w niego kamieniem. Miał miljonik, ale stanął nad przepaścią. Sądzę, że włosy na głowie nie należą do niego, lecz to, dalibóg, nie jego wina; niema lepszego nadeń człowieka; ale lotry wyzwolenicy zagrabilili mu wszystko. Wiedz: gdzie kucharzy sześć, tam niema co iść, i gdy bieda w progi, przyjaciele w nogi. A jakie zacne miał rzemiosło, poto, by

zostać tem, czem go widzisz. Był przedsiębiorcą pogrzebowym. Zwykł być jadać jak król: całe dziki w skórce, pasztety, ptactwo, kucharze, cukiernicy! Pod stołem rozlewano więcej wina, niż inny miał w piwnicy. Książę z bajki, nie człowiek. Gdy mu się noga powinęła i gdy bał się, by wierzyście nie uznali go bankrutem, ogłosił w ten sposób przetarg: «Gajus Juljusz Prokulus wystawia na przetarg rzeczy zbyteczne».

Te miłe gadki przerwał Trymalchjon, bo już uprzątnięto danie, i weseli biesiadnicy zaczęli zabierać się do wina, i ogólna wszczęła się rozmowa.

*Tłum. Leopold Staff.*

## MAREK WALERJUSZ MARCJALIS

(40—98 przed Chr.)

### EPIGRAMATY

#### Do czytelnika (I, 1)

Chcesz się dowiedzieć czegoś o poecie?  
— To ja, Marcyal, znany w całym świecie  
Z mych fraszek, pełnych soli i pieprzyku,  
Któremuś stale życzliw, czytelniku;  
Bo jeszcze żyję, a już mam od ciebie,  
Co drugi rzadko aż po swym pogrzebie.

#### Ogłoszenie (I, 2)

Chcesz, li mnie, czytelniku, mieć zawsze przy boku,  
Chcesz, bym ci towarzyszył w podróżnym tłumoku,  
Kup mię, w pergaminową strojnego koszulę:  
W dłoni się zmieszczę; wielki niech siedzi w szkatule.  
Abyś jednak po Rzymie nie błąkał się marnie,  
W której mię możesz dostać, wymienię księgarnię:  
Wiesz, gdzie forum Minerwy i Pokoju strony?  
Tam księgarz, co go Luceus wyzwolił uczony.

#### Zagadkowa błądź (I, 77)

Błądź Charyn wygląda, a zdrowy na ciele;  
Błądź Charyn wygląda, a pije niewiele;  
Błądź Charyn wygląda, a wybornie trawi;  
Błądź Charyn wygląda, a rad w słońcu bawi;  
Błądź Charyn wygląda, a barwi twarz przecie;  
Błądź Charyn wygląda, a liże — co? — wiecie.

#### Issa (I, 109)

Issa — wróbelek Katulla dziewicy,  
Issa — czyściutka jak dziób gołębiczy,  
Issa — od dziewiczych smaczniejsza całusów,  
Issa — skarb droższy od pereł Hindusów,  
Issa Publjusza ukochana psina.  
Zaskomli: myślisz, że mówić zaczyna;  
Smutek i radość odczuwa jak człowiek.  
Z główką podpartą śpi, przymknawszy powiek,  
Tak, że głośnego nie słyhać chrapania;  
Nawet zmuszona do długu oddania,

Ani kropelką postania nie maże,  
 Lecz, skrobiąc nóżką, znieść z łóżka się każe.  
 Jest też wstydliva, wzór niewieściej cnotki,  
 Nie wie, co Wenus, i takiej istotki  
 Psiak pierwszy lepszy nie godzien, by dostał.  
 By i po śmierci ślad z niej jaki został,  
 Publjusz konterfekt maluje na drzewie,  
 A tak podobny, że nikt dobrze nie wie,  
 Psinę i obraz zestawiwszy razem:  
 Czy obraz psiny, czy psina obrazem;  
 Powiesz, że albo dwie psiny prawdziwe,  
 Lub dwa obrazy psiny jakby żywe.

#### Marzenia poety (II, 90)

Kwintyljanie, mistrzu młodzieży niestalej,  
 Chwalo rzymskiej palestry i mówco wspaniałej!  
 Że śpieszę użyć życia, biedak i niestary,  
 Przebacz: nigdy zbyt wcześnie z żywota pić czary.  
 Niech zwleka, kto się pragnie fortuny dorobić  
 I wspaniale przodkami salony ozdobić:  
 Mnie wystarczy ognisko, zakopcone ściany,  
 Dość mi trochę murawy i wody źródlanej;  
 Sługa syt mi niech będzie, żonka nieuczona,  
 Dzień procesem niezmaçon, noc dobrze prześniona.

#### Duch mały (III, 72)

Żeś za dwieście tysięcy kupił niewolnika,  
 Że wino z czasów Numy gardło twoje łyka,  
 Żeś za sprzęt wcale skromny sto tysięcy stracił,  
 Żeś na funcik sreberka pięć tysięcy płacił,  
 Że na powóz złocisty wioska poszła cała,  
 Dom za cenę mulicy kupiłbyś bezmała:  
 Myślisz, że w tych sprawunkach duch widać wspaniałej?  
 Mylisz się grubo, Kwincie: duch to nazbyt mały.

#### Łysek (V, 49)

Gdym cię onegdaj ujrzał, Labienie,  
 «Jakto, trzech — rzekę — a jedno siedzenie?»  
 Liczba twych łysin zwiodła moje oczy.  
 Tu i tam włosy masz nakształt warkoczy,  
 Coby ozdobą być mogły młokosa,  
 A środek goły, że jednego włosa  
 Dostrzec na całej nie można łysinie.  
 Tej to zapewne zawdzięczasz przyczynie,  
 Że kiedy cesarz dał w grudniu śniadanie,  
 Tyś trzy koszyczki wziął, mój łysy panie.  
 Jest jednak «ale», jest ujemna strona:  
 Tak wyglądała postać Geryjona;  
 Portyk Filipów straszny twój osobie:  
 Niechno cię Herkul dostrzeże — po tobie!

## Długi język (V, 52)

Co dałeś, to mi zawsze w pamięci tkwić będzie.  
 — Czemu więc milczę? — pytasz. — Bo ty mówisz wszędzie.  
 Zacznę mówić o darach, o twym sercu złotem,  
 Wnet mi przerwą: «Już wiemy, sam nam mówił o tem».  
 Pocóż dwóch? Jeden w każdym wystarczy wypadku;  
 Chcesz-li, żebym ja mówił, nie mówże ty, bratku!  
 Dary nawet największe, wierzaj mi, Postumie,  
 Marnuje, kto języka powściągnąć nie umie.

## Pocałunków liczba (VI, 34)

Ile chcę pocałunków? — Zabawne pytanie:  
 Fale, Diadumenie, policz w oceanie,  
 Policz muszle do jednej egejskich wybrzeży,  
 Rój pszczół policz cekropskich, co na okwiat bieży,  
 Policz w pełnym teatrze głosy i oklaski,  
 Gdy się Cezar ukaże nagle, szafarz łaski.  
 Mnie za mało śpiewających Katulla zdobyczy,  
 Wymodlonych od Lesbji: mało ma, kto liczy.

## Antyki (VIII, 6)

Istna plaga — antyki Anкта starowiny;  
 Stokroć wolę już czarki z saguntyńskiej gliny.  
 Gdy każdego zamierzchnie opowiada dzieje,  
 Od gadulstwa tymczasem już wino spleśnieje.  
 «Laomedonta stoły te kulki widziały!»  
 «Mury wznosił Apollo za ten dar wspaniały!»  
 «Tym dzbanem na Lapitów, wiesz, podczas biesiady,  
 Ret grzmotnął: patrz, tu jeszcze wyraźne są ślady!»  
 «Ten podwójny puharek — dawnych dziejów karta:  
 Gołabka lśni się, palcem Nestora wytarta!»  
 «Ten to kielich, z którego Achilla drużyna  
 Dużo piła z przychęty ognistego wina!»  
 «Z tej czarki do Bitjasa przypijała szczerze  
 Nadobna Dydo, dając Frygowi wieczerzę!»  
 — Słuchasz zdumion, a gdy ci już wszystko pokaże,  
 Wychylasz Astjanaksa w Pryjamowej czarze<sup>1</sup>.

## Milcząca wymowa (VIII, 7)

To mi, Cynno, obrona! To świetność wymowy!  
 W dziesięć godzin dziewięciu popisać się słowy!  
 Czterech klepsydr przed chwilą żądałeś upornie:  
 Już to, Cynno, co milczeć, to umiesz wybornie!

## Niezrównany Cezar (VIII, 26)

Mniej tygrysów za sobą ma jeździec gangecki,  
 Gdy wybrał młode z gniazda i zmyka, zdradziecki,  
 Niżli teraz ich widział Rzym twój, Germaniku:  
 Nawet policzyć nie mógł swych uciech bezliku.

<sup>1</sup> To zn. bardzo młode wino w bardzo starym kubku.

Erytrejskie, Cezarze, zaćmiłeś pochody  
 I skarby, i bogactwa, jakie miał Bach młody;  
 Bo kiedy gnał przed sobą zgromionego wroga,  
 Jedna para tygrysów ciągnęła rydwan boga.

Pałac Cezara (VIII, 36)

Z cudów świata, piramid, Cezarze, kpij śmiecie:  
 Już Memfis barbarzyńska milczy o swem dziele.  
 Cóż gmach mareotycki przy parraskim dworze?  
 Nic wspanialszego dzień nie widziały zorze:  
 Siedm gór, jedna nad drugą, wznosi się na oko;  
 Nie sięgały Pelijon tak z Ossą wysoko;  
 Szczytem gwiazd tyka jasnych, że jeden w lazurze  
 Gromy słyszy, huczące gdzieś pod sobą w chmurze,  
 I ukrytą się cieszy twą śmiałością, Febie,  
 Nim Cyrce twarz ojcowską zobaczy na niebie.  
 Ten pałac, Augustie, co głową gwiazd tyka,  
 Z niebem walczy o lepsze, lecz przy tobie — znika.

Do Nerwy (XI, 5)

Słuszność i sprawiedliwość u ciebie rej wiedzie,  
 Jak u Numy, Cezarze; lecz Numa żył w biedzie.  
 To sztuka, gdy z bogactwem cnota się nie kuma,  
 Gdy Krezusów pobiwszy, ciągleś jeszcze Numa.  
 Gdyby na świat przesławni wrócili przodkowie,  
 Kamilby cię uwielbiał, wolności obrońca,  
 Przyjął złoto Fabrycy, choć czystszy od słońca;  
 Brutusby się pogodził z twemi rządami butny,  
 Rzymu sterby ci chętnie zdał Sulla okrutny;  
 Wielkiby cię Cezarem bez władzy czcił szczerze,  
 Krassus wszystkie swe skarby złożył ci w ofierze;  
 By Katon nawet wrócił z krainy cieniej,  
 Szczęśliwszego nie byłoby nadeń monarchisty.

Darowana wioska (XI, 18)

Wioskę mi dałeś podmiejską łaskawie:  
 Większą ja w oknie mam wieś na wystawie.  
 I to u ciebie ma być wieś prawdziwa,  
 Gdzie grzędka ruty gajem się nazywa?  
 Co głośniejsze skrzydło cykady przykryje,  
 Czem mrówka jeden ledwie dzionek żyje?  
 Gdzie pączek róży za wieniec uchodzi,  
 A ziół i trawy tyle prawie wschodzi,  
 Co listków kosma, papryki niezrętej?  
 Gdzie się ogórek nie pomieści cały,  
 Gdzie wąż ogonem sięga w łan sąsiada,  
 A jedna z głodu gąsienica pada?  
 Gdzie wierzbę zjadłszy, komar marnie ginie,  
 Gdzie kret mi orze i kopie w nowinie?  
 Gdzie grzyby rozrość, figi się otworzyć,  
 Fiołki listków nie mogą rozłożyć,  
 Gdzie z Kalidonu mysz, udając dzika,  
 Strach na biednego rzuca osadnika?

Gdzie co wysiejesz w polu na zagony,  
 Na gniazdo Progny zaniosą wnet szpony,  
 Gdzie Pryjap, chociaż bez kosy i koła,  
 Ledwie w polowie pomieścić się zdola,  
 Domek ślimaczy — sąsiakiem na zboże,  
 Winiarz w orzeszek moszcz wszystek wlać może?  
 Chybiłeś, Lupie, w swych darów wyborze;  
 Mała literka, a tak wiele znaczy:  
 Nie «wieś» — «jeść», Lupie, dać mi było raczej!

#### Okrutne lekarstwo (XI, 71)

Powie chłopu staremu żona z miną trusi,  
 Że jako histeryczka przespać się z kim musi;  
 Doda z płaczem, że tyle jej zdrowie nie znaczy,  
 Że więc postanowiła mocno umrzeć raczej.  
 Mąż błaga, żeby żyła w młodocianej porze,  
 I pozwala, na co sam zdobyć się nie może.  
 Zjawiają się lekarze — doktorki z komory —  
 Nogi wgórze — o, co za okrutne doktory!

#### Żyd poeta (XI, 94)

Żeś mi oplwał me książki jadem wścieklej piany,  
 Wybaczam: tyś niegłupi, wieszczu obrzezany.  
 Że mi kradniesz wierszyki, przedmiot swej przygany,  
 Nie mam za złe: masz rozum, wieszczu obrzezany.  
 To karci, że ty, na świat w Solimach wydany,  
 Chłopca mi bałamucisz, wieszczu obrzezany.  
 Przeczysz i klniesz się głośno na posąg Grzmiciela?  
 Nie wierzę: klnij się, żydzie, na swego Jankiela!

#### Mój gust (XI, 100)

Nie dla mnie, Flakku, wiotka na kochanie,  
 Co jej ramiączko mój pierścień obstanie,  
 Co tylcem ryje, a kolanem rani,  
 W grzbiecie ma piłę, grot u starej pani.  
 I centnarowe nie dla mnie rozkosze:  
 Mięso rad jadam, lecz sadła nie znoszę.

#### Nerwa (XII, 6)

Łagodny zasiadł Nerwa, zasiadł na auzońskim tronie,  
 I znów błąkać po całym wolno Helikonie;  
 Prawość, życzliwa łaska i ostrożna władza  
 Znów wracają, już strach się długi wyprowadza;  
 Państwa proszę i ludy, twoje, Rzymie, sługi,  
 By władców miały takich, ten miał żywot długi.  
 Szczęśliwyś, duchu, rzadkim statkiem obdarzony:  
 Szczyciłyby nim się mogły Numy i Katony.  
 Szafować, ręczyć, braci pomagać ubogiej  
 I dawać, co szczęśliwe dają ledwie bogi,  
 Nie grzech teraz i wolno. — Tyś i pod złym panem  
 Miał odwagę cnotliwym być i nieskalanym.



## Trajan (XII, 8)

Roma bogini, co ludziom i światu  
 Królewskiem włada prawem majestatu,  
 Z radością oczy utkwivszy w Trajanie,  
 Długie, szczęśliwe wróży panowanie;  
 A bacząc postać dziarskiego młodziana,  
 Mądrą wielkiego powagę hetmana,  
 Chłubi się władzą, wyzywa narody:  
 Perskie księżęta, serskie wojewody,  
 Brytony, Gaty, Traki, Sauromaty,  
 Patrzcie: nasz Cezar! — no, bliżej, psubraty!

*Tłum. J. Czubek.*

## KORNELJUSZ TACYT

(ur. w r. 55, um. prawdopodobnie w r. 120 po Chr.)

## ROCZNIKI

## Śmierć Augusta i początek rządów Tyberjusza (z ks. I)

[Śmierć Augusta i początek panowania Tyberjusza (I 1—11).]

W Rzymie na początku królowie panowali; Brutus wolność i konsulów postanowił; dyktatorów do czasu brano: władza decemwirów po dwóch latach ustała; trybunowie wojskowi przez krótki czas tylko konsulów zastępowali; Cynna i Sulla krótko rządili; los wojenny rychło potęgę Pompejusza i Krassusa do Cezara, a Lepida i Antonjusza do Augusta przeniósł; ten skołataną domowemi wojnami Rzeczpospolitą sam jeden ogarnął pod imieniem Pierwszego Senatora. Lecz starożytnych Rzymian sławę i szwanki wspaniałe pióra następnym przekazały wiekom; nie zbywało też na drobnych talentach do opisania czasów Augustowych, póki wzrastające coraz schlebianie nie nakazało milczeć. Dzieje Tyberjusza i Kaliguli, Klaudjusza i Nerona za życia ich bojaźń pochlebstwem napoiła, po zejściu ze świata świeża nienawiść jadem napelniła. To mi pochop daje, ażebym, dotknąwszy końca panowania Augusta, pisał o Tyberjuszu i następcach jego, bez żółci i bez stronniczości, bo od przyczyn tego całe daleki jestem.

Kiedy po klęsce Kasjusza i Brutusa, a po zgnębieniu przy Sycylji Sekstusa Pompejusza, wolność republikańska została bez obrony; kiedy w stronnictwie Cezara ze śmiercią Antonjusza i wycięciem z wojsk Lepida władza przeszła na pozostałego z wodzów, na Augusta — na ów czas August, złożywszy godność triumwira, za konsula się tylko i trybuna ludowego podawał, do obrony pospolitego ludu. Wkrótce potem, przyłudzniejszy gminny lud rozdawaniem żywności, a żołnierza pieniędzmi, a wszystkich słodyczą pokoju, począł August powoli się szerzyć, władzę senatu, urzędów i praw do siebie jednego garnać, w czem mu się nikt nie oparł, bo najżarliwsi ojczystych swobód obrońcy częścią w bojach, częścią na wygnaniu poginęli. Reszta możniejszych, widząc, że skwapliwie przyjęte jarzmo opłaciło się im dostatkami i dostojnością, wzbogaceni nowego rządu obłowem, woleli spokojnie korzystać z obecnego stanu rzeczy, niżeli z niebezpieczeństwem utraty majątków domagać się dawnych swobód. Same nawet prowincje nie miały za złe odmiany, jaka się odbywała, albowiem zozydliły sobie uciążliwe senatorów i ludu panowanie dla ustawicznych między możniejszymi zawiści i rozterek, dla zdzierstwa urzędników, dla słabej stępiatych praw powagi, które naskutek gwałtów i stronnictw, i przekupstwa całkowicie upadły.

Potem August podporę panowania swego, niedorosłego jeszcze siostrzeńca Marcella, uczynił arcykapłanem i edylem kurulnym; Marka Agrypę, człowieka pochodzącego z niskiego rodu, ale wielkiego wojownika i towarzysza zwycięstw, dwakroć wyniósł do godności konsula, a po zmarłym Marcellu za zięcia obrał; Tyberjusza i Druza, pasierbów, obdarzył imperatorską godnością, a to przy życiu jeszcze własnych wnuków; bo Gajusa i Lucjusza, urodzonych z Agrypy, adoptował do rodziny Cezarów, lubo jeszcze

z drobnych lat nie wyszli, a udając niechęć, jak najzarliwiej pragnął widzieć ich na czele młodzieńców rzymskiego i senatorskiego stanu. Po śmierci Agrypy, Lucjusz jadący do wojsk hiszpańskich, a Gajusa powracającego z Armenji i raną osłabionego, bądź śmierć ukwapliwa, bądź zdrada macosza Liwji sprzątnęła; Druzus dawniej jeszcze zszedł ze świata: a tak na pozostałego z pasierbów Tyberjusza wszystkie się względy obróciły. Uznał go August za syna, za kolegę, za uczestnika w trybuńskiej władzy; ukazywał go wszystkim wojskom, nie skrytymi jak dawniej chytrej matki sztukami uludzony, lecz za jawnem naleganiem; albowiem tak starca opętała, że na jej prośbę ostatniego z wnuków, Agrypę Postuma na wyspę Planazję wygnął; prostak był to wprawdzie i tylko z fizycznej siły głupio się pysznił, lecz żadnej zbrodni nie popełnił. Co do Germanika, syna Druzowego, postawił go nad ośmiu legjonami stojącymi nad Renem i kazał Tyberjuszowi adoptować go na syna; nie żeby Tyberjusz był bezpotomny, lecz żeby panujący dom liczniejsze miał podpory. Jedna tylko naówczas pozostała wojna z Germanami, dla zmycia raczej hańby narodu rzymskiego z pamiętnego pod Kwintyljuszem Warusem wojsk pogromu, niżeli dla rozszerzenia granic państwa lub dla jakiej godnej korzyści. Wewnątrz państwa zupełna spokojność panowała; te same urzędy rządzące pozostały; młode pokolenie po zwycięstwie aktyjskiem na świat przyszło, a starszego większa część za domowej się wojny porodziła. Wieleż tych zostało, co nieskrepowane obywatelskie prawa widzieli?

Z wywróconym Rzeczypospolitej rządem żaden starożytny zwyczaj w całości nie został; spodłala równość, każdy się tylko na pańskie skinienia oglądał i mało się frasował, dopóki August w kwitnących latach siebie, dom swój i pokój publiczny dźwigał. Lecz kiedy zwątlone wiekiem i słabością siły gasnąć poczynaly, a bliski zgon otwierał pole dla nowych nadziei, wtedy jedni próżne nad stratą dawnej swobody rozwodzili żale, drudzy się lękali wojny, albo też sobie jej życzyli, a najwięcej było tych, co o wiszących nad karkiem władcach różne rozpuszczali pogłoski: że Agrypa, z przyrodzenia dziki, a srożej jeszcze obelgą wysłania rozdąsany, ani wiekiem, ani rzeczy doświadczeniem takiemu ciężarowi nie dorówna; że Tyberjusz ma i lata dostateczne, i serce waleczne, lecz że pelen jest wpojonej zdawna rodzinie Klaudjuszów hardości, pelen okrucieństwa, które przez misterną nawet obłudnej skromności zasłonę jawnemi się znakami przedzierało; że wychowany z pieluszek w domu panującym, nabral większej jeszcze dumy przez objęcie w młodych jeszcze latach konsularnej godności, przez sprawowanie triumfalnych wjazdów; że nawet tego czasu, kiedy pod pozorem uchylenia się od miejskiego zgielku na wyspie Rodus był wygnańcem, nie myślał tam o niczem innem, jeno o zemście, o obłudzie i o pokątnych bezwstydach. Cóż będzie, kiedy do własnego umysłu, który ulega chuciom, niewieści hardej matki przymiesza umysł? Przyjdzie służyć kobiecie i dwom młodzieńcom, którzy Rzeczypospolitą uciskać będą, zanim ją na kawalki rozerwą.

Gdy te i tym podobne rozmowy bawiły stolicę, pogorszyło się Augustowi na zdrowiu; niektórzy zwalali to na zbrodnię żeńską. Słychać albowiem było, że August przed kilku miesiącami wyjeżdżał na wyspę Planazję w towarzystwie Fabjusza Maksyma i kilku sług poufanych, dla widzenia się z Agrypą; że tam wzajemne miłości oświadczenia i wylane z obu stron lzy hojne czyniły otuchę, że ten młodzieniec ma powrócić do domu swego dziadka. Tej tajemnicy zwierzył się Maksym żonie swojej Marcji, Marcja powiedziała Liwji, aż też i do Cezara się doniosło. Wkrótce potem, gdy Maksym życia dokonał (niewiedzieć czy przyrodzoną, czy nienaturalną śmiercią), słyszano na jego pogrzebie narzekania Marcji, że była powodem zguby dla męża. Jakkolwiek to było, ledwo Tyberjusz wszedł do Illiryku, odwołał go do Italji list terminowy od matki Liwji i niewiadomo, czy-li żywego jeszcze Augusta w Noli, czy też umarłego już zastał; bo Liwja osadziła pałac i wszystkie drogi silnemi wartami, rozsiewając niekiedy dobre pogłoski o zdrowiu męża, póki po opatrzeniu wszystkiego, czego czas wymagał, i śmierci Augusta, i następstwa Tyberjusza razem nie ogłoszono.

Pierwszą nowego panowania robotą było zamordowanie Agrypy, którego, lubo o niczem nie wiedział i broni nie miał, ledwo zachęcony do tej zbrodni centurjon z trudnością pokonał. Nic o tem Tyberjusz w senacie nie rzekł, udając wolę ojcowską: jakoby August miał polecić trybunowi wojskowemu, straż nad więźniem mającemu,

aby na pierwszą zejścia jego pogłoskę Agrypę bez zwłoki życia pozbawił. Żalił się wprawdzie nieraz starzec na niesforne młodzieńca tego obyczaje i wyjednał u senatu, że go na wygnanie skazano; nigdy się atoli w gniewie aż do przelania krwi własnej nie zaciekł, i trudno temu dać wiarę, aby dla bezpieczeństwa pasierba własnego wnuka miał życia pozbawić. Podobniejsze jest do prawdy, że Tyberjusz z bojaźni, Liwja z macoszej nienawiści obmierzłemu i podejrzanemu sobie młodzieńcowi śmierć przyspieszyli. Gdy centurjon trybem żołnierskim doniósł o wykonaniu danych jemu rozkazów, nietylko się ich wyparł Tyberjusz, lecz mu jeszcze pogroził, że z zabójstwa tego będzie musiał zdać sprawę przed senatem. O czem gdy się dowiedział Salustjusz, wtajemniczony w pałacowe tajemnice — on to bowiem do trybuna wojskowego list posłał — bojąc się, żeby go na sztych nie wydano, oraz widząc równe dla siebie niebezpieczeństwo, czy fałsz powie, czy prawdę, ostrzegł Liwję, ażeby sekretów rodzinnych i rad przyjacielskich, i posług żołnierskich nie objawiano; aby Tyberjusz władzy swej nie nadwątlął przez wyjawianie wszystkiego senatowi; że na tem jedynie treść panowania stoi, aby ten kto rządzi z samym się sobą tylko rachował.

Tymczasem w Rzymie konsulowie, senatorowie i ekwici ochoczo wpadali do niewoli; im kto był znaczniejszy, tem większą obłudę i skwapliwość okazywał, a przybierając na siebie zmyśloną postać, żeby się z niej ani radość ze śmierci Augusta, ani smutek z powodu następcy jego nie wydawały, lży z weselem, narzekania z pochlebstwami mieszałi. Sekstus Pompejusz i Sekstus Apulejusz, konsulowie, pierwsi przysięgę na wierność wykonawszy, przyjęli następnie takową od Strabona, prefekta pretorjan, i od Turanjusza, prefekta żywnościowego, potem od senatu, od wojska i od ludu; albowiem Tyberjusz wszystko przez konsulów zaczynał, jakby za dawnej jeszcze Rzeczypospolitej, i tak, jakby niepewny panowania; nawet wydając edykt, którym senat na radę wzywał, oświadczył, iż to czyni mocą trybuńskiej władzy, od ojca sobie poruczonej. Treść edyktu krótka i skromna: że się chce naradzić o obchodzie pogrzebowym; że ciała ojcowskiego strzeże i przywłaszcza sobie z publicznych obowiązków jedynie tylko to. Atoli zaraz po zejściu Augusta dał hasło kohortom pretorjanów jako imperator; w pałacu stanęły warty, widać było zbrojnych ludzi i inne objawy majestatowi tylko należnej okazałości; rozesłał do legionów rozkazy, właśnie jakby już najwyższej władzy dostąpił, nigdy nie namyślając się, chyba gdy mu w senacie mówić przychodziło. Przyczyną tej ostrożności była nieufność do Germanika; obawiał się, aby on, mając tyle legionów w rękę i niezliczone od podwładnych plemion posiłki, i niepomierne przywiązanie ludu, aby nie wolał raczej zaraz mieć, niżeli czekać panowania. Puszczal też między ludzi wiadomości, aby wydawało się, że został wezwany i obrany przez Rzeczypospolitą, niżeli, że zagarnął władzę przez żeńskie fortele i przez opętanie niedołężnego starca. Ustalono potem, że ta obłudna skromność chytrze była udana przezeń dla wybadania senatorskich nastrojów; albowiem i słowa, i sam wyraz twarzy brał im za złe, ale zemstę za urazę na czas dłuższy w sercu przechowywał.

Na pierwszym senatu posiedzeniu nic czynić nie dopuścił, krom rozporządzenia pogrzebu Augusta. Czytano testament, przyniesiony przez dziewice Westy, w którym Tyberjusza z Liwją dziedzicami swoimi nazначył, Liwję do rodu Juljuszów przybrał i imię Augusty jej nadał. W drugim rzędzie dziedziców wyznaczył wnuków i prawnuków, w trzecim wybitniejsze w Rzeczypospolitej osoby, po większej części osobiście mu niemile, a to dla sławy i dla chluby u potomnych. Pieniężne zapisy nie przechodziły stanu równości, w tem tylko chyba, że na publiczne potrzeby 100.000 czerwonych złotych, na gmin 84.500, każdemu z pretorjanów po tysiącu, a zwykłym legionowym żołnierzom i straży miejskiej po 300 groszy na głowę wyliczyć rozkazał. Naradzano się potem o honorach pogrzebowych, a najwłaściwsze te wydały się: aby zwłoki niesiono przez bramę triumfalną, aby przed zwłokami niesiono napisy praw przez nieboszczyka ustanowionych, oraz nazwy zwyciężonych przez niego narodów. Pierwszą radę dał Gallus Azynjusz, drugą Lucjusz Auruncjusz; dodał Walerjusz Messala: aby corocznie przysięgę na wierność Tyberjuszowi składano; a zapytany przez Tyberjusza: «Czy to z mego rozkazu proponujesz?» — odrzekł, że to z własnej myśli uczynił, i że we wszystkim, co publicznego dobra tyczy, pójdzie za własnym zdaniem, bez względu na czyjąkolwiek urazę. Takiego oto jeszcze gatunku pochlebstwa brako-

wało! Senat okrzyknął, aby senatorowie nieśli zwłoki do stosu na ramionach. Dał się rzekomo nakłonić hardy Tyberjusz i wydał edykt do ludu, aby jako dawniej przez zbytnie przywiązanie do Juljusza Cezara rozruchy na jego pogrzebie uczynił, tak teraz niech nie napiera się palić ciała Augusta na Forum raczej niżeli na polu Marsowem, miejscu przez samego Augusta do tego wyznaczonem. Gdy dzień pogrzebu nadszedł, stanęli żołnierze niby na straży, z czego się wielu natrząsało, którzy albo od rodziców słyszeli, albo sami patrzyli na ów dzień niestrawionej jeszcze niewoli, kiedy zamordowanie dyktatora Juljusza Cezara jednym się najchwalebniejszym, drugim najbezbożniejszym dziełem być zdało; jakoby osiwały na tronie starzec, ukrzepiwszy długiem panowaniem swą potęgę i opatrzwszy silnych Rzeczypospolitej dziedziców, zbrojnej teraz potrzebował ręki, aby spokojnie zejsz do grobu!

Różne przytem o samym Augustie opowiadano rzeczy; wielu płoche czyniło podziwienia, że tegoż samego dnia umarł, którego niegdyś panować zaczął; że umarł w Noli, w tym samym domu i pokoju, gdzie i ojciec jego Oktawjusz życia dokonał; że jeden tylko dorównał liczbą konsulatów Walerjuszowi Korwinowi i Marjuszowi; że przez trzydzieści siedm lat bez przerwy piastował trybuńską władzę; że go imperatorem dwadzieścia i jeden razy wojska obwołały — cóż mówić o innych, bądź nowo wynalezionych, bądź tylekroć powtórzonych honorach! Lecz roztropniejsi inaczej pochwały lub wady życia jego wytykali. Jedni mówili, że przez miłość dla ojca, Juljusza Cezara, oraz przez nieuchronną Rzeczypospolitej potrzebę, kiedy już prawa zostały pogwałcone, że wtedy został zniewolony do prowadzenia wojny domowej, do której ani się mógł prawnie przysposobić, ani jej toczyć; że dla ukarania morderców ojcowskich musiał wiele Antonjuszowi i Lepidowi pozwolić; lecz kiedy Lepid w gnuśności osiwał, kiedy Antonjusz rozpustą wycieńczony zginął, już nie było zgoła innego środka do ratowania rozerwanej ojczyzny, jak tylko, żeby się jednemu pod rząd dostała. Z tem wszystkim nie pod imieniem króla ani dyktatora rządził, lecz pod swobodniejszym tytułem Pierwszego Senatora sprawowanie Rzeczypospolitej przyjął. On państwo do oceanu i do najdalszych rzek rozprzestrzenił; on prowincje, on siły lądowe i morskie z sobą złączywszy, do jednego celu przywiódł; on podźwignął upadłą sprawiedliwość, utrzymał na wodzy pograniczne narody, stolicę przyozdobił wspaniałemi gmachami, rzadko nader gwałtu zażywał i to chyba dla ubezpieczenia powszechnej spokojności.

Drudzy powiadali przeciwnie: że miłość ku ojcu i nierząd w Rzeczypospolitej były tylko płonny pozorem nieuskromionej żądz panowania, którą pałając, przywabił pieniędzmi weteranów, zaciągnął lud zbrojny, nie mając ani lat, ani prawa po temu, zbuntował legjony konsula, udając chytrze, że trzyma stronę Pompejusza; że dopadłszy za dekretem senatu pretorskiej godności i orszaku liktorów, zaraz po klęsce Hircjusza i Pansy (bądź obaj od nieprzyjacielskiej ręki poległi, bądź on sam sprzątnął z życia Pansę przez zatrucie trucizną rany jego, a Hircjusza przez nastanych zdradziecko własnych żołnierzów), że wojska ich zagarnął, że, wymusiwszy na senacie godność konsula, poruczone sobie przeciwko Antonjuszowi siły na Rzeczpospolitą skierował. Cóż dopiero mówić o tylu proskrybowanych obywatelach, o podziałach gruntu, czego mu ci sami nawet, co z tego skorzystali, nie chwalili; że mógł wprawdzie Bruta i Kasjusza ojcowskiej poświęcić zemście — luboby dla dobra powszechnego prywatne urazy należało w niepamięć puścić — lecz poco Sekstusa Pompejusza oszukał pozorami pokoju, poco Lepida obtudną przyjaźnią? że jego chytryością Antonjusz zawartem w Tarencie i w Brundyzjum przymierzem, małżeństwem z Oktawją ułudzony, podstępny związek głową przyplacił; że stanął wprawdzie pokój, lecz okrutny: nazewnątrz sposoczony klęskami Loljusza i Warusa, w Rzymie morderstwem Warronów, Egnacjuszów i Julusów skrwawiony. Wyrzucano Augustowi nawet prywatne życie: odebrał Klaudjuszowi Neronowi żonę; cynicznie radził się kapłanów, czy może z brzemienią się ożenić; zarzucano niesłychane Atydjusza i Wedjusza Poljona zbytki; srogą Liwji nad Rzeczpospolitą opiekę, macoszą jej ku domowi Cezarów nienawiść; zhańbienie bogów przez budowanie sobie świątyń, przez stawianie sobie posągów, przez wymuszanie czci boskiej na kapłanach; nakoniec wybranie Tyberjusza na następcę nie z miłości ku ojczyźnie lub troski o jej dobro, lecz dlatego, że, upatrzwszy w nim

dumę i okrucieństwo, sławy sobie u potomności z najzłośliwszego zestawienia z następcą szukał! Jakoż w rzeczy samej, gdy August kilka lat przedtem miał w senacie mowę, prosząc powtórnie o trybuńską władzę dla Tyberjusza, lubo go wielce wychwalał, wytknął mu przecież niektóre wady postaci, stroju, obyczajów, niby to je usprawiedliwiając.

Po odprawionym pogrzebie uchwalono zmarłemu świątynię i cześć boską. Następnie skierowano do Tyberjusza prośbę, lecz on, to nieudolność swoją, to wielkość Imperjum wysuwając, odpowiedział, że sam tylko wzniosły Augusta rozum mógł tak ogromnemu ciężarowi sprostać; że powołany przez ojca do uczestnictwa w państwowych pracach, z doświadczenia się przekonał, jak trudną jest rzeczą władanie całym państwem, jak rozlicznym przypadkom i losom podlega; że w Rzeczypospolitej, mającej tylu znakomitych ludzi, nie należy wszystkiego jednej poruczać osobie, ponieważ połączone siły powszechnym ojczyzny potrzebom łatwiej wydołać potrafią. Więcej w tej mowie wykrętów było niżeli prawdy; bo Tyberjusz tam nawet, gdzie otwarcie mówił, czy to z przyrodzenia, czyli ze zwyczaju, zawikłanych zawsze i dwuznacznych używał wyrazów; ale na ów czas, umyślnie na to się siłąć, aby swe myśli jak najgłębiej ukryć, tem bardziej je przeplatał ciemniejszymi i dwuznacznymi wyrazami. Przeto senatorowie, którzy jedynie się lękali, aby nie zauważył, że obłudę jego znają, rzucili się do próśb i płaczu, przypadali mu do nóg i wyciągali ręce do posągu Augusta, mianowicie kiedy podać sobie księgę kazał i z tej księgi czytał. W tej księdze zawierał się spis dochodów Rzeczypospolitej, liczba obywatelów i lenników zbrojnych, wodne siły i królestwa, i prowincje, cła, pobory i przygodne wydatki; wszystko to August własną ręką spisał, a nakoniec przydał radę, aby nie przekraczać ustalonych granic państwa — nie wiedzieć, czy z bojaźni, czy z zazdrości.

Gdy się tak senat najnikczemniejszymi ukłonami hańbił, wymówił się niechcący Tyberjusz, że, nie mając sił zdolnych do władania całą Rzeczpospolitą, przyjmie na siebie tę część pracy, jaka mu poruczona będzie. — «A jaką to częśćkę, cesarze — pytał go Azynjusz Gallus — żądasz, by była ci powierzona?» Zmieszany tak niespodzianem pytaniem, zamilkł Tyberjusz nieco; potem, zebrawszy myśli, odpowiedział, że nie przystoi ani wymieniać, ani obierać szczegółów temu, który zupełnie od wszystkiego wyłączonym być woli. Gallus, postrzegłszy na twarzy jego urazę: «Nie dlatego się pytał — rzecze — abym chciał to rozłączyć, co być rozdzielonem nie może, lecz żebyś własnymi słowami został przekonany, iż Rzeczpospolita, będąc jednym ciałem, przez jedną głowę rządzona być powinna». Wychwalał potem Augusta, wyliczał samego Tyberjusza znakomite w pokoju i na wojnie w przeciągu wielu lat dzieła; jednak tem nie ukoili gniewu, gdyż zdawna wpadł Tyberjuszowi w podejrzenie, jakoby, pojawiwszy za żonę Wipsanję, córkę Agrypy, która wprzód była Tyberjusza żoną, wysokiego coś w głowie budował i hardością w ojca się swego Azynjusza Poljona wrodził.

[Mordy i zgony za rządów Tyberjusza (z ks. VI)]

Ocuciły się znowu uśpione na chwilę trwogi, z przyczyny oskarżonego o znieważenie majestatu Konfidjusza Prokula, który, gdy swe urodziny weselo obchodził, porwany został z domu na sąd, skazany na śmierć i zaraz zabity; siostrę jego Sancję posłano na wygnanie, za sprawą Kwintusa Pomponjusza, wielkiego warchoła, który na usprawiedliwienie tej i innych podobnych zbrodni powiadał, iż nie mógł inaczej łaski cesarskiej pozyskać, ażeby brata swego Sekunda z niebezpieczeństwa wydzwignąć. Wygnano także Pompeję Makrynę, której męża Argolika i teścia Lakona, obu szlachetnych Greków, Tyberjusz stracić kazał. Ojciec jej, człowiek znaczny w stanie ekwitów, oraz brat, dawny pretor, widząc, że śmierci nie ujdą, sami się pozabijali. Poczytywano im za występki, że pochodzili z krwi Teofana z Mityleny, przyjaciela Pompejusza Magnusa, i że go po śmierci greckie pochlebstwo między bogi policzyło. Skazany po nich na strącenie ze skały Tarpejskiej Sektus Marjusz, największy w Hiszpanji bogacz, za to, że jakoby córkę własną zgwałcił; nikt atoli nie wątpił, że go wielkie bogactwa o zgubę przyprawiły, kiedy Tyberjusz skonfiskowane na skarb publiczny złote w dobrach jego kruszce do swoich dochodów przyłączył. Rozjuszony

potem tylu popełnionemi mordami, kazał wszystkich więźniów, ile ich za przyjaźń z Sejanem w więzieniach trzymano, pozabijać. Leżały wszędy różnego stanu, różnej płci martwe ciała, jedne w stosach, drugie tam i ówdzie rozmiotane. Żadnemu z przyjaciół, z powinowatych, nie tylko płakać, ale się zbliżyć i patrzeć nie wolno było; ho rozstawione żołnierstwo szpiegowało wszędzie, póki nawpół zropiałych trupów w Tyber nie wrzucono. Żaden się nawet nie ważył pływających lub wyrzuconych na brzeg pogrzebem uczcić. Okropna bojaźń przerwała wzajemność samej natury ludzkiej obowiązków, a im się bardziej siliło okrucieństwo, tem srożej tłumiono litość.

...W tymże czasie ogłoszono śmierć Azynjusza Galla, o którym pewna, że się głodem zamorzył, niewiadomo, czy z przymusu, czy z dobrej woli. Tyberjusz, zapytany, czy mu pozwoli na pogrzeb, nie wstydził się pozwolić i zarazem żalić się na przypadek, że winowajcę zabrał ze świata pierwej, niżeli go o występki przekonano — jakby przez całe trzy lata nie było czasu zapoznać konsularnego starca i tylu mężów konsularnych rodzica! Wkrótce potem zmarł Druzus, pożarliwszy z głodu wysłanie materaca i tym nędznym pokarmem życie przez dziewięć dni przewłókłszy. Powiadali niekórzy, że Tyberjusz dał rozkaz Makronowi, aby go z więzienia pałacowego, gdzie był pod strażą trzymany, wywiódłszy, postawił na czele ludu; jeśliby Sejan do broni się porwał. Atoli gdy wkrótce doszły go rozsiane wieści, jakoby się chciał z nim i z Agrypiną pojednać, wołał się okrutnym pokazać, niżeli tego, co raz uczynił, żałować. Nie przepuścił nawet zmarłemu, wyrzucając bezecną rozpustę, szkodliwe przeciwko Rzeczypospolitej i własnej rodzinie zamysły; kazał prócz tego odczytać w senacie wszystkie jego powiedzenia, postęпки, dzień po dniu starannie w rejestrach spisane. Niesłychany zaiste tak zaciętej nienawiści przykład, że przez tyle lat chował szpiegów, którzy nawet wzdychania i gesty, i najtajniejsze skargi na karb jego pilnie zbierali; i że będąc dziadkiem jego, mógł słuchać, czytać, najaw wyprowadzać takowe szkarady; zostały na to dowodem listy Akcjusza centurjona i Dydyma wyzwoleńca, gdzie wszyscy służalcy, który i kiedy wychodzącego Druzusa obił, kto go słowami zwymyślał, po imieniu zostali zapisani. Sam centurjon chlubił się nieraz, by nie wiem z czego, z okrutnych łajañ i urągowsk; rozsiewał słowa jego przy zgonie wyrzeczone, które, zmyślając czasem zawrót głowy, na Tyberjusza wypowiedział, oraz jakie — straciwszy wszelką nadzieję na życie — miotał nań przy zdrowym rozumie przekleństwa, życząc, ażeby ten «okrutny świekry, synowca i wnuków morderca, który cały dom swój krwią napoił, żeby sprawiedliwie własną głową za tyle rozbojów przodkom ich i następcom dług wypłacił». Przerzywali wprawdzie senatorowie odczytywanie tego, niby to wzdrygając się na bezbożność wnuka, lecz pochodziło to raczej z trwogi i ze zdumienia, że ten chytry, a w utajeniu swoich zbrodni niezbadany obłudnik do takiego już doszedł spoufalenia się, że, jakby rozwalwszy więzienną ścianę, daje wszystkim na widok wnuka swego, który pod kańczugiem centurjona i smagających go służalców próżno żebrze ze łzami nikczemnego kęsa dla zachowania życia!

Jeszcze ten żal nie ustał, a już o śmierci Agrypiny gruchnęło. Rozumiem, iż ta pani po straceniu Sejana, karmiąc się lepszą nadzieją, przewłókla nieco życie; widząc jednak, że Tyberjusz nie daje się zmiękczyć, wołała dobrowolnie umrzeć; być też i to może, że, zamorzywszy ją głodem, puszczone pogłoskę, że sama ten zamiar powzięła. Albowiem Tyberjusz szarpał jej sławę najśromotniejszymi potwarzami, zadając bezwstyd z Azynjuszem Gallem, i że z tęsknoty po zmarłym cudzołożniku śmierć sobie zadała. Lecz Agrypina, chciwa panowania i równości niecierpiąca, wyzuwszy się z kobiecych przywar, w męski się umysł przyoblokła; dodał przytem okoliczność — i kazał to w księgi wpisać — że umarła tegoż samego dnia, którego Sejan przed dwoma laty zdrady przypłacił; chlubił się z łaskawości, że ją nie kazał powrozem udusić i trupa wywlec na zwyczajne winowajców miejsce. Uczynił mu za to senat dziękczynienie i ogłosił wyrokiem, aby corocznie składano dary Jowiszowi dnia osiemnastego października, którego oboje zginęli. Wkrótce potem Kokcej Nerwa, nieodłączony Tyberjusza towarzyszy, człowiek biegły w nauce prawa, czerstwego zdrowia i w zupełnym szczęściu, śmierć sobie zadać umyślił. Gdy Tyberjusz dowiedział się o tem, nie przestawał go odwiedzać i wypytywał o przyczynę, i nalegał prośbami, a wreszcie przyznał

się mu, że wielki ciężar będzie miał na sumieniu, że popadłby w niesławę, gdyby najbliższemu przyjacielowi bez żadnych przyczyn umierać pozwolił. Lecz Nerwa, głuchy na wszystko, głodem się zamorzył. Twierdzą świadomi zamysłów jego, że, patrząc na bliskie Rzeczypospolitej nieszczęścia, zdjęty gniewem i bojaźnią, wołał uczciwą śmiercią wiszącej uniknąć burzy, póki jeszcze miał kredyt u dworu a sławę nieskażonej u ludu cnoty. Upadek Agrypiny, co jest prawie nie do wiary, przywalił nakoniec i Plancynę, która niegdyś żyjąc z Gnejuszem Pizonem a ze śmierci Germanika jawną okazując radość, przyszłaby zapewne na równy mężowi koniec, gdyby jej prośby Augusty, a nienawiść Agrypiny w przygodzie nie ratowała. Lecz kiedy i przyjaźń, i łaska zniknęły, nastąpiła sprawiedliwość: obwiniona o wiele jawnych zbrodni, z własnej ręki zasłużoną, choć późną kaźń odebrała.

*Tłum. Adam Stanisław Naruszewicz.*

*Popraw. M. St. Popławski*

## PLINJUSZ MŁODSZY (GAIUS PLINIUS CAECILIUS SECUNDUS)

(62—113 po Chr.)

### LISTY

#### Gajus Plinusz do cesarza Trajana [X 96]

Czcigodny Panie! Uważam za swój święty obowiązek zwracać się do Ciebie w każdej cokolwiek trudnej do załatwienia sprawie, gdyż wiem, że Ty najlepiej potrafisz pokierować mną i pouczyć mnie. Nigdy do tego czasu nie brałem udziału w procesach wytaczanych chrześcijanom; więc i teraz niebardzo wiem, w jakim stopniu i za co należy ich karać, a w jakich wypadkach zadowolić się tylko śledztwem; a już wcale nie wiem, czy należy mieć wzgląd na wiek oskarżonych, czy traktować jednakowo i młodych, i dojrzałych; czy należy przebaczać skruszonym, czy raczej, skoro kto już był chrześcijaninem, to już nic mu nie pomoże wyrzeczenie się tego; czy należy wreszcie karać za samo miano chrześcijanina i to w takich nawet wypadkach, kiedy oskarżony nie popełnił żadnego występku; czy też mam karać tylko za występki, związane z przynależnością do chrześcijańskiego wyznania. Jak dotychczas, z ludźmi, których przede mną oskarżono jako chrześcijan, postępowałem w następujący sposób. Najpierw pytałem ich, czy naprawdę są chrześcijanami; jeżeli przyznawali się do tego, pytałem o to samo po raz drugi, po raz trzeci, grożąc im karą śmierci; dopiero zatwardziałych wyznawców kazałem wtrącić do więzienia. Wychodzelem z tego założenia, że, jakkolwiek błahe może być to przewinienie, przy którym obstają, to przecież sam ich upór, sama nieugięta zatwardziałość musi być ukarana. Niektórzy oskarżeni byli tak jakby szalem ogarnięci, a że zarazem posiadali pełnię obywatelskich praw, więc kazałem ich wysłać do stolicy. Po krótkim czasie, wraz z biegiem śledztwa, jak to zazwyczaj bywa, ilość zamieszanych w sprawę powiększyła się, powiększyła się i różnorodność przewinień.

Otrzymałem anonimowy list, podający bardzo dużo nazwisk rzekomych chrześcijan; jedni z nich stanowczo zaprzeczyli, że dawniej byli lub teraz są chrześcijanami; na żądanie moje wygłosili modlitwę do bogów i zapalili kadzidło, i złożyli płynną ofiarę z wina przed Twoim posągiem — specjalnie w tym celu kazałem ten posąg ustawić wśród posągów bogów; o samym zaś Chrystusie ci ludzie odzywali się źle; kazałem ich puścić wolno, gdyż prawdziwi chrześcijanie nic podobnego nie zrobiliby. Inni oskarżeni, owszem, przyznali się do chrystjanizmu, ale wnet wyrzekli się; zapewniali mnie o tem, że byli wprawdzie, ale dawniej, a teraz już nie są chrześcijanami; że przed trzema laty byli, inni jeszcze dawniej, a ktoś taki się znalazł, co był chrześcijaninem przed dwudziestu jeszcze laty. Ci wszyscy również modlili się do bogów i złożyli ofiarę przed Twoim posągiem, i źle mówili o Chrystusie; zapewniali mnie oni, że najcięższą ich winą i największym błędem było to, że w ustalonym dniu zazwyczaj zgromadzali się o świcie i śpiewali hymny do Chrystusa, niczem do boga, że nawzajem sobie przysięgali, nie że jakąś zbrodnię wspólnie popełnią, lecz że nie

będą kraść, ani łajdaczyć się, ani rabować, że nie zawiodą niczyjego zaufania i nie przywłaszczą sobie, cokolwiek im zostanie powierzone; zapewniali mnie oskarżeni, że po tem wszystkim ustalali termin nowego zgromadzenia i wspólnego spożycia pokarmu, skromnego zresztą i prostego, i rozchodzili się. Te wszystkie praktyki zostały przez oskarżonych poniechane wtedy, gdy, stosując się do Twoich zleceń, wydałem zarządzenie, wzbraniające wszelkich zgromadzeń i klubów.

Wydało mi się rzeczą niezbędną sprawdzić to wszystko drogą tortur, które zastosowałem do dwóch dziewczyn, podających siebie za służebne. Przekonałem się, że wszystko to jest tylko głupim i niemądrym zabobnem; powstrzymałem śledztwo i zwracam się do Ciebie o wskazówkę; cała ta sprawa zasługuje na pilną uwagę przedewszystkiem wskutek wielkiej liczby zapozwanych; mnóstwo ludzi uległo wpływom tego zabobonu, no i nadal będą ulegali: starzy i młodzi, bogaci i biedni, mężczyźni i kobiety; tak samo po miastach, jak i po wsiach, i po zagrodach; zabobon rozpowszechnia się, rozszerza się — sądzą jednak, że można go opanować i stłumić. Jest bowiem rzeczą pewną, że ludzie znów zaczęli uczęszczać do świątyń, prawie już opustoszałych, zaczęli wznawiać i składać zapomniane dawniej ofiary; zwierzęta ofiarne, na które oddawna już prawie nie było kupców, znów są poszukiwane i znajdują zbyt. Łatwo z tego możemy wywnioskować, że większość mieszkańców można skierować na drogę poprawy, ale należy zastosować do nich łagodność i przebaczenie.

#### Trajan do Plinjusza

W procesie oskarżonych przed Tobą o przynależność do chrystjanizmu zachowałeś się, mój Plinjuszu, w sposób zupełnie właściwy. Trudno bowiem ogólnie zaopiniować o tem, co jeszcze jest niecałkiem ukształtowane. Nie należy wyszukiwać chrześcijan; jeżeli ktoś ich oskarży i poda nazwiska, wtedy owszem, należy tych ludzi ukarać, ale ogólnie: o ile oskarżony wyrzeknie się chrystjanizmu i udowodni to, i złoży ofiarę naszym bogom, i pomodli się do nich, to taki oskarżony, aczkolwiek o podejrzanej przeszłości, zasługuje jednak na względy i na przebaczenie. Anonimowe listy w żadnym razie nie mogą uchodzić za dostateczne oskarżenie; są obrzydliwe i nie mogą mieć znaczenia wtedy, kiedy ja rządę.

#### Plinjusz życzliwe pozdrowienie Tacytowi

(List 20 z księgi VII)

Książkę Twoją przeczytałem i skrzętnie odnotowałem miejsca, o których myślę, że trzeba je zmienić, albo całkiem usunąć; mam zwyczaj zawsze mówić szczerą prawdę, podobnie jak Ty zazwyczaj chętnie jej słuchasz; nikt zresztą tak cierpliwie nie wysłuchuje zarzutów, jak właśnie ci, co najbardziej godni są pochwały. Ze swojej strony i ja czekam na to, że przyszlesz mi moją książkę z adnotacjami i uwagami; sądzą, że ta nasza obopólna wymiana zdań powinna być uważana za przepiękny objaw koleżeństwa. Cieszę się, że w przyszłości, o ile nadal będziemy żyli w ludzkiej pamięci, będą ludzie dużo mówić o naszej wzajemnej życzliwości i o naszym wzajemnym zaufaniu. Jest to wypadek rzadki i niezwykle, że dwaj ludzie, w jednym mniej więcej wieku, w zakresie literackiej pracy cieszący się uznaniem, nawzajem siebie wspierają w tej właśnie pracy; powiedziałem o Tobie mniej niż należy, że cieszymy się uznaniem, gdyż jednocześnie i o sobie mówię, więc inaczej powiedzieć nie mogłem. Jeszcze w młodzięcym wieku gorąco pragnąłem iść w Twoje ślady; Ty wtedy już zdobyłeś sobie niepospolite uznanie — postanowiłem tedy, że jakkolwiek nigdy nie dorównam tobie, to przecież pierwszeństwo tylko Ty będziesz miał przede mną. Było wtedy pełno nienajgorszych talentów w zakresie literatury, a przecież łączyło nas jakieś wewnętrzne podobieństwo; a przecież sądziłem, że najbardziej do Ciebie jestem zbliżony, najbardziej na Ciebie muszę wzorować się! Teraz natomiast przedewszystkiem z tego się cieszę, że, ile razy ludzie wszczynają rozmowę o literackich zasługach, zawsze wymieniają naraz i Ciebie, i mnie; że każdy, kto o Tobie mówi, natychmiast i mnie wspomina. Istnieją zresztą i tacy literaci, których czasem stawiają



wyżej od Ciebie i ode mnie, ale to już mnie mniej obchodzi, na jakim szczeblu stawiają nas razem; najbardziej cenię sobie takiego literata, który najbliżej Ciebie stoi. Zwróciłeś chyba uwagę na to, że nawet w testamentach przeznaczają ludzie jednakowe zapisy dla Ciebie i dla mnie; chyba że testator jest indywidualnie zaprzyjaźniony z Tobą albo ze mną. Wszystko to mówię poto, żebyśmy jeszcze bardziej nawzajem byli przywiązani do siebie; łączą nas przecież i wspólne zamiłowania literackie, i warunki życiowe, i sława, a wkońcu również i przedśmiertna wola tyłu ludzi. Bądź zdrow!

### Gajus Plinjusz kochanemu Tacytowi pozdrowienie

(Ks. VI, listy 16 i 20: Wybuch Wezuwjusza)

Prosisz mnie, bym opisał Ci zgon mojego wuja Plinjusza<sup>1</sup>, byś mógł tem lepiej opowiadanie o tem przekazać potomnym; jestem Ci za to bardzo wdzięczny; nie wątpię, że zgon mojego wuja, opisany przez Ciebie w Twojem dziele, po wszystkie wieki będzie sławny. Zginął coprawda podczas niezwyklej katastrofy, jaka spadła na przedudny kraj; zginął — podobnie jak miasta i ludność tego kraju — poto, by śmiercią swoją wiecznie żyć w ludzkiej pamięci; za życia, coprawda, wydał długi szereg dzieł, które i same przez się nie pójdą w zapomnienie; niemniej wiekopomna wartość Twoich utworów jeszcze bardziej przyczyni się do utrwalenia chwały mojego wuja. Ja ze swej strony głęboko jestem przekonany o tem, że te jednostki, którym z bożej woli dane było wykonać czyny godne opisanja, albo napisać dzieła godne czytania, że ludzie ci są naprawdę szczęśliwi; a już najbardziej ci, którym wypadło i jedno, i drugie. Właśnie takim człowiekiem był mój wuj, tak przez własne swoje naukowe dzieła, jak i przez Twoje historyczne. Śmierć jego opiszę Ci tem chętniej, że i sam pragnąłem tego, o co Ty mnie teraz poprosiłeś.

Wuj mój Plinjusz znajdował się w Mizenum i osobiście sprawował dowództwo nad flotą. Dnia dwudziestego trzeciego sierpnia<sup>2</sup>, w południe, około godziny pierwszej, matka moja powiedziała mu, że na niebie ukazała się niezwyklej chmura, ogromna i o dziwnym kształcie — podówczas wuj mój, po wygrzaniu się na słońcu i po wykapaniu się w zimnej kąpieli, właśnie był zjadł, leżąc, obiad i zabrał się do pracy; kazał więc podać trzewiki i usiadł w miejscu, skąd cudowną chmurę najlepiej można było widzieć. Chmura ta wznosiła się i rosła, ale zdaleka nie można było określić, z jakiej góry; potem też dowiedzieliśmy się, że z Wezuwjusza; z kształtu swego całkiem była podobna do sosny, bo, wznosząc się od dołu tak jakby na bardzo wysokim pniu, u góry rozdzielała się na gałęzie. Przypuszczam, że działo się to wskutek osłabienia potężnego wchru, jaki tę chmurę wyrzucił wgórę; osiągnąwszy najwyższy swój punkt i wyżej nie pędzona wchrem, natomiast przygniatana własnym ciężarem, chmura rozpląszczała się wszertz; raz była biała, raz brudna i ciemna, stosownie do tego, czy niosła z sobą ziemię, czy popiół. Wuj, jako uczoney, w najwyższym stopniu zainteresował się tem zjawiskiem; żeby zbliższa je obejrzeć, kazał przysposobić łódź i mnie również zaproponował, czybym nie chciał z nim pojechać; wolałem jednak nie odrywać się od pracy, tem bardziej, że właśnie dla wuja coś przepisywałem. Właśnie gdy wychodził z domu, otrzymał list od Rektyny, przerażonej i przestraszonej, gdyż willa jej leżała tuż u stoków góry, a ucieczka była niemożliwa, chyba że na okręcie; błagała Rektyna na wszystko, żeby uratować ją.

Przeczytawszy list, wuj zmienił zamiar. Co chciał zrobić przez naukowe zainteresowanie, wykonał teraz z największą gorliwością: kazał przysposobić wielkie galery i wyruszył, nie dla samej Rektyny tylko, lecz dla niesienia pomocy tym wszystkim, którzy tak licznie zamieszkiwali cudny ten zakątek; śpieszył tam, skąd wszyscy uciekali, i skierował okręty wprost w stronę niebezpieczeństwa — a tak był wolny od strachu, że kazał notować i zarysowywać każdy szczegół i każdą zmianę okropnego zjawiska. Popiół zasypywał galery, a im bliżej podjeżdżali, tem gęściej padał i bardziej był gorący; już na okręty spadały kamienie wulkaniczne, purchase, czarne, popękane w ogniu; już na głębokiem miejscu niespodziewanie wyłoniła się groźna mielizna

<sup>1</sup> Plinjusz Starszy, autor «Historji naturalnej», której fragment wyżej został przytoczony.

<sup>2</sup> R. 79 p. C. n.

a brzeg walącej się góry zgoła był niedostępny... Komendant galery namawiał wuja, żeby czem prędzej zawrócił — ten jednak po krótkim namyśle odrzekł mu, że odważny przebrnie przez nieszczęście, i kazał skierować okręt do willi Pomponjana; znajdowała się ona w Stabjach i zewsząd otoczona była zatoką, gdyż morskie wybrzeże, wijące się i pełne krzywizn, wszędzie dawało morzu głęboko wchodzić w ląd. Pomponjan, aczkolwiek niebezpieczeństwo dopiero się zbliżało, że jednak powoli stawało się groźnem, kazał urządzenie mieszkaniowe poznosić na okręty i postanowił uciekać, jak tylko pozwoli mu przeciwny wiatr. Wuj szczęśliwie trafił na niego w tym właśnie momencie i pocieszył go w tem przerażeniu, i dodał mu otuchy i, żeby jeszcze bardziej uspokoić go własnem poczuciem bezpieczeństwa, kazał się zaprowadzić do ciepłej kąpieli; przyjąwszy kąpiel, położył się, zjadł kolację i był w bardzo dobrym humorze, albo udawał dobry humor — a to już było przecież bohaterstwem.

Tymczasem na stokach Wezuwjusza w wielu miejscach buchały okropne płomienie i ognie wysoko tryskające i rozniecały blask i przeraźliwą jasność, a grozę tego powiększał otaczający je zewsząd mrok nocy. Wuj, żeby uspokoić przestraszonych towarzyszy, opowiadał, że są to tylko palące się wsie i wille, opuszczone przez przerażonych wieśniaków i mieszkańców i pozostawione na pastwę ognia. Następnie położył się spać — i istotnie mocno zasnął, gdyż, tęgi i silnie zbudowany, we śnie głośno chrapał; słyszeli go wszyscy już w sąsiednim pokoju. Podwórzec, z którego było wejście do mieszkania, w tym czasie tak został zasypany deszczem popiołu i pumeksu, że wyjście z domu, o ileby zwlekali dłużej, stawało się powoli wprost niemożliwe. Wuj, obudziwszy się ze snu, wyszedł i przyłączył się do Pomponjana i tych, co razem z nim czuwali; zaczęli wspólnie naradzać się, czy lepiej pozostać w domu, czy może wyjść na otwarte miejsce. Od nieustającego i gwałtownego trzęsienia ziemi ściany domu ciągle się chwiały i, jakby wyszedłszy z posad, przechylały się raz w jedną, raz w drugą stronę; natomiast pod gołem niebem zagrażałyby im wciąż spadające kawałki pumeksu, lekkie zresztą i spalone w ogniu; te wydały się mniej niebezpieczne niż walące się ściany domu. Dla wuja była to sprawa rozumowego ujęcia niebezpieczeństwa — dla innych natomiast było inaczej: większy strach poprowadził ich tam, gdzie strach był mniejszy. Pokładli sobie na głowy poduszki, poprzywiązywali je, i miały one chronić przed niebezpieczeństwem spadających kawałków pumeksu. Już była pora pełnego dnia, tam jednak noc panowała, ciemniejsza i okropniejsza od każdej innej nocy; jej mrok rozprasały pochodnie i różne inne światła. Wuj postanowił udać się do morza i zobaczyć, czy przypadkiem nie jest już możliwe do żeglugi; było jednak i to w najokropniejszy sposób wzburzone. Na wybrzeżu wuj położył się na rozestanym kocu i kazał sobie podać zimnej wody do picia; napił się dwukrotnie. Potem płomienie, a raczej zaduch siarczany, poprzedzający nadejście płomieni, popchnął innych do ucieczki: pobudził do odejścia także i mojego wuja. Wsparł się na dwóch niewolnikach, powstał, ale wnet znowu upadł; przypuszczam, że potworny zaduch odebrał mu możność oddychania i zatkał mu przewody; i bez tego miał je nieco zwężone i często ulegał napadom duszności. Gdy wkońcu nastął dzień — a był to trzeci już po owym dniu, który wuj ostatni raz oglądał — odnaleziono ciało jego nietknięte i nienaruszone, okryte tak, jak był ubrany w ostatniej chwili; wyglądał w śmierci raczej na śpiącego niż na umarłego.

Matka moja i ja byliśmy przez ten czas w Mizenum, ale to nie ma nic wspólnego z śmiercią mojego wuja — pytałeś mnie tylko o to, więc kończę. To jedno dodam: opisałem wiernie wszystko, co widziałem na własne oczy i co posłyszałem od innych wnet po wypadku, kiedy ludzie pamiętają najwierniej jeszcze i najściślej. Ty wybierz z tego to, co najważniejsze: co innego list napisać, co innego spisywać powszechnie dzieje; co innego opowiedzieć przyjacielowi, a znów co innego podać do ogólnej wiadomości. Bądź zdrow!

Gajus Plinjsz kochanemu Tacytowi pozdrowienie

Piszesz, że list, w którym na Twoje żądanie opisałem Ci ostatnie chwile mojego wuja, że list ten obudził w Tobie chęć posłyszenia także i o tem, czego doznałem i co przeżyłem również i ja, pozostając w Mizenum, bowiem opis swój przerwałem

właśnie tam, gdzie doszedłem do lego. «Choć dusza na samo się wzdyga wspomnienie — zaczynam»<sup>1</sup>.

Po odjeździe wuja resztę dnia pracowałem, bo zresztą w tym celu pozostałem w domu; potem nastąpiła kąpiel, kolacja, wreszcie nocny spoczynek, niespokojny i krótki. Już od dłuższego czasu wciąż nam dokuczało trzęsienie ziemi, nie wzbudzając zresztą w nas zbytniego niepokoju, bo w Kampanji jest ono rzeczą zwykłą; tej nocy jednak trzęsienie tak wzmogło się, że wszystko już nie tylko poruszało się, lecz niemal wirowało. W nocy wpadła do sypialni mojej matka; właśnie i ja wstałem z łóżka i miałem zamiar ją obudzić; usiedliśmy na podwórku, które oddzielało nasze zabudowania od morza. Nie wiem, czy mam się uważać za bohatera, czy za głupca — miałem podówczas dopiero osiemnasty rok — kazałem bowiem przynieść sobie «Rzymską historję» Tytusa Liwjusza i zacząłem ją czytać i robić notatki, jakby to był spokojny czas! Podczas tego przyszedł do nas przyjaciel wuja — przyjechał doń niedawno z Hiszpanji — i zaczął wyrzucać mojej matce zbytnią cierpliwość, że beczynnienie siedzi, a mnie głupotę, że w takiej chwili czytam. Uparłem się i pilnie czytałem dalej. Już był ranek, godzina siódma, a światło było mroczne i ponure, niczem zmrok. Już wszystkie zabudowania dookoła nas trzęsły się w posadach i, chociaż byliśmy na dziedzińcu, to przecież był on bardzo mały i, gdyby tak ściany runęły, groziło nam pewne niebezpieczeństwo; wtędy dopiero postanowiliśmy wyjść z miasta, a za nami przerażony tłum. Ludzie, jak to zazwyczaj w popłochu i trwodze, która zastępuje w nich rozważę, słuchali rad innych, a sami nie myśleli nic; uciekinierzy, zbiwszy się w tłum, cisnęli się tylko i bezładnie tłoczyli się.

Wyszędłszy z pomiędzy zabudowań miasta, przystanęliśmy; można tu było widzieć wiele dziwnych rzeczy i dużo najedliśmy się strachu. Naprzykład wozy, które kazaliśmy wyprawić naprzód: stały na równym miejscu, a przecież same jeździły na wszystkie strony, a nawet zakładając pod koła kamienie, nie można było utrzymać je na miejscu; także i o morzu można było pomyśleć, że samo siebie chce pochłoniąć, że trzęsienie ziemi odpędza je od lądu... Pas wybrzeża morskiego rozszerzył się i na piasku pozostało mnóstwo morskich zwierząt. Z drugiej natomiast strony chmura ponura i okropna nieustannie ziała ogniem i wirującym wichrem i rozwierała nagle swoją głębię, i zamieniała się w potwornie wielkie języki płomieni; były one podobne do błyskawic, ale większe... Wtędy dopiero ten nasz przyjaciel z Hiszpanji zaczął gwałtownie nalegać: «Jeżeli brat twój, jeżeli twój wuj — do matki rzecz i do mnie — jeżeli żyje jeszcze, z pewnością pragnie, żeby i wam nic nie stało się; jeżeli zginął, z pewnością chciał, żebyście wy ocalili; uciekajcie jak najprędzej!» Odrzekliśmy, że niemożliwe jest, byśmy, nie wiedząc nic o jego losie, zaczęli troszczyć się o swój. Przyjaciel nie zwlekał dłużej i co tchu zaczął uciekać przed niebezpieczeństwem. Wkrótce potem chmura owa zaczęła opadać na ziemię, zakryła morze, spowiła sobą i usunęła z przed naszych oczu Kapreję i wysunięty w morze przylądek Mizenum. Matka zaczęła mnie błagać i zaklinać, żebym koniecznie uchodził przed tem; że młody jestem i będę miał siły do ucieczki, a ona, stara już, sterana wiekiem, woli sama zginąć, niż być przyczyną mojej śmierci; ja zapewniłem ją, że wcale nie chcę szukać ratunku zdala od niej; wzięłem ją pod rękę i zmuszałem do przyspieszenia kroku; matka szła z trudem i wciąż narzekała na siebie, że przez nią i ja wolniej idę.

Zaczął padać na nas popiół, narazie rzadki; spoglądam poza siebie — tuż za nami sunie gęsta mgławica, rozlewając się po ziemi niczem górski potok, i jest już coraz bliżej nas... Powiadam do matki: «Zboczmy z drogi, zanim widno, bo w ciemności i w tej ciżbie uciekających będziemy powaleni i podeptani»; ledwośmy usiedli na uboczu, zapadła noc, ale nie taka bezksiężycowa i pochmurna, lecz jak w zamkniętym pokoju, kiedy pogasną wszystkie światła. Słychać było płacz kobiet, szlochanie dzieci i wrzaski mężczyzn; dzieci wołały rodziców swoich, rodzice dzieci, mężowie nawoływali żony swoje i tylko po głosach poznawali siebie... Jedni zawodzili nad własnym losem, inni użalali się nad losem bliskich, tamci, przerażeni widmem śmierci, błagali o śmierć... Wszędzie słychać było wołania do bogów — inni krzyczeli, że i bo-

<sup>1</sup> Wiersz dwunasty z drugiej pieśni «Eneidy» Wergiljusza.

gów już niema, że noc opadła już na wieczne czasy, że już jest ostatnia... Byli i tacy, co w szale, w histerycznym strachu jeszcze bardziej powiększali i bez tego okropną grozę chwili; byli i tacy, co opowiadali zgoła fantastyczne strachy: że całe Mizenum już runęło, że całe w ogniu stoi... wierzono im. Powoli zaczęło się rozjaśniać; nie był to jednak świt dnia i wyglądało, jak zbliżająca się luna pożaru; istotnie był to pożar, ale zatrzymał się zdala — i znów zapadł mrok, i popiół zaczął padać, gęsty i dławiący. Powstawaliśmy raz po raz i otrząsaliśmy z siebie ten popiół, bo inaczej zasypałby nas i przygnoił swoją masą. Muszę się pochwalić, że nie wydałem żadnej skargi, żadnego trwoźnego słowa w tej okropnej chwili. Jedyłą, acz dużą otuchą w tem umieraniu, była dla mnie świadomość, że ginę wraz ze wszystkimi, a wszyscy wraz ze mną.

Wkońcu proch zaczął przerzedzać się, zamieniać się w dym i w mgłę, a potem wienne światło, a potem i słońce zabłysło nad nami, blade i mgliste, niczem jak w zaćmieniu. Prerażone spojrzenia nasze przesuwwały się po zmienionej okolicy, głęboko zasypanej popiołem, tak jak śniegiem. Powróciwszy do Mizenum, posiliwszy się byle czem, spędziliśmy jeszcze jedną noc w strachu i w niepewności; bardziej w strachu: huczały podziemne wstrząsy, a ludzie, oszaleli od zgrozy, natrzęsali się z niechęcią swoich i cudzych i przepowiadali jeszcze gorsze. My jednak, przetrwawszy tak okropne chwile, nie widzieliśmy im końca, a jednak nie chcieliśmy wyjechać z Mizenum, zanim nie nadeszłyby jakaś pewna wiadomość o wuju.

Oto masz moją opowieść. Nie jest ona godna umieszczenia w dziele traktującym o powszechnych dziejach, a może i wogóle, nawet jako list jest nieciekawa... Jeżeli taką właśnie wyda ci się, miej o to raczej do samego siebie żal, boś sam mnie o to pytał. Bądź zdrow!

*Tłum. M. St. Popławski.*

## JUWENALIS

(druga połowa I i początek II st. po Chr.)

### SATYRA DZIESIĄTA [PŁONNE ZACHCIANKI]

Jak świat szeroki, we mgłach ludzie błądzą,  
 Od szkody dobro rzadko kto odróżnia:  
 Rzekłbyś, że w głowach naszych dziwna próżnia  
 Władza zarówno wstrętem, jak i żądzą!  
 Jakichże działań, w ich pożytek szczerze  
 Wierząc, a oraz gorącemi modły  
 Bogom się przykrząc, człek nie przedsięwzię —  
 Które w ziszczeniu wielce go zawiodły?  
 Runął nie jeden ród z odwieczną chwałą,  
 Że go zbyt skrzętnie niebo wysłuchało.  
 Nietylko w boju, lecz i w sennej ciszy,  
 Zguba na Ciebie w twych pragnieniach dyszy.  
 Ten i ów mówca, w grzmiących słów zapędzie,  
 Na własną głowę swą spiskować będzie.  
 Milon z Krotony, choć mu zazdroszczono,  
 Nadmiaru własnej siły stał się pastwą.  
 Weźmy szkodliwsze jeszcze żądz plugastwo:  
 Oto, drapieźnie wchodząc w mir z mamoną,  
 Radbyś, by skrzynia, gdzie masz skarby twoje,  
 Tyle nad inne mogła być pękata,  
 Ile wieloryb mdłych delfinów roje  
 W morzu ogromem swego cielska zgniata.  
 A przecież — pomnij — w owe dni przekłete,  
 Gdy Neron władał — wielką dłań przynęte!

Miał Longinowy pałac niedaleki,  
Zbyt porośłego w pierze sad Seneki,  
Wreszcie wyniosły portyk Lateranów —  
Przeto, z pomocą kohort swych czeladki  
Wziął je jak swoje. Ty się zaś zastanów,  
Że w chatach lichych żołnierz — gość to rzadki!  
Zważ także: — gdybyś nocą był w podróży —  
Niechbyś i mieszek z sobą miał nieduży —  
To, co krok z guzem albo z życia stratą  
Spotkać się mogąc, drżysz na lada drzewa  
Cień po miesiącu. Człek zaś goły zato  
Swobodnie w uszy złodziejowi śpiewa.  
Cóż stąd, gdy wszyscy, jakby się zmówili,  
Codzień się modlą: «Ach, niech w każdej chwili  
Mam coraz więcej! Niechbym był jedyny  
Bogacz, któremu dziwią się ludziska!»  
Głupi! Truciznę czyż ci w kubku z gliny  
Podadzą? Raczej mniejszą miej ochotę  
Na ucztach spełniać czary szczerozłote,  
W których setyńskie wino szumiąc pryska!  
...Iluż wielkościom ich dostojenstw błogi  
Ciężar przedwcześnie zdrowe podciął nogi!  
— Precz już z waszemi rozgłośnemi dzieły! —  
Więc ich posągi dzielnie młót w łeb wali,  
Ich rydwan w drzazgi padł pod ostrzem stali,  
Niewinnym nawet, które go ciągnęły,  
Nie przebaczone szkapom!... A tam wdali  
Ten piec ogromny, co płomieniami dymi —  
Czemuż to w niego miech dmie tak olbrzymi?  
Cóż w nim topnieje? To nic, to bronzowy  
Sejana kolos. Ludu! z jego głowy,  
Którąś czcili jako drugą w całym świecie  
Tuż po Cezarze boskim — wnet będziecie  
Mieć na pamiątkę, wśród radości dzikiej,  
Patelnie, garnki, rondle i nocniki.  
Więc dalej! drzwi twe co tchu wieńcz w wawrzyny!  
Do Kapitolu byka pędź w ofierze!  
Jedzie na haku trup Sejana siny  
Wprost na Gemonie! Cóż za pysk odęty,  
Cóż za paskudna morda! powiem szczerze:  
Zawszem ku niemu czuł przedziwne wstręty.  
O ty hałastro! zawsze jest jednaka.  
Przed powodzeniem gnie się twoja szyja —  
A zwałonego walisz w kark biedaka.  
Więc gdyby bóstwo, co Etrurji sprzyja,  
Wyznawcę swego dzielniej było wsparło,  
I on Cezara chwycić mógł za gardło,  
Do stóp go swoich zgiąwszy — to w tej dobie,  
Tegoż Sejana, co na pastwę tobie  
Wydany został, w uniesieniu pustem  
Błogosławionym czcilibyś go Augustem...  
Ha, lecz cóż robić ma ten gmin pstrokaty,  
Gdy mu zyskowność głosowań odjęto?  
Dawniej rozdawał w głosowaniu święto:  
Kwestury, legje, rządu, konsulaty,

Dziś, gdy się nudzi i jest głodny przytem,  
Dwóch tylko rzeczy żąda z groźnym zgrzytem:  
Chleba i igrzysk!  
...Stąd przyznaj: Sejan nic się nie znał na tem,  
Co jest prawdziwe dobro. Ludzie gonią  
Za złotem, sławą, władzy majestatem,  
A to jest tylko w sposób najgorętszy  
Gmach stawiać, który, im się wyżej piętrzy,  
Tem jest szczyt jego od padółu dalej;  
Stąd i upadek z nim, gdy on się zwali,  
Mniej albo więcej niebezpieczny bywa.  
A Krasus? Pompej? Wreszcie ten, niesyty  
Zwycięstw, co pierwszy w jarzmo wprzął Kwiryty:  
Cóż ich zgubiło? Władzy chuć łapczywa,  
Którą, by zdobyć, mniejsza tam o środki!  
Stąd strzeż się chciwym być w modlitwie słodkiej,  
Bowiem, słuchając twego pożądania,  
Złośliwe bóstwo zguby ci nie wzbrania!  
Mało kto z królów bez śmiertelnej rany,  
Lub choć bez guza, poszedł w kraj Plutona;  
Nikt zaś z ciemieżców w łożu swem nie skona.  
...Wkońcu rozważmy rzecz następną jeszcze:  
Byle Wenery gdzieś na szczycie wzgórką  
Posąg ujrzała przywiązana matka,  
Wnet modlitewne w niej się budzą dreszcze,  
By syn jej piękny był, lecz zwłaszcza córka  
Oby być mogła jak bogini gładka!  
I czyż ją nawet gromić można za to?  
Toćże Latona czuła się bogatą  
Wdziękami swojej Diany. Lecz znów sądzę,  
Że jest zbyt płochym ten, co żywi żądzę,  
By miał Lukrecji twarz i kształty ciała.  
Także Wirginja z przyjemnością może  
Za garb Rutyli dziśby wymieniła  
Powabną postać swą i lice hoże!  
Co zaś do syna, to ten, jeśli bywa  
Dorodny, wtedy jest dla rodzicieli  
Opieka nad nim wielce uciążliwa.  
Gdyż gładkość rzadko królowanie dzieli  
Z czystością uczuć. Dobrze to, jeżeli  
W domu obyczaj dawny mu starannie  
Wpajacie — zwłaszcza, jeśli go zaszczyca  
Umysł niewinny i jak w skromnej pannie  
Wstyd, łatwo kraśne rumieniący lica.  
Rzecz to niemała. Tego nie jest w stanie  
Dać najtroskliwsze bliskich stróżowanie,  
W co wyposaża hojna dłoń przyrody.  
Lecz czy do końca wytrwa ten pan młody?  
Bowiem rozpusty powab tak jest słodki  
I ma w swej ręce tak rozrzutne środki,  
Że dla niej kupić choćby krewnych — fraszka.  
Czyż to brzydkiego kiedy młodzieniaszka  
Rzezańcem uczyniono? Lub czy kiedy  
Neron z dostojnych paniać gdzie czeredy  
Garbusa porwał, ryza lub charłaka,  
Lub kuternogę? Więc gdy rzecz jest taka,

To ty się modląc, oby syn twój luby  
Był pięknym, pragniesz jego własnej zguby!  
I on sam z siebie stać się jeszcze może  
Bezwstydnym wszetecznikiem, cudze łoże  
Plamiącym chętnie. Wtedy niech się lęka,  
Że go zdradzonych mężów dotknie ręka.  
Choćby pod Marsa rodził się planeta,  
Zręcznych tu sideł nie uniknie przeto,  
A różnie bywa. Ludzie zemstę krwawą  
Ponad odwetu lubią wznosić prawo.  
Ten od sztyletu zniknął tajemniczo,  
Tego pletniami głośno na śmierć świczą,  
Temu takiego zrobią coś, co lepiej  
Zamileżeć. Widzę, myśl cię błoga krzepi,  
Że twój Endymjon wiecznie wierny będzie  
Tej tylko, którą kocha. Lecz w tym względzie  
Któż wie: do siebie czy go nie przytuli  
Serwilja, która kabzę ma pękata?  
A on jej wcale nie kochając, zato  
Obędzie miłą babę do koszuli,  
Gdyż wie, że taka, gdy w objęciu wzdycha,  
Czy to jest Opja, czy Katulla licha,  
Gachowi duszę oddać jest gotowa!  
Lecz od zepsucia jeśli się uchowa,  
Czyż może piękność szkodzić młodzieńcowi?  
Weź Hipolita i Bellerofonta:  
Pierwszego Fedra w brudny uścisk łowi,  
A Stenobeja ku drugiemu kona  
Z miłości kazirodnej. Cóż ci powiem?  
I ten, i tamten źle skończyli! Bowiem  
Czeluścią piekiel dusza jest kobieca,  
Do nienawiści gdy ją wstyd podnieca.  
A cóż takiemu czynić pozostawa,  
Jak Syljusz, gdy mu padła kreska krwawa,  
Że Cezarowej żonie się podoba  
Wziąć go za męża w swe małżeńskie łoże?  
Panicz to całą gębą i ozdoba  
Swojego rodu! Cóż mu to pomoże?  
Porwany, zgrozą i przestraczem siny,  
Drży pod palącym wzrokiem Mesaliny.  
A ta, w wezglówiach, z których szkarłat plonie,  
Siedząc, w dziewiczej mając skroń zasłonie,  
Wśród gajów, kędy widać ją zdaleka,  
Jawnie, w dzień biały, oblubieńca czeka.  
Przy niej świadkowie, augur — aż i oto,  
Jak zwyczaj każe, posagowe złoto  
Na misach wnoszą. A tyś myślał pono:  
Że się to stanie w sposób ukradkowy?  
Nie, ona prawnie chce się stać twą żoną!  
Masz wóz i przewóz. W razie twej odmowy  
Zginiesz, nim słońca zgaśnie blask zachodni.  
Jeśli zaś zechcesz być współnikiem zbrodni,  
Potrawsz dopóty, aż ta wszystkim znana  
Rzecz dojdzie wreszcie aż do uszu pana,  
Który ostatni swej się hańby dowie —  
To zaś nie może człeku wyjść na zdrowie.

A wreszcie, jak sam zechcesz, króluj sobie  
W tej panowania twego krótkiej dobie;  
Czy tak, czy owak, zawsze skończysz na tem,  
Że się twój piękny ugnie kark przed katem.  
Jakże? więc o nic błagać nie należy?  
Tak sędzę. Dobrze zrobisz, gdy najszczerzej  
Zaufasz bogom w rzeczy tej wyborze,  
Która ci trwale szczęście przynieść może.  
Oni nam, z darów, co pod ich są władzą,  
Zamiast przyjemnych pożyteczne dadzą,  
Gdyż przekonanie silne mam, że w niebie  
Lepiej kochają człeka, niż on siebie.  
I tak: popędem ślepych żądz wiedziony,  
Człek najmądrzejszy życzy sobie żony,  
By pożądaną z niej się cieszył dziatwą,  
Lecz tylko bogom jednym wiedzieć łatwo:  
Co będzie warta żona ta i jakiej  
Wartości także będą twe dzieciaki?  
Jednak, jeżeli w sobie już ponętę  
Koniczną czujesz błagać Niebios łaski,  
Nato, byś flaki zwierząt im, lub święte  
Z białego wieprzka dawać mógł kielbaski,  
To proś, by godną ofiar twych wymianą  
Zdrową ci duszę w zdrowem ciele dano.  
Więc umysł mężny, więc i bez obawy  
Śmierci, za którą owszem, człowiek prawy  
Przyrodzie wdzięczność winien mieć; więc siłę,  
Co przeciwnościom twardo dotrwać zdoła;  
Więc iżbyś nie znał, co jest gniew, i zgoła  
Niczego nie chciał, co z pozoru miłe,  
I niż w pierzynie Sardanapalowej  
Gnić wpośród kobiet oraz uczt sromoty,  
Wolał, wysiłkiem serca tudzież głowy  
Spełniać wielkiego Herkula roboty.  
To wszystko sobie sam dasz z własnej chęci,  
Gdyż tylko w cnocie szczęście się tu święci.  
Więc ty, Fortuno, któraś jest głupotą  
Ludzką wszechmądra, chciej posłuchać oto:  
Ani byś istnieć mogła z siebie samej!  
Bo my jedynie własną cię pomocą  
Bóstwem robimy i nie wiedzieć poco  
Ni stąd, ni zowąd w niebie umieszczamy!

*Tłum. Felicjan.*

## APULEJUSZ PLATOŃCZYK Z MADAURY

(żył w połowie II w. po Chr.)

### KSIĘGI PRZEMIAN (POWIEŚĆ O ZŁOTYM OŚLE)

#### Z księgi pierwszej

Co rzekłszy, ulatniam się i pędzę do mojej sypialni, gdzie natykam się na ucztę, wcale jak się patrzy przygotowaną. I czeladzi bowiem posłano jak najdalej od mych drzwi — juści poto, by była daleko od naszych nocnych rozmówek — i przy łóżku mojem stał stolik zastawiony uczciwemi resztkami całego obiadu, i kielichy zacne do



połowy już wina pełne i czekające ino na domieszkę ciepłej wody, i butla z szerokim gardzielem — szyjkę jej bowiem obtłuczono, by łatwiej było nalewać — wszystko przystawki do tej uczty, gdzie włada Wenus wojownicza a nieustępliwa. Ledwo legnąłem, a oto Fotis moja, ułożywszy już swą panią, wbiegła radosna w wieńcu z róż i z obsypaną ich płatkami bujną piersią. Wśród pocałunków szybkich w wieńcu mnie stroiła i kwieciami osypała, zaczem chwyciwszy kielich, dołała doń ciepłej wody i podała mi do picia. Ale wcześniej jeszcze, nim zdołałem wypić cały, sięgnęła poń miękką dłonią i resztę powoluteńko, strzyżąc ku mnie oczyma, rozkosznie w drobnych łyżkach wychleptała. Tak krążył między nami i drugi kielich, i trzeci, i dalsze. Wtedy ja, już podchmielony i nawet nietyle sercem, co ciałem rozkoszy żądny, choć znowu i swawolą rozochocony, i prawie zgorączkowany, obsunąłem Fotis szatę na biodrach, by jej niecierpliwość mej żądy okazać.

— Zlituj-że się — prosiłem — i co prędzej mi ulżyj! Bo, jak widzisz, wyteżyłem wszystkie siły w sobie, gdy się tylko zbliżała ta wojna, coś mi ją wypowiedziała bez pośrednictwa fecjała; a kiedy poczuł, że już mi ugrzęzła na dnie serca pierwsza strzała okrutnego Kupidyna, sam tak potężnie łuk mój napiąłem, że wielce się boję, by cięciwa tak przeciągnięta nie pękła. A żebyś mi jeszcze była łaskawsza, rozpuść włosy i w ich powodzi zatop nasze miłosne uściski!

Ona tedy bez zwłoki już w mgnieniu całą zastawę stołu usunąwszy, z sukien obnażona, ukazała się w grzywie włosów, do hucznej swawoli miłosnej rozpuszczonych — pięknymi kształtami Wenerze wynurzającej się z morskich fal podobna. I nieco tylko różową łapką wdzięki niewieście, raczej z rozmyślnej zalotności, przysłaniając, niż zakrywając je ze wstydu:

— A no — powiada — do walki! A mężnie walcz, bo na krok ci nie ustąpię i tyłu nie podam. Dalej naprzód, jakieś chłop, bij, co sił, wręcz i sam zabijany morduj! Dzisiejsza bitwa będzie bez pardonu!

To mówiąc, do łóżka weszła i, tuląc się do mnie i odrywając, chutnemi ruchy potraszająca dygocącemi lędźwiami, syciła mnie miłosnym owocem, aż bez ducha, z omdlałemi członki, obojeśmy legli w uścisku wzajemnym dyszący. Takeśmy się aż do świtu bezsennie zmagali, puharami niekiedy zmęczenie odganiając a podcinając żądzę i rozkosz wznawiając. Na podobieństwo tej nocy zgotowaliśmy sobie takich więcej. Zdarzyło się przypadkiem, że dnia pewnego Byrzena (zupełnie inna niewiasta; przyp. wyd.) okrutnie na mnie nastawała, bym do niej na jakąś odświętną biesiadę przybył, a gdy mi się co sił wypraszał, powiedziała, że mych usprawiedliwień nie przyjmuje. Trza mi się tedy było udać do Fotis i wedle jej woli, bo była mi jak wyrocznia, powziąć postanowienie. Ona tedy, choć niechętnie na to patrzyła, bym się od niej bodaj na krok ruszał, jednak mi udzieliła pobłażliwie krótkiego urlopu z owej miłosnej wojaczki.

— Ino — powiedziała mi — uważajże ty, byś z przyjęcia odszedł wcześniej, bo zuchwała kupa różnych złotych młodzików dobrze na szwank naraża spokój publiczny; na środku ulic widzieć możesz tu i ówdzie pomordowanych, a zbrojne oddziały wielkorządcy są daleko i nie mogą obywatelstwa uwolnić od tej ciężkiej plagi. A na ciebie dopiero czyhaćby mogły zasadzki dla świętego twego stanu i mienia, tem bardziej, że z obcym i podróznym nikt się nie liczy.

— Bądźże bez troski, Fotis moja — odrzekłem. — Bo i bez tego, że przenoszę moje rozkosze z tobą nad biesiadowanie z innymi, nie sprawię ci tego niepokoju, ile że wczas wrócę. A nie pójdę także sam, bo z moim mieczykiem, towarzyszem stałym, to jakoś całości skóry mej upilnuję.

Tak się ubezpieczywszy, idę na tę ucztę. Mnogo tam już było biesiadników i — jako że u damy z wielkiego świata — sam kwiat obywatelstwa. Stoły bogate z drzewa cytrynowego, inkrustacjami połyskujące z kości słoniowej, łoże biesiadne zasłane złotogłowiem, puhary wspaniałe, na rozmaite modłę piękne, ale jednakowo cenne. Tutaj widziałeś szkła misternie pisane, tam kryształowy nieskazitelny, ówdzie jeszcze przyczyste srebro i złoto aż bijące blaskiem, i naczynia do picia z bursztynu i kamieni kunsztownie rzeźbionych, i rzeczy wogóle do wiary niepodobne. Chmara stolników, wspaniale odzianych, sprawnie i gładko obnosiła stopy potraw, a chłopcy o wło-

sach trefionych, w pięknych szatkach, raz po raz nalewali stare wino do waz z cennego kamienia. Skoro wniesiono już światła, rozwiązała się gawęda biesiadna, popłynął już śmiech i żarty swobodniejsze i dowcip zabłysnął. Wtedy powiada do mnie Byrzena:

— No jakże się czujesz w naszym kraju? O ile wiem, to żadne nam miasto nie dorówna świątyniami, łaźniami i innymi gmachami, a i wszelkich wygod żywota mamy do sytności. I to pewne, że znajdzie tu wszelką swobodę przybysz, czy szuka czasów, czy interesów — bo ruch tu jak w Rzymie — a skromny znowu gość znaleźć może spokój zgola wiejski. Słowem, dla każdego z prowincji pobyt u nas bardzo miły.

Na to ja:

— Szczerą mówisz prawdę, bo ja się nigdzie na świecie nie czułem tak swobodnie, jak tu. Sporego tylko mam stracha przed temi niewidocznymi i nie do uniknięcia zasadzkami sztuk czarnoksięskich. Wszakże tu pono nawet groby zmarłych nie są bezpieczne, bo jeszcze ze stosów pogrzebowych porywa ktoś szczątki zmarłych i kawały ciał, by ich użyć na zgubę żywych! Stare wiedźmy już w chwili przygotowań do pogrzebu unoszą ciała, uderzając z błyskawiczną szybkością innych w odbyciu pogrzebu.

Na to ktoś dodaje:

— Ba, co gorsza, to to, że tu nawet żywych nie oszczędzają. Już nie wiem komu to, ale komuś tu się taka rzecz przydarzyła. Gębę mu całą porzezano, że go docna odmieniono.

Na to całe zebranie wybuchnęło pustym śmiechem i wszystkich twarze i oczy skierowały się na pewnego jegomościa, który leżał sobie z boku, w kącie. Ów, zmieszany temi upartymi spojrzeniami wszystkich, zaczął coś pomrukiwać o niegodziwości i chciał się już wynosić.

— Ależ mój Telyfronie — zawołała doń Byrzena — zostańże jeszcze trochę i — wiem przecież jakiś jest uprzejmy — powtórz tę twoją historję, aby i to chłopczysko moje, ten Lucjusz ubawił się dowcipem twego opowiadania.

Na to ów:

— Twoja, pani, dobroć, zawsze jest taka sama, ale trudno już znieść zuchwałość niektórych ludzi.

Powiedział to do żywego obruszony. Jak Byrzena jednak zaczęła prosić, a zaklinać na jego szczęście i zdrowie, a nakłaniać, by opowiedział — bo nie chciał — tak sprawiła, że się zgodził. Naskładał tedy na kupkę kobierce, wsparł się na nich na łokciu i, uniósłszy się na łożu, wyciągnął prawicę, której palce jakby jaki mówca ułożył, bo dwa ostatnie przymknął, inne wyprostował, a wielki palec, groźnie wytknięty, lekko zgiął — i tak rozpoczął:

— Jeszczem był chłopakiem nieletnim, kiedy wybrałem się z Miletu na igrzyska olimpijskie. Zachciało mi się wtedy zwiedzić i te strony tego rozgłośnego kraju, więc przewędrowawszy całą Tesalję, przybyłem — w złą godzinę — do Larisy. Kiedy się tu włóczę, tak tędy i owędy, i rozmyślam, czemu tu nakarmić znowu mój miszerek podróżny, który był już bardzo schudł, spostrzegam na rynku jakiegoś starucha, wysokiego jak tyka. Stał na kamieniu i głośno wykrzykiwał, że, jeśli kto chciałby iść pilnować umrzyka, to niech się o zapłatę umawia. Zaczepiam tedy jakiegoś przechodnia i pytam go, co to ma znaczyć i czy tu może umrzyki uciekają, jak się ich nie pilnuje?

«Milczałbyś — odpowie mi tamten na to — boś jeszcze wielki dzieciuch a zresztą obcy tu, to pewnie i nie wiesz, żeś w Tesalji, gdzie czarownice odgryzają umrzykowi kawałki twarzy, których potrzebują do swoich praktyk czarnoksięskich». «Powiedz-że mi, jeśli łaska — mówię na to — na czemże to polega takie strażowanie przy umrzyku?» — «Przedewszystkiem — powiada — całutką noc okrutnie czuwać trzeba a ślepiów nawet nie zmrużyć, ino wytrzeszczać co sił na trupa. Głowy nie można odeń odwrócić, ba, nawet jej schylić nie można, bo te ohydne odmieńce zaraz ci się przemienią w byle jakie stworzenie i tak zakradnąć potrafią, że oszukałyby chyba bez trudu oczy samego słońca: samej Sprawiedliwości. Bo taka, to ci się przetrzuci i w ptaka i znowu w psa, i w mysz, ba, nawet i w muchę, a potem temi swemi

okropnemi zakłęciami uśpi stróża. Nawetby nikt nie zgadł, co ci takie bezecne jędze nie potrafią wyspekulować, żeby ino dogodzić swoim obmierzłym chuciom. A za taką psią służbę nawet ci nie dadzą więcej jak cztery, albo najwięcej sześć złotych. Aha, i cobym ci był jeszcze zapomniał powiedzieć: jak taki stróż nie odda rano umrzyka nienaruszonego, to to, co umrzykowi odcięto i zabrano, musi z własnej gęby dać se wyróżnąć, żeby tamtemu załatać». — Usłyszawszy to, dodają sobie ducha i z miejsca walę do owego, co wykrzykiwał.

«Już nie krzycz — powiadam mu — jest tu stróż: zapłatę możesz sam oznaczyć». — «Dostaniesz — zawołał — tysiąc złotych. Ale chłopcze! mówię ci, miej ty się na bacności i strzeż uczciwie ciała od tych wściekłych Harpij! Bo to syn jednego z dostojników w mieście!» — «Ale — powiadam — głupstwo! To są fraszki dla mnie. Masz przed sobą człowieka z żelaza, co nie potrzebuje snu, przenikliwszego z pewnością od samego Lynceusa i Argusa! A co do oczu — ja mam oczy wszędzie». — Inom skończył, wiedzie on mnie z miejsca do jakiegoś domu, do którego główne wejście było zamknięte, wpuszcza do środka przez jakąś małą furtkę, wprowadza do izby ciemnej — bo okna były zasłonięte — i wskazuje jakąś matronę zapłakaną w żalobnej sukni. Zaraz się przysiadł do niej i rzekł:

«Przyszedł tu zuch, co się najął do strzeżenia ciała twego małżonka». — A ona odgarnęła na obie strony włosy opadłe na policzki i, okazując twarz nawet w tej żalości piękną, spojrzała na mnie i rzekła: — «Błagam cię, dołoż starania i wypełń jak najczujniej ten obowiązek». — «Nie troskaj się — odpowiedziałem — tylko przygotuj mi jeszcze jaki sprawiedliwy upominek na przydatek». — Ugodziliśmy się co do tego, poczem ona powstała i zaprowadziła mnie do drugiej izby. Tam, przywiódłszy jeszcze siedmiu jakichś świadków, odsłoniła ciało, przykryte śnieżnemi całunami. Wybuchnęła nad niem znowu płaczem, poczem, do rzetelności obecnych się odwołując, z lękiem zaczęła sprawdzać wszystko, a ktoś z obecnych skrzętnie zapisywał to na tabliczkach. — «Widzicie — mówiła — że nos cały, oczy nienaruszone, uszy nietknięte, wargi całkowite, brodzie nic nie brak. Zaświadczcie to waszem świadectwem, zacni obywatele». — To powiedziawszy, gdy ów protokół podpisano, chciała odejść. Ale ja ją zatrzymałem.

«Każ — rzekłem — pani, aby mi dostarczono wszystkiego, co mi potrzeba». — «A cóż to — odpowie — takiego?» — «No — mówię — latarnia i to jak największa i oleju do świecenia tyle, by starczyło do świtu, i ciepła woda z kilku butlami wina i puharkiem, i jaki półmisek napelniony resztkami obiadu». — Ale ona na to potrząsnęła ino głową: — «A idź-że, idź, ty chłystku jakiś — powiada — co wężysz za uczkami i korzyściami w domu pełnym żaloby, gdzie od calusienkich dni nawet dymu z komina nie widziano! Co tobie się zdaje, żeś tu na wyzerki przyszedł? Żebyś ty lepiej tu zapłakał i posmucił się, jak przystało na tem miejscu!» — I to mówiąc, rzuciła ino spojrzenie na służkę i rzekła do niej: — «Myrzeno, przynieśno tu latarnię i olej, zamknij tu tego stróża i zaraz się kładź sama». — Tak pozostawiony dla uprzyjemnienia towarzystwa umrzykowi, przecierałem oczy, aby je uzbroić do czuwania, i zabawiałem się podśpiewywaniem sobie. A tu zapadł już zmierzch i noc, i ciemna noc, i głęboka noc, a nawet i niemila północ. Mnie zaś strach zaczynał brać coraz mocniejszy, kiedy nagle patrzę, a tu łasiczka, która się skądś wślizgnęła, staje naprzeciw mnie i wpija we mnie tak przeszywające ślepka, że mnie to zuchwałstwo takiego małego stworzonka aż niepomalu zmieszało. Wreszcie, otrząsnąwszy się z tego przykrego wrażenia, odzywam się do niej: — «A pójdziesz ty sobie, nieczyste bydło, do takich, jak ty sama, szczurów? Chcesz, żebym na twojej skórze próbował mojej siły? Pójdziesz!»

Odwróciła się i natychmiast znikła z izby. I w tej chwili zapadłem w sen głęboki, jak w bezdenną czelusć, że nawet sam bóg delficki niełatwo by zgadł, który z nas dwu tu leżących był bardziej bez życia. Taki nieprzytomny i sam znowu innego stróża potrzebujący tam leżałem, że tak to było, jakby mnie tam wcale i nie było. Już wołanie koguciej rzeszy oznajmiało schyłek nocy. Budzę się wreszcie i, nieprzytomny' ze strachu, lecę do umrzyka i, odkrywszy jego głowę, przysuwam światło i badam każdy szczegół, czy jest, jak był przedtem, w porządku. A tu już i żona biedactwo wpada z wczorajszymi świadkami, z lękiem i ze łzami, rzuca się na ciało

i długo je pocałunkami okrywa, zaczem przy świetle wszystko sprawdza. Potem, obróciwszy się, woła włodarza swego Filodespotusa i poleca, aby sumiennemu stróżowi bez zwłoki wypłacił nagrodę. Gdy się to zaraz stało, zwraca się do mnie: — «Bardzo ci — powiada — chłopcze dziękujemy, a za tę skrzętną służbę toż to, dalibóg, za domownika cię odtąd swego będę uważać». — Na to ja, ucieszony coniemiarą zarobkiem, na który już straciłem nadzieję, i oszołomiony temi złocistemi monetami, które raz po raz w palcach przesuwałem, powiadam: — «Pani moja, uważaj mnie za jednego ze swych sług i, ile razy zechcesz, abym ci tak usłużył jak dziś, to tylko śmiało rozkazuj». — Ledwom to wyrzekł, kiedy natychmiast domownicy, klnąc mnie za złą wróżbę, rzucają się na mnie, z czem kto miał pod ręką: ten mi pięściami dobiera się do szczęki, tamten łokciami obrabia łopatki, ów kulakami wierci mi boki; kopią mnie, wydzierają włosy, targają suknie. Wreszcie wyrzucają mnie z domu pokiereszowanego i poszarpanego, jak pyszny młodzieńczyk Adonis albo pieśniarz piplejski. Kiedy w najbliższej ulicy zdołałem złapać oddech i zdałem sobie sprawę — co prawda, trochę za późno — z niebacznego i nieszczęsnego mego powiedzenia, musiałem uznać, że zasłużyłem na gorsze jeszcze cięgi. Ale właśnie wyniesiono już nieboszczyka, po raz ostatni oplakanego, i — wedle rodzinnego zwyczaju — niesiono go, jako jednego z możnych i dostojnych, w uroczystym, publicznym orszaku pogrzebowym przez rynek. Wtem nadbiega jakiś starzec w żałobie i z rozpaczliwemi łzami, rwąc sobie piękny siwy włos, rzuca się ku marom i chwyta je obiema rękami, i krzyczy głosem wprawdzie donośnym, lecz przerywanym ciąglem łkaniem: — «Na waszą cześć, obywatele, stańcie w obronie ziomka zamordowanego i pomścijcie surowo ten potworny czyn na tej tu niegodziwej i zbrodniczej niewieście. Ona to bowiem, a nie kto inny zamordowała truczną tego biednego młodziaka, siostrzeńca mego — a uczyniła to, aby zagarnąć po nim spadek i aby zrobić miejsce swemu gachowi».

Takie to ów staruch żalosne skargi kładł w uszy każdemu zosobna. Tłum tedy zaczął się burzyć, bo prawdopodobieństwo rzeczy sprawiło, iż poczęto dawać wiarę w zbrodnię. Rozlegają się wołania o ogień na nią, tłum szuka kamieni, szczuje psy na jej zgubę. Ona zaś z płaczami — przygotowanemi na taki wypadek — zaklina się, jak może najuroczyściej, na wszystkie świętości i wypiera się tak ohydneho czynu. Więc ów starzec powiada na to: — «Zdajmyż dowód prawdy na opatrność boską! Jest tu znakomity prorok, Zatchlas Egipcyczyk, który się ze mną już dawno za nie-małą nagrodę ugodził, że na chwilę ducha z podziemia wywoła, a i to ciało już na zaproszu śmierci ożywi». To mówiąc, wyprowadza na środek jakiegoś młodzieńca w lnianych szatach i w sandałach z liści palmowych, z głową do skóry wygoloną. Tego ręce długo całował i za kolana go obłapiał. — «Zlituj się, kapłanie — błagał — na gwiazdy niebieskie, na bóstwa piekielne, na żywioły przyrodzone, na milczenie nocy i na koptyjskie miejsca najświętsze, i na podnoszącą się w zalewie wodę Nilową, i na tajemnice memfijskie, i na grzechotniki święcone w Faros — zlituj się! Pozwól mu na chwilę ujrzeć jasność słońca i w tych żrenicach zamkniętych na zawsze skrzesaj iskrę światła! Wszakże się nie wzbraniamy i nie odmawiamy ziemi tego, co jej, a tylko błagamy o mały strzęp życia, by pomstą się pocieszyć!» — Ujęty tem błaganiem, prorok dotknął ust zmarłego jakąś roślinką a inszą znowu położył mu na piersi. Zaczem ku wschodowi zwrócony, cichą posłał modlitwę ku wyjeżdżającemu na niebieskie sklepienie rydwanowi słońca. Ta scena przedziwna tak przejęła serca obecnych, że stali bez tchu, czekający na cud niesłychany.

Wśliznąłem się w tłum i tuż za samemi marami wylazłszy na jakiś większy kamień, patrzyłem na wszystko zachłannemi oczyma. Patrząc tedy, a tu pierś owego podnosić się już poczyną, i w żyłach życie tętnić, a zezwłok duchem się napełnia: i powstaje on człowiek umarły, i przemawia młodzieniec: — «Przec-że mnie, którym letejskiej już zażył wody, którym w styksowych rozlewiskach już się zanurzył, przec-że mnie przywołujecie do życia przez błysk chwili? Ostawcie mnie, tak błagam, ostawcie i do mego ukoju wrócić pozwólcie». — Takie słowa z ciała owego się do- były. Lecz prorok, podniósłszy nieco głos, rzekł: — «Czemuż nie chcesz ludowi wyjawić tajemnicy twej śmierci? Czy nie wiesz, że zaklęciami memi mogę Furje przywołać, mogę ci ciało znużone katować?» — Przemówił tedy ów z mar i tak się z jękiem do

ludu zwrócił: — «Zabił mnie zły podstęp nowej małżonki: śmiertelny napój śmierci mnie przysądził, a łożę ciepłe jeszcze gachowi zostawiłem». — Na to godna małżonka uzbiera się w zuchwałą przytomność umysłu i, bezbożnie przecząc oskarżeniom męża, klótnię z nim wszczyną. Tłum burzy się, miotany sprzecznymi uczuciami; jedni chcieli, by tę straszną zbrodniarkę natychmiast żywą zakopać z ciałem męża, inni nie chcą wierzyć bajaniom umrzyka. Lecz nowe słowa młodzieńca rozcięły tę wątpliwość; z ponownym bowiem i boleśniejszym jeszcze jękiem rzekł: — «Dam wam dowody, że prawdę nieskażoną mówię: wyjawię jasno, jak na dłoni to, czego nikt nie może wiedzieć». — Tu pokazując palcem na mnie, mówił dalej: — «Oto, kiedy ten czujny bardzo stróż ciała mojego straż przy mnie sprawował walną, więdźmy czarnoksiężskie, które chciały dostać w swe szpony mój zezwółk i dlatego wielokrotnie — a zawsze na próżno — w różne postacie się przerzucały, nie mogąc podejść wytrwalej onego czujności, wkońcu otoczyły go mrokiem i pograżyły w głębokim bezwładzie. Wtedy tak długo mnie po imieniu wabiły, aż zimne członki i obumarłe stawy — po ciężkich wysiłkach — zakłębom sztuki czarnoksiężskiej posłuszne się stały. Ten zaś oto, co mu na imię, jak i mnie, wstał na dźwięk swego imienia, ile że żywy, bo ino obezwładniony głuchym snem i, choć i nie wiedząc o tem, dobrowolnie, jakby sam był już cieniem, poszedł do drzwi izby. A choć one mocno były zamknięte, to przecież przez szparę w nich jakoś urznięto mu naprzód nos a potem uszy. Tak w mojem zastępstwie wycierpiał takie jatki. Aby zaś upozorować swoje szalbierstwo, przylepiają mu uszy z wosku całkiem nakształt dawnych i akuratnie przyprawiają nos, podobny do jego własnego. A teraz stoi tu biedak, co nie dostał nagrody za swą czujność, ale pokalenie za nagrodę». — Przerażony temi słowami, co prędzej chcę wypróbować kształty tych moich członków. Łapię ręką za nos — zostaje mi w palcach; pociągam za uszy — odrywają się. A kiedy wszyscy obecni palcami mnie wytykają i na mnie pokazują, kiedy śmiech huczeć zaczyna dokoła, zlany zimnym potem wymykam się między nogami ciżby. Nie mogłem też potem tak okaleczony i ośmieszony powrócić do rodzinnych kątów, lecz poszlachtowane uszy zatałem pod włosami, zaczesywanemi na oba boki, a haniebny brak nosa przystojnie zakryłem tym nosem płóciennym, dokładnie przylepionym.

Skoro tylko Telefron skończył tę opowieść, wśród biesiadników, podpitych, znowu prześmiejchy wybuchnęły...

*Tłum. E. Jędrkiewicz.*

*Wybór tekstów i układ M. St. Popławskiego.*

# LITERATURA ŁACIŃSKA WIEKÓW ŚREDNICH

---

Motto: *Littera gesta refert; quod credas, allegoria, Moralis, quod agas, quo tendas, anagogia.*

*Nicolaus de Lire († 1340)*

## PSEUDOEWANGELJA MATEUSZA

(R. 17)

Przeddzień, kiedy się to stało (nb. rzeź niewiniątek), Józef został we śnie przestrzeżony od Anioła, który mu rzekł: «Weź Marję z dziecięciem i drogą skroś pustyni udaj się do Egiptu». I Józef uczynił, jako mu rozkazał Anioł Pański.

Skoro przybyli do jaskini i chcieli tam wypocząć, Marja usiadła, trzymając Jezusa na kolanach. A było tam z Józefem trzech chłopców, a z Marją dziewczyna, którzy odprowadzili tę samą podróż. I oto nagle z jaskini wyszła gromada smoków, a na ich widok zaczęły dzieciątka krzyczeć ze strachu. Tedy Jezus, zszedłszy z łona matki, stanął przed smokami, one zaś oddały mu cześć, a uczciwszy, odeszły. Tedy dokonano się, co rzekł był Dawid prorok: «Chwalcie Pana na ziemi: smokowie i wszystkie przepaści» (Ps. 148, 7). Samo zaś dzieciątko Jezus, przechadzając się przed nimi, zakazało szkodzić jakimukolwiek człowiekowi. Ale Marja i Józef lękali się wielce, aby smoki nie zraniły dziecięcia. Którym rzekł Jezus: «Nie lękajcie się i nie uważajcie się i nie uważajcie mię za dziecko, gdyż zawsze byłem człowiekiem dojrzałym, a wszystkie zwierzęta leśne muszą korzyć się przede mną».

Podobnie lwy i leopardy oddawały mu cześć i towarzyszyły im skroś pustyni; dokądkolwiek Marja i Józef zwracali się, one szły przodem, ukazując drogę, pochylały głowy i oddawały cześć Jezusowi.

Pierwszego dnia, kiedy Marja ujrzała naokół siebie lwy i różne gatunki dzikich zwierząt, mocno się przełękła; do której Jezus, z wesołym obliczem poglądając na nią, rzekł: «Nie obawiaj się, matko, gdyż nie przybyły, aby cię ukrzywdzić, ale żeby ci usłużyć».

Temi słowy odjął strach od serca ich. Lwy towarzyszyły im zatem pośród wólów i osłów i zwierząt niosących juki, a nie czyniły im szkody, owszem były łagodne pośród owiec i tryków, które przywiedli z sobą z Judei. Pośród wilków szli i nie bali się, i nikt nie doznał szkody. Tedy dopełniło się, co powiadał prorok: «Wilk i baranek będą się paść spolem, lew i wół będą jeść tę samą słomę» (Iz. 95, 25).

Stało się trzeciego dnia podróży, że Marję zbyt umęczył żar słońca pustyni; ujrzawszy tedy palmę, rzekła do Józefa: «Odpocznę nieco w jej cieniu». Józef, pośpieszając, doprowadził ją ku palmie, pomógł znieść z wierzchowca. A usiadłszy Marja, spojrziała ku wierzchołkowi i obaczyła, że był pełen owocu, i rzekła do Józefa: «Pragnęłabym, gdyby to stać się mogło, pożywać z owoców palmy». I rzekł jej Józef: «Dziw mi, że to mówisz, skoro widzisz, jak wysoka jest palma, i że chciałaś pożywać z jej owoców. Ja trapię się raczej szczupłością wody, jaka nam w miechach pozostaje, a nie mamy skądby napoić siebie i zwierzęta». Tedy dzieciątko Jezus, z uśmiechniętym licem siedzący na łonie matki, rzecze palmie: «Przychyl się drzewo i owocami swemi pokrzep matkę moją». Na głos ten palma natychmiast pochyliliła szczyt, aż do stóp Marji, i zebrała z niej owoc, którym posilili się wszyscy. Skoro zaś owoce zostały zebrane, trwała pochylona, czekając rozkazu z ust, które jej pochylić się nakazały. Tedy Jezus rzekł: «Wyprostuj się palmo, zbierz siły i bądź towarzyszką drzew rosnących w Raju Ojca mego. Otwórz też u swoich korzeni źródło skryte pod ziemią, i niech z niego wytrysnie

dość wody, aby ugasić nasze pragnienie». Więc palma natychmiast wyprostowała się, i poczęły z pod jej korzeni tryskać źródła wód przezczystych, chłodnych i słodkich wielce. Obaczywszy tedy krynice wód, ucieszyli się radością wielką i napoili się wraz ze wszystkimi zwierzęty, oddając chwałę Bogu. Nazajutrz odeszli stamtąd; na odejściu Jezus zwrócił się ku palmie i rzekł: «Udzielam ci, palmo, tego przywileju, że jedna z twych gałęzi będzie od aniołów moich przeniesiona i posadzona w Raju Ojca mego. Nadto przenoszę na cię to błogosławieństwo, że wszystkim, co wyjdą zwycięzcami z jakiegokolwiek walki, będzie się powiadać: «Otrzymaliście palmę zwycięstwa». Podczas gdy to mówił, oto Anioł Boży zjawił się ponad koroną palmy, a odjąwszy jedną gałąź, uleciał z nią ku niebu, trzymając gałąź w ręku. Na ten widok popadali na twarz, jak umarli. Którym Jezus rzekł: «Czemu lęk ogarnął serca wasze? Czyż nie wiecie, że palma, którą kazałem przenieść do Raju, przygotowana będzie dla świętych w miejscu rozkoszy, jak była przygotowana dla was na tej pustyni»? Tedy podnieśli się pełni radości.

Gdy tak odprawiali podróż, Józef rzekł: «Panie, żar nam dopieka; jeśli pozwolisz, wybierzmy drogę nadmorską, aby znaleźć odpoczynek w miastach nadbrzeżnych». Jezus odrzekł: «Nie trap się, Józefie. Skrócę wam drogę, tak, że ile mieliście ująć w dniach trzydziestu, przebędziecie tego dnia dzisiejszego». Gdy tak rozmawiali, oto poglądając przed siebie, ujrzeli góry i miasta Egiptu. Radując i ciesząc się, weszli w granice Hermopolis i wstąpili do miasta egipskiego Sotin. Wstąpili do świątyni, zwanej Kapitołem Egiptu. W świątyni owej znajdowało się 365 posągów pogańskich, którym kolejno oddawano cześć w obrzędach bałwochwalczych. Stało się jednak, że ledwie Najświętsza Marja z dzieciątkiem weszła do świątyni, wszystkie posągi popadały na twarz i pokruszyły się, objawiając w ten sposób swą nicomość. Tedy dopełniło się, co powiadał prorok Izajasz: «Oto Pan wsiedzie na obłok lekki i wniędzie do Egiptu, i poruszą się bałwany egipskie w obliczu jego» (Iz. 19, 1).

*(Evangiles apocryphes, Textes et Documents pour l'Étude historique du Christianisme I. Paris 1911.)*

## MARCIN Z OPAWY

(arcyb. gnieźnieński, zwany Marcinem Polakiem, um. 1279)

### KRONIKA

A. 45. W Egipcie zjawił się ptak Feniks (tu następuje jego opis według poematu Laktancjusza).

A. 102. Papież Anaklet I postanowił, aby klerycy golili włosy i brodę.

A. 140. Córka cesarza Antonjusza I, Faustyna, zakochana w gladjatorze, wyjawiała tę miłość mężowi Markowi. On z porady lekarzy chaldejskich kazał gladjatora zabić i pomazać krwią ciało Faustyny; poczem pokusa ustała.

A. 370. Za papieża Damazego I żyli w Indjach Jozafat i Barlaam.

A. 388. W zamku Emaus urodził się chłopiec od pępka wgórę tak rozdzielony, że miał dwie głowy; każda była z pełnią władz umysłowych; jadły i spały naprzemian.

Attyla pod wrażeniem majestatu papieża, przy którym widział osoby straszliwego oblicza, zawrócił z Italji na Węgry.

A. 445. Za papieża Symplicjusza I urodził się Merlin w Bretanji z córki królewskiej i inkuba. Król bretański budował gmach, który co nocy ginął. Magowie objawili, że dla zniweczenia czaru potrzeba do wapna domieszać krwi człowieka, zrodzonego bez ojca, ale on się wykazał parantelą djabelską.

A. 525. Pewien pustelnik widział, jak papież Jan wtrącił do wulkanu Etny duszę arjańskiego króla Gotów zachodnich, Teodoryka.

A. 754. Karol Martel łupił kościoły, a dziesięciny rozdawał rycerstwu; dlatego to duszę jego biskup Euterjusz widział w piekle, gdy zaś otwarto trumnę króla, złożoną w opactwie St. Denis, znaleziono jeno dużego węża.

A. 907. Papież Sergjusz III, strącony przez Formoza, przyszedłszy powtórnie do władzy, kazał zmarłego dobyć z grobu, oblec w szaty pontyfikalne, ściąć i rzucić do

Tybru. Rybacy wydobyli ciało i umieścili u św. Piotra; widziano, jak święte obrazy kłaniały mu się.

A. 1000. Zanotowano znane podanie o papieżu Sylwestrze II (Gilbercie), co się zaprzedał djabłu.

W tymże czasie 1039 r. w Apulji znajdował się posąg z pierścieniem śpiżowym na głowie i z napisem: W kalendy maja o wschodzie słońca będę miał głowę złotą. Pewien Saracen, wzięty do niewoli od Roberta Gwiskarda, wytłumaczył, że chodzi o granicę cienia (jak w «Skarabeuszu» Edgara Poeego). Istotnie, znaleziono tam skarb.

A. 1197. Za Inocentego III pojawiła się nowa herezja Amalryka Carnonensis, który między innymi uczył, że gdyby pierwszy człowiek nie był zgrzeszył, nie byłby skazany na rozdział płci. Tak będzie znów po dniu ostatecznym, takim równie był Chrystus zmartwychwstały.

A. 1212. Za Fryderyka II, a Ferdynanda w Toledo, pewien żyd znalazł w kamieniu książkę napisaną trzema językami: hebrajskim, greckim i łacińskim. Mówiła o trojakim świecie od Adama do Antychrysta i Chrystusa, który jest początkiem trzeciego świata (widoczne echo podziału tradycyjnego historii).

(*Cronica Fratris Martini, de summis pontificibus et imperatoribus. Ed. Ph. Climes, Pragae 1859.*)

## KONRAD Z QUERFURTU

### OPIS NEAPOLU

Oglądaliśmy też misterne dzieło Wirgiljusza, Neapol; którego mury, pieśnią filozofów wysławione,<sup>1</sup> dziwnym zrządzeniem Parek, z rozkazu cesarza, miały być zburzone. Nie pomógł obywatelom wizerunek, przez tegoż Wirgiljusza sztuką czarodziejską zamknięty w ampułce<sup>2</sup> o bardzo wąskiej szyjce; w jej całości tę mieli ufność i wiarę, że póki pozostanie nienaruszona, nie może wydarzyć się miastu nieszczęście. Ampułkę i miasto w naszej mamy mocy, a mury zburzyliśmy, choć ampułka została nietknięta. Może też to zaszkodziło miastu, że na ampułce była nieznaczna szczyrba. — Tamże znajduje się koń śpiżowy, czarami W. tak odlany, że póki jest cały, żaden koń nie może się zwichnąć, a jeżeli taka jest jego przyrodzona wada, krajowi owemu właściwa, to przed sporządzeniem posągu i potem, jeżeli został cokolwiek uszkodzony, żaden koń bez załamania grzbietu nie zdoła długo jeźdźca nosić. — Tamże jest brama bardzo mocna, na wzór zamku zmurowana, o podwojach śpiżowych, dziś strzeżona przez strażników cesarskich; na niej W. osadził muchę śpiżową: póki zostanie nietknięta, żadna mucha do miasta nie wleci.

W bliskim zamku na skraju miasta i w otoczeniu morza są kości W.; jeżeli się je odkryje ku przystępowi powietrza, to cały horyzont się zaciemni; morze z gruntu się podniesie i zakipi dżdżystą burzą, i nagle ozwie się grom nawalnicy, czego sami doświadczyliśmy. Wpobliżu są Baiae, o jakich wspominają autorowie; to są łaźnie wirgiljańskie. Nadto pamiętamy, że koło Neapolu znajduje się brama, zwana «żelazną»; tam Wirgiljusz wszystkie węże owej dziedziny zamknął; one w jamach podziemnych i kryptach licznych przebywają; tę jedyną bramę zburzyć baliśmy się, aby węże z więzień uwolnione ziemi owej i mieszkańcom nie dokuczały.

W mieście znajduje się też rzeźnia, w taki sposób od Wirgiljusza zbudowana, że mięso zabitych bydła może tam leżeć sześć tygodni bez zepsucia, a jeżeli się je tylko wyniesie, natychmiast zaczyna cuchnąć. Poza miastem jest góra Wezuwjuusz; z niej ogień wyrzuca popiół cuchnący, a wybucha raz co dziesięć lat. Wirgiljusz postawił naprzeciw niej śpiżowego łucznika, z łukiem naciągniętym i strzałą na cięciwie. Pewien wieśniak, widząc, że naciągnięty łuk nigdy nie wystrzela, trącił cięciwę. Strzała wylatując przebiła górę, buchnął z niej ogień i teraz jeno chwilami ustaje...

(*Ed. Comparetti, Virgilio nell' Medio evo, II p. 185—6.*)

<sup>1</sup> Wspomnienie mitu o Amfjonie i Tebach.

<sup>2</sup> Widoczna tradycja t. zw. «Cudu św. Januarego».



## TERTULJAN

(ok. 160—ok. 220)

## O WIDOWISKACH

R. 15: Obaczy się zatem, jak główna zasada bałwochwalstwa i wszystkie jego znamiona są przeciw Bogu. Bóg zlecił Duchowi św., aby wedle swej natury rzeczy łagodnie i delikatnie powolnością, cichością, spokojem traktował; nie zaś gwałtem, żółcią, złością, bólem niepokoił. A to wszystko czynne jest przy widowiskach, z których żadne nie odbywa się bez wstrząśnień duchowych. Bo gdzie rozkosz, tam i roznamiętnienie, dzięki któremu właśnie rozkosz smakuje. Gdzie roznamiętnienie, tam też spółzawodnictwo, dzięki któremu roznamiętnienie smakuje. Gdzie zaś spółzawodnictwo, tam równie wściekłość i żółć, i ból, i złość... Bo choćby ktoś umiarkowanie uczęszczał na widowiska, czyto dla powagi swej, czy wieku, czy nawet dla właściwości swej natury, to jednak nie może obojętnością przemóc wewnętrznego wzruszenia. Nikt nie dąży do rozkoszy bez wzruszeń, nikt nie zazna wzruszeń bez ich przypadłości.

R. 16: Skoro szaleć nam wzbroniono, unikajmy równie c y r k u, gdzie zaprawdę Szał jest przewodniczącym. Przypatrz się tłumowi, co szalony na widowisko śpieszy, w ciżbę zbity, osłepty, zakładami roznamiętniony. Późni im się pretor, wzrok mają ustawicznie w urnę z losami utkwiony. Zalekli na hasło czekają, jeden okrzyk wszystkich, jeden obłęd. «Zatknął» — wołają i naprzemian ogłaszają to, co przecież wszyscy tuż widzą. Wyraźny dowód ślepoty; nie rozumieją, co się dzieje: myślą, że tablicę zatknięto, a to był od djabła z góry rzucony żer...

R. 17: Równie mamy nakaz uchylania się od wszelkiego bezwstydu. Dlatego unikamy t e a t r u, który jest osobliwym stekiem rozpusty: tam wszystko wolno, czego indziej nie wolno. Największy bowiem jego wdzięk w plugastwie, jakie gestykulator atellanów lub mimus nawet w postaci kobiecej odkrywa, gubiąc przyzwoitość płci, aby łatwiej w domu niż na scenie rumieniły się; jakie nakoniec pantomimus od dziecka na ciele znosić musi, by wyjść na sztukmistrza. Nawet domy nierządu na scenę się przenosi...

R. 18: Równie umiejętnością literatury świeckiej, jako głupstwem wobec Boga, pogardzać nam rozkazano, zwłaszcza temi rodzajami widowisk, które w literaturze świeckiej rozrywkową lub igrzyskową scenę rozstrajają. Bo jeżeli tragedje i komedje, owe przedstawicielki zbrodni i zmysłowej żądz, okrutne i rozwiązłe, bezbożne i niepowściągliwe, wszelkiej rzeczy przerażającej lub niecnej są najżywszem przypomnieniem, jeżeli w czynie są wstrętne, to i w słowach winny być niedopuszczalne...

R. 19: Oczekujemy teraz od Pisma potępienia a m f i t e a t r u. Jeżeli mniemamy, że dozwolone są: srogość, bezbożność, okrucieństwo, idźmyż do amfiteatru. Jeżeli jesteśmy takimi, jak nauczyliśmy się być, rozkoszujmy się krwią ludzką. Słuszna jest karać zbrodnię: któż, chyba zbrodnicę, zaprzeczy? Ale wszak niewinny katuszą cudzą radować się nie może, gdy raczej niewinnemu boleć wypada nad tem, że człowiek jemu równy dopuścił się takiej winy, że aż musi za nią okrutnie pokutować. Któż zaś zapewni mię, że zawsze tylko występni czyto dzikim zwierzętom, czy też jakiegokolwiek męczarni będą poddawani, aby gdzieś przytem nie zamieszała się niewinność, czyto przez mściwość sędziego, czy przez nieudolność obrońcy, czy przez przymus tortury? O ileż przeto lepsze jest nie wiedzieć, jak zbrodniarze są karani, niż przytem dowiedzieć się, że i dobrzy giną. Niewątpliwie niejednen gladjator w igrzysku jest czynny, aby posłużyć za karm publicznej rozrywce. Nawet ci, co (za karę) są skazywani na zapasy, jakże to dzieje się, że za małe przestępstwo w odpłacie stają się mężobójcami? Ale na to niech odpowiedzą poganie. Zresztą nie godzi się, aby o tej ohydzie widowisk więcej jeszcze ode mnie dowiadywał się chrześcijanin, jakkolwiek nikt tego doskonalej wyrazić nie zdoła niż ten, co dba, aby się w złe nie mieszać, niż aby je przypominać...

(*Tertuliani Opera. Liber de spectaculis, C. 15—19. Patr. lat. t. 1—3.*)

## LAKTANCJUSZ

(koniec III w.)

## O FENIKSIE

Istnieje szczęsny kraj na najdalszej wschodniej rubieży,  
Gdzie otwiera się brama najwyższa wiecznego bieguna;  
Ni zimowych, ni zgoła upalnych dni tyka się zbliśka,  
Lecz jak słońce na osi, ku porze się skłania wiosennej.  
Tam równina otwarta przestrzenie roztacza szerokie,  
Ni wzgórzem wyrasta w górę, ni zionie głębią doliny.  
Niemniej gór naszych wierzchołki, choć tak się podnoszą wyniośle,  
Miarą dwudziestu łokci owa przewyższa kraina.  
W tej stronie rośnie gaj Słońca, drzewem obsiany rozlicznem,  
Las wieczystego zaszczytem listowia zieleniejący.  
Gdy Faëtona wóz płomieniem rozgorzał niebieskim,  
Miejsce owo zostało niepogwałcone pożogą,  
A kiedy potop w swych nurtach głębokich pograżył świat cały,  
W tej to krainie Deukaljon zdrowo wypłynął nad fale.  
Ni tam niemoc bezkrwista, ni wieku gorzka sędziwość,  
Ni śmierć czai się sroga, ni przerażenie tam żywie,  
Ni zbrodnicość bezecna, ni bogactw niezdrowa żądza,  
Ni gniewliwość porywczą, ni mordu wściekle pragnienie,  
Ni smętek cierpkiego smaku, ni biedą obszyte łachmany,  
Ani troska bezsenna, lub głodu bolesne cierpienie,  
Ani tam burze szaleją, ni wichrów zawieje się tłuka,  
Nigdy szron mroźną bielą tam nie powleka gleby.  
Obłoki ponad polami nie zaciągają welny,  
Nigdy z wyżyn nie pada deszczu wilgotna struga;  
W pośrodku źródło wytryska, źródło «żywiącem» zwane,  
Przezroczyste, łagodne, słodkimi nabrzmiałe soki;  
Ono, raz wybuchając w odstępach każdego miesiąca,  
Dwunastoma strumieniami pokrapia wszystek gaj owy.  
Przedziwnych drzew gatunek w górę wierzchołkiem wystrzela,  
Niepadające na ziemię owoce słodkie rodzi.  
Kraj owy i gaj owy ptak zamieszkiwa Feniks,  
Jeden lecz zawsze żywy, bo zmartwych ciągle wstający,  
Sługa poddany Feba i kroków jego towarzysz.  
Ten wyznaczyła mu urząd pokrewna jemu przyroda.  
Zaledwie pierwszych rumieńców nabierze kraśna jutrzienka,  
Zaledwie światłem różowem z pośrodku gwiazd uciecze,  
Trzykroć, czterokroć ciało zanurza w zbożnej fali;  
Trzykroć, czterokroć żywem gardłem kosztuje wody,  
Wzłata, na drzewie najwyższem w samym szczycie usiada,  
Stamtąd gaj wszystek jednym ogarnia spojrzeniem.  
Tedy zwrócony ku Feba powrotnemu wschodowi,  
Czeka pierwszych promieni i złotowłosych narodzin;  
A kiedy słońce przebije odrzwia błyszczących wrót  
I po jego promieniach lekki powieje wiatr,  
Wgłos poczyna zawodzić nuty świętego śpiewu.

— — — — —

Skoro więc tysiąclecie przebył swojego żywota,  
Szukać leci dziedziny, gdzie jest śmierci władanie;  
Sędziwo zwraca ku krajom syryjskim swe loty

Do Fenicji, co po nim nosi prastare nazwisko.  
 Śród utajonej pustyni szuka bezdrożnych gajów  
 W miejscu, kędy wyrwami ciągną się lasy rozległe;  
 Najwyższą z pośrodku innych, smukłą wybiera palmę,  
 Którą po ptaku Feniksa mianem nazwali Grajowie;  
 Żadne szkodliwe stworzenie na nią wpełznąć nie zdoła,  
 Czyto oślizły wąż, czy też ptak jakiś drapieżny;  
 Tedy wichry zamyka Eol w jaskiniach przyskalnych,  
 By nie gwałciły powiewem różowionego powietrza,  
 Ani lotem skupiony obłok po próżni niebiosów  
 Nie wstrzymywał słonecznych promieni i wstręt czynił ptaku.  
 Tam zatem ściele sobie gniazdo i grób równocześnie:  
 Gubi się, aby żyć, sam siebie odnowa tworzy.  
 Zbiera pachnidła i soki w bogatym woniami lesie,  
 Ile ich płodzi Asyrja, ile zamożne Araby,  
 Ile sabejska kraina w łonie swein pulchnem chowa.  
 Cynamonową woń i amonu kadzielne dymy  
 Zbiera i miesza razem liść przepojony balsamem.  
 Nie brak łagodnej kasji, ni wonnych gałązek akantu,  
 A z niemi lez i kropel zagęszczonego bursztynu.  
 Dodaje gałązek nardu zaledwie pękającego,  
 Z nią moc kojarzy mirry, zbawiennej na wszelkie niemoce;  
 W tak zbudowanym gnieździe, w tem życiodajnem łożu  
 Do przemiany gotowe układa powiędłe ciało.  
 Zaraz też te woniejące cząsteczki po sobie i wokół  
 Rozsiewa i gromadzi na swój bezśmiertny chron,  
 Ducha swego poleca bujnym całuna zapachom,  
 Ani czuje obawy, że jego nadzieje zawiodą.  
 Ciało tymczasem, śmiercią żywot dającą zgładzone,  
 Wygrzane, od własnego swego zapala się ciepła,  
 Z rozświetlonych jasności wyciąga ku sobie promienie,  
 Płonie, ze spaleniska w popiołu pył się rozpada,  
 A ten popiół, skupiony tajemnem prawem natury,  
 Napęczniały i wzdęty, własności nasienia przybiera;  
 Zeń, jak wieść niesie, zwierzę zrazu bez członków powstaje,  
 Rośnie, a kiedy był jego swojej dobiegnie pory,  
 Smukłego postacią ptaka, jak przrody, wyrasta.

(*Caeli Firmiani Laclantii Opera omnia. Corp. script. eccl. lat.,  
 vol. 27. Vindobonae 1893.*)

## AMBROŻY

(ok. 340—397)

### HYMN NA NIESZPÓR SOBOTNI

Twórco wszechświata, Boże nasz,  
 Dzierżący kręgu ziemi ster,  
 Dzień przyoblekasz w jasny strój  
 A noc otulasz łaską snu,

Znużone członki by się znów  
 Skrzepiły na jutrzejszy trud,  
 By ocknął się zmęczony duch,  
 By go opuścił smętny lęk,

Modląc się po zamknięciu dnia,  
 W momencie, gdy nastaje noc;  
 Wspomóż nas winny spełnić ślub,  
 Ten oto podnosimy hymn.

Niech Cię serc naszych wielbi pieśń  
 I na Twą chwałę chórem brzmi,  
 Niech miłość czysta Tobie gra  
 I niech uwielbi trzeźwa myśl.

Gdy noc nad ziemią zamknie się, Wkrąg ją otuli gęsty cień, Niechaj nie zaćmi wiary mrok, Skróś cieniów niech jej płonie blask.	Nie dozwól myśli zapaść w sen, Niech go nie spęta żaden grzech; Czystym ochłodą będzie on I nie dopuści sennych mar.
---	---

Wyzuty z lubieżności zmysł,  
O Tobie serce niechaj śni,  
Zawistny i podstępny wróg  
Niech strachem nie nawiedza go.

(Mone, Lat. Hymnen des M. A. 3 vol. 1853. I. nr. 281.)

## HIERONIM

(po 340—420)

### ŻYWOTY

#### Żywot św. Pawła z Teb

(napisany w 373 r. na puszczy Chalces. Hieronim opiera się na opowiadaniu 2 uczniów: Antoniego i Makarjusza)

W czasie prześladowań za cesarza Decjusza Paweł, pierwszy pustelnik, został wygnany na pustynię egipską na wschód od Nilu. Tam też odkrył grotę, której sklepienie przebijało drzewo palmowe, rosnące wewnątrz; znajdowało się w niej również źródło żywej wody; Pawłowi niczego do życia nie brakowało. I służył Panu na puszczy okrągłych lat 113, gdy 90-letni Antoni pustelnik, który w innej żył samotni, na zlecenie anioła przybył go odwiedzić. A gdy przyszedł, Paweł oddał ducha, błogosławiąc Panu. Dwa lwy wykopały grób, w którym złożono zwłoki świętego.

#### Żywot Malchusa

(napisany w 391 r. w Betleem)

Podczas swego pobytu w Antjochji Hieronim spotkał w pobliskiej wiosce Mezonji niejakiego Malchusa i z ust jego usłyszał opowieść, którą oto podaje jako «historia castitatis» dla zbudowania potomości. Ów Malchus żył już kilka lat w pustelni, gdy, dowiedziawszy się o zgonie ojca, powrócił do rodzinnego miasta, by objąć dziedzictwo. A iż częśćkę mienia dla siebie zachować pragnął, co dla mnicha jest rzeczą niegodną i wielce szpetną, w powrotnej drodze popadł w moc Saracenów. Pan, u którego w niewolnictwie żył, chcąc go złamać, kazał mu poślubić niewiastę chrześcijankę, której mąż był jeszcze przy życiu. Napróżno Malchus usiłował przebłagać okrutnego pana. Nie widząc innego wyjścia, zawarł z niewolnicą małżeństwo pozorne i żył z nią w powściągliwości przez lat kilka. W nagrodę za to Pan go uwolnił z rąk Saracenów.

(S. Hieronimi Opera. Patr lat. 22—23.)

## AUGUSTYN

(354—430)

### O PAŃSTWIE BOŻEM

(Ks. XI, r. 17)

Zło nie jest naturą, lecz sprzeciwia się naturze, a sprawcą grzechu w naturze nie jest Bóg, lecz wola.

Ze względu na naturę, a nie ze względu na złość szatana, słusznie o nim powiedziano: To jest pierwsze dzieło Boże, gdyż bezwątpienia, gdzie grzech zapanował, tam poprzedziła go nieskazona jeszcze natura. Grzech zaś tak jest przeciwny naturze, że może jej szkodzić jedynie. Nie byłoby więc grzechem odstępować od Boga, gdyby

powinnością natury, której to za błąd się poczytuje, nie była zgoda z Bogiem. Dlatego nawet wola zła jest mocnym dowodem dobroci natury. Lecz Bóg, jak jest najlepszym twórcą natur dobrych, tak też przewrotnej woli jest najsprawiedliwszym rządcą i, gdy wola nadużywa natury dobrej, on umie użyć ku dobremu nawet woli złej. To też sprawił, że szatan, co stworzony był dobry, a wolą swą stał się zły, obecnie umieszczony w piekle, jest igraszką aniołów, to znaczy, że pokusy szatańskie przynoszą korzyść wiernym a nie szkodzą im, jak tego pragnie. Ponieważ zaś Bóg, stwarzając go, wiedział dobrze o przyszłej jego złości i przewidywał, jak to zło na dobro obróci, przeto powiada psalm: *smok ten, któregoś stworzył ku naigrzawaniu się zeń* (ps. 103, 26), ażeby w samymże momencie stworzenia, gdy dobroć Boża czyniła szatana dobrym, już wszechwiedza Boża obmyślała, jak użyć go ku dobremu, gdy stanie się złym.

(S. Augustini, *De Civitate Dei*, ed. J. B. Dombart, Lipsiae 1905. 2 vol.)

#### O NATURZE DWU MIAST: ZIEMSKIEGO I NIEBIESKIEGO

(Tamże, ks. XIV, r. 28)

Z dwu rodzajów miłości powstały dwa miasta. Miłość własna, posunięta aż do wzgardy Boga, stworzyła miasto ziemskie, miłość zaś Boża, posunięta aż do wzgardy siebie, miasto niebiańskie. Więc pierwsze szuka chwały własnej, drugie chwały Bożej. Jedno pożąda chwały u ludzi, dla drugiego Bóg, znawca sumienia, jest chwałą. Jedno w samochwalstwie głowę podnosi, drugie mówi Bogu: *Tyś chwała moja i podwyższający głowę moją* (Ps. 3, 2). W pierwszym żądza panowania ogarnia czyto naczelników, czy podwładne narody, w drugim przełożeni troskają się, a podwładni słuchając, służą sobie wzajemnie w miłości. Jedno w mocarzach swoich kocha siłę swoją, drugie powiada Bogu: *Będę Cię kochał Panie, Mocny moja* (Ps. 17, 2). Przeto mędrcy pierwszego miasta, żyjąc po ziemsku, albo szukali czyto dóbr cielesnych, czy duchowych, czy jednych i drugich; albo którzy mogli poznać Boga, «nie chwalili go jako Boga, ani mu dziękowali, lecz znikczemnieli w myślach swoich, i zaćmione jest bezrozumne serce ich; a powiadając się być mądrymi (to jest opanowani pychą, wynosząc się z mądrości swojej), głupimi się stali i odmienili chwałę nieśmiertelnego Boga w podobieństwo obrazu człowieka śmiertelnego i ptaków, i czworonogich zwierząt, i węzów (bo w składaniu czci onymże wizerunkom albo przewodnikami byli, albo naśladowcami), i służyli stworzeniu raczej niż stworzycielowi, który jest błogosławiony na wieki» (do Rzym. 1, 21 i nast.). «W drugim zasię mieście nie masz ludzkiej mądrości, jest tylko miłość, którą najwłaściwiej prawdziwemu Bogu cześć się oddaje, oczekująca nagrody w towarzystwie nietylko świętych ludzi, ale i aniołów, aby Bóg był wszystko we wszystkich» (I do Korynt. 15, 28).

#### O NĘDZY I NIESZCZĘŚCIACH, KTÓRYM RODZAJ LUDZKI GWOLI GRZECHU PIERWORODNEGO PODLEGA, OD KTÓRYCH GO JENO ŁASKA JEZUSA CHRYSZTUSA UWOLNIĆ MOŻE

(Tamże, ks. XXII, r. 22)

Że rodzaj ludzki już u początku swego istnienia potępiony został, o tem świadczy choćby to życie — jeśli życiem je nazwać można — tylu i tak wielkich nieszczęść pełne. Na cóż bowiem innego wskazuje straszliwa owa głębia niewiadomości, z której pochodzi wszelki błąd, co synów Adama niby w jakieś ciemne łono wchłania, tak, że nie mogą się zeń wyzwolić bez trudu, boleści i lęku? Co samo ukochanie rzeczy próżnych, a szkodliwych? Skąd gryzące troski, niepokoje, smutki, obawy, niezdrowe radości, rozterki, spory, wojny, zasadzki, gniewy, nieprzyjaźni, obłuda, pochlebstwo, zdrada, kradzież, rabunek, przewrotność, pycha, ambicja, zawiść, mężobójstwo, ojcobójstwo, okrucieństwa, spustoszenia, niegodziwość, rozwiąłość, zuchwalstwo, chepliwość, bezwstyd, nieobyczajność, porubstwo, cudzołóstwo, kazirodztwo i tyle grzechów przeciw naturze obojga płci, o których nawet mówić nie przystoi, świętokradztwa, herezje, bluźnierstwa, krzywoprzysięstwa, uciski niewinnych, oszczerstwa, kręactwa, przeniewierstwa, fałszywe świadectwa, niesprawiedliwe sądy, gwałty, złoçystwa i wszelkie

inne tegoż rodzaju zdrożności, trudne nawet do ogarnienia pamięcią, choć od tego życia nieodłączne? Mimo, że są właściwe ludziom złym, jednak wyrastają z tego korzenia błędu i przewrotnej miłości, z którym każdy syn Adama się rodzi. Któż bowiem nie wie, z jaką niewiadomością prawdy, co to już u niemowląt jest oczywista, i z jaką obfitością próżnej żądz, co u chłopiąt poczyna się objawiać, człowiek na ten świat przychodzi, tak, że gdyby mu pozwolono żyć tak, jak chce, i czynić to, co chce, doszedłby do wszystkich albo do wielu z tych zbrodni, jakie wymieniłem, albo jakich wymienić nie mogłem...

## PRUDENCJUSZ

(ur. w r. 348)

O WIENIEC (PERISTEPHANON) NA CZEŚĆ BŁ. EULALJI  
(trymetr daktyliczny hyperkatalektyczny, w. w. 114 i nast.)

— Oto gotowe już narzędzia  
Ku śmiertelnemu umęczeniu:  
Czy mieczem ma być ścięta głowa,  
Ościeniem rozszarpane członki?  
Czy rzucona na stos dymiący,  
Ze smętnym i żalonym jękiem  
Obrócona w popiół zetjejesz?  
Ujść kaźni czy trud to jest wielki?  
Byle drobną kruszynę soli,  
Paluszkami szczyptę kadzidla  
Usmyknąć, panienko łaskawa,  
Srogą mękę oddalisz od się. —  
Milczała męczennica; jeno  
Zadrzy, w same oczy tyrana  
Splunie i symbole rozrzuci,  
Kadzzielne ołtarze podepce.  
Niewłocznie bliźniący katowie (= obcegi)  
Rozdzierają piersi młodziuchne,  
A osęka boków dziewiczych  
Z obu stron sięga aż do kości.  
Eulalja liczy głośno razy.  
— I Ty mi policzysz, mój Boże,  
Na zasługę te szczytne cyfry,  
Piszące Twe, Chryste, trofea.  
Prześwięte jego imię głosi  
Samej krwi przelanej purpura. —  
Tak bez jęku i bez wzdychania,  
Pogodna, niezłomna śpiewała,  
Strach śmierci nie powstał w jej duszy.  
Członki nową malowne barwą  
Przegorąca obmywa struga.  
Ostatnia została męczarnia:

Pod osłoną białego płaszcza.

Nie ciała rozdarcie krwawiące,  
Ni do żeber przeorana skóra,  
Lecz jaskrawe płomienne języki,  
Liżące boki jej i łono.  
Włos wonny spłynął i otulił  
Obojczyki oba i barki  
I to, co kryje wstyd dziewiczy,  
Od stóp do głów osłania wszystką.  
Płomień z trzaskiem leci na lica  
I na kędziorach posilony  
Ogarnia głowę jej i ciemię;  
Dziewczę prędkiej spragnione śmierci,  
Wzdycha i pije żar ustami.  
Nagle wyblyska gołębica  
Z ustek męczeńskich białośnieżna,  
Na oczach widzów do gwiazd leci.  
Dusza to była Eulaliji  
Mlecznobiała, prosta, niewinna.  
Głowa zwisa, gdy brakło duszy,  
Włos ogniem strawiony zagasa,  
Pokój schodzi na martwe członki,  
Skoś eteru głos brzmi weselem,  
Ptak dąży do niebieskich świątyń.  
Sam strażnik dostrzega, jak ptaszę  
W oczach wszystkich z ust jej wionęło.  
Więc zdumiony, przejęty grozą,  
Cofa się, robotę porzuca.  
Sam też liktor pobladły pierzcha.  
Mroźna zima śniegiem powieje,  
Całe forum w biel przyodziewa,  
Otula zwłoki Eulaliji.  
Tak leżą pod mroźnym biegunem,

## PSYCHOMACHJA

(w. w. 21—39)

Pierwsza wychodzi na harc i na niepewny los boju,  
Walki spragniona Wiara w rozwianej chłopskiej szacie.  
Nagie ramiona, włos ma niestrojny, mięśnie napięte:  
Żarliwa żąda chwały do nowych praca bojów,

Nie dała dbać o kołczan, ni pancerz obronny;  
 Ufna w pierś nieulekłą i odsłonięte muskuły,  
 Wzywa do pokuszenia szalonych losów bitwy.  
 Na tak nastawającą śmie, siły skupiwszy, uderzyć  
 W przednim szyku prastarych bogów pogańskich czcicielka.  
 Tamta nieprzyjacielską głowę i skronie hełmem  
 Kryte przypiera, wargi krwią zwierząt pojone  
 W piasek wtlacza i stopą depce zwycięską  
 Oczy, śmiercią zamglone; więc oddech złośliwy  
 Przedrzeć się krtani zgniecionym kanałem nie zdoła,  
 Trudne konanie przewlekłym zajęciem się męczy;  
 Raduje się legjon zwycięski, co go królowa Wiara  
 Z tysiąca męczenników zebrany wiodła na wroga.  
 Więc wojowników dzielny zastęp za chwałę nabytą  
 Kwieciami wieńczy, ognistą każe przystroić purpurą.  
 (*Aur. Prudentii Carmina. Patr. lat. t. 59—60.*)

### AUZONJUSZ

#### PRZEGLĄD SZLACHETNYCH MIAST

#### XIII. Narbona

Nie zamilczę też ciebie, marsowa Narbono; twe imię,  
 Ogarniające niegdyś rozległe państwa dzielnice,<sup>1</sup>  
 Prawo władztwa nadało rzymskiemu osadnikowi<sup>2</sup>.  
 Wcielili się w twe miano Allobrodzy z nad brzegów Sekwany,  
 Alp italskich wierzchołki murem stały granicznym,  
 Pirenejskimi śniegi znaczą twój kres Iberowie,  
 Wchłania się w ciebie Rodan, gwałtowne dziecko Lemanu,  
 Pośrodku na Akwitańskich łąkach zaległy Sewenny,  
 Tak aż do Tektosagów, pogańskim imieniem Wolków,<sup>3</sup>  
 Wszystko to była Narbona; ty, Galjo, pierwsza ozdoba  
 Toga, dzierżyłaś łacińskie prokonsula różgi.  
 Kto pamięcią ogarnie twe porty, góry, jeziora?  
 Kto ludów twoich liczbę odmiennych strojem i mową?  
 Twoja niegdyś z marmuru paryjskiego świątynia  
 Zdumiewała ogromem; nie byłby się zawstydzil  
 Ni prastary Tarkwinjusz, ni Katullus, ni wreszcie  
 Cezar, Kapitolowi co złote fundował szczyty.  
 Bogactwa tobie wnoszą w towarach wschodnie morza  
 I bliższe fale Iberji, libijskie, sykulskie floty;  
 Wszystko, co tylko przepływa przez groźne morskie cieśniny,  
 Z całego świata do twych skwapliwie zawija portów.  
 (*Decii Ausonii Opera. Patr. lat. t. 19.*)

### FULGENCJUSZ

(koniec V w.)

#### MITOLOGJE: POWIEŚĆ O SĄDZIE PARYSA

Filozofowie podzielili życie ludzkie na trzy rodzaje: teoretyczny, praktyczny, filar-  
 giczny, które my zowiemy: kontemplatywnym, aktywnym, zmyslowym, jak to równie

<sup>1</sup> Galja narboneska obejmowała zakres najstarszego rzymskiego podboju.

<sup>2</sup> Pierwsi osadnicy otrzymali «prawo obywatelstwa».

<sup>3</sup> Wolkowie (Volcae) dzielili się na Tektosagów ze stolicą Tuluzą i Arekomików ze sto-  
 licą Nemausus (Nimes).

prorok powiada: *Błogosławiony mąż, który nie chodził w radzie niebożnych i na drodze grzesznych nie stał, i na stolicy zarażliwości nie siedział* (Ps. 1, 1), t. j. nie chodził, nie stał, nie siedział. Pierwszy zatem jest kontemplatywny, tyczący się mądrości i szukania prawdy, do czego u nas dążyli biskupi, kapłani, mnisi, u nich zaś filozofowie, których żadna chęć zysku, żaden szal bezrozumu, żadna trucizna zawiści, żaden opar pożądlivosti, ale jedynie troska, zwrócona ku dociekaniu prawdy i oglądaniu sprawiedliwości głodze, sława zdoła, nadzieja karmi. — Wtóry jest czynny, który jeno o życia wygodę dbały, strojem nęcony, posiadania niesyty, rabunku baczny, posług wyczekujący się krząta... Zmysłowe zaś życie, rozwiązłości jedynie uległe, nie uczciwego nie liczy za dobre, ale spragnione zepsucia, bądźto w rozpuszczeniu niewieścieje, bądź mężobójstwem się krwawi, bądź rabunkiem się rozpala, bądź wrzodami gnije. Ale tak między nimi jedynie epikurejczycy żyją, u nas zaś życie podobne naturą się zwie, nie zbrodnia, a że nikt zacie nie działa, więc nawet rodzić się zacyem nie wolno. — To zatem poeci o trzech boginiach rozważając, ułożyli spór, t. j. Minerwy, Junony i Wenery, które o wyższość zalet swych toczą walkę...

(*Fabii Planciadis Fulgentii Opera. Mitologiarum libri III. L. II, 1: Fabula de iudicio Paradis, ed. R. Helm. Teubner 1898.*)

## GRZEGORZ WIELKI

(ok. 540—604)

### REGUŁA PASTERSKA

(Poucza w niej, jak mają postępować duszpasterze, jak gotować się do swego zawodu, jak kierować owczarnią wiernych. W radach i przepisach dla kaznodziejów wykrywa się przenikliwym znawcą serca ludzkiego.)

«Inaczej mają przemawiać do mężczyzn a kobiet, do jednych ostrzej, do drugich łagodniej: inaczej do młodych a starych, bogatych a ubogich, wesołych a smutnych, przełożonych a poddanych, uczonych a prostaczków, bezwstydnym a skromnym, odważnym a małodusznym, uczynnym a zazdrośnym, zdrowym a chorym, gadatliwym a małomównym, prędkiem a opieszalym, łagodnym a gniewliwym, niewstrzeżliwym a skromnym w jadł i napoju, chciwym a hojnym, zgodnym a kłótlwym, żonatym a bezżennym, znających grzech a naiwnym, zatwardziałym a skorym do poprawy, grzeszących z popędu a z rozmysłu, tych, którzy grzeszą skrycie a jawnie, dobrze czynią lub odwrotnie, jak wreszcie radzić tym, którzy miotają się w namiętnościach sprzecznych». (Jest wyrozumiały i zapobiegliwy: powiada, że niekiedy należy pobrać mniejszym wadom, aby ustrzec od większych, że nie należy uwagi słuchacza przeciążać nad siły długim kazaniem. Nadewszystko zaś kapłani czynem powinni przyświecać) «być, jak ten kogut, o którym mówi Pan, że zanim zapieje, to skrzydłami uderza, aby się uczynić czujniejszym» (r. 40).

(*S. Gregorii Magni, Regula Pastoralis. Patr. lat. t. 77.*)

## BOECJUSZ

(ok. 480—524)

### POCIESZENIE FILOZOFJI

(w streszczeniu)

I. Filozofja, zanim poda skuteczne leki, bada naprzód jego (t. j. Boecjusza) stan duchowy. Zatem pyta, czy sądzi on, że świat jest rządzony przypadkiem? On wyznaje, że wierzy w rząd Boży, ale nierozciągający się na człowieka. Dla niej jest to dowodem, że nie zna ani siebie, ani celu stworzenia: w tem tkwi przyczyna choroby.

II. Ból jego pochodzi z tęsknoty do dawnego szczęścia (fortuna). Zastanowiwszy się, spostrzeże, że jak dawniej przez nią niczego nie posiadał, tak obecnie nic nie stracił; prawdziwe szczęście leży we wnętrzu człowieka.



III. Boecjusz czuje się pokrzepiony, gotowy do przyjęcia silniejszego leku. Ostatecznym celem człowieka jest szczęśliwość (*beatitudo*), ponad nią niema nic wyższego, godnego zabiegów. Ludzie jednak dążą do szczęśliwości fałszywej, zakładają ją w dobrach doczesnych. Ale samo istnienie szczęśliwości niedoskonałej każe przypuszczać szczęście doskonałe; jest nim Bóg, cel ostateczny wszechrzeczy. Dąży się doń nieświadomie, jako że on urzeczywistnia jedność, czy warunek istnienia. Zło wobec niego jest niczem, bo Bóg, który wszystko może, złego nie może.

IV. Boecjusz uznaje wywody Filozofji, ale to właśnie go boli, że Bóg istnieje, a zło mimo to góruje nad cnotą. Filozofja przeczy temu rzekomemu górowaniu; przeciwnie, to dobrzy panują, nie źli, bo wszyscy dążą do szczęśliwości, a szczęśliwość jest dobrem, źli dostąpić jej nie mogą. Zło jest nicością, więc mogą dostąpić nicości. Dobrzy-błogostawieni staną się bogami, taka bowiem jest nagroda dobrych; źli zostaną ukarani własną złością w tem i przyszłym życiu. Dlaczegoż więc dobrym powodzi się źle, a złym dobrze? Filozofja przyznaje trudność zagadnienia, ale stara się rozwiązać je przeciwstawieniem fatum i Opatrzności, które obie są ładem świata, ale z różnych punktów widzenia. Los (*fortuna*), pomyślność czy przeciwny, jest zawsze dobry, użyteczny zdrowiu duszy, wedle przepisu boskiego lekarza. Mędrzec nie powinien szemrać; powołaniem jego jest walka z losem; maż silny nie szemrze, gdy się wzmaga wrzawa bitwy. W waszych rękach spoczywa, jak sobie los urobieć chcecie; każdy bowiem los karze tylko wtedy, gdy nie uczy, albo nie poprawia.

V. Nawiązując do pojęcia Opatrzności, Boecjusz pyta, czy przypadek jest wogóle czemś i czem? Filozofja odpowiada, że jest wynikiem ze zbiegu koniecznego nieprzewidzianych przyczyn, który to zbieg wypływa ze źródeł Opatrzności.

A wolna wola? Jak się godzi z przejrzeniem Boskiem? Z odpowiedzialnością, nagrodą i karą? Odpowiedź brzmi, że rozum ludzki nie jest zdolny podnieść się do tyła, aby zrozumiał przejrzenie Boskie. Poznanie nie zależy od natury poznawalnego, ale od zdolności poznawczej. Inteligencja Boska, dzięki nieograniczoności w czasie, jednym rzutem myśli zdolna jest oglądać przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Nie ogranicza to wolnej woli człowieka. Zatem «brzydziecie się występkami, uprawiajcie cnoty, ku prawym nadziejom ducha podnoście, pokorne prośby ślijcie ku wyżynom. Wielka wam jest podnieła zacności, skoro działacie na oczach wszystko wiedzącego sędzi».

Ten jest tok myśli słynnego traktatu; geneza jego da się wysnuć z filozofji stoickiej i nowoplatonickiej, ale niepodobna przypuścić, aby chrystjanizm, tak bliski i tak narzucający się powagą, nie miał spóldziałać w urobieniu dzieła Boecjuszowego. Niektóre ważne punkty, np. wywód o przejrzeniu Bożem i wolnej woli człowieka (V. pr. 4, 6), schodzą się z nauką Augustyna (*De civ. Dei* V. 9—11); niezliczone konkordancje «Boskiej komedji», zgodność wyrażeń, myśli, doktryn, świadczą, że Dante kładł go narówni z powagą Ojców Kościoła. Od niego przejął tę myśl nowoplatonicką, że każda rzecz popędem naturalnym dąży do prabytu, bliższa lub dalsza Boga, w miarę swego przeznaczenia (por. I, 110—Boec. IV, pr. 6). Myśl o przyrodzonym pragnieniu szczęśliwości i jej fałszywym pojmowaniu (por. I, 135—Boec. III. pr. 2). O przejrzeniu i wolnej woli zgodnie z Augustynem (por. XVII, 40—Boec. V, pr. 4—6). O dobrach ziemskich przemijających (por. XI. 1—Boec. I, pr. 3). Myśl nowoplatonicka, że wszelki duch i materja są jeno odbiciem idei Bożej, u Boecjusza wyraziła się w formie natchnionego hymnu, u Dantego w przepięknej lercynie: «*Ciò che non muore*» (por. XIII, 12. Boec. III. metr 8). Dialog żywy, język zrozumiały laikom, bez nadmiaru stylistycznych piększydeł, a już zgoła pozbawiony balastu erudycyjnego; proza przeplatana ustępami wierszowanemi w liczbie 39.

#### POCIESZENIE FILOZOFJI (Metrum II)

Poeta więziony przypomina z bólem dawną pracę uczonego na swobodzie:

Zapadający się w otchłanną głębię,  
Hej, jak tępieje rozum, zdany światłu  
Własnemu, i leci zapaść w krańcowe ciemności!

Ileż to razy ziemskimi podmuchy wzmózona  
 W nieskończoność wyrasta zabójcza troska!  
 Ten oto niegdyś nieskrępowany, w otwarte nawykły  
 Niebiosą wzrokiem gonić po eterejskich szlakach  
 I przyglądać się słońca zarumienionym błyskom,  
 Rozpatrywać chłodem poblądłe światło księżycą,  
 Badać, gdzie jaka gwiazda błędne swe biegi  
 Zakreśla w kręgach od zwykłej drogi odgiętych,<sup>1</sup>  
 Zwycięzca wszystko w cyfrę wciśnięte ujmował.  
 I to, pod jakich bodźców naciskiem fale  
 Pontu strun rozegranych nabywały dźwięku;  
 I jaki dech po łuku toczy bezwładną ziemię;  
 I przez słoneczny dysk na hesperyjskie wody  
 Przypadłszy, wschodzi napowrót w zorzy rumianej;  
 Kto łagodnym napawa ciepłem wiosenny dzień,  
 Aby kwieciami różowym znów ozdobiła niwę;  
 Skąd pochodzi, że w porze bujnego rozwoju  
 Jesień ciężarna winną rozbłyska jagodą?  
 On, nawykły myślą badawczą worywać się w glebę,  
 Utajone w naturze wszelkie badać przyczyny, —  
 Oto dziś leży przy wyczerpanem ducha ognisku,  
 Z szyją zduszoną gniotąciami kajdany,  
 Ze schyloną pod zbyt ciężarem głową,  
 I musi, hej, na głupią patrzeć polepę!..

(Anitii Manlii Severini Boëtii, *De consolatione philosophiae.*  
 Lugd. Bat. 1671.)

## GALFRID Z MONMOUTH

(w poł. XII w.)

### DZIEJE KRÓLÓW BRYTANJI

#### Narodziny Artusa

(Rozdz. 136—7)

Król Brytów, Uterpendragon (Uter — z głową smoczą), odniósłszy zwycięstwo nad Sasami, wydaje ucztę, na którą zaprasza najprzedniejsze rodziny książęce. Śród innych przybył Gorlois, książę Kornubji, z żoną Ingerną, która urodą przewyższała wszystkie damy brytyjskie. Gdy ją ujrzał król, nagle zapalał taką miłością, że, pomijając resztę, ku niej jednej począł zwracać uprzejmości. Do niej jednej półmiski bezustanku obracał, jej złote kielichy przez służbę posyłał. Darzył ją częstym uśmiechem i żartobliwymi słowy. Kiedy to obaczył mąż, natychmiast wzburzony od uczy bez pożegnania odszedł. Nikt nie kwapił się go odwołać, gdyż bał się utracić to, co w tej chwili było mu najmilsze. Uter rozgniewany rozkazał, aby natychmiast powracał do domu, bo chciał niezwłocznie za obelgę na nim szukać pomsty. Gdy Gorlois odmówił stawić się przed królem, ten jeszcze większym zawrzał gniewem i zaprzysiągł, że pustoszyć będzie wszystkie jego posiadłości, aż póki nie otrzyma odplaty. Podczas więc gdy tak między nimi trwała zawziętość, zgromadził wielkie wojsko, wpadł do prowincji Kornubji i niszczył ogniem grody i miasta. Zaś Gorlois nie śmiał zetrzeć się z nim, gdyż posiadał słabsze siły zbrojne. Wolał zatem uzbroić grody, pókiiby pomoc z Hibernji nie nadeszła, a że mniej lękał się o siebie niż o żonę, osadził ją w zamku Tintagol na wybrzeżu morskiem, ile że sądził go bezpieczniejszym. Sam zaś zamknął się w kasztelu Dimilioc, aby na wypadek nieszczęścia oboje razem nie zginęli. Kiedy o tem królowi doniesiono, podstąpił pod warownię, gdzie skrył się Gorlois, i wszelki dostęp do niej odciął. Po upływie tygodni, przypomniawszy miłość ku Ingernie, przywołał Ulfina

<sup>1</sup> Rozumie zapewne kometę.

z Ridcaradoch, zaufanego towarzysza broni, i wyjawiał mu swoje uczucia, powiadając: «Goreję miłością Ingerny i nie uchylę się od hazardu, byle ją posieść. A ty radź, jakim środkiem dogodzić mej chęci, inaczej namiętność mię zabije». Na to Ulfín: «Jaka tu pomoże rada, kiedy żadną mocą nie dostaniemy się do wnętrza Tintagolu? Bo leży wśród morza, zewsząd otoczone wodą, a niema do zamku innej drogi, jak wąski lęg skalny. Do którego trzej rycerze zbrojni dostąpić nie dają, choćbyś tam z całym królestwem Brytanji podstąpił. Jednak gdyby tu czarodziej Merlin zechciał przyłożyć ręki, myślę, że z jego pomocą mógłbyś dostąpić, czego pragniesz». Zaczem król, łączno temu zawierzywszy, kazał przywołać Merlina.

Przywołano Merlina; kiedy stanął przed obliczem królewskim, kazano mu podać radę, z pomocą której król mógłby swej chęci miłosnej dogodzić. Ten, spostrzegwszy, jak bardzo niepokoi go cierpienie, wzruszony tyłą miłości, rzekł: «Aby osiągnąć, czego życzysz, potrzeba ci nowych środków, za twego czasu niesłychanych. Umiem lekami swemi nadać ci postać Gorloisa, tak, że będziesz od wszystkich za niego uważany. Będziesz mógł udawać jego, zaś Ulfín Jordana z Tintagol, jego dworzanina; w innej wreszcie postaci ja będę trzeci; tak zdołasz wejść do zamku i zbliżyć się do Ingerny».

Posłuchał król i żywo przystąpił do sprawy. Oblężenie pozostawił swym stronnikom, poddał się lekom Merlina, które mu nadały postać Gorloisa. Równocześnie Ulfín przedzierzgnął się w Jordana, Merlin zaś w Britaela, tak, że stracili zupełnie dawny wygląd.

Poczem weszli na drogę do Tintagolu, dokąd dotarli wieczorem. Upředzili odźwiernego, że konsul nadchodzi: otwarto bramę, mężowie wkroczyli do zamku. Czyż mogło stać się inaczej, skoro uwierzono, że sam Gorlois jest obecny? Tej nocy zatem król pozostał z Ingerną. Ją również oszukał postacią przybraną i ozdóbnemi słowy. Powiadał, że cichaczem wymknął się oblężającym, aby się oddać swej umiłowanej i swojemu państwu. Ona też z całym zaufaniem niczego mu nie odmówiła. Tejże nocy poczęła owego Artusa, później tak pełnego zasłużonej chwały.

(*Galfrid z Monmouth, Historia regum Britaniae c. 138—139. Légende arthurienne t. III. p. E. Faral, Paris 1929.*)

## IZYDOR

(570—636)

### ETYMOLOGIJ KSIĄG VIII

#### (3—4) Rozdz. 5. O odszczepieństwach

Niektórzy od Kościoła odstąpili; herezje ich nazywają się wedle imion założycieli: simonjanie, zwani od Simona, biegłego w sztukach czarodziejskich, którego Piotr w «Dziejach apostołskich» wykłął za to, że od apostołów łaskę Ducha św. za pieniądze chciał kupić. Twierdzą oni, że stworzenia zostały stworzone nie od Boga, ale od jakiejś wysokiej potęgi.

Menandrjanie; bazylidjanie; mikołajowcy (Nicolaetae); gnostycy gwoli doskonałości swej sztuki tak nazwać się zechcieli. Powiadają, że naturą Boga jest duch; w dogmatkach swych dobrego i złego boga rozumieją; — karpoteracjanie; — ceryntjanie; — nazarejczy; — ofici (Ophitae) zwa się od węża, wąż bowiem po grecku zwie się *ὄφις*. Czczą węża, powiadając, że wąż do raju wniósł poznanie mocy; — walentynjanie; — apellitanie; — archontjacy; — adamjanie, tak zwani przeto, że do Adama upodobniają się nagością, zatem nago modlą się, nago mężczyźni i niewiasty z sobą obcuja. Kainanie; — setjanie; — melchizedechjanie; — angelicy; — apostołicy; — kardonjanie; — marejonicy; — artotyrycy; — akwarycy; — sewerjanie; — tatjanie; — alogicy; — katafrygicy; — katarowie dla czystości tak się nazwali. Chelpiąc się bowiem swemi zasługami, przeczą pokutnikom odpuszczenia grzechów; wdowy, powtórnie wychodzące zamąż, jako cudzołóżne potępiają; czystszy się od reszty ludzi mieniają; — pauljanie od Pawła Samosatena początek wzięli; który powiadał, że Chrystus nie był odwieczny, ale dopiero z Marji się począł; — hermogenjanie, od Hermogena pewnego tak nazwani, który, materję uważając za niestworzoną, zrównał ją z Bogiem niestworzonym i utwierdził jako «matkę

stworzeń» i boginię; których więc apostoł potępił jako służki elementów; — manichejczycy poszli od pewnego Persa nazwiskiem Manes; ten wprowadził dwie natury i substancje: dobrą i złą, i utrzymywał, że dusze z Boga jakoby ze źródła wynikają. Stary Testament odrzucają, Nowy w części przyjmują; — antropomorfci; hierarchici; — nowacjanie od Nowacjana, kapłana rzymskiego, który przeciw Kornelijuszowi na katedrze kapłańskiej pragnąc zasiąść, herezję ustanowił, nie chcąc przyjmować apostatów, ochrzczonych powtórnie chrzczyć; — montaniści, tak nazwani, gdyż czasu prześladowań w górach się chronili, przyczem odłączyli się od Kościoła Katolickiego; — ebnjonici; — foninjanie; — aerjanie; — aecjanie; — orygenjanie od Orygenesza; — noecjanie, którzy utrzymywali tożsamość Ojca, Syna i Ducha św. a samej Trójcy św. dopatrywali w nazwach własności, nie zaś osób; — sabeljanie; — arjanie od Arjusza Aleksandryjczyka, który, nie uznając odwieczności Syna z Ojcem w Trójcy, przyjmował odmienną substancję wbrew temu, co mówił Pan: Ja i Ojciec jedno jesteśmy; — macedonjanie; — apolinaryści; — antydikomaryci; — melangismonici; — patrycjanie; — kolutjanie; — donatyści od Afrykana Donata, który, przybywszy z Numidji, całą prawie Afrykę swemi wzmówieniami zwiódł, utrzymując, że Syn jest mniejszy od Ojca a Duch św. od Syna, i na nowo chrzcząc katolików; — benosjani, cirkumceljoni, pryscylljanisci, lucyferjanie (od Lucyfera Sardynczyka); jowinjanisci, elwidjanie, paternjanie; tertuljanie od Tertuljana, którzy utrzymywali, że dusza jest nieśmiertelna, ale materialna, zaś dusze grzeszników po śmierci zmieniają się w demony; tessaryci, nyktageci; pelagjanie (od mnicha Pelagjusza), którzy wolną wolę stawiają ponad łaskę Bożą, powiadając, że wola wystarcza do spełniania przykazań boskich; — nestorjanie od Nestorjusza, biskupa konstantynopolskiego, który twierdził, że błóg. Marja Panna była rodzicielką nie Boga, lecz człowieka, i rozróżniał osobę w ciele od osoby w Bogu; eutychnianie od Eutycha, kapłana konstantynop., który przeczył, aby Chrystus po wniebowstąpieniu posiadał dwie natury, nie zaś jedną naturę boską; — acefalici; teodozjanie; agnoici.

Są jeszcze inne herezje bez autorów i wyznawców...

(*Isidori, episcopi hisp. Opera. Patr. lat. t. 83.*)

## ŻYWOTY (VITAE) X WIEKU

Liczne «Żywoty» pod względem literackim nieznacznej wartości spisał mnich francuski Adso z Montier-en-Der, opat tego klasztoru (um. 992 r.); głośniejszy i popularny, jak wszystkie wówczas utwory wizyjne i prorocze, jest jego «*Libellus de Antichristo*». Kim jest, kiedy przyjdzie, jak upadnie. Oto treść religijnego pamfletu:

Istota jego wywodzi się z nazwiska: przeciwnik Chrystusa wywyższy bezbożnych, będzie nauczycielem występku, niszczycielem Ewangelji, odnowicielem kultu demonów. Sługami jego byli: Nero, Antjoch, Domicjan; dziś wielu świeckich i kleryków. Narodzi się z rasy judzkiej, ojcem będzie miał szatana. Miasto jego rodzinne — Babilon, nauczycielami magowie i czarodzieje. Pociągnie ku sobie królów i książąt, a przez nich narody. Będzie czynił cuda i znaki, wskrzeszał umarłych.

Źycie jego trwać mają trzy i pół roku. Czas jego nastanie, gdy państwa odpadną od cesarstwa, którego to cesarstwa królowie Franków są następcami. Gdy ostatni i największy z nich złoży koronę i berło na Górze Oliwnej, wtedy to objawi się Antychryst. Ow król ostatni, wedle ksiąg sybillińskich, zwycięży na północy Goga i Magoga; poganie i żydzi zostaną wezwani do przyjęcia chrześcijaństwa. Po 112 latach rządów i złożeniu korony, Enoch i Eljasz umocnią wiernych do walki z Antychrystem, srożącym się nad rzeszą wiernych. Ale po onych trzech i pół latach zjawi się Chrystus na sąd; od jego blasku przerażony Antychryst skona, lub będzie zabity na Górze Oliwnej mieczem Archaniola Michała. Nastąpi 40 dni folgi, aby grzesznikom był dany czas ku pokucie, potem będzie, co Bóg zechce.

(Dzieło to, napozór tak impulsywnie prorocze, po przyjrzeniu się, wychodzi na kompilację Ew. św. Mateusza, ksiąg sybillińskich, księgi Daniela, listu św. Pawła do Tessaloników. Nadto sprawdzono, że całe ustępy są powtórzone z Augustyna, Alkuina, Hrabana, Remigjusza z Auxerre — dziwny produkt ekstazy...)

(*Patr. lat. t. 101, str. 1289 i nast.*)

## WALAHFRID STRABO

(ok. 809—849)

## WIZJA WETTINA

...Gmach obaczył okropny, z kamienia pobudowany,  
 Z drzewnych kłoców ogromnych naksztalt naszego kasztelu,  
 Nieforemny, w mgłę gęstej wszystek po brzegi tonący.  
 Przestraszony braciszek pyta, kto wewnątrz tam mieszka;  
 Odpowiedź słyszy, że dusze mnichów na mękę skazane,  
 Z różnych stron świata, z rozlicznych i ludów, i krajów.  
 Pośród nich jeden szczególnym jest wyróżniony wyrokiem  
 Za to, że popadł w grzech niepomiernej chciwości,  
 Tajemnie gromadząc skarby, niecnym sposobem nabyte.  
 Oto, zamiast dębowej dziś ołowianą ma trumnę.  
 Aż do dnia ostatecznego niepewny wieczystej doli —

— — — — —  
 Ku innemu duchowi bystre obraca źrenice,  
 Auzońskich niegdyś był panem dziedzin, władcą dostojnym  
 Rzymskiego szczepu; tam stał unieruchomiony:  
 Ohydny potwór szarpał mu członki wstydlive,  
 Lubież plugawa naskroś mu ciało zszargała.  
 Ujrzał to, przeraźliwym był ogarniony zdumieniem,  
 Sędzia wszak to był losów ludzkich za swego żywota,  
 Iutrznia sprawiedliwości; a dla terazniejszego  
 Momentu w Bożej służbie najwyższe utrwalili prawidło.  
 Pieczołowitą dbałością osłaniał święconą rzeszę.  
 Elewacją swych lotów najwyższe zdobył regiony,  
 Rzady jego krynicą były, pełną łask i słodyczy,  
 A oto tutaj tak straszną jest katowany udręką.  
 Taką żalosną męczarnię cierpi srogiej pokuty.  
 Oznajmij los jego ludziom, wódz rzeczce; w te męki  
 Rzucony został za to, że czyni dobre z brzydkiem  
 Godził, licząc, że dobre nad ziemi wezmą przewagę,  
 I że dokona żywota wolen dawnej szpetności,  
 I że pod koniec drogę wybierze najgodziwszą,  
 Że sądzoną przez Pana radość i zaszczyt posiadzie...

(Patr. lat. t. 114, 2. p. 1071—1273.)

## WIRYDARZYK

Rozpoczyna krótkim wstępem: «Wiesz, czy na piaskach, czy moczarach, na równinie, czy w dole, nie odmówi płodów, byleś nie wzdragał się rąk opalić i nie żałował nawozu; to, co podaję, znam nietylko ze słuchu lub ze starych ksiąg, ale z pracy własnej i nauki».

Następują przepisy uprawy ogrodu a dalej 23 paragrafy. Każdy poświęcony jednej roślinie:

2. Szalwja, słodka w zapachu, ważna w mocy, pożyteczna w użyciu.

3. Ruta błękitna o drobnych listkach w zielonym krzaku, rzucająca krótkie cienie; wypędza z żył trujące soki.

4. Boże drzewko (*abrotonum*), dobre na postrzał i gościec.

5. Dynia, zgoła uniżona, z podlego ziarna wyrosła, gdy się podniesie dłońmi swych liści, rozłacza cień szeroki i rozgałęzia się gęsto. Jak bluszcz listkami oplata smukły pień wiązu i obejmuje ramionami. od ziemi do szczytu, szorstką korę zakrywa szatą zieloną; albo jak winna latorośl spina się po drzewie, gałęzie jego strojąc w kiście gron i własną siłą dąży ku górze... tak z wiotkiej łodygi rozwija się dynia, wyciąga wi-

delki i z ich pomocą pnie się dalej, ostre pazurkami czepiając się gałęzi olchy... A jak dziewczęta-szwaczki biegają igłą po miękkiej tkaninie i, ramieniem zakreślając szerokie luki, w piękne koła układają nitek szeregi, tak samo owe odrosła kręconemi łańcuchy wiążą luźne szczeble roślinnej drabiny i w malej chwili osnuwają krągłe wici.

6. Melony (*pepones*) opisem wypieszczonym i soczystym dają świadectwo znawstwu poety-smakosza.

7. Piolun zachwalony jako lek na bóle głowy.

8. Szanta (*marrubium*) ma służyć przeciw duszności i przeciw truciznie zadanej w napoju.

9. Koper pomocny na kataraktę, a zmieszany z mlekiem kozim — na wzdęcie.

10. Mieczyk przypomina pocie mit Apollina i Hiacynta.

11. Lubezyk (*libisticum*), jakkolwiek sokiem i wonią odurza, dzięki nasieniu go-dzien jest pochwały.

12. Dla godnego opisu trybulki (*caerifolium*) sama muza Erato wezwana do pomocy; ton żartobliwie pompatyczny przypomina renesansowe «kapitole» włoskie, tak samo tonem wzniosłym opiewające rzeczy blahe lub zabawne.

13. Lilja występuje w pełnej krasie: «białością nie przewyższy jej marmur paryjski, ani nard zapachem. Sok jej pomocny przeciw ukąszeniu węża (pomysł widocznie przeniesiony z symbolu Matki B. i słów Biblii: «Ona zetrze głowę twoją»).

14. Mak nastęcza sposobność do powtórzenia mitu Latony.

15. Szalwja muszkatoowa (*sclarea*) działa skutecznie w obstrukcji.

16. Mięty własności, gatunki i nazwy ktoby chciał wyliczyć, musiałby znać, ile ryb krąży w Erytrejskiej cieśninie, albo wiele iskiek Mulciber lemnejski (wulkan) wyrzuca w dymie z krateru Etny (sic).

17. Polej (*puleum*) równie z intencją jowialną wystawiony stylem niesłychanie podniosłym, tem komiczniejszym, że nazwa pochodzi od pulea, bo roślina ta była środkiem na pchły.

18. Pietruszka cenna stąd, że jej nasienie pomaga w dolegliwościach pęcherza.

19. Bukwica (*bettonica*) ma rozległe zastosowanie, a działa cudownie, zwłaszcza w skałeczeniach.

20. Rzepik (*agrimonia*) równie dobry na rany.

21. Ambrozja niewiadomo, czy jest ta sama, o której tyle się czyta.

22. Melissa (*nepeta*), zmieszana z oliwą, da się używać jako maść na rany.

23. Rzdokiew (*raphanus*) jest dobra na kaszel.

24. Róża, kwiat kwiatów, daje olejek przedziwny w działaniu. Jedna lilja z nią rywalizuje, obie są najwyższymi symbolami: krwi męczenników i czystości wiary. Żarliwą modlitwą do Matki B. i dedykacją do nauczyciela, sędziwego Grimalda, kończy się piękny poemat.

(*Walahfrid Strabus. Opera. Patr. lat. t. 113—114.*)

### WIZJA ANSELLUSA Z FLEURY

(Ułożona rymem na życzenie opata Odon z Cluny. 522 wiersze ośmiozłotkowe, rymowane, w jambicznych dymetrach).

Sam Chrystus prowadzi mnicha do piekieł; szatani pierzchają z wyciem trwogi, Chrystus wyprowadza zastępy dusz; mnichowi każe wracać do klasztoru, dając za przewodnika tego, co «z jasnego archaniola stał się czarnym Etjopem». (Sytuacja ogromnie podobna do dantejskiej (Piekieło XXI) nawet w szczegółach: djabli wygrażają wędrowcowi krzykiem i gestem, jednak Lucyper hamuje ich, przypominając moc Bożą.)

Mnich powraca wreszcie do klasztoru St. Remy, djabeł towarzyszy mu ciągle, chce nawet z nim nocować, na co mnich pozwala. Zabawiają się rozmową, przyczem słyszymy, że dzięki modłom zakonników i zakonnic Chrystus może każdej Wielkiej Nocy wyprowadzić sporo dusz z piekła (wedle najstarszej topografii zaświata rozumie się czyścić), ale pełen sprawiedliwości — dusze najwystępniejsze zostawia djabeł. Spierają się aż do rana, djabeł chce mnicha odwieść od pacierzy, ale ofukany pierzcha.

(*Du Méril, La Poésie populaire latine antérieure au XII-e s.*)

## HROSWITHA Z GANDERSHEIM

(ok. 935—po 1001)

## KOMEDJE

## II. Dulcitus

Sceny przedstawiają męczeństwo świętych dziewic: Agapity, Chionji, Ireny.

Sc. 1. Dioklecjan chce je skłonić do porzucenia wiary, a gdy się wzdragają, wtrąca do więzienia pod straż Dulcitus.

Sc. 2. Dulcitus podchodzi, rozkoszuje się ich widokiem, pała brzydką żądzą.

Sc. 3. Siepacze zagładają do więzienia: dziewice modlą się.

Sc. 4. One same idą obaczyć, co Dulcitus wyprawia w kuchni: oto przyciska do piersi i całuje garnki i kociołki — widocznie oszalał.

Sc. 5. Właśni żołnierze pierzchają przed zakopconym i osmolonym.

Sc. 6. Nie puszczają go do pałacu, wraca do żony.

Sc. 7. Żona przeraża się jego widokiem. Dulcitus wściekły każe przyprowadzić święte panny i obnażyć; żołnierze idą wykonać rozkaz.

Sc. 8. Nie mogą zedrzeć sukien, jakby przywarły do ciała. Zato sam Dulcitus zasypia.

Sc. 9. Dioklecjan każe je przywieść przed siebie. W dalszych scenach, rzucone w ogień, konają, ale ciała ich nie płoną. Najmłodsza Irena, pozostawiona naostatek, wzdraga się ulec. Sisinnus, zbir cesarski, wlecze ją do lupanaru, — ulubiony to efekt Hroswithy, dla niej snąc pełny najwyższej grozy, a zawsze kończy się jednakowo: tutaj dwaj aniołowie w postaci młodzieńców uprowadzają Irenę na szczyt Góry. Żołdacy nie mogą tam się dostać, krążą jak błędni, aż wreszcie Sisinnus każe ją ustrzelić z łuku.

## III. Callimachus

Kallimach kocha się namiętnie w Drusianie. Ta woli śmierć niż męża-poganina, więc wyprasza ją u Boga. Szalony miłośnik, żgany żądzą, zakrada się do jej grobowca w towarzystwie złego doradcy, Fortunata. Wąż wypelza z pod kamienia, Fortunat ukąszony kona, równie Kallimach pada martwy ze strachu. Za wstawieniem się apostoła św. Jana, wszyscy troje wskrzeszeni; tamci dwoje jedną się w Bogu. Fortunat powiada, że woli umrzeć po raz wtóry, niż patrzeć na ich cnotę; węże powtórnie rzucają się nań; ginie i wtrącony jest do piekieł.

## IV. Upadek i nawrócenie Marji

(Jest to Marja Reclusa, um. 370 r.)

Sc. 1. Abraham zwierza się Efraimowi z obaw o bratanicę, piękną Marję; zamierza umieścić ją przy sobie w oddzielnej celi; tuszy, że imię «Marji» ochłodzi jej krew i skłoni do życia zbożnego.

Sc. 2. Starcy wołają Marji: zjawia się z miną hardą, nierokującą nic dobrego, i zostaje zamknięta w celi.

Sc. 3. Abraham rozpacza: Marja uciekła z gamratem przebierającym się za mnicha, który ją odwiedzał w celu katechizacji — (hr. Almagiva i Rozyna z «Cyrulika» nie wymyślili nic nowego). — Abraham zgryziony opowiada, że we śnie widział brzydkiego i smrodliwego smoka, jak mu porywał gołębicę. W trzecią noc widział znów, jak ją wypuścił z paszczy. — Niedługo trwała sielanka. — Na poszukiwanie zbłąkanej dziewczyny wysłał przyjaciela.

Sc. 4. Poseł właśnie powraca, opowiada, że Marja znajduje się w lupanarze.

Abraham ma plan: przebiera się za wojskowego (!).

Sc. 5 i 7.

[Abraham w przebraniu, Gospodarz.]

A. Witaj, zacny gospodarzu!

G. Co powie gość? Witaj!

- A. Znajdzie się tu miejsce noclegu dla podróżnego?  
 G. Owszem, nikomu nie odmawiamy gościny.  
 A. Rzecz chwalebna.  
 G. Wejdz, zgotujemy ci wieszczkę.  
 A. Wielce za przychylnie przyjęcie dziękuję, a więcej jeszcze od ciebie zażądam.  
 G. Mów, gorącemu życzeniu zadość uczynię.  
 A. Przyjmij ten skromny dar i postaraj się, aby ta piękna, która, jak widziałem, tutaj się krząta, wzięła udział w naszej biesiadzie.  
 G. W jakim celu chcesz ją widzieć?  
 A. Wielce będę się cieszył z jej poznania; o jej urodzie pochwał wiele słyszałem.  
 G. Ten, co chwalił jej wdzięki, nie chybił; piękniejsza jest na wejrzenie od reszty kobiet.  
 A. Dlatego pałę się do jej kochania.  
 G. Dziw mi, że w starości zgrzybiałej znęciła cię małolatka.  
 [Gospodarz, Abraham, Marja.]  
 G. Zbliż się, Marjo, i ukaż swą urodę naszemu neoficie.  
 M. Już idę.  
 A. Ile wiary, ile hartu ducha po owych, jakimi karmiłem się w ukryciu pustelni, potrzeba mi teraz, kiedy poglądam na powabne stroje płochej niewiasty. Ale nie pora wyrażać twarzą to, co tał się w sercu. Łzy, chcące wytrysnąć mężnie, powściągnę i udaną wesołością oblicza smętek wewnętrznej gorzkości przykryję.  
 G. Szczęśliwa Marjo, raduj się, bo nietylko jak dotąd równi wiekiem cię nachodzą, ale do twego kochania starcy się garną.  
 M. Kto mię kocha, tego równą miłością nagrodzę.  
 A. Przystąp, Marjo, i pocałuj mię.  
 M. Nietylko słodkimi pocałunkami napoję, lecz nadto wielokrotnym uściskiem starczą szyję popieszczę.  
 A. Tego chcę.  
 M. Co czuję i jakie zdumiewające wrażenie smakiem chłonę? Technienie ust jego przypomina mi zapach dawnej powściągliwości.  
 A. Terazże, teraz udawajmy, teraz obyczajem lubieżnego młodzieńca igraszkami nastawajmy, aby nie zdradzić się powagą i aby ona nie pierzchła, tknięta wstydem.  
 M. Biada mnie nieszczęśnej! Dokądże popadłam, w jakąż otchłań zguby runęłam?  
 A. Nie tu miejsce na żale, gdzie schodzą się stolownicy.  
 G. Pani Marjo, czemu wzdychasz, czemu wilgocisz łzami lica? Czyż nie przebywałaś tu dwa lata, a nigdy z ust twoich nie słyszano wdychania, ani smutniejszej mowy?  
 M. O bodajby mię przed trzema laty śmierć zabrała, nim na taką zeszlam sromotę!  
 A. Nie poto przyszedłem, żeby oplakiwać twoje grzechy, ale żeby nacieszyć się twojem kochaniem.  
 M. Rozczuliłam się nieco, dlatego tak gadam. Idźmy i radujmy się, bo, jak powiadasz, nie pora to na oplakiwanie grzechów.  
 A. Dość posileni, dość upojeni jesteśmy twoją sutą gościnnością, zacny gospodarzu; pozwól wstać od stołu, abym znużone ciało na pościeli ułożył i słodkim wzmocnił spoczynkiem.  
 G. Jak życzysz.  
 M. Wstań, panie mój, wstań, z tobą wspólnie odejdę.  
 A. Zgoda. W żaden sposób nie myślałem odejść bez ciebie.  
 [Marja, Abraham.]  
 M. Oto wezglowie na przyjęcie nas gotowe; oto pościel niepodle zasłana. Usiądź, niech ściągnę ci obuwie, abyś sam nie utrudził się zdejmowaniem.  
 A. Naprzód opatrz dobrze drzwi, aby ktoś się tu nie dostał.  
 M. Nie lękaj się, dbam o to, aby nikomu nie dać łatwego przystępu.  
 A. Czas już, abym odsłoniwszy się, wyznał, kim jestem. O, córko moja przybrana, cząstko mej duszy, Marjo! Poznajeszli starca, który cię z miłością ojcowską chował i jednemu królowi niebieskiemu zaślubił?



M. Biada mi! Czy to ojciec i nauczyciel mój Abraham przemawia?

A. Co ci to, córko?

M. Ciężka dolo!

A. Kto cię oszukał, kto uwiódł?

M. Ten, co pierwszych rodziców zgubił.

A. Gdzie anielska mowa, jaką przemawiałaś na świecie?

M. Przepadła.

A. Gdzie twoja przystojność dziewicza, gdzie statek przedziwny?

M. Zginęły.

A. Jakiejże łaski, jeżeli się nie ockniesz, za uciążliwości postów, modlitw, czuwania, możesz spodziewać się, kiedy, upadłszy z wysokości niebios, zatonąłś w głębinach piekła?

M. O biada!

A. Czemu mną wzgardziłaś? Czemu porzuciłaś? Czemu nie przyznałaś się do upadku, abym ja z umiłowanym moim Efraimem za ciebie czynił pokutę?

M. Skoro popadłam w grzech, splugawiona ku świętości twojej zbliżyć się nie śmiałam.

A. Kto kiedy uniknął grzechu, prócz jedynego Syna Dziewicy?

M. Nikt.

A. Ludzka jest zgrzeszyć, djabelska w grzechu trwać; nawet prawo nie każe takiego, kto czem prędzej się podniesie...

Wizyta trwa całą noc, nazajutrz Marja wstępuje napowrót do celi.

#### V. Nawrócenie Thaidy zalotnicy

Mowa nie o Thaidzie starożytnej, którą to Dante umieścił w piekielnej kloace, ale o Thaidzie z hagjografji — (tradycja zapewne ją zrównała) — co ją na drogę cnoty przywiódł Pafnucy, wstąpiwszy do jej rozkosznego domu w postaci miłośnika (wynalazczością główka Hroswithy nie świeci). — Od pierwszych słów upomnienia piękna grzesznica jęła płakać i kajać się, zebrała kosztowne graty, monety, stroje, i spaliła na stosie. Skazał ją na pokutę w cuchnących latrynach; wzdrygnęła się zaduchu, ale weszła, cierpiąc jeno nad tem, że będzie musiała Imię Pańskie chwalić w takim miejscu. Pafnucy karci jej wybredność: «Potrzeba, żebyś słodczye grzeszne pochlebnej rozkoszy zmyła upokorzeniem zbytniego fetoru?» Po trzech latach Pafnucy zapytuje św. Antoniego, czy nie dosyć pokuty. Nadchodzi właśnie uczeń Antoniego, Paweł, i powiada, że miał widzenie wspaniałego łoża w pośrodku niebios. Myślał, że przygotowane dla św. Antoniego, «takiej chwały nie jestem godzien», wtrąca Antoni, ale głos ozwał się z góry, powiadając, że to «jest łoże dla Thaidy nierządnicy». Po dniach 15 Thaida umiera.

(*Hroswilae Opera, ed. Winterfeld, Berolini 1902.*)

#### ANZELM Z KANTORBERY

(1033—1109)

#### O ISTOCIE BÓSTWA

Jako pierwszą propozycję, autor stawia zdanie: «Istnieje jedna istota najwyższa, sobie wystarczająca; z jej dobroci wszechmocnej pochodzą inne, jakie są». I dowodzi tak: «Pożądamy jedynie tego, co uważamy za dobre. Rozum zna dobra rozmaite. Ale największem musi być to, w którym owe wszystkie rozmaite się mieszczą, a które jest we wszystkich to samo. Stąd wynika, że wszystkie są dobre dzięki czemuś, co jest jedno i to samo we wszystkich. Ono musi przeto być wielkiem dobrem samo przez się. Wszystkie inne dobra istnieją przez coś innego; co zaś jest dobre dzięki czemu innemu, jest mniejsze od tego, co jest dobre samo przez się. Ostatnie jest przeto największem dobrem i najwyższem ze wszystkich, jakie istnieją. Jest zatem coś największego i najlepszego, a to jest właśnie najwyższe z wszystkich, jakie są».

Podobnie roztrząsa inne własności Bóstwa: Istnieje sam przez się; jest najwyż-

szy co do godności; stworzył wszystko z niczego... jest jednolitą jednością; bez początku i końca; wszędzie i zawsze... i t. d.

Od rozdz. XXVIII poczyną się wywód o naturze Trójcy św., jeszcze subtelniej pragnący być jasnym i pewnym, lecz zakończony tym rezultatem, że tajemnica Trójcy jest niewytłumaczalna i że niema dla niej innego sprawdzianu prócz wiary.

Drugi traktat «o istnieniu Boga» z tytułem «Prosligion» czyli «Przemowa», jako że rozpoczyna wezwaniem w stylu lirycznym «Psalmów» lub «Wyznań» św. Augustyna, jest uniesieniem duszy spragnionej oglądania prawdy: Ejże, człowiecze, umknij się maluczko zatrudnieniom swoim, ukryj się potrosze myślom burzliwym...

Ejże, Panie Boże mój, naucz serce moje, gdzie i jak ma szukać Ciebie, gdzie i jak znaleźć... Nie kuszę się, Panie, przejrzeć wyżynę Twoją, gdyż rozum jej nie dosięże, lecz pragnę poniekąd zrozumieć prawdziwość Twoją, w której jest wiara i miłość moja.

Nie przeto bowiem pragnę pojąć, bym uwierzył, ale wierzę, bym pojął. Bo i w to wierzę, że jeżeli nie uwierzę, nie pojmem.

Następuje (w rozdz. 2 i nast.) głośny «dowód ontologiczny» istnienia Boga, t. j. z pojęcia Boga wnioskowanie o jego bycie rzeczywistym. Przeto Ty, Boże, który dajesz zrozumienie wiary, daj, abym zrozumiał, że jesteś, jak wierzymy, i tem, czem być wierzymy.

Wierzymy mianowicie, że jesteś czemś, nad co nic większego pomyśleć nie można. Czyż nie istnieje takie przeto, iż rzekł głupi w sercu swoim: «Niemasz Boga?» (ks. Psalmów XIII. 1). Istota najdoskonalsza może być pomyślana nawet intelektem ateusza. Może jednak być nadto pomyślana istota najdoskonalsza, bytująca w rzeczywistości; drugie pomyślenie jest wyższe, bo przypuszcza ów dodatkowy przymiot: «rzeczywistości». Istota pierwsza nie będzie tedy «najdoskonalszą», ale dopiero owa druga, posiadająca byt rzeczywisty. Skoro zaś to przyjmiemy, uznamy równie istnienie rzeczywiste Boga.

Dalsze ustępy podobną grą dialektyczną dają wywód poszczególnych znamion boskich, nieraz pozornie sprzecznych, jak owa (c. 7), że Bóg jest wszechmocny, a przecież nie może wielu rzeczy, np. psuć się lub kłamać. Tłumaczy więc, że zepsucie i kłamstwo nie są mocą, ale niemocą. Tu jest źródło przyszłych kruczków scholastycznych, dowcipnych zagadnień, sensacyjnych wątpliwości, jakimi w wiekach przyszłych zabawiali się mędrkowie teologii, aż do ośmieszenia i zabicia metody.

Niniejszy traktat został osądzony przez mnicha Gaunilona; wykazał on błąd w dowodzie mistrza; błąd zresztą wspólny równie innym traktatom Anzelmowym, mianowicie ten, że wyobrażenie rzeczy najwyższej lub najdoskonalszej może powstać w umyśle, a nie pociąga za sobą konieczności istnienia realnego rzeczy wyobrażonej; tak np. wyobrażenie wyspy z rajem ziemskim nie stanowi jeszcze o istnieniu takiej wyspy. Anzelm odpowiedział pismem: «pro insipiente», o ateuszu (Patr. I. cit. col. 242—248), jednak dowód sam został przez teologję zarzucony.

«Cur Deus homo» — «Przecż Bóg stał się człowiekiem» (Patr. I. cit. col. 359—432) jest traktatem większego rozgłosu i siły dowodowej; zawiera rozwiązanie tajemnicy wcielenia i odkupienia. Dante przejął je do «Boskiej komedji» (Raj VII, 25—120).

(Anselmi Cantuariensis Opera. Patr. lat. t. 158—159.)

## JAN SCOT (ERYNGENA)

(IX w.)

### O PODZIALE PRZYRODY

(Ks. II, r. 21)

Zanim bowiem świat ten, widzialny w rodzajach i gatunkach i wszystkich objawach zmysłowych, przez generację naprzód postąpił, przed wiekami Ojciec Słowo swoje spłodził, w którym i przez które wszystkie przyrody pierwociny w stanie doskonałym zostały stworzone; one to w dziwnej harmonji, wedle Opatrzności Bożej w postępie

swym przez (dalszą) generację, przez naznaczenie miejsc i pory, przez rozliczne odmiany rodzajów i gatunków, wszystek ten świat widzialny od początku powstania aż do naznaczonego kresu, nie przez zniweczenie treści, ale przez naturalną przemianę jakości oraz ilości, biegiem naturalnym naprzód postępują...

...«Nic nowego pod słońcem».

Te słowa teologa rozumieć należy nie tylko o tej części światów, zawartych w kręgu słonecznym, t. j. o ziemi, wodzie, atmosferze, wraz z niższymi pokładami eteru, gdzie krąży glob księżyca, ale również o przestrzeniach pozaziemskich od horyzontu aż po ostatnie krańce sfery niebieskiej. W tych wszystkich rzeczach pod słońcem, t. j. na świecie, nic nowego, czyli, jak rozumieć wypada, nic nowego w biegu doczesnego bytu, coby wprzód nie istniało w porządku naturalnym rzeczy...

...W każdym ciełe zespojonem, jeżeli część zawierająca zginie, część zawarta ostać się nie może. Jednak niezdolna jest zstąpić całkiem do nicości, będąc z Boga, co zaś jest z Boga, trwa wiecznie. Ile zginie, a ile zostanie, to pilnem rozważaniem wybadamy, lecz w późniejszym czasie. Tymczasem idź za moją myślą:

**U c z e ń:** Przejornie i baczenie wywodzisz.

**N a u c z y c i e l:** Spółwieczne są przyczyny pierwotne (zarodki), zarówno Bogu oraz temu początkowi, z którego się wzięły. Bo jeżeli Bóg żadnym kształtem nie wyprzedza początku, t. j. Słowa, przez się i dla siebie zrodzonego, zaś Słowo żadnym kształtem nie wyprzedza stworzonych w nim przyczyn rzeczy, stąd wynika, że wszystko, Bóg Ojciec i Słowo, i przyczyny rzeczy w nim poczęte, są spółweczne.

(Ks. V, r. 39)

**M i s t r z:** Dokonałiśmy podziału wszechnatury, jak ją rozumiemy w Bogu i stworzeniu. Pierwszy rodzaj: natura tworząca a niestworzona; drugi: tworząca i stworzona; trzeci: stworzona a nietworząca; czwarty: nietworząca, niestworzona. Pierwsza i czwarta Boga jedynie oznaczają, nie przeto, by jego natura, która jest prosta i wielokrotnie prosta, miała być podzielna, ale że dopuszcza teorii dwojakiej.

Kiedy bowiem zważę, że ona sama jest wszechrzeczą początkiem i przyczyną, to przychodzi mi na myśl, prawdziwa racja godna zaufania, a mianowicie, że istota czy substancja boska: dobroć, moc, mądrość oraz inne boskie własności, przez nikogo nie zostały stworzone; gdyż natury boskiej nic wyprzedzić nie zdoła; wszystko zaś, co jest i co nie jest, od niej i przez nią, i w niej, i dla niej istnieje. Skoro więc baczę, że wszystko zdąża do tego samego ostatecznego i nieprzekraczalnego celu i w nim kres postanawia swego przyrodzonego ruchu, to widzę i znajduję, że nie jest ani stworzony, ani tworzący. Od nikogo bowiem nie może być stworzona natura, gdy istnieje sama z siebie. Ani też nic nie tworzy. Skoro bowiem wszystko, co z niej przez generację intelektualną czy zmysłową pochodzi, cudownem jakimś i niewysłowionem odrodzeniem, do Bożej natury powróci i w niej znajdzie uspokojenie; a że nic z niej już później przez generację nie wypłynie, więc powiadam, że nic nie tworzy...

Po tej czworakiej teorii natury powszechnej w przytoczonych czterech rodzajach, które oglądaliśmy, a to dwie z uwagi początku i końca, zaś dwie z uwagi przyczyn i skutków, zda się nam konieczną dołączyć pewne teorie o powrocie skutków do przyczyn, t. j. do zasad, na jakich są oparte. Którego to powrotu trojaki nasuwa się sposób. Pierwszy, to przekształcenie (transmutatio) całej natury cielesnej, rozmieszczonej w obrębie świata, to jest wszystkich ciał, czyto podlegających zmysłom, czyto z powodu swej subtelności uchylających się od pojmwania zmysłami, tak, że nie pozostaje żadne bądźto w powłoce cielesnej, bądź tylko w ruchu żywotnym (vitali motu), bądź w ukryciu, czy jawnie vegetujące, bądź władne duchem nieracjonalnym, a ciałem zwierzęcym, coby do swoich tajnych przyczyn nie wróciło przez pośrednictwo życia. Do nicości bowiem nie wraca nic, co w swej istocie jest ostatecznie zastąpione przyczyną wszechrzeczy. Wtóry sposób poglądu znajduje oparcie w powszechnym powrocie całej natury ludzkiej, odkupionej w Chrystusie, do pierwotnego rajskiego stanu, t. j. do godności obrazu i podobieństwa Bożego, dzięki Jedynemu, którego krew została zbawczo przelana, aby żaden człowiek nie został pozbawiony dóbr przyrodzonych, jakie stały się jego udziałem, bądźto dobrze, bądź źle życie swe

przeżywając. W ten sposób objawi się szczodroblowości Bożej niewysłowionej na wszystką naturę człowieczą przelanie, że nic nie będzie pokarane, cokolwiek z dobra najwyższego wypływa.

Trzeci rodzaj poglądu o powrocie dotyczy tych, którzy nietylko wzniosą się ku wysubtelnieniu natury w nich już przekształconej, ale dzięki szczodrocie łaski Bożej, jaka przez Chrystusa i w Chrystusie wybranym dostała się w udziale, ponad wszystkie prawa i granice natury ponadistotnie (superessentialiter) w samego Boga przenikną i staną się jednym z nim i jednym w nim. W owym ich nawrocie znowu jakoby 7 stopni rozróżnić wypada. Pierwszym będzie przemiana ciała ziemskiego w ruch żywotny; drugi ruchu żywotnego w zmysły (instynkty); trzecim ze zmysłu w rozum, następnie z rozumu w ducha; w duchu jest kres wszelkiego stworzenia rozumnego. Po tem pięciorakiem niejako jednoczeniu się naszej natury następują jeszcze trzy stopnie wstępowania. Pierwszy z nich, to przejście ducha do wszechwiedzy o wszystkim, co istnieje po Bogu; drugi, wiedzy w mądrość, t. j. zapatrzenie w najgłębszą prawdę, o ile ona jest dozwolona stworzeniu. Trzeci, najwyższy, to duchów oczyszczonych naturalne w Bogu zapadnięcie się, niby w niepojętym i nieprzystępnym umysłowi blasku, w którym są skryte przyczyny wszechrzeczy, a wtedy noc rozjaśni się, jak dzień, t. j. najskrytsze boskie tajemnice błogostawionym i oświeconym umysłom odślonią się modłą niewymowną...

*(Joannis Scoti Opera. Patr. lat. t. 122.)*

## PIOTR ABELARD

(1079—1142)

### TAK I NIE

(R. 34)

O tem, że Bóg nie posiada wolnej woli i przeciwnie. Hieronim do Damazego: O synu marnotrawnym (IV. 159). «Niech nikomu nie wydaje się niebezpiecznym, nikomu bluźnierczym, jeżeli powiedzieliśmy, że nawet w serca apostołów grzech zawiści zdołał się zakraść; skoro nawet o aniołach to — jak nam się wydaje — powiedziano: «I w aniołach swoich znalazł nieprawość» (Job. IV, 18), a w Psalmach: «Nie usprawiedliwi się przed Tobą żaden żywiący» (Ps. CXLII, 2, u żydów 143, 2). — Nie powiada: żaden człowiek, lecz: żaden żywy, t. j. nie ewangelista, nie apostoł, a postępując wyżej: nie aniołowie, nie trony, nie mocy, nie inne siły. Na Boga jednego grzech nie padnie. Pożatem, gdziekolwiek jest wolna wola, w którą bądź stronę może obracać swe chęci. To samo do Paoliny i Eustochium, w wykładzie listu Pawła do Filemona (IV, 450). «Niech nie będzie jakoby z konieczności dobroć twoja, ale dobrowolna». Czego cokolwiek szuka w przerzeczonym miejscu, to rozumieć może. Jeżeli bowiem Bóg dobrowolnie, nie zaś z konieczności, jest dobry, winien był stworzyć człowieka na obraz i podobieństwo swoje tak, aby on także dobrowolnie, a nie z konieczności był dobry. Stąd widoczna, że obaj (wykładcze) stawiają rzecz tę w przeciwieństwie; gdyż ci, co mówią: człowiek winien stać się podobny Bogu, żądają, aby posiadał wolną wolę, jaką ma sam Bóg, gdy zaś wyciągają wniosek: takim powinien stać się, by się go złe nie chwyciło, skoro takie dobro wiążą z koniecznością, chcą, aby człowiek Bogu nie był podobny.

Augustyn (Quaest. 8, cap. 4): «Lepszy jest człowiek dobrowolnie dobry, niż z konieczności dobry. Wolna wola bowiem bez więzów winna być dana człowiekowi». To samo o genezie: «Tak wypadło człowieka stworzyć, aby mógł chcieć dobrze, lub chcieć źle; później zaś winien stać się takim, aby źle chcieć nie mógł; przez to jednak nie traci wolnej woli. Bo hardziej wolna będzie wola, jeżeli zgoła nie będzie mogła służyć grzechowi. Ani też wola nie będzie mogła nazywać się wolną, że równie zechcemy być szczęśli, jak nieszczęśli, bo nietylko nie chcemy, ale nie możemy». To samo (De civ. Dei, l. XXII): «To jeszcze owo szczęsne państwo w sobie dobro oglądać będzie, że nikt niższy nie zajrzy wyższemu, tak jak dziś nie zajrzą archaniołom anieli. Ani też dlatego nie będą posiadali wolnej woli, że w grzechu nie będą sobie podobać,

gdyż wtedy właśnie większa będzie odległość wyzbycia się rozkoszy grzeszenia od rozkoszy niegrzeszenia».

Item: Tak jak pierwsza nieśmiertelność, co ją Adam przez grzech utracił, była ta, że mógł nie umierać, najnowsza (ostateczna) będzie ta, że nie zdoła umrzeć.

Tak pierwsza wolna wola: móc nie grzeszyć, najnowsza: nie móc grzeszyć. — Item: Niewątpliwie, Bóg sam, skoro nie może grzeszyć, czy może uchodzić za pozbawionego wolnej woli? Będzie bowiem wolność owego państwa we wszystkich szczegółach wolna, ze wszystkiego złego wyzuta, pełna wszystkiego dobra, win dawnych niepamiętna, kar niepamiętna, dotyka jednak pamiętna swego wyzwolenia, że będzie wdzięczna swemu wybawcy. Co się zaś tyczy wiedzy racjonalnej, pamiętna minionej swej niedoli, ale co się tyczy zmysłu doświadczalnego — zgoła niepamiętna.

To samo: (De correptione et gratia — O nawróceniu i łasce, X, 770): Cóż jest wolniejszego od tej wolnej woli, że nie będzie mogła służyć grzechowi?

Że dostanie się człowiekowi, jak już dostała się aniołom, odpłata zasługi? — Item... Jemu bowiem (jeszcze) bezgrzesznemu i w niej postanowionemu dana była wolna wola, a on pozwolił jej służyć grzechowi. Jedno tym, którzy posiadali wolność służką grzechu, została wyzwolona przez Onego, który rzekł: «A przetoż, jeśli was Syn wyswobodzi, wolni będziecie» (Jan 8, 36).

(Petri Abelardi Opera, pars III. Sic et non, cap. 34. Patr. lat. t. 178, str. 1341 i nast. — Epistolae, tamże str. 182 i nast.)

## HELOIZA Z KLASZTORU PARAKLETA

### LIST II DO ABELARDA (W SAINT DENIS)

Panu swemu a ojcu; małżonkowi a bratu; niewolnica a córka; małżonka a siostra — Abelardowi Heloiza... — Wszystkie my, o najdroższy, wiemy, ile w Tobie straciłam i jaka powszechnie znana zdrada Ciebie mi wyrwała, i jak nieskończenie większa jest boleść owego rozstania, niżli samej klęski. A im większy powód bólu, tem silniejsze winny być leki, zdolne przynieść pociechę. Nie od kogo innego zatem, ale od Ciebie samego, przyczyny mego bólu, oczekuję łaski ukojenia. Bo Ty jedyny, czy zasmucić, czy uweselić, czy pocieszyć mię zdołasz. I Ty jedyny, któryś mi to najbardziej winien właśnie wtedy, kiedy wszystko, czegokolwiek zażadasz, tak ściśle wypełnić, że aby Ciebie w niczem nie obrazić, sama zgubić się jestem gotowa. Co większa, dziw rzec, miłość moja przedzierżnęła się w taki obłęd, że to, czego jedynie pożądała, teraz sobie bez nadziei odzyskania wydziera.<sup>1</sup>

Oto za Twojem rozkazaniem zarówno tryb życia, jak tryb myślenia zmieniłam, aby Cię jedynym władcą ciała i ducha opowiedzieć. Nigdy w Tobie (Bogu wiadomo) niczego prócz Ciebie samego nie szukałam, Twojej tylko osoby, nie zaś Twoich rzeczy spragniona. Ni związku małżeńskiego, ni dostatków; nie swoje lubieże i chęci, ale Twoje (sam wiesz) zaspokajać zyczyłam. A choć nazwa żony świętsza i stateczniejsza, dla mnie zawsze słodsza była nazwa kochanki, a jeśli się nie oburzysz, nazwa... Bo im byłeś ze mną poufalszy, tem większa spadała na mnie łaska, tem mniejszą wyżynom Twej chwały czyniłam ujmę... Boga na świadectwo wzywam: gdyby mi sam Augustus, pan świata, zaszczyt zaślubin ofiarował i oddał mi wszystką ziemię w wieczyste dzierżenie, świetniejszą i godniejszą wydałoby mi się nosić nazwę Twej... niż jego cesarzowej. Bo nieskończenie najbogatszy i najpotężniejszy musi być równie najzacniejszym; tamto jest rzeczą szczęścia, to zaś dzielności. A niech się też nie uważa za mniej przedajną tą, co chętniej zaślubia bogacza niż biedaka, gdy w mezu swym szuka więcej niż jego samego. Niewątpliwie takiej, którą zmysłowość pociąga ku małżeństwu, zapłata raczej niż dzięk się należy. Pewną jest oczywiście, iż ona raczej za rzeczą goni niż za mężem, i że, gdyby mogła, oddałaby się za pieniądze bogaczemu. Jak na to u sokratycznego Eschinesa dyskusja filozofki Aspazji z Ksenofontem i jego żoną

<sup>1</sup> Rozumie zapewne swoje zamknięcie się w klasztorze, wyrzeczenie się radości życia.

wyraźnie wskazuje. Kiedy bowiem wyżej rzeczony wywód filozoficzny w celu pogodzenia ich wyłączała, zakończyła takim wnioskiem: Skoro tego dokonacie, że w wyborze znajdziecie z jednej strony najdzielniejszego mężczyznę, a z drugiej najuciesniejszą<sup>1</sup> kobietę, to uzyskacie związek najdobrańszy. Święte zaiste i bardziej niż filozoficzne jest to zdanie, i mądrością raczej niż filozofją zwać je należy. Święty to jest błąd i błogosławiona omyłka dwojga zamężnych, ażeby doskonale ukochanie ustrzegło więzów małżeńskich nietylę przez powściągliwość zmysłów, ile przez wstydlivość ducha.<sup>2</sup> Ale co było błędem dla innych, to dla mnie stało się rzeczywistością. Bo co inne rozumiały o swoich mężach, to ja o Tobie, a ze mną cały świat nietylko rozumiał, lecz na pewno wiedział: Że o tyle miłość moja ku Tobie była prawdziwsza, o ile dłużej owej omyłki była daleka. Jakież bowiem król albo mędrzec zdołał dorównać Twej sławie? Jakie państwo, miasto, osada, Ciebie oglądać nie pragnęły? Kto, proszę, ukazującemu się publicznie przyjrzeć się nie śpieszył? A gdy stąpałeś z głową podniesioną, ócz za Tobą nie obracał? Jaka mężatka, jaka panna nie pożądała nieobecnego, nie zapłonęła w Twej obecności? Jaka królowa, jaka można dama nie zazdrościła mi moich uciech i mojego łoża? Dwoma zwłaszcza zdolnościami pociągałeś kobiety: darem poetyckim i wdziękiem sztuki muzycznej, czego, o ile wiadomo, żaden z filozofów nie dopiął. Jakgdyby rozrywką taką przeplatając trudy myśli dociekawczej, pozostawiłeś wiele pieśni miłosnych, układanych metrem i rytmem, które dzięki nadzwyczajnej słodyczy, zarówno treści, jak nuty, wszędzie powtarzane imię twoje rozgłaszały, tak, że nawet niebiegłi w piśmie lubość tych pieśni chowali w pamięci.<sup>3</sup> Dlatego to kobiety do miłości Twojej lak się zapalały. A że większość o naszym głosila kochaniu, więc naokół mnie równie wkrótce rozślawiły i przeciw mnie niewieścią obudziły zawiść.

### HUGO Z SAINT-VICTOR

(um. 1141)

U Hugona znajdują się wszystkie pierwsze elementy nauki mistycznej, złożone w całość jasną i zupełną; nie gubi się w nich ani oryginalność, ani wspaniałość — ani piękno, mimo że są jeszcze jakgdyby wsunięte w ramy schematu scholastycznego; oto jej kształt, jaki się da wykreślić z dzieł głównych: «*Eruditio didascalica*» i «*De sacramentis*».

Naprzód teoria poznania, wychodząca z «*Nosce te ipsum*» i platońskiej nauki o naturze duszy: «*Dusza*, złożona ze wszystkich cząstek przyrody, rzeczy niewidzialne pojmuje inteligencją, widzialne zmysłami, zdolna jest zatem do ogarniania powszechności i pojmowania rzeczy, z którymi wszystkimi ma coś podobnego. Tedy podobieństwem wszechrzeczy nacechowana, wszystkie do składu swego wciąga nie «integraliter», ale «virtualiter et potentialiter» (t. j. nie wciąga ich w pełnej rzeczywistości, tylko posiada moc i możebność takiego wciągania). Dusza zamglona grzechem pierwotnym zapomniała, czem była, a ponieważ pamięta jeno, że nie była niczem innym, niż obecnie, więc nie wierzy nic ponad to, co spostrzega. Wiedza sprawi, że swą napowrót poznamy naturę i nauczymy się nie szukać poza sobą, co możemy znaleźć w sobie». (*Erud. didasc.* I, c. 2). Mistyk, pragnący zapalić w sobie światło wiary, straciwszy zaufanie do środków czysto rozumowych, zwrócił się po inne w głąb własną; dialektykę zastąpił dociekaniem psychologicznym, oglądaniem duszy własnej w jej wzruszeniach i tęsknotach. Przyjął za pewnik, że z praw swej boskiej natury dusza w zakamarkach podświadomości chowa utajoną wszelką wiedzę; należy ją stamtąd wydobyć. Dusza, w pośrodku między światem a Bogiem, otrzymała była troje oczu: oko ciele-

<sup>1</sup> Heloiza w ten sposób pojmuje rolę żony, że ma mężowi przynieść największą sumę radości.

<sup>2</sup> Aluzja do związków ascetycznych, tak nierzadkich w średniowieczu.

<sup>3</sup> Wszystkie przypadły, zapewne przez samego autora, jak to bywało, zniszczone; zachowały się jedynie pieśni religijne w formie bardzo oryginalnej oraz rodzaj «*Pouczenia*» dla syna Astrolabiusa, jakiego miał z Heloizy.

sne, któremby oglądała świat otaczający; oko rozumu, któremby wglądała w siebie; oko kontemplatywne, któremby oglądała Boga. Z tych jedynie oko cielesne widzi jasno; drugie jest przyćmione, a trzecie, gdy na nie zasunęły się ciemności grzechu — zgoła ślepe. Potrzeba zatem wiary, aby człowieka upewniała w tem, czego nie dostrzega (*De sacramentis*, p. X. *De fide*. cap. 2). Na czym polega wiara? Na poznaniu (*cognitio*) i uczuciu, czyli trwałości (*affectus*). Poznanie może istnieć bez wiary, ale wiara nie może istnieć bez poznania (cap. 5). Poznanie i afekt są czynnikami potęgowania wiary; wiara wzrasta według poznania, kiedy bywa ćwiczona wiedzą; według afektu, t. j. mocy, kiedy bywa pobudzona do żarliwości. Drogę owej żarliwości mistyk wykreślił był już w dziele «*Eruditio didascalica*», l. V, § 9, wyznaczając 5 stopni podnoszenia się ku ekstazie; «*Lectio* (czytanie Pisma św.), *meditatio*, *oratio*, *operatio*, *contemplatio*». U jednych tedy wiara wzmagą się poznaniem, u innych żarliwością; ostatnia jest chwalebniejsza; Chrystus przyrównał ją do ziarenka gorczycznego (cap. 4). Oglądanie tajemnic przez wiarę z poznania jest, jak oglądanie obrazu w zwierciadle (tak Dante ogląda raj naprzód w oczach Beatryczy), zaś przez kontemplację, jak oglądanie twarzą w twarz; w pierwszym wypadku widzimy odbicie rzeczy, w drugim samą rzecz (cap. 9). Tym sposobem najwyższe upewnienie wiary wynika z najwyższego wysiłku i woli uczucia; to jest teoria wszystkich ekstaz i zachwyceń.

(*Por. Hugo z St. Victor. Patr. lat. t. 175—176.*)

### RYSZARD Z SAINT-VICTOR

(um. 1173)

Postępuje do śmielszych jeszcze wyników ową metodą Hugona, szukającą narzędzia pewności w tajnikach życia duchowego. Teorię swą wyłożył w dziełkach o dziwnym tytule: «*Benjamin minor*», zwanem także: «*Przygotowanie duszy do kontemplacji*», oraz «*Benjamin maior*», czyli «*O łasce kontemplacji*».

Pierwsze, sposobem wykładu alegorycznego, przystosowanym do historii żon Jakóba i kolejnych urodzin w domu patriarchy, przedstawia pracę stopniową, wbożenia się duszy od pierwszych niejasnych tęsknot aż do osiągnięcia pełni kontemplacji. Ostatnim, najukochańszym synem Jakóba jest Benjamin; matka jego Rachel (*ratio*) umiera przy porodzie (ks. I. *Mojż. Pen.*, rozdz. 55), co znaczy, że szczyt zachwycenia, przy którym dusza ogląda wszechprawdę, obchodzi się bez dowodów rozumowych. Jest w tem prześcignięcie granic Hugonowych; tamten nie przypuszczał prawdy wybijającej się poza rozum (jak owo «*credo quia absurdum*» Tertuljana); Ryszard jej folguje, sądząc, że nawet tam, gdzie «*imaginatio*», t. j. pojęcie rozumowe, nie wystarcza, jak np. przy tajemnicy Trójcy św., da się ona zdobyć na drodze kontemplacji. Ryszard, ów «*magnus contemplator*», niedarmo w «*Boskiej komedji*» (*Raj*, X, 132) nazwany został więcej «*niż człkiem*», *più che viro*; on bowiem ukazał sztukę pojęcia tajemnicy najwyższej; tam, gdzie rozum w wysiłku beznadziejnym omdlał, uczucie, całą siłą woli napięte, wypielęgnowane medytatywnie, wsparte łaską wyproszoną u Marji, wystrzeliło znie-nacka, na jeden błysk chwili, objawieniem, poeta zrozumiał:

Wtem grom mię raził; myśl w cudo się graży.  
Czuję, że wola Jego w nią uderza.

(*R. XXXIII, 140 — I.*)

(*Patr. lat. t. 177.*)

### BERNARD Z CLAIRVAUX

(1090—1153)

#### KAZANIE NA DZIEŃ NARODZENIA BŁOGOSŁAWIONEJ DZIEWICY MARJI (DE AQUAEDUCTU)

...Szukajmy łaski, lecz łaski u Boga, bo człowiecza łaska jest zdradliwa.

Niechaj inni dbają o zasługi, my dbajmy, aby łaskę znaleźć. Cóż bowiem? — Czyż łaska to, że istniejemy? Zaiste, miłosierdzie boskie, że nie zginęliśmy.

Ant.

41

Któż to my? My krzywoprzysięzcy, my cudzołóźni, my mordercy, my rabusie — plugastwo istne tego świata. Zajrzyjcie w sumienia wasze — o bracia — i patrzcie, gdyż, gdzie była obfitość występku, przeobfitość łaski tam nastanie.

Marja nie ubiega się o zasługi, lecz łaski szuka.

Łasce ufa do tego stopnia i tak w dostojenstwach nie smakuje, że wzdraga się przed pozdrowieniem anielskim. Marja — rzecz — rozmyślała, jakieby to było owo pozdrowienie (Łuk. I. 29). Zaiste! Uważała się niegodną pozdrowienia anielskiego.

I tak rozmyśla następnie: «Skądże mi, aby przychodził do mnie Anioł Pana mego?»

Nie obawiaj się, Marjo, nie dziwuj, że Anioł przybywa — i większy od Anioła przybył. Nie dziw się Aniołowi Pańskiemu — bo Pan Anioła z Tobą.

Cóż wreszcie, że widzisz Anioła, gdy anielskim życiem żyjesz? Czy dziw, że anioł równą sobie odwiedził? Że pozdrowia mieszkankę miejsc świętych i domowniczkę Bożą? Anielski to żywot — dziewictwo: A którzy nie poślubiają i nie są poślubieni, będą jak Aniołowie Boży.

Patrz, w ten także sposób akwedukt nasz wiedzie do źródła. Nie samą już modlitwą niebo przenika, lecz niepokalaniami ku Bogu się wznosi — jak mędrzec powiada: Była bowiem dziewica duszą i ciałem, która mawiać zwykła: «Lecz obcowanie nasze jest w niebiesiech» (Philipp. 3, 20).

Święta, mówię, ciałem i duszą, abyś nie wątpił o tym akwedukcie. Pozostaje bowiem wzniosły i najczystszy: ogród zamknięty, źródło naznaczone, świątynia Pana i Ducha św. przybytek. Nie jest bowiem głupią panną; nietylko olej posiada, ale oleju nadmiar w naczyniu ukryty.

W sercu swem umieściła szczeble, wznosząc się zarówno obcowaniem (jak się powiedziało) i modlitwą.

Odeszła potem z pośpiechem w góry i pozdrowiła Elżbietę, i była w służbie jej prawie 3 miesiące, i już wtedy rzecz mogła matce Matka, co — o tyle później — Syn powiedział synowi (t. j. Janowi Chrzcicielowi, wzdragającemu się ochrzcić Jezusa): «Zaniechaj teraz — bowiem przystoi wypełnić nam Sprawiedliwość» (Mat. 3, 15). Wstała na górę, bo jej sprawiedliwość jest jak góry Boże.

Trzecie to było bowiem wstępowanie Dziewicy, aby lina potrójna niełatwo się przerwała.

Pałała więc miłość, szukająca łaski, jaśniało w ciele dziewictwo, wywyższyła się pokora w posłuszeństwie. A jeśli będzie wywyższon ten, kto się poniża, to cóż od owej pokory wznioślejszego?

Dziwiąc się jej przyjsciu, Elżbieta mówiła: «A skądże mi, że przyszła do mnie Matka Pana mego?» (Łuk. I, 43). Lecz bardziej niech się dziwi, gdyż — jakby śladem syna swego sama przyszła służyć a nie zostać usłużoną. I słusznie piewca ów boski, prorokując, w podziwiewołał (Cant. 69): Któż jest ta, która wzniosła się jak jutrzienka wschodząca, jak księżyc piękna, jak słońce wybrana, jak szyszkobrojni — straszliwa? Wzniosła się ponad rodzaj ludzki, wzniosła się do aniołów, lecz przewyższywszy ich, stanęła ponad wszelkiem niebieskim stworzeniem. I trzeba, by ponad Aniołami wodę życia czerpała, którą na ludzi zlewa.

(S. Bernardi Opera, t. III. Patr. lat. t. 184.)

## DIONIZJUSZ PSEUDOAREOPAGITA

(V w.)

i BONAWENTURA

(1221—1274)

PIĘKNO I MIŁOŚĆ

Dionizjusz, Pseudo-Areopagita<sup>1</sup> czerpie ideje platońskie z nowoplatonczyków Plotyna i Proklusa a nawet wprost od samego mistrza. Oto myśli, o które tutaj chodzi:

<sup>1</sup> Wydanie łacińskie w Patrologji ks. Migne: S. Dionisii Areopagitae opera omnia. De Divinis nominibus (str. 367—600).



«Sama etymologia wskazuje istotę piękna. Najwyższe piękno pozamaterjalne jest źródłem piękności poszczególnych, gdy wszystkim rzeczom piększące działa promieni swego źródlanego światła w istotę technie, wszystko ku sobie jakoby przyzywa i wszystko we wszystkim, jakoby w sobie, skupia (IV. § 7). — Każda rzecz posiada piękno odrębne, swojej naturze właściwe. Przez piękno wszystko się wiąże, piękno jest wszystkiego początkiem i przyczyną dzielną (causa efficiens) i poruszającą, która wszystkie rzeczy utrzymuje miłością własnego piękna; jest wszystkiego końcem i jakoby pożądaną przyczyną celową (gdyż według niego wszystko się określa). Z tej przyczyny piękno jest to samo, co dobro» (tamże).

«Z niego wszystkie istnienia, kojarzenia, różnice, tożsamości, różnorodności..., niezakłócone przyjaźni, nierozzerwalne związki, spraw dziejących się wieczne następstwo; wszystkie stany, wszystkie ruchy umysłów, dusz i ciał» (tamże). — Słowem, cokolwiek jest, jest i dzieje się dla piękna i dobra (§ 10). — Ciałemu światu piękno i dobro są pożądane i miłości godne, wszystkim ono jest lubie; dla niego i z powodu niego istności niższe kochają wyższe, Ignąc ku nim; a co jest równorzędne, kocha podobne sobie współczując, a wyższe kochają niższe, dbając o nie, a każde kocha siebie, zachowując swój byt; a czyni i chce, cokolwiek czyni i chce, w dążeniu do dobra i piękna» (§ 10).

Jak widzimy, miłość w myśl Platona łączy się z pięknem węzłami ścisłej zależności; jej określenie znajdujemy w rozdziałach następnych. Autor gniewa się naprzód, że wyraz «amor» źle bywa pojmowany, gdyż owszem w pojęciu «amor» mieści się uczucie świętsze niż w «dilectio». Dowodem słowa św. Ignacego o Chrystusie: «Meus amor crucifixus est». Ludzie to świeccy dali taką nazwę miłości zmysłowej, która nie jest miłością prawdziwą, lecz podobizną, a raczej upadem od miłości prawdziwej (§ 12). O jej naturze zaś powiada: «Jest ona siłą jakowąś jednoczącą, skupiającą i doskonale regulującą, która w dobrem i pięknem dla dobra i piękna istnieje, z piękna i dobra dla piękna i dobra wypływa, utrzymując istoty równe wzajemnymi związkami, a wyższe skłaniając do opieki nad niższymi, a niższe podnosząc ku wyższemu» (§ 12). W tych samych prawie słowach miłość jest określona raz jeszcze w rozdziale pod napisem: «Hierotheusa hymny miłosne».

Wzorem Hugona de St. Victor *Bona ventura*<sup>1</sup> rozróżnia pięć rodzajów miłości:

1) Przyrodzoną (naturalis) miłość siebie samego. 2) Cieleśną (carnalis), która jest dwójaka: pospolicie bowiem nie jest ani cnotą, ani grzechem, lecz pewną skłonnością (habitus) człowieka zewnętrznego, pociągającą łatwo jego duszę ku przedmiotowi oglądanemu. O ile bowiem postać czyjaś jest powabniejsza, a mowa słodsza, a oblicze wdzięczniejsze, to nawet u nieświadomego (ignorantis) wywołuje i wiąże uczucie.<sup>2</sup> Tu za przykład jest postawiony Mojżesz niemowlę, co swymi wdzięcznymi kształtami tak bardzo ujął córkę Faraona, zaś jako afekt występny podana owa brzydka namiętność, jaką Dawid zapalał ku Betsabei.

Znamienny jest rozdział Bonawentury p. t. «Siedm dróg wieczności», gdzie mowa o tem, jakimi znakami objawia się miłość ku Bogu. Jest to jakgdyby transkrypcja jakiejś prowaukiej kancony. Pierwszym znakiem miłości doskonałej są głębokie i najskrytsze westchnienia ducha. Drugim — szczytne pragnienia. Trzecim — tęskne rozmyślenia. Czwartym — oczekiwania smętne. Piątym — uczucia ekstazy. W tem przekształcaniu materji świeckiej na religijną odbija się dążność powszechna teologii średniowiecznej: pojmowanie zjawisk ziemskich, jako symbolów rzeczy i prawd Bożych; teoria miłości, jako cnoty teologicznej, jest tu złożona z objawów afektu ziemskiego. Pieśń nad pieśniami, cała wyłożona mistycznie, jest owej dążności przykładem najznamienszym. To też i św. Bonawentura, uczeń św. Franciszka, który całą przyrodę brał w objęcia braterskie, zwracał się do przyrody po symbole religijne.

<sup>1</sup> Mystica theologia. De septem itineribus aeternitatis. De quarto itinere, dist. III.

<sup>2</sup> Przypomina to naprzód teorię poetów włoskich o składnikach afektu: spojrzenie, słuchanie, rozmyślanie, pojmowanie, następnie kwestję «zakochania nieświadomego», np. u Jakóba da Lentino.

<sup>3</sup> De quarto it. dist. IV., art. 4: Primum igitur signum charitatis perfectae sunt profunda et intima suspiria mentis. II. Alta desideria. III. Cogitationes languidae. IV. Expectationes taediose. V. Affectiones extaticae.

W rozdziale o stopniach miłości żarliwej,<sup>1</sup> powtarzającym ideje Ryszarda de St. Victor,<sup>2</sup> gore w namiętnych słowach zachwycenia ten niepohamowany płomień miłości Chrystusa, co zamodlonemu pustelnikowi otwierał rany stygmatów i z ust św. Teresy wyrwał jęki śmiertelnej rozkoszy. Obrazowość wschodnia Starego Testamentu, przenośnie z erotyki trubadurów, akcenty ludowych piosenek miłosnych tu się kojarzą, mieszając z sobą zmysły i ducha. Pierwszy zatem stopień miłości żarliwej jest, kiedy myśl pożądaniu ran oprzeć się nie może (*resistere non potest quin vulneretur*). Oto w Piśmie św. słowa: «*Vulnerata charitate sum ego*». Znakami pierwszymi tego zranienia duszy są jęki i westchnienia, blednięcie i chudość twarzy; — wszystko to sprawia miłość gwałtowna.

Drugi stopień jest ten, który wiąże we śnie i na jawie. — Trzeci ten, który wyłącza: jedno się kocha, jedno miłuje, jednego pragnie, jednego pożąda, do jednego drży, do jednego wdycha, dla jednego gore, na jednym zatrzymuje myślą, jednym się nasyca; nic nie jest słodkie, nic nie smakuje, jeśli tem jednym nie jest przyprawne... Cokolwiek się czyni, cokolwiek mówi i myśli, zda się nieużyteczne, a nawet niezdolne, jeśli nie dąży do tego jedynego celu pragnień. Śród tego uniesienia, gdy myśl nowożytna nie znajduje na oddanie ekstatycznego nastroju wyrazów dość skutecznych, pomagają cytaty ze świętej pieśni: «*Fulcite me floribus, stipate me malis, quia amore langueo*». Dusza mistyka rwie się przeciw wyżej i wyżej. Czwarty stopień jej wlotu, kiedy kochanek z pragnienia przelamuje się i omdlewa w swych siłach żywotnych. Miłość jego wtedy równa się uczuciu śmierci: «*Fortis est ut mors dilectio*». A po tych, zda się, najwyższych podrywach Ryszard rozróżnia jeszcze stopnie miłości wyższej, seraficznej, aż do zupełnego roztopienia się w Chrystusie, we Wszechjedności, w Krynicy piękna i dobra, gdzie kochanie staje się samą i jedyną treścią bytu nieogarnionego i nieskończonego.

(Porów. E. Porębowicz, *Studja do dziejów literatury średniowiecznej*.  
Lwów 1904, oraz: Dante. Warszawa 1922.)

## WALTER MAP

(um. 1196)

### ZABAWY DWORSKIE

(W streszczeniu)

Napisane «ku uciesze i rozrywce», jak je usprawiedliwia w jednym miejscu tekstu. *Historja króla Herli*: Herla był królem Brytów. Raz zjawił się przed nim inny król-karzeł, z dużą głową, ognistym obliczem, długą czerwoną brodą, brzuchem włochatym, nogami kozłemi. Odziany był w płaszcz szkarłatny, jechał na kozle. Zaprosił się sam na wesele Herli z córką króla Franków, po roku nawzajem Herla miał zjechać na jego ślub. W dzień wesela przyjeżdża Herla z niezliczonym wojskiem kartów, którzy usługują gościom, obnosząc potrawy na złotych naczyniach. Powtórzywszy zaproszenie, karzeł znika. Po roku istotnie Herla oddaje mu wizytę w grocie, w głębi góry. Na wyjeździe, między innymi darami, otrzymuje psa z poleceniem, aby jeden z czeladzi trzymał zwierzę zawsze na koniu i aby żaden z jego rycerzy nie zsiadał, póki pies nie zeskoczy. Herla wychodzi na światło dzienne, spotyka pasterza, pyta o królowę, swą żonę. Tamten nie rozumie mowy, bo król jest Brytem, a on Sasem. Sasi panują tutaj od lat dwustu, o królu Herli, który zginął bez wieści, istnieje tylko stare podanie. Słowem, Herla przebył tam w grocie lat 200, a wydały mu się trzema dniami. Niektórzy rycerze z jego orszaku zsiadli z koni, nim pies zeskoczył — natychmiast rozpadli się w proch. Król zakazał pod karą śmierci (rzecz zbyt czarna!) zsiadać z koni, zanim pies zeskoczy, ale pies dotąd nie zeskoczył. Odtąd ów orszak jeźdźców jest w wiecznej podróży. «Podobnie jeździ dwór króla Henryka z wozami i końmi, misami i koszami, sokołami i psami, z chmarą kobiet i dworzan».

<sup>1</sup> De gradibus amoris violenti. De quart. it. Dist. V, art. 2.

<sup>2</sup> Tractatus de charitate.

Powieść pełna interesu dla historyka kultury, z opisem owego hucznego dworu Henryka II Plantageneta, który był dla północy tem, czem w pół wieku później dwór Fryderyka II dla Sycylii, a stał pod urokiem i władztwem pięknej rozwódki Aljenory z Poitiers, wnuczki Wilhelma IX, płochego władcy i jowjalnego trubadura. Równie cenny dla badacza tematów literackich, bo w przygodach króla Herli mieści się i temat «gościa kamiennego» i temat «zaświata», jaki występuje czyto w legendzie o «7 braci śpiących», czy w «lais» Marji z Francji, poetki anglonormandzkiej, żyjącej na tym samym dworze i niezawodnie znajomej Waltera.

Następują wiadomości «ze świata»: o zdobyciu Jerozolimy przez Saladyna (1187 r.), o zakonach mniszych i rycerskich: kartuzach, templarjuszach, hospitalitach, joannitach, cystersach.

Powieść o królu Lhewelynie:

Autor przedstawia charakter narodowy Walijszyków, jako mieszaninę zlego i dobrego, jako lud skłonny do bijatyk i kradzieży, rezolutny i zaradny: Siostra króla Lhewelyna czyni bratu wyrzuty, że w Noc Sylwestrową nie wychodzi na rabunek wedle starego obyczaju i przesądu, bo szczęśliwa wyprawa będzie dobrą wróżbą na rok następny. Każe mu przynajmniej iść podpatrywać, co się dzieje w sąsiedztwie.

W pewnym domu gotują wolu w kotle: «Dziwna rzecz» — powiada kucharz — «ilekroć go zanurzę, zawsze wypływa nawierzch». — «To jestem ja» — powiada do siebie Lhewelyn — «ile razy mię nacisną, zawsze się odbiję».

Refleksja ta nadała życiu jego właściwy kierunek; został zuchwałym wojownikiem i potężnym władcą. Z natury zły, jedną tylko zdziałał rzecz dobrą: złożył hołd królowi anglosaskiemu Edwardowi.

Widzimy tu w Walterze typ historyka w służbie dynastji.

Szereg następnych powieści jest osnuty na temacie rusalek, martwic i południc, a nosi tytuł ogólny: «O z j a w a c h f a n t a s t y c z n y c h», bo autor powiada wyraźnie, że w rzeczywistość takich istot nie wierzy.

Wastin Wastiniane mieszkał nad jeziorem Brecknoch; pośród nocy księżycowych widywał korowody panien wodnych. Pochwycił raz jedną i ożenił się z nią; przyrzekła pozostać przy nim wiernie aż do chwili, kiedyby ją uderzył. To zdarzyło się po latach; wtedy znikła wraz z dziećmi, jeden przeciw chłopiec pozostał i wyrósł na dzielnego rycerza, potem jednak i jego matka zabrała (II, 11). Analogiczna jest powieść następna o Edriku dzikim i pannie leśnej (II, 12). Map nazywa takie istoty «martwicami», a potomstwo ich «dziećmi martwic». Powieść z tejże kategorii p. t. «Henno zębaty» weszła całkowicie do podania rodowego Lusignanów o «Meluzynie»; Henno zębaty spotkał na brzegu normandzkim piękną «pannę leśną» w królewskim stroju. Opowiedziała, że jest narzeczoną króla Franków, że ją na brzeg wyrzuciła burza. Oddała mu się i żyła z nim. Była nabożna, ale do kościoła wchodziła dopiero po pokropieniu. Świekra podpatrzyła, jak w kąpiel przybierała postać smoczą i jak przez rozdarcie na sztuki płaszcza kąpielowego zamieniała się znowu w kobietę — to samo jej służebna. Pokropione wodą święconą, ulatują z wyciem przez dach domu (IV, 9).

Podanie o papieżu Sylwestrze II, przedtem Gerbercie, należy do tejże kategorii. Rozpowszechnione w literaturze średniowiecznej, wygląda u Waltera Mapa, jak następuje: W Reims Gerbert rozgorzał miłością do pięknej dziewczyny, która, dla innych powolna, jemu się opierała. Zaniedbał nauk, zadłużył się, zubożał. W czasie przechadzki południowej po lesie spotyka pannę, przesypującą złoto na jedwabnym kobiercu. Zwie się Meridjana, południca. Obiecuje mu bogactwo, byle jej się oddał. Z pomocą jej czarów zostaje biskupem Reims, arcybiskupem Rawenny, wkońcu papieżem. Przepowiada mu ona, iż nie umrze, aż odprawi mszę w Jerozolimie. Więc wzdragał się odwiedzić grób Zbawiciela. Aż zdarzyło się, że odprawił mszę w kościele rzymskim, zbudowanym na ziemi przywiezionej z Jerozolimy. Koniec jego bliski; na spowiedzi wyznaje, że nie spożywał nigdy Hostji, ale ją usuwał. Dzięki skrusze przedśmiertnej zostaje zbawiony (IV, 11.)

Pakt Eudona z djabełm jest podobny do podania o Teofilu: Eudo, syn rycerza francuskiego, zubożały dzięki życiu hulaszczemu, w lesie, gdzie chciał skończyć samo-

bójstwem, spotyka olbrzyma potwornej twarzy, który ofiaruje mu bogactwa za oddanie się jego władzy. Nie jest to jednak zwykły djabeł, ale duch łagodny i dobroczynny. Zwie się Olga. Czasem jemu podobni, powiada autor, są złośliwi, jak ów Morfeusz, co to mścił się na pewnym mnichu za to, że go przedstawiał w czarnych barwach. Więc drażnił mu zmysły, sprawił, że zakochał się w pewnej wdowie i z nią uciekł. Złapano go i osadzono w karczerze; duch uwolnił go, wzięwszy na siebie łańcuchy; w klasztorze dziwiono się i przepaszano oskarżonego rzekomo niewinnie, zaś Morfeusz, narobiwszy wrzawy, uciekł przez dach.

Eudonowi Olga obiecał 3 znaki przed śmiercią, aby miał czas pokutować wśród szumnego życia, jakie zaczął prowadzić. Więc pierwszy znak upadek z konia i złamanie nogi; drugi zranienie oka strzałą; trzeci śmierć syna. Eudo zwraca się wtedy do biskupa z Beauvais, który go był wyklął, ten każe mu skoczyć w ogień na rynku, gdzie palą czarownice; Eudo skacze i płonie.

(Walter Map. *De nugis curialium, porów. Sitz. Ber. der Wien. Ak. Phil. Cl. X, 319.*)

## MODUS

### NOWELA O LANTFRYDZIE I COBBONIE

(Temat wschodni «próby przyjaźni», przechowany między innymi w typowej powieści «Athis i Prophylias».)

«Jakkolwiek wiele czyta się o przyjaźniach, żadna nie była tak słynna, jak tych dwojga». Cobbo, zatrzymany długo w służbie obcego króla, pragnie odwiedzić krewnych i przyjaciół za morzem. Lantfryd w towarzystwie żony odprowadza go na wybrzeże portowe. Cobbo prosi, aby «na pamiątkę» ustąpił mu żony, co też Lantfryd czyni. Gdy jednak okręt odbija od brzegu, zaczyna grać na harfie i śpiewać tęskną pieśń pożegnania; jej treścią jest prośba do przyjaciela, aby nie zdradził przyjaźni, aby niewieście nie uczynił hańby; gdy ich traci z oczu, rozbija harfę o skały. Tedy Cobbo wzruszony powraca i oddaje druhowi damę.

(Müllenhoff — Scherer. *Denkmäler deutscher Poesie u. Prosa aus den VIII—XII Jh. 1899. nr. 23.*)

## RUODLIEB

(Streszczenie)

Młody rycerz, szukający szczęścia, wstępuje do służby królewskiej. W wyprawie wojennej wzięty do niewoli, po trzechletniej służbie wraca do ojczyzny obdarzony złotem a nadto dwunastoma radami: 1) Nie dowierzaj rudowłosemu; 2) nie skręcaj z drogi błotnistej, choćby łatwiej było przejść przez łąk zboża; 3) nie stawaj w gospodzie, gdzie jest stary mąż a młoda żona; 4) nie wypożyczaj żrebnej klaczy do bronowania; 5) gdzie cię radzi widzą, tam nieczęsto bywaj; 6) nie bierz za żonę własnej służebnicy; 7) szukaj żony tam, gdzie matka radzi, obchodź się z nią dobrze, ale władzy z rąk nie puszczaj, a także nie powierzaj jej tajemnic; 8) hamuj gniew i powstrzymuj zemstę do następnego dnia; 9) nie wdawaj się w spór z własnym panem, ofiaruj mu dobrowolnie to, czego żądał w pożyczce; 10) nie omijaj kościoła, gdy jest na twej drodze; 11) nie wahaj się złamać post, kiedy cię proszą w imię Chrystusa; 12) nie otaczaj swej włości rowem, bo ludzie miną rów i wejdą ci w szkodę.

Dalszą część wypełniają skutki postępowania wedle tych upomnień i przeciw nim. Potem jeszcze rycerz bierze w niewolę karła, który za wolność przyrzeka mu pokazać skarby dwu kariów: Immuncha i jego syna Hartuncha. Gdy ich zwycięży, zdobędzie córkę królewską Hariburgę. Na zakładniczkę oddaje karzeł Ruodliebowi swą piękną, młodą żonę — i tu fragment się urywa. Koniec przygody nie da się wysnuć z żadnej analogji.

(Ruodlieb, *der älteste Roman des M. A. ed. Fr. Seiler, 1882.*)

## ARCYPREZBITER LEON

## ROMANS O ALEKSANDRZE

## Listy do Arystotelesa

— — — I. Aleksander Arystotelesowi radości (życzy). Przedziwne zdarzenia, jakich zazналиśmy, słuszna, abyśmy Ci opowiedzieli.

Pokonawszy Darjusza i ujarzmiwszy Persję, wyruszyliśmy ku bramom Kaspijskim i przybyliśmy nad pewną rzekę, gdzie w pośrodku stało miasto osłonięte trzcina. Łodzie stały na onej rzece.

II. Doszliśmy tam w dnia godzinie trzeciej. Woda rzeki gorzka była bardzo, jak ciemierzycza. Rzeką opływała miasto na jakie cztery stadja. Śmielsi z naszej młodzieży, wydobywszy miecze, w liczbie 87 nadzy weszli w rzekę; wypłynęły bestje rzeczne, zwane hipopotamami, i pożarty ich.

III. Okrążywszy rzekę z innej strony, doszliśmy wyżej i znaleźliśmy jezioro miodypłenne i słodkie. Zatrzymaliśmy się tam w celu rozpalenia ognia. O godzinie trzeciej nocnej nagle wyszły dzikie zwierzęta na brzeg jeziora do wodopoju. Były tam skorpjony długości jednego łokcia, zmieszane razem białe i czerwone. Na ich widok ogarnął nas przestach, a niektórzy z naszych pomarli. Nadeszły lwy dziwnie ogromne i nosorożce. Wszystkie wychodziły z trzciny pojeziernej. Były między nimi dziki ogromne, mocniejsze od lwów, z kłami na łokieć. Były leopardy i tygrysy, skorpjony i konie, i ludzie dzicy o sześciu ramionach, podobnie niewiasty ich. Od nich zazналиśmy wiele trwogi, gdyż rzucały się na nas; dzidami i strzałami zrzucałiśmy je z siebie. Założyliśmy ognisko w lesie, odstrasżające owe bestje...

V. Następnej znowu nocy wyszły lisy z piasków i krokodyle z trzciny i pożerały ciała zmarłych. Latały tam równie nietoperze, duże jak gołębie; zęby ich jako zęby ludzkie; gryżące ludzi, odcinające im nozdrza i uszy, i palce u rąk.

VI. Wyruszyliśmy stamtąd i przybyliśmy na pole mianem Actia, i usadowiliśmy się tam. Wokoło rósł gęsty las, a w nim drzewa owocodajne, któremi żywili się ludzie dzicy postaci olbrzymiej, odziani w skóry. Wypadłszy z długimi drągami, zabili wielu naszych. My zaś, widząc ich porażkę, kazaliśmy żołnierzom podnieść krzyk. A oni, że nie zwykli byli słuchać głosu ludzkiego, przeląkłszy się, uciekli do lasu. My zaś, goniąc ich, zabiliśmy 634. Z naszych zaś poległo 127. Zatrzymaliśmy się tam trzy dni, żywiąc się owocami owych drzew.

VII. Nakoniec przybyliśmy nad pewną rzekę, gdzie stało miasto zaludnione wielce. Gdy się zbliżyła godzina 9-ta, przypadł na nas ogromny człowiek dziki, włochaty jak wieprz. Kazałem żołnierzom, by go schwytali. Rzucili się ku niemu, ale on ani się zląkł, ani uciekł, tylko stał nieustraszony. Kazałem przyprowadzić pannę, zdjąć z niej szatę i postawić przed nim. On tedy wypadłszy, chwycił ją i stanął opodal. Nadbiegliśmy, aby mu ją wydrzeć; zaryczał jak zwierzę; z wysiłkiem schwytaliśmy go; kazałem związać go, zabić i spalić.

VIII. Znowu wyruszyliśmy stamtąd i przyszlismy na inne pole, gdzie od godziny 1-szej dnia wystrzelały z ziemi drzewa i wzrastały do godziny 6-tej. Od 6-tej zaś aż do zachodu chowały się znów pod ziemię. Wydawały zaś owoce wonne. Kazałem ludziom, aby przynieśli soku drzew. Kiedy podeszli, wyskoczyły demony i osiekły ich. Usłyszeliśmy też głos z nieba, aby nikt nie ważył się nacinać kory, bo inaczej pomrzemy. Latało tam równie nieszkodliwe ptactwo. Ale gdy ktoś chciał je złapać, wybuchał ogień i parzył.

IX. Przybyliśmy na skraj oceanu, gdzie znajduje się oś nieba. Na morzu słyszeliśmy ludzi mówiących po grecku. Ten i ów żołnierz, wyzuwszy się z ubioru, chciał przejść morzem aż na wyspę. Wypłynęły bestje, zowiące się «caryni», schwytały dwudziestu i wciągnęły ich pod wodę.

X. Stamtąd przybyliśmy do miejsca, gdzie rosnęło drzewo bez owocu i bez liści; siedział na niem ptak z głową promieniejącą naksztalt słońca; nazywał się «Feniks».

XI. Potem podeszliśmy ku górze; dołem z urwistej skały zwieszał się łańcuch złoty; sama zaś góra liczyła stopni 2500 z szafiru. Wstąpiłem na ona górnę z kil-

koma rycerzami i znalazłem na niej pałac, mający wieżyce i blanki, i okna, i bębunki, i cymbały złote. Stała tam świątynia złota, a wpośrodku niej łoże z cennymi wizerunkami bogów. Na niem spoczywał człowiek postaci ogromnej i dostojnej, odziany w szatę białą jedwabną zdobną złotem i klejnotami. Widziałem też złotą wić z gronami ze złota i drogich kamieni. Oddałem cześć owemu człowiekowi i zszedłem.

### Ks. III (z listów do matki Olimpjadi) 27, 3

Weszliśmy na pustynię. Trafiliśmy na miejsca zimne i ciemne, tak, że prawie nie poznawaliśmy się wzajem. Po siedmiu dniach przybyliśmy nad rzekę gorącą i naszliśmy tam niewiasty, Amazonki urodziwe bardzo, w czarnych sukniach, dzierżące w rękę broń srebrną i pojeżdżające konno. Śpiż i żelazo są tam nieznanne. Niema również młodzieńców. Stanąwszy nad ową rzeką, nie mogliśmy jej przejść, dla ogromnej głębi i szerokości. Jest też pełna gadów i bestyj ogromnych.

4. Stamtąd przybyliśmy nad morze Czerwone. Wznosiła się tam góra ogromna; weszliśmy na nią i byliśmy jakoby w niebie.

5. Rozmyślałem z przyjaciółmi nad wynalezieniem przyrzędu, na którym mógłbym wlecieć pod niebo i przypatrzeć się, czy jest takie, jak je widzimy. Sporządziłem przyrząd, gdzie mogłem usieść, złapałem dwa gryfy, powiązałem łańcuchami, umieściłem przed nimi dyszle, a na ich końcu jadło, i zaczęły wzlatać w górę. Ale jakowaś siła boska otumaniała je i strąciła na odległość 10 dni od mego wojska, w miejscowości pustej, lecz żadnej obrazy nie doznałem od więzów żelaznych. Tak wysoko byłem podleciał, że ziemia pode mną wydała mi się jakoby klepiskiem, morze zaś wyglądało jak smok obracający niem. Z trudem powróciłem do mej armji. A żołnierze, obaczywszy mię, cieszyli się i klaskali.

6. Wpadło mi znowu na myśl, aby zmierzyć głębie morskie. Zwołałem astronomów i geometrów i kazałem zbudować naczynie, w którym mógłbym zanurzyć się i przyjrzeć się zwierzętom, jakie żyją w głębi.

«Sporządźmy» — rzekli — «beczkę szklaną, umocujemy na łańcuchach, kierować niemi będą co najmocniejsi żołnierze». Czem prędzej kazałem tak uczynić; zbadłem głębie morza. Widziałem ryby wielorakich kształtów i barw, a także inne zwierzęta o kształcie zwierząt ziemnych; chodziły po dnie czworonogi. Podchodziły aż ku mnie i uciekały. Widziałem też inne rzeczy dziwne, ale o nich zamilczę. Żegnaj, droga Matko!»

(*Der Alexanderroman, ed. Pfister. Samml. M. A. Texte. Heidelberg 1913.*)

## ROMULUS

### BAJKA O KROWIE, OWCY, KOZIE I LWIE

Krowa, koza i owca sprzymierzyły się ze lwem. Gdy na polanie w górach upolowały jelenia i przyszło do podziału zdobyczy, lew tak rzekł: «Biorę pierwszą część jako lew. Druga jest moja, bom mocniejszy od was. Trzecią sobie przyznaję, bo najwięcej biegałem. Czwartą zaś, bo ktoby jej dotknął, będzie miał we mnie wroga». I tak cały łup sam sobie niegodziwie przyznał.

Dla wszystkich przestroga, aby się nie sprzymierzali z potężnymi.

(*Romuli Fabularum libri IV. Les Fabulistes latins par L. Hervieux, Paris 1884, t. II, l. I, 6.*)

## CYRYL Z QUIDENON

### ZWIERCIADŁO MĄDROŚCI

#### III. 25. Orzeł i Feniks

Z wyżyn po nizinie bystrem spojrzeniem orzeł łupu szukający obaczył, jak Feniks w ogniu przez się wznieconym płonał. Tedy zniżył ku niemu lot i zapytał: «Czy w tym

pożarze nie cierpisz?» Na to ów: «A ty, czy łowami twemi nie radujesz się?» — «Tak» — odparł — «i jak jeszcze!» Na co Feniks: «Skoro ty radujesz się zdobywaniem łupu, podobnie Feniks szczodry w ofiarowaniu własnego ciała. Bo nie mniejsza jest moja uciecha w mojem świadczeniu szczodrem, jak twój w zadowoleniu chuci. Gdyż każdemu objawieniu swej mocy towarzyszy wylew rozkoszy (n. b. Arystoteles). Dlatego też, o najdroższy, ja w ogniu odczuwam nie cierpienie, lecz radość, gdy w świadczeniu życia drugim cały się rozpływam. Czyż to nie uważałeś, jak z popędem chuci żmija zapomina się lak, że nie czuje nawet gorzkiego ukąszenia śmierci? Niedziw: natura hojna wszystkie swe działania dobroczynne wśród rozkoszy na twory przenosi. Moc rozrodcza, mięszs żywotny słodką lubością serce napelnia; pokarm spożyty z lubością po ciebie się rozchodzi. Każda bowiem szczodra ofiara jest radosna sercu, bowiem wlewać nie jest moc znaczący powiększać jego moc, dawać korzyść mocy. Zaiście skąpiec chowający złoto sam się gubi: nazewnątrz posiada, wewnątrz naprawdę jest pusty, boli go dać, bo straciłby; nie ofiaruje ze swej mocy (woli). Gdy zabiera cudze, raduje się, ale ślepiec, nie wie, że się tem uszczupla. A cóż posiada ten, który się sam nie posiada? Bo z osobą (posiadacz) wszystko ginie. Przeto kto jest sługą chciwości, czyimże jest panem? Zatem wyświadczać dobrodziejstwa chętnie, radośnie, a razem z mocą będziesz posiadał wszystko, na wieki wolny». — Co słysząc orzeł, wywodami o szczodrości pokonany, odleciał ku górze.

(B. Cyrili episcopi *Speculum sapientiae*, ed. Th. Graesse. *Bibl. Stuttg. litt. Ver.* t. 148.)

## MIKOŁAJ Z BERGAMO

### DIALOG ZWIERZĘCY

#### Hyzop i Merkury

Hyzop, jak powiada Brytyjczyk (Baeda), jest zieleciem posiadającym właściwość oczyszczania płuc; inny zaś autor twierdzi, że hyzop zmieszany z oksymelem wydzielanie flegmy ułatwia. Dla tej zdolności Merkury, którego poganie ogłosili bogiem, a który był mężem chciwym, skąpcem, magiem, zaklinaczem i wykładaczem wyroczni — a jeszcze inne posiadał przywary, jak długo służyło mu zdrowie — z rozsądzania Bożego zachorzał na piersi i na reumatyzm, skąd stał się niezdolny do dalszego trwania w złych nawykach. Poszedł do hyzopu i rzekł: «Jest w tobie siła Boża leczenia chorych, bo w ziołach, słowach i kamieniach są siły. Okaż tedy moc swoją na mnie, ulecz płuca i flegmę, a ja przyrzekam i Bogu, i tobie, że z rabunków moich i złodziejstw część tobie oddam». — Na to hyzop: «Wiadomo, że kiedy byłeś zdrowy, dopuszczales się bezecenstw; gdybys wyzdrowiał, sprawowałbys się jeszcze gorzej. Siła Boża, jaka wedle twego twierdzenia jest we mnie, nie będzie patronować zbrodniom; idźże sobie precz, bo ja cię leczyć nie będę». — I odepchnął go ze wstydem, dodając: «Kiedy zły wyzdrowieje, staje się jeszcze gorszy».

(Nic. Pergameni, *Dialogus creaturarum* ed. Th. Graesse, *Bibl. litt. Ver. Stuttg.* t. 148, 1880.)

## HISTORIA SIEDMIU MĘDRCÓW

### (Gałęzie wschodnie)

Cechą znaną rozgałęzień wschodnich jest naprzód znacznie większa liczba powieści, bo mędrzy i królowa opowiadają po kilka, a równie królewicz nie zostaje w tyle; następnie ich różnorodność, niezawsze dostosowana do celu. Za typ może służyć hebrajski «Sendabar», istniejący także w przekładzie łacińskim. Tam Mędrzy (*Sapientes*) opowiadają 14 historj. Królowa (*Regina*) — 7; Królewicz (*Filius regis*) — 1. Oto ich treść:

I S. 1. *Leo* (gdzie indziej *Vestigia leonis*, «Ślady lwa»). Król, upodobawszy żonę wasalną, wchodzi przemocą do jej domu; ona sadza go nad księgą z rozdziałem o cudzołóstwie, sama ucieka. Król zawstydzony odchodzi, zapomina jednak laski. Wraca mąż,

spozstrzega ślad pobytu króla: milczy, ale z żoną przestaje obcować. Krewni jej skarżą się królowi; mąż tłumaczy, że znalazł w domu ślady lwa. Król odpowiada: «Istotnie widziano tu lwa, ale do zagrody się nie przedarł i owoców nie spożywał». Mąż, zrozumiałwszy, przywraca żonę do łaski.

I S. 2. *Avis* («Ptak»). Kupiec, wyjeżdżając, zostawił przy żonie srokę (gdzie indziej papugę) z przykazaniem, aby strzegła pani i opowiedziała potem, co obaczy. Powraca po roku, sroka opowiada zabawy pani z kochankiem. Mąż wypędza żonę wraz ze sroką. Chytra niewiasta urządza na strychu sztuczną burzę; sroka donosi panu, że całą noc padał deszcz i huczały grzmoty. Kupiec na to: «Kłamiesz, musiałaś tak samo skłamać przódzy». I zabija srokę.

K. 1. *Lavator* («Farbiarz»). Synek farbiarza bawi się nad rzeką (Gangesem), wpada w wodę; ojciec chce go ratować, wpada również; po nim brat ojca — wszyscy trzej toną.

II S. 1. *Turtures* («Turkawki», gdzie indziej «Kuropatwy»). Para turkawek zebrała latem zapas ziarna; samiec zakazał samicy czerpać zeń przed zimą. Ziarno w gorącu zeschło, zmniejszyło objętość do połowy; samiec sądząc, że jego samka była nieposłuszna, zadziobał ją. Poznał swój błąd w zimie, kiedy ziarno napęczniało wilgocią i zwiększyło znów objętość.

II S. 2. *Catula* (temat «Suki płaczącej»).

R. 2. *Striga, Fons* («Strzyga», «Źródło»). Syn króla Boçre zbłąkał się na łowach; w lesie spotkał pannę, która zaprowadziła go do swego domu. Była to strzyga; przez szparę w ścianie widział ją z towarzyszkami we właściwej postaci i słyszał, jak umawiały się, aby go wywieść i zgładzić. Wsiadł na konia, by uciec. Strzyga, zamieniona napowrót w pannę, usiadła za nim. Modlitwą uwolnił się, strzyga spadła z konia i połamała żebra. — Król-wicz, jadąc dalej, dojechał do źródła, którego woda zamieniała pleć. Stało się to jemu; w nocy grono panien zbiegło się i zabawiło wkoło niego. Jedna przyrzekła odczarować go, jeżeli przyrzecze wzajem wziąć ją za żonę; kazała mu się napić powtórnie, poczem odzyskał pleć męską.

III S. 1. *Canis* (znany temat «Psa czy Ichneumona i węża»).

III S. 2. *Pallium* («Płaszcz»). Młody człowiek kochał się bez wzajemności w żonie kupca; stręczycielka pomogła mu podstępem następującym: Kazała mu w sklepie owego kupca kupić płaszcz i przypaliła (gdzie indziej rozdarła) go w kilku miejscach, poczem poszła do domu pani i położyła płaszcz na krześle, gdzie mąż zwykł był siadać. Kupiec spostrzegł i poznał płaszcz; podejrzewając, że go żona zdradziła z młodzieńcem, wypędził ją z domu. Skrzywdzona wróciła do rodziców. Starka odwiedziła ją, przyrzekła zaprowadzić do kogoś, co ją pogodzi z mężem, i zaprowadziła — do zakochanego, gdzie opór jej trwał niedługo. Potem poszła z wielkim krzykiem do domu kupca, pytając, czy przypadkiem nie zostawiła tam szaty, którą jej dano do naprawy i o którą ją pozywają. Kupiec uwierzył w niewinność żony i odwołał ją z wielkimi honorami.

R. 3. *Simia* («Małpa»). Karawana przybyła nocą do wsi i zatrzymała się w podwórzu domu, gdzie właśnie zakradł się złodziej, a równocześnie lew czyhający na zwierzęta juczne. Złodziej, poomacku szukając łupu, trafił na lwa i z przerażenia siadł na nim okrakiem; lew niemniej się przestraszył i zbiegł do lasu, gdzie złodziej po gałęzi wydrapał się na drzewo. Lew, uciekając dalej, spotkał małpę, która spytała, czego się przeraził. Opowiedział, że ucieka przed człowiekiem, i wskazał go, ostrzegając przed siłą tej istoty. Małpa wzgardziła przestroga, wspięła się na drzewo; złodziej schwycił ją za testykuły; poczęła krzyczeć; lew rzekł: «Czyż nie mówiłem, że człowiek jest chytrem stworzeniem?»

IV S. 1. *Panes* («Bułki»). Bogaty kupiec, przybywszy do Babilonu, kazał marszałkowi dworu kupić chleba. Ten na targu kupił białą bułkę, która tak smakowała, że kazał podobną przynosić co dnia. Pewnego razu jej zabrakło; kupiec zawołał piekarkę i pytał o przepis na ów smakołyk. Odpowiedziała, że wieprz jej miał ranę na grzbiecie; lekarz kazał przykładać ciasto przyrządzone z korzeniami; to ciasto później piekła, stąd jego smak przedziwny. Gdy wieprz wyzdrowiał, bułki takie piec przestała. Usłyszawszy to, kupiec rochorował się z obrzydzenia.



IV S. 2. *Zuckara* («Cukier, albo Piasek siany przez sito»). Mieszczanin lubił słodkie potrawy, posłał żonę po cukier. Sklepiarz do niej: Daj mi swego cukru, dam ci swego darmo — poczem już nie wzdragała się. Zawiązał jej cukru w chustę, ale kazał pomocnikowi cichaczem zabrać go i zastąpić piaskiem. Gdy chytra niewiasta w domu spostrzegła zamianę, przyniosła prędko sito i poczęła przesiewać piasek, powiadając mężowi, że na ulicy potrącono ją, pieniądze wypadły i zmieszały się z pyłem, teraz go zatem przesiewa.

R. 4. *Aper* («Dzik»). Człowiek, uciekając przed odyńcem, schronił się na gałęzi drzewa. Gdy dzik zaczął podkopywać korzenie, człowiek jął rzucać mu z góry owoce figi (żołędzie), póki ich starczyło. Dzik, czekając na przysmaki, wypatrywał ich z takim natężeniem, aż pękło mu ścięgno w karku i zdechl.

V S. 1. *Balnearius* («Łaziebny», gdzie indziej *Senescalcus*, «Marszałek dworu»). Król lewicz poszedł do łaźni. Łaziebny, widząc jego nadmierną otyłość, począł narzekać, że król lewicz będzie niezdolny do małżeństwa i tron osierocieje. Król lewicz, chcąc dowieść normalnej konstytucji, kazał mu przyprowadzić niewiastę; łaźiebny przez chciwość przywiódł własną żonę, ufny, że wyjdzie bez obrazy, w czym się jednak pomylił — poczem z rozpacz obwiesił się.

V S. 2. *Gladius* («Miecz»). Dama w Babilonie pod nieobecność męża zaprosiła do siebie kochanka. Ten posyła naprzód chłopca, z którym pani «nietylę dla przyjemności, ile dla zaostrenia apetytu» się zabawia. Gach nakoniec przybywa, ale równocześnie zjawia się mąż. Przytomna niewiasta stawia kochanka przy drzwiach, daje mu w rękę miecz i każe udawać zagniewanego, poczem objaśnia męża, że ten obcy wpadł do ich domu za swoim sługą, który tam się schronił, szukając osłony.

R. 5 i VI S. 1. Zawierają historję *Absalona*, syna Dawidowego.

VI S. 2. *Nomina* («Słowa zaklęcia»). Pewien człowiek żył 30 lat z żoną, nie wiedząc, że była strzygą. Wezwana przez «króla strzyg», na pożegnanie wyjawiała mu tajemnicę trzech zaklęć dla spełnienia trzech życzeń. Człowiek wybrał pierwsze, nader nieumiarkowane: aby natura zwiększyła liczbę... jego narządów przyrodzonych. Gdy ich nadmiar okazał się niepraktyczny, żądał, aby je zabrała — poczem znikły, nie wyłączając ostatniego. W rozpacz, jako trzecie życzenie, prosił, aby go przywiódła do stanu pierwotnego. (Historja znana z fraszek europejskich.)

VII S. 1. *Iuvenis femina* («Młodzieniec niewiastą»). Młodzieniec kocha się w żonie cudzej pilnie strzeżonej. Starka wprowadza go do niej w przebraniu kobiecem.

VII S. 2. *Gibbosi* («Garbusy»). Dama zaprosiła trzech trefnisiów dla zabawy. Popili się tak, że wyrzuciła ich do komórki pełnej pierza; podusili się. Zawołała tragarza i kazała za zapłatą wrzucić pierwszego garbusa w morze; gdy wrócił, ukazała mu drugiego i trzeciego, gniewając się, że nie spełnił polecenia. Wyniósł pokolei obu — tak pozbyła się niewygodnych trupów.

Opowiadanie królewicza: *Inclusa* («Zamurowana»). Rycerz widywał we śnie portret damy nieznaney; ona miewała sny podobne. Zamknięta w wieży przez zazdrosnego męża, obaczyła raz marzenie swe przez okno; zapalali ku sobie afektem gorącym. Rycerz wstąpił w służbę pana zamku i zdobył jego zaufanie, tak, że pozwolił mu wystawić dom w pobliżu. Stamtąd z pomocą inżyniera wykonał podkop, którędy przechodził do kochanki. Raz dała mu pierścień; kasztelan obaczył go i, powziąwszy podejrzenie, pobiegł sprawdzić, czy go żona posiada; tymczasem rycerz krótszą drogą do niej się dostał i pierścień oddał. Drugi raz posunął śmiałość tak daleko, że zaprosił kasztelana na ucztę, na której pokazał mu damę swego serca, przebraną w suknie cudzoziemskie. I znowu mąż, uderzony zrazu podobieństwem, uspokoił się, znalazłszy żonę na zwykłym miejscu w sukniach codziennych. Wreszcie rycerz zaprosił kasztelana na wesele, a ten połączył kochanków własnym pierścieniem, którzy też niezwłocznie statkiem odjechali za morze.

(*Historia septem sapientium I. hsg. v. A. Hilka. Samml. M. A. Texte. Heidelberg 1912.*)

## PIOTR ALFONS

(um. r. 1112)

## POUCZENIE KLERYCKIE

2. O zupełnym przyjacielu. Syn spytał ojca, czy widział człowieka, któryby posiadał zupełnego przyjaciela. Ojciec nie widział, ale słyszał o takiej doskonałej parze. Było dwu kupców: jeden w Egipcie, drugi w Bagdadzie. Znali się przez korespondencję. Bagdadczyk przybył do Egiptu; po ośmiu dniach zaniemógł; lekarze osądzili, że to choroba z miłości. Kupiec Egipcjanin, goszczący go, przedstawił mu kolejno damy swego haremu, potem córki, wreszcie dziewczynę, którą miał pojąć za żonę. Ona właśnie choremu się spodobała, więc przyjaciel oddał mu ją wraz z posagiem. (Podobnie Cato odstąpił był przez przyjaźń żonę Marcję Hortenzjuszowi, a w «1001 nocy» obywatel z Damaszku kalifowi Harunowi al Raszyd; ten również jest temat epepei starofrancuskiej: «Athis et Prophylias»). — Nawzajem, gdy Egipcjanin przybył do Bagdadu i w pewnej przygodzie został obwiniony o mężobójstwo oraz skazany na śmierć, przyjaciel gotów był poświęcić się za niego, czem wzruszony rzeczywisty zabójca dobrowolnie wyznał swą winę.

4. Muł i lis. Syn ojca nieszlachcica i matki szlachcianki przyniósł wiersze źle opracowane. Król pytał, czym jest synem, on wymienił wuja. Król począł się śmiać i opowiedział bajkę: «Lis spotkał na pastwisku młodego muła i pytał: Kto jesteś, Boże stworzenie? Masz-li ojca i matkę? Muł odparł z dumą: Mój wuj jest koniem szlachetnej krwi».

8. Ostrzeżenie, że powabny głos kobiecy zwiastuje śmierć, jak głos pułacza.

12. Bajarz usypia króla do snu opowiadaniem; ci «królowie» arabscy byli jak istne dzieci. Król żąda długiej powieści, więc bajarz opowiada, jak wieśniak kupił 1000 owiec i przeprowadził je przez rzekę łódką, mieszczącą tylko dwie owce. Śród tego sam zasnął; król go obudził, a bajarz rzekł: «Pozwól, niech przewiezie wszystkie, abym mógł opowiadać dalej».

14. O studni. Znany podstęp z moljerowskiego «George'a Dandina», dający się śledzić przez Bokacjusza, przez fraszki francuskie, przez «Historję siedmiu mędrców», aż do indyjskiego «Sindibada».

15. Temu przykładowi, jednemu z setnych, przeciwstawiony wyjątkowy przykład kobiety zacnej i mądrej: Człowiek pewien, pielgrzymujący do Mekki, oddał bankierowi pieniądze do przechowania. Po powrocie chciał je odebrać, ale bankier zaparł się depozytu. Stara pustelnica dopomogła do odzyskania go w sposób świadczący o głębokiej znajomości psychologii oszustów. Oto kazała przygotować dziesięć skrzyń, zewnątrz ozdobić i naładować kamieniami, poczem wystali posłańca, rzekomo w celu bezpiecznej lokaty skarbu. Oszust, chcąc dowieść, że jest godzien zaufania, czem prędzej zwrócił sprzeniewierzone pieniądze.

17. O złotym wężu. Bogacz zgubił sakiewkę, zawierającą tysiąc talentów i rzeźbionego złotego węża z oczyma hiacyntowemi. Biedak znalazłszy, mimo oporu żony oddał zgubę. Bogacz nie chciał wypłacić mu «znaleznego» 100 talentów, oskarżając, że przywłaszczył sobie drugiego węża. Król, usłyszawszy o tem, wezwał na sędziego tegoż filozofa (który w tekście łacińskim zwie się «Pomocą nędzarzy»). Poradził, aby król wypłacił znaleźne, a zgubę zatrzymał, bo widocznie nie ta sakiewka jest własnością bogacza. Ów przyznał się do kłamstwa, poczem darowano mu winę. (Przy bardziej demokratycznej sprawiedliwości winnoby się go postać do więzienia.)

19. O dwu mieszczanach i chłopie. Nauka, że nie należy towarzysza oszukiwać. Szli w pielgrzymce do Mekki. Niedaleko kresu podróży zabrakło im mąki, starczyło ledwie na małą bułkę. Mieszczanie myślą, jakby chłopca oszukać. Gdy chleb się piecze, kładą się spać; powiadają, że całą bułkę zje ten, co będzie miał sen najdziwniejszy. Usnęli obaj; chłop, podejrzewając podejście, zjadł bułkę jeszcze niedopieczoną.

Budzą się; jeden śnił, że go anieli brali do nieba, drugi, że do piekła. «Jakto a jużście powrócili? Myślałem, że was już nie obaczę, więc zjadłem bułkę». Do tego dodany przykład z rzekomego obyczaju wielbłądów, które karmią się tylko w towarzystwie. Gdy przypadkiem jeden zachoruje, muszą go odłączyć, inaczej resztaby nie jadła.

23. O chłopie, co wilkowi oddał woły, i o sądzie lisa. Chłop krzyknął do wołów nierówno chodzących: «Bodaj was wilk zjadł!» Wilk zjawił się i upomniał o swoje (jak djabeł średniowieczny). Lis nastęczył się na sędziego. Rzekł do chłopka na stronie: «Daj mi kurę i mojej żonie kurę, a rozsądzę na twoją korzyść». Zaś do wilka: «Zrzecz się wołów, a dam ci ser wielkości tarczy». Kazał mu z sobą wjechać w wiadrze do studni, sam drugim wyjechał w górę i czmychnął.

24. O złodzieju i promieniu księżycowym. Gospodarz spostrzega na dachu zakradającego się złodzieja. Każe żonie, aby spytała głośno, skąd się wzięły ich skarby, i sam odpowiada: «Byłem niegdyś złodziejem. Odmawiałem siedmkroć pewne zaklęcie, brałem w garść promień księżyca, po nim przez dach schodziłem do domów i okradałem». Złodziej słysząc naśladuje, spada, łamie ręce i nogi.

25 i 26. Łącznie z przepowiednią rzekomo Platona o śmierci tyrańskiego greckiego, przypowieść o dwóch braciach: Jeden jest skarbnikiem królewskim, drugi — kupiec, przybył doń w odwiedziny. Król chciał go zatrzymać; kupiec prosił wprzód brata, aby mu pokazał księgę budżetu. Obliczył, że przychód zaledwie równał się rozchodowi, i pędkiem wyjechał.

27. O parobku (fraszka mająca mnóstwo odmian).

Gdy go pytano, wiele potrafi zjeść, odpowiadał: «Swojego bardzo mało, cudzego bardzo dużo». Król każe mu zamknąć na noc bramę, — nie chce mu się, nie zamyka. Rano otworzyć: «Wiedziałem, że tak każą, więc nie zamykałem». — «Wstawaj» — wołają — «bo już dzień». — «Skoro dzień, daj mi jeść». — «Zły sługo, chcesz w nocy jeść?» — «Skoro noc, daj mi spać». «Idź, obacz, czy deszcz pada». — Wysłał psa, pies wrócił suchy. — Pan wracał do domu z dużym zarobkiem; sługa wyszedł naprzeciw. Byłe nie ze złą wieścią. «Niema złych wieści oprócz, że suczka Bispella zdechła». — «Z czego?» — «Muł się wyrwał przestraszony i kopytem zabił suczkę». — «Co się stało z mułem?» — «Wpadł do studni». — «Czemu się przestraszył?» — «Panicz spadł ze strychu i zabił się». — «Co robi pani?» — «Z boleści umarła». — «Kto pilnuje domu?» — «Nikt, bo się dom spalił. Służąca podpaliła go, czuwając przy zmarłej. Ją samą belka przygniotła». — «A ty jak ocalałeś?» — «Uciekłem».

(*Die Disciplina clericalis des Petrus Alfonsi hsg. v. A. Hilka u. W. Söderhjelm. Samml. M. A. Texte. Heidelberg 1911.*)

## GESTA ROMANORUM<sup>1</sup>

10. Cesarz Wespazjan, chcąc z konieczności uwolnić się od kochającej go żony, dał jej «pierścień zapomnienia». 12. W budującej przypowieści msza, odprawiana przez niegodnego kapłana, jest porównana do źródła przeczyszczonej wody, za którą idąc wstecz, pielgrzym spostrzega, że wypływa z paszczęki wstrętnego psa.

13. Królowa zabiła dziecko, urodzone ze związku kazirodczego; za wdaniem się Matki Boskiej, spowiednik odkrywa zbrodnię, każąc jej ściągnąć rękawiczkę, zapomocą

<sup>1</sup> Źródła bezpośrednie lub pośrednie «Gesta Romanorum»: Livius (43); — Cicero, *De orat.* (33); Tusc. (108); — Gellius, *Noctes att.* (104, 148); — Ovidius, *Metam.* (60, III); — Plinius, *Hist. nat.* (36, 37, 44, 99, 139, 150, 175); Seneca, — *Quaest. nat.* (32); — Valerius Maximus (8, 31, 48, 50, 52, 53, 137, 149); — Augustinus, *De civ. Dei* (21, 135, 146); — Justinianus (41, 101); — Pseudo-Aristoteles, *Secr. secretorum* (11, 34); — *Acta SS.* (15, 17, 110); — Seneca, *De ira* (140); — Ezop (85, 90, 141); — Paulus Diaconus, *Hist. Longob.* (49, 56, 180), *Dial. creat.* (30, 115); — Gotfr. z Viterbo (20); — Gerwazy z Tilbury (154, 155, 160, 161); — *Historja angielska* (172); — Vinc. Belov. (13, 139, 143); — *Powieści wschodnie* (5, 59, 68, 69, 74, 103, 119); — *Magja średniow.* (102); — *Baśń ludowa, nowela, powiastka i fraszka* (38, 58, 70, 105, 120, 130, 131, 132, 84, 89, 129).

której tała krwawe plamy; królowa pokutuje i zostaje rozgrzeszona. 18. Powieść fatalistyczna o cesarzu Julianie, któremu zaczarowany jeleń przepowiedział, że będzie zabójcą ojca i matki. 19. Pompejusz, wojujący z Cezarem, przekracza Rubikon (sic). 20. Powieść fatalistyczna: syn prześladowanego hrabiego, dzięki zamianie listów, zamiast stracić życie, zostaje zięciem królewskim.

30. Prawo o trzech przyjemnościach i trzech nieprzyjemnościach triumfatora, jako przestroga przeciw pysze. 34. Rady Arystotelesa w liczbie siedmiu z wykładem moralnym: Nie przeskakuj granicy; nie podniecaj ognia stałą (t. j. nie drażnij mową człowieka rozgniewanego); nie oskubuj wieńca (t. j. nie przyganiaj prawom, ustanowionym przez twych spółobywateli); nie jadaj ptasiego serca (t. j. bądź zrównoważony w szczęściu czy nieszczęściu); nie zawracaj z drogi raz obranej; nie przechadzaj się po szerokim gościńcu (gdzie o grzech nietrudno); nie chowaj w domu gadatliwej jaskółki. 37. Orzeł chroni młode przed jadowitym węzem w ten sposób, że buduje gniazdo w powietrzu. Waż przesyca jadem wiatr; wtedy orzeł kładzie w gnieździe kamień achat, który ma własność rozpraszania zatrutych wyziewów. 43. Marcus Curtius skacze dobrowolnie w przepaść, używszy przez rok dosyta bogactw i kobiet Rzymu.

45. Cztery synowie po śmierci króla walczą o spadkobierstwo. Kanclerz każe, aby wydobyli ciało z trumny i próbowali, który najgłębiej trafi strzałą. Najmłodszy z pietyzmu nie chce strzelać i zostaje obrany królem. 48. Ryk tyrana Fallarisa; w jego rozpalone wnętrze pierwszy został wrzucony własny twórca. 49. Księżna Forli, która wydała gród pięknemu królowi węgierskiemu pod warunkiem, aby ją wziął za żonę, została przezeń nazajutrz po ślubie wydana żołdakom.

50. Konsul Zelongus dla zadośćuczynienia sprawiedliwości wytupił sobie oczy miast synowi. 55. Alegoria na temat problemu prawniczego: król ma cztery córki imieniem: Sprawiedliwość, Prawda, Litość i Pokój. Król wicz po przeprowadzeniu przed nimi procesu przywraca do łaski cudzołożną żonę. 56. Niedola stanu książęcego: kupiec zazdrościł władcy przepychu; ten czyni go świadkiem swej nędzy domowej; zabił uwodziciela swej pięknej żony i z jego czaszki kazał zrobić misę, z której usługują jej przy stole. Syn uwodziciela zabił dwu jego młodszych krewnych; on ich trupy chowa w domu, aby się co dnia podniecać do zemsty. 57. Wirgiljusz sporządza kolumnę, na której przez czarodziejstwo występują nazwiska przestępców. Ubogi rzemieślnik Focus odgraża się, że posągowi utraci głowę; pociągnięty do odpowiedzialności, broni się jak nowoczesny «lamistrak», dowodząc, że musi codziennie zarabiać 8 denarów.

60. Ubogi Abibas zdobywa królową Rosmundę, szybkobiegaczkę, wyścigiem do mety, w ten sposób, że rzuca przed nią kolejno: wieniec kwiatów, pasek jedwabny i złożoną piłkę; ona, schylając się po nie śród biegu, przegrywa zakład. 63. Wespazjan ma przepiękną córkę imieniem Aglaë. Każe ogłosić, że kto ją chce dostać za żonę, musi przebyć trzy dni w ogrodzie pałacowym. Wielu wchodzi, ale żaden nie wraca: giną w paszczy stróżującego lwa. Aglaë upodobawszy sobie nowego zalotnika, daje mu radę, aby włożył zbroję i pomazał lepem; lew ubezwładniony zostaje zabity; rycerz z labiryntu ogrodowego dobywa się po nitce od kłębka i otrzymuje Aglaë za żonę. 64. Król wicz poszukuje żony mądrej, a jako próbę mądrości stawia żądanie, aby uszyła koszulę z kawałka płótna trzy cale długiego i trzy cale szerokiego. Pewna dziewczyna dokonywa tej sztuki na misternym warsztacie. 68. O trzech kogutach i niewiernej pani. Dwa upominały ją pianiem i straciły życie, trzeci milczał i dlatego miał się doskonale. 69. Próba wierności małżeńskiej zapomocą szaty, która bez prania póty pozostaje czysta, póki jedno z małżonków nie chybiło. 70. Królowna za warunek zamążpójścia stawia zalotnikom rozwiązanie trzech zagadnień: 1) obliczyć, ile stóp w trzech wymiarach mają cztery elementy; 2) odwrócić wiatr północny; 3) wytrzymać żagiew płonącą na piersiach. Pewien rycerz dokonywa próby: wymiar przeprowadza na pacholku, który jako istota żyjąca «składa się z czterech żywiołów»; szalonego konia, obracającego się ku północy, lekiem stosownym obraca na wschód; chroni ciało od spalenia cudownym kamieniem. 73. O pijanicy, który kazał sobie wybić oko, aby otrzymać jałmużnę przeznaczoną dla ślepców. 74. Pewien król umierając, daje synowi złote jabłko z upomnieniem, aby je wręczył «największemu głupcowi».

Takim okazuje się inny król w kraju, gdzie panuje prawo, że po roku rządów każdy władca ma być wypędzony i zastąpiony innym. Ów nie gromadzi sobie zapasów na tę chwilę, przeto snadnie może zwać się głupcem.

80. Pustelnik i anioł (czyli o niezbadanych wyrokach boskich). Anioł, wędrując z pustelnikiem, zabił dziecko rycerza w domu, gdzie byli przyjęci gościnnie; ukradł kubek mieszczaninowi; stracił żebraka w nurt rzeki. Zato obdarował szlachcica, który dał im nocleg w chlewie. Wszystko to uczynił, uprzedzając przyszłe szkody. (Przypowieść bardzo rozpowszechniona.) 81. Legenda fatalistyczna o papieżu Grzegorz. 82. Bocianica niewierna, obmywająca się w źródle (jak w innej powieści lwica), wyrokiem bocianów zabita.

83. Dzik czynił spustoszenia w ogrodach «króla» Trojanusa; strażnik ogrodu obciął mu uszy, potem ogon, wreszcie go zabił. Gdy go przyrządzono na stół, król chciał zjeść serce zwierza, tymczasem przedtem zjadł je kucharz i teraz dowodził, że dzik nie miał serca, bo rozsądek mieszka w sercu, a dzik po trzykroć okazał nierozum.

99. Za «króla» Cezara pewien rycerz widzi węża walczącego z ropuchą; pomaga mu; zato ropucha rani go jadowitem ukąszeniem. Wdzięczny wąż wysysa truciznę z rany. 102. Za Tytusa pewien rycerz miał żonę urodziwą ale płochą. Gdy bawił w Ziemi świętej, dobrała sobie kochanka-czarownika i kazała zabić męża czarami. Rycerz jednak znalazł zbawcę w innym dobroczynnym czarodzieju. Ten zaprowadził go do kąpieli, podał magiczne zwierciadło i kazał poglądać. Odbiła się w niem scena czarów: zdrajca ulepił figurę woskową i strzelał do niej z łuku; przed każdym strzałem z rozkazu mędrca rycerz zanurzał się w wodzie; trzecia strzała odbiła się i ugodziła łuczniaka. Rycerz obaczył jeszcze, jak niewierna niewiasta zakopała trupa we własnej sypialni. Tym sposobem zbrodnia się wykryła.

103. Handlarz domokrażca sprzedaje cesarzowi Domicjanowi trzy rady w następstwie zbawienne: Co czynisz, czyń zostróżna i patrz końca; nie zbaczaj z drogi prostej; nie sypiaj w gospodzie, gdzie pan stary a żona młoda.

107. W Rzymie stał posąg z palcem wyciągniętym i z napisem: «Percute hic» (uderz tu), którego nikt nie mógł wyrozumieć. Dopiero pewien dowcipny kleryk rozkopał grunt w miejscu, gdzie kładł się cień rzucony od palca, i w głębi odkrył pałac z komnatami pełnymi skarbów. Pośrodku jednej leżał kamień karbunkuł a naprzeciw figura z łukiem i napisem na czole: «Jestem, który jestem, nikt mego łuku nie ujdzie». Dalej znalazł damy strojne nad robotą siedzące, stajnie, dwór, ale wszystko skamieniałe. Na świadectwo swej bytności zabrał kubek i nóż; w tej chwili łucznik wystrzelił, pałac runął, kleryka nie oglądały już ludzkie oczy.

108. Znana, tutaj nieco przekształcona, historia Damona i Pytjasa, z których jeden oddaje się w zastaw za drugiego, czem wzruszony król (tyran Dionizjos) wypuszcza wolno obu. 110. Historia świętego Eustachego, ułożona na wzór przygodnych romanсів greckich. 111. Historia Argusa, cudownej krowy i Merkurego, trywjalnie przekształcona.

116. Król po dwakroć żonaty nie chce wyjawic, który z dwu synów jest ostatniem dzieckiem, aby ich druga żona jednakowo kochała. 124. Rycerz, obraziwszy króla, ma uzyskac przebaczenie pod warunkiem, aby przybył na dwór pół-konno, pół-piesz, z najwierniejszym i najniewierniejszym towarzyszem, oraz najweselszym błaznem. Udaje, że zabił i obrabował podróżnego, który przyjechał doń w gościnę, poczem jedzie na dwór z synkiem («urodzonym błaznikiem», jak mówi Rej) na psie, jedną nogę uwiesiwszy aż do ziemi, i z żoną, która go zdradza, wydawszy tajemnicę rzekomego morderstwa. Tak wypełnia wszystkie trzy warunki. 126. Na ukaranie gadulstwa niewiast Makrobjusz opowiada o Papyrjusz, który opowiedział matce, że na senacie roztrząsano, jaki zaprowadzić ustrój: wielożeństwa czy wielomęstwa. Nazajutrz niewiasty poszły hurmem prosić senat o to drugie. 133. O przyjaźni dusz: król miał dwa psy; żyły w zgodzie, póki razem na smyczy; puszczone luzem, gryzły się. Dopiero wobec wilka wróciły do zgody. 144. Trzej mędracy wypisują na bramach miasta następujące przyuczyny upadku państwa dawniej potężnego i zacnego: Przemoc stała się prawem, więc panuje bezprawie. Dzień stał się nocą, więc niema tutaj dróg. Bitwa zamienia się w ucieczkę, więc przepadł honor kraju. Jedynka stała się dwójką, przeto szczęścia prawda.

Przyjaciół zmieniał się we wroga, przepadła wierność. Złe zowie się dobrem — przepadła religia. Rozum chowa u siebie wyuzdanie, więc państwo straciło nazwę. Złodziejniem władza, więc skarb jest pusty; zółw chce być orłem, więc przepadła roztropność. Samowola jest doradcą, więc brak dobrej rady. Pieniądz wyrokuję, więc państwo złe jest rządzone. Umarł Bóg, więc kraj przepelnięty grzechem.

145. O dwu smokach na drodze armeńskiej, które zatruwały powietrze. Mędrzec Sokrates (!) wykrył je zapomocą zwierciadła, a król Filip zgładził. 146. Aleksander W. wypytuje schwytanego korsarza, dlaczego jest tyranem morza, ten odpowiada pytaniem: dlaczego ty jesteś tyranem ziemi.

150. O studni (naśladownictwo Plinjusza), z której woda dobywała się nawierzch, pociągana muzyką. 154. Opowieść według Gerwazego z Tilbury: W Edessie, gdzie znajduje się portret Chrystusa, nie może mieszkać niewierny, ani barbarzyńca zdobyć nie może grodu, bo w czas oblężenia zjawia się chłopczyk z listem, który skłania nieprzyjaciela do odwrotu. 155. Z Gerwazego opowieść o rycerzu, który walczył z nieznanym, pokonał go i zdobył na nim konia, ale sam został ranny. Koń postawiony w stajni na pierwsze pianie koguta zerwał uzdzenie i zbiegł. Rycerz każdego roku o tej samej porze odczuwał ból w zranionej nodze (temat zbliżony do jednej noweli Edgara Poëgo). 159. Noe zasadził wino, ale było gorzkie; przeto pomazał korzenie mieszaniną krwi lwa, jagnięcia, wieprza i małpy; wszystkim tem staje się człowiek pijany.

161. O zamku na jednej górze w Anglii, gdzie rycerze zmęczeni łowami otrzymywali krzepiący napój od tajemniczego gospodarza, aż do czasu, kiedy jeden z nich zatrzymał bogaty róg, z którego dano mu pić. Pan jego oddał ten róg królowi angielskiemu. 162. Równie z Gerwazego historia o djabelskim zamku, górze i jeziorze w Katalonji, obfitujących w złoto i srebro. Pewien wieśniak, zniecierpliwiony krzykiem dziecka, dziewczynki, w przekleństwie oddał ją djabłu, który też zabrał ją i chował siedm lat, a równie sobie uprzykrzył i zwrócił ojcu bardzo zmizerowaną. Dopiero pod opieką biskupa przyszła do siebie.

163. Żart szkolarski o Celestynie, synu (!) Aleksandra W., którego djabeł nauczył, jak ma opisać wierszem zdarzenie, w którym biorą udział koń, owce, powróż i ogień.

165. O trzech głupich: jeden nawiązuje ciągle nowe drwa do wiązki, której nie może dźwignąć; drugi czerpie wodę sitem, trzeci chce wjechać do domu wozem przez zbyt wąską bramę. 170. Św. Bernard gra z żonglerem w kości o konia i duszę i wygrywa, wyrzucając trzy razy po sześć punktów. 173. Alegorja targowiska, gdzie po odpowiednich cenach są wystawione na sprzedaż: Ubóstwo, Pokora, Głód, Pragnienie.

*(Gesta Romanorum, przekład niemiecki wyd. J. G. Graesse. 2 vol. 1905.)*

## ANDRZEJ KAPELAN

(kon. XII w. — pocz. XIII w.)

### O MIŁOŚCI

Ks. VIII. r. 8. Reguły Amora

Przystępujemy do «reguł Amora», które postaram się treściwie ukazać, jak je własnymi ustami król miłości miał ogłosić i wszystkim rozesać miłośnikom. Pewien rycerz z Bretanii w celu obaczenia Artusa odbywał podróż przez las królewski; dostał się w sam środek puszczy, naprzeciw niemu niespodzianie na koniu wyjechała jakaś panna przedziwnej urody z zaplecionymi warkoczami, którą rycerz skwapliwie pozdrowił, co ona równie grzecznie odwzajemniła. Rzekała tedy panna: «To, czego szukasz, brytyjski rycerzu, z moją jedynie pomocą pozyskasz». — Więc on począł prosić usilnymi słowami, aby wyjawiała, pocią on sam przybył, a wtedy lacno jej uwierzy. Na co panna: «Kiedy ubiegałeś się o miłość pewnej damy brytyjskiej, ona powiedziała ci, że nie wpróż jej dostąpisz, aż przyniesiesz jej sokoła, nagrodę zwycięstwa, który we dworze Artusowym na złotem siedzi berle». Rycerz przyznał, że tak było. Rzekała panna: «Sokoła, którego posiąść pragniesz, nie dostaniesz, póki w pałacu Artusowym walcząc, nie do-

wiesziesz, że cieszysz się miłością piękniejszej damy, niż ktokolwiek przebywający na dworze Artusa; a do pałacu nie wejdziesz, póki wprzód strażom nie ukazesz rękawicy sokolskiej. Ale zapis ów trudny jest do zdobycia, póki nie zwyciężysz dwu potężnych rycerzy w podwójnym boju...»

W godniejszej części pałacu, na złotym tronie, zasiadał król Artus, a wokół niego siedziały damy co najurodzawsze w ogromnej liczbie. Obok zaś rycerze liczni i przystojni. W tejsz sali pałacowej stał piękny nader i ozdobny drążek, na nim zaś siedział sokół łowczy, a obok spoczywały dwa psy na smyczach; wejścia jednak do sali brońiły dwa przedmurza, do których obrony wyznaczono dwunastu rycerzy-siłaczy; ci nie pozwalali nikomu zbliżyć się, póki nie okazał rękawicy sokolskiej, lub póki sobie mieczem nie otworzył przejścia. Widząc ich, Breton skwapliwie okazał skrypt. Ci przepuścili go i rzekli: «Ta droga nie jest życiu twemu bezpieczna, ale raczej bolesna». Breton tedy, wszedłszy do sali, skłonił się przed królem. Rycerze zapytali, poco przybył. Odrzekł: «Po sokoła». Jeden z dworzan zapytał: «Nacóż ci potrzebny?» — «Cieszę się miłością damy piękniejszej niż czyjakolwiek z obecnych tu dworzemek». — Tamten na to: «Nim zdobędziesz sokoła, trzeba ci z bronią w rękę dowieść prawdziwości twego twierdzenia». — «Gotów jestem» — odrzekł. Więc przygotowałszy zbroje w podwórzu pałacowym, dawszy koniom ostrogę, szermierze włóczniami w się ugodzili, tarcze strzaskali, mieczami podarli pancerze.

Wkońcu Breton przeciwnika z konia na ziemię zwałił. I chwyciwszy sokoła i psy, obaczył kartę zapisaną, na złotym łańcuszku wiszącą. — O którą, gdy poprosił, taką otrzymał odpowiedź: «To jest karta zapisana regułami Amora. Król miłości sam ją wszem miłośnikom przeznaczył».

Zatem zabrawszy ją i otrzymawszy grzeczną odprawę, w czasie niedługim powrócił bez przeszkody do pani lasu. Znalazł ją w tym samym gaju, gdzie ją był pożegnał. Która, zwycięstwem niemało uradowana, pożegnała go, powiadając: «Z pozwoleniem mojem odejdz najdroższy, gdyż słodka Bretanja cię czeka».

Reguły są następujące:

1. Małżeństwo nie jest słuszną wymówką od miłości.
2. Nie kocha, kto nie jest zazdrosny.
3. Nikt nie może być związany miłością podwójną.
4. Miłość ustawicznie zwiększa się lub zmniejsza.
5. Nie jest rozsądne, co kochanek zabiera bez prośby.
6. Mężczyzna zdolny jest kochać dopiero w pełni dojrzałości.
7. Po śmierci jednego z kochanków, drugiemu przepisuje się dwuletnie wdowieństwo.
8. Nikt bez rozumnych powodów nie powinien pozbawiać się miłości.
9. Nikt nie może kochać, jeżeli go uczucie nie skłania.
10. Miłość ucieka z domu skąpstwa.
11. Nie należy kochać takich, które wstyd byłoby zaślubić.
12. Prawdziwy kochanek nie pożąda szczerze innych uścisków prócz od swej kochanki.
13. Miłość jawna bywa krótkotrwała.
14. Łatwo zdobyta miłość bywa lekceważona, trudno zdobyta jest droga.
15. Kochanek zwykł błędnać na widok kochanki.
16. Niespodziewany jej widok wywołuje u niego drzenie serca.
17. Nowa miłość wypędza starą.
18. Jedynie uczciwość czyni godnym miłości.
19. Miłość na skłonie prędko ginie a rzadko się odradza.
20. Kochanek zawsze jest lękliwy.
21. Pod wpływem dobrej zazdrości uczucie kochanka ciągle się wzmacnia.
- (22. Parafraza poprzedniego).
23. Mało sypia i jada, kogo myśl miłosna dręczy.
24. Każda czynność kochanka kończy się wspomnieniem kochanki.
25. Prawdziwy kochanek uważa tylko to za dohre, co podobać się może kochance.
26. Miłość nic miłości odmówić nie zdoła.
27. Kochanek pieścizot kochanki nigdy nie jest syty.
28. Skromność zmusza kochanka ze strony kochanki zawsze się obawiać nieszczęścia.
29. Nie kocha, kto jest nazbył zmysłowy.
30. Prawdziwy kochanek ustawicznie myśli o kochance.
31. Nic nie przeszkadza, aby jedna kobieta była kochana od dwu, a dwaj mężczyźni od jednej.

(*Andreae Capellani regii Francorum de Amore. Rec. E. Tröjel, Hauniae 1892.*)

## LAPIDARIUM

Ojczyzny nieba mieszkańce  
 Królowi Królów śpiewajcie,  
 Najwyższemu złotnikowi  
 Owej Urańskiej budowli,  
 Co w fundamentach stolicy  
 Dwanaście kamieni liczy:  
*Jaspis* zieleni kolorem  
 Jest wiary niezłomnej wzorem;  
 Ta w sercu wyznawców mocna,  
 Przenigdy nie zwiędnie docna.  
 Za jej przemożnem oparciem  
 Oprzesz się zamachom czarcim.  
*Szafir* ma barwę ozdobną,  
 Tronowi niebios podobną;  
 Oznacza serca prostotę  
 A w niej nadziei ochotę,  
 Życiem i czyny zacnem  
 Rozbłyskującą wśród ziemi.  
*Chalcedon*, pozornie mglisty,  
 Jest z przyrodzenia ognisty,  
 Nibyto podobny róży,  
 Piorunem skrzy się wśród burzy;  
 Nim się wykłada człek prawy,  
 Co służy drugim bez wrzawy.  
*Szmaragd*, zieleni zbyt żywej,  
 Blask rzuca lśniącej oliwy;  
 Oznacza wiarę niemylną,  
 Wszelkiemu dobru przychylną,  
 Co zawsze będzie stać śmieie  
 Przy zacnem i zbożnem dziele.  
*Sardoniks*, barwy troistej,  
 Jak człowiek wewnątrznie czysty,  
 Pokornie stawia się w cieniu,  
 A białość nosi w sumieniu.  
 Gwoli tak świętej naturze  
 W męczeńskiej zaśni purpurze.  
*Sardjusz*, w kolorze swym krwawy,  
 To zwiastun męczeńskiej sławy,

Szóstym klejnotem się liczy  
 W boskiej krzyża tajemnicy.  
*Chryzolit*, barwy złocistej,  
 Jak tarcza słoneczna błyszczy;  
 Oznacza człowieka cnego,  
 Mądrością doskonałego,  
 Co wokół rozsiewa blaski  
 Swej siedmioforemnej łaski.  
*Beryl*, na oko wodnisty,  
 Lecz jak słońce w wodzie czysty;  
 Oznacza pragnienia duszne,  
 Mądrym porywom posłuszne.  
*Topaz*, rzadki wśród kamieni,  
 Dlatego tak się go ceni;  
 Na wejrzenie nieco mroczny,  
 Lecz jak powietrze przezroczny,  
 Przedstawia obraz przedziwny  
 Natury kontemplatywnej.  
*Chryzopraz* przez barw swych dobór  
 Znaczą purpuratów sobór;  
 Skroś migocącej czerwieni  
 Kroplami złota się mieni.  
*Hiacynt* jest barwy bławej,  
 Blask jego, niezbyt jaskrawy,  
 Właściwość jego urody,  
 Zmienia się w miarę pogody;  
 Znaczą naturę anioła,  
 Co słodka jest i wesola.  
*Ametyst* jest liliokowy,  
 Piękności dziwnej i nowej;  
 W nim przez światła jasne strugi  
 Błyszczą purpurowe smugi;  
 Oznacza serce człowiecze,  
 Przez które krew Chrystusa ciecze.

— — — — —  
 Jeruzalem w Bogu świętej  
 Te są zacne fundamenty...

(Bibl. de l'École des Hautes Études, 52-e fasc. 1882. *Les Lapidaires français du M. A. p. L. Pannier. Tekst powyższy, łaciński, jest parafrazą alegoryczno-moralną ogromnego poematu Marboda w heksametrach.*)

## JAKÓB Z VITRY

(um. r. 1240)

## PRZYKŁADY

1. Biskup mianował archidiaconem siostrzeńca tak młodego, że mu powalał stalle.  
 3. Żaba obiecuje przeprowadzić mysz przez most, wiąże jej nogę do swojej; jastrząb porywa obie. 13. Pustelnik gromił ciekawość pierwszego człowieka. Towarzysz, chcąc go wziąć na próbę, schował pod miską mysz. Pustelnik nie wytrzymał, zajrzał, mysz uciekła. 21. Wilk liże jarzmo wołów, aby je oszukać. 31. Przeciw nadmiernej uczoności skierowany przykład o studencie paryskim, który po śmierci zjawia się mistrzowi w sukni z pergaminu; kropla potu spadła z czoła przebija mu rękę.



33. Muł lisowi, ciekawemu jego rodowodu, powiada: wypisany jest na prawem kopycie. Uderza go i zabija. 34. Chłopu siekiera wpadła do wody. Stoi i czeka, rychło woda spłynie. 37. Wielbłąd prosił o rogi. Bóg nietylko nie dał rogów, lecz i uszy obciął.

44. Rak pytany, czemu chodzi tyłem, odpowiada: tak nauczyli mię rodzice. 49. Z dwu braci jeden chował się w klasztorze, drugi na świecie. Po latach klasztorny znał wszystkie złe sprawy, gdy drugi zachował niewinność. 50. Mnisi rozrzutni obiecują, że będą pracować, póki nie zapłacą długów. 56. Mnich śpiewał jak osioł. Kobieta, słysząc go, płakała. Sądził, że jest wzruszona pięknym głosem, a ona przypomniała sobie ośła, którego zjadły wilki. 62. Człowiekowi skazanemu na powieszenie kaci ofiarują tę łaskę, że sam sobie wyszuka drzewo. Szuka, ale nie może znaleźć odpowiedniego. 66. Biedny człowiek czuje się szczęśliwy. Bogacz podrzuca mu worek złota. Odtąd biedak przestaje śpiewać, wreszcie pozbywa się złota i kłopotu. 69. Szlachcic pojmany prosi, aby mu pozwolono wrócić po okup, i podaje Pana Boga za poręczyciela. Wierzytel spotyka mnicha, pyta, kto on taki? Sługa Boży. — Zabiera mu konia i płaci sobie dług. 70. Opat zył skromnie przed nominacją, potem suto. Pytany dlaczego, odpowiedział: «Jadłem długo małe ryby, abym teraz mógł jeść duże». 77. Biedny i bogaty, jeden skromny, drugi pyszny, jeden z małym workiem, drugi z dużym, prosili o zboże. Pierwszemu dano, drugiemu odmówiono. 107. Chłop umierał; żona kazała przynieść łokieć płótna. Słudzy tłumaczyli, że trzeba więcej. Umierający odezwał się: «Uszyjcie mi krótką koszulę, bo droga długa, abym nie zabrudził». 150. Zmysłny włódarz namawia pana, aby opodatkował słońce, t. j. kazał sobie płacić od suszenia bielizny. 151. Djabł wszedł w pewnego człowieka i głosił prawdę. Święty pytał, dlaczego postępuje wbrew swej naturze; djabł odpowiedział: «Bo głosząc prawdę, wtrącam w potępienie tych, co słuchają a nie wypełniają». 154. Przypowieść o trzech mężach: Jeden na wysokiej górze połyka wiatr (próżny). Drugi nad kuźnią połyka iskry (chciwy). Trzeci nad rzeką Jordanem chce wypić wszystką wodę (rozwiązły). 155. Człowiek cnotliwy nie chciał przyjąć sakramentu z rąk niegodnego kapłana. Bóg spuścił nań sen, w którym widział trędowatego, jak czerpał czystą wodę do złotego kubka. 162. Ktoś, co przez siedm lat kupował mięso u rzeźnika, żądał, aby mu zniżył cenę. «Jakto» — spytał tamten — «od tak dawna kupujesz ode mnie i jeszcze żyjesz?» 163. Kupiec chrześcijanin sprzedawał zepsute jadlo. Schwytany i zaprowadzony przed sułtana, powiedział, że należy mu się raczej nagroda, bo co rok zabijał ponad stu pielgrzymów. 164. Skąpiec gromadził zboże, aby je sprzedać drożej, ale że był ciągły urodzaj, więc się wkońcu powiesił. 168. Skąpiec, umierając, rozdzielał majątek na troje: jedną część dla wdowy, drugą dla dzieci, trzecią kazał sobie zawiesić na szyi. Po śmierci rodzina otworzyła grób: djabli napelniali usta zmarłego ognistymi monetami. 169. Inny kazał swoje kapitały przez trzy lata oddawać na lichwiarski procent a potem obrócić je na modlitwy za duszę. 170. Inny, konając, zaklinał duszę, aby w nim jeszcze została, obiecując rozkosze. Gdy nie pomagało, posłał ją «do wszystkich djabłów».

179. Kaznodzieja, chcąc ukazać, jak haniebną rzeczą jest lichwa, wołał w kościele: «Niech kowale wstaną, niech garbarze wstaną». Absolwował ich. Gdy zawołał, niech lichwiarze wstaną, nikt nie wstał. 187. O człowieku, który zabił gęś niosącą złote jaja, bo spodziewał się znaleźć w niej całą kopę. 188. Św. Marcina pytali podróżni, czy zajadą przed nocą do Paryża: «Owszem, zajedziecie, jeżeli nie będziecie się śpieszyć». Wyśmiali go, ale gnając, wywrócili wóz i połamali. 191. Chłop zemdlał od zapachu apteki, a ocucił się od woni nawozu. 193. Kowal wbija koniom pielgrzymów igły w nogi, poczem jego agent kupuje kulejące konie za bezcen. 196. Zazdrosny kazał sobie wyjąć oko, aby drugiemu wyjęto oba. 199. Zatwardziały grzesznik opowiada, jak się nawrócił: Oto pytał kolejno sam siebie: czy może dusza być uwolniona od mąk po stu latach? Po stu tysiącach? Po tylu tysiącach, ile jest kropli w morzu? Przeszraszył się i poprawił. 200. Rycerz wszystko oddał kochance prócz ostatniego płaszcza. Gdy wyjeżdżał z miasta, odprowadzając go, płakała. Gdy pytano dlaczego? «Bo tego ostatniego płaszcza dla mnie nie stracił». 202. Kobieta przysięga kochankowi, że oddałaby za niego życie. Siedzą przy ogniu boszo, on rzuca sobie i jej na nogi klak lnu zapalony; ona prędko zrzuca z siebie żar, na jego nogę nawet nie spojrzawszy.

203. Żongler w czasie burzy morskiej, zamiast się modlić, je słone potrawy, bo

«wnet będzie musiał dużo pić». 208. Konkurs sierżantów uniwersytetu paryskiego: który najwięcej ukradnie? Jeden kradnie piktawinę z denara, drugi obol z denara, inny trzy piktawiny z denara. Ostatni kradnie denara z piktawiny, t. j. 400%. 216. O kaznodziei, który w niedzielę, polecając ludowi modlić się za dusze zmarłych, powiedział: «Nie módlcie się za duszę mego ojca skąpca». 225. Chłop bił żonę workiem, ale w worku był lemiesz od pługa. 238. Historja (z Walerjusza Maksyma) żony, która męża w więzieniu mlekiem własnym karmiła. 239. Djabeł w dzień świąteczny wydłuża zębami kawał pergaminu, aby miał na czem spisywać grzechy. 243. Djabli siadają na długich ogoinach sukien kobiecych. Gdy dama unosi suknię, djabli spadają w błoto. Jeden śmieje się z tego do rozpuku.

244. Djabeł miał siedm córek, wszystkie wydał zamaż: Simonję za księży, Hypokryzję za mnichów, Rapinę za żołnierzy, Luksurję przeznaczył na kurtyzanę. 251. O zielu dwuwidku. Żona i kochanek wmawiają w oszukanego męża, że widział fałszywie. 154. Święty obiecuje uleczyć chorych popiołem jednego, który musi się poświęcić. Wszyscy uciekają. 277. Chłop przysięga wraz z żoną, że nie będą pić, chyba z okazji kupna i sprzedaży. Odtąd bezustanku kupują i sprzedają. 287. Syn na szafocie ugryzł ojca w usta za to, że go w młodości nie karmił. 303. Wielki grzesznik wzdragał się aż do śmierci ze spowiedzią. Na łożu śmiertelnym objawił chęć poprawy. Djabeł przebrał się za księdza, wysłuchał spowiedzi i zakazał spowiadać się z tego grzechu po raz drugi. Bóg jednak uznał spowiedź za prawomocną.

308. O dzieciach «odmieńcach» (chamius od cambiare), które wysysają mleko mamek, lecz nie tyją, jeno brzuch mają twardy i wzdęty.

319. Karczmarz, szynkując wino, ulewał ze szklanki i mówił, że to «na szczęście». Pielgrzym wypuścił mu wszystko wino z beczki, powiadając to samo.

(*Jacobus de Vitry, The Exemples from the sermones vulgares, ed. Crane 1890.*)

## LEGENDY O MARJI PANNIE

### CUDA MATKI BOSKIEJ

Guibert de Nogent w książce «De laude S. M.» opowiada (r. 12): Pewna niewiasta prosiła, aby M. B. ukarała kobietę, uwodzicielkę jej męża. M. B. tłumaczy się, że nie może tego uczynić, gdyż tamta ma szczególne do niej nabożeństwo. Nieszczęśliwa zwiedziona, spotkawszy rywalkę, obsypuje ją obelgami i skarży się, że nadarmo błagała pomocy u M. B. Zalotnica wchodzi w siebie i poprawia się.

Tenże autor w dziele «De pignoribus sanctorum» («O relikwiarzach świętych») notuje zdarzenia cudowne (I, 2.):

Chłopiec ministrant trzyma Hostję na patenie i odzywa się do Jezusa na rękach M. B. w oltarzu: «Czy chcesz mojego chleba?» Jezus odpowiada: «Niedługo dam ci pożywać mego własnego». Chłopiec wkrótce umiera.

Młodzieniec idzie w pielgrzymce do Compostelli, opasany wstążką kochanki. Zachodzi mu drogę djabeł w postaci św. Jakóba (!) i gniewa się, że śmie iść do niego w takim stroju. Młodzieniec pyta, jaką ma odbyć pokutę; djabeł każe, aby się «eunuchizował» a potem odebrał sobie życie. Młodzieniec jest posłuszny, jednak św. Jakób (autentyczny) i M. B. cuca go z martwych.

W zbiorze t. z. Pothona z Priessling, l. 9., ksiądz nieuczony nie umie śpiewać nic ponad: «Salve sancta parens». Biskup składa go z urzędu, M. B. każe go przywrócić.

L. 23. Mnich, lubiący sobie podchmielić, spotyka trzy razy djabła w postaci byka, psa i lwa; każdym razem M. B. go ratuje.

Kiedy indziej (l. 30) leczy chorego zakonnika mlekiem własnej piersi — cud po wielokroć powtarzany.

Do typu legend translacyjnych należy l. 56. Kiedy M. B. bawiła jeszcze wśród apostołów, św. Łukasz wymalował jej portret, który potem został przeniesiony do Rzymu i umieszczony w kościele Sta Maria in Templo. Papież Sergiusz chciał go przenieść

do Lateranu, ale wóz, wiozący świętą relikwję, stanął jak wryty. Papież przeniósł obraz własnoręcznie do nowej bazyliki, ale daremnie, gdyż nocą powrócił na dawne miejsce.

Rękop. Bibl. w Charleville, nr. 168,5 podaje: Mnich żartok zjadał potrawy przeznaczone dla chorych, za co został obłożony klątwą. Gdy mimo to komunikował, djabeł zjawił mu się w postaci anioła (!) i kazał, aby sobie poderznął gardło, poczem chciał zabrać uchodzącą duszę. M. B. pośpieszyła z pomocą; kazała djabłu, aby umierającego powiesił na wieży. Zakonnicy odcięli go, chirurg uleczył jego rany, mnich się poprawił.

Równie w dziełach poszczególnych autorów przygodnie notowane są różne cuda M. B. W «Speculum historiale» Wincentego z Beauvais czytamy (nr. 104a): Malarz wyobraził djabła w potwornej, a M. B. w przepięknej postaci. Czart strącił go z rusztowania, M. B. ocaliła mu życie.

Nr. 105-6:

Zubożały rycerz zaprzedał się szatanowi; gdy przyszło do składania przysięgi, gotów był zaprzecić się Chrystusa, ale nie M. B., która też przebaczyła mu; nadto otrzymał córkę bogatego magnata za żonę.

Rękop. British Museum (wyd. Weight: Selections of. latin Stories, 1842) podaje (nr. 112 a): Królowa z synem dopuściła się grzechu i chciała zatrzeć ślad, zabijając dziecko. Krople krwi nie dały się zmyć, zakrywała je rękawiczką. M. B. kazała spowiednikowi, aby zdjął jej rękawiczkę z ręki, zbrodnia się wykryła.

W «Scala caeli» Jana z Gobbio (pol. XIV w.) (nr. 51): Rozbójnik, prowadzony na stracenie, modli się przed obrazem M. B.

Ona ściąga rękę, przytrzymuje skazańca i nie puszcza, aż mu przebaczą.

(*Mussafia, Marienlegenden, Sitzber. der Wien. Ak. ph. h. Cl. Bd. 115.*)

## STEFAN Z BOURBON

(um. ok. r. 1261)

### ANEGDOTY HISTORYCZNE, LEGENDY I PRZYPOWIEŚCI

Autor dzieli materiał wedle siedmiu «darów»: Bojaźń Boża, Nabożność, Wiedza, Moc; z daru Rady jest tylko połowa, niewypełnione zaś są Rozum i Mądrość.

Język, ciekawy dla filologa, jest raczej zlatynizowaną francuszczyzną, ma wady, często ciemny, póki się go składnią francuską nie rozwiąże.

**B o j a ż Ń B o ż a:** 28. Pewien człowiek, skazany na pośmiertną trzyletnią wędrówkę po świecie, ma odpuszczone męki czyścicowe dzięki przyjacielowi, który za niego odprawia część pokuty.

47. Człowiek pewien widzi w kościele, jak przed boskiego Sędziego św. Marcin wnosi oskarżenie przeciw złemu arcybiskupowi.

55. Chłop z Pouilly nie chce wziąć za żonę uwiedzionej dziewczyny; umiera z nagłego śmiechu.

60. Liczne rozpowszechnione podania o Saladynie, jak to, że był ochrzczony przez uczniów św. Franciszka, że umierając, kazał obnosić całun i wołać, że «tylko tyle Saladyn zabierze z sobą» i t. d.

**D a r n a b o ż n o ś c i.** Słowo Boże tuczy: 80. Starzec pewien w podróży zamorskiej znalazł źródło, z którego czerpiąc, odzyskał postać młodzieńczą. Ale już potem na to źródło natrafić nie mógł.

Krzyż pobudza do dobrych czynów, broni od złych: 95. Pewien znakomity kleryk, kaznodzieja, opowiadał o królu Artusie, że przestawał jeść, gdy usłyszał ciekawą nowinę. Oto ujrzał okręt bez żagli i steru, przybijający do brzegu. W okręcie leżał rycerz zabity; w mieszkun znalaziono pismo, żądające pomsty. (Jest to początek romansu Vengeance Raguidel.) Rycerz ów jest obrazem Chrystusa za nas niewinnie zabitego.

Rozdział o Matce Boskiej zawiera c u d a, znane skądinąd lub komponowane na wzór dawniejszych: uleczenia, ratunki, pomoc w pokusach. — Cud Matki Boskiej: 139. Powieść o kleryku wziętym do nieba zato, że w rękopisach pięknie iluminował imię Marji trzema kolorami: złotym, czerwonym i żółtym. Miłosierdzie: 146. Tu po-

wtórzona za J. de Vitry anegdota o hrabi Szampanji, hojnym do tego stopnia, że nie umiał odmówić nikomu. Raz rycerze prosili go o wsparcie; obecny mieszczanin zgromił ich, powiadając, że pan jego już nie ma nic do rozdania. Wtedy hrabia: «Mam jeszcze ciebie». I oddał go na własność. Ta sama powieść wygląda lepiej u Joinville'a o Henryku Szczodrym hr. Szampanji (porów. Lecoy pod nr. 146).

160. Miłość rodzinna: Pewien człowiek ma trzech synów; wie, że dwu pochodzi ze stosunku nieprawego żony. W testamencie zapisuje majątek «prawemu synowi». Aby go wykryć, sędzia każe strzelać do trupa. Jeden z synów wzdraga się, po tem poznają jego prawowitość.

163. Innemu za to, że wypędził ojca, bąk czeplił się twarzy i nie można go było oderwać, aż rycerz poszedł na wyprawę krzyżową.

Dar wiedzy:

168. Legenda o Robercie Djable zepsuta, bledsza niż oryginalne podanie normandzkie. W zakończeniu bohater, odrzuciwszy rękę córki królewskiej, zostaje pustelnikiem.

169. Żongler dowodził albigensom, że koń jego lepszy od nich, ho nie tylko nie je mięsa, ale nawet chleba; sypia gorzej od nich i wobec religii nie okazuje niewiary.

180. Skutki dobroczynne spowiedzi: Człowiek pewien nosił na dłoni pieczęć holdu, złożonego djabłom; ta pieczęć po spowiedzi znikła.

181. Spowiedź oczyszcza duszę; tutaj, w luźnym związku z tytułem, podany wy-padek znany ornitologom: bociany składają formalny sąd na niewierną bocianicę i jej partnera i zabijają oboje.

183. Kurtyzana na statku szerzyła zgorzenie; w czasie burzy zaczęła głośno wyznawać grzechy i morze się uspokoiło.

202. O modlitwie: Staruszka, budzona nocnem pianiem koguta, zanurzała go w wodzie co noc w godzinę później, tak, że nareszcie piał dopiero we dnie.

204. Dwaj klerycy założyli się o konia, kto w skupieniu przetrzyma całą godzinę. Pierwszy zaczął odmawiać «Pater noster». Gdy dochodził do końca, zaczął myśleć, że już wygra konia i o tem, czy siodło będzie przydane. Tak przegrał zakład.

205. Potrzeba w modlitwie skupienia, inaczej stanie się jak chłopu, z pod którego trzej złodzieje ukradli konia: Dwaj, zabawiając go, podtrzymywali, trzeci w ciżbie szarpnął konia za uzdę i wyprowadził.

215. Jako coś osobliwego przypomniany pewien hrabia z Poitiers, który zabawiał się obserwowaniem życia zwierząt: kur, owiec, wieprzów. I podziwiał w stworzeniach Stwórcę.

216. Przykłady wdzięczności lwów (znane legendy o św. Hieronimie, Yvainie, o Gonfrierzu z Tours, o Androklesie).

Dar mocy. O pokusach: 226. Nowicjusza kusi djabeł, aby całą rzeczywistość uważał za sen, aby powątpiewał, czy ma duszę i czy jest Bóg.

233. Słyszałem, że pewien zaklinacz (incantator) rozkazywał demonom, aby włudzali w wyobraźnię ludzką, iż kogut na nitce ciągnący żdźbło — ciągnie wielką belkę na linach, i że gdy on małą szczyptę siana rozdzielił na kilka części, aby się wydało patrzącym, iż konia swego podzielił na kęsy i zostawił im jako dania.

O grzechu języka:

235--244. Anegdoty, znane skądinąd, o kobietach gadatliwych, kłótliwych, upartych. Oto jedna bez analogji, może źródło przysłowia: Gdzie djabeł nie może, tam babę posle. Djabeł przez lat trzydzieści próżno kusił kochającą się parę małżonków. Więc przedzierzgnąwszy się w postać młodzieńca, z mieszkim na biodrach, usiadł zasnucony pod drzewem. Przechodzi stara praczka. Zaciekawiona pyta o przyczynę smutku. Djabeł odkrywa się jej, obiecuje nagrodę, jeżeli pokłóci męża z żoną. Starucha przyjmuje do domu młodą dziewczynę i szepce żonie, że mąż ją zdradza, czego dowodem, że dziewczynie ze swego sklepu pozwolił wybrać sobie materję na suknię. Nawzajem w męża wmawia, że klecha romansuje z jego żoną. Potem żonie radzi, aby, jeżeli chce odzyskać miłość męża, w czasie snu wycięła mu trzy włosy z brody i spalone podała w potrawie; męża ostrzega, że żona w nocy chce go zgładzić brzytwą. Wkońcu jednak ta misterna intryga się wykrywa.

O p r ó ż n o ś c i (vana gloria): 265. Hugo de St. Victor zjawiał się po śmierci świętemu mężowi z twarzą pełną smutku. Pytany o przyczynę odpowiedział: «Propter zenedoxiam» (dla próżności). Przytyk dany słynnemu mistykowi i opactwu.

267. Próżność podobna do cienia: gdy za nim idziesz, ucieka, gdy uciekasz, goni.

273. Mąż szedł za żoną wystrojoną i wymłodzoną. Spostrzegłszy omyłkę, rzekł: «Więcej wart worek niż jego zawartość».

294. Pyszny mówca traci nagle pamięć (powiadają to o Alainie z Lille).

300. Liczne przykłady nieposłuszeństwa, zwłaszcza kobiecego.

O e k s k o m u n i c e: 303. Bociany przenoszą gniazda z domu wyklętego przez papieża Grzegorza; po zdjęciu klątwy wracają.

304. Landry, biskup z Maçon, wyklina wróble, że zanieczyściły kościół. 305. Biskup Lozanny wypędza węgorze z jeziora Lemanu.

O h e r e z y j i: 327. Margrabia Robert z Montferrand († 1234) w Owernji, przeczytawszy wszystkie książki heretyckie, umacnia się w wierze. Autor w osobnym rozdziale, cennym dla historyka ruchów religijnych, notuje zasady i cechy 17 herezji.

332. Góra przeniesiona mocą wiary.

342—352. Szeroki traktat o albigensach i waldensach, w nim ciekawy opis postępowania inkwizycyjnego. 353—364. O w r ó ż k a c h, czarach, czarownicach jeżdżących na wilku etc.: 365. Temat «dzikich łowów» Helleguina (Allequini familia vulgariter vel Arturi). Widział je chłop; za gromadą łowców wszedł do cudnego pałacu i do alkowy pięknej damy. Rano przebudził się na stosie drew. O z a z d r o ś c i: 373. Paź niewinnie oskarżony o cudzołóstwo z żoną prefekta. Ten każe wapiennikom wrzucić do ognia pierwszego, który przybędzie. Wrzucają oskarżyciela, bo paź wysłany wstąpił po drodze do kościoła. O b ł u ź n i e r s t w i e: 384. Ktoś, nie mogąc obuć trzewika, posłał go «do djabła». Trzewik znikł. 386. Rybalt posłał strzałę z łuku przeciw Bogu; strzała nie wróciła, ale doścignęła go w karczmie i ściągnęła pod ziemię do piekła. O s k a p ś t w i e i chciwości: 413. Serce skąpca po śmierci znalezione nie w ciele, ale w skrzyni skarbeca.

425—427. O r a b u n k u. Wiele przykładów na czasie przeciw rycerzom rabusiom bydła.

450. O r o z w i ą z ł o ś c i. Biskup paryski Wilhelm z Owernji (1228—1248), często cytowany autor małych przypowieści, mawiał, że rozwiązli się jak dwie głównie zapalone i zetknięte: jedna zapala i niszczy drugą, zaś rozdzielone gasną. Albo jak dwaj zapaśnicy pijani nad przepaścią. 451—459. Tu liczne przykłady na temat ulubiony i niewyczerpany chytrności niewieściej, znane z dawniejszych zbiorów. O t a Ń c u: 461. Tańca nauczył djabeł w postaci wolu, małpy, psa, który, wychodząc z rzeki, wyprawiał płasy. 474. Wyjaśnienie nazwy «skoku Wałcierza» (saut Gautier) na Mont St. Michel: ów Wałcierz skoczył do wody, aby dowieść, że kocha kobietę, która przyrzekła skoczyć za nim; tymczasem on utonął, a ona wyszła za innego. O o b z a r s t w i e i o p i ł s t w i e: 480. Historia benedyktyna, którego święty patron nie poznał przy bramie niebieskiej. Kazał mu otworzyć brzuch i obaczyć, czy jest w nim «faba refectoris», tymczasem znalazły się tam kapłony, kurczęta, gąski; zaczem został odpędzony.

487. D a r r a d y: Za J. de Vitry powtórzona przypowieść o kotach powołanych do pilnowania sera przed szczurami: zjadają jedno i drugie. «Tak archidiakoni i diakoni, ustanowieni do pilnowania księży symonjackich i rozwiązłych, zjadają dobra kościelne».

495. O g o ł ę b i u, który przyniósł ampułkę z krzyżem do koronacji króla Klodwika w Reims. Autor rzekomo oglądał sam ową ampułkę, może w czasie koronacji króla Ludwika VIII, 1223 r. lub św. Ludwika 1226 r.

507. O u m i a r k o w a n i u. Anegdota o Homerze, którego nie dopuszczono na dwór w ubogich sukniach, a uszanowano, gdy się ubrał w bogate szaty. Zdejmuje i kłania się im.

512. O w y t r w a ł o ś c i (fortitudo). Gotfryd z Bouillonu Saracenom, zdziwionym jego siłą, powiada, że zawdzięcza ją czystości.

Cierpliwości najwyższy stopień: nieprzyjaciółom dobrze czynić. 516. Powtórzona za J. de Vitry anegdota o Ryszardzie, ks. normandzkim, który pozwolił się wybić za-

krystjanowi za to, że go zbudził za wcześnie, i nietylko go nie skarcił, ale jeszcze obdarzył winnicą. O znaczeniu cierpień cielesnych: 518. Kleryk, uleczony na grobie św. Edmunda z Canterbury, prosi świętego o chorobę, jako środek zbawienny. O użyteczności ucisków: 519. Kobieta i zakrystjan ukradli skarb kościelny. Schwytani i wtrąceni do więzienia, w skrusze udają się o pomoc do Matki Boskiej, która też przedmioty zrabowane i ich samych przywraca na miejsce.

(*Etienne de Bourbon, Anecdotes, Légendes et Apologues, ed. A. Lecoy de la Marche, Paris 1877.*)

## BARLAAM (WARŁAM) I JOZAFAT

(Streszczenie)

Król Abenner prześladowuje chrześcijan, mimo to wiara rozszerza się gwałtownie. Rodzi mu się syn niezwyklej urody. Chowa go w pałacu zamkniętym przed widokiem wszelkiej brzydoty i cierpienia. Mimo to królewicz, obaczywszy raz trędowatego, drugi raz zgrzybiałego starca, nabywa pojęcia o cierpieniu, chorobie, starości i śmierci. Przybywa pustelnik Barlaam i, dostawszy się do królewicza, objawia mu tajemnice prawdziwej wiary. Potem, chcąc go nakłonić do ascetyzmu, ukazuje mu się w nędznym odzieniu, zaledwie okryty skórą zwierzęcą. Jozafat, zachwycony, prosi, aby zaraz zabrał go na puszcę; mistrz powstrzymuje zapał ucznia i odchodzi, zostawiając jedynie odzież swą, jako antydot przeciw pokusom. Król dowiaduje się o stanie rzeczy; pragnie pozyskać napowrót syna. Za radą wróżbitów używa podstępu: oto jeden z mędrców ma wystąpić jako obrońca chrystjanizmu na dyspuście i umyślnie dać się pobić. Jozafat grozi dysputantowi, że mu wykluje oczy i utnie język; pod tą groźbą mędrzec Nachor zwycięża. Następuje próba pokus niewieścich. Opowieść trwa dłużej i dokładniej, niż budującej księżce przystoi, jednak Jozafat nie da się złamać. Następuje nawrócenie samego króla, zaś królewicz idzie na puszcę, umiera, zostaje pochowany w grobie Barlaama; ciała ich wydają zapach świętości.

(Znany temat buddyjski, schrystjanizowany i nieco odmieniony, znajduje się w «Złotej legendzie» Jakóba de Voragine.)

## CEZARY Z HEISTERBACH

(um. ok. r. 1240)

### DIALOG CUDÓW

Rozdział I traktuje o nawróconych, lub niedających się nawrócić mnichach. 4. Nowicjusz nie może dosiedzieć w porze wiania akwilonu, «od którego pochodzi wszystko złe». Braciszek chce się za niego modlić, tamten boi się nawrócenia i ucieka. «Snać» — powiada braciszek — «nie wszystkim dano».

(32) Opat Morimund, zamłodu student w Paryżu, był tępego umysłu. Szatan dał mu w rękę kamień wszechwiedzy. Na łożu śmierci przy spowiedzi odrzucił kamień; djabli jęli szarpać duszę, ale anioł kazał im odejść, a dusza napowrót wstąpiła w ciało.

II. O skrusze: 5. Ksiądz rozwiązyły grzeszył, chodząc odprawiać mszę ze wsi do wsi w noc Bożego Narodzenia. Gołąb zleciał na ołtarz, wypił wino i porwał Hostję.

8. Godescalcus, lichwiarz, widzi przygotowane dla siebie w piekle krzesło ogniste i nawraca się. Lichwa bowiem jest ciężkim grzechem, bo niema takiego grzechu, któryby chwilami nie odpoczywał, lichwa jednak nigdy grzeszyć nie przestaje; gdy pan spoczywa, ona nie śpi, ale zawsze rośnie i wzmaga się.

22. Mnich płacze obficie, ale myśli przytem: Niechby kto obaczył, jaką łaskę lez otrzymałem. Djabeł przybiega przebrany za czarnego mnicha i, stojąc z boku, przygląda się.

III. O spowiedzi: 7. Św. Bernard uwolnił niewiastę od inkuba, który ją przez 7 lat srodze dręczył.

11. Karczmarza djabeł w postaci kobiety, gdy nie chciał iść za nią, porwał w górę i rzucił na łakę. Żył jeszcze rok, ciągle chlerlając.

12. Merlin, prorok Brytów, był synem demona i zakonnicy. Także królowie Anglii mają pochodzić «de matre phantastica».

26. W postaci tęgiego młodzieńca djabeł zjawił się u konfesjonatu, ukląkł i wyspowiadał z mnóstwa strasznych grzechów. Kapłan powiada: «Przez tysiąc lat nie możnaby tyle nagrzeszyć». — Na co tamten: «Starszy jestem niż tysiąc lat». — «Któż jesteś?» — «Demon jestem, jeden z tych, co z Lucyperem upadli». — «Cóż tobie wspólnego ze spowiedzią?» — «Widziałem» — odparł — «jak ciężkie grzechy bywały tu odpuszczane, chciałem i ja dostać rozgrzeszenie». Spowiednik każe mu za pokutę trzy razy dnia rzucać się na ziemię i wołać: «Domine meus, Creator meus, peccavi Tibi, ignosce mihi! (Boże, stwórczo mój, zgrzeszyłem Tobie, przebacz mi!)». — Na to djabeł: «Nie mogę tak się poniżyć». — Kapłan rozgniewany odpędził go; djabeł znikł.

IV. O pokusach: 5. Nawet cnota może się stać przyczyną grzechu pychy. Do klasztoru przyprowadzono opętanego. Przeor wyszedł ku niemu z mnichem dziewiczym. Przez usta opętańca djabeł rzekł: «Nie boję się go, bo jest zarozumiały (na swój stan niewinny)». Stąd nauka, że «nawet szatan nie lęka się dziewictwa bez pokory, jednak gdy spodoba się Bogu, to ulęknie się pokory bez dziewictwa».

7. Św. Bernard opat sam czyścił sobie odzienie. Djabeł w postaci zamożnego turysty wyśmiewał go, on jednak, poznaawszy nieprzyjaciela, nie dał się oderwać od poniżającego zajęcia.

12. We Francji magnat złupił klasztor. Mnisi posłali młodego zakonnika, szlacheckiego rodu, ze skargą do króla Filipa. Gdy się żalił, że im wszystko zabrano, król rzekł: «Po spodniach twoich widzę, że nie wszystko».

Przykłady lenistwa i małoduszności: 29–38. Księdzu, który drzemał w czasie pacierzy, objawił się krzyż tyłem odwrócony. Gdzie indziej koło drzemającego wieprze biegały, kot mu oczy zamykał, krucyfiks uderzył go w szczękę.

76. Pokusa nieposłuszeństwa: Żona rycerza weszła w bagno dlatego, że mąż zakazał jej w niem się kąpać.

V. O demonach: 1. Rycerz Henryk nie wierzył w diabła. Obaczył go jednak z pomocą sztuki czarnoksięskiej, zakreśliwszy koło. Nie wolno było poza nie się wychylać, bo djabliby go porwali. Djabeł rzekł do niego: «Ludzie często sądzą i potępiają mnie bez przyczyny. Nikomu nie zaszkoziłem, nikogo nie urażam, chyba wyzwany».

5. Opat Herman widział go w różnej postaci: kwadratowego chłopca, z ogonem cielecym, z twarzą kobiecą, jako mnicha ospałego, pijacznę i krnąbrnego, w postaci smoka, w postaci żelaza rozpalonego, albo błyszczącego oka wielkości pięści, w postaci murzyna.

6. Za jednym mnichem kulawym chodził kulejąc, a za braciszkiem leniwym w postaci łaszącego się kota.

9–10. Djabeł woli z jedną zwiedzioną duszą wstąpić do piekieł, niż powrócić do nieba. Ale inni pieliby się po słupie ostrym, jako brzytwa, aż do dnia sądnego, byleby niebo odzyskać. 17. Djabeł głosem kukułki skusił mnicha, by wystąpił z klasztoru. Naliczywszy bowiem 22, powiedział sobie: «Poco umartwiać się, skoro mam żyć tak krótko». 18. Do Bizancjum przybyli dwaj heretycy i zwodzili lud, udając ascetów i czyniąc rzekome cuda. Pó posadźce, posypanej mąką, stąpali bez zostawienia śladu, chodzili po wierzchu wody i t. p. Kleryk, biegły w nigromancji, z rozkazu biskupa wywołał diabła i od niego dowiedział się prawdy o dwu przybyszach. Pokazało się, że pod pachami mieli wypisane tajemne litery: gdy je zdarto, siła ich ustała. Zostali spaleni. 19–25. Przesuwa się szereg heretyków, malowanych najczarniejszymi barwami: Arnoldus w Kolonji, Valdes w Metz, albigensowie, heretycy spaleni w Paryżu i Troyes, heretycy z Werony, rzekomo wyprawiający pociemku orgje lubieżne; heretyk nazywający diabła księciem i stwórcą świata na podstawie św. Jana: «Iam iudicium mundi venit, iam princeps mundi eicitur foris». — Djabeł jest uszuźny i w gruncie poczciwy. Pewnemu rycerzowi wiernie służy, podaje strzemię, przeprowadza w bród przez niezgłębioną rzekę.

36–7. Żona rycerzowi zachorowała, djabeł poradził wysmarować ją lwim mlekiem (!). Sam po nie poszedł i za godzinę przyniósł. Istotnie pomogło. Wreszcie wy-

znał, że jest demonem. «Wielką» — mówił — «jest dla mnie pociechą bawić między synami człowieczymi». Rycerz chciał go oddalić, djabeł przyrzekł, że nie wyrządzi mu krzywdy; za służbę zażądał jeno 5 soldów i te jeszcze oddał, każąc za nie kupić sygnaturkę i zawiesić nad ubogim kościołem, aby w niedzielę zwoływała na nabożeństwo.

40. Z drugiej strony djabeł klóci przyjaciół, nocami wodzi po ścierniskach. Bardzo zawzięty na czystość panięńską, straszy w różny sposób i wabi do życia świeckiego.

VI. O prostocie: 2. Książę tyran molestował klasztor cystersów, raz porwał większą część bydła. Ponieważ nikt nie śmiał upomnieć się krzywdy, wysłano starego dobrodusznego mnicha, polecając przyjąć «cokolwiek się da». W zamku zaproszono go na obiad; podano mnogość potraw mięsnych; nie wątpił, że z wołów klasztornych. Jadł, ile się dało; gdy temu tyran się dziwił, zakonnik rzekł: «Kazano mi przyjąć z zabranego tyle, ile się da». Tyran skruszony (czy rozbawiony), oddał resztę łupu. 22. Niedźwiedźnego syna, który wypędził matkę, wąż chwycił za gardło i jadał z nim z jednej miski. 30. Braciszek «conversus», kuszony od demona, powiadał: «Jeżeli mię, Panie, od pokusy nie uwolnisz, to Matce się twojej poskarżę».

32. Naiwna siostra w modlitwie wołała Chrystusa. Odezwał się: «Nie krzycz, jestem tu, w worku pod łóżkiem».

37. Naiwna mniszka uwierzyła, że koza to jest kobieta świecka, której na starość wyrosły rogi i broda. A umarła w asystencji aniołów.

VII. Cuda Matki Boskiej. Bogactwo nieprzebrane; obok powieści znanych skądinąd, popularnych, bardzo wiele własnej redakcji: 2. Obraz M. B. poci się w czasie burzy — to M. B. boleje, starając się powstrzymać rękę Chrystusa. 5. Gdy papież Inocenty nałożył daninę na zakon cystersów, M. B. go skarciła. 14. Mnich czuwając widział, jak piękna niewiasta weszła do sypialni i wszystkich błogosławiła, prócz jednego, który leżał nie według reguły. 34. Siostra Beatrycze, uciekwszy, przez 15 lat była poza klasztorem, tymczasem M. B. w pamięć dawnej pobożności za nią w jej postaci odprawiała służbę.

43. Jak długo zongler (luzor) bluźnił Chrystusowi, Chrystus znosił cierpliwie, ale gdy zaczął bluźnić M. Boskiej, nagle padł i skonał.

VIII. O widzeniach: 8. We Francji trzyletnia dziewczynka pragnęła obaczyć Chrystusa i obaczyła go w postaci trzyletniego chłopczyka, który podszedł do niej razem odmawiać pacierz. 47. Templariusze byli niewidzialni Saracenom w czasie odprawiania pacierzy. 53. Kupcowi kobieta sprzedała ramię św. Jana Chrzciciela, które była wyludziła od swego kochanka. Umieścił je w ozdobnej kolumnie i, dzięki relikwii, doszedł do wielkiego majątku. Potem przeszło do cystersów.

57. Skóra niedźwiedzia, kupiona przed ołtarz św. Andrzeja, uśmierza burzę morską.

60. Z zęba św. Bartłomieja poszła krew, gdy go chciano rozłupać.

66. Pod Alkazarom wojsko krzyżowców walczy przeciw 4 królom saraceńskim. W powietrzu ukazuje się armja białych postaci z czerwonymi krzyżami na piersiach. Wojsko pogan idzie w rozsypkę. 70. Rycerz ma nabożeństwo do św. Tomasza kanterburyjskiego. Mnich nieuczciwy sprzedaje mu rzekomą uzdę świętego. Bóg sprawia, że przez nią dzieją się cuda.

73. Św. Mikołaj złodzieja nabożnego z postronka odciął. 84. Z kości św. Katarzyny kapaty krople oliwy; cały sarkofag napenił się olejem, w którym pływała głowa świętej. Olej ten między kościoły rozdzielono. 88. Mnich z Kolonji, odnosząc głowy dwu dziewczę zaginionych i odnalezionych (z liczby 11000), winem obmywał i całował. W nocy objawiła mu się jedna, oddając pocałunek. 89. Mnich w zachwyceniu oglądał duszę własną we wnętrzu swoim w postaci chłopięcia.

IX. O Sakramencie Ciała i Krwi Pańskiej: 5. Kapłan wąpiący oglądał w Hostji surowe ciało. 7. Przed skradzioną i porzuconą w polu Hostją woły stanęły. 60. Ksiądz niewyświęcony mszę odprawiał: ogień z nieba ręce jego pożarł.

X. O cudach. Cuda drobne, aby tak rzec zdawkowe, zebrane w rozdziale osobnym. 3. Mnich idjota we śnie otrzymał dar kaznodziejstwa. 15. Groch sam się przed deszczem odwrócił, aby prędzej wyschnąć. 19. Krucyfiks w czasie oblężenia strzałą przeszyty, krwią pocieklł. 23. Zjawiska niebieskie: W r. 1266 słońce rozdzieliło się na trzy części, jak płatki lilji (N. B. był to rok wedle joachimitów, poczynający trzecią



epokę.). 42—4. Chrzest uzdrawiał w chorobie. 58. Bociany odleciały dopiero po błogosławieństwie przeora. 66. Wilk porwał dziewczynę i zaniósł do towarzysza, któremu kość utkwiła w gardle. Gdy ją wyjęła, wilki dziewczynę odniosły. 71. Pewnemu człowiekowi dobry wąż ranę w boku wyssał i uzdrowił.

XI. O k o n a j ą c y c h. Co to jest śmierć? «Mors ab morsu», t. j. skutek ugryzienia owocu zakazanego. Są cztery rodzaje śmierci: tych, którzy dobrze żyją i dobrze umierają; źle żyją, źle umierają; albo znów, z dopustu Bożego, źle żyją, dobrze umierają; dobrze żyją, źle umierają. Jako przykłady, następujące widzenia przedśmiertne, pośmiertne, powroty duszy w ciało, opowiadania o rzeczach zaziemskich: 16. Przy śmierci nawróconego widziano kruki od gołąbki spędzone. 28. Mniszka Klemencja ciężko pokutowała za grzech nieczystości. Po śmierci na ciele jej znaleziono 7 żelaznych obręczy. 35. Konwersus po śmierci przyniósł przewoźnikowi obol niedopłacony. 36. Chory mnich prosił, aby mu pozwolono zdjąć habit. Święty nie chciał przyjąć go do nieba; dusza musiała powrócić w ciało, chory włożył habit, dopiero został zbawiony. 62. Śmierć z matrony umierającej weszła w kłeryka, który też zamiast niej skonął.

XII. O n a g r o d z i e u m a r ł y c h. Bardzo szczegółowe opisy kaźni tyranów, żywe dialogi djabłów z duszami: te obrazy szczególnie przemawiały do fantazji. 7. Gdy pewni Szwabi przejeżdżali koło wulkanu, wracając z Jerozolimy, słyszeli taki głos: «Witaj, witaj, przyjacielu cieślo — z Kolmar; zimno jest, suty ogień rozpalcie». On tegoż dnia i teje godziny umarł. Wymienia się grzeszników po nazwisku: 9. Bruno de Flibert, 13. Bertolph dux Ceringiae, — jak w «Boskiej komedji». 12. Z legend Artusowych wzięta jest powieść o zaproszeniu, jakie pewien dziekan z Palermo otrzymał od króla, stojącego dworem na górze Gyber, identycznej z Etną. 20. Rozpustnica umierając, kazała obuć się w grube trzewiki. Nocą żołnierz pewien usłyszał jęki i obaczył, jak uciekała przed sforą psów i myśliwych. Uczynił mieczem koło i w niem ją postawił, jednak wyrwała się, djabeł porwał ją na konia i uwiózł.

58. Kończy książkę rozdział o Jerozolimie niebieskiej i chwale świętych.

(*Caesarius v. Heisterbach, Dialogus miraculorum ed. Strange, Coloniae 1851. 2 vol.*)

## TOMASZ Z AKWINU

(1225—1274)

### O WOLNEJ WOLI

Art. 1. Zagadnienie rozstrzygnięte na korzyść tezy, że człowiek ma wolną wolę.

Art. 2. Czy wolna wola jest zdolnością (potentia), nie zaś stosunkiem podmiotu chcenia do czynności.

Art. 3. Czy wolna wola jest potencją popędliwą (appetitiva). Odpowiedź twierdząca.

Art. 4. Czy wolna wola jest potencją odmienną od woli. Rezultat twierdzący:

«Do czwartego zagadnienia przystępujemy tak:

1. Zdaje się, że wolna wola jest zdolnością odmienną od woli. Powiada bowiem Damascenus w ks. 2. «Orth. fidei», c. 22, że co innego jest «thelesis» a «boulesis». «Thelesis», to jest wola, zaś «boulesis» znaczy, zdaje się, wolna wola, gdy «boulesis», według niego samego, to jest wola skierowana ku czemuś, jakgdyby związana z czemś innym. Zdaje się więc, że wolna wola jest zdolnością odmienną od woli.

2. Nadto zdolność poznaje się po aktach. Ale wybór, który jest aktem wolnej woli, jest czem innym niż wola, jak to się czyta w «Eth.» (Arystotelesa) cap. 2, gdy wola dotyczy celu (finis), zaś wybór dotyczy tych rzeczy, które są skierowane ku celowi. Zatem wolna wola jest potencją odmienną od woli.

3. Nadto wola to jest popęd intelektualny. Ale ze strony intelektu są dwie potencje, t. j. czynna (activa) i bierna (possibilis). Zatem również ze strony popędu intelektualnego musi stać pewna zdolność oprócz woli, a ta, zdaje się, nie jest nic innego, jak wolna wola. Zatem wolna wola jest zdolnością odmienną od woli.

Lecz przeciw temu przemawiałoby to, co się czyta u Damascena w ks. 3. «Orth.

fid.) c. 14 w pośrodku: t. j. że wolna wola nie jest niczem innym jak wola. Co odeprę powiadając, że zdolności popędliwe winny być odpowiednie zdolnościom poznawczym, jak się rzekło wyżej (quaest. 64). Jak zaś ze strony pojmowania intelektualnego mają się intelekt i rozum (ratio), tak ze strony popędu intelektualnego mają się wola i wolna wola, która to nie jest niczem innym, jak zdolnością wyboru. A to wynika równie ze stosunku rzeczy do czynności. Bo «pojmowanie» mieści w sobie zwykle przyswojenie jakiejś rzeczy, stąd «pojmować» mówi się o zasadach (principia), które same przez się są poznawalne. Zaś «rozumować» jest to z poznania jednego dochodzić drugiego. «Rozumujemy» właśnie o wynikach, jakie z zasad stały się znajome. Podobnie ze strony popędu «chcieć» oznacza proste pożądanie jakiejś rzeczy, gdzie więc wola dotyczy celu, do którego się gwoli owej rzeczy dąży, zaś «wybierać» znaczy pożądać jednego, aby dostąpić drugiego, zatem dotyczy rzeczy wiodących do celu. Jak zaś w rzeczach poznawalnych zasada ma się do wniosku, na jaki gwoli zasad się godzimy, tak w pożądanym — cel ma się do rzeczy wiodących do celu, a których się dla celu pożąda. Stąd widoczna, że jak się ma intelekt do rozumu, tak się ma wola do zdolności wyboru, t. j. do wolnej woli. Dowiedziono zaś, że jak jedna i ta sama zdolność pojmuje i rozumuje, podobnie jak z jednej i tej samej siły jest spoczywać i poruszać się, tak samo jedna zdolność wywołuje chcenie i wybór. Dlatego wola i wolna wola nie są dwiema zdolnościami lecz jedną.

Co do 1. zatem odpowiedzieć należy, że «thelesis» różni się od «boulesis» nie odmiennością potencyj, lecz odmiennością aktów.

Co do 2. trzeba rzec, że wybór i wolna wola są oboje chceniem, t. j. że różnią się w aktach, ale przynależą do tej samej zdolności, podobnie jak «rozumieć» a «rozumować».

Co do 3. trzeba rzec, że intelekt łączy się z wola jako bodziec, zatem nie należy w woli rozróżniać czynności i bierności (agens i possibile).

*(Thomas S. Opera omnia iussu impensaue Leonis XIII edita Romae, 13 vol. S. a. I. II-ae. q. 2a sq.)*

## RAMON LULL

(ok. 1235—1315)

### FELIKS CZYLI O CUDACH ŚWIATA

Tom I. Smutny i stęskniony żył pewien człowiek w obcej ziemi i dziwował się, że tam tak mało kochają Boga. Napisał zatem tę książkę «o cudach», dzieląc ją na 10 części: «O Bogu, aniołach, żywiołach, niebie, roślinach, metalach, zwierzętach, człowieku, raju, piekle». Miał syna Feliksa, kazał mu iść w świat: «Idź przez lasy, góry, doliny, pustynie, sioła, stolice, zamki i miasta i dziw się cudom rozsianym po ziemi». Zaczem prawi mu o rzeczach górnych i padolnych: Czy jest Bóg? Co jest Bóg? Jednością, Trójcą. Gdzie jest Bóg? Stworzenie, wcielenie, grzech... W rozdziale o żywiołach: pierwiastki, ciała złożone. Generacja, rozkład, ruch, piorun, grzmot, chmury, deszcz, śnieg, wiatry. Rośliny i ich własności, powstawanie metali, alchemja. Zwierzęta — tu liczne powiastki z «Romansu o lisie». — Człowiek, czym jest, poco żyje; skąd starość i śmierć. Władze umysłowe i zmysły. Dlaczego człowiek jest zły? Dlaczego dobry? Wszystkie pytania rozwiązywane z pomocą przykładów poglądowych i przypowieści. Książka służyć miała widocznie «ad usum delphini». Feliks idzie przez las; spotyka pasterkę; dziwno mu, że, choć samotna, nie lęka się dzikich zwierząt. Pasterka odpowiada, że ufa Bogu. Wtem wpada wilk, porywa owcę; pasterka go ściga; wilk rzuca owcę, porywa pasterkę... Feliks zaczyna wątpić, a utwierdza się w wątpieniu, spostrzegając, że Bóg pozwolił mu wpaść w wątpienie. Więc pustelnik opowiada mu przypowieść: Był król kochający sprawiedliwość; kazał nad tronem wyrzeźbić ramię kamienne, trzymające miecz; w głowicy miecza serce z karbunkułu oznaczało, że «serce króla posiadało wolę kierować ramieniem, kierującym miecz, który oznacza sprawiedliwość». W pałacu krył się wąż, przeszkadzający tam mieszkać ludziom. Przybywa pustelnik, przygląda się mieczowi

i duma tak długo, aż odgaduje, co znaczy: oto wypadek z pasterką był dopustem, mającym zahartować młodzieńca do przyszłych przeznaczeń. Stąd również pochodziła pokusa wątpienia. — Innym obrazem i syllogizmem wytłumaczone istnienie Boga: Pustelnik wykreśla koło i pyta, czy poza niem jest konieczne coś więcej niż wewnątrz. Otóż, ponieważ zawartość zewnętrzna większa jest niż wewnętrzna, zatem konieczne, że tam istnieje coś większego, a tem jest Bóg. Bo gdyby Bóg nie istniał poza firmamentem, to następstwem rozumowania byłoby, że większą rzeczą jest nie-być niż być. — Wtem pod ich stopami przeslizguje się ogromny gad. Feliks uczuwa lęk, pustelnik nie. I znów tłumaczy mu, że naturalna obawa śmierci również jest argumentem na istnienie Boga.

Po pytaniu: czy jest Bóg? następuje drugie: czym jest Bóg? Pewien król kocha bardzo żonę, ale lubi rozmawiać z panną dworską. Królowa wpada w żalność, król nie umie jej rozweselić, zaczyna podejrzynwać żonę a pannie nie ufać, i przestaje pogadankę. Królowa odzyskuje dobry humor, miłość powraca. Tak to «świat cię odwodzi od miłości Boga, jeżeli miłujesz świat gwoli światu», ale też «świat będzie ci znakiem Boga, jeżeli ukochasz świat poto, aby po nim poznać i ukochać Boga» (p. 15).

Biegiłość dialektyczna tych ostatnich dni scholastycyzmu jest tu spotęgowana finieżą misterjów arabskich. Tak w rozdziale «O jedności Boga» (p. 29): Rycerz poluje na dzika, noc zapada, rycerza ogarnia strach. Dziwi się temu; przypuszcza, że słońce jest Bogiem, bo we dnie lęku nie czuje. Nazajutrz w południe spotyka wasalą, któremu zabił ojca, i znów mu straszno, bo paż jest zbrojny, on zaś nie. Paż naciera, rycerz prosi, aby się zatrzymał, opowiada mu swoje wątpiwości i pyta, czy zasłużył na śmierć za to, że zabił mu ojca, czy też, że uważał za Boga słońce. — A wtóre pytanie: Czy on sam (paż) winien jest wobec Boga, że ociąga się z odpowiedzią, która łatwa dla człowieka, co bardziej miłuje Boga niż ojca? Tamten namyśla się długo, nareszcie powiada, że powinienby go zabić za to, że mu zabił ojca, ale za to, że uważał słońce za Boga — nie; owszem, winien pouczyć go o prawdziwym Bogu, co też czyni. Szczytem tej dziwnej metody pogładowej jest rozdział «Sumienie» w formie przypowieści «O pojedynku odbytym przez synów królewskich» (p. 143). Filozof, nauczyciel jednego królewicza, i fechtmistrz, nauczyciel drugiego, asystują przy pojedynku rycerza z paziem, oskarżonym o zdradę. Pierwszy, biegły w szermierce, ufa w swej zbroi, drugi, słaby, ufa w dobrej sprawie. On to zwycięża i zabija oskarżyciela; królewicz - szermierz dziwi się, na to filozof opowiada przypowieść: Na drzewie siedział kogut ze stadem kur. Podszedł lis, zaczął krążyć i wyprawiać skoki tak długo, aż kogut stracił siłę, spadł i został pożarty. Królewicz-filozof tłumaczy: kogut, poglądając na lisa, został przejęty strachem, strach odjął mu władzę — stąd upadek. Tak samo ów rycerz stracił moc, poglądając na własne bezprawie. Feliks jest zdumiony, że królewicz, kształcając się w filozofji, lepiej zrozumiał porażkę rycerza, niż królewicz-szermierz; zaciekawia go też, czemu spadł kogut, a nie spadły kury? Królewicz-szermierz nie umie odpowiedzieć, mistrz jego również, dopiero królewicz-filozof odpowiada: Szedł drogą chłop z żoną, natknęli się na ogromnego węża. Chłop ze strachu padł i skonał, baba zlekła się również, ale ufała mężowi, że ją obroni. Wąż porwał trupa i pożarł, baba uciekła, ale byłaby także skonała ze strachu, gdyby wąż porzucił męża a za nią pogonił. Sens moralny — nieco zdaleka ściągnięty — jest ten, że «sumienie zwycięża i zadaje rany tym, co walczą w złej sprawie».

W takich samych malowniczych pouczeniach toczy się dalszy ciąg dzieła o racjach bytu ziemskich i zaziemskich, o jasnych i ukrytych fizycznych, metafizycznych, symbolicznych właściwościach roślin, zwierząt, metali, kamieni, wedle znanych «Fizjologów», «Herbarjów», «Lapidarjów». Więc «Bóg nadał owe własności drzewom, aby oznaczały moc boską» (p. 162); metale «same się płodzą, nie tak jak zwierzęta i rośliny, a przeto oznaczają samogenerację Ojca, Syna, Ducha» (p. 172). Rozdział «O zwierzętach» (p. 189) zawiera liczne i nawet oryginalne odmianki romansu «O lisie». Rozpoczyna wyborem króla: większość proponuje lwa; wół podnosi opozycję, powiadając: «Panowie, godność króla wymaga okazałości i urody, i wielkości z uprzejmością, a nadto, żeby nie czynił krzywdy poddanym». Proponuje konia, co podoba się zwierzętom trawozernym. Jednak lis agituje za lwem, któremu też oddają koronę. Lis, wieczny spiskowiec, zamierza z pomocą słonia urządzić zamach stanu; zacny Trębacz odkrywa

zdradę: lis ukarany śmiercią, słoń i dzik zostają ministrami. Tom I wydania kończy zagadnieniem etycznym: «W czym człowiek znajduje większą rozkosz: w czynieniu dobrze czy źle?» Mistrz odpowiada przypowieścią: «Zacna niewiasta miała niegodziwego i rozpustnego męża, ale większe było jej zadowolenie z poczucia, że jest dobra, niż ból z mężowskiego zepsucia i brutalności...» Wywód niebezpieczny, bo prowadzi do wniosku, że najgorszy mąż, to największa najzacniejszej żony uciecha...

(*Ramon Lull, Felix de les maravelles. Barcelona s. d.*)

### HYMN «DIES IRAE»

(przypisywany Tomaszowi z Celano)

Dzień gniewu, dzień płomienisty  
Rozwiąże świat w proch wieczysty,  
Wedle słów króla psalmisty.

Jaki strach na duszach siędzie,  
Kiedy w archaniółów rzędzie  
Pan na sąd straszny przybędzie!

Trąba się grzmotem nasroży,  
Umarłym groby otworzy  
I zwoła świat na Sąd Boży.

Zdumieje się przyrodzenie  
I śmierć, gdy wstanie stworzenie  
Na ostatnie rozsądzenie.

Otworzą się księgi strony,  
W której każdy czyn znaczony;  
Z której świat będzie sądzony.

Wszystkie zbrodnie zatajone  
Będą światu objawione  
I wieczną hańbą zelżone.

Co grzesznik natenczas rzecze  
I do kogo się uciecze,  
Gdy i dobrym strach dopiecze?

Królu tronu strasliwego!  
Z łaski zbawiasz Ty każdego:  
I mnie z łaski zbaw grzesznego!

Pomnij sobie, Jezu błogi,  
Żem przyczyną był Twej drogi:  
Nie chcesz gubić mnie w dzień trwogi!

Szukając mnie, Tyś strudzony!  
Jam Twym krzyżem odkupiony,  
Niech ta praca wyda plony!

Sędzio mściwy, Jezu luby!  
Odpuszczeniem zbaw od zguby,  
Wprzód nim przyjdzie dzień rachuby!

Wzdycham, jako obwiniony,  
Wstyd mię za grzech popełniony:  
Odpuść, Boże niezmierny!

Tyś Marji niebo otworzył,  
Łotr przez Ciebie duszą ożył,  
Jam w Tobie ufność położył;

Niegodne jest me wołanie,  
Lecz Ty, przez Twe zlitowanie,  
Nie daj mi upaść w otchłanie!

Policzże mię w owiec gronie  
I od kozłów miej w obronie,  
Stawiając po prawej stronie.

Gdy ukażesz potępionych,  
W wieczny ogień przeznaczonych,  
Powołaj mię do zbawionych.

Z prochem i w pokutnym worze  
Błagam cichy i w pokorze;  
Pomnij o mym końcu, Boże!

Plączliwy dzień on, gdy stanie  
Grzesznik na straszne wołanie;  
Ach, przebacz mu wonczas, Panie!

*Tłum. Antoni Czajkowski.*

### BONAWENTURA

(1221—1274)

#### FILOMELA

I cóż znaczy ta ptaszyna,  
I czemu cię wzrusza?  
Filomela — to cnót pełna  
I miłości dusza,

Co pamiętna swej ojczyzny  
I tęskniąca do niej,  
Takie hymny czarujące  
Wciąż dzwoni a dzwoni,

By się wyżej, wyżej jeszcze  
 Wzbiły jej nadzieje,  
 Więc mistyczny jakiś dzionek  
 Dla niej zajaśnieje.  
 Łaski, które nam Bóg daje  
 Mimo nasze winy,  
 W owym wielkim dniu mistycznym  
 Są jakby godziny.

Świt poranny przypomina  
 Byt na naszej ziemi;  
 Rano stworzył Bóg człowieka  
 Rękami swojemi.  
 Prima znaczy chwilę, w której  
 Bóg w człeka się wcielił;  
 Tertia mówi, jak doczesny  
 Żywot z nami dzielił.

Wy tłumaczywszy w ten sposób, jakie momenty życia Zbawiciela wyobraża przedśmiertna pieśń słowika, poeta w dalszym ciągu przytacza pieśń duszy, ułożoną zgodnie z jej pierwotnym wzorem.

O mój Stwórcu! — tak doń mówi —  
 Ty, dając mi życie,  
 Ze skarbnicy swej miłości  
 Czerpałeś obficie;  
 Boś ukochał bez zasługi  
 Mnie z niskiego świata,  
 Jeszcześ zrobił uczestnikiem  
 Swego Majestatu.

Jakież wielkie na mnie spadło  
 Naraz dostojęństwo,  
 Gdyś mnie stworzył, wielki Boże,  
 Na swe podobieństwo.  
 I do większychbyś zaszczytów  
 Jeszcze wznosił mię, Panie,  
 Gdyby było niezgwałcone  
 Twoje przykazanie.

Twoja wola była taka,  
 Bym się oddał Tobie  
 I do górnej tej ojczyzny  
 Tęsknił w każdej dobie.  
 Tyś mię żywił i nauczał,  
 Jakby dziecko własne,  
 Abym kiedyś mógł zamieszkać  
 Twoje niebo jasne.

Odtąd chciałeś, bym z anioły  
 Sam się stał aniołem,  
 A co więcej, chciałeś we mnie  
 Zamieszkać pospołem.  
 Czemże takie dobrodziejstwo  
 Odwdzięczyć Ci, Panie?  
 Nie wiem — chyba całe moje  
 Oddam Ci kochanie...

Sexta znowu, jak się oddał  
 Pan nasz w zdrajców ręce,  
 Jak był związany, wleczone, bity,  
 Jak w krzyżowej męce  
 Gwoździami mu ogromnemi  
 Ciało kaleczono,  
 Opasano świętą głowę  
 Cierniową koroną.

Nona — to śmierć Chrystusowa —  
 W godzinie tak wielkiej,  
 Spełniła się do ostatniej  
 Ofiara kropelki.  
 Moc szatana rozerwana,  
 Sam zwątpił o sobie —  
 Wieczór ciało Zbawiciela  
 Pochowano w grobie.

Tak o świecie śpiewa dusza;  
 Lecz ledwo rozdnieje,  
 O godzinie pierwszej hymnem  
 Pobożnym zapieje,  
 Sławiąc czas ten, gdy na ziemię,  
 Smutną i zbolałą,  
 Pan nasz zstąpił i człowiecze  
 Wziął na siebie ciało...

O południu, kiedy słońce  
 Najmocniej dogrzewa,  
 Dusza żądzą wysiloną  
 Napoty omdlewa;  
 Bo miłości żądło coraz  
 Głębiej serce krwawi,  
 I już męka Chrystusowa  
 Jej oczom się jawi.

Rozszlochanej się przedstawia  
 Niewinny Baranek  
 Bieluteńki, a na głowie  
 Ma cierniowy wianek.  
 Obie nogi, ręce obie  
 Gwoździami przebite,  
 Ciało święte posiniało,  
 Ranami okryte...

Więc w przystępie szału woła:  
 Pójdźcie tu, oprawcy!  
 Na krzyż wbijcie mnie chudzinę  
 Obok mego zbawcy.  
 Z wszystkich śmierci ta śmierć jedna  
 Dla mnie upragniona,  
 Gdy konając, Ciebie, Chryste,  
 Obejmę w ramiona.

Ten, nie inny tylko kordjał  
 Uleczyć mię może  
 Z tej gorączki, co mi serce  
 Pali w każdej porze.  
 W Tobie cudna moc lecząca,  
 Źródło łaski wszelkiej,  
 Mój Zbawiciel da ochłodę  
 Na ten upał wielki...

O pokarmie ty cudowny!  
 Rzeźwiący ruczaju!  
 Tych, co w Tobie zasmakują,  
 Prowadzisz do raju;  
 Ciało, krew Twą, kto pożywa,  
 Sił mu nie zabraknie;  
 Dusza chłodna i fałszywa  
 Strawy tej nie łaknie.

Widok mąk Odkupiciela przejmuje ją żądzą podzielenia ich ze swoim Oblubieńcem:

Czemuż z Tobą nie cierpiałem  
 Na drzewo przybity?  
 Czemu, Panie, mi nie dano,  
 Bym skonał, jak i Ty?

Ominął mię zaszczyt wielki,  
 Małom miał zasługi —  
 A więc wydam się na męki  
 I wezmę krzyż drugi.  
 Płakać będę bezustanku  
 I smutkiem się strawię,  
 Póki zlepek ten mój ziemski  
 Ziemi nie zostawię.

I tak dusza rozkochana,  
 Im więcej goreje,  
 Tem się bardziej zmysły mącą  
 I ciało martwieje;  
 Usta ledwie coś bełkocą  
 W ostatnim wybuchu  
 Tej miłości — członki słabną  
 I leżą bez ruchu.

Umiera wreszcie i dostaje się pomiędzy zbawionych, a poeta kończy swój utwór zachętą, żeby ją naśladować i taką samą pieśnią męczeńską dobijać się szczęścia niebieskiego.

*Tłum. Lucjan Siemieński.*

*Wybór tekstów i układ Edwarda Porębowicza.*

SZKOŁA SYCYLIJSKA

JACOPO (GIACOMO) DA LENTINI

(ok. 1233)

Bez nijakiej obrony  
 Miłość się we mnie wdraża i moje wiąże chęci;  
 Jak malarz roztargniony,  
 Który w kółko powtarza to, co nosi w pamięci,  
 Tak się tu dzieje ze mną,  
 I szarpać się daremno, twój obraz wciąż mię nęci.  
 W sercu swem ciebie noszę:  
 W niem twa postać wryta, ale nie widać po mnie;  
 O Boże, co ja znoszę!  
 Tobie samej nie świta, jak cię kocham ogromnie,  
 Bo jestem tak nieśmiały,  
 Że, gdy spojrzę, drzę cały, stoję i milczę skromnie.  
 W mojej wielkiej tęsknocie  
 Pendzlem wymalowałem twe lica urodziwe;  
 Gdy dojść nie mogę do cię,  
 Patrzę, — ledwie spojrziałem, oglądam je jak żywe.  
 Tak człowiek, co się stara,  
 By umocniła wiara, co mu jeszcze wątpliwe.  
 W mem sercu ból się żarzy,  
 Jak gdy człek ogień za pazuchę kryje:  
 Im bardziej tuli, tem boleśniej parzy.

(*E. Monaci, Crestomazia italiana, Roma 1912, p. 42—3.*)

KANCONA NIEZNANEGO AUTORA

(Z «Memorjałów notarjuszy bolońskich», r. 1307. — Na marginesach akt notarialnych młodzi klerycy wypisywali wiersze — nieocenione zabytki naiwnej twórczości, jakkolwiek w konwencjonalnej formie artystycznej):

Dla ciebie, pani, śpiewam,  
 Śpiewam z serdecznej chęci;  
 Twa uroda mię nęci  
 I powiada mi: Śpiewaj!  
 Tak zatem śpiewam dla cię,  
 Śpiewam z serdecznej chęci  
 Pieśni z twym wdziękiem składne,  
 Przynależne tej cześci,  
 Jaka się w tobie mieści.

Sam sobą już nie władnę,  
 Niczego już nie pomnę.  
 Świat cały za nic liczę,  
 Jeno słów twych słodczyę,  
 Gdy mówisz do mnie: Śpiewaj!  
 Dla ciebie, pani, śpiewam,  
 Śpiewam z serdecznej chęci;  
 Twa uroda mię nęci  
 I powiada mi: Śpiewaj!

(*E. Monaci, Crestomazia, str. 294.*)

## LITERATURA UMBRYJSKA

ŚW. FRANCISZEK Z ASYŻU

(1181—1226)

ZWIERCADŁO DOSKONAŁOŚCI

Najstarsza legenda brata Leona

Innym razem pewien brat, nowicjusz umiejący czytać psalterz, choć niezbyt biegle, otrzymał od swego generała-ministra pozwolenie na posiadanie książki, ale ponieważ słyszał, że św. Franciszek życzył sobie, aby bracia nie byli chciwi wiedzy i książek, nie zadowolili się tem, lecz pragnął zgody świętego. Gdy zatem św. Franciszek przybył na miejsce pobytu owego nowicjusza, ten odezwał się: «Ojcze, byłaby dla mnie wielka pociecha posiadać psalterz, i generał dał mi na to pozwolenie, niemniej chciałbym, aby to było z twoją zgodą». Na to św. Franciszek: «Cesarz Karol, Roland, Oliwjer, wszyscy paladynowie i mocni mężowie, dzielni w boju, zwalczający niewiernych w trudzie i mozole aż do śmierci, zwycięstwa swoje przekazali potomnym, wszyscy owi święci męczennicy polegli w boju za wiarę Chrystusową. Zato dziś znajduje się wielu, którzy samem opowiadaniem tego, co tamci zdziałali, chcą zdobyć zaszczyt i ludzką chlubę. Tak też między nami jest wielu, którzyby samem powtarzaniem i opowiadaniem dzieł, które święci spełniali, chcieli zdobyć zaszczyty». Jakgdyby mówił: «Nie należy dbać o książki i wiedzę, ale o cnotliwe dzieła, bo wiedza nadyma, a miłość buduje». Po kilku znowu dniach do siedzącego przy ognisku przystąpił ten sam nowicjusz i znów mówił o psalterzu. I rzekł mu św. Franciszek: «Skoro będziesz miał psalterz, zachce ci się brewjarza; a kiedy będziesz posiadał brewjarz, zasiędziesz na stolicy jak wielki prałat i powiesz opatowi twemu: podaj mi brewjarz». Mówiąc tak z wielką porywcznością, nabrał garść popiołu, posypał mu głowę, poczem wodząc po niej dłonią, jakby ją zmywał, zawołał: «Oto masz brewjarz, oto masz brewjarz».

IV. Do pewnej pustelni braci powyżej Borgo S. Sepolcro przybywali niekiedy rabusie po chleb; mieszkali w lasach i obdzierali podróżnych; niektórzy bracia powiadali, że nie lza dawać im jałmużny, inni zaś z litości dawali, aby ich skłonić do poprawy. Św. Franciszek przybył na owo miejsce, a bracia pytali go, czy słuszną jest dawać im jałmużnę, i rzekł im święty: «Jeżeli uczynicie, jak wam powiem, mam ufność w Bogu, że pozyskamy ich. Idźcie więc, nakupcie dobrego chleba i dobrego wina i zanieście im do lasu, gdzie przebywają, i wołajcie, mówiąc: «Bracia zbójcy, przyjdźcie ku nam, bo braćmi waszymi jesteśmy i przynosimy wam dobry chleb i dobre wino». A oni zaraz przyjdą. Wy zaś rozłóżcie na ziemi obrus i postawcie na nim chleb i wino i usługujcie im pokornie i wesolo, póki jeść będą. Po śniadaniu zaś przemówcie do nich słowem Bożem i uczynicie do nich tę pierwszą próbę, by wam przyrzekli, że nie będą nikogo ranili ani obrażali go na ciełe. Bo choćby większej rzeczy nie chcieli wypełnić, tę dla litości i pokory waszej wam przyrzeką. Następnego znowu dnia, za to dobre przyrzeczenie z chlebem i winem, przynieście im jaj i sera i usługujcie im w czasie posiłku. Poczem powiedzcie: «Cóż tu będziecie stać po całych dniach, przymierając głodem i znosząc takie uciski, przyczem dopuszczacie się złego wola i czynem i gubicie dusze wasze, póki nie nawrócicie się ku Bogu? Lepsza będzie służać Bogu, a on dbać będzie o potrzeby wasze doczesne w tem życiu, zaś potem zbawi dusze wasze. Wtedy Bóg natchnie ich, że dla pokory i cierpliwości waszej, jakie im okażecie, nawrócą się». Uczynili tedy bracia wszystko, jak im powiedział św. Franciszek, owi zbójcy z łaski i zlitowania Bożego wysłuchali i wypełnili co do litery wszystko, czego bracia pokornie od nich zażądali. Owszem, dla tej pokory i przytulności im okazanej, poczęli braciom z pokorą sami usługiwać, znosząc na grzbiecie drwa aż do pustelni, a wreszcie niektórzy z nich wstąpili do zakonu. Inni znowu, wyspowiadawszy się z grzechów, czynili pokutę, składając przyrzeczenie braciom, że będą odąd żyli z pracy rąk i nie dopuszczą się więcej przestępstwa.

(*Legenda antiquissima, I. 4, ed. Sabatier, Paris 1898.*)



## PIEŚŃ STWORZEŃ

Najwyższy, wszechpotężny, dobry Panie!  
 Twoje są chwała i sława, i cześć, i błogosławieństwo;  
 Tobie jednemu najwyższemu przynależą,  
 I nie jest człowiek godzien wspominać Twego Imienia.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, ze wszystkimi twory,  
 W szczególności z panem braciszkiem słońcem,  
 Które dzień niesie i sobą nam świeci,  
 Jest piękne, jasne i roznieca blask wielki,  
 I Twem, o najwyższy, jest wyobrażeniem.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez braci naszych: miesiąc i gwiazdy,  
 Któreś na niebie umieścił jasne, i cenne, i piękne.  
 Bądź pochwalony, panie mój, przez braciszka wiatr,  
 Przez powietrze i przez czas chmurny i pogodny, i jakikolwiek inny,  
 Któremi wszystkim stworzeniom dajesz pokrzepienie.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrzyczkę wodę,  
 Która jest wielce użyteczna i pokorna, i cenna, i czysta.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez braciszka ogień, którym rozjaśnia się noc,  
 I który jest urodziwy i krzepki, i mocny.  
 Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrę ziemię, która nas utrzymuje i żywi,  
 I wydaje przeróżne owoce i kwiaty barwne, i ziola...  
 Bądź pozdrowiony, Panie, przez siostrę naszą, śmierć cielesną,  
 Której żaden człowiek ująć nie może.  
 Biada tym, którzy konają w grzechu śmiertelnym!  
 Błogosławieni ci, którzy się znajdują w Twojej świętej woli,  
 Gdy wtóra śmierć nie wyrządzi im szkody.  
 Chwalcie i błogosławcie Pana, dziękujcie  
 I służcie mu w wielkiej pokorze.

*(Cantico di S. Francesco d'Assisi. Według tekstu Monachiego  
 w Crestomazia italiana 1912, p. 29.)*

JACOPONE DA TODI  
 (1230—1306)

## LAUDA DRAMATYCZNA

Posel:

Pani Niebios gwieździsta, Porwali Jezu Chrysta,  
 Syna Twego porwali!  
 Pośpiesz, obacz, Maryjo, Jak Go szarpia i biją,  
 Strach mi, że go zabiją, Tak go ubiczowali.

Maryja:

Z jakiej, z jakiej przyczyny? Wszak-ci niema w nim winy.  
 Któż cię, synu jedyny, Wydal im, o boleści?

Posel:

Pani, zdradą był wzięty, Zdradził Judasz przeklęty  
 Dla znikomej ponęty, Za srebrników trzydzieści.

Maryja:

Pośpiesz, pośpiesz, Magdali, Zgroza się na mnie wali:  
 Chrysta mego zabrali, Takie mię doszły wieści.

P o s e ł:

O pani, całą zgrają Na syna Twego plwają.  
Teraz już nie nastają, Wiodą go do Piłata.

M a r y j a:

Piłacie, każ swą władzą, Niech mi dziecka nie męczą,  
Wszyscy tutaj poręczą, Nie zasłużył rąk kata.

T ł u m:

Ukrzyżuj go, ukrzyżuj, On się królem wyznawa,  
Wedle naszego prawa, On senatu jest wrogiem.

M a r y j a:

Słuchajcie mię, słuchajcie, Bolesć moję zważajcie,  
Z tym sądem się wstrzymajcie I tym wyrokiem srogim.

P o s e ł:

Z łotrami dwoma przyszli, Żeby przy nim zawisli.

T ł u m: ' 1

Kiedy być królem myśli, Daj mu z cierni koronę.

M a r y j a:

Synku, liliji kwiecie, Synku najmiłszy w świecie,  
Ten ciężar mię przygniecie: Patrz, cała we łzach tonę.  
Oczko ucieszne moje, Nie patrzysz, że tu stoję,  
Cofasz się, synku miły, Od piersi, co cię karmiły.

P o s e ł:

Patrz, pani, drzewo krzyża, Już się z niem motłoch zbliża,  
Szczera się światłość zwyża, Pogląda na dziedzinę.

M a r y j a:

O krzyżu, co uczynię? Syna mi weźmiesz ninie,  
Jakżeż na tobie zginie, Który jest sam bez winy?

P o s e ł:

Lud bieży dziką zgrają; Patrz, krzyżować go mają;  
Patrz, już go obnażają, Śpiesz, Matko boleściwa.

M a r y j a:

Z ciała płaszcz już zerwany, A krwią wszystek zbryzgany,  
Dajcie spojrzeć na rany; Krew po dziecku mem splywa.

P o s e ł:

Prawą rękę chwycili, Do drzewa przytroczyli,  
Odjąć niech się nie sili, Bo gwoździami przybita.  
Rękę lewą rozwarli I do drzewa ją wparli,  
Całą dłoń mu rozdarli, Żeby cierpiał dosyta.  
Przycisnęli kolana, Stopy krwawiąca rana,  
Uwięź kostek stargana; Skrósł jest gwoździem rozryta.

M a r y j a:

Tu sił moich ostatki! O pocieszko swej matki,  
Synku, Synku mój gładki, Kto wydziera ci życie?  
Lepiej było, morderce, Mnie samej wydrzeć serce,  
Niżbym w tej poniewierce Patrzała w synka lice.

Chrystus:

Mamo, przysłaś tu poco? Me rany silniej broczą,  
Lecz twych struga niemocą Moje serce zaląa.

Maryja:

Płacz mi splywa po licu, Synu, mężu, rodzicu,  
Kto cię krwawił w tem biciu? Kto ci odzież zdarł z ciała.

Chrystus:

O Matko, nie płacz-że mi, Zostań po mnie na ziemi  
Z towarzyszami mymi: Umrę dla ich zbawienia.

Maryja:

Synu, konam w żalobie, W jednym spoczniemy grobie,  
Zostanę tu przy tobie Do ostatniego tchnienia.  
W jednej skona godzinie Licha Matka przy synie,  
Od jednej męki zginie W dziecku swem rozkochana.

Chrystus:

Matko, ulżyj swej męce: Oto daję w twe ręce  
I tobie go poświęcę Milego brata Jana.  
To moja matka Janie: Miejże o nią staranie,  
Przy tobie niech zostanie, Bo jest wszystka złamana.

Maryja:

Westchnął, biada, nie żyje? Ręce wesprą mię czyje?  
Mą boleść gdzie ukryję? I kto się mnie użali?

— — — — —  
Synu, ucieszne dziecię, Biało-różane kwiecie,  
Pokój niosłeś po świecie, Czemuż cię nie poznali?

(Crest. ital., nr. 147, III.)

## POEZJA LOMBARDZKA

GIACOMINO DA VERONA

(XIII w.)

### O BABILONIE, MIEŚCIE PIEKIELNEM

— Na chwałę Jezu Chrysta, króla rajskiej dzierzawy,  
Opowiem tu historję dla człowieczej poprawy.  
Kto ją mocno utwierdzi w swej pamięci ciekawej,  
Snadnie zwycięży wroga i jego nieczne sprawy.

Nowiną dla was będzie we wszystkiej swej osnowie,  
Miasto owo piekielne... już cię przechodzi mrowie.  
To jest Babilon wielki — takim się mianem zowie,  
Tak go zdawna pisali różni święci mężowie.

Królem całego państwa jest ów anioł skalany:  
Lucyfer: chciał być wyższy nad niebieskimi pany,  
Powiadał sam do siebie: «Z Bogiem będę zrównany!»  
Za to był zdjęty z nieba ze swoimi kompani.

Gród jest ludny a ciasny i po brzegach, i na dnie;  
Mękami i katuszą wypełniony szkaradnie,  
Tak powiadają święci jednomyślnie i składnie.  
Nie wygrzebie się nigdy ten, co raz tam popadnie.

Na samym dnie się mieści kaźnia Lucyferowa,  
Wokół mury opływa smoła i siarka płowa.  
Choćbyś morze tam przelał, nic się zeń nie uchowa,  
Woda wszystka się spali niby świeca woskowa.

Środkiem całego grodu mętna rzeka przepływa,  
Bardziej gorzka od żółci, truciznami zjadliwa,  
Dokoła ciernie, osły i parząca pokrzywa,  
Każdy kolec jak brzytwa siecze, tnie i rozrywa.

Ponad grodem kopuła czerwonością się pali,  
Odlana z andranegu(?), ze śpiżu i ze stali;  
Mury bardzo wysokie z głazów pobudowali,  
Grzesznik, co tam zapadnie, nigdy się nie ocali.

Pod straż czterech strażników zamek jest postawiony:  
Satana, Barachina, Tryfona i Mahomy.  
Okrutnie jest zaciekły wszystek ten lud zbieszony,  
Biada potępieńcowi, co im popadnie w szpony.

Ponad głównymi drzwiami stoi wieża czubata,  
Na której to strażnicy djabelska mieszka czata,  
Bystrem okiem poziera na cztery strony świata,  
Nieda podejść nikomu przeklętnica rogata.

A taka jest natura czujnej, piekielnej straży,  
Nigdy powiek nie przymknie, ani go sen rozmarzy,  
Znać daje klucznikowi, co w bramie gospodarzy,  
By nie wypuścił gminu, co tam po piekle łązi.

Więc na cały głos krzyczy i woła ze swej wieże:  
«Od naszej nędznej włości pilnie przymykaj dzwierze,  
Niech się nikt nie wyzwoli z naszej czarnej obieże,  
Niech wiedzą: dróg i mostów tutaj się dobrze strzeże.

Lecz gość będzie przyjęty niczem jaki włodyka:  
Niech się z wielką uciechą przeciw niemu przymyka,  
Niech się pospuszcza mosty i bramy podmyka,  
Niech go śpiew mile wita i wesoła muzyka».

O nędzni potępieńcy, poskupiani w tej cieśni,  
Których w czadzie piekielnym takie witają pieśni,  
Szeroko rozpowiadać wasz kłopot mi się nie śni,  
Ani będę wystawiał, sami się sławcie wcześniej.

To wiedzcie, że za ledwie wejdzie tutaj za progi,  
Zaraz mu popętają obie ręce i nogi,  
Siec go będą biczami, ból zadając mu srogi,  
Potem go zaprowadzą przed króla złej załogi.

On zawoła ministra, co procesy prowadzi,  
Ten go wlec do więzienia każe swojej czeladzi.

Ile mil jest od niebios aż do piekielnej kadzi,  
Tam go wtrąca: tam ogień wiecznie dymi i czadzi.

Z ust ministra buchają przeokropne fetory,  
Nikt podobnych nie wachał, ani znał do tej pory;  
Kto raz blisko podejździe, nie pomogą doktory,  
Wnet gościec go połamie, na wieki będzie chory.

Nie było w żadnym domu, to wam powtarzam wiernie,  
Kloaki ani rzeczy cuchnącej tak bezmiernie,  
Na tysiące mil wokoło czuć te źle wonne czernie;  
Ten zaduch ma swe źródło w piekiel dolnej cysternie:

Tam się roją ropuchy, jaszczury rozmaite,  
Bazyliżki i żmije, źle i niesamowite,  
Smoki mają kły długie, ostre i jadowite,  
Żrą ciała potępieńców a są zawsze niesyte.

Są też djably ogromne, aż przechodzą mię ciarki:  
Maczugami grzesznikom łamią żebra i barki,  
A wszystka owa zgraja czarniawa jak ogarki,  
Za świętymi powtarzam — a wiernie bez przechwatki.

Obrzydliwe są lica tej piekielnej kompanji;  
Jakie gdzie rosna ciernie od Krymu do Hiszpanji,  
Poobrywała wszystkie, niemi chłoszcze i rani,  
Niema większej uciechy dla mieszkańców otchłani.

Od rana do wieczora roboty nie przestaje,  
Wciąż z otwartej paszczyki ogniem pogańskim ziaje.  
Łapy ci ma kósmate, a rogi jak buhaje,  
Ciągłe wyje jak wilcy i jako pieski łaje.

Kto im popadnie w ręce, to nieprędko z nim kończą:  
Zaraz go rzuca w wodę takim chłodem mrozącą,  
Że dzień zda mu się rokiem, zaczem go znowu strąca  
Do następnego kotła w wodę jak żar gorącą.

A gdy go ta ogarnie i warem, i bulgotem,  
Rychło chciałby do pierwszej być rzucony zpowrotem,  
I tak na wieki wieków zostanie z tym kłopotem,  
I już się nie wykupi ni srebrem, ani złotem.

A kiedy tak w tych kotłach i ziębi się, i praży,  
Przyjździe przed tron Belzebub, najsprawniejszy z kucharzy,  
Porwie duszę jak wieprza i na rożen go wrazi,  
By ją spiec jak się godzi dla dworu dygnitarzy.

Potem solą zasypie, sadzy, mazi dobierze,  
W żółci i mocnym occie należycie wypierze —  
W truciznie go wymoczy, zmaceruje w imbierze,  
Od sosu tak smacznego niechaj was Pan Bóg strzeże.

Przed króla piekielnego na półmisku go dźwiga.  
Gdy zobaczy potrawę stary smakosz i wyga,  
Pokosztuje i wrzaśnie: «Nie wart tyle co figa:  
Mięso wcale surowe, jeszcze świeżą krwią rzyga,

Jeszcze gotów zachorzeć po tym marnym bankiecie,  
Zanieś go, skąd zabrałeś: niech się wszystek dopiecze,  
Wsadź zpowrotem na rożen, puść mu płomień po grzbiecie,  
Co pod twoim kominem ciągle się pali przecie.

A nie podawaj znowu, nie życzę tej pieczeni,  
Niech go kuchta ma w pieczy, a niechaj się nie leni  
I robi wraz, co każe, jeśli swą skórę ceni,  
Na co grzesznik zasłużył, to się już nie odmieni».

\_\_\_\_\_ (*Crest. ital., nr. 128, II, w. 1—112.*)

## WENECJA

### MARCO POLO

(1254—1323)

#### II. MILIONE, Z R. 1298

#### § XXXI. O Starcu z góry i jak urządził Raj, i o assasynach

...Kazał zasadzić między dwiema górami w dolinie najpiękniejszy ogród i największy na świecie, z wszystkimi gatunkami drzew owocowych, z najpiękniejszymi pałacami, malowanymi złotem w zwierzęta i kwiaty. Płynęły w nim kanały z wodą, miodem, winem. Byli w nim najurodziwsi młodzieńcy i młodzianki, umiejący śpiewać, grać i tańczyć. A starzec kazał wierzyć, że to był «Raj»... Starzec chował na swoim dworze wszystkich chłopców dwunastoletnich, rokujących wielką dzielność. Kiedy ich osadzał w ogrodzie po 4, po 10, po 20-stu, dawał im zażywać opjum; spali 3 dni; w czasie tego kazał ich przenosić do ogrodu, a potem budzić. Kiedy, obudzwszy się, oglądali owe przepychy, wierzyli, że naprawdę są w raju... A kiedy Starzec chciał kogoś uśmiercić, dobierał najodpowiedniejszych, a oni chętnie spełniali rozkaz, aby powrócić do «Raju». Wielu królów płacił mu trybut z samego strachu. Prawdą jest, że w r. 1277 Alan, władca Tatarów zachodnich, znający owe nieczne sprawy, zamierzył zniszczyć go i posłał swoich baronów przeciw owemu ogrodowi. Trzy lata oblegali zamek, nim go dostali, a i to ogłodzwszy załogę. Wtedy został pojmany i zabity Starzec i wszystek jego lud, a odtąd nie było już «Starca»; na nim skończyło się panowanie.

#### § LV—LVI. Jak prezbiter Jan wyruszył przeciw Dżengischanowi

Kiedy prezbiter Jan dowiedział się, że Dżengis wyruszył przeciw niemu, pchnął swoje wojska i przybył na równinę o 10 mil odległości od jego obozu; każdy z nich wypoczywał, by pokrzepić siły do bitwy. Równina owa zwała się Tengut (Tenduc). Pewnego dnia Dżengis przywołał astrologów chrześcijańskich i saraceńskich i kazał im wróżyć, kto będzie zwycięzcą. Chrześcijanie przynieśli laskę i rozcięli ją wzdłuż, i położyli jedną połowę po stronie Dżengisa, drugą po stronie prezbitera Jana, i wypisali na każdej jedno imię, i powiedzieli: «Czyja laska wyskoczy na drugą, ten zwycięży». Dżengis kazał im wróżyć co najprędzej. Chrześcijanie mieli z sobą psalterz i odczytali kilka wierszy i psalmów zaklęcia; tedy laska z imieniem Dżengisa wspięła się na drugą, a to widzieli wszyscy, którzy tam byli...

Potem ustawili się do bitwy i walczyli zacięcie, była to bitwa największa, jaką znano, z najcięższymi stratami po obu stronach, ale Dżengischan wyszedł zwycięzcą; prezbiter Jan poległ, a od tego dnia stracone było wszystko jego państwo...

#### § LXXXVI. O palących się kamieniach (węglu kamiennym)

Prawdą jest, że w całej prowincji Kataju znajduje się rodzaj czarnych kamieni, które się wydobywa z gór, jak żyły metalu, a które płoną jak luczywo, a utrzymują

ogień dłużej niż drwa. Kiedy się je wieczorem rozpali, to jeżeli przejdą całe żarem, to utrzymują ciepło przez całą noc; w całej prowincji Kataju nie palą czem innym. Posiadają wprawdzie drzewo, ale owe kamienie są tańsze i stanowią wielką oszczędność.

(Marco Polo, *Il Milione*, ed. Olivieri Scrittore d'Italia, Bari Laterza 1912.)

## SZKOŁA «NOWEGO SŁODKIEGO STYLU»

GUIDO GUINIZELLI

(ok. 1240—1276)

### SONET

Tu wam opowiem pani mojej wdzięki:  
Lilją się bieli, a różą się ploni,  
Jest porównana do gwiazdy jutrzejki;  
Wszystko, co piękne, jest podobne do niej.

Do kwiatu z barwą różową i złotą,  
Do mieniającej się, przezroczyściej fali;  
Podobna srebru i drogim klejnotom,  
Sama się miłość przez nią doskonali.

Stąpa po drodze taka umilona:  
Tego pozdrowi, a w tym dumę zniży;  
Człek obcej wiary przez nią się nawróci,

Zły człowiek z lęku do niej się nie zbliży,  
Jeszcze te nosi niebiańskie znamiona,  
Że kto ją widział, nie zazna zlej chuci.

(*Crest. ital.*, p. 298.)

### O NATURZE MIŁOŚCI

W sercu szlachetnem miłość ma mieszkanie  
Tak, jak ptak pośród gałęzi ogrodu;  
W jednym dniu z sercem szlachetnem kochanie,  
Z kochaniem grzeczność stworzyła przyroda.  
Wraz kiedy było utworzone słońce,  
Na świat wyblęły zeń świty przejasne,  
A nie wprzód niż słońce.  
Ze szlachetności kochanie wynika  
Tymże sposobem właśnie,  
Co z ogniowego żar bije płomyka.

W zacności miłość tak samo się zbiera,  
Jak moc wewnętrzna w klejnocie się łączy;  
Żadna gwiazdzista nie ześle jej sfera,  
Aż jego głębi skra słońca dosięże,  
Więc kiedy słońce z kamienia wypędzi  
To, co w niem było i brudne, i podle,  
Wtedy mu gwiazda swej mocy nie szczędzi.  
Zacne i prawe, proste i bez chuci  
Serce, stworzone na tę samą modłę,  
Pani jak gwiazda kochaniem ocuci.

W sercu szlachetnem miłość tak się gnieździ,  
 Jak na świeczniku płomień; — nie inaczej  
 Dąży ku górze, gdzie się niebo gwieździ,  
 Taki jest dumny: kłonić się nie raczy.  
 Kiedy natura licha  
 Gdzieś się z miłością zetknie mimochodem,  
 Wzajemnie się odpycha  
 Tak, jak z płomieniem woda  
 I jak gorącość z chłodem.  
 W sercu szlachetnem dla miłości czystej  
 Dom wystawia przyroda,  
 Jak dla magnezu w rudzie żelazistej.

Na garstkę błota promień słońca pada —  
 Słońcem zostaje słońce, błotem błoto;  
 Mówi pyszałek: szlachcic-em z pradziada,  
 A jest jak ten pył odziany jasnotą.  
 Bowiem fałszywe jest ludzi mniemanie,  
 Że zacność może istnieć sama przez się  
 Nawet w królewskim stanie;  
 Jeśli jej cnotą nie dobędzie z siebie,  
 Będzie jak woda, gdy światła nie wessie;  
 Światło, jak przódy, zostanie na niebie.  
 W Inteligencji niebieskiej wyblyska  
 Stworzyciel jaśniej, niż świt w ludzkim oku:  
 Ona pojmuje go, bo widzi zbliżka.  
 Tem pojnowaniem sfera, w swem otoku  
 Posłuszna, w myśl się przeznaczenia kręci.  
 Tak samo winien z pani swej spojrzenia  
 Pojąć treść, która w jej oczach jest żywa,  
 Bogiem natchnionej chęci  
 Miłośnik, co się od niej nie odrywa.

Gdy dusza moja przed Boga obliczem  
 Stanie, on rzecze: «Takżeś-to zuchwała?  
 Pokochałaś tam rzecz, która jest niczem,  
 Bo ci się moim obrazem wydała?  
 Chwałę Majestat Boży  
 Sam jeden winien mieć i Niebios Pani,  
 Przed którą fałsz się korzy».  
 Na to odpowiem: «Żeś się nią pochłubił,  
 Jak swym aniołem, przeto niech nie gani  
 Twa moc, żem się w niej jak w anioła wluubił».

(Nannucci, *Manuale della letteratura, Firenze 1874, t. I, p. 33.*)

## DANTE ALIGHIERI

(1265—1321)

### NOWE ŻYCIE

#### § 26

Taka dostojna i tak pełna wdzięku,  
 Kiedy, witając, skinie komu głową,  
 Że drżą mu usta i niemieje słowo,  
 A wzrok omdlewa z samego załęku.



Stąpa, a za nią brzmią pochwalne głosy,  
Wszystka w łaskawą uprzejmość odziana;  
Aby objawić cud, od progów Pana  
Tu ją ziemianom zesłały niebiosy.

Oczy, w nią patrząc, radować się muszą,  
A wzrok omdlewa z samego załęku;  
Kto nie doświadczył, zrozumieć nie zdoła.

Rzekłbyś, że z warg jej zlatujący woła  
Duch umiłony i pełen kochania,  
Co każe twojej duszy: westchnij, duszo!

#### § 42

Poza tę sferę, co najszerszym śmiga  
Lotem, idą me miłosne westchnienia;  
Nowy intelekt, zrodzony z cierpienia,  
Party Kochaniem, ku górze je dźwiga.

Gdy duch mój dotarł tam, gdzie iść pożądał,  
Ujrzał niewiastę; dwór nieba się korzy  
Przed nią; a ona siedzi w blasków zorzy;  
Tam mój duch-pielgrzym na dziwo poglądał.

Zleciawszy ku mnie, powiadał jej chlubę;  
Lecz chociaż mówił tak, jak słuchać życzę  
W sercu zbolełem, sens był mi zawity.

To wiem, że mowa była o mej miłej,  
Bo w niej wracało imię: Beatrycze.  
Tak też rozumiem, panie moje lube.

W teorii spirytualistycznej Dantego duch, oderwany od ciała, stanowi jakby odrębną osobowość. Co opowiada zmysłom ziemskim, jest im niepojęte. Zmysł słuchu jedno chwytą — imię ukochanej pani; po niem poeta domyśla się, kto jest ową ułbogostawioną.

#### PIEKŁO

P. XXXIII, w. 28—84. Epizod Ugolina (warjant)

...Śniło mi się więc, że ten pan nad pany  
Polował wilka i młode wilczęta  
W górach, co kryją Lukę przed Pizany.

Galand, Sismondi, Lafranchi, panięta  
Pizańskie biegli na orszaku czele,  
Z nimi suk sfora chuda i zawzięta.

Lecz pomęczeni, nie ubiegli wiele  
Ojciec i dziatwa; wnet na nich oblawy  
Spadły, kły ostre topiąc w wilczem cielem.

Zbudzon przed świtem do bolesnej jawy,  
Słyszę, a przez sen dzieci me, katuszy  
Mej towarzysze, łkają, prosząc strawy.

Srogi, jeśli się nie przerazisz w duszy  
Tego, co senna wróżyła mi zmora,  
Gdy tu nie płaczesz, to cóż cię poruszy?

Już się ocknęli; nadchodziła pora,  
Gdy zwykle jadło podawały straże;  
Od snów nam wszystkim dusza była chora.

Szczęk zdołu straszną prawdę mi ukaże:  
Drzwi zagwoźdżono! zamknięto nas w grobie!...  
Tedy spojrzalem, niemy, w synów twarze.

Jam nie zapłakał; skamieniałem w sobie;  
Lecz chłopcy łkali; mój Anzelmek mały:  
«Ojczy» — rzekł — «patrzysz tak dziwnie! co tobie?»

Jam nie zaszlochał; milczałem dzień cały  
I noc, do chwili, kiedy gwiazdy gasną;  
Aż gdy po nocy tej nastał dzień biały

I kiedy w klatce zrobiło się jasno,  
W cztery oblicza spojrzę, i tak na nie  
Wzrok kładąc, twarz w nich odgaduję własną.

Więc ręce sobie z bólu do krwi ranie,  
A oni, myśląc, że to ból ze czczości,  
Nagle się dźwigną: «Ojczy nasz i paniel!»

— Wołają do mnie — «oszczędzisz żalości,  
Z ciał naszych jedząc: tyś nas oblókł niemi,  
Wolno-ć je zezuć z naszych nędznych kości!»

By ich nie płoszyć, zmiłkłem, i tak niemi  
Trwaliśmy dwa dni z nadziei zatrąą,  
Czemuś nie pękło twarde łono ziemi?

Aż kiedy czwarty dzień blysnął za kratą,  
Gaddo do kolan moich się przywlecze  
I woła: «Czemu nie ratujesz, tato?...»

Wołał i skonał; jak mnie tu, człowiecze,  
Widzisz, tak każde z mych dzieci konało  
Do dnia szóstego; więc mi wzrok wycieczce

W strugach krwi; poprzez każde martwe ciało  
Pełzam i trzy dni wołam na nieżywe...  
Potem się życie głodem dokonało. —

Skończył i białka wywrócił straszliwe,  
I zęby w czerep znów zapuścił siny,  
Twarde i, jak psie, krwawej kości chciwe.

O Pizo, pięknej zakało krainy,  
Gdzie brzmi lubego «si» nuta pieszczona,  
Gdy się nie kwapią twych sąsiadów syny,

Niech cię Capraja porwie i Gorgona:  
U Arnowego ujścia tamą wspięta,  
Potopem zguby twych mieszczan dokona.

## PIERWSZY HUMANIZM

FRANCESCO PETRARCA

(1304—1374)

KANCONA «ITALIA MIA»

Italjo moja, gdy próżno się garną  
 Słowa, by mękę twoję  
 I te śmiertelne na twem ciele rany  
 Opisać, niech choć westchnieniem napoję  
 Kraj, co go Tyber zamyka i Arno,  
 I Pad, gdzie dzisiaj żyję zatroskany.  
 Królu, Panie nad Pany!  
 Te litościwe oczy, co cię wiodły  
 Zejść do nas, obróć ku krainie lubej.  
 O, Panie pełen chluby,  
 Patrz, z małych przyczyn taka sroga wojna! —  
 Pierś kamienna i zbrojna,  
 Serce Marsa zajuszne  
 Niech się rozkuje i niech udobrucha,  
 A to, co Bogiem słuszne,  
 Niech z moich lichych ust mój lud wysłucha.

Wy, którym dała fortuna uprzążę  
 Na te piękne dzierzawy,  
 Których się gnębić nikt z was nie przestrasza,  
 Mówcie, co znaczą te obce orężę?  
 Nasze kwietne murawy  
 Krew barbarzyńców gwoli czemu zrasza?  
 To jest ułuda wasza:  
 Mało widzicie, mniemając, że dużo,  
 W sprzedajnych sercach szukający wiary.  
 Z liczniejszymi sztandary  
 Liczniejszych wrogów ma w tych, co mu służą —  
 Och, ten potok straszliwy  
 Z jakich dzikich ustroni  
 Zebrał się zalać nasze słodkie niwy?  
 A jeśli z własnej dłoni  
 Klęski się wałą, kto z nas wyjdzie żywy?

Dobrze to, widzimy, natura się trzyma,  
 Gdy niebosiężne Alpy między nami  
 A tą wściekłością teutońską zasklepia.  
 Lecz nas chciwości wada tak oslepia,  
 Oszukuje i ludzi:  
 Na zdrowem ciele pokładła liszaje;  
 W tej samej żyją kleci  
 Łagodne owce i rozbójcze zgraje,  
 Zacniejszy zawsze pod uciskiem jęczy;  
 A ten wstyd bardziej dręczy,  
 Że z dłoni ludu, który praw nie znosi:  
 Co mu, jak powieść głosi,  
 Marjusz tak przebódl boki  
 I tyle w rzekę ściekło zeń posoki,

Że zwycięzca spragniony  
Więcej niż wody, wypił krwi czerwonej.

Niecham Cezara, co świata rozłogi  
W krwi kąpał niegodziwej,  
Żelazem naszym wyprutej z ich łona.  
A dzisiaj zda się, że od gwiazdy mściwej  
Ten los wam spłynął srogi  
Za ziemię, co wam była powierzona.  
Wola wasza zwaśniona  
Najurodziwsze z niw padolnych plami.  
Jakiż to rozmyśl, przeznaczenie, zdrada  
Niepokoił sąsiada  
Pustoszyć jego ubożuchne włości  
I poza granicami  
Zawiazywać sojusze,  
Znosić, że kupczą życiem dla korzyści.  
Prawdę mówię, bo muszę,  
Nie zaś z pogardy, ani nienawiści.  
Powiedzcie, czy to jeszcze nie pomnicie  
Bajowarskiej obłudy,  
Co, wznosząc palec, z śmierci stroi żarty?  
Ten szyd jest gorszy niż klęski i trudy.  
Zato wy się krwawicie,  
I gniew was bodzie na swoich rozżarty.  
Nocą, po trzecie warty  
Myślcie i liczcie, jak skąpo mierzona  
Jest miłość ku wam, gdy sobie tak hojna.  
Italska krwi dostojna,  
Otrząśnij z siebie te zgubne brzemia!  
Jako to nazwa płona:  
«Bożyszczce», co jest niczem,  
Tak onych z wściekłem napozór obliczem,  
Gdy ich rozum nie zdusi,  
To nie ich wyższość, wina w nas tkwić musi.

Nie tu-ż mych kroków strzegła pierwsza wiosna?  
Czy to nie gniazdo moje,  
Ziemia, co słodkim mlekiem mię karmiła,  
Moja ojczyzna, bezpieczeństwo moje?  
Macierz czuła, litosna,  
Gdzie spoczywają ojciec, matka miła.  
Trudno, by nie wzruszyła  
Myśl ta: niech się nią bezlitość przełamie.  
Patrzeć na boleść ludu,  
Co od was, niby cudu,  
Oczekuje pokoju;  
Od was po Bogu; a gdy w was nie skłamię  
Jakieś spólczucia znamię,  
To moc przeciw zajusze  
Podejmie walkę; krótko będzie trwała.  
Stara dzielność, tak tuszę,  
W italskiej piersi jeszcze nie zwątląta.

Panowie, patrzcie: czasu nie ubłaga:  
Za czasem biegnie życie;

Dziś tu jesteście, jutro — w jakim bycie?  
 Dusza samotna, naga  
 Pójdzie: czeka ją niebezpieczna ścieżka.  
 Wejść na nią nie omieszka,  
 Niechże złości się chroni,  
 Wichury wrogiej ludzkiego żywota.  
 A to, co się w was miota  
 Przeciw rodakom, ku czynom się skłoni  
 Godnym ducha czy dłoni,  
 Na dzieło czci i chluby,  
 Lub na szukanie prawdy, trudu warte,  
 Świat się wypiększy luby  
 A wrota nieba będą wam otwarte.

Pieśni, leć z mem poselstwem,  
 Wywody swoje ułożywszy grzecznie.  
 Między lud dumny wstąpić ci wypada,  
 W których łonie zasiada  
 Prastara wzgarda: tknąć ją niebezpiecznie,  
 Z prawdą zwaśniona wiecznie. —  
 Ale cię przyjmie może  
 Ktoś wielkoduszny: o tym dobrze rokuj.  
 Pytaj: kto mi pomoże?  
 Oto w głos wołam: Pokój, pokój, pokój!  
 (Kanonca «Italia mia», I, CXXVIII.)

## SONET

«*Pace non trovo*»

Choć wojny nie chcę, pokój we mnie kona,  
 Strach mi a pragnę, marznę a war zre mię,  
 Wzlatam ku niebu, opadam na ziemię  
 I bez uścisku świat biorę w ramiona.

Ktoś mi folguje, a strzeże mych kroków,  
 Swoim mię zowiac — niema o mnie pieczy:  
 Ani mię rani miłość, ani leczy,  
 Nie chce mej śmierci, a nie puszcza z oków.

Widzę bez oczu, bez języka krzyczę;  
 I pragnę zginąć, i wołam w potrzebie,  
 Miłuję kogoś, siebie nienawidzę:

Boleść — mój pokarm, płacz za napój liczę,  
 Życiem i śmiercią zarówno się brzydzę,  
 — Wszystko to, pani, przenoszę dla ciebie.

Sonet powyższy jest zbudowany na stylistycznej figurze sprzeczności (kontrast), która przejdzie do baroku i przetrwa aż do naszej przedziwnej kolędy: Bóg się rodzi, moc truchleje...

## SONET

*S'amor non è che dunque è quel qu'io sento (Son. 88)*

Jeśli nie miłość, cóż jest, co ja czuję?  
 Jeżeli miłość, co w niej jest za władza?  
 Gdy dobra, czemu śmierć na mnie sprowadza,  
 Gdy zła, dlaczego w tem złem się lubuję?

Jeżeli chętnie plonę, czemu boli?  
 Jeśli niechętnie, to-ć lament daremny;  
 O żywa śmierci, o bólu przyjemny,  
 Czem zdołasz działać tyle wbrew mej woli?

A jeśli z wolą, to czemuż się żalę?  
 Śród sprzecznych wiatrów jestem jak podróżny  
 W łodzi bez steru rzucony na fale:

Ciemnością pełny a mądrości próżny:  
 Nie wiem, czego chcę, co się ze mną dzieje,  
 Drzę pośród lata, a w zimie goreję.

#### WEJŚCIE NA «GÓRĘ WIETRZNĄ»

Wyszedłem na górę najwyższą tej części kraju, którą słusznie zowią «Wietrzną», z samej chęci oglądania niezwykłego szczytu: oddawna żywiłem w duszy to życzenie, od dziecka bawilem w tych stronach, jak wiesz, losu rządzeniem przebywałem.

Góra bowiem zdaleka zewsząd jest jakgdyby na oczach widna. Chęć moja zaczęła rósć, zwłaszcza kiedy czytającemu stare dzieje rzymskie u Liwjusza nasuwało się to miejsce, kiedy to Filip, król macedoński, ten sam, który prowadził wojnę z Rzymianami, wstąpił na górę Haemon w Tesalji, gdzie ze szczytu dwa morza oglądał, rzekomo Adrjatyk i Euksyn; prawda-li czy nieprawda — nie wiem, bo i góra naszych dziedzin jest daleka i niezgoda pisarzy czyni rzecz niepewną... Lecz wracam do owej góry: Szukając towarzysza, dziw powiedzieć, zaledwie jednego znalazłem odpowiedniego do wyprawy. Tak bowiem, nawet między drogimi sobie, rzadka jest zgodna jednolitość woli i usposobień...

Zwracam się tedy po pomoc do najbliższych, zwierzam się z zamysłem swoim jednemu bratu, młodszemu wiekiem, znanemu tobie. Nic nie mogło uradować go bardziej — był mi bowiem tak przyjacielem, jak bratem. Oznaczyliśmy dzień, wyszliśmy z domu i nad wieczorem przybyliśmy do Malanceny: miejscowość ta leży u podnóża góry, zwrócona ku północy. Tam zatrzymaliśmy się jeden dzień i dziś potajemnie z kilkoma posługaczami weszliśmy na szczyt, nie bez wielkiego trudu, góra jest bowiem spekana i prawie niedostępna z powodu gruntu kamienistego. Ale dobrze powiedział poeta: «Praca mozolna wszystko przezwycięża».

Dzień pogodny, powietrze czyste, duszna ochota, tęgość i zręczność mięśni, u wszystkich jednakie i u wszystkich na zawołanie. Przeszkadzała nam jedynie natura miejsca. Spotkaliśmy w jednej dolinie starego pasterza, ten nas usilnie od wstępowania odwoził, powiadając, że sam przed 50-ciu laty w młodzieńczej porywczosci na szczyt się wspinał, ale nic stamtąd nie przyniósł, prócz rozczarowania, zmęczenia, poraniony, w ubraniu podziurawionem na skałach i cierniach; nie słyszał też ani przedtem, ani potem, aby ktoś na to samo się ważył. Kiedy tak rozgadywał, w nas młodych, niedbających o przestrogi, rosła owszem ochota dopięcia celu. Starzec tedy, spostrzegłszy, że próżno się trzodzi, podszedłszy nieco dalej, między skałami stromą ścieżkę palcem nam ukazał, jeszcze raz upominając i zdaleka nas wzdychaniami żalonymi ścigając. Pozostawiliśmy na dole odzież i wszystko, co mogło nam zawadzać, i przygotowawszy się, ochnocho poszliśmy naprzód. Ale, jak się zwykle dzieje, za zbytnim wysiłkiem idzie prędkie zmęczenie. Niedaleko zatem na skale usiedliśmy. Stamtąd już powolniej, zwłaszcza ja, gdy brat szedł prosto w górę, krążyłem niższymi przejściami, a gdy mi wskazywał prostą ścieżkę, odpowiadałem, że z drugiej strony spodziewam się znaleźć łatwiejszy dostęp i że nie przestrasza mię dłuższa droga.

Tą wymówką zasłaniałem gnuśność, i gdy tamci już dosięgali szczytu, ja po dolinach błądziłem, nigdzie jednak nie znajdując łagodniejszego stoku; tymczasem droga i zmęczenie rosły...

Śród ciągłego błądzenia w jednej dolinie spocząłem. Tam po chwili takimi do się przemówiłem słowy: «Co się tobie dziś zdarzało przy wchodzeniu na górę, to może

się także zdarzyć jeszcze zarówno tobie, jak i drugim w dążeniu do szczęśliwości. Ale tego ludzie nie spostrzegają, gdyż działania cielesne są jawne, duszne zaś zakryte. A przecież życie, które zowiemy szczęsnem, położone jest wysoko i ciasna ku niemu wiedzie droga...» Przełęcz leży najwyżej, którą gmin nazywa «synkiem», nie wiemy dla- czego...

Na wierzchu mała równinka, tam nakoniec, zatrzymawszy się, odpoczęliśmy. A skoro słyszałeś, jakie przy wyteżonem wejściu przebyliśmy trudy, usłysz, ojcze, resztę i jedną godzinę poświęć całodziennej mojej pracy. Naprzód więc niezwykle tchnieniem wiatru i swobodnym naokół widokiem przejęty, jakby ostupiały, stanąłem. Spojrzę, chmury sunęły pod nogami. Już mniej nieprawdopodobne wydały mi się Athos i Olimp, gdy to, co o nich słyszałem i czytałem, na górze mniejszej sławy spostrzegam. Zwracam następnie promienie oczu ku dziedzinom Italji, gdzie się bardziej duch mój skłania: Alpy owe, sterczące i ośnieżone, które niegdyś dziki wróg istnienia rzymskiego przekroczył, ostrym płynem, jeżeli wierzyć wieści, skały krusząc, naprzeciw siebie oglądałem, choć z dalekiej odległości. Westchnąłem, wyznam, ku italskim sferom, duchowi raczej widnym, niż wzrokowi, i ogarnęło mię niewymowne pragnienie oglądania przyjaciela i ojczyzny, a równocześnie karcilem w sobie słabość niedojrzałego jeszcze ku męskości wieku; choć niebrak mi było usprawiedliwienia w znamienitych podobnego stanu przykładach. Zajęta mię potem inna myśl i od miejsca, gdzie byłem, powiodła ku biegowi żywota. Powiadałem sam do siebie: «Dziś dopełnił się rok dziesiąty, jak, porzucając studja chłopięce, wyjechałeś z Bolonji. O Boże nieśmiertelny, o nieodmienna mądrości, jakież, jak wielkie zmiany twego duchowego życia ów średni wiek oglądał! Nieskończone, więc je pomijam. Nie dobiłem jeszcze do portu, aby pamięcią wracać do minionych burz. Czas może nadejdzie, kiedy w tym porządku, jak się zdarzyły, wszystkie przebiegnę za przykładem św. Augustyna: Przypomnieć pragnę czyny brzydoty mojej, nie abym sobie w nich podobał, ale abym ukochał Ciebie, Boże mój. Bo dolega mi wiele wątpliwych i uciążliwych spraw: Co kochać zwykłem, tego już nie kocham, — nieprawdę mówię: kocham, ale obyczajniej, ale smutniej. Prawdę wyrzekłem, kocham, ale czegobym kochać nie chciał i cobym chciał mieć w nienawiści. Kocham jednak, lecz niechętnie, lecz z przymusu, lecz smutny i bolejący; na sobie samym sprawdzam treść głośnego wiersza: «Gdy będę mógł, znie-nawidzę; gdy nie, kochać będę niechętnie». Nie minął mi jeszcze trzeci rok, odkąd ta namiętność przewrotna i niecna ze wszystkim mię ogarnęła i w siedlisku serca mego sama bez sprzeciwu rządziła, aż trafiła na inną zbuntowaną i oporną...»

*(Francisci Petrarcae, De rebus familiaribus, l. IV, epist. 1.)*

## GIOVANNI BOCCACCIO

(1313—1375)

### FILOCOLO

#### Ks. V, Sprawa I

Po prawicy królowej zasiadł Filocolo, któremu ona rzekła: «Przedstawcie, młody panie, rzecz waszę, aby następni w porządku, jak tu siedzimy, swobodnie po was swoje powiadali».

Odrzekł Filocolo: «Szlachetna pani, bez zwłoki usłucham rozkazu waszego». I począł w te słowa:

«Pomnę, że w mieście, gdzie się urodziłem, dnia jednego zabawę piękną ustrojono, na której wielu rycerzy i panien się znalazło. Ja — między nimi — wodziłem oczyma po obecnych i obaczyłem dwóch młodzieńców bardzo dorodnej postaci; obydwaj wzroku z panny precudnej nie spuszczały, i nie poznałbyś, który większym ku niej płonął afektem. A gdy tak długo na nią poglądali, a ona na żadnego z nich baczenia większego nie dawała, jeli pogwarzać o niej między sobą i, oprócz innych, to z rozmowy ich zasłyszałem, że każdy uważał siebie za milego oczom panny i do siebie wszelkie jej poczynania stosował.

I gdy długo o tej materji rozprawiali i od wielu słów do zwady już dochodziło, zrozumieli, że źle czynili, ponieważ w tym sposobie siebie o wstyd i szkodę, a pannę o przykrość przyprowadzić mogli. Zaczem wspólną zgodą wiedzeni, samowtór przed matką panny stanęli, która równie na zabawie przytomna była, i wobec niej wyznali, że tak sprawa stoi, iż ponad wszystko w świecie jej córą im jest miła; pytają więc, którego z dwóch ona wybierze i niech im tę łaskę zechce uczynić, aby większa kłótnia wśród nich nie powstała, niech przeto córce rozkaże, by słowem lub czynem wskazała, którego bardziej miłuje.

Odpowie ze śmiechem białogłowa, że chętnie to uczyni, a przywoławszy dziewczkę, tak jej rzecze: «Piękna córeczko, każdy z nich miłuje cię bardziej od siebie; pytają więc, któren ci jest miłszy, i o łaskę proszą, abys upewniła ich znakiem lub słowem, dlatego, by z miłości, która spokój i dobro rodzici powinna, waśń nie powstała. Uczyni po ich woli i wskaż dwornem skinieniem, do którego serce twe się skłania». — Rzeka młódka: «Podoba mi się to», a poglądając na obu, ujrzała, że jeden głowę ozdobił wieniec świeżym z zieleń i kwieciami, drugi zaś był bez wienca. Więc panna, która także na głowie równiankę zieloną nosiła, naprzód swoją zdjęła i uwieńczyła nią tego, który stał przed nią bez wienca, a następnie wieniec z głowy drugiego zdjęła i siebie nim ozdobiła, poczem, poniechawszy obu, wróciła do zabawy, powiadając, że wedle wskazania matki wypełniła ich wolę.

Młodzieńcy, zostawszy sami, do poprzedniego powrócili sporu i każdy twierdził, że bardziej od panny jest kochany. Ten, którego wieniec młódka wzięła i włożyła sobie na głowę, powiadał: «Zaprawdę, mnie bardziej miłuje, gdyż nikomu, jedno mnie wieniec zabrała, dlatego, że w mej osobie znalazła upodobanie i że chwyciła sposobność, aby mi to okazać. Tobie zaś swój oddała, jakby na ostateczną odpłatę, nie chcąc, niby chłopka, zostawić twej miłości bez daru».

Drugi, przeciwnie, tak powiadał: «Zaprawdę, młódka twoje rzeczy nad ciebie przynosi, a po tem poznasz, że ci je zabrała; lecz mnie ponad rzeczy moje miłuje, gdyż swoim mnie obdarowała; dar zaś nie pożegnanie oznacza, jako ty prawisz, lecz początkiem jest przyjaźni i kochania. Dar czyni przyjmującego poddanym dawcy, więc ona może mnie niepewna upewniła się, biorąc mnie za lennika, i darem przywiązała do się, gdybym nim nie był jeszcze. Lecz ty, jakże rozumieć możesz, że ciebie nad innych wynosi, niczem cię nie obdarzając?»

I tak prawiąc, długo bawili, a rozeszli się, nie rozstrzygnawszy.

Ja zaś rzekę: «O wielka królowo, gdyby z ust waszych ostateczny wyrok miał zapasć, jakbyście osądzili?»

Z oczyma miłością prześwieconymi, uśmiechnięta lekko, zwróciła się piękna pani do Filocola, a westchnawszy cicho, tak pocznie: «Szlachetny młodzieńcze, piękna jest powieść twoja i roztropnie zaprawdę postąpiła panna, a obaj miłośnicy roztropnie swej bronili sprawy. Lecz gdy o wyrok ostateczny prosicie, tak wam odpowiemy: Widzi nam się, a równie wszystkim, którzy subtelnie sądzą, że panna miłuje jednego, lecz że do drugiego nienawiści nie żywi; lecz aby afekt swój utaić, dwie rzeczy pozornie sprzeczne uczyniła, a to nie bez celu, bo i rozmiłowała w sobie bardziej tego, który jej był drogi, a drugiego od siebie nie oddaliła. Więc roztropny to był postępek, zaś do sprawy wracając, któremu z dwóch więcej miłości okazała, powiemy, że ten, którego wiankiem obdarzyła, zdobył jej miłość, a dlaczego wywiodeć:

Gdy mąż lub niewiasta miłuje kogoś, mocą kochania tak go do przedmiotu miłości przywiąże, iż ponad wszystko przypodobać mu się stara, czyni to darem czy usługą, i to jest rzecz oczywista. Zważmy jednak, że, gdy ktoś miłuje, nad miłością rozmyśla, to stara się zdobyć przychylność osoby kochanej i wzbudzić w niej pragnienia rozkoszy, i móc te pragnienia śmiało wypowiedzieć. A że tak jest, jak powiadam, łatwo z postępków rozgorzałej Dydony poznać możemy, która płonęła już miłością do Eneasza, gdy mimo zaszczyty i dary nie zdawał się dość przywiązany, nie miała przecie śmiałości wejść na niepewną drogę błagania. Tak i panna sercem wybranego chciała do siebie przywiązać. Tak tedy mniemam, że ów obdarowany równianką był pannie miłszy».

Rzekł Filocolo, gdy zamilkła królowa:



«Roztropna pani! Godna jest odpowiedź wasza pochwały, lecz mimo iż podziw we mnie budzicie tem, coście o sprawie owej rzekli, nie lza, bym sądził tak samo. Wiadomo, iż obyczajem jest kochanków, aby pragnęli mieć przy sobie klejnot jakiś osoby umiłowanej i chlubić się jego posiadaniem, a czując go przy sobie, uciechę mieć wielką. Jak słyszeliście może, rzadko lub nigdy nie stawał Parys do walki zacieklej z Grekami bez szarfy z daru Heleny mu danej, gdyż czuł, że ona męstwa mu przysparza, zdaniem mojem, słusznie.

Dlatego zaś tak mówię, że, jak powiadaliście, mądrze postąpiła młódka, lecz ja tę sprawę wyłożę odmiennie. Wiedziała dziewczyna, że przez dwóch gorąco kochana więcej niż jednego kochać nie może, ponieważ miłość nie jest rzeczą podzielną; chciała więc jednemu miłość wynagrodzić, aby skłonność jego bez nagrody nie została, i temu ofiarowała równiankę. Drugiemu wybranemu chciała dodać odwagi, utrwalić w nadziei, że mu jest wzajemna, wzięła więc jego wieniec i siebie nim przystroiła; a tem okazała, że mu za jego dar jest obowiązana. Przeto, zdaniem mojem, umiłowała nie obdarowanego, lecz któremu odebrała wieniec...» Na to szlachetna pani rzekła: «Bardzoby nam do serca przypadło, co powiadacie, gdybyście sami słów waszych nie psuli. Spójrzycie, jakże to miłość doskonała z grabieżą może iść w parze?

Jak możecie powiadać, że kochamy tego, któremu odbieramy, bardziej od tego, którego darzymy? A przecież dar jest najbardziej oczywistym znakiem miłości.

Według opowieści, ona oddała wieniec jednemu, a drugiemu zabrała, a nie dostała go od niego; a wystarczy to, na co spoglądamy codziennie: że ci są panów ulubieńcami, którzy łaski dary otrzymują, a nie ci, którym się ich własność odbiera; rozstrzygamy więc ostatecznie, że ten był miłszy, którego obdarzono, a nie ten, któremu zabrano. Wiadomo, że w sprawie dzisiejszej wieleby można przeciw nam powiadać i zarzuty odpierać. Lecz ostatecznie wyrok ten pozostanie słuszny, a ponieważ czasu nie starczy, by go trwonić na jedną sprawę, nie mówmy o tem więcej; zaczem innych posłuchajmy».

Na to Filocolo odrzekł, że wielce mu się spodobało i zadowolilo owo rozstrzygnięcie, i tu zamilkli.

(*Giov. Boccacci, Il Filocolo, l. V, qu. 1.*)

## ODRODZENIE

(XV I XVI W. — QUATTROCENTO I CINQUECENTO)

LEON BATTISTA ALBERTI

(1405?—1472)

WIECZERZA RODZINNA (DIALOG)

Rozmowcy: Leon Baptysta, Franciszek Mateusz.

Baptysta: Kiedy dziś poglądam to na jednego, to na drugiego naszego wnuka, milcząc czuję radość i zadowolenie, rozpoznając w nich kształty i ruchy, i wyraz twarzy naszych ojców i braci; widzę, jak są dzielni i zwinni bez fałszywej skromności, a takimi — mam nadzieję — pozostaną, podobni chluba naszym przodkom, godni nosić nazwisko Albertich — dzięki Bogu — na swoją chwałę. Zaprawdę, nasi Albertowie z nieznanym mi przyczyn — a tu ich nie będę dochodził — byli cenieni i kochani nawet od tych, co ich zaledwie znali z nazwiska, nam zaś pozostała po nich dobra pamięć i życzliwość ludzka.

Mateusz: Zatem tu wobec młodych należy wskazać, co ją w oczach naszych podnosi... Słuchajcież, młodzi Albertowie, i dowiedźcie się powodów, dlaczego nasi przodkowie byli szanowani i kochani; zaczem usilnie starajcie się naśladować ich, nauczcie sposobu zdobywania łaski i sławy. Pierwszą z przyczyn było rozgąłenie rodu Albertów, potem ich dobrobyt, nieustanne przysparzanie majątności przez uczciwość, uczynność, zyskiwanie przyjaciół... Ale co najbardziej podoba mi się u naszych przodków, to owa,

jak mniemam, główna przyczyna wziętości, duch rodzinny, nieustanna łączność, łańcuch wiążący silnie ich braterstwo, tak pełne ukochania i przychylności, jak je dziś oglądam u Baptysty, który swą osobą daje przykład, jakimiśmy po nim być powinni...

(*Leon Battista Alberti, Opere volgari, Firenze 1844—1850, t. I, str. 165—167.*)

#### O MALARSTWIE

Ukazaliśmy wyżej, jaką zdolność posiada światło w odmienianiu barw; jak ta sama barwa w świetle jest inna niż w cieniu; powiedzieliśmy też, że biel i czerni wyrazi jasność i mrok; inne barwy są dla malarza jakby materją, do której przyłącza się światło i cień. Pozostaje rzec, w jakiej mierze malarz ma używać światła i cienia. Powiadają, że starożytni malarze Polignot i Timant używali jeno czterech barw; dziwiono się też, że Aglaofont rozkoszował się malowaniem z pomocą jednej tylko barwy...

Twierdzą, że zapewne liczba i różnaitość barw są w malarstwie wielce pomocne, ale zgadzam się ze starożytnymi w tem, że najwyższa biegłość i sztuka leżą w umiejętności używania czerni i bieli. Ku temu trzeba skierować wszystką wiedzę i staranność, bo jak światłocien wywołuje w rzeczach wrażenie wypukłości, podobnie czerni i biel w malarstwie. To jest źródło owej sławy, jaką posiadał Nikjas, malarz ateński. Mówią, że najslawniejszy Zeuksis miał być jakby księciem innych w owej sztuce pojmowania siły światła i cienia... Co do mnie, będę nadewszystko chwalił wizerunki, które, zda się, jakgdyby występowały z ram, a będę ganił te, gdzie nie widać innej sztuki prócz rysunku. Lubię dobry rysunek, w dobrej kompozycji, dobrze ubarwiony.

(*Tamże, t. IV, ks. II, rozdz. 25.*)

#### GIOVANNI PONTANO

(1426—1503)

#### PIĘCIOLATEK (QUINQUENIUS) I PELVINA

- Pięciolatek: Powiedz mi, mamó, powiedz mi, jedyna,  
Kto to ten Orcus?
- Pelvina: To bożek jest złośliwy,  
Strasznie na dzieci srogi. Cień jego łązi,  
Zębami kłapie; cień łązi we dnie i w nocy,  
Bije pałą i chwyta rękoma, rozdziera szponami,  
Pochłania paszczą dzieci, co płaczą w łóžeczku,  
Stroją dąsy i nie chcą chwytać się piersi.  
Zato takiego głaszczce i merda do niego ogonem,  
Gdy się uśmiecha do matki i prędko zasypia,  
Takiego, co zażywa z ochotą gorzkie ziółka...
- Pięciolatek pyta dalej, kto jest dobry Bóg.
- Pelvina: On znosi garści jabłuszek i przypiekane  
Placuszki dzieciom, co w szkole uczą się liter  
I powtarzają z pamięci wierszowane bajeczki...
- Pięciolatek: Czy on też da mi poziomek i w króbcie czereśni,  
Jeśli nie zadrę jutro z chłopcami w szkole?
- Pelvina: Ja sama dodam cedratu i moreli,  
Wiszących jeszcze na zielonej gałązce,  
Jeśli nie będziesz na podółek Otylji  
Robił nocami siusiu. Toż ona ssać ci dawała...

#### EKLOGA: LUCIOLUS (ŚWIETLICZEK) I PONTANO

Dziecino luba, jedyna, chłopię przesłodkie,  
Zmruż słabiuchne oczęta, skryj delikatne liczko.  
Czyż ci nie radzi sen: Zmruż oczy, przytul lica?

Suczka znużona leży i odpoczywa;  
 Świeliczek oczki zaspane mruży i kryje.  
 Powiej, wietrzyku, popieść mi dziecię cichutkie.  
 Szumią gałęzie, wietrzyk świeży nadlata.  
 Dziecino luba, chłopię przesłodkie, zaśnij,  
 Wietrzyk cię pieści, matka tuli do łona...

(G. Pontano, *Carmina*, ed. Soldati, Firenze 1902, 2 vol.  
 Teksty niniejsze, w oryginale heksametry, wybrane z dzieła Ph. Monnier,  
 Paris 1901, 2 vol., vol. I, p. 319—321.)

## JACOPO SANNAZZARO

(1456—1530)

### ARKADJA

#### Opowiadanie Ergasta

Proza I w formie frottole, z rymem środkowym.

<p>W krynicznej wodzie prawie po kolana,          Fałą pryskana, w ciepłym słońcu stała          I chusty prała, przyspiewując rada.          Lecz gdy — «o biada» — ujrzała mię dziewczka          Uroczą, śpiewka umilkła odrazu.          Stałem jak z głazu; na większą udrękę          Ścisła sukienkę, nagle się odwróci</p>	<p>I sobą rzuci, po pas kryjąc w fałę,          A ja się żalę niewymownej szkody          I mdleję; z wody dziewczyna wyskoczy,          Zalewa oczy łzami, aż się ślania.          Na jej wołania wbiegają pasterze,          Ponad wybrzeżem zdroju koczujący...</p>
--	--

#### Proza V

Żal na śmierć pasterza Androgea w formie kancony petrarkicznej  
 z odgłosami wergiljańskimi.

<p>Duchu piękny i święty,          Któryś ziemskie regiony          Rzucił i świat padolny.          Niekępowany już ziemskimi pęty,          Z gwiazdą swą zespolony,          Żywiesz, doczesnych umiłowań wolny,          Błaskiem na świat okolny          Lśniesz, równych duchów otoczony gromadą,          Krążąc po planet szlaku          Niebieskiego zodiaku.          Śród nurtów, nad kaskadą          Twój dwór się życiem cieszy;          Stamtąd panujesz swej pasterskiej rzeszy.</p> <p>Inne góry i nize,          Gaje, krynice rwiste,          Inne tam kwiaty na niebieskiej błoni;          Fauny, Sylwany chyże          Zamieszkują cieniste          Gąszcze, każdy tam swoją nimfę goni,          Wkrąg wonne rosą drzewa;          W cieniu siedzą i nucą          Dafnis i Melibeo;          Przy nich nasz Androgeo:          W trzech niebo rozesmuca,          Powietrze rozedzwonia          Swą niesłyszana u niebian harmonją.</p>	<p>Czem jest bluszcz dla leszczyny,          A byk dla swego stada,          A dla pól zagon kłosami posyty,          Tem on dla swej drużyny;          W nim chwałę swą zakłada.          Śmierci, któż ujdzie żądzy twej niesytej,          Gdy kruszysz skalne szczyty?          Czyż w tej ziemskiej dziedzinie          Drugi taki gdzie słynie,          By śpiewem rozzieleniał          Gaje i liściem strumienie ocieniał?</p> <p>Płaczą śmierci pasterza,          Boginie płaczą święte,          Wiedzą już o niej zdroje, buki, grotty,          Murawy i nadbrzeża,          Ziola jakby podcięte,          Słońce się kryje za wschodniemi wroty,          Wyjść nie mając ochoty.          Na ruń dzikie zwierzęta,          Trzody ciągnąć się boją,          Ni się pasą, ni poją,          Tak je śmierci żal pęta;          Z rana, we dnie, wieczorem,          Hej, Androgeo, ten jęk chodzi borem.</p>
--	---

(J. Sannazaro, *L'Arcadia*, Class. ital., Vol. 52, Torino 1926.)

## SERAFINO D'AQUILA

(1466—1500)

## STRAMBOTTO

Każą tve oczy sercu: fora, fora!  
 Przeciw nim twa obrona marna, marna;  
 Hu, hu, hu, rabuj, rabuj, zabij, zabij,  
 W ogień, ogień, do lodu, lodu, żywo, żywo!  
 Na to ja cicho, cicho, głośno, głośno:  
 Przyjdź, o przyjdź, bieżaj, bieżaj, śmierci, śmierci,  
 Albo znów głośniej, głośniej, ciszej, ciszej:  
 Hej, wody, wody, gore, gore, rety, rety!

## SONET

Zczasem pod jarzma lęk wieśniak układa  
 Rozjuszonego, niekarnego byka;  
 Zczasem krogulec do hasła przywyka,  
 Wściąga lot górny i na pięści siada.

Zczasem nie wzdraga się swego łańcucha  
 Niedźwiedz, odyniec przydomawia wściekły;  
 Zczasem gór granit, gdy weń wody wciekły,  
 W proch się rozpada, niby wydma krucha.

Zczasem się wali najtęższe z drzew boru,  
 Zczasem się zniża górskiej turni ściana;  
 Tylko ja złamać nie mogę oporu

Serca, skąd wszelka słodycz jest zabrana.  
 Ona przewyższa w dumie nieużytej  
 Niedźwiedzie, byki, krogulce, granity.

*(Opere dello elegantissimo poeta Serafino Aquilano, Firenze 1516.)*

## BENEDETTO CARITEO-GARETH

(1450—1516)

## SONET

Ja i ty, pani, pójdziem niewątpliwie  
 Razem za Styksu nieustępną falę:  
 Ty — żeś okrutna, ja — że zbyt zuchwale  
 Oczy wieszale na niebiańskim dziwie.

Lecz, że mój widok jest ci przykry, pani,  
 Większa ma radość, twój ból będzie większy;  
 Tem się mój żywot piekielny wypiększy,  
 Sam będę wesół wśród smutnej kompanji.

Olśniony blaskiem nadziejskiej urody,  
 Będę miał wizję raję pośród piekła:  
 Zaprawdę, większej nie pragnę nagrody;

Gdy będziesz przy mnie, próżno dowcip strwoni  
 Szatańska sfora, choćby się zaciekła:  
 Kto chce mej męki, niech mi wzrok przysłoni.

*(Benedetto Gareth, detto Il Cariteo, 2 vol., ed. Percopo, Napoli 1892.)*

## BALDASSARE CASTIGLIONE

(1478—1529)

## NA ŚMIERĆ RAFAELA MALARZA

Że ratując od śmierci, zbawienne niósł leki  
Twoim okaleczalym członkom, Hippolycie,  
Asklepjos sam był porwan w nurty martwej rzeki:  
Tak skonem własnym cudze mistrz okupił życie.

Podobnie ty, gdy Rzymu pokruszone ciało,  
Trup zżarty ogniem, mieczem i długimi laty,  
Rafa elu, chcesz wrócić sztuką doskonałą  
Do bytu i prastare wrócić mu poświęty,

Wzbudziłeś Bogów zawiść. Przeto się obrusza  
Śmierć, że przez ciebie wstąpi w martwy zewłok dusza,  
Że co wiek długi zniszczył i w nicość podawa,

Umiesz ocucić, czasu pogwałciwszy prawa.  
Zaczem nędzny z jej ręki w młodem giniesz lecie,  
Ucząc, że władztwo śmierci jest najwyższe w świecie.

(*Baldassare Castiglione, Opere volgari, ed. Volpi, 1733, p. 353.*)

## DWORZANIN

Ks. II, § 54—55

Dolożył tedy pan Bernardo: Mierna przesada nudzi; ale niepomierna pociąga do śmiechu. Tak kiedy ktoś rozprawia o swojej wielkości, dzielności, szlachectwie, zaś niewiasty — ta o swej urodzie, ta o czułości. Jak niedawno pewna szlachetna pani, kiedy na wielkiej zabawie stała jakby niechętnie, zamysłona w sobie. Owoż kiedy ją pytano, czemu taka smutna, odrzekła: «Myslałam o jednej rzeczy, która, gdy ją przypomnę, wielce mię gnębi, tak, że nie mogę wydrzeć jej z serca; to jest kiedy w dzień Sądu Ostatecznego ciała zmarłych zmartwychpowstaną i zjawią się bez odzienia przed trybunałem Chrysta, to nie mogę znieść męki, przemyślując, że i moje będzie oglądane wcale nagie». Taka przesada, wychodząca poza granice, budzi raczej śmiech niż nudę. Takie łgarstwa, co wybrańsze, rozśmieszają; wszystkim to wiadomo. A ten oto nasz towarzysz, co ich zna niemało, temi dniami opowiedział mi jedno przewyborne. — Rzekł tedy Juljan Wspaniały:<sup>1</sup> «Niech będzie, jak chce, ale ani lepszego, ani trefniejszego nie znam od tego, co mi go jako rzecz najpewniejszą opowiedział pewien nasz Toskańczyk, kupiec z Lukki». — «Powtórz go Wasza Miłość» — rzekła księżna<sup>2</sup>. Odpowiedział ze śmiechem Juljan Wspaniały: «Ów kupiec, wedle słów własnych, przebywając pewnego czasu w Polsce, zamierzył nakupić futer sobolowych, aby je przywieźć do Italji i tu na nich sporo zarobić. Po wielu zabiegach, nie mogąc osobiście pojechać do Moskwy z powodu wojny, jaka wówczas toczyła się między królem polskim a księciem moskiewskim, przez pośrednictwo niektórych mieszkańców polecił, aby w dniu oznaczonym kupcy moskiewscy ze swojemi sobolami stawili się na granicy Polski, i przyrzekł ze swej strony, że sam tam przybędzie. Wyruszywszy zatem nasz Lukańczyk z towarzyszami w stronę Moskwy, przybył nad Borystenes<sup>3</sup> i znalazł, że był cały pokryty lodem twardym jak marmur; obaczył też, że Moskowici, pod grozą wojny obawiający się Polaków, stali już po drugiej stronie, ale oddzieleni na szerokość rzeki. Zatem porozumiewszy się wzajemnie zapomocą znaków, Moskowici poczęli mówić głośno, wymieniając cenę swoich soboli; ale mróz był tak srogi, że ich nie słyszano, bo wyrazy

<sup>1</sup> Juljan Medycejski.<sup>2</sup> Elżbieta Gonzaga.<sup>3</sup> Dniepr.

zamarzały po drodze i trwały zamrożnięte; dlatego też Polacy, znający ów obyczaj, rozpalili wielki ogień w samym środku rzeki, bo tam wedle ich rachuby znajdowała się granica, dokąd dochodził głos jeszcze na ciepło, zanim go mróz pochwylił, a lód był jeszcze tak gruby, że mógł wytrzymać ognisko. Skoro tak uczyniono, wyrazy, które były zamrożły na całą godzinę, poczęły tajać i polatać z szelestem, niby śnieg na górach w maju, i słyszano je doskonale, choć tamci ludzie już odeszli. Jednak ponieważ widno było z onych słów, że cena za sobole była zbyt wysoka, nie zakupił nic i powrócił bez futer.<sup>1</sup>

(*Il Libro del Cortegiano del conte Baldassar Castiglione, ed. Seherillo, Milano, Hoepli, 1928.*)

## FLORENCJA

NICCOLO MACHIAVELLI

(1469—1527)

KSIĄŻĘ

(Il Principe)

Założenie «Księcia»: umiejętność rządzenia państwem podbitem.

Rozróżnia księstwa dziedziczne i nowe, a zajmuje się jeno drugimi.

1. Skoro opanowało się państwo poddane innemu księciu, a nie istnieje przeciw zaborcy nienawiść narodowa, należy — aby także rządzić spokojnie — wyniszczyć naprzód rasę starego władcy (to wyniszczenie jest warunkiem niezbędnym), nie odmieniać krajowych praw i nie podnosić podatków.

2. Jeżeli opanowało się państwo wolne i przyzwyczajone do samorządu, pierwszym środkiem utrzymania się na tronie jest wyniszczenie go, drugim zamieszkanie w niem własną osobą, trzecim kolonizacja. «Kto opanowawszy państwo przyzwyczajone do wolności, nie zniszczy go, niechaj czeka, że ono go zniszczy».

3. Ludzi wpływowych należy albo pozyskać pieczętami, albo ich wygładzić.

4. Nowy książę utrzymuje się często przez zbrodnię; tu wymienione przykłady: Cezara Borgji, który zgromadza książąt i każe ich więzić i dusić; Agatoklesa, tyrana Syrakuz, Oliveretta etc.

5. Jeżeli istnieją tacy, którzy po podobnych zbrodniach nie utrzymali się, to nie dlatego, iż byli okrutni, ale że z okrucieństwa zły czynili użytek.

6. Nowy książę nie może obejść się bez okrucieństwa. Cezar Borgia uchodził za okrutnego — ale srogości jego uspokoiły, odnowiły Romanję i przyuczyły ją do wierności; dla takich celów winien książę puszczać mimo uszu zarzuty i nagany.

7. Pytano, czy lepiej zasługiwać na miłość, czy na obawę. Ponieważ trudno zasługiwać na oboje, lepiej wybrać tę drugą.

8. Byłoby błogo zgromadzić w sobie wszystkie dobre zalety, nie przepłatając złemi, ale ponieważ ludzka natura nie przypuszcza takiej doskonałości, winien książę być o tyle roztronym, iżby uniknął wstydu jawnej zbrodni. Nie powinien dbać, iż naraża się na naganę za błędy, bez których z trudnością mógłby się utrzymać przy władzy; niejedna zaleta, uważana za cnotę, mogłaby go doprowadzić do ruiny, gdy natomiast to, co świat uważa za występki, da mu bezpieczeństwo i dobro. Mówiąc o Cezarze Borgji, powiada: «Roztrząsam postępowanie księcia i nie mogę w niem znaleźć nic nagannego; przeciwnie, sądzę, iż należy postawić go za wzór wszystkim, którzy fortuną lub bronią wnieśli się do władzy monarszej».

11. Rozprawę o księstwach duchownych zρέcznie wymija: «Ponieważ te księstwa są rządzone środkami wyższymi, których rozum ludzki nie doścignie, i ponieważ są wzniesione i utrzymywane przez samego Boga, mówić o nich ośmieli się tylko człowiek zuchwały».

<sup>1</sup> Obu anegdot brak w «Dworzaninie» naszego Górnickiego; zato ostatnia znajduje się w «Pantagruelu» Rabelais'go (ks. IV, v. 55), a także w anegdocie o łowach ks. Radziwiłła Panie Kochanku.

## Rozdział 18

«W jakiej mierze winni książęta dochowywać wiary». Jak chwalebne jest w księciu dochowywanie wiary i postępowanie otwarte, nie chytne, wiadomo każdemu. A przecież widzi się w naszych czasach książąt, którzy umieli chytrą opanować umysły i w końcu osiągnęli pewniejsze skutki, niż ci, co się na uczciwości oparli. Macie bowiem wiedzieć, że istnieją dwa sposoby wojowania: prawem i siłą. Pierwszy właściwy człowiekowi, drugi zwierzęciu; ponieważ pierwszy często nie wystarcza, potrzeba poprzeć go drugim. Winien przeto książę dać w sobie panować człowiekowi i zwierzęciu; tego to uczą go starzy pisarze alegorycznie, podając, że Achilles i inni książęta starożytni oddani byli Chironowi na wychowanie i naukę. To, że mieli nauczycielem półczłowieka, półzwierzę, znaczyć ma, że należy księciu raz według jednej, raz działać według drugiej natury, i że jedno bez drugiego jest niemocne. Zniewolony zatem dać w sobie miejsce zwierzęciu, winien wybrać razem lisa i lwa, bo lew nie obroni się potrzaskom, lis nie obroni się wilkom; trzeba być lisem, aby znać potrzaski, lwem, aby odstraszyć wilki. Nie pojmują tego ci, którzy są poprostu lwami. Nie może zatem, ani nie powinien roztropany pan dochowywać wiary, jeżeli takie dochowywanie obraca mu się na szkodę, i jeżeli znikły przyczyny, które przyrzeczenie wywołały. Gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy, prawidło takie byłoby nieuczciwe, ale ponieważ są źli i sami bez wiary, tobie równie słownym być się nie godzi. Nie braknie też nigdy księciu prawowitych przyczyn usprawiedliwienia złamanych ślubów. Moznaby z największych czasów dać przykład niejednego, jak spełży na niczem obietnice przez nierzetelność książąt i jak w tych okazjach wyszedł z zyskiem ten, co umiał być lisem. Trzeba jednak naturę tę w sobie ubarwić i znać sztukę udawania; tak zaś są naiwni ludzie i tak powodować sobą pozwolą, iż ten, co oszukuje, znajdzie zawsze takiego, co się da oszukać. Nie chcę z przykładów świeżych zamilczeć jednego. Aleksander VI co uczynił i o czym myślał, jeśli nie o ustawicznym ludzeniu świata? Znalazł zaś zawsze przedmiot odpowiedni; a przecież: nie było człowieka, któryby obietnicami donioslejsze osiągnął skutki, a któryby pieczętując ślubami sprawę jakąś, mniej niż on o nią się troszczył; udawały mu się też zawsze oszustwa «ad votum», znał bowiem dobrze świat. Nie jest konieczna księciu posiadać dobre przymioty: wystarczy pozornie je posiadać. Dodać nawet pośpieszę, iż, posiadając je istotnie i obserwując, wynosi z nich szkodę; posiadając pozornie, wynosi zysk. Tak naprzykład wydawać się liściwym, wiernym, ludzkim, pobożnym, nieskazitelnym — a być nim; powinien wypracować w sobie to, iżby, zapotrzebowawszy nie być tem wszystkim, umiał stać się czemś przeciwnem. Znaczy to, że książę, a zwłaszcza książę nowy, nie może pielegnować w sobie wszystkich tych przymiotów, dla których ludzie nazywani bywają dobrymi, zmuszony często dla utrzymania się działać przeciw wierze, liści, ludzkości, religji. I owszem — potrzeba, aby miał umysł zdolny obracać się według wiatru i wymagań fortuny i — jak rzekłem wyżej — nie rozstawał się z dobrem, gdy można, ale umiał wejść w złe, gdy potrzeba...

Rozdziały 12—14 i 19—26 oblewają poważną postać Machjawela tem światłem, w jakim go rada zawsze widzieć sympatja i w jakim uwielbiają go dzisiaj Włosi, stawiając mu pomniki między wskrzesicielami Italji. Potępia system zaciągania band najemnych i kreśli plan uformowania wojska narodowego; powracając do «Księcia», napomina, by unikał powodów nienawiści i pogardy; wreszcie potężnym głosem patrioty wzywa do wypędzenia panoszących się w Italji «barbarzyńców».

## BELFAGOR, NOWELA O DJABLE ŻONATYM

Czytamy w starych pamiętnikach dziejów Florencji, wedle podania pewnego świętego męża, którego żywot wśród wszystkich ówczesnych ludzi był głośny, że pewnego razu, zatopiony wszystek w swoich modlitwach, widział, jak ogromne tłumy dusz tych nieszczęśników, co umierali w niełasce Bożej, wędrowały do piekieł, i jak wszystkie, albo prawie wszystkie, skarżyły się, że nie z innego powodu, tylko stąd, że się pożenił, przyszło im na ten żaloszny koniec. Minos i Radamantes wraz z innymi sędziami piekielnymi dziwili się temu wielce, a nie mogąc uwierzyć owym kalumnijom, jakie

tamci podawali za szczerą prawdę, i widząc, że z tej przyczyny w piekle samem rośły spory, złożywszy Plutonowi raport odpowiedni, postanowili dać rzecz do sprawdzenia ministrom, a następnie przedsięwziąć kroki ku zbadaniu owych zbrodni i ku poznaniu prawdy...

Djabli postanawiają wysłać na ziemię «komisarza»; losem zostaje wyznaczony Belfagor, arcydjabeł, «ci-devant» archanioł.

Asygnują mu 100 tysięcy dukatów, z którymi ma wyjść na ziemię pod postacią ludzką, pojmie żonę, będzie z nią żył 10 lat, poczem, udawszy śmierć, powróci i z doświadczeń swych zda relację przełożonym o rzeczywistych uciążliwościach stanu małżeńskiego. Uprzedzono go przytem, że w ciągu całego czasu będzie podlegał wszystkim niewygodom i dolegliwościom człowieczym, jako to: więzienie, choroba i inne utrapienia, — chyba, że własną przebiegłością z nich się otrząśnie. Przyjął Belfagor warunki razem z monetą; wstąpił na ziemię, a złożywszy swój poczet z koni i służby, wyjechał z okazałością do Florencji; które to miasto przed innemi wybrał na siedzibę, obliczywszy, że tam najłatwiej swoje pieniądze puści w obrót. A przybrawszy nazwisko Roderyka z Kastylji, wynajął dom w dzielnicy Ognisanti; żeby się zaś nie domyślano, kim jest w istocie, dodał, że wyjechał niedawno z Hiszpanji do Syrii, że w Aleppo się zbożcił i przybył do Italji, ażeby tu szukać żony w mieście najbardziej kulturalnem, odpowiadajacem najlepiej jego wymaganiom...

Uroda, bogactwo, młodość, hojność zwabiły ku niemu tłumy panien na wydaniu; wybrał najpiękniejszą, imieniem Onesta, córkę Ameriga Donatiego...

Ta po ślubie stała się nieznośna; pyszniejsza od Lucyfera, opryskliwa, a co najgorsze, rozrzućna. W krótkim czasie zrujnowała go. Przed wierzycielami musiał potajemnie uciekać w nocy, naprzód konno, potem pieszo. Tak dobiegł do chaty Gianmattea, który właśnie krzątał się koło wołów, i prosił, aby go ukrył przed prześladowcami.

Gianmatteo, choć chłop, był człowiekiem czułym, a uważając, że nic nie straci, jeżeli zbiega ukryje, schował go pod kupą zielska przed chałupą i nakrył sitem i drwami zebranymi na opał. Ledwie Roderyk miał czas tam się wsunąć, gdy nadbiegł pościg; mimo jednak, że ścigający nacierali na chłopca, wydobyli zeń tylko tyle, że widział zbiega... Kiedy umilkła wrzawa, a Roderyk wyszedł z ukrycia, Gianmatteo żądał, aby spełnił, co przyrzekł, na co Roderyk: «Miły bracie, jestem ci obowiązany wielce i chcę ci wynagrodzić; abys zaś wiedział, że zdołam to uczynić, wyznam ci, kim jestem...»

I wykrył mu sposób, jakim chce go wzbogacić; a był nim ten, że kiedy usłyszysz, iż jakaś niewiasta jest opętana, niechaj wie pewnie, że to on w niej siedzi i że z niej nie wyjdzie, póki go jego dobrodziej nie wywoła, za co będzie mógł sute brać wynagrodzenie. Po zawarciu takiej umowy odszedł. Nie minęło wiele, kiedy rozeszła się wieść po Florencji, że jedna z córek pana Ambrożego Amidei, zaręczona z Bonaiutą Tebalduccim, była opętana od djabła; rodzina nie zaniedbała żadnego ze środków, jakie się praktykuje w podobnych wypadkach: przykładano jej na głowę czaszkę świętego Zenobja i płaszcz św. Jana Gwalberta, ale Roderyk wszystkie je zbaraszkował (ucellate). Żeby zaś dać do zrozumienia, że choroba młodej osoby pochodziła od złego ducha, nie zaś z wyobraźni, przemawiał po łacinie, dysputował filozoficznie i odkrywał cudze grzechy; między innemi wyjawiał sprawę pewnego braciszka, który przy sobie utrzymywał niewiastę w habicie i mieszkał z nią przez 4 lata w jednej celi. To wszystko budziło nadzwyczajny podziw. Tymczasem messer Ambruogio, wielce zatroskany, spróbowałszy wszystkich środków, stracił nadzieję, — gdy wtem przybył doń Gianmatteo i obiecał przywrócić zdrowie dziewczęcia, jeżeli otrzyma 500 dukatów, za które pragnął nabyć folwark w Peretoli.

Messer Ambruogio zgodził się, zaczem Gianmatteo, odprawivszy naprzód liczne obrzędy dla upiększenia sprawy, zbliżył się do ucha panny i rzekł: «Roderyku, przybyłem, żebyś mi dotrzymał przyrzeczenia». Na co Roderyk odparł: «Jestem gotów, ale to nie wystarczy, aby cię wzbogacić, dlatego, odszedłszy stąd, wejść w córkę Karola, króla Neapolu, i nie wyjdę z niej, aż mi każesz. Ale potem urządzę (faream mancia) cię tak, że dasz mi już pokój (boiga)». — Rzekłszy, wyszedł z niej, ku radości i zdumieniu całej Florencji.



Gianmatteo zbogacony, gdyż otrzymał w nagrodę 50 tysięcy dukatów, osiadł w stolicy i chciał wycofać się z interesów, tymczasem jednak nastęrczyła się nowa, silna pokusa w osobie córki króla francuskiego, Ludwika VII.

Zrazu ociągał się, bo strach mu było Roderyka, został jednak ściągnięty przymusem przez samą francuską Signorję... Wymawiał się, że ani umie, ani może leczyć wszystkich, gdyż istnieją osoby opętane tak przewrotne, że nie bały się ani grózb, ani zaklęć, ani żadnej religji, z tem wszystkim spróbuje, a jeżeli mu się nie uda, to prosi o wytłumaczenie i przebaczenie. Na co król rozgniewany odpowiedział, że jeśli mu córeczki nie wyleczy, to każe go powiesić...

Gianmatteo napróżno błaga Roderyka, aby go ratował; Roderyk czuje się zbyt dobrze, aby chciał porzucić swą pannę. Zaczem zwraca się do króla: «Sire» — rzecze — «jak mówiłem, istnieją duchy tak złośliwe, że niema z niemi wyjścia, jak z tym oto. Chcę jednak uczynić ostatnią próbę; jeżeli się uda, osiągniemy nasz cel, jeżeli nie, to jestem, Najjaśniejszy Panie, w twej mocy; będziesz miał nade mną zmiłowanie, godne mej niewinności...»

Próba polegała na tem, że kazał na placu Notre-Dame poczynić przygotowania do wielkiej pompy, w obecności najwyższych dostojników, zboku zaś ustawił huczną orkiestrę z trąbami, rogami, tamburami, kobzami, cymbalami, — poczem miałyby być wprowadzona opętana i na dany znak uczyniona przeraźliwa wrzawa.

Kiedy Roderyk obaczył taki tłum i taki wspaniały aparat, ostupiał i rzekł do siebie: «Co to zamierza uczynić ten tchórzliwy chłop? Czy chce mię zastraszyć swoją pompą? Czy nie wie, że ja znam zarówno wspaniałości nieba, jak furje piekielne? Ja mu tu dam cięgi». — A kiedy Gianmatteo zbliżył się i prosił jeszcze raz, aby wyszedł, odburknął: «Czego ci się zachciewa? Poco te wspaniałości? Myślisz, że ujdiesz mej potędze i gniewowi królewskiemu? Głupi chamie, na każdy sposób będziesz wisiał».

A kiedy tak na każdą prośbę odpowiadał obelgą, Gianmatteo pojął, że nie należy tracić czasu i dal znak kapeluszem, podniósł się tedy odrazu wielki okrzyk zgromadzonych i zabrzmiała muzyka instrumentów. Roderyk podniósł uszy i ogłupiał pytał Gianmattea, coby to wszystko miało znaczyć? — Na co ten jakby zmieszany rzekł: «Biada, biada Roderyku, to twoja małżonka przybywa, żeby cię odszukać». Trudno wypowiedzieć, jak się zaniepokoił Roderyk na wspomnienie żony. Przestрах jego był tak wielki, że bez zastanowienia przerażony czmychnął, poczem wrócił do piekieł opowiedzieć wszystko złe, jakie w dom wprowadza niewiasta, zaś Gianmatteo, który o tem wiedział lepiej od djabła, wrócił do siebie.

(*Niccolo Machiavelli, Il Principe, ed. Lisio Firenze 1899; Novella di Belfagor w Operette satiriche, ed. Benedetto, Torino 1920.*)

## ANGELO AMBROGINI POLIZIANO

(1454—1494)

### TURNIEJ

#### Strofa 100—120

Prawdziwe — rzekłbyś — i piana, i morze,  
Prawdziwa muszla i zefir, co wieje.  
Piorunem błysną czasem oczy hoże,  
Żywioły cieszą się, niebo się śmieje.  
Godziny w bieli depcą piasków łoża,  
Włos ich od wiatru wiań kędzierzawieje,  
Podobne mają postawę i lica,  
Widno, że córy jednego rodzica.

Możnaby przysiąc, że z wód się wyrывa  
Boska; prawicą wyżymając włosy,  
Lewą jabłuszka dziewicę zakrywa;  
Pod uciśnieniem lekkim nogi bosej

Z piasku powstaje niby łąka żywa.  
Potem pływaczkę wilgotną od rosy  
Nimfy ogarną smukłemi ramiony  
I zatulają w gwieździste ostony.

Ta nad kędziorów falą zwilgoconą  
Trzyma girlandę z kwieciami rozmaitem;  
Złoto i wschodnie diamenty w niej płoną;  
Ta uszy w perły z tęczowym prześwitem  
Zdobi, a tamta barki jej i łono  
Łańcuchem wokół wiąże złotolitym.  
W takie się właśnie przybierały stroje,  
Kiedy toczyły w niebie płąsy swoje.

Dalej widziałeś, jak się z nią ku górze  
 Wraz unosily owe tanecznicze,  
 Powietrze drżało, choć kute w marmurze,  
 Niebiosa szczęsne patrzyły w jej lice.  
 I była radość w całym bogów chórze,  
 Każdy z nich pragnął wieść ją do łożnice,  
 Jak na cud jaki poglądali spodem,  
 Z brwią podniesioną, sfałdowanem czołem.

— — — — —  
 Zkolei Jowisz, dłótem wyciosany  
 W kształt dorodnego, śnieżystego byka,  
 Niesie na grzbiecie skarb umiłowany.  
 Ona zalekła pogląda, jak znika  
 Wybrzeże; złoty włos wiatrem rozwiany  
 To się unosi, to jej piersi tyka,  
 Szata faluje, coraz się wydyma,  
 Dłoń jej na karku, drugą za róg trzyma.

Kurczy kolana i podgina stopy,  
 Aby nie tykał ich bryzg chłodnej fali,  
 Które ją straszą, wciąż biegnąc w jej tropy.  
 Próżno się swoim towarzyszkom żali;  
 Na łące stoją, płaczą Europy  
 I tylko głos ich dolata w oddali:  
 Powróć, Europo, jęczą wierne drużki;  
 Byk płynie, raz wraz liżąc drobne nóżki.

Jowisz w łabędzia zmienion lub deszcz złoty,  
 Lub w postać węża, albo skotopasa,  
 Ułatwia sobie przelotne zaloty;  
 A gdy go znęci Ganimeda krasa,  
 Jak każe miłość, to górnemi loty  
 Niesie go tam, gdzie piękno nie wygasa.  
 Chłopię cyprysem ma wieńczoną głowę,  
 Nagi, w gałązki uwite mirtowe.

Neptun się zmienia w wełnistego tryka,  
 Albo ugania, niby buhaj młody;  
 Ojciec Chirona, jak żrebiec pomyka.  
 Febus w tesalskich górach pasie trzody  
 I tam w szalasie lichym się zamyka.  
 On, co jest ojcem światła i pogody,  
 Nie zna lekarstwa na miłosną ranę,  
 Chociaż mu wszystkich ziół własności znane.

Bieży za Dafną, co się z łęku słania;  
 «Nie bój się, miła, wszak cię nie zabiję!  
 Zostań, uzał się mojego kochania.  
 Kiedy wróg ściga, nie dziw, że się kryje  
 Owca przed wilkiem, albo przed lwem łania.  
 Winna-ż to miłość straszyć serce czyje?  
 Więc nie uciekaj, pani mojej dusze,  
 Nie czynieć krzywdy, gdy cię kochać muszę».

Piękna Arjadna, w członków nieowładzie  
 Niecnej ucieczki Tezeja się żali;  
 Szum wiatru i sen stały jej na zdradzie;  
 Strachem dygoce, jak trzcina na fali.

Chyla się wszystka i na brzegu kładzie,  
 Tylko jej skarga dochodzi z oddali:  
 «Niewierny!» z warg jej wylatują słowa:  
 «Okrutniejszego zwierza świat nie chowa».

W bluszcz i winograd strojny, na rydwanie  
 Bachus; w zaprzęgu dwie stwory tygrysie;  
 Wkoło rydwana tupoty, igranie:  
 To z bachantkami satyry-trefnisie.  
 Ten się zatacza w opętańczym tanie,  
 Ten na cymbałach bębni, a ten gzi się  
 Z nimfą; ten trąbi w róg, a tamten dłonie  
 Złożywszy, na nich gra, jak na puzonie.

Na swym osiołku, tłusty i obrzękły,  
 Pojeżdża Sylen, wieczny pijanica,  
 Zaspany, jakby głupotą rozmiękły.  
 Białka krwią zaszły, przygasła zrenica,  
 Ledwie go dźwiga osiołek zalekły.  
 Tyrsem laskoce nimfa-swawolnica.  
 Gdy mu tak tyrsem przed oczyma śmiga,  
 Czepia się karku, a satyr go dźwiga.

Ujrzał, pokochał i gwałtem porywa  
 Swą Prozerpinę piekiel bóg w zaświaty;  
 Na wielkim wozie jedzie, włos jej splywa,  
 Czasem go Zefir poddyma skrzydlaty.  
 Zebrała suknię, dłonią pierś zakrywa,  
 Z fałdów jej sypią się zerwane kwiaty.  
 Mateczki swojej woła i na błoni  
 Stojących družek i rzewne lży roni.

Zrzuca srogiego lwa obdartą skórę  
 I obleka się w niewieście ubiory,  
 Ten, który sobą przerażał naturę.  
 Teraz podwice usługiwać skory,  
 Cierpi, że Amor tak wziął nad nim górę,  
 Nad nim, co niebu użyczał podpory,  
 On, co maczugą zbierał żniwo śmierci,  
 U nóg jej siedzi i wrzecziono wierci.

Polifem barki okudlił jak zwierzę,  
 Pierś zakrywają okropne kędziory;  
 Na skroniach liście i żółędzie świeżę;  
 Owce się pasą u skalnej komory.  
 Jęczy i wyje, gdy żałość w nim wzbierze,  
 Gdy go rozpalą na wnętrzu amory.  
 Zmiął wszystkie, tak go rozebrały żale,  
 I legł pod bukiem, na nieczutej skale.

Czernieje łukiem od ucha do ucha  
 Brew, na szerokość jakich sześciu dłoni.  
 Szerokiem nozdrzem zapach morski niucha,  
 Bieleją zęby, kiedy je odstłoni,  
 A pod rzemieniem dzikiego pastucha  
 Widna plecionka stulletnej zamponji;  
 Patrzy na morze, co falami płąsa,  
 Śpiewa pieśń górską i kudły wytrząsa.

Rzekłbyś, że mówi: «Bielszaś jest od mléka,  
A jak jałówka harda na polanie.  
Wianek ci plotę; spójrż na miłośnika,  
Dla ciebie chowam ułowioną lanię,  
Niedźwiadka, co już z psami się boryka.  
Przeraźliwie mię zgnębiło kochanie  
I radbym wielce zrobić się pływakiem,  
Żeby się znaleźć na wybrzeżu jakiem.

Akantem była obwiedziona płyta,  
Wplecionym w mirtu gałązki i róże.  
Ucho, zdało się, śpiew ptaszęcy chwytą  
I rozpoznaje nutę w pieśni chórze.  
Nigdy się Wulkan nie czuł tak dosyta  
Mistrzem; prawda wstyd czyniła naturze.  
Gdy czego wzrok tam nie wypatrzył raźniej,  
Dpomogła mu władza wyobraźni.

Delfiny ciągną wóz; wóz się kołysze,  
A Galateja cuglami je wodzi,  
A para zwierząt płynie, równo dysze,  
Dokoła pluszczą delfinkowie młodzi.  
Tańczą, miotają się wodni urwisze,  
Ten ściga samkę, od zmysłów odchodzi,  
Zaś piękna nimfa, ze swych druchen gronem,  
Naśmiewają się pieśniom nieuczonym.

To było miejsce tak miłe Wenerze:  
Tu się urodził owy łucznicz zdradny,  
Co zmienia w człeku wolę i sąd bierze,  
Co niebiosami, ziemią, wodą władny,  
Oczom i sercom zastawia więcierze.  
Słodki na licu, lecz zły, przyczajony,  
Młodzieńczyk nagi, ptak ukołczaniony...

(Angelo Ambrogini Poliziano, *Le stanze, l'Orfeo e le rime*, Torino 1925.)

## FRA GIROLAMO SAVONAROLA

(1452—1498)

PRZEPOWIEDNIA XXVI «SOPRA AMOS», d. 13 MARCA 1495/6

...Przywiodę na Italję najgorszy, najniegodziwszy lud. I poniżę pychę książąt, i ukróczę dumę Rzymu. Ten lud, co go przywiodę (mówi Bóg), będzie posiadał świątynie swoje, które zbecześci sam, bo skoro w nich urządzano stajnie kobiet nierządnych, ja z nich uczynię stajnie wieprzów i koni, bo te mniej mi będą wstrętne. Kiedy nastanie głód, kiedy nadejdą zamieszki, nie dostąpią pokoju z Bogiem, będą chcieli nawrócić się, a nie zdołają, gdyż będą wszyscy odurzeni i obłąkani. Nie dostąpią pokoju z nieprzyjaciółmi, bo ci będą czuli przewagę i powiedzą: «Nie chcemy pokoju, jesteśmy biczem Bożym; wojny ponad głodem, zarazy ponad wojną, jednej części Italji ponad drugą». Będzie krzyk ponad krzykiem, to jest krzyk jednego barbarzyńcy ponad krzykiem drugiego; krzyk od wschodu i zachodu i zewszec stron. Będą wtedy oglądać się za widzeniami proroków, z których się dziś naśmiewają, ale w on czas nie będą ich mieli, zamknięte będą wargi ich, a Bóg zawoła: «Przestańcie prorokować, teraz zacznę działać ja...»

*W niedzielę palmową 1495/6 Savonarola żegnał się z ludem florenckim i zamykał kazanie «Sopra Amos»*

## PRZEPOWIEDNIĄ XLVIII-MĄ

...Italjo, przystąp bliżej. Zalisz się czynów moich. Co-ć uczyniłem, Italjo? I w czym ci byłem przykry? Bóg wszechmogący przez lat wiele nawoływał cię do pokuty i popytał ci kaznodziejów, a ty nie chciałaś słuchać, ani zawrócić z krzywej drogi. Od stu lat nawoływano cię, byś się gotowała do tego bicza i do tego sądu: św. Wincenty, św. Bernardyn i inni, — a ty nie zaniechałaś nieprawości. Same grzechy twoje winny były ostrzec cię, że kara nadchodzi, że się zaczęła, że się już gotuje, a ty jeszcze nie chcesz wierzyć, mimo że od tak dawna ci ją przepowiadano... Gotowa jesteś raczej wierzyć djabłu, niż światłu Chrystusa. A jest takich wielu, co wierzą djabłu i słuchają poszeptów djabelskich, i wierzą astrologom. Ty, Rzymie, wierzysz skwapliwie tym, którzy źle mówią o mnie, a jakże ty łatwo wierzysz w złe! Dlaczego równie łatwo nie wierzysz w dobroć moją? Czemu nie myślisz o własnym zbawieniu? Zamykasz uszy, ale o mnie myślisz złe, bo nie wolno w Rzymie mówić dobrze o tym braciszku i brać

go w obronę... Dlatego, Rzymie, gotuj się na razy bicia. O Rzymie, otoczą cię obręczą z żelaza, spustoszą cię ogniem i mieczem. Kiedy nadejdzie pokaranie, Rzymie, zdrzżysz wszystek...

PRZEPOWIEDNIA IX NA TEMAT MICHASZA (KS. SĘDZIÓW 17–18) I RUTH,  
Z DN. 28 MAJA 1495

*Po gwałtownych i namiętnych wypominaniach zepsucia kleru, Savonarola karci zepsucie powszechne...*

Oznajmiam ci, że Bóg wyciągnie miecz z pochwy, ześle lud obcy, przekroczy granice swej łaskawości i litości; wyleje się tyle krwi; tyle trupów; tyle okrucieństw, że zawołacie: «Panie, wystąpiłeś z miejsca swego».

Pan zatem przybędzie i podepce obliczność ziemi, mocarzy ziemi. Pan zdepce cię, Italjo i Rzymie... Stopami Jego będą konie i wojska obce. I podepce możnych Italji: księży, biskupów, kardynałów i najwyższych mistrzów...

*(Fra Gir. Savonarola, Scelta di prediche, ed. Villari—Casanova, Firenze Sansoni 1898.)*

MICHELANGELO BUONAROTTI

(1475—1564)

SONET

Sonet w duchu nowoplatońskim, wzorem Dantego.

Życiem miłości mej — nie serce moje,  
Bowiem tęsknota moja bezserdeczna  
Tam dąży, gdzie jest obłądu bezpieczna,  
Gdzie przed płochością zamknięte podwoje.

Miłość — duch boży w swojej praistocie,  
Tobie blask, a mnie moc dała pojętną;  
Co w tobie jeszcze ziemskie nosi piętno,  
To wiatyk mojej niebiańskiej tęsknocie.

Jak żar i światło zjawiają się razem,  
Podobnie wieczne piękno i kochanie;  
Toż ja, gdy ziemską z siebie myśl otrzęsę,

Aby się nieba nacieszyć obrazem —  
Gdzie było naszych dusz pierwsze poznanie  
— Oczyma memi śpieszę pod twą rzęsę.

SONET

Sonet w stylu Petrarcki.

Śniegowej twarzy biją na mnie żary;  
Mnie ona pali — sama w lód się zmienia;  
Czuję dwu wiotkich ramion uściśnienia,  
Zdolnych bez ruchu podźwigać ciężary.

Znam zmysłem ludzkim niedościgłą duszę:  
Innym śmierć niesie, śmiercią nieujęta.  
Sama swobodna, a mnie bierze w pęta,  
Choć w sobie dobra, mnie sprawia katusze.

— O Panie, jakaż potęga niezłomna  
Czyni twarz piękną wrogiem mojej twarzy  
I wiedzie skutki z przyczyną niezgodne?

Dla mej radości, co mi jest zabrana,  
Jest ona niby słońcem, które darzy  
Ziemię promieniami, samo wiecznie chłodne.

(*Le Rime de M. A. Buonarroti, ed Guasti, Firenze 1863.*)

## LUIGI PULCI

(1432—1484)

### OLBRZYM MORGANT (IL MORGANTE MAGGIORE)

Roland (Orland) obrażony na Karlomana (Karola Wielkiego), że dał posłuch oszczerstwom zdrajcy Ganona, porzuca dwór i wyrusza na przygody.

Odjeżdża Roland, rozgniewany srodze,  
W pogańskie kraje prosto kroki niesie.  
Zafrasowany duma i po drodze  
Zdrajcę Ganona wspomina w tym czesie.  
Błądzi, koniowi opuściwszy wodze,  
Nagle klasztoru dojrzy w gęstym lesie.  
W ponurej puszczy stał w poszytej dziczy,  
Gdzie chrześcijaństwo z pogaństwem graniczy.  
Chiaramont brzmiało nazwisko przeora,  
Między wnukami był Agrantowymi.  
Ponad klasztorem wznosiła się góra,  
Gdzie trzej nieludzy mieszkali olbrzymi.  
Passamont jedna zwała się potwora,  
Druga Alabastr, Morgant trzeci z nimi.  
Ci, duże głazy wyrzucając z procy,  
Szkodzili klasztor i we dnie, i w nocy.  
Nie śmieli wyniść mnisi niebożęta  
Do lasu po drwa, ani do cysterny.  
Roland do bramy kołace — zamknięta.  
Opat sam otwarł, bo bał się odźwierny.  
Wszedłszy, pozdławia Boga, co go święta  
Rodzi Maryja; że jest prawowierny  
Człowiek — przysięga — i chrztem świętym chrzczony,  
Zaczem tłumaczy, jak zaszedł w te strony.  
Powiada przeor: «Gościu, witaj zdrowy,  
Z całego serca dajem ci gościnę,  
Skoroś chowany w wierze Chrystusowej.  
Żeśmy cię u wrót trzymali, za winę  
Nam nie poczytuj, ani bądź surowy,  
Bowiem sam uznasz, gdyć powiem przyczynę,  
Iż miał brat furtjan czego bać się gości:  
My tu strzec musim ciągle swoich kości.  
Gdyśmy osiedli pośród tych bezdroży,  
To choć są, jako widzisz, bezsłoneczne,  
Jeszcze mieszkało się — powiem — niezgorzej,  
Bo nieruszane były i bezpieczne;  
Bywało, jedno dziki zwierz nas trwoży  
I często w strachy wprawia niestateczne,  
Lecz dzisiaj całą chcąc li unieść głowę,  
Musim odpierać zwierzęta domowe.

Pod grozą żywot wiem nieszczęśliwy:  
 Zjawili się tu trzej srodzy olbrzymi,  
 Nie wiem, z pod jakich słońc i z jakiej niwy,  
 Ale z siłami naschwał ogromnemi;  
 Ci przemoc mają i dowcip złośliwy;  
 Trudno się bronić, nie zrównamy z nimi;  
 Przerwywają nam codzienne pacierze,  
 Nie wiem, co czynić, gdy Bóg nie ustrzeże.  
 Święci ojcowie, co na puszczech siedli,  
 Kiedy ich życie było cne i prawe,  
 To z łaski Bożej byt rozkoszny wiedli  
 I nie z szarańczy samej mieli strawę;  
 Lecz wiedz, zsyłaną z nieba mannę jedli.  
 A my tu widzimy obiady plugawe:  
 Co dnia kamienie, rzucane gdzieś z kąta  
 Od Alabastra i od Passamonta.  
 Lecz nadewszystko Morganta się strzeżem.  
 Ten buki, sosny wrywa i strzela;  
 Często padają aż tu pod alkierzem.  
 Nie zbrzydnieź, człeku, i klasztor i cela?)  
 Gdy na cmentarzu tak stoi z rycerzem,  
 Leci głaz: mało nie zdusił Rondela,<sup>1</sup>  
 Ręką olbrzyma posłany po dachu.  
 Koń przerażony rzucił się ze strachu.  
 — «Bóg, kawalerze, niech cię ma w swej pieczy!» —  
 Zawoła opat: — «Patrz, już manna pada». —  
 — «Przykre, mój ojcze, dzieją się tu rzeczy;  
 Temu coś nie w smak, że mój Rondel śniada,  
 Może to konia z narowu wyleczy...  
 Ba, ba! lecz siłacz musi być nielada». —  
 Odpowie przeor: — «Kiedys pewnie, tuszę,  
 Górę tu zwałą te pogańskie dusze».

Roland z błogosławieństwem przeora udaje się na poskromienie olbrzymów; — zabija Passamonta i Alabastra, następnie szuka Morganta.

Morgant miał pałac pewien pośród lasu:  
 Z chróstu i gliny była chata dzika;  
 Tam po zwyczaju swym zażywa wczasu,  
 I tam spać idąc, na noc się zamyka.  
 Roland się do drzwi tłucze; od hałasu  
 Ze snu ciężkiego olbrzym się ocyka,  
 Idzie otworzyć, jak człowiek półżywy;  
 Tej nocy sen śnił dziwny i straszliwy.  
 Miał to widzenie, że wąż jadowity  
 Skoczył nań, a on do Mahomy biada,  
 Ale Mahoma był mu nieużyty;  
 Zatem do Chrysta korne ręce składa.  
 Jego to świętą opieką okryty,  
 Wychodzi cało; więc wstał i powiada  
 Bełkotem: «Kto tam do drzwi tak łomota?»  
 «Dowiesz się» — rzecze Roland — «otwórz wrota!  
 Ten ja ci koniec, co twej braci, zrobię;  
 Uderz się w piersi i żałuj za złości;  
 Mnisi mię tutaj posyłają k'tobie,  
 Tak się podoba Bożej Opatrzności:

<sup>1</sup> Koń Rolanda.

Że im wyrządzasz krzywdy w każdej dobie,  
 Taki wydano wyrok na twe kości.  
 Tamtym już żaden nie pomoże plaster:  
 Martwy Passamont, martwy Alabaster».

Powiada Morgant: — «Zacny kawalerze,  
 Przez twego Boga, nie krzywdź mię tą mową,  
 Lecz imię swoje, proszę, wyznaj szczerze,  
 Czyś chrześcijanin, powiedz jedno słowo».

— «Wszystko» — rzekł Roland — «wyznam ci w tej mierze  
 I nie zataję. Tak jest, Chrystusową  
 Wyznaję wiarę; On jest Bóg prawdziwy,  
 I ty weń uwierz, jeśli chcesz być żywy». —

Rzecz Saracen pokorny i zgięty:  
 — «Dziwne ja miałem widzenie tej nocy:  
 Oto od srogiej zmił opadnięty  
 Próżno wzywałem mego boga mocy,  
 Aż mi twój Chrystus, na krzyżu rozpięty,  
 Pomógł, kiedym go błagał w mej niemocy,  
 I wydobył mię bezpiecznym i zdrowym,  
 Przeto natychmiast ochrzcić się gotowym».

Odpowie Roland: — «Pobożny baronie,  
 Jeżeli dłużej zechcesz wytrwać przy tem,  
 Dusza twa spocznie u Boga na łonie,  
 Który ją wiecznym obdarzy zaszczytem.  
 Skoro już w naszym chcesz zostać zakonie,  
 Przyjacielem ci będę prawowitym.  
 Bożkowie wasi są kłamliwe mary,  
 Jeden jest isty Bóg, Bóg naszej wiary».

Roland prowadzi Morganta do klasztoru; mnisi, zrazu przerażeni, przyjmują go mile, dowiedziawszy się o nawróceniu. Morgant, ochrzczony, zostaje klasztornym pachołkiem.

Wielki brak wody czuli zakonnicy,  
 Dobry brat Roland zaraz o tem radzi:  
 — «Morgancie» — mówi — «bieżaj do krynicy!»  
 — «Dobrze» — ten rzecze — «każ, jak twej czeladzi,  
 Wiedz, że nie każesz nigdy po próżnicy».

Zaraz wybiera co największej kadzi  
 I co najprędzej bieży do potoku,  
 Który miał źródło swoje u gór stoku.  
 Ledwie u źródła stanął, z gęstwy mraku  
 Trzepot się srogi i łomot podniesie;  
 Morgant wnet strzały dobywa z sajdaku,  
 Na luk nałoży i patrzy po lesie.  
 Stado się dzików zjawiło na szlaku,  
 Które pędziły w okropnym obcesie,  
 I dobiegali zwierzowie paskudni,  
 Właśnie gdy Morgant przystanął u studni.

Wystrzelił Morgant, ledwie dojrzał sierci,  
 Ugodził dzika prawie podle ucha;  
 Przepadł grot ostry, nawylot go wierci,  
 Upadł zwierz martwy, z rany płynie jucha.  
 Drugi, bracinej chcący pomścić śmierci,  
 Wprost na olbrzyma godzi, parą bucha  
 I tak nań bije, prędko i zuchwały,  
 Że nie mógł Morgant użyć drugiej strzały.

Widząc ten obces dzika jegomości,  
 Straszna go pięścią uderzył po głowie,

Tak, że mu w czasce pogruchotał kości,  
 I tak trup drugi położył w dąbrowie.  
 Reszta gromady w strachu i żalości  
 Umknie czem prędzej i zniknie w parowie.  
 Morgant wnet wody nabiera do kadzi  
 I ciężkie brzemię na kark sobie ładzi.  
 Obladowany wodą i mięsiwem,  
 Ogromny Morgant stąpa po dolinie.  
 Daleką drogę mierząc krokiem żywym,  
 A z kadzi jedna kropla mu nie spłynie.  
 Ujrzawszy Roland z ogromnym podziwem  
 Zabite dziki i pełne naczynie,  
 Wita go mile, radość taką samą  
 Ukażą mnisi, otwierając bramę.  
 Cieszą się mnisi na napoje świeże,  
 Więcej się śmieją owej dzików parze,  
 Jako się jadłu każde śmieje zwierzę.  
 Zaczem po kątach rzucają brewjarze;  
 Każdy się krząta i za złe nie bierze,  
 Że przeor udźców zasolić nie każe.  
 Ten, co miał pościć, zgadza się na mięso,  
 Kto suszył, ten się ratuje dyspensą.

Roland wyrusza na dalsze przygody; Morgant z przywiązania towarzyszy mu pieszo, uzbrojony w serce ogromnego dzwonu, którem się odtąd posługuje, jak maczugą, we wszystkich rozprawach. Przybywają do Hiszpanji i pomagają królowi saraceńskiemu Manfredoniowi do odniesienia zwycięstwa nad wrogiem. Tu odnajdują ich paladynowie: Rynald, Dodo i Oliwjer, i namawiają Rolanda do powrotu. Wprzód jednak wszyscy pomagają królowi Manfredoniowi w walce z królem syryjskim. Przed odjazdem Oliwjer poznaje Meridjanę, córkę Caradora, króla saraceńskiego, pozyskuje jej miłość, namawia do przyjęcia chrztu i, pojawiwszy za żonę, zabiera z sobą do Francji. Tu paladynowie pomagają Karlomanowi do odparcia Saracenów z Danji. Caradoro śle do Francji olbrzyma Vegurte z żądaniem zwrotu córki. Butny Vegurto oburza na siebie wszystkich, i krewki Morgant zabija go w pojedynku. Intrygi zradnego Ganona sprawiają, że Roland znowu opuszcza dwór, zapędza się aż do Persji i tu dostaje się do niewoli, potem razem z Rynaldem oblega Babilon. W pomoc im podąża Morgant, w towarzystwie innego olbrzyma, Marguttego, poziomego prostaka, obzartucha i opoja; ale Margutte w drodze umiera ze śmiechu na widok małpy, która przywdziała sobie na nogi jego żółte buty. Morgant, przybywszy pod Babilon, dopomaga dzielnie do zdobycia tego miasta, wywalając w murze ogromną wieżę. Roland zostaje królem babilońskim. Wkrótce potem pośpieszają wszyscy do Francji, żeby z rąk starej czarownicy uwolnić Ganona. W drodze na okręt, którym płyną, napada wieloryb; Morgant skacze na jego grzbiet i swoją maczugą gruchocze mu łeb. Gdy już są niedaleko portu, niecierpliwy Morgant postanawia wbród dostać się czem prędzej do brzegu; w tej przeprawie, ukąszony w nogę od raka morskiego, umiera wkrótce po wydostaniu się na ląd. Resztę poematu (picśń XXI—XXIII) wypełnia opiewanie przygód Rolanda i innych paladynów Karlomana aż do ich zgonu w wąwozie Roncewalskim.

(*Il Morgante di L. Pulci, ed. Volpi, Firenze 1900—1904.*)

## LUDOVICO ARIOSTO

(1474—1533)

### ORLAND SZALONY

P. XXIII, w. 99—133

Orland w poszukiwaniu ukochanej Angeliki, która uciekła z żołnierzem saraceńskim Me-dorem, przybywa do grotty, gdzie się byli schronili, następnie do gospody, gdzie mieszkali. Upewnia się o zdradzie i wpada w szal, od którego cały poemat wziął nazwę.

Zaczem precz oba iechali rycerze:  
 Zerlin tą, ową brał się Orland stroną;  
 Lecz przod, nim poydzie, z gałęzi zabierze  
 Y opasze się szablą niezwalczoną.



Wtem, gdzieby łatwiej poganina tuszył  
Znaleść, tamtędy zawodnika ruszył.

## 100

Koń z poganinem w tak dziwnem sposobie  
Błądzi po boru, gdzie słońce nie świta,  
Że Orland próżno szuka ich dwie dobie,  
Ani ich naydzie, ani się dopyta.  
Nad skłany strumień przybył, gdzie w ozdobie  
Zieleni łąka nadobna wykwiła  
Umalowana różą y bławatem,  
Y drzewem wkoło sadzona bogatem.

## 101

Letkie z południa Zephyrowe tchnienia  
Krzepią dech w bydle y nagiem pasterzu;  
Więc Orlandowi w niesmak się odmienia  
Jechać z paizą, w hełmie y pancerzu;  
Życząc otuchy członkom, szuka cienia.  
— Smutna-ć gospoda będzie, moj rycerzu,  
Y większe, niżli kto zgadnie, żaloby  
Wywczasu oney niefortunney doby.

## 102

Pórzawszy w koło, dziwnem popisane  
Kształtem tam widzi drzewa na dolinie;  
Wrązi w ty cyfry oczy zapomniane  
Y pozna rękę swey miłey boginie.  
Było to mieysce owo, iuż nazwane,  
Dokąd z Medorem w bezpieczney godzinie  
Z chaty pasterza w poblizu ruczaiu  
Schodziła piękna królewna Kataiu.

## 103

Swych dwoygiem imion Medor, Angelika  
Świecą, pospołu stokroć powiązani.  
Ile tam liter, tyle gwoździ wnika  
W zagrżane serce y okrutnie rani.  
Stokrotne trwogi kasaia nędznika,  
Stem wąpień obłęd swoy brzydliwy gani;  
Pyta, czy inna Angelika może  
Nie popisała liter swoich w skorze.

## 104

Y zasię mowi: Wždy mi pismo znane,  
Tyle-ć je razy oglądałem z bliska;  
Wierę to imię Medora udane,  
Mnie to rozumie z cudzego nazwiska.  
Takie racyie nieumiarkowane  
Śle rozsądkowi, tusząc, że co zyska;  
Y znowu nierad uludney nadzieie  
Sam się fałszywym wykładaniom śmieje.

## 105

Coraz zapala, coraz myśli ręce,  
Miało żeby gasił, podeyżrzeniem trapi,

Iak nieostrożny ptak, co się upłące  
W sieć, albo pierzem na lepy ułapi,  
Prozno więc krzydła usila trzepiące,  
Tem barziej grzęźnie, im chutniey wyiść kwapi.  
— Nadszedł tam Orland, gdzie wygiętem bokiem  
Rozwierała się gora nad potokiem.

106

Zdobiły wniście do oney to groty  
Z winną macicą bluszczow krzywe pędy;  
Tam kochankowie na porze spiekoty  
Swe odprawiali wczasy y gawędy;  
Tam dwoyga imion malują się sploty  
Gęściey y czuley, niśli indziey wszędy,  
Lub węglem, lubo rysowane kwaszem,  
Lub wyrzezane nożem czy pałaszem.

107

Wszedł do iaskinie grabia zadumany:  
Zaraz od proga, snadź ręką Medora,  
Obaczył gęsto popisane ściany  
Tak świeżo, iakby nieledwie od wczora.  
Rozkoszy, odeń w grocie kosztowaney,  
Rymem świadczyła mowa wielowzora,  
W tamtem języku barzo wdzięczna — tuszę,  
Którą tem sensem wyłożyć pokuszę:

108

Wesołe drzewa, trawo, iasne wody,  
Mroczna iaskini, w chłodny cień ubrana,  
Kędy tak często przecudney urody  
Galafronowna, od wielu kochana,  
W ramionach moich bez żadney przeszkody  
Odpoczywała; zato, że mi dana  
Od was ta wolność, nie mając ubogi  
Medor czem płacić, całuję ty progi.

109

Y proszę wszytkich panów miłośników,  
Wszytkich rycerzy, panny miłujące,  
Wszytki persony kmieci czy pątników,  
Co z woli, abo z losu ku tey łące,  
Do tych wod i grot przyidą y gaików:  
— Modlcie się społem: Błogosław iem słońce  
Y księżyc; Nymphy! uchowaycie szkody,  
Zdała trzymając pastyrze y trzody.

110

Pisane było to arabską mową,  
W której był grabia ćwiczon iak w łacinie;  
Siła on innych znał, atoli ową  
Przed wszytkiemiś miał, mądry Paladynie!  
Nieraz on uszedł chwalebnie y zdrowo,  
Nią się ratując w pogańskiej krainie,  
Wždy niech się nie dmie, że miał z niey korzyści,  
Teraz mu sroga ztąd boleść się ziści.

## 111

Trzykroć, czterekroć, sześćkroć rzeźby pytał  
 Okiem utkwionem w przeraźliwe słowa,  
 Mniemając, że się odmieni, co czytał,  
 A zawsze jedna była słow osnowa.  
 Coraz żal srogi za serce go chwytał,  
 Tak prawie, iakby iaka dłoń lodowa.  
 Nareście skostniał, wzrok y umysł mętny  
 Utkwiwszy w skale, skale obojętney.

## 112

Tedy mu ięło mieszać się w rozumie  
 Z wielkiego wszystkich zmysłów usilenia.  
 Iedno, kto w sobie sam zaznał, zrozumie,  
 Że być nie może większego cierpienia.  
 Broda mu zwiśla na łono w zadumie,  
 Hardości w oczach nie zostało cienia;  
 Y tak całego ból zadzierzył w rękę,  
 Że leż powiekom, ustom brakło ięku.

## 113

Zbyt się rozparła w niem żalność w tey porze,  
 Co rychley kwapiąc wyniść z konfuzyie;  
 Iako to napoy widamy w gęsiorze,  
 Co ma pękaty brzuch a wążką szyię,  
 Gdy zagnęła dnem go wywrocisz ku gorze,  
 Tak się więc gwałtem likwor w kupę zbie  
 Y tak się sobą zatchnie y zastanie,  
 Że jedno kropla zeń po kropli kanie.

## 114

Kęs wszedzszy w siebie, myśli — jakby sprawić,  
 By mu się rzecz ta wydała fałszywa;  
 Że to ktoś panią jego chciał zniesławić,  
 Tak tuszy, marney tak nadzieie wzywa,  
 Lub, że zazdrośnik takiej chciał nabawić  
 Trwogi, ażeby dogryzł go do żywa,  
 I zasię myśli: to samo, przedzięki,  
 Wszak niktby udać nie umiał jej ręki.

## 115

Taką nadzieią — choć marną i skępą —  
 Posiła mdły duch, koi bolow ostrze;  
 Bryliadora dosiada i stępą,  
 Właśnie gdy słońce plac ostawia siostrze,  
 Poieżdża daley, a wtem za drzew kępą  
 Dym nad dachami nagle się rozpostrze,  
 Słyszy laianie psów i ryki trzody,  
 Zieżdża do sioła i szuka gospody.

## 116

Z unużonego zsiadł Bryliadora  
 Y stajennemu chłopcu rzucił wodze:  
 Krząta się służba do posługi skora,  
 Tu koncerz leci, tam złote ostrodze.

Dom to był, w którym spotkała Medora  
Przygoda gorna i zaszczytna srodze.  
Kłaść się chce Orland, nie czeka wieczерze  
Syty żalością, która smak mu bierze.

## 117

Im barziewy mniema, że się uspokoi,  
Tem żywiej w piersi czuie piekło iste;  
Na każdej ścienie, u każdych podwoi,  
U okien pismo widząc nienawiste.  
Chce pytać y znów odezwać się boi,  
By się nie stało nazbyt oczywiste  
To, co naigęstszem radby zakrył mrokiem,  
Iżby go przykrem nie kłóło widokiem.

## 118

Mało ta własna zdrada mu pomoże,  
Choćby nie pytał, znajdzie gawędziarzy:  
Pastyrz, w ponurym widząc go humorze  
Y chcąc mu ową zwiąć zadumę z twarzy,  
Historią, którą gości we swym dworze,  
Ktoby iey ieno zechciał słuchać — darzy  
I ktorey wielu zbyt słuchano mile,  
Niemieszkaiący rozpoczął w tę chwilę.

## 119

Iako z roskazu pięknej Angeliki  
Do chaty przeniósł rannego Medora  
Y iak pod ręką łagodną podwiki  
Rychło się rana zagoiła chora  
A otworzyła w niej, gdy ogień dziki  
W zanadrzu wszczął się od strzału Amora  
Y taki pożar z lubego żeleźca,  
Że sobie nigdzie nie nayduje mieysca.

## 120

Takie więc było nieumiarkowanie  
U naywiętszego z wschodnich krolow cory,  
Y taka miłość przypadła już na nią,  
Lichego żoną że została ciury.  
Dokonało się tem opowiadanie,  
Że mu okazał pastyrz pierścień, który  
Przy pożegnaniu — za dobrą gospodę —  
Od Angieliki odebrał w nagrodę.

## 121

Koniec pastyrza mowy był toporem,  
Który mu głowę odrębał od szyie,  
Bo Amor z sercem poigrawszy chorem,  
Myślał, że dobrze zrobi, gdy dobije.  
Chciał go uciszyć Orland jakim wzorem,  
Ale nie zdzierży mu, nierzkąc ukrycie  
Y iuż się łzami na wierzch dobyć musi,  
Czy chce — czy nie chce, abo go zadusi.

## 122

Aż gdy się waży bol puścić na wolą,  
 Sam y bez świadka zostawszy w komorze,  
 Zdroyem z pod powiek łzy mu się wyzwolą  
 Y spłynie na pierś niestrzymane morze.  
 Stęka y wzdycha, y puchy go kołą,  
 Tam y sam sobą wszystko zwiedza łożę:  
 Twarde iak kamień, ostre iak pokrzywa,  
 Ciału dolega y rani do żywa.

## 123

Kiedy tak nudzi, na domysł mu przydzie,  
 Że wtemże łożu, gdzie właśnie spoczywa,  
 Okrom wątpienia z gamratem w bezwstydzie  
 Niewdzięczna dziewczka sypiała szczęśliwa.  
 Nagle mu puchy i nocleg w ohydzie,  
 Co nakwapliwszem skokiem się porywa.  
 Tak żeniec, kiedy na sen zwierza oczy  
 A uźrzy w podle węża — w bok uskoczy.

## 124

Nagle przeciwko łożu y gospodzie  
 Taki go uiął gniew niehamowany,  
 Że nie czekając — rychłoli na wschodzie  
 Księżyc abo świt zabieleie rany,  
 Zbroi się, siodła koń, ostrogą bodzie,  
 Wskok biejąc przez las ciemny, niezaznany,  
 Aż gdy w naygęstszym obaczył się chroście,  
 Strasznm żalowi krzykiem otwarł uście.

## 125

We dnie y w nocy łzy mu z oczu cieką,  
 Ogromnem głosem biada, nieszczęśliwy:  
 Unika grodow, od ludzi daleko  
 Błądzi, na ziemi sypia bez okrywy.  
 Na podziw mu to, skąd się pod powieką  
 Niewyschłe bierze źródło wody żywey  
 A pierś wzdychaniom ustawnym wystarcza.  
 Takiem więc iękiem powietrze obarcza:

## 126

Nieprawie to łzy, ktore falą słońą  
 Z pod czoła żal mi wyciska głęboki:  
 Zabrakło już łez mey miłości pono,  
 Bo wszczął wpołu mąk wyschły ich potoki.  
 Pożarem, ktory w nędzne wżarł się łono,  
 Zagrzane, z pod rzęs wypływaią soki,  
 A wypływaią tak nadmiar obficie,  
 Że z nimi ścieką razem bol i życie.

## 127

Nie westchnienia to ruszaią się z wnętrza,  
 Owszem, westchnienia odmienney są cechy:  
 Te czasem cichną — moia coraz większa  
 Męka — ni chwilą nie czuię pociechy.

Miłość ten budzi wiatr, co mi się spiętrza  
W sercu pożoga, skrzydły dmac, jak miechy.  
Miłości — iakiem się to cudem dziecie,  
Ze ciągle płonę, przedsię nie zgoreię?

128

Nie jestem ja ten, kim się zdam z oblicza:  
Tamten Orland zmarł i już pogrzebiony;  
Uśmierciła go dziewczka niewdzięcznica,  
Złamawszy wiarę, złamawszy zakony.  
Ja iestem dusza iego, pokutnica,  
W piekielne trafem obłąkana strony,  
Która w przestrozę temu lka y biada,  
Co na miłości nadzieją zakłada.

129

Całą noc w leśnem błądził grabia cieniu,  
Aż gdy świt wrota niebiosów otworzył,  
Los go złośliwy wrocil ku strumieniu,  
Gdzie Medor przykry owy wiersz wydrożył.  
Gdy dostrzegł hańby swej rytey w kamieniu,  
Znowu zapłonał; iak mu w sercu ożył  
Y gniew, nienawiść wściekła y odraza  
Niepomóżona... wtem dobył żelaza.

130

Pismo y skałę zrabiał, siekąc na nie,  
Pod niebo małe leciały krzemiona.  
Nieszczęsna grota — nieszczęsne schowanie,  
Gdzie miłośników ryły się imiona.  
Już pastyrzowi, już trzodzie w tym stanie  
Chłodu ni cienia nie da rozwalona,  
Nawet to źródło przezczyste i szklane  
Od iego gniewu nie iest szanowane.

131

Gałęzie, kłody, głazy i traw pęki  
Miotał zawzięty na czyste kryształy  
Y tak ie zmącił do dna, że przedzdięki  
Nigdy już więcej iasne być nie miały;  
Wreście zdyszany i od potu mięki,  
Gdy mu zemdlone zmysły odmawiały  
Władzy na wzgardę, gniew, klątwy plugawe,  
Westchnął ku gorze y upadł na trawę.

132

Upadł na trawę, iakby skała padła,  
Z oczyma w niebo leżał utkwionemi,  
Tak bez napoiu trawiąc y bez iadła,  
Ze trzykroć gasł dzień, trzykroć wracał ziemi.  
Boleść potroszę rozsądku mu kradła,  
Aż zbiegł na koniec wroty otwartemi,  
Więc dnia czwartego, wściekłem szalem chory,  
Iął zdzierać z siebie zbroię i ubiory.

133

Tu paiz upadł, a tam hełm bogaly,  
 Kęs daley szabla legła przy pancerzu.  
 Słowem — by skończyć bez czasu utraty —  
 Każda broń w innym spoczęła alkierzu,  
 Zaczem na sobie porozdzierał szaty  
 Y włos ukazał gęsty jak na zwierzu.  
 Tedy się począł ow szal wiekopomny,  
 Iakiego iuż czas nie zazna potomny.

## NICCOLO FORTIGUERRA

(Forteguerrri, pseud. Carteromaco, 1674–1735)

## RICCIARDETTO

Właśnie mi na myśl wpadło nowe tema,  
 I już nie mogę otrząsnąć zeń głowy:  
 Oto chcę stworzyć epiczne poema,  
 Którego temat i plan będzie nowy.  
 Muza ma nie jest córką słońca, nie ma  
 Złotego berła, laski hebanowej,  
 — Jest sobie chłopką, lubi żarty wolne,  
 Śpiewając na wiatr, ot — jak świerszcze polne.

Lecz choć zazwyczaj zamieszkuje lasy,  
 Poi się wodą i jada żołędzie,  
 To przecież lubi opiewać zapasy  
 I wielkie czyny, i rycerzy w pędzie...

Śpiewa dla rozweselenia siebie i drugich, nie dba o pochwały, ni nagany, które tyrani-  
 zują ludzi do tego stopnia, że:

Napotkasz wieszczą, co gryzie paznokcie,  
 Drapie się w czoło i rwie na łbie wełnę,  
 Aby wynaleźć rymy wdzięku pełne.

Argumentem poematu jest, jak w typowych «chansons de geste», wyprawa Kafrów pod Paryż, podjęta z poduszeczenia czarnej księżniczki Despiny (dawnej Fior de Spina), mszczącej się za śmierć brata, którego Ricciardetto położył w pojedynku. Metodą Ariosta, powieść przerzuca się coraz to do nowych epizodów: Ricciardetto, Alardo, Astolf poszukują w Hiszpanii szalonego Orlanda, samych zaś bierze chwilowo w miłosną niewolę niby druga Armida — Madonna Stella. Równocześnie Rinaldo dokazuje w Persji: zabija gigantów, pali czarownice, oswobadza piękną córkę Galafrona, «króla Azji i Afryki», zakochaną w Lindorze, zabija tysiąc harpij, wydiera Angelikę z rąk lubieżnego mnicha Ferrau, nawróconego poganina i prawie głównej figury poematu. Potem paladynowie znajdują Orlanda i Rinalda, rozbijają w puch Kafrów pod Paryżem; Despina zmienia nienawiść na miłość i znów pod wpływem czarów miłość na nienawiść, aż wreszcie, przyjąwszy chrzest wraz z królem Kafrów, wychodzi za Ricciardetta, wybranego cesarzem po śmierci Karlomana, wysadzonego w powietrze z Rinaldem i Orlandem przez Ganona zdrajcę. Do nieba wzięli wszyscy trzej, wzięwszy się za ręce; św. Piotr otworzył im bramy; raz jeszcze zeszli na ziemię na chrzest pogan i wesele Ricciardetta.

Rinaldo, uwolniwszy piękną Lucyne, słyszy grzmoty.

Żegna się zatem i w piersi się grzmotnie,  
 I przebaczenia woła za swe grzechy;  
 Żal-bo mu, że ma umierać sromotnie,  
 Bez religijnej zupełnie pociechy;  
 Radby swe winy w wór wsypał ochotnie  
 I u stóp księdza złożył jak orzechy.  
 — Dama, zdziwiona tym rozpaczy gestem,  
 Pyta: «A co to?» — On: «Chrześcijanin jestem».

Poganka słyszy ten wyraz po raz pierwszy, Rinaldo nie umie jej wyjaśnić dobrze różnicy pogaństwa.

To wiem, że trawę ziemi, gwiazdy nieba  
Stworzył Bóg i że chrześcijan chce u siebie  
A saracenów na piekielnym chlebie.

Mnich Ferrau, jakby z «Dekameronu» wycięty, zbyt jest wrażliwy na powaby niewieście; kiedy umiera, czart posyła mu do celi widma pięknych kobiet.

A na ten widok Ferrau, biedota,  
Zaśmiał się, choć już widział śmierci wrota.

Lecz ojciec Hildebrand, który nań zważa,  
Coś podejrzywa powód tej uciechy,  
I ta piekielna rzesza go przeraża,  
Więc prędko lak się odzywa do klechy:  
«Dla niebieskiego chowaj wirydarza  
Śmiech, synu; a tu kajaj się za grzechy  
I rzewnie ducha wznos». Tu go przeżegnał  
Święconą wodą i djablice przegnał.

(*Niccolo Carteromaco, Ricciardetto, Parigi 1738.*)

## GIORDANO BRUNO

(1548—1600)

### WIECZERZA POPIOŁÓW

Doktryna, zamknięta w 5 dialogach niniejszego dziełka, przedstawia cztery propozycje: 1. Wszechświat jest bezkresny; zbyteczna szukać w nim bądź ogniska, bądź obwodu. 2. Glob ziemski jest tej samej materji i formy, co inne gwiazdy. 3. Wszystko, co jest stworzone, rusza się, żyje, stanowi istotę żyjącą, zwierzę. 4. Owe przeolbrzymie «zwierzęta» poruszają się wedle planu, tak pełnego mądrości i celowości, że wyglądają na istoty rozumne — «zwierzęta intelektualne».

Dialog III, prop. 4... «Dobrze rozważając, znajdziemy, że ziemia i inne ciała, zwane gwiazdami, człony naczelne wszechświata, jak dają życie i pokarm rzeczom, jak z owych rzeczy czerpią swój mięsz, tak samo — i jeszcze w wyższym stopniu — posiadają życie samo w sobie, dzięki któremu wedle dostrojonej i przyrodzonej woli, z zewnętrznego pryncypjum, poruszają się we właściwych przestworach. Nie istnieją zaś inne bodźce zewnętrzne, któreby poruszaniem fantastycznych sfer obracały te ciała po drogach okólnych. Gdyby bowiem tak było, to ruch byłby gwałtowniejszy, ponad przyrodzenie ruchu, a bodźce byłyby niedość skuteczne, a jedno i drugie wymuszone i mozolne, do czego przystąpiłyby jeszcze inne niedomagania.

Uważny zatem, jak to pieć męska ciągnie ku żeńskiej, i odwrotnie; jak ziolo i zwierzę, jedno wyraźniej, drugie mniej wyraźnie zdąża ku swemu żywotnemu pryncypjum, a więc magnes ku żelazu, żdźbło słomy ku bursztynowi i wogóle każda rzecz szuka swego dopełnienia, a cofa się przed przeciwieństwem; dostateczną przyczyną tych ruchów jest pryncypjum wewnętrzne i przyrodzone, nie zaś jakiś bodziec zewnętrzny, działający bądźto przeciw, bądź poza naturą rzeczy. Ziemia zatem i gwiazdy poruszają się wedle swoich właściwości miejscowych z tego pryncypjum wewnętrznego, jakim jest własna dusza».

«Czy sądzisz» — rzekł Nundynjusz — «że ta dusza jest sensytywna?» — «Nie, tylko sensytywna» — odparł Nolano (n. b. Giordano, ur. w Noli) — «ale także intelektualna, jak nasza człowiecza, a może jeszcze w wyższym stopniu...»

(*Cena de le ceneri, Milano 1864, p. 85.*)

### LICHTARZ

Dedykacja: A la Signora Morgana

«Do ciebie, oraczkę duszy mojej, która, rozbiwszy głębę jej twardości i przytępiwszy jej kolec, aby mgła kurzawy, podniesiona wiatrem lekkomyślności, nie obrażała



oczu tego i owego; boską wodą, wypływającą z głębi twego ducha, spłókałaś mi umysł».

Niewiadomo, czy autor pisze żartem, czy na serio.

«Czas wszystko bierze i wszystko daje; każda rzecz się zmienia, żadna się nie traci; jedno jest, które nie może zmienić się, jedno i wieczne; i może przez się trwać wiecznie, jedno podobne i to samo».

(Ostatnie słowa znajdują wyjaśnienie w wykładzie teorii Brunona) «Tą filozofją dusza mi rośnie i udostajnia się umysł». A dalej: «Skoro zmiana jest nieunikniona: Ja, który jestem w nocy, oczekuję dnia, ci, co są we dnie, niech czekają nocy.

Wszystko, co jest, jest albo tu, albo tam, albo blisko, albo daleko, albo teraz, albo potem, albo prędko, albo późno. Raduj się zatem i, jeśli możesz, chowaj się zdrowo i kochaj tego, który cię kocha».

Prolog zawiera treść chaotycznej w swych epizodach komedji: «Obaczycie u kochanka westchnienia, łzy, roztargnienia, drżenia, sny, otuchy i serce usmażone w ogniu miłości. Myśli, abstrakcje, gniewy, szaleństwa, zazdrości, kłótnie i mniejsze nadzieje, niż pożądania. Tu znajdziecie na duszę kłody, sznury, łańcuchy, niewolę i więzienie; prócz tego kary wieczne, mękę i śmierć... Obaczycie inną z tych kobiet, żalującą zaniedbania grzechów w piekle, gdy była młoda (zielona), a teraz bolesna jak osioł, który dźwiga wino — ale cóż? Anielica, ambasadorowa, sekretarzowa, radczyni, referendarzowa, nowiniarka, kupczyni, tkaczka, faktorka, handlarka i prowodyrka, tan-deciarka serc i szmaciarka, kupująca je i sprzedająca na wagę... etc.»

(*Giordano Bruno, Il candelaio, Milano 1863, p. 5—21.*)

## TOMASO CAMPANELLA

(1568—1639)

### WIARA NATURALNA PRAWDZIWEGO MĘDRCA

Wierzę w jednego Boga: moc, mądrość i miłość;  
Boga, życie i prawdę, dobroć niepomiarową;  
Pierwobył, króla bytów i Stwórcę wszechświata.

Ni cząstką jest, ni wszystkim, punktem, ni obszarem,  
Raczej wzorem wszechrzeczy; stąd po nim rzecz wszelka  
Uczestniczy w miłości, mądrości i mocy.

Ani przed, ani po nim, ni poza nim dusza  
Myśląca kroczyć winna, by nie zbłądzić,  
Bo czas, miejsce, potęga jego są bezkreśne.

Odeń, przezeń, w nim samym są postanowione  
Przestworza bezgraniczne i wszystkie w nich byty;  
Tworząc je, nie posłużył się nikim i niczem.

Jedność i trwanie czasu pochodzą od niego,  
Lecz liczba oraz stworzeń szczególnych odmienność,  
Jakie z sobą czas niesie, naszym są wymysłem.

(*T. Campanella, Poesie filosofiche. Fede naturale del vero sapiente, ed. Orelli, Lugano 1834.*)

## SALVATOR ROSA

(1615—1673)

### SATYRA II

Satyra na współczesną poezję; wyszydzone w niej wszystkie dziwactwa poetyckich kierunków, wydobyte, ku przestrodze, sławne «kwiatki» stylu i języka: potworne

przenośnie, porównania, pomysły; istne «ludzkie kadłuby z głowami bydlęcia», «delfiny w lesie» i «dziki na morzu». Gani zbyteczną uczość poetów; już nie lubił jej Jowisz, skoro Minerwę z głowy wypędził. «Czy nie widzicie, jak śmieją się z was, kiedy opisujecie wdzięki swoich dam?» «Oczy-gwiazdy, brwi-luki, twarz-niebiosa, słowa-grzmoty, westchnienia-bomby i petardy, włosy-deszcz złoty, piersi-kuźnia Amora». W jednym sonecie słyszałem o damie, której usta były «arką arabskich woni, muszkatu i piżma». Neptun zwie się tam «słonym bogiem», słońce-katem, «który ścina głowy cieniów toporem promieni». — Szydzi z rozczochranych poetów, z filozofów brudnych i obdartych, którzy ogryzają paznokcie, a drapiąc się po głowie, «dumają o Indjanach i Mamelukach». Przedrzeźnia wyszukane nazwy akademij i gromi literackie pieniactwo:

Nie włącz w nieswoje i nie szczekaj kondla  
Głosem na cudze rymy; — nikt nie zważa;  
Gdyś «omączony»<sup>1</sup>, to ruszaj do rondla.

Obrzydli mu dworscy pochlebcy: «Ledwo się księciu urodzi syn, sypią się przepowiednie czolobitności: księżyc na młodziku będzie mu służył za kołyskę, zodiac za pieluchy; wszystkie wody Meksyku, Egiptu, Syrii runą na chrzest tego, który rośnie dla polityki, żyje ateuszem, a umiera kacerzem». Uderza poeta zwłaszcza na niemoralność tego pseudowstydliwego stylu, omawiającego dwuznacznikami Pazyfaje i Priapa. «Ale gdzież mię unosisz, Muzo?» — tak kończy — «świat dziś zwrócony cały ku Lesbji i Tais; czasy to właściwsze do milczenia, niż pisania wierszy».

Zjawisko niezwykle i prawie jedyne, poeta oglądający na dwory i wszechwładne książątka, nie jak stęskniony do gajów pasterz, ale jak miłujący swobodę republikanin; wstydem napelnia go płaszczenie się, które tak przesiąkło w organizmy ówczesnych ludzi:

— — — — —  
Żeni się książę, hejże! na wysługi  
Epitalamja i ody, i hymny:  
Największy worek wszystkich nie pomieści.  
— Spoczynek dajcie Muzie miodorymnej:

Dziś nam potrzebna pieśń odmiennej treści  
Niżli do stołu i niżli do tanu;  
Śpiewak powinien być pełen boleści.

Czego dziś więcej? Wyznawców Koranu<sup>2</sup>  
Czy Biblii? Więcej pielgrzymów kto gości:  
Rzym czy Genewa?<sup>3</sup> Śpiewajcie, jak panu

Za kawał chleba zbywa się wolności  
I czci. Ha, wolność umarła — i wiara;  
Uczciwość pusty dźwięk, te duszne włosci

Stały się lupem tyranów!...

(*Salvator Rosa, Le Satire Classici ital. t. LXXV, Milano, s. d.*  
*Z życiorysem p. G. Carducciego.*)

## MATTEO BANDELLO

(1485—1561)

### NOWELA

W czasie kiedy pani Małgorzata austriacka, córka cesarza Maksymiljana, przybyła za mężem do Sabaudji, żył w jednej prowincji Piemontu szlachetny i dzielny pan,

<sup>1</sup> Aluzja do Akademji dé Infarinati.

<sup>2</sup> Aluzja do przewagi tureckiej.

<sup>3</sup> Siedziba Kalwina.

którego imię zamilczę; posiadał zamki i wasalów, zaś większą część życia przebywał na dworze, ile że był człowiekiem roztropnym, a księżę wysoce go cenil. Wziął za żonę szlachetną pannę z owych stron, która, choć nie naujurodziwsza, mogła dorównać innym, bo czego jej nie dostawało w urodzie, to nagradzała znamenitym rozumem i obyczajnością... Mąż, człowiek poważny, kochał ją i cenil wielce; miał z nią dwoje dzieci, już dorosłych. Wiekiem był bliski lat 63; żona mogła liczyć około 35; niezaspokajana uściśnieniami męża, gdyż on bawił przeważnie u boku księcia, zwróciła oczy na pewnego młodzieńca, mężowskiego wasala, i gorąco się w nim zakochała. Bywał codziennie na zamku, grywał z panią w szachy, warcaby i karty; poufalił się z nią dniami i wieczorami. Mąż bynajmniej niezazdrosny, o ile bywał przy żonie, nie zwracał uwagi na jej obejście, tem bardziej, że, jak wiecie, w tych naszych towarzystwach damy zachowują się bardzo swobodnie w obcowaniu z mężczyznami, a całować nasze żony w naszej obecności nie uchodzi za rzecz zdrożną, raczej jest dozwolone i przyzwoite, bo kiedy zacny szlachcic wchodzi w nasz dom, uważalibyśmy, że wyrządza ujmę naszemu honorowi, nie racząc ucałować żony, córki, siostry i wszystkich obecnych niewiast, a całowanie ich uważamy za zaszczyt. Podobnie też, kiedy widzimy, jak nasze panie rozmawiają z gościem na uboczu, nie dąsamy się, nie jest to bowiem uważane za coś złego, jak u was Lombardów.

Przebywając zatem z damą tak poufale, spostrzegł, że zapala się niezwykłym ku niemu afektem. A ujęty takim zaszczytem, już otwarcie, bez uwagi na niebezpieczeństwo, począł przyjmować jej miłosne zapaly i wzajemnie umiłował ją żarliwie. Nie minęło wiele dni, kiedy dzięki obopólnej skłonności wyjawili sobie swe amory...

Wreszcie otworzyły się mężowi oczy; podpatrzył ich w ogrodzie, poznał zdradę, przygotował zemstę. Żłudził żonę rzekomym wyjazdem, wrócił potajemnie nocą, naszedł kochanków w sypialni...

Kazał przynieść powróż i zmusił żonę, żeby własnoręcznie powiesiła kochanka na gwoździu, wbitym w pułap... Następnie kazał wynieść z izby wszystkie sprzęty, a tylko w kącie zostawić tyle słomy, ile wystarczało dla dwojga psów, poczem odezwał się do żony: «Niewiasto, która splamiłaś cześć moją i swoją i nade mnie ukochałaś mego poddanego, chcę, abys tu z nim pozostała nadal, a z tobą ta stara stręczycielka (służebna, pośredniczka amarów); już bowiem stąd nie wyjdiesz». Nie był to próżny postach, kazał bowiem wstawić w okno kratę, zamurować drzwi, zostawiając tylko mały otwór, przez który nędzarkom podawano chleb i wodę; a straż oddał kasztelanowi. Nieszczęsne kobiety, płacząc gorzko, pozostały w takim zamknięciu, ale niedługo, bo trup zaczął niebawem cuchnąć tak, że cały świat mógłby być tknięty zarazą. W takim stanie przeżyły wspólnie do szóstego roku. Gdy wreszcie zachorzały, szlachcic ów kazał wywlec obie i zanieść do innej izby, gdzie szlachetna pani wkrótce umarła, starą zaś wypędził, gdzieby iść zechciała.

*(Tesoro dei novellieri italiani, Parigi 1847, od II p. 123—125.)*

## ANTONIO FRANCESCO GRAZZINI LASCA

(1503—1584)

### TREŚĆ

Wawrzyniec Medyceusz Wspaniały każe dwom zamaskowanym sługom, po wieczery, pijanego lekarza Manente zaprowadzić potajemnie do pałacu i tam go więzi w ciemnicy, nieświadomego, gdzie się znajduje. Zamaskowani dostarczają mu pokarmu. Przez trefnisia Monacha rozgłasza, że Manente umarł na zarazę i każe w jego miejsce pogrzebać jakiegoś umrzyka. Po czasie wypuszcza go na wolność. Manente wraca do Florencji; żona, mniemając, że to duch nieboszczyka, przepędza go; jedyny Burchiello (znany poeta-żartowniś) go poznaje. Żona przedstawia sprawę naprzód w arcybiskupstwie, potem w Radzie Ośmiu; wreszcie rozstrzyga ją sam Wawrzyniec, który tłumaczy, że wszystko zdarzyło się siłą czarów. Tak odzyskawszy żonę, Manente wybiera św. Cyprjana za swego patrona.

*(Ant. Fr. Grazzini, Novelle, Milano 1810, III cena nov. 10.)*

## GIAN GIORGIO TRISSINO

(1478—1550)

## SOFONISBA

Treść wzięta z Liwjusza: Scypjon przeciągnął na stronę Rzymian Syfaksa, króla Numidów; Kartagińczycy zwabili go napowrót, oddając mu za żonę córkę Hasdrubala Sofonisbę. Masynisa, wróg Syfaksa, przerzuca się natychmiast na stronę Rzymian, zwycięża Syfaksa, bierze go w niewolę i tegoż dnia zaślubia Sofonisbę. Z tego powodu Scypjon czyni mu wyrzuty; Sofonisba, ta dumna patryjotka, winna uwieńczyć triumf zwycięzcy. Masynisa posyła żonie truciznę.

## Scena przedśmiertna

Sofonisba: Czuję, jak sił mych ulata ostatek,  
Powoli w stronę odchodzę daleką.  
Herminja (*piastunka*): O, jakie smutne dla mnie to odejście!  
Sofonisba: Co to spostrzegam? Jaki tłum nieznanym?  
Herminja: Biada! Co widzisz i co cię przeraża?  
Sofonisba: Wy nie widzicie? Ciągnie mię ku sobie...  
Co czynisz? Gdzie mię wiedziesz? Ha, wiem dobrze  
Dokąd... Puść, idę już za tobą sama.  
Herminja: O, smutna doło, o szczyt boleści!  
Sofonisba: Czemu płaczecie? Nie wiecie, że wszystko,  
Co się zrodziło, śmierci przeznaczone?  
Chór: Biada nam, gdy tu przybywa za wcześnie,  
Bo-ć wiosen jeszcze nie liczysz dwudziestu.  
Sofonisba: Dobro przybyło-li kiedy za wcześnie?  
Herminja: Bolesne dobro, co niesie ruinę!  
Sofonisba: Przystąpcie bliżej... oprzeć się pozwólcie.  
Czuję, że słabnę na silach; już mglista  
Noc coraz schodzi na źrenice moje...  
Herminja: Oprzej się, pani, tu, na mojem łonie.  
Sofonisba: Synku, niedługo nie będziesz miał matki;  
Ona odchodzi precz — zostań mi z Bogiem!...

Sofonisba jest pierwszą włoską tragedją klasyczną, naśladowaną we wszystkich literaturach; sama wedle wzoru Eurypidesa, jak inne — Seneki. Poeta użył też do niej po raz pierwszy wiersza 4-zgłoskowego nierymowanego (*verso sciolto*).

(G. G. Trissino, *La Sofonisba*, Milano 1864.)

## PIETRO ARETINO

(1492—1556)

## KURTYZANA, KOMEDJA

Akt IV, s. c. 15

Żyd Romanello, przekupień starzyzny, i Rudy, lokaj.

Żyd: Starzyzna, starzyzna!

Rudy: Spróbuję nabrać go jak rybaka (*oszukał go na sprzedaży*).

Żyd: Starzyzna, starzyzna!

Rudy: Chodź tu, żydzie.

Żyd: Co pan rozkaże?

Rudy: Skąd ten kaftan?

Żyd: To po kawalerze Brandino. Jaki aksamit!

Rudy: Ile za niego?

Żyd: Niech pan przymierzy, potem będziemy mówili o cenie.

Rudy: Dobrze powiadasz.

Żyd: Włóż pan naprzód płaszcz. Tu jest ramię. Niech tak nigdy nie oglądam Mesjasza, jeżeli nie jest uszyty jak dla pana. Piękny kawałek kaftana.

Rudy: Mów prawdę.

Żyd: Niech mię tak Pan Bóg w szabes nie poprowadzi do synagogi, jeżeli na panu nie leży jak malowanie.

Rudy: A teraz cena; jeśli mi go sprzedasz uczciwie, po mojej chęci, to kupię jeszcze ten habit dla mojego brata w Aracaeli.

Żyd: Jeśli go pan kupi razem, to opuszczę z ceny, a niech pan wie, że należał do samego wielbnego Aracaelego *in minoribus*.

Rudy: Tem lepiej. Ale brat mój jest słusznego wzrostu, chcę zobaczyć, jak wygląda ztyłu, a potem potargujemy.

Żyd: I owszem, wyda pan sprawiedliwie swoje bajoki.

Rudy: Spadł ci sznur; włóżże teraz szkaplerz. Tak, jest wcale zacny.

Żyd: A jakie sukno!

Rudy: Wydajesz mi się porządnym człowiekiem, dlatego wymyśliłem dla ciebie coś dobrego.

Żyd (*n. s.*): Rak w zatrasku...

Rudy: Chciałbym, żebyś się wychrzcił.

Żyd: Pan życzy sobie rozprawiać. Pan wierzy w Boga i ja w Boga. Jeżeli pan życzy sobie kupić, to jedno, jeżeli rozprawiać — to drugie.

Rudy: Grzech dobrze ci życzyć. Kto tu mówi o duszy. Dusza to jest «*la minore*» (*prześłanka w syllogizmie*).

Żyd: Zdejm pan już mój kaftan.

Rudy: Patrz na mnie. Z trzech powodów pragnę, żebyś się przechrzcił.

Żyd: Zdejm pan, powiadam.

Rudy: Słuchaj, bestja! Jeżeli się przechrzczisz, to zaraz pierwszego dnia zdzióbiesz pełną misę denarów, potem cały Rzym zbiegnie się podziwiać cię w wieńcu oliwnym, a to jest piękna rzecz.

Żyd: Masz pan dużo czasu (*bel tempo*).

Rudy: Po wtóre, będzie ci wolno jeść wieprzowinę.

Żyd: Mało dbam o nią.

Rudy: Gdybyś popróbował bułki posmarowanej sadłem, wyrzekłbyś się dla niej stu Mesjaszów. Co to za muzyka taka bulka smażąca się na ogniu z dużym kielichem między kolanami: smaruj, jedz i pij!

Żyd: No, oddaj mi pan kaftan, bo nie mam czasu.

Rudy: Po trzecie, nie będziesz nosił czerwonej odznaki na piersiach.

Żyd: Co mię to obchodzi.

Rudy: Obchodzi, bo Hiszpanie gotowi cię ukrzyżować za ten znak.

Żyd: Za co ukrzyżować?

Rudy: Bo z tym znakiem jesteście do nich podobni.

Żyd: Jest przecie między nami różnica.

Rudy: Niema różnicy, póki go nosicie. A potem, skoro nie będziesz nosił tej cechy żydowskiej, chłopaki przestaną cię obrzucać skórkami z cedru, łupinami z melonu albo pestkami z dyni. A więc przechrzcij się, przechrzcij się, przechrzcij się. Chciałem ci to powtórzyć trzy razy.

Żyd: Nie chcę, nie chcę, nie chcę. Ja też powtarzam trzy razy.

Rudy: Ja, panie żydzie, jako człowiek uczciwy spełniłem obowiązek i oczyściłem sumienie. A teraz ty: ile żądasz za to wszystko?

Żyd: 12 dukatów.

Rudy: Złoty czy karlinów.

Żyd: Rzymskiej monety, rozumie się.

Rudy: Obróćno się jeszcze, żebym obaczył, jak się fałduje ztyłu.

Żyd: Już się odwróciłem.

Rudy: Stójno — móle!

Żyd: To nic nie znaczy.

Rudy: Czekaj, nie ruszaj się.

Żyd: Nie ruszam się, niech pan obejrzy (*Rudy ucieka w kaftanie, żyd goni za nim w habicie mniszym*).

Żyd: Złodziej, złodziej, łapaj złodzieja, trzymaj złodzieja!

(Nadchodzi patrol, Rudy oskarża rzekomego braciszka o robienie awantury po pijanemu. Scena kończy się pokrzywdzeniem żydowina, niezbyt budującym.)

(*Teairo italiano antico, t. VI, Milano 1809.*)

TORQUATO TASSO

(1544—1595)

AMYNTAS

Akt I, sc. 2

Chłopiątkiem jeszcze tak małym, że ledwo  
Sięgnąć umiałem drobnymi dłońmi  
Po owoc zwisły u zgiętej gałęzi  
Drzewinek, bliską zawarłem znajomość  
Z najurodziwszą, najdroższą dziewczką,  
Co kiedykolwiek złote na wiatr włosy  
Puszczała; córkę poznałem Cidippy,  
Córkę Montana, bogatego w trzody:  
Sylwją, zaszczyt gajów, dusz zarzewie.  
O niej to mówię, nieszczęsny; ach, z nią to  
Żyłem czas pewien tak razem, że dwoje  
Gołąbków w równie serdecznej kompanji  
Nie dotrwa, ni dotrwało. —  
Mieszkanie nasze wspólne  
— Wspólniejsze były serca;  
Zgodny był wiek obojga  
— Zgodniejsze myśli były.  
Z nią to na ryby zastawiałem sieci  
I na ptaszęta; z nią razem ścigałem  
Jelenie szybkie i płoche daniele;  
Wspólna uciecha była, zdobycz wspólna.  
— Lecz podczas, gdym ja z zwierząt czynił łupy,  
Nie wiedząc kiedy — sam łupem się stałem,  
Zwolna i zwolna wyrastał w mem sercu  
— Nie wiem z jakiego kielka —  
Niby to ziele, co z siebie wyrasta,  
Jakiś afekt nieznany,  
Co przynagłał chęć moją  
Być ciągle razem, blisko  
Mej urodziwej Sylwji;  
Wysysałem z jej oczu  
Jakaś słodycz przedziwną,  
Co potem zostawiała  
Jakiś posmak goryczy,  
Wzdychałem często, nie znając powodu  
Tych niepojętych westchnień.  
Tak więc kochankiem byłem, nim poznałem,  
Czem właśnie jest ta miłość.  
Wreszcie doszedłem — — — (w. 64—100)

## GIAMBATTISTA GUARINI

(1538—1612)

## WIERNY PASTERZ

Akt I, sc. 1

Linc o: Sylwjuszu, patrz dokoła:

Wszystko, co piękne, i wszystko, co miłe,  
 To twój miłości; kocha niebo, kocha  
 Ziemia, kocha morze.  
 Ta — patrz — na niebie od wschodowej strony  
 Gwiazdeczka wyiskrzona,  
 Miłością gore ona; synka swego  
 Czuje płomienie; rozkochując ludzi,  
 Sama błyszczy kochaniem.

. . . . .  
 Kochają w głębi boru  
 Dzikie zwierzęta; pośród fal kochają  
 Lekkie delfiny, ciężkie wieloryby.  
 Ptaszyna, co tak śpiewa  
 Słodziuchno i tak rozpustnie polata  
 To raz z brzoźki na buczek,  
 Z buczku na krzew mirtowy,  
 Rzekłaby, gdyby mogła:  
 «Z miłości gorę, ach, z miłości gorę!»  
 Lecz serduszko ma chore  
 I tak w mowie swej gwarzy,  
 Że to rozumie wszystko jej pieszcotka.  
 — Słyszysz... słyszysz, Sylwjuszu?  
 Pieszcotka szeptom rada:  
 «I ja też gorę — ja też» — odpowiada.  
 Ryczy na paszy bydło; — te bydłęta  
 Do miłosnego święta  
 Drżą; lew w lesie poryka,  
 A nie gniew to w nim gości:  
 — To westchnienia miłości.  
 Wszystko więc, wszystko kocha  
 Oprócz Sylwjusza; więc ma Sylwjusz jeden  
 Na ziemi, morzu, niebie  
 Mieć serce bez kochania?...  
 Porzuć dziką zwierzynę,  
 Szalony chłopcze; rzuć bory i kochaj!

(*Giamb. Guarini, Il pastor fido, Bari, Laterza 1914.*)

## POEZJA ARKADYJSKA

FRANCESCO REDI

(1626—1698)

## PIEŚŃ BACHUSA

Gdyby winnych gron soki ponętne  
 Nie krzepiły śmiertelnym żył w ciele,  
 Życie nasze zbyt byłoby smętne,  
 — Takie krótkie, a zła w niem tak wiele!

Purpurowa krew — promień poczęty  
 Z tego słońca na niebie, co świeci;  
 Z nieba strzelił i uwiązał zamknięty  
 W winogrodu zasklepionej sieci.

Nuże zatem, w krwi owej po trudzie  
 Żyły nasze i mięśnie hartujmy,  
 Na przekorę starości i nudzie,  
 Roślejszemi kielichy się pójmy!  
 (*Fr. Redi, Le piu belle pagine di Fr. Redi, ed. Giacosa, Milano 1925.*)

## FRANCESCO DA LEMENE

(1626—1704)

## MADRYGAŁ

Dzieweczki pokrzywdzonej,  
 Płaczącej swego losu,  
 Jowisz dolą wzruszony,  
 Ptaszących skrzydeł użyczył i głosu.  
 Wzbija się na nich, w rzewnej skarży mowie,  
 A słowikiem się zowie.  
 Na wzgórz zieleni, zdumion niestychanie,  
 Amor usłyszał rozkoszne śpiewanie.  
 Oczarowany dźwięki  
 Cudnego śpiewu, nuż dumać i radzić,  
 Jakby Zeusa przesadzić.  
 Wysłuchawszy piosenki  
 Ptaszka artysty, co tak słodkim głosem  
 Nuci, tryluje, kwili,  
 Zmienił go w dziewczę znów — i to jest Lili...

(*Fr. da Lemene, Poesie diverse, Parma 1726.*)

## VINCENZO DA FILICAIA

(1642—1707)

## ODA DO KRÓLA POLSKIEGO JANA III

Strofa 1. Prosi o przebaczenie, iż waży się na tak wysokie loty, zwykle preludjum pindaryjczyków.

Strofa 2. Jedni winni wielkość swą przodkom, inni urodzeniu, inni szpadzie, ty sobie samemu i swej dzielności. «Ty byłeś królem, zanim cię koronowano».

Strofa 3. Zwycięstwa twoje liczniejsze niż piasek nadmorski, a także dzieła pokoju od krain, gdzie dzień ma kolebkę, aż dotąd, gdzie słońce zachodzi.

Strofa 4. Nazywa poeta króla tarczą i szpadą Europy, oddaje wszystkie jego wawrzyny pod straż kastalskich dziewic.

Strofa 5. «Mdląłem» — powiada — i «mrozem krzepłem, widząc, jak straszny gość (Turczyn) wysuszał ustami wszystkie wody Istmu, gość, któremu nie wystarczały owoce Frygji i Egiptu. Naprózno zbroiła się piękna, królewska pani — Austrja i prawie już niewolnica, poddawała stopę pod bezecne żelazo. Święty posąg wielkiego państwa zdał się padać w gruzy, a miasta i grody dymić pod barbarzyńskimi iskrami».

Strofa 6. Zdawało się, że Wiedeń drży w posadach. Matki biegły do świątyń, starzy ojcowie przeklinali hańbiący dar długiego życia. «Ale ta okropna nędza, pożary, krew, jęki i ruina miały stać się, niezwycześony królu, nasieniem twych zwycięstw».



A tej klęski, na którą złożyły się wszystkie furje, pod którą zapadł się grunt Austrii, pozwól, Niebo, że wyznam, «dziś mi nie żal».

Strofa 7. Od czcigodnego piorunu twej szpady  
 Ołsnione padły, zachmurzając lice,  
 Otomańskie księżyce.  
 Skruszyłeś szańce, pędzisz bez przeszkody  
 Jak lew, gdy depce i paszczęką chwyta  
 Owce struchlałej trzody.  
 Taką rzeź sprawisz na polu zagłady,  
 Że drży aż ziemia; pogańskie narody  
 Zgniecione bierzesz pod końskie kopyta,  
 Sztandary, skarby porywasz w zdobyczy,  
 Zrywasz pas obleźniczy.  
 Stąd wołam, wołać będę wciąż: Przybyłeś,  
 Napadłeś, zwyciężyłeś.  
 Tak! zwyciężyłeś, pobożny szermierzu,  
 Przez Boga, a Bóg przez cię...

Strofa 8. Jeżeli tam, gdzie brzmiały hymny, nie wyje dziki głos Arabów, jeżeli wściekłe zapędy nie burzą ołtarzy i wież, a okrutna bezbożność nie wyrzuca z grobów świętych kości, jeżeli przestraszony oracz nie ogląda spalonych murów, nie ogląda rzek płynących posoką, nie ogląda gór wzniesionych ze szkieletów, jeżeli na brzegu Istru Wiednia w Wiedniu nie szuka, tobie to przypisać.

Strofa 9. Tobie przypisać, że niemowlę nie pije z piersi matki mleka krwią zabarwionego, że dziewice i żony nie utraciły czci, że dziś «Sprawiedliwość całuje się z Pokojem».

Strofa 10. Przyjdzie czas, kiedy dziadowie będą pokazywać wnukom pole zapasów. «Tu» — powiedzą — «niezwyciężony król polski stanął obozem, tam przesadził wały, tam złamał nieprzyjacielskie szyki, wyparł, zgniółł, rozproszył, tam wzgórze i doliny, i potoki, i fosy krwią ludzką zafarbował; tu spuścił szablę, tu powstrzymał walkę i zahamował wielkiego rumaka».

Strofa 11. Cóż pomyślą dopiero, gdy się dowiedzą, że kładł na się pancierz nie ze strachu, ani dla powiększenia granic państwa, ani dla sławy własnej, ale by czci przysporzyć Bogu.

Nakoniec ogarnia poetę chrześcijański jakiś szal.

Strofa 14. Dalej, fatalny (to jest od losu zesłany) wojownik, na ciebie czeka Europa, że ją z jarzma wyswobodzisz i że świętą Owczarnię rozszerzysz od Baktry do Tile. Nie ośmieli się już czołem ci stanąć rozległa wprawdzie, lecz chora, nędzna i upadająca monarchja, własnym ciężarem runąć zmuszona. Jeżeli prawdę mi szepczą wysokie marzenia, Ciebie wzywa wzburzona grecka stolica, Ciebie niepokieszona grecka ziemia; wzdycha do Cię Jordan, u Ciebie jedynie Galilea łaski błaga, tobie Betlejem, tobie Sydon się kłania i prosi, i płacze, wyciągając stopę w kajdanach.

#### ODA DO ITALJI

Italjo, o Italjo, ty, co z losu ręki  
 Nieszczęśliwą piękności otrzymałaś dołę,  
 Z tego wiana złej wroźby nieskończone męki  
 Bolescią wypisane nosisz na swem czole.

Bogdajś była mniej piękną, ale więcej silną,  
 By cię więcej się bali, albo mniej kochali  
 Ci, co w słońcu twych wdzięków roztapiać się zdali,  
 A jednak wiedli Ciebie na śmierć nieomylną.

Obym już z gór Alpejskich uzbrojonych szyków  
 Nie widział zstępujących! Oby Po zboczona  
 Francuskich nie poiła chciwych wojowników!

Obyś nie szła nie swoją zbroją uzbrojona  
 Staczać walki ramieniem cudzych najezdników,  
 By służyć czy zwycięska, czyli zwyciężona!

(V. da Filicaia, *Poesie e lettere*, Firenze, Barbera 1864.)

## BAROK

GIAMBATTISTA MARINO

(1569—1625)

### PIESZCZOTY WENERY I ADONISA

Kochaj, w miłości miłość ma nagrodę  
 Największą, jaką za miłość się płaci.  
 Dwie dusze, serca dwa przez wspólną zgodę  
 Zostały dwojgiem, lecz w jednej postaci,  
 Oboje dawną zmieniły gospodę,  
 I każde żyje, lecz w sobie się traci.  
 Oboje trwają w nieswojej powłoce  
 I wszystkie swe w niej wykonują moce.

Bezkreśna rozkosz i niewymówiona,  
 Rana przesłodka, ukąszenie miłe;  
 Wzorem feniksa istność spopielona,  
 Bo ma kołyskę razem i mogiłę.  
 Dusza tym ciosem tknięta w głębi łona  
 Umiera żyjąc, w śmierci czerpie siłę.  
 Mdleje i tęskni; jakimś dziwnym prawem  
 Cierpi bez bólu pod cięciem niekrwawem.

Tak dusza w lubem konaniu się ćwiczy:  
 Wabik dla chuci, sedno strzały celnej;  
 W płomieniu słodkim, a pełnym goryczy,  
 Przez cios śmiertelny ma byt nieśmiertelny.  
 Śmierć, która zmysłom za kordjał się liczy:  
 Nie śmiercią — życiem jest napój weselny.  
 Miłość uśmierca, miłość ogniem parzy,  
 Ażeby pewniej zabić — życiem darzy.

Więc gdy się godzi z twojem chcenie moje,  
 Skoro mię wzrusza to, co ciebie wzrusza,  
 Gdy, czem się koić chcesz — i ja się koję,  
 Gdy to, co lubisz, mnie też lubieć zmusza,  
 Gdy w nas chęć jedna dzieli się na dwoje  
 I jest obojgu wspólna jedna dusza,  
 Gdyś mi dał serce, a ty mojem władasz,  
 Czemu w ramiona me jeszcze nie padasz?

O, duszy mojej słodka błyskawico,  
 Serca mego lube utrapienie,  
 O, moich źrenic światło i źrenico,  
 Mój ty całusku, moje ty westchnienie!  
 Zwróć na mnie owe, gdzie się wdzięki sycą,  
 Drżących szafirów przezyste strumienie;  
 Podaj mi owe, skąd śmierć na mnie czyha,  
 Rubinowego krawędzie kielicha!

Te oczy ku mnie zwróć, oczy uroczne,  
 Te moich spojrzeń szyby zwierciadlane;  
 Powiek — kołczany, brwi — łuki otoczne,  
 Źrenice — kuźnie lubieżą wzdymane;  
 W niebie kochania planety wyroczone,  
 Słońce urodziwych jutrzeńki przebrane;  
 Gwiazdy przejaskne, których skry słoneczne  
 Zdolne mię skazać na zaćmienie wieczne!

Te usta podaj mi! Usta wy lube,  
 Pałaców śmiechu brylantowe wrota;  
 Klombie różany, skąd na moją zgubę  
 Miłosna żmija żądelkiem się miota.  
 Skrzynio, perlami na natury chlubę  
 Strojna; alkowo, gdzie Amor niecnota  
 Chroni się trwożny z obawy katusze,  
 Gdy zranił serce i zrabował duszę!..

(*L'Adone*, poema del Cav. Marino, Londra 1784, C. VIII, v. 116—122.)

Wielka część «Liry» Mariniego, oraz część «Adonisa» (p. XII, 198—207) zostały przetłumaczone przez naszego Andrzeja Morsztyna (Porów. moją rozprawę: A. M. przedstawiciel roku w poezji polskiej. Rozpr. Ak. Um., Wyd. Filol. t. XXI. Kraków 1893.)

## COMMEDIA DELL'ARTE

FRANCESCO ANDREINI

(1578 — um. po r. 1652)

BOHATERSTWA KAPITANA GROZY

### II. Polowanie na jelenia, odyńca i niedźwiedzia

Trappola (lokaj). Jakto? Polowanie jeszcze pana kapitana bawi?

Kapitan Spavento. Bawi mię, żal mi tylko, że nie są to już owe sławne polowania starych czasów.

Trappola. Jakiego rodzaju łowy? Opowiedz mi niektóre, drogi patronie.

Kapitan. Ponieważ łowy na jelenia, dzika i niedźwiedzia są łowami książąt i wielkich panów, ja, który jestem księciem ludzi odważnych, zabiwszy ową łanię złotorogą i bronzonogą, szybszą od wiatru; — zabiwszy także owego dzika kaledońskiego, próbowałem także upolować niedźwiedzia, bardzo krwiożerczego zwierza.

Trappola. Patronie, zatrzymaj się z laski waszej i pozwólcie mi na cztery słowa; uważcie, że przybieracie się w piórka zaszczytów i chwały cudzej i zapisujecie na swój rachunek to, co nie jest wasze; nazwą was dzięciołem Ezopa...

Kapitan. Próbowałem, jak powiadam, upolować dzikiego niedźwiedzia, a że tutaj na ziemi nie istnieją niedźwiedzie godne mej odwagi, cóż zrobić: jednym skokiem dosięgam ósmej sfery i tam dwoma pchnięciami dzidy zabijam Małą i Wielką Niedźwiedzicę. Dokonawszy tego znakomitego i pamiętnego czynu, schodzę na ziemię szlakiem drobnych gwiazd; zostałem przez Saturna wzięty do niewoli, za to, że umierciłem biegun jeden i drugi.

Trappola. Lepiej było z ósmej sfery odrazu skoczyć na ziemię, niż złączyć przez drogę mleczną i popaść w sferę Saturna. Zatem, widząc się w mocy tego wściekłego staruszka, cóżes pan postanowił?

Kapitan. Tupnąłem tak mocno i tak zapamiętale w posadzkę siódmego nieba, że runąłem wdół, przebiłem niebo Jowisza, Marsa, Słońca, Wenus, Merkurego, Księżycy. Spadając wreszcie na ziemię, znalazłem się na placu konstantynopolitańskim, przed pałacem Wielkiego Turka, który właśnie przejeżdżał dla rozrywki po ulicach Bizancjum.

Trappola. Cóż powiedział Wielki Turek, widząc człowieka, co spadł z komnat gwiazdzistych?

Kapitan. Spytał mię w swoim języku, skąd przybywam... Kiedy Wielki Turek usłyszał moje imię, natychmiast zsiadł z konia i ucałował mi kolana; to samo uczynili baszowie, wezyrowie, czauszowie, sandżakowie, berlerubejowie, janczarowie.

### IX. O próbach żarłoczności, o podróży do Kolchidy, o Syrenach.

Kapitan. Przybywszy pewnego dnia do Elidy, bardzo mądrego greckiego miasta, gdzie znajdował się Herkules, wielki pogromca potworów, usłyszałem o wyzwaniu pewnego Greka, nazwiskiem Sepreo, który dowodził, że jest większym od Herkulesa żarłakiem.

Trappola. Myślałem, że ten Grek chciał pana wyzwąć na siłę, ale według tego co słyszę, było to wyzwanie pasorzytnicze.

Kapitan. Herkules, który w onym czasie musiał mieć niezwykle apetyt, przyjął wyzwanie, a ja w tym samym czasie, łaskotany wielkim głodem, prosiłem, żeby mi pozwolili wziąć udział w głodowym zatargu, co też uzyskałem bez sprzeciwu.

Trappola. Głód wypędza wilka z lasu: pan znalazłeś okazję nasycenia się. Fortuna sprzyja odważnym, a odstrasza tchórzów.

Kapitan. Kiedy już ułożono tę walkę obżartuchów, przygotowano stoły na arenie zapaśniczej i każdy zamówił potrawy, jakie życzył sobie pożreć... Sepreo zasiadł pierwszy i zjadł całego pieczonego byka; Herkules, drugi, zjadł stu rzezańców, a ja zjadłem sto nowonarodzonych cieląt... Po skończonej próbie wszystkim lud orzekł, że ja, bez żadnej wątpliwości, odniosłem zwycięstwo... Potem udałem się do

portu, wsiadłem na przepiękny statek, obróciłem ku ślicznemu królestwu Kolchidy. Kiedy, prując fale, płynąłem pod pełnemi żaglami, natrafiłem na skały syren, zwane Sempeljadami, gdzie obaczyłem trzy przepiękne panny; jedna grała na lirze, druga śpiewała, trzecia dmuchała w fujarkę.

Trappola. Te panny powinny były rozstawić ławy i sprzedawać pomadę, galki muszkatołowe, sok pomarańczowy, proszek do zębów i ryby z morza kolchidzkiego.

Kapitan. To były Syreny, to jest półkobiety, półryby; spostrzegłszy okręt, zaczęły śpiewać i grać tak słodko, że marynarze wszyscy pozasypiali — i ja także.

Trappola. To było z waszej strony wielkie uchybienie; wołałyby was widzieć czujnych i krzepkich.

Kapitan. Uśpiły nas wdzięczne czarodziejki, a jedna z nich gotowała się nawet skoczyć na nasz okręt i wyprawić na nim okrutną rzeź, jak to było ich zwyczajem.

(*Francesco Andreini, Bravure del Capitan Spavento, ed. Enzo Petraccone: Commedia dell'arte, Napoli 1927, p. 202—247.*)

## A N O N I M A

### ATEUSZ SPIORUNOWANY

#### O s o b y:

Król Sabaudji, królowa (niewidzialna); hr. Aurelio, jako bandyta; ks. Mario; Bertolino, sługa Aureljusza; Buffelio, sługa Marjusza; Learch i Peandra, rodzice Marjusza (jako posagi); Leonora, siostra Marjusza; Angela, młoda dziewczyna; pustelnik, bandyci, żołnierze, etc.

#### R e k w i z y t y:

Trąby i bębny; strój biały dla posągów; habit, działa, szpada, etc.

#### A k t I

M i e j s c e: miasto Cagliari, stolica Sardynji.

O s o b y: Ministrowie, dwór. Król skarży się na chorobę królowej i na to, że nie będzie miał następcy. Ministrowie pocieszają go. Wchodzi Marjusz i opowiada z uniesieniem, że Aureljusz wykradł jego siostrę z klasztoru Westalek i że obecnie rzuca obelgi na króla i jego dom. Król oddaje mu dowództwo nad wojskiem i każe pojmać, w celu ukarania. Bertolino, bandyta w stroju wieśniaka, oraz wieśniacy, przynoszący supliki przeciw Aureljuszowi, rozbójcy i gwałcielowi. Król obiecuje wymierzyć sprawiedliwość.

#### L a s

Aureljusz, Leonora, bandyci; scena miłosna, przysięgi wierności. Bandyci opowiadają, co ich skłoniło do pójścia na rozbój. Przeprowadzają skrupowanego Cassandra, który odprowadzał żonę mężowi do Cagliari. Aureljusz wraca mu wolność; płacze; za 10 tysięcy dukatów żąda dla siebie Angeli. Leonora przez zazdrość wstawia się za nią; Aureljusz nie chce jej uwolnić. Tymczasem Bartolino opowiada, jak odniósł do króla supliki i natrafił na innych wieśniaków, równie skarżących się, i jak król upoważnił Marjusza do pościgu.

Aureljusz śmieje się z tego, rozpuszcza bandytów na odpoczynek, każe pilnować Angeli.

Otwiera się Świątynia, stoją w niej posagi grobowe ojca i matki Marjusza... Posagi mówią: «Nie zakłócaj spokoju umarłym». Aureljusz pyta: «A jeżeli zakłóczę?» Odpowiadają: «Kto nożem wojuje, od noża ginie».

W akcie II, po scenach z Pustelnikiem i Leonorą (nawróconą), bandytami i bufonami, na nowo otwiera się świątynia; figury, klęcząc, powiadają:

«Hrabio, zanim zajdzie słońce,  
Dotknie cię ramię karzące».

W akcie III figury stoją; jedna, ze szpadą w ręku, każe Aureljuszowi zbliżyć się. Ten żąda, aby mu podała rękę na zakład, że będzie się bić po rycersku. Posąg podaje rękę, zatrzymuje ją i powiada:

«Popraw się — nim zajdzie słońce,  
Dotknie cię ramię karzące».

On na to, że niema z czego się poprawiać. Po trzykrotnem ostrzeżeniu posąg mówi: «Patrz, oto zaszło słońce». Niebo rozwiera się, słychać grzmoty, ziemia drży, ściemnia się, piorun uderza, Aureljusz zapada się w głębi.

Bertolino ucieka z Angelą.

Na zakończenie Aureljusz zawodzi żale w piekle, gdy tymczasem w niebie ukazują się Posągi i Leonora wśród aniołów.

Nietrudno poznać w tej akcji, haniebnie ściągnięty do smaku gawiedzi, temat Don Juana, przyniesiony z Hiszpanji. Dopiero Da Porte wrócił mu należne dostojenie.

(*L'Ateista fulminato, Enzo Petraccone, La Commedia dell' arte, Napoli 1927, str. 374—382.*)

## ODBUDOWA (RINNOVAMENTO)

CARLO GOLDONI

(1707—1793)

KAWIARNIA

Akt I, scena 3

Ridolfo (kawiarz, uczciwy obywatel wenecki). Do usług, oto kawa... (n. s.: Co za nudziarz).

D. Marzio (typ plotkarza). Widziałeś pana Eugenjusza?

Ridolfo. Nie, jasnie panie.

D. Marzio. Musi być w domu; pieści się z żoną. Co za kobieciarz! Zawsze żona, zawsze żona. Nikt go już nie widuje; ośmiesza się. Człowiek z gipsu. Nie wie, co się gdzie dzieje. Zawsze żona, zawsze żona (pije kawę).

Ridolfo. Gdzie tam żona. Całą noc grał tutaj u pana Pandolfa.

D. Marzio. To samo powiadam. Zawsze gierka, zawsze gierka (oddaje łyżeczkę<sup>1</sup> i wstaje).

Ridolfo (n. s.). Zawsze gierka, zawsze żona... bodaj cię czarcił!

D. Marzio. Kiedyś przyszedł do mnie w tajemnicy prosić o pożyczanie 10 cekinów pod zastaw kolczyków żony.

Ridolfo. Widzi pan, wszyscy znajdują się niekiedy w potrzebie, ale nie lubią, żeby o tem wiadano; dlatego właśnie zwrócił się do pana, pewny, że nie powtórzysz nikomu.

D. Marzio. Ja też nie powtarzam, chętnie oddaję usługi każdemu, nie chwając się (pokazuje kolczyki w puzderku); to są kolczyki jego żony. Pożyczyłem mu 10 cekinów; jak myślisz? czy jestem pokryty?

Ridolfo. Nie rozumię się na tem, ale sądzę, że tak.

D. Marzio. Masz tu gdzie chłopca?

Ridolfo. Gdzieś będzie.

D. Marzio. Zawołaj go. Hej, Trappola!

Scena 4

Trappola (z głębi). Jestem.

D. Marzio, Pójdź tu. Idź do złotnika, tego w sąsiedztwie tuże, pokaż mu te kolczyki, które należą do żony pana Eugenjusza, i zapytaj go ode mnie, czy jestem pokryty za 10 cekinów, które mu pożyczyłem.

<sup>1</sup> Gospodarz odbierał od gości srebrne łyżeczki — ostrożność widocznie potrzebna.

Trappola. Do usług. Zatem te kolczyki należą do pani Eugenjuszowej?  
 D. Marzio. Tak; już nic nie posiada; umiera z głodu.  
 Ridolfo (n. s.) Biedak! W jakie ręce się dostał!  
 Trappola. A panu Eugenjuszowi nie zależy na tem, że wszyscy będą znać jego interesy?  
 D. Marzio. Ja jestem osobą, której można powierzyć tajemnicę.  
 Trappola. A ja jestem osobą, której nic powierzyć nie można.  
 D. Marzio. Dlaczego?  
 Trappola. Bo mam tę wadę, że łatwo wszystko powtarzam.  
 D. Marzio. To źle, bardzo źle; jeżeli tak będziesz robił, stracisz wszelkie zaufanie...

## Akt II, scena 13

Eugenjusz (gracz), wesoly i roześmiany: — Sługa, drodzy panowie moi.  
 Ridolfo. Jakto? Pan Eugenjusz tutaj?  
 Eugenjusz (śmiejąc się). Tak, to ja jestem.  
 D. Marzio. Wygrałeś?  
 Eugenjusz. Tak jest, mój panie, tak jest, wygrałem.  
 D. Marzio. Ach, ach, co za cud!  
 Eugenjusz. Wielkie rzeczy! Czyż nie mogę wygrać? Któż jestem? Czy bałwan?  
 Ridolfo. Panie Eugenjusz, to jest zrzędzenie losu, każące wyrzec się gry.  
 Eugenjusz. Cicho! Wygrałem.  
 Ridolfo. A gdybyś pan przegrał?  
 Eugenjusz. Dziś nie mogłem przegrać.  
 Ridolfo. Nie? Dlaczego?  
 Eugenjusz. Przeczuwam, kiedy mam przegrać.  
 Ridolfo. Więc kiedy pan przeczuwasz, poco grasz?  
 Eugenjusz. Bo trzeba, abym przegrał...

(Carlo Goldoni, *La bottega del caffè*, grana pierwszy raz w Mantui, 1750 r.)

CARLO GOZZI  
 (1720—1806)

## MIŁOŚĆ TRZECH POMARAŃCZ

Treść: Król Koppe ma syna Tartaglię, melancholika; tylko śmiech może go uzdrowić. Zdrajca Leandro, czyhający na tron, w spółce ze zbrodniczą Klaryszą, chce królewiczowi zadać truciznę, dar wróżki Morgany, nieprzyjaciółki królewskiego domu, a to w postaci wierszy martelljańskich.<sup>1</sup> Uprzedza go jednak wróg Morgany, dobry czarodziej Celio, przysyłający zabawnego Truffaldina. Ten, po kilku daremnych próbach rozweselenia królewicza, przenosi go na widowisko karnawałowe. Truffaldino bije się z Morganą, ta, padając płakiem, rozśmiesza królewicza i tak przywraca mu zdrowie. Z zemsty rzuca nań czarodziejskie zaklęcie; w pochodzie masek znajdowały się trzy Pomarańcze.

«Klnę się czarnym Plutonem i lotnym Pindarem,  
 W trzech pomarańczach musisz zakochać się czarem» —

wola odchodząc, a królewicz, szalony z miłości, wybiera się na ich szukanie. Prosi króla o siedmiomilowe buty, a gdy ten go reflektuje, rzuca się nań z mieczem, jak w jednej komedji Chiariego: oto owoc modnego wychowania. Tartaglia i Truffaldino podróżują w powietrzu: Djabel ich niesie podmuchem, jak błędnych rycerzy Chiariego. Mimo smoki, duchy i strachy, zdobywają trzy pomarańcze, uwięzione w pałacu olbrzymki Kreonty; ona desperuje, jak bohaterki tragiczne, wreszcie pada, rażona piorunem.

<sup>1</sup> Poeta Martello (1665—1727) próbował nieszczęśliwie przystosować rytm aleksandrynu do poezji włoskiej. W zasadzie jest to możliwe, ale potrzebny jest ku temu genjusz Carducci.

Morgana gotuje nowe zasadzki, znów udaremnione; tymczasem królewicz, palony pragnieniem, rozkrawa jedną pomarańczę; wychodzi z niej piękna panna, równie spragniona, i deklamuje stylem opery:

Daj mi pić, ja nieszczęсна... skarbie mój... konam... Boże...  
Umieram! okrutniku... prędzej... któż mi pomoże?

Trullaldino, chcąc jej dać pić, przekrawa drugą; obie padają martwe. Tymczasem Celio certuje się z Morganą:

Celio. Najprzewrotniejsza czarownico! Poznałem wszystkie twoje oszustwa. Ale Pluto mię wesprze. Strzygo bezczelna, strzygo przekłeta!

Morgana. Co gadasz, magu, szarlatanie? Nie drażnij, bo cię wytłukę wierszami martelljańskimi.

Celio. Ty zuchwała strzygo, oddam ci pięknem za nadobne, równie martelljanami (parodja adwokata Goldoniego):

Tu będą uważane za marne i bezpłodne,  
Nieesencjonalne, z ustawami niezgodne,  
Niezagwarantowane i złośliwe omamy,  
Z wszystkimi aneksami sztuki więdźmy Morgany,  
Wszystko najoczywiście tu się wypośrodkuje,  
Osądzi, zwyrokuje, w kasacji wyklaruje.

Morgana. Och, liche wiersze! Teraz moja kolej, magu, nicponiu (parodja stylu pindarczyka Chiariego):

Wprzód pierwsze złote błyski Feba na niebie bładem  
Zmienia się w ołów marny, a wschód stanie zapadem,  
Nieprzezroczysty księżyc wprzód piękne zmieni rogi  
I przestwory eteru gwiazdom ustąpią z drogi;

Pomrukujące rzeki na marmurowym stoku  
Wyjadą na Pegazie i siedą na obłoku,  
Nim tu, słuگو Plutona, czy w dzióbie, czy w kadłubie,  
Mego drewna złośliwość otworu nie wydłubie...

Wreszcie trzecia pomarańcza wykrywa się córką króla Antypodów, Ninnetą; kończy się «bajka» ukaraniem intrygantów i weselem.

(Carlo Gozzi, *Le fiabe*, vol. I. *L'amore delle tre melarance*, ed Ciampoli, Carabba Editore, Lanciano s. d.)

## PIETRO METASTASIO

(1698—1782)

### DIDO OPUSZCZONA

Akt III, sc. 18

Dido, Selene jej siostra, Ormidas konfident.

Ormidas: Zdaj się, Jarbie, Didono!

Selene: Swoje i nasze razem ratuj życie!

Dido: Li tylko, by wziąć pomstę  
Nad zdrajcą Eneaszem,  
Pierwszą mej doli nieszczęsnej przyczyną,  
Chciałabym jeszcze tchnąć ziemskim oddechem.  
Niechże przynajmniej wichry, niech bogowie  
Za krzywdę moją srodze go ukarzą:  
Gromy i błyskawice,  
Nawalne huragany.  
Olśnią i morskie zatopią go piany,  
Niech się samotny tuła, a los jego,

- Choć nadmiar bólu pelen i srogości,  
Niech jeszcze nędzy mojej pozazdrości.
- Selene: Ach, złagodź gniewy. Ja też go mituję  
I cierpię męki.
- Dido: Kochasz Eneasza?
- Selene: Tak, lecz przez ciebie...
- Dido: Ach, ty niegodziwa!  
Ty mą rywalką?...
- Selene: Jeżeli nią byłam,  
Nie masz powodu dzisiaj...
- Dido: Precz z mych oczu!  
Nie powiększaj cierpienia,  
Co mi piersi ugniata.
- Selene: Nieszczęsna zginie — już ją dzierżą fata! (*wychodzi*).

## Scena 19

- Ormidas: Rośnie płomienny stos. Ty się nie cofasz?
- Dido: Czy niedość wrogów? Eneasza porzuca,  
Selene jest mą rywalką; o wstydzie!  
Jarba bezcześci, mam wroga w Ormidzie.  
W czem wina moja? O wy, nieczne bogi!  
Ofiar nieczystych na ołtarzach waszych  
Nie składałam, ni ogniem  
Płochym świętości uwłaczałam waszej,  
Dlaczego więc wywlekło  
Taką złość na mnie i niebo, i piekło?
- Ormidas: Ach, myśl o sobie, nie obrażaj bogów!
- Dido: Bogów? Próżne imiona!  
Senne widziadła, krzywdzielskie mary!
- Ormidas: Cierpnę od grozy. Słuchać — godne kary (*odchodzi*).

## Scena ostatnia

(*część pałacu pada w gruzy*)

- Dido: Coś rzekł, nieszczęsny! Do jakichże granic  
Doprowadziło mię szaleństwo moje?  
O Boże, rośnie strach. Przed śmiercią stoję.  
Zagłada w oczy, do mózgu się wkrada,  
Drży ziemia, zamku wstrząśniona posada,  
Selene, Ormid społem  
Odeszli; los mię z wszystkiego ograbił;  
Nikt, by ratował, nikt, żeby mię zabił.  
Uciec? Dokąd? Wie Bóg!  
Zostać, a potem cóż?  
Więc śmierci, tu mię złóż,  
Na doczesności próg.  
Czyliż tak nikła jest moja odwaga?  
Nie, umrzeć trzeba. A jego niech smaga  
Nieszczęście; los mój srogi  
Niechaj złą wróżbą będzie jego drogi.  
Kartago, padaj w gruzy!  
Pałac niech zgore, a jego popiołem  
Niech się zasypie miasto — ze mną społem.

(*Wstępuje na stos i ginie w płomieniach. Morze miota się na wybrzeżu, powietrze huczy przeokropną symfonią.*)

(*Opere di P. Metastasio, ed. Nicolini w zbiorze Scrittori d'Italia, 1912—14.*)



## GIUSEPPE PARINI

(1729—1799)

## DZIEŃ

Temat układa się w kształty akcji, rozdzielonej na cztery pory dnia; bohaterem jest młody magnat, mający przy sobie jakby Mefistofelesową figurę mistrza i kierownika. Jest nim sam poeta, by się tak wyrazić — w negatywie, a ta transpozycja ironiczna nadaje poematowi charakter w literaturze jedyny. Koło nich roi się tłum figur pobocznych: więc naprzód mąż dostojny i obojętny na załotników, piękna pani z rodu «précieuses»; cudzoziemiec znakomitego nazwiska, wzór i bożyszcze tuziemców; pasorzyt domowy; gość-żarłok; gość-deklamator; banda złotej młodzieży; piastunka-pedagog; nauczyciel tańca, muzyki, szermierki, francuszczyzny; krawiec, perukarz, kucharz, laufer, paź, stary pokojowiec do «poufnych zleceń», legjon służby, wreszcie nieostatnia w godności suczka pani domu.

Młody paniczu, bądź w łobie koleją  
Długą dostojnych lędźwi krew się toczy  
Błękitna, czysta; bądź w niej poprawiają  
Rodowej chwały brak — kupne zaszczyty  
I pozgarniane pośród mórz i lądów  
W czas kilku lustrów bogactwa rodzica,  
Słuchaj mię, mistrza lubego obrzędu.  
Jak oszukiwać nudne i powolne

Życia godziny, którym długie wczasy  
I towarzyszą przykre zniechęcenia,  
Ja cię pouczę. Więc jakie z poranku,  
Jakie z południa i jakie z wieczora  
Będą zajęcia twoje — tu się dowiesz,  
Jeśli śród wczasów twoich na słuchanie  
Mej pieśni chwila zostanie ci wczasu.

Po tej ironicznej przygrywce, w mistrzowskim kontraście kreśli dwa poranki: pierwszy poranek wieśniaka:

Budzi się ranek i społem z jutrzeńką  
Kroczy przed słońcem, które się wnet jawi  
Na widnokręgu, duże — i weseli  
Zwierzęta, ziola i role, i wody.  
Zaczem powstaje dobry wieśniak z łoża...  
Potem wyniósłszy poświęcone jarzmo,

Pierwszy Cerery ludziom podarunek,  
Z powolnym wołem wychodzi na pole;  
Idąc, z gałązek krzywych trzęsie rosę,  
Gdzie jak w brylancie słońce blaski łamie.  
Powstaje kowal i skrzypiące wiola  
Kuzni otwiera...

— «Ach, nie takie, paniczu, twoje rano!» — woła i opowiada niedbałe, powolne podnoszenie się modnego młodzieńca:

Już dawno służba usłyszała dźwięki  
Metalu, który pośredniczym ruchem,  
Ściągnawszy ramię, wstrzymałeś zdaleka;  
Biegli obrotne rozsunać kotary,  
Surowo dbając, aby dokuczliwy

Feb nie śmiał prosto w twarz ci posłać strzały.  
Podnieś się nieco, oprzyj na poduszkach,  
Które łagodną rosnąc piramidą,  
Miękkie ramieniu podadzą oparcie...

(G. Parini, *Tutte le opere*, ed. Mazzoni, Firenze 1925.)

## VITTORIO ALFIERI

(1749—1803)

## TRAGEDJA FILIP II

## Akt IV, sc. 2

Straż z bronią i pochodniami. Filip, D. Carlos.

D. Carlos:

O nieba!

Filip: Ojciec, a przed nim szpady i pochodnie!  
Nocą sam? I w tych komnatach? I zbrojny?  
Co robisz i co zamierzasz? Ostrożne  
Kroki gdzie niesiesz? Powiadaj!

D. Carlos:

Cóż powiem?

Broń tę porwałem na widok zuchwałych  
Zbirów, lecz w ojca obliczu ją rzucam,

- Ty ich przywódcą jesteś? Ty, mój ojciec?  
Mną rozporządzaj dowoli; lecz powiedz:  
Pozoru trzeba ci było — i poco?  
Ojcze, niegodne króla są pozory,  
Jak mnie niegodne usprawiedliwienie.
- Filip: Czelność w dodatku? To słuszna, bo dzisiaj  
Czelność jest śmiałą towarzyszką zbrodni,  
Podłą osłoną kłamnego szacunku.  
Kryj duszę zdradną, ambitną, krwi checiwą.  
Już tu nie tłumacz się; otwórz upusty  
Dla pełnych źródeł swojej zaciekłości,  
Niechże wytryśnie jad w sercu zebrany,  
Odważnie swoje zradzieckie zamysły,  
Tak godne ciebie, wielkoduszny, wyznaj!
- D. Carlos: Cóż ja mam wyznać? Oszczędź, ojcze, proszę,  
Daremnych obelg; najsurowszą karę  
Wyznacz; gdy miła tobie — będzie słuszna.
- Filip: W nierzalnych latach, w jakiejże to szkole  
Nabyłeś takiej skrajnej przewrotności?  
Gdzieś się nauczył tej bezecnej sztuki,  
Że zaskoczony przez ojca na zbrodni  
Nawet nie mienisz barwy?
- D. Carlos: Gdziem się uczył?
- Filip: Pod twem ojcostwem.
- Filip: Tak, synem mi jesteś,  
Na me nieszczęście i wstyd.
- D. Carlos: By je zetrzeć,  
Na cóż tu zwlekasz? Wszak cię uszczęśliwi  
W pełni przelanie krwi własnego syna.
- Filip: Ty moim synem?
- D. Carlos: Cóż zrobiłem?
- Filip: Pytasz?  
Mnie pytasz? Czyliż żaden cię nie siecze  
Wyrzut sumienia? Od dłuższego czasu  
Znać go przestałeś. Jeden wyrzut czujesz:  
Żeś nie popełnił dotąd ojcobójstwa!
- D. Carlos: Ojcobójstwa? Ja mam być ojcobójcą?  
Nie, w to nie wierzysz sam. Jakież dowody?  
Wskazówka, domysł?
- Filip: I jedno, i drugie  
W tej bladej twarzy za pewność się liczy.
- D. Carlos: Nie zapędzaj mię, ojcze, ku tej strasznej  
Granicy, jaką wyznaczyło prawo,  
Niebo, natura, między ojcem-królem  
A synem, władzy królewskiej poddanym.
- Filip: Ty świętokradczą stopą je zdeptałeś  
Dawno, co mówię, nie znałeś ich nigdy.  
Surowej enoty dostojne uczucia  
Precz odrzuć, bo ci z niemi nie do twarzy,  
A raczej ukaż mi się, jakim jesteś,  
Odkryj knowania i już do wybuchu  
Gotową zdradę. Nuże, na co czekasz?  
Czyżbym ja zmałał przed twoją lichotą?  
Jeżeli wyznasz, nic nie skryjesz — ufaj;  
Jeśli zataisz — drzyj!

- D. Carlos:                               Więc prawdę powiem,  
 Skoro przymuszasz. Znam się dostatecznie,  
 Abym miał zadrzeć; ciebie znam też dosyć,  
 By mieć nadzieję; nieszczęsny dar: życie  
 Zabierz, boć twojem jest; lecz mojem dobrem —  
 Jest honor; ni go dasz, ni go zabierzesz.  
 Zbrodniarzem byłbym, gdybym zatajeniem  
 Popelniał podłość; tu przed tobą wydam  
 Ostatnie tchnienie; długotrwałą, sroga,  
 Najhaniebniejszą śmierć tu mi przygotuj;  
 Lecz wiedz: śmierć żadna spodlić mię nie zdoła.  
 Ciebie mi, ojcze, żal, ciebie, nie siebie.
- Filip:                                   Zuchwalcze, panu swemu w sposób taki  
 Z twych niegodziwych czynów się tłumaczysz?
- D. Carlos:                               Nienawidzisz mię — oto moja zbrodnia;  
 Krwi pragniesz — oto moje tłumaczenie.  
 Jedyne prawo znasz, prawo despoty.
- Filip:                                   — Straże, bierzcie go! Hola!
- D. Carlos:                               To odpowiedź  
 Króla tyrana. Oto moje ręce  
 Kładę w kajdany. Pierś ma odsłonięta  
 Na ciosy mieczów. Poco czekać jeszcze?  
 Czy to dopiero początek katuszy?  
 Twe rządy dzień po dniu krwawszem pisane  
 Piórem.
- Filip:                                   Zabierzcie go z przed moich oczu;  
 W przyległej wieży najczarniejszym lochu  
 Niech się go zamknie. A biada śmiałkowi,  
 Coby dał przystęp litości...

(Vittorio Alfieri, *Le tragedie scelle*, ed. Scherillo, Milano, Hoepli 1923.)

## ROMANTYZM

UGO FOSCOLO

(1778—1827)

### OSTATNIE LISTY JAKÓBA ORTIS

Vintimilla, 19 i 20 lutego (1789 r.)

... «Oto granice twoje, Italjo! Ale zewsząd okolone zawziętą chciwością narodów. Gdzież twoje dzieci? Niczego nie brak ci, prócz zgody. Ja z chwałą oddałbym ci nieszczęsne życie, ale co znaczy moje ramię i pusty głos? Gdzież dawna groza twego imienia? My, nędzni, wleczy my się, przypominając ustawicznie wolność i chwałę przodków; im jaśniej świecą, tem wyraźniej odsłaniają naszą wstrętą niewolę. Gdy tak zwolujemy owe dostojne cienie, wrogowie nasi depcą ich groby. I nadejdzie może taki dzień, że, straciwszy władzę w członkach, intelekt i głos, zrównamy się z domową służbą starożytnych, albo kupionymi murzynami, i będziemy patrzeć, jak panowie nasi otwierać będą groby, dobywać, z wiatrem rozpraszać prochy tych Wielkich i tak unicestwiać ogołoconą ich pamięć. Bo dziś nasze obchody narodowe są jeno źródłem naszej pychy, nie zaś pobudkami ocknienia się z letargu.

14 marca, o północy.

...Roztaczaj blaski, Naturo, i pokrzepiaj ludzkość w jej zabiegach. Nie będziesz ty już świecić dla mnie. Odczułem docna twą piękność, uwielbiłem cię, karmiłem się

twą radością; a póki widziałem cię piękną i dobroczynną, mówiłaś do mnie głosem boskim: Żyj! Ale ogarnięty rozpaczą, widziałem później dłonie twe czerwone od krwi; zapach twego kwiecica sączył we mnie truciznę; gorzko smakowały twe owoce. Zjawiałaś mi się pożerająca własne dzieci, zwabione ku cierpieniu twą urodą i hojnością twych darów...

Będę więc niewdzięczny? Będę włókił żywot w patrzeniu na twe okrucieństwo i w przeklinaniu? Nie, nie... Dziś patrzę na ciebie i wzdycham, ale cię wielbię jeszcze przez pamięć słodczy, jakich od ciebie doznałem, dzięki pewności, że nie potrzebuję już obawiać się ciebie i że cię utracę. Ani nie sądzę, abym buntował się przeciw tobie, uciekając od życia. Życie i śmierć są narówni twym przywilejem; owszem, jedną drogą wieszysz ku urodzinom, a stem dróg ku śmierci... Nie uszczuplam się w niczem, co mi dałaś. Ciało moje, twa drobna cząsteczka, będzie zawsze związane z tobą, w odmiennej formie. Duch mój, jeżeli umrze ze mną, odmieni się ze mną, w nieskończonej masie istnień, a jeżeli jest nieśmiertelny, treść jego zostanie nienaruszona.

25 marca, 1799 r.

...Wracam do ciebie, moja Tereso. Jeżeli za życia słuchać mię było grzechem, słuchaj mię teraz, w tych niewielu godzinach, jakie mię dzieli od śmierci; wszystkie poświęciłem tobie samej. Otrzymasz ten list, kiedy już będę leżał w grobie, a od tej chwili wszyscy może zaczną zapominać o mnie, aż zapomną nawet mego imienia. Słuchaj mię, jak głosu idącego z trumny. Będziesz płakała moich dni, rozwianych jak nocne widzenie; będziesz płakała miłości naszej, bezużytecznej i smętnej, jak gromnice, oświecające mary umarłych... Kochałem. Ty sama przynosiłaś mi szczęśliwość: wypiększałaś ją promieniami bezmiernego blasku, urobiłaś we mnie serce, zdolne jej odczuwania, ale po dniach nadziei utraciłem wszystko; więc bezużyteczny drugim, zgubny sobie, uwolniłem się od pewności nieustannej nędzy żywota.

...Pociesz się, Tereso; ten Bóg, do którego uciekasz się w modlitwach, tak żarliwych, jeżeli raczy dbać o życie tak nędznej istoty, nie uchyli swego spojrzenia nawet ode mnie. On wie, że dłużej wytrwać nie zdołam; On widział walki, jakie staczałem, nim doszedłem do fatalnego postanowienia; On słyszał modły, jakimi błagałem, by oddalił ode mnie kielich goryczy. Żegnaj więc! — Żegnaj, wszechświecie! Przyjaciółko moja! Czy źródło łez jeszcze we mnie nie wyschło? Zaczynam znów płakać i drzeć, nie na długo; za chwilę wszystko będzie znicestwione...

*(Ugo Foscolo, Ultime lettere de Jacopo Ortis, Sonzogno, Milano s. d.)*

## GIACOMO LEOPARDI

(1798—1837)

### DO ITALJI

Ojczyzno moja! Widzę mury, łuki,  
Widzę kolumny, posągi i wieże  
Samotne dziadów naszych,  
Lecz próżno szukam, gdzie laur i pancerze,  
Co ich stroiły. Dzisiaj rozstrojoną  
Z lauru skroń nosisz i odkryte łono;  
Ha! jakież widok krwawy!  
Ile łez, potul... Tak-że, piękna pani,  
Tak-że cię widzę? W niebo ręce wnoszę,  
Ziemi pytając, proszę:  
Kto ją ku temu przywiódł? I to boli,  
Że łańcuchami ma skute ramiona...  
Tak bez zasłony, z włosy rozdartemi,  
W mdłym opuszczeniu usiadła na ziemi,  
Skloniła na kolana

Twarz swą i płacze...  
 Płacz, bo masz czego, Italjo, przez losy  
 Na zwycięstwa wskazana,  
 Czyli cię pieszczą, czy zadają ciosy.

Choćby twe oczy były dwie krynice  
 Żywe, nie mógłby płacz twój  
 Wyrównać nędzy twej i pohańbieniu;  
 Ty, pani, wzięta dziś na niewolnicę!  
 Kto cię wspomni? kto, ważąc  
 Dawną twą wielkość, nie rzecze w zdumieniu,  
 Wszak była wielką, przecz nią być przestała?  
 Przez cóż-że, przez co? Gdzie twa dawna chwała  
 I moc prastara, i hardość, i bronie?  
 Gdzie wróg, co miecz ci strzaskał,  
 Albo kto-ć zdrajcą był? Gdzie kunszt orężny,  
 Gdzie taki gwałt potężny,  
 Co z szat twe barki, z wieńca odarł skronie?  
 Jak upadłaś i kiedy  
 Z takiej wyżyny w tak głęboką nicość?  
 Nikt-że nie pomści Cię, nikt nie osłoni  
 Z pośród twych dzieci?... Hej, broni tu, broni!  
 Sam ja bój stoczę, sam nadstawię ciała.  
 Dajcie, niebiososa, proszę, by krew moja  
 Zniczem dla piersi italskich się stała.

Gdzie twoje dzieci? Słyszę broni szczęki,  
 Turkoty wozów, huk bębnow, trąb jęki;  
 Gdzieś na obce dziedziny  
 Wiodą boje twe syny.  
 Słyszysz, Italjo, słyszysz? Co się toczy,  
 Niby wezbrane fale, ludzi, koni.  
 W tumanach kurzu lśnią pobłyski broni,  
 Jak gwiazdy w chmurach,  
 I nie pocieszasz się? i drżące oczy  
 Spuszczasz, na koniec zalękała niepewny.  
 Za cóż tam wiedzie boje  
 Italska młodzież...? O bogi, o bogi!  
 Kruszą się za kraj obcy nasze zbroje.  
 Nieszczęsny, komu trzeba w walk zagubę  
 Iść nie za żonę, nie za dzieci lube,  
 Nie za swe brzegi, lecz za brzegi cudze.  
 Bić się wrogom w usługę,  
 Zwalczać i nie móc westchnąć przy skonaniu:  
 O, kraju mój rodzinny,  
 Oto-ć oddaję życie, com ci winny.

Szczęśne i drogie, i błogosławione  
 Wieki, gdy to biegały  
 W bój za ojczyznę wojska, naród cały.  
 Wy, szanowane zawsze i sławione  
 Tesalskie nieśmiertelne  
 Błonia, gdzie Persja i los nie starczyły  
 Na duchy, liczbą szczupłe, siłą dzielne.  
 A wasze bory i wody, i skały  
 Dziś jeszcze muszą podróżnym powiadać

Tajemniczemi szeptu,  
Jak wzdłuż morskiego wybrzeża leżały  
Niewalczonych pokosy  
Ciał, co za Grecję poszły życie stradać.  
Jak barbarzyńców trzody  
Przyszłym się wiekom pośmiewiskiem stając,  
Za Hellespontu uciekały wody,  
A na antolskie wzgórze, gdzie, konając,  
Śmierć samą święte zwyciężyło plemię,  
Symonides krok zwraca,  
Patrzy na niebo i morze, i ziemię.

Łzą ma zroszone lica pałające,  
Pierś mu faluje, wzruszeniem drży noga  
I lirę w dłonie chwytą:  
O, wy wiecznie szczęśliwi,  
Coście podali pierś na włócznie wroga,  
Za ziemię, gdzie wam pierwsze błysło słońce,  
Których czci Grecja, którym świat się dziwi.  
Czyjaż na bój i zgubę  
Miłość was wiodła? Dusze młodociane,  
Jakaż widziały w czarnym losie chlubę?  
Przecz się wam lubą zdała,  
Dzieci, ostatnia chwila, że z uśmiechem  
Garstka was w wąwóz okropny bieżała,  
Jakby nie na śmierć, lecz na taniec dziarski.  
A tam was belt tatarski,  
Martwa czekała woda.  
Na nagim brzegu głowy wam nie wsparli  
Ni syn, ni żona młoda,  
Gdyście bez płaczu, bez uścisku marli.

Lecz marli w Persów straszliwym pogromie  
I nieśmiertelnej trwodze.  
Jak lew, gdy wpadnie na gromadę byków,  
Jednemu na kark skacze i łakomie  
Kłami się wpija;  
Drugiemu szponem bok rozdziera srodze:  
Tak pośród perskich miotały się szyków  
Gniew greckich piersi i rycerskie cnoty. —  
Widziałem jeźdźców pobitych i konie,  
I wozy, i namioty  
Spłoszonej rzeszy, stojące zawadą;  
I jak ku morskiej stronie  
Biegł pierwszy król, ów wściekły, z twarzą bladą,  
A przesiąkli, zbroczeni  
Krwia barbarzyńców greccy bohaterzy,  
Sprawcy bezdennej wojsk perskich sromoty,  
Przyparci wkońcu masą dzikiej roty,  
Jedni na drugich padli, ale przecie  
Żyją błogostawieni,  
Póki się śpiewa i pisze na świecie.

Prędzej wydarte z nieba, wpadłszy w morze,  
Zasyczą gwiazdy gasnące w głębinie,  
Niżeli zaszczyt wieczny

I pamięć o was zginie.  
 Grób wasz ołtarzem będzie: tu niewiasty,  
 Przychodząc, dzieciom będą ukazować  
 Ślady krwi waszej; tu ja się położę,  
 O, moi święci, i będę całować  
 Tę oto głąz, murawę,  
 Co od krańca do krańca  
 Ziemi przywodzi w pamięć waszą sławę.  
 Gdybym tam z wami był! gdyby i moją  
 Krwią święta matka ziemia zwilgotniała!  
 Lecz skoro wzbrania mi losów zesłanie,  
 Abym za Grecję zemdlące powieki  
 Zamknął gdzieś na majdanie,  
 Niechaj z Bożej opieki  
 Przetrwą czcigodnej sławy panowanie  
 Krainy waszej wieszczą  
 Na przyszłe wieki, póki waszej stanie.

(Giacomo Leopardi, *Canti*, ed. Donati, Bari, Laterza 1917.)

### NIESKOŃCZONOŚĆ

Lubiłem zawsze to samotne wzgórze  
 I ten drzew szpaler, co nie daje oczom  
 W widnokręgowym utonąć lazurze.  
 Kiedy tam siedzę i dumam, duch tworzy  
 Świat nowy: pustych, milczących przestworzy,  
 I marzy ową uroczystą ciszę,  
 Gdzie nic nie wstrząśnie serca. A gdy słyszę  
 Wdole huczący wiatr, tę nieskończoną  
 Cichość i ten głos, a potem ich sprzeczność,  
 Myślą rozważam i czuję w nich wieczność,  
 Epokę zmarłą dawno i minioną,  
 I terażniejszość, w której tętni życie.  
 Tak w nieskończoność myśli moje toną  
 — I słodkie mi jest w tem morzu rozbitcie.

### MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Pieszczochy bogów — umierają młodzi.

*Menander.*

W jeden dzień siostry z losu się poczęły,  
 Miłość i śmierć.  
 Obie tak cudnej twarzy,  
 Że o piękniejszych światu się nie marzy.  
 W jednej wieczne się dobro,  
 Najwyższa rozkosz mięści,  
 Druga wszystkie boleści,  
 Mozół nieszczęść uśmierza.  
 W trop dziewczeczki uroczej,  
 Tak pięknej, że nią warto napaść oczy,  
 Młody Amor — jak młodzi,  
 Rad i często zachodzi,  
 I oblatują razem ziemskie niwy,  
 Obie pociechy serc wypróbowanych.  
 Wypróbowanych niema serc, jak które  
 Miłosna krwawi rana;

Ni śmielszych żywot strząsnąć nieszczęśliwy,  
 Ni dla innego pana  
 Iść, niż dla tego, skorszych na stracenie.  
 Komu miłość pomaga,  
 W tym się wnet budzi i krzepi odwaga;  
 A nie w myśli, lecz w czynie,  
 Mądry i świadom wszystkich ziemskich  
 Staje się ród człowieczy. [rzeczy,  
 Gdy czasu życia wiosny  
 W serca głębi się zrodzi  
 Czuły afekt miłosny,  
 Razem z nim smutno, ociężałe schodzi  
 Na pierś śmierci zachcenie.  
 Jak — nie wiem; ale silnej  
 Miłości to jest pierwsze wyjawienie.  
 Może się oczom brzydzi

Ziemskie pustkowie; a może też widzi  
 Człowiek, że już nie zdoła  
 Bez tej jedynej, nowej, nieskończonej,  
 W rozkołysaniu myśli wymarzonej  
 Rozkoszy żyć na świecie?  
 Może w przeczuciu burzy  
 Serce spokoju woła,  
 Prędej do portu schronićby się chciało  
 Przed żądz nawala,  
 Co huczy nad nim już i grozę wróży?  
 A choć już się przetoczy  
 Orkanu moc straszliwa,  
 Jeszcze się bólem pierś osłabła mroczy.  
 Ileż razy przyzywa  
 Śmierć biedny kochanek!  
 Nie jeden wieczór, ranek,  
 Kiedy ku brzaskom zwiędłe ciało ślania,  
 Jakby się czuł szczęśliwy,  
 Wiedząc, że jutro nie wstanie z postania  
 I nigdy zorzy nie obaczy złotej!  
 I często na głos żałobnego dzwonu,  
 Na głos śpiewu, co święci  
 Pochód na wiecznej miejsce niepamięci,  
 Jakże serdecznie wzdychając zazdrości  
 Litościwego skonu  
 Temu, co idzie spać śród martwe kości.  
 A czyto człowiek z gminu,  
 Nieświadom mocy, co z wiedzy wypływa,  
 Czyto dziewczeczka płocha i wstydliva,  
 Której na wzmiankę truny  
 Na głowie włos się jeży,  
 Śmie na grób i na śmiertelne całuny  
 Patrząc i okiem spokojnie je mierzy,  
 O truciznie, sztylęcie  
 Myśli w długiej zadumie  
 I duszą jeszcze dziecię  
 Już całą śmierci łaskawość rozumie.  
 Tak do śmierci kochania  
 Miłość nakłania, a często z tej wdzięcznej  
 Uciechy taki wstaje ból wewnętrzny,  
 Że pada, bo sił nie ma, by wstrzymało  
 Człowiecze kruche ciało  
 Upornym ciosom — i tak Śmierć zwycięża,  
 Bratnią poparta władzą.

To znów się Miłość tak w wnętrzu rozpręza,  
 Że często wiejskie, nieuczzone chłopię,  
 Lub łagodna dziewica,  
 Własną gwałtowną ręką  
 Młodemu ciału grób przedwczesny kopie.  
 Świat się z ich męki śmieje,  
 Z wygody czerpiąc starości nadzieję.

Duchom dzielnym, ognistym,  
 Duchom tkliwym, a czystym,  
 Niech się dostanie jedno z was w udziale.  
 Mistrze wy, przyjaciele  
 Wierni ludzkiego rodu,  
 Których przewagi żadna nie dosięga  
 Moc w świecie, ni mu ułatwia pochodu,  
 Jak druga jeszcze, przeznaczeń potęga.  
 A ty, którą ja zmlodu pełen cześci  
 Nieustannie wzywałem,  
 Piękna, litosna śmierci,  
 Co jedna ziemskie uśmierzasz boleści:  
 Jeslim cię sławił kiedy  
 I twą boskość za podłej  
 I za niewdzięcznej przekleństwa czeredy  
 Kornie przebłagać chciałem,  
 Pokwap się skłonić ucho  
 Na powtarzane modły:  
 Przed światem, co mię rani,  
 Przymknij te smutne oczy, wieków pani!  
 Znajdziesz mię zawsze, o której bądź porze,  
 Skrzydła rozwiwszy na me prośby korne,  
 Zlecisz wzniesionym przeciw przeznaczeniu,  
 Co siekąc, rąk swych nie przestaje walać  
 W źródle krwi mej niewinnej,  
 Ni go będę wychwalać,  
 Ni dziękczynić w pokorze  
 Podłej, jak niegdyś lud strachem dziecinny.  
 Nigdy nadzieja próżna, która krzepi  
 Świat ten i świata tego trwożne dzieci,  
 Pocieszać mię nie zleci,  
 Ni się mi głupia hardej myśli czepi.  
 Ciebie jednej i owej  
 Pory czekam majowej,  
 Gdy mi dasz głowę pochylić uspioną  
 Na twe dziewicze łono.

(Giacomo Leopardi, *Canti*, ed. Donati, Bari, Laterza 1917. Porów. Wybór pism wierszem i prozą w przekładzie Edwarda Porębowicza. Warszawa 1887.)

## ALESSANDRO MANZONI

(1785—1873)

### NARZECZENI

... Młodzieniec zawahał się, czy nie zawrócić, nie przycisnąć proboszcza do muru, nie zażądać dokładnych wyjaśnień; lecz, podniósłszy wzrok, ujrzał przed sobą Perpetuę, która wchodziła właśnie do ogródka, leżącego opodal domu. Zawołał, gdy otwie-



rała furtkę, przyspieszył kroku, dopędził ją i zatrzymał na progu, nawiązując rozmowę, aby dowiedzieć się czegoś pewnego.

«Dzień dobry, Perpetuo, myślałem, że będziemy dziś razem weseli».

«Ha! wola Boża, biedny mój Renzo».

«Proszę was, Perpetuo, nasz zacny ksiądz proboszcz tyłoma dziwami nabił mi głowę, że nie mogłem zrozumieć; wytłumacz mi lepiej, dlaczego on nie chce, czy nie może pożenić nas dziś».

«Oh! — czyż myślisz, że znam tajemnice mojego pana?»

«Mówiłem, że tu jest jakaś tajemnica» — pomyślał Renzo — i, aby wyjaśnić ją, pytał dalej: «Żywo, Perpetuo; jesteście przyjaciółmi; powiedcież, co wiecie, pomożcie biednemu chłopcu».

«Źle jest urodzić się biednym, mój drogi Renzo».

«Prawda» — odrzekł chłopiec, upewniając się w swych podejrzeniach; i chcąc dotrzeć do sedna rzeczy, dalej pytał: «Ale czyż to księża mają źle traktować ubogich?»

«Słuchaj, Renzo — nic powiedzieć nie mogę, bo... nic nie wiem; lecz mogę ci zaręczyć, że mój pan nie chce skrzywdzić was, ani nikogo, i nie jego to wina».

«Czyjaż więc wina» — spytał Renzo napozór obojętnie, lecz nastawiając uszu z zapartym oddechem.

«Skoro powiadam, że nic nie wiem! Mogę bronić mego pana, gdyż boli mnie, kiedy słyszę, że ktoś oskarża go o umyślne wyrządzenie przykrości. Biedny człowiek! Jeżeli grzeszy, to nadmiarem dobroci. To tylko ta banda łajdaków, zbójów, ludzi bez bojaźni Bożej...»

«Łajdaki... zbójce...» — myślał Renzo — «więc to nie władze! — Prędzej» — rzekł, kryjąc z trudem wzrastający niepokój — «mówcie prędzej, kto to taki».

«Och! — chcesz bym powiedziała, a ja nie mogę, gdyż... nic nie wiem; a skoro nic nie wiem, to tak, jakbym przysięgła milczeć. Możesz wziąć mię na męki, a słowa nie pisnę». — To mówiąc, weszła szybko do ogrodu i zatrzasnęła furtkę.

Renzo, skłoniwszy się jej, zawrócił powoli, nie chcąc, aby spostrzegła, w jakim pójdzie kierunku, lecz, gdy zniknął z oczu poczciwej kobiety, przyspieszył kroku, za chwilę stanął przed drzwiami don Abbondia; wszedłszy, udał się prosto do salonu, gdzie go był zostawił. Znalazł go tam i dopadł go, rozgorączkowany, z błyszczącymi oczyma.

«Eh, eh — cóż to za nowa moda?» — rzekł don Abbondio.

«Cóż to za zbój» — rzekł Renzo, głosem człowieka, który postanowił otrzymać stanowczą odpowiedź — «cóż to za tyran, który nie pozwala mi ożenić się z Lucją?»

«Co, co, co» — bąkał zaskoczony biedak, a twarz mu pobieleła odrazu i obwisła jak wyprana chusta. I mrużąc, wstał prędko z krzesła, aby rzucić się ku wyjściu. Lecz Renzo, który prawdopodobnie spodziewał się tego gestu i dobrze czuwał, doskoczył wcześniej, a przekręciwszy klucz, włożył go do kieszeni.

«Ha, ha! — Powieście teraz» — księżę proboszczu. — «Wszyscy znają moją historję oprócz mnie jednego. Do licha, chcę dowiedzieć się ja także. Jak się tamten nazywa?»

«Renzo, Renzo, na Boga, zważ co czynisz; zważaj na duszę».

«Myślę, że chcę dowiedzieć się zaraz, w tej chwili!» — A mówiąc to, położył, bodaj że bezwiednie, dłoń na rękojeści noża, który wycierał mu z kieszeni.

«Miłosierdzia!» — zawołał słabym głosem don Abbondio.

«Chcę wiedzieć».

«Mówiłem ci, że...»

«Nie, nie, bez łgarstw — mów ksiądz jasno i prędko!»

«Chcesz mojej śmierci?»

«Chcę wiedzieć to, o czym mam prawo wiedzieć!»

«Lecz gdy powiem, pewna śmierć moja. — Wszak mi życie miłe!»

«Dlatego mów!»

Owo «dlatego» zostało wypowiedziane tak silnie, a wygląd Renza był tak groźny, że don Abbondio nie dopuścił myśli o nieposłuszeństwie.

«Przyrzeknij mi, przysięgnij, że nie powtórzysz nikomu, że nie wyjawisz nigdy...»

«Przyrzekam, że zrobię coś, jeżeli mi teraz odrazu ksiądz nie wyjawisz owego nazwiska!»

Na to nowe zakłęcie don Abbondio, z twarzą i wzrokiem człowieka, mającego w ustach obcegi cyrulika, jęknął: «Don...»

«Don...» — powtórzył Renzo, jakgdyby chciał pomóc pacjentowi wyrzucić z siebie wszystko do ostatka, i stał pochylony, z uchem przy ustach tamtego, z napiętymi ramionami, założywszy pięści wtył.

«Don Rodrigo!» — wymówił z pośpiechem więzień, bełkocząc tych kilka sylab. Połykał spółgłoski, częścią z pomieszania, a potrosze dlatego, że, zbierając resztki przytomności, chciał pogodzić obie strony, których się obawiał; zdawało się, że chciał zdusić w sobie słowa w tej samej chwili, kiedy zmuszano go do mówienia.

«Och pies» — ryknął Renzo. — «Jak to zrobił? Co powiedział, aby...»

«Co — jakto co» — odpowiedział prawie pogardliwie don Abbondio, który po tak wielkiem poświęceniu uważał się za rodzaj wierzyciela.

«Jakto było, eh? Chciałbym, aby tobie zdarzyło się to, co spadło na mnie, niewinnego człowieka. — Pewnieby ci nie zostało tyle świerszczy w głowie».

I tu począł jaskrawo malować owo straszne spotkanie; a mówiąc, zdawał sobie coraz jaśniej sprawę z wielkiej złości, jaką miał w sercu, a jaką tłumił dotąd ze strachu; widział zaś równocześnie, że Renzo stał nieruchomo, schyliwszy głowę, wściekły, lecz zawstydzony. Wobec tego, ciągnął żwawo dalej:

«Pięknie postąpiłeś. Ładną mi oddałeś przysługę! Zachować się tak wobec grzecznego człowieka, a własnego proboszcza! W jego domu! w świętem miejscu».

«Wielkie bohaterstwo! Aby wydrzeć mi z gardła moje i swoje nieszczęście! To, co ukrywałem roztropnie przed tobą, dla twego dobra!...»

(Aless. Manzoni, *I promessi sposi*, v. 2.)

## WSPÓLCZEŚNI

GIOSUÈ CARDUCCI (ENOTRIO ROMANO)

(1835—1907)

### DO PEWNYCH KRYTYKÓW

Nie, nie ma oczu, jak ta Magdalena

Mgławych i pełnych wody:

Nie, olejków nie chowa moja Kamena

Na zadawnione wrzody.

Ani Chrystusy wy: w każdej przystani

Brudny duch wasz nierządnie

Ladaczył się; jeśliście wyszli uszargani,

Niech w to policja wglądnie.

Lecz oto Fulwja, gdy kształty urocze

Z miękkich puchów wychyla

I drżącą ręką wzburzone warkocze

Poprawia i przyszpila,

Fałd zmiętej sukni gładząc, w całej twarzy

Różowa i pokryta

Potem rozkoszy, gdzie się jeszcze żarzy

Lubieżna Afrodyta.

Fulwja, którejby sama Lais sekretów

I sztuk przyznała nowość:

Jakże, powiada, nie cierpię poetów,

Co negują duchowość.

A bufon Mena, któremu rozpiera

Kadłub wstrętne zepsucie,

I co z lic wonną rękawiczką ściera

Znak po dłoni lub bucie,

Powiada: Lubię ja, pijąc Falerno,

Polatać w wyższej sferze;

Czuję się słabo... Ulgę mi niezmierną

Sprawia myśl o eterze...

I truflach. Słowo daję, że potrzeba

Po kapłonie gwiazd paru.

Otwórz, poeto. Nieba, nieba, nieba,

Choćbym dostał kataru!

W obliczu nieba wśród czystszych ucieczeń,

Chłodną rozgrzane żądze,

Pieśń, to jest wiara! — I przesuwam w kieszeń

Zrabowane pieniądze.

Oto Pomponjusz, na którego płowe

Włosy i na zepsułą

Maściami cerę Pimplea chyli głowę,

Jak ten pyzaty putto,

Który w kościołach Jezusa z sufitu  
Wychyla się na chmurze,  
Powyzłacanej dla wiernych zachwytu,  
Jak bawelniane róże.

«Amor, amore» — rzy. Świat ideału  
W mleku i miodzie się lęże,  
Żaby, jak ten, zostawią trochę kału  
A trochę żółci — węże.

Cóż tam, że osioł czasem z męki pęknie,  
Lub głód go pchnie do grobu?  
Na giełdzie akcje me tuczają się pięknie,  
A Pegaz mój u żłobu.

Akcje państwowe mam, jestem amantem  
Hrabiny, organ «środką»  
Sprzyja mi stale i zestawia z Dantem:  
Idealizm — rzecz słodka.

Ja znaczę sztukę za ziemskości ślady,  
Co skrzydła niebowiejne  
Rozpędza: zdała Muzy z barykady,  
Gracje petroolejne. —

Tak damy, wieszczce i mędrce z nad gminu  
Odmawiają mi z gestem  
Tragicznej grozy świętego wawrzynu.  
Precz! — czy natrętny jestem?

Ja, kiedy wstąpię na pagór stuleci  
Sam, ze zmarszczką na czole,  
Rój strof mię zaraz wokół obleci,  
Niby stado sokole.

A każda strofa ma duszę i skacze  
Po dolinie kaskadą,  
I pędzi, niby rozpiętane klacze,  
Pędzi z trąbą i szpadą.

Szpadą — przy ziemi polatując — rąbie  
Olbrzymy i padalce,  
Biesiadnych mężów pobudką na trąbie  
Wzywa ku świętej walce.

Gdy na powietrzu przelecą te żrebce,  
Brzmią skroś dolin od echa  
Kości umarłych; każdy grób kolebce  
Życzliwie się uśmiecha.

A blade chłopię, któremu już łzawy  
Spada na oczy welon,  
Marzy śmierć i grób dla ojczystej sprawy  
Na majdanie uścielon.

Naprzód, hej, naprzód, wy zbrojni wysłańce  
Bujnej siły i wiary!  
Na skrzydłach pieśni na szczęśliwsze szańce  
Ślę wam miłość bez miary.

Wam życie moje: za lat już niewiele  
Ja w mogiłę nieznaną  
Zstąpię: walczcież wy, dziedzice-mściciele,  
Przeciw waszym tyranom.

(G. Carducci, *A certi censori, Jambi et epodi, t. II, XVI.*)

#### HYMN DÓ RYMU

Witaj, rymiel! Ty z pod pióra  
Trubadura  
Wzlatujący szukasz cudu.  
Przez cię w płasie  
Słowa skrzą się  
Zapalone w sercach ludu.

W pocałunków dwu wymianie,  
W skocznym tanie  
Odzywasz się pokolei,  
Łącząc w wirze uniesienia  
Dwa westchnienia:  
Echa wspomnień i nadziei.

Jakże cię na wiatry nosła  
Pierś rozrosła,  
Gdy się zachód przetkał złotem  
Rozspiewanych wdał młodzieńców,  
Pieśnią żeńców,  
Gwarną hukiem i tupotem.

Jakże wśród bitewnej wrzawy  
Dawnej sławy  
Wieścią bodles hart rycerzy,  
Kiedy głośno, twardo, hucznie,  
Tęgie włócznie  
Uderzały w stal puklerzy.

Pod koncertem Rolandowym,  
Twym surowym  
Graniem brzmiały Roncivalle,  
A Olifant dniem i nocą  
Dźwięków mocą  
Wstrząsał skały, bór i hale.

W grzywę konia zapleciony  
Grasz, jak dzwony  
W Balbiekowych podków szczęku,  
W lot Cydowej chorągiewki  
Romans krewki  
W takt ponosi się u łęku.

Nad Rodanu fale żwawe,  
 Mgieł kurzawę  
 Snujesz pasmy złocistemi  
 I zwyciężasz pieśń słowików  
 Śród sadów i zagajników  
 Tuluzkańskiej cudnej ziemi.  
 Tobą smętny śpiew wystrzela  
 W czołn Rudela,  
 Miłość zdobi żagl i liny,  
 Gdy na usta konające  
 Z warg gorące  
 Tchną oddechy margrabiny.

Wracaj, wracaj w swe dziedziny,  
 Ton bierz iny!  
 Patrz! Dant zbożny i surowy  
 W piekło zstąpił i do Boga  
 Od ziem proga  
 Z góry uniósł się czyścowej.  
 O ty, piękny słów monarcho,  
 Patryjarcho  
 Łacińskich metrów Ausonji!  
 Buntownik w twe wraca progi,  
 Jeniec wrogi,  
 Dziś wolny, tobie się kłoni.

Przodków trosko i zaszczycie,  
 Tyś me życie,  
 Kocham cię jak ojców chwałę.  
 Witaj rymie. Pleć mi wianki  
 Dla kochanki,  
 A ku zemście daj mi strzałę!

(*G. Carducci, Rime nuove, Poeste, str 539.*)

#### PIEŚŃ PORANNA (w formie rispetta)

Puka w okienko słoneczko znajome:  
 — Obudź się piękna, to jest czas kochania.  
 Niosę ci fiołków pachnących oskomę  
 I róż hejnały niosę od zarania.  
 Z królestwa mego na twoje usługi  
 Wiodę ci kwiecień i maj, ręce sługi,  
 I rok młodziutki, by wstrzymał zbyt skory  
 Bieg twojej jasnej i uciesznej pory.  
 Puka w okienko wiatr i tak powiada:  
 — Zwiedziłem wszystkie góry, lasy, niwy;  
 Myśl świata dzisiaj w jeden chór się składa,  
 Jedną pieśń śpiewa umarli i żywy.  
 Z gniazd pośród lasu leci pieśń miłosna:  
 — Kocham cię, kocham, kocham, wraca wiosna;  
 Tuż okwiecone wołają mogiły:  
 Kochaj mię, kochaj, mój luby, mój miły!  
 Puka do serca, co jest twym kwietnikiem,  
 Myśl ma; nieśmiało pyta: Czy wejść mogę?  
 Otom ci starym i smutnym pątnikiem,  
 Znużonym; długą zbyt przebyłem drogę. —  
 Pragnąłbym zamknąć w tej kwietnej koronie  
 Sny moje dawne, nigdy niewyśnione;  
 Złożyć w tę kwiecica wiązanek ucieszną  
 Sny moje, co już nigdy mi nie wskrzesną.

(*G. Carducci, Rime nuove, Mattinata.*)

#### PIEŚŃ ROZPACZNA

Na koniu Śmierci Miłość cwałem goni  
 I wlecze serce zakute w kajdany,  
 Ale buntownik zżyma się i broni,  
 Nie chce podlemu panu być poddany.

Pręży się groźny i więzy rozrywa,  
 A w oczach wola migoce mu mściwa:  
 — Zsiądź z siodła, Miłość, ty tchórzliwy boże:  
 Tyś sługą moim; to ja ciebie tworzę.

Władcą cię miałem w myśli mej obłudnej,  
 Dziś tęższej myśli władza twoja zbrzydła;  
 Mój jest ten czarny Śmierci koń rozpędny,  
 Więc do rąk zdaj mi cugle i wędzidła.  
 I skacze w siodło, ostrogami kole,  
 Dłonią pozdrowia wszechświatów okole;  
 Pod kopytami rumaka żaloby  
 Dudni skrós ziemia jak cmentarne groby.

(G. Carducci, *Disperata*.)

Liczne przekłady Carducciego znajdują się u Miriama (Zenona Przesmyckiego); «Ody barbarzyńskie» w całości przełożyła p. dr. Julja Dickstein-Wieleżyńska.

GIOVANNI PASCOLI  
 (1855—1912)

WYSPA POETÓW

Pociąg wdół pędził. Oczy się mrużyły  
 Pod wiatru świeżem tchnieniem w dali sennej,  
 Wielką słodyczą napawał mi żyły  
 Dech przedjutrzeny.

Poddawała się głowa; w stukach trasy  
 Pociągu dźwięki jedne, wciąż te same,  
 Wdół obsuwały swe miękkie zawiasy  
 Na ócz mych bramę.

Potem stuk cichnął i wsiąkał w powietrze,  
 I nagle, jak fal toczonych na żwiru,  
 Szum się potoczył w jednostajnym metrze  
 Czwórstrunej liry.

Po tamtej stronie snu ktoś opowiadał  
 O dwu syrenach rzucających czary,  
 O wiotkim śpiewie, co go powykradał  
 Wiatr z morskiej czary.

Więc o słonecznym powiadał ostrowie:  
 Pasą się zieleń i skalnym porostem  
 Trzody; pasterki idą przez pustkowie,  
 Olbrzymki wzrostem.

W szerokich chustach; dzwoneczków brzękadła  
 Ustępowały fletni skotopasej;  
 Widziałem smugę dymów, co się kładła  
 Między szalasy.

Zagrodeń w kwiatkach i letnie południe,  
 I opieszale świerszczyków pacierze,  
 Poszumy ulów i pachnące cudnie  
 Mórz tchnienie świeże.

Głuchemi dźwięki doryckie cymbały  
I lotusowej fujarki przezczysty  
Pogwizd, radośnie w jeden się wiązały  
Pean strzelisty.

Orzeł polata w podniebnym eterze,  
Lśniący od blasku; łup krzywemi szpony  
Dzierży; na ziemię spada ptasie pierze,  
Strzęp szcerwieniony.

Wyżej i wyżej nad przełęczą śnieżną  
Etny, zaszyte w gąszcz sosen i buków  
Konary trzeszczą pod czernią drapieżną  
Krzyżących kruków.

Ten krzyk mię zbudził; Sycylji różany  
Obłoczek, piany średniomorskiej córa;  
Pośród niej wsparta o błękitne ściany  
Śnieżysta góra.

Witaj, Sycyljo! Czemkolwiek tu tchnie się,  
To granie cytry, to fletniane pieśni,  
Śpiewa i mijają. Poszedłem tam, gdzie się  
Dochodzi we śnie.

We śnie, gdy wznoszę na wiatr żagiel nowy  
W godzinę mroku, niepewny, czy w gości  
Przyjmie go jutrznia w dwudziestowiekowej  
Lat odległości!

*(G. Pascoli, Odi e Inni, Bologna, Zanichelli l. d.)*

#### KLACZKA SZPAKOWATA

Pod wieżą już milczenie zbiegło na pole,  
Po brzegu słonej wody szumią topole.

Rosłe konie normandzkie, wprężone w żarna,  
Rozcierają chrupiące pszeniczne ziarna,

W głębi klacz stoi bujna, harda jak burza,  
Chowały ją wśród sosen nadmorskie wzgórza.

W nozdrza ją jeszcze słone palą odpryski,  
I drży w sterczących uszach fal chichot bliski.

Mateczka jej oparła łokieć na karku  
I tak w pieśczośliwym szeptała pogwarku:

«O, klaczko ty moja, klaczko szpakowata,  
Ten, co cię niegdyś wodził, odszedł ze świata.

Znałaś jego wołania, gest ręki jego,  
W domu mi pozostawił synka małego.

Ja ośmioro mu dzieci na świat wydałam,  
Ale nad wszystko w świecie jego kochałam.

O klaczko, której w sercu huragan dzwoni,  
Posłusznie ulegałaś tej małej dłoni.

Ty, co nosisz w pamięci morskie łaskoty,  
Byłaś powolna słowom jego pieśczoły». —

Klaczka zwracała ku niej wychudłą głowę,  
Mateczka jej prawila żalości nowe:

«O, ty klaczko moja, klaczko szpakowata,  
Ten, coś go nosiła, nie wróci do świata.

Wiem to, żeś musiała kochać swego pana,  
Jedna śmierć przy nim była, druga ty sama.

Ty, co pamiętasz lasy, pamiętasz morze,  
Musisz też pomnieć jego ostatnią grozę.

Czując pofolgowane w uściech wędzidła,  
Wściągalaś swego lotu porywcze skrzydła.

I powoli, powoli biegłaś przez błonia,  
By się w ciszy spełniła jego agonja».

Długa, wychudła głowa dotknęła skroni  
Mojej drogiej mateczki, co tam lzy roni.

«O, klaczko ty moja, klaczko szpakowata,  
Ten, coś go nosiła, nie wróci do świata.

Musiał przecie wyrzec przed śmiercią dwa słowa:  
Pojęłaś, nie powiesz, niezdarna twa mowa.

Z wolna puszczoneym cuglem, co się włókl po ziemi,  
Z oczyma w czerwone mgły zapatrzonemi,

Z uszyna, co słyszą jeszcze strzałów echa,  
Szlakiem topól biegłaś, gdzie domowa strzecha.

Do domu go niosłaś przy skonaniu słońca,  
Abyśmy go mogli oglądać do końca». —

Słuchało bacznie zwierzę dumne i tkliwe:  
Matka je całowała w falistą grzywę.

«O, klaczko ty moja, klaczko szpakowata,  
Przyniosłaś mi tego, który zszedł ze świata.

Przyniosłaś go stamtąd, skąd powrotu niema,  
Uczciwa do końca, cóż — gdy jesteś niema.

Ty mówić nie umiesz, drugi tchórz — nie powie,  
Ale mnie tu będzie dość na jednym słowie.

Uważać musiałaś, skąd kula wypadła,  
Zabójcę odbiły ocz twoich zwierciadła.

Słuchaj: jedno imię, a ty pewnym znakiem  
Wskaż mi, żeś pojęła; Bóg pouczy jakim».

Godzina; już konie nie miażdżą pszenicy,  
Śpią i widzą we śnie szlak mącznej ulicy.

Pustemi kopyty nie depcą już słomy,  
Słyszą, jak się toczy wkoło młyn ruchomy.

W ciszy nocnej matka, grozą zdjęta cała,  
Wyrzekła tylko jedno imię... klacz zarżała.

(G. Pascoli, *Canti di Castelvecchio, Bologna, Zanichelli 1929.*)

#### ŚW. JAN

Ze snopkiem kłosów na głowie powraca  
Sługa; w kruczych kędziorach  
Ma żdźbła, ościenie, płatki róży polnej,  
Tak purpurowej jak skrzydła motyle. —  
Kwiatku Oliwy, z memi dziewczátkami  
Wychodź na grusze, spinaj się po wiszni.  
Jutro świętego Jana, więc dla niego  
Pierwsze gruszcзки i wisznie ostatnie.  
Poniesiecie je na plac do Bolonji,  
Przykryte winnej liśćiami jagody. —  
Kwiatku Oliwy, z tobą obie wnuczki.  
Nakop w ogrodzie czosnku i cebuli:  
Kto na święty Jan po wieńcu nie kupi,  
Ziemia mu przez rok nie wyda korzyści.  
Weź majeranu, korzonków pietruszki,  
Dobierz rumianku i kłósków lawendy. —

— — — — —  
Kwiatku Oliwy, bieżaj i powracaj  
Wesoła sercem; kto dożyje jutra,  
Obaczy wielkie Boloniji wieże.  
A śpiewaj: «Po mych barkach fałą  
Długie warkoczce spływają».  
Jutro święty Jan, święty zakochanych.  
Przed domem siedzą dziewczęta na ławach,  
U stóp ich siedzą kochankowie; brody

Wsparli na łokciach, łokcie na klepisku.  
A oczy patrzą, a serca dygocą,  
A świecą się im w ciemności źrenice.  
Tak pogwarzają; czasem trysną śmiechem.  
Żaby próbują pierwszego rehotu.  
Kwiatku Oliwy siedzi sama, splata  
Wianuszki ziela, bo nie ma kochanka  
I wiąże naci; przy każdym zaplocie  
Układa główki świeżutkiego czosnku.  
Cieszy się w sercu, bo obaczy wieże.  
A w jednej wieży jest klatka, a w klatce  
Królewicz — sokół w łańcuchu ze złota.  
Odnóża złote, nawet włos ma złoty. —  
Topole chwieją szczyty wyniosłemi,  
Chochliki na nich wyprawiają harce.  
Puhacze huczają skryte w dziupli drzewnej,  
A wilkołaki stąpają zdyszane.  
Zaczęło rosić; chwila jest rozłąki.  
Odchodzą chłopcy, nie pragną spotkania.  
Mży rosa, niesie z sobą złe i dobre.  
Poszły dziewczęta; sam Kwiatek Oliwy  
Pozostał jeden, w kompanji chochlików  
Rozchichotanych... Smętnie sobie nuci:  
Mój słowiczku gładki,  
Wróćże mi do klatki.

(G. Pascoli, *Canzoni di re Enzo, Bologna, Zanichelli, 1924.*)

#### GABRIELE D'ANNUNZIO

(ur. 1863)

#### «MOŻE TAK, MOŻE NIE»

O, Miesiączku, mój Miesiączku,  
Cóżś to dzisiaj wyśniła,  
Cóż mi dasz siostrzyczko miła  
Za to, że ci piosnkę nucę?  
I czym me nagrodzisz trudy?  
Jaki biały senny wid

Sercu twemu przyniósł świt?  
Opowiedz mi twoją bajkę  
Świeącemi nożyczkami:  
Ty, ażebyś przypomniała,  
Ja, abym je z myśli zwiątał

Lunella ruchem głowy całej w kędziorach wtórzyła przygodnej pieśniarce, gdy orzechowe oczy o gęstych rzęsach zachowywały powagę, a uśmiech zaledwie rozchyłał piękne usta, odwinięte jak u Antinousa. Trzymała w ręku arkusz białego kartonu i wykrawała w nim

<sup>1</sup> Enzo, król Sardynji, syn naturalny Fryderyka II, Gibelin, więzień Bolonji (1220—1272 r.).



figury parą cieniutkich nożyczek. Siedziała na okrągłym przymurku, otaczającym dąb patriarchalny w ogrodzie Inghirami, a Vana klęczała na trawie, przesypanej drobnymi żółędziami, wpatrzona w przedziwną robotę. Poza dachem pałacu, poza starymi dachówkami, splamionymi pleśnią, sterczały rdzawe i szare wieże Volterry w upale lipcowym. Blanki strzelnicze haftowały błękit między Tumem a Rokką. — «Śpiewaj mi jeszcze: Wykroję ci kotkę i kocięta» — mówiła dziewczeczka, odczepiając końcem nożyczek figurę wyciętą w kartonie i upuszczając ją na kolana Vany. «Jeżeli nie, to wyrzucę».

O, księżniczko, okrutniczko,  
Ty orliku bez pazurków,  
Ty rozsiewasz ziarno białe,  
Moje będzie krwią nabrzmiałe.  
Gdy ty będziesz jak lilije,  
Ja purpurą się okryję,

Pozbieraj moje piosenki  
Temi dzikimi oczyma  
W widzenia śnieżne, jak zima:  
Ty, żebyś je przypomniała,  
Ja, żebym je z myśli zwała.

Vana igrała tak ze swoim cierpieniem upornym i ze swoją siostrzyczką przekorną; klęcząc na trawie, podrzucała niby malinki morwowe w dłoni na grzbiet ręki i znów na dłoń, drobne błyszczące żółędzie, wyłuskane z suchych czepeczków.

Koniec nożyczek odrzucał wycięte z profilu drobnutki obrazki tak dokładne i czyste, że wydawały się nie dziełem pamięci, ale cieniem prawdy.

— «Oh, jakaś ty zręczna!» — wołała Vana, przesuując je w palcach i podziwiając rozrzucone na trawie. Wdzięk młodociany kociąt był zebrany w zarysach i skrótach z dokładnością i śmiałością, godnemi ręki mistrza, właściwemi owym malarzom Dalekiego Wschodu, co cieniem pendzlem na długich zwojach jedwabnej materji tłumaczyli najświeższe ruchy życia zwierzęcego.

«Jeśli mi coś jeszcze zaśpiewasz» — mówiła mała dzikuska, zakładając ostrze swych czarodziejskich nożyczek w brzeg dziewiczej karty — «wytnę dla ciebie złotą kwoczkę z trzynastoma kurczątkami, co to żyje na górze Voltraio, ale nikt jej nigdy nie widział. Jeżeli nie, to nic z tego».

Okrutniczko, okrutniczko,  
Zrób mi skrzydła do latania,  
Abym mogła ujść daleczko  
Z tej Volterry na rozdrożu,  
Od tych szczytów aż ku morzu,  
Lub rzuć na mnie inne czary,

Swemi paluszkami wróżki  
Prowadź na te blade dróżki,  
Którędy chodzą umarli:  
Ty, byś sen swój przypomniała,  
Ja, abym go z myśli zwała...

(*Gabriele d'Annunzio, Forse che si, forse che no, Milano, Treves 1910, t. II. o. 163—166.*)

## MARTWE MIASTO (LA CITTÀ MORTA)

### Akt II, scena 2

#### Pałacyk w pobliżu Mikeny.

Bianka Maria (prowadząc ślepą Annę ku jednej z urn grobowych, ustawionych na stole): Oto tu są popioły Kassandry, tam są popioły króla.

Anna (cichym głosem): Cassandra! Ona również widziała... Widziała wkoło siebie zawsze nieszczęście i śmierć... (Nachyla się nad urną, bierze garść popiołu i rozciera go w palcach). Jakie wiotkie te popioły. Przesypują się między palcami, niby piasek morski. Czytałeś mi wczoraj, Aleksandrze, co mówiła. Śród tyłu krzyków strasznych odzywało się jakby technienie słodkie i smutne. Starzy porównywali ją do «rdzawego słowika». Jak brzmiały, jak brzmiały jej słowa, kiedy przypominała swój piękny strumień? i kiedy Starzy prosili, by im opowiedziała historję miłości boga? Czy nie pamiętasz?

Bianka Maria: Nie słyszał cię, Anno.

Anna: Nie słyszał.

Bianka Maria: Stoi na tarasie.

Anna: Ah, stoi na tarasie.

Bianka Maria: Przygląda się zachodowi. Zachód cudowny. Poza Artemisio całe niebo jest w ogniu. Szczyt Anachrea gore jak pochodnia. Aż tu dochodzi odbłask czerwony. Pada na sprzęty złote.

Anna: Zaprowadź mię ku złotu.

Bianka Maria: Oto zewłok Kassandry.

Anna (dotykając się zlekką): Czy jest tu jej maska?

Bianka Maria: Jest tu.

Anna (dotykając): Jakie ogromne usta! Okropny trud odgadywania rozszerzył je. Wydawała krzyki, zaklinała, lamentowała bezustanku. Wyobraźcie sobie usta jej pośród milczenia? jaki pośród milczenia musiał być kształt jej warg bolejących? Jakie zdumienie, kiedy duch pozwala jej odpocząć wśród dwojga krzyków! Chciałabym, żebyście mi dziś powtórzyli dialog między nią a Starymi. Czy nie pamiętacie słów, kiedy opowiada o bogu, co się w niej kochał, i kiedy Starzy zapytują, czy uległa napastnikowi? Jawi się zapłoniona od wstydu, w tem miejscu: «Przyrzekłam» prawda, «przyrzekłam». Czy nie przypominacie sobie tych słów?

Bianka Maria: Nie, Anno; dziś wieczór ci odczytam.

Anna: «Przyrzekłam, ale zawiodłam go» — powiada. Zawiodła boga, a on się zemścił. Nikt odtąd jej nie wierzył. Została sama, na szczycie góry, ze swoją prawdą. (Pauza. Kładzie znów palce na złotym szczątku). Czy i ty kochasz, jak Aleksander, tego «rdzawego słowika»?

Bianka Maria: Los tej męczennicy jest okropny.

Anna: Była bardzo piękna, piękna jak Afrodyte. Leonard widział twarz pod złotą maską. To dziwne. Mnie równie zdaje się, że ją widziałam... Jakiej barwy, sądzisz, były jej oczy?

Bianka Maria: Może czarne.

Anna: Nie były czarne, ale wydawały się czarnymi, bo źrenice, w uniesieniu wieszczem, rozszerzały się tak, że pochłaniały tęczę. Myślę, że w przestankach, kiedy ocierała pianę z białych warg, oczy były słodkie i smutne jak para fiołków. Takie musiały być, nim się zamknęły na zawsze. Przypominasz sobie, Bianco Mario, jej ostatnie słowa? Nie pamiętasz?

Bianka Maria: Wieczór odczytam ci, Anno.

Anna: Jest tam mowa o cieniu, co się przesuwą po wszystkim, i o wilgotnej gąbce, co ściera wszystkie ślady. Nieprawda? «A nad tem» — powiada — «nad tem boleję więcej, niż nad resztą». To są jej ostatnie słowa. (Pauza. Trzyma w ręku złotą wagę). Słyszycie?

Bianka Maria: To sokoły z góry Eubejskiej tak krzyczą.

---

## MŁODA ITALJA

LUIGI PIRANDELLO

(ur. 1867)

JAK WPRZÓD, LEPIEJ NIŻ WPRZÓD

Akt II

Fulvia (w półświatku Flora) uciekła od męża, pozostawiając 3-letnią córeczkę Livię. Mąż Silvio podał ją za umarłą, pielęgnując w córce fikcję «dobrej matki», tak ukochanej, że corocznie odprawia za nią mszę żałobną. Fulvia wraca po latach 13-tu włóczęgi. Silvio przyjmuje ją i przedstawia jako drugą żonę. Livia domyśla się, że przeszłość tej nieznannej nie musiała być przykładna, odczuwa do niej wstręt, z czem się nie tai. Tragedja matki, która nie może wyznać prawdy, a mężowi nie przebacza obłudy.

Fulvia.

Powiadam: Traktuj mię raczej jak tę sukę z ulicy, co ci się przyplątała do nóg.

Silvio.

Ładna rzecz!

Fulvia (jakby mówiąc do innej).

Tak, tak. Nie mogąc odtrącić jej od nóg, byłeś zmuszony zabrać ją do domu. Gdyby ona mogła o tem wiedzieć, to może widząc, że mię traktujesz w ten sposób, upodloną, a równocześnie w mej osobie pokorną, posłuszną...

Silvio.

Ależ to niemożliwe!

Fulvia.

Dziękuję, teraz wiem. Uczyniłeś co innego. Czuć tutaj zapach świętości: idzie od tamtej drugiej.

Silvio (mówiąc o córce).

Nie znała matki. Chciałem, żeby ją miała za świętą, dlatego zwodziłem ją; zdawało mi się, że to będzie rzecz zbożna, nietylko dla niej, ale i dla ciebie.

Fulvia (gwałtownie, hamując się).

Nie powiadaj: dla mnie! nie powiadaj: dla mnie. Daruj, nie czyniłeś tego dla mnie. Dla siebie to robiłeś, dla uspokojenia sumienia, co cię gryzło. A nie uspokoiłeś go. Sumienia nie uspokaja się nigdy fałszem.

Silvio.

Prosiłem, żebyś nie używała tego wyrazu.

Fulvia.

Daruj. Kazałeś mi umrzeć, a potem mię uświęciłeś; uświętobliwiłeś tutaj wszystko (zatrzymując się i zmieniając jeszcze raz ton mowy). Przypuśćmy, że moja śmierć mogła być dla niej «koniecznym kłamstwem». Ale ona była taka mała. Życie otwarło się jej tu przy tobie. Dorósłszy, byłaby się zapytała o matkę, nieprawdaż? Skoro już chciałeś udawać, czyż nie mogłeś, nie mówiąc wyraźnie, dać jej do zrozumienia, że nie byłeś szczęśliwy w pożyciu?

Silvio.

Ach, tak sądząc po dzisiejszem.

Fulvia.

Byłaby cię kochała bardziej. Nie byłaby opłakiwała niczego.

Silvio.

Ależ trzeba było odgadywać, że tak się stanie! Przebaczył! To dziwne. Mówisz, jakbyś była zazdrosna.

Fulvia.

Ach tak, o serce mojej córki.

Silvio.

Ależ pomyśl, że jesteś tą samą.

Fulvia.

Nieprawda, nieprawda. Tą samą! Dotknęłam; odczułam. Jestem umarła, naprawdę umarła. Tu stoję, a jestem umarła. Nie jestem żywa, jak tamta; żywą jest ta dawna matka, nieżyjąca. Chciałabym wziąć ją w ramiona, wstrząsnąć nią, zajrzeć jej głęboko w oczy i powiedzieć: Nie, nie, wierzaj mi kochanie, wierzaj umarłej... Nie mogą umarli szkodzić więcej nikomu, więc po pewnym czasie myśli się o nich tylko dobrze. Ale i śmierć moja droga może być jeno kłamstwem (urywając, wstrząśnięta, z wyrazem prawie szaleństwa) Wiesz, ile razy przychodzi na mnie taka pokusa?

Silvio.

Zlituj się, Fulvio.

Fulvia.

Nie lękaj się. Tyle lat żyła z tobą razem w uwielbieniu owej świętej duszy, że wydałoby się jej zdrada, tak z dnia na dzień. (Pauza). Teraz obudziła się w niej prawdziwa zazdrość, z powodu tamtej umarłej. Musiała w niej obudzić się koniecznie,

ledwie tu weszłam. Ledwie zajęłam miejsce przy tobie, stanął przed nią obraz tej drugiej. Naturalnie. Wyobraziła siebie przedstawicielką tamtej. Chciała zabrać wszystko, co do tamtej należało: meble, wszystko. Musiałam oddać jej to sama. Wydało mi się rzeczą słuszną. Do tego stopnia owo kłamstwo stało się dla wszystkich tutaj rzeczywistością, jedyną rzeczywistością, w jakiej żyje twoja córka.

Powiedziałam: twoja. Widzisz. Nie odczuwam, nie odczuwam jej w rzeczywistości jako swojej. A tobie nie wydaje się to rzeczą nieludzką. Trzeba zabić, zabić to kłamstwo, bo ja żyję, żyję, żyję!

(W zakończeniu Livia dowiaduje się prawdy. Fulvia opuszcza dom, wyzwolona od fałszu, z drugim małym dzieckiem, które będzie kochać w niej prawdziwą matkę.)

Jak w «Sześciu postaciach», jak w «Henryku IV» i innych komedjach Pirandella, osoby działające świadomie, czy nieświadomie, posiadają duszę podwójną, lub istnienie podwójne; z tej dwoistości jest ulepiona ich komiczna lub tragiczna maska.

(Luigi Pirandello, *Come prima, meglio di prima, Maschere nude*, vol. II, Firenze 1924.)

## FILIP TOMASZ MARINETTI

(ur. 1876)

### LOT PONAD SERCEM ITALJI

(w oryginale po francusku)

Wstrętna komora, o sześciu ścianach jak trumna.  
Wstrętna ziemia! Głęb błotnisty  
U moich ptasich szponów. Chcę ujść,  
Upoić się lotem!... Monoplan, monoplan!

Przez szczelinę murów gwałtownie rozdartych  
Mój monoplan wielkoskrzydły węszy niebieski strop.  
Przede mną trzask stali  
Kraje światłość, a gorączka w mózgu  
Śruby poryka naokół.  
Zadrzałem, tańcząc na kołach uświadomionych,  
Sieczony wiatrem zachceń oszalałych,  
Podczas gdy w logicznej czerności kajuty  
Mechanicy wstrzymują tylne sprężyny,  
Jak się trzyma lub popuszcza latawca.  
Naprzód, w lot.

Odczuwam potężne szczęście być na koniec tem,  
Czem jestem:  
Drzewem zbuntowanym, co się wykorzenia  
Wysiłkiem woli i tak wylatuje  
Na rozdzierzanem, szumiącym listowiu,  
Wyrzucając prosto, prosto pod wiatr  
Kłęb swych korzeni — pod wiatr.  
Rozwiewa mi się pierś, jak wyżłobiony lej,  
A wszystek lazur nieba gładki, świeży, nawalny,  
Rozkosznie w nią się wciska.  
Jestem oknem rozwartem, zakochanem w słońcu,  
Lecącym ku niemu.  
Któż zdola powstrzymać dziś  
Okna spragnione chmur  
I pijane balkony,  
Co się oderwą dziś wieczór od starych domów,  
Ażebym w przestrzeń paść?

Odzyskałem mą tęgą odwagę,  
 Odkąd me stopy przyziemne  
 Przestały ssać lęku zachowawczy sok  
 Z gleby ostrożnej.

Wzwyż ku pełnemu niebu. Oto się wspieram  
 Na prawach elastycznych powietrza. Ah!...  
 Zawieszony pionowo nad miastem  
 Z jego swojskim nieładem  
 Domów stojących jak meble służebne.

Wyżej i dalej, poza te mury.  
 Tam sfera krzyżów. Oto się zbliżają  
 Między szeregi cyprysów strażniczych  
 Ogrody mogilne, różem i zielenią  
 Krzyczące; marmury jak chusty rozwiane.  
 Dzisiaj umarli radzi lecieć ze mną.  
 Dziś umarli pijani, umarli weseli.  
 Byłem umarły jak wy — dzisiaj wskrzesłem!...

W przestworzu słona woń — to morze!  
 Niezliczone szeregi kobiet, jak bławaty,  
 Rozpinające gorset. Oto piana  
 Wiotkich nagości, splecionych i chciwych  
 Ostatniego haustu blasku  
 W okrężnem pustkowiu nieba.  
 Ah, śmiać się muszę z was, żaglowce white  
 W piasek, owady wywrócone, próżno  
 Siłące się — tak śmiesznie — powstać na nogi!  
 Wyspy pretensjonalne swym płaszczem zielonym,  
 Jesteście w oczach mych płatami kwiecica  
 Bagien, gryzionemi przez otyłe muchy.  
 Przelatam nad wami jak wicher  
 I pieczęć różnym ruchem dłoni  
 Niezmierny glob atmosfery,  
 Potworny grzbiet druzgoczącej grozy,  
 Co mię dzieli od morza...

Ah, ah, mroczny afrykański wietrze,  
 Ociężały wietrze, obłudnie powolny,  
 Czyhasz na moją rozrywkę?  
 Naco pozorować podstępne zawroty?  
 Ja zażyć cię potrafię,  
 Wzlatam w twych ramionach włóknistych, zawilgłych;  
 Tysiąc metrów niżej czernieje z wściekłości  
 Morze; — wracamy. Czyż ziemia ma swoją woń?...

Lecz skąd ten odór zatechłej piwnicy?  
 Z trudem rozglądam mapę, schylony nad busolą.  
 Ten miękki zapach grobowy — to Rzym,  
 Moja stolica! Ah! ha, ogromne kretowisko,  
 Stosy papierów gryzionych powoli  
 Zębami szczurów i drzewnych korników.  
 Kopuły! Rozbijały kolosów wydęte brzuchy  
 W oparach fioletowych wieczoru!  
 Z wszystkich tryskają złocone iglice,

Sztylety drżące jeszcze w rozebrzmiałych ranach  
Nad żałobnemi gmachami ciemności!...

— — — — —  
Tam pakeboty w rozsypce,  
Rzekłbyś, w górę uniesione kuźnie  
Dymiące, z szybami w ogniu,  
Jakby je cyklon gwałtowny  
Wyrwał ze szczętem,  
Ślizgają po żywej czarności morza,  
Jak wielkie młyny do mielenia gwiazd.  
Maszty pompują niebo, a naokół  
Mąka gwiazd sypie się przez luki statków.  
Potrzeba mi się oprzeć wszystkim ciosom wichru,  
Co mię wstrzymuje; nachylam się dzióbem,  
Kołyszę się, aparat dzierzę w równowadze,  
Prostując obie kierownice.  
Wystarczy jeden ruch pompy, by wskrzesić  
Mruk jedwabisty napojonych komór.  
Z rezerwoaru niechaj tryśnie fala,  
Jak z rany bohatera!

(F. T. Marinetti. *Le Monoplan du pape, Paris 1912.*)

#### ARDENGO SOFFICI

(ur. 1879)

#### KRAJORRAZ

Jak zmarszczka na obliczu człowieka, wije się hen, dołem, ścieżka kręta. Rozdział dokładny światła od cienia, lasu od pola. Ku zachodowi urwisko gliniaste, a pod zimną zielenią sosen rozpaczliwy ciemny gąszcz jałowców, zręby wystrzyżone przez drwali, nierówne, ze stosami chróstu, chylące się, jakby do snu, ku dwóm grupom wierzb szkarłatnych, w suchym piachu kotliny, wreszcie szeregiem topole — nagie włóczęgi.

Na prawo słońce; ciepła fala słońca, zwycięska pośród oliwek i rudych brył ziemi; a w górze, obok cyprysu, grzędy, przymurki, chaty ciche; biały kościół i plebanja o barwie róży z zielonemi okiennicami, w jasnym potopie kwitnącego sadu. Obsadzony winogradem szczyt pagórka i lukowata zatoka nieba. Wieśniaczki rozciągają płótno na fioletowej ścieżce; ogrodnik w drzwiach szopy otwartej do słońca odcina się sylwetką od żółtości rzepiska, wśród brunatnego chróstu. Sikorka wywodzi swoją śpiewkę, drozdy polatują z miedzy na miedzę, białe w cieniu, a czarniawe w słońcu.

(A. Soffici, *Giornata di Borgo, Firenze 1915.*)

#### MARINO MORETTI

(ur. 1885)

#### NIEDZIELA PSÓW-WŁÓCZĘGÓW

Pochylać głowę — co z tego?  
I zatrzymać się — poco?  
Jestem przejęty niemocą,  
Niemocą dnia niedzielnego.

Daleko jak oko sięga  
Ulica niesamowita,  
A nikt mię na niej nie wita,  
Chyba pies jakiś włóczęga.

Nikt nie zaszczyci spojrzeniem,  
Nawet spojrzeniem ironji,  
Chyba ten bastard złej woni,  
Co stąpa za moim cieniem.

Nikt nie pomyśli, że jestem  
Żebrakiem, któremu trzeba  
Nie skibki marnego chleba,  
Lecz serca z przyjaznym gestem.

Kto spyta: Na co się skarżysz?  
Kto czuje, co mi dolega?  
Chyba ten nędzny towarzysz,  
Ten mój przygodny kolega.

Widzę, łza świeżo wylana  
Wisi ci jeszcze u pyska,  
Ty poszukujesz wciąż pana,  
Jak ja swojskiego ogniska.

Ty idziesz, niemądre zwierzę,  
W trop za mną, bo masz ochotę  
Choćby na smętną wieczerzę,  
Na rozkaz albo pieszczotę.

Widzę, masz minę trefnisia  
I chcesz być moim Medorem,  
Ty, coś się wolał Azorem  
Lub nosił imię Żolisia.

Możesz był pieskiem żebraczym  
Przy katarynce z ulicy,  
Co daje sercom tulaczym  
Sold ojczyźnianej tęsknicy?

Tak wążasz moje obcasy  
I tę nogawkę gałgańską,  
Jakgdybym był modnej rasy  
Salonową suczką pańską.

Ty, który merdasz oczosem,  
Przyczepiony do mych getrów,  
Jakbyś chciał obliczyć nosem,  
Ilem przeszedł kilometrów...

(M. Moretti, *Poesie scritte con lapis, Szkice ołówkowe, Neapol 1910.*)

#### ADA NEGRI

(ur. 1870 r.)

#### SZAŁ (PAZZIA)

Liść opada z platanu, gałązka wzruszyła serce cyprysu —

To ty mię wołasz.

Oczy niewidzialne wiercą cień, wbijają się we mnie jak gwoździe w mur —

To ty na mnie patrzysz.

Ręce niewidzialne tykają mych ramion, ku cysternie śpiącej wody mię wabią —

To ty mnie pożadasz.

Wzwyż, wzwyż po stosie pacierzowym, blademi, mroźnemi wytryskami szał postępuje  
ku mózgowi —

To ty wdzierasz się we mnie.

Już stopy nie tykają ziemi, już ciało staje się nieważkie w powietrzu; porywa je mroczny  
wir —

To ty wtrącasz mię w otchłań zawrotną...

(A. Negri, *Il libro di Mara, Milano 1919.*)

#### ALDO PALAZZESCHI

(ur. 1885)

#### WIEDZMA SNU (LA VECCHIA DEL SONNO)

Sto lat ma starucha.

Nikt się nie natknął na nią w świetle dziennem,

Zato spotyka drzemiącą u źródłu.

Nikt jej nie budzi.

Przy cichym szepcie strumienia starucha zasypia

I tak siedzi śpiąca przy cichym poszepcie

Dni całe, dni całe, dni całe.

#### ORO DORO ODORO DODORO

W głębokiej ścieżynie rozdolu jest nisza,

Naokół wysokie cyprysy.

Wyjęto z niej posąg przed laty, przed laty.

Księżycy blask pada na białość błyszczącą marmuru,  
 Co zdaje się wspierać na tle poczerniałem  
 Wysokich cyprysów.  
 Na cokole cztery figury, okryte czarnymi płaszczami,  
 Patrzą na siebie w milczeniu  
 I stoją w bezruchu...

## CHORA FONTANNA (LA FONTANA MALATA)

Klof, klof, klof,  
 Kloffete, kloppete, klokkete,  
 Kch, kch, kch.  
 To chora fontanna w pośrodku podwórza:  
 Jak przykry dla ucha ten kaszel...  
 Kch — kaszle; kch — kaszle.  
 Przeszła na chwilę i znowu:  
 Klof — klof — klof (i t. d.)...  
 (*Aldo Palazzeschi, L'incendiario, Milano 1910, 2 ed. 1913.*)

## GIOVANNI PAPINI

(ur. 1881)

## KALWARJA

Słońce, dobrotliwe słońce wiosny, wysokie słońce południowej godziny; pobłysk białości stoku góry, stuk sandałów, kasających krótkim dźwiękiem próg kamienny. W pobliskich ogrodach wczesne kwiaty radują się ciepłem wiatru; ptaki-śpiewaki, skryte na gałęziach wiśni, siekają niebo srebrnymi strzałami gardziółków. Gołębie polatują parami w ciepłe sielankowego pokoju. Pięknie byłoby żyć tutaj, w ogrodach uwodnionych, nad krawędzią cysterny, w zapachu ziemi, co się budzi i przyodziewa w oczekiwaniu księżycy kośby; w towarzystwie kochanków rozmiłowanych w sobie. Dni Galilei, dni ciszy, dni słońca i przyjaźni, pośród winnic nad jeziorem, dni światła i swobody, przechadzki z tymi, co chcą słuchać, odwołując słuszną radość wieczery; dni, które wydawałyby się wieczne, choć tak krótkie.

Niemasz już nikogo przy tobie, Jezusie, zwany Chrystusem. Owi żołdacy, co ci gotują okropne łoże, owi łotrzy, co na cię miotają obelgi, owe psy, co szczekają na twą krew wylaną, nie są już niczem, jeno cieniem, wyłonionym z wielkiego cienia Boga. Jesteś sam, jak sam byłeś minionej nocy. Nie dla ciebie świeci słońce, które rozgrzewa grzbiety twych zabójców. I niema już dla ciebie jutra, niema dalszej do przebycia drogi; skończyła się twoja włóczega; wolno ci nakoniec odpocząć. Ten oto czerep skalny jest kresem. Tu niezadługo więziony duch wyluszczy się z ciała...

Na szczycie kamiennej kopy Trzy Krzyże wysokie i ciemne z rozwartymi ramionami, jak olbrzymy, gotowe do uścisku, sterczą na tle ogromnego nieba, rozkochanego w wiośnie. Nie odrzucają cienia, lecz są obrzeżone, jakby świecącymi blaskami słońca. A takie jest piękno świata w ten dzień, w tę godzinę, że zda się niepodobna myśleć o męce. Wszak możnaby te anteny drewniane przystroić kwieciami polnym, rozwiesić od drzewa do drzewa wieńce nowego listowia, osłonić szubienice murem zieleni i zasieść w cieniu na odpoczynek, jak bracia pogodzeni i sobie przychylni.

(*G. Papini, Storia di Christo, Firenze 1921.*)

Przekłady zostały dokonane bądź według wydań monograficznych, bądź zbiorowych, jak Monaciego, Nannucciego i i. Niektóre zostały powtórzone według książki obfitującej w ilustracje literackie: Edward Porębowicz, Dzieje literatury włoskiej XVI—XVIII (wyd. w Najcelniejszych utworach literatury europejskiej, Warszawa, Lewental 1887 i nast.). «Najmłodsza Italja» po Carduccim, G. d'Annunziu, Pascolim, została opracowana według bardzo obfitej Antologii Papiniego i Pancraziego: Poeti d'oggi 1900—1928, Firenzę s. d.

Układ, wybór i tłumaczenie Edwarda Porębowicza.



## WILHELM IX HRABIA POITIERS (1071 — ok. 1206)

\* \* \*  
*«Companho farai un vers (mout) covinen».*

Posłuchajcie wdzięcznej pieśni, przyjaciele.  
Może pusta i rozsądku w niej niewiele,  
Ale młodość w niej rozbrzmiewa i kochanie, i wesele.

Ciemny jest ten, co jej sensu nie wyświeci  
Lub, słyszawszy, nie zachowa jej w pamięci;  
Trudno rozstać się z kochaniem, kto je znajdzie po swej chęci.

Mam pod siodło dwa rumaki niezawodne,  
Ujeżdżone, wytrzymałe i dorodne,  
Lecz przy jednym źłobie nie chcą za nic ustać — tak niezgodne.

Gdyby nie ta nieszczęśliwa obu wada,  
Droższe byłyby nad wszystkie w świecie stada,  
Bo się klnę, że zdatniejszych koni nikt na świecie nie posiada.

Jeden z gór jest i jak górska biega sarna,  
Ale taka krnąbrna sztuka i niekarna,  
Nie da dosieść się, że czleka czasem wściekłość bierze czarna.

Drugi zmlodu spasał łąki w Kafolenie;  
Dla urody go nad wszystkie w świecie cenię;  
Nie oddam go za srebro, złoto ni diamentowe kamienie.

Jeszcze źrebce w swego pana wszedł stadninę,  
Lecz ja raczej moim zwać go mam przyczynę,  
Bo gdy on go rok dosiadał, jam dosiadał lat secinę.

Z dwojga ścieżek, jaką wybrać mam-li ścieżkę,  
Przyjaciele?... bo sam nie wiem ani nie rzekę,  
Którą z miłych pań mych wolę: czy Arsenę, czy Agnieszkę.

Nad Gimelskim całym zamkiem mam władanie,  
W Niolskiej twierdzy równie moje panowanie;  
Oba zamki mi ślubiły — miłość, wierność i poddanie.

### DEVINALH

«Ułożę wiersz prawdziwie z niczego; ani o mnie, ani o kim, ani o miłości, ani o młodości, ani o czemkolwiek; a wymyśliłem go, śpiący na koniu.

Nie wiem, o której godzinie się urodziłem; nie jestem wesoły ani smutny, ani nie-przystępny, ani poufały: jestem — jakby mię wróżka nocą z czarowała na wysokiej górze...

...Mam przyjaciółkę a nie wiem, kto ona, gdyż nigdy jej nie widziałem; ani mi się podoba, ani brzydzi...

...Nigdy jej nie widziałem, a kocham ją mocno; ani mię nie nagrodziła, ani nie skrzywdziła; cieszę się nią i nie dbam o nią».

Jest to żart, z pod którego jednak prześwita jakaś smętna rozterka duchowa, jakby echo młodzięcej bezprzedmiotowej tęsknoty za dobrem nieokreślonym. Ale to jest interpretacja subiektywna; trudniej będzie wytłumaczyć wiersz jako kaprys poetycki, utkany z nici pajęczej.

### OPOWIEŚĆ BIESIADNA

«*En Alvernhe, part Lemozi*».

Do Limozynu sobie z Owernji  
Szedłem, jak pątniczek mizerni;  
Spotkałem żonę pana Bernarda  
I Gwarynową;  
Przywitały mię pocziwą mową  
Na San Lenarda.

A kiedy już mię tak pozdrowiły:  
Gdzie ci to droga, pątniku miły?  
Widać ci z oczu, żeś, przyjacielu,  
Człek jak się godzi,  
Chociaż tym traktem często przechodzi  
Nicponiów wielu.

Ja ucieszony z takiej gawędy  
Odpowiedziałem paniom w te pędy  
I odezwałem się w sposób ten:  
Marrababelio riben  
Saramahart.

Na to zawoła pani Agnieszka:  
Oto nam będzie z niego pocieszka!  
Weźmy go z sobą, bo, zdaniem mojem,  
To jest niemowa,  
Więc tajemnicy o tem dochowa,  
Co z nim nabrojem.

Zaraz mię jedna płaszczem okryła  
I do komina zaprowadziła.  
Wiedziecie, komnata była zaciszna,  
Dobrze ogrzana,  
W piecu gorzały duże polana,  
Miałem się zpyszna!

Przy dobrem winie, przy świeżym chlebie,  
Gryząc kapłona, byłem jak w niebie;  
Jadłem, że ust mi nie dały otrzeć,  
Co się zmieściło.  
Tak my siedzieli (kuchty nie było)  
W izbie samotrzeć.

Siostró, ten człowiek, jak mi się zdaje,  
Nie jest niemowa, ale udaje.  
Przynieśno tutaj prędko kocura;  
Wnet się dowiemy,  
Kiedy go trochę poswedzi skóra,  
Czy tak jest niemy!

Pani Agnieszka szła po kocura.  
Kiedy wyciągnął do mnie pazura,  
To ci mię przeszedł mróz aż do kości  
I tak się złękłem,  
Żem z rozgorzałej ochłodził miłości  
I prawie miętkłem.

Gdy już zjedzony był obiad wszytki,  
To rozebrały ci mię do nitki.  
A gdy tak stałem nagi, nieskromnie,  
W izbie przekłetej,  
Szponami kota wodziły po mnie  
Od stóp po pięty.

Za ogon wzięwszy mego tyrana,  
Dama, co zwała się Ermessana,  
Z śmiechem wodziła po moim grzbiecie,  
A ja skrwawiony,  
Bo mi się w ciało wbijały szpony,  
Milczałem przecie.

Fałszywy pątnik przetrwał tę próbę i jeszcze inne ku zadowoleniu wesołych niewiast i pozostał u nich ośm dni i dłużej; poeta kończy wezwaniem do swego żonglera:

Pójdiesz mi, Monet, od wiatru skorszy,  
Zaniesiesz śpiewkę moją do Borszy  
I powiesz, obie spotkawszy panie,  
Jeśli ochota,  
Niechaj, na moje klnę je kochanie,  
Zabiją kota.

## BERNARD DE VENTADORN

(ok. 1140—1195)

Pochodził z Limuzynu, z zamku Ventadorn. Był czelkiem ubogiego rodu, synem piekarczyka zamkowego. Wyrósł dorodny i zdatny, umiał tworzyć i śpiewać, był dworny i uczony. Wicehrabia, pan Ventadornu, upodobał sobie w nim i jego pieśniach i zaszczycał go wielce. A miał wicehrabia żonę, panią szlachetną i wesołą, która upodobała sobie w śpiewie pana Bernardowym i rozmiłowała się w nim, a on w niej, tak, że dla niej i dla jej zacności i miłości tworzył śpiewy i pieśni. Długi czas trwała ta miłość, aż spostrzegł się wicehrabia i inni; a skoro się spostrzegł, odesłał go, ją zaś zamknąć kazał i strzegł pilnie. Dama kazała odejść panu Bernardowi, który, pożegnawszy ją, udał się do księżnej normandzkiej Aljenory, młodej i zacnej bardzo, rozumiejącej się na zaszczytach i wartości pochwał; słuchała też mile pieśni pana Bernardowych. Przyjęła go i ugościła pocziwie bardzo. Długo zostawał na tym dworze, rozmiłował się w niej, a ona w nim, o czym stworzył wiele pięknych pieśni. Gdy tak tam bawił, król angielski Henryk wziął ją za żonę i powiózł za morze. Pan Bernard został smutny i bolejący, potem udał się do dobrego hrabiego Rajmunda z Tuluzy, gdzie pozostał aż do jego śmierci. Poczem z żalości za nim wstąpił do klasztoru w Dalon i tam umarł.

## KANCONA

«Wszyscy proszą mię, abym śpiewał; niech wiedzą, czy ja mogę. Nie sypiam po nocy, bo nocą słowiki krzyczą, a ja konam, słysząc głosy radości».

Skarży się na miłość i jej obłudę, żegna Limuzyn i damę, co go oddała.

## KANCONA

«Wędrowcowi smutno za krajem, gdzie ona pozostała: Kiedy wiatr stamtąd powieje, zda mu się, że czuje oddechy raj».

Nic nie zrówna uniesieniu, z jakim poeta głosi swe uczucia; jest w tym śpiewie coś z zapamiętania się słowika, co moduluje swoją biedną strofkę raz wraz inną kombinacją dźwięków smętnych, radosnych, triumfalnych.

«Kiedy nowy liść się rozwija, a słowik nuci głośno i jasno, radość mam z niego i radość z kwiecica, i radość z siebie, i z mej pani radość większą; zewszęchstron jestem jakby zamknięty w radości».

«Chciałbym ją zastać samą, śpiącą lub udającą sen, ucieszyłbym się słodkim pocałunkiem, skoro nie jestem tyle wart, by ją o niego prosić».

«Gdybym był czarodziejem, pozmieniałbym wrogów swoich (t. j. zazdrośników i szpiegów) na niemowlęta».

## KANCONA

«*No es meravelha s'ieu chan*».

Nie dziwcie się, że śpiewam słodziej,  
Niż najuczęśni wkrąg pieśniarze:  
Mnie sama miłość śpiewać każe,  
Chętniejszym po swej myśli wodzi.  
Ciało, zmysły i serce, i duch,  
I moc wszystką skwapliwie jej zdam,  
Na nią jedną wzrok podany mam,  
W nią jedyną zasluchany słuch.

Umarł ten, komu sok ochłoda  
Miłosny w serce nie pocieczy;  
Bezeń czym życie jest człowicze?  
Hej, sobie nudą, innym nudą.

Niech tak srogo nie karze mię Bóg,  
Abym przeżył miesiąc albo dzień,  
Skoro miłość zajdzie dla mnie w cień,  
Lub sam z świętych obróć się dróg.

Bez zawahania i bez zdrady  
Kocham ją słodką, urodziwą;  
Rzęsy me wilżą się — nie dziwo,  
Na jej nieczułość nie znam rady.  
Bram więzienia, w którym trzyma mię,  
Nie otworzy żaden w świecie klucz,  
Nie rozwali żadna siła, prócz  
Łaski, a tę znam jeno we śnie.

Gdy ujrzę ją, to mdleję wszystek,  
Czuję, że mieszam się i błędę;  
Powieki drżą mi, drży mi biedne  
Serce, jak przeciw burzy listek.

Dziecko może silniejszym się zwać,  
Tak dziś we mnie nerw żywota zwiądl;  
Komu smutek taką dolę sprządl,  
Toć się litość dlań powinno znać.

Dobra ma pani, niech cię wzruszę,  
 Racz jeno przyjąć mię za sługę;  
 Wierność ci ślubię, o zasługę  
 Inną nad wzrok twój się nie kuszę.  
 Oto staję pod twój — pani — znak,  
 Nad dąb stałszy i czulszy nad bluszcz;  
 Jeśliś, pani, nie jest lwicą z puszczy,  
 Przestań — błagam — katować mię tak.

Z lubości tak mi serce taje  
 A razem wkrada się do łona  
 Ból, że w nim stokroć duch mój kona  
 I stokroć szczęściem zmartwychwstaje.  
 Ból dziwniejszy od boleści wszech,  
 Niżli innym radość — droższy mi,  
 Więc gdy dzisiaj tak mi lube lzy,  
 Jakże kiedyś będzie luby śmiech.

Wyszłoby damom na przestrogi,  
 Kochankom wiernym zaś na zdrowie,  
 Gdyby na obłudników głowie,  
 Na głowie zdrajców rosły rogi.  
 Wszystko moje mienie chętnie dam,  
 Aby taki powstał w świecie rząd,  
 Aby zgadła moja dama stąd,  
 Jakie wierne dla niej serce mam.

### MARCABRUN

(działal ok. 1140—1185)

Marcabrun został podrzucony u drzwi pewnego magnata, nikt jednak nie dowiedział się nigdy, czym był i skąd. Pan Aldryk de Vilar kazał go chować; potem chadzał z trubadurem, który zwał się Cercamon, tak długo, aż sam zaczął tworzyć.

### PASTORELA

«*A la fontana del vergier*».

1. Śród traw zielonych na ustroni,  
 Gdzie pada swojskiej cień jabłoni,  
 Mile się kwiaty białe ściela,  
 Śpiew ptaków nową gra pobudką,  
 Naszedłem samą — hej — samiutką,  
 Co mego nie chce znać kochania.
2. Dziewczyna była jak ulana,  
 Córka sąsiada kasztelana.  
 Myślałem, że ta malowana  
 Błoń, te ją śpiewy rozwesela  
 I taki słodki czas majowy,  
 I że posłucha mej namowy...
3. Spojrzę, od płaczu aż się slania,  
 Z oczyma stoi lez pełnemi,  
 Łka westchnieniami gorącemi;  
 «O Jezu» — woła — «królu ziemi,  
 Mój smutek płynie z twojej męki,  
 Z ciebie się żalność moja bierze.  
 Najlepsi chłopcy i rycerze  
 Na wojnie — taka twoja wola.
4. Odjeżdża chłopiec mój serdeczny,  
 Odważny, gładki, szczodry, grzeczny,  
 A mnie zostaje smutek wieczny,  
 Tęknota wielka, żal i jęki.  
 Król Ludwik niech się złem nasyci  
 Za te kazania, za te wici,  
 Skąd się poczęła ma niedola».
5. Gdy tak biadało dziewczę młode,  
 Przybiegłem ku niej ponad wodę:  
 «Piękna ma, psujesz swą urodę,  
 Łzy omuskają ci z barw lice,  
 Niechże ci serce się nie kraje:  
 Radość ci wróci ten, co gaje  
 Na wiosnę w nowy liść obleka».
6. «Panie» — odrzekła — «ja-ć to czuję,  
 Że Bóg nade mną się zlituje  
 I że weselem udaruje  
 W niebie, jak inne — ot — grzesznice.  
 Lecz tem się smutki me nie zmniejszą;  
 Tu mi rzecz zabrał najmilejszą».

## JAUFRE RUDEL KSIĄŻĘ DE BLAIA

(ok. 1125 — ok. 1162)

Dziwna powieść (patrz W. L. P. II, 260) związała się z tem nazwiskiem; czy prawdziwa, czy zmyślona, samo jej powstanie i trwanie dobrze ilustruje czasy przeczulonych uniesień.

Takie miłości «na niewidzenie» były znane z legendy; wszak król Mark z Kornwalji zakochał się na niewidziane w Izocie złotowłosej, a Dantego da Majano oczarowała podobnie Nina sycylijska. Dzieje tej Melisendy były smutne. Na żonę wybrał ją sobie, równie nigdy nie widziawszy, cesarz bizantyński Manuel I. Posłowie, jak to było nieraz we zwyczaju, zbadali skrupulatnie jej zalety moralne i doskonałość urody. Księżniczka z sutem wianem wybrała się w drogę, gdy jednak nie mogła znieść podróży morskiej i gdy kilkakrotne próby spetzły na niczem, posłowie odjechali, a cesarz zlekceważył mdłą konstytucję oblubienicy i zerwał układy. Hrabia Rajmund, obrażony i mściwy, owe 12 galer, na których miało być wiezione wiano księżniczki, uzbroił i oddał korsarzom, polecając, aby napadli i spustoszyli wybrzeża greckie. Stało się to w r. 1161.

Dwie pieśni Jaufre'a opiewają «miłość daleką», pod którą snadnie można rozumieć księżniczkę trypolitańską. Pierwsza, zbudowana na refrenie *de lonh*, musiała brzmieć nader melodyjnie.

\* \* \*

«*Lanquan li jorn son lonc en mai*»

Kiedy się wzdłużą dni majowe,  
Cieszy mię słodki ptasząt gwar — daleki;  
Choć porzuciłem strony owe,  
Miłości mię krępuje czar — dalekiej.  
Smutek mi chmurne czoło gniecie,  
Ptasząt śpiew i tarniny kwiecie  
Nie miłsze od zimowych burz.

Nie pragnę innej znać miłości  
Niż ta, dokąd mi serce drży — daleko,  
Bo niema pośród świata włości,  
Śród mór i lądów, blisko ni — daleko,  
Którejby wyższość przyznał szczerze,  
Przeniósłbym dla niej, by w obiezę  
Pojmał mię saraceński stróż.

Z radością smutek się skojarzy,  
Gdy tej miłości zaznam raz — dalekiej,  
Lecz nie wiem, kiedy się to zdarzy,  
Bo obcy ląd i kraj to nas — daleki.  
Niema bo miłszych pogadanek,  
Jak gdy z odległych stron kochanek  
Najmiłszej pani przejdzie próg.

Za jedynego uznam pana,  
Co mi pokaże miłość tę — daleką;  
Lecz nim mi radość będzie dana,  
Żalose się dwoi, że tak schnę — daleko.  
Gdybym pątnikiem w jej komnatę  
Mógł wstąpić — laskę mą i szatę  
Oglądałby jej piękny wzrok.

Oby Bóg, który wszystko stworzył  
I na nią łaski wdzięków złał — daleko,  
Do mojej chęci moc dołożył  
I miłość mi oglądać dał — daleką.  
W miejscu bezpiecznem i zacisznem  
Siedziałbym z nią, jak w zamku pysznym;  
Dniemby mi zdał się długi rok.

Nie kłamie, kto mię zwie smakoszem,  
Bo mię miłości wabi smak — daleko;  
O inną miłość też nie proszę  
Niż tę, której mi dzisiaj brak — daleko.  
Lecz dola moja bez odmiany:  
Że będę kochał niekochany,  
Ten mi rzucono na chrzcie czar.

Lecz dola moja bez odmiany:  
Bogdaj był w piekle pokarany,  
Kto mi ten rzucił na chrzcie czar!

Do tego samego przedmiotu dałaby się odnieść jeszcze druga pieśń, ile że w niej znajduje się wiersz «*Amors de terra lonhdana — Per vos tots lo cors mi dol*» («Miłość z krainy dalekiej, przez cię w sercu czuję ból»). Reszta jest pospolita.

## WILHELM Z CABESTANH

(um. między 1181 a 1196 r.)

Z nazwiskiem tego trubadura łączy się powieść tragiczna, znana z innych jeszcze podań, o sercu kochanka zastawionem niewiernej żonie jako potrawa do spożycia.

Według jednego, krótszego życiorysu (Ch. p. 307) Wilhelm był rycerzem hrabstwa Rossillonu, które graniczy z Katalonią i Narboną. Żył zaś w jego okolicy dama, imieniem donna Sermonda.

## KANCONA

«*La dous consire que'm don' amors soven*».

Ta słodka chuć,  
Którą mię Amor gnębi,  
Pomaga snuć  
Piosenkę z serca głębi.  
Czy w noc, czy w dzień,  
Widzę cię nieprzytomnie,  
Kocham twój cień  
Bardziej, niż znać to po mnie.  
Więc chociaż się narażę,  
Wyznam, na co się ważę:  
Życie składam ci w darze,  
Serdeczny, szczerzy dar.  
Uroda twa jak czar  
Wiąże mię, a ty, że cię  
Uwielbiam, nie dbasz przecie.

Zły Amor niech  
Tu zaraz grób mi grzebie,  
Jeśli mój dech  
Ku innej tchnie prócz ciebie.  
Przyniosłaś żal  
A wzięłaś mi wesele  
W daleką dal.  
Nie cierpiał człek tak wiele,  
Gdy prawym każdy zna mię,  
Zapieram się i kłamie,  
Obludą duszę plamie.  
Z pozoru innej gach,  
Bo mi o ciebie strach,  
Niech Cię obmowa ludzi  
Ni kłamstwo ich nie złudzi.

Po nocach śnię  
Uśmiechem usta słodkie,  
Przygarnąć chcę  
Liljowe ciało wiotkie.  
I żaden dziw,  
Gdybym tak kochał Chrysta,  
Do nieba żyw  
Że wstąpiłby lutnista.  
Bo z nieowładnej chęci  
Tak dzierzę cię w pamięci,

Że inna mnie nie nęci.  
Nie chowa takiej świat,  
Bym jej był nad cię rad,  
Za którejbym urodę  
Twe ciało oddał młode...

Nim wśród tych mąk  
Me życie się rozplecie,  
Pani, z twych rąk  
Ratunku czekam przecie.  
Radość mi wróż,  
Niech z nędzy mej ożyje,  
Przemożny stróż  
Zbyt długo mi cię kryje.  
Niczem wszechświata złoto,  
Gdy takie smutki gniołają.  
O luba ty istoto!  
Byłoby szczęścia zbyt,  
Gdyby mi pierwszy świt  
Spojrzeń twych wniósł kochanie...  
Po dziś dzień czekam na nie.

Daleko wieść  
O cnotach twoich leci;  
Powiększysz cześć,  
Gdy litość cię ukwieci.  
Nie licz mię, Pan,  
Pomiędzy módlce swoje,  
Jeśli o łan  
Tak czterech królów stoję,  
Jak o twą łaskę, Pani.  
Ja-ć duszę niosę w dani,  
Samemu strach z przystani,  
Gdzie miłość strzeże wrót.  
Lecz gdybyś pieszczot miód  
Lubiła, jak ja roję,  
Płynęlibyśmy dwoje...

Ramonie, piękność owa,  
Co moje szczęści esnowa,  
W łube mię więzy kowa.

## PIOTR VIDAL.

(1176 — ok. 1215)

Cennym przyczynkiem do psychologii poety jest to, co o nim podaje biograf, jakkolwiek wiele rysów i szczegółów, zarówno z «Vida», jak z dwu *razós*, jest dedukcją pieśni. «Rył synem kuśnierza z Tuluzy; miał talent śpiewacki niepospolity; dobry twórca a razem jeden z najsza- leńszych ludzi, gdyż brał za prawdę wszystko, co upodobał i czego zapragnął. Tworzył z więk- szą niż inni łatwością, układał najbogatsze melodje i dopuszczał się największych szaleństw, jako rycerz i kochanek».

*Razós*, bezwątpienia skomponowane na podstawie pieśni, podają prócz wielu (patrz W. L. P. II, 260) dwie historie charakterystyczne. Pierwsza opowiada, że kochał się w pani Adelaj- dzie, żonie Barrala, wicehr. Marsylji, i był w domu jego poufały. Raz, gdy p. Barral wyszedł z rana, zakradł się do alkowy, ukląkł przed panią Azalais, która jeszcze się nie obudziła, i po- całował ją w usta (pieśń powiada: i w brodę). Narobiła wrzawy i poskarżyła się mężowi, który jednak zbył ten afront śmiechem i zgañił żonę, że podniosła taki krzyk o to, co popełnił półgłówek. Ona jednak trwała w gniewie tak, że wkońcu Vidal uciekł do Genui, aż go p. Bar- ral sprowadził zpowrotem, a pani Azalais obdarzyła go wtedy drugim pocałunkiem na zgodę. (Równie ten drugi jest zapisany w pieśni «Pos tornatz soi en Proensa».)

Druga *razó* opowiada, że z powodu śmierci hr. Rajmunda z Tuluzy mocno zasmucony włożył żałobę, koniom kazał poucinać uszy i ogony, a służbie ogolić głowy, zapuścić brody i paznokcie, i że dopiero król Alfons aragoński i świta książąt wyrwali go z tej tęsknicy i skło- nili do podjęcia lutni.

Vidal z rzekomego warjactwa stworzył sobie *genre*, spostrzegłszy, że może na tem wiele zarobić.

«Przechwałką» (*gab*) jest pieśń, zwrócona do króla Alfonsa II aragońskiego (*senhal Dra- goman*), prowadzącego właśnie wojnę z hr. Tuluzy Rajmundem.

\* \*

«*Dragoman senher, s'eu aques bon destrier*».

Dragomanie, gdybyś dał mi bieguna,  
Na mych wrogów spadłbym ogniem pioruna,  
A już poznał mój wróg, ilem wart.  
Umknie niby przed sokołem przepiórka,  
Życie swoje mniej zaceni od piórka,  
Bo zna moją wściekłość, dumę, hart.

Gdy podwójną osłonię się koczuga,  
Miecz przypaszę, co go dał mi pan Hugo  
Gdy od końskich ziemia dudni stóp,  
Najzuchwalszy nie dostoi na drodze,  
Kędy groźny z mym orszakiem się wodzę:  
Musi umknąć albo padnie trup.

Mam Rolanda moc i Oliwjera,  
A zaś dworność pana z Mondidjera,  
Za te cnoty biorę chlubę chlub;  
Posły z różnych stron wsuwają mi w ręce  
Czarno-białe wstęgi lub pierścieńce,  
Na miłości zadatek i ślub.

W każdej sprawie cnym rycerzem się kreślę,  
Toż w miłosnym jestem wprawny rzemieśle,  
Mam kochanka zalety i wdzięk;  
Niezrównany bawidamek w pałacu  
A wyniosły i okrutny na placu,  
W jednych miłość, w drugich budzę lęk.

Gdybym konia z twojej ręki wziął hojnej,  
Pod Balaguer mógłby król żyć spokojny,  
U wezgłowia nie stawiając wart;

Z Montpelieru, z prowansalskiej doliny  
 Rozbójnikówbył przepędził drużyny  
 I po Crau ich gonił nie na żart.

U tuluskich wrót na żwirze, nad rzeką,  
 Stanie hrabia pod lancarzy opieką,  
 «Aspa!» «Orsan!» — zabrzmiały hasła tam;  
 Gdyby pierwszą kopję dano mi rzucić,  
 Dwakroć chężej będą chcieli zawrócić,  
 Ja na karkach wpadnę aż do bram.

A gdy spotkam zazdrośnika pochlebcę,  
 Co kryjomo albo jawnie cześć depce,  
 I złą radą komu psuje słuch,  
 Już on sobie popamięta, jak biję,  
 Choćby piersi miał z żelaza i szyję,  
 Tak rozlecą się — jak pawi puch.

Pani Vierna, przez Monpeslier cię wzywam,  
 Panie Rainier (Barral), serce tobie odkrywam,  
 Przez cię płonie radością mój duch.

Niezwykłe, jak na Vidala, głęboko odczuta, nawet wśród reszty poezji prowansalskiej uderzająca, jest śpiewna pieśń: «Ab l'alen tir vas me l'aire Qu'eu sen venir de Proensa», napisana w Genui, w tęsknocie za krajem: «Z oddechem wciągam w siebie wiew, idący od prowansalskiej strony, wszystko mi miłe, co tej ziemi tyczy... Niema stodszej dziedziny niż ta, co się rozciąga od Rodanu do Vensy, od Durancji po brzeg morza; nigdzie radość nie błyszczy tak czysta, przeto serce moje zostało pośród owej szlachetnej drużyny, radujące się przy tej, która wraca uśmiech zasmuconym.

Nikogo nie dotknie zło w dniu, kiedy ją wspomni, bo ona jest początkiem wesela; kto o niej będzie dobrze mówił, nie skłamię, gdyż jest najurodziwsza i najszlachetniejsza w świecie. A ja sam, jeśli umiem dobrze mówić i czynić, jej to zawdzięczam: ona to dała mi wiedzę, uczyniła mnie wesołym i śpiewnym».

## BERTRAND DE BORN

(1140—1215)

Krwawe widmo dantejskie wзира z tego gromkiego nazwiska (Pieśń, XXVIII, 34); trup niosący w rękę własną głowę jak latarnię, w kręgu szerzycieli waśni potępieniec najgroźniejszy, także gdzie indziej (De vulg. eloq. II, 2) uczczony jako piewca broni. Co najbardziej junaczego wydał wiek feudalny, jest w nim; rębacz zuchwały, wrzawy bitewnej nigdy niesyty, «aficionado» wojny, jątrzący przeciw sobie królów i baronów, aby mu z siebie czynili miłe widowisko; postać, która zdumiewa wybujałością energii i woli; nawet gdy do wybranej kobiety zbliża się jako dworny kochanek, to jego uniżenie wygląda na wyniosły gest zwycięzcy; arcymistrz słowa, gdy dobywa z wyobraźni pyszne i nowe obrazy i wyrzuca je odniechcenia, jak dukaty ze skrzyni, wziętej w zwojowanym zamku. Biograf przedstawia go panem małej stancyi Hautefort w Perigord; stamtąd wojuje nieustannie i odgryza się sąsiadom. Żyje w stosunkach z synami Henryka II Plantageneta, króla Anglii oraz Akwitanji; to jako wróg, to jako wierny lennik. Według biografów, on to podjudza Henryka Marynarza do buntu przeciw ojcu, potem osobisty bierze udział w trzecim powstaniu baronów akwitańskich przeciw Ryszardowi.

Poza *sirventesami* politycznymi jest jeden o charakterze społecznym, bardzo znamienny wyraz tej nienawiści i pogardy kastowej, jakimi określał się stosunek pana do poddanego, zwłaszcza gdy ów poddany, rosnący w zamożność i samowiedzę, zaczynał stawać hardo.

Bertrand nie był zapewne okrutniejszy od innych panów; brał ze swego chłopca tylko tyle, ile mógł, bronił go nawet przed rabunkiem ze strony sąsiada, rozumiejąc snadnie, że tylko on ma prawo łupić go ze skóry.

### ESCONDICH

«*Eu m'escondisc, dompna, que mal non mier.*»

Bronię się, pani, abys po próżnicy,  
 Za to, co mówią o mnie zazdrośnicy,  
 Nie wywierała swego gniewu na mnie.



Niech raczy wierzyć twe serce stateczne,  
Uprzejme, szczerze, wesole i grzeczne,  
Że to, co o mnie świadczą, świadczą kłamnie.

Niech białozory przy igierym stole  
Przegram; na pięści niechaj mi sokole  
Ptaszę rozedrże jastrząb i oskubie,  
Jeśli posłucham, gdy mię do alkowy  
Inna zawezwie pochlebnemi słowy,  
Jeśli nie bardziej twoją srogość lubię.

I inne jeszcze wypowiem zakłęcie,  
Byś uwierzyła, że cię kocham święcie,  
Że za innymi ni tęsknię, ni gonię:  
Gdy do ogrodu albo na pokoje  
Pójdziem, niech stracę wszystką jarkość moję,  
I moja męskość niechaj wstydem spleonie.

Śród gry niech stale szczęście mi urąga  
I niechaj nigdy nie wygram szeląga,  
Niech zawsze wyjdę obdarty i biedny;  
Niechaj najniższe zawsze rzucam oka,  
Jeśli nie jestem stały jak opoka,  
Jeśli nie kocham ciebie, pani, jednej.

Niech, pan dziedziny, pokrajanej w ćwiarty,  
W zamkowej wieży mieszkam samoczwarty,  
A śród nas wiara niechaj nie postanie;  
Niech zawsze balwierz pilnuje mi skóry  
I halabardnik, i strażnik, i ciury,  
Jeśli mam serce na inne kochanie.

Gdy dla innego porzucasz mię, pani,  
Nie wiem, do jakiej mam płynąć przystani;  
Niechaj wiatr ścichnie, gdy będę żeglował,  
Niechaj mię z pańskiego kijem pędzą dworca,  
Niechaj ucieknę pierwszy z pod proporca,  
Jeśli nie kłamie ten, co mię szkalował.

Pani, mam w domu krogulca-kaczora:  
Wypierzon, chwytny, łowiec nie od wczora,  
A ptak mu leci do szpony, jak w sidła:  
Czaple, żórawie i siwe łabędzie;  
Niechaj utyje i na drążku siędzie,  
Niech skaplonieje i opuści skrzydła.

Podły oszczerco, który tak nikiemną  
Sprawą kochankę pokłóciłeś ze mną,  
Bacz, by mi twoja bezecność nie zbrzydła.

#### SIRVENTES

«*Mout mi play quant vey dolenta*».

Lubię patrzeć, gdy jest w biedzie  
Bogacz chłop, co to na schedzie  
Jak na czterech koniach jedzie;  
Lubię patrzeć, jak śmierć łamie

Kości nędznej tej czeredzie,  
Bieda zimą ich po lodzie  
Boso puszcza; — jeśli kłamię,  
Niech mnie tak kochanka zwiedzie.

Chłop jak bydlę samowito  
 Życ nie będzie, choćby bito;  
 A kiedy ma grosza syto,  
 To nadyma się jak duda.  
 Toż obroku mu w koryto  
 Sypać trzeba nicobfity,  
 Skubać, szczypać, gdzie się uda,  
 I przetrząsać jak zle żyto.

Swego chłopca kto nie ściska,  
 Nad bunt z niego nic nie zyska;  
 Więc kto wędzidla u pyska  
 Nie ukraca mu — szalony!  
 Chłop, kiedy mu pełna miska,  
 Już się pańską butą ciska,  
 Już ogląda się schytrzony,  
 Dobierając legowiska.

Chłopskiej się nie lituj trwogi,  
 Nie jęcz, kiedy łamie nogi,  
 I nie dawaj zapomogi,  
 Chłopu — niech mi świadczą nieba —  
 Nie litośny bądź, lecz srogi,  
 Lub w nim wzmożesz złe nałogi.  
 Pieszczoty jemu nie potrzeba,  
 Kiedy boli go — batogi.

Rasa — chłopstwo — boska kara:  
 Złość, fałsz, sknerstwo, coniemiarą  
 Pychy, wszelka zła przywara  
 Siedzi w niecnej duszy chama.  
 Prawda dlań, uczciwość, wiara  
 I Bóg w niebie — próżna mara;  
 Małpowacby chciał Adama,  
 Niechajże go Bóg pokara!

\* \* \*

*«Un sirventes on motz non falh».*

Sirwentes śpiewam w rymie zacny:  
 Dla mnie to miły trud i łacny;  
 Lecz dłoń prócz lutni szpadą władnie —  
 Niechno brat czy swat na mnie wpadnie,  
 Mózg mu wykroję jak z lupinek;  
 A niechno schedę mi ukradnie,  
 Dorzucę mu go na przyczynęk.

Wróg mój ustawnie na mnie dybie,  
 Wara, bo ja mu nie pochybię.  
 Gdy od Ryszarda i Azemara  
 Grózb ciągłych ku mnie leci chmara,  
 Hej, ja ich skłócę, że jezeli  
 Rozjąć ich król się nie postara,  
 Kośćmi wnuk z wnukiem się podzieli.

Wilhelmie z Gordon, w waszym dzwonie  
 Młot tłucze twardey — toż was bronię  
 I kocham, niech mi Bóg da zdrowie!  
 Lecz plotą dwaj wicehrabiowie,  
 Widząc, jak kulisz się w fortecy,  
 Że wam nie staje klepki w głowie...  
 Bał chcą mieć murem wasze plecy.

Wciąż się opędzam, wciąż uganiam:  
 Tym się odcinam, tym zasłaniam,  
 Jeden mi w grunta plugi wrzyna,  
 Drugi jabłonki mi wycina  
 W sadzie i ziarno miesza z słomą;  
 Niema takiego poganina,  
 Coby nie uszczknął choć kryjomo.

Ja książąt po swej myśli wodzę:  
 To ich pokłócę, to znów godzę;  
 Chciałbym im serce wzmóc, lecz czarta  
 Robota taka z nimi warta,  
 Bo są z gorszego kruszcu kuci,  
 Niżli łańcuchy San Lenarta,  
 I głupi — co ich ze snu cuci.

Talairan, niby starowina,  
 Ani się ruszy od komina,  
 Na szpadę szyi nie wytyka,  
 Gnuśniejąc gorzej Lombardczyka,  
 I taki pełen jest nicości,  
 Że — kto żyw, w polu się potyka —  
 On ziewa i wyciąga kości.

Pod mur Peiragnerskiego dworu  
 I blisko tuż — na rzut toporu —  
 Na mym Bojardzie runę z góry;  
 A niech Poiteweńskiego ciury  
 Dopadnę, dowie się, jak siecze  
 Szpada ma, bo mu z czaszki wióry  
 Polecą, z mózgiem życie ściecze.

Panowie moi, bądźcie zdrowi,  
 Bogu oddaję was w obronę.  
 Rzeczcie ode mnie Ryszardowi,  
 Co rzekł paw, kiedy spotkał wronę.

## BEATRYCZA HRABINA DE DIA

(żona Wilhelma z Poitiers, ok. 1160)

Biograf powiada, że zakochana w Rambaucie z Orange, ułożyła o nim szereg pięknych pieśni. Ile w tem prawdy, ile podkładu realnego w jej poezjach — niewiadomo, bo wszystkie obracają się około tematów konwencjonalnych, role tylko są odmienione; niemniej te pieśni niewieście, jak zwykle, są bardziej namiętne, niektóre nawet lubieżne, a sam fakt, że to kobieta wyznaje swe męki serdeczne, winne zostać wstydliwą tajemnicą, nadaje im cechę patetyczności.

Jedna z *kancon* jest rzewną naprawdę skargą na niewzajemność:

Śpiewam, czegobym nie chciała, taki mam żal do mego przyjaciela, bo kocham go nadewszystko, a nie pomaga mi łaska ani grzeczność, ani moja uroda, ani dostojność, ani rozum; jestem oszukana i wzgardzona, jakbym była nic warta; — to mam do siebie, żem ci nigdy nie chybiła, przyjacielu, mem obojęciem. Radość to moja, że cię przewyższam kochaniem. Niesłuszną, aby mi inna ciebie zabrała, jakkolwiekby cię wabiła słowem lub gestem. Pomnij, jaki był początek naszego kochania... Dla wielkiej dzielności, jaka w tobie mieszka, dla wartości twojej niepokoję się, bo niema bliższej ni dalekiej, któraby, gdy chce kochać, ku tobie się nie skłoniła. Ale ty, przyjacielu, jesteś świadom rzeczy i wyróżnisz najwierniejszą, przyczem bądź pomny własnych przyrzeczeń. — Zważyć powinna wartość moja, parentela, uroda i serce szczere, więc posyłam ci tę pieśń i chcę wiedzieć, mój piękny i miły, czemuś tak dumny i tak nieprzychylny: czy to jest pycha, czy to jest zła wola? A i to jeszcze powiedz, moja pieśni, że wielka duma czasem wielką niesie szkodę.

Pragnęłabym jednego wieczora rycerza mego trzymać w ramionach, aby się czuł zupełnie szczęśliwy, jako powiernik mój jedyny, bo bardziej się w nim rozkochałam niż Floris w Blancallorze i oddaję mu serce i miłość, zmysły, oczy i życie. — Przyjacielu miły i dobry, bodajbym cię miała w swej mocy i ułożyła się przy tobie wieczorem i ucałowała cię miłościwie miast męża, byleś przysiągł nie przekroczyć mego rozkazu.

Pieśń niniejsza z tem końcowem zastrzeżeniem jest jednym z najciekawszych dokumentów obyczajowych.

## RYSZARD I LWIE SERCE

(1169—1199)

Ryszard I Lwie Serce, król angielski, po ojcu, Henryku II, dziedzic Akwitanji. Urodzony w Anglii, ale Francuz z ducha i mowy. Pozostały po nim dwie pieśni prowankie; pierwsza, równocześnie w brzmieniu francuskim, ułożona z okazji więzienia u cesarza niemieckiego. Anegdota, zapewne legendarna, opowiada, jak ulubiony śpiewak Blondel dał się poznać swemu panu. «Pewnego dnia stał Blondel pod oknem wieży, gdzie był więziony król Ryszard, i począł śpiewać *kanconę*, jaką niegdyś z truverem ułożył. Król, usłyszawszy ją, poznał Blondela; gdy tamten skończył część pierwszą, zaśpiewał część drugą. Tak dowiedział się Blondel o swym panu, powrócił do Anglii i opowiedział zdarzenie baronom tego kraju. Tymczasem Ryszard został z więzienia wypuszczony».

\* \* \*

«*Ja nuls hom pres non dira sa razon*»

Nie umie jeniec w swej więziennej cieśni  
Otwierać serca; lecz kiedy boleśniej  
Wstyd dotknie, to się samo rwie do pieśni.  
Przyjaciół wielu mam, lecz im się nie śni —  
O hańbo — okup zebrać, więc w tej pleśni  
Dwa lata siedzę więźniem.

Wiedzą wasale moi i baroni  
Z Anglii, Normandji, Poitou, Gaskonji,  
Że nie znam w świecie towarzysza broni,  
Coby pomocy nie znalazł z mej dłoni;  
Niech na wymówkę tę nikt się nie płoni...  
Ja przecież jestem więźniem.

Wiem, otwartemi w świat patrząc oczyma,  
 Że trup i jeniec przyjaciela nie ma,  
 I teraz skąpstwo w niewoli mię trzyma.  
 Widzę... i żal — ach! — za serce mię ima,  
 Świat po mej śmierci na lud mój się zżyma,  
 Że dał mi skonać więźniem.

A temu jeszcze pieśń ma bólem zdjęta,  
 Że pan mój ziemię mi rwie, ludzi pęta,  
 Ani przysięgi owej nie pamięta,  
 Którą złożyliśmy na sakramenta.  
 Jedna otucha tu mię krzepi święta,  
 Że krótko być mi więźniem.

Siostrzo hrabino, niech Bóg trzyma w sile  
 Cześć twą i krasę, które wielbię tyle  
 I których jestem więźniem.

### MNICH GAUSBERT DE PUYCIBOT Z DORDOGNE

(ok. 1200)

Szlachcic biskupstwa limuzyńskiego, kasztelan. Biografia tego trubadura (Chab. p. 256) bardziej wzruszająca niż pieśni; temat godny noweli tragicznej. «Dzieckiem oddany do klasztoru, zaczerpnął wiedzy, umiał śpiewać i tworzyć. Pożądanie niewiasty zmusiło go, że porzucił zakon i udał się do opiekuna dworności Sawaryka z Mauleonu. Zakochany w pewnej szlachciance, został od Sawaryka podniesiony do stanu rycerskiego, obdarzony ziemią; ożenił się. Zdarzyło się, że wyjechał do Hiszpanji, ona zaś pozostała. Pewien rycerz angielski uwiódł ją i zabrał z sobą, poczem porzucił. A Gausbert, powracając z Hiszpanji, zajechał na noc do miasta, gdzie przebywała. Folgując zmysłom, wszedł do domu biednej kobiety, gdzie miała znajdować się piękna dziewczyna. Poznał w niej własną żonę; gdy się obaczyli, ogarnął oboje wielki żal i wielki wstyd. Gausbert wyprowadził ją i oddał do klasztoru, sam zaś dla smutku przestał śpiewać i tworzyć».

### GUIRAUT DE BORNEILH

(1175 — ok. 1220)

Biograf wie o nim, «że zimą przebywał w szkole (zapewne w jakimś klasztorze) a latem wędrował, wodząc ze sobą dwu żonglerów; że nie był żonaty, a dochody oddawał ubogim i kościołowi miasteczka rodzinnego». Większość tych szczegółów nietrudno dała się wydożyć z pieśni, równie jak wiadomości, zawarte w późniejszych *razos*, jako to, że z wicehr. Lemozynu Ademarem był na wyprawie krzyżowej, że kiedyś na drodze powrotnej od króla Kastylji, Alfonsa VIII, król Nawarry (Sancho) kazał go obrabować z kosztownych darów, a Guido, syn Ademara, zabrał mu bibliotekę. Z przygód miłosnych, jeśli jakich zaznał, nie możnaby złożyć romansu, bo w notowaniu zalotów Guiraut jest bardzo skryty lub ogólnikowy; najbardziej jeszcze realny jest ten szczegół, powtarzany kilkakrotnie w kanconach, że dama podała mu rękę bez rękawiczki; śnać w owej epoce, mało higienicznej, był to dowód niezwyklej łaski i odwagi, godzien upamiętnienia. Z *kancon* jego możnaby ułożyć to, co się nazywa *doctrinal d'amor*, podręcznik sztuki kochania. Reguły same nie są niespodzianką, ale forma dogmatyczna i skończona musiała piętnować je wielkim autorytetem:

«A ben chantar — loven amars — E luocs e grazirs e sazoz»: «Dobra pieśń wymaga zakochania i mięjsca, i łaski, i czasu».

Oryginalniejszy jest Guiraut jako prawodawca obyczaju towarzyskiego, jako piewca pogodnego człowieczeństwa. Trzeba przypomnieć, że jego epoka to z jednej strony przypływ herezji manichejskiej, zalewający słoneczną Prowancję, z drugiej zdziczenie — szlachty, zatwardziałej w wojnach i zajazdach, wśród równoczesnego zepsucia dworności. Świat brzydnie, grzeszność rubasznieje, miłość lubieżna lub cudzołożna wypędza słodką i delikatną harmonję dusz wytwornych. W takiej chwili Guiraut głosi na nowo «radość życia», silnym tchem triumfalnej pieśni pragnie rozegnać chmury strachu, gwałtu, ponurej tęsknicy zmore. Śpiewa «per solatz reveillar que s'es trop endormitz».

«Aby rozbudzić igraszkę dworną, co nadto zasnęła, postanowiłem pracować, ale to próżny trud, bo coraz rośnie kłęska obyczajności. — Dawniej widywało się, jak rycerstwo śpieszyło

na turnieje i dzielnie zadawało ciosy, teraz poczęło rabować barany. Hańba rycerzowi: idzie w zaloty, a tylko co dotykał rękoma beczących owiec, ograbiał kościoły i podróżnych. Kędy podzieli się owi dawniej pielęgnowani żonglerzy, co wiedli za sobą służbę w pancerzach i strojach? Nosili się po dworach z pochwałami dam, dziś nie śmia się odezwać, bo cnota jest uważana za występki».

## ALBA

«*Reis glorios, verais lums e clartatz*».

Królu chwały, światło szczere i czyste,  
Towarzysza mego wspieraj, o Chryste!  
Niechaj wiedzie go łaskawa twa ręka,  
Patrz, niedarmo druh o druha się lęka,  
Bo zaraz błysną zorze.

Druhu, wejrzyj na niebieskie bławaty,  
Patrz, jak złote w nich pobladły już kwiaty,  
A zrozumiesz, że nie próżne zachody,  
Nie zmudź dłużej, bo tam doznasz przygody,  
Wszak zaraz błysną zorze.

Druhu, otwórz oczy śpiące i mgliste,  
Jeśli nie śpisz, porzuć łożo puszyste,  
Bo na wschodzie nieba wstaje jutrzienka,  
Dzień prowadzi przez niebieskie okienka,  
I zaraz błysną zorze.

Druhu, taka nasza przyjaźń dobrana,  
Że nie spałem, jenom zgiął kolana,  
Do Maryi Syna na tym krążganku,  
Aby wrócił mi cię żywym, bez szwanku,  
A zaraz błysną zorze.

Druhu, śpiewką cię wywabię z komnaty;  
Słyszysz? nuci rzesza braci skrzydlatej,  
Leci czekać dnia, gdzieś w gaje, ogrody.  
Od zazdrosnych dla cię boję się szkody,  
Bo zaraz błysną zorze.

Druhu, tam, gdzie ogrodowa altana,  
Prosiłeś mię, abym nie spał do rana.  
Ot, za śpiewkę i przyjaźń co w danku  
Mam od ciebie, nieostrożny kochanku?  
A zaraz błysną zorze.

— «Druhu, tak się tu zabawiam i cieszę,  
Że do zorzy i poranka nie śpieszę,  
Bo w ramionach najmilejszą na świecie  
Pieszczę panią, ni mię od niej wyrwiecie  
Zazdrośnicy ni zorze».

## KANCONA

«*Ar ai gran joy, quant remembri l'amor*».

Miło, gdy gonię wspomnieniem tamtędy,  
Gdzie żyje miłość, co me serce więzi. —  
Ot, wczoraj wszedłem między kwiatów grędy,  
Nade mną ptactwa chór śpiewał z gałęzi.  
A kiedy w owym wirydarzu stałem  
Spostrzegłem lilję z licem śnieżno-białem;  
Wzięła mi serce, porwała źrenice  
Tak, że od chwili tej już tylko do niej  
Pamięć powraca i myśl ma się kloni.

Bogacz, gdybym śmiał opiewać jej wdzięki,  
Bowiem słuchać mię zbiegłyby się ludy;  
Lecz zazdrośników lękam się paszczęki,  
Tak pełnej jadu i gniewu, i złudy.  
Mam wrogów wielu, co się na mnie ważą  
I co golowi krzywdzić mię potwarzą;  
Ale niech jeno sposobność pochwyć  
I niechaj stanę przed kim z jej rodziny,  
O tej piękności zaśpiewam jedynej.

Dla niej już tylko płaczę, dla niej śpiewam,  
Do niej jedynej drży me serce młode,  
Modłę się, wzdycham, z tęsknoty omdlewam  
Za miejscem, gdzie to ujrzał jej urodę.  
Bo kwiatem kobiet i na podziw ziemi  
Jest ta, co wdzięki podbiła mię swemi.  
Powolne serce i słodkie ma lice,  
I ród dostojny, a twarzą wesolą  
Wszystko, co zacne, rozwesela wkoło.

Nie przestawajcie pytać, zazdrośnicy,  
Czyj tu był zaszczyt i nagrody czyje:  
Bliskie? dalekie? głośne? w tajemnicy?  
Ja się nie zdradzę ani się odkrywę,  
Niech umrę, jeśli z ust wypuszczę parę.  
Przyjacieli nawet łamię dzisiaj wiarę,  
Zły sąsiad oczy ma na okolice  
Zwrócone chciwie i potwarze łowi,  
Toż nie zaufaj ojcu ni synowi.

Bo zaraz na mnie szyderca zakrzyczy:  
 Aj, patrzcie franta, jak to oczy mruży,  
 Jak pręży tydkę, gwiazdy w niebie liczy.  
 Mnie tam pochwała, nagana nie zdurzy;  
 Lecz gdy mi ku niej serce zadrży w łonie,  
 Kiedy obróćę oczy ku jej stronie  
 I w myśli ujrzę — to mi i na lice  
 Miłość wraz blaski wywabia i maję,  
 Bowiem nie kocha, kto poznać nie daje.

## ARNAUT DANIEL

(ok. 1180—1200)

Pochodził z tych samych stron, co Arnaut de Maruoill, t. j. z biskupstwa Ribeyrac, zamku Périgord. Rył szlachcicem. Kształcił się w naukach i podobał sobie tworzenie w drogich rymach, dlatego jego pieśni są niełatwe do zrozumienia i wyuczenia. Kochał się w dostojnej damie z Gaskonji, żonie pana Wilhelma de Bouvila, jednak nie wierzono, aby dama obdarzyła go kiedy uciechą wedle prawa miłosnego. Przeto też powiada w jednej pieśni: «Ja jestem Arnaut, co zbiera powietrze, poluje zająca wołem i pływa przeciw wodzie». Do tych szczupłych wiadomości jedna z biografij dodaje anegdotę, która zresztą powtarza się jeszcze gdzie indziej: Na dworze króla Ryszarda Lwie Serce Arnaut poszedł o zakład z drugim śpiewakiem, kto ułoży pieśń sztuczniej rymowaną. Arnaut podsłuchał swego rywala, jak uczył się strof mozolnie ułożonych i, zapamiętawszy je, wygłosił przed królem, ku wielkiej uciesze dworu.

Wziętość tego śpiewaka nie musiała być zbyt wielka u współczesnych, i dopiero Dante wyniósł go na wyżyny sławnym wierszem Czyścica (XXVI, 118—120):

Versi d'amore e prose di romanzi<sup>1</sup>  
 Soverchio tutti...

Słowa Dantego mogą służyć za punkt wyjścia dla bardzo daleko idących wnioskowań, zarówno o głównych prądach poezji prowanckiej, jak o stanowisku poetyckim autora «Boskiej komedji». «Lemozyńcem» jest Giraut Borneilh, zwolennik jasnej, prostej manieri, niejako klasyk, wobec którego Arnaut wychodzi na rewolucyjnego romantyka, lub na symbolistę, w rodzaju Stefana Mallarmégo. Poezja to z gruntu odmienna od wdzięcznych, serdecznych wynurzeń Bernarda de Ventadorn... A jednak trudno oprzeć się mniemaniu, że było w nich dużo czaru, którego dziś nie odczuwamy. Oto znamienne przykłady manieri Arnauta:

Widzi się, jak daleko można doprowadzić efekty aliteracji: «En breu brisaria l'temps braus — Eill biza busina als brancs»... «Wkrótce powieje czas surowy a mroźny wiatr zahuczy po gałęziach».

Najoryginalniejszym tworem Arnauta jest *sestyna*; niezawodnie on ją stworzył ku zdumieniu współczesnych i potomnych. Dante i Petrarca widzieli w niej wzór najwyższego kunsztu i nie wahali się o nią pokusić. 6 strof 6-wierszowych, gdzie końcowe wyrazy o wybitnem, choćby trywjalnem znaczeniu, powracają w każdej strofie, jeno w porządku coraz odmiennem. Igraszka kombinacyjna obliczona na efekty niespodziewanych złożeń: intra — onglá, arma, verga, oncle, combra. Niepodobna nie zacytować, nawet pod grozą ośmieszenia razem autora i tłumacza.

«Lo ferm voler qu'el cor m'intra».

Żądzy, co mi w serce wchodzi,  
 Wydrzeć nie zdoła ząb ani paznokieć  
 Złośnika, który kłamstwem szkodzi duszy;  
 Gdy ostra przegnać nie zdoła go różga,  
 Skrycie, gdzie żaden nie zabroni wuj,  
 Kochania zaznam w gaju lub komnacie.

Gdy pomyślę o komnacie,  
 Gdzie na mą szkodę — wiem, że nikt nie wchodzi,  
 Wszyscy życzliwi mi niż brat lub wuj,  
 To cały drzę od stóp aż po paznokieć,  
 Jak dziecko, gdy matczyna straszy różga,  
 Gdyż obcy jestem — przeczuwam — jej duszy.

<sup>1</sup> może «prosodi». E. P.

W ciele chcę wejść, nie w duszy,  
 Jeśli mi miejsca udzieli w komnacie.  
 Bardziej mię, niżli ostra boli różga,  
 Że nawet nędzny pachol tam nie wchodzi,  
 Jednak lgnę, niby do ciała paznokieć,  
 Ni zważam, że mię gromi brat lub wuj.

Mniej ta, którą zwie wuj  
 Siostrą, miła mi, na zbawienie duszy,  
 Niż ona; blisko, jak ciała paznokieć,  
 Radbym z jej laski sieść przy niej w komnacie.  
 Miłości sługa, co w me serce wchodzi,  
 Chcę być, jak w silnej dłoni słaba różga.

Od dnia, gdy sucha różga  
 Kwitła, z Adama poszedł wnuk i wuj;  
 Miłość podobna tej, która mi wchodzi  
 W głąb serca, w żadnej nie powstała duszy,  
 Przy niej myśl moja, w polu czy komnacie,  
 Dopóki palca trzyma się paznokieć.

Z nią me serce jak paznokieć  
 I jak się spaja ze swą korą różga.  
 Jak w zamku szczęścia jest mi w jej komnacie;  
 Milsza też, niżli brat i swat, i wuj,  
 Nagroda musi w raju przypaść duszy,  
 Jeśli za wierną miłość tam się wchodzi.

Arnaut pieśń, której treść: wuj i paznokieć —  
 Śle tam, gdzie mieszka różga jego duszy,  
 W komnacie, kędy Pożądana wchodzi.

## MNICH Z MONTAUDONU

(ok. 1150—po 1207)

Ojczyzną jego była Owernja, nazwisko nieznanne. Pochodził ze szlachty; zapewne jako młodszy syn bez dziedzictwa, był zmuszony wstąpić do zakonu. Wybrał uczony zakon benedyktynów w Aurillac, potem został przeorem w Montaudon. Śnać nie mógł w sobie zdusić temperamentu świeckiego, bo układał pieśni i *sirventesy*, które tak się podobały baronom okolicznym, że wciągnęli go w wir życia. Za pozwoleniem opata chadzał po dworach śpiewając, lecz zarobek oddawał klasztorowi. Pozwolono mu udać się do króla Alfonsa aragońskiego; król przyjął go mile i kazał mu pożywać mięso, służyć damom, tworzyć pieśni i śpiewać. Jakkolwiek dziwne wydać się może skojarzenie takich dwu sprzecznych zawodów, jak służba Boża i białogłowska, to jednak nie wybiega ona poza możebność, zważywszy rozległe swobody stanu zakonnego owych czasów. Przytem pieśni «mitosne» mnicha są raczej konwencjonalne i zdawkowe, z motywami skądinąd znanymi bez tętna osobistego, szczerze namiętnego. Zaczynają się zazwyczaj porównaniami: «Jak ten, co żył bez pana, spokojny w swym domu, a potem dostał złego władcę, tak ja dotąd czyniłem wszystko po swej woli, teraz popadłem w moc pana niełitośnego, którym jest miłość». Myśl rozwija się dalej w alegorię: był bezpieczny w swym zamku, przed tym wrogiem jednak nie obroni go ani mur, ani fosa; wróg opanował mu serce. Myśli jego zatrzymały się na damie niezwyklej urody, skąd wyrośnie raczej kłeska niż korzyść.

Właściwszym żywiołem mnicha jest pieśń satyryczna: uszczypnąć kolegów po fachu jedrnem określeniem, wyszydzić «białogłowskie stroje wymyślne», pofolgować krewkiemu żartowi z duszy szlacheckiej — to jego zabawa. Formę też dla swej weny znalazł własną: jedna jest «lubie» — nie lubię, drugą *tencona*, zwłaszcza osobliwy rodzaj rozmowy z Panem Bogiem.

U kobiet nie podoba się Mnichowi szczególnie malowanie twarzy, sztuka uprawiana wówczas z pomocą dziwnie przyrządzonych mikstur; do tego tematu powracał z uporną zawziętością; raz obrazy wotywnie wyłaczają im «regularny» proces przed Panem Bogiem; żałują się, że kobiety zagarnęły dla siebie sztukę malarską, i podają w dyskredyt obrazy kościelne. One twierdzą, że już piększyły się przed wynalezieniem malarstwa kościelnego, a nikomu to nie szkodzi, że sobie zakrywają zmarszczki pod oczyma. Pan Bóg pozwala, aby kobiety 25-letnie

jeszcze przez lat 20 używały piększydeł, obrazy godzą się tylko na 10. Św. Piotr i Wawrzyniec wdają się w ten spór: «krakowskim targiem» termin ustala się na lat 15.

Drugi raz Mnich broni kobiet przed Panem Bogiem i tłumaczy mu, że lepiejby zrobił, gdyby zamiast gniewać się o rzecz leżącą w naturze kobiety, darzył je odrazu trwalszą urodą.

Osobliwym rodzajem *sirventes* są pieśni na temat «mierzi mię» lub «cieszy mię». U Bertranda de Born widzieliśmy taki sławny *sirventes*, opowiadający jego upodobania rycerskie; tutaj z mniejszym poczuciem dostojności sztuki poeta szereguje dość trywialnie przyjemności bytu, niezawsze licujące z sukienką zakonną, to znowu przykrości od świeckiego życia nieodłączne.

«Fort m'enoja, s'o auzes dire».

Mierzi mię kto ma język długi  
A ręce krótkie do posługi,  
I zawadzaka grubej łapy,  
I twardouste mierzą szkapy.  
Mierzi mię także rycerz świszczy-  
Pałka, puklerzem kiedy błyszczy,  
Który jest jeszcze nieszczerbaty,  
Kapelan z wąsem, mnich brodaty  
I człek złośliwy z ostrym dzióbem.

Wstrętna mi zda się, głupia, śmieszna,  
Chudzina jejmość, kiedy pyszna;  
Mąż własnej żony swej kochanek,  
Choćby wybranej z Tuluzanek,  
Rycerz - pyszałek na obczyźnie,  
Gdy w domu państwa ani liźnie,  
Ale rozmiesza ciasto w dzieży  
Albo pieprz sypie do mózdzierzy,  
Albo rozgarnia popiół w piecu.

Tchórz także gniewa mię bez miary,  
Kiedy ponosi w bój sztandary,  
A służba jego — stać przy miotle;  
Za mało mięsa w dużym kotle,  
Za dużo wody w kapce wina.  
Na świętego się klę Marcina,  
Że też nie lubię rannym czasem  
Zejsć się ze ślepcem lub kulasem,  
Bo nie obchodzi mię ich droga.

Nudzi mi się strojenie skrzypiec.  
Pieczeni też nie lubię przypiec,  
Nudzi ksiądz, gdy się w kłamstwie brzechce,  
I stara ... gdy mrzeć nie chce.  
Na świętego się klę Dalmasta,  
Ganię, gdy złodziej w puch porasta;  
Nie lubię konno gnać po lodzie,  
Uciekać w zbroi, gdy wróg bodzie,  
Nie lubię, gdy kto gości gani.

Nie lubię innych rzeczy jeszcze:  
Bez czapki jeździć w słotne deszcze;  
Nie lubię w stajni znaleźć świni,  
Jak koniom w owsie ujmę czyni;  
Nie lubię siadać na klusaka,  
Gdy na nim chwieje się kulbaka.  
Nie lubię sprzączki bez guzika,  
Nie lubię w domu obłudnika,  
Co język jeno ma na plotkę.

Nudzi mię — świadkiem boskie Imię —  
Zajadać zimne jądło w zimie,  
W piwnicy spać, jak człek mizerny,  
Gdy zapach wabi mię tawerny.  
Bardziej mię złości — jako żywo —  
Mąż, kiedy żonę urodziwą  
Z zazdrości bije i zamyka,  
Której się cni do miłośnika,  
A tu mąż srogi nie pozwala.

Nudzą mię też — na rany Chrysta —  
Na zacnym dworze zły lulnista,  
Na małą wioskę klasztor mnogi  
I na grę grubą gracz ubogi;  
I — niech mię święty Marcel strzeże —  
Na jednym futrze dwa kołnierze,  
Na kusym zamku dworzan chmara,  
Bogacz, co stęka o talara,  
I na turnieju waśń i strzały.

Niech mi tak Bóg rozpędza smutki,  
Na długim stole obrus krótki,  
U krajezych trędowata ręka,  
Pancerz, na którym kolco pęka.  
Nudzi mię długo tuc we wrota,  
Gdy się śnieżycą na mnie miota.  
Nudzi mię przymus niewesoły —  
Między szorstkimi przyjaciół  
Stać, gdy trwa między nimi sprzeczka.

A co mię gniewa gorzej śmierci:  
Stara spódnica, gdy się wierci,  
Młodzik, gdy izbę piżmem woni,  
I ladacznica, gdy się płoni.  
Gniewa mię — strzeż mię święty Abund —  
— — — — — — — — — —  
Pan, owce zbyt przyszygający;  
Nie kłaść się do snu, kiedy śpiący,  
Najbardziej nudzi mię na świecie.



## FOLQUET Z MARSYLJI

(1179—1195, †1231)

Pochodził z geneueńskiej bogatej rodziny kupieckiej, nazwiskiem Anfos (Alfons). Ojciec pozostawił mu znaczny majątek, on sam prawdopodobnie go pomnożył. W nieuniknionem następstwie takiego przesiedlenia się niekarnej Muzy za kanfor kupiecki, pieśni Folqueta noszą już wszystkie znamiona uczonego pedantyzmu. Biograf wymienia dwory i książąt, dla których Folquet tworzył: króla Ryszarda Lwie Serce z Poitou, hr. Rajmunda z Tuluzy, wicehr. Barala z Marsylji, króla Alfonsa aragońskiego z Aix — i to jest wiarogodne, bo wydobyte ze świadectw samychże pieśni; dowolnym zato romansem są zawarte w «Vida» i w «Razós» historie rzekomych zalotów i rozczarowań trubadura-kupca, statecznego męża i ojca rodziny; prawdopodobniejsza już wiadomość, że to śmierć wszystkich protektorów i przyjaciół skłoniła go, iż wstąpił do zakonu cystersów wraz z żoną i synami. Dalsze jego losy są zapisane w historii politycznej. Mianowany biskupem Tuluzy 1205 r., przyjaciel i protektor św. Dominika, namiętny rzecznik krucjaty przeciw albigensom, co go stało w jaskrawej opozycji do dawnych umiłowań, zmarł 1231 r. Gdyby ktoś nie chciał wierzyć, że istnieje nieprzerwana filjacja liryki uczonej, poczętej u trubadurów, a kończącej się na poetach barokowych, Folquet niechybnie o tem go przekona, ukazawszy mu te same grymasy, co dwom mieszczańczkom z «Précieuses ridicules» wydały się w Mascarille'u szczytem elegancji. Folquet, rzecz między trubadurami rzadka, kończył szkoły; stara się, aby o tem wiedziano. Rozprawia sylogizmami, wyrzuca paradoksy jak rakiety i przed zadziwionym słuchaczem je gasi; ściąga koncepty, przeciwiństwa i kontrasty, kugluje niemi, to rozrzucając, to zbierając w garści; sieje sentencje, maksymy, aforyzmy; pragnie, aby szeptano: oto mędrzec życia, oto biegły mistrz swojej sztuki.

Oto treść pieśni miłosnej:

«Ben an mort mi elor / Mei huel galiador».

Zdradne moje oczy zabiły mnie i siebie, słuszna więc, abym niemi płakał<sup>1</sup>. Popelnily błąd, wybierając taką (nieczulą) panią; kto wysoko się wspina, nisko upada. Mimo to czekam od niej zmiłowania, bo niepodobna, by brakło go tam, gdzie Bóg umieścił tyle innych zalet.

Ale miłość lubuje się w mej szkodzi, bo każe mi mało cenić to, czego mam nadmiar, a dobijać się tego, co mi się opiera; uciekam przed tem, co mię goni, gonię to, co mi się umyka — tak uciekam i gonię razem. —

Słuchajcie szaleństwa: jestem zuchwały ze strachu, bo tak lękam się miłosnego cierpienia, że mię to ośmiela objawić me chęci tej, co sprawia, że czuwam śpiący.

Jestem więc, jak ten, co, nie widząc innej drogi ocalenia, rzuca się z mieczem na pięciuset. —

Szlachetna pani, którą wielbię, powróć mi wartość, a sobie tem samem chwałę...

Tak jest! w tym roku wiosna nie skłoni mię do śpiewu, jedynie mój pan, dobry król Aragonu, gdyż nie wypada, aby mu się opierali przyjaciele, skoro ulegają wrogowie.

Torn. 1. do damy: Jak ku zębowi, który boli, obraca się język, tak ja ku niej, której jestem sługą.

Torn. 2. do żonglera Marsana: Poeta posyła go ku Rajmundowi Berengierowi.

Torn. 3. do Azimana (Adalazji z Marsylji).

## RYSZARD Z BARBEZIEUX

(z Saintonge, początek XIII w.)

Według biografji prowanckiej, pochodził z ubogiej szlachty; dobry trubadur, ale lichy śpiewak, prztem tak nieśmiały, że niezdolny występować ze swoją sztuką wobec licznych słuchaczy.

Znamienną cechą osobistą w jego poezji jest używanie porównań ze świata przyrody; czerpał je ze społecznych «zwierzyńców», czem dawał dowód pewnej erudycji.

\* \* \*

«Jak słoń, gdy upadnie, podnieść się sam nie zdoła, dopiero towarzysze krzykiem go podźwigają, tak i ja, który tak ciężko zawiniłem, powstanę wsparty przez szczerych kochanków. —

<sup>1</sup> Przypomina to słynne: Il en rougit le traitre! — Théophile'a.

Jeżeli miłość nie przywróci mi radości, przestanę śpiewać i będę żył jak pustelnik. Życie jest mi nudą i męką; nawet radość jest mi smutkiem, a rozkosz cierpieniem, bo nie jestem obyczajny niedźwiedzia, który od bicia tłuszcije (!).

Amor jest wielki, toż mi przebaczy, że był jak Dedalus, co mienił się Jezusem (sic) i chciał wlecieć do nieba, ale Bóg poniżył jego pychę.

Pragnąłbym zato być Feniksem, co sam się spala, aby zmartwychpowstać.

Pieśń moja jest tłumaczem tam, gdzie iść brak mi odwagi. Jak jeleń, obiegłszy swą koleję, wraca umrzeć pośród myśliwych, tak ja, o pani, powracam ku Twojej litości»...

«Jak lwica, która urodziwszy nieżywe lwiatko, głosem je ożywia, tak jego może dama i miłość przywołać do życia».

«Jak tygrys, poglądając w zwierciadło i widząc swoją zgrabną postać, zapomina bólu, tak on, patrząc na nią, którą wielbi. Jej uroda i wdzięk ugodziły go pewniej, niż najbieglejszy łucznicz; chce umrzeć słodką śmiercią, jeżeli miłość nie raczy go pocieszyć».

## RAIMBAUT Z VAQUEIRAS

(działal ok. 1180—1207)

Syn uboższego rycerza z zamku Vaqueiras (dziś dep. Vaucluse), domownik i towarzysz margr. z Montferratu na wyprawach wojennych do Sycylii, Ligurji, do Grecji. Rzadkim i prawie wyjątkowym wypadkiem da się z niewielkiej po nim schedy poetyckiej wydzielić cała grupa, stworzona w określonym czasie, a zwrócona do realnego przedmiotu zapałów i uwielbień.

Do «najsztuczniejszych» utworów tej grupy należy *carrousel* (wóz bojowy), utwór w 9 strofach po 15 wierszy, z wyszukaną kombinacją rytmu i rymów, a treścią wielce oryginalną. Beatrycze jest w nim wyobrażona jako pani zamku, przeciw któremu, zazdrosne o jej sławę, budują twierdzę i wyruszają okoliczne kasztelanki, wyliczone tu po imieniu i nazwisku — wszystko zapewne domy nieprzyjazne Montferratowi, więc składa się z tego za jednym zamachem *serventes* polityczny.

Sama alegorja turnieju niewieściego należała do zabaw towarzyskich; był to, jak widno z opisu podobnego turnieju rozegranego w Trevigi 1214 r. (por. Diez. p. 236), rodzaj «bataille de fleurs» na kwiaty i słodycze.

### CARROUSEL

«*Truan mala guerra*».

Zapalczywą wojnę	Rozpocząć w tej ziemi
Chcą damy dostojne	Wraz z buntowniczymi
Wasalami; w dolinie	Lub gorze wznieść wieże
I wał,	
Bo je ogarnął szal,	Że chwała ich ginie,
Sobie wszystko bierze	Ta, co w swe obieże
Gna świat,	
Ziemskiego rodu kwiat,	Dona Beatrycze.
Zazdrosne o sławę,	Wyciągnęły przeciw na boje, na krwawe,
Z wasalami wzniecić	ogień, dym, kurzawę.
Lud nakształt mrowiska	Mur wznosi, tnie rowy,
Zdaleka i zbliżona	W podwórzec zamkowy
Podjeżdża, za wdzięki	I cześć chciwy boju
Tłum dam.	
Już margrabianka tam	Zażyć musi ręki,
Jaśniejąca w stroju	
Wszech cnót	
Urodzonych; a że ród	Sławny ma i twem imieniem zaszczyca,
Nie zostanie wtyle	Za tarczą rodzica,
Którego znan oszczep i znana szablica.	

Więc damy z Versilja      A dalej w te pędy  
 Sybila i Guilja,      I pani Riksendy  
 Poczet; w bój się sili      Z Amsizy rodzina  
                                     Już wprzód,  
                                     Agnieszki z Lenta lud,  
 Wkońcu z Ventimili      Pani Wilhelmina.  
                                     Wnet mur  
 Wyciągnięty pod sznur;      Gród ukończony radością się roi;  
                                     Grodowi nadano słynne imię Troi  
                                     A dowództwo nad nim hrabinie Savoi.  
 Gród roznamiętniony      Na boje wzywa.  
 Uderzają w dzwony,      I gwardja sędziwa,  
 Stawiona w kolumny,      Wspólnym zdjęta szalem,  
                                     Już krzyczy,  
 Że pięknej Beatryczy,      Zuchwałej i dumnej,  
                                     Wszystek stał się działem  
                                     Skarb, krom  
                                     Starości, skąd im srom.  
 Trąby brzmią, hasło dowódczyni poda;  
 «U niej tam» — woła — «młodość i uroda.  
 Zaszczyt odbijmy». Wszystkie wrzasty: «Zgoda».  
 — — — — —  
 Z miasta się wytoczy      Wóz i hufy lute;  
 Stara gwardja kroczy.      Piersi ma zakute  
 W skórzane pancerze,      Skrojone do miary.  
                                     Prócz zbrój  
                                     Każda ma luczek swój,  
 A strzał się nie strzeże,      Ni oszczepów chmary.  
                                     Tuż, tuż,  
                                     Wzniesie się wrzawa, kurz,  
                                     Gromadą pędzą na zastęp dziewiczy,  
                                     Lecz nie pogromią pani Beatryczy.  
                                     Ona się jedna przeciw czterem liczy.  
 Stawiają maszyny,      Z kusz kamienie miecą;  
 Podsadzają miny,      Greckie ognie świecą.  
 Siekiera mur kraje,      Za strzałą mknie strzała  
                                     I wraz  
                                     Taran się wrzyna w głąz.  
 Ona nie poddaje      Uroczego ciała,  
                                     Z wszech miar  
                                     Uzbrojonego w czar.  
                                     Ta, owa woła: «Pomocy, pomocy!»  
                                     Trzecia ostatni kamień rzuca z procy,  
                                     Wszystkie krańcowej dobywają mocy.  
 Bez zbroi, szyszaka,      Lecz okuta w męstwo,  
                                     Beatryks rumaka wiedzie na zwycięstwo,  
 A w którą ugodzi,      Już jej życie zmierzcha.  
                                     Wbliż, wdał,  
                                     Wszędy jej błyska stal.  
 W pęd rumaka wodzi, wróg chwieje się, pierzcha.  
                                     Już wóz  
                                     Rozbity a na wrzós  
                                     Polny upadło tyle przeciwnika,  
                                     Że stara gwardja już «zabij» nie krzyka,  
                                     Dona Beatryks w Troi ją zamyka.

O Beatrycze, cieszy mię, żeś cało  
 Uszła z rąk starek i że piękne ciało  
 Przed zawiędłemi wdzięki dank zabrało.  
 Piękny *Rycerzu*, twa miłość mię krzepi,  
 Radość i dumę w mojem sercu szczepi,  
 A zazdrośników zawiścią oslepi.

Świadectwem żywej pomysłowości śpiewaka jest także *descort*, ułożony w 5 gwarach: prowancckiej, włoskiej (liguryjskiej), francuskiej, gaskońskiej, portugalskiej (galickiej). Na każdą przeznaczona jedna strofa; wszystkie schodzą się razem w strofie ostatniej.

## PEIROL

(ok. 1180—1225)

Biedny szlachcic z Owernji, z zamku Peirol u stóp Roquefortu (dziś okręg Clermont-Ferrand). Dla grzeczności i urody Delfin z Owernji trzymał go przy sobie, ubierał, obdarzył koniem i zbroją.

Miał odbyć pielgrzymkę do Jerozolimy; piękne pieśni krzyżowe są świadectwem jego szczerzej żarliwości religijnej.

Pierwsza w formie *tencony* z Amorem poczyna się «odprawą», aby następnie podjąć temat krucjaty, zamierzonej przez króla Filipa Augusta i cesarza Henryka II a odkładanej z dnia na dzień z powodu zatargów domowych.

\* \* \*

### «Quant amor trobel partib».

Kiedy miłość się spostrzegła,  
 Że od jej przykazań stronie,  
 Z krzykiem wielkim do mnie biegła,  
 W takiej łajac mię tenconie:  
 «Przyjacielu, w jakiej stronie  
 Chcesz się ukryć, a daremnie?  
 Gdy nie w pieśni, gdy nie we mnie  
 Swego serca zjawisz hart,  
 Powiedz, Wasze, cóżes wart?»

«Miłość pani, służywałem,  
 A ty coś mi dała? Proszę,  
 Proszę powiedz, jakie miałem  
 Z całej służby mej rozkosze?  
 Skargi na cię nie podnoszę;  
 Jednej łaski w ciągłym znoju  
 Błagam: Zostaw mnie w spokoju,  
 Pozwól jeno błogo spać —  
 Reszty dóbr twych nie chcę znać».

«Peirol, wyszła ci z pamięci,  
 Ani już ku sobie skłania  
 Dama pełna grzesznej chęci,  
 Przywiązania i kochania,  
 Wszystko z mego rozkazaniam  
 Nie wierzyłam za posłuchem,  
 Byś był takim lekkoduchem.  
 Była czułość, był i śmiech,  
 Lecz nie płochość w piersiach twych».

«Miłość pani, mojej damie  
 Służywałem trwale, długo,  
 I dziś jeszcze jej nie kłamię,  
 Zawsze jestem wiernym sługą.  
 Lecz w szaleństwo wpaść o male?...  
 Płacząc, jedzie od kochanki  
 Ten i ów w wojenne szranki;  
 Zaznawałby uciech dość,  
 Gdyby nie sułtana złość».

«Peirol, turecka ohyda  
 Mimo waszych wojsk gromadę  
 Nie pierzchnie z wieży Dawida.  
 Przyjacielu, dam ci radę:  
 Kochaj, śpiewaj, zarzuć szpadę.  
 Pójdiesz tam, a tu królowie  
 Jeny wojny roją w głowie,  
 A baroni z różnych stron  
 Ciągły z sobą stroją gon».

«Miłość pani, żyłem prawo,  
 A gdym błędził, to zmuszony.  
 Ufam, że za Bożą sprawą  
 Pokończą się książąt gony,  
 Pokój z sobą zawrą trony.  
 Co mię smuci, co mię trapi,  
 To, że zemsta się nie kwapi,  
 A margrabia dzielny mój  
 Bez rycerstwa wiedzie bój».

«Peirol, jedzie od kochanki  
Ten i ów w wojenne szranki,  
W domu uciech miałby w bród,  
Lecz zbić trzeba wroga wprzód».

«Miłość pani, choć królowie  
Pozostaną, nikt nie powie  
O Delfinie, że mu twój  
Powab nie dał ruszyć w bój».

Margrabią tu wspomnianym jest Konrad z Montferratu, który mimo braku poparcia opierał się potędze Saladyna. Delfin z Owernji zachętę poety puścił mimo uszu i na wyprawę nie poszedł. Peirol sam oglądał Grób Święty, jeżeli nie jako krzyżowiec, to jako pielgrzym. Pielgrzymki tej świadectwem jest pieśń następująca, napoły sirwentesowa, napisana w 1221 r. z powodu opieszałości cesarza Fryderyka II, która pociągnęła za sobą upadek Damiaty.

\* \* \*

*«Pus flum Jordan ai vist e'l monimen».*

Grobowiec Święty i Jordanu wody,  
I kraj mi owy oglądać był dany,  
Gdzieś na świat przyszedł, o Panie nad Pany;  
Tyś mię za rękę wiódł, bronił od szkody,  
Z czego me serce pełne jest pogody;  
Bo gdybym dawnym żył w Prowancji stanem,  
Nie zwaliby mię Saraceni Janem.(?)

Teraz wiatr dobry i drogę daj, Boże,  
Sternika, okręt i porę uciezną,  
Bo do Marsylji powrócić mi śpieszno.  
A jako prawda, zem zwiedził zamorze,  
Tak niechaj łaską swoją Pan wspomóże,  
Akr, Tyr, Trypolis, szpital króla Jana  
I Templarjuszów, i wody Rotlana.(?)

Zle się dostało, za Ryszarda, światu  
Pożalne Francji — i jej lilje białe  
Kwitły przez królów i przez książąt chwałę;  
W Hiszpanji był król pełen majestatu,  
Dzielnego pana miał kraj Montferratu,  
Sława i hołdy rosły cesarzowi...  
— Pytam, jak po nich władają ci nowi?

Boże mój, gdybyś słuchał mnie nędzarza,  
Baczyłbyś, zanim królewską namażesz  
Albo cesarską głowę i czcić każesz.  
Porosły w pierze już Cię nie uważa,  
A jam nie jeden widział ślub cesarza,  
Który mniej o nim pamięta niekiedy,  
Niż ów Gaskończyk, coś go wyrwał z biedy.

Cesarzu, czeka na ciebie Damiatą,  
A biała wieża płacze dni i nocy  
Orła, którego sęp w swej dzierży mocy.  
Podły to orzeł, co go sęp rozpląta,  
Cześć sułtanowi, a nam wstyd i slrata,  
A twoja będzie i hańba, i kara,  
Jeśli od pogan ucierpi nam wiara.

## GAUCELM FAIDIT

(1190—1240)

Wedle biografii, pochodził z Lemozynu, z rodziny mieszczańskiej. Straciwszy w grze majątek, został żonglerem, choć miał głos szkaradny; to też czekał długo na powodzenie. Koster, żarłok, opój i brzuchacz, zaiste nie posiadał warunków na piewę Amora, tem bardziej że ożenił się z dziewczką, nazwiskiem Guilhelma Monja (zdaje się, wyzwoloną mniszką), którą wodził z sobą po dworach. Była urodziwa i uczona, ale... dorównywała mu tuszą. Wreszcie margrabia Montferratu (Bonifacy II), oceniwszy zalety jego poezji, pomógł mu wydobyć się na powierzchnię.

## PIEŚŃ KRZYŻOWA

«*Ara noi sia guitz*».

Teraz nas więc za morze  
Wiedz, Jezu, prawy Boże.  
Dla cię rzucam krainę  
Jasną, kochaną, bratnią,  
Gdziem miał chleba dostatnio;  
Gdziem żył czczony, pieszczony;  
Nie poczytaj za winę,  
Że odjeżdżam stęskniony.  
Lemozyńska drużyno,  
Już cię żegnam jedyną,  
Żegnam pieśni i grania,  
I panny, i sąsiady  
Do zabawy i rady,  
Damy godne kochania,  
Więc łzy z oczu mi płyną,  
Noc me słyszy wzdychania.

Mimo owe ponęty  
Chcę do Ziemi iść Świętej.  
Choćby skarby mi raję  
Rozsypano dokoła,  
Nic mię skłonić nie zdoła,  
Bym połamał me śluby,  
Że wybiorę się w maju  
Na spełnienie tej próby,  
Jeśli Bóg mię swej dłoni  
Majestatem osłoni,  
A w pątniczey odzieży,  
Sercem służąc jak szatą,  
Już niechybnie pod lato  
Książę w trąby uderzy  
I pełnie flotę skrzydlatą  
Do syryjskich wybrzeży.

Szczęścia ten nie ułaknie,  
Komu Boga nie braknie,  
Bóg doświadcza i krzepi  
W służbę swoją wybranych.  
Na cześć jego poddanych,  
Lecz nie boskich wasali,  
Potem piszą się ślepi  
I ci, co Go sprzedali.

Aj, nieszczęśni i głupi,  
Za żywota już trupi!  
Złoto, choćby bez miary,  
Raju wam nie wymodli,  
Skąpi, chciwi i podli,  
Nie ma do was Bóg wiary.

Ohydę Antychrysta  
Noc wywarła wieczysta  
Na świat; cnota się zębi,  
Wyzwolone złe hula,  
Cnych baronów i króla  
Ku powszechnej sromocie  
Ubez władnia i gnębi,  
W grzesznej dusząc martwocie.

Król, w Paryżu co siedzi,  
Do Saint-Denis się biedzi,  
Do Normandji bieć woli  
Po sterlingi błyszczące,  
Niż po więźnie płaczące  
W Saladyna niewoli.  
Toż mu powiem w rozłące:  
Zje, jak sobie posoli.

Więc kto z nami nie idzie,  
Niechaj mierznie we wstydzie,  
Nam się lepsze przygodzą  
Czyny cnego korzenia,  
Niech nas w służbę zbawienia  
Przyjąć raczy Duch Święty;  
Za potężną tą wodzą  
Na mórz wypłyniem odmęty.  
Od saraceńskiej szkody  
Niech nas broni, aż grody  
Zdobędziem Chrysta Pana,  
Cel dróg wszystkich pielgrzyma,  
Który sultan dziś trzyma.  
A niech Panna wybrana,  
Której Boża estyma,  
W tem nam będzie oddana.

Szmaragdzie piękny, czysty,  
Ciebie i Poitewença  
Z rajskiego ogrodzenia  
Bóg niech strzeże wieczysty.  
Równie pani Eliszka  
Wie, jak jestem jej rady,  
Czy daleka, czy bliska.

### RAIMON DE MIRAVAL

(ok. 1190—1221)

Starsza biografia opowiada o nim zwięźle. Był ubogim rycerzem z Carcassony, posiadaczem czwartej części zamku Miraval, gdzie nie mieszkało nawet 60 ludzi. Ale z powodu pięknej twórczości i swady, a także ponieważ znał się na sprawach miłosnych i zalotach, był wielce szanowany i lubiany przez dobrego hr. Rajmunda (IV) z Tuluzy, którego nazywał Audiart, a on jego tak samo. I nie było możnej, zacnej damy w owych stronach, któraby nie pragnęła i nie starała się o jego miłość i o jego względy. Bo umiał je wszystkie uczcić i wypiększyć, jak nikt drugi... Był zakochany w wielu i stworzył dużo dobrych pieśni. Lecz trwało mniemanie, że od żadnej nie otrzymał uciechy wedle praw miłosnych, owszem wszystkie go zdradziły...

Młodsze biografje utkały na tej kanwie długi szereg przygód, których część może być prawdziwa, ile że potwierdzona ubocznymi świadectwami. Noszą charakter nowelistyczny i są świetną ilustracją obyczajów Prowancji.

Na pierwszą naraziła go pani Loba de Penautier, żona Cabareta, głośna równie z biografji Piotra Vidala. To imię Loba (wilczyca) było może lekceważącym przewiskiem, nadanem jej z powodu mało przykładowej obyczajności. Między jej wielbicielami wymieniano hr. de Foix, Oliviera de Saissac, Aimeryka de Montral, Piotra Rogiera de Mirepoix. Gdy stosunek z hr. de Foix stał się głośny i groźny, bo «w jej ojczyźnie kobieta, która się wdała w miłostki z wielkim panem, była uważana za umarłą», Raimon, zwabiony jej przymileniem i zadatkami wielkich łask, stanął słownie w jej obronie; później jednak, zapewne zawiedziony, zwrócił się gdzie indziej.

Drugą przygodę przeżył z Adalazją de Boisseson, z zamku Lombers w prowincji Albi. Tę znowu wysławiał tak głośno i żarliwie, że król Piotr II z Aragonu zakochał się w niej «na niewidziane» i, przybywszy do niej, został bez długich zabiegów przyjęty. Biednemu trubadurovi została mało sławna rola «lichtarza»; sądząc jednak po pieśni, gdzie usilnie zachwala królowi wdzięki pani Adelajdy, ta rola pośrednika nie była tak zupełnie bezwiedna i niewinna.

Zabawniejsza przygoda zdarzyła mu się z panią Ermengardą de Castres, której Olivier de Saissac był potajemnym kochankiem. Ta przyrzekła mu małżeństwo pod warunkiem, że oddali własną żonę, nazwiskiem Gaudairenca. Raimon podjął tę myśl skwapliwie; żona jego układała równie pieśni, a «dwoje śpiewaków» — powiadał — «w jednym domu za wiele».

Gaudairenca opiewała miłość; miała zatem tajemnego kochanka: był nim niejaki Guillem Bremon. Wezwała go, aby przybył ją zabrać; Raimon własnoręcznie ich zaślubił małżeńskim pierścieniem. Tymczasem Ermengarda knuła okrutną zdradę: kazała Raimonowi przygotować w zamku gody weselne a sama równocześnie odprawiła wesele w domu Oliviera. Miraval miał się tak zmartwić, że na dwa lata zaprzestał pieśni. Stał się pośmiewiskiem szyderców, przyjaciele własni ganili mu oddalenie żony pod pozorem, że miała oficjalnego kochanka, bo to wedle praw dworności nie zasługiwało na potępienie, a męża podawało w osławę dzikości.

Inne jeszcze damy prowancjskie sławił rymem, oddając im, to znów odbierając siebie i swój zamek Miraval, z czego wyśmiewał się Mnich z Montaudonu.

Wojny albigensów przyprawiły Raimona o ruinę; według jednych biografów miał umrzeć w Aragonie, według innych w tym biednym wyniszczonym kraju, gdzie po rozkosznym okresie wesela nastąpiła nagle cisza grobów.

### PIEŚŃ DO DAMY NIENAZWANEJ

Wiosna, najmiłsza z pór roku, powinna być również najodpowiedniejsza do zalotów. Niech jednak przekłete będą tegoroczne kwiaty, bo jednego dnia mi zabrały to, co przez dwa lata zdobywałem śród trudu.

Bo pani i miłość, i ja byliśmy jednej woli wszyscy troje, aż teraz, z nastaniem słodkiej pory, kwiat różany i śpiew (ptaków) przypomniały jej, że zbyt poniżyła swą wartość, gdy tego samego chciała, co ja chciałem.

## KANCONA

«*Be m'agrada l' dous temps d' estiu*».

Miły mi urok letniej pory  
I ptaków miłe rozhowory,  
I pęki drzew zieleniejące,  
I miła zieleń traw na łące.  
Tys, pani, milsza mi sto razy,  
Miłe mi ust twoich rozkazy,  
A choć cię ku mnie nic nie skłania,  
Milej mi, bo umrę z pożądania.

Świta żądanie we mnie jedno,  
Przy którym wszystkie żądze bledną:  
By twoje ciało pożądane  
Śmiertelną mi zadało ranę.  
Lub niechaj w pocałunkach rośnie,  
Lecz, że pożądam tak miłośnie,  
Nie pozwól umrzeć, daj uciechę:  
Kto kocha, w żądzy ma pociechę.

Prócz ciebie, niczem się nie cieszę;  
Uciechę twój mi widok krzesze  
I wszystkich smutków milknie echo  
Zadumanemu nad uciechą.  
Bo wszystko dla mnie urok traci  
W braku ucięższej twej postaci.  
Ucieszon tak cię wyżej cenię,  
Że na nic w świecie nie zamienię.

Lecz zmienił, czuję, me wierzenia  
Zazdrośnik, co kochanków zmienia;  
Odmienia także niewiast stałość,  
W miejscu uciechy wiedzie żalność.

Gdy mu dasz posłuch, to się boję,  
Że się odmieni serce twoje,  
I nic nie zdoła zła uleczyć:  
Miał kochać, będę ci złorzeczyć.

Nie; raczej święcie ci przyrzekę,  
Że innych panów się wyrzekę,  
A czyli rzeczesz mi: «Idź sobie»,  
Czy: «Zostań», co rozkażesz, zrobię.  
Nie mów mi jeno, że na wieki  
Będę żył cię tak daleki  
Osobą, słowem, czynem — już bo  
Z twoją się jedno godzę służbą.

U bogatego służba pana  
Korzystna jest i pożądana,  
Toż chcę w niej wytrwać przez wiek długi.  
Nie miała wierniejszego sługi  
Piękna, której to Trystan służył.  
Pozwól, abym się tak zastużył,  
Iżbym twą łaskę wziął w wystudze,  
Zanim cię służbą moją znudzę.

Rzeknij, że-ć będę kiedyś miły,  
Lub w służbie zmienię w bezmoc siły.  
Wszak sługa za ochotę żwawą  
Pożądać uciech zyskał prawo.  
Wierny mój, Kocham tak me lato,  
Przybrane wdzięcznie i bogato,  
Że odtąd w pełnej mocy ma mię,  
Ani mu na Miraval skłamię.

## UC DE SAINT CIRC

(ok. 1211–1253)

«Tencona» z żonglerem Piotrem Guillelmem: ten chwali sobie Cunizzę, siostrę Ezzelina, osławioną przez życie rozwiązań, żonę Ryszarda di San Bonifacio, a kochankę Sordela i innych. (Dante, jak wiadomo, z powodów niedość wyjaśnionych, posadził ją w Niebie, w sferze gwiazdy Wenus, pobłażliwie sądzącą dawne swe życie.) Hugo odpowiada swemu przeciwnikowi: «Piotrze Guillelme z Luiserny, nie powiadasz nam, jak nisko padła świetność i godność Cunizy. Wiadomo mi, że niedawno dopuściła się wybryku, po którym straciła żywot wieczny i będzie odtąd żyła w ciągłej trwodze. Kiedy dama zboczy z prawej ścieżki albo uczyni skok, za który każdy ją gani, to nie pomoże jej nawet lekarz z Salerno. Wiem, że twoja szpada tnie (żongler groził szpadą uwłaczycielom), ale gdybyś chciał się bić ze wszystkimi, co o niej źle mówić będą albo nie zaprzeczą, że popełniła coś brzydkiego, to wszczęłyby się większa bijatyka niż pod Roncevaux. Teraz basta; nie dbam o nią, niech idzie, gdzie jej się podoba. Umiarkowanie wymaga, aby nie skakać poza własny cień».



## PIOTR CARDINAL

(1210 — ok. 1230)

Peire Cardinal z Puy Notre-Dame w Veley, szlachcic, przeznaczony do stanu duchownego i już dzieckiem posadzony na kanonji. Nabył uczoności scholastycznej, ale, jak powiada biograf, doszedłszy do lat dojrzałych — «został pociągnięty marnościami świata, poczuwszy się wesołym, urodnym i młodym. Tworzył przeważnie *sirventesy*, w których gromił szaleństwa ludzi świeckich i złych kleryków. Chodził po dworach królów i baronów, wodząc ze sobą żonglera, a ten śpiewał jego *sirventesy*. Był bardzo wzięty u króla Joachima aragońskiego i szlacheńnych magnatów».

## MALA CANSO

«*Beu tenh per folh e per muzart*».

Ciemiega u mnie ten i głupi,  
Co się na miłość znęci,  
Bo miłość tego gładziej łupi,  
Który jej ufa święciej.  
Ktoś z ogniem igra, aż się sparzy;  
Z miłości rzadko zysk się darzy,  
A zato codzienną strata.  
Niechajże, kto na głowę chory,  
Z jejmością tą się brata,  
Ja tam nie skory.

Mnie tam kochanka nie posiedzie,  
Póki jej sam nie trzymam,  
Uciechy ze mnie mieć nie będzie,  
Dopóki ja z niej nie mam.  
Reguły jednej w każdej dobie  
Strzegę: jak ty mnie, tak ja tobie.  
Obludna-li, to znajdzie  
I zazna obludnika we mnie;  
Prostą mię drogą zajdzie,  
To ja wzajemnie.

Nigdy wesoło tak nie igrał,  
Jak gdym kochankę stracił:  
Ją przegrywając, siebiem wygrał,  
Na czysto się wzbogacił.  
Gubić się sam — nie zysk, lecz strata,  
Lecz zgubić to, co cię ugniata,  
W tem chyba dojrzyysz zysku;  
A jam za ciężkie utrapienie  
Znosił, żyjąc w ucisku  
Niezasażenie.

Jam całym sercem przyłgnął do niej,  
Oddał me ciało, ducha;  
A ona teraz precz mię goni  
I do innego grucha.  
Kto daje więcej, niż ma w domu  
I sobie sprzyja mniej niż komu,  
Samochcąc lichu lichu kusi;  
Bo go nie wesprze nikt sam przez się,  
I tem się karmić musi,  
Co z wiatrem wessie.

Rozbrat dziś biorę z nią na wsze dni,  
A bodajbym wziął prędzej!  
Bom z gliny znalazł ją pośledniej,  
Falszywą z sercem jędzy,  
Jadem syconą w swej słodyczy.  
Licha jej miłość przewodniczy  
I po manowcach gania,  
Bo ku lichemu zwraca chęci;  
Co warte zaś kochania,  
To jej nie nęci.

Wiem to, że wiernej przyjaciółce  
Człek być powinien wierny;  
Lecz ktoby z nią chciał wytrwać w spółce,  
Koniecby miał mizerny.  
Mężczyzna zdradza — to wie za co;  
Rad będę więc, gdy jej odplacę,  
I ów kochanek świeży  
Pierwszy ją zdradzić się postara,  
Tak bowiem hańbę swą ubieży  
A ją pokara.

## SIRVENTES MORALNY

«*Qui ve gran maleza faire*».

Kto pogląda, jak świat broi,  
Milczeć temu nie przystoi;  
Więc wam powiem, państwo moi,  
Ze jest bogacz spadkodziera  
Gorszy lotra, bo bez serca,  
Dla djabła ma słuchy;  
Rzezimieszek i morderca,  
Nieskory do skruchy.

Idzie bogacz przez ulicę,  
Obok kroczą zausznicę:  
Złość na przedzie chytry lice,  
Ztyłu, zboku tłum rozpycha;  
Tuż, czając się, chciwość czyha,  
Wierną družką zwie się;  
Prowodyrką idzie Pycha,  
Krzywda tarczę niesie.

Gdy na rynku stopę stawi,  
 Zaraz, wiecie, co wyprawi?  
 Ot, na ludek, co się bawi,  
 Wpadnie, łaje, klnie i szczuje,  
 Tego stłucze, tego skłuje,  
 Tego pokaleczy;  
 Uczciwem nie udaruje  
 Słowem pan nieczłeczy.

Wyprawia-li bogacz święto,  
 Skopów na nie gdy narżnięto,  
 Skąd myślicie, że je wzięto?  
 Niech opowie chłop, co pości:  
 Z jego potu dary gości  
 I z biedackiej kiesy,  
 Bo pan zniszczył swoje włości  
 Wojną i procesy.

— — — — —  
 Rzekłem o bezecnem dziele,  
 Co powiedzieć chciałem;  
 Rzeczy trzeba jeszcze wiele,  
 Lecz tchu nie nabrałem.

### SORDEL DE GOITO

(czynny od 1225 r., um. ok. 1269)

Dante postawił go na oczy potomności w spiżowych epitetach: «anima lombarda, — altera e disdegnosa», w majestatycznej i wzgardliwej pozie «lwa, gdy się pokłada» (Cz. VI. 61—66). Czułe spotkanie jego z Wergiljuszem, drugim mantuńczykiem, i wynikała stąd apostrofa do Italji należąca do najwspanialszych epizodów «Boskiej komedji».

Szlachcic, urodził się na zamku Goito pod Mantuą. Burzliwej pierwszej młodości świadczą *sirventesy* osobiste i *tencony*, gdzie mowa o rozbijaniu łbów dzbanami; donioślejszy w następstwach jest opowiedziany szczegółowo w biografjach, a stwierdzony zestawieniem źródeł, stosunek do słynnej Cunizy, siostry Ezzelina III da Romano, głowy Gibellinów, okrutnego tyrana z Padwy. Sordel porwał ją z poduszczenia braci (czy ojca) mężowi, hrabiemu di San Bonifazio, i miał z nią żyć w konkubinacie. Z czem Benvenuto da Imola, komentator Dantego, łączy anegdotę następującą:

Bawiąc w Weronie, Cunizza naznaczała mu schadzki w pałacu. Chodziło się do niej przez błotnistą ulicę, dlatego Sordel kazał się zawsze przenosić najętemu człowiekowi. Raz miejsce jego zajął sam Ezzelin i, przeniósłszy kochankę siostry, powiedział: «Strzeż się na przyszłość wybierać tak nieczystą drogę do tak nieczystej sprawy». — Anegdota może być dorobiona do dowcipnego słowa; w rzeczywistości afekt siostry mógł się nie podobać braciom, i to był pierwszy powód, dlaczego Sordel uciekł do Prowancji; drugim była obawa zemsty ze strony jej męża, trzecim nieprzyjaźń panów di Strasso, których siostrę, imieniem Otta, nieoprawny awanturnik porwał i wziął za żonę. Wiadomość Benvenuta, że «jak powiadają» Ezzelin miał przecież dopaść Sordela i uśmiercić, jest nieprawdziwa; trubadur żył jeszcze długo po śmierci obu braci (1254, 1260). Cunizza, «la grande amoureuse», była zdaje się słusznie oślawiona.

Jacopo della Lana, inny komentator Dantego, powiada, że «żyła w ciągłym zakochaniu, a miłość jej tak była szczodra, że uważała za rzecz niecną odmówić, kiedy ją grzecznie proszono».

Ze zdumieniem spotykamy ją w «Raju» Dantego (IX. 31.). Powód niezwyklej rehabilitacji jest zapewne polityczny; Cunizza należała do jednego z najprzedniejszych rodów gibellińskich. Nadto zbawienie należało się jej, zdaniem Benvenuta, dla cnót niepospolitych: «Ta prawdziwa córka Wenery, wędrowna miłośnica (amorosa et vaga)... była równocześnie nabożna, łaskawa, pełna litości dla ofiar okrutnego brata. Słusznie zatem poeta posadził ją w sferze Wenery, bo jeśli poganie na Cyprze ubóstwili Wenere, a Rzymianie Florę (sic), o ileż godniej i uczciwiej poeta chrześcijański mógł wybawić Cunizzę (Chab. p 314)». Wiadomo też, że w 1265 r. wyzwoliła poddanych; umarła ok. 1280, syta znikomości ziemskich, jako wdowa po trzech mężach.

Trzy *sirventesy* polityczne mają za treść popularne w owych latach i często spotykane szyderstwa z kilku książąt słabych i poszkodowanych na godności lub mieniu. Rajmunda Berengara, hrabiego Prowancji, poeta ostrzeża przed gotującym się buntem wasalów i napaścią sąsiada; obawia się, że go «ostrzygą i ogolą» («Non pueis mudar»). Trzem «wydziedziczonym», jakimi są tenże Berengar, Raimon VII z Tuluzy i Jakób I z Aragonu, wytrząsa, że «człowiek zhańbiony wart mniej niż trup pogrzebany» («Puois nos'm tenc»). Trzeci *sirventes*, bardzo sławny, jest ułożony w formie «żalu» na śmierć Blacasa z oryginalnym motywem serca, podanego ku spożyciu książętom tchórzliwym lub zagrożonym; jego to śmiałą i okrutną ironję Dante przerobił na wzgardliwy gest mary Sordela, oglądanej w «Czyścicu».

## ŻAL (PLANK)

«*Plaigner voill En Blacatz en aquest leugier so*».

Pana Blacasa płaczę w tym nieuczonym rymie:  
Zaiste, jest przyczyna, że żal się serca inie,  
Bowiem zakończył życie szlachetny pan i druh;  
Po cnotach, co z nim żyły, zostanie jeno słuch.

Taka śmiertelna szkoda, że niema na nią cen  
I nic jej nie nagrodzi, chyba, że sposób ten:  
Że mu się wyjmie serce i zjedzą je książęta,  
Gdy go nie mają sami w swej piersi, niebożęta.

Pierwszy niech tedy serca — oj, śpieszno mu to zrobić —  
Skosztuje cesarz rzymski, jeżeli pragnie pobić  
I pojmać miłańczyków, bo dziś go dierzą oni,  
I siedzi wydziedziczon wśród własnych Niemców broni.

Drugi niech król francuski zażyje serca sporo,  
Uzyska tron Kastylji, stracony głupią porą:  
Choć go zabroni matka, pewnie go nie pokusi:  
Dobry syn matki słucha, jak każe, tak być musi.

Podobnie król angielski, co duszę ma nieśmiałą,  
Niech dla się kęs odkroi, by mu to sił dodało;  
Niech swą odzyska ziemię i sławy się dosłuża,  
Bo mu ją król francuski zabrał, co zna w nim tchórza.

Kastylski król niech za dwu posili się chudzina,  
Bo, mając królestw dwoje, pod jednym się ugina,  
Lecz, jedząc, w najciemniejszy dworu kął niech się schowa,  
Bo gdy obaczy matka, to wybić go gotowa.

— — — — —  
Hrabia Tuluzy kęsem niech krzepko się posili,  
Wspomniawszy, co miał dawniej, a co w obecnej chwili;  
Jeśli z owego serca ta mu nie wróci strata,  
Nie wróci mu pewnikiem z tego, co w nim kołata.

Książę Prowancji niech je, zważywszy, że dopóty  
Władca jest cenion, póki z ziem swoich niewyzuty,  
Póki się mocno dierzży sam i poddaną ziemię:  
Sporo mu serca trzeba na takie ciężkie brzemie.

Za to, że prawdę głoszę, zahuczają mię baroni;  
Niech wiedzą, że dbam o nich, jak o mnie dbają oni.

Piękny Odnowicielu, byłem nie stracił łaski  
Twojej, nie dbam, że na mnie zastawia wróg potrzaski.

## BALLADA NIEZNANEJ DAMY

(w. XIII)

«*Coindeta sui, si cum n'ai greu cossire*».

Milutka sobie jestem, więc mię złości,  
 Że mam wstrętnego męża jegomości:  
 A chcecie wiedzieć, dlaczegom kochliwa?  
 — Jestem milutka —

Bom maluteńka, młodziuchna i żywa,  
 — Jestem milutka —

Mężaby trzeba mi, co się nazywa;  
 Co to zabawię, popieszczę, wyczubię.  
 — Jestem milutka. —

Skarz mię, Bóg, jeśli do serca go biorę,  
 — Jestem milutka —

Jeśli mu rada jestem w którą porę;  
 — Jestem milutka. —

Kiedy nań spojrzę, to ze wstydu gorę  
 I wzdycham skrycie: «Niech go śmierć zadziobie!»  
 — Jestem milutka. —

Płocham, a jednak z serca nie wywieję  
 — Jestem milutka —

Kochanka mego, choć ze mnie się śmieje.  
 — Jestem milutka. —

Patrzcież, precz pierzchły lube me nadzieje!  
 Płacę i wzdycham, gdy go z oczu zgubię.  
 — Jestem milutka. —

Na lubą nutę balladę ułożę,  
 — Jestem milutka —

Niech ją poniosą śpiewacy za morze.  
 — Jestem milutka. —

Niech nuć damy roztropne i hoże  
 O mym kochanku, którego tak lubię.  
 — Jestem milutka.

O czem dumałam — wiecie — cały ranek?  
 — Jestem milutka. —

Ot, że mię lubił długo mój kochanek,  
 — Jestem milutka —

A dziś nie szczędzi innym zalecanek.  
 Pięknaż to trwałość po wieczystym ślubie?..  
 — Jestem milutka. —

## GUIRAUT RIQUIER

(1250—1294)

Guiraut Riquier z Narbony, śpiewak dworu narboneskiego. Był też w Hiszpanji u Alfonsa X, jednego z najświetlejszych monarchów. Dażył do odrodzenia upadającej poezji: świadczy o tem list do króla z prośbą, aby zakazał trubadurów nazywać «zonglerami». Jako poeta odświeżył piękny rodzaj «pastoreli». Pozostawił 6 *pastorel*, związanych w całość. Poeta wchodzi tam osobiście w grę: pasterka zna go ze sławy, ale odsuwa grzecznie jego zaloty (past. 1). W 2 i 3-ciej on jest natarczywszy, ona bardziej nieużyta. W 4-tej poeta spotyka ją jako mężatkę z dzieckiem, uśpionem na kolanach. Piękny obrazek sielski. Niepoprawny zalotnik umizga się dalej. W 5-tej spotyka ją znowu z córką już dorosłą; wracają z Compostelli; król ogłosił krucjatę przeciw Maurom, on nie ma ochoty na zbrojną służbę. W 6-tej znajduje swój ideał już jako wdowę, ale zawsze pończęną. Gdy znowu odrzuca jego propozycję, poeta zwraca się do córki.

## PASTORELA 1-SZA

«L'autre jorn m'anava  
Per una ribeira».

- Wyszedłem ja wczora  
Przechadzką wzdłuż rzeczki,  
Nucąc sobie — ot.  
Miłość zawsze skora,  
Znająca te steczki,  
Szła przede mną wlot.  
Wtem widzę pasterkę,  
Żwawą jak iskierkę,  
Śród trzody, śród zioł.  
Obszedłem ją wkółko,  
Obaczyłem czółko,  
Jakby rzeźbiarz kuli  
Zagadałem do niej —  
Mówić mi nie broni.
- Pytam jej: — «Dziewczyno,  
Kochać umiesz-że ty?  
Wiesz, co miłość?... cóż?» —  
Ona z chytrą miną:  
— «Ej, panie, niestety  
Zaręczonam już». —  
«Dziewczę, nie żałuję,  
Że tu cię znajduję,  
Byle w dobry czas». —  
— «Stracił go pan siła;  
Gdybym głupia była,  
Despekt czeka was». —  
— «Dziewczę, będziesz rada?» —  
— «Panie, nie wypada». —  
— «Dziewczę moje hoże,  
Chcesz być mą królowną?  
Serce tobie dam». —  
— «Panie, być nie może!  
Masz kochankę pewno,  
Ja kochanka mam». —  
— «Cokolwiek się stanie,  
Kocham ciebie, dziecię,  
Już mi wierzyć chciej!» —  
— «Innej mówcie, panie;  
Może wywabicie  
Więszą korzyść z niej». —  
— «O większą nie stoję». —  
— «To źle, zdanie moje». —
- «Nie źle, nie, dziewczyno:  
Tak mi jesteś miła,  
Że już we mnie wre». —  
— «Odejdź-no pan ino...  
Radabym skończyła  
Pogawędkę tę». —  
— «Dziewczę, na me życie,  
Zbytnioś się uparła,  
Serca mego szczedź!» —  
— «Panie, źle robicie,  
Z wstydu bym umarła  
Za nieskromną chęć». —  
— «Konam, widzisz przeciel...» —  
— «Nic, wyzdrowiejecie». —  
— «Słowa są słowami:  
Nie bój się ni trocha,  
O cześć twoją dbam». —  
— «Gdy tak, zgoda z nami;  
Ciesz się mię, że płocha  
Chęć odeszła wam». —  
— «Myśl o mej Uciesze,  
Gdy zła chęć nagabnie,  
Chęci nie da trwać». —  
— «Tem mocno się cieszę;  
Aj, widzę, że zgrabnie  
Umiesz serca rwać». —  
— «Co mówisz, kochana?» —  
— «Że już lubię pana.» —  
— «Uroczą dziewczyno,  
Te rozkoszne słowa  
Kto to poddał ci?» —  
— «Ot, gdzie pójde ino,  
Wszędzie Riquierowa,  
Słyszę, śpiewka brzmi». —  
— «Nie zbędzisz mię słowy,  
Nie ujdiesz pytania,  
Którym zadał wprzód». —  
— «Tak to myśl o owej  
Uciesze zabrania  
Panu nowych psót?» —  
— «Ba, już nie dba o mnie». —  
— «Rozumna ogromnie». —
- «Co mam z niej? Łajania». —  
— «Szczęściem, mię osłania  
Pan Bertran, mój stróż.  
Hazard niebezpieczny.  
Ale jeśliś grzeczny,  
Panie, odejdź już». —  
— «Wróce ja tą steczką  
Nieraz, pasteczek!»

## SERENA

«*Ad un fin aman fon datz*».

Wyprawiała pani raz  
 Mile posły do kochanka,  
 Naznaczając miejsce, czas.  
 Więc błógię tego ranka  
 Chodzi zadumany, tkliwy,  
 Wzdycha, nudzi i tak rzecze:  
 — «Na mą krzywdę dzień się wlecze,  
     A zmrok  
 Dłuży mi się niby rok».

Tak z niecierpliwości drży  
 I z pożądania rozkoszy  
 Czekanej, że się mu cni,  
 I ta myśl mu spokój ploszy,  
 Czy doczeka nocy żywy.  
 Wzdycha, nudzi... i t. d.

Żaden człek nie spojrz nań,  
 By nie zgadł, że coś go tłoczy;  
 Tak niby od długich łkań  
 Odmieniły mu się oczy.  
 Dzień mu zda się obrzydliwy.  
 Wzdycha, nudzi... i t. d.

Ból to wielki — niema słów —  
 Na który już radca w świecie  
 Nie poradzi; co więc ów  
 Kochanek cierpiał, pojście —  
 Znękany i nieszczęśliwy.  
 Wzdycha, nudzi i tak rzecze:  
 — «Na mą krzywdę dzień się wlecze,  
     A zmrok  
 Dłuży mi się niby rok».

## RAIMON DE CORNET

(ur. około 1300 r.)

Utwór niniejszy pochodzi z epoki zaniku «wesołej sztuki»; analogicznie do społecznych dążeń literackich i teologicznych, jak np. u mistyków i moralistów, przekształca temat świecki na religijny.

## GŁOSA DO POEMATU BERNARDA DE PANASSAC

«*En vos lauzar es Don, mos aturs*».

Pan Bernard z Panassaku  
 Od hrabstwa Astaraku  
 Ułożył pieśń niektórą,  
 Kędy to pod figurą  
 O przeczystej Dziewicy  
 Maryi Bogarodzicy.

Domyślam się — powiada —  
 I gdzie kunsztem nielada  
 Przedmiot ponadzmysłowy  
 Bardzo krytemi słowy  
 Kreśli, jak twór padolny.  
 Więc ile będę zdolny,

Chciała słuchać śpiewaka,  
 By nie były stracone  
 Trud i rymy ćwiczone.

Następnie powiada:

Liljowe ciało, czysty i świetlany  
 Kształt twój oglądam często wśród zachwytu  
 Przez złotem tkany płaszcz barwy błękitu,  
 Różowo-białym puchem podbijany.  
 Gdyby ważyła co ma prośba, Pani,  
 I wymodliła coś korna postawa,  
 Szczęsnymbym mienił się, boś ty jest nawa,  
 Która do pewnej przymierza przystani.

Ktoś tu niejasność zgani:  
 — Myśl wydal niezbyt ściśle,  
 Lecz pojdziesz po namyśle,  
 Że o Dziewicy mowa.  
 Zbyt obrazowe słowa,  
 O oglądaniu zwłaszcza  
 Skróś niebieskiego płaszcza.  
 Jeśli myśl dobrze tropię,  
 Mowa o niebios stropie;  
 Ja, Ramon de Cornet,  
 Którym pieśń pojął wnet,

Dla gwiazdek, które nocą  
 Na tym płaszczu migocą,  
 Mówi: utkany złotem.  
 Co o puchowem potem  
 Podbiciu pod lazury  
 Powiada — to są chmury.  
 To myśl — sądzę — prawdziwa.  
 Okrętem ją nazywa  
 I spokój po niej tuszy.  
 Znaczenie skryte może  
 Rzetelnie wam wyłożę.

Mówi tak:

Śpiewać cię, Pani, uzacni lutnistę,  
 Więc na to dzieło myśli zwrócę pilne;  
 Serce twe słodkie, otwarte, przychylnie,  
 Wymaga pieśni cnej, gdyż samo czyste.  
 Jeśli ochoty nie potępiasz mojej,  
 Ten osobliwie śpiew racz przyjąć — proszę,  
 Który ci oto na klęczkach przynoszę,  
 Przed możliwym panem jak służę przystoi.

Bez eksplikacji mojej  
 Rozpozna każdy z treści,  
 Jaka myśl się tu mieści;  
 Ja też nie powiem wiele:  
 Kto na śpiewackiem dziele  
 Zna się i sam śpiewakiem,  
 Zwróci myśl prostym szlakiem  
 Bez wątpliwości wszelkiej  
 Do Bożej Rodzicielki;  
 Gdyż niema, jak pojmiecie,  
 Drugiej na Bożym świecie  
 Nieskazitelnej damy  
 Z sercem tak wolnem plamy,

By zwać się mogło czyste.  
 Dalsze wyrazy mgliste<sup>1</sup>,  
 Zwłaszcza tam, gdzie przynosi  
 Pieśń i sługą się głosi.  
 Prośba w tem jest niemylna,  
 Aby Panna przychylna,  
 Chociaż przemożna taka,  
 Dla swojej grzesznej duszy,  
 Gdy skorupa jej pęknie,  
 On u nóg jej przykłęknie,  
 Rozkoszy zazna wiecznej  
 Przez śmierci niebezpieczny  
 Szkopuł na tym jedynie

Statku cało przepłynie.

Mówi dalej:

Pani, tyś łask jest krynica i morze,  
 Gdzie chce dzień i noc kąpać się Kochanie;  
 Jeśli instancja twa za mną nie stanie,  
 Własna ochota mało mi pomoże.  
 Zbyt po chlebców fałszywie pokornej  
 Zgrai ufałem; na nich się zakłada  
 Pieszczona krzywda, przyjacielska zdrada —  
 Kto z nich wpadł w złości, już trwa w nich uporny.

<sup>1</sup> Nam, przeciwnie, wydają się bardzo jasne.

Jaki zręczny i dworny  
 Poeta! Stąd poznamy,  
 Że śpiewa miłość damy,  
 W której swoje zakłada  
 Nadzieje. Więc powiada,  
 Szukając łask usilnie:  
 — Pani, tyś jest niemylnie  
 Morze łask i krynica. —  
 Że się zaś sam zachwyca  
 Kochaniem, co w nim gości,  
 Powiada o miłości,  
 Że się w morzu tem kąpie.  
 A dalej: — Nie dostąpię

Raju, chyba zasługą  
 Tej, co mieni mię sługą.  
 Bowiem, jak sam się gani,  
 Z złej przybywał kompanji.  
 Owi podli pochlebce,  
 Których w rymie tak depce,  
 Których gniewem tak karci,  
 Niechybnie to są czarci.  
 Sam wykrywa swe grzechy,  
 U niej szuka pociechy,  
 Kiedy na sąd straszliwy  
 Z martwych wstanie znów żywy.  
 Wyłożyłem wam jasno

Mniemam — jego myśl własną.

Mówi dalej:

Niebieski jest kraj, którym dłoń twa władnie,  
 I lazuruwy cały skrós do głębi;  
 Sama wśród gryfów, pawiów i gołębi,  
 Bezpieczna, że nikt tam się nie przekradnie,  
 A że w którą bądź obracam się stronę,  
 Nie widzę równej tobie — pod opiekę  
 Wziąwszy, posadź mię przy sobie, bo rzekę,  
 Żem próżno kochał, chłopię nieuczzone.

Jasno tu wyłożone  
 Znajdziesz myśli pisarza:  
 Niebieską wyobraża  
 Barwą Maryi mieszkanie,  
 Kędy się nie dostanie  
 Żaden człek bez pardonu.  
 Wokoło — mówi — tronu  
 Srogie gryfy czuwają.  
 Oto święci są raju,

Uwielbiając kolany  
 Matkę Pana nad Pany,  
 Co mówi: gołębice,  
 To są święte dziewice;  
 A co zowie pawiami,  
 Jeśli domysł nie mami,  
 To są pewnie anieli.  
 Sądzę, żeście pojęli  
 Cały ustęp ten ciemny.

Teksty zostały wybrane z wydań: Raynouarda, *Choix des Poésies originales des Troubadours*, 6 vol. Paris 1821; z wydań monograficznych; z *Kancjonarza watykańskiego A*.

*Układ, wybór i tłumaczenie Edwarda Porębowicza.*



## PIEŚŃ O ROLANDZIE

(pocz. XII w.)

### ŚMIERĆ ROLANDA

Po uwięzieniu i skazaniu Ganelona bitwa ronsewalska toczy się dalej. Marsyl ma rękę uciętą i podaje tyły, ale pozostało 50 tysięcy Etjopów. Roland widzi teraz niechybną zgubę, Oliwjer jest ranny śmiertelnie:

Roland choć żyw, lecz się na koniu ślania,  
Oliwjer tuż, boli go w piersi rana.  
Wybroczył krew, żrenica mgłą mu zaszała,  
Nie dojrzy dość ni zbliśka, nito zdała,  
By druha kształt odróżnił od pohana.  
Zapadłszy w gąszcz, najechał na Rolanda,  
W złocony hełm potężny raz mu zada.  
Naczółek pękł po nozdra od bulata,  
Szczęście, że miecz nie przedarł się do ciała.  
Więc Roland glos umilił i powiada:  
«Druhu ty mój, skąd nagła ta uraza?  
Jam Roland, spójrz, miłuję cię jak brata;  
Dlaczegoż-to najeżdżasz bez wyzwania?»  
A na to ów: «Śluch ciebie mój poznawa,  
Nie widzę sam; widzi cię niebios władca.  
Przebaczyć racz obrazę, co się stała».  
Czuje to Roland: śmierć jego niedaleka:  
Z pękniętej czaszki mózg w uszy się przelewa,  
Za paladynów do Boga śle westchnienia,  
Za sobą prosi Anioła Gabryjela,  
Więc w jedną dłoń dbały o cześć rycerza  
Olifant chwytą, ściągnąwszy go z ramienia,  
Drugą się ręką wiernego ima miecza.  
Ile puszczonej po łuku belt doleci,  
Kwapi się iść w stronę hiszpańskiej ziemi.  
Na górskim szczycie, między piękniemi drzewy  
Czworo na pował płyt marmurowych leży.  
Tam upadł wznak i legł wśród traw zieleni,  
I omdlał wszystek, bo śmierć go w rękę dźierży.  
Wysokie szczyty i drzewa są wyniosłe;  
Od słońca lśnią kamienie marmurowe;  
Omdlały Roland na trawy padł zielone (w. 2259—2273)  
Bije się w pierś, za winy swe i grzechy  
Pod Boży tron dłoń z rękawicą pręży.

Anioł Gabryjel odebrał mu ją z ręki. Schyla głowę na ramię, złożywszy dłonie, kona; św. Michał i Gabryjel unoszą w niebo duszę rycerza.

(*Chanson de Roland*, p. p. J. Bédier, Paris. s. d. v. 2259—2396.)

## PIEŚŃ O WILHELMIE (KRZYWONOSYM)

(XII w.)

Na Larchamp wre walka z Saracenami. Vivien, kuzyn hr. Wilhelma, złożył był ślub, że nigdy w bitwie nie cofnie się na długość lancy. Obiegła go chmara pogan; sam się nie obroni; więc posyła młodego Gérarda do Barcelony po pomoc Wilhelmową.

Na szczyt pagórka Gerard zwraca konia;  
Pięć mil naokół taka ciżba sroga,  
Że nie ujedzie ni jednego lokcia,  
Aby nie zrzucił Saracena z siodła.  
Tu pada ręka, tu noga, tu głowa.  
Aż gdy się wyrwie z bolesnego pola,  
Dobry koń pod nim upada i kona.

Z bolesnej ciżby Gerard się zawraca;  
Pod siodłem padł mu koń z dobrego stada,  
Pięć mil naokół ziemia stratowana.  
Żaden doń człowiek słowem nie zagada.  
Na nikim zdobyć nowego rumaka.  
Pieszko brnie naprzód, wlecze się i ślania.

— Wielki był upał gorącego lata  
I dzień przedługi; trzy dni był bez jada,  
Trzy dni już nie pił, gorączka w nim pała.  
Źródła ni studni niema za skarb świata,  
Lecz słona z morza wylana żuława.  
Zbroja ciężarem przywarła do ciała,  
Z ust mu się wyrwie żalem taka skarga:

«O wielka włócznie, niebywale brzemię,  
W Larchamp już Vivien nie obaczy ciebie,

Kiedy w śmiertelnym mozole zemdleję»...  
Więc Gerard włócznie porzuca na stepie.

«O tarczo, jakże ugniatasz mi szyję!  
Już ja Viviena tobą nie zakryję».  
Zdejmuje z karku, porzuca ją w pyle.

«O dobry helmie, rozpalasz mi głowę!  
Już Vivienowi tobą nie pomogę,  
Co się na Larchamp potyka w mozole».  
Więc go zdejmuję, porzuca na drodze.

«Jakże mi ciężysz, pancerzu ogromny!  
Już w tobie Vivien nie znajdzie osłony.  
Już go śmiertelne oblewają poty».  
Więc go zdejmuję, rzuca na rozłogi.

— Zdjął z siebie wszystkie żelazne ubiory,  
Jeden mu w dłoni został miecz stalony,  
Od rękojeści po ostrze czerwony,  
Śliski strzępami ciała i posoki.  
Na nim się spiera wyciągnionym z pochwy,  
Cały dzień idzie aż do późnej nocy,  
Po nieprzebytych dolinach brodzący,  
Po wysokich się górach spinający...

(*La Chançon Guillelme, ed. H. Suchier 1911, v. 698—741.*)

## EPOPEJA CYKLU LOTARYŃSKIEGO

(XII w.)

## ŚMIERĆ IZORESA

Begon w zastępstwie Garina dochodzi praw brata pojedyńkiem sądowym na Izoresie z Boulogne. Asystujący walce zakładnik Izoresa, Wilhelm z Monceu, podjudza go przeciw Begonowi rannemu i bezbronemu, bo miecz mu się złamał. Ale walka nie skończona:

Begon przypomniał, że ma miecz stalowy  
W łęk zabitego konia zatroczoney.  
Ściągnął go, moment chwyciwszy sposobny,  
Chociaż był ranny i strugi gorącej  
Krwie mu płynęły i z piersi, i z głowy:  
Nie dziw, bo srogie dziś otrzymał ciosy.  
Tnie Izoresa w szyszak wielowzory,  
W polu rozcina pierścień helmu złoty,  
Ostrze koncerza aż do mózgu wtłoczy,  
Czaszkę przebija skroś po zębów trzony.  
Izores pada martwy, bez pomocy.  
Słuchajcie dziwu lotaryńskiej pomsty:  
Flobergę w ciało wraża między kosty,

Z wnętrza wydziera serca kęs drgający,  
 Pana Wilhelma uderza nim w oczy:  
 «Ot łobie z serca kuzyna dar hojny,  
 Każ je przyrządzić na biesiadne stoły!»

(*Li Romans de Garin le Loherain*, p. p. P. Paris 1835, t. II, p. 37.)

#### POGRZEB BEGONA

Begon Lotaryńczyk zostaje przypadkiem zabity na łowach w lesie Burgundczyka Fromonda; ten, jakkolwiek zapamiętały wróg domu Lotaryńskiego, oddaje zabitemu ostatnią posługę:

Prosto ku ciału hrabia Fromond zmierza,  
 Zewszechstron trupa uważnie obziera,  
 Poznał umarłym, bo żywym pamięta.  
 Widniała nad brwią umarłego męża  
 Blizna od dzidy, jak czerwona wstęga;  
 Sam mu ją zadał u wrót Saint-Quentena.  
 Poznał ją hrabia i żał go oniemia,  
 Omdląły pada na ręce rycerstwa (t. II, p. 244).

Ocknąwszy się, wysławia jego ród i czyny wojenne, drży na myśl pomsty, co go nie może minąć ze strony Garina, poczem sam oddaje zmarłemu śmiertelną posługę.

Wzdłuż każe rozpruć wodza ciało sztywne,  
 Wnętrznosci zebrać w kosztowną tkaninę,  
 Zwłoki wykąpać i w wodzie, i w winie,  
 Białemi dłońmi hrabia sam je myje,  
 Nicią jedwabną zeszywa troskliwie,  
 Potem spowija w chusty aksamitne,  
 Ze skór jelenich czyni mu pokrycie,  
 Zaczem w trumienną każe chować skrzynię,  
 Naokół świece ustawić jarzyste  
 I kadzielnice, i złożone krzyże,  
 Sam nad umarłym straż odprawia pilnie.

(*Mort Garin*, p. p. Du Meril *Romans des douze Pairs*. Paris 1846.)

#### POEMAT O TRYSTANIE — REDAKCJI THOMASA

(XII w.)

#### ŚMIERĆ TRYSTANA I ISOLTY

(w. 3004 i nast.)

Okreću wciąż wypatrywali,  
 Jeszcze nie widać go na fali.  
 Trystan się smęci i wygląda  
 Isolty, której tak pożąda. —  
 Łka rzewnie, z boleści się wije,  
 Dobrze go żalność nie zabije.  
 Kiedy tak cierpi, tak się nęka,  
 Nadchodzi Isolt białoręka.  
 Zdradę układa pani mściwa.  
 «Kaherdin» — rzecze — «już dopływa;  
 Widziałam, jak go niesie morze,  
 Z ogromnym trudem falę porze.  
 Uważam go od małej chwili:  
 Znam okręt a wzrok mię nie myli.

Z tą miłą wieścią tutaj śpieszę,  
 Zbolałe serce ci pocieszę».  
 Trystan z radości się zapłoni:  
 «Isolto» — tak powiada do niej —  
 «Czy oczy tobie nie skłamały?  
 Jakiż jest wyżni żagiel? Czy biały?» —  
 — «Co widzę, mówię ci najwierniej:  
 Górny żagiel jest cały w czerni;  
 Wyciągnęli go aż do szczytu,  
 Bo dołem wiatr nie dawał chwytu».  
 Ból go zdjął na tę wieść straszliwą:  
 Równego nie znał jako żywo.  
 Rzekl, obracając się ku ścianie:  
 «Miej Bóg nad nami zmiłowanie!

Gdyś ku mnie przybyć nie zechciała,  
 Śmierć mi jedyna pozostała;  
 Życ mi nie warto po twej stracie:  
 Kochanko Isolt, konam dla cię.  
 Nie żal ci było mej tęsknicy,  
 To gwoli śmierci żal cię chwyci.  
 Isolt, kochanko» — trzykroć rzecze,  
 Za czwartym dusza zeń uciecze. —  
 I płacz się ozwał pośród ciszy  
 Wasalów jego, towarzyszy.  
 Tam, gdzie na łożu zmarły leży,  
 Zastępy dworzan i rycerzy  
 Ku zwłokom schodzą się gromadą,  
 Na aksamitnej plachcie kładą,  
 Wzorzystym płaszczem go nakryli. —  
 Zerwał się wiatr po malej chwili,  
 Główny go żagiel pod się łowi,  
 Statek wykręca ku brzegowi.  
 Isolt z pokładu na ląd śpieszy.  
 Słyszy biadania ludzkiej rzeszy;  
 Z kościołów, kaplic jęczą dzwony;  
 Pyta, co znaczy lament ony.  
 Więc jeden stary człek jej rzecze:  
 — «Pani, niech Bóg nas ma w opiece;  
 Nieszczęście straszne nas przybiło,  
 Większego jeszcze tu nie było.  
 Nie żyje Trystan, dobry, śmiały,  
 Obroną był krainie całej,  
 Był szczodry i zapobiegliwy,  
 Na wszelką biedę ludzką tkliwy.  
 Martwy tam leży; od zadanej  
 W okrutnym boju zginął rany». —  
 Kiedy tę Isolt wieść usłyszy,  
 Nie rzeknie słowa, ledwie dyszy.  
 Śmierć czuje w sercu rozboleła.  
 Nieomuskana biegnie cwałem  
 Ku pałacowi przed innemi.  
 Nie widział nikt w bretońskiej ziemi,  
 Pomiędzy najurodziwszemi,  
 Urody jako w tej niewieście.  
 Rozgwar po całem poszedł mieście:  
 Kto jest, skąd rodem gość z za morza?  
 — Isolt podeszła wprost do łoża  
 I, obrócona ku wschodowi,  
 Za umarłego pacierz zmówi.  
 «Trystanie» — woła — «przyjacielu,  
 Bez ciebie żyć tu niema celu.

Dla mej miłości zbyłeś życia,  
 Tu mię zabije dziś tęsknica.  
 Skoro nie mogłam dość pośpieszyć,  
 By cię uleczyć i ucieszyć,  
 Kochanku mój, po twoim skonie  
 Szczęścia nie zaznam w żadnej stronie...  
 Radości, śmiechu, ani święta.  
 Niech będzie burza ta przeklęta,  
 Co zawróciła okręt w biegu,  
 Ani mu dała dotknąć brzegu.  
 Gdybym przybyła tutaj wporę,  
 Uleczyłabym ciało chore,  
 Przypominała tobie czule  
 Nasze uciechy, nasze bóle,  
 Naszą korzyść i naszą szkodę,  
 Całą żalostną tę przygodę,  
 Wszystko, co było między nami,  
 Odnowiłabym pieśczołami.  
 Gdy leki moje leżą w grobie,  
 Niechajże umrę tu przy tobie,  
 Niechaj się filtrem tym napoję,  
 Który mi zabił szczęście moje». —  
 To mówiąc, bierze go w ramiona,  
 Pocałunkami zespolona  
 W jednym uścisku wszystka tonie,  
 Wiąże z nim ręce, usta, skronie;  
 Całą postacią wzdłuż się ściele,  
 Umiera tam przy jego ciele.

— — — — —  
 Ja, Tomasz, powieść tem zamykam.  
 Cześć składam wszystkim miłośnikom:  
 Pożądającym i spragnionym,  
 Oszołomionym, ucieszonym.  
 Niech każdy w wierszach mych wyczyta  
 To, co mu właśnie w sercu świta.  
 Prawdę-m tu podał, nie skłamałem,  
 A tak ozdobnie, jak umiałem.  
 Treść i rym najlepszego składu,  
 Zaś cała powieść dla przykładu.  
 Jeno tu, ówdzie wypiększyłem,  
 By sens kochankom stał się miłym.  
 Aby w tem, co się tutaj dzieje,  
 Swe własne odkrywali dzieje,  
 By zaczerpnęli z nich osłody  
 Na zmiany losu, na zawody,  
 Na łzy z pod powiek, serca rany,  
 Na wszystkie miłosne omamy.

(Thomas, *Le Roman de Tristan*, p. p. J. Bédier, t. I. v. 3004—3144.  
 Soc. des anciens Textes fr.)

## MARJA Z FRANCJI

(XII w.)

## LAIS O SŁOWIKU

Powieść wam jedną, miłe panie,  
Opowiem; lai ją zwą Bretanie.  
Ile wiadomo, w tej krainie  
Pod nazwą «laustic» wszędzie słynie;  
Francuzi zwą ją «rossigneule»  
A zaś Anglicy «nightingale».

Tam, gdzie Saint Malo leżą włości,  
Wznosił się gród wielkiej zacności:  
Poblizu gaju, na rubieży  
Stały zameczki dwu rycerzy.  
Ceniono obu w całym kraju  
Dla ich zacnego obyczaju.  
Jeden z nich żył przy żonie młodej,  
Głośnej z powabu i urody,  
Rozsądnej nader i statecznej,  
Układnej, dwornej, strojnej, grzeczej.  
Wielbiona za swój wdzięk niewieści,  
Stała u wszystkich w wielkiej cześci.  
Drugi był szlachcic młodociany,  
Śród szlachty ziem tych dobrze znany;  
Rycerskie wszystkie znał zabawy,  
Na nich się dobił wielkiej sławy.  
Więc na turnieju dziarski, krewki,  
Druhom nie skąpił swej sakiewki.  
Zakochał się w żonie sąsiada,  
Tak ją prosi, nad sobą biada,  
Zaklina, błaga niedaremnie,  
Aż pokochała go wzajemnie.  
Miłość szła sławy jego śladem,  
Nadto tak bliskim był sąsiadem...  
Pilnie chowali się i strzegli,  
By tego obcy nie postrzegli.

— — — — —  
Dama z sypialnej swej komnaty  
Podchodząc do okienka kraty,  
Mogła z kochankiem swoim gwarzyć,  
Drobnemi podarunki darzyć,  
Z okien rzucając je ku sobie.  
Żyli czas długi w tym sposobie.  
W tem tylko mieli troskę całą,  
Że bliżej podejść się nie dało.  
Baczyli na nią domownicy,  
Kiedy ów bawił w okolicy.  
Jak bądź, radości były przednie:  
Bo czyto w nocy, czyto we dnie  
Mogli się przy okienkach schodzić,  
Temu nie zdołał nikt przeszkodzić.

— — — — —  
Długo trwał ten ich raj miłosny,  
Aż powróciła pora wiosny,

Rozzieleniały gaje, lasy,  
Ogrody stały pełne krasy,  
Poprzez zielone przyodziewy  
Płaszęce rozbrzmiewały śpiewy.  
Kto w sobie chęć kochania czuje,  
Nie dziw, że wszystkie je pojmuje. —  
Ten, co w rycerza sercu czyta,  
Wie i pojmuje je dosyta;  
Dama też pełna rozumienia:  
Świadczą jej słowa i spojrzenia.  
W nocy, gdy księżyc był na nowiu,  
A mąż zadrzemał na wezglowiu,  
Rzuciła łożo swego pana  
I szła, jedynie w płaszcz odziana,  
Aby napatrzeć się kochanka  
Przez całą noc aż do poranka.  
Wiedziała to, że choć zdaleka  
Na jej zjawienie pewnie czeka.  
W tem rozkosz czuli niezrównaną,  
Skoro już więcej im nie dano.

Ten rozstrój, to niedosypianie  
Jęły wyglądać podejrzanie.  
Mąż ją zapytał jedną nocą,  
Dokąd wstawała tak i poco.  
«Panie» — mówiła — «wy nie wiecie,  
Niema rozkoszy większej w świecie,  
Jak tych słowicznych słuchać treli;  
One spędzają mię z pościeli.  
Ten słodki śpiew, a niedaleki,  
Nie daje przymknąć mi powieki». —  
Kiedy te słowa mąż usłyszy,  
Ze złości prawie się zadyszy,  
Tedy się nad tem począł głowić,  
Jakby słowika mógł ułowić.  
Zwoływa służbę i poleci  
Gotować pętle, siatki, kleci;  
Nie było drzewa, ani szczepu,  
By tam nie podłożyli lepu,  
Aż ułowili króla pieśni;  
Do pana żywcem go przynieśli.  
Rozradowany, ucieszony  
Pobiegł do komnat swojej żony.  
— «Ozwij się» — wołał tak do pani —  
«Spójrz, co ci tu przynoszę w dani.  
Ten oto słowik jest w mej mocy,  
Co ci nie dawał spać po nocy,  
Ten sprawca nocnej twej rozkoszy  
Już pewnie twego snu nie spłoszył!» —  
Dama się wzdrygnie i zasmuci:  
«Daj go» — do męża się obróci. —

On, gniewny, palce w ptaszka wbije  
 I słowikowi skręca szyję,  
 Nieżywe swojej damie ciśnie:  
 Na pierś okrągłą krew wytryśnie,  
 Krwawą czerwienią broczy szaty;  
 Ze śmiechem wyszedł z jej komnaty.  
 Dama podniosła ptaszka z ziemi  
 I płacze łzami gorącemi:  
 «Przekłete lepy, paści, siatki  
 Zabrały wszystkie me dostatki.  
 Nie wstanę w nocy — jakaż męka!  
 Już nie podejść do okienka,  
 By się dać widzieć kochankowi.  
 Zwodziła mię, tak pewnie powie.  
 Trzeba mi na to znaleźć radę!  
 Ptaszka trup posłę mu i zdradę

Wszystką odkryję». — Zatem wzięła  
 Ciało, w aksamit zawinęła,  
 Wszystek złotemi hafty szyty.  
 Zwołała pazia z dworskiej świty,  
 Smutne poselstwo mu powierza,  
 Posyła zewłok do rycerza.  
 Pazik z poselstwem pani bieży  
 I z pozdrowieniem, jak należy,  
 Oddaje wraz słowiczka zwłoki.  
 Młodzieniec uczuł żal głęboki,  
 Piękną szkatułkę u złotnika  
 Zamówił; trupa w niej zamyka  
 I zawsze ją ze sobą nosi...  
 Przygoda owa się rozgłosi,  
 Tytuł «Lai» dali jej Bretanie  
 A przez nią «Laustic» ma nazwanie.

(*Marie de France, Lais, ed. K. Wornke Halle, 1885, p. 146—151.*)

## CHRÉTIEN DE TROYES

(XII w.)

### PERCEVAL

Poemat «Perceval le Gaulois ou le Conte de Graal» liczy przeszło 45000 wierszy. Chrétien de Troyes jest tu autorem wierszy 1282—10601. Tłumaczenie wyjątków dokonano według wydania Karola Potvin, 1866, w Mons.

(w. 5540—5645)

...Kraina była to północna,  
 Rankiem śnieżycą spadła mocna;  
 Ale Perceval już z zarania,  
 Jak zwykle czynił, wstał z posłania,  
 Rad z nową spotkać się przygodą,  
 I przyszedł, gdzie stał król<sup>1</sup> gospodą,  
 Na pole równe i przestronne,  
 Zmarzłe i całe zaśnieżone.

A gdy stał prawie pod namiotem,  
 Obaczył gęsi dzikie, lotem  
 Lecące szybkim gdzieś do brzegu,  
 Które zmyliła białość śniegu,  
 Z ogromnym wrzaskiem i gromadą,  
 Bo sokół zalatywał stado.  
 Który na jedną, co została  
 Wtyle, z powietrza spadł jak strzała;  
 Tak zaś gwałtownie z góry sunął,  
 Że razem z nią na ziemię runął.  
 Ale był cios za mocny przecie:  
 Sokół przesadził w swym impecie,  
 Gęś się zerwała nagłym lotem  
 I próżno za nią gonił potem.

A Perceval obraca oczy,  
 Widzi, że ziemia krwią się broczy;  
 Gęś była w szyję obrażona,  
 Tak, że z niej trysła krew czerwona.

Trzy krople padły na śnieg biały,  
 Barwy się naturalne zdały.  
 Śnieg starciem gęsi i sokoła  
 Widzi stłoczony, a dokoła  
 Ową krew wybroczoną z rany:  
 Na kopji wsparł się zadumany,  
 W owo barw dziwne pojednanie  
 Wpatrzył się i już trwał w tym stanie.  
 Więc malowidło, co do spółki  
 Śnieg biały z krwią rumianą tworzą,  
 Wyobrażało mu twarz hożą  
 Niezapomnianej przyjaciółki.  
 Patrzy i duma wciąż, i marzy,  
 Aż się zapomni: na jej twarzy  
 Rumieniec się z białością dzieli,  
 Jako ta krew na śnieżnej bieli;  
 Nareszcie mu się zdaje prawie,  
 Że widzi panią swą na jawie.

Perceval duma nad przemianą;  
 W śnieg się wpatruje całe rano,  
 Aż niecierpliwi z tej przygody  
 Wyjdą rycerze doń z gospody;  
 Że się zadrzemał, rozumieli.

Jeszcze nie powstał król z pościeli,  
 Jako, iż była ranna pora,  
 Ale spotkali Saigremora

<sup>1</sup> Król Artus.

U drzwi namiotu; ten ich witął,  
 Poco tak rano przyszedł — pytał.  
 — «Panie, tu przed namiotem wpodłę,  
 Zda się nam, rycerz śpi na siodle».  
 — «Rycerz? i w zbroi?» — «Nie inaczej».  
 — «Pójdę ja spojrzeć, co to znaczy,  
 Zaraz do króla go przywiode».

Saigremor idzie na gospodę  
 I budzi króla. — «Tuż na błoniu» —  
 Powiada — «rycerz śpi na koniu».  
 — «Niech idą» — rzekł król — «i nie bawia,  
 I niech go żywcem tu dostawia».

By mu rumaka prowadzili,  
 Saigremor każe w teźże chwili  
 I wraz podjeżdża, cały w zbroi  
 Tam, gdzie na błoniu rycerz stoi.  
 — «Panie» — odzywa się doń grzecznie —  
 «Król na dwór każe przyjść konieczniel»  
 A tamten nic nie odpowiada.  
 Saigremor znowu doń zagada,

A ten ni piśnie. — «Ha!» — zawoła  
 Z gniewem — «na Piotra Apostoła!  
 Siłą powiodę ja waszmości;  
 Już mi żal prośby i grzeczności,  
 Widzę, że była źle użyta».

Zaraz pochylił kopji drzewce,  
 Na lot pozwolił chorągiewce,  
 Porwał się pod nim koń z kopyta,  
 Na Percevala wprost pogonił. —  
 Saigremor woła, by się bronil.  
 Perceval nań obraca oczy,  
 Widzi, jak pędzi, koniem toczy;  
 W swojej zadumie się owłada  
 I do natarcia kopję składa.

Wpadli na siebie, jak dwa tury,  
 Broń Saigremora poszła w wióry;  
 Nie drgnęła kopja Percevala,  
 Tak silnie naparł przeciwnika,  
 Że razem z koniem go obala...

## RENAUD DE BEAUJEU

(XII w.)

### PIĘKNY NIEZNAJOMEK (PRZYGODA ŚMIAŁEGO POCALUNKU)

A wtem przez otwór ściennej skrytki  
 Smok do komnaty wpełznął brzydki;  
 Tryskął od niego blask czerwony,  
 Jak od gromnicy zapalanej;  
 Komnatę światło to jarzące  
 Skroś przenikało niby słońce;  
 Światły dziwiło cudo nowe:  
 Wargi miał całe purpurowe,  
 A przez nie straszny zionął żarem,  
 Przewyższał smoki swym rozmiarem,  
 Bo taki gruby był w pół-ciała,  
 Jak sakwa mąką napęczniała,  
 Źrenice krwawą czerwień snuły,  
 Jak roziskrzzone karbunkuły.  
 Nieskory w nocnej swej przechadzce  
 Lekko się czołgał po posadzce.  
 Ze cztery sążnie miał od czuba,  
 Ogon trzy liczył do przeguba.  
 Nie widział człek wstrętniejszej stwory.  
 Jakie gdziekolwiek Bóg kolory  
 Stworzył, na grzbiecie miał zmieszane,  
 Podbrzusze zaś jak pozłacane;  
 Pręży się, kurczy, wciąż przybliża...  
 On, by nagłego ująć napadu,  
 Szpadę wyciąga przeciw gadu.  
 Wtem, patrzaj, smok ogromne cielsko  
 Ku stopom chyli przyjacielsko.  
 Więc rycerz z uderzeniem zwleka.  
 Gad pełznie dalej, nie ucieka,

Lecz się podsuwa aż do twarzy.  
 On znowu szpadę w dłoni waży,  
 Omal że smoku nie ugodzi,  
 Który do niego tak podchodzi.  
 A smok powtórnie głowę schyla  
 I łasi się doń, i umila.  
 Rycerz wzniesioną szpadę trzyma,  
 Ciągłe pilnując go oczyma.  
 I oto nowy dziw natury:  
 Usta czerwone jak z purpury  
 Wiążą go władzą tak usiłą,  
 Że indziej spojrzeć mu nie pilno.  
 Stwora ku niemu się rzuciła,  
 Swe usta w jego usta wpiła;  
 Znów się pokłoni uniżenie,  
 Wraca przez ową szparę w ścienie,  
 Która się znów zamyka za nią...  
 I wraz, jakby się nic nie stało,  
 W komnacie znowu pociemniało...  
 Rycerz przy stole siadł w zadumie,  
 Nic z tej przygody nie rozumie.  
 «Boże mój» — rzecze w swym frasunku —  
 «W żmii odważnym pocałunku  
 Władza jakowaś tkwi przemocna;  
 Snać djabeł mię opętał docna,  
 Żem pocałunkom jej folgował:  
 Odtąd mię będzie przesładował».  
 A wtem idącą z owej niszy  
 Niespodziewaną wieść usłyszysz;

Głos temi go zadziwi słowy:  
 «Wiedziałam; tylko Gauvainowy  
 Syn, śmielszy niż wasalów gawieź,  
 Zdolny był z czaru mię wybawić,  
 Że on się jeden nie zatrwoży  
 Dziwów i strachów pełnych grozy  
 I że przecierpi bez wahania  
 Ohydę mego całowania».

— — — — —  
 «Inne ci na chrzcie imię dano:  
 Nie zwiesz się «Piękny Nieznajomek»,

Imię się matki samo chwali:  
 Syn jesteś wróżki Blanchemali.  
 Dała ci broń, miecz i proporzec,  
 Posłała na królewski dworzec.  
 On ci polecił, byś swe ramię  
 W usługi oddał pewnej damie.  
 Oto — żeś w prośbie się nie zwicznął». —  
 Potem za ścianą głos przycichnął;  
 On został, rad ze swego losu,  
 Skoro dowiedział się od głosu,  
 O którym czuł to, że nie zwodzi,  
 Czyim jest synem, kto go rodzi.

(*Renaud de Beaujeu, Le bel Inconnu, p. p. G. Perrie Williams. Les Classiques fr. du M. A. Paris, 1929, v. 3127—3248.*)

## LANCELOT Z JEZIORA

(XIII w.)

(Romans prozą, oparty na poemacie Chreitiéna de Troyes<sup>1</sup>.)

Pierwsze spotkanie królowej Ginewry i Lancelota,  
 jakie spowodował Galehot.

...Królowa rozkoszowała się wielce jego zakłopotaniem, on zaś tak się załął, że omal nie zemdlął, wstydził się jednak dam dworu, które nań patrzyły. Sama królowa przestraszyła się, widząc, że bladł i mienił się na twarzy. I podtrzymała go za potylicę, aby nie upadł, i przywołała Galehota. A on poskoczył co prędzej, a widząc przyjaciela w takim stanie, przeraził się i rzekł: «Ah, królowo pani, powiedz, na Boga, co mu się stało?» A królowa powtórzyła, co mu była rzekła<sup>2</sup>. — «Ah, pani» — rzekł — «zmarwienie mogło go zabić, a byłaby szkoda». — «Niezawodnie» — rzekła — «ale czy ci wiadomo, dla kogo spełniał wszystkie swoje czyny rycerskie?» — «Nie wiem, królowo». — «Jeżeli prawda, co mi powiadał, to dla mnie». — «Pani» — odrzekł — «możesz mu wierzyć, bo jak jest najdzielniejszy, tak samo w sercu jest najszczerzy». — «Zaprawdę, słusznie sławisz jego zacność; gdybyś jeszcze wiedział, ilu dokonał czynów, odkąd został pasowany na rycerza!» — «Pani, winnaś mu dzięki za jego wielkie zasługi». — «Jakież dzięki mam mu złożyć?» — «Pani, wiesz, że cię kocha nadewszystko i że dla ciebie zdziałał więcej niż jakikolwiek inny rycerz. Oto widzisz go przed sobą; wiedz, że ani ja, ani jegomość król nie żylibyśmy w spokoju, gdyby on nie osłaniał nas swą osobą». — «Zapewne» — rzekła — «że więcej uczynił dla nas, niż zasłużyłam, i że wywalczył dla nas pokój; nie uchylę się od niczego, o coby prosił! Ale on o nic mię nie prosi, bolesciwy i milczący, a ciągle płacze, odkąd zaczął oglądać na owe damy. Wyświadczę mu taką łaskę, jaką zechcesz, ale on nie prosi mię o nic». «Pani» — rzekł Galehot — «to dlatego, że nie śmie, bo za kochaniem idzie lęk, ale ja proszę w jego imieniu... Proszę więc, abyś mu ofiarowała miłość i mianowała go swoim rycerzem na zawsze i została jego wierną damą po wszystkie dni; a to uczyni go bogatszym, niż gdybyś mu ofiarowała cały świat». — «Zezwalam zatem» — rzekła — «abym wszystka była jego a on mój i żeby za twoją poręką dokonał się ten układ». — «Pani» — rzekł Galehot — «dzięki tobie; teraz brak jeszcze zastawu». — «Nie wymyślisz nic» — rzekła królowa — «czegobym nie uczyniła». — «Pani» — rzekł Galehot — «wielkie dzięki; zatem ofiaruj mu przede mną pocałunek szczerzej miłości». — «Na pocałunek nie miejsce tutaj ani pora; bądź pewny, że pragnę go równie jak on, ale te damy dziwiłyby się wielce naszemu postępkowi; niepodobna, aby nie spostrzegły; mimo to, jeżeli sobie życzy, chętnie uczynię».

On zaś tak był rozradowany i odurzony, że nie mógł wymówić nic więcej, jak tylko: «Dzięki ci, pani». — «Ha, królowo» — rzecze Galehot — «nie chciej wątpić o tem,

<sup>1</sup> Czynnny w epizodzie Paola i Franceski, «Piekiło» p. r. w. 133. — Galehaut, przyjaciel Lancelota, pośrednik miłości.

<sup>2</sup> Podrażniła go aluzją do jakiejś innej miłości.



czego wszystek pragnie, nikt zaś nie spostrzeże, bo my wszyscy troje wycofamy się, jakby w celu swobodnej rozmowy». — «Czemużbym się kazała jeszcze prosić» — rzekła — «skoro więcej pragnę niż ty i on».

Zaczem wychodzą wszyscy troje; królowa widzi, że rycerz nie śmie posunąć się dalej; bierze go za brodę i wobec Galehota całuje go i trwa tak długo, aż dworka Malahot się spostrzeża. Tedy zaczęła mówić królowa roztropna i śmiała: «Luby, słodki przyjacielu, teraz jestem twoja i wielce tem uradowana. Bacz, aby miłość nasza pozostała w ukryciu, jak należy; bo jestem jedną z niewiast na świecie najlepszej sławy; gdyby ta sława ucierpiała przez ciebie, miłość ta stałaby się brzydka i podła. Proszę i ciebie, Galehocie, który głównie w tem działałeś; bo gdybym poniosła szkodę, twoją byłoby to winą; jeżeli, przeciwnie, mam stąd radość i uciechę, tobie je zawdzięczam».

(*L'episodio del Lancelot ricordato da Dante, Inf. v. 127—137.*  
P. p. E. Monaci, Testi romanzi. Roma, Loescher 1904.)

### GACE BRULÉ

(XII w.)

#### KANCONA

Ptaszki ziemi mej słyszałem,  
Siedząc tu w Bretanji;  
Po ich nucie to poznałem,  
Bo w słodkiej Szampanji  
Brzmią te same tryle,  
Choć się może myślę. —

Jednak dzięki ich nauce  
Ja też pieśni nucę;  
Dotąd się w nich ćwiczę,  
Aż mi Amor da w nagrodzie  
Spragnione słodczyce.

Póki trwały me nadzieje,  
Suche miałem oczy;  
Dziś ni cieszę, ni się śmieję:  
Na kogo się Amor boczy,  
Z trudem wydobrzeje.

(*Les Chansonniers de Champagne aux XII et XIII siècles, p. p. Tarbé, Reims 1850.*)

Ona duszę, serce moje  
Wtrąca w takie niepokoje,  
Żem obłądnej nabrał miny;  
Co o innych rzec się boję,  
We mnie niema winy.

Pocałunek mi pamiętny  
Z chłopięcego lata;  
Jego woń, gdym dziś jej wstrętny,  
Jeszcze mię dolata.  
Skoro mi nie broni,  
Bym się zbliżył do niej,  
Czemuż się nie skłoni?  
Wiadomo jej doskonale,  
Że się żywcem palę;  
W tej tęsknicy przenamietnej  
Sam się nie ocale.

### CONON DE BÉTHUNE

(XII w.)

#### BELLE DOUCE DAME

Moja pani słodka, miła,  
Tak mię czarem zniewoliła  
Tajnych sił,  
Że gdybym już w Raju był,  
Na ziemiębym szedł zpowrotem  
Z tym warunkiem, że już potem  
Z pełnych żył

Przychyłość będę pił;  
Wszak nigdy nie doświadczyła,  
Bym tam, gdzie mi zawierzyła  
Zdradę krył.

Schowaj miecz, coś wyostrzyła.

(*Conon de Bethune, Chansons, p. p. A. Wallenskjöld, Paris 1923. Les Classiques fr. du M. A.*)

Niewinnym, więc się nie kają,  
Srogiej krzywdy nie zataję,  
Gniew mię żga.  
Dla pochlebców ucho ma,  
Innych cierpi zalotników,  
Zmienna, sroczce obyczaje  
Chowa, śle w pogańskie kraje.  
Serce me się nie ukorzy,  
Nie popłyną z ócz mych słozy,  
Jej dom się pustelnią staje  
Cierpiętników.

Przebacz, kochać cię przestają.

## GEOFFROIS DE VILLEHARDOUIN

(um. 1213)

## ZDOBYCIE KONSTANTYNOPOLA

211. Ku temu poselstwu zostali wybrani Conon de Béthune i Godfryd z Villehardouin, marszałek Szampanji, i Emil Brabantczyk z Provins; książę Wenecji wysłał 3 magnatów swej rady. Posłowie wsiedli na konie, ze szpadami u boku, i podjechali pod bramę pałacu Blanguerny. A trzeba wam wiedzieć, że narażeni byli na wielkie niebezpieczeństwo i zgubę, zważywszy zdradzieckość Greków.

212. Skoro zsiadli u bramy i weszli do pałacu, obaczyli cesarza Aleksego i jego ojca, cesarza Sursaka, siedzących obok siebie na dwu tronach. Obok siedziała cesarzowa, żona ojca i macocha syna a siostra króla węgierskiego, dama urodziwa i zacna. Naokół zaś wielu dostojników, dwór jak się widziało potężnego księcia.

213. Za zgodą posłów, pierwszy głos zabrał Conon z Béthune, wielce roztropny i wymowny: «Panie, przybyliśmy do ciebie od naszych baronów wojskowych i od księcia Wenecji. Wiedz, że ci wypominają wielkie usługi, jakie ci świadczyli, co wszystkim jest wiadome i widoczne. Przysiągłeś im, ty i twój ojciec, że dopełnisz zawartej z nimi umowy, a dokumenty na to istnieją. Nie dopełniłeś, jak byłeś powinien.

214. Upominali cię po wielokroć i my cię też upominamy w obliczu baronów, co nas wysłali, abys im dotrzymał, coś był przyrzekł. Jeśli to uczynisz, wielce będą radzi; jeżeli nie, wiedz, że od tejsze godziny nie będą cię uważali ani za pana, ani za przyjaciela, owszem będą poszukiwać swego wszelkimi, ile będą mogli, sposobami. Oświadczają nadto, że nie wyrządzą nic złego ani tobie, ani nikomu, póki nie rzuca ci wyzwania, gdyż nie byli nigdy zdrajcami, ani to jest obyczajem ich kraju. Słyszałeś, cośmy tu powiedzieli; poweźmiesz postanowienie, jakie ci się spodoba».

215. Zdziwieni byli bardzo Grecy i uważali za obrazę takie wyzwanie, i powiadali, że nikt jeszcze dotąd tak zuchwały nie był, aby śmiał rzucić wyzwanie cesarzowi Konstantynopola w jego własnym pałacu. Złą minę ukazał posłom zarówno cesarz, jak Grecy, dawniej tak pełni uprzejmości.

216. Wrzawa ogromna podniosła się poza pałacem; posłowie wracają, podchodzą do bramy, dosiadają koni. Za bramą odetchnęli z ukontentowania; i nie dziw, bo uszli wielkiego niebezpieczeństwa; boć mało brakowało, aby wszyscy nie zostali albo ubici, albo uwięzieni. Tak wrócili do armji i opowiedzieli baronom, co działo się. Tedy zaczęła się wojna i srożyła się na lądzie i morzu. Po wielokroć starli się Frankowie i Grecy, a nigdy, Bogu dzięki, nie zdarzyło się, aby Grecy nie ucierpieli bardziej. Trwało to aż po środek pory zimowej.

217. Tedy wymyślili Grecy wielki podstęp: wybrali 17 wielkich okrętów, napełnili drwem, wiórami, pakulą, smołą, beczułkami i doczekali pory, kiedy podniósł się gwałtowny wiatr. I w połowie pewnej nocy zapalili okręty i podnieśli żagle; ogień strzelił wysoko; zdało się, że wszystka ziemia gore. Tak poleciały ku okrętom krzyżowców; krzyk podniósł się wśród wojska; do broni rzucają się ze wszystkich stron. Wenecjanie biegną ku swym statkom, inni też ku swoim; zaczynają całą mocą ratować je od pożaru.

218. Świadkiem Gotfryd, marszałek Szampanji, który tę książkę dyktował,<sup>1</sup> że nigdy na morzu nikt nie był obrotniejszy od Wenecjan; bo wskakiwali na galery i na łodzie okrętowe; płonące statki chwyтали harpunami i wywlekali je poza port ku nieprzyjacielowi, i puszczali na prąd Złotego Rogu, i pozostawiali tam płonące. Greków skupiło się na brzegu bez liczby i miary, krzyk rozlegał się tak ogromny, jakby ziemia i morza się zapadały. Wsiadali na łodzie i barki ratunkowe i ciągnęli ku statkom ratowniczym. Byli też ranni.

<sup>1</sup> Zazwyczaj autor, nawet poeta, sam nie pisał; miał swojego skrybę; dlatego w wiekach średnich «twórca» zowie się pospolicie «dyktatorem».

219. Rycerstwo, stojące obozem, skoro tylko usłyszało krzyk, uzbroiło się wszystko i w szyku bojowym wyruszyło każde przed siebie, jak obozowało, w obawie, aby Grecy nie zaskoczyli ich od strony ładu.

220. Znosili tę mitręgę i tę obawę aż do świtu, ale z pomocą Bożą nie straciło się nic prócz jednego okrętu Pizanów, pełnego towaru; ten został strawiony ogniem.

(G. de Villehardouin, *Conquête de Constantinople*, p. *Natalis de Wailly*, 2 éd. XLVI—XLVII.)

## ROMANS O DOËCIE

(XII w.)

Piękna Doëtta zasiadła w balkonie,  
W rękę ma księgę, myślą indziej tonie;  
Tęskni bez miary po swym lubym Doonie,  
Co na turniejach biega w obcej stronie —  
A teraz mi żal.

Pacholek zjechał pod zamkowe schody,  
Odpiął od siodła podróżne toboły;  
Piękna Doëtta podbiegła czem skorzej,  
Czeka z ust posła nowiny wesołej —  
A teraz mi żal.

Piękna Doëtta pyta go i bada:  
— «Gdzie jest mój luby, com go widzieć rada?»  
Z ócz lży mu cieką, bólem swym nie włada;  
Doëtta mdleje, pólmartwa upada —  
A teraz mi żal.

Piękna Doëtta krzepi się i cuci,  
Patrzy na posła, mowę doń obróci;  
Gniew z niepokojem w jej sercu się klóci.  
— «Gdzież się podziewa mój pan, kiedy wróci?»  
A teraz mi żal.

— «Gdzie pan mój» — pyta w ogromnej obawie —  
«W żalości po nim dni i nocy trawię...»  
— «Pani, na miły Bóg, prawdę wyjawię:  
Nie żyje, zginął w rycerskiej rozprawie» —  
A teraz mi żal.

Piękna Doëtta byt zaczęła wdowi:  
O mój rycerzu grzeczny, dzielny, hojny!  
Przez twoją pamięć strój wezmę zakonny,  
Nie włożę więcej sukni ukwieczonej —  
A teraz mi żal

W świętopawelskiej pustelni.  
Wystawię klasztor pod takim wezwaniem:  
Gdy przyjdzie odpust, a ktoś chce być na nim,  
Jeśli się splamił fałszywem kochaniem,  
Będzie odpędzon krzykiem i łajaniem —  
A teraz mi żal.

W świętopawelskiej pustelni  
Piękna Doëtta sprawy nie umorzy:  
Garną się wierni i coraz ich sporzej.  
Chce widzieć razem, dwór sobie z nich złoży,  
Którzy zaznali mąk miłosnej grozy —  
A teraz mi żal

W świętopawelskiej pustelni.

(Altfranz. *Romanzen u. Pastourellen*, hsg. v. K. Bartsch, Leipzig 1870, p. 5—6.)

MISTERJUM O ADAMIE (JEU D'ADAM)  
(XII w.)

Djabeł, nie mogąc skusić Adama, zwraca się do Ewy:

Djabeł: Ewo, przed tobą tu się jawię.

Ewa: Po co przybywasz? W jakiej sprawie?

Djabeł: Pragnę twej chwały, twej korzyści.

Ewa: Dajże mi Bóg, niechaj się ziści.

Djabeł: Nie bój się; zdawna niedaremnie  
Wglądam w tajemnic rajskich ciemnie.  
Część ich, jeśli chcesz, ci wyjawię.

Ewa: Mów żywo, słucham cię ciekawie.

Djabeł: Uwierzysz-li w to, co-ć ukazę?

Ewa: Mów, żadnem słowem nie obrażę.

Djabeł: Mogę-ż zaufać?

Ewa: Masz me słowo.

Djabeł: Nikt się nie dowie?

Ewa: Ręczę głową.

Djabeł: W twem słowie mam to, czego czekam:  
Innego się zastawu rzekam.

Ewa: Rada-m, że tem cię zadowolę.

Djabeł: Widzę, że byłaś w dobrej szkole<sup>1</sup>.  
Adam jest tępy, — aż niepięknie!

Ewa: Nieco przytwardy.

Djabeł: No, to zmięknie.

Doprawdy, twardy jak żelazo.

Ewa: Zacny.

Djabeł: Lecz zrobi to, co każą.

Jeśli o własny zysk nie stoi,

Niechby dbał o uciechę twojej.

Miluchna jesteś, wążla, wiotka,

Jak zapach świeżej róży słodka.

A bielsza jesteś od kryształu:

Śnieg nie dorówna twemu ciału.<sup>2</sup>

Marnie dobrane wasze stadło:

On trzop, ty czuła — źle wypadło.

Zato-ś ty mędrsza: widno z twarzy,

I wielka myśl się w tobie waży.

Mówić chcę z tobą jedną w świecie,

Ty jedna pojdziesz...

Ewa: Mów-że przeciel!

Djabeł: Posłuchaj więc o wielkiej zdradzie,  
Co na was uknuł Bóg w tym sadzie.

Te drzewa, coście niemi władni,

Nie mają w sobie mocy żadnej,

A zato owoc zakazany

W cenne własności jest przybrany.

W nim właśnie łaska jest żywota,

W nim władztwa i potęgi cnota,

W nim wiedza złego i dobrego...

<sup>1</sup> Zawierają jakby akt notarialny z epoki współczesnej autorowi!

<sup>2</sup> Zapomina, że w Raju nie śnieży.

E w a: Jakiego smaku?  
 D j a b e ł: Niebiańskiego!  
 Gwoli twych kształtów, twojej twarzy  
 Dobra sposobność tu się darzy,  
 Abyś się stała panią społem  
 Nad wyżynami, nad padołem,  
 Byś poznała po lat krawędzie  
 Wszystko, co jest i kiedyś będzie.

E w a: Takie-ż to jabłko.  
 D j a b e ł: Tak, zaiste.  
 E w a (*przyglądając się*): Już czuję: wonne i soczyste.  
 D j a b e ł: A cóż dopiero, gdy skosztujesz!  
 E w a: Czy ja wiem...  
 D j a b e ł: Jeszcze medytujesz?  
 Uszczknij-że pierwsza, skosztuj sama,  
 A potem namów też Adama.

*(Wąż, złożony sztucznie, wspina się wgórze po pniu drzewnym. Ewa nadstawia ucha, jakby słuchając namowy. Potem szczknie jabłko i podaje Adamowi, ten jednak zrazu go nie bierze.)*

E w a: Jedz-że Adamie, niech cię znęcę;  
 Szczęście nam samo wpada w ręce.  
 A d a m: Czyż takie smaczne?  
 E w a: Sam poczujesz.  
 Nie dowiesz się, gdy nie skosztujesz.  
 A d a m: Boję się.  
 E w a: Idź-że!  
 A d a m: Nie uczynię.  
 E w a: Taka krew tchórza w tobie płynie?  
 A d a m: Podaj więc; biore.  
 E w a: Gryź-że, gryź,  
 I złe i dobre poznasz dziś.  
 Ja pierwszabym skosztować rada.  
 A d a m: A ja po tobie.  
 E w a: Tak wypada.  
*(Odgryza połowę i rzecze):*  
 E w a: Ugryzłam! Co za słodycz, Boże!  
 Nic smaczniejszego być nie może.  
 Przedziwna lubość w serce cieczę!  
 A d a m: Takie-ż to jabłko?  
 E w a: Nadczyłowieczel!  
 Tak mi się jasne wszystko staje,  
 Sama się Bogiem być wydaję.  
 I to, co jest i kiedyś będzie,  
 Widzę po wszystkich lat krawędzie.  
 Jedz-że Adamie, nie żmudź dłużej,  
 Ujrzysz, jak dobrze ci posłuży.  
*(Adam bierze jabłko z ręki Ewy).*  
 A d a m: Wierzę ci, wszakżeś moja żona.  
 E w a: Ugryź już, duszo zalekniona.

*(Adam je, pochyła się, zamienia bogaty strój na ubogą osłonę z liści i jęczy.)*

A d a m: Nieszczęsny, cóż ja uczyniłem!

*(Następuje kara; zjawia się na nowo Figura (Bóg), gromi grzeszników; Anioł wypędza ich z Raju.)*

*(Le Mystère d'Adam (XII siècle), p. p. H. Chamard, Paris 1925, v. 205—314.)*

## RUTEBEUF

(um. ok. 1285)

## CUD O TEOFILU

-----  
 Teofil powraca do Saladyna<sup>1</sup>.

Teofil: Czy nie przybywam tu za wcześnie?

Jakże ci poszło? Sprawa gładka?

Saladin: Tak jak z płatka.

W czym ci twój pan aż dotąd szkodzi,  
 Wynagrodzi.

Będzie ci wszelka cześć oddana;

Więszego z ciebie zrobi pana

Niż po dziś dzień.

I nikt cię już nie zepchnie w cień;

Chcesz być ceniony — sam się ceń.

Zbieraj nogi,

Dołu w niziny bież bez trwogi.

Pacierzem nie bij w Boże progi;

Korne modły

Patrzaj, do czego cię przywiodły.

Jaki dla ciebie zysk był podły,

Jak cię nagroził losem brzydkim,

Terazbyś wyszedł całe z kwitkiem

Bez mej opieki.

Idź-że, kres nędzy niedaleki;

Żywo bieżaj,

A temu Bogu nie dowierzaj.

*(Teofil idzie ku djabłu z ogromnym strachem, a djabeł powiada):*

Djabeł: Otrzęśnij-że się z tej febry;

Nie wyszedłeś tu na zębry.

Czego żąda, na co czyha

Ten twój pan? Jaka w nim pycha!

Teofil: Zważ, panie: został opatem,

Więc teraz mię pędzi światem,

Przeto ku tobie przychodzę,

Pomóż skrzywdzonemu srodze.

Djabeł: Prosisz?

Teofil: Proszę.

Djabeł: W poddaństwa znak

Złóż ręce. Złożyłeś?

Teofil: Tak.

Djabeł: Otrzymasz za to hojny żołąd.

Teofil: Oto ci, panie, składam hołąd,

Z tem, że wraz dana mi odplata

Będzie dziś i po przyszłe lata.

Djabeł: Ja równie ten ci zakład złożę,

Że stawię cię między wielmożę,

Magnatem między magnatami,

Ale nim układ między nami

Stanie za obopólną chęcią,

<sup>1</sup> Saladyn — jakkolwiek w wiekach średnich szanowany, dla gminu jest równoznaczny z djabełem, podobnie jak «bóg pogański», Mahomet.

Wiedz, cyrograf ten, z pieczęcią,  
Z treścią dokładną i jasną,  
Wypiszesz tu ręką własną.  
Bywały takie już oszusty,  
Co jeno zaprzysięgli usta  
I zwiedli... Pisz na pergaminie.

Teofil: Tu jest: jak każesz, tak uczynię.

*(Po tym akcie lenniczego hołdu opat z wewnętrznej tajemnej pobudki zmienia odrazu nietaszkę na łaskę i zwraca Teofilowi prawa prebendy. Po latach Teofil wchodzi w siebie, natychmiast zjawia się Matka Boska z ratunkiem.)*

Matka Boska: Szatan, szatan, wyjdź-no z podziemi!  
Wypełzasz zwodzić ludzkie plemie,  
Przez cię duch mego klerka drzemie:  
Licha warta,

Szatan: Zdradziecka sztuka. Gdzież ta karta?  
Bronić nie będę.

Przeze mnie dostał swą prebendę,  
Stryczka sam na się nie upręde.  
Dzięki mnie wspiął się na swą grzędę,  
W tej otusze

Byłem, że odda mi swą duszę.

*(Matka Boska odnosi cyrograf Teofilowi, który śpieszy do opata, objawiając skruchę. Opat za pokutę opowiada publicznie grzech i nawrócenie grzesznika.)*

*(Rutebeuf, Le Miracle de Théophile (XIII s.). Les Classiques fr. du M. A. Paris 1925, v. 204—255; 573—584.)*

## ROMANS O LISIE

(XII w.)

Renart, oskarżony o zbałamucenie wilczycy Hersenty, małżonki Isengrina, wyłgiwa się bezkarnie, — wtem przed sądem królewskim staje kogut Chantecler w gronie swoich kwoczek; domagają się ukarania rabusia za zamordowanie kurki Łyski.

...«Pani Krasulko», — król powiada —  
«Za duszę ojca, duszę dziada  
Jeszczem nie złożył dziś jałmużny;  
Jestem ci basarunek dłużny,  
Boś zadośćuczynienia warta.  
Niewzłocznie posłę po Renarta;  
Obaczysz tu na oczy jasne,  
Usłyszysz tu na uszy własne,  
Jaki akt zdobi króla-sędzie,  
Jaka tu pomsta za grzech będzie,  
Za mężobójstwa i za mordy». —  
— Śmiech zachichotał z wilczej mordy;  
Zaraz na obie nogi wstanie.  
— «O, wielkoduszny królu panie,  
Będą cię sławić bory wszystkie,  
Jeżeli pomścisz nam Krasulkę,  
Co jej potargał lis koszulkę  
I siostrę jej, zabitą Łyskę.  
Nie złość; współczucie dla niebogi  
Wzbudziły we mnie rankor srogi». —  
— «Mój przyjacielu» — król powiada —  
«Zbyt wiele się na gniew mój składa.

Nie po raz pierwszy, ani wtóry  
Mord wnosi między lasy, góry,  
Swoje porubstwa, swą zuchwałość,  
Na mój ogromny ból i żalność;  
Wbrew naszych związków i przymierzy  
Dokoła jeno hańbę szerzy.  
Lecz o tej sprawie więcej nie rzekę...  
Burku mój luby, weź komeżkę,  
Odprawisz modły za jej duszę.  
A potem ty, panie Rykoniu,  
Grób mi wykopiesz w tem ustroniu». —  
— «Rozkaz królewski!» — Burek rzecze  
I zaraz w komżę się oblecze.  
Więc król i Rada, i kto żyje  
Rozpoczynają egzekwije.  
Ślimaczek Późniak wtem powstanie  
I wyśpiewywa trzy litanje.  
Roënel czyta wiersz psalterza,  
Łami-prut jeleni takt odmierza.  
Egzekwije zgodnie odśpiewano;  
Trup kwoczki w trumnę ołowianą  
Zamknięto, zdobną w ornamenty;

Piękniejszych nigdy nie widziano.  
Grób wykopano tam w podcieniu,  
Z napisem wrytym w kamieniu,  
Gdzie wyrażono imię kurki  
I wiek jej, z prośbą o paciórki.  
A Burek bieżał od wieczoru,  
Aż do «Złej Dziury» naskrós boru,  
Przekradając się śladem perci;  
Że gruby był, kudłatej sierci,  
Nie doszedł jak do skalnej ściany,  
Zatrzymał się u barbakany.  
Lis chytrze cofnął się od proga,

Aż po najdalszy kął barłoga.  
Opatrzył dobrze swą komórkę:  
Właśnie w niej złożył sporą kurkę,  
Która nie była wcale chuda.  
Zjadł na śniadanie oba uda,  
Teraz mu dobrze — wypoczywa. —  
Burek do niego się odzywa:  
— «Renart, słuchaj-no, spójrz do góry;  
Ja jestem poseł króla, Bury,  
Wyjdz tu na halę, grzecznie proszę,  
Rozkaz królewski ci przynoszę...»

Renart opowiada mu długo o obiadach wielkopańskich, czem pobudza oskome głodnego. Sam — powiada — na wety uraczył się plastrem świeżego miodu, zebranego w pewnym miejscu lasu. Burek prosi, by go tam zawiódł, przysięga przyjaźń. Lis wiecie go w gęstwinę...

Lanfred pracował u wyrębu:  
Właśnie ściał pień słusznego dębu;  
A gdy przerabiał pnia połowę,  
Podłożył kliny dwa dębowe.  
— «Burku» — w te słowa lis zaszczekał —  
«Tam znajdziesz to, com ci przyrzekał;  
Pić będziem, gdyśmy już obżarci.  
Pod spodem wejście jest do barci;  
Niechaj się święcą takie dęby!  
Nuż, nachyl się, nadstaw gęby». —  
Więc Burek silił się ku dziurze.  
Wzniósł tylne nogi; w tej posturze  
Widząc go, lis się umknie zwinnie

I tak popycha go uczynnie:  
— «Głupi» — powiada — «otwórz paszczę;  
Plastr miodu już ci język głaszcze.  
Ty taki, szerzej rozchyl szczęk!» —  
Rzecz i hańbi mu spodniki.  
A Burek zaklął, wściekły z głodu:  
— «Wszak niema tam ni kropli miodu!» —  
Ni miodu, ni też woskowiny.  
Gdy tak jęzorem dziuplę ślini,  
Renart wrywa oba kluby.  
Więc głowa Burka, żebra, gruby  
Kark były wzięte niby w kleszcze.  
I tak tam wisiał długo jeszcze...

## EWANGELJA NIEWIEŚCIA

(XII w.)

Kto do życia błogiego a pogodnego wzdycha<sup>1</sup>,  
Niechaj ufa niewieście, z miłości niech usycha.  
Żaden fałsz jej nie kala, złość ani zdrada licha  
Niewieksza niżli w liszce, kiedy na zdobycz czyha.

Kto nie kocha niewiasty, duszę da w ręce czarta;  
W jej wdzięku i w jej cnotach słodycz jest nieprzeparta.  
Dawać jej jakieś rady, rzecz jest tak mało warta,  
Co chcieć zatrzymać w biegu rozpedzonego charta.

Kto niewieście złorzeczy, ten źle sobie poczyną;  
Jeśli krzywdy gdzie doznał, pewnie jego jest wina.  
A gdy kto dobrej rady u niej się dopomina,  
Niewiecej mu pomoże, niż trująca gadzina.

Kto obmowy nie słucha, niewiastę zawsze chwali,  
Wszystek w niej się lubuje, przy niej się doskonali.  
A kto ją pozna bliżej i z nią się spoufali,  
Jakby w koszu dziurawym po morskiej płynął fali.

<sup>1</sup> Złośliwy dowcip tego wielce popularnego utworu leży w tem, że 3 pierwsze wiersze kwatryny zawierają pochwałę, a ostatni jest jej zaprzeczeniem.



W niewieście zawsze znajdziesz najpewniejszą warownię,  
 Medycynę, co leczy i naprawia cudownie;  
 Z nią żyć będziesz w wygodzie, bezpieczny niewymownie,  
 Jak pakuły rzucone na zapaloną głownię.

Nader ten mądrze czyni, co dla niej mienie trawi;  
 Co ją nazywa panią i pieści ją, i bawi,  
 Co jeszcze za żywota dziedzictwo jej zostawi:  
 Takiej dozna podzięki, jak ten, co pieski pławi.

— — — — —  
 Między nami, dziewczeczki, jeśli która mię słucha,  
 Niech na mnie się nie dąsa, i niech się udobrucha;  
 Na wszystkie te pochwały niech raczej będzie głucha,  
 Ni łasa na pochlebstwa, jak na miód słodki mucha.

(*Evangile aux Femmes p. p. L. Constans Chrestomathie, Paris 1906, nr. 43.*)

## ROMANS O RÓŻY

(XIII w.)

### GUILLAUME DE LORRIS

(um. ok. 1230)

#### OBLUDA (PAPELARDIE)

...Tuż malowane sztuki cudo:  
 Snadnie zwać można je «Obludą»,  
 Słowem ją «papelardy» znaczym;  
 To jest istota, co cichaczem,  
 Gdzie ino może zajść człowieka,  
 Z podłym zwyczajem swym nie zwleka.  
 Na pokaz ruchy ma obleśne  
 A rysy szczerze i bolesne,  
 Z pozoru postać bogoduszna,  
 W sercu złośliwa i zajusna,  
 I okrutnica bez ratunku.  
 To wszystko widno w wizerunku.  
 Z oblicza szczerłość i prostota  
 Tryska, a wewnątrz — to lichota.  
 Takie sandały, taka szata,  
 Jak mniszki, co się wzdryga świata.

Ręka nabożnie brewjarz trzyma,  
 Cała wtopiona weń oczyma.  
 Za każdym słowem Boga chwali,  
 Ze świętymi się poufali;  
 Ni się uśmiechnie, ni przymili,  
 Zdumiewać cnotą wciąż się sili.  
 W grubym przechadza się habicie,  
 Nie bierze leków na utycie;  
 Twarz ma bezkrwistą, jak w agonji...  
 Dla niej i dla podobnych do niej  
 Zamknięte rajskie wirydarze.  
 Kiedy wychudzą swoje twarze,  
 To, jako rzekł ewangelista,  
 By cnotą dobić cię doczysta.  
 Po mieście chodzą w takiej pysze,  
 Lecz Bóg im tego nie zapisze...

### JEAN DE MEUNG

(ok. 1250 — przed 1305)

\* \* \*  
 ...Wszystkie z urodzenia wolne,  
 Niestety, prawom powolne,  
 Co odbierają im zgóry  
 Wolność daną od natury.  
 Jeżeli pomyślisz trochę,  
 Poznasz: natura stworzyła  
 Haneczkę albo Jawdochę  
 Nie dla jednego Hawryła.  
 Nie dla Robertka Marusia,  
 Ani Jagna dla Pietrusia.

A raczej wszystkich dla każdej,  
 Zasię wszystkie dla każdego.  
 Wszystkie i dla wszystkich wspólne.  
 Skrępowane, więc potulne,  
 Pozbawione pełnej woli,  
 Dla uniknięcia swawoli,  
 Waśni, sporów i bijatyk,  
 Także dla chowania dziątek,  
 Jakich przecie wszystkie życzą,  
 Żywią zawsze buntowniczą

Chęć przyrodzonej wolności;  
Przy najbliższej sposobności  
Mężatce, dziewczynie młodej,  
Z urodą czy bez urody,  
Owych swobód się zachciewa.

Stąd się tyle zła rozsiewa  
I wciąż się rozsiewać będzie.  
Wymieniłabym w rozpędzie  
Nie dziesięć, sto albo więcej,  
O tem pleść, śmiertelnie męczy...

## MUZYKA GWIAZD

Król-Słońce, które świeci światu,  
W chwale władczego majestatu  
Pośrodku dworskich gwiazd drużyny  
Zasiada; tam nie bez przyczyny  
Bóg dobry, możny wiedzy wiecznej,  
Umieścić tam chciał glob słoneczny;  
Bo gdyby nieco niżej krążył,  
Ziemię w płomieniachby pograżył;  
A gdyby wyżej, w braku ciepła  
Naskroś przemarzłaby i skrzepła.  
Stąd Księżycowi, gwieździe każdej  
Blask rzuca w czas ich nocnej jazdy;  
Takim powabem krasi lice,  
Kiedy noc swe zapala świece  
I do obiadu stół nakrywa,  
Aby się wydać mniej straszliwa  
W obliczu męża Acheronta.

— — — — —  
Radby z nią zostać samolubny,  
Jak z panną młodą w czas poślubny,

(*Roman de la Rose, p. p. Fr. Michel, Paris 1864, w. 407—460 i 14821—14848  
oraz 17848—17894.*)

Kiedy wstąpiwszy do łożnice,  
Spłodził z nią one trzy djablice,  
Które spełniają rządy w piekle,  
Okrutnie rządząc i zaciekle. —  
Rozmyśla w głębi swej pieczary,  
Ze światły mroczny był i szary,  
Przykry i brzydki, i żałobny,  
Gdyby jasnością nie był zdobny  
Świateł, co się po niebie toczą,  
Na firmamencie tle migocą,  
Ślad znacząc pośród sfer bezdroży.  
Tak je rozmięcił rozkaz Boży,  
One to źródłem są harmonji,<sup>1</sup>  
Z której melodia wszelka dzwoni  
Z wszystkimi odmianami tonów:  
Oto niebiańskich śpiew regjonów,  
Z niego się wszelka zgodność rodzi,  
Wszystka też różność zeń pochodzi;  
Zmieniają się pod tym nakazem  
Substancja i jej przymiot razem...

## FRASZKA O KUROPATWACH

(XIII w.)

Skoro są mem rzemiosłem fraszki,  
Powiem waćpanom dla igraszki  
O pewnej prawdziwej przygodzie.  
Oto chłop jeden w swej zagrodzie  
Przyłapał kuropatew parkę.  
Niesie je, żonę, cną szafarkę,  
Woła i każe piec na rożnie.  
Więc ona zmyślnie i nabożnie  
Rożen oczyści, ogień wznieci,  
Tymczasem chłop z chaty wyleci  
I pędzi duchem do parocha,  
A zatrzymuje się co trochu.  
Tymczasem kurki się dopiekły  
A strużki tłuszczu z nich pociekły.  
Więc pani skosztowała skórki:  
Łakoma była na cieciorce,  
O wielkie dobra się nie kusi,  
Lecz mieć uciechę jakąś musi.  
Do kuropatwy się podkraśla,

Oba skrzydełka rażno zjadła,  
Potem wybiegła aż za dźwierze  
Patrząc, czy męża nie dostrzeże.  
Skoro sprawdziła, że go niema,  
Powraca duchem do komina.  
— «Szkodaby» — rzecze — «ptaszka, szkoda»,  
I tem odwagi sobie doda.  
Więc resztę kuropatwy schrupie,  
A potem chodzi po chałupie  
I myśli, nie mieszkając długo,  
Że trzeba będzie schrupać drugą.  
Znalazła sobie wybieg łatwy:  
Gdy spyta: — «Gdzież te kuropatwy?»  
Odpowie: «Wpadły tu dwa koty,  
Sprawcami szpetnej są roboty.  
Z rąk oba ptaszki jej wydarły,  
Potem wyniosły się i zżarły...»  
I znowu wyszła aż za dźwierze  
Patrząc, czy męża nie dostrzeże,

<sup>1</sup> Myśl platońska.

A jego jak niema, tak niema.  
Wraca i znów jej idzie ślina  
Do drugiej, co tam tłuszczeniem cieknie:  
Czuje to pewnie, że się wścieknie,  
Jeżeli sobie nie użyje.  
Z rożenka ściąga ją za szyję.  
Zajada mięso, chrząstki, smalce  
I jeszcze sobie liże palce.  
— «Niech Bóg mię» — rzecze — «darzy

zdrowien,  
Jeśli zjem wszystko, cóż mu powiem?  
A nie zjeść trudno — rzecz wiadoma». —  
Gdy taka zbiera ją oskoma,  
Do reszty kuropatwę zjada,  
Na tem skończyła się biesiada. —  
A wtem chłop wraca środkiem siola,  
Zdaleka już na żonę woła:  
«Hej, kuropatwy zdejmij z rożna!»  
A ona: «Rzecz się stała zdrożna:  
Pożarły mi je dwa kocury».  
Na to chłop skoczył aż do góry:  
Rękoma żony się uczepli,  
Omiał, że jej nie wydarł ślepi,  
Więc ona wrzaśnie: «Żarty, żarty,  
Odejdź, szatanie ty nic warty,  
Przykryłam, żeby nie wystygły». —  
— «No, zarazbym cię wziął na widły,  
Świadkiem niech będzie święty Łazarz;  
Czemu się ze mną przekomarzasz?  
Weź obrus, kubek mój cisowy,  
Wydobądź także płaszcz z alkowy,  
Rozłóż pod drzewem na murawie,  
Tam z kureczkami się zabawię».  
— «Ty zato przyniesź nóż, nygusie,  
Dawno powinien być na brusie,  
Wyszlifuj go, a skoro, skoro,  
Na tym kamieniu pod oborą...»  
Chłop chce być rychlej przy wieczerzy,  
Zrywa się, z gołym nożem bieży.

(Recueil général des Fabliaux des XIII et XIV s., p. p. A. de Montaignon, Paris 1872, t. I, p. 188—103.)

A wtem od pola idzie klecha,  
Do smacznej uczy się uśmiecha,  
Ku pani sunie, czule wita,  
O zdrowie jej skwapliwie pyta,  
Lecz jej nie śpieszno z pogawędką:  
— «Uciekaj» — woła; — «prędko, prędko!  
Strach, nie dałabym za to wiele!  
Że on chce zhańbić cię na ciebie,  
Jeśli do ciebie się dobierze —  
Od takiej krzywdy niech Bóg strzeże!»  
Klecha się zdziwił: — «Na mą wiarę,  
Mamy tu zjeść kuropatw parę,  
Co je przyłapał dziś w zagaju». —  
A ona: «Święty Mikołaju!  
Nie będzie ptaszków» — tak powiada —  
«Ugościć byłabym ja rada,  
Ale was byłaby mi szkoda.  
Spojrzyjcie jeno wdół ogroda:  
Nóż ostrzy na kamiennej płycie  
Mój mąż. Czyli go nie widzicie?» —  
— «To prawda; widzę... czas mi drogi,  
Odhodzę...» — i wziął za pas nogi.  
Więc ona, gdy już był przy płocie:  
— «Mężu, hej, mężu, hej, Gombociel!»  
— «Cóż tam się stało? Hej, czy gore?»  
— «Co? Prędko chodź, dowiesz się wporę.  
Klecha porwał, nim się dopiekły». —  
Chłop gdy usłyszał, pognął wściekły,  
W garści mu błyszczą goły nóż,  
Za klechą bieży w tropy tuż.  
I krzyczy, jakby go rzezano:  
«Już one u mnie tu zostaną».  
Potrząsa nożem swym szkaradnie,  
A tamten: «Zażga, gdy dopadnie» —  
Tak myśli, zmykać się nie leni.  
Jednemu ptasiej żal pieczeni,  
Drugiemu ginąć nie ochota;  
Do domu wbiegł, zatrzasnął wrota...

## ADAM DE LA HALLE

(XIII w.)

### ROBIN I MARION

Marion (*śpiewa*).

Robin kocha, Robin lubi,  
Robin prosił i zaślubi,  
Napatrzcie się tej zapaski  
Od Robina w krasne paski;  
I wstążeczek, i stanika,  
Wszystko od mego chłopczyka.  
Robin kocha, Robin lubi,  
Robin prosił i zaślubi.

Rycerz.

Wracam z turnieju tą drózką;  
Któż tam? Maryjka, Jabłuszko.

Marion.

Mój Robin z kochania ginie,  
Weź mię, weź-że mię, Robinie!

Rycerz.

Pasterko, dobrego rana.

Marion.  
Wam też.

Rycerz.  
Powiedz-no, kochana,  
Moja pasterko milutka,  
Dla kogo ta słodka nutka:  
— Mój Robin z kochania ginie,  
Weź mię, weź-że mię, Robinie!

Marion.  
Miły panie, pomyśl trocha:  
Robinet mój, bo mię kocha;  
Kocha mię mój jasnoliczek:  
Przyniósł laskę i koszyczek,  
Ten nożyk mam od chłopaka.

Rycerz.  
Nie widziałaś tu gdzie ptaka?  
Może gęsi lub łabędzie?

Marion.  
Widziałam; już dawno będzie.  
Ot tam pośród zagajników  
Pełno szczyglów, zięb, czyżyków.

Rycerz.  
Moje ty dziewczątko ładne,  
Co innego wiedzieć pragnę:  
Żórawia, albo kaczora?

Marion.  
Bestję, co tak ryczy?<sup>1</sup> Wczora  
Właśnie cztery szły w tę stronę  
Ku młynowi, objuczone;  
Czy o osły pan się pyta?

Rycerz.  
Użyła sobie dosyta,  
Głowę mi rozkołatała. —  
A możeś czaplę widziała?

Marion.  
Czaplę?<sup>2</sup> nie; przysięgam święcie.  
Widziałam, ale w Adwencie  
U mojej babki Mariany,  
U tej, co chowa barany.

Rycerz.  
Jestem tu za dudka pono,  
Nigdy mię tak nie wydrwiono.

Marion.  
Niech się wam, mój panie, szczęści:  
Co za ptak u was na pięści?

Rycerz.  
Sokół.

Marion.  
Chleb do dzioba bierze?

Rycerz.  
O nie, woli mięso świeże.  
Patrzaj, głowę ma w kapturze.

Marion.  
Dokąd droga?

Rycerz.  
Na podgórze.

Marion.  
Doprawdy, mniej jest niemrawy  
Robert, lepszy do zabawy.  
Po grajkach aż idą ciarki,  
Gdy się chwyci swej fujarki.

Rycerz.  
Pastereczko moja świeża,  
Czy kochałabyś rycerza?

Marion.  
Niech-no pan na szkapę baczy...  
Rycerz? Nie wiem, co to znaczy.  
Taka ze mnie już dziewczyna,  
Nie znam chłopca nad Robina:  
Co dnia serek lub jabłuszko,  
— Jeszcze mam je za pazuszką. —  
Bulkę chleba na śniadanie...  
Mój Robin, moje kochanie!

Rycerz.  
Niech nie stoję tu daremno;  
Czy chcesz się przejechać ze mną  
Na koniku — lekko niesie —  
Po tym umajonym lesie?

Marion.  
Panie, hej, pilnujcie szkapy!  
Jeszcze pyskiem mię ułapi.  
Lub kopnie; klacz Robinowa  
W plugu pod się nogi chowa.

Rycerz.  
Pokochaj mię, lube dziecię,  
Będiesz miała rajskie życie.

Marion.  
Ustąpcie-no, gdzie jest szerzej;  
Głupia taka, co wam wierzy.  
Omam zranił mię podkową  
Ten wasz koń. Jakże was zową?

<sup>1</sup> W oryg. gra słów: ane = kaczka — âne = osioł.

<sup>2</sup> Wydawcy domyślają się gry słów: héron = czapla i lud. here = ślimaczek, potrawa we Francji popularna.

Rycerz.

Aubert.

Marion.

Już czas wam w drogę,  
Panie Auberciel!  
Kochać nikogo nie mogę  
Po Robercie.

Rycerz.

Myślisz, że cię to poniży,  
Gdy podejść nieco bliżej?  
Jam jest szlachcic, ty pastucha.

(*Théâtre fr. au M. A., p. p. L. I. N. Monmerqué et fr. Michel, Paris 1870, p. 172 sqq.*)

Marion.

Na te słowa jestem głucha,  
Pastreczka jestem,  
Lecz mam przyjaciela  
Jednego wśród wielu.

Rycerz.

Pastreczko, bądź mi zdrowa.  
Odjadę stąd i na długo,  
Nie powiem już ani słowa.

Marion.

Traïri, deluriau, delurieie,  
Traïri, deluriau, deluriau, delurot... — —

## CHRISTINE DE PISAN

(1363—1431)

## WYCIECZKA DO POISSY

— — — — —  
Tak się więc onej wiosny wydarzyło:  
Chciałam odwiedzić mą córeczkę miłą,  
Jak obaczycie.  
Mniszką jest, chodzi w zakonnym habicie  
W klasztorze, taską króla znakomicie  
Uposażonym, wie dzie szczęsne życie,  
Los sobie chwali.  
Sześć za Paryżem mil, pewno nie dalej,  
W Poissy,<sup>1</sup> dziedzinie królewskich wasali,  
Którzy je niegdyś lennem otrzymali:  
Zaszczytne miano!  
Tam się wybrałam w poniedziałek rano  
Z kompanją hożą, starannie dobraną;  
Zbiegła się wszystka, kiedy ją wezwano,  
Chętna i grzeczna.  
W ich towarzystwie jechałam bezpieczna,  
Bo to młódź dłworna, rozsądna, stateczna.  
Mysł jej nie nęci z godziwością sprzeczna.  
W takim wesołem  
Gronie z Paryża wyjeżdżamy społem.  
W nowy świat wchodzim tuż za pierwszym  
siółem.  
Wraz otaczają mię nadobnem kołem  
Dworzanki strojne,  
Słodkie, roztropne i dowcipem zbrojne;  
Z niemi panowie, jakby szli na wojnę.  
Tedy się wszczęły rozmowy przystojne:  
Niezwyklej treści,  
Przygód miłosnych ciekawe powieści;  
Nikt z nas ze słowem zbyt nie pieści,  
Powiada, co mu w pamięci się mieści,  
Nie uszczypliwie;  
A nuci pieśni, kto celuje w śpiewie,

Wywodzi nuty głośno i żarliwie;  
Echa je niosą po lesie i niwie. —  
W tem zbożnem dziele  
Przyroda sercom gotuje wesele;  
Rok nowy kroczy z wiosną swą na czele;  
Każdego grzeje słońce, co się ściele  
Na świeżej trawie,  
A drzew konary zasłaniają prawie  
Świat; każdy kwiatek rozchyła ciekawie  
Oczy ku słońcu, gdzie błysnie jaskrawie.  
Takiego rana  
Piękność nie była nigdy oglądana:  
Niwa od rosy iluminowana,  
Gdzie się jarzyła ciągła barw odmiana.  
Radość ośmiela  
Każdą dziewczeczkę szukać przyjaciela,  
A chłopca damę wybrać spośród wielu:  
Radość Natury sercom się udziela  
I ku pieścizocie  
Wabi; po łąkach rozsypane krocie  
Kwiatków; jedne z nich zowią się: stokrocie,  
Inne: prymulki z kielichem w pozłocie,  
Świeżości nowej.  
Ledwie od ziemi odchyliły głowy:  
Kwiat modry, żółty albo fioletowy;  
Zaden się sok w nich nie kryje niezdrowy.  
Najmilszy w świecie  
Kwiatuszek, zwany: niezabudki kwiecie,  
Różowo-modry w moczarach znajdziecie,  
Kto zakochany, równianki zeń plecie.  
A jakże mile  
Chór ptasi wodził wdzięczne krotofile,  
Nieprzestający gwarzyć ni na chwilę...  
Mogły nauczyć dużo owe tryle

<sup>1</sup> Dep. Seine et Oise.

I zalecanki  
Ptasie, i śpiewy pasących baranki  
Pasterek, co tam splatały równianki,  
Nizając razem stokroć i sasanki.

(Christine de Pisan, *Oeuvres poétiques*, t. II, v. 38—131. Soc. des anc. Textes fr.)

Tak z malowanej —  
Niwy, z kapeli ptasząt rozśpiewanej,  
Która swe nuty wodziła na zmiany,  
Pojeżdżaliśmy brzegami Sekwany.

## ŻYWOT NIECNEGO BOGACZA

(MORALITÉ)

(XV w.)

B o g a c z.

Idźmyż zasieść do wieczerze.  
Drobisz, zamknij-no tam dzwierze  
I przynieś na stół mięsiwo,  
A nie marudź, wracaj żywo!

D r o b i s z.

Nie mogę być bardziej żwawy.  
Flaczek, przynieś te potrawy,  
Gdy jaśnie pan na nie czeka,  
A prędko; niech waść nie zwleka.

F l a c z e k.

Drobisz, luby mój chłopyszku,  
Połóż pieczeń na półmisku;  
Zanieś, bieżaj na wyścigi,  
Oszczędzisz mi tej fatygi.

D r o b i s z.

Niech cię niebo ma w opiece!  
Jasny panie, już, już lecę,  
Lecę, lecę, jasny panie.  
— Ale słyszę kołatanie.  
Pewnie ten cuchnący żebrak,  
Którego tu nigdy nie brak,  
Kiedy pan do stołu siada;  
Mam-li to wypędzić dziada?

B o g a c z.

Wypędź raz, niech się oduczy:  
Za często się tędy włóczy,  
Gdy zakwili, poszczuj psami,  
Niech mi nie sterczy za drzwiami.

Ż e b r a k.

Daj wam Bóg dobrą godzinę,  
Wyrzucicie mi choć kruszynę!  
Ze czczości omdlewający,  
Widzę, życie mi się kończy.  
Ach, jakżeby dusza rada  
Dojeść, co z półmisków spada!  
Okruszki wartości małej,  
A mnieby się tak przydały!  
Dajcie trochę, niech się najem,  
A Bóg wam nagrodzi rajem,  
Kiedy znajdziesz się u celu.

B o g a c z.

Hej ty, Drobisz, przyjacielu,  
Kazałem plemię żebracze,  
Co mi tam pod drzwiami płacze,  
Niech stąd łachy swe wygarnie;  
Wypuść-no na niego psiarnię!

D r o b i s z.

Włóczęgo, zabieraj mieszki,  
Albo cię pogryzą pieski.  
Tak do kostek się dobiorą,  
Huź, Różyczka, skocz-no rączy  
Na ten łachman źle pachnący;  
Skoro taki jest zawzięty,  
Połaskotaj-że go w pięty.

B o g a c z.

Drobisz, mówię — istna męka  
Z tym żebrakiem, co tam stęka;  
Tą swoją gębą ohydną  
Modlić się, czy mu nie wstydno?  
Śpieszno mu do mojej misy;  
Mówiłem: wypuść kundysy,  
By tutaj więcej nie wrócił.  
Nie chcesz, bym się z tobą skłócił.  
Teraz nam cię nie potrzeba.

D r o b i s z.

Niech mi pomaga Pan nieba.  
Wypuściłem wszystką psiarnię,  
Ale nie wiem — coś zwietrzyły:  
Nic mu złego nie zrobiły,  
Mizdrzyły się w psim sposobie,  
Lizały mu nogi obie,  
I w radości, i w pokorze.  
Myślę, co to znaczyć może?  
Snać jakieś wskazanie Boże.

(*Akcja w niebie*) B ó g O j c i e c.

Abrahamie, tam na ziemi  
Z oczyma konającemi  
Łazarz, najnędzniejszy z ludzi,  
Wielką litość we mnie budzi.

Zasłużył na nowe życie:  
Za cierpienia należycie  
Będzie mu wynagrodzono.  
Masz go przyjąć na swe łono.  
Aniołom swoim rozkażę  
Wnieść go w rajskie wirydarze.

A b r a h a m.

I radośnie i poddanie  
Spełnię twoją wolę, Panie,  
Cześć i pokłon Trójcy Świętej,  
Chwale twej nad firmamenty,  
Co tak jasna jest i wielka,  
Że w niej ginie miara wszelka.

B ó g O j c i e c.

Rafaelu, chcę i każę,  
By ów Łazarz nad Łazarze  
Od ciebie był nawiedziony.  
Rzuć nadziemskie regiony  
I ku niemu śpiesz co prędzej,  
By w nagrodę ciągłej nędzy,  
O którą te biedne wargi  
Nie podniosły nigdy skargi,  
Tu w radości i dosycie  
Nieśmiertelne pędził życie.

— — — — —  
Ż e b r a k.

Boże, jak mię bardzo nęka  
Mych dolegliwości męka!  
Cierpiałem długo, wytrwale,  
Za ból Boga sobie chwale.

Niedługo potem równie Bogacz umiera; mimo przedśmiertną skrucę zostaje porwany do piekła.

(Ancien Théâtre fr., p. p. Violet le Duc, Paris 1852, t. III, p. 273—281.)

## PIERRE GRINGOIRE

(1475 — ok. 1538)

### KOMEDJA «KSIĘCIA BŁAZNÓW»

#### «Sotie» przeciw papieżowi Juljuszowi II

Satyra ułożona i wystawiona w interesie króla Ludwika XII we wtorek zapustny, 12 lutego 1512 r. Po zerwaniu ligi kambrezyjskiej koalicją przeciw Francji kierują Kurja Rzymska i Wenecja. W intrygach politycznych biorą udział Hiszpanja i Anglja. Treść niniejszej «sotie», możliwej tylko w karnawale pod maskami błażniskimi, jest następująca: Książę Błaznów (król Ludwik XII) odbywa przegląd stronników. Przybywają księżęta świeccy, potem duchowni pod przejrzystymi nazwiskami: Ciemnota, Rozrzutność, Obłuda, wreszcie «Matka-Błaznica» (Mère Sotte) z towarzyszkami «Błaznica Ufność», «Błaznica Okazja», «Oportunizm»; wśród prałatów jedni trzymają z królem, drudzy z papieżem. Wszczytna się bitwa; z Matki-Błaznicy zdzierają wierzchnie szaty, — wykrywa się jako Kurja Rzymska; traci sprzymierzeńców i odchodzi zagrożona w swoich przywilejach. Król, jako «syn pierworodny Kościoła», nie chce się mścić, autor zaś łagodzi ostrość napaści słowami, że «sotie» była zwrócona nie przeciw głowie wierzchniej, ale przeciw «Matce-Błaznicy».

I B ł a z e n:

Trzeba zabrać się do łgarzy:  
Gdzie jest ten, co ich wypraży?  
Wzmacniają się bezustanku,  
Bacście, by nie ponieść szwanku!  
Kto zbyt ufa, ten się sparzy:  
Nie oszczędzaj tych kuglarzy!

Boże, już nie mogę więcej,  
Oto oddaję w Twe ręce  
Duszę; oto już umieram...

S z a t a n.

Darmo — widzę — nogi steram;  
Ten nędzarz wymknie się z sieci.  
Rafael, widzę, już leci,  
Duszę złowił w starym gracie.  
Rahonart, Rahonart, bracie,  
Jeśli pola nie zależym,  
Może ją jeszcze odbierzem.

R a h o n a r t.

Szatan, wymagasz za wiele;  
Niech przepadną Rafaele!  
Ten tutaj jest nadto chybki.  
Gonić? Możem dostać chrypki.  
Lecz lećmy za nim w te pędy:  
Ty tędy a ja owędy.

S z a t a n.

Rafael — jakto się puszy!  
Nie zabierzesz mi tej duszy.  
Na nocleg Lucyfer wpuści  
Gościa w piekielne czeluści.

R a f a e l.

Żaden z was go nie pomaca,  
Próżne wasze trud i praca.  
Odejdźcie precz, duchy wraże,  
W imię Boga ja wam każę.

I Błazen:  
Nasz książę dobry,  
II Błazen:  
Wytrwały,  
Długi swoje płaci godnie.  
I Błazen:  
W Bolonji<sup>1</sup> tłustej dojrzały  
Knowania, ale zmarniały,  
Zmieniły się w nową zbrodnię.  
Za zbrodnią chodzi odpłata —  
Te prawdy są zawsze świeże.

III Błazen:  
Za to idziesz pod pręgierze  
I dostajesz z ręki kata  
Na szyję krwawe kołnierze.<sup>2</sup>

II Błazen:  
Każdy swoją korzyść lubi.

III Błazen:  
Hiszpan zaciąga więcierze,  
Anglik w Calais zajął leże.

II Błazen:  
Najmędrszy w tem się pogubi.

-----  
Wchodzi Matka-Błażnica:  
Choćby czart mię musiał bronić,  
Choćbym miała dech uronić,  
Jak ów Abiron lub Natan,  
I wyklętą być jak szatan,  
Skądby przyszli, jaką drogą,  
Tu mi przecie dopomogą.  
Każdy mi się łasić będzie,  
Póki czegoś nie posiędzie.  
Pragnę świecką posieść władzę,  
Przez to zyskać na powadze.

Oto ścieżkę mam wytkniętą;  
Nazywam się Kurją świętą.  
Niechaj każdy zanotuje:  
Ja anatematyzuję!  
Pod spodem kościelnej szatki  
Noszę ubiór Błażnów Matki.  
Jaki taki powie w złości,  
Że bajdurzę ze starości,  
Lecz mimo to będę mruzczyć:  
Księcia-syna chcę pouczyć,  
Że zbytek praw mu ubliża<sup>3</sup>  
Ufność, hej!

Ufność-Błażnica:  
Niechże się wzwyż  
Dostojność wasza i kwitnie.

Matka-Błażnica:  
Po kres dni pragnę zaszczytnie  
Godzić w cel lub być przekłętą.

Okazja:  
Któż twoją oględność świętą  
Źle przyjmie, albo zohydzi?  
Każdy, kto cię ze mną widzi,  
Ugnie się pod twą perswazją.

Matka-Błażnica:  
Widzę, Błażnico-Okazjo,  
Że bez ciebie nie poradzę.

Okazja:  
Naprzód zatem się wysadzę  
Zbuntować książąt prałatów.

Matka-Błażnica:  
Ofiaruję sto dukatów,  
Niech staną po mojej stronie...  
(nb. wojska najemne)

(Recueil général des Soties, p. p. E. Picot, t. II. Paris 1904. Soc. des anc. Textes fr.)

## FARSA O MISTRZU PIOTRZE PATELINIE

(XV w.)

Sukiennik: Napiję się odrobinę,  
Zanim wyjdę; nie, i poco?  
Będę popijał gęsinę  
— Na świętego Mathurina —  
Tu u mistrza Pathelina;

<sup>1</sup> Bolonja nosi przydomek «la grassa».

<sup>2</sup> Papież wydał Bolonję w ręce sprzymierzonych, ale następnie Francuzi zostali wypuszczeni przez sam lud, który też wtedy stopił posąg Juljusza II, dłota Michała Anioła. Kardynał Alidosi, który opierał się wzmocnieniu garnizonu, został nie ścięty, jak wówczas sądzono, ale zabity przez M. della Rovere.

<sup>3</sup> Papież (słusznie ze swego stanowiska) odmawia królowi francuskiemu praw do Italji.



Łapnę też trochę monety  
I choćby sliwkę na wety,  
Jeśli nie gęś; tak mi z mieszka  
Nie ubędzie. — Już się zmierzcha,  
Zamknę sklep...  
(*Puka do drzwi Pathelina*)

Guillemetta: Hej, panie Piotrze!  
Któż tam? Co? Na Boga, kmotrze,  
Mów ciszej.

Sukiennik: Pani, szczęść Boże!

Guillemetta: Ciszej!

Sukiennik: Czemu?

Guillemetta: W takiej porze?

Sukiennik: Gdzie jest?

Guillemetta: Gdzież ma być? W komorze.

Sukiennik: Kto taki?

Guillemetta: Któż? O mój kumie,  
Gdzie jest? Chyba Bóg rzec umie,  
Gdzie ma głowę... Niechby pożył.  
Leży tam, gdzie się położył.  
Mój cierpiętnik, moja duszka!  
Od kwartału nie wstał z łóżka.

Sukiennik: Ale kto?

Guillemetta: Sza, bo się boję  
Mówić w głos. Zaniepokoję.  
Jest nieco otumaniony,  
Połamany, przygnębiony,  
Biedaczek.

Sukiennik: No któż?

Guillemetta: Mistrz Piotr.

Sukiennik: Skądże? Czy to nie mój kmootr  
Kupił sukna łocki sześć?

Guillemetta: Kto taki?

Sukiennik: On. Co tu pleść!  
Przed piętnastu minutami...  
Odpuście, stoję tu z wami  
Długo. Nie grać mi na flecie.  
Pieniądze!

Guillemetta: Żartować chcecie?  
Na żarty teraz nie pora.

Sukiennik: Pieniądze! Na głowęś chora?  
Dziewięć franków.

Guillemetta: Mój Gwilelmie,  
Nie wmawiaj, jak jakiej szelmie.  
Opowiadaj swoje bajki  
Tym, co noszą kacabajki,  
I tym smykom, co się wiercą.

Sukiennik: Niech tak będę przენiewiercą,  
Jeśli nie dziewięć.

Guillemetta: Mosanie,  
Komu mile żartowanie,  
A nie mnie.

Sukiennik: Żartować nie chcę,  
Ani mię pokusa techce.  
Niech tu wyjdzie i zapłaci  
Mistrz Piotr.

Guillemetta: A niechże cię ochwaci!  
 Chciałbyś dobrać się do mieszka...

Sukiennik: Proszę; wszakże tu mieszka  
 Mistrz Pathelin.

Guillemetta: Nie nowina —  
 Dur świętego Mathelina  
 Niech cię za ten obłąd skarci.  
 Mów cicho!

Sukiennik: Bodaj was czarci!  
 No, kiedyż się go doproszę?

Guillemetta: Dopomóż Bóg, bo go spłoszę.  
 Boję się zbudzić staruszka.  
 Proszę ciszej!

Sukiennik: Co? do uszka,  
 Do piwnicy czy do studni?

Guillemetta: Z tem gadulstwem toście nudni;  
 Zawsze jedno bez odmiany.

Sukiennik: Tak już jestem ugadany,  
 Jeśli chce, abym był różny,  
 Niech zapłaci, co mi dłużny,  
 Ten kłopot już mię zatrupił,  
 Mówię: Mistrz Piotr u mnie kupił  
 Przed chwilą sukna łokci sześć...

-----

Pathelin (*w głębi*): Guillemetto, różanej wody!  
 Podnieś, zaciśnij mi kłęby.  
 Co? Z kim mówisz? Lej do gęby.  
 Pić, pić! Podeszwy mi natrzej!

Sukiennik: Słyszę go.

Guillemetta: Tak.

Pathelin: Jak to patrzy!  
 Nic warta. Powtarzam ciągiem:  
 Zamknij okno przed przeciagiem.  
 Chodź tu, przykryj. Gdzie jest derka?  
 Czarna zgraja ku mnie zerka.  
 Ha! ha! Br, br, marmara,  
 Carimari, caramara!  
 Prowadź ich tu do mnie, prowadź!

Guillemetta: He? zaczynasz znów szalować?  
 Zmysły twoje coś nie w lidze.

Pathelin: Ha, nie widzisz, co ja widzę.  
 Czarny mnich tam lata w górze.  
 Daj mu stulę. Łapaj, nuże!  
 Kot, kot. Na dach wszedł; nie widzisz?

Guillemetta: Co tobie? czy się nie wstydzisz?  
 Nie ruszaj się, kiedyś chory.

Pathelin: Zabili mię te doktory,  
 Od ziółek, mikstur się dusim  
 A ciągle im wierzyć musim.

-----

Guillemetta: Niechby zawiśli na pętli  
 Ludzie, co są tak natrętni.  
 Odejdźcie z wszystkimi biesy,  
 Gdy wam się z Bogiem nie śpieszy.

Sukiennik: Niech Pan Bóg zbawi mą duszę!  
To sukno zaraz mieć muszę  
Lub dzięgi.

Pathelin: Widział urynę?  
Pokazuje, że już ginę.  
Każ-że mu, niech tu nie sterczy,  
Inaczej nie ujdę śmierci...

(*Recueil de Farces, Soties et Moralités du XV-e s., p. p. Jacob, Paris 1876, p. 49—54 et 57—60.*)

## LOUIS DES MASURES

(XVI w.)

### DAWID TRIUMFUJĄCY

Chór (Troupe):  
Śpiewajcie, chwalcie Boga:  
Saul zabił tysiąc wroga,  
Lecz mocny Dawid więcej:  
Pobił dziesięć tysięcy.

Pół-chór:

Śpiewajcie, chwalcie Boga etc.

Chór:  
Nućcie pieśni godowe,  
Zabawa się poczyna.

Pół-chór:

Dawid przynosi głowę  
Pysznego Filistyna.

Chór:  
Przynosi łeb tyrana  
Na swojej szabli krzywej.

Pół-chór:  
Zaprawdę, ręka Pana  
Sprawiła dziw nad dziwy.

Chór:  
Śpiewajcie, chwalcie Boga:  
Saul zabił tysiąc wroga.  
Lecz mocny Dawid więcej:  
Pobił dziesięć tysięcy.

Saul:  
Ha, co to wszystko znaczy? Co się tutaj śpiewa?  
Czegoż się jeszcze podlej czeredzie zachciewa?  
Czy ogłosić go królem? Dać mu przywileje,  
By zgarnął Izraela i wszystką Judeję?  
Według nich mały Dawid wart ode mnie więcej,  
Bo pobił, powiadają, aż dziesięć tysięcy,  
Podczas kiedym ja, stary, zabił jeno tysiąc!  
Ja im to wnet dam poczuć, a mogę poprzymięć,  
Że on równie poczuje i cała rodzina.  
Skoro się na to waży, niech nie zapomina,  
Jaka wielka różnica jest pomiędzy nami,  
Bo ja tu jestem panem, a oni sługami.

Szatan:

Pod pozorem dobroci...

Saul:

Z tą miną przychylną

Szatan:

Chce cię podejść.

Saul:

Do władzy dobrać mu się pilno.

Pozyskuje stronników...

Szatan:

Bojaźń kłamie Bożą.

Saul:

Przeciw prawdziwej wierze myśli w nim się srożą.

Szatan:

By prędzej zostać królem poniża się codzien.

Saul:

Ha, nie jest jeszcze królem, nie jest nim ten zbrodzień.

Inną zyska nagrodę za chuć, jaka żyje

W jego przewrotnem sercu, bo ja go ubiję.

Zginie z tej mojej dłoni szermierz silnej pięści,

Będą o nim śpiewali: Niechże mu się szczęści...

*Pauza.*

-----  
*Wchodzą Jonatan i Dawid z oznakami przerażenia, potem Michola.*

Jonatan:

Uciekaj, niech nie dojrzą cię, bracie kochany!

Dawid:

Strzeż was Bóg, a mnie także w drodze mej nieznannej.

Jonatan:

O jakąż srogość króla, a twój los mizerny

Za to, żeś był tak dzielny, uległy i wierny.

O Boże sprawiedliwy!

Michol:

Bracie, co się dzieje?

Jonatan:

Niemasz dziś upewnienia, niemasz dziś nadzieje

W łasce królewskiej!

Michol:

Bracie, co znaczą te żale?

Jonatan:

Umysł króla się mroczy w niepojętym szale;

Pragnie zabić Dawida.

Michol:

Za jakie bezprawie?

Jonatan:

Mniema, że uknuł spisek przeciw jego sławie  
I władzy, każąc śpiewać: Dawid znaczy więcej,  
Bo tamten pobił tysiąc, on dziesięć tysięcy.

Michol:

Powiedz: Czyżby naprawdę przed ludu obliczem  
Chciał zostać wodzem, przeciw władcy buntowniczym?

Jonatan:

Nigdy o tem nie myślał; lecz król szalem smagan  
(A trzymał właśnie w ręce morderczy jatagan,  
Zaś Dawid u stóp jego przygrywał na harpie)  
Snać z jakąś wizją straszną wewnętrzną się szarpie,  
Bo nagle ostrym nożem w młodzieńczyka rzucił.  
Byłby go przebił naskroś, lecz Bóg cios odwrócił,  
A Dawid, co mu już pobłogosławił  
Lud Izraela, że go od niewoli zbawił,  
Dziś ucieka w pustynie i górskie komysze,  
Aby ująć ręki króla, który zemstą dysze.

(*Louis des Masures, Tragédies saintes, ed. Ch. Comte. Soc. des Textes français modernes, Paris 1907, w. 1585—1671.*)

## PHILIPPE DE COMMYNES

(1445—1511)

### PAMIĘTNIKI

#### O niektórych wadach i zaletach króla Ludwika XI

Śród tych, których znałem, najroztropniejszy, kiedy przyszło wydobyć się z jakiego zatrzasku w czasach przeciwności, był król Ludwik XI, nasz pan; najbardziej skąpy w słowach i czynach, pilnie dbający o to, aby sobie pozyskać człowieka, mogącego mu pomagać lub szkodzić, a nie zniechęcał się nigdy odmową tego, którego brał w obroty, ale trwał, obiecując i świadcząc hojnie bogactwa i darowizny, jakie wiedział, że mu się podobały. A tych, których był przepędził lub odstąpił w czasie pokoju lub powodzenia, pozyskiwał znów za wysoką cenę, kiedy byli mu potrzebni, i posługiwał się nimi, nie urażając się o sprawy minione. Z natury był przychylny ludziom stanu średniego a wrogą możliwym, którzy mogli się bez niego obywać. Nikt bardziej od niego nie nadstawiał ucha ludziom, ani tak ich brał na spytki, ani pragnął znać tyłu; to też, zaprawdę, znał wszystkich posiadających wziętość i sposobność w Anglii, Hiszpanji, Portugalji, Italji, w dziedzinach księcia Burgundji i panów bretańskich, tak, jak swoich własnych poddanych. A te sposoby, jakich używał i jakie wymieniłem powyżej, ocaliły mu koronę przed nieprzyjaciółmi, jakich na siebie sprowadził w samym początku panowania. Ale nade wszystko pomogła mu ogromna hojność, bo o ile roztropnie obracał się w przeciwnościach, o tyle, skoro jeno poczuł się pewnym, lub tylko chwilowo bezpiecznym, zaczynał odstręczać od siebie ludzi mniejszej użyteczności, a niełatwo mu było wytrwać w pokoju. Odzywał się o nich lekceważąco, zarówno w ich obecności, jak poza oczyma, z wyjątkiem tych, których się bał, a było ich wielu, gdyż był z przyrodzenia trochę lękliwy. A kiedy owa uszczypliwość zaszkodziła mu lub mogła, w jego mniemaniu, zaszkodzić, to, jeżeli pragnął rzecz naprawić, odzywał się takimi słowy: «Wiem, że mój język narobił mi dużo szkody, ale też czasem dużo uciechy; swoją drogą chcę zapłacić karę». A odzywając się tak poufale, nie omieszkwał skrzywdzonemu wyświadczyć dobrodziejstwa, a nie było ono nigdy małe.

... Patrzcież: jeżeli utrzymywał tytuł w ciągłym lęku, to sam znalazł odpłatę; bo kogóż mógł być pewny, gdy miał w podejrzeniu syna, córkę i zięcia. A co powiadam tyczy nie tylko jego, ale wszystkich możnowładców, pragnących, aby się ich bano. Sami nie znają strachu aż do późnej starości, bo wtedy lękają się pomsty od wszystkich.

Co za ból dla takiego króla, doznawać takich strachów i takich wstrząśnień ducha! Miał lekarza nazwiskiem Maitre Jakób Cotier; w pięciu miesiącach dał mu 55 tysięcy talarów gotówką, to znaczy po 10 tysięcy miesięcznie, oraz biskupstwo Amiens dla jego siostrzeńca, nadto liczne urzędy i ziemie jemu i jego przyjaciółom. Ów lekarz obchodził się z nim rubasznie; nawet pacholce nie powiedziałoby się tyle słów obraźliwych, szorstkich, a król bał się go tak, że nie śmiał go oddalić i zamienić na innego, a to z powodu, że ów lekarz powiedział do niego śmiało: «Wiem, że pewnego dnia mnie wypędzisz, tak jak innych, ale potem (i tu rzucił wielkie przekleństwo) nie pożyjesz 8-miu dni». Czemu tak się przeraził, że odtąd pochlebiał mu wciąż i płacił. Był to dlań istny czyściciel na ziemi, zważywszy posłuch innych, nawet możnych panów.

Prawdą jest, że król, nasz pan, kazał pobudować surowe kaźnie: klatki żelazne i drewniane, pokryte i wyłożone blachami wewnątrz i zewnątrz; przy nich ogromne sztaby żelazne na 8 stóp szerokie, a wysokie na miarę człowieka i jeszcze o stopę wyższe. Pierwszym, który ich doświadczył, był biskup z Verdun; został wsadzony zaraz do pierwszej i przeżył w niej 14 lat.

Później zlorzeczyli mu i inni, spróbowałem i ja za obecnego króla (1488) i przebyłem tam 8 miesięcy.

To znowu kazał swoim Niemcom sporządzić straszliwie ciężkie okowy na obie lub jedną nogę, otwierające się jak klamry; łańcuchy grube i ciężkie z ogromną kulą, o wiele cięższą niż było potrzeba: nazywano te okowy «córeczkami królewskimi...»

(*Ph. de Comynes, Mémoires, ed. par J. Calmette. Soc. de Histoire de France, Paris 1925. 3 vol. — Vol. II, p. 319—321.*)

## ANTOINE DE LA SALE

(XV w.)

### RAJ KRÓLOWEJ SYBILLI<sup>1</sup>

Jak ów rycerz i jego pacholek weszli przez bramę śpiżową i stanęli u wrót szklanych, rozmawiając z dworzanami królowej Sybilli.

...A potem z całą kompanją został dopuszczony przed królowę, siedzącą na tronie i otoczoną dworem, jakgdyby była panią świata, tyle tam było ludu okazalego i tyle bogactwa, ile tylko można było pożądać. Okazał wszelką cześć, jak wypadało na rycerza umiejącego składać honory damom i godnym panom, którzy go równie pozdrowili i uczcili, jako ci, co znają się na grzeczności, a nadewszystko królowa wielce jego przybyciem ucieszona, ile że rada była zatrzymać go na trwałe w służbie. Zaczem po owym grzecznym powitaniu spytała go o nazwisko, o jego sprawy oraz o to, z jakiej marchji niemieckiej przybywa. Gdyż owa królowa, a z nią wszyscy dworzanie nauczyli się wszystkich języków świata, zaledwie tam przebyli 330 dni; a kto bawił bodaj 9 dni, rozumie je jak swój własny, ale jeszcze nie mówi niemi, póki wyżej rzeczony termin nie upłynie. Rycerz podał swoje nazwisko i ojczyznę. Ona znowu spytała, jak podoba mu się jej kraj i to, co ogląda, i czy po tamtej stronie istnieli gdzieś tacy ludzie i takie przepychy jak tutaj. Odpowiedział, że nie i że niepodobna, aby coś podobnego znajdowało się razem w dziesięciu światach. «I jeszcze więcej» — rzekła królowa — «bo w tym stanie, jak nas oglądasz, pozostaniemy aż po koniec świata...» — «Zaprawdę, pani» — rzekł rycerz — «jesteście zatem ty i twój dworzanie najszczęśliwsi na świecie. A kiedy ten świat się skończy, co się z tobą stanie, pani?» — Tedy ona odpowiedziała: — «Stanie się z nami to, co jest postanowione; nie chciej wiedzieć więcej. Teraz z pomiędzy dam, które tutaj stoją, a nie mają towarzysza, wybierz jedną wedle upodobania, a ja ci ją daruję».

<sup>1</sup> Mitologicznej Cybeli.

Zatem rycerz począł jej dziękować bardzo uniżenie, powiadając, że nie przybył tam po nic innego, jak poto, o czem już powiadał. Tedy królowa wyłożyła mu tamtejsze obyczaje i nazaczyła kres pobytu do ośmiu dni, zaś dziewiątego miał odejść. A jeżeli odejść nie zechce, nie będzie mógł wyjść aż po 30 dniach. A gdyby jeszcze po 30 nie odszedł, to musi czekać aż do 330 dni. A gdyby tak wypadło, że nie chciałby odejść po owych 330 dniach, to reguła brzmiała, że już nigdy nie wyjdzie. Te trzy terminy rycerz przyjął z zadowoleniem i dotrwał do pierwszego, potem do drugiego i tak aż do trzeciego. Bo takich tam zażywał rozkoszy bez miary, że dzień wydawał mu się godziną. Lecz wprzód, nim coś postanowił, musiał wybrać sobie damę wedle największego upodobania, równie jak pacholek wielce temu rad. Tak bawił tam rycerz przez dni 300, które starannie liczył. Ale pewnego dnia zaczął dumać nad jedną sprawą, a serce jęło się w nim niepokoić. I z tego zadumania popadł w taką miłość ku Bogu, że wszedł w siebie i zrozumiał, jak bardzo obraził Stwórcę uczynkami popełnionymi przeciw jego woli i przykazaniu, nadewszystko zaś okropnym grzechem, w jakim żył, zapomniawszy o Nim zupełnie i stowarzyszywszy się z nieprzyjacielem; gdyż spostrzegł, że niechybnie to był nieprzyjaciel.<sup>1</sup>

Jak królowa Sybilla i jej dworzanki odłączają się od towarzyszy  
i nocą przemieniają się w węże

Oto kiedy nadchodził piątek, towarzyszka jego wstawała i szła do królowej a podobnie wszystkie inne. A tam przebywały na pokojach w miejscach ku temu przeznaczonych w postaci smoków i węzów, wszystkie społem, a tak trwały aż do północy dnia sobotniego, poczem wracały do swojej kompanji, a nazajutrz wydawały się jeszcze urodziwsze niż przedtem. Bo nigdy nie starzały się, ani wiedziały, co cierpienie. Ubiorów mieli w bród; mięsiwa wedle upodobania; bogactw poddostatkim, uciech bez miary. Mróz tam nieznan, ani zbytni upał. Nakoniec rozkosze światowe są tam takie i tak ich wszyscy zażywają, że większych ani serce nie zapragnie, ani język nie wypowie. Kiedy więc rycerz wspomniął na one wielkie rozkosze, tak niemile Jezusowi Chrystusowi, naszemu Zbawcy, który posiadał zacność tak nadziemską, to ile przedtem dzień wydał mu się godziną, teraz naodwrot godziną dłużyła mu się jak 10 dni, i czekał, aby nadszedł dzień 30-ty, aby pożegnać się i odejść, bo odtąd każda rzecz wydała mu się wstrętą. Zatem zwierzył się swemu pacholekowi, co pobierał część uciech jak on sam, a ciężko mu było z nimi się rozstawać, jednak przez miłość swego pana, co go żywił i co mu kazał sobie towarzyszyć, usłuchał, że powróci, skoro tylko odprowadzi na gospodę...

Opuszczają grotę, jadą do Rzymu, gdzie rycerz spowiada się samemu papieżowi, prosząc o rozgrzeszenie. Papież skłaniał się ku niemu miłościwie, ale intrygi kardynałów nie pozwoliły dokonać pokuty, zaczem rycerz wrócił do czarownej groty i więcej go już nie widziano. Tak wygląda legenda o *Tanhäuserze* i «*górze Wenery*» według opowieści z 1420 r.

(*A. de la Sale, Paradis de la Reine Sibille. Ręk. XV w. z biblioteki królewskiej w Brukseli. Wyd. Desonay, Paris, Droz 1930.*)

## KAROL ORLEAŃSKI

(1394—1465)

### BALLADA

Pogrzebem zegnám moją panią,  
Miłosną stroję jej kaplicę;  
Egzekwje odprawiają za nią  
Wspomnienia, smętne żałobnice;  
Wokoło jarzą się gromnice

I zaciągają jasną lunę;  
Kazałem pomalować trunę  
W żale i krople łez perliste  
Z fioryturami bogatemi  
I wypisałem: tu, zaiste,  
Leży najdroższy klejnot ziemi.

<sup>1</sup> Zły duch.

Zewłok nakryty jest całunem,  
 W nim tkane złoto i szafiry;  
 Albowiem złoto jest zwiastunem  
 Szczęścia, a szafir myśli szczerzej.  
 Obojgiem lśnią żalobne kiry:  
 Doskonałości by obrazem  
 Jedno i drugie złączyć razem.  
 Bóg ją urobił dłońmi swemi  
 W cudo tak wszystkim oczywiste,  
 Że można o niej rzec: zaiste,  
 Tu leży skarb najdroższy ziemi.

Zamilknę; serce we mnie mdleje,  
 Słyszac, jak rozebrzmiewa chwałę,  
 Gdyż na nią wszystkie przywileje  
 Doskonałości niebo złało.  
 Kto tak ją poznał doskonałą,  
 Mówi, że Bóg jej nie dał pożyć,  
 Chciał niebu nowy cud dołożyć,  
 W raju posadzić ze świętymi,  
 Zaiste, piękna to ozdoba,  
 A niebo sobie upodoba  
 W tym najcenniejszym skarbie ziemi.

## Przesłanie.

Nic nie pomogęm łzami swemi,  
 Wcześniej czy później śmierć nas zmiecie;  
 Nie ostoi się na tym świecie  
 Choćby najdroższy klejnot ziemi.

(*Poésies de Ch. d'Orleans, ed. Guichard, Paris 1842, p. 77.*)

## FRANÇOIS VILLON

(ok. 1430 — po 1461)

## WIELKI TESTAMENT

Ubogi jestem z maleńkości,  
 W historii ród mój mało znaczy:  
 Rodzic mój nie posiadał włości,  
 Ni dziad, co wabił się: Horacy.  
 Los nam łaskawy być nie raczy:  
 Ich monumentów nie zdobiono  
 — Niech w niebie będzie im inaczej —  
 Berłem królewskim ni koroną.  
 Bywało, serce do mnie rzecze:  
 A niechże cię to nie rozbiera!  
 O co masz beczec wciąż, człowiecze?  
 Głupi, co sam się poniewiera.  
 Choćbyś miał skarby Żaka Coeura,<sup>1</sup>  
 Lepiej być biednym, mieć na sobie  
 Sajecek z wełny, — choć się stera,  
 Niż leżeć próchnym w pysznym grobie.  
 Włodarstwo na co ci się przyda?  
 Kim jest dziś, co był panem drzewiej?  
 Wszak wedle mądrych słów Dawida,  
 Gdzie będzie jutro, dzisiaj nie wie,  
 Troską nie psuję sobie trzewi,  
 Ni tem się para moja nędza;  
 Jedno teolog w tem nie skrewi —  
 Te rozważania są dla księdza!  
 Wszak ci nie jestem z żadnej racji  
 Synem Anioła w dyjademie  
 Z planet lub gwiazdnej konstelacji.  
 Rodzic, miejsce mu w swym eremie

Daj Bóg — oddawna gryzie ziemię.  
 Macierz — wie o tem cna niewiasta —  
 Umrze; a po niej ja, jej plemię;  
 Nie przetrwa żadne z nas — i basta.  
 Dorodni, brzydcy, nędzni, strojni,  
 Uczeni, głupi, szlachta, chamy,  
 Bogaci, biedni, skąpi, hojni,  
 Z kołnierzem plisowanym damy,  
 Z fiokami jak kupieckie kramy,  
 Wszerz, wzdłuż, z każdego ziemi krańca,  
 Z lepianki czy zamkowej bramy —  
 Do śmiertelnego poszli tańca.<sup>2</sup>  
 Pomarli Parys i Helena,  
 Niema bo rady: Śmierć udręka.  
 Gdzieś ci się zatknie jakaś wena,  
 Pod sercem zbierze żółć i pęka.  
 Z pod skóry jakiś pot wysięka.  
 A jeszcze taki się nie zjawił,  
 — Nie czekaj brata, syna, wnęka —  
 Coby za ciebie się zastawił.  
 W śmierci się blednie i sinieje,  
 Nos się zaostrzy, żyła zwęży,  
 Szyja się wzdyma, mięsień mdleje,  
 Stawy opuchły, gardło rżęży.  
 Jeśli nam mocnym śmierć tak cięży,  
 Cóż ty, niewiastko wiotka, tkliwa?  
 Ty też masz chodzić w tej uprzęży?  
 Chyba że w niebo wzlecisz żywa...

(*François Villon, Oeuvres, p. p. L. Thuasne, Paris 1923. Le Testament, § XXXV—XLI.*)

<sup>1</sup> Jaques Coeur, złotnik króla Karola VII.

<sup>2</sup> Ilustracja do «danse macabre».



## MAŁGORZATA, KRÓLOWA NAWARRY

(1492—1549)

KOMEDJA W 4 OSOBACH GRANA NA GÓRZE MARSAN

Osoby: Dworka, Mniszka, Mądra, Pasterka (*miłości Bożej*)

- Pasterka (*śpiewa*): Do miłości — ach! — stęsknionam,  
Z miłości codziennie konam...
- (*do siebie*): Kto miłością żyje, ten ma serce hoże,  
Kto miłość czuje, więcej chcieć nie może,  
Kto poznał miłość, doszedł wiedzy docna,  
Kto patrzy w miłość, temu wzrok się śmieje,  
Kto pieścił miłość, wszedł w rajskie wierzeje,  
Kto przemógł miłość, w tym władza wszechmocna,  
Kto kocha miłość, chce równo z jej chceniem,  
Kogo unosi miłość, niezna troski —  
Kto zdolę widzieć i objąć ramieniem,  
Na tego spływa jakiś urok boski.
- Dworka: Słuchajcie śpiewu!
- Mniszka: Słuchaj, śpiew to rzadki.
- Mądra: Czy to poprostu nie jest śpiew warjatkii?
- Pasterka: La, la, la, la, la, la, la, la,  
Jaka ucieszna, miła gra,  
Kiedy tak przy sercu serce,  
Pasterz czuwa przy pasterce.
- Mądra: Roztańczona i rozśpiewana,  
Ni wątpić, że jest zakochana.
- Dworka: Posłuchajmy, co w pieśni nuci.
- Pasterka: Nieraz przypiekła mię dożywa;  
Ale ta miłość dziś prawdziwa  
Broni, że jestem jeszcze żywa;  
W konaniu śpiewem się wyrzywa.
- Mądra: To czysta miłość tak ją męczy.
- Mniszka: Dlatego śpiewa, co ją dręczy.
- Dworka: Podejdźmy i pozdrowmy pięknie.
- Mądra: Nie tak obcesem, bo się złęknie.
- Pasterka: Serce w niej nigdy się nie znuży,  
Gdyż Bóg mu nadał tę moc wielką,  
Że miłość ta za strawę służy  
I starczy mu za rozkosz wszelką.
- Dworka: Pozdrowmy.
- Mądra: Zgoda.
- Mniszka: Strzeż cię, Boże!
- Pasterka: I was zarówno.
- Mniszka: W tej tu porze  
Co robisz między leśne steczki?
- Pasterka: Widzicie: pasę swe owieczki.
- Dworka: Co? niemasz innej tu uciechy?
- Mądra: Z próżniactwa łącno idą grzechy.
- Pasterka: Przędę, jeżeli Bóg da przędzę.  
Z kądziółką zwawiej życie pędzę.
- Mniszka: Lecz o miłości śpiewasz wciąż.
- Dworka: A miłość to zdradziecki wąż.
- Mądra: Różne podstępny w sobie kryje.
- Pasterka (*śpiewa*): Pasteczek, me kochanie,  
Miłością tylko żyję.

- Mniszka: Miłość ukrywa złego siła.  
 Pasterka: Miłością żyję, będę żyła.  
 Mądra: To z czcią niewieścią źle się składa.  
 Pasterka: Głupi, co o niej źle powiada;  
 Nie zaznał nigdy jej słodyczy.  
 Niech mi tak nieba Bóg użyczy,  
 Naprózno na niej plamy szuka.  
 Dworka: Lecz Amor — to jest chytra sztuka.  
 Pasterka (*śpiewa*): Kocham kochanka mego  
 Miłością, co nie zwodzi.  
 Kocha mię, jak się godzi,  
 Ja równie kocham jego.  
 Mądra: Wiedzieć niewiasta ma stateczna,  
 Że miłość — to rzecz niebezpieczna.  
 Pasterka (*śpiewa*): Miłość po koniec świata  
 Z mądrością się nie zbrata.  
 Mniszka: Miłość, kiedy tak luzem chodzi,  
 W zbawienny cel swój nie ugodzi.  
 Mądra: Stan jej, jak widno, wciąż smutniejszy.  
 Pasterka (*śpiewa*): Niechaj mówi, niechaj gada,  
 Niedbam ja o ich gawędę;  
 Niech się w złości nie posiada,  
 Kto mię kocha, kochać będę.  
 Dworka: Ni się wstydzi, ni się lęka.  
 Mądra: Już się przykrzy ta piosenka.  
 Mniszka: Stan jej nie melancholiczny.  
 Pasterka: O mój ty kwiatuszku śliczny,  
 Wiem, ty jeden mię rozumiesz.  
 Miłujesz i czekać umiesz.  
 Że tobie wierzę,  
 Powiadam szczerze...

(*Marguerite de Navarre, Dernières Poésies, p. p. Abel Franc, Paris 1876, p. 93—95.*)

## BONAVENTURE DES PÉRIERS

(um. przed r. 1544)

### CYMBALUM MUNDI

Ostawiona broszura, rewolucyjna w pomyśle, często niezrozumiała w treści, wymagającej «klucza»; karyljon na podzwonne wiekom średnim, jest wyrazem poglądów Des Périers'a w okresie początkowym walki dwu stronnictw, grzeszących w równym stopniu zawziętą nietolerancją. — Dwa psy (d. IV) — to mnisi partyjnicy, którzy z obozu wielkiego rozluźnienia obyczajów przeszli do konfesji ponurej i beznadziejnej: z Rzymu do Genewy. Des Périers, sam zrazu hugonota, wybił się filozoficznie ponad przykrą codzienność, ogłosił się człowiekiem nowym, w całość pełni humanistą. Rabelais jest jego uczniem.

### Dialog IV. Hylactor, Pamphagus

Hylactor:

Gdybym z łaski Anubisa<sup>1</sup> znalazł psa obdarzonego mową, co by to była za uciecha. Bo nie mam ochoty odzywać się do nikogo, jeno do podobnego sobie. A jednak jestem pewny, że gdyby mi dano przemówić czasem do człowieka, byłbym najszczęśliwszy między psami. Żaden książę, żaden król niegodni mię posiadać, zważywszy, jaką przedstawiam wartość. Gdybym mógł nagadać tyle, ile nagadałem na jakimś zgromadzeniu, rozniosłoby się to aż do Indyj. Wołanoby wszędzie: w tem a w tem

<sup>1</sup> Bóg egipski, z głową psa-szakala.

mieście żyje pies obdarzony mową. Zbiegliby się z czterech stron światła i płaciliby, żeby mię oglądać... Bądź co bądź, przykro, że nie spotykam nikogo znającego mowę. Ale mam nadzieję, że znajdę... Oto Targilius ze swoją psiarnią; wyjechał na polowanie; może ktoś w tej kompanji umie mówić. — Niech Bóg strzeże mego przyjaciela spanjola i mego przyjaciela charta. — Do licha, wszyscy niemi. — Hola, kundlu! Umiesz mówić?

P a m p h a g u s :

Kogo to nazywasz kundlem? Kundel ty sam!

H y l a c t o r :

Mój towarzyszu, druhu, przebacz, ucałuj mię. Ciebie pragnąłem ujrzeć, ciebie szukałem i oto z łaski Diany znalazłem. Po drugie, dzięki tobie, dobry Anubisie. Po trzecie, dzięki tobie, Cerberze, stróžu piekieł. Jak ci to na imię?

P a m p h a g u s :

Pamphagus.

H y l a c t o r :

To ty? Mój kuzynie, mój druhu. Znasz Hylactora?

P a m p h a g u s :

Ba, czy go znam? A gdzie on?

H y l a c t o r :

To ja.

P a m p h a g u s :

Doprawdy? Przebacz, przyjacielu. Nie poznałem cię, bo widzę, masz jedno ucho odgryzione, bliznę na czole; dawniej jej nie miałeś. Skądże to?

H y l a c t o r :

Nie pytaj, proszę, nie warto wspominać. Mówmy o czem innym. Gdzie bywałeś, co porabiałeś od czasu, odkąd straciliśmy naszego mistrza Akteona!<sup>1</sup>

P a m p h a g u s :

Ach, co za nieszczęście! Odnawiam stare cierpienia. Dużo straciłem przez jego śmierć, Hylactorze. Niedgdyś opływałem w dostatki, dziś przymieram głodem.

H y l a c t o r :

Na moje śluby! Były to dobre czasy; dzielny to był człowiek ten Akteon; szlachetny pan, bo kochał się w psach. Nie było wolno żadnego uderzyć; przytem dobrze nas karmiono; cokolwiek dało się chwycić w kuchni, śpizarni czy gdzie indziej, było nasze; pan kazał co najlepiej z nami się obchodzić.

P a m p h a g u s :

Niestety ten, któremu dzisiaj służę, jest nie taki; wiele mu brakuje, niedba o nas, pozwala nas lekceważyć; kiedy służba znajdzie którego w kuchni — huzia na niego; grożą, wypędzają, biją; chodzimy poszarpani, poranieni, gorzej od starych dziadów.

H y l a c t o r :

Widzisz, mój Pamphagusie, trzeba umieć cierpieć. Najlepszy środek na cierpienie obecne jest zapominać radości minionych, z nadzieją lepszej przyszłości; nawzajem pamięć minionego złego, bez obawy o dalsze lub gorsze, zwiększa szczęście obecne.

H y l a c t o r :

Co ja tam widzę na drodze?

P a m p h a g u s :

Paczka listów; ktoś je zgubił.

<sup>1</sup> Poprzednio była mowa o tem, jak własne psy go rozszarpały z rozkazu Diany.

Hylactor:

Proszę, rozwiń i obacz, co to, skoro umiesz czytać.

P amphagus:

— Do Antypodów wyżnych... —

Hylactor:

Antypodów wyżnych? Chyba znajdzie się tam coś nowego.

P amphagus:

— Panowie Antypodzi, pragnę pomówić z wami po ludzku, a to w tym celu, aby nauczyć się od was reguł dobrego postępowania i nawzajem dać wam poznać nasze; poszliśmy za radą gwiazd i wysłaliśmy naskrós ziemi niektórych naszych ludzi ku wam; aliści wy, spostrzegłszy to, zatkaliście przechód z waszej strony, tak, że musieli pozostać w czeluściach ziemi. Prosimy zatem, abyście raczyli umościć im drogę,<sup>1</sup> inaczej będą musieli wydostać się bokami, do tego w takim nawale, że nie będziemy wiedzieli, kogo wprzód gonić. Tak, że o co prosi się was w imię łaski i miłości, będziecie musieli uczynić poniewoli, ku wielkiemu wstydowi i niemałej konfuzji. Bóg z wami, dobrzy przyjaciele! Antypody niżne.

(*B. des Périers, Cymbalum mundi, Paris 1537 i F. Frank, Paris 1873.*)

## ZABAWKI NOWE

### Picquet i minog

Ale, jak powiada stare przysłowie, że okpisze bywają często okpiwani, tak ludzie z Fleches<sup>2</sup> trafili na swego, a był nim Picquet. Kupił on w Durtalu minoga, wsadził do biesag, umieścił w tyle na łęku i przywiązał mocno za skrzele, tak, że nie mógł się wymknąć, ale ogonem wisiał nazewnątrz. Kiedy zbliżył się do Fleches, minog bardzo ruchliwy zaczął potrząsać ogonem, a mieszkańcy Copieux spostrzegli, że przez owo potrząsanie minog coraz dalej wysuwał się z worka; tedy moi ludzie wyczekiwali, rychło wypadnie. A Picquet pojeżdżał sobie swobodnie, jakby mu się nie śpieszyło, a mieszkańcy Copieux zbierali się w coraz większej liczbie; wychodzili z domów i biegli za nim, żeby prędzej dopaść minoga, skoro się wysunie; a było między nimi czterech lub pięci czekających jak na jaje wielkanocne, a jeden powiadał do drugiego: — «Dla mnie na śniadanie, dla mnie na śniadanie». — A Picquet udaje, że ich nie widzi, tylko czasem się ogląda, jakby sprawdzając popręgi, a zboku zerka na parobków, co biegli za nim. — Kiedy już był za miastem, począł jechać nieco prędzej, a moi kopijczycy za nim w nadziei, że ryba już już wypadnie, bo prawie wszystka była nazewnątrz. Tak wiedzie ich jakie pół mili. Dwaj przestali biec, bo byli przy ciężcy od obiadu, ale dwaj zostali, wołając do siebie: — «Czekaj, czekaj, dla mnie większe dzwono». — Kiedy Picquet spostrzegł, że ich zostało tylko dwóch, dosyć rączych, zaczął jechać jeszcze prędzej, a moi kopijczycy za nim i ścigali go jeszcze pół mili, a Picquet był ciągle na przodzie, a minog ciągle nie spadał, co nakoniec poczęło ich złościć, a Picquet, ubawiwszy się, począł się głośno śmiać; tedy spostrzegli, że sobie z nich zadrwił...

(*B. des Périers, Nouvelles Récréations et Joyeux devis, Paris 1874, nouv. XXVI.*)

<sup>1</sup> N. b. ideom nowym.

<sup>2</sup> Posiadający sławę żartownisiów.

## ANTOINE HÉROËT

(1492—1542)

## DOSKONAŁA PRZYJACIÓŁKA

— — — — —  
Znam pana mego; dusza ma pamięta,  
Że miłość moja powinna być święta;  
Wie on i dobrze na zalety baczy  
Tej, co ją wybrać na kochankę raczy.  
Wie, że nie znajdzie równie mu oddanej,  
A jeśli mając mnie, nie szuka zmiany,  
Muszę zawdzięczać albo jego woli,  
Albo tak czyni mym zaletom gwoli.

Lecz skoro wartość tak wysoko mierzę,  
Skądże się we mnie ta odwaga bierze,  
Która wyklada dotąd tak nieśmiałej  
Wszystko z korzyścią mą i dla mej chwały?  
Oto, że jestem wobec mego pana  
Tak pewna siebie i tak z nim dobrana,  
Że mam świadomość, iż są rzeczy we mnie,  
Jakichby indziej chciał szukać daremnie.

Chce uczoności, jego będę godną;  
Chce-li urody, będę dlań urodną,  
Aż każdy łącznie obaczy z mej próby,  
Jak można radość czerpać z własnej chluby;  
Mniemam, że jest w tem jakaś tajna siła,  
Co się z kochanka w kochance odbiła:  
To, czego pragnie, to, czem miłość dyszy,  
Odkrywa we mnie; a na ziemi niema,  
Ktoby to jaśniej wypatrył oczyma.  
Tak czerpiąc ze mnie wszystkie swe rozkosze,  
Czyż mogę wątpić, że to ja przynoszę?

Jeśli mu trudno przy jednej pozostać,  
To mu się moja ztysiącokroci postać;  
Skoro chce zmiany, otrzyma tę zmianę,  
Mimo że przy nim, jak wprzód, pozostanę.

To, co powiadam, to nie jest czcza złuda:  
Z doskonałego kochanka te cuda.  
Jeśli gdzie spotkasz kobietę wzgardzoną,  
Wiedz, że zwróciła się fałszywą stroną  
Ku ludziom ciemnym, gdzie w nieświadomości,  
W niezaufaniu jest błąd, nie w miłości.  
Prawdziwa miłość to wiedza i wiara:  
W nich jest dóbr wszelkich najszczytniejsza miara.  
Zaś bez nich wszystko, skąd uciecha płynie,  
To jeno gorzkich kordjalów naczynie.

Niekażdy, kto ma chęci, kochać umie;  
A taki amant, który pióra stroszy,  
Nie zna miłości, ani jej rozkoszy.  
Ja — bo znam owy zachwyty nad zachwyty  
Rzadki, choć zda się komu pospolity.

— — — — —

Kiedy dwie dusze, wprzód związane w niebie,  
 Tu się odnajdą i przylgną do siebie,  
 Wszedłszy w dwa ciała zmysłem swym właściwe,  
 Dwu chceń świadome, posłuszne i tkliwe,  
 To z wzajemnego owego oddania  
 Tak wiele mają ukontentowania,  
 Że się ich radość napawa dosyła,  
 Jaka się jeno pojmowaniem chwyta.  
 Cóż to za rozkosz wtedy doskonała,  
 Kiedy duch jeden wypełni dwa ciała!  
 Pod upojeniem bożego nektaru  
 Każde zwolnione z wszelkiego ciężaru.  
 Jaki smak wtedy oszalamiający,  
 Jaki się zapach w wyobraźnią sączył  
 Choć ku wszystkiemu miłość jest sposobna,  
 Tych rzeczy słowem oddać niepodobna.

(*Antoine Héroet, Oeuvres poétiques, p. p. J. Cohin. Soc. des Textes fr. modernes. Paris 1909, v. 454—582.*)

### CLÉMENT MAROT

(ok. 1497—1544)

#### RONDEAU «MIŁOŚĆ DAWNYCH CZASÓW»

Za dobrych czasów miłość niewybrednie  
 Gospodarzyła; jej fawory przednie  
 Były po łące uzbierane kwiaty,  
 A dane z serca głębi — całe światy.  
 Tak się kochało uczciwie, choć biednie.

Tam, gdzie kochanie było mniej poślednie,  
 Nie wyglądało jak dzisiaj na brednie,  
 Bo nie kończyło dwudziestoma laty  
 Za dobrych czasów.

Dziś dawna miłość kurczy się i blednie:  
 Szlochy, obłudy, to rzeczy powszednie,  
 Chcesz-li, bym nie czuł zawodu i straty,  
 Niech ją przetopią jak liche dukaty  
 I niech znów będzie taka, jak poprzednie  
 Za dobrych czasów.

(*Clément Marot, Oeuvres, p. p. Ch. Herisault. Paris 1867, p. 193.*)

#### BALLADA O MAJU I CNOCIE

<p>Kiedy Maj światu się obwoła,          Ziemia nakłada szaty świeże,          Równie jest zmienna młódź wesola:          Ten, że płochości się nie strzeże,          Tamten, że w nowe wpadł wścierze,          Lub jest na inne wdzięki lasy,          Jam serce jednej dał w ofierze:          Miłość ma trwa po wszystkie czasy.</p>	<p>Jest-li gdzie piękność — spójrz dokoła,          Klóra zniszczenia się ustrzeże?          Troski, choroba zetrą z czoła          Wdzięki, zaszkodzą gładkiej cerze,          Ale nic wdziękowi nie odbierze          Ani lubości, ani krasy —          Tej, co jest piękna w jednej mierze:          Miłość ma trwa po wszystkie czasy.</p>
--	--

Ta, której serce moje woła,  
 To Cnota; wieczność ma przy sterze,  
 Niebiańskie blaski u jej czoła,  
 Wszystkich pociąga w swe obieże:  
 — Pójdźcie, młodości mej rycerze,  
 Tu jestem ku rozkoszy waszej;  
 Kto rad miłować, niech mię bierze:  
 Miłość ma trwa po wszystkie czasy.

Przesłanie.

Książę, serce swe oddaj szczerze,  
 Jej poświęć wszystkie swoje wczasy;  
 Wtedy rzec możesz — ja uwierzę —  
 Miłość ma trwa po wszystkie czasy.

(*Tamże, p. 180.*)

RONDEAU «NA CIEMNEGO POETĘ»

Wypędźcie w pole tego dudka:  
 Nie wie, jak z rytmem rym się składa,  
 Co glosa, rondo i ballada,  
 Co strofa długa, a co krótka!  
 Niemądry mózdzek słów nie utka.  
 Na niepiśmiennych jedna rada:  
 Wypędźcie w pole tego dudka.  
 Gdy już gadulski duch w nim gada,  
 Niech mu otworzy prozą wrótka,  
 Jeśli mu znana prozy nutka;  
 Bo już do wierszy się nie nada:  
 Wypędźcie w pole tego dudka.

(*Rondeau «A un poète ignorant», tamże p. 188.*)

FRANÇOIS RABELAIS

(ok. 1495—1553)

PROLOG DO GARGANTUI

(W formie strofy balladycznej)

Czytelniku, wczytany w te karty,  
 Niech cię zbytnio treścią nie obruszę,  
 Nie zasłużą na gniew wolne żarty,  
 Żaden jad z nich nie spłynie na duszę.  
 Doskonale nie są, przyznać muszę:  
 Tyle sztuki, co w trefnisiów cechu.  
 W tem wymówka jest mojego grzechu.  
 Wolę widząc, jak lży wokół lejem,  
 Nie o słozach pisać, lecz o śmiechu,  
 Gdyż człowieczym jest śmiech przywilejem.

(*François Rabelais, Oeuvres, ed. Abel Lefranc etc. Paris, Champion 1913.*  
*Gargantua, Aux Lecteurs.*)

Wybór, układ i tłumaczenie do «Plejady» wyłącznie — Edwarda Porębowicza.

## WIEK XVI—XVII

PLEJADA — BAROK — OKRES KLASYCYZMU

PIERRE RONSARD

(1524—1585)

SONET

Jako widzimy różę, gdy w czas rozkwitania  
 Młodzięcżą krasą pierwsze rozrzuca pąkowie,  
 Że aż niebo jej barwom zazdrością odpowie  
 I brzasku lżą porosi o porze świtania:

Wdzięk w onej liściach schowan, miłość ją osłania,  
 Pojąc wonią ogrody i leśne pustkowie;  
 Lecz gdy deszcze ją zwarzą lubo zimne nowie,  
 Zamiera, tracąc liście w godzinę konania:

Tak w twej pierwszej wiośnianej i młodej zrałości,  
 Gdy wszystek świat i niebo czciło twe piękności,  
 Nie szczędziła cię Parka, ziemia cię osłania.

Łzy moje i me płacze przyjm na znak objatów,  
 Ten dzbanek pełen mleka i kosz pełny kwiatów,  
 By ciało twe zostało różą w czas rozstania.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## DO GAJU W GASTINE

W cieniu zielonych leżąc drzew,  
 Opiewam cię, Gastynie,  
 Jako ten Grek, co składał swój śpiew  
 Eurymantowej krainie.  
 Jakożbym, biedny, taić mógł  
 Przed człekiem, co się wciąż pleni,  
 Mój nieoddany tobie dług,  
 Twej pięknej, gaju, zieleni:

Ty, co mię bierzesz pod swój schron,  
 Przez ciebie duch się nie nuży,  
 Przez twe zrządzenie w rozgłośny ton  
 Odpowiadają mi Muzy;  
 Ty, co mię zbywasz trosk i łez,  
 Dla ciebie zawszem gotowy,  
 W tobie się gubię, nie wiem gdzie kres,  
 Gdy z książką tu miewam rozmowy.

Zawszeć niech wiodą w gąszczu twym tan  
 Miłosnych rojów gromady,  
 One Satyry i groźny Pan,  
 Postrach dla pięknej Najady;  
 Niech od mojego stawiąc dnia  
 Przybytek Muzy grające,  
 Niech nigdy twego nie zniszczą pnia  
 Ofiarne ognie niszczące.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## DO MIKOŁAJA DE NEUFVILLE PANA DE VILLEROY

Już czuję nadchodzące zimy nawałnice,  
 Już pięćdziesiąt sześć roków śnieg prószy me lice,  
 Już czas mi niechać pieśni, słodkości kochania,  
 Czas odejść od dni jasnych ze słowem żegnania.  
 Żyłem, mój Villeroy, tak dobrze, iż oto  
 Odchodzę od żywota rozkoszy z ochotą;  
 Zaznałem ich bezliku, biorąc je dowoli,  
 Bacząc, czy rozum z niemi przyjaźnić się zwoli,



I grałem moją rolę na teatrum świata  
W odzieży, którą zszyły: czas, warunki, lata.  
Widziałem wschody słońca, zachody złowieszcze,  
Widziałem grady, burze, błyskawice, deszcze,  
Widziałem ludy, króle, widzę lat parnaście,  
W których Francja wdół bieży, prawie nad przepaście;  
Widziałem wojny, wiece, rozejmy, pokoje,  
Ugody, obietnice, poprawki, rozstroje,  
I naodwrot poznałem zdarzeń tych piastuna:  
Był to tylko los szczęścia, kapryśna Fortuna.  
Roztropność, to najlepszy wódz dla ludzkiej głowy;  
Niewidzialny los dłonie ujmuje w okowy  
I więźniem czyni człeka, który, chociaż rządzi,  
Rozumnie mu Fortuna inaczej rozsądzi.  
Pijany z świata schodzę, jak biesiadnik owy,  
Co pijany opuścił z drużby stół godowy,  
Lub z uczyty zwiął od króla, zbywszy serca bóle,  
Że ktoś inny w mig zajął po nim część przy stole.  
Podwikę choć gonilem, nie kropilem łzami,  
Gdym oddawał innemu, co gonił za nami;  
Nie trzeba nad tem boleć, to prawo przyrody,  
Za życiem śmierć w pogoni, za starym zaś młody...  
Owa, jako ten dłużnik, co mu termin bliski,  
Sprzedaje na pokrycie sprzęty, statki, miski,  
A nie mogąc majątku na tyle uzbierać,  
By złagodził swą nędzę, pragnie więc umierać;  
Takoż i ja, twój dłużnik, nie mając nic więcej,  
By życzliwość twą spłacić, załamuję ręce;  
Żal mi, że jeszcze żyję, i żal mi, że patrzę  
Na to słońce, co moje przeziera rozpaczę.  
Unosząc z sobą w duszy mych smutków gorzkości,  
Pytam, przecz jeszcze błędę w przedsiönku starości  
I widzę (środek, którym rozporządzić mogę),  
Że zanim ciebie spłacę, trza mi odejść w drogę,  
Chyba, że zechcesz wnętrze przeszukać mej skrzyni  
I wziąć tę kartkę, która mię dłużnikiem czyni,  
I to pióro, co prawdę siejąc w pokolenie,  
Zaświadczy, że dla ciebie żywię uwielbienie.  
Racz więc przyjąć ten dar mój i niechaj go wspiera  
Opieka domu Conflant, co z wyżyn spoziera  
Na Paryż, miejsce królów, i dumnym frontonem  
Zadziwia inne domy pod niebem sklepiönem.  
W nadziei, że Apollon odwagi mi doda,  
By się w pieśni mej cała odbiła uroda  
Twych ogrodów, zaciszy, ustroni i gajów,  
Gdzie słońce zawsze świeci przy szmerze ruczajów;  
Twej ciepłej oranżerji, której zielna głowa  
Peruką wiecznych włosów złoty owoc chowa,  
Broniąc go swoim liściem, jak ramieniem matki  
Otoczone w uścisku bronione są dziatki:  
Weź tę książkę w zadatek i otwórz jej, z łaski,  
Biblijoteki twej wnętrze, które sieje blaski,  
Gdzie milczący w niej goście znoszą los poddańczy:  
Bo pachnie ona wonią twoich pomarańczy.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## DO KASANDRY

Pójdź zobaczyć, moje życie,  
 Czy tej róży, co o świecie  
 W szkarłat się do słońca stroi,  
 Już pod wieczór w faldach szaty  
 Nie poblady barw szkarłaty  
 I krasa, podobna twojej!

Ujrzysz, moje ty kochanie,  
 Co się z różą przez dzień stanie:  
 Jak przemija wdzięków pora!  
 O naturo, tyś nie matka,  
 Gdy takiego życie kwiatka  
 Trwa od rana do wieczora!...

A więc zawierz mi, jedyna,  
 Gdy twój rozkwit już zaczyna  
 Szerzyć wkoło blask uroczy,  
 Czerp z miłości swej źródlika,  
 Bo jak róży — starość bliska!  
 Twoich wdzięków blask zamroczy!

*Tłum. J. A. Świącicki.*

## JOACHIM DU BELLAY

(1522—1560)

## SONET

Szczęśliwy, kto wędrował jak Ulisses boski  
 Lub jak owy, co zdobył pyszne runa płaty,  
 A potem wrócił do dom rozumem bogaty,  
 Wiodąc życia ostatki, wśród swoich, bez troski!

Niestety, kiedyż ujrzę dym rodzinnej wioski  
 I ognisko domowe, jak dawniej, przed laty,  
 I czy ujrzę znów progi mojej biednej chaty,  
 Co droższą mi nad pałac, przybytek hrabiowski?

Bo dziadów moich strzecha, zręby i przyciesze  
 Za rzymskie stoją zamki, pałace, pielesze;  
 Niż marmur, lepszy dla mnie kamień mych kominów,

Lepszą mi jest Loara, niżli Tybr latyński,  
 Lepszą Lirenka moja, niż szczyt Palatyński;  
 Niż morskie tchnienie, lepsza słodycz Anżewinu.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## REMY BELLEAU

(1528—1577)

## KWIECIEŃ

Cudów dłoń twa pieszczona  
 Dokona,  
 Bo z natury wyłoni  
 Strój dla ziemi bogaty  
 W liść, kwiaty...  
 Dla powietrza moc woni!

Miłość wnet się odzywa  
 Szczęśliwa,  
 Gdy twe czary tchnień falą  
 Ogień w żyłach zgaszony  
 Przez szrony...  
 W nowy płomień rozpała!

Gdy się blask twój wylania  
 Z wygnania,  
 Słychać świergot radosny...  
 To jaskółczej głos rzeszy,  
 Co śpieszy,  
 By zwiastować dzień wiosny!

*Tłum. J. A. Świącicki.*

## WINOBRAŃCY

To było w czas, gdy na wsi chłopcy i dziewoje  
 Sposobili się zbierać z win słodyczne zdroje,  
 Z owej świętej gałęzi, gronem płomienistej;  
 To była błotna Jesień, gdy owoc zlocisty  
 Opuszczał wdowią gałęź, by w czelustnej kadzi  
 Pianą moszczu brzeg sperlić, nim wino się zładzi.  
 Każdy pracą zajęty: ten z tłocznią się dzieli,  
 Ów uszczelnia łożysko brzuchatej gardzieli  
 I smolnym tykiem wiążąc pakul konop jarki,  
 Zatyka onym czopy: jedni czyszczą czarki,  
 Wypłokują baryłki, inni na kolanie  
 Ostrzą sierpek na słodkie z krzewów winobranie,  
 Potem strzygą latorośl, żwawi, roześmiani.  
 W trzykrotnych postrzyżynach krzew się krwawi, rani,  
 Grono, w kocieł stłoczone, zatkano już czopem,  
 Warząchw ginie w kadzi, dymiącej ukropem;  
 Luni, więcej ochoczy, w świeże pękowiny  
 Wgniatają się nogami, niemal do pachwiny,  
 Owi nad wytłoczną, tamci u ściskacza,  
 Ten na gładzonym kole dziób sierpu wytacza,  
 Dziób noża skrzywionego, aby stał się płaski.  
 Ci nurzają łożinę, tamci swoje faski,  
 Swe motyki i sprzęty w strudze wody czystej;  
 Inni skrobią u panwi osad kamienisty,  
 Co wrósł w brzegi, spojony mchu grubą powłoką.  
 Tamci wargę ściskają naczynia, szeroka,  
 Oplotem giętkich prętów z wiklin i topoli,  
 Potem klepią po bokach, aż brzeg się zespoli.  
 Kto niekto pije z kadzi, na moszcz będąc łasy,  
 I z czopa bierze trunek; ów stoi u prasy,  
 Gnecie ziarno, z owoców lży rzęsiste płyną,  
 Wnet z pod ciężkich drzew tłoczni wylewa się wino,  
 Strugą gna po łożysku z niezwyčajną mocą,  
 Owoc winem wciąż płacze, a drzewa dygocą.  
 Ci, schyleni nad beczką, zbijają obręcze,  
 W beczce wino się perli, świeżutkie, młodzieńcze.  
 Owi płaczą się wokół, wrzeszczą z całej siły,  
 Że im krople gronowe nogi skoślawiły,  
 Chwieją się słabi w głowie, w kolanach, pęcinach,  
 Durząc się samą wonią szumiącego wina.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## SATYRA MENIPPEJSKA

(1594)

## PRZEMOWA IMCI PANA D'AUBRAY DO TRZECH STANÓW

Na miłość Świętej Panienkil! Ładnieście nas, Waszmościowie, urządzili! Już nie  
 potrzeba, aby nasi księża od kazalnicy nam głosili, że należy się «wyszlamować»  
 i «zdeburbonizować»<sup>1</sup>. Jak wnoszę z waszej dyskusji, my biedni Paryżanie dość błota  
 mamy już w swoich butach, zasię trudnoby było nas wyszlamować... Trzeba przyznać, że  
 nas mają za sługi i za niewolniki, więcej nawet niż Turcy chrześcijan, lub żydów

<sup>1</sup> W języku francuskim gra słów: «desbourber et desbourbonner».

Awinjończycy. Nie mamy głosu, ani wolności u kapituły. Nie mamy już żadnej własności, o której moglibyśmy rzec: ona jest nasza. Wszystko jest wasze, Mościpanowie, bo trzymacie nogę na gardle i nasze domy zamieniacie na garnizony. Poszły z wiatrem nasze przywileje i wszelakie nasze ulgi dawne. Nasz ratusz, który widziałem jeszcze jako zabezpieczenie podpory tronów królewskich, stał się rzeźnią i jatką. Niema wyroku parlamentu, a uniwersytet zdziczał doreszty. Stoimy u krańca naszej mizerji i, co gorsza, wśród tylu nieszczęść i potrzeb, nie wolno nam poskarżyć się, ani prosić pomocy, lecz przeciwnie, śmierć czując na karku, musimy udawać, że dobrze nam się powodzi i że jesteśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi...

Paryżu, który nie jesteś już więcej Paryżem, lecz spelunką dla dzikich zwierząt, cytadelą Hiszpanów, Wallonów i Neapolitanów, przybytkiem i pewną ucieczką dla złodziejów, morderców i zbójów, nie zechcesz już nigdy przypomnieć swej godności i wzbudzić w swej pamięci, czem byłeś dawniej, w porównaniu z tem, czem jesteś? Czy nigdy nie zechcesz wyleczyć się z tej choroby na królestwo, która sprawiła, iż miast jednego, prawowitego i łaskawego króla, posiadasz pięćdziesiąt królewiat i pięćdziesiąt tyranów? Ty oto w okowach, ty oto w inkwizycji hiszpańskiej, tysiąc razy więcej nietolerantnej i sroższej do zniesienia dla wolnych i swobodnych duchów, jakimi są Francuzi, niż najsroższa śmierć wymyślna, jakąby Hiszpanie umieli sporządzić! Nie mogłeś znieść lekkiego pomnożenia stanów i urzędów i kilku nowych edyktów, malej wagi dla ciebie; lecz znosisz rabunek twoich domostw i to, że do krwi cię lupią, że zamykają twoich senatorów, że wypędzają i banicją okładają twych dobrych obywateli i rajców, że wieszają i wyrzynają twych najwyższych sędziów! Ty widzisz i znosisz to; nietylko znosisz, lecz pochwalasz i zgadzasz się na to, i nie umiesz, nie odważysz się postąpić inaczej. Nie mogłeś ścierpieć tak przystępnego i zażyłego przyjaciela, jakim był dobry twój król. Opuścił on ciebie, ten obywatel twój i mieszczanin, który wzbogacił miasto, upiększył je wspaniałemi budynkami, wzmocnił fortami i wspaniałemi bastjonami, odznaczył przywilejami i zaszczytami. Co mówię? Nie mogłeś ścierpieć? Jeszcze gorzej: wypędziłeś go z miasta własnego, z jego domu, z jego łoża. Wypędziłeś go? Tyś go prześladował. Jakto, prześladował? Tyś go zamordował, ukanonizowałeś mordercę i jeszcze stypę odprawił z radości. A teraz widzisz, ile cię śmierć ta kosztowała, bo ona sprawiła, że inny zajął jego miejsce, o wiele czujniejszy, więcej pracowity, więcej wojowniczy, wiedzący, jak należy przycisnąć tobie gardła, jako żeś to już wypróbował ze swoją szkodą.

Proszę was, Mościpanowie, jeśli wolno mi, jak psu po raz ostatni, zawyć na wolności, rozważmy choć trochę, jakie zyski i dobra osiągnęliśmy z tej haniebnej śmierci, o której nasi kaznodzieje mówili nam, że jest ona jedynym i wyłącznym środkiem, wiodącym do naszego szczęścia. Przychodzi mi jednak mówić z wielkim żalem, bo widzę, jakie rzeczy zdobyliśmy za cenę tego, co było. Albowiem wtedy każdy miał jeszcze swój śpichlerz i swoje zboże, i wino w piwnicach; każdy miał skrzynię srebra, dywany i sprząty; białogłowy miały jeszcze srebrne gorseciki; relikwje pozostawały w całości; nie dobywano drogich kamieni z korony królewskiej. Lecz teraz, któż może się chlubić, iż ma z czego żyć przez trzy tygodnie, jeśli nie złodziej utuczony pracą ludu, rabuśnik, który kradł w lewo i w prawo? Czyż nie wyczerpaliśmy powoli wszystkich naszych zapasów, nie sprzedaliśmy naszego dobytku, czy z naszych skrzyń dno już nie przeziera, czy nie wyzbyliśmy się wszystkiego aż do ubrań naszych, aby przynajmniej wegetować? Gdzie są nasze salony i pokoje, pięknie umeblowane, pięknie obite i dywanami wyścielone? Gdzie nasze uczty i stoły zastawne? Oto ograniczyliśmy się do mleka i białego sera, jak Szwajcarzy; na całą ucztę starczy nam kawał wołowiny. Szczęśliwy, kto nie jadł jeszcze koniny lub psiego mięsa, szczęśliwy, kto mógł razowym pożywić się chlebem i poprzestać na wrzątku, sprzedawanym na rogach ulic, w miejscach, gdzie dawniej sprzedawano frykasy i ozory, przepiórki i nóżki baranie! Dobrze jeszcze, że nie zachciało się panu posłowi i ambasadorowi Mendosie, abyśmy spożywali kości naszych ojców, jak to czynią dzicy w nowej Hiszpanji.

Czy można wspomnieć o tem wszystkim bez grozy i łez? A ci, którzy w swoim sumieniu poczytują się za sprawców tego nieszczęścia, czy mogą o niem mówić bez zawstydzania się i bez przeczucia kary, którą zachował dla nich Bóg, za tyle złego?

Nawet jeśli sobie przywidzą przed oczy obraz tyłu biednych mieszczan, których widzieli, upadających z głodu na ulicy; tyłu niemowląt ginących u piersi matek wycieńczonych głodem; tyłu mieszkańców i żołnierzy, idących przez miasta, podpierających się kijem, błądych i osłabionych, bielszych od śniegu, podobnych raczej do zjawy, niż do człowieka; nareszcie nieludzkie odpowiedzi niektórych, nawet duchownych, którzy oskarżali ich i prześladowali, miast przyjść im z pomocą i pocieszyć! Czy było kiedy większe okrucieństwo i barbarzyństwo od tego, jakie przeżywamy? Czy była kiedyś podobna tyranja i samowładztwo, jak to, które widzimy i znosimy? Gdzie honor naszego uniwersytetu? Gdzie są kolegia? Gdzie są uczniowie? Gdzie lekcje publiczne, na które zbiegano się ze wszystkich stron świata? Gdzie są bogobojni studenci w konwentach? Chwycili za broń; oto wszyscy stali się hulaszczem żołdactwem. Gdzie nasze kabzy? Gdzie drogocenne klejnoty? Niektóre sprzedano na pożywienie; inne zakopano do ziemi, z obawy przed złodziejami. Gdzie cześć, z jaką odnoszono się do sług Bożych i do świętych obrządków? Każdy teraz wyznaje religję na swój sposób, a służba Boża nie do innych przeznaczona celów, jak dla hipokryzji. Kapłani i kaznodzieje tak są obrzydli i w taką popadli pogardę, że nikt się o nich nie ubiega, ani o ich kazania, chyba, by mieli głośić z kazalnicy jakiś fałsz nowy, na czyjaś korzyść. Gdzie są książęta krwi, którzy zawsze byli uważani za święte osoby, jako podpory i kolumny w koronie francuskiej monarchji? Gdzie są parowie Francji, których powinnością było, jako najpierwszych, zagaić obrady i zaszczycić obecnością stany? Wszystkie ich nazwiska, to nazwy posługaczy, z których robi się podściółkę dla panów Hiszpanji i Lotaryngji. Gdzie jest majestat i powaga parlamentu, niegdyś opiekuna królów i pośrednika między ludem i księciem? W triumfie zaprowadziliście go do Bastylji, zawiedliście tam uwięzioną powagę i sprawiedliwość, czyniąc to więcej okrutnie i haniebnie, niżby to Turcy zdziałać mogli. Wypędziliście najlepszych, a zatrzymaliście przy sobie tych najgorszych z motłochu. A nawet z pośród nich, jak powiadają ci, którzy o tem wiedzą, nie chcecie ścierpieć czterech czy pięciu i prześladowacie ich, dając im kartę, jak heretykom lub politykom. Wszelako pragniecie, aby wam wierzono, że wszystkie wasze sprawy mają na celu ochronę religji i państwa!

*Tłum. Józef Gluziński.*

## MICHEL EYQUEM DE MONTAIGNE

(1533—1592)

### PRÓBY

#### O doświadczeniach (III, 13)

...Natura po macierzyńsku zatroszczyła się o to, aby czynności, które przepisała dla naszych potrzeb, były nam zarazem rozkoszne. Zaprasza ku nim nietylko rozumem, ale także i chucią: niesprawiedliwością jest łamać jej prawidła! Kiedy widzę i Cezara, i Aleksandra, jak, wśród największego trudu swych ogromnych zadań, cieszą się tak pełno ludzkimi i cielesnymi rozkoszami, nie powiadam, iż to znaczy zmiękczyć duszę: raczej skrzepić ją, poddając wielkodusznie praktykom codziennego życia one potężne zatrudnienia i pracowite myśli. Mądrzy byli, jeśli rozumieli, iż to jest ich zwyczajne zajęcie, tamto zaś nadzwyczajne. Okrutni z nas pomylenicy! «Spędził życie beczynnie» — powiadamy. «Nic nie zrobiłem dzisiaj». Jaktó? czy nie żyłeś? toć to jest nietylko twoje główne, ale najchlubniejsze zatrudnienie. «Gdybym miał w rękę władzę i wielkie sprawy, pokazałbym, do czego jest zdolny». Umiałeś-li obmyśleć i poprowadzić swoje życie? Tedy dokonałeś największego dzieła. Natura nie potrzebuje wielkiego losu, aby się pokazać i wyżyć; ukazuje się jednako na wszystkich piętrach, i za kurtyną, i bez niej. Kto umiał nakreślić bieg własnego życia, dokazał o wiele więcej, niż ten, kto kreśli książki; kto umiał zdobyć sobie ład i spokój, lepiej żył, niż ten, który zdobył królestwa i miasta.

Wielkie i wspaniałe arcydzieło człowieka, to żyć dorzecznie. Wszelkie inne rzeczy: panować, gromadzić skarby, budować, są jeno przydatkami i co najwyżej ozdoba.

Radość mi czyni widzieć generała armji, jak, u stóp wyłomu, do którego ma szturmować, swobodnie i próżen trosk zabawia się przy stole z przyjaciółmi... ..Wielkość duszy nietyle polega na tem, aby iść ku górze i naprzód, co aby umieć umiarkować się i ograniczyć. Wielkiem jest dla niej wszystko, co dostateczne; ukazuje swą wysokość w tem, iż bardziej lubi rzeczy pośrednie, niż strzelające wysoko wgórę. Niemasz nic równie pięknego i godnego, jak dobrze i należycie spełniać swą rolę człowieka: ani też niemasz wiedzy tak trudnej, jak umieć dobrze i wedle natury przeżyć to życie. Najdziksza ze wszystkich chorób, to gardzić naszą własną istotą.

Kto chce odsunąć swą duszę od ciała, niech uczyni to śmiało, jeśli zdoła, wówczas, gdy ciało będzie zdjęte chorobami, aby zbawić ją od tej zarazy. Pozatem, przeciwnie, niechaj mu ona towarzyszy i sprzyja; niech nie odmawia udziału w jego naturalnych przyjemnościach, lecz dzieli je jakoby z małżeńską przyjaźnią; wnosząc w nie, jeśli bardziej jest roztropna, umiarkowanie, i chroniąc, aby, przez nieopatrzność, nie pomieszały się z przykrością. Nieumiarkowanie jest zakałą rozkoszy; umiarkowanie zaś jest ujmą, jeno przyprawą.

Mam swój zupełnie osobny słownik: spędzam czas, kiedy jest przykry i dolegliwy, zaś gdy jest luby, nie chcę go wówczas spędzać, jeno ogarniam go i przytrzymuję. Trzeba biec ze złem, a przysiąść z dobrem. One zwyczajne wyrażenia: zabijanie czasu i spędzanie czasu przedstawiają obyczaj tych roztropnych ludzi, którzy nie wyobrażają sobie lepszego użytku z życia, jak spychać je i umykać się mu, zabijając je, spędzać, i, o ile to w ich mocy, nie wiedzieć o niem i uciekać przed niem, jako przed rzeczą z natury omierzłą i godną wzgardy. Ale mnie widzi się życie w innej postaci; znajduję je i cennem, i miłym, ba, nawet w ostatnim jego schyłku, w który popadam. Natura dała nam je w ręce, przystrojone takimi i tak pomyślnymi okolicznościami, iż możemy uskarżać się jeno na siebie, jeżeli nas ciśnie, i jeśli się nam wymyka bez pożytku. Gotuję się stracić je bez żalu; ale dlatego, iż przeznaczone jest ku stracie ze swej istoty, a nie iżby było przykre i dolegliwe. Tym jeno właśnie przystoi nie znajdować goryczy w śmierci, którzy znajdują słodycz w życiu. Jest pewna gospodarność w korzystaniu zeń: ja korzystam dwa razy tyle, co inni, w użyciu bowiem miara zależy od mniejszej lub większej uwagi, z jaką się doń przykładamy. Dziś zwłaszcza, gdy moje życie widzi mi się tak krótkie co do czasu, chcę je pomnożyć co do wagi. Chcę zatrzymać rychłość jego uciekania rychłością mego chwytu; wydatnością korzystania wyrównać pośpiech jego odpływu. W miarę jak posiadanie życia staje się krótsze, trzeba mi je uczynić tem głębszem i pełniejszym.

Inni odczuwają słodycz zadowolenia i pomyślności; ja czuję je równie jak oni, ale nie tak mimochodem. Trzeba je rozważać, smakować i przetrawiać, aby oddać słuszny dank temu, kto nam ich użycza. Zażywają innych rozkoszy tak jak snu: bez świadomości. Iżby nawet spanie nie przemijało mi tak tępo, podobałem sobie dawniej w tem, aby mi je przerywano: niechbym miał jego świadomość. Każdą przyjemność rozważam i rozpamiętuję w sobie: nie zbieram jej po wierchu, ale zapuszczam się w głąb; zmuszam swój rozum, który stał się zgryźliwy i zmierzony, aby ją przygarnął. Zdarzy mi się znaleźć w miłym, szczęśliwym usposobieniu? pobudzi mnie jakowaś rozkosz? Nie daję baraszkować z nią samym jeno zmysłom; dopuszczam do udziału i duszę; nie aby ją omotać, ale aby rozerwać; nie aby się w tem zgubiła, ale aby się odnalazła. Skłaniam ją, aby i ona przejrzała się w zwierciadle w tym lubym stanie, aby rozważyła i oceniła moje szczęście, i pomnożyła je. W ten sposób może zmierzyć, ile winna jest Bogu, iż jest w spokoju ze swem sumieniem i z innymi wnętrznymi namiętnościami; iż ciało, w którym mieszka, znajduje się w pomyślnym stanie, ciesząc się statecznie i należycie słodkimi i miłymi funkcjami, przez które Bogu podoba się w jego łasce wyrównać boleści, któremi sprawiedliwość jego smaga nas znowuż z kolei. Jakież to szczęście dla niej znajdować się w takowem miejscu, iż gdziekolwiek powiedzie wzrok, widzi spokojne niebo dokoła siebie: żadnego pragnienia, żadnej obawy lub wątpliwości, któreby jej mąciły horyzont; żadnej trudności przeszłej, obecnej, przyszłej, nad którą wyobraźnia jej nie przemknęłaby bez obrazy! Te względy nabierają wielkiego blasku przez porównanie z odmiennymi stanami: dlatego w tysiącach postaci przedstawiam sobie niedole, w które albo los, albo własna nieopatrzność

wpędza nas tak łatwo. Kiedy patrzę na ludzi, którzy tak miętko i niedbale przyjmują własne szczęście, myślę, że tacy istotnie spędzają jeno czas. Mijają i zaniedbują obecność i to, co posiadają, goniąc za czczą nadzieją, ścigając cienie i zwodne obrazy, które wyobraźnia nasuwa im przed oczy...

Ezop, ów wielki człowiek, ujrzał raz swego pana, jak oddawał urynę, przechadzając się: «A to co znów» — powiedział — «wnet tedy trzeba nam będzie bejać w kłusie?» Oszczędzajmy czasu, ile chcemy, zawsze zostanie dosyć chwil spędzonych beczynnim lub źle użytym. Duch nie ma snuć dosyć innych godzin na dokonanie swych spraw, bez tego iżby się miał rozłączać z ciałem w tym krótkim przeciągu, który potrzebny jest dla jego konieczności! Chcą się wydobyć z samych siebie i wyzbyć się w sobie człowieka: to istne szaleństwo! Miał przemienić się w aniołów, przemieniają się w bydła, miał wzbic się wgórę, zniżają się. Owe nadobłoczne humory przerażają mnie, jako miejsca zbyt wyniosłe i niedostępne. Nic nie jest mi trudniej strawić w życiu Sokratesa, niż jego ekstazy i demony; zaśię nic nie widzę bardziej ludzkiego w Platonie, jak to, dlaczego każą go nazywać boskim. Z umiejętności naszych, te zdają mi się najbardziej ziemskie i niskie, które są najwyższej wysrubowane. Nie widzę nic równie małego w życiu Aleksandra, jak jego rojenia o własnej nieśmiertelności. Filotas przyciał mu bardzo uciesznie w tym względzie, winszując listownie wyroczni Jowisza Amońskiego, który pomieścił go w rządzie bogów: «Dla ciebie samego bardzo się z tego cieszę; ale trzeba mi żałować ludzi, zmuszonych żyć wpodłe ciebie i służyć człowiekowi, który nie zadowala się miarą człowieka i przekracza ją».

Wdzięczny nadpis, jakim Ateńczycy czcili przybycie Pompejusza do ich miasta, zgodny jest z moim duchem:

Przez to najwięcej zbliżasz się do bóstwa,  
Iżes ludzkiego nie wzgardził ubóstwa.

Najwyższa to dojrzałość i jakoby boska: «umieć zażywać szczerze swego istnienia». Szukamy innego stanu dlatego, że nie rozumiemy użytku naszego; wychodzimy poza siebie, ponieważ nie wiemy, jak się zażyć. Próżno wszelako wspiąć się na szczydła; i na szczydłach trzeba nam chodzić swojemi nogami; na najwyższym tronie świata i tak siedzimy jeno na własnym zadku. Najpiękniejsze życie jest, mojem zdaniem, to, które kształtuje się na wzór pospolity i ludzki, z porządkiem, ale bez cudu i bez przekraczania miary. Owoć starość potrzebuje, aby się z nią obchodzić nieco łagodniej. Polećmy ją dobremu Bogu, opiekunowi zdrowia i mądrości, ale mądrości ludzkiej i wesołej.

*Thum. Tadeusz Boy-Żeleński.*

## FRANÇOIS DE MALHERBE

(1555—1628)

### ODA DO HENRYKA IV Z POWODU UPOKORZENIA MARSYLJI

Przepelnily lata czasie,  
I dziś oto szczęsna pora,  
W której wszystkie nędze nasze  
Mają swego już doktora.  
Długo niemi już bogowie  
Piorunami grmią w swej mowie,  
By pyszałkom w pamięć wryły,  
Że szaleństwa wszystkie ziemi  
Szaletem... słomkami drobnymi  
Wobec gniewu nieba siły!

Ludy, które w walk odmiećie  
Piały ślubów hymin grobowy,  
W jakież kwiaty przy tem święćie  
Będą swoje wieńczyć głowy?

Ant.

Z jakich ofiar dość obficie  
Swą daninę dziś złożycie?  
Jakie głębie morza strzegą  
Perły, której blasków siła  
Dziśby nam odzwierciedliła  
Wierny symbol dnia takiego?

Buntowników wódz zażarty,  
Cazaux, kolos nad kolosy,  
Do otchłani wpadł otwartej,  
Wykopanej dlań przez losy...  
Z nim skonala walk ohyda,  
Bo już Alcyd, syn Alcyda,  
W którym dzisiaj stale gości  
Genjusz Francji niezwalczony,

53

Już tyrańskie jego szpony  
Na proch mieczem startł wolności.

Różnobarwne losy świata  
Podlegają prawu zmiany:  
Ono ludzi tak przygniata,  
Jak i morskich wód bałwany!  
Życie piekłem raz — znów rajem,  
Z dobrem zło się ściga wzajem,  
Wszystko tak przychodzi w porze,  
Jak mknie po jesieni zima;  
A choć całość wciąż się trzyma,  
Wiecznie przetrwać nic nie może.

Pięć lat Marsylja, skradziona  
Prawemu posiadaczowi,  
W szponach ciemieży już kona,  
Już walk, zda się, nie odnowi.

Nagle zmienna losów siła  
Miastu wolność przywróciła.  
Dziś jej żywot się nie dłuży,  
Drży po troskach — w szczęściu cała,  
Że, co wielbić wprzód musiała,  
Podeptane dziś w kałuży.

Na wieść cudu Maurów plemię  
Wystraszone drży w pokorze;  
Echo świetnych walk nie drzemie,  
Lecz rozbrzmiewa po Bosforze.  
Wciąż powtarza je brat bratu  
Z ponad Indu do Eufratu!  
Choć się trwoga na nic przyda,  
Memfis o swe drży siedlisko,  
Jakby przy nim stał już blisko  
Wskrzeszonego cień Gotfryda!

J. A. Święcicki.

## MATHURIN RÉGNIER

(1573—1613)

### SATYRA VIII

#### Natręt czyli przykry człowiek

Księdzu de Beaulieu, mianowanemu przez  
Ichmość Króla biskupem w Mans.

Karolu, odprawiłem za grzechy pokutę.  
Ty, co znasz ludzkie dusze a serce masz lute,  
Sądź, czy mam słuszność, myśląc, że mi odpuszczono.  
Słuchałem mszy niedawno, klęknęłam, gdy dzwoniło,  
Niejeden prawiąc pacierz, wzrok w niebo, dłoń w dłońi,  
Serce w płaczu, bom słyszał, jak tuż na ustroni  
Pobożniś bil się w piersi i jęczał bez miary;  
Trzęsłem się w trwodze piekiel, byłem pełen wiary,  
Gdy młodzian fryzowany, wyniosły wąsami,  
Galonami, butami i pióropusząmi,  
Podszedł do mnie i rzekł, myśląc, że pochlebić trzeba:  
«Dla poety z dni naszych zbyt patrzysz do nieba».  
Ja, cywil, wstałem żwawo, pozdrawiam gorąco;  
Rozradował się głupiec z głową siwiejącą  
I znienacka z ust jego wyszła ta przestroga:  
«Dosyć dla cię, mój panie, co nie wierzysz w Boga».  
Głupia ty oględności! Chciałem wyznać jemu,  
Że poeta, gdy natręt, to — po pijanemu.  
Zniżam głowę i płynnie, jakoby z pacierza,  
Ma uprzejmość moc słówek grzecznych mu odmierza.  
On wzajem słów układnych nanizął tysiące,  
Dwornie mej dumie schlebia, wynosi nad słońce,  
Tak słodko, żebym wolał z męką, co kark zgina,  
Widzieć się biednym w Rzymie, w rękach żydowina.  
Zaczem ujął me dłonie, usta wydał strojnie  
I, przebierając nogą w miejscu niespokojnie,  
Wznosząc, jak berberyjski ogier, swe kopyta,  
Przeżuwa myśl polkniętą, bada mię i pyta:



«Apolla szczęsne dzieci, o wy, pięknoduchy,  
 «Białogłów czule serca idą wam w posłuchy,  
 «Umiecie je czarować gładkością swych wierszy,  
 «Przed wszystkimi poeta u dam jest najpierwszy!  
 «Lecz słuszna to zasługa: bezprzykładne cnoty  
 «Godnym czynią cię, panie, tej grzecznej roboty».  
 Nadał się, żem tą chwałbą mógł być pogadzony,  
 Ja zaś dumny się stałem, jak kot okadzony.  
 Czując, że ta rozmowa trąca o pałace,  
 Za grzeczność mą grzecznością z uśmiechem mu płacę.

Pozwólmy, przyjacielu, niechaj się nagada,  
 Niech mówi tysiąc razy: «Człek z nóg z tego pada!»  
 Niech kiwa swoją bródką, wygładza myślenie,  
 Włosem trzęsąc, niech mówi: «Na moje sumienie!»  
 Kończynę rękawiczek niechaj pcha do gęby,  
 Śmiejąc się bez przyczyny, szczerząc piękne zęby,  
 Niech kręci się i szpadę wznosi, jak do walki,  
 Niech wzrok mu się wywraca, jak oczy u lalki;  
 Podczas gdy ja pokrótce opowiem ci szczerze,  
 Gdzie ujrzałem raz pierwszy to natrętne zwierzę:

Byłem u pewnej damy, która (niech satyra  
 Pozwoli, by mi tutaj zaśpiewała lira),  
 Otoczona przedziwną cnót wielkich boskością,  
 Jaśniej duchem wielkim i wielką pięknością.

Z fanfaronem tym u niej znajomość zawarłem.  
 Gadał, jakby olbrzymem był, a ja przy nim karłem.  
 Miał wówczas aksamitny kapelusz na głowie,  
 Minę księcia i głupstwo w płynącym z ust słowie,  
 Choć na wstępie zapewnił słowem dziwnie słodkiem,  
 Że jest na me usługi, chce być mym parobkiem.  
 Wywracając oczyma, rzekł: «Piękna, co słyszę,  
 «Głos pani wszystkie piękne duchy dziś kotysze!»  
 I czyniąc sto grzeczności wyrazem i gestem,  
 Rzekł, siadwszy na fotelu: «Przychodzę z protestem,  
 «Bo umieram z miłości. Ten apel miłosny  
 «Dla cię, pani. Z miłości ja jestem zazdrosny».  
 Potem na inną nutę zapiał: «Me kolety,  
 «Czyż nie są piękne? Ach, ten świat, niestety!  
 «Znajomy pani rzekł mi, że miłość mu obca.  
 «Sądzi pani, żem piękny, wyglądam na chłopca?  
 «Trzewiczki moje ładne? Noga moja zgrabna?  
 «Te jedwabie: to moda nowa i powabna;  
 «To prosto z Chin. Rzec chciałem, by nie umkło z głowy,  
 «Że przeciw zbyt kom dekret króla już gotowy».  
 Na łokciu się podpiera, trzy guzy odpina:  
 «Pocałuj mię, o pani: Czyż to grzech lub wina?  
 «Ach, niegrzeczna Rozeto, ujrzysz, kto najpierwszy  
 «Pożałuje, że nie był w swej miłości szczerzy».

Dość o tem. Tak poznałem to skończone bydle,  
 Po którym czułem klucia, jak skóra po szydle.  
 Zapewniam cię, że gdy odejść już byłem gotowy,  
 Nie pytałem, kto zacz on, nie rzekłem: bądź zdrowy.  
 Od tego dnia już więcej z nim się nie spotkałem,  
 Gdyby nie to, że rankiem znów nieszczęście miałem

Zetknąć się z nim w kościele, jakem ci to prawił,  
 Szatan chyba go przysłał, by mię przezeń zdławił.  
 Po owych słówkach, o czem była tu już mowa,  
 Ciężar spadł na mą duszę, jak chmura gradowa,  
 Strzygłem uchem, na czoło wstąpił pot kroplisty,  
 Zjeżyłem się, jak osieł w nogach narowisty,  
 Myśląc, co mię nareszcie od tyrana zwolni.  
 On w błędzie, że to respekt: «O! bez ceremonji,  
 «Waszmość, prawi, toć żyjmy, jak dwaj przyjaciele».  
 I jak garnkiem mną tocząc, po całym kościele,  
 Pcha mię naprzód, pierwszego do wyjścia mię prosi,  
 Bez czci dla świętych pańskich za kościół unosi,  
 Uchodząc jak zadrośnik przed rywalem z donną.  
 Przy wyjściu pyta: «Waszmość przybył może konno?  
 «Ma pan tu swój oddziałik? Masz w nim ludzi siłę?»  
 — Ja sam tu i piechotą. — On daje kobylę.  
 Ja zaś, by się go pozbyć, pośpiech czując w nodze,  
 Rzekę: «Całuję rączki, już właśnie odchodzę,  
 «Z obiadem wuj mię czeka». On na to: «Więc można  
 Waćpanu towarzyszyć?» Jak wół zdjęty z rożna  
 Spuszczam głowę i mało już mi brakowało,  
 By w ucieczce od niego poświęcić swe ciało,  
 I własną głowę najpierw dać śmierci w opiekę,  
 Rzucić się do mostu «Pont-Neut» prosto w rwącą rzekę.  
 Ów zaś ciągnie mnie z sobą w zamkowe podwórze,  
 Tam sługę swego chwyta: «Ladreville, hej, nuże,  
 «Nie czekajcie mię wcale. Kucharzom powiedzcie,  
 «Że obiad będę dzisiaj spożywał na mieście».

Bóg wie, czy we łbie wszystkie ostały mi klepki!  
 To nie wszystko. Długie pismo wyciąga z torebki.  
 Zerknąłem i drzę cały. Więc z jadem w mej ślinie:  
 «Złapać się nie dam, panie, na tej krętaninie,  
 «To tamten zerknął, patrząc zukosa na pana».  
 — «To nic. Tu mam poezje. Prosta, oklepana  
 (Przyznaję, że prawdę rzekł chociaż raz o sobie)  
 Jest jej forma. W czas wolny i ja rymy robię».

(W dalszym ciągu satyry poeta powiada, iż musiał słuchać wierszy wygłaszanych przez natręta, który, nie przestając na tem, wszczął rozmowę o królu i królowej, o dworze, Luwrze, miłostkach i wielu innych rzeczach. Nie wiedzieć, kiedy byłaby się skończyła ta rozmowa, gdyby nie nagle wybawienie poety z opresji: zbliża się do natręta mężczyzna i aresztuje go, wykazując się urzędowym piśmem. Poeta składa dzięki Bogu za cudowne ocalenie go od natręta.)

*Tłum. Józef Gluziński.*

## VINCENT VOITURE

(1598—1648)

### SONET

Trza mi skończyć z Uranją chwile miłościwe!  
 Ni czas, ani rozłąka z tego mię nie zleczy,  
 I nie widzę, by k'temu pomoc znaleźć w rzeczy,  
 By kto wolność mi zwrócił, tnąc więzy dotkliwe.  
 Zdawna już wiem, że serce jej nielitościwe!  
 Lecz myśląc o piękności, będącej mą zgubą,

Błogosławie męczarnie i śmierć mi jest lubą,  
I nie wiem, czy mam winić losy nieszczęśliwe.

Zrzadka tylko mój rozum marnem rozmyśleniem  
Zachęca mię do buntu, chce być meim zbawieniem.  
Lecz gdym ufny w potrzebie, że pomoc mi dana,

Gdy w cierpieniach od niego spokoje zawisły,  
On rzecze, że Uranja jest piękna, kochana,  
I wikła mię tem snadniej, niż wszystkie me zmysły!

*Tłum. Józef Gluziński.*

## MADELEINE DE SCUDÉRY

(1607—1701)

### WIELKI CYRUS

Markiza de Rambouillet (portret pod imieniem Kleomiry)

Jeśli pragniecie uzmysłować sobie jej piękność, godną podziwu, to wyobraźcie sobie, jak sama piękność wygląda. Nie żądam bynajmniej, abyście przedstawiali ją sobie w postaci, jaką obdarzają sławni malarze Wenere, albowiem nie byłaby bardzo skromna; ani Palladę, gdyż byłaby nazbyt dumna; tem mniej Junonę, gdyż nie byłaby dość czarująca; nawet nie Dianę, bo zanadto byłaby nieokrzesana; powiem wam, że dla przedstawienia sobie Kleomiry należałoby z postaci, jakie się daje tym wszystkim boginiom, utworzyć właściwe znamię ich piękności, a może powstałby obraz do niej podobny. Kleomira jest wysoka i okazała; każdy rys jej oblicza jest piękny; nie da się wyrazić delikatność jej cery. Powaga jej osoby jest godna podziwu i odzwierciedla się w oczach o blasku przedziwnie pięknym, przez co wzrok jej napawa duszę tych, co na nią patrzą, niemyim szacunkiem.

Nareszcie umysł i dusza tej nadzwyczajnej osoby przewyższają jej piękność zewnętrzną: pierwszy nie ma granic w swych bezmiarach, dusza zaś nie ma sobie równej w swej wspaniałości, w dobroci, stałości, sprawiedliwości i niewinności. Umysł Kleomiry czerpie swoje światło z daru natury. Pielęgnowała go troskliwie. Śmiało rzec mogę, iż niema tak wytwornych myśli, którychby umysł ten nie potrafił sobie zdobyć. Kleomira zna obce języki i przyswaja sobie wszystko to, co zasługuje na poznanie. Nie chępi się jednak swoją wiedzą i nie daje odczuwać swojej wyższości towarzystwu i otoczeniu, w którym przebywa. A jednak zna się na wszystkim: najwyższa wiedza jest jej dostępna; posiada najzawilsze wiadomości o sztuce; wybudowano pałac według jej wzoru, pałac najstłynniejszy w świecie; zdołała ona stworzyć pałac obszerny, choć na małej przestrzeni. Wszystkie jego wnętrza i urządzenia odznaczają się czystością, prawidłowością i porządkiem; wszystko tam jest wspaniałe, nawet drobiazgi: lampy wyróżniają się niezwykłością; kredensiki, pełne tysięcy rzadkich przedmiotów, pozwalają stwierdzić dobry smak ich wyboru; powietrze pachnie zawsze perfumą w jej pałacu; przeróżne wspaniałe kosze z kwiatami sprawiają, że w jej pokoju jest ciągle wiosna, jej właściwy zaś przybytek jest tak miły i pięknie urządony, iż sprawia wrażenie czarodziejskiego miejsca, zwłaszcza gdy ona w nim się znajduje. Nakońcu, nikt nigdy nie miał tak wielkiej subtelności w znawstwie sztuki, literatury i poezji, jak ona.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## PAUL SCARRON

(1610—1660)

### ROMANS KOMICZNY

W gospodzie ruch jeszcze panował, gdy ujrano przybywającego człowieka, duchownego z wyglądu, w towarzystwie dwóch innych, pełnych dla niego uszanowania, co pozwalało wnioskować, że był ich przełożonym. Skoro tylko weszli do gospody,

wówczas jeden z nich udał się do kuchni, gdzie gospodarz popijał z Rancunem i Olivem, i zażądał pokoju dla dziekana z Montfortu. Zaniepokoiło to gospodarza, bo najlepsze pokoje były już zajęte. Jednak zażyłość z Rancunem, spowodowana częstym przesiadywaniem z nim przy kieliszku, umożliwiła mu zwrócenie się do niego z prośbą, aby na tę jedną noc odstąpił swój pokój dziekanowi. Rancune zgodził się, bo nie śmiał odmówić; żałował jednak sam siebie, gdyż wiedział od jednego z pacholków, iż dziekan przybył do Mans w sprawie kapituły w Montforcie, przewidywał zatem dłuższy jego pobyt. Umysł Rancune'a, pełny wybiegów i figielków, zdobył się natychmiast na fortel, zmierzający do usunięcia dziekana. Przyczepił się więc do niego, tytułując go opatem, i wślizgnął się w jego serce pochlebstwem i lgarstwem. Dziekan zaprosił nowego towarzysza do biesiadnego stołu. Rancune niby to się wymawiał, aby uczynić się ważniejszym, aż wreszcie wyraził swą zgodę. Wówczas dziekan przywołał swojego pacholka, który, jeżeli się nie mylę, nazywał się Ambroży, i szeptał mu coś długo do ucha. Nie wiem, co mu tam powiedział, lecz Rancune mniemał, jakoby dziekan pacholcowi wydawał rozkazy dotyczące uczty. I nie pomylił się, gdyż niebawem zastawiono dla nich dostatni posiłek. Dziekan spożywał z apetytem, a Rancune niezgorzej, tak jak się to jada na koszt drugiego. Wino smakowało im wyśmienicie i pili je z miną wytrawnych znawców. Gdy trochę już w czubach mieli, Rancune opowiedział dziekanowi o tem, co zdarzyło się dzisiaj w gospodzie, i wyraził przekonanie, iż w tym domu straszą duchy. Dziekan, który niewątpliwie nie miał wykształcenia sorbońskiego, powodował się w sprawach czarownic i duchów bojaźnią; był więc przerażony tem, co usłyszał z ust Rancune'a.

Ambroży utwierdził swego mistrza w bojaźni, bo już mu w kuchni o strachach opowiedziano. Rancune zaś, widząc ich łatwowierność, dodał jeszcze więcej, tak, że im obu całkiem pozawracał głowy. Przerywali sobie rozmowę częstym popijaniem. Zabawiali się tak przez długi czas, poczem Ambroży poszedł wieczerzać z przyjacielem, mającym pieczę nad końmi, dziekan zaś, mocno znużony i nadmiarem picia zmorzony, usnął na krześle.

Rancune przypomniał sobie, że aktorzy zgromadzali się zazwyczaj w gospodzie na próby, a ponieważ musieli zbadać sprawność pewnej maszyny, zatem Rancune wpadł na myśl zerwania jednej deski w izbie Olivego, która znajdowała się nad nimi. To umożliwiło aktorom wyjmowanie tej deski tak, że nikt nie mógł tego zauważyć, poczem do jednej z belek przywiązawszy kółko, mogli oni próbować działalność swej maszyny, ilekroć zachodziła potrzeba. Gospodarz jednak nic o tej konstrukcji nie wiedział. Tą zatem maszyną postanowił posłużyć się Rancune celem wykurzenia dziekana z zajętej izby. Przygotowawszy więc wszystko do wykonania swojego zamiaru, usiadł w krześle i udał, że śpi, a nawet, że chrapie, jak dziekan. Ich sen przerwał Ambroży, który przyszedł, aby na spoczynek ułożyć swego pana. Rancune niby spał mocno, aż obudził się naostatku. Tysiąc razy przeprosił za to dziekana i, życząc mu spokojnej nocy, wyszedł. Ambroży, który tymczasem nagadał się z innymi pacholkami o strachach, mając wyobraźnię niemi zaprzątniętą, zaczął znowu o nich dyskurs ze swoim panem, gdy go rozbierał. Napędził mu przez to tem większej bojaźni, walcując ciągle rozmowę o duchach.

Oczywiście, mocno bojaźliwy dziekan rozkazał pacholcowi położyć się w izbie na podściółce, a dla większej ostrożności polecił mu zapalić lampę, która miała się świecić przez całą noc. Po skutecznieniu tych rozporządzeń obaj udali się na spoczynek. Tymczasem Rancune wdział na się kostjum teatralny, w który aktorzy ubierali się wtedy, gdy chcieli udawać djabła. Wnioskując, że dziekan i jego pacholek już śpią, owinął się powrośłem i przy pomocy Olivego spuścił się do izby dziekana, którego zamierzał wziąć na barki i wynieść na sam szczyt domu. Okazało się jednak, że dziekan był zbyt ciężki, należało tedy zadowolić się napędzeniem mu porządnego stracha, przy bładem świetle migającej lampy.

Biedny dziekan tak się przeraził, że nawet nie mógł krzyknąć, a fałszywy diabeł, uważając, że pacholek jest o wiele lżejszy, wziął go na plecy i, dawszy znak Olivemu, uniósł się ze swą ofiarą do góry. Wyobraźcie sobie zdziwienie i przerażenie dziekana, gdy ujrzał swojego pacholka w podniebnej podróży. Tymczasem Ambroży

obudził się i począł wrzeszczeć coniemiarą, tak, że Rancune musiał go wynieść na schody. Krzyk pachotka postawił na nogi całą gospodę. Sam zaś Rancune, po dokładnem umieszczeniu deski w otworze i po przebraniu się, nadbiegł do miejsca, skąd rozlegały się krzyki, a poznawszy, że to był Ambroży, udał się natychmiast do izby dziekana, którego ujrzał więcej spoconego, niż po dobrej łaźni. Wkrótce izba zapełniła się ludźmi. Pocziwy dziekan, który ciągle wyobrażał sobie, że zobaczył prawdziwego djabła, zażądał spowiednika. Myślano, że nagle zasłabł, postano tedy służącego onej gospody, aby zbudził w sąsiedztwie mieszkającego księdza, który istotnie przybył niebawem. Dziekan, opanowawszy się nieco, począł opowiadać o tem, co zaszło, jednak wszyscy myśleli, iż on opowiada, co mu się śniło. Obecność pachotka, którego przyprowadzono, zdziwiła go doreszty, bo wyobrażał go sobie już w piekle. Przysięgał na wiarę, że widział cały legion demonów, uprowadzających pachotka. Nie ośmielił się tylko powiedzieć, że owe demony chciały i jego uprowadzić, gdyż się obawiał, iż ludzie źle będą sądzić o jego obyczajności. Rancune ze swojej strony udowadniał, że to wszystko jest niemożliwe. Za jego przykładem wszyscy w gospodzie powtarzali sobie, że dziekan śnił tylko. Pachotek zapewniał, iż nic nie widział i że tylko przypomina sobie wrażenie, jakby go ktoś niósł. Biedny dziekan o mało nie oszalał, ponieważ nie dawano mu wiary.

Grzeczny zaś ksiądz, który go przyszedł spowiadać, mniemał, że dziekan dostał obłąkania. Spodziewał się przywrócić go do równowagi duchowej mocą swoich rozmów uczonych, ofiarował mu tedy gościnę w swoim domu, którą z wdzięcznością dziekan przyjął. Księżyna tak się nim zajął gorliwie i tyle mu na początek zaczął kazać prawić, że dziekan poniechał swoich spraw, po które przyjechał, i następnego zaraz dnia udał się zpowrotem do Montfortu. Tam tak dokładnie przedstawił mieszkańcom swoją przygodę, że po dzień dzisiejszy przysięgają oni na prawdziwość jego zdarzenia.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## PIERRE CORNEILLE

(1604—1684)

C Y D

Tragedja w 5 aktach

Akt IV, scena I

*Szimena, Elwira.*

- Szimena: Elwiro, czyli to może  
Pogłoski, wrzawa fałszywa,  
Że się Rodrygo znów sławą  
Wybawcy ojczyzny okrywa?  
Dłoń, co mi ojca wzięła,  
Ojczyzny zbawicielką?  
Okrył się, mówisz, sławą?
- Elwira: I jeszcze jaką wielką!  
Maurowie przed nim pierzchli wlot;  
On łamie ich jak młot,  
Że precz musieli zbiec.  
Trzy godziny ledwo walka trwa,  
On, już zwycięski, precz ich gna.  
W niewolę bierze królów dwóch,  
Rozbija wszystko w puch.
- Szimena: I cóż, że Maurów ściga precz,  
Gdy ojca zabił ten sam miecz.  
I cóż, że Maurów dłoń ta gnie,  
Gdy szczęście moje wydarł mnie.

- Chociażby nawet królów stu  
 W niewolę wziął, w kajdany skul,  
 Niedoli nie przebaczyć mu:  
 On niegdy miłość dla mnie czuł. — —  
 I któż te wieści głosi?
- Elwira: Lud,  
 Uważa go za cud.  
 Sława się szerzy z miast do miast.  
 Zda się, że niebios sięgnie czołem,  
 Że czołem sięgnie gwiazd.
- Szimana: Cóż na to mówi król?  
 Zazdrośnie może zmarszczył brew  
 I skrycie waży gniew?
- Elwira: O nie! Król wdzięczen za przysługę,  
 Rad laurem przyjmie sługę.  
 Jednak Rodrygo po dziś dzień  
 Na dworze sam nie stawił się.  
 Don Diego zdobycz przywiózł zań,  
 By ją królowi złożyć w dań.  
 Błaga, że wart litości syn,  
 Co Maurów wyciął w pień;  
 Litości godzien za ten czyn,  
 Wart zapomnienia dawnych win.
- Szimana: Czyli jest ranny może?
- Elwira: Nie.  
 Nie, o tem nikt nie mówił mnie.  
 Może... Cóż z lic ubiegła krew?  
 Nikt o tem nic nie mówił mnie.
- Szimana: Co się z nim dzieje, nie wiesz o tem?  
 Czy może co się stało?  
 Tam śmierć ich kładła krwi pokotem;  
 Czy jego szczęście mu sprzyjało?  
 Tylu poległych tam zostało?  
 Ty nie wiesz, czyli on zpowrotem? — —  
 Czyli się w zgonie okrył chwałą,  
 Czyli zwycięskim wraca lotem?  
 Wyrzekłaś, że na licu zbladła:  
 Miłość z rumieńców mnie okradła. — —  
 Lecz wstyd. Przygasaj twarzy płomień;  
 Wszakci żałobne noszą szaty,  
 Żałoba w całym moim domu;  
 Niezastąpionej płaczę straty.  
 Precz, z żarem igras nieświadomie;  
 Więziń, za ciężkie pchnięta kraty,  
 Żagiew gasnąca w ruin złomie —  
 Wszakże dług zemsty mam do spłaty?!  
 Całun żalości, strój złowrogi:  
 Przepych dziś dla mnie cały.  
 Dar ten rzucają mi pod nogi  
 Ręce, co lauru w krwi sięgały.  
 Jakoż się z losem serce zgodzi?  
 Całunie, dierz nienawiść w sile!  
 Niech myśl o zemście nie przygasa,  
 Choć serce zbudzi się przez chwilę.
- Elwira: Pani, Infantka tu nadchodzi.

## Akt IV, scena III

*Don Fernand, Don Rodrygo, Don Diego, Don Arias, Don Sanszo, Dwór i Rycerstwo.*

- Don Fernand: Ścigan byłeś przeze mnie, a za rzeczy biegiem  
 Wracasz mi bohaterem — ty, co byłeś zbiegiem.  
 We czci całej Kastylji, w sławie ród twój dawny;  
 Lecz ty przerosłeś wiele ojców poczet sławny,  
 Chwałą własną sięgnąwszy aż ku mojej sławie,  
 Iżeś mieczem przysłużył się ojczystej sprawie.  
 Ocaliłeś ojczyznę, wroga precz zgoniłeś:  
 Zanim ja byłem powstał, już ty — czynny byłeś.  
 Czynem w chyżości ubiegłeś mnie, Pana,  
 W którego ręce troska ojczyzny oddana.  
 Maurowie precz wyparci li twojem ramieniem.  
 Czyli mam dosyć mienia, dostatków i złota,  
 By nagrodzoną była twa dzielność i cnota  
 Zgodnie z mą powinnością i króla sumieniem?  
 Królowie, jeńce dwaj, Cydem cię zwali  
 W obliczu mem. Noś imię: Cyd, któreć przydali.  
 Gdy zaś w ich obcej mowie «Cyd» znaczy: potężny —  
 Noś imię to, rycerzu, za czyn twój orężny,  
 Ostań postrachem Maurów: w Grenadzie, w Toledo  
 Niechaj za twym rydwanem jeńce skute wiedą.  
 Dłużnym ostanę mimo, bym chciał zbyć wdzięczności.  
 Równie mnie, równe prawo masz w ludu miłości.
- Don Rodrygo: Wszystko, co byłem czynił, nie dla się, ni żołdu,  
 Ni wdzięczności się czuję godny, ani holdu.  
 Uważam za powinność i szczęsną mą dołę,  
 Jeśli mogę ojczyźnie dać siły w niewole,  
 Jeśli mogę królowi wiernym służyć sługą.  
 Nie mierzyć chwalby danej mnie — z moją zasługą.
- Don Fernand: Chociaż czynisz powinności, li co honor każe,  
 Niekażdy rzuci krew swą ojczyźnie w ołtarze.  
 Nie starczy wierny sługa. Mąż wielkiego ducha,  
 Ten dopiero ojczyzny skarg i wołań słucha.  
 Przyjm cierpliwie pochwały za twoje zwycięstwo.  
 Niechaj nam długa powieść — opowie twe męstwo.  
 Chcę sam z ust twych usłyszeć, co dotąd ocena  
 Publicznej głosi wieści.

*Tłum. Stanisław Wyspiański.*

## JEAN-BAPTISTE POQUELIN MOLIÈRE

(1625—1673)

## ŚWIĘTOSZEK

Komedja w 5 aktach

## Akt II, scena I

*Orgon, Marjanna.*

- Orgon: Marjanno!  
 Marjanna: Ojczy? . Zbliż się... chcę z tobą w sekrecie  
 Orgon: Pomówić.  
 Marjanna: Szukasz czego, ojczy, w gabinecie?

Orgon: Patrę tylko, czy nikt nas stamtąd nie podsłucha;  
 Kącik to jak stworzony dla skrytego ucha.  
 Do rzeczy, gdyśmy sami... Przyznam, moja duszko,  
 Że umysł masz spokojny, łagodne serduszko.  
 Zawsze byłaś mi drogą, niby oko w głowie...

Marjanna: Wdzięczności za tę miłość serce nie wypowie,  
 Orgon: Bardzo słusznie... Usilnie bacz więc, córko miła,  
 Byś wolę mą spełniając, na nią zasłużyła.

Marjanna: Szukam w tem chluby, ojcze.  
 Orgon: Dobrze. Wyśmienicie.  
 O mym gościu Tartufie, co mówisz, me życie?

Marjanna: Ja?  
 Orgon: Ty. — Powiedz rozważnie, jak mądra osoba...

Marjanna: Mój Boże... Powiem wszystko, co ci się podoba...

## Scena II

*Ciż sami. Doryna wchodzi na palcach i kryje się za Orgonem.*

Orgon: Bardzo mądrze... Odpowiedź daj mi taką zatem:  
 Że człek ten cnót i zasług jaśnieje szkarlatem,  
 Że wzruszył twe serduszko, że tęskni twe łono,  
 By z rodzica wyboru jego zostać żoną!  
 Cóż?

Marjanna: Co?  
 Orgon: Mówże!  
 Marjanna: Co każeś?  
 Orgon: Ja?  
 Marjanna: Omyłka może?  
 Orgon: Jakto?  
 Marjanna: O kim to każeś mówić mi, mój Boże,  
 Że wzruszył... mi serduszko, że tęskni me łono,  
 By z twojego wyboru jego zostać żoną?  
 Orgon: O Tartufie.  
 Marjanna: Przysięgnę, prawdy w tem ni słowa...  
 Kłamstwa takie wygłaszać, niech mnie Bóg uchowal!  
 Orgon: Otóż kłamstwo rzekome w prawdę wnet przemienię.  
 Dość ci tego, iż takie mam postanowienie!  
 Marjanna: Jakto... Chciałbyś więc, ojcze...  
 Orgon: Tak jest. Pragnę żywo  
 Z krwią mą złączyć Tartufa przez ślubne ogniwo.  
 Wola ma, by twym mężem był z Bożą pomocą;  
 Co do twoich zaś pragnień...

*(Spostrzegając Dorynę)*

Aspanna tu poco?  
 Ciekawość to nad miarę. Cóżto, ma kochana,  
 Śmiesz tu w sposób podobny podsłuchiwać pana?

Doryna: Zaprawdę nie wiem, panie, skąd pogłoska cała,  
 Czy z przypuszczeń wysnuta, trafem czy powstała,  
 Lecz wieść o tem małżeństwie mego doszła ucha;  
 Plotki te mam za fraszki, których nikt nie słucha...

Orgon: Alboż co? To tak wiary niegodne?  
 Doryna: Nie!... Szczerze  
 Wyznam: sam pan mi powtórz, a ja nie uwierzę.

Orgon: Aby wzbudzić w was wiarę, mam ja sposób właśnie...  
 Doryna: To! To! Chcesz pan zabawne prawić nam tu baśnie!



- Orgon: Prawię — o czem przekona się wnet, kto uparty.  
 Doryna: Bzdurstwa!  
 Orgon: Córko, co mówię, zgoła to nie żarty!  
 Doryna: Jeszcze czego! Panienko, nie wierz wcale papie...  
 Figle stroi...  
 Orgon: Powtarzam.  
 Doryna: Już nas pan nie złapie!  
 Nikt temu nie da wiary.  
 Orgon: Kto mój gniew rozsróży...  
 Doryna: Tak? Dobrze; więc wierzymy. Dla pana tem gorzej!  
 Jakto? Czy to podobna? Pan z takim rozsądkiem  
 I z brodą tak potężną, chciałbyś z tem dziewczątkiem  
 Takie począć szaleństwo?...  
 Orgon. Słuchaj-no, asanna!  
 Skąd taka poufałość dziwna i naganna?  
 Znosić tego nie myślę; niech mi to ustanie!  
 Doryna: Mówmy, proszę, bez gniewu, łaskawy mój panie...  
 Nieprawdaż? Pan drwisz z ludzi, z intryg tych i plotek?  
 Córka pańska nie myśli przystać do dewotek...  
 Również inne, wznioślejsze jego są zajęcia...  
 A potem — cóż ci przyjdzie z tak świętego zięcia?  
 Dla człowieka z majątkiem, warteż to mozoly,  
 Łączyć się, z kim? z holyszem!  
 Orgon: Milez! Jeżeli goły,  
 Wiedz: dlatego niech właśnie cześć mu każdy przyzna.  
 Golizna ta — bezsprzecznie święta to golizna,  
 Co nad wszelkie wielkości k'niebu go porywa;  
 Jeżeli zaś ogołocić tak się dał z grosiwa,  
 To z pogardy szlachetnej dla doczesnych rzeczy,  
 Wieczność samą jedynie mając wciąż na pieczy.  
 Atoli w mych zasobach środki tkwią bogate  
 Do wybrnięcia z kłopotów... Tak odbiłby stratę  
 Lennictw, o których w kraju wieść krąży nielada!  
 Jak go widzisz, to szlachcic z dziada i pradziada.  
 Doryna: On tak twierdzi... Chępliwa próżność, proszę pana,  
 Z istotną pobożnością para niedobrana.  
 Kto żywot wieść chce święty w prostocie gołębiej,  
 Tego ród i nazwisko ni grzeje, ni ziębi,  
 Gdyż pokory zasada i cichej pokuty  
 Wcale blasków nie znosi rozkietzanej buty.  
 Skąd ta pycha?! Jak widzę, pana to uraża?  
 Mówmy więc o osobie, puśćmy — dygnitarza...  
 I pan miałbyś sumienie, ojciec takiej córy,  
 Takiego znieść człowieka potworne konkury?

## Akt III, scena II

*Tartufe, Doryna.*

- Tartufe (*Spostrzegając Dorynę, woła na swego sługę za sceną*):  
 Wawrzyńcze! Dyscyplinę sprzątnij z włosiennicą  
 I módl się, niech cię Nieba w łasce swej oświecą.  
 Gdyby pytał kto o mnie, pośpieszam do wieży  
 Z jałmużną, gdyż o więźniach pamięć mieć należy.  
 Doryna: (*na stronie*) O morze samochwalstwa! O przesady wzorzel!  
 Tartufe: Chcesz czego?

Doryna: Mam oznajmić —  
Tartufe: (*dobytując chustki z kieszeni*) Przeszani!... O Mój Boże,  
Masz tu chustkę; bierz panna i stań na uboczu.  
Doryna: A to co?  
Tartufe: Zakryj łono, niech nie gorszy oczu.  
Przedmiotów takich widok ostrzem w dusze godzi,  
I myśli na zdrożności manowce zawodzi.  
Doryna: Na pokusy pan czuły, jak widzę, a ciała  
Widok na zmysły pańskie zbyt wrażliwie działa!  
Zaprawdę, co za ogień ogarnia go, nie wiem;  
Co do mnie, nie tak skoro płonę tem zarzewiem:  
Choćby mi naguteńka błysła twa figura,  
Pokus we mnie nie wznieci cała pańska skóra!  
Tartufe: Żądam, by nieco skromniej ze mną rozmawiano,  
Lub natychmiast ustąpię, dając za wygraną!  
Doryna: Przeciwnie, ja to pana w spokoju zostawię;  
Powiedziawszy dwa słowa, piorunem się sprawię:  
Do tej dolnej komnaty zejść zamierza pani  
I pyta, czy pan chwilę poświęcić chcesz dla niej?  
Tartufe: Owszem!... Pragnę...  
Doryna: (*na stronie*) Jak mięknie! Oko już łaskawsze...  
A co? Czy nie mówiłam? Mam ja słusność zawsze.  
Tartufe: Rychłóż przyjdzie?  
Doryna: To ona! — Tak, słuch mnie nie myli.  
Czas odejść, byście z sobą państwo pomówili.

Tłum. A. Urbański.

## JEAN DE LA FONTAINE

(1621—1695)

### B A J K I

#### Kruk i lis

#### Księga I, bajka II

<p>Bywa często zwiedzionym,  Kto lubi być chwalonym.  Kruk miał w pysku ser ogromny.  Lis, niby skromny,  Przyszedł do niego i rzekł: «Mily bracie,  Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię.  Cóż to za oczy!  Ich blask aż mroczy.</p>	<p>Czyż można dostać  Takową postać?  A pióra jakie!  Lśniące, jednokie;  A jeśli nie jestem w błędzie,  Pewnie i głos śliczny będzie».  Więc kruk w kantaty: skoro pysk rozdziawił,  Ser wypadł, lis go porwał i kruka zostawił.</p>
--	---

Tłum. Ignacy Krasicki.

#### Wilki i baranek

#### Księga I, bajka X

Racja mocniejszego zawsze lepszą bywa.  
Zaraz wam tego dowiodę.  
Gdzie bieży krynica żywa,  
Poszło jagniątko chlipać sobie wodę.  
Wilki tam, naczco nadszedłszy, szukając napaści,  
Rzekł do baraniego syna:  
«A któż to ośmielił waści,  
Że się tak ważysz mącić mój napitek?  
Nie ujdzie ci bezkarnie tak bezecna winą».

Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszystek:  
«Ach, panie dobrodziej! racz sądzić w tej sprawie  
Łaskawie.

Obacz, że niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,  
Nie mogę mącić pańskiego napoju».

«Co, jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?

Poczekaj, języku smoczy;

Przed rokiem zelżyłeś mnie paskudnymi słowy».

«Ja zaś jeszcze i na to poprzysiąc gotowy,

Że mnie zeszłego roku nie było na świecie».

«Czy ty, czy twój brat, czy który krewny,

Dość, że tego jestem pewny,

Że wy mi sławę szarpiecie;

Wy, pasterze i z waszą archandrją całą

Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie;

Muszę tedy wziąć zemstę okazałą!»

Po tej skończonej perorze

Capes jak swego i zębami porze.

*Tłum. Stanisław Trembecki.*

### Zaj ą c i ż a b a

Księga II, bajka XIV

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,

Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,

Teraz podupadł na nogach,

Poczuł, że się źle z nim skończy.

Więc jęknął z głębi serca: «Ach, niemasz pod słońcem

Lichszego powołania, jak zostać zającem!

Co mię w dzień pies, lis, konik, kania

I wrona,

Nawet i ona,

Jak chce, tak gania!

A w noc, gdy drzemię, oko się nie zmruża,

Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęczne,

Wnet drży mi serce zajęcze,

Tchórząc trwożliwiej od tchórza.

Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem:

Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.

Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiosnianych kolebko!

Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,

Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić;

Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić».

Tak z płaczem, gdy do stawu zwraca kroki słabe,

Po drodze stąpił na żabę.

Ta mu, jak raca, drgnawszy z pod nóg, szusła

I z góry na łeb w staw pluła.

A zając rzekł do siebie: «Niech nikt nie narzeka,

Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórze stoi:

Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,

I swego zająca, którego się boi».

*Tłum. Adam Mickiewicz.*

### G ó r a w p o ł o g u

Księga V, bajka X

Wieku płodnego w cuda i dziwy,  
Mówią, że Babia tak się wzdeła góra,

Iż wszelki na świecie duch żywy  
I cała nawet złąkła się natura.

Strasznego nazbyt coś miała porodzić;  
 Gdy już zaczęła pora nadchodzić,  
 Ogromnym stękiem jawiła swe bole;  
 Wstrzęsły się lasy i pobliskie pole,  
     Uwięzły w swych brzegach rzeki,  
 Wszystkie pagórki, wszystkie okolice  
 Zważają na tak dziwną tajemnicę.  
 Nie było jeszcze to nigdy przed wieki.  
     Wszyscy i ze wsi, i z miasta,  
     I męczczyzna, i niewiasta  
 Zbiegli się na ten widok, i zdaleka,  
 Co stąd wyniknie, każdy patrząc — czeka:

Rzecz bowiem nowa i cud, daj go Bogu,  
     Góra w połogu.  
 Wszyscy w zdumieniu mówią: «Obaczymyż,  
     Co tak ogromne brzemię  
     Wyda na ziemię».  
 Aż tu w tem drobna wypadnie mysz.  
 Przypowieść owa, często prawdziwa,  
 Z tej tu potwierdza się góry,  
 Że z wielkiej zazwyczaj chmury  
 Mały deszcz bywa.

*Tłum. Stanisław Trembecki.*

### Myszka, kot i kogut

Księga VI, bajka V

Coby to była za szkoda!  
 O mało nie zginęła jedna myszka młoda,  
 Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił.  
 To, co ona swej matce, ja wam będę prawil:  
     «Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,  
     Dopađłam jednej zielonej równiny,  
     Dyrdając jako szczurek, kiedy sadło śledzi;  
     Patrę, aliści dwoje zwierząt siedzi.  
 Jeden z nich trochę dalej, z milczeniem przystojnem,  
     Łagodny i uniżony;  
 Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:  
 W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,  
     Ogon zadarł do góry  
     I lśniącemi błyskał pióry;  
 Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,  
     Jakgdyby kto powykrawał.  
 Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,  
     Albo na powietrze dźwigał.  
 Ja, lubo z łaski boskiej dosyć jestem śmiała,  
     Ażem mu srodze nakłęła,  
     Bo mnie z strachu drzączka wzięła,  
 Jak się wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała.  
     Uciekłam tedy do jamy.  
 Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,  
 Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.  
     Minka jego nienadęta,  
     I choć ma bystre ślepięta,  
 Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał:  
 Jak nasze, taką samą robotą ma uszka,  
 Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał:  
 Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi  
     Tej przyjacielskiej usługi,  
     Kiedy nagłego narobił łoskotu,  
 Krzyknąwszy na mnie z gniewem: «Kto to tu? kto to tu?»  
     — «Stój» — rzecze matka — «córko moja luba,  
     Aż mrowie przechodzi po mnie!  
 Wiesz-li, jak się ten zowie, co siedział tak skromnie?  
 Kot bestja, rodzaju naszego zaguba!  
 Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta

I przyjdą może te czasy,  
 Że z jego ciała będziem jeść frykasy,  
 A zaś kot może nas schrusta.  
 Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,  
 I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:  
 Nie sądź nikogo po minie,  
 Bo się w sądzeniu poszkapisz».

*Tłum. Stanisław Trembecki.*

Jeleń przeglądający się  
 Księga VI, bajka IX

Razu pewnego, w przezroczystej wodzie,  
 Przypatrywał się jeleń swej urodzie.  
 Sam się dziwił cudności rosochatych rogów,  
 Lecz, widząc swoje nogi cienkie jak badyle,  
 Gorzko narzekał na bogów:  
 «Gdzie proporcja! głowa tyła, nogi tyle!  
 Me rogi mnie równają z wysokimi krzaki,  
 Lecz mnie ta suchość nóg szpeci».  
 A wywierając żal taki,  
 Obejrzy się, aż tu doń obces ogar leci;  
 Niebardo dalej psiarnia szczeka rozpuszczona.  
 Strach go w głęboki las niesie,  
 Lecz rączość jego nieco jest spóźniona,  
 Bo mu się rogi w gęstym zawadzają lesie.  
 Uciekł przecie, ale mu ogary  
 Podziurawiły mocno szarawary.

Kto kocha w rzeczach piękność i zysków się wstydzi,  
 Częstoć się takimi pięknościami gubi,  
 Jak ten jeleń, co swemi nogami się brzydzi,  
 A szkodną ozdobę lubi.

*Tłum. Stanisław Trembecki.*

FRANÇOIS VI DUC DE LA ROCHEFOUCAULD  
 (1613—1680)

MAKSYM Y I MYŚLI MORALNE

Miłość własna jest największym z pochlebców.

Pomimo odkryć, jakie porobiono w krainie miłości własnej, pozostaje w niej jednak jeszcze wiele kątów nieznanych.

W sercu ludzkim rodzą się nieustannie namiętności. Ruina starych jest tylko kolebką do wylęgania się nowych namiętności.

Człowiek nie jest nigdy ani tak szczęśliwym, ani tak nieszczęśliwym, jak sobie zwykle wyobraża.

Sympatja dla sprawiedliwości jest u wielu ludzi tylko obawą doznania niesprawiedliwości.

Łatwiej jest być mądrym dla innych, niż dla siebie.

Jak mało słów a dużo myśli cechuje ludzi wielkich — tak przeciwieństwo tego cechuje znów ludzi małych umysłowo.

Niedosyć jest posiadać wielkie przymioty — należy umieć z nich użytkować.

Nic nie kochamy poza obrębem swego egoizmu. Przekładając nawet interes przyjaciół nad interes własny, robimy to niewątpliwie — powodowani tylko własną przyjemnością. Drugostronnie należy przyznać, że tej okoliczności zawdzięczamy prawdziwą i doskonałą przyjaźń.

Zdrowie ducha jest również niepewne, jak zdrowie ciała. W chwili, kiedy sądzimy się być panami namiętności, możemy się również łatwo stać ich niewolnikami, jak popaść w chorobę, kiedy zdajemy się być zupełnie zdrowi.

Tylko wielkim ludziom przystoją wielkie błędy.

Szczytna odwaga polega na tem, by zrobić nawet bez świadków to — co się robi wobec licznych tłumów.

W nieszczęściach naszych przyjaciół odnajdujemy zawsze coś, co nas bynajmniej nie martwi.

Komu brak sił do tego, by być złym, nie jest bynajmniej godny pochwał, należnych prawdziwej dobroci. To, co bowiem często przyjmujemy za dobroć, jest tylko lenistwem lub bezsilnością woli.

Niepodobieństwem jest kochać powtórnie to, co się rzeczywiście raz już kochać przestało.

Sprawiedliwość bywa często obawą utracenia tego, co posiadamy, stąd to pochodzi szacunek dla własności bliźniego i owo wystrzeganie się, by mu nie zrobić najmniejszej krzywdy.

Są zasługi bez godności, ale niema godności bez zasług.

Rozum nam służy często do tego, by popełniać głupstwa.

Możemy wydawać się wielkimi, zajmując godności, niedorównywające naszym zasługom, ale wyglądamy na karłów, piastując urząd, do którego nie dorośliśmy.

Nie rzadszego nad prawdziwą dobroć. Często bowiem nawet ludzie, sądząc, że ją posiadają, przyjmują za nią tylko słabość woli lub uprzejmość.

Ludzie widocznie nie upatrują w sobie dość błędów, gdyż powiększają jeszcze ich liczbę przez pewne szczególne przymioty, któremi się jawnie przyozdabiają, uprawiając je przytem z taką starannością, że stają się one wkońcu błędami naturalnymi, od których wyzwolenie się nie jest bynajmniej później od nas zależne.

*Tłum. J. J. Finkelhaus.*

## JEAN DE LA BRUYÈRE

(1645—1696)

### CHARAKTERY CZYLI PRZYMIOTY Z TEOFRASTA

#### Rozdział X. O sknerstwie plugawem

Ten rodzaj skapstwa u ludzi jest namiętnością ochronienia najmniejszych rzeczy, bez żadnego końca uczciwego. Niektórzy, odbierając co miesiąc zapłatę od najęcia domu, nie zaniebują sami pójść domagać się o pół szeląga, które brakuje do ostatniej wypłaty uiszczonej. Inni, wysilając się, aby dać obiad u siebie, niczem tak nie są zatrudnieni przy stole, jak rachowaniem, wiele razy który z gości żądał pić. Ci sami także, którzy szacują rzeczy nad wartość, chociaż kupujący, zdając im rachunek, taniość kupna bądź najlepszego okazują, utrzymują jednak zawsze, że za drogo

zapłacone. Nieprześlągnięci dla służących, gdy który upuści garnek na ziemię, albo słuźce przypadkiem inne naczynie gliniane; tę szkodę odtrącają z zasług i żywności. A gdy ich żony choć denar zgubią, wtedy trzeba cały dom przewrócić, szukając, łóżka odstawiać, kufry przenosić i po najskrytszych kątach przeglądać. Kiedy co sprzedają, to tylko mają jedynie przed oczami, żeby dla tego, co kupuje, było ze stratą. Nikomu nie wolno jednej figi urwać w ich ogrodzie, ani przejść przez ich pole; albo podnieść gałąź palmową, lub niektóre oliwki, co z drzewa opadną, podnieść. Codzień przechodzą po swoich gruntach i rolach, uważając na granice i miedze, patrząc, czy czego nie odmieniono. Zysk od zysku pieniędzy ciągną i tylko pod tym warunkiem pozwalają swoim dłużnikom przedłużenia terminu. Jeżeli zaprosili na obiad niektórych z przyjaciół, a ci są z pospółstwa, nie strzegą się dać im tylko prostej siekanki, i często ich widziano samych idących na rynek, aby kupić na tę ucztę, jednak, znajdując tam wszystko za drogo, powracających, nie kupiwszy nic.

Nie miejcie zwyczajów, mówią żonom, pożyczać soli, jęczmienia, mąki, ani kminu, majeranu lub kołaczków na ołtarz, bawelny i wełny, bo te małe drobiazgi na końcu roku znaczne kwoty wynoszą.

Ci chciwcy mają pęki kluczyków zardzewiałych u pasa, których nie używają; leżą szkatułki, gdzie ich pieniądze schowane, których nigdy nie otwierają i dają im pleśnieć w kącie schowania; noszą suknie za ciasne i za krótkie; najmniejsze fłaszki zdają im się, że więcej oliwy zawierają, niż im potrzeba do namaszczenia się; golą głowę ledwo nie ze skórą; zdejmują buty w dzień, aby się nie zniszczyły...

#### O d o s t a t k a c h (wyjątek)

Człowiek bogaty może mieć stoły wyborne, domy obiciami litemi i pozłaceniami okryte, sztukaterjami przyozdobione, pałace w mieście i na wsi, cugi i karety przepyszne; książęcej dostojności dostąpić, syna panem wielkim zostawić, jest to jego przyzwoitością, atoli innym zostawiono żyć szczęśliwie i swobodnie.

Znakomity ród i wielkie dostatki znamionują zacność i łatwiej ją dają Źnawać.

...Gdy tylko łaska możnych i dostatki odejdą od człowieka, odkrywają w nim śmieszność, co była zasłoną jego, tak, że jej nikt wtenczas nie dostrzegał. Gdybyśmy na to własnymi oczami nie patrzyli, czybyśmy się mogli domyślić wielkiej nierówności, co mniej lub więcej złota między ludźmi ustanawia. Te mniej albo więcej przeczyna do wojny, do duchownego lub świeckiego stanu...

Dwóch kupczących mieszkało w sąsiedztwie i jednakowy handel prowadziło; doznali potem odmiennego szczęścia losu. Każdy z nich miał córkę jedynaczkę, które się razem chowały i, będąc w jednym wieku i jednego stanu, żyły z sobą w poufałości; jedna z nich, aby z ostatniej wyjść nędzy, szukała służby i znalazła ją u bogatej damy, z pierwszych u dworu, tej, co była przedtem jej towarzyszką.

...Nie zazdrośmy niektórym ludziom ich wielkich bogactw, doszli do nich sposobami, które namby się nie podobały. Spokój, zdrowie, honor, cnotę, sumienie na tołożyli, aby ich dostąpić; jest to dla nas za drogi i niepożyteczny nabytek.

*Tłum. H. F. J. P. K. M.*

NICOLAS BOILEAU DESPRÉAUX

(1636—1711)

SZTUKA RYMOTWÓRCZA

Pieśń I

Cokolwiek piszesz, chroń się zbyt podłych wyrazów.  
Styl, choć prosty, może mieć dość pięknych obrazów:  
Z wsgardą rozsądku każda trefność nieforemna,  
Przez swą równość została dla wszystkich przyjemna,

Wiersz zaczął jaśnieć tylko niezgrabnym zarcikiem,  
Muzy brudnych przekupek gadały językiem,  
Wolność w rymach nie miała granic między gminem,  
Sam Apollo przekształcon został Tabarinem,  
Tym razem gmin najprzód był zatruty cały.  
Później i książąt dwory jadu jej doznały,  
Trefniś najniezgrabniejszy nie doznał przygany  
I sam nawet d'Assones chciwie był czytany.  
Wreszcie dwór, tego stylu obrażon zgorzeniem,  
Pogardził w takich wierszach zbyt łatwym bredzeniem.  
Granica między dobrem a złem położona,  
Sam motłoch tylko w kraju uwielbiał Tifona.  
Styl ten na wasze dzieła hańby niech nie miota.  
Naśladowmy dowcipną wesołość Marota.  
Niech gmin podły w trefności zdrożnej wpada wady,  
My nie wступujmy nawet i w Brebeufa ślady,  
I nigdy nie panujmy na brzegach kwitnących:  
Zmarłych i konających dwieście gór jęczących;  
Niech nigdy styl nasz prosty nie zna wymuszenia;  
Wyniosły — jakiejś dумы, przyjemny — spodlenia.

Piszcie, co czytelnika zabawić jest wstanie,  
Niech ucho wasze baczne jest na rymowanie;  
Niech będzie w wierszach waszych słów takie dzielenie,  
By na cezurze można znaleźć odpocznienie.  
Niech dobór słów ozdobą będzie waszych pieni,  
Strzeżcie się niemilego zbiegu twardych brzmieni,  
Wiersz z innych względów dobry, myśl najszlachetniejsza,  
Kiedy obraża ucho, wartość swoją zmniejsza.  
W pierwiastkowym Francuzów rymotwórstwa czasie  
Sam kaprys wielowładnie rządził na Parnasie.  
Rzym na końcu kładziony bez żadnej nauki,  
Trzymał miejsce cezury, liczby, wdzięków sztuki.  
W takowych dzikich wiekach najprzód przez Villona  
Zdrożność dawnych poetów była poprawiona;  
Marot zaś, niszcząc wszelkie w rymotwórstwie wady,  
Wprowadził i porządek, i nowe zasady.  
Ronsard, później znów inne przyjąwszy metody,  
Burząc wszystko, według swej muzę stworzył mody;  
Grecyzną i łaciną będąc ta nadęta,  
Do szczytu świetnej sławy bytu posunięta;  
Przyszła jednak następnie ta szczęśliwa pora,  
Co w przepaść z wysokości strąciła autora,  
Który tę sprawiedliwie cierpiąc karę sroga,  
Dla Desporta i Bertant muzy był przestroga.  
Zjawił się wreszcie Mallherbe. On w narodzie pierwszy  
Przywoite przeznaczył prawa dla wierszy;  
Mocą to przepisanej przez niego ustawy  
Muza odtąd została pod pewnemi prawy;  
Styl oczyszczony światłem jego genijuszu,  
Nie razi swą twardością delikatnych uszu.  
Wszyscy zaczęli zatem zgodnie iść z autorem,  
I dzisiaj dla poetów jest on jeszcze wzorem.  
Naśladowcie tę rzadką czystość jego mowy,  
I zwrotów jego szczęśnych szyk jasny i nowy.



Gdy nad pojęciem sensu potrzeba się trudzić,  
Czytelnik takim wierszem zaczyna się nudzić  
I, dość nabłakawszy się w czczych słów mieszaninie,  
Ucieka od autora, który przed nim ginie.

*Tłum. J. Maciuński.*

## BLAISE PASCAL

(1623—1662)

### MODLITWY I ROZMYŚLANIA

...Gdyby Bóg objawiał się stale ludziom, nie miałby żadnej zasługi ten, kto w Niego wierzy; a gdyby nie objawiał się nigdy, mało kto by weń wierzył. Lecz zazwyczaj ukrywa się On i zrzadka tylko objawia się tym, których chce pociągnąć do swojej służby. To dziwne ukrycie, w którym Bóg się odosobnił, nieprzeniknione dla oczu ludzkich, jest wielką dla nas nauką, ażeby usunąć się w samotność zdala od wejrzeń ludzkich...

...Przeszłość nie powinna nas nabawiać kłopotu, ponieważ jeżeli ciąży tam na nas jakieś winy, wystarcza, gdy za nie żałujemy; przyszłość zaś obchodzić nas powinna jeszcze mniej, ponieważ leży poza naszym widzeniem i, być może, nigdy do niej nie dotrzemy. Teraźniejszość jest jedynym czasem, który do nas naprawdę należy, i którego należy używać według Boga. Tutaj to właśnie myśli nasze powinny być przede wszystkim liczone. Świat jednak tak pełny jest niepokoju, że ludzie prawie nigdy nie myślą o życiu teraźniejszym i o chwili obecnej, lecz o tej, która nastąpi. Tak, że ludzie stale żyją przyszłością, a nigdy obecnością. Pan nasz nie chciał, ażeby przewidywanie nasze sięgało poza dzień, w którym żyjemy. Są to granice, których przestrzegać należy zarówno dla naszego własnego zbawienia, jak dla naszego własnego spoczynku. Gdyż prawdziwie, nauka chrześcijańska przynosi najwięcej otuchy, więcej niż jakiegokolwiek maksymy światowe...

...Bóg stworzył człowieka z podwójną miłością: z miłością do Boga i z miłością do siebie samego, ale zarazem dał mu przykazanie, że miłość do Boga ma być nieskończona, to jest niemająca żadnego innego celu poza samym Bogiem, natomiast miłość do siebie samego ma być skończona... Następnie, gdy przyszedł grzech, człowiek utracił tę miłość pierwszą; miłość do siebie samego pozostała jednak w tej duszy wielkiej, która zdolna była do miłości nieskończonej; wskutek tego owa miłość własna rozszerzyła się i rozlała w pustce pozostałej po miłości do Boga. W taki to sposób ukochał człowiek sam siebie i rzeczy wszystkie dla siebie, to jest ukochał je nieskończenie. Oto pochodzenie miłości własnej!... Oto źródło tej miłości a zarazem przyczyna jej ułomności i jej przyrostu.

O, Boże! jakże szczęśliwe jest serce, które kochać może przedmiot tak czarowny, przedmiot, który go nie bezceści i do którego skłonność jest zbawienna! Czuję, że nie mogę kochać świata, nie narażając się Tobie, nie szkodząc Tobie i nie poniżając się we własnych oczach; a przecież świat, mimo to, jest przedmiotem moich rozkoszy. O Boże! jakże szczęśliwa jest dusza, dla której Ty jesteś źródłem rozkoszy, gdyż miłowaniu swemu oddawać się może nietylko bez wyrzutów, ale jeszcze z poczuciem zasługi! Jakże mocne i trwałe jest jej szczęście! Jej oczekiwanie nie dozna zawodu. Skoro Ty, Boże, nigdy nie ulegniesz zagładzie, to ani życie, ani śmierć nie spowoduje dla niej rozłąki z przedmiotem ukochania. Ta sama godzina, która strąci grzeszników wraz z ich bożkami w otchłań wspólną, będzie dla sprawiedliwych godziną połączenia się z Tobą we wspólnej chwale. A jako jedni przepadną wraz ze znikomościami, którym oddali serca, tak drudzy wiecznie żyć będą w wiekuistym i niepodlegającym zagładzie przedmiocie, z którym się najściślej zespolili! Och! jakże szczęśliwi są ci, którzy z całą swobodą i nieprzepartą skłonnością woli doskonale i samorzutnie kochają to, co obowiązani są kochać z konieczności!

*Tłum. Wincenty Rzymowski.*

JEAN RACINE

(1639—1699)

BERENIKA KRÓLOWA PALESTYNY

Tragedja w 5 aktach

Akt V, scena VII

*Tytus, Berenika, Antyoch.*

- Tytus: Przybliż się, królu, przybliż, szukać cię kazałem,  
Chcę tu ciebie za świadka mieć mojej słabości,  
Uważ, jeśli jest mało z mej strony miłości,  
Sądź nas...
- Antyoch: Znam Was! wszystkiemu łączno wiarę daję,  
Lecz Tytus nieszczęsnego króla niech poznaje!  
Raczyłeś mię zaszczycić twą przyjaźnią, Panie,  
I mogę ci przysięgą stwierdzić to wyznanie,  
Żem się o nią dobijał z przyjaciół twemi,  
Dobijałem się o nią ranami mojemi;  
Wyście mi powierzyli, pomimo chęć moją,  
Królowa swoją miłość, a ty, Panie, twoją.  
Królowa, co mię słyszy, może przeczyć będzie,  
Gorliwem ciebie przed nią wielbił w każdym względzie,  
Odpowiadałem szczerze na tve zaufanie,  
Sądzisz pewnie, że wdzięczność winienes mi za nie?  
Lecz czy uwierzysz w moment, który mię przywała,  
Żeś w przyjacielu wiernym miał twego rywala?
- Tytus: Rywala?
- Antyoch: Czas już, by spadła zasłona,  
Zawsze królowa była przeze mnie wielbiona,  
Starga więzy? Z sobą się nieraz pasowałem,  
Nie mogąc jej zapomnieć, nieszczęsny milczałem!  
Zmienności twej pochlebne, lecz złudne zamamienia  
Zwracały mi choć słabe nadziei promienia,  
Które łzami królowej zgaszone zostały;  
Jej oczy zapłakane ciebie wyglądały,  
Ty, przeze mnie samego, Panie, przywołany,  
Powróciłeś — kochasz ją — i jesteś kochany!  
Miłość cię zwyciężyła, o tem nie wątpiłem,  
Dzisiaj po raz ostatni z sobą się radziłem,  
Ostatnią założyłem próbę mej odwadze,  
Wszystkie rozumu mego pozbierałem władze,  
Nie czułem, żebym kiedy tak był zakochany!  
Inną mocą potrzeba zrywać te kajdany!  
Śmierć tylko ją potarga, śpieszę na jej łono:  
Całą rzecz z mojej strony macie wyjaśnioną.  
Tak, Pani, zwróciłem Ci kochanka czulego,  
Zamiar mój już się spełnił, nie żałuję tego.  
Niech niebo na was tysiąc pomysłności zlewał!  
Niech wam w każdej godzinie słodczy przybywa,  
Albo jeśli gniew jaki gotują nam losy,  
Proszę Bogów, by na mnie padały te ciosy!  
Was chroniąc, niechaj zwrócą wszystkich cierpień zgraje  
Na te dni nieszczęśliwe, które wam oddaję!...
- Berenika: Wstrzymajcie się, wstrzymajcie, o szlachetne dusze!  
Jak okrutne dziś dla mnie sprawiacie katusze!...

Czy to na ciebie patrzę, czy nań zwracam oko,  
W każdej twarzy rozpacz postrzegam głęboką,  
Same lzy, same jęki, same narzekania,  
Wszędzie widzę zawziętość własnej krwi rozlania!

*(Do Tytusa)*

Znasz moje serce, Panie, mówić mogę śmiało,  
Że do berła twojego nigdy nie wdychało.  
Ni wielkość Rzymian, ani purpura Cezarów,  
Wiesz sam, że celem moich nie były zamiarów,  
Kochałam i żądałam wzajem być kochaną,  
Dziś wyznaję, że w trwodze będąc obłąkaną,  
Mniemałam, iż Twa miłość wygasła już całe.  
Znam teraz błąd mój, wiem to, że mię kochasz stale,  
Widzę lzy, boleść, która serce twe przenika.  
Nie! Tyle trosk aż nie jest godna Berenika!  
Ani, by przez twą miłość narody strwożone,  
Gdy ich wszystkie nadzieje są w tobie złożone,  
Gdy kosztując cnót twoich świetną biorą postać,  
Miały z rozkoszy swojej wyzutełmi zostać.  
Sądzę, żem od lat pięciu już cię zapewniła,  
Iż miłość moja dla cię najprawdziwszą była;  
Niedość na tem, chcę dzisiaj przez ostatnie kroki  
Uwieńczyć smutny koniec bolesnej epoki;  
Będę żyć — tem uległość twój woli oznaczę —  
Bądź zdrow! — Panuj, już cię więcej nie zobaczę.

*(Do Antyocho)*

Królu! Słyszając wyrazy tego pożegnania,  
Znasz, że nie na to rzucam cel mego kochania,  
By inną uczuć miłość, gdy się stąd oddalę;  
Żyj i umiej sam siebie zwyciężyć wspaniale;  
Bierz wzory, Antyocho, z Tytusa i ze mnie,  
Kocham go, on mię kocha; a stronim wzajemnie.  
Oddal twoje ode mnie jęki i kajdany,  
Bądź zdrow, niechaj z nas świata przykład będzie dany  
Nieszczęśliwej miłości, jej ofiar okrutnych,  
Któreby mógł zapisać w swoich dziejach smutnych;  
Zostań tu! — Jadę — wszystko gotowe do drogi,

*(Do Tytusa)*

Raz ostatni żegnam cię — bywaj zdrow!

Antyoch:

O! Bogi!

*Tłum. Ign. M.*

JACQUES BÉNIGNE BOSSUET  
(1627—1704)

MOWY POGRZEBOWE

Mowa na pogrzebie Ludwika Bourbona, księcia Kondeusza,  
dnia 10 marca 1687 r. (wyjątki)

W chwili, gdy otwieram usta ku złożeniu hołdu nieśmiertelnej chwale Ludwika Bourbona, księcia Kondeusza, czuję, że mię zarówno zraża wielkość przedmiotu, jak, jeśli się wyznać godzi, daremność tej pracy. Bo któraż część zamieszkanego świata nie słyszała o zwycięstwach Kondeusza i cudach jego życia!

...Czegóż nie jest to królestwo winne księciu, który był chlubą królewskiego

domu Francji, imienia francuskiego, swego wieku i, że tak rzeknę, całej ludzkości? Sam Ludwik Wielki podzielał te uczucia: oplakawszy tego wielkiego męża, dawszy mu przez swe łzy najświetniejszą pochwałę, jaka go spotkać mogła, gromadzi do tej znakomitej świątyni najdosłojniejsze w królestwie osoby, ku złożeniu hołdów księciu, i chce, by mój słaby głos ożywił te smutne oznaki żalu i cały ten przepych pogrzebowy.

...Bóg nam objawił, że sam tworzy zdobywców, że sam ich używa do dopięcia swych zamiarów. Któż stworzył Cyrusa, jeśli nie Bóg, który go nazwał po imieniu w prorocत्वach Izajasza na lat dwieście przed jego urodzeniem? Niemasz cię jeszcze, rzekł do niego Pan, «ale ja cię widzę i nazwałem cię po imieniu: nazywać się będziesz Cyrusem. W boju będę ci pomagał; sprawię, że za twojem zbliżeniem się uciekać będą króle i miedziane bramy pokruszę. Ja jestem ten, który niebiosa rozwieszam, dźwigam ziemię i nazywam to, co jest równe, jak to, co nie ma bytu», to jest: ja sprawiam wszystko i przed wiekami widzę wszystko, co zrobię. Któż mógł stworzyć Aleksandra, jeżeli nie ten sam Bóg, który swemu prorokowi Danielowi w tak odległej przyszłości i w tak żywych postaciach jego zapal niepoohamowany ukazał. Widzicież, odzywa się, tego zdobywcę, z jaką szybkością od zachodu ponad ziemią pędzi, nie dotykając jej swemi stopy. Podobny w śmiałych skokach i lekkim chodzie do onych zwierząt silnych i chybkich, leci w żwawym i natarczywym biegu, niewstrzymany przez góry i przepaści. Już król Persów w rękę jego; «widząc go, zapalił się», «efferatus est in eum», mówi prorok; «obala go, depce nogami, a nikt nie może jednego zasłonić od ciosów, ani drugiemu wydrzeć jego zdobyczy». Te tylko słowa Daniela słysząc, kogoż mniemacie widzieć, panowie moi, pod tą postacią: Aleksandra, czyli też księcia Kondeusza? Bóg to więc dał mu tę wielką waleczność, ku zbawieniu Francji, podczas małoletności czteroletniego króla. Niech rośnie ten król ukochany od nieba, a wszystko niech przyćmią jego rycerskie dzieła; wyższy od swoich i nieprzyjaciół, będzie umiał używać swych najslawniejszych wodzów lub też bez nich się obchodzić, a zostając pod opieką Boga, przy ciągłej Jego pomocy, sam jeden stanie się przedmurzem swych krajów. Wszakże Bóg w dziecinnym jego wieku wybrał mu na obrońcę księcia d'Enghien...

...Placicie więc nad temi słabemi życia ludzkiego szczątkami; placicie nad tą smutną nieśmiertelnością, którą darzymy bohaterów, ale przystąpcie tu przede wszystkim, wojownicze i nieustraszone dusze, co z takim zapalem do sławy bieżycie! I któż był godniejszy wam hetmanić? Kto wcześniej dowództwo sprawował? Oplakujcie tego wielkiego wodza i powiedzcie z jękiem: oto ten, co nas wiódł między niebezpieczeństwami! Pod nim ukształciło się tylu głośnych wodzów, których jego przykłady wyniosły na pierwsze godności wojskowe; jego cień mógłby był jeszcze wygrywać bitwy, a w jego milczeniu to wielkie imię jeszcze nas ożywia i zarazem przestrzega, że, aby znaleźć przy śmierci jaki szczątek prac naszych i nie przybywać do wiecznego mieszkania z królem ziemi, trzeba nadto służyć królowi niebieskiemu. Służcie więc temu Nieśmiertelnemu i Miłosiernemu Królowi, który nam za więcej policzy jedno westchnienie, jedną szklanekę wody w jego imieniu podaną, niż ludzie wszystką krew za nich wytoczoną: zaczynajcie więc liczyć czas waszych użytecznych przysług od dnia, kiedy się poświęcicie tak dobroczynnemu Panu. A wy nie przyjdziecież do tego smutnego pomnika, wy, mówię, których raczył w rzędzie przyjaciół swych mieścić? Wszyscy razem, bez względu na stopień jego dla nas zaufania, otoczcie ten grobowiec, skojarzcie łzy spokojne z modlitwą, a wielbiąc w księciu tak wielkim przyjaźń tak miłą i tak słodkie obcowanie, zachowajcie pamięć bohatera, równie z dobroci, jak męstwa znanego! Obyście zawsze z duchem jego lubą wiedli rozmowę! Obyście z cnót jego korzystać mogli; oby zgon, który oplakujecie, zarazem za pociechę i przykład wam posłużył! Co do mnie, jeżeli mi się godzi za innymi oddać ci ostatnią posługę u grobowca tego, o książę! godny przedmiocie naszych pochwał i żalów! — żyć będziesz wiecznie w mej pamięci; zostanie w niej twój obraz, nie z tą śmiałością, obiecującą zwycięstwo, skreślony, nie, niczego w tobie widzieć nie chcę, co śmierć zaciera, w tym obrazie nieśmiertelne mieć będziesz rysy; zobaczę Cię takiego, jakim byłeś w owym dniu ostatnim pod prawicą Boga, kiedy Ci chwała najwyższego jakoby objawiać się zaczęła. Tam Cię ujrzę świetnie triumfującego niż pod Fryburgiem i Rokroa, a zachwycony

tak pięknym triumfem, złożę dzięki niebu pięknymi słowy ukochanego ucznia: «et haec est victoria, quae vincit mundum, fides nostra»: I to jest zwycięstwo, które zwycięża ziemię, wiara nasza. Ciesz się, książę! Tem zwycięstwem ciesz się wiecznie przez nieśmiertelną moc tej ofiary. Odtąd zamiast oplakiwania żgonu innych, o wielki książę, chcę się uczyć od Ciebie, jak mam śmierć własną uświęcić; szczęśliwy, jeżeli ostrzeżony siwizną, że wkrótce mi przyjdzie zdać sprawę z pasterskiego zarządu, dla tej trzody, którą słowem życia karmić winienem, niknącego głosu i gasnącego zapachu dochowam ostatki.

*Tłum. Aleksander Cukrowicz.*

## FRANÇOIS DE SALIGNAC FÉNELON

(1651—1715)

### ROZMOWY WIELKICH KRÓLÓW I SŁAWNYCH MEŻÓW

#### Rozmowa XLVI. Kaligula i Neron

Nieprzyzwoitość rządu samowładnego stąd pochodzi, gdy rządca słabego umysłu, lecz najniezwyklejszy stan państwa wtedy, gdy pan—okrutnik.

**Kaligula:**

Rad Cię tu oglądam, jesteś osobliwością niepospolitą. Chcieli we mnie wmówić zazdrosną niechęć przeciwko tobie, opowiadając, iż mnie przeszedłeś w obrzydliwościach i srogości, ale temu wierzyć mi się nie chciało.

**Nero:**

Co za porównanie! Ty byłeś głupiec srogi. Ja zaś z życia ludzi czyniłem sobie igrzysko, tracąc ich, i takie rzeczy dałem im oglądać, których nigdy nie widzieli, ani słyszeli; zabiłem matkę własną, żonę nauczyciela i ochmistrza, i wielu innych kazałem zamordować, spaliłem Rzym i tyle niezliczonych innych mężobójstw popełniłem; są to znaki wielkiego męstwa, które jest wyższe nad słabości ludzkie i ułomności, które pospółstwo nazywa okrucieństwem, ja zaś nazywam zwycięstwem przyrodzenia i podniesieniem duszy!

**Kaligula:**

Jaki chwalca jesteś? Czy zażądałeś ojca umierającego, tak jak ja? Albo pieściłeś się tak z żoną: piękną masz główkę, którą mogę kazać ściąć w jednej chwili, gdy mi się tylko spodoba!

**Nero:**

Wszystko to żarciki. To, co ja opowiadałem — to rzeczy poważne. A nawet zapominałem jednego z pięknych zdarzeń mojego życia, żem kazał zabić mojego brata Britannika.

**Kaligula:**

Przyznaję, że tem dokazałeś wiele; zapewne zrobiłeś to, naśladowując zakładcę Rzymu, który, jak mówił, dla dobra powszechnego nie oszczędził krwi brata swojego. Wszakże byłeś też graczem?

**Nero:**

O, ty miałeś większe plany; chciałeś zostać bożkiem i zamordować wszystkich, którzyby o tem wątpili.

**Kaligula:**

Dlaczegożby nie? Czyż można lepiej życie ludzkie poświęcić, jak na ofiary bogom. Były całopalenia na moich ołtarzach — nieustanne.

**Nero:**

Te pomysły nie przyszły mi do głowy. Byłem jednak najlepszym muzykiem i śpiewakiem, oraz najdoskonalszym aktorem; w całym państwie przytem największym poetą.

Kaligula:

Przynajmniej ty tak sądziłeś, gdyż inni temu nie wierzyli i drwili z twojego głosu, wierszy i grania.

Piękny to zaszczyt dla Cezara rzymskiego wchodzić na plac widowiska jak trefniś, zazdrościć poetom i wzbudzać powszechne pośmiewisko.

Nero:

Podróż, którą przedsięwzięłem do Grecji, natchnęła mnie myślą do teatrów i innych igrzysk.

Kaligula:

Powinieneś bawić się w Grecji i zarabiać sobie na życie, jako komedjant, a in-nemu ustąpić cesarskiej dostojności, który lepiejby tę godność piastował.

Nero:

Czym nie miał Domu Złocistego, który był obszerny, jak największe miasto? Zaiste znałem się na wspaniałości.

Kaligula:

Gdyby tego pałacu dokończono, musieliby obywatele wynieść się z miasta i mieszkać za Rzymem. Ten dom byłby nakształt nadzwyczajnej wielkości posagu, coś dla wielkiej dumy dał sobie wystawić; oznaczał on ogromność nie według twojej postaci i osoby, gdyż nie byłeś wyższy od innych ludzi, a wynosiłeś się na wzór wielkoluda.

Nero:

Dlatego to uczyniłem, że zmierzałem do wielkich rzeczy.

Kaligula:

Do olbrzymich i nadprzyrodzonych srogości przygotowywałeś się, ale te wszystkie zamysły Vindex obalił i zniszczył.

Nero:

A twoje obalił Chereasz, jak szedłeś na widowisko.

Kaligula:

Przyznaj mi, że obaj mieliśmy koniec nieszczęśliwy, i w kwiecie naszej młodości ze świata nas zgładzono.

Nero:

Należy wyznać prawdę, iż mało było ludzi, którzyby za nasze zdrowie się modlili i życzyli nam wieku długiego. Jakże nudne i przykre jest życie między sztyletami.

Kaligula:

Mówisz w ten sposób, jakbyś chciał dać do zrozumienia, iż gdybyś na świat powrócił, poprawiłbyś się.

Nero:

O, wcale nie! Nie mógłbym zdobyć się na umiarkowanie. Znasz to dobrze, mój miły przyjacielu, i doświadczyłeś tego, iż złą rzeczą jest zbytnia władza...

Kaligula:

Te szaleństwa uchodziłyby, gdyby nie trzeba było się lękać. Ale związki, spiski, obawy, podejrzenia, niedowierzania, zgryzoty i zatrudnienia psują zabawy i rozkosze napelniają goryczą.

...Widzę idących tu Domicjana, Kommoda, Karakallę, Heljogabala w łańcuchach; tak źle będą spędzali tu czas, jak i my! Nielepiej się z nami obejda.

*Tłum. F. H. J. P. K. M.*

## WIEK XVIII

BERNARD LE BOUVIER DE FONTENELLE

(1657—1757)

## ROZMOWY ZMARŁYCH

## Część I. Rozmowy zmarłych w starożytności

*Rozmowa V: Homer, Ezop.**Jakie są tajemnice w dziełach Homera.*

Homer: Istotnie, te wszystkie bajki, któreś mi właśnie opowiadał, godne są najwyższego podziwu. Musiałeś osiągnąć wysoki stopień sztuki, aby w małych powiastkach tak doskonale rozwinąć najważniejsze nauki moralności i aby pod obrazami tak trafnie wybranymi i tak powszechnie znanymi ukryć myśli głębokie.

Ezop: Bardzo miło usłyszeć pochwałę mej sztuki od ciebie, który tak dobrze zrozumiałeś znaczenie alegorji.

Homer: Ja? Nigdy jej nie używałem.

Ezop: Jako? Czy nie miałeś zamiaru ukrywać w swych dziełach wielkich tajemnic?

Homer: Niestety, wcale nie.

Ezop: A jednak twierdzili to wszyscy uczeni za moich czasów. Niema niczego w «Iljadzie», ani «Odysei», czego by nie uznawano za najpiękniejsze alegorje. Utrzymywali, że w twoich dziełach mieszczą się wszystkie tajniki teologii, fizyki, moralności a nawet matematyki. Coprawda, była pewna trudność w tem, aby je odgadnąć: gdzie jeden znajdował jakąś zasadę moralną, tam inny odkrywał prawidło fizyczne; lecz mimo to wszyscy zgadzali się na to, że wiedziałeś wszystko i powiedziałeś wszystko temu, kto cię dobrze zrozumiał.

Homer: Szczerze mówiąc, przypuszczałem, że niektórzy nie omieszkają szukać ukrytych myśli tam, gdzie ich wcale nie miałem. Jak nic w tem dziwnego, że, oczekując w przyszłości jakichś wydarzeń, prorokujemy ich przyjście, tak też rozumie się, że, słysząc bajkę, oczekujemy alegorji.

Ezop: Byłeś jednak bardzo zuchwały, składając na czytelników trud podkładania alegorji pod swoje utwory. Cóż działałoby się z tobą, gdyby je wzięto dosłownie?

Homer: No cóż, nie byłoby w tem wielkiego nieszczęścia.

Ezop: Jako? A ci bogowie, którzy nawzajem się kaleczą; ten piorunowładca Jowisz, który na zgromadzeniu bogów grozi wspaniałej Junonie, że ją obje; ten Mars, który zraniony przez Diomedesa wrzeszczy — według słów twoich — jak dziewięć lub dziesięć tysięcy mężów, a nie działa nawet jak jeden, bo, zamiast porąbać wszystkich Greków w kawałki, zabawia się tem, że idzie użalać się na swą ranę Jowiszowi; to wszystko nie miałoby zawierać w sobie alegorji?

Homer: Dlaczego nie? Wyobrażasz sobie, że rozum ludzki szuka tylko prawdy; porzuć to złudzenie. Rozum ludzki i fałsz żyją ze sobą w najlepszej zgodzie. Jeżeli masz powiedzieć prawdę, najlepiej zrobisz, gdy ukryjesz ją pod postacią bajki; wtedy będzie podobna się daleko więcej. Jeżeli chcesz opowiadać bajki, mogą się podobać, chociaż prawdy wcale nie zawierają. Otóż tak: prawda musi pożyczyc sobie trochę fałszu, aby ją rozum ludzki chętnie przyjął, ale fałsz dostaje się tam we własnej postaci, bo to jest jego miejsce urodzenia i zwykłego pobytu, prawda zaś jest tam obca. Gdybym był się męczycel wynajdywaniami alegorycznych bajek, mogłoby się być wydarzyć, że największa część ludzi byłaby uznała bajkę za rzecz niepozbawioną pozorów prawdy, zaś alegorję zostawionoby na boku; w istocie też wiadomo ci zapewne, że wcale nie znaleziono nic śmiesznego w mych bogach takich, jakimi są, i bez względu na owe wielkie tajemnice.

Ezop: To mnie bardzo przestrasza; obawiam się, by nie myślano, że zwierzęta mówią naprawdę, tak bowiem czynią w mych bajkach.

Homer: To zabawna obawa.

Ezop: A cóż? Jeżeli uwierzono, że bogowie prowadzili takie rozmowy, jakie ty każesz im prowadzić, dlaczegoż nie mianoby uwierzyć, że zwierzęta mówiły tak, jak ja każę im mówić.

Homer: Ach, to nie to samo! Ludzie pragną, aby bogowie byli tak szaleni, jak oni sami, ale nie pragną, aby zwierzęta były tak rozumne, jak oni.

## Rozmowy zmarłych w starożytności ze zmarłymi w czasach nowszych

### *Rozmowa III: Sokrates, Montaigne.*

*Czy wieki starożytne więcej cnót miały niż nasze?*

Montaigne: Więc spotykam cię nareszcie, boski Sokratesie! Jakże się cieszę, że cię widzę! Niedawno przybyłem do tej krainy, a od chwili przybycia szukam cię wszędzie. Nareszcie, zapelnivszy swą książkę twojem nazwiskiem i twojemi pochwałami, mogę rozmawiać z tobą i dowiedzieć się, w jaki sposób posiadałeś cnotę tak «naiwną»<sup>1</sup>, której «objawy zewnętrzne»<sup>1</sup> były tak naturalne a bezprzykładne, nawet w tych szczęśliwych czasach, w których żyłeś.

Sokrates: Bardzo mi miło ujrzeć zmarłego, który za życia, zda się, był filozofem; a ponieważ przybyłeś niedawno z ziemi, a ja oddawna nie widziałem się z nikim (jestem bowiem dość osamotniony i niebardzo tu się garną do rozmowy ze mną), pozwól, że zapytam o nowiny. Co tam słyhać na świecie? Czy bardzo się zmienił?

Montaigne: Niezmiernie. Nie poznałbyś go wcale.

Sokrates: To mnie zachwyca. Zawsze przypuszczałem, że świat musi się stać lepszym i mądrzejszym, niż był za moich czasów.

Montaigne: Co chcesz przez to powiedzieć? Świat jest bardziej szalony i zepsuty, niż był kiedykolwiek. O takiej zmianie chciałem mówić i spodziewałem się, że opowiesz mi dzieje tych czasów, kiedy panowała tylko uczciwość i prawość.

Sokrates: A ja spodziewam się znowu usłyszeć cuda o czasach, w których żyłeś niedawno. Więc jakże to, ludzie terazniejsi nie poprawili się z błędów, jakim ulegali w starożytności?

Montaigne: Myślę, że dlatego tylko mówisz tak poufale o starożytności, bo sam do niej należysz. Wiedz jednak, że mamy wielkie powody żałować obyczajów starożytności. Wszystko staje się gorszem z dniem każdym.

Sokrates: Czyż to możliwe? Zdaje mi się, że już za moich czasów wszystko szło naopak. Sądziłem, że nareszcie rzeczy wzięły obrót lepszy i że ludzie skorzystali z tyloletniego doświadczenia.

Montaigne: Czyż ludzie mają kiedy doświadczenie? Są oni jak ptaki, które dają się łapać w te same sidła, w jakie złapano już setki tysięcy takich samych ptaków. Każdy wstępuje w życie na nowo, a głupstwa ojców dzieci od popełniania głupstw nie chronią.

Sokrates: Więc doświadczenie nie wychodzi na korzyść? Myślałem, że świat będzie miał starość mądrzejszą i więcej uporządkowaną, niż była jego młodość.

Montaigne: Ludzie z wszystkich stuleci mają takie same skłonności, a rozum nie ma nad nimi żadnej władzy. To też wszędzie, gdzie są ludzie, są też i głupstwa i to głupstwa te same.

Sokrates: Jakże możesz na tej podstawie przypuszczać, że wieki starożytne więcej mają wartości niż wieki terazniejsze?

Montaigne: Ach, Sokratesie, wiedziałem dobrze, że miałeś osobliwą metodę rozumowania i tak zręcznego osaczania przeciwników argumentami o nieprzewidzianych wnioskach, że prowadziłeś ich, dokąd sam zechciałeś; mówiłeś, że w ten sposób stajesz się akuszerką ich myśli, pomagasz bowiem tym myślom do porodu. Przy-

<sup>1</sup> Wyrażenia Montaigne'a.



znaję, że oto porodziłem twierdzenie, wręcz przeciwne temu, do którego dążyłem, a jednak nie myślę jeszcze się poddawać. To pewne, że teraz niema już tych duchów silnych i surowych, jakie były w starożytności, niema Arystydesów, Focjonów, Peryklesów, wreszcie niema Sokratesów.

Sokrates: Skądże to pochodzi? Czy natura wyczerpała się i nie ma już siły wytwarzać wielkich duchów? Dlaczegoż nie wyczerpała się pod żadnym innym względem, li tylko pod względem rozumnych ludzi? Żaden z jej twórców nie zwyrodniał, dlaczegoż mieliby zwyrodnieć tylko ludzie?

Montaigne: To rzecz pewna: ludzie zwyrodniali. Zda się, że natura ukazała nam niegdyś kilka wzorów wielkich ludzi w tym celu, aby nas przekonać, iż umie ich stwarzać, jeśli chce, a że następnie tworzyła resztę ludzi dość niedbale.

Sokrates: Rozważ jedną okoliczność. Starożytność jest przedmiotem osobliwego rodzaju; oddalenie go zwiększa. Gdybyś był znał Arystydesa, Focjona, Peryklesa, no i mnie, skoro raczysz mnie do ich grona zaliczać, byłbyś znalazł i w swoim stuleciu ludzi im podobnych. Upredzamy się zwykle korzystnie dla starożytności dlatego, że mamy urazę do czasów, w których żyjemy, a starożytność na tem zyskuje. Stawia się wysoko starożytnych, aby poniżyć współczesnych. Kiedyśmy żyli, ceniliśmy przodków naszych więcej, niż na to zasługiwali, a teraz potomność ocenia nas nad zasługę naszą; lecz równą wartość mają i przodkowie nasi, i my, i potomność. Sądzę, że widowisko świata byłoby dość nudne dla kogoś, kto spoglądałby nań ciągle tylko z pewnego punktu, bo widziałby zawsze to samo.

Montaigne: Byłbym jednak skłonny do mniemania, że wszystko jest w ruchu, że wszystko się zmienia, że różne czasy mają też odmienny charakter, podobnie jak i ludzie. Czyż nie widzi się istotnie czasów oświeconych i czasów ciemnoty? Naiwnych i pełnych wyszukanego użycia? Czasów poważnych i żartobliwych, ugrzecznionych i rubasznych?

Sokrates: To prawda.

Montaigne: Dlaczegoż więc nie miałyby istnieć czasy bardziej cnotliwe i bardziej występne?

Sokrates: Wniosek nie jest trafny. Zmieniają się suknie, ale to nie znaczy, że zmienia się także postać ciała. Grzeczność lub rubaszność, uczoność lub nieświadomość, mniejsza lub większa naiwność, usposobienie poważne lub żartobliwe, to tylko zewnętrzne oznaki ludzi, które mogą się zmieniać. Nie zmienia się jednak serce, a istota człowieka jest w sercu. Jest się w pewnym stuleciu mało wykształconym, ale może nadejść moda uczoności. Jest się interesownym, lecz moda bezinteresowności nadejść nie może. Na niezmierną liczbę ludzi dość nierozumnych, którzy rodzą się w przeciągu stu lat, natura stwarza może dwa albo trzy tuziny rozumnych, a musi ich rozdzielić na całą ziemię, uważ zatem, że niema ich nigdzie w tak dostatecznej ilości, by mogli stworzyć modę prawości i cnoty.

Montaigne: Czy ten rozdział ludzi rozumnych jest zawsze równy? Przecież niektóre wieki mogłyby być lepiej obdzielone nimi, niż inne.

Sokrates: Co najwyżej mogłaby istnieć tylko jakaś niedostrzegalna nierówność. Ogólny porządek natury ma zwykle charakter stały.

## Część II. Rozmowy zmarłych w czasach nowszych

### *Rozmowa II: Paracelsus, Moljer.*

#### *O komedji.*

Moljer: Gdybym uważał tylko na twoje nazwisko, byłbym tobą zachwycony! Można by przypuszczać, że jesteś Grekiem lub Rzymianinem, a nikt nie mógłby się domyśleć, że Paracelsus był filozofem szwajcarskim.

Paracelsus: Uczyniłem to nazwisko równie sławnem, jak jest piękne. Dzieła moje są wielce pomocne dla wszystkich, którzy chcą wglębić się w tajniki przyrody, a szczególnie dla tych, którzy wnoszą się aż do poznania genjuszów i duchów żywołu.

Moljer: Rozumiem jasno, że to dopiero jest prawdziwą umiejętnością. Poznać ludzi, oglądanych codziennie, to nic, ale poznawać duchy, których nigdy widzieć nie można, to rzecz zupełnie inna.

Paracelsus: Bezwątpienia! Uczyłem bardzo dokładnie, jaka jest ich natura, ich zajęcia, ich skłonności, ich różne rodzaje i jaką władzę mają w świecie.

Moljer: Jakże byłeś szczęśliwy, mając te wszystkie tak jasne wiadomości. Bo naturalnie wiedziałeś też doskonale wszystko, co dotyczy człowieka, a jednak bardzo wielu ludzi nawet do tego nie doszło.

Paracelsus: Niema tak małego filozofa, któryby nie doszedł do tego.

Moljer: Bardzo wierzę. Nie miałeś już żadnej wątpliwości o naturze duszy ludzkiej, o jej działaniach, o związku z ciałem?

Paracelsus: Otwarcie mówiąc, w tej kwestji zawsze muszą pozostać pewne trudności; ale ostatecznie wie się o tem tyle, ile może nauczyć filozofja.

Moljer: I ty nie wiedziałeś niczego więcej?

Paracelsus: Nie. Czyż tego nie dosyć?

Moljer: Dosyć? Ależ to nic jeszcze. Tak więc przeszkakiwałeś ludzi, których wcale nie znałeś, aby dojść do genjuszów?

Paracelsus: Genjusze mają w sobie coś, co daleko bardziej podnieca wrodzoną ciekawość.

Moljer: To prawda, tylko jest rzeczą nie do darowania troszczyć się o nich pierwaj, nim poznało się wszystko, co dotyczy ludzi. Moznaby powiedzieć, że umysł ludzki wyczerpał już wszystko, skoro zajmuje się umiejętnościami, niemającami może żadnej istotnej podstawy, i robi sobie z nich zabawkę. Tymczasem jest pewne, że przedmioty bardzo istotne dałyby mu dość zajęcia, gdyby tylko chciał się niemi zająć.

Paracelsus: Umysł pomija naturalnie umiejętności zbyt proste a dąży do tych, które są otoczone tajemnicą. Tylko z nich może rozwinąć całą działalność.

Moljer: Tem gorzej dla umysłu. To, co mówisz, tylko wstyd mu przynosi. Prawda staje mu przed oczyma, ale ponieważ jest zbyt prosta, więc nie uznaje jej, a zabiera się do śmiesznych tajemnic wyłącznie dlatego, że są tajemnicami. Jestem przekonany, że większość ludzi, gdyby poznała istotny porządek świata, a nie spostrzegła ani przymiotów pewnych liczb, ani właściwości planet, ani fatalności związanych z pewnemi porami roku, lub pewnemi obrotami ziemi, nie mogłaby wstrzymać się, by o tym cudownym porządku nie powiedzieć: «Jakto? To tylko to?»

Paracelsus: Żartujesz z tajemnic, w które nie umiałeś wnikać, bo są też w istocie zastrzeżone dla ludzi wielkich.

Moljer: Daleko wyżej cenię tych ludzi, którzy nie pojmują tych tajemnic, aniżeli tych, którzy je pojmują, lecz na nieszczęście natura nie usposobiła wszystkich ludzi do niezrozumienia owych tajemnic.

Paracelsus: Ale czemuś zajmowałeś się za życia, ty, co sądzisz o tem z taką stanowczością?

Moljer: Miałem zajęcie bardzo odmienne od twego. Ty badałeś przymioty genjuszów, a ja głupotę ludzi.

Paracelsus: Oto piękne badanie! Wiadomo przecie, że ludzie muszą dość głupstw popełniać.

Moljer: Wiadomo o tem w ogólnych i mętnych zarysach; trzeba jednak wejść w szczegóły, a wtedy zdumiewają rozmiary tej nauki.

Paracelsus: Jakiż z tego robiłeś użytek?

Moljer: Zgromadziłem na jednym miejscu możliwie największą ilość ludzi i pokazywałem im, że są wszyscy głupcami.

Paracelsus: Trzeba było strasznych mów, aby ich o tej prawdzie przekonać.

Moljer: Nic łatwiejszego. Udowadnia się im głupotę, nie używając ani wielkich zwrotów krasomówczych, ani głęboko pomyślanych rozumowań. To, co oni robią, jest tak śmieszne, że wystarczy czynić przed ich oczami to samo, a zobaczysz, że będą pękali ze śmiechu.

Paracelsus: Rozumiem, pisałeś komedje. Co do mnie, nie pojmuję, jaką przy-

jemność można znaleźć w komedji. Przychodzi się na nią, aby śmiać się z obyczajów w niej przedstawionych, a dlaczegóż nie śmiejemy się z obyczajów samych?

Moljer: Aby śmiać się z rzeczy, które dzieją się na świecie, trzeba do pewnego stopnia znaleźć się poza światem, a to właśnie robi komedja. Podaje ci wszystko w formie widowiska, jakgdybyś wcale nie brał w tem udziału.

Paracelsus: Ale zaraz powracamy do tego wszystkiego, z czegośmy żartowali, i zaczynamy na nowo brać w tem udział.

Moljer: Tak jest niewątpliwie. Pewnego dnia dla rozrywki ułożyłem bajkę na ten temat. Młoda gąska latała tak niezręcznie, jak latają wszystkie gęsi, a podczas tego chwilowego wzlotu, który ją wznosił zaledwo o stopę nad ziemię, obsypywała obelgami resztę drobiu. «Nieszczęsne stworzenie» — mówiła — «widzę was pod sobą, bo nie umiecie tak szybkować w powietrzu jak ja». Krótkie były żarty, bo gąska w tej chwili spadła na ziemię.

Paracelsus: Do czegoż służą więc rozmyślania, które komedja może wywołać, skoro podobne są do wzlotu tej gąski i skoro w tej samej chwili popada się znowu w głupstwa powszechne?

Moljer: Wiele to już znaczy, jeżeli żartowało się z siebie samego. Przyroda dała nam podziwienia godną łatwość uniknięcia tego, byśmy sami siebie oszukiwali. Ileż razy zdarza się, że gdy część ludzi oddaje się pewnej rzeczy z zapalem i gorliwością, druga z niej żartuje? A gdyby zachodziła potrzeba, to znajdzie się i trzecia część, która będzie żartować z tamtych obu. Nie możnaż powiedzieć, że człowiek to niby lata na łacie?

Paracelsus: Nie widzę wcale, aby to wszystko dawało pole do ćwiczenia umysłu. Kilka lekkich refleksyj, kilka żartów, często źle uzasadnionych, nie zasługuje wcale na wielkie uznanie, natomiast jakich to wysiłków mozolnego myślenia potrzeba do traktowania przedmiotów wyższych.

Moljer: Wracasz do twoich genjuszów, a ja uznaję tylko mych głupców. A jednak chociaż pracowałem tylko nad temi przedmiotami, które podpadają pod oczy całego świata, mogę ci przepowiedzieć, że moje komedje będą żyły dłużej, niż twe wzniosłe dzieła. Wszystko podlega modzie; twórczość umysłowa nie stoi pod tym względem wyżej od kroju sukien. Widziałem nie wiem ile ksiązek i sposobów pisania, pogrzebanych równocześnie z ich autorami, jak u niektórych narodów grzebią z umarłymi to wszystko, co im było najmilsze za życia. Wiem doskonale, jakie przewroty mogą nastąpić w dziedzinie piśmiennictwa, a jednak mogę zaręczyć za trwałość moich dzieł. Znana mi też tej trwałości przyczyna. Kto chce malować dla nieśmiertelności, winien malować głupców.

*Tłum. Juljusz German.*

## CHARLES DE SECONDAT BARON DE MONTESQUIEU

(1689—1755)

### LISTY PERSKIE

#### List I. Uzbek do przyjaciela swego Rustana w Ispahanie

Dzień tylko jeden przebyliśmy w Kom. Odprawiwszy modlitwy na grobie dziewicy, która wydała na świat dwunastu proroków, puściliśmy się w drogę, a wczoraj, dwudziestego piątego dnia po wyjeździe z Ispahanu, przybyliśmy do Taurysu.

Ryka i ja jesteśmy, być może, pierwszymi pomiędzy Persami, których żądza wygnała z ojczyzny, którzy wyrzekli się słodczy cichego życia, aby iść pracowicie poszukiwać mądrości.

Urodziliśmy się w kwitnącem państwie; nie sądziliśmy jednak, aby jego granice miały być granicami naszych wiadomości i żeby tylko światło wschodnie powinno nas oświecać.

Donieś mi, co mówią o naszej podróży; nie pochlebiaj nic wcale; nie liczę na znaczną ilość chwalących. List swój adresuj do Erzerum, gdzie zatrzymam się przez

czas niejaki. Żegnaj, drogi mój Rustanie. Bądź pewien, że gdziekolwiek będę, masz we mnie wiernego przyjaciela.

Taurys, dzień 15-ty księżyca Safaon, 1711.

#### List XIX. Uzbek do przyjaciela swego Rustana w Ispahanie

Przebyliśmy tylko tydzień w Tokacie i po trzydziestu pięciu dniach drogi przybyliśmy do Smirny.

Z Tokatu do Smirny niema ani jednego miasta zasługującego na wzmiankę. Ze zdziwieniem widziałem słabość państwa osmańskiego. To chore ciało utrzymuje nie rząd łagodny i umiarkowany, ale środki gwałtowne, wyczerpujące je i bezustannie podrywające.

Baszowie, otrzymujący swe urzędy za pieniądze, wchodzą zrujnowani do prowincyj i pustoszą je, jak kraje zdobyte.

Zuchwała policja podlega tylko ich kaprysom. Pałace są poburzone, miasta opuszczone, wioski zrujnowane; uprawa ziemi i handel zupełnie zaniedbany.

Bezkarność panuje w tem państwie surowem; chrześcijanie, uprawiający ziemię, żydzi, pobierający podatki, narażeni są na tysiące gwałtów.

Władanie ziemią jest niepewne, a więc chęć jej posiadania słabnie; niema ani tytułu, ani własności, mogącej się oprzeć kapryswi rządzących.

Barbarzyńcy ci tak puścili odłogiem sztuki, że zaniedbali nawet sztukę wojenną. Gdy narody Europy ciągle się cywilizują, ci pozostają w dawnej swej ciemności i odważają się przyjąć nowe odkrycia dopiero wtedy, gdy już tysiąc razy przeciwko nim służyły.

Nie mają oni żadnego doświadczenia na morzu, żadnej zręczności w rękodzielnictwach. Mówią, że garstka chrześcijan, wychodzących ze skały, wywołuje pot na czoła Ottomanów i nuży ich państwo.

Niezdolni do handlu, zaledwie mogą znieść to, że zawsze czynni i przedsiębiorczy Europejczycy przychodzą ich w tem wyręczać; sądzą oni, że robią łaskę cudzoziemcom, pozwalając, by ich wzbogacali. Na całej obszernej przestrzeni kraju, który przeszedłem, znalazłem tylko Smirnę, którą można uważać za miasto bogate i potężne. Czynią ją tem Europejczycy; nie Turkom ona zawdzięcza, że nie jest podobna do wszystkich innych.

Oto, drogi Rustanie, sprawiedliwy sąd o tem państwie, które, nim miną dwa wieki, będzie teatrem triumfów jakiego zwycięzcy.

Smirna, dzień 2-gi księżyca Rahmazanu, 1711.

#### List XXIV. Ryka do Ibbena w Smirnie

Od miesiąca jesteśmy w Paryżu; byliśmy ciągle w bezustannym ruchu. Wiele trzeba podjąć kłopotów, aby się ulokować, znaleźć ludzi, do których się ma listy polecające, i zaopatrzyć się w rzeczy konieczne, których brak naraz wszystkich.

Paryż jest tak wielki, jak Ispahan; domy są w nim tak wysokie, że możnaby myśleć, że zamieszkują je sami astrologowie. Łatwo osądzić, że miasto, zbudowane w powietrzu, mające sześć lub siedem domów — jeden nad drugim, nadzwyczaj jest ludne, i że, gdy wszyscy zejdą na ulice, robi się piękny zamęt.

Nie uwierzysz może, że od miesiąca, jak tu jestem, nie widziałem dotąd nikogo chodzącego pieszo. Niema ludzi na świecie, umiających lepiej korzystać ze swych maszyn, niż Francuzi: pędzą oni, latają; powolne karety Azji, umiarkowany krok naszych wielbłądów wprowadziłby ich w zemdlenie. Ja, niestworzony do takiego sposobu życia i chodzący często jeszcze, wściekam się niekiedy, jak chrześcijanin, bo jeszcze dajmy na to, niech mnie obryzgają błotem od stóp do głów, ale nie mogę przebaczyć potraçań łokciem, jakie regularnie i stale na mnie spadają. Człowiek, idący za mną i mijający mnie, zmusza mnie do zrobienia półobrotu, inny zaś, mijający się ze mną z drugiej strony, odrzuca mnie nagle w miejsce, skąd pierwszy mnie wyrzucił, tak, że zanim zrobię sto kroków, więcej jestem złamany, niż jakbym przeszedł dziesięć mil.

Nie sądź, abym mógł, teraz przynajmniej, opowiedzieć ci dokładnie o zwyczajach i obyczajach europejskich; sam mam o tem zaledwie słabe pojęcie, dotychczas miałem tylko czas dziwić się temu. Król francuski jest najpotężniejszym panem Europy. Nie ma on pokładów złota, jak sąsiad jego król Hiszpanji, posiada jednak większe bogactwo, gdyż czerpie je z próżności swych poddanych, więcej jeszcze nieprzebranych od pokładów złota. Prowadził on lub podtrzymywał wielkie wojny, nie mając innych dochodów nad sprzedawanie zaszczytnych tytułów, i oto jakiego cudu dokazała duma ludzka: armje jego zostały opłacone, twierdze zaopatrzone w żywność i floty wykwapowane.

Zresztą król ten jest wielkim magikiem. Rozciąga panowanie nad duchem swych poddanych, skłania ich do myślenia, jak chce. Gdy ma tylko milion talarów w skarbcu a potrzebuje dwóch, wystarcza mu wyperswadować im, że jeden talar znaczy dwa, i oni mu wierzą.

Gdy ma do prowadzenia trudną wojnę, a nie posiada na nią pieniędzy, kładzie im tylko w głowę, że kawałek papieru jest pieniędzmi, a oni natychmiast nabierają tego przekonania. Dochodzi nawet do tego, że wpaja w nich wiarę, iż leczy ich od wszelkiego rodzaju zła przez samo dotknięcie; tak jest wielka siła i potęga, jaką ma nad umysłami.

To, co ci mówię o tym księciu, nie powinno cię dziwić; jest inny magik, silniejszy od niego, niemniej mający władzy nad jego umysłem, niż on nad innymi. Czarodziej ten nazywa się papieżem. Żeby nie pozwolić królowi zaniedbać się i odzwyczaić od wierzenia, daje on mu od czasu do czasu, dla ćwiczenia się, pewne artykuły wiary. Dwa lata temu przysłał mu wielki akt, zwany Konstytucją, i pod wielkimi karami chciał skłonić tego księcia i jego poddanych do wierzenia we wszystko, co ów akt zawierał; udało mu się to z księciem, który uległ i dał przykład swym poddanym, ale niektórzy zbuntowali się i powiedzieli, że nie chcą wcale wierzyć w to, co było w tem piśmie. Dźwignią lego buntu, który podzielił cały dwór, całe państwo i wszystkie rodziny na dwa obozy, były kobiety. Akt ten zabrania im czytania książki, o której wszyscy chrześcijanie mówią, że przyniesiona została z nieba; jest to właśnie ich Alkoran. Kobiety, obrażone za zniewagę, uczynioną ich płci, powstały wszystkie przeciw Konstytucji; do stronnictwa swego przyjęły mężczyzn, niechających w tym wypadku żadnych przywilejów. Trzeba jednak przyznać, że ten mufty źle nie rozumie, i na wielkiego Alego, musi on być obeznany z zasadami świętego naszego prawa, gdyż, jeżeli kobiety są stworzeniami niższymi od nas i jeśli nasi prorokowie mówią, że nie wejdą one nigdy do raju, czemuż się biorą do czytania książki, napisanej nato, aby wskazała drogę do niego.

Słyszałem, jak opowiadano o królu rzeczy, graniczące z cudami, i nie wątpię, że nie zawahasz się temu uwierzyć.

Mówią, że, gdy prowadził wojnę przeciw swym sąsiadom, którzy się sprzymierzili przeciw niemu, w państwie jego była niezliczona ilość tajemnych wrogów, którzy go otaczali; dodają, że szukał ich przez trzydzieści przeszło lat i że pomimo niezmordowanych starań niektórych derwiszów, obdarowanych jego zaufaniem, nie mógł znaleźć żadnego. Żyją oni przy nim, są na dworze, w stolicy, w wojsku, w sądach, a jednak mówią, że umrze wpierw, nim ich znajdzie. Rzekłby ktoś, że istnieją oni w ogólności, w szczegółach ich jednak niema; jest to ciało, ale bez członków.

Zapewne, to niebo chce ukarać tego księcia za to, że nie był dość względny dla swych zwyciężonych nieprzyjaciół, gdyż zsyła nań ono tajemniczych wrogów, których genjusz i przeznaczenie wyższe są od jego.

Będę pisywał do ciebie i opowiem ci rzeczy bardzo dalekie od charakteru i genjuszu perskiego. Ta sama ziemia nosi nas obu, ludzie jednak kraju, w którym żyję, i kraju, gdzie ty jesteś, są ludźmi bardzo różnymi.

Paryż, dzień 4-ty księżyca Rebiaty, 2, 1712.

#### List XXXIV. Uzbek do Ibbena w Smirnie

Kobiety perskie są piękniejsze od Francuzek, lecz Francuzki są ładniejsze. Niepodobna jest nie kochać pierwszych i nie upodobać sobie drugich; pierwsze są czul-

sze i skromniejsze, drugie żywsze i weselsze. Życie regularne, jakie prowadzą kobiety w Persji, czyni krew perską tak piękną; nie grają one, nie czuwają zbyt długo; nie piją wcale wina i nie narażają się na ostrość powietrza. Trzeba przyznać, że seraj stworzony został raczej dla zdrowia, nie dla przyjemności; życie to jednostajne, nieczem niezakłócone; wszystko oddycha tu posłuszeństwem i obowiązkiem, przyjemności nawet są tu poważne, a radości surowe; doznaje ich się prawie zawsze jako oznak władzy lub poddania.

Mężczyźni nawet nie mają w Persji wesołości Francuzów, nie widać u nich wcale tej swobody umysłu i tego zadowolenia, jakie znajdują tutaj we wszystkich stanach i we wszystkich położeniach.

gorzej jest w Turcji, gdzie są rodziny, w których z ojca na syna nikt nie śmiał się od utworzenia monarchji.

Ta powaga Azjatów pochodzi z braku stosunków pomiędzy nimi; widują się tylko wtedy, gdy zmusza ich do tego ceremonia. Przyjaźń, ten słodki zadatek serc, stanowiąca tu słodycz życia, jest im prawie nieznaną; kryją się oni w swych domach, gdzie znajdują zawsze oczekujące na nich towarzystwo, tak, że każda rodzina jest tym sposobem jakby oddzielona.

Pewnego razu, gdym rozmawiał o tem z tutejszym mieszkańcem, rzekł mi on: «W obyczajach waszych razi mnie najwięcej to, że jesteście zmuszeni żyć z niewolnikami, których serce i umysł niezawsze czują swoje poniżenie. Ci podli ludzie osłabiają w was uczucia cnoty, jakie mamy z natury, niszczą je od dzieciństwa, odkąd was napastują».

Otrząśnijcież się wreszcie z przesądów! Czegóż można oczekiwać od wychowania, otrzymanego od nędznika, którego cały zaszczyt polega na strzeżeniu żon cudzych i który szczyci się z najobrzydliwszego zajęcia, jakie istnieje pomiędzy ludźmi; który zasługuje na wzgardę za samą swą wierność, jedyną z jego cnot, do której skłania go zazdrość, nienawiść i rozpacz; który, palając żądzą zemsty nad dwoma płciami, dla których jest tyranem, oddaje się pod tyranię silniejszej, aby tylko mógł pastwić się nad słabszą; który z niedoskonałości swej, brzydoty, potworności, wyciągając cały blask swego położenia, ceniony jest za to tylko, że nie jest wart nic; który nareszcie przykuty na zawsze do drzwi, których winien strzec, twardszy niż ich zawiasy i rygle, chwali się z pięćdziesięciu lat życia na swem niegodnym stanowisku, gdzie, mając za zadanie dogadzać zazdrości swego pana, przejawiał całą swą nikiemność!»

Paryż, dzień 14-ty księżyca Zilhagi, 1713.

### List LXXX. Uzbek do Rhediego w Wenecji

Od czasu mego pobytu w Europie, kochany Rhedi, widziałem wiele rządów. Tu nie tak, jak w Azji, gdzie prawa polityczne są wszędzie jednakie. Często zastanawiałem się nad tem, który rząd jest najzgodniejszy z rozumem. Zdaje mi się, iż najlepszy jest ten, który idzie do celu najprostszą drogą, to jest kieruje ludźmi w sposób najwięcej zgadzający się z ich popędami i skłonnościami.

Jeżeli pod rządem łagodnym naród jest równie uległy, jak i pod surowym, wówczas pierwszy będzie odpowiedniejszy, ponieważ jest racjonalniejszy, a surowość jest czynnikiem niewłaściwym.

Zważ, kochany Rhedi, iż mniej lub więcej surowe w państwie kary nigdy nie mogą skłonić do większego poszanowania praw. W krajach, gdzie kary są umiarkowane, wzbudzają one takąż samą bojaźń, jak i tam, gdzie są okrutne i tyrańskie.

Czy rząd jest łagodny, czy surowy, istnieje zawsze stopniowanie kar. Wyobraźnia sama nagina się do obyczajów danego kraju: ośm dni więzienia, lub niewielka kara pieniężna, robią takie wrażenie na Europejczyku, wzrosłym pod rządem łagodnym, jak utrata ręki na mieszkańcu Azji. Pewna określona bojaźń przywiązana jest do odpowiedniej kary, i każdy stosuje ją na swój sposób. Francuza, skazanego na karę, która Turkowi nawet na kwadrans snuby nie zakłóciła, dręczy sama myśl hańby. Przytem nie uważam, żeby porządek publiczny, sprawiedliwość i moralność były ściślej zachowywane w Turcji, Persji lub Mongolji, niżli w republice ho-

lenderskiej, weneckiej, a nawet w Anglii; nie widzę, aby tam popełniono mniej zbrodni, i aby ludzie, zastraszeni wielkością kar, więcej szanowali prawa.

Przeciwnie, w tych właśnie państwach widzę wiele niesprawiedliwości i przestępstw.

Spostrzegam nawet, że sam władca, który przecież stanowi prawa, mniej jest tu panem, niż gdziekolwiek indziej.

Widzę, iż w tych ciężkich czasach wciąż pojawiają się tłumnie rozruchy, którymi nikt nie kieruje, i niech raz władza podana zostanie w pogardę, niepodobieństwem staje się komukolwiek ją powrócić. Sama rozpacz wobec bezkarności potęguje nierząd i czyni go większym.

W tych krajach nie zdarzają się małe wzburzenia, i nigdy niema przerwy między szemraniem a buntem. Nie trzeba tam wielkich przyczyn, aby zaszły wielkie wypadki; przeciwnie, najdrobniejszy wypadek wywołuje wielkie rewolucje, nieprzewidziane ani przez sprawców, ani przez ofiary.

Tak na przykład, detronizacja cesarza tureckiego, Osmana, przez nikogo poprzednio nie była uplanowana; proszono tylko błagalnie o wymierzenie sprawiedliwości w kilku sprawach: jeden głos, zupełnie nieznany, podniósł się w tłumie przypadkowo, imię Mustafy zostało wymówione, i Mustafa stał się niespodziewanie cesarzem.

Paryż, dzień 2-gi miesiąca Rebiab, 1, 1715.

## List CII. Uzbek do Ibbena w Smirnie

Najpotężniejszymi państwami w Europie są: cesarstwo i królestwa: francuskie, hiszpańskie i angielskie. Włochy i Niemcy podzielone są na niezliczoną ilość drobnych państweczek, których książęta są właściwie męczennikami korony. Nasi sławni sułtani posiadają więcej kobiet, niżli niektórzy z nich — poddanych. We Włoszech, gdzie niema żadnej między nimi spójni, są bardziej godni pożałowania: posiadłości ich stoją otworem, jak domy zajezdne, w których obowiązani są przyjmować pierwszego lepszego przychodnia; takie położenie zmusza ich do zawierania związków z silniejszymi władcami, udzielającymi im raczej trwogi swojej, niż przyjaźni.

Po większej części rządy państw w Europie są monarchiczne, a raczej tak nazwane, bo właściwie nie wiem, czy kiedykolwiek takie państwo tu istniało, lub mogło utrzymać się długo w swojej czystości.

Forma to bardzo niepewna i zmieniająca się prędko w despotyczną lub republikańską.

Władza nigdy nie może być równo rozdzielona między królem i narodem; nieźmiernie trudno zachować w tym wypadku równowagę; koniecznym następstwem bywa zwykle zwiększenie jednej z krzywdą drugiej; przewaga zwykle staje po stronie monarchy, który ma za sobą wojsko.

To też władza monarchów europejskich jest bardzo wielka, można powiedzieć, iż jest tak wielka, jak tego sami chcą, tylko że nie dają jej tak szerokiego, jak nasi sułtanowie, zastosowania, raz, że nie chcą gwałcić zwyczajów i religii narodów, a powtóre, że posuwanie jej za daleko nie leży bynajmniej w ich interesie.

Nic więcej nie zbliża monarchów z poddanymi jak nieograniczona władza, ale też nic ich tak nie czyni podległymi zmienności i kaprysom losu. Przysługujące im prawo skazywania na śmierć za najmniejszym powodem wszystkich tych, co im się nie podobają, obala niezbędną równowagę między przestępstwem a karą, która jest jakby duszą rządu i harmonji państwowej. Ściśle w tym względzie zachowywana równowaga stanowi wyższość chrześcijańskich monarchów nad naszymi sułtanami.

Pers, któryby przez nierozwagę, lub wskutek nieszczęśliwych okoliczności, ściągnął na siebie niełaskę monarchy, jest pewny śmierci; najmniejszy błąd lub wybryk stawia go w tem nieuniknionem położeniu. Grozi mu wszakże to samo, gdyby godził na życie monarchy, lub zamyślał zdradę, niewięcej zatem naraża się w pierwszym niż w drugim razie.

To też, zmuszony obawiać się śmierci za najmniejszą niełaskę, nie ma nic do stracenia i szuka naturalnie w zaburzeniu państwowem, spiskowaniu przeciwko monarcharsze, jedynego, jaki mu pozostaje, ratunku.

Zupełnie inaczej dzieje się z dostojnikami europejskimi; niełaska pozbawia ich zaledwie względów i protekcji. Opuszczają dwór i poprzestają na używaniu rozkoszy spokojnego życia i przywilejów urodzenia. Ponieważ karani są śmiercią jedynie za obrazę majestatu, wystrzegają się tego przestępstwa, rozumując, iż więcej w tym razie tracą, niż wygrać mogą; wskutek czego mniej tu bywa rewolucyj i mniej monarchów ginie od zamachów.

Gdyby, przy całej nieograniczoneści swej władzy, monarchowie nasi nie zachowywali tylu ostrożności dla zabezpieczenia swego życia, nie przeżyliby jednego dnia; a gdyby nie utrzymywali na swym żołdzie niezliczonych zastępów wojsk, tyranizujących resztę poddanych, państwo nie utrzymałoby się dłużej nad miesiąc.

Będzie cztery czy pięć wieków temu, jak jeden z królów francuskich otoczył się strażą, wbrew zwyczajom ówczesnego wieku, chcąc zabezpieczyć się od zabójców nasłanych nań przez jednego z drobnych królów Azji: do owego czasu królowie żyli spokojnie wśród poddanych, jak ojcowie wśród własnych dzieci.

Bardzo odległe to czasy, kiedy królowie Francji mogli samowolnie, jak nasi sułtanowie, pozbawiać życia swych poddanych, oni bowiem dziś właśnie mają prawo łaski dla wszystkich przestępców: dość, żeby taki nieszczęśliwy ujrzał dostojne oblicze swego monarchy, aby przestał być niegodnym żyć. Monarchowie są tu jak słońce, roznoszące wszędzie ciepło i życie.

Paryz, dzień 8-my księżyca Rebiab, 1717.

*Tłum. M. W.*

## VOLTAIRE (FRANÇOIS MARIE AROUET)

(1694—1778)

### Z A I R A

Tragedja w 5 aktach

W haremie sułtana jerozolimskiego Orozmana przebywa od dzieciństwa niewolnica chrześcijańskiego pochodzenia — Zaira, którą ma wykupić jeden z wypuszczonych na wolność krzyżowców, Nerestan. Zaira jednak nie chce opuścić dworu sułtańskiego, gdyż kochana przez Orozmana, pragnącego ją poślubić, pokochała go wielką i prawdziwą miłością. Gdy Nerestan przyjeżdża z okupem, sułtan wypuszcza wszystkich więźniów chrześcijańskich, zatrzymując jedynie Zairę i ostatniego chrześcijańskiego króla Palestyny — starego Luzynjana, który później w Zairze i Nerestanie poznaje swe zaginione podczas walk dzieci. Luzynjan, umierając z radości, błaga Nerestana, aby Zairę uczynił chrześcijanką. Nerestan w rozmowie z siostrą żąda przyrzeczenia, że, nim poślubi Orozmana, musi być ochrzczona. Sułtan, który o niczem nie wie, posądza Zairę o zmianę uczuć i w Nerestanie widzi swego rywala i, gdy Nerestan wzywa Zairę listem na schadzkę, celem omówienia chrztu, list przejmuje Orozman i, przybywszy na miejsce schadzki, w szale zazdrości zabija Zairę. Gdy po przybyciu Nerestana rzecz się wyjaśnia, zrozpaczony sułtan przebija się sztyletem, rozkazując przedtem wszystkim chrześcijanom wypuścić z niewoli.

### Akt I, scena I

*Zaira i Fatyma.*

Fatyma: Młoda!... piękna Zairo! powiedz, skąd pochodzi,  
 Że to miejsce uczucia nowe w tobie rodzi?  
 Zwodniczaż to nadzieja, czy moc przeznaczenia,  
 Dni ponure i smutne w pogodne zamienia?  
 Przy wdziękach twarzy serce spokojniej oddycha,  
 Powabne oko twoje z dawnych łez osycha.  
 Przestałaś już powrotu w ów kraj sobie życzyć,  
 Dokąd waleczny Francuz miał nam przewodniczyć.  
 Ani mi więcej wspomniesz o pięknej krainie,  
 W której dla kobiet zawsze lud grzecznością słynie.



- Gdzie wdzięki, twym podobne, są w powinnym względzie,  
 A towarzyski mężów królowe są wszędzie.  
 Skromne bez przymuszenia, wolne bez niesławy,  
 Cnota w nich nie jest skutkiem nikczemnej obawy.  
 Czyż do takiej wolności nie wzdycha twa dusza?  
 Czy nie czuje swych więzów? Czy jej nie obrusza  
 To imię niewolnicy, seraju, Sultana?  
 Solima jestżeż miłsza, niżeli Sekwana?
- Z a i r a: Nikt tego nie zapragnie, co mu nie jest znanem,  
 Siedlisko nam wskazało niebo nad Jordanem,  
 Od dzieciństwa mojego w seraju zamkniona,  
 Widzi się moja dusza z nim być oswojona.  
 Reszta ziemi, o której słyszałam zaledwie,  
 Pod prawem nas Sultana zostawia obiedwie.  
 On sam w swej mocy, chwale, za wszystko mi stanie,  
 Pragnę tylko, bym mogła żyć przy Orozmanie.  
 Reszta sen dla mnie próżny.
- F a t y m a: Alboś zapomniała,  
 Że Francuz, w którym dusza tak czuła, wspaniała,  
 Zaręczał nam, iż wróci, więzy nasze skruszy?  
 Jakiśmy się dziwiły śmiałej jego duszy,  
 Jakiej wśród smutnych bojów chwały nie pozyskał,  
 Przy Damaszku, gdy wiernych los wojny przyciskał?  
 Sam Orozman zwycięzca, wielbiąc jego czyny,  
 Pozwolił mu na słowo odejść z tej krainy.  
 Jeszcze go wyglądamy, mąż ten dobroczynny  
 Za wolność naszą spłacić miał okup powinny.  
 Albożby więc nadzieja nasza była próżna?
- Z a i r a: Niezawsze z obietnicy uiścić się można.  
 Od dwóch lat on, Fatymo, powrót do nas zwleka.  
 Obcy, nieznany więzień, choć wiele przyrzeka,  
 Nie wszystko dotrzymuje, zaklina się śmiało,  
 Na to baczny, by z więzów ująć mu się udało.  
 Dziesięciu chrześcijańskich więźniów miał wybawić,  
 Więzy ich stargać, albo do więzów się stawić.  
 Tę gorliwość, choć próżną, wielbiłam bez miary,  
 Już ani myśleć o tem..
- F a t y m a: Nuż dochowa wiary,  
 Nuż powróci i swego słowa nam dotrzyma?  
 Czy nie zechcesz?...
- Z a i r a: Już teraz nie czas jest, Fatyma.  
 Wszystko się odmieniło...
- F a t y m a: Jak? Co to ma znaczyć?
- Z a i r a: Muszę ci skrytość losów moich wytłumaczyć,  
 Jeszcze Sultana rzecz całą w milczeniu ukrywa,  
 Dla mnie, gdy ci się zwierzam, pociechy przybywa.  
 Z innymi niewolnikami trzy miesiące blisko  
 Kazano ci jordańskie opuścić siedlisko.  
 Opatrzność, by nam nieszczęść koniec przyspieszyła,  
 Silniejsze dla nas ramię na ratunek zsyła.  
 Ten Orozman...
- F a t y m a: Cóż?
- Z a i r a: Sultana! ten, którego pycha  
 Zmiotła wiernych, Fatymo... ten sam do mnie wzdycha.  
 Ty płoniesz?... Wiem... lecz w myśli niech twej nie powstanie,  
 Bym się śmiała ubiegać się o jego kochanie.

- Samowładcy jednego, by dumne zapaly,  
 W rzędzie podłych nałożnic mnie także mieć chciały.  
 Nie tak mię ten zwodniczy blask miłości mami,  
 Bym go potem płaciła wstydem, hańbą, łzami.  
 Owa wyniosłość, która w skromności ma źródło,  
 Dotąd mi jeszcze myśleć nie daje tak podło.  
 Raczej, niżbym ściągnęła na siebie tę plamę,  
 Przyjmę spokojnie więzy i śmierć nawet samę.  
 Zdumiejesz się, że męstwo i umysł wyniosły  
 Błahym mym wdziękom czysty hołd w ofercie niosły.  
 Z tyłu innych, co chciwe są jego kochania,  
 Na mnie obraca oczy, ku mnie serce skłania.  
 Ślubem mym gdy zawstydzę intrygę ich zdradną,  
 Jegom panią, a one do nóg moich padną.
- Fatyma: Jest to wdziękom i cnotom hołd przynależyty,  
 Więcej mię cieszą, niżli dziwią te zaszczyty,  
 Szczęście twe, jeśli można, niech zupełne będzie,  
 Ja widzę się z radością w twych poddańek rzędzie.
- Zaira: Bądź mi równą, me szczęście niech na ciebie spływa.  
 Bo gdy je z tobą dzielę, dla mnie go przybywa.
- Fatyma: Ach! jeśli tylko niebo ten ślub ci przebacza.  
 Bodaj ta wielkość, którą los tobie przeczacza,  
 Która ma pozór szczęścia, tak często zwodniczy,  
 Nie zostawiła nadal w twem sercu goryczy.  
 Czyliż moc tajna twoich nie wstrzymuje chęci,  
 Ześ była chrześcijanką, wyszło z twej pamięci?
- Zaira: Co mówisz? Na co wzbudzasz w mojem sercu trwogę?  
 Ach, Fatymo! Kto jestem, alboż dociec mogę?  
 Pozwolił mi niebo wiedzieć, skąd pochodzę.  
 Nie ukrył przedemną krwi, z której się rodzę?
- Fatyma: Nerestan, który blisko zrodzon w tej krainie,  
 Świadczy, że chrześcijańska krew w twych żyłach płynie.  
 Co mówię! Znak na tobie krzyża znaleziony,  
 Ubiór drogi dzieciństwa z pilnością strzeżony:  
 To znamię chrześcijańskie, którem zręczna sztuka  
 Przez kształt drogiej roboty wzrok łatwo oszuka,  
 Co po tylekroć służył ku twojej ozdobie,  
 Krzyż ten może umyślnie zostawion przy tobie,  
 By twój był z Bogiem rękojmnią przymierza,  
 Któremu się twe serce teraz przeniewierza.
- Zaira: To znak słaby; maż dusza sobie niezbadana,  
 Znać Boga, który nie jest Bogiem Orozmana?  
 Zwyczaj, prawo, poddały pierwsze moje lata  
 Wierze pogromicielów tej połowy świata.  
 Znam nadto, że pierwotne względem nas starania  
 Tworzą w nas obyczaje i wiarę, i zdania:  
 Przy Gangesie byłabym zapewne poganą,  
 Prawowierna w Paryżu, tutaj muzułmanka.  
 Nauka czyni wszystko: i uczucia, i myśli,  
 Na słabych sercach naszych ręka ojców kręśli,  
 Czas je później odnawia, wzmacniają przykłady.  
 I sam Bóg tylko może zagładzić ich ślady.  
 W tych miejscach, kiedyśmy się w niewolę dostały,  
 Ty przez wiek miałaś wtedy już rozum dojrzały,  
 Jego promienie w wierze dawnoć przewodniczą.  
 Jam została w kolebce jeszcze ich zdobyczą.

- Wiarę chrześcijan późnom aż nadto poznała,  
 Nie chce jednak rozumieć, bym wstręt do niej miała.  
 Ten krzyż mimo mej woli, to ci wyznać muszę,  
 Często jakimś strachem przerażał mą duszę.  
 Śmiałam go wzywać nawet wprzód, niż jakaś siła  
 Orozmana mi obraz w duszy nakreśliła.  
 Wielbię te święte prawa, te Boskie wyrazy,  
 O których mi Nerestan mówił tyle razy:  
 Prawa, które, rugując ucisk i nędzę ze świata,  
 Chcą, aby każdy człowiek znał w człowieku brata.  
 Ta miłość obopólna wszystkim szczęście daje.
- Fatyma: Dlaczegoż dziś Zaira przeciw nim powstaje?  
 W jarzmo praw muzułmańskich gdy twe serce wprzędasz,  
 Naprzeciw chrześcijanom z niemi się sprzysięgasz.  
 Masz z dumnym ich zwycięzcą dzielić ślubne łoża.
- Zaira: Któż daru serca swego odmówić mu może?  
 Muszę ci słabość moją wyznać sama szczerze,  
 Możebym, wbrew miłości, przetrwała w tej wierze  
 I dla prawa twojego odstąpiła błądu;  
 Lecz Orozman mię kocha, na nic nie mam względu:  
 Nie widzę, tylko jego, dusza moja cała  
 Tem szczęśliwa, że jego miłość pozyskała.  
 Jego piękność i czyny staw sobie przed oczy,  
 To dzielne ramię, którem tylu królów tłoczy;  
 Staw sobie otoczone chwałą piękne skronie,  
 Nic nie mówię, że z sobą mnie sadza na tronie,  
 Nie... nigdy wdzięczność serca z zapłatą nie stanie,  
 Hołd ten obrażający nie wchodzi w kochanie.  
 Ja kocham Orozmana, nie tronu ozdoby,  
 W nim nie kocham nic więcej, prócz jego osoby.  
 Może nadto w tem wierzę czuciu pochlebnemu,  
 Lecz niechaj niebo wyrwie gniew swój przeciw niemu,  
 Niech do tej, w której byłam, strąci go niewoli,  
 A niech mnie na syryjskim tronie sięść pozwoli;  
 Albo miłość mnie zwodzi, albo dziś Zaira  
 Zstąpi, by wznieść ku sobie tego bohatera.
- Fatyma: Ktoś idzie! on zapewne.
- Zaira: Serce go zgadywa,  
 Obwieszcza to, co kocham, ach przecież przybywa!  
 Dwa dni mija, Fatymo, jak go nie oglądam,  
 Przecież miłość mi wraca, którego tak żądam.

## Akt V, scena IX

*Orozman, Zaira, Fatyma postępują w ciemnościach nocnych.*

- Zaira: Pójdź, Fatymo!
- Orozman: Co słyszę? ówże to głos miły?  
 Którego mię tylekroć powaby tudziły?  
 Głos! który zdradza ognie, tak święte! tak żywe!  
 Głos przeniewierczy, zbrodni narzędzie zelżywe!  
 Zdrajczynio! zemścijmy się!... onaż to? o zmorlo!... (*dobywa sztyletu*)  
 Zaira! Boże... z rąk mi wypada żelazo!
- Zaira: (*do Fatymy*) Tu droga... w męstwie pokrzep tę, która upada.
- Fatyma: Zaraz przyjdzie!
- Orozman: Całą wściekłość wraca mi ta zdrada.

Zaira: Postępuję ze drżeniem! ach wszystka zmartwiała!...  
 Tyżesz jest, Nerestanie! długom cię czekała!

Orozman: (*wpada na Zairę*) Jam to, którego zdradzasz! umrzyj niecnotliwa!

Zaira: (*upada*) Ach, umieram!

Orozman: Spełniona zemsta sprawiedliwa!  
 Pójdźmy stąd!... ach nie mogę! coin zrobił? niestety!...  
 Sprawiedliwość!... Kaziń startem niewiernej kobiety!...  
 Los mi zsyła kochanka! oto już nadchodzi!  
 Krwawej się mej radości i zemście dogodzi.

## Scena X

*Orozman, Nerestan, Korazmin, Fatyma, Niewolnik.*

Orozman: (*do Nerestana*) Zbliż się, nieszczęsny! Podły sprawco mojej zguby!  
 Tyś wydarł mi na zawsze przedmiot mój tak łuby,  
 Nadstawiasz mi się jeszcze, zbrodniarz godzien wzgardy,  
 Przy zdradzieckiej obłudzie, jak bohater hardy,  
 Przewagi twej nade mną na mąs hańbę użył,  
 Gotuj się, masz zapłatę, na jakąś zasłużył.  
 Me boleści na ciebie w słusznej karze spłyną,  
 Za niewdzięczność, okropność, którejs jest przyczyną.  
 Czy gotowa katownia, niech zdrajca umiera.

Korazmin: Tak, panie!...

Orozman: Pewnieć ona już serce pożera...  
 Oko twe szuka wszędzie, jeszcze wybadywa  
 Niecnej, co ciebie kocha, mnie hańbą okrywa.  
 Patrz, oto jest...

Nerestan: Co mówisz? jaki błąd cię mami?

Orozman: Patrz! — mówię!

Nerestan: Przebóg! Siostra przed memi oczami?  
 Zaira?... ach poczwarał... chwilo nieszczęśliwa!

Orozman: Siostra? Czy można? Nieba? Cóżto się odkrywa?

Nerestan: Tak, okrutny! niech teraz twa ręka wysączy  
 Szczałki krwi zacnej przodków, niech mię z niemi złączy.  
 Luzynjan był jej ojcem, tak w samej istocie,  
 Śmierć go na mojem łonie wyrwała zgryzocie.  
 Ojca, którego łzami skropił martwe zwłoki,  
 Niosłem wraz z pożegnaniem ostatnie wyroki,  
 Szedłem, by na jej duszy zbyt słabej i tkliwej  
 Święte położyć znamię, czci Boga prawdziwej.  
 Niestety, ona Boskie prawa obraziła,  
 Bóg za miłość ku tobie karę na nią zsyła.

Orozman: Fatymo! Kochała mnie? czy tak niezawodnie?  
 Jego siostra?... Kochała?

Fatyma: Otóż to jej zbrodnie!  
 Tygrysie! Krwi niesyty! ty jesteś morderca  
 Tej, co ci, mimo siebie, strzegła swego serca.  
 Ta ją utrzymywała pochlebna otucha,  
 Że Bóg ojców lzy przyjmie, jęków jej wysłucha,  
 Że litość jego wzruszy miłość nieszczęśliwa,  
 Że raczyłby was związać przez wspólne ogniwa,  
 Ach! zbyt zwodniczem serce omamieniem pasła,  
 Ta nadzieja pieszcząca nigdy w niej nie gasła,  
 Jej serce zajmowałaś wraz z Bogiem w podziale.

Orozman: Dość na tem! o nieba! Kochała mię stale?  
 Idź! już mi niczego więcej nie potrzeba badać.

- Nerestan: Srogi! napaś twą wściekłość, czemu masz odkładać?  
 Jam się tylko pozostał z tej krwi pełnej chwały,  
 Którą tu z twoim ojcem ręce twe rozlały;  
 Trzeba, byś nieszczęsnego z rodziną zjednoczył,  
 Z bohaterem, któregoś krew córki wytoczył.  
 Gotoweż już katownie? Śmiało na nie stanę,  
 Nad wszystkie inne sroższą wytrzymałem ranę!  
 Lecz wściekłość, co twe żądze na mą krew podusza,  
 Czy jeszcze głos honoru słyszeć ci dopuszcza.  
 Biorąc me życie, pomnieć masz na chrześcijany,  
 Przysiągłeś mi, że wszystkich potargasz kajdany,  
 Zdżiczałe ręce twoje w wściekłości zapędzie  
 Na to dzieło szlachetne czyli się zdobędzie?  
 Mów, a to mi przy zgonie za pociechę stanie.
- Orozman: Zairo!  
 Korazmin: Dokąd przebóg zapędzasz się, Panie!  
 Odejdź i ulżyj duszy w tym nieszczęść natłoku,  
 Niech Nerestan...
- Nerestan: Okrutny, mów — czekam wyrokul  
 Orozman: (*po niejakej chwili*) Korazminie! niech z niego zdejmą te kajdany.  
 Natychmiast na wolność wypuść chrześcijany...  
 Wylej na nieszczęśliwych me łaski bez miary,  
 Otwórz im skarby moje, syp obfite dary,  
 Aż do portu Joppei doprowadź ich kroki.
- Korazmin: Lecz panie!...  
 Orozman: Bądź posłuszny i tak czyni bez zwłoki,  
 Niechaj się twoje serce zdradzać nie ośmiela  
 Rozkazów pana swego, chęci przyjaciela,  
 Idź, bądź posłuszny, czasu nie trać nadaremnie. (*do Nerestana*)  
 Ty, cierpiący rycerzu! ale mniej ode mnie,  
 Wyjdz z miejsc tych zakrwawionych, nieś w ojczyste strony  
 Przedmiot wyzuty z życia przez zapęd szalony.  
 Słyszac o twych nieszczęściach, król i chrześcijanie  
 Rozmawiac o nich będą i zapłaczą na nie;  
 Lecz jeśli przez twe usta prawda się objawi,  
 Zbrodnia w nich obrzydzenie, los mój litość sprawi.  
 Nieś twoim to żelazo, które krew przelało,  
 Tę krew, którą szanować mnie przynależało,  
 Powiedz, że śmierć najsroższą zadałem kobiecie,  
 Znakomitej zewszecmiar, najcnotliwszej w świecie,  
 Jakiej kiedy niewinnej wdzięki niebo daje.  
 Powiedz im, zem pod nogi poddał jej me kraje,  
 Powiedz, że krwią niewinną tę rękę zboczyłem,  
 Że kochałem Zairę, że się tak zemściłem. (*zabija się i do swoich mówi*)  
 Szanujcie bohatera, odprowadźcie w drogę.
- Nerestan: Kieruj mną, wielki Boże! ja pojąć nie mogę!  
 Trzebaż, bym w twej wściekłości dumiał się nad tobą,  
 Żalował cię!... sam będąc okryty żalobą?

Tłum. Konstantyn.

#### HENRJADA

Poemat epicki w 10 pieśniach, którego treścią są walki religijne we Francji. Henryk III, nie mogąc zdobyć Paryża, w którym broni się Liga z Gwizjuszami na czele, posyła Henryka Bourbona do Anglii z prośbą o pomoc. Po wielu przygodach, które go w drodze spotykają, wraca Bourbon pod Paryż, w którym tymczasem straszne zamieszanie

i rzeź stronników królewskich. Po zamordowaniu króla Henryka III wojsko obwołuje królem Bourbona, jako Henryka IV. Wkrótce, po wielu walkach, Henryk IV zwycięża. Paryż otwiera mu bramy, a kraj przyjmuje go z radością. Pod rządami mądrego i dzielnego króla panuje spokój i zgoda.

### Pieśń I

Śpiewam tego Rycerza, co Francją władał,  
Prawem męstwa i prawem, które mu ród nadał;  
Który się w szkole nieszczęść do tronu uchował,  
Rozbroił rokoszanów, bezbronnym darował.  
Zniósł ościennych, poskromił ziomek zbuntowanych,  
A stał się i zwycięzcą, i ojcem poddanych.  
Zstąp, święta prawdo, z niebios górnego sklepienia,  
Twą jasnością i mocą natchnij moje pienia,  
Niech uszy królów ciebie przywykną zrozumieć,  
Tyś to głosić powinna, co im trzeba umieć.  
Z twoich się ust powinny nauczać narody,  
Jakie skutki zbrodnicze wynikły z niezgody.  
Powiedz, jak jej zarazy u nas się rozlały,  
Co króle zawinili, ludy ucierpiały.  
Przyjdź i powiedz, czy bajka dawniejszemi laty  
Na twą wspaniałą nagość rzucała swe kwiaty.  
Czy jej lekka dłoń pyszną twą głowę stroiła,  
Czy swym cieniem twą boską jasność ozdobiła?  
Pozwól jej i mnie razem postępować z tobą,  
Nie żeby być twych wdzięków skazą, lecz ozdobą.  
Walezy jeszcze rządził, a zemdlone dłonie  
Opuściły ster państwa na zachwianym tronie.  
Słuszność była w ucisku, rządy szły niedbale,  
Albo raczej Walezy nie panował wcale.  
Jużto nie był ów książę znakomitej chwały,  
Co mu z dzieciństwa w boju zwycięstwa sprzyjały,  
Co się drżący świat jego przypatrywał chwale,  
I za którym ojczyzna wydawała żale.  
Gdy z północy, cnotami jego zadziwiony,  
Naród mu u stóp składał zaszczyty korony,  
Często kto w drugim świeci, w pierwszym stopniu znika;  
Podłym królem z dzielnego został wojownika,  
Na tronie w pośród mnóstwa uciech rozpieszczony,  
Stękał w twardem ospalstwie z ciężarem korony.  
Kielus, Joyez, Sen-Megren, Epernon, młodzianie  
Rozpustni, mieli w ręku kraju panowanie.  
Ci w królu zaszczytliwi zgubną zniewieścianość  
I w zbytkach martwą jego uspili niedbałość.  
Z tem wszystkim Gwizjuszów wziętości przewaga  
Na tronie poniżonym panowanie wzmaga.  
Skleili straszny związek na zgubę Henryka,  
W którym król zuchwałego znalazł przeciwnika.  
Lud krnąbrny, to narzędzie niewolnicze panów,  
Prześladował swych rządców, wspierając tyranów.  
Za szczęściem przyjaźń jego opuściła progi,  
Wypędzony od ludu z pałacu wśród trwogi.  
Przychodzień zewsząd wojskiem przedmieścia okrywa;  
Wszystko pełzło w zniszczeniu, gdy Bourbon przybywa.  
Cnotliwy Bourbon, pełen otuchy wojennej,  
Wiódł króla z cienia wzgardy do jasności dziennej.

Uzbroił umysł jego i nakłonił wole,  
 Z bezczynności do sławy, a z rozrywek w pole.  
 Oba króle pod miasta podeszli okopy,  
 Zadrżały na zachodzie mocarstwa Europy,  
 I zajęta powszechność tych ważnych klęsk tokiem  
 Płynym na ten mur smutny poglądała okiem.

Już po całym Paryżu niezgoda krwi chciwa  
 Związkowych i Majena do bitwy wyzywa,  
 I po wieżach wśród miasta przywołuje z góry  
 Hiszpanów i pospólstwo, wojsko i klasztory.  
 Ten potwór niezmiękczone, krwawy, popędliwy,  
 Jest swych podanych przeciwnik straszliwy.  
 Karmi się nieszczęściami ludzkiego plemienia,  
 Często krwią najwierniejszych sług się zarumienia:  
 Jak tyran, ludzi razem i rozdziera serca,  
 Sam jest zbrodni spółnikiem i sam jej morderca.

Od strony zachodniej nad rozkosznym brzegiem,  
 Gdzie Sekwana z Paryża krętym płynie biegiem,  
 Gdzie zamknął ten kraj piękny, to wdzięczne mieszkanie,  
 Z przyjemnością natury nauk panowanie;  
 W krwawem polu, gdzie wtedy straszne były boje,  
 Nieszczęśliwy Walezy zbierał rotę swoje.  
 Tam były kraju wsparcia, razem ci rycerze,  
 Zjednoczeni dla zemsty, chociaż różni w wierze.  
 Tam Bourbon wszystkich tedy losami dowodził,  
 A serca ich zyskawszy, wspólnie ich pogodził.  
 Zdało się, iż ta siła, przez którą on działa,  
 I wodza, i Kościoła jednego słuchała.

Wtedy ojciec Francuzów z nieśmiertelnych łona,  
 Ludwik zwrócił ojcowskie oko na Bourbona;  
 Wróży w nim pokolenia swego okazałość,  
 Żałował jego błędów, kochał jego śmiałość.  
 Chciał go później wyborem korony zaszczyścić,  
 Chciał go bardziej zbogacić, bo go chciał oświecić.  
 Lecz Henryk śmiałą na tron postępował nogą,  
 Niewidzialną swym oczom puszczał się drogą;  
 Ludwik go z górnych niebios swem ramieniem wspierał,  
 Lecz tań pomoc, którą nad nim rozpościerał;  
 Żeby rycerz niepewny skutku swej wyprawy  
 Z większem niebezpieczeństwem więcej nabył sławy.

Już przeciwne dwie strony zszedłszy się pod wały,  
 Z orężem w rękę szale przeznaczeń zachwiały.  
 Już po smutnych równinach okrutna Bellona  
 Aż pod morza wściekłości rozniosła nasiona,  
 Kiedy się do Henryka Walezy odzywa  
 W tych smutnych słowach, które westchnieniem przerywa:  
 «Wiesz, jak los wiele dla mnie przygotował wzgardy,  
 Twa niesława jest moją, i ów związek hardy,  
 Wznosząc kark buntowniczy przeciwko nam razem,  
 Śmiał nas dotknąć zniewagą i ścigać żelazem:  
 Paryż nas obu w zemsty stawiając potrzebie,  
 I mnie królem znać nie chce, i następcą ciebie;  
 Widzi to, iż dla zasług i z prawa, i z rodu  
 Tobie berło należy Francuzów narodu;  
 A nieszczęsne w nim wróżąc przyszłości koleje,  
 Broni nam tronu, który podę mną się chwieje.

Nieukojeni w gniewie namiestnicy wiary  
 Przeciwno nam przekleństwa rzucali pożary.  
 Rzym, który bez żołnierzy wszędzie wojnę niecił,  
 Mściwy swój piorun w ręce Hiszpanów polecił.  
 Przyjaciół i poddanych wydarła mi zdrada,  
 Wszystko mnie odstępuje, wszystko na mnie pada,  
 A Kastylczyk łakomy, z mych strat wzbogacony,  
 Po pustych się rozpostarł polach z każdej strony».

## Pieśń X

— — — Głodem ściśnięta srogich bezbożników rzesza  
 Do domu zbrodniczego na nowo przyśpiesza.  
 Krzyk równy wydawała ta zgraja niesyta,  
 Jak kiedy lew lub niedźwiedź swe połowy chwyta.  
 Wściekłość miejsce radości bierze pośród gminu,  
 Wybijają drzwi gwałtem, o zgrozo! o czynu!  
 Przy ciele zakrwawionem uwagę ich wzruszy  
 Kobieta z wściekłym wzrokiem i okrutnej duszy:  
 «Tak, ten jest mój syn własny, potwory, morderce,  
 Wyście mą dłonią w jego ugodzili serce,  
 Chciejcie zbrodnicznych łowów nieszczęsny łup zażyć,  
 Czyliż wy się wzdygacie naturę znieważać?  
 Czyli są bezbożności, które was zastraszą?  
 Tygrysy, ta ofiara będzie karmią waszą».  
 To rzekłszy, bezrozumna, w zapale szalona,  
 Odwraca nóż zbojecki do własnego łona.  
 Trwoga i okrucieństwem nawzajem wzruszeni,  
 Uciekają oprawcy, wszyscy przerażeni;  
 Już na ów nieszczęśliwy dom patrzeć nie śmieją,  
 Już ściągnąć na się płomień nieba rozumieją.  
 A lud, co go wszech nieszczęść przerażała trwoga,  
 Wznosił ręce ku niebu, prosząc o śmierć Boga.

Ta wieść aż się obila o królewskie uszy,  
 Cierpiał on na nią wewnątrz i czuł żal w swej duszy,  
 Nad ludem wiarotomnym łez wylewa zdroje:  
 «Boże» — krzyknie — «Ty, który znasz zamysły moje,  
 Co przenikasz me serce, co widzisz me czyny,  
 Osądź sprawców przestępstwa i rozpoznaj winy.  
 Śmiało ku tobie, sędzio, me oczy podnoszę,  
 Chciałem przebaczyć winy, przytłumić rokosze.  
 Wszak nie ja jestem winien: ich zbrodni i kary,  
 Niech Majen trupem ściele niewinne ofiary,  
 Niechaj tyran, właściwym tyranom zwyczajem,  
 Wini okoliczności, które rządzą krajem,  
 Niech gnębi, niech kraj niszczy, niech płomień roznieci,  
 Jego nieprzyjaciele są me własne dzieci.  
 Tak jest, i własną karmić winieniem ich ręką,  
 I przed pożerającą zasłonić paszczką.  
 Choćby ów lud przeciwko obrońcy miecz zwrócił,  
 Choćbym koronę stracił i mój tron wywrócił,  
 Niechaj żyje mym chlebem, choć sam chce swej zguby,  
 Ocalę ten lud własny, lud, co mi jest luby.  
 A gdy tronu przez względy nie zapewnię sobie,  
 Ten napis pozostanie ryty na mym grobie:  
 «Henryk, swoich poddanych przeciwnik wspaniały,  
 Wolał stracić koronę, niż zgubić lud cały».



To wyrzekłszy, natychmiast obozowa siła  
 Pod miasto ogłodzone bez broni przybyła.  
 Idzie, złożony miecze, w przyjaznej postaci,  
 Nie jak do nieprzyjaciół, lecz rodzonych braci.  
 Wojsko ściśle tym Boskim rozkazom podlega,  
 Lud w jednym okamgnieniu na mury się zbiega.  
 Widać czołgające się mieszkańców tysiące,  
 Te cienie w pół umarłe, te trupy chodzące,  
 Jako przed laty z piekieł bezdennych pieczary  
 Posłuszne woli wrogów wychodziły mary,  
 Gdy ich władza Kocytu wstrzymywała źródła  
 I cienie obłąkane z Erebu wywiodła.  
 Jako ci ogłodzeni mocno się zadziwią,  
 Ci, z którymi walczyli, ciż ich sami żywią.  
 Czując hardych obrońców srogą nieużytość,  
 Znaleźli nieszczęśliwi w prześladowcach litość.  
 Jako im się ten nowy widok dziwnie wyda,  
 Taż sama zwycięskiego wojska straszna dzida,  
 Pocisk i miecz, narzędzie srogiego rzemiosła,  
 Broń, która płytkiem ostrzem mieszkańcom śmierć niosła,  
 Dogadzając Henryka zamysłem wspaniałym,  
 Podawała na mury chleba wygłodniałym.  
 «Toż to są» — rzekli — «straszne nasze przeciwniki,  
 Tenże jest ludu gromca i tyran tak dziki,  
 Ów nieba nieprzyjaciół i poczwara sroga?  
 Przebóg, on jest obrazem najpiękniejszym Boga;  
 Ów przykład panujących, ów król tak łaskawy,  
 My niewarci pod berła jego iść ustawy.  
 On gromi i przebacza swoim przeciwnikom;  
 Ach! czemuż się wspaniałym opieramy szykom,  
 Sto razy godni śmierci, od której nas bronił,  
 Ratuemy mu to życie, które nam ochronił».

Tak się na widok Ojca ich czułość rozrzewni,  
 Ale któż się o płochem pospółstwie zapewni,  
 Które tylko o słabem przywiązaniu gada,  
 W którym często się chwieje, a częściej upada.  
 Księża, których sto razy mowa nieszczęśliwa  
 Niszcząca wszędzie ogień w narodzie dobywa,  
 Idą w stroju poważnym lud krzepić znękany,  
 Wojownicy bez serca, bez cnót chrześcijany.  
 «Jakaż» — rzekną — «was wiedzie na mury ponęta,  
 Czyliż na palm męczeński żaden nie pamięta,  
 Wojsko żywego Boga, czyliż wy wolicie  
 Nieść mu serca obrazę, niż własne swe życie?  
 Kiedy na was korona górnych niebios czeka,  
 Na cóż nam wzgląd tyrana i łaska człowieka?  
 Onby chciał wszystkich natchnąć swą niegodną wiarą,  
 Niech własna jego litość będzie jego karą,  
 Niech zniknie przed ołtarzem ten obrządek sprośny».

Tym sposobem mówili, a fanatyzm głośny,  
 Ta trwoga panujących i pospółstwa władza,  
 Dawną zapamiętałość w mieszkańcach odradza.  
 Niektórzy z nich, wracając do wściekłości skrycie,  
 Skarżyli się, iż jemu winni byli życie.  
 Wśród krzyków, co się w mieście dokoła wzbijały,  
 Aż do nieba Bourbona cnoty dosięgały.

Ludwik, który z najwyższej przestrzeni niebiosów  
Był stróżem niedostępnym wnuka swego losów,  
Poznał, iż się ma spełnić przeznaczeń godzina,  
I że król wszystkich królów przysposobi syna.  
Zaraz wątpliwość znikła z bohatera duszy,  
Wiara łączy z jego oczu obfite osuszy,  
I najwyższa opieka i nadzieja droga  
Przed tron go przeprowadzą Przedwiecznego Boga.  
Nim dał istność czasowi wśród jasności czystej,  
Wszechmocny ugruntował swój tron wiekuisty,  
Niebo jest u stóp jego, setnych gwiazd zasady  
Boskiej świata budowy okazując ślady.  
Miłość, potęgą, mądrość, trzy bóstwa przymioty,  
Są prawdziwym obrazem tej górnej Istoty.  
Niebianie wśród słodyczy wiecznego pokoju  
Opływają bez przerwy wśród rozkoszy zdroju,  
A Bóstwa napojeni i teńnieniem, i sławą,  
Wielbią tę moc najwyższą, której żyją sprawą.  
Przed Nim jest owych świetnych Serafinów grono,  
Którym świata całego losy powierzono.  
Bóg mówi, a te duchy zmieniają postać ziemi,  
Zwalą państwa wzmocnione zasady wiecznymi,  
I gdy ludzie, te błędu igrzyska nikczemne,  
Ustawnie na wyroki skarżą się nadziemne,  
Oni są, co Rzym grażąc w niewoli i zdradzie,  
Dali stolicę światu w północnej osadzie;  
Solimę Ottomanom, a Maurom Hiszpanów.  
Każdy kraj ma swój koniec, każdy lud tyranów,  
Lecz z woli niedościgłej tej górnej Istoty  
Niezawsze tak wysoko pięły się niecnoty,  
Często ona o dobro wszystkich ludzi dbała,  
Niewinnej ręce berło królów powierzała.  
Wtedy stanie Bourbonów i ojciec, i głowa,  
I do twórcy narodów te przemówi słowa:  
«Ojciec świata całego, jeżeliś ty wprzód  
Uszczęśliwił wejrzeniem i tron, i narody,  
Patrz, jak przeciw królowi krnąbrny lud powstawa,  
I dla usługi Nieba zdeptał ludzi prawa.  
A walcząc z wzdargą prawa z królem i zwyciężcą,  
Zamiast mścicielem Nieba, jest krzywoprzysięcą.  
Patrz na króla, co poszedł wojownika śladem,  
Co był świata kochaniem, trwogą i przykładem,  
Czyć go tyłą cnotami nadał z tego względu,  
Ażebyś go wystawił na zasadzki błędu,  
Czyż trzeba, by tak chlubne dzieło twej roboty  
Składało cześć niegodną dla twórczej istoty.  
Ach, jeżeli wielki Henryk twej nie poznał wiary,  
Któż tobie godne ciebie przyniesie ofiary?  
Niechaj twój głos do serca Henryka przemówi,  
Daj króla dla narodu, syna Kościołowi,  
Zostaw związek w buntownych krokach pomięszany,  
Niech król ma poddanego, a króla poddany.  
Niechaj cię serca wszystkich uwielbiają w zgodzie,  
I niech ci jedną w całym cześć dają narodzie».  
Wysłuchał Nieśmiertelny Ludwika wyrazów,  
I jednym słowem zamknął moc wszystkich rozkazów.

Drży ziemia, bledną gwiazdy na głos wielki Boga,  
A związkowych śmiertelna przerażała trwoga,  
Król, który Bogu oddał pomyślność swych losów,  
Uczuł łaskawą pomoc najwyższych niebiosów.

Znała prawda, przez długi czas oczekiwana,  
Ta zawsze miła ludziom, lecz często nieznana,  
Z przed Boga do namiotu spuszcza się Bourbona,  
Zaraz ją gruba zewsząd okrywa zasłona,  
Lecz powoli dobyta z zapadłego cienia,  
Jasne swoje promienie zewsząd rozprzestrzenia.  
Aż wkrótce sam ją Henryk postrzeże ochoczy,  
W świetle, które uderza, nie zaślepią oczy.  
Zwycięzca wielką duszą, dla prawdy stworzoną,  
Widzi, zna i uwielbia jasność nieskończoną.  
On dał zdanie o wierze, w której się zacieka,  
Iż ta jest nad pojęcie, wyższa nad człowieka,  
Poznał wiarę gnębną przez nieprzyjacioły,  
Jedną wszędzie, mającą wszędzie swe kościoły,  
Wolną, chociaż nią zawsze jeden pasterz włada,  
I co w szczęściu niebianów cześć wszechmocy składa.

Chrystus, grzesznego ludu ta ofiara żywa,  
Pokarm, którego oddział wybranych używa,  
W zdziwionych jego oczach na ołtarz zszedł z nieba,  
Pokazawszy się Bogiem pod własnością chleba.  
Z pokorą jego dusza wyznaje pobożna  
Tajemnice, co pojąć rozumem nie można.  
Ludwik, ujrawszy skutek niebieskich widoków,  
Ludwik, z różdżką oliwną, stojąc wśród obłoków,  
Do wodza, co go kochał, święte zwraca stopy,  
I sam go pod paryskie prowadzi okopy.  
Mur zadrzał i otworem stanęły bram progi,  
Wszedł w imię Boga, który królom wraża trwogi.  
Związkowi pomieszani, ze złożoną bronią,  
Z płaczem do nóg zwycięzcy gromadnie się skłonią;  
Szesnastu bez pamięci, księża bez pomocy,  
Próżno się skryć szukali pośród ciemnej nocy.  
Austria broń składa, słusznie zatrwożona,  
Nawróconego króla Rzym przyjął do łona,  
Niezgoda się ukryła w głąb ciemnego państwa,  
Majen zwycięzcy wierność przysięgł poddaństwa,  
A oddawszy mu w ręce i siebie, i stany,  
Był z królów najlepszego najlepszy poddany.

*Tłum. S. Dembowski.*

## MARQUIS DE VAUVENARGUES

(1715—1747)

### UWAGI I MYŚLI

Jasność jest ozdobą myśli głębokich.

Zawitość jest królestwem błędu.

Rozum i swoboda z słabością pogodzić się nie dadzą.

Dowód to małości umysłu, jeżeli się na każdym kroku czyni różnicę pomiędzy tem, co godne szacunku, a tem, co godne ukochania. Wielkie duchy miłują już z natury to wszystko, co wzbudza w nich szacunek.

Prawa ducha nie różnią się od praw ciała; jedno i drugie ciągłego potrzebuje odżywiania.

Na niewiele się przyda umysł żywy, jeśli brak mu innych przymiotów. Doskonałość wahadła nie polega na tem, że porusza się prędko, lecz że porusza się według przepisanej miary.

Umysł człowieka posiada więcej powagi, niż błazeństwa. Mało ludzi urodziło się z dowcipem. Przeważna ich część dochodzi do niego przez naśladownictwo; zimni to kopiaści żywości i wesołości.

Prawdziwą rozległość ducha łatwo odróżnić od fałszywej; tamta rozszerza przedmiot, ta zaś gubi go w nadmiernem nagromadzeniu epizodów i w steku erudycji.

Dobre łączenie rzeczy, oto dowód bystrości umysłu. Dar łączenia wielu rzeczy i wielkich rzeczy, świadczy o rozległości umysłu. A zatem bystrość wydaje się być pierwszym stopniem i warunkiem bardzo potrzebnym umysłu prawdziwie rozległego.

Ludzie, obdarzeni tylko rozumem, posiadają zmysł dla rzeczy wielkich, lecz namiętność tylko dla małych.

Rozpacz nie tylko powiększa nasze nieszczęście, ale i naszą słabość.

Najwyższe dobro i najwyższe zło nieprzystępne jest dla pojęć umysłów miernych.

Kto ma dużo, temu nie zbywa i na małym, tak powiadają; ale to nieprawda. Król hiszpański, choć tak potężny, nic nie znaczy w Luwrze. Granice naszych uzdolnień daleko mniej dają się przesuwac, aniżeli granice państwa; daleko łatwiej przywłaśczyć sobie choćby całą ziemię, aniżeli najmniejszą cnotę.

Przeważna część wielkich osobistości to najwymowniejsi ludzie swego wieku. Twórcy najpiękniejszych systemów filozoficznych, przywódcy stronnictw i sekt, ci, którzy po wsze czasy posiadali najwyższą władzę nad umysłami narodów, zawdzięczali największe sukcesy swojej przyrodzonej, żywej wymowie swej duszy. Nie zdaje się, jakoby z równem szczęściem uprawiali także poezję. Pochodzi to stąd, że poezja nie pozwala na rozstrzelanie się, że tak podniosła i tak trudna sztuka rzadko kiedy daje się pogodzić z nawalem spraw, z hałaśliwymi zajęciami życia; wymowa natomiast jest wszędzie na miejscu, największą też część zdolności pociągania ludzi zawdzięcza duchowi rozwagi i przezorności, który jest ojcem mężów stanu, polityków i t. d.

Czy to prawda, że przymioty przeważające wyłączają inne? Któż ma więcej wyobraźni nad Bossueta, Montaigne'a, Descartes'a, Pascala — a przecież to sami wielcy filozofowie? Któż ma więcej rozwagi i mądrości nad Racine'a, Boileau'a, La Fontaine'a, Moljera — a przecież to sami genialni poeci?

Zazdrość ukrywać się nie umie. Oskarża i sędzi bez dowodów; powiększa błędy, najmniejsze wady określa, jako olbrzymie. Język jej pełny jest żółci, przesady i obrazy. Zajadle i wściekle rzuca się na wszelką wybitną zasługę. Jest ślepa, gwałtowna, bezmyślna i brutalna.

Kto dąży do sławy drogą cnoty, żąda tylko tego, co mu się należy.

Mierność umysłowa i lenistwo wytwarzają więcej filozofji, aniżeli myślenie.

Czyny nasze nie są ani tak dobre, ani tak występne, jak nasze zamiary.

Któżby się dziwił przesądom starożytnych, zważywszy, że i dzisiaj, w tym najfilozoficzniejszym z wieków, istnieje dużo rozumnych bardzo ludzi, którzy za nic w świecie nie usiądą przy stole z trzynastoma nakryciami?

Wiara jest pociechą nędzarzy, a przerażeniem szczęśliwców.

## O SZTUCE I CHEĆCI PISANIA

Talent i pociąg do pisania uważa się u ludzi wielkiego świata za coś śmiesznego. Pytam się ludzi rozumnych: Co robią ci, którzy nie piszą?

Nie można ani wielkiej posiadać duszy, ani jako tako bystrego rozumu, nie mając pewnej namiętności do piśmiennictwa. Sztuki zajmują się malowaniem pięknej natury, nauka poświęcona jest prawdzie. Sztuki i nauki obejmują wszystko, co w pewnych przedmiotach myśli jest szlachetnego lub pożytecznego, tak, że dla gardzących niemi pozostają tylko rzeczy niegodne, aby je odtwarzano, lub ich uczono.

## MYŚLI RÓŻNE

Dążenie do wyrównania warunków ludzkich było zawsze pięknym snem; mimo natury ustawy nigdyby ludzi nie zrównały.

Niema myśli jednakowych, lecz dużo jest podobnych.

Pokój czyni narody szczęśliwymi, a ludzi słabszymi.

Zatwardziały bezbożnik mówi do Boga: Czemuś stworzył nieszczęśliwych?

Filozofów dlatego tak nazbyt nie lubimy, ponieważ za mało nam mówią o rzeczach nam znanych.

Samolubstwo jedynej, częstokroć nieszczęśliwej namiętności trzyma, tak bywa, na uwięzi wszystkie inne; a rozum dźwiga swoje kajdany, nie mogąc ich skruszyć.

Kochając życie, lękamy się śmierci.

Szlachectwo jest pomnikiem cnoty nieśmiertelnej, jak sława.

Rozpacz jest największym z naszych błędów.

Tak więc zasadzamy próżność naszą na słabościach i najfałszywszych błędach. Rozum stwarza filozofów, sława — bohaterów, lecz tylko cnota — mędrców.

Dla Woltera była Europa wielką, z rozmaitych państw złożoną rzeczpospolitą. Tak samo umysł rozległy zmniejsza pozornie przedmioty, ściągając je w jedną całość, która odpowiada ogólnemu ich znaczeniu; w rzeczywistości jednak powiększa je, ukrywając ich wzajemny stosunek i z tyłu nieregularnych części jeden wspinały stawiając budynek.

Prawda jest słońcem ducha.

Jeżeli jest czemś naturalnem wierzyć wielu rzeczom bez dowodów, niemniej jest naturalnem powątpiewać w wiele innych wbrew dowodom.

Newton, Pascal, Bossuet, Racine, Fénelon, to znaczy najoświeceni ludzie na ziemi, najwięksi ubiegłych wieków myśliciele, wierzyli w siłę swego ducha i swego wieku w Jezusa Chrystusa; a wielki Kondeusz powtarzał, umierając, szlachetne te słowa: «Tak zobaczym Boga takim, jakim jest, sicut est, facie ad faciem».

Jeżeli najmniejsze niebezpieczeństwa w interesach pustą napełniają nas trwogą, to jakież niepokój musi nam sprawiać myśl o śmierci, gdzie na zawsze wchodzi w grę cały nasz byt i gdzie nie mamy nietylko sposobu kierowania ostateczną naszą sprawą, ale jej nawet nie znamy.

Cisza i zastanawianie się wyczerpuje namiętności, tak jak praca i posty zjadają człowieka.

Samotność tem jest dla ducha, czem dieta dla ciała.

Ludzie czynni mniej cierpliwie znoszą nudę, niż pracę.

Wymowa więcej znaczy od wiedzy.

Bardzo słusznie przenosimy rozum nad wiedzę, ponieważ bywa złą i naogół nie jest tak pożyteczną, ani tak rozległą, jak to, co zdobyć sobie możemy doświadczeniem i zastanowieniem się. Uważamy też rozum za przyczynę wiedzy, a więcej cenimy przyczynę, niżeli skutek; wszystko to zrozumią. Jednakże, kto by wiedział wszystko, miałby także wszystek rozum, jaki tylko osiąść można, ponieważ największy rozum w świecie jest niczem innym, jak tylko wiedzą i wolnością jej zdobywania.

Jeżeli prawda, że krótkotrwałe są nasze rozkosze, to i przeważna część naszych cierpień długo trwać nie może.

Gdyby ludzie wzajemnie sobie nie schlebiali, trudnoby im było z sobą wytrzymać.

Ludzie wzajemnymi są dla siebie wrogami już z przyrodzenia, nie przeto, że się nienawidzą, lecz z tego powodu, że do niczego dojść nie mogą, nie wchodząc sobie w pole, i to tak, że najsurowiej obserwując wszystkie grzeczności, to znaczy wszystkie prawidła milczkiem toczoney pomiędzy sobą wojny, obwiniają się niemal zawsze — śmiej to twierdzić — o wzajemną niesprawiedliwość.

Kto oszukuje siebie, oszukuje i drugih.

Nie jest-ci wielkim człowiekiem, kto pogardza ludźmi.

—  
*Tłum. Jan Kasprowicz.*

DENIS DIDEROT

(1713—1784)

KUZYNEK MISTRZA RAMEAU (NEVEU DE RAMEAU)

Czy deszcz, czy pogoda, przechadzam się zwyczajem swoim o piątej godzinie wieczorem w «Palais Royal». Widują mnie zawsze samego, dumającego na ławce d'Argenson. Zabawiam się sam z sobą, polityką, miłością, smakiem i filozofją, zdając umysł swój jego swawoli; pozwalam mu ścigać pierwszą myśl, która się zjawi, mądrą czy szaloną... Jeśli zbyt zimno, lub zbyt dżdżysto, chronię się do «Café de la Régence». Tam bawię się, przypatrując się grze w szachy. Paryż jest miejscem na świecie, a «Café de la Régence» miejscem w Paryżu, gdzie gra ta kwitnie najlepiej; tam to mierzą się z sobą: głęboki Légal, subtelny Filidor, stateczny Mayot; tam widzi się najniespodzianwsze posunięcia, tam słyszy się najlichsze rozmowy; bo jeśli można być człowiekiem szerokiego umysłu i wielkim graczem szachowym, jak Légal, to można być też wielkim graczem szachowym i głupcem, jak Foubert i Mayot. Pewnego popołudnia siedziałem tam, patrząc wiele, mówiąc mało i słuchając, jak najmniej mogłem, gdy przystąpiła do mnie jedna z najdziwaczniejszych osób w kraju, któremu ich Bóg nie poskąpił. Jest to mieszanina wyniosłości i podłoty, zdrowego rozsądku i nierozumu; pojęcia o uczciwości i nieuczciwości muszą być dziwnie pogmatwane w jego głowie, gdyż zalety, któremi go obdarzyła natura, ukazuje bez przechwałki, a wady, które od niej otrzymał, bez wstydu. Zresztą jest mocnej budowy ciała, posiada niezwykle gorącą wyobraźnię i niecodzienną siłę płuc. Jeśli go kiedy spotkacie, a nie uderzy was oryginalność jego, to albo uszy zatkacie palcami, albo umkniecie! Boże! co za straszne płuć! I niema nic bardziej doń niepodobnego, niż on sam. Czasem jest chudy i wyschły, jak chory w ostatnim stopniu suchot; możnaby zęby jego policzyć przez policzki; rzekłbyś, że kilka dni nic nie jadł, lub wyszedł z «La Trappe». Następnego miesiąca jest tłusty i otyły, jakby nigdy nie opuszczał stołu finansisty, lub jakby był zamknięty u Bernardynów. Dziś w brudnej bieliźnie, w spodniach podartych, lachmanami okryty, prawie bez trzewików, kroczy z głową spuszczoną, schodzi z oczu; pokusa bierze przywołać go, by dać mu jałmużnę. Jutro upudrowany, utrzewiczony, uczesany,

dostatnio odziany, stąpa z głową do góry, pokazuje się, i wzięlibyście go niemal za porządnego człowieka: żyje z dnia na dzień, smutny lub wesoły, wedle okoliczności. Pierwszą troską jego z rana, gdy wstanie, jest wiedzieć, gdzie obiadować będzie; po obiedzie myśli, gdzie pójdzie wieczerać. Noc także sprowadza mu niepokój; już to zachodzi na stryszek, który zamieszkuje, jeśli gospodyni, znudzona oczekiwaniem czynszu, nie odebrała mu klucza; już to skręca do przedmiejskiego szynku, gdzie czeka dnia między kawałem chleba a garncem piwa. Jeśli nie ma sześciu «sous» w kieszeni, co mu się zdarza niekiedy, wraca bądź do jakiego dorożkarza, przyjaciela swego, bądź do jakiego wielkopańskiego woźnicy, który mu daje leże na słomie obok swych koni. Rano miewa jeszcze część materaca we włosach. Gdy pora roku łagodna, to przez noc całą przemierza «Cours» lub Pola Elizejskie. Z dniem zjawia się znów w mieście, odziany z wczoraj na dzisiaj i z dzisiaj na resztę tygodnia. Nie szanuję takich oryginałów; inni czynią z nich sobie poufałych znajomych, nawet przyjaciół. Zatrzymują mnie raz na rok, gdy ich spotykam, gdyż charakter ich odcina się od charakteru innych i przerywa tę nudną szkaradę, którą wytworzyło wychowanie nasze, nasze umowy społeczne i nasze przywoitości nabyte. Jeśli taki zjawi się w towarzystwie, to jest on jak okruch drożdży, które fermentują, przywracając każdemu odrobinę jego wrodzonej indywidualności. Wstrząsa, wzburza, wywołuje pochwały lub nagany; wydobywa prawdę, daje poznać ludzi dobrych i odslania łotrów; wówczas to człowiek o zdrowym rozumie słucha i rozróżnia ludzi.

Tego znałem oddawna. Bywał w pewnym domu, którego bramy otworzył mu jego talent. Była tam córka jedynaczka; przysięgał ojcu i matce, że się ożeni z ich córką. Ci wrzuszali ramionami, śmiali mu się w nos, mówiąc mi, że oszalał. I widziałem chwilę, gdy rzecz się dokonała. Prosił mnie o kilka talarów, które mu dałem. Dostał się, nie wiem jak, do kilku domów uczciwych, gdzie miał swe miejsce u stołu, lecz pod warunkiem, że nie będzie mówił bez pozwolenia. Milczał i jadł z wściekłości; pyszny był widok jego w tych pętach. Gdy go brała ochota złamać układ i gdy otwierał usta, za pierwszym słowem krzyczeli wszyscy biesiadnicy: «Rameau!» Wówczas gniew iskrzył się w jego oczach, i wracał do jedzenia z jeszcze większą wściekłością. Byliście ciekawi dowiedzieć się imienia tego człowieka i znacie je: to Rameau, wychowanek sławnego Rameau, który nas wyzwolił od śpiewu kościelnego<sup>1</sup>, co go psalmodjujemy od stu lał zgórą; który napisał tyle niezrozumiałych wizyj i prawd apokaliptycznych o teorii muzyki, z czego ani on, ani nikt nigdy nic nie rozumiał; który obdarzył nas pewną liczbą oper, gdzie jest harmonja, okruchy śpiewu, myśli bez związku, zgiełk, wzloty, triumfy, lance, chwały, pomruki, zwycięstwa do utraty tchu, arje taneczne, co trwać będą wieczność, i który, pogrzebawszy Florentczyka, pogrzeban będzie przez wirtuozów włoskich, jak to przeczul i spochmurniał, posmutniał i zjadowiciał. Gdyż nikt nie jest w tak złym humorze — ani nawet piękna kobieta, co budzi się z krostą na nosie — jak autor zagrożony tem, że przeżyje swą sławę: dowodem Marivaux i Crebillon młodszy.

Przystępuje do mnie: «Ach to pan, panie filozofie! Cóż pan tu robi wśród tej zgrai darmozjadów? Czy i pan traci czas na suwaniu drzewa?» (Tak zwą pogardliwie grę w szachy lub warcaby.)

J a: Nie; lecz skoro nie mam nic lepszego do roboty, bawię się chwilę, patrząc na tych, którzy dobrze suwają.

O n: W takim razie bawi się pan rzadko; prócz Légala i Filidora, reszta nie rozumie się na tem zgoła.

J a: A pan de Bussy, co?

O n: Ten jest tem, jako gracz w szachy, czem panna Clairon, jako aktorka: oboje wiedzą o tych grach wszystko, czegoby się można nauczyć.

J a: Jest pan wymagający i widzę, że darzy pan łaską tylko ludzi najznakomitszych.

O n: Tak, w szachach, w warcabach, w poezji, w wymowie, w muzyce i wszystkich podobnych głupstwach. Komu na co mierność w tych rodzajach?

<sup>1</sup> Autor ma na myśli Lulliego.

Ja: Prawie zgadzam się na to. Lecz wielu musi się do tych sztuk przykładać, by powstał człowiek genialny; wówczas jest on jeden wśród mnóstwa. Lecz dajmy temu pokój. Nie widziałem pana wieczność całą. Nie myślę zgola o panu, gdy pana nie widzę, lecz miło mi zawsze pana spotkać. Cóż pan porabiał?

On: To, co pan, ja i wszyscy inni czynimy: dobrze, źle i nic. Następnie głodowałem i jadalem, gdy nadarzyła się sposobność; zjadłszy, miewałem pragnienie; pijałem czasem; tymczasem rosta mi broda i gdy urosła, kazałem ją zgolić.

Ja: Źle pan uczynił; jedyna to rzecz, której brak panu, by być mędrcom.

On: Oczywiście! mam czoło wysokie i pomarszczone, oko płonące, nos wystający, policzki duże, brwi czarne i gęste, usta szerokie, wargi grube i twarz czworokątną. Gdyby ta ogromna broda pokryta była długim włosom, wie pan, że wyglądałaby bardzo dobrze w bronzie lub marmurze.

Ja: Obok Cezara, Marka Aureljusza, Sokratesa.

On: Nie. Wolalbym stać między Diogenesem, Lais i Fryną. Jestem bezwstydnym jak pierwszy i chętnie bywam u drugich.

Ja: Ma się pan zawsze dobrze?

On: Tak, zazwyczaj, lecz dzisiaj nieosobliwie.

Ja: Jakto! z pańskim brzuchem Sylena i twarzą...

On: Z twarzą, którąby wziąć można za zadek. Zły humor, który wysusza mego drogiego stryja, przyczynia prawdopodobnie tłuszczu jego drogiemu... bratankowi.

Ja: «A propos» tego drogiego stryja. Widuje go pan czasem?

On: Tak, przechodzącego ulicą.

Ja: Czy nie dopomaga panu?

On: Jeśli czyni komu co dobrego, to nie wiedząc o tem. Jest swego rodzaju filozofem: myśli tylko o sobie, reszta świata obchodzi go tyle, co śnieg zeszłoroczny. Córnka jego i żona mogą szczeznąć, kiedy im się podoba; byle dzwoniące po nich dzwony parafjalne pobrzmiwały duodecimą i septdecimą, to wszystko będzie w porządku. Szczęśliwy człowiek, i to właśnie cenię szczególnie w ludziach genialnych. Zdolni są tylko do jednego, do niczego poza tem. Nie wiedzą, co to być obywatelem, ojcem, matką, krewnym, przyjacielem. Mówiąc między nami, należałoby zgola być do nich podobnym, ale nie życzyć sobie, by nasienie zbyt się rozpowszechniło. Trzeba ludzi, nie ludzi genialnych. Nie, zaiste tych nie trzeba! Oni to zmieniają oblicze ziemi, a głupota w najmniejszych nawet sprawach jest tak powszechna i potężna, że nie poprawisz jej bez harmidru. Poczęści staje się, co uroili sobie, poczęści zostaje po staremu; stąd dwie ewangelje, kabat arlekina. Mądrość mnicha Rabelesowego jest prawdziwą mądrością dla spokoju swego i spokoju innych: jako tako czynić swą powinność, mówić zawsze dobrze o panu przeorze, i niech się świat toczy, jak mu się podoba. Dobrze się toczy, skoro tłum zadowolony. Gdybym znał historję, wykazałbym panu, że zło sprowadzali zawsze na ziemię ludzie genialni, lecz nie znam historji, bo nic nie znam. Niech mnie djabli wezmą, jeśli się czego kiedykolwiek uczył, a mimo, że się niczego nie uczył, nie jest mi gorzej. Byłem dnia pewnego przy stole królewskiego ministra \*\*, który ma rozum za czterech. Otóż wykazał nam jasno, jak dwa a dwa cztery, że nie było nic pożyteczniejszego dla ludów nad kłamstwo i nic szkodliwszego nad prawdę. Nie pamiętam dobrze jego dowodów, lecz wynikało z nich jasno, że ludzie genialni są ohydni i że dziecko, któreby przy urodzeniu miało na czole cechę tego niebezpiecznego daru natury, należałoby albo udusić, albo utopić.

Ja: Jednakże wszystkie osoby te, tak wrogie genjuszowi, mają pretensje do posiadania go.

On: Sądzę, że w duchu tak myślą, lecz nie wierzę, by śmieli się przyznać do tego.

Ja: To ze skromności. Więc powziął pan tam straszną nienawiść do genjuszu?

On: Nieprzebręganą.

Ja: Lecz pamiętam czas, gdyś pan rozpaczał, żeś tylko człowiekiem pospolitym. Nie będzie pan nigdy szczęśliwy, jeśli jedno i drugie jednak pana dręczy. Trzeba przechylić się na którąś stronę i trzymać się jednego. Godząc się nawet z panem, że ludzie genialni są zazwyczaj nieco osobliwi, lub, jak powiada przysłowie, niema wiel-



kich duchów bez szczypty szaleństwa, to jednak nie odda się ich za byle co; w pogardzie będą wszystkie wieki, które żadnych nie wydały! Będą oni zaszczytem ludów, wśród których istnieli; prędzej czy później wznosi się im pośagi i uważa się ich za dobroczyńców rodzaju ludzkiego. Niech mi wybaczy ten minister znakomity, którego pan zdanie powtórzył, lecz sądzę, że jeśli kłamstwo może służyć chwilom, to jednak jest bezwzględnie szkodliwe zczasem, a przeciwnie prawda służy zczasem, choćby chwilowo miała szkodzić. Przeto pokusiłbym się wysnuć wnioszek, że człowiek genialny, który ośłania jakiś błąd powszechny lub zdobywa wziętość wielkiej prawdy, jest zawsze istotą godną czci naszej. Zdarzyć się może, że istota ta staje się ofiarą uprzedzenia i praw; lecz są dwojakiego rodzaju prawa: jedne bezwzględnie słuszne i powszechne, inne dziwaczne, zawdzięczające swe uświęcenie tylko ślepotcie lub konieczności okolicznościowym. Te pokrywają winnego, który je narusza, jeno przemijającą hańbą, hańbą, którą czas przelewa na sędziów i narody, by trwały na nich wiecznie. Kto jest dziś zbezczeszczoney, Sokrates czy sąd, który mu kazał wypić cykute?

On: Toż to mu stąd korzyść! Czyż to umniejsza jego potępienie? Czyż to umniejsza wykonanie wyroku śmierci? Czyż był przeto mniej burzliwym obywatelem? Czyż, gardząc złem prawem, mniej ośmielał szaleńców do gardzenia dobrymi? Czyż był przeto mniej osobliwym śmiałkiem i dziwakiem? Jest pan teraz niedaleki wyznać rzecz mało korzystną dla ludzi genialnych.

Ja: Postuchaj mnie, przyjacielu. Spótczeństwo nie powinno mieć złych praw, i gdyby miało tylko dobre, nie byłoby nigdy wypadku prześladowania ludzi genialnych. Nie powiedziałem, że genjusz jest nierozdzielnie przywiązany do złośliwości, ni złośliwość do genjuszu. Częściej jest złym głupiec, niż człowiek wielkich zdolności. A gdyby człowiek genialny był zazwyczaj w obcowaniu twardy, trudny, przykry, nieznosny, gdyby był nawet zły, co byś pan z tego wywnioskował?

On: Że tylko go utopić.

Ja: Powoli, przyjacielu! Powiedz mi pan: nie chcę wziąć pańskiego stryja Rameau za przykład. Jest to człowiek twardy i szorstki, nieludzki, skąpy, zły ojciec, zły mąż, zły stryj; lecz nie jest rzeczą rozstrzygniętą, że to człowiek talentu, że doprowadził swoją sztukę daleko, i że dzieła jego przetrwają próbę dziesięciu lat. Lecz Racine? Ten był na pewno genialny, a nie uchodził za zbyt dobrego człowieka. A Wolter?

On: Nie przyciskaj mnie pan do muru, bo umiem być konsekwentny.

Ja: Co byś pan wolał: czy aby był człowiekiem dobrym, utożsamionym z swym kantorem, jak Briasson, lub z swoim łokciem, jak Barbier, płodzącym regularnie co roku prawowite dziecko swej żonie, dobrym małżonkiem, dobrym ojcem, dobrym stryjem... dobrym sąsiadem, uczciwym kupcem, lecz niczem ponadto, lub też oszustem, zdrajcą, ambitnym, chciwym, lecz twórcą «Andromachy», «Brytannika», «Ifigenji», «Fedry», «Atalji»?

On: Dla niego, dalibóg, byłoby może lepiej, by z tych dwu ludzi był pierwszym.

Ja: Jest to nawet nieskończenie bardziej prawdą, niż myślicie.

On: Oto, jacyście wy wszyscy! Jeśli powiemy coś dobrego, to przypadkiem, jak szaleńcy lub natchnieni. Tylko wy inni rozumiecie siebie; tak, panie filozofie, rozumie siebie również dobrze, jak pan siebie.

Ja: Slucham! Więc, czemuż on?

On: Dlatego, że wszystkie te piękne rzeczy, które napisał, nie przyniosły mu dwudziestu tysięcy franków, i że gdyby był dobrym handlarzem jedwabiu przy ulicy Saint-Denis lub Saint-Honoré, dobrym kupcem korzennym «en gros», wziętym aptekarzem, byłby zbił niezmierny majątek i użył przytem przyjemności, jakich nie zaznał; że byłby kiedy niekiedy dał złotówkę biednemu śmieszкови, jak ja, któryby był go pobudzał do śmiechu, sprowadzał mu czasem ładne dziewczuszki; byłibyśmy jedli u niego wspaniale, grali grubo, pili wspaniale wina, wspaniale likiery, wspaniała kawa, urządzali wycieczki na wieś. I widzi pan, że rozumiem się na tem. Śmieje się pan?... Lecz pozwól mi pan powiedzieć: byłoby też lepiej dla jego otoczenia...

*Tłum. Leopold Staff.*

JEAN JACQUES ROUSSEAU  
(1712—1778)

WIELKA ROZPRAWA O NIERÓWNOŚCI STANÓW POMIĘDZY LUDŹMI

Cz ę ś ć II (w y j ą t k i)

Pierwszy z ludzi, co, ogrodziwszy pole swoje płotem, umyślił powiedzieć, to pole do mnie należy, i znalazł ludzi tak dalece ciemnych, że śmieli temu dać wiarę, był prawdziwym założycielem towarzystwa społecznego. O! ileż zbrodni, ileż wojen, mordów, nędzy i spustoszeń byłby odwrócił od rodzaju ludzkiego ten, któryby, wyrывая z miejsca ogrodzenia takowego pale lub zasypując piaskiem parowy, był zawołał do swoich bliźnich: nie wiercie temu oszustowi, zginiecie całkiem, jeśli raz tylko zapomnicie o tem, że owoce wszystkim są wspólne i że ziemia do nikogo nie należy. Lecz jest prawdopodobieństwo, iż rzeczy, w owych czasach istniejące, doszły już do tego, że w takim stanie bytu swojego dłużej trwać nie mogły: wyobrażenie albowiem własności, zależąc od wielu wyobrażeń, tamte poprzedzających i pasmem następstwa po sobie idących, nie mogło odrazu powstać ani utworzyć się w umyśle człowieka. Żaiste potrzeba było wprzód uczynić więcej postępu w rzeczach, nabyć więcej przemysłu i światła, przelać one następnym pokoleniom swoim i wiekami pomnożyć, nim ludzie dojść mieli do tego ostatecznego kresu stanu przyrodzonego.

Pierwszem uczuciem, odzywającym się w człowieku, było uczucie jego istności, pierwszym staraniem — bezpieczeństwo i całość swojej osoby. Płody ziemne dostarczały mu wszelakich potrzeb do życia, przyrodzone natchnienie nauczyło go, jak miał ich zażywać.

W miarę pomnażania się rodzaju ludzkiego, pomnażały się także i jego cierpienia. Rozmaitość położenia gruntów, klimatów, pór roku, zmusiła ludzi do o zapobiegania temu wszystkiemu w różnych życia kolejach. Nieurodzajne lata, długie i przykre zimy, nadzwyczajne upały, pożerające wszystko, te i tym podobne przykrości fizyczne wymagały po nich nowego przemysłu. Tym sposobem wzdłuż mórz i rzek powynajdywali sieci, wędy i stali się rybołówcami. Po lasach porobili sobie luki, strzały, a tym sposobem stali się strzelcami i żołnierzami. W krajach zimnych odziewali się skórami pokonanych zwierząt. Grzmoty tudzież wyziewy ogniste lub inne szczęśliwe jakieś zdarzenie dało im poznać ogień, a ten stał się pomocniczym środkiem ku zaslonieniu ich przed ostrością zimy. Wkrótce dowiedzieli się, jak trzeba się było obchodzić z owym żywiołem, jak go w potrzebie wydobywać, naostatek gotować i piec przy nim mięsiwa, które przedtem jadali surowe.

Tym sposobem ponawiane często stosowanie rozmaitych istot do siebie i wzajemne porównywanie jednych z drugimi musiało z natury koniecznie zrodzić w umyśle człowieka i dać mu możność pojmowania i zrozumienia pewnych stosunków. Wszystkie te zatem wyobrażenia, któreśmy pospolicie zwykli wyrażać temi słowy: wielki, mały, mocny, słaby, szybki, powolny, bojaźliwy, zuchwały i inne tym podobne, porównywane z potrzebą, wzbudziły w nim, bez pomyślenia nawet o niej, pewien gatunek uwagi, a raczej tę machinalną roztropność, wskazującą mu najpotrzebniejsze ostrożności i bezpieczeństwa środki ku zachowaniu jestestwa swego.

Pierwsze światła korzyści, jakie z owego rozwinięcia się umysłu spłynęły, powiększyły przewagę jego nad innymi zwierzętami, dając mu ją poznać. Wkrótce nauczył się zastawiać na nie sidła, chociaż niektóre z nich przewyższały go mocą w potyczce lub szybkością w biegu; te więc, które mogły mu być użyteczne, przyswajał sobie i stawał się ich panem, te zaś, które mu mogły być szkodzić, postanowił wszelkimi środkami wytepić. Tym sposobem pierwszy rzut oka, na siebie samego zwrócony, wzbudził w nim najpierwsze poruszenie dumy, tym sposobem, nie znając i nie czując się w sile zachowania ścisłej różnicy pomiędzy stanami, i siebie ze względu na swój rodzaj cały kładąc w najpierwszym rzędzie, śmiał zdala czynić przygotowania, by w nim mógł indywidualnie pozostać...

Z doświadczenia wiedząc, że przywiązanie do szczęścia jest jedyną sprężyną

i pobudką wszelkich czynów ludzkich, wkrótce był w stanie rozróżnienia rzadkich nader okoliczności, to jest takich, gdzie całość powszechnego dobra zobowiązywała go koniecznie, aby należał do ogółu bliźnich swoich, od przypadków daleko rzadziej jeszcze przytrafiających się, w których wspólne ubieganie się nie radziło mu dowierzać im bardzo. W pierwszym przypadku łącznie wiązał się z nimi, tak właśnie, jakgdyby wchodząc z nimi w pewien rodzaj dobrowolnego stowarzyszenia się, co nie zobowiązało nikogo i dłużej trwać nie mogło, niż wymagała tego potrzeba, dla której się tworzył jedynie takowy związek. W drugim zaś przypadku każdy szukał większych od drugiego korzyści, bądź otwarcie przemocą, bądź zręcznością swoją i wybiegami, jeśli się najstabszym być sądził.

Widzimy tutaj zatem, jakim sposobem ludzie potrafili nabyć pewnych prostych wyobrażeń o zobowiązaniach zobopólnych i o wynikającej z dopełnienia ich korzyści, lecz tyle tylko, ile od nich wymagały tego chwile obecne lub dolegliwe jakie zdarzenie: nie znali bowiem żadnej przezorności i, nigdy nie zajmując się oddaloną od siebie przyszłością, nie myśleli nawet o jutrze.

Takie były związki oświecenia, co nakoniec postawiły człowieka w możności czynienia coraz większego w niem postępu. Im bardziej przecierał się umysł jego, tem doskonalszym stawał się przemysł. Wkrótce, zaprzestając sypiać pod jednym drzewem lub szukać schronienia dla siebie w jaskiniach podziemnych, wynalazł pewien gatunek siekier z twardych kamieni ociosanych i zaostrzonych na końcu, które mu posłużyły do rąbania drzewa, kopania ziemi i stawiania sobie bud z gałęzi, które zaczęto później spajać i lepić gliną lub błotem. Od tej chwili zaczyna się nowa epoka pierwszego wstrząśnienia stanu przyrodzonego, co stało się kamieniem węgielnym i podstawą towarzystwa, wprowadzając przedział nierówności między familjami i pewien rodzaj własności, z którego to źródła najwięcej podobno powstało zwaśnień i niezgód. Tymczasem zaś, gdy tylko najmocniejsi rzeczywiście pierwszymi byli założycielami domostw, bo oni czuli się wyłącznie na siłach zabezpieczenia ich w potrzebie, stąd przeto wnosić nam należy, iż w takowym razie słabsi musieli obierać dla siebie inną, krótszą i pewniejszą drogę, naśladując raczej ich przemysł, zamiast pokuszenia się o wypędzenie ich ze swych zagród; co się zaś tyczy tych, co mieli własne już siedliska, mało z nich który ubiegał się o przywłaszczenie sobie zagrody sąsiedzkiej, a to nie tak dlatego, że ta do niego wcale nie należała, jak bardziej może dlatego, że mu była całkiem niedogodną, i że przywłaszczyć jej sobie w inny sposób nie mógł, jak tylko walcząc zacięcie z całą familją, która w niej mieszkała...

...Dopóki ludzie przestawali na skromnych wiejskich zagrodach i na skórzanem odzieniu, spiętem cierniami lub kolcami, dopóki strojem ich były tylko pióra i muszle, dopóki nie przestali malować ciała swojego kolorami różnobarwnymi, doskonalsze i piękniejsze robić łuki i strzały, stawiać zapomocą ostrych kamieni rybackie łódki, lub inne proste narzędzia muzyczne wyrabiać, słowem, dopokąd nie przestali przykładać się do takich robót, które przez jednego mogły być byłe sporządzone, i do sztuk, które nie wymagały rąk kilku, dopóty też prowadzili oni życie wolne w zdrowiu, w szczęściu i wśród dobrodziejstw, jakie zlewała na nich hojnie dobroczynna ręka natury, nie przestając doświadczać słodczy wzajemnego obcowania, nieodpowiadającego żadnej podległości; lecz od chwili, jak człowiek jeden zaczął potrzebować pomocy drugiego, od chwili, mówię, jak spostrzeżono, że to było z pożytkiem, aby jeden posiadał zapasy żywności za dwóch, odtąd zniknęła równość, a wcisnęła się własność, praca stała się konieczną; odtąd szerokie lasy zamieniły się w uśmiechające pola, które trzeba było w pocie czoła uprawiać i wśród których ujrzano wkrótce niewolę, a z nią nędzę, rodzącą się i wzrastającą wraz ze zbiorami.

Skutkiem tego nądzwyczajnego przewrotu był wynalazek najważniejszych dwu sztuk, to jest metalurgji i rolnictwa. Poeta utrzymuje, że złoto i srebro, filozof zaś, że żelazo i zboże stało się źródłem wykształcenia ludzi, a zarazem najważniejszą przyczyną upadku rodzaju ludzkiego. Jak pierwsze, tak i drugie były zupełnie nieznanymi dzikim Amerykanom, którzy dlatego poniekąd dotychczas pozostali w pierwotnym swoim stanie; zdaje się nawet, że inne narody dopóty zostawały w stanie nieokrzestania, dopóki tylko doświadczały jednej ze sztuk wymienionych, nie znając drugiej;

i jedną z głównych przyczyn, dla której Europa, jeśli nie zaraz, to przynajmniej prędzej i lepiej, aniżeli inne części świata, wykształconą została, stało się może to, że była najobfitsza w żelazo i najurodzajniejsza w zboże.

...Wynalazek sztuk innych wskazał rodzajowi ludzkiemu niezbędną potrzebę zakładania się do rolnictwa. Bo kiedy z jednej strony potrzeba było ludzi do topienia i kucia żelaza, z drugiej znowu strony potrzeba było takich, którzyby i dla siebie i dla innych pracowali na chleb. Im bardziej bowiem pomnażała się liczba rzemieślników, tem mniej znajdowało się użytecznych rąk do zaspokojenia zobopólnych życia potrzeb, choć liczba jestestw, życia potrzebujących, jak w jednym, tak w drugim zawodzie, mniejsza nie była; a ponieważ jednym trzeba było koniecznie żywności wzajemian za żelazo, drudzy naodwrot użyli żelaza za środek pomnożenia żywności. Stąd z jednej strony powstało rolnictwo, czyli sztuka uprawiania gruntów, z drugiej strony sztuka wydobywania i przerabiania metalów, wielkie przynosząca korzyści.

Z uprawy gruntów wypadła konieczna potrzeba ich podziału; a ze źródła własności, raz zaprowadzonej i uznanej, najpierwsze zasady sprawiedliwości: chcąc bowiem oddać to, co do kogo należało, potrzeba było, żeby każdy miał coś własnego; co większa, ludzie, zaczynając zwracać swą uwagę na przyszłość, obowiązani będąc wszyscy razem tracić część niejaką z dóbr swoich, wolniejsi zato byli od pożądlivosti, i żadnego takiego pomiędzy nimi nie było, coby się nie obawiał zemsty za krzywdy, wyrządzone drugiemu.

Sama praca, nadając rolnikowi prawo do plodów ziemi, przez się uprawianej, nadaje mu tem samem prawo i do gruntu, przynajmniej aż do czasu zebrania owoców z niego, i tak dalej od roku do roku, co ciągłe posiadanie zamienia we własność.

Rzeczy, w takim pod ten czas będące stanie, mogłyby były pozostać tak na zawsze, gdyby ludzie mieli byli wszyscy jednakie talenta, gdyby np. użytek żelaza i konsumpcja żywności zawsze w jednakowej utrzymywały się proporcji; ale stosunek, którego nic nie wspierało, wkrótce zerwany być musiał; najmocniejszy najwięcej dzieł tworzył, najrzęczniejszy umiał z dzieł swoich lepszą odnosić korzyść; najprzemysłniejszy wynajdywał środki, skracające mu jego pracę; rolnik, dajmy na to, potrzebował więcej żelaza, a kowal więcej zboża, obydważ z równą pracowali usilnością, przecież jeden z nich zarabiał wiele, gdy tymczasem drugi żyć nie miał z czego. Tym to sposobem nierówność przyrodzona nieznacznie rozwijać się zaczęła równocześnie z nierównością, zaprowadzoną przez ludzi; tym sposobem różnica, zachodząca między ludźmi, rozpościerając się na mocy rozmaitych okoliczności, stała się przez to tem dotkliwszą i trwalszą w skutkach swoich, zaczynając w jednakim stosunku wpływać na los i szczęście pojedynczych członków.

*Tłum. Ignacy Skarbek Kielczewski.*

JACQUES DELILLE

(1738—1813)

Z POEMATU «OGRODY»

O, wdzięczne pola włoskie! Rzymu okolice!  
 W pośrodku waszej leży szczęśliwej ziemie  
 Nikczemności człowieka przepych pogrzebiony!  
 Tam zwaliska, wstawione wielkimi imiony,  
 Pełne ważnych pamiątek, wysokiej nauki,  
 Uczą pięknego miejsca położenia sztuki.  
 Patrz, jako z każdej strony, zbiegłszy wieki mnogie,  
 Podarły, rozproszyły rozwaliny drogie.  
 Miećąc groby na groby i gmachy kościelne,  
 Pokazują nam Rzymu reszty nieśmiertelne.  
 Te przysionki, arkady, gdzie kamienie ryte  
 Chowają jeszcze Rzymian dzieła znakomite.

Ich grubość niezwałona mocuje się z czasem.  
 Tym niegdyś po powietrzu rzeka szła nawiasem;  
 Tą bramą wprowadzano łup zdartego świata.  
 Wszędzie wiek zamieszane z popiołem pomiata  
 Łażnie, pałace, groby cesarów potężnych!  
 Wtenczas, kiedy moc większa niby niedołącznych  
 Horacego, Owida i Wirgila wierszy  
 Pokazuje nam ślady i przepych ich pierwszy.  
 Szczęśliwy! Po sto razy ogrodnik szczęśliwy,  
 Co te blisko mieć może starożytne dziwy.  
 Już ciężka czasu ręka sama go ratuje,  
 Już natura prawami swemi dokazuje  
 Nad ogromną wielkością zeszytych panów ziemi!  
 W miejscu, gdzie Pompejusz królmi zgnębionemi  
 Chłubił się z taką pychą, jak w Ewandra czasie,  
 Pasterski flet i trąba tylko odzywa się,  
 Pola się uśmiechają rolnikom wrócone,  
 Kozy nad zwaliskami pasą zawieszzone.  
 Pyszny niegdyś obelisk leży między zioty,  
 Chwast wspaniałą kolumnę okrążył napoty;  
 Gęsta wzrosła krzewina i paprocie płone,  
 Które się albo wznoszą, lub schylają w stronę,  
 Które na rozwalinach lekkie wiatry siały!  
 Figa, drzewo oliwne bliżej się przybrały,  
 I kiedy się do gruzów ich korzeni przypina,  
 Niszczą ciosem ostatnim dzieło Rzymianina.  
 Tak giętke winogrady, gałęziste bluszcze,  
 Naokoło tych ułomków w ciemną rosną puszcze,  
 I gdy się w różne kształty przy nich naginają,  
 Albo zdołają ich starość, albo zakrywają.

*Tłum. Franciszek Karpiński.*

PIERRE AUGUSTIN CARON DE BEAUMARCHAIS  
 (1732—1799)

CYRULIK SEWILSKI

Akt I, scena IV

*Hrabia, Figaro.*

Hrabia: Teraz, kiedy nikogo niema, przypatrzmy się tej piosnce, w której, z pewnością, mieści się słowo tajemnicy. To bilecik!

Figaro: Pytał, co to takiego «Daremna Ostrożność»!

Hrabia (*czyta żywo*): «Pańskie zainteresowanie budzi moją ciekawość; skoro opiekun się oddali, zaśpiewaj pan, niby odniechcenia, na znaną melodię tej piosnki, coś, co by mi dało poznać imię, stan i zamiary tego, który zdaje się być wiernie oddany nieszczęśliwej Rozynie».

Figaro (*przedrzeźniając głos Rozyny*): «Piosenka, piosenka mi wypadła; biegnij pan, biegnij żywo!» (*Śmieje się*). Ha, ha, ha, ha! och, te kobietki! Chcesz pan nauczyć chytrności najbardziej naiwną? Zamknij ją pod kluczem.

Hrabia: Droga Rozyna!

Figaro: Ekscelecjo, nie potrzebuję już dociekać pobudek twojej maskarady; tu pachnie na miłą miłością.

Hrabia: Znasz moją tajemnicę; ale, gdybyś ważył się wypaplać...

Figaro: Ja, paplać! Nie będę się uciekał dla upewnienia pana do owych

wielkich zdań o honorze i uczciwości, których nadużywa się codziennie; powiem tylko jedno słowo: własny interes ręczy za mnie, zważ pan wszystko na tej szali, i...

Hrabia: Doskonale. Dowiedz się więc, iż losy pozwoliły mi spotkać w Prado, przed pół rokiem, młodą osobę, piękną, w istocie!... Widziałeś przed chwilą. Szukałem jej napróżno po całym Madrycie. Dopiero przed kilkoma dniami odkryłem, że nazywa się Rozyna, pochodzi ze szlacheckiej krwi, jest sierotą i żoną starego lekarza w tem mieście, imieniem Bartolo.

Figaro: Ładny ptaszek, na honor! Trudno go będzie wysadzić z gniazdeczka! Ale kto panu powiedział, że ona jest żoną doktora?

Hrabia: Całe miasto.

Figaro: To bajka, którą ukuł, przybywając z Madrytu, aby zmylić tropy galantów i oddalić ich. Rozyna jest jedynie jego pupilką; ale niebawem...

Hrabia (*żywo*): Nigdy!... Ach, co za nowina! Byłem gotów na wszystko się ważyć, aby wynurzyć jej moje żale; i oto zastaję ją wolną. Niema ani chwili do stracenia; trzeba zdobyć jej miłość i wyrwać ją z niegodnych więzów, jakich ma się stać ofiarą. Znasz więc tego opiekuna?

Figaro: Jak własną matkę.

Hrabia: Cóżto za człowiek?

Figaro (*żywo*): Śliczny, gruby, krótki, młody staruszek, szpakowaty, uczerniony, wygolony, chytry, zużyty, przeżyty, który węszy, szpera, stęka i laje bez przerwy.

Hrabia (*niecierpliwie*). Ech! widziałem go. Charakter?

Figaro: Brutal, skąpy, zakochany i zazdrosny bez miary o pupilkę, która nie-  
nawidzi go śmiertelnie.

Hrabia: Zatem, widoki jego są...

Figaro: Żadne.

Hrabia: Tem lepiej. A uczciwość?

Figaro: Ścisłe tyle, ile trzeba, aby nie poznać się ze stryczkiem.

Hrabia: Tem lepiej. Ukarać lajdaka, kupując własne szczęście...

Figaro: Znaczy osiągnąć za jednym zamachem dobro publiczne i własne: w istocie, arcydzieło moralności, Ekscelencjo!

Hrabia: Powiadasz, że obawa galantów każe mu trzymać drzwi zamknięte...

Figaro: Dla całego świata: gdyby mógł ją zamurować...

Hrabia: Tam do licha, to gorzej! Masz może przystęp do niego?

Figaro: Czy mam! Primo, domek, stanowiący moje mieszkanie, należy do doktora, który trzyma mnie w nim gratis.

Hrabia: A! a!

Figaro: Tak. Ja zaś, przez wdzięczność, przyrzekam im dziesięć dukatów rocznie, również gratis.

Hrabia (*znieczepioniony*): Jesteś jego lokatorem?

Figaro: Co więcej, jego cyrulikiem, chirurgiem, aptekarzem; nie uświadczysz pan w domu doktora ani jednego machnięcia brzytwą, lancetem lub serengą, któreby nie wychodziło z pod ręki pańskiego podnóżka.

Hrabia (*ściska go*): Och, Figaro, przyjacielu, ty będziesz moim aniołem, wybawcą, bóstwem opiekunem.

Figaro: Tam do kaha! jak to potrzeba błyskawicznie zmniejsza oddalenie! Niema, jak kochankowie!

Hrabia: Szczęśliwy Figaro! Ujrzysz moją Rozynę! Czy ty pojmujesz twoje szczęście?

Figaro: Też bajdy zakochanego! Alboż ja się w niej durzę? Obyś pan mógł zająć moje miejsce!

Hrabia: Ach! gdyby można usunąć wszystkie strażę!

Figaro: Nad tem właśnie myślałem.

Hrabia: Bodaj na kilka godzin.

Figaro: Zaprzatając ludzi ich własnymi interesami, broni się im szkodzić sprawom drugim.

Hrabia: Zapewne. Cóż więc?

Figaro (*w zamyśleniu*): Szukam w głowie, czy moja apteka nie mogłaby dostarczyć małych, niewinnych środeczków...

Hrabia: Zbrodniarzu!

Figaro: Czyż ja chcę komu szkodzić? Wszyscy w tym domu potrzebują moich usług. Chodź tylko o to, aby zatrudnić ich naraz.

Hrabia: Ale ten doktor może powziąć podejrzenie.

Figaro: Trzeba działać tak szybko, aby podejrzenie nie miało czasu się narodzić. Przychodzi mi myśl. Pułk następcy tronu przybywa do miasta.

Hrabia: Pułkownik należy do mych przyjaciół.

Figaro: Doskonale. Przedstaw się pan u doktora w mundurze kawaleryjskim, z biletem kwaterunkowym; będzie musiał pana pomieścić; ja podejmę się reszty.

Hrabia: Wyborne.

Figaro: Nie byłoby nawet źle, gdybyś pan wyglądał troszeczkę pod dobrą datą.

Hrabia: Dlaczego?

Figaro: I zachował się nieco za swobodnie pod pozorem zaproszonej głowy.

Hrabia: Ale naco?

Figaro: Aby nie powziął żadnego podejrzenia i aby mniemał, że panu pilniejsze do dobrego łóżka, niż do intryzek w jego domu.

Hrabia: Kapitalnie pomyślane. Ale czemuż ty sam tam nie idziesz?

Figaro: Ja! Bagatela! Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeżeli nie pozna pana, pana, którego nigdy w życiu nie widział na oczy. W jakim sposobie wprowadziłbym pana później?

Hrabia: Masz słuszość.

Figaro: Boję się, że pan nie potrafi odegrać tej trudnej roli. Kawalerzysta... cokolwiek wstawiony...

Hrabia: Żartujesz chyba. (*Przybierając głos pijanego*) Czy nie tutaj mieszkanie doktora Bartolo, mój przyjacielu?

Figaro: Wcale nieźle, na honor; nogi tylko trzeba nieco lepiej napoić. (*Bar-dziej pijano*) Czy nie tutaj...

Hrabia: Hę, to pijaństwo gminu!

Figaro: Ba! najlepsze ze wszystkich, w niem radość!

Hrabia: Ktoś uchylił drzwi.

Figaro: To doktor: usuńmy się, dopóki nie odejdzie.

#### Akt IV, scena VI

(*Figaro zapala wszystkie świece, stojące na stole.*)

Hrabia: Oto ona! Uroczą Rozyno...

Rozyna (*tonem bardzo sztywnym*): Zaczynałam się już obawiać, że pan nie przybędzie.

Hrabia: Czarujący niepokój! Pani, nie godzi mi się nadużywać okoliczności i ofiarować pani, abyś zechciała podzielić los biednego nieboraka; ale, ale jakiegokolwiek schronienie zechcesz wybrać, przysięgam na mą cześć...

Rozyna: Panie, gdyby dar ręki nie miał iść natychmiast w ślad daru mego serca, nie znajdowałbyś się tutaj. Niechaj konieczność usprawiedliwi w pańskich oczach to, co w tym postępku sprzeczne jest ze skromnością płci mojej.

Hrabia: Ty, Rozyno! towarzyszką biedaka bez majątku, bez urodzenia!...

Rozyna: Urodzenie, majątek! Nie mówmy o tych igraszkach trafu; jeżeli upewniasz mnie, że zamiary twoje są czyste...

Hrabia (*u jej nóg*): Ach, Rozyno, ubóstwiam cię!...

Rozyna (*oburzona*): Wstrzymaj się, nieszczęsny!... ty śmiesz bezcześcić!... Ty mnie ubóstwiasz!... Precz! nie jesteś już dla mnie niebezpieczny; czekałam tego słowa, aby cię znienawidzić. Ale, zanim cię wydam na pastwę wyrzutów, jakie cię czekają, (*z płaczem*) dowiedz się, że cię kochałam; dowiedz się, że pokładałam szczęście w tem, aby podzielić twą złą dolę. Nikczemny Lindorze! miałam wszystko porzucić, aby iść za tobą, ale podły sposób, w jaki wyzyskałeś mą sympatję, i niegodziwość

tego szkaradnego hrabiego Almawiwy, któremu mnie sprzedałeś, sprawiły, iż ten dówód mej słabości wrócił w moje ręce? Czy znasz ten list?

Hrabia (*żywo*): Masz go od opiekuna?

Rozyna (*dumnie*): Tak, jemu mam do zawdzięczenia moje ocalenie.

Hrabia: Nieba! jakżem szczęśliwy! On ma go ode mnie. Wczoraj, w zakłopotaniu, posłużyłem się tym listem, aby się wedrzeć w jego zaufanie, i nie mogłem znaleźć chwili powiadomienia cię o tem. Ach, Rozyno! więc to prawda, że ty mnie kochasz prawdziwie!

Figaro: Wasza Dostojność, szukałeś pan kobiety, któraby cię kochała dla ciebie samego...

Rozyna: Wasza Dostojność! co on mówi?

Hrabia (*odrzucając wspaniały płaszcz, ukazuje się we wspaniałych szatach*): O najukochańsza z kobiet! nie czas już zwodzić cię dłużej; szczęśliwy śmiertelnik, którego masz w swoich stóp, to nie Lindor; jest nim hrabia Almawiwa, który umiera z miłości dla ciebie i szuka cię napróżno od sześciu miesięcy.

Rozyna (*osuwając się w ramiona hrabiego*): Ach!

Hrabia (*przestraszony*): Figaro?

Figaro: Niech się Ekscelencja nie obawia, słodkie wzruszenie radości nie pościągło nigdy za sobą przykrych następstw; o, już przychodzi do siebie. Tam do kata, jaka ona śliczna!

Rozyna: Ach, Lindorzel!... Ach, panie, jakżeż zawiniłam: miałam jeszcze tej nocy oddać rękę opiekunowi.

Hrabia: Ty, Rozyno?

Rozyna: Miej na względzie tylko karę, jaka mnie czekała: byłabym strawiła życie na nienawiści do ciebie! Ach, Lindorze, czyż może być straszliwsza katusza, jak nienawidzić, kiedy się czuje, iż jest się stworzoną do kochania?

Figaro (*spogląda przez okno*): Wasza Dostojność, zatrask zamknięty, drabinka usunięta.

Hrabia: Usunięta?

Rozyna (*zmiészana*): Tak, to ja... to doktor. Oto owoc mej łatwowierności. Oszukał mnie. Wszystko wyznałam, wszystko zdradziłam: nie, że pan jesteś tutaj, i przybędzie z pomocą zbrojną.

Figaro (*wygląda jeszcze*): Wasza Dostojność, otwierają bramę od ulicy.

Rozyna (*chroniąc się z przestachem w ramiona hrabiego*): Ach, Lindorzel!...

Hrabia (*z mocą*): Rozyno, ty mnie kochasz! Nie lękam się nikogo; będziesz moją żoną. Będę zatem miał rozkosz ukarać dosyta wstrętnego starca!...

Rozyna: Nie, nie, łaski dla niego, drogi Lindorze. Serce moje jest tak pełne, że zemsta nie może w niem znaleźć miejsca.

## Scena VII

*Rejent, Don Bazyli, Hrabia, Rozyna, Figaro.*

Figaro: Ekscelencjo, to nasz rejent.

Hrabia: I przyjaciel Bazyli wraz z nim!

Bazyli: Ha! co ja widzę!

Figaro: I jakimż trafem, drogi przyjacielu...

Bazyli: Jakimż przypadkiem, panowie?...

Rejent: Czy to jest przyszła młoda para?

Hrabia: Tak, panie. Miałeś pan połączyć tej nocy senorę Rozynę i mnie u cyrulika Figaro; ale woleliśmy wybrać ten dom z przyczyn, które wyjaśnimy później. Czy masz pan z sobą kontrakt?

Rejent: Zatem mam zaszczyt mówić z Jego Ekscelencją panem hrabią Almawiwa?

Figaro: Właśnie.

Bazyli (*na stronie*): Jeżeli poto powierzył mi klucz od bramy...

Rejent: Mam bowiem tutaj dwa kontrakty ślubne, Ekscelencjo, i nie mieszejmy:



oto pański, a oto kontrakt szanownego pana Bartolo z senorą... Rozyną również? Chodzi tu zapewne o dwie siostry, które noszą to samo imię?

Hrabia: Podpiszmy w każdym razie. Don Bazyli zechce nam posłużyć za drugiego świadka.

Bazyli: Ależ, Ekscelencjo, nie rozumiem...

Hrabia: Mój dobry Bazyli, lada drobnostka wprawia cię w zakłopotanie i wszystko cię dziwi.

Bazyli: Wasza Dostojność... ale, jeżeli doktor...

Hrabia (*rzucając mu sakiewkę*): Nie róbże dziecka! Podpisz, a prędko.

Bazyli (*zdumiony*): A!... A!...

Figaro: W czymże widzisz jakieś trudności?

Bazyli (*ważąc sakiewkę*): Teraz już w niczem; ale bo u mnie, skoro raz dałem słowo, trzeba motywów wielkiej wagi... (*podpisuje*).

## NICOLAS CHAMFORT

(1741—1794)

### MAKSYM Y I MYŚLI, CHARAKTERY I ANEGDOTY

#### Część I. Maksymy i myśli

##### Z rozdziału I: Maksymy ogólne.

Trzeba przyznać, że jest rzeczą niemożliwą żyć z ludźmi, nie grając kiedy niekiedy komedji. Co odróżnia człowieka uczciwego od oszusta, to to, że ten gra ją tylko wtedy, kiedy jest zmuszony, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, kiedy tamten natomiast chwytą nadarzające się po temu okazje.

Są dwie klasy moralistów i polityków; jedni widzieli naturę ludzką tylko ze strony wstrętnej i śmiesznej, tych jest więcej: Lucjan, Montaigne, La Bruyère, La Rochefoucauld, Swift, Mandeville, Helwecjusz i t. d. Drudzy widzieli tylko jej stronę piękną i doskonałą: tacy są Shaftesbury i kilku innych. Tamci nie znali pałacu, gdyż zwiedzili tylko ustępy, doń należące. Ci są entuzjastami, którzy odwracają oczy od tego, co je obraża, a jednak istnieją. «Est in medio verum».

Spotykałem mężczyzn, którzy posiadali tylko rozum prosty i prawy, lecz nie mieli umysłu ani bardzo rozległego, ani bardzo wzniosłego, i ten rozum prosty wystarczał im do należytej oceny próżności i głupoty ludzkiej, do tego, żeby sami posiadali poczucie swej godności osobistej i w innych umieli je ocenić. Spotykałem także kobiety, znajdujące się mniej więcej w tem samym położeniu, które prawdziwe uczucie, doznane w młodym wieku, doprowadziło do poziomu tych samych idei. Z tych dwu obserwacyj wypływa, że ci, co przywiązują wielką wagę do tej próżności, do tej głupoty ludzkiej, stanowią najniższą klasę naszego gatunku.

Czytałem, nie pamiętam już w jakim podrózniku(?), że niektóre dzikie plemiona afrykańskie wierzą w nieśmiertelność duszy. Nie usiłując objaśnić, co się z nią staje, wierzą, iż błędzi po śmierci w zaroślach, otaczających ich siedziby, i szukają jej co rano w ciągu wielu dni zrzędu. Nie znajdując jej, zaprzestają poszukiwań i nie myślą o tem więcej. Jest to mniej więcej to samo, co zrobili nasi filozofowie i co też mieli najlepszego do zrobienia.

Najlepsza filozofja w stosunku do ludzi jest ta, w której wesoły sarkazm łączy się z pobłażliwą wzdargą.

Czy ci nie wstyd, że chcesz mówić lepiej, niż potrafisz? — rzekł Seneka do jednego ze swych synów, który nie umiał znaleźć wstępu do przemowy, jaką miał wygłosić. To samo możnaby powiedzieć do tych, co obierają sobie zasady silniejsze od swego charakteru; czy ci nie wstyd, że chcesz być większym filozofem, niż być nim możesz?

W sprawach wielkich ludzie okazują się takimi, jakimi im wypada się okazywać; w sprawach drobnych okazują się, jakimi są.

Żeby ktoś nie zależał od nikogo, żeby był człowiekiem według swego serca, według swoich zasad, według swoich uczuć, oto, co spotykałem najrzadziej.

Trzeba umieć robić głupstwa, których wymaga od nas nasz charakter.

Ambicja łatwiej się chwytą małych duszyczek, niż dusz wielkich, jak ogień ima się snadniej strzech, niż pałaców.

### *Z rozdziału II.*

Człowiek, nieumiejący się wznosić, nie może być dobrym — może być tylko dobrodusznym.

Jeśli Diogenes żył za naszych czasów, latarnia jego musiałaby być ślepa.

Człowiek bez zasad bywa też zwykle człowiekiem bez charakteru, gdyż jeśli się urodził z charakterem, poczułby potrzebę stworzenia sobie zasad.

Więcej jest szaleńców, niż mędrców, i w mędrca nawet więcej jest szaleństwa, niż mądrości.

Wpierw trzeba być sprawiedliwym, następnie dobroczynnym; jak bardziej są potrzebne koszule, niż koronki.

Nieprawdaż, że jest to rzecz zabawna, kiedy się rozważy, iż sława wielu ludzi wielkich polega na tem, że poświęcili cały swój żywot zwalczaniu przesądów lub głupstw, które budzą tylko politowanie i, zdaje się, nie powinny były nigdy mieć dostępu do głów ludzkich? Sława Bayle'a, na przykład, wywodzi się stąd, iż wykazał, ile jest niedorzeczności w subtelnościach filozoficznych i scholastycznych, na któreby wieśniak z Gâtinais, obdarzony wielkim sensem przyrodzonym, wzruszył tylko ramionami. Sława Locke'a pochodzi stąd, iż dowiódł, że nie należy mówić, jeśli się nie rozumie siebie, ani sądzić, że się rozumie to, czego się nie rozumie. Sława wielu filozofów polega znowu na tem, iż ułożyli wielkie księgi przeciw przesądom, od których dziki mieszkaniec Kanady odwróciłby się z pogardą. Sława Montesquieu'go i kilku innych autorów wcześniejszych urosła stąd, iż dali do zrozumienia, zachowując przytem w szacunku mnóstwo przesądów nędznych, że rządzący istnieją dla rządzonych, nie zaś rządzonych dla rządzących. Jeśli marzenie filozofów, wierzących w udoskonalenie społeczeństwa, spełni się, co powie potomność, patrząc na to, ile trzeba było wysiłków do osiągnięcia rezultatów tak prostych i naturalnych?

Falszywa skromność jest najprzyzwoitszem ze wszystkich kłamstw.

Nierzadko zdarza się spotykać dusze słabe, które wskutek obcowania z duszami o tęższym pokroju pragną wznieść się nad własne przyrodzenie. Wytwarza to nie stosowności równie zabawne, jak pretensje głupca do posiadania dowcipu.

### Część II. Charaktery i anegdoty

Zbierano składkę w Akademji Francuskiej; brakowało talara czy luidora, i podejrzewano, że nie dał swej części jeden z członków, znany ze skąpstwa. Ten utrzymywał, że złożył swoją ofiarę. Akademik, zbierający składki, rzekł: «Nie widziałem, lecz wierzę». — «Ja widziałem, lecz nie wierzę» — przeciął dyskusję Fontenelle.

Biskup z Saint-Briene w mowie pogrzebowej na śmierć Marji Teresy wybrnął z trudnej sytuacji w kwestji podziału Polski w sposób bardzo prosty. «Francja» — zawołał — «o tym podziale nie wyrzekła nic, zrobię i ja, jak Francja, i nie powiem również nic».

Pewien literat jednocześnie pracował nad poematem i prowadził proces, od którego zależała jego przyszłość. Znajomi zapytują go, jak mu idzie jego poemat. — «Zapytajcie mnie raczej» — odrzekł — «jak stoi moja sprawa. Bardzo jestem podobny

do owego szlachcica, co, mając sprawę gardłową, nie strzygł brody, gdyż nie wiedział czy głowa mu pozostanie. Zanim zostaną nieśmiertelnym, chciałbym wiedzieć, czy żyć będę».

Do satyryka angielskiego Donnego rzekł ktoś: «Uderzaj pan na występki, lecz oszczędzaj występnych». — «Jakże to» — odpowiedział — «potępiać karty, a przebaczać oszustom?»

Pewien młodzieniec obraził ulubieńca ministra. Kiedy obrażony odszedł, przyjaciel młodzieńca, obecny przy tej scenie, rzekł: «Młodzieńcze, wiedz, że lepiej było obrazić samego ministra, niż człowieka, który towarzyszy ministrowi do garderoby».

J. J. Rousseau był w Fontainebleau na przedstawieniu swego «Wieszczka wiejskiego». Jeden z dworzan zaczął go i rzekł uprzejmie: — «Panie, czy pozwolisz, że wyrażę ci komplement od siebie?» — «Owszem» — rzekł Rousseau — «jeżeli tylko dobry». Dworzanin odszedł; Rousseau czyniono wymówki: — «Co myślisz pan sobie? cóżto za odpowiedź!» — «Rardzo dobra» — odrzeczł Rousseau. — «Czy znacie coś gorszego od niezręcznego komplementu?»

Reaumarchais, który pozwolił się znieważyć księciu de Chaulnes i nie bił się, został wyzwany przez p. de La Blache. «Odmówiłem komuś lepszemu» — była jego odpowiedź.

Pan..., żeby odmalować jednym słowem rzadkość ludzi uczciwych, mawiał do mnie, że w świecie człowiek uczciwy jest odmianą rodzaju ludzkiego.

Filozof, któremu wyrzucano nadzwyczajne umiłowanie samotności, odpowiedział: «W świecie wszystko zmierza do tego, żeby mnie ściągnąć niżej, w samotności zmierza wszystko do tego, żeby podnosić».

Rossuet w żaden sposób nie mógł nauczyć delfina pisania listów. Książę ten był bardzo gnuśny. Opowiadają, że wszystkie swe listy do hrabiny du Roure kończył zawsze jednakowo: «Król wzywa mnie na radę». Kiedy hrabinę skazano na wygnanie, jeden z dworzan zapytał go, czy jest bardzo zasmucony. «Rezwątpienia» — odpowiedział delfin — «lecz przynajmniej uwolniłem się od codziennego pisania listów».

Pewien człowiek dowcipny mówił do mnie kiedyś, że forma rządu we Francji jest monarchją absolutną, łagodzoną piosenkami.

Pewien starzec, widząc, iż nadto dotknęła mnie, nie pamiętam już jaka, niesprawiedliwość, rzekł: — «Moje dziecko drogie, trzeba się nauczyć od życia, jak znosić życie».

Fontenelle napisał operę z chórem kapłanów, który zgorszył dewotów. Arcybiskup paryski żądał, żeby część tę usunięto. «Ja nie mieszam się do jego kleru, niechże on nie miesza się do mojego» — rzekł Fontenelle.

Stanisław, król polski, darzył swemi względami księdza Porquet, nic jednak nie uczynił jeszcze dla niego. Porquet napomknął o tem królowi. «Ależ, mój księżu», — odrzekł król — «wiele jest w tem twojej winy, głosisz zdania zbyt wolnomyślne; utrzymują, że nie wierzysz w Boga; trzeba się hamować; staraj się weń uwierzyć. Daję ci na to rok czasu».

Znałem pewnego mizantropa, który miewał chwile dobroduszości, kiedy mawiał: «Nie dziwiłbym się, jeśliby gdzieś w ukryciu istniał jakiś człowiek uczciwy, którego nikt nie zna».

Pewnego człowieka dowcipnego, który czytał drobne rozprawy d'Alemberta o krasomówstwie, o poezji, o odzie, pytano, co o nich myśli. Ten odpowiedział: «Nie każdy może być suchym».

Złudzenie, mówił pan..., jeżeli chodzi o ludzi, nie wywiera na mnie większego wpływu, niż szkło na pastel. Łagodzi rysy, nie zmieniając ani stosunków, ani proporcji.

Kiedy de Saint-Pierre chciał coś pochwalić, mawiał: «Dobre to dla mnie, przynajmniej na teraz». Nic nie maluje lepiej różnaitości sądów ludzkich i zmienności sądu każdego człowieka zosobna.

Pewien dziennikarz pisał w swej gazecie: «Jedni mówią, że kardynał Mazarin umarł, inni, że żyje; co do mnie, nie wierzę ani w jedno, ani w drugie».

*Tłum. Konrad Drzewiecki.*

## ANDRÉ CHÉNIER

(1762—1794)

### MŁODA LOKRYJKA

«Nie wydaj mię! Uciekaj! On cię zastać może.  
Wstań, bądź zdrów, odejdz z domu przed jego powrotem;  
Stałoby się nieszczęście, moja zguba potem;  
Masz, spójrz, bywaj zdrów, odejdz, patrzaj, błyszczą zorzel»  
Bawiła nas, naiwna taka i wesoła;  
Gdy wtem italski mędrzec podniósł się od stoła;  
Zamyślony, wybladły, chudy i milczący,  
Bosy i czarnobrody, wielbiciel gorący  
Niemego z Samos, co jest w Metaponcie głośny:  
«Nie wstyd wam, Lokryjczycy, takiej rzeczy sprośnej,  
Wam, coście dawniej świętej hołdowali nocio?  
Dziś wasze dziewczki, strojne w purpurze i złocie,  
Otwierają swe usta na śpiew wielce zdrożny.  
A cóżeście zrobili z nauki pobożnej  
Święconego pasterza, który, przez Atenę  
Kształcony, prawom waszym taką nadał cenę?»  
To rzekł i wyszedł. Na niej znać było zmieszanie,  
Łzami jej czarne oczy zasły niespodzianie.  
Myśmy ją pocieszali, zaczęm uśmiech miły  
I pieśni, i wesołość prędko jej wróciły.  
A gdy się już z naszego oddalała grona,  
Poszedł za nią Turyjczyk, dorodny, jak ona;  
Myślę, że poszli razem i że zapomnieli  
Srogiego Pitagora i jego czcicieli.

*Tłum. Edward Porębowicz.*

## WIEK XIX

### JEAN PIERRE BÉRANGER

(1780—1857)

#### KRÓL GWOŹDZIK

Był raz król Gwoździk łaskawy.  
Opowiem wam jego życie:  
Sypiał smacznie i bez sławy,  
Kładł się wczas, wstawał o świcie,  
Wienczył się, zamiast koroną,  
Szlafmycą, w domu robioną.  
Mówiono,  
Oj, niełatwo się spotyka  
Takiego, jak to — królika  
Gwoździka.

Mieszkał w pałacu pod strzechą,  
Kuchnię miał smaczną, niedrogą,  
Zwiedzał kraj, z ludu uciechą,  
Na osle, noga za nogą.  
Z nim razem wesołość płynie,  
A straż powierzał jedynie  
Swej psinie.  
Oj, niełatwo się spotyka  
Takiego, jak to — królika  
Gwoździka.

Żadna z żądź go nie nurtuje,  
 Oprócz pragnienia mocnego;  
 Lecz gdy uczciwie panuje,  
 To co tam komu do tego.  
 Brał ze względu na wydatek  
 W naturze sam od swych dziątek  
 Podatek.  
 Oj, niełatwo się spotyka  
 Takiego, jak to — królika  
 Gwoździka.

Z najpierwszych rodzin dziewczyny  
 Miłością sobie zjednywał;  
 Miał więc lud słuszne przyczyny,  
 Że go swym ojcem nazywał.  
 I robił tak królów wielu?  
 Strzelał tylko na weselu  
 Do celu.  
 Oj, niełatwo się spotyka  
 Takiego, jak to — królika  
 Gwoździka.

Choć się sposobność nadarzy,  
 Nie rozszerza swoich granic;  
 Był wzorem wszystkich mocarzy,  
 Prócz serca — resztę miał za nic.  
 Więc poddani go kochali,  
 I pierwszy raz, gdy chowali,  
 Płakali.  
 Bo niełatwo się spotyka  
 Takiego, jak to — królika  
 Gwoździka.

Dotąd się chowa w narodzie  
 Obraz zanego księżęcia;  
 Na szyldzie, w sławnej gospodzie,  
 Wielkiego używa wzięcia.  
 Tam, co święto, jeśli czyje,  
 Lud, to jego zdrowie pije:  
 Niech żyje!  
 Bo niełatwo się spotyka  
 Takiego, jak to — królika  
 Gwoździka.

*Tłum. M. Rodoc.*

#### SENATOR

Żona moja, skarb uroczy,  
 Róża — dom mój uwesela;  
 Takie przesłiczne ma oczy;  
 Jej winienem przyjaciela.  
 Zaraz po ślubie wieczorem,  
 Poznała mnie z winotorem.  
 Co za honor! mój Boże!  
 Tom kontent z mojej żony!  
 Ach! Panie Senatorze!  
 Ach! sługa uniżony!

Dygnitarz, niedumny wcale,  
 Serce ma nieocenione:  
 Na koncerta i na bale  
 Bierze z sobą moją żonę;  
 Gdziekolwiek się spotykamy,  
 Zaraz się czule witamy.  
 Co za honor! mój Boże!  
 Tom kontent z mojej żony!  
 Ach! Panie Senatorze!  
 Ach! sługa uniżony!

Nie poznałbyś senatora,  
 Gdy Różę bawi rozmową;  
 A gdy żona moja chora,  
 Mam z nim pikietę gotową.  
 Ścisła mnie na urodziny,  
 Fetuje na imieniny...  
 Co za honor! mój Boże!  
 Tom kontent z mojej żony!  
 Ach! Panie Senatorze!  
 Ach! sługa uniżony!

Gdy w domu z powodu słoty  
 Godziny mi nudno lecą,  
 Mówi: «Nie miałbyś ochoty  
 Tak... przejechać się też nieco?  
 Nie daj się prosić dwa razy».  
 Co za honor! mój Boże!  
 Tom kontent z mojej żony!  
 Ach! Panie Senatorze!  
 Ach! sługa uniżony!

Raz w jego rozkosznej willi  
 Byliśmy i nocowali,  
 Mnie szampanem upoił  
 I złożyli w pysznej sali,  
 A Róża gdzie indziej spała...  
 Jaka noc była wspaniała!  
 Co za honor! mój Boże!  
 Tom kontent z mojej żony!  
 Ach! Panie Senatorze!  
 Ach! sługa uniżony!

A gdy wreszcie moja żona  
 Szczęśliwie powiła syna,  
 On go przycisnął do łona,  
 Zawołał: «Moja dziecina!»  
 I wyprawił nam traktament,  
 I wpisał malca w testament.  
 Co za honor! mój Boże!  
 Tom kontent z mojej żony!  
 Ach! Panie Senatorze!  
 Ach! sługa uniżony!

U stołu lubi on śmiechy,  
 Jam znów przy winie otwarty,  
 Więc pod deser dla uciechy  
 Powiadam mu, tak, na żarty:  
 «No! pewnie plotę, mój drogi,  
 Że ty mi przyprawiasz rogi!»  
 Co za honor! mój Boże!  
 Tom kontent z mojej żony!  
 Ach! Panie Senatorze!  
 Ach! sługa uniżony!

*Tłum. M. Rodoć.*

#### MOJA RZECZPOSPOLITA

Tak usidlili przykładów ponęta,  
 Żem zasmakował w rzeczypospolitej;  
 Zrobię ją śliczną, jak nikt nie pamięta,  
 Dam prawa mądre i rząd jednolity.  
 Kupcem w niej będzie piwniczny nasz stary,  
 Sędzią — kto więcej wesela nam doda;  
 Stolik mój — oto jej całe obszary;  
 A godło, hasło, nazwisko — Swoboda!

Zbytek, co kłęski rozpościera wszędzie,  
 Tu się uciechy drasnąć nie ośmieli,  
 Zgoła okowów dla myśli nie będzie,  
 Tego chce Bachus od swoich czcicieli.  
 Niech każdy mówi, co szeptem mu dusza,  
 Drudzy osądzą w miłości i zgodzie :  
 Każdy, gdzie zechce, tam sobie niech; rusza  
 Takie tu wiatry wieją na swobodzie.

Bracia! puharów ujmijmy się żwawo:  
 Zaraz tu senat złożony zostanie.  
 Na pierwszym wstępie — poważną ustawą  
 Skażemy nudy na wieczne wygnanie.  
 Jakto! wygnanie? precz to słowo lepiej,  
 Niechaj go wolne nie znają narody,  
 Do nas się nuda i tak nie uczepi,  
 Kiedy wesolość buchnie za swobody.

Wielmożność w błędach skrzywiła swą postać...  
 Lecz milczy — niechaj śpią cicho pradziady.  
 U nas tytuły nie mogą się ostać,  
 Mieć ich nie będzie pierwszy do biesiady.  
 Jeśli dostrzeżem, iż który się stara  
 Nagiąć pod nogi pokolenie młode,  
 Natychmiast w winie zanurzym Cezara:  
 Będziemy, bracia, ocalać swobodę.

Teraz kolejną uderzmy w kielichy:  
 Rzeczypospolitej niech los się ustalil...  
 Ale mój naród potulny a cichy  
 Drży już z popłochu, że wróg na nią wali!  
 Jest to Lizeta — która nas przyzywa  
 Ulegać władzy, gdzie wdzięki rej wiodą;  
 Chce nam królować... i jest urodziwa...  
 Otóż po wszystkim! bądź zdrowa, swobodo!

*Tłum. W. Korotyński.*

#### PANI DE STAËL-HOLSTEIN

(1766—1817)

#### O PRUSACH

Chcąc poznać Prusy, trzeba zgłębić charakter Fryderyka II. Człowiek utworzył to państwo, któremu wcale nie sprzyjała natura, a które tylko dlatego stało się mocarstwem, że bojownik był jego władcą. Dwóch ludzi bardzo różnych można widzieć w Fryderyku II: Niemca z przyrodzenia, Francuza z edukacji. Wszystkiego tego, co zdziałał Niemiec, w niemieckim królestwie pamiętne zostały się ślady; to, co usiłował Francuz, bezpłodnie zasiane było.

Filozofja francuska wieku XVIII ukształciła Fryderyka II; ta filozofja zło przynosi narodom, kiedy w nich zatrzymuje źródło entuzjazmu; ale kiedy znajduje się rzecz taka, jak monarcha absolutny, życzyć należy, aby zasady liberalne miarkowały w nim czynność despotyzmu. Fryderyk wprowadził wolność myślenia do północnych

Niemiec; reforma religii wprowadziła tam była dysputy, ale nie tolerancję; i przez szczególniejszą sprzeczność nie pozwalano rozprawiać, chyba dumnie zapowiadając fakt tych dysput. Fryderyk podniósł wolność mówienia i pisania, bądź przez owe dowcipne i dotkliwe żarty, które tyle mocy mają nad ludźmi, kiedy od króla pochodzą, bądź też swoim przykładem daleko jeszcze dzielniejszym; nigdy bowiem nie karał tych, którzy mówili lub pisali co złego przeciw niemu, we wszystkich niemal czynach okazując filozofję, której się zasad pilnował.

Zaprowadził w administracji porządek i ekonomję, która siłę wewnętrzną Prus utworzyła, pomimo tego że nie prawie natura nie działała z ich korzyścią. Niema monarchy, któryby się tak prostym okazał w swem życiu prywatnem, a nawet i na dworze, gdzie poczuwał się do obowiązku oszczędzania pieniędzy swych poddanych. We wszystkim zachował poczucie sprawiedliwości, które nieszczęścia młodości i surowość ojca w jego sercu wyrwały. Uczucie to może jest najrzadsze ze wszystkich w sercu wojowników, gdyż wolą raczej być wspaniałymi niż sprawiedliwymi; sprawiedliwość bowiem zdaje się mieć z innymi skłonnościami niejaki związek równości.

Fryderyk do sądownictwa taką wprowadził niezawisłość, że za jego życia i za panowania następców widziano nieraz trybunały, wyrokujące na korzyść poddanych przeciw królowi w procesach, tyjących się interesów politycznych.

Prawda, że niepodobną prawie byłoby rzeczą wprowadzić w Niemczech niesprawiedliwość do sądów. Dosyć są Niemcy usposobieni do stwarzania nowych systematów i poświęcenia polityki, nawet arbitralności; lecz kiedy idzie o prawoznawstwo lub administrację, nie można nie odmówić im zasad innych, prócz samej sprawiedliwości. Duch porządku, nie mówiąc nawet o prostocie ich serca, przywołuje słuszność, stanowiącą podstawę wszystkiego. Nie mniej też chwalić Fryderyka należy za jego poczciwość w wewnętrznym rządzie swego kraju; jest to jedna z jego pierwszych zalet, którą na pewno podziwiać będzie potomność.

Fryderyk nie był czuły, ale miał dobroć; ta zaś oprócz ogólnych przymiotów najlepiej panującym przystoi. Dobroć jednak Fryderyka taki wzbudzała niepokój, jak dobroć lwa; jakoż dawały się niekiedy uczuć szpony jego władzy, nawet pośród łaski i przytudy najwdzięczniejszego umysłu. Ludzie niepodległego charakteru wielką mieli trudność poddać się wolności, którą ten monarcha rozumiał, że im daje, i poufałości, na którą pozwalał; uwielbiając go, czuli, że lepiejby w oddaleniu od niego oddychać mogli.

Wielkiem nieszczęściem Fryderyka było, że ani religji, ani obyczajów dosyć nie szanował. Gusty miał cyniczne. Chociaż miłość sławy nadała myślom jego wyniosłość, rozwiązyły jednak sposób wyrażania się względem najświętszych przedmiotów zrzucił, że nawet jego cnoty nie wzbudzały ufności: cieszą się z nich, potwierdzano, ale miano je zawsze za jakiś rachunek. Wszystko zdawało się pochodzić z polityki w Fryderyku; to, co czynił dobrego, polepszało stan kraju, ale nie doskonalilo moralności narodu. Ogłosił niedowiarstwo i z cnoty kobiet się wysmiewał; nie też bardziej nie mogło się zgadzać z charakterem niemieckim niż ten sposób myślenia. Fryderyk, uwalniając swych poddanych od tego, co zwał przesądem, przytłumiał w nich patriotyzm; gdyż aby się przywiązać do krajów ponurych i bezpłodnych z natury, trzeba, ażeby panujące w nich opinie i zasady były nader surowe. W tych piaszczystych stronach, w których ziemia same tylko sosny wydaje, siła człowieka w jego znajduje się duszy, a gdy się mu odejmie to, co stanowi życie tej duszy, to jest religijne uczucie, samą tylko będzie miał niechęć ku swojej smutnej ojczyźnie.

Wielkie widoki polityczne mogą usprawiedliwić skłonność Fryderyka do wojny. Królestwo jego takie, jakie wziął od ojca, nie mogło się utrzymać, dla zachowania więc całości zwiększał je orężem. Wstępując na tron, miał półtrzecia miliona poddanych, a przy śmierci zostawił sześć. Potrzeba wojska przeskodziła mu wzniecać w narodzie ducha publicznego, którego moc i jedność były uderzające. Rząd Fryderyka opierał się na wojennej sile i cywilnej sprawiedliwości, godził on jedną z drugą przez swoją mądrość; ale trudno jest mieszać razem dwa duchy tak przeciwnej z sobą natury. Chciał Fryderyk, aby jego żołnierze byli wojennymi machinami, ślepo podległymi, a poddani oświeconymi obywatelami, zdolnymi kochać ojczyznę. Nie ustanowił bynajmniej w miastach pruskich władz pośrednich ani też

municypalności takich, jakie się w innych częściach Niemiec znajdują, lękając się, aby czynność bezpośrednia wojskowej służby nie mogła być przez nie wstrzymana; a jednak pragnął, żeby się dosyć w jego państwie ducha wolności znalazło do okazania, że posłuszeństwo z własnej każdego wynika chęci. Pragnął, aby stan wojskowy był pierwszy ze wszystkich, gdyż on mu był najpotrzebniejszy, ale żądał też przytem, aby stan cywilny niepodległe się obok siły trzymał. Fryderyk nakoniec wszędzie chciał widzieć pomoc, a nigdzie przeciwności.

Cudowną jedność wszystkich klas społeczeństwa otrzymuje się tylko wtenczas, kiedy te same prawa wszędzie panują. Może jeden człowiek nadać kierunek dwom przeciwnym sobie elementom, «ale te z jego śmiercią się rozdzielają». Przewaga Fryderyka, wspierana mądrością jego następców, opierała się pewien czas temu, każdy jednak widział w Prusach dwa narody, które się źle łączyły w jedność: wojsko i stan cywilny. Przesady utrzymywały się obok liberalnych zasad, najwyraźniej się ujawniających. Nakoniec obraz państwa pruskiego stanowił, jak postać Janusa, podwójny widok: jeden wojskowy a drugi filozoficzny.

Uwagi te nad Prusami zawierają wszystkie sposoby, które miało to państwo do utrzymywania się i obrony; nic bowiem w rządzie wewnętrznym nie groziło jego niepodległości i bezpieczeństwu; był to jeden z krajów Europy, w którym najwięcej czczono oświecenie, w którym wolność najskrupulatniej była szanowana. W całych Prusach nie widziałem człowieka, któryby się uskarżał na samowolne działania rządu, a jednakże nie byłoby najmniejszego niebezpieczeństwa, gdyby kto na nie narzekał; ale kiedy w jakim kraju szczęście samo jest tylko, że tak powiem, szczęśliwem zdarzeniem i kiedy nie jest ugruntowane na trwałych ustawach, zabezpieczających mu jego siłę i godność, nietrwały jest patriotyzm, a korzyści łatwo oddane bywają trałowi, od którego mniemają się być zależne. Fryderyk II, jeden z najpiękniejszych darów tego trafu, który zdawał się czuwać nad Prusami, umiał stać się szczerze kochanym w swym kraju, a choć go już niema, zawsze jednak kochany jest, jak za życia. W każdym razie Prusy poznały bardzo dobrze, co to jest wpływ wielkiego człowieka, kiedy w swoich rządach pracuje wspaniale, aby się stać użytecznym.

Fryderyk II chciał, aby nie inna literatura, tylko francuska, była w jego państwach; przeto żadnych względów nie miał dla niemieckiej. Nie była ona wprawdzie tak znakomita, jak teraz, ale należało, aby niemiecki monarcha zachęcał do tego wszystkiego, co jest niemieckie. Fryderyk miał zamiar uczynić Berlin nieco podobnym Paryżowi i pochlebiał sobie, że znajdzie w emigrantach francuskich kilku pisarzy i uczonych, że będzie mógł utworzyć literaturę francuską. Taka nadzieja musiała być koniecznie mylną, nienaturalne zabiegi nigdy pożądanego rezultatu przynieść nie mogą; każdy oddzielnie może walczyć z trudnościami, jakie mu stawiają okoliczności, ale wielkie masy zawsze idą za skłonnością przyrodzoną. Fryderyk prawdziwie źle zrobił dla swojego kraju, okazując wzdarcę dla geniuszu Niemców. Stąd to wynikło, że częstokroć inne państwa niemieckie niesprawiedliwe miały podejrzania na Prusy.

Wielu niemieckich pisarzy, słusznie wstawionych, dało się poznać ku końcowi panowania Fryderyka, lecz nieprzyjazna opinia, jaką ten monarcha był powziął w swojej młodości o literaturze własnego kraju, nie wygasła bynajmniej; sam nawet na kilka lat przed śmiercią ułożył małe pisemko, w którym między innymi zmianami podaje myśl, ażeby na końcu każdego słowa dodać jedną samogłoskę dla zmiękczenia języka teutońskiego. Ta niemczyzna, po włosku przebrana, wydawałaby się najśmieszniej na świecie: lecz żaden monarcha, nawet na Wschodzie, nie miałby dosyć mocy, ażeby takim sposobem wpływać nie na układ, ale na dźwięk każdego wyrazu, któryby wymawiano w jego państwie.

Klopstock szlachetnie wymawiał Fryderykowi, że zaniedbywał muzy niemieckie, które mimo jego wiedzy wybiły się, sławę tego monarchy głosząc. Fryderyk nie zgadł bynajmniej, czem są Niemcy w literaturze i filozofji. Chciał tak ćwiczyć literatów, jak swoje wojsko. «Potrzeba» — pisał złą niemczyzną w swoich instrukcjach dla Akademji — «trzymać się układu Boerhave w medycynie, Locke'a w metafizyce a Tomazjusza w historii naturalnej». Nie słuchano przecież rad jego. Nie wątpiono prawie, że Niemcy ze wszystkich ludzi najtrudniejszymi są do wprawienia się w literacką i filo-



zoficzną pracę. Nic nie przepowiadało w nich tej śmiałości, którą okazali później na polu abstrakcji.

Fryderyk uważał swoich poddanych za cudzoziemców, a ludzi, francuskim duchem tchnących, za swoich współrodaków. Wyznać potrzeba, że nie było nic naturalniejszego, jak dać się uwieść tem wszystkim, co tylko było świetnego i podstawowego naówczas w literaturze francuskiej; niemniej też Fryderyk dalekoby się skuteczniej do sławy swego kraju przyczynił, gdyby pojął i rozwinął zdolności właściwe narodowi, którym rządził. Ale jak się oprzeć wpływowi swego czasu, i któryż jest człowiek, któregoby genjusz sam nie był z wielu miar dziełem jego wieku?

## RENÉ DE CHATEAUBRIAND

(1768—1848)

### ATALA

Szaklas opowiada o swem życiu René.

Jednej nocy, kiedy Muskogulgi założyli obóz swój na brzegu lasu, siedziałem przy ogniu wojennym z myśliwym, przeznaczonym do mojej straży. Nagle usłyszałem szmer odzieży, sunącej się po trawie, a wnet kobieta, nawpół zasloną zakryta, usiadła przy mnie. Widziałem łzy, toczące się z pod jej powieki, mały złoty krucyfik błyszczał na jej łonie. Była ona cudownie piękna; rysy jej wyrażały coś tak osobliwego, tak uczucia pełnego, że się temu oprzeć było niepodobna. Łączyła do tego wdzięki jeszcze szacowniejsze: niezmierną tkliwość, z głęboką melancholją złączoną, które przemawiały w jej spojrzeniu; uśmiech jej był anielski.

Myślałem, że to była «Dziewica ostatnich miłości», ta dziewczica, którą wysyłają do niewolników, wziętych na wojnie, dla opiewania ich śmierci. W tem przekonaniu przemówiłem do niej, jakając się i pełen pomieszaną: «Dziewico! ty godna jesteś najpierwszych miłości, bynajmniej dla ostatnich stworzona nie jesteś! Poruszenia serca, które wkrótce bić przestanie, źle odpowiadałyby wzruszeniom twojego. Jakże łączyć śmierć i życie? Dla ciebie aż nadto żałowałbym życia. Niechaj inny szczęśliwszy ode mnie będzie».

Młoda dziewczyna rzekła natenczas do mnie: «Ja nie jestem dziewczicą ostatnich miłości. Czy jesteś chrześcijaninem?» Odpowiedziałem, że nie zdradził duchów mej matki. Na te słowa Indjanka uczyniła mimowolne poruszenie i rzekła: «Żałuję cię, iżżeś nędznym bałwochwalcą. Mnie matka chrześcijanką uczyniła; imię moje Atala. Jestem córką Simaghana ze złotemi bransoletami, wodza wojowników tej gromady. Dążymy do Apalaszukla, gdzie ty spalony będziesz».

Przy świetle księżyca, którego promień właśnie się z poza chmur wymknął, spostrzegłem postać w bieli, pochyloną ku mnie i rozwiążującą więzy moje; chciałem krzyknąć, ale ręka, którą odrazu poznałem, zamknęła mi usta. Jeden jeszcze sznur pozostał, zdawało się niepodobieństwem rozciąć go, nie poruszając śpiącego wojownika, który leżał na nim całym ciałem swoim. Atala dotyka ręką sznura, wojownik budzi się nawpół i przeciąga na swoim posłaniu. Atala patrzy nań nieporuszona, Indjanin bierze ją za ducha nieznanych rozwalin i, wzywając opieki swego Manitu, obraca się na drugi bok i oczy zamyka. Ostatnie rozerwane więzy! i dążę za moją wybawicielką. Atala daje mi do ręki nić, trzymając w swojej drugi jej koniec. Niebezpieczeństwo otacza nas zewsząd! Tu o mało nie zawadzamy dzikich, we śnie leżących, ówdzie straż nas zapytuje. Atala odpowiada zmienionym głosem; to znów dzieci wydadają lęklive krzyki, a psy szczekać poczynają.

...Kiedy jutrzienka rumieni zaczęła szczyty Appalachów, myśmy już byli daleko!

Z jakąż niewysłowioną rozkoszą znalazłem się na pustyni, sam z Atalą, z Atalą, ową zbawczynią, która moją miała zostać na zawsze! Zabrakło mi wyrazów, padłem na kolana przed Simaghana córką, mówiąc do niej: «Ludzie są mało znaczącymi istotami, a gdy duchy do nich wstępują, stają się jeszcze mniejszemi, tyś mi się objawiła! Ty! która jesteś duchem, mówić więc do Ciebie nie mogę!» Atala, podając mi rękę, rzekła z uśmiechem: «Muszę iść z tobą, skoro nie chcesz uciekać beze mnie».

\* \* \*

Atala przed śmiercią do Szaktasa i zakonnika:

...Przebaczcie, drodzy przyjaciele! Słaba jestem, lecz może zdołam być silniejszą, jednakże umierać tak młodą! Kiedy serce jest tak pełne życia! Księżu, miej litość nade mną, wesprzyj mnie. Czy sądzisz, że mogłabym matce mojej? A Bóg czy mi przebaczy czyn mój?...

— Córko moja! — odrzekł pocziwy zakonnik, ocierając łzy, płynące po zwiędłej twarzy, drżącymi, ogołoconymi z palców rękoma: — Córko moja! wszystkie nieszczęścia twoje pochodzą z nieświadomości; wychowanie to twoje dzikie i brak światła zgubiły cię; nie wiedziałaś, że chrześcijanka nie może rozrządzać życiem swoim. Pociesz się więc, biedne dziecko. Bóg ci przebaczy dla prostoty serca twego.

...Ten, co zgłębia tajniki myśli i serc naszych, nie z samych uczynków, ale z intencji sądzić cię będzie! A chęci miałaś zawsze dobre i czyste! *Tłum. H. Skimborowicz.*

## CASIMIR DELAVIGNE

(1793—1843)

### WARSZAWIANKA

Oto dziś dzień krwi i chwały,  
Oby dniem wskrzeszenia był!  
W tęczę Franków, Orzeł biały,  
Patrząc, lot swój w niebo wzbil.  
Słońcem lipca podniecany,  
Woła na nas z górnych stron:  
«Powstań, Polsko, skrusz kajdany,  
Dziś twój triumf albo zgon!»  
«Hej, kto Polak, na bagnety!  
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!»  
Takiem hasłem cnej podniety,  
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

«Na koń!» — woła kozak mściwy —  
«Karać bunt polskich rot,  
Bez Bałkanów są ich niwy,  
Wszystko jeden zgniecie lot!»  
Stój! Za Bałkan pierś tu stanie,  
Car wasz marzy płonny łup,  
Z wrogów naszych nie zostanie  
Na tej ziemi, chyba trup.  
Hej, kto Polak, na bagnety!  
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!  
Takiem hasłem cnej podniety,  
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Droga Polsko, dzieci twoje  
Dziś szczęśliwych doszły chwile,  
Od tych sławnych, gdy ich boje  
Wieńczył Kremlin, Tybr i Nil.  
Lat dwadzieścia nasze męże  
Los po obcych grobach siał,  
Dziś, o Matko, kto poleże,  
Na twem łonie będzie spał.  
Hej, kto Polak, na bagnety!  
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!  
Takiem hasłem cnej podniety,  
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Wstań, Kościuszek, ugodź w serca,  
Co litością mamić śmiał!  
Znałże litość ów morderca,  
Który Pragę zalał krwią?  
Niechaj krew tę krwią dziś płaci,  
Niech nią zrosi grunt zły gość,  
Laur męczeński naszych braci  
Bujniej będzie po niej rość.  
Hej, kto Polak, na bagnety!  
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!  
Takiem hasłem cnej podniety,  
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Tocz, Polaku, bój zacięty,  
Ulec musi dumny car!  
Pokaż jemu pierścień święty,  
Nieulękłych Polek dar:  
Niech to godło ślubów drogich  
Wrogom naszym wróży grób,  
Niech, krwią zlane w bojach srogich,  
Nasz z wolnością świadczy ślub.  
Hej, kto Polak, na bagnety!  
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!  
Takiem hasłem cnej podniety,  
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

O Francuzi, czyż bez ceny  
Rany nasze dla was są?  
Z pod Marenga, Wagram, Jeny,  
Drezna, Lipska, Waterloo?  
Świat was zdradzał — my dotrwali:  
Śmierć, czy triumf — my, gdzie wy.  
Bracia, my wam krew dawali;  
Dziś wy dla nas nic — prócz łzy?  
Hej, kto Polak, na bagnety!  
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!  
Takiem hasłem cnej podniety,  
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Wy, przynajmniej, coście legli,  
 W obcych krajach za kraj swój,  
 Bracia nasi, z grobów zbiegli,  
 Błogosławcie bratni bój!  
 Lub zwyciężym, lub gotowi  
 Z trupów naszych tamę wznieść,  
 By krok spóźnić olbrzymowi,  
 Co chce światu pęta nieść.  
 Hej, kto Polak, na bagnety!  
 Żyj, swobodo, Polsko, żyj!  
 Takim hasłem cnej podniety,  
 Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Grzmijcie bębny, ryczcie działa,  
 Dalej, dzieci, w gęsty szyk!  
 Wiedzie hufce Wolność, Chwała,  
 Triumf błyska w ostrzu pik.  
 Leć, nasz Orle, w górnym pędzie,  
 Sławie, Polsce, światu służ!  
 Kto przeżyje, wolnym będzie;  
 Kto umiera, wolnym już!  
 Hej, kto Polak, na bagnety!  
 Żyj, swobodo, Polsko, żyj!  
 Takim hasłem cnej podniety,  
 Trąbo nasza, wrogom grzmij!

*Tłum. Karol Sienkiewicz.*

## VICTOR HUGO

(1802—1885)

### HERNANI

#### Akt II. Scena V

*Donna Solo, Ernani.*

Donna Solo: Teraz uchodźmy.

Ernani: Teraz wierzę, mój aniele,  
 Żeś gotowa pić ze mną moje gorzkie ziele;  
 Ale nie pora przyjąć tę cierpień osłodę!  
 Przyszłość moja za czarna... sam z nią bój przewiodę.  
 Ten król, przed którym każdy rad się robi pyłem,  
 Nigdy mi nie przebaczy, że mu przebaczyłem...  
 Uchodzi — żądza zemsty pierś mu rozplomienia,  
 Za chwilę będzie w zamku; dość jego skinienia,  
 By poruszyć tłum zbirów, służalców, siepaczy...

Donna Solo: A więc uchodźmy prędeż.

Ernani: Nie, to szal rozpaczy!  
 Był czas, że mogłem roić, jak gdzieś tam ukryci,  
 Zapomnieni, wysnujem przyszłość złotej nici;  
 Lecz dziś, gdy ten król pyszny tchnie gniewem rywala,  
 Niepamięć — nie jest więcej deską, co ocala!  
 Dzisiaj Ernani czuje, czem mu los zagraża:  
 Nie chcę cię nieść na szafot po stopniach ołtarza!

Donna Solo: Będzie to ołtarz krwawszy, lecz nie z twojej winy.

Ernani: Moja ty Donna Solo, mój skarbie jedyny,  
 Prawda, że smutna była mego życia przędza,  
 Że los mnie od kolebki po cierniach upędza,  
 Że mnie zrobił sierotą, tułaczem, nędzarzem;  
 Lecz dał mi ciebie taką, jak aniołów marzem,  
 I dlatego w ostatniej zawolałam godzinie:  
 I ja byłem szczęśliwy i losu nie winię!  
 A dalej nie zajdę — nazywać cię żoną!...  
 Nie wolno zrywać kwiatu ręką potępioną;  
 Bądź innemu ozdobą, moja liljo biała!  
 Zapomnij... tak, zapomnij, żeś mnie kiedy znała.  
 Jesteś niewdzięczny.

Donna Solo:

Ernani:

Powiedz, że jestem szalony,  
 Bo w mojem biednem sercu tak płaczą się tony,  
 Że zamiast niemi pieścić, obrażam i ranię!

- Donna Sola: Ja cię takiego kocham!  
 Ernani: Wierzę w to kochanie,  
 Więc wierzę, że nad siły żadnych ofiar niema;  
 Patrz, patrz jeszcze tak na mnie jasnymi oczyma;  
 Powiedz, żem godzien ciebie i żeś temu rada,  
 Że Ernani ci serce na kolanach składa;  
 Ufaj, że miłość twoja jest cudowną siłą,  
 Co może świat ten zrobić, jakby go nie było!  
 Powtarzaj mi, że nigdy nie będziesz niczyją,  
 Tylko moją...
- Donna Sola: Przysięgam!  
 W dzwony na gwałt biją!  
 Czy słyszysz, mój Ernani?
- Ernani: Do ślubu nam dzwonią,  
 Wzywają nas przed ołtarz, by dłoń spoić z dłońią,  
 Jak się spoity dusze!
- Donna Sola: Ocknij się z marzenia,  
 Patrz jak się Saragossa cała rozplomienia.
- Ernani: Prawda, a więc przy światłach będziem mieć wesele.
- Donna Sola: Jeśli mnie kochasz, chodźmy!
- Ernani: Nie trwóż się, aniele...
- Góral: *(wbiega ze szpadą)*  
 Wodzu mój, widać pełno na placu żołnierza.  
 Oddział zbirów z alkadem w tę tu stronę zmierza;  
 Co począć?
- Ernani: Czy to wroga pierwszy raz widzicie?  
 Przerznąć się albo umrzeć.
- Głosy *(za sceną)*: Naprzód, śmierć bandycie!
- Ernani: Daj mi szpadę!
- (Do Donny Soli)*
- Ten uścisk, ten jeden na drogę!
- Donna Sola: Uchodźmy razem tędy.
- Ernani: Zdradzać ich?... nie mogę.
- Donna Sola: Ernani!
- Głosy: Wodzu do nas!
- Ernani: Wzywa mnie głos bratni!  
 Rozłączmy się... raz jeszcze!
- Donna Sola: Może raz ostatni!

## Akt III. Scena III

*Don Ruy Silva i Ernani, przebrany za pielgrzyma.*

- Ernani: Bóg niech będzie z tobą  
 I z tem, co twoje, książę!
- Don Ruy Silva: Witam cię wzajemnie;  
 Pewnie idziesz z Armillas?
- Ernani: Człek spokojny ze mnie,  
 Te strony, gdzie wre walka, zdaleka obchodzę.
- Don Ruy Silva: A jakież cel pobożnej naznaczyłeś drodze?
- Ernani: Idę do Saragossy, nawiedzić świątynię  
 Matki Boskiej del Pilar, co tak z cudów słynie;  
 Zobaczę, jak jej pięknie w złotolitej szacie;  
 Potem wracam do siebie...

Don Ruy Silva: Twoje imię, bracie?

Ja jestem Don Ruy Silva.

Ernani (z pokorą): Ja, pielgrzym w podróży,  
Nazywam się zwyczajnie.

Don Ruy Silva: Nie tłumacz się dłużej,  
Nie trzeba ci żadnego, poczciwy pielgrzymie,  
Odkąd wszedłeś w te progi, masz «mój gość» na imię.  
Pytałem, żeby pytać — zamilcz, gdy tak lepiej,  
Teraz niech cię ten napój po drodze pokrzepi.

*(książę nalewa puhar i podaje Ernaniemu)*

Ernani: Wybacz mi, zacny książę, że puhar odstawię,  
Gdybym pił, jak chcesz tego, to po starem prawie  
Byłoby to pozyskać za gościnnym progiem  
Obronę przeciw wszystkim, kto bądź byłby wrogiem.  
Książę, nie chcę wybiegiem krępować twej woli,  
Wszedłem z kłamstwem na ustach i kłamstwo mnie boli;  
Ja nie jestem pielgrzymem, co się boju lęka,  
Nie do różańca, książę, nawykła ta ręka:  
Nazywam się Ernani.

Don Ruy Silva: Tyś jest ten bandyta?

Ernani: Czy jestem tem, co głoszą, to się z twarzy czyta.  
Nie, książę, mord, rabunek to nie moje dzieła;  
Jeżeli krew przelewał, wśród bitew płynęła,  
Jeżeli bój rozpoczął, to za słuszną sprawę:  
Honor każe dług płacić, a ja miałem krwawe!  
Ojciec mój, że go swobód boląta utrata,  
Powstał i stracił głowę pod toporem kata!...  
Od kolebki sieroctwo było mym udziałem.  
Ledwie mówić zaczynał, przeklinać umiałem;  
Dzień po dniu do krzywd dawnych przydawał mi świeże,  
Tropiono mnie od dziecka jak drapieżne zwierzę;  
Wzięto mi moje miano, hańbą mnie okryto:  
Więc zostałem tułaczem, zostałem bandytą...  
Ale nie podłża żądza to serce paliła,  
Chciałem zemsty — walczyłem — zawiodła mnie siła!  
Nie pielgrzym, lecz Ernani dziś przed tobą staje,  
Jemu czy dasz przytulęk?

Don Ruy Silva: Nieszczęściu go daję.

Ernani: Czekaj, książę, Ernani nie zwykł brać za słowo,  
Ja nie chcę tej opieki, choć mam grom nad głową,  
Pierw ci powiedzieć muszę, że ten wróg w koronie  
Świadom mej nienawiści i że równą plonie,  
Że odda temu krocie, kto brańca przywiedzie,  
Że pogoń jest wokoło, może z nim na przedzie;  
Pomyśl, na co się twoja naraża opieka.  
Pomyśl, zanim przyrzekniesz...

Don Ruy Silva: Silva raz przyrzeka.

*(słysząc odgłos trąb)*

To odgłos trąb królewskich!

*(idzie do jednego z portretów, naciska sprężynę — ukazują się głęboka kryjówka w ścianie)*

Ukryj się w tej ścianie,  
A póki Silva Silvą nic ci się nie stanie!

## Scena V

*Don Ruy Silva — Ernani.*

Don Ruy Silva: Odjechał ja na starość zostałem sierotą!

*(idzie do portretu, naciska sprężynę, Ernani wychodzi)*

Ernani: Co znaczyła ta wrzawa?

Don Ruy Silva: Nie pytaj mnie o to,

Dość, że jesteś bezpieczny.

Ernani: *(kilka chwil milczy, potem się zbliża do księcia)*

Lecz nim się oddałem,

Pozwól, niech i ja, książę, coś włożę na szalę.

Tyś mi ocalił życie — miej szlachetność całą,

Nie odpychaj wdzięczności, na jaką mnie stało.

*(odpinając róg od płaszcza)*

Weź ten róg — jeśli kiedy znajdziesz się w potrzebie,

Uderz nim w moich górach, a stanę przed ciebie;

Choćbym miał w rękę zemstę za krzywdy doznane,

Choćby niebo przed sobą, uderz nim, a stanę.

Zażądaj mego życia, a będzie gotowe:

Przysięgam ci na honor i na ojca głowę!

## Akt IV. Scena VI

Donna Sola: Co znaczy ten tłum zbrojny? te światła? drzę cała...

Ernani, ty to jesteś?

Don Karlos *(do siebie)*: A mnie nie widziała.

Ernani: Pani!

Donna Sola *(dobywając sztylet)*: Patrz, mam obrońcę.

Ernani: O, moja jedyna!

Don Karlos: Ciszej! Sprawiedliwości wybiła godzina:

Winiennem przykład światu, i świat się przekona,

Żem niedarmo w monarsze przybrany znamiona.

Coście robili tutaj?

Ernani: Najjaśniejszy Panie!

Przypowieść Baltazara ryto tu na ścianie;

Lecz los zawistny nie dał spełnić jej osnowy:

Masz cesarską purpurę, masz z nią nasze głowy...

Don Karlos: Haro, Lara, wy razem z temi bandydami?

Hola! samych przedniejszych niechaj straż wybierze;

Motłoch do turm.

Donna Sola *(widząc, że Ernaniego nie wzięto)*: Ocalali!Ernani *(występując naprzód)*: I ja tam należe!

Tailem moje miano! lecz kiedy Ernani

Ma się rzec chluby przodków, zamiast umrzeć dla niej;

Kiedy od śmierci nicość tylko zabezpiecza:

Dowiedz się, Don Karlosie, żem wart twego miecza.

Bóg, co rozdaje berła, co trony odbiera,

Zrobił mnie hrabią Munru, Gor i Albaterra,

Grandem, księciem Kardony, studzierzawnym panem,

Godność mistrzów z pradziada była mojem mianem;

A z ojca, co dał głowę za wyrokiem tronu,

Jam tułacz od kolebki i wróg twój do zgonu!

Chciałem spłacić rachunek, co się krwią zaczynał:

Ty, królu, miecz dzierżyłeś, ja wzięłem puginal!

Ale kiedy los nasze niweczy zamiary,

Gdy już niema na ziemi dla ciemiężców kary,  
Ginąc, nakryjmy głowy!

*(do króla)*

Niech miecz twego kata,  
Jak na grandów przystało, głowy nasze zmiata!  
Don Żuan Aragoński wart ginąć w ich gronie!  
Don Karlos: Coś nakształt starych legend: świat nie dba już o nie.  
Ernani: Nie dziw, że ten, kto skrzywdzon, lepiej ją pamięta.  
Don Karlos: A więc niechże się kończy, jak była zaczęta.  
Strażyl!

Donna Sola: Królu, straszego nie wymawiaj słowa,  
On ma serce szlachetne — to mego połowa,  
To jest korona moja: walczę w jej obronie,  
Jak ty walczyłbyś za tę, co masz wdziac na skronie.  
Rozpacz wyjść nie powinna za te święte progi,  
Królu, litości błagam, ściskam twoje nogi,  
Tyłem lez już wylała! niechaj póty płyną...

Don Karlos: *(tagodnie, po chwili walki wewnętrznej)*  
Niechaj nie płyną więcej! Podnieś się, hrabino  
Na Gor, na Albatera, księżno na Kardonie.

*(do Ernaniego)*

Jak dalej, Don Żuanie?

Ernani: Przebóg! gdzieś w snach gonię?

Są to królewskie słowa?

Don Karlos: Nie, słowa cesarza.

*(do Donny Soli)*

To okup za lzy twoje.

*(do Ernaniego)*

Wiedz ją do ołtarza!...

## Akt V. Scena V

*Ernani, Don Ruy Silva.*

Don Ruy Silva: «Choćbym miał w rękę zemstę za krzywdy doznane,  
Choćby niebo przed sobą, uderz nim, a stanę;  
Zażądaj mego życia, a będzie gotowe:  
Przysięgam ci na honor i na ojca głowę». Przynoszę słowa twoje i chcę czynu za nie,  
Czy długi Ernaniego płacisz, Don Żuanie?

Ernani: Trzeba ci mego życia?

Don Ruy Silva: W tej chwili wybieraj!

Oto stal i trucizna — wybierz i umieraj.

Ernani: Żegnam cię, ukochana!

Don Ruy Silva *(z szacunkiem)*: Daj mi rękę, książę.

Ernani: Och, zaczekaj do jutra, jutro się wywiążę,  
Jutro umrę dla ciebie — jeśli wierzysz w duszę,  
Jeśli chcesz, by Bóg kiedyś przebaczył twej skrusze;  
Jeśli jedna litości iskra ci została,  
To zaczekaj do jutra — to jest prośba cała.

Don Ruy Silva: Książę, wiesz dobrze o tem, że żądasz nad siły,  
Dziś dzwony twego ślubu na śmierć ci dzwoniły;  
Jabym tej nocy mojej nie przeżył rozpaczy!  
Bierz sztylet lub truciznę!

*(Ernani wyciąga rękę po czarę)*

## Scena VI

*Ernani, Don Ruy Silva, Donna Sola.*

- Donna Sola: Stójcie, co to znaczy?  
Poco była ta zbrodnia? powiedz w imię nieba?
- Ernani: *(wskazując na Silve)*  
Przysiągłem mu, że umrę, jak powie, że trzeba,  
I Aragon żyć dłużej nie może bez płamy.
- Donna Sola: Tyś żyć powinien dla mnie! przeszłości nie znamy;  
Co przyrzekałeś wczoraj, to zniknęło do dnia,  
Oprócz naszej miłości, wszystko szal i zbrodnia!  
*(do Silvy)*  
Niech zmartwieje ta ręka, co po mój skarb sięga!  
Czy słyszysz mnie, Ruy Silvo?
- Don Ruy Silva: Święta jest przysięga!
- Donna Sola: Miłość jest nad nią świętsza — precz od nas, szatanie!  
Ty nie znasz Donny Soli, pierw było udanie,  
Byłam cicha, łagodna przez wzgląd na twe lata,  
Ale nie wierz tym cnotom — ja jestem Hekata!  
*(chwytając za sztylet)*  
Patrzaj na moje oczy, jak się ogniem palą,  
Nie bierz mi mego szczęścia — lub drzyj przed tą stałą;  
Choćbyś był moim ojcem, ty starcze szalony,  
Przestałabym być córką dla jego obrony.  
*(upuszcza sztylet)*  
Ale nie, przebacz, Silvo, ja tobie nie grożę,  
Jestem wątłą kobietą we łzach i pokorze,  
Ja umiem tylko kochać i paść na kolana,  
I błagać cię, mój stryju, nie bierz mi Żuana:  
Wszak widzisz, jak go kocham.
- Don Ruy Silva: Kochasz go za wiele.
- Ernani: Dość, księżno Aragonu.  
*(łagodnie)*  
Dosyć, mój aniele!  
Jeśli cenisz mój honor, podaj mi tą czarę.
- Donna Sola: *(po chwili rozpaczliwego wahania bierze czarę)*  
Chcesz tego, a więc idźmy i do grobu w parę!  
*(pije — podając czarę Ernaniemu)*  
Została ci połowa: znam powinność żony...

*Tłum. Ignacy Barankiewicz.*

## NĘDZNICY

Część V. Księga VII

*Siódmy krąg piekieł i ósme niebo.*

Dnie następujące po weselu zwykle są samotne. Szanujemy skupienie ducha szczęśliwych, a także trochę ich sen opóźniony. Wrzawa odwiedzin i powinszowań rozpoczyna się dopiero później. Dnia 17 lutego z rana Baskijczyk z serwetą i miotełką pod pachą zajmował się porządkowaniem pokoju, gdy ktoś zlekka zapukał do drzwi. Nie dzwonił, przez wzgląd na ten dzień. Baskijczyk otworzył i zobaczył pana Fauchelevent. Wprowadził go do salonu, w którym jeszcze pozostał nieład wczorajszy, jak na pobjowisku wesela.

— Do licha, proszę pana, dziś obudziliśmy się późno.



- Czy pan wstał? — zapytał Jan Valjean.  
 — Jak się ma ręka pańska? — odpowiedział Baskijczyk.  
 — Lepiej. Czy pan wstał?  
 — Który? Dawny, czy nowy?  
 — Pan Pontmercy.  
 — Pan baron? — rzekł Baskijczyk, prostując się.

Baronowie są szczególnie stworzeni dla swoich sług, którzy z tego ciągną zyski, mają bowiem to, co filozofowie nazywają ochlapaniem od tytułu, i to im pochlebia. Mówiąc mimochodem, Marjusz, jakkolwiek republikanin i to w czynie, bo dowiódł tego, stał się mimowolnie baronem. Stała się mała rewolucja w rodzinie z powodu tego tytułu: p. Gillenormand przywiązywał teraz do niego pewną wagę, a Marjusz go nie lubił. Ale pułkownik Pontmercy napisał: «Mój syn nosić będzie mój tytuł». Marjusz był posłuszny. A przytem Cozetta, w której odzywała się kobieta, zachwycona była tytułem baronowej.

— Pan baron? — powtórzył Baskijczyk. — Pójdę, zobaczę. Powiem mu, że pan Fauchelevant czeka.

— Nie. Nie mówcie mu, że to ja. Powiedzcie, że ktoś chce się z nim rozmówić na osobności i nie wymieniacie nazwiska.

— A! — rzekł Baskijczyk.

— Chcę mu zrobić niespodziankę.

— A! — powtórzył Baskijczyk, tłumacząc tem sobie pierwszy wykrzyknik.

I wyszedł.

Jan Valjean pozostał sam.

W salonie wszystko było w nieładzie. Wyteżywszy słuch, możnaby jeszcze dostrześć niknące echa wrzawy weselnej. Na posadzce leżały kwiaty z wieńców i stroików. Wypalone i stopione świece zostawiły na kryształach pająka stalaktyty woskowe. Żaden sprzęt nie stał na swoim miejscu. Kilka krzeseł, ustawionych wkoło, zdawały się ciągnąć dalej gawędkę. Ogólny obraz był powabny. Skończona uczta jeszcze pewien wdzięk pozostawia po sobie. Wszyscy tu byli szczęśliwi. Na tych krzesłach, stojących w nieładzie, wśród tych kwiatów wędnących, pod tem światłem zagastem, myślano o radości. Słońce, zastępując światło pająka, wesoło zaglądało do salonu.

Upłynęło kilka minut. Jan Valjean stał nieruchomy w miejscu, w którym go Baskijczyk opuścił. Był bardzo blady. Zapadłe od bezsenności oczy prawie znikły zupełnie. Czarne ubranie, pomięte, miało zmarszczki odzieży, w której się noc przepędziło. Na łokciach biały meszek, pozostały od tarcia sukna o bieliznę. Jan Valjean patrzył na okno, które słońce u stóp jego rysowało na posadzce.

Zrobił się szmer u drzwi, podniósł oczy.

Marjusz wszedł z podniesioną głową, uśmiechem na ustach, z jakimś światłem na twarzy, z pogodnym czołem i triumfującym spojrzeniem. On także nie spał.

— A, to ojciec! — zawołał, zobaczywszy Jana Valjeana; — ten niedołęga Baskijczyk miał taką tajemniczą minę! A! przychodzi ojciec za wcześnie. Dopiero wpół do pierwszej. Cozetta śpi.

Ten wyraz: ojciec, powiedziany panu Fauchelevant przez Marjusza, znaczył: szczęście niewysłowione. Wiadomo, że między nimi był zawsze jakiś chłód i przymus; lód, który należało złamać lub stopić. Marjusz był tak upojony szczęściem, że przewyciężył przymus, stopił lód i, jak Cozetta, uważał pana Fauchelevant za ojca.

I mówił dalej z wylaniem, właściwem boskim paroksyzmem radości.

— Jakżem rad widzieć ojca! Tak nam cię wczoraj brakowało! Dzieńdobry, ojcze! Jakże ręka? Lepiej, nieprawdaż?

I zadowolony z własnej dobrej odpowiedzi mówił dalej:

— Mówiliśmy o ojcu oboje. Cozetta tak ojca kocha! Niech ojciec nie zapomina, że tu mamy pokój dla niego. Nie chcemy wiedzieć o ulicy Człowieka Zbrojnego. Wcale nam niepotrzebna. Jak można mieszkać na takiej ulicy, chorowitej, nędznej, brzydkiej, z barjerą po jednej stronie, zimnej, wąskiej, gdzie nawet wejść nie można? Ojciec zamieszka z nami. I to od dzisiaj. Inaczej będzie miał ojciec do czynienia z Cozettą. Uprzedzam, że Cozetta postanowiła wodzić nas za nos obydwóch. Czy wi-

dział ojciec swój pokój, jest tuż przy naszym, okna wychodzą na ogród; uporządkowano w nim wszystko, łóżko jest gotowe, tylko czeka na ojca. Cozetta przystawiła do łóżka stare krzesło z poręczami, obite aksamitem, i powiedziała do niego: pamiętaj wyciągnąć ku niemu ramiona. Na wiosnę siada słowik na akacjach nawprost okien. Usłyszy go ojciec za dwa miesiące. Jego gniazdo będzie na lewo, a nasze na prawo pokoju ojca. On będzie śpiewał w nocy, a we dnie będzie gwarzyć Cozetta. Pokój ojca jest od południa. Cozetta uporządkuje książki, podróże Cooka, Vancouvera i inne drobiazgi. Podobno ojciec przywiązuje wielką wagę do jakiegoś kuferka, wyznaczyłem już dla niego miejsce zaszczytne. Podbiłeś ojciec mojego dziadka, podobalesz mu się bardzo. Będziemy mieszkali razem. A czy umie ojciec grać w wista? Dziadek byłby zachwycony. Gdy będę na sądach, ojciec poprowadzi Cozettę na spacer, poda jej rękę i pójdziecie do Luksemburga, jak niegdyś. Postanowiliśmy być najzupełniej szczęśliwi. A i ojciec będzie szczęśliwy naszym szczęściem, nieprawdaż? Cóż, śniadanie będziemy razem jedli?

— Panie — odpowiedział Jan Valjean — mam coś panu powiedzieć. Jestem dawny galernik.

Zdarzają się dźwięki, których, jakkolwiek są ostre, donośne i zbliżone wyrzeczone, ani zrozumieć, ani dosłyszeć niepodobna. Te wyrazy p. Fauchelevant: «Jestem dawny galernik», doszły do uszu Marjusza, ale ich nie usłyszał. Zdawało mu się tylko, że coś mu powiedziano, ale nie wiedział co. Otworzył usta i słuchał.

Wówczas dopiero spostrzegł, że człowiek, który stał przed nim, był straszny. Olśniony szczęściem, nie zauważył dotychczas jego okropnej bladeści.

Jan Valjean odwiązał chustkę, na której wisiała prawa ręka, odwinął płótno i pokazał obnażoną rękę Marjuszowi.

— Nie boli mię bynajmniej — rzekł.

Marjusz spojrział na rękę.

— Nigdy mię nie bolała — powtórzył Jan Valjean.

W istocie nie było żadnego śladu rany.

Jan Valjean mówił dalej:

— Wypadło, żebym nie był obecny na waszym ślubie. Starłem się też, ile było można, być na nim jak najmniej obecnym. Zmyśliłem ranę, aby nie podpisać się na kontrakcie ślubnym, który inaczej byłby nieważny.

Marjusz wybąkał:

— Co to ma znaczyć?

— To ma znaczyć — odpowiedział Jan Valjean — że byłem na galerach.

— Przywodziś mię pan do szaleństwa — zawołał Marjusz przestraszony.

— Panie Pontmercy — rzekł Jan Valjean — byłem dziewiętnaście lat na galerach. Za kradzież. Potem skazany zostałem na całe życie. Za kradzież. Za recydywę. Teraz jestem zbiegiem z więzienia.

Napróżno Marjusz chciał cofnąć się przed rzeczywistością i oprzeć się rzeczy najoczywistszej: musiał się poddać. Zaczynał pojmować i, jak zwykle było w takich razach, rozumiał zanadto. Zadrżał, przeniknięty ohydny światłem wewnętrznym. Jakaś myśl powstała mu w głowie i sprawiała dreszcze. Przewidywał straszną dla siebie przyszłość.

— Mów pan wszystko, powiedz wszystko! — zawołał. — Jesteś pan ojcem Cozetty? I cofnął się dwa kroki z niewymownym poruszeniem zgrozy.

Jan Valjean podniósł głowę z taką godnością majestatyczną, że zdawał się urość do sufitu.

— Potrzeba, żebyś mi pan wierzył — rzekł — chociaż przysięgi ludzi takich, jak ja, nie mają znaczenia w sądach...

Umilkł na chwilę; potem z wszechwładną i grobową powagą dodał, mówiąc powolnie i naciskając na każdą sylabę:

— Będiesz mi pan wierzył. Ja ojcem Cozetty! W obliczu Boga, nie. Panie baronie Pontmercy, jestem chłopem z Faverolles. Pracowałem na życie oczyszczaniem drzewa. Nazywam się nie Fauchelevant, lecz Jan Valjean. Nie jestem żadnym krewnym Cozetty, bądź pan spokojny.

Marjusz wybełkotał:

— Kto mi dowiedzie?

— Ja. Kiedy mówię, trzeba wierzyć.

Marjusz spojrział na tego człowieka. Miał postać grobową i spokojną. Żadne kłamstwo nie mogło wyjść z tego spokoju. Co jest lodowate, jest szczerze. Czuć było prawdę w tym chłodzie grobu.

— Wierzę panu — rzekł Marjusz.

Jan Valjean skłonił głowę, jakby na znak, że go trzyma za słowo, i mówił dalej:

— Czem jestem względem Cozetty? Prostym przechodniem. Przed dziesięciu laty nie wiedziałem nawet, że ona żyje na świecie. Kocham ją, to prawda. Gdy się widzi drobne dziecię, sam będąc już starym, kocha się je mimowolnie. Staremu się zdaje, że jest dziadkiem wszystkich małych dzieci. Zdaje mi się, że pan możesz przypuścić, iż mam coś podobnego do serca. Była sierotą, bez ojca i matki. Potrzebowała mię. I dlatego ją pokochałem. Dzieciny są tak słabe, że pierwszy lepszy, nawet taki jak ja, człowiek może być ich opiekunem. Spełniłem ten obowiązek względem Cozetty. Nie myślę nawet, by taka bagatela nazywała się dobrym uczynkiem; ale jeśli to jest dobry uczynek, więc przypuść pan, że go spełniłem. Zanotuj tę okoliczność łagodzącą. Dziś Cozetta opuszcza moje życie; dwie nasze drogi się rozchodzą. Odtąd nie mogę nic dla niej uczynić. Jest panią Pontmercy. Jej opatrzność się zmieniła. I Cozetta zyskuje na zmianie. Wszystko się dobrze układa. Co do sześciuset tysięcy franków, nie mówisz mi pan o tem, ale wyprzedzam myśl pańską; jest to depozyt. Jakim sposobem dostał się w moje ręce? Co to obchodzi pana? Oddaję depozyt. O nic więcej nie potrzebujecie mię pytać. Uzupełniam restytucję, wymieniając moje prawdziwe nazwisko. To także mię dotyczy. Wiele mi na tem zależy, byś pan wiedział, kto jestem.

I Jan Valjean spojrział w oczy Marjuszowi.

Marjusz doświadczał jakichś mętnych, niezgodnych z sobą wrażeń. Pewne wichry losu napędzają takie bałwany do naszej duszy.

Każdy z nas doświadczał tej zawieruchy wewnętrznej, rozpraszającej w nas wszystko; mówimy słowa bez związku, od rzeczy, i co innego, niżbyśmy chcieli powiedzieć. Bywają nagle objaśnienia nieznośne, które odurzają, jak zgubne wino. Marjusz osłupiał wobec nowego położenia i niezdolny był przemówić do tego człowieka, prawie gniewając się nań za wyznanie.

— Ale nakoniec, poco mi pan to mówisz? Co do tego cię zmusza? Mógłbyś pan schować dla siebie tę tajemnicę. Nie denuncjowano pana; nie śledzą ani ścigają. Masz pan jakiś powód, że chętnie czynisz takie odkrycia. Dokończ pan. Coś jest w tem. Z jakiego powodu czynisz pan to wyznanie? Jaka pobudka?

— Jaka pobudka? — odpowiedział Jan Valjean głosem tak niskim i głuchym, jakby raczej z sobą, a nie z Marjuszem rozmawiał. — W istocie z jakiej pobudki ten galernik mówi — jestem galernikiem? Otóż powiem: pobudka jest dziwna. Jest nią uczciwość...

#### Z «LEGENDY WIEKÓW»: SEN BOOZA

Legł Booz na spoczynek w ciężkim znoju czoła;  
Dzień cały pracowicie spędził na swym łanie,  
Później na zwykłym miejscu uczynił posłanie  
I spał, brogami zboża otoczony wkoło.

Starzec ten miał dostatkiem żyta i pszenicy,  
Ale, choć bogacz, cnotę miłował jedynie;  
Nie było błota w wodzie u niego przy młynie,  
Nie było piekła w ogniu u niego w kuźnicy.

Włos brody srebrną strugą na piersi mu spływał;  
Sno pa swego nie skąpił zawistnie i chciwie;  
Gdy ujrzał pokłośnicę ubogą na niwie:  
«Rzucajcie kłos umyślnie!» — sługom nakazywał.

Mąż ten prawy szedł zdala od ścieżki pochyłej,  
Cnotą swoją, jak szatą śnieżystą, okryty;  
A zawsze w stronę biednych lejąc zdrój obfity,  
Brogi jego, jak studnie okoliczne były.

Gospodarny, oszczędny, a jednak był hojny,  
Dobry dla swej czeladzi, o los krewnych dbały;  
Chętniej nań, niż na młodzież, niewiasty patrzyły,  
Bo młodzian tylko piękny, lecz starzec dostojny.

Starzec, który ku źródłu pierwotnemu kroczy,  
Wita byt wiecznotrwały, a żegna dni zmienne;  
I w oku jego światło jaśnieje promienne,  
Gdy młodzież ma li ogniem gorejące oczy.

\*

Uspity więc Booza słodkie, nocne wieczasy;  
Przy brogach, jak zwaliska sterczących lub skały,  
Wkoło śpiących żniwiarzy gromadki szarzały.  
A działo się to w dawne, bardzo dawne czasy.

Lud izraelski wówczas wiodła sędziów ręka;  
Ziemia, gdzie, koczownicze tworząc gromady,  
Człowiek z trwogą spoglądał na olbrzymów ślady,  
Z potopu była jeszcze wilgotna i miękka.

\*

Booz tedy w namiocie legł, zamknąwszy oczy,  
I zasnął, jak spał Jakób, jak Judyta wdowa;  
Aż oto, niebios bramy otwarłszy, Jehowa  
Na siwą głowę starca spuścił sen prorocy.

Sen był taki, że niby Boozowi z łona  
Dąb wyrasta, aż w niebios wysokie sklepienia;  
Po nim długim łańcuchem idą pokolenia,  
Król śpiewa u podnóża, u szczytu Bóg kona.

I szeptał głosem duszy Booz zadziwiony:  
— «Jako? Być-że to może? Ze mnie to się zrodzi?  
Ósmy dziesiątek liczba lat moich przechodzi,  
A Bóg mi nie dał synów i nie mam już żony.

«Dawno już ta, co ze mną dzieliła me łoża,  
Rzuciła me domostwo dla twego sklepienia,  
I związaniśmy dotąd węzłem zespolenia,  
Ona napoty żywa, ja pólmartwy, Boże!

«Nowe plemię mam wydać? Wierzyłyby się miało?  
I jakże to być może, abym spłodził dziecię?  
Gdy się jest młodym, ranek triumfalnie świeci  
I dzień wychodzi z nocy ze zwycięzcy chwałą;

«Lecz starzec, jako w zimie brzoza, stoi drżący;  
Na me życie samotne, wdowie, zmierzch już pada,  
Dusza moja do grobu już chyli się rada,  
Jak chyli się ku wodzie w znoju wół pragnący».

Tak mówił Booz, zdjęty sennemi zachwyty,  
 Oczy we śnie tonące zwracając ku Panu;  
 U stóp swoich nie czuje róży cedr Libanu,  
 On nie czuł do stóp jego przypadłej kobiety.

\*

Bo gdy spoczywał we śnie, Rut, Moabitanka,  
 Legła u nóg Booza, z piersią obnażoną,  
 Czekaając, rychło jakieś nieznanne zapłoną  
 Promienie w przebudzeniu się nagłym poranka.

Lecz Booz o niewieście nic nie wiedział wcale.  
 Nie wiedziała Rut, czego sam Bóg żądał po niej.  
 Powietrze było pełne słodkich kwiatów woni,  
 I rzeźwy oddech nocy owiewał Galgałę.

A cienie uroczyste, weselnie godowe,  
 Drżały pewnie aniołów niewidzialnych lotem,  
 Bo raz wraz popod ciemnym niebiosów namiotem  
 Coś migało, jakgdyby skrzydło lazuruwe.

A z oddechem śpiącego Booza mieszały  
 Szmer głuchy między mchami szeleszczące zdroje.  
 Natura miała wówczas wszystkie czary swoje,  
 Wzgórza stały przybrane w wieniec lilij biały.

Booz spał, Rut marzyła. W czarnych traw spokoju  
 Zcicha brzmiały grzechotki pasącej się trzody;  
 Z nieba spływała dobroć bezbrzeżnej ostody;  
 Godzina, gdy lwy idą łagodnie do poju.

Wszystko w Ur, w Jerymadet leżało w śnie; w niebie  
 Gwiazdy błyszczały, na tle ciemnym i głębokiem;  
 Nów wąski wśród tych kwiatów, hodowanych mrokiem,  
 Polyskał na zachodzie. Rut pytała siebie.

Nieruchoma, przez rzęsy patrząc z pod zasłony:  
 Jaki Bóg, jaki żniwiarz wiecznotrwałych plonów,  
 Porzucił tak niedbale, schodząc z swych zagonów,  
 Na ściernisku gwiazdzistem ten swój sierp złocony.

*Thum. Adam Plug.*

## ALPHONSE DE LAMARTINE

(1790—1869)

### JOCELYN

Jocelyn rzeka się majątku, aby zapewnić swej ukochanej siostrze większy posag. Sam zaś poświęca się stanowi kapłańskiemu. Przed ostatnimi święczeniami rewolucja zmusza go do opuszczenia seminarjum i schronienia się w górach, gdzie w grocie żyje zdala od świata. Traf zrządził, że do tej samej groty przybywa młodzieńca Laurencjusza, którym, po zamordowaniu ojca, opiekuje się Jocelyn. Wkrótce, gdy okazało się, że młody Laurencjusz jest przebraną dziewczyną, dwoje młodych łączy gorąca miłość. Jednak konający biskup z Grenoble wzywa Jocelyna i każe mu przyjąć święcenia kapłańskie. Z bólem wyrzeka się Jocelyn Laury i pełni obowiązki księdza w małej wiosce górskiej. Laura tymczasem prowadzi dość burzliwe życie w Paryżu. Po jakimś czasie Jocelyn zostaje wezwany do konającej podróżniczki, w której poznaje Laurę. Spowiedź odkrywa mu prawdę, iż Laura kochała tylko jego, a w uciechach światowych szukała zapomnienia. Umarłą Laurę chowa Jocelyn w grocie, w której po wielu latach zostaje też pochowany.

Dziennik, pisany wierszem, dzieli się na prolog, 9 epok, epilog, nowy epilog.

## Z epoki III-ciej

Dzieci!... już tak nie mogę nazwać Laurencjusza!  
Lat szesnaście — to młodość — rozkwita w nim dusza,  
I skroń prawie narówni z mojem czołem dźwiga,  
I w biegu moja stopa ledwo go dościga;  
Tylko głos tkliwy, srebrny, anielskiemi tony  
Zachował dźwięki mowy dziecinnej, pieszczonej,  
I nieraz jego drżące, harmonijne brzmienie,  
Śród marzeń, głosu siostry wyzwie mi wspomnienie.  
Wówczas na chwilę serce, tym dźwiękiem tracone,  
Wymyka się i leci w te czasy minione,  
Gdy, bywało, przed laty tkliwy głos niewieści,  
Głos siostry albo matki ucho moje pieści,  
Głos, co czarem ożywiał ognisko domowe  
I uroczą muzyką kołysał mi głowę.  
Marzę — z nieobecny mi myśl stękniona gwarzy;  
Płaczę, Laurencjusz wbiega i z troską na twarzy  
Siada mi na kolana i w milczeniu patrzy,  
I pyta, o czem myślę, skąd łzy, czemu bledszy?  
Mówię o mem dzieciństwie, on mnie ze łzą słucha:  
«Jak oni cię kochali!» — a potem wybucha —  
«I ja cię również kocham; czylim ci nie bratem?  
«Tyś mi zastąpił ojca nawet, tyś mym światem».  
Potem na jednym głazie obaj wsparci czołem,  
Siedząc naprzeciw siebie, długo płaczą razem.

Lecz gdy mnie z rozmarzenia zbudzi głos uroczy,  
Kiedy podniosę głowę, by z łez otrzeć oczy,  
Kiedy rozpogodzony, z rozkoszą tajemną  
Widzę tę twarz prześliczną, jeszcze w łzach przede mną,  
Jak się również podnosi, rozjaśnia, rozświeca,  
Niby żywe zwierciadło mych oczu i lica,  
Jak cień żywy, co moje uczucie i myśli  
Swemi zmysły i sercem odbija najściślej;  
Gdy wspomnę, iż rodzinę i kąt, gdzie się rodził,  
Bóg mi łaskawy w jednej istocie nagroził,  
Że we mnie ma sierota jedyną podpórę,  
Że on istnieje dla mnie, jak dlań pierś ma gore,  
Że dłoń ma jego dłonią, mojem — jego życie,  
Że Bóg sam przyjaźń naszą zasnuł w swym błękanie,  
O, wówczas łzy przestają oczy moje rosić  
I w tem jednym uczuciu widzę szczęścia dosyć!

... Te myśli (zawsze o nim coś mię myśleć zmusza)  
Przyszły mi raz, gdym patrzył w lica Laurencjusza.  
Nigdy może na skroni Bóg piętnastoletniej  
Nie wrył duszy ludzkiej powabniej i świetniej  
Tyle piękna, iż oko w zwątpieniu nie zdoła  
Rozróżnić, czy ogląda dziecię czy anioła;  
Ile czystości w duszy u świtania bramy,  
Ile przezroczyści w źrenicy bez plamy,  
Ile szalu w rozkwicie życia najwspanialszym,  
Ile rzewnej tkliwości w sercu już dojrzalszem!  
Czy na rysach powaga, czy uśmiech pogody,  
Wszystko zlewa się w całość doskonałej zgody,

I według tych promieni, jakie myśl rozświeca,  
 Mknie po nich pomrok cienia albo błyskawica,  
 Błyszczą wspaniale w oczach, jak słońca smug złoty,  
 Barwi się na policzkach rumieńcem szczeroty,  
 Toczy się po powiece przezroczystą lezką,  
 Przepląta w oku dumką zbląkaną niebieską,  
 Wyżłabia ponad brwiami fałdy zamyślenia  
 I skupia się, i kryje wśród brwi gęstych cienia,  
 Nieokreślonym pragnieniem drży na wardze świeżej  
 Albo w tęsknym uśmiechu na usta wybieży.  
 Gdziekolwiek młodzian przeszedł — rzekłbyś przeszło słońce,  
 Jakby siał z wnętrza swego światło palające.

#### E p o k a IV

Duszę moją rozdarła gromu błyskawica!  
 To dziecko, ten Laurencjusz, ten druh — to dziewica...  
 Ta ślepa przyjaźń nasza — to miłości szaty!  
 O, skryjcie wstyd przed słońcem, wy, cieniste skały!...

\*

...Pomieszanem spojrzeniem powiodła dokoła;  
 Aż przemówiła mową tkliwą i przycichła:  
 «To prawda — ty wiesz wszystko!... O, gdy śmierć mię wola,  
 Przebac mi, Jocelynie, i niech skonam rychło,  
 Jam cię zwiódła; to ojciec tak kazał w chorobie;  
 Wymógł przysięgę, jam ją musiała szanować.  
 On w godzinie konania kazał tajnie chować  
 I nikomu nie odkryć płci mej, nawet tobie.  
 Czy przypuszczał, że pod tej odzieży opieką  
 Życie jego dziecięcia pewniejsze daleko,  
 Czy inną przezornością rządził się w tym względzie?  
 Jam go musiała słuchać, jak ślepe narzędzie.  
 Ileż mię kosztowało skrywać się od ciebie!  
 Ach, raczej winnam była pomnieć o zniewadze  
 Twej wiary — i że uczuć i myśli w nas władze  
 Złączone, nierozdzielne na ziemi i w niebie.  
 Mamże ci wszystko wyznać? Często już myślała  
 Przemówić — w duszy miałam to postanowienie;  
 Zaczynałam, lecz w chwili, gdym się zdradzić miała,  
 Jakaś dłoń wstrzymywała ust moich zwierzenie.  
 Nazbyt długom czekała, więc straciłam śmiałość;  
 Rumieniec wstydu zaćmił czoła mego białość;  
 Znałam też dzieje twojej młodości pobożnej  
 I następstw się ufności bałam nieostrożnej.  
 Lękałam się spojrzenia, jakiegoś mi rzucił,  
 Dźwięku głosu, słów zimnych, jakiegoś powiedział.  
 To słowo — wszak to dla mnie wieczny z życiem przedział!  
 Zmarłabym u nóg twoich, gdybyś mię odrzucił!  
 Mogłażem mieć odwagę do przedwczesnych zwierzeń?  
 Stokroć więcej niż życie składając na szali,  
 Wolałam czekać mojej godziny uderzeń,  
 Losów, co mię ku tobie przywiodły z oddali;  
 Żyć dziś, przyszłość do dalszej odkładając mety,  
 W Bogu, w czasie, w mej doli położyć nadzieję —  
 Dzień ten nieszczęsny nadszedł zbyt wcześniej, niestety!

Lecz jeśli się twe serce, jeśli dłoń zachwieje,  
Ja się o tem nie dowiem w mem cichem ukryciu...  
Szukałam burzy, skonu pod twojemi stopy!  
Ochotnie na śmierć twemi rzuciłam się tropy;  
Otchłań mię tylko bierze — tyś został przy życiu.  
Wiesz wszystko; lecz zmarłej zdołasz-że przebaczyć?»

O! Aniołowie Pańscy! macieź dosyć cnoty,  
By bez żadnej litości na siebie nie baczyć?  
Zabić się, rozdzierając pierś drogiej istoty?  
Jam śmiertelnik, jam nędzny zlepek krwi i kości,  
Padłbym, gdybym w jej łono utopił stal ostrą,  
I, odrzucając dary ofiarnej miłości,  
Rozdarł dwie dusze. Rzekłem: «Przebaczam ci, siostrzo,  
Dziecię moje, sieroto; święcę usta memi  
Miłość twą dla mnie i tę, którą cię obdarzam.  
Wszelkiem imieniem świętem, jakie jest na ziemi.  
Nazywam cię... i kocham, nowe dla cię stwarzam;  
Żyj, by wszystkie postyszeć i powtórzyć wzajem!  
Niech nas sam Bóg oświeca, twórca naszych losów,  
I w puszczy, gdzie nas zamknął, zrobiwszy ją rajem,  
Żyjmy, jak czyste duchy w obliczu niebiosów.  
Uczucie zdajmy Bogu, on rozstrzygnie snadnie,  
Miłością czy przyjaźnią nazwać je wypadnie!»

## E p o k a V

Czy to ja? Gdzie ja jestem? Boże, bądź obroną!  
Niech skrzydła Twych aniołów będą jej osłoną!  
Porzuciłem Laurencję wśród skał — bez powrotu!  
Czyż rozbite me serce wolne od zarzułu?

Lecz, Boże mój! Czyż mogłem odepchnąć błagania  
Starca, wołającego w godzinę konania?  
Zgłuchnąć na głos pasterza, oprzeć się wyrokom  
Tego, co przewodniczył mym dziecięcym krokom,  
W poczet świętych lewitów przyjął mię z ochotą  
I kochał — nie dla zasług, lecz, żem był sierotą,  
Ubogim, opuszczonym — i w tym świętym progu  
Był przyjacielem, mistrzem, był mi ojcem w Bogu!

Gdy za całe pałace w ciemny loch zepchnięty,  
Kiedy urząd biskupi, stan kapłański święty,  
Poczytany za zbrodnię, za wyrok posłużył,  
Kiedy gmach rusztowania śmierć bliską mu wróżył,  
Gdy, prawie wychyliwszy kielich swojej męki,  
Szukał druha w pamięci, pragnął bliskiej ręki,  
I moje imię przed nim wskrzesło onej pory,  
Zażądał mej pomocy i błagał podpory,  
Gdy zrządzeniem cudownem, więc Boskiem widocznie,  
Głos męczeński w te góry doleciał niezwłocznie,  
Czyliż mogłem nikczemnie ułęknać się kaźni  
I pozwolić mu skonać bez głosu przyjaźni?  
Nie, nie, byłbym niewdzięczny, podły, przენiewierca!  
Jakież szał mógł tę drogę kryć od mego serca?



Laurencjaby mię sama pełnęła ku offerze.  
 O, jaki dziwny obrót nieraz życie bierze!  
 Jak prostemi środkami Pan znaczy nam dołę,  
 W której my widzimy cuda lub trafu swawolę!

\*

Dzisiaj bezsilny, samotny, udałem się w góry,  
 Od rana, lecz wprzód siostra biskupa, przy której  
 Szedł pasterz — a ja chwiejny, niepewny i drżący  
 Piąłem się, jak zwątpiały lub na śmierć idący.  
 Przybywszy nad zatokę, której wrzące fale  
 Obniżyły się znacznie w trzechdniowym upale,  
 Odszukałem dwie sosny, ze sobą spojone  
 I z brzegu na brzeg drugi, jak most, przerzucone.  
 Znać je ręce pasterzy dźwignęły nad wody,  
 Aby pobożną siostrę mogli wieść bez szkody.  
 Tylko co przejść musieli, bo głos mię dochodził.  
 Wąwozami, po których tylem razy brodził  
 Śród zabaw — jam ich ubiegł, gdy szukali przejścia  
 I, nim grocie dostrzegli, stałem już u wejścia.  
 O! jakim tam być pragnął! lecz serce mi drżało  
 I, kiedym wejść próbował — nagle sił nie stało.  
 Więc odgarnąłem ręką bukowe gałązki,  
 Drugą zwisłem na skale, kędy otwór wąski  
 Stanowił okno — stamtąd bez tchu, z błędnem okiem,  
 Nurtowałem głąb groty spojrzeniem głębokiem!  
 Ujrzałem ją i sercem trwałem w uniesieniu!  
 Lecz wargi me stłumiły ten okrzyk w milczeniu.  
 Była nawpół klęcząca, skurczona, przysiadła,  
 Jakgdyby od znużenia do skały przypadła,  
 Skroń bladą, zadumaną, jakby przytłoczoną  
 Ciężarem gorzkiej myśli, schyliła na łono.  
 Oslabłe rączki spłotła na kark wiernej łani,  
 Która zasypia wsparta o kolana pani,  
 Lecz, gdy w bezwładnym splocie drganie się przejawia,  
 Zmysłne zwierzę łeb wznosi i ucha nadstawi,  
 I tak tkliwym spojrzeniem pogląda zdaleka,  
 Jakby wspólnie czekało, kogo ona czeka.  
 Włos splątany w nieładzie splotywał rozpleciony,  
 Wzrok pod spuszczoną rzęsą był smutny, przyćmiony.  
 Czasem wznosiła oczy, jakgdyby dlatego,  
 By dać spłynąć łzom, które nie czuła, jak biega;  
 I nierównym oddechem jej łono się wzdyma,  
 Lub westchnienie uleci, lub łkań nie powstrzyma...  
 I gdy jej ucha z góry doleciał skrzyp kroków,  
 Porwała się zbudzona z odrętwienia oków;  
 I sztywna, jak umarły z mogiły wskrzeszony,  
 Leciąca z otwartymi szeroko ramiony:  
 «Jocelyn!» — Siostra weszła. — «Boże, więc go niema».  
 I osłabła, o skałę wsparła się plecyma,  
 I całą trwogę duszy odbiła żrenica,  
 Gdy w siostry i pasterzy wpatrzyła się lica.  
 «Córko» — rzekła jej siostra — «pójdź, nie patrz strwożona.  
 Ja cię jak własne dziecko przytulę do łona.  
 Bóg, który ci dał brata, dzisiaj rwie ogniwo,  
 Ale na miejsce brata śle ci matkę tkliwą».

Wówczas w niewielu słowach tłumaczę rzecz całą:  
 Jakim okropnym ciosem niebo mię zламаło,  
 Jak śmierć, wyrwawszy śluby, bez rozmysłu zgola  
 Pchnęła mnie zboląlego na służby Kościoła,  
 I że odtąd me imię i przeszłość miniona  
 Powinny się na wieki wygładzić z jej łona...

\*

Pójdę, uwiążę ducha w tych dzikich rozłogach,  
 Będę krwawił me stopy po najcięższych drogach.  
 Pobłogosław mi, Panie; z sercem spopieliałem  
 Przez miłość, skaran za to, że nazbył kochałem.  
 Niech tu zgaszę uczucia, aż znowu rozploną  
 U ołtarzy, niech święciej goreje mi łono;  
 Lecz, by ukochać w Tobie, dla Cię — duszę biedną —  
 Wszystkich zamiast jej jednej — we wszystkich — ją jedną!

*Tłum. A. M.*

### ALFRED DE MUSSET

(1810—1857)

#### BALLADA DO KSIĘŻYCA

To księżyc z poza obłoku  
 Dzwonnicę złoci o zmroku  
     I łśni,  
 Jako ta kropka nad i.

Księżycu, jakież złe duchy  
 Kierują w cieniu twe ruchy,  
     Że masz  
 Tak błady profil i twarz?

Czyś okiem nieba, księżycu?  
 Któryż łotr-Cherub na licu  
     Twem chce  
 Nas lornetować przez mgłę?

A może glob twój się błąka,  
 Jak tłusty tulów pajaka,  
     Jak krąg,  
 Nóg pozbawiony i rąk?

Powiedz, nie jesteś ty czasem  
 Owym żelaznym kompasem  
     Dla dusz,  
 Co w piekle smażą się już?

Czy też dziś sobie rachują  
 Ci, co po czole swem snują  
     Dni ślad,  
 Ile ich wieczność ma lat?

Może to robak cię toczy,  
 Gdy się twa tarcza tak mroczy  
     I gdy  
 Wąziutki cofasz się w mgły?

Któż wczoraj wykuł ci oko,  
 Gdyś w noc wypłynął głęboką?  
     Czy krzew  
 Wysadził kolec wśród drzew?

Byłeś tak błady okrutnie,  
 Z za szyb widziałem, jak smutnie  
     Mkniesz wdal.  
 Doprawdy, aż mi cię żal!

Płyn konający, płyn dalej,  
 Już ciałko Feby w mórz fali,  
     Już stąd  
 Znikły i włoski jej blond.

Tys niczem innym, jak twarzą,  
 Rychło się ślady twe zmażą,  
     I w mrok  
 Już cię nie ujrzy nasz wzrok.

Zwróć nam łowczynię wspaniałą,  
 Z łonem dziewiczem, tę białą,  
     Co w świt  
 Goni jelenia. Ach, cytl...

Tam, pod zielone jawory,  
 Cwałuje Diana, wśród sfory,  
     Jej chart  
 Każdy olbrzymia jest wart.

A kozieł prawie bez ducha,  
 Wsparł się o gałąź i słucha,  
     I drży:  
 Ona się zbliża, tuż psy.

Za smacznym kąskiem, jak strzały,  
W pola go, w łąki pognały,  
Het, het!  
Uczta rozpocznie się wnet!

Ach! Z wód spłoszyło tve lice  
Febę, Apolla siostrzycę,  
I rad  
Zefirek suszy jej ślad.

Tę Febę, co nocą zmierza  
Do ust młodego pasterza;  
I z psot,  
Jak ptaszę, muska je wlot.

Księżycu, w naszej pamięci  
Iluż kochanków się kręcił!  
Ach, to  
Wypięknia ciebie za mgłą.

Wieczna młodość cię sławi,  
Kto przejdzie, ten błogostawi,  
Czyś sierp,  
Czy świecisz w pełni, bez szczerb.

Kocha cię pastuch ten stary,  
Co gdy szczekają ogary  
Wśród błoi,  
W twą jasną patrzy się toń.

Kocha cię w morza odměcie  
I sternik, co na okręcie  
Mknie wdał,  
Widząc czerwony błysk fal.

Tobą dziewczeczka się cieszy,  
Gdy przez leszczyńę tak śpieszy,  
Jak cień,  
Nucąc piosneczkę, by w dzień.

Ocean pieni się, wzdyma  
I niby niedźwiedz się zżyma,  
Gdy w mrok  
Zatapia w fali swój wzrok.

A chociaż prószy śnieg może,  
Czy też wieczorem na dworze  
Wiatr dmie,  
Czemuz ja siedzieć tu chcę?

Chcę księżyc widzieć o zmroku,  
Gdy nad dzwonnica w obłoku  
Tak lśni,  
Jako ta kropka nad i.

*Tłum. Bolesław Londyński.*

## HONORÉ DE BALZAC

(1799—1850)

### OJCIEC GORIOT

...Goriot otaczał swe córki przywiązaniem bez granic, miłością jakąś smętną i tkliwą. Wiedziano o tem powszechnie; raz nawet jakiś konkurent Goriota, pragnący oddalić go z rynku, bo sam chciał zostać panem kursu, powiedział mu, że Delfina wypadła przed chwilą z powozu. Ojciec błądy i drżący opuścił wnet bazar i chorował kilka dni po tym fałszywym alarmie... Rozumie się, że Goriot wychowywał swe córki nierozsądnie. Bogaty był, gdyż dochód jego wynosił przeszło sześćdziesiąt tysięcy liwrów, pomimo to na własne potrzeby nie wydawał więcej niż tysiąc dwieście franków, a resztę poświęcał z radością na dogodzenie rozmaitym zachciankom córek. Najpierwsi mistrze udzielali im talentów, które cechują świetne wychowanie. Panny jeździły konno, miały swój powóz... — nie było tak wygórowanego żądania, które-goby ojciec nie spełnił z całą gotowością, a jedna pieszczota wynagradzała go sówicie za wszystkie ofiary. Biedny człowiek! uważał siebie za tak maluczką istotę wobec córek, które aniołami były w jego oczach! Wszystko przyjmował od nich z wdzięcznością, nawet ból, który mu zadawały. Gdy dorosły, mogły wybierać sobie mężów wedle upodobania, gdyż każda dostała w posagu połowę majątku ojcowskiego. Piękna Anastazja zwabiła sobie hrabiego de Restand... Delfina lubiła pieniądze, poślubiła więc bankiera Nuncingen.

...Goriot pozostał nadal fabrykantem włoskiego makaronu i prowadził handel, do którego przyrósł już całą istotą, lubo zajęcie jego nie podobało się bardzo córkom i zięciom. Przez pięć lat opierał się ich naleganiom, aż wreszcie zgodził się wycofać z handlu kapitał, powiększony dochodami z lat ostatnich. Pani Vanquer, do której

przeniósł się w tym czasie, rachowała mu mniej więcej dziesięć tysięcy liwrow dochodu. Rozpacz popchnęła biedaka do znanej nam gospody, gdyż przekonał się, że obadwaj zięciowie wzbraniają swym żonom wziąć ojca do siebie, a nawet, co gorsza, przyjmować otwarcie jego odwiedziny.

\*

...Student (Eugenjusz de Rastignac) zapukał silnie do ojca Goriot.

— Sąsiedzie — zawołał — widziałem panią Delfinę!

— Gdzie?

— W teatrze włoskim.

— Jakże się ona bawiła? Ale proszę wejść...

Mówiąc to, stary wstał w samej koszuli, otworzył drzwi, poczem prędko powrócił do łóżka.

— O! mówże mi pan o niej! — powiedział.

Eugenjusz znalazł się po raz pierwszy w mieszkaniu Goriot'a i osłupiał na widok nory, w której żył ojciec, bo w tej chwili przyszła mu na myśl świetna tualeta córki. W oknie nie było firanek; obicia pooblatywały ze ścian wskutek wilgoci i poskręcały się, wskazując w kilku miejscach tynk zakopcony. Nieborak Goriot leżał w ubogim łóżeczku, pod kołdrą cienką i wyszarzaną; na nogach miał watowaną przykrywkę, na którą pani Vanquer ofiarowała rozmaite kawałki, wybrane ze starych sukien. Podłoga była wilgotna i zapyłona.

...Najbiedniejszy tragarz, co mieszka gdzieś na poddaszu, posiada bezwątpienia sprzęty porządniejsze od tych, któremi pani Vanquer zappełniła mieszkanie Goriot'a.

Stary zwrócił się do Eugenjusza:

— No, którą pan wolisz? panią de Restand, czy panią de Nuncingen?

— Wolę panią Delfinę, bo ona szczerzej kocha pana — rzekł student.

Na te słowa serdeczne stary wyciągnął rękę z pod kołdry i ścisnął dłoń Eugenjusza.

— Dziękuję! dziękuję! — rzekł głosem wzruszonym. — Cóż ona mówiła o mnie?

Student powtórzył wyrazy baronowej, upiększając je po swojemu, a stary słuchał tego, jak słów Bożych.

— Drogie dzieci! o tak, tak, ona mię szczerze kocha. Lecz nie wierz pan temu, co mówiła o Anastazji. Widzisz pan, one zazdroszczą jedna drugiej; lecz to dowodzi tylko ich przywiązania. I pani de Restand kocha mnie również, wiem to dobrze. Ojciec pojmuje swe dzieci, tak jak Bóg ludzi pojmuje; ojciec widzi głąb ich serca i przenika ich zamiary. Córki moje kochają mnie jednakowo. O, jakżebym ja był szczęśliwy, gdyby los zdarzył mi był lepszych zięciów. Czemuż nie mieszkam u nich. Nie pragnąłbym nic więcej, tylko słyszeć ich głosy, wiedzieć, że są niedaleko, widzieć je, gdy przychodzą i wychodzą znowu, tak jak za owych czasów, gdy jeszcze u mnie mieszkały. O, czuję, jak serce skakałoby mi z radości. Czy one były dziś pięknie ubrane?

— Tak — odparł Eugenjusz. — Ale, panie Goriot, powiedz mi pan, jak możesz mieszkać w takiej dziurze, kiedyś tak bogato powydawał córki zamąż?

— A coby mi z tego przyszło, gdybym miał lepsze mieszkanie? — rzekł napozór niedbale. — Jużto ja nie potrafię tego wytłumaczyć, bo nie umiem dwóch słów zwięzle powiedzieć. Cała moja istota tu się mieści — dodał, przyciskając rękę do serca. — Żyję tylko życiem mych córek. Jeżeli one się bawią, jeżeli są szczęśliwe i postrojone, jeżeli stają po miękkich kobiercach, to cóż mnie obchodzi, z jakiego sukna zrobione moje odzienie i jak wygląda kąt, w którym mam noc przepędzić?... Ja zimna nie czuję, gdy wiem, że im ciepło, i nudów nie znam, gdy wiem, że one się śmieją. Nic mnie w świecie nie smuci, oprócz ich zmartwienia.

*Tłum. Amelja Bortnowska.*

## MAŁE NIEDOLE POŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

### XIX

#### *Mężowie w drugim miesiącu.*

Dwie młodzianki mężatki, Karolina i Stefanja, serdeczne przyjaciółki z pensji panny Machefer, jednego z najznakomitszych zakładów wychowawczych dzielnicy Saint-

Honoré, spotykają się na balu u pani de Fischtaminel, i następująca rozmowa zawiązuje się we framudze buduaru.

Było tak gorąco, że jednemu z obecnych mężczyzn, znacznie wcześniej jeszcze, przyszła myśl odetchnięcia świeżym powiewem nocy; przystanął przeto w samym rogu balkonu, ponieważ zaś w oknie stało dużo kwiatów, przyjaciółki mogły mniemać, iż są zupełnie same. Mężczyzna ten był jednym z najlepszych przyjaciół autora.

Jedna z dwóch młodych mężatek, oparta o kraj framugi, stała niejako na czatach, obejmując okiem buduar i sąsiednie salony. Druga wcisnęła się w głąb, jakgdyby chcąc się zasłonić przed przeciągiem, złagodzonym zresztą przez zasłony z muślinu i jedwabne portjery.

Buduar był w tej chwili pusty, bal zaczynał się właśnie, stoliki do gry stały gotowe, roztaczając swoje zielone obicia i ukazując talje kart, jeszcze ściśnięte w wiotkiej osłonce, narzuconej im przez urząd skarbowy. Tańczono drugiego kontredansa.

Ktokolwiek uczęszcza na bale, zna ten moment wielkich wieczorów, gdy nie całe towarzystwo jeszcze się stawilo, lecz sale już są pełne — moment, który zawsze budzi chwilę niepokoju w sercu pani domu! Jest to, w odpowiednich proporcjach oczywiście, chwila podobna do tej, która na polu bitwy rozstrzyga o zwycięstwie lub przegranej.

Rozumiecie więc teraz, w jaki sposób to, co miało być głęboko ukrywaną w sercu tajemnicą, dostąpiło dziś zaszczytu prasy drukarskiej.

— I cóż, Linko?

— I cóż, Stefo?

— Jakże?

— A ty?

Podwójne westchnienie.

— Nie pamiętasz już o naszej umowie?

— Owszem...

— Czemuż więc nie przysłaś mnie odwiedzić?

— Nigdy nie zostaje sama, zaledwie tutaj mogłam się wyrwać na chwilę...

— Ach, gdyby Adolf postępował w ten sposób! — wykrzyknęła Karolina.

— Widziałaś nas przecież razem, Armanda i mnie, wówczas gdy, jak to nazywają, «starał się o moje względy»...

— Ależ tak, podziwiałam go, zazdrościłam ci szczęścia, znalazłaś swój ideał: piękny mężczyzna, zawsze tak dobrze ubrany, w żółtych rękawiczkach, świeżo ogolony, bućki lakierowane, bielizna bez zarzutu, wyszukana czystość, posunięta do najmniejszych drobiazgów...

— Dalej, dalej, nie żałuj sobie.

— Słowem, ideał mężczyzny; sposób mówienia wprost o kobiecej słodczy, bez cienia szorstkości. A jakie obietnice szczęścia, wolności: każde zdanie zdawało się wykładane palisandrem. Słowa spowite w szale i koronki. W najmniejszym odezwaniu słyszało się turkot wykwinnych pojazdów. Podarek ślubny był godny milionera. Armand robił na mnie wrażenie męża z aksamitu, okrycia z ptasiego puchu, w które tobie danem było się otulić.

— Karolino, mój mąż zażywa tabakę!

— Więc cóż, mój zato pali!

— Ale on ją zażywa w tym stopniu, jak podobno zażywał Napoleon; ja zaś tabaki wprost znieść nie mogę; wiedział o tem, ten potwór, i przez siedm miesięcy umiał się ukrywać...

— Wszyscy mężczyźni mają coś w tym rodzaju; czegoś muszą koniecznie używać.

— Nie masz pojęcia o mękach, jakie przechodzę. W nocy budzę się nagle, zrywając się do kichania. Usypiając, przewracam się po łóżku i mimowoli natrafiam nosem na ziarenka tabaki, rozsypane na poduszce, wdycham je i wyskakuję w powietrze, jak nabój eksplodujący. Zdaje się, że ten niegodziwy Armand przyzwyczajony jest do podobnych wydarzeń; ani się nie obudzi. Znajduję rozsypaną tabakę wszędzie, wszędzie, a przecież, ostatecznie, nie miałam zamiaru wyjść zamaż za dystybucję...

— Cóż znaczy ta drobna przykrość, moja droga, gdy zresztą twój mąż jest taki miły, poczciwy, serdeczny!

— Tak myślisz! To człowiek zimny jak marmur, pedantyczny jak starzec, rozmowny jak sztyldwach na warcie; w dodatku jeden z tych ludzi, którzy niby na wszystko się zgadzają, lecz robią tylko to, co sami chcą.

— Spróbuj mu się opierać.

— Próbowałam.

— No i...?

— No i zagroził mi, że obetnie z mojej pensji sumę, która mu będzie potrzebna, aby się mógł obejść beze mnie...

— Biedna Stefa! ależ to nie człowiek, to potwór!

— Potwór chłodny i wyrachowany, z fałszywą peruczką, który co wieczór...

— Jakto, co wieczór?..

— Ależ czekaj! który co wieczór stawia przy łóżku szklanek wody, aby w nią włożyć siedm fałszywych zębów.

— Ależ to istna pułapka twoje małżeństwo! Ale przynajmniej Armand ma majątek...

— Kto to wie?

— Ach, mój Boże! ależ to wygląda na to, że w krótkim czasie będziesz bardzo nieszczęśliwa... albo bardzo szczęśliwa.

— A ty, moje złoto?

— Ja do dziś dnia mam tylko jedną szpilkę, która mnie kłuje! ale kłuje nie do wytrzymania.

— Biedne dziecko! nie oceniasz swego szczęścia. No, powiedz, powiedz!

Tutaj młoda kobieta pochyliła się tak blisko do ucha przyjaciółki, iż niepodobniem było pochwycić choć słówko. Rozmowa zaczęła się na nowo, a raczej zakończyła rodzajem konkluzji.

— Więc Adolf jest zazdrosny?

— O kogo? Nie rozstajemy się ani na chwilę i to jest, wierz mi, prawdziwa niedola, tego nikt nie znieśnie. Nie mogę sobie pozwolić na ziewnięcie; ciągle muszę być w roli kobiety kochającej. To szalenie męczące.

— Linko?

— Co?

— I cóż ty myślisz robić, biedactwo?

— Cierpieć. A ty?

— Walczyć z moją dystrybucją...

Ta drobna niedola może posłużyć za dowód, że jeżeli chodzi o zawody osobiste, obie płcie nie mają sobie wzajem nic do wyrzucenia.

*Tłum. Boy-Żeleński.*

## THÉOPHILE GAUTIER

(1811–1872)

### SZTUKA

Tak! dzieło więcej jest wytworne,  
Gdy bierzesz kształty dłoniom twym

Oporne —

Emalję, marmur-li czy rym.

Fałszywe, muzo, rzuć wymogi,  
Lecz, by nie chwiejnym krok był twój,

Na nogi

Obcisły koturn lekko wzuj!

Precz rytm wygodny, jak zbyt duży  
Trep, co go każdy wzięćby mógł,

Co służy

Do rozmaitej miary nóg.

Rzeźbiarzu! zniszcz, jak pleśń zakalców,  
Gips, który gnie bezwiedny ruch

Twycich palców,

Gdy inną stroną płonie duch.

Karary twardej gład marmurów

I rzadki Paros zwalczać masz:

Konturów

Nieskazitelnych jest to straż.

Weż z Syrakuzy bronz jej trwałe,

Jego potęgę tajnie ziszcz:

W nich śmiały

Dumę i wdzięki wyrzył mistrz.

Subtelny dotyk twojej dłoni  
Niechaj, agatu śledząc nić,

Wyloni  
Apollinowych blaski lic.

Malarzu! dość farb wodnych martwych!  
Chcesz w nieśmiertelny płynąć strop:  
Moc barw twych  
U szmelcownika w ogniu stop.

Błękitnych syren twórz legjony  
stu sposoby kręć im w sierp  
Ogony,  
By wielkich grodów zdobić herb.

Niech błyszczy nimby potrójnemi  
Najświętsza Panna z dzieckiem swem,  
Głob ziemi  
Niech dźwiga krzyż pod niebios tłem.

Przemija wszystko w wieków ciągu,  
Jedyna sztuka wiecznie trwa:

W posągu  
Zamarłych stolic życie drga.

Surowy metal nieforemny,  
Co znalazł oracz w piersi brózd  
Podziemnej —  
Odkrywa nam Cezara biust!

Tak umrą nawet i bogowie,  
Lecz jest moc wyższa ponad czas  
W osnowie  
Pieśni, co przetrwa śpiżu gład.

Cyzeluj, gładź więc tarcz emalii,  
I niech się wszystko to, co śnisz,  
Utrwali  
W niepokonany rym czy śpiż.

Tłum. Antoni Lange.

## LECONTE DE LISLE

(1818–1894)

### BERNINA

Ukryta między góry skalistemi ściany,  
Do dumań cię samotna przynęca dolina;  
Ludzkiemi na niej stopy szlak nie wydeptany,  
Nie odbrzmieją tu morza kipiące bałwany,  
Ni szmer ludzki. O świecie człowiek zapomina.

Wiatr kołysze powoje, zdobne w dzwonki świeże;  
W ich kielichu śpi błogo trzmiel, miodem upity;  
Wał ostrych aloesów przystępu tu strzeże,  
I słodko tonie ucho w żywych wód poszmerze,  
Gdy zdrój przez rozpekane toczy się granity.

A gdy rzuci na góry świt rąbek różowy,  
Owa rajska dolinka, zielem umajona,  
Spowija skał olbrzymich najeżone głowy,  
Przed słonecznym promieniem, w płat mgły fiołkowej,  
Co chłodnemi tumany bucha z pieczar łona.

Gdy południe z błękitu białą lawę toczy,  
Jej żar powstrzyman w locie konary ciemnymi,  
Deszczem diamentowym pryska w drzew pomroczy,  
Po gałązkach zielonych drga promień uroczy,  
Zanim plamy ogniste rozsieję po ziemi.

Niekiedy koza dzika wesotym poskokiem,  
Z wyciężonemi słuchy, pomknie w wrzosów cieniu,  
Otrząśnie z grzbietu rosę, w krąg zatoczy wzrokiem,  
Wodę, w korycie skały zebraną głębokiem,  
Pije chciwie, na drżącym oparta kamieniu.

I rój swawolnych ptasząt przelata w swobodzie,  
 Z gałązki na gałązkę, z murawy na kwiatki:  
 To piórka szmaragdowe trzepią w zimnej wodzie,  
 To suszą pierś na słońcu, gdy ją chłód przebodzie,  
 A na gniazdkach pisklęta tulą się do matki.

Uroczyście brzmią chóry po jasnym lazurze,  
 Miłość słodko przynęca, tęsknota się żali,  
 Śmiech, radość i wesele, pustota, serc burze  
 Tak cudnie się zlewają w harmonijnym chórze,  
 Iż spokoju powietrznej nie zamącą fali.

Lecz dusza, upojona tą chwilą szczęśliwą,  
 Czarodziejskich uroków złoty wątek plecie,  
 Czuje się ptakiem, kwiatem, światłem, wodą żywą,  
 Chwyta z niebem ją niegdyś łączące ogniwo  
 I do Boga w milczeniu powraca, jak dziecię.

—————  
*Tłum. Seweryna Duchńska.*

## JOSÉ-MARIA DE HÉRÉDIA

(1842—1905)

### NIEWOLNIK

Nagi, straszny, wstrętnemi pokarmy żywiony. —  
 Niewolnik — na mem ciele ostał ślad głęboki...  
 Urodziłem się wolny wśród pięknej zatoki,  
 Gdzie miodoptylna Hybla modre pławi skłony.

Rzuciłem szczęsną wyspę. O, jeśli w te strony  
 Ku Syrakuzom, w ule, winnice, potoki,  
 Wrócisz kiedy, łabędzi goniąc lot wysoki,  
 Drogi gościu, zbierz wieści o mej ulubionej...

Ujrzeń jej oczu mroczne fiołki najtawsze,  
 Tak słodkie — z których niebo przeziiera ojczyste  
 Z pod zwycięskiego łuku brwi, co blask ich kryje?  
 Bądź miłościw! pędź! szukaj! odnajdź Klearystę,  
 Powiedz jej, że chcę ujrzeć ją — więc jeszcze żyję.  
 Poznasz ją łącno, gościu — że jest smutna zawsze.

—————  
*Tłum. B. Ostrowska.*

## SULLY PRUDHOMME

(1839—1907)

### DOKĄD IDĄ?

Nie idzie w niebo, kto z miłości ginie,  
 Bo brak tam zmierzchu, co rozkosz osłania,  
 A boska słodycz w wieczystej dziedzinie  
 Mniej słodka ustom, niż miód całowania.

Nie płonie także w piekielnej głębinie,  
 Bo już się spalił płomieniem kochania,  
 A ból i wzgarda w zwątpienia godzinie  
 Nad szpon szatana pierś krwawiej rozrania.



Dokąd więc idą i jakie katusze,  
 Jakie rozkosze czuć mogą te dusze,  
 Co przeszły mękę i rozkosz miłości?

Niebo i piekło poznały na ziemi,  
 I wieczność moc swą straciła nad niemi,  
 Więc z ciałem giną, rozwiane w nicości.

*Tłum. Marja Konopnicka.*

HIPPOLITE TAINÉ

(1828—1893)

FILOZOFJA SZTUKI

Włochy.

Rozdział III. (Wyjątek)

Trzy warunki są konieczne potrzebne, ażeby człowiek mógł zasmakować w wielkiem malarstwie i aby mógł je wytworzyć. Nasamprzód trzeba, żeby był wykształcony. Prostacy, ludzie zgnębieni, znikczemiali, zgięci przez cały dzień nad ziemią, wodzowie wypraw łowieckich, żartocy, pijacy, zajęci przez cały rok kawalkadami i bitwami są zbyt jeszcze pogrążeni w życiu zwierzęcem, ażeby mogli pojąć wytworność kształtów i harmonję barw. Obraz jest ozdobą kościoła lub pałacu; aby patrzeć nań rozumnie i z przyjemnością, trzeba, żeby widz był nawpół wolny od grubych zajęć, żeby nie miał myśli zajętej hulanką lub bójką, żeby się wyzwolił z barbarzyństwa i pierwotnego ucisku i żeby poza ćwiczeniem mięśni i rozwojem popędów wojowniczych, zadowoleniem potrzeb cielesnych zapragnął rozkoszy subtelnych i szlachetnych. Był gburem, staje się kontemplacyjnym. Spożywał i niszczył, później upiększa i zachwyca się. Dawniej tylko żył, później ozdabia swe życie. Taka to wielka zmiana zaszła we Włoszech w XV wieku. W owej epoce człowiek przechodzi z obyczajów feudalnych do ducha nowoczesnego, a to wielkie przejście dopełnia się wcześniej we Włoszech, niż gdzie indziej.

Wiele powodów przyczyniło się do tego. Nasamprzód dziwna subtelność i bystrość umysłu, jaką posiadają ludzie tego kraju. Cywilizacja zdaje się im być wrodzoną, dochodzą bowiem do niej bez wysiłku i prawie bez pomocy. Nawet w klasie wieśniaczej i nieokrzęsanej inteligencja bywa żywa i wyzwolona. Porównywając ich z ludźmi tegoż stanu z północnej Francji, Niemiec i Anglii, różnicę stanowić będzie zupełna sprzeczność. We Włoszech chłopiec hotelowy, chłop «facchino», którego spotykacie na ulicy, umieją rozmawiać, pojmować, rozumować; mają sąd o rzeczach, znają ludzi, rozprawiają o polityce; władają ideami, równie jak słowem, instynktownie, czasami świetnie, lecz zawsze z łatwością i prawie zawsze trafnie, nadewszystko posiadają wrodzone i namiętne poczucie piękna. Jedynie tylko w tym kraju postyszysz ludzi z gminu, wykrzykujących przed kościołem: «O Dio, com'è bello!», a język włoski wyraża te wybuchy serca i zmysłów z zachwycającym akcentem, dźwiękiem i zapachem, też same słowa francuskie są suche i nie zdołają oddać tych wrażeń.

Ta rasa, tak inteligentna, posiada tę wyższość nad innemi, iż nigdy nie była «zgermanizowana», to jest przynięcioną i przekształconą w tym stopniu, jak inne kraje w Europie, przez najście narodów z Północy. Barbarzyńcy sadowili się tam tylko czasowo lub powierzchownie. Wizygoci, Frankowie, Herulowie, Ostrogoci, opuścili ten kraj sami lub byli wypędzeni bardzo prędko. Jeżeli Longobardowie pozostali, to jedynie przez to, iż dali się opanować przez kulturę łacińską w XII wieku. Niemcy pod Fryderykiem Rudobrodym, spodziewając się w nich znaleźć ludzi jednej z nimi rasy, zdziwili się, ujrawszy ich tak «zlatynizowanych», «porzucili całą szorstkość dzikości barbarzyńskiej i, ulegając wpływowi powietrza i ziemi, nabyli potrochu subtelności i łagodności rzymskiej; przechowawszy wytworność języka i grzeczność obyczajów starożytnych, naśladowując zręczność starożytnych Rzymian aż do

konstytucji ich miast i zarządu sprawami publicznymi». Do XIII wieku we Włoszech pozostaje w użyciu język łaciński; św. Antoni Padewski głosi kazania po łacinie; lud, używając rodzącego się żargonu włoskiego, nie przestaje rozumieć swego języka literackiego. Skorupa germańska, pokrywająca naród, jest cienka i zostaje zawczasu skruszona przez odrodzenie się cywilizacji łacińskiej. Włochy tylko z podania wiedzą o śpiewach mimicznych, o poematach rycerskich i feudalnych, przepelniających całą Europę. Przed chwilą wspomniałem, iż architektura gotycka bardzo późno przeszła do Włoch, i to w sposób niezupełny. Od XI wieku, kiedy Włosi znów poczynają budować, przechowują kształty i smak architektury łacińskiej. W instytucjach, obyczajach, języku, sztukach widzieć się daje wśród najciemniejszej i najdzikszej nocy średnich wieków wyzwalającą lub odradzającą się cywilizację starożytną na tym gruncie, po którym barbarzyńcy przeszli i stopnieli, jak śnieg zimowy.

Dlatego to, jeżeli porównacie Włochy w XV wieku z innymi narodami w Europie, znajdziecie w nich więcej światła, bogactwa, wykształcenia i umiejętności do upiększenia życia, to jest do poczucia i wytwarzania dzieł sztuki.

W tym samym czasie Anglja po zakończeniu stuletniej wojny rozpoczyna krwawą walkę Dwóch Róż...

### Grecja.

#### Rozdział III. (Wyjątek)

Rzeźba grecka odtwarzała nie tylko ludzi najpiękniejszych, lecz także bogów i, według sądu wszystkich starożytnych, ci bogowie byli jej arcydziełami. Obok głębokiego poczucia doskonałości cielesnej i atletycznej miała publiczność i mistrzowie samoistne uczucie religijne, pojęcie o świecie, dziś zatracone, własny sposób zapatrywania się na rzeczy, czczenia i wielbienia potęg naturalnych i boskich. Ten szczególny rodzaj wrażeń i wiary trzeba sobie przedstawić, chcąc wnikać nieco głębiej w duszę i geniusz Polikleta, Agorakryta lub Fidjasza.

Dosyć jest czytać Herodota, żeby się przekonać, o ile wiara była jeszcze żywa w pierwszej połowie V wieku. Nietylko Herodot jest pobożny, nawet świętoszek taki, że nie śmie wymówić niejedno imię święte, wyjawiać niejedną legendę, ale cały naród ma w swej czci religijnej powagę wspaniałą i namiętą, wyrażoną w jednej chwili w wierszach Eschilosa i Pindara. Bogowie są żywi, obecni, mówią, widziano ich, jak Najświętszą Pannę i świętych z XIII wieku. Gdy heroldowie Kserksesa zostali zabici przez Spartan, wnętrze ofiar stały się nieprzyjazne, to morderstwo bowiem obraziło nieboszczyka, zaszczytnie znanego herolda Agamemnona, Taltybiosa, któremu Spartanie przysięgli cześć. Aby go ukoić, dwóch mieszkańców miasta, bogatych i szlachetnie urodzonych, idzie do Azji oddać się Kserksesowi. Gdy przybyli Persowie, wszystkie miasta radziły się wyroczeni; rozkazuje ona Ateńczykom przywołać do pomocy ich zięcia; przypominają sobie, że Boreusz porwał Otytję, córkę Erechteusza, ich pierwszego przodka, i budują mu kaplicę przy Ilissusie. W Delfach bóg oznajmia, że się sam bronić będzie; grom spada na barbarzyńców; skały się rozpadają i przygniatają ich, gdy tymczasem ze świątyni Pallady Pronea wychodzą głosy i krzyki wojenne i dwóch bohaterów z owego kraju, nadludzkiego wzrostu Filakos i Antonoos, zmuszają doreszty przestraszonych Persów, aby uciekli. Przed bitwą pod Salaminą Ateńczycy sprawdzają z Eginy posągi Eacydesa, aby z nimi walczyć. W czasie bitwy podróżnicy widzą przy Eleuzy wznoszący się wielki pył i słyszą głos mistycznego Jakchosa, idącego na pomoc Grekom. Po bitwie ofiarują bogom, jako pierwociny, trzy okręty, wzięte w niewolę; jeden z trzech jest dla Ajaksa, i z łupu odbierają pieniądze potrzebne na ofiarowanie w Delfach posągu, wynoszącego dwanaście stóp. Nigdybym nie skończył, gdyby mi przyszło wyliczać oznaki pobożności publicznej; była gorąca jeszcze w pięćdziesiąt lat potem między ludem. Plutarch powiada: «Diopites wydał wyrok, nakazujący wydawać tych, co nie uznają istnienia bogów lub uczą nowych doktryn o zjawiskach niebieskich». Aspazja, Anaksagoras, Eurypides byli niepokojeni lub ścigani, Alcybjades został skazany na śmierć, Sokratesowi odebrano życie za mniemaną czy sprawdzoną zbrodnię bezbożności; lud oburzał się strasznie na tych, którzy przedrzeźniali misterja lub kaleczyli Hermesy. Wprawdzie widzi się w tych szczegółach

zarazem wytrwałość starożytnej wiary i narodzenie się myśli wolnej; wkoło Peryklesa jak wkoło Wawrzyńca Medyceusza, było małe kółko rozprawiaczy i filozofów; Fidjasz, a później Michał Anioł byli tam przypuszczeni. Ale w obu epokach tradycja i legenda zajmowały wyobraźnię i postępowanie i kierowały niemi wszechwładnie. Gdy echo rozpraw filozoficznych wstrząsało duszą, przepelnioną kształtami malowniczymi, to dlatego, aby w niej oczyścić i powiększyć postacie boskie. Nowa mądrość nie wyciępiała religii, objaśniała ją i sprowadzała do podstaw, do poetycznego poczucia sił naturalnych. Wspaniałe przypuszczenia pierwszych fizyków pozostawiały świat równie żyjącym, a czyniły go szlachetniejszym, może skutkiem tego, że Anaksoroos słyszał o Nou-sie, Fidjasz począł swego Jowisza, swą Palladę, boską Afrodytę i dokonał, jak mówią Grecy, majestatu bogów.

Aby mieć poczucie boskości, trzeba być zdolnym wydobyć z poza ścisłej formy boga legendowego wielkie, stałe i ogólne siły, z jakich on pochodzi. Pozostaje bałwochwalcą suchym i ograniczonym, kto poza postacią osobową nie spostrzega w niej jakiegoś świetle potęgi fizycznej lub moralnej, której ta postać jest symbolem. Spostrzegano ją jeszcze za czasów Cymona i Peryklesa. Porównanie mitologii wykazało niedawno, że mity greckie, pokrewne z mitami sanskryckimi, wyrażały z początku tylko objawy sił naturalnych i że powoli język uczynił bogów z żywiołów i zjawisk fizycznych, z ich różnorodności, płodności i piękna. W gruncie politeizmu jest poczucie natury żyjącej, nieśmiertelnej, twórczej, i to poczucie trwało zawsze. Boskość przenikała rzeczy, mówiono do niej, w Eschilosie i Sofoklesie widziano dwadzieścia razy człowieka, przemawiającego do żywiołów, jak do istot świętych, z którymi jest zespolony, aby prowadzić wielki chór życia. Filoklet w chwili, kiedy się ma oddalić, oddaje pokłon «płynącym nimfom fontann, grzmiącym głosem morza, uderzającego o przyładki». «Żegnam cię, ziemio Lemnos, otoczona falami; odpraw mię bez obawy, pošlij mnie szczęśliwą przeprawą tam, gdzie mię potężny los prowadzi». Prometeusz, przybity gwoździami do skały, przywołuje do siebie wszystkie wielkie jestestwa, zaludniające przestrzeń: «O boski eterze, powiewy szybkie, źródła rzek, nieskończony uśmiechu fal morskich, o ziemio, malcko powszechna, ciało słoneczne, które wszystko widzisz, wzywam was! Patrzcie, jakie cierpienia znosi bóg z ręki bogów!». Widzowie mogą się tylko dać prowadzić wzruszeniami lirycznymi, aby odnaleźć pierwotne metafory, które mimo ich wiedzy były zawiązkiem ich religii. Afrodyta powiada w jednej zatraconej sztuce Eschilosa: «Niebo czyste lubi przenikać ziemię, a miłość bierze ją za małżonkę; deszcz, spadający z zapładniającego nieba, czyni ziemię urodzajną, wówczas wydaje ona dla śmiertelnych pokarm z hydła i zboże Demetery».

Aby zrozumieć tę mowę, dosyć nam wyjść z naszych sztucznych miast i wyciągniętych pod linię kultur; kto idzie sam wśród kraju górzystego, na wybrzeżach morskich i daje się cały pochłonać widokami natury nienaruszonej, wprędce wchodzi z nią w rozmowę. Ożywia się dla niego, jakby fizjognomja; nieruchome i groźne góry stają się tysiami olbrzymami albo skurczonymi potworami; wody świecące i falujące — są to szalone istoty, które szczebiocą i śmieją się. Wielkie i milczące sosny podobne są do surowych dziewic, a gdy spojrzy na morze południowe, błękitne, promienne, wystrojone jak na uroczystość, z powszechnym uśmiechem, o jakim mówił przed chwilą Eschilos, jest zupełnie przygotowany do wyrażenia rozkosznej piękności, której nieskończoność otacza go i przenika, do nazwania bogini, zrodzonej z piany, która, wydobywając się z fal, porywa serca śmiertelnych i bogów.

Gdy naród czuje boskie życie naturalnych rzeczy, nietrudno mu wskazać naturalny grunt, z jakiego pochodzą osoby boskie. Za pięknych czasów rzeźby ten głęboki grunt przebiegał jeszcze widocznie pod postacią ludzką i dokładną, przez którą tłumaczyła się legenda. Pewne bóstwa zawsze pozostały przezroczyście, mianowicie: wód bieżących, lasów i gór. Najada lub Oreada była młodą dziewczyną, jak ta, którą widzimy siedzącą na skałe w przedścionkach między tryglifami ryzy doryckiej Olimpji, przynajmniej tak ją przedstawiała wyobraźnia, personifikująca w rzeźbie; ale, wymieniając ją, spostrzegano się tajemniczą powagą spokojnego lasu albo świeżość tryskającego źródła. W Homerze, którego poematy są biblią Greków, rozbitek Ulisses po dwudniowym pływaniu przybywa do «ujścia rzeki o pięknych wodach» i mówi

do tej rzeki: «Wysłuchaj mię, o królu, ktokolwiek jesteś; przychodzę do cię z gorącą prośbą, uciekając od morza i gniewu Posejdona. Zmiłuj się, o królu, bo szczycę się tem, że błaganie do ciebie zanoszę». W ten sposób przemówił, a rzeka uspokoiła się, powstrzymując swój bieg fal, i uciszyła się przed Ulisesem, i przyjęła go do swego ujścia». Widoczne jest, że tutaj boga nie przedstawia brodata osoba, ukryta w grocie, lecz sama płynąca rzeka, wielki pęd, spokojny, gościnnie... W wiekach upadku, w takich posągach jak Tybru i Nilu, starożytni rzeźbiarze pamiętali jeszcze o pierwotnym wrażeniu, a szeroki tors, spokojna postawa, niepewny wzrok posągu wskazują, że przez postać ludzką zawsze chcieli wyrażać wspaniały, jednostajny, obojętny wylew wielkiej wody.

Innemi razy nazwa boga pozwalała odgadywać jego naturę.

Hestję znaczy ognisko; bogini nie mogła być nigdy zupełnie oddzielona od płomienia, który był środkowym punktem życia domowego. Demeter znaczy ziemia-rodzicielka, a epitety rytuałów nazywają ją czarną, głęboką i podziemną karmicielką młodych jestestw, roznosicielką owoców, zieleniącą. W Homerze słońce jest odmiennym bogiem niż Apollo, a osoba moralna zlewa się w nim ze światłem fizycznym... Prawda, że nie wszyscy byli w jednym stopniu wcieleni w rzeczy. Niektórych, a ci właśnie byli najpopularniejsi, energiczna praca legendy oderwała, czyniąc z nich postaci wyodrębnione. Można porównać Olimp grecki z drzewem oliwnym w końcu lata. Według miejsca i wysokości gałęzi owoce są mniej lub więcej dojrzałe, jedne, zaledwie ukształtowane, są tylko powiększonym słupkiem i ściśle należą do drzewa, inne, już dojrzałe, trzymają się jeszcze jednak lodygi, inne wreszcie, zupełnie ukształtowane, opadły i trzeba pewnej uwagi, żeby poznać szypułkę, która je dźwigała. Olimp grecki, według stopnia przekształcenia, które zlagodziło sity naturalne, przedstawia w swych różnych warstwach bóstwa, w których cecha fizyczna góruje nad postacią osobistą, inne, obie twarze są równe, inne wreszcie, gdzie bóg, przemieniony w człowieka, łączy się już tylko nicią, zaledwie widzialną, z pierwiastkowem zjawiskiem, jakie dało mu życie. Łączy się z niem jednak. Zeus, który w «Iljadzie» jest nakazującym naczelnikiem rodziny, a w «Prometeuszu» nieprawym i tyrańskim królem, z wielu rysów jednak pozostaje, czem był, niebem dżdżystem i piorunującym. Uświęcone epitety, stare wyrażenia wskazują jego pierwotną naturę, rzeki «wypadają z niego», «Zeus rosi». W Krecie jego miano znaczy dzień; Ennjusz powie później w Rzymie, że on jest tą «najwyższą płomieniejącą białością, której wszyscy wzywają pod nazwą Jowisza». Widać z Arystofanesa, że dla chłopów, dla ludzi z gminu, dla umysłów prostych i nieco staroświeckich jest zawsze tym, który «zrasza ziemię i każe rość plonom». Gdy im sofista powiada, że nie istnieje Zeus, dziwią się i pytają, kto grzmi piorunami lub wylewa się deszczem. Zdruzgotał Tytanów, potwornego Tyfoesa o stu smoczycy głowach, czarne wyziewy, które, zrodzone z ziemi, splatały się jak węże i zalegały niebieskie sklepienie. Zamieszkuje na szczytach gór, dotykających nieba, gdzie się gromadzą chmury, gdzie spada piorun. Jest on Zeusem Olimpu, Zeusem Itomy, Zeusem Himettu. W gruncie, jak wszyscy bogowie, jest wieloraki, przywiązany do różnych miejsc, gdzie serce człowieka najlepiej czuło jego obecność, do różnych miast, a nawet do różnych rodzin, które, uznawszy go w swych horyzontach, przywłaszczyły go sobie i składały mu ofiarę...

GUSTAVE FLAUBERT

(1821—1880)

PANI BOVARY

Część I

IX

Nieraz Emma po wyjściu Karola dobywała z szafy z pomiędzy bielizny, gdzie ją ukrywała, ową cygarnicę, zielonym jedwabiem haftowaną.

Oglądała ją, otwierała, napawała się nawet wonią jej tytoniu, pomieszanego z wer-

weną. Czyją mogła być własnością?... Wicelhrabiego. Był to może podarunek od kochanki. Haft ten robiony był może w jakich palisandrowych krosienkach, wykwintnym sprzęciku, starannie przed oczyma wszystkich ukrywanym, nad którym przez wiele godzin pochylały się miękkie sploty pięknej pracownicy. Technienie miłości powiało przez oczka kanwy; każdy wyszyty ściąg utrwał tam jakąś nadzieję lub wspomnienie, a wszystkie te pokrzyżowane nitki jedwabiu były tylko jednolitym wątkiem tej samej, cichej namiętności. A potem wicelhrabia, jednego pięknego poranku, zabrał go z sobą. O czym też rozmawiali, gdy siedział przy marmurowym kominku, pośród wazonów z kwiatami i zegarów à la Pompadour?... Ona była w Tostes. On był teraz tam... w Paryżu!... Jakże wyglądał ten Paryż? Co za nazwa czarowna! Powtarzała ją półgłosem, dla własnej przyjemności; dźwięczała jej w uszach jak dzwon katedralny, migotała jej przed oczyma, nawet na słoikach pomady.

W nocy, kiedy handlarze ryb przejeżdżali na swoich wózkach pod jej oknami, śpiewając Marjolanę, budziła się ze snu, a słuchając turkotu okutych żelazem kół, który przytłumiał się, gdy zjeżdżano z hitego gościńca, mówiła sama do siebie: — Jutro tam będę!

I myślą wśląd za nim dążyła, przez góry i doliny, przez wsie i miasta, przy migotliwym świetle gwiazd, na niebie błyszczących, a zawsze u niepewnego celu tej urojonej wędrówki znajdowało się jakieś niewyraźne miejsce, gdzie kończyło się jej marzenie.

Kupiła sobie plan Paryża i, wodząc palcem po karcie, odbywała wycieczki po stolicy. Szła na bulwary, zatrzymując się na każdym rogu, pomiędzy ulicami, przed białymi kwadracikami, przedstawiającymi domy. Zmrużywszy wreszcie oczy, przymykała powieki i widziała płomyki gazowe, wijące się pośród ciemności, i stopnie karet, spadające z loskotem, pod kolumnadami teatrów.

Zaprenumerowała kobiecy dziennik «La Corbeille» i «Le Sylphe des Salons». Pochłaniała, bez opuszczenia najdrobniejszego szczegółu, wszystkie sprawozdania z pierwszych przedstawień, wyścigów i balów, zajmowała się występami śpiewaczek, otwarciem nowego magazynu. Wiedziała o modach paryskich, знаła adresy najlepszych krawców i modniarek, dnie opery i wyścigów. Studjowała w Eugenjuszu Suem opisy umeblowania salonów; czytała Balzaka i Jerzego Sand, szukając tam zaspokojenia osobistych pragnień. Do stołu nawet przynosiła książkę, której kartki przewracała, gdy Karol rozmawiał, jedząc. Wspomnienie wicelhrabiego nie odstępowało jej przy czytaniu. Szukała zbliżenia pomiędzy nim a urojonymi bohaterami. Powoli jednakże koło, którego był środkiem, rozszerzać się zaczęło i promienna aureola jego, oddalając się od jego twarzy, oświeciła inne jeszcze postacie.

Paryż, bardziej tajemniczy od samego oceanu, migotał przed oczyma Emmy w złocistej atmosferze. Życie wszakże, które się roilo w tem mrowisku, dzieliło się na części, rozklasyfikowane było na osobne obrazy. Emma z pomiędzy nich widziała tylko dwa lub trzy, które jej zasłaniały wszystkie inne i same przez się całą dla niej ludzkość przedstawiały. Świat ambasadorów stapał po lśniących posadzkach, w salonach, wyłożonych zwierciadłami, wokoło stołów owalnych, przykrytych aksamitnymi kapami. Były tam suknie z długimi trenami, wielkie tajemnice, srogie niepokoje, ukryte pod maską udanej wesołości. Dalej następowało społeczeństwo księżnych i hrabin; twarze tam były blade; wstawano o czwartej po południu; kobiety — biedne anioły! — nosiły spódniczki obszywane brabanckimi koronkami, a mężczyźni, genjusze, stłumieni błahostkami, zajeżdżali konie dla przyjemności, przepędzali lato w Badenie, a koło czterdziestki żenili się wreszcie z bogatemi dziedziczkami. W bocznych pokojach restauracyj, gdzie się ucztuje po północy, weselił się przy świetle świec woskowych pstrokaty tłum artystów, literatów i aktorek. Ci ludzie byli hojni jak królowie, pełni żądz, idealnych i fantastycznych upojeń. Było to istnienie od wszystkich innych odmienne, zawieszone pomiędzy niebem a ziemią, burzliwe i zachwycające, coś prawdziwie szczytnego. Reszta świata nie miała oznaczonego miejsca, jakgdyby wcale nie istniała. Zresztą myśl Emmy odwracała się od tego, co jej było najbliższe. Wszystko to, co ją otaczało bezpośrednio, nudna wieś, ograniczone drobne mieszczaństwo, mierność, wydawało jej się wyjątkiem na świecie, szczególnym wypadkiem, w który zaplątana zo-

stała, gdy tymczasem poza tem rozciągał się w nieskończoność kraj szczęśliwości i uczuć namiętnych. W nieokreślonej żądzy swej nie rozłączała materialnych rozkoszy zbytku od zadowolenia serca, wykwintu przyzwyczajęń od delikatności uczuć. Czyliż miłość, podobnie jak egzotyczne rośliny, nie potrzebowała gruntu stosownie przygotowanego i odpowiedniej temperatury? Westchnienia przy świetle księżycyca, długie uściski, lzy, spływające na dłonie splecione, wszystkie gorączki zmysłów i omdlewające czułości nieodłączne musiały być od balkonów wielkich zamków bogaczy, od buduaru o niebieskich jedwabnych firankach, wystanego miękkim kobiercem, ozdobionego koszykami pełnymi kwiatów, z łóżem, na estradzie wzniesionem, od potysku drogich kamieni i galonów liberyj.

Posługacz pocztowy, który każdego rana przychodził obrządzić klaczkę, szedł przez korytarz, niosąc w ręku grube saboty; miał na sobie podartą bluzę i brudne skarpetki na nogach. Na takim to groomie trzeba było poprzestać! Zrobiwszy to, co do niego należało, więcej nie przychodził, gdyż Karol, powróciwszy ze swego objazdu, sam prowadził konia do stajni, zdejmował siodło i zakładał uździennicę, gdy tymczasem służka przynosiła pęk słomy i wrzucała go, jak mogła, do żłobu.

Na miejsce Nastusi, która odjechała wreszcie z Tostes, wylewając potoki łez, Emma przyjęła do służby młodą, czternastoletnią dziewczynę, sierotę miłej powierzchowności. Zabroniła jej nosić bawełniane czepeczki, nauczyła ją przemawiać w trzeciej osobie, podawać szklanke na talerzu, zastukać do drzwi przed wejściem do pokoju, krochmalić, prasować, słowem, kształciła ją na porządną pokojówkę. Dziewczyna była posłuszna z obawy, aby nie zostać odprawioną; a ponieważ pani miała zwyczaj klucz od kredensu zostawiać w zamku, Felicja co wieczór robiła sobie mały zapas cukru, który chrupała, położywszy się do łóżka, po pacierzu.

Po południu szła czasem naprzeciwko na gawędkę z pocztyljonami, gdy pani siedziała u siebie, na górze.

Emma nosiła szlafroczek z otwartym przodem, który odslaniał fałdowaną szmizetkę, na trzy złote guziki zapiętą. Przepasywała się grubym sznurem z dużemi chwastami, a u granatowych pantofelków miała wielkie kokardy z szerekich wstążek. Kupiła sobie «presse-papier», papieru listowego, piór stalowych i kopert, chociaż nie miała do kogo listów pisywać; okurzała swoje póleczki, przeglądała się w lustrze, brała książkę w rękę i, przeczytawszy kilka wierszy, kładła ją na kolanach. Byłaby chciała podróżować lub powrócić do swego klasztoru. Pragnęła zarazem umrzeć i mieszkać w Paryżu.

Karol tymczasem po deszczu i śniegu przebiegał okoliczne drogi i manowce. Jadał jajecznicę na stołach folwarcznych, krew puszczał chorym, słuchał rżenia konających, widział niemało brudnej bielizny i niemało rzeczy odrażających; lecz zato wieczorem znajdował w domu ogień płonący na kominku, stół zastawiony, miękki fotel i żonkę wyświeżoną, śliczną i pachnącą tak, że niewiadomo było, skąd woń ta pochodziła, czy nie ona sama używała jej bieliznie.

Zachwycała go tysiącem miłych drobnostek; to profitkami do lichtarzy, zręcznie zrobionemi z kolorowego papieru, to falbaną przyszytą do sukni, lub szczególną nazwą, nadaną bardzo zwyczajnej potrawie, zepsutej przez służkę, którą jednak Karol zjadał ze smakiem co do odrobiny. Zobaczyła w Rouen panie, mające breloki u zegarków; zaraz sobie kupiła breloki. Zachciało jej się na kominek dwóch wazonów ze szkła niebieskiego, a wkrótce potem neseserki z kości sloniowej ze złotym naporstkiem. Im mniej pojmował Karol te wykwinty, tem większy nań urok wywierały. Łechtały przyjemnie jego zmysły i dodawały powabu jego domowemu ognisku. Był to niby złoty piasek, którym wysypana była ścieżka jego życia.

Był zdrow, dobrze wyglądał; opinja jego była ustalona. Wieśniacy kochali go za to, że nie był dumny. Pieścił dzieci, nie wchodził nigdy do karczmy, zresztą wzbudzał zaufanie swoją moralnością. Szczególnie był szczęśliwy w leczeniu katarów i chorób piersiowych. W obawie, żeby nie zabijać swoich chorych, Karol przepisywał w istocie tylko uspokajające środki, niekiedy emetyk, kąpiel na nogi lub pijawki. Nie żeby go chirurgia przestraszała; puszczał ludziom krew obficie, jak koniom, a do wrywania zębów miał żelazną rękę.

Wreszcie, żeby wtyłe nie pozostać, zaprenumerował «Ul Medyczny», nowe czasopismo, którego mu prospekt przysłano. Czytywał go trochę po obiedzie; lecz ciepło w pokoju, łącznie z procesem trawienia, sprawiało, że po upływie pięciu minut zasypiał z brodą opartą na dloniach i włosami rozrzuconymi jak grzywa po stole. Emma spoglądała na niego, wzruszając ramionami. Czemuz nie miała za męża jednego z tych zawziętych pracowników, którzy nocą nad księgami spędzają i na starość, kiedy przychodzi pora reumatyzmów, przypinają sobie na czarnym, źle skrojonym fraku krzyżyk świecący! Byłaby chciała, żeby to nazwisko Bovary, które nosiła, zasłynęło, żeby jaśniało na wystawach księgarskich, żeby je powtarzały dzienniki, żeby je cała Francja знаła. Lecz Karol nie miał wcale ambicji. Doktor z Yvelot, z którym odbywał konsultację ostatnimi czasy, upokorzył go trochę przy łożu chorego, wobec zgromadzonej rodziny. Gdy jej Karol opowiedział wieczorem tę przygodę, Emma uniosła się gniewem przeciwko niegrzecznemu koledze. Karol się rozrzewnił. Pocałował ją w czoło, ze łzą w oku. Lecz ona była przejęta wstydem i oburzeniem; miała ochotę go wybić i posła otworzyć okno, żeby ochłonać, odetchnąwszy świeżym powietrzem wieczoru.

— Co za niedołąga! co za niedołąga! — powtarzała półgłosem, zagryzając usta.

Więcej jeszcze dawał jej powodów do rozdrażnienia. Z wiekiem nabierał prostackich nawyknień; przy stole krajał korki od wypróżnionych butelek; po jedzeniu oblizywał sobie usta, przetykając zupę wydawał gardłem rodzaj gdakania, a ponieważ tyć zaczynał, oczy jego, z natury małe, zdawały się uciekać ku skroniom przed wdętością policzków.

Niekiedy Emma chowała mu pod kamizelkę czerwony brzeg jego trykotów, poprawiała mu krawat lub odrzucała precz zniszczone rękawiczki, które chciał wciągać na ręce, lecz nie czyniła tego wszystkiego dla niego, jak sobie wyobrażał; czyniła to dla siebie samej, z nerwowego rozdrażnienia. Czasem także mówiła mu o tem, co czytała, opowiadała mu ustępy z romansów, szczegóły o nowej sztuce, skandalik wielkoświatowy, w feljetonie ogłoszony, bo wreszcie Karol był kimś, uchem zawsze otwartym, pochwałą zawsze gotową. Przecie i charcicze swojej robiła zwierzenia! Byłaby je robiła kłodom drzewa, na kominie leżącym, i zegarowi ściennemu.

W głębi serca jednak zawsze oczekiwała na jakiś wypadek. Tak jak to czynią żeglarze w niebezpieczeństwie, wodziła zrozpaczonym wzrokiem po pustyni obszaru samotnego życia swego, upatrując jakiego żagla na mglistym horyzoncie. Nie wiedziała, jaki będzie ten wypadek, jaki wiatr go do niej przyniesie, do jakiego ją portu popchnie, czy będzie szalupą, czy okrętem trzymasztowym, czy ładunek jego składać się będzie z trosk, czy ze szczęśliwości. Każdego rana budziła się z nadzieją, że ten wypadek nastąpi, i przez cały dzień przysłuchiwała się wszystkim odgłosom, zrywała się z miejsca, dziwiła się, że nie przychodzi, a gdy słońce zaszło, z każdym dniem smutniejsza, pragnęła, żeby już było jutro.

Nadeszła wiosna. Pierwsze ciepła sprowadziły jej duszność w piersiach.

Od początku lipca liczyła na palcach, ile jeszcze tygodni pozostawało do października, myśląc, że może margrabia d'Audevillers wyda znowu bal w Vaubeysard. Lecz cały wrzesień upłynął bez żadnego listu ani wizyty.

Po tym zawodzie serce Emmy znowu pustka zaległa i rozpoczął się dla niej szereg dni jednostajnych i bezbarwnych.

Miały więc teraz tak po sobie następować, jedno do drugich podobne, niezliczone i nic z sobą nowego nieprzynoszące! Inni, jakkolwiek może nudne prowadzili życie, mogli przynajmniej spodziewać się jakiego wypadku. Nagła przyгода sprowadzała czasem nieskończone koleje i zupełną zmianę położenia. Ale dla niej nic! Bóg tak chciał. Przyszłość jej podobna była do ciemnego korytarza, z zamkniętymi na końcu drzwiami.

Zarzucała muzykę. Dla kogo miała grać? Kto jej słuchał. Ponieważ nigdy nie zasiadzie w sali koncertowej do fortepianu Ewarda, w sukni aksamitnej z krótkimi rękawami, i nie będzie nigdy słyszała, przebiegając palcami po klawiszach z kości słoniowej, pochlebnego szmeru pochwał, nie warto było męczyć się egzercytowaniem. Nie tykała również ołówków ani igły. Na co się to zdało? Szycie ją drażniło.

— Wszystko już czytałam — mówiła sobie.

I siedziała całymi godzinami, grzejąc w ogniu szczypce lub przypatrując się, jak deszcz padał.

Jakże smutną się czuła w dniu świąteczne, kiedy dzwoniono na nieszpory! Słuchała w błędnym osłupieniu pojedynczych dźwięków pękniętego dzwonu. Czasem kot, lażąc po dachu, wygrzewał w bladych promieniach jesiennego słońca swój grzbiet zaokrąglony. Wiatr pędził na drodze tumany białego pyłu. Niekiedy pies zawył zdaleka, a dzwon w równych odstępach dźwięczał jednostajnie i żałośnie...

### C z ę ś ć III.

#### VIII

Idąc, zapytywała sama siebie: «Co ja mu powiem? Od czego zacznę?» I w miarę, jak szła coraz dalej, rozpoznawała krzaki, drzewa, wodne trzciny u stóp wzgórza, wreszcie zdaleka ujrzała zameczek. Odnajdywała w sobie uczucia pierwszej miłości, i biedne jej ściśnione serce rozkosznie się niemi lubowało. Ciepły wietrzyk muskał ją po twarzy; śnieg topniejący spadał czystymi kroplami z pączków na trawę.

Weszła, jak niegdyś, przez furtkę ogrodową i niebawem znalazła się na głównym dziedzińcu, opasanym podwójnym rzędem gęstych lip, których długie gałęzie kołysały się, wiatrem poruszane. Psy w budach zaszczeły, lecz hałas ten nie sprowadził nikogo.

Weszła na szerokie, proste schody, z drewnianą balustradą, prowadzące na korytarz, wyłożony zakurzonemi marmurowemi płytami, na który wychodziło kilka pokoi w jednym szeregu, jak w klasztorach lub hotelach. Jego pokój był w głębi, po lewej stronie. Kiedy już miała rękę położyć na klamce, nagle siły ją opuściły. Obawiała się, że go nie zastanie, pragnęła tego niemal, a jednak to była jedyna jej nadzieja, ostatnia deska zbawienia. Odetchnęła przez krótką chwilę i, czerpiąc odwagę w uczuciu nieubłaganej konieczności, weszła nakoniec.

Rudolf siedział przed kominkiem, z nogami opartemi o kratę, i palił fajkę.

— Patrzcie! — rzekł powstając nagle — to ty, Emmo!

— Tak jest, to ja!... przychodzę do ciebie po radę, Rudolfie.

A pomimo wszelkich usiłowań trudno jej było usta otworzyć.

— Nie zmieniłaś się, zawsze jesteś równie śliczna!

— O! smutne to wdzięki — odparła z goryczą — kiedy niemi wzgardziłeś.

On rozpoczął usprawiedliwienie swego postępowania, tłumacząc się ogólnikowo, w braku lepszych powodów.

Dala się uwieść jego słowom, bardziej jeszcze głosowi jego i całej postaci, tak dalece, że udała, iż wierzy, lub może w istocie uwierzyła w przyczynę ich zerwania: miała nią być tajemnica, od której zależał honor, a nawet życie trzeciej osoby.

— Jakkolwiek bądź — rzekła, patrząc smutnie na niego — ja wiele wycierpiałam!

Odpowiedział filozoficznie:

— Takie jest życie ludzkie!

— Byłóż ono dla ciebie przynajmniej dobre, od czasu naszego rozłączenia? — zapytała.

— Ani dobre, ani złe!...

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy się nigdy nie byli rozłączali?...

— Może... zapewne!

— Tak sądzisz? — szepnęła, przystępując bliżej. I westchnęła.

— O Rudolfie! Gdybyś ty wiedział!... ja tak kochałam ciebie!

I ujęła rękę jego, i pozostali przez chwilę z dłońmi splecionymi — tak, jak pierwszego dnia, na Komisjach! On przez resztę dumy bronił się od wzruszenia. Lecz ona, skłaniając głowę na piersi jego, rzekła:

— Jakże chciałeś, abym ja żyła bez ciebie? Trudno się odzwyczaić od szczęścia! Byłam zrozpaczona! myślałam już, że umrę! Opowiem ci to wszystko, zobaczysz. A ty... ty uciekałeś ode mnie!...

Bo on od trzech lat unikał jej starannie, wskutek tej wrodzonej nieszczemności,



jaka cechuje płeć silniejszą; a Emma mówiła dalej, przechylając główkę i wdzięcząc się, jak zakochana kotka.

— Kochasz inne, przyznaj się. O, nie zaprzeczaj mi! ja im się nie dziwię, uwiodłeś je, tak jak mnie uwiodłeś. Ty to jesteś prawdziwym mężczyzną! masz w sobie wszystko, co potrzeba, żeby być kochanym. Ale dawne czasy powrócą jeszcze, nieprawdaż? Będziemy się znowu kochali! Widzisz, ja się śmieję, jestem szczęśliwa!... Mówże do mnie!

Była zachwycająca ze swem tklivem spojrzeniem, łzą zamglonem, jak kropla deszczu w błękitnym kielichu.

Przyciągnął ją na kolana i gładził dłonią lśniące jej włosy, na których pośród zapadającego zmierzchu połyskiwał, jak złotawa strzała, ostatni promień słońca. Pochyliła czoło, pocałował ją nakoniec lekko, końcem ust, w przymknięte powieki.

— Ależ ty płakałaś? — rzekł. — Czego?

Emma wybuchnęła głosem łkaniem. Rudolf pomyślał, że to objaw jej miłości; ponieważ milczała, wziął to milczenie za resztę wstydlivosti i zawołał:

— Ach, przebacz mi! Ty jedna tylko mi się podobasz. Byłem głupi i niegodziwy! Ja kocham ciebie i zawsze cię kochać będę!... Mówże! co ci jest?

I przykląkł przed nią.

— A więc powiem ci, Rudolffie!... jestem zrujnowana! Musisz mi pożyczyć choć trzy tysiące franków.

— Ale... ale... — rzekł, podnosząc się z wolna, gdy tymczasem twarz jego nagle spowaźniała.

— Wiadomo ci — mówiła dalej prędko — że mąż mój cały swój fundusz umieścił u notariusza, ten uciekł. Zapożyczyliśmy się, pacjenci nie płacili. Zresztą spadkowe interesa jeszcze się nie skończyły, później nam jeszcze wpłyną fundusze. Ale dzisiaj, w braku kilku tysięcy franków, zlicytują nas... teraz, natychmiast... i przyszedł do ciebie, licząc na twoją przyjaźń!

— Aha! — pomyślał Rudolf, blednąc mocno — poto więc przyszedł!

Po chwili rzekł najspokojniej w świecie:

— Nie mam pieniędzy, kochana pani.

Nie kłamał. Gdyby był miał pieniądze, byłby je zapewne dał, chociaż nie jest rzeczą bardzo przyjemną spełniać tak szlachetne czyny; a żądanie pieniędzy jest najzimniejszą i najszkodliwszą ze wszystkich burz, jakie spadają na miłość.

Emma przez kilka minut wpatrywała się w niego z niemym wyrzutem.

— Nie masz pieniędzy!

Powtórzyła kilkakrotnie:

— Nie masz pieniędzy. Powinam była oszczędzić sobie tego ostatniego upokorzenia. Tyś mnie nigdy nie kochał! Nie jesteś wart więcej od drugich!

Zdradzała się, gubiła się.

Rudolf przerwał jej zapewnieniem, że sam był w «kłopotach».

— Ach, jakże cię żałuję! — rzekła Emma. — Bardzo cię żałuję!...

A zatrzymawszy wzrok na damasceńskiej dubeltówce, która błyszcziała na ścianie:

— Ale, kto jest tak ubogi, nie zdbi srebrem kolby swej broni. Nie kupuje zegarków z perłowymi inkrustacjami! — mówiła dalej, wskazując na piękny zegar stołowy od Boule'a, ani złoconych świstawek na psy — dotykała ich — ani breloków do zegarka! O! niczego mu nie brakuje! Ma nawet kryształ w swoim pokoju; bo ty sobie dogadzasz, umiesz żyć dobrze; masz zamek, folwarki, lasy; polujesz z chartami; jeździsz do Paryża... Weźmy tylko to! — wykrzyknęła, biorąc z kominka spinki od mankietów — najmniejszą z tych drobnostek, i z tego mogą być pieniądze!... O! ja ich nie chcę! Weź je sobie!

I cisnęła daleko od siebie spinki, których złoty łańcuszek zerwał się przy uderzeniu o ścianę.

— A ja, ja wszystko byłabym ci oddała, byłabym wszystko sprzedała, byłabym własnymi rękami pracowała, byłabym zebrała po gościńcach za jeden twój uśmiech, za jedno spojrzenie, za jedno twoje słowo: «dziękuję!» A ty siedzisz tu spokojnie

w swoim fotelu, jakgdybym niedosyć już była przez ciebie wycierpiała! Czy ty wiesz, że gdyby nie ty, byłabym mogła żyć szczęśliwie. Pocoś się starał zbliżyć do mnie? Kto cię zmuszał? Czyś zakład zrobił?... A jednak kochałeś mnie, tak mówili... I przed chwilą jeszcze... Ach! lepiej było wypędzić mnie odrazu! Dłonie moje ciepłe jeszcze od twych pocałunków, i oto miejsce na tym kobiercu, gdzieś mi na kolanach przysięgał wierność miłości! Ja w nią uwierzyłam: przez całe dwa lata wodziłeś mnie po najwspanialszych i najrozkoszniejszych światach marzeń!... A nasze zamiary podróży? Czy je pamiętasz? O! twój list, twój list! jak on mi serce zakrwawił!... A teraz, kiedy przychodzę do niego, który jest bogaty, szczęśliwy, swobodny, prosić go o pomoc, którą pierwszy lepszy gotów byłby wyświadczyć, przychodzę błagająca, powracająca mu całe moje serce, on mnie odpycha, bo to kosztowałoby go parę tysięcy franków.

— Nie mam ich! — odpowiedział Rudolf z tym niewzruszonym spokojem, którym się zaślaniają, jak puklerzem, tajemne gniewy.

Emma odeszła. Ściany tego domu drżały, sufit ją przygniatał.

Przebiegła długą, topolową ulicę, potykając się o kupy zeschniętych liści, które wiatr rozrzucał. Stała na koniec przed kratą, połamała sobie paznokcie o zamek, tak pilno jej było go otworzyć. O sto kroków dalej, zadyszana, stanęła znowu, aby odechnąć. A odwróciwszy się, spojrzała raz jeszcze na niewzruszony zamek, z jego parkiem, ogrodami, trzema dziedzińcami i wszystkimi oknami frontu.

Była napół nieprzytomna, i tylko gwałtowne pulsowanie arteryj, których szum słyszała wśród ciszy pól, dawało jej świadomość siebie samej. Grunt pod jej stopami miękki był jak woda, a brzozy wydawały się jej olbrzymiami, ciemnymi bałwanami, które się w jej oczach rozwijały. Wszystkie wspomnienia i myśli, jakie głowę jej napełniały, wymykały się razem, jako tysiączne części sztucznych ogni. Widziała swego ojca, kantor Lhevreux'go, pokój w hotelu Bulońskim, inny jeszcze krajobraz. Obłąd ją ogarniał, przeleciała się sama siebie i zdołała trochę oprzytomnieć, niewyraźnie wprawdzie, bo nie przypomniała sobie przyczyny swego okropnego stanu, to jest kwestji pieniężnej. Bolała tylko nad sponiewieraną miłością swoją i czuła, że ją dusza opuszczała przez to wspomnienie, jak ranni, którzy, konając, czują życie uchodzące przez swą krwawiącą ranę.

Noc zapadała; wrony, kracząc, latały.

Wtem wydało jej się, jakoby kulki ognistej barwy pękały w powietrzu jak race, i, kręcąc się wirowo, spadały na śnieg, pomiędzy drzewami. Na każdej z nich pojawiała się twarz Rudolfa. Mnożyły się coraz więcej, zbliżały się do niej, przenikały ją; wreszcie wszystko zniknęło. Poznała światła w oknach domów, które błyszczały zdaleka we mgle.

Natenczas przedstawiło się jej własne położenie naksztalt bezdennej otchłani. Głowa jej pałała, dyszała, jakgdyby piersi jej pęknąć miały. Nagle w uniesieniu bohaterskiem, które ją prawie szczęśliwą uczyniło, zbiegła pędem ze wzgórza, przebyła szybko kładkę, ścieżkę, ulicę, drzewami wysadzoną, rynek i stanęła przed apteką.

Nikogo w niej nie było. Już chciała wejść, lecz na odgłos dzwonka mógł ktośkolwiek nadejść; wstrzymując przeto oddech, macając po ścianie, wsunęła się za barierkę i postąpiła aż na próg kuchni, gdzie paliła się postawiona na kominku świeca. Justyn wynosił właśnie półmisek.

— Ach, jedzą obiad. Zaczekajmy.

Chłopak powrócił. Zastukała w szybę. Wyszedł.

— Klucz! daj mi klucz od góry, gdzie są...

— JAKTO?

I patrzył na nią, zdumiony błądząco jej twarzy, która odbijała swą białością na czarnem tle nocy. Wydała mu się nadzwyczajnie piękną i wspaniałą, jak duch ciemności: nie pojmując, czego chciała, przeczuwał coś strasznego,

Ona jednak powtórzyła prędko, przytłumionym i miękkim głosem:

— Chcę tego klucza! daj mi go!

Ponieważ przepierzenie było cienkie, słysząc było szcęknięcie noży po talerzach w sali jadalnej.

Powiedziała, że potrzebuje trucizny, żeby się pozbyć szcurów, które jej spać nie dawały.

— Musiałbym uprzedzić pana — rzekł Justyn.

— Nie potrzeba! zostań!

I obojętnie dodała:

— Nie warto go trudzić; ja mu sama powiem. Chodź-że, poświęć mi!

I weszła w korytarz, z którego było wejście do laboratorjum. Na ścianie wisiał klucz z kartką, na której było napisane: «Kafarnaum».

— Justyn! — krzyknął aptekarz zniecierpliwiony.

— Chodźmy na górę!

Chłopak poszedł za nią.

Zakręciła klucz w zamku i przystąpiła prosto do trzeciej półeczki, tak dobrze wszystko zapamiętała; pochwyciła niebieski słoik, otworzyła go, włożyła w środek rękę i, wyjąwszy ją pełną białego proszku, jeść go zaczęła jak cukier.

— Co pani robi! — wykrzyknął Justyn, rzucając się ku niej.

— Cicho bądź! może kto nadejść...

Justyn załamywał ręce w rozpacz, chciał wołać o ratunek.

— Nic nie mów — rzekła — wszystko to spadłoby na twego pana!

I oddaliła się, nagle uspokojona i niemal zadowolona, w przeświadczeniu spełnionego obowiązku.

*Tłum. L. Kacz.*

## ALEXANDRE DUMAS (SYN)

(1824—1895)

### DAMA KAMELJOWA

#### XXVI

Armand, zmęczony długim opowiadaniem, które często oblewał łzami, oparł swe czoło na obu rękach i zamknął oczy, czyto chcąc myśleć, czy też pragnąc przespać się, dawszy mi przedtem kartki, zapisane ręką Małgorzaty.

W kilka chwil potem szybszy oddech dał mi poznać, że zasnął, ale tym snem lekkim, który najmniej szelest przerywa.

Oto, co przeczytałem i przepisałem bez dodania, bez wyrzucenia choćby jednej zgłoski:

«Dzisiaj jest 15 grudnia. Jestem cierpiąca od trzech czy czterech dni. Dziś rano położyłam się do łóżka, czas jest ponury, jestem smutna, niema nikogo przy mnie, myślę o tobie, Armandzie. A ty, gdziez jesteś w tej chwili, gdy to piszę? Daleko od Paryża, bardzo daleko, jak mi powiedziano, a może zapomniałeś już o Małgorzacie. Wreszcie, bądź szczęśliwy, ty, któremu jestem winna jedyne chwile radości w mem życiu.

Nie mogłam oprzeć się chęci wytłumaczenia ci mego postępowania i napisałam do ciebie list, ale list od takiej dziewczyny, jak ja, może być uważany za kłamstwo, nadaje mi on jednak charakter prawdy i staje się nie listem, lecz spowiedzią.

Dziś jestem chora, mogę umrzeć z tej choroby, gdyż zawsze miałam to przecucie, że umrę młodo. Moja matka umarła na suchoty, a sposób mego dotychczasowego życia potwierdza tylko moje przecucia, to była jej jedyna puścizna, ale ja nie chcę umrzeć wprzód, nim ty się dowiesz, co masz sądzić o mnie, jeśli powrócisz i jeśli będziesz myślał jeszcze o biednej dziewczynie, którą kochałeś przed wyjazdem.

Oto, co zawierał ten list, który chcę ci przepisać, jako dowód mego usprawiedliwienia się.

Przypominasz sobie zapewne, Armandzie, jak przyjaciel twego ojca schwycił nas w Bougival, przypominasz sobie mimowolną bojaźń, jaką wywarło na mnie to przybycie, scenę, jaka się zdarzyła między tobą a nim, którą opowiedziałeś mi wieczorem.

Nazajutrz, gdy ty byłeś w Paryżu i oczekiwałeś na swego ojca, przybył do mnie jakiś człowiek i oddał mi list od p. Duval. W liście tym, jaki tu dołączam,

prosił mię wyrazami pełnemi wagi, bym cię nazajutrz pod jakimkolwiek bądź pozorem oddaliła i przyjęła twego ojca, ma mi bowiem coś powiedzieć, a nadewszystko zalecał, by ci nie o tem nie mówić.

Wiesz, jak nalegałam, gdyś powrócił, byś znowu nazajutrz udał się do Paryża.

Już minęła godzina po twoim odejdzie, gdy twój ojciec się zjawił. Twarz jego surowa wywarła na mnie wielkie wrażenie. Twój ojciec był pełen starych wyobrażeń, że każda zalotnica jest istotą bez serca, bez rozumu, rodzaj maszyny do brania złota, zawsze gotowa, jak prawdziwe żelazne maszyny, do zdruzgotania ręki, cokolwiek jej podającej, bez uwagi na to, że ta ręka nadaje jej ruch i życie.

Twój ojciec napisał do mnie list bardzo grzeczny, nie mogłam więc go nie przyjąć, atoli inaczej się przedstawił, niż pisał. Miał w sobie jakąś dumę, impertynencję w obejściu, a nawet groźby w swych pierwszych słowach, dałam mu więc do zrozumienia, że jestem u siebie, że nie widzę potrzeby składania mu rachunku z mego życia, jak tylko z tego względu, że szczerze kocham jego syna.

Pan Duval uspokoił się nieco, jednakże zaczął mówić, że nie może dłużej tego cierpieć, by jego syn rujnował się dla mnie; że jestem piękna, to prawda, lecz jakkolwiek jest, nie powinnam używać mej piękności nato, by zniszczyć przyszłość młodego człowieka.

Na to była tylko jedna odpowiedź, nieprawdaż? To jest dowody, że od czasu, jak jestem twoją kochanką, wszystko poświęciłam, by tobie zostać wierną, nie żądając od ciebie nic więcej nad to, co dać mogłam. Pokazałam kwity z Mont de Piété, kwity tych, którym sprzedałam me ruchomości dla zapłacenia długów, wkońcu powiedziałam ojcu o naszych zamiarach życia ze sobą, bez obciążenia zbyt ciężko ciebie moją osobą. Opowiedziałam mu szczęście, odmalowałam mu życie spokojne i szczęśliwe, słysząc to, zmiękł, podając mi rękę, przeproszał za swoje postępowanie.

Poczem rzekł:

— Więc pani, teraz nie przez uwagi i groźby, ale przez prośby chcę wymóc na tobie ofiarę daleko większą od tych, jakie dotąd zrobiłaś dla mego syna.

Zadrzałam na tę przemowę.

Ojciec zbliżył się do mnie, wziął mię za obie ręce i mówił łagodnie:

— Moje dziecię, nie uważaj tego za złe, co ci mam powiedzieć, chciej tylko zrozumieć, że życie ma częstokroć potrzeby straszne dla serca, ale którym trzeba zadośćuczynić. Jesteś pani dobra i twoja dusza ma w sobie szlachetność nieznaną wielu kobietom, które tobą może gardzą, a które niewarte są ciebie. Lecz pomyśl, że obok kochanki jest rodzina, że prócz miłości są obowiązki, że po latach namiętności następują lata, w których mężczyzna, chcąc zasłużyć na szacunek, potrzebuje oprzeć się na jakim poważnym stanowisku. Mój syn nie ma majątku, a przecież gotów jest przeleć na ciebie puściznę po matce. Jeżeliby przyjął ofiarę, którą chcesz pani dla niego zrobić, honor i godność nakazują mu wzamian zrobić to przelanie. Lecz on nie może przyjmować twej ofiary, bo świat, który ciebie nie zna, nadałby temu faktowi inny pozór, jaki nie powinien leżeć na imieniu naszym. Nie uważano by na to, czy Armand panią kocha, czy go ty kochasz, czy ta podwójna miłość jest dla niego szczęściem a dla ciebie rehabilitacją, wiedziano by tylko jedną rzecz, to jest, że Armand Duval pozwolił na to, by dziewczyna utrzymywana, wybaczone moje dziecię, że ci to zmuszony jestem powiedzieć, sprzedała dla niego wszystko, co miała. Później przysłyby dnie wyrzutów i żalów, bądź tego pewna, tak dla ciebie, jak i dla niego, i oboje dźwigalibyście kajdany, których nie moglibyście skruszyć. Cóżbyście wówczas robili? Twoja młodość stracona, przyszłość mego syna zniszczona, a ja, jego ojciec, otrzymałbym nagrodę tylko w jednym dziecięciu, spodziewając jej się od dwojga.

Jesteś pani młoda, piękna, życie cię pocieszy, jesteś szlachetna, a wspomnienie dobrego czynu odkupi wiele złego z przeszłości. Od sześciu miesięcy, jak cię Armand zna, zapomniał o mnie zupełnie. Cztery razy do niego pisałem, a on nie pomyślał o odpowiedzi dla mnie ani razu. Mogłem umrzeć, a onby o tem nie wiedział.

Jakiekolwiek są wasze zamiary, żyć inaczej, jakieście dotąd żyli, Armand, który panią kocha, nie zezwoli na zamknięcie się, na jakie skazani będziecie wskutek skromnej waszej pozycji, a która dla twej piękności nie jest odpowiednia. Kto wie, coby wówczas robił. Grał, o tem wiem, lecz w chwili upojenia mógłby stracić część tego,

com zebrał przez ciąg lat wielu na posag mej córki, dla niego i dla spokoju mych dni w starości. To, co mogło się było stać, może jeszcze się przytrafić.

Czy prócz tego jesteś pani pewna, że życie, które dla niego porzucasz, nie miałyby dla ciebie pociągu? Czy jesteś pewna, ty, która tyle kochałaś, że nie będziesz innego już kochała? Czy wreszcie, nie będziesz kiedyś cierpiała nad pętami, jakie wasz związek zarzuci na życie twego kochanego, a nie potrafisz go z nich uwolnić ni pocieszyć, jeśli z wiekiem myśli ambitne nastąpią po snach miłości? Pomyśl nad tem wszystkim, pani, kochasz Armanda, dowiedz mu tego jedynym sposobem, jaki ci jeszcze został: poświęcając dla jego przyszłości twą miłość. Jeszcze nie było nieszczęścia, ale będzie, a może daleko większe, niż to, które przewiduję. Armand w zazdrości może wyzwać człowieka, który cię dawniej kochał, mogą się bić, może być wreszcie zabitym i pomyśl, co byś odrzekła ojcu, któryby przyszedł pytać się ciebie o rachunek z życia swego syna.

Nakoniec, moje dziecię, wiedz jeszcze o tem, bo ci nie wszystko powiedziałem, co mię sprowadziło do Paryża. Mam córkę, młodą, piękną, czystą jak anioł. Ona kocha i ona także zrobiła z tej miłości marzenie swego życia. Pisałem o tem wszystkim do Armanda, ale całkiem zajęty panią, nie odpowiedział mi. Otóż moja córka idzie zamąż. Zaślubia człowieka, którego kocha, wchodzi na łono szanownej rodziny, chcąc, by i w mojej wszyscy byli tacy. Rodzina człowieka, mającego być moim zięciem, dowiedziała się, jak Armand żyje w Paryżu, i oznajmiła mi, że cofnie swe słowo, jeśli Armand będzie tak żył dalej. Przyszłość dziecka, które nic ci nie jest winno, a które ma prawo liczenia na przyszłość, jest w twoich rękach.

Czy masz pani prawo i czy czujesz w sobie siłę do zniszczenia jej? W imię twej miłości i żalu, Małgorzato, zwróć mi szczęśliwą dolę mej córki.

Plakałam cicho, mój drogi, słysząc te uwagi, które nieraz sobie sama robiłam, a które w ustach twego ojca nabierały strasznej rzeczywistości. Mówiłam sobie to, co mi twój ojciec nie śmiał powiedzieć, a co mu kilkakroć wieszano na ustach: że wkońcu jestem tylko dziewczyną utrzymywaną i, jakkolwiek powód dam naszemu związkowi, będzie on zawsze wyglądał na rachunek: że moja przeszłość nie daje mi prawa do marzenia o podobnej przyszłości i że przyjmuję odpowiedzialność, której nie gwarantują ani moje przyzwyczajenia, ani moja reputacja. Wreszcie, kochałam cię, Armandzie. Sposób, w jaki mówił do mnie pan Duval, czyste uczucia, jakie budził w mej duszy, szacunek dla tego prawego serca, jaki miałam, szacunek twój, jaki, spodziewam się, mieć będę kiedyś, wszystko to budziło w mem sercu szlachetne porywy, wznoszące mię we własnem przekonaniu, i jakąś świętą, nieznaną mi dotąd próżność. Gdy sobie pomyślała, że kiedyś ten starzec, proszący o przyszłość swego syna, powie córce, by dodawała do modlitwy za brata moje imię, jako tajemniczej przyjaciółki, całkiem zmieniłam się i dumna byłam z siebie.

Egzaltacja chwilowa zapewne przesadzała istotną prawdę tego wrażenia, ale doświadczałam tego, i to uczucie kazało zamilknąć wspomnieniom dni, szczęśliwie z tobą spędzonych.

— To dobrze, panie — rzekłam twemu ojcu, ocierając łzy. — Czy pan wierzysz temu, że kocham twego syna?

— Wierzę — rzekł p. Duval.

— Miłością bezinteresowną?

— Tak.

— Czy wierzysz pan temu, że ta miłość była nadzieją, marzeniem i przebaczeniem mego życia?

— Wierzę.

— No więc, panie, ucałuj mnie tak, jakgdybyś całował twą córkę, a przysięgam ci, że ten pocałunek jedyny, prawdziwie czysty, jaki otrzymałam, zrobi mię silną wobec mej miłości i że za tydzień twój syn wróci do ciebie, może nieszczęśliwy, ale wyleczony na zawsze.

— Jesteś pani szlachetną dziewczyną — rzekł twój ojciec, całując mię w czoło — bo spełniasz rzecz, za którą cię Bóg wynagrodzi — ale lękam się, czy co zrobisz z mym synem.

— O! bądź pan spokojny — znieawidzi mię.

Trzeba więc było wznieść między nami nieprzebytą zaporę.

Napisałam do Prudencji, że przyjmuję propozycję hrabiego de N... i by mu zaraz powiedziała, że dziś będę z nim jadła kolację.

Zapiecztowałam list i, nie mówiąc nic, co on zawiera, prosiłam twego ojca, by go odesłał według adresu, jak będzie zpowrotem w Paryżu.

Mimo to zapytał mnie, co w nim jest.

— Szczęście pańskiego syna — odrzekłam.

Ojciec ucałował mię po raz ostatni. Uczulam na mem czole dwie lzy wdzięczności, będące niejako chrztem, zmywającym niedawne błędy, i w chwili, gdy postanowiłam oddać się innemu człowiekowi, jaśniałam całą dumą, myśląc, czem odkupuję ten błąd nowy.

Było to bardzo naturalne, Armandzie — powiedziałaś mi przecież, że twój ojciec był najuczciwszym człowiekiem w świecie.

Pan Duval wsiadł do powozu i odjechał.

Byłam przecież kobietą i, gdym cię znów ujrzała, płakałam, ale nie słałam.

Czy dobrze zrobiłam? pytam się sama siebie dzisiaj, leżąc chora w łóżku, które może opuszczę, będąc już trupem.

Byleś świadkiem, co czulam, w miarę jak się zbliżała godzina naszego rozstania; twego ojca nie było, by mnie wsparł, a była chwila, w której chciałam ci wszystko wyznać, tak byłam zdziwiona myślą, że ty mię masz nienawidzić i gardzić mną.

Może nie wierzysz temu, Armandzie, ale ja prosiłam Boga, by mi dał siłę, a że mi ją dał, to najlepszy dowód, że mię wysłuchał.

Przy kolacji jeszcze potrzebowałam pomocy, bo sama nie wiedziałam, co zrobiłam, tak bałam się, by mi nie zabrakło odwagi.

Ktoby był powiedział, że ja, Małgorzata Gautier, tyle będę cierpieć na samą myśl o nowym kochanku.

Piłam wiele, by zapomnieć, a gdym się nazajutrz obudziła, byłam już u hrabiego.

Oto cała prawda, przyjacielu, sądz i przebac tak, jak ci przebaczyłam wszystko złe, coś mi zrobił od onej chwili».

## ÉDMOND ROSTAND

(1868—1918)

### PIEŚŃ DO SKRZYDEŁ

(Wyjątek)

Tedy, jako mówiono, był Wiek bez polotów  
I bez uniesień dusza,  
Gdy nagle znów do Czynu stał się człowiek gotów,  
Znów Rycerz w świat wyrusza.

Bohater, co przebywał pod swoim namiotem,  
Jak one greckie męża,  
Nagle rozrywa płótno i wznosi się potem,  
Gdzie wzrok go nie dosięże.

Było tam zwojów trochę, to płótno, przestrzeń, głusza,  
I człowiek wznosił się śmiało;  
Wszak o tem nie czytano w bajkach Owidjusza:  
Wielu z nas to widziało.

Napróżno się przyczepia do wątych spoidel  
Ikara zwid szalony.  
Czas nastał, aby dzisiaj śpiewać Pieśń do Skrzydeł:  
Bojaźni zmilkły dzwony.

Wszystko jest dla człowieka możliwe na świecie,  
On w wieczność myśl zuchwali,  
Bowiem na niewidzialnym rozpostrze się grzbiecie,  
Na niewidzialnej fali.

Latawcze, wznies swe loty ponad traw poszumy,  
Wzbij się w podniebne skwary;  
Odwaga niech ci sławą będzie, a bez dumy  
Przyjm różnych losów dary.

Kołysz się w wicherze płynnym, tańcz, prując przestrzenie,  
I chwilę stań w próżnicy,  
Niechaj Ptaka ziemskiego olśnią nasze ziemie,  
Ozłoci blask pszenicy!

A ty, słońce przepiękne, co twojego dzionka  
Gasnące szuka oko,  
Przyjmij orła nowego, co nakształt skowronka  
Wzrósł wgórę tak wysoko!

«Cantique de l'Aile» (*L'Illustration*, 1911)

Tłum. Józef Gluziński.

## CYRANO DE BERGERAC

### Akt I, scena IV

Cyrano: Idź waść, lub się wytłumaczysz,  
Czemu ciągle na nos mój patrzysz?  
Natręt: Pan wybaczysz...  
Cyrano: Cóż jest w nim tak dziwnego?  
Natręt: Wasza łaska w błędzie...  
Cyrano: Czy się kołysz, jakby trąba?  
Natręt: Niech pan będzie  
Pewny...  
Cyrano: Lub podobny do sowiego dzioba?  
Natręt: Alez...  
Cyrano: Czyż ma brodawka, to się nie podoba?  
Natręt: Gdzież tam...  
Cyrano: A jeśli mucha w tej chwili przypadkiem  
Chodzi po nim powoli, czyż to jest tak rzadkiem  
Zjawiskiem?  
Natręt: Ależ wcale...  
Cyrano: I czymś niebywałem?  
Natręt: By nie spojrzeć nań nawet, ściśle przestrzegalem!  
Cyrano: Dlaczego, jeśli łaska, nie chcesz go aś widzieć?  
Natręt: Bo, bo, przecie...  
Cyrano: Więc chyba on cię musi brzydzić?  
Natręt: Ależ panie, bynajmniej!  
Cyrano: Barwa jego może  
Zda się panu niemiłą, niezdrową?  
Natręt: Broń Boże!  
Cyrano: Jest-że on, zdaniem pana, nieprzystojny kształtem?  
Natręt: Anim myślał.  
Cyrano: Więc czemu poniżać go gwałtem?  
Natręt (*jakajac się*): Ależ nos ppański mały mmalerki... malusi!

Cyrano: Do kroćset, nos mój mały! I waść taką śmie mi  
Obelgę rzucić!

Natręt: Boże!

Cyrano: Mój nos jest olbrzymi!  
O, nędzny płaskonosie, ty głowo-makówko!  
Wiedz, że się czuję dumny taką przybudówką!  
Bo nos duży wiadomo znakiem niewątpliwym,  
Że ten, co go posiada, jest człowiekiem tklwym,  
Odważnym, miłym, dobrym, dowcipnym i hojnym,  
Słowem takim, jak jestem; jakim, bądź spokojnym,  
Ty nie zostaniesz nigdy, bo nędzna facjata,  
Do której sięgam tutaj wżwyż twego krawata,  
Jest również pozbawiona

*(Daje mu poticzek; natręt wydaje krzyk)*

Dumy, wspaniałości,  
Polotu, czucia, blasku oryginalności,  
Nosa, wreszcie, jak inna, do której się zbliża  
But mój w obecnej chwili niżej twego krzyża.

*(W ciągu tego chwytła go za ramiona i odwraca)*

Natręt *(umykając)*: Ratunku!

Cyrano: Tak więc gawron, który się odważy  
Niewczesne stroić żarty ze środka mej twarzy,  
Ostrzeżony. A nadto, zanim zaczniesz czmychać,  
Jeśli by to był szlachcic, mam zwyczaj mu wypchać  
Zprzodu i nieco wyżej kawałek niektoży  
Żelaza błyszczącego miast kawałka skóry!

De Guiche *(schodząc ze sceny ze złotą młodzieżą)*: On mnie nudzi!

Wicehrabia Valvert: Samochwał!

De Guiche: Nikt mu słowem żadnem  
Nie odpowie?

Valvert: Jaktó? Nikt? — Dowcipem paradnym  
Tak mu przytnę, że chelpic nie będzie się dłużej.

*(Zbliża się do Cyrana)*

Mój panie, he, he, ty masz he... nos... bardzo duży.

Cyrano *(poważnie)*: Bardzo.

Valvert *(śmiejąc się)*: Cha! cha!

Cyrano *(niewzruszony)*: To wszystko?

Valvert: Bo...

Cyrano: Ho, mój młodzikul

Nadto jesteś treściwy, mogłeś być bezliku  
Rzeczy powiedzieć, w różne uderzając tony.  
Ot naprzykład, zaczepnie: «Bym był obdarzony  
Nosem takim potężnym, bezzwłocznie i raźnie  
Żądałbym amputacji». Albo też przyjaźnie:  
«Pewno w czarce, gdy pijesz, nurza się nos pana?  
Czemu nie obstalujesz sobie roztruchana?»  
Małowniczo: «To skała, to góra, lub raczej...  
Przylądek... nie — półwysep!» — Ciekawie: «Wybaczy  
Pan, że spytam, do czego ten długi futerał?  
Czyżby nożyczki lub też kałamarz zawierał?»  
Z wdziękiem: «Czy jesteś takim ptaków lubownikiem,  
Że pragniesz je przynęcić tym, ot, gołębnikiem?»  
Żartobliwie: «Powiedz pan, kiedy lulkę palisz  
I dym nosem wypuszczasz, to twój sąsiad zaliż



Nie zawoła, że palą się w twym kominie sadze?»  
 Życzliwie: «Pan pamiętaj o ciał równowadze!  
 Pod wpływem przyciągania łatwo padniesz plackiem  
 Na ziemię!» Z uprzejmością: «Kto się takim cackiem  
 Cieszy, niech parasolem od słońca je strzeże».  
 Pedancko: «Arystofan jedno tylko zwierzę  
 Opisuje o takiej na czole narości,  
 Złożonej z mięsa, chrząstek, na podstawie z kości;  
 Hipo-camp-elefanta-melos zwał się taki  
 Zwierz dziwny». Lub wesoło: «Modneż są te haki?  
 By powiesić ubranie, nowość to dogodna?»  
 Z powagą: «Żaden wicher, rzecz to niezawodna,  
 Nie sprawi ci kataru, nosie, chyba może  
 Cyklon». Albo też: «Myślę, że Czerwone morze  
 Powstaje, kiedy z tego oto nosa krew płynie».  
 Z podziwem: «Ten pachnideł fabrykant zasłynie,  
 Co nad sklepem zawiesi szyld tak doskonały».  
 Poetycznie: «Tyś tryton w konchy wspaniały».  
 Z prostotą: «Kiedyż zwiedzim ten piękny budynek?»  
 Z uznaniem: «To się zowie — szczytem wchodzi w rynek!»  
 Z prostacka: «Oj, la Boga, to ci nochal, panie!  
 Zwiesił se wielgą rzepę, cy malušką banię!»  
 Po wojskowemu: «Cel! pal! wprost na kawalerję!»  
 Praktycznie: «Czy nie zechcesz puścić go w loterję,  
 Bo z pewnością on będzie najgrubszą wygraną?»  
 Wkońcu, Pirama skargę naśladowując znaną:  
 «Harmonję rysów pańskich popsul ten odmieniec,  
 Stąd mu wykwita ciągle ten wstydu rumieniec».  
 Oto, łaskawy panie, co byłbyś wygłosił,  
 Gdyby twój mózg dowcipu choć cokolwiek nosił  
 I gdybyś się rozumiał na ozdobnej mowie,  
 Lecz ani żdźbło dowcipu nie tkwi w twojej głowie,  
 Nędzna istoto, która z alfabetu cztery,  
 Te przez które się piszesz, znasz tylko litery.  
 A zresztą gdybyś umiał z fantazją i sprytem  
 Mnie tutaj cisnąć przed tem kołem znakomitem.  
 Wszystkie te, coś usłyszał, rozbrykane żarty  
 Nie zdołałbyś powiedzieć ani części czwartej  
 Od połowy pierwszego. Tą blażeńską gwarą  
 Smagam się sam ochoczo, ale żadną miarą  
 Nie dam, by mnie kto inny smagał w sposób taki!

De Guiche: Wicehrabio, daj pokój!

Valvert (*dusząc się ze złości*): Jak ten ladajaki

Szlachetka, co rękawiczek, wstążek ni galonów:  
 Nie nosi, śmie pozwalać sobie takich tonów!

Cyrano:

Jam natomiast dbający o cześć, godność swoją;  
 To ma wytworność! Choć jak modniś się nie stroję.  
 Zaiste, im mniej próżnym, tem więcej ja dbałym.  
 Nigdy mnie nie widziano z honorem zszarzałym,  
 Zmiętym, z zasklepieniami oczyma sumienia,  
 Jakby co tylko wstały z długiego uspienia,  
 Z niesplókaną zniewagą, z sławą nieodmytą  
 Z wszelakich wątpliwości. Chociaż zlotolita  
 Nie błyszczę szatą, nie mam na sobie świecideł,  
 Powiewam pióropuszem, utworzonym z skrzydeł  
 Niezależności ducha, szczerości i prawdy,

- I na duszę, nie kibić, wkładam gorset zawdy,  
 By się wznosiła prosto. W czyny śmiałe własne  
 Idę przyozdobiony, jakby w wstążki krasne,  
 Wreszcie jakgdyby wasy dowcip swój najezam,  
 Z jednej ludzkiej gromady do następnej zmierzam,  
 Brzając w prawdy słowa, jakoby w ostrogi!
- Valvert: Mój panie...
- Cyrano: Rękawiczek nie noszę, błąd srogi!  
 Miałem ja wprawdzie jedną, bez pary, odwieczną,  
 Lecz gdy mi się sprzykrzyła i była zbyt czną,  
 Na niemile mi lice ją pono rzuciłem.
- Valvert: Gbur, głupiec, grubjanin!
- Cyrano (*zdejmując kapelusz i kłaniając się*): A! wielce mi miłem.  
 Jam jest Cyrano de Bergerac!
- Valvert: Błaźnie!
- Cyrano: Sss!...
- Valvert (*który odchodził, odwraca się*): Co on mówi jeszcze?...
- Cyrano: Że należy różnie  
 Nią poruszać, bo staje się sztywną, zdrętwiałą;  
 Oto, co jest użyczać jej ruchu za mało.  
 Aj!...
- Valvert: Co to znaczy?
- Cyrano: W szpadzie czuję rwanie.
- Valvert (*wyciągając pałasz*): Jam gotów!...
- Cyrano: Sztych wyborny się panu dostanie.
- Valvert (*pogardliwie*): Poeta!...
- Cyrano: Tak, masz słusność, i to takim celnym,  
 Że gdy będę poruszał swym pałaszem dzielnym,  
 Jednocześnie dla pana balladę ułożę.
- Valvert: Balladę?
- Cyrano: Dla waszmości to rzecz obca może,  
 Z trzech stron o ośmiu wierszach składa się ballada.
- Valvert (*tupiąc nogami*): Och!...
- Cyrano: Epilog o czterech na końcu przypada...
- Valvert: Waćpan...
- Cyrano: Machając bronią, zrymuję balladę,  
 Przy końcu epilogu poczujesz mą szpadę.
- Valvert: Nic z tego!
- Cyrano: Nic? (*deklamuje*) «Ballada historję nieznaną  
 Głosi o pojedynku pana de Cyrano  
 I pewnego łajdaka w Burgundzkim pałacu.  
 Cóż to ma być?
- Valvert: To tytuł.
- Cyrano: Och, zabawa!... Z placu  
 Ustąpić proszę... Cicho... Widowisko nowe...
- (*Wszyscy tworzą koło: młodzież złota, oficerowie, mieszczenie i lud. Damy powstają w łozach. Na prawo de Guiche i szlachta*)
- Cyrano: Cierpliwości!... Szykuję me rymy... gotowe!  
 (*Wykonywa stopniowo to, co wygłasza*)  
 Wionął mi kapelusz z czoła,  
 Gładko płynie wiersz ballady  
 I płaszcz zsunął się dokoła,  
 Więc dobywam swojej szpady,  
 Grzeczny, zwinny, pełen swady.  
 Dowiedz się, mój dudku-wrogu,

Któryś ze mną szukał zwady,  
 Że cię zmacam w epilogu.  
 Poco wtykać palce w kola?  
 Teraz niema na to rady,  
 Że cię moja szpada goła  
 Naszpikuje do nasady.  
 Wstęgi, taśmy i zakłady  
 Na twem sercu, mój rarogu,  
 By ukarać twe brawady,  
 W brzuch cię trafię w epilogu.  
 Wtem mi przepadł rym na ...oła,  
 Aleś ty jak płótno błady,  
 Byś mógł rzec, że tchórz dokoła  
 Cię obleciał, szepcąc rady.  
 Brzęk! paruję twoje zdrady,  
 Gdy już jesteś w kozim rogu.  
 Wzywaj Marsa lub Pallady,  
 Lecz cię zmacam w epilogu

*(oznajmia uroczyscie)*

Epilog.

Idzie chwila twej zagłady,  
 Mości panie, zleć się Bogu!  
 Finta, sztyszek dla parady *(zamierza się)*,  
 Tuszl...

*(Valbert chwije się i pada, Cyrano kłania się publiczności)*

Ot, koniec epilogu!

*(Oklaski w łozach i okrzyki; kwiaty i chustki padają. Wojskowi otaczają Cyrana i win-  
 szują. Przyjaciele wicehrabiego podtrzymują go i unoszą)*

Tłum: Aach!...  
 Szwoleżer: To wspaniałe!  
 Dama: Ładne bardzo.  
 Reqneneau: Gigantyczny!  
 Le Bret: Szaleństwo!  
 Pierwszy ze złotej młodzieży: Niewidziane!

*(Wkoło Cyrana słychać):*

Winszujemy! Śliczne!

Brawol!... Wielce udatne...

Głos kobiety: Bohater prawdziwy!  
 Muszkieter *(zbliżając się do Cyrana)*: Wykonanie mistrzowskie! Panie, udział żywy  
 Brałem w pańskim triumfie; tupaniem w podłogę  
 Objawilem uznanie! Żem znawcą, rzec mogę. *(Odchodzi)*

Cyrano *(do Cuigu)*: Któż jest ten pan?

Cuigu: D'Artagnan.

Le Bret *(do Cyrana, biorąc go pod ramię)*: Chodź, porozmawiajmy.

Cyrano: Bardzo chętnie, lecz wprzód tłumowi ujść dajmy.

*(Do Bellerosa)*

Możem zostać?

Bellerose *(z uszanowaniem)*: Bez kwestji!

*(Słychać krzyki za sceną)*

Jodelet: Ot, muzyka właśnie

Dla Montfleorego.

Bellerose (*uroczyście*): Sic transit...

(*Innym tonem do odźwiernego, zegnając ukłonem Cyrana*)

Niech światło nie gaśnie.  
Zamknąć i pozamiatać; na próbę przyjdziemy  
Krotochwili jutrzejszej, gdy kolację zjemy.

(*Jodelet i Bellerose wychodzą, złożywszy głębokie ukłony*)

Odźwierny (*do Cyrana*): Pan na obiad?

Cyrano:

Nie idę.

Le Bret:

Bo?...

Cyrano (*po odejściu odźwiernego*):

Nie mam pieniędzy.

Le Bret:

Jakto? worek talarów, rzucony pomiędzy  
Komedjantów?...

Cyrano:

Dzień jeden twoje życie trwało,  
Darze ojcowski!

Le Bret:

A więc nic ci nie zostało,  
By przeżyć miesiąc?

Cyrano:

Nic...

Le Bret:

O! jakim głupstwem setnem  
Było rzucić ten worek!

Cyrano:

Ale ruchem świetnym.

Roznosicielka: Hm...

(*Cyrano i Le Bret odwracają się. Ona zbliża się nieśmiało*)

Wiedzieć, że pan głodny, serce pęka przecie.

(*Wskazując bufet*)

Jest wszystko, bardzo proszę...

(*Z uczuciem*)

Weź pan.

Cyrano (*zdejmując kapelusz*):

Moje dziecię,

Choć duma Gaskończyka wzbrania mi surowo  
Przyjąć cokolwiek, jednak, ponieważ odmową  
Sprawiłbym przykrość, wezmę od ciebie, panienko,

(*Idzie do bufetu i wybiera*)

Rzecz małą, z winogrona to jedno ziarenko.

(*Ona chce mu dać grono, on zrywa tylko ziarenko*)

Jedno tylko i szklankę wody

(*Ona chce mu nalać wina, on ją wstrzymuje*)

Przezroczystej,

I pół makaronika.

(*Oddaje drugą połowę*)

Le Bret:

Nierozsądek czysty!

Roznosicielka: Och! co więcej!

Cyrano:

Tak, rękę do pocałowania.

(*Całuje ją w rękę, jak księżniczkę*)

Roznosicielka: Dziękuję (*ukłon*)

I dobranoc (*wychodzi*).

Tłum. Marja Chwalibóg.

## PROSPER MÉRIMÉE

(1803—1870)

## CARMEN

## III

Urodziłem się w Elizondo, w dolinie Baztan. Nazywam się don José Lizzarra-beugoa; zna pan o tyle Hiszpanję, aby z mego imienia natychmiast poznać, że jestem Baskiem. Jeżeli piszę się don, to że mam do tego prawo; gdybym był w Elizondo, pokazałbym panu mój rodowód na pergaminie. Rodzice chcieli, abym został księdzem i dali mnie kształcić, ale nie szło mi to do głowy. Znadto lubiłem grać w piłkę, i to mnie zgubiło. My, ludzie z Navarry, kiedy gramy w piłkę, zapominamy o wszystkim. Jednego dnia, kiedy wygrałem partję, chłopak jeden z Alava szukał ze mną burdy; chwyciliśmy nasze maquilas (okute kije Basków), i znowu ja byłem górą; ale przez to musiałem opuścić kraj. Spotkałem dragonów i zaciągnąłem się do pułku. My, górale, łatwo uczymy się żołnierskiego rzemiosła. Niebawem zostałem kapralem i obiecywano mnie zrobić sierżantem, kiedy, na moje nieszczęście, postawiono mnie na warcie przy fabryce tytoniu w Sewilli. Jeżeli pan był w Sewilli, musiał pan widzieć ten wielki budynek, poza wałami, blisko Gwadalkwiviru. Zdaje mi się, że widzę jeszcze bramę i strażnicę tuż obok. Hiszpanie, kiedy mają służbę, grają w karty albo śpią; ja, jako szczerzy Nawarczyk, zawsze starałem się czemś zająć. Robiłem łańcuszek z mosiężnego drutu, aby nosić na nim przetyczkę do fuzji. Naraz koledzy mówią: «Oho, dzwon słyhać, dziewczęta będą wracały do roboty». Wiadomo panu zapewne, że w fabryce zajętych jest kilkaset dziewcząt. To one zwijają cygara w wielkiej sali, do której mężczyźni nie wchodzi bez specjalnego pozwolenia, ponieważ one się tam rozbierają, zwłaszcza młode, kiedy jest gorąco. W porze, kiedy robotnice wracają z obiadu, wielu młodych ludzi czeka na nie w przejściu, i dopiero umizgają się do nich, co wlezie! Mało która z tych panienek odmówi jedwabnej mantylki; to też, przy tym połowie, amatorzy potrzebują tylko się schylić, aby pochwycić rybkę. Gdy inni się gapili, ja siedziałem na swojej ławce, koło drzwi. Byłem wówczas młody i myślałem wciąż o swoich stronach; nie przypuszczałem, aby mogła być ładna dziewczyna bez niebieskiej spódnicy i warkocza, spadającego na plecy. Zresztą, bałem się Andaluzyjek; nie nawykłem jeszcze do ich obejścia: wciąż drwiny, nigdy rozsądnego słowa. Siedziałem tedy nad swoim łańcuszkiem, kiedy usłyszałem jak cywile mówią: O, o, Gitanilla! Podniosłem oczy i ujrzałem ją. Było to w piątek, nie zapomnę tego dnia nigdy. Ujrzałem tę Carmen, którą pan znasz, u której spotkałem pana przed kilkoma miesiącami.

Miała czerwoną spódnicę bardzo krótką, poniżej której widać było białe jedwabne pończochy, dobrze dziurawe, oraz małe trzewiczki z czerwonego safjanu, przymocowane wstążkami koloru płomienia. Rozchyliła mantylkę w ten sposób, aby pokazać ramiona i duży bukiet kasyj, sterczący z za koszuli. Miała też kwiat kasji w kącie ust — i szła, kołysząc się w biodrach, niby klacz z kordowańskiej stadniny. W naszych stronach na widok kobiety w tym stroju każdyby się przeżegnał. W Sewilli każdy rzucał jej dwuznaczny komplement; odpowiadała każdemu, zwracając oczyma, z ręką na biodrach, bezczelna jak prawdziwa cyganka, którą też i była. W pierwszej chwili nie podobała mi się, wróciłem też do swojej roboty; ale ona, obyczajem kobiet i kotów, które nie przychodzą, kiedy je wołać, a przychodzą, kiedy ich nie wołać, zatrzymała się i zwróciła się do mnie:

— Kumoterku — rzekła modą andaluzyjską — czy zechcesz mi dać ten łańcuszek: nosiłabym na nim klucze od mojej kasy.

— To na przetyczkę do strzelby — odparłem.

— Do strzelby! — wykrzyknęła, śmiejąc się. — Myślałam, że pan dobrodziej będzie robił koronkę tem szydełkiem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ja czułem, że się czerwienię, i nie umiałem nic odpowiedzieć.

— Doskonale, moje serduszko — podjęła — zrób mi siedm łokci czarnej koronki na mantylkę, ty moja słodka koronczarko!

I, wyjmując kwiat kasji, który miała w ustach, rzuciła mi go zręcznym ruchem wielkiego palca wprost między oczy. Panie, to mnie tak ugodziło, jak kula... Nie wiedziałem, gdzie się podział, stałem nieruchomy jak słup. Kiedy weszła do fabryki, spostrzegłem kwiat kasji, który upadł mi pod nogi; nie wiem, co mi się stało, ale podniosłem go tak, żeby koledzy nie widzieli, i schowałem troskliwie do kieszeni. Pierwsze głupstwo!

W parę godzin później myślałem o tem jeszcze, kiedy wpada na strażnicę odzwierny bez tchu, zmieniony na twarzy. Powiada, że w wielkiej sali fabrycznej zamordowano kobietę, i że trzeba tam posłać straż. Sierżant każe mi wziąć dwóch ludzi i iść zobaczyć. Biorę dwóch ludzi i idę. Niech pan sobie wyobrazi, iż, wszedłszy do sali, widzę najpierw trzysta kobiet w koszuli lub prawie — wszystkie krzyczą, wyją, wymachują rękami, robią hałas taki, że grzmotu nie usłyszałbyś. Z jednej strony leży jedna nawznak, okryta krwią, z twarzą naznaczoną w kształt litery X dwoma cięciami noża. Nawprost rannej, którą opatrywały najpocześniejsze dziewczęta z tej zgrai, widzę Carmen; kilka robotnic przytrzymuje ją. Zraniona kobieta wola: «Księdza! księdza! umieram!» Carmen nie mówiła nic; zaciskała zęby, toczyła oczyma jak kameleon.

— Co się stało? — spytałem. Z trudem dowiedziałem się, co zaszło, bo wszystkie robotnice mówiły naraz. Zdaje się, że zraniona kobieta chwaliła się, że ma w kieszeni dosyć pieniędzy, aby kupić osła na jarmarku w Triana. «Ej» — rzekła Carmen, która miała ostry języczek — «nie wystarczy ci już miotła?» Tamta, dotknięta przymówką (może i miała nieczyste sumienie w tej mierze), odparła, że nic jej po miotle, ile że nie ma zaszczytu być chrześniaczką szatana, ale że panna Carmen pozna się niebawem z jej osłem, kiedy p. koregidor zaprowadzi ją na przechadzkę z dwoma lokajami, idącymi za nią, aby ją odganiać od much. «A ja» — powiada Carmen — «zrobię ci na twarzy koryto do picia dla much i narysuję ci szachownicę». Na to ciach, ciach! nożem, którym uciniała końce cygar, kreśli jej krzyż św. Andrzeja na policzku.

Sprawa była jasna; ująłem Carmen za ramię: — Moja panno — rzekłem grzecznie — trzeba iść z mną. Rzuciła mi spojrzenie takie, jakby mnie poznała, ale rzekła tonem rezygnacji:

— Chodźmy. Gdzie mój płaszczyk? — Włożyła go na głowę w ten sposób, iż było widać tylko jedno wielkie oko, i poszła za memi dwoma ludźmi, potulna jak baranek.

Skoro przybyliśmy na strażnicę, sierżant orzekł, że rzecz jest poważna i że trzeba odprowadzić dziewczynę do więzienia. Znowu ja miałem ją eskortować. Umieściłem ją między dwoma dragonami i szedłem z tyłu, jak jest powinnością kaprała w takich razach. Zrazu cyganka milczała, ale na ulicy Wężej — zna ją pan, zasługuje na swoją nazwę, tak bardzo jest kręta — otóż na ulicy Wężej zaczyna od tego, że opuszcza płaszczyk na ramiona, aby mi pokazać swój szelmowski buziak, i obracając się ku mnie, rzecze:

— Panie oficerze, dokąd mnie pan prowadzi?

— Do więzienia, moje biedne dziecko — odpartem najłagodniej, jak umiałem, tak jak dobry żołnierz powinien mówić do więźnia, a zwłaszcza do kobiety.

— Och! i cóż się tam ze mną stanie? Panie oficerze, niech się pan zlituje nade mną. Pan jest taki młody, taki ładny!... — Potem nieco ciszej: — Niech mnie pan puści — rzekła — a dam panu kawałek bar lachi, który sprawi, że wszystkie kobiety będą pana kochały.

Bar lachi, proszę pana, to kamień magiczny, o którym cyganie twierdzą, że można nim czynić wiele czarów, o ile ktoś umie go używać. Dajcie się napić pożądanej kobiecie trochę tego kamienia, utartego w białem winie, a nie oprze się wam. Odpowiedziałem najpoważniej:

— Nie jesteśmy tu poto, aby się bawić głupstwami; trzeba iść do więzienia, taki rozkaz i niema rady.

My, ludzie z kraju Basków, mamy akcent, który pozwala z łatwością odróżnić nas od Hiszpanów; wzamian nie znajdzie się tu ani jednego, któryby zdołał się na-

uczyć mówić bodaj: bai, jaona (tak, panie). Carmen odgadła tedy bez trudu, skąd pochodzę. Wiadomo panu, że cyganie, jako nienależący do żadnego kraju, wędrujący ciągle, mówią wszystkimi językami; większość jest jak u siebie w domu w Portugalji, we Francji, u Basków, w Katalonji, wszędzie; dogadają się nawet z Maurami i z Anglikami. Carmen umiała dość dobrze po baskijsku.

— Laduna ene bihotsarena, miły ziomku — rzekła nagle do mnie; — czyś ty z naszych stron?

Nasz język, panie, jest tak piękny, że kiedy go usłyszymy w cudzoziemskim kraju, serce nam omdlewa... Chciałbym mieć spowiednika stamtąd, od nas, dodał ciszej bandyta.

Po chwili milczenia podjął:

— Jestem z Elizondo — odpowiedziałem po baskijsku, wzruszony mocno, że słyszę rodzinną mowę.

— Ja jestem z Etchalar (to wioska o cztery godziny od nas). Cyganie porwali mnie do Sewilli. Pracowałam w fabryce tytoniu, aby zarobić na powrót do Nawarry, do mojej biednej matki, która ma za całą podporę tylko mnie i mały barcteca (ogródek) z dwudziestoma jabłunkami! Och, znaleźć się znów tam, u nas, wśród białych gór! Znieważono mnie, ponieważ nie jestem z tego kraju hultajów, przekupniów zgniłych pomarańcz; i te szelmy stanęły wszystkie przeciw mnie, ponieważ im powiedziałam, że ich dudki z Sewilli, ze swemi nożami, nie nastraszyłyby chwata z naszych stron, w niebieskim berecie i z maquila (okuty kij) w garści. Bracie mój, przyjacielu, czy nie pomożesz swojej krajance?

Kłamała, panie, ona zawsze kłamała. Nie wiem, czy ta dziewczyna w życiu swoim powiedziała słowo prawdy; ale kiedy mówiła, wierzyłem jej; nie umiałem się oprzeć. Kaleczyła nasz język, a ja brałem ją za Nawarkę: same oczy jej i usta, i płeć świadczyły, że jest Cyganką. Oszalałem, nie zważałem już na nic. Myślałem, że gdyby Hiszpanie osmielili się źle mówić o moim kraju, pokrajałbym im twarz, tak samo, jak ona zrobiła swojej koleżance. Krótko mówiąc, byłem jak pijany; zaczynałem mówić głupstwa, gotów byłem je robić.

— Gdybym cię popchnęła, i gdybyś upadł, mój bracie — podjęła po baskijsku — to pewna, że te dwa kastyljskie rekruty nie zdołałyby mnie zatrzymać...

Daję słowo, zapomniałem o rozkazie i o wszystkim i rzekłem:

— A więc, siostró, krajanko moja, próbuj, i niech Najświętsza Panna z Gór będzie ci pomocą.

W tej chwili przechodziliśmy koło jednej z tych wąskich uliczek, jakich tyle jest w Sewilli. Naraz Carmen odwraca się i uderza mnie pięścią w pierś. Padam z umysłu nawznak. Jednym susem skacze przeze mnie i zmyka pędem, pokazując nam parę nówek, i co za nówek!... Mówi się «nogi baskijskie»: te z pewnością nie ustępowały im... a szybkie, a zgrabne! Ja zrywam się natychmiast, ale chwytam lancę wpoprzek, zamykając nią ulicę, tak iż w pierwszej chwili wstrzymałem pościg moich towarzyszków. Potem zacząłem sam pędzić, i oni za mną: ale dogonić ją! Nie było obawy, z naszemi ostrogami, szablami, lancami! W krótszym czasie niż trzeba, aby to opowiedzieć, znikła nam z oczu. Zresztą wszystkie kumoszki z dzielnicy pomagały jej w ucieczce, drwiąc sobie z nas i pokazując nam mylną drogę. Po wielu marszach i kontrmarszach trzeba nam było wrócić na strażnicę bez poświadczenia od zarządu więzień.

Moi ludzie, aby uniknąć kary, zeznali, że Carmen mówiła ze mną po baskijsku, i aby rzec prawdę, nie wydało się rzeczą naturalną, aby jedno uderzenie pięści tak drobnej dziewczyny obalilo dryblasę takiego jak ja. Wszystko to wydało się mętne lub raczej zbyt jasne. Zdegradowano mnie i posłano na miesiąc do więzienia. Była to pierwsza kara od czasu mej służby. Bywajcie zdrowe, galony sierżanta, które zdawały się już tak pewne!

*Tłum. Boy-Żeleński.*

## ÉMILE ZOLA

(1840—1902)

## PIENIĄDZ (L'ARGENT)

...W pierwszych dniach grudnia akcje Banku Powszechnego podskoczyły na dwa tysiące siedemset franków, wpośród chorobliwego rozgorączkowania, które opanowało całą giełdę. Największym niebezpieczeństwem groził objaw wzmaganania się wciąż niepokojących pogłosek; zwyczajka nie ustawała, chociaż nieznośny jakiś ucisk czuć się dawał. Zapowiadano już teraz głośno, że prędzej lub później katastrofa nastąpić musi, a jednak akcje szły w górę, parte siłą szalonego zaciętrzewienia, którego rzeczywistość nawet uśmierzyć nie była zdolna. Saccard żył już tylko przesadnymi marzeniami o triumfie, a choć potoki złota, które za jego sprawą spływały na Paryż, otaczały mu skronie aureolą chwały, przeczuwał jednak, że grunt z pod nóg mu się usuwa i że lada chwila gmach cały w gruzy runąć może. To też, jakkolwiek przy każdej likwidacji zwycięstwo przechylało się na jego stronę, nie przestawał jednak zżymać się na niżkowców, którzy musieli już ponieść bardzo dotkliwe straty... Dlaczegoż cała klika żydowska sprzysięgła się na jego zgubę?... Czyż nie uda mu się wreszcie zmusić ich do złożenia broni?... Najwięcej gniewało go przypuszczenie, że oprócz Gundermanna znajdowali się inni sprzedawcy, odstępcy od Banku Powszechnego, zdrajcy, którzy zachwiali się w wierze i, przeszedłszy do obozu nieprzyjacielskiego, śpieszyli zrealizować swoje akcje.

Pewnego dnia pani Karolina, wysłuchawszy pełnych goryczy jego utyskiwań, czuła się w obowiązku wyjawienia mu całej prawdy.

— Czy wiesz, mój drogi, że i ja także sprzedałam?... Wczoraj właśnie sprzedałam ostatnie tysiąc akcji po kursie dwóch tysięcy siedemset franków.

Saccard oniemiał z przerażenia wobec tak ohydnej zdrady.

— Jakto? ty sprzedałaś akcje!... o Boże!...

Pani Karolina, zmartwiona szczerze jego rozpaczą, wzięła go za ręce i, ściskając je, przypominała, że oboje z bratem uprzedzali go o tem. Jerzy, dotąd jeszcze bawiący w Rzymie, pisywał do niej wciąż listy, pełne śmiertelnej obawy o tę szaloną, niewytłumaczoną zwyczajkę, którą wszelkimi siłami należało powstrzymywać dla uniknięcia zupełnego upadku.

— Otrzymałam wczoraj list, w którym Jerzy nalega usilnie, abym sprzedała wszystko. Musiałam zastosować się do jego woli.

Saccard nie unosił się gniewem, jak zwykle; milczał przygnębiony co tem większą boleścią sprawiała pani Karolinie. Wolałaby ona znieść jego niezadowolenie, aby go móc przekonywać i skłonić do zaniechania tej walki, która ostatecznie krwawą rzezią zakończyć się musiała.

— Posłuchaj mnie, mój drogi — mówiła łagodnie. — Nasze trzy tysiące akcji przyniosły przeszło siedem i pół miliona franków, nie jestże to zysk olbrzymi, niespodziewany?... Przyznaję, że cała ta masa pieniędzy przeraża mnie, nie mogę uwierzyć, aby one były rzeczywiście naszą własnością... Ale mniejsza zresztą o naszą korzyść osobistą. Zastanówże się chwilę nad losem tych wszystkich, którzy całe swe mienie złożyli w twe ręce; pomyśl, ile milionów ryzykujesz w zacieklej tej walce. W jakimże celu podtrzymujesz, a nawet podniecasz wciąż szaloną tę zwyczajkę? Zewsząd dochodzą mnie wieści, że ostateczna katastrofa zbliża się, że uniknąć jej nie zdołamy... Niepodobna przecież liczyć na to, aby kurs podnosił się do nieskończoności, i nie masz się czego wstydzić, jeżeli akcje spadną do rzeczywistej ich wartości, gdyż wtedy dopiero bank oparłby się na niewzruszonych podstawach.

Nie mogąc pohamować się dłużej, Saccard zerwał się z krzesła:

— Ja chcę kursu trzech tysięcy franków... Kupowałem dotąd i nadal kupować będę akcje, chociażbym miał zdechnąć... Tak! niechaj przepadną, niech wszystko ze mną przepadnie, jeżeli nie doprowadzę do tego, aby akcje stały po trzy tysiące franków!

Po likwidacji z dnia 15 grudnia akcje podniosły się na dwa tysiące osiemset, następnie na dwa tysiące dziewięćset franków, a 21 tegoż miesiąca, wpośród wzbu-



rzenia rozszalałych tłumów, ogłoszono na giełdzie kurs trzech tysięcy franków. Nie było już ani prawdy, ani logiki; pojęcie o wartości spaczyło się, utraciwszy rzeczywiste swoje znaczenie. Obiegały pogłoski, że Gundermann — wbrew zwykłej ostrożności — odważył się na zdumiewające ryzyko: podczas tych kilku miesięcy, gdy podtrzymywał zniżkę, straty jego zwiększały się olbrzymio co dwa tygodnie, w miarę wzrastania wyżki; szeptano nawet pocichu, że on może wyjść z tej walki z pogruchochanemi żebrami. Zapał ogarnął wszystkich, spodziewano się cudu jakiegos.

W stanowczej tej chwili Saccard stanął u szczytu władzy, stał się wszechwładnym panem i królem, chociaż lękał się upadku i czuł, że grunt z pod nóg mu się usuwa. Gdy powóz jego stawał na ulicy de Londres przed wspaniałym gmachem Banku Powszechnego, natychmiast wybiegał kamerdyner i rozkładał dywan, ciągnący się od schodów przedsionka przez chodnik aż do rynsztoka. Saccard raczył wysiadać wtędy i triumfalnie wstępował na schody, jak władca, nie dotykający stopą bruku ulicznego.

\* \* \*

...Dookoła Saccarda skupiła się fala klientów, drżących z niepewności i lękanych słowa pociechy. Później dopiero zauważono, że Daigremont wcale się tu nie pokazał, zarówno jak Huret, który, uprzedzony zapewne, stał się znowu wiernym służalcem Rougona. Kolb, stojąc na uboczu z kilkoma bankierami, udawał, że jest bardzo zajęty jakimś wielkim arbitrazem. Margrabia de Bohain, wyższy ponad obawę zmiennych kolei losów, przechadzał się spokojnie, zwracając na wszystkie strony blade, arystokratyczne oblicze. Nie lękał się on straty w żadnym razie, polecił bowiem Jacoby'emu kupić tyle akcji Banku Powszechnego, ile ich — także z jego polecenia — Mazaud miał sprzedać. Saccard, obłożony przez gromadkę łatwowiernych i naiwnych, okazywał szczególniejszą uprzejmość Sédille'owi i Maugendre'owi, którzy z drżącymi wargami, z oczyma pełnymi łez, błagali go, jak o jałmużnę, o słowo nadziei i zachęty. Serdecznie uściskał im ręce, pragnąc uściskiem tym wyrazić niezachwianą pewność zwycięstwa, poczem użalać się zaczął na drobne, nader błahe zmartwienie, iak człowiek przywykły do stałej pomyślności i nielekający się żadnego niebezpieczeństwa.

— Wyobraźcie sobie, panowie, jaka mię przykrość dziś spotkała!... Na taki ostry mróz pozostawiono u mnie na dziedzińcu krzak kamelji i zimny wiatr zwarzył delikatną roślinkę...

W mgnieniu oka skarga ta obiegła całą salę, wszyscy ubolewać zaczęli nad losem kamelji... Jakież to dziwny człowiek ten Saccard!... Co za niepożyta energja!... Uśmiech na chwilę nie znika z jego twarzy, i niepodobna odgadnąć, czy jest to objaw istotnego zadowolenia, czy też maska, osłaniająca straszny niepokój, który dla każdego innego stałby się nieznośną męczarnią...

...Nareszcie ponad ruchliwą falą głów ludzi, miotanych niepokojem, rozległ się dźwięk dzwonu, który zdawał się jęczeć rozpaczliwie, jak dzwon, na trwogę bijący. Moraud, który w tej chwili właśnie dawał jakieś polecenia Flory'emu, podążył w stronę kosza, gdy tymczasem młody kantorowicz, zaniepokojony o samego siebie, pobiegł śpiesznie do telegrafu. Flory, trzymając się uparcie Banku Powszechnego, przegrywał już od pewnego czasu i tego dnia właśnie puścił się na wielkie ryzyko, do czego go skłoniła podsłuchana pode drzwiami wiadomość o posiłkach, jakich się spodziewano od Daigremonta. W koszu panował taki sam niepokój, jak w sali, od czasu ostatniej likwidacji agencji dostrzegli wyraźnie groźne symptomy i czuli, że grunt z pod nóg im się usuwa. Długoletnie doświadczenie ostrzegało ich o niebezpieczeństwie. Częściowe niepowodzenia objawiać się już zaczynały; przeciążony i wyczerpany rynek rozpadał się ze wszystkich stron. Miałże to być jeden z tych wielkich kataklizmów, które wydarzały się zazwyczaj co dziesięć lub co piętnaście lat?... Należało obawiać się śmiertelnego przesilenia owej gorączki, jaka ogarnęła wszystkich spekulantów... przesilenia, które od czasu do czasu dziesiątkuje giełdę i straszne szerzy zniszczenie? W przedziale gotówkowym i renty rozlegały się rozpaczliwe, stłumione krzyki; coraz liczniejsze gromady skupiały się wokoło trzech taksatorów, którzy siedzieli na wznie-

sieniach, trzymając pióra w rękach. W tejsze chwili Mazaud, który z całej siły ścisnął oburącz aksamitną poręcz, spostrzegł po przeciwnej stronie Jacoby'ego, krzyczącego basowym głosem:

— Mam powszechne! Po 2800, daję powszechne!

Był to ostatni kurs małej giełdy z poprzedniego wieczoru. Mazaud uznał za stosowne przystać na tę cenę w nadziei, że tym sposobem uda mu się natychmiast ograniczyć niżkę. Pomimo panującej wrzawy rozległ się donośnie piskliwy jego głos.

— Biorę po 2800!... Proszę dawać trzysta powszechnych!

Dzięki temu ustanowiono zatem pierwszy kurs, którego Mazaud nie mógł jednak utrzymać. Ze wszystkich stron napływały nowe zaofiarowania. Półgodzinna rozpaczliwa walka doprowadziła do tego jedynie, że kurs spadał wolniej i mniej gwałtownie. Mazaud dziwił się, dlaczego kulisa go nie podtrzymuje i co robi Nathansohn, od którego spodziewał się on zlecen kupna. Znacznie później dopiero dowiedziano się o zręcznej taktyce Nathansohna, który, dzięki żydowskiemu sprytowi, odgadłszy istotny stan rzeczy, kupował ciągle dla Saccarda, a sprzedawał na własny rachunek.

...Druga już wybiła, a Mazaud, na barkach którego ciążyło całe brzemie ataku, zaczął znowu tracić siły. Zdziwienie jego rosło z każdą chwilą, nie mógł on pojąć, dlaczego spodziewana pomoc dotąd nie przybywa... Czas upływa... na cóż więc czeremnie wyczerpywały się jego siły?...

Nagle Delarocque rzucił się w wir walki i gardłowym, nieco ochrypłym głosem zawołał:

— Daję powszechne! Daję powszechne!

I w przeciągu kilku minut zaofiarował za parę milionów akcji Banku Powszechnego. Ze wszystkich stron odzywały się odpowiedzi. Kurs spadał gwałtownie.

— Daję po 2400!... Daję po 2300!... Ile? — Pięćset! Sześćset... proszę dawać!

Co on mówi?... Co się to dzieje?... Czyż zamiast spodziewanych posiłków nowa armja nieprzyjacielska wypada z lasów sąsiednich? Jak pod Waterloo, Gruchy nie przybywał i zdrada dopełniała klęski. Paniczny strach ogarnął szeregi nowych sprzedawców, którzy w szyku bojowym pędzili naprzód.

...W ciągu ostatniej półgodziny coraz bardziej szerząca się panika unosila tłumy w bezładnym galopie ucieczki. Po bezwzględnej ufności i gorączkowem zaślepieniu następowała reakcja trwogi: każdy śpieszył się sprzedać jak najprędzej, przed innymi, dopóki nie będzie za późno. Zlecenia sprzedaży gradem padały na kosz; na wszystkie strony widać było tylko padające kartki, a olbrzymie te paczki akcji, rzućane bez namysłu, przyspieszyły tylko niżkę, czyniąc ją klęską istotną. Kurs spadł gwałtownie do 1500, do 1200, do 900 wreszcie. Nie było już kupujących, na opustoszałym pobojowisku pozostały tylko trupy. Ponad rojącem się mrowiskiem czarnych tużurków, trzech taksatorzy sprawiali wrażenie pisarzy wojskowych, którzy po walnej bitwie sporządzają listę poległych. Wobec poczucia klęski, jakie przenikało całą salę, wszelki ruch ustał, wrzawa zamarła skutkiem ośłupienia, jakby po wielkiej katastrofie. Gdy po uderzeniu dzwonka, zwiastującego zamknięcie czynności, ogłoszono ostatni kurs 830, przerażająca cisza zapanowała wokoło. Ulewny deszcz bił nieustannie o szyby, przez które przedzierało się zamglone światło; skutkiem wody, ściekającej z parasoli i rozdeptywanej przez tłum, sala zamieniła się w grząski grunt nieporządnie utrzymanej stajni, w brudne gnojowisko, po którym wały się wszelkiego rodzaju papiery. W koszu tymczasem jaśniała pstrokaczna zielonych, czerwonych i niebieskich kartek, które rzucano pełnemi garściami w takiej masie, że olbrzymia czara była niemi przepelniona.

...Po wyjściu Mazauda i Flory'ego wrzawa nie ucichła w sali; wszyscy skupiali się zwłaszcza koło Saccarda, który najwięcej ucierpiał w tej walce. Nie rozumiejąc w pierwszej chwili, co się dzieje, i urągając porażce, stawiał on czoło niebezpieczeństwu. Widząc wzmagający się ruch, przypuszczał w pierwszej chwili, że to szeregi Daigremonta nadciągają; potem jednak, gdy klęska stała się nieuknioną, gdy kurs gwałtownie spadać zaczął, wyczerzył wszystkie siły, by mężnie śmierć ponieść na sta-

nowisku. Lodowaty dreszcz wstrząsał nim od stóp do głowy; czuł, że stało się coś niepowetowanego, że bezwzględnie pokonany został, ale w boleści jego żadnej nie odgrywał roli niski żal straconych pieniędzy i rozkoszy; bolało go tylko upokorzenie, że poniósł klęskę, że Gundermann odniósł świetne, stanowcze zwycięstwo, które utwierdziło ponownie wszechwładzę tego króla złota. W tej chwili był on istotnie wspaniały: szczupła jego postać wyprostowała się, dumnie wyzywając los do walki; w twarzy i oczach, spoglądających śmiało, przebijał się wyraz zaciętego uporu, gdy sam jeden stawiał czoło rozpacz i wściekłości, wzbierającej falą i miotającej na niego przekleństwa. Cała sala kipiła, wylewała się w stronę jego filaru; pięści zaciskały się groźnie, usta belkotały złorzeczenia; on zaś bezwiednie niemal miał wciąż na ustach uśmiech, który mógł się wydawać wyzwaniem do walki.

Najprzód Saccard dostrzegł, jakby przez mgłę, śmiertelnie bladego Mangendre'a, którego prowadził pod rękę kapitan Chave, z okrucieństwem drobnego gracza, uszczęśliwionego z upadku wielkich spekulantów, powtarzając mu, że oddawna należało spodziewać się klęski. Następnie Sédille z wykrzywioną twarzą, z błędnym wyrazem oczu bankrutującego kupca, podszedł do niego i podał mu drżącą rękę, jakby chcąc powiedzieć, że żadnej do niego nie rości pretensji. Margrabia de Bohain usunął się natychmiast po pierwszym wstrząśnieniu i, przeszedłszy do zwycięskiego obozu niżkowców, opowiadał Kolbowi, który ostrożnie trzymał się na uboczu, że już od czasu ostatniego zebrania ogólnego stracił był ufność w działalność Saccarda. Przerażony Jantrou potwornie zniknął z sali i pobiegł co tchu uwiadomić o ostatnim kursie baronową, która niewątpliwie dostać musiała ataku nerwowego, jak się to już kilka razy zdarzyło w dniu wielkiej przegranej.

A dalej znowu, naprzeciwko milczącego zawsze i tajemniczo Salomona stali niżkowiec Moser i zwykowiec Pillerault: ten wyzywający i dumny, pomimo poniesionej porażki, tamten, nie pomnąc na odniesione zwycięstwo, dobrowolnie zatruwający sobie chwile szczęścia przewidywaniem smutnej przyszłości.

— Zobaczycie, że na wiosnę wybuchnie wojna z Niemcami... Wszystko to niedobrze się składa, a Bismarck wciąż na nas czyha.

— E! idźże pan do diabła z takimi prognozykami! I tym razem znowu zbłądziłem, bom niepotrzebnie zastanawiał się tak długo... Tem gorzej dla mnie!... Ale to się naprawi i znowu wszystko pójdzie dobrze!

Do tej pory Saccard ani na chwilę nie okazał słabości. Wymówione poza jego plecami nazwisko poborcy rent z Vendôme, onego Fayeux, z którym pozostawał w stosunkach dla całej klienteli drobnych akcjonariuszów, sprawiło mu niewymowną przykrość: przywiodło mu bowiem na myśl olbrzymią masę biedaków, drobnych kapitalistów, którzy zostaną zmiażdżeni pod gruzami Banku Powszechnego. Widok śmiertelnie bladego i zmienionego do niepoznania Dejoie wzmógł jeszcze serdeczny ów niepokój: zdawało mu się, że człowiek ten staje przed nim jako uosobienie wszystkich drobnych, politowania godnych ruin. W tej chwili, jakby przez pewien rodzaj halucynacji, stanęły przed nim blade, wyrazem rozpacz i przerażenia napiętnowane twarze hrabiny de Beauvilliers i jej córki; obie zdawały się spoglądać na niego smutnymi, pełnymi łez oczyma. I ów Saccard, którego serce w kamień się zmieniło w ciągu dwudziestoletnich rozbojów, ów Saccard, który się pysznił, że nigdy nogi pod nim nie zadrzały i że nigdy nie usiadł na ławce, stojącej za filarem — poczuł teraz, że słabnie i bezsilnie usunął się na ławkę. Tłum napływał wciąż, skupiając się wokoło niego, aż dusić się zaczął. Podniósł głowę, aby zaczerpnąć powietrza, i natychmiast zerwał się na nogi, ujrawszy na galerji telegrafu wychylającą się twarz Mechainowej, której olbrzymia, tłusta postać unosiła się triumfująco ponad polem bitwy. Obok niej na kamiennej poręczy leżał czarny worek skórzany. Czekając chwili, w której napychać go zaczęły zdeprecjowanymi akcjami, ścigała ona wzrokiem poległych, jak żarłoczny kruk, który ciągnie za wojskiem, spuszczać się na ziemię wtedy dopiero, gdy trupy zalegną pobojowisko.

Wtedy dopiero Saccard pewnym krokiem wyszedł z sali. Pokonany, czuł w sobie bezdenną jakąś próżnię, pomimo tego jednak nadludzkim wysiłkiem woli kroczył prosto i śmiało. Doznawał on tylko takiego wrażenia, jakgdyby zmysły mu stępiaty, zda-

wało mu się, że nie czuje twardego gruntu pod nogami, lecz że stąpa po jakimś miękkim, puszystym kobiercu. Oczy jego zachodziły mgłą, tysięczne krzyki i szmery dźwięczały mu w uszach. Wyszedłszy z giełdy i zstępując ze schodów przedsiönka, nie poznawał nikogo: wszystkie postacie wydawały mu się fantastycznymi widmami o nieokreślonych kształtach, głosy ludzkie brzmiały jak nieznane jakieś dźwięki. Czyż w istocie to, co widzi przed sobą, jest skrzywioną, płaską twarzą Buscha?... A zatrzymawszy się na chwilę, z kimże rozmawiał?... Czyliż w istocie z uszczęśliwionym Nathansohnem, którego przyciszony głos dochodził go jakby z oddali?... Któż mu towarzyszy wpośród przerażenia panującego wokoło?... Czy byli to Massias i Sabatini?... Zdawało mu się, że stoi jeszcze otoczony liczną grupą ludzi... może to byli Sédille i Mangendre, może też inne jakieś postacie niewyraźne i przeistoczone... Oddalwszy się od giełdy, szedł ulicą, zalaną kałużami błota, i wtedy, chcąc dowieść całemu temu tłumowi fantastycznych widziadeł, że do ostatniej chwili nie stracił przytomności umysłu, dumnym i przenikliwym głosem powtórzył:

— Ach! jakże mi żal tej kamelji, którą pozostawiono na dziedzińcu! Mróz zważył pewnie delikatną roślinkę...

*Tłum. M. Dz.*

ALPHONSE DAUDET

(1840 – 1897)

TARTARIN Z TARASCONU

Epizod pierwszy z Tarascon

*II. Ogólny rzut oka na pocziwe miasto Tarascon. Myśliwi, polujący na kaszkiety.*

W epoce, którą opisuję, Tartarin z Tarasconu nie był jeszcze tym Tartarinem, którym jest dzisiaj, tym wielkim Tartarinem z Tarasconu, tak popularnym w całej południowej Francji. A jednak nawet w owych czasach był już królem Tarasconu.

Należy opowiedzieć, jakim sposobem zdobył on ten monarszy majestat.

Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że tam, na południu, każdy bez wyjątku jest myśliwym, począwszy od największych aż do najbardziej maluczkich. Łowiectwo jest namiętnością mieszkańców Tarasconu, a jest nią jeszcze od owych niepamiętnych, przedhistorycznych, mitologicznych czasów począwszy, gdy potwór straszliwy, la Tarasque, zamieszkiwał bagna podmiejskie i czynił spustoszenia straszliwe; wówczas już mieszkańcy Tarasconu urządzali łowy z naganką, by ubić potwora. Dawne to czasy, jak widzicie.

Otóż co niedziela rankiem każdy mieszkaniec Tarasconu zbroi się i wyrusza za miasto z torbą myśliwską na plecach, ze strzelbą na ramieniu. I rozlega się po ulicach halas piekielny, szczekanie psów gończych i jamników, ryk trąb i rogów myśliwskich. Wspaniały to widok!...

Niestety, zwierzyny niema! Brak jej zupełnie!

Aczkolwiek zwierzęta łowne są głupie i naiwne, jednak wreszcie po tylu latach obudziła się w nich nieufność i podejrzliwość.

Na pięć mil wokoło Tarasconu wszystkie nory, gniazda i legowiska opustoszały. Niema ani jednej sroki, ani jednej przepiórki, ani jednego zajączka, ani najmniejszego bekasa.

A przecież te małe dolinki wokoło Tarasconu są bardzo ponętne i urocze, pełne zapachów mirtu, lawendy, macierzanki! A przecież te piękne, wonne, słodkie, pełne grona winne, porastające tarasy nad brzegami Rodanu, są szatańsko apetyczne... Tak, ale w pobliżu, tuż opodal, znajduje się Tarascon, a miejscowość ta ma bardzo złą opinię wśród małego światka porośłych sierścią i pierzem stworzeń. Nawet wędrowne płactwo na mapach swych i marszrutach znaczyło dużym krzyżem nazwę tego miasteczka, a dzikie kaczkę, ulatującą ku południowi, w śladach, tworzących wydłużone trójkąty, zauważywszy zdala wieżycę kościelne ojczyzny Tartarina, zaczynają krzyczeć wielkim głosem:

— Oto Tarascon! Tarascon! Tarascon!

I całe towarzystwo skręca w inną stronę, omijając starannie niebezpieczną miejscowość.

Krótko mówiąc, w całej okolicy niema wcale zwierząt łownych. Istnieje tylko jeden — jedyny, ogromny zając. Ten stary filut cudem jakimś ocalał przed pożądlivością myśliwską mieszkańców Tarasconu i uparł się, że nie opuści tych stron nigdy! Cały Tarascon zna tego zająca. Dano mu nawet imię — nazwano go «bystronogim» — le Rapide. Wiadomo jest, że zamieszkał na gruntach pana Bompard, wskutek czego wartość tych gruntów podniosła się w dwój- i w trójnasób; ale nikt nie mógł jeszcze dotychczas położyć śmiałka trupem.

Dzisiaj zaledwie dwóch czy trzech upartych nemrodów czyha na niego z niezłomną zaciętością. Inni dali już spokój, poddali się zrezygnowani, a «bystronogi» stał się nawet mistyczną postacią, aczkolwiek mieszkańcy Tarasconu wcale nie są przesądni i nie mają skłonności do mistycyzmu — nawet z gustem zajadają potrawkę z jaskółek, jeśli im ją kto poda.

Zapytajcie mię, co robią myśliwi taraskońscy w każdą niedzielę, jeśli zwierzyzna stała się w tamtych stronach taką rzadkością?

Co robią?

Mój Boże! Wędrują za miasto, o dwa albo o trzy kilometry, w czyste pole. Tam łączą się w gromadki, złożone z pięciu albo sześciu myśliwych, i wygodnie rozkładają się obozem w cieniu wielkiej studni, starego muru albo oliwnego drzewa. Następnie dobywają z toreb olbrzymie kawały pieczeni wołowej, mnóstwo główek cebuli i czosnku, sporo kielbasy... Rozpoczyna się śniadanie, trwające w nieskończoność, podlewane obficie owym smacznym winem z nad brzegów Rodanu, budzącem wesołość i głośne śpiewy.

Potem, gdy żołądki ich są już nieco obciążone, myśliwi powstają, gwizdzą na swe psy, nabijają broń; zaczyna się polowanie. A odbywa się to w ten sposób, iż każdy z tych panów zdejmuje z głowy swój kaszkiet, ze wszystkich sił rzuca go wysoko w powietrze i strzela doń wlot, śrutem 5, albo 6, albo 2 — stosownie do umowy.

Królem polowania ogłasza się tego, który najwięcej kul czy śrutów wpakuje w swój kaszkiet. Wieczorem powraca on do Tarasconu jako triumfator, niosąc na lufie strzelby podziurawiony kaszkiet, a wokoło triumfatora rozlega się szczekanie psów i głośne fanfary trąb i rogów myśliwskich.

Wobec tego rozumie się, że handel kaszkietami myśliwskimi jest w Tarasconie szeroko rozwinięty. Są nawet kupcy, sprzedający kaszkiety podziurawione i podarte, dla użytku niezręcznych i pudlujących strzelców. Ale wiadomo jest, że oprócz aptekarza Bézuquet, nikt tych zgóry przygotowanych kaszkietów nie kupuje. Byłoby to hańbiące.

Wśród polujących na kaszkiety myśliwych Tartarin nie miał równego sobie strzelca. Trzymał on prym. Co niedziela rano szedł za miasto w zupełnie nowym kaszkiecie; wieczorem powracał, wioząc w triumfie podartą, bezkształtną szmatę. Strych małego domku w ogrodzie z baobabem był zapelniony temi trofeami, pełnemi chwały. To też wszyscy mieszkańcy Tarasconu uznawali w Tartarinie mistrza nieporównanego. A ponieważ Tartarin umiał napamięć kodeks praw i zwyczajów myśliwskich, przeczytał i przestudjował wszystkie możliwe podręczniki, traktaty, rozprawy, dzieła o myślistwie, poczynawszy od polowania na kaszkiety, aż po łowy na tygrysa birmańskiego — panowie ci uczynili go najwyższym prawodawcą we wszystkich kwestjach cynegetycznych i wzywali go na sędziego i rozjemcę we wszystkich sporach i dyskusjach w tej dziedzinie.

Codziem od godziny trzeciej do czwartej u rusznikarza Costecalde'a widzieć było można otyłego, poważnego jegomościa z fajką w zębach, siedzącego w pośrodku sklepu na fotelu, obitym zieloną skórą. Około niego tłoczył się tłum polujących na kaszkiety myśliwych, klócących się zawzięcie i hałaśliwie. Ale żaden z tych panów nie śmiał usiąść wobec otyłego, pełnego powagi jegomościa. A jegomościem tym był Tartarin, ferujący wyroki, decydujący w kwestjach spornych — Nemrod i Salomon w jednej osobie.

III. *Nau! Nau! Nau!* — *Dalszy ciąg ogólnego rzutu oka na pocziwe miasto Tarascon.*

Obok namiętności łowieckiej istnieje w duszach dzielnej rasy taraskońskiej jeszcze druga namiętność — zamilowanie w romansach. Zapotrzebowanie i konsumpcja romansów w tej małej krainie przechodzi wszelkie pojęcie. Wszystkie sentymentalne, cikliwe, stare piosenki, żółknijące na półkach sklepów z nutami, odnaleźć można w Tarasconie. Tu są one w pełni swej młodości i blasku. Wszystkie się tam spotyka, wszystkie bez wyjątku. Każda rodzina ma swą ulubioną, własną pieśń, i o tem wie całe miasto. Wiadomo jest, że pieśń aptekarza Bézuquet zaczyna się od słów:

Toi, blanche étoile que j'adore...  
(Ty, biała gwiazdo, którą uwielbiam...)

rusznikarza Costecalde:

Veux-tu venir au pays des cabanes?  
(Czy pójdziesz ze mną w krainę szałasów?)

a poborcy podatkowego:

Si j'étais invisible, personne n'me verrait.  
(Gdybym był niewidzialny, niktby mnie nie widział.)  
(Piosenka humorystyczna)

I tak dalej. Każdy mieszkaniec Tarasconu posiada swą pieśń. Dwa albo trzy razy na tydzień schodzą się wszyscy to w tym, to w innym domu, i wtedy śpiewa się owe pieśni. Najciekawsze jest, że są to zawsze jedne i te same pieśni, a chociaż śpiewa się je od niepamiętnych czasów, jednak żadnemu z dzielnych mieszkańców Tarasconu nie przychodzi na myśl, że możnaby te stare romanse zastąpić innymi, nowszymi. Nie mają do tego najmniejszej ochoty. Przechodzą one puścizną z pokolenia na pokolenie, w jednej i tej samej rodzinie, z ojca na syna. I nikt nie odważy się tknąć ich, nikt nie odważy się nawet pożyczyc. Nigdy rusznikarzowi Costecalde nie przyjdzie na myśl zaśpiewać romans Bézuqueta, ani też Bézuquet nie odważy się zaśpiewać pieśni Costecalde'a, a przecież w przeciągu czterdziestu lat musieli chyba nauczyć się jeden od drugiego. Ale nie. Każdy ma swoją pieśń, i wszyscy są z tego zadowoleni.

Tak samo jak w polowaniu na kaszkiety, tak też i w śpiewaniu romansów Tartarin był mistrzem, niemającym rywala w całym mieście. A wyższość jego nad współobywatelami polegała na tem, iż Tartarin z Tarasconu nie posiadał swej własnej pieśni. Wszystkie były jego własnością.

Wszystkie!

Tylko, że bardzo trudno było go skłonić do śpiewania.

Zbyt wczesnie przesycony salonowymi triumfami, bohater taraskoński wolał zagłębiać się w księgach, opisujących łowy, albo spędzać wieczory w klubie, niż udawać przyjemnego, stojąc przy fortepianie. Był on wyższy ponad te wszystkie muzyczne parady... Czasem jednak u aptekarza Bézuqueta odbywał się wieczór pieśni. Tartarin wchodził tam, jakby przypadkiem i, dawszy się długo prosić, decydował się wypowiedzieć razem z panią Bézuquet-matką wielki duet z «Roberta-Djabła»...

Kto tego nie słyszał, ten nic nie słyszał...

Co do mnie, to, choćbym żył sto lat, nie zapomnę nigdy tego widoku. Wielki Tartarin majestatycznym krokiem podchodził do fortepianu, opierał się łokciem, czynił minę i w zielonem świetle osłoniętej abażurem lampy pocziwemu obliczu swemu starał się nadać wyraz szatański i dziki Roberta-Djabła. Skoro tylko Tartarin stanął w pozycji, wszystkich w salonie przenikał dreszcz. Czuć było, że stanie się coś wielkiego... wtedy, po chwili milczenia, pani Bézuquet-matka zaczynała, akompaniując sobie sama.

Robert, toi que j'aime  
Et qui reçus ma foi,  
Tu vois mon effroi  
Grace pour toi même  
Et grace pour moi!

I szeptem dorzucała:

— Teraz na pana kolej.

A Tartarin z Tarasconu wyciągał prawicę, zacisnąwszy pięść, nozdrza jego drżały... trzy razy powtarzał straszliwym głosem, bijącym w wnętrzności fortepianu, jakby łoskot gromu:

— Niel Niel Niel

A ponieważ był szczerym i uczciwym południowcem, więc Non! Non! Non! brzmiało w wymowie jego jako:

Nau! Nau! Nau!

A wtedy pani Bézuquet-matka zaczynała jeszcze:

Miej litość nad sobą!

Miej litość nade mną!

Nau! Nau! Nau! — ryczał Tartarin jak najenergiczniej i na tem wszystko się kończyło.

Jak widać, nie trwało to wcale długo, ale wykonane było tak wspaniale, z tak świetną mimiką, tak szatańsko, iż dreszcz lęku przenikał wszystkich w aptece, a na ogólne żądanie Tartarin powtarzać musiał cztery albo pięć razy zrzędu swe:

— Nau! Nau! Nau!

Potem Tartarin ocierał spocone czoło, uśmiechał się do dam, mrugał żartobliwie powiekami w stronę mężczyzn i triumfujący wychodził do klubu. A tam z obojętnością i lekceważeniem mawiał:

— Śpiewałem właśnie u Bézuquetów duet z «Roberta-Djabła».

A co najważniejsza, że sam w to wierzył.

## Epizod drugi: «Między Turkami»

### V. Bęc! Bęc!

Była to olbrzymia, dzika pustynia, porośła dziwacznymi roślinami, temi roślinami Wschodu, które mają wygląd drapieźnych zwierząt.

W dyskretnem świetle gwiazd cienie tych roślin na wszystkie strony snuły się po ziemi.

Po prawej ciężka, niekształtna masa gór. To Atlas zapewne!

Po lewej niewidzialne morze huczało głucho...

Istna kryjówka krwiożerczych drapieźników.

Tartarin ukląkł na jedno kolano i czekał... Jedną strzelbę położył obok siebie na ziemi, drugą trzymał w ręce...

Czekał godzinę, dwie... Nic!

Wtedy przypomniał sobie, iż wedle opowiadań, wyczytanych w książkach — wielcy łowcy lwów, idąc na polowanie, zawsze brali z sobą małe jagnię, przywiązywali je do drzewa o kilka kroków przed sobą i pociągali od czasu do czasu sznurkiem za tylną nogę, by krzyczało. Nie mając jagnięcia, Taraskończyk wpadł na myśl, by je zastąpić naśladowaniem i zaczął beczeć baraním głosem:

— Mee! Mee!

Z początku czynił to bardzo łagodnie i cicho, bo w gruncie rzeczy, mimo wszystko, bał się trochę, aby go lew nie usłyszał... Ale potem, widząc, że nic się nie zjawia, zaczął beczeć głośniej:

— Mee! Mee!

Jeszcze nic! Zniecierpliwiony, ze wszystkich sił przeraźliwie zabeczał:

— Mee! Mee!

Było w tem tyle siły, iż jagnię zmieniło się w ryczącego okrutnie wolu...

Nagle o kilka kroków przed bohaterskim Taraskończykiem pojawiło się coś czarnego i olbrzymiego i przypało do ziemi.

Tartarin zamilkł.

To «coś» pochylało się ku ziemi, węszyło, podskakiwało, tarzało się, odbiegało galopem, potem powracało, zatrzymując się nagle...

Bezwątpienia był to lew!  
Teraz widać było doskonale jego cztery krótkie łapy, potężne barki i dwoje oczu,  
dwoje ogromnych oczu, świecących wśród nocy...

Cell! Pall!

— Bęc! Bęc!

Stało się!

Potem natychmiast skok wstecz; nóż myśliwski z pochwy!

Na strzał Tartarina odpowiedział ryk straszny.

Taraskończyk krzyknął:

— Trafiony!

Przysiadłszy na silnych nogach, oczekiwał zwierzęcia. Przygotowany był, iż lew  
skoczy na niego. Lecz drapieźnik miał już więcej, niż mu było potrzeba i, rycząc,  
uciekł galopem...

Tartarin nie ruszył się z miejsca.

Oczekiwał samicy...

Tak przecież nakazują książki...

Niestety. Samica nie jawiła się. Taraskończyk czekał dwie, trzy godziny. Czekał.  
Aż wreszcie go znudziło czekanie.

Ziemia była wilgotna, noc stawała się chłodniejsza. Wiatr lodowato zimny dął  
od morza.

Przyszło mu na myśl, że możnaby się przespać i tak doczekać się dnia. Posta-  
nowił rozpiąć namiot... Ale — do stu djabłów — namiot ten miał system rozpinania  
tak genialny, że w żaden sposób nie można go było otworzyć... Bywają parasole, które  
podczas nawalnych deszczów bawią się w takie same figliki. Zmęczony walką Tara-  
skończyk rzucił cały ten przyrząd na ziemię i położył się na nim, klnąc jak istny  
Prowansalczyk.

— Ta ra, ta — tarata!

Taraskończyk wrzasnął, zrywając się:

— Co to jest?

Były to trąby strzelców afrykańskich, trąbiące pobudkę w kasarniach Mustafy.

Morderca lwów, osłupiały, przecierał sobie oczy...

Wyobrażał sobie, że jest w pośrodku pustyni...

A wiecie, gdzie był?

Był wśród grzędy karczochów, między grzędą włoskiej kapusty, a grzędą bu-  
raków!

Na jego Saharze rosły jarzyny...

Tuż obok, wśród zieleniejącej się dzielnicy górnej Mustafy, wille algerskie, białe  
zupełnie, błyszczące w różowym świetle wschodzącego słońca.

Zdawałoby się, że to okolice Marsylji...

Pocziwy, gospodarski wygląd uśpionego jeszcze krajobrazu zdziwił mocno bie-  
daka i zepsuł mu zupełnie humor.

Rzekł sam do siebie:

— Ci ludzie są szalen! Sadzić karczochy w sąsiedztwie lwów... Bo ostatecznie  
to nie był sen... Lwy przychodzą tu... A oto dowód...

Dowodem były ślady krwi, pozostawione przez uciekające zwierzę. Pochylny  
nad tym krwawym tropem, śledząc go bacznie okiem, z rewolwerem w ręku, idąc za  
tropem od karczocha do karczocha, waleczny Tartarin doszedł do małego łąnu owsa...  
a tam wygniecione zboże, jezioro krwi, a w pośrodku tego jeziora przewrócony nabok,  
z olbrzymią raną w głowie...

— Wiecie co?

— No, przecież lew!

— Nie! Osioł! Jeden z tych małych osiołków, tak pospolitych w Algerze...

*Tłum. Adolf Strzelecki.*



## ANATOLE FRANCE

(1844—1924)

## GOSPODA POD KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKĄ

Przez pięć czy sześć tygodni ksiądz Hieronim Coignard, wierny przyrzeczeniu, dzień i noc ślęczał nad dziełem Zozimosa Panopolitańczyka. Przy obiadach, które spożywaliliśmy w towarzystwie pana d'Astarac, rozmowa toczyła się wyłącznie o gnostykach i o wiedzy starożytnych Egipcjan. Niewiele jeszcze umiejąc, niebardzo byłem pomocny memu drogiemu mistrzowi, ale starałem się, o ile mogłem, najlepiej wypełniać jego zlecenia; praca ta robiła mi nawet przyjemność. I doprawdy żyliśmy szczęśliwie i spokojnie. Siódmego tygodnia pan d'Astarac pozwolił mi odwiedzić rodziców w ich sklepie. Po kilku tygodniach nieobecności garkuchnia wydała mi się szczególnie mała, zastałem tylko matkę samą i smutną.

— Jakżem rada, Kubusiu! — krzyknęła, widząc mnie wystrojonego po pańsku. I z płaczem jąta mnie ścisnąć i całować. Uspokoiwszy się i otarłszy łzy rozczulenia rąbką fartucha, rzekła: — Ojciec twój jest pod «Małym Bachusem». Od czasu twego wyjazdu chodzi tam coraz częściej pod pozorem, że dom stał mu się pusty i smutny przez twą nieobecność. Rad będzie bardzo cię zobaczyć. Ale powiedz mi, mój Kubusiu, czy kontent jesteś z twego nowego stanowiska. Żałowałam, że dała ci pójść do tego szlachcica i na spowiedzi wyznałam przed księdzem trzecim wikarym, że w tem postanowieniu miałam więcej na względzie twoje dobro doczesne, niż zbawienie twej duszy. Ksiądz wikary zgromił mnie dobrotliwie i kazał mi iść za przykładem zacnych niewiast Pisma Świętego. Wymienił mi imiona kilku takich niewiast, ale nie mogłam ich zapamiętać. Zresztą niedługo się mną zajmował, gdyż był to sobotni wieczór, i kościół pełny był penitentek.

Uspokoilem, jak mogłem matkę, i tłumaczyłem jej, że u pana d'Astarac pracuję nad greką, która jest językiem Ewangelji — ucieszyło ją to, ale pozostała jeszcze zakłopotana.

— Nie zgadniesz nigdy, mój Kubusiu — rzekła — kto mi mówił o panu d'Astarac: Cadette Saint Avit, gospodyni proboszcza od świętego Benedykta. Pochodzi ona z Gaskonji, z miejscowości, sąsiadującej z włościami, których pan d'Astarac jest dziedzicem. Wiesz, że Cadette Saint Avit jest to osoba wiekowa, jak przystoi dla gospodyni proboszcza. W młodości swej tam na wsi znała ona trzech panów d'Astarac, z których jeden, kapitan okrętu, utonął na morzu; był to najmłodszy z nich. Drugi, pułkownik, zginął w jakiejś wojnie, najstarszy Herkules d'Astarac jedyny został przy życiu. Jest to ten właśnie, w którego służbie jesteś, jak ufam, dla dobra twego, mój Kubusiu. W młodości swojej był podobno wytworny w ubraniu, szczodry i szlachetny w obyczajach, lecz ponurego usposobienia; trzymał się zdala od służby publicznej i nie chciał wejść w służbę królewską, tak jak uczynili bracia jego i znaleźli w niej śmierć zaszczytną. Zwykł był mawiać, że niemasz dlań nic nędzniejszego nad szlachetne rzemiosło wojenne i że wyżej ceni prostego wieśniaka, niż brygadiera lub marszałka Francji. Takie były jego zapatrywania; wydały mi się nie tyle złe lub przewrotne, ile śmiałe i dziwaczne. Muszą jednak być potępienia warte, bo Cadette Saint Avit mówiła, że proboszcz ganił je, iż są niezgodne z porządkiem przez Boga na świecie ustanowionym, i sprzeczne z pewnymi ustępami biblij, gdzie Bogu nadana jest nazwa kwartmistrza, skoro tak, to byłby to grzech wielki. Ten pan Herkules miał jakąś niechęć do dworu, że nie pojechał nawet do Wersalu przedstawić się Jego Królewskiej Mości, jak to jest przywilejem jego pochodzenia. Zwykł był mawiać: «Mnie król nie odwiedza, i ja też się doń nie wybieram». Rozumiesz, mój Kubusiu, że jest to zdanie wcale nie-naturalne.

Matka spojrzała na mnie z niepokojem i ciągnęła dalej.

— Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, mój Kubusiu, co jeszcze trudniejsze do uwierzenia, a jednak Cadette Saint Avit mówiła mi o tem, jako o rzeczy zupełnie pewnej. Otóż pan Herkules d'Astarac, pozostawszy w swych dobrach, zajmował się tylko ściąganiem światła słonecznego do butelek. Cadette Saint Avit nic nie wie, w jaki sposób

pan d'Astarac to robił, ale jest pewna, że po jakimś czasie w tych karafkach, szczelnie zakorkowanych i ogrzewanych w kociołkach z ciepłą wodą, tworzyły się małe, lecz śliczne kobietki, ubrane jak księżniczki na scenie. Śmiejesz się, mój Kubusiu, a jednak nie należy żartować z takimi rzeczami, gdy widzi się ich skutki. Jest to wielki grzech wyrabiać w ten sposób istoty, które nie mogą być ochrzczone i nie będą więc mogły dostąpić szczęśliwości wiekuistej. Bo nie sądzisz chyba, że pan d'Astarac zanosił do kościoła do chrztu swoje twory w butelkach; nie znalazłaby się chrzestna matka dla nich.

— Ale kochana mamó — odrzekłem — lalki pana d'Astarac chrztu nie potrzebowały, bo nie były splamione grzechem pierworodnym.

— Nie pomyślałam o tem — rzekła — i Cadette Saint Avit, choć gospodyni proboszcza, też mi tego nie powiedziała. W młodości jeszcze opuściła Gaskonję i nie już nie słyszała o panu d'Astarac, o jego karafkach i lalkach. Spodziewam się, mój Kubusiu, że zaniechał tych praktyk przeklętych, których bez pomocy czarta dokonać nie można.

— Powiedz mi, mamó — zapytałem — czy Cadette Saint Avit na własne oczy widziała te damy w karafkach?

— Nie, moje dziecko, pan d'Astarac jest zbyt skryty, by pokazywać miał swe lalki. Ale mówił jej to kościelny Fulgenty, który bywał w zanku, i zaręczał, że widział te małe osóbkę, jak wychodziły ze swego szklanego więzienia i tańczyły menueta. Tem więcej zatem Cadette Saint Avit miała rację wierzyć temu wszystkiemu, bo można nie wierzyć własnym oczom, ale nie słowu porządnego człowieka, a zwłaszcza, gdy jest ze stanu duchownego. Drugą złą stroną tych praktyk jest, że są niezmiernie kosztowne. Cadette Saint Avit mówiła mi, że niepodobna wyobrazić sobie, jakie szalone sumy wydał pan Herkules na swoje butelki, piece i przyrządy, którymi pozapelniał cały zamek. Ale po śmierci swych braci stał się najbogatszym dziedzicem w okolicy, i gdy on wyrzucał pieniądze jak szalony, jego folwarki pracowały dla niego. Cadette Saint Avit sądzi, że mimo tych nadmiernych wydatków i dziś musi być jeszcze bardzo bogaty.

Na to wszedł do sklepu mój ojciec. Uściskał mnie serdecznie i zapewnił, że od czasu mego wyjazdu, jako też tego pocziwego i wesołego księdza Coignarda, dom stracił całe ożywienie swoje. Pochwalił moje ubranie i, twierdząc, że świadom jest dobrych manier, jako że w swoim zawodzie nisko grzecznym być musi, z hałastrą tak samo, jak z panami, zaczął i mnie manier nauczać, nakazując mi zaokrąglać ruchy ręki, a nogi mocno nazewnątrz stawiać; wkońcu dla dokładniejszej oglądy radził mi udać się na jarmark do Saint Germain, by zobaczyć Leandra i we wszystkim go ściśle naśladować!

Zjedliśmy razem obiad i rozstaliśmy się, wylewając strumienie łez. Kochałem ich oboje bardzo i płakałem głównie dlatego, że odczuwałem, iż przez te sześć tygodni rozłąki stali mi się prawie zupełnie obcy. Zdaje mi się, że ich smutek z tego samego pochodził źródła.

...Dzień następny przeszedł tak dobrze dla pana Coignarda, iż powzięliśmy już nadzieję, że będzie uratowany. Wypił rosół i, siedząc w łóżku, rozmawiał z nami ze zwykłym wdziękiem i słodyczą. Pan d'Anquetil, który mieszkał u Gaularda, przyszedł go odwiedzić i brutalnie zażądał, by zagrał z nim w pikietę, co mój dobry mistrz, uśmiechając się, obiecał uczynić za tydzień. Wieczorem gorączka znowu się wzmogła. Książd Coignard błady, z wyrazem niewymownego przerażenia w oczach, drżąc i szczękając zębami, krzyżeć zaczął.

— Oto, oto jest ten stary łotr! To syn Judasza Iskarjoty, splodzony z djablicą pod postacią kozy. Ale, jak ojciec, powieszony będzie na drzewie figowem, a wnętrzności jego rozsypią się po ziemi. Łapcie go... Zabija mnie! Zimno mi!

Chwilę potem, odrzucając kółdry, skarżył się znów, że mu za gorąco.

— Pić mi się chce — mówił. — Dajcie mi wina, tylko świeżego. Niech pani Coquebert dla ochłodzenia włoży je do studni, bo dzień będzie skwarny.

Już noc była wtedy, ale godziny, dni i noce pomieszały mu się w głowie.

— Prędko idź do studni — rzekł jeszcze do pani Coquebert — tylko nie bądź

tak naiwna, jak dzwonnik katedry Séez: poszedł on do studni wyciągnąć butelki, które tam był spuścił, a ujrawszy swe odbicie w wodzie, począł wołać o pomoc: «Hola, hola, pomóżcie mi, bo są tam antypody, które wypiją nasze wino, jeżeli ich nie rozpędzimy!»

— Jowjalny człowiek z księdza — rzekła pani Coquebert — ale niedawno mówił o mnie rzeczy bardzo nieprzystojne. Gdybym miała zdradzać Coqueberta, nie robiłabym tego z proboszczem, bo ani stan, ani wiek jego nie potemu.

W tej samej chwili wszedł proboszcz.

— No, księżę dobrodzieju — zapytał — w jakim usposobieniu ducha znajdujesz się teraz? Cóż nowego?

— Dzięki Bogu — odrzekł pan Coignard — niema nic nowego w mej duszy. Bo mówi święty Chryzostom: unikajcie nowinek, nie zapuszczajcie się na drogi niewypróbowane; gdy raz zbłądzicie, błędzić będziecie ciągle. Smutnie doświadczyłem tego na sobie; zgubiłem się, bom kroczył po drogach nieurtartych. Słuchałem rad własnych, i te przywiodły mię do przepaści. Księżę proboszczu, jestem biednym grzesznikiem. Przytłacza mnie mnogość mych nieprawości.

— Oto piękne słowa — rzekł proboszcz. — Sam Bóg ci je dyktuje; poznaję Jego styl niezrównany. Czy nie chcesz, byśmy się trochę zajęli zbawieniem twojej duszy?

— Chętnie — rzekł ksiądz Coignard — bo grzechy mego życia podnoszą się przeciwko mnie. Stają mi przed oczyma grzechy małe i wielkie, czerwone i czarne, jedne drobne, cwałujące na psach i świniach, a inne tłuste, z brzuchami w grube fałdy zwisłemi i z ogromnemi zadami.

— Czy podobna — rzekł proboszcz — byś widział je aż tak dokładnie? Ale jeżeli grzechy twoje, mój synu, są takie, jak mówisz, lepiej nie opisuj ich i poprzestań na tem, by wewnątrznie je nienawidzić.

— Chciałbyś więc, księżę proboszczu — rzekł ksiądz Coignard — aby wszystkie grzechy moje zbudowane były jak Adonisy? Ale zostawmy to! A ty, golarzu, daj mi pić. Znacie pana de la Musardiére.

— O ile wiem, nie znam tego szlachcica — odrzekł Coquebert.

— Wiedz zatem — rzekł mój drogi mistrz — iż miał on wielki pociąg do kobiet...

— To nie posuwa nas do wrót raju (rzekł proboszcz); należałoby zawrócić na dobrą drogę. Przed chwilą jeszcze mówiłeś nam sam rzeczy tak budujące.

Zamiast odpowiedzi mój drogi mistrz zaczął śpiewać dość silnym głosem:

Nie miał zgoła apetytu  
Nasz król Ludwiczek  
Tra la la la.  
Przyprowadźcież Jegomości  
Ciepłych podwiczek!  
Tra la la la.

— Jeżeli chcesz śpiewać, mój synu — rzekł proboszcz — śpiewaj raczej jaką ładną kolendę burgundzką. Rozweseli cię to, a uświęci zarazem twą duszę.

— Chętnie — odpowiedział mój drogi mistrz.

— Pewne kolendy, ułożone przez Guy Barozai, w ich pozornem prostactwie czystsze są, mojem zdaniem, niż diamenty i cenniejsze niż złoto. Ta oto naprzykład:

Onego czasu w Betleemie,  
Gdy Jezus Chrystus się narodził,  
Osieł i wół swem tchnieniem ciepłem  
Dzieciątko Boże ogrzewali!  
Ileż jest osłów i wołów  
W tem naszym Królestwie Galskiem,  
Ileż jest osłów i wołów,  
Co tegoby nie zdołali!

Cyrulik z żoną i proboszcz wtórowali:

Ileż jest osłów i wołów  
 W tem naszym Królestwie Galskiem,  
 Ileż jest osłów i wołów,  
 Co tegoby nie zdołali!

A mój mistrz drogi ciągnął dalej głosem już cichszym:

Najpiękniejsze w tem zdarzeniu,  
 Że wół i osiel obaj razem  
 Przepędzili tę noc całą  
 Bez napoju i bez jadła.

Iluż znam osłów i wołów,  
 Odzianych w atlas i morę,  
 Iluż znam osłów i wołów,  
 Co tegoby nie zdołali!

Poczem opuścił głowę na poduszkę i śpiewać przestał.

— Nie brak dobrego w tym chrześcijaninie — rzekł proboszcz do nas — nawet dużo dobrego, i przed chwilą sam byłem zbudowany jego pięknymi sentencjami. Ale mimo to nie jestem spokojny, bo wszystko zależy od końca, a nie można wiedzieć, co pozostanie na dnie kosza. Bóg w dobroci swej pozwala, by jedna chwila nas zbawiła, ale trzeba, by to była chwila ostatnia; wszystko więc zależy od jednej minuty, wobec której reszta życia jest jakby niczem. Dlatego to drzę o tego chorego, bo go zaciekle wydzierają sobie aniołowie i czarci. Ale nie trzeba wątpić o miłosierdziu boskiem.

Dwa dni przeszły w bolesnej niepewności, na trzeci dzień mój drogi mistrz, niestety, zupełnie opadł na siłach.

— Niema już nadziei — rzekł mi cicho pan Coquebert — patrz pan, jak głowa jego ciężko zapada w poduszki, i uważ, jak nos stał się cienki.

Rzeczywiście, nos mego drogiego mistrza, dawniej gruby i czerwony, był teraz ostry, cienki, jak ostrze, i przybrał barwę szaro-olowianą.

— Rożenku, mój synu — rzekł nagle do mnie głosem jeszcze pełnym i mocnym, ale zupełnie zmienionym — czuję, że już niewiele życia mi pozostaje. Idź po naszego księdza, bo chcę się wypowiedzieć.

Proboszcz był właśnie w swej winnicy, tam więc pobiegłem.

— Winobranie skończone — rzekł mi — i obfitsze jest, niż myślałem. Chodźmy wypowiedzieć tego biedaka.

Przyprowadziłem go do łoża mego drogiego mistrza i zostawiliśmy go samego z konającym. Po godzinie wyszedł i rzekł do nas.

— Mogę was zapewnić, że pan Hieronim Coignard umiera z cudowną pobożnością i pokorą w duszy. Na jego życzenie i ze względu na jego gorliwość dam mu Ostatnie Namaszczenie. Nim przywdzieję komżę i stułę, bądź tak dobra, moja pani Coquebert, i poślij do zakrystji po chłopca, który mi co rano do mszy służy. Przygotuj też pokój na przyjęcie Pana Boga.

Pani Coquebert zamiołła pokój, położyła białą kołdrę na łóżku, do wezglowia przysunęła stolik, nakryła go obrusem i postawiła na nim dwa lichtarze z zapalonymi świecami oraz porcelanową miseczkę ze święconą wodą, w której tkwiła poświęcana palma.

Wkrótce usłyszeliśmy brzęk dzwonka na drodze i ujrzeliśmy we drzwiach chłopca z krzyżem w ręku i księdza biało ubranego, niosącego Święte Sakramenta. Jahela, pan d'Anquetil, państwo Coquebert i ja ukłękliśmy wszyscy.

— Pax huic domui — rzekł ksiądz.

— Et omnibus habitantibus in ea — odpowiedział ministrant.

Poczem proboszcz pokropił święconą wodą łóżko i chorego, pomodlił się chwilę w milczeniu i rzekł uroczyście:

— Synu mój, czy nie masz nam do powiedzenia?

— Mam — rzekł ksiądz Coignard pewnym głosem. — Przebaczam memu mordercy.

Wtedy proboszcz wyjął Hostję z cyborjum.

— Ecce agnus Dei, qui tollit peccata mundi.

Mój drogi mistrz odrzekł, wzdychając:

— Jakże przemówię do Pana mego, ja marny proch i popiół? Jakże stanę przed obliczem Twojem, gdym zewszecmiar niegodny tego, jakże ośmielę się przyjąć Cię, gdy tak często raniłem Twoje oczy dobrotliwe?

I ksiądz Coignard przyjął święty Wiatyk wśród głębokiego milczenia, przerywanego płaczem naszym i głośnym ocieraniem nosa pani Coquebertowej.

Przyjawszy Ostatnie Namaszczenie, mój drogi mistrz dał mi znak, bym zbliżył się do jego łóżka i rzekł głosem cichym, lecz wyraźnym:

— Jakobie Rożenku, synu mój, nie idź za mym przykładem i odrzuć maksymy, które ci wszczepiałem w szaleństwie swem, trwającem, niestety, tak długo, jak życie moje. Strzeż się kobiet i książek, bo od nich płynie płochość obyczajów i pycha. Bądź pokornego umysłu i serca. Bóg daje maluczkiem jaśniejsze zrozumienie rzeczy, niż to, którego uczeni nauczyć mogą. On jest źródłem wszelkiej wiedzy. Nie słuchaj, synu, tych, którzy jak ja subtelnie roztrząsać będą, co złe i co dobre; nie daj się olśnić pięknnością i wytwornością ich słów, bo Królestwo Boże opiera się nie na słowach, lecz na cnocie.

Zamilkł wyczerpany. Pochwyciłem rękę jego, spoczywającą na prześcieradle, i pokrywałem ją pocałunkami i łzami. Mówiłem doń, że jest naszym mistrzem, przyjacielem, ojcem, i że nie będę mógł żyć bez niego.

Długie godziny pozostałem tak u łoża jego, pogrążony w boleści.

Noc przebył tak spokojnie, że znów powziąłem szaloną nadzieję; ta pozorna poprawa trwała jeszcze dzień następny, ale nad wieczorem zaczął rzucać się niespokojnie i wymawiać jakieś zdania niewyraźne — zostały one na zawsze tajemnicą między Bogiem a nim. O północy zapadł w stan głębokiej prostracji. Słychać było tylko lekki szmer jego palców, które kurczowo drapały prześcieradło; nie poznawał nas już więcej...

Nade dniem dał ręką jakiś znak, którego nie zrozumieliśmy, i westchnął głęboko. Było to już ostatnie tchnienie. Twarz jego przybrała w śmierci powagę, godną tego genjuszu, który go ożywił, a którego strata na zawsze będzie niepowetowana.

*Tłum. Jan Sten.*

## FERDINAND BRUNETIÈRE

(1849—1906)

### GENJUSZ BOSSUETA

Jakkolwiek Bossuet zaczął pisać i wydawać swoje dzieła po skończeniu czterdziestego roku życia, Wolter, jedyny z naszych wielkich pisarzy — i w naszych czasach Wiktor Hugo, — pisali więcej. I nawet to jego dzieło, choćby nie wiem jak znaczne było, nie doszło nas w całości; nie mówiąc już o «Korespondencji», której tylko połowę prawdopodobnie posiadamy, należy tu wymienić zagubione «Panerygiki św. Augustyna», jako też «Mowę pogrzebową dla Anny Austriackiej». Główną właściwością jego, to być mówcą, lub nawet mówionym, jeśli tak wyrazić się można. O tem zapomina się niekiedy, nawet gdy poddaje się krytyce język Bossueta i Moljera. Dosłownie, oni piszą dla słuchu, najmniej zaś w celu czytania ich dzieł. Zarówno lub więcej dla ucha, niż dla oczu; a jeśli niektórzy przeczuleni znaleźli w nich niekiedy niepoprawności, zaniedbania, niejasności i dwuznaczności, należy tylko je wygłosić, aby krytycy natychmiast umilkli. Można i należy dodać, że nikt w naszej mowie, a być może w żadnej obcej, nawet Cycero lub Demostenes, nie był tak wyposażony w dar oratorski, jak Bossuet. A to, dla czystości, poprawności i jasności wyrażania się; dla bogactwa i obfitości pomysłu wypowiedzenia się, w czem porównać można go tylko

z Wiktoorem Hugo; dla lirycznej odwagi wstępów: — «Miłościwy Panie, czego nie ujrzało oko, czego ucho nigdy nie słyszało, co nigdy nie miało przystępu do serca ludzkiego, to wszystko będzie przedmiotem tej rozmowy...» — dla swobody zwrotów i nieoczekiwanych obrazów; dla ilości i harmonii okresów, tej właściwości, której często brakuje autorowi «Prowincjałów»; dla piękności zewnętrznej i nagiej zdania; nakońcu dla szerokiego tchu. Bossuet nie tylko jest rzadkością, jest on wprost nieporównany. Gdy weźmiemy pod uwagę jego «Dzieje, pisma i dysputy», jego «Pouczenie o wymowie» lub nareszcie «Traktat o pożądlivosti», to — nie mówiąc już oczywiście o jego «Kazaniach» i «Mowach pogrzebowych» — zauważymy, iż krasomówstwo rozlewa się w nich stale ponad pisarza do szczytu niemożności utrzymania się w granicach, przez niegoznaczonych; następstwem tego jest podniesienie rozprawy teologicznej do entuzjasmu świętego peanu. Gdy nic niema łatwiejszego, jak zanalizować kazanie Bourdaloue'a, niemniej łatwo to uczynić w stosunku do «Kazań» Bossueta. Takim jest bowiem, gdy tworzy on pewnego rodzaju plan dzieła, gdy je w miarę rozwija i uzupełnia; przeciwnie zaś, to, co wydawałoby się wieczną śmiałością błędzenia, używa jego wymowie charakteru osobowości, swobody i czegoś nieoczekiwanego, co upodabnia ją do sił natury. Zauważmy nareszcie, że w mowie apostoła św. Pawła — w «Panegiryku», co niejednokrotnie zaznaczono, że zdaje się on być portretem jego własnej wymowy — znajduje się wśród całej słów powagi zarówno ów akcent mowy potocznej, jak nawet chropowatości, która karci i rozkazuje i która «nie tyle przekonywa, ile trzyma na uwieży rozwagę». I aby już nic tutaj nie zabrakło w powiedzeniu, ci, którzy niekiedy pomawiają Bossueta o brak słodyczy i czułości, z pewnością nie czytali jego «Panegiryku o Apostole św. Janie» lub o św. Teresie, lub też «Kazań o miłosierdziu Dziewicy». Zaiste, jakżeby brakowało mu tych przymiotów, jeśli wszyscy współcześni mu świadkowie, począwszy od opata Le Dieu, jego ostatniego sekretarza, aż do Saint-Simona, zgodnie wychwalają jego uprzejmość, słodycz i dobroć?..

Jak widzimy, same warunki, tak osobliwe, w których zostało ułożone to przedziwne dzieło, dopowiadają sobą w dokładnym określeniu ostatniego charakteru Bossueta i zarazem charakteru jego geniuszu: to naturalna doskonałość. Jak powiedzieliśmy i jak mieliśmy sposobność wykazać, Bossuet nigdy nie pisał dla chęci pisania. Nigdy nie marzył o wydaniu «Żałobnego kazania na zgon Anny Austriaczki». Naleganiom i prośbom księżnej pani Orleanu mamy do zawdzięczenia druk «Żałobnego kazania na zgon Henryjety Francuskiej». Bez księżnej i bez szacunku Bossueta dla jej życzeń, dla niej, «która znała tak dobrze dzieła twórcze, że człowiekowi zdawało się, jakoby stał u szczytu doskonałości, gdy jego dzieło znalazło przyzwolenie księżnej», «Kazanie żałobne na cześć królowej», jej matki, byłoby dzieliło los zapomnienia wspólnie z kazaniem na cześć matki Ludwika XIV. W tem leży tajemnica prostoty, która u niego bez wysiłku łączy się z natchnieniem najszczytniejszej wymowy. Zaprawdę, nikt nie wypowiedział większych rzeczy po francusku i jednakże nikt, mówiąc je, nie zdawał się przeczuwać, że je mówi, nie czuł być może on sam, który je mówił. Jednogłośnie zatroszczeni o przekład jego myśli, mniemalibyście, że w miarę ich wypowiedzania on je tworzy i że wyrazy jego stylu wydają się współmierne z ideą i uczuciem. Nic rzadszego na świecie. U wielkich rasowych pisarzy można przy poświęceniu małej uwagi uchwycić skrytą i ustawiczną pracę stylu; przyłapuje się ich, do pewnego stopnia, na opracowaniu dzieła, przy jego szkicowaniu, dobieraniu, wyskrobywaniu, poprawianiu, dopisywaniu; nareszcie spostrzega się i poznaje pracę pilowania a niekiedy nawet miejsce lutowania: takimi są w wierszu Racine i Boileau; takimi w prozie La Bruyère i La Rochefoucauld; takimi w następnym wieku Montesquieu, Buffon, Rousseau. Nic podobnego u Bossueta; być może, więcej mówca w tem i we wszystkim innem, aż do owych jego dzieł, w których każde słowo posiada swoją wartość, i gdzie w wyniku mógłby odważać każde wyrażenie, to jeszcze i w nich wydaje się nam, jakoby improwizował. Pod tym względem możnaby porównać z nim samego Woltera, w owej przedziwnej improwizacji wieku lat sześćdziesięciu, jaką jest jego «Korespondencja», gdyby nie wmieszało się tam nazbyt widoczne pragnienie przypodobania się, zapewne nie dla celów korupcyjnych, lecz przynajmniej dla sfalszowania prostoty. Gdy Bossuet pisze, nigdy nie myśli o sobie, tem mniej jeszcze o publice

«znawców» i «ludzi smaku»; myśli on o swoim przedmiocie, aby go umieścić jedynie w «swojem najpiękniejszym świetle», w najprawdziwszym jego świetle; aby wyjaśnić w dwóch słowach ten kontrast, powiemy, że największy z naszych pisarzy najmniej jest literatem.

(*Études critiques sur «l'Histoire de la Littérature française»*)

*Tłum. Józef Gluziński.*

CHARLES BAUDELAIRE  
(1821—1867)

ŚMIERĆ NĘDZARZY

Śmierć jest jedynym blaskiem w mrokach życia kiru:  
To jedyny cel życia, nadzieja, podpora,  
Pociecha i wzmocnienie — czara eliksiru,  
Która nam daje siłę iść aż do wieczora.

To słońce, co przez burze i śniegi, i nędze  
Na czarnym widnokregu promieniście świta;  
Jest to sławna gospoda, zapisana w Księdze,  
Gdzie wszyscy będą jedli i pili dosyta.

To anioł, który trzyma w dłoniach magnetycznych  
Potęgę snu i dary widzeń ekstatycznych,  
I który ściele łoża obdartym żebrakom —

Chwała bogów, spiżarnia mistyczna, słoneczna,  
Sakwa nędzarza, jego ojczyzna odwieczna,  
I wrota ku nieznanym cichych niebios szlakom.

*Tłum. Antoni Lange.*

CZŁOWIEK I MORZE

Miłość dla morza wieczna w twojem wolnem łonie!  
Morze jest twem zwierciadłem; ty swojego ducha  
Badasz w wzburzonej fali, gdy się toczy głucha,  
I nie mniej gorzkie ducha twojego są tonie.

Ty chętnie się zatapiasz w głąb swego obrazu,  
Ogarniasz go ramieniem i wzrokiem, a serce  
Twe niekiedy się kocha w swej własnej rozterce,  
Na głos tej skargi pełnej dzikiego wyrazu.

Wy jesteście milczący, posępni oboje:  
Człowiecze! Nikt nie zbadał twych przepaści stoków;  
Morze! Nikt nie zna skarbów twych, skrytych wśród mroków;  
Tak skrywacie zazdrośnie tajemnice swoje!

I oto wieki giną wśród czasów otchłani,  
A wy bój wciąż toczycie bez żalu, litości,  
Tak dzika żądza mordy i śmierci w was gości,  
O, bojownicy wieczni, bracia niezłagani!

*Tłum. Stanisław Korab-Brzozowski.*

PAUL VERLAINE

(1844—1896)

PIOSNKA JESIENNA

Łkanie bezsennej  
Skrzypki jesiennej,  
Sierocej  
Serce mi rani,  
Grąży w otchłani  
Niemocy.

Drżący i siny  
— Gdy brzmią godziny  
Tulacze —  
Wspomnieniem tonę  
W czasy minione  
I płaczę.

I idę smutnie  
W wicher, co okrutnie  
Mnie miecie  
Swemi podmuchy,  
Niby liść suchy,  
Po świecie.

*Tłum. Leopold Staff.*

ARTHUR RIMRAUD

(1854—1891)

ZE ZBIORU p. t. «NATCHNIENIA»

## 1. Ślady kół

Na prawo letni świt rozbudza liście i rosę, i wrzawę w zagajnikach parku, a po stokach na lewo w fioletowym półcieniu znaczą się ślady tysiąca kół po drodze wilgotnej. Defilada feeryj. W istocie: wozy, naładowane zwierzętami o złocistych rogach, maszty i pstre namioty, w wielkim galopie dwadzieścia nakrapianych koni cyrkowych i dzieci, i ludzie na swoich potworach, wzbudzających podziw nieskończony; — dwadzieścia pękatych wozów, ozdobionych flagami i kwiatami, jak starożytne karoce lub barki, przepełnione dziećmi, wystrojonemi na pastorałkę podmiejską; — również karawany pod baldachimami o wzniesionych pióropuszcach z hebanu, ciągnięone truchtem przez wielkie klacze błękitne i czarne.

## 2. Kwiaty

Z terasy złotej — wśród sznurów jedwabiu, wśród szarych gaz, zielonych aksamitów i dysków kryształu, czerniejących, jak bronz od słońca — widzę napastrnicę, rozwierającą oczy i sploty swych włosów na dywanie z ażuru srebra.

Płatki złotego złota, siane na agacie, pilastry akacji, podtrzymujące kopułę szmaragdów, bukiety białej satyny i wiotkie pręty rubinów otaczają krzew róży nad wodą.

Podobne do boga o bebrzeźnych oczach błękitu i o śnieżystej postaci morze i niebo wabi do marmurowej terasy orszak młodych i mocnych róż.

## 3. Mistyczność

Na zboczach wzgórz wirują aniołowie w szatach wełnistych, wśród roślin ze stali i szmaragdu.

Opodal wyskakują płomienie aż do szczytu pagórka. Na lewo czarnoziem grzbietu, wydeptany przez wszystkie zbrodnie i wszystkie bitwy, a jego wzniesienie opasuje przeźrałość wszelakiego gwaru. Za tym grzbietem na prawo linja wschodów, postępów.

I w chwili, gdy wstęę w górze obrazu tworzy wirujący i chybotliwy pogwar konch morskich i nocy człowieka,

Bujna słodycz gwiazd i nieba, i reszty roztoczy wprost wzgórz zniża się, nakrywając koszem widnokrag naszego oblicza i tworząc u góry kwitnącą czeluść błękitną.

*Tłum. Józef Gluziński.*



JEAN MOREAS

(1856—1910)

## PIEŚŃ MIŁOSNA

Me serce jest jak trumna w grobowcu zbutwiała;  
 Ma dusza jest domostwem, gdzie kruk gniazdo wije!  
 — Twe serce, to ogrodu przeczyste lilije,  
 Twa dusza tak jest białą, jak gołąbka biała.

Mój sen, to ciemne niebo, kędy wichry łkają;  
 Ma przyszłość — ugór ziemi, która nic nie stwarza.  
 — Twój sen, to najczystsze hymny u ołtarza,  
 Twa przyszłość, to słońce uśmiech, które w blasku wstają.

Me usta mają gorycz trucizn belladonny;  
 Mój chmurny wzrok nienawiść śle i złorzeczenie.  
 — Twe usta — kwiat wiosenny, wykluty w Edenie.  
 Twych oczu jasna dobroć, to dobroć madonny.

*(Les Syrtes)**Tłum. Józef Gluziński.*

## MÓWI MŁODA DZIEWCZYNA

Rzekły mi kopry: tak cię lubi  
 Szalenie, że go miłość ta do ciebie zgubi.  
 Śpiesz się na jego przybycie.  
 — Kopry zawsze zawodzą; kłamią wyśmienicie!  
 Bądź miłościw, o Boże, mej duszy!

Rzekły rumianki: lecz dlaczego  
 Masz polegać z ufnością na uczuciach jego?  
 Wiarusa wytarte serce.  
 — Rumianki, ostry sąd wasz, rumianki oszczerce!  
 Bądź miłościw, o Boże, mej duszy!

Rzekła szatwja: nie czekaj wcale,  
 Usnął w innych ramionach, w ukochania szale.  
 — Szatwjo, przesmutne twe głosy.  
 Splotę ciebie we wieniec, ozdobię nim włosy...  
 Bądź miłościw, o Boże, mej duszy.

*(Le Pèlerin passioné)**Tłum. Józef Gluziński.*

## STANCE

Okwitają z dniem każdym ukochane róże,  
 Bładych pęków już więcej me krzewy nie rodzą!  
 Nazbyt długo wiał zefir: zaś Akwilon w górze  
 Srogim wirem wznosił rzeki, iż z brzegów wychodzą.

Radości, niechże w tobie wzbierze fala rwąca!  
 Bo czy nie wiesz, jak wielce jest rzeczą szaloną,  
 Gdy przez ciebie ma ręka bez przyczyny trąca  
 O strunę melancholji, smutkom poświęconą?

\*  
\*  
\*

O nie mów nigdy: życie przyjemna biesiada;  
 Tak mówi duch szalony lub z sercem spodlonem.  
 O nie mów nadewszystko: szczęścia nie posiada;  
 Tak szemrze lichy człowiek, co się nuży onem.

Śmieję się, jako gałęzie z wiosną poszmer pieści,  
 Płacz, jako wichur w nocy, jak źródeł kaskada;  
 Rozkoszy wszystkich zażyj, znieś wszystkie boleści  
 I powiedz: dosyć już, mrok spoczynku na duszę opada.

\* \* \*

Za słuchaczy mam zmarłych, za dom — grób porosły.  
 Własnym wrogiem wciąż będąc, sam z sobą się gniewam.  
 Ma sława u niewdzięcznych, kruki skarb uniosły;  
 Przenigdy nic nie zbieram, choć orzę, zasiewam.

Lecz złorzeczyć nie będę; cóż ryk Akwilona,  
 Hańba i pokrzywdzenie, oblicze potwarzy!  
 Kiedy skoro cię dotknę, liro Apollona,  
 Coraz czystszy podźwiewkiem twa struna mię darzy?

\* \* \*

Przerywając tak nagle dni słotnych zastoje,  
 Na kasztan, co mu szczyty suchy liść czerwieni,  
 Na wodę, ugór twardy i na oczy moje  
 Zlewasz słodycz, o słońce wybladłe jesieni.

I czegoż pragniesz, słońce? kwiat niech padnie w dole,  
 Iżby liście mu zgnily, wiatr je rozwał wszędy!  
 Niech się woda zamroczy; mnie pozostaw bole,  
 Z których czerpie duch moce, myśl — rozrodcze pędy.

\* \* \*

Myślę o morskiem niebie, jego słodkich skłonach,  
 O wodach, co je przypływ rykiem pian porusza,  
 O rybaku w swej barce, krabach w konch ramionach,  
 Sinych oczach Nereid, Glauka, Proteusza.

Myślę, jak drogę krokiem odmierza włóczęga,  
 Jak wieśniak gdzieś u progu starej strzechy czuwa,  
 O drwalu, co po topór swoją ręką sięga,  
 O mieście, zgielku, duszy, którą ból przykuwa.

\* \* \*

Tam wdali pieje kogut; spokojny, cichy, wzrasta  
 Blask świtu — wkoło dnieje.  
 Ostatnie mży światelko przy rogatce miasta  
 Nad murem, gdzie wierzeje.  
 Paryż, ta druga moja kolebka, śpi jeszcze,  
 Gdym powstał już o świcie  
 I gdym w sercu swem wielkiem usłyszał złowieszcze,  
 Posępne, chwiejne bicie.  
 Czego chce, czego serce? Mimo, że ból dźwiga,  
 Że w smutku dogorywa,  
 Pragnie się zazielenić, jak czuła lodyga,  
 Co liściem się pokrywa?

(Stances, Livre I, II, IV)

Tum. Józef Gluziński.

## FRANCIS JAMMES

(ur. 1868)

## JADALNIA

Mam tutaj szafę ze śladem błyskotek,  
która słyszała głos mych starych ciotek,  
która słyszała głos mego praojca,  
która słyszała głos mojego ojca.

Ich wspomnień pełne jej skrytki i schowy.  
Niech nikt nie sądzi, że szafa ta milczy,  
gdy wiodę z nią rozmowy.

Mam tutaj także kukułkę z drzewa.  
Nie wiem, dlaczego ona już nie śpiewa.  
Jednak jej słuchać nie pragnę.  
Być może, iż w niej sprężyna  
złamała się, nie tyka,  
jak głos u nieboszczyka.

Mam tutaj także kredens stary,  
co chowa soki, konfitury,  
mięso, chleb, gruszek żrałych góry.  
To wierny sługa, który wie,  
że kraść stąd nic nie wolno.

Odwiedza mię niekiedy lik mężczyzn i dam,  
bez wiary w te duszyczki, których czucie znam.  
Myślą: — Odludek, żyje na pustyni. —  
Więc śmieję się, gdy gość mi zapytanie czyni:  
— Jak się panu powodzi, zacny panie Żam?

*(De l'Angelus de l'Aube à l'Angelus du Soir)**Tłum. Józef Gluziński.*

## ELEGJA DO ALBERTA SAMAINA

Jeszcze, drogi Samenie, do ciebie list piszę.  
Po raz pierwszy ślę tobie w śmierci głuchą ciszę  
to pismo, które jutro jakiś sługa boski  
w starczej dłoni przyniesie do wieczystej wioski.  
Zaśmiej się, bym nie płakał. Radośnie mi powiedz:  
«Żem nie chory tak bardzo, ty o tem się dowiedz».  
Otwórz jeszcze mą furtkę, druhu, weźmij obie  
me dłonie, wszedłszy, rzeknij: «Tyś po kim w żalobie?»  
Przyjdź jeszcze. Jesteś w Orthez. Bóg szczęście ci ześle.  
Połóż oto kapelusz swój na tamtem krześle.  
Chcesz pić? Ot, woda ze studni i wino na sen.  
Przychodzi moja matka, przemawia: «Samen»,  
a psisko me kładzie swój łeb na twej dłoni.

Ja mówię. Ty się śmiechem serdecznym rozpalasz.  
Czas nie istnieje. Ty zaś mówić mi pozwalasz.  
Mrok się zbliża. Idziemy poświatą olśnieni,  
która dzień tak podobny czyni do jesieni.  
Wychodzimy na uliczkę. Gołębica sina  
grucha słodko na drzewie, skrzydła wlot rozpina.

Zabawiam cię. Ty się śmiejesz. Szczęście nas oplata.  
Oto droga wśród zmroku niknącego lata,  
oto na chodnik nędzny kierujemy kroki,  
oto cień mgłą wilgotną stopy astrów rosi,  
co zdobią progi domostw, skąd dym się unosi.

Śmierć twoja nie zmieniła nic. Zmierzch, któryś kochał,  
gdzieś życie swoje spędził, gdzieś śmiał się i szlochał,  
on, przez nas opuszczony, na twojej jest pieczy.  
Światło twoje się rodzi z tej ciemności świata,  
która z stóp nam wyrasta w cudnym zmierzchu lata,  
gdy, wietrząc Boga rękę, pełną życia mocy,  
psisko w czarnej gęstwinie lka wśród cichej nocy.

Nie żałuję twej śmierci. Inni w wawrzynowe  
wieńce, tobie należne, ozdobią twą głowę.  
Znając cię, trwozę noszę, by nie zranić ciebie.  
Szesnastu lat chłopiętom na twoim pogrzebie,  
które pójda za trumną lać tzy na tve liry,  
twoje czoła wolnego nie zasłonię w kiry.

Nie płaczę po twej śmierci. Życie twoje — żyje.  
Jak wichru cichy powiew, gdy pieści lilije,  
nie ginie, lecz po latach, co się w wiek rozprzędy,  
powraca, choć myślano, że lilje powiędy,  
pieśni, drogi Samenie, wrócą i znów tęczą  
ołsnia dzieci, jak dzisiaj, gdy nam w sercach dźwięczą.

W grobie twym, pasterzowi przeszłości podobnym,  
co go trzoda lżą rosi na nędznej polanie,  
napróżno jabym szukał tego, co wziąć chciałbym.  
Gdy sól owiec gromada na strawę dostanie,  
gdy wino ci wypiją, co ciebie okradli.

Jestem myślą przy tobie. Dzień kona, jak w chwili,  
gdyśmy w starym salonie na wsi się bawili.  
Jestem myślą przy tobie. Myślę o tych górach  
rodziny, o Wersalu, gdzie noga za nogą  
szliśmy, wiersze swe mówiąc, nad łąk kwietną drogą.  
O druhu twoim myślę, o twojej macierzy.

Myślę o tych owieczkach, co nad wody brzegiem  
w oczekiwaniu śmierci dzwoniły we dzwonki.  
Jestem myślą przy tobie. Myśl ma w niebo mierzy.  
O wodzie myślę, ogniu, o kwiatów rozłogu.  
Myślę o rosie drżącej, co spływa na łąki.  
Myślę o tobie, o mnie i myślę o Bogu.

*(Le Deuil des Primevères)*

*Tłum. Józef Gluziński.*

#### MODLITWA VIII

Kiedy będę do Ciebie musiał iść, mój Boże,  
daj, by się wtedy stało, gdy zlociście zboże  
umai pola. Chciałbym również tam na dole  
wybrać drogę pielgrzymki taką, jak ja wolę,  
do Raju, kędy gwiazdy świecą roziskrzone.  
Wziąłbym kijek i, drogą szeroką poszedłszy,

przyjaciołom mym, osłom, rzekłbym: «Towarzysze,  
ja jestem Żam Franciszek; w Raj idę i w ciszę,  
gdź w kraju, gdzie Bóg dobry, tam niema otchłani».  
Rzekłbym do nich: «Przez błękit nieba ukochani  
pójdźcie, drodzy biedacy, miłe kłapouchy,  
co uszami strząsacie pszczoł cięcia i muchy».

Obym z niemi mógł stanąć przed Tobą w tę chwilę!  
Gdyż je kocham, że głową kiwają tak mile,  
tak słodko; że gdy śpieszą lub staną wpół drogi,  
to litość we mnie budzą pocieszne ich nogi.  
Idąc, przywiódlbym z sobą tych osłał tysiące:  
i one, na swych grzbietach koszyki niosące,  
i one, co za sobą ciągną wóz kuglarzy  
lub wózki z drzewem, blachą, lub z czem się nadarzy,  
i one, co na grzbiecie gną się pod łagwiami,  
i osłice, jak buklak, z pełnemi bokami,  
i te w krótkich spodeńkach, co nie od parady,  
lecz by im dały spokój much tnące gromady.

Mój Boże, daj, niech zjawię się z temi osłami.  
Uczyń, byśmy z anioły szli w ciszy rówieśnie  
do źródłanych bełkotek, gdzie wiszą czereśnie  
drżące, jakby śmiejące ciało dziewcząt młodych,  
i spraw, abym nachylon tak wśród dusz tych schronu  
ponad wody boskiemi, bym był osłów gronu  
podobny, które złożą swą korność i słodycz,  
i biedę w\*te przezrocza wieczystej miłości.

(*Quatorze Prières*)

Tłum. Józef Gluziński.

## CHARLES GUÉRIN

(1873—1907)

### DO FRANCISZKA JAMMESA

Żamie, twój dom przypomina mi ciebie z wejrzenia.  
Brodaty powój na nim, sosna go ocienia,  
Jak serce twoje wiecznie jara w sobie, młoda,  
Mimo wichrów jednaka zawsze jej uroda.  
Niski twego podwórza murek mech porasta,  
Skromne piąterko domu, a wkoło krzaczasta  
Polanka, na niej wawrzyn, studnia smakowita.  
Gdym usłyszał, by ptaka krzyk śmierci, jak zgrzyta  
Twa furtka, czułem, w serce wzruszenie przecieka.  
Żamie, tożem długo siedł tutaj zdaleka,  
I zastałem cię takim, jak w marzeń mych tęczy.  
Ujrzałem psa twojego, jak łasi się, wdzięczy,  
A pod krezą srokatą twego kapelusza  
Oczu uśmiech, co szczerą tęsknotą swą wzrusza.  
Od okien twoich widać w górze przestrzeń nieba;  
Oto fajki twe, okno, wiewem od sztachelotów  
Wnoszące łąk balsamy, nad księgi poetów.  
Przyjacielu, jak przyszły tak i znikną księgi,  
Gdzie płacz nasz, tam śmiech innych wleci nad pół łągi;  
Lecz niech żaden z nas obu, mimo lat, nie złamie  
Przyjaźni, co w dzień wiosny złączyła nam ramię.  
Dzień był słodki jak jesień, pełna plonów, chleba;

Słyszeliśmy, sikora coś skrzeczy wśród łozy,  
 Dźwięczą dzwony, a drogą ciągną rzędem wozy...  
 Toż była smutna, długa, niedziela Palmowa:  
 Ty, złamany miłością, jak trzcina, co chowa  
 Pękniętą swą lodygę w wodzie, która gwarzy,  
 Ja, drżący przed odjazdem, raczej umrzeć gotów  
 Na morzu, gdzie wirują barki bez żeglarzy.  
 Słyszeliśmy, jak trzeszczą wozy wśród wykrotów,  
 Choć myślą swą rozbieżni, uczuciem złączeni,  
 A chmura nam na dusze kładła mgłę swych cieni.  
 Czy wrócę na spoczynek w twe progi dziecięce,  
 Czy wrócę, aby czekać, gdy w srebrnej sukience  
 Jutrznią wzejdzie, by do niej wyciągnąć swe ręce,  
 By z twej skrzyni różanej, co woń rozprzestrzenia,  
 Z jej ksiąg starych, pożółkłych, wchłaniać bez skończenia  
 Miłość, życie jedyne w popiele zniszczenia?  
 Żam, gdy okien twych ramy naścieżaj otworzę,  
 Widzę miasta i pola, śnieg, jesienne deszcze;  
 W maju czytasz poezje półgłosem, na dworze,  
 Dom i ogród otula niebieskie przestworze...  
 O, domu, przyjacielu, zobaczęż was jeszcze?

Jutro, niestety! Raczej wspomnieć każde wczora.  
 W ciele mem dusza cierpi bez ojczyzny, chora.  
 Wieczorem, gdy się we mnie wzmogła męka większa,  
 W czas, kiedy swym promieniem słońce brzeg upiększa,  
 Rzucając błysk ostatni na morskie bałwany,  
 Szedłem z włosiem splókanym od morza fal słonych,  
 Tocząc się marzeń rzutem, jak blok oderwany,  
 Bo mię wołał przemożny szum fal rozjęczonych  
 I potężny wulkanu głos, co ziemię wzrusza.  
 Tak z myślą o twem sercu, kamyk wzięwszy w rękę  
 W żyłki, jak mleko biały, znacę nim w podziękę  
 Dzień wstąpienia w twe progi, synu Wergiljusza.

(*Le Coeur Solitaire*)

Tłum. Józef Gluziński.

#### JESTEM ZNUŻONY...

Tyś wędrowką znużony? Więc szukasz ze smutną  
 Duszą schronu pod strzechą słomianą zagrody,  
 Świeżej zieleni w cieniu, wśród chłodzącej wody,  
 Gdzie na trawie pod wiatem schnie bielone płótno?

Przeto nie trudź się dalej: oto masz zagrodę.  
 Wrota z świeżej wikliny, puszczone liście,  
 Pchnij naścież, poeto, jeśli rzeczywiście  
 Po złej drodze spoczynku pragnie serce młode.

Wstrzymaj się przed oborą w mroku. Spójrz w ona.  
 Owce beczą, wół ryczy, smutny osioł drzemie.  
 Gdzie kropel dziwny odgłos, wejdz wreszcie w przyziemie,  
 Sernicę ujrzysz tutaj, serem obciążoną.

Czas wieczoru. Spoglądnij; chata wnet już zaśnie.  
 Patrz, ogień rozpalają, jak zwykle w tej chwili;  
 Nikły dymek ku górze rychło się wychyli.  
 Dla duszy schronu chciałeś? Wejdz. On tutaj właśnie.

(*Le Semeur de Cendres*)

Tłum. Józef Gluziński.

## HENRI DE RÉGNIER

(ur. 1864)

## ODA

Witałem was, o gaje, przez młodości lata  
Serdecznem łkaniem,  
Niosłem wam, siostry, smutek, co się w duszy brata  
Z umiłowaniem!

Kiedy drzew waszych liści wiosenna ponowa  
Lśniła w błękity,  
Gdy pod jesień wam złotem wichru pieśń wrześniowa  
Zdobila szczyty,

Kiedy świeża nadzieją i jeszcze brzemienna  
Od plonów krasy  
Wieściła piękność wasza, gorąca, płomienna,  
Letnie wywczasy,

Miał złączyć moje serce z waszej duszy głębią,  
W niem sprzestrzenioną,  
Niosłem bezpłodne bóle, co się od trosk zębią  
I smutkiem wioną.

Nie wdychiwały waszych silnych, zdrowych woni  
Piersi wezbrane,  
Zdało się, liście wlokłem za sobą po błoni,  
Zmarłe, zdeptane.

Znosiłyście cierpliwie chód mój ołowiany,  
Co z cierpień staje;  
Żem był w was jeno smutkiem, płaczem rozkochany,  
Wybaczcie, gaje!

Nie taką to miłością do was, jak przed laty,  
Serce kołacze;  
I kiedy widzę piękno waszej strojnej szaty,  
Jak dziś, gdy patrzę,

To czuję, że mnie wzrusza wasz głos objawienia,  
Życia potęga,  
Że Bóg władca was, kiedy kielkują nasienia,  
Dłonią dosięga.

Mojego życia widzę niezgłębione pędy,  
Ziemią żywione,  
Tajne, jak twe korzenie dębie, wrosłe wszędy.  
Nad kielki one,

Nad ciało, co się w życie pniem dostałym wraża,  
Mojego ducha  
Gałąź już wicher jesieni szczytami obnaża...  
Cóż zawierucha

Drzewu mojemu, co czas, co mrozy lub spieka,  
Albo siekiera  
Uczynić zdoła, gdy już z za kory człowieka  
Bóstwo wyziera!

*(La Sandale ailée)*

Tłum. Józef Gluziński.

## TAJEMNICA

Uważaj; jeśli mówić chcesz do smutku mego,  
 To nie szukaj przyczyny jego łez, o nie!  
 Że po ziemi wzrok wodzi, nie pytaj, dlaczego,  
 Lub że utkwiał go w ugór, gdzie roślinność schnie.

Nie rzucaj na przeszłości ciszę wygladzoną,  
 Pragnąc rozwiąć i zniszczyć jego ból i zło,  
 Żadnych zwidzeń miłości ni pychę wskrzeszoną,  
 Ni nadzieję; niech mrok ich ściemni wspomnień tło.

Opowiedz mu o słońcu, o drzewach i wodzie,  
 Jak świeci jasne morze, jaki w lasach mrok,  
 Jak wędruje w noc księżyc po nieba obwodzie,  
 I o wszystkim, co widzi oczu jasny wzrok.

O tem powiedz, że wiosna różą zawsze zdobna  
 Z dłoni słodycz śle jemu, jaśmin, wonny bez;  
 Bowiem rzeczy kształt, zapach i piękno zosobna,  
 One jedne wśród wspomnień nie przynoszą łez.

(*La Sandale ailée*)

Tłum. Józef Gluziński.

## PAUL FORT

(ur. 1872)

## TO DZIEWCZĘ UMARŁO...

To dziewczę umarło, umarło w miłości.  
 Zanieśli ją na grób w dnia pierwszej jasności.  
 Złożyli ją samą, niewinną w czystości,  
 Złożyli ją samą w grób, samą, jedyną.  
 Wrócili wesoło wśród dziennej światłości.  
 Śpiewali wesoło: «Tam każdy zagości.  
 «To dziewczę umarło, umarło w miłości».  
 Wrócili na pola, wśród dziennej jasności.

(*Ballades au Hameau*)

Tłum. Józef Gluziński.

## POŻEGNANIE

— Pójdę, z nad brzegu rzucęć pocałunek.  
 — Miła! od morza wicher go odrzuci.  
 — Dawać ci będę znaki mym fartuszkiem.  
 — Miła! od morza wicher na cię zrzuci.  
 — Wylewać będę łzy, że już odjeżdżasz.  
 — Miła! od morza wicher je osuszy.  
 — Hej! będę myśleć jedynie o tobie.  
 — Otoś rozsądna jest, oto rozsądna.

Tłum. Józef Gluziński.

## BALLADA XIII

— Na ścieżynie wilgotnej, gdzie umiera szczęsna łania, wkoło niej, wkoło niej,  
 milknie cały świat. Słońce, jak rój pszczelny, który spadł, kładzie na mchów miękkich  
 cienie, wkoło niej, swe całowania.

Rosa ledwie że się błyskiem toczy, ociaga się, słodko waha i, swą piękną szyję kła-  
 dąc na listowie, patrzy, słucha, co jej obłok nad szczytami gór opowie.



O, jak ciska promienieje wkoło łani, kiedy ona, ten jej słodki, piękny kształt, pełza w cieniu. Gdzie przezroczy słońca mrowie, niemy podziw się rozchodzi, gdzie te mroki i listowie. Nagle gaj się rozkołysał, słońce mgli się, pszczoły z kwiatów ulatują z skrzydeł graniem. Mur się tworzy z cieni, lotów i poszmerów między łanią ukochaną, a myśliwca w las wołaniem.

*(Ballades de la Forêt, des Bois et des Ruisseaux)*

*Tłum. Józef Gluziński.*

#### HARMONIJNA WIZJA ZIEMI

*Edmundowi Gossemu*

Weźcie ślub, me zmysły, usta, słuch, spojrzenie. Na gór szczyty wyszedłem, stoje w pełni nieba. Ziemia wkrąg pod oczyma. Radości, natchnienie! W oparach, pod mą stopą, cudna błyszczy ziemia, czysta jest i przejaska z poza tych oparów! Drzy moje serce, patrząc nadół w groźny parów. Zda mi się, że to dzisiaj jest jak nigdy piękne, cudne nieskończenie. Weźcie ślub, me zmysły, usta, słuch, spojrzenie.

Widzę, tam równina we falach jak dźwięk, za nią znowu cała ściana drga jak złoty dzwon. A tam słodko sianokosy w lśnieniu słońca grają. A łan maków to jak jeden najsilniejszy ton. Kędy ziemia niebem raduje się, hen, głos wzruszenia gra w przelicznych kłosach, które drgają. Jakże lubię żyta w pełni słodki przegięć dźwięk! Koniec równin kona wdali, gdyby dźwięk.

Ziemia, którą widzę, ziemia, którą słyszę, ziemia pod oczyma wzrok mój miesza. Rytmiczna, muzykalna, jeszcze jest piękniejsza! Błękitna na niej woda opada i spada, przez pewien czas się trzyma. Powolna, ostatnia lesista wyżyna stacza się do równin, a potem już równin fałujący skłon. Ziemia pod oczyma, w rytmie muzykalna, a we mnie ma ona najcudniejszy ton.

Chciałbym pieścić rękoma całą jej przyrodę, jako cudny instrument, co zna serca sen. — Wydobyc z gajów dźwięki, jak wichur to czyni, poroznosić hen! — Wtedyby zaśpiewało, by tchnień morskich śpiewy, siano, zboża bróg, gdybym się mógł rozścielić jak wichuru powiewy; — ach, gdybym mógł!... w poszmerzebym próbował ziemi wkrąg przyrodę. Chciałbym pieścić rękoma całą jej urodę.

Lecz ta cała przyroda w moje puka serce. Przecie ziemia i słońce takiej samej miary w dźwięku tonów rytmicznym, jak to moje życie! Przejiera przez cię jasność dziwna, moje życie! Toż dla mnie to nagroda, zapłata i dary, kiedy zmysły me błędzą z gwiazd na łąk kobierce. Ziemia i słońce ze mną takiej samej miary; dzisiaj cała przyroda w moje wkracza serce.

Z radości zrodzon żar. — Wzruszenie ziemię porywa, wichur szalu, radości ponad nią ulata. Ściskają się łodygi, a na polach czar, łono topól się obraca, piersią pływa i nadstawia swoje czoło na podmuchy wonne lata. Moje serce ma przyrodę za królestwo. Ona siłę ma w niem, a w niej ono. O, tak zawsze żyć bez końca, kołysany drzew koroną...

Nie widzicie, że mogliby jak bogowie ludzie być, gdyby chcieli mię posłuchać i, zmysłami żyjąc swemi, między wichury, ponad ziemię, w pełnem niebie, zdala lśnić. Ach, by chcieli! Cały wszechświat byłby wtedy duszą ich, sercem ich. Co ja mówię? Nie widzicie? Tożby dla nich było życie cudne, drogie. «Pozwól, czlecze, niechaj tobą zmysł zawłada, będziesz wtedy sobie Bogiem».

O ziemio — w mojem sercu — w rytmie, muzykalna, zstąp ze śniegami, z gór winnicami; niechaj źródła się toczą; rzeka huczy skalna; niechaj słyszę w mem sercu pieśń dróg potoczystą. Wyciągam dłoń. Me ręce pieszczą czystą nieboskłonem ton, gdzie w równinę się stacza pole zbóż, poszmerem po błękitach wodzące, kiedy dźwięczy w mej duszy ziemia muzykalna.

Z nieba toczę wzrok — z góry, tam, gdzie stał. A ziemia i słońce, to jedna ojczyzna, lecz ziemia to wieczny moich zmysłów szal. Z woli wszystkich mych zmysłów, och! piękna jest ziemia! A w czystym powietrzu mającą wsie jasne, wsie w głębi! Ich dzwonnice szarawe mają odblask dzikich z łak gołębi.

(*Les Hymnes de Feu*)

Tłum. Józef Gluziński.

## MAURICE MAETERLINCK

(ur. 1862)

### PELLEAS I MELISANDA

#### Akt IV. Scena IV

Krynica w parku.

(*Wchodzi Pelleas*)

Pelleas: To ostatni wieczór... ostatni wieczór... Wszystko musi się skończyć... Igrałem jak dziecko wokół rzeczy, której nie podejrzewałem... Igrałem we śnie wokół zasadzek przeznaczenia... Któż to zbudził mnie nagle? Ucieknę, krzyżąc z radości i bólu, jak ślepiec, uciekający z własnego domu w płomieniach... Powiem jej, że uciekam!... Ojcu nic już nie grozi; i nie mam już czem okłamywać siebie samego... Późno jest; ona nie przychodzi... Zrobiłbym lepiej, odjeżdżając bez widzenia się z nią. Muszę dobrze przyjrzeć się jej tym razem. Niektórych rzeczy już sobie nie przypominam. Rzechy można niekiedy, że od lat stu przynajmniej jużem jej nie widział... I nie przypatrzyłem się jeszcze jej spojrzeniu... Nie zostanie mi nic, jeżeli tak odejdę. I wszystkie te wspomnienia... to jakgdybym uwodził z sobą trochę wody w woreczku muślinowym... Muszę ją zobaczyć raz ostatni, zobaczyć aż po dno serca... Muszę jej powiedzieć wszystko, czego nie powiedziałem...

(*Wchodzi Melisanda*)

Melisanda: Pelleas!

Pelleas: Melisanda! — Czyś to ty, Melisando?

Melisanda: Tak.

Pelleas: Pójdź tutaj; nie stój tak nad brzegiem w świetle miesiąca. — Pójdź tutaj. Mamy do powiedzenia sobie tyle rzeczy... Pójdź tutaj, w cień lipy.

Melisanda: Zostaw mnie w świetle, panie...

Pelleas: Mógłby kto dojrzeć nas z okien wieży. Pójdź tutaj; tutaj nie mamy czego się obawiać. Strzeż się; ktoś może nas zobaczyć...

Melisanda: Ja chcę, aby mnie widziano...

Pelleas: Co ci jest? — Czy mogłaś wyjść niepostrzeżenie?

Melisanda: Tak; brat twój, panie, spał...

Pelleas: Późno jest. — Za godzinę pozamykają bramy. Trzeba uważać. Dlaczego przyszaś tak późno?

Melisanda: Brat twój, panie, miał przykry sen. A potem suknia ma zaczepiła się o gwoździe bramy. Patrzaj, panie, rozdarta. Straciłam cały ten czas i biegłam potem...

Pelleas: Moja biedna Melisando!... Bałbym się prawie dotknąć cię... Cała jesteś jeszcze zdyszana, jak ptaszę ścigane... I to dla mnie, dla mnie robisz to wszystko? Słyszę bicie twego serca, jakgdyby ono było mojem... Pójdź tutaj... bliżej, bliżej do mnie...

Melisanda: Czemu śmiejesz się, panie?

Pelleas: Ja nie śmieję się; albo może śmieję się z radości, nie wiedząc o tem... Byłoby raczej czego płakać...

Melisanda: Byliśmy tu już kiedyś... Przypominam sobie...

Pelleas: Tak... tak... Kilka długich miesięcy temu. — Wówczas nie wiedziałem... Czy wiesz, dlaczego prosiłem, abyś przyszła dziś wieczór?

Melisanda: Nie.

Pelleas: Widzę cię po raz ostatni, być może... Muszę odjechać na zawsze...

Melisanda: Dlaczego mówisz zawsze, że odjeżdżasz?...

Pelleas: Mam ci powiedzieć to, co już wiesz? — Ty nie wiesz, co ci chcę powiedzieć?

Melisanda: Ależ nie, nie; nie wiem nic...

Pelleas: Nie wiesz, dlaczego muszę się oddalić... Nie wiesz, że to dlatego... (*chwytając ją w ramiona*). Ja cię kocham...

Melisanda: (*cichym głosem*) Ja kocham cię także...

Pelleas: Och! och!... Coś ty powiedziała, Melisando?... Nie usłyszałem tego prawie!... Złamano lody rozpalonem żelazem!... Mówisz to jakimś głosem, jakgdyby przychodzącym z końca świata!... Nie usłyszałem cię prawie!... Kochasz mię? — Kochasz mię także?... Odkąd mnie kochasz?

Melisanda: Od zawsze... Odkąd cię ujrzałam...

Pelleas: Och! jak ty to mówisz... Zdawałoby się, że głos twój płynął nad morzem o wiośnie! nie słyszałem go nigdy dotąd... zdawałoby się, że deszcz świeży spadł na me serce!... Mówisz to tak otwarcie!... Jak anioł spytany!... Nie mogę temu wierzyć, Melisando!... Dlaczegożbyś mnie miała kochać? — Ależ dlaczego ty mię kochasz? — Prawdąż to, co mówisz? — Nie łudzisz mię? — Nie kłamiesz trochę, aby na twarz moją uśmiech wywołać?...

Melisanda: Nie; nie kłamię nigdy; kłamię tylko twojemu bratu...

Pelleas: Och! jak ty to mówisz!... Twój głos! twój głos!... Świeższy jest i przejrzystszy od wody!... Rzekłby kto: woda czysta na moich rękach... Daj mi, daj mi twe ręce... Och! jakież małe twe rączki!... Nie wiedziałem, żeś taka piękna!... Nie widziałem nigdy nic równie pięknego, przed tobą... Byłem niespokojny, szukałem wszędzie w domu... Szukałem wszędzie po okolicy... I nie znajdowałem piękności... Aż teraz cię znalazłem! Znalazłem cię! Nie wierzę, aby była na ziemi kobieta piękniejsza!... Gdzie jesteś? — Nie słyszę już, byś oddychała...

Melisanda: Bo patrzę na ciebie...

Pelleas: Dlaczego patrzysz na mnie tak poważnie? Jesteśmy już w cieniu. — Zbyt czarno tu pod tem drzewem. Pójdź do światła. Nie możemy tu widzieć, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi. Pójdź, pójdź; tak mało zostaje nam czasu...

Melisanda: Nie, nie; zostanmy tutaj... Jestem bliżej ciebie w ciemności...

Pelleas: Gdzież twoje oczy? — Nie chcesz przecie uciekać ode mnie? Ty nie myślisz o mnie w tej chwili.

Melisanda: Ależ owszem, owszem; myślę tylko o tobie...

Pelleas: Patrzałaś gdzie indziej...

Melisanda: Widziałam cię gdzie indziej...

Pelleas: Jesteś roztargniona... Co ci jest? Nie wydajesz mi się szczęśliwą...

Melisanda: Ależ owszem, owszem; jestem szczęśliwa, ale jestem smutna...

Pelleas: Ludzie częstokroć bywają smutni, gdy się kochają...

Melisanda: Płacę zawsze, gdy myślę o tobie...

Pelleas: Ja także... ja także, Melisando... Jestem tuż koło ciebie; płacę z radości, a jednak... (*całując ją znowu*) Jesteś dziwna, gdy cię tak ściskam... Jesteś tak piękna, że zdawałoby się, iż masz umrzeć...

Melisanda: Ty także...

Pelleas: Otóż, otóż... Nie robimy tego, co chcemy... Nie kochałem cię za pierwszym razem, gdym cię zobaczył...

Melisanda: Ani ja!... ani ja... Bałam się...

Pelleas: Nie mogłem się pogodzić z twymi oczami... Chciałem odjechać zaraz... a potem...

Melisanda: Ja znowu nie chciałam tu jechać... Nie wiem jeszcze dlaczego, ale bałam się tu jechać...

Pelleas: Tyle jest rzeczy, których nigdy nie będzie się wiedziało... Oczekujemy zawsze, a potem... co to za hałas? zamykają bramy!..

Melisanda: Tak, zamknięto bramy...

Pelleas: Nie możemy już wrócić! Słyszysz zgrzyt rygli? Słuchaj! słuchaj!... wielkie łańcuchy!... wielkie łańcuchy!... Za późno, za późno!...

Melisa nda: Tem lepiej! tem lepiej! tem lepiej!  
 Pelle as: Ty?... Otóż właśnie, otóż właśnie!... To nie my już tego chcemy!...  
 Wszystko stracone, wszystko uratowane! wszystko uratowane dziś wieczór! Pójdź!  
 pójdź!... Serce mi bije jak szalenciec do głębi mych piersi. *(chwytą ją)* Słuchaj! słuchaj!  
 serce me o mało mnie nie zdławi... Pójdź!... pójdź!... Ach! jak pięknie w ciemnościach!...  
 Melisa nda: Ktoś jest za nami!...  
 Pelle as: Nie widzę nikogo...  
 Melisa nda: Słyszałam szmer...  
 Pelle as: Ja słyszę tylko twoje serce w ciemności...  
 Melisa nda: Słyszałam chrzęst suchych liści.  
 Pelle as: To wiatr, który ucichł nagle... Ustał, gdyśmy się całowali...  
 Melisa nda: Jakie wielkie są nasze cienie dziś wieczór!...  
 Pelle as: Ciągną się w uścisku aż w głąb ogrodu... Ach! jak one się całują da-  
 leko od nas!... Patrzaj!... Patrzaj!...  
 Melisa nda *(zdtławionym głosem)*: A-a-ach! On jest za drzewem!  
 Pelle as: Kto?  
 Melisa nda: Golo!  
 Pelle as: Golo? — gdzie? Nic nie widzę...  
 Melisa nda: Tam... na kraju naszych cieniów...  
 Pelle as: Tak, tak; widziałem go... Nie odwracajmy się nagle...  
 Melisa nda: Ma miecz...  
 Pelle as: Ja nie mam swego...  
 Melisa nda: Widział, że całowaliśmy się...  
 Pelle as: Nie wie, żeśmy go spostrzegli!... Nie ruszaj się; nie odwracaj głowy...  
 Rzuciłby się natychmiast... Zostanie tam, póki będzie sądził, że nie wiemy... Obserwuj  
 nas... Nie rusza się jeszcze... Odejdź, odejdź zaraz tędy... Ja będę na niego czekał...  
 Ja go zatrzymam...  
 Melisa nda: Nie, nie, nie!...  
 Pelle as: Odejdź! odejdź! On widział wszystko!... On nas zabije!...  
 Melisa nda: Tem lepiej! tem lepiej! tem lepiej!  
 Pelle as: Idzie! idzie!... Twe usta! twe usta!...  
 Melisa nda: Tak!... tak! tak!...  
*(Całują się)*  
 Pelle as: Och! och! wszystkie gwiazdy spadają!...  
 Melisa nda: Na mnie także! na mnie także!...  
 Pelle as: Jeszcze! Jeszcze!... daj! daj!...  
 Melisa nda: Całuj! całuj! całuj!  
*(Golo rzuca się na nich z mieczem w ręku i zadaje cios Pelleasowi, który pada na brzegu  
 krynicy. Melisanda ucieka przerażona).*  
 Melisa nda *(uciekając)*: Och! och! Nie mam odwagi!... Nie mam odwagi!...  
*(Golo ściga ją przez gaj w milczeniu)*

Tłum. Zenon Przesmycki.

## KWIATY MARZEŃ

### O s z c z ę ś c i u

Brak szczęścia jest obecnie jedną z chorób ludzkości, zarówno jak choroby są jednym z jej nieszczęść. Podobnie więc, jak istnieją lekarze, leczący choroby, należałoby mieć lekarzy, leczących na brak szczęścia. Czyż jednak z tego, że stan choroby jest zjawiskiem niestety częstszym daleko, aniżeli by należało, wynikać ma, że zbytecznym jest zajmować się zdrowiem i że profesor anatomji — nauki przyrodniczej, najściślej odpowiadającej nauce o moralności — brać powinien pod uwagę jedynie zwyrodnienie, któremu podlega ciało nasze z powodu mniej lub więcej powszechnego upadku? Rzeczą niezbędną jest, aby mówił on również i o ciele zdrowem i normalnie rozwi-

niętem, tak samo, jak moralista, starający się sięgać wzrokiem poza dzień dzisiejszy, powinien brać za punkt wyjścia duszę szczęśliwą, albo taką przynajmniej, która posiada wszystko, czego potrzeba do szczęścia, że już nie wspomnę o wyraźnej świadomości swojego szczęścia.

Ludzkość przypominała dotychczas chorego, zmieniającego wciąż pozycję na łóżku, aby zapomnieć o bólu. Mimo to jedyne słowa pociechy wypowiedziane były przez ludzi, którzy mówili w ten sposób, jakgdyby nie była ona nigdy chora. Ludzkość stworzona jest bowiem nato, aby była szczęśliwa, podobnie jak każda poszczególna jednostka stworzona została nato, aby być zdrową.

Dlatego też, mówiąc z ludźmi o ich nieszczęściach, nawet w warunkach ogólnych kłęk i cierpienie nieustannych, mówi się w ten sposób, jakgdyby te ich nieszczęścia były czemś przypadkowym i przejściowym. Zawsze należy mówić do ludzi tak, jakgdyby znajdowali się oni w przededniu wielkiego szczęścia lub objawienia wielkiej prawdy. Żyją oni istotnie wiedzeni własnym instynktem, jakkolwiek nie miałyby im w gruncie rzeczy być sądzonem dożyć do szczęśliwego jutra.

Mądrze też czynią ci, którzy wiedzą, że wystarczy pewien wysiłek myśli, odwagi, miłości, zainteresowania i energii życia, aby otwarły się wreszcie przed nami wrota radości i prawdy.

I kto wie, może wszystko to nie jest w istocie niedościgłe. Należy się spodziewać, że przyjdzie dzień, kiedy wszyscy będą szczęśliwi i mądrzy. A gdyby nawet nie miał on nastąpić, nie było błędem żyć w oczekiwaniu jego nadejścia.

Należy bądź co bądź mówić nieszczęśliwym o szczęściu, ażeby nauczyli się rozumieć je. Tak bardzo skłonni oni są uważać szczęście za coś niezwykłego i prawie niedostępnego. Gdyby wszakże wszyscy ci, którzy mają rację czuć się szczęśliwymi, szczerze wyjawili powody swojego zadowolenia, jasnym stałoby się, że cała różnica pomiędzy smutkiem a radością polega w gruncie rzeczy na różnicy pomiędzy nieco bardziej dobrotliwą i jaśniejszą świadomością własnej małości a ponurem, pełnym gorczy poczuciem niewoli, pomiędzy bardziej harmonijnym i szczerzem a ciasnym i upartym pojmowaniem życia.

Wówczas nieszczęśliwi zawołaliby: «Tylko tyle? Wszakże i my wszyscy posiadamy w głębi serc naszych warunki podobnego szczęścia».

Posiadacie je istotnie. Poza wielkimi fizycznymi kłękami, posiadają je wszyscy. Nie lekceważcie wszakże tego szczęścia. Najszczęśliwszy ze wszystkich jest ten, kto bardziej od innych jest świadom swojego szczęścia. Najlepiej zaś uświadomi sobie szczęście swoje ten, kto głębiej od innych poznał, że szczęście od rozpaczki dzieli jedynie wzniosła, niemożna, ludzka i nieustraszona idea.

O idei tej mówić należy jak najczęściej — nie w tym celu, aby narzucić innym własne pojęcie o szczęściu, ale dlatego, aby w sercu każdego, słuchającego nas, zbudzić pragnienie zyskania własnego pojęcia szczęścia, bowiem jest ono różne dla każdego.

Wasz sposób pojmowania szczęścia nie odpowiada mi i, chociażbyście najwymowniej opisywali mi je, nie sięgnie ono do tajemnych głębin mojego życia. Muszę koniecznie wytworzyć w sobie samym, własnymi moimi siłami, własne pojęcie szczęścia. A jednak, mówiąc o waszym pojęciu szczęścia, pomóżecie mi, sami o tem nie wiedząc, zdobyć moje własne. Może to, co was smuci, będzie mnie radowało, a to, co was krzepi pociechą, będzie dla mnie przyczyną smutku, ale nie o to idzie.

Wszystko, co jest piękne w waszym radosnym obrazie, przesiąknie w mój smutek, a wszystko, co jest wzniosłe w waszym smutku, przesączy się w moją radość, o ile radość moja godna jest waszego smutku. Wznieść należy przedewszystkiem na powierzchni duszy wyżynę, aby móc przejść tę ideę, podobnie jak kapłani wierzeń starożytnych obnażali, oczyszczali z cierni i kolców szczyt góry, na której czekali zejścia ku nim z obłoków ognia wiekuistego.

Może jutro z przepastnych głębin Marsa — wraz z ostateczną prawdą o powstaniu i celu świata — wyjawiona nam zostanie bezwzględna, niezaprzeczona formuła szczęścia.

Niema nic sprawiedliwszego nad szczęście, nic, co tak wiernie odbijałoby zarysy naszej duszy, co mogłoby tak ściśle wypełnić wszelkie obszary, jakie mu otwiera mądrość. Nic natomiast nie jest tak milczące, jak szczęście. Anioł smutku przemawia wszystkimi językami i zna wszystkie słowa; zaś anioł szczęścia otwiera usta wówczas jedynie, kiedy może mówić o szczęściu, które zrozumie człowiek dziki nawet. Nieszczęście wyszło z lat dzieciństwa przed setkami wieków już, natomiast przypuścić możnaby, że szczęście do tej chwili śpi w powijakach.

Niewielu jest ludzi, którzy nauczyli się być szczęśliwymi. Gdzie jednak są ci, którzy w szczęściu tchnęli głos swój w niemego archanioła, który rozświetlał ich duszę? Czemu przypisać nieludzkie takie milczenie? Czyż mówienie o szczęściu nie równa się poniekąd uczuciu sztuki, jak być nieszczęśliwym? Czy wymawianie codziennie imienia szczęścia nie jest zarazem wywoływaniem go? Czyż jeden z najpiękniejszych obowiązków człowieka szczęśliwego nie polega na nauczaniu innych, jak być szczęśliwym? Nie ulega wątpliwości, że można nauczyć się tej sztuki, a nawet niczego nie można łatwiej nauczyć się niż tego. Przebywając wśród ludzi, błogosławiących swoje życie, zaczniecie i wy wkrótce błogosławić wasze własne. Uśmiech jest tak samo zaraźliwy, jak łzy, a epokami, które noszą nazwę szczęśliwych, są przeważnie te, w których niewielka grupka ludzi miała wolę nazwać się szczęśliwymi.

Zazwyczaj nietyle szczęścia nam potrzeba, ile sztuki być szczęśliwymi. Największe szczęście do niczego nie prowadzi, o ile nie wiemy, że jesteśmy szczęśliwi. Najdrobniejsze natomiast świadome szczęście większą ma wartość dla naszego błogostanu, aniżeli wielkie szczęście, którego dusza nasza nie ogarnęła czujnym wejrzaniem. Większość ludzi wyobraża sobie, że szczęściem nie jest to, co posiadli; i dlatego właśnie obowiązkiem ludzi szczęśliwych jest wskazywać nam, że w gruncie rzeczy posiadli oni w sercu swoim to samo jedynie, co posiadają i inni.

Być szczęśliwym znaczy opanować niespokojne oczekiwanie szczęścia. Konieczne byłoby, aby co pewien czas ktoś, komu szczególnie sprzyja los, ktoś, zaznajający szczęścia nadludzkiego, olśniewającego, wzbudzającego powszechną zazdrość, przyszedł i powiedział wprost: zdobyłem to wszystko, o co wy modlicie się codziennie. Posiadam majątek, zdrowie, młodość, sławę, władzę i miłość. Mogę się już teraz nazwać szczęśliwym, jednakże nie z powodu dobrodziejstw, jakimi obdarzał mnie los, lecz dlatego, że dobrodziejstwa te nauczyły mnie oglądać szczęście. Jeśli w moich cudownych, zdumiewających podróżach, w moich zwycięstwach, w mojej sile i w mojej miłości zyskałem spokój i błogość, których szukałem, stało się tak jedynie dzięki temu, że wyjawily mi one, iż prawdziwa błogość i spokój nie w nich się mieści. Przed moimi zwycięstwami spokój i błogostan były jedynie we mnie samym. I po nich są one również tylko we mnie, wiem zatem, że gdybym posiadał więcej trochę mądrości, mógłbym mieć wszystko, co mi zostało dane, nie mając potrzeby zdobycia wszystkiego tego. Wiem, że dzisiaj jestem szczęśliwszy, aniżeli byłem wczoraj, gdyż wiem nareszcie, że nie potrzeba mi już szczęścia do wyzwolenia własnej duszy mojej, do uspokojenia myśli i wypełnienia światłem mojego serca...

...«Czy istotnie kryje się w szczęściu tyle szczęścia, jak ogólnie utrzymują?» — zapytał dwóch szczęśliwych ludzi filozof, którego długotrwałe prześladowanie losu uczyniło nadmiernie smutnym.

Nie, szczęście jest zawsze więcej i mniej godne zazdrości, aniżeli sądzą o tem ludzie, bowiem stanowi je coś zupełnie innego, niż myślą o tem ci, którzy nie byli nigdy zupełnie szczęśliwi. Być wesołym nie znaczy być szczęśliwym, a być szczęśliwym niezawsze znaczy być wesołym. Jedynie drobne, przelotne radości promieniają zawsze uśmiechem i zamykają oczy, uśmiechając się; stałe szczęście, stanąwszy już na pewnej wyżynie, staje się równie zadumane, jak szlachetny smutek...

...Mędrcy uczyli nas, że nie potrzeba być szczęśliwym, aby zachować pragnienie szczęścia. Gdyby jednakże mędrzec nie był nigdy szczęśliwy, w jaki sposób zrozumiałby on, że jedynie tylko mądrość nie zachmurza się i nie mroczy wpośród szczęścia?

Mędrcy, którzy zaznali szczęścia, nauczyli się kochać mądrość miłością głębszą, aniżeli ci, którzy byli nieszczęśliwi. Wielka zachodzi różnica pomiędzy mądrością, wykwitłą na podłożu cierpienia a mądrością, którą wyhodowało szczęście. Pierwsza pociesza, mówiąc o szczęściu, druga mówi o sobie. U kresu mądrości nieszczęśliwych góruje nadzieja szczęścia. Jeśli celem mądrości jest uzyskanie szczęścia, to tylko zaznawszy tego szczęścia, możemy poznać, że cel ten tkwi jedynie w mądrości...

Nie każda dusza może być nosicielką szczęścia. Szczęście wymaga tyleż męstwa, ile nieszczęście. Może nawet trzeba mieć więcej siły, aby trwać w szczęściu, aniżeli, żeby trwać w nieszczęściu. Bowiem oczekiwanie na to, czego jeszcze niema, daje więcej radości sercu, któremu obca jest mądrość, aniżeli zdobycie wszystkiego, czego się pragnęło. Jedynie z wyżyn stałego szczęścia dostrzegamy najlepiej pragnienia serca, które, zdaje się, żywić się może jedynie lękiem i nadzieją, i któremu tak trudno jest żywić się tem, co samo posiada, nawet jeśli posiada ono wszystko...

...Widzimy częstokroć, że szczęście pokonywa ludzi silnych i moralnie przezornych. Nie znalazłszy w niem wszystkiego tego, czego szukali, nie bronią go oni i nie utrzymują z dostateczną energią, jaką należy zawsze okazywać w życiu.

O, jak wiele rozumu trzeba, aby nie dziwić się, że szczęście sprowadza ze sobą często i smutek, i oby smutek ten nie budził w nas myśli, że nie posiadliśmy jeszcze pełnego szczęścia. Najlepszą rzeczą, jaką darzy nas szczęście, jest pewność, że nie jest ono czemś oszałamiającem i upajającym, ale czemś pobudzającym do rozmyślań...

...Szczęście staje się dostępniejsze i mniej rzadkie z chwilą, gdy rozumiemy, że jedynym dobrem, jakim trwale darzy ono duszę, umiejącą korzystać zeń, jest pogłębienie świadomości, jakiego nie znalazłaby dusza w niczem innym...

...Ważniejszą jest dla duszy ludzkiej rzeczą poznać cenność szczęścia, aniżeli rozkoszować się niem...

Ażeby kochać długo szczęście, należy wiele poznać. Więcej wszakże jeszcze poznać należy poto, aby zrozumieć, że wpośród niezamąconego niczem szczęścia niezmienna i trwała część wszelkiego błogostanu polega jedynie na owej sile, która w głębi naszej świadomości mogłaby uczynić nas szczęśliwymi nawet w obliczu cierpienia...

...Możecie uważać się za szczęśliwych wówczas jedynie, kiedy szczęście pomogło wam wznieść się na wyżyny, z których możecie tracić je z oczu, nie tracąc jednakże chęci do życia...

*Tłum. R. Centnerszwerowa.*

## ÉMILE VERHAEREN

(1855—1916)

### DRZEWO

Samotne,

czy je lato kołysze, czy mrozi je zima,  
czy gdy gałąź szron zetnie, liście gdy otrzyma,  
zawsze, w dniu każdym w złą czy szczęsną dolę,  
roztacza swą niezmierną, władczą życia wolę  
nad pole.

Widzi te same lany od setek, setek lat,  
i te same roboty w zasiewów godzinie;  
oczy dawno umarłych, oczy  
dziadów, co czerw je już toczy,  
spoglądały, jak jemu łupina przy łupinie  
rozrastała się w korę i tegie gałęzie;  
przewodziło spokojne, silne w ich pracy obrzędzie,  
pień jego mchem porosły służył im za łożę;  
po znoju w czas południa pod nim spoczywali,  
a cień w liści rozhowerze  
niegdyś rozkosz niósł młodym, tym, co się kochali.

Po wsiach od samego rana  
według jego płaczu, śmiechu czas się wróży;  
tajń gwałtownych chmur mu znana  
i po niebie jasny słońca płas w podróży;  
jest przeszłością, co spoziera w smutne łany,  
lecz choć różnych wspomnień w drzewie  
znak tajemny ma wpisany,  
przy wiosennym wnet powiewie,  
gdy w pniu starym zaczną żywiej krążyć soki  
każdym kielkiem i gałęzią, pod obłoki  
— ust radością, ramion dzwony —  
rzuca okrzyk niezmierny  
ku przyszłości.  
I czy deszcz, czy słońce świeci,  
ono z liści tka swe sieci,  
wiąże niemi swe łodygi coraz hyżej,  
w zwyciężone niebo strzela czołem wyżej, ciągle wyżej;  
tak daleko śle korzenie swoje plemnne,  
że zużywa wkoło glebę, źródła ziemne;  
że się czasem aż zatrzyma, by zdziwione,  
w głębię prac swych gorączkowych zapatrzone.

By do pracy tej starczyło mu sił morze,  
ileż walk staczać musiało z tobą, zimol  
Miecze wichru, siepiące po korze,  
wstrząs orkanu i szrony, co imą  
się kory, jak piły żab ostry,  
wszystka moc nienawistna i wszystkie jej siostry,  
i grady od wschodu, i śniegi w pomroce,  
mróz przejmujący, co pod nim dygoce  
rdzeń cały i nerwów w nim zwoje,  
wszystko było mu męką, niosło niepokoje:  
lecz nigdy, choć na chwilę,  
w rozkwitu swej sile  
rozpędu nie zwalniało:  
tak chciwie piękność swą całą  
z wiosną każdą powiększyć pragnęło jedynie.

We wrześniu, gdy w triumfie na listkach lśni złoto,  
ja, żwawo jeszcze idąc, choć ciężki, znużony,  
często swe kroki zwracałem z ochotą  
pod to drzewo jesieni, gdzie polne zagony.  
Jak olbrzym obrośnięty liśćmi i ogniami,  
obrócone spokojnie wzrokiem w niebne szczyty,  
zdawało się, że gwarzy z duchów tysiącami,  
które mu na gałęziach pieśń piałą w błękity.  
Tak szedłem doń z oczyma w blaski utkwionemi  
i pnia się dotykałem palcami i dłonią,  
i czułem w jego życiu aż z głębi, od ziemi,  
jak nadludzkim wysiłkiem tętna żył mu dzwonią;  
przyłożyłem do niego swoją pierś brutalną  
z taką miłością wśród uczuć promieni,  
iż rytm jego głęboki potęgą nawalną  
przeszedł we mnie i w serca gdzieś utkwil bezdeni.  
Tak się z jego życiem zmieszałem szerokiem;  
przygnałem doń, jak jeden z konarów,



co jaśniał rozłożystym swych liści potokiem;  
 zapłonąłem miłością do ziemi, do wody, do jarów,  
 do bezmiernej przestrzeni nagiej, gdzie mgły wioną;  
 przeciw losom chwyciłem swej potęgi broń,  
 przestrzeń chciałem uchwycić w rękę zolbrzymioną;  
 i lekkim było ciało i lekką ma dłoń.

Krzyknąłem: «Moc jest święta.

«Przez nią niech będzie w człowieku poczęta

«śmiałych zamiarów chwila.

«Kluczem do rajy jest; ona odchyła

«dłonią do rajy wnijście».

Przesłałem liściom drzewa uściski serdeczne  
 i, gdy się ukazały w mroku gwiazdy mleczne,  
 poszedłem w pól bezmiary, deptąc zwiędłe liście,  
 krocząc naprzód, choć nie wiem, gdzie tak śpieszyć chciał.  
 Z serca głos mój rozdrwany krzyk radości stał.

*(La multiple splendeur)*

*Tłum. Józef Gluziński.*

#### ULEWA

Długa bez końca, jako nic, ulewa,  
 Nieokreślenie, w chwilę szarą dnia,  
 Znaczą zielone okna nicią szarą  
 Wciąż nieskończenie, ulewa,  
 Długa ulewa,  
 Ulewa.

Tak się rozprzędła z wieczora  
 Z łachmanów dżdżystych, co wiszą  
 Na niebie chmurnem od wczora.  
 Pełza powoli a z ciszą  
 Nad drogi, ponad ruczaje,  
 I nie przestaje.

Wśród staj daleko,  
 Co do miast od pól się wleką  
 Zawrotnie drogą kręconą,  
 Wśród trudu ciągną i męczą się, i pocą,  
 Jak pogrzeb o zmroku nocą,  
 Pojazdy z budą zmoczoną;  
 Prosto bitymi traktami,  
 Co w oddal idą przed siebie,  
 Że w nocy koniec ich, zda się, tkwi w niebie,  
 Płyną strugi, godzinami.  
 Zwilgły dachy nad chatami,  
 Płaczem strug swych chłoczne drzewa  
 Uporczywa z chmur ulewa.

A wezbrane, ponad zgnitych tam zasieki,  
 Na łąk obszar pędzą rzeki,  
 W nich stopione siano płynie;  
 Huczy wichru jęk w olszynie;  
 W złem przecuciu, wpół we wodzie  
 zanurzone  
 Ryczą woły, łby podniósłszy w nieba stronę.

*(Villages illusoirs)*

Mrok się zbliża i zanurza  
 W cień doliny, pola, wzgórza,  
 Jako sadza, wciąż ulewa  
 Mży, ulewa,  
 Wkrąg strugami wód rozbrzmiewa.

Mży ulewa,  
 Ulewa — a jej nici takie składne,  
 A jej palce tak poradne  
 Tkają przedzę,  
 Nic za nicią w ból i nędzę  
 Ponad domy i wsie całe,  
 Szare miasta postarzałe;  
 Szmataki, z gałganków różańce,  
 Co się płaczą opętańce,  
 Gdzie słupy drewniane;  
 Gołębniki, na dachu gdzieś przymocowane;  
 Okna, których szybę zbitą  
 Papierem zlepiono, zszyto;  
 Gospody, gdzie ciągłe strugi,  
 W kamień bijąc, żrą framugi;  
 Młyny smutne i samotne, nad rozłogi  
 Wystające, jako rogi;  
 Kapliczki wśród uroczywszy,  
 Ulewa,  
 Długa ulewa,  
 Zabija w zimie i niszczy.

Ulewa,  
 Długa ulewa i jej długa szara sieć,  
 I jej włosów wodnych splót,  
 Twarz w zmarszczkach, stara, jako śniedź,  
 Długa ulewa,  
 Idzie nad pola, łąki i drzewa,  
 Wieczna jak śmierć.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## LITERATURA FRANCUSKA OD R. 1914

ÉMILE VERHAEREN

(1855—1916)

## MÓJ DUCH JEST TAM..

Mój duch jest tam,  
 Mój duch w radości, w odgłosie on trwóg,  
     On tam,  
 Gdzie się zmagają, gdzie śmierci jest tan,  
     Mój duch jest tam,  
 On wśród jęków oręza, krwi strug.

W nim płacz jest i zapal, śmiech w nocy i w świt,  
 Dlań walki zwiastunem blask, płomień i ruch;  
     Mój duch  
 Przez wszystkie godziny, przez wszystkie on dni,  
 Jedyną on myślą, miłością on lśni.

Mój duch? — płomienny on, gorący,  
     Gna pamięć w obławę,  
     By wskrzesić dumę w życie  
     Nad baśń i dziejów sprawę.  
 Płomienny on i drżący,  
     On chowa się w twym świetle,  
     W twe wielkie rozpowicie,  
 Sztandarze, niosący w świat sławę.

    On czyha na wasz gwar,  
 Dobosze, gdy, wchodząc w uliczny kurz, skwar,  
     Bębnie pod słońca przypieką.  
 Mój duch? — wtóruje on dźwiękom  
     W rytm waszych nóg pracy,  
     Wojacy,  
     Śpieszący na ustach z piosenką.

Mój duch? — on już  
     Jest tam,  
 W jasności zwyciężania,  
 Wszystko mu znakiem jest i gestem wywołania.

    Z sobą go niesie w świat  
     Żyjący wiatr,  
     Który ochłodzi skroń  
     Powracających z błoń,  
 Z dłonią urwaną, o zboczonych stopach,  
     Wśród walki wręcz, w okopach.  
 On płomień jest, on głosem jest wierzenia.

On krzyczy, drży, obłędem poi słuch,  
 Gdyż przyszłość mówi doń i wznosi mu swe pienia,  
     Płaczący ze wzruszenia,  
 On słucha, on — mój duch!

*(Les Ailes rouges de la Guerre)**Tłum. Józef Gluziński.*

## GEORGES DUHAMEL

(ur. 1884)

## ZWIASTOWANIE

Ze szczytu góry  
 skała oderwana  
 toczy się wdół, rysą, po szczelinach,  
 jak ciężka łąza, kamienna.  
 Jeśli się waha, wstrzymuje swój pęd,  
 to jeno poto, by podwoić skok;  
 szybciej nie zmyka zwierz zwolniony — w schron.  
 Tak pędząc, rzutem  
 odwala ona pnie i rwie z korzeni  
 jodły i krzew jałowca...

Również i drwale, ci u stoku góry,  
 czują na grzbiecie lęk nieokreślony;  
 mrozi im trzewia strach,  
 zbliża się oto bicz,  
 co go nie dojrzyć jeszcze.

Ja zaś, spokojny, stoję wśród paproci,  
 serce mam chłodne, jak sokół w kapturze,  
 jasnego czoła krew strachu nie skazi;  
 gdyż znam i górę, i lawiny bieg  
 i wiem, że kamień tutaj się nie stoczy.

Lecz mogę — w dole — tam,  
 wskazać i drzewa, które on rozniesie,  
 i człeka, co rozmiażdży.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## ŻYCIE MĘCZENNİKÓW (1914—1917)

(Wyjątek)

Badaliśmy z naczelnym lekarzem ranionego. Niedostrzegalnie, przez zęby, lekarz szepnął do mnie:

— Jeszcze jedna ofiara jest konieczna<sup>1</sup>.

Zaprawdę, całkowita ofiara jeszcze nie została spełniona.

Jednak Léglise zrozumiał. Odniedawna dopiero nie płacze on już więcej. Ma wyraz człowieka znużonego i zbłąkanego w huraganie, przeciw któremu z trudem usiłuje się ostać. Ukradkiem spoglądam na niego, on podchwytuje ten mój wzrok i odpowiada głosem wyraźnym, spokojnym, zdecydowanym:

— Wolę raczej umrzeć.

Wychodzę do ogrodu. Dzień budzi się w rozżarach słońca, lecz ja nie mogę na nic patrzeć, nie chcę nic widzieć. Krocząc, powtarzam:

— On woli raczej umrzeć...

W zwątpieniu sam siebie pytam, czy ma on słuszność.

Rozszemrały się wszystkie topole mojem listowiem. Wspólnym głosem, który jest głosem samego lata, mówią: «Nie! Nie! On nie ma słuszności».

Mały żuk pelza wpoprzek mojej drogi; nieuważnie miażdżę stopą kończynę jego odwłoku, lecz on gwałtownie umyka. On także na swój sposób powiedział: «Nie, zaprawdę, twój przyjaciel nie ma słuszności».

<sup>1</sup> Chodzi o dalszą amputację.

«Powiedz mu, że on się myli!» — śpiewa rój owadów, brzęczący wokół lipy. A nawet długi pocisk działa, przelatujący z pomrukiem ponad polami, on także krzyczy: «On się myli! On się myli!»

Wieczorem powrócił lekarz naczelny do łóżka chorego. Léglise rzekł do niego głosem ponurym, ociężałym:

— Ja nie chcę, panie doktorze, ja wolę raczej umrzeć.

Schodzimy do ogrodu. Lekarz rzuca mi niesamowite słowa:

— Staraj się pan przekonać go. Mnie już wstyd żądać od niego takiej ofiary.

A mnie, mnie już nie wstyd?

Zwierzam się ciepłej nocy, usianej w górze gwiazdami; teraz jestem przekonany, że on nie ma słuszności; jednak nie wiem, w jaki sposób o tem mu powiedzieć. Cóż mu ofiarować za to, czego żądam od niego? Gdzież znaleźć słowa, któreby naklaniały do życia?

O wy, wszystkie rzeczy, powiedzcie mi, powtórzcie mi jeszcze raz, że słodkiem jest życie, nawet w ciele tak boleściwie zniekształconem.

### CYWILIZACJA (1914—1917)

...Często przyglądałem się obliczu Rabota, starając się uzmysłwić sobie, jakby ono wyglądało w uśmiechu. Próżna była moja wyobraźnia: było aż nazbyt widoczne, że Rabot nie umiał się śmiać i że do takiej akcji nie miał wyrobionej twarzy.

I oto weszła pani w zielonej sukni.

W czasie pięknego poranku przekroczyła próg, jak wszyscy inni. A jednak nie była podobna do wszystkich innych: miała wyraz anioła, królowej, lalki. Nie była ubrana jak pielęgniarki, pracujące w izbach dla chorych, ani jak matki lub kobiety, odwiedzające swoich synów i mężów, gdy są ranieni. Nie była też podobna do dam, jakie się spotyka na ulicy. Miała w sobie o wiele więcej powagi. Przypominała raczej owe boginki, owe przepyszne obrazki, które się widzi w różnobarwnych reprodukcjach na wielkich kalendarzach, gdzie pod spodem widnieje objaśnienie malarza: «Marzenie» albo «Melancholja», lub wreszcie «Poezja».

Weszła w otoczeniu pięknych oficerów, wykwintnie ubranych, którzy z namaszczeniem słuchali każdego jej słówka i okazywali jej najżywsze wyrazy podziwu.

— Proszę, niech pani wejdzie — rzekł jeden z nich — wszak pani pragnęła zobaczyć, jak ranni wyglądają... Postąpiła dwa kroki naprzód, zatrzymała się i szepnęła głosem stłumionym:

— Biedni ludzie!

Cała izba nadstawiła ucha i otworzyła oczy. Mery odłożył fajkę; Tarissant zmienił szczydła pod pachą, co u niego jest wyrazem wzruszenia; Domenge i Burnier przestali grać w karty, które skrętnie zakryli ręką na brzuchu dla niepoznaki. Sparaliżowany Poupot nie ruszał się, lecz można było zauważyć, że z całym wytężeniem woli nadsluchiwał.

Dama w zieleni podeszła najpierw do Sorriego, murzyna.

— Nazywasz się Sorri? — spytała, spozierając na kartę szpitalną.

Czarny potaknął głową, a dama w zieleni mówiła dalej z akcentem słodkim i melodyjnym, jak owe panie, które grają w teatrze:

— Sorri, przyszedłeś walczyć we Francji, opuściłeś twój piękny kraj, świeżą oazę, wonną i cudną w oceanie gorącego piasku. Ach, Sorri! jakie piękne są wieczory w Afryce, w czas, kiedy dziewczyna powraca długą aleją palmową, niosąc na głowie, jak wzniosły posąg, aromatyczną amforę, pełną miodu i mleka z kokosów.

Oficerowie wyrazili szmerem głosów swój zachwyt, a Sorri, który rozumiał po francusku, bełkotał, kiwając głową:

— Koko... koko...

Tymczasem pani sunęła już dalej po kamiennej posadzce.

Podeszła aż do Rabota i z wdziękiem usiadła na skraju jego łóżka, jak jaskółka na drucie telegraficznym.

— Rabocie — rzekła — jesteś dzielny!

Rabot nic nie odpowiedział, lecz, jak zwykle z przyzwyczajenia, błdził oczyma, podobny do dziecka, które boi się otrzymać klapsa.

— Ach, Rabot — rzekła pani w zieleni — jakąż wdzięczność winniśmy wam za to, że chronicie przed naruszeniem Francję. Ale ty, Rabot, ty już posiadasz najlepsze zadośćuczynienie: Sławę! Entuzjastyczny zapal walki! Chęć rzucenia się naprzód z bagnietem, błyszczącym od słońca; rozkosz utopienia mściwego żelaza w broczącym boku nieprzyjaciela, potem boskie cierpienie znoszenia głodu za wszystkich; święta rana, która z bohatera czyni Boga! Ach, piękne wspomnienia, Rabocie!

Pani w zieleni umilkła, a pobożna cisza zapanowała w izbie.

I oto powstało nieprzewidziane zjawisko: Rabot coraz mniej stawał się podobny do samego siebie. Całe jego oblicze wykrzywiło się, wstrząsnęło się w sposób wprost tragiczny. Z jego suchej, wątej piersi zaczął się wydobywać stopniowo zachrypły szmer. Wszyscy mogli już poznać, że Rabot śmiał się!

Śmiał się przeszło trzy kwadranse. Dama w zieleni dawno już wyszła, a Rabot jeszcze się śmiał, całą kwintą, co wyglądało jak kaszel, jak charczenie.

I od tego czasu przecież coś się zmieniło w życiu Rabota.

Gdy bliski był płaczu i bólu, można go było wydobyć z tej sytuacji przez wywołanie w nim śmiechu, bo wystarczyło tylko wporę powiedzieć:

— Rabot! zaraz tu przyjdzie zielona pani.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## ROMAIN ROLLAND

(ur. 1866)

JAN KRZYSZTOF

### I. Świt

W dniu, kiedy Melchjor, wchodząc na palcach do pokoju, zaskoczył Krzysia przed fortepianem i obrzucił uważnym spojrzeniem jego dziecienną postać, ledwo się gajającą klawiatury, nagły pomysł przeleciał mu przez głowę: Cudowne dziecko. Dla-czegóż wcześniej nie przyszło mu to na myśl? Wielki los dla rodziny... Dotychczas myślał, że chłopak będzie prostakiem, jak jego matka. Ale warto spróbować. Coby to było za szczęście! Obwoziliby go po całych Niemczech, może nawet po zagranicy. Świetne byłoby życie, niepozbowione przytem wzniosłości. Melchjor szukał we wszystkich swoich czynach ukrytej szlachetnej intencji i po namyśle zawsze ją odkrywał.

Umocniony tem przekonaniem, po skończonej kolacji zasadził znowu Krzysia do fortepianu i kazał mu powtórzyć od początku poprzednią lekcję, aż oczy dziecka kleiły się ze zmęczenia. Nazajutrz trzy razy i odtąd codziennie powtarzało się to samo. Krzysztof znużył się prędko, poczem, znudzony śmiertelnie, nie wytrzymał i próbował się zbuntować. Nie miało sensu to, do czego zmuszano go, bo na cóż się mogło przydać prędkie przebieganie palcami po klawiszach albo męczenie czwartego palca dla nadania mu giętkości? Krzysioowi targano to nerwy, a nie widział w tem zgoła nic pięknego. Rozwiązał się bez śladu czarodziejski świat dźwięków, porywających marzeń, których przecucie dotąd w sobie nosił. Gamy i wprawki następowały po sobie kolejno, suche, jednostajne, niedorzeczne, jak te rozmowy przy stole, powracające wiecz- nie do jednego przedmiotu, na temat jednych i tych samych potraw. Dziecko zaczy- nało z roztargnieniem słuchać nauk ojca. Surowo gromione, zrazu poddawało się nie- chętnie, potem zaczęło przeciwstawiać połajaniom Melchjora najgorszy humor. Złość jego dosięgła zenitu, gdy pewnego dnia postłyszalo, jak w przyległym pokoju Melchjor wyjawiał swoje zamysły. A więc do tego prowadziła ta nudna nauka, to tłuczenie ko- ścianych klawiszy, żeby je potem pokazywano za pieniądze, jak tresowane zwierzątko? Nie zostawiono mu nawet czasu na przechadzkę nad ulubioną rzekę. Uwzięli się na nie, i za co? Krzysь czuł się wzburzony, dotknięty we własnem poczuciu dumy i swo- body. Postanowił nie grać już zupełnie albo grać jak najgorzej, żeby ojca zniechęcić.

Wiedział, że czeka go ciężkie przejście, ale trzeba było bądź co bądź ocalić swoją niezależność.

Począwszy od następnej lekcji, zaczął przeprowadzać swój zamiar. Ze skupioną uwagą opuszczał wszystkie znaki muzyczne i przemieniał klawisze. Melchjor łajał, krzychał, posypał się uderzenia. Uzbrojony w twardą linię, za każdą fałszywą nutą tłukł palce dziecka, wrzeszcząc mu w samo ucho swoim ogłuszającym głosem. Krzysztof krzywił się z bólu, zagryzał wargi, żeby się nie rozplakać, i z godnym podziwu stoicyzmem uderzał w dalszym ciągu fałszywe klawisze, chowając za każdym razem głowę w ramiona w przeczuciu nowych cięgow. Ale wkrótce spostrzegł, że ten system do niczego nie prowadzi. Melchjor był równie uparty, jak on sam, i zaklął się, że choćby mu przyszło dwa dni i dwie noce przesiedzieć nad fortepianem, nie daruje dziecku ani jednej nuty, dopóki rzecz nie będzie wykonana bez zarzutu. Przytem Krzysztof zbyt sumiennie mylił się w tem samem miejscu, i Melchjor zaczął podejrzewać podstęp, widząc, jak ręka dziecka za każdym razem opada ciężko na przyległy klawisz z widoczną złą wolą. Podwoiły się uderzenia, Krzysztof nie czuł już palców. Chlipał żałośnie, tłumił łkanie i potykał łyzy.

Zrozumiał wreszcie, że tym sposobem nic nie uzyska, i że trzeba się zdobyć na rozpaczliwy krok. Przestał grać i, drżąc na myśl o burzy, którą rozpęta, powiedział odważnie:

— Tatusiu, nie będę już grał.

Melchjorowi zaparło oddech.

— Co! co! — krzyknął.

Potrząsał Krzysiem z całych sił. Krzyś, drżąc coraz bardziej i nadstawiając łokcia w obronie przed razami, mówił dalej:

— Nie będę już grał. Najprzód dlatego, że nie chcę być bitym. Powtóre...

Nie dano mu dokończyć. Tęgi policzek zatrzymał mu oddech w piersi. Melchjor ryczał:

— Co? nie chcesz być bitym? Nie chcesz?...

Posypał się istny grad uderzeń. Krzysztof wołał przez łyzy:

— Powtóre... niecierpię muzyki!... niecierpię muzyki!...

Zsunął się z siedzenia. Melchjor wciągnął go siłą zpowrotem i, uderzając piąstkami dziecka o klawiaturę, krzychał:

— Będziesz grał!

A Krzysztof ryczał:

— Nie będę! nie będę!

Melchjor musiał ustąpić. Po wybicciu chłopca wyrzucił go za drzwi, mówiąc, że nie dostanie jeść przez cały dzień, przez cały miesiąc, póki nie powtórzy wszystkich ćwiczeń bez jednego błędu. Kopnął go nogą i drzwi zatrzasnął. Krzysztof znalazł się na brudnych i ciemnych schodach, wiodących na strych. Przeciąg tam wpadał przez stłuczone w dachu okienko. Wilgoć spływała ze ścian. Krzyś usiadł na jednym ze spróchniałych stopni, serce waliło mu w piersiach z gniewu i wzruszenia. Pocichu lżył ojca:

— Zwierzę! dzikie zwierzę! Jesteś! Nic więcej! Gbur, brutal! Nienawidzę cię, nienawidzę, chciałbym, żebyś umarł! żebyś umarł!

Żal wzbierał mu w piersi. Zrozpaczonym wzrokiem ogarnął umorusane schody, pajęczynę, kołysaną wiatrem nad stłuczoną szybą. Czuł się samotny, stracony na samo dno rozpacz. Poprzez poręcz spojrział w otwierającą się pod schodami próżnię. Gdyby tak rzucić się nadół albo przez okno? Ukarać ich samobójstwem? Jakżeby ich dręczyły wyrzuty sumienia!... W wyobraźni słyszał już łoskot osuwającego się ciała, trzaskanie drzwi na górze i przerażone głosy: «Upadł! zabity!» Potem gwałtowne kroki po schodach. Ojciec, matka rzucają się na jego zwłoki. Matka szlocha przez łyzy: «To twoje dzieło! ty go zabiłeś!» Ojciec pada na kolana, załamuje ręce i, tłukąc głową o poręcz, woła: «Nędzny jestem i zabójca!» — Te rozmyślenia sprawiły Krzysiovi ulgę. Był bliski współczucia dla oplakujących go rodziców, ale myślał jednocześnie, że słuszna spotyka ich kara, i rozkoszował się zemstą...

Wreszcie spostrzegł, że siedzi w półmroku, na tym samym stopniu, i spojrział raz jeszcze w ciemną klatkę schodową, ale już bez zamiaru zeskoczenia. Przebiegł

go nawet dreszcz na myśl, jak łatwo było spaść, i odsunął się nieco ku ścianie. Teraz poczuł się naprawdę więźniem, jak biedny ptak w klatce, więźniem na zawsze, któremu nie pozostaje nic innego, jak rozbić sobie głowę. Rozplakał się i szlochał długo, trąc sobie oczy brudnymi rączkami, tak że po chwili miał całą twarz umorusaną. Nie przeszkadzało mu to rozglądać się dokoła. Znalazł w tem rozrywkę. Przeszawał na chwilę płakać, zaciekawiony pajakiem, który się w kącie poruszył, i znowu dawał folgę łzom, ale już z mniejszym zapalem. Łkanie stawało się machinalne. Niebardzo już wiedział, dlaczego płacze. Po pewnym czasie wstał z miejsca — pociągało go okno. Usadowił się ostrożnie na wewnętrznej framudze i oddał się kontemplacji pajaka, który budził w nim wstręt i zaciekawienie.

U stóp dziecka, w dole, płynął Ren. Wspięty na oknie Krzysł czuł się, jakby zawieszony w ruchomem gnieździe nad wodami rzeki. Miał on często sposobność przypatrywania się jej, schodząc ze schodów i przystając na stopniach, ale nigdy nie widział jej takiej, jak dziś. Cierpienie zaostrza zmysły; wszystko utrwala się lepiej w oczach, z których lzy spłókały ślady uwiędłych wspomnień. Rzeka wydała się dziecku żywą istotą, istotą niezrozumiałą, ale wielokroć potężniejszą od wszystkich widzianych ludzi! Krzysł pochylił się naprzód, żeby lepiej widzieć, rozplaszczyl usta i nos o szybę. Dokąd «ona» płynęła? Czego chciała? Wydawała się tak swobodna, pewna swej drogi... Nic nie mogło jej zatrzymać. We dnie i w nocy, w pogodę i słotę, cokolwiek działo się z ludźmi radosnego czy smutnego ona płynęła spokojna, obojętna, wyższa ponad ludzkie cierpienia, ufna w swoją siłę. O, co za rozkosz być swobodną, jak ona, i płynąć tak pod cieniem wierzb, poprzez łąki, kamienie i chrzęszczące piaski, nie troszcząc się o żadne przeszkody...

## II. Poranek

### I

Upłynęło kilka lat. Krzysłof liczy już jedenasty rok życia i kształci się poważnie w muzyce. Uczy się harmonji od przyjaciela swego dziadka, Florjana Holzera, organisty przy kościele św. Marcina. Ten uczony człowiek oświeca Krzysłofa, że pewne ulubione przez niego akordy i następstwa akordów, pewne harmonje, które głaszczą najprzyjemniej jego ucho i serce, są złe i niedozwolone. Na pytanie, dlaczego, Krzysłof otrzymuje krótką odpowiedź, że tak jest, bo jest: prawidło takie akordy wyłącza. Ponieważ karność nie należy do wrodzonych przymiotów Krzysłofa, więc uparciuch zachwyca się niemi tem bardziej. Z radością wynajduje przykłady podobnych harmonij w dziełach uznanych kompozytorów i przedstawia je dziadkowi albo swemu mistrzowi. Dziadek odpowiada mu na to, że wielcy muzycy, jak Bach i Beethoven, mogą sobie na wszystko pozwolić. Nauczyciel, mniej skory do ustępstw, unosi się tylko i oświadcza cierpko, że nie są to wcale najlepsze ich utwory.

Krzysłof ma teraz wolny wstęp do teatru i na koncerty. Gra już biegle na wszystkich prawie instrumentach, a w grze na skrzypcach doszedł do zupełnej doskonałości. Dzięki staraniom ojca otrzymał pulpit w orkiestrze i wywiązywał się z zadania tak dobrze, że po kilku miesiącach próby przyznano mu oficjalny tytuł drugiego skrzypka w Hof-Musik-Verein. Zaczyna więc zarabiać na życie, co stało się już koniecznością wobec coraz cięższych warunków domowych. Pijaństwo Melchjora wzmagalo się z latami, a dziadek posuwał się w starość i niedoleźniał coraz bardziej.

Krzysłof zdawał sobie już sprawę ze smutnego położenia rodziny. Twarz małego człowieczka przybrała wyraz zatroskania i powagi. Ze swego zadania wywiązywał się dzielnie; chociaż nowa praca nie zajmowała go wcale, i wieczorem w orkiestrze upadał nieraz ze znużenia. Teatr nie dawał mu teraz tych wzruszeń, co za dawnych, dziecinnych czasów. Dawniej, kiedy Krzysł był mały (to znaczy przed czterema laty), największą jego ambicją byłoby posiadanie tego stanowiska, które dziś zajmował. Teraz nudzi go większość utworów, które każą mu wykonywać, i uważa je w duszy za niedorzeczne, choć nie śmie jeszcze wygłaszać swego sądu. Niecierpliwi go jeszcze bardziej bezduszna bezmyślność, z jaką orkiestra wykonywa rzeczy naprawdę piękne. Ulubione utwory jego upodabniają się wówczas do tych sąsiadów i kolegów z or-

kiestry, którzy skrobiają na przeróżnych instrumentach, a po zapadnięciu kurtyny ocierają sobie z uśmiechem spocone czoła i gawędzą spokojnie, jak po odbyciu ćwiczeń gimnastycznych. Krzysztof widuje teraz czasem przedmiot swoich dawnych uwielbień, ową bosonogą, płową śpiewaczkę; spotyka ją często w czasie antraktów albo w restauracji. Świadoma jego młodzieńczych zachwyty, aktorka chętnie zbliża się do chłopca i darzy go pieszczotami, co nie sprawia teraz Krzysiovi żadnej przyjemności. Wstrętem napemniają go jej olbrzymie ramiona, niepomiarowany apetyt i zapach jej szminki. Nie znosi jej teraz.

Wielki Książę nie zapominał o swoim nadwornym pianiście. Skromna pensja, przywiązana do tego tytułu, nie była Krzysztofowi wypłacana regularnie i trzeba się było zawsze o nią upominać, ale zato kiedy Jego Wysokość miał u siebie znakomitszych gości albo kiedy Jej przychodziła fantazja posłuchać muzyki, chłopiec otrzymywał rozkaz stawienia się w zamku. Wezwanie przychodziło zwykle późnym wieczorem, kiedy Krzysztof najbardziej pragnął samotności. Zaskoczony zniemacka, musiał wszystkiego poniechać i śpieszyć na zamek. Nieraz kazano mu w przedpokoju wyczekiwać końca obiadu. Służba przemawiała do niego poufale, przyzwyczajona do widoku chłopca. Wreszcie wprowadzano go do salonu, pełnego światła i zwierciadeł, gdzie całe towarzystwo przyglądało mu się z natarczywą ciekawością. Krzysztof musiał przejść przez cały pokój po śliskiej, woskowanej posadzce, aby ucałować ręce Ich Książęcych Mości, a z wiekiem stawał się coraz niezgrabniejszy, czuł bowiem swoją śmieszność i cierpił nad tem okrutnie.

Zasiadał wreszcie do fortepianu i grał dla tego zgromadzenia głupców, jak ich w myśli nazywał. Były chwile, w których obojętność otoczenia przygniatała Krzysztofa do tego stopnia, że gotów był wszystko porzucić i uciec od fortepianu. Dusił się, jak zaczadzony, zdawało mu się, że wszyscy przypatrują mu się, jak osobliwemu zwierzątku z książęcej menażerji, i że te pochwały skierowane są nie do niego, ale do księcia-właściciela. Czuł się tem poniżony. Drażliwość jego stawała się chorobliwą i męczyła go tem więcej, że nie śmiał jej okazać. W najzwyczajsem czyjemś postępowaniu dopatrywał się chęci ubliżenia sobie. Jeśli posłyszał śmiech w kącie salonu, był przekonany, że śmieją się z niego, nie wiedział tylko, co było przedmiotem żartów, czy jego ubranie, manieri, ręce, czy nogi. Wiecznie był upokorzony, zarówno kiedy nie zwracano nań uwagi, jak kiedy przemawiano do niego lub częstowano cukierkami, jak dziecko, przedewszystkiem zaś wówczas, gdy Wielki Książę, z iście pańską niedbałością, wsuwał mu na pożegnanie złotą monetę do ręki. Bolało go, że jest ubogi i że go jak ubożego traktują. Pewnego wieczora otrzymane pieniądze tak mu ciążyły, że wracając do domu, rzucił je mimochodem w otwarte okienko piwnicy. W chwilę później byłby popełnił nikięćność, żeby je odzyskać, okazało się bowiem, że w domu nie płacono rzeźnika od kilku miesięcy.

Rodzice Krzysztofa nie domyślali się tych jego cierpień obrażonej dumy. Cieszyli się ze względów, jakimi go książę zaszczycał. Poczciwa Luiza w najśmielszych marzeniach nie mogła sobie wyobrazić nic piękniejszego dla swego chłopca nad te wieczory, spędzane w zamku, w świetnem towarzystwie. Dla Melchjora był to przedmiot ustawicznych przechwałek w rozmowie z przyjaciółmi. Ale najszcześliwszy był dziadek. Chociaż lubił uchodzić za człowieka niezależnego, gardzącego zaszczytami, w gruncie rzeczy miał naiwną cześć dla pieniędzy, dla władzy, tytułów i hierarchij społecznych. Niewypowiedzianą dumą napemniała go myśl, że wnuk jego obcuje z tak dostojnymi ludźmi. Sam czuł się poniekąd opromienionym sławą tego wnuka i, mimo źle udanej obojętności, twarz jego jaśniała szczęściem. Ilekroć Krzysztof wezwany był na zamek, stary Jan-Michał wynajdywał jakikolwiek pozór odwiedzenia Luizy i z dziecinną niecierpliwością czekał powrotu wnuka. Gdy ten zjawiał się wreszcie, stary zapytywał, niby odniechcienia:

— No, jak ci się tam wiodło dzisiaj?

Albo zagadywał:

— Idzie nasz Krzysztof, który nam pewno coś ciekawego opowie.

To znowu starał się przejednać go pochlebstwem:

— Czołem młodemu dworzaninowi!



Krzysztof, zły i nachmurzony, odburkiwał niechętnie: «Dobry wieczór» i szedł dąsać się do kąta. Stary nastawał, inni wtrącali się do rozmowy, domagając się szczegółów, wydzierając mu słowa odpowiedzi. Chłopiec odpowiadał zalednie «tak» albo «nie», pośepniał przytem coraz bardziej. Wreszcie Jan-Michał tracił cierpliwość i wybuchnął, rzucając dotkliwie obelgi pod adresem Krzysia. Ten stawiał się hardo, dochodziło do kłótni, i wkońcu stary odchodził zagniewany, silnie trzaskając drzwiami. Tak więc Krzysztof zatruwał tym biednym ludziom chwile najlepszej radości. Trudno ich było nawet winić o to, że przynieśli na świat służalcze dusze i tem samem niedolni byli pojąć udręczeń dziecka.

Krzysztof zamykał się w sobie coraz bardziej. Nie miał zamiaru sądzić swoich krewnych, ale czuł, że przepaść, która go od nich oddziela, pogłębia się z każdym dniem. Było w tem zapewne wiele przesady i, pomimo różnic w sposobie myślenia, ci sami ludzie byliby go może zrozumieli, gdyby się z nimi zasadniczo rozmówił. Wiadomo jednakże, jak niesłychanie trudne jest ścisłe porozumienie między dzieckiem a rodzicami, choćby skądinąd istniały między nimi najserdeczniejsze stosunki. Bo naprzód szacunek utrudnia szczerłość zwierzeń, a następnie pojęcie nieraz mylne o wyższości wieku i doświadczenia nie pozwala rodzicom przywiązywać należytej wagi do uczuć dziecka, które są również głębokie a często prawdziwsze, niż u dorosłych ludzi.

Towarzystwo, z jakim Krzysztof w domu przestawał, i rozmowy, jakich słuchał, oddalały go od rodziny jeszcze bardziej.

Bywali tam przyjaciele Melchjora, członkowie orkiestry, przeważnie kawalerowie-pijaczyny, ludzie niezli, ale prostacy, cały dom trząsł się od ich wrzasku i stąpania. Po swojemu kochali oni muzykę, ale mówili o niej z oburzającą nieznamomością rzeczy. Ich gburowate zachwyty boleśnie raziły wstydlivość uczuć dziecka. Krzysiuowi się zdawało, że spotyka go osobista obelga, ilekroć pochwalili jaki ukochany przez niego utwór. Wzburzony do głębi, przybierał wówczas lodowaty wyraz twarzy i udawał, że muzyka nie obchodzi go wcale. Gotów był wmawiać w siebie, gdyby tylko mógł, że jej nienawidzi. Melchjor mawiał o nim:

— Ten chłopak nie ma serca. Nic nie czuje. Nie rozumiem, po kim on to wziął.

Niekiedy zgromadzeni u Melchjora goście śpiewali chórem niemieckie pieśni czteromiarowe na cztery głosy. Te pieśni uroczyste i ciężkie, a przytem bezsensowne i płytkie w harmonji, raziły nieznośnie Krzysztofa. Chronił się do najdalszego pokoju i zło-rzeczył ścianom.

*Tłum. Jadwiga Sienkiewiczówna.*

## ROLAND DORGELÈS

(ur. 1886)

### DREWNIANE KRZYŻE

#### Rozdział 9. Śmierć za ojczyznę

Nie, to okropne, tego nie powinna była grać muzyka...

Człowiek runął jak kłoda, przytrzymał do słupka związanemi rękami. Chustka, zastępująca opaskę, tworzy jakby siną koronę. Duchowny odmawia modlitwę z zamkniętymi oczyma, by więcej nie patrzeć.

Nigdy, nawet w straszliwych godzinach, nie odczuto bardziej obecności Śmierci, niż dzisiaj. Przeczuwa się ją, węszy się, jak pies wyjący. Czy to żołnierz — ta sina kłoda? Powinien być jeszcze ciepły.

Och! być zmuszonym widzieć to i zachować na zawsze w pamięci jego krzyk zwierzęcy, ten przeraźliwy krzyk, w którym odczuwało się przestach, grozę, modlitwę i to wszystko, co może z siebie wyjęczeć wstrząsającym wyciem człowiek, który nagle widzi tam, przed sobą śmierć. Śmierć: mały pal z drzewa i ośmiu błądych ludzi z bronią u nogi.

Przeciągły ten krzyk wbił się nam wszystkim w serce, jak gwóźdź. I nagle, w tem okropnem rżeniu, które słyszał cały pułk zdreptały, rozumiano błagalne słowa ko-nającego: «Proście o przebaczenie dla mnie... Proście pułkownika...»

Rzucił się na ziemię, aby odwlec śmierć swoją, przywiązano go tedy do słupa ramionami, bezwładnego, jęczącego. Aż do końca krzyczał. Słyszano: «Moje maleństwa... Pułkowniku...» Jego szloch rozdzierał grozę ciszy, a drżący żołnierze o jednym tylko myśleli: «Och! prędzej... prędzej... niech to się już skończy... Niech strzelają, aby go więcej już nie słyszeć...»

Tragiczny chrzęst salwy. I jeszcze jeden strzał, samotny: cios łaski. Skończyło się...

Potem należało przedefilować przed jego trupem. Muzyka zaczęła grać «Śmierć za ojczyznę», a oddziały pokuszyły jeden za drugim uginającym się krokiem. Berthier zacisnął zęby, aby nie widziano jego drgającej szczęki. Gdy rzucił rozkaz: «Naprzód», Vieublé, który płakał z całej piersi, jak dzieciak, wystąpił z szeregu, rzucił karabin i upadł, bo dostał nerwowego wstrząsu.

Odwracano głowę, mijając słupek. Jakbyśmy mieli popełnić coś złego, nie mogliśmy patrzeć wzajem na siebie, na wybladłe nasze oblicza, na podkrążone oczy.

Oto chlew, w którym on spędził ostatnią swoją noc, chlew tak niski, że musiał w nim stać — na kłęczkach. Z pewnością musiał w nim słyszeć miarowy tupot kroków oddziału, wezwanego do broni. Czy zrozumiał?

Sądzono go wczoraj wieczór w balowej sali «Pocztowej kawiarni». Były tam jeszcze gałęzie jedliny z naszego ostatniego koncertu, trójbarwne papierowe girlandy, a na estradzie wielki plakat, namalowany przez naszych muzykantów: «Nic sobie z tego nie robić. Pozwolić mówić».

Bronił go mały kapral, z urzędu mianowany, wstydlivy, politowania godny. Gdy uczestniczył w tej scenie, kiwając długimi ramionami, to wyglądał, jakby przyszedł na jedną «zakrapianą», że aż komisarz rządu zaśmiał się do dłoni w rękawicze.

— Czy wiesz, co on popełnił?

— Poprzedniej nocy, po ataku, przeznaczono go na patrol. Ponieważ zaś przedtem był po marszu, więc odmówił. Oto, co jest...

— Znałeś go?

— Tak, to był chłopak z Cotteville. Miał dwie kochanki.

Dwie kochanki, wielkie, jak jego słup...

## Z rozdziału 11. Zwycięstwo

O, jakże smutna jest panorama zwycięstwa! Pod swoim całunem zakrywa jeszcze mgła zakątki, a ja nic więcej rozpoznać już nie mogę na tej spustoszonej karcie roztrzęsionej ziemi. Wszystko się miesza: Trois-Chemins, Ferma, biały Bovau. Ta sama płaszczyna, zużyta aż do wątki białego marglu, wrzosowisko piaszczyste, ogołocone, bez drzewa, bez dachu, bez żyjącego stworzenia, i wszędzie zaśmiecone małymi plamami: to umarli, umarli...

— Pułkownik, dumny z nas, wykrzykuje: Jest ich tu dwadzieścia tysięcy trupów, tych «boszów».

Ilu Francuzów?

Musiąco się wytrzymać przez dziesięć dni na tem posepnem rąbanisku, pozwolić się wycinać bataljonami, aby dodać kawałek pola do naszego zwycięstwa, kawałek wyprutej kiszki, mieścinę w ruinie. Lecz mogę szukać, nic więcej nie rozpoznaję. Miejsce, gdzie tyle się wycierpiało, podobne jest jedno do drugiego, przyprószone, jak włosy siwiejące, i wygląda jak obraz wielkiej męki. Tam coś jest...

Zaciera się cikliwy zapach trupów, wszędzie czuć chlor, rozsypany wokóło beczek z wodą. Lecz w mojej głowie, w mojej skórze czuję straszliwy oddech trupów. We mnie, na zawsze: rozumiem teraz miłosierdzie.

Najwięcej znużeni usnęli. Inni rozmawiali, skupieni w małych grupach: mówili wszyscy razem, głosem nerwowym, rzucając mierzwę jeszcze drgających i żywych wrażeń, jakby chcieli pozbyć się nazbyt wielkiego ciężaru swych wspomnień.

Automobiliści, więcej wzruszeni od nas, słuchali, a ponieważ tylko oni mieli sposobność czytać dzienniki, wyjaśniali bitwę, o której nic nie wiedzieliśmy.

Towarzysze broni obwieszali się wszelką zdobyczą wroga, przypinali helmy do swoich pasów, jak skalpele.

— Sprzedam ci go — powiedział jeden z szoferów do kolegi.

Inny, skuszony ceną, zaofiarował swój łup i natychmiast zaczął się handel na skraju drogi. Sprzedawano różnego rodzaju pamiątki, wszystkie szczątki pozostałe z ataku: łapki naramienników, szare furażerki, zapalniki pocisków — «to dobre na śliczne kałamarze, chłopcy...» — szwabskie ładownice, które sprzedawano za dwadzieścia groszy, ciepłe opaski na brzuchy z rudej skóry, małe kubki z aluminium, lekkie i mało miejsca zajmujące, które jednak parzą w palce, blaszanki, pokryte sukniem khaki, pocztowe karty z nieznanymi czułościami. Nad niektórymi hełmami, pozbawionymi skrzydlatych orłów, pochylano się z ciekawością, śledząc zabójczy otwór, przez jaki uleciało życie. Sulphart zachwalał rzadki okaz, parę żółtych bucików:

— Wspaniałe buty Szwaba — krzyczał... — Śliczne trzewiki oficerskie, kto kupi? Piękny podarek dla kotki... Kto chce dla propagandy w Panamie przechadzać się w pięknych łapciach bosza!

Nagle umilknął i zebrał całą wystawę, jak zaskoczony tancerz.

— Psia kula, toć to Morache...

Nie widzieliśmy go od dziesięciu dni, od poranka, w którym zaczął się atak. Nie opuścił ani przez minutę cuchnącego schronu — pierwszego obserwatorium — które zajął jako posterunek, i wyszedł z niego z obliczem spleśniałym, z bezkrwistymi wargami a oczami ciągle mrugającymi. Skrzącąc, zbierał kompanję — jego kompanję, teraz, gdy padł Cruchat, i brutalnie budził śpiochów, trącając ich końcem swej trzciny.

— Chodźmy, dałem rozkaz, plecaki na barki — krzyczał pod nosem małego Brucke'a, który się budził, cały chwiejący się, z oczami jeszcze błędnymi od spania.

Klnąc, sposobiono się do drogi.

---

Nakoniec wozy zwolniły bieg, potem zatrzymały się.

Nogi bolały, głowy były ciężkie, ciało obolałe. Z pomrukiem zapinano plecaki, które wydawały się ciężkie jak nigdy.

— Dlaczego nie wysadzono nas właśnie w miasteczku?... Nam się widzi, że nie są zmęczeni ci inni.

Ledwieśmy zsiadli, a już niektórzy zwalili się na trawę. Wielu postępowało, utykając na stopach, spuchniętych od zrogowaciałej skóry obuwia, którego nie zdejmowaliśmy od dwóch tygodni. Ta zabłocona zgraja kulawych, pozbawiona woli, podierała się karabinami, opierała o drzewa.

Bourland nadjechał na swoim niskim rowerze i zawołał mię:

— Jakóbie!... W miasteczku defilada, muzyka na czele. Generał na miejscu.

A od wzgórzka głowy spoczywających chłopców zwróciły się z oburzeniem; zbliżyły się kulasy.

— Co? Teraz parada? Kpią sobie z nas? Jeszcześmy się niedosyć napracowali?

— Nie, generał chce policzyć tych, których nie uczynił jeszcze trupami...

— He, dobrze, ja nie idę, Morache niech sobie pyskuje...

Najsilniej krzyczał Sulphart, wstrząsając niesprzedanymi bucikami.

— Oni tylko dobrzy do urządzania procesyj... Ale w okopach to ich nie widać. Oni nie odbywali półpościa w Trois-Chemins.

— Robić rewję, gdy dopiero zaczynamy się usadowiać, to zbrodnia — potwierdził statecznie Lemoine. — Nie możnaby maszerować.

Gdy tak rozprawiali, zajechało auto, z którego wysiadł Berthier. Jego plugawy płaszcz zwiślał sztywno, jak cylinder zeskorpiałego błota; krokiem ociągającym się postępował naprzód, z oczami świdrującymi z poza okularów. Widocznie już nie mógł więcej znieść tego wszystkiego.

— Ugrał się na to wszystko, panie poruczniku — oświadczył mu Sulphart z godnością wolnego człowieka. — Co za przyjemność defilować przed łażnikami.

— Być może, lecz tam jest generał — odpowiedział słodko Berthier. — Chodźmy, moi towarzysze; tornistry na plecy... Tam obozuje bataljon młodych rekrutów, należy im pokazać, że nie jesteśmy pułkiem dziewczątek.

Zrzędząc, zaczęli się zbierać. Ustawiono się w szereg.

— Na prawo czwórkami!

Na drodze ujrzano orkiestrę i sztandar wyjęty z pokrowca.

— Naprzód... marsz!

Pułk zachwiał się. Na czele grała muzyka marsza pułkowego, i zdawało mi się, że na zwycięskie przyjęcie trąbek plecy wyprostowały się. Wymarsz był ciężki, lecz rychło kroki stały się lżejsze, a stopy przemierzały drogę regularnym rytmem. Defilowały tedy manekiny z błota, błotne piechury, zabłocone owijacze, zabłocone płaszcze i blaszanki, podobne do wielkich bloków gliny.

Ani jeden z lżej rannych nie opuścił szeregu, lecz nie o wiele byli oni bliedszy i wyczerpani od reszty. Wszyscy mieli pod hełmami te same rysy przestrachu: defilada tych, co powrócili.

Wiśniacy frontu mają serce stwardniałe i wcale nie wzruszają się po tylu okropnościach; jednak, gdy ujrzeli wyłaniającą się pierwszą kompanję tego pułku zagrobowego, zmienili swe oblicze.

— Och! Biedni chłopcy...

Jakaś kobieta zapłakała, potem inne, potem wszystkie... To był hołd łez, wzdłuż wszystkich domów, i na widok tych łez dopiero uświadomiliśmy sobie nasze minione cierpienia. Na szorstkie oblicza wystąpiła smutna дума. Wszystkie głowy zwróciły się ku nam, a nasze oczy rozjaśniły się blaskiem zadowolenia. Gnała nas muzyka brzękiem wszystkich mosiądzów i mocno bębnił bęben; nawet najwięcej zmordowani ożyli i słycać ich było tuż blisko, jak krzyczeli: «To my zrobiliśmy atak!... To my powracamy tam z góry...»

Na placu zaś stał uformowany bataljon młodych. Płaszcze nowe, bagnety na lufach. Kilka kroków na przodzie generał na koniu, w otoczeniu wystrojonej świty. Żaden głos nie padł z naszych szeregów, żadne oblicze nie okazało niezadowolenia. Słyszało się tylko mechaniczny tupot maszerującego pułku, w takt oszalałej muzyki. Ochoczy wzrok tych, którzy maszerowali, zdawał się panować swoją wolą ponad milczącymi nowicjuszami. Młodzi prezentowali przed nami broń.

Gestem teatralnym podniósł się generał na strzemiionach siodła i pięknym ruchem obnażonej szabli pozdrowił nasz sztandar, podziurawiony od kul, pozdrowił nas... I nagle pułk stał się czemś jednym, nierozdzielalnym. Jedyna дума być tymi, których się pozdrawia! Dumni z naszego błota, dumni z naszych mozołów, dumni z naszych poległych!...

Żnów zagrzmiały trąby, a my wkroczyliśmy w główną ulicę, otoczeni sławą, promieniący szczęściem, wśród żywej zazdrości rekrutów, którzy maszerowali za nami. Młoda panienka z poczty pozdrowiła nas, powiewając wilgotną od łez chusteczką i, mając oczy zaczerwienione, krzyczała coś do nas, lecz wnet jej krzyk skończył się płaczem.

Wtedy Sulphart, błądzący ze wzruszenia, nie mógł się dłużej powstrzymać...

— To właśnie my dokonaliśmy ataku — krzyczał silnym głosem. — To my!

I wszystkie głowy zwróciły się ku niemu, wszystkie oczy zajaśniały i ze wszystkich warg zdawał się płynąć okrzyk dumy: «To my, to my!»

Pozdrowił nas dźwięk muzyki, który nam się wydał zwiastunem niedzielnego święta i spoczynku; szliśmy tedy naprzód z dumą na czołach, z dumą zwycięskich mężczyzn, przeciwstawiającą się łzom otoczenia.

Naprzód! Wojny będą zawsze, zawsze...

*Tłum. Józef Gluziński.*

## MAURICE BARRÈS

(1862—1923)

## NIEŚMIERTELNE ZNAMIĘ FRANCJI

Mowa, wygłoszona w Londynie, w sali Towarzystwa Królewskiego, pod protektoratem Akademii Brytyjskiej, dnia 12 lipca 1916 r.

(Wyjątki)

Każdego roku w Saint-Cyr odbywa się z wielką okazałością uroczystość Triumfu. Tak nazywa się tradycyjna ceremonia, w czasie której młodzieńcy, przed ukończeniem dwóch lat nauki w szkole, uświetniają promocję, jaka ich czeka, i chrzczą imieniem swoich następców.

W lipcu 1914 r. zdarzenia, które, gwałtownie następując po sobie, zakończyły się wojną, zeszyły się z tą uroczystością, przez co nabrała ona tem poważniejszego wyrazu.

Dnia 31 owego miesiąca generał, dowódca szkoły, powiadomił Montmirail (takie było imię absolwentów), iż wieczorem mają oni ochrzcić swoich kadetów po wojskowemu i bez tradycyjnej zabawy.

Wszyscy zrozumieli, że może jeszcze tej nocy przyjdzie im wyruszyć do pułków ich przydziału...

W takiej atmosferze uniesienia młodzi oficerowie otrzymali tytuł promocyjny: «Krzyż Sztandaru», i w onej to chwili jeden z Montmirajczyków, Gaston Voizard, wykrzyknął:

— Przysięgajmy, że, idąc w ogień, przywdziejemy nasz mundur galowy, białe rękawice i kazuar na czapce.

— Przysięgamy! — odpowiedziało pięciuset Montmirajczyków.

— Przysięgamy! — krzyknęło z kolei pięciuset z «Krzyża Sztandaru».

Okropna scena, zbyt francuska, pełna naiwności i dobrej woli, godnej podziwu dla tych młodzieńców, i także pełna przeraźliwych następstw.

Dotrzymali nieopatrzniego ślubowania...

Och! jakże drogo — we wszystkich stuleciach — kosztowała Francję buńczuczność!

\* \* \*

Dzisiaj cały świat zna ten epizod, rozpowszechniony przez liczne artykuły, rysunki, poezje. Przypominacie sobie? Niemcy wtargnęli w okopy i złamali cały opór; nasi żołnierze przypadają do ziemi, lecz nagle z tego stosu rannych i trupów ktoś powstaje i, podniósłszy na odległość ręki worek z granatami, woła: «Powstańcie, umarli!» Uniesienie zmiata najeżdżęc. Wzniosłe słowo dokonało zmartwychwstania...

\* \* \*

Oto fakty. Oto przynajmniej próbka, jedna próbka wina, które od dwóch lat fermentuje na wzgórkach naszej pszenicy z naszych pól i z krwi naszych bitew.

Jednak, czy wszystko to pochodzi z rzeczy nieznanych i nieoczekiwanych? Wszak to są owoce z drzewa Francji, podobne do tych, jakie dawny naród wytwarzał tyle razy w przebiegu wieków; to jest wino, to pszenica, to krew wszystkich naszych epopej. Rozpoznajmy w naszej przeszłości każdy rys, jaki mamy na uwadze. Pieśni rycerskie, wyprawy krzyżowe, całe zaranie Francji, obfitują mnogością czynów, dokonanych przez nasze rycerstwo i przez «sancta plebs Dei» — i one to wyprzedzają i zwiastują bohaterskie czyny naszej armji w roku 1916.

Śmiertelne ślubowanie młodzieńców z Saint-Cyr... toż to jest typowy epizod naszych średniowiecznych rycerskich epopej. One to ze świeżością wrażeń i genjuszem rozwijają temat radości z wojny, nieskazitelnoci, dobrej wiary młodych bohaterów, Aymerillotów, Rolandów, Gwīdonów z Burgundji — w ich pierwszej młodości. Gdy Montmirajczycy i ci z Krzyża Sztandaru czynią ślubowanie, iż przyjmą chrzest bitwy w białych rękawicach i z kazuarem u czapki, to jakby ożył rozdział z poematu «En-

fances Vivien». W dniu, w którym młody Vivien zostaje pasowany na rycerza, składa on ślub przed zgromadzeniem panów wysokiego rodu, iż nigdy nie cofnie się w bitwie dalej, jak na odległość swojej kopji — i to ślubowanie stało się przyczyną jego śmierci...

Wstańcie, umarli!... Słyszeliśmy już ten tajemniczy okrzyk z lasu Ailly. W czasie oblężenia Askalonu templariusze widzą kilku: astu braci, powieszonych przez Saraceniów na bramie miasta. Ogarnęło ich zniechęcenie, mają zamiar odstąpić od oblężenia. Lecz mistrz świątyni powiada: «Patrzenie, wzywają nas umarli, albowiem oni zajęli już miasto».

\*  
\*  
\*

Oto więcej jak tysiąc lat, gdy owa rzeka bitew płynie pełnemi brzegami. Czerpiemy z niej, nie mogliśmy uchwycić z jej mijającej fali, jak tylko to, co ujęły przedmioty na odległość rąk naszych. To zaś wszystko czego jest dowodem? Czego dowodzą te heroiczne i zachwycające czyny, to życie głębokie, ta wywnętrzona dusza francuska?

Francuzi walczą w nastroju religijnym. Oni pierwsi wynaleźli ideę świętej wojny. Żołnierz roku II, wierzący w to, iż przynosi światu wolność i równość, powoduje się tem samem zachwyceniem i w tem samem pozostaje on napięciu ducha, co krzyżowiec z Jeruzolimy. Gdy rycerz krzyżowy krzyczy: «Bóg żąda», gdy ochotnik z pod Valmy woła: «Wzywa was Rzeczpospolita», to oba krzyki są tem samem hasłem wojennem. Tu chodzi o zrealizowanie większej sprawiedliwości i większego piękna na ziemi. Im obu głos nieba lub ich sumienie powiada: «Zasię, gdy pomrzecie, będziecie świętymi męczennikami» (Pieśń o Rolandzie. — Arcybiskup Turpin, przed rozpoczęciem bitwy, do klęczących wojowników). To nie naszym zwyczajem rozpoczynać wojnę zaborczą. Niechby nawet i były niekiedy wojny dla sławy i honoru! Lecz, aby wzruszyć cały naród jednomyślnie, trzeba, by uznał się on zapaśnikiem Boga, rycerzem sprawiedliwości. Powinniśmy być przeświadczeni o tem, że walczymy przeciw barbarzyńcom, niegdyś przeciw islamowi, dzisiaj przeciw pangermanizmowi, despotyzmowi, militarystyce pruskiej i przeciw niemieckiemu imperjalizmowi.

Francuzi, broniąc Francji, wierzyli prawie zawsze, iż wytrwają i przecierpią dla ludzkości, aby się stała piękniejszą. Walczą za całość swej ziemi, pełnej mogił, i za niebo, gdzie króluje Chrystus, gdzie wznoszą się ich idee. Umierają za Francję, tak wielce, iż granice francuskie mogą być utożsamione z granicami Boga lub raczej z granicami ludzkości. I dlatego to prowadzą wojnę w nastroju męczenników...

*Tłum. Józef Gluziński.*

MARCEL PROUST

(1871—1922)

SALON HRABINY POTOCKIEJ

Często zdarza się, że powieściopisarze odtwarzają z przedwczesną i proroczą aż do szczegółów dokładnością społeczeństwa, a nawet osobistości, które mają istnieć dopiero w pewien czas po nich. Co do mnie, nie mogłem nigdy odgadnąć sekretów hrabiny de Cadignan, gdzie widzimy, że hrabina, «prowadząc obecnie życie bardzo skromne, mieszka o dwa kroki od pałacu swego męża, w którym za żadne pieniądze nie można było nabyć najniższego piętra, gdzie posiadała ładny ogródek, pełny krzewów i którego murawa, zawsze zielona, rozweselała jej osamotnienie» — nie mogłem nigdy w «Chartreuse de Parme» dotrzeć do rozdziału, w którym widzimy, że od dnia, kiedy hrabina de Piétranera opuściła swego męża, «wszystkie pojazdy eleganckiego towarzystwa oczekiwały całe popołudnie przed domem, w którym zamieszkała», nie myśląc o tem, że Balzac i Stendhal przewidzieli i przepowiedzieli egzystencję hrabiny Potockiej aż do najdrobniejszych szczegółów.

Hrabina Piétranera, hrabina de Cadignan! postacie zachwycające! ani bardziej «literackie», ani bardziej «żywe», niż postać, zresztą tak różna, hrabiny Potockiej.

Ileż to razy myślałem o was (chcę powiedzieć o stronie zewnętrznej waszego życia, nie o waszym życiu, rozumie się), ujrawszy gościa, niechętnie widzianego, gdy dzwonił do pałacyku przy ulicy Chateaubriand i otrzymywał od portjera nielitościwą odpowiedź: «Pani hrabina wyszła», gdy tymczasem powóz księżnej de Luynes lub samochód hrabiny de Guerne, oczekujący przed bramą, mówił aż za wyraźnie, że «pani hrabina» już powróciła. Ażeby nie upokarzać wyproszonego gościa, czekałem, aż się oddali. Wtedy dopiero zbliżyłem się do portjera, który mi wyznał: «Hrabina jest w domu». Gdy tylko drzwi od ulicy Chateaubriand zostały zatrzaśnięte, zdało mi się, jakbym za pomocą czarów znalazł się nagle o dziesięć mil od Paryża, «tak ogródek pełny krzewów i murawy», opisany przez Balzaca, działał na wyobraźnię, zwracając się do niej żywo w języku swej ciszy i w szmerze swej woni. Nigdy pas wtajemniczenia nie był tak trudny do przebycia, aby zbliżyć się do bogini.

W chwili, gdy dotarłem do przedsiönka hrabiny, pozbyłem się wszelkich wspomnień i wszelkich zajęć miejskich i dziennych. Przybyłem również w innym stanie, niż gdybym był zmuszony odbyć długą pielgrzymkę, aby znaleźć jakiś dom odosobniony. Lecz również dla przyczyn zupełnie balzakowskich, które zaraz wyjaśnimy, to wygnanie w samym sercu Paryża nie wystarczyło hrabinie. Trzeba jej było wygnania rzeczywistego, i to teraz zupełnie w głębi Auteuil, prawie u wejścia do Boulogne, pomiędzy jaworami z ulicy Théophile Gautier, kasztanami z ulicy La Fontaine i topolami z ulicy Pierre-Guérin, gdzie codziennie «stadko» hrabiny, wyrażając się stylem Saint-Simon'a w Fénelonie, zmuszone jest odwiedzać dumną przyjaciółkę, która, nie potrzebując nikogo, nie troszczy się o to, że zamieszkuje prowincję, niewygodną dla wszystkich, i która, chcąc dać jeszcze jedną próbę swej pogardy dla ludzkości i swej miłości dla zwierząt, zainstalowała się w miejscowości, gdzie, jak sądziła, żadne stworzenie ludzkie nie dotrze; tam właśnie mogłaby pielęgnować swe psy; w ten sposób ta kobieta, oddana, gdy jest przyjaciółką, doznając przez całe życie kompletnego odosobnienia od wszelkich uczuć ludzkich, okazując ludzkości wzdrgę filozofa-cynika, powątpiewając o przyjaźni, skłaniając się do zasad surowych, szydząc z filozofji, wyrzeka się swej obojętności i upokarza swą dumę przed biednymi, kulawymi psami, którym daje schronienie. Aby je pielęgnować, nie kładła się do łóżka przez rok. Chociaż można było o niej powiedzieć, jak Balzac o hrabinie de Cadignan, «że dzisiaj jest jedną z kobiet najlepiej ubranych», nie ubiera się już, zaniedbuje się, tyje, zajmując się już tylko swymi psami. Wstaje kilka razy przez noc, aby pielęgnować jakąś biedną, epileptyczną sukę, którą właśnie udało się jej wyleczyć. Wychodzi tylko dla nich, w godzinach, kiedy im się to podoba, tak jak wielka artystka, jej przyjaciółka, pani Magdalena Lemaire, która wybrała się na wystawę tylko raz, aby jej Loute zobaczyła wieżę Eifel. I od czasu do czasu w sercu lasku Bulońskiego w alei, osnutej mgłą poranną, «przytrzymując ręką swą obrożę, która się wymyka», okrażona wyjącą sforą ukazuje się hrabina i jej biała piękność, podobna do obojętnej Artemis, którą poeta ukazał nam w takim samym zaprzęgu:

Oto godzina, w której poprzez ciernie i trawę  
Okrażona psami... wspaniałemi  
Niezwyciężona Artemis olśniewa las.

Przeniosła się do Auteuil, ponieważ psy jej czyniły za wiele hałasu w Paryżu i przeszkadzały sąsiadom. Ale jej «stadko» poszło za nią. Wszyscy wierni, księżna de Luynes, wdowa, pani de Brantès, markiza de Lubersac, markiza de Castellane, hrabina de Guerne, wielka śpiewaczka, którą dziś już wymieniłem, markiza de Ganay, hrabina de Bearn, hrabina de Kersaint, p. Dubois de L'Estang, markiz du Lau, jeden z tych niezwykłych ludzi, którym tylko zmienność życia politycznego przeszkodziła, aby służyli w pierwszym szeregu i błyszczeli na pierwszych miejscach; czarujący książę de Luynes, hrabia Mateusz de Noailles, którego wspaniały portret wystawił właśnie w salonie książę de Guiche; hrabia Castellane (wspominaliśmy o nim, mówiąc o salonie pani Magdaleny Lemerre, o którym znowu wkrótce będziemy mówili), markiz Vittelleschi, p. Widor i wreszcie p. Jan Béraud, o którym mówiliśmy już

w tym samym salonie pani Magdaleny Lemaire; sława, talent, urok, czar, serce, rozum poszłyby na koniec świata, aby ją odnaleźć, bo bez niej nie mogłyby się obejść. W dodatku, na początku, gdy nie zdawała się zauważać, dali jej odczuć, że aby ją zobaczyć, odbyli podróż dość trudną. «To bardzo ładne» — powiedział jej hrabia de la Rochefoucauld, kiedy pierwszy raz odbył pielgrzymkę. — «Czy jest coś ciekawego do obejrzenia w okolicy?» Pomiędzy gośćmi codziennymi hrabiny znajduje się jeden, którego nazwisko jest szczególnie lubiane przez czytelników tego dziennika, przyzwyczajonych odnajdywać w jego kronice pewien rodzaj myśli filozoficznych, zastosowanych w sposób zajmujący, jak w artykule o manji pisania, który dosięgnął, jeżeli nie wskazał, tylu młodych ludzi ze świata, nie posiadających powołania literackiego. To hrabia Gabriel de Rochefoucauld. Wszyscy widzieliście tego młodego człowieka, który posiada jasne oczy swej matki, podobne do dwóch odziedziczonych kamieni drogocennych. Lecz raczej zamiast wam o nim powiadać, gdyż nie jest w zwyczaju, aby współpracownicy się tu nawzajem wychwalali, wolę przytoczyć opinię o nim sędziego upoważnionego: «Będzie on nadzwyczajnym talentem» — powiedział ostatnio p. Eugenjusz Defeuille — «będzie sławą swego świata i również jego zgorzeniem».

Urodzona Pignatelli, hrabina Potocka pochodzi od Inocentego XII, o którym Saint-Simon tak pięknie powiedział: «Był to papież wielki i święty, prawdziwy pasterz i prawdziwy ojciec ludu, taki, jakiego się obecnie bardzo rzadko widuje na ambonie Saint-Pierre, taki, który dozwalał na ogólną skruczę, dopełniając ją błogosławieństwem i zasługą. Nazywał się Antoni Pignatelli, ze starego domu w Neapolu, gdzie był arcybiskupem, gdy został wybrany 12 lipca 1691. Był urodzony w Polsce, etc... papież, którego pamięć winna być cenna dla wszystkich Francuzów, a szczególnie dla domu panującego» (Saint-Simon, str. 364 i 365 tomu II, wydania Chéruel). Ta część genealogii hrabiny Potockiej nie wydaje się nam obojętną. Zdaje się, że odnajduję w niej gorliwego patriotę, przyjaciela Francji, wiernego rojalistę i, ośmielę się powiedzieć, trochę również wielkiego inkwizytora, jakim był jej przodek. Z pośród jej przyjaciółek hereetyczek (wyłączam, naturalnie, tak jak jedną lub dwie inne, wytworną panią Cahen, dla której ma głębokie uczucie, i kobietę tak godną uwagi, jaką jest pani Kann, którą zabiera chętnie do Opery), gdyby działo się to w innym czasie, stawiam sobie często pytanie, czy nie zaprowadziłaby ich z większą jeszcze przyjemnością na stos. Ma ona umysł wolny od wszelkich przesądów, lecz wierny wierzeniom socjalnym. Jest pełna kontrastów, bogactw i piękności.

Znała ona wszystkich najciekawszych artystów z końca stulecia. Maupassant bywał u niej codziennie. Barrès, Bourget, Robert de Montesquieu, Forain, Fauré, Reynaldo Hahn, Widors jeszcze tam bywają. Była również przyjaciółką jednego filozofa. Tu jeszcze odnajduję małą siostrzenicę papieżów, pragnącą upokorzyć dumę swego rozumu. Opowiadanie żartów, jak mówią, sławnemu Caro, stale przywodzi mi na myśl historję Campaspe, każącemu Arystotelesowi chodzić na czterech łapach, jedno z niezliczonych opowiadań starożytnych, które średniowiecze przedstawia w swych katedrach, aby wykazać niemoc filozofji pogańskiej w celu ochrony człowieka od namiętności. W farsach więc, przypisywanych przez legendę hrabinie Potockiej, a których filozof-spirytualista stałby się oliarą uśmiechniętą i zrezygnowaną, zdaje mi się, że widzę obok radości neapolitańskiej jakby wyłączną myśl atawistyczną, niesumienną troskę broniącej chrześcijanki.

Ci, którym raz udało się przewyciężyć wyszukane dziwactwa tego stworzenia, dumnego i rzadkiego, przyjęli przyjaźń jej z taką emocją, że nie mogą wyrzec się jej zniewalających radości, ponieważ hrabina jest zawsze sobą, to jest tem, czem nie potrafiłaby być żadna inna, przyciągająca dlatego też, że tkwi w niej to nieznanne, które ma nadejść, gdyż nie jest niestała, lecz zmienna.

Zrozumiałe jest, że mogła być pociągająca z jej pięknnością antyczną, jej majestatem rzymskim, wdziękiem florenckim, a przebiegłością neapolitańską, jej uprzejmością francuską i rozumem paryskim. Co jej pozostaje z Polski, która była również jej ojczyzną (ponieważ poślubiła człowieka zachwycającego i dobrego, jakim jest hrabia Potocki), sama powiedziała w jednym z tych żartów, które tak nie zgadzały się z jej majestatem statui, z jej głosem świegotliwym, najdelikatniejszym



z instrumentów, na którym grać umiała jak wirtuozka. Pozwolimy sobie przytoczyć to na zakończenie.

Pewnego dnia, gdy było jej zimno i gdy starała się ogrzać, nie odpowiadając wiernym, którzy ją witali i którzy, trochę onieśmieleni brakiem odpowiedzi, odzywali się głosem cichym i nieśmiałym i całowali z szacunkiem rękę, którą im podawała, nie zwracając uwagi (jestem piękna, o śmiertelni, jak marzenie z kamienia), wskazała jednej z osób, obdarzanej większą łaską, piec, przy którym się grzała, i wykrzyknęła z melancholią lub też z radością: «Mój Cherboursky! to wszystko, co mi pozostaje z Polski».

*Tłum. K. L.*

## CLAUDE FARRÈRE

(ur. 1873)

### BITWA POD CUSZIMĄ (LA BATAILLE)

#### XXXII

Ostre i przenikliwe trąbki japońskie rozbrzmiewały od końca do końca okrętu, od szpardeku do dolnych kajut, wzywając do przygotowań bitewnych. Yorisaka Sadao, podnosząc klapę, przedostał się do wieży obronnej.

— Baczość!

Wyprostowany jak kij podoficer salutował, zderzywszy obcasy, z ręką u daszka. Załoga: kwatermistrze i majtkowie zwrócili w stronę komendanta dwanaście twarzy, uśmiechających się z uszanowaniem, i dwanaście ust, świszczących lekko przy oddychaniu, jak to zwyczaj każe w Japonji, gdy się chce okazać duży szacunek.

— Spocznij! — rzekł Yorisaka.

I rozpoczął krótkotrwałe, lecz ściśle badanie.

Wieża była niskim pokojem bez drzwi i okien, pokojem sześciokątnym, długim na dziesięć metrów, szerokim na ośm, opancerzonym wszędzie grubą stalą. Trzy czwarte przestrzeni wypełniały oba ogromne działa; niewielką resztę zajmowały łożyska, osady, lawety, windy, tłoki, wyciory, celowniki, lunety, podstawy, przewodniki i wszelkie rury wodne i do zgęszczonego powietrza, przewody elektryczne oraz cała zawila gmatwanina żelaza, miedzi i brązu — wszystko to niezbędne dla operowania dwoma okrętowymi działami największego kalibru. Sześć lamp łukowych obejmowało i przenikało każdy mechanizm silnem, jaskrawem światłem bez cienia. Światło dzienne wnikało tu błękitnąwą tęczą, sącząc się przez krągłą szparę podwójnej strzelnicy między opancerzeniem a działem.

Yorisaka Sadao zbadał oba działa, sprawdzając wszystko pokolei i zazierając każdemu człowiekowi załogi w twarz. Poczem, doszedłszy do znajdującej się pośrodku drabinki, przebył jej trzy stopnie i usiadł na siedzeniu komendanta. W tej pozycji głowa jego sięgała poza opancerzony sufit wieży i znajdowała się w otworze centralnej kopuły. Kopuła ta, również opancerzona, tworzyła kask. A Yorisaka Sadao, chroniony w ten sposób od nieprzyjacielskich strzałów, widział jednakże doskonale całe pole bitwy przez trzy dość duże otwory, rozmieszczone w opancerzeniu. Poza tem mógł się również łatwo skomunikować przez nie z kanonierami i obserwować sprawność dział.

Usiadłszy, pochylił się najpierw i spoglądał wdół, na nieruchomą i czujną wieżę. Niezwykle wrażliwe potęgi sprawiała ta straszna maszyna i tych trzynastu ludzi, jej żywa krew i nerwy. Człowiek, który tem wszystkiem kierował, trzymał doprawdy w ręce grom straszliwszy nad gromy niebios. Yorisaka Sadao w napływie dumy zacisnął pięści. Potem, natychmiast spokojny, podniósł głowę i popatrzył przez otwory kasku, poprzez trzy otwory, metodycznie od lewej do prawej strony.

Morze, wciąż zielone i głębokie, burzyło się pod nieprzebitym całunem ciężkich chmur. Tylny pokład, widziany z góry, zdawał się być tratwą trójkątną, zalewaną i ociekającą falami. Flota zmieniła kierunek. Płynęła teraz na wschód, ku Cuszimie; każdy statek starał się zachować swe miejsce w linji, zachowując odstęp od drugiego

o przepisane czterysta metrów. Ciągnęła się linja blisko trzydziestu okrętów z «Mikazą» na czele i «Iwate» u końca. Za «Mikazą» posuwał się «Nikko», za nim «Szikiszima», a za tą pierwszą dywizją, kierowaną osobiście przez starego Togo, posuwały się wreszcie w pięknym porządku wszystkie inne, dywizja Kamimura, dywizja Simamura, wszystkie pancerniki, wszystkie pancerne krążowniki, cała żywa potęga cesarstwa. Na spienionych i szerokich śladach okrętów widział Yorisaka Sadao zbliżające się wysokie szare sylwety, najeżone armatami. A umocowane do każdego masztu flagi Wschodzącego Słońca zdawały się zlewać na statki i morze pierwsze blaski sławy tej krwi, co się za chwilę poleje...

— Przechylić! Wieża na lewo!... Stop!... Wieża na prawo!

Kanonier, siedzący między dwoma działami, z lunetą przy oczach, opierał się na kolbie działa. Łagodnie zabrzączał motor elektryczny i lekko, jak zabawka, obracała się ogromna wieża od prawej ku lewej stronie, od lewej do prawej, unosząc jak słomkę, bez hałasu i wstrząsu, ludzi, maszyny, działa i opancerzenie. Przed oczyma Yorisaki Sadao przesuwał się horyzont, jak nieskończone płótno ruchomej dekoracji. Od tryborku pojawiła się daleka eskadra w pióropuszcach dymu, eskadra krążowników, śpiesząca widocznie na swój posterunek — zapewne Dewa, a za nim Uriu... Od strony bąbortu mgła tworzyła zasłonę i nie widać było jeszcze wroga, bliskiego już jednak.

Dzwon wybił dwa razy, potem jeden raz — wpół do drugiej. Zabrzmiała trąbka trzy razy przeciągle, dwa krótko: — Gotujcie się do walki od bąbortu. — Jednym znakiem oddał Yorisaka rozkaz kanonierowi. Wieża obróciła się frontem do przypuszczalnego przeciwnika.

— Nabijać działa!

Jedynie krótkotrwały dźwięk łańcuchów zdradził manewrowanie windami działowymi. Milcząca obsługa zwijała się żywo i z cudowną wprost dokładnością. Otworzyły się zamki dział, oba naboje zapadły się w czarne naoliwione komory prochowe, oba tłoki potoczyły się na swych kołach. Czas nabijania oddały wyraźne odgłosy: metaliczny dźwięk pocisków, uderzających o ściany wnętrza, szelest jedwabnych ładownic, wpychanych rękoma pokolei, żywy trzask zamykanych zamków... Yorisaka Sadao, z zegarkiem w ręku, uśmiechnął się: dwadzieścia cztery sekundy, niemal że rekord! Niechże Rosjanie dokażą tego lepiej, jeśli mogą...

Zapanowała znowu cisza. Przez otwory opancerzonego kasku wciąż jeszcze widać było tylko mgłę i morze. Cierpliwy Yorisaka Sadao przerwał obserwację. Wziął swój telemetr i sprawdził go skrupulatnie. Lustra nie były zupełnie równoległe do siebie, poprawił błąd. Telemetr wieży, mój Boże, to nic nadzwyczajnego. Lecz gdyby zabrakło telemetrów w blokhausie, jak to było 10 sierpnia... W braku miecza dobył bohater Yoszits'ne wachlarza...

Yorisaka Sadao odłożył telemetr i raz jeszcze podniósł głowę. Kiedyż ta mgła się wreszcie rozejdzie?... Ach! znowu: pojawił się sygnał na linkach, i «Mikaza» przepłynęła nagle na lewo...

Zadźwięczał dzwonek elektryczny. Na sygnałowej tablicy zapłonęły dwie lampy; wskazówki obróciły się na tarczach. Raz jeszcze trąbki całej floty zabrzmiały przenikliwie. Yorisaka Sadao wyprostował się nagle na siedzeniu i zakomenderował:

— Gotujcie się do walki od tryborku!... Wieża na lewo! Czwarta szybkość!

Wieża już się posłusznie obracała.

— Odległość: siedmset trzysta metrów! Poprawka: pięć tysięcznych na prawo! Stój! — Yorisaka Sadao pochylił się, zatapiając wzrok w mętną linję widnokregu, gdzie się niebo z ziemią zlewało... Tak... Tam na południe... pośród nagromadzonych na horyzoncie nieprzebitych chmur... wznosiły się czarniawe kłęby dymu — trzy, cztery, pięć, w równych odstępach... siedm, osiem... i dalsze jeszcze... dwanaście, piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści...

— Nabijać działa!

Spokojny głos nie zadrżał ani trochę.

Zadźwięczał telefon. Yorisaka Sadao zdjął słuchawkę:

— Halo!... Tak... telegrafuje admirał?

Pochylił się twarzą do kanonierów i powtórzył bez słowa objaśnienia.

— Admirał telegrafuje: «Zbawienie cesarstwa zależne jest od wyniku tej bitwy. Niechaj więc każdy spełni swój obowiązek!»

Tym razem mniej już spokojny głos zdrzął nieco.

Ale natychmiast powrócił do oschłego chłodu:

— Ośmdziesiąt stopni! Celujcie w czoło linji... tak, na lewo, w statek z dwoma kominami... Baczność!...

Yorisaka Sadao ujął znów za telemetr i sprawdzał odstęp, kreślone stopniowo na tablicy sygnałowej:

— Siedem tysięcy sto!... Sześć tysięcy ośmset!... sześć tysięcy czterysta!...

Przerwał na chwilę. Tam na wyraźnych już teraz okrętach nieprzyjacielskich zapłonęły nagle błyski, i Rosjanie rozpoczęli ogień... z za daleka być może...

— Sześć tysięcy metrów!...

Znów przerwał. O niespełna sto metrów od «Nikko» wzniósł się ogromny zwal wody i rozsypał się drobnym deszczem — pierwszy pocisk uderzył w morze, pierwszy pocisk w tej decydującej walce, rzucony przez Zachód ku Wschodowi... Yorisaka Sadao zmierzył pogardliwym wzrokiem wysokie białe zjawisko, już się wśród fal rozplywające. Tyle tego wszystkiego: trochę rozwianej mgły. Kiepsko strzelali...

— Pięć tysięcy dziewięćset!...

Tu i ówdzie pośród fal wybuchały nowe pociski, wszystkie jednak chybiały celu. Tak, Rosjanie źle strzelali. Przeminięła nieskończona minuta. Wreszcie brutalny pomruk, podobny do brzęku skrzydeł olbrzymiej pszczoły, oznajmił za daleki rzut... I jakgdyby ten za daleki rzut był wyczekiwany sygnałem do odpowiedzi, rozbrzmiała bliska detonacja: pierwsza japońska salwa...

— Pięć tysięcy dziewięćset!

Wciąż nieskazitelnie wyraźny głos rzucił urywanymi zgłoskami:

— Rozpocząć ogień!...

Błękitnawe światło dzienne, sączące się poprzez podwójną strzelnicę między opancerzeniem a działem, zmieniło się nagle w purpurowy, olśniewający blask.

Straszliwy wstrząs zachwiał wieżę, jak trzcina w czasie burzy. Straszliwy grzmot, grzmot, o jakim żaden ziemski trzask nie mógłby dać wyobrażenia, rozdarł i ogłuszył uszy wszystkim dokoła, czyniąc wszystkich przez szereg sekund głuchymi i pijanymi niemal. A ogromne działa, ciężkie każde, jak gromada ludzi, potoczyły się o trzy stopy wstecz, szybciej, niżli wprawny strzelec obróci kurek rewolweru. Lecz już chłodny, spokojny głos Yorisaki Sadao przywrócił obsłudze przytomność umysłu i zimną krew.

— Pięć tysięcy sześćset metrów!...

## XXVIII

Herbert Fergan pod osłoną rąk zapalił papierosa. Przebywał poza obrębem blokhauzu, by nie przyczynić się do natłoku i tak już w ciasnej komorze pancernej, gdzie zwijali się komendant, oficer manewru, oficer artylerji i pomocnicy ich. Stał w odsłoniętym miejscu na mostku i z flegmą patrzył na pękające wkóło pociski rosyjskie. Był odważny. Po należytem zapaleniu papierosa przyłożył znów lunetę do oczu i począł studjować walkę obu flot. Patrzył zwolna, z drobiazgową uwagą, z zawodową ciekawością śledził objawy zmęczenia lub klęski u jednych i drugich zażartych przeciwników. Tu rozdarł się mur, złamał maszt, zewnętrzne zabudowania statku poszły w drzazgi. Tam zwałił się komin, wieża została zgnieciona, zniesiony blokhauz. Profil statków, wyraźny i geometryczny zrazu, zniekształcał się, chylił, strzępił złomami i gruzami. Od czasu do czasu odkładał Herbert Fergan lunetę, otwierał notes, spoglądał na zegarek i zapisywał jakiś epizod bitwy. Bezustannie wyły działa, tak silnie, że ogłuszone uszy nie odczuwały już tego. I widząc wciąż jednaki i płomienny blask, którym «Nikko» owiany był jak aureolą sławy, stwierdzał Fergan nietkniętą jeszcze moc japońskiego ognia. Natomiast naprzeciw już mniej gęsto walący statki rosyjskie, już nawpół spalone kłocę, co już więcej iskier siać nie mogą. Herbert Fergan obrócił się na obcasach i jednym rzutem oka obiegił cały krąg horyzontu. Obie ścierające się

linje biegly równolegle ku wschodowi, jedna regularna i nalezycie manewrujaca, druga w nieporzadku i poczynajaca sie rozluzniac. Sprawdzaly sie zatem przepowiednie: Rozdzestwieskij nie utrzyma sie przeciwko Togo. Olowek stenografowal na notesie: «godz. 2:35 bitwa wygrana. «Ostabja» opuszczony, oderwany, «Suworow» niezdolny do walki, «Nikko» zadnych wiekszych szkod». Przewidujacy Herbert Fergan usmiechnal sie. Nie dlatego, zeby mu zwyciestwo japonskie na sercu lezalo! Co najwyzej sympatja jego mniej sie sklaniala ku brutalnym Moskalom, niz ku tym Japoneczykom, u ktorzych zaznal tak milej, subtelnej, rozkosznej gošcinnošci... Ale cokolwiekby o niej myslano, flota Toga byla wlasciwie angielska, zbudowana w Anglii, uzbrojona w Anglii, wywiczona, przygotowana do wojny wedle metody i zasad angielskich. A brytanska próżnošć widziala korzyšć dla siebie w tem waznem narodowym zwyciestwie.

— All right! Do godziny skonczy sie to wszystko. Ale trzeba dożyć tego czasu!...

Szósty czy siódmy pocisk rozpękl się na szpardeku, miażdżąc tu i tam kilka trupów. Fergan z obojętnością pochylił się: pomost przed chwilą jeszcze czysty i gładki, jak posadzka salonu, był już tylko chaosem różnych rzeczy, zniekształconych, pomieszanych, splecionych, rozdartych, złamanych. Spływała krew. Oderwane członki ciał mieszały się z otwartymi wnętrznościami. Rozdarty, spustoszony, postrzępiony pancernik z niemniejszą jednak furją pluł śmiercią w twarz wroga. I Fergan, zgłębiwszy jednym spojrzeniem te rozwarne, lecz niegłębokie rany, powtórzył zdanie, nakreślone przed chwilą na kartce notesu:

— «Nikko», żadnych większych szkód...

W chwili, gdy wymawiał ostatnie słowo, potracił go oficer, wybiegający z blokhauzu, lecz uprzejmie, mimo gorączki chwili, skłonił się, by przeprosić, poczem znów pognął.

— Ejże! O-Takomori san, gdzie pan tak biegnie?

Wicehrabia Hirata zstąpił już ze schodków łączącego mostu. Zatrzymał się jednak grzecznie, by jednym słowem zadowolić ciekawość angielskiego gościa:

— Naprawić komunikację blokhauzu z wieżą tył...

Ostatniej zgłoski nie dosłyszał już Herbert Fergan. Znowu uderzył granat, tym razem w sam blokhauz... granat wielkiego kalibru z lontem.

Fergan usłyszał straszny huk, ujrzał mgłą koloru ochry, jaskrawą, stokroć jaskrawszą od słońca... i podniósł się ciężko, z trudem, z okropnym wysiłkiem rąk i nóg, z daremnem sileniem się w odrętwiałym mózgu, który nie pojmował już, nie mógł pojąć...

Zniknął most i blokhauz. Na miejscu ich był... był metal... żelazo, miedź, brąz, zmieszane, stopione, pogmatwane... metal w strzępach, w szarpie, w koronki delikatne... Wszystko to czerwone jeszcze od ognia, czarne od popiołu. Z wysiłkiem zdawał sobie Fergan sprawę: granat zniósł wszystko, stopił, rozwiął... I wszyscy zginęli... wszyscy, komendant, oficer artylerji, oficer manewru, obsługa... wszyscy, z wyjątkiem niego, Fergana, który się tylko instynktownie rzucił na ziemię tu, na szpardeku, o dwadzieścia metrów od miejsca wybuchu... Podniósł się, spojrzął wkoło. Tuż obok niego leżała w brunatnej kałuży równo odcięta głowa, jakgdyby sztuczna. Tak szybko została zerwana, że znieczulone nagle mięśnie nie zdołały z niej spędzić uśmiechu...

Zdziwiony dźwiękiem własnego głosu Fergan mówi:

— Wszyscy... tak... wszyscy padli... Czekać, nie! Nie wszyscy...

U szczytu płonących jeszcze gruzów, pośród płomieni i żaru pojawił się człowiek, jak widmo. Uczepiony, niewiadomo czego i jak, chylił się ponad tubą akustyczną, sięgającą w głąb okrętu, do centralnego miejsca, gdzie schodzą się głośniki steru i maszyn, i w ziewającą tę tubę rzucał rozkazy, kierował manewrem, który schronieni tam w dole ludzie wykonywali, nie wiedząc nic o strasliwym posterunku tego, co służył mu za oczy, uszy, inteligencję, i który, mimo grożącego mu w każdej chwili zapadnięcia w to żarowisko nie do nazwania, niewzruszenie wiódł ku zwycięstwu wciąż walczący pancernik...

— Hirata Takamori!...

Chwiejąc się jeszcze, rozszerzał Herbert Fergan oczy i ze zdumieniem patrzył na stojącego na swym strasznym piedestale japońskiego oficera. Wybuch granatu zrzucił

go zapewne również ze zburzonego mostku... I nie tylko odbłask ognia, ale i krew oblała purpurą jego czarny mundur... Ale za ledwie powalony, odnalazł już w swej cudownej energii, w dumie swej rasy dajmów, większy stoik od Zenona i jego szkoły, nadludzką siłę, by jednym zamachem otrząsnąć się ze swego odrętwienia, i instynktownie skoczył ku najbliższemu, najgroźniejszemu posterunkowi bitwy...

Zawstydzony Fergan uczuł napływający rumieniec: Japończyk dokonał tego, gdy tymczasem on, jakkolwiek nieraniony, został na ziemi, odrętwiały, nieprzytomny...

Herbert Fergan zrobił nagle półobrotu i oddalił się w tył, stąpając wolnymi krokami i wypinając pierś, by dorównać, dla honoru Anglii, wytrwałości Hiraty Takamori...

*Tłum. Leon Sternklar.*

## PIERRE DRIEU LA ROCHELLE

(ur. 1893)

### POCISK

Niektórzy wloką w swej głowie potężny pocisk umysłu, który w spokojnej ulicy przechodnie trą w niezłożoności ich prostej mechaniki.

Siła idei, wieczna pogróżka niszczenia.

Ona jest potęgą przeciw ścianom mojego bytu, jak proch przeciw łusce stałowej pocisku.

Owo zaprzeczenie we mnie tego wszystkiego, co jest poza mną, kielkuje niespójnie z dziejów w rytmach przemożnych.

Idea pragnie zniszczyć świat, aby go złożyć na nowo, według nowego porządku.

Panowanie idei. Ludzie, których ona posiada, są aroganckimi i nieublaganymi namiestnikami swego mistrza.

Duma idei, która wymierza dziesięć tysięcy dział przeciw mięsu tłumów.

Pragnienie, które pęka tysiąc i tysiąc razy z dzikim łoskotem i miażdży w pył, i rozszarpuje w kawałki.

Idea, pragnienie lub także wola.

Słowa są ciemne i niełamlive, lecz są obrazy a niemi jest ta linja, parabola, która rozplomienia się.

O, mój przyjacielu, dostajesz konwulsyj z przerażenia, bo wydelikaczone twe zmysły są bystre i wybujałe troską zwalczanego tłumy.

Lecz jako iż nienawidzisz innych, należy ci odpowiedzialność wziąć za tę boleść, ponieważ nosisz w sobie Ideę.

A idea jest dumą istnienia, dumą świata.

Idea jest wybuchająca, idea jest pękająca.

A jest szaleństwo w idei. Należy się jej triumf siły. Należy się jej czas i przestrzeń.

A wśród zelatorów pokoju są wojownicy.

Są ludzie, którzy w pokoju nie szukają słodyczy ciała, lecz wielkości jednomyślnej.

Są cierpliwi wojownicy, którzy walczą w służbie pokoju. Wierzą, że ich energia zużywa się w służbie zniewieściatych mas. Lecz są to zwierzchnicy, a przemoc jest w mózgu zwierzchników. A ich idea wydyma sztandar, który jest czerwony. Świat został stworzony dla marzeń zwierzchników. Oni go układają w wilgotnej materji krwi.

Zasadą zaś rzeczy jest, aby powstało marzenie przeciw innemu marzeniu, a zatem tryska muzyka i zawsze warczy bęben wojny.

(«*Interrogation*»)

*Tłum. Józef Gluziński.*

## SĄD AUTORA O SAMYM SOBIE

Pisać to nie znaczy stwarzać obrazy, jak myślą ci, których wytworność opóźnia się w każdym zdaniu, pomiętem, jak kwiat papierowy. Lecz nie rozumieją oni życia, które mogłoby połączyć te zdania i wciągnąć je w ruch dość szeroki, aby wyrazić całą ich istotę. Jednakże nie mają prawa powiedzieć, że piszą, jak ci, których mowa od początku do końca naszpikowana jest pośpiechem, nagłym wszystkim częściami. Tylko tamci mają styl: to konieczność, która co chwila daje się odczuć przez ruch.

Ludwik Aragon, Andrzej Breton należą do tych, w rękach których zdanie staje się lekkie. Dla mnie, w każdej z tych książek jest kilka stron, gdzie przeszedł ten pęd serca, który pozostawia za sobą rozprawę żywą i aktualną. Na nieszczęście, nigdy nie mogłem wydać całej książki; fragmenty te, wytrysły z mej duszy, próbuję z móżdżkową błahością przetrwać w ciężki cement, aby wybudować fasadę o wyglądzie zwodniczym, który zwodzi tylko moje oko, oko leniucha. Lecz nieszczęście temu, kto nie może skończyć nawet jednej książki: całe jego dzieło rozpadnie się i najgorsze popłacze się z najlepszym.

*Tłum. K. L.*

## HENRI DE MONTHERLANT

(ur. 1896)

## TYBR I ORONT

Dwie filozofje sprzeczą się o świat, gdziekolwiek naprzemian zdobywały swoje panowanie. Pierwsza, kobieca w swoim geniuszu, oparła się na niesprawdzalnym; dla celów, które są przedmiotem tej książki, wystarczy powiedzieć, iż ona usiłuje zlekceważyć ciało. Na wschodzie urodzona, jak jego miraż, i połączona z jednym z nich, wydała na świat utopję, ta zaś urodziła nieład. Aleksandryzm, mesjanizm, chrystjanizm, bizantyzm, reformacja, pomysły wolności i postępu, francuska rewolucja, romantyzm, humanitaryzm i jego podprodukty (liberalizm, kosmopolityzm, pacyfizm), na koniec bolszewizm, oto jej potomstwo. Na jej pieczęci wyżłobione jest serce. Druga, męska, ugruntowała swój byt w naturze i rozumie: duch i ciało. Dąży do skończoności i usiłuje zaprowadzić w niej porządek, to jest wartość jakości. Doszła ona do swego wyrazu w starożytnym Rzymie, po zdobyciu Grecji. Wzniciła rzymski katolicyzm, renesans, pojęcie tradycji i autorytetu, klasycyzm, nacjonalizm, protekcyjnizm materialny i moralny.

«Cała choroba współczesna sprowadza się do następnego: stopniowe obniżanie od pięciuset lat rzymskości w dziedzinie religij, polityki, prawa, moralności i społecznienia, hellenizmu zaś w dziedzinie literatury, wiedzy i sztuki. Dotknęliśmy najniższego punktu krzywizny wówczas, gdy hellenizm i rzymskość nie tylko że prawie już nie istniały, lecz nawet były urzędowo zaprzeczane, w latach 1900 do 1910. Od tego czasu zaznaczyła się reakcja, której pierwsze zwycięstwa polityczne, socjalne, literackie zostały odniesione przed naszymi oczyma. Nie pomyślę się, jeśli podkreślę tę ideę, jako głęboką ideę pana de Montherlant». Nie, p. Piotr Dominique, który napisał to zdanie po przeczytaniu «Snu», nie mylił się.

*Iam pridem syrus in Tiberim defluxit Orontes  
Et linguam et mores et cum tibicine chordas...*

«Oddawna Oront syryjski wpada do Tybru, przynosząc i mowę, i obyczaje, i flecistów, i cymbalistów do kraju, który użyźnia». Skarga Juwenala jest naszą skargą. Domagamy się tamy przeciw Orontowi.

Mój przodek, członek Zgromadzenia Narodowego, został zgilotynowany przez rewolucję, skierowaną przeciw dalszemu życiu duchowemu Rzymu. Mój pradziadek, członek Zgromadzenia Ustawodawczego, «szef opozycji legitymistów w czasie drugiego Cesarstwa» (przytaczam Larousse'a), był szefem sztabu ultramontanistów. Mój dziadek, papieski żuaw, bronił orężnie tej samej sprawy dziedzictwa-Cezarów. Więc baczność! Przytaczam ich tutaj nie dlatego, że byli obrońcami katolicyzmu, lecz jako obrońców ładu

tybryjskiego, którego partją jest katolicyzm. Zatem, w godzinie zamętu, gdy powróciłem z wojny i skoro po raz pierwszy wszedłem w świat towarzyski — gdyż studia i wojna były u mnie jakby z jednej sztuki materji — instynkt, który mię skierował na miejsce igrzysk i który mię na niem utrzymuje, uznany za dobry przez moją inteligencję, przez moją rozkosz i moją krew, ten instynkt zaprowadził mię, bez współdziałania jasnego mojej świadomości, do wnętrza ładu, dokąd mię przeczuciła moja tradycja i mój wybór. Sport kontynuował w mojem życiu tę rzeczywistość wojenną, którą wiecznie oznacza symbol Tybru, w środowisku świata, zbudowanego na ugruntowanej zasadzie widzenia rzeczy takimi, jakimi nie są. I w tem znaczeniu, jako iż dla mnie był on pobudką, mogę powiedzieć bez nadużycia wyrazu, iż on mię ocalił.

Zaprawdę, wszystko, co tworzy moral sportu:

ideał władzy w funkcji ideału jakości;

to, co jest, zdążające ponad tem, co następuje;

to, co się mierzy, ponad niezmiernem;

to, co jest silne, ponad słabem;

rozum ponad sentymentem;

ciało przywrócone osobowości i godności i oczywiście odróżnione od cielska;

hierarchiczny i arystokratyczny charakter organizacji i dyscypliny;

pojęcie braku wartości, podstawione pod pojęcie grzechu;

wyłina ciała (zaprawianie się), ubrania (obnażanie się);

egzamin (styl) obyczaj (lacedemonizm);

ograniczenie i jego skutek, najmniejsza rola misterjum;

μυστήριον;

serce—odwaga, serce — ognisko cnoty;

dzieło ciała, osądzonego za szkodliwe nie z powodu krnąbrności wobec prawa, napisanego w niebie, lecz z obawy o wartość;

reguła przebywania «w środku akcji», zastosowanie bezmiernego prawa, sformułowanego przez Hezjoda, prawa, które rządziło starożytnym światem: *połowa jest o wiele większa niż całość*;

za sedno rzeczy uważana zdolność, nie oczekująca zapłaty (życie jako talent);

śluszną miarą małej wartości realnej, jaką mają wyniki, jednakże postępowanie we wszystkim w ten sposób, jakgdyby one były najważniejsze (życie jako partja piłki nożnej: rzecz ułożona, że należy brać życie poważnie): wszystko to wypływa z pewnego rodzaju filozofji, która była w swoim całokształcie filozofją antyczną, a którą oznaczaliśmy mianem Tybru.

Przerwałem pisanie tych kartek, aby iść na nieszpory — jest to dzień Wniebowstąpienia — i, gdy uczestniczyłem w nabożeństwie, napłynęło na mnie falą wspomnienie jednej chwili, gdy — ponad partją piłki nożnej, którą grałem, rozlegał się idący z oddali dźwięk dzwonu na Anioł Pański. W dole kłótnia zarozumiałość, nieczuła, pełna drygów, cała ograniczona i spiętrzona ku rzeczywistości, a potem, zstępując z góry, jak Oront, który naniósł swoje miękkie wody do Tybru, słaba harmonja, która w ostatnich swoich skurczach wprawiała w omdlenie i niepoznawalność świata. «Oto wszystko» — zawołałem, nie wypuszczając piłki nożnej z pod uwagi wzroku (grałem na tyłach i nie byłem niepokojony). «Siła, piękno, mistyczny — Rzym, Ateny, Betelem: — oto kompletna chwila. Ach! oby się wydłużyła, celem opanowania mego życia!».

(«*Le Paradis à l'Ombre des Epées*»)

Tłum. Józef Gluziński.

#### CHLEB PIĘKNOŚCI

Dominika pozostawała tak ściśle na śladzie Zuzanny Kestner, że utrzymywała bez trudu swe spojrzenie na niebieskiej żyłce, przecinającej wypukłą tydkę młodej dziewczyny. Uregulowała swój krok z krokiem Zuzanny; ich ruchy uzgodniły się ze sobą, jak zęby jakiegoś mechanizmu; ich kroki stały się regularne, jak pięć kroków przepisowych, które trzeba zrobić pomiędzy dwoma płotami. A głowa następnej zajmowała tak dokładnie otwór zrobiony w powietrzu przez głowę prowadzącej, że wiatr nie docierał do jej twarzy.

Był to jej bieg ulubiony, jej «kochane tysiąc metrów», jak mówiła; kończono przedostatni obrót tego poranku. Z początku pozwoliła się wziąć o głowę nierozsądnym dziewczynom, prędko zadyszanim i prześcigniętym, których uderzeń nóg o murawę nie słyszy już nawet poza sobą. Pierwsze koło przebiegła na samym końcu gromady, odczuwając szczególną radość w skromności pełnej dumy. Później, przez odpadnięcie innych, znalazła się, nie posunąwszy się, za Zuzanną, starą i trudną rywalką, i między dziewczynami o równej prawie wartości. Wszystko się teraz sprowadziło do kwestji zręczności.

Jakże lubiła tę zręczność sportów, tę radość zręczności, która łączy się z radością ciała w całość nie mającą równej! Instynktem zwróciła się do sposobu, wprowadzonego w atletykę, bo to ją bardziej pobudza, gdy wyścigi szybkości, konkursy skoku i rzutu nie dawały jej tego samego podniecenia, wprowadzały bowiem w grę tylko wartość ciała i techniki. W tej chwili rozróżniała jednocześnie swą przezorność, swą umiejętność biegu, swą postawę, swą przytomność umysłu, swój rozległy układ oporu naturze i wreszcie swobodę i moc swych nóg, swe zaciśnięte policzki, które nie drżą, gdy ona się trzęsie, swą zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, wszystkie właściwości ciał mięśniowych, głębokie zapasy sił i oddechu, jeszcze nienaruszonego w oddychającej piersi. Chociaż miała świadomość własnej piękności, czuła, że w biegu przeobraża się; uczucie tej doskonałości fizycznej przepoiła smutkiem na myśl, że nic nie jest wieczne na świecie. Napróżno około pięćdziesięciu razy kazała się fotografować na stadionie: co to było? «Chociaż opadam tak zwinnie na palce, chociaż wyglądam, jakbym się unosiła nie w powietrzu, lecz w oliwie, chociaż poruszam się tak uważnie, że ruchy moje są godne podziwu (wiem to z fotografii, zresztą czuję to dobrze), co pozostanie? Zaledwie kilkaset osób mnie widziało, a większość ich pozostała nieczułą nawet na to, co wykonałam nadwyraz doskonale». I, upojona swym wyglądem, miała uczucie, jakby wśród pustyni zagrała na jakimś cudownym instrumencie zagubioną melodję.

Teraz rozpoczynały trzecie okążenie. Dominika zaczęła żałować, że podąży śladem Zuzanny. Trzeba było wrócić na swoją linję, bo zbliżał się koniec wyścigu. Czy Zuzanna w obawie, by nie być schwytaną, nie ucieknie, czując, że Dominika się «odrywa»? Zawahała się kilka sekund; później zdecydowała się i wróciła na swoją linję, zwalniając, aby nie zaniepokoić swej rywalki. Manewr zuchwały, który bezwątpienia osiągnął swój cel, bo Zuzanna nie przyspieszyła biegu, ale Dominika straciła dwa metry. W ten właśnie sposób zbliżyły się do ostatniej prostej linii przed metą.

Nie swoich sił była niepewna, lecz swej taktyki. Odwieczne pytanie: w którym momencie uczynić wysiłek? Stałe tkwiło w niej przewrotne pragnienie, aby go uczynić, a przy samym końcu okazać wiotką lekkomyślność zająca w wyścigu z żółwiem. Lecz tym razem była trochę zaniepokojona tą dużą pustką pomiędzy nią a Zuzanną. «Na zakręcie dogonię ją. Wtedy zobaczę, co zrobi».

Otóż, gdy zbliżyły się do zakrętu, z grona przyjaciółek, zebranych przy końcu elipsy, wzniosły się głosy: «Prędej, Zuzanno!» «Zuzanna wygrała!» Nagle więc Dominika zmieniła postanowienie. «A, Zuzanna wygrała. No, zobaczmy!» I, rozgniewana, nie doganiała jej, chcąc aż do końca utrzymać nadzieję przyjaciółek, aby ją później tem brutalniej rozwiać.

Przed niemi była meta, na prawo pusta trybuna. Powiedziała do siebie: «Posunę się obok natrysków». W chwili, gdy przebiegały obok małego budynku, Dominika ze spokojem, panując nad sobą całkowicie, przyspieszyła biegu. Upajające, upajające i jeszcze raz upajające jest wrażenie odzywania się do siebie samej i otrzymywania odpowiedzi od siebie, widzenia, że się dogania, uczucia, że można jeszcze o wiele więcej i że wola jest dość silna, by oprzeć się pokusie! Ślad was oczarowuje, wciąga was w siebie, jak otchłań porywa, jakbyście się znajdowali na pochyłości, łączy się z wami, jak wiatr łączy się z cyklistą, przylepionym do motocyklu. Odbija waszą nogę, jak z gumy. Stanowi to tajemnicę, że biegnie się tak szybko bez wysiłku...

Raptem na osiemdziesiątym metrze podskoczyła. Przez mgnienie oka dojrzała Zuzannę obok siebie. Znalazła się sama przed wielką przestrzenią, stanowiąc początek całej gromady. Żadnego znaku łączącego. Co robią inne? Ta straszna groźba za sobą.



Jedyne pragnienie, aby zmniejszyć odległość pomiędzy sobą, a tym głupim słupem. Kres sił. Utkwiwszy oczy w miejsce, skąd ma wyskoczyć zielony sznurek, utkwiwszy je tak, jakby je miała na skroniach, widzi tę, która powróciła. Tę, która znów jest u jej boku. Tuż obok siebie, ramię przy ramieniu, biegną równooddalone, jak przedmioty złączone ze sobą, równooddalone, jak dwa konie u jednego wozu, jak dwa koła u jednego wozu. Zuzanna ją prześcignęła. O jedną pierś. O pięćdziesiąt centymetrów. Robią straszny hałas. Kres sił? Niema kresu sił. Czerpie aż do dna. Nie może dognać Zuzanny, jakby pomiędzy nimi znajdowała się jakaś masa powietrza zgęszczonego. Jest nieprzytomna. Ciemności ostatecznego wysiłku, gdy już nie czuje się dobrze, że się biegnie, gdy już nie jest się zupełnie pewną, że się biegnie, gdy nie czuje się w sobie ruchu niżej pasa... Powróciła do przytomności dopiero w momencie, gdy pojęła, że jej rozum nie panuje już nad jej ciałem, że niema już sztuki, tylko sama szorstka natura; jej figura się kołysze, jej ramiona opadają, pochyla się naprzód, jak w lejcach. Jeszcze sześć metrów. Zuzanna jest przed nią. Cofa pierś i wyrzeka się wszystkiego.

Lecz zaledwie to uczyniła, Dominika wyzwoiliła z siebie wszystkie swe moce. Piersi cofnięte, gwałtownie powróciły naprzód; przecięła ślad trzema ciężkimi krokami, jakby biegnąc, aby dogonić swój biust, trzema krokami, uderzając piętą, co dało trzy głuche odgłosy; i osunęła się na murawę, leżąc na plecach, cała wyciągnięta, ręce skrzyżowane, nogi rozrzucone, płaska, jak coś nieludzkiego. Wielkie niebo naprzeciwko przesłiznęło się w jej przymykających się oczach. Jej pierś unosiła się nad wygładzoną ziemią.

Poczuła tuż przy sobie to dziwne ciepło świeżej skóry z posmakiem wanilji. Po woni poznała Zuzannę. Otworzyła oczy. Zuzanna była przy niej, czerwona, jakby jej ścisano policzki, jakby krew miała wytrysnąć z jej nosa, ust, uszu; a zielony sznurek zwycięstwa chwiaił się jeszcze na jej ramionach. Śmiejąc się, uściśniły sobie ręce, uściśniły «pięści», wznosząc je aż do przegubu ramienia. Zadyszana nie mogła mówić, gdy tymczasem wzbierała w niej fala miłości dla tej, która ją zwyciężyła. Śmiały się jeszcze: «Dominiko, nos twój, który był taki opalony, zbladł ze wzruszenia... Zupełnie masz biały nos, zupełnie biały»...

Siedziały na pachnącej murawie obok siebie, przyjemnie bezwładne, upajając się pięknym porankiem, naprawdę specjalnie dla nich stworzonym, miękką trawą, czystą atmosferą, przyjaciółkami, wśród których niema ni jednej, którejby się źle życzyło, powietrzem, które ma w sobie coś kobiecego, całym sposobem życia, w którym nie zawadza i w którym Dominika — o cudzie! — najwytworniejszego młodego człowieka z pośród najwytworniejszych młodych ludzi z Paryża osądziłaby bałwanem. W klubie tym zamkniętym i bardzo poważnym trzydziestu młodych dziewcząt, z których wszystkie tam się znajdowały, większość była czarująca; przynajmniej pięć z nich, mistrzyń wielkiego stylu, było uosobieniem piękności. Nawet w tej chwili jedna z nich, uprawiając się w skok w górę, napełniała wielką radością Dominikę. Patrząc na tę młodą dziewczynę o nogach tak silnych i delikatnych, myślało się o wyrażeniu Homera: «zachwycająca męskość». Rozpędzała się, jakby niedbała, jednym raptownym, nerwowym uderzeniem nogi, które wprawiało jej mięśnie palców u nóg w drżenie. I za każdym razem, gdy znajdowała się nad barjerą, u szczytu swego wysiłku, Dominika spostrzegła uśmiech na jej twarzy poważnej i pogodnej, która wyrażała w tej chwili tylko zupełne zadowolenie z doskonałego czynu. I ona również, podziwiając swą przyjaciółkę, była przepelniona radością.

*Tłum. K. L.*

## VALÉRY LARBAUD

(ur. 1881)

### BIEDNY FABRYKANT KOSZUL

#### I

Był sobie pewnego razu fabrykant koszul, którego koszule szły dobrze, ale interesy — źle.

Był on pogrążony w rozpacz; doszedł nawet do tego, że zaprzeczał istnieniu Opatrzności i doktryn Pistis Sophia.

Jednakże zawsze tak nie było. Kilka lat przed Wystawą Paryską, w 1900 r., posiadał wspaniały magazyn w galerji Palais-Royal. Klientela jego składała się przeważnie z ludzi utytułowanych, dostojnych literatów i sławnych ptaków niebieskich. Ludzie utytułowani traktowali go uprzejmie i płacili mu regularnie; literaci byli poufalsi i płacili mu nieregularnie, nie dając mu jednak czekać na pokrycie ich czeków, a niebieskie ptaki wypędzały go i nie płaciły mu nigdy.

A jednakże szczęśliwy koszularz opływał w dostatki. Zamieszkiwał antresolę eleganckiego domu przy ulicy Bons-Enfants, stołował się w restauracji Duval przy ulicy Montesquieu i kupował sobie trzy cylindry rocznie.

Lecz potrochu klientela jego przerzedziła się, jak również jego włosy. Panowie markizowie i hrabiowie, za starzy, pomarli, literaci, zrujnowani przez ich wydawców, kupowali koszule gotowe w magazynach konfekcji, a niebieskie ptaki, widząc, że powodzenie go opuściło, kazali sobie robić koszule w Londynie.

Galerja Palais-Royal, opustoszała pod koniec panowania Ludwika-Filipa, opróżniła się zupełnie. Zapanowało wielkie i tragiczne milczenie, przerywane tylko w południe wystrzałem małej armatki z brązu.

Jedynie po śniadaniu służące z okolicy prowadziły dzieci lub psy swych państwa, aby załatwiły się w ogrodzie, a często nawet na jego drzwi. Regularnie o szóstej wieczorem jakiś młody człowiek, wysoki, przyzwoicie, lecz ubogo odziany, przechodził koło magazynu, zatrzymywał się przez kwadrans, zajęty napozór podziwianiem wystawionych modeli, a później oddalał się; jakby z zalem podążał swą drogą przez miasto, pełne już zmroku, zapachów kuchennych i zimna. (Wkrótce zobaczymy, dlaczego ten wysoki młody człowiek — który nie był nikim innym, jak sławnym Biednym Młodzieńcem z Octave Feuilleta — zatrzymywał się w ten sposób przed magazynem, przekroczenia którego zakazywały mu na zawsze jego trzydzieści pięć franków miesięcznie).

Zamiast rozkoszować się w spokoju swą samotnością, biedny koszularz biegał gorączkowo po swym sklepie, gnębiony wielką rozpaczą:

— Niestety! — mówił półgłosem — poco płacę trzysta franków rocznie za każdy metr sześcienny powietrza w tym magazynie? Poco każe codziennie rano czyścić szybę mej wystawy? Poco mi drzwi automatyczne, które się same zamykają, jeżeli otwierają się tylko dla mnie? Dlaczego kupiłem modny dywan za tysiąc pięćset franków, kiedy sam tylko muszę po nim chodzić? I wreszcie poco mi talent, poco jestem pierwszym koszularzem w Paryżu, jeżeli koszule, które noszę, zmuszony jestem kupować w Belle Jardinière (och, konkurencja!). Musiałem już odprawić mego ucznia. Nigdy nikogo! Nawet kupującego przypadkowego, człowieka śpieszącego się, który o trzeciej po południu chce mieć koszulę białą, aby wyjść wieczorem. Pozostał mi tylko jeden wierny klient, książę de Vitenvall!

Innym razem, chwytając się za głowę, wykrzykiwał:

— O! jak mój kontrakt się skończy, nie będę tutaj siedział! Ale do tej pory, co zrobię?

Tymczasem, za poradą jednego ze swych przyjaciół (coraz rzadszych) biedny koszularz postanowił się trochę zareklamować. W tym celu zwrócił się do jakiejś agencji publicystycznej, która przedewszystkiem kazała mu wpłacić tysiąc franków jako zadek.

Biedny koszularz zaczął natychmiast kupować wszystkie gazety francuskie i zagraniczne, ażeby ujrzeć w nich swe nazwisko, ale w żadnej z nich nie odnalazł go.

— Jestem gotowy — pomyślał i poszedł poskarżyć się do agencji publicystycznej. Dyrektor, ubrany w piżamę z różowego jedwabiu, uspokoił go, pokazał mu prędko numery usprawiedliwiające i zamówił piżamę z żółtego jedwabiu, jako zadek przyszłej reklamy.

Powróciwszy do domu, biedny koszularz zabrał się do roboty z sercem pełnem nadziei; lecz piżama została wykończona i dostarczona, a żaden klient nie zjawił się.

— To nic — powiedział dyrektor — proszę mi dać jeszcze tysiąc franków, a Paryż będzie twój.

Wreszcie pewnego wieczora, gdy miał już zgasić gaz i zaciągnąć, wdychając, stalowe powieki, osłaniające martwe oczy jego magazynu, biedny koszularz usłyszał, że jego drzwi automatyczne otwierają się z wesołym zgrzytaniem i, unosząc głowę, zauważył człowieka, elegancko ubranego o świeżej cerze z kwiatem w butonierce; bez kłopotu poznał w nim Anglika, chociaż, będąc tylko biednym koszularzem, posiadał bardzo mało wiadomości etnograficznych.

Natychmiast wstał (ponieważ znajdował się w pozycji siedzącej) i jednocześnie uklonił się głęboko (ponieważ był uprzejmy), żałując, że nie uczęszczał do szkół Berlitz'a, bo chociaż tytułował się Shirt-Maker, nie umiał ani słowa po angielsku (oprócz: yes). Zapytał więc uprzejmie:

— Milord życzy sobie? Milord pozwoli mi wziąć miarę?...

Ale lord (którego nazwisko nie figurowało, zresztą, w Peerage) zdawał się nie słyszeć. Jego wzrok pytający był niewzruszenie skierowany w głąb magazynu, jakby tam szukał wyjścia... Wkońcu zwrócił się do biednego koszularza i powiedział:

— Well, man, where are the girls?

— A! Milord nie mówi po francusku? Jaka szkoda! Akurat właśnie odprawiłem na dzisiejszy wieczór mego pierwszego krojczego, który studjował w Londynie. Ale jeżeli milord zechciałby zadać sobie trud, aby zdjąć surdut, ja...

— Tut! tut! I say, where are the girls? Show me the way, that's all I what of you, d'ye know, man?

— Dobrze, dobrze, zechce milord usiąść. Oto nasze tkaniny, oto nasze modele; to jest tkanina z Oxefaure; to jest przędza jedwabna fantazyjna na kalesony; zechce milord...

W tej chwili biedny koszularz zauważył, że twarz Anglika jest karmazynowa i nabrzmiała złością.

— Mój Boże, milordzie...

Lecz Anglik, zgromadziwszy to wszystko, czego mógł się nauczyć po francusku z «Nocnego przewodnika paryskiego», który trzymał w ręku, krzyknął:

— Więc nie masz tu kobiet? Więc jesteś kłamcą, dlaczego ogłosiłeś to w tej książce?

I, rzuciwszy broszurę biednemu koszularzowi, lord wyszedł z magazynu, łamiąc automatyczne drzwi.

Biedny koszularz zajął się czytaniem «Nocnego przewodnika paryskiego» i przez lzy wyczytał swe nazwisko w «Spisie domów schadzek».

Wtedy zrozumiał, zgasił gaz, położył się na swym modnym dywanie i, złamany niemocą i wstydem, płakał jak zbite dziecko.

## II

O brzasku biedny koszularz odzyskał trochę odwagi. Noc przyniosła mu ukojenie. Tego samego dnia zerwał kontrakt, pożegnał się z ulicą Bons-Enfants, wynajął nowy magazyn i mieszkanie nad magazynem w pasażu niedaleko Bulwarów i wreszcie sprowadził z klasztoru swą osiemnastoletnią córkę Hildegardę (miała najpiękniejsze nóżki na świecie).

W ten sposób zaprowadził poważną oszczędność, nie płacąc już nic za edukację swej jedynaczki i zyskując w niej współniczkę bardzo zręczną w ręcznym obrębianiu koszul i w grze na pianinie. (Na szczęście pianina nie posiadał).

Instalacja została prędko uskuteczniiona. Biedny koszularz użył wszystkie pozostałe pieniądze na wytapetowanie ścian magazynu, wstawienie tam nowych mebli, wyczyszczenie modnego dywana (splamionego jego łzami) i wreszcie na odnowienie zapasu swych materiałów.

Hildegarda, która była dobrą, skromną i odważną dziewczynką, pomagała mu i wspierała go swym wyśmienitym gustem.

Oczekiwali klientów, którzy nie przychodzili.

— A jednakże zrobiłem wszystko, co należało — powiedział biedny koszularz. — Widocznie modele moje były staromodne, ale teraz stają się modnym, zaczynam nawet

mówić po angielsku! Ach, konkur... — Nie! to pech, który mnie jeszcze ciągle ściga; Guignon śpiewany przez Mallarmé. Może lepiej zrobiłbym, zostając w Palais-Royal: powodzenie może powrócić; czy to kiedy wiadomo? Ten przeklęty pasaż, pomimo sąsiedztwa Bulwarów, nie jest lepszy. Ale

Człowiek, upojony cieniem przejściowym,  
Ponosi zawsze karę  
Chęci zmiany miejsca.

Gdybym nie miał na pocieszenie mych dwóch nieodstępnych ksiązek: «Martianus» Capella i «Pieśni» Maldorora, oszalałbym z rozpaczyl

— Nie martw się tak, ojciec — mówiła Hildegarda. — Wiosna już, teraz pójdą kamizelki flanelowe. Czy nie jesteśmy zadowoleni z nas samych, że jesteśmy ludźmi uczciwymi? Gdy pod koniec dnia stwierdzamy, że nic nie sprzedaliśmy, możemy sobie przy najmniej z dumą spełnionego zadania powiedzieć, że nikogo nie okradliśmy. Bądźmy więc weseli, ojciec, i uśmiechnij się do twojej małej Hildy.

Ale ta jasnowłosa młoda dziewczyna udawała tylko wesołość przez czułość dziecięcą. W nocy, gdy pozostawała sama w swym pokoiku, wzdychała ze smutkiem i szeptała:

— Jeżeli zabrał mnie z klasztoru tylko dlatego, abym obrębiała koszule i umierała z głodu, to lepiej zrobiłby, gdyby mnie tam zostawił. Czy zawsze będę niezrozumiana?

Tymczasem rzadcy spacerowicze, którzy przechodzili przez pasaż (tylko w dni deszczowe było tam trochę ludzi), mogli zauważyć smutnego fabrykanta koszul, który urządzał niesłychanie starannie swą skromną, ale solidną wystawę, a w głębi magazynu, w półcieniu, miły profil Hildegardy, pochylonej nad trudną robotą. Nie można było nie pomyśleć narazie o słodyczy i uroku życia skromnego i cichego, a zaraz potem: «Jaka szkoda, że jest jakiś człowiek w tym sklepie, bo ładna jest ta szwaczka».

Pewnego wieczora, koło godziny szóstej, wysoki młodzieniec, ubogo, lecz przyzwoicie odziany, zatrzymał się nagle przed magazynem i zdawał się przypatrywać wystawionym kalesonom, trykotom i skarpetkom. W rzeczywistości wzrok jego spoczywał na miłym profilu Hildegardy. Młoda dziewczyna podniosła głowę, spojrzenie jej spotkało się z jego spojrzeniem, i jednocześnie poczuła, że Miłość wdarła się do jej serca.

Ten wysoki młody człowiek, zgadliście pewnie, był właśnie sławnym Biednym Młodzieńcem Octave Feuilleta. Ale nie wiecie, że ten młody człowiek od dwóch lat był zakochany do szaleństwa w jasnowłosej Hildegardzie. Tak; dlatego, że raz już ją dostrzegł, siedzącą grzecznie w mundurku pensjonarskim na trzecim szczeblu przenośnej drabinki w Palais-Royal. Od tego czasu, ścigany pragnieniem ujrzenia tej zachwycającej twarzy, młody człowiek co wieczór, wychodząc z biura (był urzędnikiem w wielkim towarzystwie omnibusowem), zbaczał z drogi, «aby przypomnieć sobie miejsce, gdzie widział ją, niestety, tylko jeden raz». Gdyż nie śmiał przyznać się do tajemnego pragnienia ujrzenia jej samej.

To też, gdy pewnego wieczora koło szóstej przeczytał «Magazyn do wynajęcia» na szybie, która wczoraj jeszcze należała do biednego koszularza, nieszczęśliwy młodzieniec myślał, że oszaleje. Trzy dni później nie chodził do biura, przebiegając gorączkowo ulice stolicy francuskiej i pożerając chciwie najświetsze wydawnictwa Botin. Złamany zdradliwą trucizną demoralizującej literatury, nieszczęśliwy porównywał się w tajemnicy do Orfeusza, Ulissa i Rycerzy Okrągłego Stołu.

Wreszcie wyrzekł się wszelkiej nadziei i obrał po raz pierwszy najkrótszą drogę powrotną do swego mieszkania na siódmym piętrze nad antresolą, gdy przypadkiem w pasażu ujrzał nazwisko bogatego — ach! nawet za bogatego, z jego punktu widzenia — koszularza!

Profil Hildegardy w półcieniu...

Nieśmiały pocałunek przesłany — i zwrócony?

Zdaje się, że dobrze widziałem?

O ciemności! etc...

O małe rączki Hildegardy, które zrywały płatki róż w ciemności! etc...

Dwoje tych dzieci kochało się z całą niewinną czystością ich serc.

Poco nadszedłem?

### III

Pewnego dnia p. Barnabooth (wolę mówić o sobie w trzeciej osobie), p. Barnabooth, powtarzam więc, lubiąc w miejscach odludnych marzyć o zmroku, błąkał się w pasażu.

Wpatrywał się długo w wystawę optyka i sprzedawcy lalek, nie racząc nawet rzucić okiem na wystawę biednego koszularza.

P. Barnabooth, według swego ówczesnego zwyczaju, był źle ubrany i bardzo nieśmiały, pomimo swych bogactw niezliczonych; nie zatrzymał się narazie przed sklepem naszego biednego koszularza, ponieważ tenże stał na progu, a obecność jego nieśmianie onieśmielała miljardera.

Lecz nagle, on również dostrzegł delikatny profil Hildegardy i również zakochał się szalenie. (Nie wiedział, że serce tej dziewczycy już było zajęte).

Następnego dnia powrócił do pasażu i, przewyciężywszy swą nieśmiałość, zamówił dwanaście tuzinów koszul, za które natychmiast zapłacił, nie śmiając podnieść oczu na twarz Hildegardy, która podawała mu pokwitowany rachunek i której powiedział śmiało!

— Dziękuję pani!

Trzeciego dnia multimiljoner powrócił; zamówił dwanaście tuzinów letnich kalesonów, zapłacił natychmiast i odważył się nawet odezwać do uradowanego koszularza:

— Jaka piękna dziś pogoda, prawda, panienko?

(Padło szkaradnie).

Następnego dnia p. Barnabooth powrócił. Zamówił dwanaście tuzinów jedwabnych czepków nocnych (choć nie miał zwyczaju nosić ich). Posunął swą śmiałość do tego, że zapytał się biednego koszularza:

— No, jak idą interesy?

— Dość dobrze — odpowiedział tenże — od kilku dni mamy większe zamówienia.

— Niemożliwe! Więc naprawdę dobrze idzie?

— Pragnę tylko, aby w dalszym ciągu tak dobrze szło.

— Naprawdę? Wobec tego — wykrzyknął p. Barnabooth — przystępuję do spółki! Zgoda? Tak postępuje się w Ameryce. Oto dziesięć tysięcy franków, które na początek wkładam do interesu. Będziesz płacił mi procenty, kiedy ci będzie wygodnie. Proszę dać mi pokwitowanie mego czeku; to mi wystarczy.

Gdy Hildegarda wyszła, aby przynieść potrzebny papier stemplowy i przy tej okazji odebrać list, pisany poste-restante przez Biednego Młodzieńca, p. Barnabooth ośmielił się do ostatecznych granic i zaprosił biednego koszularza na obiad do Paillarda za kilka dni.

Koszularz, olśniony swem nagłym szczęściem, zgłupiał zupełnie.

Hildegarda zaś nie dostrzegła ani p. Barnabooth, ani banknotów nagromadzonych w kasie, ani szalonej radości swego ojca. Nieubłagany Eros owładnął nią całą.

### IV

Obiad odbył się.

P. Barnabooth wszystko dobrze urządził.

Wynajął całą restaurację Paillarda, kilku śpiewaków operowych, dwunastu poetów z Montmartre, orkiestrę gwardji republikańskiej i fonograf.

Podano niezliczoną ilość wyszukanych potraw, tak, że przy gniazdach jaskółczych biednemu koszularzowi o mało co nie zrobiło się niedobrze. Zachował też o tem na całe życie niezatarte wspomnienie, jak również rozszerzenie żołądka, na które wkońcu umarł.

Panna Hildegarda pod pretekstem migreny pozostała w domu i spędziła całą noc przy oknie na czulej rozmowie z Biednym Młodzieńcem, który, jako ofiara lektury źle i za prędko przyswojonej, porównywał się do Romea, Tytusa i rycerza z Grioux.

Przy piątem daniu p. Barnabooth, widząc, że gość jego jest już w stanie odpowiednim do zwierzeń, wyznał mu, że kocha namiętnie Hildegardę.

— Gdyż, właściwie, drwię sobie z twoich koszul i kamizelek flanelowych.

— Domyslałem się tego — odpowiedział biedny koszularz, który zdawał się znajdować to zupełnie naturalnym. — A więc, ożeń się z nią!

— To niemożliwe; jestem już zaręczony z kilkoma młodemi dziewczętami i mam kochankę, która jest księżną.

— O, to bardzo przykre. Co zrobić?

— To bardzo proste...

— Co? Pan mnie obraża; ale będę umiał ukarać cię, nędzniku, i...

— Powoli, mój drogi przyjacielu. Jeżeli opuścisz na mój policzek tę rękę tak dumnie wyciągniętą, jutro zjawi się u ciebie woźny i przedstawi pokwitowanie na dziesięć tysięcy franków. Ha, ha, masz krótką pamięć!... Więc — ciągnął p. Barnabooth — rozmawiajmy poważnie i jak uczciwi ludzie, którymi jesteśmy. Kocham twoją córkę; to fakt dowiedziony, prawda? Ja przecież również mam prawo do mojej części miłości na tej ziemi! Uwielbiam ją, mówię ci! Jestem najpokorniejszym z jej niewolników. Jeżeli mną będzie pogardzała i biła mnie, powiem jej dziękuję! Co wieczór będę się kładł u jej drzwi! A w niedzielę, gdy wychodząc z kościoła, ukaże się w kruchcie, płaszcz najpiękniejszego z kawalerzystów rozesłany będzie na stopniach! Chcesz pięćdziesiąt tysięcy?

— Ależ pan jest pijany!!! Gdyby nie to... Niech pan pomyśli o rumieńcach, któremi pokryłaby się twarz moja, gdybym, przechodząc obok lustra, ujrzał w niem obraz człowieka, który sprzedął swą córkę!

— A rumieńce człowieka, do którego woźny mówi: «Płaci pan albo zabieram wszystko, co pan posiada; proszę płacić, gdyż pieniądze te jest pan winien komuś», a pieniądze te już pan roztrwonił. Ale, ale, jak się ma twój automobil? Bądź więc rozumny! Czy nie znajdujesz, że byłoby cudownie być moim teściem na żarty? Sto tysięcy i ani grosza więcej...

— Niech się pan sam zapyta Hildegardy...

I biedny koszularz ukrył łzy w swych drżących rękach.

Był pijany.

## V

P. Barnabooth napisał do panny Hildegardy namiętny list, prosząc o spotkanie. Panna Hildegarda, zaniepokojona w swej prawości, posłała ten list Biednemu Młodzieńcowi.

Biedny Młodzieniec narazie oburzył się, a później zaczął płakać, przeklinając swój los.

— Jednakże ja również — powiedział — mam prawo do mojej części miłości na tej ziemi!

Czuł, że staje się anarchistą.

Poprosił pannę Hildegardę o dwa dni do namysłu. Panna Hildegarda napisała więc do p. Barnabooth, prosząc również o dwa dni «do namysłu».

P. Barnabooth jej odpowiedział: «Proszę się pośpieszyć, aby skorzystać z chwili, kiedy mnie to interesuje; w przeciwnym razie przysłę wam woźnego».

Po straszliwej walce wewnętrznej, Biedny Młodzieniec, zdemoralizowany lekturą pisarzy niebezpiecznych, porównywając się do Cyda Campeador, wyzwał na pojedynek p. Barnabooth i, ufryzowawszy sobie po raz pierwszy od czasu pierwszej Komunii włosy, udał się do biednego koszularza, prosząc o rękę jego córki.

— Zdaje się, że ona kocha innego; a zresztą, kto pan jest?

— Jestem Biednym Młodzieńcem Octave Feuilleta.

— Cieszę się bardzo, że pana spotykam (aczkolwiek niebardzo lubię ten rodzaj literatury, sam będąc symbolistą). A więc, chcesz się ożenić bogato? (Biedny koszularz był jeszcze pijany).

Te dwa ostatnie słowa oraz trzydzieści uderzeń kijem, które mu zostały wymierzone przez jednego ze sług p. Barnabooth, podziały specjalnie na ducha młodego człowieka.

«O, moja ukochana, moja droga małżonko, niewinna przyszła matko moich przyszłych dzieci!

«Z sercem rozdartem i z obolałym grzbietem, mówię ci: zgódź się na plugawe warunki, jakie ci postawił ten niegodny p. Barnabooth; zgódź się na nie dla naszej miłości, dla naszego przyszłego szczęścia; zgódź się na nie z rezygnacją, tak jak ja się na nie zgadzam...

«Pomyśl o tem, że niema innego wyjścia z tej strasznej sytuacji, w której jesteśmy. Twój ojciec nie wytrzeźwiał jeszcze od tego niefortunnego obiadu, podczas którego nieszczęsny miliardier odkrył całe błoto swej duszy. Nie może więc działać; a zresztą, co mógłby uczynić? Niestety! Wybierając pomiędzy wstydem bankructwa i tym innym wstydem, oczyszczonym jednakże przez ofiarę, którą na nas nakłada, nie możemy się dłużej wahać. Wreszcie, udając się na to straszne spotkanie, dowiedziesz mi, że mnie kochasz naprawdę. Jeżeli nie pójdziesz, będę wiedział, co mam myśleć o twych prawdziwych uczuciach, i nie zobaczymy się już nigdy w życiu. Zresztą, prawdziwie można się tylko kochać we wstydzie i poniżeniu. W dodatku, nikt o tem nie będzie wiedział.

«Idź więc, moje kochanie! Przeznaczenie nas ściga i panuje nad nami, jak ruchome niebo, i musimy schylić głowę, gdy jakaś chmura z burzą przesuwana się tam w górze.

«Ale przed tym dniem fatalnym pozwól mi posiąść ciebie całą! Prześcignijmy potwora. Ukradnijmy mu to szczęście, które kupuje, ponieważ «nie jest godny» — jak powiedział Frantisek Przwaka — «kupić to szczęście!»

«O, moja ukochana! długa jest noc do płaczu wspólnego! etc.»

W tym tonie Biedny Młodzieniec pisał do panny Hildegardy. Popsuty niezdrową literaturą, porównywał się do René, do Werthera i do ostatniego z Abencérages. Myślał też: «E, dalibóg, mam pomysły zupełnie nowoczesne, a nawet trochę niszczycielskie».

Tego samego wieczora dostał się do pokoju panny Hildegardy.

## VI

P. Barnabooth dowiedział się o tem wszystkim o wiele później. O wiele później również dowiedział się, że Biedny Młodzieniec pozwalał sobie nazywać go «ten Amerykanin».

Następnego dnia rano ujrzał więc multimiljoner przybywającą w spódniczce spacerowej pannę Hildegardę, zupełnie oszołomioną krzyczącym przepychem jego świetnej antresoli z ulicy Goutte-d'Or oraz okazałością jego domowego szlafroka, całego z genueńskiego aksamitu. Nie wiedziała, co ma zrobić z rękami. Odezwała się drżącym głosem do p. Barnabooth:

— Czy ma pan ciepłą wodę?

— O! — zdziwił się miliardier.

— Tak, bo chciałabym umyć ręce, gdyż nie wiem, co mam z nimi zrobić...

Lecz p. Barnabooth schwycił ją brutalnie za lewą rękę, patrząc jej w oczy z uwielbieniem:

— O, moja Francuzeczko, moja paryżanko, o której cały świat marzy! Prawnuczko (co najmniej) Druidów! O, narodzie z 89 i 93 roku! O, kobiety Greuze'a i Lancreta! Celimeno, Manon Lescaut!

— Ależ, panie Barnabus, pan zapomina o mnie — odezwała się Hildegarda.

— Nie! — odpowiedział namiętnie miliardier. — To prawda, że nie mamy tego samego «Weltansicht», na pewno; nie! nie zapominam o tobie. Lecz mam serce zranione, bo wiem, że kochasz innego! tak! Biednego Młodzieńca, to indywiduum, które sobie nigdy nóg nie myje. Ty, przynajmniej, masz ochotę umyć ręce, to już coś jest; ale on, a fe, nienawidzę go, tego złodzieja mego szczęścia. Bo, widzisz, odtąd mógłbym... Czy wiesz, moja mała Hildo uwielbiania, czego chcę od ciebie? Pragnę tylko, abyś mi

powiedziała szczerze, tonem naturalnym: «kocham cię». Aby ci pomóc, radzę ci nawet, abys pomyślała o innym. Tak, mówiąc mi to, zamknij oczy i wyobraź sobie, że krzyczysz mu z głębi twej duszy te słowa palące. Jednocześnie pomyśl o mem cierpieniu, gdy będę słyszał te słowa i będę wiedział, do kogo właściwie są zwrócone?

— Kocham cię! — wyrecytowała prędko panna Hildegarda.

— To nie jest bardzo dobrze, bo, widzisz, każde słowo tego małego zdania trzeba wymawiać z przejęciem. Wreszcie, już dosyć na dzisiaj! Każę profesorowi konserwatorjum dawać ci lekcje «Kocham cię». Sam będę kontrolował postępy, jakie będziesz robiła.

— Ale, zdaje się, że jesteś zmęczona, chodź na kolana, no, chodź! Musisz spełnić swą ofiarę do końca, skoro przysłaś tu do mnie. Tu, dobrze. Ach, gdybyś wiedziała, jakie znam piękne i tajemnicze sposoby kochania! (jak serce moje przepelnione jest czułością, wbrew memu przykreemu podobieństwu, zupełnie zewnętrznemu, do starożytnego Katona...).

— Teraz zdejm kapelusz. Jakie będziesz miała odtąd piękne kapelusze i suknie!... Ach! płaczesz, myślisz o nim, o tym człowieku, dotkniętym szaleństwem krążenia, powtarzającym się stale! O, nigdy nie kochałem więcej, niż w tej chwili! Jaką wielką litość czuję dla siebie samego i jak będę musiał uspokajać się za chwilę w mym samochodzie. Dlaczego więc chciałem tego? Powiedz, powiedz mi, dlaczego jestem tym szkaradnym panem Barnabus, który chce kupić miłość? Powiedz mi, że się mną brzydzisz, bardzo; pluń mi w twarz, powiedz mi, że jestem wstrętne bydlę...

— Pogniecie pan mi stanik, panie Barnabus.

— Cóż mnie obchodzi twój stanik? Czy wiesz, że jesteś na mojej łasce?

I nagle p. Barnabooth wstał, popchnąwszy pannę Hildegardę, która o mało co nie straciła równowagi.

— Idź — powiedział majestatycznie — idź, młoda dziewczyno, do mieszkania twego ojca, biednego koszularza. Idź, odsyłam cię czystą.

(Panna Hildegarda uśmiechnęła się chytrze).

— Tak, pozostawiłem cię nienaruszoną, moja droga! A jednakże byłaś w mojej garsonierze, siedziałaś na mych kolanach, powiedziałaś mi «kocham cię», chociaż kochasz innego, pogniotłem twój stanik, zdjęłaś nawet kapelusz, kładąc go na stoliku. Ha, ha, to zupełnie tak, jak to robią prostytutki, a w rzeczywistości jesteś młodą dziewczyną. Tych kroków, które zrobiłaś, aby tu przyjść, nie będziesz mogła nigdy wymazać z twej przeszłości. A ja nigdy nie będę mógł wymazać z mej przeszłości dnia, w którym chciałem dać pieniądze, aby otrzymać miłość. Ach, na mych kolanach, bez kapelusza! Pomyślisz o tem później, całując twe dzieci, dzieci innego! A ja będę myślał zawsze, że nikt na tej ziemi nie kocha biednego człowieka bogatego. No, idź lepiej!

Panna Hildegarda wzięła dorożkę, aby wrócić do ojca, ponieważ autobus nie kursował jeszcze tamtędy. Nie myślała o niczem.

## VII

P. Barnabooth zapłacił uczciwie sumy, które obiecał, i przez swe wpływy i stosunki wyrobił Biednemu Młodzieńcowi bardzo wysokie stanowisko w Omnibusach.

Później, żegnając się ze wszystkimi, oznajmił, że chce odbyć podróż morską do Serbji.

Wesele Biednego Młodzieńca i córki biednego koszularza było wspaniałe i dobrze urządzone. Biedny koszularz był pijany. Biedny koszularz był bohaterem dnia, skromnym i pełnym godności: wyrzekł się swych idei wywrotowych, na jego męskiej twarzy czytało się odtąd miłość Ojczyzny, poszanowanie Obowiązku i potępienie całej Literatury. P. Hildegarda była cała różowa w swej białej sukni, ostatnim подарunku p. Barnabooth.

Uczta była obfita; wszystko tam było przyzwoite i jak należy. Przekupiwszy za cenę złota kluczników, p. Barnabooth asystował, niewidzialny, na tym festynie. Bawił się nadzwyczajnie, ponieważ nie kochał już córki biednego koszularza.



Pod koniec obiadu rozpoczęto mowy. Pierwszy wstał z wielkim wysiłkiem biedny koszararz. Wzniósł swój puhar pełny szampa i oblał wszystkich. Później, otworzywszy usta, aby przemówić, dostał czkawki. Otrzymał oklaski. Wtedy runął pod stół.

Ale już proszono pannę młodą, aby wzniosła czyjeś zdrowie. Wstała, czerwieniąc się i, podnosząc wysoko kieliszek swą białą ręką, powiedziała wyraźnie:

— Za zdrowie tego niedołągi Barnabusa!

### VIII

Sens moralny:

Są rzeczy, które trzeba umieć pochwyć wlot.

\* \* \*

Na pokładzie mego jachtu «Parwenjusz» w przystani w Smyrnie.

Luty 1902.

(A. O. Barnabooth).

Tłum. K. L.

PIERRE MAC ORLAN

(ur. 1883)

WENUS MIĘDZYNARODOWA

Szymon został obudzony wśród nocy przez hałas, który ustawał. Ciężki jeszcze z pierwszego snu, Szymon pomyślał narazie, że to nagły wylew Mulotte. Wskoczył z łóżka i wyjrzał przez okno, które wychodziło na ogród. Księżyc, w swej pierwszej kwadrze, świecił słabo. Lecz gdy oczy Szymona przyzwyczaiły się do ciemności, skonstatował, że ogród spoczywał w spokoju i że nic nienormalnego nie zamacało zupełnego jego bezruchu. Skłonił ucho w kierunku drogi z Est i rozróżnił lepiej pewien hałas ostrożny, tupot groźny i lekki tysiąca małych przezornych łap, który nie przypominał suchego stąpania stada baranów. Szymon wyszedł do sieni, która była oświetlona zapoconą okna, przebitego na ulicę, i dojrzał jasno-szarą wstęgę drogi, którą na horyzoncie przecinało wzgórze Hauts-de-Groue.

Droga wydawała się pusta, tak jak ogród. Dziwny szmer zagubił się w dali. Kilka czarnych plam ukazało się w ciemności i znikło, zanim można było rozróżnić jakiś kształt ludzki lub zwierzęcy.

Gohelle, mając się za ofiarę halucynacji słuchowej, chciał powrócić do łóżka, gdy wzrok jego został przyciągnięty przez jakiś kształt czarny, który rozciągnął się na drodze, jak kawałek kauczuku. Myśliwy wzruszył się. Krzyknął głośno: «Widzisz, Miku, przynajmniej jeden się pokazał...» Potem umilkł, bo inne zwierzęta ukazały się na drodze, nadechodząc z Est. Zbliżały się małymi elastycznymi podskokami, prawie milczące.

— «Ależ, to nie ma nic wspólnego z lisem!»

Otworzywszy szeroko oczy, wysiłił się, aby lepiej widzieć. Zwierzęta przeszły pod oknem, ciągnąc wzdłuż rowów drogi, jak szereg Indjan. Szymon odszedł od okna i pobiegł do pokoju Mika.

— «Wstawaj, Miku, wstawaj... jesteśmy opanowani przez wilki! Wstawaj!»

Mik, przerażony, narzucił na siebie piżamę i pobiegł do okna obok Szymona.

Wilki w dalszym ciągu defilowały z opuszczonymi ogonami, stąpając zreźnie. Zajmowały teraz boki drogi i środek szosy. Te, które szły po bokach, pilnując stada, wyglądały jak chińskie cienie. Od czasu do czasu podnosiły pyski, nadsluchiwały i szły dalej z ogonem pomiędzy nogami, pochylając grzbiet. Czasami gromada wilków, kładąc się na ziemi, jedne obok drugich, zniknęła za wzniesieniem drogi. Cisza wkradała się znów we wszystkie zakątki wsi. Jakiś nowy cień tańczył na ziemi, jakies zwierzę odosobnione ukazywało się wśród drogi, poprzedzając inne wilki, wilczyce i wilczątką, biegnące zdecydowanie w tym samym kierunku. Ich oczy błyszczały dziwnie w ciemnościach i wszystkie, przechodząc, wpatrywały się w dom Gohelle'ów. Czasami jakies

zwierzę zatrzymywało się na trzech łapach, aby podrapać się wygodnie lub z nosem, przytkniętym do ziemi, określić kierunek tropu. Te, które nadchodziły za nimi, porywały je ze sobą, i wilki defilowały bezustannie, jak na filmie bez końca. Gob, zamknięty w pokoju Mika, poczuł zwierza oraz tajemniczą woń morderstwa i zaczął mruzczyć glucho. W wiosce Santenay słychać było z oddali psy, wyjące na śmierć, i Gob, oszalały ze strachu, odpowiedział im.

W pochodzie wilków nastąpił pewnego rodzaju odruch. Niektóre zdawały się naradzać, inne, które cofały się, gryzły wściekle te, które pchały je naprzód. Mik, którego nerwowość dochodziła do przesady, schwycił Goba za skórę szyi i uspokoił go, zamykając mu mordę. Mały foks drżał wszystkimi swemi muskularnymi członkami w silnych ramionach Mika. Dyszał teraz, chowając głowę za szyję swego pana.

Wilki szły znowu w tym samym kierunku. Mik i Szymon, zahipnotyzowani do pewnego stopnia tem tragicznem widowiskiem, stali, jak wryci, nie rozmawiając ze sobą. To niezwykle najście oszalało ich. Nie przychodziło im nawet na myśl, aby określić ilość czworonożnych wędrowców, których marsz ustał dopiero przy pierwszym sinym błysku burzliwego dnia. Ostatni wilk z ostatniego bataljonu, który szedł po pochyłości, zatrzymał się, odwrócił się w kierunku domów i, podniósłszy mordę i wyciągnąwszy szyję, zawył przeciągle. Ten głos, czysty jak para w świstku lokomotywy, przebudził złośliwie wszystkie psy z Santenay. Wszystkie psy, znajdujące się w wiosce, zaczęły skakać wściekle na łańcuchach, sapać pod zamkniętymi drzwiami i podniecać się szalonym szczekaniem. Gob, nareszcie uwolniony, wmieszał swój głos do tego koncertu. Słychać było okiennice, uderzające o ściany. Jakiś bity pies zapanował nad wrzawą jęków. Domy, jeden po drugim, ukazywały się przygarbione i posępne w świetle dnia. A noc topniała już we wszystkich zakątkach. Mik i Szymon, o oczach szeroko rozwartych i brudnej brodzie, nie mieli ochoty spać.

— Nie sniliśmy? — odezwał się Mik. — Widziałeś wszystko, tak jak ja?

Ubrali się, kazali zagrzać kawę i, włożywszy automatyczne pistolety do kieszeni, wyszli przez bramę ogrodu, udając się do wsi, wzdłuż Mulotte.

Deszcz zaczynał padać. Dwaj Gohelle'owie śpieszyli przez pola do drogi.

— Zobacz ślady — powiedział Mik.

Pochylili się, oglądając ziemię z uwagą.

Tu i tam rozpoznawało się stopy starych wilków, w kształcie geranji o pięciu gałązkach, i ślady wilczyc, które rysowały jakiś kwiat bardziej wydłużony. Huragan wody spadł na nich. Podnieśli kołnierze skózanego okrycia i udali się odważnie w stronę lasu. Po drodze spotkali Hersanta de la Bélaude, klusownika eksperta, który również robił wrażenie, jakby źle spał.

— Chciałem zastawić jedną lub dwie pułapki na mojem polu — powiedział, nie krępując się. — Był to rzadki widok. Zostałem więc w domu. Nigdy nie widziałem nic podobnego. To było obrzydliwe.

Przebiegłszy w towarzystwie Hersanta las Hauts-de-Groue i nie znalazłszy śladów, trzej mężczyźni rozstali się podczas ulewy.

— Jutro weźmiemy nasze strzelby ze śrutem. Uprzedzisz Hersanta. Koło drugiej nad ranem napijemy się razem czarnej kawy i będziemy oczekiwali wypadków przy wejściu na równinę Groue przed lasem. Tymczasem zobaczę, czy wszystko tu się dobrze zamyka.

\* \* \*

O drugiej nad ranem Mik, Szymon i Hersant skierowali się w stronę lasu Hauts-de-Groue, który przebyli, nie zauważywszy nic niezwykłego. Włożyli swe buty myśliwskie w padlinę, aby oprzeć się ich wyziewom. Przybywszy przed równinę Groue, zauważyli, gdyż noc nie była za ciemna, czarną linję wielkich lasów, które rozpościerały się w kierunku Est.

— Powinny nadejść stamtąd — powiedział Hersant. — To jest miejsce ich przejścia.

Każdy z trzech mężczyzn wdrapał się na drzewo, które sobie wybrał, aby nie przeszkadzać w strzale. Później, złożony strzelbę na kolanach, czatowali z nogami

zamarzniętymi. Czatuwali aż do brzasku, a gdy przymykali na chwilę powieki, oczy ich otwierały się natychmiast.

Gdy nastał dzień, usłyszeli śpiew ptaków, które się budziły. Z początku skomplikowany język kruków, skrzek srok i sójek. Dzieciół zaśmiał się rozbawiony wystrzałem. Trzej myśliwi spojrzeli na niebo, które było koloru ołowiu. Małe stado kruków ukazało się na skraju lasu. Krążyło nad równiną, wydając okrzyki jakby trąbki automobilowej. Jakaś inna gromada przybyła na ich spotkanie i zmieszała się z pierwszą, aby obracać się wkoło. Ze wszystkich punktów widnokregu czarne gromady skupiały się w środku i ciągle się obracały, rosły. Kruki odzywały się wymownie, zmieniając z fantazją ochryple dźwięki swych głosów. I nagle tuż obok czatujących inne kruki, siedzące jeszcze na gałęzi, odpowiedziały na wołanie tamtych z armji już bardzo licznej. Rzuciły się, aby zaciągnąć się do orszaku przerażającego plemienia i przeleciały nad Gohelle'ami i Hersantem. Ich skrzydła uderzały miarowo i z wielkim hałasem.

Inne kruki, przybyłe z borów, leciały chyżo, aby połączyć się z siłami zmobilizowanymi. Wkrótce niebo zostało zasłonięte czarną zgęszczoną chmurą, która wrazała bezustannie.

— Strzelajmy do nich — krzyknął Mik ze wszystkich sił, aby opanować straszny szum skrzydeł, które były teraz w powietrze do tego stopnia, że pochylały delikatne lodygi traw.

Hersant, robiąc rękami około ust trąbkę, odpowiedział: — Wylupityby nam oczy.

Wreszcie potworna armja porwała się w kierunku południa, jednym rzutem dobrze uregulowanym. Później wyciągnęła się, przedłużyła do nieba, jak obłok dymu, i znikła.

— Już nic więcej nie zobaczymy — powiedział Hersant — zejdźmy lepiej. Nie uwierzonooby nam, gdybyśmy opowiedzieli, co widzieliśmy.

Dwaj Gohelle'owie, prawie zamarznięci, wyprowadzali z odrętwienia nogi i ręce, łupiąc nogami na drodze.

— W tym tygodniu nie pojedę do Paryża — rzekł Mikołaj.

— Dlaczego? — spytał młodszy.

— Bo nie chcę cię zostawić samego.

— Och! — odrzekł Szymon... lecz nie nalegał.

Pewnego wieczora podziwiali przez szybę wędrowkę dzikich zwierząt. W ten sposób widzieli, jak emigrowały zaferowane lisy, kuny, łasice, tchórze. Pewnej nocy przeszedł jakiś samotnik w towarzystwie swego paza. Poprzedzali we dwóch armje dzików, odyńców, zwierząt rudowłosych, samiec i młodych, ustawionych w porządku rodzinnym, wagi i miary.

A później wielki powiew burzy, który zginał drzewa w łuk, rozrywał dachówki, unosił kominy, wymiółł wszystkie zwierzęta.

Mikołaj i Szymon czekali w domu, śpiąc dniem, czuwając nocą. Lampa paliła się ustawicznie, jak świadek. Dwaj mężczyźni czekali, odrętwiali, objawienia tej siły, która wypędza zwierzęta z ich nor, jak wielkie podwodne trzęsienia ziemi wyprowadzają nieznanne ryby z ich dna morskiego.

Jakieś odrętwienie nie do opisania rozpostarło się nad Santenay. Dziesięciu mężczyzn, niedowiarków od urodzenia, ofiarowało się, że będą bili w dzwony, bez księdza. Nocą zdawało się, że słyhać smutne nawoływania trąb lub skargi kociąt opuszczonych. Kobiety nadużywały znaku krzyża. Kury gromadziły się koło kogutów nieruchomych i niespokojnych. Czasami słyzało się biegnących po drodze z Est oszalałych Malgrasczyków, wysiedlonych z lasów, gdzie wybrali sobie miejsce zamieszkania, wtedy gdy wszystkie zwierzęta świata wyszły na drogi.

Mik i Szymon przy lampie, palącej się noc całą, słuchali krążenia krwi w swych żyłach. Byli przesyleni kawą.

Wiatr jęczał po ludzku za topolami, wzdłuż murów, przed drzwiami. Plakał w sposób tak kobiecy, że pewnego dnia Mik nie mógł się powstrzymać, aby nie powiedzieć, chociaż żałował banalności tego porównania: «To Kludja, która oplakuje swój los».

Szymon roześmiał się i chwycił się rękami za głowę, aby spojrzeć na stół oczami czerwonymi i rozpalonemi.

Pewnej nocy gałąź, uniesiona przez burzę, zbiła szybę w pracowni, gdzie dwaj Gohelle'owie słuchali i rozróżniali wszystkie odgłosy. Wiatr wpadł do otworu, lampa wybuchła i zgasła.

Obadwaj mężczyźni niezgrabni, bo brał ich strach, szukali długo i gorączkowo zapalek.

— To jest niezrozumiałe!... Nie masz zapalek?...

— Nie... a jednak... Zdaje mi się, że zostawiłem pudełko na stole.

Mikołaj przesunął ręką po stole, przewrócił jakiś przedmiot, popchnął papiery i nic nie znalazł. Skierował się poomacku do swego pokoju w stanie niemocy nie do opisania, przeszukał swe ubranie, wiszące na ścianie. Przy każdym zetknięciu z ubraniami drgał.

— Niema sposobu, aby zapalić lampę. A nie możemy zostać całą noc bez światła. Bez światła — powtórzył.

Nagle, przestraszony, ścisnął Szymona za rękę, tak że o mało co nie złamał mu jej, gdyż na dole w drzwiach kuchni, które wychodziły na ulicę, usłyszał wyraźnie małego foksa, mruczącego głucho na alarm, z pałającymi oczami, z wyprężonymi czterema łapami i sierścią najeżoną na grzbiecie.

*Tłum. K. L.*

## BLAISE CENDRARS

(ur. 1887)

### PRZYJAZD DO MOSKWY

Moskwa jest piękna, jak święta neapolitańska. Błękitne niebo odbija, przegląda, znaczy tysiączne wieże, dzwonnice, które się prostują, wyciągają, wspinają lub, opadając ciężko, rozszerzają się, pęcznieją, jak stalaktyty różnokolorowe w jasności dnia. Ulice, brukowane kociemi łbami, pełne są hałasu 100.000 dorożek, krążących dzień i noc; wąskie, proste, koliste, wciskają się pomiędzy fasady domów czerwonych, niebieskich, żółtych, aby nagle rozpostrzeć się przed jakąś kopułą, którą gromady krzykliwych wron smagają, jak nierządnicę. Wszystko ryczy, wszystko krzyczy, i roznosiciel wody, i wielki Tatar, handlarz starą odzieżą. Sklepy i kaplice wychodzą na chodnik. Małe staruszki sprzedają jabłka krymskie, gładkie, jak orzeszki galasowe. Jakiś żandarm brodaty opiera się na swej wielkiej szabli. Wszędzie chodzi się po skorupkach kasztanów i po trzeszczących miseczkach małych czarnych owoców jesionu. Kurz z odpadków krąży w powietrzu, jak bronzowe cząsteczki w wodce. Na placach z wielkiem zgrzytaniem kół krążą tramwaje koło piramid błyszczących «arbuzów», które nie są owocami arbuzów, lecz kawonami lub melonami. Wydziela się przykry odór zgnitej ryby, zaostrzony mdłą wonią podkładu płowej skóry. W dwa dni później śnieg pada. Wszystko się zaciera, wszystko gaśnie. Wszystko jest przyćmione. Sanki jeżdżą bez hałasu. Pada śnieg. Domy pozatykały otwory. Wieże i kościoły skryły się. Dzwony biją pod ziemią, zdają się być z drzewa. Skulony tłum porusza się inaczej, śpiesznie, prędko. Każdy przechodzień jest zabawką losu. Mróz jest jak powłoka smolna. Jest oślizgły. Napęlnia usta terpentyną. Płuca są tłuste i odczuwa się ogromny głód. W każdym domu stoły uginają się pod ciężarem zapasów żywności: paszety z kapustą, pachnące i złociste, buljony z cytryny ze śmietaną, zakąski wszystkich form i smaków, ryby wędzone, mięsa pieczone, pulardy z kwaskowatymi konfiturami, zwierzyna, owoce, butelki alkoholu, chleb czarny, chleb żołnierski i kołacz z czystej pszenicy.

Wojna rosyjsko-japońska miała się ku końcowi; dały się słyszeć pierwsze zgrzyty rewolucji.

Siedząc u Filipowa, ujrzeliśmy, Moravagine i ja, pierwsze plamy krwi, pokrywające śnieg. Wyglądało to, jak wielkie kałuże koloru wina, w centrum miasta, wokoło pałacu gubernatora i tam, gdzie śnieg topniał. Asystowaliśmy również przy pierwszych zamieszkach, bardzo daleko, w dzielnicy robotniczej, której nazwy zapo-

mniałem, za drogą żelazną do Smoleńska, i widzieliśmy sprowadzanych przez kozaków rannych studentów.

Wkrótce wybuchła rewolucja.

Wzięliśmy w niej bardzo czynny udział. Weszliśmy natychmiast w stosunki z komitetami z Genewy, Zurychu, Londynu i Paryża. Moravagine postawił ogromne kapitały do dyspozycji centralnej kasy partji S. R. Utrzymywaliśmy również anarchistów rosyjskich i międzynarodowych. Potajemne drukarnie zostały uruchomione w Polsce, na Litwie i w Besarabji. Paki dzienników, broszur, traktatów wysyłano we wszystkich kierunkach i rozdawano masowo w fabrykach, portach, koszarach przez żydków z Bundu, którzy byli na naszym żołdzie. Domagano się w nich powszechnego głosowania, wolności, braterstwa i wychwalano rewolucję socjalną i ostrą walkę klas. Dowodzono w nich naukowo legalności wywłaszczeń indywidualnych w każdej formie, kradzieży, morderstwa, wymuszenia oraz teroru socjalnego i ekonomicznego przez sabotaż fabryk, rabunek dóbr publicznych, zniszczenie dróg żelaznych i statków w portach. Było również kilka formułek fabrykacji bomb i dokładne przepisy obchodzenia się z maszynami piekielnymi. Składy broni zostały urządzone w Finlandji. Szalona propaganda była czyniona w wojsku w Mukdenie, Charbinie i wzdłuż całej Transsyberji. Bunt wybuchający potrochu wszędzie, zamachy popełniano we wszystkich miastach ogromnego kraju, wyobraźnia tłumów została poruszona, we wszystkich ośrodkach przemysłowych zorganizowano strajki, pogromy pustoszyły miasta południowo-zachodnie. Reakcja zapowiadała się wszędzie strasznie i nielitościwie.

I taniec rozpoczął się.

My należeliśmy do jak najgoręcej zainteresowanych.

Nie będę tu odtwarzał historii tego ruchu rewolucyjnego, który trwał od r. 1904 (zamach przeciwko Plewemu) do r. 1908 (rozwiązanie 3-ej Dumy), ani wymieniał niezliczonej ilości popełnionych morderstw politycznych, rozruchów, buntów, zamętów, nieporządków, ani wspominał krwawych roczników reakcji, strzelaniny z mitraljez, masowego wieszania, wygnań, aresztowań, sekwestrów, ani przytaczał wszystkich wypadków teroru, zbiorowego szaleństwa na carskim dworze, w narodzie, w mieszczaństwie, ani opowiadał, dlaczego najgorliwsi zwolennicy Marji Spiridonowej lub bohaterskiego porucznika Schmitta stracili z oczu swe ideały rewolucyjne i odrodzenie socjalne, aby popełniać gromadą przestępstwa praw ogólnych, ani jak żywa młodzież intelektualna wzmocniła ciężką armję zbrodni. Wypadki te są jeszcze w pamięci wszystkich i odtąd stanowią część historii. Jeżeli mówię o kilku tragicznych epizodach i rysuję je na wzór wielkich obrazów, to aby dobrze podkreślić ewolucję Moravagine'a i lepiej przedstawić, jak odczuwał on otoczenie rosyjskie.

Epoka ta, która widziała chwiejącą się świętą Rosję i uginający się tron wszystkich carów, napiętnowała niezatartym śladem sto dwadzieścia milionów mieszkańców tego ogromnego państwa. Wypadki szau i samobójstwa zdarzały się codziennie. Wszystko było w rozprzężeniu, instytucje, tradycje rodzinne, poczucie honoru. Ferment rozłamu, który brano za mistycyzm, zakradł się do wszystkich stanów społeczeństwa. Uczniowie i uczenie poniżej lat piętnastu oddawali się saniuizmowi; prostytutki zrzeszały się, i na czele ich roszczeń figurowało prawo szacunku ludzkiego; żołnierze niepiśmienni zaczęli filozofować, a ich oficerowie dyskutowali nad rozkazami służbowymi. Na wsiach zaznaczała się rozwiąłość obyczajów, i stary pień wiary rozgałęział się niespodziewanie i złośliwie. Popi i mnisi histeryczni wychodzili z ludu, aby wznieść się aż na dwór; wioski całe chodziły w połowie nago, bicząc się; nad Wołgą żydzi popełniali mordy rytualne, zarzynali na święta Wielkanocne nowonarodzonych ortodoksów. Dziwne zabobony azjatyckie rozprzestrzeniły się wśród ludności tak różnorodnej i przyjęły postać w formie praktyk potwornych i odrażających. Jakiś mężczyzna wypił menstruację, aby zjednać sobie serce płochy pokojówki; cesarzowa umazała sobie ręce kałem psa, aby natrzeć obszerne czoło księcia dziedzica, dołkniętego puchliną wodną głowy. Mężczyźni byli pederastami, kobiety lesbijkami, wszystkie pary praktykowały miłość platoniczną. Pragnienie użycia było nie do zaspokojenia. W miastach fasady domów wyglądały jak popękane od mnogości oświetlonych wejść do barów, lokali tanecznych i nocnych. Odwiedzając oddzielne gabinety i małe salony dużych restauracyj u Oursa,

Pałkina, na Wyspach lub u Mojki, ministrowie pokryci orderami lub rewolucjoniści ostrzyżeni i studenci o długich włosach wymiotowali szampanem pomiędzy naczynia stołowe i zgwałcone kobiety.

Strzelanina grzmiała dokoła.

I znowu zasiadano do biesiady.

Jakie pole do obserwacji i doświadczeń dla uczonego. Z obu stron barykady, niezwykle czyny heroizmu i sadyzmu. W głębi więzień, w kazamatach cytadel, na drogach publicznych, w izbach spisku, w norze robotniczej, na przyjęciach w Carskim Siole i na posiedzeniach Rady Wojennej, wszędzie spotykało się tylko potwory, istoty ludzkie zboczone, wyłączone z pośród żywych, o wyczerpanym systemie nerwowym: zawodowych terrorystów, duchownych agentów prowokatorów, młodą szlachtę krwiożerczą, katów niedoświadczonych i niezręcznych, oficerów policji, chorych ze strachu, gubernatorów, wycieńczonych przez gorączkę i bezsenność, którą wywołuje odpowiedzialność, książąt bez głosu z powodu wyrzutów sumienia, wielkich książąt poranionych. Warjatów, warjatów, warjatów, nikczemników, zdrajców, ogłupiałych, okrutnych, skrytych, oszustów, denuncjatorów, morderców. Warjatów szalonych, nieodpowiedzialnych. Jakiż obraz kliniczny i jakiż pole do doświadczeń! I jeżeli nie mogłem z tego skorzystać, przepełniony zdarzeniami, pod wpływem Moravagine'a, długim szeregiem przygód, w które mnie wciągnął, życiem wśród tysiąca perypetyj, które mi kazał prowadzić, życiem aktywnym, działaniem bezpośrednim, które nic nie jest warte dla intelektualisty, nie pozbyłem się jednakże nigdy zimnej krwi uczonego ani mej ciekawości uważnej. Zresztą, ponieważ poświęciłem się całkowicie Moravagine'owi, jego widok jedynie wystarczał mi.

(Moravagine).

Tłum. K. L.

PAUL CLAUDEL

(ur. 1868)

ZAKŁADNIK (L'OTAGE)

Akt I (wyjątek ze sceny II)

*(Stuga otworzył okiennice i widać teraz cały pokój. Wczesny ranek. Na dworze wicher i ulewa. Deszcz z siłą uderza w szyby. Wielkie gałęzie starych drzew, sięgających aż do okien, przyciemniają pokój. Chwilami słychać ostry zgrzyt zardzewiałej choraqiewki. Pies z najeżoną sierścią leży przed drzwiami. Nagle część szaf bibliotecznych usuwa się, na chwilę ukazując otwór tajemnych drzwi. W głębi widać płomień świecy i róg ołtarza z mszałem. Wchodzi starzec w czarnej sutannie z białą piuską na głowie).*

Papież Pius: Synu mój, niech pokój będzie z tobą. To ja.

*(Coüfontaine, który stał zamyślony przy oknie, żywo się odwraca i klęka przed starcem, który mu daje rękę do ucałowania)*

Cftn.: *(Powstawszy)* Ojcie święty, jedzcie i pijcie. Droga była trudna i długa, a spoczynek Wasz przed mszą ranną krótki.

Papież: Jakiż chleb każesz mi pożywać?

Cftn.: Chleb z czystej mąki. Jesteś w chrześcijańskim domu.

Papież: Poznaję dawną włość kościelną.

Cftn.: To jest opactwo cystersów w Coüfontaine, które ufundowali i żywili ojcowie moi.

Moja siostra stryjeczna Sygna kupiła je za dyspensą, gdy pałac w Dormant spłonął.

Kupiła je, aby uchronić od upadku i zachować dla prawowitych właścicieli.

Papież: To jest zapewne ta nabożna osoba, która dziś w nocy przystępowała do sakramentów świętych.

Cftn.: Ja zaś jestem wicehrabia Ulisses Agenor Jerzy de Coüfontaine i Dormant, namiestnik króla Ludwika na Szampanję i Lotaryngję.

Papież: Co oznacza ten gwałt? Dlaczego porwałś mnie z więzienia?

Cftn.: (*Wyjmuje papier*) Rozkaz cesarski. Ja podjąłem się wykonania, bowiem gońcowi przeszkodziły pewne okoliczności.

Wykonałem to znakomicie. Moskwa daleko.

A taki podpis każdy uszanuje!

Przepustka na całe cesarstwo.

Słuchali mnie wszyscy, jakgdybym był wysłańcem niebios —

(*Oddaje papier papieżowi, który go czyta w milczeniu i oddaje zpowrotem*)

O własnych siłach wywiodłem Piotra z więzienia.

Papież: Dzięki ci składam, mój synu.

Cftn.: Jesteś tu, Ojcze, zupełnie bezpieczny. Nikt cię tu szukać nie będzie.

Ten dom stary dobrze jest ukryty w gąszczach lasów,

Istnieją tu przejścia tajemne przez zarośla,

Na trzy drogi i na dwie doliny, pełne kryjówek i przesmyków.

Przydały mi się one nieraz w tej wojnie, którą prowadzę.

Papież: Więc teraz jesteśmy twoim więźniem?

Cftn.: Tak jest, Ojcze święty. Jesteś w niewoli u swojego syna.

I powiem ci, jak Jakób, gdy dzierzył anioła:

Nie puszczę cię, aż mi pobłogosławisz.

Papież: Biedne dziecko. Wszak dobrze wiesz, że jesteśmy niebezpieczną zdobyczą.

Cftn.: Bóg sam cię zwraca królowi Francji.

Papież: (*Poważnie zwracając się ku krucyfiksowi*)

Ave, domine Jesu!

Cftn.: Jest to krucyfiks z pod Rheims. Sam król zdejmował przed nim kapełusz, gdy jechał na koronację.

Papież: Jakież wiadomości ze świata?

Żaden głos nie przenikał do nas, gdyśmy byli w więzieniu.

Cftn.: Uzurpator jest w Moskwie.

Na całej ziemi słychać jeno kroki armji na wszystkich drogach i turkot kół, które się toczą ku wschodowi.

Mówią, że tam coś zaszło.

Miasta drewniane płoną, podobno odniesiono jakieś zwycięstwo. Europa stoi pustką, i nikt nic nie mówi.

Świat cały pogrążony w oczekiwaniu, stoi jak człowiek przytłoczony brzemieniem.

Papież: Więc nawet w Moskwie cesarz znalazł czas, aby pomyśleć o mnie, starcu bezsilnym.

Cftn.: Ludy wszystkie milczą, a Bóg mu przez ciebie zaprzeczy wszelkiej władzy.

Papież: O jakim forcie Joux mowa jest w tym liście?

Cftn.: Są to kazamaty, skąd się niełatwo wychodzi.

Papież: Spodobało się Bogu ocalić nas z ręki nieprzyjacielskiej.

Cftn.: A potem jakieś conclave pod grozą bagnetów.

Jakiś kardynał Fesch czy Mauvy, obrany na papieża,

Stałby się jałmużnikiem Wielkiego Cesarza.

Papież: (*podnosząc palec*) Na wszystkich drogach Judei byli opętani, którzy, ujrawszy Pana naszego, padali przed nim, płacząc i wołając.

I idąc za nim z obelgami, ciskali weń kamienie i nie przestawali powtarzać: Jezusie Nazareński, przeczże nas przesładujesz.

To samo od wieków już czynią ludzie bezbożni przeciw Namiestnikowi Chrystusa.

Niemasz pokoju między ludźmi. Odkąd On stanął między ludźmi jako zrabowany właściciel,

Zawierają pomiędzy sobą jednodniowe umowy, które nazywają prawami, stowarzyszeniami, konstytucjami, państwami, królestwami,

Według władzy swej jednodniowej, a której Bóg łaski nie użyzca,

I myślą, że powstrzymali pochod świata, kierując wszystko według swej samowoli.

A ponieważ nie wiedzą, jaka część należy mu się po sprawiedliwości, staje się, iż wpadają w gniew przeciwko Bogu,

Któremu należy się wszystko, a nie żadna część.

*(Poważnie, zwracając się do Chrystusa)*

Nagim jest, a nic nie posiada.

A chcieli go pojmać i uwięzić w wolnościach swych i prawach, ograniczeniach i konkordatach.

Muszę się poddać ich kaprysom, jak rybak na morzu, który nie może wybierać pogody.

Dla dobra owiec muszę trwać aż do ostateczności;

Cesarz dzisiejszy jest niby dziecko zepsute, któremu się sprzeciwiają.

Udaje pana, a nie wie, że jest tylko mojem biednem dzieckiem, jak tylu innych, Ten Zwycięzca ludów, jak sam siebie nazywa, chce dziś okiełznać i zniewolić Boga, na swoją go przeciągnąć stronę, i bierze zastępcę Jego, jako Zakładnika.

Nie pojmuję, dlaczego spodobało się Wszechmocnemu wybrać sobie za zastępcę najślabszą w świecie istotę.

Jestem starcem, żywiącym się jedynie odrobiną miodu i ryby; jak jaki głupiutki książyk, znam tylko swój katechizm.

I oto zabrano mi znów wszystko, co posiadam:

Mienie, należące mi z urzędu, winnicę Nabaota, dziedzictwo Piotrowe.

Nawet pierścien rybaka z naszego palca.

I znowu Zbawiciel stał się bezdomnym, jak w czasach Galilei. I w domu własnym jest jak więzień lub zgoła ktoś niepotrzebny.

A żywot mój tli się ledwie, jakobym był wraz z Chrystusem na trzy dni pożrebion.

*(Gwałtowny pęd wiatru uderza w dom. Wycie i gwizd. Płachta wody zalewa wszystkie cztery okna. Papież drży i mocniej otula się w płaszcz, oglądając się z przerażeniem).*

Cftn.: Tak, to nie słońce Tivoli, nie wietrzyk z gór Ibińskich.

Papież: Jak straszno jest mieszkać w tym domu samotnej kobiecie.

Cftn.: Ma dach nad głową i ziemię ojczystą pod stopami. Czegóż potrzebuje jeszcze?

Niech mi nieba pozwolą, abym miał zawsze dach podczas słoty i dobre błoto mej ojczyzny na butach.

Ta wielka wrześnieowa ulewa wymiata pola po żniwach i zmiękcza ziemię pod orkę.

*(Nowe uderzenie wichru)*

Papież: «Proście, aby ucieczka wasza nie była w zimie albo w czas Sabatu».

Cftn.: *(Wspominając)* Przypomina mi to musony w Pondicherry, które nas uwolniły od angielskich fregat.

Papież: Gdzież są dawni właściciele tego domu?

Cftn.: Nie opuścili go, nie przełamali kraty zakonnej. Leżą spokojnie jeden przy drugim w ogrodzie klasztornym. Sześciu kapłanów, ośmiu nowicjuszków i dwunastu braci służących.

Opat pośrodku, przeor po prawicy jego, a inni kolejno, tak jak przyjęli męczeństwo.

Stało się to dzięki memu bratu mlecznemu, który był ich dawnym nowicjuszem.

W roku pańskim tysięcznym siedemsetnym dziewięćdziesiątym trzecim.

Przewodził ich kaźni Toussaint Turelure, syn drwala i znachora Turelure'a, dzisiejszy baron cesarstwa i prefekt departamentu Marny: do jego prefektury właśnie wprowadziłem Waszą Świątobliwość.

Papież: Pomodlimy się nad relikwiami tych świętych męczenników.

*(Pies podnosi głowę i staje w oknie)*

Cftn.: Pójdziesz, pójdziesz, Sylla!

Co się tam stało, ekspsie? Czy to na dźwięk imienia mego brata Toussainta pokazujesz w milczeniu wszystkie zęby?



Czyż może kto przyjechać podczas takiej ulewy?

*(Nasłuchuje, pies opada na cztery łapy)*

*(Pokazuje nakryty stół)* Pożywajcie, Ojczy święty.

*(Papież siada przy stole, Coufontaine, pełen uszanowania, stoi obok i usługuje mu. Pies położył się znowu w kącie).*

Cftn.: Tak, to ponury pies. Nie należy z nim igrzać. Nauczył się ode mnie milczeć. Spędziliśmy razem wiele dni i wiele nocy. Czasem nawet zegarek zatrzymywałem, gdyż nadto hałasował. Czailiśmy się gdzieś w jakimś niepewnym zakątku, w jakimś czarnym alkierzyku. I czułem przy sobie to tylko ciało zwierzęcia, tę biedną ślepa wierność. Stawałem się potrosze psem, jak on stawał się arystokratą.

*(Pauza)*

Znamy dobrze nieustanne niebezpieczeństwo.

*(Marzy)*

Wówczas dopiero pojąłem duszę mych przodków, panów możnych na opolach i grodach merowińskich. Żyli na nędznej roli, niszczonej przez dziki i króliki, zasiewając skrawek czarnej ziemi, niedawno wykarczowanej, świeżej jak chleb, z pieca dopiero wyjęty. Żyli jak drapieżna ryba w swej wodnej norze, jak pająk w lepkiej pajęczynie.

Nasłuchiwali i we dnie, i w nocy, czekając na ludzi i na zwierzęta, kryjąc się w listowiu, pomieszanem z mgłą,

Która im przynosiła zapachy i dźwięki, subtelna i czuła jak woda.

Papież: *(skończywszy jeść, podnosi się i żegna się)*

— Deo gratias. Dzięki ci składam, synu, za posiłek.

Cftn.: Skromne to przyjęcie dla największego króla ziemi.

Tyle tylko, że daleko stąd do pana hrabiego de Chabrol i do szlachetnego Borheza i do chrześcijańskiego Portalisa.

Wasza Świątobliwość ma zapewniony spokój na kilka dni.

Papież: Gdzie mnie chcesz stąd zaprowadzić?

Cftn.: Do Anglii, gdzie się znajduje król Francji.

Papież: Dziecię moje, skrzywdzisz papieża, wydając go w ręce heretyków.

Cftn.: Wszak dla heretyków tu przybyłeś.

Papież: Istotnie. Nie mogę stronić od mych dzieci.

Cftn.: Ale więzienie cię od nich na nowo ocali.

Papież: Gdzie jest krzyż, tam jest i kościół.

Cftn.: Gdy pojedziesz ze mną, będziesz wolny.

Papież: Nie chcę być wolnym między umarłymi.

Cftn.: Gdziekolwiek cię powiodę, spotkasz się z Cezarem.

Papież: Tam go nie spotkam, gdzie przebywa Piotr, na którego kościach ja jestem opoką.

Cftn.: Czy rozumiesz przez to Rzym?

Ależ tam miejsce twoje zajął prefekt.

Papież: Na ziemi, ale nie pod ziemią. Tam będę czekał. Na nowo katakumby podejmną zbawienie wszystkich ludzi.

Trzy wieki czekał w nich Kościół. Ja mogę poczekać trzy dni wraz z Chrystusem.

Cftn.: Rzym minął, odnajdź świat.

Papież: Gdzie jest opoka, tam jest Piotr.

Cftn.: I Piotr w swej starości miał ręce związane, i prowadzono go tam, dokąd iść nie chciał.

Papież: Synu mój, oto są ręce nasze. Błogosławiony niech będzie, który idzie w imię Pańskie.

Cftn.: Nie potrzeba ulegać gwałtom, gdy miłość cię wzywa gdzie indziej.

Papież: Świat mnie chce oddzielić od Kościoła, którego jestem nierozłącznym małżonkiem.

Cftn.: Czyż opoka ma być fundamentem Cezara?

Papież: Wszak o nią rozbiły się stopy dwulicowego bożyszczca.  
Cftn.: Ojczy, z nami jesteś czy przeciwko nam?  
Papież: Pytanie, które często slyszalem w Sawonie.  
Cftn.: Lecz my ufamy, a gdzież jest nasza nagroda?  
Papież: Synu pierworodny, cóż ci mamy dać?  
Zabrał nam wszystko Syn Marnotrawny.  
Cftn.: Zaprawdę, musiał ci wzrok z wiekiem stępieć, skoroś pobłogosławił kozła zamiast owieczki.  
Papież: Mogłem pomazać to czoło, skoro nawet Judasz całował stopy Chrystusa.  
Cftn.: Ojczy święty, pozwól mi mówić, wysłuchaj mnie, skoro już jesteś u mnie i w mojej władzy, Namiestniku Chrystusowy.  
Mówię ci jak młodzieniec, raz w rok na spowiedzi mówiący,  
A zresztą wszak do nas wszystkich należysz.  
Jedna zbłąkana owieczka znaczy dla ciebie tyle, co wszystkie inne.  
Nie powiem, że się codziennie spowiadam: życie moje w niczem nie jest podobne do życia siostrzyczki zakonnej. Gdy król powróci, wtedy nadejdzie czas szat godowych.  
— Dlaczego gorszysz nas, jak Bóg gorszy?  
On poniża dobrych, a wywyższa złych. Takie już są drogi Jego Opatrzności.  
Ludzkie słowa tu nic nie pomogą.  
Ale ty jesteś człowiekiem. Możesz mówić, a milczysz.  
Kogóż więc mamy pytać?  
Czyż to, co dla nas jest złem i dobrem, innem jest dla papieża?  
Powodzenie nie może uświęcić uzurpatorstwa tego człowieka.  
A wszak On zabrał Rzym tobie, jak Francję jej królowi.  
Papież: Świat może istnieć bez króla, ale nie może istnieć bez papieża.  
Cftn.: Ale czyż może istnieć bez prawa? I czyż istnieje tylko prawo własności?  
Papież: Cokolwiek człowiek posiada, posiada od Boga.  
Cftn.: Jednakże święte jest jego prawo posiadania. Być i mieć są pierwszymi słowami, z których wszystkie inne powstały.  
To, co stanowi przedmiot posiadania, nazywa się nawet dobrami.  
Cokolwiek człowiek posiada, posiada to od Boga, lecz włada tem całkowicie.  
Bóg podarował wszystkie rzeczy człowiekowi,  
Stworzywszy je dla człowieka, który jest ich treścią i sensem.  
Istnienie bez człowieka równa się dla nich nieistnieniu.  
Lecz kto nie umie zachować swego mienia, niech mu je inni odbiorą.  
Papież: Jak ten przybysz obcy, który zasiadł na tronie opuszczonym.  
Cftn.: Nie zasiadł, nie! Stoi i czuwa niespokojnie. Ojczy Święty, nie przeciw człowiekowi żądam od ciebie piorunów,  
Lecz przeciw całej naturze tych nowych praw,  
Które stanowią to tylko, co człowiek ma posiadać, a czego nie ma posiadać.  
Znasz wszak tę okropną naukę,  
Iż każdy z natury ma prawo równe,  
Tak, iż przywilej jednych jest krzywdą innych.  
Wtedy nie pozostanie wszak nic do oddania, nic z dobrej woli płynącego w stosunkach ludzkich.  
Czyż i to również podoba się Bogu?  
Papież: Czyż poto rzuciłeś się na biednego starca, jak orzeł, aby mu zadać pytania?  
Cftn.: Odpowiedz mi, odpowiedz! ty, który masz władzę rozwiązywania. Trudno jest w ciemności pełnić swe obowiązki.

*Tłum. Jarosław Iwaszkiewicz.*

## ADOLPHE LACUZON

(ur. 1870)

## Z POEMATU «WIECZNOŚĆ»

Czarne niebo pogrąża się w morzu. Zeń bezдно  
Wzrastających ciemności, strachu, w krąg wyziera,  
Bolesnym krzykiem świata jęcząc w noc bezgwiezdną;  
A morze ciągle wzbiera, opada — i wzbiera...

Bowiem burza nadchodzi, wzdyma się, rwie trzewia,  
W nagromadzonych nocy wściekłościach wezbrane,  
Chłoszcząc, wyjąc, rozrzuca opętań zarzewia,  
Wznosi fale, co szumią, orkanem smagane.

\* \* \*

Zaś ty oto u moich ramion, zdjęta trwogą,  
Na ten jęk wód bezmiernych, huczących w wszechświecie  
Krzykiem, co zmysły pojąć go nie mogą,  
Daj mi dłoń swą złęknioną — daj dłoń, słodkie dziecię.

Wytrwaj tak, choć tve czoło smaga wichr szalony,  
W silnym ramion uścisku do mnie przytulona,  
Mimo trwogi, postuchaj, jak od morza strony  
Rozwija się dramatu boleść niezmiernona.

Posłuchaj, jako biją wśród ryku bałwany,  
Huragan wyje w szlochań jęku, przy poświęcie  
Ponurych brzegów skalnych, szaleń opętany,  
Ponad fale, pędzące z szumem, potoczyście.

Błyskawica; nieboskłon rozwiera się, zwierza,  
Potem nagle wśród trzasku, odgłosem tysiąca,  
Piorun mroki zgęszczone rozwała, rozpięra,  
Targając przestwór w strzępy zamętu bez końca.

Niebo, hukiem wstrząśnięte, roztwiera się z grzmotem  
Wśród błyskawic, tworzących w ciemności szczeliny;  
Przy świetle szpar ognistych, pędzące z łoskotem  
Pokazują się białych fal spienione śliny.

Grunt zadrzał pod stopami; złom skały przed nami,  
Podmulony przez wodę, runął z usypiska;  
Tyś, w obłędzie, do rąk mych przylgnęła ustami;  
Słów brak mi już, napróżno dłoń ma twoją ścisła.

Przestrach nieokreślony roztacza się wszędzie,  
Wznosi się jęk zwątpienia z umęczonej ziemi,  
A my nie wiemy więcej, bezsilni w obłędzie,  
Czy morze tak bełkoce, czy bezmiar przestrzeni.

\* \* \*

Wiaro ma, co królujesz nad mojem marzeniem,  
Iż o tobie swą duszę rozpalam rozmową,  
Idąc w drodze za tobą przejasnym promieniem,  
Jam ujrzał, jakieś zbladła w tę noc piorunową.

Fale w potężnym bólu pojęków drżą tonem,  
 A myśmy tak w obliczu morza szlochań stali  
 Przerażeni, bez słowa, ze sercem stłumionem,  
 Pełnem burzy odgłosów, bezsilni i mali.

Wtem nagły promień twoje przemienił oblicze,  
 I stałaś mi, jak jakaś nadziemska istota,  
 W swym blasku ocz, co przez te ciemności zwodnicze  
 Jaśniały jako z innych światów gwiazda złota.

Piers naszą bez oddechu wstrząsał dreszcz nieznany  
 W mocniejszym ramion splocie, w lęku, co mózg wierci;  
 Tak z przestrachu, że przyjść ma ktoś oczekiwany,  
 Wspólna ufność się wzmogła znów w obliczu śmierci.

Śmierci, przez którą miłość włada w sercu świata,  
 Odkupicielki grzechu, jakim jutro dzwoni,  
 Gdyż w godzinę przestrachu, gdy bicz jej polata,  
 Ludzie łączą się wspólnie, lepsi, dłoń we dłoń.

Śmierci, groźnej władczyni niezłomnych wyroków,  
 Co ciemną rządzi nocą, gdy świtu konanie,  
 Rozkazem unicestwień, potopem obłoków,  
 Co sprawia, że się budzi świt ponad otchłanie.

— Zdala głos szedł ponury; fala rozgniewana  
 Ziała na nas z przepaści swe wody wzburzone;  
 Przeto zginąć gotowi, zgięliśmy kolana,  
 Gdy przed wzrokiem, błędzącym w tajemniczą stronę,

Czarny orkan, jak podmuch, siewca ukojenia,  
 Bo na ustach modlitwę rozżarzył nam błogą,  
 Odsłonił nam bezkresność nadziei, zbawienia,  
 W gwiazdę jedną złączone z przestrachem i trwogą!...

\* \* \*

Morze ciągle szumiało, a myśmy wznosili  
 Doń modły, kiedy w duszach, jako świt różowy,  
 W słodyczy i pokoju, o którymśmy śnili,  
 Miłość z życiem wieczystem wiodła swe rozmowy.

*Tłum. Józef Gluziński.*

ANNA DE NOAILLES

(ur. 1876)

GŁOS Z MROKÓW

Ja dla was swe książki piszę, moi młodzi,  
 I pozostawiam w nich,  
 Jak dziecię, co ust swych siłą w owoc godzi,  
 Ślad trwały zębów mych.

Opuszczam dłonie, nad książką splecione,  
 I głowę chyląc swą,  
 Łzy leję; tak czynię, jak burze szalone,  
 Co drzewa deszczem tną.

Zostawiam w jej cieniu zgorzkniałym swe żale,  
 Twarz swoją, oczu toń,  
 Z niej duszę mą w wiecznym płomieniu i szale  
 Rozwlecze wasza dłoń!

Zostawiam wam promień słoneczny mej twarzy  
 I miljon jego strzał,  
 Serce, co choć słabe, słodyczą swą darzy,  
 By tylko kto je chciał..

Zostawiam wam ono serce, jego dzieje,  
 Tę słodycz, miękkość lnu,  
 Lic zorzę, noc ciemną, co z włosów mych wieje,  
 Jak niebo, chmurą snu.

Patrzcie, jako idzie w swej szacie przelichy  
 Ten Los mój pod wasz próg.  
 Toż nędzarz, co błądzi tam, gdzie piasek cichy  
 Nie ma tak bosych nóg.

Zostawiam wam róże, ogródek kochany,  
 W zieleni zdobny strój,  
 W pamięci mej wieczny — i smutek nieznany,  
 Bez końca smutek mój.

*Tłum. Józef Gluziński.*

#### MŁODOŚĆ

Wszak kiedyś precz odejdiesz, Młodości, ode mnie,  
 Odejdiesz, w swoich dłoniach niosąc Miłowanie,  
 Pójdiesz; cierpieć i płakać będę nadaremnie,  
 Póki z ciebie już więcej nic nie pozostanie.

Głosem, pełnym ciemności, w oczach, pełnych jęku,  
 Byś wróciła, swym krzykiem dawać będę znaki,  
 Aż, by więcej nie słuchać prośby w sposób taki,  
 Śmierć uciszy zmęczone serce w swoim ręku.

Ach, Miłości ty smutna, piękna, czyż możliwe,  
 Kiedy ciebie serdecznie tak umiłowano,  
 Aby znowu wdał drogą iść, mrokiem usłaną,  
 Gdzie stopy twe zamilkną i oczy twe żywe?

I bez ciebie znów witać tchnień wiosenne rano,  
 Te marcowe niedziele, dźwięczne harmoniki,  
 Tłum szczęśliwy, pogodę dnia, gwary i krzyki,  
 Pieśni o tem, co Solda mówi do Tristana.

Bez ciebie jeszcze słuchać wozów obciążonych,  
 Pociągów, przed odjazdem żegnań wśród podniety,  
 Jak w tych czasach młodzieńczych, obfitych w sekrety,  
 Gdzie życie drgało śmiechem w twych oczach zmrużonych.

I bez ciebie, Miłości, znów z tęsknotą szczerą  
 Słuchać morza, jak falę na stromy brzeg kładzie,

Tak podobny onemu, co w jasnej Helladzie  
Przebiegali Leander z nadobną swą Hero.

Wśród cedrów, bez ciebie, w mleczną noc wysnioną  
Siedzieć, znów się upajać, chłonąc rozkosz wschodu,  
I cierpieć, wywoławszy z przeszłości pochodu  
Czuły uścisk miłosny Fedrusa z Hermioną.

Bez ciebie czytać, życiu własnemu na wzgardę,  
W czasie, gdy upał ziemię z ziół i trawy łuska,  
Tę książkę, gdzie szlachetna Kasandra francuska,  
Na sławy puchach leżąc, śmieje się z Ronsardem.

A gdy jesień czerwona obnaża grabiny,  
Kędy Russo z kochanką z wieczora siedzieli,  
To postarzyć się, mrużąc, z przędzą przy kądzieli  
Gniewać się i uroki ciskać na dziewczyny.

— Ach! Młodości, czas przyjdzie, że dzień twój przeminie,  
A gdy pójdziesz i płacz twój, śmiechy, słodkie lata,  
Twe kwiaty, Miłość, twe uciechy — co za strata  
Dla tych, co tego pragnęli jedynie!..

*Tłum. Józef Gluziński.*

## CHARLES VILDRAC

(ur. 1882)

### GDYBY CHOWANO...

Gdyby chowano, od lat, od lat,  
gdyby chowano, wiotkie, woniejące,  
włosy tych wszystkich kobiet, co umarły,  
włosy tych wszystkich, jasne, włosy lśniące,  
grzywy jak noc, sploty jako słońce,  
i one, żółtkle, jako liść, co padł,  
gdyby chowano tak od długich lat,  
by koniec z końcem, przędzon w żagle tkane,  
nad falą płynął mórz,  
byłoby tyle nad powierzchnią mórz  
włosów przejasnych, złotych złotem zbóż,  
i tych, jak noce, bez gwiazd, nieprzejrzane,  
że z onych włosów, co w żagle utkane,  
mnogością w słońcu lśnią wśród wodnych stref,  
czułyby ptaki szare z ponad mórz,  
wielkie gromady niezliczonych mew,  
jako się kładą w ich piór uskrzydlenia  
z tych wszystkich włosów pocałowań tchnienia,  
iakię kto kiedy ust w nie złożył tchnienia,  
zwolnione teraz, przez burz morskich wiew...

Gdyby chowano, od lat, od lat,  
gdyby chowano, wiotkie, woniejące,  
włosy tych wszystkich kobiet, co umarły,  
grzywy jak noc, sploty jako słońce,  
i one żółtkle, jako liść, co padł,

gdyby chowano tak od długich lat,  
 by koniec z końcem, ukręcony w sznury,  
     mógł być przyczepion  
 w łańcuch do ramion tych, co uwięzieni,  
 iżby tak długo mogli iść, zwolnieni,  
     jak długie sznury,  
 byłby tak długi zwój z włosiennych lnów,  
 że, rozwijając od więziennych krat,  
 wszyscy zamknięci, wszyscy uwięzieni  
     mogliby znów  
     zajść do swoich chat.

A gdyby Kloto przy swojej kądzieli,  
 miał przędąc krótką mego życia nić,  
 jęła te wszystkie długie włosy wić,  
 kapane w słońcu lub w rdzawej kąpieli,  
     jak kruki lśniące,  
 lub srebrne srebrem, by brzozy płaczące,  
 gdyby tak Kloto przędła przy kądzieli  
 włosy tych wszystkich kobiet, co umarły,  
 tak byłbym stary, opuszczon i sam,  
 że mi nie dojrzyć z szczytu ziemskich bram;  
 o, ciężki, ciężki od zgryzot, co żarły  
     każdy ten włos,  
 Śmiercibym wtedy wołał! — tężąc głos!...

*Tłum. Józef Gluziński.*

#### PRZY BUTELCE

Pod pozorem, że pić chcą, zasiedli za stołem;  
 Obaj wsparci na łokciach, przechyleni w bok;  
 Krzyżują swoje słowa, krzyżują swój wzrok,  
 Śmieją się im lica, śmieje się ich wzrok  
 W górze ponad stołem,  
 Gdy ciekawe powieści prawią sobie społem.

Szczęśliwi są, zaprawdę, obaj w chwilę taką;  
 Szczęśliwi są, zaprawdę, że obaj są razem.  
 Wszelako!...

Wszelako,  
 Gdyby jutro tak mieli przejść przez wrota bram,  
 Gdzieby obaj nie mogli przecisnąć się wraz,  
 Gdzieby jeden, a za nim drugi musiał iść,  
 Wstrzymaliby się jeszcze przed wrotami wczas,  
 By zmarszczyć swoje czoło, niechby chociaż raz,  
 By rzucić na się wzajem drapieżny swój wzrok,  
 By zezem spojrzeć w stronę, gdzie są wrota bram.

Jako psy, które mają między sobą kość,  
 Co ją z wyciem chrapliwie wzajem wydzierają,  
 Tacy byliby jutro lub dziś, kiedy społem,  
 Pod pozorem, że pić chcą, zasiedli za stołem.

\* \* \*

To jest prawda i smutny to jest dla nich znak,  
Ale o tem mówić nie należy!  
Trzeba raczej lak:

Ci dwaj ludzie, co się śmieją,  
Mogliby się bić zawzięcie,  
I w potrzebie  
Tysiąc przyczyn wyluszczyć ze siebie,  
Och, toż one wszak istnieją, wszak czekają!  
Toż je wybrać tylko trzeba, tylko trzeba wziąć!

Ale nie:  
Tam w ich sercach u każdego  
Drzemie troska wynurzań, czułości,  
I w chwili własnych zmagañ, jako ludzie prości,  
Gdy nędzą życia puka do serca biednego,  
Oto, jak wtedy razem śmieją się oczyma,  
Oto, jak po ramionach klepią się nawzajem,  
Oto, jak bez podejrzeñ, tak jeden, jak drugi,  
Częstują się i piją, usiadłszy za stołem,  
ciekawe powieści prawią sobie społem.

*Tłum. Józef Gluziński.*

## RICCIOTTO CANUDO

(1879—1923)

WARDAR

### Pieśń XXVI. Droga

DROGA. Myśl wyteżona wdał.  
— Kto kroczy opieszale? —  
DROGA, to wyraz woli  
na krajobrazie stężały.  
Dla źródeł energii otwarty wielki kanał.  
DROGA. Myśl wyteżona wdał.

I jak krajobraz, DROGA z sobą łączy  
rzeczy dalekie; tu, kraj i zakątek.  
Jest rozmach w DRODZE, jak rozmach w krajobrazie.  
Bo każdy widok, to jest poemat  
słaby lub silny. Fuzja  
form i kolorów  
w jedną wizję.  
Ze swoim łozem z kamyków i błot,  
DROGA jest tam, biała, różowa lub szara,  
myśl władcza wszelkiej wymiany.

Od tyłu już dni na wojnie naszej przemierzamy DROGI.  
Człek sili się, aż z trudem znów je odrobi.  
Lecz nieprzyjazna jest nam ziemia tu. Ziemia  
druzgoce się, gdy nasze dudnią kolumny,  
i zdradza nas bez przerwy.  
I znów rozpoczynamy, dobre albo złe  
DROGI, bo one nad wojną ludzi panują.  
Czołgamy się przez dęby karłowate. Potem  
rozcigamy ścieżki, a potem już DROGI.



I po nich można gnać ludzkie ciało wpierw  
i wózki z amunicją  
dla głodnych potworów ze stali, co suną,  
i konwój bryczek dla naszego głodu.

Odkąd rozciągnięto DROGE,  
cały przejazd wgłębia się myślą w jej treść.  
Z niej wzrasta zarys świątyni  
i obręb czci dla panowania  
Rzeczy Świętej:  
powodzi  
RZEKI LUDZKIEJ, KTÓRA PRZECHODZI.  
Wzwyż!

— — —  
Tłum. Józef Gluziński.

GUILLAUME APOLLINAIRE  
(1880—1918)

POCISK

Pierścień włosów twego karku to skarb mój najdroższy  
Myśl moja z twą się spawa i twa się z nią splata  
Piersi twe to jedyne pociski dla mnie ukochane  
Twa pamięć to sygnał rozpoznawczy w oznaczaniu nocy

Widząc szerokie krzyże konia myślałem o twych biodrach

Oto piechota która się cofa czytając gazetę

Pies patrolu sanitarnego powraca z fajką w pysku

Puszczyk skrzydła płowe oczy zamglone pysk kociaka łapki kota

Mysz zielona pędzi pomiędzy mchami

Spalił się ryż w ryniencie kwaterunku  
To znaczy na bacności trzeba mieć się zewsząd

Megafon ryczy  
Przedłużcie ogień obstrzału

Przedłużcie ogień miłość waszych baterij

Chybotanie ciężkich baterij cymbały  
Wstrząsane szalonym cherubinem miłości  
Na cześć Roga uzbrojonych

Oblupione drzewo na wzgórzu

Hałas traktorów pełzających w dolinie

O stary świecie XIX wieku pełny wysokich kominów tak pięknych i czystych  
Wszystkie męskości wieku w którym żyjemy  
O działa

Wybuchające łuski pocisków 75  
Bijcie w dzwony pobożnie

(*Lueurs de Tirs.*)

Tłum. Józef Gluziński.

## STREFA

Nakońcu już ci obrzydły wszystkie stare światy

Pasterko wieżo Eiffla trzoda mostów beczy z rana

Dosyć już żyłaś w dawności Rzymu i Hellady

Tu starożytny wiek udają nawet auta  
Religja tylko została religja całkiem świeża  
Została prosta jak na lotnisku hangarowa wieża

Tylko w Europie nie jesteś stary o chrystjaniźmie

Całkiem nowoczesny jesteś ty Piusie X papieżu  
Z Ciebie którego śledzą okna wstydlivość gada  
Byś nie wszedł do kościoła rano się spowiadać  
Czytasz prospekty katalogi afisze które śpiewają wysoko  
Oto poezja z rana dla prozy zaś nad dziennikiem oko  
Są książeczki po 25 centimów pełne policyjnych zdarzeń  
Portrety wielkich ludzi tysiąc tytułów i wyrażań

Widziałem dziś rano ulicę której nazwy zapomniałem wątko  
Nowa i czysta w słońcu lśniła jako trąbka  
Dyrektorzy robotnicy i piękne steno-maszynistki  
Od poniedziałku rano do soboty wieczór czterokrotnie tędy śpieszą wszyscy  
Z rana trzy razy w niej syreny wycie się rozlega  
W niej wściekły dzwonek na południe szczeka  
Napisy mury pouczenia obrazki  
Afisze ostrzeżenia jako papug wrzaski  
Lubię łaskę tej ulicy ten fabryczny teren  
Położony w Paryżu między ulicą Aumont-Thiéville i aleją Ternes  
Oto młoda ulica ty zaś jesteś małe dziecko  
Matka cię nie ubiera inaczej jak na biało i niebiesko  
Ty jesteś bardzo pobożny i z Twoim dawnym przyjacielem René Dalize  
Lubicie tylko uroczystości msze kościoły krzyże  
Jest dziewiąta gaz opadł błękitny pokrywomiu idziecie z sypialni  
Modlicie się noc całą w kaplicy koleżalnej  
Podczas gdy wieczna uwielbiona głębia ametystu  
Toczy płomienną chwałę nad głową gdzie Chrystus  
To piękna lilja którą wszyscy czcimy  
To pochodnia rudych włosów której wicher nie stłumi  
To syn błądy i różowy matki bolejącej  
To drzewo modlitwami w krąg obradzające  
To podwójna moc potęga cnoty i wieczności  
To gwiazda która w ramion sześć się dzieli  
To Bóg co w piątek umiera i wskrzesza się każdej niedzieli  
To Chrystus który wznosi się w niebo lepiej niż awiatorzy  
On rekordem wysokości wszystkie światy mierzy  
Chrystus źrenicę oka  
Dwudziestą źrenicę wieków wie jak stworzyć  
Zmieniony w ptaka ten wiek jak Jezus wzlata do przestworzy  
Djabeł z czeluści by go dojrzeć leb wzmaga  
Mówi że on naśladuje Szymona judejczyka Maga  
Pyta czy umie latać by go nazwano awiatorem  
Anioły wołają wokół pięknego wołającego kołem

Ikar Enoch Apollonijusz z Tiany  
 Wokół pierwszego trzepocą aeroplany  
 Niekiedy wymijają się by przepuścić tych którzy wiozą Świętą-Eucharystję  
 Tych kapłanów co wznoszą się wiecznie wywyższając hostję  
 Samolot wkońcu osiada nie zwijając skrzydeł kabłąka  
 Niebo napełnia się miljonem pośpiewów skowronka  
 Na ciąg skrzydeł zlatują kruki sokoly i sowy  
 Z Afryki lecą ibisy flamingi marabuty wielkogłowy  
 Ptak — rok stawiony przez poetów i bajkarzy  
 Ślizgiem spada trzymając czaszkę z Adamowej twarzy  
 Głębi się z niebios orzeł wydający krzyki  
 Małeńki koliberek zdąża z Ameryki  
 Z Chin przybyły długie i wiotkie pilhisy  
 Co po jednym skrzydle mając parkami w locie zawisły  
 Oto wreszcie gołabek duch niepokalany  
 Co go wiodą ptak-lira i paw cętkowany  
 Feniks ów korzeń co sam sobie jest płodności siemię  
 Przez chwilę skrywa wszystko w popielne swe płomienie  
 Syreny opuszczając głębokie zatoki  
 Wszystkie trzy przybywają z pieśnią pod obłoki  
 I wszystkie orły feniksy i pilhisy z Chin  
 Bratają się ze stukiem latających maszyn

A teraz ty krocysz po Paryżu sam jeden wśród tłumu  
 Trzody autobusów beczących obok ciebie suną  
 Głód miłości uciska tve gardło  
 Jakby już imię miłości na wieki się zatarło  
 Gdybyś żył w dawnych czasach wstąpiłbyś do zakonu  
 Wstydzicie się gdy zamierzacie pomodlić się w domu  
 Jak ogień piekła śmiech cię pali urągasz sam z siebie  
 Gwiazdy twojego śmiechu błyszczą na życia twej glebie  
 To obraz zawieszony w muzealnym mroku  
 Niekiedy zbliżasz się doń oglądasz go wokół

Dzisiaj krocysz w Paryżu kobiety są krwią zbroczone  
 To było chciałbym o tem zapomnieć to gdy piękność odeszła w minione

Owita żarliwym płomieniem Notre-Dame patrzyła na mnie z Chartres  
 Krew waszej Sacré Coeur zatopiła mię w Montmartre  
 Jestem chory ze słyszenia słów szczęśliwych  
 \* Miłość na którą cierpię jest męką haniebliwą  
 A obraz który cię posiada on czyni że cierpisz bezsenność i konanie  
 Wszędy ten obraz z tobą gdzie będziesz zostanie

Teraz ty jesteś na brzegu Śródziemnego morza  
 Pod cytrynami gdzie kwiat przez cały rok się zalaża  
 Z przyjaciółmi bierzecie na przejażdżkę barkę  
 Jeden to Nissard jest i Mentończyk i dwa Turbiaski  
 Z przerażeniem widzimy polipa co macki swe rozściela  
 Wśród alg pływają ryby obrazy Zbawiciela

Jesteś w gospodzie w okolicy Pragi  
 Jesteś szczęśliw róża na stole rozwija swe płatki  
 A ty miast pisać śledzisz twego rachunku prozę  
 Kwiaciarke która uszpona jest w sercu róży  
 Przerażony ujrzałeś się w rysunku świętego Wita

Byłeś smutny że miałeś umrzeć w dniu gdyś sam z sobą się witał  
Podobny jesteś do Łazarza którego boleść siecze  
Wskazówki wieży dzielnicy żydowskiej idą nawstecz  
I ty również powoli cofasz się w twym bycie  
Wstępując na Hradczyn a wieczór podsłuchujesz skrycie  
W tawernie czeskich pieśni wyśpiewanych tonów

A oto jesteś w Marsylji w pośrodku kawonów

A otoś w Koblencji w hotelu Gigantów

A otoś w Rzymie pod kwiatem nespliku Japonji

A otoś w Amsterdamie z dziewczyną dla ciebie piękną choć ma oblicze pomięte  
Ona ma połączyć się małżeństwem z ledejskim studentem  
Tu się wynajmuje pokoje po łacinie Gubicula locanda  
Przypominam sobie tu byłem trzy dni a także w Gandawie

Jesteś w Paryżu u sędziego w śledztwie  
Jako zbrodniarza zatrzymują cię w areszcie  
Bolesne i radosne podróże czyniłeś ty człeku  
Zanimieś się spostrzegł o kłamstwie i wieku  
Cierpiałeś z miłości w dwudziestym i trzydziestym roku  
Żyłem jak głupi i straciłem życia mego spokój  
Nie umiem więcej patrzeć na twe ręce i ciągle płacz mię rozmarza  
Nad tobą nad tą którą kocham i nad tem wszystkim co ciebie przeraża

Widzisz jak do ócz biednych emigrantów lży się garną  
Wierzą oni w Boga modlą się kobiety swe dzieci mlekiem karmią  
Napelniają swoją wonią halę dworca Saint-Lazare  
Wierzą w swą gwiazdę jak trzej króle przychodzący z darem  
Mają nadzieję że zdobędą majątki w Argentynie  
I że powrócą do swych krajów zdobywszy fortunę  
Rodzina niesie pierzynę różową jak wy niesiecie wasze serca rozciągalne  
Ta pierzyna i wasze sny są także nierealne  
Niektórzy z emigrantów zostają tu na stałe  
Zamieszkując w ulicy des Rosiers lub des Écouffes alkierzyki małe  
Widziałem ich często wieczorem jak się wietrzyli w ulicy  
I rzadka się ustawiają jak pionki szachownicy  
A zwłaszcza są tu Żydzi ich żony noszą peruki  
Siedzą one bezkrwiste u sprzedażnej budki

Stoisz przed ladą hultajskiego baru  
Za dwa grosze kawę pijesz wśród biednych wśród gwaru

Ty jesteś w nocy w wielkiej restauracji

Te panie są grzeczne mają troski wszelako  
Kaźda nawet najbrzydsza zadręczyła kochanka  
Ona jest córką sierzanta z miasta Jersey

Skóra na jej rękach których nigdy nie widziałem jest twarda spękana  
Wielce współczuję ze skórą jego brzucha co była zaszywana

Skłaniam teraz me usta do biednej dziewczyny o śmiechu okropnym.

Jesteś sam poranek się wdzięczy  
Mleczarz blaszankami po ulicach brzęczy

Noc się oddala i jak ta Miecia piękna  
To jest fałszywa Fredzia lub Lea ponętna

A ty pijesz ten alkohol jak tve życie całe  
Ty pijesz twoje życie jak jaką gorzałę

Ty idziesz do Auteuil piechotą chcesz zejść do mieszkania  
By spać z fetyszami których krajem Gwinea i Oceanja  
Są one Chrystusem w innej formie na inne pacierze  
Są Chrystusem wewnętrznym w zaciemnionej wierze

Żegnaj Żegnaj

Słońce szyja ścięta

*Tłum. Józef Głuziński.*

JEAN COCTEAU

(ur. 1892)

ZE «ZŁORZECZEŃ WAWRZYNOWI»

Moja matka, to była ona (z pewnością ona),  
fartuszek jej czarne ma obramowanie,  
na piersi jej jaszczurka błyszczy z diamentów.

Rzekła mi: Tunelem snów przybywam.  
Chciałam z tobą usłyszeć dział granie.  
Tej nocy sposobi się atak.  
Odpowiedziałem: Ach nie, ach nie.  
Więc usiadła cicho przy mnie,  
położyła ręce na mnie  
i była pełna żaloby i smętu.

Rzekła mi: Ty wiesz, twój brat ma już dyplom pilota.  
Nagle — oto,  
Miałem dwanaście lat na wsi.  
Mój towarzysz Karol, po obiedzie,  
Mówi na dworze: Zda się,  
Amerykanie lecą.  
Moja matka, szyjąc, uśmiecha się.  
Mój brat, on zawsze niewierzący.  
A Karol mówi: Pobratam się z śmiercią.  
Nadejdzie wojna olbrzymia.  
Paweł, co pali pod tym dębem,  
będzie miotał i ciskał  
bomby na miasta po nocy.  
Na miasta pani, Fräulein Józefino.

Budzę się. Me ramię,  
trafione, napelnia się wodą sodową.  
Która godzina? Czy wieczorzano?  
Porucznik ciska mi jasiek na głowę.  
Ucisz się, ty śpisz stojąco.

Ja nie śpię. Podsuwam się  
do barki. Słyszę, jak się uśmiechają.

Lecz nagle pocisk unosi mię  
zręcznie  
w śmierć, zapomnienie.

Tak z moim bratem byłem w samolocie.  
Fruwaliśmy do wielkiej wysokości.  
Leciliśmy do wielkiej wysokości  
nad portem, gdzie zawijały i odpływały okręty.

Rzekł do mnie: Widzisz, na tej łódeczce,  
prawie że tak pod nami,  
mama jest na niej. Będzie nas szukać!  
Po całej ziemi szukać nas będzie zapewne.

*Tłum. Józef Gluziński.*

*Wybór i układ Józefa Gluzińskiego.*

# LITERATURA NOWOPROWANCKA

---

FRYDERYK MISTRAL

(1830—1914)

## MIRÈIO

«Cante uno chato de Prouvenço» — «Spiewam dziewczynę prowanczką», zaczyna poeta wzorem «Iljady». Bohaterką jest Mirèio, Marja, córka bogatego wieśniaka; bohaterem Wincenty, syn koszykarza z Valabrègue; tłem — nadrodańska równina w okolicy Arles. Ale motyw opowieści: nieszczęśliwa miłość, nie zagarnia dla siebie wszystkiego terenu; musiała ona pozwolić miejsca epizodom, malującym Prowancję dzisiejszą i legendarną: jej zwyczaje, zajęcia, zabawy, wierzenia i zabobony; jej sady i wody, i stepy, i miasta; jej świętych, jej wróżki, jej strachy i czary; jej młodzież o silnych mięśniach i namiętych sercach; jej dziewczęta o białych twarzach, czarnych oczach, nerwowe i marzycielskie.

Forma poematu przedstawia siedmiowerszową strofę, oryginalny twór Mistrala; najdziwniejszym organizmem jest język, urobiony na podstawie prowancckiego dialektu, ale zbożony przez poetę śmiałym i szczęśliwym traktowaniem twórczych elementów mowy, sufiksów i wyrazów onomatopickich, składających się na olbrzymie nowe słownictwo. Mistral w tej sztuce tworzenia sobie odrębnego języka jest niezrównany, a całe to słownictwo przyjęło się: «Mirèio» i nowy jego dykjonarz dialektów południowych, stały się językowym kodeksem Felibrów.

Treść poematu rozdziela się, jak następuje:

Pieśń 1. Scena w zagrodzie (mas) Ramona.

Pieśń 2. Zbiór liści morwowych dla gąsienic jedwabnika.

Pieśń 3. Wysnuwanie kokonów na wieczornicy. Nora śpiewa piosenkę czysto ludową, którą jednak dziś znają wszędzie w przeróbce Mistrala. Motyw jej istnieje w folklorze wszystkich ludów, a opiewa dziewczynę, która, uciekając przed natrętnym kochankiem, przybiera kolejno różne kształty.

### «O Magali, ma tant amado»

O Magali, luba dziewczyno,  
Głowę z okienka ukaż nam;  
Naszej aubady posłuchaj ino,  
Na przebudzenie ci ją gram.

— Ile o szumy w lesie wichrowe,  
Dbam o aubady; — któżby dbał? —  
Ja sobie pójdę na morze płowe,  
Węgorzem skryję się wśród skał.

O Magali, chcesz mi się skryć  
Błękitną rybką?...  
To ja rybakiem w wężcierza nić  
Złowię cię szybko.

— Hej, jeśli ty się zrobisz rybakiem,  
Nim wpuścisz sieć do modrych wód,  
Już ja powietrznym, lekkim ptakiem  
Ulecę sobie w stepy wprzód.

O Magali, jeśli ty w step,  
Ja się uczynię  
Ptasznikiem, złowię cię na lep  
Na jarzębinie.

— Hej, hej, łap sobie trznadle, kosi  
Na lep, w potrzaski, kiedyś chwata,  
Bo ja się skryję w nadbrzeżne wrzosi  
Jako niezapominki kwiat.

O Magali, gdy ty się skryć  
Pójdiesz we wrzosi,  
Zamienionego musisz mię pić  
W kropelkę rosy.

— Nim ty się zrobisz przeźrocą rosą,  
Ja się na obłok zmienię już,  
I lekkie wiatry mię poniosą  
Do Indyj het, nad tonią mórz.

O Magali, ulecisz tam?  
W indyjską stronę?...  
Ja się obłokiem zrobię sam,  
Sam cię powionę.

I tak dalej: ona zmieni się w słońce, on ją jaszczurką pić będzie; ona stanie się księżycem, on chmurą; ona różą, on motylem; ona dębem, on błuszczową wicią; ona mniszką w klasztorze się skryje, on zakonnikiem będzie słuchał jej spowiedzi.

— Gdy ty przez święte mury nieskromnie  
Przedrzesz się ku mnie,  
Wszystkie mniszeczki znajdziesz koło mnie  
— Mnie samą w trumnie.

O Magali, gdy ciebie w czarne  
Kiry przystroją,  
Ja cię zmieniony w ziemię przygarne  
— Tam będziesz moją.

Pieśń 4. p. t. «Zalotnicy».

Pieśń 5, najwspanialsza ze wszystkich. Jest tam naprzód idylliczna scena w zagrodzie Ramona. Wincenty przyczołgał się obaczyć Mirèio; powtarza jej swe namiętne wyznania.

— Mirèio, już ni jem, ni piję,  
Kochaniem każdy puls mi bije;  
Mirèio, w moję krew — ach! jakbym wchłonać rad  
Twój oddech, który wiatr mi bierze!  
Pozwól, niech głową tu uderzę,  
Niech dzień i noc u nóg twych leżę  
tarzam się, całując — ot — choćby rąbek szat.

— Wincenty!... sza, to grzech szkaradny!  
Ten polny świerszcz, ten dzwonek zdradny,  
Złośliwie zaczną potem rozgłaszać sekret nasz.  
— Nie bój się! ja rozgłosić wzbronię;  
Jutro z nad rzeki po tej stronie  
Świerszcze z całego Crau wygonię  
— Mirèio, rajem szczerem zda mi się twoja twarz.



Słuchaj, Mirèio: na Rodanie  
 — (Tak jej zalecał swe kochanie) —  
 Jest ziele, warkoczykiem które zwie nasz lud.  
 Dwa kwiaty ma roślinka drobna,  
 Co na łodyżkach dwóch zosobna  
 Pod falę rosną, aż sposobna  
 Miłości przyjdzie pora; wtedy z pod zimnych wód

Jeden z tych kwiatów sam się wychyla i rozwija do słońca; drugi, widząc go tak pięknym, pręży się i chce go dosięgnąć; z wysilenia łodyżkę łamie i wreszcie wolny, lecz umierający, blademi usty muska białą siostrę. Jeden pocałunek, potem moja śmierć, Mirèio!

Dziewczyna zbladła; jak w obrazie  
 On się zapatrzył; w tej ekstazie,  
 Wyprostowany nagle, skoczył jak dziki kot,  
 I już dziewczyna przestraszona  
 Uczuła silne dwa ramiona,  
 Jak jej zaparty oddech łona,  
 Wkoło kibici giętkiej w węzowy zjęte splot.

Lecz mówcie ciszej usta moje,  
 Bo się złośliwych krzewów boję...  
 «Puść mię» — wołała, wijąc się i marszcząc brew;  
 Tuląc do twarzy twarzy dziewczynie,  
 Chłopiec już w upojeniu ginie...  
 Wtem mu się zręcznie z rąk wywinie  
 I tylko jeszcze słyhać śmiech głośny z poza drzew.

Walka Wincentego z Urjaszem. Pierwszy ranny, drugi w ucieczce tonie.

Pieśń 6. Grota wrózek.

Pieśń 7. Ambroży idzie do Ramona w swaty, lecz doznaje brutalnej odprawy.

Pieśń 8. Rozpacz Mirèio; ucieczka z rodzicielskiego domu. Dziewczyna biegnie do grobu Świętych Maryj błagać o pomoc.

Pieśń 9. Popłoch w domu Ramona; pogoń za Mirèio.

Pieśń 10. Mirèio samotna wśród Kamargi. Opis ujścia Rodanu. Upał. Miraże. Mirèio pada rażona słońcem, komary cucą ją: «Małe żalodne owady porobiły skrzyпки ze skrzydełek i brzęczały: Podnieś się piękna, podnieś prędko, bo zdradliwy jest upał słonego wiatru. I kłuły główkę jej przegiętą. A morze w tymże czasie na płomienie jej twarzy rzucało w kropelkach gorzką rosę». Wstała, zawlokła się do bliskiego już kościoła Świętych Maryj. Śród ekstazy, w której zjawiają się Święte, Mirèio umiera.

(Fr. Mistral, *Mirèio*, Paris 1859.)

### KSIEŻNICZKA KLEMENCJA

Przed laty wielu w prowanckiej krainie  
 Żył Karol wtóry — kulawym go zwano;  
 Na pamięć jego hańba stąd nie spłynie,  
 Prawda jest prawdą; — miał krzywe kolano,  
 Lecz zato córkę Klemencję; mój Boże,  
 Piękniejszą, niżli kiedy było morze.

Nie byli wiecej nasi w Aix królowie,  
 A imię hrabiów już im wystarczało;  
 Małe też mieli kłopoty na głowie,  
 Na dwór królewski wydawali mało.  
 Dziś toby prawie bajką się wydało,  
 Że zimą, gdy to wiatr sosny podrywa,  
 Król taki, żeby oszczędzić paliwa,

Wychodził sobie pieszo, bez parady,  
Siadał na ganku w słońcu wygrzać kości  
I z wioskowymi gawędzić sąsiady,  
Słuchać, co mówią owi ludzie prości,  
Podzielać z nimi smutki i radości  
I w takt muzyki na sielskiej fujarce  
Rozpatrywać się w swojej gospodarce.

Tu, owdzie zaszła szczyrba w tej przyjaźni,  
Boć się nie mierzy szczęścia na kentale:  
Každy się kręci, by mu było różniiej,  
Tak jak dziś, z jednej strony dwory wcale  
Zasobne, z drugiej biedackie szpitale.  
Byle się pasła trzódka na swobodzie,  
Jeśli wilk napadł — nie pan winien szkodzie.

Folcarguier, Li Baus, Marsylja i Nica  
Wzbogaciły się i nabrały tuszy;  
Więc trząść lukami: Hejże, na dziedzica!  
Śmierć tyranowi, niech się tak nie puszył  
A na to książę: Targnę ich za uszy...  
I zręczny pasterz rozumnie i gładko  
Spędzał na paszę rozigrane stadko.

Lecz ci królowie, choć tacy hołysze,  
Czasem kulawi — mieli piękne córy;  
Ich wdzięku ludzką mową nie opisze:  
Były jak wróżki, nieziemskiej natury,  
Więc wysławiane dziejopisów pióry.  
Śród nich Klemencja, iskra złotolita:  
Bogdaj mi taka po śmierci zaświta!

Tedy królestwa Francji spadkobierca  
Usłyszał równie o cudownej pannie  
I powziął dla niej miłość z głębi serca.  
We dnie i w nocy gorzał nieustannie,  
Ale się sprawił brzydko i naganie:  
W duszy królewskiej kryć się może przecie  
Chamstwo, jak o tem zaraz się dowiecie.

Zatem z Paryża jedzie ambasada  
I do Prowancji ambasada śpieszy;  
Przybywszy, cel swych odwiedzin wyklada;  
Uczta; każdy się ze splendoru cieszy.  
Potem najstarszy pośród posłów rzeszy  
Prosi dyskretnie a grzecznie o pewną  
Tajną rozmowę z nadobną królewną.

«Dorodna panno» — zaczyna misternie  
I zręcznie starzec; — «gwiazdo południowa:  
W pączkach różanych skrywają się ciernie...  
Lecz niech przejrzytsza będzie moja mowa,  
Choćby na liczko wywabić gotowa  
Rumieniec, co sam tak wygląda cudnie,  
Nie przeto chęć twa dla nas niech nie chłódnie.

Wiesz, że król-rodzic, powiadam z respektem,  
 Nieco kuleje; są takie przypadki.  
 Istne nieszczęście, gdy równym defektem  
 Swych rodzicielei naśladową dziatki,  
 Przynosząc krzywe nogi lub łopatki;  
 Przykre zdarzenie; — a miej to na względzie,  
 Z brzydkiego chłopca piękny król nie będzie.

Cóżby gadali ci z angielskiej nacji,  
 Gdyby synowie francuskiej Korony  
 Byli mańkuci, kulawi, garbaci?  
 Więc król nasz, który chce być upewniony,  
 Że związek będzie szczęśny i niepłony,  
 Życzy, w tem naszej szukając poręki,  
 Byś ukazała nam twe tajne wdzięki».

— «Zuchwały!» — rzecze piękna Arleżanka —  
 «Lecz u Francuza rzecz to jest nienowa,  
 Wiedźcież; Prowancji to nie jest poddanka  
 Zalekła, korna; to dumna królowa.  
 Nie zawstydzi mię zawistna obmowa,  
 Żem jest ułomna; ujrzycie na oczy,  
 A wstyd niech skrzydła nade mną roztoczy».

Wybiega z sali; ruchy gwałtownemi  
 Zdiera koronki, hafty i brokaty;  
 Gazy, muśliny wnet legły na ziemi  
 I spiętrzyły się pośrodku komnaty.  
 Tak zdarte wszystko, prócz ostatniej szaty,  
 Z jaką młokoszka nowo zaślubiona  
 Pada w namiętne małżonka ramiona.

Wraca do sali dostojna dziewczyna,  
 Zbliża się, stąpa lekko jak boginie.  
 Naskroś przeźrocza, jedwabna tkanina  
 Otula kształtów giętkie, wdzięczne linje.  
 Z pod wiotkiej mgielki żaden rys nie ginie;  
 Olśnionych posłów źrenice ciekawe  
 Chciwie wpatrują się w tę białą zjawę.

«Jeśli się z pączków zbiór owoców mierzy,  
 To zysk Amora będzie wcale ładny» —  
 Powiada starszy śród posłów-rycerzy.  
 — «Kąsek królewski w każdym calu składny  
 I niewidziany u dziewczyny żadnej.  
 Król nasz zdobędzie skarb jedyny w świecie,  
 Z nim zaś zdobędzie Francja. — Ah, przecie

Jednego trzeba, byśmy doszli zgody  
 Z rozkazem władcy naszego i króla:  
 Ukaż nam pełną gwiazdę twej urody,  
 Zwiej z siebie obłok, który ją otula,  
 Bo to jest naszej umowy klauzula.  
 Pomyśl: za łaskę tę, o piękna pani,  
 Koronę tobie ofiaruję w dani».

Słucha; i nagle z powabem królowej,  
 Nie zawahawszy się na okamgnienie,  
 Jednym odruchem wyrzuca wtył głowy  
 Swych włosów bujnych faliste pierścienie.  
 — «Niech mię nie spotka» — rzecze — «oskarżenie,  
 Że dla tej jednej i marnej osłony  
 Chciałam się wyrzec francuskiej korony».

Jak porankowa gwiazda, gdy zaświta  
 Na szczycie góry i promieniami błyska,  
 Tak arlezyjska błysła Afrodyta.  
 Wzrok lśni z widoku cudnego zjawiska.  
 Żem nie był królem, serce mi się ściska,  
 Lecz miłość — temu krzywa, temu rada,  
 A samo piękno jak rosa przepada.

Temat nieugruntowany<sup>1</sup> historycznie, a wzięty z Nostradamusa, mistyfikatora, vulgo czarodzieja z XV w. Mimo to wszedł do legendy i tam pozostał.

(*Fr. Mistral, Lis Isclo d'Or (Wyspy złote), La Princesso Clemènço.*)

## TEODOR AUBANEL

(1829—1886)

### 9 THERMIDORA<sup>1</sup>

1. — Z tym nożem gdzież to biegniesz w świat?  
— Ucinać głowy, jestem kat.
2. — Ależ potrzeba spocząć chwilę,  
Zmyć ręce, suknię obryzganą...  
— Poco? Wszak jutro wrócę rano;  
Głów pozostało jeszcze tyle.
3. — Czyś słyszał z dziecka ust: kochany!  
Śród pieścizot jego byłeś głazem?  
Że tak bez dreszczu, niepijany,  
Zabijasz płód i matkę razem?
4. Bruk — pod szafotem ścięte głowy,  
A reszta się u nóg twych ściele.  
Mów: człek-li jesteś? Zwierz surowy?  
— Puszczaj! Roboty jeszcze wiele.
5. — Jaki smak mają tve napoje?  
W twym kubku czy się krew nie pieni?  
A kiedy dzielisz chleb na dwoje,  
Czy-li się nóż nie zaczerwieni?
6. Zmęczonyś; pot ci z czoła ciecze;  
Spocznij, naostrzyć nóż wypada,  
Aby nie zsunął się, bo biada,  
Jeśli ofiara raz uciecze.

<sup>1</sup> Dzień ścięcia Robespierre'a.

7. Uciekła... kolej teraz na cię;  
Nuże na szafot krwią obsłizły!  
Czekamy, by krwią żyły bryzły;  
Czekamy na twą głowę, kacie.

8. Naostrzcie z nowa długi nóż,  
Ty, kacie, pyszną głowę złóż.

(*T. Aubanel, Lou Miougrano entre-duberto, N<sup>lle</sup> ed. Montpellier, 1877, p. 266.*)

#### WENUS Z ARLES

O, pięknaś, Wenus z Arles, oszaleć można dla cię:  
Z tą lekko zgiętą szyją, z tą głową w majestacie  
Słodczy; ust twych kwiat, rozchylony w połowie,  
Pocałunkami tchnący i śmiechem — co nam powie?  
Amory długi włos, co falą zwiśł na skroni,  
Zebrały w zgrabną sieć pieśczoneym ruchem dłoni;  
O, biała Wenus z Arles, prowancckich ziem królowa!  
Przepysznych ramion twych tuziemski płaszcz nie chowa;  
Widać to, żeś boginią, żeś córką nieb i mórz.  
Zawisa oko chciwe u twojej piersi róż  
I patrzy na jej kształtów wiosenne rozpowie,  
Tak kragłe, tak przezyste — i tonie w tym zachwycie:  
Jak piękna!... Chodźcie ssać, ach, chodźcie ssać, narody,  
U tej krynicy bliźniej miłości i urody.  
W co się odmieni świat, gdy się w nim piękno zniszczy?  
Co brzydkie — niech się kryje, co piękne — niechaj błyszczy! <sup>1</sup>  
Zjaw nam ramiona nagie, pierś naga i bok nagi,  
W nagości cała stań niebiańskiej twej powagi.  
Piękność cię chroni lepiej, niżli ten biały strój,  
Co najpiękniejsze kryje; doreszty szatę zzuń,  
I całe łono zdaj na pocałunki słońca!...  
Jako bluszczowa wić po drzewie pełzająca,  
Tak ja drżącemi palcy i wargą rozognioną  
Muskam kolana twe, ramiona twe i łono.  
O, słodka Wenus z Arles, młodości czarownicy!  
To twoich wdzięków czar, co nad Prowancją świeca!  
Zdrowie chłopaków naszych i piękność naszych dziew.  
Pod ich pcią opaloną, o Wenus, twoja krew,  
Żywa, gorąca krew!... Ot, czemu dziewczka nasza  
Odkrytą nosi szyję, wiatr igrać z nią zaprasza;  
Ot, czemu nasza młódź tak rześko bieży w gon  
Za bykiem do areny, na miłość i na zgon;  
Ot, czemu kocham cię na zbladłem, bóstwo, niebie,  
I czemu ja, chrześcijanin, poganko, śpiewam ciebie!

(*T. Aubanel, Li fiho d'Avignoun, N<sup>lle</sup> ed. Avignon, s. d. p. 106.*)

<sup>1</sup> «Luse tout ço qu'es bèu, tout ço qu'es laid s'escounde». Ten wiersz przyjęli za dewizę felibrowie awinjońscy.

## BRUNOUN DURAND

## WESTCHNIENIA GARAGAI

Ledwie na światło dzienne otworzyłem oczy,  
Patrzę na górę, stożek granitowych ciosów,  
Zwróconą na widnokrąg linią ostrych zboczy,  
Krytych rdzą mchu i sosną, i kępami wrzosów.

Modry szczyt preży wgórę owa grań zwycięstwa,  
Przygniata pola winnic i oliw na zrębie,  
Świadek minionej sławy, niezłomnego męstwa,  
Gdy orzeł rzymski ploszył zuchwałę jastrzębie.

U szczytu, co grzebieniem kamiennym się jeży,  
Zionie okropna czeluść; groza w niej się tai;  
Dziś ona jest mieszkaniem sów i nietoperzy,  
Ludność okólna zwie ją mianem Garagai.

Dawniej tam miały skupiać się wróżbiarskie groty,  
Tajemnicze obrzędy kryła czarna jama,  
Płaszały wiedźmy w świetle miesięcznej pozłoty,  
A lud powiadał: tutaj jest do piekieł brama.

Jakieś głosy szeptały w przepastnym kraterze,  
Z głębi dolatywały niby smętne gwary,  
Krzyżem się przechodzący żegnali pasterze,  
Lecz nikt okiem nie dotarł aż do dna pieczary.

Ja równie się wspinałem na skał wysoczyzny,  
Słuchałem rad, co ku mnie szły z tajemnej cieśni:  
W głosie moich pradziadów i w głosie ojczyzny  
Niechaj dziś odebrzmieją w młodocianej pieśni.

Jak echo westchnień, co się stamtąd rwą do nieba,  
Z czeluści, gdzie się niewypowiedzeniem męczą,  
Jak jęk, którym się żali prowansalska gleba,  
Tak niech się w rozżalonym śpiewie mym wydzwięczą.

*(Brunoun Durand, Lis Alenado dóu Gařagai, Ais de Prouvènço, 1913, p. 6.)*

## PROSPER ESTIEU

## ZAWIERUCHA

Legaci i włodycy, Monforckich zbirów plemie,  
By spełniać dzieło śmierci, w Bezierską wpadło ziemie.  
Hej, nie zmogła cię klątwa, jeszcześ się nie ugięło,  
Miasto kacerskie! Słuchaj, niech cię głos mój ostrzeże:  
Morduj, kędy popadniesz, Bóg swych wiernych wybierze.  
Pomnijcież, synowie Beziers.

Ledwie Roger Trencavèl w kajdany był zakuty,  
Skonczył żywot w więzieniu, wstrętnym jadem otruty,  
Nowego, Carcasono, pana uczcić potrzeba.

Montfort filtry gotuje, by zato wejść do nieba;  
Honorowym szlachcicom honoru nie zazdrościł  
Pomnijcież to, ludzie z Carcas.

Termes, Fan-jouis, Castèl-Nou i władca Monrealu  
Pobici, ale dzielni; rycerscy w każdym calu;  
Krew się w nich poburzyła prastarych rzymskich panów;  
Popalili im dwory najeźdźcy rudowłosi,  
Przywiani jak kurzawa, hen, z krainy Germanów.  
Pomnijcież, bracia moi z Anel!

Dzieci de Foix, walczący o skrawek swojej ziemi,  
Oślepieni, bez uszu, z nozdrzami wyrwanymi,  
Najdzielniejsza drużyna, poraniona, w pół żywa,  
Były mu odesłane... Dziedzino nieszczęśliwa!  
Słuchajcież, jak Monfort pojmował «świętą wojnę».  
Pomnijcież to, ludzie z de Foix.

Oto snuje się pochód umitrzonych biskupów:  
Przypatrź się, ludu z Lavaur: niedosyć było trupów;  
Zrzucajcie jasne stroje a obleczcie się w czernie.  
Oto martwa Guiralda, utopiona w cysternie;  
Chcecie, by z krzykiem «Auzor» wychyliła się z wody?  
Słuchajcież hasła, ludzie z Lavaur.

By podeprzeć orężem nasz kraj i nasze prawo,  
Piotr z Aragonu poległ i Muret okrył sławą.  
Ale szczytna myśl jego przenigdy nie zmarnieje,  
Do słusznej pomsty tężmy dziś jeszcze słabe ramie;  
Aż nam pod wspólnem słońcem zabłyśną Pireneje.  
Pomnijcież to, ludzie z Muret!

(Prosper Estieu, *La Canson Occitana, Carcasona 1908, t. III, La Trumada, p. 93.*)

Krucjaty przeciw kacerskim albigensom w pierwszej ćwierci XIII w. zrujnowały doszczętnie dobrobyt, kulturę, swobodę Prowancji we wszystkich jej dzielnicach. Akcja stała się krwawą od chwili, kiedy z rąk duchowieństwa przeszła do wykonawczych władz świeckich i zaostrzyła się sporami i nienawiściami rodowemi. Rzuciła się na Prowancję, od Tuluzy po Aix, szlachta francuska i wojska cesarskie, pod wodzą osławionego okrutnika, Szymona z Montfort.

W poemacie, ułożonym na wzór starych sirventesów, są wymienieni książęta, prowincje i grody, które uległy zagładzie. Między nimi Piotr, król Aragonu, symbolizujący jedność Katalonji, Prowancji i Aragonu, związanych pokrewieństwem języka, obyczajów i ducha narodowego, poległ pod Lavaur 1213 r. Niedługo potem kraina pieśni i słońca straciła niezależność, zduszona przez «złą siostrzycę» z Północy.

## BARONCELLI — IAVON

### TRÓJZĄB

Stróžu trzód, z podniesionym trójzębnym oszczepem,  
Wyprężony w strzemionach na swym białym koniu,  
Roznamiętniony walką, rozpędzony stepem  
Kamargi, lat tysiące po tym samym błoniu.

Stróžu trzód, ogorzały w słonecznym pożarze,  
Gdy schodzisz do areny potykać się pieszy  
I czujesz wszystkie na się obrócone twarze,  
Braćmi jesteśmy: jedno bóstwo w nas się cieszy.

Czarna jałówka próżno miota się w podskoku;  
 Na zadzie pod ukłuciem trójzęba przysiadła,  
 Liże krwawiące nozdrza i trzy rany w boku,  
 Rada ujsć, patrzy chyłkiem ku trawom mokradła.

Bracia, ja też dzierżyłem trójzębne narzędzie,  
 Feliber, stopą twardo w grunt areny wparty;  
 A widzowie patrzali, czekając, co będzie,  
 Bo mój zwierz był złośliwy i miał róg niestarty.

Drze ziemię racicami, włos na grzbiecie stroszy,  
 Ryczy, ogonem śmigłym precz obija boki,  
 Ale oszczep mój mocny, wzrok mi się nie ploszy,  
 Wnet samka może własnej napić się posoki.

Po walce idziem, bracia, poza ogrodzińce,  
 Gdzie zdawna stoją konie osiodłane nasze,  
 I przeganiamy, jurni prowancy młodzińce,  
 Czerwoną jałowicę na wilgotną paszę.

(*Marquis de Baroncelli-Iavon, Blad de Luno, Zboże księżycowe, 1910.*)

Autor, właściciel stada na łąkach Kamargi, «aficionado» jak magnaci Andaluzji, sam próbuje siły i zwrotności zwierząt przeznaczonych do areny, uganiając za nimi z trójzębem w rękę.

## JÓUSÈ D'ARBAUD

### WAWRZYN ARLEZYJSKI

Czy mocny wiatr libijski po morskim hula szlaku,  
 Czy boreasz dmie mroźny z alpejskiego tarasu,  
 Gnie się pod niemi obrzeż ponadwodnego lasu,  
 Gną się lauru gałęzie i liść o gorzkim smaku.

Z północy czy południa niech się chmura przybłąka,  
 Krzepki na wyschłym gruncie dżdżem się poi dosyta.  
 Tak nawodniony drzemie, póki dzień nie zaświta,  
 Pogląda na turkawki, śmigające do słońka.

To młody krzew wawrzynu, co go dla własnej chwały  
 I na dzień chwały kraju posadziłem na stoku;  
 Widzę, coraz się tężej rozrasta rok po roku,  
 Zima nie zwarzy kory związłej, na mróz wytrwałej.

Korzenie swoje gibkie w głąb ku morzu wyteża,  
 Co gorzkim smakiem soli napawa drzewne żyły;  
 Potem w słońcu prowanckiem docna nabrawszy siły,  
 Skoro minie południe, cień swój skupia i zwęża.

Wawrzynie, coś mi wyrósł w zórz załzawionym świecie,  
 By kiedyś rozpalonej głowie dawać ochronę,  
 Nad szczęśliwą ojczyzną rozwij bujną koronę,  
 Wawrzynie z Arles, wyrosły w młodości mej rozkwicie!

(*Jòusè d'Arbaud, Lou Lausiè d'Arle, Ais de Prouvènço, 1925, p. 15.*)



## ZWIERZ Z VACARÉS

Głośna powieść młodego poety oparła się na fikcji istnienia po dzień dzisiejszy potworów epoki prebrzmiałej: smoka, Tarraski, Aegipanów, satyrów i faunów, które tam w delcie Rodanu żyją i działają wpływem tajemniczym. Tutaj spotykamy się ze starym, dobrym faunem, zgrzybiałym i już bliskim śmierci, jak wszystka starogrecka mitologia. Odkrywa go w gąszczach Kamargi stróż stada i jest świadkiem jego ostatnich triumfów jako pana przyrody, głosiciela radości bytu. Stary kozionóg ginie potem w trzęsawiskach nadrodańskich.

Tym razem zatrzymałem się z oszczepem w górę i próbowałem wypatrzeć, z jaką zwierzyną miałem do czynienia. Wyznam, że byłem zmieszany; udzielał mi się przestach konia, który drżał pode mną. Nie przeto, aby zwierz wydał się tak groźny, jak sobie wyobrażałem. Śród powikłanego sitowia z trudem wyróżniłem tył, pokryty włosami kudłatym, szaro-żółtawym; dwie nogi z rozszczepionym wyraźnie kopytem; co mię jednak szczególnie zdziwiło, to, że obaczyłem na nim rodzaj kamizeli z grubej tkaniny, przylegającej do grzbietu i łędźwi. Skulony na nieruchomych łydach zwierz nie pozwalał dostrzec kadłuba, ni głowy. Bojąc się przestraszyć go nagle najściem, czując przytem że mój «Promień Księżycowy», cały wyprężony ze strachu, nie da się przynaglić, postanowiłem zwrócić ku sobie spojrzenie dziwnej istoty... Bez zbytniego wyciężenia nabrałem oddechu i wyrzuciłem ów krzyk gardlany, jakim my, stróże stad, zatrzymujemy w pochodzie nasze zwierzęta, albo je przywołujemy: He, hehe! He, hehe! Ale za ledwie zakrzyczałem po raz drugi, poczułem, że włos jeży mi się na głowie, zimny pot splywa po grzbiecie i musiałem oburącz chwycić się grzywy, bliski omdlenia. Bo twarz, zwracająca się ku mnie, była twarzą ludzką... Mimo wzburzenia rozróżniałem szczegółowo rysy ostre, wyżłobione nędzą i starością, oraz dzikie oczy, w których gorzał płomień smutny; spojrzenie moje ledwie znieść go zdołało... Ale to jeszcze nic; uczułem nagle wstrętny dech, bijący ku mnie, uniosłem się na strzemionach, pełen obrzydzenia, gdy obaczyłem po obu stronach szerokiego czoła górujące nad ziemistym obliczem dwa rogi: tak jest, dwa rogi: jeden mizernie przełamany w połowie, drugi zwinięty w śrubę; oba chropowate, splamione błotem, jak u bajecznego kozła, czczonego nocami w niechlujnych obrzędach sabatu. Bez namysłu, szukając ocalenia, szerokim gestem uczyniłem znak krzyża, wymawiając przytem słowa zaklęcia: «Recede immundissime»... i czekałem, że zjawisko rozpierzchnie się przede mną jak mgła... Ku wielkiemu zdziwieniu zwierz (jakże to nazwać inaczej) podniósł się z trudem na zeszytywniałych nogach, a na jego ludzkiej twarzy dostrzegłem coś nakształt słodyczy, coś, jak błysk smętnego uśmiechu: «Człowiecze, nie lękaj się, nie jestem demonem. Dlaczego mię prześladujesz? Co ci uczyniłem. Ta ziemia jest ostatnią, gdzie znalazłem nieco spokoju i tę świętą swobodę, wśród której niegdyś lubiłem dawać folgę młodym siłom, kiedy to panowałem, władca milczenia i godziny, władca niezliczonych pieśni, co od owadu na łące aż ku gwiazdom wlatują, krzyżują się i rozbiegają po otchłaniach nieskończoności.

Tu, pośród żuław, poprzecinanych jeziorami i łachami żwiru, słuchając poryku byków i rżenia dzikich ogierów, we dnie przypatrując się z ukrycia mgłom rezedrganych mirażów po opalonej ziemi, a w nocy bawiąc się poblyskami nagiego księżycyca na powierzchni morza, doświadczam czasami tego, co mnie wydaje się szczęściem...»

...Ja, Jaume Rouboud, Dziubaty, widziałem to w godzinach nocnych. Naprzód obaczyłem, rozchylając gałęzie tamarydy, co mi zaślaniały widok, obaczyłem rozległą, nieruchomą żuławę, jak świeciła się zdaleka w blasku księżycyca. A natychmiast potem osłupiały rozpoznałem Zwierza. Stojąc nago, przeżył się na jednej z łach pokrytych niską trawą, jakie my nazywamy «autourami», a naokół niego niezmierną ciżbę ruchliwą i czarną, kręcącą się coraz żwawiej. W przypadkowych poblyskach księżycyca — rozświecone grzbiety, rozpalone oczy, gładkie ostrza rogów. Dzikie stado Kamargi musiało tam być prawie w komplecie. A od czasu do czasu ze wszystkich stron widnokregu przybywały grupy nowe...

...I zrozumiałem, że to on, Zwierz, stojący w pośrodku, własną mocą, według swego chcenia, nad niemi panował. Czułem, jak wedle swej woli zdaleka je zwoływał, popychał, w żyły ich technął ów szal, co je unosił. Pod ich wściekłym tupotem łąd wydawał się olbrzymią polaną... Wiele zwierząt musiało przybyć z manad odległych

Akwitanji. W jednym błysku po refleksach na czarnej sierci, wilgotnej i dymiącej, rozpoznawałem te, co musiały przebrnąć głębokie jeziora, albo jedno z ramion Rodanu.

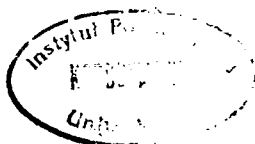
Zataczały koło bez odpoczynku. Coraz to prędzej, zdawało się chwilami, coraz to prędzej.

Podniesione ramię Zwierza, suche i czarniawe, urywanym taktem przyspieszało ich wirowanie. Rzucaly się naprzód, oszalomione; gestami swemi, jak uderzeniami bicia, podniecał je. Im szybciej wirowały, tem bardziej koło rozszerzało się swobodnie. I oto nagle spostrzegłem, że przyłożył do warg coś, czego narazie nie umiałem rozróżnić. Zdawało mi się jednak, że poznaję instrument podobny do fletu koziarzy. A z tej dziwnej fletni, nie zmieniając miejsca, ni postawy, począł wyciągać tony. Śród wrzawy stada usłyszałem muzykę ostrą i dziką, szarpiącą nerwy. Na pierwszy zew zwierzęta zaskoczone stanęły, ale wnet ruszyły znowu, porwane jeszcze gwałtowniej rytmem tajemniczym. Kołowały, stosując do niego swe ruchy, to zwalniając aż do stępa, to wyskakując nieprzytomnie w nagłej galopadzie; on zaś, na wzór jeźdźca rozpędzonego równym biegiem pod uzdą to puszczonej wolno, to ściągniętej, zdawał się odczuwać rozkosz okrutną z tego podniecenia, czy chłodzenia ich rozpędu...

...Zwierz począł znowu grać, a za każdą modulacją wzdymała się i ściągała chuda skóra na bokach i na piersi. Szybsze tempo wywoływało galop gwałtowniejszy. Czasem ryk szorstki i krótki dobywał się z gardzieli zwierząt zadyszanych, draśniętych pośród ciżby uderzeniem rogu. Dwa lub trzykroć spostrzegłem, jak zwierz kołysał się w takt na biodrach kudłatych, przechylając się kadrubem... 257.

(*J. d'Arbaud, La Bèstio dóu Vacarés, Paris 1926, p. 59—65; 243—255.*)

*Wybór, układ i tłumaczenie Edwarda Porębowicza.*



**INSTYTUT  
BADAŃ ETNOGRAFICZNYCH PAN**  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-780 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

...





K  
8136  
5